

J. I. KRASZEWSKIEMU

W JUBILEUSZOWYM JEGO ROKU

Z WYRAZEM HOŁDU OD REDAKCYI STRZECHY.

Był ongi zwyczaj, że gdy siadano
Do wspólnej uczty przy bratnim stole:
Prastare duchy Ojców wołano,
By miejsce w żywych zajęły kole.
Stawiano czasze z miodem i winem,
Pod cieniem dębu, w głuchej dąbrowie,
A kto się dobrym czuł ziemi synem,
Ten dobrych duchów podnosił zdrowie.



I my dziś w cieniu tej polskiej Strzechy,
Idąc przez Ojców drogą wskazaną:
Ileż żywimy w sercu pociechy,
Że Twoje możem okrzyknąć miano!

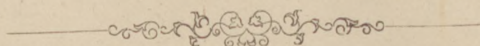
I z tych sfer górnych, gdzie duch Twój bieży,
By w wieczność zakląć natchnione słowo:
Zawezwać Ciebie, coś nam najszerzéj,
Pół wieku pracą świecił duchową!



Więc w polskiem piśmie, którego czoło
Zdobi Twych natchnień czar niezrównany:
Ku wspólnej pracy związane koło,
Cześć Tobie składa Mistrzu kochany!
Cześć Twojej jarej ducha potędze,
Co ni na chwilę w trudach niezdrzémie:
Co na tysiącznej już może księdze,
Niestartym rylcem żłobi Twe Imię!



Cześć trudom Twoim! pracy szlachetnej!
Cześć Twej gołębiej ducha prostocie!
Cześć Twojej drodze czystej i świetnej,
Po której wiedziesz polskich serc krocie!
Mistrzu! nim pracy Twej półwiekowej
Wdzięczna Ojczyzna cześć swą odmierzy:
My dziś dla Ciebie z czci narodowej
Bierzem tę cząstkę — co w sercach leży!




J.J: KRASZ
POETA
BRUNI
POWIEŚCI



UPIOR.

Opowiadanie przy kominku

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.



Siedzieliśmy u komina, suche drewka olchowe płonęły na nim tym spokojnym ogniem, mieniącym się w barwy zielonawe i fioletowe, na który godzinami całemi człowiek zapatrzywszy się, zadumawszy, siedziałby, ot tak, z rękami założonemi — Tyras głowę położywszy na łapach drzemał też nosem zwrócony ku kominowi. Trzech starych myśliwych otaczało ognisko to domowe, które nigdy prawie nie wygasało, ja czwarty tuliłem się w kątku za włosieniem okrytą kanapką. Wabiły mnie tam i pociągały niewypowiedzianym urokiem powieści, które całemi wieczorami starzy sobie o dawnych czasach opowiadali. Mało kto naówczas miał ochotę i cierpliwość wziąć się do pióra, lecz bez żywego słowa nikt się dnia jednego obejść nie mógł. — Byli tacy niemal z powołania gawędziarze, których Rzewuski niewłaściwie polskimi bardami nazywał, jeżdżący od dworu do dworu, z imienin na imieniny, goszczący nieraz po kilka tygodni, obwożeni po sąsiedztwie, wszędzie przyjmowani serdecznie, około których jak tylko zasiedli, wszyscy się ustawiali podsłuchując ich ciekawie. Opowiadanie ich częstokroć nie było bez kunsztu; historyjki te umieli na pamięć, a za każdym razem przybywał im jakiś warjant, kwiatek, dowcip i rys charakterystyczny. Więc choćby rzecz była znaną, gdy ją przedziwnie pan Łowczy lub Cześnik opowiadał, skupiano się do koła, zrywano boki lub łzami się zalewano, słuchając. Tego wieczora poczęło się jakoś od myśliwskich historyi mniej zabawnych, ale to był wstęp tylko. Potrącić dosyć było o znane imiona księcia Karola, Starosty Kaniowskiego, Jabłonowskiego lub Gozdzkiego, jednego ze słynnych dziwaków swojego czasu, aby się pokrewne im postacie, na których nie zbywało, ruszyły i powstały żywe.

Niezliczoną ich moc wydały ostatnie czasy, łatwo to nawet sobie wytłumaczyć można. Gdy zabrakło ludziom, do czynnego, bojowniczego żywota nawykłym zajęcia, walk, celu jasnego, bujała fantazja i niespokojną krew burząc pędziła na rozstajne drogi.

Gorący ludzie przykuci do domów, stawali się kapryśnemi dziećmi. Dodajmy do tego rozpojenie przez Sasów i ową potrzebę zabawienia się nieustannego, która za nich weszła w obyczaj, podbudzanie się wzajemne w wielkiej gromadzie, wśród której wszyscy gotowi byli iść na wyprzódki, aby się gorszymi nie okazać od innych.

Ze trzech starych siedzących przy kominie najciekawszym dla mnie był pan Seweryn Burba, którego pułkownikiem tytułowano, choć bardzo być może, iż już po za służbą grzeczni i kochający go przyjaciele trochę go zaawansowali. Słyszałem dawniej, że go i Majorem i Kapitanem zwano; — zdaje się, że on sam wcale o te tytuły niedbał.

Śliczny to niegdyś musiał być mężczyzna, bo nawet już przy siwych włosach i poźnym wieku jeszcze w nim dawną tę męską piękność widać było, trzymał się po żołniersku, wyprostowany, a w obejściu się z ludźmi miał coś tak łagodnego, sympatycznego, dobrego, iż trudno go było nie pokochać. Z dawnej młodej twarzy zostały mu były jeszcze oczy niebieskie, patrzące serdecznie, usta uśmiechające się z wyrazem wielkiej dobroci, wspaniałe czoło i policzki świeże, rumiane, mało nawet pomarszczone, choć miał lat przeszło pięćdziesiąt. Spojrzawszy nań, można się już było wielkiej siły domyślać, jakoż w istocie znano go, że siłaczem był, choć się z tém nigdy niepopisywał. Wszystko co żołnierz i szlachcic lubić, znać i umieć powinien, pan Seweryn lubił, znał i umiał, jak nikt lepiej. Koniarz był sławny, choć końmi nie frymarczył jak drudzy, bo się do nich przywiązywał, strzelał doskonale, powoził wybornie, tylko do kieliszka, którego naówczas nadużywano, pociągu nie miał. Wypił czasem przed obiadem, coś i przy obiedzie, ale jak tylko zabierało się na pijatykę, uchodził. Gdy go zaskoczono, zaklęto, przymuszono, choć się marszczył, pił, naówczas jednak nie było

żartów, wszystkich pogrzebł, sam wychodząc jak trzeźwy. Tylko zawsze to potem (opowiadał) odchorował. — Przy kieliszku też takim, gwałtem do gardła wlewanym, ani już humoru, ani zwykłej swej uprzejmości nie miał, dąsał się i ostro stawił.

Pana Seweryna widywaliśmy goszczącego u krewnych w sąsiedztwie, a wiedzieliśmy o nim tylko tyle, że człowiek był majętny, który dobra znaczne całe oddał dzieciom, sobie jeden dworek pod lasem, ogród, ordynaryę i pensyę zostawiwszy. Że okolica, w której mieszkał, dosyć była pusta, a Pułkownik z ludźmi żyć lubił, więc częściej pono u krewnych i przyjaciół, niż w domu przebywał. Gdy się zatęsknił za dziećmi i wnukami, zawracał do Horodowszczyzny i parę miesięcy widać go nie było. Zapraszano go z daleka nawet na polowania wszelkiego rodzaju, bo nietylko myśliwym był wielkim, ale najmilszym w świecie człowiekiem i przynosił z sobą dobrą myśl wszędzie.

Rzadko się trafia widzieć człowieka, któryby w różnych towarzystwach wśród drobnej szlachty i wielkich panów był tak zawsze jednym i tym samym, nie zmieniając się wcale. Nie czynił mu wstrętu stary strzelec w łapciach, ani imponował książe z Dereczyna, a choćby i udzielny. Naturalnym był i godność swoją utrzymać umiał, — jeden tylko majestat niedoli i cierpienia widoczniejsze na nim czynił wrażenie, przed tym skłaniał głowę z poszanowaniem.

Z przeszłości pana Seweryna oprócz tego, że wojskowo służył, że wiele po świecie bywał, potém do kraju powróciwszy ożenił się szczęśliwie i gospodarzył,— niewiele wiedziałem. A patrząc na tego człowieka trudno było oprzeć się myśli, że wiele przygód ciekawych w życiu swem przebyć musiał.

Po anegdotkach myśliwskich tego wieczora zeszło wkrótce na dłuższe opowiadania o dawnych czasach. Sięgano daleko w głąb, bo starzy powtarzali to, co od ojców zasłyszeli, częstokroć też ojcowie od dziadów. Tradycje te, jak wszystkie w świecie, są prawdziwe poezje pokoleń; — prawda w nich leży niekiedy, ale na około jej ziarnka snuje poezja swe ideały. Około imion i charakterów skupiają się blaski, gromadzą cienie, iskrzą barwy, które były duszną potrzebą i pragnieniem tych, co niemi przeszłość malowali. Każdy naród ma takie posągi, które rzeźbiły pokolenia; dziecinną jest i śmieszną krytyka historyczna, przychodząca je mierzyć swoim łokciem maleńkim i dłubać się w téj patynie szlachetnej, jaką je okryły wieki, aby dobyć z pod niéj pospolitego kruszcu.

Starzy gawędzili i tak się jakoś zapomnieli, uciekłszy w przeszłość, że mnie za kanapką zostawili, nie zważając może na defraudowanego słuchacza.

P. Seweryn tego dnia był w humorze wyśmienitym, ubił kozła i dwa zające, ani razu nie chybił, nikt też zwierza nie przepuścił, za co się zawsze gniewał trochę, i pudeł w ogóle było niewiele. Wpłynęło i to zapewne na rozweselenie, że po łowach zjedli smaczno, a teraz u najrozkoszniejszego ognia w świecie siedzieli z fajkami. Płynęły więc historje jedna po drugiej, smutne, wesołe, dziwaczne, niektóre na bajki wyglądające a z dobrą wiarą przyjmowane; aż pan Seweryn rozpoczął, mniéj więcéj w ten sposób. Zapamiętałem dobrze jego powieść całą, bo żywo mnie naówczas zajęła.

— „Powróciłem był właśnie do kraju — mówił, — którego od lat wielu nie widziałem. Cierpiałem wówczas trochę na postrzał w nodze, i choć rana była zgojona, ból w kości czułem jeszcze. To mnie zmusiło służbę wojskową porzucić. Szczęśliwszy od innych bo wielu naówczas niespodzianie wracających z własnemi rodzinami mieli zajścia nieprzyjemne, — znalazłem brata, który mi moją ojcowiznę ocaloną, kapitalik dosyć znaczny, gotów był natychmiast wypłacić.

Uściskawszy go i panu Bogu za to dziękując, bo niezależność jest rzeczą drogą i dźwignią wielką, obejrzałem się co tu robić. Ba! *In quo nati sumus*, po żołnierskim chlebie najbardziej mi się gospodarka uśmiechała. Mamy to we krwi. Kupić coś, nie trafiało się, trzeba się było rozpatrzeć wprzódy lepiej i samego siebie wypróbować. Brat mi na początek radził dzierżawę, nie byłem od tego.

W okolicy i o to było nie łatwo, postanowiłem odwiedzić krewnych, których dużo rozsypanych miałem po różnych ziemiach i poszukać, ażeli się co nie trafi. — Choć odrobinkę na nogę napadałem, alem był młody, lubiłem ruch, nie brzydziłem się zabawami, szukałem kobiecego towarzystwa — tylko nie tak jak dzisiejsza młodzież, która w kobietach to najwięcej ceni, co najmniej warto, myśmy wzdychali do ideałów, do powietrznych istot i do dobrego towarzystwa, ażeby się módz zakochać, musieliśmy trafić na taką, z którą mówić było można.

Ale to — *intra parenthesim*.

Wybrałem się w drogę jakoś pod zapusty — gdziem wpadł pełno było wesołych ludzi, a wojskowego, który wracał z onych wojen sławnych, z owych bojów tytanicznych, co się hukiem dział tysiąca po świecie rozlegały, każdy witał otwartemi rękami. U niejakich państwa Moskorzewskich na Podlasiu, ludzi bardzo zacnych ale wyszłych pono świeżo z małego, dokąd mnie zawieźli krewni moi Zbąscy, zastałem zjazd nadzwyczaj liczny. Moskorzewscy ci dorobili się byli na dzierżawach fortuny znacznej, on sam potem trochę na dobrach spekulował, czasy były takie że je za bezcen sprzedawano, — słowem przyszli do grosza. A że niemieli synów tylko trzy słuszne córki, jak róże rozkwitłe, wesołe, dobre i po bożemu wy-

chowane panny, młodzież się tam jak na lep cisnęła. Ludzie też byli niezmiernie, może do zbytku nawet gościnni, — stary, którego obwołano dusigroszem, miał na sobie dowieść, że choć zbierał grosze, ale je też i wydawać umiał. Naprzykszona niemal była ta ich gościnność, bo jak człowieka pochwycili, wyrwać się im było trudno.

Panny, choć były ładne, posażne i miłe, mnie jakoś do żadnej z nich nic nie ciągnęło; nie mogłem też zaś myśleć o ożenku, bo za naszych czasów kto gniazda własnego nie miał, nie ważył się w konkury, aby nań nie mówiono, że chciał siąść na żoninym fartuszku. Zaraz pierwszego dnia Moskorzewski, człek grzeczny a szczególniej dla mnie, jako dla starego wojskowego, z respektem wielkim, gdy się coś zgadało, że dzierżawy szukam, wystąpił — My wam ją tu znajdziemy, jak pana Boga kocham.

Wziąłem to za puste słowo i tylko mu głową kiwnąłem. Drugiego dnia przy śniadaniu wziął mnie na bok.

— Wiesz pan co, rzekł — ja mam już dla waćpana na myśli dzierzawę. O kilka mil ztąd mieszkają Boguszowie, rodzina zacna i majętna. Ci mają dobra rozrzucone, on sam takiego gospodarstwa dopilnować nie może, szczęściem dla niego będzie, gdy uczciwego człowieka znajdzie, z którym bezpiecznie mieć do czynienia.

— Ale jakże tak obcesowo wpaść? — rzekłem.

— Znajdziemy chwilę sposobną i kogoś, co tam w tym domu dobrze jest położony, pojedzie się, ot tak w odwiedziny, i może się tam coś złożyć. Ludzie wielce grzeczni, mili, a gościom radzi, bo i staruszka się rozerwie.

Chciałem spytać o szczegóły, ale Moskorzewskiego odciągnięto i na tem się skończyło, tylkom Boguszów zapamiętał. Tańcowaliśmy dnia tego do upadłego i nierozeszli aż nad rankiem. Dano nam ze Zbąskim stancyjkę osobną do przespania się w oficynie; gdyśmy tam zaszli, a choć pomęczeni ale rozbawieni rychło zasnąć niemogli, o różnych rzeczach rozmawiając, powiadam Zbąskiemu, — Jacy to Bogusze, co mi u nich Moskorzewski stręczy dzierżawę?

— Jacy Bogusze — odezwał się Zbąski śmiejąc, otośmi doskonały. Boguszów i Bohuszów z różnemi przydomkami w Litwie, w Koronie i na Rusi moc wielka. Familia znaczna, rozrodzona, są i majętni, są i ubożsi, niewiem, o których ci mówił. Domyślam się jednak, że nie o innych, tylko o tych, co w Zabłociu mieszkają i dla tego ich Boguszami — Zabłockimi nazywają.

— Coż to za ludzie? spytałem.

— Najszanowniejsi w świecie, rzekł Zbąski. Starościna, staruszeczka, anioł dobroci kobieta, mąż jej, jescze od niej starszy, żyją jak para siwych gołębi, syna jedynaka stracili — służył w wojsku.

Wnet mi na myśl przyszło, żem znał Bogusza w szwoleżerach i niewiedzieliśmy tylko czy ten sam. Zbąski mi dalej opowiedział, że dwie córki zostało Boguszom, pani Sawicka i Baranowiczowa, które przy rodzicach albo obie lub z kolei przebywały, że miały już dzieci dorosłe i tp. gdyśmy się rozgadali dłużej, dodał Zbąski, iż staruszka to najmłodsze swe dziecię, syna, który służył w wojsku, kochała niezmiernie, tak dalece, że gdy przyszła wiadomość o jego śmierci, nie śmiano jej powiedzieć, że zginął, i biedna matka była dotąd w nadziei powrotu tego, który już nigdy nie miał powrócić. — W złudzeniu tém wolano ją utrzymywać, niżeli odjąć jej jedyny promyk, co życie krzepił i ozłacał. Staruszka sama sobie biedna wymyślała historje najdziwaczniejsze, o niewoli tego nieboszczyka, o przebywaniu gdzieś w jakimś nieznanym kraju, z którego powrotu się jego zawsze spodziewała. —

— Mówię ci to, dodał Zbąski — zawczasu, ażebyś, jeżeli tam pojedziemy, nie wygadał się z czém niepotrzebnie. Mojem zdaniem byłoby okrucieństwem tej matce odejmować ostatnią życia nadzieję.

Zdało mi się to trochę dziwacznem, przyznaję, że ją tak okłamywano — ale cóż mi było do tego. Nazajutrz, gdyśmy się wywczasowali i powstawali, znowu o Boguszach myśląc, przypomniałem sobie mojego szwoleżera i okoliczność jedną, w pierwszej chwili zapomnianą, że dwa czy trzy razy mnie za niego wzięto. Raz nawet, biorąc to za jakiś żart niedorzeczny, pogniewałem się mocno i o mało do pojedynku nie przyszło. O tem niepotrzebowałem mówić, ani Zbąskiemu, i nikomu też. — Bawiliśmy się jeszcze dni parę u Moskorzewkich przedziwnie, potem zabrali nas w sąsiedztwo Lewiccy, u których też hasano, choć dom był ciasny, na ostatek Zbąski mi przypomniał, żeby do Boguszów jechać, których dobrze zna.

— Tam, rzekł, choć panienek podobno jest parę, ale starzy spokoju potrzebują, zapust więc hucznych nie sprawiają. Bądź co bądź, nie znudzimy się bardzo. Mnie Bogusze ci są po troszę krewni, stary wiele razy zapraszał. Jedźmy.

Ruszyliśmy tedy do owego Zabłocia, mil cztéry opętanych, saniami, tym czasem zrana zaraz po trzaskącym mrozie wczorajszym, jak lunie deszcz, do południa sannę licho wzięło. Sunęliśmy się połowę drogi po błocie bez śniegu, szczęściem jeszcze gdzie kałuża była, bo się na dnie zamróź utrzymał. Zamiast przybyć, jakeśmy sobie układali, po obiedzie, dowlekliśmy się dopiero o gęstym mroku. Co tu robić! rada w radę, czy do austeryi zajechać i jutrzejszego ranka czekać, czy od razu do dworu? Ja byłem za austerją, Zbąski za dworem. Stanęło na mojém, ale żyd, choć mu to było na rękę, żebyśmy u niego nocowali, nieśmiał nas przyjmować, wiedząc że dostanie burę. Karczma stała nieopodal ode dworu, ktoś widać ze sług był w niej gdyśmy nadjechali — i nadbiegł stary kamerdyner, aby nas natychmiast zabierać.

— To u nas niesłychana rzecz! zawołał, żeby kto nocował w austeryi — niech Bóg uchowa! Pan Starosta by się gniewał! Nie ma tego zwyczaju!

Jak zaczął naglić, tylkośmy się ogarnęli, bo droga nas w niwecz obróciła, i pojechaliśmy.

Zdala już po dworze wielką zamożność państwa poznać było można. Dwór był staroświecki, murowany, na rodzaj pałacu przerobiony, ogromny. Tuż oficyny z nim połączone galerjami krytemi, zabudowania pyszne, kaplica, skarbiec. Tylko niewidać było nowej elegancyi w tém, ale jakąś staroświecką zamożność, co świecić nie chce, nie zaleca się sobą, a czuć pod nią fundamenta mocne.

Służby w ganku stało dosyć, ale nie strojnej, odzianej skromnie, rumianej, wesołej i dobrze wykarmionej.

Nim przebraliśmy się, zajechali, wysiedli, mrok się zmienił w noc, ciemniuteńko było i w pokojach się już świeciło. W domu panowała cisza jakaś uroczysta, spokój jakiś miły. Stary ów kamerdyner w perłowym kontuszu, z zegarkiem na piersiach, tabakierką i chustką od nosa, poufały jakiś, którego w karczmie niewidziałem, bom się w drugiej izbie odziewał, gdy wyszedłszy naprzeciw ze świecą, spojrzał na mnie, coś mu się zrobiło i żachnął się. Myślałem, że mu się noga ośliznęła czy co — niezważałem. Szliśmy już do salki bawialnej, do której nas prowadzono. Tu u drzwi stała średnich lat pani i dwie ładne panienki, była to pani Sawicka. Gdy Zbąski pierwszy wszedł prowadząc mnie za sobą, i zastępująca gospodynię spojrzała na mnie, dostrzegłem, że pobladła dziwnie, zmięszała się niezmiernie, obejrzała niespokojna, i jakby się coś stało nadzwyczajnego, słowa z początku odezwać się nie mogła.

Stała tak jakiś czas osłupiała i nie rychło dopiero, opamiętawszy się, podała mi rękę, którą ucałowałem. Dwie córki, stojące za nią równie jak ja znalezieniem się tém matki zostały zdziwione. Zbąski też ogłupiał.

— Panowie darują — odezwała się głosem przerywanym i niepewnym — ojciec jest trochę nie zdrów, matka także, ja na chwileczkę muszę wyjść do nich, wracam natychmiast. — Misia i Lorcia zastępować będą gospodynię. Wszystko to mówiła z pospiechem, oglądając się ku drzwiom, z takim jakimś niepokojem wyraźnym, iż czuliśmy przybycie nie w porę. Ale po cóż nas zapraszano i ciągniono tak gwałtownie: Rzecz była niepojęta.

Grzeczne panienki, które zdawały się niepodzielać i nierozumieć nawet zakłopotania matki, zaraz po jej odejściu, z wesołością wiekowi swojemu właściwą, zaprosiły nas do stolika szczebiocząc i starając się rozpocząć jaką taką rozmowę.

Nie było to łatwem, ale katastrofa tego dnia i nagła odwilż, która nam takiego figla spłatała, na początek dostarczyła wątku. Zbąski, i zły trochę i zmięszany tém przyjęciem, usiłował nie pokazać po sobie, co się w nim działo i nuż opisywać nasze dzieje, naszą sannę, utrapioną podróż i śmieszne jej przygody.

Panny radeby się były tém zabawić i prychały po troszę, ale — matka nie powracała, spoglądały na siebie, widocznie zrozumieć tego niemogąc dla czego: uciekła tak prędko i została tak długo.

Wszystkim nam ten kwadrans wydał się godziną, chociaż ja wiedziałem najlepiej o tém, iż więcéj kwadransa nietrwało to dziwne położenie, bo siedziałem naprzeciw przepysznego zegara w szafce bronzowej zamkniętego, który miałem czas admirować.

Przedłużone oczekiwanie na matkę zaniepokoiło w końcu jedną z panienek, która, pokręciwszy się na krzesełku, poszeptawszy coś z siostrą, wyrwała się i pobiegła. Została do bawienia nas dwóch jedna gosposia, na którą wystąpiły rumieńce, wesołość ją opuściła, żal mi się zrobił niezmierny biednej dziewczyny — i to było pono zawiązkiem, jak państwo zobaczycie, daleko gorętszego dla niej sentymentu.

Zbąski pomimo nadrabiania wesołością coraz większe też okazywał zakłopotanie, w głowie mu się niemogło pomieścić, co się stało. Zapytał w końcu panny, czy nie zasłabł kto w domu?

Panna spuściła oczy i bełkotała coś niewyraźnie. — Podobno Babcia trochę nie zdrowa, ale to nic.

Siedzieliśmy jak na mękach, gdy naprzód powróciła pospiesznie, mocno zarumieniona druga panna, i w tejże chwili prawie otwarły się drzwi ze strony przeciwnej, a w nich ujrzeliśmy prowadzonego pod rękę przez wyrostka, o kiju zwolna wchodzącego staruszka przygarbionego nieco, który ciekawe oczy wlepił we mnie, nic nie mówił i zdawał drżeć cały. Powstaliśmy aby go powitać, nieposuwał się dalej, spostrzegłem, że łzy miał na oczach.— Wszystko to dla nas było tajemnicą nierozwiązaną, po chwilce przemógłszy się staruszek żywo pospieszyć chciał ku nam, a chociaż Zbąski stał na przedzie, jak w tęczę patrzał we mnie. Panienki usunęły się na bok.

— Pan Starosta dobrodziej przebaczy, odezwał się postępując ku niemu, przybyliśmy jakoś nie w porę. —

— Ale jak to nie w porę -- niby ocknąwszy począł żywo, głosem drżącym i zmuszając się do uśmiechu Starosta — owszem, Bóg widzi, z duszy i serca radzi jesteśmy: Radzi. —

Głos mu zawiązł w piersiach, widziałem że łzy mu płynęły z oczów, choć usta się usiłowały uśmiechać. —

— Serdecznie i my Wam radzi — powtórzył. Siadajcie proszę.

Gdym się zbliżył zaprezentowany Staroście, podał mi rękę, chwycił moją i wlepił we mnie oczy tak natarczywie, żem się zmieszał. (*C. d. n.*).



Gościniec z jarmarku. Podług obrazu Löftlera, rysował Tadeusz Rybkowski.

Gościniec z jarmarku

(z motywów ludowych).

I.

Na drodze do sioła
Kipi jakby w garnku:
Powracają ludzie
Z miasteczka z jarmarku.
Huczno i buńczuczno
Wiozą chłopcy, zuchy
Gościeńce z jarmarku
Dla swojej dziewuchy.
Biegną na spotkanie
Radośnie dziewczęta..
Tylko o mnie biednej
Nikt tu nie pamięta!..
Ciężka dola moja!
Ja sama, nad drogą
Stoję — i nie czekam
Nikogo — nikogo!..

Wiatr gwar z sioła niesie,
Nie brzęczą już kółka...
Cicho.. kędyś w lesie
Kuknęła kukułka.
A kukaj-że kukaj,
Kukułeczko miła!
Do dziesięciu będę
Za tobą liczyła.
Kukniesz dziesięć razy,
Pewna wróżba z tego,
Że mnie Matka Boska
Ześle też miłego...
Siedem.. osiem.. dziewięć..
Ach — i dziesięć kuka..
O, jakże mi serce
Od radości puka!
Bóg ci zapłać za to
Kukułeczko miła,
Żeś mi smutne serce
Trochę pocieszyła! —

Odchodzi dziewczyna
Powoli do sioła,
Aż tu nagle zdala
Ktoś na nią zawoła.

Obejrzy się w trwodze,
Niepewna, przystanie:
Widzi wóz na drodze,
Z wózka to wołanie..
Ach — to hardy Jasio
Na woziku kutym,
W sukmanie z haftami
I pasiku sutym,
Najpiękniejszy z chłopców,
Wszystkie za nim giną,
On nie spojrzy nawet
Za żadną dziewczyną..

Onby wołał za nią!...
Nie — to być nie może...
Lecz.. wołał powtórnie.
Czegoż chce — mój Boże?!

Skręcił za pagórek,
Wstrzymał konie — staje,
Skoczył — i podaje
Jej korali sznurek!

Korale czerwone —
Nie czerwieńsze pono
Od rumieńców szczęścia,
Co w jej licach płoną.

Korale kosztowne —
Lecz droższe daleko
Łzy, jak perły duże,
Co z ócz Kasi cieką!

Drżącą dłoń wyciąga;
On się śmieje do niej
I korale puszcza
Do jej drżącej dłoni.

Z wioski gwar, śmiechy
Echo z wiatrem niesie;
A kukułka kuka
Wciąż w sosnowym lesie.

Wł. Ordon.

Właściwości charakterów kobiecych.

POGADANKI ANTROPOLOGICZNE

Dra Juliana Ochorowicza.

Jednym z warunków szczęścia jest znajomość ludzi.

Nie będę fałszywym prorokiem, jeśli powiem, że za lat pięćdziesiąt objęcie całej psychologii stanie się dla jednego człowieka niemożliwem. Już dziś mamy osobne dzieła poświęcone *psychofizyce*, *psychologii fizyologicznej*, *lekarskiej*, *kryminalnej*, *pedagogicznej*, *psychologii zwierząt*, *psychologii ludów*, *psychologii mowy*, wreszcie — *etologii* czyli nauce o charakterach.

A nie są to tylko rozdziały jednej nauki, lecz olbrzymie całości, kryjące w sobie zarodki nowych nauk!

Tak jest; za lat pięćdziesiąt będziemy mieli specyalistów dla każdego z tych działów; i to specyalistów takich, którym całe życie zaledwie do zbadania przedmiotu wystarczy.

Nauka o charakterach z pewnością nie będzie należała do szczuplejszych. Jakaż to bowiem olbrzymia kopalnia prawd: to serce ludzkie! Naczerpali z niej co niemiara poeci wszystkich wieków, od Homera począwszy, a źródło tymczasem nietylko nie wysycha, lecz coraz żywszym, coraz to bogatszym bije strumieniem.

Cywilizacya, tworząc sztuczne warunki życia i nowe ich kombinacye, tworzy też większą zawiłość zjawisk duchowych, liczniejsze odmiany, delikatniejsze odcienia i oryginalniejsze kompleksy charakterów. Lecz jakby na nieszczęście dla nauki, wraz z tym procesem tworzenia się różnic i łączenia przeciwieństw wewnętrznych, odbywa się jednocześnie inny proces, wprost tamtemu przeciwny: proces ujednostajnienia pozorów, w strojach, w mowie, w twarzach, w obyczajach. Rzecz dziwna! *Rozmaitość* duchowego rozwoju najbujniej pojawiać się zaczęła w wieku zeszłym — w wieku, który pierwszy rozwinął sztandar *równości*. Rousseau pisząc swój traktat *de l'inégalité parmi les hommes* nie przeczuwał zapewne, że usiłowanie ujednostajnienia praw życia będzie jednym z najsilniejszych motorów urozmaicenia jego cech, wybicia się indywidualności, rozstrzelenia pragnień i poglądów — że zamiast wrócić do monotonnego stanu natury, rzucimy się w wir nowych, jeszcze sztuczniejszych, jeszcze zawilszych warunków.

I stało się, że zatarłszy różnice ras, narodów, kast i płci nawet, — znaleźliśmy się wobec chaosu dusz, wobec gordyjskich węzłów charakterów, które psychologowie rozplątywać muszą.

Jaka szkoda, że tak późno zabraliśmy się do *naukowego* ich badania!

Ale taki to już los wszystkich zawilszych życiowych zagadnień. Zanim w wieku bieżącym wzięto się do studyowania snu sztucznego tak zwany magnetyzm zwierzęcy był od wieków przedmiotem wyzysku lub obłędu dla kuglarzy i mistyków wszelkiego rodzaju. Toż samo było ze spirytyzmem, toż samo z medycyną ludową, toż samo z fizyognomiką i kraniologią, nauką o kształtach głowy.

Badać charaktery — znaczyło dawniej: być astrologiem, chiromantą, wróżbitą jednem słowem. I podobnie jak dziś jeszcze niejeden lekarz boi się utracić powagę przez oddanie się studyom nad zjawiskami lunatyzmu, tak też fizyolog lub psycholog pozytywny niechętnie piszą o tajemnicach serca ludzkiego z obawy, żeby ich nie posądzano o.. poezyą!

Na cóż ci to zeszło córo bogów, piastunko dusz ludzkich! Uczeni wstydzą się, że ci w oczy zajrzeli, lękają się kochać a nie chcą badać.

Czyżby nie było możliwem kochać i badać?

Odważę się zaprzeczyć temu. Co więcej, powiem, że psycholog, który się bał życia, który żył tylko rozumem, który przebierał w spostrzeżeniach jak w ulęgałkach i który dzieli zjawiska na poważne i niepoważne, właściwe i niewłaściwe, może być dobrym moralistą, krytykiem, erudytą— ale nie psychologiem.

Psycholog, który ma poznać całą duszę, musi być całym człowiekiem; i nie wstydzić się tego.

Właśnie z tej przyczyny, że filozofowie czerpali nie z życia lecz z dziedziny teoryi, że lękali się przykładać rękę do pulsów ludzkiego serca a natomiast rozmyślali o duszy od ciała oderwanej, właśnie dlatego syllogizmy ich i antinomie były tak obce istotnym faktom życia i nauka o indywidualnościach duchowych zamiast się stać istotną nauką, była tylko błyskotliwem narzędziem w rękach poetów i wieszczbiarzy.

Nie należy jednak i tego użytku lekceważyć. Antropolog angielski Galton słusznie powiedział na jednem z ostatnich posiedzeń Towarzystwa Brytańskiego, „że byłoby to prawdziwą dla antropologii przysługą, gdyby ktoś dokładnie z dziejami literatury pięknej obeznany, zrobił zbiór wyciągów ze znakomitszych powieści i utworów dramatycznych, dając nam w plastycznych formach zarysy typowych charakterów i temperamentów“. Wielcy bowiem poeci — świadomie czy bezwiednie musieli być dobrymi psychologami Że zaś tej swojej wiedzy nie umieli wyrazić

rozumowo, teoretycznie,—to mniejsza; gdzie są spostrzeżenia z życia brane, tam łatwiej o teoryą — podczas gdy w martwą abstrakcyę nikt życia nie wleje.

Oddając *suum cuique*, musimy uczcić nawet i wieszczbiarzy. Fizyognomiści, chiromanci, astrologowie, chociaż pisali cudaczne rzeczy, badali jednak życie zbliska i nie jedno ziarno trafnych spostrzeżeń zsypali do spichrza nauki. Podział charakterów Teofrasta do dziś dnia musi być uwzględnianym a w wiekopomnem dziele Lawatera nie same tylko marzenia znaleść można.

Dziś kiedy Darwin niewahał się pisać O wyrazie uczuć, kiedy kraniologią zajmują się tacy ludzie jak Virchow, powinniśmy nareszcie uwierzyć, że i „charakterologia“ jak chce Bahnsen, czy też „etologia“, jak ją Mill nazywał, znajdzie istotnych badaczy i przestanie być fantastycznym poematem.

Tylko przyznam się, że tego postępu szukałbym na drodze całkiem innej, niż ją Mill wskazuje. Chce on w etologii widzieć tylko zastósowanie psychologii teoretycznej, i to zastosowanie dedukcyjne. Żąda ażeby wnioski rozumowe co do tego, jak charakter powstaje, były tylko sprawdzane na faktach. To za mało — a raczej nie tędy droga. Ażeby sprawdzać, trzeba już coś mieć do sprawdzenia. A zkąd? Tylko ze spostrzeżeń indukcyjnych. Psycholog, który wierzy, że nauka jego musi się opierać na faktach, chociażby zaczął od obserwacyi samego siebie, musi przejść do spostrzeżeń nad umysłową organizacyą innych ludzi — a więc przedewszystkiem napotka charaktery. Z tych charakterów, ażeby dojść do cech ogólno ludzkich, musi on odrzucić właściwości osobnikowe i zbadawszy życie Piotra, Pawła i Gawła wywnioskować, jakiem jest w ogóle życie człowieka. Ale nie mniej studyum osobnikowe będzie przejściem do studyum rodzajowego, będzie przystankiem w indukcyjnym pochodzie jego myśli. Etologia więc znajdzie się w połowie drogi pomiędzy spostrzeżeniem pojedynczem, a prawdą ogólną — nie zaś dopiero w zastosowaniach tej prawdy ogólnej.

Nie zgodziłbym się także na pojęcie etologii jako będącej wyłącznie nauką o rozwoju charakteru. Gdzieżbyśmy bowiem pomieścili rozbiór już rozwiniętych charakterów, ich stronę opisową? Wszakże nikt nie zaniedbuje anatomii dla fizyologii, klasyfikacyi dla embryologii. Na wszystko nauka znajdzie miejsce. Tylko nie żądajmy za wiele od dedukcyi! Potrzebna ona wszędzie: wystarcza dla matematyka, który rozważa własności liczb — ale nie dla psychologa, który własności dusz chce zbadać. Cienie Pytagorasa niech mi wybaczą łaskawie — dusza nie jest liczbą. I formą jej nie nazwiemy z Arystotelesem — bo ona ma swoją treść, ma swą materyą, która wyróżnia jednostkę od jednostki. Trzeba tę treść rozpatrzyć, porównawczo opisać, a potem dopiero może być mowa o dedukcyi, o zastosowaniu. Dopiero etologia może dać początek nauce dedukcyjnej, stosowanej — pedagogice; ona sama jeszcze nią nie jest.

Ponieważ jednak na świecie wszystko się łączy, że nie powiem plącze, będziemy więc pamiętali i o jednej i o drugiej. Ta zaś sentencya o poplątaniu wszechrzeczy, niech usprawiedliwi zarazem Hezyodowy chaos niniejszej pogadanki, z którego oby jak najgładziej wywinęły się choć drobne atomy prawd życiowych połączone w jednę cząsteczkę logiczną.

Obrawszy sobie za temat nie charaktery w ogóle lecz charaktery kobiece w szczególności, nie pójdę jednak drogą zwykle w takim razie obieraną. Autorowie, którzy ułożywszy sobie w myśli jeden przeciętny, idealny typ charakteru kobiecego, poprzestają na porównaniu go z męskim, mimowolnie wypowiadać muszą ogólniki, które albo gubią żywość i wyrazistość cech, albo też są jednostronnie krańcowe. Kobiecość i męzkość w charakterze są to typy aż nadto zrozumiałe; każdy się ich pojęciami posługuje, nazywając np. mężczyznę zniewieściałego babą a kobietę o męskim zakroju hic mulier; ale jeśli kto zechce te powszechnie zrozumiałe pojęcia bliżej i szczegółowiej w typowych cechach określić, bardzo łatwo popada w suchy szematyzm, który wcale rozmaitości żywych typów nie streszcza. Lepiej więc będzie, jeśli przed podaniem uogólnionych cech zasadniczych uwzględnimy *rozmaitość* charakterów kobiecych w ich składowych elementach i w jednostkowych odmianach.

Piękne czytelniczki raczą mi przytem wybaczyć, jeśli to i owo wyda im się zbyt szczerą prawdą a może nawet oszczerstwem. Nie ja to mówić będę—lecz życie samo, którego chcę być tylko wiernem echem. Przez dziesięć lat obserwowałem i zapisywałem, uzupełniając, prostując, wzmocniając lub łagodząc wnioski, sprawdzając je lub zbijając. Czy to, co wyszło z tej plątaniny spostrzeżeń zadowolni nadzieje moich czytelniczek? Niechcę przesądzać; ale w to wierzę, że im na szkodę nie wyjdzie. Jakkolwiek szczupłym mógł być zakres tych badań, jakkolwiek niedokładną ich metoda, (uczymy się bowiem do śmierci!), zawszeć tam trochę prawdy być musi, skoro dobrej woli do jej wykrycia nie brakło.

A muszę też powiedzieć na swoją pochwałę, że byłem lepszym spostrzegaczem niż praktykiem. Życie jest jak księga w wielkie prawdy bogata. Jedni ją piszą — drudzy tylko rozumieją. Ja pisać nie umiałem, sądzę jednak, żem rozumiał — a com wyrozumiał powiem. Radzić sobie a radzić drugim — to dwie sprawy bardzo a bardzo różne! Nie wierzcie zbytecznie radom tych, którzy sobie zawsze poradzić umieli. Jestem przekonany, że Napoleon byłby

lichym nauczycielem strategii, a Szekspir nieosobliwym recenzentem; co jednak wcale nie przeszkadza temu, że gdyby się pomieniali na role, wypadłoby jeszcze gorzej.

A więc.. zostańmy każdy przy swojem — *Nec sutor ultra crepidam*

ROZDZIAŁ I.

NERWY.

Der Mann ist *empfindsam*,
das Weib *empfindlich*.
Kant.

Mężowie, których żony „mają nerwy", utrzymują, że jestto wynalazek nie koniecznie do szczęścia ludzkiego potrzebny. Ale w tym względzie mylą się. Bez nerwów niema szczęścia, bo niema czucia, chociaż tem samem naturalnie niema i nieszczęścia.

Nerwy więc wszystkiemu winne. Twój drobny paluszek piękna czytelniczko, który tak dobrze czuje, czy go dotyka zimne żelazo, czy nadto gorące — ten drobny różowy paluszek czuje dlatego tylko, że od wszystkich punktów jego powierzchni idą wewnątrz cienkie białe niteczki mlecza pacierzowego, a ztamtąd aż do mózgu, gdzie duch wrażenia uczuwa.

Przetnijmy te nitki nerwowe w którymkolwiek punkcie ich przebiegu, a cała część ręki, poniżej tego punktu, straci raz na zawsze zdolność odróżniania zimnego dotknięcia żelaza od pocałunku ust kochanych.

Zatem — należy mieć szacunek dla nerwów.

Ale są nerwy i nerwy.

Mąż, który czuje, że jego połowica ma „nerwy", nie myśli ich wcale odmawiać innym, twierdzi jednak, że jeśli u wielu spełniają one spokojnie właściwe im obowiązki, to u niektórych przeciwnie zbyt głośno i zbyt jaskrawo manifestują swoje istnienie.

Jesteśmy w salonie, w którym mieszane towarzystwo bawi się rozmową przy stole. W tem ktoś niezręczny rzuca ciężkie album na ziemię.

Mężczyźni obejrzą sie zaledwie, kobiety drgną, a niektóre z nich krzykną.

Czy to znaczy, że kobiety mają więcej nerwów? — Bynajmniej; wszyscy mamy ilość jednakową. Czy może są one większe, grubsze? — I to nie. Owszem nerwy u kobiet są delikatniejsze — i właśnie dlatego są wrażliwsze. Jeśli wrażliwsze, to znaczyłoby, że jeden i ten sam bodziec

1) łatwiej podraźni nerw czucia,

2) szybciej po nim przebiegnie,

3) częściej przerzuci się na nerwy ruchu, niż u mężczyzny. — Rozważmy te punkta.

Oprócz nerwów czucia, idących np. od różnych zewnętrznych punktów ręki do mlecza, istnieją jeszcze inne nerwy, przewodzące w kierunku odwrotnym od mlecza do wewnętrznych punktów ręki a mianowicie do mięśni. Chociaż jednak nerwy te idą obok siebie, nie może prąd po jednym z nich biegnący przerzucić się w drodze na włókna drugiego nerwu. Natura odosobniła je starannie i uczyniła rozumnie, w przeciwnym bowiem razie nie doszlibyśmy nigdy do ładu z naszemi nerwami. Ale z drugiej strony gdyby podraśnienie czucia wcale nieznalazło drogi do mięśni, bylibyśmy najnieszczęśliwszemi istotami pod słońcem; żylibyśmy wiecznie w letargu, w którym człowiek widzi, słyszy, cierpi a nie może wykonać najmniejszego ruchu. Byłaby to niewola gorsza niż wszelkie okowy, niewola do skały przybitego Prometeusza.

Tak źle jednak nie jest. Podraźnienie nerwu czuciowego może się przenieść na nerw ruchu, a więc i na mięśnie poruszające członkami, ale nie inną drogą tylko przez pośrednictwo organów nerwowych centralnych, przez pośrednictwo mlecza, osadzonego w kolumnie kręgowej, lub mózgu, osadzonego w czaszce.

Olbrzymia ztąd korzyść dla organizmu. Najprzód bowiem wrażenia słabe nieprzerzucają się wcale na nerwy ruchu, oszczędzając nam tym sposobem ciągłego szamotania się za lada pobudką; powtóre: ponieważ w mózgu rezyduje siła wyższa, ta siła może powstrzymać dość mocne nawet podraźnienia i uwięzić je jak raz w połowie drogi do mięśni. Nie mniej też może je tylko osłabić lub w inną stronę skierować — a na tem właśnie, nie na czem innem polega potęga człowieka — jego różnica od istot niższych — najpodnioślejsza z władz — panowanie nad samym sobą.

Jakże jednak rzadko władza ta funkcyonować może. Zwykle nie my wrażeniami, lecz wrażenia nami kierują — a kierują oczywiście tem łatwiej, im większą natrafią wrażliwość; — i dlatego to w życiu tak wielu kobiet wrażenia zastępują miejsce woli.

Lecz i u najsilniejszych organizmów nerwy czucia mają pewien zakres własnej autonomicznej działalności, której żadna siła wyższa ograniczyć nie może. Nie leży w mocy człowieka czuć słabiej lub silniej, bo natury nerwów swoich nikt zmienić nie może.

Jestto rzecz dziedziczności, stanu zdrowia, warunków otoczenia, wreszcie usposobienia wewnętrznego — ale nie woli. Pierwsza z tych przyczyn gra zawsze rolę główną: z jakiemi kto nerwami się urodził, takie mieć będzie do końca życia. Trzeba bardzo silnych wstrząśnień moralnych lub fizycznych, ażeby wrażliwość wrodzoną, niepowiem zmienić na inną, ale przynajmniej wyraźnie zmodyfikować. Taką jest zasada ogólna. Lecz co do kobiet w szczególności musi ona przybrać nieco odmienną postać. Najprzód

bowiem charakter czasowy wrażliwości jest łatwiej zmiennym u kobiet niż u mężczyzn — a powtóre u nich zmienność czasowa i cząstkowa jest właśnie stałym charakterem ogólnym. To też rezultaty wrażliwości kobiecej dają się nierównie trudniej przewidzieć, niż rezultaty męskiej. La donna e mobile, jak mówi piosenka. A przysłowie dodaje, że łaska pańska, gust kobiet, pogody jesienne wszystko to zmienne. Ale gust chwilowy nie stanowi jeszcze całej wrażliwości — a są rzeczy, na które kobieta zawsze jest i będzie wrażliwą, dając pod tym względem dowody większéj niż mężczyzna stałości. Nerwy mężczyzny mogą zupełnie zniewieścieć, nerwy kobiety pozostaną kobiecemi nawet w klasztorze, nawet w ambulatorjum. Mają one bowiem głębszą podstawę swej natury w organizmie, niż nerwy mężczyzny; są zależniejsze od budowy reszty ciała.

(*C. d. n.*)

Komu w drogę, temu czas.

Ostatni wiersz

Lucyana Siemieńskiego*).

Wdzięczne dnia światło, niebios wydęty błękicie,
Gwiazd stada z swoim pasterzem księżycem!
Tyle już, tyle lat na mnie patrzycie
Wesołem lub chmurnem licem.
Jutro już może nie powitam was:
Komu w drogę — temu czas.

Pieśni słowicze, ptaków powietrzne chorały,
Boru szumy mistyczne w nocną ciszę,
Śpiewne jeziora, mruczące kryształy,
Rozmyślań mych towarzysze!
Jutro już może nie usłyszę was:
Komu w drogę — temu czas.

Wonnych balsamów z czeremech, bzów, wiśni, jabłoni
Majowy wietrzyk dla mnie nie pozbiera,
Ni tchnień żywicznych od lasów nagoni
I róż mi nie pootwiera.
Jutro nieprzyjdę piersią chwytać was:
Komu w drogę — temu czas.

Wy uskrzydlone duchy z dłutem, pędzlem, piórem,
Coście od ziemi rwali mnie do siebie,
Żem się nie toczył po niej suchym wiórem,
A częściej chodził po niebie,
W górnej pracowni ducha spotkam was:
Komu w drogę — temu czas.

O złote myśli w pasmo powplatane zgrzebne,
Marzenia wieszcza, zapału ekstazy!
Życia miraże już mi nie potrzebne,
Rzeczywistsza milion razy
Jutro mię wieczność oddzieli od was:
Komu w drogę — temu czas.

O mgły fantazyi! Z gliny waszej gdy lepiłem,
Twórca był ze mnie — twórczość to nie płodna:
Bo choć z waszego źródła ciągle piłem,
Nigdym nie dopił się do dna.
Bezsilne!.. więcej grób powie od was:
Komu w drogę — temu czas.

Snem wszystko! Mleczną drogą z gwiazd wybudowaną
Pójdę ku słońcom w przetwory szafiru.
Gdzie czysta prawda będzie mi podaną
Wykuta, jakby z porfiru.
Żal mi serc kilku; *moi,* żal mi was:
Komu w drogę — temu czas.

*) W jednym z najbliższych zeszytów „Strzechy" podamy życiorys tego nieodżałowanego poety i estetyka.

NAJS*)

NOWELLA SEWERA

Pisze się *nice* a wymawia *najs*. I cóż ten wyraz oznacza?.. Bardzo mało, lub prawie nic, gdy się go wymawia zimno i obojętnie. Lecz gdy patrzymy w niebieskie zamyślone oczy, w bladawą, artystycznie wyrzeźbioną buzię, a pochyliwszy się nieco, spostrzeżemy maleńkie uszko, oddalone od naszych ust zaledwo na możność usłyszenia cichego westchnienia — i sami nie wiedząc dla czego i po co, wymawiamy do siebie, tylko do siebie, — bo przecież z sobą wolno rozmawiać — cichutkie *najs*, wtedy inne wcale przybiera ono znaczenie. —

Ogień płonący na kominku jest zwyczajnym ogniem, lecz płomień zapalonego lontu, który mamy przytknąć do miny prochowéj..... Co za nieszczęśliwe porównanie!....

W wspaniałej angielskiej galeryi obrazów piękne dziecko z niebieskiemi a głębokiemi oczyma, zaczytane przed chwilą w katalogu wystawy — spokojnie i cicho patrzy na obraz — i usteczka na pół otwiera. Nie żeby się miało dziwić, — lecz z zapatrzenia, tylko białe ząbki zostają odkryte, gdyż w tej chwili stoi przed malowaną gromadą uczonych i osłów — w sławnym napoleońskim czworoboku — pod Piramidami!

Uczeni i osły głęboko zamyśleni, obojętni na losy bitwy, toczą między sobą niemą walkę o pierwszeństwo w powadze!.. Nie ulega wątpliwości, że osły zwyciężą! Dlatego białe ząbki pokazują się raz jeszcze — gdy w tem owe *najs* — poszepnięte jak westchnienie, dostaje się przez uszko do serca — i ztamtąd powraca w postaci różowego płomyka, przesuwającego się po białej szyjce, ładnej buzi — powoli gasnąc na skroniach! —

Cicho wymówione słówko mogło się stosować do osłów i uczonych, bo ładnie mogły wyglądać osły i obok nich uczeni, lecz mogło się również odnosić: do niebieskich oczów, białych ząbków i zgrabnej figurki... Niebieskie oczy nie raczyły nawet spojrzeć w stronę, z której zaczarowane słówko przybywało, — i gdyby nie różowy obłoczek, ciągnący się po szyjce i buzi, bylibyśmy pewni, że miało ono na celu tylko uczonych.

Czarna kaszmirowa suknia i na granatowem tle stalowy pancerz perełek, cicho posuwały się do następnej sali, a niebieskie oczy z pewnym rodzajem przestrachu popatrzały na czarnego Otella i przestraszoną Desdemonę w białej koszulce. Czerwony kolor bijący od fałdów szerokiej kotary, przepowiada morderstwo, gdy biały ton pościeli i koszulki Desdemony broni niewinności. Purpura zbrodni i białość gołębia walczą z sobą na ciemnem tle nocy.

— Okropność! — szepnęły małe usteczka.

— Najs — zaszemrało powtórnie koło uszka.

Najs?! — wobec zgrozy, gdy czarny wyjmuje nóż, aby mordować najtkliwszą miłość, najczystsze przywiązanie — i wierność niepokalaną! Dzieweczka zadrżała, oburzyła się nawet i zbierając odwagę, powolutku, spokojnie obróciła główkę, kierując wzrok dużych niebieskich oczu w stronę usłyszanego szeptu.

W tej stronie stał młody człowiek.

Wyraz jego twarzy zmęczony — ironicznie — nie, nie — tylko smutnie uśmiechnięty. Wzrok jego byłby z pewnością zuchwałym, gdyby nie był naiwnym. — Jak mamę kocham — tylko naiwnym a raczej serdecznym.... Miał on w sobie otwartą śmiałość, lecz w tej śmiałości taką prostotę i łagodność, że nie można było znaleść w nim nic, coby obrażało. A jednak była ta twarz, jak gdyby urobiona do zimnej obojętności. — Wyglądały z niej zmęczenie i spokój, gdy w oczach palił się jeszcze ogień wyzwania do nieustającej walki. —

Dziewcze patrzało z podziwieniem i dumą.

Przecież ani zdziwienie, ani duma dziewczęcia nie wywarły piorunującego wrażenia na obcym. Łagodny uśmiech poruszył mu usta i znowu ciche *najs* zostało wymówione tak naturalnie i spokojnie, jak gdyby oczy jego zwrócone były na obraz lub rzeźbę... —

— Zdawałoby się, że na Desdemonę patrzy, pomyślała Miss. — Patrzy i ciągle patrzy, — czuję to dobrze.... Odpocznę trochę — przeszkadza mi — pewno odejdzie. Ciekawam czy prędko? — Co za natręctwo — nie lubię natrętnych. Nie lubię zuchwałych. Nie wiem sama, co lubię. — On jakiś smutny i dobry. —

Rozmarzona Miss usiadła na kanapce ustawionej w środku sali. Nie śmiejąc wzroku podnieść, główkę pochyliła w dół, ale czyż młoda dzieweczka może mieć długo spuszczone oczy, gdy jest rozciekawioną i niespokojną? Podnosi je i wzrok jej znów się spotyka ze spokojnie a smętnie uśmiechniętym natrętem.

— Nie poszedł sobie.... byłam pewna, że odejdzie.... Czy patrzy na mnie? Czy doprawdy patrzy?...

Na przekonanie się Miss posyła nieznacznie drugie spojrzenie.

— Nie jest tyle nieznośnym, ile śmiałym — pomyślała — A może też nie na mnie patrzy?... Ale na mnie!...

*) Najs nice — znaczy ładne — harmonijne — miłe — wdzięczne. —

Cierpliwości! Znudzi się i odejdzie. Bo i dlaczegoż nie miałby się znudzić, przecież nie jestem zachwycającą. Mówią jednak, że i brzydką nie jestem.... Cóż więc takiego odkrył we mnie?...

Następuje długie zamyślenie, gwałtowny rumieniec, a przy nim bielsza jeszcze bladość buzi, gorętsze błyski w oczach. Miss wstaje żywo, — wyprostowana i dumna śmiałym krokiem idzie naprzód, — lecz tuż przy progu drzwi słyszy znowu cichutkie: *najs.* —

Spogląda groźnie, stanowczo, i przekonywa się, że obok śmiałości nieznajomy ma zawsze w sobie wielką łagodność a nawet pokorę. —

Miss znalazła się w drugiej sali. —

— Gdzież jest mama, szepnęła, wodząc oczyma po sali.

Mama stała właśnie przed obrazem zatytułowanym „The Babylonian marriage market arket“. —

— Mamo proszę cię chodź — szepnęło dziewczę. —

— Czy chcesz już wyjść? — patrz, — dawniej kupowano sobie żony na rynku, a były między niemi bardzo ładne.....

— A dziś, przerwało dziewczę, — my często kupujemy mężów — i to jest cywilizacją i uprawnieniem.... Panie! biorę Cię sobie za męża — i płacę gotówką..... Ile mama dopłaci do mnie mojemu mężowi?

— Przecież wiesz dobrze — dwadzieścia dwa tysiące funtów od razu.

— Dodawszy do tego taki skarb, jak ja, wartość dochodzi miljona — zawołała śmiejąc się córka — I dlatego chodźmy!...

— Gdzie? — do drugiej sali?.

— Tak....

— I po cóż mnie tam prowadzisz. —

— Odwagi i cierpliwości, — tylko się nie opieraj.... szczebiotało dziewczę idąc naprzód. —

W portyku przyległej sali spostrzegła nieznajomego. —

— Moja matka— szepnęła zarumieniona dziewczynka, stając przed nieznajomym. —

Poważna dama zmierzyła zimno przez okulary postać młodzieńca, który zaskoczony tak nagłym a niespodziewanym manewrem, stracił na chwilę przytomność, zawahał się — zarumienił nawet i jedna chwilka, a byłby już zgubionym... Wahać się, gdy córka przedstawia matkę — wahać się, to znaczy, lekceważyć. Angielka nie przebacza nawet żartów.

— Jako cudzoziemiec rzekł oprzytomniony — wdzięczny jestem paniom za łaskę zbliżenia się.

Na wyraz cudzoziemiec matka spojrzała na córkę pytająco — lecz córka umiała zaledwo odpowiedzieć spuszczeniem oczu i powtórnym rumieńcem.

— I Francuz pewno, — dodała mama w okularach. —

— Nie pani, — Francuzem nie jestem, odparł z pewną dumą i godnością młodzieniec. —

Młode dziewczę odetchnęło, matka wahała się między chłodem a uprzejmością, lecz obcy dżentleman odzyskawszy zimną krew, zapanował prędko nad niechęcią matki i nieśmiałością córki. — Poszli razem oglądać galeryję.

— Nasze obrazy nie czynią na panu wrażenia — mówiła już oswojona z przytomnością obcego Miss. —

— Przeciwnie, więcéj niż inne — odparł z uśmiechem młodzieniec.

— Przynajmniej nie zdradzasz pan tego.

— Uczucie, które nie wybucha, bywa tem silniejsze. —

— Zatem należysz pan do skrytych. —

— Raczej do zbyt otwartych i szczerych. —

Miss zarumieniła się.

— Więc nasze malarstwo podoba się panu, zapytała. —

— Jak pierwsza stronnica zajmującej książki, jak usiłowania młodości, jak nowa a szlachetna idea, zresztą jak początek miłości.....

— Początek miłości bawi Pana? —

— Zachwyca i upaja. —

— Za to dalszy ciąg z pewnością męczy go i nudzi. —

— Nie powiedziałem tego; lecz zgodzisz się pani, że rodzące się uczucie — to nowe życie. Zwykle uczuwamy pewien strach, patrząc w przyszłość, a niewytłumaczoną rozkosz w teraźniejszości.

— Prawda — rzekła Miss zamyślając się..... Mówiliśmy o naszem malarstwie, dodała po chwili.

— Rozwijające się malarstwo w Anglii z tak szlachetnemi kierunkami więcej rozciekawia i zajmuje, niż gdyby już stanęło u szczytu swego i koleją rzeczy zstępowało z wyżyn. —

— Czyż wszystko na świecie wzniesione do szczytu upadać musi?

— Oprócz uczucia, dla którego niema wysokości, gdyż pragnie ono wciąż iść dalej i zawsze uczuwa się na poziomie. —

— Moje dziecię, czy widziałaś Ligny Crofta, przerwała rozmowę młodych, wyprostowana dama w okularach. —

— Właśnie patrzę mamo, — odpowiedziało cicho zamyślone dziewczę. —

— Jestem niemal pewny, że artysta kształcił się w Niemczech — zrobił uwagę młodzieniec. —

— I nie omyliłeś się sir (ser), gdyż katalog podaje adres malarza w Düsseldorf — potwierdziła z godnością dama. —

— Po czem to pan poznajesz, zapytała się ciekawie Miss. —

— Po czém poznaję? — W pani na stałym lądzie odgadłbym Angielkę.

— Dotąd byłam pewną, że się nie wyróżniam od innych. —

— A mimo to posiadasz Pani właściwy charakter swego narodu.

— Czy smutek jest cechą pańskiej narodowości?.

— Dla czego pani?

— Bo pomimo uśmiechu twarz Twoja, ser, jest smutną. —

— Historja narodu maluje się w rysach i charakterze ludzi.

— Zgadzam się z Panem — i dlatego razem z mamą nie lubimy Francuzów — bo, — urwała. —

— Dokończ Pani. —

— Bo z ich oblicza wygląda zużycie i nieprawda, — gdy pan, dodała ciszej, jesteś tylko zmęczony.

— Szukający odpoczynku — i spragniony, aby go znaleść. —

— Zatem ser w obrazie Crofta upatrujesz szkołę niemiecką? — wtrąciła oddana malarstwu matka. —

— Raczej szkołę polską, wyrabiającą się w Niemczech. — Ligny, jeden z ostatnich rozdziałów wielkiej epopei. Zwycięstwo otrzymane, lecz nieskończone. Okrzyki żołnierzy na cześć ubóstwianego Cesarza, ulatując, toną w mgle przeźroczystej, a jednak nieprzejrzanej, jak przeznaczenie. Światło opromieniające bohatera zagaśnie za chwilę po za chmurami nadciągającemi z północy. Ligny, to obraz historyi naszej z bieżącego stulecia. Z Ligny prosta droga pod Waterloo. —

Dzierżąc niezłomną potęgę zbawienia,
Tym, którzy nieśli mu hołd uwielbienia,
Dawał jedynie dar grobu.....

Przeczytała dama w katalogu pamiętny wiersz Byrona. —

— Chociaż jestem Angielką, a Waterloo moja chwała i duma — rzekło smutno młode dziewczę — żal mi narodu.....

— Którego tylko ambicja startą została, przerwał młodzieniec. —

— Czyż to mało, spytało się dziewczę. —

— A cóżbyś Pani miała dla narodu, który po upadku mierzy dziesiątki lat krwawemi walkami, dla zdobycia swej wolności. —

— Mogę mieć tylko cześć — szepnęła dzieweczka. —

— Dziękuję Pani w imię mej ojczyzny.

— Więc pan jesteś Polakiem — zawołała radośnie Miss!

Matka z pod okularów przychylniej spojrzała na młodzieńca, — gdy ten na potwierdzenie skłonił się jej córce. —

— Ciężko zapracowany spoczynek — przeczytała w katalogu dama, przypatrując się otulonej w szal, bladej, i ze zmęczenia uspionej na obrazie dziewczynce. —

— Cicha boleść bez skargi, czy sprawia na panu wrażenie?....

— Braterstwa, odparł młodzieniec, lecz rad jestem widzieć obok siebie — uśmiech i wesołość. Wtedy żyję teraźniejszością. —

— Pan tak lubisz teraźniejszość?....

— Zanadto żyję przeszłością, nie zważając na dziś — i dla tego marnuję życie. —

— Ale muszą być dnie......

— W których — przerwał młodzieniec, — niewspominamy o przeszłości, nie zaglądamy w przyszłość, a obecną chwilę radzibyśmy przedłużyć w nieskończoność. —

Miss zaczęła zdradzać niecierpliwość, szukając czegoś w katalogu. Z roztargnienia upuściła rękawiczkę, młody dżentleman podniósł ją i trzymał w ręku.

Nie śmiała o nią prosić, — on widocznie nie miał ochoty oddać. —

W milczeniu przeszli salę. — Przy wyjściu już w portyku Miss przemówiła pierwsza. —

— Czeka nas powóz, lecz lubię chodzić pieszo — i gdyby nie ten nieznośny deszcz — wolałabym.....

Zagrzmiało i piorun uderzył — Miss zadrżała.

— Uderzenie piorunu w chwili poznania — za jaką wróżbę pan uważasz, — spytała rumieniąc się, lecz tylko z przebytego wrażenia.

— Za najlepszą, jeżeli piorun poprzedziła błyskawica. —

— Nie widzieliśmy błyskawicy — szepnęła przy akompaniamencie ledwo dosłyszalnego westchnienia. —

— W takim razie nie mamy prawa wierzyć w sympatję, — odparł młody człowiek wpatrując się nader serdecznie w ciemno-niebieskie oczy dziewczęcia. —

— Lecz można mieć nadzieję — mówiła Miss — jak gdyby chciała ośmielić młodzieńca. — Czy pan lubisz bywać w galeryi?

— W towarzystwie — odpowiedział.

— A przychodzisz sam? —

— Zawsze.

Powóz zajechał. —

— Ser, przyjmij podziękowanie za trudy towarzyszenia nam — rzekła dobrotliwie dama. —

Młody dżentleman, zdejmując kapelusz, nie rzekł ani jednego słowa; za to zdawało się jakoby dzieweczka, ze spuszczonemi oczami, cała różowa — szepnęła:

— Good by, — (wymawia się gud-baj, znaczy bądź zdrów — a każe się domyślać — dowidzenia.) —

— Mamo przecież ja nie jestem sztywnie poważną!? zawołała Miss budząc się z głębokiego zamyślenia — gdy

powóz mijał Green-park, a słońce z po za chmur rzuciło złoty snop promieni. —

— Przeciwnie, — zdaje się, że jesteś zbyt żywą na swój wiek, — odpowiedziała spokojnie matka. —

— Nad mój wiek — mówisz mamo — zaczynasz już liczyć się z moim wiekiem?

— Pomyśl — za dwa miesiące skończysz ośmnaście lat.

— Już ośmnaście lat....

— Już, już, powtórzyła matka z uśmiechem. —

— A zatem powinnam być poważną, — gdy ja umiem być tylko smutną, — jeżeli mnie serce boli.... Nie wierzysz i uśmiechasz się?...

— Mamo! — dodała ciszej — kto jest zmęczony pracą i zawodami, ten musi być szlachetnym?

— Prawdopodobnie — odpowiedziała lakonicznie dama, wpatrując się uważnie przez okulary w swe dziecko. —

— A gdy znajdzie odpoczynek i ciepłą dłoń, która przyciskając jego czoło, zasłoni mu na chwilę wytężony wzrok tęsknoty, powinien być wtedy choć troszkę szczęśliwym?.. Odpowiedz mi mamo. —

— Wytłómacz mi pierwej, zkąd ci się wzięły podobne myśli?. —

— Przypominasz sobie obraz Morgana, podpisany The departure?

— Pamiętam.... łzy starego weterana i cichą boleść dziewczyny.

— I ten wiersz u spodu:

Męże tak się sprawować muszą ciężko, kobiety
Tyle łez muszą ronić....
Tak mały wziąść zarobek — a przed zgubą niestety!
Tyle skarbów potrzeba im chronić....

O mamo! — kończyła — kup mi smutnego męża, smutni wiernie i głęboko kochają! —

— A jeżeli nie zechce się sprzedać? — zrobiła uwagę matka, spoglądając z uśmiechem radości na córkę. —

Dzieweczka posmutniała.

— O tak — pomyślała w duszy — są ludzie, którym los zabrał wszystko, prócz godności — i tej pewno nie oddadzą za nic...... Ja nie umiem gwałtem wydzierać serc, a może umiem tylko oddać swoje? Sama nie wiem co umiem..... Mamo! ciężko mi i smutno, dodała głośno. —

— Zmęczyłaś się wystawą. To mówiąc matka, poprawiła włoski na czole dziewczęcia — i pogłaskała ją po buzi.

— Lecz i jutro tam pojedziemy, aby się rozpatrzyć w szczegółach. —

— Dobrze — zapoznasz się bliżej z obrazami...

— I z rzeźbą mamo, z rzeźbą rysów oblicza, które nam mówią o duszy człowieka. —

II.

Młodzieniec miał lat trzydzieści. — Więcéj nad wiek swój przeżył, i dużo widział, — może za dużo. — Żyjąc tak obficie, kochał się — zapominał, — zdradzano go — przebaczał, uśmiechając się — i szedł dalej. Stawał spokojny na pobojowiskach — w strasznych dramatach odgrywał role. — Wszystko minęło jak sen, został sam na świecie — nieuleczony z młodości, z jej serdecznego uroku i nieprzepartego pociągu do naiwności i wiosny. Zmęczony był i przeżyty. Za każdem jednak uderzeniem o strunę jego serca wydobywały się tony ochoczej muzyki życia. — Gdy było cicho w naturze, zdawało się, że fantazja i gorączka życia w nim zamarły — lecz pierwszy piorun z nieba a strzał na ziemi za szlachetną sprawę, ogień, co zaledwo tlał w jego sercu, — wybuchał płomieniem, gorączka czynu opanowywała organizm, — słuchał jej, — i szedł ją gasić, gdzie walka wrzała, kule świstały — gdzie panowały rozpacz, niepewność — ambicja, męztwo — a sława hojnie rzucała wieńce wybrańcom. —

Wieczny ten tułacz patrzał z obojętnością na ulewny deszcz i jasne promienie słońca, złocące jego krople. Usiadł na ławce w portyku i marzył. Marzenia widocznie były przyjemne, bo się uśmiechał — jak wtedy, gdy patrzał w głębię niebieskich oczu młodziutkiej Angielki.

Zwykle gdy marzymy, patrzymy w jeden punkt, nie widząc nikogo — i uśmiechamy się nie wiedząc o tem. W prostéj linii promieni jego oczu stała Miss lub Mistress — dojrzała panna, — lub młodawdowa; — wpatrywanie się wzięła za uwielbienie, a uśmiech za wyzwanie. Nie namyślając się więc długo, po paru obrotach znalazła się obok marzyciela — i na jego uśmiech i spojrzenie odpowiedziała tak słodko i serdecznie, — że aż młodzieniec powstał, i niezważając na deszcz poszedł.

Niebieskie oczy dziewczęcia świeciły mu przez drogę. — Śmiał się głośno — a nawet gniewał na siebie, a oczy dziewczęcia świeciły — uśmiech jej rozweselał, — naiwność chwytała go za serce. — Śpiąc śnił o niej.

Nazajutrz rano myślał o galeryi obrazów — lecz się przeląkł pierwszy raz w życiu siebie samego — i pierwszy raz w życiu robił kombinacje — i pytał się o skutki. — On, żołnierz nie oglądający się na jutro — myślący o swej przyszłości najdalej na tydzień czasu naprzód.

Dziwne uczucie wstydu opanowało go. — Młodą Miss brał za dziecko, siebie za bohatera i starca. Począł serjo myśleć o odpowiedzialności i śmiać się, szydząc ze swej pewności siebie! Dość że nie poszedł. —

Napróżno dzieweczka błąkała się po wspaniałych salach wśród tysiąca obrazów i tłoku ludzi. — Za każdem powtórzonem *najs* przez obcych zarumieniła się i powolutku oglądała. Napróżno matka jej obserwowała przez okulary dzieła wszystkich akademików. — Dzieweczka nie

chciała nawet oglądać rzeźby..... Zadzwoniono, sale się wyludniały — należało wracać. — Wracały obie — córka cicho westchnęła — matka była milcząca — bo jej dziecię smutne i zamyślone. —

Powtórzono po dwa kroć wyprawy do galeryi — i po dwa kroć wracały same, — matka z córką, milczące i zamyślone. —

Należało przyzwyczajać się do zapomnienia, chociaż to tak trudno zapomnieć, gdy widzieć pragniemy. Trudno zapomnieć młodemu dziewczęciu przez tydzień..... Lecz ponieważ młodość szybko przyzwyczaja się do udręczeń serca — dręczyło się dziewcze, zapominając. A więc i szlachetne projekta kupienia sobie męża smutnego — bo smutni cicho i głęboko kochają — rozwiewiały się jak mgła pod promieniami młodości, uśmiechu życia i pragnień szczęścia.... —

(*Dok. nast.*)

Humanitarność moskiewska.

Największe zbrodnie bywają osłaniane najwznioślejszemi godłami.

W Polsce występowała Moskwa z hasłem obrony „złotej wolności“, w zaborczej wojnie przeciw Turcyi stara się olśnić świat cywilizowany hasłem humanitarności.

Wyzwolenie chrześcijańskiej ludności z pod jarzma tureckiego jest dzisiaj godłem wojny moskiewskiej przeciwko Turcyi.

Pod tem godłem powtarzają się te same mordy i pożogi, jakie cechowały wojnę zaborczą przeciw Polsce.

Takie same rzezie niewiniątek, takie samo pastwienie się nad płcią słabszą, toż samo wytępianie bezbronnej ludności, toż samo uzbrajanie podżeganych mas ludności przeciwko innowiercom.

W czemże tu postęp, w czém ta humanitarność głoszona tak szumnie przez dziennikarstwo, oszołomione ideą panslawizmu?

Oto mamy przed sobą wizerunek żdjęty z rzeczywistości. Z dzieckiem utkwionem na dzidzie urąga jeden rozpaczliwej, bezsilnej obronie matki. drugi godzi znowu w niewiastę, która usiłuje uciec przed okrutnikiem, tuląc dziecię do siebie, nieświadome tego co mu zagraża, podczas gdy inne świadomsze już grozy położenia głośnym płaczem objawiają swą rozpacz. Niewchodzimy w dalsze szczegóły. Wszak dzienniki a nawet akta urzędowe podnoszą codziennie skargi na okrucieństwa moskiewskie. Pocieszają się tem niektórzy, że pokój położy koniec tej obrażającej ludzkość „humanitarności“.

Przypomina się nam tu wiekopomne powiedzenie królowej Jadwigi o ludziach, którym wrócono po niedoli ich lepszą dolę:

Lecz któż im łzy powróci?
A łez jest więcej do wrócenia.

Wszystko stracone; życie podpór rodziny, mienia, wolność, ojczysta zagroda; kto te straty powróci?

Żaden pokój tego niewróci, bo w obecnym stanie rzeczy, gdyby pokój przyszedł do skutku, byłby on tylko nieco odmiennym dalszym ciągiem wojny: pozbawieniem Turcji sił żywotnych.

Wszak i nad Polską zawisł po rozbiorze pokój, po upadku powstania w r. 1831 i 1864 nastał także pokój, który pokrył naród kirem grobowym.

Niektórzy usiłują złagodzić zarzut nieludzkości czyniony Moskwie tem, że Turcy również po barbarzyńsku sobie postępują.

Nieprzeczymy temu, że i z tej strony dzieją się okrucieństwa.

Dzicz walczy przeciwko dziczy.

Ale ta jest różnica, że jedni są napastnikami, drudzy się bronią i druga jest różnica, że napastnicy są chrześcijanami, a tym, którzy się bronią, nakazuje ich religia tępić nieprzyjaciół.

Zresztą tych dzikich, nieoświeconych tłumów obwiniać niemożna, jeżeli ludzie oświeceni dają im w ręce narzędzia mordu, każą ich używać i nagradzają ich okrucieństwa.

Nie ludy są winne, ale ich rządy, które pobudzając dzikie instynkta ludności wyzyskują je i potęgują, zamiast przez oświatę łagodzić.

Państwo, które takiej polityki się trzyma, niema prawa mówić o misji cywilizacyjnej, ani o humanitarności, a to tem mniej, jeżeli samo uciska narody i prowadzi przeciw nim politykę eksterminacyjną, jak to czyni Moskwa przeciw Polakom.

Zwolennicy Moskwy mówią, że rząd tamtejszy rozpoczął wojnę przeciw Turcyi pod naciskiem opinji publicznej, której wyrazem było dziennikarstwo, a mianowicie pod naciskiem stronnictwa panslawistycznego.

Rząd tamtejszy odrzeka się wszelkiej solidarności ze stronnictwem panslawistycznem.

A jednak pewną jest rzeczą, że przedsięwziął wojnę jedynie dla zaprzątnienia umysłów niepokojących się wewnętrznym stanem państwa, niezadowolonych z tego stanu. Jestto zwykłą polityką absolutnych rządów, jeżeli naród niezadowolony, rozpocząć wojnę raz, aby zaprzątnąć czem innem uwagę zwróconą na złe trawiące wewnętrznie społeczeństwo, powtóre, aby „upuścić krwi, aby się pozbyć niesfornych żywiołów.“ Taka wojna jest zamachem na wolność i na szczęście własnego narodu zarówno, jak na wolność i szczęście obcych.

Wojna moskiewsko-turecka została podjęta dla przydłużenia rządów absolutnych w Moskwie, dla utrzymania przez jakiś czas caryzmu.

Wobec tego jest podnoszenie godła humanitarności czczym blichtrem.

Jak Moskwa stanie się państwem konstytucyjnem, albo wcale republiką (jak tego chcieli Percel, Murawiew i Bestużew), jak się oprze na podstawach równouprawnienia narodów i obywateli, na samorządzie, wtedy będzie jej wolno mówić o celach humanitarnych. Dopóki tego niemasz w Moskwie, nie może żaden cywilizowany człowiek być jej przyjacielem.

Jeżeliby nas śmiał kto pomawiać o stronniczość dlatego, że jako Polacy odzywamy się przeciw, to pytamy, czy powstanie w Dagestanie, gdzie ciągle słyszymy że po zniszczeniu tej lub owej bandy powstańczej nastąpił pokój, jest dowodem humanitarności moskiewskiej wojny. Dać im autonomję, to byłoby humanitarniejszem, niż wysełać tam najdziksze swoje hordy, aby się pastwiły nad ludem pragnącym wolności.

Karol Widman.

POGADANKA.

(Ahaswerus we Lwowie. — Legenda o „*Wiecznym Tromtadracie*“. — Czem żyliśmy duchowo w r. 1877. — Iluzye Imci p. Ahaswerowskiego. — Ustawy przeciwko lichwie i pijaństwu. — *Ad minorem gloriam* Rady szkolnej. — Ileby żyd dał za całą drukowaną galicyjską mądrość stanu. — Kwestya wschodnia jest jak mysz).

Więc gdy mowa właśnie o Ahaswerze, — widziałem i ja Ahaswera!....

Nie był to jednak ów legendowy *Żyd wieczny*, co mową zuchwałą z Chrystusa w progu swym się naigrawał, i dla zmazania tej winy zbrodniczej musi się błąkać światem przez wszystkie wieki, i.... przez wszystkie literatury!... Nie była to także owa postać fantastyczna, pełna tragicznej grozy, owa postać wiedźmiana, którą stworzył Hamerling, a którą nam tak w i e r n i e odtworzył Ordon..... Owszem był to typ realny, pospolity i dobrze nam znany; — figurka dziwnie nerwowa, krzykliwa, ruchliwa i czupurna, choć zarazem i dziwnie niedołężna; — zagadkowy zlepek najprzeciwniejszych wad i przymiotów; — istota na koniec nad wszelki wyraz wrażliwa i nieuchwytna, powodująca się raz bezmierną pychą, to znów służalczą pokorą, zarówno zdolna najofiarniejszych poświęceń, jak i najpotworniejszego samolubstwa, a przerzucająca się tejże chwili z jednego krańca w drugi kraniec, z jednej ostateczności w drugą, z szalonych zapałów w szalone zwątpienia, stosownie do odniesionych wrażeń, i do wiatru, który nią porusza.....

Nie był to więc Ahaswerus, ów tradycyjny *Żyd wieczny*, lecz Imci Pan Superlatiwus na Wielkich i Małych Wykrzyknikach Ahaswerowski, — Polak, jakim go stworzyły „złota wolność szlachecka“, pańszczyzna, ucisk długoletni, nędza, i dzisiejsza nasza wrzekoma swoboda, — Polak, patryota i polityk, jakim go widzim co dzień przy domowem ognisku, na rynku, w kawiarni, przy urnie wyborczej, na obywatelskim urzędzie, i.... w żydowskiej kieszeni!....

Aliście tę nerwową, czupurną i na pozór z siebie zadowoloną figurkę otaczała jakaś niesamowita groza; — zdawało się, że pomiędzy tą postacią, a światem żyjących istnieje jakiś przedział, który na próżno sili się wypełnić gwarem swoim i gorączkowem krzątaniem ów twór, pozornie tylko człowieczy, w istocie zaś jakoby z innych jakichś sfer wyrwany i huraganem olbrzymiej jakiejś niedoli pędzony po świecie!..

I rzeczywiście! wrażenie, które budził w umyśle patrzącego widok tej postaci, nie kłamało wcale, — w osobie Imci pana Ahaswerowskiego bowiem pokutuje duch Sicińskiego, owego niesfornego proto-tromtadraty, który pierwszy dał przykład samowolnego zrywania sejmów, podkopując w ten sposób węgielny kamień wspaniałego gmachu naszej Rzeczypospolitej. Skazany dla zmazania tej zbrodni na pokutniczą tułaczkę, dopóki złe winą jego wywołane naprawionem nie zostanie, błąka się odtąd Siciński po świecie, wiecznie party żądzą przyspieszenia kresu swej kaźni, zrywając się lekkomyślnie do czynu, oczekując wiecznie jakiegoś cudu, marnotrawiąc resztki sił swoich, p r z e r z u c a j ą c s i ę z s z a l o n y c h z a p a ł ó w w s z a l o n e z w ą t p i e n i a, i oddalając w ten sposób coraz bardziej chwilę swego wyswobodzenia.

Pod „Wielorybem“ w Joppie hen — siedzieliśmy tedy przy jednym stoliku, zajadając rozbratle, popijając piwo i gwarząc o polityce, i to o wysokiej, bo o czemże innem mogą mówić dwaj Polacy, siedzący przy kufelku piwa, jeżeli nie o przekształceniu europejskiej mapy, komenderując w tym celu na szarwark to Napoleona, to J. E. Andrassego, to nakoniec owego tureckiego rumaka, o którym powiedziano jest, że się będzie poić w Horyniu..... Towarzysz mój był wyjątkowo dnia tego jakoś z siebie i ze świata niezadowolonym. Gniewał go rezultat wyborów lwowskich, gniewał go upadek Plewny, gniewał go spokojny przebieg kryzy ministerjalnej w Paryżu, gnie-



Humanitarność moskiewska.

wała go obojętność Anglji i Austryi, nie mogących według pana Ahaswerowskiego zrozumieć swego własnego interesu, gniewało go nakoniec to, że pan Grocholski w swej interpelacji nie wezwał rządu do skruszenia kopji w imię odbudowania Polski, lecz tylko w imię.... europejskiej równowagi.

— Teraz w nic już nie wierzę — zawołał uderzając gniewnie pięścią w leżący przed nim na stoliku olbrzymi stos czasopism i broszur politycznych z całego roku, które nie wiem z jakiej przyczyny przyniósł był z sobą pod „Wieloryba“.

— Niechże się kochany Pan nie irytuje — rzekłem śmiejąc się.

— Jakże się tu nie irytować — zawołał zaperzony. — Patrz Pan: oto masz tutaj zebrane wszystkie druki z bieżącego roku.... Wszędzie zapewnienia, że z tej wojny wykluć się musi koniecznie wielka, olbrzymia krucjata, która byt nam nasz powróci.... I cóż z tego wszystkiego?.... Nic! nic! nic! Tylko zawód!.. A cośmy się namarzyli, nairytowali, nagorączkowali na ten temat?...

— Ha cóż? Marzyliśmy, irytowaliśmy się, gorączkowali, jak widać na temat.... europejskiej równowagi!... Niezawodna rzecz, że byłoby to bardzo wygodnie, gdyby odkomenderowane przez nas na pańszczyznę Anglja, Francja i Austrja zechciały nam postawić Polskę od morza do morza, tak żebyśmy tylko potrzebowali wystawić kwit potwierdzający, iżeśmy ją do rąk własnych odebrali. Ale cóż, kiedy jak się zdaje, Europa nie słyszy na to ucho, i chcąc być przez nią zrozumianym, trzeba do niej przemawiać w imię europejskiej równowagi, zkąd, jak wiemy, do odbudowania Polski strasznie daleko.

— Więc jakto? Pan sądzisz....

— Ja nic nie sądzę, i zastrzegam się najwyraźniej przeciwko temu, jakobym stawiał jakiś program polityczny. Podciągam tylko rezultat duchowej naszej pracy akademicznej dyskusji, i widzę z bolem serca, żeśmy się wcale „duchem naprzód nie posunęli“, że stoimy z końcem roku tak bezradni, jak staliśmy na jego początku, — żeśmy się dali oderwać od pracy na drodze, na którą nas bezustannie nawołują gorżkie nasze doświadczenia, spodziewając się przywrócenia naszego bytu w skutek działania sił po za naszym narodowym organizmem leżących....

— Więc Pan sądzisz że my sami?...

— Tak jest, my sami i tylko my sami!... Jeżeli los nasz jest niepewnym, jeżeli nad dolą naszą czarne wiszą chmury, to obowiązek nasz jest jasnym, — tak jasnym, że może rozświecić dolę chociażby najczarniejszą. Przedewszystkiem musimy się wyprzeć samolubstwa, i powrócić do uczuć prawdziwych, do zdrowych obyczajów, do silniejszego porozumienia się z sobą, do uporządkowania naszych zawichrzonych pojęć. Inaczej steramy ostatek naszych duchowych zasobów w jałowych wewnętrznych walkach, w bezowocnem szamotaniu się, w usiłowaniach reorganizacyjnych, z których nie ma żadnego wyjścia!... Żadna forma polityczna, żadna chociażby najliberalniejsza ustawa, żadna nadzieja odrodzenia nie podeprze nadwątlonego w ten sposób ducha!....

— Pan jesteś pesymistą.

— Bynajmniej!... *Quid leges sine moribus?* powiada łaciński poeta. I rzeczywiście obyczaje nic dadzą się zadekretować, gdyż one właśnie są źródłem wszelkiego prawa. Oto osiągnęliśmy n. p. w bieżącym roku zatwierdzenie ustaw przeciwko lichwie i pijaństwu. Cóż Pan sądzisz, czy przyniosą te ustawy spodziewane błogie owoce, jeżeli ich nie poprze obyczaj, t. j. jeżeli się nie znajdą ludzie sumienni przestrzegający tych ustaw z najbezwględniejszą surowością?... Bez wątpienia nie!.... Staną się one martwą literą tak samo, jak martwą literą jest już dziś ustawa o naszej Radzie szkolnej, którąśmy tyloma okupili ofiarami....

— A cóż się stało z tą ustawą?...

— Co?... Wszak Pan wiesz, że Radzie szkolnej przysługa w moc ustawy przez Najjaśniejszego Pana zatwierdzonej prawo redagowania książek szkolnych, które na mocy przywileju do niedawna jeszcze obowiązującego drukowane bywały w drukarni państwowej w Wiedniu. Otóż w tej drukarni pozwolił sobie ktoś poczynić zmiany i poprawki w książkach przez najwyższą naszą władzę edukacyjną zredagowanych. I cóż Pan powiesz, Rada szkolna nieodrzuciła tych pofałszowanych nakładów, nie postawiła kwestyi na ostrzu noża, tak jak to uczynić była powinna, i naraziła nas w ten sposób na utratę jednego z najważniejszych praw krajowych, jedynego cenniejszego nabytku, tyloma okupionego ofiarami! Delegacja nasza połknęła to jak gdyby świeżą ostendzkę ostrygę!.. Nic! Żadnego protestu! W dziennikach tylko, i to w nie wszystkich zaregestrowano ten wypadak w artykule pod napisem: „Nowy zamach na krajową Radę szkolną“. Zaiste tutaj już z Kantem zawołać wypada: Kto się w robaka przepoczwarzył, niechaj się nie dziwi, jeżeli mu po głowie depczą!....

— A to okropne!....

— Otóż widzisz Pan, wszystko to jest jaskrawym dowodem naszego moralnego i umysłowego upadku, a najsmutniejszem jest to, że ci, co za naród myślą, co są „mózgiem narodu“, i — jak Pismo powiada — „solą ziemi“, nie czynią nic, aby opłakany ten stan rzeczy zamienić na lepszy. Owszem nie kierując się prawdą, a tylko politycznemi namiętnościami, przyczyniają się oni bezwiednie do ile możności najzupełniejszego zamącenia — niestety! — już i tak niejasnych pojęć naszego biednego narodu.....

Weź Pan n. p. ten stos drukowanej galicyjskiej mądrości politycznej, za którą żyd, co kupuje u mnie starą makulaturę, nie dałby Panu nawet dwudziestu centów, co za okropna kocia muzyka bredni i fałszów estetycznych, politycznych, historycznych, filozoficznych i moralnych!.. W tem całem dantejskiem piekle nic dla serca, nic dla ducha!... Aż strach bierze pomyśleć, że to dla znacznej części naszego narodu stanowiło przez rok cały niemal jedyny pokarm umysłowy i... duchowy!...

— Do kogoż Pan tu pijesz?...

— Ja Panie piję, jak Pan widzisz, piwo i rozmawiam z Panem, zastanawiając się nad tem, czem nas karmiono w ciągu bieżącego roku, a zastanawiając się boleję, przekonawszy się, żeśmy żyli sofizmatami, frazeologią, fałszywym patosem i fałszywą moralnością!... Posłuchaj Pan, co o takiej kuchni powiada w znakomitem swojem dziele *Les moeurs et les lois* uczony Funk-Brentano:

„Najdziksze szaleństwa despotów nie są dla narodów tak szkodliwemi, jak panowanie sofistów i politycznych retorów. Gdy despota upadnie, naród może kroczyć dalej na drodze postępu; — kierownictwo sofistów zaś i retorów mąci w narodach, które ich panowaniu podpadną, zdrowe pojęcia, i sprowadza anarchję umysłową i moralną, których bezpośredniem następstwem jest rozprzężenie się narodu jako społecznego ciała“....

— Więc cóż nam robić wypada?...

— Co?... O to starać się, aby ci, co po nas przyjdą, nie powiedzieli znowu: „żeśmy ich odeszli bez testamentu!“... „Cała nasza wartość moralna — powiada Pascal — leży w naszym sposobie myślenia“; — starajmyż się myśleć tak, jak sprawiedliwym przystało, oto jest pierwsza nasza powinność patrjotyczna!... Zresztą obowiązki nasze są jasne.... Czy znasz Pan wiersz Elego: „W oczekiwaniu jutra?...“

— Nie....

— Więc zechciej Pan posłuchać....

. . . .

— Podczas gdym towarzyszowi memu wygłaszał wiersz ten, tak pełen zdrowej, ożywczej prawdy i głębokiej mądrości, płonęło oko jego zapałem.

— Tak jest — zawołał — gdym skończył. Oto jest program, któryśmy powinni wypisać na naszym sztandarze!... Naszem hasłem powinien być Bóg, miłość i prawda!.. Myśmy tylko siewaczami dla przyszłego pokolenia!...

W tej chwili zbliżył się do nas Imci Pan Tromtadracki, i począł szeptać coś na ucho mojemu towarzyszowi. Pan Ahaswerowski wstał od stolika, ukłonił mi się uprzejmie, zabrał swoje archiwum i piwo i przeniósł się do stołu, przy którym siedział p. Tromtadracki, podczas gdy ja, osamotniony, zabrałem się do przeglądania wiedeńskich dzienników. Po przeczytaniu kilku artykułów, i skończywszy kolacyę zabrałem się do wyjścia.

Podniesieni już mnogiemi libacjami na duchu rozprawiali pp. Tromtadracki i Ahaswerowski głośno o wysokiej polityce:

— Kwestja wschodnia jest tak jak mysz — wołał eks towarzysz mój, uderzając o stół pięścią w chwili, kiedy koło niego przechodziłem.

Zaciekawiony tem śmiałem porównaniem zatrzymałem się chwilkę, by dosłuchać końca rozpoczętego zdania, ale doznałem zawodu. Myśli Wiecznego Tromtadraty grały już z sobą w cztery kąty a piec piąty:

— Nie! nie tak — zawoła poprawiając się pan Ahaswerowski — nie jak mysz!... Kwestya wschodnia jest jak ptaszki, co siedzą.

— Et, — przerwie mu również ścięty pan Tromtadracki. Kwestja wschodnia jest jak diabli wiedzą!....

Włodzimierz Zagórski.

POKŁOSIE.

(Działalność literacka J. I. Kraszewskiego.) Rachunek działalności literackiéj naszego jubilata podajemy według notaty K. Estrejchera, autora bibliografii polskiej.

Rachunek ten posłuży za niezbity dowód pracy tytanicznej, nie mającej sobie równej w żadnej literaturze.

Najpierwszemi pracami Kraszewskiego były: Opowieść z życia Karpińskiego, umieszczona w Noworoczniku Literackim i powieść: „Pan Walery i Wielki świat małego miasteczka“, oddzielnie wydane. Od tego czasu wydał Kraszewski dzieł 230, tomów 440; z tego odpada dzieł 4 na czasopisma, w 84 tomach. — Niektóre czasopisma całkowicie własnem piórem wypełniał. Z liczby tej powtórzono drukiem dzieł 63 — w tomach 133; liczba więc z powtórzeniami urosła do tomów 573. Z prac tych przełożono na język rosyjski dzieł 18, czeski 13, niemiecki 6, francuski 4, włoski 2, holenderski 1; razem przełożono dzieł 44.

Można przyjąć, że rocznie pisał 9 tomów. Oprócz tego pisał kilka tysięcy korespondencyi do czasopism literackich. Licząc, że rocznie tom jeden, a w ostatniem dziesięcioleciu po dwa tomy co najmniej dostarczał korespondencyi, można przyjąć, że korespondencyje objęły 50 tomów — czyli, że ogólną ilość napisanych tomów na 490 oznaczyć należy.

Rachując przeciętnie na tom 12 arkuszy druku, otrzymamy najmniej wydrukowanych arkuszy 6.000 czyli 36.000 arkuszy pisma. A że przeciętnie bito 700 egzemplarzy każdego dzieła, otrzymamy, że Kraszewskiemu cywilizacja narodowa zawdzięcza przeszło pół miliona książek, roznoszących najzacniejsze myśli, najuczciwsze tendencje.

Tej twórczej obfitości nie przedstawia nam żadna literatura, żadna historya oświaty, bo wszystko, co Kraszewski napisał, to napisał własnoręcznie, a co więcej, napisane przepisywał częstokroć sam i częstokroć sam prowadził korektę. Być może, że Dumas ojciec na liczbę dzieł napisał tyle, co Kraszewski, a może i nieco więcéj, lecz do tej pracy miał kilkunastu pomocników. Podobnie Scribe wyręczał się całą kancelarją wykończającą jego pomysły i szkice.

Jeden feniks piszących Lopez de Vega miał napisać 133.225 arkuszy, a 21,300.000 wierszy druku, lecz tych cyfr, nie znając wszystkich dzieł Lopeza, sprawdzić nie możemy — Lopez zresztą miał także pomocników. — Jeden tylko Kraszewski własną ręką i własnym trudem dokonał tak olbrzymiego dzieła. — Nie wiedzieć rzeczywiście, co więcej podziwiać, czy twórczość, czy pracowitość?!

(Telefon Grahama.) Na wtorkowém (12. Grud.) posiedzeniu Towarz. Przyrodn. Imienia Kopernika miał prof. Soleski wykład o telefonie. Skreśliwszy historyę tego przyrządu od r. 1837. opisał najprzód dawniejszy telefon Reissa, a potem przeszedł do telefonu Grahama Bella, budzącego dziś powszechne zajęcie. Wyłożył zasady fizyczne, na których polega i opisał go, tudzież użycie jego. Jestto para małych, zupełnie jednakowo urządzonych przyrządów magneto-elektrycznych, które

na dwóch od siebie odległych miejscach są ustawione i jak nasze dzisiejsze telegrafy drutami ze sobą połączone. Każdy z nich zamknięty w drewnianéj puszce, osadzonéj na rurkowym trzonku drewnianym, około 4 cale długim i na męski palec u ręki grubym. W trzonku tym umieszczony jest magnes stalowy, sięgający aż do dna puszki, a na nim okrągły słupek miękkiego żelaza, owinięty cewką druta miedzianego jak u zwykłych elektro-magnesów. Końce druta, przez ścianę puszki przeprowadzone, są przymocowane zewnątrz do mosiężnych śrubek, mających trzymać łączniki od jednéj stacyi do drugiéj wiodące. Nad tym zaś słupkiem żelaznym, będącym już teraz doczasowym magnesem, w bardzo małéj odległości od niego znachodzi się cieniuchna sprężysta blaszka żelazna, która też pod tym wpływem jest rodzaju magnesu zmiennego. Puszkę zamyka drewniana na zewnątrz wklęsła miseczka, mająca okrągły otwór nad samą blaszką. Do téj miseczki, wziąwszy trzonek do ręki, mówi się z odległości kilku cali. Blaszka ta falami głosowemi powietrza w drganie wprawiona, to się oddala, to się znowu przybliża do żelaznego słupka, będącego pod wpływem dolnego magnesu także magnesem. W skutek tych ciągłych zmian w odległości blaszki od słupka następują zmiany w natężeniu magnetycznem miękkiego żelaza, a to (jak uczy fizyka) jest już dostatecznym powodem do powstawania tak zwanych chwilowych prądów magneto-elektrycznych w drutach cewki, otaczających ów słupek. Prądy te przebiegają druty łączące obie stacye ze sobą i dostawszy się do cewki takiego samego przyrządu na drugiéj stacyi, sprawiają podobne rytmiczne zmiany w magnetycznym stanie żelaznego słupka w puszce tamże, który w skutek i w miarę tych zmian doznawanych wprawia też blaszkę nad sobą umieszczoną w drganie, zgodne całkiem z podobném drganiem blaszki w puszce na stacyi pierwszej, przez mówienie wywołanem. Te zaś drgania, udzielające się powietrzu, tworzą w niem fale głosowe, podobne do tych, które na pierwszéj stacyi w skutek mówienia przed miseczką tamże były powstały. Ucho więc przyłożone do miseczki przyrządu na téj drugiéj stacyi słyszy dzwięki, świsty lub słowa ze stacyi pierwszéj w ten sposób przesłane.

Ponieważ każdemu tonowi w jakikolwiek sposób wydobytemu, jak to uczy akustyka, towarzyszą tak zwane tony górne, (których według sprawdzenia Helmholza jest zawsze więcéj) i dopiéro wszystkie razem zlewają się w jeden ton wyraźnie słyszany — w skutek czego tony téj saméj wysokości na różnych instrumentach muzycznych np. strunie i piszczałce wydobyte, różnią się od siebie barwą czyli jakością dzwięku, — więc także jakość głosu telefonicznego jest trochę inna niż głosu naturalnego. Usłyszawszy jednak raz mówiącego przez telefon, nietrudno potem głos jego tak rozpoznawać, jak się zwyczajnie znajomego poznaje po głosie, chociaż się go nie widzi.

Na zakończenie wspomnieć jeszcze wypada, że niepodobna trzymać ciągle ucho przy telefonie i od niego nie odstępować. Dlatego urządza się rodzaj dzwonka na każdéj stacyi blisko miseczki przyrządu opisanego, dla dawania znaków ostrzegających, iż się chce telefoniczną depeszę przesyłać. Składa się on z widełek strojnych, przytykających do dzwonka metalowego, umieszczonego stale koło telefonicznej miseczki. Pociągnąwszy smyczkiem po jednem z ich ramion, zaczynają drgać widełka i uderzając o dzwonek drugiem ramieniem wydaje dźwięk, który telefonicznie przesłany do drugiéj stacyi, dzwonek tameczny do dźwięczenia silnie pobudza i o depeszy przesłać się mającéj niewątpliwą daje wiadomość.

Próby między Warszawą i Skierniewicami w zeszłym tygodniu trzema telefonami (dwoma berlińskimi a jednym warszawskim) robione, miały się udać dobrze, mniej zaś świetnie na wczorajszem posiedzeniu Towarzystwa Przyrodników lwowskich, gdzie użyto telefonu z fabryki wiedeńskiéj, sprowadzonego do Lwowa przez kupca tutejszego Boskowitza.

(Niewierna wdowa.) Zajmuje bardzo umysły etnografów i filologów powiastka chińska, wydana niedawno w tłumaczeniu niemieckim w Sztuttgardzie przez prof. Edwarda Grizebach. Powiastka ta nosi tytuł: Die treulose Witwe (wdowa niewierna). Drukowaną już była przed 150 laty we Francyi pod tytułem „Matrona z kraju Soung“ w dziele o Chinach misjonarza Duhalde. Główną myślą téj baśni rozpowszechnionéj u wszystkich ludów bez względu na różnice plemienne jest ostra satyra, chłoszcząca zmienność kobiet.

Treść jéj następująca: Filozof Czwang-Song spostrzega razu jednego młodą i piękną niewiastę nad grobem świeżo usypanym; jest to wdowa po spoczywającym tu nieboszczyku. Wielkim wachlarzem porusza powietrze; zapytana, dlaczego to czyni, odpowiada z prostotą, iż dała słowo konającemu małżonkowi, że nie wejdzie w nowe związki, póki nie wyschnie ziemia na jego grobie. Sprowadza też wachlarzem sztuczny wiatr, aby zniszczyć ostatnie szczątki pozostałéj wilgoci. Słyszy to żona filozofa, piękna Tyansze, z obliczem jakby wykutem z bryły lodu; wpada w gniew, potępia surowo młodą wdowę za takie przeniewierstwo. Podejrzliwy mąż spostrzega przesadę w tych uniesieniach żony i postanawia wystawić ją na próbę. Udaje chorobę, kona, zamyka wreszcie oczy. Otwiera je w chwili, gdy żona podnosiła w górę topór, aby rozrąbać czaszkę trupa, wydobyć mózg i ugotowaną z niego polewką nakarmić nowego małżonka. Tyansze złapana na gorącym uczynku odwiązuje pas, obwiesza się na nim w oczach zmartwychwstałego. Gdy skonała, Czwang-Song obcina pas, wybucha głośnym śmiechem, skacze i śpiewa jak szalony. Główne znaczenie téj publikacji nadaje obszerny komentarz dokonany z erudycją właściwą filologom niemieckim. Nie słusznie jednak Grizebach naznaczył jéj rodowód aryjski. W aryjskich poematach niewiasta nie była nigdy przedmiotem szyderstwa. Dosyć tu przypomnieć ową Sitę, małżonkę Ramy, piękny ideał nieskażonéj wiary małżeńskiéj, lub ową cudną Sawitry, któréj łzy rzewne wybłagały duszę małżonka u Yamy strasznego boga piekieł. Takie przeczyste typy powtarzają się w tradycyach wszystkich aryjskich ludów, zacząwszy od greckiéj Andromachy i Penelopy, do galskiéj Weledy, do naszéj Wandy i Jarosławy. Typ wdowy niewiernéj zrodził się raczéj w Chinach. Pan Grizebach przedstawia w ciekawy sposób wszystkie warijanty, przez jakie przeszła tradycja i jak każdy lud przestrajał ją po swojemu stosownie do charakteru i psychicznych swych usposobień.

(Śpiewające płomienie.) Już w zeszłym wieku zrobił chemik pewien to ciekawe spostrzeżenie, że palący się w dłuższéj szklannéj rurce płomień gazowy wydaje z siebie dzwięk muzyczny, którego wysokość i siła głównie od długości rzeczonéj rurki zależy. Z rurek takich zbudował w r. 1873. pewien fizyk francuski rodzaj ognistych, czyli raczéj ogniowych organów, które nazwał pyrotonem, a które widzieć i słyszeć można było na wiedeńskiéj wystawie.

Atoli bardziéj od muzykalnych produkcji tych ognistych języków zajmuje przyrodników dziwna czułość śpiewających płomieni na najnieuchwytniejsze, dzwiękiem jakiemś nawet i w dość znaczném oddaleniu wywołane wibracje powietrza. I tak n. p. można, osłabiwszy stosownie prąd gazowy, lub przesunąwszy odnośną rurkę pyrotonu, zmusić śpiewający płomień do milczenia; — aliści zaledwie ozwie się w oddaleniu, które nawet dość znacznem być może, ton pewien ognistemu śpiewakowi sympatyczny, natychmiast budzi się tenże niejako i rozpoczyna piosnkę swoją na nowo. Odwrotnie można także pewnym innym, antypatycznym tonem zmusić śpiewający płomień do milczenia, ba nawet zagasić go zupełnie; — a ponieważ się to da łatwo uskutecznić, iż się gaz drugim końcem rurki ulatający przy téj sposobności zapali, przeto można za pomocą tonów nawet i z większego oddalenia zapalać i gasić płomyki pyrotonu wedle upodobania. Niemiecki hrabia Schaffgottsche porobił niezliczoną ilość w téj mierze doświadczeń; — najciekawszém jednakże jest doświadczenie, przez angielskiego przyrodnika Barreta niedawno zrobione, które czułość płomieni śpiewających na drganie fal powietrznych, omal żeśmy nie powiedzieli doskonałość słuchu tych ognistych muzyków, stwierdzają w sposób najwymowniejszy.

Wiadomą jest rzeczą, że są promienie dla naszych oczu niewidzialne, dlatego że wibracja ich jest tak szybką, iż się nieuchwytną staje dla soczewki naszego oka. Mimo to promienie te, jakkolwiek dla nas niewidzialne, istnieją i działają właśnie najsilniéj na płytę fotografa odpowiednio przygotowaną. Tak samo istnieją także dzwięki, o których powiedzieć musimy, iż są dla naszego słuchu nieuchwytnemi, jakkolwiek je stworzenia, doskonalszym w téj mierze obdarzone słuchem, wybornie słyszą. Bywają osoby, szczególniéj osoby starszego wieku, które ćwierkania świerszczów już nie słyszą, dla tego że dzwięki głosu tego nam tak często uprzykrzonego śpiewaka są dla ich stępionego słuchu zbyt wysokie, czyli dlatego, że dźwięki głosu świerszcza wywołują wibrację fal powietrznych tak szybką, iż jej zgrubiały bębenek słuchowy tych osób pochwycić nie jest w stanie. Prawdę powyższą stwierdzić łatwo za pomocą piszczałki przez angielskiego uczonego Galtona wynalezionej, z której wydobywać można tony coraz wyższe, coraz wyższe aż do tonów już po za granicami ludzkiego słuchu leżących. Doświadczenia z tą piszczałką w gronie osób mianowicie starszych czynione są nadzwyczaj ciekawe, w miarę bowiem tego, jak się coraz wyższe tony z piszczałki téj wydobywa, stają się takowe dla coraz mniejszej liczby osób słyszalnemi. Najprzód przestają słyszeć osoby, których słuch jest bardziéj stępionym, potem te, których zmysł słuchowy jest doskonalszym, w końcu przekracza piszczałka granice ludzkiemu uchu zakreślone i dzwięk jéj nawet i dla najlepiéj słyszących staje się nie słyszalnym. Otóż jak wedle wiary gminnéj naszczekiwanie psów lub niespokój koni świadczy o przesuwaniu się duchowych, ludzkim oczom niewidzialnych postaci, tak samo tylko z większą pewnością świadczy niespokój płomieni pyrotonu o tém, że piszczałka, niesłyszalna już dla nikogo wydaje jeszcze tony dla naszych zmysłów nieuchwytne. Mianowicie udało się panu Barretowi wydobyć z pyrotonu dwie stopy długi płomień śpiewający, na wibrację powietrza tak czuły, iż się skurczył do długości siedmiu cali jak gdyby przerażony, gdy z dość znacznego oddalenia ozwał się dzwięk, uderzeniem o siebie dwóch srebrnych pieniążków wydobyty. Płomień ten słyszał wybornie niesłyszalne ludzkim uszom dźwięki piszczałki Galtona i to w oddaleniu dwudziestu do dwudziestu pięciu stóp. Skoro powstał bowiem w powietrzu niesłyszalny gwizd téj piszczałki, natychmiast skurczył się płomień ów do długości szesnastu cali, nastroił swoją jasność i począł wtórować cichéj, duchowéj muzyce szmerem wybornie słyszalnym.

(Stoliczku nakryj się). W jednym z pałaców rosyjskiego cesarzą znajduje się stół, mogący iść w zawody z owym bajecznym stolikiem, któremu wystarczało powiedzieć: Stoliczku nakryj się! by ujrzeć przed sobą natychmiast jadło i napitek. Stół ten jest okrągły i stoi na podwyższonej platformie, opatrzony zaś jest takim mechanicznym przyrządem, iż obejść się można bez wszelkiej usługi. Za pociśnięciem pewnej sprężyny ustępuje on miejsca innemu stołowi również nakrytemu, który nowe potrawy przynosi. Talerze stoją na ruchomych plytach. Gdy chcę, aby talerz został odmienionym, potrzeba tylko pocisnąć odpowiednią sprężynę, a natychmiast staje czysty talerz przed biesiadnikiem. —

(*Ad vocem* barometru z sztucznych kwiatów). Znane są naszym czytelniczkom z pewnością te sztuczne (perkalowe) kwiaty, zmieniające barwę swoją wedle stanu powietrza: różowe gdy deszcz pada, fioletowe gdy się wypogadza, a szafirowe gdy pogoda jest stałą, a suchem powietrze. Kwiaty te, które się tego roku w handlu pojawiły, zyskały w Paryżu jak wiadomo ogólne powodzenie. We wszystkich prawie oknach sklepowych widzieć je można, — więcej nawet, panie noszą brosze i kólczyki ozdobione takiemi kwiatkami, panowie zaś zatykają je w dziurkę od guzika.

Otóż pokazuje się, że „nowy tenwynalazek“ znanym był już w zeszłym wieku. Zawdzięczamy go uczonemu Herbeletowi, który szczególne własności chlorury-kobaltu odkrył jeszcze w r. 1837, jak się o tem przekonać można z rozprawy zamieszczonej w *Mémoires de l' academie* z r. 1797. Już w r. 1792 używano wachlarzy i sztucznych kwiatów nasyconych chlorurą-kobaltu tak samo jak dziś, później jednakże, gdy moda minęła, zapomniano o tem zupełnie. Przed dziesięciu laty dopiero odkrył niejaki Dupille tajemnicę hygro-metrycznych kwiatów po raz wtóry, dziś zaś pochwyciła je moda jako wynalazek zupełnie nowy. I nie miał że Salamon słuszności mówiąc, że niema nic nowego na świecie.

(W New-Yorku) wystawił pewien kupiec za oknem swego sklepu napis następujący: „Bóg tylko ma nasze zaufanie, i jemu tylko kredyt otwieramy. Ludzie! muszą płacić gotówką“.

BIBLIOGRAFJA.

Rys dziejów literatury polskiej podług notat Aleksandra Zdanowicza oraz innych źródeł opracował i do ostatnich czasów doprowadził Leonard Sowiński. Tom IV. Wilno nakładem i drukiem Zawadzkiego.

Kiedy śp. Adam Zawadzki przedsiębrał to wydawnictwo i powierzył je p. L. Sowińskiemu, miało obejmować tylko dwa tomy. Notaty A. Zdanowicza pokazały się zbyt niedostateczne i jak widzimy z niniejszej części posłużyły tylko do pierwszego tomu do ustępów: „czasy przedchrześcijańskie, wpływ łaciny na losy literatury narodowej, do rysu akademii Krakowskiej“; reszta notat jako nieodpowiedna do przyjętego planu przez Sowińskiego pozostała nietknięta. Ztąd też rozmiary pierwotnie zakreślone musiały być znacznie rozszerzone, ażeby bogaty materjał należycie został wyczerpany i obecnie obejmie 5 dużych tomów. Tom V. zamykający całość tej publikacji jest już pod prasą.

Wojcicki, „Z rodzinnej zagrody“.

Ozdobą każdego polskiego domu powinny być bezwątpienia życiorysy znakomitych naszych mężów, skreślone piórem Wojcickiego.

Strojnowski, „Ziemia i jej mieszkańcy“.

Są to opisy malownicze zebrane przez Stanisława Strojnowskiego, obejmują opisy zjawisk przyrody do fizycznej geografii zaliczanych, ciekawych krain i miejscowości, tak przystępne a zajmujące, że je osoby każdego wieku z pożytkiem i przyjemnością czytać mogą.

Naukę poglądową podaje dzieciom Biblioteka Ilustrowana w dwóch dziełkach. Pierwszy dla młodszej dziatwy p. t. „Mały i wielki świat dziecięcy“, drugi dla starszej pod nazwą: „Z domu i ze szkoły“. Naśladowane z niemieckiego nie są to suche podręczniki nauki poglądowej; przeciwnie obok opisu jakiegoś przedmiotu stoi tu powiastka z życia zwierzęcego, ba nawet z dziedziny czarów, nieraz same zyjątka działają lub przemawiają wtajemniczając dziatwę w czary przyrody, tłomacząc jej tajniki, szepty i gwary, tak, aby dziecię nie poprzestawało na jej poznaniu, lecz je nadto ukochało. Prócz tu wymienionych opuściło jeszcze prasę kilka bardzo cennych prac dla wieku młodociannego. — Przytaczamy je tu dla wiadomości naszych czytelników zwłaszcza na prowincji.

Pytania i odpowiedzi. Pierwsza książeczka obrazkowa dla zabawy i nauki małych dzieci od lat 3 do 6 przez starego nauczyciela.

Znać tu wprawną rękę doświadczonego pedagoga, który stara się o rozwijanie myśli i pojęć metodą poglądową za pomocą obrazków, pytań i odpowiedzi (w 4ce, z rycinami kolorowanemi).

Pokój Dziadunia. Opowiadanie z dziejów przeszłości dla młodocianego wieku. Napisał Kaz. W. Wojcicki z rycinami.

Mały zwierzyniec. Historja naturalna dla dzieci ułożona przez Jana z N....

Wykład wierszem zaleca się czystem jasnym i pięknym językiem.

Powyższe książki niemniej też wszystkie utwory literatury krajowej i zagranicznej utrzymuje zawsze na składzie księgarnia F. H. Richtera.

Nekrologja.

z końca r. 1876 i z r. 1877.

Fryderyk Kazimierz Skobel, doktor medycyny i chirurgii, profesor uniw. Jagiellońskiego zmarł w Krakowie dnia 26. Listopada 1876 r. Do nauki w swoim zawodzie łączył prawość charakteru, niezłomne obywatelskie przekonania i nieprzerwaną pracę w całem życiu. — W ostatnich latach gorliwy miłośnik ojczystej mowy wydał w r. 1870 broszurę „O skażeniu języka polskiego“, która mu dała niemały rozgłos i wpłynęła przeważnie na poprawę języka.

Dr. Antoni Walewski prof. uniw. Jag. i członek akademii. — umarł w Krakowie dnia 2. Grudnia 1876 r. Pozostawił wiele dzieł cennych do historji polskiéj z okresu Jana Kazimierza i Jana III. Ostatnią jego pracą była „Filozofia dziejów Polski“, która przeciw autorowi powszechne wywołała oburzenie.

Narcyza Żmichowska, znakomita poetka i autorka, pisząca pod pseudonimem Gabryjeli. Zmarła dnia 25. Grudnia 1876 r. Okres największej działalności literackiej przypada pomiędzy rokiem 1840 a 1860. — Utwory jej wyszły razem w 4 tomach p. t. „Pisma Gabryjeli — Warszawa 1861.“ Ostatnią z jej prac jest: „Czy to powieść?“ drukowana w Wieku Warszawskim.

Franciszek Kupieszeński, b. starszy dyrektor banku polskiego. Zakończył życie w Warszawie dnia 24. Lutego 1877 r. Z zamiłowaniem pracując nad ekonomją polityczną, wydał następujące dzieła: „Solnictwo czyli nauka o wyrobie soli kuchennej“, przerob. z niem. Karola Karstena (Warszawa — 1856 r. — 2 tomy). „Zasady ekonomji politycznej“ przekład z niem. Roschera (Warszawa — 1860.) „Nauka ekonomji rolnictwa przekład także z Roschera (Warszawa — 1861). Przekłady te nader cenne odznaczają się pięknością poważnej polszczyzny naukowej.

Karol Pienkowski, literat i poeta niepośledniego talentu. Umarł w szpitalu ewangielickim w Warszawie dnia 29. Marca 1877. Pisał dramata: „Scena za sceną“, „Idealni i odrodzony“; z powieści „Pamiętnik młodej kobiety, Następstwa i Garbusek“. Pięknym wierszem tłumaczył: Heynego, Musseta, Moliera i Calderona. Ostatnią zmarłego pracą z poetycznych jest: „Rozmowa szwaczki z gwiazdką, fantazja dramatyczna (Lwów — 1872.)“

Józef Jundziłł, dr. filozofii, naturalista polski ur. r. 1790. — Zakończył życie w Wilnie dnia 5. Kwietnia 1877 r. Gdy ks. Stanisław Bonifacy Jundziłł, profesor uniwersytetu wileńskiego, usunął się w zacisze jako emeryt objął po nim katedrę i zarząd ogrodu botanicznego. Pozostawił dzieło: „Opisanie roślin w Litwie, na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, dziko rosnących i oswojonych. (Wilno 1830)“.

Ksiądz Aleksander Jełowicki, pisarz niepośledniego talentu, autor dzieła: „Moje wspomnienia“ (1830 r. dwa tomy) umarł w Rzymie dnia 15. Kwietnia r. b. — Jako emigrant z 1831 r. osiadł we Francyi, a złamany burzami życia przywdział suknię zakonną. — Odtąd pisał prawie wyłącznie z dziedziny teologii.

C. d. n.

Kącik humorystyczny „Strzechy“

Aforyzmy

lwowskiego humorysty.

Nie ma nic w świecie śmieszniejszego nad Anglika, kiedy udaje filantropa, — nad Niemca, kiedy się bawi w rewolucjonistę, — nad Moskala w roli liberała, — nad Francuza, gdy pozuje na poetę, — nad Żyda, gdy chce być salonowcem, i nad Polaka, kiedy się poczuje mężem stanu.

W Moskwie rządzi knut, w Niemczech kufel, w Anglji zegarek, w Francyi moda, a w Polsce — pantofel.

Kraj, w którym wszyscy myślą tak jak urzędowa gazeta, przestaje być krajem, i staje się — kredensem.

Są cnoty miernym tylko ludziom właściwe, i wady niepospolitym tylko właściwe duchom. „Szanuj moje wady—rzekł raz Ateńczyk jakiś pewnemu Spartańczykowi — bo wady moje większe są od twoich cnót“.

Kobieta bywa często czwartą teologiczną cnotą — czasami ósmym grzechem głównym mężczyzny.

Z wilczego brewiarza.

Motto: Gewalt vor Recht!...

Powiadali niegdyś starzy:
— „Strzeż się fałszu droga dziatwo,
Bo nie wrócisz z świata kłamstwem.
Choć go kłamstwem przejdziesz łatwo“....

Tak tam może było kiedyś —
Dziś to wszystko jest zmienionem:
Kto świat kłamstwem przejść potrafi
— Wróci nazad.... faetonem!....

*

Kiedy pójdziesz między ludzi
Nie bierz wzoru z tego Greka,
Co zapalał w dzień latarkę,
I z latarką szukał człeka.

Ludzi znajdziesz i bez światła;
Lecz chcąc od nich wrócić całki,
Nie latarki tobie synu,
Ale..... dobrej trzeba pałki!. ..

*

To, co w wiekach wre wulkanem —
Co dziejowych kół zwiem ruchem,
Jest jedynie wieczną wojną
Głodnych brzuchów z sytym brzuchem.

Jeden zowie to: ideą —
Drugi misją to okrzyka,
A tu chodzi — o krup garniec
I o większy kęs bifsztyka!...

Sunt lachrymae rerum!

Ballada.

W księgach krajowej tabuli
Miłośną dumką kołysan
Śni ekstrakt hipotekarny,
Długami strasznie zapisan.

Śni o uroczych tysiączkach
Posagu pewnej dziewicy —
Śni o jej listach zastawnych,
— I w słodkiej tonie tęsknicy.

Śni o nakazach płatniczych,
O długu Herszka Feingarna —
Śni o konkursie, — i rozpacz
Serce zatruwa mu czarna.

I chciałby zerwać się — lecieć,
I przed posagiem paść czołem,
I całem sercem zawołać:
— „O bądź mi — bądź mi aniołem!“...

„Zażegnaj czarnych ty duchów,
Których ścigają mnie stada,
Mówiąc do Herszka Feingarna
Jak anioł — jak posag gada!“...

„W sercu mem znajdziesz ewikcję
Na twoje zastawne listy; —
Choć czarnym jest mój stan bierny,
Lecz, patrz, stan czynny mój czysty“....

.... Podczas gdy marząc tak ekstrakt
Słodką się dumką kołysał,
Przyszedł urzędnik tabuli
I w księgę akt jakiś wpisał.

Ach! intromisja to była
Feingarna do hipoteki;. ..
— Z złamanem sercem rzekl ekstrakt:
— „Bądź zdrów posagu — na wieki“....

Obywatel Tromtadracki



którego miło nam przedstawić łaskawym czytelnikom jako przyszłego naszego współpracownika i referenta do spraw wysokiej polityki, był podobnoś za młodu ogrodnikiem. Doznawszy jednak szwanku w tej karjerze, poczuł on w sobie d u c h a, zaprzestał się myć i czesać, zapuścił brodę i poświęcił się.... polityce! Odtąd buduje Obywatel Tromtadracki Polskę i zbawia społeczeństwo co dzień od godziny 9 rano do godziny 2 w nocy w kawiarni „p o d K o g u t k i e m“, gdzie mu się dla swych religijnych, politycznych i socjalnych zapatrywań sześciu udało pozyskać zwolenników.

Opierając się na tem stronnictwie przemawia Obywatel Tromtadracki zawsze „w i m i e n i u n a r o d u“, nastrajając głos swój tubalny do odpowiedniego kamertonu..... Kiedy Obywatel Tromtadracki zawoła „c z a j u!“ to poznać po jego głosie zaraz, że żąda tego napitku na mocy swego posłannictwa, — kiedy powie „my“, to odgadnąć można z jego miny natychmiast, że za nim stoi przynajmniej.... trzy miliony kosynierów!...

„W imieniu narodu“ także poczuwa się Obywatel Tromtadracki do obowiązku inspirowania dzienników, i do kontrolowania ich ducha, będąc mianowicie co do ducha.... specjalistą. Kontrolę swą nad dziennikami wykonuje on w ten sposób, iż konfiskuje w miejscach publicznych egzemplarze tych czasopism, których zapatrywania nie licują z jego przekonaniami. Trzykrotna konfiskata pociąga za sobą odsądzenie winnego od czci, od wiary i patryotyzmu. Wtedy obchodzi Obywatel Tromtadracki ze swemi adherentami wszystkie kawiarnie i restauracje i zmusza „w i m i ę n a r o d u“ gospodarzy, ażeby zaprzestali prenumerować dziennik potępiony.

W kwestjach religijnych jest Obywatel Tromtadracki krańcowo bezwyznaniowym, t. j. nie wierzy on w Boga, ani w ortografię, lecz wierzy w niepokalane poczęcie paryskiej komuny, której wielkim jest wielbicielem.

W kwestjach politycznych wyznaje on zasadę, „że trzeba c o ś robić“, nie określając jednakże bliżej swego programu.

W kwestjach ekonomicznych jest on zdania, że „jesteśmy baciarzami.“

W kwestjach socjalnych nakoniec jest on za panowaniem tych, co mają ducha“, i za hurtownem powieszeniem „zdrajców“ ;—zdrajcą zaś jest każdy, kto nie dzieli jego zapatrywania.

Obywatel Tromtadracki klnie się, że tylko jego program może zbawić Polskę i społeczeństwo; — powierzyliśmy mu więc referat spraw politycznych i socjalnych.... Niech probuje.

Panna Lala.



Tak jak Minerwa wyskoczyła niegdyś w pełnej zbroi z bolejącej głowy Jowisza, tak wytrysnęła z chorego serca naszego zmaterjalizowanego społeczeństwa panna Lala, w szynjonie, w turniurze, w paryskim kapelusiku, w koronkach, w batystach, w aksamicie, z papierosem w ustach, z męskiem *pince-nez* na nosie, z kieliszkiem pieniącego się *Cliquot* w ręku, stąpając zamaszyście, rozprawiając hałaśliwie, mówiąc wszystko i o wszystkiem, śmiejąc się na całe gardło, i napełniając mały nasz światek szelestem swojego *frou-frou Benoiton*!

Panna Lala jest wysokiem C naszej cywilizacyi. Serce jej jest rodzajem ogniotrwałej kasy, duszę zastępuje jej patron modny, wykrojony z ostatniego żurnalu. Jestto *kurscettel* giełdowy śpiewany na nutę ofenbachowskiej operetki: Czindrata!... Czindrata!... Lal Lala Lal La la Lal Lalla!...

Nie potrzebuję więc dowodzić, że Panna Lala stoi na biegunie przeciwnym biegunowi, na którym stały nasze matki:

Owe Laury w łzach tonące
Nad Florjanem — nad Delillem,
Co w albumach spisywały
Swe „impresje“ chromym stylem,
Owe tkliwe Telimeny
Z melancholji pełną główką,
Co gruchały z każdą gwiazdką,
Z każdą trawką — z każdą mrówką!
Co w konszachtach żyły wiecznych
Z „bladą Luną“ z „tchem Zefirów“
I nie mogły wypić kawy
Bez „helasów“ i „supirów“.

Panna Lala nie jest wcale romantyczką, lecz dzieckiem swego wieku, praktycznem, trzeźwem, i prowadzącem buchhalterję swego serca w największym porządku. Ona nie położy swej ślubnej obrączki na ołtarzu ojczyzny, ani też pójdzie dzielić z mężem twardą tułacką dolę, aby gdzieś w Paryżu na siódmem piętrze zarabiać praniem koronek na dzienną strawę *Ah bah!... Elle n'y pense guere!...*

Jej potrzeba strojów, zbytku, balów, koronek, podróży, powozów, liberji; — kto jej to dać może, niech się zgłosi!.. Hrabiowie mają pierwszeństwo.

W kwestjach religijnych, moralnych, patrjotycznych, politycznych itd. jest ona indeferentystką! *on se moque de ça, et on se fiche du reste!* Mimo to zachowuje ona teraz jeszcze konwenanse *Plus tard* — jak wyjdzie za mąż.—*nous verrons!*

Panna Lala zasilać będzie nasze fejletony rozprawkami o rzeczach szyku, mody, s z p o r t u, d o b r e g o t o n u, przeplatając je aforyzmami, o powinnościach kobiety i Polki, o sztuce, o pobożności, o moralności i t. d.

Wydawca i odpowiedz. za redakcyę F. H. RICHTER.

Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



UPIOR.

Opowiadanie przy kominku

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Tym czasem panny, jakby korzystały z ukazania się dziadka, pierzchnęły natychmiast.

Zostaliśmy sami. Pacholę, które towarzyszyło Boguszowi, posadziwszy starego na krześle, samo zaraz wycofało się z pokoju. Zbąski już miał rozpocząć znowu opowiadanie o odwilży i jej skutkach, gdy Starosta, nie spuszczający mnie z oka — odezwał się do mnie:

— Służyłeś pan wojskowo?

— Tak jest — odpowiedziałem.

— To zaraz widać po człowieku, podchwycił spiesznie stary. I ja — i ja, miałem — mieliśmy syna w tym wieku co pan, w wojsku także.. Splątał się — coraz mówiąc niewyraźniej i rozpłakał głośno.

Źle mi się zrobiło, wyrzucałem sobie, żem moją przytomnością obudził tu takie wspomnienia i zasmucił biednego starca. Zamilkłem strapiony — przypomniawszy sobie jeszcze moje nieszczęśliwe podobieństwo do owego Bogusza od szwoleżerów. Wyjaśniło mi się teraz wszystko, wejrzenia niespokojne, łzy, pomięszanie starszych osób. Nie pozostawało mi nic więcej nad to, jak otwarcie się rozmówiwszy wycofać się z położenia, które i dla mnie srodze przykrém było. Odwróciłem się do pana Starosty.

— Niech mi pan daruje moją otwartość przy pierwszem spotkaniu, rzekłem, jestem żołnierz, to mnie trochę tłumaczy. Widzę, że obudzeniem wspomnień dla serca rodzicielskiego boleśnych wzruszyłem państwa i wniosłem z sobą łzy do domu. Pozwól mi pan Starosta, abym się oddalił.

Wstawałem już, staruszek naprzód ręce podniósł do góry, potém, wyciągnąwszy je chwycił moją dłoń i ścisnął silnie.

— Na miłość Boga ukrzyżowanego, zawołał, — nie czyń że mi tej przykrości i tego despektu. Mylisz się waćpan, łzy to są smutne, ale słodkie razem; żywy obraz syna naszego mamy przed sobą — niech się choć tym pocieszę. Zlituj się, nie bierz za złe..

Mówił z taką gorącością Starosta, że przez poszanowanie dla wieku i uczucia jakie okazywał, nie śmiałem się mu sprzeciwiać, siadłem zakłopotany, wyrzucając tylko w duchu sobie, żem myśl miał pojechania tu, Moskorzewskiemu, że mi ją poddał i Zbąskiemu, że mi ją do skutku przyprowadził.

Staruszek ocierając łzy wciąż patrzał na mnie.

— Podobieństwo nadzwyczajne — szeptał jak sam do siebie — niesłychane. Postawa, twarz, głos, ruchy.. Boże miłosierny.

Domawiał tych wyrazów, gdy drzwi od pokojów naprzeciw otworzyły się, i prowadzona przez córkę ukazała się pani Starościna.

Osoba była w późnym wieku, a choć od męża młodsza, tak złamana cierpieniem, że się niemal od niego wydawała więcéj zgrzybiałą i osłabłą. Szła drżąc, powoli, opierając się na córce i wnuczce. Pomimo wieku i znękania, które się na smutnej malowało twarzy, Starościna była tak piękną, iż malarz by z niej wzór mógł był brać do obrazka. Smutkowi jej towarzyszyła taka anielska słodycz w wyrazie ust, w wejrzeniu, w składzie wszystkich rysów twarzy, nawykłej życiem do chrześcijańskiej rezygnacyi i cierpliwości, iż niepodobna było nie uczuć się wzruszonym widokiem tego oblicza pełnego oraz powagi, dobroci, bolu, i spokoju pobożnego.

Nie rychło, zbliżywszy się ku nam, podniosła oczy i poczęła się uważnie wpatrywać we mnie i Zbąskiego. Musiano ją zapewne, unikając zbyt silnego wrażenia, uprzedzić o mojem podobieństwie do syna. Wzrok miała osłabiony, i gdym z kolei przystąpił do ucałowania jej ręki, wlepiła we mnie oczy, ściskając mnie i nie puszczając ręki mojej.—Czułem przyspieszony oddech staruszki, dłoń jej drżała mocno, tchnęła jakby jej powietrza zabrakło, i nawet nie odpowiedziawszy na moje ciche powitanie, padła na podane jej krzesełko.—

Córka dała mi znak głową, ażebym zajął miejsce przy staruszce—musiałem być posłuszny. Siedzieć tak pożeranemu ciekawemi oczyma, jak winowajcy, nie jest miłem; krew mi biła do głowy. Starosta i Starościna, niemi oboje, to na siebie, to na mnie patrzali, milczenie stawało się nad wyraz przykrem.

Starościna wreście, jakby na męztwo się wysilając, głowę podniosła ku mnie i spytała z wyrazem pełnym czułości.

— Zkąd pan przybywa? dawno w kraju? słyszałam — —

Chciałem uniknąć wspomnień wojska, i wszystkiego, co by mogło staruszków zasmucić, odpowiedziałem ogólnemi wyrazy, żem jechał od brata, że znajdując się w sąsiedztwie, korzystałem ze zręczności, aby poznać dom, o którym tyle w obywatelstwie słyszałem i t. p.

Gdym to mówił, nie zbyt zręcznie się tłumacząc, bom był niezmiernie pomięszany, Starościna pochylona ku mnie słuchała, usta jej się uśmiechać poczęły, twarz rozpromieniała, oczy zajaśniały, podała mi rękę.

— A! to dobrze! dobrze, ślicznieś pan zrobił, żeś do nas zajechał! tu u nas spoczniesz! nieprawdaż! długo a długo?

Niewiedziałem już co odpowiadać—lecz widząc Starościnę wesołą, nabrałem śmiałości, pocałowałem ją w rękę i uczułem, że usta zbliżyła do mojej głowy. Pani Sawicka stojąca tuż spoglądała niespokojnie i chcąc ułatwić dalszą rozmowę, poczęła rozpytywać o zapusty u Moskorzewskich i sąsiedztwo. Wmięszał się do rozmowy Starosta, zagadał Zbąski, trochę się jakoś ożywiło. Chciałem wśród tego wstać z krzesła i inne zająć miejsce, ale Starościna za każdą razą wyciągała rękę i niepuszczała mnie od siebie. Jak na mękach, ścigany wejrzeniami obojga starych wysiedziałem do wieczerzy. Do stołu staruszka kazała mi się prowadzić i posadziła obok siebie. Pilnowała mnie przy jedzeniu z troskliwością nadzwyczajną, która nie zbyt nawykłego do tych atencyi i czułości coraz bardziej kłopotała. W duchu sobie postanawiałem nazajutrz rano, ani wspomniawszy już o dzierżawie, uciekać. —

Tymczasem stało się inaczej, czegom się niespodziewał wcale. Zbąski, który był gaduła nad gadułami, po kilku kieliszkach dobrego wina, plotąc trzy po trzy, o tém i owém, wypaplał się przed Starostą, że miałem myśl szukania dzierżawy.

— A to się mości dobrodzieju składa, jak nie może przedziwniej, zawołał Bogusz, prawdziwa opatrzność Boska. Ja właśnie szukam dzierżawcy! Rozgość się asińdziej u nas, objedź, opatrz, jak Bóg miły zgodzimy się, będzie wilk syty i koza cała..

Starościna posłyszawszy to klasnęła aż w ręce, zdawało się, że to ją niepomiernie uradowało.

Szczególna rzecz, spojrzała na mnie z wyrazem jakimś porozumienia się i przebiegłości, jakby pochwalała doskonały fortel jakiś i posądzała, że ta dzierżawa była fikcją.—Znowu niewiedziałem, ani co to jest, ani co się dzieje. Ale reszta wieczora upłynęła już raźniej i weselej.

Gdy przyszła godzina rozchodzenia się na spoczynek, Starościna przywołała kamerdynera polecając mu, aby pamiętał o wszystkich naszych wygodach. Starosta dawał mu informacje od siebie, poprowadzono nas do gościnnych pokojów.

Okrutny ciężar spadł ze mnie, aż mi lżej było, wyszedłszy z tego fałszywego położenia. Pokoje wyznaczone były nie tylko wygodne, ale można powiedzieć, zbytkownie urządzone. Gdy się stary kamerdyner oddalił, dopierom sobie wodze mógł puścić, i rozprawić się ze Zbąskim. Ja brałem to jakoś tragicznie, a mój kolega, co mnie gniewało, komedją czystą robił z tego.

— Starym przypominasz syna! z czułością są dla ciebie, co w tém u kaduka tak desperackiego! dzierżawę ci puszczą tanio, któż wie! *in gratiam* podobieństwa wnuczkę jeszcze mogą wydać za ciebie! A ten się zżyma!!

Mnie, przyznaję się i gniewało i niecierpliwiło, że nie sobie byłem winien te łaski i fawory, ale jakiemuś nieboszczykowi. Być żywym upiorem nie jest rzeczą miłą.

Chciałem się i dzierżawy wyrzec a uciekać, ale Zbąski mnie za poły trzymał i aż do połajania przyszło, bo mnie dziwakiem nazwał. Ani ja, ani on niewiedzieliśmy naówczas, w co wpadłem z tém mojem nieszczęśliwem po-

dobieństwem do nieboszczyka szwoleżera. Później znacznie dopiero od matki mojej żony dowiedziałem się, jak rzeczy stały.

Starościna tak była uderzona żywym obrazem ukochanego syna, że sobie powiedziała, iż ja byłem nim w istocie, żem się tylko z jakichś powodów chciał pod obcem ukrywać imieniem i że fortelu użyłem, aby do rodziców przyjechać. Napróżno p. Sawicka w początkach usiłowała jej to wyperswadować, mówić sobie nawet niedawała, abym ja kim innym był, jak jej synem.

— Co ty mi gadasz! proszę cię — odezwała się do córki. To on! to on! Widać, że mu jakieś biedakowi grozi niebezpieczeństwo, że się musi ukrywać..

Dwóch ludzi tak podobnych do siebie, nie może być na świecie, mowa, ruchy, uśmiech.. To mój Włodzio! to on!

Starosta w początkach usiłował żonie wyperswadować także przywidzenie to, rozpłakała się tylko, zniecierpliwiała, nic nie pomogło.

— Niby ja nierozumiem! przyjechał za dzierżawą! A tak! Udawajmy, że niepoznajemy.. ale to on, serce moje go czuje.

I mąż i pani Sawicka musieli staruszkę przy tém złudzeniu zostawić, mając nadzieję, że następne dnie je rozproszą. Nazajutrz rano zaledwieśmy się ubrali, Starosta kazał się powieść i zasiadł na gawędkę, o wyjeździe mówić niedawał, myśl dzierżawy chwycił gorąco, kazał przynieść inwentarze, osnuł objazd majątku na dni kilka rozłożony, a że dnia tego lał deszcz, potrzeba było z oględzinami czekać lepszéj pory.

Musiałem przesiedzieć niemal cały dzień ten przy staruszce, która mnie od siebie puścić nie chciała. Jakkolwiek przykrą mi była ta rola cudza, pożyczona, macierzyńskie to przywiązanie, czułość, serdeczność Starościny chwyciły mnie za serce. Ja com matkę stracił zawczasu, i ledwie ją sobie przypominałem, znajdowałem w niéj tę miłość macierzyńską, któréj żadna w świecie zastąpić nie może, poddałem się losowi mojemu, powiedziałem sobie, że mogąc osłodzić biednej staruszce kilka chwil życia, byłbym okrutnym, gdybym dla fantazyi jakiejś i dumy się cofał.

Zarazem jednak, czując się sobą i chcąc okazać jakim byłem w istocie, aby powoli wywieść ją z błędu, już tego dnia nabrałem śmiałości, rozweseliłem się i nadrabiałem fantazją może do zbytku.

Na nieszczęście co miało pomódz, to jeszcze utwierdzało, znać że obyczaje i humor nieboszczyka Szwoleżera, równie jak twarz do moich być musiały podobne. Im bardziej starałem się być panem Sewerynem, tém więcej byłem Włodziem. —

Skutkiem osobistego położenia mojego, jakby w myśl Starościny idąc, mąż jej, pani Sawicka, a co gorzej obie panienki, córki jej, spoufalały się ze mną coraz bardziej i ja z niemi. Młody byłem, a Lorcia śliczne dziewcze, wesołe, naiwne, od pierwszego wejrzenia uczyniła na mnie wrażenie. Starościna tegoż dnia, niby odkrywszy moje podobieństwo do syna, w pół żartem, pół serjo, zażądała, żebym ją mamą nazywał i poczęła mnie Włodziem wołać.. Za tem szło, że pięknych dwóch panien zostałem wujaszkiem, co ze śmiechem i wesołością przyjęto za rzecz postanowioną.

Ten żart dozwalał mi się zbliżać do siostrzenic daleko śmielej niż panu Sewerynowi. Drugiego dnia deszcz nie ustał, siedzieliśmy jak wprzódy w domu, ja przy staruszce i już naprawdę przywiązuję się do niej jakby do matki.

P. Sawicka nic nie mówiąc, niememi wejrzeniami dziękowała, Starosta był wesół, ja sam pod wieczór zapomniałem o mojem położeniu fałszywém.

Tymczasem Zbąskiemu, który już miał myśl starania się o jedną z panien Moskorzewskich, pilno było do nich powracać, mnie samemu tu zostać zdawało się niepodobieństwem. Prosiłem go, błagałem, rwał się, obiecując powrócić, niepodobna go było wstrzymać, a Starosta mnie nietylko nie puszczał, ale o wyjeździe słuchać nie chciał.

Tylem tylko wymógł na Zbąskim, że do najbliższego folwarku o milę od Zabłocia pojechał ze mną na oględziny, a ztamtąd wprost miał wracać do Moskorzewskich. Ja zaś dałem słowo najuroczystsze, że przyjadę do Zabłocia. Pani Sawicka, która była w spisku, dojrzawszy może iż bardzo na Lorcię często spoglądałem, tak to zręcznie jakoś ułożyła, iż ona mnie wyciągnęła na słowo.

W Rutkach, folwarku, który miałem dzierżawą objąć, okazały się warunki takie, gleba, wygody, zabudowania, inwentarze, iż na świecie całém nic bym dla siebie korzystniejszego wyszukać niemógł ze świecą. Zbąski mi powiedział wprost.

— Trzeba być warjatem, żeby ze szczęścia nie korzystać! Bierz, mówię ci, z zawiązanemi oczyma.

Dzierżawa była od S. Jerzego na wiosnę, dom mieszkalny, wcale nie zły, choć jutro zająć mogłem. Starosta inwentarz swój zostawiał mi z warunkiem oddania *in statu quo*, bez przypłodku.

Składało się tak, licząc w to piękne oczy Lorci, że, choć miałem wstręt do korzystania z fiziognomii mojéj i jakiegoś tam przypadkowego podobieństwa, wyrwać mi się było trudno.

Gdy sam już powróciłem do Zabłocia a kamerdyner mnie do Starosty zaprowadził, zastałem go w krześle z koronką w ręku, powagą jakąś wielką obleczonego i smutnego. Począł się mnie naprzód rozpytywać o Rutki, nie było im nic do zarzucenia, musiałem prawdę wyznać.—

(*C. d. n.*).

Właściwości charakterów kobiecych.

POGADANKI ANTROPOLOGICZNE

Dra Juliana Ochorowicza.

(Ciąg dalszy.)

Dla uprzytomnienia tych subtelnych różnic wyobraźmy sobie dwa sprzeczne typy temperamentów tego rodzaju:

Jeden, w którym organizm łatwiej odpowiada na każde podrażnienie, ale też i mniej po nich śladów zachowuje. Drugi, w którym odpowiada trudniej, ale natomiast przejmuje głębiej i niełatwo ślady podrażnień zaciera. Wrażliwość pierwszego będzie wyraźniejszą, ale powierzchowną — drugiego mniej widoczną, lecz głęboką.

Sięgając zaś do przyczyn organicznych musielibyśmy przypuścić, że w pierwszym z tych wypadków przemiana materyi jest w organizmie żywszą, to znaczy, że krew szybciej odnawia straty i prędzej zaciera ślady wrażeń. Jeżeli nadto przypuścimy, że przeciętny czyli średni typ wrażliwości kobiecej zbliża się więcej do pierwszego z tych przykładów, to w konsekwencyi wypaść powinno, że przemiana materyi a więc i krążenie krwi jest nieco żywszem u kobiet niż u mężczyn.

Oto co mówią w tym względzie obliczenia statystyczne Queteleta: (kolumna pierwsza oznacza liczbę lat od chwili przyjścia na świat do 90 roku życia; druga średnią liczbę uderzeń pulsu u mężczyzn; trzecia u kobiet).

0	128,45	129,78
5	91,28	92,00
10	80,45	81,32
15	75,06	74,20
20	70,20	72,45
30	70,00	72,30
40	70,00	72,30
50	70,20	75,30
60	71,00	75,78
70	71,30	75,80
80	71,52	75,87
90	71,52	75,87

Opierając się na tych badaniach i przypuszczając słuszność a raczej zupełną dokładność związku pomiędzy wrażliwością a liczbą uderzeń pulsu, musielibyśmy wnieść, że wrażliwość przeciętna kobiet stale przewyższa cokolwiek wrażliwość przeciętną mężczyzn, i że mianowicie od 20 roku życia począwszy, przewaga ta jest stanowczą.

Wprawdzie moglibyśmy zmierzyć samą wrażliwość bezpośrednio dla sprawdzenia tego wniosku; posiadamy do tego metody odpowiednie od roku 1860, t. j. od czasu ogłoszenia psychofizycznych badań Fechnera, ale na nieszczęście dotychczas robione doświadczenia nie uwzględniły dostatecznie różnicy płci i musimy tę sprawę dopiero dalszym pracom pozostawić.

Bądź jak bądź, oparcie się na ogólnych spostrzeżeniach psychologicznych tymczasem nam wystarczy, a są one tak zgodne, że w tym punkcie zawierzyć im można. Niepowinniśmy tylko zapominać, że chodzi tu o cechy przeciętne, nie zaś indywidualne i że wieksza wrażliwość kobiet w ogóle wcale nie wyklucza istnienia bardzo niskich stopni wrażliwości u niektórych kobiet i bardzo wysokich u niektórych mężczyzn. Powtóre pamiętać musimy i o tem, że sama wrażliwość może być rozmaicie pojmowaną, a zatem sprzeczność spostrzeżeń może być często pozorną jedynie. I nareszcie, że wrażliwość znaczna dla niektórych działów wrażeń nietylko nie wyklucza, ale nawet często idzie w parze z bardzo słabą wrażliwością dla innych działów. Natura równoważy w ten sposób nadmiar działalności jednych nerwów, względną martwotą drugich. Tylko wyjątkowe organizmy, wyjątkowo też przez naturę na szereg udręczeń skazane, przedstawiają we wszystkich kierunkach nerwowej działalności pobudliwość nadmierną, chorobliwą — a taki właśnie nastrój jest najczęściej udziałem kobiet, i to kobiet młodych lub w sile wieku będących.

Mówię tu o strasznej pladze rodu niewieściego, która najszlachetniejsze charaktery czyni nieznośnemi w pożyciu, która najpiękniejsze dusze własną goryczą zatruwa — o histerji. W uporczywej tej chorobie nerwów, mimo że nie towarzyszą jej żadne zmiany dotykalne, organizm staje się drażliwym jak multiplicator Melloniego. Krzywe ustawienie sprzętów na stole jest już powodem dostatecznym do płaczu i udręczeń całego otoczenia. Za chwilę boleść może się zmienić w radość, radość w gniew, gniew rozpłynie się w łzach przebaczenia, a wszystko to bez racjonalnej przyczyny, jedynie z nadzwyczajnej pobudliwości całego układu nerwowego. Jednak i tu, pomimo że cały

organizm cierpi, objawy przyczulenia dotyczą zwykle tylko pewnych grup wrażeń na raz, przytępiając chwilowo inne a nawet zupełnie znieczulając część organów.

Jest to wprawdzie stan nienormalny, a więc nie może być wprost uważany za właściwość charakterów kobiecych, ale ponieważ w chorobie tej niema zwykle widocznych uszkodzeń cielesnych, a z drugiej strony ponieważ nikt nie zdoła wskazać granicy, gdzie się kończy nastrój wrodzony, a gdzie się zaczyna sztuczny, patologiczny, przytoczę więc jego cechy tak, jak je podaje jeden ze specyalistów, Dr. Legrand - du - Saule.

„Kobiety dotknięte histerją, mówi on, odznaczają się w ogóle żywością umysłu, polotem fantazji i egzaltacją uczuć ruchliwych i drażliwych; niepokoją się bez powodu, podejrzywają otaczających lub przewidują mnóstwo okoliczności urojonych; niecierpliwe, irytujące się, niesprawiedliwe i gwałtowne, czynią gorżkie wyrzuty, naigrawają się urywanym i chrapliwym głosem, wylewają nadmiar swej wymowy, hałasują sprzętami, płaczą, szlochają, otwierają okna, przywołują sąsiadów, bezustannie oskarżają najbliższych i patetycznie domagają się powszechnego współczucia“.... „Małżonek histeryczki jest ofiarą wszelkich możliwych sprzeczności, charakteryzujących umysłowy stan żony. Raz jest chwalony, pieszczony, ubóstwiany, to znowu podejrzywany, spotwarzany, wyszydzany; tak, że stopniowo sam staje się niecierpliwym, gniewliwym, kapryśnym. Jeżeli jest łagodny i pobłażliwy, słucha w milczeniu. Jeśli ma charakter samodzielniejszy i dumniejszy, stawia opór i unosi się. Jeśli wreszcie jest stanowczy i nie lubi półśrodków, usuwa się zupełnie. Wtedy przychodzą niezliczone zawikłania familijne; wdaje się w to rodzina i pokój zostaje podpisany. Po nowych usterkach i starciach następują znowu płonne zawieszenia broni i próżne obietnice“... Trzeba przyznać, że w takim składzie rzeczy życie niezbyt rozkosznie się przedstawia; a jednak — szczęście mogłoby być zupełnem, gdyby tylko tak jak się kupuje małżonce nową suknię, można jej było sprawić.. nowe nerwy. Niestety! Sztuka lekarska nie zaszła jeszcze tak daleko!

Przeciwny wypadek: nadmiernie słabej, przytępionej wrażliwości trafia się rzadziej w charakterach kobiecych. Czy jest to wypadek szczęśliwszy?—Wątpię. Powiedziałbym nawet, że taka organizacya jest wstrętną, bo ma w sobie coś przeciwnego naturze. Kobieta „bez nerwów“ to potwór, jakich mało — szkielet powleczony mięśniami i skórą, często jeszcze piękną, jakby na urągowisko! A takie kobiety umieją właśnie najlepiej, bo z zimną krwią i z zasobem cierpliwości, godnym lepszej sprawy dorabiać sobie piękność zapomocą wszelkich możliwych środków organicznej dokoracyi i dyplomacyi teatralnej. Jeżeli posiadają umysł wyższy, używają go tylko dla interesu. Chłodny rachunek decyduje o zalotności lub obojętności— wrażliwość udawana zastępuje miejsce naturalnej i staje się wędką dla naturalnie a naiwnie wrażliwych. Z taką kobietą może nas łączyć tylko interes lub machinalne przyzwyczajenie. Kto żąda czegoś więcej, ten napróżno szukać będzie—drogi do jej serca. Nie zna ona kaprysów, ale też nie zna i uczuć tkliwych; może być dobrą żoną dla wszelkiego rodzaju filistrów i episyerów, ale nie dla człowieka z sercem, dla poety lub artysty. A tymczasem dziwną igraszką losu dzieje się zwykle, jak nas pouczają życiorysy, że młode artystyczne natury, mające za wiele ideałów w sobie, ażeby widzieć rzeczywistość zewnątrz siebie, zadurzają się w zimnym majestacie takich kobiet, gdy są zręczne, lub choćby tylko piękne, i nieraz potem pokutują przez całe życie, którego ani jeden akord nie jest harmonijnym. Jeśli zaś w dodatku kobieta „bez nerwów“ jest zepsutą, to może nam dać przykład najohydniejszej, bo zimnej rozpusty lub nawet zbrodniczych na chłodno dokonywanych zamachów, gdy interes jej znajdzie się w kolizyi z naturalnym układem stosunków. Takie przykłady należą do psychologii kryminalnej, a ma ona ich niemało na hańbę ludzkiego rodu. Są tam żony, które dla interesu gubią mężów, kobiety, które z wyrachowania, dla nędznej zapłaty przygotowują trucizny, matki nawet, które bez silniejszego uderzenia serca zaciskają własną dłonią usta dziecięcia, dopóki oddychać nie przestanie!

Oto jeden z faktów:

„Ludwika * w 17 roku życia wśród zupełnego spokoju umysłu zabija własne niemowlę uderzeniem trzewika w główkę.... Przed sądem przykłada chustkę do oczu udając płacz, do którego wcale nie miała ochoty. Ani jedna łza nie spływa z jej oczu w czasie badania, i podczas gdy świadkowie opowiadają okropne szczegóły morderstwa, zachowuje najzupełniejszą obojętność.“ (Despine)

Różnemi drogami dochodzą ludzie do zbrodni. Jednych nadmiar wrażliwości wprowadza w szał przestępny—drudzy popełniają ohydne czyny pod osłoną zupełnej nieczułości. Jednym brak zdrowej siły woli dla powstrzymania słabości nerwów, drugim brak słabości nerwów dla powstrzymania chorej siły woli.

Co gorsze w życiu?

Niechcę rozstrzygać; ale to pewne, że jeśli pierwszy wypadek jest objawem słabości natury ludzkiej, to drugi jest jej zaprzeczeniem.

(*C. d. n.*)

NAJS

NOWELLA SEWERA

(Dokończenie).

Jesień — w Anglii i w Polsce ma swoje czary — w ciszy, rozkoszującej się w smutku. — Przyroda zstępuje do grobu i na pożegnanie stroi się w złote i czerwone wieńce z liści drzew, — bo już jej kwiatów zabrakło. — Uśmiecha się niebieskim błękitem,—patrzy w nieskończoność widnokręgu — i opromienia się jasnem światłem, które nie pali i nie roznamiętnia — lecz gaśnie, mówiąc o Bogu i wieczności..... I nie wiem dla czego wtedy westchnienia nasze są lekkie — myśli swobodne, choć nie wesołe. Lubimy, jak inni na pożegnanie z nami stroją się dla nas, aby nam wyryć się w sercach pamięcią. — Nie skarżą się — są nadto dumni — milczą — lecz z tej ciszy — i smutku tego mamy prawo wróżyć, że ich serce pęka.— Lubimy się domyślać, po za powagą i ciszą pęknięć serc. — Wtedy to z radością porzucamy mury mieszkania, gmachy miast i idziemy:

„Do tej zbawionej i do tej kochanki. —

„Póki nie wzleci za niebieski szranki“. —

Wyszedł i błąkał się dzień cały. Wyszedł na pożegnanie Starej Anglii — Londynu — parków — i jesieni. — Jutro miał odpłynąć. Stare mury Londynu czarne, okopcone dymem, — ponure, jak dawna historja tej ziemi — jak prezbyterjanizm — jak charakter Tudorów. — Nie szukaj w nich wesołości — tam nawet słońce inaczej przyświeca...... Lecz jest Londyn — drugi — weselszy — uśmiechnięty, rozkoszny sielanką — zielony nadzieją — przystrojony w białe wille — czerwone kościoły — i niebieskie wody. — W tym nowym Londynie schowanym za kłąbami kwiatów i konarami starych drzew — miło jest odetchnąć — przyjemnie jest błądzić bez celu.... Stary Londyn jest giełdą i warsztatem — nowy odpoczynkiem i zapomnieniem trosk.

Droga skręcała się w cienistą aleję. — Cicha, drzemiąca nęciła swoją powagą — i przyświecającemi za nią pięknemi domkami o szerokich terasach i smukłych wieżyczkach. — A więc wszedł w nią nasz zadumany żołnierz— romantyk, depcząc dumną stopą tylko co zeschłe liście.— Po paru minutach drogi wydobył się na wzgórek — z którego jednym rzutem oka obejmował całą przestrzeń między parkiem a szerokim strumieniem wody. — I jakże nie iść dalej? — Tony muzyki przyzywały, śmiechy młodych głosów wabiły. — Wybrał machinalnie jedną z trzech dróg, odmierzając ją powolnym krokiem. —

Gdyby miał wzrok orła — widziałby zamykające się pospiesznie okno jednej z wieżyczek domu. Wspomnienia kraju rodzinnego i minionej przeszłości wypełniały mu myśli. Szedł więc jak w lunatyzmie — naprzód, nie zdając sobie sprawy z widzianych przedmiotów. —

Najs — zaszeleściało wśród liści jaśminu rosnącego na terasie. Przystanął chwilkę — sądząc, że to wspomnienie ułożyło ze szmeru liści sympatyczny dla niego wyraz — szedł dalej.

Zaledwo się ruszył posłyszał drugi raz głośniejsze już: *najs.* Zatrzymał się zelektryzowany, zarumienił nawet — rozglądając się ciekawie.... I znowu nikogo nie zobaczył. Uśmiechnął się serdecznie ze swej naiwności. — *Najs*, wyraz tak często powtarzany w Anglii!

Chcąc się wydobyć z zaczarowanego koła postanowił odejść pospiesznie. Lecz i to mu się nie udało. Po dwóch zamaszystych krokach — zrobionych przez niego wprzód, z za kłąbu jaśminu wypadła róża, zakołowała się w powietrzu — i padła u stóp młodzieńca. Podniósł ją, przybliżył do ust, a patrząc na taras i zaczarowany krzak jaśminu przemówił: — Dziękuję.

Zaledwo usta otworzył:

— Pan lubisz kwiaty? dał się słyszeć kobiecy głos— może Pan więcej lubisz kwiaty, jak obrazy..... I w tej chwili stanęła przed nim zarumieniona dzieweczka — znajoma z galeryi obrazów. —

Młody człowiek schwycił za kapelusz, dzieweczka mówiła dalej. —

— Pięć miesięcy czasu, szepnęła. Pewno Pan nie byłeś ani razu w galeryi, — ani w Hyde parku — ani w operze.... Może przykro było Panu, żeś się nam nie mógł przedstawić. — Jestem Dora Dewar — mama moja wdowa — ojciec zginął w drodze z Kanady. — Nie znałam ojca. Mieszkamy tu w tej willi. — Pan piechotą aż tutaj — pewno z Hyde parku — i zabłądziłeś......

Młody człowiek upojony serdeczną naiwnością, patrzył w głębię niebieskich oczu, słuchając wyrazów dziewczęcia jak muzyki, — zaledwo zdobył się na odpowiedź:—

— Tak, Pani. —

— I Bóg przyprowadził cię tu. —

Młody człowiek zarumienił się. —

— Przestraszyłam Pana — przed chwilą, szczebiotało dalej dziewcze. Przekonaj się pan teraz — że można przestraszyć chociażby wyrazem *najs.*

— A jednak temu tylko wyrazowi zawdzięczam znajomość, odpowiedział, odzyskując przytomność. —

— Pan ciągle z odkrytą głową — zawołała Miss — i ja na to pozwalam—posądzisz mnie pan o niegrzeczność.

Miss otworzyła niską żelazną a przeźroczystą furtkę— oddzielającą taras od ulicy.

— Proszę Pana, przemówiła z gracją, oddając młodzieńcowi lekki ukłon i odwróciwszy się, biegła z widoczną radością naprzód. —

Nie było innego punktu wyjścia — należało iść za tem rozkosznem w naiwności swej dziewczęciem. —

— Mama wyjechała do Londynu odwiedzieć swoją siostrę. Czy pan wiesz, że już nie jesteś w Londynie? — Należy się panu spoczynek — proszę, siądź pan. U nas już na kominku ogień — dnie krótkie — mama lubi ciepło.

Młodzi znaleźli się w pokoju parterowym wysłanym zielonym dywanem, rozdzielonym arkadą. — W środku świecił ogniem kominek wyłożony marmurem. W jednej połowie stał fortepian, sztalugi do malowania — i książki na stoliku, — w drugiej przybory do szycia i haftu. —

— To nasza pracownia, a to bibljoteka i artystyczne atelier. —

Młodzieniec pochylił głowę.

— Przepraszam nie przywitałam pana — dzieweczka skłoniła się z gracją wielkiej damy i postąpiła naprzód, wyciągając rękę. —

Tu dopiero młody człowiek przypomniał sobie, że to już jest ostatnia chwila wymówić swoje imię. —

— Henryk. * * * — rzekł.

— Mieliśmy ośmiu królów tego imienia, wyrzekło dziewcze swobodnie. Sądzę, że pan nie będziesz chciał naśladować ostatniego z nich.

— Zdaje się, że nie będę miał sposobności do tego— odparł Henryk. —

Dziewcze nie zrozumiało znaczenia powiedzianych słów. —

— Lubisz pan ciszę — zapytała. —

— Przepadam za nią, chociaż życie pędzę wśród nieustannej zawieruchy.

— I cóż pana popycha na burze tego świata.

— Fatalizm — stosunki i nigdy nie wyśnione nadzieje.

Na progu ukazała się służąca w białym czepeczku na głowie — prosząc na herbatę. —

— Służę panu, pospieszyła Dora, podając rękę młodzieńcowi. — Już piąta godzina, a pan pewno w swych przechadzkach zapomniałeś o herbacie. —

Zeszli oboje na dół, do jadalnego pokoju obserwowani przez młodą dziewczynę, która wpatrując się w Henryka — uśmiechała się znacząco — i znacząco kręciła główką, przystrojoną w biały czepeczek. —

Dora robiła honory domu z gracją i wdziękiem, — swobodna do naiwności, a zdawało się szczęśliwa do wybuchów wesołości. —

— Lecz pan jesteś zawsze smutny. — Czy to zwykły stan pańskiej duszy? — —

— W nadzwyczajnych okolicznościach bywam zawsze smutny. —

— A ja nie wiem dlaczego — wesołą. —

To powiedziawszy dziewcze zarumieniło się. —

— Radabym smutek Pański rozerwać — ukoić żal — i jeżeli Pan lubisz muzykę. —

— Nadzwyczaj.

— A może pan sam grywasz?

— Dla czego mi pani zadaje to pytanie?

— W takim razie nie śmiałabym grać, — a mam ochotę przypomnieć Panu jeden z utworów waszego mistrza Szopen'a. — My Angielki przepadamy za Szopenem. —

— Proszę więc o Szopena. —

Długie paluszki wydobywały smętne i pieszczotliwe tony Ballady. —

Po skończeniu młodzieniec zasiadł do fortepianu. Wprawną rękę przesunął po klawiaturze i zaczął grać walca Szopena. — Z jednego uderzenia poznać było mistrza. — Dziewcze zawstydziło się — zabolało ją w serduszku — żałowała swego pospiechu, — lecz wkrótce duma zwyciężyła. Duma szczególniejszego rodzaju—która w tym tylko wypadku nie jest egoistyczną. —

Po skończonej grze mówiono długo o muzyce.....

— Co pana sprowadziło do Anglii — do Londynu, zapytała Miss wskazując Henrykowi krzesło przy kominku. — Przebacz Pan mej ciekawości — jeżeli mamy być przyjaciołmi....

Henryk pochyleniem głowy i sympatycznym uśmiechem potwierdził — odpowiedział na słowa Dory — i o ile mógł spokojnie odmalował jej dzieje ostatnich lat dziesięciu swego kraju, splecione z jego własnem życiem.

Opowiadanie było proste — w prostocie rzewne. — Idea jaśniała — walka w słowach młodzieńca błyszczała ofiarą i poświęceniem, on sam niknął w cieniu. Należało go szukać i odnaleść w zawierusze wypadków. — Serce dziewczęcia nie odrywało się ani na chwilę od niego. Był on pierwszym dla niej bohaterem, tu królował nad innymi.

Otello opowiadaniem wpił się w serce Desdemony. — Henryk nie był murzynem. — Dora mogłaby być Desdemoną, gdyby — nad jej kołyską świeciło gorące słońce południa. — Dora była angielką i patrzyła na bladego młodzieńca — który dużo cierpiał — i dotąd w życiu zawsze przegrywał. Nie upajała się jego tryumfami, — lecz lgnęła do jego cierpień i zawodów. —

— Jesteś pan tak młodym — a tyleś przecierpiał — i ani razu nie uśmiechało Ci się szczęście.



„Dzień dobry!“ — Podług obrazu Leopolda Löfflera, rysował Tadeusz Rybkowski. (Kopja premji do „Strzechy“.)

— Zaledwo mnie tylko nadzieja nie opuszczała. —

Przestał mówić, nastała cisza w salonie. Dzieweczka, chcąc ukryć wzruszenie, poprawiała ogień na kominku. —

— Teraz gdyśmy się tak dobrze poznali, zaczęła mówić z uśmiechem i udaną swobodą — będziesz pan często, bardzo często odwiedzał nas. — Mama tak lubi muzykę, — a ja muzykę i opowiadania.

W obcym kraju powinno być przyjemnie znaleść przyjaciół. —

— Dziś pani chodziłem na pożegnanie Londynu i Anglii....

— Wyjeżdżasz pan?! zawołało przelęknione dziewcze. —

— Jutro — dodał cicho Henryk. —

Nie było odpowiedzi — lecz po paru chwilach łzy wytrysły dwoma strumieniami z głębin niebieskich oczu.—

Chwila była krytyczna — położenie młodego człowieka ciężkie. Blady — wzruszony — mimowolnie ujął rękę dziewczęcia i przycisnął do ust. —

— Kiedyś — dawno — dawno — mówiłam Mamie — że jeżeli smutny i znękany znajdzie ciepłą dłoń, która przyciskając jego czoło, zasłoni mu na chwilę wytężony wzrok tęsknoty, powinien być wtedy choć troszeczkę szczęśliwym. —

— Jestem nim w tej chwili — szepnął Henryk i dłoń dzieweczki przytulił do czoła. —

— Ja nie umiem wydzierać serc — mówiła cicho Dora — umiem tylko swoje oddać. —

Matka weszła do salonu, słysząc ostatnie wyrazy córki. —

Pierwsza ją zobaczyła Dora — postąpiła naprzód — zawahała się — stanęła — Henryk zerwał się z fotelu. —

— Mamo — mój narżeczony!

I z płaczem rzuciła się Miss w objęcia dobrej i szlachetnej kobiety. —

KONIEC.

Do strun lutni

z pośmiertnych poezyi

KAROLA ŚWIDZIŃSKIEGO.

Nie mam Zygmunta piersi rozżalonej!
Ani Juljusza pierunowych głosów!
Tony mej pieśni nie sięgną niebiosów,
Bo brak mi lutni — wieszczej i natchnionej.

A jednak, serce, kiedy z żalu pęka —
Gdy niepewności wicher szarpie duszę;
Płakać znów muszę i spiewać znów muszę,
I mimo woli, do strun tęskni ręka. —

Lecz cóż zrobię z lutnią moją?
Zapomniałem nutę!
Kajdanami ręce skute —
Strun już niewystroją!

Czasem dusza — wspomnień łaknie
A serce piosenki!
Biorę lutnię, dawne dźwięki
Budzę — wielu braknie. —

Zmieniam struny po kolei,
Szarpie je z osobna!
W każdej brzęczy pieśń żałobna;
W żadnej, dźwięk nadziei!

O! niewdzięcznaś ty ma dziatwo
Któż smutek nagrodzi,
Zapomniałaś, prędko łatwo,
A tak się niegodzi!

Jam w Was całą przelał duszę,
Karmił Was łzą własną —
I narzekać dzisiaj muszę
Gdy mi dźwięki gasną. —

Hej kochane! Hej słuchajcie
Raz tylko, raz jeszcze —
Po dawnemu mi zagrajcie,
Moje dzieci wieszcze.

Ha! przecież mię usłuchały
Słyszę jakieś szmery
Brzęczą raźno, wszystkie cztery
W akord pełny — cały.

Z wami dzieci troska minie
Przy Was strat mniej szkoda;
I piosenka znów popłynie
Jak Wisełki woda.

Dzień dobry.

II.



Świt rumiany bije
Do okienka Kasi,
I różową łuną
Białe liczka krasi.

— Wstawaj — woła — Kasiu,
Radośna i lekka, —
Już nad strugą Jasio
Od dawna cię czeka! —

Na takie wołanie
Świtu przez okienka
Otworzyła oczy
Błękitne Kasieńka.

Otworzyła oczy,
Z pościółki wyskoczy,
Cudnie przystrojona
W płaszcz złotych warkoczy.

— A Bóg-że ci zapłać
Jutrzenko — panienko,
Żeś mi otworzyła
Oczy złotą ręką.

Wiem ja, że mnie Jasio
Czeka po nad strugą..
Nie dam ja mu tęsknić
Za sobą zbyt długo! —

Zmyła oczy duże,
Zarzuciła szaty,
Wyszła na podwórze
Z śpiącej jesczcze chaty.

Kogut, gdy ją zoczył,
Hardo grzebień zjeżył,
Na przyźbę wyskoczył,
Skrzydłami uderzył.

I wypuścił z gardła
Trzykrotne zapianie,
Panu Bogu na cześć,
Jej na powitanie.

Pachnie ziemia cała
Uperlona rosą;
Pieści miękka trawa
Kasi nóżkę bosą;

Ptaki na wyścigi
Piersiami dźwięcznemi
Posyłają w niebo
Ranny pacierz ziemi.

Jakież miłe życie,
Dzionek jak radośny!
Nigdy nie widziała
Takiej pięknej wiosny.

Ach — nigdy dni takich
Ni nocy nie miała,
Jak od kiedy Jasia
Lubego dostała!

Prawie by przysięgła,
Że jej skrzydła rosną...
Biegnie — dysząc cała
Miłością i wiosną.

Staja.. jedna.. druga..
Droga niedaleka...
Ot, iskrzy się struga
Ot, i Jasio czeka.

Za przełazem stojąc,
Wśród białego kwiecia,
Z tęsknicą wygląda
Kasieńki przybycia!

Zoczył ją — pochwycił
W silne swe ramiona;
Jak osina, jemu
Drży na piersiach ona.

Z jej piersi — jak z klatki
Serce ptakiem rwie się —
A kukułka kuka
Znów w sosnowym lesie.

Kukajże, kukułko..
Zmilkniesz — przejdzie lato,
Zaśpiewają druchny
Przed Kasiną chatą.

Wł. Ordon.

Z WYCIECZKI

W OKOLICE DOLNEGO DUNAJU.

Pierwsze brzaski chłodnego jesiennego poranka poczynały właśnie świtać na niebie, gdy zostałem nagle ze snu zbudzony gwałtownem pukaniem do drzwi mego pokoju.... Był to hotelowy służący, wysłany do mnie od kilku świeżych znajomych z doniesieniem, że parostatek odpływający do Matczynu odbije od brzegu za godzinę, i że całe towarzystwo, z którem dzień przedtem ułożyliśmy byli projekt wycieczki w okolice dolnego Dunaju, czeka już na mnie w hotelowej restauracji. Ubrawszy się więc przy pomocy Numerowego czem prędzej, udałem się do mych towarzyszy, z którymi razem zaopatrzywszy się wprzód obficie w rozmaite wiktuały, pospieszyłem do przystani.

Po nad Dunajem wisiała szara mgła, mocując się rozpaczliwie z promieńmi wschodzącego słońca, które wzbijając się w jasne błękity wróżyło dzień pogodny i dobry do podróży... Miesząc na w pół skrzepłe błoto wił się przed nami krętemi ulicami długi tabor powózek z amunicją, który, jakeśmy się dowiedzieli, tego samego jeszcze dnia miał być przewiezionym na bułgarskie wybrzeże.

Tysiące roboczych dłoni zatrudniały się przeładowaniem tego parku, przenosząc ciężkie beczki na pokład statków, przeznaczonych do przewozu tego materjału. Setki greckich majtków, których okręty stoją od wybuchu wojny w brailskiej przystani na kotwicy, krzątały się w pośród tłumu żołnierzy tam i sam, pomagając wojskowym w pracy, i nadając krajobrazowi charakter oryginalny i malowniczy.

Wśród gęstego lasu masztów dymił już komin naszego parostatku, wysyłając w mgłę roje iskier wesołych. Był to Stefan cel Mare (Szczepan Wielki) niegdyś prywatny jacht Księcia Karola, zarekwirowany obecnie przez władze wojskowe na potrzeby wojennych transportów. Wespół z parowcem Romanją, z całą rumuńską flotylą, z dwoma propelerami handlowej firmy Negroponte i Foscolo, tudzież z kilkoma rosyjskiemi parochodami, których części składowe koleją tutaj zostały przywiezione, ułatwia Stefan cel Mare komunikację pomiędzy Brailą a Matczynem; — rozumie się że służba ta ogranicza się obecnie na przewóz wojska, prowiantu i amunicji. Więcej z kokieterji aniżeli z potrzeby zaopatrzono wszystkie te transportowe statki wysokim parapetem z stalowej blachy; — pancerz ten mógłby chyba być dostateczną zasłoną przed karabinowemi kulami, nigdy zaś przed działowym pociskiem, aliści znana gnuśność Hobbarda-baszy i jego floty nie narazi nas na takie niebezpieczeństwo.

Parowiec nasz miał odbić od brzegu o siódmej; — mimo to wskazywał już zegarek mój dziewiątą godzinę, a jeszcze staliśmy na miejscu, czekając na transport rzeźnego bydła, który miał być umieszczonym pod pokładem książęcego jachtu. Jakkolwiek ze strony Baszybożuków i Czerkiesów nie mogło nam grozić żadne niebezpieczeństwo, a przepustki przez rosyjskie wojenne władze wystawione zabezpieczały nas przed możliwą przedsiębiorczością kozuniów, to jednakże zapytywaliśmy się już nawzajem, czy stanie skórka za wyprawkę? Z jednej strony wabiła nas ciekawość: pragnęliśmy zobaczyć na własne oczy ów Matczyn, o którym w swoim czasie tak wiele i tak rozmaicie pisały dzienniki; — z drugiej zniechęcało nas długie czekanie, i namyślaliśmy się, czy nie lepiej zaniechać podróży, nie obiecującej nam żadnych przygód tak bardzo ciekawych, lecz owszem trudy tylko i niewygodę, a rozpoczynającej w sposób tak wielce niezabawny?... Wahaniom się naszym położyło koniec pojawienie się oczekiwanych gości, i jakkolwiek umieszczenie ich na statku zabrało jeszcze niemało czasu, to jednakże z weselszym już umysłem oczekiwaliśmy hasła odjazdu.

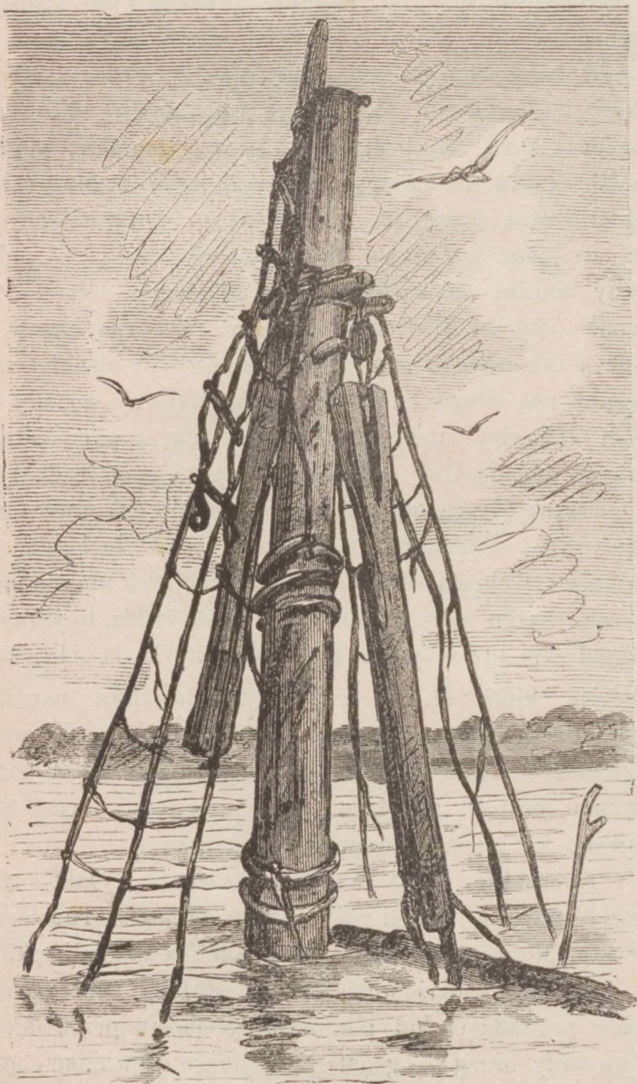
Na kilka minut przed dziesiątą dała nareszcie piszczałka naszego parowca to upragnione hasło. Minąwszy kilka łodzi i szalup kanonierskich zwróciliśmy się ku pontonowemu mostowi w Geczet, następnie pod ostrym kątem w prawo ku ujściu matczyńskiego kanału.

Tymczasem wzbiło się było już słońce wysoko i mgła opadła zupełnie. Przed nami leżały zgliszcza Tureckiego Geczetu. Miejscowość ta do szczętu przez Moskali spalona nie istnieje już dziś wcale. Z pozostałych ruin usypano groblę prowadzącą od pontonowego mostu przez laguny aż na stały brzeg; — grobla ta w liczne drewniane zaopatrzona mosty, została nadto faszynami należycie wzmocnioną, i służy dotychczas jeszcze jako jedyna w tej stronie droga wojenna dla wszystkich trzech gatunków broni.

Może w pół godziny po wjeździe naszym w kanał matczyński, płynąc ciągle w górę rzeki, mijaliśmy resztki Litwi Dżelila, admiralskiego okrętu tureckiej dunajowej flotyli. Maszt z jakie 10 metrów z wody sterczący, i szczątki porwanej w skutek wybuchu siatki z lin drutowych, — oto wszystko co pozostało po tym wspaniałym trójmasztowym kolosie. Stroskane to miejsce otacza cisza grobowa, przerywana tylko pluskiem fal i krzykiem przelatującej mewy.

Nie ochłonęliśmy byli jeszcze z przykrego wrażenia, które w umysłach naszych obudził widok tych trofeów nowożytnej sztuki wojennej, gdy nam mijać wypadło

szczątki drugiego tureckiego monitora, — Ruchmana, który jak wiadomo pod koniec miesiąca maja został wysadzonym w powietrze. Olbrzymie cielska obudwu tych stalowych potworów będą jeszcze długo spoczywały na dnie kanału, masztami swemi jak gdyby grożąc niebiosom, wydobycie ich z wody bowiem wymagać będzie trudów i nakładów, o których myśleć nie ma dziś sposobu.



Szczątki Litwi Dżelila.

Tymczasem znikły nam już były z przed oczu mury Brailы, zanurzywszy się w szarą mgłę; — prując wesoło nurty modrego Dunaju, płynął nasz parostatek z szybkością strzały dalej, i nowe a malownicze panorama roztoczyło się przed naszemi oczyma. Skaliste po części odnóża Emineh-Bałkanu ścieśniają w tem miejscu koryto Dunaju, który pod prostym kątem zwraca się ku Matczynowi. Mała ta 400 do 500 domów licząca mieścina leży jak niemal wszystkie bułgarskie miasta na stoku pagórka, którego szczyt wieńczy cały szereg wiatraków. Kilka moszei o wysmukłych minaretach tudzież obszerny konak, niegdyś siedziba najwyższych władz tureckich nadają tej miejscowości charakter malowniczy. Na ostatecznym wschodnim krańcu miasta bieleją mury obszernej kasarni, otoczone redutą, panującą nad miastem, nad Dunajem, i nad leżącą naprzeciw miasta wyspą Bałta. Reduta ta mieściła niegdyś cztery działa; — dziś jednakże jest zupełnie rozbrojoną. Tuż nad brzegiem po prawej i lewej stronie przystani stoją budynki, w których się mieściły niegdyś tureckie urzędy celne, — dalej kilka obszernych murowanych magazynów, w których niegdyś zsypywano zboże i składano produkta do wywozu przeznaczone. Magazyny te zajęte zostały przez moskiewską intendanturę. Krocie pudów mąki, ryżu, sucharów, owsa i siana leżą tam na składzie tymczasowym;—setki ludzi krzątają się tam dniem i nocą, przeładowując te zasoby ze statków do magazynu, z magazynu na powózki, które w długich kolumnach odchodzą ztąd co dnia do moskiewskich obozów.

Po dwugodzinnej nie zbyt zabawnej podróży opuściliśmy pokład naszego parostatku z niemałem zadowoleniem. Droga do miasta prowadzi przez most na kozłach zbudowany, nad którym panowała niegdyś druga turecka dziś również rozbrojona reduta, wraz z koszarami, w których dziś stoją kozacy. Przeciskając się pomiędzy taborem powózek, przypatrywaliśmy się z ciekawością bułgarskim wieśniakom, do służby przy prowiantowej kolumnie przez Moskali zarekwirowanym. Były to po większej części rosłe postacie, rysami twarzy i podgoloną czupryną naszych ruskich chłopów przypominające; — gdzie niegdzie tylko świadczyły koścista budowa, ostrzejsze rysy i orli nos o właściwem tego ludu pochodzeniu, Bułgarzy bowiem, choć z obyczaju i z mowy Słowianie, należą, jak wiadomo do turańskiej rasy.



Typy bułgarskie.

Krocząc krętemi uliczkami po bruku ohydnym, dostaliśmy się na koniec do tak zwanego Tureckiego Miasta, które jak wiadomo, zburzonem zostało do szczętu przez ludność bułgarską. Czas nie usunął tu był jeszcze śladów rasowej wojny. Kupy gruzów po lewej i po prawej stronie ulicy leżące,—oto wszystko co pozostało z tego kwitnącego



Zburzenie moszei w Matczynie.

niegdyś przedmieścia. Gdzie niegdzie zachowała się tylko uboga bułgarska chata, zawdzięczając swe ocalenie znakowi krzyża, na świadectwo że tam mieszkają chrześcijanie, kredą na drzwiach i okiennicach napisanemu. Podobne ślady wandalizmu napotkaliśmy także na muzułmańskim cmentarzu, tudzież w obydwu tureckich moszeach, których mury tylko dzięki swej trwałej budowie oparły się jako tako gwałtownemu zniszczeniu. Gdzie spojrzeć gruzy, i kupy szkła, drzewa i papieru. Są to szczątki potłuczonych okien i lamp kościelnych, porąbanych kazalnic i słupów, i podartych ksiąg koranu, którego luźne karty wirują w wietrze jak tuman zwiędłych liści po stroskanem pustkowiu Na ścianie, tuż obok miejsca, gdzie stała niegdyś kazalnica, ujrzeliśmy — o ironio! — znak krzyża, godło miłości i przebaczenia, napisany tam węglem przez któregoś z burzycieli jak gdyby na urągowisko!...

Obydwa muzułmańskie cmentarze przedstawiały widok nie mniej smutny. Powywracane i potłuczone kamienie grobowe świadczyły, że huragan nienawiści i zemsty nie poszanował nawet i tego miejsca, które śmierć uświęca. Niezawodna rzecz, że Bułgarowie nie mają wcale powodu miłować Turków, swych śmiertelnych wrogów i odwiecznych gnębicieli, — niezawodna, że okrucieństwa przez muzułmanów w Matczynie popełnione, o których w swoim czasie donosiły dzienniki, piętnują na wieki hańbą czoła tych barbarzyńców, atoli wszystko to nieuniewinnia jeszcze dzikiego odwetu, którego się dopuściła ludność chrześcijańska. Zastanawiając się nad tem, czego zdolnym jest człowiek, gdy miotany nienawiścią i zemstą nakłoni ucha podszeptom religijnego lub politycznego fanatyzmu, opuściliśmy smutni i ze zbolałem sercem te ponure miejsca, udając się do konaku, który był niegdyś siedzibą najwyższej tureckiej cywilnej i wojskowej władzy, a później przez czas jakiś stolicą t. z. tymczasowego bułgarskiego rządu. Budynek ten uległ był jak nam powiadano takiemu samemu losowi jak i obiedwie moszeje, jak zresztą i wszystkie w tem mieście rządowe budowle, wszelakoż usunęły już przedsięwzięte później przez nowych jego właścicieli reperacje, po części ślady zniszczenia. W wnętrzu tego jak na Matczyn wspaniałego gmachu, odbył się dnia 24 czerwca fakt historycznej doniosłości, mianowicie była to ceremonja objęcia Bułgarji w faktyczne posiadanie, którą tam na dniu tym odegrali Moskale. W tym to celu przystrojono odpowiednio główną salę konaku, zawiesiwszy na ścianie portret cara i carycy, tudzież trzeci obraz przedstawiający całą rodzinę carską. Konterfekta te uwieńczono następnie w braku innego, polnem kwieciem, uzupełniając tę dekorację stołem, na którym ustawiono krucyfiks i dwie zapalone woskowe świce. W tym to przybytku powitała deputacja miejscowych notablów chlebem i solą przednią straż moskiewskiego 14 korpusu w imieniu bułgarskiego narodu, — i przed tym to stołem odczytaną została po odspiewaniu uroczystego Te Deum zgromadzeniu owa sławna proklamacja cara do bułgarskiego narodu, która nie wszędzie w Europie została tak radośnie przyjętą, jak tu w Matczynie.



Naczelnik policji w Matczynie.

Tak zwany prowizoryczny rząd bułgarski nie istnieje już de facto, jak to z pewnością bowiem każdemu wiadomo, obchodzą się obecnie moskiewskie władze bez tego niepotrzebnego balastu. Mimo to jednak zastaliśmy w konaku liczne grono dygnitarzy, pomiędzy któremi wyszczególniał się mianowicie naczelnik miejscowej policji komiczną swą powierzchownością i papuzią powagą. Mąż ten ubrany był w turecki sztabs-oficerski mundur, od którego dziwnie odbijało połatane dolne ubranie, będące widocznie spadkiem po jakimeś moskiewskim piechurze. Ponieważ zaś niezbędna ta część stroju była zbyt krótką, przeto uzupełniały okrycie nóg grube wełniane, a nie zbyt czyste szkarpetki, tudzież pantofle; dygnitarz ten bowiem nie dorobił się był jeszcze butów na swej posadzie. Moskiewskim kawaleryjskim rzemieniem do tureckiej przywiązany szaszki, siedział on w białej moskiewskiej szapie z założonemi rękami, poglądając przed siebie przez okulary, które, o ile sądzić można było po ich oprawie i fasonie, zapomnieć musiał w Matczynie prorok Mahomet, podczas ostatniego swego pobytu w tem mieście.

Zadowoliwszy ciekawość naszą dostatecznie tem cośmy dotąd widzieli, i posiliwszy się wiktuałami z Brailу przywiezionemi, pospieszyliśmy do przystani, gdzie właśnie Stefan cel Mare przygotowywał się do powrotu. Tym razem nie czekaliśmy długo. W dziesięć minut po naszem przybyciu odbiliśmy, żegnając niegościnne bułgarskie wybrzeże, i otrząsając proch z naszego obuwia a w półtorej godziny potem siedzieliśmy w Braile, w restauracji hotelu Waibel, popijając smaczne mołdawskie wino, i ciesząc się że nam los oszczędził trudów i przygody

TURECKI KOZAK.

NOWELLA.

I.

Ileż to już razy przedsiębrałem spisać niniejsze opowiadanie, — a jednakże dopiero dzisiaj przywodzę mój zamiar do skutku.

Zwykła to bowiem historja, epizod jednego z owych awanturniczych żywotów, których się tak wiele na świecie przewija. Epizod ten jednakże odbił sie tak żywo w mojej wrażliwości młodzieńczej, wówczas, gdy się to działo, pełnej jeszcze świeżości i siły — iż wspomnienie o nim aż do najmniejszych szczegółów trwa dotychczas w pamięci mej i uzewnętrznienia się domaga.

Wojna Krymska nie doszła jeszcze do kresu, Pellissier wciąż jeszcze con amore rzeź prowadził, gdy ja chory, powracając z pola walki, udałem się był do Paryża pragnąc znaleść w elektryczności ulgę w cierpieniach piersiowych, jakie mnie dokuczliwie dręczyły.

Po raz to drugi znalazłem się w Paryżu, z którego mnie niedawno wypędziły polityczne wypadki.

Pewnego poranku siedziałem zwyczajem przyjętym już od dni czternastu w przedpokoju mego doktora, w domu na przedmieściu Monmartre, tuż obok bulwaru Kapucynów, oczekując na otwarcie drzwi od jego recepcyjnego pokoju. Sam jeden byłem tylko, chcąc bowiem być jednym z pierwszych jego gości, starałem się zawsze jak najwcześniej przybywać.

Zająłem miejsce w mrocznym zakątku, za szeroką firanką od okna — i czekałem rychło zatętnią na schodach kroki innych pacjentów, na których nigdy nie brakło, gdy w tem drzwi główne się otwarły — i weszły dwie Panie.

Widocznie nie spostrzegłszy mojej obecności postąpiły ku oknu i jedna z nich tak blisko się o mnie otarła, iż suknia jej pokryła mi kolana i stopy. Rozmawiały ze sobą w obcym języku — po węgiersku. Nikt z ludzi nie zrozumie tej mowy, jeżeli nie miał przywileju urodzić się Madziarem, co jak wiadomo, jest wedle wyobrażenia Węgrów najwyższem szczęściem, jakie może człowiekowi przypaść w udziale.

Z grzeczności — nie bez pewnego zakłopotania jednak, zachowałem się jak najciszej w mojem ukryciu — aż nareszcie moja sąsiadka, machinalnie rzuciwszy okiem w mą stronę, odkryła moją osobę i z chłodną grzecznością rzuciwszy mi: pardon Monsieur — odsunęła się odemnie.

Z równie obojętnym i chłodnym frazesem: pas de quoi, Madame, podniosłem oczy i spotkałem się z bladą marmurową twarzą, osobliwej piękności. Nie jaśniała na tem licu pierwsza świeżość lat młodych, ów puszek subtelny, jak pyłek w kielichu kwiatka, pieszczonego pierwszem słońcem życia. Nie, znać już było wrażenia w tych delikatnych, arystokratycznych rysach, w każdym zaś razie tkwił w nich wyraz silnie rozbudzonego wewnętrznego życia.

Zdradzało to wielkie, pełne żaru oko, które niechcący wraz ze spojrzeniem, jakiem raczyło mnie za-

szczycić, rzuciło także błyskawicę — i natychmiast pod długiemi ciemnemi ukryło się rzęsami; dowodził tego zarys jakiś bolesny koło maleńkich usteczek, i cały dumny układ tej szczególnie zachwycającej głowy, wskazujący, iż piękna dama nawykła obronnie zachowywać się względem świata.

Obiedwie panie — po powyższej wymianie frazesów — przeszły do drugiego okna, nie chcąc mi być natrętnemi. Podczas gdy tam stały, a młodsza nieświadomie zwróciła się ku mnie twarzą, mogłem się jej przypatrzeć swobodnie. I jakiegoż mi to przyjemnego dostarczyło zajęcia! Blade światło nieco zachmurzonego nieba łamało się w migotliwych odbłyskach na kruczo czarnych, falistych, przepysznych włosach, — które jedynie tylko maleńki kapelusik pokrywał; oświecało blade, wyniosłe czoło i nieco smagłe ale przejrzystej i delikatnej cery oblicze. Usta miała lekko zaciśnięte; mówiąc jednak odsłaniała lśniącej emalji zęby. Na pięknie ukształtowanem czole rysowała się jak gdyby kobieca siła woli i stanowczość. Kibić jej zdawała się smukłą i imponującą, o ile przy okrywającej ją mantyli — osądzić było można.

Ubrana była ciemno, z prostotą — tylko para brylancików w kółczykach stanowiła w tym względzie wyjątek. Również bezpretensjonalny strój miała na sobie i jej towarzyszka, — wzrostem podobna do niej, tylko starsza dama, dystyngowanej postawy, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jej matka, choć uderzającego podobieństwa wcale między niemi nie było.

Obiedwie mówiły bardzo niewiele. Widocznie musiały być pod wpływem tegoż samego co i ja znudzonego nastroju, w oczekiwaniu na otwarcie drzwi doktora.

Wreszcie doczekaliśmy się tej pożądanej chwili.

Damy zwróciły się ku otwierającym się drzwiom. Podniosłem się, ulotnym ukłonem dając poznać, że pierwszeństwo im pozostawiam.

Spotkało mnie za to chłodne spojrzenie, w którem jednak widać było usiłowanie podziękowania za moją grzeczność. Któż nie zna takiego spojrzenia, którem zupełnie obcych ludzi, za nieznaczącą, przez formy towarzyskie nakazaną przysługę nagradza się, uważając, aby im w tym rzucie oka ani za wiele, ani za mało łaski nie wydzielić.

Dziwna rzecz jednak! Spojrzenie to osobliwsze na mnie wrażenie wywarło. Spotkałem już raz gdzieś tę twarz — a szczególniej to spojrzenie! Ale kiedy i gdzie? Na to nie miałem odpowiedzi!

Wspomnienia moje i przygody, były wówczas jeszcze bardzo nieliczne i mało znaczące.

Odbyłem podróż po Skandynawji, ale z tą ziemią śniegów nie mogły mieć nic wspólnego ta marmurowa południowa cera i ta noc włosów i oczu. Wróciłem właśnie ze Wschodu, ale i tam nie mogłem nigdzie odnaleźć pamięcią podobnego zjawiska, chociaż ten włos, to oko, ta cera... Węgierkami były obiedwie — zdradzała to ich mowa, ale w drodze mojej przez Węgry i Serbję do Europejskiej Turcji nie napotkałem nigdzie tej kobiety, przynajmniej o ile przypomnieć sobie byłem zdolny.

— Czy znasz Pan te Panie? — spytałem doktora, znalazłszy się w jego gabinecie.

— Po raz drugi widzę je już u siebie. Ale z nazwiska mi są nieznane, odpowiedział.

— Czy sądzisz Pan, że jeszcze cię odwidzą?

— Bardzo wątpię. Matka z lekkiej słabości córki wyczerpała obawę, że sercowa choroba rozwija się u niej. Ponieważ zaś uspokoiłem ją najzupełniej pod tym względem — nie spodziewam się ich tedy widzieć już u siebie.

— Bała się o sercową chorobę córki?

— A na cóżby innego osoba tak rzadkiej piękności cierpieć mogła!

— Zazdrości godny człowieku. Miałeś szczęście zbliżyć się przy tej okazji do tak uroczych wdzięków — zawołałem z uśmiechem.

Myślisz Pan więc, że ta osoba jest zamężną?

— Nie! zdaje mi się być młodą wdową. —

Hm! Widocznie musiałem się mylić, widocznie jakieś niezmierne podobieństwo mnie złudziło. Nie warto więc było dalej psuć sobie głowy!

II.

Plon — Plon, czerwony książe, tylko co był wówczas z wojny krymskiej powrócił i jako dworski rewolucjonista zwykł był skupiać w około siebie emigrację całego świata, znajdującą się wtedy w Paryżu.

Polscy i węgierscy wygnańcy oraz artyści i wszelkie polityczne znakomitości stałe znajdowały u niego przyjęcie a posłowie austrjacki i rosyjski musieli się jeszcze przed wojną przyzwyczaić do zetknięcia się w Palais Royal z ludźmi prześladowanemi przez ich rządy.

I mnie również przypadł nieraz ten zaszczyt otrzymania zapraszającej karty. Na krótki czas przedtem poznałem czerwonego księcia w Warnie, to też skoro rozpoczęły się u niego w Paryżu recepcje, na spisie gości i o mnie nie zapomniano.

Plon — Plon wydawał festyny w Palais Royal — a cesarz Napoleon III. chwiał się na tronie, bo Małachów wciąż jeszcze stawił opór.

Wśród tego nadeszły pomyślne wiadomości z pola walki. Dało to powód do świetnej zabawy w Palais Royal, — której skład towarzystwa cechę maskarady nadawał. Mundury wojskowych wysokich stopni, dyplomatów, dostojników cywilnych, świetność dworskiego ceremoniału, olśniewające dam toalety, wszystko to iskrzyło się i mieniło barw tysiącem — oblane światłem olbrzymiego żyrandola. Tutaj otarłeś się wśród ścisku o złote i srebrne galony dyplo-

maty, tam zahaczał się wolant, albo falbana o szpadę oficera.

Nogi przesuwały się ostrożnie po gładkim parkiecie, aby okazałych z długiemi powłokami sukien damskich nie zaczepić a gdzie się grupa wspaniałych dam skupiła, tam, chcąc znaleźć drogę, daleko musiałeś okrążać.

Szmer wachlarzy unosił się jak szmer motylich skrzydeł nad czarującemi, swobodnie obnażonemi biustami dam, — brylanty na ich szyjach i w uszach rzucały olśniewające odblaski; dekoracje na mundurach i frakach panów pokrywały całe ich piersi, nieraz aż do rękojeści szpady dochodząc. Typ wszystkich narodowości, aż do oliwkowej barwy wschodu, przesuwał się przed zdumionemi widza oczyma.

Znużony natłokiem, po godzinnem lawirowaniu pomiędzy sukniami Pań, wycofałem się do jednego z małych bocznych saloników, gdy nagle przy wejściu, w przeciwległych drzwiach uderzył mnie uniform tureckiego kozaka, którego jaskrawy szkarłat już raz przelotnie w pośród ścisku w głównym salonie uderzył moją uwagę.

Właścicielem tego uniformu był młody człowiek, silnej, proporcjonalnej i elastycznej budowy. W jednem ręku trzymał kołpak, wysoką niedźwiedzią czapkę, ze srebrnym pół księżycem i gwiazdę na przedzie, druga zaś zawisła na przepasie.

Uniform ten w czasie kompanji naddunajskiej, która poprzedziła wojnę krymską, widywałem codziennie w Bułgarji. Nosiły go złożone z chrześcjan, wygnańców i zbiegów szwadrony tureckich kozaków, jedynej chrześcijańskiej broni w armji Padyszacha. Wszyscy kawalerzyści należeli do obcych narodowości, najczęściej do polskiej i węgierskiej. Ci ostatni byli to honwedzi, którzy pod generałem Bemem po nieszczęśliwym rezultacie węgierskiego powstania pod Turn Sewerin na tureckiej ziemi broń złożyli.

(*C. d. n.*)

POGADANKA.

(*Nosił wilk barany*, — ponieśli i wilka! — Strażnica stosunków ekonomicznych.—Nauka Syrokomli dla piszących skryptorów.— Sto dwadzieścia sześć kłamstw w imieniu prawdy i wiary. — Poezje A. Urbańskiego.— Gawędy Rodocia. — Zapowiedziane publikacje. — Don Carlos. — Ze świata artystycznego. — Pochodnie Nerona. — Łowiec.)

Tak jak w świecie fizycznym nie ginie żadna siła, tak samo nie ginie w świecie moralnym żadne z naszych czynów, żadne słowo i żadna myśl nasza. Owszem, każde z nich — dobre czy złe — znajduje zawsze odgłos w nas samych, w społeczeństwie, w którem żyjemy, więcej jeszcze, nawet i w pokoleniach, które po nas przychodzą....

Nie jest to więc rzeczą obojętną, jakiego rodzaju jest duchowa i umysłowa strawa, którą się karmi co dzień znaczna, a wykształceńsza część narodu, i dlatego to powitało miasto nasze szczerą radością wiadomość o sprzedaży, a względnie o kupnie Dziennika Polskiego, który cum boris, lasis et graniciebus, t. j. z całym swym piszącym inwentarzem przeszedł pod redakcję p. Liberata Zajączkowskiego, redaktora Szczutka i byłego wydawcy Kroniki Codziennej.... Fakt ten miałby w każdym innym czasie, i w każdem innem społeczeństwie podrzędne tylko znaczenie, — u nas jednakże, gdzie codzienna praca, pomimo całego swego upadku, tak niezaprzeczenie wpływową w życiu narodowem odgrywa rolę, staje się on ważnym bardzo wypadkiem; — wypadkiem zaznaczającym zwrot ku lepszemu,.... sumienność bowiem i przyzwoitość p. Zającząkowskiego, tudzież współpracowników, których pozyskał, są dla nas rękojmją, że nowa redakcja nie spuści z oka obowiązków ciężących na dziennikarstwie, które u nas więcej niż gdzie indziej ma misję kapłańską.

Oprócz zmian tych na polu dziennikarskim wypada mi tu wspomnieć jeszcze o powstaniu nowego tygodniowego czasopisma: Strażnica stosunków ekonomicznych, która odpowiadając potrzebie, gwałtownie przez wydawcę poczutej, rozpoczęła straż swoją z d. 1. b. m. pod redakcją p. Jana Gniewosza. Mieliśmy wprawdzie dotychczas jednego już strażnika naszej gospodarki społecznej Ekonomistę, ale od przybytku głowa nas boleć nie będzie, byle tylko Strażnica wierną pozostała swemu programowi,

Lecz biada, biada piśmienny skryptorze,
Jeśli dla zysku kędyś, w nocnej porze
Dasz mylne hasło — wzbudzisz mylne czyny
Wzorem Beliny!

I zamiast tego, co widzisz na straży,
Będziesz nam bajał, co ci sen wymarzy,
Gdy marną trwogą twój sygnał poruszy
Nasz pokój duszy

Bo mszcząc się ludzkość za obłędu winę
Nazwie cię Łżawym, jak męża Belinę;
Z twojego kłamstwa przez wieków koleje
Świat się naśmieje.

Kiedy już mowa właśnie o łżawych skryptorach, nie sposób mi pominąć milczeniem gorszącej polemiki, którą ze sobą toczą dwaj księża, — redaktorowie: redaktor Piasta ks. Stanisław Stojałowski ze znanym z swego fanatyzmu redaktorem Przeglądu lwowskiego ks. Edwardem Podolskim. Polemika ta zaostrzyła się w ostatnich czasach w sposób prawdziwie

skandaliczny, — mianowicie napisał ks. Podolski przeciw swemu współzawodnikowi broszurę, p. n. „Niech boli jak chce“ w której pomiędzy innemi zarzutami oskarza brata-kapłana o nieposłuszeństwo dla ks. arcybiskupa, tudzież o intrygi przeciw przełożonym kościelnym dostojnikom. Oskarzeniami temi pragnął redaktor Przeglądu zwrócić gniew duchownych zwierzchników przeciw ks. Stojałowskiemu, sądząc że ich dłońmi uda mu się uprzątnąć z drogi niemiłego współzawodnika; — rachuba zdawała się tem pewniejszą, ile że autor mniemał, iż obrażona miłość własna arcypasterza i innych kościelnych dostojników wejdzie w grę przeciwko jego osobistemu nieprzyjacielowi.

Otóż w obronie swojej przeciw tym oskarzeniom napisał ks. Stojałowski broszurę p. n. „Nie boli mnie, lecz hańbi cię!“, w której na podstawie listów i niezbitych faktów dowodzi, że cała broszura ks. Podolskiego — „od początku do końca pod względem treści, jest mięszaniną kłamstw ze świadomością rzeczy popełnionych“, a takich kłamstw znajduje się w rzeczonej broszurze, wedle obliczenia ks. Stojałowskiego, 126— wyraźnie sto dwadzieścia sześć!.... Zaiste cyfra to wielce poważna, i słusznie zapytać można z pewnem tutejszem czasopismem: Jeżeli ks. Edward Podolski przeciw bratu-kapłanowi na kilku kartkach zdołał zgromadzić tak poważną liczbę fałszywych oskarzeń i zarzutów, to ileż fałszów i oszczerstw nie wyrzucił on z kolumn Przeglądu lwowskiego na głowy swych świeckich przeciwników, w czasie siedmioletniego istnienia tego niby-katolickiego pisma, wrzekomo w obronie „wiary i prawdy“ (fide ac veritate) walczącego?...

Zaprawdę do tego łżawego apostoła dałoby się zastósować to, co mawiano o Napoleonie III. „Ten człowiek kłamie, tak jak inny człowiek oddycha“, i nie pojmujemy wcale jak mogą duchowne władze patrzeć obojętnie na podobnie skandaliczną praktykę, która poniża godność duchowieństwa, a wierze katolickiej większą przynosi szkodę, niż najgorliwsza propaganda bezwyznaniowości.

Pomiędzy literackiemi nowościami, któremi nas obdarzył Rok Nowy, wymienić mi wypada Poezje Aurelego Urbańskiego, i Piosnek i Gawęd humorystycznych Rodocia zeszyt piąty. Pierwsza z tych publikacji zawiera oprócz poezji wydanych przed kilku laty p. n. Szare ptaszę, zbiorek wierszy, które w międzyczasie drukowane były w różnych dziennikach, tudzież znane oratorjum p. n. Niewola babilońska. Wzmiankę tę uzupełnić mi wypada przypomnieniem, że wdzięczne, pełne serdecznej prostoty, prawdziwie poetyczne, a w formie swej nader udatne utwory p. Urbańskiego zyskały już w czasie swego pierwszego pojawienia się pochlebną ocenę krytyki, — wyrok, który w najwyższej instancji zatwierdziła publiczność, wykupiwszy cały nakład Szarego ptaszęcia.

Co do piątego zeszytu Gawęd p. Rodocia nie podobna mi się zgodzić z zdaniem tutejszych dzienników; — owszem zdaje mi się, że pole społeczne jest dla satyrycznej muzy autora właściwszem od pola, na które wstąpił obecnie, a na które wstąpiwszy, czerpał natchnienie raczej w wątrobie, aniżeli w sercu, wtorując dziennikom pewnego stronnictwa. Jest to niezawodnie błąd, polemik dziennikarskich bowiem nie należy spożywać w stanie tak gorącym, w jakim je na stół podają dziennikarze, a poeta powinien zawsze stać ponad stronnictwami, zwłaszcza jeżeli chce być apostołem wolności, która przedewszystkiem i wyłącznie jest sprawiedliwością. Mimo to nadmienić tutaj muszę, że wielka część utworów w piątym zeszycie Gawęd p. Rodocia zawartych odznacza się prawdziwie humorystyczną werwą, i formą bardzo udatną.

Księgarnia J. K. Żupańskiego oddała do druku dwutomowe dzieło p. n. Lucjana Siemieńskiego Varia z literatury, historji, archeologji i przyrody. Są to po większej części luźne artykuły, które były zamieszczone w odcinkach rozmaitych dzienników, a które tu po raz pierwszy zebrane, i przez autora uzupełnione, stanowić będą silva rerum nadzwyczaj ciekawe, a zarazem klasyczny i jedyny w swoim rodzaju pomnik naszej odcinkowej literatury.

W szeregu niezliczonych oper, których mnóstwo Verdi napisał, Don Carlos wystawiony teraz po raz pierwszy we Lwowie, stanowi epokę w jego talencie. Była ona napisana w chwili kiedy Wagnerowskie utwory zdobyły już sobie prawo obywatelstwa w Niemczech, i ztąd rozchodziły się na wszystkie strony, zdobywając sobie albo namiętnych wrogów, albo też zapalonych zwolenników. Rzecz dziwna, że pod niebem Italji kompozytor niemiecki znalazł nad wszelkie oczekiwania świetne przyjęcie. Miłość własna Verdiego została w ten sposób podrażnioną—utwory tchnące oryginalnością odżywiły znowu jego talent, i postanowił napisać coś w tym nowym duchu. — Owocem jego pracy był Don Carlos, który głównie pod względem instrumentacji różni się ogromnie od wszelkich poprzednich prac Verdiego. Nie ma tu tej właściwej mu monotonności akompaniamentu, nie ma przesadnej czułostkowości, ale nie ma też i owej prostoty i wzniosłego nastroju w melodyach. Naśladownictwo nie przystoi wielkim talentom.

Przedstawienie na lwowskiej scenie szło wcale przyzwoicie i z werwą w miejscach wybitniejszych. Panna Gabbi (Elżbieta) była podczas pierwszych wystąpień niedysponowaną. Pani Dobrzańska w roli Eboli imponowała grą wyborną, i szkołą tak dalece wykształconą, jak u żadnej z tutejszych śpiewaczek. Szkoda tylko że głos odmawia już trochę posłuszeństwa. Pan Saccardi w roli Filipa miał wiele miejsc szczęśliwych, szczególniej w owym nocnym monologu, w którym zebrał zasłużone oklaski. Panowie Köhler i Zakrzewski śpiewali jak zwykle, i jeden z nich imponował znakomicie wyrobionym głosem a drugi werwą i swobodą.

Mówiąc o teatrze nie podobna mi przemilczeć kilku wiadomości ze świata artystycznego, które dla czytelników naszych nie będą obojętnemi. Oto według doniesień z Ameryki, opuściła już pani Helena Modrzejewska San Francisco, udając się pod bardzo korzystnemi warunkami do New-Jorku, gdzie z pewnością nowe zbierze wawrzyny.

Znakomita Prima donna wielkiej opery paryskiej panna Józefa Reszke, która jak wiadomo jest Warszawianką, zawarła z dyrekcją rzeczonej opery nowy kontrakt, w myśl którego pobierać będzie 80.000 franków rocznej płacy. Jest to wynagrodzenie, do którego najpierwsze śpiewaczki francuzkie dochodzą dopiero po długich latach pracy, i nie można się wcale

dziwić teatrom polskim, że gwiazd naszych nie mogą u siebie zatrzymać. Równocześnie odzywają się dzienniki paryskie z wielkiem uznaniem o pannie Teresie Jakubowicz, także Warszawiance; — młoda ta pianistka, występując w sali Hertza z pierwszorzędnymi wirtuozami zachwyciła grą swoją publiczność paryską, tak wybredną, jak wiadomo, w rzeczach sztuki, a mianowicie muzyki.....

Nie mniej zajmującą będzie dla miłośników sztuki ojczystej kroniczka z polskiego malarskiego świata — pośpieszamy zatem donieść, że znany obraz Matejki Iwan Groźny został nabytym przez niejakiego p. Rosenblum z Warszawy, tudzież że jedna z pań warszawskich nabyła świeżo ukończony obraz Gierymskiego Karnawał rzymski, które to płótno wielkiemi się ma odznaczać zaletami. Również i obraz Brandta Bitwa Koniecpolskiego pod Martynowem przeszedł za cenę 46.000 marek na własność rządu pruskiego, który dzieło to znakomitego naszego artysty zakupił dla galerji obrazów w Berlinie. Szereg drobnych szkiców i akwareli z podróży swej po Królestwie sprzedał Brandt kupcom monachijskim za cenę 11.000 marek.

Obraz Siemieradzkiego Pochodnie Nerona przybył już do Lwowa, i właśnie powracam z sali w miejskiej Strzelnicy, gdzie pod kierunkiem pp. Rodakowskiego i Teppy robią się przygotowania wystawy tego arcydzieła. Wrażenie, którego się doznaje na widok tego znakomitego dzieła sztuki nie da się opisać. Jest to olbrzymia karta historji zczarowana na płótno mistrzowskim pendzlem, który w tej chwili niema w świecie równego sobie współzawodnika.

Będąc w Wiedniu w r. 1873 widziałem w tamtejszym Kunstvereinie karton Kaulbacha Nero und sein Zeitalter traktujący przedmiot analogiczny, lecz o ileż wyżej wzniósł się w nieśmiertelnem płótnie swojem Siemieradzki nad niemieckiego mistrza?... O ileż bardziej po mistrzowsku pojętym jest mianowicie Neron naszego artysty, ów tytan namiętności, zepsucia i wyuzdanej rozpusty, w którego gdzieś w bezmiary przed siebie rzuconem spojrzeniu maluje się jednak jakieś „pęknięcie ducha“, jakiś bezbrzeżny żal do ludzi, do świata, do bogów, do siebie, jakieś złamanie, i jakaś ogromna rozpacz, którą na próżno demoniczna duma tego potężnego władcy stara się zagłuszyć i ukryć przed ludźmi i — sobą!..

Około tej bajronicznej postaci tłoczy się, tętni, wre i kipi cały świat rzymski w pijanym szale użycia: spodleni senatorowie w wieńcach róż na łysej skroni, — filozofowie, poeci i prawnicy rzymscy z puharem Falerna w ręku z rozkosznemi, winem i miłością zagrzanemi bachantkami, u boku. Naprzeciw, oko w oko, wyznawcy nowej wiary, apostołowie zakonu miłości, zaparcia się siebie, i ofiary stwierdzający męczeńską śmiercią prawdę, która świat odrodzi!...

Dodajmy, że każda z postaci w tym olbrzymim zgiełku żyje, myśli, czuje i mówi, że każda z nich jest osobą i charakterem, a będziemy mieli słaby obraz tego szekspirowskiego dramatu, który przed oczyma naszymi rozwija znakomity historyk, potężny poeta, i malarz niezrównany. Obszerniej mówić o nieprześcignionych zaletach kompozycji rysunku i kolorytu, któremi się odznacza to arcydzieło, nie sposób pod wpływem pierwszego wrażenia, — odkładam więc rzeczowe bardziej sprawozdanie do przyszłej mej pogadanki.

Już po oddaniu do druku niniejszej pogadanki zaszły w świecie naszej perjodycznej literatury dwa zdarzenia, w skutek których zmuszony jestem wziąść ponownie pióro do ręki. Mianowicie doszedł mnie pierwszy numer Łowca, pisma miesięcznego, które będzie organem galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, zawiązanego d. 15. marca zeszłego roku. Celem tego towarzystwa jest czuwanie nad tem, aby prawo łowieckie było szanowanem, a podjęcie wydawnictwa fachowego pisma jest dowodem, że Towarzystwo, które mówiąc nawiasem 190 członków liczy, a którego prezesem jest Włodzimierz hr. Dzieduszycki, zamyśla się zająć gorliwie wszystkiem, co wchodzi w zakres łowiectwa.

Pierwszy numer Łowca, którego redakcję objął p. Władysław Zontak, a który się nader starannem kierownictwem, jakoteż wykwintnem wydaniem odznacza, zawiera oprócz przedruków dawniejszych artykułów Maciejowskiego, Wójcickiego i Bohdana Zaleskiego, początek ciekawego dla miłośników łowiectwa i ojczystej mowy łowieckiego słowniczka, słowo wstępne, część urzędową, odezwę do braci myśliwych pióra hr. Henryka Łączyńskiego, tudzież kroniczkę nader starannie zredagowaną. Łowiec zatem, jakkolwiek organ wyłącznie fachowy, będzie i dla obszerniejszej publiczności wielce zajmującem pismem.

Drugiem zdarzeniem, bliżej już Strzechę obchodzącem jest odcinek Czasu p. n. Pogadanki literackie, w którym szanowny autor stawia do naszego pisma wymagania nader wygórowane, nie uwzględniając wcale miejscowych stosunków, jakoteż programu, który sobie zakreśliło nasze wydawnictwo. Strzecha postawiła sobie za cel wyrugowanie pism niemieckich, jak Gartenlaube, das Neue Blatt, Heimat i t d., których krocie egzemplarzy rozchodzi się po kraju naszym, a postawiwszy sobie takie zadanie, musiała też stosując się do smaku koła czytelników, których sobie zdobyć zamierza, nie spuścić z oka obranego pierwowzoru. Jeżeli mu nie wyrównała zaraz w pierwszym numerze, to nie jest to wcale winą wydawnictwa, które nie szczędziło wcale zabiegów, ani wkładu, zamawiając oryginalne artykuły u swych współpracowników, lecz winą opłakanych naszych stosunków, z których lepiej nie podnosić zasłony....

Rozszerzywszy program swój, ściśle belletrystyczny, dodatkiem Pogadanek, w których nie zapuszczając się na manowce koteryjnej polityki, zdawać będzie sprawę z umysłowego ruchu w naszej ojczyźnie, odpowie Strzecha z pewnością wymaganiom, które do pisma tego rodzaju stawiać może publiczność. Przyjemna i pożyteczna rozrywka czytelnika — oto jest ideał, do którego dąży Strzecha, a który — da Bóg! osięgnie przy pomocy swych współpracowników i poparciu publiczności.

Nie sposób nic nadmienić tutaj in usum tych, którzy do Strzechy, nie licząc się z rzeczywistemi stosunkami, stawiają bezpodstawne a w nieskończoność wygórowane wymagania, że wszystkie ilustrowane pisma zamieszczają oprócz własnych, także i ryciny z innych czasopism, do których się w takim razie pisze ilustrację. Zamiana ta praktykowaną jest w całym świecie. Kłosy, Tygodnik i Wędrowiec niejednokrotnie zamieściły już illustracje zakupione u wydawnictwa Strzechy. Więcej nawet, illustrowane pisma jak London News, Graphic, Illustration, Monde illustré, Illustrirte Zeitung, Uiber Land und Meer, i t. d. mieniają z sobą klisze rycin. A nie należy zapomnieć, że pisma te liczą krocie abonentów, rozporządzają zaś setkami piór i ołówków....

Tyle słów w imieniu wydawnictwa Strzechy, która mi gościnnie nie odmawia przytułku w tym tutaj zakątku.

Włodzimierz Zagórski.

POKŁOSIE.

Najnowsze zwycięztwa chemików na polu odkryć. Pod koniec zeszłego roku (1877) chemia i fizyka znaczny odniosły tryumf nad oporem reszty gazów, stawianem przemianie stanu rozprężliwego w ciekły lub stały, mianowicie: tlenu, azotu i ich połączeń znanych pod nazwą: tlenek azotu i tlenek węgla, tudzież najrozprężliwszego z nich wszystkich wodoru. Raoul Pictet skropił tlen przy ciśnieniu 320 atmosfer, połączonem z oziębieniem jego do 140° Cels poniżej zera. Cailletetowi udało się zaś to samo z tlenkiem azotu (NO) i tlenkiem węgla (CO). Następnie dnia 30. grudnia powiodła się próba w laboratoryum szkoły normalnej w Paryżu ze skraplaniem azotu i wodoru a w końcu i powietrza atmosferycznego, będącego mieszaniną tlenu i azotu. Azot przemienił się w ciecz przy ciśnieniu 200 atmosfer, wodor zaś przy ciśnieniu 280 atmosfer, połączoném (rozumie się) z największem znanem nam oziębieniem, powstającem gdy się stały bezwodnik węgla czyli tak zwany kwas węglowy pokropi eterem lub raczej tlenkiem azotu i tę mieszaninę pręcikiem szklannym prędko miesza. Wodor niezamienił się w krople widome, lecz tylko w rodzaj mgły a zimno tak zgęszczonego gazu, wymykającego się ze zbiornika, w którym się znachodził, sięgało 200° Cels niżej zera.

Tak powietrze atmosferyczne, jako też i wymienione tu gazy były poprzednio należycie oczyszczone i osuszone. Przypomnieć tu jeszcze nie zaszkodzi, że pod ciśnieniem jednej atmosfery rozumiemy ciśnienie jednego kilogramu i 33 gramów na jeden centimetr kwadratowy, czyli uciskanie każdego cala kwadratowego ciężarem 12 funtów, 13 łótów i 116 gramów wagi wiedeńskiej.

Statek podwodny. Profesor Roggiero wynalazł, jak donoszą dzienniki, statek zupełnie do parostatku podobny, który za pomocą pewnego gwintu zanurza się w wodę, i może pod nią płynąć wedle woli, jakoteż zatrzymać się pod wodą w miejscu dowolnem. Siłą działającą jest elektryczność, która służy zarazem do oświetlenia statku i otaczającej go wody.

Nowy instrument muzyczny. P. Henryk Herz zbudował w swej słynnej fabryce fortepianów w Paryżu oryginalny instrument muzyczny, który nazwał melopianem, a który nie różni się ani kształtem, ani budową od zwykłych fortepianów, lecz za pomocą czynnika elektrycznego, wprowadzonego w ruch pedałem, wytwarza za dotknięciem odpowiednich klawiszów dźwięki od fortepianowych dźwięków odmienne, a tworzące rodzaj akompaniamentu, którego efekt jest porywający. Żaden z tych dźwięków nie daje wybitnej nuty. Raz zdaje się, że się odzywa skrzypka lub wiolonczela, to znowu dają się słyszeć niby dalekie odgłosy dętych instrumentów, to znowu kościelne organy, to nakoniec głos ludzki, czyli raczej jak powiada dziennik, z którego tę wiadomość czerpiemy — oderwana nuta spiewu przelatującego anioła.

Beatryks Cenci. Komuż nie znanem jest arcydzieło Słowackiego osnute na losach tej słynnej Rzymianki? Któż nie zna chociażby tylko z kopji portretu jej, malowanego przez Guido Reni'ego, a zdjętego przez tego mistrza już w więzieniu Śgo Anioła, gdzie piękna Beatryks za zabójstwo ojca była osadzoną. Otóż nie dawno temu wydał kustosz archiwum rządowego w Rzymie Bertolotti, opartą na aktach, biografię Franciszka Cenci i jego rodu, wedle której przedstawia się obraz Beatryksy zupełnie inaczej, aniżeli go nam przedstawiło podanie, a za nim poeci. Mianowicie była przyczyna, dla której piękna zbrodniarka w zmowie z braćmi swymi i macochą przyprawiła o śmierć swojego ojca, zupełnie inną. Autor twierdzi, że obrona adwokata Farinaci, który starał się uniewinnić zbrodniarkę, zupełnie z faktami niezgodna, była dla wszystkich o tym krwawym dramacie piszących źródłem, z którego czerpali. Nie mniej dowodzi Bertolotti, ze znany portret Beatryksy, który się znajduje w galeryi Barberinich w Rzymie nie mógł być malowanym z natury, i przed samem straceniem zasądzonej, gdyż Guido Reni nie był w Rzymie za życia Beatryczy. W końcu twierdzi p. Bertolotti, że Beatryks nie była straconą w 16. roku, jak dotąd powszechnie mniemano, lecz miała w chwili śmierci lat 22.

Iglica Kleopatry. Tak się nazywa sławny staroegipski obelisk, Anglikom przez khedywego podarowany, a przebywający w tej chwili nader dziwne przygody. Monolit ten, który ma przeszło 500 lat, i stał dotychczas w Aleksandrji, w Egipcie, wyciosany jest z pięknego różowego granitu, — mierzy zaś 61 stóp wysokości, i jest przeto wyższym od luksorskiego obelisku, który stoi na placu de la Concorde w Paryżu. Za pomocą wind i hydraulicznych przyrządów wydobyto z ziemi tego olbrzyma, — następnie włożono go w umyślnie w tym celu w kształcie cylindra zbudowany statek, do którego zaprzężono parowiec angielski, nazwiskiem Olga. — po czem obydwa okręty opuściły przystań aleksandryjską, udając się do Londynu.

Podróż przez Śródziemne morze i cieśninę Gibraltar odbyła się szczęśliwie. Wprawdzie w pobliżu Algieru urwał się łańcuch łączący obydwa statki, wszelakoż morze było tak spokojnem, iż szkodę zdołano naprawić bez trudności. Atoli na wysokości przylądka Finistere w nocy 14. października zerwał

się łańcuch w skutek burzy ponownie, a morze szalało tak gwałtownie, iż niesposób było sprządz powtórnie obydwa statki, jakkolwiek w tej mierze nie szczędzono wcale usiłowania, przy której to sposobności postradało nawet życie sześciu majtków z załogi parowca. Pozostawiona swemu losowi Kleopatra znikła niebawem z oczu; — kapitan Olgi Carter, nie przypuszczając, aby statek z monolitem mógł ocaleć wśród tak gwałtownej burzy, zawinął z parowcem swym d. 17. października do przystani w Falmouth, przywożąc swoim rodakom wiadomość o doznanej stracie.

Atoli konstrukcja żelaznego cylindra, w którego wnętrzu mieścił się obelisk, była tak znakomitą, że drogocenny nabytek nie doznał żadnego szwanku, jakkolwiek go burza o 90 mil na północ zaniosła. Tam, na wysokości Ferrol morskiego w hiszpańskiej Galicyi położonego miasta, spotkał go angielski parowiec, Fitz-Maurice i zaciągnął go do rzeczonej przystani. Z tego powodu wywiązała się dosyć zawikłana kwestja jurydyczna, kapitan Fitz-Maurice bowiem, zażądał wynagrodzenia, które się w takich wypadkach prawnie znalazcy należy; a jeżeli wynagrodzenie za ocalenie żelaznego w kwocie 4000 funtów zabezpieczonego cylindra z łatwością da się obliczyć, to jakżeż oznaczyć nagrodę za wyratowanie obeliska? jak ocenić wartość takiego przedmiotu, którego na giełdzie wcale nie cottują? kogo wezwać na szacmistrzów: kamieniarzy, czy archeologów?... Otóż, jak nam właśnie donoszą dzienniki, została sprawa ta w tych dniach przez angielską admiralicję jako polubownego sędziego, załatwioną. Niejaki Dickson złożył kaucję, i nagroda będzie wypłaconą, skoro Iglica przywiezioną zostanie do Londynu. Za kilka dni popłynie do Ferrol remorkier, który ma holować statek-cylinder, a koszta tego przewozu będą wynosić 12.500 franków.

Ostrożnie z piramidami. Pomiędzy Anglikami i Amerykaninami istnieje, jak wiadomo, odwieczne współzawodnictwo; — obydwa narody nienawidzą się serdecznie, i brat Jonathan nie może strawić nigdy powodzeń swego brata John Bulla. Otóż tym razem odbiera Amerykanom spokój Iglica Kleopatry; — jak tu nie zazdrościć współzawodnikowi tak wspaniałego nabytku? jakimby tu sposobem zakasować szczęśliwego John Bulla?.... Otóż jest i na to lekarstwo. W ostatnim numerze swoim stawia The Scientific American wniosek, aby sprowadzić do Ameryki z Egiptu.... całą piramidę.

Barwa żółtek u jaj kaczych. nie jest jak wiadomo zawsze jednostajną; — bywają żółtka jaśniejsze, ciemniejsze, czerwonawe, ba nawet zielonawo czarne, szczególniej zaś w jajach na twardo ugotowanych. W sprawozdaniach wiedeńskiego ornitologicznego stowarzyszenia wyczytujemy między innemi następującą ciekawą wiadomość, wyjętą z czasopisma *die Natur*, które czarne zabarwienie żółtek kaczych, na twardo ugotowanych jaj w następujący sposób tłumaczy:

„Gdyśmy przed kilku laty po raz pierwszy ujrzeli czarniawe żółtko w kaczem na twardo ugotowanem jaju, nie umieliśmy sobie wytłumaczyć tej anormalności, i sądziliśmy, że jajo to musi być zepsutem. Późniejsze badania przekonały nas, żeśmy byli w błędzie, i zastanawiając się nad tym przedmiotem przyszliśmy do przekonania, że strawa, którą się kaczki żywią, musi być przyczyną tej nieprawidłowości. I rzeczywiście tak jest! Kaczki na stawach, błotach, lub bagnach żerujące szukają naturalnie w wodzie swego pożywienia, i wydobywają — jeżeli woda nie jest zbyt głęboką — z dna wszystko to, co im do smaku przypada. Jeżeli nad brzegiem tego stawu, błota lub rowu rosną dęby, to na dnie znajdują się żołędzie, które przez kaczki w czasie lęgu w większych ilościach pożarte, stają się przyczyną zabarwienia żółtek na czarno, a to w skutek garbniku, który w sobie zawierają. Pomimo tej nieprawidłowej barwy są jaja te niemniej od innych pożywne, smaczne i zdrowe, a ktokolwiek wie o przyczynach ich zabarwienia, nie będzie się wahał jeść ich z pewnością."

„Tak samo jak żołędzie wpływają i inne rodzaje pożywienia na zabarwienie jaj kaczych. I tak znoszą kaczki jaja o żółtkach bladych lub jasnożółtych, jeżeli się je karmi zbożem, mąką lub kartoflami, i jeżeli same nie mogą innego znaleźć pożywienia. Kaczki, które żerując swobodnie karmią się robaczkami, muszkami, kuchennemi odpadami, lub inną strawą mięsną, znoszą jaja mające mocno-żółte żółtka. Kaczki nakoniec na słonych wodach żerujące znoszą jaja, których żółtka odznaczają się zabarwieniem czerwonawo-pomarańczowem, tak jak żółtka jaj ptaków nad brzegiem morza żyjących.

Drzewo fletowe. Pomiędzy akacjami, których lasy całe pokrywają setki mil kwadratowych na prawym brzegu Nilu, zasługuje na szczególniejszą uwagę Acacia fistula, wydzielająca z siebie gummę, znaną w handlu pod nazwiskiem gumy z Gedaret. W wnętrzu białych cierni tego drzewa wylęgają się krocie poczwarek pewnych owadów, które to poczwarki rosnąc wydymają te ciernie w kształt okrągłych pęcherzyków, wielkości sześciennego cala. Gdy następnie owad wykluje się z swego schronienia, twardnieją te pęcherzyki, i każdy z nich staje się niejako piszczałką, która pod tchnieniem wiatru wydaje najwyraźniejsze fletowe tony, z którego też powodu Sudańczycy akację tę fletowem nazywają drzewem.

Telegraf wachlarzowy. W krajach, gdzie zbytnia surowość lub zazdrość gwałtowna stawia kochankom zapory, zwykła się uciekać miłość do podstępów częstokroć bardzo oryginalnych, ażeby zbyt czujnego wywieść w pole nieprzyjaciela. I tak wynaleziono na Wschodzie rozmowę kwiatów, czyli tak zwany Salem, za pomocą którego porozumiewają się kochankowie; — w Hiszpanji zaś, gdzie długoletnie panowanie Maurów nie pozostało bez wpływu, zastępuje rozmowę kwiatów telegraf wachlarzowy służący kochankom do wyrażenia myśli, uczuć i nadziei, które ich sercami wstrząsają.

Pozwalamy sobie zaprowadzić naszych czytelników do ogrodu ludowego w Madrycie, ażeby studjować ten telegraf miłośny. W ogrodzie tym, który się nazywa Prado, a którego ogniskiem niejako jest miejsce zwane Paryżem, zbiera się wieczorem cały świat piękny hiszpańskiej stolicy, — tam przeto najwygodniej będziemy mogli czynić nasze spostrzeżenia.

Oto przybywa właśnie urodziwy młodzieniec, który widocznie panować musi w sercach trzech kobiet, lubujących się właśnie czarami pogodnego wieczora, przybycie jego bowiem zostało powitanem z trzech rozmaitych stron ruchami wachlarzy, których znaczenie nie jest dla niego bez interesu. Najprzód

zamknął się jeden z nich raptownie i z wielkim szelestem w drobnych rączkach młodziutkiej donny Carmen. Młodzieniec widocznie zaniepokojony stanął w miejscu jak wryty. Spojrzał w tę stronę i zbladł: wzrok donny namiętnym gniewem płonący jest wymownym komentarzem wachlarzowego jéj telegramu. Zasępiony zwrócił krok ku siedzącéj niedaleko melancholicznej postaci kobiecej, która na widok jego spuszczając oczy, powolnym ruchem ciemny swój wachlarz zamknęła. Lekki, znudzony uśmiech przeleciał po jego licu: zarumieniona twarz melancholicznej postaci wyznaje mu miłość bezgraniczną i już bezbronną!.. Aliści uśmiech znudzony na licu pięknego młodzieńca igrający gaśnie raptownie, — tuż, tuż bowiem o kroków kilku ozwał się po trzykroć suchy odgłos, nerwowem widocznie uderzeniem zamkniętego wachlarza o drobniutką dłoń trzeciej jakiejś kobiety wywołany. Zaniepokojony zwraca się młodzieniec w stronę, zkąd go doleciał telegram ten wściekłą zazdrość wyrażający. Nadając oczom swym wyraz, sytuacji tej odpowiedni, kłania się młodzieniec właścicielce tego wachlarza, posyłając jej spojrzenie, w którem się maluje zdziwienie, niesłusznem posądzeniem wywołane. Aliści manewr ten nie zdołał udobruchać zagniewanej, powiesiła bowiem na znak zupełnej niełaski zamknięty wachlarz na ręku; — aby więc gniewną przebłagać, zbliża się młodzieniec do niej pokornie, i rozpoczyna rozmowę, w skutek czego udaje mu się powoli uspokoić swoją kochankę, która wziąwszy wachlarz swój znowu do ręki, otwiera go w miarę tego, jak słowa jego znajdują przystęp do jej serca, z razu trocha, potem co raz więcej, aż nakoniec zupełnie, na znak, iż niestały kochanek może się spodziewać przebaczenia.

Przejdźmy do innej grupy. Rozkoszna postać niewieścia o bladem klasycznie pięknem licu rozmawia z wykwintnym mężczyzną średnich lat, który zdaje się prosić ją o coś z wielką usilnością. Kobieta skubie z lekka koniec swego różowego wachlarza na znak, że się jeszcze waha, że się nie może zdecydować. Mężczyzna nalega coraz bardziéj, aż w końcu zamyka donna wachlarz swój i dotknąwszy końcem jego najprzód po czterykroć swych oczu, przykłada go na chwilę do ust swych, pantomina, która upaja mężczyznę radością tak wielką, że szczęśliwy zaledwie ukryć ją jest w stanie.

Inny caballero widocznie mniej jest szczęśliwym. Dla niego otworzyły się atłasowe fałdy wachlarza tylko do połowy; — trzeba czekać, może późniéj, może innym razem!... Przyczynę, dlaczego czekać trzeba, wyraża wachlarz, którym zagadniona dotknęła właśnie swych uszu: piękna donna słyszała o swym wielbicielu rzeczy nie bardzo pochlebne, — musi więc sprawdzić te pogłoski.

Oto nakoniec znaczenie niektórych jeszcze wachlarzowych telegramów:

Podając mężczyźnie wachlarz złożony, obróciwszy ku niemu rączkę tego pieścidełka, wyraża Hiszpanka temuż swą najwyższą łaskę. Przyjmując go poddaje się zaszczycony najsłodszéj niewoli, — odmówienie przyjęcia tego hołdu jest największą obelgą, którą kobiecie wyrządzić może mężczyzna. Podjąć wachlarz na ziemię upadły, ma tylko prawo ten, którego właścicielka względami swemi zaszczyca. Dotykając czoła i okolicy serca swoim wachlarzem wyraża Hiszpanka, iż odwzajemnia uczucia swego wielbiciela, lecz że rozsądek niepozwala jéj słuchać głosu serca. Uderzając mężczyznę po ręku wachlarzem złożonym, czyni mu kobieta wyrzut z powodu jego postępowania, natomiast wyraża uderzenie rozwiniętym wachlarzem zamiar dodania otuchy zbyt nieśmiałemu wielbicielowi.

W Kazanłyku miał się w czasie egzekucji, które się tamże po odwrocie Hurki odbyły. zdarzyć następujący tragikomiczny wypadek. Pewien ksiądz bułgarski na stracenie prowadzony prosił komenderującego czausza (wachmistrza), aby na chwilę powstrzymał egzekucję. Gdy się dowódzca przychylił do jego prośby, usiadł skazany przy drodze, i wypruwszy z kaftana około stu lir tureckich, doręczył je wachmistrzowi, prosząc go, aby to złoto przyjął w podarunku. „Dobry z ciebie chłop — zawołał rozrzewniony zaptie — za to powiesimy cię w cieniu.“ I rzeczywiście wyszukano umyślnie cieniste miejsce, i spełniono na niem wyrok z wszelką w tym razie możliwą troskliwością.

Hygeja a City of Health dosłownie miasto zdrowe. Znany londyński lekarz doktor Richardson zawiązał z architektą Chadwick'em spółkę celem zbudowania zdrowego miasta, którego mieszkańcy wedle zapewnień rzeczonego lekarza żyć będą dłużej, i w którem śmiertelność wynosić będzie nie jak dotąd 1.5 do 8; lecz 0.5 do 0.8 od sta rocznie. Oczywista rzecz, że nie chodzi tu o stworzenie rzeczywistego nowego grodu, lecz tylko o sporządzenie, że tak powiemy modelu, do budowy miast, — modelu, wedle którego powinniśmy urządzać miasta nasze, pomieszkania, ulice, wodociągi, kanały i t. d. chcąc zmniejszyć śmiertelność w miastach panującą, i osiągnąć rezultaty, hygienicznym wymogom odpowiadające. Zauważyć tu musimy, że projekt ten—na miasto ze stutysięczną w 20,000 domów mieszkającą, a fabrycznym przemysłem trudniącą się ludnością obliczony — dałby się w całości tylko zastosować wtedy, gdyby chodziło o budowę całkiem nowego grodu. Mimo to jednak możnaby częściowo użyć go i w miastach już istniejących, jeżeli takowe zabudowane są wedle angielskiego cottage'owego systemu, kontynentalny bowiem zwyczaj budowania domów na pomieszczenie kilku rodzin służących, jest w projekcie pana Richardsona jak najostrzej wzbronionym. Wnioskodawca sądzi, że w Hygei — tak się ma nazywać projektowane miasto — nie będą się wcale pojawiać niektóre choroby, będące głównie wynikiem wadliwej budowy naszych domów, i naszego wymaganiom hygieny przeciwnego sposobu życia.

Tureckie modlitwy. W skutek rozkazu szeik ul islamu (najwyższego mahometańskiego arcykapłana) odmawiają prawowierni synowie proroka co dzień 100.000 wierszy z koranu za powodzenie tureckiego oręża. Odbywa się to w sposób następujący. Gdy się gmina w moszei zgromadzi, występuje mufti i otwiera koran w pierwszem lepszem miejscu, wedle tego jak zrządzi przypadek. Jeżeli n. p. odnośna Sura (rozdział koranu) zawiera 50 wierszy, natenczas odczytują ją 100 razy, co czyni 5000 wierszy; — potem znowu otwiera koran, pozostawiając znowu wybór następnej Sury przypadkowi, i postępuje w sposób podobny, dopóki liczba przykazanych wierszy odmówioną nie zostanie.

BIBLIOGRAFJA.

J. I. Kraszewski. Powieści historyczne.

I. Stara Baśń. Powieść z IX. wieku. Tom I—III.
II. Lubonie. Powieść z X. wieku. Tom I — II.
III. Bracia Zmartwychwstańcy. Powieść z czasów Chrobrego. Tom I. II. III.
IV. Masław. Powieść z XI. wieku. Tom I. II.
V. Boleszczyce. Powieść z czasów Bolesława Szczodrego.
VI. Królewscy synowie. Powiesć z czasów Władysława Hermana i Krzywoustego. 4 ty (I. II. III. IV.)

Kiedy przed niespełna trzema laty znakomity nestor powieścio-pisarstwa naszego w gronie przyjaciół powziął myśl przedstawienia dziejów naszych w powieści, mieliśmy pewną wątpliwość, czy nie będzie to za wiele dla jednego człowieka, czy starczą mu siły i czas, — boć uzdolnienia do tego rodzaju prac dowiódł czcigodny Jubilat tak znakomitemi utworami historycznemi, jak: „Hrabina Cosel, Minister Brühl i z siedmioletniéj wojny“. Znalazł się jednak czas, znalazły się siły — pomimo, że dziś niema u nas w Polsce pisma perjodycznego, nie zasilanego rok rocznie pracami J. I. Kraszewskiego. Na podstawie badań źródłowych twórczą fantazją otworzył nam zamierzchłe dzieje praojców naszych i w żywych barwach maluje nam obrazy czasu i ludzi. Pod uderzeniem czarodziejskiéj laski wysokiego tego talentu wstały z grobów bohaterskie postacie naszych dziejów i przemawiają swym własnym językiem, a wspaniałe obrazy, które pobudził do życia, odznaczają się nieporównaną świeżością i wdziękiem.

Współudział Adama Mickiewicza w sprawie Andrzeja Towiańskiego. Listy i przemówienia. Paryż. Księgarnia luxemburska. Tom I. II.

Kraszewski J. I. Bracia rywale. Obrazy społeczeństwa z VIII. w. Warszawa, Gebethner i Wolff 1877.

Jarochowski K. Opowiadania i studja historyczne. Warszawa — Nakład Casiusza.

Rodoć. Piosnki i gawędy humorystyczne. Bruksella — 1878.

Włodzimierz Stebelski. Humoreski. Lwów—1878.

Aureli Urbański — Poezje, wydanie drugie pomnożone. Lwów — 1878.

Justyn Hoszowski — Zbigniew, powieść wierszem. Lwów — 1878.

Bolesławicz. Biała książeczka. Lwów — 1878.

O wychowaniu domowem — Warszawa — 1877.

Znakomite niewiasty. Szkice opracowane przez Wandę Żeleńską. Wydanie tańsze z pięknemi rycinami. (Dla dorastających panienek).

Powyższe książki niemniej też wszystkie utwory literatury krajowej i zagranicznej utrzymuje zawsze na składzie księgarnia F. H. Richtera.

Nekrologja.

Karol Beyer, znany i zasłużony archeolog, numizmatyk i fotograf. Ur. 1818 r. w Warszawie umarł tamże dnia 8. Listopada 1877 r. — On pierwszy w kraju naszem zastósował fotografię do użytku archeologii i numizmatyki a posiadając najzupełniejszy zbiór numizmatów krajowych wydał kilka zeszytów Gabinetu Medalów polskich, jako uzupełnienie dzieła Raczyńskiego. — Pierwszy on udoskonalił fotodrukarstwo i wydał: „Rybkę“ obraz z ballady Mićkiewicza, „Album starożytności Krakowa, album na 400letnią rocznicę Kopernika“ etc. Postać to była poważna i sympatyczna, sympatję zdobył prawością charakteru, uczciwą pracą, i uczynnością. —

Wróblewski Waleryan, znany w literaturze naszej pod pseudonymem Koronowicza i pod cyframi: W. W. Ciekawe są niezmiernie i pouczające prace jego, dotyczące sporów z Henrykiem Rzewuskim, drukowane w „Tygodniku Petersburgskim“ i w „Atheneum Kraszewskiego“. — Z większych prac jego wymieniamy: „O poetyczności epoki Piastów“: o poetyczności epoki Jagiellonów“ dalej „Słowo dziejów polskich“. Prace te w chwili pojawienia się miały ogromną wziętość.

Girsztowt Polikarp, Dr. prof. uniw. Warszawskiego, najczynniejszy u nas wydawca dzieł i pism lekarskich. — Zakończył życie dnia 12. Listopada w skutek rany zadanej zbrodniczą ręką. Aleksander Sroczyński były pracownik w drukarni Gazety Lekarskiej spełnił tę zbrodnię, przebijając nożem pachwinę i przecinając tętnicę udową. — Zmarły obudził u nas ruch piśmienny lekarski — w tym względzie dla nauki i piśmiennictwa lekarskiego w kraju położył zasługi. — Zabójca ś. p. Dra Girsztowta został skazany do ciężkich robót w Syberyi na całe życie. — Pamiętną będzie mowa prokuratora, w której wyliczywszy wszystkie prace naukowe ś. p. Girsztowta, mowę swą zakończył słowy... Ojczyzna podsądnego odwraca się od zabójcy i mówi: Tyś zabił znakomitego mego syna, nie ma dla ciebie miejsca pod niebem Polski...

Elżbieta Supińska, najzacniejsza Polka, najlepsza matka i żona zasłużonego naszego jubilata ekonomisty zmarła we Lwowie dnia 3. Stycznia b. r. w 69. roku życia swego. — Życie jej całe było poświęcone wypełnianiu obowiązków Polki, żony i matki. — Była to matrona cnót prawdziwie staropolskich. Cześć jej pamięci. —

Kącik humorystyczny „Strzechy“

Podsłuchane głosy z powodu pojawienia się pierwszego zeszytu „Strzechy“.

W pierwszym salonie.

Panna Kola: Cóż pan dziś taki nudny?...

Lolo: Je suis à bout de nouvelles....

P. Kola: To idź pan sobie....

Lolo: Attendez! Wychodzi Stzecha!

P. Kola: Strzecha?... Cóż to takiego?...

Lolo: Pismo poświęcone płci pięknej....

P. Kola: Cha cha cha!... A cóż oni tam piszą?...

Lolo: Powieści, pogadanki antropologiczne, kronikę odkryć i wynalazków, o telefonie....

P. Kola: Ouf!

Lolo: Vous abonnerez?

P. Kola: Pas de ça Lisette! C'est trop moral! Ja czytam tylko la Vie Parisienne

W drugim salonie.

Plasio: Zaczęła znowu wychodzić Strzecha.

Brewiarz: Sainte Radegonde! To znowu jakieś obrzydłe piśmidło, wydawane tylko na to, aby odebrać abonentów á ce bon pére Podolski, qui a si bien arrangé tego farmazona Stojałowskiego w swojej broszurze.

Plasio: Niezawodnie...

Brewiarz: A któż tam pisze?

Plasio: Kraszewski, Sewer, Widman, Ochorowicz, Lam...

Brewiarz: Sainte Matelotte aux confitures! to koniec świata. Pójdę zaraz do Kizi, i będziemy przeciw tej Strzesze agitować.

Plasio: (któremu redakcja Strzechy zwróciła manuskrypt odmawiając umieszczenia.) I mnie także prosili, bym im coś napisał, mais j'ai refusé net!

W pewnej redakcji.

Św. Palaton: Trzebaby coś napisać o pierwszym zeszycie Strzechy... Coż myślisz Lapatonie?

Św. Lapaton: Pismo to robi naszemu konkurencję, a ludzie, co tam główny wpływ mają, nie są pewni...

Św. Palaton: Masz rację. Jeden z nich nie ukłonił mi się przed miesiącem. Wiesz co napiszę tak: „Wyszedł pierwszy zeszyt Strzechy, który się niczem nie różni od dawniejszych“.

Św. Lapaton: A tymczasem poszlemy Tromtadrackiego, aby obszedł kawiarnie, i.... (robi ręką ruch, jak gdyby komuś kark kręcił).

Św. Lapaton: Palatonie tyś wielki! święty!

Św. Palaton: Lapatonie tyś także wielki! święty! (Dają sobie buzi).

W restauracji.

Kolporter: Strzecha, pismo illustrowane, ciekawe, 24 zeszytów na rok, 2 premje, współpracownicy Kraszewski, Sewer, Tatomir (wylicza wszystkich).

(Kilkanaście osób bierze zeszyty do ręki i przegląda.)

Polityk (zwracając zeszyt.) Powieści, rozprawy naukowe, kronika, humorystyka, to wszystko na nic się niezdało. Co mnie to obchodzi panie tego?... Ja chcę wiedzieć co myśli Bismark, Gorczaków, panie tego Andrassy.... To nam piszcie, to będziemy abonować.

Kolporter: (z ważną miną.) Będziemy się starali.

Realista: Powieści, poezje, na co to się przyda? Powinniście rozszerzyć dział naukowy. Telefony Panie, a chemja Panie, a fizyka;... w to mi graj! ja jestem pozytywistą....

Kolporter: Będziemy się starali.

Idealista: Pogadanki antropologiczne! brr! To realizmem trąci, a realizm to materjalizm a gubi społeczeństwa. Więcej poezji, więcej uczucia...

Kolporter: Będziemy się starali.

Człowiek serjo: Powinniście zaprowadzić dział ekonomiczny... o!... Ekonomja to grunt, o!... Napiszcie no nam co można robić z odpadków, z łupin kartofli, z skorupy z jaj...

Kolporter: Będziemy się starali.

Galicjanin; Kraszewski? Sewer?... Czy to nasi pisać umieją? Jabym wolał żebyście podawali tłumaczenia, naprzykład z Gaboriau, albo z Ponsona du Terrail.....

Kolporter: Będziemy się starali.

Indyferentysta; Strzecha? beletrystyka?.... A mnie to na co?... Coby mi przyszło z tego, gdybym to przeczytał?... Ot wolelibyście napisać jakie numera wyjdą na loterji.

Kolporter: Będziemy się starali.

Kilka osób nie mówi nic, lecz rozciekawiwszy się widokiem zeszytu, kupuje egzemplarze.

W Administracyi Strzechy.

Prokurzysta: Wie Pan co? Strzecha narobiła hałasu.

Wydawca: Tak? to mnie cieszy!

Prokurzysta: Wiele osób chwali ją bardzo.

Wydawca: Tak? to mnie cieszy!

Prokurzysta: Wiele osób gani ją znowu.

Wydawca: No, i to mnie cieszy.

Prokurzysta: Wiele osób nie mówi nic,

Wydawca: To, mnie bardziej jeszcze cieszy.

Kolporter: Proszę Pana sprzedałem pięćdziesiąt kart prenumeracyjnych.

Wydawca: To mnie najbardziej cieszy!

Obywatel Tromtadracki.



Lam pozostał przy „Dzienniku“, Henryk przeszedł do Gazety.....
Ktoby tego się spodziewał?... Jednak faktem to.... niestety!..

Zabrał z sobą swoją czapkę — zabrał z sobą kij sękaty,
Swą pisownię, radykalizm, oraz wszystkie swe penaty....

Smętnem okiem spojrzał w koło, i rzekł: „Bywaj zdrów Dzienniku!“
— Stój! cóż poczniesz ty w Gazecie radykalny mój Henryku!

Jak się zgodzi twój empiryzm z metafizyką Platona?
Twa teorja ras mięszanych z mistycyzmem Agatona?...

Co się zrodzi z tego zlewku? jaki program? i kierunek?
Czy filozoficzny kamień? czy wiecznego życia trunek?

Czy konfuzja tylko? Finis! Zerwał z dawnych walk wspomieniem,
Zerwał z sobą.... zerwał z nami!... Finis! reszta jest, milczeniem!

Trudny warunek.



— Pożycz mi Pan sto guldenów!

— I owszem!... A jakąż mi Pan dasz gwarancję?...

— Co, gwarancję?... Wszak moja osoba może być dla Pana dostateczną gwarancją!..

— Niezawodnie!... Więc zechciejże Pan wleść do tej kasy...

— Cóż to znowu?... Pan drwisz ze mnie!

— Bo widzi Pan Dobrodziej, ja się trzymam tej zasady że pożyczam tylko na gwarancję, a gwarancję chowam do tej kasy.

ODA MŁODSZEGO HORACJUSZA

na cześć przezornego śmiertelnika.

Cześć przezornemu, co bacząc na wieszcze
Kalendarzowe wróżby — w grudniu jeszcze
Złożył w swym lochu na czas mrozu, wiatrów
Drzewa z pięć łatrów!

Lub — mędrzej jeszcze, niespuszczając z oka,
Że cena drzewa może być wysoka,
Zwiózł do piwnicy swej na mrozów czasy
Cocks'u zapasy!

Styczeń, choć srogi, jemu nie doskwiera:
Niech tam termometr spada niżej zera!
Przy ciepłym piecu nie zazna on cierpień, —
U niego sierpień.

Cześć i takiemu, co dbały o jutro
Wcześnie się w paltot opatrzył lub futro,
I przed katarem się chroniąc, na ciele
Nosi flanelę!

I niechaj pieśń ta dzwoni temu chlubą,
Który z podeszwą nosi buty grubą,
I przeciw zimie uzbroił zawziętej
Filcem swe piety!...

Nie strasznym będzie mu Boreasz luty;
Drwią z Akwilonów grube jego buty;
Zwycięzko z zimą przetrwają zapasy
Jego obcasy.

Przezorność chlubę śmiertelnym przynosi!
Cześć więc po trzykroć tej skrzętnej gosposi,
Która jak mrówka wcześnie zasób zgarnie
W swoją spiżarnię!

Próżno przednowek stuka w drzwi jej palcem,
Życie jej masłem opłynie i smalcem,
I będzie mogła los wyzwać w zapasy
Zbrojna w kiełbasy!..

Wydawca i odpowiedz. za redakcyę F. H. RICHTER.
Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



UPIOR.

Opowiadanie przy kominku

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Mówmy otwarcie — odezwał się Starosta — ja lepszego dzierżawcy nad was nie znajdę, a pan wątpię, byś powolniejszego i wyrozumialszego dla siebie znalazł jurysdatora — nie będę przed nim i tego tail, iż stucznie bym go chciał zatrzymać w sąsiedztwie dla tego, abym mojej biednej Annie uczynił tem przyjemność. WPan jesteś żywym wizerunkiem naszego syna, jej przywiązanie do dziecka sprawiło to, że nie obraz jego, ale samo to dziecię chce w nim widzieć. Napróżnośmy się starali jej to wybić z głowy: Urojenia swojego trzyma się jak ostatniej deski wybawienia. Bądź waćpan wyrozumiałym, bądź pobłażającym dla biednej staruszki—Bóg ci to nagrodzi!

Nie popełniasz grzechu, czynisz dla nas ofiarę, uczynek dobry! Bóg ci to nagrodzi! powtórzył.

Stary począł mnie ściskać ze łzami, — na tem się skończyło. Wziąłem Rutki.

Miałem najmocniejsze postanowienie, zmuszonym teraz będąc, zwłaszcza w początkach, codzień niemal przyjeżdżać do Zabłocia, nie sprzeciwiając się bynajmniej staruszce, nie pomagać jej jednakże do zachowania złudzenia. Ostrożnie rozpocząłem to o mojej rodzinie mówić, to o stosunkach, i t. p.

Staróścina słuchała z uśmiechem jakby żartu, śmiała się, kręciła głową i szeptała.

— Komponuje wybornie. —

Naturalnie z tego przyjęcia za syna wypadała rzecz dla mnie najprzykrzejsza, której uniknąć musiałem, bądź co bądź. Starościna chciała mi nieustannie być w czemś pomocą, ciągle mnie obdarzała, pani Sawicka oczyma i ruchami błagała mnie, ażebym przyjmował. Działo się więc tak, żem pozornie biorąc i dziękując, natychmiast na ręce córki składał, co otrzymałem od matki.

Przekonawszy się o mojem niezłomnem postanowieniu w tym względzie, pani Sawicka wcale się nie sprzeciwiając już, odbierała wzdychając te ofiary, z których najmniejszej pruszynki przyjąć nie mogłem.

Trwało to wszystko jak powiadam czas jakiś bez większych komplikacji. Na Wielkanoc, oprócz Sawickiego, którego wprzódy poznałem, bardzo zacnego człowieka, posłusznego żonie, powolnego i niepodejrzliwego, przybyli do Zabłocia państwo Baranowiczowie oboje.

O całej mojej historyi, położeniu w domu Starostwa, słyszeli już wprzódy, niepodobało się im to mocno.

Sam Baranowicz, człowiek niezmiernie o grosz dbały, zabiegliwy, nie pochwalał wypuszczenia mi Rutek w dzierżawę, jak się wyrażał, za psie pieniądze, we mnie widział zawczasu, nieznając, awanturnika, który wyzyskiwał słabość, a jak on mówił, obłąkanie i zdziecinnienie Starościny.

Pani Baranowiczowa tak samo widziała przez oczy mężowskie, jak Sawicki przez źrenice żony. Gotowała się tedy burza z mojego powodu, której ja ani się domyślałem, ani przewidywałem.

Gdy w Wielkim Tygodniu przybyli Baranowiczowie, byłem w Rutkach, pierwsze więc sceny wstępne odegrały się bezemnie. Gwałtowniejszego charakteru od siostry pani Baranowiczowa, mocno już w drodze przez męża przygotowana, zaledwie przybywszy i pozostawszy sam na sam z matką, poczęła jej czynić wyrzuty, że się na śmiech ludzki naraża, obcym ludziom dając z siebie korzystać, krzywdząc własne dzieci dla jakichś awanturników i t. d.

Staruszka wysłuchała cierpliwie wyrzutów córki, wstrzymała się od odpowiedzi, zmilczała. — Poprosiła potem do siebie męża, i co mówili na osobności, tego nikt nie wiedział. Scena jakaś zaszła z Baranowiczem potem, który nie czekając Wielkiej Nocy pod pozorem pilnego interesu wyjechał z Zabłocia. Żonę tylko pozostawił na straży.

Gdym zawczasu zaproszony na święta przybył w W. Sobotę do Zabłocia, stary kamerdyner czekał już na mnie w ganku i prosił, abym z nim szedł do Starościny. Zastałem ją samą, przy pacierzach. Jak zwykle pocałowała mnie w głowę.

— Mój Włodziu, rzekła — bo inaczej mnie nazywać nie chciała, uczyń to dla mnie, bądź cierpliwy i wyrozumiały dla tej mojej poczciwej Baranowiczowej, która tu jest. Ja tego ci niepotrzebuję mówić, bo ona zawsze taka była młodą. To biedactwo zawsze kwaśne, smutne, kapryśne, więc choćby tam czasem syknęła a skrzywiła się, nie zważaj, moje dziecko — nie zważaj! Moje serce ci to nagrodzi. Zawsze to.. (tu się rozśmiała do mnie z porozumieniem) — zawsze to — siostra.. Już rozumiesz. — Z tem mnie staruszka odpuściła.

Poszedłem do Bogusza, który mnie z podwojoną przyjął grzecznością, ale o Baranowiczach tyle tylko wspomniał, że on sam bardzo żałował, iż mu niezmiernie gwałtowny wypadł interes i wyjechać musiał, a poznać mnie nie będzie miał przyjemności.

W pokoju zastałem panią Sawickę, także serdeczną bardzo, jakby już zawczasu za to, co od siostry miałem ucierpieć, płacić mi chciała. Lorcia też przyjęła mnie jakby prawdziwego wujaszka.

Na kanapie siedząca majestatycznie pani Baranowiczowa, gdym się jej przedstawił, zaledwie głową mi kiwnąć raczyła. Z twarzy i jej wyrazu wyczytałem wypowiedzenie wojny. Przestroga staruszki już mi się jej kazała spodziewać. Co było robić? mężnie stawić czoło i — cierpieć. Tegoż wieczora poczęły się podjazdowe wycieczki, przekąsy, umyślne uchybienie i posponowanie, ale Starościna, jakby na przekór, była nadzwyczaj czułą.

Usuwałem się z przed oblicza zagniewanej pani, i na ten raz posłużyło mi to wcale nie źle, bo uciekając od niej, miałem zręczność zbliżania się do Lorci. Byliśmy z nią codzień lepiej i bliżej, a siostra, która się widać domyślała czegoś, serdecznie nam pomagała.

— Niech się pan nie boi cioci Baranowiczowej i jej złych humorów, szepnęła mi Lorcia, ma migrenę, ale jej to przechodzi. Jeden na to sposób: nie trzeba zważać.

Trochę to było trudném, bo nietylko oczów, uszu też trzeba było niemieć, aby nieustannych ukłóć nie brać do siebie. Im mniej występowanie to przeciw mnie miało skutku, tém pani Baranowiczowa dozę lekarstwa podwajała.

Jakem się poźniej dowiedział, dała słowo mężow, że mnie ztąd wykurzy. Brała się do tego, trzeba przyznać, z niewieścią gorączką i zapałem, a niezbyt zręcznie. Jednakże podrażniła nnie tego wieczora okrutnie.

Nazajutrz zjechało się mnóstwo gości. Między innemi, wszystko to później się dopiero odkryło, przybył forytowany do Lorci przez Baranowiczów niejaki Kuźmiński. Jejmość pierwszego już wieczora postrzegłszy moje zbliżanie się do panny, podwójnie tem przeciw mnie poburzona, przed święconem pono wzięła na stronę Kuźmińskiego i dała mu instrukcję.

Miał być narzędziem do pozbycia się mnie z Zabłocia. —

Słówko o tym Kuźmińskim. — Mężczyzna był w moim wieku, także w młodych latach trochę wojskowego chleba kosztował, słuszny, przystojny, zręczny, silny, gospodarz dobry, człek uczciwy, ale głowę miał tępą i defekt brzydki, bo się jąkał. Czasem udawało mu się przez cały dzień mówić płynnie, i nie zatrzymać się na jednem słowie, ale bywały na niego chwile, że, strwożywszy się, co moment się zająkiwał, a gdy go to napadło, czerwieniał, twarz mu nabiegała i mało że w konwulsje nie wpadał. Szczególniej, gdy poruszony był, rozgniewał się, napił więcej, podpadał temu kalectwu. Sam przez się mało co robił, zawsze go ktoś popychał. Na teraz kierownictwo wzięła Baranowiczowa. Kuźmiński był bardzo majętny, stateczny, nic mu oprócz tego jąkania i słabej głowy zarzucić nie było można.

Przy święconem jajku poznałem się z wszystkiemi, i z ks. Kanonikiem Supajłą, przyjacielem domu, który po raz pierwszy przy mnie tu przybywał (pono dalekim krewnym Boguszów) i z Sędzią Rozwadowskim, powinowatym samej pani, i z innemi wielą. Kuźmiński mi się zdala pokłonił, ja jemu, skończyło się na tem. Gdy mi Lorcia podała do podziału święcone jajo, przypadkiem obejrzawszy się ku niemu, zobaczyłem go w płomieniach — dostrzegł, żeśmy coś poufale szeptali i ona się zarumieniła.

Dzień szedł jako tako, bo osób było dużo i rozmowy ogólne, obojętne. Starościna jakby umyślnie starała się mnie trzymać przy sobie i okazywać publicznie to przy-

wiązanie, jakie ku mnie powzięła. Mówiła o mnie kanonikowi, rozpowiadała Rozwadowskiemu, musiała Kuźmińskiemu coś powiedzieć, uderzało to wszystkich, że byłem tu jak w domu. Nie przechwalając się temi łaskami, nie mogłem się znów taić.

Nazajutrz niektórzy z gości się rozjechali, inni przybyli, Kuźmiński został. Na trzeci dzień W. Nocy, gdym jeszcze był w mojem mieszkaniu zrana i kończyłem się ubierać, usłyszałem kroki,—patrzę, wchodzi sztywny, wyprostowany z miną jakąś junacką razem i pomięszany Kuźmiński.

Przywitaliśmy się zimno.

— Ja tu do waćpana dobrodzieja z małym interesikiem — odezwał się nie chcąc usiąść przybyły.

— Do usług.

— Może to zapytanie będzie śmiałe, rzekł, ale jam żołnierz, pan też, otwartość jest naszym przymiotem. Pokryjomu i podstępnie niemam zwyczaju nic czynić.

— Ja też – wtrąciłem.

— Mam zamiar, szczerze panu mówię, o pannę Sawickę konkurować, a postrzegam, że mogę mieć w panu rywala, jeżeli się nie mylę. Więc — karty na stół.

Ruszyłem ramionami.

— Trochę to dziwne pytanie, odpowiedziałem, wszelakoż nie wzdragam się na nie dać odpowiedź. O pannę, która nikomu nie jest ni przeznaczoną ni przyrzeczoną, ni zaręczoną, każdemu się starać wolno. Mnie i panu. — Niewiadomo komu Bóg da szczęście.

— Jabo nikomu w drogę nie lubię włazić, i nie pozwolę też, aby mnie kto właził.

Spojrzałem nań. — Jak to pan rozumie, to „nie pozwolę“? spytałem.

— Niech pan to sobie tłumaczy jak chce — rzekł trochę juz jąkając się Kuźmiński. Zmierzyliśmy się oczyma, zatarł czuba i zwolna się po pokoju przechadzać zaczął.

— A gdybym ja to wziął za wyzwanie! spytałem.

— Jam nie od tego! odparł, coraz mocniej się jąkając.

— Ja także nigdy nie odmawiam zaprosin tego rodzaju — odezwałem się. Zważ pan tylko, że oba o pannę nie mamy prawa się bić, bo żaden z nas jeszcze się do niej ani zbliżył. Uczynię panu tę refleksję, że do wyręgbania się mamy czas, a gdybyś mnie istotnie wyzwał, to by mu prędzej zaszkodziło do panny, niż pomogło.

Kuźmiński się zamyślił.

— Jeżeli pan dobr., dodałem, masz jaki inny słuszny powód zahaczenia się ze mną, naprzykład, jeżeli się mu nos mój niepodobał, albo mina, lub chód — to co innego.

Mówiłem drwiąco, bo mnie zniecierpliwił, odwrócił się żywo.

Dosyć tych kilku słów, abym powód miał, rzekł. Po świętach się skomunikujemy. — Tymczasem, spodziewam się, zostanie to między nami.

Możesz pan być spokojny — odpowiedziałem, uregulujemy to na przewody, czy po przewodach, a tu w domu gościnnym u Starostwa dajmy sobie pokój.

Skłonił się, ja jemu, wyszedł. Poznałem z miny pani Baranowiczowej, gdym się z nią spotkał przy Święconem, bo tu ono cały tydzień trwało, że wiedziała już o wszystkiem. Wzrokiem urażliwym, zwycięzkim rzuciła na mnie, podwoiłem wesołość i nadskakiwania około Lorci, Kuźmiński chodził struty.

Nie mam się czem chwalić, bo mnie tak pan Bóg stworzył i Jemu, nie sobie to winienem, ale jest i było zawsze ze mną tak, że na długą metę gniewu nigdy utrzymać nie mogłem. — Łatwo mnie było rozsierdzić aż do passyi, ale żebym się ze złością w sercu całe lata nosił! od tego mnie uchowała łaska Boża. Kuźmiński swojem wystąpieniem trochę mnie na siebie obruszył w pierwszej chwili, alem stygł już. Wiedziałem, że sobą nie władał, że go popychano, prawie mi go już żal było. Nie dałem mu w najmniejszej rzeczy poznać, żem żal jakiś miał do niego. Owszem przy stole, w rozmowie, zamiast się mu przeciwić i szukać zwady, pomagałem. Zająknął się parę razy, podszepnąłem mu słowo po cichu, bez śmiechu, boć biedne człeczysko defektowi, którym go Bóg dotknął, nie był winien. — Uważałem, że to jakoś przyjął wdzięcznie i był jakby skonfudowany. Niechcąc znowu, by sądził, że go sobie jednam, unikałem go.

Drugiego dnia Kuźmiński czegoś kwaśny, po obiedzie się posprzeczał o marną rzecz z jednym z sąsiadów, szło o rozwiązanie, kto miał słuszność. Byłem przytem, obrócono się do mnie. Krótko a węzłowato przekonałem, że słuszność była na ten raz przy Kuźmińskim. Poszedłem zaraz precz, aby mi niepotrzebował dziękować — a no — co prawda, to prawda. — Nie odjeżdżał do przewodów.— Nie wiem tam z czego poszło, że Starosta mu opowiedział moje przybycie do ich domu i całą historję, ze łzami w oczach. W Sobotę rano, gdy się golę, znowu słyszę, drepcze ktoś — wchodzi Kuźmiński, ale skonfundowany niezmiernie i całkiem inny. Chce coś zacząć mówić, jak się zaciął, ani sposobu.

Żal mi go było, więc zagadałem zręcznie, dając mu się wyprychać i nieokazując po sobie nic — ochłonął jakoś.

— Wiesz pan co — odezwał się do mnie nareście— miałem sposobność przekonać się, że pan jesteś dobry człowiek. Co my mamy dla babskich spraw się zadzierać, to głupstwo, dajmy sobie ręce i niech będzie zgoda. —

(C. d. n.)

SOFTOWIE i ZEJBEKI.

W armji tureckiej, złożonej z tak rożnorodnych żywiołów niemal jak amerykańska, zachodzi jeszcze i to podobieństwo do tej ostatniej, że niemasz w niej tego niewolniczego prawie wciskania wszystkich w pewne jednostajne formy, jaka jest cechą armji europejskich.

Nie knut, nie obawa Sybiru, ale wiara, fanatyzm religijny, sprawia tam, iż cichy i potulny uczeń zarówno jak dziki, łupieztwem żyjący opryszek, staje się żołnierzem walecznym i stosującym się do reguł wojskowych.

„Softa“ ma to znaczenie, co w innych krajach Europy „akademik.“ W jednej rzeczy jest on podobnym do „akademików“ wszystkich krajów, że stanowi on ferment społeczny. Toż jak w roku 1848 w całej Europie, jak w innych czasach w różnych krajach bywali akademicy inicjatorami ruchów rewolucyjnych, skoro te po dłuższem nurtowaniu w umysłach narodów dojrzały do wybuchu, tak i w Turcji. Długo chorowało społeczeństwo tureckie na wewnętrzny rozstrój, najpoważniejsi mężowie i najgorętsi patrjoci rozbierali powody tego rozstroju i rozmyślali nad środkami zaradzenia złemu, nikt jednak nieodważył się ugodzić w główne źródło złego, źródłem tem była głowa uświęcona przez koran — Sułtan, a raczej władza absolutna kalifatu.



W chwili największej nieporadności, gdy wszelkie okoliczności parły nieprzebłaganie ku zmianie systemu panującego, zaczerpnęła młodzież szkolna pierwsza w grozie położenia natchnienia do śmiałego czynu.

Upadek Sułtana był dziełem Softów.

Softowie zajęli w dziejach stanowisko obok akademików innych krajów.

Jedna wielka różnica zachodzi między Softami a innych krajów akademikami.

Izlamickie akademje (Medresch) są to szkoły przeważnie teologiczne, podobne do naszych seminarjów.

Wszystkie są one, połączone z wielkiemi moszeami lub mauzoleami czyli świętemi grobami. Założone bywają one przez rząd, lecz po większej części są to pobożne fundacje.

Mahmud II założył po zniszczeniu Janiczarów 18 takich akademji czyli raczej seminarjów.

Nieprzewidywał on, że te skromne teologiczne kolegja urządzone w sposób klasztorny staną się dla przyszłych Sułtanów bardziej groźnemi, niż może była instytucja Janiczarów.

Sam Abdul-Aziz zamierzał właśnie założyć taką akademję obok moszei budującej się w Beszik, Tasz, gdy go „akademicy“ tronu pozbawili.

Turecki student niepotrzebuje zdawać „matury“ i „popisów wstępnych“, aby być przyjętym do Medresch (akademji).

Chęć do nauki jest dostateczną kwalifikacją dla kandydata „Medressy,“ aby mu utorować przystęp do udziału we wszystkich dobrodziejstwach, jakie Wakuf (zarząd kościelny) świadczy akademickiej młodzieży.

Wakuf (mybyśmy powiedzieli „fundusz religijny“) utrzymuje „Medressy.“



Kurs jest tam dosyć trudny, mieszkanie klasztorne, wikt nader skromny i prawdziwy stół dla „ubogich teologów.“ Resztę utrzymania opędza uczeń z własnej kieszeni.

Niejestto zresztą rzeczą zbyt łatwą, dostać się do Medressy. Trzeba mieć protekcję, a wielką jest zaletą być synem „pielgrzyma do Mekki.“

Uczeń zaczyna od „gramatyki i syntaxy“, postępuje do retoryki, logiki, filozofji, dogmatyki, nauki prawa, matematyki, wreszcie języków arabskiego i perskiego.

W ostatnich czasach rozszerzono wprawdzie zakres nauki i pomimo tego stanowi zawsze wyuczenie się koranu na pamięć najważniejszą część nauki.

W zwykłym składzie rzeczy wychodzą Softowie na domowych nauczycieli i guwernerów w bogatych domach tureckich; zażywają oni często wielkiego wpływu w tych domach, kierują się na prywatnych sekretarzów, pełnomocników i pozyskują nieraz znakomite posady.

Jeżeli Softa chce się habilitować na profesora, niejest on związany żadnym regulaminem szkolnym. Panuje w tej mierze, w Turcji wolność nauczania, o jakiej my niemamy wyobrażenia.

Wykłada on, kiedy chce i wybiera sobie przedmioty podług upodobania.

W wykładach dozwoloną jest najswobodniejsza dyskusja, a jednak niewyradza się ona nigdy w nieprzyzwoitą sprzeczkę.

W tej mierze hamuje Turka wrodzone każdemu z nich uczucie przyzwoitości.

Uczeń, jak wszedł do akademji bez świadectwa dojrzałości, tak wychodzi z niej bez egzaminów kwalifikacyjnych.

Mimo to utrzymuje on wedle zasługi świadectwa, zalecające od swoich profesorów.

Najważniejszą zresztą w świadectwie każdego Softy jest nota „dobrych obyczajów.“ Tylko taka nota toruje drogę do życia publicznego.

Softa, który skończył z dobrym sukcesem nauki w „Medresch“ i ma dobrą notę z obyczajów może zostać: imanem t. j. kierownikiem szkoły elementarnej, kaznodzieją przy wielkiej moszei, urzędnikiem w jakimkolwiek publicznym urzędzie, z czasem kapłanem (mołtą) lub kadym (sędzią), muftym czyli doradcą prawnym.

Softa jest do wszystkiego sposobnym w służbie cywilnej, a ostatnie czasy okazały, że nader łatwo zaprawia się do wojennego rzemiosła i może się stać najdzielniejszym żołnierzem.

Softowie stanowią obecnie najbardziej inteligentną część armji tureckiej, która nieustępuje żadnemu innemu żywiołowi tejże pierwszeństwa pod względem waleczności.

Wszystko to jest owocem potęgi duchowej, jaka wszystkich izlamitów ożywia: zapału religijnego.

Ten sam duch, który czyni skromnych i potulnych studentów bohaterami, przekształca dzikich opryszków w dzielnych ale strasznych wojowników.

Do tych ostatnich należą Zejbeki.

„Zejbek“ znaczy tyle co wywołaniec: Jest on w zwykłym składzie rzeczy wywołanym ze społeczeństwa, jest ofiarą „porządku społecznego.“ Zejbek niejest od urodzenia opryszkiem; był on długo spokojnym i potulnym, czy to na wsi, czy w mieście.

Dopiero gdy mu te pijawki społeczeństwa tureckiego, poborcy podatków, dokuczyli do żywego, stał się zbrodniarzem, umknął w góry Baba i Khonaz w Małej Azji, gdzie przemieszkuje w jaskiniach a raczej rozpadlinach skał i na puszczach górskich.

Czatuje on na karawany, spada na nie, jak sęp na swoją zdobycz, porywa, co może i umyka do swoich kryjówek.

Wyjęty z pod prawa, żyje on jako grzesznik, pod klątwą koranu wywołany tu ze społeczeństwa, w tamtem życiu zamknięte przed nim wrota do raju.

Hasło wojenne jest dla niego hasłem zbawienia. Wojna za wiarę gładzi grzechy Mozlema, krew niewiernych zmywa wszelkie winy, śmierć na polu świętej walki otwiera wrota do raju.

Święta wojna czyni go z opryszka bożym wojownikiem.

Dla takiego niemasz nic strasznego na tym świecie, ze wszystkich postrachów jest on sam najstraszniejszym. Niszczyć niewiernych, póki sam nie legnie na polu chwały— to jedyny cel jego życia.

Rozumi się, że z takiem powołaniem musi i fizyczne usposobienie iść w parze.

Toż Zejbeki są prawie wszyscy olbrzymiego wzrostu, niezmiernie silnej, muskularnej budowy ciała, oko jego łaknie zdobyczy, usta drgają namiętnością walki.

Na turbanie wysoko uwitym z różnych łachmanów błyszczą i brzęczą różne świecidełka — to amulety, a między niemi najważniejszy: ząb ludojada. Pierś okryta kaftanem skórzanym, niby pancerzem, za pasem cały arsenał najrozmaitszej broni, którą wedle okoliczności i jej przeznaczenia Zejbek doskonale włada.

Żywiołem jego walka na śmierć, dni swoje liczy on ilością zabitych, a jeżeli go Bóg Mahometa niepowoła wśród wojny do raju, natenczas po skończonej wojnie znika Zejbek z pośród społeczeństwa, prowadzi dalej swoje dzikie rzemiosło, póki nowej wojny niedożyje.

Społeczeństwo, które ma w swoim składzie takie dwa ostateczne żywioły, jak Softowie i Zejbeki, niejest zgrzybiałem, jestto społeczeństwo, które z chaotycznie pomięszanych pierwiastków wyrobić może zdrowy i silny organizm.

Jedne wyrzuci ze swego łona, drugie spoi silnym węzłem jednolitości, równości i swobody.

Taka przyszłość rokuje Turcji przy istnieniu dzielnych jeszcze pierwiastków społecznych i fanatycznej wiary przyjęcie się tak łatwe konstytucyjnych form w tem państwie, które zdawało się najmniej być uzdolnionem do życia parlamentarnego.

Karol Widman.

TURECKI KOZAK.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

Dzielni ci ludzie walczyli zacięcie przeciw Rosji, która węgierskiemu powstaniu śmiertelny cios zadała. Turcy nie ufali im wcale, szczególniej nie wierzyli w ich poświęcenie się bezwzględne dla Sułtana. W oczach ich byli to niewierni, „giaury“ i wydawali się im tak samo niepewnemi ludźmi, jak renegaci, to jest chrześcijańscy oficerowie, którzy gwoli karjerze na Islamizm poprzechodzili.

Kozacy ci byli niezaprzeczenie najpiękniejszą częścią wojska z całej armji. W swoim szkarłatno czerwonym dołmanie, kurcie tejże barwy i szerokich błękitnych pantalonach, z ogorzałemi, do walk i trudów wojennych przywykłemi twarzami, odbijali nader korzystnie od obszarpanych baszybożuków, i od piechoty w grubych prostych kapotach, z pod których nieraz nagie łokcie wyglądały.

Zatrzymałem się zdziwiony, gdy kozak bliżej do mnie przystąpił... I on także się żachnął. Prawa ręka drgnęła mu na przepasce, a ogorzała twarz jego, okraszona długim jasnym wąsem, złożyła się do uśmiechu. Dwoje wielkich, szczerych, siwych oczu uprzejmie wypatrzyło się na mnie.

— To pan? — zawołał zdziwiony. — Od kiedyż pan jesteś w Paryżu.

— Od niedawna; A pan?

— Ja również.. Ponieważ nad Morzem Czarnem staliśmy się już niepotrzebni, od czasu jak zachodnie potęgi same laury zrywać tam postanowiły, przybyłem więc tutaj dla wyleczenia rany otrzymanej pod Giurgiewem, a której stan tureccy szarlatani mi tylko pogorszyli... Natłok ludzi mnie męczy; właśnie zamierzałem powracać już do domu. — I dodał, wskazując na stojącą między dwiema wachlarzowemi palmami kozetkę: — Pogawędźmy jednakże chwilkę, jeśli pan pozwolisz.

Usiedliśmy. Wśród pierwszych słów rozmowy wymieniłem jego nazwisko, węgierskiego pochodzenia.

— Przepraszam — przerwał mi żywo. — Nazywam się tutaj Belzoni, Józef Belzoni. Przyczyny tej zmiany zapewne panu będą obojętne.

W samej rzeczy nic mi nie zależało na poznaniu tych przyczyn. Pomimo tego jednak spojrzałem na niego mimowolnie pytającym wzrokiem, jak człowiek zdziwiony.

Wydał mi się melancholiczniejszym niż dawniej, gdyż w tureckim obozie znałem go jako jednego z najbardziej hulaszczych oficerów. Grał namiętnie, ale szczęśliwie, zasiadłszy z kolegami w namiocie, wokoło bębna; pił koniak z dużej wschodniej czary, która w takich razach zwykle kołem obiegała, — przyczem śpiewał najweselsze pieśni i był jednym z najruchliwszych.

Co prawda, całe postępowanie jego ówczesne wydawało mi się nieraz trochę nienaturalnem, afektowanem; jednakże w obozie nigdy nie można było właściwie pojąć natury Węgrów i Polaków. Raz w namiotach ich huczała wrzawa rozpasana i dzika. Czardasz lub mazur tętniał wśród namiętnych okrzyków; nieokiełzana panowała uciecha. Za chwilę ktoś zanucił pieśń narodową i po tych samych ogorzałych twarzach, które przed chwilą promieniały radością i weselem, poczynały się lać łzy grube, gorące, ściekając na ciemne, rozczochrane brody. Najgłębsza boleść z powodu niedoli Ojczyzny, rozdzierający serce żal po jej utracie i tęsknota zastępowały miejsce niedawnej uciechy — za chwilę zaś znowu dosyć było, ażeby cygan uderzył kilka taktów czardasza — lub mazura, a wszystko szło w zapomnienie!

Będę więc nazywał mego bohatera stosownie do jego życzeń, Józefem Belzonim, chociaż należał do znanej arystokratycznej rodziny węgierskiej. Nie wchodzę także tymczasowo w powody, który go skłoniły do zmiany nazwiska.

Zmiana jednakże w usposobieniu jego zaszła tak widoczna, że musiała zwrócić moją uwagę. Takim jak był teraz, bardziej mi się podobał. Nie było już w nim tej szorstkiej dzikości — a raczej zdziczenia wśród wojennego życia, podnieconego jeszcze uczuciami wygnańca. Obecnie, gdy się znów w cywilizowanem znalazł otoczeniu, widocznie powróciła weń do pewnego stopnia harmonja—a wyraz melancholji, widny na jego obliczu, pochodził może z trosk materjalnych, którym wygnańcy, — zwykle zbyt hardzi, aby prosić o wsparcie lub z ofiarowanego korzystać — nieraz w okropny sposób podlegali.

— Co zamyślasz pan począć? Czy powrócisz do swego pułku? — spytałem, gdyśmy sobie nawzajem z przygod naszych ostatnich się wyspowiadali, dosyć już bowiem czasu minęło, jak go ostatni raz widziałem.

— Zapewnie tak uczynię—chociaż nie zaraz, zresztą wszystko będzie zależało od okoliczności. Wyznać jednakże muszę, że dymisja byłaby mi o wiele pożądańszą, bo po skończeniu wojny służba dalsza w tej armji nie przedstawia

dla mnie wiele powabu. Przedewszystkiem jednak muszę się wyleczyć — a co dalej, zostawię losowi.

Belzoni wypowiedział te słowa głosem drżącym, w którym jeżeli nie boleść, to w każdym razie głęboki rozstrój wewnętrzny się przebijał. Widocznie czuł się niezmiernie znużonym, — widniało to z jego twarzy. Opuściliśmy obadwaj salony księcia. W drodze podał mi adres swego mieszkania, w maleńkiej uliczce na przedmieściu St. Germain, i przyrzekł odwiedzić mnie w ciągu kilku najbliższych dni, ponieważ jego z trudnością zastałbym w domu.

— Smutny to los wygnańca!—myślałem sobie powracając powoli do siebie. Pod obcem nazwiskiem — i dlaczego? Ranny — może bez najniezbędniejszych środków utrzymania!.. A jednak zdawało mi się, żem od jego towarzyszy w Bułgarji słyszał, że rodzina jego jest zamożną. Jeden z nich nawet wspomniał mi coś o dawniejszych wypadkach życia Belzoniego — ale przy najlepszej woli nic z tego nie mogłem sobie przypomnieć. Odłożyłem tedy bliższe zaznajomienie się z tym nader sympatycznym dla mnie człowiekiem do przyrzeczonych mi wkrótce przez niego odwidzin — długo jednakże jeszcze i w zagadkowy jakiś sposób ta postać majaczyła mi przed myślą.

III.

Minęło ośm dni. Zapomniałem już prawie o Sz.. a raczej o Belzonim, który mimo obietnicy do tej pory się u mnie nie pokazał. W tem gorączkowem życiu nadsekwańskiego Babilonu, nadzwyczaj łatwo wszystko zaciera się w pamięci. Uściskało się rękę przyjaciela, o którym się sądziło, że Bóg wie, gdzie się znajduje — i w pośród tak rozlicznych spotkań i zetknięć — za godzinę już się o nim nie myśli. Zresztą wojna i Wystawa Światowa pochłaniały wówczas ogólną uwagę.

Raz po południu, przechadzałem się przed objadem, w tak zwanej absyntowej godzinie po polach Elizejskich. Powietrze było łagodne; mnóstwo używających przechadzki przewijało się w tę i w ową stronę; bony bawiły się z dziećmi na przeciwko pałacu Przemysłu; krzesła na otwartem powietrzu zajmowały gawędzące grupy, lub samotni obserwatorowie.

Pomiędzy pierwszemi zauważyłem dwie damy siedzące w pierwszym rzędzie, zajęte rozmową z młodym mężczyzną w ciemnym stroju. Poznałem w nich natychmiast dwie nieznajome, napotkane w przedpokoju u doktora. Wielekroć już zdarzyło mi sę widzieć je na ulicy, mieszkały bowiem w mojem pobliżu, i oprócz osobliwej piękności młodszej, jej imponującej postawy i wdzięku w poruszeniach—pewna rzecz jeszcze w nich zwróciła moją szczególniejszą uwagę. Oto zdawało mi się, ilekroć pokazywały się publicznie, spostrzegać w ich wzięciu się jakąś zagadkową niepewność i lękliwość.



Z przelotnem zainteresowaniem się tylko rzuciłem okiem na obiedwie panie. Na wielkie jednak zdziwienie moje w ich towarzyszu poznałem — Belzoniego.

W gruncie rzeczy nie było w tem nic nadzwyczajnego. Byli ziomkami, — mogli się więc znać z kraju — lub tutaj zaznajomić.

Minąłem ich. Belzoni nie zauważył mnie. Nie ciekawość, ale raczej osobliwszy powab młodszej z dam skłonił mnie o dwadzieścia kroków może od tej grupy, zająć krzesło i to w takiem położeniu, iż z mego miejsca mogłem wybornie w samą twarz jej spoglądać.

Rozmowa Belzoniego z nią miała zgoła inny charakter, niźli przypuszczałem. On przemawiał żywo, namiętnie; ona słuchała smutna, pochylone oczy kiedy niekiedy tylko, jakby pytająco, ku matce podnosząc. Sposób, w jaki rozmawiali i wyraz, z jakim ich oczy spotykały się z sobą — ich wzięcie się wzajemne względem siebie zdradzały niezaprzeczenie jakiś poufalszy stosunek.

A i temat, który w tej chwili obrabiali, nie mógł być obojętnej natury. Belzoniego twarz raz bladła, to znowu okrywała się gorącą purpurą; chwilami chwytał się ręką za piersi, to podniósł ją ku twarzy, wpatrywał się pytająco w młodą damę, milknął na kilka sekund i znowu popadał w dawną gwałtowność wyrazu i gestykulacyi.

Wśród tego najwyżej może kwandrans czasu przeminął. Naraz spostrzegłem, że nietylko ja sam na tę grupę tak baczną zwracałem uwagę. Wysoki i smukły jakiś mężczyzna, z twarzą na pół osłoniętą ciemnym zarostem brody,

z rękami skrzyżowanemi na piersiach, stał w bliskości oparty o drzewo; wpatrywał się w mówiących uporczywym, prawie bezczelnym wzrokiem.

Cała postać jego zdradzała paryskiego eleganta. Na twarzy miał wyraz tego cynizmu, dla którego nie ma nic świętego na świecie; strój miał na sobie wyszukanie elegancki, ale tak wytarty, że posiadacz jego widocznie musiał uczuwać już troskę, jakimby sposobem nowy od krawca dostać.

Belzoni nie widział ani mnie, ani jego. Zdawał się być tak przejętym przedmiotem rozmowy, że nic naokoło nie zwracało jego uwagi — a ona, ona zdawała się tak głęboko wzruszoną jego słowy, iż oka nie odrywała od ziemi.

Naraz podniosła twarz. Wzrok jej padł na opartego o drzewo mężczyznę. Mężczyzna spojrzał na nią ponuro, wyzywająco, zuchwale.

I w tej chwili zdawało mi się widzieć, jak wargi jej zadrgnęły — a twarz jej i tak już wybladła, śmiertelną bladością się okryła.

Powstała żywo, kładąc jednocześnie rękę na ramieniu matki, jakby ją wzywała także do powstania. Wyprostowana i drżąca, — stała z twarzą zwróconą ku matce.

Belzoniemu ten ruch niespodziewany przerwał mowę. I on także podniósł oczy — i on spojrzał w kierunku, zkąd taka groza na młodą damę przyszła. Spojrzał i skoczył na równe nogi a ręka jego silnie pochwyciła za poręcz krzesła, i podniosła je konwulsyjnie w górę, jak gdyby do odporu.

Cała ta scena trwała zaledwo sekundę. Ujrzałem, jak młoda dama, pochwyciwszy za ramię matki, prędkiemi ale niepewnemi kroki wysunęła się z pomiędzy okalających krzeseł do fiakra stojącego w alei, wsiadła doń z matką i odjechała.

Prawie jednocześnie i nieznajomy dopadł do najbliższego fiakra, rzucił woźnicy słów kilka, wskoczył do środka i obadwa fiakry popędziły w kierunku Place de la Concorde.

Belzoni pozostał sam, nieruchomy z podziwu, ścigając oczyma znikające ekwipaże, a obiema rękami wciąż jeszcze ściskając kurczowo poręcz krzesła, niepewny co ma uczynić: pozostać w miejscu, czy pędzić za tamtemi.

Nie przyszło mi na myśl do niego przystąpić — bo w podobnem usposobieniu trudno było spodziewać się od niego uprzejmego przyjęcia. Oddaliłem się owszem, jak mógłem najspieszniej z tego miejsca, ażeby mnie nie spostrzegł — i zdaleka już widziałem, jak się wreszcie poruszył i przeprowadzany znaczącem poruszeniem głowy osób zajmujących sąsiednie krzesła — skierował się wtęż samą, co i fiakry stronę.

— Kobiece sprawki! — mruknął drwiąco jakiś jegomość, obserwujący tę scenę.

Istotnie — jegomość zdawał się mieć słuszność. Między tym nieznanym mężczyzną a młodą węgierką zachodzić musiał jakiś stosunek, który jego do podobnego zuchwalstwa a ją do ucieczki popchnął. Ale w jakim stosunku znajdował się Belzoni do niej — czy też do obojga?

Rozumie się, że obecnie nie miałem już żadnej nadziei, żeby Belzoni pomyślał o mnie, żeby wobec tak interesującej znajomości w ogóle mógł pamiętać, że na świecie istnieję ja, będący dlań osobistością obojętną, dla której nie czuł żadnego żywszego interesu, chyba przechodnią potrzebę zamienienia przy sposobności słów kilku.

Lepiąc więc romans w myśli, jaki prawdopodobnie nigdy pomiędzy temi osobami nie istniał — przechadzałem się dalej.

— Kobiece sprawki! — mruczałem także do siebie. Wieleż podobnych odgrywa się codziennie w tym Babilonie — cóż więc znaczy jedna mniej lub więcej!

(C. d. n.)

CHLEB LUDZI BODZIE

KOMEDJA W 1 AKCIE przez JÓZEFA BLIZIŃSKIEGO.

OSOBY:

Kiksiewicz. — Kiksiewiczowa. — Jadwinia, ich córka. — Teodor Moszczyc. — Onufry. — Marcin. — Szwindelman.

Rzecz na wsi, w domu Kiksiewiczów.

Teatr przedstawia pokój gospodarski; w głębi drzwi szklanne stanowiące główne wyjście; na prawo jedne drzwi boczne — na lewo dwoje, jedne w pierwszej, drugie w ostatniej kulisie; umeblowanie skromne; na prawo stara i wązka kanapa z wypłowiałem pokryciem, na lewo stół albo biurko czarno pomalowane, na którem rejestra gospodarskie, duży kałamarz i t. p. kilka prostych krzeseł pod ścianami.

SCENA I.

JADWINIA, ONUFRY.

Onufry (p. c. milczenia, proszącym tonem). Moja złota panno Jadwigo...

Jadwinia (figlarnie). Cóż, mój brylantowy p. Onufry?

Onufry (z wyrzutem). Tak? żarciki ze mnie!

Jadwinia (j. w.). Jakie żarciki? nazwałeś mnie pan złotą, ja pana brylantowym, o cóż chodzi?

Onufry. O to, że na kogo pan Bóg, to zaraz i wszyscy święci... na pochyłe drzewo to i kozy skaczą.

Jadwinia (z ukłonem). Czyli inaczej, że ja koza... na taki komplement nie mam już nic do powiedzenia.

Onufry. Jest! jak mnie pani zaczniesz po swojemu łapać za słówka, to nie będę mógł się wcale odezwać, szczerze powiadam, (p. c. z żalem, chodząc wielkiemi krokami.) Nie! ja widzę, że z tego wszystkiego nic nie będzie... to darmo! trzeba sobie raz wyperswadować.

Jadwinia (z żartobliwą amfazą). Bójże się pan Boga, co się stało?

Onufry. Co się stało? to, że ja już chyba tego nie przezwyciężę... (p. c.) Jak sobie wspomnę przeszły rok, to mi się serce kraje... tak ślicznie szło, bylibyśmy już dziś może po ślubie, tymczasem wszystko się zmieniło; ni ztąd ni zowąd jakieś muchy w nosie, i to nie tylko rodzice, ale i panna Jadwiga.

Jadwinia (patrząc mu w oczy). Jak to? czy pan to na serio mówisz?

Onufry (mięknąc). Jakże niemam mówić, kiedy...

Jadwinia (z wyrzutem). Wstydź się pan! (odwraca się z dąsem.)

Onufry (załamując ręce). Jest, znowu! (chodząc za nią.) Panno Jadwigo przepraszam, proszę o rączkę... moja pani złota (Jadwinia chodzi unikając go; płaczliwie) ach! Boże, co muszę wycierpieć!

Jadwinia. No, masz pan, masz, a nie płacz. (Onufry całuje jej rękę kilkakrotnie z zapałem.) Z panem to trzeba doprawdy jak z dzieckiem.

Onufry. Ale na miłość Boską, niechże pani sama powie: rodzice dopóki trzymali w mieście oberżę pod kogutkiem, to przyjmowali mnie jak niewiem kogo, i nazywali już nawet zięciem; jak tylko zostali dziedzicami wsi, tak zaraz im się w głowie przewróciło, i już, panie nie dostępuj do nich... słyszeć o mnie nie chcą, choć przecie jestem pisarzem prowentowym w takich dużych dobrach, i mam, panie, trzysta rubli pensji... a na przyszły rok, da Bóg doczekać, spodziewam się być głównym rządcą.

Jadwinia. Cóż na to poradzić, kiedy rodzice mają uprzedzenia, i to im się właśnie nie podoba...

Onufry. Że jestem w obowiązku? ba! ja wiem, że im to nie w smak, osobliwie matce, ale to trudna rada! wszakże człowiek stworzony na to, żeby pracował; nie sztuka, panie baraszkować i minę stroić, a później zębami szczękać. (p. c.) Czy pani myślisz, że i oni już mogą siedzić z założonemi rękoma dla tego, że kupili tę głupią Kocią Górkę, którą, panie, notabene przepłacili? Wspomnicie moje słowa, że za jakie kilka lat wezmą napowrót propinację.

Jadwinia. A to pięknie nam pan życzysz... dziękuję panu.

Onufry. Mój Boże! ja źle życzę! toć jabym państwu nieba przychylił, gdybym mógł, szczerze powiadam... ale przecie widzę, co się dzieje, i przykro mi.

Jadwinia. E, bo pan zanadto się już rozgadałeś, jak mamę kocham.

Onufry. Ale moja panno Jadwigo; wszakże dawniej, ile razy przyjechałem, to rodzice przywitali się ze mną jak z człowiekiem, przyjęli po ludzku, nagadaliśmy się, naśmieli... a teraz co? ojciec się skrzywi, słowa nie przemówi... matka znowu, co całowała mnie zawsze w głowę, to teraz ledwo że mi się odkłoni, i także nie chce odpowiadać, tylko z papierosa puh! puh!... ale! zkąd jej się wzięło naprzykład, papierosy ćmić, czy to potrzebne?

Jadwinia (niecierpliwie). O! Boże kochany, co to panu szkodzi!

Onufry. Toć nic nie szkodzi, ale mię serce boli, tem bardziej, że to wszystko na złość, żeby mi zaimponować.

Jadwinia. Co też pan wygadujesz, Jezus Marja!

Onufry. Tak jest, szczerze powiadam, rodzicom się zachciało koniecznie zięcia z szykiem, inaczej ani rusz! czemuż nie wybrali sobie jakiego panicza wtenczas, gdy jeszcze mieszkali w mieście? wszakżesz pod kogutkiem bywało szlachty jak nabił; skoro tylko pani powróciłaś z pensji, zamawiali się do rodziców umyślnie, aby panią zobaczyć i zalecać się... istny odpust do cudownego obrazu... a jednak wtenczas ja byłem dobry, nie to co dziś.

Jadwinia. Ale nie mówże pan takich rzeczy, bo mi przykrość sprawiasz, jak mamę kocham. Wtenczas właśnie, chociaż tylu mi się zalecało, powiedziałam sobie, że tylko za pana pójdę, więc jeżeli rodzice nie mogą się zdecydować, marząc o jakiejś świetniejszej dla mnie partji, to przecie zdaje mi się, że mógłbyś pan rachować cokolwiek na mnie; dałam uroczyste słowo, i dotrzymam.

Onufry (uradowany, całując jej rękę). Z pewnością? ach! panno Jadwigo, pani bo nie wiesz, jakie mnie myśli czasem przychodzą do głowy.

Jadwinia (spostrzegłszy wchodzącego Kiksiewicza). Cicho! ojciec idzie.

SCENA II.

Kiksiewicz (w kitlu płóciennym, wchodzi pierwszemi drzwiami z lewej strony, skrzywiony, trzymając tuż przed oczami papier stęplowy) Onufry, Jadwinia.

Kiksiewicz (do siebie, siadając przy biurku). Odebrałem jakiś pozew, i ani weź... nic a nic go nie rozumiem... pytałem się woźnego, ale on taki mądry, jak i ja...

(Onufry całuje go w ramię; przymrużając oczy kwaśno). A, pan Onufry! skądżeś się pan wziął?

Onufry. Objeżdżałem nasze folwarki, a że mi tędy droga wypadła, więc uwiązałem, panie, konia u płotu i wstąpiłem na momencik odwiedzić (całuje go w ramię).

Kiksiewicz. Panu zawsze tędy droga wypada (spostrzegłszy córkę i mierząc ją surowym wzrokiem; n. s.). Coś on mi tu znowu za często zagląda do Jadwini... co było dobre kiedyś, to nie dziś.

Onufry. Jakże zdrowie pana Kiksiewicza dobrodzieja?

Kiksiewicz (opryskliwie). Dziękuję, zdrów jestem (p. c.) zresztą przecie pan widzisz... czego się to pytać, i naprożno psuć gębę.

Onufry. Bardzo się cieszę.

Kiksiewicz (j. w.). Z czego? ciekaw jestem; czyś pan myślał, żem już umierał?

Onufry. A niechże Bóg broni!

Kiksiewicz. A to znowu dla czego? ludzie umierają i dobrze jest... nie ja byłbym pierwszym ani ostatnim.

Jadwinia (n. s.). Biedak! to się ojciec zawziął na niego!

Kiksiewicz (zawsze zajęty czytaniem). Ciągłe czułości i czułości, nie wiedzieć z jakiej daty; co pana to może obchodzić, czym ja zdrów, czy chory?

Onufry (potulnie, całując go w ramię). Przecie ja pana Kiksiewicza kocham i szanuję jak ojca, szczerze powiadam, i radbym... (skrobie się po głowie) radbym..

Kiksiewicz (przez zęby). Obejdzie się, kwituję (czyta; Jadwinia i Onufry spoglądają po sobie, n. s.) onby mi to mógł wytłómaczyć (p. c. wskazując na papier), słuchajno pan, powiedz mi, co to jest, bo ja nie mogę dojść sensu.

Onufry (skwapliwie). Proszę, niech pan pozwoli.

Kiksiewicz (wstając). Zaraz, ale nie tu, pójdźmy do tamtego pokoju (wracając od drzwi, do Jadwini, grożąc) Jadwiniu, jak cię raz jeszcze zobaczę na konszachtach z tym Onufrym, to... zobaczysz... no! więcej powiem.

Jadwinia (z uśmiechem). Ciekawa jestem, coby ojciec mógł powiedzieć?

Kiksiewicz. Zabraniam ci, i cała rzecz!

Jadwinia (z przymileniem). E, ja wiem, że to tylko żarty.

Kiksiewicz (serio). Żarty? cóż ty znowu! mówię na prawdę (innym tonem głaszcząc ją), przecie to powinnaś rozumieć, że teraz ty jesteś dama całą gębą, córka obywatelska, a to zawsze służący, fagas. —

Jadwinia (dotknięta). Jednak jakoś bez tego fagasa ojciec nie może się obyć, i radzi go się.

Kiksiewicz. I cóż z tego? wyjechałaś ni w pięć ni w dziewięć... że ja go się poradzę, to nic dziwnego, ale ty nie powinnaś się z nim poufalić... mógłby sobie nabić głowę Bóg wie czem, a to się na nic nie zda; ty znajdziesz kogoś lepszego... Szwindelman ma już, pisał mi... pan z panów, zobaczysz! (głaszcząc ją pod brodę) oj! ty... ty... ty... co to za hrabina z tego będzie, narody klękajcie! (wychodzi na lewo w pierwszą kulisę, poprzedzając z wyniosłą miną Onufrego, który na migi stara się dać poznać Jadwini, że powróci).

SCENA III.

JADWINIA (później) KIKSIEWICZOWA.

Jadwinia (wzruszając ramionami.) Jak mamę kocham, Onufry ma świętą rację, że to dziedzictwo zawróciło głowy rodzicom.. (przechadza się) pan z panów—o! niech przyjdzie, będę mu bardzo rada! wielka dama, jak ojciec mnie nazywa, zemści się za córkę oberżysty, odpłaci za te wszystkie upokorzenia, jakie wespół z rodzicami musiała znosić (p. c.)—jakiś zrujnowany, upadły może synek obywatelski dla posagu raczy zrobić mi łaskę, i ofiarować swoje zbrukane nazwisko, żebym potem pomiędzy niemi wytykaną była palcami, jak szara gęś! (p. c.) Jakie on musi mieć wyobrażenie o mnie!.. sama myśl o tem irytuje mnie.

Kiksiewiczowa (wchodząc z prawej strony, w penioarze i ogromnym koku, z papierosem w ustach). Nie irytuj się, przyjedzie, przyjedzie.

Jadwinia. Kto taki?

Kiksiewiczowa. Ktoś. Ten, o kim marzyłaś.

Jadwinia. Nie marzyłam o nikim.

Kiksiewiczowa. Nie udawaj, nie udawaj.

Jadwinia. Niezawodnie mama ma na myśli tego tajemniczego amatora na moją osobę a raczej posag, bo i ojciec wspomniał mi coś o nim.

Kiksiewiczowa. A widzisz!

Jadwinia. I cóż to za jeden?

Kiksiewiczowa (chodząc po scenie z wystudjowanemi minami). A! ciekawaś... nie dziwię ci się... ale bądź spokojna, to jest ktoś odpowiedni do naszej obecnej sytuacji... przyzwoity obywatel (do siebie) nie żaden pisarek.

Jadwinia. Zkądże mu się wzięła taka raptowna miłość, bo wątpię, czy mnie widział kiedy...

Kiksiewiczowa. Ha! kto wie... skoro mu się podobałaś.

Jadwinia. Ja? jemu? no, to chyba ktoś z tych, co stawali u nas w...

Kiksiewiczowa (nie dając jej skończyć). Cicho! o mały włos nie wspomniałaś o oberży... Jezus Marja!

Jadwinia. Jakto? więc kryć się trzeba z tem, co stanowi źródło naszego majątku... a to winszuję.





Agryppi tonąca.

Kiksiewiczowa. Ale koniecznie... zmiłuj się!.. śliczne rzeczy... odzwyczajże się od tego raz na zawsze... to już przeszło, minęło! (n. s. chodząc j. w.) chociaż prawdę powiedziawszy, to były święte czasy... ach! mój Boże! tyle gości zawsze! nie tak jak tu, co żywa dusza nie zajrzy... takie nudy teraz, że niech Bóg broni... nigdy nie byłabym się tego spodziewała.

Jadwinia (chodząc także). Zatem to ktoś ze znajomych.

Kiksiewiczowa. Ale gdzież tam, nigdy u nas nie był... z innych stron zupełnie.

Jadwinia. Więc gdzież mnie mógł zobaczyć? nie pojmuję.

Kiksiewiczowa. Hm! na wszystko są sposoby... fotografia, coś podobnego.

Jadwinia (stając). Fotografia? mama żartuje... (Kiksiewiczowa milczy uśmiechając się) może żyd mu zawiózł moją, a on tam chwali się nią i wszystkim pokazuje... dziękuję państwu.

Kiksiewiczowa. Ale pleciesz, na sercu nosi. Szwindelmanowi obiecał złote góry za to, żeby go tu przywiózł... powiadam ci, zakochał się po uszy.

Jadwinia (ironicznie). Proszę, tak od razu, z obrazka?

Kiksiewiczowa. Przekonasz się, jak przyjedzie, a podobno, tylko go patrzeć.

Jadwinia. Ach! co też rodzice robią! do czego to podobne— (p. c.) uprzedzam mamę, że nawet mówić z nim nie będę.

Kiksiewiczowa. To też bardzo dobrze, nie potrzebujesz mówić, dosyć będzie odpowiadać lub potakiwać dla utrzymania konwersacji... pannie w twojej sytuacji nie przystoi być zanadto wygadaną... trzeba być skromną, to nie na oberży.

Jadwinia (ironicznie). Jakto, więc na oberży to można?..

Kiksiewiczowa (przerywając). Co znowu!.. to także! nigdzie nie można, każdy wie o tem... (gadatliwie) tylko kiedy idzie o powodzenie zakładu, o przyciągnięcie gości, to jest zupełnie co innego. Przypomnij sobie, co tu u nas za młodzież bywała, nie tylko w ostatnich czasach, ale i dawniej, jak jeszcze byłaś dzieckiém... sama arystokracja. Butelkowscy z pod łabędzia pękali z zazdrości, bo u nich stawali tylko oficjaliści i drobna szlachta... a dla czego? bo to byli ordynarni ludzie, a ja miałam inne wzięcie, potrafiłam się podobać, być uprzejmą, rozmowną... to też jakie honory mi robili! wozili po spacerach, zdrowie moje pili... awantury!.. (chodzi; p. c.) a interes, jak szedł! Ojciec, co z początku nieraz historje wyprawiał z zazdrości, jak się zastanowił, to po rękach i kolanach mię całował.

SCENA IV.

Poprzedzający, **Kiksiewicz** (wchodzi z lewej strony za nim) **Onufry** (z papierem w ręku, później) **Szwindelman.**

Kiksiewicz (wchodząc prędko, zaaferowany). Szwindelman przyjechał! Szwindelman przyjechał! widziałem go z okna.

Jadwinia (n. s.). Ten faktor!

Kiksiewiczowa (ucieszona). A, chwała Bogu!

Jadwinia (n. s.) Jak mamę kocham, zmięszałam się... to doskonałe!

Szwindelman (żyd nowoczesny, w długim surducie, bez pejsów, starający się okazać godność i dystynkcję w obejściu, wchodząc środkowemi drzwiami). Moje uszanowanie państwu.

Kiksiewicz (podając mu rękę). Witam, witam.

Jadwinia (n. s.). Sam!.. to przecie!

Kiksiewicz (do ucha żonie). Wynieście się ztąd. bo ja chcę z nim najprzód pomówić w cztery oczy.

Kiksiewiczowa (podobnież). A nie zbajże się, bo ty zawsze zapominasz, że jesteś obywatelem (cicho, przechodząc koło Szwindelmana). Przyjedzie? (Szwindelman robi gest uspokajający) ładny? (Szwindelman robi gest admiracji).

Kiksiewicz (spostrzegłszy Onufrego; do siebie). A ten się musi zaraz wrazić, gdzie niepotrzebny (niecierpliwie, chcąc odebrać papier) proszę — już przeczytane?

Onufry. Nie jeszcze.

Kiksiewicz. Nie? pókiż tego...

Onufry. To okropna wikłanina, ledwo do połowy doszedłem.

Kiksiewicz (wypraszając go). No, to proszę tam... na osobności, będzie spokojniej, nikt nie przeszkodzi.

Onufry (odchodząc n. s.). Wyprasza mnie, jakieś tajemnice z tym żydem, oj źle! (do Jadwini, cicho) panno Jadwigo... (Kiksiewiczowa spostrzegłszy to, bierze Jadwinię za rękę, i każe jej iść przed sobą; wychodzą na prawo; Onufry na lewo w pierwszą kulisę, ociągając się).

(*C. d. n.*)

Agryppina tonąca.

Ostatnie czasy rzymskiego cezaryzmu dostarczyły powieściopisarzom, artystom i poetom obfitego materjału do dzieł mistrzowskich prawdziwie. Szczególniej zaś czasy Tyberjuszowe, którym zawdzięczamy przepyszną „Kapreę i Romę“ niewyczerpanego J. I. Kraszewskiego—i epoka dobywania się z katakumb chrześcijaństwa ze zwycięskim sztandarem, który wkrótce po nad całym światem powionął, dały tło i przedmiot do dzieł tak znakomitych, jak znana „Fabiola“ Wiesemanna i „Afraja“ Müggego. Najjaskrawsze jednak i najdosadniejsze zarysy pozostały z epoki Nerona w pismach współczesnych satyryków i historyków. To też z tej złotej miny dotychczas wydobyto już skarby—a jeszcze ukrywa ona niezmiernie wiele zdobyczy dla przyszłych pionierów. Istotnie kuszące być musiały dla artysty i poety te obrazy starego świata, stojącego u szczytu swawoli i zbytku, pełnego potwornych nieraz a zawsze oryginalnych postaci i scen oddychających iście tragiczną grozą. W najbliższych kilku latach na tle Nerońskiej epoki powstały dwa arcydzieła w różnych działach sztuki: wspaniała powieść poetycka Roberta Hamerlinga „Ahaswer w Rzymie“ i rozgłośne już dzisiaj w całym cywilizowanym świecie Siemiradzkiego „Pochodnie Nerona“.

Nie naszą jest rzeczą zajmować się ostatnim z tych utworów, — musimy jednak wspomnieć tu o pierwszym, ponieważ rycina, którą czytelnicy mają przed sobą, jest illustracją do jednej z głównych postaci i najtragiczniejszej ze scen powyższego poematu. Przedstawia ona Agryppinę, matkę Nerona, zapadającą się w morze ze statkiem, którego belkowanie przygotowano do tej katastrofy na rozkaz jej syna.

Julja Agryppina była córką również Agryppiny, żony Cezara Germanika. Matka jej odznaczała się dziwną szlachetnością duszy i męskim prawie hartem charakteru. Nieodstępna towarzyszka świetnych wypraw wojennych swego męża, po jego tragicznym z otrucia zgonie powróciła do Rzymu. Tu jednak wolnomyślność jej taką wzbudziła do niej nienawiść w Liwji i Tyberjuszu, iż ją wygnali na wyspę Pandatarję niedaleko Neapolu. Bohaterska niewiasta nie chcąc znieść tego upokorzenia, głodem się zamorzyła.

Imienniczka jej i córka Agryppina była żywem przeciwieństwem moralnem swej matki. Najpiękniejsza ale i najprzewrotniejsza z niewiast Rzymu, najnikczemniejszemi intrygami i sztuczkami skłoniła niedołężnego Klaudjusza do pojęcia jej za żonę, a osiągnąwszy ten cel, jedynie tylko myślała, jakby go strącić z tronu, a osadzić na nim młodzieńczego Nerona, syna swego, nad którym wówczas bezwzględny wpływ posiadała. Wreszcie przerażona wzrastającem przywiązaniem starego Cesarza dla Brytanika, syna z pierwszego małżeństwa, męża trucizną się pozbyła i wyniosła na tron Nerona. W krótce jednak buntowniczy i dziki duch przyszłego tyrana Rzymu zmierził sobie niewolę matki. Neron skazał ją naprzód na wygnanie, — następnie zaś, gdy ztamtąd jeszcze sieć intryg rozciągała, rozkazał ją utopić — a gdy się to nie powiodło, zamordować ją w jej letnim domu. Stało się to w r. 59.

Dotąd historja. Powiada ona, że utopienie się nie powiodło.

Poeta jednak a za nim illustrator odważyli się w tym względzie nie zgodzić z historją.

Śmierć przez zatopienie statku ofiarowywała piękniejsze i tragiczniejsze motywy — dla tego tę obadwa wybrali.

Chwila odtworzona na illustracji przedstawia moment ostateczny katastrofy. chcąc jednak dobrze pojąć jej tragiczność, potrzeba rozstać się z historją — a pójść za poetą, który z potężną intuicją odtworzył wszyskie motywy, jakie mogły popchnąć Nerona do tak przerażającej zbrodni i mistrzowsko przeprowadził akcję aż do kulminacyjnego punktu.

Neron skeptyk, zwątpiwszy o wszystkiem, młody jeszcze a przesycony do dna życiem i użyciem, nie wierzący w istnienie jakiejkolwiek miłości na świecie — wierzy jeszcze w miłość matki. Jest to ostatnia nić, która go wiąże z ludzkością. Cudnie wypowiada on tę swoją wiarę. Cytujemy ze świeżo wyszłego przekładu Wł. Ordona:

„Z serca kochanki wnet wyprzeć mnie zdoła
Lektykarz, szermierz z dorodną postawą,
Gdy jak ja piękny, — to moja purpura
Na korzyść moją zwrot może wywoła;
Lecz gdy piękniejszy — któraż z nich, o która,
Mnie nie porzuci na skinienie jego?!
Cóż zaś, gdy mego rywala uroda
Wyższą o wiele? — O, wówczas mi poda
Truciznę nawet, gdy on zechce tego!
O, jak inaczej kocha serce matki!
Sprowadź książęcia z dalekiego Wschodu,
Możnego w wszystkie wdzięki i dostatki,
Pieszczocha bogów, z najwyższego rodu:
Czemże on dla niej w obec mnie — jej syna?!
Ona mnie tylko zna; — ku mnie wciąż biegą
Jej oczy... tylko mnie, syna swojego
Kocha!.. I taka nie przyjdzie godzina
Przez całą wieczność, by kochać przestała!..

Tamten być może bogacz — jam jej dziecię,
Cudo urody — jam ciało jej ciała,
Odemnie nie ma nic droższego w świecie!
Co?! Niechaj z Światem mnie kto zważyć każe:
Ona ni chwili nie stanie w rozterce,
Na moją szalę rzuci matki serce,
I ja, z jej sercem — cały świat przeważę!...

Z takiem uniesieniem wierzący w miłość matki Neron, przez zbieg okoliczności na którego opis miejsca tu nie ma, doprowadzony przez swego zausznika, chytrego murzyna, Tigellina, do jednego z namiotów ustawionych w ogrodach, gdzie się Bachanalja odbywa, podsłuchuje w tym namiocie rozmowę matki swojej Agryppiny z tancerzem Parysem, jej ulubieńcem, którego trwogę przed Neronem uspokajając, przewrotna niewiasta odkrywa mu iż w razie jakiegokolwiek oporu Nerona przeciw jej woli, ma przygotowane sprężyny do wywołania w Rzymie rokoszu, strącenia go z tronu i osadzenia na jego miejscu brata jego, niedołężnego Brytanika.

Odkrycie takiej niegodnej zdrady — gasi ostatnie ludzkie uczucie w piersi Nerona. Wściekły i dyszący tylko zemstą żąda od swojego wiernego murzyna, aby mu wymyślił rodzaj śmierci dla Agryppiny. Śmierć to ma być straszna, ale wspaniała i majestatyczna a razem nie budząca żadnego podejrzenia.

Oto co mówi Neron:

— A Agryppina? Jakby ją świata
Sprzątnąć najciszej i bez podejrzenia,
Najgłówniej zlecam ci do obmyślenia...
A zgrozy pełną ma być jej zapłata!...
Okropną śmiercią musi być stracona!
Ha!.. Umrzeć!.. Ona?.. Ledwo myśl to chwyta!..
Ona?... z Rzymianek ostatnia?... A przecie
Tak się stać musi!.. Lecz nie pospolita
Winna być śmierć ta macierzy Nerona!
Wymyśl mi rodzaj śmierci — choć tajemnej
Lecz najwspanialszej ze wszystkich na świecie;
Jak heroinę w Hades wwiedź ją ciemny —
Z pompą!.. Ma zginąć — lecz zginąć wspaniale.—

„A jednak w tajni i niepostrzeżenie
I podejrzenia by nie zbudzić wcale?
Rzecz to nie łatwa!“...

Odpowiada Murzyn. Lecz wnet zbrodnicza jego wyobraźnia podsuwa mu następujący plan:

. . . . Lecz tak stać się może:
Ty ją zaprosisz w synowskiej pokorze,
Jakbyś tych szeptów nie słyszał w namiocie,
Do pałacyku wiejskiego nad morze,
Gdzie sprawiasz bankiet twych przyjaciół rocie.
Gdy przyjmie, lekki statek poślesz po nią,
Co ją przewiezie z miasta Tybru tonią,
A potem morzem, wzdłuż zielonych brzegów,
Aby wysadzić przed twym pałacykiem...
Lecz tego statku ja będę sternikiem!
Ja w tem, — a wiesz już, że tysiąc wybiegów,
Tysiąc sztuk umiem — ja w tem, że przy małem
Przygotowaniu w belkowaniu nawy,
Nie sięgnie nigdy Agryppina brzegu!...
Ja w tem, że zgon ten straszliwie wspaniałym
Będzie — wystawę przyrzekam bogatą!..
Ja odpowiadam za wszystko — i za to,
Że bielszym iście wydasz się od śniegu,
W tej katastrofie ty, panie łaskawy!...

Neron chwyta ten piekielny wyrób złośliwości murzyna skwapliwie:

— Tak... Dobrze—Weź więc z mych pysznych gondoli
Najparadniejszą — i ustrój do woli,
Jak najzbytkowniej!..

Cynizm murzyna zdobywa się na taką uwagę:

. . . Toż to właśnie szkoda.
Bo tego statku nie powróci woda
Nigdy w całości z objęć swej topieli,
On los piękności niesionej podzieli...
„Więc go podwójnie ozdób!.. Czyś zrozumiał?—

Woła Neron, a po pokornej odpowiedzi murzyna „Jak każesz, panie“ — przechodzi do ostatnich wskazówek;

Teraz, gdyś tak umiał
Mnie zadowolić — dokończ swego dzieła:
Zostań tu, pilnem oglądaj się okiem,
By Agryppina ci się nie wymknęła;
A gdy ją zoczysz, wsącz przeklętej w ucho
Tę zdradną prośbę, która ją upieści
Władzy, zabawy radośną otuchą,
A będzie dla niej śmiertelnym wyrokiem!“

Rozkaz dany. Powolny i rozkochany w zbrodni dla zbrodni trabant nie zaniedba spełnić rozkazu pana a swego planu.

Śmierć Agryppiny miała być straszliwa i wspaniała. Zobaczmy czy taką przedstawił ją poeta. Poświęca on temu przedmiotowi całą pieśń III. zatytułowaną: „Agryppina“. Podajemy najważniejsze ustępy tej pieśni. Opowiadanie rozpoczyna się od opisu statku na którym płynie, upojona najrozkoszniejszemi złudzeniami — a na śmierć pewną dążąca ofiara. (*C. d. n.*)

POGADANKA.

(Na co się można narazić, gdy się u nas powie coś do rzeczy. — Balistyczne ćwiczenia „Czasu“ i „Przeglądu lwowskiego“. — Kopalna krytyka i dolichocefale. — Cicero pro domo sua. — Eine noble Passion! — Hr. Ludwik Dębicki o niezbadanych wyrok Opatrzności. — Dlaczego legjony były potrzebne? — Konkurs dramatyczny imienia Aleksandra Fredry. — Arrja i Messalina. — Duch Wojewody. — „Nędza na Rusi“ i socyalizm. — Projekta do uczczenia zasług J. I. Kraszewskiego zmierzające. — Nowy poemat Lenartowicza. — Nowe prace Matejki.

Zabierając się do pisania niniejszych pogadanek, przysiągłem Bogu, sobie i mojemu wydawcy, że będę w nich — o ile na to miejsce pozwoli — jak najobszerniej zdawać sprawę z umysłowego ruchu w naszej ojczyźnie, a nie zstępować nigdy na arenę osobistych polemik i parafialnych swarów. Aliści: „chłop strzela, a Bóg kule nosi!“ I ja także muszę niestety uledz losowi, znać na wszystkich u nas piszących ciężącemu, pochwały bowiem, które się na mnie w odcinku „Czasu i w Przeglądzie lwowskim“ z powodu pierwszej mej pogadanki posypały, nie pozwalają mi wytrwać w moim zamiarze!

Biorąc pochop z mego twierdzenia, że nas w zeszłym roku prasa nasza wyłącznie karmiła „sofizmatami, frazeologją, fałszywym patosem i fałszywą moralnością“, przyklasnęły obydwa te pisma wypowiedzianej przezemnie prawdzie, a potem zawoławszy głosem wielkim: „Panie dziękujemy Ci, iż nie jesteśmi tacy jak oni (wskazani przez Chochlika) publikanie!“ porwały mnie w moralnem tego słowa znaczeniu za kark, aby mną — również w moralnem tych słów znaczeniu — porozbijać głowy swym przeciwnikom!

Przyznajcie Państwo, że tego rodzaju panegiryki mogą rozgniewać najdobroduszniejszego nawet człowieka, i dlatego to ośmielam się prosić, mianowicie księdza—redaktora „Przeglądu“, aby w przyszłości, gdy się znów wybierze na wojaczkę, raczej „ad discutandas tenebras, et urgendum liberalismvm“ innego jakiego proroka obrał sobie za maczugę.... Dla mnie to będzie daleko przyjemniej, a liberalizmowi — jak sądzę — również to mało zaszkodzi, czy mu ksiądz redaktor w łeb palnie mną, czyli też Jeremjaszem, Sofonjaszem, Abdjaszem, lub nawet — Habakukiem!...

Bądź co bądź, balistyczne te ćwiczenia „Czasu“ i „Przeglądu lwowskiego“, jakkolwiek mnie tylko osobiście obchodzące, nie są tak całkiem pozbawione ogólniejszego interesu, wykazują one bowiem dowodnie całą ujemność naszej krytyki. Nie przesadzę podobno wcale, gdy powiem, że pod tym względem nie wyszliśmy jeszcze „z kamiennego okresu“, i że recenzenci nasi są rówieśnikami troglodytów z jaskini Lockrive, Neanderthal, lub Engis.... Jeżeli za lat sto potomkowie nasi zapuszczą się w kopalne pokłady obecnego naszego piśmiennictwa, to nie bez pewnej słuszności powiedzą, że społeczeństwo nasze było rodzajem dolichocefalów, którzy w wiecznej z sobą żyli wojnie, którzy zamiast piór posługiwali się toporami z nefrytu, dla których naszyjnik z zębów pozabijanych nieprzyjaciół najmilszą był ozdobą, i którzy w każdym, kto do innego należał klanu, śmiertelnego widzieli wroga!...

Wszystkie oceny dzieł sztuki lub umysłowych utworów, które nam podają nasi dolichocefale, noszą na sobie piętno tego, że się tak wyrazę, „kopalnego barbarzyństwa“. Dolichocefale ganią absolutnie lub absolutnie chwalą, a jeżeli coś pochwalą lub kogoś pochwalą, to jedynie dla tego, aby „dopiec“ trzeciej jakiejś osobie. Najlepiej to scharakteryzował redaktor „Przeglądu lwowskiego“, gdy nie pozostawiwszy na mnie jednej nie pochwalonej nitki, kończy następującemi kopalno-naiwnemi słowy: „Na tem wypada nam zamknąć ustęp poświęcony panu Zagórskiemu, lękamy się bowiem, aby pan Lam pochwał składanych przez nas p. Chochlikowi nie wziął za obrazę swego talentu“.

Również monumentalną w swoim rodzaju jest insynuacja powtórzona przez pogadankarza „Czasu“ w odcinku z dnia 25 b. m., na którą właściwie odpowiadać nie warto, zwłaszcza temu, który jak wiadomo, nie zwykł penatów swoich z jednej do drugiej przenosić kuchenki. Stanowisko moje było zawsze wyraźnem; nie należę do żadnego a zwłaszcza krańcowego obozu, i pomimo wszelkich „różannych mostów, z których wszystkie ciernie wyjęto“, pomimo „grożącej mi, wedle pogadankarza „Czasu“ wielkiej ekskomuniki tromtadratycznego sanhederynu“ wytrwam na swojej straconej wedecie!

Aliści zbyt długo zatrudniałem umysły moich czytelników temi rzeczami; — czas przejść do innego przedmiotu!..

„Dziennik polski“ pod nową redakcją, jeżeli się jeszcze nie umył do ideału, to jednakże dąży ku lepszemu. Nie mówiąc już o części politycznej, o której „Strzesze“ sądzić nie wypada, spostrzegamy dążność tę w odcinku, gdzie oprócz „Szkiców etnograficznych“ p. Baranowskiego, spotkaliśmy już kilka razy ciekawe naukowe pogadanki. Widać, że redakcja stara się sprawdzić przepowiednię „Szczutka“, który orbi et urbi zapowiedział, że „Dziennik“ zacznie od tego, iż się umyje, zaczesze i wychrzci, i gdyby dowcipny kronikarz jego par boutade nie przypominał co soboty dawne pochodzenie, celebrując w szatach „żydowskiego biskupa“, to możnaby zapomnieć neofitowstwo. Przyznam się, iż widziałem wielu żydów, którzy udawali, że nie są żydami, ale chrześcijanina udającego żyda, widzę po raz pierwszy. Niezawodna rzecz: es gehört eine noble Passion dazu!...

Pomiędzy curiosami dziennikarskiemi zaznaczyć mi tu wypada jeszcze artykuł „Przeglądu lwowskiego“, z powodu śmierci Wiktora Emanuela przez Ludwika hr. Dębickiego napisany, w którym autor w śmierci włoskiego króla karę Bożą upatruje, i dowodzi tego twierdzenia tem spostrzeżeniem, iż już wszyscy ci, co się do zjednoczenia Włoch przyczynili (oczywiście z wyjątkiem Garybaldego) pomarli. Rzecz niepojęta, jakim sposobem hr. Dębicki doszedł do tego, iż niezbadane wyroki Opatrzności tłumaczyć może!... W każdym razie, jeżeli śmierć Wiktora Emanuela, Cavoura, Ratazzi'ego, i t. d. była karą za to, że się do odbudowania swej ojczyzny przyczynili,

to logicznie biorąc, ci, co się do zjednoczenia Włoch nie przyczynili, powinniby żyć wiecznie; — wniosek dla wielu osób niezawodnie pocieszający!...

Wielce ciekawą obronę legjonów wyczytałem również w innem tutejszem czasopiśmie. Apologista powołuje się tam na spostrzeżenie pewnej wysoko urodzonej turystki, która podróżując za granicą w czasach wojen rewolucji francuskiej, zauważyła, iż od chwili pojawienia się legjonów „Polacy w hotelach zagranicznych większego nabrali znaczenia!...“ Według apologisty ma to dowodzić potrzeby tego, aby Polacy krew swą za obcą sprawę przelewali; — dowód, który mnie jednak nie zadawalnia, raz dla tego, że nie myślę podróżować za granicą, a powtóre dla tego, iż nie wiem — dziś to już powiedzieć można — czy legjon polski pozostawił w stambulskich hotelach również dobre wspomnienie!..

W tych dniach odbyło się pierwsze posiedzenie komisji konkursowej, która ma polecić do przedstawienia najlepsze z komedji nadesłanych na konkurs dramatyczny imienia Aleksandra Fredry. Warunki tego konkursu są znane: komedje współubiegające się o nagrodę będą najprzód na scenie tutejszej odegrane, uwieńczonemi zaś zostaną te sztuki, które komisja, opierając się po części na sądzie opinji publicznej, poleci. Komisja konkursowa składa się z dziennikarzy i artystów dramatycznych, mianowicie zaś wchodzą w skład jej dotychczas pp. Józef Tretiak z „Tygodnia“, Bolesław Spausta z „Gazety narodowej“, Bolesław Czerwiński z „Dziennika polskiego“ (sekretarz komisji) dalej artyści dramatyczni sceny tutejszej pp. Stanisław Dobrzański (przewodniczący), Bolesław Ładnowski i Gustaw Fiszer. Dotychczas nadesłano sztuk 13, między temi dwie sztuki ludowe, które jednakże, jako warunkom konkursu wyłącznie dla komedji rozpisanego, nie odpowiadające, odsunięto. Przypominamy przy tej sposobności, że termin do nadsyłania sztuk trwa do 1. marca.

Od czasu ostatniej mej pogadanki przedstawiono na scenie naszej dwie nowości, mianowicie: Arją i Messalinę, jedną z najlepszych tragedji znanego niemieckiego dramaturga Wildbrandta, przełożoną nader gładko na język polski przez pana Aurelego Urbańskiego. Treść tej tragedji wziętą jest z dziejów Rzymu, a mianowicie z czasów owego dla malarzy i poetów tak ponętnego okresu, gdy pomimo swego pozornego rozkwitu Rzym Cezarów, pozbywszy się dawnych cnót i obyczajów, stanął nad tą przepaścią, która pochłonęła ten niegdyś tak żywotny i potężny organizm społeczny. Społeczeństwo ówczesne przedstawione jest w dwóch postaciach: Messalina, potwór zepsucia, przedstawicielka ówczesnego zgangrenowanego społeczeństwa, i Arrja, typ dodatni, ostatnia rzymska matrona, przedstawicielka dawnego obyczaju, cierpiąca za idee prawdy i cnoty. Kolizje wywiązujące się w skutek tych dwóch charakterów stanowią osnowę tej sztuki, pełnej wysoce dramatycznych sytuacji, i scen pełnych prawdziwie tragicznego efektu. Sztuka ta należycie obsadzona może stać się jednym z najpiękniejszych kwiatów naszego repertoarza.

Drugą nowalją, którą nas uraczyła dyrekcja sceny naszej, jest „Duch Wojewody“, operetka Grossmana, do której libretto napisał z zwykłym swym humorem autor „Emigracji chłopskiej“, p. Władysław Anczyc. Librecista i muzyk połączyli się tu, aby stworzyć jeden z tych rzadkich brylancików — pierwszy wprowadzając kilka znakomitych komicznych typów, jak gospodarz kąpielowy, pan Radca, Ciocia Spirytystka, i Adjunkt Dokupil, — drugi zastosowując do libretta muzykę świeżą, elegancką, i po większej części pełną niezwyczajnych motywów, ku czemu się zresztą nadawało wybornie libretto, którego akcja odgrywa się w jednej z tatrzańskich kąpieli na pograniczu Węgier i Galicji, do której oprócz licznego polskiego towarzystwa, przybywa grono węgierskich sąsiadów w odwiedziny. Czardaszowe i mazurowe motywa przeplatają się tam jak gdyby w równiance kwiatów. Na szczególniejszą zaś wzmiankę zasługuje mazurek panny Skalskiej, a który imienniczka jej w tej roli występująca (dziwnym trafem przypadła rola ta pani Skalskiej) z wielkiem odśpiewała uczuciem, i precyzją. Również należą się pani Dobrzańskiej, pp. Koncewiczowi, Zakrzewskiemu, Zboińskiemu, i Adjunktowi Dokupilowi (nazwiska artysty nie pomnę) zasłużone pochwały.

Pomiędzy nowościami literackiemi należy się wzmianka „Nędzy na Rusi“, znanej zresztą większej części naszych czytelników z fejletonów „Gazety narodowej“, w której pan Henryk Jasieński pracę tę w miarę, jak mu z pod pióra płynęła, zamieszczał. Fejletony te obecnie w książce zebrane tworzą ciekawą monografię naszych społecznych stosunków, która obecnie, kiedy już — jak się z świeżego procesu przeciw socjalistom pokazuje — mamy kwestją socjalną, niezawodnie na uwagę zasługuje. Kreśląc z wielkim humorem obraz naszej nędzy, podaje autor zarazem i środki usunięcia złego, ale nasuwa się pytanie: czy posiada ekonomja polityczna lekarstwo przeciw socjalizmowi, — ona, która dotychczas nie umiała stworzyć zadawalniającej definicji kapitału?...

Mojem zdaniem nie!.. Socjalizm bowiem jest raczej moralną chorobą społeczeństw, przeciw której bezskutecznemi są wszelkie ekonomiczne paljatywa. Przeciw rozkładowi bowiem, którem on nam nieochybnie zagraża — mówię to o socjalizmie takim, jakim się on nam w zeznaniach obwinionych rzeczonego procesu objawił — przeciw takiemu socjalizmowi powtarzam znaleść można lekarstwo tylko w tej sile, która stwarza socjalne organizmy, t. j. w obyczaju, a w tym kierunku my sami tylko zdziałać coś możemy.

Projekta do uczczenia zasług J. I. Kraszewskiego zmierzające mnożą się z dniem każdym, i są wymownym dowodem czci, którą naród nasz otacza imię naszego jubilata. Między innemi stawia znany krakowski malarz Eljasz wniosek wydania jednej z powieści naszego Walter-Scotta w edycji, ilustrowanej zbiorowemi siłami naszych malarzy i rysowników. Z drugiej strony proponuje p. Adolf Mostowski polyglotyczne wydanie „Starej baśni“ Kraszewskiego we wszystkich cywilizowanych językach, — wniosek za którym z pewnością głosować będzie każdy, komu znanem jest to arcydzieło, którem jenjalny nasz powieściarz rozpoczął cykl swych historycznych romansów.

Teofil Lenartowicz, którego talent potężniejąc niemal z wiekiem również na polu poezji, jak i na polu rzeźbiarstwa zdobywa wawrzyny coraz świetniejsze, wykończył nowy poemat p. n. „Król Jan“ do którego własnoręcznie wykonał illustracje, mające posiadać wysoką wartość artystyczną. Znakomity nasz lirnik modelował w tym celu pomysły swoje z gliny, a zdjęte z mo-

delów tych fotografie wejdą w książkę jako ilustracje poematu, który przez autora „Lirenki“ i „Starych zbroic“ poświęconym ma być K. Wł. Wójcickiemu.

Matejko kończy obecnie obraz przedstawiający „Bitwę Grunwaldzką“, którego rozmiary są dwa kroć większe od rozmiarów „Pochodni Nerona“. Obecnie znajdują się na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych aż trzy historyczne płótna naszego mistrza, z których jedno jest dawniejszym utworem, drugie zaś dwa, a mianowicie „Bolesław Śmiały i Stanisław Szczepanowski“ tudzież „Uczta Wierzynka“ są dziełami najświeższej chwili. Krytyka warszawska podnosi liczne zalety tych dwóch obrazów, zarzucając im także mnogie wady.

Spostrzegam się, że pogadanka moja przeciągnęła się dziś nad miarę, i że nie mogę już spełnić mego przyrzeczenia, odnośnie do zapowiedzianej oceny „Pochodni Nerona“. Po recenzjach zresztą, które się pojawiły w naszych politycznych pismach, musiałaby każda rzeczowa ocena tego arcydzieła wydać się tak jak gdyby była wynikiem z góry już w jednym lub w drugim kierunku powziętego uprzedzenia. Nie chcąc więc aby w sprawozdaniu mem szukano owego nefrytowego topora, o którym na wstępie tej pogadanki mówiłem, kończę, polecając się łaskawym względom pogadankarza „Czasu“, księdza- redaktora „Przeglądu“ i jego.... Benjaminka.

Włodzimierz Zagórski.

POKŁOSIE.

Objętość głowy. Jak wiadomo, nie może być większa objętość głowy uważaną za oznakę wyższej inteligencji człowieka, ta bowiem nie zależy wcale od ilości, lecz od jakości mózgu, podczas gdy objętość czaszki głównie tylko od ilości mózgu zależy. Owszem, opierając się na licznych pomiarach, doszli uczeni badacze do wniosku, że właśnie inteligencja najwyższa bywa zazwyczaj udziałem czaszek średniej miary, co jednakże ogólną tylko jest prawdą, i wszelkiego rodzaju wyjątków tak na korzyść większych, jakoteż i mniejszych czaszek dopuszcza.

Pomimo to ciekawemi będą z pewnością dla naszych czytelników rezultaty, do których doszedł paryski lekarz dr. Deloney, wciągając w zakres swych badań li tylko ludność paryską, a używając czapek i kapeluszy jako przybliżonej miary objętości głowy.

Otóż wedle zapewnień p. Deloney mają studenci instytutu politechnicznego i uniwersytetu paryskiego w ogólności większe głowy od uczniów szkoły wojskowej w Saint-Cyr i od seminarzystów z zakładu Św. Sulpicjusza. Kapelusze dla zamożniejszych i wykształceńszych klas po sklepach przeznaczone mają być oznaczone wyższemi numerami, niżeli kapelusze i czapki, jakich używają niżsi urzędnicy i handlarze. Najtańsze czapki, przygotowywane dla służących, wyrobników itp. są zwykle najmniejsze. W dzielnicach miasta najbardziej handlowych i przemysłowych n. p. na przedmieściu Montmartre, wynosi objętość kapeluszy po sklepach sprzedawanych od 56 do 58 centymetrów, — w dzielnicy zwanej Mouftar (jedna z najnędzniejszych i najbrzydszych dzielnic Paryża) dosięga miara kapeluszy i czapek zaledwie 52 — 53 centymetrów. W dzielnicy Św. Sulpicjusza oraz na przedmieściu Saint-Germain, gdzie się mieści śmietanka paryskiego świata, znalazł dr. Deloney kapelusze najmniejszej objętości, gdy tymczasem w „Quartier latin“, gdzie się znajduje największa liczba średnich i wyższych naukowych zakładów, sprzedają najobszerniejsze kapelusze, bo mające objętość od 58 — 60 centymetrów.

Wiadomość powyższą powtarzamy za jednym z tutejszych dzienników jako rzecz samą w sobie dosyć ciekawą, będąc jednakże zupełnie odmiennego zdania co do ważności dyletanckich spostrzeżeń dra Deloney, którym, opierając się na powadze Vogta, wszelkiej naukowej doniosłości stanowczo odmówić musimy, to zaś choćby tylko dla tego, że p. Deloney przedsiębrał pomiary swe na czapkach a nie na czaszkach, i przeto z rachunku wypuścić musiał jeden z najważniejszych czynników, a mianowicie wzgląd, jakim jest kształt czaszki, długi czy też szeroki — dolicho czy brachycefaliczny.

Grób Franklina. Tajemnica otaczająca dotychczas ostatnie dzieje podbiegunowej wyprawy Franklina zostanie nakoniec usuniętą, i grób tego dzielnego żeglarza niebawem odszukanym będzie. Jak wiadomo udał się Franklin na ostatnią swą wyprawę w okolice północnego bieguna d. 15. maja r. 1846, — ostatnia zaś wiadomość o jego losach sięga 16. sierpnia tegoż roku. Dopiero po niejakim czasie stwierdzono, że Franklin umarł w r. 1867, i że cała osada statku pod jego dowództwem będącego wyginęła wśród podbiegunowych lodów, usiłując nadaremno dotrzeć do zamieszkałych lądów. Szczegóły te niedokładne zawdzięczamy wyprawie, którą wdowa Franklina własnym kosztem w okolice północnego bieguna celem odszukania swego małżonka wysłała.

Owóż teraz przybył do Nowego Yorku niejaki Tomasz Barret, oficer należący do załogi wielorybiego statku „A Goyton“, który to statek zatonął dnia 12. czerwca 1876 w zatoce Hudsońskiej; — żeglarz ten przywiózł ze sobą łyżkę srebrną z herbem Franklina, i opowiada, iż łyżkę tę dostał od Eskimosa, który go zapewniał, iż właściciel rzeczonej łyżki zgniecionym został przez lody u brzegów jednej z wysp zatoki Hudsońskiej, i że niedaleko od tego miejsca wyginęła cała osada okrętu. Inni Eskimosowie opowiadali p. Barret, iż zaszywszy ciała wszystkich białych ludzi w skóry reniferów, złożyli je na ziemi, a następnie przywalili kamieniami dla ochronienia zwłok przed żarłocznością dzikich źwierząt. Eskimosowie ci twierdzą również, iż razem ze zwłokami białych ludzi pochowali i książki po tychże pozostałe, na miejscu zwanem „Iglfild“, a leżącem o jakie 900 mil angielskich od brzegów Hudsońskiej zatoki, w głębi kraju, gdzie dotychczas nie dotarła jeszcze żadna z podbiegunowych ekspedycji. W celu zabrania książek tych, pomiędzy któremi znajdzie się z pewnością dyarjusz wyprawy Franklina, ma być wysłana z Nowego Yorku nowa ekspedycja.

Ostrożnie z kopertami. W Stuhlweissenburgu w Węgrzech umarł niedawno pewien młody kupiec, imieniem Moritz Gut-

hardt w skutek raka na języku. Pierwszą przyczyną tej choroby było wedle orzeczenia profesora wiedeńskiego uniwersytetu dra Billroth lekkie zadraśnięcie błony jezykowej, którą sobie skaleczył nieboszczyk, zwilżając językiem gumowany brzeg koperty listowej. Z małej tej, zaledwie z początku zauważanej ranki wywiązał się następnie rak, który się stał przyczyną śmierci młodego kupca.

Emigracja z Europy. Podług amerykańskich statystyków wyemigrowało z Europy przez Liwerpool w ciągu zeszłego roku 54,873 osób. — Z tych udało się 43,674 do Stanów Zjednoczonych, 7,405 do angielskich kolonji, 1,094 do Ameryki Południowej, 180 do Indji Wschodnich, 150 do Chin, a 557 do Afryki. Między tymi wychodźcami było Anglików 32,463, Szkotów 425, Irlandczyków 5,021, cudzoziemców 14,289.

Wykaz dzienników, które w tym roku prenumerować można na pocztach austryackich, zawiera tytuły 4.563 czasopism w 32 językach. W tej liczbie znajdują się: niemieckich 2,288, francuskich 597, angielskich 484, włoskich 39, węgierskich 239, czeskich 108, moskiewskich 100, polskich 96, rumuńskich 45, szwedzkich 39, greckich 35, holenderskich 32, kroackich, duńskich, serbskich po 23, słowiańskich 18, słowackich 15, hiszpańskich 12, norwegskich i tureckich po 11, hebrajskich 10, ormiańskich i bułgarskich po 9, ruskich 7, chińskich i windzkich po 4; perskich, portugalskich i romuńskich po 2, łacińskich i litewskich po 1. W Wiedniu wychodzi obecnie 380 czasopism w 7 językach.

Poczty angielskie wyekspedjowały w roku 1876 tysiąc ośmnaście milionów listów, dziewięćdziesiąt dwa miljony kart korespondencyjnych, i dwieście dziewięćdziesiąt dwa miljonów książek i dzienników. —

Konsumcja nafty. Według obliczenia dra Buchnera w Giessen pali się światło przez cztery miesiące po pięć godzin dziennie, przez dwa miesiące po cztery godziny, przez trzy miesiące po dwie i przez trzy miesiące po jednej godzinie, — przypada zatem na jedną lampę 1.110 godzin na rok. Zużycie nafty zawisło od szerokości knota, i tak potrzebuje knot płaski trzylinjowy 11 gramów na godzinę, a zatem $12._{21}$ kilo na rok; knot pięciolinjowy $22._5$ gramów na godzinę, a $24._{975}$ kilo na rok, — knot ośmiolinjowy 30 gramów na godzinę, a $33._{30}$ kilogramów na rok, — knot jednastolinjowy nakoniec 40 gramów na godzinę, a $44._{40}$ kilo rocznie. Knoty okrągłe zużywają trochę mniej nafty, wypada bowiem na knot od 8 do 15 linjowy 26 do 50 gramów nafty rocznie. Na podstawie dat powyższych okazuje się, że projektowane w Austrji podwyższenie cła od nafty, podroży znacznie ceny światła, mianowicie zaś podrożyłoby cło wynoszące 5 złr. od metrycznego cetnara brutto światło najmniejszej naftowej lampy prawie o jeden złr. rocznie, nie licząc już wcale tego, iż podrożenie to popowiększyłoby się jeszcze dla komumentów, którzy naftę w mniejszych ilościach kupują.

Ilość włosów na głowie człowieka nie jest tak wielką jak się wydaje. Według zapewnień niejakiego angielskiego lekarza nazwiskiem Wilsow rośnie na jednym calu kwadratowym głowy człowieka 1,066, a na całej zatem 120 calowej powierzchni czaszki naszej tylko 127.920 włosów. Obliczenia pana dra Wilsow nie sprawdzaliśmy wcale, — ktoby zatem nie chciał dać wiary powyższemu twierdzeniu, może je sprawdzić osobiście.

O połknięciu własnego języka przez dzieci na koklusz chore, podaje „Medycyna“ następujące powszechnej wiadomości godne szczegóły.

Czteromiesięczny bardzo silnie zbudowany synek doktora Schneidera, dotknięty dosyć łagodnym kokluszem bez żadnych powikłań, zmarł nagle na łonie mamki wśród objawów zaduszenia. W dziesięć minut po śmierci dziecięcia znalazł dr. Schneider język zmarłego zawinięty ku górze, a tkwiący końcem swym w gardzieli. W kilka dni potem zdarzeniu spostrzegł dr. Schneider jeszcze drugi tego rodzaju wypadek, również u dziecięcia na koklusz cierpiącego, które w skutek zaduszenia nagle umarło. O trzecim tegoż rodzaju wypadku donosi dr. Seydeler z Bydgoszczy, tam jednak w skutek pomocy natychmiastowej ocalono dziecko od niechybnej śmierci. —

Jeszcze o telefonie. Profesor Sacher z Solnogrodu (Salzburg) przekonał się, że połączywszy drut telefonu z drutem telegrafu można posłyszeć uderzenia przez telegrafistę depeszę przesyłającego na aparacie wykonane, i w ten sposób przy należytej wprawie podsłuchać tajemnicę telegrafu. Znany zaś profesor fizjologji Dubois-Reymond twierdzi, że za pomocą telefonu będzie można robić wielce ciekawe studja nad fizjologją ludzkiego głosu.

Ad vocem zaślubin hiszpańskiego króla. W chwili, gdy w Rzymie robiono przygotowania pogrzebu „wesołego króla“ Wiktora Emanuela, krzątano się w Madrycie około przygotowań do uroczystości zaślubin młodego Alfonsa, który jak wiadomo żeni się z kuzynką swoją księżną Mersedes Montpensier. Narzeczona jest potomkiem z francuskiego domu Orleanów, i jest to więc od lat niepamiętnych pierwszy wypadek zaślubin hiszpańskiego króla z francuską księżniczką. Pewien dziennik paryski przypomina z tego powodu zabawne przyjęcie, którego miał doznać u Basków ostatni król hiszpański, jadąc na spotkanie swej narzeczonej, przyjęcie, które uwiecznionem jest w pewnej hiszpańskiej legendzie, a wybornie maluje rubaszną nieco swobodę pirenejskich górali.

Na przeciw orszaku królewskiego zbliżającego się do granicy wyszła deputacja junty. Najstarszy z grona wystąpił naprzód i zapytał króla:

Zkąd jedziesz!

Król: Z Valadollid.

Mowca: Ktoś ty jest?

Król: Król wasz i pan.

Mowca: Gdzie jedziesz?

Król: Na granicę Francji.

Mowca: Po co?

Król: Po księżniczkę.

Mowca: Na co?

Król: Chcę ją zaślubić.

Mowca: Kochasz ją?

Król: Kocham!

Mowca: To nie dość, że ci się podoba; — potrzeba, aby się także podobała twemu narodowi.

Król: Narzeczona moja jest z wysokiego rodu.

Mowca: To nie dość!

Król: Jest odważną.

Mowca: To nie dość!

Król: Jest słusznego wzrostu.

Mowca: To nie dość!

Król: Jest piękną.

Mowca: To nie dość.

Król: Śpiewa jak słowik.

Mowca: To nie dość!

Król: Tańczy jak Sewillanka.

Mowca: To nie dość!

Król: Czegoż potrzeba więcej?

Mowca: Aby była głuchą.

Król: A to na co?

Mowca: By nie otwierała ucha kłamstwom, które się plenią na Twoim dworze.

Jeszcze o twórczości Kraszewskiego. Przeglądając prospekta czasopism na rok bieżący, widzimy że większa część ich rozpoczyna go nowemi utworami naszego jubilata. I tak drukuje Strzecha opowiadanie jego pod napisem: „Upior“,— Tydzień lwowski „Krwawe znamię“,--Tygodnik illustrowany dwutomową powieść p. n. „Skrypt Flemminga“,— Bluszcz, powieść z XVIII wieku pod napisem „Sąsiedzi“,— Wiek powieść współczesną p. n. „Hołota“, — Tygodnik romansów i powieści dwutomową powieść „U Babuni“,— Kronika codzienna zapowiedziała „Pana na czterech dymach“, a Biesiada literacka „Wilczka i Wilczkowę“. Dodajmy do tego świeżo co z druku wyszłą czterotomową powieść: „Synowie królewscy“, jako szóstą z kolei w cyklu historycznym, oraz dopiero co ukończone studjum literackie: „Krasicki, jego żywot i pisma“, które zacznie wychodzić w lutowym zeszycie warszawskiego Atheneum, tudzież korespondencje, któremi warszawskie pisma zasila, a będziemy mieli obraz niezmordowanej działalności naszego jenialnego powieściarza.

Osobliwy zakład. W jednym z hotelów przy ulicy Margrafa w Berlinie szczególny odbył się przed niedawnym czasem zakład. Pewien oficer założył się z cywilnym znajomym o 100 talarów, że zje skurzany kubek do gry w kości służący. Gdy tamten przyjął zakład, oficer kazał porżnąć ów skurzany kubek na maleńkie cieniutkie kawałeczki, kawałeczki te upiec nad ogniem i wreszcie z dzikim ostrym sosem i przysmażanemi kartoflami przyrządzono. Potem tak podaną mu potrawę, bez najmiejszej oznaki obrzydzenia do okruszyny spożył. Rozumie się że 100 talarów zdumiony partner natychmiast mu wypłacił. Anegdota ta przypomina inną ale analogiczną, która się przed laty zdarzyła w Paryżu. Stary książe Talleyrand bawiąc pewnego dnia w towarzystwie moskiewskiego ambasadora słyszał, iż tenże nie może się nachwalić kucharza którego przywiózł z Petersburga ze sobą. W odpowiedź na to Talleyrand oświadczył iż najzręczniejsi kucharze w świecie są francuzi — szczególniej zaś jego kucharz, któremu żaden inny wyrównać nie zdoła. Moskal zaproponował zakład o to, który z obydwóch kucharzy, jego czy Talleyranda większe dzieło sztuki kucharskiej stworzyć zdoła, i obaj dyplomaci zgodzili się dla rozstrzygnięcia tego sporu wzajemnie na obiad się zaprosić. Talleyrand przybył pierwszy do Moskala; podano pyszny obiad i Talleyrand przyznać musiał, że mnóstwo podanym mu potrawom nic przeczeć nie było można. Następnie przyszła kolej na moskiewskiego dyplomaty stawienia się na obiad u Talleyranda. Obiad ten składał się z niewielkiej ilości dań, wniesiono tylko jeden półmisek, a na nim potrawę, której moskal jak się przyznał, nie znał dotąd — smak jej jednak wydał mu się wybornym. Gdy nie ustawał pod tym względem w pochwałach, nagle mu Talleyrand przerwał i spytał A wieszże pan coś spożył? — Nie odrzekł gość. „Kucharz mój przyrządził panu podeszwę od butów — odpowiedział uśmiechając się Talleyrand. Moskal nie chciał wierzyć. Gdy mu jednak dowiedziono, iż w istocie kucharz francuski potrafił podeszwę za pomocą tysiąca sekretów sztuki kucharskiej i możliwych przydatków zamienić na najwyborniejszą potrawę uznał wyższość jego nad swoim kucharzem i stawkę zakładu zapłacił.

O zbytku. W akademii Napisów słynny ekonomista francuzki Baudrillard czytał ciekawą rozprawę o zbytkach w stosunku do rozmaitych form rządu. Najsamprzód zcharakteryzował grubiańskie zbytki ludów całkiem obcych cywilizacyi, skreśla potem zbytek wyrafinowany, ale skażony w gruncie i prowadzący do zepsucia w monarchiach absolutnych. Zapytuje z kolei pod jaką formą objawia się zbytek w rządzie oligarchicznym? Arystokracya każda, mówi on, surową była w początkach swoich, później dopiero, w miarę jak się chyliła do upadku, zaczynała zbytkować. Feudalni panowie żyli hulaszczo, stroili się w bławaty, otaczali świetnym i licznym dworem, wyprawiali łowy biesiady i turnieje. Arystokracya finansowa przeciwnie szuka z upodobaniem komfortu, lubi wszystko co błyszczy; używa spiesznie nagromadzonych bogactw, widząc jak fortuna kapryśną bywa i zmienną. — Demokracya, mówi p. Baudrillard dalej, nie stawi bynajmniej zapory zbytkom, ani posiadaniu wielkich dostatków; ale przez rozdzielenie własności ziemskich stworzyła mnóstwo średnich majątków, rosnących w miarę mnożącego się bogactwa ogólnego, dzięki postępom w nauce, przemyśle i handlu. W górze zbytek pozostał, czem był niegdyś, przybrawszy tylko formy odpowiednie dzisiejszym pojęciom estetycznym; obok niego powstał zbytek średni, polegający głównie na pozorze i naśladownictwie, zastosowany do smaku i potrzeby każdego. — Jako przezorny moralista p. Baudrillard pokazuje niebezpieczeństwo zbytku w państwie demokratycznem. Z jednej strony zmienia sztukę w rzemiosło, aby uczynić ją dostępną dla ogółu, z drugiej podsyca nienawiść i zazdrość ubogich. Próżność i chęć błyszczenia popychają do upadku ludzi średniej zamożności, a żądza bogactw rozbudza niczem nienasyconą chciwość. Ztąd u jednych gorżkie rozczarowanie, w drugich słomiany gniew na losy, u innych szalona chęć użycia, ztąd wreszcie krzewienie się idei socjalistycznych, ztąd owe powtarzane zbyt często ruchy konwulsyjne, które bez pożytku dla nikogo zagrażają dziś społeczeństwu.

BIBLIOGRAFJA.

Zygmunt Krasiński. *Moja Beatrice.* W Krakowie — 1878 r.

Zebraniem i uporządkowaniem zawartych tu poezji zajął się nieodżałowanej pamięci Lucjan Siemieński. Dał on temu zbiorkowi poezji wieszcza naszego napis: Moja Beatrice. Tłumaczy go w króciutkiej przemowie następnemi słowy: Jako luźne kartki nie miały one żadnego tytułu; a że odnosiły się do osoby, której w Przedświcie autor dał miano Beatrycy, osądziłem więc za stosowne nadać temu zbiorkowi tytuł: „Moja Beatrice" tém bardziéj, że w pomienionym poemacie poeta powołuje się na Beatrycę i mówi, że ten „Anioł podobnie jak Danta z piekieł i jego wybawił z otchłani."

Pamiętnik Warszawskiego instytutu głuchoniemych i ociemniałych z r. szkolnego 1876/1877. Warszawa — 1877.

Zwracamy uwagę, że w tym pamiętniku pomieszczonym został nader zajmujący opis ks. Jagodzińskiego, który zaproszony w roku ubiegłym zwiedził obydwa nasze zakłady dla głuchoniemych i ociemniałych, tak izraelicki jak chrześcijański i wrażenia swoje pod tyt. „Wycieczka do Lwowa 1877" spisał.

Pamiętniki z wojny hiszpańskiej (1808—1814) Stanisława Broeckera b. oficera b. legionów francusko-polskich. Warszawa — 1877.

Pamiętniki te spisane w języku niemieckim rzucają nowe światło na udział Polaków w wojnie hiszpańskiej i prostują liczne niedokładności znajdujące się w dziełach wojnę hiszpańską opisujących. Spisane one zostały w r. 1824. Pani Paulina Cybulska, córka autora tych pamiętników, chcąc z jednej strony uczcić pamięć ojca, z drugiej strony chcąc pamiętniki naocznego świadka i starego legionisty z czasów Napoleona I. zachować dla narodu polskiego, przetłumaczyła je na język polski.

Nędza na Rusi. Obrazki z życia wiejskiego skreślił Dr. H. Jasieński. Lwów — 1878.

Po chorobach Galicji Pana Rogosza Nędza na Rusi Dra. H. Jasieńskiego. Smutny to, lecz niestety prawdziwy obraz społeczeństwa naszego. Autor niniejszych obrazków, obdarzony zmysłem spostrzegawczym, obznajomiony jak mało kto ze stosunkami wiejskiemi, stylem feljetonowym, lekkim przechodzi wszystkie warstwy ludu wiejskiego i z nieubłaganą loiką faktów wykazuje cienie życia wiejskiego. Światła niestety bardzo mało! Czyżby już tak źle było z nami. Mamy niepłonną nadzieję, że szanowny autor wkrótce, gdy już dał nam poznać nędzę ludu wiejskiego, przedstawi nam i stosunki miejskie.

Zwierciadło głupstwa. Powieść napisał Ignotus. W Krakowie — 1877 r.

Robert Hamerling. *Ahaswerus w Rzymie.* Poemat w sześciu pieśniach Roberta Hamerlinga. Z dziewiątego wydania przełożył na polskie Władysław Ordon. Lwów — 1877.

Bolesławicz. *Biała książeczka.* Poezje. We Lwowie — 1877 r.

Za panią matką idzie pacierz gładko. Przysłowie dramatyczne w 1 akcie przez Henryka hr. Łączyńskiego. We Lwowie — 1878.

Kazimierz hr. Wodzicki. *Zapiski ornitologiczne.* II. Jaskółka. Wydanie drugie poprawne. W Krakowie — 1878.

Powyższe książki niemniej też wszystkie utwory literatury krajowej i zagranicznej utrzymuje zawsze na składzie księgarnia F. H. Richtera.

Nekrologja.

Dr. Józef Dietl, profesor kliniki lekarskiej w uniwersytecie Jagiellońskim, jeden z najznakomitszych mężów naszego kraju tak na polu nauki jak życia publicznego umarł 18. stycznia b. r. w Krakowie. Dr. Dietl urodził się w Podbużu, wiosce obwodu Samborskiego, gdzie ojciec był urzędnikiem dóbr skarbowych. Stopień doktora medycyny otrzymał we Wiedniu w r. 1829. Aż do r. 1833 zajmował przy wiedeńskim uniwersytecie katedrę historji naturalnej. W tym czasie napisał rozprawę z historji naturalnej celem otrzymania profesury w uniwersytecie w Padwie w języku włoskim. Pomimo iż władze akademickie naszemu Dietlowi przyznały pierwszeństwo, nie otrzymał tej posady. Aż do roku 1851 przebywał Dr. Dietl w Wiedniu. Licznemi rozprawami, umieszczanemi w czasopismach niemieckich dał się poznać naukowemu światu, a rozprawa w języku niemieckim: Der Aderlass in der Lungenentzündung wydana w r. 1848 a później na język polski przełożona, zjednała Dietlowi zasłużone uznanie. Zaleca w niej Dr. Dietl jak największe ograniczenie upustu krwi, które to jego przekonanie, oparte na ściśle umiejętnem, a przeszło tysiącem spostrzeżeń stwierdzoném badaniu, miało tę korzyść, że wprowadziło większą oględność w szafowaniu krwi chorego. Gdy w r. 1851 Dr. Brodowicz, chlubnie znany profesor kliniki krakowskiéj ustąpił, został Dietl na jego miejsce mianowany. Pomimo 26letniego pobytu swego we Wiedniu wykładał po polsku. Cały zastęp młodych dzisiejszych lekarzy wykształcił on, dla których najlepszą w społeczeństwie stanowi rekomendację: „to uczeń Dietla." Choć tak wysokie w świecie naukowym zajmował stanowisko, nie usuwał się od spraw publicznych i owszem brał w nich czynny udział. Poseł na sejm krajowy, do Rady Państwa, długi czas prezydent miasta Krakowa cieszył się jak mało kto zaufaniem korony i narodu. Z broszur politycznych wymienimy tu: Kogo mamy wybierać do sejmu? Nie bójmy się włościan? i t. d. Tyle nam drogie sprawy oświaty nie pozostały mu też obce, a dzieło jego o reformie szkół krajowych należy do najlepszych tego rodzaju publikacji.

Adam Bartoszewicz, ojciec Juliana historyka, pedagog, nauczyciel J. I. Kraszewskiego dożywszy sędziwego wieku (86 lat) zmarł na początku stycznia b. r. w Warszawie. W wolnych od zajęć chwilach spisywał ś. p. Adam przysłowia polskie.

Kącik humorystyczny „Strzechy“

Quasi una fantasia.

Ach! te rzęsy w pół uśnięte,
Ach! te oczka w pół przykmnięte,
Te źrenice łzawe, mgliste,
Te spojrzenia powłoczyste!

W sennych rzęsach lśni marzenie,
W małych oczkach skrzy wątpienie,
Z łzawych źrenic świeci prośba,
Z powłoczystych spojrzeń — groźba!

Rzęsy te nadzieją darzą,
Oczka te niewiarą rażą,
Te źrenice łzawe więżą,
Te spojrzenia wręcz ciemiężą.

Z rzęs tych samo szczęście czytasz,
W oczkach już się niedopytasz;
Z źrenic łzawych słodycz pijesz,
Pod spojrzeniem tem się wijesz!

Komuż wierzyć: rzęsom sennym,
Czy też oczkom dumnym, zmiennym?
Czy źrenicom wierzyć łzawym,
Czy spojrzeniom niełaskawym?

Przebóg! war tu kipi w lodzie,
Tu zwątpienie z wiarą w zgodzie. —
Grom tu lśni z błękitem społem,
Dyablik bawi się z aniołem!

B. K.

Anakoeontyk.

Dwa tylko znane nektary,
Jednakiej w świecie cnoty:
Gdy leją w złote czary,
Szampana napój złoty...
I gdy ty rączką, szyję
Obejmiesz mi dziewczyno:
Szalony: Wtedy piję —
Całus — i wino.

I nie wiem co pić pierwej?
Jednakie są pokusy!
Wino ja piłbym bez przerwy,
I ciągle twe całusy!
Choć lepsze dwakroć wino,
— Przynajmniej o połowę:
Zawraca głowę dziewczyno,
A ty i serce i głowę.

B.

Aforyzmy
lwowskiego humorysty.

Wszechstronnie mądrych ludzi niema na świecie, natomiast dużo jest wszechstronnych głupców; — *ergo* głupstwo jest wszechstronniejszem od mądrości.

Znałem ludzi, którym ich buty juchtowe i konfederatka więcej przynosiły intraty, aniżeli przynieść może duży folwark na Podolu.

Krzykacze żyją tak z swego głupstwa, jak żebracy z swego kalectwa.

Czyste sumienie i zatwardziałe sumienie dają ludziom ten sam spokój duszy.

Są ludzie, których jedyną szczerością jest głupi wyraz ich twarzy.

Trzeba koniecznie mieć dwóch przyjaciół: jednego optymistę — na dnie smutku — drugiego pessymistę — na dnie wesela.

Dyskusje religijne mają w sobie coś z pojedyuku na noże — w ciemnym pokoju.

Zaprosiwszy na obiad mało znanego malarza, masz prawo żądać od niego portretu i to w złotych ramach.

Niektóre kobiety kochają swych mężów dla tego, że są ich mężami, inne kochają swych mężów chociaż są ich mężami.

Niechaj kto co chce mówi, ja twierdzę, że płyniemy w postęp. Dawniéj zabijał lud proroków, dziś się z nich śmieje.

Faraonowi śniło się, że siedm tłustych krów zostało pożartemi przez tyleż chudych.... To był sen! W rzeczywistości zostają chude zawsze przez tłustych pożartemi.

Z arytmetyki.

Reguła:

Chcąc wiedzieć wiek pewnej kobiety, należy o to zapytać najpierw ją samą, potem którąś z jej przyjaciółek, — a potem wziąść cyfrę przeciętną.

Zadanie:

Pani **A** twierdzi że ma rok trzydziesty; — najlepsza jej przyjaciółka pani **B** utrzymuje że pani **A** ma lat 40. Pytanie: Ile lat ma pani **A**.?

$$30 + 40 = 70, \quad 70 : 2 = 35$$

Odpowiedź: 35 lat.

Hrabia Toto.



Monumentalnych tużurków	. . . sztuk	16
Senzacyjnych fraków	. . . . „	6
Klasycznych spodni	. . . . „	24
Jenjalnych kamizelek	. . . . „	36
Szykiem zabijających krawat	. . . „	60
	Summa:	Hr. Toto!...

Nie wchodząc w dalsze tajemnicy jego garderoby, moglibyśmy na tem zamknąć charakterystykę naszego nowego współpracownika, który w gruncie rzeczy jest tylko panną Lalą męskiego rodzaju i przeto dla społeczeństwa również pożytecznem stworzeniem.

Ażeby nas jednak nie posądzono o niesprawiedliwość, musimy tutaj zaznaczyć, że Hr. Toto góruje nad panną Lalą swą inteligencyą, wie on bowiem i umie wiele rzeczy, o których się nie śniło niejednemu z naszych literatów — tudzież, że sceptycyzm jego, cynizm i szyk *genre canaille* są dotychczas raczéj pozą, aniżeli czemś innem, Hr. Toto bowiem stara się odróżnić tem od „ulicy“, że blaguje zawsze *in minus*, drwiąc z wszystkiego tego, co ludzie nazywają ideałem, obowiązkiem i przyzwoitością... Owszem zdarzyło się już nie raz, że panna Lala, *qui est trés forte en gueule*, zmusiła Hr. Tota do zarumienienia się, ale Toto zapiera się tego zawzięcie, mając nadzieję, ze jeszcze... „z tego wyrośnie!...“

Jeżeliby się Toto ożenił z panną Lalą, to będzie to para... Jedno pójdzie do Sasa, a drugie do lasa, *und wo sie zusammenkommen*, tam jest... przyszłe pokolenie i nadzieja narodu!...

Tymczasem jednak nie myśli jeszcze Toto o ożenieniu... *Allons donc!* wszak jeszcze dosyć nie użył świata!... Jak straci resztę zdrowia, sił i młodości, to wtedy postara się o pannę z dobrym posagiem, którą uszczęśliwi tem, co pozostało!

Hr. Toto posiada dosyć wiedzy i zdolności, aby módz pożytecznie służyć krajowi, lecz dotychczas nie myśli on o tem także... *Plus tard*, jak przeszasta swój majątek i złoży w ten sposób dowód swych administracyjnych zdolności, poświęci się Toto administracji kraju!... Słyszeliśmy, że mu w tym celu w Wydziale krajowym, w Radzie szkolnéj, tudzież w kilku bankach i asekuracjach zarezerwowano odpowiednie a intratne posady!...

Tak jak panna Lala, będzie Hr. Toto zasilać nasze fejletony rozprawkami o rzeczach szyku, mody, szportu, dobrego tonu, przeplatając je aforyzmami o sztuce, nauce, obowiązkach, moralności, pobożności, obyczaju i t. d.

Panna Lala.



(Fragment z poufnego listu.)

.... Więc mamy tutaj te sławne „Pochodnie Nerona!...“ Ach Iziu, kochana Iziu! Jak szczęśliwą musiała być ta Popea!... Błyszczeć i używać! używać i błyszczeć! *quel bonheur!* My *ma chère* nie doznamy nigdy takiego szczęścia. Nasza przyszłość to siedzieć gdzieś na wsi, doglądać chorego może męża i wychowywać dzieci! Brrr! *quelle misère!...* Popea, mówiąc nawiasem, na obrazie czarna, *et pas de chic! Qu' est-ce qu'elles avaient donc ces payennes pour exciter de telles passions?...*

Non vrai moja droga to rzecz okropna! Naliczyliśmy z Nolą trzynastu epuzerów *mais rien de serieux!* Starzy wprawdzie do rzeczy, ale goli; małpują szyk tego żydowskiego bankiera, któregośmy widziały w Monaco, pamiętasz? Młodzi udają *les cranes et les tendants*, ale rumienią się jak pensjonarki, rozum ich *sent encore les langes!...* Widząc tych satyrów i tych *blanc-bec'ów* popadam w tęsknotę bez granic. Po głowie mi się snuje obraz tego pięknego gondoliera, co to stawał z swą gondolą przed naszym hotelem i patrzał w nasze okna swemi płonącemi oczyma... *Des bêtises!...*

Mieliśmy tu dwa pikniki; na jednem z nich *une société trés-mélée!...* Gdybyś była tutaj, to we dwójkę bylybyśmy urządziły jakiś porządny skandal, — sama musiałam poprzestać tylko na demonstracji, zabrakło mi odwagi do czegoś większego!..

Ach, *ma bien aimée*, gdzież te czasy kiedyśmy razem epatowały Anglików w Brighton, wystąpiwszy na wybrzeżu w tych kąpielowych kostiumach, których kroju postarał nam się poczciwy Zizio od panny Cascadette!... Pamiętasz ten szmer podziwu pomiędzy mężczyznami, to zgorszenie pomiędzy kobietami, które spuszczały oczy, szepcąc *shocking! shocking!..* Jeszcze troszka, a cała męzka ludność Brightonu byłaby krzyczała: *„Hurah for the two beautiful polish ladies!... For ever!* to był tryumf nie lada!... *Je me grise de ces souvenirs!...*

Tutaj pomimo mej demonstracji żadnego pojedynku!... *Ils ont du sang de poisson cuit dans leurs veines!...*

Ktoś nadchodzi. — kończę więc, prosząc Cię, abyś spaliła tę bazgraninę i wylała łezkę współczucia nad twoją nieszczęśliwą

Lalą.

Wydawca i odpowiedz. za redakcyę F. H. RICHTER.

Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



4

UPIOR.

Opowiadanie przy kominku

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)



Podałem mu rękę chętnie.

— Słuchaj, mój poruczniku, rzekłem — daję ci słowo, że do panny przeszkadzać ani chcę, ani myślę. Serca jej ani pałasz, ani kula nie da, staraj się, ja stoję na boku.

— Panna ani patrzy na mnie — rzekł. — Jeszcze raz wzdychając podał mi dłoń.

— Masz tu nieprzyjaciół, dodał, ale masz i tych, co waćpana kochają. Ja już teraz wiem wszystko, mówiła mi dużo pani Sawicka, osoba godna — powiadał Starosta.

Zamilkłem, tak się rzecz skończyła, a w Kuźmińskim miałem później przyjaciela do zgonu. Tegoż dnia musiał coś powiedzieć Baranowiczowej, bo mnie bazyliszka wzrokiem ścigała. Po przewodach zapowiedziała wyjazd swój, sądząc, że ją będą wstrzymywali, a o tem nikt nie myślał. Starościna tylko, która serce miała anielskie, bolejąc nad tem dzieckiem, obdarzyła je, obsypała, aby jej za tę gorycz, której doznała, nagrodzić. Nic to nie pomogło, odjechała gniewna i nadąsana.

Nauka, jaką mi przyniosło przybycie tych państwa do Zabłocia, pobudziła do myślenia o sobie. Czułem co raz bardziej, że gram tu rolę, która u ludzi szkodzić mi może i różnie być tłumaczoną. Postanowiłem więc jak najmocniej starać się wyrwać z Zabłocia, pojechać na dłuższy czas do brata, przerwać trochę te stosunki, choćby serce zabolało.

W istocie boleć ono musiało, raz żem się do staruszki niezmiernie przywiązał, powtóre, że mnie ta Lorcia ciągnęła. Kochałem się szalenie, ale po cichu, nie mówiąc słowa, nie śmiejąc się zbyt przybliżać, nie chcąc korzystać z położenia. Starościna niekiedy zdawała się odgadywać skłonność moją, ale zawsze na serjo biorąc synowstwo moje, groziła mi i mówiła:

— Tylko proszę do siostrzeniczki się tak nie zbliżać — bo to się nie godzi, nie godzi.

Czasem gdym przed wyjazdem do brata parę dni nie był w Zabłociu, wnet posłaniec za mną gonił, kazano przyjeżdżać.

— A jam stara, ja się już tobą nie wiele nacieszę, nie uciekaj że ty odemnie, mówiła prawie ze łzami. Czy ci to tu źle? Czy ty nie wiesz, jak my cię kochamy.

P. Sawicka opowiadała mi, że sny miewała staruszka, odgadywała dnie i godziny, gdym miał przyjechać, poznawała po turkocie bryczkę, która mnie przywiozła.

Tysiączne dowody tego przywiązania napełniały mnie wdzięcznością, lecz zarazem niepokoiły i męczyły. Czułem, że rodzinie odbieram co najdroższego miała—serce matki, była to kradzież i oszukaństwo wedle mojego pojęcia.

Mówiłem to nie raz pani Sawickiej, starającej się mnie uspokoić i uprosić, abym biednej staruszce jedynej nie odbierał pociechy. Gdym o wyjeździe do brata zaczął mówić, Starościna, która wszystko usiłowała tłumaczyć po swojemu, ażeby się nie wyrzec raz stworzonej sobie baśni, powiedziała przed Sawicką:

— Już ja wiem, Włodzio musi mieć bohdankę i do niej mu tak pilno. Gdzie brat! jaki! to tylko fikcja — ale kiedy się koniecznie napiera, niech już jedzie, byle tam zbyt długo nie bawił, bo mi tęskno będzie.

Gdym przyszedł na pożegnanie, rozpłakała się, powtarzając mi prawie toż samo. — Starosta był trochę niezdrów i z pokoju swego nie wychodził i jego więc musiałem osobno żegnać. Znalazłem go zmienionym, i choć słabość, jak doktor zaręczał, nie miała w sobie nic zagrażającego, mnie się wydał dziwnie zmienionym i osłabłym na umyśle. Nie rad był, że mi wypadło jechać, ale wstrzymać nie mógł.

Ruszyłem nazajutrz z Rutek z mocnem postanowieniem zabawienia u brata. Wpadłszy do domu jego, dawnego rodzicielskiego, znalazłem w nim tyle wspomnień, tak żywą przeszłość, przyjęto mnie tak serdecznie, iż mi moje kłopoty dziwne wyszły z głowy. — Na wieść o mojem przybyciu dawni znajomi i przyjaciele domu zaczęli się ściągać, dnie płynęły świątecznie i wesoło.

Parę tygodni przeszło, anim się opatrzył, gdy jednego dnia wracając z polowania, ledwieśmy z bryczek zsiedli, patrzę—idzie ku mnie posłaniec z listem w ręku.—Zkąd?— Z Zabłocia. — Tknęło mnie jakieś przeczucie nie dobre, nimem list rozpieczętował, pytam go — Cóż tam u was?

Fornal dworski w głowę się poskrobał.

— A cóż! bieda, jaśnie panie, Starosta nam zmarł.

— Co mówisz! krzyknąłem.

— Już czwarty dzień, jak go Bóg wziął do swej chwały.

Rozpieczętowałem list. Pisała do mnie pani Sawicka zaklinając mnie na wszystko w świecie, na cienie mej własnej matki, abym coprędzej do Zabłocia przyjeżdżał, bo jedyną we mnie nadzieję mają dla Staróściny, która się nieustannie o mnie dopomina.

Nie było co nawet myśleć, w takim razie obowiązek chrześcijański służyć nieszczęśliwym, kazałem niezwłocznie konie zaprzęgać i ruszyłem do najbliższej poczty, a ztamtąd wprost do Zabłocia.

Pomimo największego pospiechu nie trafiłem już na pogrzeb, który przyśpieszono dla tego, aby nie przedłużać dni żałobnych ze względu na starościnę. Ciszą grobowę zastałem w starym dworze, całą rodzinę bliższą i dalszą zgromadzoną, jakieś narady, szepty i strwożenie widoczne. Jak tylko przybyłem, Sawicka wprost mnie poprowadziła do Staróściny, która mnie ściskając i płacząc się rzuciła na szyję. Usiłowałem ją pocieszać, nadaremnie, powtarzała mi tylko.

— Przez litość nie odstępuj mnie.

Musiałem się więc przygotować na wszystko, co mnie tu z Sawickim, Baranowiczem i familją czekało. Trzeba jeszcze wiedzieć, że znaczniejsza część majątku należała do Staróściny samej, a mężowski zapisany był na przeżycie, tak że rozporządzenie fortuną zależało od staruszki. Nie lękali się może zięciowie o dobra, których pani Boguszowa nie miała prawa oddać komu innemu jak dzieciom, ale o bardzo znaczne kapitały, wedle ich pojęcia mające się stać łupem awanturnika. Nie posądzałem ich o to, anim wiedział, co myśleli, lecz z obejścia się ze mną Baranowicza szczególniej mogłem wnosić, jak by był rad się mnie pozbyć. Jedna poczciwa pani Sawicka i skromna cicha Lorcia dodawały mi sił i odwagi.

Gdy staróściny żal gwałtowny cokolwiek się uśmierzył, familja z pomocą kanonika Supajły, poczęła zręcznie nalegać na Staróścinę o zrobienie rozporządzenia, Baranowicz domagał się oddania im dóbr, z których się płacić sumę oznaczoną ofiarowali, ks. Supajło jednak rozmowę o tym delikatnym przedmiocie potrafił odciągnąć jakoś i byłoby może oszczędziło się Staróścinie przykrości, gdyby Baranowicz, wypatrzywszy chwilę, zniecierpliwiony sam jej nie rozpoczął.

P. Boguszowa znalazła się z wielkim taktem, nie uniosła się, nie wzięła mu tego za złe, odpowiedziała obojętnie i odprawiła z niczem. Ten się już zaczynał coś odzywać o kurateli. O ile możności unikałem zetknięcia się z nim a tém bardziej sporu, na ostatek trafiło się tak, że gdy mi już do żywego dopiekł, musiałem go dnia jednego wziąść na stronę.

— Mój mości dobrodzieju — rzekłem mu stanowczo, położenie moje w tym domu tak jest osobliwsze, a ja niemam honoru mu być bliżej znajomym,—że wreście muszę tu z nim rozmówić się otwarcie dla uspokojenia go. Oświadczam więc panu uroczyście i gotowem to pismem stwierdzić, iż mimo szczególnego afektu dla mnie Staróściny, — nietylko ztąd żadnych korzyści nie myślę i nie myślałem ciągnąć, ale gotówem się własnym groszem okupić od posądzeń.

Baranowicz się zmięszał mocno.

— A któż mógł panu myśl poddać, że my go o to posądzamy? burknął.

— Całe postępowanie pańskie, rzekłem. Gdyby nie czcigodna staruszka, której serca nie chcę zakrwawiać, dawno by mnie tu nie było, zrzekłbym się Rutek, dzierżawy i znajomości nawet.

Widząc że to tak gorąco biorę, zawstydził się Baranowicz, począł przepraszać, tłumaczyć się, zapewniać, że mu w myśli nie postało. Zły był jednak, żem go od-

gadł i tak obcesowo przyparł do kąta. A że Starościnę do uczynienia rozporządzenia nie mogli skłonić, oboje Baranowiczowie nazajutrz wyjechali. Pozostał Kanonik, pani Sawicka z córkami i ja.

Jednemu tylko panu Bogu wiadomo, com się naówczas, cudzą grając rolę, namęczył; a zrzec się nie było podobieństwa. Starościna prawie wszystko zdawała na mnie: papiery, interesa, kasę, dom, czyniąc mnie w nim panem niejako. Ja z mojej strony musiałem nieustannie konferować z panią Sawicką, jej przekazując wszystko i stosując się do rady i woli.

Jedyną moją pociechą było, że mnie to do Lorci zbliżało. Stosunek z nią był w swoim rodzaju osobliwy, była bowiem znacznie młodszą odemnie, a ja, choć się szalenie kochałem, miłości tej musiałem nadawać ton i powagę przywiązania wujaszka do siostrzenicy.— Wprawdzie ułatwiało to stosunki, czyniło je poufalszemi, lecz pewnej granicy przejść nie dozwalało. Dziewczę było nad wiek swój roztropne, z główką otwartą, z sercem co kochać umie głęboko, spokojnie, cicho.

Nie potrzebuję przypominać ichmościom, że jak ludzi jest rodzajów wiele, tak i miłości ich różne bywają, szczególniej zaś u kobiet napatrzeć się można osobliwych, ale najrzadszą jest ta poczciwa miłość, jaką i ja dla Lorci i ona miała dla mnie. Wiedzieliśmy doskonale, żeśmy się kochali, bo na to słów nie trzeba i wyznań, ani ja, ani ona na pewnośmy nie mogli przewidywać, czy kiedy co z tego będzie, aleśmy siebie pewni byli, że choćby przyszło z największemi walczyć przeszkodami i czekać jak najdłużej, zmienić to nas nie potrafi.

Gdy się goście rozjechali, a mnie Starościna oddalić się nie dawała, i wszystkich oficjalistów zwoławszy, przykazała mi posłuszeństwo — rozpoczęło się dawne regularne życie w Zabłociu. Brakło nam tylko poczciwego staruszka, którego krzesło zostało próżnem, aleśmy wspomieniami jego żyli.

P. Boguszowa nie jak czasem inne, niby wielce zbolałe niewiasty, które zacierają pamięć osób opłakiwanych i usuwają wszystko, co by je mogło przypominać — przeciwnie zachować się starała, co utrwalało wspomnienie nieboszczyka, mówiła o nim, opowiadała przeszłość, zdawała się mieć upodobanie we wskrzeszaniu dni ubiegłych.

Wieczorami przychodziła do salonu, i tu na czytaniu lub rozmowie kilka godzin ubiegało. Opowiadania o Staroście szczególniej były do mnie zwrócone dla tego, żem ja przez długi czas go nie widział i nie znał. Zawsze bowiem rachowałem się za tego Szwoleżera, który zawczasu z domu rodzicielskiego uszedł i wstąpił do wojska.

Nigdybym nie wytrwał w tej biedzie, gdyby nie pani Sawicka. Kochała ona matkę nadzwyczajnie i z miłości dla niej mnie jak na sznurku trzymała. Gdym się czasem poskarżył, patrzała mi w oczy ruszając ramionami.

— Czyżbyś pan w poczciwem sercu swojem żadnej nie znalazł kompensaty za tę ofiarę. jaką dla nas czynisz! mówiła.

Być może, iż Lorcię miała na myśli, ale ani jej się z nią narzucać mi nie wypadało, ani korzystając z położenia sięgać zaraz po rekompensę. —

Gdyby wygódki, pieszczoty, nadskakiwania mogły osłodzić człowiekowi fałszywość położenia i upokorzenie a niewolę — mógłbym się był uważać za bardzo szczęśliwego. Uprzedzano moje życzenia, starano się odgadnąć gusta, a bylem słowo powiedział, Starościna co najspieszniej wydawała rozkazy i musiano się do nich stosować. Ludzie, którzy mieli interesa do Boguszów, potrzebowali protekcji, pośrednictwa, płynęli do mnie i męczęli. Przelewałem ich żądania na panią Sawickę, ale gdy szło o rozstrzygnięcie, Starościna wołać mnie kazała i wymagała, ażebym ja decydował.

Z powodu tego ciągłego przebywania w Zabłociu trudno mi było dojechać i dopilnować się w Rutkach, oficjaliści młodzi, za oczami nadużywali i pomimo że dzierżawa była doskonała, widziałem się zagrożony stratą.

Pisnąć zaś nie podobna było o tem, bo delikatność nie pozwalała.

Choć młody i nie wiele dbający o pieniądze, gryzłem się tem. Bierzcie to sobie jako chcecie, ale wyznam otwarcie, choć może nieumiałem jak drudzy robić majątku, tracić zrobiony uważałem za grzech. Niech sobie mówią inni, że grosz głupia rzecz, że się to do niego przywiązywać nie trzeba, ja trzymam inaczej. Majętność po rodzicach, co to jest? Ich praca, oszczędność, ich pot krwawy, nocy bezsenne, jest to rzecz powstała z niczego, a dająca — o ile co na świecie pewnego — niezależność — zapewniająca wychowanie dzieci, wykształcenie ich, wprowadzenie na świat — na ostatek możność czynienia dobrego. Mamy może prawo nie zbierać i niezapracowywać, jak się komu podoba, ale tracić nie mamy prawa, kto traci, winien jest wobec społeczeństwa, rodziny, przeszłości i przyszłości. Wolno pewnie złożyć w ofierze wszystko, co się ma, na cele szlachetne — ofiara marnotrawstwem nie jest, strwonić się niegodzi.

Strwonić na dogodzenie fantazjom, zachciankom, pysze, namiętności jest świętokradztwem, — jakby kto z ołtarza wziął i w błoto rzucił.

Więc widząc moją ojcowiznę zagrożoną rozpłynięciem mi się w rękach, przez nieudolność moją — bolałem, tłumaczyłem to sobie tylko — ofiarą. Dzierżawa stosunkowo do funduszów, jakie mi brat zachował, była duża i łatwo się mogło stać, że jaka część trzecia jej mogła zniknąć. Stracić niezmiernie łatwo, dorobić się lub odrobić jak trudno, wie tylko ten, co był zmuszony ciułać po groszu.

(C. d. n.)

GRUZJANIE i KURDOWIE
w armji tureckiej.

Jak niegdyś w obozie Wallensteina, tak i w armji tureckiej gromadzą się najróżnorodniejsze żywioły pod względem społecznym i narodowym.

W poprzednim obrazku przedstawiliśmy dwa typy społeczne, stojące poniekąd na ostatecznych krańcach społeczeństwa.

W niniejszym obrazku podajem dwa typy narodowe, między któremi zachodzi podobna sprzeczność.

Mieszkańcy Gruzji, zwanej także Georgją (i bardziej znanej w Europie pod tą ostatnią nazwą) dostarczają armji tureckiej najpiękniejszych mężów, zarówno jak haremom najpiękniejszych kobiet.



Gruzjanie.

Gruzjanie odznaczają się zarazem układnością i gładkością w obejściu, która im toruje drogę do zaszczytnych stanowisk w hierarchji społecznej, chociaż niewywierają oni tak stanowczego wpływu na tureckie społeczeństwo jak Softowie.

Kraina górska, kaukaska, którą zamieszkują Gruzjanie, wielce podobna do Szwajcarji, jest bezsprzecznie częścią tego wielkiego obszaru, który stanowi kolebkę najdawniejszego zaludnienia Europy. Nieprzeczą temu bynajmniej ani uczeni zachodniej Europy, ani moskiewscy, że z tej krainy wyszli najdawniejsi znani nam mieszkańcy Europy, których obejmujemy pod ogólną nazwą Keltów. Niemniej też nieprzeczą ani jedni ani drudzy, że Gruzjanie należą do plemienia aryjskiego a zatem nie mają nic wspólnego z narodami turańskiego pochodzenia jak: Turcy i właściwi Moskale. Zachodzi jednak sprzeczność między uczonymi zachodnio-europejskimi a moskiewskimi co do dawności politycznego bytu Gruzji.

Ważna to kwestja dla wykazania historycznego uprawnienia Gruzji dzisiejszej do narodowej samoistności.

Zachodnio-europejscy uczeni twierdzą, że kraj ten był przez przeszło 2100 lat państwem niezależnem, a dopiero w XVIII wieku został przez Rosję zawojowanym. Dnia 5. Grudnia 1799 straciła Gruzja swoją niezawisłość i stała się rdzenną gubernią moskiewskiej Transkaukazji.

Najdawniejsze dzieje tego kraju są niepewne. Jednak już z samego początku ery chrześcijańskiej mamy pewną wiadomość, że arystokracja gruzyjska, pogrążona w domowej wojnie między sobą, sprowadziła do kraju obce wojska jako posiłki. Jedni wezwali na pomoc Persów, drudzy Ormjan, a ta pomoc obcych skończyła się podziałem kraju.

Był to pierwszy podział Gruzji czyli Georgji. Odtąd był ten kraj przedmiotem ciągłych sporów i wojen między sąsiedniemi państwami. To Persowie, to Ormianie na przemian rozciągali swoją władzę nad Gruzją, ustanawiali i strącali z tronów królów i książęta. Zachowała jednakże Gruzja zawsze o tyle swoją niezależność, że miała własnych panujących, a bywały czasy nawet zupełnej niepodległości, które jednak nigdy długo nietrwały.



Kurdowie.

Już w IV wieku ery chrześcijańskiej pozyskali przewagę nad tym krajem bizantyńscy cesarze; oni to ustanawiali odtąd królów i strącali ich z tronu, ale pozostawiali zawsze przy władzy krajowców.

Od VIII wieku przebywają jeszcze Muzułmanie do tych mocarstw kolejno wykonujących zwierzchnictwo nad Gruzją i wydzierających je sobie nawzajem. Niebrakło jednak i Gruzji na walecznych i bohaterskich królach. W perjodzie między 1089 a 1130 rokiem odzyskał kraj ten pod królem Dawidem „Odnowicielem“ zupełną niepodległość, król ten wypędził z kraju turecko-tatarskie hordy i był równo strasznym dla tychże, jak dla Persów. W tym czasie weszła Gruzja także w stosunki z kniaziami ruskimi. Wkrótce jednak stał się kraj ten znowu pastwą spustoszeń i łupieztwa Kurdów i Persów.

W roku 1241 nastąpił drugi podział Gruzji, którego dokonali Persowie. Wprawdzie zjednoczył na krótki czas król Jerzy VI (1304 — 1360) na nowo podzieloną Gruzję

i następnie po wtargnięciu Timura, który szerzył muzułmańską wiarę mieczem i ogniem, podźwignęła się Gruzja jeszcze raz z upadku w latach 1414 — 1424 pod Alexandrem I. Ale król ten oswobodziwszy ojczyznę swoją od Muzułmanów popadł na nieszczęśliwy pomysł podzielenia jej między swoich synów, których potomkowie dzieląc dziedzinę dalej i dalej doprowadzili do tego, że w końcu Gruzja miała 26 osobnych władców.

Pociągnęło to trzeci podział Gruzji za sobą, w skutek czego dostała się zachodnia część pod zwierzchnictwo Turcji, wschodnia zaś pod toż Persji.

Niestraciła wszelako Gruzja jeszcze zawsze zupełnie swojej niepodległości, pozostawała tylko w stosunku lenniczym częścią do Turcji, częścią do Persji, a częścią do Moskwy—aż w końcu po różnych walkach i zmiennych losu kolejach zagarnęła Moskwa cały ten kraj i wcieliła go do swego olbrzymiego carstwa.

Przytoczyliśmy rozmyślnie nieco szczegółowo dzieje Gruzji, aby z tym wynikiem badań uczonych europejskich porównać dzieje Georgji, opisane podług ukazów moskiewskich.

Dodać tu tylko musimy, że starożytne dzieje Gruzji gubią się wprawdzie w zamierzchłej niepewności, jednak same cechy fizyczne, jak: przeważnie jasno-płowe włosy i niebieskie oczy znamionują ich jednoplemienność z najdawniejszymi mieszkańcami Europy. Nadto uczeni badacze języków znaleźli bliskie pokrewieństwo między jezykiem Gruzińców (Georgjan) a hiszpańskich Basków, co wskazuje na wspólny keltycki rodowód obu narodów.

Przypominamy zresztą, że wedle podań dziejowych została w Georgji nauka Chrystusa już w 31 roku po Chrystusie przez Apostołów Andrzeja i Szymona zaszczepioną, co zaś jest rzeczą pewną (wedle źródeł ormiańskich) to, że między r. 186 a 213 po Chrystusie panujący Georgijski książę Rew ustalił pod opieką Ormjan chrześcijaństwo w tym kraju, a już w r. 455 ustanowiono w nowo założonym Tyflisie georgijskiego katolikosa, (t. j. zwierzchnika kościelnego).

Śmiesznemi muszą się wydawać wobec tego twierdzenia, a raczej przeczenia moskiewskich ukazowych historyków, według których Gruzjanie zawładnęli tym krajem dopiero między rokiem 1014 a 1127. Nieprzeczą oni, że plemię „Gruzyńców“ istniało dawniej i że się w tych krajach znajdowało około początku ery chrześcijańskiej, mianowicie na wschodnich brzegach morza Czarnego, nieprzeczą nawet, że za czasów Justynjana ukazało się kilku znakomitszych władców z Łazów i Abchazów, ale twierdzą, że całe owe dawne dzieje Gruzji są istną pomyłką t. j., że dzieje Iberji starożytnej przedstawiają uczeni zachodnio-europejscy jako dzieje Gruzji. Uważają to za pomyłkę uczeni moskiewscy, bo twierdzą, że Gruzjanie jako naród niemogli nawet istnieć w tak oddalonych czasach, chociaż plemię ich istniało. Według ich twierdzenia zaczyna się polityczne istnienie Georgji dopiero z XI wiekiem ery chrześcijańskiej, bo wtedy wspominają kroniki Gruzyjskie pierwszego Georgjego swego, a tylko od niego można rachować polityczne istnienie narodu georgijskiego.

Dlaczego? Bo podług wszystkich analogji dziejowych Azji i podług prawdopodobieństwa logicznego poczynać się powinno polityczne istnienie Georgjan od niejakiego Georgjego albo Jerzego, który dał swe imię ludowi w owych krajach zamieszkałemu.

Bądź co bądź, kraj ten i naród pochłonęła nienasycona w zaborach Moskwa. A pomimo tego Gruzjanie stanowią ważną część armji tureckiej.

Jak to się dzieje, tem bardziej, że Gruzjanie są chrześcijaninami? tego nam nikt niewyjaśnił.

Na razie niepisząc rozprawy historycznej ani krytycznego poglądu podajemy tylko fakt, że w armji tureckiej odznaczają się Gruzjanie kształtną powierzchownością, zgrabnością i żywotnością w ruchach, nieustępują innym co do waleczności, a chociaż pod względem zamiłowania do oświaty i doskonałości w tejże nie celują przed innemi, to jednak dzięki swej układności i zręczności nawet w intrygach dworskich dostępują oni wysokich stanowisk w hierarchji urzędniczej, zarówno jak Gruzjanki zajmują obok Czerkiesek pierwszorzędne miejsca w haremach tureckich.

Kontrast niejaki stanowią z Gruzjanami Kurdowie. Również od wieków zamieszkali w krainie kaukaskiej w sąsiedztwie Gruzji, zajmują oni część Armenji, prowadzą od wieków jednakowe życie obozowe, podzieleni na pokolenia pod osobnymi książętami czyli wodzami, żyją z chowu bydła i łupieztwa, bez uporządkowanego państwowego ustroju. Należą także do plemienia aryjskiego, różnią się jednak od Gruzjan zarostem czarnym. Nie są to tak kształtne postacie, ani się nieodznaczają taką układnością jak Gruzjanie, za to są oni dzielnym czynnikiem w armji tam, gdzie chodzi nie o walkę regularną, ale o napadanie znienacka i robienie dywersji przez szerzenie postrachu między ludnością lub też niepokojenie nieprzyjaciela w pochodach, obozach i t. p.

W swoim związku niezorganizowanym niewyrobili sobie Kurdowie ani sami państwowego ustroju, ani też nieweszli w skład żadnego z przyległych państw zorganizowanych. Ztąd mają oni tę korzyść, że ani powstawanie nowych państw, ani upadek istniejących nie wpływa stanowczo na ich losy. Czem Kurdowie są dla Turcji, tem będą, jeżeli ta potęga runie, dla Moskwy, chyba że uda się ująć ich w ścisłe karby organizacji wojskowej i politycznej.

Karol Widman.

Właściwości charakterów kobiecych.

POGADANKI ANTROPOLOGICZNE

Dra Juliana Ochorowicza.

(Ciąg dalszy.)

Natura, normalnie silna, nerwowo będzie taka, w której siła wrażeń służy tylko do ożywiania i odżywiania umysłowości, nie panując nad nią bezwzględnie. Lecz i granice normalnych nastrojów są dosyć rozległe. Jeżeli przeciętna łatwość ulegania wrażeniom jest tylko cokolwiek wyższa u kobiet, to za to w szczegółowych działach spotykamy różnice wybitniejsze. Zmysł dotykowy np. jest znacznie czulszy u kobiet niż u mężczyzn, raz dlatego, że skóra cała jest delikatniejszą, powtóre, że niektóre jej punkta mają lepszą komunikacyę nerwową z organami centralnemi, i po trzecie, ponieważ zmysł ten bezustannie jest ćwiczony już to umyślnie, już to bezwiednie. Sam rodzaj ubrania i sposób ubierania się sprawiają, że kobieta częściej zwraca uwagę na powierzchnię swej skóry i uczy się lepiej lokalizować czyli rozmieszczać wrażenia. Głowa czuje różnice układu włosów niedostępne dla czucia mężczyzny, a końce palców dochodzą do wyjątkowej czułości przy wyszywaniu, haftowaniu i t. p. robotach delikatniejszych — lub przy rozpoznawaniu gatunków materyi. Kobieta wreszcie, częściej nosząca rękawiczki, łatwo dochodzi do takiej wprawy, że przez skórkę kozłową czuje tak dobrze jak przez swoją własnę.

Zmysł smaku ustępuje pierwszeństwo męskiemu; trudniej też spotkać kobietę — smakosza niż mężczyznę, i mimo całego uzdolnienia kobiet do kuchni, one same wolą obiad przyrządzony przez dobrego kucharza, niż przez dobrą kucharkę. Nieczuję się jednak kompetentnym do zdecydowania, czy tu istotnie smak kucharza odgrywa główną rolę.

Powonienie zdaje się być natomiast subtelniejszem. Świadczy za tem już samo użycie przeróżnych pachnideł i przywiązywanie szczególnej wagi do drobnych odcieni w ich zapachu; przemawia za tem również zamiłowanie kwiatów i powszechniejsza dążność do strzeżenia czystości powietrza.

Słuch, chociaż w ogóle nie przedstawia różnic wybitnych, ma jednak swe szczegółowe właściwości. Kobiety są wrażliwsze na odcienia głosu w mowie i w deklamacyi niż mężczyźni, umieją oceniać najdrobniejsze echa wzruszeń i wykrywać tym sposobem tajemnice. Ta zaś właściwość prowadzi za sobą inną: w towarzystwie osób dobrze wychowanych znajdujemy jednak niewielu mężczyzn umiejących dobrze czytać, podczas gdy kobieta rzadko nie posiada tej sztuki. Już w szczebiotaniu dziewcząt i chłopców możemy spostrzedz różnicę inteligencyi na korzyść pierwszych, szkoda tylko, że ona rzadko rozwija się dalej w głąb i zwykle pozostaje powierzchowną. Słuch muzyczny jest też pospolitszym u kobiet niż u mężczyn; kobieta nieumiejąca nucić jako tako jest osobliwością: ale i tu, podobnie jak w deklamatorskiej intonacyi głosu, rzadko znajdujemy głębokość pojęcia obok łatwości pojęcia i dlatego procent dostarczany sztuce przez tysiące młodych pracowniczek fortepianu jest bez porównania mniejszym, niż u mniej powszechnie uzdolnionych mężczyzn.

Wzrok nareszcie jest jednym zmysłem grającym u kobiety rolę raczej czynną niż bierną. Oko służy jej nie tyle do widzenia, ile do patrzenia. Spoglądanie jest wynalazkiem *par excellence* kobiecem. Lecz jeżeli z jednej strony umieją one patrzyć nie widząc, to umieją także doskonale widzieć nie patrząc. Sądząc z ogólnych spostrzeżeń towarzyskich możemy przypuszczać, że boczne części oka kobiecego, a ściślej mówiąc boczne części siatkówki wrażliwsze są niż u mężczyzn. Szkoda, że i ta kwestya fizyologiczna nie została dotychczas zbadaną doświadczalnie.

Ogólne usposobienie funkcji wzrokowej u kobiet nadaje się raczej do drobiazgowej analizy z bliska, niż do rozleglejszej syntezy z odległości. Kobiety przenoszą zwykle misterne artystyczne miniatury nad śmiałe rzuty pendzla w krajobrazach, widok koronki nad widok morza, przechadzkę do lasku nad podróż po stepie. Ale w szczupłym zakresie salonowej obserwacji wzrok ich jest niesłychanie bystrym nawet w obejmywaniu całości. Spytaj mężczyznę wracającego z balu, jak były poubierane kobiety, z któremi tańczył, a odpowie ci ni to ni owo — kobieta przeciwnie przytoczy ci nawet kolor każdej kokardki, sposób upięcia włosów i formę kólczyków. Co więcej, jej wystarczy w tym celu proste spojrzenie przy przejściu przez ulicę, które tobie czytelniku wystarczyłoby do zorjentowania się, kto przeszedł!

Nie myślę wcale wyśmiewać się z takiego talentu. Specyalność jedynie prowadzi do doskonałości; ale czy nie byłoby dobrze korzystać z tego uzdolnienia i w innych kierunkach? Czy nie dobrzeby było, uczyć panny więcej

rysunków, malarstwa i rzeźby zamiast poprzestawać na mordowaniu jednego tylko talentu? Czy nie możnaby wreszcie skorzystać z tego analitycznego uzdolnienia, stosując je do prac ściślejszych nad botaniką np. Studja botaniczne mają tę odpowiednią dla kobiet właściwość, że dają się połączyć z nauką rysunku i estetyki, a niebyłoby nic zdrożnego, gdyby młoda panienka przy poważniejszych studyach dowiedzieć się mogła, że kwiaty służą nietylko do ubrania głowy, lecz także do wydawania owoców.

W ogóle łatwość, z jaką odbieramy różnorodne wrażenia różnorodnych zmysłów, daje się podnieść przez ćwiczenie. Oko zaprawione do badań mikroskopowych od razu odróżni komórkę od bańki powietrza lub innej jakiej plamki przypadkowej, podczas gdy początkującym trudno jest spostrzedz nawet to, o czem z góry będą uprzedzeni. Biegły słuch muzyka odrazu uchwyci lekkie zniżenie lub podwyższenie tonu i t. p. Wreszcie łatwość w ujmowaniu wrażeń jest zależną od większej lub mniejszej uwagi — a oba te fakta mogą posłużyć za dowód, że własną pracą jesteśmy zdolni podnieść wrażliwość analityczną do stopnia nierównie wyższego niż ten, którym nas obdarzyła natura.

Odnośnię do szybkości, z jaką wrażenie przebiega po nerwie, zanim dojdzie do mózgu, ostatnie lata dostarczyły nam bardzo ciekawych danych. Dzięki pracom Dondersa, Vulpiana, Hirsza, Wundta, Helmholtza i innych, zdołaliśmy ją zmierzyć dokładnie, chociaż jeszcze przed kilkudziesięciu laty znakomity fizjolog Jan Müller uważał taki fakt za niemożliwy. I oto — rzecz dziwna — przekonaliśmy się, że szybkość przebiegu podrażnień po nerwach jest bardzo małą, bez porównania mniejszą, niż w ogóle przewidywano. Wynosi ona średnio biorąc zaledwie około 60 stóp na sekundę.

Czy pod tym względem istnieją różnice u obu płci? tego tylko doświadczalnie nie stwierdzono, ale opierając się na spostrzeżeniach ogólnych należałoby przypuszczać, że jest nieco większą u kobiet niż u mężczyzn. Taką wskazówkę daje nam między innemi ten fakt, że kobiety nabierają wprawy w szybkiej egzekucji drobnych a skombinowanych ruchów i odznaczają się w ogóle większą przytomnością umysłu, gdy chodzi o natychmiastową reakcję na wrażenia.

Trzecia właściwość wrażliwości, a mianowicie częstość przerzucania się podrażnień czuciowych na nerwy ruchu i mięsne jest już stanowczo większą u kobiet. Takie odrzucanie nazywamy odruchem czyli refleksem — oto przykład:

Jednym z najpospolitszych sposobów oddziaływania nerwów czucia na nerwy ruchu jest wyraz naszej twarzy. Nietylko silniejsze wrażenia bolu lub przyjemności, ale nawet drobne odcienia wrażeń umysłowych np. w rozmowie odbijają się natychmiast na twarzy w różny sposób, kurcząc mięśnie podskórne. Wyraz ztąd powstały jest objawem machinalnym, bardzo często bezwiednym. Biorąc zaś przeciętnie częstość zmiany wyrazu twarzy u mężczyzn i u kobiet, znajdziemy że u tych ostatnich jest ona większą, t. j. przecięciowo biorąc zmiany ożywień lub smutku i tp. częściej przytrafiają się na twarzy kobiecej niż mezkiej, która odznacza się większą stałością wyrazu. Tak samo rzecz się ma i odnośnie do innych rodzajów przerzucania się podrażnień czuciowych na mięśnie, mianowicie odnośnie do dźwięków mowy, ruchów i giestów. Mimo mniej ruchliwego sposobu życia na zewnątrz, kobieta, fizjologicznie rzeczy biorąc, jest istotą ruchliwszą niż mężczyzna; jest bardziej drobiazgową w giestach, bardziej urozmaicone przedstawia odruchy i łatwiej je naśladuje. Ztąd też przeciętna kobieta posiada więcej zdolności aktorskich, niż przeciętny mężczyzna. Ale wcale zatem nie idzie, ażeby owa łatwość i częstość odbijania się wrażeń w powierzchowności ciała dowodziła zarazem głębokości odbicia. Kobieca twarz nierównie mniej niż mezka zdolną jest wyrażać silniejsze tony całej skali uczuć i namiętności, celując jedynie w subtelnych odcieniach uczuciowości. Przytem — musimy tu zrobić uwagę, ze względu na kobietę charakterystyczną: Nietylko pod wpływem wychowania ale i z samej natury posiadają one większą skłonność i zdolność do ukrywania lub zmienienia wyrazu uczuć, — co jednak również jest w znacznej części wynikiem owej częstości odruchów wyrazistych. Im bowiem częściej wyraz zmienia się sam przez się, tem łatwiej możemy się nauczyć zmieniać go na zawołanie.

Nareszcie musimy tu uwzględnić znaczne różnice indywidualne w charakterach wrażliwości kobiecej. To jednak pewna, że typ powierzchowności świeżej, naturalnej, żywej, odbijającej natychmiast wszelkie podraśnienia nietylko wrażeń obcych, ale pasma własnych myśli i rojeń, odbijający je stopniem rumieńca na twarzy, wyrazem ust i oczu, układem całego ciała i poruszeniami rąk i głowy, że typ mówię taki, który nazywamy naiwnym w dobrem znaczeniu tego wyrazu, jest typem par excellence kobiecym. Przeciwnie mezkim jest raczej wyraz stałości i powagi. Ale po za temi typami przeciętnemi istnieją całe szeregi rozmaitych kombinacyi indywidualnych, które już to zbliżają charakter kobiety do mezkiego, już mężczyzny do kobiecego. Tak np. wiele kobiet wyższego świata wyrabia w sobie na przyzwyczajeniu opartą moc panowania nad swemi ruchami i słowami, które też w skutek tego stają się wyjątkowo skąpe i majestatyczne. Zwykle jednak odruchy wstrzymywane zmieniają tylko drogę i formę przejawu, nieprzestając działać wewnętrznie pobudzająco lub nawet wstrząsająco.

Z drugiej strony pod wpływem wychowania czułostkowego, podbudzenia fantazji kosztem rozsądku, rozwijają się nieraz typy o nadzwyczajnej, ale tylko powierzchownej wrażliwości, które płaczą nad byle romansem, nie mogą znieść widoku nędzy lub choroby, a przy tem wszystkiem pozostają w gruncie rzeczy istotami bez serca, których cała czułość zużywa się na wyraz twarzy, na dźwięk głosu i różne inne pantominy, niepozostawiając nic dla rzeczywistego przejawienia się uczuć — w czynach. Jak listki Czułka wstydliwego (Mimmosa pudica) stulają się za lada dotknięciem a przy silnem wstząśnieniu pozostają martwemi — tak owe mimozy naszych salonów, wychuchane w cieplarni domowego ogniska i od reszty świata oddzielone zamglonym kloszem marzycielstwa — za lada podraśnieniem drgają wszystkiemi listkami swej duszy, a wobec twardych warunków rzeczywistości mają tylko jedną reakcję — bezwładność.

(*C. d. n.*)



Kwiat niezabudki.

Dumko! Płyń jak woń z kwiatu
Ofiarnego ołtarza.
I ziemskiemu głoś światu
Takie dzieje gęślarza.

Gęślarz szukał kochanki,
Bo uczucia w nim grały,
Jak w wiosenne poranki,
Ciche zdroje u skały.

Szukał śpiewem ojczystym,
Spojrzeniami łzawemi,
Lutni dźwiękiem srebrzystym...
I nie znalazł na ziemi.

Więc pokochał gwiazdeczkę,
Co na niebie świeciła;
Wysłał w swaty piosneczkę,
Co do serca trafiła...

Odtąd w drodze żywota,
Co go wiodła przez ciernie,
Ciągle gwiazdka ta złota
Przyświecała mu wiernie.

A gdy kończył wędrówkę,
To kochanka ta stała,
Pochyliwszy w dół główkę,
Łzą rzęsistą płakała...

A z łzy każdej promyka
Blask wystrzelił słoneczny,
I na grobie lirnika
Zakwitł kwiatek serdeczny.

Łzy na niebie przelśniły,
Lecz na ziemi tu kwitną,
U gęślarza mogiły,
Niezabudką błękitną.

J. P.

TURECKI KOZAK.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

IV.

I znowu ośm dni przeminęło — gdy Belzoni wszedł do mnie. Już nawet o nim nie myślałem.

Blady był. Ogorzała i z natury smagława cera jego twarzy przybrała jakiś zielonawy, niezdrowy ton; oko migotało niespokojnie, całe jego zachowanie się wskazywało, że coś niezwykłego w nim się dzieje.

Ręka jego spoczywająca na przepasce drgała, jak gdyby pod parciem wewnętrznego wzruszenia ze swoich więzów chciała się wyswobodzić.

— Winien byłem już od dawna odwiedzić pana, — zaczął, nieco zakłopotany, gorączkowym tonem. — Nie miej mi pan tego za złe, że dopiero osobisty interes przypędza mnie do Niego. Mógłbym panu tysiąc usprawiedliwień wyrazić — ale ograniczę się na jednem tylko. Czy mogę panu zabrać półgodzinki czasu.

— Proszę mną rozporządzać.

I na mnie także niepokój jego zaraźliwie podziałał. Przyglądałem mu się nie bez tajnej troski.

Belzoni uspokoił się, zasiadłszy w krześle, odetchnął mocno, odmówił cygara, które mu ofiarowałem, wyciągnął się w krześle, nogę na nogę zakładając, jak gdyby dla skupienia wszystkich sił.

— Przybywam tu w moim własnym interesie — począł — powiedziałem już panu, że egoistyczny powód mnie do niego sprowadza.

— Kobiece sprawki — przebiegło mi znów przez głowę. Szukałem tytułu romansu na jego twarzy.

— Los nadarzył mi przed kilku dniami spotkanie, które bez skutków obejść się nie może.

Spojrzałem nań z wyrazem porozumienia. Widocznie zdziwiło go to. Przez chwilę panowało milczenie.

— Jeżeli się nie mylę—rzekłem obojętnie,—to zdarzyło mi się mimowolnie być świadkiem powyższego spotkania na polach Elizejskich.

Wyznanie to jakkolwiek niespodziane dla Belzoniego, nie zdawało się go nieprzyjemnie dotykać, ułatwiło mu bowiem zamiar, z którym do mnie przybył.

— Więc byłeś pan świadkiem?.. zapytał powoli.

— Siedziałem na polach Elizejskich w pobliżu Państwa — a zwróciłem uwagę dopiero wtedy na pana i jego towarzyszki, gdym je ujrzał podnoszące się z pospiechem i spieszące się do fjakra...

— Widziałeś więc pan i tego?..

— Tak jest, i jego. Ale pan ten jest mi zupełnie nieznanym, gdy tymczasem towarzyszki pańskie, widocznie mieszkające niedaleko odemnie — miałem już szczęście widzieć wiele razy.

— Młodsza z nich jest moją narzeczoną.

— Ach!.. a ów pan?

— Jej mężem.

Tak osobliwszy stosunek wprawił mnie na chwilę w milczące zdziwienie. Potrzebowałem się namyśleć, ażeby pojąć rzecz, nader zresztą łatwą do pojęcia.

— Istotnie — osobliwy zbieg okoliczności, zauważyłem półgłosem...

— Który tu w Paryżu znaleźć musi swoje rozwiązanie — odrzekł Belzoni. Nie obawiaj się pan natrętstwa z mojej strony — ciągnął dalej — o małą tylko przysługę chcę pana prosić.

To mówiąc wydobył z portfelu dwa grube opieczętowane listy.

— Czy przypominasz pan sobie — spytał — Colassi'ego *) M..., mojego obozowego kolegę.

— Wybornie.

— Otóż pragnąłbym, ażeby ten oto list dostał się do rąk jego, jeżeli go od pana do pojutrza napowrót nie zażądam. Czy będziesz pan łaskaw przesłać go pod adresem bankiera H. w Konstantynopolu.

— Z przyjemnością! wyjąknąłem, zaczynając się domyślać, o co chodzi.

— Dziękuję panu! Ten zaś drugi list zaadresowany do Wiednia. Zechcesz go pan w dobroci swojej jednocześnie z tamtym wyekspedjować?..

— Jak najchętniej.

Wpatrywałem się weń badawczo. Twarz jego stała się znowu spokojną i chłodną, owo gorączkowe drganie muszkułów naraz zupełnie ustało. Przeciągnął ręką po czole, złożywszy przedemną obadwa listy — i zdawało się, że nie ma już nic więcej mi do powiedzenia, lub też że odemnie zapytania oczekuje.

— Nie chciej mi pan poczytać tego za natrętne mięszanie się w twoje sprawy — rzekłem — gdy pokażę, iż domyślam się pańskich zamiarów, i wypowiem moje zdziwienie, iż w takim stanie?..

---

*) Colassi wicemajor turecki.

Tu wskazałem na prawą jego rękę spoczywającą jeszcze na temblaku.

— O! to nie przeszkadza bynajmniej! zawołał z bolesnym uśmiechem. Nie może przeszkadzać! —

— Jednakże tym sposobem stawka będzie nie równa!

— Nie zdaje mi się — odrzekł... Zresztą, tak czy owak — nic się już nie da odmienić.

— A zatem posłałeś pan już?..

— Wszystko już obrobione — odpowiedział z posępną chmurą na czole.

Zamilkłem, musiałem zamilknąć, nie chcąc być rzeczywiście niedyskretnym. Wyraz jego twarzy i ton odpowiedzi odbierały ochotę do wszelkich dalszych zapytań na ten temat.

Chwilowe zapanowało milczenie. Belzoni spoglądał przed siebie, następnie przeciągnął palcami po długich jasnych wąsach, jak gdyby chciał coś jeszcze mówić a powstrzymywał się...

— Gdybym wiedział, że panu nie przeszkadzam — wyrzekł nareszcie i urwał...

— O jakżeż możesz pan coś podobnego myśleć! — zawołałem.

W Paryżu pojedynki są na porządku dziennym. Bije się o kurtyzankę, o różnicę opinji politycznych — o — mniejsza o co. Pojedynkuje się z konieczności, dla zwrócenia na siebie uwagi, aby gazety o nas mówiły; każdy dziennikarz, chcący coś znaczyć, musi odbyć pojedynek — o co, to rzecz obojętna. W tym wypadku jednak zdawało mi się, że mogę na coś wyjątkowego i bardzo interesującego oczekiwać.

— Być może, że już pana nigdy nie zobaczę — zaczął Belzoni jakby w zadumie — może być także, że będę mógł widzieć pana tylko przez kilka minut a czuję potrzebę zapoznania go z mojem przeznaczeniem, które widocznie ma zamiar zrobić ze mnie rodzaj jakiegoś romantycznego bohatera, do czego zresztą nie mam żadnych zdolności — ani najmniejszej chęci.

Słuchałem z natężoną uwagą. Czegom nie śmiał pytaniem z niego wydobyć, on mi sam w tej chwili ofiarowywał dobrowolnie. Przysunęłem bliżej krzesło moje.

— Słucham pana — rzekłem — zobowiążesz mnie niewymownie, postępując ze mną z całą otwartością.

Pełen oczekiwania spoglądałem mu w oczy.

Uśmiechnął się znowu smutnie, widział bowiem, że chciałbym romans, którego bohaterem się być mienił, choćby gwałtem wyrwać z milczących ust jego.

V.

— Gdyśmy się po raz pierwszy w Palais Royal spotkali — począł Belzoni powoli, głęboko odetchnąwszy — znajdowałem się w położeniu człowieka, który w dwudziestu ośmiu latach życia widzi się bez utrzymania i stanowiska.

Wpośród świetnego towarzystwa, w którem mnie uczestniczyć zaproszono, przedstawiony księciu i ocierający się bok o bok z miljonerami, miałem zaledwie jeszcze pięćset franków całego mienia i uniform na plecach. — Dobra mojego ojca uległy konfiskacie; nie wychowano mnie na człowieka pracy — wygnaniec, stałem wobec najniepewniejszej przyszłości, która obecnie bardziej jeszcze ponuro mi się przedstawia.

Przedewszystkiem zaznaczyć muszę, że nie tylko z powodu rany przybyłem do Paryża, — sprowadziło mnie tu całkiem coś innego, jak pan wnet usłyszysz. Z jednym frankiem w kieszeni, byłbym się przebił na koniec świata, byleby to osiągnąć.

Przed wybuchem nieszczęsnej kampanji węgierskiej, która się upadkiem nieszczęsnego narodu naszego i wszystkich jego nadziei skończyła, byłem najlekkomyślniejszym, chociaż zarazem, jeżeli mi tak wolno o sobie powiedzieć, najlepszego serca młodzieńcem.

Jedynak, syn właściciela licznych włości, wychowany byłem w dostatku i swobodzie. Uczono mnie tyle i tego tylko, co do mojej pozycji społecznej niezbędnem było. Całe dnie przepędzałem na koniu i od dzieciństwa daleko na Puście byłem znany, a nawet zaprzyjaźniony ze wszystkiemi betjarami, którzy mnie z powodu mego szalonego temperamentu bardzo lubili. W takich warunkach żyjąc, z tęsknotą wyczekiwałem chwili, w której jako dorosły młodzian wejdę nareszcie w peszteńskie towarzystwo.

Chwila ta nadeszła. Wstęp mój w świat odbył się w najświetniejszych okolicznościach. Zazdroszczono mi pewności siebie i szczęśliwej powierzchowności, zazdroszczono mego majątku — a pełne ruchu i życia miasto ofiarowywało mi wszystko, czego tylko żądze moje zapragnąć mogły.

Szalałem więc bez upamiętania. Nagle w najgorętszym wirze takiego życia powstrzymałem się i ustatkowałem. Przyjaciele moi nie mogli mnie poznać. Wkrótce jednak przyczyna tej zmiany stała się wszystkim jawną i zrozumiałą. Było nią poznanie jednej z najpowabniejszych panien, córki rodziny zamożnej i wielce poważanej. Pokochałem ją z taką namiętnością, z takim zapałem, iż czas i tysiąc prób najcięższych wygasić we mnie tego uczucia nie zdołały.

Erwina, tak nazwana po matce, austrjaczce z rodu, odpłacała mi zupełną wzajemnością. Byliśmy niewymownie szczęśliwi. Nigdy nie zdarzyła się para pod słońcem, której wzajemne przywiązanie tyleby dawało rękojmi przyszłego szczęścia, co nasza miłość.

Wtem zawołano: do broni! Hańbą byłoby i sromem nigdy nie zatartym, gdybym ja, na którego cała młodzież się oglądała, nie był pochwycił za szablę.

Erwina płakała, przeczuwając najokropniejsze następstwa, pojęła jednak obowiązek, wzywający mnie do udziału w walce i nie stawiała mi żadnych przeszkód.

Ja zaś nie podzielałem bynajmniej jej obaw, pewny najpiękniejszego rezultatu stanąłem z pospiechem w szeregach patrjotów, otrzymawszy na to od ojca mego, w ówczas wysokiego cywilnego dostojnika, uroczyste błogosławieństwo.

Zmienne koleje wojny oderwały mnie od narzeczonej. Pisywaliśmy często do siebie, a listy nasze pałały miłością wzajemną i poświęceniem dla ojczyzny.

Urlop mój się skończył, potrzeba było powracać do pułku. Zbyteczną byłoby rzeczą opisywać panu wszystkie fazy, przez jakie wojna aż do wmieszania się Moskwy przechodziła. Erwina i ja nie przestawaliśmy zamieniać listów, aż dola żołnierza stała się tak niestateczną, iż listy jej, nawet w czasie wielkich i zuchwałych pochodów, jakieśmy odbywali — już mnie nie dochodziły.

Nareszcie po wytężeniu ostatnich sił, nieszczęsna Ojczyzna spętana, upokorzona upaść musiała. Znajdowałem się pomiędzy tymi, którzy pod generałem Bemem na tureckiej ziemi broń złożyli. Nie wiadomo mi było nic



Nareszcie zdarzyła mi się możność po upływie pół roku odwiedzenia Erwiny i jej rodziców. W duszy Erwiny nie zaszła żadna nieprzychylna dla mnie zmiana. Z wyrazem najżywszej radości rzuciła się w moje objęcia,

Zwróciłem się tedy do rodziców jej z natarczywą prośbą o przyspieszenie naszego małżeństwa. Niejasnem mi było, dlaczego mi dali odmowną odpowiedź. Odwoływali się na niepewne stosunki chwilowe, zachęcali do przeczekania burzy. Tyle tylko odgadłem, że ojciec Erwiny znacznie ochłodniał w zapale dla sprawy narodowej, chociaż matka jej mimo że Niemka rodem, nie przestawała się modlić za jej powodzenie.

o losie mego ojca i mojej narzeczonej, wszelka bowiem komunikacja z niemi niemożebną się stała. Niewymownie nieszczęśliwy, z sercem trawionem boleścią i mdlejącemi z rozpaczy siłami rzuciłem się w tej haniebnej chwili, gdy nam broń odebrano — na ziemię. Gorżkie łzy twarz mi oblewały. Wyrzucony z drogiej ojczyzny pławiącej się we krwi po za mną, zwyciężony, szczwany z miejsca na miejsce, zmuszony błagać gościnności u gnuśnego, na pół zezwierzęciałego ludu, który nas za żebraków uważał, zmuszony oddać broń naszą, tę broń, której dzielność świat podziwiał — takiemu generałowi — jak Halim Pasza — czułem się na dnie niedoli!...

A mój ojciec?... moja narzeczona? Któż mi mógł udzielić jakiejkolwiek wiadomości o moim szlachetnym ojcu, który niewątpliwie tak jak ja do ucieczki zmuszony, szukał może ocalenia na obcej ziemi, jeżeli nie jęczał w więzieniu!

Od kogoż mogłem się o mojej narzeczonej dowiedzieć i zkądże ja zbieg, banita, mogłem mieć choćby cień nadziei ujrzenia jej kiedykolwiek w życiu, — pozyskania możności połączenia się z nią? z którą mnie serce, boleść wspólna, najświętsze przysięgi wiązały!

Zapadłem w miejscu, gdzie wydanie broni się odbyło, w stan jakby śmiertelnego odrętwienia. Czułem tylko że mnie podnoszono, wkładano na wóz, i na długi czas straciłem zupełnie przytomność. (*C d. n.*)

CHLEB LUDZI BODZIE

komedya w 1 akcie

PRZEZ

JÓZEFA BLIZIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

SCENA V.

KIKSIEWICZ, SZWINDELMAN.

KIKSIEWICZ (obejrzawszy się). No, niechże mi teraz Szwindelman gada... jakże interes?

SZWINDELMAN (zawsze z powagą). Niema pan cygaro?

KIKSIEWICZ (dając mu). Proszę, proszę.. (zapala zapałkę).

SCHWINDELMAN. Zaraz (chowa cygaro do kieszeni, a dobywa kawałek niedopalony i zapala; p. c.) Co ja miałem trudności, to pan nieda wiarę... ale nie bój się pan, czego się Szwindelman podejmie, to zrobi.

KIKSIEWICZ. Więc dobrze poszło? (siadają na kanapie).

SZWINDELMAM. Musiało pójść, ale co ja miałem!

KIKSIEWICZ. No, cóż?

SZWINDELMAN. Widzi pan Kiksiewicz, to jest człowiek, który umie cenić swoje godność... pan z panów... jaki on drażliwy na wszystko... aj! aj! co on mi się nawypytywał!

KIKSIEWICZ (niespokojny). Jak to, wypytywał się? o co?

SZWINDELMAN. No, o co? co panu będę gadał... niech się pan domyśli.

KIKSIEWICZ (j. w.). O posag?

SZWINDELMAN. Posag, co on się ma pytać o posag, kiedy on wie, co go musi dostać... taki pan!.. on żeby chciał, toby mu miliony same zleciały... ale jemu chodzi najwięcej o to, żeby w jaki podejrzany familie nie właził... rozumie pan?

KIKSIEWICZ (j. w.). No, przecież można mu było powiedzieć...

SSWINDELMAN. Czy pan mnie chce uczyć, jak ja mam gadać? Szwindelman się nie złapał, bo ma takt!

KIKSIEWICZ. Cóż się miał znów łapać... przecie nie jestem żaden człowiek podejrzany.

SZWINDELMAN (dwuznacznie). Ja wiem!

KIKSIEWICZ. Pracowałem uczciwie na to, żeby przecie... jakoś...

SZWINDELMAN. Ale daj pan pokój!.. jak będziemy tak oba swoje ciągle w kółko, to końca nie będzie; dosyć na tem, że bez Szwindelmana pan by takiego zięcia nie dostał... pan dobrze wie...

KIKSIEWICZ (p. c.). Ale to golec podobno... mnie coś tak doszło.

SZWINDELMAN. Golec??.. pan mnie za tego golca co postąpi, jak go pan zobaczy.

KIKSIEWICZ. Za pozwoleniem — alboż nie dałem z góry rewersu na pięćset rubli?

SZWINDELMAN (śmiejąc się z lekceważeniem). Pięćset rubli?.. aj, co to za suma!.. ja miałem wtenczas, co prawda innego na myśli... a ten to taki feiner puryc... pan Kiksiewicz przez niego będzie wchodził w najpierwsze familje.

KIKSIEWICZ (n. s.). O to mi właśnie chodzi,! (głośno) więc koniec końcem jakże rzeczy stoją?

SZWINDELMAN. Ja panu co powiem (p. c). Pan odda mu wieś, a sam się wyniesie do miasta... rozumie pan?

KIKSIEWICZ. Ja do miasta! dziękuję.

SZWINDELMAN. No, co dziwnego? gdzie pan widział, żeby rodzice żony siedzieli przy zięciu? on obejmie gospodarstwo i będzie panu płacił dziesięć tysięcy na rok. Zobaczy pan Kiksiewicz, co on z Kociej Górki zrobi za parę lat.

KIKSIEWICZ (zamyślony). Przepuści (wstaje).

SZWINDELMAN. Przepuści!?.. jak jego pan zobaczy, to go pan przeprosi za to, co pan teraz powiedział. (wstaje także). On przepuści!? taki gospodarz! co się uczył gospodarstwa w Proskau... pan wie co to Proskau?

KIKSIEWICZ. Nie wiem.

SZWINDELMAN. A widzi pan! pan nic nie wie, a pan gada. Pan sobie będzie siedział w mieście, jak u pana Boga za piecem, a on we wsi. Co pan myszli, to jeszcze większy honor dla pana, ze pan będzie miał zięcia dziedzica, aniżeli że pan sam ma wieś... to panu tak nie pasuje, rozumie pan? A jak to będą w całem mieście gadać, jak zięć przyszli do rodziców na święto karetę z liberją.., te łyki to popękają z zazdrości.

KIKSIEWICZ (n. s.). Może, że to będzie z większym szykiem.. ale... jakby on naprzykład nie chciał mi płacić tych dziesięciu tysięcy?

SZWINDELMAN. Co to za gadanie jest! jakby pan widział, że nie chce płacić, to pan zahipotekuje... rozumie pan?

KIKSIEWICZ. Djabliż z tego, rychło w czas! to ja już wolę od razu.

SZWINDELMAN. Może pan i od razu, o co chodzi?

KIKSIEWICZ. No, i kiedyż on przyjdzie?

SZWINDELMAN. Dzisiaj.

KIKSIEWICZ (przestraszony). Co? dzisiaj!

SZWINDELMAN. On już jedzie, tylko go patrzeć... zaraz za mną miał wyjechać z miasta.

KIKSIEWICZ. I nic Szwindelman nie powiedział!

SZWINDELMAN. Nu, co się pan tak lęka?

KIKSIEWICZ. Ale on przynajmniej nie wie o naszej umowie, i o tem, że go czekamy?

SZWINDELMAN. Po co ma wiedzieć? a to byłby interes! on by mi plunął w oczy, że ja go chcę sprzedawać! to taki honorowy pan! jakem mu to zaproponował, tak on się zamyślił i powiada: to się wie, że nie cielę... więc namówiliśmy się, że on tu niby będzie przyjeżdżał... (nawiasowo) a jak on paradnie jedzie! z powozem i z kamerdynerem!

KIKSIEWICZ (niespokojny) Z kamerdynerem!

SZWINDELMAN. On zawsze z takim szykiem jedzie... Więc tam gdzie za wsią jemu się jaki przypadek zrobi, rozumie pan?.. wjedzie w rów, albo co, i jemu co pęknie, a ja się z nim przypadkiem spotkam, i tu go przyprowadzę, rozumie pan!

KIKSIEWICZ. Kiedy tak, to muszę iść powiedzieć kobietom, żeby się wyszykowały, i sam się ubrać... (n. s. idąc na prawo) tak nagle się to zrobiło, że nie wiem sam dlaczego mam strach jakiś.

SZWINDELMAN (zatrymuje go). Tylko niechże pan Kiksiewicz sam się przypadkiem nie wygada z czem.

KIKSIEWICZ. Puknij się Szwindelman w głowę!.. przecie taki głupi nie jestem, (wychodzi na prawo).

SCENA VI.

SZWINDELMAN (później) ONUFRY.

SZWINDELMAN (p. c. drwiąco za Kiksiewiczem) Aj! aj! co mi to za chuchem!.. on widzi tak daleko jak jego nos, ale dalej, to nic a nic (skrobie się po brodzie i rachuje mrucząc po żydowsku).

ONUFRY (wchodzi z lewej strony z papierem w ręku). Patrzcież państwo, a to interes dopiero! ktoby się był spodziewał, (przegląda p. c.) ba! ja to panie, przepowiadałem od samego początku... tylko przez myśl mi to nie przeszło, żeby taki obrót wzięło, (p. c.) dla mnie to, szczerze powiedziawszy, jak z nieba spadło, ale stary się zmartwi, żal mi go.

SZWINDELMAN (zbliża się i zagląda mu przez ramię; n. s.). Co on tam ma?

ONUFRY (spostrzegłszy to, usuwa papier). Hola! cóż to za ciekawość?

SZWINDELMAN. Ja nie ciekawy, co mnie do czyich interesów.

ONUFRY. A czegoż zaglądasz? (przepatruje papiery, nie kryjąc ich).

SZWINDELMAN (zaglądając). To coś od sądu.

ONUFRY. Od sądu.

SZWINDELMAN (ciekawie). Pokaż pan!

ONUFRY (śmiejąc się). I powiada, że nie ciekawy. A żebym ja Szwindelmana chciał wypytywać, po co tu przyjechał i co za interes ma do pana Kiksiewicza.

SZWINDELMAN. Po co ja przyjechał? pan wiesz, że ja wszędzie jadę, to mój chléb.

ONUFRY. Szachrować.

SZWINDELMAN. Co szachrować? ja handluję.

ONUFRY. Czem?

SZWINDELMAN. Z wszystkiem.

ONUFRY. I kokurentami do posagów? co?

SZWINDELMAN. Czy ja wiem? to przecie pana ani ziębi ani parzy.

ONUFRY. Doprawdy? a może się założymy, że jak ja zechcę, to cała droga będzie napróżno.

SZWINDELMAN (niespokojny). Co pan myszli? (patrzy mu w oczy) powiedz pan!

ONUFRY. O! zaraz się tam tłómaczyć... ale załóżmy się.

SZWINDELMAN (wdzięcząc się słodko). Powiedz pan!

ONUFRY (dobrodusznie). Powiedzieć?.. prawdę? (do ucha) oto, widzi Szwindelman, spadła na mnie sukcessja.

SZWINDELMAN (z niedowierzeniem). Sukcessja?.. co pan głowę zawraca!

ONUFRY. Cóż to tak nie podobnego, każdemu się to może trafić, zresztą cóżbym miał w tem?

SZWINDELMAN (bardzo zdziwiony). Na prawdę?? po kim?

ONUFRY. Po wujaszku.

SZWINDELMAN. Po jakim wujaszku.

ONUFRY (drwiąc). Z Ameryki!

Szwindelman (patrzy mu w oczy). Z Ameryki?.. co to za farsę pan gada! (j. w. p. c. z niedowierzaniem). I dużo będzie tej sukcessji?

Onufry (j. w.). Miljon z czubem!

Szwindelman (j. w.). Milion (p. c. drwiąco) czy pan by tak wyglądał, żeby miał milion?

Onufry. A cóżby się zrobiło, czyby mi rogi wyrosły?

Szwindelman. Po co rogi? ale by pan zaraz miał inszą minę.

Onufry. Głupi żydzie, z tą miną co mam, to jak teraz — uderzę do córki pana Kiksiewicza...

Szwindelman (żywo). Daj pan pokój! (p. c. z niedowierzeniem). Żeby pan miał miljon, to by pan na nich nie patrzał nawet.

Onufry. A kiedy mi się podobała.

Szwindelman (j. w.). Ja panu nastręczę co lepszego.

Onufry. No, i ja jej się podobałem.

Szwindelman. Ja takę mam, co pana będzie kochać tak, co niech Bóg broni.

Onufry. Co tam! ja sobie sam znajdę... ale wiecie co, dajcie mi odstępne, żebym wam nie właził w drogę.

Szwindelman. Odstępne?

Onufry (drwiąco). Nie będę się zanadto drożył, bo ten miljon nie bardzo pewny, a tymczasem pieniądzeby mi się zdały.

Szwindelman. Co pan będzie kpił z kogo? to się tak nie robi, rozumie pan? (wychodząc głębią n. s.) Szajgec!

(*C. d. n.*)

Agryppina tonąca.

(Ciąg dalszy.)

Nigdy dotychczas tak nie błękitniało
Tyrreńskie morze cudne; — nigdy świetniej
Nie olśnił blasków powodzią wspaniałą
Złotych wybrzeży Latjum wieczór letni —
Rybackie siedzi na wybrzeżu chłopię
Z wędką, — i bada źrenicą zdumioną:
Co tak lśni w blasków wieczornych potopie,
Jak punkcik złoty na szafirach fali?
Zda się, że iskra, która w morza łono
Wpadła, — i sycząc, za chwilę zagaśnie.
Lecz nie, nie zgasła, wybija się właśnie,
I, lśniąca, płynie po przez nurty dalej —
Teraz nie iskrą już — motylem zda się,
Kochankiem róży, niezrównanym w krasie,
Którego Zefir, pochwyciwszy lekko,
Od zielonego zniósł brzegu daleko,
I który długo nad morskiemi piany
Latając próżno, bezradny, zbłąkany,
W znużeniu wreszcie upadł w mórz głębinie,
I bijąc skrzydłem złotobarwnem, ginie.
Lecz nie — i nie to, — motyl być nie może,
Co tonąc, w górę rozpaczliwie rwie się, —
Nadto bezpiecznie, pysznie nurty porze,
Fala go z zbytnią ochoczością niesie.
Lecz już jest bliżej, i bliżej; — wspaniały
Przeciąga z pychą, koło brzeżnej skały,
Z której nań patrząc, rybacki chłopczyna,
Z podziwu o swej wędce zapomina,
Za którą pyszna ryba targa żywo.
Bo też to iście delfin — morskie dziwo,
Jeno nie żywy — lecz cudnej struktury
Z złota, klejnotów, kwiatów i purpury —
W źrenicy jego każdej szmaragd błyska,
Z szczerego srebra srebrne ma pletwiska.
Na grzbiecie dźwiga — cudo nie z tej ziemi —
Baldachim, złotą, — czarowną budowę,
Od której wianki wdzięcznie rozwiązane,
I drogocenne tkanki porpurowe,
Zdobne bogato frendzlami złotemi,
Aż po nad morską spuszczają się pianę.

Ha! spojrz! jak ślizga się w dal, przez przestworza
Morskie — to dziwo jaśniejące morza!
Jak pawio - pyszne — a jak miękkie przytem
I delikatne! Jak giętkie we zwrocie,
Strojne, misterne — i nad fal błękitem
Lekko się w bystrym unoszące locie!
Jak o źwierciadło mucha przez nie mknąca,
Żwawo drobnemi nóżkami potrąca,
Tak i ta złota z kształty olbrzymiemi
Mucha, — a raczej stonoga złocona, —
Paradna nawa — trąca wiosły swemi
Hebanowemi ciche morza fale,
Wiosłami, perłą zdobnemi wspaniale,
O rękojeściach srebrnych — które zgina

W łagodnym takcie wioślarzy, drużyna
Najfantastyczniej w złoto przystrojona!
A po nad ławą gondoljerow, w górze,
W krąg brzegu statku, fryz paradny bieży,
Którego przepych podziwienie budzi;
Posągi wieńczą go cięte w marmurze,
Albo z słoniowej kości. Taki świeży,
W takiej barw jasnych błyszczący ozdobie,
Że ptaka nawet w przelocie ułudzi:
Patrz, oto jeden rzucił szlak niebieski,
I dzióbie chciwie malowane grona,
Wplecione między fryzu arabeski.
Na przedzie statku, — jak gwiazda na czole —
Jaśnieje jego emblema złocona;
A w okół, górą, piętrzą się wysoko
Liczne utwory sztuki, wielkiej ceny:
Oto bóg morza w swych poddanych kole
Siedzi, — na złoty ster zwróciwszy oko.
Trytony w muszle dmące i Syreny,
I Nereidy smukłe — przy nim w koło
Wyrzeźbił sztukmistrz. Takie statku czoło.
Na przodzie statku wzniesionym wysoko,
Baldachim z złotą rozpięty powłoką,
Zkąd wzrok obejrzeć najwygodniej może
Tyrreńskiej fali urocze przestworze.
Na środku nawy stoi okrąg dumnej
Rotundy, którą unoszą kolumny,
A złotem tkana purpura okrywa;
Jest to kopuła gmachu paradnego,
Co w wnętrzu statku ukryty spoczywa.
Na tej kopuły szczycie, lśniącym zdali,
Cudnym się blaskiem grupa Gracyj pali
Ze złota cała — a od jej wysokiej
Podstawy, równo kryjąc wszystkie boki,
Setki łańcuchów różannych w dół biegą, —
Wonnych lin z kwiecia, i — nakształt promieni —
Ku marmurowym chłopiętom spadają, —
Amorkom hożym — co swawolną zgrają
Do gładkich statku piersi przyczepieni,
Snują girlandy te w okrąg po brzegu
Delikatnemi rączkami wciąż dalej,
W górze je ciągle utrzymując w biegu.
Zachodu tchnienie każde strząsa z góry
Deszcz róż na morze; — chciwe usta fali
Łakomie piją te płatki purpury
Jak iskry, do wód chłodnego odmętu,
Z róż pachnącego strząśnięte pożaru.
Kwietna plecionka rośnie do bezmiaru,
Już cały obszar oplotła okrętu,
Już i na srebrne antenny koleją
Wpełza, — zkąd żagle purpurowe wieją, —
I z lin jedwabnych uroczo się zwiesza.
Ten statek czarów wydaje się z dali
Klejnotem w srebro oprawnym na fali.
Rybackich łódek mknąca na łów rzesza
Staje, wpatrując się w to dziwo świata;
Zdumione ptactwo z powietrza się zlata,
I siada na niem z radośnym rozgwarem;
Powietrze pjane, fala płonie żarem;
Aż na dno morza głębokie dolata
Wieść o tym cudzie: Padł promień czarowny, —
Jeden promyczek z tej blasków świetności,
Lśniącej na wierzchu — w morza głębokości:
I naraz, w morza ciszy niewymownej,
Wśród purpurowych przepadłe bezdeni,
Igrają złotych odblaski promieni,
Gdzie tron Tetydy — gdzie jej służebnicy
Odpoczywają w błękitnej świetlicy.
Budzą się twory mórz — patrzą, — i w myśli,
Że Galatei to orszak godowy
Tam, po nad nimi, szlak na fali kreśli, —
Z radośnym gwarem wychylają głowy
Na wierzch, na słońcem oblane przestworza,
Tłoczą się w górę, by ją witać żywo...

Na takim to istnym cudzie struktury i przepychu mknie po fali Agryppina. Komnaty jej są skryte we wnętrzu statku, w owym paradnym gmachu, o którym mówi powyżej poeta. Wprowadza on nas do niego i pozwala nam uczestniczyć przy zbudzeniu się Agryppiny i jej toalecie.

Na pysznem łożu w pozie dziwnie miękkiej
Dumnej kobiety spoczywają wdzięki;
Junońska iście — piękniejsza nad słowa,
Prawie nadludzka członków jej budowa.
Jeszcze w powabnem drzemie opuszczeniu —
Na Bachanalji w Rzymie u Nerona,
Nocą ostatnią przebytą, zmęczona,
Lecz już się wolno porusza, odchyla
Rzęsów zasłonę i otrząsa lekko,
— Jako kobieta tak potężnej mocy, —
Bożka snu z siebie, jak gdyby motyla,
Jakby Amorka, lotnego szaleńca,
Co się ośmielił, pod zasłoną nocy,
W śnie, — nacałować ją aż do rumieńca.
Strwożony bożek odlata, — a ona,
Połową ciała nad łożem wzniesiona,
Na niewolnicę woła. Rozkaz dany:
Przyrządzać kąpiel! Rzekła — z posłania
Zsuniętą stopę stawia na dywany,
Babilońskiego kunsztownego tkania,
Miękkie i barwne jako liść różany.
Poczem, wygładza rannego ubrania,
Tkaninę lekką i błyszczącą śnieżnie;

Tymczasem drży już miękki płyn lubieżnie
W wannie z onyksu, i wdzięczy się mile
Tej lśniącej pełni wdzięków, co za chwilę
Mu się powierzy.

Po odbytej kąpieli, Agryppina:

Narzuca na siebie niedbałą
Ręką strój lekki — i miękko układa
Na porpurowem siedzeniu swe ciało;
A rozpuszczonych warkoczy kaskada
Ciężko na bark jej biały marmur spada.
Lecz już służebna, jakby tamę na to,
Zręcznie grzebienia wsuwa kość zębatą,
I wał toczących się włosów powstrzyma;
A potem w dłoń je pieszczotliwie ima,
Z wierzchu maściami naciera drogiemi,
I demonicznie czarność ich błyszczącą
Przesyca na wskróś aż z indyjskiej ziemi
Nardami — iście niezrównanej woni;
Wreszcie układa je — lecz ręką drżącą —
Bo zgniewać Panią niech ją bogi strzegą,
A drobnostkowo - pretensjonalnego,
Pełnego sztuczek splotu użyć broni
Pani jej wola. Więc oto opływa
Wolnych kędziorów bujność, niby grzywa,
Królewską głowę wyniosłej kobiety.

(*Dok. nast.*)

EPIZOD

Z POCZĄTKU PANOWANIA WIKTORA EMANUELA II.

Jednym z najnieszczęśliwszych królów był Karol Albert, ojciec zmarłego Wiktora Emanuela II. Jeszcze w młodości uniesiony prądem liberalnych dążności, które panowały w Europie po upadku Napoleona I, należał do spisku karbonarów we Włoszech, sam stanął na jego czele w Piemoncie, będąc oficjalnym następcą tronu panującego Karola Feliksa. Ale Europą wówczas rządził czarny duch Metternicha, dławiący wszelkie objawy dążności do samorządu i swobody. Liberalny ruch włoski został zgniecony przemocą, a Karol Albert był zmuszony wyprzeć się starych towarzyszy i patrzeć jak nielitościwa reakcja pozbawiła ich mienia, życia, i wyganiała z ojczyzny. Trudno dziś wyobrazić sobie ile upokorzenia, ile naigrawań musiał znieść w tym czasie biedny następca tronu. Zmuszony przybyć do obozu austrjackiego wojska, przysłanego do Piemontu dla wprowadzenia dawnego porządku, zawichrzonego przez liberałów, Karol Albert stawił się przed dowodzącym jenerałem Bubna. Jenerał, z gburowstwem i niegrzecznością, ktore tak charakteryzowały dawniejszych austrjackich oficerów, zawołał na otaczających go: „rozstąpcie się, bo oto idzie przyszły Król włoski“! Śmiech powszechny był odpowiedzią na ten dowcip nierycerski, skierowany przeciwko zwyciężonemu i wlał w duszę jego żądzę zemsty i jad nienawiści ku tak niewspaniałemu wrogowi. Na dworze króla posłem austryackim był ks. Feliks Schwarzenberg. Mając polecenie Metternicha, żeby nakłonił króla do usunięcia Karola Alberta od następstwa tronu, gdyż rząd austryacki niemiał zaufania do niego, wszędzie był dlań niezmiernie niegrzecznym i uszczypliwym, nie szczędząc nawet nieprzyzwoitych żartów. Można więc sobie wyobrazić, co się działo w duszy młodego księcia Carignano i jaką nienawiścią pałał do Austryaków.

Pod przewództwem takich artystów absolutyzmu, jakim był ks. Metternich, Europa cała i Włochy jęczały do 1846 roku. Lecz jarzmo to już ciężyło wszystkim, zrzucić go i zgnieść stało się ulubioną myślą nietylko jednostek, ale całego narodu. Całe Włochy były podminowane tajemnemi towarzystwami, łączącemi, zbliżającemi niezadowolonych, rozpowszechniającemi idee liberalne i żądzę niezależności, żądzę innego życia. Wiatr swobody wiał ze wszech stron, reakcja nie znajdowała środka ukrycia się przed nim, a dawne jej narzędzia: carcere duro, Spielberg, konfiskata, pozbawienie życia, system szpiegów i tajna policja już się zaczynały zużywać zupełnie. W bezsilnej złości chwytano ofiary, lecz nie byli to spiskowi, umiejący milczeć, chować puginał do czasu, cicho jęczeć i czekać cierpliwie. W ręce policji popadali pijacy odurzeni winem, niewinne gaduły, nieostrożne dzieci i tylko. Lecz mina była już gotowa, potrzebna była iskierka; iskierkę tę we Włoszech rzuciła sama Austrya.

W grudniu 1847 roku Karol Albert, już król Piemontu, nadał królestwu swemu konstytucję. Lombardja usłyszawszy o tem, zażądała udzielenia pewnych swobód obywatelskich. Zamiast odpowiedzi z Wiednia przyszedł rozkaz uwięzienia najwięcej wpływowych i gorętszych obywateli. Lecz prawie jednocześnie wybuchła rewolucya w Wiedniu. Na tę wiadomość Medjolan, stolica Lombardyi powstał; po pięciudniowej zaciętej i bohaterskiej

walce wypędził Austrjaków z miasta i dał hasło powstaniu całych Włoch.

Natychmiast po dokonaniu tego świetnego czynu Medjolanczycy zwrócili się z prośbą o pomoc do Piemontu, najbliższego sąsiada swego, wiedząc, że znajdą tam współczucie nietylko w ludzie ale i w panującym. Piemont pierwszy obudził się do nowego życia, pierwszy zrzucił więzy krępujące rozwój, pierwszy zawołał „żegnam cię posępna przeszłości“; w Piemoncie po raz pierwszy zaczęto mówić o jedności Włoch, konieczności zrzucenia cudzoziemskiego jarzma.

Dopomódz Medjolanczykom, stanąć na czele włoskiego ruchu było nietylko obowiązkiem Karola Alberta, ale i koniecznością, bo tego wymagała opinja publiczna i interesa jego własnego domu.

Od dawna nienawidził król Austryę i czekał chwili zemsty, od dawna ambicja jego i ogólny głos Włoch całych wzywały go, żeby włożył na swe czoło żelazną lombardzką koronę.

Całe Włochy od Alp do przylądku Spartivento drgnęły. Król nie chciał i nie mógł odmówić pomocy Medjolańczykom, którzy przysłali deputację do Turynu, nie chciał, bo to była jedyna możność odemścić Austrji za dawne upokorzenia, nie mógł, bo utraciłby w opinii całych Włoch i swych własnych poddanych, którzy nie czekając pozwolenia króla, oddziałami całemi dążyli do Lombardji na pomoc współbraciom. Król musiał wypowiedzieć wojnę Austrji nietylko w interesie Włoch, lecz także w interesie swego własnego domu.

Powstanie Lombardji było sygnałem wojny za niepodległość Włoch, jutrzenką zmartwychwstania do jedności, swobody i znaczenia. Teraz lub nigdy! pojmował to każdy Włoch i dlatego w tej wojnie było tyle bohaterstwa, tyle poświęcenia osobistych interesów dla sprawy ogólnej.

Początek wojny był świetny. Karolowi Albertowi uśmiechnęła się fortuna jak niewielu śmiertelnikom; Toskana ofiarowała mu koronę, Sycylja prosiła o syna jego, księcia Genui, ofiarując mu także koronę; Wenecja, ta dumna pani morza, prosiła o przyjęcie jej jako nowej prowincji. Austrjackie wojska pobite w kilku bitwach proponowały królowi Piemontu ustąpić Lombardję do rzeki Mincio.

Lecz ministerstwo, do którego odesłane zostały austrjackie propozycje pokojowe, obawiając się krzyku niezadowolenia całych Włoch i bojąc się obwinienia o zdradę kraju, odrzuciło warunki. Od tej chwili fortuna odwróciła się od Karola Alberta. W dwóch krwawych bitwach pod Kustozzą i Nollą zwyciężony przez marszałka Radeckiego był zmuszony oddać mu Lombardyę i Medjolan, odstąpić za rzekę Ticino i prosić o zawieszenie broni.

Lecz po tych niepowodzeniach ostatnich Karol Albert nie upadł na duchu. Po powrocie do stolicy natychmiast zaczął gotować się do nowej walki z całą energją, jaką dawały nienawiść i rozpacz. Nie znajdując między swymi oficerami dość zdolnego na dowódzcę całej armii, król za poradą hr. Zamojskiego, znajdującego się w jego świcie, wezwał jenerała Chrzanowskiego z Paryża i zrobił go szefem sztabu całej armii, której nominalne dowództwo zostawił sobie, zlewając na niego odpowiedzialność za wszystkie rozporządzenia i działania.

Wybór ten nie był szczęśliwy. Chrzanowski posiadał wykształcenie wojskowe i mógł być doskonałym szefem sztabu, ale na głównodowodzącego niemiał potrzebnych kwalifikacji, gdyż nie posiadał energji, ducha przedsiębiorczości i prędkiej decyzji. Przytem będąc małego wzrostu i nieco przygarbiony, nie mógł zaimponować żołnierzom. Cała figura jego wyrażała, że to jest człowiek myśli, a nie rembajło. Nie posiadając włoskiego języka nie mógł przemówić do wojska, podnieść ducha, zasłużyć zaufanie ich i miłość, pociągnąć ich za sobą w boju. Nareszcie nie będąc Włochem, wezwany na takie wysokie stanowisko wzbudził zazdrość w wielu ludziach ambitnych, a zazdrość ta co tylko go nie zgubiła, jak to obaczymy niżej.

Nie skrywał Chrzanowski przed królem wielkich trudności organizacji nowej armii, lecz bardzo naglony, obiecywał, że będzie gotów w połowie Marca następnego 1849 roku.

Partja republikańska niezadowolona z rezultatów walki dotychczasowej, całą winę niepowodzenia zwalała na króla. „Jakto, powiadali najgorętsi, kiedy Medjolan powstał, nie miał broni, a jednak wypędził Radeckiego nietylko z miasta, lecz zmusił go do rejterady za Mincio. Król zaś przyszedłszy z armią swoją zmarnował korzyści zdobyte przez naród i doprowadził do zawarcia haniebnego zawieszenia broni! Dynastyczne interesa zawsze u królów przeważają nad interesami ludów!“ Ztąd u wielu z nich wyrodziło się zdanie, iż należy pozbyć się króla i zniszczyć siłę, na której się on opiera, to jest armję regularną, a sam lud da radę z wrogiem, jak dał wtedy, gdy o wmieszaniu się Piemontu w wojnę mowy jeszcze nie było. Mylne to zdanie nietylko miało wielu adeptów, lecz w mnogich wypadkach republikanie zaczęli szerzyć demoralizację w wojsku, mając nadzieję, że gdy król zostanie zwyciężony, wtedy przyjdzie czas pokazać, co lud sam zrobić może. „Bez króla Italia fara de se.“

(*C. d. n.*)

POGADANKA.

(Nieco o polemice zezowatej. — Pojedynek na cytaty z Apokalipsy. — Błogosławieni są ci, którzy są ani zimni, ani gorący, i unikają tych, co się zwą apostołami, a nie są. — Przemówienia na bankiecie danym dla krajowego marszałka w Krakowie. — Nowe wydawnictwa. — Sprawy teatralne. — Fredro na wiedeńskiej scenie. — Polacy w wielkiej operze paryskiej. — Projekta dążące do uczczenia zasług J. I. Kraszewskiego. — Dichterstimmen o *Ahaswerze* Ordona.)

Znałem ludzi, którzy mieli taki szczególny sposób zezowania, że rozmawiając z niemi, i patrząc im w oczy, nie umiałem sobie nigdy zdać sprawy z tego, czyli oni z swej strony patrzą mi także w oczy, czy też może zwracają swe spojrzenia na piec, na sufit, na przelatującą muchę, lub wreszcie na inny jaki przedmiot równie dla nich ciekawy i zabawny.

Podobnego wrażenia doznałem, czytając wstępny artykuł Ruchu literackiego pod napisem „Obojętni“, wymierzony przeciw tym, którzy wedle zdania autora nie są ani „zimnymi“, ani „gorącymi“, dlatego — że nie chcą należeć do żadnego z stronnictw politycznych, u nas dziś.... niemiłościwie panujących....

Być może, iż szanowny autor tego artykułu, nie chciał mi wcale rzucić swej rękawicy pod nogi, — być może, iż godził nią tylko w piec, w sufit, lub w jakąś właśnie przelatującą muchę; wszak tyle lata różnych much po dziennikach w tych gorących czasach!... Mimo to pozwalam sobie odpowiedzieć na rzucone wezwanie, raz dlatego, że posługując się niewłaściwie pewnemi wyrażeniami, których ja zwykłem używać, wskazał mnie prawie palcem, jako jednego z tych, przeciw którym kopję swej kazuistyki kruszyć zamyśla, a powtóre dla tego, że i ja i Strzecha należymy właśnie do owych przez Ruch wskazanych „ani zimnych, ani gorących“, którzy nie chcą należeć do żadnego obozu.

A więc najprzód co do formy!...

Sądzę, że rozprawiając o rzeczach świeckich należałoby raz dać pokój cytatom z Pisma Świętego, a zwłaszcza już z Apokalipsy, nie każdy bowiem, który mówi Panie! Panie! wejdzie do królestwa niebieskiego... Jest to rzecz zresztą i niebezpieczna, którą z filantropicznych względów odradzać muszę każdemu, na Apokalipsie bowiem pokręcili mózgi już ludzie najpotężniejszego umysłu, jak n. p. sławny matematyk Newton, który przecie musiał niepospolitą posiadać mózgową organizację..... Apokalipsa przytem ma to jeszcze do siebie, że niczego nie dowodzi, nic bowiem łatwiejszego jak znaleść w niej cytaty na poparcie twierdzeń najrozmaitszych, ba nawet wręcz sobie przeciwnych.

I tak n. p. mając daną obojętność tych, którzy widząc jałową, a nawet zgubną działalność naszych dziś już na noże z sobą wojujących stronnictw, nie chcą brać udziału w ich waśni i zatargach, gromi autor rzeczonego artykułu tych obojętnych, a wedle Ruchu — umarłych, przytaczając przeciw nim słowa, któremi w Apokalipsie przemawia do zboru w Laodicei „Amen, ów świadek wierny i prawdziwy...“ Bardzo pięknie! Aliści cytat za cytat, Apokalipsa za Apokalipsę, mogą ci — wedle Ruchu — umarli odpowiedzieć słowy, któremi również w Apokalipsie przemawia tenże sam „świadek wierny i prawdziwy“, pochwalając zbór w Efezie za to, że unika tych, „którzy się mienią apostołami, a nie są“..., a odpowiedzieć tak będą mogli z pewną słusznością, jeżeli się wezmie na uwagę kadmejski siew naszych apostołów, którego jedynym owocem jest szerząca się u nas dziś moralna i umysłowa anarchja, i coraz bardziej zaostrzająca się nienawiść jednej warstwy społeczeństwa do drugiej jednego miasta do drugiego.....

Dunque Zanetto, lascia le donne, e studia le matematiche!... Nie grommy tych obojętnych, tych wedle Ruchu umarłych, lecz owszem błogosławmy im za to, że nie chcą sie zapalać ani dla legendowego tureckiego konia, który się miał poić w Horyniu, a który się widocznie dzisiaj znarowił, bo woli obrok z moskiewskiego żłobu, ani dla formacji legjonów, których niedobitki dziś z głodu giną w Stambule, ani przeciw delegacji, która że milczała, jak dziś widać, miała ku temu słuszne powody, ani przeciw p. Czerkawskiemu, ani przeciw kandydaturze p. Wolskiego, ani dla kandydatury p. Dobrzańskiego, ani w ogóle dla żadnej z tych tak zwanych „spraw publicznych,“ które do niedawna stanowiły, stanowią a może stanowić długo jeszcze będą kość niezgody pomiędzy naszemi stronnictwami!... Jeżeli nasze krańcowe obozy o sile kilku lub kilkunastu... Tromtadrackich, roznamiętniając umysły na powyższe temata umiały doprowadzić do tego, że dziś pomiędzy Lwowem a Krakowem wzajemna niechęć panuje, to do jakichżebyśmy doszli wyników, gdyby za poradą Ruchu cały naród pospieszył pod sztandary tych gorących?... Prawdopobnie pożeralibyśmy się wzajem, tak jak nasi kopalni praojcowie — tryglodyci!...

Zresztą złe nie leży w tem wcale, iż pewna część naszego ogółu nie zajmuje się dziś może tak gorąco sprawami publicznemi, jakby się w innych warunkach zajmywała. Obojętność nie była nigdy naszą wadą, owszem jak dawniej znajdzie się jeszcze i teraz w Polsce „na dwa dragony cztery kapitany“... Zobojętnienie, jeżeli w ogóle istnieje, jest tylko wynikiem właśnie działalności naszych stronnictw, a w szczególności naszej pracy, stawiającej fałszywe ideały, stwarzającej dogmata, w które sama nie wierzy, i podnoszącej jednodniowe hasła, których się później sama zapiera. Niech mi tu wolno będzie powtórzyć słowa, które z tego powodu napisałem jeszcze w r. 1872, a które i dziś jeszcze mogą być powtórzone naszym politycznym kondotierom z równą słusznością:

Dawny ideał, tęczowy, świetlany,
Rozmienialiście na drobne liczmany,
Które lud wziąść ma za dawny skarb w zamian,
Codzień innemi hasłami omamian....
I któż dziś powie, kędy prawda leży?
Czy w tych „dogmatach“, w które nikt nie wierzy,
Czyli w tych „hasłach“, co jeden dzień żyją,

I jak psy głodne w prasie waszej wyją,
A których wyciem ich panowie tyją?...
— Rozhartowaliście narodu ducha;
Krzykniecie Polska?... Nikt was nie posłucha!...

Miejmy jednak nadzieję, że tak źle nie będzie, i że zdrowy instynkt narodu ocuci się znowu, i odsunie od siebie zatrute owoce, któremi go karmią zagorzalcy. Tak się spodziewać każe reakcja już dziś się objawiająca w umysłach, które przerażone stanem rzeczy stworzonym przez zatargi naszych stronnictw, zaczynają się domagać w tej mierze naprawy. Do rzędu takich objawów zaliczyć należy przemówienia hr. Ludwika Wodzickiego i ks. kanonika Pelczara, miane przy sposobności bankietu, danego w Krakowie na uczczenie krajowego Marszałka, a potrzebę zgody i łączności wszystkich usiłowań w tej dla naszego narodu ważnej chwili stwierdzające. Przemówienia te były tylko wyrazem myśli i pragnień wszystkich dobrze myślących Polaków, — ufajmy więc że — jak powiedział Marszałek — „ów przez naszych nieprzyjaciół tak wyzyskiwany przedział pomiędzy jedną połową kraju a drugą będzie jak owe upiory z legendy, których dotknąć się wystarczy, ażeby znikły bezpowrotnie....“

Przechodząc z kolei do kronikarskich sprawozdań, muszę najprzód uczynić wzmiankę o zapowiedzianej przez księgarnię Gubrynowicza i Schmidta publikacji „Listów Zygmunta Krasińskiego“, których uporządkowaniem zajmuje się niezmordowany J. I. Kraszewski. Niektóre, dawniej już w czasopismach zamieszczone urywki, tudzież zbiorek „listów do dzieci“ dają nam przeświadczenie o wysokiej doniosłości tej korespondencji przepełnionej genialnemi błyskami ducha naszego poety i myśliciela, a wyjaśniających liczne fakta z życia i wewnętrznego rozwoju kilku z naszych najprzedniejszych wieszczów. Listy te obejmować będą 6 do 8 tomów, oddane zaś mają być pod prasę natychmiast po powrocie Kraszewskiego, który na czas krótki wyjechał do Florencyi.

Oprócz tej publikacji zamierza jeszcze księgarnia Gubrynowicza i Schmidta drugie, najnowszemi utworami uzupełnione wydanie „Poezji Ely....ego“, który niezawodnie miłem bardzo będzie wiązaniem dla czytającej polskiej publiczności.

W końcu i dla zamknięcia kroniki nowych wydawnictw uczynić muszę tu jeszcze wzmiankę o zapowiedzianym nowym, a sprawom miejscowym poświęconym dwutygodniku pod nazwą „Dziennik dla wszystkich“, który wychodzić będzie we Lwowie dnia 14. b. m., tudzież o „Podolaninie“ pisemku ludowem, które się właśnie ukazało w Tarnopolu i ma odtąd wychodzić dwa razy w tygodniu pod redakcją pana Kaźmierza Drzewieckiego, — nakoniec o zapowiedzianym nowym dwutygodniku emigracyjnym pod nazwą „Listy polskie“, które to pismo powstało za staraniem pp. Alfreda Ciszkiewicza, Edwarda Siwińskiego i Józefa Tokarzewicza, a wychodzić będzie w Paryżu pod redakcją znanego z wybornych swych korespondencji do pism warszawskich p. Hodi.

W teatrze krakowskim zanosi się jak słychać na stanowczą przemianę, dotychczasowy bowiem dyrektor p. Koźmian, zniechęcony obojętnością tamtejszej publiczności, wniósł podanie o rozwiązanie kontraktu.

W tymże teatrze przedstawiono dnia 5. b. m. nową komedję M. Bałuckiego p. t. „Po śmierci cioci“. Powodzenie tej sztuki było zupełne, a przyjęcie, jakiego doznała, zapewnia jej jedno z pierwszych miejsc pomiędzy komedjami autora „Radców pana Radcy“. Nadmienić tu także muszę, iż znany autor komedji „Po ślubie“, pan Kazimierz Zalewski, którego dramat p. n. Marco Foscarini nie zyskał na tutejszej scenie powodzenia, wykończył właśnie nową komedję pod tytułem „Spudłowali“, którą jak słychać ujrzymy niebawem na scenie naszej.

Oprócz tej nowości przygotowuje jeszcze dyrekcja naszej sceny przedstawienie dwóch sztuk Sewera, mianowicie Reginy i Pojedynku szlachetnych. Ciekawiśmy bardzo oglądać te dramatyczne utwory naszego nowelisty, z których mianowicie ostatnia tyle narobiła hałasu, tyle wywołała świetnych recenzji i ostrych krytyk.

Jean de Thomeray i Nelly Armroyd, przedstawione niedawno po raz pierwszy na scenie naszej, należą do rzędu tych utworów dramatycznych, których budowa nie wytrzymuje wprawdzie surowej krytyki artystycznej, lecz które sprawiają zawsze miłe wrażenie, i które przeto zaliczyć należy do cenniejszych nabytków naszego reportoarza. Przedstawienie ich udało się wybornie, a mianowicie zyskała w pierwszej z nich pani Parżnicka, w drugiej pani Ładnowska zasłużone oklaski.

W pierwszych dniach bieżącego miesiąca przedstawiono w nadwornym teatrze w Wiedniu Fredrowskie „Śluby panieńskie“ w przeróbce znanego niemieckiego komedjopisarza Gustawa Mozera, pod tytułem Mädchenschwüre. Rzecz ściągnięta w trzy akty, liczbę osób działających powiększono dodaniem starej panny i romansopisarza, który szuka wszędzie typów do swych powieści. Zabawną jest zaiste ta niemiecka poprawka, w skutek której nie mogła rzecz jak tylko stracić cały swój urok poetyczny, swoją wytworność, subtelność i prostotę, a jeszcze zabawniejszą jest recenzja reportera Pressy, który to na wskróś polskie arcydzieło naszego mistrza nazywa plagjatem, dokonanym na lichej komedyjce Holteja pod tytułem: Ona pisze do siebie!...

Wychodząca w Czechach w mieście Krumau „gazeta gminna“ drukuje w języku niemieckim przekład powiastki Józefa Dzierzkowskiego: „Ludzie dobrzy na jednym wózku do sądu jeżdżą“. Tytuł powiastki tej w niemieckiem opiewa: „Unter Nachbarn“, a tłumaczenia dokonał Lwowianin p. Albert Zipper, zaszczytnie znany tłumacz Marji Malczewskiego (wyszła nakładem H. Grüninga w Hamburgu 1878). Pominąwszy krytyki dzienników tutejszych — które bardzo pochlebnie o tłumaczeniu „Marji“ się wyraziły, podnieść należy krytykę „Marji“ p. I. J. Kraszewskiego w „Biesiadzie literackiej“, który tłumaczenie w mowie będące nazwał najlepszem z istniejących. — Wobec tego wątpić nie można, iż w tej nowej pracy tłumacz, któremu wdzięczność należy się za to, iż dzieła literatury ojczystej obcemu przyswaja językowi — z zadania swego wywiązał się również chwalebnie. —

Teatr wielkiej opery paryskiej stał się istotnie kolonją polskich artystów. Jak wiadomo primadoną tej lirycznej sceny jest nasza rodaczka panna Julja Reszke, która obecnie świetne zbiera wawrzyny w Afrykance. Tenor Mierzwiński, na którym

dyrektor p. Halanzier zamierza oprzeć przyszły swój repertoarz, przygotowuje się na scenach większych miast prowincjonalnych do zajęcia przeznaczonego dlań pierwszego miejsca w składzie wielkiej opery. Oprócz tego została świeżo zaangażowaną do tejże opery, Warszawianka, panna Marja Lewenhoff, która w operze komicznej Aubera „Si j'etais roi“ zwróciła na siebie powszechną uwagę paryskiej publiczności. —

Do szeregu projektów, mających na celu uczczenie zasług J. I. Kraszewskiego, przybyło jeszcze kilka nowych, pomiędzy którymi dwa na szczególniejszą zasługują wzmiankę. Mianowicie wnosi hrabia Mieczysław Miączyński z Włocławka, ażeby i kompozytorowie muzyczni polscy złożyli się na takież samo album jak malarze. Dzięki Bogu nie braknie nam sił na przeprowadzenie takiego zamiaru. Warszawa posiada: Żeleńskiego, Noskowskiego, Grossmanna, Roguskiego, Münchheimera, Zarzyckiego, Kanię, — Lwów aczkolwiek uboższy, ma jednak także Mikulego, Jareckiego, Marka i Czerwińskiego, a iluż mamy utalentowanych kompozytorów jeszcze w innych miastach i na prowincji, że tylko tu nawiasem wspomnę o Tarnowskim. Chodzi więc tylko o to, aby któryś z muzyków podjął się redakcji, a z łatwością złożonem zostanie album, które oddrukowane wzbogaci naszą literaturę muzyczną wyborową antologją oryginalnych kompozycji.

Drugi projekt wychodzi od stanu drukarskiego, który przez pół wieku milionami czcionek przelewał myśli Kraszewskiego w formy książkowe. Towarzysz sztuki drukarskiej pan Ignacy Jarzyński z Lublina wnosi, aby zecerzy całej Polski złożyli się na ofiarowanie jubilatowi srebrnego przyrządu do pisania, ozdobionego czterowierszem i artystycznym rysunkiem. Rzecz cała kosztować będzie paręset guldenów, które z łatwością zostaną pokryte składką, w której udział pojedyńczy wynosić będzie jednego guldena. Znana solidarność i gorliwość obywatelska towarzyszy sztuki drukarskiej nie pozwalają wątpić, że projekt ten zostanie urzeczywistnionym.

Mówiąc o jubileuszu nadmienić jeszcze muszę, iż wyszedł już pierwszy tom jubileuszowego wydania pism Kraszewskiego, zawierający Rzym za Nerona i Pamiętniki Mroczka. Dochód z tej ozdobnej a taniej edycji ma być ofiarowanym jubilatowi jako renta narodowa; — jest to więc rzeczą obywatelskiego poczucia, aby ta renta wypadła jak najhojniej, i dlatego polecić wypada naszym czytelnikom to wydanie wyborowych utworów naszego niestrudzonego powieściarza.

Wychodzący w Wiedniu przegląd literacki pod nazwiskiem Dichterstimmen zamieścił bardzo pochlebną ocenę polskiego przekładu Ahaswera, dokonanego przez naszego współpracownika p. Władysława Ordona. Zamieszczamy w dzisiejszym zeszycie wyjątek z tego poematu — czytelnicy zatem sami osądzić będą mogli znakomitą wartość tego utworu, jakoteż ocenić zasługę tłumacza, który dzieło to przyswoił naszej literaturze.

Na zakończenie podzielić się muszę z czytelnikami wiadomością, która ich z pewnością ucieszy. Mianowicie udało się nam pozyskać współpracownictwo p. Adama Asnyka (Ely...ego), i już w jednym z najbliższych zeszytów Strzechy zamieścimy jedną z prac tego znakomitego poety.

Włodzimierz Zagórski.

POKŁOSIE.

Przywiązanie kotów. W jednym z angielskich sądów odbyła się niedawno sprawa, będąca żywym argumentem przeciwko dosyć pospolitemu uprzedzeniu, iż koty mniej zdolne są do objawów przywiązania i miłości dla ludzi, od psów. Niejaka Izabela Amey stanęła przed sędzią Knoxem w Londynie ze skargą na swego męża, iż z nią od długiego już czasu jak najbrutalniej się obchodzi, a nawet do bicia jéj się posuwa. Pomiędzy innemi dowodami na to jeden ze świadków opowiedział fakt następujący: Oskarzony od dwóch lat nie żyje ze swoją żoną i jeżeli ją odwiedza, to dla wymuszenia od niej pieniędzy. Pewnego razu przybył w podobnym celu do niej. Nie uzyskawszy jednak czego pragnął, we wściekłym gniewie powalił na ziemię, począł deptać nogami, i wreszcie pochwycił za gardło, z widocznym zamiarem uduszenia. Już była w niebezpieczeństwie życia, gdy naraz przyszedł jej ratunek z najmniej spodziewanéj strony. Kotka, nadzwyczaj przywiązana do Izabeli Amey, słysząc krzyk jej, rzuciła się na tyrańskiego dręczyciela z pazurami i zębami, które mu zatopiła w twarz i oczy. Przerażony nędznik puścił swoją ofiarę a tymczasem i sąsiedzi nadbiegli; kotka jednak nie dawała się nikomu oderwać od przedmiotu swojej nienawiści, aż dopiero pieszczotliwym słowom Izabeli ułagodzić się ją udało. Mąż sam błagał żony, aby go od swej dzielnej obrończyni uwolniła. Sąd po wysłuchaniu skargi i dowodów skazał brutala na trzy miesięczne więzienie.

Żony farmerów na przylądku Dobrej Nadziei. Znany ze swego długoletniego pobytu w Afryce południowej dentysta porucznik Dr. Holländer opisuje żony tamtejszych farmerów (właścicieli ziemskich) w następujący sposób: Panie te przy swojem wykształceniu umysłowem i olśniewającej białości cerze mogłyby się liczyć do najpiękniejszych pośród płci swojej, gdyby całem ich dążeniem nie było podobać się swoim mężom przez nabycie nadzwyczajnej tuszy. W tym celu oddają się bezczynności i życiu pozbawionemu wszelkiego ruchu. Być „moic fet“ (pięknie otyłą) uważają za największe szczęście — farmer bowiem południowo afrykański widzi w otyłości szczyt wszelkiego piękna. Z uśmiechem zadowolenia pokazuje gościom swe woły, konie i owce, jeżeli są „moic fet“ — a żona także jest mu ideałem piękności i doskonałości, jeżeli o niej może powiedzieć to samo.

To też w okolicach tych mięsne pożywienie i łagodność klimatu wytwarzają prawdziwe potwory otyłości, jakich nigdzie indziej widzieć niepodobna. Zupełnie zwykłą bywa rzeczą spotkanie kobiet, których ramię ma w przecięciu 9 do 10 cali, z czego o rozmiarach innych części ciała pojęcie zrobić sobie można. Zresztą ten sam wpływ wywiera miejscowy klimat i sposób żywienia się i na europejskie kobiety, — nawet te, których kości, jak się mówi, suknie przebijają, mogą się tutaj najdalej po roku pobytu pełnych i okrągłych doczekać konturów.

Po amerykańsku. Niedawno temu zdarzyło się człowiekowi, mieszkającemu obok wodospadu Niagary nieszczęście, iż z mostu prowadzącego do Godt Island spadł w pieniące się nurty. Po nadludzkich wysileniach udało mu się uczepić wy-

stającej skały i w tej pozycyi przez pół godziny oprzeć się rozhukanym falom. Ratunek jednak był niemożebny i otchłań pochwyciła go wreszcie jak własność swoją. Podczas gdy jeszcze walczył i trzymał się skały — porwany współczuciem tłum ludu zbiegł się na brzeg i do domku, z którego nieszczęśliwa żona nieodwołalnie zgubionego męża na jego śmiertelne zapasy patrzeć musiała. Z okien domku najlepiej można było widzieć tę całą przejmującą zgrozą scenę. Widząc nadbiegających tylu ciekawych, dzielna żona nieszczęśliwca z zimną krwią obliczyła, iż taka gratka zarobku nie prędko jej się trafi, i skorzystawszy natychmiast ze szczęśliwej myśli — każdemu z ciekawych i współczujących, który chciał z okien domu widzieć śmiertelną agonję jej męża — po dolarze za wstęp zapłacić sobie kazała!

Drugi czysto amerykański wypadek jest następującej treści: Jednym z rdzennych typów Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki jest tak zwany „the figthing editor“ t. j. bijący się redaktor. Szorstki i napastniczy charakter miejscowej ludności skłania ją do szukania natychmiastowej i dobitnej satysfakcyi gdy się czuje obrażoną w jakimś dzienniku. Posłuchajmy, jak oryginalnie opowiada swój wypadek redaktor pewnego dziennika z Newady:

„Wczoraj po południu, gdy redaktor tego pisma jak najspokojniej siedział przy biórku, wchodzi niejaki Buckner i pyta: „Czy pan jesteś redaktorem?“ odpowiedzieliśmy: — Ja. Na to, nie mówiąc już ani słowa, wyciąga to indywiduum pistolet, odwodzi kurek i mierzy do naszej osoby. Skoczyliśmy jak błyskawica i odtrąciliśmy jak najdelikatniej broń z jej właścicielem na bok — przyczem przewrócił się piec żelazny. Poczem schyliliśmy się, ażeby wytrzeć podłogę ciałem niegodnego napastnika, bez względu na pistolet, który ów Buckner wciąż jeszcze w ręku trzymał. Wśród tego poskoczył jeden z zecerów i wydarł mu broń ową, a my pozwoliliśmy mu powstać i wyraziliśmy najgorętsze pragnienie rozstania się z nim jak najprędzej. Na co on, pochwyciwszy leżący w tem miejscu przypadkiem drążek żelazny, długi dwadzieścia jeden cali, usiłował nas tym przyrządem zamagnetyzować, czemu jednakże, delikatnie scisnąwszy mu przewód oddechowy, skuteczniešmy zapobiegli. Następnie posunęliśmy go do szklannych drzwi i wysunęli za nie, bez otwarcia podwoi, przyczem wszystkie szyby szwank poniosły i kawałek szkła prysnąwszy, redaktorską czaszkę naszą lekką a zaszczytną naznaczył szramą. Artykuł który prawdopodobnie sprowadził owego napastnika, zawierał w sobie prawdziwe i całemu miastu znane zdarzenie, bez imion osób, które w niem udział miały. Otóż oświadczamy, że podobne nowiny miejskie i na przyszłość będziemy ogłaszali, nie pytając czy to kogo swędzi czy piecze — i jesteśmy przygotowani przyjąć każdego, kto się na nas porwie, równie delikatnie i względnie, jak wyżej wymienionego Bucknera.“

Płonące sople. W kościele S. Sebalda w Norymberdze na sławnym jego grobowcu, arcydziele Piotra Vischer'a i jego synów, podziwiają przedewszystkiem pomiędzy przedstawionemi w wypukłorzeźbie czynami tego świętego pątnika, przepyszne przedstawienie dokonanego przez niego cudu, gdy nie mając drzewa w zimie, oderwanemi z płotu i dachu soplami żywy rozpala ogień, i zesztywniałe nogi i ręce grzeje nad nim sobie. Wierzący a jednak niedowierzający własnym oczom, w swem naiwnem podziwieniu nieporównanie oddani trzej naoczni świadkowie tego dziwu, wyciągają ręce, dla przekonania się, czy ten ogień z lodowych sopli istotnie grzeje. Ten cud na drodze naukowej, powtórzyć udało się niedawno angielskiemu fizykowi Fryderykowi Guthrie — i każdy go łatwo naśladować w tem może gdy zechce. Trzeba tylko trzy części eteru (zwykle fałszywie siarczanym eterem zwanego) rozpuścić z dziewięcioma częściami wody przez mącenie i ten roztwór zamrozić w sople, co się już przy dwóch stopniach zimna udać może.

W tym celu należy powyższym roztworem napełnić tak zwanę epruwetkę albo też inne rurkowatego kształtu naczynie ze szkła lub blachy i na nitce za okno na mróz je wywiesić.

Skoro zaś płyn dostatecznie zamarznie, wniesiony do ciepłego pokoju wychodzi w kształcie przeźroczystego sopla z rurki, i może być, jak świeca wstawiony w lichtarz i zapalony. Pali się on słabo świecącem płomieniem, który tylko w ciemnym pokoju dojrzeć można — ale aż do ostatniego szczątka. Naturalnie, że płomień eter pożera, a woda topniejącego lodu bezustannie scieka, Nauczającą jest przytem rzeczą że eter, który zwykle jasno płonie (i ze względu na szczególną zapalność swoją przy użyciu ostrożności wymaga) w skutek nader silnego oziębienia przez topniejący lód, w tym wypadku tak słabe światło daje.

Nekrologja.



W chwili zamknięcia niniejszego zeszytu dochodzi nas wieść o bolesnéj stracie, która dotknęła świat katolicki ciężką żałobą....

Jego Świętobliwość PIUS IX. zakończył życie!...

Osierociały kościoł traci w nim swego duchownego ojca, — Polska jednego ze swych najwierniejszych przyjaciół, — jedynego, który zawsze mężnie stawał w obronie praw naszego kościoła, — jedynego, który miał zawsze dla nas słowa pociechy, otuchy i błogosławieństwa!..

Sądzimy, że odpowiemy tylko życzeniom naszych czytelników, podając już w przyszłym zeszycie portret i życiorys świętobliwego męża, którego imię niezatartą a wdzięczną pamięć pozostawia w sercu każdego Polaka, i którego śmierć w czasach tak ciężkich dla nas prób przypadającą, niemal narodową nazwać musimy klęską....

Dziś pozwalamy sobie tylko przyłączyć głos nasz do głosu powszechnej boleści, którą w sercach polskich wywołała strata tego nieodżałowanego opiekuna, przyjaciela i pocieszyciela naszego narodu....

Cześć, wieczna cześć jego pamięci!....

Kącik humorystyczny „Strzechy"

Pia desideria...

Modlitwa diurnisty.

Panie Boże! W Twych niebiosach
Żyją święci tak jak w niebie;
Nikt tam nie wie, co to zima,
Co to żyć o suchym chlebie.

Nikt tam nie wie, co to czynsze,
Co to znaczy w bucie dziura; —
Każdy chodzi w garderobie,
Którą dała mu natura.

Wiem o Panie, żeś przeznaczył
Tam i dla mnie kącik mały,
Że po śmierci w cnót nagrodę
W raju Twym dostąpię chwały.

Wiem, że słowa mi dotrzymasz,
Że Twój weksel jest jak złoto,
Że mi święty Piotr wypłaci
Bez dyskonta go z ochotą...

Wiem, że krydy nie ogłosisz,
Boś ty Panie pan bogaty:
Mniej niż szeląg u Rotszylda
Znaczą u Cię wszystkie światy, —

Jednak cóż mi z Twej promessy
Na szczęśliwość wiekuistą,
Gdyś mi kazał — wielki Boże!
Być na ziemi — diurnistą?

Ot czasami by się zjadło
Coś lekkiego: miałbym gusta
Tak na gulasz i na piwo....
„Nic tam z tego!..." Kieszeń pusta!..

Ot, i but coś niestatkuje
I tużurek chce szwankować:
Wartoby się oporządzić!...
Cóż gdy nie chce nikt borgować!...

Na Twą tratę dać mi nie chcą
Nic chrześcijanie i nic żydy,
I tak — „dziedzic dóbr niebieskich"
Ginąć muszę tutaj z biedy.

Więc o Panie, jeśli łaska
Daj mi przekaz na bankiera
Tu we Lwowie, płatny vista, —
Nędza bowiem mi doskwiera!..

Hipotekę mą niebieską
Chętnie tym obciążę długiem:
W życiu tym — mniej trocha głodu,
Mniej rozkoszy za to w drugiem!

Ot, naprzykład z sfer muzyki
Rad skwituję raj Twój Panie,
Bylem tylko mógł w tem życiu
— Choćby czasem zjeść śniadanie!!..

Z Mirzy Szaffy'ego.

Stary węgrzyn ma swe cnoty —
Ma i grzechy:
Jednym służy nektar złoty
Do uciechy,
Drugim jako jad przeklęty
Krzywi minę, —
Jednym idzie pod czuprynę,
Drugim w pięty!

*

Chcecież wiedzieć, zkąd jest taka
Moc dwojaka —
Oto sekret w tem się kryje,
Kto go pije?

*

Mazgaj chociaż płyn zachwala,
Już się kiwa,
Jego winny sok obala,
Nas — porywa!
On się skuł jak cztery dziewki,
Płacze, ściska,
My nucimy dziarskie śpiewki,
Z ócz nam błyska!..
Głupcom tylko ćmi spojrzenie,
Nogi zwija:
Nas ten nektar rozpromienia,
Ich — dobija.

*

A więc pijmy w gronie druhów
Węgrzyn stary,
Co odróżnia dzielnych zuchów
Od — fujary!

Gyula.

KSIĘDZA BAKI

uwagi o potrzebie świętej zgody między Lwowem a Krakowem.

1.

Cny Krakowie,
I ty Lwowie!
Wyście przecie
Dzisiaj w świecie
Dwie stolice,
Ducha arki,
Nie kłótnice
Straganiarki!..

Zamiast przodem
Przed narodem
Świecić oto:
Zgodą — cnotą,
Jak przystojnie,
To wy — w wojnie
Tak zażartej,
Jak dwa charty,

Co przy misie
Pogryzły się
O flak jaki
— Te sobaki!..
Czytam — słyszę:
Ten, ów pisze:
„Kraków taki!"
„„Lwów owaki!""

„To Stańczyki!.."
„„To ulica!..."
„Tarnowszczyki
Targowica!..."...
Aż chęć szczera
Nieraz zbiera
Krzyknąć: „Sfora!
Precz mi z dwora!.."

Tfy do kata!
Brat na brata
Tak ujada!..
Biada! biada!
Szwab kostera
Dłoń zaciera, —
Moskal plucha
W górę dmucha,

2.

Tak go cieszy,
I tak śmieszy
Ta robota...
— Wstyd! Sromota!...

Jeszcze trochy
Wojny płochej,
A zostanie —
Chryste Panie! —
Z grodów pary
Powaśnionej
Przez niezdary
— Dwa ogony!...

Moiście wy!
Zkąd te gniewy
Tak zażarte,
I te sprzeczki
Co nie warte
Torby sieczki?..
O co?.. za co?..
Czy wam płacą
Za to przecie,
Że się żrecie?..

Ach — niestety!
To gazety
Winne wszemu
Tutaj złemu,
A przyczyna
Była k'temu:
Cześć Turczyna,
— I haremu!..

3,

Ach — hołoto!
Ach — niezdary!
O tóż, o to
Poszły swary?...
Żeby młodzi,
Jeszcze zgoda!
To uchodzi;
Krew nie woda!..
Lecz dwa grody,
Stare dziady
Siwej brody,
Popaść w zwady —
Jak dwaj brysie,
Co zgryzły się
Koło miski —
O — huryski?!...
Gdzież jest szóste
Przykazanie?...
— Tę rozpustę
Nie karz Panie!..

Zatem basta
Moje miasta!
Precz z huryską!..
Exorcisco!...
Moskal złodziej!
Turek złodziej!
Sułtan z carem
Dzisiaj trzyma;
Precz więc z swarem:
Przyczyn nie ma!..
Złóżmy w grobie
Waśni licho, —
Buzi sobie,
I sza! cicho!..

— Ach ty hultaju jeden!... Widzisz coś zrobił . !
— . . . . !
— Powiedz, coś za to zasłużył?...
— . . . . !
No, powiedz sam, coś za to zasłużył?...
— Ja..... ja..... ja proszę Mamci, nic za to nie chcę!...

Podsłuchane.

— Jakże wczoraj wypadła partyjka? Podobno pobiłeś Pan wszystkich?

— Tak jest na głowę....

— Z kimże pan grałeś?...

— Zaraz!... Niech sobie przypomnę!.. Aha! Najpierw Bolko, potem Cesio, trzeci Dyzio, czwarty... czwarty... czwarty...

— No któż był czwarty?..

— Otóż to właśnie, że sobie przypomnieć nie mogę.

Straszna historja.

Wielki Mistrz farmazońskiej wenty
Dostał od djabła róg zaklęty
— Wszelki duch chwali Pana!

Kto słyszał dźwięki tego rogu
Ten musiał ducha oddać Bogu:
— Zatkajcie Wasze uszy!

Więc jest to wielka łaska Boga,
Że nikt nie słyszał tego roga
— Bo róg to był na wino!

Wydawca i odpowiedz. za redakcyę F. H. RICHTER.
Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



UPIOR.

5

Opowiadanie przy kominku

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Co było robić! — cierpieć i milczeć. —

Humor mi się popsuł z tego, a i kwaśnej a posępnej miny pokazać się nie godziło. Do Starościny przywiązałem się sercem całem i myślałem sobie, kiedy drudzy dla płochych miłostek tracą i cierpią, czemuż bym ja dla macierzyńskiej miłości, którą mi Bóg zesłał, niemiał coś sakryfikować!

Nic się nie zmieniało w Zabłociu, trzeci rok już trwałem na tej osobliwszej służbie synowskiej, z którą ludzie się oswoili, wreszcie Baranowicze przestali się jej tak bardzo lękać, mniej o tem mówiono, jam się obył nieco z nią, ale — ciężką mi była. Stałem się tu domowym zupełnie, poufałym, pilnując tylko, ażebym się z moją miłością dla Lorci nie wydał zbytnio i cugli jej nie puścił. Pani Sawicka już widać zupełnie spokojna z tej strony, dawała nam swobodę, ufając mi.

W trzecim roku do starszej siostry trafił się pretendent, sąsiad pan Matkowski, chłopak średniego majątku, dosyć dobrze wychowany, niczego, roztropny, ale też nie odznaczający się niczem tak dalece, oprócz szalonej miłości dla mojej ładnej siostrzeniczki. Jak tylko się to wydało, że się stara, Sawicka przyszła do mnie po radę, a Starościna odwołała się też na mnie. Musiałem i w tem grać rolę wujaszka; pannę wyrozumieć, o pretendencie małą inkwizycję przeprowadzić, a naostatek i Sawickiego, któremu zięć był za mało dostatni, na jego stronę nawrócić.

Zostaliśmy jednego dnia, gdy już po oświadczeniu i przyrzeczeniu około wyprawy panny się krzątano, ja i Lorcia w ganku sami jedni. Na stolikach pełno było gałganków, około których dziewcze chodziło z wielkiem zajęciem.

— Dobrze to jest być młodszą siostrą, odezwałem się wesoło, — pani teraz nabierzesz doświadczenia i około własnej wyprawy będziesz już doskonale wiedziała, jak chodzić.

Dziewcze spojrzało mi w oczy dziwnie i głową potrzęsło.

— Gdzie to tam jeszcze do mojej wyprawy, rzekła — ktoby się o mnie starał!

— Zkądże takie zwątpienie? spytałem.

— Wcale nie zwątpienie — albo mi to pilno! odezwała się Lorcia — albo mi to tu źle, przy babci, matce — i wujaszku.

Uśmiechnęła się z dygiem.

— Dziękuję za wujaszka, rzekłem, ale ten niepowinien wchodzić w rachunek, bo — fałszywy, a wszystko, co fałszywe na świecie musi kiedyś iść precz.

Lorcia głową potrząsała ciągle.

— Przestawszy być wujaszkiem, zniknę ze sceny i będę tylko przypomnieniem nudnem jakiegoś intruza...

— Pan się koniecznie domaga komplementu? szepnęła.

— A! od tego niech mnie pan Bóg uchowa! przerwałem.

Źle się wyraziłam—poprawiła się Lorcia—to, co bym powiedziała, inaczej by się nazwać powinno. — Myśmy wiele panu winni.

— Ja państwu także i obliczywszy się byłbym w długu — odezwałem się.

— O nie! przerwała Lorcia, choć ja sobie jestem, jak mnie mama nazywa, dzieckiem, ale ja widzę wszystko i rozumiem. Powtarzam, myśmy panu wiele winni.

— Dług ten, gdyby nawet był, niezmiernie łatwy do zapłacenia — rzekłem — poczciwe słowo i dobre wspomnienie a będzie kwita. Panna Lorcia jednak zmuszoną zostanie fałszywego wujaszka zapomnieć. — Przyjedzie jakiś pan Matkowski, zakocha się, poprosi pięknie, zabierze i —

— Nie dam się wziąć — przerwała Lorcia — niemam ochoty iść za mąż.

Wszystkie panny tak mówią, dopóki jakiś Matkowski nie przyjedzie, który się podoba.

— Mnie się podobać trudno.

— Dlaczego? spytałem.

— Wymagam wiele.

— Naprzykład?

Lorcia się trochę zamyśliła.

— Widzi pan, rzekła, choćby się we mnie kochał najśliczniejszy królewicz, jak w bajce, nie dała bym się wziąć na szalone przywiązanie bez próby — jak w bajce. Bajki są bardzo rozumne. Musiałby spełnić wprzódy czyn jakiś, któryby dowiódł charakteru, duszy serca. Do nas przyjeżdżają kawalerowie wystrojeni, — wyperfumowani, których znamy tylko z ich żargonu w salonie i z plotek, jakie o nich po sąsiedztwie chodzą. To za mało, jeśli się wiąże na całe życie.

Słuchałem z uwagą tych słów za poważnych dla młodej panienki.

— Wszystko to śliczne, rozumne, ale to jest teorja— rzekłem śmiejąc się — gdy się młodzieniec podoba, natenczas próby niepotrzebne. Serce ma swe prawa—zaręczy za młodzieńca, porwie główkę i — kawaler od próby dyspenzę dostanie.

— A! nie! nie! zawołała Lorcia, zmilczała chwilę i szepnęła żywo. — W jednym tylko razie gotowam go uwolnić od próby — jeśli wujaszek zaręczy i da mi go z swojej ręki. Naówczas biorę z zawiązanemi oczyma.

— Ach! zawołałem chwytając jej rączkę i całując— bądź pani pewną, że z mojej ręki mieć go nie będziesz! nie wezmę na siebie odpowiedzialności.

Rozmowę przerwała nadbiegająca siostra, Lorcia mi spojrzała w oczy bardzo znacząco, i dodała tak, żeby siostra nie słyszała.

— Albo od wujaszka mąż, lub nie idę wcale.

— Przygotuj że się pani na stare panieństwo — szepnąłem — ja! nie mogę!

Była to może pierwsza nasza trochę większego znaczenia rozmowa, która później się przy różnych zręcznościach odzywała i powtarzała z odmianami i dalszemi ciągami.

W tym roku choć się na pozór w zdrowiu Starościny nie zmieniło nic, wszyscyśmy dostrzegli, że słabła i zapominała się. Nie była chorą, ale jakby znużoną życiem, więcej czasu poświęcała modlitwie, mniej towarzystwu, mówiła o śmierci, jako o spoczynku, którego potrzebowała. Staraliśmy się ją rozerwać, chwilami się to udawało, potem wpadła w zamyślenie jakieś milczące, jakąś pół senność i godzinami siadywała wśród nas na krześle nie mówiąc słowa. Zachowała całą swą przytomność, ale myślami zdawała się być gdzieś indziej, na drugim świecie. Zmiana w jej stanie była nieznaczna, powolna, stopniowa, tak, że myśmy ją mniej widzieli niż obcy. Pierwszy uwagę moją i pani Sawickiej zwrócił na to kanonik. Zaprzeczaliśmy zrazu, potem i nas to uderzyło.

Starościna niepokoiła się teraz rozporządzeniem majętnościami. Był wprawdzie testament dawny, ale ten, po kilkakroć powtarzała — chciała przerobić koniecznie i odmienić. Unikałem o tem mowy, jak się łatwo dorozumieć.

Jednego ranka przyszła do mnie pani Sawicka, zastukała w okno i kazała iść do Starościny. Że to się co dziennie prawie trafiało, nie zdziwiłem się wcale i poszedłem.

Staruszka na pół siedząc, pół leżąc w fotelu swym, drzemała z koronką w ręku.

— A! jak to dobrze, że przyszedłeś, mój Władziu, poczęła głosem słabym — ja się już dawno, dawno z tobą o tem mówić wybierałam. Trzeba raz skończyć, będę spokojniejszą.

— O cóż to chodzi! spytałem.

— Siadaj tu blizko przy mnie, bo ja mówić głośno nie mogę.

Siadłem wedle zwyczaju na nizkim stołeczku przy jej nogach.

— Czas bardzo, żebym ja tem, co mam, rozporządziła. Okoliczności, jak widzę, nie zmieniły się, i ty zawsze musisz się ukrywać pod pożyczonem imieniem — jak że ja tobie zostawię co ci należy?

Krew mi do głowy palnęła.

— Ale ja nic nie chcę i niepotrzebuję — począłem. Nie dając mi kończyć, staruszka rękę swą wychudłą położyła mi na ustach.

— Proszę tego nie mówić! poczęłą bardzo gorąco i żywo — ja tego słuchać nie mogę. Majątku w ziemi nie mogę zapisać, kiedy tak Bóg zrządził, że ty musisz być tym jakimś panem Sewerynem. Kapitału jest dosyć — chcę żebyś go wziął cały, siostrom się krzywda nie stanie, bo każda z nich tyleż weźmie w dobrach.

— O kapitałach tych cały świat wie — odezwałem się — ja w oczach świata obcym jestem, oddać je mnie, byłoby mnie wydać — wskazać.

Staruszka załamała ręce.

— Proszę mamci, dodałem całując jej kolana, kapitały te zapisać pani Sawickiej, ona będzie depozytorką i od niej ja już sobie odbiorę.

Spojrzała mi w oczy z powagą i smutkiem.

— Ale czy pewnie?

— Przecie mamcia zna dobrze panią Sawickę, — inaczej to nie może być. Pocałowałem ją w rękę i unikając dalszej rozmowy wstałem ze stołeczka chcąc odejść.

— Więc tak ma być? spytała drżącym głosem.

— Tak, bo inaczej być nie może.

— Niech będzie jak chcesz, ja z Sawicką pomówię — a ty mi jutro każ sprowadzić Rejenta. Czuję się jakoś słabą, senną, wiem, że koniec się mój zbliża.

O rozmaitych jeszcze legatach mówiła potem ze mną, nareście wyszedłem jak z łaźni wprost do pani Sawickiej, aby uprzedzić i przygotować. Zdaje się, że przeczuwała, o co chodziło. Przyjęła to milcząc, a gdym dokończył, odezwała się.

— Pozwól mi pan powiedzieć dwa słowa — miałeś straty, — robiłeś ofiarę..

— O tem ani pół słowa mówić nie pozwolę, rzekłem stanowczo — i wyszedłem.

Gdy Rejent przyjechał, uprosiłem panią Sawickę do pomocy staruszce, nie chcąc nawet być świadkiem spisywania rozporządzeń, wziąłem go tylko wcześnie na stronę i powiedziałem mu otwarcie, że jeśli by Starościna w jaki kolwiek sposób miała o mnie wspomnieć w testamencie, aby się temu oparł, zaręczając, że nic nie przyjmę.

(*Dok. nast.*)

PIUS IX.

Crux de cruce!

Dzieje świata, mianowicie zaś nowożytne dzieje mało przedstawiają zjawisk tak dla myśliciela zajmujących, a zarazem tak na pierwszy rzut oka zagadkowych, jakiem jest zjednoczenie Włoch.

Jeżeli się myślą cofniemy o jakie lat trzydzieści, i rzucimy okiem na ówczesną mapę apenińskiego półwyspu, to ujrzymy kraje w skład dzisiejszego włoskiego królestwa wchodzące, rozdarte na czternaście części, a zamieszkałe przez naród, jednolity wprawdzie mową i wiarą, jednolity dążeniami do swobody i poczuciem się do wspólnej narodowości, lecz nie jednolity pochodzeniem i obyczajem, a już zupełnie pozbawiony łącznika wspólnych historycznych tradycji, których nić jeszcze przed czternastoma wiekami zerwała wielka wędrówka narodów, rozprzęgając ostatecznie społeczny organizm dawnej Romy, i zalewając te błogosławione lądy powodzią Gotów, Herulów i Longobardów. Na gruzach średniowiecznych udzielnych państewek i rzeczpospolit ujrzymy tam Lombardją i Wenecję pod uciskiem austrjackiego najazdu, — ujrzymy tam Toskanę, Modenę, Lukę, Parmę, Piaczencę i Gwastallę, państewka mikroskopijne, wprawdzie udzielne, lecz austryjacką s e c u n d o - g e n i t u r ę tworzące, a zatem wpływom obcego najazdu uległe, ujrzymy tam lilipucką Rzeczpospolitę San Marino, teokratyczne Państwo kościelne, wreszcie Piemont wraz z Sardynią, tudzież Królestwo Obojga Sycilji, tę według lorda Lyonsa „żywą negację Boskiej sprawiedliwości“, — lecz nie ujrzymy Włoch!... Włochy były wówczas całe jeszcze w nieśmiertelnych utworach italskich poetów i muzyków, — w arcydziełach włoskiego pendzla i dłuta, — w podziemiach went karbonarów, w więziennych celach Szpilbergu, — całe w myśli, całe w duchu!... Nie bez pewnej zatem słuszności mógł ks. Metternich powiedzieć na kongresie w Weronie, że kwestji włoskiej nie masz, że Włochy są tylko geograficznem pojęciem, boć przecież i Lamartine nie umiał odgadnąć prądów, nurtujących podówczas włoskie społeczeństwo, i nazwał Italję... krainą umarłych!...

A jednak, kłam zadając austrjackiemu dyplomacie i francuskiemu poecie, stała się idea zjednoczenia Włoch ciałem. Kraina umarłych wydała cały zastęp ludzi takich jak Garibaldi, jak Cavour, jak Mazzini, jak Aurelio Saffi i... w niespełna lat jedenaście, i niemal pod naszemi

oczyma powstał organizm społeczny, zdrowy, żywotny i pełen młodzieńczej siły... Tak jak niegdyś Minerwa z głowy Jowisza, wytrysnęła zjednoczona Italja w pełni swej piękności i potęgi z serca tego narodu, który chciał być, i dziś, przypatrując się rezultatom tego fenomenu dziejowego, podziwiać musimy potegę czynników, które wspaniałe to zjawisko wywołały...

W chwili, kiedy się rozpoczynają dzieje, które opowiedzieć zamyślam, wrzały właśnie żywioły te w łonie włoskiego społeczeństwa, grożąc lada chwila wybuchem. Serdeczny przyjaciel Austrji i Jezuitów, a nieprzebłagany wróg nowoczesnych dążeń, srogi Grzegorz XVI (Mauro Capellari) zawarł był właśnie powieki, pozostawiając 45,000.000 długów, i podziemia zamku św. Anioła przepełnione politycznymi więźniami. Administracja Państwa była w opłakanym stanie; ucisk podatkowy był niezmierny; kradzieże, łupieztwa i rozboje były na porządku dziennym. Swawola władz, a mianowicie papieskiej policji, przeważnie z złoczyńców złożonej, doszła była do najwyższego szczytu. Pod pozorem ścigania liberałów, którzy z pod wszelkiego prawa byli wyjęci, popełniały zbiry rządowe codzień setki bezkarnych zbrodni. W samem mieście Faenza zginęło w r. 1835 około 1000 osób w skutek rozpusty osławionych „centurionów“, milicji przeznaczonej dla obrony tronu i ołtarza, której pod panowaniem Maura Capellarego i jego podsekretarza stanu Lambruschiniego bezkarnie wolno było mordować każdego, na którego choć cień zarzutu rzucić można było, iż jest liberałem.



Srogi ten ucisk nie zdołał jednakże w społeczeństwie włoskiem wyplenić dążeń do swobody, lecz owszem przyczynił się znakomicie do wzrostu liberalnego stronnictwa, około sztandaru którego skupili się ludzie najrozmaitszych odcieni, od republikanów Mazziniego zacząwszy, aż do zwolenników konstytucyjnego rządu, jak książę Tomasco Corsini. Więcej nawet, niektórzy z tych liberałów ograniczali skromne swe żądania jeszcze bardziej, domagając się tylko zwolnienia nieznośnego ucisku i zaprowadzenia prawnych stosunków w miejsce panującej dotychczas samowoli. Aliści pomimo różnicy zdań tych rozmaitych odcieni na to godzili się wszyscy, że dotychczasowy stan rzeczy dłużej trwać już nie może, i że do naprawy rządów Kościelnego Państwa wszelkiemi siłami dążyć potrzeba, starając się przedewszystkiem o to, by usadowić na stolicy Piotrowej papieża liberalnego, papieża reformatora. Hasło to, przez wenty karbonarów rzucone, pochwyconem zostało przez ludność rzymską z właściwą południowcom gorączkowością, i rozszerzając się coraz dalej i dalej, znalazło odgłos potężny w sercach wszystkich ludzi dobrej woli, w obrębie, a nawet i po za obrębem apenińskiego półwyspu. Z gorączkowem a pełnem nadziei zajęciem zwróciły się oczy całego świata na obradujące w Kwirynale Conclave, oczekując ztamtąd hajnału zapowiadającego wiosnę ludów. Nadzieje te były wynikiem szczerych synowskich uczuć dla apostolskiej stolicy, — nadmienić mi bowiem tutaj wypada, że nawet sławny przywódzca Młodych Włoch Mazzini nie zerwał był jeszcze z myślą pogodzenia Italji i wolności z papiestwem i że myśl ta miała podówczas w znacznej części francuskiego i włoskiego duchowieństwa, a mianowicie w znakomitym generale zakonu Teatynów ks. Venturri gorliwego a nader wymownego rzecznika.

Nie mniejsze zajęcie budziła kwestja wyboru następcy Grzegorza XVI. w popieranym przez Metternicha i rząd neapolitański obozie sanfedystów, którego głową był nieprzebierający w środkach generał zakonu Jezuitów Roothan, a do którego należeli także z naturalnego porządku rzeczy wszyscy ci, co za panowania Maura Capellarego przywykłszy cugle puszczać swej swawoli, obawiali się teraz zasłużonej kary, lub przynajmniej ukrócenia przysługującej im dotąd swobody. Kandydatem tego jakkolwiek nielicznego, ale tysiącem do gwałtu zaprawionych ramion rozporządzającego stronnictwa był kardynał Lambruschini, były podsekretarz stanu zmarłego papieża, starzec ciałem i duszą absolutystycznym doktrynom oddany, przytem gorliwy przyjaciel Austrji i znienawidzonych w Rzymie Jezuitów....

Z gorączkowym niepokojem wyczekiwała ludność wiecznego miasta wypadków zarysowujących się na tle tego tak wielce naprężonego położenia. Z jednej strony obawiano się, że stronnictwo sanfedystów nie cofnie się przed użyciem gwałtu w celu przeprowadzenia swych zamiarów, — z drugiej ciężyła nad umysłami obawa rozruchów, któreby z pewnością wywołał był pomiędzy roznamiętnionym gminem wybór papieża, będącego zwolennikiem absolutyzmu. Najpotworniejsze alarmujące pogłoski obiegały miasto, znajdując wiarę w umysłach rozgorączkowanej publiczności.... Na piedestalu znanego posągu Pasquina, który jak wiadomo jest polityczną wyrocznią rzymskiego gminu pojawiły się na kilka dni przed zebraniem się Conclave, tajemnicze słowa: „*Presto! presto al Quirinal!* *) Potwierdzając to wezwanie odpowiedział nazajutrz posąg Marforia: „*Prestissimo!*“ a dwuznaczne te odezwy mogły się równie stosować do kardynałów, aby spieszyli z wyborem papieża, jak i do ludu, aby podążył do Kwirynału i przeszkodził knującym się tam przeciw niemu zamachom.

Pod grozą dusznej tej atmosfery i pod naciskiem coraz to śmielej występującej opinji publicznej, którą agitacje went karbonarskich w stanie ciągłej utrzymywały gorączki, rozpoczęło Conclave czynności swoje d. 14. Czerwca r. 1846, t. j. w czternaście dni po zgonie Grzegorza XVI. Zaraz pierwsze głosowanie przekonało stronników Lambruschiniego, że kandydat ich niema żadnych widoków powodzenia, przeważna bowiem większość głosów padła na kardynała Mastai-Feretti, kandydata liberalnego stronnictwa, na którego też przy następnych głosowaniach padły także i głosy pierwotnie liberalnym kardynałom Gizzi i Falernieri przeznaczone.

Na drugi dzień przystąpiono do wieczornyeh wyborów już o godzinie 3. po południu. Gdy rozpoczęto skrutynium, odczytał Mastai, który był jednym ze skrutatorów Conclave z rzędu 17 razy swoje nazwisko. Nie mogąc się oprzeć silnemu wzruszeniu, zachwiał się tedy ten mąż zacny przed widokiem walącego się na barki jego brzemienia i blizki zemdlenia prosił, aby go inny kardynał zastąpił w urzędzie skrutatora. Ponieważ jednak wedle regulaminu Conclave przerwane skrutynium musi zostać unieważnionem, przeto starano się wszelkiemi siłami uspokoić Mastaiego, którego wzruszenie następnie w gęstym łez opadło potoku. Dwóch kardynałów wzięło pod ramiona tego znakomitego i świątobliwego lecz tak wrażliwego męża, który niebawem na tak ciężkie miał być narażonym próby, i Mastai przystąpił ponownie do sprawdzania balotu, w którego wyniku nazwisko jego 36 razy wyszło z kielicha, urnę wyborczą zastępującego.

*) Dalej! żywo do Kwirynału.

Rzym miał więc króla, a świat katolicki papieża, który wstępując na tron przyjął imię Piusa IX.

Jan-Marja hr. de Mastai-Feretti, ów właśnie późniejszy Pius IX. urodził się w Sinigaglia d. 23. Maja r. 1792. Rodzice jego chcieli go wojskowemu poświęcić zawodowi, ale brak zdrowia nie pozwolił mu oddać się wojennemu rzemiosłu i młody Mastai obrał sobie stan duchowny, do którego też wstąpił w 21. roku życia, wyleczywszy się poprzednio z wielkiej choroby, która go od lat dziecięcych trapiła. Przebiegłszy w krótkim przeciągu czasu niższe stopnie kościelnej hierarchji, został Mastai w 29. roku życia arcybiskupem Spolety, w 42. kardynałem, a śmierć Grzegorza XVI zastała go na stolicy biskupiej w Imoli, gdzie świątobliwością swoją i znakomitemi cnotami umiał sobie zjednać cześć powszechną i synowską miłość swoich owieczek.

Był to kapłan w duchu Chrystusa, stworzony na to, ażeby być rybakiem dusz ludzkich: *faciam vos fieri piscatores hominum.* *) Ze znakomitą wiedzą i gruntownem klasycznem wykształceniem łączył on uprzejmość nadzwyczajną, z niezmiernej łagodności i słodyczy charakteru pochodzącą, tudzież ową pobłażliwość dla wad ludzkich, która nie jest słabością, lecz cała jest z miłości i mądrości, nadewszystko zaś miłosierdzie bez granic, w skutek którego, cały dla biednych stroskanych wylany, zwykł był zapominać o sobie. Pomimo znacznych dochodów z swej biskupiej stolicy, znajdywał się Mastai nieraz sam w potrzebie, wydawszy wszystkie swe pieniężne zasoby na wsparcie dla ubogich, których, sam nadzwyczaj skromne prowadząc życie, zawsze bywał skarbnikiem. Klejnoty jego rodowe, mniejsze pamiątki po rodzicach, odbywały częstokroć pielgrzymkę do domu zastawy, ażeby młodemu prałatowi umożliwić wsparcie dla potrzebnych. Zdarzało się częstokroć, że w kasie biskupiej nie było tyle pieniędzy, ile potrzeba było na zakupienie skromnego obiadu. Wtedy poprzestawał Mastai na kawałku chleba i sera, i nie tracąc nic ze zwykłej swej wesołości, bronił się dobrodusznie przed zgryźliwem strofowaniem zarządcy biskupiego domu.

Aliści właśnie te ewanieliczne cnoty, ta gołębia prostota, ta słodycz i łagodność charakteru nie czyniły go zdolnym do walki, która nań czekała. Ażeby przetrwać zwycięzko gotującą się burzę, ażeby łódkę Piotrową z pośrod fal pietrzących się ludzkich namiętności do spokojnej a bezpiecznej zaprowadzić przystani, ażeby pogodzić kościół z nowoczesnemi dążeniami, jak się tego domagała znaczna część duchowieństwa z znakomitym ks. Venturą na czele — ażeby wyrównać przepaść, którą pomiędzy światem żyjących a Piotrową stolicą wykopały ręce bezmiłośnych zelotów, na to potrzeba było innej dłoni, na to potrzeba

*) Uczynię was rybakami ludzi.

było wojowniczego ducha i żołnierskiej bezwzględności Juliusza II.... Pius IX. był cały sercem i miłością!... Niebawem też zastósować się miały do niego słowa ewangielisty: „Na świecie był, ale go świat nie poznał, do swej własności przyszedł, ale go właśni jego nie przyjęli!...“

Cokolwiek bądź radość poddanych Państwa kościelnego i całego świata wywołana wstąpieniem Piusa IX. na stolicę papiezką, nie miała granic, a pierwsze czynności nowego papieża zdawały się potwierdzać nadzieje, które w nim jako w Odnowicielu pokładały Włochy, a nawet cały świat katolicki. Nowy papież-król rozpoczął swe panowanie od reform mających na celu obdarzenie poddanych Państwa kościelnego większą swobodą. Milicja znienawidzonych centurjonów została rozwiązaną, — politycznym przestępcom została nadaną amnestja zupełna; oprócz tego przyznał Pius IX. równouprawnienie wyjętym dotąd z pod praw obywatelskich żydom, poddał duchowieństwo obowiązkowi płacenia podatków, wprowadził pewien ład w administrację, zmniejszył wydatki papiezkiego dworu, i utworzył komisje złożoną z prawników dla zreformowania średniowiecznym duchem tchnącego kodeksu Kościelnego Państwa. Reformy te przez papieża dokonane były zjawiskiem tak nowem, tak dobroczynnem, że wzbudziły nietylko we Włoszech ale i w całym świecie zapał dla nowego władcy Rzymu, i okrzyk *Eviva Pio nono*! stał się hasłem wszystkich ludzi postępu i dobrej woli.

Aliści miodowe te że tak powiem, miesiące nie trwały długo, szlachetne bowiem usiłowania Piusa IX. zjednały mu śmiertelnych wrogów w przedstawicielach absolutyzmu, którzy wszelkiemi siłami starali się przeszkodzić liberalnemu jego dziełu. Protestując bezowocnie przez posła swego hr. Lützowa przeciw zamierzonym przez Piusa reformom, uknuła metternichowska wówczas Austrja, wespół z rządem neapolitańskiego królestwa, i z generałem zakonu Jezuitów Roothanem spisek, mający na celu: obalenie papieża-reformatora, wymuszenie na nim zrzeczenia się wiary, osadzenie go w klasztorze pokutników, zwołanie nowego Conclave i przeprowadzenie wyboru Lambruschiniego na papieża. Za pomocą Ferdynandystów, bandytów przez ks. modeńskiego płatnych, na których czele stanęli Monsignor Morini, słynny rozbójnik Virginio Alpi, i były centurio Biscini wywołano rozruchy w Romanji i w Legacjach, a mianowicie w Facury, gdzie pomiędzy sanfedystami a wojskiem papiezkiem do krwawego przyszło starcia. Celem tych rozruchów było upozorowanie potrzeby interwencji austrjackiego oręża *). Więcej nawet, nie zadowalniając się politecznymi wichrzeniami wywołano przeciw Piusowi IX. religijną agitację, używając w tym celu proroctw fanatycznej dewotki i obłąkanej nazwiskiem Caterinella, której wymierzone przeciw papieżowi obelgi i klątwy w tysiącznych rozszerzano egzemplarzy.

Proroctwo Caterinelli streszcza w sobie cały ówczesny program sanfedystów, i dla tego to podaję go tutaj w dosłownym przekładzie:

„Biały człowiek napiętnowany jest znakiem Bożego gniewu. W sojuszu z ludźmi krwi napadł on trzodę jako złodziej. Biały człowiek jest Antychrystem i musi być obalonym. Wierne dzieci kościoła powinne go przeklinać Katoliccy monarchowie zarządają jego obalenia. Rzym zaleje się krwią i łzami z powodu białego człowieka, który zapomniał o swych obowiązkach, ale Święte Collegium zwycięży. Niech więc sprawiedliwi nie tracą nadziei, albowiem nie minie ich pociecha. Papież silny, potężny przeciw grzesznikom obranym będzie w miejscu białego człowieka, który z urzędu swego złożonym i w klasztorze zamkniętym zostanie...“

Knowania te, poczęte właśnie w obozie tych, którzy z powołania swego powinni byli być „wierną strażą“ naczelnika kościoła, najgorliwszymi obrońcami jego osoby, napełniały ojcowskie serce Piusa IX. boleścią bez granic, i wtedy to po raz pierwszy przypomniano sobie proroctwo Św. Malachjasza, który wyliczając przed wiekami zastęp przyszłych papieży, nazwał Piusa IX. imieniem *Crux de cruce!*

(*D. n.*)

Właściwości charakterów kobiecych.

(Ciąg dalszy.)

II.

Uczucia.

Serce i potok dostrzegać
daremnie. *A. Mickiewicz.*

Kto nie badał siebie psychologicznie, ten się ani domyśla, jak wielką rolę odgrywają uczucia w jego życiu. Są to bowiem sprężyny tak subtelne i tak ukryte, że najczęściej wcale ich działania nie spostrzegamy; dopiero gdy którą z nich silnie naciśnie jakieś mocniejsze wrażenie, lub gdy pobudki drobne, ale częste, popychając ją w jednym kierunku nakręcą tak mocno, że już więcej ścisnąć się nie może, wówczas najlżejsza pobudka w kierunku przeciwnym wystarcza do uwolnienia siły żywej: uczucie przechodzi w stan czynny, w stan popędu, pożądania, namiętności i staje się widocznem w objawach. Ale zanim

*) Obacz pamiętniki byłego dyktatora Modeny.

to nastąpi, uczucia kryją się w głębiach duszy; nie mniej jednak żyją, naciskają przyspieszając lub wstrzymując prądy myśli, nurtując na dnie porywów duchowych jako niejasne pragnienia, nadzieje, uroki, życzenia, pokusy, upodobania i wstręty. A właśnie te wszystkie drobne a żywe sprężynki zwykle uchodzą naszej świadomości. Pragniemy, lękamy się, ufamy — nie wiedząc zkąd i dlaczego. Psycholog jednak może wskazać źródło tych motywów — oczywiście jeśli zna przeszłość, warunki obecne i charakter jednostki. Ogólnie rzeczy biorąc powiemy, że źródło to może być potrójne:

1) przyzwyczajenia;

2) wrażenia;

3) obrazy fantazji obudzone niejasno przez pierwsze lub drugie.

Dajmy na to, że kogoś przyzwyczajonego do życia spokojnego staramy się wciągnąć w żywszy wir wrażeń— mimowoli odczuje on pewien niepokój, obawę, nieusprawiedliwioną bliżej, jeśli nie weźmiemy pod uwagę siły przyzwyczajenia. Przyzwyczajenie—to najlepsza bona dla nieletnich—bo nieprzestaje nas prowadzić na pasku nawet wtedy, kiedy tego wcale nieokazuje. Przyzwyczajenie dobre, znaczy więcej niż dobre zasady, bo gdy je chcemy naruszyć, budzi zawsze dobre uczucia i popędy, podczas gdy zasady mogą być zatarte i zapomniane. I jeśli złośliwy Larochefoucault powiedział, że „często nieschodzimy z drogi obowiązku dlatego tylko, że nas powstrzymują bojaźń i lenistwo“ i że „uczciwość kobiet jest często tylko miłością spokoju“, to musimy mu przyznać, że miał słuszność o tyle, o ile tę bojaźń i to lenistwo i tę miłość spokoju wobec złego wywołują przyzwyczajenia dobre, jako pobudki uczuć.

Z drugiej strony, tę samą rolę odgrywać mogą i wrażenia bieżące. Trafia się często, że wrażenia uczuciowe, t. j. takie, które obudzają uczucia, nie są w pierwszej chwili świadome. Czujemy wstręt lub pociąg do pewnej osoby nie wiedząc dlaczego, a tymczasem powodem był: niemiły lub miły dźwięk głosu, jakieś ulotne słówko, spojrzenie, giesta, otoczenie wreszcie, w którem ją poznaliśmy. Tem więcej ukryte mogą być wrażenia wewnętrzne. W epoce dojrzewania młode serce ulega tysiącom pobudek, których nie rozumie, a które właśnie dlatego posiadają tak cudowny urok i tak barwnemi promieniami ożywiają uczucia młodości. Wrażenie jedno lub grupa wrażeń może wpaść do duszy, zamącić myśli albo ożywić je niespodzianie, jednem słowem rozbudzić uczucia, niedając się poznać w pierwszej chwili.

Nareszcie przyzwyczajenia i wrażenia bezwiedne, działając razem lub osobno, mogą jeszcze użyć pośrednictwa fantazji, zanim wystąpią jawnie jako uczucia. Często na przyzwyczajeniu lub na wrażeniach bezwiednych oparte pokusy lub wstręty nie decydują wprost machinalnie, lecz podszywają się pod szereg obrazów fantazji i wówczas zdaje nam się, że sobie racjonalnie przedstawiamy niebezpieczeństwo jakiegoś kroku, obok jego ponęt, że sobie rozważamy swobodnie: jak byłoby lepiej postąpić? coby wynikło z tego w jednym lub w drugim razie? i t. p. Nie wiemy jeszcze sami, które obrazy fantazji pociągną nas silniej ku sobie—ale człowiek znający nas bliżej, znający siłę naszych przyzwyczajeń i charakter naszej wrażliwości, wie z góry; którą drogą pójdziemy. To pośrednictwo fantazji jest jedną z osłód naszego życia, daje bowiem złudzenia i nadzieje, bez których życie byłoby blade i puste.

Wszystkie te uwagi o uczuciach niejasnych i ich źródłach, jakkolwiek dają się zastosować ogólnie, dotyczą bliżej i ściślej natury kobiecej niż męzkiej. W duszy kobiety niejasne uczucia są jakby u siebie; tam znajduje się dla nich nierównie więcej materjału w zmiennej, a w ogóle nieco wyższej wrażliwości, nierównie łatwiejsze pośrednictwo w bujnych a mglistych obrazach fantazji. To też drobne lecz różnorodne uczucia migocą bezustannie w kalejdoskopie niewieściej duszy i nawet wtedy, gdy silniejsza namiętność owładnie całą jej istotą, one stanowią ten wiecznie żywy, wiecznie ruchliwy podkład myśli, słów i czynów, który sprawia, że najpospolitsza kobieta może nam więcej przygotować niespodzianek niż najmniej stały mężczyzna. Przewidzieć myśli, rzecz w ogóle trudna— ale przewidzieć myśli kobiety, jeszcze o wiele trudniejsza. Coś tam wiecznie krąży, gotuje się, zrywa lub opada na dnie tej kryształowej czary, która mieści nektar żywota zwany uczuciem kobiety. Niby to ciche i łagodne a skrzy się i pieni pod tchnieniem promienia jasnej doli a w niebezpieczeństwie wybucha ogień lub ścina się w kryształ, by nie uledz naciskowi wrażeń.

To, o czem mówię nie stanowi jeszcze właściwych uczuć kobiety—jest to dopiero kanwa dla nich, są to dopiero wężykowe prądy, drobne strumyki krzyżujące się w głębinach duszy, które jednak mogą się połączyć po kilka i więcej w jeden, i wytworzyć strumienie o szerokiej fali a niekiedy i o głębszem łożysku.

Są dusze, a należą do nich mianowicie dusze niewieście, w których owo zlewanie się drobnych uczuć w wielkie, odbywa się niesłychanie szybko. Jeden podmuch zewnętrzny, jedno wstrząśnienie dla oka zmysłowego niewidzialne, jedna kropla dolana do pełnego — a wszystkie drobne owe strumyki zleją się w jedną rzekę, w jedną nawałnicę, która organizm wzniesie na wyżyny poświęcenia, albo strąci w głębię zepsucia.

Kobiecie łatwiej być aniołem lub szatanem, niż człowiekiem.



ŚPIEWAK. (Na stronicy 110).

Dwa są przysłowia dopełniające się wzajemnie: jedno pełne galanterji — francuskie, drugie pełne rubaszności — polskie; jedno pociesza, że: ce que la femme veut, Dieu le veut“—a drugie straszy, że „gdzie djabeł nie może, tąm babę pośle“. Dając się prowadzić kobiecie, musimy się zdecydować na jedno z dwojga: zaprowadzi nas bowiem do nieba albo do piekła. Chcąc zostać na ziemi, musimy my ją prowadzić. Jakżeby to dobrze było i pięknie, gdyby można prowadzić się wzajemnie, jak najbliżej nieba, jak najdalej piekła, a jednak — po ziemi!—

Ów podkład drobnych a ciągle czynnych uczuć w duszy kobiety jest dla niej cechą wysoce charakterystyczną; ale jak wspomniałem, uczuciową jeszcze kobieta przez to nie jest — to tylko grunt dla uczuć, grunt, który jednak odciska swe piętno i na prawdziwych, silnych uczuciach. Nazywamy go pospolicie usposobieniem. Dzięki zaś równobarwnemu składowi tego usposobienia może ono zmieniać się tak szybko, że najbystrzejszy spostrzegacz w głowę zachodzi: zkąd się co wzięło? — Dopiero co płakała, już się śmieje; dopiero co była rozpacz, już widzisz upojenie życiem; kaprys ustępuje miejsca uległości, t. j. drugiemu kaprysowi, a ten trzeciemu. Kobiety, których uczuciowość zatrzymała się na tym pierwszym stopniu rozwoju, należą do kategorji „nie wiedzących czego chcą“, a kategorja to niestety tak liczna, że dała powód do częstych deklamacyi na temat niezgłębionej tajemniczości niewieściej duszy. „Kobieta jest zawsze Sfinksem“ — powiadają ci krótkowidze, nie chcąc, czy nie mogąc dostrzedz, że tam, gdzie wyszukują nadzwyczajnych motywów, działają właśnie najprostsze.

Kobieta „nie wiedząca czego chce“ — chce szczęścia, tak jak każda inna; ale ponieważ w duszy jej mącą się najsprzeczniejsze drobne popędy—kaprysi, i to kaprysi sama przed sobą — chce mówić, a coś ją szarpie, żeby milczała; chce okazać życzliwość a tymczasem popęd daje nurka i wyrzuca na powierzchnię duszy tylko kilka baniek ironii; chce się modlić a po głowie zaczyna jej wirować arja z Pięknej Heleny.

Takie kobiety zwykle objawiają swą miłość dokuczaniem, którego potem żałują, albo znowu ni ztąd ni zowąd kokietują ludzi, dla których czują wzgardę. Jesteś dla niej czulszym — maltretuje cię, usuwasz się — drze chusteczkę ze złości. Nic jej zaś tak nie rozgniewa jak rozsądna pobłażliwość; nazwie cię tyranem, jeśli tylko poważysz się być dla niej wyrozumiałym, i—co zabawniejsze jeszcze—psycholog musi jej przyznać słuszność! Tak jest — uległość i wyrozumiałość są dla takiej istoty męczarnią. Ona bowiem nie zna uczuć prostych i jasnych; ile razy coś uczuje, tyle razy przez opozycję powstaje w niej obok tamtego uczucia inne przeciwne, które się waży z tamtem; jedno ciągnie w prawo, drugie w lewo; kto zaś zna stan niepewności, niezdecydowania, ten wie jak on jest przykrym, jak my wówczas błagamy każdej nowej budzącej się myśli, ażeby przeważyła szalę stanowczo na jedną lub drugą stronę, i jak nas może do wściekłości doprowadzić ten, kto z całą flegmą daje nam rady obosieczne. A kobieta „nie wiedząca czego chce“ — znajduje się stale w tym stanie: ona chce właśnie tego, żeby ją zmuszono chcieć jasno. Ale jak to mówią: zje djabła, kto tu miarę uchwyci! Będziesz prosił, żeby się uspokoiła a rozdrażniasz ją jeszcze bardziej — usuniesz się, a zobaczysz, że już jest zapóźno, bo już tymczasem wszystko się przewróciło podszewką do góry. Gdybyś był odrazu zamilkł i wyszedł, byłby ten czyn zaważył ciężarkiem na szali — ale ty zrobiłeś to wtedy, kiedy znowu lepiej było ulżyć ciężaru z tej strony, a z tamtej dodać kilka granów pieszczot! I trafiłeś jak kulą w płot.

Kobiety „nie wiedzące czego chcą“ należą do typów najbardziej określonych; mają one swoję historją, która się stale powtarza.

Na pensji „nie cierpiały“ jednych profesorów, ubóstwiały drugich, miały stopnie najlepsze z tych przedmiotów, nad któremi najmniej pracowały i zmieniały przyjaciółki jak rękawiczki, chociaż każda miała być dozgonną; przytem stanowczem ich postanowieniem było zostać aktorką albo zakonnicą. Wyszedłszy z pensji nie umiały nic dobrze, ale były tak dowcipne w towarzystwie, że młodzież zbiegała się do nich, jak ćmy do światła. Wolno im było upuszczać chustkę na to tylko, ażeby kilku adoratorów sunęło się za nią po posadzce — najzręczniejszego obdarzały złośliwym dowcipem. Później zakochały się na zabój w mężczyźnie, który ośmielił się z nich żartować i wcale nie myślał nadskakiwać, — a jeszcze później... To już rozmaicie: jedna została starą panną i co miesiąc zmienia służące; druga poszła za mąż i co tydzień urządza mężowi turniurę; trzecia pokochała naprawdę, stała się najuleglejszą z uległych i zaczęła wiedzieć czego chce—zresztą, jak Bóg dał.

O! dusza kobiety ma swoje falbany i zakładki... Szczęśliwy, kto je umie prasować!

Ale źleby mnie zrozumiał a jeszcze gorzej rozumiałby życie ten, ktoby sądził, że cała uczuciowość kobiety ogranicza się do tego fantastycznego podkładu kaprysów. Tak źle nie jest.

Ktoś kiedyś powiedział, że:

Tyle tylko nieba jest na ziemi,
Ile go serce kobiety odbija...

I powiedział dobrze, bo niebo to poezja, poezja to uczucie, a uczucie to ten szlachetny nektar fantazji, który wysysamy z mlekiem matki, który promienieje w oczach kochanki, który w przededniu śmierci pozwala nam jeszcze

nie złorzeczyć życiu. Tęczowa mgła uroku nawiana na szarą przędzę życia z lepszych gdzieś światów! Gdyby nie ona — jakże martwym byłby łańcuch zdarzeń, jakże pustą i głuchą droga do mogiły! Wprawdzie nie żal byłoby umierać, ale i żyć by nie warto. A tak w tej cierniowej plątaninie potrzeb i interesów, w tej „walce wszystkich przeciw wszystkim“, jak mówił Hobbes, widzisz przynajmniej tu i owdzie błyski owej mgły tęczowej, albo nawet odczujesz po za nią złoty a palący promień wiekuistego słońca ideałów, gdy ci w sercu rozbudzi siłę i wiarę, gdy ci pozwoli zwracającemu kiedyś bladą twarz w przeszłość, powiedzieć:

I mnie kochano...

(*C d. n.*)

ŚPIEWAK.

W zamkowym ogrodzie
Wśród blasków księżyca,
Siedziała u boku
Śpiewaka — dziewica.

On pieśni magiczną
Czarował ją siłą;
Miłośnie się dziewczę
Do niego tuliło.

W około kwitł majem,
Tchnął wonią świat cały;
Jej lica przy licach
Śpiewaka pałały,

I w sercu jej było
Godowo a błogo —
W tem wietrzyk po liściach
Zaszumiał przestrogą:

O nie wiąż, dziewico,
Swej doli z śpiewakiem,
Niestałym motylem,
Wędrownym on ptakiem.

Napróżno go nęci
Cień lasu, woń róży —
Nad chwilkę mu nigdzie
Nie spocząć tu dłużej.

Jaskółcza tęsknica
Wciąż pędzi go dalej,
Obłokiem po niebie,
Delfinem po fali.

Zanuci — porzuci,
W świat pójdzie daleki,
Twój spokój zakłóci
Na wieki!!!...“

Tak wietrzyk szeleścił
Poważnie wsród liści —
Dziewczyno, ta wróżba
Się ziści!

Lecz takie są w pieśni
Uroki i czary,
Że dziewczę przestrodze
Nie chciało dać wiary,
Nieszczęsne!.. nie chciało
Dać wiary!

WŁADYSŁAWA.

TURECKI KOZAK.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

Gdym przyszedł do siebie — znalazłem się w jednej z owych podziemnych jam, które za mieszkanie Bulgarom służą, — w jednym z owych „ziemlikow,“ tworzących pod ziemią wsie całe, a których istnienie tylko dym buchający z górnego otworu i otaczające je pola kukurydzowe zdradzają.

Leżałem na macie. Na prawo i na lewo odemnie spoczywali pokotem towarzysze niedoli, którzy z wytężeniem sił ostatnich przeszedłszy granicę, teraz złamani boleścią i nadmiernym trudem, we śnie znajdowali chwilkę zapomnienia.

Doktór nasz siedział w kącie, ze skrzyżowanemi na podłodze nogami i głową z wyrazem głębokiej żałości na rękach wspartą. Płakał, biedny! Zostały po nim w domu drobna dziatwa i żona, — myślał widocznie o nich i zamykał oczy, wzdrygając się za każdem spojrzeniem w przyszłość.

Śledząc dalej spojrzeniem odkrytem wreszcie i mego Ferenza, barczystego, tęgiego chłopca, który mi w czasie całej kampanji towarzyszył, a i teraz nie chciał się ze mną rozłączyć. Było to dziecko ubogich ludzi, z majątku mego ojca — a przełożyło wygnanie wraz ze mną nad powrót do rodzinnej wioski. Honwedzi przezywali Ferenza zawsze „Garbusem“—głowa bowiem jego sterczała między dwojgiem potężnych, silnie zaokrąglonych barków. Było to straszydło szpetności, rodzaj Quasimoda, ale najwierniejsza pod słońcem dusza, z psiem przywiązaniem dążąca w moje ślady.

Widok jego przyniósł mi niejaką ulgę. Podniosłem się. Ferenz przyczołgał się do mnie, pragnąc odczytać mi z twarzy, czego sobie życzę.

— Biedny Panie — ozwał się, ocierając łzy — źle się będzie tu z nami działo, traktują nas jak trędowatych. Ale pocieszmy się, każdy dół ma dno.

Wyciągnąłem do niego rękę. Pochwycił ją, przycisnął do grubych warg swoich i wykrzywił twarz do przyjaźnego uśmiechu.

— Ferenz — ozwałem się do niego, przyciągnąwszy go do siebie bliżej. Dzięki Bogu, że jesteś przy mnie. Możesz mi wyświadczyć bardzo ważną przysługę. Ale przedewszystkiem powiedz mi, gdzie jesteśmy? Czym długo był nieprzytomny?

Doktor siedzący w kącie usłyszał mój głos. Podniósł powoli głowę i spojrzał na mnie żałośnie.

— Obecnie odstawiają nas do fortecy Widdyńskiej — rzekł — a co potem, tego już nie wiem. Co do mnie, pozostałem przy was chorych, — tam zaś, na zewnątrz leży dwustu tureckich żandarmów, którzy nam mają towarzyszyć, jak tylko wy będziecie w stanie iść dalej.

— Co do mnie, gotów jestem w drogę — odrzekłem z westchnieniem. Czuję się już całkiem zdrowym.

— Sądzę więc, że o świcie wyruszymy. Spieszy mi się w drogę. Nic mi widocznie nie pozostało, tylko osiąść w Widdyniu jako doktór i ściągnąć tam żonę i dzieci, bo inaczej zgłodu by mi pomarły. Ktoby mi był przy kolebce taką czarną dolę wróżył — dodał z goryczą.

Żonę! Gdyby moje życzenia niegdyś się były spełniły, Erwina byłaby teraz także moją żoną i ona również mogłaby obecnie na wygnaniu mój smutny los podzielać. Jakież jednak obecnie mogłem mieć do niej prawo — i czyby jej pozwoliła rodzina iść w świat za banitą?!..

Podniosłem się z mego legowiska. Wprawdzie czułem jeszcze brak sił, alem nakazał sobie wytrwałość. Powoli i inni chorzy przychodzili do siebie. Bulgarscy wieśniacy przynieśli nam kilka misek mamałygi i kilka tykiew pełnych raki, bułgarskiej ulubionej wódki.

Od kilku dni nie mieliśmy nic prawie w ustach. Tak byliśmy osłabieni, żeśmy ledwo po parę kąsków spożyć mogli, ale raki wzmocniło nas, a żądza dojścia raz wreszcie do miejsca przeznaczenia dodała nam sił do udania się za resztą towarzyszy.

Około wieczora wziąłem z sobą Ferenza w pole. Dwaj zaptje, żandarmi, popatrzyli za nami nieufnie, mieli bowiem rozkaz odstawienia nas aż na miejsce.

Usiadłem pod drzewem, wezwawszy Ferenza, ażeby zajął miejsce przy mnie. Zdaje mi się, żeśmy płakali obydwaj.

— Tyś wolny, Ferenz — ozwałem się wreszcie, tyś szczęśliwy. Nikt ci nie może za to nic zrobić,ześ był moim sługą, a za wierność twoją, która cię aż tu za mną przywiodła — sąd nie ma żadnej kary. Internować cię nie mogą, bo nie nosiłeś broni. Składam całe szczęście moje, spokój mego serca, przyszłość moją całą w twoje ręce. Czy gotów jesteś dla mnie ciężką, daleką odbyć drogę?

— Gotów jestem, Panie!

Mówiąc to, Ferenz zawisł na ustach moich z takiem wytężeniem uwagi, iż szeroka, szpetna twarz jego naprężyła się cała.

— Wszakże ty pochodzisz ze krwi cygańskiej? — Ferenz. Przynajmniej o ile sobie przypominam, dosyć często ci to u nas domownicy wyrzucali. Tuśmy sami, możesz mi więc prawdę powiedzieć.

Ferenz widocznie czuł się dotkniętym w swej miłości własnej. Z niechętnym dąsem spuścił oczy w ziemię.

— Powiedz, Ferenz, powiedz prawdę!

— Tak, panie!

— Wybornie, Ferenz! To moje szczęście. Udasz się napowrót do kraju, do Pesztu, przyniesiesz mi ztamtąd wiadomości o losie mojego ojca i mojej narzeczonej. Najlepiej zaś udać ci się to może, jeżeli się pomiędzy ludzi swej rasy wmięszasz i w ich towarzystwie, niepoznany, rozejrzysz się w Peszcie, — inaczej bowiem mógłbyś obudzić podejrzenie. Zrobisz to?

Ferenz kiwnął milcząco ogromną, wełnistą głową. Szczególny wyraz przytem zarysował się w kątkach jego wydatnych, bezwąsych ust. Zadumany spoglądał długo w ziemię.

— Nie nosisz uniformu honwedów, nie znajdujesz się na liście internowanych, jesteś więc wolny i możesz iść, gdzie ci się podoba, — nikt ci nie stanie na drodze.

— Tak... tak... Nikt na mnie tu nie zwracał uwagi. Uważano mnie widocznie za cygana.

— To wybornie, Ferenz! Wybierzesz się więc już dziś wieczór w drogę. Wiesz dobrze, dlaczego mi tak spieszno; wiesz, że już bardzo dawno nic nie wiem o moich. Idź więc. Wmięszaj się do jednego z cygańskich obozów, na których tu naokół nie zbywa i postaraj się przy ich pomocy przez granicę przedostać. Znasz przecież drogi, któremi w czasie kampanii chodziliśmy.

— Po ciemku bym je odnalazł. A choćbym zresztą i pobłądził, moi ludzie mi pomogą. Cóż mam właściwie zrobić?

Udzieliwszy Ferenzowi instrukcji, dałem mu pieniędzy, nieznaczną resztę całej naszej gotówki. Ferenz gwałtem zmusił mnie do odebrania z tego napowrót połowy.

— Cyganowi nie potrzeba pieniędzy — rzekł — zdarzyć się jednak może, że dla Niej będę czegoś potrzebował i na to biorę połowę. Zresztą nikt nie powinien wiedzieć, że mam przy sobie pieniądze.

Ferenz ze sprytem, właściwym jego plemieniu, miał już plan gotowy. Widziałem to z jego przebiegłej miny.

Nie wręczyłem mu nic pisanego, bo mogliby to przy nim znaleźć. Wbiłem mu w głowę dokładnie wszystko, co narzeczonej mojej miał powiedzieć. Żeby mógł znaleźć ojca, tego się nie mogłem spodziewać, poleciłem mu jednak wywiedzieć się, gdzie się schronił, jeżeli mu się w ogólności uciec powiodło.

Nie miałem najmniejszej obawy co do udania misji Ferenza. Wprawdzie znanym był ogólnie jako mój sługa i zjawienie się jego aż nadto mogło zwrócić uwagę — ale nikt nie mógł mu nic zarzucić — a przy sprycie jego, przy kocim chodzie, który mimo swych olbrzymich barków posiadał, nie mogło mu być trudno ukryć się przed okiem władz, pomimo całej bystrości ich nadzoru.

Zacny chłopak każde słowo wbijał sobie w pamięć. Widziałem, jak grube wargi jego niedosłyszalnym szeptem powtarzały każdy wyraz wypowiedziany przezemnie.

Ze zapadnięciem nocy Ferenz pożegnał mnie i niepostrzeżony przemknął się pomiędzy płotami pól kukurydzianych.

Lżéj mi się zrobiło, gdy mi już całkiem zniknął z oczu. Teraz mogłem już liczyć dnie oddzielające mnie od jego powrotu z wieściami. Przynajmniej miałem pewność dowiedzenia się wreszcie, co się istotnie w nieszczęśliwej ojczyźnie dzieje. Wszelka wieść milszą mi się wydawała od obecnej pełnej mroków nieświadomości.

Zubożałem, jak mysz kościelna. Dobra mego ojca niechybnie zostały skonfiskowane; gotówka dawno wyczerpała się na niezliczone ofiary dla sprawy narodowej, o czem wybornie wiedziałem. Zostawało mi więc tylko zaciągnąć się w służbę wojskową turecką pomimo pewnego wstrętu, który ten zamiar budził we mnie.

Ale Erwina! Myśl o niej jednej godziny nie dawała mi spokoju. W pośród dzikiego wojennego życia dusza moja zajmowała się wciąż nią tylko; boleśnemi, palącemi stały się moje myśli w tym względzie, gdy los wojny nas nareszcie jak spłoszone stado w nużących, ledwo do zniesienia marszach, tu i tam pędzić począł; a już w Siedmiogrodzie rzadkie wiadomości od niej miałem, i całkiem je straciłem, gdy armja honwedów swój ostatni śmiertelny staczała bój. Wszystko to jednak było niczem wobec teraźniejszości. Wtedym stał jeszcze na ojczystej ziemi!

Erwina była teraz narzeczoną wygnanego oficera honwedów, którego ojciec do przewódców rewolucji należał! Cóż się z nią stało? Czy zachowała dla mnie dawną miłość? Smuciła się za mną? Tęskniż do mnie? I jakież losy przypadły jej w udziele?

Wszystko to miał mi Ferenz powiedzieć. Miał przynieść mi od niej wieści, miał jej oznajmić, jakie są moje plany. Postanowiłem czekać z rozdartem sercem, z głową skołataną i pustą. Jedno tylko czułem jasno: że znajdę środki i drogi do opuszczenia Bułgarji, dostania się jako zbieg polityczny do innego gościnnego kraju i połączenia się z nią tam nareszcie.

O tem wiedziała, żem zubożał, i że na szablę wierną tylko liczyć mogę, którą w tak ciężkiej służbie nauczyłem się nosić. Ona była bogatą. Alem ja nie pragnął z jej bogactwa niczego, pragnąłem tylko jej posiadania, któreby mnie najbogatszym i najdumniejszym z ludzi było uczyniło.



(Na stronicy 114).

Ale na cóż się tu zdały wszystkie plany. Najprzód Ferenz niechaj powróci — a do tego czasu potrzeba cierpliwości i wytrwałości, którą musiałem i spodziewałem się zdobyć, posiłkowany miłością dla Erwiny.

Nazajutrz rano odprowadzono nas do fortecy Widyńskiej. Tutaj zeszedłem się znowu z mymi towarzyszami nieszczęścia—obranymi z wszelkich środków do życia i skazanymi jałmużnę, a i tej nawet skąpo dawano.

Bem nasz stary sędziwy Generał przeszedł tu już na islamizm. I inni poszli za jego przykładem, większość jednak pozostała niezłomną w Ojców wierze.

(*C. d. n.*)

POMNIK ARTURA GROTTGERA

NA CMENTARZU ŁYCZAKOWSKIM.

Dnia 13. grudnia r. z. ubiegło dziesięć lat od śmierci nieodżałowanego Artura Grottgera, który w nieśmiertelnych kartonach Polonji i Lituaniki wyśpiewał bole i nadzieje naszego narodu. Rozpoczynając na nowo wydawnictwo Strzechy pragnęliśmy uczcić dziesięciolecie tej straty wspomnieniem, i dlatego to podajemy tutaj rycinę pomnika, który prywatnym funduszem wystawionym został trzy lat temu na cmentarzu łyczakowskim. Pomysł do tego pomnika rzucił kolega i przyjaciel Grottgera ś. p. Parys Filippi, którego przedwczesną dla sztuki polskiej stratę opłakiwać musimy. Żałować należy, iż stosunki i zdrowie nie pozwoliły Filippiemu wykonać pomysłu swego własnoręcznie. Zastąpić go musiał p. Abel Perier, Francuz tutaj osiadły, który dłuższy czas zajętym był w pracowni Filippiego, i który, jakkolwiek wykonaniem nie wyraził może zupełnie intencje autora, jednakże starał się wniknąć w myśli jego tak, iż wykończony pomnik ten zaliczać się może do najpiękniejszych ozdób naszego cmentarza.

Nagrobek ten jak powiedzieliśmy, został wystawiony prywatnym funduszem, i jest pamiątką, którą przyjaźń pragnęła uświęcić mogiłę naszego genjalnego artysty. Należy się więc wdzięczność osobom, które w ten sposób uczciły pamięć umarłego. Na pomnik publicznej wdzięczności, jakie Polska winna temu, który ołówkiem wyśpiewał jej bole i nadzieje prawdobodobnie już niedługo czekać będziemy musieli, gdyż komitet odnośny zajmuje się tem nader gorliwie, ażeby jeszcze w tym roku monument stanął na miejscu swego przeznaczenia.

EPIZOD

Z POCZĄTKU PANOWANIA WIKTORA EMANUELA II.

(Dokończenie.)

Największej wziętości w tej partji używał jenerał Romarino, znany z polskiej kampanji i którego nieposłuszeństwo, śmiało powiedzieć można, zadało ostateczny cios powstaniu 1831 roku.

— Jenerale, rzekł razu jednego król do Chrzanowskiego, ze wszystkich stron żądają odemnie, żebym dał dowództwo dywizji lombardzkich ochotników Romarinie. Ty znasz go lepiej odemnie z polskiej kampanji, powiedz mi, jaki to człowiek i jakich zdolności wojskowych.

— Królu odpowiedział Chrzanowski, comme général c'est perr de chose, comme l'homme ce n'est rien. Słynął on zawsze z hulaszczego, lekkiego życia i karciarstwa.

— Jeżeli tak, to ja mu nie dam żadnego dowództwa.

A jednak król nie dotrzymał słowa, bo w kilka dni potem, ulegając namowom i prośbom, podpisał nominację Romariny na dowódcę dywizji.

Dla dokładnego zrozumienia tego co zaszło następnie i co tak stanowczo wpłynęło na losy Włoch i króla, należy powiedzieć słów kilka o stanowiskach, które zajmowały obie wojujące armje względem siebie w Marcu 1848 roku. Rzeka Ticzino oddzielała Piemontczyków od Austrjaków, wzdłuż tej rzeki, frontem ku niej, stały dywizje włoskie, gotując się do przejścia przez nią przez most u Bufalory. Prawe skrzydło ich było przykryte rzeką Po. Za tą ostatnią stała dywizja Lamarmory obserwując znajdującą się tam część austrjackich wojsk. Na prawym skrzydle, w doskonałej pozycji około Kara, naprzeciwko Pawii postawiono dywizję Romariny, składająca się z lombardzkich ochotników. Dowódcy tej dywizji dano następujący rozkaz: „Pilnie obserwować nieprzyjaciela znajdującego się w Pawii, powstrzymać o ile można dłużej atak jego z tej strony, a gdyby był napastowany zbyt przeważnemi siłami, uwia-

domić o tem głównodowodzącego i odstąpić ku Mortarze, gdzie znajdowała się dywizja ks. Sabaudzkiego. W tym ostatnim razie nakazano Romarynie zniszczyć most prowadzący na prawą stronę Padu pod Mezzana — Corte".

Radecki czując jakie mu grozi niebezpieczeństwo, jeżeli Piemontczycy przejdą do Lombardji i na tyłach jego wzniecą powstanie ludowe, zebrał wszystkie swe siły postanowił, korzystając z mostu w Pawii i przejść w tem miejscu na prawą stronę Ticzino i atakować Piemontczyków na ich własnej ziemi, sprawiedliwie rachując, że po zadaniu klęski głównym siłom, powstanie, które może wybuchnąć w Lombardji, zgaśnie samo przez się.

W chwili gdy się skończyło zawieszenie broni i armja Pjemoncka zaczęła przechodzić przez Ticzino około Bufalory, Radecki nakazał wojskom przeprawę około Pawii.

Romarino zamiast tego żeby zająwszy pozycję korzystną, powstrzymać Austrjaków i dać czas głównodowodzącemu zrobić odpowiednie do tego ruchu rozporządzenia, przeszedł za rzekę Pad, zostawiwszy tylko dwa bataljony w Kava i w Zerbolo dla obserwacji nieprzyjaciela. Jeden z nich odcięty rzucił się ku głównym siłom, drugi zaś, postawiony około Kara, pomimo słabości swojej dwie godziny powstrzymywał przeprawę Austrjaków, a nareszcie widząc niemożność dłuższego opierania się, odstąpił ku Mezzana-Corte. Wtedy Romarino postąpił wbrew przeciwnie do otrzymanej instrukcji, bo zamiast tego żeby zrejterować się ku głównym siłom w okolicę Mortary, ściągnął całą dywizję na prawą stronę Padu i zniszczył za sobą most pod Mezzana-Corte. W ten sposób nie tylko dywizja La Marmory, ale i jego własna zostały odcięte zupełnie od głównych sił. Spokojny że go Austrjacy zaatakować nie mogą, Romarino pojechał na objad do Stradelli i tylko wieczorem, przypomniawszy sobie, że potrzeba uwiadomić o tym ruchu Chrzanowskiego, posłał ordynansa z raportem.

Radecki był niezmiernie uradowany nie spotkawszy prawie żadnych trudności przy przeprawie i dowiedziawszy się, że ruchem swym przeciął piemoncką armję na dwie części, z której jedna, mniejsza już nie mogła przyjąć nawet żadnego udziału w dalszych wojennych operacjach. Tak więc bez boju Piemontczycy stracili więcej jak 12 tys. piechoty, 400 kawalerji i 24 działa.

Skutkiem niczem nieusprawiedliwionego postępku Romariny, armja włoska została niespodzianie zaatakowana pod Mortarą i poniosła klęskę. Następna bitwa pod Nowarą była także nieszczęśliwą dla Włochów. Król Karol Albert, widząc upadek ducha armii, widząc że wszystko stracone, rzucał się w największy ogień i wstrzymującym go jenerałom odpowiadał, lasciate mi morire, lecz kule szczędziły tego nieszczęśliwego bohatera walki Włoch z najazdem. Zaraz po bitwie widząc konieczność zawarcia pokoju na jakichkolwiekbądź warunkach, król zawezwał jenerałów i dzieci swoich i rzekł: „poświęciłem się dla sprawy włoskiej, do niej ofiarowałem życie swoje i życie mych dzieci. Nie dopiąłem celu! Pojmuję, że będę tylko przeszkodą dla zawarcia pokoju, który jest pożądany i konieczny, a wreszcie nie będę miał odwagi podpisać go. Nie mogąc znaleść śmierci, której szukałem na polu bitwy, zrobię ostatnią ofiarę dla kraju mego. Składam koronę na korzyść syna mego księcia Sabaudji".

Ani prośby, ani namowy otaczających, nie mogły go zmusić do odwołania postanowienia. W godzinę potem porzucił Nowarę i nie pożegnawszy się nawet z rodziną, wyjechał do Portugalii. Przed odjazdem na dobrowolne wygnanie, w Nicei rzekł do przeprowadzającego go Santa-Rozy „jeżeli Włochy zaczną nową walkę z Austrją, możecie liczyć, że się stawię jak prosty żołnierz, żeby walczyć z odwiecznym wrogiem naszym".

Nie doczekał tego wygnaniec, gdyż umarł w Oporto 28. Czerwca 1849 roku.

Pokój z Austrjakami zawarł Wiktor Emanuel II pod dość ciężkiemi warunkami. Lecz innego wyjścia nie było.

Po wojnie nastąpił rachunek ze sprawcą niepowodzenia. Romarino, ten jeniusz i bożyszcze demagogów, został uwięziony i oddany pod sąd wojskowy. Można sobie wyobrazić, w jakim strachu i kłopocie była partja, która go tak mocno protegowała przed poczęciem wojny, żeby nie wydał zamiarów, rozmów i rezolucyi komitetowych; jak przykro było wszystkim, że włoski jenerał może być sądzonym za nieposłuszeństwo, które w tym wypadku można było uważać za zdradę. To też wkrótce zaczęły szerzyć się wieści, że wszystkiemu winien główny szef sztabu jenerał Chrzanowski zaniedbaniem dania stosownych instrukcyi, wskazówek i rozkazów. Włochom przyjemniej było obwinić cudzoziemca o ten haniebny występek, jak swego rodaka. Chrzanowskiego wezwano do sądu dla tłumaczenia się.

— Dlaczego pan niedałeś odpowiednich instrukcyi jenerałowi Romarino? zapytał go przewodniczący.

— Instrukcje szczegółowe wysłałem do jenerała za pośrednictwem polnej poczty.

— Czym pan dowiedziesz twierdzenie swoje, gdyż w dywizji jen. Romariny nie otrzymano rozkazów pańskich.

— Dowiodę książkami. O to jest księga, w której zapisywano w sztabie moim wszelkie rozporządzenia, wysłane z głównej kwatery dowódców oddzielnych części. Z zawartości rozkazu posłanego jenerałowi Romarino przekonacie się, jak wszystko było przewidziane i jak szczegółowe dałem mu wskazówki.

— Jednak on nie otrzymał rozkazu pańskiego, musiano zapomnieć wysłać mu go.

— Przepraszam państwa, oto jest dziennik pocztowy w którym oznaczono iż przyjęto wspomnianą depeszę do doręczenia szefowi lombardzkiej dywizji.

— Musiała więc zatracić się w drodze, bo dywizja nie otrzymała rozkazów pańskich.

— I to jest mylne, bo w tej oto księdze, gdzie adjutanci wpisywali wchodzące raporta od wojsk, zanotowano doniesienie jenerała Romariny, iż otrzymał depeszę moją i zastosuje się do zawartych w niej rozkazów.

Przyjaciele Romariny, chcąc go ratować, poniszczyli depesze otrzymywane z głównej kwatery i byli pewni, że tym sposobem zatrą wszystkie ślady i uratują go. Nikomu na myśl nie przyszło, że Chrzanowski taki ścisły porządek zaprowadził w sztabie swoim i że ma kopje wszystkich rozkazów i doniesień, bo tego poprzednio nie było nigdy we włoskiej armii. Porządek ten, do którego przywykł służąc w sztabie armii rossyjskiej w kampanii 1828 roku przeciwko Turcji, uratował Chrzanowskiego od infamii, a może być i śmierci.

Przepraszając go sędziowie uwolnili od wszelkich zarzutów, a król ofiarował mu dowództwo w swojej armii. Lecz doznawszy takiej niewdzięczności i takiego ciężkiego obwinienia Chrzanowski nie przyjął propozycji, lecz prosił o uwolnienie go ze służby. Przychylając się do jego prośby król przysłał mu dymisję, a zarazem podarunek w kwocie 50 tys. franków. Chrzanowski przyjął dymisję i podziękę króla za służbę, lecz nie przyjął podarunku i doczekawszy procesu Romariny, wyjechał z Turynu do Paryża.

Wszystkie szczegóły procesu tego słyszałem od niego i od jenerała Fanti, który po usunięciu Romariny od dowództwa został mianowany szefem lombardzkiej dywizji na polu bitwy, zaraz na drugi dzień po otrzymaniu doniesienia o przejściu Austryaków przez Ticzino około Pawii.

Zeznania Chrzanowskiego stanowczo potępiły Romarinę. W postępku jego nie można było upatrywać nieposłuszeństwa, a obwiniony nie mógł nic poważnego przytoczyć na uniewinnienie swoje. Sądzono więc go za zdradę i skazano na śmierć.

Obawiając się żeby skazany, chcąc ratować się, nie wplątał wiele osób zajmujących wysokie stanowisko i żeby nie wyjawił tego, co potrzebnem było utaić na zawsze, uwiadomiono uwięzionego, że przyjaciele jego pracują i mają nadzieję odzyskać od młodego króla amnestję. Przedewszystkiem upraszano go nie robić żadnych zeznań mogących skompromitować kogokolwiek, bo mógłby siebie pozbawić obrońców, którzy wszelkich wpływów użyją dla uratowania go.

I w samej rzeczy nie szczędzono próśb i nalegań. Lecz wina była zbyt jawna, klęska zadana krajowi zbyt świeża, żeby młody król mógł odważyć się miłosierdziem okazać słabość swoją. Wiktor Emanuel II odmówił prośbom i zabronił wspominać sobie o winowajcy. Wszelka nadzieja uratowania go była stracona. Ale jak powstrzymać skazanego i niewidzącego ratunku od zeznań, które mogły zmniejszyć winę jego i karę, wplątując w sprawę wiele ludzi wpływowych i świetne zajmujących stanowisko?!

Użyto bardzo dowcipnego wybiegu.

Uwiadomiono Romarinę, że król zgadza się na ułaskawienie, lecz żąda żeby całe decorum było zachowane, że go wyprowadzą na plac egzekucji, a gdy już oczy będzie miał zawiązane, odczytają dekret królewski ułaskawiający go. Romarino uwierzył i gotował się spokojnie do mającej odbyć się komedji; śmiał się, żartował i mówił z lekceważeniem o śmierci, która mu groziła.

Nareszcie nastąpił dzień fatalny. Skazanego przywieziono na plac egzekucji i odczytano mu dekret za nieposłuszeństwo i zdradę skazujący go na śmierć. Romarino wysłuchał go spokojnie, będąc pewny, że za chwilę będzie swobodny. Gdy przystąpiono do zawiązania oczu, prosił dowodzącego egzekucją jenerała o pozwolenie przemówienia do wojska i do przytomnych. Dowodzący zezwolił. Wtedy to Romarino w przygotowanej w więzieniu napuszonej mowie wzywał żołnierzy wiernie służyć nowemu królowi, wyraził żal za swój postępek i nareszcie kończąc krzyknął: „Viva Italia“. Potem zawiązano mu oczy. Oficer dowodzący plutonem strzelców skinął chustką, rozległo się dwanaście strzałów, a echo odpowiedziało: „nie żyje“. Spółwinowajcy odetchnęli spokojnie.

Imie jenerała Romariny znane jest nam Polakom z pamiętnej kampanii polskiej 1831 roku, w końcu której dowodził korpusem w południowo-wschodniej części królestwa. Wtedy gdy Paszkiewicz przeszedłszy Wisłę stanął pod Warszawą, głównodowodzący armją polską wysłał do Romariny przez hr. Rzewuskiego rozkaz, aby natychmiast szedł ku Warszawie. Gdyby Romarino połączył się z armją broniącą Warszawy Paszkiewicz mógł być zgniecionym, jak przyznaje hr. Toll szef sztabu jego, bo liczebnie słabszymi byli Moskale. Prądzyński, jeden z najzdolniejszych polskich jenerałów, był wtedy w obozie Romariny i wskazywał, jakie ważne w swych skutkach następstwa może pociągnąć za sobą nieposłuszeństwo rozkazowi, a jednak Romarino nieusłuchał go i niepozwolił nawet kapitanowi Kowalskiemu, który przywiózł powtórny rozkaz z głównej armii zakomunikować go oficerom drugiego korpusu, których instynkt ciągnął do połączenia się z główną armją.

Nieposłuszeństwo Romariny, który wobec tak wyraźnego rozkazu udał się ku Terespolowi a następnie przeszedłszy austrjacką granicę złożył broń, zwichnęło całą kampanję 1831 r. i zgubiło Polskę.

Nieposłuszeństwa tego niepodobna objaśnić ani luźnością rozpraszającą sprężystość naczelnego dowództwa

i karności w wojsku, ani opłakanym ówczesnym stanem rzeczy, ani życzeniem korpusu, bo właśnie korpus tego sobie życzył, czego Romarino spełnić nie chciał.

Po upadku powstania posypały się obwinienia na jenerała Romarino, któremu zarzucono zdradę. Lecz nigdy żadnem objaśnieniem od roku 1831 do 1849 jenerał nie chciał usunąć ciężących na nim zarzutów, a zarzuty były ciężkie, bo tyczyły się honoru, to jest tego, co najwięcej powinno obchodzić każdego uczciwego człowieka.

Czy zdradził Romarino w polskiej kampanii jak potem zdradził we włoskiej, do dziś zostaje pytaniem nierozwiązanem.

Jesteśmy zbyt dalecy od zwyczaju, niestety tak powszechnego, obwiniać o zdradę ludzi, którzy mieli nieszczęście popełnić jakąś polityczną omyłkę, lub przegrać bitwę. Lecz względem jenerała Romariny ważne okoliczności dają prawo powątpiewania o uczciwem postępowaniu tego cudzoziemca.

Małej liczbie wiadomy jest ten dokument, który odkryliśmy w tajnych archiwach moskiewskiego jeneralnego sztabu. Pracując niegdyś w tych archiwach, natrafiliśmy niespodzianie na dwa papiery pisane szyframi, z moskiewskiego głównego sztabu do jenerałów Rydigera i barona Rozena. Zaciekawieni wzięliśmy się do odczytania tych depesz i dzięki wprawie, którą posiadaliśmy w owym czasie, bardzo prędko dowiedzieliśmy się o ich treści. Dokument ten zdał się nam tak ważnym, że niedowierzaliśmy własnej robocie, sądząc że może przypadkowe zestawienie szyfr zmieniło myśl. Ale traf pozwolił nam w tychże papierach odkryć drugi dokument, krótką notatkę hr. Tolla, szefa sztabu Paszkiewicza, pisany własną jego ręką. Notatka ta była nawet dosłownem powtórzeniem zdeszyfrowanej przez nas depeszy i jawnie służyła adjunktom, pracującym w sztabie, do jej ułożenia. Oto są te dokumenta w tłómaczeniu:

„Charakter i prywatne życie Romariny pozwala wnosić, iż można go przekupić. Proszę więc Waszą Excellencję w mogących nadarzyć się sekretnych porozumieniach zaproponować mu znaczną sumę pieniędzy, jeżeli zgodzi się złożyć broń przed nami, lub z korpusem przejdzie do Galicji, gdzie będzie rozbrojony. Proszę Waszą Excellencję uwiadomić mnie natychmiast o następstwach tego uwiadomienia“. Jenerał adjutant Toll. Notatka zaś Tolla różni się od tej depeszy tylko tem, że dodano „można mu obiecać dwadzieścia tysięcy rubli“, reszta zaś to samo, co w powyższej depeszy.

W odpowiedzi na tę depeszę Rydiger odpisuje, już nie cyframi, następnie: W skutek depeszy Waszej Excellencji z d. N (tego samego, który przytoczyliśmy), mam zaszczyt donieść, że 29. sierpnia korpus Romarino przeszedł granicę Galicji i dziś jest już rozbrojony. Jenerał Rydiger.

Depesza ta nic nie mówi, w skutek czego Romarino przeszedł do Galicji; lecz z zestawienia tylu okoliczności razem czyż nie daje nam prawa do bardzo silnego posądzenia go o zdradę za pieniądze. Wszakże on spełnił to, czego tak Moskale pragnęli, a Moskale tak dobrze umieją korzystać z „charakterów“ indywidualnych.

Dr. J. Stella-Sawicki.

POGADANKA.

Czy znasz ty lwowskie zapusty? — My tu się same bawimo! — Odczyty we Lwowie, i w Warszawie. Krytyka ab invisis. — Towarzystwo przyrodników. — Szkoła. — Obrazki geograficzne Lucjana Tatomira. — Niemcy o p. Sadowskim, i o p. dr. Leonie Bilińskim. — Najnowsze prace dr. Ksawerego Liskiego w języku duńskim. — Wiadomości artystyczne. — Album muzyczne na cześć Kraszewskiego. — Stara Baśń, Kaliszanie i Garwolanie. — Komisja konkursowa imienia Aleksandra Fredry.

Po dziewięciodniowej przerwie, spowodowanej żałobą po zmarłym papieżu, ś. p. Piusie IX., rzucił się Lwów ponownie w wir zabaw karnawałowych, i to z takim zapałem, jak gdyby odzyskanie straconego czasu było nieodzownym warunkiem jego szczęśliwości.

Sit sibi!... Nie należę wcale do rzędu owych zgryźliwych moralistów, którzy, gdy im śnieg włosy przypruszy, lub gdy im budżet ich nie pozwala brać w zabawach udziału, piorunują przeciwko obcej ochocie, podsuwając oburzenin swemu, które jest tylko wynikiem zazdrości, pobudki mniej lub więcej filozoficzne i moralne. Owszem karnawałowe Credo moje jest nadzwyczaj liberalnem, tak liberalnem, że przekraczając zakres niniejszych Pogadanek, do którego referaty kotyljona wcale nie natężają, postanowiłem wystąpić dziś w roli karnawałowego kaznodziei, to zaś wskutek kilku listów, których autorowie i autorki domagają się, bym stanął w obronie praw ich do zabawy, srodze pokrzywdzonych na ostatnich balach i piknikach przez pewne kółko, które nazwawszy się "towarzystwem," uważa resztę świata za „nie-towarzystwo“ a lekceważenie jego za rzecz dobrego tonu.

A więc zaczynam!

„Najmilsi moi w Księciu Karnawale bracia, i najmilsze mi chociażby nawet i w Popielcu siostry!... Słuszne żałoby wasze doszły mojego ojcowskiego ucha, i serce me ojcowskie

niezmierną zostało napełnionem boleścią!... Umiem to ocenić, jak przykrem musi być uczucie, którego się doznaje wtedy, gdy się zostanie odsuniętym od owego błogosławionego stołu, po którego prawicy siadają książęta, a po którego lewicy siadają hrabiowie, zwłaszcza jeżeli się to stanie na pikniku, gdzie się właśnie tyle zapłaciło, co każdy z Jaśnie Wielmożnych lub Jaśnie Oświeconych!... Ach tak! Niezawodnie! Macie słuszność!.. Wartoż to sprowadzić sobie suknię z Paryża lub Wrocławia na to, aby nam hrabianka X. lub Y., która nawiasem mówiąc tarlatany swe u Jakubka na Krakowskiem kupiła, nie podała ręki w mazurze?... Ach, tak! Niezawodnie! Umiem to wszystko odczuć i ocenić!... Są to rzeczy wielce bolesne, lecz cóż ja biedny mogę począć w Waszej obronie?...

„Mamże wystąpić jako kaznodzieja i wezwać grzeszników do skruchy?... Mamże im powiedzieć, że na pikniku jest każdy za swe trzy grosze Radziwiłem?... Mamże im to tłumaczyć, że pretensje ich do dobrego tonu są tylko urojeniem albowiem uprzejmość pierwszą jest cechą dobrego wychowania?... Mamże wystąpić przeciw nim z herbarzem w ręku i wykazać im, że arystokratyczne ich roszczenia są śmiesznemi, — że o przodkach ich nie tylko w Paprockim i Niesieckim, ale nawet i w Bobrowiczu wzmianki nie masz?... Mamże się odzywać do ich serca? Mamże przemawiać do ich głowy?... Ach byłoby to tylko rzucaniem grochu o ścianę! Ażaliż nie są serca ich zepsute, skoro przykrość komuś wyrządzona sprawia im uciechę? Ażaliż mógłbym trafić im do rozumu, skoro im do głowy zajechała jakaś kastowa buta, jak fura siana do ciasnej karczemki?...

„Zatem dziateczki moje, jedną Wam tylko radę dać mogę: unikajcie miejsc tych, kędy drażliwość Wasza narażoną jest na nieprzyjemne kolizje!... Jeżeli sobie tamci panowie powiedzieli: „My tu się same będziemo bawili!“ to zostawcie ich, niechaj się bawią „same“... Wy zaś najmilsi bawcie się także sami między sobą: walcujcie, polkujcie, wybijajcie hołubca, ile Wam się podoba!... Przytem niezapożyczajcie się na zabawy i na stroje, — nie pijcie wody, gdy się zgrzejecie, — nie jedźcie zbyt wiele truflowych pasztetów i nie szampanujcie nad miarę, albowiem lwowski szampan jest marnością i kwasem, a imię jego jest... Waidlinger i zgaga! Wierzajcie mi dziatki moje, czyńcie tak, a będziecie się bawić dobrze, i unikniecie szwanku na zdrowiu, na pularesie i na honorze, czego Wam daj Boże, Amen.“

Pomimo tych kwasów, które we Lwowie niemal każdy karnawał wyradza, a na których radykalne wyleczenie powyższą receptę zalecam, bawi się nasza stolica zapamiętale, to jest o tyle, o ile się Lwowianie bawić umieją, i zabawa we Lwowie zabawną być może. Natomiast nie znalazły odczyty tegoroczne zasłużonego powodzenia, jakkolwiek dobór treści i nazwiska prelegentów znane już z lat dawniejszych, powinneby były obudzić żywsze zajęcie u naszej publiczności. Ale tak to u nas zwykle bywa, Lwowianin bowiem ma w sobie coś z dziecka, i zniechęca się równie prędko do wszystkiego, jak prędko się do wszystkiego, częstokroć nawet bez powodu, zapala. Inaczej ma się rzecz w poważnej Warszawie, gdzie już nie chwilowa moda, lecz zamiłowanie publiczności w rzeczach naukowych zgromadza na odczyty tysiące słuchaczów. Zapowiedziany tam obecnie szereg nowych prelekcji, z których dochód przeznaczony jest na korzyść osad rolnych, instytucji w tej chwili w Królestwie najpopularniejszej, znajdzie tam z pewnością i w roku bieżącym zwykłe powodzenie. Pomiędzy prelegentami, mającymi wziąść udział w tym szeregu odczytów, wymieniają profesora Stanisława Tarnowskiego z Krakowa, który dotychczas nie oznaczył przedmiotu swej prelekcji, tudzież petersburskiego adwokata dra Włodzimierza Spasowicza, który mówić będzie: „O Wincentym Polu i jego dziełach.“ Przy tej sposobności nie mogę tu przemilczeć mego zdziwienia z powodu uwagi, którą tak sumienny w swych literackich zapiskach „Dziennik polski“ ilustruje wiadomość o tym odczycie, a która na proroctwo zakrawa. Można się niezgadzać z politycznemi zapatrywaniami p. Spasowicza, ale trudno mu odmawiać sumienności i genjalnych krytycznych poglądów, a zwłaszcza już wyrokować o rzeczy, która dotychczas jeszcze światła dziennego nie widziała.

Doroczne walne zgromadzenie Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika odbyło się d. 19. b. m. przy licznym udziale członków, w liczbie których widziano hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego honorowego członka tego towarzystwa. Po zagajającej przemowie prezesa Towarzystwa profesora Radziszewskiego i sprawozdaniu z całorocznej działalności, złożonym przez sekretarza Tow. prof. Fabiana przedłożył prof. Solecki jako skarbnik bilans przychodu i rozchodu, który się nad wszelkie oczekiwanie okazał pomyślnym, albowiem po opłaceniu kosztów Wydawnictwa Kosmosu organu Towarzystwa pozostała jeszcze nadwyżka, co się naszym stowarzyszeniom, poświęcającym się uprawie nauk specjalnych nie często przytrafia.

Następnie zabrał głos dr. Juljan Ochorowicz, mówiąc „o pojęciu organizmu“ na podstawie badań Claude Bernarda i rezultatów nowoczesnej nauki. Krótki i w całym tego słowa znaczeniu wzorowy odczyt ten, prześliczną wypowiedziany polszczyzną, nadzwyczaj co do stylu ożywiony, a mimo to traktujący rzecz z największą ścisłością, zdobył prelegentowi powszechne uznanie. Posiedzenie zakończono wyborami przezesa i zarządu na rok 1878. Prezesem został przez aklamację ponownie wybrany prof. Radziszewski, wiceprezesem prof. Żmurko; zarząd zaś pozostał ten sam, z wyjątkiem prof. Ciesielskiego, który nie chciał przyjąć wyboru, i w miejscu którego zatem wybranym został prof. Petelenz.

Obok Kosmosu, który się pod umiejętną redakcją prof. Radziszewskiego pomyślnie rozwija, należy się pomiędzy pismami fachowemi słuszna wzmianka Szkole, organowi Towarzystwa pedagogicznego. Czasopismo to pod redakcją profesora Lucjana Tatomira, zamieszczając artykuły z dziedziny pedagogiki przez najznakomitsze w kraju fachowe pióra pisane wypełnia sobą lukę, która dotychczas w piśmiennictwie naszem istniała, a zarazem omawiając w sposób popularny najnowsze rezultaty osiągnięte na polu badań przyrodniczych, najświeższe historyczne, geograficzne i lingwistyczne poglądy, zaznajamia swych czytelników ciągle z postępem nauki i uzupełnia w ten sposób coraz bardziej i bardziej zakres ich wiedzy. Roczniki Szkoły, wydawanej głównie dla nauczycieli szkół ludowych, staną się z czasem cenną encyklopedją, która zaszczyt przyniesie naszej literaturze pedagogicznej i powinnaby dziś już zająć

miejsce w katalogu każdej nietylko publicznej, ale i prywatnej biblioteki.

Z szeregu opowiadań geograficznych własnego pióra, które pierwotnie w Szkole były drukowane, zrobił p. Lucjan Tatomir nader ciekawą książkę p. n. „Obrazki geograficzne“, która nakładem Karola Wilda w ozdobnem, licznemi i starannemi ilustracjami zaopatrzonem wydaniu pojawiła się w handlu księgarskim, zasilając nasz wcale niebogaty zasób książek tego rodzaju. Obrazki geograficzne zawierają zajmujące opowiadanie pod napisem „Cieplice i wrzące źródła wulkaniczne“, dalej studjum p. n. „Bursztyn, jego historya i sposób wydobywania nad morzem bałtyckiem“, nakoniec monografję „Stepów i pustyń zimnych i suchych“. Wszystkie te prace oparte są na najświeższych rezultatach osiągniętych w tej gałęzi wiedzy przez Tyndala, Engelharda, Hochstettera, Peyera, Schleidena i innych, a sumienne opracowanie tego bogatego materjału, połączone z niepospolitym a p. Lucjanowi Tatomirowi właściwym darem obrazowania i popularyzowania swego przedmiotu, stawiają książeczkę tę, która się czytać daje z takiem zajęciem jak najpiękniejszy poemat, pomiędzy najcenniejszemi nabytkami naszego dydaktycznego piśmiennictwa.

Obok tych prac popularyzujących zdobycze poczynione na polu nauki przez obcych badaczów, nie zaniedbują dziś uczeni nasi samodzielnego badania w dziedzinie wiedzy, a usiłowania ich w tym kierunku zwracają co chwila na siebie uwagę uczonych zagranicy. W pierwszym rzędzie wymienić mi tu należy pochlebną recenzję, której doznała archeologiczna praca pana J. N. Sabowskiego, przed kilku laty wyszczególniona nagrodą krakowskiej akademji, pod napisem „Drogi handlowe Greków i Rzymian przez porzecza Odry, Wisły, Dniepru i Niemna, aż do wybrzeży bałtyckiego morza“. Magazin für Literatur des Auslandes rozbierając pracę tę, która w niemieckim przekładzie p. Albina Kohna niedawno temu prasę opuściła, podnosi wysoko genjalne poglądy naszego ziomka, który drogą indukcji doszedł do wniosków, na których podstawie nie tylko zdołał sprostować mylne tłumaczenie tekstów Ptolomeusza i Pliniusza, ale też wytyczyć rzeczone handlowe szlaki i ułożyć chronologję wypraw handlowych, które jak to stwierdzają zabytki starożytne w przesmykach gór szląskich w okolicy Kladzka wykopane, szlakami temi przez ojczyznę naszą ku bałtyckiemu pomorzu wędrowały. Zarazem strofuje krytyk niemiecki akademję naszą za to, iż złożywszy znakomitą pracę pana J. N. Sabowskiego w swoich archiwach, pozbawiła świat uczony tego cennego nabytku.

Wyszła świeżo w Lipsku praca pana Leona Bilińskiego p. n. Die Gemeinde-Besteuerung und deren Reform, doczekała się również zaszczytnej recenzji w Jenaer Literatur Zeitung, urzędowym organie tamtejszej wszechnicy, która rozbierając studjum to, nazywa je jednym z najszacowniejszych dzieł na polu finansowego pismiennictwa, które to zdanie na tem większą zasługuje uwagę, ile że recenzut nie wszystkie ekonomiczne i finansowe poglądy p. dr. Bilińskiego podziela.

W osobnych odbitkach z duńskiego czasopisma historycznego wydawanego w Kopenhadze wyszły, jak się dowiadujemy z Dziennika polskiego, dwie rozprawy w języku duńskim przez prof. lwowskiego uniwersytetu dr. Ksaw. Liskiego napisane, z których jedna zawiera opis Ulryka Werduma, osobistości znanej z ogłoszonej niedawno pracy prof. Liskiego p. n. Cudzoziemcy w Polsce“ i wydanego w pismach akademji krakowskiej dyarjusza Ulryka Werduma, opisującego wyprawę Sobieskiego na Ukrainę w r. 1671, — druga zaś podaje według łacińskiego rękopisu ks. A. St. Radziwiłła to, co pamiętniki te do historji duńskiej odnoszącego się zawierają.

Oprócz wawrzynów, które sobie uczeni nasi na polu nauki zdobywają, święci też i sztuka polska pomiędzy obcymi niemniejsze tryumfy. Do takich zaliczyć należy oświadczenie zarządu wystawy paryskiej, przysłane w tych dniach Matejce, który obrazu swego na wystawę paryską przeznaczonego, a bitwę grunwaldzką przedstawiającego nie może wykończyć przed rozpoczęciem się tejże wystawy. Otóż w tych dniach właśnie przesłał zarząd mistrzowi naszemu list nader uprzejmy, zapewniając go, iż miejsce dla tego arcydzieła pozostanie zatrzymane aż do końca miesiąca sierpnia t. j. do czasu, aż obraz ten przez Matejkę wykończony, będzie mógł zostać przeslanym do Paryża. Prócz Bitwy grunwaldzkiej zamyśla mistrz nasz przesłać i inne płótna swoje na wystawę, i odniósł się też do Wydziału krajowego z prośbą, ażeby jego obraz Unja lubelska zakupiony, jak wiadomo na rzecz kraju, mógł być przesłany na wystawę paryską. Wydział krajowy pragnąc aby na wystawie nie brakowało takiego arcydzieła sztuki polskiej, chętnie przychylił się do żądania artysty, wymagając tylko pewnych gwarancji co do bezpieczeństwa i kosztów transportu. Z przykrością przychodzi mi donieść przy tej sposobności, że Pochodnie Nerona Henryka Siemiradzkiego nie zostaną wysłane na wystawę paryską, z niewiadomych bowiem powodów postanowił Siemiradzki nie wysyłać tego dzieła do Paryża. Miejmy jednak nadzieję, że artysta nasz ulegając opinji publicznej, która się wysłania tego arcydzieła na wystawę domaga, odstąpi od swej niczem nie usprawiedliwionej absencji, i że na wystawie w Paryżu nie zabraknie tej perły polskiej sztuki, co już z powodu zbliżającego się kongresu i doniosłości, którąby miała w tym razie możliwość wskazania na arcydzieła polskiego genjusza nadzwyczaj byłoby pożądanem.

Wspomniałem już w tych pogadankach o projekcie hr. Mieczysława Miączyńskiego z Włocławka wnoszącym, ażeby kompozytorowie muzyczni polscy złożyli się na utworzenie albumu muzycznego poświęconego J. I. Kraszewskiemu. Otóż projekt ten, który przez wszystkich wielbicieli naszego powieściarza, i przez wszystkich miłośników muzyki z radością został powitany, prawdopodobnie urzeczywistnionym zostanie; p. Apolinary Kątski z Warszawy bowiem podejmuje się układu rzeczonego albumu i uprasza kompozytorów polskich, chcących się przyczynić w ten sposób do utworzenia tej pamiątkowej antologji, aby mu utwory swoje na ten cel przeznaczone przesłali. Powtarzam tutaj to wezwanie w czasopismach politycznych już ogłoszone w nadziei, że kompozytorowie lwowscy i galicyjscy nie zaniechają tej sposobności złożenia hołdu swego zacnemu jubilatowi i przystępując do tego wydawnictwa, przyłożą rękę do utworzenia tego albumu, które stać się może pamiątkowem dziełem polskiej sztuki.

Projekt p. Mostowskiego, dotyczący poliglotycznego wydania Starej Baśni Kraszewskiego nie dojdzie jak słychać do skutku, — natomiast zamierzają warszawscy wydawcy Gebethner i Wolff wydanie tego powieściarskiego arcydzieła w wspaniałej ołówkiem Andriolego ilustrowanej edycji, z której dochód ofiarują zacni wydawcy na rzecz Kraszewskiego.

Kiedy już mowa o dowodach czci i wdzięczności, które kraj nasz składa genialnemu naszemu powieściarzowi, niepodobna pominąć milczeniem darów, które jubilatowi złożyć zamierzają dwa miasta polskie Kalisz i Garwolin, z których pierwsze postanowiło ofiarować J. I. Kraszewskiemu w dzień jubileuszu kosz dobrego wina, drugie w uzupełnieniu powyższego daru kielich krzyształowy z napisem:

Wino dali Kaliszanie,
My choć kielich, — Garwolanie!

Rymy nie szczególne, ale chęć szczera!

Pozostawiając sprawozdanie teatralne do przyszłej pogadanki, uzupełnić tu jeszcze muszę dawniejsze doniesienie o składzie komisji konkursowej im. Aleks. Fredry. Mianowicie wydelegował Ruch literacki jako swego reprezentanta do tej komisji p. S. Grzywińskiego nauczyciela spiewu i malarza fotografji, Strzecha zaś współpracownika swego p. Władysława Ordona.

Włodzimierz Zagórski.

POKŁOSIE.

Minhocao. Istnienie zwierzęcia mającego 50 yardów (angielskich łokci) długości, a 5 yardów grubości, — potworu pokrytego łuskami grubszemi od grubej tarcicy, ryjącego sobie podziemne chodniki na 3 metry szerokie, a na kilka kilometrów długie, odwracającego za pomocą tych tunelów łożyska znacznych strumieni, i zamieniającego w ten sposób całe okolice w nieprzebyte bagna, lub odwrotnie osuszającego rozległe moczary — wydaje się tak potworną bajką, żebyśmy jej tu nie powtarzali, gdyby wiadomość o istnieniu takiego zwierzęcia nie była podaną przez Nature, najpoważniejsze z angielskich czasopism przyrodniczych, i opartą na korespondencji znakomitego zoologa Fritza Müllera. Owóż wedle zapisków tego uczonego, osnutych na licznych świadectwach tamtejszych mieszkańców, istnieje zwierz taki w Brazylji nad brzegami rzeki Rio de los Papagaios, zamieszkując pieczary przez siebie wydrążone, z których zwykł wyłazić w przededniu wielkich słot. Siła tego potworu ma być tak olbrzymią, iż ryjąc z piorunującą szybkością swe podziemne chodniki nietylko największe drzewa, ale i domy całe tak jak źdźbła słomy wywraca, a pracy jego towarzyszyć ma łoskot, prawdopodobnie zderzeniem się łusek jego pancerza wywołany, a tak silny, że nawet w pewnej oddali słyszany, podobnym jest szumowi gwałtownej ulewy. Kretowiska tego potworu, przez ludność miejscową Minhocao zwanego, mają być podobne pagórkom i świadkowie, na których zeznaniach opartą jest powyższa relacja, konstatowali w trzy lata jeszcze po pojawieniu tego olbrzyma ślady jego przechodu. Pan Fritz Müller nie mógł na podstawie świadectw, które w relacji swej wylicza, stwierdzić, czy zwierz ten jest olbrzymim armadylem, czy jaszczurem, czy wreszcie potwornym ziemnym robakiem, albowiem ci, którzy przypadkiem znaleźli się w pobliżu tego potworu, przerażeni jego widokiem, chronili się zawsze ucieczką, sam zaś zwierz unikał spotkania tam, gdzie większa ilość ludzi wychodziła naprzeciw niemu. Czy więc Minhocao jest epigonem dawniejszego geologicznego okresu, czy potomkiem jakiegoś wygasłego rodu glyp todontów, czy wreszcie tylko płodem fantazji przesądnych ciemnych Brazylijczyków, to dopiero późniejsze nam wykażą badania.

Kobieta z paryskiego wyższego świata. Francuska sztuka, teatr i literatura są niewątpliwie wysoce interesującemi i godnemi najtroskliwszej uwagi przedmiotami; ale najosobliwszym i nad wszystkie inne interesującym wytworem cywilizacji tego narodu — jest niezawodnie paryżanka z wyższej towarzyskiej sfery. Artyści ogrodnicy epoki rococo mieli upodobanie w nadawaniu drzewom i roślinności w ogóle formy ścian stolicy i różnych architektonicznych kształtów, to daleko im jednak było do tej sztuki, z jaką paryskie życie kobietę z jej przyrodzonych właściwości wynaturza. Wiktor Hugo opowiada w swoim „L'homme qui rit“ o Comprachicosach, którzy kradną lub kupują małe, zdrowe dzieci i dopóty cisną je i gniotą w dobranych potemu przyrządach, aż z nich potworne karykatury porobią, możnaby powiedzieć odleją. Paryż wyjątkowo zamieszkują takie Comprachicos'y, i to jeszcze nie poprzestający na przekształceniu ciała dzieci, ale spotworniający ich ducha okropną swoją sztuką. Rezultatem podobnej operacji jest właśnie paryżanka. Nic w niej nie ma naturalnego: ani ciała ani ducha, ani spojrzenia, ani mowy, ani ruchu, ani poglądu na świat; życie nic nie ma w niej zgodnego z zamiarem i właściwościami danemi jej przez przyrodę; wszędzie w niej coś poprawiono, przerzeźbiono, ściśnięto lub rozerwano i wszędzie coś wygładzono, przekręcono, dodano, aż dopóki się nie zbliżyła do ideału kobiety, jaki sobie wytworzyła cywilizacja paryska.

Paryżanka, można powiedzieć, natychmiast po urodzeniu dostaje się w sznurówkę, której zdrowa czy chora, w śnie czy czuwając nie zdejmie już więcej. Skoro tylko pierwsze kroki stawiać zacznie, już wciskają jej nóżki w trzewiczki na wysokich korkach, zmuszające ją do posuwania się na palcach, w pół skacząc, kulejąc napoły. Gdy zaś wreszcie doszła lat do nauki zdolnych, podmalowują jej brwi, rzęsy; liczko pudrem obsypywać poczynają. Różowanie ust należy już do dalszego studjum w rozwoju i dzieje się zwykle z własnego popędu, bez troskliwej interwencji matki.

Pierwszym biednego takiego dziewczęcia pokarmem było w najlepszem razie mleko obcej, najemnej piersi, najprawdopodobniej zaś płyn mleczny z flaszeczki, — nie zaś żywiący, święty zdrój, który z piersi matki płynie. Później przechodzi powoli do cukierków i ciast, do likierów i słodkiego deserowego wina a od dziesiątego lub dwunastego roku swego życia żyje niewątpliwie więcej winem chinowem i żelazistem, fosfatem wapiennym i żelazistem — niżeli chlebem i mięsem. Pierwszych jej nauk przedmiotem jest toaleta i czteroletnia dziewczynka już jest obeznaną ze wszelkiemi szczegółkami budoaru, będącego

dla mężczyzny jakiemś muzeum pełnem tysiąca dziwacznych sprzęcików i pudełek, flakoników i słoików srebrnych i szyldkretowych, szklannych i porcelanowych, których cel tak tajemniczy, jak kształt ich wyszukany i cudaczny. W szóstym roku już wszystkie misterje kobiecej odmładzania się sztuki są dla dziewczęcia otwartą księgą, w której jak najpłynniej czyta a w dziesięciu latach potrafi najbardziej skomplikowany strój aż do dziesięciu sous ocenić i zna wszystkie przepisy zawikłanego i trudnego kodeksu toaletowego.

Bezwzględna naiwność, to jest ta chwila w rozwoju, którą moralną bezpłciowością nazwać by można i w której małe dziewczę obraca się w tymże samym świecie idei i poglądów na świat zewnętrzny, co rowieśny jej chłopczyk, u Paryżanki nigdy spostrzegać się nie daje. Jak tylko świadomość w niej świtać postrzegać się nie daje. Jak tylko świadomość w niej świtać pocznie, przestaje być nierozróżniającem się od innej płci dzieciakiem i staje się małą kobietą, doskonale swoją sytuacją i antagonizm do płci drugiej poczuwającą. Tyranizuje braci, a nieraz Papie daje poczuć wyższość swoją, w stosunku zaś do męzkich gości pełną jest szykownej i poważnej rezerwy, małych zaś chłopców, przychodzących się z nią bawić, traktuje z wysoka z wyrazem dumnego zniżania się do nich, która wszelką poufałość usuwa. Najpierwsze zasady jakie otrzymała od matki, babki, nauczycielki i pokojówki uczą ją, iż świat należy do kobiety, że przeznaczeniem mężczyzny jest jak korny niewolnik służyć jej, że Paryżanka jest najwonniejszym kwiatem płci swojej, a ona sama najdoskonalszą, najczarowniejszą, i najbogatszą we wdzięki ze wszystkich Paryżanek. Te zasady stanowią fundament, na którym jej całe dalsze wychowanie się opiera.

W dziesiątym lub dwunastym roku życia umieszczają dziewczynkę, tak jak chłopca, na pensje i tym sposobem pozbawiają ją zupełnie wpływu matki.

Jeden z najdowcipniejszych współczesnych francuskich pisarzy, Taine, na kilkunastu świetnych kartach, opisał, co pensjonaty paryskie z dziewcząt czynią. Po większej części zarządzaja niemi i uczą u nich zakonnice, których wykładom brak wszelkiej metody, głębi i praktyczności. Wiedza, którą od nich uzyskuje młoda paryżanka, jest czczą i w najwyższym stopniu powierzchowną. Uczy się bajek Lafontaine'a i olbrzymich epizodów z mów Bossueta na pamięć, studjuje całe lata gramatykę, ortografię i retorykę; codziennie musi pisać stylowe zadanie: patetyczne listy, — o geografii jednak i historji ledwo słabe pojęcie, a o matematyce i naukach przyrodniczych żadnego z goła. Wprawdzie w wykwintniejszych pensjonatach uczą obcych języków dla formy, ale z takim skutkiem, iż paryżanka czytająca angielskie, niemieckie książki, a cóż dopiero umiejąca potoczną rozmowę w tych językach poprowadzić, do największych rzadkości należy. Rysunek i muzyka stanowią także część wychowawczego programu, ale i w tych sztukach kończy się wszystko na najpłytszym pozorze, za to duch dziewczęcia napełnia się najzabobonniejszem, najciemniejszem nabożnisiostwem a nie wiarą i pobożnością prawdziwą.

Po takiem wychowaniu w osiemnastym roku życia opuszcza młoda dziewica pensjonat i powraca na łono rodziny. W tym perjodzie paryżanka jest najciekawszem studjum, jakie psycholog wybrać sobie może. Rzadko piękna, nieraz nawet nieładna, zawsze ma jednak wielki urok we wzięciu się i elegancję form zewnętrznych. Uderzająco upośledzona pod względem wiedzy pozytywnej, nabywa jednak bez trudu wielu encyklopedycznych wiadomości na przechadzkach po mieście, po galerjach, muzeach i publicznych ogrodach swego rodzinnego miasta, które następnie dobrze sprzedać umie. Próżność jej jest prawie chorobliwa a żądza władzy nieokiełzana, tak że nieraz nawet powadze macierzyńskiej tylko z oporem i rezerwą się poddaje. Niedokrewna, delikatnego zdrowia, podlega ciągle najdziwaczniejszym zmianom usposobienia i w każdej chwili najsprzeczniejsze nią miotają popędy. Kaprysów jej nie policzy—a przywykła każdemu z nich dać się porywać bez oporu. Pod złudną maską chłodnego nad sobą panowania z spokojnej lekko ironicznej trzeźwości ukrywa charakter Paryżanki wyższego towarzystwa wulkan wrących kaprysów, który w najniespodziewańszej chwili wybuchają. Lektura współczesnej literatury powieściowej i własne obserwacje towarzystwa, stworzonego przez kobiety, psują ją do reszty i budzą w niej instynkta, które całe życie nieobjawione drzemać w niej mogą,—przy odpowiednich jednak okolicznościach pożerczym często wybuchają płomieniem.

Taka to istota, cała złożona z nerwów, nawykła do gwaru i ciągłych mocnych wrażeń stolicy świata, zobojętniała na wzniosłe wzruszenia, a chorobliwie wrażliwa na małe, średniowiecznie zabobonna a razem współcześnie skeptyczna, trzeźwa, wyrachowana, bez złudzeń w stosunkach z ludźmi, a razem pełna niewypowiedzianej tęsknicy i nieokreślonych żądz, wszystko przeczuwająca, oczekująca wszystkiego a nieznająca niczego, Ewa, do której wąż już przemawiał ale która jabłka jeszcze nie skosztowała, zaślubioną zostaje przez matkę człowiekowi, zwykle kilka tygodni ledwo przed ślubem poznanemu i którego rzadko się zdarza, aby kochała. Wchodzi więc w życie małżeńskie bez najmniejszego pojęcia o gospodarstwie i obowiązkach rodzinnych ale uposażona świetnym darem towarzyskiej reprezentacji i z niezłomnem postanowieniem panowania nieograniczenie w salonie i buduarze swoim.

Władzy tej zwykle ani przez jedną chwilę mąż jej nie zaprzecza. Przyjmuje on swoją sytuację jako zupełnie naturalną. W małomieszczańskim świecie żona ma kantor, prowadzi księgi, obsługuje kupujących, kupuje i przedaje, kieruje interesami, tworzy plany, wymyśla kombinacje i od męża oczekuje tylko najposłuszniejszego wykonania swoich rozporządzeń.

Nie można powiedzieć, żeby żona była tu współpracowniczką męża; nie, mąż jest jej pierwszym komisantem, a zadowalnia ją, gdy inteligentnie spełnia jej polecenia i plany.

Prawo francuskie pod tym względem faworyzuje żonę. Ma ona prawo do pełnej połowy całego mienia swego męża, a czasem nawet z kontraktu małżeństwa większa połowa na nią przypada, — widocznie bowiem ukrytą myślą prawodawcy było, iż żona przy zbieraniu fortuny ma przynajmniej tyle, co mąż udziału.

Rozkosze macierzyńskie nie mają dla kobiet paryskich wyższej sfery wiele powabu—rzadko które z tutejszych małżeństw pobłogosławione więcej niż dwojgiem dzieci. Autorytet kobiety, władający mężem, rozciąga się i na dzieci. Stają one w prawie ceremonjalnym stosunku do ojca; — żywsze zaś zwykle przywiązanie mają do matki, która nietylko o renty dla nich się stara, ale i zawód

wybiera, żeni ich lub wydaje je za mąż, i o ile zdoła, wygładza im drogi życia.

Paryżanka wyższego świata nie decyduje się nigdy zestarzeć. Do ostatka, całym zasobem toaletowych środków ratunku siebie i świat cały łudzi. W ostatecznym dopiero razie, gdy już nic nie pomaga, przerzuca się na pole intryg politycznych. Kto zna życie i organizację francuzkiego społeczeństwa, ten wie, co znaczy w niem kobieca protekcja. Urzędnik, lekarz, adwokat, inżynier wpływowi kobiet tylko powodzenie mogą zawdzięczać; profesorowie, wojskowi, dyplomaci i ministrowie, winni swoje stanowiska po największej części staraniom łaskawych protektorek i przyjaciółek. Paryżanka nie zna przeszkody, gdy jej idzie o poparcie człowieka, któremu przysłużyć się postanowiła. Zrana wdziera się do gabinetu ministra, w południe składa wizytę żonie wpływowego dostojnika dworu, wieczorem zaprasza biskupa do swego stołu, a o północy pozyskuje senatora na balu. Francuz od dzieciństwa nawykły widzieć kobietę grającą wszędzie pierwszą rolę, nader przystępny jest jej wpływowi i rzadko jej czego odmówić zdoła.

Podczas gdy Paryżanka z klasy średniej reprezentuje towarzyski statek, mieszczańską zapobiegliwość i skrzętność oraz największą część narodowej pracy, — Paryżanka wyższego świata jest przedstawicielką obyczajowego, społecznego rozkładu, oraz jedną z głównych przyczyn ostatnich klęsk i upokorzeń wielkiego narodu.

Przerażający jest ten obraz kobiety wyższego paryskiego świata. Powinienby on jak przestroga wpłynąć i na nas, do których niestety już cząstkowo wdzierać się poczyna od góry smutne naśladownictwo powyższego typu.

Czemże jest „Panna Lala — czem „Ciocia Kizia — jeżeli nie żywem powyższego typu odbiciem“. W świeżo wydanej znakomitej pracy: „La femme et la fin de monde“ autor zwraca się z gorącem wezwaniem do kobiet francuskich, ażeby powróciły do naturalnego zakresu swej działalności, stały się znów prawdziwemi małżonkami i matkami, a tym sposobem odrodziły rodzinę a przez nią całe społeczeństwo.

Przygody Maryi Stuart zajmowały już wielu uczonych — dotąd jednak postać ta nie wystąpiła jasno w dziejach. Podczas gdy jedni potępiali ją zbyt surowo, inni podnosili ją niemal do apoteozy. W tym roku akademia francuzka uwieńczyła nagrodą w ilości 3000 fr. pracę p. Chautelaure: Marya Stuart jej proces i egzekucya. Autor nie kreśli życiorysu Maryi Stuart, pokazuje on tylke ostatni akt smutnego dramatu: siedmiomiesięczną niewolę i ostatnie chwile królowej. Materjałów do historycznego obrazu dostarczył mu dziennik naocznego świadka lekarza Bourgoing, świeżo wynaleziony w mieście Cluny. Znajdujemy tu wiele ustępów prawdziwie dramatycznych. Do najokopniejszych należy scena, kiedy dostojnicy dworscy urągają się w oczy tej, przed którą zginali niedawno kolana. Tłumaczenie obwinionej pełne godności: pozostawiona sama sobie, bez obrońcy, bez rady, umiała jednak upokorzyć zawziętych prześladowców. Niekiedy autor cofa się w dawne lata, ukazuje Maryę w chwilach najwyższego blasku, przyjmującą hołdy poety Ponsarda i historyka Brantome. Opowieść tryska życiem; styl płynny, częstokroć poetyczny.

Dolina róż. Tylko jeden kraj na świecie ma przywilej zapachem swych pól przypominać ludziom rajskie rozkosze. Krajem tym jest dolina Kazanlik zwana w Turcyi Doliną róż; szeroka zaledwie na dziesięć wiorst, otoczona z obu stron skalistemi górami, służy za łożysko rzece Tundze. Ciągnie się dolina z zachodu ku wschodowi przez sto wiorst i stanowi wązki wąwóz, rozdzielający podnóże Bałkanów od ich pierwszych wyniosłości.

Gdy w miesiącu maju, podczas kwitnięcia róż, staniesz na granicznej wyniosłości Bałkanów i rzucisz okiem na dolinę Kazanlik, nie wstrzymasz się od okrzyku zachwytu na widok olbrzymiego dywanu zasłanego różami. Dywan nęci taką miękkością puchową, przymila się takiem ciepłem i pieszczotą, że bierze ochota rzucić się ze szczytów z tą pewnością, że upadłszy w te wonne puchy, nic się złego naszym kościom nie stanie.

Wszyscy wieśniacy w dolinie hodują na swych polach róże, jak my hodujemy kartofle i cebule; jestto rodzaj róż bladych, mało listnych, lecz w gromadzie wspaniałych!

Uprawiają się róże na skibach, jakie my robimy pod zboże; po roku małe odrośle zielone pokazują się nad ziemią, po dwóch latach roślina dosięga pięćdziesięciu centimetrów wysokości; po trzech latach plantacye rodzą kwiaty, i żyją na pożytek rolnika przez lat piętnaście.

Jak tylko majowe kwiaty się pokażą, wnet cała ludność rzuca się do sprzętu i wówczas raj różany mrowi się ludem wieśniaczym. Chaty stoją pustkami, bo mężczyzni i kobiety, starcy, dziewice i dzieci wychodzą przed wschodem słońca, aby ubiedz opadnięcie kwiatów. Wówczas jedna godzina dużo stanowi! bo słońce może spalić delikatne róże ognistym swym pocałunkiem.

Kwiaty składają do piwnic a gdy się już spora ilość nazbiera, rozpoczynają dystylacyę.

Wieśniacy wyciskają róże u siebie w miedzianych kotłach. Dla dokonania dystylacyi biorą zwykle pięćdziesiąt kwart wody i dziesięć kilogramów kwiatu, z tego otrzymują dwanaście kwart wody różanej. Gdy się już uzbiera do pięćdziesięciu kwart wody różanej, następuje nowa dystylacya, z której otrzymuje się esencya różana, ekstrakt, bukiet najdelikatniejszy, używany tylko przez bogate wykwintnisie.

Tysiąc metrów kwadratowych wydają równie około pięćset kilogramów kwiatu, a trzy tysiące kilogramów kwiatu potrzeba na jeden kilogram ekstraktu różanego. Ten kilogram, wymagający uprawy róż na tysiącu metrach, sprzedaje się po 1.100 franków; cała dolina daje rocznie przecięciowo 2.000 kilogramów ekstraktu, czyli przynosi wieśniakom dochodu przeszło dwa miliony franków! Tylko cztery domy fabryczne w dolinie wyrabiają wodę różaną na obszerniejszą skalę, zajmując się równocześnie handlem za granicą — inni włościanie sprzedają im swój produkt.

Niestety, wszystko cośmy tu opowiedzieli, wszystkie uroki i korzyści są w tej chwili tylko wspomnieniem. Wojna spustoszyła te czarowne okolice, zniszczyła do szczętu wszystkie plantacye, rozpędziła plantatorów, zabiła na długie lata, a może na zawsze wielki a jedyny w świecie przemysł! Dziś dolina róż zmieniła się w dolinę jęków i płaczu.

BIBLIOGRAFJA.

Literatura w Galicji. Ustęp z pamiętników Władysława Zawadzkiego. Lwów — 1878. 8vo str. 158.

Ważne to pod względem literackim i niezmiernie zajmujące dzieło opuściło temi dniami prasę. Są to dzieje rozwoju literatury od pierwszych jej zawiązków w Galicji po rok 1848 opisane treściwie i umiejętnie, piórem nadzwyczaj powabnem i ożywionem rozmaitością szczegółów dziś już niemal nieznanych, niezapamiętanych, z których autor stworzył obraz pełen żywej charakterystyki. Pomimo formy pamiętnikowej podaje autor dokładnie i umiejętnie skreślony obraz literatury i stosunków literackich w Galicji, w których kole sam żył, czynny brał udział pozostając w ścisłych stosunkach z całem gronem tutejszych koryfeuszów literatury. Książkę tę zaliczamy do najważniejszych publikacji bieżącej chwili. A i największy nasz pisarz i taki znawca literatury jak J. I. Kraszewski umieścił w jednem z pism warszawskich nader dla autora pochlebną ocenę. „Są to wspomnienia osobiste, mówi Kraszewski w rzeczonej ocenie, ale zarazem i zbiór pewnych podań, sądów, tradycji niezbyt odległej, a już dosyć zatartej epoki, — wspomnienia bardzo cenne, w ogóle odznaczające się poglądem zdrowym, chłodnym a zarazem wyrozumiałym i sympatycznym. Niektóre zapomniane postacie wychodzą tu po raz pierwszy żywe, wyraziste, jakby wskrzeszone.“ Nadzwyczaj trafną czyni uwagę Pan Zawadzki o sposobie dotychczasowym pisania u nas dziejów literatury. „Szkoda, że zazwyczaj piszący dzieje literatury nie starają się zaznajomić czytelnika z bliższemi stosunkami i wypadkami, pod których wpływem wyrabiał się kierunek umysłowy znakomitych ludzi, zajmujących naczelne w literaturze stanowisko, że pomijając to właśnie, coby nam pozwoliło przejrzeć psychiczną genezę ich dzieł, poprzestają na zanotowaniu miejsca i roku ich urodzenia i śmierci“ i t. d. Niestety, powiada ku końcu sprawozdania J. I. Kraszewski, wielka to prawda i nigdy też rzeczywistej historji literatury mieć nie będziemy, dopóki jej nie połączym z dziejami obyczaju, z obrazem społeczeństwa. Oderwana od nich wiecznie będzie martwą gałęzią. Ustęp z pamiętników Pana Zawadzkiego składa się z dwóch części. Część pierwsza obejmuje czas do r. 1830; druga do 1848 r.

Dzieduszycki hr. Wojciech. Studja Estetyczne. Lwów — 1878, str. 272.

Młody pisarz — używający już dziś pięknego imienia jako autor „Aten“, skreślił nam w swoich studjach, jasno i treściwie przebieg sztuki od czasów najdawniejszych aż do jej odrodzenia się z ciasnych form bizantyńskiej szkoły. Dzieło to czyta się z przyjemnością, a co ważniejsza — nie małą korzyść przynieść może czytelnikowi. Polecamy je z całem przekonaniem o jego wysokiej pożyteczności.

Chwiećkowski Józef. Siła i materya czyli stopniowy rozwój pojęć o tych przedmiotach. Warszawa — 1877, w drukarni Gazety Lekarskiej. Tom I. II.

Nie mogąc na tem miejscu wdawać się w szczegółowy rozbiór tej pracy, winniśmy uprzedzić czytelnika, że praca ta, jak autor sam w przedmowie powiada, podjęta została nie w celu czysto-naukowym dla powiększenia zdobyczy naukowych, lecz jedynie aby ułatwić naszej publiczności, mniej obeznanej z nauką, zrozumienie dotychczasowego rozwoju i kierunku pojęć o istocie tych dwóch przedmiotów.

Reineke Lis. Poemat satyryczny Göthego, opracował sześciomiarem polskim Ludwik Jenike. Warszawa, J. Unger. 1877.

Bez szczęścia. Nowella M. D. Chamskiego. Lwów— 1878.

Do dziełek poświęconych dla młodzieży należy książeczka p. t. Wieczory starego nauczyciela. Warszawa—1877. Całość składa 24 powiastek zajmujących, nakreślonych czystym językiem i stylem jasnym.

Powyższe książki niemniej też wszystkie utwory literatury krajowej i zagranicznej utrzymuje zawsze na składzie księgarnia F. H. Richtera.

Nekrologja.

Dominik Zieliński, znany powszechnie w Polsce specjalista w rzeczy prawa handlowego i ekonomista. Pismiennictwo nasze zawdzięcza zmarłemu nie jedną cenną pracę na tym polu.

Dworzaczek Ferdynand, zasłużony lekarz polski i pisarz, współpracownik Biblioteki Warszawskiej. Wiele jego rozpraw drukowano w rozmaitych pismach czasowych jak: „O cyrkulacji krwi u płodu“ „O gorączce tyfoidalnej“ „O epidemiach“ „Człowiek“ „O życiu“ „Rzecz dotycząca filozofii medycyny“ „O pojęciu życia przez starożytnych filozofów“ i t. d. Członek wielu towarzystw uczonych pierwszy w Warszawie wprowadził metodę auskultacyjną. Dotknięty kalectwem ślepoty (1847) znosił swoję niedolę z rezygnacją chrześcijańską, nie przestając pracować umysłowo przy pomocy życzliwego otoczenia, osiadłszy w zadzierżawionej włości Topoli Królewskiej pod Łęczycą. Rozległa przedtém praktyka w mieście zjednała mu jedno z najchlubniejszych stanowisk pośród lekarzy a towarzystwa lekarskie warszawskie, wileńskie i krakowskie zaprosiły go do swego grona. Jako człowiek zjednał sobie szacunek i poważanie, jakie otacza męża prawego i pełnego najszlachetniejszych uczuć dla kraju i społeczeństwa.

Józef Jerzmanowski, autor wielu prac drukowanych w pismach czasowych. Pomiędzy niemi odznacza się Historja uniwersytetu Warszawskiego i jego zakładów.

Kącik humorystyczny „Strzechy“

Hrabia Toto.



Ulica mówi po francusku tak jak my, a nawet lepiej niżeli my, — ulica ubiera się tak jak my, ulica tańczy tak jak my, — ulica stara się odznaczać ogłądą i dobrem wychowaniem... Czemżeż się będziemy odznaczać od ulicy?... Jedna jest tylko rada, odznaczyć się gburowatością.. A więc soyons canaille!..

Człowiek zaczyna się wprawdzie od barona, ale pomiędzy baronem a hrabią stoi folblut angielski...

Małżeństwo jest handlową transakcją... Cała sztuka: dać jak najmniej, a dostać za to jak najwięcej...

Każda panna w Galicji ma na 300,000 pretensji. Każdy zatem, co się za mniej ożeni, robi zły interes...

Panna Lala.



Ninia maluje jakąś dziewczynę, która skubie stokrótkę, szukając miłośnej wyroczni!.. Quele bêtise!..

Od 300,000 . . . . kocham!
Od 500,000 . . . . statecznie!
Od 1,000,000 . . . serdecznie!
Do 100.000 . . . . wcale nic!
Od 200,000 . . . . trocha!

Pas de blague!... Pójście za mąż jest kurem, który każda z nas przebyć musi...

Mąż zazdrośny jest śmiesznym, — mąż nie zazdrośny jest śmiesznym!... Je vous demande, kiedyż więc mąż nie jest śmiesznym?

MINHOCAO*)

W swej pieczarze ponad rzeką
Rios de los Papagaios
Kłapnął ryjem Minhocao
I rzekł:“— Nudzę się!.. Carajos!

„Człowiek w dumę wbił się strasznie:
Wierzy tylko w to co widzi,
Stał się całkiem pozytywnym,
Drwi z poetów, z bogów szydzi...“

„Puścił w trąbę Olimp stary:
Wydarł gromy Zewsa dłoni,
I... piorunem listy pisze
Lub... piosenki telefoni...“

„Pluta piekł tak długo w tyglu,
Aż się biedak upokorzył,
I szmaragdów tajemnicę
Katu swemu w okup złożył...“

„Zarzut zrobił cnej Cererze,
Że zasiewa same osty,
I nie wierzy już w jej bóstwo,
Tylko... w guano i komposty!...“

„Cóż oprawcy temu winien
Był Eolses nieboraczek,
Że go dusił w swych retortach
Aż, aż... skroplił się biedaczek?..“

„Nie! To nadto już tej buty!
Hola, dumny śmiertelniku!
Wierzysz tylko w to co widzisz?
— Czekaj zadam tobie szyku!.“

„Będę ryjem ziemię orał,
Zwrócę mnogich rzek koryto,
Lasy, miasta poprzewracam
Zachownjąc incognito...“

„Będziesz widział dróg mych śladem
Równe górom kretowiska,
Lecz nie zgadniesz kto ja jestem;
Nikt z was mnie nie ujrzy z bliska!...

„„— Durniu! durniu — człek odpowie,
Idź spać! Minął czas liasu!...
Minhocao tyś jest bajką;
Słuchać bajek nie mam czasu!... ““

„„Minął wiek już saurokracji,
Świat się nie da z blagą zwodzić,
Minhocao, tyś humbugiem,
Trza się było wpierw urodzić!...

„„Póki ręką Cię nie dotknę,
Póty wiarą w Cię nie zgrzeszę,
A jakbym Cię złapał kiedy,
To — w muzeum Cię powieszę!..

*) Obacz w Pokłosiu niniejszego zeszytu artykuł pod tymże napisem.

Wydawca i odpowiedz. za redakcyę F. H. RICHTER. Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



UPIOR.

Opowiadanie przy kominku

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Dokończenie.)

Prawnik przyjął to z pewnem zdziwieniem, biorąc może za skutek podrażnienia jakiegoś i obrazy, niepotrzebowałem się przed nim tłumaczyć, tylko jeszcze raz zapewniłem, że to jest nieodwołalne postanowienie moje. Był to dzień dla mnie przykry, ale w końcu się to przeżyło jakoś. Dano mi do przeczytania bruljon — przekonałem się, iż kapitały przelane zostały na panią Sawickę i uspokoiłem się.

Starościna też uczyniwszy rozporządzenie, na parę dni odzyskała dawną żywość a nawet pewien rodzaj wesołości. Lecz jakby ten wysiłek ją kosztował, uczuła się wkrótce osłabioną znowu i senną. — Parę tygodni nie wychodziła już ze swojego pokoju, a ja prawie ciągle siedzieć musiałem przy niej. Gdy się zdrzemnęła na chwilę, otwierając oczy, pierwszem zawsze pytaniem jej było: — Jest Włodzio?

Musiałem podawać wodę, usługiwać, bo od kogo innego nie przyjmowała chętnie. — Osłabienie powiększało się, posłaliśmy po lekarza pod pozorem, że ogrodnik był chory. Przybył on, posiedział, pulsu nieznacznie popróbował i powiedział pani Sawickiej:

— Cóż pani chce? Życie się wyczerpało, staruszka gaśnie jak lampa, co się wypaliła. Trzeba być przygotowanym do tego.

Z tem uchodzącem życiem, czasem się ożywiając nieco, krzepiona i podtrzymywana przepisanemi lekarstwami i pokarmami Starościna jeszcze cały miesiąc przetrwała wśród nas. Zdawało się nawet pod koniec, że siły wracają. Był to ostatni błysk gasnącego światła.

Jednego wieczora gdym przyszedł do drzemiącej, rozbudziła się posłyszawszy mnie, kazała mi usiąść na stołeczku przy sobie, wzięła za rękę i poczęła mówić:

— Już mi czas! wołają mnie tam! wołają! Bóg niech ci zapłaci za osłodzenie chwil życia ostatnich!

Pocałowała mnie w czoło.

— Byłeś dla mnie dobrem dzieckiem, nagrodzi ci to opatrzność.. a ja cię błogosławię..

Rozpłakała się mocno, weszła na to pani Sawicka.

— Chodź i ty tu, moja Leńciu, chodź, tobie też się należy moja wdzięczność i błogosławieństwo...

— Poco się Mama tak rozrzewnia, to ją osłabia — zawołała zbliżając się Sawicka. — Starościna objęła ją rękami za szyję, ale jakby w istocie uczucie gwałtowne ją wyczerpało, ręce opadły wkrótce i Starościna osunęła się na poręcz krzesła, jakby omdlona. Pobiegłem po wodę — córka zaczęła ocierać skronie, ale biedna staruszka tchnąwszy jeszcze parę razy — skończyła życie.

Rozruch się stał w domu niewypowiedziany, mnie serce się ścisnęło okrutnie, jakbym istotnie matkę utracił, wybiegłem łkając jak szalony. To była ostatnia scena tego dziwnego dramatu...

Nie będę opisywał wszystkiego, co potem nastąpiło, odbył się pogrzeb, ja wyjechałem do Rutek. Wynosząc się z Zabłocia ostatniego dnia po pożegnaniu urzędowem, gdym już miał wyruszyć ztąd, w ganku spotkałem się z Lorcią. Nie wiem, czy przypadek ją tu sprowadził, czy znalazła się umyślnie, aby podać rękę. Oczy miała zaczerwienione. Zbliżyłem się nie mówiąc słowa, wyciągnęła mi dłoń, spojrzeliśmy tylko na siebie — nie mogłem i ja powiedzieć nic — pocałowałem jej ręce obie — uciekłem.

Czułem, że mi należało w istocie uchodzić ztąd, abym upominając się o rękę Lorci nie miał pozoru, jakobym nagrody żądał.

Nazajutrz z Rutek, gdzie mi tęskno było nie do wytrzymania, zmęczony, chory, zbiedzony, wyjechałem do brata. Gdy mnie przybywającego zobaczyli, prawie się przelękli, tak zmizerniałem. Droga się przyczyniła do tego może, alem zachorował obłożnie i dwa miesiące z łóżkam się nie ruszył.

Miałem mocne postanowienie zapomnienia wszystkiego, a nawet tej biednej Lorci. Ponieważ termin dzierżawy właśnie na Ś. Jana wychodził, uprosiłem brata, aby pojechał ją zdać Baranowiczowi, na którego majątek ten przypadł.

Człowiek ów, choć się przecie o mojej bezinteresowności mógł przekonać, miał zawsze jeszcze ząb do mnie, a że oprócz tego w interesach był nieznośnym i drobnostkowym, mnóstwo narobił szykan, rachunków, pretensji i brat chcąc to raz skończyć, opłacić się musiał grubo. Z tej tedy tak szczęśliwie wziętej dzierżawy wyszedłem straciwszy połowę kapitału i kilka lat życia.

Brat powróciwszy z początku mi nic nie powiedział, aby nie martwić, później dopiero, gdym zupełnie wyzdrowiał, złożył rachunki.

Nie pojechałem nawet na Podlasie już i unikałem wszelkiego wspomnienia o mojej przygodzie. Po Starościnie został mi jako jedyna pamiątka krzyżyk złoty z błogosławieństwem, który chciała, abym nosił na szyi. Modliłem się co dzień za jej duszę.

Prawie dwa lata upływało już od śmierci jej, gdy na nową dzierżawę, którą wziąłem niedawno, przyjechał do mnie Zbąski, ten sam, z którym do Zabłocia pierwszy raz przybyłem. Widok jego takie we mnie wzbudził wspomnienia, że mi odwiedziny prawie przykre były. Zaraz na wstępie w progu, zawołał.

— Wiesz, z czem przybywam! Po długich targach nareszcie mi się udało dostać średnią Moskorzewskę—żenię się! Drużbą mi być musisz!

Zacząłem się wymawiać, on gniewać, koniec końców zmógł mnie, przyrzekłem jechać na ślub i wesele.

Przychodziło mi na myśl, a nuż tam gdzie się spotkam z Sawickimi, albo z Baranowiczami, ale mil kilka dzieliło ich od Moskorzewskich i wiedziałem, że ci mało z kim żyli.

Moskorzewski jak był zwykł zawsze występować ogromnie, tak i na to drugie wesele wysilił się nadzwyczajnie. Zapraszał kogo tylko mógł, przygotowania były niesłychane, zawczasu już o tem mówiono.

Rzecz to pewna, że gdy skąpy chce się popisać, i rozrzutnego zakasuje. Będzie potem zbierał łupiaki i gryzł się w sercu, ale — znaj pana po cholewach — musi być!

W wigilją ślubu przyjechawszy zastaliśmy już ludzi gromady i występ pański, nazajutrz obiecywano drugie tyle. Jakoż poczęło się zjeżdżać sąsiedztwo wszelkiego kalibru od rana i płynęło jedną strugą do wieczora.

Czas był jesienny, ale dnie piękne i pogodne, młodzież stała w ganku, bo już w pokojach i ciasno było straszliwie i gorąco. — Byłem i ja w tłumie tym, gdy czterokonny powóz zajechał i koło mnie ktoś zawołał:

— A! to Sawiccy!

Jakby mnie ukropem oblał, a potem zimną wodą. Nie byłem nigdy tchórzem, w tej jednak chwili, wyznaję, jakiś nieopisany strach mnie ogarnął, tak że gdybym był mógł, uciekłbym z placu. Zwróciłem oczy ku wchodowi i w tej chwili zobaczyłem panią Sawicką z mężem, a za nią tuż idącą Lorcię, tak piękną, jak była, choć bledszą i smutniejszą, niż ją znałem w Zabłociu. Ona też musiała mnie postrzedz, bo stanęła jakoś pomięszana, pobladła bardziej jeszcze, zacięła usta i dopiero ochłonąwszy nieco, poczęła się przeciskać za matką. Widząc, że idzie sama, rzuciłem się ku niej, zapomniawszy na wszelkie postanowienia, nie zważając, że na nas patrzą, przypadłem i podałem jej rękę. Słowaśmy nawet niepowiedzieli do siebie, bo i mnie słów brakło i ona się na powitanie zebrać nie mogła. Sawicka, która zobaczyła gdym szedł, odwróciła się skinąwszy mi głową i grożąc nieco.

Nie dobrze pamiętam, co się dalej ze mną działo, wiem, żem posadziwszy pannę, przywitawszy rodziców, został przy nich, nie mogąc ruszyć. Otaczało nas zbyt wiele osób, abyśmy coś więcej nad parę słów obojętnych przemówić mogli.

— Mój Boże! zawołała do mnie w głos, co się to z panem stało. Tyle czasu, żebyś też zajrzał, żebyś się dowiedział, żebyś dał znać o sobie. Słowo daję, nie mogę panu tego darować.

— Pani moja, rzekłem, wejdź w położenie moje, nim mnie potępisz! Mnie to pewnie przykrzejszem było niż państwu — ale tak być musiało.

Ruszyła ramionami.

Prędzej niż chciałem, jako drużba pana młodego, musiałem pójść pełnić moje obowiązki, lecz skorom się

zdołał uwolnić, wróciłem do Lorci. Szczęściem dla mnie po obiedzie, gdy się goście rozbawili, wrzawa stała się większa, każdy sobie znalazł swoich i zajął się niemi, mogłem i ja swobodnie się zbliżyć do panny.

— Czy pan już na zawsze się nas wyrzekłeś? zapytała mnie.

— Jak się pani możesz o to pytać mnie, odpowiedziałem — i czyż nie usprawiedliwiasz mnie, że inaczej nie mogłem postąpić!

— Ależ przecie dlatego, że Babunia pana tak bardzo kochała — odezwała się — to nie może być powodem, abyś nas pan nienawidził za to.

— To słowo — okrutne! odpowiedziałem. Spojrzała na mnie z wyrazem nie gniewu, ale żalu.

— Po weselu jadę do Zabłocia — odezwałem się zbierając na odwagę—zdaje mi się, że już odpokutowałem za moje grzechy i wszystko zapomniane zostało. Nikt mnie teraz nie posądzi o nic więcej, prócz że państwa szanuję i kocham.

Ruszyła ramionami — nikt pana nie mógł o nic posądzać — dodała — a ja posądzałam tylko, żeśmy mu tak dokuczyli, że nas niechcesz widzieć na oczy.

— I zwątpiłaś pani o mnie? spytałem smutnie.

— Nie, odpowiedziała mi i podniosła oczy.

— Nie zwątpiłam, rzekła — alem się gniewała.

— Mogę więc do Zabłocia przyjechać! Spytałem schylając się. —

Uśmiechem tylko odpowiedziała.

Przy tańcach rozmówiliśmy się szczerzej i otwarciej. Tegoż wieczora przysunąłem się do matki; dostałem od niej burę, bośmy z sobą nadto byli dobrze, by potrzebowała się ceremonjować. Widziała już i odgadła moją rozmowę z córką.

Tak wśród tego wesela i ja się oświadczyłem, a we trzy dni pojechaliśmy ze Zbąskim uroczyście po dawnemu pannę zaswatać.

Zostało mnie na całe życie miłe tej przygody wspomnienie, bo koniec końców ona o moim losie przyszłym rozstrzygnęła, jednakże, gdy sobie wszystkie przejścia moje w tej dziwnej roli na pamięć przywodzę, momenta ciężkie, które w niej przebywałem, uczucia, jakich doświadczałem, utrapienia, kwasy — powiadam państwu, nikomu i nigdy nie życzę jak ja być w cudzej skórze, choćby ona była jak najmiększą i najgładszą. — — —

Tyras śpiący przy ogniu podniósł głowę, miał on instynkt przedziwny przeczuwania wieczerzy, jakoż kroki w sieni słyszeć się dały, otworzyły się drzwi i stary Paweł uroczystym głosem zwiastował:

— Dano do stołu!

Szliśmy na kolację — a pan Seweryn przy niej, jakby wspomnieniami owiany staremi, przesiedział milczący i chmurny. —

3. sierpnia 1877. Drezno.

PIUS IX.

(Dokończenie.)

Do urzeczywistnienia tych pięknych zamiarów dążyło stronnictwo sanfedystów ze zwykłą swą zuchwałością, czując się w robotach swych tem bezpieczniejszem, ile że cały aparat administracyjny Państwa Kościelnego znajdował się w rękach jego stronników, dawnych sług Grzegorza XVI, duszą i ciałem Lambruschiniemu oddanych. Gubernatorem Rzymu był Grosselini, zacięty przeciwnik wszelkich reform,—dowódzcą papieskiej żandarmerji pułkownik Freddi, zawdzięczający Lambruschiniemu swoje stanowisko i żarliwy stronnik swego patrona. Oprócz tego zorganizował niejaki Nardoni, były więzień kryminału w Neapolu, a następnie pod Grzegorzem XVI naczelnik papieskiej policji, którego nowy papież złożył był z tego urzędu,— kontrpolicję, która paraliżując działanie władz sanfedystom nieoddanych, główną miała być sprężyną zamierzonego zamachu.

Aliści spisek ten, którego wybuch naznaczonym był na dzień 17. lipca r. 1847, w którym właśnie przypadała rocznica ogólnej amnestji przez nowego papieża przestępcom politycznym udzielonej, został wykrytym, a Pius miasto ukarać winnych, zadowolnił się tem, iż im kazał powiedzieć, że wie o wszystkiem. Lambruschini, Grosselini i Nardoni ratowali się ucieczką. Represja dotknęła tylko pułkownika Freddiego, tudzież Catarinellę. Prorokini ta, której zeznania mogłyby się były stać dla Jezuitów wielce kompromitującemi, nie została jednak dla uniknienia skandalu postawioną przed zwykłym sądem, jak się tego domagała opinja publiczna, lecz przed trybunałem Św. Inkwizycji, która tę niedoszłą wieszczkę sanfedyzmu na dziesięcioletnie skazała więzienie. Generała zakonu Jezuitów Roothana nie pociągnięto wcale do odpowiedzialności, jakkolwiek w Watykanie i po za Watykanem wiedziano

o tem dobrze, iż on, a nie kto inny był głównym kierownikiem tego spisku. Owszem Pius nie poprzestał zaszczycać łaską swoją tego zuchwałego człowieka, który pozostał w Rzymie, snując bezkarnie dalej sieć swojej intrygi, a wybierając ku temu już nie drogę gwałtu, lecz moralnego nacisku na bogobojny umysł papieża za pośrednictwem jego spowiednika wywieranego.

Dziwna ta pobłażliwość Piusa dla znienawidzonego Roothana, zaciętego przeciwnika dążeń nowoczesnych, a gorącego stronnika Austrji, obudziła podejrzliwość went karbonarskich, i popularność papieża, którego rząd ociągać się począł z przeprowadzeniem zamierzonych reform, mierzchła powoli. Widząc wzrost wpływów Roothana podał się liberalny kardynał-sekretarz stanu Gizzi do dymisji, oskarżając Piusa o słabość i chwiejność. Posąg Pasqui'na przemówił znowu, a słowa jego były: „Pius IX stał się jezuitą!...“

Jakoś pod ten czas właśnie zaszło zdarzenie, które się niemało przyczyniło do rozszerzenia przedziału, który pomiędzy papieżem z monarchą a sercami jego poddanych otwierać się poczynał. Z powodu bratobójczej wojny, w Szwajcarji podówczas pod imieniem *Sonderbundu* trwającej, która jak wiadomo przez wichrzenia jezuitów została wywołaną, zamieścił był liberalny Monsignor Garrola *w Contemporamo* artykuł przeciw temu zakonowi, ganiąc ostro postępowanie tego stronnictwa, które tak chętnie rzuca się w polityczne zamieszki, zapominając o pojednawczym duchu religji Chrystusa. Ulegając naciskowi przeciwnego reformom stronnictwa, a mianowicie Jezuitów, którzy na niego przez jego spowiednika wpływ wywrzeć się starali, kazał Pius umieścić w urzędowym dzienniku potępienie tego artykułu, skazując jednocześnie Mra Garollę na wygnanie i składając z urzędu cenzora, który artykuł ten przepuścił.

Surowe te kary tak mało licujące ze zwykłą pobłażliwością papieża, oburzyły liberalną opinję publiczną, która nie bez pewnej słuszności dopatrywała w nich owoc wpływów jezuickich. Na dane z went karbonarskich hasło zaprzestały wychodzić wszystkie w Rzymie dzienniki, i papież, widząc oburzenie w umysłach surowością przeciw Monsignorowi Garroli wywołane, widział się zmuszonym do cofnięcia odnośnych rozporządzeń.

Ten sam charakter połowiczości miały też wszystkie późniejsze akta rządu papieskiego, gdy Pius IX, ulegając naciskowi onych prądów, które w lutym r. 1848 obaliły tron Orleanów, postanowił nadać poddanym swoim konstytucję. Jakkolwiek ustawa ta d. 14. marca r. 1848 za ministerjum liberalnego podówczas wielce kardynała Antonellego ogłoszona, była w porównaniu do dawniejszego absolutnego ustroju papieskiego Państwa olbrzymim krokiem na drodze postępu, to jednakże nie mogła ona zadowolnić umysłów, które roznamiętniało powodzenie lutowej rewolucji, albowiem konstytucja ta pozostawiała bardzo wiele atrybucji władzy duchownej, powierzała urzędy wyłącznie katolikom, poddawała prasę surowej cenzurze, i dozwalała w wielu niejasnych punktach na dowolne tłumaczenie ustawy.

Nie mniej połowiczem było zachowanie rządu papieskiego w wojnie przeciwko Austrji, którą Pius IX, ulegając naciskowi narodowego ruchu, podjąć musiał w sojuszu z Piemontem i lombardzko-weneckiem powstaniem, celem wyswobodzenia krajów włoskich, pod rakuzkiem panowaniem będących. Komendę wojsk papiezkich, przeciw Austrjakom wysłanych, powierzył był Pius IX jenerałowi Durando, zalecając mu jednak wyraźnie, by nie przystępował do akcji jak tylko w razie ostatecznej konieczności. „Durando nie wzbudza we mnie obawy“ — mawiał papież, pocieszając konserwatystów zaniepokojonych orężnem wystąpieniem Kościelnego Państwa. Aliści dwuznaczna ta ostrożność nie pomogła tym razem wcale, Durando bowiem ulegając rozkazom ministerstwa papiezkiego, które opinja publiczna ku stanowczej parła akcji, wystąpił czynnie, biorąc udział w wojnie przeciw znienawidzonym Austrjakom, a Pius IX chwilowo pod wpływem konserwatystów zostający, udzielił mu za to urzędową naganę, w skutek czego ministerjum papiezkie podało się do dymisji.

Fakt ten zwrócił przeciwko papieżowi agitację przywódzców narodowego stronnictwa, i ani powołanie do ministerjum Mamianiego, ani też późniejsze wystąpienie Piusa IX., który wystosował odręczne pismo do cesarza Austrji, wzywając go, aby w imię sprawiedliwości zrzekł się sam dobrowolnie władztwa nad dzierżonemi przez się włoskiemi ziemiami, nie zdołały wyrównać przepaści, dzielącej odtąd młode Włochy od świeckiego papieztwa. Dumne „*Italia fara da se*“ sardyńskiego króla Karola Alberta, i bohaterska obrona Wenecji, która pod kierunkiem nieustraszonego Manina przez dziewięć miesięcy opierała się austrjackiej przemocy zwróciły oczy Włochów ku innej stronie. Ulegając coraz bardziej wpływom t. z. konserwatystów, których głową stał się był dawny sanfedysta Roothan, począł Pius skłaniać się coraz bardziej ku reakcji. Miejsce liberalnego Mamianiego zajął Edward Fabbri, a następnie niepopularny Pelegrino Rossi, który dnia 15. października 1848 podczas rozruchu w Rzymie wybuchłego został zamordowanym. Wtedy to, zrywając stanowczo z liberalnym kierunkiem, opuścił Pius IX, Rzym i udał się do Gaety pod opiekę neapolitańskiego króla Ferdynanda II, znanego pod imieniem: *Bourbon-Bomba*, a Izba państwa Kościelnego, uważając krok ten jako abdykację, zamianowała rząd tymczasowy, przeciw któremu papież zaprotestował.

Dalsze wypadki panowania Piusa IX, powstanie i upadek rzeczypospolitej rzymskiej, interwencja francuska, wzrost reakcji pod ministerstwem Antonellego, który

sprzeniewierzywszy się swym dawnym liberalnym zasadom, stał się był zaciętym przeciwnikiem dążeń nowoczesnych,— smutne zdarzenia z lat 1859 i 1860, bitwa pod Castel-Fidardo, zajęcie Ankony, i nakoniec upadek doczesnej władzy papieża w r. 1871 są nadto znane, abym je tutaj poruszał. W monografii niniejszej nie zamierzałem zresztą opowiadać dziejów panowania Piusa IX, a jeżeli rozszerzyłem się tu nad pierwszemi latami rządów jego, podając tu niektóre mało zresztą znane szczegóły, to jedynie dla tego, aby za pomocą rzuconego w ten sposób światła skreślić ile możności wierny obraz tego znakomitego męża, i wytłumaczyć to, co inaczej w jego postępowaniu mogłoby się wydać niejasnem i zagadkowem.

Każdy człowiek, chociażby był tak znakomitym jak Pius IX, nie jest, jeżeli nań ze stanowiska dziejowej krytyki poglądamy, niczem innem, jak tylko rezultatem czasu, stosunków i otoczenia, wpośród którego żyje. Nic więc dziwnego, że zmarły papież, podczas gdy go sprawiedliwość jego i umysł pojednawczy do uwzględnienia słusznych wymagań ducha czasu kłoniły, a krępowały tradycje teokratycznej papiezkiej monarchji, z któremi zerwać nie pozwalała mu pobożność jego i hieratyczny niemal charakter tej instytucji, wbudził nadzieje, których nie ziścił. Nic dziwnego, że postawiony wpośród dwóch przeciwnych sobie prądów na fali wypadków, które go niebawem przerosły, porywany bywał to w jednym to w drugim kierunku,—że nie pojął olbrzymiego dziejowego fenomenu, który się z nieubłaganą logiką rozwijał pod jego okiem, tak samo jak go zrozumieć nie umieli nawet tacy mężowie stanu jak Metternich, — że nakoniec nie zdołał rozwiązać swego zadania, którem było pogodzenie kościoła z nowoczesnemi dążeniami, jak się tego domagali Giggi, Antonelli, Ventura i inni liberalni duchowni, lecz popchnięty przez reakcję wypowiedział w znanej swej encyklice *Syllabus* z d. 14. grudnia r. 1864 zaciętą wojnę postępowym zasadom i rezultatom nowoczesnej nauki.

Miejmy nadzieję, że panujący nam obecnie Ojciec Święty wyrówna przepaść pomiędzy kościołem a światem żyjących w ten sposób wykopaną, a podaje mu ku temu środki działania potężne ogłoszony przez Piusa IX dogmat nieomylności, który w ręku papieża złożył całą władzę kościoła. W istocie rzeczy wojna pomiędzy wiarą a nauką nie ma żadnej racji bytu, i polega, tak jak dziś rzeczy stoją, tylko na nieporozumieniu, albowiem pomiędzy wiarą a wiedzą nie masz sprzeczności, gdyż tak jedna jak i druga jest prawowitym owocem myśli człowieka. Wiara nie może zasklepiając się w dogmatach odrzucać namacalnych rezultatów nauki, te bowiem narzucają się z brutalnością matematycznych pewników; — nauka zaś niemoże na podstawie przypuszczeń zaprzeczać wiary, opuściwszy bowiem swój grunt realny, przestałaby być nauką, i stałaby się wiarą. Wiedza i wiara powinny istnieć oddzielnie, o ile umysłowe i moralne potrzeby ludzi istnienia ich domagają się. Ale jak sprawy wiary powinny być zostawione tradycji religijnej i sumieniu, tak sprawy wiedzy tradycji naukowej i rozumowi.... Zadaniem wiary jest: otwierać człowiekowi źródła pociechy, których nauka przy ograniczonej naszej wiedzy dać mu nie może; — zadaniem badań naukowych jest: zdobywać coraz większy zakres wiedzy, usuwać przesądy, w skutek czego nauka doskonali wiarę coraz bardziej. Tak kroczy ludzkość przez wieki na drodze postępu dalej i dalej, dorabiając się wiary i wiedzy coraz doskonalszej.

Aliści wracając do Piusa IX, muszę tu jeszcze słów kilka powiedzieć o dogmacie nieomylności papiezkiej, o którym zdarzyło mi się słyszeć zdania najdziwaczniejsze. Jest to niemal powszechnem zdaniem, że ogłoszeniem tego dogmatu przyznano papieżowi przymiot, z ułomną naturą ludzką niezgodny, a tylko Bogu właściwy. Zdanie to jest zupełnie mylnem, albowiem uznanie papiezkiej nieomylności nie było niczem innem, jak tylko złożeniem w rękę następcy Św. Piotra owej władzy, która dotychczas była atrybucją soborów, a zatem tylko — że się tak wyrażę — zmianą rządów parlamentarnych, jeżeli sobie sobory jako rodzaj parlamentu do rozstrzygania spraw teologicznych przedstawimy, na rodzaj nieograniczonej dyktatury. Sądziłem, że wzmianka ta jest tutaj na czasie dla oświecenia tych, którzy idąc za głosem niemieckich dzienników, zarzut z tego powodu przeciwko Piusowi IX podnoszą. Jakkolwiek rewolucja ta w łonie kościoła dokonana była zerwaniem z tradycją wiekami uświęconą, to jednakże mogła ona tylko obchodzić episkopat w soborach udział biorący, a ponieważ, sobór ogłaszając dogmat nieomylności, przelał swą władzę na papieża, przeto też szyzma tak zwanych starokatolików i biskupa ich Döllingera wrzekomo w skutek ogłoszenia tego dogmatu powstała, niema żadnej racjonalnej podstawy, i musi przez każdego rozsądnego człowieka, jako prawdziwa kłótnia o wiatr być potępioną.

Pomimo przeciwności, których nie szczędził los Piusowi IX na ciernistej drodze jego żywota, postawiwszy go na stanowisku, na którym częstokroć postępować musiał wbrew popędom swojego serca tak pełnego miłości, i swojego wolnomyślnego umysłu, — zachował Mastai-Feretti aż do śmierci swej niezrównaną słodycz i łagodność charakteru, która go w młodym wieku odznaczała. Również nieopuszczały go nigdy wrodzona żywość i dowcip pełen dobroduszności, który czasami zaostrzał się satyrycznie, a liczne jego *concetti* solą atycką zaprawne, mogłyby, gdyby je ktoś zebrał, kilkotomowe stanowić dzieło. Dowcipy te najczęściej na audjencji ze zwykłą południowcom swobodą wypowiedziane, nie zawsze licowały z polityką stronnictwa, które niegdyś przeciw Piusowi IX spiskowało, a potem gorliwą udając pieczołowitość, każdego

kroku jego pilnowało, otaczając go swą nieproszoną opieką. Nieraz też, gdy epigramat taki rozgłoszonym został po mieście, starano się temu zaprzeczyć, iż to Ojciec święty powiedział, aliści urzędowe i półurzędowe te zaprzeczenia nie znajdywały wiary w Rzymie, gdzie większą przywiązywano wagę do świadectwa gości na audjencji obecnych, którzy słyszeli ów epigramat.

Znając żywość temperamentu zmarłego papieża nie spuszczało go owe stronnictwo, więcej od samego papieża papiezkie, nigdy z oka, i zazwyczaj, gdy Pius IX rozpoczynał z kimeś rozmowę nie przypadającą do smaku jego otoczeniu, starał się Monsignior Paua, lub inny z pełniących służbę szambelanów, przerwać ją, przedstawiając ceremonjalnie któregoś innego z obecnych gości. Pius rzadko kiedy protestował przeciw tej tyranji, zdarzało się jednakże, iż się interwencja podobna nie udawała...

Pomimo tej łagodności i słodyczy bywał jednakże ś. p. papież także czasami dosyć gwałtownym, a mianowicie wtedy, gdy niezwykła jakaś nikczemność oburzenie jego wywołała. Kategoryczne: *Fuori* (precz!), którem pożegnał moskiewskiego posła barona Mayendorfa pozostanie na wieki pamiętnem, a nadmienić mi tu wypada, że chodziło tu o Polskę, której Pius IX wiernym był przyjacielem. Gorliwe jego noty dyplomatyczne w obronie polskiego kościoła, modły za naszą sprawę, do których wezwał chrześcijaństwo w czasie ostatniego naszego powstania, a nakoniec błogosławieństwo, które przyjmując pielgrzymów naszych w roku zeszłym „całemu Polskiemu udzielił Królestwu“ zapisane są niestartem pismem w sercu każdego Polaka. Życzliwe objawy nie były li tylko aktem okolicznościowej polityki, lecz owszem wynikiem szczerej przyjaźni dla tego „narodu męczenników, w którego kraju każda garść ziemi jest relikwią. Dowodem tego jest zajęcie, z którem się zawsze dopytywał o Berunia, owego krakowskiego chłopa, który pieszo przyszedł złożyć hołd swój u stóp jego, tudzież uprzejmość, z którą zawsze zwykł był przyjmować Polaków. Trudności, które w ostatnich latach jego panowania czyniono niekiedy osobom chcącym się zbliżyć do jego tronu, były jedynie i wyłącznie dziełem owego nienawistnego stronnictwa, które jak już mówiłem, otaczało Piusa IX zawsze swą nieproszoną opieką.

Dla ubogich miał ś. p. papież zawsze serce otwarte i dłoń pomocną. Co roku do końca życia rozdawał on pomiędzy ubogich w Rzymie cztery miljony, zapominając zupełnie o własnej rodzinie, która nie wzbogaciła się wcale pod jego panowaniem i jest dziś równie niezamożną, jak w owym czasie, gdy młody Mastai, szukając kawałek chleba, zamierzał zostać żołnierzem.

Właściwości charakterów kobiecych.

(Ciąg dalszy.)

Obok typu kobiety „nie wiedzącej czego chce“ może stanąć godnie typ inny, pozornie tylko pierwszemu przeciwny — kobiety „chcącej się wszystkim podobać“.

Wprawdzie... któraż podobać się nie chce? a przytem i mężczyznom chęć taka nie jest obcą, lecz nam tu chodzi o te typy, w których chęć podobania się góruje nad wszystkiemi innemi cechami, a które pospolitsze są u kobiet niż u mężczyzn.

Oba te typy mają jedno źródło: d r o b n e u c z u c i a; tylko że w pierwszym są one bardziej urozmaicone a ztąd często sprzeczne, w drugim bardziej jednostajne i zgodne; kobieta „nie wiedząca czego chce“ wiecznie szuka szczęścia, nawet wtedy, gdy je już znalazła — kobieta „chcąca się wszystkim podobać“ wiecznie sądzi, że znajduje szczęście nawet wtedy, gdy jest najdalej od niego; to też gdy pierwsza swoim płytkim pesymizmem dręczy siebie i innych, druga powierzchownym optymizmem bawi i ludzi i drugich i siebie samą. A jednak wspólna podstawa tych charakterów w drobnych uczuciach, w tych, jeśli się tak wolno wyrazić u c z u c i o w o s t k a c h, jest widoczną. Podobnie jak kobieta „nie wiedząca czego chce“ kaprysi tylko, nie żywiąc dla nikogo ani prawdziwej miłości, ani prawdziwej nienawiści, tak kobieta „chcąca się wszystkim podobać“ doznaje tylko drobnych uczuć sympatji lub antypatji, które nią przerzucają to w prawo to w lewo, choć zawsze w jednym celu. Ona nie kocha, ona tylko bawi się w miłość i chce, żeby wszystkich ta zabawa bawiła. Miłość prawdziwa wyłącza zalotność. Jestto nawet zależność bardzo dogodna dla obserwatorów: Kobieta zalotna z natury, staje się coraz mniej zalotną, im więcej kocha, im kocha głębiej. Wówczas bowiem wszyscy inni, po za ukochanym, maleją w jej oczach, zchodzą na plan drugi, — „mój świat gdzie ty“ mówi się wówczas; kocham cię, to znaczy wystarczasz mi. Tymczasem kobieta „chcąca się wszystkim podobać“ nigdy tego nie powie, a przynajmniej nigdy tego nie uczuje; ona rozdrobniła swoje uczucie na atomy i rozsypuje je w około w spojrzeniach i kwiatach, w uśmiechach i perfumach, w półsłówkach i kokard-

kach, w gestach i brylantach. Cała jej istota, — a przez istotę rozumiem nietylko suknię, rękawiczki i buciki, ale także i włosy i usta i oczy — przysypana jest brylantowym pudrem zalotności. Wszystko się błyszczy, chociaż nic się nie pali; wszystko łaskocze nerwy, chociaż nic nie chwyta za serce. Takie kobiety mają zdumiewającą świadomość siebie, oczywiście nie tę filozoficzną, ale tę, którą by można nazwać peryferyczną, bo się odnosi do wszystkiego, co leży na powierzchni, na granicy pomiędzy istotą żywą a jej otoczeniem.

Na tych to kresach kobieta „chcąca się wszystkim podobać" utrzymuje stale całą armiję środków i środeczków, z któremi wyrusza na podbój świata. A armja to karna i wiecznie czujna: należy do niej zarówno strój jak wyraz oczu, zarówno dowcip złośliwy jak i wiadomości z historji powszechnej.

Kobieta zalotna, będąca wodzem tej armji, nie zapomina o niej nigdy. Rozmawia żywo z przyjaciółką, zdaje się, że jest cała zaabsorbowana rozmową, a tymczasem każdy jej uśmiech, każde ustawienie profilu, poprawienie włosów, każdy rzut spojrzenia w przestrzeń, obliczony jest według tego, kto stoi na prawo albo na lewo. Zapatrzysz się na brzegi jej sukni — ona wnet tam rzuci okiem, domyślając się czegoś niewłaściwego. Przechodząc przez ulicę, przestrasza się koni, wtedy gdy to może mieć swój efekt; staje się nieuważną i zamyśloną wtedy, gdy tem może zwrócić na siebie uwagę; na pogrzebie rodzonej matki, zanosząc się od płaczu, nie zapomina jednak o układzie czarnej sukni i odpowiedniem przypięciu krepowego welonu; jest zalotną we śnie w układzie białych ramion i rozpuszczonych włosów, chociaż spi sama w pokoju, i jeszcze na łożu śmiertelnem myśli o tem, jak będzie wyglądała w trumnie?

Kobieta zalotna charakteryzuje się jeszcze tem, że chce być podziwianą zarówno przez mężczyzn, jak i przez inne kobiety. Ona nie może być ubraną gorzej od najlepszej przyjaciółki, a na balu nieraz więcej nawet dba o to, co o jej stroju powiedzą kobiety, niż o to, co powiedzą mężczyźni. Uczuciowostki swoje rozszerza na wszystko, co ma związek z podobaniem; jest zazdrośną o wystawę sklepową, która odciąga spojrzenia przechodniów, jej należne. Ale ta zazdrość nie jest ani większą, ani mniejszą od tej, jaką żywi dla ludzi, godnych miłości. Ona tylko po prostu wszystko odnosi do siebie. Czy w loży w teatrze, czy w kościele na nabożeństwie, czy w salonie na balu, zawsze czytasz w jej twarzy wezwanie: patrz i podziwiaj! widowisko — to ja, nabożeństwo — to ja, bal — to ja; dalej niepotrzebujesz patrzyć, niepowinieneś nawet.

Ale nie sądźcie bynajmniej, że jest ona w słowach zarozumiałą i przyzywającą. Wcale nie. Owszem, nigdy sama się nie chwali, raczej oczernia, ale też długoby musiał pożyć ten, ktoby się chciał doczekać, żeby pochwaliła inną! Nigdy nie przyzywa, chyba dla żartu, ale posiada ona tę siłę, którą dr. Levittoux w swojej Filozofii Natury nazywa odpychającem przyciąganiem. Powiada ci: „idź pan sobie" wtedy, gdy jest pewną, że wrócisz.

W jednej z humoresek francuzkich mówi przyjaciółka do przyjaciółki:

— Elwiro! zaczynam się lękać, żeby mnie Alfred nie porzucił... Jak go zatrzymać?...

— Wypchnij go za drzwi.

Oto co się nazywa odpychającem przyciąganiem.

Kobiety tego autoramentu niedoznają nigdy wielkiego szczęścia, ale też nic im nie dogryzie do żywego. Są to motyle fruwające z kwiatka na kwiatek, nikomu nie szkodliwe, dla nikogo nie pożyteczne. Migotać w promieniach słońca — oto ich rola na świecie.

Typ to powszechniejszy jeszcze niż pierwszy, bo nieogranicza się sferą cywilizacji. Przedstawiać go może zarówno wiejska dziewczyna z czerwoną wstążką u koszuli, jak i wielka dama w brabanckich koronkach. Ale drogi ich inne: pierwsza idzie w poniewierkę — druga staje na świeczniku; wtedy pierwsza należy do policji — druga do historji — obok pani de Pompador. —

Ale czas nam już przejść do prawdziwych uczuć.

Podkład uczuciowostek nie ginie wprawdzie nigdy w duszy większości kobiet, ale na jego gruncie wyrasta często bujny kwiat prawdziwych uczuć, który aromat swój i barwę rozpościera na całe życie wewnętrzne. A uczuciem takiem jest przedewszystkiem miłość. Powiedziałbym nawet że wziąwszy ją w szerszem znaczeniu, jako miłość nietylko osób, ale i rzeczy i idei, będziemy mogli do niej i do jej konsekwencji sprowadzić wszystkie w ogóle uczucia ożywiające serce ludzkie. A jeśli myśl ta ma pewne uzasadnienie ogólne, to ma je w szczególności w zastosowaniu do duszy kobiety. Kobieta nie będąca potworem, kocha zawsze, kocha, co umie i jak umie, ale kocha, „bo bez miłości czyż można żyć?"

Ta okoliczność wyjaśnia nam wszystkie wady i wszystkie zalety jej charakteru. Ona żyje, a więc kocha, kocha a więc jest dobrą, poświęcającą się, wyrozumiałą, cierpliwą — albo też złą, nienawidzącą, niesprawiedliwą i kapryśną. Jeżeli mężczyzna objawia swój charakter w miłości, to kobieta nabiera go dopiero w miłości i przez miłość. Nie możesz powiedzieć o kobiecie jaką jest, dopóki nie widziałeś, jaką jest, gdy kocha. Sądziłeś, że to gąska wiejska a miłość robi z niej awanturnicę; sądziłeś że to anioł dobroci, a miłość robi z niej trucicielkę; sądziłeś że to królowa, a miłość robi z niej sługę; widziałeś jak się lękała szmeru drzew a potem widzisz ją w szeregu walczących powstańców; była lalką salonów a miłość uczyniła ją pracownicą; nie mogła znieść widoku rany a została lekarką lub szarytką; lubiła tylko jeździć konno i polować, nudziły ją bale i koncerta a teraz obszywa pieluszki i



BRUNEHILDA. (Na stronicy 139).

niczego jej do szczęścia nie brakuje. Teraz ją dopiero widzisz jaką jest; bo teraz dopiero żyje całą duszą a nie naleciałemi zewnątrz fantazjami albo bezbarwnym domowym nałogiem.

Jakże często własna matka myli się co do charakteru córki, dopóki nie widziała jak kocha; jakże częściej jeszcze mąż nie rozumie własnej żony, jeśli ją pojął bez miłości! A to wszystko razem wzięte składa się na panującą opiniją, wedle której kobieta jest Sfinksem... Zapewne, jest to Sfinks, ale który milczy wtedy tylko gdy nie kocha, kochając przemawia głośno, bardzo głośno i bardzo wyraźnie.

Dlaczegoż jednak miłość w życiu kobiety tak wielką odgrywa rolę?

Oto dlatego że u niej w ogóle ustrój organiczny jest taki, że wrażenia łatwiej rozpościerają się na całą istotę. Nerwy łączące mózg z sercem łatwiej przenoszą podrażnienia i cały system mózgo-rdzeniowy znajduje się w ściślejszym związku ze zwojami i gałązkami nerwów sympatycznych, nerwów życia roślinnego. Stany ciała, a w szczególności niektórych organów łatwiej oddziaływają na bieg myśli i naodwrót stany duchowe chociażby nie zbyt głębokie, posiadają większą siłę extenzywną, siłę rozprzestrzeniania się, na czem właśnie polega uczuciowość. Kobieta bierze wszystko nie ze strony obojętnej, przedmiotowej, lecz uczuciowej, podmiotowej. Nie ten jest rozumniejszy który więcej umie, ale ten którego się więcej kocha; najpraktyczniejsze jest to, co się najwięcej podoba, a najpiękniejsze to, co modne. Jeszcze Kant zauważył, że gdyby chodziło o rozsądzenie własnej sprawy, kobieta wolałaby zawsze sąd mężczyzn niż kobiet, podczas gdy mężczyzna wcaleby się nie wywzajemnił zaufaniem. Nie ma niesprawiedliwszej istoty na świecie nad kobietę, która bardzo kocha. Jej dzieci i tylko jej dzieci są gienijuszami, jej kochanek i tylko jej kochanek jest półbogiem — a kobiety, inne kobiety... no, te dobrze wychodzą na sądzie tej, która rozmawia z kochankiem!

Powiadasz że jest wcale miłą....

— No tak, ale jej dwóch zębów brakuje.

— Ma bardzo ładne włosy. —

— O! ona je umie farbować!

— Bardzo przyjemna w rozmowie...

— A! języczek ma wyprawny!

I tak dalej.

Kobieta, która kochając umie być jako tako bezstronną, należy do wielkich charakterów. Znajdź taką, a będziesz szczęśliwy.

Zawiść, będąca tylko uczuciowostką staje się zazdrością, gdy przechodzi w uczucie. Kochać bez zazdrości jest równie niepodobnem, jak nienawidzieć bez przyjemności zemsty. Ale wielkie charaktery, umieją panować nad temi uczuciami, chociaż często tylko przez dumę! Kobieta dumna nie okaże tego, że jest zazdrośną, bo uważałaby to sobie za poniżenie. „On by miał kochać inną, mając mnie! Jabym mu miała okazać to, że wiem o swojem poniżeniu! A może jeszcze wyprosić tem pieszczoty, odebrać kilka słów czułych z litości!.. O nie! raczej pogarda niż litość!“

Kobieta dumna, w takich razach podwaja swą energją, swą władzę nad sobą, podwaja wszystkie środki przynęty a jednocześnie marszczy brwi i staje się zimną, jak lód... „Musi wrócić“, mówi do siebie — i ty wracasz nieboraku skruszony, klękający, całujący po rączkach, pokorny jak baranek; — wtedy ci daje poznać wszystko, coś chciał bezmyślnie utracić — i tryumfuje, nieokazując jednak tryumfu. Wróciłeś, bo ją kochasz, bo „musisz kochać.“

Tego rodzaju duma w większym lub mniejszym stopniu jest właściwą wszystkim kobietom. Jest to tak zwana „broń niewieścia“, która rzadko zawodzi. W ostatnim razie przychodzi jej w pomoc inny jeszcze rodzaj niewieściej broni, kłującej w samo serce: są nim łzy. Wzięty we dwa dumy i pokory ognie kapitulujesz jak Napoleon pod Sedanem i jeszcze musisz przepraszać za to, żeś śmiał walczyć!

Jeżeli zaś wytrwasz w gniewie, mając słuszne do niego powody a ją wewnętrzne pobudki: brak wrażeń, nudy, wreszcie wyrzuty sumienia, zmuszą do proszenia o przebaczenie, to nie uczyni tego nigdy wprost, tak jakby to uczynił mężczyzna, ale obróci kota w worku i przyszedłszy do ciebie pierwsza, powie, że jesteś niegodziwy, że jej życie zatruwasz, przekręci twoje słowa i dowiedzie ci jak na dłoni, że to ona była niesłusznie obrażona, dotknięta, sponiewierana i ostatecznie skończy się tem że będziesz sobie poczytywał za łaskę, jeśli ci się pozwoli przebłagać.

Już to wogóle w kobiecie kapryśny podkład uczuciowostek musi się w mieszać do każdej sprawy i przenicować ją tak, że nie wiesz z której beczki zacząć. Dajmy na to n. p. że cię przestaje kochać, znudziłeś jej się i chciałaby być wolną; — czy sądzisz że powie ci to wprost, tak jak przyrzekła? — Nie. Ona zacznie wtedy wmawiać w ciebie, że to ty ją porzucasz, zaniedbujesz, przestajesz kochać, unieszczęśliwiasz jednem słowem. — Albo weźmy przeciwny wypadek: ona zaczyna cię kochać i chciałaby cię przyciągnąć, chciałaby żebyś częściej bywał, żebyś myślał o niej. — Czy sądzisz że w tym celu będzie dla ciebie uprzejmą, że cię wyróżni od innych? — Nie, ona zacznie z tobą złośliwą rozmowę, będzie ci robić przycinki, albo nawet wprost powie, że cię niecierpi, nienawidzi. Jeżeli tak, to znaczy, że cię już kocha, chociażby sama o tem nie wiedziała. Ale biada ci jeśli okażesz, że uczuwasz haczyk wędki. Ty powinieneś ją chcieć, nie ona ciebie — tak samo jak ty powinieneś być winnym rozwodu nie ona. Porzuca cię ona, nie ty ją, ale porzuca z twojej winy, nie ze swojej.

Lecz z drugiej strony ta duma, którą sama natura odpornej roli kobiety rozwinęła, a którą staranne wychowanie utwierdza, jest zarazem jako poczucie godności najpiękniejszą cechą charakterów kobiecych i o ile nie przechodzi w namiętność, nadaje istocie niewieściej majestatyczność wdzięku, takt w postępowaniu, szlachetność i umiarkowanie w żądaniach. I tylko taka kobieta może liczyć na trwałość szczęścia w miłości, tylko taka zdoła utrzymać męża, nie tracąc w nim kochanka, zachować ojca swoim dzieciom a obywatela krajowi, nie tracąc męża. Gdyby szacunek nie uszlachetniał i nie utrwalał uczucia — instytucja małżeństwa byłaby niemożliwą. Szał chwilowy zastąpiłby miejsce miłości, żylibyśmy wrażeniami, nie uczuciami, i ideały ulatywałyby z naszych serc jak bańki mydlane.

Pięknie powiedział Beaumarchais. „Natura mówi do kobiety: bądź piękną jeżeli możesz, rozumną jeśli chcesz, ale bądź szanowaną, boś nią być powinna“. A Stendhal przytaczając tę uwagę, dodaje: „Bez szacunku nie ma uwielbienia a bez uwielbienia — miłości.“

Kochać jest to przedewszystkiem cenić — a trzeba przyznać iż w tym względzie kobiety często stoją od nas wyżej, bo szanują nas wtedy nawet, gdyśmy nie bardzo warci, podczas gdy nas, nowomodne lekceważenie towarzystwa kobiet nauczyło uważać je tylko za miłą zabawkę, za elegancki mebel, który stałby się pewno czemś więcej, gdybyśmy pamiętali o oprawieniu naszych barwistych ideałów w ramki szacunku. Ileż razy trafia się, że kobieta nie porzuca męża, którego słabość i okoliczności uczyniły występnym — bo ona go szanuje kochając, bo go przywykła cenić i nawet w upadku wierzy w jego podźwignięcie się. My zaś żądając od kobiet nierównie więcej niż sami dajemy—nie umiemy nawet dać jej tego, co jej się z prawa należy — równego szacunku. I piorunujemy potem na zdradę kobiety, którą w pierwszych latach małżeńskiego pożycia uważaliśmy za lalkę, służącą do przyozdabiania salonu podczas wieczorków domowych, którą psuliśmy cukierkami powierzchownej adoracji, w której rozbudziliśmy wszystkie instynkta — z wyjątkiem własnej godności.

(C. d. n.)

TURECKI KOZAK.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Napróżno przez długie miesiące oczekiwałem powrotu mego wiernego Ferenza.

Pół roku, — cały rok przeszedł wśród tysiąca cierpień — on nie wracał.

Wysłałem listy do przyjaciół w ojczyźnie — żaden z nich nie odpowiedział — lub też może odpowiedzi ich przejęto i zniszczono. Jeśli parowiec jaki przepływał Dunajem, biegłem na wybrzeże, spodziewając się ujrzeć jakieś z Węgier znajome oblicze — nie znalazłem żadnego, a obcy, do których zagadałem, nie chcieli czy nie mogli mi nic powiedzieć.

Zwróciłem się tedy z zapytaniami do kapitanów prowadzących parowce. I ci nic nie wiedzieli. Jakkolwiek bowiem znaczne były stosunki dolnego z górnym Dunajem — jednakże handlowe relacje uległy zerwaniu — i trzeba było długiego czasu, ażeby przy wzajemnej handlowej nieufności mogły się zawiązać na nowo.

Wreszcie ta wewnętrzna rozterka i męczarnia oczekiwania zrobiły mnie apatycznym, niechętnym do pracy, ciężącym samemu sobie. Coraz bardziej utracałem możność zaoszczędzania najmniejszej choćby sumki, z którą mógłbym się był przebić do Włoch lub do Szwajcarji i tam wywiadywania się o losie Erwiny ciągnąć dalej. Muskuły moje i nerwy straciły sprężystość i siłę... Życie moje równało się snowi na jawie.

Potrzeba znać gnuśne, denerwujące życie na Wschodzie, aby pojąć, jaki zabijający wpływ na duchowe funkcje wszystkich przybyszów wywiera ono; jak w gościu po dłuższym pobycie wyrabia się jakaś flegma, jakieś zobojętnienie do ruchu i zewnętrznego życia, którego zresztą w ogólności mało tu widać.

Trzy lata przeżyłem w takiem nędznem, upokarzającem, prawie niewolniczem istnieniu. Jak mogłem je przenieść — zagadką dziś dla mnie. Było to jakieś bez czucia wegetowanie: żadnej walki, żadnego dążenia, pragnienia, rozkoszy lub niedostatku już nie odczuwałem w sobie; zmysły moje stępiały do tego stopnia, iż zaledwo ból poczuć były zdolne.

Jeden tylko punkt świetlany błyskał mi jeszcze wsród tej nocy: Erwina! Dla mnie była ona już niepowrotnie

straconą, a jednak, jeśli mi jeszcze kiedy jaka myśl przychodziła, to tylko o niej. Gdym ją sobie wspomniał, wpadałem nieraz w paroksyzm, który moi orjentalni przyjaciele ze znaczącem potrząsaniem głową obserwowali i stronili odemnie—bo w tych „godzinach szaleństwa“, które ich keff spokojny przerywały, wydawałem im się niebezpiecznym.

Tak przeszły lata.

Naraz zabrzmiała w Europie trąba wojenna. Moskwa wpadła do Wołoszczyzny. Porta gotowała się do wojny. Brakło ludzi. My wywołańcy, czuliśmy że nadeszła nasza godzina. Nawet ja się zbudziłem.

Zajmowałem wówczas rodzaj instruktorskiego stanowiska. Musiałem więc wziąć energiczny udział w przygotowaniach wojennych. To mi się podobało. Otrząsłem się znowu z mego letargicznego stanu, młodzieńcza siła odżyła we mnie. Moskwie—to była naszym artykułem wiary—zawdzięczaliśmy niedolę naszej ojczyzny — trzeba jej za to było zapłacić!

Honwed zmartwychwstał we mnie! Sadyk Pasza uformował korpus tureckich kozaków. Wszedłem doń w stopniu porucznika, i uczułem w istocie, jak mój duch się rozjaśniał, powoli do dawnej świadomości przychodził, gdy się znowu w otoczeniu koleżeńskiem ujrzałem.

Wojska moskiewskie zalały cały Wołoszczyznę. Zjawiły się także i naprzeciwko nas na drugim brzegu w Kalafacie i przez rzekę przesyłały nam kule.

W fortecy naszej zrobiono nader mało dla ubezpieczenia jej na przypadek ataku. Cała pewność była w Dunaju, jako naturalnym szańcu.

Gdy jednak Moskale na zakręcie, który Dunaj czyni, okrążając wysoko wzniesioną wioskę Kalafat, stworzyli sobie świetną pozycję — rozkazano nam, abyśmy ją im odebrali.

Kalafat został wzięty — i to wzięty szturmem przez nas, podczas gdy moskiewscy oficerowie, ani się naszego ataku niespodziewając, w kawiarni po smacznym objedzie, zęby sobie wykłuwali. Umocniliśmy się w tym punkcie i przez całą kampanję naddunajską nie wypuściliśmy go z ręki. W Kalafacie dopiero rozpoczął się dziki wojenny żywot. Moskale zasypywali nas granatami, a my z otwartych szańców naszych odpowiadaliśmy im energicznie. Sprobowali zaatakować nas, odparliśmy ich, z wielkiemi dla nich stratami. Zajęcia wśród tego nigdy nie brakło: trzeba było ćwiczyć rekrutów, zabezpieczać i naprawiać fortyfikacje, robić ciągłe wycieczki. Ruch ten bezustanny ożywił mnie niezmiernie. Stałem w najściślejszym koleżeńskim stosunku z memi współziomkami i różnonarodowemi oficerami, służącemi w wojsku tureckiem Polakami, Francuzami, Niemcami i Anglikami. Piłem z nimi, grałem, biłem się z nimi. Czemże mi były pieniądze, zdrowie, życie?

W tem pewnego dnia, gdym stał z moim szwadronem w polu, po za wsią, w pogotowiu do walki, — oczekiwaliśmy bowiem nowego ataku — nagle przystępuje do mego konia skurczona, żebracza, w łachmanach postać, i woła mnie po imieniu. Drgnąłem na dźwięk tego głosu. Było to jakby wołanie z obcego świata, jakby jakieś echo grobowe z przeszłości mojej.

Zdziwiony, zmięszany, spojrzałem — przedemną stał Ferenz!

Śmiał się do mnie z wyrazem najwyższego uszczęśliwienia na szerokiem, brunatnem obliczu; pochwyciwszy namiętnie za strzemię, ucałował moją nogę.

— Przez Boga — Ferenz, to ty? — zawołałem. Ty którego już dawno za zgubionego miałem?

— Tak, to ja, panie — i chociaż spóźnione, ale pomyślne wieści przynoszę!

To mówiąc, położył rękę na lewej stronie piersi, jakby wskazując, że coś tam dla mnie chowa.

— I gdzieżeś był tak długo — badałem dalej.

— W więzieniu, panie! Poznano mnie i uwięziono.

— I przynosisz?

— Coś od niej — odszepnął znacząco, z radośnym uśmiechem.

Ledwo miałem siłę utrzymać się na siodle. Ciemno mi się zrobiło przed oczyma, — uczułem zawrót w głowie.

W tem zatrąbiono na alarm. Granaty zaczęły pękać w obozie. Rozkaz dowódzcy porwał mnie i moich ludzi naprzód. Ledwo miałem czas skinąć na Ferenza — pędząc ze szwadronem moim na wskazane stanowisko. Alarm jednak okazał się fałszywym — i dzień przeszedł spokojniej, aniżeliśmy się spodziewali. Musieliśmy jednak pozostać w czujności na wyznaczonych pozycjach. Napróżno rozglądałem się naokół za Ferenzem — nigdzie go widać nie było. Niecierpliwość mnie pożerała, niepokój zabijał. Nareszcie wieczorem stanął Ferenz przed moim namiotem. Wyszedłem do niego w gorączkowym stanie. Ferenz skinął na mnie, ażebyśmy podeszli do jednego z ognisk obozowych.

— Daj, co masz! — zawołałem głosem drżącym z niecierpliwości.

Ferenz wyciągnął brudny jakiś papier z zanadrza, rozwinął go, ucałował końce swych palców, i wyjąwszy zeń bilet, wręczył mi go nareszcie.

Bilet pisany był reką Erwiny! Ledwo zdolny utrzymać się na nogach, drżącą ręką odpieczętowałem go. Przy czerwonem, migotliwem świetle ogniska połknąłem chciwie całą treść tego długiego pisma i upuściłem je z rąk na ziemię — i zakryłem twarz dłonią, z okrzykiem boleści.

(*C d. n.*)



KRÓLEWNA KALINA.

(MYŚL Z NIEMIECKIEGO).

tarego króla Ćwieczka to córka,
Kalina — śliczna Kalina!...
Wesoła, tak jak wiewiórka,
Pusta, szalona ta trzpiotka
Od igły stroni,
Ucieka od kołowrotka,
I tylko zwierza w dąbrowie goni,
Lub rybki łowi w jeziora toni...
Ach, gdybym — gdybym strzelcem
[był w borze,
Gdybym rybakiem był na jeziorze,
Z twą bym uganiał drużyną
Dalej i dalej,
Kalino — luba Kalino!..
— Ciszej! Milcz serce!.. Nie szalej!..

*

I wstąpił w służbę królewskiej dziewy
Kaliny — hożej Kaliny,
Młodziutki paź czarnobrewy;...
Chłopiec ten odtąd już będzie
Wiernie koło niej,
Jako król kazał, trwać wszędzie:

Drużyć jej będzie w zwierza pogoni,
I rybki łowić w jeziora toni...
Ach, żal mi ciebie paziu nieboże,
Tak blizko pięknej, o każdej porze,
A jednak — biedny chłopczyno!
W służebnej dali!...
Kalino — cudna Kalino!..
— Ciszej! Milcz serce!.. Nie szalej!..

*

Aż raz, zmęczona trudem pogoni
Kalina — trzpiotka Kalina,
Z swym paziem w leśnej ustroni
Usiadła pod dębu cieniem,
A potem pusta
Kusząc go słodkiem spojrzeniem
„Patrz, rzecze, jakie kraśne mam
[usta!
„I czegoż trusisz blady jak chusta?..
„Jeżeli w piersiach serce masz chrobre,
„To skosztuj chłopcze ust mych, czy
[dobre?...“
„„ — Całus twój słodszy niż wino!
„„Oddech twój pali,
„„Kalino — boska Kalino!..““
— Ciszej! Milcz serce!.. Nie szalej!..

*

Powraca z łowów królewska córa
Kalina — pusta Kalina,
Lecz skroń jej jasną ćmi chmura
„ — Biada — tak rzecze — twej głowie
„Chłopcze jedyny!
„Jeśli się ojciec mój dowie
„Żeś słodką rozkosz pił z ust Kaliny;
„Śmierć sroga będzie karą twej
[winy!..“
„„ — Nie strasz mnie śmiercią, ni
[męką srogą;
„„Chętnie okupię nią rozkosz błogą,
„„Którąm ssał chwilę jedyną
„„Z ust twych korali
„„Kalino — moja Kalino!..““
— Ciszej! Milcz serce!.. Nie szalej!..

WŁODŹ. ZAGÓRSKI.

CHLEB LUDZI BODZIE

KOMEDJA W 1 AKCIE PRZEZ JÓZEFA BLIZIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

SCENA VII.*)

ONUFRY (później) JADWINIA.

ONUFRY (śmiejąc się). A tom żydowi strachu napędził! co to będzie, jak się przekona, że cała jego robota na nic... bo ja teraz mam sposób niezawodny na tego pana konkurenta i Jadwinię muszę dostać, żeby nie wiem co!

JADWINIA (wychodząc z prawej strony prędko). Panie Onufry źle z nami.

ONUFRY. Aj! albo co?

JADWINIA. Nic pan nie wiesz, co się stało.

ONUFRY (żartobliwie, jak w ogóle w całej tej scenie). W istocie nie wiem, ale zapewne się dowiem od pani.

JADWINIA. Cóż to żarciki, kiedy ja chciałam mówić serio?

ONUFRY. No, no, już słucham.

JADWINIA. Wystaw pan sobie, ni ztąd ni zowąd ojciec przychodzi do mnie i każe mi się ubierać, mówiąc, że trzeba, abym ładnie wyglądała... domyślasz się pan dla czego to?

ONUFRY. Albo ja wiem? pani zawsze ładnie wyglądasz,

JADWINIA (niekontenta). Dajże pan pokój komplementom, miałeś słuchać.

ONUFRY. To co powiedziałem, nie jest komplementem, najlepszy dowód, że pani się nie przebrałaś i śliczna jesteś.

JADWINIA. Gdybyś pan wiedział, dla czego nie usłuchałam ojca, tobyś potrafił to ocenić i był mi wdzięcznym.

ONUFRY. No?

JADWINIA. Czy pan nie dorozumiewasz się, po co ten żyd przyjechał?

ONUFRY. Faktoruje dla pani konkurenta, cóż zgadłem?

JADWINIA. I pan to mówisz z taką miną obojętną? (patrzy mu w oczy; Onufry robi minę, jakby chciał powiedzieć: ha! cóż robić! niecierpliwie) jak widzę toby nie zrobiło na panu żadnego wrażenia?

ONUFRY. A cóż ja mam począć, moja panno Jadwiniu?

JADWINIA. A jakby mi też ten ktoś się podobał?

ONUFRY. Ha!

JADWINIA. Zkądże taka rezygnacja?

ONUFRY (innym tonem całując jej rękę). Bo wiem, że z tego nic nie będzie.

JADWINIA (wyrywając mu rękę) Doprawdy? patrzcie państwo a to zarozumiałość!

ONUFRY (n. s. patrząc na nią z miłością). Jak jej do twarzy z tym grymasikiem.

JADWINIA (chodząc) Otóż gotowam panu na złość zrobić

ONUFRY. E! wątpię.

JADWINIA. Jakto! wątpisz pan czy potrafię zrobić na złość?

ONUFRY. O! co do tego, to bynajmniej, o umiejętności nie ma mowy, tylko (z ręką na piersi) tu, coś mi powiada, że pani tego nie zrobisz (bierze jej rękę).

JADWINIA (nie odbierając ręki). Ale przynajmniej przyznaj pan, że zasługiwałbyś, ażeby cię ukarać.

ONUFRY. I to, kto wie?

JADWINIA. Jakto! za tyle zarozumiałości?

ONUFRY. Zarozumiałości? broń Boże! to tylko dobra opinja o pani.

JADWINIA (innym tonem). No, ale jakże będzie? ten na prawdę ma dziś przyjechać.

ONUFRY. Już on dla mnie nie taki straszny.

JADWINIA. Jakto?

KIKISEWICZ (za sceną). Jedzie! już jedzie! Kasiu! Jadwiniu!

JADWINIA (chwytając go za rękę) Słyszysz pan? jedzie!

ONUFRY. A słyszę (n. s.) szczęście, że mam na niego inkluza.

SCENA VIII.

KIKSIEWICZ (sam; w surducie, wystrojony, wchodzi spiesznie środkowemi drzwiami; Jadwinia i Onufry, dawszy sobie znak porozumienia, wymykają się na lewo, on pierwszemi drzwiami, ona drugiemi).

Jedzie! jedzie! tak mi jakoś serce lata... nie głupstwo to? aż zły jestem na siebie... przecieżem ja taki sam pan jak i on, nawet jeszcze lepszy, bo mam wieś... ale cóż z tego, kiedy łydki mi drgają, (p. c.) co to jest jednak to prawdziwe państwo, jak to imponuje!... żona miała świętą rację... to mądra kobieta. Niech mówią co chcą, zawsze to miło takiego familianta mieć zięciem... jaśnie pan!... przecie i na nas z tego coś kapnie... taki zaszczyt! (p. c.) czy on tylko nie widział mnie kiedy na oberzy? (zagląda przez drzwi w głębi) powóz się wlecze i on tu idzie z Szwindelmanem i z kimciś jeszcze... a! to pewno kamerdyner... nie wiem sam jak zrobić... czy wyjść

*) W scenie V. przy końcu, w odpowiedzi Szwindelmana, na pytanie Kiksiewicza po słowach: *i powiada?* wypuszczono następujące wyrazy: *a jak ja tam pojadę? przecie to nie cielę kupić na mięso? — ja mówię itd.*

naprzeciwko, czy niby udać, że nie wiem o niczem, i czekać w tamtych pokojach... żeby się tylko nie poszkapić... z takim panem, to trzeba jak z jajkiem. (p. c.) Idą! (ucieka na lewo w pierwszą kulisę.)

SCENA IX.

Teodor! Szwindelman, Marcin (wchodzą głównemi drzwiami, ten ostatni zostaje w głębi i ogląda się po wszystkich kątach. Teodor w prostem ale gustownem ubraniu podróżnem; jedno ramię cokolwiek wyższe, mówiąc, zająkuje się czasem z lekka. Marcin w zwyczajnych sukniach bez liberji, mina łobuza).

Teodor (oglądając się). Więc to tutaj? (p. c. patrząc przez okno) niezgorzej wygląda ten folwa-arczek,

Szwindelman. Folwarczek? bodaj pan tak zdrów był, to wieś całą gębą... uważał pan jakie łąki?

Teodor. Gdyby nie wypasione.

Szwindelman. Jak nie mają być wypasione... albo to tam mało bydła chodzi? widział pan przecie...

Teodor. Cóż kiedy wszystko chude...

Szwindelman. Chude? co to szkodzi, że chude, za to pan tłusty.

Teodor. Tłu..usty? ciekawym.. ale słuchajno Szwindelmanku, tyś mi nic nie mówił, że ten Kiks był niedawno jeszcze gdzieś oberżystą, dowiedziałem się o tem dopiero w miasteczku.

Szwindelman. Kiks? to może jaki inny... ten jest przecie Kiksiewicz.

Teodor. Nie mówię tego dla jakiegoś przesądu, pożegnałem się z niemi, tylko że to ci szynkarze... Bóg wié, jakiemi on sposobami przyszedł do grosza.

Szwindelman. Co pan gada takie rzeczy, przecie on teraz dziedzic, a zresztą jak się pan ożeni i będzie miał pieniądze, kto się tam będzie pytał, zkąd jest pańskie żone.

Teodor. No niekoniecznie... daj ty pokój. (p. c. grożąc mu) Słuchaj Szwindelman, żebyś ty mnie miał wprowadzić w jakie bło..oto, tobym ci tego nigdy w życiu nie darował... popamiętałbyś!

Szwindelman. No co się pan tak zaraz gorącuje? aj, aj, czego to być takim prędkim, niech pan wprzód zobaczy i przekona się; to jest interes fein, ja panu powiadam.

Teodor. Gadasz, jak ci wypada, masz w tem swoją rachubę (siada na kanapie).

Szwindelman. Nu, co to dziwnego? jak jabym inaczej odebrał moje dwa tysiące rubli?

Teodor. Porachujno sumiennie, coś wyssał dotychczas nie tylko odemnie, ale jeszcze od rodziców, za ich życia...

Szwindelman. Co ja wyssał?

Teodor. No, no, podobno odebrałeś swoje z dobrym procentem.

Szwindelman. Co to gadać! wodę warzyć woda będzie.. szkoda czasu! pan tu za wszystko odbije.

Teodor. Jeszcze na dwoje babka wróżyła.

Szwindelman. Co pan będzie babkę wtrącać do tego interesu... to się musi zrobić, tyle mam już kosztów!

Teodor. Nie wiem jakich.

Szwindelman. A powóz? czy pan myszli, że mi go darmo pożyczyli? (ciszej, pokazując na Marcina który przeglądając kąty zbliżył się do nich) a temu co ja musiałem zapłacić, żeby kamerdynera udawał!

Teodor. Ten, to tu potrzebny, jak piąte koło u wozu.

Szwindelman. No, to dla większej parady.

Teodor (zniecierpliwiony tem, że Marcin poufale stoi blisko niego; unosząc się i wstając z kanapy). P..po..owiedz że mu, niech s...sobie idzie precz... w kąt, gdzie! bo go wezmę za kark i wyrzucę, zobaczysz.

Szwindelman. Co pan taki prędki się zrobił, aj, aj! (usuwa Marcina mówiąc mu do ucha).

Teodor (p. c.) Daję słowo, teraz zaczynam żałować, że nie zgodziłem się na propozycję mojego kuzyna, który ofiarował mi korzystne miejsce przy swojej fabryce, byłoby najmądrzej i najuczciwiej.

Szwindelman (szyderczo). Najuczciwiej! a mój dług? czyby pan chciał moją krzywdę?

Teodor (klepiąc go po ramieniu). Poczekałbyś, jakbyś musiał, a po trochu tobym ci się i wypłacił.

Szwindelman (niespokojny). Ale czyby to pasowało? niech pan weźmie na swój delikatny rozum... taki jasnie pan! z takiej godnej familji, przy fabryce!

Teodor. To też to, że każdemu lekki chlebek pachnie... pieczone gołąbki... co prawda to nie grzech.

Szwindelman. Pan tu będzie miał i gołąbki... (pokazując przez okno) patrz pan, co ich to tu lata!

Teodor (śmiejąc się). Ale widzisz, żeby mi się chciało pracować...

Szwindelman. Kto panu będzie bronił pracować, jak się pan ożeni?... aj, aj, jaki pan dziecinny!

Teodor. Masz doskonałe argumenta.. (oglądając się) więc idźże poszukaj kogo, bo nikt nie wychodzi, a trzeba się przecie zaprezentować.

Szwindelman (żywo) Idę... (wychodzi na lewo w pierwszą kulisę, Teodor chodzi zamyślony).

Marcin (n. s.) Trzeba było ich grubiej pociągnąć! trochę za poufale mnie traktują.

(C. d. n.)

Brunehilda.

Imię Brunehildy przywodzi natychmiast na pamięć starogermański poemat „Nibelungenlied“ i bohaterską postać żony Guntera, króla Burgundji. Nie ją to jednak przedstawia illustracja, którą czytelnicy mają przed sobą. Rysunek ten, ołówka znakomitego malarza Ferdynanda Kellera z Karlsruhe, wyjęty jest z cyklu przepysznych illustracyj do dwudziestowiekowej historji narodu niemieckiego, skreślonej przez znanego dziejopisarza Jana Scherra, a wydawanej właśnie obecnie w zeszytach przez sztudgardzkiego księgarza Spemanna. Wszystkich zeszytów tej świetnej publikacji będzie dwadzieścia i ośm, dotychczas wyszło ich już sześć; a do ozdobienia jej przyczynili się najpierwsi artyści Niemiec, jak Pilloty, Schraudolf, Diez, Grütner, Heyden, Niefstahl, Fritz, Kaulbach, Knille i bardzo wielu innych. Rysunek Jana Kellera illustruje genjalnie tragiczną dolę i zgon Brunehildy, córki króla Wizygotów hiszpańskich Atanagilda, żony króla austrazyjskiego Zygberta, (561) kobiety pełnej wdzięków i rozumu, ale ambitnej i nader nieszczęśliwej. Mszcząc się za swoją siostrę Galeswintę, zamordowaną przez męża Chilperyka, króla Neustrji, z namowy kochanki jego Fredegondy, Brunehilda popchnęła swego małżonka Zygberta do walki przeciw Chilperykowi, w której Zygbert trzykrotną zadał klęskę swemu przeciwnikowi i trzykrotnie mu przebaczył. Wreszcie jednak złą jego wiarą rozdrażniony, przywłaszczył sobie jego posiadłości i dał się sam ogłosić królem Neustrji. Przy tej okazji jednak zdradziecko został zamordowany przez dwóch służących Fredegondy, kochanki zwyciężonego Chilperyka, a żona jego Brunehilda uwięzioną została w Paryżu razem z kilkoletnim synem swoim Childebertem II. Uratowawszy się z rąk nieprzyjaciół ucieczką, wyszła Brunehilda za mąż za Meroweusza syna Chilperyka i powróciła do kraju, gdzie żądna władzy, podczas małoletności syna walczyła długo z dumnemi wassalami, którzy jej uledz nie chcieli. Śmierć syna, Childeberta II., oddała jej dopiero w ręce tak pożądaną władzę. Uzyskawszy nieograniczony wpływ nad wnukami swymi Teodebertem austrazyjskim i Thierrym czyli Teoderykiem Burgundzkim pierwszy raz w istocie panować zaczęła. Błogie jej rządy dla rozszerzenia wiary i sztuk wysławiają współcześni kronikarze; zawziętość jej jednak do rodu nienawistnej Fredegondy nie dawała jej spokoju i popchnęła ją do wielu niegodnych czynów. I tak, zapaliła wojnę pomiędzy swemi wnukami a Klotarjuszem, synem Fredegondy. Już Klotarjusz miał uledz w tej walce, gdy Teodebert starszy z synów Brunehildy, zawarłszy z nim przymierze, od zguby go uratował. Rozjątrzona tem matka podżegła młodszego syna Thierrego do walki przeciw starszemu bratu; w walce tej Teodebert zwyciężony, z jej rozkazu wraz z dziećmi swemi zamordowanym został. Nemezis jednak nie dała długo czekać na siebie. Oburzeni srodze jej okrucieństwem wasale weszli w tajemną zmowę z Klotarjuszem, synem Fredegondy, przyrzekając obrać go królem, gdy Brunehildę zwycięży i wypędzi. Klotarjusz chętnie przystał i z wojskiem wyruszył na Brunehildę, która w stanowczej chwili przez swoich odstąpiona, dostała się w ręce swego wroga i najprzód wydana na łup swawoli żołnierskiej, a po trzech dniach uwiązana do ogona wziętego wprost ze stada konia, na części roztarganą została.

Agryppina tonąca.

(Dokończenie.)

Teraz, mistrzyni, z Indji niewolnica,
Wchodzi — i jakby promień słońca miała
W ręku, miast pędzla, tęczę, miast palety —
Subtelnych płynów barwikiem rozświeca
Czarowny urok dostojnego lica.
Oto biel cudną na nie nachuchała,
Jak pył z kielicha lotosu kwiecistą,
A eteryczną, jak światło księżyca,
Uroczo miłą bladość. Tę zaś czystą
Biel — teraz oto do głębi rozgrzewa
Lubym rumieńcem świeżości młodzieńczej,
Co tak się dziwnie delikatnie wdzięczy,
Że zbłądzi, kto go czerwienią nazywa,
To tylko odblask łagodnej czerwieni.
By zaś ta barwa, stopniowana mile,
Nie ścmiła całkiem miękkiego błękitu
Drobniutkich żyłek — Indjanka, ta ksieni
Gotowalnianych tajemnic — do szczytu
Zręczności wznosi się: najcieńszym włosem
Pędzla, leciuchnym jak skrzydło motyle,

Ślad delikatny pulsów znaczy, goni,
Po lilijowej, różanej lic błoni.
Na ócz wydatnem sklepieniem rozpięte
Potężne brwi jej — już bardziej wspaniałej
Linji, soczystszych blasków nie żądały;
Zostały jednak czyściej pociągnięte,
I łuk ich ciemny zaostrzono cieniej.
Kędyż znajdziecie łuk miłości Boga,
Co równie pewne strzały, jak ten, ciska?
Łuk to Erosa tylko, kiedy błoga
Radość uśmiechem z twarzy tej promieni;
Lecz łuk Apolla — skoro gniew z niej błyska.
Czuje to nawet i ta niewolnica:
I nieraz z trwogi pobledną jej lica,
I ręce zadrżą, bezwładne przestrachem,
Gdy z pod brwi owych — gniewu znak jedyny —
Groźby jaskrawa strzeli błyskawica.
Tymczasem luby oddech Agryppiny,
Już przesiąkł cały cudownym zapachem
Drobnych gałeczek; jak z słoniowej kości
Jej zęby — doszły źwierciadła świetności,
Żując czyszczącą indyjską żywicę.
Więc z szaf pachnących wyjmą niewolnice
Śnieżną bieliznę i odzież paradną;
Raz jeszcze jeden osłony opadną
Z bark tej cudownej, tej ślepiącej oczy,
Jak mgła o świcie z kwietnych góry stoków;
Spada strój ranny, który ją otula,
A w jego miejsce zsuwa się koszula,
Do srebrnych, letnich podobna obłoków;
Takiej cienkości dziwnej i przeźroczej,
Tak delikatna, śnieżysta i wiotka,
Jakby z Arachny wyszła kołowrotka,
Tak — że biel skóry, drżącej pod nią lekko,
Zda się przesiąkać przez nią wskróś, jak mleko.
A na wierzch dalej przychodzi strój inny,
Byssus Tuniki, żółtości bursztynnej,
Tkań jego miękko a ciasno oblała
Przepyszne członki Agryppiny ciała.
O, zostań tak już, — ty cudzie wcielony!
Żadnej już nowej nie wdziewaj osłony,
Nic cię wspanialszą, milszą nie uczyni,
Lecz coraz nowe a paradne stroje
Wznoszą się z naścież otworzonych skrzyni,
Jak mgieł leciutkich, różnobarwnych zwoje.
Długi czas trwają próby, oględziny,
Wreszcie raz jeszcze nad tą piękną panią
Zaszeleściało — i zsuwa się na nią
Stola śnieżysta z jedwabnej tkaniny,
Z rąbkiem z purpury, haftowanym złoto,
Złotym się haftem, kwiaty na niej plotą,
I wskróś ten cały strój falisto wzdęty,
Gdzie spojrzysz, punkta migocą złocone,
Jak gwiazdy niebios, po przez mgły zasłonę.
Jest to jakgdyby haftowany w gwiazdy
Srebrny obłoczek, nad ziemią rozpięty,
Który ma uwieść do niebios boginię,
Do podobłocznej roztęsknioną jazdy,
Teraz zaś Stolę w pół ciała owinie
Pas kamieniami drogiemi bogaty
I haftowany jak tkanina Wschodu;
A nad nim wezdmie się naraz od przodu
Jedwabna fala niezrównanej szaty —
Jak powstrzymana w spadku woda strugi —
I wdzięcznie, w fałdach szlachetnych, w dół spływa:
A za nią powłok purpurowy, długi,
Ze złotą frandzlą, falisto się kłębi. —
Teraz wychodzą z srebrnych szkatuł głębi
Iskrzące blaskiem ozdoby przedmioty:
Korale, bursztyn, perły i klejnoty.

Tu szczupłość miejsca nie pozwala nam umieścić dalej przepysznego opisu tych klejnotów, pereł, naramienników, pierścieni, łańcuszków. Opis ten migoce wszystkiemi barwami tęczy. Wreszcie toaleta skończona. Niczego zdaje się nie braknąć. Chyba kwiatu! Bo

... Jeśli coś się może,
Między przyrody tworów rzeszą tłumną,
Mierzyć z klejnotem, najwyższym z nich ceną,
Jeśli co może — to chyba kwiat jeno.
Kwiat, tak jak klejnot, niezbędny przy dworze,
Świetnej Piękności, gdy ta chce roztoczyć
Swój promienisty pawi ogon cały,
By wszystko w okół blaskiem swym zamroczyć.
I chociaż klejnot dla tego, że trwały,
Od kwiatu sądzi się godniejszym chwały,
Dla róży dzisiaj niczem jego pycha,
Z przechwałek jego tylko się uśmiecha,
I włosy pani pieszcząc, mówi z cicha:
Z tych skroni nigdy nie opadną róże,
Żaden kwiat na nich uwiędnąć nie może!

I oto wreszcie — z jaśniejącem okiem,
Promiennem licem, woniejącem ciałem,
Oblanem Stoli jedwabnej potokiem,
Olśniona cała odblaskiem wspaniałym.
Śnieżystych pereł i barwnych klejnotów,
Z ozdobą wieńca, w pośród czarnych splotów,
Istny fenomen, lśniąca dziwożona, —
Pyszna przed wami Agryppina stoi.
Stoi — i sama w siebie zapatrzona,
Cudnej postaci uśmiecha się swojej,
Odbitej w łonie srebrnego źwierciadła,
Którego okrąg dzierży Eros złoty.

Nieporównana ta piękność owładła całym przestworem naokoło. Powietrze nawet z miękkością pieszczoty, owiewa lic jej róże i lilije, — róże w jej wieńcu słodkie szepczą jej wróżby szczęścia i miłości, — klejnoty dzwonią dziwnie cieniutkiemi szklannemi głosikami o potędze i chwale, która ją czeka.

Tylko poważne, chłodne perły białe,
Do śmiejącej się przytulone ucha,
Szemrzą wątpliwie, z przeczuciowym lękiem;
Szmer ich brzmi prawie, jak przestroga głucha,
Jak dobroczynnie upominające,
Z oddali, ciche, ciche duchów głosy.
Te perły świetne, jak kropelki rosy,
Zdają się szeptać o mórz chłodnej głębi,
I wieści ztamtąd nieść zadziwiające.
Szepcą, jak fala łakoma i sroga,
Szepcą, że długa, długa na dno droga,
A dno samotne — że aż zgroza ziębi!..

Lecz kiedyż jaka przestroga skuteczną była wobec kobiety pewnej potęgi swoich wdzięków i upojonej ich widokiem — a pożeranej ambitnemi planami, których ziszczenie zdaje się już chwytać ręką?! Agryppina niewstrząśnięta żadnem złem przeczuciem wychodzi na pokład statku ozłocony słońcem, dumna i uśmiechająca przesuwa się pomiędzy towarzyszami podróży, skamieniałemi z podziwu i uwielbienia... Tigellin staje z kłamanym hołdem także na jej drodze, i obiecując jej najżywszą radość Nerona, gdy ją zobaczy, prowadzi ją na przód statku, gdzie rozpięto baldachim złoty — ażeby ztamtąd przejrzała się w morzu — zwierciedle jedynie jej godnem.

Na przedzie statku stoi Agryppina,
I wzrok jej w oddal po przestrzeni bieży.
Tu cudne morze jak szkła tafla leży,
Tam drzemią ciche pustynie — a dalej,
Śmiejące niebo nad błękitem fali
I nad nią cudny namiot swój rozpina.
Ale to wszystko nie śmieje się iście
Dumniej, szczęśliwiej, bardziej promieniście,
Od Agryppiny spojrzenia i lica;
Bo wie oblicze jej i wie źrenica:
Że najpiękniejszą na ziemi kobietą,
Jest Agryppina. Co piękne, w tej chwili
Pięknem jedynie zdaje się być przeto,
Że Agryppiny wzrok się nad niem chyli.
Brzegi miłośnym do niej żarem płoną,
Morze gra falą rozkosznie wzburzoną,
Przez niebios błękit obłoczki różowe
Płyną, jak myśli przez jej cudną głowę,
Szmer uwielbienia napełnia przestworze;
A słońce z hołdem schyla się nad morze,
Jakby dopiero przy jej stopach całą
Promieni swoich krew wytoczyć chciało....

A Agryppiny tymczasem spojrzenie
Dalekie morza przegląda przestrzenie,
O brzeg zielony zawadza i leci,
Gdzie dom Nerona marmurowy świeci,
Jakby ją witał. Długo i głęboko
Wielkie jej na nim odpoczywa oko,
A ze spojrzenia onego głębiny
Radość zwycięztwa nagle strzeli lśniąco,
I zadrgną dumne usta Agryppiny,
Dziękczynną modłą, bez słów, trjumfującą.

W monologu który tu następuje, istnym dytyrambie, bo wybuchającym olbrzymią potęgą tryumfu, ambicji i męzkiej prawie siły charakteru — a nacechowanym nienawiścią złowróżbną dla całego otoczenia Nerona, Agryppina odsłania nam całą duszę swoją namiętną, żądną władzy i podziwu, nie przebierającą w środkach. Nawet potęgi swej piękności chce użyć dla ujarzmienia niesfornego syna, bo wie, że ta olbrzymi wpływ na niego wywiera.

Ostatnie jej słowa streszczają w sobie cały zamach tej nieukróconej woli.

..... Bez zwłoki,
Schwycone wodze w silnej dłoni zwinę,
I władnąc, z mojej stolicy wysokiej
Zniewieściałemu ludowi pokażę,
Że Rzym posiada w swym gnuśnym obszarze,
Jeszcze jednego męża: Agryppinę!

Do stojącej tak w najwyższem upojeniu Agryppiny, zbliża się niewolnica jej, Egipcjanka, zaufana i poufała służka, i podaje jej płaszczyk z purpury, pallę, ażeby się nim osłoniła od wieczornego morskiego chłodu. Tę purpurę podaną jej w takiej chwili bierze Agryppina za wróżbę Bogów pomyślną, każe przynieść sobie dyadem królewski i wpina go we włosy, a wieniec różany z głowy zawiesza na posągu Neptuna, zdobiącym przód statku, na podziękowanie za podróż szczęśliwą bóstwu morza. „O Semiramis!“ szepnie na widok tego królewskiego stroju niewolnica, — a źrenica szafirowa-władcy morza, lśnić się zdaje złowieszczą pożądliwością do tej cudnej niewiasty w koronie i purpurze.

Tymczasem już inne spojrzenie oddawna ją śledziło. Człowiek jakiś skryty na tyle statku, godził w nią wzrokiem wnikającym w nią jak kolec skorpiona, to znowu jak strzała jadem zaprawna, z tęgiej puszczona cięciwy. Czasem znów spojrzenie bazyliszka, porównane z tem spojrzeniem, łagnięco łagodnem by się wydało.

Najczęściej jednak wzrok ten był prawie łagodny, bez cienia gorszej myśli lub zamiaru od wzroku ptasznika, co zastawiwszy sieci, czeka skryty w krzakach, rychło makolągwa nieostrożna w nie się zaplącze.

W całości biorąc, był to wzrok człowieka,
Co z przyjemnością świat zniszczyłby cały,
Nie z nienawiści, nie zapamiętały
Gniewem, — bynajmniej, — ot dla żartu jeno!
Człowiek, co patrzył tak za Agryppiną
Był to Tigellin. Rozsiadł się spokojny,
Z uparcie w cel swój wpatrzoną powieką,
Z chwili do chwili pogwizdując lekko,
Trzymając w rękach linę, i tą liną
Chwiejąc, — podobny całkiem do rybaka,
Który niewodu sznur w rękach kołysze,
By nim za chwilę ściągnąć połów hojny....

I oto — kiedy jaśniejąca taka,
Dumna, w djademu królewskiego pysze,
Na cudnej nawy pokładzie wysokim
Lśni Agryppina — dziwo czarujące —
Gdy właśnie w blaskach kryje głowę słońce,
Niebo i ziemia zalane potokiem
Purpury, złota; gdy pałac z wybrzeża
Wciąż bliżej, bliżej źrenice uderza;
W powietrzu pływa zachwyt, drży odświętną
Harmonją — ludzkich serc, przyrody tętno;
Gdy szumiąc kipi i faluje morze,
A statek ruchem pyszniejszym je porze;
Z Prory muzyki szeleści kaskada
Na którą sto się instrumentów składa;
Gdy w takt jej wiosła gną się, gdy rozświeca
Zachwyt najwyższy Agryppiny lica,
A jej egipska służka — pochlebnica,
Szepcze do Pani pochylona ucha:
„Sława ci, księżno!.. Cesarzowo! sława!..“
W tej chwili Murzyn owej linie białej,
Co dotąd dłonie jego kołysały,
Z szydnym chichotem sprężystość nadawa,
Pociąga mocniej — i — patrz — w mgnieniu oka, —
Jako się ziemska rozwiera epoka,
Gdy ją trzęsienie łupie i w zwaliska
Sypią się ludne ziemianów siedliska —
Tak, patrzaj, nagle z głuchym pęka grzmotem
Przepyszna nawa — i jak pierwej lśniąca,
Wśród fal płonęła purpurą i złotem,
Tak teraz w morze w istocie zapada,
Jak prawe słońce! A fala złośliwa
Z jej desek wszystko, co żywego zmywa.
Ze wszech stron szczątków sypie się gromada,
A w okół statku, co drżąc w toń się wali,
Wytryska mokry, perlisty pył fali,
I kryje pianą i druzgiem biesiadę,
Na którą Śmierć już zaprosiła blade
Demony morza. A gdy się rozpłyną,
Wzburzone wały, z pierwszego zamętu
Kiedy ukoi się zwierciadło fali;
Widać, że całe w pobliżu i w dali,
Okryte świetną, barwną mięszaniną
Szczątków — jak Bazar: tu belki okrętu,
Tam pyszne stroje, purpurne tkaniny,
Kwiaty, posągi, i żagle i liny...

Z pośród tych skarbów, co już łupem toni,
W bezpiecznej łodzi ku wybrzeżu goni,
Tigellin, — za nim gondoliery zgrają,
Wpław — wiele jeszcze w pośpiechu chwytają
Z złotego statku przepysznej ruiny.

Lecz kędyż trzeba szukać Agryppiny?
Ze szczytu statku, co w druzgi rozpęka,
Ona ze zgrozą widzi niespodzianie,
Rozwierające się morskie otchłanie,
Spada — lecz jeszcze bezwiednie jej ręka
Neptunowego czepia się posąga,
Ale ten z sobą Dostojną pociąga;
Co nie myślała, że dłań tylko żywe
Kwiaty i pyszne ubrała tkaniny.
I — patrz — rumaki morskie, biało-grzywe,
Stawają dęba, parskają ochoczo,
I niosą zdobycz bogu mórz uroczą,
Na dno, w głębiny. Kipiąca i dzika
Otchłań za nimi czeluść swą zamyka.
Jeszcze się czasem wynurzy z głębiny
To ta, to owa z kobiet Agryppiny,
Wodą ociekła, — białemi ramiony
Desek w rozpaczy chwyta się szalonej;
Lecz rój płynących szczątków po przestrzeni
W nicość te wszystkie wysilenia mieni.
Plączą się głowy nieszczęsnych i nogi
W liny i żagle, w zwój purpury drogiej —
Niesione falą, — i tak, każde ciało
Wraz z tem, co ręką kurczową schwytało,
Na dno zapada.

Wreście już, co żyło
Znikło pod nurtów wilgotną mogiłą,
A co bez życia, w którą spojrzysz stronę,
Po nieprzejrzanem morzu rozproszone.
Znów fal zwierciadło czysto się układa,

I mrok uroczy cicho na nie spada;
Spokojnie szemrze nurt, wieje wiatr świeży,
Złociste gwiazdy wschodzą — a z wybrzeży
Rzuca blask świateł tysięcznych jarzący,
Pałac Nerona, marmurami lśniący.

Brak miejsca zmusza nas w tem miejscu zakończyć nasze wyjaśnienie illustracji, którą podaliśmy czytelnikom. Zadanie nasze osiągnięte, co do samego rysunku. Tragiczność jednak tego epizodu w poemacie, potężnieje wielce epilogiem, który ma miejsce w pałacu Nerona nad morzem. Nagle urwawszy na ostatnich, przytoczonych przez nas powyżej słowach — poeta przenosi nas do komnat pałacu, w których się odbywa orgja, do jakiej tylko nerońscy ludzi byli zdolni. W najwyższym szale tego rozpustnego obłędu, wpadają niewolnicy bledzi i drżący z wieścią, iż w tej chwili morze wyrzuciło czyjeś zwłoki w złocie i purpurze na marmurowe schody portyku pałacowego i że te zwłoki mają rysy — Agryppiny! Następuje chwila ogólnej zgrozy, którą przerywa Neron, wyprowadzając całe grono do peristylu, kędy złożono na naprędce ustawionem łożu ciało Agryppiny. Nad tem ciałem cudnem, przepysznem, w tej chwili tak straszliwie zmienionem, nad tem ciałem matki, szalony syn wybucha hardem i cynicznie wyzywającem szyderstwem. Ostatniem jego słowem jest wezwanie do współbiesiadnic, ażeby wieńcami z głów swoich okryły Agryppiny ciało. Ulewa róż opada na zwłoki. W tej chwili wieść nowa, niespodziana i równie przeraźliwa spada na wszystkich jak piorun. Widać straszliwą łunę na północy! To Rzym gore! Rzym podpalony żagwiami wysłanej w tym celu umyślnie przez Nerona pijanej zgrai bachantów... Neron wita pożar Rzymu olbrzymim okrzykiem „Matko... to pochodnie twego pogrzebu!“ i pociąga za sobą biesiadników do Rzymu, na którego nocny pożar i przerażające epizody tej nocy zniszczenia poeta, w następnej pieśni, lodowaciejącym ze zgrozy czytelnikom patrzeć każe.

POGADANKA.

(Popielec.—Ekonomiczna doniosłość przepisów biblijnych odnoszących się do stanu małżeńskiego. — Finis tromtadratiae! — Kwestarze literaccy i polityczni.—Ruch literacki.—Jakim językiem mówi duch narodu?— Nowella p. Lubina Illasiewicza p. n. „W przymierzu z wujaszkiem“.— VI zeszyt Gawęd p. Rodocia.— Statystyczna karta Galicji i Bukowiny przez pp. M. Bodyńskiego i J. Michałowskiego).

A więc minęły zapusty, — minęły szczęśliwie, i pomimo rzuconego hasła: My się tu same bawimo“ bez żadnych większych zabijaństw, ale też i bez owych skutków, o których wśród wiru tańca roiło z pewnością nie jedne dziewicze serduszko. Tłumaczę się jaśniej: nie słychać we Lwowio o żadnym zawierającym się marjażu. Posypmy zatem głowę popiołem.... Dies irae, dies illa!...

Nie wesoła to wcale przegrywka!... Nie przeczę! Ale z obowiązku kronikarskiego, wypadło mi nią rozpocząć niniejszą pogadankę, aby tu zanotować fakt ten, który uważam za jeden ze znaków czasu, mianowicie aby skonstatować, że młodzież nasza coraz mniej okazuje ochoty do małżeńskiego stanu. Zwierzyna „mąż“ staje się z każdym dniem rzadszą, podczas gdy rodzaj „stary kawaler“ rozmnaża się coraz bardziej i bardziej.

Fakt to pod względem moralnym, a nawet i ekonomicznym nader smutny, dowodzi on albowiem, że „ideał rodzina“ mierzchnie w pojęciach naszego społeczeństwa, które w ten sposób traci jedną z swych głównych podwalin. Z drugiej strony, proszę się zapytać ekonomistów, czyli wstręt do małżeństwa rozwijając się w pewnym narodzie, nie zagraża mu materjalnym upadkiem, i czy odwrotnie wzrost ochoty do słodkich węzłów małżeńskich nie jest rękojmią błogiej przyszłości dla ekonomicznego rozwoju każdego społeczeństwa?.. Tak jest moi państwo; owe: „Rośnijcie i rozmnażajcie się“, które niegdyś powiedział Jehowa synom Abrahama, nie było wcale religijnym przepisem, lecz ekonomiczną radą na naukowych opartą pewnikach, i Żydzi zawdzięczają dzisiejszy swój dobrobyt głównie temu, iż poszli za tą wskazówką.

Nie mniejsze od zapust zawody przyniósł nam i karnawał wyborczy, który przeszumiał w tych dniach nad naszem miastem,— z tą tylko różnicą, że podczas gdy panny na wydaniu pocieszyć się jeszcze mogą, iż przyszłoroczne zapusty lepiej im dopiszą, kandydat na wydaniu, który w tych dniach osiadł na koszu, z pewnością nigdy już nie powetuje swojej porażki... A zatem Finis Tromtadratiae!... Posypmy głowy popiołem.... Dies irae. dies illa!

Dla humorystyki krajowej, która, nawiasem mówiąc, tak się rozwijać zaczyna, iż jak słyszymy pewne grono „uczuło potrzebę“ nowego humorystycznego pisma we Lwowie, jest porażka Tromtadracji niepowetowaną klęską. Proszę sobie wystawić jak pocieszne efekta umiałby wydobyć mistrz Szczutek, oprowadzając pana Kandydata po ministerjalnych salonach naddunajskiej stolicy, lub stenografując jego polityczne dysputy z pp. Bezirksbergerem, Domokos von Domokossy, lub inną jaką polityczną znakomitością tego rodzaju?... Ale cóż robić? Stało się!.. Królestwo tromtadracji nie jest widocznie tego świata, a jedynym jej przybytkiem pozostaną odtąd niektóre czasopisma, wegetujące tak jak uiegdyś żebracze zakony...

kosztem publicznego miłosierdzia, i opierające swoje istnienie na sprycie swych politycznych i literackich kwestarzy...

Zdarzyło mi się w ostatnich czasach widzieć kilka odezw, podpisanych przez ludzi ze wszech miar godnych szacunku, a polecających te niefortunne publikacje poparciu publiczności. Odezwy te rozwożono potem od dworu do dworu, od plebanji do plebanji, i wyłudzano w ten sposób znaczne sumy na literackie lub polityczne przedsiębiorstwa wydawnicze, nie mające żadnych warunków żywotności, a częstokroć nawet szkodliwe. Według mnie jest popieranie takiego literackiego lub politycznego kwestarstwa wielkim błędem, — jeżeli bowiem pewne czasopismo nie umie znaleźć u publiczności powodzenia, to jest to niezawodnym dowodem że czasopismo to wpływu żadnego wywierać nie może. Pytam więc, co za pożytek z takiej publikacji, której nikt nie czyta?... Popierając ją nie przysłużamy się wcale dobrej sprawie, lecz owszem pozwalamy głos zabierać miernocie która z tego w ten sposób skorzysta, iż na powierzonej sobie glebie kąkol tylko i plewę zamiast pszenicy zasieje, a dozwalając gospodarzyć miernostkom, które umysłom pożywnej strawy dać nie mogą, odstręczamy publiczność od czytania, utrudniamy prawdziwie pożytecznym publikacjom możność zdobycia sobie tego powodzenia, na które zasługują, i zamiast przyczynić się do podniesienia piśmiennictwa, do podbudzenia umysłowego ruchu w narodzie, przykładamy owszem rękę do jego upadku... Prawdziwy talent, prawdziwie pożyteczna publikacja nie potrzebują żebraniny!... Dajcie Panowie pokój temu taniemu Mecenasowstwu, i zostawcie literaturę sobie samej; — jest to jedyna rzecz, kiórej się od waszego patrjotyzmu domagamy!...

Kiedy już mowa o publikacjach z łaski miłosierdzia żyjących, muszę tu wspomnieć o Ruchu literackim, którego kaznodziejskie nauki w jednym z ostatnich numerów Tygodnia mianowicie zaś w artykule pod napisem Patrjotyzm a Tromtadracja gruntowną a należytą znalazły odprawę. Ruch jak wiadomo jest owem czasopismem, które za pan brat jest z duchem narodu, i według zapewnień Gazety narodowej wyłącznym i uprzywilejowanym jego organem, sądzę więc, że ciekawą będzie dla czytelników rzeczą dowiedzieć się, jakim językiem ów duch przemawia, a że mam właśnie ostatni numer Monitora pod ręką, zatem cytuję początek zamieszczoaego tamże wiersza pod nadpisem Wspomnienie Piusa IX, uzupełniając go komentarzami, które w ostatnim numerze Szczutka wyczytałem:

Zaległa cisza w murach Watykanu (hm! hm!)
Szmer tylko lekki słychać w sali,
Gdzie modła płynie Panu,
Gromnica smętnie pali (co pali, czy się pali?
Tam kona Papież.

Przy łożu śmierci czuwa duchów dwoje (?)
Oblicze niebian mężno - łzawe (?)
Na nim (na kim?) wyryte znoje
Męczeństwa ślady prawe (czemu nie lewe?)
To duchy stróże!...

Biedny to zaiste ten duch narodu, który pod strażą pp. redaktorów Ruchu zeszedł aż na to, że go Szczutek uczyć musi logiki i gramatyki!..

Nie mniej szczęśliwie prosperuje zdrowy rozsądek w odcinku Gazety narodowej, która jak wiadomo karmiła dotąd umysły swych czytelników wyłącznie „Listami do przyjaciela“, i Listami Polaka bez głowy do Polaka bez patentu“, od nowszego zaś czasu poświęca się uprawie moralności publicznej, drukując nowelle, których obrok duchowny zbudować może każdego. Mam tu na myśli nowellę p. Lubina Illasiewicza p. n. „W przymierzu z wujaszkiem“, której treść pozwalam sobie tutaj sumienie opowiedzieć dla zbudowania moich czytelników:

W PRZYMIERZU Z WUJASZKIEM

NOWELLA

PRZEZ

LUBINA ILLASIEWICZA.

I.

Przed laty czternastu żyło w Szymanówce pewne stadło, które nie miało dzieci, dlatego że mąż pani Amelji nazywał się Mikołaj.

Ale Gazeta narodowa traciła abonentów, dlatego, że w odcinku swym nie zamieszczała nic, prócz Listów do przyjaciela, i Listów Polaka bez głowy do Polaka bez patentu.

Rzekł więc redaktor Gazety do pana Lubina Illasiewicza: — Napisz mi Pan nowellę, ale po dwa centy od wiersza.

I dlatego to powiedziało sobie one stadło, co żyło w Szymanówce, ale nie miało dzieci: Tak dłużej być już nie może!.. Pan Lubin Illasiewicz nie miał by tematu do nowelli!... Więc....

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

II.

Pewnego dnia pojechała pani Amelja powozem na prawo, a pan Mikołaj na lewo.... ale najtyczanką.

Po kilku dniach podróży przywiózł p. Mikołaj z sobą dziewczynkę, a pani Amalja chłopczyka, dlatego aby panu Lubinowi Illasiewiczowi dostarczyć temat do nowelli, ale za tanie pieniądze psy mięso jedzą.

Chłopiec nazywał się Filip, ale był szlamazarnym, i dlatego zrobił pan Illasiewicz z niego bohatera; — dziewczynka była intrygantką, ale nazywała się Mania, i dlatego musiała zostać bohaterką.

Państwo Mikołajowstwo kochali swych wychowanków, dlatego „że świat jest jak bazyliszek“. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

III.

Minęło lat czternaście, dlatego że się zaczął rozdział trzeci. Wyrósł Filip, wyrosła Mania; p. Illasiewicz miał więc już gotowych bohaterów do swej nowelli, ale się to nie przydało psu na buty.

Filip pokochał Manię, a Mania Filipa, ale ani Filip, ani Mania, ani pan Mikołaj, ani pani Amelja nie wiedzieli o tem, i dlatego postanowili państwo Mikołajowstwo ożenić Filipa

i wydać za mąż Manię, „ażeby ich stosunek nie zaszedł za daleko“....

Ale Mani chciało się Filipa, dlatego że to był bohater noweli. Rzekła więc sobie Mania tak w swoim dziewiczem sanktuarjum: Gdybym powiedziała babci Amelji, że kocham Filipa, to poczciwa staruszka gotowaby zezwolić na nasze małżeństwo, dlatego że świat jest jak bazyliszek, ale wtedy nie byłoby nowelli, dlatego, że bez intrygi niema nowelli, a ja przecie muszę być bohaterką, choćby po dwa centy od wiersza.... Cóż ja tu pocznę nieszczęśliwa!?...

Szczęściem dla Gazety, dla nowelli, i dla pana Illasiewicza zajechał Mani do głowy pomysł intrygi, a do państwa Mikołajowstwa pewien Jegomość, którego wszyscy kochali, dlatego że mu na imię było Krzysztof, i którego wszyscy nazywali wujaszkiem, dlatego że lubił robić intrygi.

Uszczęśliwiona, że jej wpadło w rękę takie narzędzie, zaprowadziła Mania pana Krzysztofa do oranżerji, dlatego aby mu tam powiedzieć plan swój do ucha; ale co to był za plan, tego nie mógł odgadnąć nikt, prócz pana Illasiewicza, który się wszystkiego domyślił, dlatego, że jest bardzo sprytnym.

IV.

I rzekł pan Lubin Ilasiewicz do siebie: Wszystko to bardzo dobrze, ale p. Krzysztof sam nie potrafi wykonać planu Mani, — trzeba więc jeszcze wprowadzić pół tuzina osób, dlatego że to już rozdział czwarty, i nowella ma się już ku końcowi.

Dlatego musiał p. Krzysztof pojechać do Limanówki, gdzie było dwoje bab, pani Laura i pani Karolina, i zażądać herbaty,... ale gorącej, z czego obie panie oczywiście wniosły, że się coś święci...

Po herbacie zaczął pan Krzystof coś paniom szeptać do ucha, ale co to było, tego nie wiedział nikt, Oprócz p. Illasiewicza, który się znowu wszystkiego domyślił, dlatego że mu na imię Lubin.

Oburzona tem co jej powiedział p. Krzysztof, zawołała p. Karolina:

— Otóż to skutki bezdzietnego małżeństwa! Na starość romansy!

Ale p. Krzysztof zacierał sobie ręce.

V.

Nadszedł dzień imienin pana Mikołaja, i pani Laura pojechała do Szymanówki, dlatego aby zrobić solenizantowi siurpryzę, ale porządną.

Zamknąwszy się z nim sam na sam w salonie oświadczyła mu, ale w sekrecie, że ludzie mówią, iż pani Amelja nie chce, aby się Filip żenił, dlatego że się w nim kocha sama, ale na zabój.

VI.

W tym samym momencie zamknęła się pani Karolina z panią Laurą, dlatego, aby jej oświadczyć, ale w sekrecie, że ludzie mówią, iż p. Mikołaj nie chce, aby Mania wyszła za mąż, dlatego że się sam w niej kocha, ale na zabój.

VII.

W tym samym czasie wyszła Mania z swego dziewiczego sanktuarjum, dlatego aby powiedzieć Filipowi, żeby państwu Mikołajowstwu o jej rękę się oświadczył, ale czem prędzej.

VIII.

Zeszli się państwo Mikołajowstwo w salonie, ale zirytowani. Pan Mikołaj zirytowany tem, co mu powiedziała pani Laura, domaga się aby Filipa ożenić, ale jak najprędzej. Pani Mikołajowa z podobaych pobudek domaga się, aby Manię wydać za mąż, ale bez odwłoki. Wchodzi Filip i recytuje lekcję, której go nauczyła Mania, ale bez zająknienia.

IX.

Wchodzi Mania i oświadcza że chce Filipa za męża, dlatego że dobrze wyrecytował swoją lekcję. Pod nawałą takiej presji zezwalają państwo Mikołajowstwo na ślub swych wychowanków, dlatego żeby i bez tej presji byli na to zezwolili, ale Mania nie byłaby wtedy była bohaterką, pan Lubin Illasiewicz niebyłby napisał nowelli, a Gazeta nie miała literackiego fejletonu.

X.

Korona dzieła!... Pokazuje się, że ludzie nigdy o romansy państwa Mikołajowstwa nie posądzali, że p. Krzysztof był tylko narzędziem Mani, która całą intrygę uknuła, i dlatego za karę musi odebrać od Filipa pocałunek, ale w same usta.

Państwo Mikołajowstwo dowiadują się o wszystkiem, ale się nie gniewają, dlatego że świat jest jak bazyliszek; — i owszem cieszy ich to bardzo, że mają tak mądrych i poczciwych wychowanków, którzy za doznane bobrodziejstwa umieli im się wypłacić wdzięcznością, ale porządnie.

Tyle jest słów w nowelli p. Illasiewicza. Sąd o niej pozostawiam czytelnikom, dodając tu tylko, że w sprawozdaniu mem ani fabuły, ani pobudek które osoby działające do akcji skłaniają, ani rysunku tychże osób w niczem nie zmieniłem.

Ale dość już o tych dziwolągach, na które patrząc zwątpićby nam przyszło o „uczuć przędzy i myśli kwiatach“ naszego narodu, a tem samem o jego przyszłości!.. Czas nam zwrócić uwagę na przedmioty bardziej pocieszające, do których mi bez wątpienia zaliczyć wypada wyszły w tych dniach VI zeszyt „Piosnek i Gawęd humorystycznych“ pani Rodocia. Zeszyt ten zawiera przeważnie utwory treści społecznej, i z przyjemnością przypada mi tu oddać należną pochwałę autorowi, iż opuściwszy niewdzięczne pole politycznych harców zwrócił swego Pegaza na tory wdzięcznej satyry, tak jemu odpowiednie. Niektóre z wierszy zawartych w tym zeszycie jak: Wieszczka, A to mi się zdarzyło, Zabawny jesteś mój drogi, Zaraz byłoby inaczej, Żarty: etymologiczny i archeologiczny, odznaczają się prawdziwie beranżerowską werwą, a co do wiersza: Zasady, to już jest prawdziwy brylancik, tak co do treści jak i co do formy.

Jakkolwiek owoc zupełnie innego pola, nie mniej nawet i dla ogółu ciekawą jest publikacja: Statystycznej karty

Galicji i Bukowiny, obejmującej stosunki ogólne, polityczno-administracyjne, rolnicze, przemysłowe i komunikacyjne tychże krajów, a skreślonej na podstawie najnowszych dat urzędowych pp. M. Bodyńskiego, posła do Rady państwa i sekretarza Izby handlowej we Lwowie, i Jarosława Michałowskiego inżyniera, i naczelnika statystycznego biura kolei Karola Ludwika. Dzieło to nakładem księgarni F. H. Richtera we Lwowie wychodzące, a na wystawę powszechną w Paryżu przeznaczone, opracowane jest z nadzwyczajną sumiennością i ułatwia pogląd na statystyczne stosunki naszego kraju we wszelkich kierunkach. Stosunki polityczno-administracyjne są tam uwidocznione 35, a komunikacyjne 6 znakami, — stosunki przemysłowe uwidocznia 45 znaków, a stosunki odnoszące się do gleby i jej uprawy 16. Oprócz tego znajduje się tam jeszcze 15 skombinowanych znaków, służących do uproszczenia przeglądu. Dalej wykazuje mapa stosunki ludnościowe, przegląd statystyczny powiatów, stan oświaty, stan chowu bydła i pszczół na kwadratowe kilometry i na tysiące ludności.

Jestto niezawodnie jedno znajznakomitszych dzieł tego rodzaju, — ja przynajmniej nie znam równie wyczerpującej mapy statystycznej, i z pewnością należy się wdzięczność pp. Bodyńskiemu i Michałowskiemu za tę pracę, jak niemniej i p. F. H. Richterowi za jej publikację. —

Włodzimierz Zagórski.

TEATR.

Artykuł 264. Komedja w 5 aktach.

polecona do grania przez komisję pierwszego konkursu dramatycznego lwowskiego

IMIENIA FREDRY.

Konkurs dramatyczny lwowski Imienia Fredry, nader hojnie obesłany przez autorów, dał w dniu 4. marca pierwszą próbkę z tego obfitego zbioru licznie zebranej publiczności.

Powinnibyśmy podkreślić ten ostatni frazes, bo niestety zapełnienie teatru należy do wyjątków, mimo że usiłowania Dyrekcji na najzupełniejsze uznanie zasługują. W tym razie, jesteśmy pewni, że tajemniczość osłaniająca osobę autora tej pierwszej z poleconych do grania sztuk konkursowych była powodem tak pożądanego w teatrze natłoku.

W miłej nadziei, że się to częściej powtórzy i w końcu, co daj Boże, zamieni w stan normalny, przechodzimy do komedji, na której ocenienie ramy naszego pisma, nie wiele nam miejsca zostawiają.

„Artykuł 264“ jest niezaprzeczenie utworem wyższej wartości i zdradza w pomyśle i fakturze obeznane już ze sceną i publicznością pióro. Autor wydobył swój pomysł z niewyczerpanej, złotej miny zawikłań matrymonjalnych. Jest to historja niewierności małżeńskiej i ekspjacji tej ciężkiej winy.

Z tak dramatycznym jednakże tematem autor bardzo cavalièrement się obchodzi. Bohater komedji i winowajca ciężki, bo mając młodą i piękną żonę, z którą go miłość połączyła, w pierwszych już, miodowych miesiącach obraża ją w najświętszych, prawie dziewiczych jej uczuciach, miłostką z jakąś teatralną sylfidą; bohater ten okupuje swoją winę i dochodzi do odzyskania żony, która z nim się już prawie rozwiodła, osnutą na zręcznych figlach intrygą i kilkoma wzruszającemi do uczucia' swej małżonki szturmami. Gdyby miał jeszcze jakiś potężny motyw na swoje usprawiedliwienie; jakiś zbieg okoliczności fatalnych, lub jedną z owych demonicznych, nieodpartych namiętności, które łamią najsilniejszą wolę.. Ale gdzież tam! Jedyną jego racją obrony jest, że żeniąc się „jeszcze nie był wyszumiał“ choć zgoła w całem działaniu i wzięciu się swojem nie zdradza takiej młodości i naiwności zbytniej. Owszem chłód i rozwaga, z jaką plan swój odzyskania serca i osoby żony układa i przeprowadza, pewna lekkość z jaką traktuje swoją winę, zdradzają wyrobionego już życiem i nad miarę pobłażliwego dla siebie człowieka. — Ta charakterystyka bohatera czyni go niesympatycznym widzowi od samego początku aż do końca komedji — a ją samą, powiedzmy szczerze, nieco niemoralną. Całem usprawiedliwieniem autora, a zarazem błędem jego pomysłu jest, iż autor postawił swojego bohatera w takiem otoczeniu, między takiemi czynnikami intrygi, iż ta nie mogła być poprowadzoną inaczej, jak poprowadzoną została.

Za ten błąd kardynalny i za pewne naciągania w intrydze mężowskiej, wynagradza nas autor parą charakterystycznych typów i kilkoma scenami pełnemi godnego Fredry komizmu. Postacie p. Kokszowej (p. German) ciotki tak srodze obrażonej żony i Rejenta rypińskiego (Zamojskiego) Turczy, brata i siostry, processujących się od lat dwudziestu zawzięcie o jakiś kilko tysięczny spadek i nienawidzących się podwójną nienawiścią — bo pieniacką i braterską, są znakomite pod względem charakterystki i humoru. Kolizje zachodzące pomiędzy niemi, dają powód do scen wywołujących homeryczny śmiech między publicznością. Mniej już udatną kreacją, a nawet szablonową, jest kuzynka Kamilla (p. Ładnowska) młoda wdówka, emancypowana do najwyższego współczesnego stopnia. Jeżeli dodamy jeszcze konkurenta, do uchodzącej za rozwiedzioną bohaterki, Karola Rolskiego (p. Kwieciński) postać zupełnie bezbarwną, podlotka Izię, córkę pani Kokszowej, mały sztafażyk, służący jednak na końcu sztuki do ułatwienia rozwiązania i wywołania sceny nader komicznego efektu, tośmy już cały personal komedji wyczerpali. Wszystkie te postacie poruszają się w dosyć żywej akcji i prowadzą zawsze djalog wyborny, pełen naturalnego toku a nieraz błyszczący szczęśliwemi zwrotami, który zdradza wytrawnego komedjopisarza, — rysowane są jednakże na grubo, z obliczeniem bardziej na komedję sytuacji, niż charakterów, na zabawienie publiczności, niż na przedstawienie jej obyczajowego i psychologicznego studjum.

Tak rozprawiwszy się, o ile to w granicach tej małej wzmianki się dało z komedją, która jednakże ze wszech miar na polecenie do grania zasługiwała i ma prawo z wielu względów do utrzymania się na repertoarzu, przystępujemy do ocenienia gry występujących w niej artystów, których talentowi w znacznej części „Artykuł 264“ powodzenie swoje zawdzięcza. L'honneur aux dames! Zaczynamy od pp. Parznickiej, German, Ładnowskiej i Kwiecińskiej.

Pani Parznicka w roli bohaterki, p. Skalskiej, odsłoniła wszystkie resursa swego potężnego talentu. Cały proces psychologiczny, jaki się przez pięć aktów tej komedji odbywa w duszy

szlachetnej, kochającej, a tak głęboko dotkniętej kobiety, z niewymowną subtelnością uwydatniła znakomita artystka, — a w scenie pogodzenia się małżonków, w akcie V^{tym}, gdy wszystkie uczucia wrą w najwyższej potędze w bohaterce, pani Parznicka uwielbienia była godną. Cała tęcza wrażeń grała na jej wymownej fizjonomji, cała skala uczuć: wzgardy, gniewu, boleści, rozrzewnienia, radości najwyższej, radości przebaczenia, drgała w jej dźwięcznym, metalicznym głosie. Pani German, ciocia Kokszowa, z wybornego materjału, jaki jej podał autor, stworzyła znamienity, pełen życia prawdy i humoru typ. Religijna, dobra, pełna macierzyńskiej troskliwości, a jednak zawzięta i pociesznie gwałtowna, gdy chodzi o jej proces lub o starcie z najzawziętszym jej wrogiem, bratem rejentem Turczą, Kokszowa — wyszła w grze p. German, z niemierną prawdą charakteru; a zręczne, nigdzie nieprzechodzące w szarżę, przyswojenie sobie przez nią akcentu litewskiego, podniosło wysoce koloryt tej postaci aż do wywołania ciągłych wybuchów śmiechu i rzęsistych okłasków ze strony publiczności. Pani Ładnowska, niewdzięcznej, bo ledwo naszkicowanej i to, jak powiedzieliśmy, szablonowo roli swojej, potrafiła nadać życie i znaczenie z prawdziwą intelligencją, wdziękiem i humorem. Artystka ta zadziwiające istotnie robi postępy, a ożywiająca ją szlachetna ambicja jest tak widoczną, godną uznania, i piękne przynoszącą już owoce, iż od zaznaczenia tego na tem miejscu wstrzymać się nie możemy.

Maleńką rolkę Izi, romantycznego podlotka, oddała pani Kwiecińska bardzo zręcznie, — najwyborniej zaś w tragikomicznej scenie pożegnania się z domem i wybierania na kolej,— zkąd powraca zrozpaczona i zawiedziona, nie znalazłszy tego, co ją miał wykraść.

P. Ładnowski w roli bohatera komedji, Skalskiego, uwydatnił raz jeszcze znowu swój mistrzowski dar podnoszenia niewdzięcznych nawet kreacyj. Dzięki jemu, nadto wyglądający na lekkoducha i salonowego grzesznika bohater wyszedł poważniej i szlachetniej, niż go narysowano. Pan Ładnowski ocalił go pełnem siły uwydatnieniem kilku momentów, w których wzgarda i namiętne uniesienie żony wyrywają wreszcie i jego z lekkomyślnego, prawie żartobliwego spokoju — jaki mu mieć kazał niesłusznie autor — i gorętsze ekspresje dobywają mu z piersi.

Rola Rejenta była jakby naumyślnie napisaną dla pana Zamojskiego. Tego rodzaju postacie są w rdzeni jego talentu i w nich go przewyższyć, ani zastąpić nikt nie zdoła.

Rola ta nawet poddaje nam domysł, co do osoby autora komedji, którym się jednak nie podzielimy z czytelnikami, raz dla tego, że gdybyśmy zgadli przypadkiem, popsulibyśmy im-przyjemną niespodziankę — a potem dlatego, iż gdybyśmy nie zgadli, dalibyśmy raz na zawsze jak najgorsze wyobrażenie o przenikliwości naszej.

W. O.

POKŁOSIE.

Z tajemniczych głębin morza. Wielokrotnie już opowiadali rybacy i marynarze o istnieniu w głębinach morza olbrzymich potworów. Na podstawie nawet tych opowiadań niezrównany w fantazji Wiktor Hugo osnuł znany swój epizod w „Pracownikach morza,—o walce nurka z potwornym polipem“. Mimo podobnych wieści jednakże, panowała dotychczas mocna wątpliwość, co do istnienia podobnych tworów; uważano je za wymysły, lub płody rozdrażnionej wyobraźni. Przed rokiem najdalej donosiły dzienniki o walce rybaków na północno amerykańskich wybrzeżach z olbrzymią z rodzaju polipów rybą, należącą do gatunku atramentnic (sepia). Donoszono nawet, że jako trofeum zdobyli jedno z niezmiernych ramion potworu. Bliższych jednak szczegółów o tym wypadku nie podano — i dlatego powszechnie uważano go za amerykański humbug. W ostatnich dopiero czasach, potwierdziły amerykańskie gazety, iż w samej rzeczy podobny potwór morski został złowiony i zakupiony dla nowoyorskiego akwarjum. Ma to być olbrzymia atramentnica albo tak zwana przez marynarzy tamtejszych djabeł — ryba; największa z dotąd widzianych. Złowienie jej zaś w ten sposób opisują: „26 Września, właśnie gdy wielka ekwinokcjalna burza srożyła się koło St. John, na wybrzeżu newfoundladzkiem, wyrzuciło morze powyżej wymieniony potwór w stanie zupełnej bezsilności pod Cotaliną na północnym brzegu Trinity Bay i to w ten sposób, iż olbrzymia ryba popadła ogonem pomiędzy dwie zawalone skały i na głębinę nie mogąc powrócić, w płytkiej wodzie leżeć musiała. W rozpaczliwem wytężeniu siekła straszliwa poczwara na wszystkie strony wyciągniętemi swemi ramiony, zapieniając wodę naokół. Kilku rybaków zauważyło wir tem sprawiony a niezwykły w tem miejscu, i podpłynąwszy ujrzeli niewidziane monstrum. Wrażeniem, jakiego doznali, była najwyższa zgroza. Jak szatan wytrzeszczała się na nich okropna bestja ślepiami wielkości talerza, wyciągając ku nim kurczące się i prostujące wężowe ramiona. Biada temu, ktoby się w nie dostał! Z nieodpartą potęgą byłby opasany i zmiażdżony. Jak palące żelazo wciskają się ssawki, umieszczone na tych ramionach w ciało — a sterczący na łbie, w pośrodku, podobny do rogu twardy dziób wbija się w ofiarę i rozszarpuje ją na cząstki. Wkrótce po odpływie morza poczwara schwytana w ten sposób i pozbawiona wody, zdechła,—i uszczęśliwionym podobną zdobyczą rybakom dostała się w ręce. Przedsiębiorczy ci ludzie wywindowali ją na barkę swoją i zawieźli do miasteczka St. John w zamiarze pokazywania za pieniądze. Szybko rozbiegająca się wieść o potworze ściągnęła zewsząd ludzi i szczęśliwi łowcy uzyskali ztąd-obfity dochód. Widok ten istotnie musiał być interesującym i oddziaływać mocno na nerwy ciekawych. Bo oto leżało przed nimi okropne straszydło morskie, z wyciągniętemi wszystkiemi dziesięciu ramiony, z których dwa najdłuższe do 10 metrów, inne zaś mniej więcej do 4 metrów długości dochodziły. Na powierzchni ramiona te pokryte były rzędami ssawek, wielkości talara. Cielsko miało długości przeszło trzy metry a $2^1/_2$ metry objętości. Zakończał je ogon na 1 metr długi. W wodzie pływa to zwierzę, z rozpostartemi na kształt promieni po powierzchni wody ramionami. Za życia ma barwę ciemnoczerwoną. Jakeśmy już wspomnieli powyżej rzadki ten i ciekawy okaz zakupiło nowoyorskie akwarjum. Po odpowiedniej preparacji wystawiono go na pokaz w skrzyni szklannej długiej na 8 metrów a głębokiej $2^1/_2$ — a szerokiej na przeszło $1^1/_2$ metra, gdzie go i dzisiaj oglądać można.

Kącik humorystyczny „Strzechy“

Pierwszy całus.

Był świat — a na nim nas dwoje... Nikt więcej!...
Nikt, za to ręczę, nawet powiem szczerze,
Że i w istnienie ziemi niezbyt wierzę,
A w każdym razie w to wierzę goręcej,
Niż w ewangelję — że ów świat podniebny
Był dla nas wówczas całkiem niepotrzebny...

Było nas dwoje — tak mało!... Nie mało,
Za wiele raczej, za wiele o dwoje...
Na ustach czułem drogie ustka twoje,
A w piersi mojej tak ogniem zawrzało,
Że się lękałem by kwiatki, co tkwiły
W twoim staniku, w dym się niezmieniły...

Usteczka twoje — moja ty pijawko,
Droga a śliczna! czuję dzisiaj jeszcze,
A jednak tobie było to zabawką —
Zabawką były te płomienne dreszcze,
Które stargawszy mi duszę i ciało,
Palą — i palić będą wieczność całą!...

Dzisiaj,... ach! wracasz po latach, po wielu —
Wracasz, i sądzisz, że wracasz tą samą;...
Niestety! urok pierzchł moja ty... damo!...
Nie mów „kochanku“, nie mów „przyjacielu;“
Twój drugi całus zamknął dla nas Eden....
— Ach, czemuż pierwszym bywa tylko jeden!?...

Djula.

KRZYŻOWCE.

(Studjum historyczne).

Rycerz Belina z rycerzem Podkową
Ruszyli społem na wojnę krzyżową
Dzikiego gromić pohańca...

Lecz nie wiedzieli, gdzie jest Palestyna
Ani Podkowa, ani też Belina,
Więc... pojechali do Żwańca...

W Żwańcu — gospodzie było dobre wino;
Tam siadł Podkowa z rycerzem Beliną
Aby się w drogę pokrzepić....

Poszli o zakład: Kto z nich tęższa głowa?...
Rycerz Belina, czy rycerz Podkowa?
Chciał jeden drugiego przepić....

Dotąd kronikarz... Dalszy wątek ginie,
Bo o Podkowie odtąd i Belinie
W żadnych analach ni śladu....

Wnosić nie broni nam prawda dziejowa,
Że ni Belina, ani też Podkowa
Nie przegrał swego zakładu....

Wprawdzie ich losy nie znane nikomu;
Że nie wrócili — to wiemy — do domu,
Ugrzęzłszy przy smacznem winku;

Więc tandem tedy, ja z tego wnioskuję
Że jeśli żyd im dotychczas borguje,
To siedzą dziś jeszcze w szynku!...

Po wyborach.

— Na kogoż glosowałeś?
— Na siebie samego.
— I cóż?
— Zostałem wybranym jednogłośnie.
— A potem?
— Wyborcy powinszowali mi odniesionego zwycięztwa.
— A ty?
— Podziękowałem im rozczulony.
— A oni?
— Krzyknęli: Wiwat!
— A ty!
— Zaprosiłem wszystkich na kolację.
— Iluż ich było?
— Mówiłem ci przecież, że ja jeden tylko.

Aforyzmy

Pożyczać i oddawać, to umiejętność dostępna dla każdego, ale robić długi i nie płacić ich nigdy, to szczyt filozofii tegoczesnej.

Upłyniona chwila nie powraca nigdy; co masz wypić, wypij dzisiaj, nie odkładając do jutra, a nie będziesz miał sobie nic do wyrzucenia.

KORESPONDENCJE REDAKCJI.

Szlachcicowi z nad Ikwy. W odpowiedzi na list Pański, dotykający kwestji wielkiej doniosłości, otwieramy łamy „Strzechy“ dla „Listów“ o idei „narodowej“ w tem przekonaniu, że nigdy nie było odpowiedniejszej chwili do starcia zdań przeciwnych i rozświecenia pojęć w tej rzeczy. Za dyskrecję poręczamy. —

Wydawca i odpowiedz. za redakcję F. H. RICHTER. Z drukarni narodowej W. Znanieckiego.



AURELIAN.

Powieść z czasów cesarstwa rzymskiego przez Wojciecha Dzieduszyckiego.

Przedmowa.

Czy to, co tu opisałem, może się nazywać powieścią historyczną? Wątpię. Panował na prawdę Aurelian w Rzymie i był na prawdę synem chłopa z Dacji czy z Panonii, i panowanie jego było takiem, jak to, o którem w powieści wspominają. Zwyciężył on Zenobię i Tetryka i zginął ciągnąc na Persów z ręki Mnesteusza, i miał przy swoim boku tych legatów, których tu wspominam i panował ostatni nad Dacją, która potem już przeszła w ręce Gotów i Antów; i wrogami jego byli Atanarich i Waranes, i on skleił na chwilę rozpadłe już państwo Rzymskie, które się po jego śmierci ostać nie mogło i które Dioklecjan napowrót rozkawałkował.

I Antowie Słowianami byli już całkiem i na prawdę, czcili bogów słowiańskich i po słowiańsku się nazywali, a pochodzili podobno od Daków i Getów starożytnych, krewniaków Słowian i Litwy, czcicieli proroka, którego Grecy przezwali Zamolksisem, i ludzi wierzących silnie w nieśmiertelność — ale choć to wszystko z historji przeszło do powieści, wątpię, by ta powieść była historyczną. Co jej treść stanowi, to się nie stało i pono stać się nie mogło, a gdy kreśliłem obraz Słowian poddanych Rzymu — jeśli tu taki obraz istnieje — kreśliłem go z domysłu tylko i z analogii innych północnych prowincji Romy.

Nie jest to tedy ani obyczajowa, ani historyczna powieść i jeśli kto się spyta, dlaczego ją napisałem, tem się chyba wytłómaczę, że taki Aurelian, jedną przemożony namiętnością, ściga mnie od lat wielu, i stale zamieszkał w mojej wyobraźni od lat dziecinnych, i gwałtem na świat się dobywał. Jeślim zgrzeszył słuchając jego nalegania uderzę się chętnie w piersi, i przeproszę czytelnika.

I.

Bory ciemne legły na dzisiejszém Pokuciu przed wiekami. Naród drzew rósł niezliczony i mogło się wydać, że dla ludzi niema miejsca. Byli jednak i ludzie.

Castrum Gaudii stało na długim grzbiecie góry, a żołnierz Rzymski cały w stal okuty patrzał ogorzałą twarzą na faliste wzgórza, wśród których wił się Dniestr siną wstęgą. Castrum Gaudii otoczone ogromnemi szańcami wydawało się warowną wyspą wśród szumnego morza puszcz, i straż słyszała w nocy wyraźnie ryk żubra, i wycie wilków. Księżyc patrzał na lasy ze strachem, i dziwnem mogło się wydać, że sioło jakieś to tu, to tam, ponad brzegiem rzek śmiało bór przerywać. Był to kraniec Romy i świata, i zaledwo śmiał tu chorągiew zatknąć Imperator Wielki, umarły już Trajan. Dalej była już Scytia, wielka rodzica narodów, kocioł ogromny, w którym wrzało przyszłością dziejową, świat tajemniczy, do którego oko Rzymianina nie śmiało zajrzeć, pustkowie owo, w którem zmarł Owidyusz z tęsknoty za słońcem i ludźmi.

Tu stawał w Castrum Gaudii żołnierz z Maurytanii, obcej mowy, obcego obyczaju, o obcej czarnej twarzy

wśród płowego ludu. Roma wszechmocna Maura przeniosła nad Dniestr, a gdy mieszkaniec północnej krainy, Ant, patrzał na niego, i gdy widział, jak zęby białe jak kość słoniowa wyglądały z czarnej wargi, mruczał pocichu zaklęcie jakieś i myślał, że patrzy na biesa, gdy patrzył na cudzoziemca owego, jak on niewolnika wszechmocnej Romy — wygnańca z pustyni. —

Co to rzekłem? Cudzoziemca? Niewolnika? Wygnańca? Cicho bądź z tem—nie powtarzaj słów tych nikomu. Tak mówić niewolno! Gdyby praetor usłyszał, co tam za górami mieszka w Barsobii, gotówby zawezwać przed swój trybunał, i ukarać za obrazę majestatu Romy. Ów Maurytański żołnierz nie—cudzoziemiec, bo jak ty, Ancie, Antem nie jesteś już, tak i on nie Maurem jest, ale Rzymianinem. Wyście Rodacy, synowie jednej ojczyzny jak świat szerokiej Romy. I wyście nie niewolnicy; nie! przenigdy nie! Wszakeście Rzymianie, i obywatele Rzymscy dzięki łasce boskiego Antonina, co wam wszytkim wolność jednego dnia darował, gdy się bawił w Aleksandra Wielkiego, i głowę na lewy bok pochylił, i rżnął w Aleksandrii ludzi bezbronnych, mówiąc że to Persy. Każdy mieszkaniec imperii, jak szeroką jest, wolnym jest i obywatelem z rozkazu imperatora, i nie śmie się skarzyć na jego wolę, nie śmie powiedzieć, że jest niewolnikiem, bo spotka się z gniewem praetora, i zginie pod toporem, albo pod rózgami, albo pod pazurami lwa, gdzieś na południu — daleko! I niewygnańcem jest Maur, bo zawsze bawi w rzeczypospolitej. Wolność Rzymska chce tego, by słowa znaczyły to, co rozkażą słudzy Cezara.

Sługi tu tylko widać zwykle. Teraz — rzecz niesłychana, sam Cezar przybywa aż tu pod wielką niedźwiedzicę — Aurelian — i August i Cezar Galski, Retyjski, Palmirski. Ma tam jakąś sprawę z krnąbrnym królem Gotów i na Dniestr ciągnie wracając z Palmiry. Około godziny jedynastej we dnie ujrzał żołnierz na straży z daleka znak Cezara; było to słońce złote, które zapłonęło nad borem oblane promieniami słońca, przedzierającemi się przez mgłę Wrześniową. Trybun, co w Castrum Gaudii dowodził, Marcus Amianus Afrykańczyk, kazał ogorzałemu wojsku stanąć w szeregu; orły Rzymskie i posążki Jowisza i Wiktorii błysnęły na długich drągach nad wałami i wysypami obozu, a lud ze wsi, którą Rzymianie zwali Albicula, a Anci Olszanica, garnął się ciekawie do obozu, aby widzieć przybycie dalekiego Pana, co był bogiem na ziemi. Nieprzypuszczano jednak tłumów bliżej, i szeroka zielona wstęga trawy dzieliła białą odzież i białe głowy Antów od czarnych zbroi i czarnych twarzy Maurów.

Cezar, niewierny swemu zwyczajowi, wyprzedził wojsko i z małym orszakiem pojechał naprzód, kłusem, drogami leśnemi, na koniu. Choć przewodnik był przy jego boku na małym kosmatym koniku, nie oglądał się na niego Aurelian i ku zadziwieniu orszaku sam trafiał po manowcach tak, że wyprzedził nawet złote słońce, które murzyn zwykł nieść przed nim na drągu, biegnąc. Murzyn nieznał drogi, więc musiał zostać z konieczności za Imperatorem dążącym wprost do obozu. Legat Pizo, mały i śniady arystokrata rzymski, szepnął legatowi Carusowi, barczystemu synowi własnej fortuny: „Imperatora chyba jego własne bóstwo wiedzie, tak zna drogę wśród tych północnych manowców. Zaiste to mąż dziwy, godzien tego że zlepił rozbite imperjum i że mieczem wpędził falę barbarzyńców nazad do dawnego koryta. Wszędzie i zawsze jest wodzem, i z natchnienia trafia tam nawet, gdzie nigdy wpierw nie był. Gdyby był Tezeuszem, nie byłby potrzebował nici Ariadny, by chodzić po Labiryncie, jakby po własnym domu". Tak mówił Pizo, a inny jeszcze legat, zabobonny Galienus, rozmawiał z przewodnikiem w języku Antów. Mówiono o nim, że ztąd był rodem, ale on się do tego nie przyznawał, twierdząc, że pochodzi od dawnych królów Ilirskich.

Tuż za cesarskim orszakiem biegło ośmiu nagich prawie i czarnych Indjan niosących lektykę. Byli to niewolnicy kupieni niegdyś przez Odenata, króla Palmiry od Arabskich kupców. I dziś nawet w niewoli służyli wdowie jego Zenobii, a królowa ta dziś jak cień nieodstępywała od Aureliana; zdawało się, że jemu się naprzykszy, ale jakoś nigdy się nie naprzykszyła.

Wreszcie imperator dojechał do obozu. Wyprzedził był na białym długo-grzywym medyckim koniu orszak cały o kilkanaście kroków, a wojsko i lud przywitały go przeciągłym okrzykiem, w mowie narzuconej i jednym i drugim. „Ave Caesar" zabrzmiało z tysiąca piersi. Imperator ściągnął cugle konia i obejrzał się. Był to mąż miernego wzrostu, cienki dość, ale żylasty i o dużej ręce i nodze. Płowy krótki włos wyglądał z pod hełmu i kręcił się z lekka, oko błękitne, duże, tęskne potoczyło się powoli po leśnym krajobrazie, i wszystkie muszkuły suchej i regularnej twarzy drgnęły; aż piękny płowy wąs i kędzierzawa broda poruszyły się. Cezar miał lat czterdzieści i niewyglądał ani na cesarza, ani na Rzymianina. U stóp jego mieniły się wszystkie odcienia zieloności wśród ogromnych borów, i gdy wiatr zawiał, przez mgłę słychać było szum nieskończony liści, podobny do szumu morza słyszanego gdzieś na południu. Topole i olchy, buki i dęby, brzozy i osiki chyliły się przed panem, i cała puszcza szeptała narzuconą obcą mową: „Ave Caesar". Chwilę potrwało a echo naddniestrzańskie powtórzyło od Miodoborów wyraźnie: „Ave Caesar". Wyraźnie po łacinie. Aurelian zeskoczył szybko z konia, potarł ręką czoło, i zaczął niecierpliwie rozmawiać z trybunem.

Tymczasem nadjechała reszta orszaku, nadjechało wojsko niezliczone, rozbito jeden namiot dla Cesara niebieski bramowany złotem, drugi czerwony i także strojny w złoto dla królowej i branki, różne mowy różnych wojsk

usłyszano, kucharze zaczęli się przątać, legaci ściągali z siebie ciężkie zbroje. Castrum Gaudii było na chwilę stolicą świata.

Gdy już wszystko rozłożono, wspanialszym był o wiele namiot czerwony. Był to dom raczej z płótna a nie namiot. Kotary z kobierców oddzielały różne komnaty, a w głównej od wschodu roztaczał się przepych, jakiego pewno północ nie widziała. Ziemia była wyścielona sydońskiemi kobiercami, i takież kobierce obwisły wszędy dokoła, a na nich wyhaftowane dzieła Herkulesowe. Na składanych stolikach płonęły po kątach złote lampy, napełnione wonnym olejkiem, a że wszystkie kotary pospuszczano, tylko niepewne światło nieoszklonych lamp rozświecało czarodziejsko wnętrze. Jedwabny obrus krył niski obozowy stół, a królowa leżała na poduszkach. W innych częściach komnaty stały inne podobnie kryte stoły, a wszędzie migotała złocista zastawa. Niewolnicy czarni, biali i bronzowi stali dokoła z założonemi rękami, milcząc, złota klatka z ogromną pstrą papugą wisiała pośrodku na złotym łańcuchu, małpa o długim ogonie lazła po głowach niewolników nieruchomych i targała ich to za włosy, to za uszy wiedząc, że jej wszystko dozwolonem, a rzadkość największa, biała sarneczka, pieściła się z królową. Zenobia głaskała malutką rączką główkę zwierzęcia, jedna klęcząca niewolnica chłodziła ją wachlarzem ze strusich piór, a druga gałązką odganiała od niej naprzykszone wrześniowe muchy. Szaty na niej były jedwabne, jabłko z kryształu spoczywało dla ochłody w jej lewicy, oko czarne jak węgiel połyskiwało niespokojnym blaskiem, a twarz jej wydawała się dziwnie piękną w tym półcieniu, choć biały dzień byłby zdradził barwę sztuczną, co zastępywała minioną już świeżość młodości. Siadł za to na czole Zenobii urok trwalszy od młodzieńczych rumieńców, urok, co ztamtąd do śmierci nie ustąpi. Widać było na jej obliczu rozum, nie niewieści wcale rozum, jakiego niemiała żadna inna kobieta od czasów bajecznej Semiramidy.

Przed nią stał legat Pizo.

„Dlaczego to każe Cezar tak czekać na siebie?“ spyta Zenobia.

„Nie wiem“ odparł Legat. „Patrzy ze szczytu wzgórza, oparty o włócznię, na dzicz tutejszą i tutejsze pustkowie jakby na zatokę Neapolitańską. Odkrył w tem coś pięknego. Snać bóstwo widzi piękno tam, gdzie śmiertelne oczy widzą tylko szkaradę“.

„Czegoż podchlebiasz nieobecnemu? Jakież są między nami tajemnice, Pizonie? Wszak myśmy się dawno zrozumieli“. Pizo się obejrzał. „Nie bój się“, ciągnęła dalej Zenobia. „Żaden z nich nie umie i słowa po grecku, możemy rozmawiać bez obawy. Zulejce kazałam wczoraj uciąć język, bom zobaczyła, że sprytna Arabka zaczyna się domyślać słów w językach naszych“.

„A papuga?“ rzekł Pizo. „Ja się papugi także boję“. „Papuga po grecku umie“ rzekła królowa „ale to przyjaciółka moja i sprzymierzona. I ona także była niegdyś królową w lesie, gdzieś tam gdzie Nil się rodzi. I ja byłam królową. Obieśmy dziś w niewoli, obie się rozumiemy, obie pomagamy sobie. Ja już niezapanuję w Palmirze, ona niezawładnie w palmowym borze, ale myśmy obie kobiety, papuga i ja. Obie wiemy, co chcemy, obie mówimy niby jak na mękach, ale w mowie naszej więcej tajemnicy jak w waszem milczeniu, bo to mówimy tylko, co chcemy; i obie zapanujemy jeszcze, i to nad światem całym, w Romie. Ja muszę poślubić żołnierza tego nieokrzesanego, Aureliana, i będę Augustą. Ty i papuga pomożecie mnie; i za to zrobię ciebie Cezarem i następcą naszym; ona Cezarową będzie i los mój dzielić będzie. Będzie panować przez męża“.

„Zews i Athene pomogą“ zawołała papuga.

„A widzisz?“ Spytała Zenobia. A Pizo zaciął usta.

„Powiedz, co on robi?“ Rzekła Zenobia łagodniejszym głosem.

„Żartować muszę; te żarty w mojem nieszczęściu jedyną pociechą. One to zacierają w mojej pamięci tę przeklętą chwilę, kiedy musiałam nieść złote łańcuchy w obliczu gawiedzi Rzymskiej, stąpając za rydwanem znienawidzonego podczas tryumfu jego! Więc ty mi przebaczysz żarty owe! Ale, Pizonie, na ojców twoich, na Rzymian starych, których jesteś ostatnim potomkiem, mów mi wszystko, co Aurelian czyni; bądź mi wiernym szpiegiem. Wódz musi znać wszystkie ruchy nieprzyjaciela! Ułowię go w siecie moje, gdy wszystko mi powiesz, gdy wszystko wyśledzisz. A pamiętaj, na Astartę przysięgłam, Izydę i Hekatę, trzech ludów boginie, że nadgrodzę cię i zaszczytami i pocałunkiem wschodniej królowej, i darem czarów i wróżby, i tem o czem kobiety milczą. Więc mów, Pizonie, co Aurelian teraz robi, że go dotąd niema?“

„Cóż ci powiem?“ odrzekł Pizo. „Co teraz robi, nie wiem, bo słyszę twoją mowę pstrą jak skóra lamparta, by mówić ze starym poetą, i ciebie widzę a nie Aureliana. Gdym od niego odchodził, czynił to, com przed chwilą mówił. Patrzał na lasy i wzdychał. Lecz oto nadchodzi syn szczęścia, dziecko nieznajomych, co panuje synom patrycjuszów i królowym Wschodu“.

I w samej rzeczy kotara wchodowa odchyliła się; najpierw światło słoneczne wpadło szeroką wstęgą na kobierce, któremi namiot zaścielono, a potem wszedł Cezar ze złotem słońcem zawieszonem na złotym łańcuchu na piersi i za nim jego legaci, wszyscy podobnie jak on postrojeni w ciemne, czarne prawie, fałdziste togi, od których odbijały róże wplecione do włosów, a pomięszane z ametystami.

„Czegoż ciebie tu tak długo niebyło, Aurelianie?“ spytała Zenobia. „Tęskniłam za tobą jak zorza za Tytonem tęskni. Z krain południa, z Syrji, co jednem zwierciadłem

światła, z Italji co jednym ogrodem Oleandrów, z Hiszpanji co marzy u bram zachodu, i słyszy co wieczora wielki szum, który powstaje, gdy się słońce do morza zanurza, zawiodłeś mnie aż tu, Herkulesie nowy, w kudłatą, niedostępną północ, aż gdzieś w kraje za wiatrem północnym. Słońca tu nie widać innego jak chyba ciebie; więc tęskno mi za tobą słońce moje! Wiesz, jestem Damasceńską różą, i bez światła więdnę.“

„Na boga“ rzekł Aurelian, który legł naprzeciw królowej przy jednym stole, kazawszy legatom inne miejsca zająć: „Na boga, Zenobio, mówisz jak Syrena pustyni, i ja żołnierz niepotrafię tak obracać językiem jak ty. Potknę się, gdy sprobuję. Ale gdyś mnie kadziła, gdyś mnie chwaliła, obraziłaś kogoś mocniejszego odemnie, bo boga, bo słońce, co tu jaśnieje“.

„Aurelianie! obrażasz!“ zawołała Zenobia dźwigając głowę. „Pamiętaj, że mówisz do Zenobii, i niemów że bóg jaki potężniejszy od ciebie. Wszak tyś mnie zwyciężył, boski!“ Uśmiechnął się Cezar z lekka ale jakoś smutnie. I zaczął chwalić kraje północne, i łowy na grubego zwierza w puszczy, i rzeźwe lato, i zimę lutą, i sannę i rozkosz, której się doznaje, gdy się po długiej, białej zimie wiosnę uczuje, i wiosnę powita; mówił o tem, że na północy miód lepszy jak południowe wino, mróz milszy jak południowe skwary i ludzie pełni prostoty. „Ztąd“ mówił „najlepszych biorę żołnierzy“. Królowa słuchała zdziwiona, nie rozumiała pochwał i rzekła tylko: „Wolę ja palmowe gaje“. Pizo i Karbo Italią wynosili i Grecją; Aper nieznał nad Atlasu Afrykańskiego szczyty białe, co jaśnieją wiecznym śniegiem ponad wiecznie zielonemi lasami Afryki; Karus chwalił stepy Anatolskie, Galienus mówił, że umie żyć w obozie tylko i w wielkim jak Rzym mieście, Dioklecjan mówił, że tęskni zawsze za morzem nieskończonem, i że nań patrzyć musi choć przez kilka dni w roku, a wtórował mu Maksymin; jednak między nimi właśnie powstał spór najzaciętszy, bo Dioklecjan lubiał tylko morze błękitne i spokojne, morze Śródziemne i Adrjatyckie, a Maksymin klął się, że ono nudne jak niewolnica Germanka. Jemu trzeba było huku oceanu, i szumu piany, i mgły co siędzie na czoło północnych mórz. Na wzmiankę wichru i mgły, drżała Zenobia. „Chociaż jestem niewiastą, niejestem zniewieściałą“, mówiła, „wie o tem Azja cała. W pokoju lubię poduszki i kadzidła, ale w potrzebie umiałam hełm na głowę włożyć, i konia dosiąść, i zajrzeć bitwie w oczy. Ale mężna jestem tylko wtedy, gdy gorąco; w mróz, w mgłę, w zimno, nicem niewarta; nawet rozum ustępuje“. I mówiąc tak tuliła się w swoje jedwabne obsłony.

Wino krążyło dokoła stołu, lecz nikt niepił wiele. Mięsiwo za to uprzątnęli prędko żołnierscy biesiadnicy, bo kucharz królowej dobrze przyprawił północną zwierzynę. Był to Gal, darowany jej przez Aureliana.

Gdy biesiadowano jeszcze, dano znać, że jakieś wesele barbarzyńskie — choć to było weselem Rzymskich obywateli — prosi o przystęp. Było to wesele córki jednego z najmożniejszych Antów, a że wypadło właśnie w czas cesarskiej bytności w Castrum Gaudii, więc ojciec panny młodej prosił o tę wysoką łaskę, by mu dano imperatora uczcić winnym hołdem. Imperator rzekł „niech przyjdzie wesele tu do namiotu?“ i Karbo zaniósł rozkaz.

„I poco?“ spytała się Zenobia prawie gniewnie „sprowadzasz tu te krotochwile? Pocóż chcesz, by tu hałasowali barbarzyńcy ci i wieśniacy, by śpiewali źle i tańczyli gorzej, a nam wcząsy przerwali? Znudzonyś w Atenach i w Rzymie. Do cyrku przychodzisz wtedy tylko, gdy musisz; w teatrze spisz podczas greckich trajedji, a ziewasz podczas komedji łacińskich. Muzykantami przerzucasz jak piłką, a żaden ci niemoże dogodzić, tak jesteś wybredny. Jakąż możesz mieć przyjemność z tych wiejskich tańców? Tyś Olimpijczyk i powinieneś od brzydoty głowę odwrócić. Mnie z tego wesela głowa zaboli“.

„Z rodu sztuczną jesteś“, odparł cesarz, „tyś kwiat w pokoju wychowany. Jam wyrósł na świeżem powietrzu, a kazano mi żyć w mieście i wśród ludzi wygładzonych jak szlifowane noże z kości słoniowej, a złych jak trucizna nieboszczki Popei, którą Rzymianie boską zwali. Mnie Rzym tylko znudził, i Grecja, i wszystko, co Rzymskie i Greckie. Wszystko powiadam! Bogowie, w których nikt już nie wierzy, posągi, co się ruszyć powinny, tak prawdziwe, a nigdy się nieruszą; patrycjusze i senatorowie, których dziad był piekarzem, a w najlepszym razie ryby na ulicy sprzedawał, nieprawda w życiu, nieprawda na scenie; rzeczpospolita, w której ja jestem królem samowolnym, jak na niebie słońce, i motłoch co woła ciągle: chleba i igrzysk. Wolę się raz popatrzyć na to, jak się ludzie na prawdę bawią, na wesele, co się nieskończy rozwodem, na ofiarę, przy której niesiedziała niewiara, na ludzi, co nie kłamią. Na Świętowida! chcę się raz zabawić, na prawdę zabawić.“

Nie wszyscy zrozumieli to zaklęcie, ale Galienus i Dioklecjan, którzy dobrze znali i obyczaj i wiarę Antów popatrzyli po sobie. I papuga kręciła głową w klatce. Wpuszczono do namiotu wesele, a Zenobia tylko z lekka ruszyła ramionami. Ludzie byli po części z rzymska poubierani, a po części zachowali na sobie białe koszule i czarne siermięgi Antów. Świętosz, ojciec panny młodej, udrapowany w togę i Żybar starosta zbliżyli się z ogromnem umajonem ciastem do Imperatora, i upraszali go w długiej, sztucznej, nie zgrabnej, ale po łacinie dobrze wygłoszonej mowie o to, by na wieki dom Świętosza wsławił i domowe jego bogi uszczęśliwił, odwiedzając jego progi.

(C. d. n.)

SERCE.

Z teki pośmiertnej

KAROLA ŚWIDZIŃSKIEGO.



ziś z twarzy mojej nikt nie wyczyta,
Co w głębi duszy się mieści;
Twarz ma uśmiechem zawsze spowita,
Język szaleje i żartem zgrzyta,
Choć w sercu pełno boleści.

Bo wpośród ludzi, kto sercem żyje,
Temu już dola — niedolą!
Łza mu goryczy lica obmyje,
Wąż mu zawodów duszę obwije,
I skroń mu ciernie pokolą.

Dziewczynie serce dajesz z ochotą,
A dziewcze sercem się bawi:
O! bo wszak mniejsza, wszak mniejsza o to,
Że gdy zabawkę opuści złotą,
To ją pokruszy, zakrwawi.

Nieraz przyjaciel zda ci się prawy,
Sercem oddany i złoty...
Bo jednomyślny pośród zabawy,
I pośród gwaru uczty i wrzawy
Młodzieńcze dzieli zapały.

Lecz kiedy uczta i gwar przeminie,
I kiedy troska na dobie,
Wtedy przyjaciel dom twój ominie,
Bo przyjaźń swoją kąpiąc w twem winie,
Myślał... lecz tylko o sobie...

A więc szyderczo życie dziś biorę,
Choć głód do życia mam wilczy!
I choć mi serce, marzeniem chore,
Do świętych uczuć jak dawniej skore;
Każę mu milczeć — i milczy!

TURECKI KOZAK.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

Erwina nie przestała mnie kochać — ale należała już do innego! Zapewniono ją, żem zginął — i w istocie w bitwie pod Hermansztadem poległ oficer od Honwedów, mój imiennik i powinowaty... Wszystko zmówiło się na nią i na szczęście moje. Majątek ich powstanie narodowe zniszczyło do szczętu — po dwóch latach żałoby i pomimo energicznego oporu biedna dziewczyna uledz musiała wreszcie natarczywym prośbom i zaklęciom matki i oddać rękę człowiekowi, noszącemu jedno z najświetniejszych w Rumunji imion, posiadającemu olbrzymią fortunę. Człowiek ten jednak poznawszy wkrótce, że nie posiada jej miłości, po kilku miesiącach opuścił ją, ażeby bez przeszkody oddać się w Wiedniu, Petersburgu, Paryżu i Londynie swym haniebnym namiętnościom, których wyrzekł się tylko pozornie i na chwilę dla zaspokojenia swej zmysłowości w objęciach najczystszej i najpiękniejszej z dziewic. List Erwiny odkrywał całą potworność jego charakteru.

„Teraz opuszczoną jestem zupełnie“ — pisała dalej. „Jedyną osłodą losu jest mi matka moja. Wieść o tem, że żyjesz, napełniła torturami wyrzutów serce moje. Przykuta jako żona do człowieka, któremu winnam być wierną mimo jego rozpasanego życia, — opanowana podwójną miłością dla ciebie, czuję się stokroć nieszczęśliwszą niż kiedy—bo nie mogę zerwać więzów, które mnie do śmierci ze znienawidzonym łączą“.

Po przeczytaniu tych słów popadłem w rozpaczliwą zadumę.

Poczciwy Ferenz stał przedemną i przypatrywał mi się z głęboko współczującym wyrazem. Musiał znać treść listu.

Po chwili przystąpił do mnie po cichu i z prostoduszną pieszczotą położył mi rękę na ramieniu.

– Czy mam jej odnieść odpowiedź — spytał wzruszonym głosem. — Wprawdzie droga do Belgradu daleka, ale przecież już raz ją odbyłem. Wprawdzie idzie poczta tatarska przez Serbję, nie można jej jednak zaufać — a nadto ja sam przyrzekłem przynieść odpowiedź, jeżeli pana przy życiu zastanę. —

Szlachetny, gotowy do wszelkich poświęceń charakter! Pomimo przebytych trudów i więzienia zacny cygan nie wahał się ofiarować mi po raz drugi swoich usług i narazić się na cięższe może przejścia.

Zawahałem się czy przyjąć tę bezinteresowną szlachetną przysługę, ale Ferenz miał wyraz takiej poczciwej gotowości w oczach, i tak mnie przekonywał, iż nie mam innego wyboru, iż wreszcie się zgodziłem użyć go raz jeszcze.

Podskoczył z radości — i nie przestawał napierać na mnie o pośpiech... Tymczasem ja wobec tego, co mi Erwina doniosła, nie byłem zdolny do jednej jasnej myśli, do sformułowania sobie jakiegoś wyraźnego zamiaru. Wszystkie jej słowa wirowały mi bezładnie w mózgu. Czułem tylko, — że bądź co bądź widzieć ją, połączyć się z nią muszę! Ale gdzie, jakim sposobem. Komunikację wszelką przecięto; nie mogłem nawet myśleć o ściągnięciu jej w wir życia wojennego, a zresztą czyż było podobna, ażeby ona, słaba kobieta, odbyła drogę, która nawet dla posłańca mego tysiące niebezpieczeństw przedstawiała.

A z drugiej strony mógłżem ja, zbieg i przestępca polityczny przedostać się przez granicę. Życie moje a co najmniej wolność stawiłem na kartę, skorobym tylko stąpił na grunt austrjacki.

— Ferenz — zawołałem nareszcie, podnosząc się i kładąc mu rękę na ramieniu. Serce moje dziękuje ci stokrotnie za tyle wierności! Nie zapomnę ci tego do grobu!... Jutro rano przed świtem jeszcze powiem ci, co masz uczynić. Tymczasem połóż się na noc w głębi mego namiotu, lub gdzie bądź w mojem pobliżu. Udasz się znów w długą podróż dla mnie... lecz...

— W tej chwili przyszedł mi na myśl los drugiej, bliskiej i drogiej mi osoby.

— A cóż się stało z moim ojcem — zawołałem... Nie masz że od niego lub o nim dla mnie żadnej wieści?

— Ojciec twój uciekł. Żyje podobno w jakiemś wielkiem mieście, leżącem gdzieś bardzo daleko — którego nazwisko zapomniałem.

Gwałtowne bicie serca mego ustało? Z niewymownym niepokojem oczekiwałem na jego odpowiedź.

— Dziękuję ci Ferenz, — rzekłem. Skoro wrócisz z nowej wycieczki, może mi dostarczysz i o moim ojcu bliższych szczegółów... A teraz do widzenia, — reszta o świcie....

Ferenz odszedł ku kręcącym się nad rzeką cyganom. Wesoła twarz jego świadczyła, że cieszy się przyszłą nową podróżą.

Z głową pełną ciężkich myśli patrzyłem za nim. Ostatnie promienie słońca pozłacały ostre minarety miasta i fortecy Widdyń z tamtej strony rzeki; szkarłatnie, jak

królewska purpura kładł się zachód na barkach łańcucha otaczających gór; miljonami ciemnych i ognisto czerwonych błysków i refleksów grały promienie słoneczne w wartkich, szumiących nurtach Dunaju, po których w tej chwili właśnie sunęły obładowane chlebem i mięsem Kaiki i Szemakle powracających z Widdynia urzędników, oficerów i żołnierzy.

Nieprzyjaciel zaalarmował nas fałszywie. Była to demonstracja, urządzona dla zastraszenia nas i pokazania mas wojska, jakie przy najbliższym szturmie na nas się potoczą. My jednak pomimo tej przewagi wroga czuliśmy się bezpieczni za naszemi szańcami. Nasi topchi'owie, kanonierzy okazywali niewzruszony spokój duszy przy obsługiwaniu dział, a pomiędzy naszemi taborami panowało jak najlepsze usposobienie, mimo że Padyszach zapomniał im wypłacić żołd.

Długie trąby wygrywały właśnie chaotyczny i dysharmonijny capstrzyk. Wojska przygotowywały się do wieczornej modlitwy. Z Widdynia, z galeryi Minaretu brzmiało rozgłośnie wołanie Imana na wiernych. Poszczek i wycie tysiąca dzikich psów, włóczących się naokół obozu, słychać było wśród głębokiej ciszy, która nagle nastała.

Za chwilę ogniska obozowe poczęły trzeszczeć i migotać. Sycząc, probował płomień siły swojej na wilgotnem drzewie. Przystawiono kotły do ognia. Milcząco, z orjentalnym spokojem ugrupowali się naokoł nich żołnierze, gotując mięso i obierając czosnek. Ztąd i zowąd, z namiotów wyrywały się nosowe, melancholijne tony jakiegoś wokalnie uzdolnionego redyfa lub topchi'ego, który przy akompanjamencie małej mandoliny, własnego wyrobu, osobliwe, usypiające wyciągał pieśni. Obozujący naokół koledzy wtórzyli im od czasu do czasu choralnym wykrzykiem „Ah“, przeciągniętym melancholijnie i dziko.

Jam stał, oparty o jeden z namiotów, w głębokiem pogrążony dumaniu. List Erwiny spoczywał na mej piersi a wzburzone serce moje pod nim biło, wtórząc przysięgom miłośnym, które mi w piśmie swojem przesłała. Owe krótkie chwile szczęścia w jej pobliżu, długi, długi czas niewidzenia jej, szalone wojenne czasy, straszliwa niedola moja i wygnanie, twarze miłych moich w ojczyźnie i poległych przed memi oczyma ziomków — wszystko to przeciągało przed moją pamięcią i duszą.

W sąsiednich oficerskich namiotach zaczynało być huczno. Brzęczały szklanki, grano w kości, brzmiały pieśni i śmiechy!

Małe czarne cygańskie dziewczęta w swoich brudnych, szarych, powrozem tylko przepasanych, krótkich koszulinkach, musiały posługiwać europejskim oficerom, dzielnym ale awanturniczym naturom, jak ja zapędzonym w to miejsce losu wyrokiem. Jak ja i oni mieli tylko za własność całą żołd swój i życie. To ostatnie zależało od każdej kuli, której pragnęli i najczęściej się doczekali, żołd zaś przepadał na wesołe hulanki, bo w nudnej atmosferze oblężonego Kalafatu nic lepszego z nim począć nie było.

Z jednego namiotu zawołano mnie po nazwisku. Nigdy mnie w takich kółkach nie brakowało, ale dziś czułem wstręt do tej dzikiej hulatyki, i błogosławiłem nagłemu zapadnięciu ciemności, która mnie przed wołającymi ukryła.

— Muszę być sam — i coś obmyśleć koniecznie — rzekłem do siebie, wysuwając się ostrożnie pod górę, za obóz.... Tak.... z Erwiną bądź co bądź widzieć się muszę!...

I naraz przyszła mi myśl następująca: Wezmę urlop na kilka dni; przedostanę się w przebraniu bulgarskiego wieśniaka na grunt austrjacki, i tam spotkam się z Erwiną! Bezpośrednio naprzeciw serbskiego brzegu położona Orsowa wydała mi się najodpowiedniejszem miejscem do takiej schadzki. Z serbskiej wioski Teki kaikiem mogłem tam dopłynąć i na brzeg wysiąść. Ferenz będzie mi towarzyszyć — a gdyby mnie nawet poznano i puszczono się za mną w pogoń, pozostawała mi zawsze możność ratowania się ucieczką napowrót na brzeg serbski, lub szukania schronienia na leżącej naprzeciw Orsowy wśród rzeki ufortyfikowanej tureckiej wysepce, Ada-Kale, gdzie musieliby mi dać opiekę.

Myśl ta tak głęboko po rozważeniu jej bliższem wkorzeniła się we mnie, iż postanowiłem już od niej nie odstąpić. Przekonany byłem, że plan ten jest najlepszym ze wszystkich możebnych w tym stanie okoliczności.

Jeżeli Erwina nie przestała mnie jeszcze kochać, to stawi się w tem miejscu na moje wezwanie. Tej nocy jeszcze postanowiłem napisać do niej. Nazajutrz zaś o świcie Ferenz powinien był wyruszyć z tem posłaniem do niej. Po drodze zaś mógł zrekognoskować miejscowość, wyszukać mi gospodę, najkorzystniej do podobnego spotkania się nadającą i nazwisko jej napisać na kopercie listu, który mi wyśle z Belgradu. Wprawdzie biedne chłopczysko nie umiało samo pisać, ale można było być pewnym, że znajdzie kogoś w Belgradzie, kto go w tem zastąpi.

Około północy powróciłem spokojniejszy do mego namiotu. Po raz pierwszy czułem znów ożywcze ciepło w sercu, gdzie tak długo chłód apatji i rozpaczy panował. Koledzy moi głęboko już spali. Wysunąłem bęben i napisałem na nim list do Erwiny. List ten zawierał w sobie pałającą ekspresję tego, co serce moje czuło dla niej. Długi był, bardzo długi. Opisałem jej całą niedolę moją i zakląłem, ażeby się stawiła na oznaczonem przezemnie miejscu, a o dniu i godzinie mi doniosła.

Skończywszy rzuciłem się na moje obozowe łoże. Pierwszy, szarawy odblask wschodzącego dnia przeciskał się właśnie przez szczeliny namiotu, koledzy moi wraz z leżącym przed namiotem ordynansem w głębokim śnie tonęli. Na zewnątrz dopaliły się trzeszcząc i pryskając

ostatnie węgla ognisk, — za godzinę wszystko miało powstać do życia.

O jakież dziwnie rozkoszne uczucie napełniało w tej chwile moje piersi! Mgła apatji, która duszą moją tak posępnie omraczała, gdzieś pierzchła, rozwiała się, — a słońce nadziei pełnym blaskiem oświecało mi świat cały. Pewność posiadania na świecie przynajmniej jednego serca, bijącego dla mnie, zbawczym balsamem goiła we mnie wszystkie rany smutnej przeszłości. Życie znów odzyskało dla mnie wartość, — uczułem obrzydzenie do brutalnych rozrywek, w których wraz z innymi dotąd zapomnienia siebie samego szukałem; cała młodzieńcza energja ożyła znów i wyprężyła się we mnie, nerwy moje skrzepiły się cudowną siłą, a myśli stały się tak jasne, takie spokojne i promieniste, jak gdybym pożądane szczęście miał już w pełni przy sobie!

Dlaczegoż nie miałem w to wierzyć? Przecież jeszcze zapóźno nie było! Byłem młody, cały nieprzejrzany obszar życia roztaczał się jeszcze przedemną, a kto wie, może ten obszar przejść będę mógł z Erwiną moją przy boku!.. Czyż nie zależało to tylko odemnie, od mojej siły woli, od mojej odwagi, które wszelkie przeszkody zmódz są zdolne.

* * *

Ledwo bałkańskie śnieżne szczyty, lekko obrąbione pierwszemi promieniami wschodzącego za nimi słońca, odcięły się od szarego horyzontu, gdy Ferenz przestąpiwszy przez rozbudzonego porannym chłodem ordynansa, wsunął brunatną twarz swoją do mego namiotu.

— Zaraz wychodzę — zawołałem półgłosem, nie chcąc budzić kolegów, pokąd nie wyekspedjuję mojego posłańca,— i podniosłem się świeży i rzeźwy, pomimo że przez noc całą na chwilę nawet nie zmrużyłem oka.

Ferenz przyglądał mi się z radosną miną, widząc mnie tak wesołym i ożywionym. Wyszedłem z nim po za linję namiotów, i obrawszy bezpieczne od niedyskretnych oczu miejsce, wręczyłem mu list umieszczony w pustej rurce od naboju.

— Oto go masz, mój drogi chłopcze — rzekłem — a tu są pieniądze, — dodałem, wręczając mu woreczek. — Nie potrzebujesz się wzdragać; lepiej bowiem, że ty je weźmiesz i zużyjesz, gdzie potrzeba, niż żebym ja miał je tu przegrać... Co zaoszczędzisz, to niezawodnie poźniej się nam przyda.

Ferenz pojął mnie i widocznie mu to pochlebiło, żem go zrobił moim kasjerem. Otworzywszy skórzany woreczek pokazałem mu w nim około pięćdziesięciu „madziarów“, jak w tych okolicach węgierskie dukaty nazywano.

Następnie udzieliłem mu instrukcji. Żądałem, ażeby wyszukał w Orsówce gospody, położonej blisko brzegu Dunaju i o ile możności odosobnionej — i nazwisko jej na odwrotnej stronie listu mu danego napisał. Dalej, — nie miał wracać znów do Pesztu, ale oddać list na pocztę w Belgradzie i oczekiwać w tem mieście, aż odpowiedź do rąk jego pod wskazanym na poczcie adresem dojdzie.

Ferenz każdy mój wyraz zatwierdzał energicznem kiwnięciem głowy. Zresztą nie wymówił ani słowa — a gdym skończył, ucałował mi rękę i popędził nad brzeg Dunaju, ażeby zdążyć na jeden ze statków, w tej chwili właśnie odbijający od lądu.

Długo stałem, spoglądając jak podążał lekkim, kocim krokiem, właściwym jego plemieniu i wielu plemionom Słowackim na pograniczu wojskowem. Wreszcie ujrzałem go przy brzegu. Statek już odbił. Dzielny chłopak jednym skokiem dosięgnął pokładu.

Ścigałem oczyma ten statek wiozący moje losy i dopiero gdym go ujrzał dobijający do drugiego brzegu, zabrałem się do powrotu z gorącem westchnieniem do niebios o powodzenie dla moich zamiarów!

VII.

Zaczął się więc nowy perjod oczekiwania, na ten raz ozłocony nadzieją. Roztargnienie moje ciągłe, w skutek nacisku myśli i pewna okoliczność, o której zaraz wspomnę, sprawiły, iż koledzy poczęli mnie uznawać za zakochanego. Nie wiedzieli — o ile mieli słuszność — ale i nie wiedzieli także, że byli na fałszywym tropie. Rzekomym przedmiotem mojej miłości miała być wedle nich cudnie piękna cyganeczka, którąśmy przy okazji jakiejś uroczystości cygańskiej w Widdyniu poznali, i która mnie szczególną uwagę swoją zaszczycić raczyła.

Maszynka—takie miało imię to dziewczę—była córką żamożnego handlarza koni w Widdyńskim cyrkule miasta. Koledzy moi twierdzili, że od owego spotkania ze mną, widziano ją w Kalafacie. Rozgłos publiczny zapewniał, że stary Szilowicz jej ojciec, należy nawet do bogaczów, choć on zapierał się tego uparcie, bojąc się wyzyskiwania ze strony władz tureckich. Prześladowcy moi zaręczali, że cyganka dlatego była w Kalafacie, iż chciała się widzieć ze mną; ja zaś wiedziałem tylko tyle, iż przy okazji jakiegoś handlu końmi swego ojca z francuskim instruktorem w Kalafacie, zapragnęła obejrzeć obóz turecki, i że ojciec, uproszony wziął ją z Widdynia z sobą na drugą stronę Dunaju... Widocznie jednak nie przybyła dla mnie, bo nie widziałem jej nawet — a zresztą, jakkolwiek stworzenie to było pięknem i jakkolwiek każdy z moich kolegów byłby niewątpliwie wyzyskał wywarte przez siebie przychylne wrażenie na to ogniste, dwojgiem czarnych płomiennych oczu błyskające dziewczę — dla mnie było ono zupełnie obojętnem. Cała moja dusza należała do Erwiny.

Zmiana widoczna w mojem usposobieniu, mój jawny niepokój i oczekiwanie, ciągłe przechadzki nad brzeg Dunaju i wypatrywania zwróciły na mnie podejrzliwą uwagę

moich tureckich przełożonych. Już to w ogólności nas Giaurów otaczano zwykle nieufnością i posądzano o brak wierności dla Padyszacha — a kto podał najlżejszy pozór, mógł popaść w rzeczywiste niebezpieczeństwo.

Łatwo pojąć, że stało się dla mnie sprawą najwyższej wagi teraz szczególniej, gdym zamierzał prosić o urlop — oddalić od siebie wszelkie podejrzenie. To też jąłem się skarżyć na smutne wiadomości od rodziny, napełniające mnie niepokojem; starałem się umotywować, jak mogłem najlepiej, szczególne usposobienie moje wobec kolegów — a przy sposobności pierwszej wycieczki, jaką wkrótce uczyniliśmy, odznaczyłem się tak, iż mi to wielką łaskę u dowódzcy naszego, Turka, zjednało. O to mi właśnie chodziło — i okoliczność tę pomyślną postanowiłem, jak tylko przyjdzie pora potemu, wyzyskać.

Ale tymczasem tygodnie upływały — a Ferenz nie powracał. Tęsknota moja wzrastała z dniem każdym — a z nią razem i trwoga, że posłańcowi mojemu nieszczęście się jakieś przytrafić musiało... Pomyślny czas uchodził — a jutro groziło wszystkiemi zmianami kolei wojennych. Przebąkiwano już nawet kilkakrotnie, że nas kozaków komenderują do głównej kwatery do Szumli lub też do innych bardziej oddalonych stanowisk — a na załodze Kalafatu pozostaną sami Baszibożuki. A gdyby nawet i to się nie stało, nie mogłaż wojna przybrać takich rozmiarów, że kilkudniowy nawet urlop stałby się niemożebnym?!

* * *

Pewnego dnia siedziałem z wieloma towarzyszami w czardaku w otwartej galerji jednej lokandy na widyńskim wybrzeżu. Pod nogami naszemi kręcili się ładujący amunicją i żywność na statki tureccy hamale tragarze, i żołnierze od furgonów pomagając sobie w pracy zwykłym na Wschodzie wrzaskiem — wszelka bowiem praca jest uważaną tutaj za rodzaj męczarni i bez krzyku a kłótni obyć się nie może...

Statki nadpływały i odbijały od lądu. Wybrzeże ożywiało się coraz bardziej. Z gospodniej izby dochodziła wesoła wrzawa kolegów, zapijających kwaśne wino, za które bardzo słono zapłacić trzeba było.

W około mnie także brzmiały wesołe śmiechy. Ja tylko sam siedziałem rozstrojony i ponury. Już trzy tygodnie minęło od wyjazdu Ferenza. Wytężenie daremnego oczekiwania wprowadziło mnie w stan chorobliwy i właśnie wyrażałem moim kolegom obawę, iż będę zmuszony z powodu stanu zdrowia prosić o urlop. Tęsknota bowiem wyrodziła we mnie powoli rozpaczliwy zamiar hazardowania się w przebraniu i pod obcem nazwiskiem do Węgier — dla zobaczenia Erwiny. Cóż mi bowiem znaczyło życie, wolność — bez niej?

— Hej! czy to nie twój cygański Ferenz? — zawołał nagle jeden z moich towarzyszy, wskazując na człowieka, kłócącego się właśnie z przewoźnikiem, który go nie chciał przyjąć na swój statek.

— Na Boga, — to on! — krzyknąłem, zrywając się z miejsca, — kilka kroków — i już stałem przy nim.

Ferenza twarz ożywiła się radością, gdy mnie ujrzał. Skinął na mnie tajemniczo. Odeszliśmy obadwa o kilkadziesiąt kroków dalej pod wystające poddasze zamkniętego tureckiego kramu.

— Dobre wieści — zawołał, pochylając usta do moich ust — bardzo dobre wieści!...

— Cóż? zapytałem drżąc z niecierpliwości.

— Ona sama ze mną przybyła...

— Ona?... zawołałem, blednąc z radośnego wzruszenia... jakto?... wytłómacz mi!

— Nie zatrzymałem się w Belgradzie, ale doszedłem aż do jej domu — bo mi się zdawało pewniejszem osobiście list jej doręczyć.

Z pełnem wdzięczności podziwieniem spojrzałem na poczciwca. Rozśmiał się cichym, wewnętrznym śmiechem.

— No, i gdzież ona? — zawołałem gorączkowo.

— Co prawda, to jeszcze dosyć ztąd daleko, ale zawsze tak blisko, jak tylko było możebne.

Z matką swoją bawi w Mehadji, miejscu kąpielowem, mały kawałek drogi oddalonem od Orsowy. Ona sama tak obmyśliła rzecz urządzić, gdym jej Pańską prośbę wypowiedział.. Jej pobyt w tem miejscu nie zwraca niczyjej uwagi — sądzą, że jej matka przyjechała się leczyć, chociaż w tej porze oprócz nich niema żywej duszy w tych kąpielach..

Cała moja istota wrzała gorączką... Ona — tak blisko mnie! Dla mnie nie wzdrygnęła się przed trudami podobnej podróży...

— Cóż dalej? Ferenz? zawołałem natarczywie...

Nie wiele mam już do powiedzenia Panu. Będzie oczekiwać w Mehadji, pokąd jej nie zawiadomię, że pan szczęśliwie przybyłeś do Orsowy... Pomyślałem o wszystkiem. Ona przybędzie przebrana za młodego cyganiuka do pana, do Orsowy, niebezpiecznie byłoby bowiem dla niej oddalać się zbyt od brzegów Dunaju, gdyż czujność na granicy jest wielka, i kto z Serbji przybywa, podlega surowej kontroli. Potrzeba dla niej także fałszywego paszportu.

Zastanowiłem się, walcząc ze wzruszeniem, omraczającem mój rozsądek i wolę.

— Czy masz jeszcze pieniądze? — spytałem.

— Więcej, niż z sobą zabrałem. Pani hojnie zaopatrzyła moją kasę...

Zawstydziło mnie to—ale nie czas było na skrupuły.

(C. d. n.)

CHLEB LUDZI BODZIE

KOMEDJA W 1 AKCIE PRZEZ JÓZEFA BLIZIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

SCENA X.

Poprzedzający, KIKSIEWICZ.

KIKSIEWICZ (do Teodora w ukłonach). A, bardzo nam przyjemnie, bardzo wielki honor dla naszego domu... pan Moszczyc.. a znam, znam familję.. proszę do.. salonu..

TEODOR (zbliżając się). Pan domu... wszak tak?

KIKSIEWICZ. Tak, do usług pana hrabiego.

TEODOR. Pro..szę pana, ja nie hrrrabia.

SZWINDELMAN (do ucha). Daj pan pokój, co to szkodzi.

KIKSIEWICZ (ciągle w ukłonach). To wszystko jedno, zawsze hrabiowska familja. (przygląda mu się; po chwili, do Szwindelmana) Zdaje mi się, że on garbaty.

SZWINDELMAN. Garbaty? bodaj pan tak zdrów był... to taki szyk pański.

KIKSIEWICZ. Szyk?.. a może... (idzie do Marcina, który się ku nim zbliżył, i chce się z nim witać, ale pociągnięty przez Szwindelmana, wstrzymuje się; patrzą obadwa na siebie, jak gdyby przypominając sobie, gdzie się znają; p. c. do Teodora) Proszę, niechże pan dobrodziej będzie łaskaw.

TEODOR. Z przy... przy... przyjemnością.

KIKSIEWICZ (do Szwindelmana). Czy on się jąka?

SZWINDELMAN (tonem wyrzutu). Panie Kiksiewicz, daj pan pokój!.. co pan taki grymaśny? (wychodzą drugiemi drzwiami z lewej strony).

SCENA XI.

MARCIN (później) KIKSIEWICZOWA.

MARCIN. Co u djabła! wyraźnie jakaś znajoma facjata... ja tego jegomości widywałem, ale gdzie to mogło być? (p. c.) jakiś kulfon, dosyć spojrzeć... nie chwaląc się, ja mam daleko lepszą minę... to też najęli mnie, żeby zaimponować moją osobą... mój Boże! człowiek dla marnego grosza musi udawać lokaja, kiedy do czegoś lepszego stworzony (siada na kanapie).

KIKSIEWICZOWA (wchodzi z prawej strony, wystrojona, zapinając bransoletę na ręku). No, już jestem gotowa na przyjęcie pana zięcia... nie powie, zdaje mi się, że z byle kim ma do czynienia... jak cię widzą, tak cię piszą (wygląda przez drzwi w głębi) gdzież on jest? czy jeszcze nie przyjechał?

MARCIN. Co to za babinka?.. ale nie, jeszcze wcale niczego, jak stwórcę kocham... a jakie kukuryku ma na głowie, niechże ją! (wstaje).

KIKSIEWICZOWA (spostrzegłszy go). A to kto?.. jakiś przystojny mężczyzna.

MARCIN. Ale ja i ją gdzieś znam!

KIKSIEWICZOWA. To on niezawodnie.

MARCIN. Wypada mnie zaprezentować się... jestem... co ja widzę!

KIKSIEWICZOWA (zdziwiona). A to traf szczególny!

MARCIN. Pani Kiksowa!

KIKSIEWICZOWA (n. s.). Pan Marcin! co ja pocznę!

MARCIN. Pani oberżyścina z pod Kogutka!

KIKSIEWICZOWA (n. s. tragicznie). Markier z pod łabędzia! zemdleję.

MARCIN. Witam paniusię (całuje ją w rękę).

KIKSIEWICZOWA (obrażona, przeciągle, wydzierając rękę) Co??

MARCIN. Jakto? paniusia mnie nie poznaje?

KIKSIEWICZOWA (cedząc słowa). Zupełnie się pan mylisz.

MARCIN. Bodajże panią karmelki spotkały!.. przecie wyraźnie pani Kiksowa.

KIKSIEWICZOWA (innym tonem). Najprzód pani Kiksiewicz, nie Kiksowa... rozumiesz pan?

MARCIN. Kiksiewicz, Kiksowa, to jeden djabeł.

KIKSIEWICZOWA (tragicznie). Wygadałam się!

MARCIN. Widzi paniusia, że poznałem od razu.

KIKSIEWICZOWA (chwytając go za rękę). Cicho! dla Boga, cicho!

MARCIN (oglądając się). Cicho?... albo co?

KIKSIEWICZOWA. Zkądeś się pan tu wziął?

MARCIN. Ja, jak ja... ale pani co tu robisz?

KIKSIEWICZOWA. Ja? a to pytanie! jestem u siebie.

MARCIN. U siebie? (p. c.) Ah! teraz jestem w domu... zapuścił wąsy, więc to go zmieniło... jednak powiedziałem od razu, że ja go gdzieś znam.

KIKSIEWICZOWA. Kogo?

MARCIN. Kiksa... chciałem mówić, pana Kiksiewicz.

KIKSIEWICZOWA. Cicho! cicho!

MARCIN (oglądając się). Znowu? (zniżając głos) jeżeli pani koniecznie o to chodzi, mogę mówić cicho.

KIKSIEWICZOWA. Tak! dobrze.

MARCIN. Może jeszcze ciszej? (bierze ją za rękę).

KIKSIEWICZOWA (ściskając jego rękę). I owszem. (cichym głosem, tajemniczo) czy pan zawsze jeszcze jesteś markierem?

MARCIN (bardzo cicho). O! nie, pani, już nie!

KIKSIEWICZOWA. Ah! to dobrze... a cóż pan teraz robisz?

MARCIN. Ja? nic... tak, praktykuję... ale powiedz mi pani, bo ja nie mogę się zorjentować... więc to państwo tu mieszkacie?

KIKSIEWICZOWA. Cicho, cicho... wszystko powiem, jak na świętej spowiedzi (ogląda się) widzisz pan, kupiliśmy tę wieś w przeszłym roku.

MARCIN. Piu, piu! to paniusia jest teraz sobie dziedziczką.

KIKSIEWICZOWA. Rozumie się.. ale cicho! tak pan krzyczysz!

MARCIN. No, z tego przecie nie potrzeba robić sekretu.

KIKSIEWICZOWA (innym tonem). A wiesz pan, to prawda!.. ale nie powiedziałeś mi pan dotychczas, zkądeś się tu wziął?

MARCIN. Ja... ja tu przyjechałem z jednym moim przyjacielem... to jest dobrym znajomym, którego proteguję i chciałbym mu usłużyć.

KIKSIEWICZOWA (przyglądające mu się). Jak koło pana teraz porządnie... fiu, fiu!

MARCIN. Nieprawdaż? (wykręca się). Szyk! co?

KIKSIEWICZOWA. Pozwolisz pan papierosa? (dobywa z kieszeni).

MARCIN. O! i owszem... ja mogę za to służyć ogniem... u mnie ogień jest zawsze... (zapalają) mój Boże, jakto góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem, to nie wiedzieć zkąd i co... I jakże, nie żal pani miasta?

KIKSIEWICZOWA. Ale! nie przypominaj mi pan... nic nie mówię do nikogo, ale... nie trzeba panu powiadać... tu w tej dziurze to rozpacz! chociaż sama sobie życzyłam...

MARCIN. Jakie to wesołe baliki bywały u państwa pod kogutkiem.

KIKSIEWICZOWA (grożąc mu). Oj! oj!

MARCIN. No, albo co?

KIKSIEWICZOWA. Wielki łobuz pan byłeś, okropnie dokazywałeś, ja pamiętam.

MARCIN. Wszyscyśmy dokazywali... bawiliśmy się po królewsku.

KIKSIEWICZOWA. Bo też bardzo porządne towarzystwo bywało.

MARCIN. Bagatela! damy choć nie wszystkie w rękawiczkach, ale...

KIKSIEWICZOWA. (zgorszona) Oh! Jezus! (uderza go wachlarzem) paskudny człowiek... (spostrzegłszy się) Ah! co ja robię... zapominam się... ale! a gdzież się podział pański towarzysz, ten co z panem przyjechał?

MARCIN. Poszedł do salonu z panem Kiksiewicz.

KIKSIEWICZOWA. Z moim mężem? a, to niezawodnie w tym interesie... co już miarkuję.

MARCIN. Właśnie, w tym samym... co pani miarkujesz (n. s.) Żeby się dało ich jako naciągnąć przy tej sposobności... możeby człowiek coś sprofitował... (głośno) widzi pani, przyjechaliśmy rzeczywiście po to, co pani wiesz... ale... to delikatna materja.

KIKSIEWICZOWA (spuszczając oczy). Rozumiem pana.

MARCIN (zdziwiony). Rozumiesz pani? (n. s.) a to mądra, bo ja dotychczas sam siebie nie rozumiem.

KIKSIEWICZOWA. Czy to młody chłopiec? ładny? pójdźmy, muszę go zobaczyć.

MARCIN. Zaraz, zaraz, powoli!.. przedewszystkiem musimy z sobą pomówić, bo jeżeli powiedziałem delikatna materja, to...

KIKSIEWICZOWA (ciekawie), To co?

MARCIN. (tajemniczo) Za pozwoleniem, tu mogliby nas zobaczyć, podsłuchać... pójdźmy do ogrodu... (podaje jej ramię) służę pani.

KIKSIEWICZOWA (zaciekawiona). Okropnie jestem zaintrygowana (odchodzą drzwiami w głębi, zatrzymując się nieco w cichej rozmowie i wychodząc dopiero podczas pierwszych słów następnej sceny).

SCENA XII.

JADWINIA (później) TEODOR.

JADWINIA (wychodząc z salonu). A to męki! jak mamę kocham... nie spodziewałam się, żeby mnie to tyle kosztowało!.. taki zarozumialec, poufały... a jaki ciekawy!.. ciągle się o wszystko wypytuje... co robię, kto tu bywa, nieledwie, co jadam?.. a mnie jak na złość, to żenuje i sama nie wiem, co z nim mówić... Wszystko przypuszczałam, ale żeby zamiast starać mi się podobać, prowadził indagację i traktował mnie w ten sposób, to mi przez myśl nie przeszło... za co on mnie ma? za jakieś zero w dodatku do posagu.

TEODOR. (zapaliwszy w progu papierosa; ton poufało złośliwy) Czy pani zawsze jesteś taka nie towarzyska?

JADWINIA (odpowiada krótko) Dlaczego?

TEODOR. Bo pani, jak uważam, uciekasz od ludzi.

JADWINIA. Nie od wszystkich.

TEODOR. Więc tylko odemnie? a to dobre.

JADWINIA. Każde prześladowanie wywołuje chęć unikania go... to rzecz bardzo naturalna.

TEODOR. Pani bo widzę, jesteś tylko duchem przeciwieństwa...

JADWINIA. Być może.

TEODOR (przysuwając się). A wiesz pani, do czego mnie to pobudza?

JADWINIA. Nie wiem, i nie ciekawam.

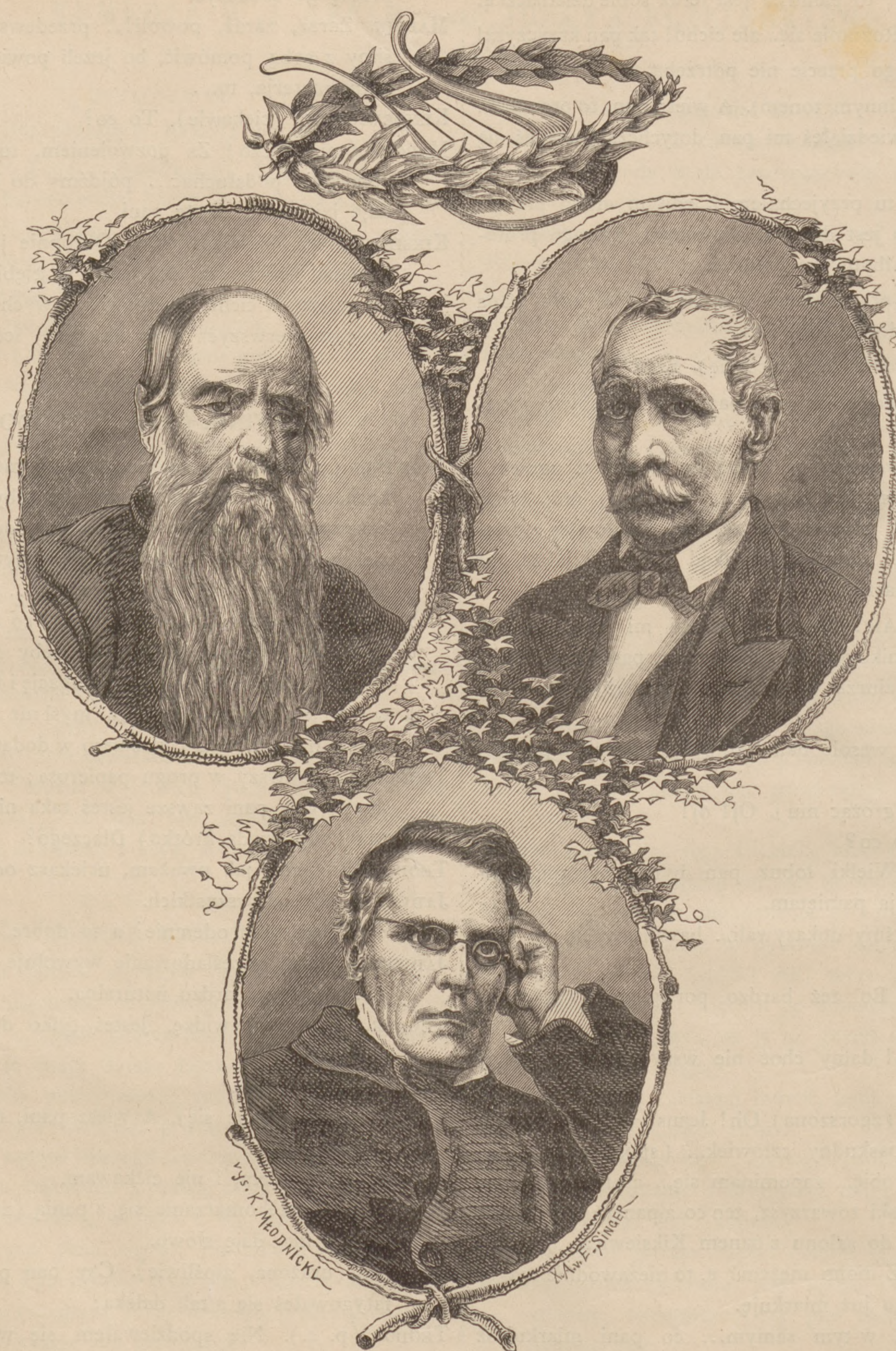
TEODOR. Do przekomarzania się z panią (ze znaczeniem) Więcej nic, daję słowo.

JADWINIA (urażona, złośliwie). Czy pan po to umyślnie fatygowałeś się z tak daleka?

TEODOR (p. c.). Nie spodziewałem się wzbudzić takiej antypatji... wszak to jest antypaja... nie prawdaż?

JADWINIA. Nie zastanawiałam się nad tem, co mię zupełnie nie obchodzi.

TEODOR (złośliwie). Pan Onuf...f...fry zdaje mi się szczęśliwszy pod tym względem.



J. Bohdan Zaleski, Seweryn Goszczyński i Michał Grabowski.

JADWINIA. Kto wie? może pan zgadłeś.

TEODOR. Ale któż to taki? bo to tylko wiem, że z dziesięć razy wymówiłaś pani ten pseudonim.

JADWINIA. Źle pan rachowałeś... omyliłeś się grubo.

TEODOR. Aha! raczki!.. domyślam się... szczęśliwy pan Onuf...fry...

JADWINIA (n. s.). Jak mamę kocham, na płacz mi się zbiera... czego on chce odemnie? uwziął się mi dokuczać, czy co?

TEODOR (p. c.). Czy pani zawsze na wsi mieszkałaś? (Jadwinia nie odpowiada). W mieście nigdy?

JADWINIA. Co to pana może obchodzić?

TEODOR. Obchodzić, nie... tego nie powiem... tylko, tak po prostu, ciekawy jestem... bo sądząc z tej zjadliwości języczka...

JADWINIA. Przepraszam pana, zdaje mi się, że mnie mama woła (odchodzi prędko drzwiami w głębi).

(*C. d. n.*)

J. Bohdan Zaleski, Seweryn Goszczyński i Michał Grabowski.

W r. 1815 zasiadali na ławach szkolnych liceum Humańskiego trzej rówieśnicy, których imiona zajaśnieć wkrótce miały świetnym blaskiem na widnokręgu piśmiennictwa polskiego. Zaprzyjaźnieni serdecznie, połączeni wspólnością dążeń, — przyjaźni tej przez cały ciąg życia swego, choć miotani tysiącem zmiennyeh kolei, choć rozdzieleni na długie lata nigdy się nie wyrzekli. Wzajemne oddziaływanie ich na siebie, podobieństwo wpływów pod któremi wzrośli i tło na jakiem pierwsze utwory ich się rozwinęły, wiążą ich w grupę i dla tego portrety ich razem tu podajemy.

Przyjaciółmi temi i rówieśnikami byli Józef Bohdan Zaleski, Seweryn Goszczyński, i Michał Grabowski. Wszyscy trzej ukraińcy, wszyscy trzej poeci, chociaż później Grabowski wyrzekł się Muz, nie wierząc, iżby mógł rywalizować z słońcami ówczesnej poezyi, zajmują ci trzej pisarze tak wydatne miejsce w literaturze naszego narodu, iż zasługiwaliby na specjalne, wyczerpujące studjum, na które jednak ramy naszego pisma nie pozwalają.

Ograniczymy się więc z konieczności do szczegółów bjograficznych i kilku poglądów na ich działalność tak płodną, świetną i wpływową.

Józef Bohdan Zaleski urodził się we wsi Bohaterce na Ukrainie w r. 1802. Pierwsze lata młodości spędził wśród ludu i natury ukraińskiej, wśród stepów Mołocznych. To zetknięcie się bezpośrednie ze skarbnicą poezji ludowej oddziałało na cały talent i przyszłość jego i w najznakomitszych utworach jego się odbiło. Oddany następnie na nauki do liceum Humańskiego, najpierwszego wówczas po Krzemienieckiem, zetknął się tutaj z Michałem Grabowskim, Goszczyńskim i Józefem Mianowskim, z którymi związany rozpoczął pierwsze swoje kroki na polu piśmiennictwa od wydawania wspólnie z nimi, tak zwanych „Ćwiczeń umysłu“ odpowiadających ćwiczeniom naukowym Krzemienieckim. W tej epoce już kilka dumek jego drukowanych było w „Dzienniku Wileńskim“ i Pamiętniku Warszawskim i doznało zachęcającego powodzenia. W r. 1820 udał się do Warszawy wraz z Sewerynem Goszczyńskim, podczas gdy Grabowski, z woli ojca przenieść się musiał do liceum Richelieugo w Odessie, które z powodu kosmopolitycznego kierunku wychowania, najsmutniejszy wpływ na jego zasady i przyszłość wywarło. W Warszawie Zaleski obracał się w najruchliwszych naówczas kołach literackich i tu zawiązał stosunki z Brodzińskim. Następnie spędziwszy jeszcze lat kilka jako nauczyciel w domu Górskich a potem generała Szembeka, po upadku powstania listopadowego wyjechał za granicę i przeniósł się do Francji, zkąd odbywszy jeszcze wiele podróży, osiedlił się nareszcie stale w Paryżu, gdzie dotąd przebywa, sędziwy już starzec, dręczony wieczną tęsknicą do ziemi ojczystej, na której nie wiadomo, czy mu danem będzie złożyć uwieńczoną tyloma zasługami dla niej głowę.

Gdybyśmy się godzili w ogólności co do podziału na szkoły z kilkoma pisarzami literatury naszej i przyjęli tak zwaną szkołę ukraińską, Bohdanowi Zaleskiemi należałoby się w niej pierwsze miejsce. Całą duszą i wszystkiemi wspomnienia swemi zrosły, z tą ziemią pieśni, kazek, mogił, podań i swobody kozaczej, wyśpiewał wszystkie jej wdzięki, jej treść całą w najcudniejszych, pełnych muzykalnej formy utworach. Któż nie zna jego „Rusałek“ cieniowanych wszystkiemi barwami tęczy; któż nie zna „Wzgórka pożegnania“ Kalinowego mostu itd. Dumek i Szumek i Dum czyli rapsodów rycerskich ze świetnych chwil wojennego żywota Zaporoża. Wszystkie pieśni Zaleskiego osnute na tle fantastycznych podań ludowych, wszystkie natchnione bezgranicznem upojeniem stepową przyrodą, należą do najpiękniejszych owoców jego ducha; mniej udatne są „Dumy“ historyczne, choć i w nich chwała ukochanego przezeń Zaporoża w przepysznych obrazach huczy surm brzękiem i okrzykiem hurra, wznoszącym się z czajek, sunących jak łabędzie po Dnieprowej fali, i stoi jak w aureoli złotej w pożarnej łunie Synopy i natolskich grodów.

Do tego stopnia zrósł się Zaleski z tą Ukrainą i cudną jej przyrodą, iż nawet w większych, na obcem tle osnutych poematach swoich zapomnieć całkiem o niej nie może. Ileż to razy opisy przyrody i uroczystości w „Przenajświętszej Rodzinie“, poemacie biblijnym, narysowanym potężnie — przypominają dziwnie Ukrainę i jej lud?

W dojrzalszych latach swego życia Zaleski zawsze mający skłonność do mistycyzmu religijnego, już pod tym wpływem wytworzył poemat „Duch od Stepu“, pełen epizodów wielkiej siły, ale ogólnie biorąc niejasno przedstawiający ideę historjozoficzną, którą poeta chciał w nim wyrazić. Ten sam kierunek mistyczny, stosunkiem z Towiańskim i cierpieniami tułactwa spotęgowany, odbija się już we wszystkich najnowszych poezjach Zaleskiego, jak w „Oratoryum wieszczem“ i w wydanych w roku przeszłym drobniejszych jego poezjach lirycznych.

Drugi poeta z tej grupy Seweryn Goszczyński, urodził się we wsi Illińcach w guberni kijowskiej w r. 1803. i pobierał nauki w Międzyrzeczu u Pijarów, następnie w Winnicy, wreszcie, jak już wspomnieliśmy w Humaniu, następnie przeszedł do Warszawy, gdzie w r. 1828 wystąpił z pierwszym poematem swoim „Zamek kaniowski“ i odrazu zwrócił na siebie ogólną ziomków uwagę, wywoławszy największy zapał w obozie romantycznym a oburzenie pomiędzy dogorywającymi już klassykami. Wziąwszy udział w zamachu Belwederskim i powstaniu, po r. 1831 zmuszony był udać się za granicę i przebywać dłuższy czas w Galicji. Tu poznawszy Karpaty, ukochał je tak, iż z podań i obrazów górskich stworzył najpiękniejszy chociaż fragmentaryczny swój poemat „Kościelisko“, z którego znamy jedna tylko scenę nieporównaną „Sobótkę.“

Wkrótce potem wydał kilka powieści prozą, z których „Król zamczyska“ oryginalnością pomysłu i poglądów na przeszłość dziejową uderza.

Najmniej ocenioną, a jednak nadzwyczaj piękną, jest wydana mniej więcej w tym czasie powieść poetycka Goszczyńskiego „Anna z Nabrzeża“, która w cudnej opisowości, przepysznem związaniu życia natury z uczuciami i czynami człowieka, wyrównywa najznakomitszym pod tym względem arcydziełom literatury naszej.

Przeniósłszy się następnie do Paryża obdarował ztamtąd Goszczyński ojczyznę „Boga Rodzicą“ i „Posłaniem do Polski“ (1864 — 1869), które noszą na sobie cechę wydatnie mistyczną. Po długiej tułaczce powróciwszy do kraju, dokonał życia we Lwowie, i pozostawił po sobie wiele nieznanych jeszcze prac, na wydanie których, mamy nadzieję, komitet zarządzający tą spuścizną nie da zbyt długo czekać narodowi.

Zaleski i Goszczyński mają w pierwszych utworach swoich wszelkie pokrewieństwo. I jeden i drugi z łona Ukrainy dobył najdroższe klejnoty poezji. Ale w ujęciu przeszłości i ducha tej ziemi zachodzi pomiędzy nimi rdzenna różnica.

Zaleski żyje cały pięknością stepowej przyrody, wśród której się wychował, sławą Ukrainy wolnej, jej podaniami i kazkami; nią się upaja i zachwyca, przelewa jej cały urok w przesłodkie swoje pieśni, ale nigdy nie uchyla ponurego wieka, pod którem ciężkie krzywdy i odwet krwawy, dzikie namiętności, rozpaczliwe błędy i orgje pomsty ludowej spoczywają. Kozaczyzna wyrosła pod skrzydłem Polski i miłośnie z nią żyła; w końcu XVII. wieku dopiero padło między te dwie siostry zarzewie domowej wojny. Zaleski ma wstręt do tej karty dziejów, chwyta więc czasy dawniejsze, wiek XVI. i początek XVII., w których jeszcze żaden dyssonans nie zgrzyta.

Inaczej czyni Goszczyński w „Zamku kaniowskim“. Wyczarowuje on tam upiora „Koliszczyzny“ w całej jego okropności a potęgą talentu swego tę straszną łunę pożarną pomsty do wrażenia niesłychanej podnosi grozy.

Zaleskiego Ukraina w pieśni, powiada Siemieński, „to Rusałka hasająca w mgle utęczowanej po nad łany zbóż, kurhany, ostrowy, Roś Rasowę i stepy kwietne potrząśnione brylantami rosy“ a Goszczyńskiego groźna, krwawa tajemnicza, „spoglądająca sokolem okiem Nebaby ze starożytnego dębu Moszen na lasze gniazdo, które tego jeszcze wieczora odda na mord i pożogę.“

W ogólności Zalewski jest przedewszystkiem lirykiem, lubującym się w jasnych, przesłonecznionych barwach, lub łagodnie melancholijnych odcieniach; a forma jego to muzyka, to śpiew, to najmiększa i najpieszczotliwsza z melodyi, swobodnie, acz kapryśnie się gnąca.

Goszczyński zaś przeważnie epik, z mocnym odcieniem dramatyczności, — myśliciel poważny i surowy, rad przebywa wyobraźnią wśród wielkich burz i namiętności i stwarza postacie, majestatyczne nawet w zbrodni — ilekroć zaś liryzować poczyna, poetycki polot jego i forma ociężalszemi się stają.

Pozostaje nam ostatni członek tej grupy, Michał Grabowski.

Urodził się on w roku 1806 na Wołyniu, we wsi Złotijowie. Wyszedłszy ze szkoły Humańskiej, w 13 roku życia przeniesiony został do liceum Richelieugo w Odessie.

Ztąd wyjechawszy po dokończeniu studjów do Warszawy, wszedł w koło tamtejszych literatów i wkrótce zdolnościami swemi i rozwijającym się darem krytycznym przeważny w tem gronie wpływ uzyskał.

Były to czasy admiracji dla Bajrona i Walterskotta. Grabowski przejęty i zachwycony metodą powieściopisarską ostatniego, postanowił idąc w jego ślady wskrzesić w ten sam sposób w powieści przeszłość historyczną i obyczajową swego narodu, z całą wiernością archeologa a fantazyą poety. Wkrótce okoliczności zmusiły go na dłużej zamieszkać przy matce w Aleksandrówce, wiosce leżącej

prawie na kresach dawnej rzeczypospolitej, w uroczej samotni stepowej.

Okolica ta obfitowała w tradycye staroszlacheckie i podania gminne i z nich złożył Grabowski pierwszą powieść swoją „Koliszczyznę i Stepy,“ która za okazaniem się ogólną i wielką sensacyę wywołała. Jednocześnie zaś zarzuciwszy poezyę, pomimo iż miał znaczny do niej talent, jak tego dowodzą jego „Melodje Ukraińskie“ odznaczające się świeżością myśli i wdzięcznem obrazowaniem, oraz rozgłośna w swoim czasie legenda „Wawrzyniec z Powoda,“ — poświęcił się Grabowski rozbiorom i rozprawom krytycznym, które umieszczając w Tygodniku Petersburgskim i innych czasopismach lub oddzielnych wydaniach, bardzo wielki wpływ na spółczesne piśmiennictwo wywierał. Z téj epoki datuje się jego „Literatura i Krytyka“ Wilno 1838—1840, dzieło wartościowe i rozgłośne, choć w znacznej części będące reprodukcyą teoryi Villemain'a, Guizota i prac angielskich myślicieli. Jako rozwinięcie tego dzieła wydał następnie Korespondencyę literacką 1842 i Artykuły literackie 1849.

Wszystkie powieści jego były usprawiedliwieniem teoryi wygłoszonych w powyższych pracach krytycznych. Po „Koliszczyźnie“ będącej historyą rzezi humańskiej, pojawiła się jego Stannica Hulajpolska w 1840 roku, zawierająca dzieje Ukrainy, a później w 5 lat wyszły „Tajkury,“ powieść pół obyczajowa, pół historyczna, nieco za jaskrawa. W tym samym r. 1845 wydał „Pamiętniki domowe“ nieoceniony materjał z „silva rerum“ szlacheckich wybrawszy, a następnie „Pana Starostę Zakrzewskiego“ (Kijów 1860).

Po wydaniu tej ostatniej pracy z Kijowa, gdzie przebywał, wezwany został do Warszawy i zamianowany dyrektorem Wydziału oświecenia w komisyi rządowej oświecenia i wyznań — a następnie w r. 1863 dyrektorem głównym tej komisyi. Umarł tegoż samego roku 19. Listopada.

Oprócz prac powieściowych i krytycznych poświęcał się jeszcze historji i archeologii. Z prac na tem polu pozostawił po sobie „Ukraina dawna i teraźniejsza“ (Kijów 1850) oraz drukował z K. Swidzińskim i Szoduarem „Pamiętniki (Kijów 1845) i brał udział w wydawnictwie „Źródeł do dziejów polskich“ z Malinowskim i Przeździeckim.

Z trzech towarzyszy, których widzieliśmy na ławkach liceum Humańskiego, jeden już tylko pozostał przy życiu Bohdan Zalewski. Oby go nam Bóg długo jeszcze zachował i przywiózł jak Goszczyńskiego przed śmiercią do ziemi ojczystej.

LISTY Z NAD IKWY. *)

Szanowny Panie Redaktorze!

Korzystając z łaskawej uprzejmości Szanownego Pana pozwalam sobie przystąpić niniejszem do rozpoczęcia naszej korespondencji, jakkolwiek spóźniona już nieco pora roku i przypadające mi w niej, a nie cierpiące zwłoki gospodarskie zatrudnienia nie pozwalają mi już oddać się listowaniu z onem zajęciem się i skupieniem ducha, jakiego by wymagało rozprawianie de re publica mendanda, czyli jak dziś mówimy wnioski o naprawie Rzeczypospolitej...

Biedny to ten nasz szlachcic polski, żyjący na wsi, a bijący się dniem i nocą z troską o chleb powszedni — prawdziwy Prometeusz, obowiązkiem do skały swej twardej doli przykuty, — Prometeusz, któremu mózg wyjadają głodne sępy, w postaci nakazów płatniczych podatkowego urzędu, w postaci rat bankowych, procesowych pozwów, prestacji, jeżeli nie oneracji, sekwestracji i innych tym podobnych a nieubłaganych racji!... Naród patrzy na niego jako na jedyny swój w czasach dzisiejszych inwentarz, nie mogąc wymagać roboty od młodzieży, t. j. od wątłego jeszcze w siłach swych mieszczaństwa, i od pogrążonego w ciemnocie wiejskiego ludu!... Zostaje on jeden,... on sam!... Tyle świecy i wosku do wszelkiej pracy na glebie narodowej, i dziw że się tutaj, że tyle zagonów leży odłogiem!... Dziennikarstwo huka nań bez końca; — ten woła hajta! ów wiśta!... A pracuj! a rób! a czytaj! a zajmuj się rzeczami publicznemi ty egoisto! a samorząd ty niezdaro! a wybory ty leniuchu!... Wio! wio! wio!... A tu Panie, coraz nas więcej ubywa z szeregu, i do koła nas obsiadują Żydzi!...

Ale dajmy pokój tym skargom!... Ot, wyrwało mi się całkiem bez myśli!... Cokolwiekbądź i choć to ciężko podołać wszystkim obowiązkom, które się zewsząd walą na wiejskiego szlachcica, a nie dopiero suszyć sobie głowę zadaniami, które tu poruszyć zamyślam, to jednak szlachcic nie zbłaźni, skoro się już rzekło słówko, a i kobyłka u płotu stoi, jak to w ostatnim zeszycie Strzechy wyczytałem... A zatem przeżegnajmy się tak, jak to czynili nasi ojcowie: W imię Ojca i Syna! i rąbmy śmiało krzyżową sztuką!... Może być, że się to na coś przyda...

*) Redakcja nie przyjmuje odpowiedzialności za te artykuły.

Otóż przystępując do rzeczy szanowny Panie Redaktorze, nie mogę się oprzeć pewnej tęsknocie na widok tego, co się w około mnie dzieje... Przypominam sobie młodość moją, studenckie czasy, kiedyśmy to we czwórkę mieli jeden egzemplarz Dziadów Mickiewicza w odpisie, któryśmy chodzili czytać do Węglińskiego lasku, a któryśmy, upojwszy się nim do syta, zawijali potem pobożnie w pęcherz umyślnie ku temu przyrządzony, i zakopywali w ziemię pod cieniem rozłożystego buku... O, któż mi odda te zachwyty? kto mi powróci te szczęśliwe chwile twardej, i że tak powiem węglarskiej wiary, którą dziś napróżnobym się starał wzbudzić w mojem sercu!?...

A trzeba Ci wiedzieć Szanowny Panie Redaktorze, że w czwórce naszej jednakowym tchnącej zapałem był jeden Rusin, syn kmiotka i jeden Żyd... A jednak idea Polski była każdemu z nas równie drogą i równie świętą... To prawda, że wówczas Polak łączył jeszcze sprawę swą ze sprawą wszystkich uciśnionych, że dla owego ruskiego kmiotka Polska była synonimem zniesienia poddaństwa, dla owego Żyda znaczyła tyle co równouprawnienie... I nie dziw, że wtedy synowie Niemców, zesłanych tutaj na to, aby na karki nasze wtłaczać jarzmo niewoli porwani czarem tego sympatycznego wszystkim szlachetnym ideału, stawali się Polakami, że kupiąc się około naszego sztandaru, szli walczyć w naszych szeregach, lub razem z nami zaludniać kazamaty więzienne Kufszteinu i Szpilbergu!...

Dziś co Szanowny Panie! Na szachownicy społecznych stosunków wykonaną została że tak powiem rozsada, w skutek której idea polska straciła grunt w obozie dawnych swych sprzymierzeńców... Już dziś dla chłopa Polska nie jest synonimem zniesienia znienawidzonego poddaństwa, — dla Żyda nie znaczy ona tyle co równouprawnienie!... Ciemięzcy nasi, idąc za postępem czasu, jęli się sami przeprowadzenia reform których my byliśmy niegdyś rzecznikami i apostołami, a my — straciliśmy wskutek tego charakter szermierzy sprawiedliwości i wolności... Pytam się więc Pana, w imię czego zdołamy dziś skupić około siebie, około naszego sztandaru dawnych naszych sprzymierzeńców, i powiększyć w ten sposób ów inwentarz narodowy, o którym wyżej mówiłem, a którego nam co dzień ubywa...

Ale nie tutaj leży jeszcze rdzeń kwestji, chociaż tak w świecie moralnym, jak i fizycznym, rzecz która się ciągle nie rozwija, tem samem coraz bardziej niszczeje... Zauważyć tu muszę Szanownemu Panu, że wskutek tej roszady, o której poprzednio mówiłem, stworzoną została dla nas nowa, a nader niebezpieczna sytuacja. Ciemięzcy nasi — w dobrej, czy w złej wierze, w to nie wchodzę — podniosłszy owe sympatyczne hasła, których my byliśmy niegdyś rzecznikami, pociągnęli ku sobie wszystko to, co pragnie życia i postępu, a my nie odpowiedzieliśmy na to żadnym odpowiednim pociągiem szachowym. Owszem, przyjęliśmy sytuację taką, jaką nam stworzyli nasi wrogowie, — przyjęliśmy wstrętne przymierza, które nam narzucono, zapominając o tem że przymierząc się z tymi, co na gwałcie panowanie swoje opierają, stajemy w sprzeczności z sobą samymi...

Już dziś — a winniśmy to tylko samym sobie — nie możemy występując wobec ludów, wypisać na sztandarze naszym dawnego hasła „Za wolność naszą i waszą!...“ Dziś dzięki naszym politykom, wparci zostaliśmy do obozu reakcji, i stoimy w opozycji do wszystkiego, co kierując się odwiecznemi prawami przyrody, żąda życia, ruchu i rozwoju... Dziś nie jesteśmy postępem lecz zaporą postępu, — nie jesteśmy braterstwem bo szukamy, podpory u tych, co stoją na gwałtach i krzywdach, — nie jesteśmy sprawiedliwością, bo zaprzeczamy innym praw, których się dla siebie domagamy!... Proszę sobie tylko przypomnieć naszą akcję polityczną z lat ostatnich, — owe konszachty z Niemcami, Węgrami i Turkami, a przekonasz się Pan, że w moralnym ustroju świata zajęliśmy ujemne stanowisko...

Serce się kraje na myśl tę, dusza zamiera w bolu, a jednak trudno nie przyznać, że jedyną racją bytu, na którą się dziś wobec Europy powołujemy, jest zapora, którą stawić mamy przeciw dążeniom Słowian do wolności, jest krzywda drugich, jest gwałt, jest niesprawiedliwość, — boć przecie trudno zaprzeczyć, że i Słowianom miłą być musi wolność, że i oni, skoro do niej wzdychają, równe jak i my mają prawa...

Summum crede nefas vitam præferre pudori,
Et propter vitam, vitæ impendere causas...

Otóż Szanowny Panie w zajęciu tego niemoralnego stanowiska leży główna przyczyna owej choroby, którą w swej Diagnozie tak dosadnie scharakteryzował p. Wolski, — ona jest głównym powodem, dlaczego idea nasza mierzchnie, tracąc swą siłę przyciągającą, bo czyż pan sądzisz, że zdołamy pociągnąć kogoś do sztandaru, na którym wypisano jest: „Do mojej wolności, przez krzywdę drugich!?“ Pominąwszy już to, że wolność taka nie jest wolnością, lecz swawolą, że droga taka nie jest zgodną z duchem Polski „tej narodów anielicy,“ że nie jest zgodną ani z testamentem przed-, ani z tradycjami porozbiorowej Polski, to cóż ta młodzież, która dorasta?... W imię czego ją zapalimy?... Gdzie jej pokażemy Polskę, jeżeli nas o nią zapyta?...

Czy sądzisz Pan, że zasklepiając się w doktrynerskiem Non possumus wobec ruchu i postępu, tak jak to czynią idee nie mające racji bytu, zachowawszy dla niej spadek ojców nie tknięty, — czy porwiemy ją ideałem, z któregośmy sami odarli pozłotę, — czy zagrzejemy ją Zniczem, któregośmy sami zgasili żary, — czy natchniemy ją duchem Chrystusa, my, którzy Molochowi ofiary palimy?!... Nie, stokroć nie!...

Trzeba z prochu i pleśni podnieść myśl dziejową,
I ze światem żyjących pogodzić na nowo
W imię świtu wolności, co dla wszystkich błyska!

Ale kartka się kończy... Widzę że nadużywając Twej gościnności Szanowny Panie Redaktorze, rozpisałem się zbyt długo... Kończę więc poprzestając na rzuceniu tych kilku myśli, i odkładając dalszą gawędę do przyszłego listu.

POGADANKA.

(Habemus papam! — Co się robi z starych programów politycznych? — Galicyjska polityka i bajki mojej piastunki. — Wszechstronność polska. — Poezje Karola Świdzińskiego. — Na Pobojowisku Sewera. — Biblioteka teatrów amatorskich. — Wesoły towarzysz z Sambora i Safir. — Odczyty dra Spasowicza o Polu w Warszawie, i wywołana przeciw prelegentowi burza. — Petersburg Mickiewicza przełożony na język niemiecki. — Nowości na scenie lwowskiej).

A zatem: habemus papam!.. Mamy nareszcie posła do Rady państwa — posła według myśli i serca wszechwładnego narodu lwowskiego — posła, który się zgodził na „program lwowskich wyborców — posła na koniec, który wedle zapewnień tych, co kandydaturę jego popierali“, ocali nam sytuację!..

Cieszcie się więc bracia moi w Strzesze, cieszcie się, i nie pytajcie mnie o nic więcej, bo istotnie, gdybyście mnie pytali, to nie umiałbym wam odpowiedzieć... Od czasu jak pisuję kroniki i pogadanki, tyle już widziałem „lwowskich programów“, tyle „zagrożonych sytuacji“, i powiedzmy to „bez przechwałek“ — tylu mężów, którzy owe zagrożone ocalili sytuacje, że ilekroć mi przyjdzie poruszać temat podobny, to mi się zaraz w głowie kręci jak gdyby w młynie, i muszę nadludzkich używać wysileń aby w kupie utrzymać te pięć zdrowych zmysłów, któremi mnie p. Bóg w łasce swojej świętej obdarzył....

Tu mi się na myśl nasuwa zapytanie: co też się robi z starych politycznych programów?.. Kiedym był dzieckiem, byłem „bez przechwałek“ bardzo „ciekawą detyną“ i wprowadzałem nieraz piastunkę moją memi zapytaniami w kłopot nie mały, chcąc się n. p. dowiedzieć, kto też będzie grzecznym chłopczykom przynosić braciszków i siostrzyczki w zimie, jak bociany odlecą?... Owoż raz, zaciekawiony odmianami księżyca, zapytałem ją, co się robi z starych pełni, i dowiedziałem się ku wielkiemu memu zadowoleniu, że Bozia robi z nich tęcze i gwiazdeczki, a tłumaczenie to tak mi trafiło do przekonania, że dziś przysiągłbym na wszystkie galicyjskie świętości, iż ze starych programów politycznych Bozia robi koncesje, ordery, hafty do ministerjalnych fraczków i t. p. zabaweczki dla posłusznych i grzecznych chłopczyków...

Drugie pytanie!.. Od czasu, jak pisuję kroniki i pogadanki, a pisuje takowe „bez przechwałek“ już rok trzynasty, słyszę ciągle o mężach ocalających sytuację, o mężach zaś stawiających sytuację w tem położeniu, aby ją ocalać potrzeba nie słyszałem ni razu, i dlatego chciałbym się bardzo dowiedzieć, kto też są owi mężowie, którzy zawsze na szwank narażają, tylekroć już ocaloną sytuację?.. Lecz na co sobie głowę kłopotać tem pytaniem?!.. Ot, cieszmy się raczej tem, że ilekroć sytuacja na szwank jest narażoną, zawsze znachodzi się mąż, który ją ocala, i to tak gładko, z taką łatwością i z takim szykiem, jak ja tutaj stawiam wykrzyknik ten na papierze!.. Bez przechwałek! Jest to niezawodnie najlepszym dowodem niespożytej naszej żywotności, i jakkolwiek kolizje wywołane tem ciągłem narażaniem na szwank, i ocalaniem zagrożonej sytuacji drażnić mogą czulsze nerwy, to jednakże możemy być spokojni, zawsze bowiem, zupełnie tak jak w bajkach mojej piastunki, przybywa w samą porę rycerz, który smoka lub olbrzyma zabija, i księżniczkę Sytuację ocala....

Spiritus flat ubi vult!... Ot! n. p. tym razem!... Czy słyszał ktoś co o parlamentarnych zdolnościach nowego naszego posła, no a jednak proszę państwa mąż ten przychodzi, kandyduje, zostaje wybranym i... sytuacja zostaje ocaloną!... Ktoby się był tego spodziewał? Niezawodnie nikt, tembardziej, że niektórzy fizjonomiści utrzymują, iż poznali w naszym dzisiejszym pośle jenerała z r. 1863. W takim razie jenerał z r. 1863 byłby naszym dzisiejszym posłem, a dzisiejszy nasz poseł do rajchsratu byłby jenerałem!.. Wszelki duch chwali pana Boga! Takich zawikłań nie było nawet i w bajkach mojej piastunki, no ale kiedy już tak jest, to wnoszę, abyśmy—jeżeliby nam kiedy wojować wypadło, powierzyli komendę wojska panu Smolce... Bez przechwałek! w wszechstronności nie wyrówna nam żaden naród pod słońcem!.. Nie darmo to mawiał ś. p. ojciec mój, że Polakowi w skórę dać, to z cebuli zegarek zrobić potrafi!...

Miałbym dziś jeszcze dużo na wątróbce, ale się hamować muszę, ze względu na mego wydawcę, który mnie prosił, abym w mych pogadankach omijał politykę, a zajmował się więcej literaturą i sztuką. A zatem basta, i mówmy o literaturze, o której w tych gorących czasach oprócz księgarzy i piszących nikt wcale nie mówi. Bez przechwałek będzie to z mej strony wielką wobec polskiego piśmiennictwa i polskiej sztuki zasługą, a nagrodę obywatelską, która mi się za to należy, przeznaczam na założenie ochronki dla wychowania Polaczków dbalszych o swoją sztukę i literaturę, a niżeli ci, co dzisiaj żyją.

Otóż mam tu najprzód na stoliku książeczkę w gustownych różowych okładkach, drukowaną in octavo na prześlicznym białym papierze, — prawdziwe typograficzne cacko, tak jak wszystkie wydawnictwa księgarni Władysława Bełzy, rzecz jak gdyby na podarunki wielkanocne umyślnie przygotowana... Są to Poezje Karola Świdzińskiego, z portretem i krótkim życiorysem ś. p. autora, zgasłego w czerwcu z. r... Piosnki to wdzięczne, pełne młodzieńczej dziarskości przypominające czasami Pieśni Janusza, czasami akordy Lenartowiczowskiej lirenki, wyspiewane po części na polu walki w powstaniu, i w wojnie prusko-francuskiej, po części wśród tęsknoty wygnania, a po części wśród zapału zawodowej pracy po powrocie do ojczyzny. Rzecz niezawodnie sympatyczna! Ale któż ją będzie czytał?... My dziś czytamo tylko gazety!...

Mam dalej przed sobą Na pobojowisku, epizod z wojny roku 1871, opowiedziany przez Sewera, a opiewający działanie brygady Bosaka w prusko-francuskiej wojnie i śmierć bohaterską tego walecznego dowódzcy. Rzecz ta opowiedziana z zwy-

kłym autorowi wdziękiem, była drukowaną w fejletonach Gazety Narodowej, a książeczka o której mówię jest odbitkiem, mimo to nie waham się jej słów kilka poświęcić. Na pobojowisku wyróżnia się bowiem zaszczytnie pomiędzy owocami, które wydawać zwykła owsiana gleba fejletonów naszych pism politycznych. Byłbym wprawdzie wolał, gdyby autor, który jak się zdaje naocznym był widzem wypadków, opowiedział je był bez beletrystycznych upiększeń w formie monografii, lub jeszcze bardziej rozwinął formę powieściową, tak bowiem jak jest nam podaną, nie posiada rzecz ani ścisłości historycznego opowiadania, ani też nie budzi w czytelniku owego zajęcia, którego się ma prawo wymagać od noweli pióra p. Sewera. Cokolwiekbądź, pomimo wytkniętej właśnie usterki, pomimo powtarzającego się kiedy niekiedy obrazowania, któregoby pisarz taki jak pan Sewer unikać powinien, — pomimo nakoniec rozterki pomiędzy refleksjami tchnącemi nieprzetrawionemi jeszcze widocznie doktrynami Ligi Pokoju, a własnemi żołnierskiemi instynktami autora, rzecz jest opowiedzianą w sposób zajmujący, a opowiadanie ma tu i owdzie nawet erckman - chatrjanowskie błyski. Niezawodna, że Na pobojowisku opiewające udział Bosaka w francuzko - pruskiej wojnie, i śmierć tego walecznego żołnierza, jest wielce ciekawą i sympatyczną książeczką, ale któż ją będzie czytał?... My dziś czytamo tylko gazety!...

Z kolei przechodzę do Biblijoteki teatrów amatorskich... Leżące przedemną sześć zeszytów tego wydawnictwa, zawierają Nowożeńców Björxsona, Kalosze pana Jana Aleks. Fredry, Kaprys Musseta, Przezorną Mamę Blizińskiego, Na wędkę komedję przerobioną z niemieckiego przez A. Walewskiego, i Spudłowali Kaźmierza Zalewskiego; w siódmym zeszycie pojawić się ma Pan Damazy Blizińskiego. Tytuły powyższych sztuk i nazwiska autorów zalecają dostatecznie to wydawnictwo odznaczające się nadto nadzwyczajną taniością, i nie wątpię wcale, że Biblioteka teatrów amatorskich znajdzie czytelników, boć przecie trudno grać rolę, którejby się nie czytało.

Ażeby już zakończyć relację moją o nowych publikacjach, muszę tu wspomnieć i o Wesołym Towarzyszu czyli „sposobie przyjemnego zabawiania się w towarzystwie“, która to w Samborze wydana książeczka, zawiera oprócz rozmaitych gier towarzyskich, powinszowań, anegdot, zagadek, szarad, pieśni i deklamacji także i przepisy zachowania się w towarzystwie, między któremi oprócz wielu rad wielce pożytecznych wyczytałem, „że się ucałowanie rąk należy gospodyni domu“, że do osób nie utytułowanych mówi się „Panie Dobrodzieju“ i że rozmawiając z paniami, nie należy mówić o modzie!.. Co, do całowania rąk to jeszczebym się przychylił, jeżeli ładne, białe i młode, protestować jednakże muszę solennie przeciw „Panu Dobrodziejowi“, — a co do unikania rozmowy o modach, to na myśl mi przychodzi noweletka Safira p. t. „Takie one wszystkie“, w której dowcipny humorysta niemiecki opowiada, jako pokłóciwszy się raz na zabój z swoją bogdanką, udobruchał ją najzupełniej, a nawet doprowadził do najserdeczniejszego rozrzewnienia, czytając jej.... opis wyprawnych sukień Księżnej orleańskiej!.. Powtarzam jeszcze raz, że Safir powiada, iżeście wszystkie takie moje Panie. Pytanie zatem, kto tu ma słuszność: „Wesoły towarzysz“ z Sambora, czy też niemiecki humorysta?...

W Warszawie, gdzie jak wiadomo pomiędzy idealistami, a pozytywistami wre od dawna już zażarta walka, wywołały odczyty Spasowicza o Wincentym Polu i jego dziełach okropną burzę przeciw szanownemu prelegentowi, który według zdania pierwszego z tych dwóch z sobą walczących obozów nie dosyć czci miał okazać dla śpiewaka Pieśni Janusza. Nam, którzy odczytów tych nie mamy w ręku, a którzyśmy się już raz sparzyli na warszawskich sprawozdaniach z odczytów hr. Stanisława Tarnowskiego wyrokować w tej kwestji trudno, — w każdym jednak razie nie należy wielkiej wagi przywiązywać do piorunów i klątw panów idealistów, lub pseudo - idealistów, którzy zasklepiwszy się w jakiemś fanatycznem *Non possumus*, niepozwalają na rzeczową ocenę żadnego z ukochanych przez się pisarzy. Naturalna rzecz, że idąc za ich przewodem nie doszlibyśmy nigdy do trzeźwej prawdy, a przypomnić mi tu wypada że i Kornel Ujeski w Listach ze wsi (Dziennik literacki r. 1862) dosyć ostro oceniał tendencje Pola, co z pewnością nie umniejszyło poetyckiej wartości utworów autora Pieśni o ziemi naszej, ani też autorowi Skarg Jeremiego za czyn niepatrjotyczny poczytywanym być nie może!...

Tłumacz Marji Malczewskiego p. Albert Zipper przełożył znowu na język niemiecki gładkim białym wierszem ustęp z Dziadów Mickiewicza p. t. Petersburg, który jak wiadomo osobny poemat stanowi. Jak słyszałem ofiarował tłumacz przekład swój nakładcy bezpłatnie, stawiając mu tylko warunek, ażeby cena książeczki była jak najniższą, to zaś dlatego, ażeby dzieło naszego wieszcza jak największego doznało rozpowszechnienia. Co się tyczy samego tłumaczenia nie pozostaje wiele do powiedzenia, nie ulega bowiem wątpliwości, że zaszczytnie znany tłumacz Marji Malczewskiego wywiązał się z swego zadania znakomicie. —

Na scenie naszej przedstawiono kilka nowych sztuk, jako to: Krwawe piętno dramat Leopolda hr. Starzeńskiego, Mąż od biedy komedję Józefa Blizińskiego, i konkursową komedję nieznanego dotąd autora p. t. Uproszone zaloty. W dniu, kiedy przedstawiano komedję, miałem usposobienie do dramatu, a w dniu, kiedy przedstawiano dramat, miałem usposobienie do krotochwili, i dlatego niebyłem na żadnej z tych trzech sztuk. Wyznaje to niniejszem otwarcie, co niezawodnie jest daleko trudniejszą rzeczą, aniżeli pisać recenzję sztuki, której się nie widziało.... Za to nie ominę już przyszłego przedstawienia, według tego bowiem, co z ust wiarogodnych słyszałem, jest Mąż od biedy prawdziwym brylantem, Uproszone zaloty jedną z lepszych komedyjek, a Krwawe piętno odznacza się szlachetną tendencją i zawiera wiele pięknych, dramatycznych sytuacji, jak w ogóle wszystkie dramata hr. Starzeńskiego. —

Włodzimierz Zagórski.

TEATR.

Uproszone zaloty. Komedja konkursowa w 3 aktach, wierszem. — Mąż od biedy. Komedja w jednym akcie Józefa Blizińskiego.

Bywa się często w ambarasie, jeżeli się jest zagadniętym o zdanie co do osoby, która jest podobną do tysiąca innych, niczem nadzwyczajnie nie razi, ale niczem też żywiej nie ujmuje którą ledwośmy co widzieli a już nam się zatarła w pamięci. Zwykle w takim razie, przyciśnięci do muru, radzibyśmy schować się pod ziemię, ażeby nie mieć konieczności odpowiedzenia na niewygodne zapytanie..

W takim samym kłopocie jesteśmy i my teraz, gdy przychodzi nam zdać sprawę z komedji „Uproszone zaloty“, którą widzieliśmy niedawno na scenie, w bardzo niekorzystnie dla niej dobranej parze z „Mężem od biedy“ Blizińskiego. Komedja ta a raczej komedyjka, bo o bardzo maleńkie rzeczki w niej chodzi, jest sobie zabaweczką, nader zgrabnie i poprawnie i ładnym wierszem—do przeczytania — ale nie dla sceny napisaną. Na scenie nie budzi żadnego zajęcia ; akcji w niej bowiem i ruchu wcale prawie niema, a intryga niewymownie naiwna. Co zaś do charakterów, lub typów, któreby tej komedyjce urosnąć na dużą komedję dały, te nie odznaczają się bynajmniej oryginalnością. Mamy tu romantycznego, rozpoetyzowanego młodzieniaszka, figlarną panienkę, starego, od bomb i granatów, napoleońskiego Majora; sędziwego, pragnącego co prędzej wnuków, tatę bohatera; całkiem niewyraźną, ledwo na chwilę zjawiającą się mamę bohaterki—i gadatliwą, rozkochaną w swojej panience ochmistrzynię. Wszystko to starzy znajomi, jak nie z Fredry, to z Korzeniowskiego,.. poczciwi starzy znajomi!.. O cóż tu chodzi? Chodzi o to, aby młody Ludwiś ożenił się z panną Basią. Młodzi się kochają, ale panicz jest nie śmiały. Używają tedy nań ostrogi zazdrości — dając mu za rzekomego rywala starego majora. Major jest próżny staruszek, który wmówiwszy w siebie, że panienka się w nim zakochała, z żartobliwych robi prawdziwe zaloty. Panienka go leczy z tej pokusy, przedstawiając się złą, nieporządną, kapryśną, przy zręcznej pomocy klucznicy. Wreszcie Numa wychodzi za Pompiljusza i... finita la comedia! Czegoż chcecie więcej? Jedna tu rzecz jest zadziwiającą, że podobnej treści aż na trzy akty wystarczyło!

Personal artystyczny w tych warunkach zrobił z ról swoich wszystko, co tylko się dało. Nie było to, co prawda, trudne zadanie, bo recepty na takich nieśmiałych kochanków, reumatycznych, klnących i pyszałkujących po myśliwsku majorów itd. itd. dawno już znane; ale właśnie przy tej łatwości zadania, troskliwość wykonywających role o ich oddanie, jest godną wszelkiego uznania — gdyż ambicja artystów jest niezmierną i często, gdy nie mogą jej zaspokoić ani rozwinąć w jakiej roli — nie dbają o nią. Tutaj wszyscy byli wyborni i część humorystyczną tej komedji, ku wielkiej wesołości publiki, p. Kwiecińska (Basia) p. German (Kluczyńska, ochmistrzyni) i p. Fiszer (Major Gamrat), doskonale uwydatnili. Więcej nic powiedzieć nie możemy — bo jesteśmy pewni, że same te panie i ci panowie, gdybyśmy tu jeszcze słówko dodali — posądziliby nas w tym razie o nieszczerość — lub chętkę podchlebiania — od czego niech nas Bóg zachowa.

Z prawdziwą rozkoszą moralną przechodzimy od tej trzyaktowej komedyjki do jednoaktowej komedji Józefa Blizińskiego „Mąż od biedy“. Bo to też komedja — komedja w całem najwyższem znaczeniu tego słowa! Zaczerpnięta z samego dna życia, z samej rdzeni jego, z nieporównanym talentem utrzymuje uczucie i imaginację widza w ciągłem natężeniu od pierwszego do ostatniego słowa. Nie probujemy powtarzać tutaj fabuły tego klejnociku, bo autor z iście mussetowską genjalnością z tak subtelnych niteczek usnuł tkankę akcji i jej motywów, iż chcąc dać o treści utworu wyobrażenie, potrzebaby go w całości powtórzyć. Jeden szczegół opuszczony, to już cała budowa fałszywie przedstawiona, tak się trzymają ściśle cegiełki w tej cudownej, filigranowej budowie. Powiemy więc tylko, że każda z postaci tej komedji, jest żywym, tętniącym krwią typem, schwytanym w powszedniem życiu przez genjalnego spostrzegacza i przeniesionym na scenę z wiernością fotografa a sztuką najgłębszego znawcy i malarza uczuć i czynności ludzkich.

Niema prawie jednej ujemnej postaci — ale żadnej też po marmontelowsku ckliwie, wzorowo dobrej... Mimo wad, wyraziście nacechowanych i stanowiących sól tej komedji — jacyż to poczciwi ludzie!.. Gdy się patrzy na nich, jednocześnie chwyta śmiech i rzewność widza, tak zabawnie właściwości ich usposobień zdradzają się wśród komicznych sytuacji a razem tak promienieje jednocześnie z nich zacność! Wychodzi się po tej komedji z dziwnem uczuciem cichego rozjaśnienia, jak gdyby lepszym, uczciwszym! Pewien jestem, że czytelnicy stwierdzą na sobie samych to wrażenie! Jest ono skutkiem prawdziwego, dodatniego realizmu i szlachetnych tendencyi utworu — a razem tego uczucia roskoszy, jakiego doznaje każda dusza wyższa upojona widokiem doskonałego dzieła sztuki. A „Mąż od biedy“ jest niem niezawodnie!

Wszystkie role rozdane były jak najtrafniej i doskonałych miały przedstawicieli. Pani German i pan Dobrzański jako para staruszków dziedziców, (pp. Dawnoscy) oddaniem najsubtelniejszych intencyj autora i świetną werwą gry swojej nieustające wywoływali oklaski i na głęboką wdzięczność autora zasłużyli.

P. Kwieciński (Szymelski) w swej bardzo trudnej pod względem psychologicznym roli, podniósł się do takiej prawdy uczucia i ekspresji, iż rolę tę do najlepszych kreacyj swoich liczyć może. Od Pani Terenkoczy (Szymelskiej) możemy tylko wymagać nieco subtelniejszego cieniowania swojej roli, mianowicie na trudnem przejściu do chwili, w której zaczyna szanować swego męża, pierwszy raz ujrzawszy go w wprawdziwym praw jego i serca majestacie. Niech tylko ten zwrot wyrozumie dobrze — a będzie doskonałą! P. Lubicz (Mieczysław) wywiązał się inteligentnie ze swego zadania. Czy mamy mówić o pani Zimajer w roli służącej, mazurki Kasi? Ktokolwiek zna p. Zimajer w takich rolach i po sto razy już zasypywał ją oklaskami— przekona się, zobaczywszy tę nową jej kreację, że potrafi ona w niej przejść nawet samą siebie!

W. O.

POKŁOSIE.

Djabłu się zapisał! W tych dniach, w jednym z salonów berlińskich baron von Wg. dla zabawy towarzystwa poważną opowiedział historyjkę. Bohaterem jej jest dwunastoletni jego sprytny bardzo synek. Pewnego razu chłopczyk ten, temperując ołówek, zaciął się scyzorykiem w palec. „Hola! zawołał ujrzawszy kilka rubinowych kropli sączących się z ranki, tak wyborna sposobność nie codzień się zdarzy!“ I rzekłszy to, wziął arkusz papieru, umaczał nowe pióro w sączącej się krwi i zapisał się djabłu: „Samielu pomóż! Szatanie zjaw się. Mefisto, przybądź! Oddaję ci się, przewrotny książe piekieł, z włosami i skórą: musisz jednak za to zrobić mnie tak sprytnym i przebiegłym jak Bismark i mojego guwernera, kandydata F. porwać jak tylko możesz najprędzej. Podpisano Albert Baron v. W.“ Tegoż samego jeszcze wieczoru wślizgnął się rezolutny chłopyś do ogrodu, wygrzebał pod drzewem jamę, ukrył w niej piekielny cyrograf i powrócił, widocznie trochę przestraszony, pędem nazad do domu. Stangret, który tylko co był właśnie do domu powrócił i widział całą scenę kopania pod drzewem, rozciekawiony coby to znaczyło, począł kopać na tem samem miejscu, spodziewając się jakiego skarbu, znalazł papier i oddał go swemu panu. Baron nakazawszy mu sekret, podłożył na tem samem miejscu z piekła datowane pismo, w którym szatan młodemu panu Baronowi v. W. dla koniecznego porozumienia i ostatecznego zawarcia aktu naznaczył rendez-vous na 8 wieczorem, pod użytem już do tej sprawy drzewem. Nieustraszony chłopak zjawił się też punktualnie na schadzkę — ale zdziwił się niepomału, ujrzawszy zamiast szatana swego cher papa, który go piekielnym gradem nagan przywitał. „Hultaj! — tak zakończył opowiadanie baron — pewien jestem, że się już nigdy więcej djabłu nie zapisze.“

Bankiet kirgizki. Pewien podróżnik francuzki opisuje w następujący sposób bankiet, jaki na cześć jego wydał sułtan kirgizów Basparihan. Dla gości, nazbyt licznych, ażeby w Jurcie sułtańskiej przyjęci być mogli, rozesłano przed wejściem do namiotu na wolnem miejscu olbrzymi dywan. Zaproszeni zasiedli szerokim kręgiem naokoło Sułtana i jego gościa. Najbliższe miejsca zajmowali najstarsi i najszanowniejsi z pokolenia, których było około piętnastu. Chłopcy stali za dorosłemi mężczyznami a niewiasty i dziewczęta zajmowały ostatnie miejsca. Ale nawet i psy z niejakiej odległości zdawały się nie mało mniejszem od ludzi zajęciem oczekiwać na początek bankietu. Skoro się już wszyscy uszykowali, wstąpili dwaj ludzie w środek koła, z naczyniem podobnem do wielkiego czajnika. Jeden z nich zbliżył się do Sułtana a drugi do Francuza i poleli im ciepłej wody na ręce. O serwetę już każdy sam musiał się troszczyć. Ceremonję tę odbyli z każdym mężczyzną aż do ostatniego pastuszka; niewiasty i dziewczęta często musiały sobie nawzajem usłużyć. Po ukończeniu tych ablucji, wnieśli kucharze naczynia, buchające słupami pary. Naczynia te napełnione były ćwiartkami baraniny. Pomiędzy sułtanem i gościem stało także jedno z baraniną i ryżem. Naraz każdy wyciągnął swój nóż, bo przyrządów do jedzenia jak łatwo pojąć żadnych nie dano.

Sułtan wyciągnął przepyszny kawał mięsa z naczynia i podał go gościowi, a następnie dla siebie sięgnął równie zuchwale i szczęśliwie. Było to hasłem dla wszystkich. W mgnieniu oka pochyliły się wszystkie ręce nożami zbrojne, do mięsa. Kirgizi siedzący w pierwszym rzędzie, wybierali dla siebie jaki im się podobał kawałek, i nadjadłszy nieco z niego podawali resztę stojącemu najbliżej za nimi gościowi. Ten ugryzłszy parę kąsów, następnemu oddawał. I tak każdy kawałek szedł koleją, aż doszedł wreszcie do mężczyzn i chłopców, a od nich, gdy go już dobrze obrobili, dostawał się niewiastom i dziewczętom. Wreszcie skoro te już ostatnie szczątki mięsa objadły, reszta tej reszty i kość naga psom się dostawała. Co jest zadziwiające, że przy tym osobliwym podziale nietylko między ludźmi ale nawet pomiędzy psami najzupełniejszy spokój i zgodność panowały.

Smoczonóg. Pewien bawiący w Chinach misjonarz francuzki w następujący sposób donosi o osobliwym dotychczas nieznanym zoologom ptaku: „Gdyśmy rzekę Hoangho przebywali, całą naszą uwagę ściągnął na siebie dziwny ptak, dotychczas nam zupełnie nieznany. Wielkością wyrównywa on czapli, barwy jest popielatej z czarnemi plamami i ma lśniąco czarne, błękitnym pierścieniem otoczone oczy. Nogi jego jednak nie są upierzone, lecz pokryte długiemi włosami, a stopy nie ma takie jak u innych ptaków, ale do nóg zielonej jaszczurki podobne i osłonięte łuską tak twardą, iż najostrzejszemu nożowi się opiera. Dziwny ten ptak, posiadający obok cech ptasich także i znamiona czworonogów i płazów, nosi u krajowców miano Loung-kio. t. j. Smoczonoga. Ptaki te nadlatują zwykle w wielkich stadach z północy, szczególniej jeśli śnieg spadł obfity. Lecą z niezmierną szybkością i z szumem podobnym do szelestu bijącego gradu. Schwytane okazują się dzikiemi i złośliwemi. w rozdrażnieniu włosy im sie jeżą na nogach a gdy się kto do nich zbliży, kąsają zajadle i gwałtownie.

Kosztowne cebule. Marynarz angielski wszedł do cieplarni ogrodnika specjalnie oddającego się wychowywaniu drogich tulipanów, z których jak wiadomo każdy rozgłośne jakieś nosi nazwisko. Poczciwy majtek wszedłszy, ujrzał mnóstwo cebul w doniczkach, a ponieważ, jak wiadomo także, nic milszego dla marynarzy od surowej cebuli, majtek dał sobie folgę, i nim ogrodnik nadszedł, zjadł łakomie kilka tulipanowych cebulek. Ogrodnik przybył zapóźno, aby przeszkodzić zniszczeniu. spostrzegłszy wyrządzoną mu szkodę, krzyknął z rozpaczą: „Wielki Boże!“ „Aleksander Wielki!“ „książe Marlborough!“ i „książe Wellington“ przepadli! Zgubiony ze mnie człowiek!... ten łotr pożarł mi jak raz za sto gwinei bohaterów!“

Ubytek ciepła w Europie. Pod nadpisem: „Dlaczego klimat w Europie stał się zimniejszym?“ jedno ze Szwedzkich czasopism podaje następujące uwagi: „W grenlandzkiej zatoce Komenok pod Komą znaleziono kopalne a nader charakterystyczne szczątki palm i innych drzew, które wnosić pozwalają, iż niegdyś w tych okolicach bogata panowała wegetacja. Ale nastąpił geologiczny peryod lodowców i w skutek zniżającej się temperatury ową bujną roślinność całunem lodów i śniegów

zastąpił. To zniżanie się temperatury, które się z północy ku południowi rozciągnęło i geologicznemi dowodami sprawdzić się daje, a mianowicie cząstkami kopalnych roślin, — to w naszych czasach zdaje się znacznie powiększać. W ostatnich latach lodowce dotarły od bieguna północnego daleko ku południowi, — i tak naprzykład, pomiędzy Grenlandją a Morzem Lodowatem skupiły się kolosalne lodowców masy. Na wybrzeżach europejskich natykają się częstokroć marynarze na lodowce pod takiemi stopniami szerokości, gdzie dawniej nigdy w najłagodniejszej porze roku się na nic nie natrafiało, — a panujące tego roku niesłychane mrozy na półwyspie Skandynawskim pochodzą z mas lodu nagromadzonych w okolicach pobliskich jego wybrzeżom. Niezwykłe to sąsiedztwo z lodami, klimat Islandji tak chłodnym uczyniło, iż zboże już na niej nie dojrzewa i Islandczycy wobec grożącej im klęski głodowej nową ojczyznę w Ameryce tworzyć sobie poczynają. Takie same były stosunki na Grenlandji w XIV wieku, gdy norwegskie kolonie przez posuwające się lody zniszczonemi zostały. Możemy więc mieć tę miłą nadzieję, my mieszkańcy umiarkowanej strefy, że w biegu czasów będziemy mieć co najmniej półroczną zimę i reniferami jeździć będziemy!

Jeszcze „Wiktor Emanuel“. Niezliczona moc anegdot z życia zmarłego króla obiega po świecie, całe kolumny i feljetony najpoważniejszych dzienników bawią swych czytelników historyjkami, które w krótce przebrzmią, aby ustąpić miejsca nowym opowiadaniom. W tym „albumie popularności“ króla wolimy wybrać bohaterskie wspomnienia i podać je do wiadomości naszych czytelników jako licujące najlepiej z wyobrażeniami mieszkańców naszych „strzech“ ojczystych a nadewszystko z tym prawdziwie najpierwszym sługą ojczyzny.

Oto piękny wizerunek króla podaje naoczny świadek z czasów kiedy Wiktor Emanuel był tylko księciem Sabaudzkim. W roku 1843cim 30. Maja — pisze ów świadek, w głównej kwaterze sardyńskiej, widziałem po raz pierwszy dzisiejszego króla. Przez pole na którem toczyła się walka ujrzałem pędzącego jak wicher, jak widmo, młodego oficera z wzniesioną szablą w ręku, z rozkazem wojennym na ustach. Koń jeźdzca arabski był okryty cały pianą, krew ciekąca z boków czerwieniła ostrogi. Oficer z ognistym wzrokiem, z najeżonym gęstym wąsem, rzucił się ku oddziałowi gwardyi. Na kilka kroków przed frontem, wstrzymał się wołając:

— Za mną gwardziści! — ratujmy honor domu Sabaudzkiego! Entuzyastyczny okrzyk odpowiedział na to rycerskie wezwanie księcia. Oddział ruszył, walka zakipiała z wściekłością, Austrjacy zatrzymali się, następnie cofnęli, lecz wzmocnieni posiłkami na nowo uderzyli.

Młody jenerał co chwila się pokazywał, to niknął przed mojemi oczyma; rzucał się w najgwałtowniejszy ogień, był wszędzie, wszystkich zachęcał głosem, ręką, twarzą bohaterską. Kula trafiła księcia w udo lecz nie zdołała go spędzić z pola — krew toczyła się z rany, a on siedział na koniu jak posąg i roznosił odwagę jak bóg!

Nareszcie jenerał Aroillars przybył z bateryą i brygadą Cunćo i rzucił się w wir bojowy — Austrjacy zdziwieni tak nagłem zjawieniem się dzielnej pomocy, zachwiali się a następnie cofać wyraźnie poczęli.

Jeden z oficerów sztabowych przebiegał w tej chwili obok Talleyranda.

— Panie, zapytał mąż stanu — kto jest ten jenerał tak lekceważący śmierć, która widocznie ma na niego apetyt.

— To książe Sabaudzki.

— Wiwat dom Sabaudzki! Potomek nie odrodził się od swych dziadów. Wiwat!

Nadchodziła noc: nie na całej linii zwycięztwo zostało zdecydowane. Talleyrand zbliżył się do księcia. W tej chwili oficer podał księciu list; po odczytaniu Wiktor Emanuel rozpogodził czoło i silnym głosem rzekł do dyplomaty:

— Panie, książe Genui oznajmia poddanie się Peschiery.

Wówczas Wiktor Emanuel miał lat dwadzieścia ośm.

Był to młodzian, mówi inny z jego biografów, tęgi budową, twarzy otwartej, szczerej i najzupełniej żołnierskiej. Szczególniej uderzała odrazu stanowczość, wypiętnowana w postawie. twarzy, spojrzeniu i głosie.

Później widziano go nieraz po kilkanaście godzin na koniu. Podczas bitwy żuawi francuzcy zagradzali mu drogę bagnetami, gdy na oślep rzucał się w największy ogień.

Kochał swój lud jak najbliższą rodzinę, znał jego potrzeby, cierpienia, radości — umiał kazać się kochać bez wyrachowania a tylko prostym instynktem miłości i czci dla prawej duszy.

Liczne przykłady odwagi zostawił nie tylko na polu bitwy, gdzie niejeden mniej rycerski żołnierz zmienia się w bohatera, lecz także w życiu prywatném.

Raz król znajdował się w jednym z swych zamków, gdy banda rozbójnicza, pod wodzą sł.wnego Pera, weszła do sąsiednich wiosek. Zbójcy spotkani przez żandarmów, przyjęli bitwę nie żałując cięć i strzałów.

Król usłyszawszy strzały chwycił za karabin, popędził w stronę boju i począł gromić napastników. Obok niego padło kilku żandarmów, król na to nie zważał, pozostali poznawszy swego monarchę, zachęceni jego przykładem, wszystkich zbójców ujęli.

Tą samą odwagą król odznaczał się w sprawach humanitarnych — jak z nieprzyjacielem i rozbójnikami potrafił walczyć z epidemią. W roku 1854, gdy cholera dziesiątkowała Genuę, Wiktor Emanuel opuścił Turyn, aby zwiedzić szpitale, ustronia w najnędzniejszych dzielnicach, poddasza, piwnice, gdzie zgnilizna murów i ciał ludzkich odstręczała najgorliwszych lekarzy i filantropów, gdzie epidemia dziennie zabierała po pięćset i więcej osób. Ratował pomocą, pocieszał słowami, których nigdy mu nie brakło, gdy szło o serdeczną sprawę. Przy tem wszystkiem był rycerskiéj skromności. Podczas wojny 1859 stał się bożyszczem swego ludu. Jeden z deputowanych uniesiony patryotyczną przemową króla, zawołał:

— Królu, pozwól mi swą rękę ucałować!

— Całować moją rękę! odrzekł król. Chciałeś obywatelu powiedzieć — uścisnąć!

I uścisnęli się jak dwaj szaraczkowi szlachcice.

BIBLIOGRAFJA.

Dr. Antoni J. „Nowe opowiadania historyczne.“ Lwów — 1878 — Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta.

W tem nowem dziele Dra. Antoniego J., którego imię w tak prędkim czasie tak wielkiego nabrało rozgłosu, pomieszczone zostały następujące opowiadania: Pod krzyżem; Losy kresowego miasteczka; Wartabied; Opowiadanie z dziejów Ormian polskich; Zemsta kozacza; Porwanie króla; Niedoszłe legjony.

Długosza dzieł wszystkich pomnikowa publikacja podjęta przez ś. p. Aleksandra hr. Przeździeckiego jest już na ukończeniu. Obecnie wyszedł tom V. i ostatni dziejów. VI. tom obejmie indeksa historji a ostatni tom, który wyjść ma w r. 1880 jako w czterechsetletnią rocznicę śmierci Długosza, zawierać będzie Żywoty świętych i życiorys Długosza.

Estrejchera bibliografji XIX. wieku wyszedł zeszyt IV. zamykający tom czwarty tego dzieła. Obejmuje dalszy ciąg litery T i całe U.

Wspomnienie majówek młodzieży szkolnej za czasów Rzeczypospolitej krakowskiej przez jednego z ówczesnych uczniów liceum św. Anny. Kraków — 1878. W drukarni Czasu.

Kazimierz hr. Wodzicki. Zapiski ornitologiczne IV. Kuropatwa. Kraków 1878 — Nakładem drukarni Czasu. Str. 231.

Katechizm hodowania drzew owocowych jakoteż rozpoznawania owoców i wyrabianie jabłeczniku ułożony przez Antoniego Schmidta pomologa w dobrach J. E. Alfreda hr. Potockiego we Lwowie Nakładem Karola Wilda — 1878 str 122.

Adam Mickiewicz's „Dziady„ (Todtenfeier) von Heinrich Blumenstock. Seperatabdruck aus dem VII. Jahrg. des literarischen Jahrbuch's, Die Dioskuren Wien — 1878 Str. 24.

Koń. Opisy i opowiadania z życia tego zwierzęcia. Dla młodzieży i ludu skreślił Mikołaj Rybowski. Lwów — Nakładem Towarzystwa Ochrony Zwierząt.

Powyższe książki niemniej też wszystkie utwory literatury krajowej i zagranicznej utrzymuje zawsze na składzie księgarnia F. H. Richtera.

Nekrologja.

Rogalski Leon historyk. Po ukończeniu nauk i otrzymaniu stopni naukowych w Wilnie był sekretarzem rady uniwersytetu. Powołany na sekretarza rady wychowania w królestwie polskiem, przybył r. 1835 do Warszawy, gdzie obok tych obowiązków był także rektorem szkół rzemieślniczo-niedzielnych i nauczycielem historji w szkole sztuk pięknych. W r. 1850 otrzymawszy emeryturę zajmował się wyłącznie literaturą. — Zawód literacki rozpoczął będąc jeszcze uczniem, od drobnych poezji, umieszczanych po ówczesnych pismach. W Warszawie prócz współpracownictwa we wszystkich niemal czasopismach był także sam redaktorem pierwszego w Warszawie ilustrowanego czasopisma: Magazyn Powszechny, wychodzącego od roku 1835 do 1844. Rogalski opracowywał, streszczał, układał lub nareszcie tłumaczył dzieła obce, które dla nas jakikolwiek mają interes. W ten sposób przysposobił przeszło trzydzieści dzieł najznakomitszych przeważnie treści historycznej i teologicznej, że wspomnimy tu tylko o historyi zgromadzeń prawodawczych Thiersa, 1845 — 47 tomów 4; dalej Historja Powszechna Duruy w r. 1864 i wiele innych. Pracowitość rzeczywiście zdumiewająca. Z oryginalnych prac zanotować tu wypada jeszcze Dzieje Polskie opowiedzane w krótkości (1864) i Historja Literatury Polskiej 1870 — 1871. Nie mają one prawie żadnej naukowej wartości. Ś. p. Rogalski w Encyklopedji Powszechnej Orgelbranda opracowywał dział teologiczno kościelny.

Kamińska Marja Elżbieta. W pełnym rozkwicie życia bo w 17. roku zgasła wielce utalentowana ta poetka. Drobne utwory jej umieszczane w pismach perjodycznych odznaczały się szczególniej wdziękiem formy, pięknością myśli i zacnością uczuć. Talent jej rokował swietną przyszłość.

Secchi Angelo najznakomitszy spółczesny astronom ur. 1818 wstąpił w. r. 1833 do zakonu Jezuitów i w Rzymie studjował obok teologii matematykę i fizykę. W r. 1848 mianowany asystentem fizyki na uniwersystecie wkrótce potem z Rzymu wygnany udał się do Ameryki, gdzie został profesorem matematyki. W r. 1849 powołany został na nowo do Rzymu na posadę dyrektora obserwatorjum. Badania jego rozciągają się do różnych części astronomii obserwacyjnej; w ostatnich czasach zajmował się przeważnie spektralnem badaniem słońca i gwiazd stałych, na którem to polu bardzo ważne poczynił odkrycia. Oprócz tego przeprowadził wiele badań magnetycznych meteorologicznych i urządził znakomity meteorograf. Prace jego zostały przełożone na wszystkie prawie europejskie języki.

Kącik humorystyczny „Strzechy"

Nowa kucharka polityczna i społeczna.

Boeuf à la mode na zimno.

Weź spory kawał chudego, próżnością naszpikowanego, i różnemi zagranicznemi przywarami przyprawionego mięsa wołowego, a oczyściwszy je z wszelkiej narodowej cnoty, polej je cynizmem i perfumami; — dodaj parę nóg, nieco móżdżgu cielęcego i wiele długów, a przykrywszy mięso cylindrem, duś zwolna w kasynie albo wstaw za kulisy, aby przez jakiś czas próżnowało, i przeżywszy się, pozbyło się zdrowia, wstydu, resztek odziedziczonego majątku i wszelkich niepotrzebnych zasad moralności.

Potem wyjmuje się mięso, i zastudza w egoizmie, a tak przygotowane ubiera w frak, i glansowane rękawiczki, i podaje żonie, dzieciom i społeczeństwu... na zimno!...

Matrona polska w francuskiem cieście.

Skoro młoda gąska nauczy się tańczyć i paplać obcemi językami, wyjmij z niej serce, i nakładź natomiast gałganków... Weź funt kobiecego sprytu, a zaprawiwszy go intrygą, dodaj kokieterji, lekkomyślności, i nieco drobno siekanych frazesów francuzkich, które zastąpią rozum i uczucie, i w tej przyprawie wyszlej gąskę z domu, aby przesiąkła pozadomowem życiem, a gdy się na wielkim świecie usmarzy, i pozbędzie poczucia obowiązku i wszelkich kobiecych przymiotów, ubierz ją w francuskie ciasto, i uformuj pasztet, który wydaj — za mąż.

Znajdzie się głupi, co i to kupi, zwłaszcza gdy sos do niej dodasz w brzęczącej monecie.

Sonety młodszego Petrarki do Emancypantki.

Nad te, co sławy zazdroszczą Korynie,
I o Safony warzyny się kuszą,
Wyżej ja cenię skrzętne gospodynie,
Co — po dawnemu — są rodziny duszą.

Ty Pani, rwiesz się ku owej wyżynie,
Gdzie w żarach skrzydła się Ikarom kruszą;
Zbyt ciasno tobie w domu, i w rodzinie,
Ten „świat kobiety" jest Ci wstrętną głuszą...

Lecz choć tak różne nasze ideały,
Chociaż Twej drogi szukasz gdzieś po niebie,
Choć kajdanami zowiesz obowiązek,

Jednak się zgodzę na Twój program cały,
Tylko Cię błagam: „— Przez litość dla siebie,
O Pani!.. Nie noś pończoch bez podwiązek!.."

Próbki wywodów logicznych

in usum lwowskich polityków i polemistów.

Bóg jest wszędzie!
Wszędzie jest przysłówkiem,
Ergo Bóg jest przysłówkiem.
Człowiek pół żywy jest równy pół umarłemu,
Dwoch pół żywych są równymi dwóm pół umarłym
Dwie połowy są równe jednemu całemu,
Ergo człowiek żywy jest równy umarłemu.

Przypowieści Rabi Ben-Osy.

1. Marność nad marnościami — powiedział kaznodzieja— marność nad marnościami, i wszystko marność, z wyjątkiem trzech rzeczy, które nie są marnością.

2. Albowiem troje jest tylko rzeczy na świecie, które są jeszcze coś warte dla człowieka, a reszta wszystko jest marnością.

3. Synu mój! Dobre wino rozwesela umysł człowieka, ale miłość dodaje skrzydeł duszy.

4. Szczęśliwy przeto ten, który ma dobre wino w piwnicy, i szczęśliwy ten, który zdołał posiąść serce kobiety, — ale stokroć szczęśliwszym jest ten, który ma pełny pulares.

5. Albowiem, kto ma pieniądze, temu łatwo zaopatrzyć piwnice swoją w szampan i burgundzkie wino, a kto nie ma pieniędzy, dla tego pozostanie miłość i dobre wino zawsze tylko pięknem marzeniem.

6. Przeto o synu mój trzy są drogi, któremi można przejść przez życie. Trzeba się urodzić bogatym, albo kraść, albo oszukiwać tych, którzy się dadzą oszukać, — a z wyjątkiem tych trzech dróg nie masz sposobu, którymby można przejść przez życie, albowiem praca nie popłaca na świecie.

7. Szczęśliwy przeto ten, który się urodzi bogatym, albowiem w czasach dzisiejszych trudno jest kogoś oszukać, gdyż każdy sam na oszukaństwo wychodzi, a złodziei sadzą do więzienia.

Podsłuchane.

— Ależ moja duszko, czyż godzi się nosić tak długie ogony?... To oczywista ruina!...

— Skarz się, skarz ty niegodziwcze!.. Czyż nie widzisz, jak się menażuję...

— Ty?...

— No, oczywiście ja!...

— A to w jaki sposób?...

— W całkiem prosty... O ile dłuższy noszę ogón u sukni o tyle każę więcej w gorsie wycinać...

Repertoarz europejskiego teatru.

W Turcji gra Moskwa niby to na korzyść Słowian Najserdeczniejszych i Lwa zakochanego, a na benefis własny Niebezpieczną ciotunię.

W Anglii zapowiedziano Junaków, tymczasem grają Terenię w kłopotach.

W Berlinie zapowiedział Bismark Dla miłego grosza; tymczasem gra Męża za drzwiami.

W Wiedniu gra hr. Andrassy Po ślizkiej drodze,— zapowiadają Berka zapieczętowanego.

W Paryżu grają: Drzemkę pana Prospera i Przed wystawą.

W Rzymie: Na dole — na pierwszem piętrze.

W Petersburgu: Nikt mnie nie zna! i Świętoszka.

W Peszcie: Anteprenera w kłopotach.

We Lwowie jak zawsze: Tromtadratów.

Pan Filon Fujarkiewicz.



P. Filon Fujarkiewicz, czyli jak zwykł podpisywać swych uczuć przędzę i swych myśli kwiaty, Pan Amfion Kulita miał z urodzenia niepospolity talent do... niepisania, ale go — niestety! najlekkomyślniej zmarnował, a powodem do tego była zemsta... Niezdawszy bowiem matury, stał się Filuś Fujara bajronistą, znienawidził świat i ludzi, i postanowił mścić się swego despektu... na czytającej publiczności... O, jakże zemsta jest brzydkiem uczuciem!...

Pierwszym jego krokiem na tej drodze była tragedja.... Szatan skusił go do popełnienia tragedji w pięciu aktach;... piekło skusiło go do napisania jej wierszem... A jednak tak by mu było łatwo oprzeć się pokusie, boć to przecie nie tak trudno nie napisać tragedji wierszem i w pięciu aktach!... O, jakże zemsta jest brzydkiem uczuciem!

Nieszczęście chciało, że Filuś poznał Świętego Lapatona, i pokazał mu swoje arcydzieło...

— Czy kochasz Polskę — zapytał go apostoł z namaszczeniem....

— Kocham — odparł młody wieszcz rozrzewniony.

— Czy wypierasz się zdrowego rozsądku?...

— Wypieram!..

— Przysięgasz?...

— Przysięgam!..

— Idź więc synu i pisz!... Dziady, Beniowski, Irydjon, Pieśń o ziemi naszej, Szkice historyczne Szajnochy, Listy z Krakowa Kremera, Listy do przyjaciela Gillera,... wszystko to znajduje się w Słowniku Lindego... Idź szukaj, kochaj Polskę, a reszta będzie ci daną!..

Od tego czasu stał się Filuś nałogowym pisarzem, — wieszczem, historykiem, filozofem, estetykiem, krytykiem, itd.... O jakże zemsta jest brzydkiem uczuciem.

Pan Amfion Kulita będzie nas zasilać płodami swego niepospolitego talentu...

Pani Grażyna.



Gdyby Pani Grażyna (po chrzcie świętym Kordula) była młodą, piekną i bogatą, to byłaby Panną Lalą;... ale Pani Grażyna ma lat czterdzieści, twarz zwiędłą, kształty ciała do trygonometrycznej figury podobne, i dochody — Litawor jej jest urzędnikiem — nader szczupłe.... W takich warunkach nie pozostaje próżnej kobiecie nie innego, jak tylko włożyć niebieskie okulary, i.... zostać niewiastą!...

Pani Kordula włożyła więc niebieskie okulary, przezwała się Grażyną, i została niewiastą...

„— Kwaśne są!“ — rzekł lis, nie mogąc dostać winogron, które wisiały zbyt wysoko....

Zapyta nas może ktoś, dlaczego rozróżniamy kobietę od niewiasty?... Różnica jest ogromną!... Niewiasta m się tak do kobiety, jak lichy ocet do dobrego wina;... kobieta mówi — niewiasta wieszczy;... kobieta chodzi — niewiasta kroczy;... kobieta śpiewa — niewiasta pieje;... kobieta tańczy — niewiasta pląsa;.. kobieta stworzoną jest na żonę i matkę — niewiasta może być tylko kapłanką, albo prorokinią;.. światem kobiety jest dom — domem niewiasty jest wszechświat;.. kobieta wychowuje dzieci — niewiasta pisze traktaty „o wychowaniu“, a wychowanie własnego potomstwa pozostawia Bogu, przypadkowi i swojej kucharce... Jednem słowem, i posługując się definicją Chochlika: Niewiastą nazywamy kobietę, która nie chce być kobietą, a przytem nie wie czego chce... Nie wie, ztąd niewiasta!..

Tak jak jej przyjaciel polityczny Obywatel Tromtadracki, którego polityczny i socjalny program podziela, jest P. Grażyna co do ducha specjalistką, i jako taka Foibą tromtadratycznego kościoła, oraz Filoteą ŚŚ. apostołów Palatona i Lapatona, których świętość, cnotę i zasługi przy agapach tromtadratycznych rymem opiewa, za co jej wyżej wymienieni święci odpłacają pięknem za nadobne, zamieszczając jej poetyckie utwory w Zastoju literackim i wychwalając jej talent w Monitorze tromtadratycznym pod niebiosa.

Pani Grażyna będzie nas zasilać płodami swojej duszy...

Wydawca i odpowiedz. za redakcję F. H. RICHTER. Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



AURELIAN.

8

Powieść z czasów cesarstwa rzymskiego przez Wojciecha Dzieduszyckiego.

J. I. Kraszewskiemu w jubileuszowym Jego roku ze czcią składa autor.

(Ciąg dalszy.)

Córka Świętosza Krasa miała już lat trzydzieści. Choć była bardzo piękną i dziedziczką wielkich bogactw, gdy miała lat ośmnaście poprzysięgła była bogom, że przed trzydziestym rokiem życia za mąż niepójdzie. Dziś szła za Dzięcioła, człowieka bywałego w Mieście i Tracji, i wykształconego w Bizancyum, gdzie się zwał Decyuszem.

Gdy dobrze już siwy, ogolony Świętosz wszedł, zarumienił się Aurelian. Gdy weszła Krasa, zbladł, i odtąd oczu od niej nieoderwał. Stała z rospuszczonemi płowemi włosami, w białéj czerwono haftowanej koszuli Antów, podobna do jakiegoś cudnego posągu, a jej oczy nie mogły się oderwać od oczu imperatora. Co raz to silniej falowała jej pierś, usta jej rozwarły się na pół i zbladły, a rumieniec gwałtowny wyszedł na jej lice. Gdy wreszcie Aurelian niepewnym, jąkającym się głosem odrzekł, że dziś jeszcze, że zaraz przyjdzie na wesele do domu Świętosza, wydała Krasa z piersi swej krzyk i zemdlała. Aurelian kazał ją cucić legatom i niewolnikom; a sam odszedł szybko obejrzyć szańce. Krasa po chwili przyszła do siebie; Dzięcioł chylił się nad nią. Na bladej długiej twarzy widać było coś podobnego do miłości, ale nie miłość, gdy się pytał, „co tobie żono?“ Boć Krasa już przysięgła mu była wiarę przed ołtarzem Lady. Krasa coś odrzekła, ale nikt nie dosłuchał. Świętosz mówił, że to gorąco winno, i śpieszno mu było do domu, gościć nielada kogo, ale imperatora, i pana świata. Chwilę trwało tylko a Zenobia została sama z papugą, małpą, sarną i niewolnikami.

Zenobia zawołała do papugi po syryjsku; „A cóżeś widziała?“

„Po syryjsku przy Rzymianach, po grecku przy niewolnikach“, odparł głos chrypliwy papugi „mówmy po grecku, bo jest źle“.

„Co źle? jak źle? Mag, co ciebie darował, okłamał mnie, gdy mówił, żeś rozumna. Pleciesz jak papuga, gdy mówisz, że źle. Imperator upodobał sobie dziewczynę. Wszak mu wolno, pożartuje z nią i porzuci. A Zenobia ma wielkie serce jak on. Poznały siebie serca królewskie; przylgnęły do siebie; zostaną przy sobie, a ta miłostka przeminie.“

„A będziesz na weselu?“ Krzyknęła papuga.

„A po co?“

„By go śledzić.“

„Będzie tam narzędzie moje, próżny głupiec, Pizo“.

„To niedość. Pójdź sama. Pizo nie zobaczy“.

„Nie pójdę. Nie ma poco. Milcz ptaku. Głupiś jak papuga“.

„Czy tak. Więc będę gadać aż zachrypnę, aż mi się serce radować będzie“. I papuga zaczęła pleść niedorzecznie, wszystkiemi językami odrazu, i plotła wrzaskliwie aż w późną noc.

II.

Wielki był ruch, wielka była radość w drewnianym dworze Świętosza, czy też Senthesa, jak go po łacinie i grecku nazywano, nie mogąc wymówić miękkich współ-

głosek i nosowych dźwięków mowy Antów. Dym z komina szedł prosto jak słup ponad strzechę słomianą a długą, z której nikt nie śmiał zrzucić pustego już gniazda bociana. W sadzie mrok zapadał na jabłonie i grusze, na bez i róże, a mnogie lampy, kagańce i pochodnie rozświecały wielką jadalnię zasłaną jesiennemi kwiaty. Wszędy widać było dostatek barbarzyński, do którego zabłądziły błyski cywilizacji klasycznej. Pod trofeami myśliwskiemi były posążki ze spiżu, kobierce i nawet jedno marmurowe popiersie panującego imperatora, tego samego, co teraz zasiadał przy stole, nie leżąc jak legaci, lecz siedząc obyczajem Antów u długiego wspólnego stołu biesiadników; tego samego, co rozmawiał tak uprzejmie z Senthesem Świętoszem, że Świętosz nie mógł sobie radę dać i popisywał się najwykwintniejszą Łaciną; tego samego, co odmówił wina falernetańskiego z piwnic Świętosza a chwalił tylko miód północny i jabłecznik. Aż dziw było jak prędko imperator wszystkich poznał, jak wszystko zrozumiał, jak się wypytywał o sprawy okolicy; zdawało się prawie, że zna mowę Antów tak dobrze i nieprzekręcając wymawiał ich prawdziwe nazwiska. Czasem tylko rzucił okiem na Krasę, co siadła naprzeciw przy Dzięciole, zarumieniona raz, drugi raz jak chusta blada, niema, widocznie wzruszona ślubem: Spuściła oczy i nic nie jadła ani piła. Zabór, syn Raroga, sąsiedniego książątka, dumne szesnastoletnie chłopię o długich płowych włosach uczesanych na czoło Antów obyczajem, w białej haftowanej koszuli upiętej czerwoną wstążką, i w czarnej siermiędze niecierpliwie zaszedł do sadu ciągnąc za sobą Żybara starostę, „Żybarze, to przecież podle“, mówił Zabór, „że tak się cieszymy tym gościem. To Rzymianin, wróg nasz. On zabrał nam wolność“.

„Nie on“, odparł Żybar, który był rycerzem Rzymskim; „nie on. To Roma uczyniła“.

„A nie dobrzeby było“, rzekło pacholę, „a nie byłoby to chwalebnie, gdybym w jego plecy teraz nóż wbił, aż po rękojeść, aż do serca? Zginął by wróg, a jabym niebył tchórzem, rażąc z tyłu, bo wiedz o tem, żeby mnie pochwycili legaci, i zamęczyli Mauretańscy żołnierze, co stoją w Castrum Gaudii. Dałbym życie za pomstę godną przodków. A życie, wiesz, już dlamnie nic niewarte, skoro ten suchy Dzięcioł zabrał Krasę.“

Uśmiechnął się tylko Żybar. „Mów ciszej“, poradził, „bo tu Rzymian pełno, a nie rób szaleństwa, i nie gwałć praw świętych gościnnej strzechy. Gdyby z tej zbrodni coś być mogło dla narodu i ojczyzny, rzekłbym zawsze, nie czyń tego, bo szkoda ciebie młodego; ale sam bym to uczynił jakem Żybar syn Drzymichaty i jakośmy obaj potomkowie Drzymichaty[1]), tego co niegdyś wziął w niewolę Lizymacha króla Macedonów! Ale zbrodnia będzie, kara będzie a dalej zawsze tylko niewola. Człowiek umrze. Wszak wieluż ich już zginęło pod sztyletem swoich i obcych. Wszak czytałeś sam ich dzieje, Diona, Tacyta, Swetoniusza, wiesz że sztylet wszystkich czeka u końca drogi, a Roma wilczyca trwa, i chwyta ludy w swoje kleszcze, nieruchoma jak konieczność, co jej matką“.

Gdy tak Żybar mówił, powstał ruch wielki w sadzie. Świętosz wyszedł ze dworu, i wołał: „A idźcie, a idźcież z sadu, na pole! Tak imperator kazał“. Żybar za furtę wyciągnął Zabora. Jeden tylko Dzięcioł zdawało się, że nie chciał iść. U furty zawrócił się, ale Maximinus wyrzucił go w pole, wziąwszy za barki olbrzymią ręką. Legaci, jakby na straży stanęli u wszystkich bram i furtek, by nikogo nie puścić na obejście, a widocznie było zamięszanie wśród Antów wygnanych na pole, na którem kiełkowały oziminy wśród obręczy borów.

Stało się to, czego się niejeden obawiał. Lew niedarmo przybył na ucztę i pokazał pazury. Bóstwo imperatora rozkazało, by wszyscy wyszli z domu i obejścia prócz niego i drżącej Krasy. Lękali się jedni, inni robili przycinki, Dzięcioł — Decyusz zakrył głowę w fałdy togi, w którą się z rzymska przystroił; próżny Świętosz bodaj czy się nie cieszył.

W wielkim dworze zostali sam na sam Aurelian i Krasa. Panna młoda uszła z izby biesiadnej do komnat niewieścich. Tam stał posążek Westy, którą Niją zwały tamtejsze ludy, co z Grecji aż tu przybyły na północ. Lampa płonęła przed posążkiem, a naprzeciw stało dziwactwo, figurka niewiasty o krowiej głowie z dzieckiem w ręku, Egipskiej Izydy. Krasa spojrzała na Niję a padła płacząc przed Izydą. Wczoraj jeszcze była dziewicą, wczoraj tamta była jej opiekunką, a dziś Egipcjanka, o ukrytej, tajemniczej, nieprzezwyciężonej mocy.

Aurelian szedł za nią i stanął nad nią: „Kraso!“ zawołał w mowie Antów, „Kraso! przybyłem, jakom obiecał — wart ciebie“.

Ona milczała. „Kraso! pamiętasz“ wołał dalej; „ów wieczór majowy, kiedyśmy się pożegnali. Ojciec twój kazał był wysmagać parobka zuchwałego, co śmiał patrzyć na ciebie i pożegnaliśmy się. Powiedziałem wtedy: wróci Bajan jak w bajce, pretorem, rycerzem, królem barbarzyńskim — bądź jak bądź, takim, że ciebie dostanie, a ty czekaj na niego. Kraso! dotrzymałem słowa, przewyższyłem obietnicę. Wróciłem tu panem świata, imperatorem Romy, bogiem, jeźli jest jaki bóg na świecie. Ponad moją głową niema już nic tylko chmury i błękit, o którym mędrcy mówią, że pusty. Mądry wróciłem, sławny, potężny; królowe niewolne igraszką moją; uczynię je służebnicami twojemi; świat uścielę u stóp twoich“.

Krasa milczała. Aurelian zbliżył się do niej i dotknął się jej ramienia ręką. „I cóż to?“ szepnął ciszej. „Nie spojrzysz na mnie, nie przemówisz do mnie? Cóż to?

[1]) Dromichajtes król Getów.

Czemu nie skoczysz mi na szyję jak sarna leśna? Czegoż nie zwiśniesz u ust moich? Inne gonią za mną jak za źródłem życia, jak za dawcą łask, jak za słońcem owem co mojem znamieniem. A ty? A ty! coś mnie kochała, gdym był sługą i prostakiem, gdym niepodbijał Galii i Palmiry, jedno stogi siana wiózł do Świętoszowego gumna, ty niemasz dla mnie słowa? Wierz mi, purpura cięży, wieniec ten złoty, którego Rzymianie przez próżność nie chcą nazwać królewską koroną, pali. Smutno mi, samotnie! Jak dawniej potrzebuję ciebie, coś wierzyła, coś kochała, coś prawą była. Nie drżyj przedemną, choć jestem imperatorem, nie odwracaj się, choć jestem Augustem; wiem, że to imiona straszne, wiem, że na nich spoczął czerwony cień zbrodni; ale ja nie trułem z łakomstwa, nie kłamałem z pychy, nie zabijałem z rozpusty. Jeślim grzeszył, to tyle tylko, ile grzeszyć musi ten, co się ciśnie do góry, co z prostego żołnierza zamienia się w władcę, w głowę świata, co dzierży cugle okrągłej ziemi, co zamienia się w wcieloną, w osobistą, w żywą Romę, co staje na czele legionów".

Mówił, a Krasa twarz skryła i milczała. On kląkł przy niej, oplótł jej kibić ręką i szeptał do ucha: „Kraso! powiedz choć to? Czy wróble zawsze jeszcze się gnieżdżą w naszej stodole? Czy stoi jeszcze w stawie ów pień prastary, omszony, koło któregośmy na brzegu siadali by słuchać nocą tęsknego śpiewu żab, gdym skończył dzienną pracę, i gdyś panienko wyszła do mnie, biała jak kwiatek wodny, jak obłoczek słoneczny? O powiedz, powiedz, czyś nie zapomniała dni owych, o których śnię na cesarskiem łożu, gdy marzę o szczęściu?"

Zerwała się Krasa, krzyknęła i rękę podniosła. „Więc to ty? Po latach tylu? Śniło mi się—długo—ciężko mi się śniło. Chodź Bojanie, chodź na łąkę przy stawie; zagrasz mi na fujarze, Bojanie!" Głos wyrwał się z serca, z piersi, był to jęk łabędzia, przeciągły, muzykalny. Głowa Krasy spoczęła na ramieniu Aureliana i było milczenie. On pochylił głowę, ujął jej twarz w ręce i pocałował ją w załzawione oczy. Słychać było tylko bicie serc ludzkich.

Światło lampy płonącej przed Niją padło na złoty wieniec Aureliana, i wieniec zamigotał w oczach Krasy. Oddaliła się powoli krok za krokiem, prostując ramiona a trzymając ręce na piersi cesarskiej niedaleko złotego słońca, a oczy wlepione w oczy błękitne Augusta. Usta jej się rozwarły znowu i słychać było jakby przyduszony głos: „Nie! to niebył sen! Minęło lat czternaście, długich jak życie dziesięciu przodków nawleczone na jedną szarą nić. Czekałam.— Gachów było pełno, a młodość mijała—ojciec napierał. Udałam, skłamałam żem przysięgła Niji, że będę dziewicą do lat trzydziestu i ojciec musiał głowę uchylić przed boginią i obyczajem. Ja czekałam, rano i wieczór, w dzień i w nocy. Niebyło słychu o tobie. Wreszcie miałam lat trzydzieści, myślałam żeś umarł, uległam ojcu i jestem żoną nauczyciela bladego, cnotliwego męża, dobrego człowieka, Dzięcioła Decjusza. Pamięci Bojana kazałam umrzeć, i przysięgłam przed Ladą, że jego kochać tylko będę, że on będzie duszą moją, że na jego stosie spłonę i wstanę na tamtym świecie przy nim w kraju o którym Zamilcz [1]) wróżył królowi Dzikoszowi, w kraju, z którego Zamilcz wrócił przed wiekami. Przysięgłam, zabiłam serce, i oto wróciłeś Bojanie? Czegożeś nie pisał do mnie? Myślałam, żeś niewolnikiem zginął w Romie. Myślałam, że cię lwy pożarły w amfiteatrze w obliczu Aureliana cesarza. A ty tu jesteś. Czegoś milczał, kiedyś był wodzem? czegoś niewracał, kiedyś był panem? O! zapomniałeś o mnie wśród bitew i chwały — a ja biedna, pamiętałam!"

I ręce jej odskoczyły od piersi i słońca, i zawołała głośniej: „Nie! to nie Bojan wrócił! to przyszła Włoska pokusa, to jakieś bies Rzymski, płowy a podstępny mówi do mnie! To nie Bojan, co grał na fujarze, nie Bojan, co mnie kochał, nie Ant i pasterz wrócił do mnie! To Rzymianin i pan świata, zabójca pewno, i krzywoprzysięzca i rozpustnik, to imperator Romy Lucius Domitius Aurelianus wróg nasz! On chce chwycić niewolnicę i zabrać ją do Romy, by na chwilę uśmiechnęła się jemu. Idź precz Aurelianie! idź precz! mnie broni Egipska Izyda!"

Aurelian stał zdziwiony. Gdy skończyła mówić, tak począł: „Kraso! jestem Bojanem dla ciebie, dla świata, prawda Aurelianem. Dźwigałem świat cały na barkach. Świat się chciał zawalić, przeszkodziłem temu, niedziw tedy, że niemiałem czasu myśleć o kochance. Ale dziś jestem wszechmocny. Nie lękaj się ślubów owych z Dzięciołem; jedno słowo moje a śluby te zetrę ze świata. Jam wszystkich wiar arcykapłanem, jam wielkim dawcą rozwodów. Kocham cię, wróciłem do ciebie, nie pytaj o więcej. Zabiorę ciebie z sobą do Romy, i senatowi każę, by hołd złożył przed tobą. Będziesz Augustą, będziesz boginią. Za życia będziesz panować na ziemi, po śmierci w niebie. Wszędzie świątynie ci wystawią rojne kolumnami. Pokażę ci cuda Romy, tęsknoty narodów."

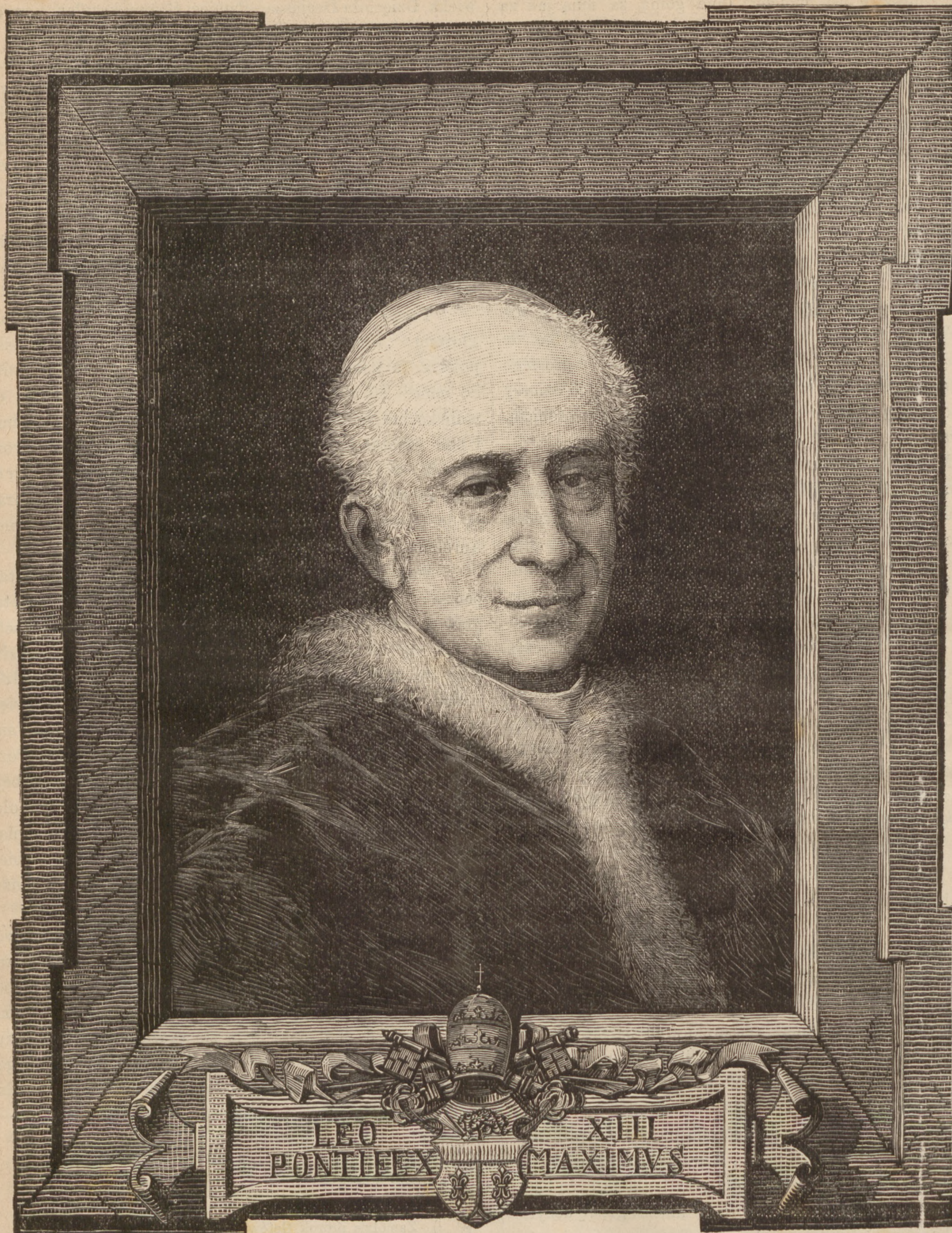
„Auguście" rzekła Krasa spuściwszy głowę, „to być nie może. Co rozkażesz, prawem dla Rzymskich bogów, dla naszych bogów prawem nie jest. Dla mnie tylko niebo Antów otwarte. U nas jeszcze strzegą przysiąg. Z Bojanem może i na wieczną mękę bym się skazała, byle być przy nim. Ale z tobą Auguście, Rzymianinie, cóż mam wspólnego u boga? Tyś rozdawcą rozwodów. Powieziesz mnie do Romy, pobawisz się niewolnicą — a potem?... Aurelianie— to być nie może!"

„To być musi, na Peruna!"

---

[1]) Zamolxis prorok Getów i Antów.

(C. d. n.)


LEO XIII
PONTIFEX MAXIMVS

Właściwości charakterów kobiecych.

POGADANKI ANTROPOLOGICZNE

Dra Juliana Ochorowicza.

(Dokończenie.)

III.

Rozum.

Czy kobiety mogą być uczonemi?

Oto pytanie, które wielokrotnie obrabiano od czasu wszczęcia, sporów o równouprawnienie. Jedni powiadają, że stanowiska naukowe nie mogą być udziałem kobiety, ponieważ mózg ich jest znacznie mniejszy od mężkiego— drudzy przeciwnie pod sztandarem Milla domagają się dla kobiety zupełnie równych praw, nie uznając wcale ich umysłowej niższości.

Rozważmy kto ma racją i o ile. Przedewszystkiem co do wielkości mózgu, to jest rzeczą wiadomą, że zależy ona od wielkości ciała i że sama przez się niedecyduje jeszcze o umysłowem uzdolnieniu. Wpływ rozmiarów ogranicza się wpływem jakości.

Powtóre, mózg rozwija się wraz z kształceniem go; dzisiejsi mężczyzni mają mózgi ukształtowane korzystniej niż przed kilku tysiącami lat; gdyby więc kształcenie kobiet nie było przez ten czas tak zaniedbane, mogłyby dziś posiadać mózgi lepiej do pracy umysłowej uzdolnione.

Jakkolwiek zatem przeciętna mniejszość mózgu dzisiejszych kobiet nie jest bez pewnego wpływu na ich rozumowe upośledzenie, ale stanowczo kwestji nie przesądza i nie wyklucza bynajmniej możności bardzo wysokiego rozwoju niektórych kobiet. Sapho — poetka, Hipatja — filozofka, Dora d' Aecorso — prawniczka, Marja Gaetana Agnesi — matematyczka, pani George Sand — powieściopisarka, pani Klementyna Royer — naturalistka są tego wymownemi wywodami. Jeżeli zaś żadna z nich niestanowiła epoki w nauce, jeśli nie stworzyła nic samodzielnego, to i to samo przez się nie jest jeszcze argumentem stanowczym, ponieważ ludzie genialni są zawsze tylko pewnym procentem od ogólnego kapitału inteligencji, a tam gdzie kapitał jest zbyt szczupłym, nie można się wielkich procentów spodziewać.

Lecz to wszystko bynajmniej sprawy nie rozstrzyga. Uczy nas tylko tyle, że ponieważ kobiety mogą niekiedy z pożytkiem dla nauki pracować, nie mamy przeto najmniejszego prawa zagradzać im drogi do świątyni wiedzy i wiązać gwałtem z kołyską lub kołowrotkiem. Wszelkie w tym względzie oburzenia są przesądem i wobec nauki i wobec zasady wolności. Wolno się uczyć mężczyznom — niechże będzie wolno i kobietom. Wszystkie uczonemi niezostaną, a ogniska rodzinne na tem nie ucierpią, bo z pewnością zawsze się więcej znajdzie takich, które będą wolały męża niż patent na doktora — a dzieciom nie zaszkodzi więcej przyszła uczoność matek, niż dotychczasowa ich ciemnota. Pozwólmy zatem kobietom, tym mianowicie, które czują do tego powołanie, zostawać uczonemi i sławnemi, kształćmy je tylko tak, ażeby nie przestały być kobietami — bo to już w żadnym razie nie może być celem oświaty. Jeżeli powiadamy dziś, że kobieta powinna być wychowywaną tak, ażeby na przypadek, gdy zostanie starą panną, mogła dać sobie radę na świecie — to z drugiej strony powiedzmy sobie także, że kształcąc ją wyjątkowo wyżej, kształćmy jednak tak, ażeby na przypadek, gdy zostanie żoną i matką, mogła dać sobie radę — w domu.

Co innego jest pozwalać — a co innego popychać. Nauka o charakterach kobiecych pozwala na wyższe specjalne kształcenie, ale do niego nie popycha — owszem ostrzega o względnej bezpłodności takowego w zastosowaniu do ogółu kobiet, a ostrzega nie na tej podstawie, że kobieta ma mózg mniejszy, lecz głównie na tej, że jest fizjologicznie kobietą, t. j. istotą, której mózg nie osiągnie nigdy tego stopnia objektywnej niezależności od nerwów i reszty ciała, jaką posiada większość mężczyzn. Przeciętnowo zatem biorąc, musimy przyznać że już z natury swej, pominąwszy nawet wpływ dziedziczny długoletniej kultury, kobiety mniej są uzdolnione do pracy wyższej naukowej niż mężczyźni. A dlaczego tak jest zobaczmy, bliżej rozebrawszy psychologiczny charakter kobiecego umysłu.

1) Całe nasze życie rozumowe sprowadza psychologja do szeregu skojarzeń duchowych pomiędzy wyobrażeniami, pojęciami i ideałami. Żaden obraz duchowy, jasny czy niejasny, zmysłowy czy idealny, nie występuje w odosobnieniu, lecz w towarzystwie innych, jako łańcuch, którego ogniwa następują po sobie; jedna myśl nasuwa drugą, jeden obraz przypomina inny obraz, wrażenie odtwarza wrażenie. Te wzajemne stosunki między utworami duchowemi nazywamy skojarzeniem lub asociacją. Asociacja zaś ma swoje prawa, według których jeden utwór duchowy pociąga do świadomości inny. Są skojarzenia na zasadzie podobieństwa, przeciwieństwa, współczesności lub następstwa — a między temi ostatniemi rozróżniamy nadto ważny dla nauki dział skojarzeń przyczynowych, w odróżnieniu od przypadkowych.

Otóż na tym to punkcie koncentruje się główna różnica skojarzeń duchowych u kobiet i mężczyzn, a tem samem różnica całego ich umysłu.

Przysłuchując się rozmowom kobiet, zeznaniom ich w sądach, czytając artykuły nadsyłane redakcjom, wreszcie listy pisane przez kobiety, znajdujemy wszędzie tę samę cechę charakterystyczną: bezustanne zbaczenie od przedmiotu, czyli przewagę skojarzeń przypadkowych nad przyczynowemi. To co nazywamy gadatliwością kobiet oznacza nietyle samą skłonność do długiego rozprawiania, ile raczej paplanie odrazu o wszystkiem, przeskakiwanie z przedmiotu na podmiot, mieszanie rzeczy podrzędnych z ważnemi, upatrywania związku jakto mówią: „między paznokciem a Częstochową“, między pęknięciem szklanki a śmiercią drogiej osoby, między wczorajszym snem a dzisiejszym wypadkiem. Przeto przypadkowe następstwo uważają za następstwo przyczynowe i ztąd między kobietami tyle przesądów, tyle zabobonów i taki nieład rozumowy.

Ileż to razy prokurator zmuszony jest odbierać głos świadkom kobiecym, rozpowiadającym szeroko „o wszystkich rzeczach i niektórych innych“ z bezustannem zapominaniem o tem, co wyłącznie miało być przedmiotem zeznania.

Nie pamiętam już, kto to powiedział, ale powiedział dowcipnie, że cała treść listów kobiecych mieści się w przypisku, ponieważ zacząwszy pisać natychmiast zbaczają od przedmiotu i albo na chwilę tylko powracają do niego, albo też przypominają sobie o właściwym celu pisma dopiero po skończeniu listu.

Jeden z redaktorów opowiadał mi, że otrzymał raz dwa artykuły od autorki, która według swego przekonania zajmowała się specjalnie socjologją. Pierwszy z nich miał mieć za przedmiot kasy oszczędności a drugi poczucie piękna natury. Oba kwalifikowały się do odłożenia na bok, jako ćwiczenia deklamacyjne, którym brak logicznej ścisłości. Ale przyszła krytyczna chwila dla redaktora, który potrzebował artykułu wstępnego a nie miał żadnego pod ręką. Zagląda do stolika i znajduje rękopism, który ze względu na poetyczny styl dał się jako tako zużytkować dla chwilowej potrzeby. Powymazywał połowę, podorabiał tu i owdzie przejścia logiczne i złożył z tego całość, która poszła do numeru, i nawet podobała się wielu czytelnikom, nosząc napis: Kobieta w rodzinie.

Na drugi dzień owa socjologistka wpada do mieszkania redaktora z wyrzutami:

— Panie! coś pan uczynił najlepszego! Ależ ja nie mogę poznać mojej pracy!

— Łaskawa pani raczy wybaczyć, ale pewne skrócenia okazały się niezbędnemi, ponieważ artykuły wstępne nie mogą być tak długie — zresztą myśli pani pozostały nietknięte a tytuł: Kobieta w rodzinie wydał mi się lepiej odpowiadającym przedmiotowi.

— Mniejsza o tytuł, ale pan mi zepsuł dwa artykuły..

— Jakto dwa?

Tu dopiero okazało się, że redaktorowi pomieszały się kartki w biurku, i że artykuł Kobieta w Rodzinie powstał z pierwszej połowy artykułu O kasach oszczędności i drugiej połowy O poczuciu piękna natury!.. A całość złożyła się tak dobrze, że tylko jedna autorka mogła się poznać na łataninie.

Już to w ogóle kobietom bardzo trudno jest zdobyć przymiot mowy lub pisma, który nazywamy ścisłością logiczną. Wyobraźnia ich zbyt jest żywą, to znaczy: skojarzenia przypadkowe zbyt łatwo następują po sobie,— ażeby je jeden szereg asocjacyj przyczynowych mógł utrzymać w porządku, tak jak nitka utrzymuje różnobarwne paciorki. Ztąd też i wszelkie streszczenie przychodzi im z trudnością. Opowiadania ich wymagają zawsze długiego czasu, i kto chce krótkiej a treściwej relacji z odczytu, książki lub rozmowy, ten się źle wybrał udając się z tem do kobiety, chociażby uzdolnionej na recenzenta. Dużo wody upłynie, zanim ze wstępu przejdzie do rzeczy, a i ta rzecz będzie zawsze posiekana na kawałki i przeplatana rozmaitemi przyprawami, w których autor z trudnością pozna swoje dzieło.

Nie jest to bynajmniej wyłączna właściwość kobiet; owszem każdy mężczyzna niewyrobiony pod względem naukowym popełnia też same zboczenia, i tak samo może być rozwlekły i gadatliwy. Ale u kobiet jest to cecha stalsza, ma bowiem głębszą podstawę w organizacji. Widzieliśmy, mówiąc o wrażliwości, jak ona jest u kobiet stale zmienną i podniecona, a tego rodzaju usposobienie musi wywoływać przewagę skojarzeń przypadkowych nad przyczynowemi, króciej mówiąc: fantazji nad rozumem.

Ponieważ jednak każda rzecz ma dwie strony, zobaczmyż jakie są dodatnie następstwa takiej umysłowej organizacji.

Oto przedewszystkiem umysł kobiecy jest ruchliwszy od męzkiego, a więc łatwiej dochodzi do zestawień niespodzianych, łatwiej upatruje różnostronne stosunki i szybciej je ocenia. Porównywając przeciętne rozwinięcie umysłowe dziewcząt i chłopców, znajdujemy niewątpliwą przewagę na korzyść pierwszych. Niema takiej rzeczy, którejby nie można wytłumaczyć dziewczynce — ale też jej rozumienie nie trwa długo. Dopóki mówisz, rozumie wszystko, zapytasz zaraz, odpowie dobrze, ale po upływie kilku dni przekonywasz się, że to było tylko rozumienie powierzchowne, na łatwości skojarzeń oparte. Chłopiec przeciwnie powiada ci wprost że nie rozumie, i dobrze się musisz namęczyć, nim mu coś dostatecznie jasno wyłożysz, ale też za to jest nadzieja, że to zrozumienie będzie stalsze.

Pominąwszy jednak tę wadę umysłu kobiecego, na którą składa się już nie tyle sama natura, ile błędne dotychczasowe kształcenie, powierzchowne i dorywcze — jest ona w ogóle biorąc nadzwyczaj przyjaźnym gruntem dla wszelkiej umiejętnej kultury w zakresie średniego wykształcenia. Dziewczęta są nietylko w ogóle więcej uzdolnione od chłopców, ale nadto uzdolnienie ich jest wszechstronniejsze. Takie trudności, jakie specjalnie prześladują chłopców w pewnych kierunkach pracy np. przy matematyce, muzyce lub językach są u dziewcząt nierównie rzadsze. To też kobieta może i powinna mieć ogólne średnie wykształcenie lepsze niż mężczyzna. Mówię — powinna, raz dlatego, że na niem prawie zawsze ma poprzestać, a powtóre, że jej te średnie ale wielostronne wiadomości staną się niezbędnemi, gdy zostanie matką. Co się zaś tyczy wspomnianych powyżej wad: braku ścisłości i treściwości, to te dałyby się w znacznym stopniu zmniejszyć przez metodyczne ćwiczenia. Ale na nieszczęście dzieje się zwykle wprost przeciwnie, niżby należało. Łatwość asocjacji, która przy pomocy poczucia harmonji wytwarza w kobietach niezwykły talent do gładkiego i poetycznego pisania, sprawiła, że poczęto uważać za najodpowiedniejsze dla dziewcząt ćwiczenia czysto stylowe, deklamacyjne, treści moralnej lub w ogóle uczuciowej, owe listy do czułych przyjaciółek o wszystkiem i o niczem, owe kazania na temat posłannictwa kobiety i rozprawy o poczuciu piękna, niewłaściwe nietylko dla dziewczęcia, ale w ogóle dla młodzianego umysłu. Niech młoda panienka pisze o tem, co piękne, co jej się podoba, co na nią robi wrażenie, niech te wrażenia uczy się opowiadać, ale niewymagajmy od niej rozpraw estetycznych o samem pięknie, bo ten stopień objektywności jest jednem z najtrudniejszych zadań dojrzałego umysłu. Żądając zaś rzeczy niepodobnych uczymy tylko sądu powierzchownego i zastępowania istotnych spostrzeżeń, kombinacją w znacznej części kradzionych frazesów.

„Jak najmniej z abstrakcji jak najwięcej z życia“ — oto wskazówka dla zadających ćwiczenia — i z pewnością dla rozwijającego się młodego umysłu korzystniejszem będzie wylanie na papier uczuć i odbicie wrażeń jednostronnych nawet, dziecinnych, lecz prawdziwych, aniżeli deklamacyjne niby z podnioślejszego stanowiska, niby objektywne, przy pomocy estetyki Libelta lub wypisów Cegielskiego. „Mniej uwagi na styl, więcej na treść“ — ota druga przestroga niezbędna wobec dzisiejszego stanu rzeczy. Wszakże szkole nie chodzi o kształcenie stylistek lecz o rozwój umysłu, a więc nie te ćwiczenia powinny być uważane za lepsze, które są piękniej napisane, lecz te, które są napisane logiczniej.

Ścisłość i treściwość dałyby się do pewnego stopnia wyrobić za pomocą sprawozdań i streszczeń. Wprawdzie tego rodzaju ćwiczenia są praktykowane po pensjach, ale zwykle w sposób całkiem nieodpowiedni. Każą mianowicie przerabiać wiersze na prozę lub streszczać poematy, co ze względu na odrębność tych rodzajów jest i trudnem i bezpożytecznem; natomiast zaniedbane są sprawozdania i streszczenia z prozy. W ogóle poezja w ćwiczeniach powinna odgrywać jak najmniejszą rolę — a tu specjalnie utrudnia ona tylko zadanie. Nigdy bowiem poeta nie jest tak ściśle logicznym jak prozaik i dlatego przerabianie z poezji na prozę zamiast udoskonalać tę ostatnią, wprowadza tylko do niej element fantazyjny i nieścisły. Cel dałby się osiągnąć wtedy dopiero, gdybyśmy zamiast poezji, dawali do streszczania prozę i to prozę bogatą w zwroty przyczynowe — a więc do streszczeń i sprawozdań najwięcej się nadają tematy przyrodnicze i historyczne. Pierwsze wykazując związek przyczyn materjalnych, drugie związek przyczyn duchowych, dają pole i dla opisu i dla rozumowania. Tam zaś gdzieby chodziło przeważnie o opis a więc umiejętność streszczania faktów, co dotyczy najmłodszych uczennic, nieuzdolnionych jeszcze do samych wywodów rozumowych, zalecałbym jako wyborne ćwiczenia geograficzne czyli streszczone opisy krajów. Należałoby tylko czuwać nad tem, ażeby różne strony opisu były równomiernie streszczane, gdyż to jest, ze względu na właściwości umysłów dziewczęcych najtrudniejsze do osiągnienia.

Ruchliwe usposobienie umysłu kobiecego przedstawia tak wiele stron dodatnich, że tylko względnie może być uważane za wadę. Jest ono wadą odnośnie do głębszych studjów rozumowych, ale jest niesłychanie korzystnem dla tych średnich umysłowych zajęć, które są kobietom właściwe. Jemu to zawdzięczają one przytomność umysłu, umiejętność prowadzenia rozmowy, łatwość wypisania się, szybkie objęcie każdej sprawy z jej strony dosadnej, istotnej; wreszcie ów dar spostrzegawczy większy w ogóle niż u mężczyzn, a który gdyby tylko był poparty większą znajomością życia, mógłby z niejednej kobiety wytworzyć znakomitego psychologa. Umieją one bowiem szczególnie trafnie wyszukiwać i oceniać najnaturalniejsze, najprostsze pobudki czynów ludzkich. Jeżeli jednak badania psychologiczne uważam za bardzo dla kobiet odpowiednie, i jeżeli nawet ze współudziału ich w pracy nad psychologją spostrzegawczą spodziewam się ważnych owoców dla pedagogiki, to zupełnie inaczej rzecz się ma z filozofią. Filozofkami kobiety nigdy nie będą, a te które się uważały za takowe jak np. u nas ś. p. Ziemięcka, poprostu ulegały złudzeniu. Właściwością bowiem umysłu kobiecego jest:

2) nieudolność abstrakcji. Kobiety rozumieją przeważnie ze szczegółu o szczególe a najtrudniej im przychodzi wysnuwanie pojęć ogólnych z wielu szczegółów i zbieranie ich w dostatecznej ilości. Kobieta wnioskuje pospiesznie; uogólnia w jednej chwili, a powolne, stopniowe dochodzenie do pojęć ogólniejszych jest wręcz przeciwne jej naturze. Kobieta nigdy nie utrzyma się długo w sferze

abstrakcji, i bardzo szybko zboczy do szczegółów konkretnych, które zawsze, nawet gdy są wyjątkowemi tylko, podkłada pod swe ogólne zasady. Cokolwiekbądź mówiono i pisano o idealności kobiet, twierdzę stanowczo na podstawie licznych obserwacyi że są one realistkami par excellance, że charakter ich umysłu jest zawsze konkretny. Najmniej ukształcone kobiety są praktyczniejsze od mężczyzn, pomimo to że całe dotychczasowe wychowanie nie dało im dostatecznych pojęć o stosunkach życiowych. A jeżeli w ogóle fantazja i rozum ludzki potrzebują oznak i symbolów dotykalnych, które im służą za punkt oparcia, to zdanie to jest podwójnie trafnem odnośnie do umysłu kobiecego. Religijność kobiet podtrzymywana jest przez książki nabożne, medaliki, obrazki i t. p. oznaki dotykalne, miłość ich potrzebuje pamiątek, kwiatków, listów i albumów, wykład naukowy wiąże się ściśle z osobistością wykładającego jako symbolem wiedzy. Konkretność ich umysłu sprawia, że we wszelkich wnioskach ogólnych mają zawsze na myśli jakiś fakt szczegółowy, pojedyńczy zwykle, osobisty, jakiś obraz, który służy za podkład dla wniosku. Kobiety mogą być filozofkami w poezji, jak Deotyma, ale w filozofii będą zawsze poetkami jak Ziemięcka. A to z tej znowu przyczyny że u nich:

3) wpływ uczuć na rozum jest większy i częstszy niż u mężczyzn. Jej sądy są objektywne, punkt wyjścia w poglądach uczuciowy; a ponieważ jak widzieliśmy, u kobiet oprócz właściwych uczuć występuje nadto cała armja uczuciowostek, co chwila ginących i co chwila odradzających się, więc też uczuciowy charakter rozumowania jest bezustannie podtrzymywany i objawiany. Jeżeli zaś uczucie wzrośnie do stopnia namiętności chociażby cichej, wówczas wszelka bezstronność sądu staje się całkiem nie możliwą.

Kobieta zmienia przekonania nie pod wpływem dowodów lecz pod naciskiem uczuć. Przekonania jej kochanka są jej przekonaniami. Zmienia je, zmieniając przedmiot miłości. Takim jest ogół— a wyjątki dowodzące np. zaparcia się miłości kraju, dla miłości osobistej dla idei potwierdzają tylko zasadę ogólną o sile wpływu uczuć na umysł kobiety. Miłość ojczyzny zwycięża, jeśli była silniejszą, jeśli ją dawniej wszczepiono, i jeśli ją w danej chwili silniej wypadki podbudziły.

Ten wybitniejszy wpływ uczuć na rozumowania kobiety jest zarazem jednym z najszlachetniejszych czynników społecznych. Przezeń — serce kobiety staje się zniczem uczuć narodowych, wiecznie płonącym, wiecznie gotowym do wybuchu i dlatego to w chwilach ogólnego przygnębiania, wyziębienia serc dla ideałów, w chwilach upadku poezji, jak dzisiejsza, występują talenta niewieście zawsze świeżem wiosennem uczuciem natchnione, których drobne liryczne utwory jak perełki ożywczej rosy strzegą kwiat uczuć od zupełnego zwiędnienia. Marja B. Iza, Marja—Elżbieta, Jaskółka — są wyrazem tej szlachetnej reakcji przeciw prozaicznemu okresowi. Pozytywizm dał nam trzeźwość — poezja strzeże jej od przejścia w materjalizm życiowy. I słusznie; męzką bowiem rzeczą jest mierzyć chłodno a niewieścią rozgrzewać serca. Taki podział pracy może sobie pozostać bezpiecznie, mimo wszelkich postępów równouprawnienia, mimo poświęcenia się pewnej liczby kobiet nowym dla nich zajęciom, mimo ogólnego podniesienia się poziomu ich oświaty.

My kształćmy ich rozum — one niech kształcą nasze uczucie.

Powyższe uwagi dotyczące kobiet w ogóle, pozwolą nam wyprowadzić kilka wniosków szczegółowych.

Nowe prądy naukowe i socjalne wobec zbliżenia kobiet do postępów ogólnej oświaty musiały się odbić na umysłach kobiecych w sposób im właściwy, oryginalny. Z jednej strony większa ich wrażliwość ułatwiła przystęp dla nowości, z drugiej zapalny charakter uczuć, i wpływ ich na rozum, nadały tym nowym przyswojonym ideom cechy jaskrawe, często krańcowy pochop do apostolstwa. I oto znaleźliśmy między sobą niewidziane, nie znane dotąd typy: emancypantek, socjalistek, nihilistek nawet — typy z pozoru tak sprzeczne z całym ustrojem kobiecej natury, że stały się dla wielu groźną oznaką ogólnego zepsucia. Jeżeli jednak fakta te ocenimy ze stanowiska właściwości charakterów kobiecych, to przekonamy się, że był to objaw konieczny, powtarzający się przy każdym powrocie moralnym. Ruchliwość kobiecego umysłu obok zasadniczej jego konkretności musiała sprawić, że pojęte ideje odbiły się wyraziściej i doprowadziły tu i owdzie do wybryków młodzieńczych, które przejść muszą jak wszystko co niedojrzałe. Kobieta nie utrzyma się nigdy długo w sferze teorji, ale gdy z niej przechodzi do praktyki, zaczyna się większy wpływ uczuciowostek i uczuć, które ją szarpią między biegunami, dopóki niezmęczą, albo też zlane w jeden prąd namiętności wybuchają szybko, by równie szybko zagasnąć.

Kobieta potrzebuje dotykalnych oznak teorji — a więc jako emancypantka zaleca się przedewszystkiem do papierosów i szpicrózgi, jako nihilistka obcina włosy i zakłada niebieskie okulary — ale ponieważ uczuciowostki grają w niej bezustannie, przerzuca się od buchalterji do drzeworytnictwa, od drzeworytnictwa do introligatorstwa, a mając nauczać lud zapomina o nauczaniu samej siebie.

A jednak jakże łatwo było tym paniom urzeczywistnić najpiękniejszą ideę socjalną podniesienia ludzi! Niechby tylko każda, pracując nad własnem wykształceniem nauczyła jedną swoją służącę czytać i myśleć uczciwie! Ale im potrzebny cały lud, nie jakaś tam jedna służąca!—

I zamiast jędnę wykształcić przewracają w głowie dziesiątkom i setkom. Nie lękajmy się jednak zbyt szkodliwych rezultatów z powstania tych nowych typów. Są one wstrętne tam tylko, gdzie z natury słaby zapas uczuć przerodził się całkowicie w namiętność przewrotu, odbierając istocie niewieściej wszystkie jej cechy dodatnie: streszczające się w jednym wyrazie: s e r c e. Ale u nas, u naszych kobiet zapas uczucia był i jest zawsze zbyt wielki, ażeby mógł się wyczerpać w jednej fantazyjnej gorączce.

Gorączka jeszcze może wzrosnąć, może zabrać pewną liczbę ofiar — ale przejdzie — i z chorobliwego typu kobiety — nihilistki wytworzy się typ zdrowy, równie świeży ale podniosły — typ *kobiety — obywatelki.*

Pamiętajmy tylko o jednej wiekuistej prawdzie, którąby trzeba niestartemi głoskami w sercach kobiecych zapisać: że największa ilość prawdziwych sawantek, zdolnych i sumiennych lekarek, buchalterek i telegrafistek nie zastąpi nigdy — j e d n e j d o b r e j m a t k i.

TURECKI KOZAK.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

— Czekaj tu na mnie — zawołałem. Dzisiaj jeszcze musimy ze wszystkiem skończyć.

Zamiarem moim było zwierzyć się ojcu Maszeńki, staremu Szilowiczowi. Postanowiłem wymódz na nim, ażeby mi dał paszport jednego ze swoich agentów, którzy często do Serbji za zakupnem bydła wyjeżdżali. Trzeba mi było także dostać od niego dwa konie do dyspozycji. Co do ubrania agenta, w bazarze powinno się było znaleźć i po nie postanowiłem posłać Ferenza, aby od mej osoby usunąć wszelkie podejrzenie, które w tym razie najłatwiej zbudzić można było. Dosyć bowiem, żeby mnie był zobaczył w bazarze służący którego z konsulów — a wszystko byłoby stracone.

Nie troszcząc się o przypuszczenia moich kolegów, popędziłem przez miasto do cygańskiego cyrkułu. Przybyłem tam w najniewłaściwszej chwili, bo właśnie odbywało się czyjeś wesele.

Wszyscy mieszkańcy wylegli na ulicę. Chłopcy i dziewczęta pląsali wesoło, a starzy: kobiety i mężczyźni z drewnianemi fajkami w ustach zasiedli naokół, ochocie młodzieży się przypatrując.

Każdy nieobeznany z obyczajami tego śniadego ludu, wziąłby był tę weselną uroczystość za maskaradę. Dziewczęta malarskiem złotem pooblepiały sobie twarze, brwi połączyły nad nosem za pośrednictwem węgla — i czoło, brodę i jagody najdziwaczniejszemi różnych barw esami i floresami ukrasiły. Wesołość ich była tak dziką, że chusteczki tiulowe cielistego koloru, okrywające ich biusty, pozsuwały się w zapale tańca. Co do tańca był to istotnie pląs niedźwiedzi, *hora* zwany. Istotę jego stanowiło monotonne, ale z radośnym wrzaskiem połączone przytupywanie i podskakiwanie, w którem zdawali się być nieznużonemi.

Skoro mnie w moim zdaleka lśniącym się mundurze zbliżającego się ujrzano, otoczyli mnie hurmą tanecznicy. Muzykanci uderzyli z całym zapałem w skrzypce i flety na uroczyste dla mnie przyjęcie. Wyrwałem się gniewny i rozdrażniony z pośród tej zgrai i skierowałem ku domowi starego Szilowicza, który z kilkoma staremi kobietami wyszukanej szpetności paląc fajkę, z nogami skrzyżowanemi pod siebie siedział na macie przed progiem.

W tejże chwili Maszeńka wyjrzała z sieni, zoczywszy mnie jednak cofnęła się zmięszana. Może mój uniform był jej więcej znany od mojej osoby.

Pomimo ważności chwili, musiałem jednak rzucić uważniejszem spojrzeniem na tę dziewczynę.

Koledzy moi zachwycali się ogólnie jej pięknością. „Maszeńka przyszła znowu“ rozlegało się jednogłośnie w ostatnich czasach w obozie, gdy się młoda cyganka z bratem swoim w Kalafacie pokazała, co zresztą w istocie zdarzało się nader rzadko.

I w istocie była piękną — tą niefałszowaną cygańską pięknością, wytworem pomięszanym typu indyjskiego i innych azjatyckich plemion, z których jej plemię urosło.

Jej czarny jak smoła, u cyganów zwykle tak szorstki i twardy włos, który u jej dzikich siostrzyc koczujących w obozach nigdy grzebienia nie widzi i chyba czasem przez dziką kokieterję żywym kwiatem ustrojony bywa — u niej układał się w grubych warkoczach w około głowy, prawdziwemi I r m l i k a m i, turecką monetą, bogato przetykany.

Cera jej miała jasno brunatną, soczystą, orzechową barwę. Pod niskiem czołem sklepiły się potężne brwi po nad dwojgiem ognisto pożądliwych, pełnych głębokiego żaru, jak dwa płomienie lśniących, indyjskich oczu, — po nad którémi brwi i rzęsy rozpościerały cień posępny i tajemniczy.

Zwykle oczy te spoglądały żywo, wesoło, błyskawice miotając naokół — tak przynajmniej z przelotnych spotkań zostały mi w pamięci, — w tej chwili przysłaniało je jakieś

nienaturalne pomięszanie. Wyraz twarzy Maszeńki był lękliwy, jak gdyby jej czarne oczy jakąś tajemnicę kryły i zdradzić się bały. Byłże to jakiś przechodni objaw jej dzikiej, nieokiełzanej natury? Nie—widocznie moje zjawienie się musiało ją zaniepokoić — bo w około jej purpurowych, nieco zbyt wyrazistych warg, zadrżało coś jakby przerażenie, a twarz cała przybrała nieprzyjazny wyraz. Pochwyciłem to, alem nie pojął, bo nie mogłem przypomnieć sobie, żebym jej kiedykolwiek wyrządził jakąś przykrość. A może chciała za złośliwość wyrządzoną jej przez jednego z moich towarzyszy odwetować się skrzywieniem na mnie? Lub co najprędzej, dowiedziała się pewnie — o niesłusznem posądzeniu moich kolegów, że dla mnie to kilkakrotnie pokazywała się na Kalafackim brzegu i znów niknęła... Co do mnie zawsze zaprzeczałem tym przypuszczeniom a spotkawszy się z nią, rzucałem jej przelotne pozdrowienie, może być jednak, że połączone z tem admiracyjnem uznaniem, jakie się rzeczywistej piękności winno.

Lękliwa i nieprzyjazna mina dziewczęcia była mi niepojętą, — nie zadawałem więc sobie trudu odgadywania przyczyny -- i rzuciwszy jej przelotne pozdrowienie, postąpiłem do siedzących przede drzwiami starszych.

Papa, człek wysokiego wzrostu i potężnej budowy, podniósł się ze czcią i pozdrowił mnie tureckiem s e l a m. Matka, potwór szpetności, jak wszystkie cyganki w jej wieku, odwróciła twarz odemnie. Widocznie przypuszczała, że przychodzę w interesie i przez lenistwo, nie chcąc się podnieść, udawała, że mnie nie widzi.

Szilowicz ze swej strony sądził, że przychodzę do niego z propozycją kupna, lub sprzedaży koni. To też nim jeszcze do niego zagadałem, klasnął tureckim obyczajem językiem o podniebienie i podniósł brodę, co jest oznaką przeczenia, nawet niemożliwości — a co Turek okrzykiem „Olmas“ wzmacniać zwykł jeszcze.

Stary hultaj bowiem był bardzo ostrożny i z trudnością w targ się wdawał, bojąc się, ażeby mu władze wojskowe na swój użytek koni nie zabrały, nie zapłaciwszy za nie ani jednej pary — co w Turcji się często zdarza.

Nie zwracając uwagi na jego gości, pociągnąłem starego w głąb domu. Gdyśmy przychodzili koło Maszeńki, widziałem jak rzuciła na mnie długiem, podejrzliwem spojrzeniem.

W pokoju wypowiedziałem mój istotny interes staremu Cyganowi. Szilowicz poprawił czapeczkę na głowie, klasnął znowu językiem i oświadczył mi, że w całym wijalecie nie ma jednej końskiej nogi do kupienia, lub najęcia, bo wszystko zabrali żołnierze.

Ale ja znałem starego filuta. Rzuciłem kiesę na stół. Szilowicz ocenił z zyza rzuconem spojrzeniem jej treść — nie przestał się jednak wykręcać.— Koni—rzekł— musiałby pożyczyć sam najprzód — a choćby ich nawet i dostał dla mnie, to dowodzący strażą obserwacyjną nad Timokiem (rzeką graniczną między Bulgarją a Serbją) Aga, zna jego ludzi i mnie nie zechce przepuścić.

Uspokoiłem go zapewnieniem, że Aga ten jest Węgrem, dobrym znajomym moim i dawnym kolegą — czem wreszcie Szilowicz dał się przekonać, nie prędzej jednak, aż nowych dziesięć „madjarów“ mu dorzuciłem.

Po długiej rozwadze przyrzekł nareszcie dostarczyć mi na jutro dwóch koni dla mnie i mojego służącego, oraz paszportu wystawionego na imię jednego z jego agentów. Ze smutnie pytającym wyrazem spojrzała na mnie Maszeńka, gdym ją wychodząc napotkał we drzwiach domu.

Ledwo jednak zwróciwszy na to uwagę, kiwnąłem jej w przechodzie głową i przeprowadzany krytycznemi uwagami siedzących przed domami na ulicy cyganek, opuściłem ich gniazdo, spiesząc po krętych, wąziutkich uliczkach co prędzej na wybrzeże.

Ferenz, nigdy nieznużony, czekał tu na mnie. Rozpatrzył się już tymczasem w Bazarze i wyszukał wszystkiego, czego mi było potrzeba. I on także postanowił mi w swoim cygańskim stroju towarzyszyć, tym bowiem sposobem, choć mój sługa, mógł nie budzić najmniejszego podejrzenia i z łatwością być wziętym za jednego z pachołków do Szilowicza koni.

Nazajutrz miałem już, jako chory, urlop ośmiodniowy w kieszeni. Dawniejszy honwed, który za pomocą wiadomości z popularnego jakiegoś podręcznika, wyrobił sobie w armji patent H a k i m - b a s z y, lekarza, i był nim w naszym pułku, wspomógł mnie chętnie swoim atestem. Rzekomo — miałem się leczyć w Widdyniu.

W kilka dni już potem znajdowałem się w drodze ku Timokowi, z wiernym swoim Ferenzem przy boku. Nikt mnie, gdyśmy opuszczali miasto, nie poznał.

Dla ostrożności dojechałem dopiero wieczorem do Timoku. Służyli bowiem honwedzi także i w taborze Mahmuda Agi, — wojskowego mego kolegi, który dla karjery przeszedł na Islamizm — mogliby mnie więc byli poznać.

Mahmud-Aga przyjął mnie ze zdziwieniem w swoim namiocie.

Podałem mu, jako powód, interes rodzinny, powołujący mnie na serbską stronę. Zaawizował chętnie mój paszport, i tak przeszedłem, z lżejszą o wiele duszą, granicę, po przedstawieniu stojącym nad nią baszybożukom moich legitymacyi.

Jechałem całą noc, nie spoczywając — i dotarłem o poranku Kładowy, gdziem został poznany przez serbskiego jeźdźca kwarantanny, który niegdyś w armji rewolucyjnej służył podemną a następnie wstąpił w służbę książęcą. Wskazałem mu fałszywie cel mojej podróży; przyobiecał mi milczeć—a ja z pełnem zaufaniem w jego dawne przywiązanie, w dalszą puściłem się drogę.

Umyślnie przybyłem dopiero późnym wieczorem do wsi T e k i a. Tu nie znano zupełnie człowieka, pod którego na-

zwiskiem występowałem, ostrożny bowiem Szilowicz, dał mi paszport agenta, który dla niego tylko Wołoszę objeżdżał, obecnie zaś za interesa swego pana siedział w zamknięciu — i tym sposobem nie potrzebował zgoła paszportu. W Mehanneh przyjęto mnie bardzo dobrze. Gospodarz rozpowiadał mi wiele o starym Szilowiczu, jego świetnych interesach i bogactwie. Dawałem na wszystko wymijające odpowiedzi — i wreszcie oznajmiłem, że muszę jeszcze tej nocy popłynąć do Orsowy.

Na to gospodarz odrzekł mi, iż kwarantanna już na noc zamknięta. Co do mnie, wiedziałem o tem, ale miałem aż nadto powodów do unikania jej... Przedstawiłem więc mu, że muszę jak najspieszniej udać się dalej, że przecież moje papiery są w porządku, — że uda mi się z boku miasta łodzią wylądować i dostać się tym sposobem niepostrzeżenie do jego środka; że wreszcie bardzo ważny interes mojego pryncypała zależy od tego pospiechu.

Temi perswazjami udało mi się nareszcie u gospodarza wyjednać, iż postarał mi się o Kaik (łódka), którego właściciel przyrzekł mnie przewieźć na drugą stronę, jakkolwiek wielką to przedstawiało trudność wśród nocy i przy gęstej mgle zalegającej wszystko naokoło.

Ale ta mgła właśnie była mi na rękę. Wiedziałem ja od Ferenza, jak gorliwie spełniała służbę swoją austryjacka straż nadkordonowa w tem miejscu, kędy stykały się z sobą austrjackie, wołoskie i serbskie wybrzeże a pomiędzy niemi na wyspie Nowej - Orsowie czyli Adakalé — jeszcze do tego kawał Turcji leżał. Zwykle pilnowano tu bacznie — teraz zaś szczególniej, gdy lada chwila powstania Serbji obawiać się można było.

Udało się zuchwałe moje przedsiewzięcie. Dotarliśmy do brzegu w miejscu niestrzeżonem. Mgła nas osłoniła. Mój Kaikschi odpłynął napowrót; ja zaś ukryłem się w jakiejś szopie, ażeby zjawieniem się nagłem wśród nocy w gospodzie uwagi na siebie nie zwrócić.

Ferenz tymczasem jeszcze tej nocy puścił się w drogę do Mehadji, otrzymawszy odemnie ścisłą instrukcję. O świcie pod nazwiskiem Pepowicza wszedłem do oberży, w której gospodarzowi oznajmiłem, że dla interesów kilka dni bawić u niego będę, a jutro dwóch smukłych chłopców cygańskich służących moich z Mehadji oczekuję.

Nikt nie miał względem mnie najlżejszego nawet podejrzenia. Wskazano mi w jednopiętrowej oberży pokój, zawiadomiono mnie jednak, że przy surowych przepisach straży nadkordonowej, sam muszę stawić się w jej biurze i zaprezentować moje dowody. —

VIII.

Tak daleko doszedł w opowiadaniu swojem Belzoni, gdy ja mu nagle gwałtownym gestem przerwałem. Uderzyłem się w czoło i wypatrzyłem się na niego wielkiemi badawczemi oczyma...

— Ach teraz jużem w domu!.. zawołałem. Więc to pan byłeś tym obcym z którym, nic nie przeczuwając, przegawędziłem godzinkę przy stole w oberży w Orsowie, w tej nudnej norze, w której przed zjazdem do Turcji przepędziłem kilka tygodni, raz dlatego, ażeby się poduczyć tureckiego języka, a powtóre, gdyż komendant nadgranicznej straży, któremu mnie polecono nie chciał mnie na swoją odpowiedzialność przepuścić do Serbji, gdzie się każdego ranku spodziewano wybuchu na korzyść Moskwy a przeciw tureckiemu sąsiadowi.

— Tak to ja byłem... tym samym — odrzekł Belzoni ze smutnym uśmiechem. Poznałem pana od razu, gdyś się zjawił u nas w Kalafacie, uważałem jednak za stosowne nawet i przed panem tajemniczą bytność moją w Orsowie zamilczeć.

— I miałeś pan słuszność... Ale jeszcze jedno!... Tę damę... pańską narzeczoną, wszakże ja widziałem także w Orsowie; to też natychmiast poznałem ją tu w Paryżu, gdy mnie przypadek zetknął z nią w przedpokoju pewnego lekarza, — alem próżno łamał sobie głowę, gdzie ja ją już widziałem!.. Zkądże miałem przypuszczać, że ta piękność, to imponujące wzięcie się...

— Słuchaj pan dalej — przerwał mi Belzoni. Pojmuję, że pańska pamięć nie mogła jej szukać w owem miejscu i w owym stroju...

W biurze straży nadgranicznej papiery moje nie podległy żadnej szykanie. Poprzestano na zwróceniu mojej uwagi na tę okoliczność, iż wywóz koni wzbroniony i granica zamknięta surowo. W odpowiedzi uspokoiłem podoficera co do moich handlowych zamiarów. Ciekawy był dowiedzieć się odemnie, co się w Serbji dzieje, — opowiedziałem mu, com widział i odszedłem wylegitymowany, z pozwoleniem na ośmiodniowy pobyt w mieście, udzielonem mi bez wszelkiego wahania.

Z bijącem sercem oczekiwałem teraz przybycia ukochanej. Ferenz przyrzekł mi stawić się z nią wieczorem. Dzień więc przeszedł mi w gorączkowem wzburzeniu.

Nie śmiałem hazardować się na ulicę, mogłem bowiem napotkać jakie indywiduum, któreby mnie poznało, i tak bliski szczęścia, być pochwyconym i uwięzionym i porwanym. Sama myśl o tem już napełniała mnie takiem przerażeniem, że chłód śmiertelny mnie przeniknął i wszystkie we mnie zadrgały nerwy. Najlżejszy szelest w domu — a zrywałem się i chwytałem za rewolwer. Widziałem przez szyby z małego parterowego od tyłu okienka kilku żołnierzy nadgranicznej straży trenujących swoje konie; widziałem przesuwających się ulicą oficerów austrjackich — i zdawało mi się nawet rozpoznawać z nich jednego.

Miasteczko było maleńkie i najgłębsza panowała w niem cisza, cała bowiem granica w skutek wzajemnego podejrzliwego, bo, już napół wrogiego zamknięcia, stała pustką. Dunaj, bez życia, rozpościerał się przedemną; ani

jeden parowiec, nie pokazywał się na oczy, odkąd z wołoskiego brzegu moskiewskie kule ugodziły w pudło ostatniego statku, który się tu zapędzić ośmielił; a z starych, omszonych wałów tureckiej forteczki na wyspie spoglądały zardzewiałe armaty zgryźliwie i posępnie, niedowierzając całemu sąsiedztwu, w swojej odosobnionej pozycji.

Około wieczora wszedł jakiś ordynans do oberży. Usłyszałem, jak się żołnierz ten pytał o obcego, co zajechał do tego domu. Zmartwiałem cały. Nie wiedziałem, czy przez okno na podwórze ratować się ucieczką, dobić się do płynącego po za domem Dunaju i wpław starać się dotrzeć do tureckiej fortecy — czy czekać, co mi żołnierz oznajmi.

Opatrzyłem broń i włożyłem ją napowrót w kieszeń. W tej chwili usłyszałem ordynansa rozmawiającego w sieniach z gospodarzem i oznajmiającego mu, że komendant nadgranicznej straży prosi, abym go odwiedził.

Prośba ta nie wyglądała na rozkaz uwięzienia. Przygotowany i uspokojony oczekiwałem na wejście gospodarza, który mnie zawiadomił o wezwaniu komendanta i jak stałem, udałem się natychmiast za żołnierzem, wciskając szczelniej na czoło filcowy kapelusz.

Kilka tylko kroków oddzielało oberżę od biura Generała. Z taką swobodą, na jaką tylko mogłem się zdobyć, wszedłem do kancelarji i przez tego samego podoficera, który niedawno papiery moje miał w rękach, zostałem przyjęty.

Generał pragnął odemnie zasięgnąć wiadomości, jak właściwie rzeczy we wnętrzu Serbji się przedstawiają; — zaraz przybędzie, skoro mu tylko o mnie oznajmią — rzekł do mnie podoficer.

Odetchnąłem znów głęboko. Generał obchodził się ze mną z jak największą uprzejmością; nie przeczuwał nawet, kogo ma przed sobą, a jednakże fizjonomja moja nie musiała mu całkiem wydawać się odpowiednią pozycji, jaką mi paszport nadawał, spytał mnie bowiem, jakim sposobem dostałem się do tego Szilowicza, który wedle jego mniemania jest wielce rafinowanym człowiekiem. Nic mi nie pozostało, jak wysilić całą moją pomysłowość, i stworzyć powieść o stosunkach rodzinnych, które mnie wyparły za granicę.

Generał zdał się być zadowolonym mojemi wyjaśnieniami, tembardziej, że nie przedstawiały mu one żadnych grożących zajść w Serbji w bliskiej perspektywie, i pożegnawszy mnie uprzejmie, odejść pozwolił.

Skorom znów wydostał się na ulicę, zmierzchać się już zaczęło; z większą więc pewnością siebie powracałem do oberży. Znajomość z Generałem zabezpieczała mnie bądź co bądź od dalszego niepokojenia ze strony władz; oznajmiłem także i j e m u, że oczekuję wieczorem dwóch moich służących, chłopaków cygańskich z Mehadji — i mogłem być prawie pewnym, że o nich nikt troskać się nie będzie.

O jakże chętnie — pomimo naglącej gorączkowo chwili i rozdrażnienia całej mojej istoty — o jakże chętnie, będąc już raz w tem miejscu, byłbym odwiedził ów neutralny trójkąt w którego bezpańskim gruncie ukrył Koszut klejnot mojego narodu, koronę Świętego Stefana. Wprawdzie tylko jej grób tam się znajdował, bo Szemerego zdrada skarb odkryła — ale i ten grób był dla mnie świętości pełny!

Musiałbym był jednak, idąc w tym celu, przejść przez most — zostający pod ścisłą strażą. A tyle miałem teraz do stracenia! Nic mi więc nie pozostawało, tylko stłumić pragnienie mej duszy i z niepokojem, targany niepewnością i nadzieją, oczekiwać chwili w której Ją, moje życie, moją miłość, będę mógł wreszcie pochwycić w ramiona.

IX.

Ciemność zapadła. W całym domu najgłębsza panowała cisza, gdyż ja byłem jedynym w nim gościem. Gospodarzowi zdziwionemu nieco mojem bezczynnem siedzeniem w domu wytłómaczyłem, iż dopiero po przybyciu moich służących. zabrać się będę mógł do interesów. Dla oczekiwanych przeznaczono izdebkę na poddaszu, maleńką i na pół ciemną. Serce mnie bolało na myśl, że Erwina będzie musiała noc przepędzić w tak nędznem i brudnem otoczeniu. Jednak nie podobna było temu zaradzić — a o powrocie w nocy do Mehadji ani myśleć można było, gdyż wszystkie straże na noc zdwajano i służba patrolowa zwiększała swoją czujność.

Godzina już upłynęła od zapadnięcia nocy. Blado płonęła przedemną na stoliku świeczka łojowa, — wśród ciszy słyszałem tylko przyspieszone bicie pulsów moich. Za każdym szmerem wzdrygałem się cały. Wreszcie zdawało mi się, że słyszę koci, skradający się chód Ferenza.

Bezczynne i tak długie oczekiwanie wprowadziło mnie wstan pewnego zwątpienia. Strząsłem je z siebie gwałtownie i zerwałem się z miejsca. Naraz usłyszałem szept za drzwiami — to był jego głos.

Chwila — i wszedł piękny cygański chłopak do mego pokoju — i rzucił się ku mnie. Erwina opasywała mnie swemi ramiony! Milcząco połączyły się usta i łzy nasze. Ferenz stał na zewnątrz na straży.

Kilka chwil minęło, nim mogliśmy oderwać się od siebie.

Wówczas dopiero upojony najwyższą radością, spojrzeć mogłem w oblicze Erwiny. Była blada; na twarzy jej nie lśniła już owa słoneczna świeżość młodości, piękność jej jednak podniosła się jeszcze, mimo wszystkich cierpień, jakie nieszczęśliwa przebyć musiała. Strój cygański cudnie ją ubierał; a gdy po zdjęciu kapelusza, jej bujne, czarne włosy, starannie pod nim ukryte, rozwinęły się i opadły na gruby brunatny kaftan i spłynęły falą na barki i szyję,

twarz jej ujęta w te ciemne ramy zdawała się jeszcze bledszą — lecz wielkie jej oczy lśniły najwyższym, najczulszym wyrazem miłości.

— Józefie! — szeptała, schylając skroń na moje piersi — o jakżem wiele, wiele przecierpiała dla ciebie! Lata męczarni, niepokojów, trwogi przeszły nademną! Łez mi zabrakło, gdym opłakiwała o śmierć twoją; dopiero wieść, że żyjesz, otwarła na nowo ich krynice. Ale...

Tu drżenie konwulsyjne nią wstrzęsło, — i namiętnie przygarnęła mnie do siebie.

— Ale... już nie należę do ciebie!—zawołała, łkając. Konieczność silniejszą była od woli mojej. Nie miałam wyboru między nieszczęściem mojem — a wystawieniem matki na męczarnie nędzy i głodu... Życie nie miało już żadnej dla mnie wartości; obojętnem mi się stało, komu rękę moją oddaję, gdym nie oddawała duszy... A jednak com mimo tego przeniosła! Ile upokorzeń, jakie bole rozpaczy i żalu, gdym się ujrzała przykutą do boku człowieka... który... Józefie, ty gniewasz się na mnie, żem ci złamała wiarę; — tak, — nawet umarłemu winnam jej była dotrzymać! Przebacz mi jednak! Serce mi pękało, a miłość dla matki zbrodnię w obec ciebie popełnić mnie zmuszała!...

Zamknąłem jej usta pocałunkami. Nagle uczułem, że siły ją opuszczają. Podprowadziłem ją do twardego krzesła, na które się osunęła, patrząc na mnie błagającym o przebaczenie wzrokiem. Nie śmiała mi się przyznać, że słabość jej pochodzi z nadmiaru fatygi, drogę bowiem z Mehadji do mnie piechotą odbyć musiała.

Domyśliłem się jednak tego — i podniósłszy ją z krzesła — zaniosłem na łóżko. Nie puszczała ręki mojej ze swojej dłoni i oczu nie odrywała ani na chwilę odemnie.

Znużenie jej było wielkie a zdwoiło się jeszcze wstrząśnieniem moralnem do tego stopnia, iż wbrew woli swojej w sen głęboki zapadła.

Wówczas przywołałem Ferenza i poleciłem mu udać się do swojej izdebki, a potem zszedłszy z niej, oznajmić gospodarzowi iż towarzysz jego ma nieznaczny paroksyzm febry i leży na górze, — niech więc nikt mu nie waży się snu przerywać, bo by mu to zaszkodziło.

Erwina musiała spędzić noc na łóżku mojem, — a ja przysiadłem się obok niej na krześle.

Zresztą krótkiego snu użyła, mieliśmy bowiem niezmiernie wiele rzeczy do omówienia — a nazajutrz, przed świtem, winna już była w towarzystwie Ferenza pospieszyć do Mehadji z powrotem. Dla zabezpieczenia się, żeby nikt nie wszedł do mego pokoju, rozkazałem Ferenzowi wschodnim obyczajem położyć się przededrzwiami.

Upłynęła godzina, nim Erwina się zbudziła. Otworzywszy oczy, i spojrzawszy na mnie, sądziła że śni jeszcze. Naraz oprzytomniała, i zapominając o wszelkiej ostrożności nakazanej wyjątkowem położeniem naszem, wydała wielki okrzyk radości, podniosła się, zarzuciła mi ramiona na szyję i długo, długo nie przerwała tego uścisku.



Wśród tego powstał jakiś szmer w domu. Ktoś wszedł do przyległego naszemu pokoju. Widocznie przyjechał jakiś gość nowy. To pan nim byłeś — dodał Belzoni, zwracając się do mnie.

Okoliczność ta — ciągnął dalej — była nam na rękę Zajęcie bowiem przybyszem odwróciło od nas uwagę mieszkańców domu; z drugiej strony jednak sąsiedztwo pańskie tem większą ostrożność zachować nam w naszym pokoju nakazywało. Mógł ktoś bowiem usłyszeć u mnie głos kobiecy — i niezawodne powziąść ztąd podejrzenie.

Noc przemknęła nam szybko. Układaliśmy plany przyszłości, do których spełnienia jednakże przeszkadzała nam osobistość męża Erwiny. Zamiarem jej było poszukać gdzieś dosyć oddalonego schronienia, ażeby mąż, jeżeliby mu wypadkiem kiedy przypomniało się o niej, wynaleźć jej nie zdołał. Postanowiła także wyrzec się renty — skąpej zresztą, którą jej mąż wypłacał, — przy uregulowaniu bowiem nowem stosunków miała jej przypaść część pewna z zasekwestrowanych dóbr nieboszczyka jej ojca...

(C. d. n.)

LEON XIII.

Z bolesnem uczuciem obawy zwróciły się po śmierci Ś. p. Piusa IX. oczy świata katolickiego ku brzegom Tybru, nad któremi z powodu naprężonych pomiędzy stolicą apostolską a rządem włoskim stosunków, jakoteż z powodu dążeń niektórych członków kurji, nie chcących się przejednać ze stanem rzeczy w skutek upadku doczesnej władzy papieży stworzonym, czarne się zdawały gromadzić chmury. Obawiano się z jednej strony, ażeby frakcja nieprzejednanych z Manningiem na czele nie przeprowadziła swego zamiaru odprawienia Conclave po za granicami królestwa Włoskiego, wyzywając rząd tego państwa i opinję publiczną włoskiego narodu do walki, — rzucając w ten sposób rękawicę dążeniom świata, i rozszerzając jeszcze bardziej przepaść pomiędzy kościołem a duchem czasu istniejącą. Z drugiej strony lękano się, czyli rząd włoski będzie miał dosyć uczciwości, by dotrzymać swych zobowiązań, poręczających swobodę obradującego Conclave, — dość energii i siły, by się oprzeć w takim razie obrażonej opinji publicznej, i powściągnąć możliwe zaburzenia. Obawiano się wreszcie, ażeby w skutek intryg i rywalizacji mocarstw bezkrólewie papiezkie nie przeciągnęło się na czas dłuższy, jak niemniej nakoniec, ażeby wybór nie padł na któregoś z „nieprzejednanych“, — a był w tej mierze tem większy powód do obawy, ile że ś. p. Pius IX. zalecił był właśnie jednego z członków tej frakcji, mianowicie zaś kardynała Bilio, kandydata francuzkich legitymistów i jezuitów, który téż jako taki, w skutek zleceń Mac-Mahona, przez posła francuzkiego żarliwie był popieranym.

Aliści żadna z tych obaw nie ziściła się Bogu dzięki. Dzięki umiarkowaniu kurji, i sprawującego w czasie bezkrólewia rządy kościoła kardynała-kamerlinga Joachima Pecci, nie zdołało stronnictwo Manninga przeprzeć swoich zamiarów. Wypełniając sumiennie przyjęte zobowiązania przedsięwziął rząd włoski nietylko wszelkie środki ostrożności, ażeby swoboda obrad zwołanego Conclave nie została naruszoną, lecz odroczył nawet zapowiedziane na d. 20. Lutego otwarcie Izby aż do d. 7. Marca, i zakazał odprawienia mityngu przeciwko prawu rękojmi przez radykałów zwołanego. W dni kilkanaście po śmierci ś. p. Piusa IX. zagajonem zostało w Rzymie Conclave, w którem z wyjątkiem dwóch słabością przeszkodzonych udział wzięli wszyscy kardynałowie, a które po niespełna trzydniowych obradach, 44 głosami na 62 głosujących obrało następcą św. Piotra biskupa Perrugii, wspomnianego już wyżej kardynała Joachima Pecci, który wstępując na papiezką stolicę przyjął imię Leona XIII.

Joachim Pecci urodził się d. 2. marca r. 1810 w mieście Carpinetto w Romanji, i ma przeto obecnie lat 68. Po ukończeniu studjów prawnych i teologicznych wstąpił on do stanu duchownego, i już w 32 roku życia wysłany został przez rząd papiezki do Benewentu, Spoletto i Perrugji, które to prowincje oczyścił spiesznie z grasujących tamże bandytów. Na wysokiem stanowisku delegata pępiezkiego złożył ks. Joachim Pecci dowody niepospolitych zdolności administracyjnych, i umiał sobie zjednać szacunek i miłość powszechną niepospolitemi swemi przymiotami, szczególniej zaś swą sprawiedliwością, ludzkością i cnotliwem życiem. W rok po tem mianował go Grzegorz XVI. nuncjuszem apostolskim w Brukselli, gdzie ks. Pecci wpływem swoim pojednał protestantów z katolikami usunąwszy z protestanckich okręgów zbyt gorliwych misjonarzy, czem sobie zjednać potrafił zaufanie i przyjaźń króla Belgów Leopolda I., który też młodego prałata rządowi papiezkiemu do kardynalskiej purpury gorąco zalecił. Grzegorz XVI. mianował też w skutek tego nuncjusza swego w r. 1847 biskupem Perrugii, ale wyniesienie Pecciego do godności kardynała uległo kilkuletniej zwłoce, gdyż papież ten umarł wkrótce potem, a kardynał Antonelli obawiając się znaleść w Peccim współzawodnika, starał się go trzymać zawsze daleko od Rzymu i osoby Piusa IX.

Dopiero więc w r. 1853 został biskup Pecci kardynałem i od tego czasu zajął w gronie książąt kościoła najwybitniejsze stanowisko, jako jeden z najuczciwszych, najcnotliwszych i najbardziej wpływowych członków św. Kollegjum. Po zaborze państwa kościelnego, gdy rząd włoski zamknął seminarz w Perrugji, przeniósł kardynał Pecci wszystkich seminarzystów do swego pałacu i nietylko utrzymywał ich swoim kosztem, ale sam pracował nad ich wykształceniem. Również założył on z własnych funduszów w Perrugji akademję, która przyczyniła się niemało do rozwoju ruchu umysłowego w tem mieście.

Żyjąc w zaciszu swej dyecezji, i oddając się naukom tudzież obowiązkom swego pasterstwa dostarczył kardynał Pecci mało szczegółów dla biografa, z którychby można odtworzyć portret jego dokładny i wnioskować o czynach jego na przyszłość. Ma to być mąż zasad niezłomnych, ale przytem i polityk umiejący się liczyć z okolicznościami i stosunkami. Zamieszczony w dziennikach ustęp z jego listu pasterskiego, na kilka dni przed wyborem jego pod tytułem: La Chiesa e la Civilta (Kościół i cywilizacja) ogłoszonego dowodzi jasno, iż wierzy silnie w ży-

wotność i misję cywilizacyjną kościoła, z czego wnosićby wypadało, że walkę pomiędzy cywilizacyją a kościołem tak jak to w artykule naszym p. t. Pius IX. określiliśmy li tylko za wynik nieporozumienia uważa, i że nie zasklepiając wiary wobec rezultatów wiedzy w skostniałem jakiemś non possumus, dążyć będzie do pogodzenia kościoła z ruchem, życiem i postępem.

Jakoż noszą wszystkie dotychczas akta nowego papieża na sobie niezaprzeczoną cechę wielkiej mądrości i umiarkowania, a zarazem i samodzielności. Wprawdzie jego to głównie wpływowi przypisują wydanie uroczystego protestu przeciw wstąpieniu na tron włoski króla Humberta, — wprawdzie oświadczył Leon XIII. wstępujac na tron, iż nie przyjmie listy cywilnej dla papieży przez rząd włoski przeznaczonej, dlatego, żeby to do uznania królestwa włoskiego prowadziło, aliści stanowczość, z którą się oparł insynuacjom dziennika Unita catolica i jezuitów, pragnących, aby przyjął imię Piusa X. pozwala wnosić, że wpływom krańcowych ulegać nie będzie, a sposób, w który odprawił d. 3. Marca swoją koronację dowodzi, że roli „Więźnia Watykanu“ odgrywać nie myśli. Na tych opierając się faktach przywiązuje też świat katolicki do panowania Leona XIII. wielkie nadzieje, przypominając proroctwo św. Malachiasza oznaczające 263 następcę Piotrowego nazwiskiem Lumen in coelo (światło na niebie: Rodzina Peccich ma w herbie komżę w błękitnem polu) jak nie mniej i inne starodawne proroctwo jakiegoś włoskiego zakonnika, oznaczające panowanie obecnego papieża słowami:

Papa et Christus Cum Ipso

co właśnie anagram „Pecci“ stanowi.

Jeden z dziennikarskich korespondentów pisze:

„Pomimo dość już sędziwego wieku cieszy się Leon XIII. czerstwem zdrowiem. Słusznego wzrostu, chudy, zwiędły jak asceta ma powierzchowność dziwnie ujmującą i uroczą. Wysokie jego jenialne czoło i siwy na skroniach włos nadają twarzy jego majestat niezwykły. Wielkie, czarne, otworzyste oczy ciskają błyskawice głębokiego rozumu i promienie najszlachetniejszych uczuć. Wyraz szerokich ust jest dziwnie miły, ale przytem niesłychanie energiczny. Zapadłe policzki jak u pustelnika Tebaidy, potęgują wyraz ust i spojrzenia pod owem wzniosłem czołem. Od razu w tym człowieku, który od lat dwudziestu kilku żył opodal od świata i zgiełku w swojej dyecezji, poświęcając się pieczy około dusz, i wczytując się w księgi odgadnąć można wielkiego papieża. Kiedy po raz pierwszy wyciągnął ręce do nieba lud padł na kolana. Głos Ojca Świętego jest niezmiernie pełny, harmonijny i silny. Wrażenie tej postaci i tego głosu jest tak potężne, że w chwili, gdy Leon XIII. zostawszy papieżem, błogosławił wiernych z okna bazyliki św. Piotra zebrane tłumy pomimo świętości miejsca i skinienia samego papieża, jęły wołać w niebo głosy: „Niech żyje Leon XIII.!...“

„Ojciec Święty — pisze dalej tenże korespondent — jest szczerym Polski przyjacielem, doskonale zna nasze dzieje, gdyż dziwnie jest światły i oczytany. Panowanie jego będzie chwalebne i wielkie, bo to papież na skalę Grzegorza VII.“

---

*) W artykule naszym „Pius IX.“ zaszła pomyłka, która i w korekcie przeoczoną została. Mianowicie zaś nie jest Döllinger, lecz jak każdemu wiadomo Reinckens biskupem staro-katolików. *Red.*

Dlaczego?

OBRAZEK Z ŻYCIA WARSZAWY.

Szaro i smutno w około. A jednak ludzie krążą jak zwykle po ulicach, tylko patrzą w ziemię, by uniknąć kałuży i w ostrożności tej potrącają się wzajemnie; dorożki pryskają błotem na przechodniów, ulicznicy nadeptują dziurawemi pantoflami zaszargane ogony dam z Podwala przemykających się przez rynek Starego Miasta, a woźnica klnie na czem świat stoi, poganiając wychudłe szkapy i kłócąc się z przekupkami, którym zasłaniają drogę do straganów.

Straganiarki pootwierały czerwone parasole, przewidując pierwszy deszczyk marcowy z chmur wiszących nad rynkiem, niby płachta brudnego płótna, która jednak nie myślała się przedzierać ani dla deszczu ani dla słońca.

Dnie takie nie mają ani wschodu ani zachodu. Patrząc w niebo nie poznasz czy to dopiero ranek się zaczyna, czy już wieczór nadchodzi, czy wcześnie, czy późno?

Szaro i szaro. Ani błękitna kanwa nieba, ani purpurowe i złote na niej szlaki nie przeglądają przez to brudne sklepienie mgły. Nawet chmurka żadna o wyraźnych zarysach nie ożywi tej nużącej, mglistej i ponuréj jednostajności, którą czujesz nad sobą i w około siebie, którą musisz oddychać, chociaż cię przydusza. Szaro i szaro!

Tylko w jednym narożnym domu błysnęły światła. Przez otwarte drzwi szynku widzieć można było jak zapalano starannie zakopcone lampy ku uciesze gwarliwych

konsumentów. Był to więc wieczór. Czarnooka, rumiana i pulchna żydówka nalewała wódkę spragnionym woziwodom i kumoszkom z sąsiednich uliczek, wpływając tem samem na ożywienie dysputy, która szczególnie była żwawą pomiędzy potulnym panem Marcinem stróżem wązkiej kamieniczki o sześciu piętrach i trzech oknach w rzędzie a rezolutną panią Marcinową, szanowną jego połowicą o bardzo muszkularnych rączkach, któremi bezustannie gestykulowała mu przed nosem, jeźli tylko nie uważała za właściwe podpierać swoich wydatnych boków.

— Dam ja ci stary capie! — mówiła, akcentując słowa ogólnie zrozumianym gestem prawej ręki — patrzcie go, jaki mi pan, będzie darmo usługiwał — a człowiek i na kieliszek gorzałki zapracować nie może! Tobie zawsze fiu, fiu w głowie. Wielka mi rzecz: akademik! kiedy goły jak bizun. A tobie co do kogo? Pan czy nie pan—kiedy goły, to taki dobry pan jak i ty. Rozumiesz?

P. Marcin nic już nie odpowiedział, pogładził tylko część czupryny wystającej z pod czapki, a drugą ręką przycisnął mocniej kożuch do piersi.

— Co tam dusisz niedołęgo? Pokaż mi zaraz!

P. Marcin instynktownie usunął się rzucając spojrzenie w ulicę. Ale domyślna niewiasta chwyciła go za połę a gdy szarpnęła mocniej, z pod kożucha wypadła duża bułka z szarej mąki i potoczyła się pod szynkwas.

— Widzisz go! jaki mi mądry! A pieniądze dał?

— Jużci dał.

— Bodajś zdrów był, jak on dał, — mularka moja — dodała podnosząc bułkę, a ty szuruj do roboty i nie bądź głupi. Marcin! niej bądź głupi! powtórzyła jeszcze za odchodzącym odgrażając pięścią.

Wyszedłszy z szynku do sieni, p. Marcin wyprostował się, odetchnął, wziął miotłę i wsparty na niej wyjrzał w ulicę. Budy już zamykano. Niebo stało się czarnem, światła błyskały coraz gęściej, odbijając się w błocie. Gwar na rynku nie ustawał jednak, a w izbie szynkownej ozwała się hałaśliwa katarynka, na której mały chłopiec w dwa razy większym od siebie surducie wygrywał polkę z „Dziesięciu Cór“ pogwizdując w takt tańczącym.

P. Marcin wyjrzał jeszcze raz w ulicę, poprawił czapkę, pogładził włosy a przekonawszy się, że druga mularka została pod kożuchem, postawił miotłę i zbliżył się do uchylonych drzwi szynku.

Ujrzawszy panią Marcinowę w objęciach terminatora szewskiego wydobył z pod schodów dzban wody i szybko poszedł z nim na górę. Na piątem piętrze otworzył zwolna drzwi i wszedł do izby, w której przy świecy łojowej siedział młody mężczyzna nad papierami i pisał. Miał na sobie wytarty ale czysty mundur granatowy ze srebrną obszewką, a na stole przed nim leżała czapka tegoż koloru, studenta Szkoły Głównej.

— Daj Boże zdrowie — rzekł Marcin stawiając dzbanek — przyniosłem wody na noc i bułkę, bo pan zapomniał powiedzieć co przynieść! — może trza było więcej?

Młodzieniec zarumienił się i nieodwracając ócz od stołu rzekł:

— Dziękuję wam, nic nie trzeba.

Po chwili Marcin był na dole i znowu wyjrzał z sieni w ulicę; nagle jednak cofnął się i począł pilnie zamiatać. Wtedy po zabłoconych stopniach drzwi weszła do sieni młoda dziewczyna, skromnie ubrana, ale której postawa i ruchy nakazywały szacunek.

— Jak się macie p. Marcinie? zawołała wbiegając na ciemne i wązkie zakręty schodów, widocznie dobrze jej znane.

Marcin skłonił się, ale nie śmiał nic odpowiedzieć, tylko popatrzał za dziewczyną i stał nieruchomo, dopóki nie usłyszał z piątego piętra stuknięcia drzwi, które otworzono i zamknięto.

— A! jesteś nareszcie, rzekł młodzieniec zwracając się z miłością do dziewczyny. Myślałem, że już nie przyjdziesz. — Droga moja! Dziewczyna szybko zrzuciła czarną chustkę z głowy i przytuliła się do piersi młodzieńca.

Bladą jego twarz ożywiła radość, a oczy z rozrzewnieniem wpatrzyły się w świeże lica dziewczyny, zrumienione szybkim biegiem po schodach.

— Jakaś ty dobra, żeś przyszła — rzekł całując ją w czoło i sadzając na łóżku, bo drugiego krzesła nie było, jestem szczęśliwy, patrz: skończyłem rozprawę na konkurs! Zdaje mi się, że teraz nie jesteśmy już sami na świecie... Praca ta powinna mi zrobić dobre imię w Szkole a może i stypendium wyjedna!

— Bóg nam dopomoże, rzekła dziewczyna, on nas nie opuści, ty będziesz wielkim uczonym, znanym i szanowanym, będziesz sławnym... Ale może wtedy zapomnisz o mnie?...

— Jabym miał zapomnieć o tobie mój skarbie drogi! Jak ty możesz tak mówić?

— Więc będziesz mnie zawsze kochał? To dobrze — mówiła tuląc się do niego — ja ci nie będę cieżarem, będziemy razem pracowali, a gdy się twój byt ustali, połączymy się, wszak prawda? i nie będę już potrzebowała kryć się przed ludźmi z moją miłością dla ciebie.

— Tak, moja jedyna, będziemy szczęśliwi, bardzo szczęśliwi! Zamieszkamy razem, ty będziesz moją kochaną gospodynią w białym fartuszku, i w takiej niebieskiej sukience w paski, o jakiej marzyłaś, pamiętasz Helu, tam w lasku na Bielanach nad Wisłą...

— Pamiętam, pamiętam! Sukienkę ja sobie sama uszyję, tylko mój pan kupi mi maszynę, żebym też mogła coś zarobić! ale sam nie będziesz tak pracował jak teraz... Ach mój Boże, tak ciemno się pali ta łojówka, że ja dopiero w tej chwili spostrzegam, jak ty jesteś blady! Jaśku mój drogi, ty nie powinieneś tak pracować!...

— To nic, to nic, — teraz odpocznę sobie skończywszy rozprawę. Ale... słyszysz? Już ósma bije, będę musiał iść na korepetycyję, droga moja, a jutro...

— Jutro święto, raniutko przyjdę do ciebie i w jeden dzień przepiszemy rozprawę, a pojutrze będziesz mógł oddać, czy dobrze?

I objęła go rękami za szyję okrywając twarz pocałunkami.

— Mnie także czas do domu, jeszcze dziś dużo mam do roboty... I mówiąc to zarzuciła chustkę na głowę.

— Idź naprzód Helu, rzekł student a usłyszawszy że schodzi już po schodach, chwycił bułkę zostawioną przez Marcina na krześle i począł jeść skwapliwie, popijając wodą z dzbana. Dziewczyna tymczasem była już na dole i przez uchylone drzwi szynku od sieni widzieć mogła i słyszeć jak tańczono w najlepsze przy dźwięku katarynki; a gdyby nie biegła tak szybko i gdyby chciała zwrócić uwagę w tę stronę, mogłaby nadto ujrzeć Marcina siedzącego za stołem, z podpartą głową, z czapką na bakier, zapatrzonego w ciemną głąb sieni.

Usłyszawszy pukanie jej bucików drgnął, jakby się chciał podnieść, ale się wstrzymał i zasunął tylko czapkę na oczy.

— Marcin! nie bądź głupi — zawołała pani Marcinowa przysuwając mu szklaneczkę wódki — pij, kiedy ci dają.

* * *

Jest że to winą słońca, że błysków żałuje — czy też winą ziemi, że w ponury dzień jesienny okrywa się mgły pomroką, pozwalając jej bezkarnie pochłaniać i gasić promienie?...

Ale kto tam myśli o promieniach? Tłum uliczny wielkiego miasta dba o słońce tylko w dzień świąteczny. Ta część wszechświata, która przyświeca między szeregami dachów, gdy w górę spojrzy, obchodzi go mniej niż śnieg zeszłoroczny. On żyje echem ulic, powietrzem ulic, półcieniem, światłem lamp ulicznych; nawet rozdział dnia i nocy tak stanowczy dla wieśniaka, dla niego traci wyraźne swe granice. — Nie dbając o wschód poza murami, niedba i o zachód a twarz jego wyraża nawet pewne zdziwienie i zniecierpliwienie, gdy z głębi jakiej nagiej ulicy niespodzianie rzuci mu się w oczy pęk strzał złoconych, kolących jaskrawością blasku...

Dzisiaj jednak nie mogło być o to obawy. Chociaż słońce zachodziło, nikt nie widział zachodu...

Pomiędzy tłumem przechodzącego po chodnikach Nowego Światu szła i biedna Hela zapatrzona przed siebie, nie oglądająca się na nikogo. Przechodząc koło kościoła Świętokrzyskiego spojrzała tylko na jasną postać Chrystusa dźwigającego krzyż męczeński a jednak wyciągającego błogosławiące dłonie ku ludziom — i weszła w podsienie świątyni.

Jakiś dandy uliczny, który śledził za nią wzrokiem, stanął zdziwiony i skwitował z polowania; ona tymczasem weszła w ciemny korytarz, upadła na kolana przed ołtarzem i poczęła się modlić.

Po chwili wstała widocznie pokrzepiona na siłach i pobiegła w kierunku Starego Miasta. —

W szynku jak zwykle tańczono hałaśliwie. Mały chłopak w wielkim surducie grał polkę z Dziesięciu Cór, przyśpiewując chrapliwym głosem — tylko p. Marcin tym razem zmienił system, bo podchmieliwszy sobie przyzwoicie, legł pod schodami i spał jak zabity.

— Jaśku ciesz się! zawołała wbiegając Hela, spotkałam p. Adama, który mówił, że ci przyznano złoty medal. Ach, on śpi rzekła ciszej spostrzegłszy, że leżący na łóżku młodzieniec nie poruszył się — Bogu dzięki! sen mu ulgę przyniesie o! Bóg jest dobry, wysłuchał mojej prośby! — i uklękła do modlitwy dziękczynnej.

W izdebce było ciemno, chciała zapalić świecę ale w mosiężnym lichtarzyku został już tylko osad po spalonej łojówce. Chory nieporuszał się. Dziewczyna zbliżyła się do łóżka i odnalazłszy rękę, chciała ją pieścić! — ale nagle tchu jej zabrakło w piersiach: ręka była zimna jak lód, a skurczone martwe palce cisnęły garść słomy wyrwanej z siennika. Szarpnęła rękę — napróżno; przytuliła się do twarzy, oddechu nie było... Chory umarł.

Dlaczego?!

Ona nie pytała dlaczego, nie mogła pytać, nie mogła myśleć, nie płakała nawet, upadła tylko twarzą na martwą pierś jego, obłąkanym wzrokiem patrzyła na wpół otwarte oczy, oświecone jakimś odbłyskiem z ulicy i wyjąkała zamarłym głosem:

— Jaśku mój!!

Na dole tymczasem tańczono i pito do upadłego. Katarynka wciąż grała.

J. M.

POGADANKA.

(Wyjątki z tromtadratycznego katechizmu. — Wojna i próżniacy. — Brzemienne w następstwa wypadki polityczne z punktu widzenia moich obcasów. — Żona ze śniegu i drobniejsze pisma pana Lama. — Przegląd lwowski. — Odczyty literackie i koncerta.— Lolo i moralizujący wpływ sztuk niemoralnych. — Wystawa obrazów w Krakowie. — Bitwa pod Grünwaldem. — Jeszcze o odczycie p. Spasowicza w Warszawie. — Burda młodzieży akademickiej i solidarność warszawskich dziennikarzy.)

Nie jestem zbyt gorliwym czytelnikiem Gazety narodowej, ale ją czytam czasami, z tego zaś co w niej od początku nowego prenumeracyjnego kwartału wyczytałem, wyciągnąłem obrok duchowny, który łaskawym czytelnikom moim tutaj w formie katechizmu podać sobie pozwalam:

Pytanie: Ile jest rzeczy, w które każdemu Polakowi pod utratą czci, wiary i podkówek u butów wierzyć wypada?

Odpowiedź: Trzy

Pytanie. Jakie to są rzeczy?

Odpowiedź: 1. że wojna jest nieuniknioną,

2. że wojna musi nam niezawodnie błogie przynieść owoce.

3. że nam w oczekiwaniu „brzemiennych w następstwa wypadków“ należy być w pogotowiu.

Nic więc dziwnego, że powyższe Credo polityczne przypadło głównie do smaku wszelkiego rodzaju próżniakom, i że Gucio Ahaswerowski, który piątą gimnazjalną klasę drugi już rok powtarza, do najgorętszych wojny należy zwolenników, a chwile, które Tytusowi Liwiuszowi i Homerowi odkrada, poświęca studjowaniu sytuacyjnych artykułów Gazety narodowej, i strategicznych kombinacji Ruchu literackiego.

„— Kto wie — woła Gucio wywijając w zapale ręką, tak jak gdyby młyńca robił jakąś niewidzialną lancą — kto wie, może już pojutrze, może jutro już, zabrzmi surma bojowa, a wtedy...“ W tem miejscu zamyka zwykle IMCI Pan Superlativus na Wielkich i Małych Wykrzyknikach Ahaswerowski usta swemu potomkowi gorącym całusem, rozczulając się widokiem tego wojennego zapału, i ciesząc się, że stara krew Ahaswerowskich odzywa się w jego synu, piękne dla przyszłości narodu rokując nadzieje. Tymczasem dnie mijają jeden za drugim, i pomimo przepowiedni naszych proroków, którzy jak

...psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemię
Kopią, śmierć wietrzą, i okropnie wyją,

nie zarysowują się widoki wojenne wcale wyraźniej, lecz owszem tonąć się zdają jak gdyby w mgle, i rozwiewać się coraz bardziej, a Gucio Ahaswerowski „w oczekiwaniu brzemiennych w następstwa wypadków“ coraz to gorsze do domu ze szkoły przynosi klasyfikacje.

Nie wiem czyli najnowszy ten kierunek ducha narodowego, który zawdzięczamy naszym prorokom, jest dla przyszłości naszej zbawiennym czyli nie, to jednakże wiem, iż z punktu widzenia moich obcasów owe „brzemienne w następstwa wypadki“ przedstawiają mi się w bardzo ciemnych barwach, — od trzech tygodni bowiem czekam daremnie na parę bucików zamówionych u szewca, który gotując się do „uszycia butów Moskalom“ zawiesił tymczasem na kołku dratwę swoją i kopyta. Jak więc z tego widzimy nie ma Ruch literacki wcale powodu narzekać na indeferentyzm naszego społeczeństwa, którego znaczna część w oczekiwaniu „brzemiennych w następstwa wypadków“ zajmuje się wyłącznie tylko polityką, i to może nawet goręciej niż lord Salisbury i hrabia Andrassy.

W odcinku Dziennika polskiego zamieścił w tych dniach p. Jan Lam prześliczną nowellę p. n. Żona ze śniegu. Powiastka ta w której talent naszego humorysty w nowem zupełnie zajaśniał świetle, a które prostotą i spokojem opowiadania, a niewinnym i niemal naiwnym humorem, przypomina mistrzowskie Nowelle genewskie Töpfera, zamyka pierwszą serję drobniejszych pism autora Panny Emilji, które różnemi czasy drukowane były w naszych politycznych i literackich czasopismach, a które obecnie razem zebrane pojawią się niebawem w nowem wydaniu nakładem księgarni F. H. Richtera we Lwowie, Nie wątpię że dzieląc się tą wiadomością z czytelnikami Strzechy, będę posłem miłej wieści dla licznych zwolenników talentu dowcipnego lwowskiego kronikarza.

Artykuł Strzechy p. n. Pius IX, nie znalazł łaski w oczach Przeglądu lwowskiego, który podanym tamże, a jak mnie zaręczają historycznym szczegółom o spiskach jenerała Jezuitów Rothana przeciw Piusowi IX w pierwszych latach panowania tego papieża knowanych gołosłownie zaprzecza, obsypując jednocześnie autora rzeczonej monografii gradem owych pocisków, w które tak obfituje polemiczny arsenał księdza-redaktora. Nie jestem kompetentnym do wydawania sądu o pracy historycznej, o której mowa, — to jednakże wiem, iż ani gołosłowne zaprzeczenia, ani też obelgi nie mogą starczyć za materjał dowodowy, a co do obelg, to znanem zapewne będzie księdzu-redaktorowi Przeglądu, który się tak chętnie z swą francuczczyzną popisuje, przysłowie: *Tu te faches? — donc tu as tort!* (gniewasz się? rzecz więc jasna, że nie masz słuszności!) które jak się zdaje i w tym wypadku zastósować należy.

Cokolwiekbądź, zabawnem jest, że w tymże samym artykule, w którym Przegląd lży naszego współpracownika, powstaje równocześnie przeciw lwowskim tromtadratom, za to, że „każdego, kto wierzy i myśli inaczej, ogłaszać zwykli głupcem, lub obwoływać odstępcą“... Ach, księże prałacie! dla czego tak nie robicie jako nauczacie?...

Zapowiedziany szereg literackich odczytów rozpoczął się wczoraj d. 10. b. m. odczytem pana Jana Lama: „O trzydziestoletniej wojnie lwowskiej“. Fantastyczny ten nieco tytuł zaintrygował mocno publiczność lwowską, która się spodziewała, że wesoły kronikarz weźmie walkę stronnictw lwowskich od roku 1848 do roku 1878 za temat swej pogadanki. Tymczasem pokazało się, że wojna lwowska, o której mówił szanowny prelegent obejmuje rzeczywiście okres od 48 do 78 roku, lecz że okres

ten zawartym jest w XVII wieku, i że głównym jego bohaterem nie jest żaden z Janów umysły lwowskie obecnie niepokojących, ale Śty Jan z Dukli, patron miasta Lwowa, którego cudownemu pojawieniu się przypisują ówczesne kroniki ocalenie naszej stolicy od kozaków Chmielnickiego, i sprzymierzonych z nimi Tatarów. Oczywiście, że odkrycie to było rodzajem zawodu dla tych, ktorzy spodziewając się usłyszeć rodzaj lwowskiej kroniki niedzielnej obejmującej okres trzydziestoletniej działalności strażników narodowego ducha, przybyli na odczyt naszego humorysty, — aliści szanowny prelegent wynagrodził im mimowolną mistyfikacją opowiadając mnóstwo nader zajmujących, a mało znanych szczegółów z dziejów miasta Lwowa, i zaprawiając swe opowiadanie dowcipnemi alluzjami do bieżącej chwili, jakoteż do dzisiejszych osób i wypadków. Udobruchana publiczność przebaczyła swemu kronikarzowi doznaną mistyfikacją, i przyjmowała krotochwilne jego wybryki rzęsistemi oklaskami.

W dalszym ciągu tej serji odczytów mówić będą pan A. Wilczyński (Autor kłopotów starego komendanta), dr. Juljan Ochorowicz i pan Bolesław Ładnowski,—dochód odnośny przeznaczonym jest na założenie artystyczno - literackiego kasyna.

Oprócz odczytów, które w modę wchodzić zaczynają, cieszą się koncerta niepospolitem na te ciężkie czasy powodzeniem. Z porządku rzeczy wypada mi tu najprzód nadmienić o przedstawieniu amatorskiem na dochód funduszu budowy gmachu dla towarzystwa muzycznego, które się nadzwyczaj dobrze udało, i które z powodu prawdziwie koncertowego śpiewu i gry amatorów pod kierownictwem pana Walerego Wysockiego do koncertów zaliczyć wypada. Dawano cenioną przez muzyków wielce dwuaktową komiczną operę Mendelsohna p. t. Powrót z obczyzny (*Heimkehr aus der Fremde*) zawierającą popisowe partje dla sopranu, altu, tenoru i basu, i wymagającą przeto znakomitych sił artystycznych do obsady. Aliści amatorowie nasi sprostali najzupełniej wymogom dzieła, którego przedstawieniem nas uraczyli. Pojedyńcze partje, duety, tria i ensemble z chórami wszystko to było odśpiewanem prawdziwie popisowo. Amatorowie grali jak rutynowani artyści;—w orkiestrze prawie przeważnie z amatorów złożonej wzięły udział najlepsze siły artystyczne naszego miasta. Przedstawienie to było więc istotną biesiadą, a zachwycona publiczność starała się wyrazić amatorom wdzięczność swoją zasypując ich, mianowicie zaś panie Wszel. i Mad. tudzież pana Wysokiego grzmiącemi oklaskami, i prawdziwą ulewą wieńców i bukietów.

Do koncertów także zaliczyć należy muzykalny wieczorek, który się odbył w kasynie mieszczańskiem pod dyrekcją pana Marka, a w którym udział wzięły obiedwie gwiazdy, które się w tym roku na artystycznym widnokręgu lwowskim po raz pierwszy pojawiły, mianowicie młody, niemal dziecięcy wirtuozpianista Piotr Douillet, tudzież młodziutka uczennica p. Marka panna Marja Wiercińska, znakomita dzisiaj już pianistka. Debiutant i debiutantka zachwycili publiczność grą swoją, i zdobyli sobie od razu pierwszorzędne stanowiska pomiędzy artystycznemi siłami naszego miasta.

Oprócz koncertu Towarzystwa muzycznego pod kierownictwem pana Mikulego, który się dnia 9. bm. ze zwykłem odbył powodzeniem, należy się słuszna wzmianka jeszcze koncertowi na dochód członków chóru opery lwowskiej, który się pod dyrekcją pana Jareckiego, przy udziale artystów naszej opery pp. Zakrzewskiego, Köhlera i Mikulego odbył dnia 8. b. m. w sali stowarzyszenia Gwiazda, a odznaczał się bardzo sympatycznym, i urozmaiconym programem. Pod względem artystycznym powiódł się ten koncert najzupełniej, — natomiast nie wypadł on tak świetnie pod względem finansowym, może być z przyczyny wyboru sali jak wiadomo dosyć od głównego ogniska miasta odległej.

Również niepomyślnie powiódł się pod względem finansowym benefis tenora naszej opery p. J. Zakrzewskiego. Mianowicie zwracały na się uwagę pustki w lożach, co głównie przypisać należy temu, iż się w równym czasie odbywało w mieszczańskim kasynie przedstawienie amatorskie, które liczną tamże zgromadziło publiczność. Pod względem artystycznym udało się przedstawienie najzupełniej. Publiczność przyjmowała benficjanta, który w roli Genara był znakomitym rzęsistemi oklaskami, i laurowemi wieńcami. Również obsypano oklaskami pannę Gabbi, p. Köhlera, i występującą z grzeczności dla beneficjanta pannę Wajcównę.

Zdaje się że dyrekcja sceny naszej znalazła nakoniec w Lolu (Bébé) to, co Niemcy nazywają *„ein Cassastück“*, kilkakrotne przedstawienia tej sztuki bowiem zgromadziły zawsze w teatrze liczny zastęp publiczności. Lolo nie należy wcale do rzędu sztuk, któreby skrupulatny moralista zamieścił w idealnym swym repertoarzu, trudno jednakże winić dyrekcję, iż nas zapoznała z tym wybrykiem francuzkiego humoru, cokolwiekbądź bowiem w tej mierze mówiono i pisano, nie jest teatr szkołą moralności dla pensjonarek, a ponad wszelkiemi obowiązkami dyrekcji artystycznej sceny, o których pisać się da bardzo pięknie i z wielkiem namaszczeniem, stoi obowiązek dbania o to, ażeby przychód z przedstawień był ile możności jak największym, który to obowiązek dyrekcja wprowadzając Lola na scenę naszą widocznie miała na oku. Atoli dziwnem jest, że dyrekcja dla przynęcenia widzów uciekła się do nieco amerykańskiego fortelu, zapowiadając w swoim organie, że sztuka Lolo jest... niemoralną. Zaciekawiona tą dziwną reklamą publiczność zgromadziła się na pierwsze przedstawienie tej zresztą wcale niewinnej komedji liczniej, aniżeli zazwyczaj. Jeżeli sobie przypomnimy to, co swojego czasu pisano przeciw panu Miłaszewskiemu z powodu iż dogadzając smakowi publiczności przedstawiał Piękną Helenę, Wielką księżnę Gerolstein i inne niezbyt budujące operetki, a zestawimy z tem postępowanie dyrekcji, zalecającej Lola tem właśnie, że „jest niemoralnym“, to mimowoli przychodzi na myśl znany nam wiersz Heinego: *Auch du Brutus, auch du friest*, tudzież historja o belce w oku własnem i źdźble w oku bliźniego. Nie wypada mi tu jednakże pominąć milczeniem, że dyrekcja zstąpiwszy na chwilę z koturnu surowej moralistki, starała się już po drugiem czy trzeciem przedstawieniu wstąpić nań na nowo, zapewniając znowu w swoim organie, że „niemoralny“ wedle jej własnego zapewnienia Lolo, wywołał moralną reakcję, i stał się w krótkim bo zaledwie dziesięciodniowym przeciągu czasu przyczyną widocznego zwrotu w kierunku wychowania!.. Wynika więc z tego oczywiście, że w właściwem tego słowa znaczeniu niema sztuk niemoralnych,— moralne bowiem są już same przez się moralnemi, niemoralne

zaś wywołując moralną reakcję, działają skutecznie na poprawę wychowania, a mają prócz tego i tę zaletę że — co z pewnością rzeczy nie psuje — przynoszą kasie dobre dochody.

Bądź co bądź, i jeżeli wedle twierdzenia Moliéra komedja osiągnęła cel swój właściwy, gdy zabawiła ludzi poczciwych w sposób przyjemny, a niewinny, to Lolo dopiął tego celu najzupełniej. dotychczasowe przedstawienia bowiem powiodły się znakomicie, a gra artystów miąnowicie zaś pana Dobrzańskiego w roli koropetytora, tudzież pana Kwiecińskiego w tytułowej roli była pełną werwy i humoru.

Podczas gdy miasto nasze, gdzie zapowiedzianem jest przybycie pani Artôt i innych jeszcze nieznanych nam dotąd, a europejską sławę posiadających wirtuozów rozkoszuje się „śpiewem i gędzeniem“, święci w Krakowie muza malarstwa swoje najpiękniejsze tryumfy. Dzięki uprzejmemu pośrednictwu książąt Czartoryskich pojawiły się tam bowiem na wystawie obrazów dzieła takich książąt sztuki jak Michał Anioł, da Fiesole, Rembrandt, Van-Dyck, Poussin i t. d. Znawcy nie dowierzają autentyczności wszystkich oryginałów, uchylają jednakże czoła przed temi płótnami, które chociażby tylko były po części kopjami, mogłyby jednak zawsze być ozdobą najpierwszych galerji, i zajmą miejsce w nowem muzeum Czartoryskich przy bramie Florjańskiej, wzbogacając i tak już bogaty Kraków drogocennemi klejnotami sztuki malarskiej.

Kiedy już mowa o malarstwie nie sposób tutaj przemilczeć, że obraz Matejki Bitwa pod Grunwaldem, nabyty został przez warszawskiego finansistę p. Rosenblum za cenę 40.000 rubli. Jak wiadomo wysyła mistrz nasz to najnowsze swe arcydzieło na wystawę paryską, zkąd prawdopodobnie Bitwa pod Grunwaldem do Warszawy wysłaną zostanie, w skutek czego spełzłyby nasze nadzieje oglądania tego, jak ze wszech stron zapewniają znakomitego płótna, w murach naszego miasta. Może jednakże mistrz nasz, nie zechce nas pozbawić tego widoku, i wyjedna u nabywcy zezwolenie aby dzieło to mogło być wystawionem w naszej stolicy, gdzie jak mu to zapewnie wiadomo każdy dzień wystawy prac jego do świąt uroczystych zaliczonym bywa.

Odczyt p. Spasowicza o Wincentym Polu i jego dziełach pojawił się więc nareszcie w Ateneum, i każdy się już dziś przekonać może jak niesprawiedliwemi były gwałtowne zarzuty z powodu oceny autora Pieśni Janusza, tudzież z powodu wrzekomo panslawistycznych tendencji przeciwko szanownemu prelegentowi wniesione. Można się nie zgadzać z zapatrywaniami p. Spasowicza, trudno jednak pisać się bezwzględnie na zdanie jego antagonistów, którzy w odczycie tym chcieli koniecznie dopatrzeć się jakiegoś zamachu na nasze narodowe świętości. Brak miejsca nie pozwala mi powtarzać ustępów przeciw którym główne zwrócono zarzuty, kulminujące w tem że szanowny prelegent rozbiór swój traktował po akademicku, i że zapomniawszy o tem, iż miał przed sobą mięszaną, a nie wyłącznie z uczonych i literatów złożoną publiczność, zamiast rozgrzewać studził zapał swych słuchaczów dla pewnego nie zbyt szczęśliwego, a przez Pola wyidealizowanego okresu naszych dziejów.

Cięższy daleko zarzut da się podnieść przeciw p. Spasowiczowi, z powodu iż opierając się na tendencyjnem przez Niemców popełnionem fałszerstwie faktów, powiedział iż Wit Stwosz nie był Polakiem, lecz Niemcem, podczas gdy nowsze w tej mierze, a wątpliwości żadnej nieulegające bo na niemieckich współczesnych świadectwach oparte badania, najdowodniej mylność tego twierdzenia wykazują.

Nie wypada mi tu przemilczeć w końcu o smutnym objawie, do którego dał powód odczyt p. Spasowicza, mianowicie zaś o haniebnym postępku pewnej części młodzieży warszawskiej akademji, która będąc zarażoną doktrynami moskiewskiego nihilizmu, ostentacyjnemi oklaskami witała każdy ustęp odczytu pana Spasowicza, w którym się jej podobało dopatrzeć tendencje z jej zapatrywaniami licujące, czego nawiasem powiedziawszy tam wcale nie było. Skarcona za to przez znanego humorystę Bolesława Prusa, posunęła się rzeczona część młodzieży do gwałtu napadając na ulicy swego oponenta, i znieważając go czynnie, a dowodząc w ten sposób najoczywiściej, jakiemi są jej pojęcia o wolności, do której naród prowadzić zamyśla. Jako pocieszający objaw zanotować mi tutaj wypada, że znaczniejsza część młodzieży warszawskiej akademji, zaprotestowała uroczyście przeciw temu niecnemu postępowaniu, tudzież że wszystkie warszawskie pisma, pomimo różnicy opinji, i panujących tam również antogonizmów, ujęły się gorąco za Prusem, i napiętnowały haniebny ten czyn, którego padł ofiarą, szlachetnem oburzeniem.

Włodzimierz Zagórski.

POKŁOSIE.

Księżyce Saturna. Do 11. Sierpnia z. r. uchodził Mars, świecący jak wiadomo jasno czerwonem światłem, za planetę bezksiężycową. Najbieglejsi astronomowie nie mogli najlepszymi dziś teleskopami dopatrzeć się przy niej towarzysza, któryby do księżyca naszej ziemi był podobny. W zeszłym roku było nawet położenie Marsa na niebie nadzwyczaj dogodne do postrzeżeń tego rodzaju, gdyż znachodząc się w „opozycji ze słońcem“ był tylko 5 milionów mil od nas oddalony i jaśniał wspaniale na stropie niebieskim. Mimo to tak wprawny obserwator, jak astronom d' Arrest w Kopenhadze, który celującym swoim teleskopem szukał umyślnie za księżycem tego ciała niebieskiego, nie znalazł go, chociaż z łatwością mógł jeszcze rozróżniać słabo świecące gwiazdy 17tej, a nawet 18tej wielkości. Dlatego w Europie ustaliło się było przekonanie, że Mars istotnie nie posiada księżyca, któregoby na ziemi widzieć było można.

Tymczasem w sierpniu z. r. telegraf podmorski przyniósł z Ameryki wiadomość, że profesor Asaph Hall w Washingtonie odkrył dwa księżyce tej ciekawej planety. Pierwszego ujrzał 11. Sierpnia i obserwował go następnie bez przerwy od 16. do 20.; drugiego zaś, bliższego tarczy marsowej, spostrzegł po raz pierwszy 17. sierpnia. Obserwacja ta udała mu się dopiero po zasłonięciu planety nieprzeźroczystym paskiem, umieszczonym w ognisku „Objektywy“ teleskopu.

Skoro się wieść o tém ciekawém odkryciu rozeszła po świecie, zaczęto je sprawdzać na różnych miejscach w Ameryce i Europie, idąc za skazówką Halla, iż światło planety przyćmić

należy w teleskopie, bo księżyce jej są bardzo małe i bliskie tarczy, zatem same słabo świecąc nikną w jej promieniach. Odleglejszego od tarczy marsowej widział Henry w Paryżu a Borelly w Marsylii dopiero we Wrześniu z. roku. Według obliczeń Newkomba księżyc bliższy, mniej niż 900 mil od powierzchni Marsa oddalony, wykonywa jeden pełny obieg w ciągu 7 godzin i 38$^1/_2$ minut; — odleglejszy zaś od Marsa, oddalony od jego środku 3000, zatem od powierzchni tylko około 2550 mil geograficznych — czyni to w ciągu 30 godzin i 14 minut. Obaj więc księżyce tej planety mają bieg bardzo prędki, co z resztą jest niezbędnie koniecznem, gdyż inaczej dla tak wielkiej bliskości od jej powierzchni spaść by na nią musiały. O rzeczywistej ich wielkości dziś tyle tylko powiedzieć można z pewnością, że są bardzo małe i zaledwie jedną milę geograficzną w średnicy mają, zatem masa obydwóch razem zaledwieby wystarczyła do podniesienia niżu podkarpackiego do wysokości kilkunastu stóp nad stan jego dzisiejszy. Okres czasu, miesiącem na ziemi nazwany i 29 dni, 12 godzin, 44 minut obejmujący, na planecie Mars zamyka się w nierównie ciaśniejszych granicach, bo dla pierwszego księżyca nieprzechodzi 8 a dla drugiego 31 godzin naszych.

Folblutowski dowcip. W ostatni wtorek ubiegłego karnawału odbyło się w pruskiej sali konwiktowej szlacheckie journeé. Rozumie się, iż wstęp dozwolony był tylko wysokiej arystokracji crême de la crême. Wstęp kosztował bagatelkę. Panowie sami płacili 50 fl. w towarzystwie damy 200 fl. aw. Bawiono się znakomicie. Gdy młody hr. Rummerskirchen chciał usiąść, młody hr. Thun pozwolił sobie bardzo płaskiego dowcipu, praktykowanego chyba przez rozpustnych żaków: odsunął bowiem krzesło. Skutkiem tego znalazł się hr. Rummerskirchen w bardzo niemiłem położeniu ku wielkiej jednak uciesze zgromadzonych hrabianek i baronówien.

Rozumie się, że pojedynek był następstwem tego pięknego żartu. Ponieważ rodzice pilnowali młodych paniczów, utrudniony im był wybór pola walki — przeto udali się obydwaj rycerze . . do stajni celem udzielenia sobie satysfakcji. Rezultat walki był następujący: hr. Rummerskirchen stracił cały palec, hr. Thun dostał po głowie. W ten sposób równowaga europejska została na nowo przywrócona.

Dahomejskie amazonki. Królewstwo Dahomeju, znajdujące się we wnętrzu Afryki, opisanem zostało bardzo barwnie i szczegółowo przez podróżnika Richarda Burtona. Pomiędzy innemi osobliwościami kraju tego wspomina on także o wojsku Amazonek. Armja dahomejska składa się z dwóch części, czyli skrzydeł. Prawe, starsze, złożone z mężczyzn zostaje ex officio pod wodzą tak zwanego „Mingana" będącego zarazem czemś w rodzaju pierwszego ministra do spraw zewnętrznych państwa.

Dostojnikowi temu w żeńskiej połowie armji odpowiada kobieta „Mingan" dowodząca amazonkami. Ma ona w pałacu prym przed swoim męzkim kolegą i pod jej zarządem są wszystkie wewnętrzne sprawy dworu. Znaczeniem rangi nie ustępują w niczem oficerowie żeńskich amazonek oficerom mężczyznom. Amazonki te są po największej części wysokiego wzrostu, cery brudno-czarnej, o fizjonomiach i budowie czaszki — murzyńskich. Część męzka wojska składa się z samych niewolników — a wszystkie amazonki są własnością króla. Pomiędzy męzkim a kobiecym placem ćwiczeń znajduje się przepierzenie z trzciny bambusowej, po za które pod ciężką karą żadna ze stron przejść nie ma prawa. Tak zwana „Dakro" czyli posłanka przynosi rozkazy królewskie kapitance, „Men" zwanej, która ze swojej strony udziela ich dowodzącej „Mingan" a ta całemu wojsku swych towarzyszek je ogłasza. „Dakro" spełnia swoje poselstwo, czołgając się na czworakach i w ten sam sposób przynosi królowi odpowiedź. Kapitanka królewskiej gwardji przybocznej nosi tytuł „Akata" a na głowie czapkę, podobną zupełnie krojem do czapki francuzkich kucharzy, z tą różnicą tylko, że nie jest czysto biała ale biała i różowa, przystrojona na przedzie dwoma krokodylami z błękitnego płótna, a z boków dwoma srebrnemi rogami. Jej adjutantka „Humbazi" ma srebną ozdobę na czole, nadającą jej podobieństwo do nosorożca. Bohaterki te, skoro tylko przejdą nieco za granicę lat młodocianych, nabywają natychmiast tuszy, tak, iż większa część tej kobiecej armji potworną prawie korpulencją się odznacza.

Każdy pułk ma swoją muzykę, składającą się z afrykańskich cymbałków, dwóch małych tamtamów, i czterech bębnów, na których bądźto pałeczkami, bądź wprost rękami dobosz takt wybija. Galowy uniform dam gwardji jest przyzwoity i wcale nawet strojny. Włosy ukryte są w ciasnej błękitnej lub białej siatce; a wyższą część ciała okrywa kamizela bez rękawów, różnorodnej barwy. Błękitne, różowe, lub żółte okrycie bioder sięga aż do kostek, przepasane w środku białą, z długiemi końcami szarfą. Z wierzchu zaś przychodzi jeszcze na to zrobiony na wzór europejskiego pas skórzany z patrontaszem. Oprócz tego, każda z tych bohaterek ma za pasem nóż, przypominający nieco rzeźniczy. Broń ich palna strojna w kwasty i wstążeczki i okryta od wilgoci ciasno przystającym futerałem z małpiej skóry, dochodzącym aż do otworu lufy. Te z nich, które noszą bagnety, mają błękitne tuniki i jako odznakę białe płaty na plecach. Również białe siatki i szarfy zdobią rękojeści mieczów. Każdy oddział amazonek, uzbrojony w dubeltówki, ma szkarłatne wełniane czapki. Wojownicze te niewiasty przechwalają się, mówiąc: „Już my nie kobiety — ale męże", co nie przeszkadza, że część męzka armji je lekceważy. Jako rzekomym małżonkom króla wzbronione jest amazonkom wchodzić w małżeńskie z kimkolwiek bądź innym związki.

Z historji rodziny bocianiej opowiada p. Röttiger w ostatnim numerze wybornego pisma „Die gefiederte Welt" następujące zdarzenie: „Rodzinne życie naszych na swobodzie żyjących ptaków przedstawia bacznemu spostrzegaczowi i lubownikowi przyrody wiele rysów rodzicielskiej miłości i przywiązania. O jednym z podobnych tutaj wspomnę. Na dachu stodoły majątku R. uwiła sobie para bocianów gniazdo i wkrótce wywiodła młode pokolenie. Gdy bocianki o tyle już podrosły, że mogły rozpocząć przygotowawcze do wielkiej wędrówki ćwiczenia lotu, wyprowadzały je codziennie stare bociany na powietrzną wycieczkę. Jedno tylko pisklątko, widocznie w skutek zbyt małych jeszcze sił, nie dało się nakłonić do latania z innemi. Skoro zaś nastąpił czas odlotu, pomknęły stare i młode

łańcuchem w daleką drogę — a mały niedołęga pozostał samotny i pozbawiony opieki. Widocznie przygnębiony i osowiały siedział przez dwa dni na gnieździe, i byłby niezawodnie dłużej już bez pokarmu nie wytrzymał, gdy nagle trzeciego dnia rano zjawiła się bocianicha, widocznie miłością macierzyńską na powrót przyciągnięta, pożywiła na wpół zagłodzone pisklę i po wielu wysileniach i próbach zdołała je wreszcie pociągnąć z sobą w powietrze za żywnością na blisko położone łąki. Ubiegło dni kilkanaście i bocianicha zniknęła znowu — a pisklę i tym razem w gnieździe pozostało. Dopóki jeszcze łąki dostarczały mu odpowiedniej żywności, młody bocianek robił po nią codzienne wycieczki, wkrótce jednak, widocznie zmuszony głodem, pojawił się na podwórzu, pomiędzy drobiem. Córka właściciela wsi próbowała, rzucając mu kawałki surowego mięsa, pozyskać jego przyjaźń — i w krótkim czasie udało się to do tego stopnia, iż długodzióby gość brał pożywienie z jej ręki i nie płosząc się, głaskać a nawet do domu wnosić się dawał. Tak przeszło kilka tygodni i mały niedołęga wyrósł na tęgiego chłopaka. Wnet też zaczęło mu widocznie życie w naszym klimacie nie smakować i korzystając z pierwszej sposobności, przyłączył się do płynącego łańcucha żurawi i z niemi pod cieplejsze poleciał nieba. Czy dobrze przyjęli członka obcej rodziny żurawie w wędrówce, nie wiadomo; — ale czy doleci on do drugiej ojczyzny swojej i czy do pierwszéj powróci — o tém z łatwością dowie się tego roku jego młoda opiekunka — bo go podczas karmienia we dworze naznaczyła.

Niesmaczne paszteciki. Jedna z Bazylejskich gazet pisze... Zdarzył się tu wypadek kradzieży bardzo humorystycznego rodzaju. Jakiś przyzwoicie ubrany młodzieniec przeświadczył się przed wystawą składu sukien, że dostać w nim można eleganckich i ciepłych okryć wiosennych po 75 fr... Przeczytawszy to, sprytny młodzieniec namyśla się przez chwilę — a następnie udaje się do sąsiedniej cukierni i zamawia na oznaczoną godzinę dla sprawienia biednym dziatkom uciechy, 75 pasztecików. Po takim prologu zaś zacny ten przyjaciel dziatwy skręca z cukierni do składu sukien i wybiera sobie w nim upatrzone na jego wystawie okrycie; ponieważ jednak nie ma pieniędzy przy sobie, prosi kupca, aby kazał nabytą przezeń okrywkę zanieść za nim do domu chłopcu ze sklepu, a on mu zaraz brzęczącą monetą zapłaci. Kupiec chętnie się na to zgadza i wysyła chłopca za młodzieńcem, który podąża do znajomej nam już cukierni. Tu wszedłszy, bierze spokojnie eleganckie okrycie z rąk chłopca na swoją rękę i rzuciwszy sprzedającej dziewczynie słowa: „Dajże temu chłopcu tych 75!“ wychodzi i niknie. Można sobie wystawić zdziwienie chłopca od krawca, któremu dziewczyna z cukierni wręcza 75 zapakowanych pasztecików i większe jeszcze jej zdziwienie, gdy chłopiec żąda od niej 75 fr. Porozumienie wreszcie pomiędzy nimi nastąpiło — ale filut już był daleko!

W uściskach polipa. Wspominaliśmy niedawno na tem miejscu o tych straszliwych potworach morza, które nazywają polipami i opowiadaliśmy schwytanie i umieszczenie jednego z nich w nowojorskiem akwarjum. Obecnie donoszą gazety amerykańskie o nowym wypadku stwierdzającym istnienie tych monstrów i groźną ich szkodliwość. Oto w Wiktorii w Kolumbji 27. sierpnia przeszłego r. kąpiąca się w morzu dama wyższego towarzystwa, schwycona przez jedną z olbrzymich atramentnic (sepja, polip), pociągniętą została w głębie — z których nazajutrz nurki po rozcięciu ramion chwytnych zwierzęcia, trupa nieszczęsnej wydobyli.

Błękitna barwa i napady gwałtownej furji. Przed kilku laty obiegała po wszystkich pismach codziennych wieść, że na chorych umysłowo wpływa w sposób leczący, jeżeli się ich w pokoju z błękitnemi szybami trzyma. Szczególniej zaś, jak zaręczano, furjaci pod wpływem błękitnych promieni natychmiast uspokajać się mieli. Wiadomość tę, pochodzącą z Włoch, ogólnie wówczas uważano za dziennikarską kaczkę. Że była jednak w tém podstawa dowodzi okoliczność, iż w październikowym z zeszłego r. zeszycie pisma „Review of Mental Science“ ogłasza dyrygujący zakładem obłąkanych w Maidstone w hrabstwie Kent Dr. Davies, że udało mu się w ciągu ostatnich lat znaczną ilość furjatów wyleczyć błękitnemi szybami w oknach — i że ten sam środek zastosowany do różnych rodzajów obłędu zadziwiająco zbawienny wpływ wywarł na nie. Wpływ błękitnego światła na chorych okazywał się już trzeciego dnia po umieszczeniu ich w błękitnym pokoju. Lubujący się w nieporządku obłąkani poczynali się domagać wody do mycia, czego nigdy pierwiej nie czynili i dziwili się wielce, że są tak brudni. Furjaci, rozbijający wszystko naokoło siebie, uspokajali się i łagodnieli do niepoznania; histeryczne dziewczęta chore na osłabienie władz umysłowych i na kurcze, wzmacniały się i pozbywały tych ostatnich przypadłości w błękitnym pokoju. Dr. Davies zrobił nadto jeszcze to osobliwsze spostrzeżenie, iż zwykle trzeciego lub czwartego dnia, chorzy umieszczeni w pokoju błękitnym użalali się na mocny ból głowy, co jednak prędko przemijało — a wraz z tym symptomem zaczynał się wyraźnie zwrot pomyślny w chorobie pacjenta. „Ausland“, z którego tę wiadomość czerpiemy, dodaje, że od pewnego czasu już i w Niemczech a mianowicie w Erlenmeyera zakładzie obłąkanych w Bensdorf pod Koblencją, wprowadzają w użycie pokoje o oknach z błękitnemi szybami. Probę w tym kierunku polecalibyśmy gorąco i naszym zakładom dla obłąkanych.

Lakonizm. Zwięzłość mowy była jak wiadomo wielce przez starożytnych cenionym pzzedmiotem, — mianowicie zaś posuwali Lacedemończycy przedmiot ten do najwyższego stopnia, i od ich to nazwiska wzięła zwięzłość mowy swoje miano „Lakonizm“ które i dziś używanem bywa. Przykładów lakonizmu dostarczają dzieje Sparty, — nie myślimy ich tutaj przytaczać, gdyż są one powszechnie znane. Atoli wszystko w tej mierze przewyższa korespondencja dwóch Amerykanów, z których pierwszy bawiąc w Europie przesłał swemu koledze w Bostonie list nie zawierający nic oprócz znaku: ?

Miało to znaczyć: Co tam słychać nowego? Dowcipny kwakier domyślił się znaczenia tego lakonicznego zapytania, i odpowiedział nie mniej lakonicznie, list jego bowiem nie zawierał nic krom znaku: o t. j. zero, czyli: „Żona twoja i dzieci cieszą się dobrem zdrowiem, gospodarstwo twe jest w najlepszym stanie, słowem nie ma u nas nic nowego!“

Szlachcicowi z nad Ikwy. Z powodu spóźnionego nadesłania odpowiedź na list pański umieszczoną będzie dopiero w następnym zeszycie.

Kącik humorystyczny „Strzechy“

Przedmioty

przeznaczone na wystawę paryską przez redaktora „Kącika“.

Dział artystyczny

1. Jeden rocznik „Publicysty“ czyli „Koran galicyjski; zawiera modlitwy na każdy dzień roku, co dzień do innego patrona.
2. Przyszłość. Krajobraz w bardzo ciemnych kolorach wykonany przez Teraźniejszość.

Rękodzieła.

3. Placek polityczny. Wyrób trzydziestoletniej pracy naszych politycznych proroków. Wewnątrz niebieski migdał zwany programem.
4. Laska służąca do podpierania tym, których Nemezis dziejowa z nóg wali. Dzieło narodowego tokarstwa; arcymisterny wyrób z chwiejnej krajowej trzciny, która się na nic innego przydać nie może jak tylko na podpórki.

Część ciężko naukowa.

Wydział filologiczny „Kącika“ konstatuje w sprawozdaniu z III swego posiedzenia właściwość pewnych przymiotników, które położone dla bliższego określenia przy rzeczowniku, zmieniają zupełnie jego naturę nawet pod względem gramatykalnym, jako to:

Galicyjski — a — e. Przymiotnik ten zmienia naturę wielu rzeczowników na wykrzykniki. N. p. jeżeli powiemy „galicyjski rozum stanu“ to ujrzymy że wyrazy „rozum stanu“ stają się wykrzyknikiem, nie mającym żadnego znaczenia.

Prasowy — a — e zmienia naturę niektórych wyrazów na przymiotniki, lub inne słowa. N. p. jeżeli powiemy „prasowe prawo“ to rzeczownik „prawo“ stanie się przymiotnikiem, dającym się stopniować za pomocą oznaczania miejsca jego działalności. I. stopień prawo prasowe w Ameryce, II stopień w Wiedniu, III w Galicji. Prasowe procesa. Rrzeczownik proces staje się stósownie do oznaczonego miejsca częstotliwym czasownikiem.

Podsłuchane.

— Wiesz co? żenię się!...

— Z pewnością?...

— No, interes na wpół skończony...

— A winszuję, winszuję!.. No, ale powiedz że jak to na wpół skończony?...

— Widzisz tak!... Ja chcę,...

— No, a ona?...

— Ona?... to co innego!,. Ona nie chce!

— Jak to, wszak mówiłeś że interes na wpół skończony...

— Właśnie dlatego... Skoro ja chcę, a ona nie chce, to interes na wpół skończony.

Stare przysłowia z całkiem nowem podszyciem.

Bliższa kasa kieszeni, niż moralne skrupuły
Joannes (Lolo Bébé) Rex

Gadu, gadu a Moskale w Stambule
Achmed Veffik basza

Zarobił jak Austrja na trójprzymierzu.
Cis et Trans

I kociuba ma serce, bo jak kto na nią nadepce, to bije.
Karol rumuński

Mądry Rumun po San Stefano.
Bratiano

Tonący i Austrji się chwyta.
Bośniacka deputacja

Jak Moskwa Rumunom, tak Rumuni Moskwie.
Ghika

Obiecał Moskal kożuch, ciepłe słówko jego.
Milan serbski

Nix zu handeln?
Bismark

Megai batiar, pokim dobry
Lord Salisbury

Nie trza piasku
Gorczaków

Nie kijem, to pałką — nie czcionką to rewolwerem.
Moskiewscy nihiliści.

Zadania matematyczne.

Pytanie: Wieleby potrzeba koni, ażeby Austrję wyciągnąć z prowizorjum, skoro dwa ministerstwa nie są w stanie tego uczynić?...

Moja przygoda

zdarzenie prawdziwe.

Powieść.

Kilka dni temu w nagłej potrzebie sięgam do kieszeni od kamizelki, lecz zamiast pieniędzy znajduję dziurę. Radość moja nie miała granic, gdym sobie przypomniał, że pieniędzy w kieszeni nie miałem, byłyby bowiem nieochybnie wyleciały.

Epilog.

Dziurawą kamizelkę przesłałem Towarzystwu archeologicznemu we Lwowie, do zdania opinji w jaki sposób możnaby ten starożytny zabytek do pierwotnego przyprowadzić stanu.

Hrabia Toto.



Lwów d. 14. kwietnia 1878.

Nudy, nudy i jeszcze raz nudy mój kochany Zyziu! Oto wszystko, co Ci donieść mogę z naszego bruku. Karnawał minął nie przyniosłszy żadnego większego skandaliku, — post kończy się nie urodziwszy żadnej ploteczki, a nadchodzące kursa nie rokują także lepszych nadziei. Vrai mon cher c' est assomant! ale Lwów zaczyna chorować na moralność!... Jedynym tematem rozmów jest pielgrzymka do papieża, jedyną rozrywką jest msza w kaplicy Ś. Józefa trés bien portée w tej chwili. W kasynie wieje jakaś woń zakrystyjna, nie przymierzając tak jak u was w Krakowie, tylko że wy macie więcej rozumu, i nie zaniedbujecie przytem quinze'a, szampana i truflowych pasztetów tak że djabeł nic na tem nie traci... Wystaw sobie że i panna Lala zaczyna chorować na świątobliwość. Wczoraj namawiała mnie i to na serjo, bym wstąpił do Towarzystwa Śgo Wicentego à Paulo... Nie długo jeszcze, a Panie nasze zaczną zażywać tabakę, i perfumować się mirrą i bursztynem. Komu się ten szyk podoba, to i owszem, co do mnie to przyznam Ci się, że nie lubię flirtować z osobą, która ma różaniec za pasem, i że rozkosz sama traci w oczach mych urok wszelki, jeżeli uwerturę do niej mają stanowić godzinki, a epilog nowenna...

Nudzę się więc mój drogi, nudzę na zabój, i jeżeli tak dłużej potrwa, to sobie w łeb strzelę, lub co na jedno wychodzi, wstąpię do stanu małżeńskiego; kto wie możebym już był zrobił to głupstwo, gdyby grypa mej ciotki, i podagra mego wuja nie była odżywiła mych nadziei... Ach, mój drogi, co to za męka, faire mauvaise mine a bon jeu!... a jednak zmuszony jestem robić to co dnia, ze względów na przyzwoitość... W gruncie rzeczy, kiedy już starość tyle jest dolegliwą, to lepiejby było gdyby się cierpienia stryja mego i ciotki raz już skończyły... Im było by lepiej, a jabym nie miał powodu się uskarzać..., będzie czem sobie oczy obetrzeć!... Wtedy porzucę ten nieznośny Lwów i tę nudną Polskę, a osiędę w Paryżu lub w Wiedniu... na dewocji.

A propos! czytałem w dziennikach (powtarzam czytałem w dziennikach, możesz z tego wnosić jak się nudzić muszę) że Staś zbiera laury, prelegując w Warszawie o Panu Tadeuszu... Winszuje, ale przyznam się, że tego szyku nie rozumiem wcale... Dopóki złościł ulicę swojemi paradoksami, można mu było darować jego ekstrawagancje, ale teraz to wcale już nie rozumiem jego postępowania. Przyznaj mój drogi, że po za stajnią i turfem a w najgorszym razie po za kulisami, nie ma miejsca dla dżentelmana. Ściskam Cię serdecznie. Twój Toto.

P. Amfion Kulita.



Wieszczenia tego znakomitego poety opuszczą niebawem prasę p. t. E pur si muove po polsku: Piszczę, a więc żyję!... Z monumentalnego dzieła tégo pozwalamy sobie wyjąć następujące utwory:

Z piosnek tabaczkowych.

Wstęp

W trąbę przez Laurę puszczony
Liryczną dosiadam szkapę,
I niosę piosenki wam wonne,
Jak Sanspareil albo Rapée.

Piosenki to tabaczkowe,
Z bolów mych snute pamięci;
Każda z nich tak jak tabaka
Pewno wam w nosie zakręci...

A gdy wam z oczu łzy trysną
Jak zdrój co z ziemi wnętrz bucha,
Już nie powiecie że śpiew mój
Tabaki nie wart jest niucha.

Do Laury

gdy zdradziwszy mnie, pojechała z Foniem Pigułką na majówkę

W mojej pięknej, śpiewnej duszy
Dzika huczy kakofonja;
Ach, bo Laura mnie rzuciła, —
Ach, rzuciła mnie dla Fonia!...

Dwa tygodnie mnie wodziła
Na uśmiechów swoich pasku;
A dziś — z Foniem pojechała
Na majówkę — hen! — do lasku!...

Ha, przekleństwo!.. Szumcie wiatry!
Grzmiej ulewo, — niech do nitki
Deszcz przemoczy tę okrutną
Za jej z sercem mojem zbytki!..

II.

Nad mem pięknem, jasnem czołem
Wiszą nieszczęść stalaktyty;
Gromy leją się wężami
Znacząc piętnem skroń Kulity.

Tak jak jajo, gdzie prócz żółtka
I prócz białka się nie zmieści
Nic już więcej, — tak me serce
Pełnem łez jest i boleści....

Próżno woni walerjana
Próżno stuka dzięcioł w kniei;...
Nie masz miejsca w mojem sercu
Dla rozkosznych snów nadziei!...

Wydawca i odpowiedz. za redakcję F. H. RICHTER.

Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



9

AURELIAN.

Powieść z czasów cesarstwa rzymskiego przez Wojciecha Dzieduszyckiego.

J. I. Kraszewskiemu w jubileuszowym Jego roku ze czcią składa autor.

(Ciąg dalszy.)

„Jak chcesz, każ mnie porwać żołnierzom twoim; każ mnie znieważyć! Panem jesteś. Rzym, wiem, niezna dziś cnoty i wiary, a tyś Rzymianinem. Ale dawniej tam u was w Italii, słyszałam, umiała się zabić Lukrecja żona Kolatyna, gdy ją znieważano. I dziś Antka potrafi umrzeć z głodu wśród twoich straży, by ujść hańbie. Tylko tamta uwolniła swoją ojczyznę, ja mojej biedna nieuwolnię, i Roma podparta twojem ramieniem będzie dalej ciężyć na świecie, jak zmora!"

„Czy to już wszystko?" spyta Aurelian.

„Wszystko."

„Niezmienisz odmowy?"

„A Izyda Egipska mnie obroni. Wszak i ty jej się lękasz! Mściwa to bogini!"

Coś zagrało na twarzy imperatora. Odwrócił się, wyszedł z domu i ogrodu, zawołał legatów, i nie pożegnawszy się z nikim odjechał do Castrum Gaudji po nocy. Goście szepcąc rozeszli się i rozjechali, Świętosz chodził trąc czoło po sadzie, Dzięcioł stał u drzwi jadalni.

Potrwało chwilę. Pochodnie, kagańce, lampy gasły jedna po drugiej. Księżyc schodził za borem stary już, a noc jesienna była cichą jak grób. Krasa weszła do jadalni blada z czerwonemi od płaczu powiekami: „Mężu", rzekła „bądź dobrej myśli! Nic mi się niestało; obroniła mnie Izyda od Aureliana. Gdyby nie, nie ujrzałbyś mnie już. Byłabym się zabiła, i poszła do krainy zagrobowej gotować dom dla ciebie".

„A mam li ci wierzyć?" spytał mąż. „Czy mogą demony bronić od huci? Czy mogą przysięgi strzedz ciebie?"

„Nie wierzysz?.. Więc cóż mam uczynić? Do grobu iść? Może tam lepiej?"

„Nie, kobieto! Żal mnie byś poszła do grobu. Żal, byś w noc weszła wieczną skłamawszy, zkalana. Żoną moją nie będziesz — kochać już ciebie nie mogę — jako mąż. Ale od śmierci wiecznej wybawić muszę. Nam już nic niezostaje tylko świat porzucić. Dla ciebie nie masz już małżeńskiego łoża — na wieki!"

„Cóż to?, chcesz bym znowu poprzysięgła Niji?"

„Może taką kłamaną czystością jak twoja zadowolni się kłamana bogini twoja. Wiem dlaczego mnie karzą Eony, dlaczego mnie wielki Manes [1]) porzucił, dlaczego Fanes [2]) już nie chce płonąć dla mnie. Popadłem w moc Demiuga [3]). Nie śmiałem powiedzić żem Manicheusz, i aby ciebie poślubić ofiarowałem bogom ciemności, bogom złym, bogom waszym. I oto jest kara. Niemam żony, stoi przy mnie kłamiąc, porzucona, jednodniowa oblubienica

[1]) Założyciel religijnej sekty Manicheuszów.

[2]) Fanes, bóstwo Manicheuszów.

[3]) Robotnik świata i zły duch.

Cezara. Nawróć się na moje wołanie! Tobie pierwszej tu wyznaję, żem w Bizancyum poznał prawdę głoszoną przez Manesa, którego Chrystus zesłał, którego niebieski Fanes oświecił, a który jest większy od Chrystusa. Gdy chcesz być zbawioną, słuchaj mnie! A potem pójdziemy razem świadczyć Manesowi. Poszukamy śmierci dla Manesa, i krwią okupimy grzechy nasze. I tobie może jeszcze będzie przebaczono, żeś nierządnicą się stała! ale słuchaj!"

Krzyk wielki, krzyk rozpaczliwy wyszedł z piersi Krasy, i pobiegła szlochając do pokoju swego, paść przed posąg Niji. Dzięcioł wyszedł na ogród i patrzał na księżyc, mrucząc: „Daruj księżycu srebrny, żem z obawy krył się z nauką Manesa! Daj niech zginę, i niech po śmierci stanę przy wężu, do walki ze stwórcą świata, niech będę jednym ze zbawczych duchów, co ciało niszczą! Oto gotów jestem; uczynię pokutę!"

III.

Karzeł klęczał w namiocie królowej, i trzymał nieruchomie nad głową szachownicę, a królowa grała z Aurelianem w szachy. Cesarz grał źle, i raz poraz dostawał mata. Galienus i Dioklecjan siedzieli przy drzwiach. Galienus przypatrywał się jakiejś abrakadabrze Chaldejskiej, jakimś czarodziejskim zygzakom, a Dioklecjan sparł ręce o stół, a głowę o ręce i podobnoś spał. Małpa siadła w głowach Zenobii i wykrzywiała się, biała sarneczka skubała trawę gdzieś w kącie, a papuga milczała jak milczyć powinna w obecności cezara. Zresztą niewolników i niewolnic nie było w komnacie.

„Orle mój zapomniałeś grać w szachy i zapomniałeś o Gotach" rzekła królowa, „czy długo jeszcze będziemy tu drzymać w Castrum Gaudii. Tęskno mi już do Italii."

„A niech tam Jowisz Gotów zgubi!" O odparł imperator. „Mnie o nich nie czas myśleć".

„To chyba Pizo źle widział", zawołała Zenobia patrząc uważnie w Aureliana. „Tyś taki tęskny, lwie mój, jakbyś był zakochany na prawdę. A Pizo mi mówił, żeś głód swój lwi nasycił. Pocóż tedy spuszczasz głowę, czemu nie wstrzęsiesz grzywą, nie podskoczysz, nie zaryczysz i nie pobiegniesz na łowy — na ludzi?"

„Albożś Pizona uczyniłaś szpiegiem przy mnie?" Spytał Aurelian zwracając szybko głowę.

„Wielkie słowa z twych wielkich ust wstają, imperatorze! Szpiegiem, mówisz; zaraz szpiegiem! Tak, przyznaję, prawda, gdzie mnie niema, gdzie sama ciebie nieśledzę, tam za mnie patrzy Pizo. To także oko moje. Uczyniłam Pizona źrenicą miłości mojej, co ciebie ściga, i ciebie śledzi, i patrzy za mnie. Wybiegła z powieki źrenica owa na skrzydłach mojej miłości".

„Wy Syrejczycy, Grecy, Rzymianie", zawołał Cezar, „mówicie o miłości, wiecznie każąc słowo, którego treści nieznacie. Anakreont myślał że miłość uśmiechem, Owidjusz że westchnieniem tylko. A wy dziś już wcale nie wiecie, czem jest ona. Spiskujecie, zdradzacie, gonicie za groszem, za żółtem złotem, za władzą, za czczością, za zemstą i mówicie, że to miłość. Na Wenerę, proszę, nie mówcie mi już o niej!"

„Aurelian na prawdę zakochany," podjęła Zenobia prędko, „Pizo kłamał, prawdę mówiła papuga. Wszak, Aurelianie wstydź się, że pójdziesz w służbę u tej wieśniaczej Omfali. Stopę ci na kark nałożyła? Czarem cię oczyniła, gdyś z nią rozkoszował sam na sam przerwawszy śluby".

„Rozkoszował? Przerwał śluby? Sama nie wiesz co mówisz! Milcz, jako rozkazałem!" I uderzył Cesarz ręką w szachownicę, że aż piony i króle podskoczyły. Uderzył, a drugie uderzenie padło na pole gry wnet po Cesarskiej pięści — i oto — głowa trupia legła wśród powywracanych figurek, i patrzała czarnemi jamami w oczy Aureliana. Zenobia krzyknęła ze strachu.

Decyusz stał w czarnej todze u wejścia namiotu. On to cisnął był trupią głową na imperatora, on to przeraził Zenobię, małpę, sarnę i papugę. Był podobny do nieboszczyka wskrzeszonego sztuką Apolonyusza z Tyany, albo jakiego innego Maga.

„Szkoda" rzekł nieruszając się z miejsca, „żem nietrafił cię w głowę. Byłbym świata koniec przyspieszył może, bo twoja tylko ręka wstrzymuje barbarzyńców, co mają Rzym w rumowisko zamienić. A byłbym się pomścił za hańbę żony, i za Manichejczyków, których zabijasz wraz z katolickimi kacerzami, co czekają aż śmierć do nich przyjdzie, a sami nieszukają śmierci.

Tak mówił. Aurelian zerwał się był w gniewie, na prawdę do lwa podobny. Galienus i Dioklecyan chwycili szaleńca za ramiona, i dobyli mieczów. „Co mamy czynić?" Spytał Dioklecyan.

„Nie zabijajcie go; on tylko tego chce!" Syknęła Zenobia, „inne trzeba męki wymyślić na takich jak on zbrodniarzy".

Miecze dobyte czekały. Aurelian nie dawał znaku, i miecze się nieruszały. Decyusz — Dzięcioł krzyczał niecierpliwie: „Dlaczegoż nie zabijacie? Dlaczegoż czekacie? Mnie spieszno na tamten świat między anioły, a Aurelian dawno przebrał miarę nieprawości swoich. Jeżeli trzeba na to bym umarł, będę bluźnił Jowiszowi Kapitolińskiemu. Podajcie mi posąg jego a plunę mu w twarz. Niejestem ja katolikiem i nie czekam aż śmierć przyjdzie do mnie! Nie jestem ja gnostykiem i nie kocham życia. Krasa jak latawica wleciała w objęcia twoje, całowała cesarskie usta twoje. Potem chciała pełznąć przedemną. Odepchnąłem ją".

„Nie zabijajcie! Niegodzien waszych mieczów szaleniec ten!" Zawołał Aurelian wyprostowany, „bez sądu nie ginie obywatel rzymski, jak długo Aurelian z łaski bogów

panuję. Nie jestem przecie Komodem ani Karakalą. A ten niegodzien nawet kata.“

I zbliżał się Aurelian wielkim krokiem do szaleńca, stanął tuż przed nim, założył ręce na pierś, spojrzał mu w oko, a wzrok miał tak podobny do błyskawicy, że oko Manicheusza nie mogło wytrzymać wejrzenia. Decyusz — Dzięcioł spuścił głowę.

„O fatum przeklęte!“ Krzyknął Aurelian wielkim głosem, „co dałaś Krasę w takie ręce! Życie, co tu wśród śniegów trwa jeszcze w cnocie i prawdzie, takie jak wyszło z ręki bogów nieśmiertelnych, w ręce tej śmierci chodzącej, opętańca tego co ukochał najszaleńszą wiarę, która jest głupstwem dla Rzymianina, kacerstwem dla Nazareńczyka, śmiechem dla Żyda! I pocóż tobie było brać tę Krasę, co biała jak śnieg na górach, gdy nie umiesz rozpoznać światła od ciemności? Ona mnie odepchnęła, a ciebie kocha! Miecza niedostaniesz za to, krwi niewylejesz za to, bo chcesz miecza i krwi; ale masz oto ten policzek!“

Imperator ze wszystkim się zapomniał. Zenobia i Rzymianie widzieli chyba przed sobą prostego żołnierza, co uderzył dużą ręką twarz Decyusza tak, że aż krew się po niej polała. Znano te gniewy Aurelianowe, ale Zenobia śledziła zwycięzcę swego wzrokiem gadziny.

„Prowadźcie go do więzienia!“ Zawołał Aurelian, i zatoczył się na kobierzec. Więźnia wyprowadzono, a Cezar leżał na piersi na ziemi i milczał. Zenobia czekała czas jakiś i odeszła wreszcie do innej części namiotu. Kazała przywołać Pizona a siadłszy przed krągłem zwierciadłem stalowem poprawiała barwę na twarzy.

Pizo stanął przed królową. „Źleś mi zdał sprawę z owego wesela u Sentesa“ rzekła.

„Jak to źle?“ Zaklinał się Pizo. „Mówiłem ci wszystko co widziałem, a widziałem wszystko co trzeba było, bo mam wzrok dobry. Podsłuchałem nawet jak Sybaris stary i Saboris młody, czy jak ich tam nazywają, coś na Rzym wyrzekali. A gdy Aurelian sam pozostał z Krasą oblubienicą Decyusza, byłem tak śmiały że podsłuchiwałem. Ale nic nie słyszałem, tak prędko się poddała. Tylko Decyusz się odgrażał na Zamolxisa proroka Getów, Daków i Antów, którego tak wymawiają, że niech Jowisz mnie zgubi, jeźli powtórzyć potrafię! Sentes podobnoś rad nawet, że Cezar raczył się z córką pieścić.“

„Pleciesz“ zawołała zniecierpliwiona Zenobia, „pleciesz a pleciesz, a zarozumiały jesteś gorzej od kobiety. Nic nie widziałeś głupcze! W tem jest tajemnica jakaś. Mnie tam trzeba było!“

„Ależ królowo!“

„Zawsze mam złe sługi! Przez złe sługi straciłam Palmirę, bom sama przecie rozumniejsza od Aureliana! Przez złe sługi stracę teraz Rzym co już, już ma wpaść do mojej ręki! Sięgałam poraz wtóry po berło świata, i miałam ciebie posadzić u stóp tronu a przez ślepotę twoją nic z tego nie będzie. Lepiej by mi papuga służyła. Powiadam ci, jest w tem tajemnica jakaś! powiadam ci, on się w Krasie szalenie kocha! Powiadam, ona się oparłą Cezarowi! Nie zapieraj się, nie przecz! ja wiem!“

Wstała była królowa, wyciągnęła wielki krągły wachlarz z piór pawich ku Pizonowi, zmarszczyła brwi, i puknęła nogą. Znać w niej było panią.

„Jak długo się będzie opierać tak długo będzie ją kochał Aurelian. Odwróci się odemnie a nadzieje nasze przepadną. Ale bogi się zlitowały, a gwiazda moja co zgasła u Wschodu, zajaśnieje jeszcze nad zachodem! Decyusz mąż jej, ślepy jak ty, zazdrośny, bezrozumny jak mężczyzna każdy, wpadł tu, nastraszył mnie, ciskając na mnie trupią czaszą, bluźnił Cezarowi, i krzyknął że nieuznaje Jowisza Kapitolińskiego. Jest Manicheuszem, Chrześcijaninem, Chaldejczykiem czy czemś podobnem. Jest w więzieniu a jutro czeka go topór! Krasa go kocha, wiem o tem, i dla niego wzgardziła Aurelianem, głupia! Co wiem, wiem! Ty nie przecz, a słuchaj! Idź do Krasy, powiedz jej co się stało, powiedz, że w jej ręku życie męża, że Aurelian czeka w nocy w swoim namiocie — już wiesz co powiesz. Niech Aurelian ją posiędzie a sprzykrzy mu się jak ciasto zaprawne Indyjskim cukrem—sprzykrzy się łakomemu dziecku gdy się objé. A ona wszystko zrobi dla męża, choć ją mąż wini niesprawiedliwie, i choć ją odepchnął. Znam ja już żony takie, choć na gwiazdę moją klnę się, że nie rozumiem!“

IV.

Choć to był Wrzesień, mogło się zdawać, że nastało lipcowe popołudnie, tak ciepło było i słonecznie. Kaczki szeregiem szły przez łąkę zieloną nad stawem, a Krasa sama siadła tam, gdzie niegdyś przed laty siadywała z Bojanem. U stóp jej był cichy drzemiący staw, na którym lilie wodne ścieliły wielkie, płaskie liście swoje, i cicho było w powietrzu jak w grobie. Krasa spuściła głowę smutna na pierś i myślała o minionych dawno latach; ani dziewicą nie była, ani żoną niczyją — porzucona, znieważona, choć czysta. I dla kogoż to wszystko cierpiała? Dla męża? czy dla przysięgi? czy dla obyczaju? Nie dla Decyusza przecie, bo Decyusz — Dzięcioł niewart był i kraju szaty przemienionego Bojana — nie dla przysięgi i obyczaju, bo mąż jej jednodniowy deptał po bogach, co przysięgi słuchali i obyczaj dali.

Słońce świeciło na niebie, białe chmurki goniły wesoło przed wiatrem, kwiaty kwitły i motyle po kwiatach siadały, i nic się niezmieniło, tylko śmierć siadła w sercu Krasy; — Nic się niezmieniło — nic! Jesień taką była dziś jak przed czternastu laty—tylko Bojan został Rzymianinem.

I Zabór młody stanął nad stawem. Słońce złociło mu głowę, bo gdzieś czapkę odrzucił, bose nogi świeciły wśród ciemnej trawy, biała koszula płonęła w słońcu.

Przyszedł, sam nie wiedział po co — i patrzał na Krasę. Niegdyś była dlań bóstwem które ukochało pacholę, tak jak bogów kochała — a dziś? a dziś? Czy Zabor sam wiedział co do niego serce mówiło? Milczał przed sobą, zamknięty i przypieczętowany przed sobą samym pieczęcią tajemnicy. I cicho było na ustach obojga, jak w dniu wrześniowym.

Nareszcie wrona jakaś lecąc, stanęła nad głową Krasy, uderzyła kilka razy skrzydłami i zakrakała. Wstrząsł się Zabor zabobonnie, i rzekł mimowoli — „Kraso!“

Ona spojrzała na niego, i odwróciła oczy, i patrzała dalej bezmyślnie w wodę stawu. I znów nastało milczenie, bo Zabor nie wiedział, co przed chwilą mówić chciał.

Nareszcie słowa wyrwały się Zaborowi. Myśl dopiero za niemi goniła, i słów dogonić nie mogła:

„Kraso, kapłanko Niji!“ Zawołał, „to być nie może, to być nie może, by prawdą było, co mówią o tobie. Tyś święta taka, i hoża taka! Gdym patrzał na ciebie, pieśń słyszałem, co wzywała do pomsty i boju przeciw Rzymianom. A miałże ciebie oćmić blask, co bije od Rzymianina korony? I czyż może tobą gardzić mąż twój z prawem? Powiedz! O powiedz kapłanko Niji; najpiękniejsza! Myślałem że Aurelian wyjdzie z domu Świętosza zabójcą tylko. Myślałem że umrzesz a nie ulegniesz; myślałem że Anci poprzysięgną pomstę nad twojem ciałem, maczając rękę w krew z rany którąś sobie sama zadała. A ty żyjesz, Kraso! Czyż Antów miałabyś uczyć podłości Rzymskiej, cudowna!“

Wstała, gdy mówić skończył. Wztrząsła włosem. Mogło się wydać że nie słyszała. Odwróciła się i chciała iść do dworu ojca — ale zadrżała, stanęła znowu — spojrzała na Zabora — i rozpłakała się w głos!“

Zabor przypadł jej do stóp, i całował stopy i ręce: „Przebacz! przebacz! Tyś niewinna, nieskalana jak ogień święty, a jam bluźnił; język sobie wyrwę! Nie będę się już pytał. Uwierzę że Perun albo Nija cud jakiś zrobili, by obronić ciebie—pytać nie będę, a pomszczę się! Słuchaj, Kraso! Wiem już jak podłym był przy tobie ów cesarz— Aurelian! Wiem że dlatego tylko niedokonał zbrodni, bo zląkł się ciebie jak tchurz. Wiem że godzien hańby, plwania, śmierci! Zginie pies Rzymski z ręki Anta młodzieńca? Pomszczę cię, Kraso!“

Mówiąc, trzymał Krasę za szatę. Teraz wydobył z poza szerokiego rzemiennego pasa nóż wielki, obosieczny, i nożem błysnął. „Kraso!“ mówił coraz namiętniej, „Błogosław temu nożowi, bo na Świętowida mściciela, i Czernoboga strasznego klnę się, nóż ten zabije — cudzoziemca, najezdcę podłego, wroga twego — Aureliana!“

Krasa krzyknęła, wyrwała nóż z rąk Zabora, i zawołała. „Samo nie wiesz co mówisz dziecko! Chciałbyś być takim jak on, a przeklętym będziesz na wieki, gdy zgasisz owo słońce. Sam nie wiesz co mówisz. Nie cudzoziemiec, to nieobcy, nie tchurz, to nasz, szlachetny, możny, piękny, niezrównany!“

Zabor zdziwiony osłupiał. Wstał powoli — przetarł oczy, i spytał nareszcie: „Więc i ty chcesz być niewolnicą, Kraso? Gdzież są jeszcze piękni ludzie?“

„On, piękny! on piękny!“ rzekła. „Nie szukaj piękniejszych! Wszak słyszałeś baśnie o słonecnych mężach, co zaczęli z sierpem na polu, a skończyli z berłem narodu, i mówiłeś, chłopcze — piękni oni!“

„Z niczego powstał — wiem o tem, odparło pacholę — ależ Kraso jest Rzymianinem. Idź do Pretora, powtórz mu co mówiłem. Przestanę wierzyć w słońce, i zginę. — Inaczej Aureliana zabiję;—coraz bardziej go nie nawidzę, coraz głośniej bije we mnie serce przeciw niemu, i ty mnie już nie wstrzymasz“. Od gniewu twarz pacholęcia była czerwoną gdy tak mówił — ale gniew ten był szlachetny — oczy się iskrzyły — zęby zacisnął — ścisnął pięście i drgał cały.

(C. d. n.)

TURECKI KOZAK.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

Ja byłem w obcej służbie i przed skończeniem wojny nie mogłem jej opuścić; honor i obowiązek zabraniały mi odstąpić moich towarzyszy. Tak... ale wojna nie mogła przecież trwać wiecznie — a z jej końcem przyrzekaliśmy sobie zerwać węzeł, łączący ją z owym niegodziwcem — i spełnić wreszcie marzenie naszego życia. Umówiliśmy się co do adresu, pod jakim korespondować będziemy nawzajem. Myśl, żeśmy się znowu znaleźli, uszczęśliwiała nas tak niewymownie, iż nas prawie nie obchodziło w danej chwili, czy człowiek ów trwoniący w Wiedniu majątek na hulaszcze życie, stoi lub nie stoi pomiędzy nami.

Erwina udzieliła mi także smutnej wiadomości: ojciec mój nie żył już od roku. On — niegdyś miljoner — jako biedny wygnaniec, chory na ciele i duszy, dogorywał powoli w Londynie — a skoro skonał, z emigracyjnych funduszów sprawiono mu pogrzeb!

Pierwszy brzask świtu zastał nas jeszcze na czuwaniu. Trzeba było myśleć o rozstaniu. Erwina probując wstać, uczuła silny ból w nodze; z początku zmilczała o tem, wkrótce jednak ból powiększył się do tego stopnia, iż wyznać mi go musiała.

W takim stanie rzeczy ani podobna było myśleć o powrocie piechotą, a pozostać dłużej w oberży nie mogła bez narażenia się na niebezpieczeństwo odkrycia płci jej i przebrania.

Najlepszą więc rzeczą mi się wydało wysłać Ferenza za jakimś wozem, na którymbym mógł w towarzystwie obudwu cyganów udać się do Mehadji, rzekomo dla załatwienia moich interesów.

Ferenz nie zabawił dłużej jak pół godziny i powrócił z wieścią, iż znalazł cygana, który jednym koniem na okropnym wołoskim wozie odwieść się nas obowiązuje.

Nim jednak woźnica ów przybył, upłynęła godzina. Erwina cygańskie przebranie swoje doprowadziła do porządku; — włosy związane starannie pokryła filcowym kapeluszem, który jednak z trudnością tylko na nich się utrzymywał.

Wreszcie zajechał wóz przed oberżę. Ferenz siedział już na siedzeniu usłanem ze słomy. Wyszedłem z pokoju dla przekonania się, czy niema jakich natrętnych świadków; Erwina szła za mną, opierając się na lasce. W tej samej chwili i wczoraj przybyły gość wyszedł na korytarz... Jednocześnie silny prąd wiatru uderzył przez otwarte drzwi domu z podwórza, zerwał Erwinie kapelusz z głowy i rozwiązawszy jej włosy, rozsypał je w całej ich bujności. Widząc że pan stoisz zdziwiony — rzekł Belzoni, zwracając się do mnie znowu — rzekłem: To siostra mego Ferenza. Z powodu obecnych stosunków odprowadza ją on w przebraniu do rodzinnej wioski.

(Była to właśnie owa chwila, w której moją nieznajomą pierwszy raz ujrzałem, co, jako opowiadacz, do słów Belzoniego dodać tu muszę. Jakże jednak daleko znajdowały się myśli moje, gdym ją zobaczył po raz drugi w przedpokoju doktora — od owej cygańskiej dziewczyny!)

— Szczęściem to było — ciągnął Belzoni dalej — że tylko pan Erwinę w tym stanie widziałeś. W innych byłoby to obudziło podejrzenie i najsmutniejsze skutki miećby mogło.

Erwinie nie groziło wprawdzie ztąd żadne niebezpieczeństwo; ale mnie znaczne, jako mającemu wszelkie powody niezwracania na siebie uwagi. —

Rozstanie się moje z Erwiną głęboką nas oboje przejęło boleścią. W kilka godzin potem powróciłem z Ferenzem do mojej gospody — a w południe znajdowałem się zupełnie bezpieczny na serbskiem terytorjum.

Nowa żądza życia, nowy zapał do czynu rozbudził się we mnie, gdy przez góry i doliny pół dzikiej Serbji pędziłem. Myśli moje wyprzedzały zaledwie rozpoczętą wojnę i widziały już jej pożądany koniec.

Stałem się całkiem nowym człowiekiem. Koledzy moi, skoro mnie znowu ujrzeli, zdać sobie nie mogli sprawy z tak gwałtownej we mnie odmiany. Jedna tylko ciężka dotknęła mnie przykrość: mój wierny Ferenz powrócił do swej rodzinnej wioski, ze łzami w oczach i ucałowaniem rąk i nóg moich pożegnawszy się ze mną... kto wie, czy nie na zawsze.

Muszę tu jeszcze wspomnieć jedną okoliczność, która poprzedziła rozstanie się nasze.

Skoro Ferenz za powrotem staremu Szilowiczowi oba wypożyczone konie sumiennie oddał, i do mnie, do lokandy nad brzegiem Dunaju — gdzie korzystając z reszty urlopu odpoczywałem — przybył dla zdania sprawy, zdziwił mnie na twarzy jego przebiegły, szelmowski jakiś uśmiech.

Odgadłem natychmiast, że przynosi jakąś nowinę, bo przy takiej okazji przybiera zawsze fizjonomja poczciwego chłopaka najkomiczniejsze grymasy.

— No!.. cóż tam takiego Ferenz — spytałem go, leżąc na macie.

Ferenz krząknął złośliwie i przystąpiwszy do mojej maty, przykucnął przed nią w pełnej respektu odległości.

— Szilowicza piękna córunia... Wszakże ją pan widział?

— Tak!.. Więc cóż jej się stało?... W tej chwili przypomniała mi się dziwna, lękliwa mina Maszeńki, w sieniach domu jej ojca.

— Na imię jej Maszeńka — ciągnął Ferenz rzecz dalej, przebiegle mrugając oczami, chwyciwszy obie nogi swoje w ręce i kiwając znacząco czarną wełnistą głową.

— No i cóż dalej!... Cóż z tą Maszeńką?

— Drapnęła? zawołał, wydłużając grube wargi i wypuszczając z siebie coś na kształt syczącego śmiechu.

— Dokąd — po co? — spytałem, podnosząc się...

— A któż to wie? Starego Szilowicza nie widziałem— nie ma go podobno w domu. Konie odebrał odemnie parobek i od niego dowiedziałem się o tem.

— Uciekła więc od rodziców?..

— Naturalnie!.. Ale nie sama!

— Z kimże więc?..

Ferenz spojrzał na mnie. dusząc się od tłumionego gwałtem wewnętrznego śmiechu.

— Z kim? Ogólnie podejrzywano że z... panem.

— Ze mną?

— A tak — panie! Skoro stary Szilowicz na drugi dzień po naszym wyjeździe napróżno szukał swojej córuchny, i darmo rozpytywał o nią w cygańskim cyrkule i po całem mieście, doniesiono mu, iż Maszeńka z Mulasimem t. j. młodym oficerem jakimś z drugiej strony, z Kalafatu, uciekła konno, bo jeździ podobno wierzchem jak czarownica na łopacie.

— Z oficerem?...

Krew mi uderzyła do głowy. Mnie więc miano w podejrzeniu!..

— Jakże jednak mogło im przyjść do głowy, żebym ja, który z tą dziewczyną ledwo dziesięć słów zamieniłem?..

— Stary Szilowicz darł sobie czuprynę z mózgownicy i przeklinał swoją głupotę — zawołał siniejąc prawie ze śmiechu Ferenz — iż sam panu dostarczył koni do uwiezienia córki swojej.

— Warjat!.. Ale jeżeli się to w obozie rozgłosiło... Dzisiaj jeszcze tam być muszę!..

— Ja wasz!.. zawołał Ferenz—Cierpliwości, panie!.. Już się wszystko wyjaśniło. Wykradł to piękne dziecko młody Inglis (Anglik)... młody Inglis z długą jasną brodą, zapewne ten sam, któregośmy przed wyjazdem naszym tu w lokandzie widzieli...

Ferenza pantomina była do nienaśladowania charakterystyczna i komiczna razem... Mowiąc o powierzchowności Anglika, położył sobie na policzkach dwie długie czarne ręce, chcąc tem wyobrazić faworyty.

Po tym opisie odgadłem natychmiast uwodziciela. Służył w obozie w Kalafacie młody Anglik, niejaki M. Newland, całkiem jeszcze młodzieniaszek, z długiemi kotletowemi faworytami, które jak złoty jedwab z obudwu policzków mu zwisały. Ojciec kupił mu patent oficerski w angielskiej armji, musiał go jednak z niej odebrać, jako zgoła na nic nieprzydatnego. Z wybuchnięciem kampanji naddunajskiej udało się ojcu wyjednać dla niego patent na ochotnika od Serdara Omera-Paszy.

Przysłano młodzieńca do Kalafatu. Tutaj odznaczył się leniwstwem i tą samą niezdatnością do niczego, której już dowiódł w Anglii; wszystkim właził w drogę, odwołując się zawsze na swój charakter ochotnika, za nic miał sobie rozkazy zwierzchników, — prezentował się raz w angielskim, to znów w tureckim uniformie, nie brał udziału w żadnem starciu i widocznie bawił w obozie dla przyjemności,

Był to ładny chłopak o świeżej, prawie różanej cerze i pięknych jasno błękitnych oczach. Każdemu, kto tylko chciał słuchać, rozpowiadał, że się nudzi w obozie i że jak tylko dostanie oczekiwaną przesyłkę pieniężną od ojca natychmiast do Anglii powraca.

Tymczasem zaś włóczył się ciągle po cygańskim obozie w Widdyniu, jeżeli w Kalafacie nie ziewał. Widywaliśmy go nieraz na widdyńskiem wybrzeżu z dziewczętami cygańskiemi, z któremi w wielkiej zażyłości się zdawał. Przypomniałem sobie nawet teraz, żem go kiedyś widział razem z Maszeńką, nie przywiązując jednak do tego najmniejszego podejrzenia, gdyż Mr. Newland wszystkim nam leniwem, nic nie znaczącem wydawał się chłopczyskiem.

Opowiadanie Ferenza zaniespokoiło mnie jednak nieco, chociaż nie mogłem przypuszczać, ażeby mnie z tego powodu władza moja była poszukiwała.

Okoliczność ta jednak odjęła mi już ochotę do dalszego korzystania z mego nie wyszłego jeszcze urlopu. Podniosłem się żywo...

— No — i nie złapano zbiegów? spytałem.

Ferenz potrząsł przecząco głową.

— A cóż, stary Szilowicz — założyłże ręce za pas i nie kazał ich ścigać?

— Nie!.. Wczoraj miał o nich wiadomość... Widziano ich, podążali przez Sofję do Konstantynopola.

— Więc cóż robi Szilowicz?

— Pociesza się — odpowiedział sucho Ferenz.

W kilka godzin potem znajdowałem się z powrotem w obozie, w moim namiocie.

Przekonałem się tutaj, że nie domyślano się nawet bynajmniej mojej wycieczki. Przed tajemnym wyjazdem moim do Orsowy zostawiłem w lokandzie widyńskiej wiadomość, iż udaję się do fortecy do doktora, z którego rad chcę przez czas trwania urlopu korzystać — i nikt sobie nie zadawał pracy szukania mnie w fortecy.

Koledzy moi ze śmiechem powtórzyli mi Ferenza nowinę. Mr. Newland, któregośmy wszyscy mieli za dudka, piekielnym był jednak, jak się pokazało, hultajem. Teraz dopiero sprawdzono, co to on tak często w cygańskiem gnieździe w Widdyniu porabiał — i czego piękna Maszeńka na wybrzeżu Kalafackiem szukała. Umknęli oboje do Anglii. Pieniędzy im nie musiało braknąć w tej podróży, gdyż Mr. Newland dniem pierwej otrzymał oczekiwany list z pieniędzmi od papy a Maszeńka miała tak wiele złotej monety, we włosach, na szyi, na piersiach i ramionach, że w drodze wcale im dobrze dziać się musiało.

Kampanja naddunajska rozwijała się dalej. U nas, z Kalafatu wycieczki powtarzały się za wycieczkami. Moskale z uwagi na obronność i siłę naszych szańców nie ośmielali się przypuścić do nich ani jednego ataku. Pewnego dnia z wielkiem podziwieniem ujrzeliśmy niezmierne stosy ognia płonące pod naszemi stopami.

To Moskale palili magazyny swoje i odstąpiwszy od oblężenia, cofnęli się. Pędziliśmy za nimi aż do Slatiny, pod którą przyszło do tęgiego starcia. Poczem otrzymaliśmy rozkaz opuszczenia Kalafatu, z pozostawieniem małego garnizonu, i spieszenia w Bałkany na odsiecz silnie naciśniętej Sylistrji.

Wśród tych wypadków dwukrotnie już otrzymałem wiadomości od Erwiny. Donosiła mi, że mąż jej majątek swój zupełnie zrujnował, jej zaś stosunki znacznie się polepszyły — i że starannie okoliczność tę przed tym człowiekiem bez sumienia ukrywa, bojąc się jego chciwość rozbudzić.

Szczęśliwy pomyślną zmianą jej losu, tworzyłem co raz nowe plany, licząc na pomyślny zbieg okoliczności, który mi je spełnić pozwoli.

Wojska stały rozrzucone z tyłu Sylistrji, która wszystkie ataki moskiewskie zwycięzko odpierała. Gdy Rosjanie wreszcie i od jej oblężenia odstąpić musieli, w pościgu za nimi kilka zaciętych stoczyliśmy potyczek.

W jednej z nich zostałem ranny i na długi czas niezdolny byłem do boju. Mimo dokuczliwych bolów, serce skakało z radości we mnie. Uzyskałem od Serdara pozwolenie udania się do Konstantynopola dla poratowania zdrowia, a za przybyciem do tego miasta wręczono mi w imieniu ministra wojny uwolnienie od służby, gdyż tureckie wojska po zaszczytnej kampanji naddunajskiej przez interwenjujące armie państw zachodnich w walce zastąpionemi zostały.

Nadeszła więc wreszcie dla mnie tak gorąco pożądana chwila. Mogłem pospieszyć do Erwiny i z nią się połączyć. Umówiliśmy się, że stanie się to tutaj, w Paryżu. Mógł stosunek nasz wydać się sądowi świata nagannym,— nie dbaliśmy o to — a liczyliśmy na pomoc losu, że nas wreszcie uwolni od tego niegodziwca. Wielokrotnie już nadużycia, jakich się dopuszczał, rzucały go na łoże niemocy — a zresztą tak, czy inaczej, Erwina spodziewała się ostatecznie rozwód w sądach uzyskać.

Byliśmy szczęśliwi przez parę tygodni niczem niezamąconem szczęściem. Widywałem Erwinę zawsze tylko w towarzystwie jej matki. Obiedwie zajmowały skromne mieszkanko, trzymając się zdala od wszelkich znajomości. Rana moja zamknęła się wreszcie, choć osłabienie w ręku długo jeszcze trwać obiecywało.

Nagle los, na którego pomoc liczyliśmy, zesłał na nas nowe próby. Mąż Erwiny zjawił się niespodzianie w Paryżu. Prawdopodobnie doniesiono mu, dokąd Erwina się udała... Po długiem poszukiwaniu spotkał ją wypadkiem na przechadzce, śledził za nią, zwrócił się do przerażonej z groźbami, odwołując się do praw swoich i zażądał wreszcie pieniędzy, ponieważ bez grosza znajduje się w Paryżu.

Erwina sądziła, że się od niego uwolni, skoro uczyni o ile było w jej mocy, zadosyć jego wymaganiom. Omyliła się jednak. Powrócił po raz drugi, obarczając ją tysiącem wyrzutów za to, że widział ją w towarzystwie mojem. Raz jeszcze zaspokoiła nienasyconą jego chciwość — oddała mu wszystko, co posiadała, a on odszedł nikczemnie to zmarnotrawić.

W takim stanie rzeczy nie pozostawało Erwinie nic innego jak zmienić mieszkanie i zatrzeć za sobą wszelkie ślady. Z delikatności zamilczała przedemną powody, które ją do tego skłaniały.

Przenosiny odbyły się w największym sekrecie. Nowe mieszkanie Erwiny było rodzajem wiejskiego domku i znajdowało się w okolicy Paryża i w dość znacznem oddaleniu od miasta. Sądziła się więc bezpieczną tutaj od poszukiwań swego męża...

Istotnie szukał jej napróżno — i o czem się dopiero później dowiedziałem, i innni jej szukali. Łotr ten bowiem, uzyskawszy na podstawie swego nazwiska wstęp do najwyższego towarzystwa, a nawet przedstawiony u dworu, przyciśnięty niedostatkiem, który rozpuście swojej zawdzięczał, wpadł na myśl wydania swojej żony pewnej wysoko położonej osobistości (tu Belzoni wymienił nazwisko) wydania — za pieniądze i wezwał jej pomocy w poszukiwaniach, które przedsięwziął za nią!

Gdy wszystkie próby odszukania jej na niczem spełzły, i to źródło dochodu poczęło mu grozić wyschnięciem, wówczas, w towarzystwie jednego z kompanów swojej rozpusty, wszedł za mną do kawiarni i w obrażających wyrazach żądał odemnie wiadomości o mieszkaniu swej żony.

Jak błyskawica olśniła moją głowę myśl niespodziana. Oczekiwałem na pomoc losu, aby się uwolnić od tego łotra. W tej chwili nadarzała mi się ku temu sposobność jedyna. Mój stosunek do Erwiny był bez zarzutu; ale jego wyrażenia dowodziły, że mnie chciał obrazić.

Mimo więc najgłębszej pogardy, jaką czułem dlatego wyrzutka ludzkości, uczyniłem mu zaszczyt wyzwania go i przed chwilą pojedynku stoję właśnie obecnie.

Erwina nie powinna wiedzieć o niczem. Jeżeli ja padnę, to jeden ze świadków moich, mój współziomek, zawiadomi ją o tem i postara się ułatwić jej wyjazd z Paryża, aby ją uwolnić od dalszych prześladowań męża; jeżeli zaś padnie on, — Erwina jest wolną i moją!

W pierwszym wypadku posłużą obadwa powierzone listy, które chciej łaskawie oddać poczcie, jeśli w ciągu trzech dni sam, lub przez kogoś nie zażądam ich zwrotu.

Teraz znasz pan całe już dzieje moje — zakończył Belzoni. — Oczekują mnie—dodał, spojrzawszy na zegarek i powstając. Przyjmij pan z góry moje dzięki. Wiem że sprawię panu ambaras powierzając ci te listy, ale odważam się na to, nieznam bowiem nikogo, komu bym tyle ufał. Raz jeszcze serdecznie dziękuję panu.

Wyrzekł to pospiesznie, — opowiadanie jego bowiem więcej zabrało czasu, niż myślał — i nim jeszcze przyjść mogłem do słowa, ścisnąwszy mi silnie rękę, wyszedł.

Przyjrzałem się listom jego i zamknąłem troskliwie w mem biórku.

— I znowu awanturka która w lasku bulońskim lub wincenskim ma się rozstrzygnąć — na ten raz jednak poważniejsza od wielu, które się w tych miejscach odbywać zwykły, — pomyślałem sobie — nie mogąc się jednak obronić od współczucia i żywego niepokoju.

XI.

Czwartego dnia, około południa zjawił się u mnie młodzieniec z czarnym wąsem i parą głębokich czarnych oczu, elegancko strojny, i wręczył mi wizytową kartę, na której stało rzeczywiste Belzoniego nazwisko.

— Przybywasz więc pan w jego imieniu?—zapytałem z mimowolnem biciem serca.

— Tak jest — w jego imieniu, aby prosić pana o dwa listy, które ci powierzył — odrzekł przybyły z wyrazistym węgierskim akcentem.

— Żyje więc?

— Naturalnie, odrzekł węgier z najwyższą spokojnością duszy, nie bez pewnego jednakże zdziwienia we wzroku nad zapytaniem mojem.

— Musisz mi pan przebaczyć, że się o to pytam — rzekłem. Nie jest to prosta ciekawość, ale objaw żywego współczucia dla człowieka, którego osoba i losy dobrze mi są znane.

Młody człowiek skłonił się milcząco. Widziałem z całej jego miny, że nie miał bynajmniej ochoty przed obcym człowiekiem, jakim ja dla niego byłem, spowiadać się ze szczegółów afery, w której widocznie miał bliski udział. Nie wziąłem mu tego za złe i równie milcząco oddałem mu powierzone listy. Pożegnał mnie ceremonjalnie i wyszedł, nie wymieniwszy mi nawet swego nazwiska, przez zbytek ostrożności!

Zresztą i bez wszelkiego objaśnienia nie trudno mi było zrozumieć, co się stało. Przyjaciel mój pozostał przy życiu — czego dowodziło zażądanie odemnie listów, których wysyłka widocznie niepotrzebną się stała. Powinszowałem mu w duchu tak szczęśliwego dlań rezultatu.

Po południu siedziałem obyczajem moim przed objadem w kawiarni, czytając „Journal du soir“.

We wszystkich trzech dziennikach, które przeleciałem okiem, znajdowała się wiadomość. „Hr. L. tak ogólnie znanego u nas bojara rumuńskiego, znaleziono wczoraj na leśnej polance koło Vincennes bez życia, z postrzałem przez pierś. Wszystko przemawia za tem, że stał się ofiarą niefortunnego dlań pojedynku“.

Teraz już wiedziałem wszystko.

Gdym wkrótce potem dążył bulwarami do restauracji, przesunął się koło mnie, gość dzisiejszy, młody Węgier. Udał jednak że mnie nie zna—w czem ja go naśladowałem.

Teraz dopiero uczułem w pełni, ile miał słuszności, trzymając się w tak ścisłej rezerwie. W obec krwawego rezultatu walki ostrożność ta była wielce na miejscu. Zabezpieczała i mnie ona od kolizji z władzami, które najniewinniej w świecie mogły mnie wmięszać w tę sprawę.

Przez cały tydzień pokutowało i hałasowało to znalezienie zwłok we wszystkich gazetach paryskich. Najsprzeczniejsze zmieniały się opowiadania, wymyślone w redakcyjnych biurach, bo nawet władze nic pozytywnego w tej sprawie wynaleźć nie mogły.

O tyle tylko zbliżono się do prawdy, że kobieta musiała tu być w grze, ponieważ Hr. L. poszukiwał w Paryżu żony swojej, która mu zagadkowym sposobem gdzieś przepadła. Ona więc musiała być powodem pojedynku.

Niepojętą było dla mnie rzeczą, gdy już tyle odkryto, że nikt nie wymienił nazwiska mego przyjaciela, czy to prawdziwego, czy przybranego. I ta okoliczność naprowadziła mnie na podejrzenie, iż owe wysoko stojące osobistości, o których Belzoni pobieżnie wspomniał, skompromitowane w tej sprawie, wywarły cały wpływ swój, aby sprawę zatrzeć, dalsze poszukiwania zerwać, z obawy, aby się nie stały same pastwą dla przepadającego za podobnemi skandalami dziennikarstwa.

Przypuszczenie moje miało tem więcej prawdopodobieństwa, że i tak obiegała już z dawniejszych czasów skandaliczna sprawa owej dostojnej osobistości, sprawa, w której dla kobiety don Juan ów zaufania innego węgra w oburzający sposób nadużył; nowa więc historyjka dolałaby oliwy do ognia.

Wkrótce po tych zdarzeniach interesa zmusiły mnie wyjechać na kilka tygodni do Londynu.

Należąc do tych, którzy w tem mieście nigdy długo miejsca nie zagrzali i nie wżyli się w towarzystwa, już w pierwszych dniach pobytu, zacząłem liczyć dnie i godziny.

Gęsta mgła, przetykana czarnemi chmurkami dymu, spływającemi niepostrzeżenie jak wilgotny puszek na twarz przechodnia — nie pozwalała z rana na odległość dziesięciu kroków poznać nikogo prawie — a wieczorem latarnie gazowe próżno się siliły przebić tę gęstą dusznej mgły osłonę.

Pooddawałem wizyty, aby skończyć z konwenansami, wieczorem ustrajałem się uroczyście idąc do „Her Mayesty“ teatru, — albo też włóczyłem się z kilkoma znajomemi od Alhambry do Argyl-Room — i innych miejsc publicznej zabawy.

W hotelu moim zwykłym na Regenstreet nie czułem się tym razem jak u siebie. Wszędzie było przepełnione; dostał mi się więc jakiś niewygodny narożny pokoik, a sąsiadki moje, dwie stare missesy skarżyły się, że inkomoduję je, paląc w moim pokoju.

Być może, że przez zatkaną dziurkę od klucza, lub przez szczeliny łączących nas drzwi bocznych wypadkiem jakiś dymek mego cygara wcisnął się do sąsiadek; Damom tym jednak i to nawet wydało się shoking; musiałem więc kłaść się na oknie i puszczać dym na ulicę, jeżeli mi się palić chciało w domu.

Pewnego dnia po spożyciu śniadania wszedłem do smooking-room w celu wypalenia tutaj swobodnie cygara. W pierwszych dniach pobytu zwykle nie zastawałem tu nikogo; zdziwiłem się tedy bardzo, ujrzawszy w półciemnym kącie przy oknie wychodzącem na wąskie podwórze jakiegoś jegomościa zagłębionego w angielskiej gazecie.

Nie zważając na niego, pochwyciłem i ja za jakiś dziennik. Tak siedzieliśmy milcząco, nie patrząc jeden na drugiego; każdy szeleścił i chrzęścił swoją gazetą i puszczał przed sobą obłoki dymu z swego cygara.



Hero i Leander. (Na str. 209.)

Naraz przerwał mi czytanie stuk jakiś, obcy odsunął krzesło, krząknął i posunął się ku drzwiom. Znagła, mijając mnie, stanął jak przygwożdzony, nie spuszczając ze mnie oka.

— Pan... tutaj?... zawołał wreszcie.

Podniosłem wzrok na niego—Belzoni stał przedemną.

W mojem wielce ruchliwem i awanturniczem życiu doświadczyłem, iż bywają ludzie, których straciwszy z oczu, znowu gdzieś koniecznie napotkać się musi; podczas gdy innych przy całej usilności zawsze nadaremnie się szuka. Tamtych choćby zgoła innemi chodzili drogami — spotkasz gdzieś niespodzianie na krzyżówce; ci, gdzie nie przyjedziesz, zawsze właśnie na godzinę przed twojem przybyciem ztamtąd odjechali.

Belzoni należał do tych pierwszych. Spotkałem go w Orsowie — a nie poznałem potem w obozie w Kalafacie— widocznie dlatego, że uniform go zmienił. Następnie zeszedłem się z nim w Paryżu a teraz los nas zetknął w smooking-room'ie w Londynie.

— Bądź co bądź,—nie byłbym tutaj szukał pana— zawołałem, podnosząc się, — choć zresztą w ogólności zgadnąć nie mogłem, gdzie pan przebywasz!

Belzoni odpowiedział mi na to swoim melancholijnym uśmiechem. Pytać go o nic nie śmiałem, usiłowałem przeto ostatnie jego przejścia z rysów twarzy jego wyczytać. Nie było nic w nich nowego. Wziął krzesło i usiadł koło mnie.

— Czyś pan zajęty?.. spytał...

— Ależ bynajmniej!

Czułem, że pyta się o to, nie bez pewnej intencji.

— Gniewasz się pan zapewne na mnie, żem sam jeszcze potem nie przybył osobiście podziękować panu— ciągnął dalej dobrodusznie.

— Ani trochę! Okoliczności nie pozwalają nam nieraz na to, co jest najgorętszą naszych uczuć potrzebą.. Zdałem sobie zupełnie sprawę z ówczesnej sytuacji pańskiej. —

Przeciągnął ręką po czole i kędzierzawych czarnych, opornych włosach, z których jeden lok niesforny wciąż mu się zsuwał na czoło.

Zdawało mi się, że wypiękniał. Awanturniczość, która niegdyś w wyrazie jego fizjonomji przeważała, ustąpiła teraz w obec pewnego zmiękczenia rysów; oko jego spoglądało spokojnie, ostry zarys przy ustach wyrzeźbiony przykrościami niespokojnego życia, zniknął; zdawało się że znacznie wyspokojniał.

Uważałem za stosowne, oczekiwać, aż sam z dalszemi przejściami swemi mi się zwierzy... Milczałem i wpatrywałem się w niego.

Belzoni również przyglądał mi się z uwagą, jak by chciał poznać z mojej miny, ile wiem o ostatnich jego przygodach.

— Czy zabawisz pan tu jeszcze pewien czas—spytał.

— Może jeszcze kilka dni, a może i dłużej—odrzekłem.

— A kiedyś pan opuścił Paryż?

— Przed kilkoma dniami.

Uważałem że obadwaj kręcimy się w około jednej myśli. Stuknięcie silne w jadalni otworzyło szklanne drzwi wchodowe, Belzoni wstał je zamknąć i spojrzał za nie, jakby się obawiał niepowołanych uszu. Udawałem, że tego nie widzę.

— Bardzo mnie to cieszy — rzekł powracając i zajmując na przeciw mnie miejsce — że właśnie pana tu spotkałem. Z prawa wdzięczności winien panu jestem ciąg dalszy i koniec moich przygód w Paryżu i gdybym wiedział, że to interesuje Pana...

— Ależ w najwyższym stopniu! zawołałem uprzedzająco... Przez dyskrecję tylko, nie śmiałem się o nic pytać.

— W każdym razie czytałeś pan, co pisano w dziennikach. I ja tu z uwagą śledziłem za traktowaniem mej sprawy. Zdaje mi się, że już wypadki paryskiego powszedniego życia jej wrażenie zatarły. Tam zapominają o wszystkiem tak prędko! Co dziś świat interesuje, jutro już dlań obojętne — a może też umyślnie...

Szyderczy uśmiech przemknął mu po twarzy.

— Sądzę, że się pan nie mylisz, przypuszczając umyślne tej sprawy zatarcie — i ja je odgadłem — odpowiedziałem. Nie utrzymuj pan jednak dłużej mojej współczującej ciekawości w natężeniu i zaczynaj... Nigdy nie miałeś uważniejszego słuchacza!..

XII.

„Miało się — zaczął Belzoni, skupiwszy przez kilka minut myśli — miało się tedy dokonać na bezbronnej istocie jedno z najpodlejszych łotrowstw, jeden z aktów samowoli, jaki się chyba w epoce rejencji zdarzał codziennie i tylko wśród zepsucia drugiego cesarstwa mógł się powtórzyć... Jednak nie doszło do tego!.. Spotkałem się z tym rozpustnikiem, — do którego tak niefortunnie narzeczoną moją przykuto, — w lasku Wincеńskim. Tchórz ten liczył na nierówność szans, którą mu osłabienie prawej ręki mojej zapewniało. Ja sam nie kryłem tego przed sobą... miałem jednak nadzieję, że zdołam w niej pistolet, bez drgnięcia jej, chwilę utrzymać i wystrzeliwszy, nie chybić. O rezultacie zawiadomiły pana gazety.

Dniem przed tem nie odwiedziłem Erwiny w jej zaciszu, byłem bowiem nadto wzburzony, ażebym mógł przed nią ukryć, że coś niezwykłego we mnie się dzieje. Teraz skoro tragedja się skończyła, unikając zetknięcia z miastem, wszedłem na wersalską szosę i około południa dotarłem do domku Erwiny.

Na progu tej małej willi zaszła mi drogę z rozstrojonym wielce wyrazem twarzy rządczyni miejscowa, stara kobiecina, wyrażając zdziwienie, że mnie widzi. Przeczucie złego w serce mnie ukłuło. Już w drodze uczuć mi się

dawał jakiś lęk dziwny i niepokój — przypisywałem to jednak krwawemu zakończeniu mego pojedynku, — zostawiłem bowiem na placu trupa — prawda że nędznika — ale zawsze człowieka poległego z mej ręki — a z drugiej strony groziło mi niebezpieczeństwo schwytania, jak świadkom moim, którzy też co tchu do Paryża powrócili. Jednakże lęk mój i niepokój — nie wynikały z powyższych przyczyn. Było to przeczucie nieszczęścia.

Staruszka opowiedziała mi drżącym i przerywanym głosem, że wczoraj po południu zajechał powóz przed bramę willi, właśnie gdy Erwina z matką powracały z przechadzki. Z powozu wyszedł urzędnik w towarzystwie pachołka sądowego i pokazał rozkaz, na mocy którego hrabinę L. mieszkającą tutaj pod imieniem matki, jako zbiegłą od męża, do mieszkania jego przystawić musi.

— Biedna młoda kobieta — opowiadała staruszka, a łzy grube toczyły jej się po zmarszczonych policzkach — biedna kobieta była bliską rozpaczy. Matka jej, łamiąc ręce, opasała córkę ramionami i broniła jej przed urzędnikiem. Wszystko to nie przydało się na nic — wśród natłoku ciekawych oderwano biedaczkę od matki i wsadziwszy do powozu, powieziono do mieszkania męża.

— A matka? zawołałem w nadziei zasięgnięcia od niej bliższych wiadomości.

— O, ta — dowiedziawszy się od jednego z otaczających powóz chłopców o numerze i ulicy, podanych przez urzędnika półgłosem fiakrowi — łamiąc ręce i nie ustając w płaczu, kazała sprowadzić co prędzej dla siebie powóz i wczoraj po południu odjechała do Paryża w celu wyszukania córki i ratowania jej od wszelkiej krzywdy i gwałtu.

— Gdzież ten chłopiec?! zawołałem, odchodząc od zmysłów.—Sprowadzono go. Nie mogąc prawie oddychać,— we wzburzeniu, które mi przytomność odbierało, otrzymawszy od chłopca wskazówkę, popędziłem do Asnières, dokąd urzędnik miał dać rozkaz jechania dorożkarzowi.

Tu Belzoni przerwał i odetchnął głęboko.

— Nie wiem, jak wyjaśnić panu — ciągnął po krótkiej pauzie dalej — dlaczego właściwie przybrałem, jadąc do Paryża, nazwisko Belzoni. Jakiś nieokreślony — a jak się pokazało szczęśliwy instynkt popchnął mnie do zrobienia użytku z paszportu, który nieszczęśliwy mój towarzysz, turecki wojskowy lekarz Dr. Belzoni — umierając na tyfus w Konstantynopolu, w rękach moich pozostawił. Dosyć, że znany byłem w Paryżu w mieszkaniu mojem jako Dr. Belzoni — a u moich przyjaciół z emigracji pod rzeczywistem nazwiskiem.

Okoliczność ta obecnie bardzo mi się przydała. Gdyby mnie bowiem po pojedynku istotnie nawet szukano, nikt mnie pod nazwiskiem Belzoniego w mieszkaniu mojem domyśleć się nie mógł. Ostrożność ta jeszcze i pod innym względem przydać mi się miała.

Przybyłem do Asnières. Wyszukałem wskazanej mi ulicy, jednej z najoddaleńszych od brzegu Sekwany — i wkrótce stanąłem przed letnim pałacykiem, opasanym do koła ogrodami. Tu odpocząłem przez chwilę. Uczuwałem bowiem konieczność, jakkolwiek gwałtownie biły tętna mego serca, wywalczenia niejakiego spokoju i obejrzenia przy tej okazji powierzchowności domku. Zielone zazdrostki u wszystkich okien zamknięte były, drzwi również. Ogród leżał w zapuszczeniu, — zielsko w nim bujnie krzewiło się tylko. Niewątpliwie wybornie wybrano miejsce na czyn sromotny, bo dom ten był ostatnim i stał samotnie otoczony dokoła ornemi polami. Na jedynem orzechowem drzewie w ogrodzie kołysało się mnóstwo gąsienic; krata opasująca ogród zardzewiała i w kilku miejscach wyłomami świeciła.

Napróżno śledziłem w około za jaką bądź żywą istotą. Wszędzie panowała cisza. Przyszło mi na myśl, że chłopiec ów podał mi fałszywy adres. Bądź co bądź jednak trzeba było zajrzeć do wnętrza domu.

Pomacałem się, czy mam przy sobie rewolwer, z którym w Paryżu nigdy się nie rozstawałem. Poczem nacisnąłem dłonią na niską furtkę od ogrodu. Otworzyła się. Po cementowym chodniku doszedłem do głównych drzwi domu, łagodząc szelest mych kroków, aby niczyjej nie zwrócić uwagi.

I drzwi główne domu nie były zaryglowane. W sieni wstępnej ujrzałem resztki obfitego śniadanka czy objadku rozrzucone w nieładzie, blaszki z szampańskich flaszek, talerze z okruchami pasztetów, napiętrzone niedbale w koszu od wina i inne podobne szczątki orgji, która z tym prostym mieszczańskiego pozoru domem bynajmniej nie licowała.

Scisnęło mi to boleśnem uczuciem piersi. Nie ruszałem się z miejsca, ciężko chwytając oddech.

Jednak gdym otwierał drzwi główne domu, znajdujący się przy nich dzwonek wydał napół przygłuszony dźwięk. Widocznie tym dźwiękiem zwabiona pojawiła się nagle przedemną, w jednych drzwiach bocznych, olbrzymia figura, chłop jak dąb, na którego czerwonem, wzdętem licu charakter wysłużonego, przesiąkłego wódką kaprala wyraziście stał wypisany. Wpatrzył się we mnie krwią zaszłemi, wyłupiastemi oczyma, jakoby chciał skoczyć na mnie; spostrzegłem jednak, że się ręką trzyma za klamkę od drzwi, aby nie upaść.

Hultaj ten był pijany. Widocznie wyprawił sobie śniadanie ze wszystkich tych pasztetów i innych pozostałości pańskiej uczty — a szampańskie, do którego nie nawykł — uderzyło mu do czuba.

— Hej, czego pan tu szukasz? — wyjąkał ciężkim językiem, przybierając marsową minę.

Jakiś dobry duch poddał mi myśl wyborną; — a żem dobrze trafił przekonywał mnie o tem ten osobliwy stróż domu, w którym widocznie tak mało co do strzeżenia było.

— Przychodzę tu z polecenia hr. L.. odrzekłem nieustraszonym tonem.

— Pan hrabia mi rozkazał nie wpuszczać tu nikogo!— brzmiała niewyraźna odpowiedź.

To mi wystarczało — Erwina znajdowała się więc w tym domu — co było rzeczą główną; bo z tym pijanym nadzorcą w razie konieczności zawsze się jakoś ułatwić można było.

— Hrabia przysyła mnie do swojej żony...

granicę, legitymacją, którą zawsze nosiłem w kieszonce na piersiach przy sobie.

Kolos wyciągnął po nią trzęsącą się rękę swoją. Widocznie nie umiał czytać, a jeśli i umiał, to nadto był pijanym, aby mógł choćby pochwycić litery.

Z pociesznym gestem wręczył mi napowrót papier.

— Dobrze! Chodź pan ze mną! — Czyś pan przyniósł także i medycynę z sobą?



— Hrabina jest chora. Nie wolno do niej wchodzić nikomu!..

— W tem właśnie racja do wejścia dla mnie. Jestem bowiem dr. Belzoni, ziomek hrabiego.

— Czem mi pan dowiedziesz, że jesteś istotnie Dr. Belzonim? wybełkotał opój.

— Tym oto paszportem! I to mówiąc wydobyłem po francusku napisaną, jak wszystkie wschodnie paszporta za

— Nie, — ale przyślę ją, skoro się tylko o stanie hrabiny przekonam.

Zdawało się, że nawet w odurzeniu swojem pojął, iż na każdą chorobę innego trzeba lekarstwa. Stąpał przedemną po schodach, opierając się o barjerę, potykając się i osuwając co chwila na odmawiających mu posługi nogach.

Naraz zuchwała myśl strzeliła mi do głowy. Doszedłszy już prawie do samego szczytu schodów, chwyciłem go

oburącz za nogi, szarpnąłem wstecz, przewróciłem go i przeskoczywszy przezeń, ujrzałem pijany kolos staczający się niepowstrzymanie aż w korytarz na dole, gdzie się zatrzymał.

Rzuciłem raz tylko na niego okiem. Leżał zupełnie nieruchomo, bez znaku życia. W tej chwili odgłos znany przejął mnie do szpiku kości. Usłyszałem głos Erwiny, wkrzyku przenikającym duszę. Skoczyłem przez korytarz, trącając w jedne, to w drugie drzwi; wreszciem się zatrzymał. Zawołałem na nią po imieniu; ona mi odpowiedziała w ten sam sposób. Nacisnąwszy całą siłą i ciężarem mego ciała na drzwi, z za których mnie głos jej doszedł, udało mi się je wysadzić — i przyjąć Erwinę w objęcia moje, z których z okrzykiem boleści zsunęła się na podłogę omdlała.

(C. d. n.)

HERO i LEANDER.

(z Fryderyka Szyllera)

przełożył

WŁADYSŁAW ORDON.

Na przeciwnych brzegów szczycie
Stare zamki te — widzicie —
W słońca blaskach lśniące się,
Kędy przez skaliste brony
Dardanelów — zapieniony
Helespontu nurt się drze?
Czy słyszycie, jak się łamie
Z rykiem wał u skalnych łon?
Azję oddarł od Europy,
Miłości nie straszny on.

Boskiego Erosa siła
Grotem bolów ugodziła
W Herę i Leandra wraz;
Wdziękiem Heby kwitła ona,
W górach on, wśród druhów grona,
W wrzawie łowów spędzał czas.
Ale Ojców ich niezgoda
Rozdzieliła parę tę,
I ich uczuć owoc słodki
Nad przepaścią znalazł się.

Gdzie Sestosu skalna wieża
Po nad Pontem się najeża
I od jego szturmów drży,
Tam stawała, tęskna ona
Ku *Abydos* zapatrzona,
Gdzie najdroższy mieszka jej.
Ach, oddalonego brzegu
Z tym nie łączy mostu łuk,
Ni łódź ztamtąd dąży jaka;
Lecz miłość ma tysiąc dróg!

Przez labirynt, przez manowiec
Pewną ma w niej nić wędrowiec;
Głupca — uczy mądrych sztuk;
Gnie pod jarzmo potwór dziki,
Wprzęga rozhukane byki
We swój djamentowy pług.
Nawet Styksu strasznej fali
Gwałt po nad nią nie jest dan:
Potężna, unosi lubą
Z Plutusowych mrocznych ścian!

I Leandra — przez wód łono —
Prze tęsknicą niezgaszoną
Pod Sestoskiej wieży zrąb.
Więc gdy blask dnia zbledni biały,
Pływak rzuca się zuchwały
Z brzegu w mroczną Pontu głąb;
Silnem nurt ramieniem kraje,
Dążąc mężnie przez wód toń,
Kędy z platformy wysokiej,
Blask pochodni miga doń.

Tam, w ramionach miękkich Miłej,
Wnet odzyska ciepło, siły
Stargane w podróży tej,
I miłości dłonie złożą
Mu nagrodę iście bożą
W błogiem uściśnieniu Jej;
Aż z rozkosznych zbudzi snów
Zwlekającego Aurora
I z miłości spłoszy łona, —
W chłodne łoże morskie znów.

Tak nad parą tą szczęśliwą
Słońc trzydzieści przeszło żywo,
Wśród kradzionych uciech tych;
Jako nocy ślubnej iście
Czary, niezwiędłe wieczyście
Co sam Zews zazdrości ich.
Nie wie ten, co szczęściem zwą,
Kto niebiański kradnąc owoc,
Nad piekielnej rzeki brzegiem
Pełnym grozy — nie rwał go.

Hesper z Aurorą na niebie
Długo już zmieniali siebie,
Lecz szczęśliwcy, w błogim śnie,
Widząc-ż, że już zieleń kona,
Że z północy, rozsrożona,
Z mroźnych pieczar zima mknie?
Nie! Szaleńcy! Ich cieszyło
Że dzień krótszy, dłuższa noc;
I za dłuższe szczęście nocy
Zewsa wysławiali moc.

Waga, co na niebie stała,
Już dzień z nocą zrównywała,
Gdy dziewicy wzrok uroczej
Za rydwanem słońca biegł,
Śledząc z wieży, jak się toczy,
Jak za nieb ucieka brzeg.
Morze cicho się układło
Zwierciadlanem jasnem szkłem;
Państw nie wzruszał kryształowych
Wiatr najlżejszy skrzydłem swem.

I Delfinów rój ochoczych
Igrał wśród srebrno-przeźroczych
Czystego żywiołu wód,
I w szykach czarniawo-siwych,
Z morza dna, na wierzch fal żywych
Wyszedł pstry Tetydy lud.

Lud ten miłości tajonej
Był jedynym świadkiem tu,
Lecz Hekate nieme usta
Na wieki zamknęła mu.

Hero falę morza lśniącą
Pieszcząc wzrokiem — schlebiająco
Do żywiołu ozwie się:
„Tyżbyś zwodził.. piękny boże?
Nie! — bluźniercą tylko może
Być — kto cię fałszywym zwie!
Okrutnem jest ojca serce
Ludzkie plemię fałszem tchnie, —
Lecz tyś dobry i litośny
Ból miłości wzrusza cię“.

„W pustych murach, na tej skale,
Samotne rozwodząc żale,
Uschłabym, jak kwiaty schną;
Lecz na grzbiecie swoim, szparki,
I bez mostu i bez barki
Niesiesz drucha na pierś mą.
Strasznie wrzące fale twoje,
Pełna grozy głębin noc;
Ale miłość cię ubłaga;
Przezwycięży duszy moc.“

„Bo i w ciebie, morza Panie,
Z rąk Erosa, niespodzianie,
Możnej strzały trafił cios;
Kiedy z bratem, wdzięków pełną
Hellę, — baran z złotą wełną
W ucieczce przez toń twą niósł.
Wnet spętany jej urokiem,
Z twych państw mrocznych
wzniósłeś dłoń,
I z barana bark ją zdjąwszy
Pociągnąłeś w morza toń.“

„Z Bogiem dziś, sama bogini
W głębiach, w podwodnej jaskini,
Nieśmiertelne snuje dnie;
Żeglarzowi port otwiera,
Miłość ściganą popiera
Kiełza dzikie szały twe.
Piękna Hello, bóstwo cudne
Szczęsna, — błagam cię przez łzy,
Zwykłą drogą dziś miłego,
Tak jak zawsze, przynieś mi.“

Już po falach zmrok się szerzy,
W rękach Hery, z szczytu wieży
Blask pochodnia rzuca w dal:
Blask ten miłego wędrowca
Ma wśród cieniów wieść manowca
Przez obszary puste fal.
W tem szum słychać, grzmot daleki,
Toń się groźnie wełni, wre,
Gasną gwiazdy na niebiosach,
Duszność burzy zbliża się.

Na Pontu obszar szeroki
Spada noc — deszczu potoki
Z łona czarnych leją chmur;
Błyskawice lśnią w przestrzeni,
Rwie się z skalnych pieczar cieni
Wszystkich wichrów dziki chór.
Ryją olbrzymie czeluście
W szerokiej czeluści wód;
Ziejąc, jak piekielna paszcza
Rozwiera się morza spód.

„Biada mi! — jęknie, drżąc cała,
Hero... O cóżem błagała?
Wielki Zewsie, litość miej!
Cóż, — gdy wysłuchały bogi,
Jeśli zwierzył się mój drogi,
Wśród tej burzy, fali złej!
Uciekają szybkim lotem
Do gniazd wszystkie ptaki mórz,
W przystań chronią się bezpieczną
Statki nawykłe do burz.“

„Pewnie mój Nieustraszony,
Przez możne bóstwo skuszony
Obrał zwykłą drogę swą...
Wszak, przysiągł przed odpłynięciem,
Świętem miłości zaklęciem,
Że śmierć chyba wstrzyma go!
Ach, w tej chwili może właśnie
Zwalcza wściekłej burzy szał,
Morze rwie go w głąb otchłani
Rozhukany morza wał!“

„Zdradny Poncie, — więc twa miła
Cisza — maską tylko była?!
Lśniłeś jak zwierciadła szkło,
Cichy, jakby senne dziecko,
Aż wciągnąłeś go zdradziecko
W pełną fałszu otchłań swą!
Teraz zaś, gdy mu przecięły
Odwrót huragan i noc,
Wypuszczasz na zdradzonego
Całej twojej grozy moc!“

Huczy burza wciąż zawziętsza,
Morze się górami spiętrza,
Pieniąc, łamie się i wre
Nurt u skał. Starłszy się z niemi,
Nawet z żebry dębowemi
Statek, roztrzaskałby się.
I pochodni kierowniczej
Światło — wichru gasi prąd;
Straszno teraz być na morzu
Straszno też chcieć wyjść na ląd.

Hero błaga Afrodyty,
Aby Orkan ścichł niesyty,
By fal gniew jej zmiękczył głos,
I przyrzeka wichrom srogim
Złożyć byka z złotym rogiem
Na ofiary hojnej stos;
Do wszystkich bogiń głębiny
Bogów wyżyn — wznosi dłoń,
By wylali łagodzący
Olej w wrzącą morza toń.

„Usłysz“ — rzecze — me wołanie,
Nad zielone wznieś otchłanie,
Leukoteo, lice twe!
Ty, co często z zbawczą dłonią
Wśród burz ryku, nad wód tonią
Żeglarzowi zjawiasz się;
Dar miłemu memu zrób
Z dziwnej, świętej swej zasłony,
Którą niosący, bez szwanku
Po nad fal wypływa gröb!“

Milkną wichry i pioruny,
W blaskach Eosa bieguny
W górę mkną po niebios tle;
Spokojnie w swe dawne łoże
Gładkiem lustrem spływa morze,
Cały świat uśmiecha się;
Łagodniej o pierś opoki
Cichych fal się łamie bieg,
I igrając, jakieś zwłoki
Pod skalisty spławia brzeg.

Tak to on!.. Choć już zbył tchnienia,
Spełnia święte przyrzeczenia,
Wnet jej wzrok poznaje go.
Patrzy chłodna, rozpaczliwa,
Lecz z ust skarga się nie zrywa
Oko nie lśni jedną łzą.
W blask eterów, w morza war
Beznadziejny topi wzrok,

I wraz—spłoni twarz jej zbladłą
Szlachetnego ognia żar.

„Poznaję wasze działanie
Wielkie moce! Niezbłaganie
Brzmi wyroków waszych głos!
Wcześnie dni mych kres się spełni
Lecz użyłam szczęścia w pełni,
Najpiękniejszy miałam los.
Wenus, o królowo wielka,
Chramom twym święciłam się
Za kapłankę, — dziś radośna
Tobie na ofiarę mrę!“

I w rozwianej szacie białej
Z kraju wieży w morskie wały
Rzuca się z okrzykiem tym...
Górą, wśród swych państw przeźroczy,
Bóg te święte zwłoki toczy
I sam jest mogiłą im;
I radośny z tej zdobyczy
Chyżo z nią pomyka w dal,
I z niewyczerpanej urny
Leje wieczny nurt swych fal.

CHLEB LUDZI BODZIE

KOMEDJA W 1 AKCIE PRZEZ JÓZEFA BLIZINSKIEGO.

(Dokończenie.)

SCENA XIII.

TEODOR (później) MARCIN.

Teodor (p. c.) Pięknie wyglądam, ani słowa.., było po co przyjeżdżać... dziewczyna patrzeć nawet na mnie nie chce... i ma rację, daję słowo, ma rację... (p. c.) zły jestem, jak wszyscy djabli... gdybym się mógł zemścić na kim... na nich wszystkich!.. a szczególniej na Szwindelmanie, co mnie wziął w antrepryzę jak barana.. i na tym Onuf.f..frym jakimś... (zły) co u djabła, że mi tak ciężko go wymówić.

Marcin. (wchodząc drzwiami w głębi, tajemniczo) Proszę łaski pana, mam do pana mały interesik.

Teodor. Idź wasan d..do djabła! (siada)

Marcin. Ale to rzecz wielkiej wagi.. (ogląda się; j. w.) mogę panu powiedzieć, że dzięki mnie pańskie konkury pójdą jak po maśle.

Teodor (zły). Jakie konkury? co ty pleciesz?

Marcin. Chociaż nie byłem przypuszczony do sekretu, przecież o ile wnioskować mogę, zdaje mi się, że pan chce się żenić z córką państwa Kiksiewicz.

Teodor (powściągając się). Cóż dalej?

Marcin. Otóż w takim razie mógłbym być pośrednikiem pańskim w tej sprawie i to lepszym, niż Szwindelman.

Teodor (j. w.) Cóż dalej?

Marcin. Może pan zawierzyć mojemu słowu... znam oboje rodziców bardzo dobrze, chociaż nie umiem sobie wytłómaczyć, zkąd przyszli do dziedzictwa wsi... no, już to zdzierali, bo zdzierali, to ja mogę zaświadczyć.

Teodor (n. s.). A! to ładnie... bardzo ładnie.

Marcin. (tajemniczo) Widzi pan, oni mieli oberżę pod kogutkiem, a ja byłem markierem pod łabędziem... ale żyliśmy z sobą... tak... na stopie poufałej.

Teodor Aha!

Marcin. Otóż, proszę ja pana, na fundamencie tej zażyłości rozmawiałem dopiero co z samą Kiksiewicz o ich córeczce... i chociaż mogłem zauważyć nie chwaląc się, że gdybym chciał, chętnie wydałaby ją za mnie, jednakowoż...

Teodor (parsknąwszy śmiechem). Za ciebie! (n. s.) rywal!.. c..c.. coraz to lepiej!

Marcin. Proszę łaski pana... cóżby to było tak dziwnego.

Teodor (j. w.). Ale nie!.. i owszem... no, i naturalnie skorzystasz z tego usposobienia pani Ki... Kiksiewicz.

Marcin. Tegobym się nie dopuścił, człowiek ma przecie punkt honoru... skoro wiem, że pan...

Teodor (j. w.) Ja!

Marcin. Ale proszę pana, tu niema śmiechu.

Teodor. Ja! ten człowiek zgłupiał... (wstaje).

Marcin. Pan nie chce? ale kiedy tak, to...

Teodor. Ale ani chcę, ani mi się śniło, dajże mi pokój... przyjechałem wcale po co innego, a raczej przejeżdżam tylko... i wiesz co, jeżeli chcesz, to nawet nim odjadę mogę cię oświadczyć; (n. s.) zrobię sobie satysfakcję tą farsą.

Marcin. (cofając się) Mnie? (zmieszany) Ale proszę łaski pana, jeżeli wspomniałem o tem, to tylko żeby dać dowód, jakie mam wpływy.

Teodor (niecierpliwie). N..no! chcesz?

Marcin. (całując go w ramię) Pokornie panu dziękuję... ale... (skrobie się po głowie; n. s.) a to mnie zajechał! (głośno) ale... kiedy ja nieznam wcale panny, musiałbym ją wprzód zobaczyć... przecie nie wypada tak na oślep... do czego by to było podobne.

Teodor (n. s.). Pr..roszę! w ustach tego błazna morał dla mnie...a, to ładnie!

Marcin. Widziałem ją wprawdzie kiedyś, ze trzy lata temu, jak jeszcze byli na oberży, ale nie uważałem, bo to był jeszcze mały pędrak...

Teodor. Więc poznaj ją i jeżeli ci się podoba...

Marcin. Dobrze, proszę łaski pana... idę... (n. s.) muszę dać nura, niema rady... staryby mnie wywałkował na pewno, jakbym patrzał (wychodzi drzwiami w głębi.)

SCENA XIV.

TEODOR (później) ONUFRY.

Teodor. Wyborna myśl! zrobię na złość żydowi i im... a szczególniej temu Onuf..f..fremu, (zły) do którego pomimowoli czuję jakąś antypatję.

Onufry. (wchodząc z lewej strony, n. s.) To on... sam jeden... trzeba korzystać ze sposobności... (dobywa papier) ale jak zacząć. (p. c. wahania) e! śmiało! (głośno) panie, ja jestem prosty człowiek, nie umiem dobierać słówek, ani obwijać ich w bawełnę.

Teodor (niecierpliwie). To pan nie obwijaj, najkrótsza sprawa, (n. s.) cóż to znowu za facet?

Onufry. Chciałem się pana zapytać, tak... po prostu, czy to prawda, że pan przybyłeś tutaj umyślnie w pewnym celu?

Teodor. (n. s.) Czy znowu rywal? (głośno) w jakimże naprzykład?

Onufry. W celu, panie, starania się o rękę panny Kiksiewiczównej,

Teodor. (n. s.) Ki..ki...kiksiewiczównej, jak to wdzięcznie brzmi... ładnie wlazłem, ani słowa. (głośno, pogardliwym tonem) Zkądże tak dziki wniosek?

Onufry. (ucieszony) Dziki wniosek! pan powiedziałeś, dziki wniosek!

Teodor. (n. s.) Z czego on taki rad? (głośno) No, p.. powiedziałem... więc cóż z tego?

Onufry. (j. w.) Zatem to nie prawda?

Teodor. (niecierpliwie) Co nieprawda?.. a! niby, że się staram? rozumie się, że nieprawda.

Onufry. Możesz mi pan dać słowo?

Teodor. Ale daję, nietylko jedno, ale ile pan chcesz.

Onufry. No, to chwała Bogu!.. kiedy tak, to, panie, zmienia całą postać rzeczy... bo mnie, miarkuj pan sobie, ni ztąd ni zowąd uprzędło się w głowie, że pan przyjechałeś umyślnie po to, żeby... (śmieje się w kułak) i patrz pan, to było umyślnie na pana (pokazuje mu papier).

Teodor. Stempel... cóż to?.. metryka?

Onufry. E, gdzie tam metryka... (poufnie) Widzi pan, bo my z panną Jadwigą dawno się kochamy i miałem nawet obiecaną przez rodziców jej rękę.

Teodor. A!.. za pozwoleniem, z kimże mam przyjemność?.. założę się, że pan Onuf..f..fry!

Onufry. (zdziwiony) Tak jest... zkąd pan wiész?

Teodor. (śmiejąc się) A! pan Onuf..f..fry... (n. s.) żeby cię djabli! (głośno) domyśliłem się... bardzo mi miło poznać... ale pozwól pan przyjrzeć się sobie...

Onufry. (j. w.) I owszem, bardzo proszę. (n. s.) To fiksat jakiś.

Teodor. (n. s.) Gap', ale mu przynajmniej dobrze z oczu patrzy. (głośno) No, teraz słucham dalej.

Onufry. Otóż, byłem już prawie przyjęty przez rodziców... tymczasem licho nadało, że wieś kupili... wielkie państwo wjechało im w głowę, i teraz ani chcą o mnie słyszeć... a ja, szczérze powiadam, nie pragnę nic za nią... mam posadkę nie złą i widoki, panie nadal, to przy pracy i Boskiej pomocy utrzymam żonę.

Teodor. (n. s.) Więcej wart odemnie, słowo daję, szanuję go.

Onufry. Więc powiedziałem sobie, że bierz djabli krocie, niema co łaszczyć się na nie, tembardziej, że (ciszej) jak się teraz pokazało, i tak nie długo ich tu podobno zabraknie.

Teodor Jakto?

Onufry. Nie inaczej... o! pan Kiksiewicz zrobił, panie, interes aż miło!.. kto wie, czy nie trzeba będzie oddać wszystkiego... tu w tym pozwie stoi wyraźnie.. (śmiejąc się) byłbyś się pan dopiero złapał!

Teodor. (obruszając się) Ależ mój panie, powiedziałem, że...

Onufry. Tak, prawda... przepraszam... teraz, to wcale co innego.

Teodor. (n. s.) Jak to dobrze, żem się zanadto nie zaawanturował.

SCENA XV.

Poprzedzający, Kiksiewicz (prowadząc za rękę) Jadwinię pochodzą środkowemi drzwiami; za niemi) Szwindelman (po chwili) Kiksiewiczowa.

Kiksiewicz (do córki) Czego ty uciekasz od kompanji... po jakiemu to? co gość o tobie pomyśli, żeś za piecem chowana?

Jadwinia. Ale niechże mi ojciec da pokój... Jak to można kogo przymuszać... nie podobał mi się i kwita.

Kiksiewicz. Myślisz, że będę uważał na to (do Teodora) Przepraszam pana dobrodzieja za moją córkę... ale to takie skromne, nieśmiałe...

Teodor (wesoło) Że skromna, o tem nie wątpię... ale co do nieśmiałości, to protestuię. Panna Jadwiga przycięła mi tu porządnie parę razy.

Kiksiewicz (zgorszony) Przycięła! (ciszej do córki) Cóż to za jakieś fanaberje?

Szwindelman (do Teodora pojednawczym tonem) To tylko żarty były... taki szpas!

Kiksiewicz. Nie wiem zkąd jej się to wzięło, bo to takie dobre, potulne zawsze.

Teodor (żartobliwie) O! maluje się to w spojrzeniu.

Jadwinia (n. s.) Co ten ojciec ze mną wyrabia, jak mamę kocham... to już przechodzi wszelkie granice. (odchodzi w głąb).

Kiksiewiczowa (wchodząc drzwiami w głębi, spotyka ją) Gdzie ty idziesz? (spostrzegłszy Teodora) a to ten... (krzywiąc się n. s.) nie ładny... (rozmawia z Jadwinią, której gesta malują opór.)

Szwindelman (do Teodora) Ja panu powiadam, co to za wychowanie!

Teodor. Panna Jadwiga jest zbiorem doskonałości, przekonałem się o tem dowodnie i wiem, jak szczęśliwym będzie ten, kto ją dostanie... Ale też, o ile wnioskować wolno, zrobiła dobry wybór.

Kiksiewicz (myląc się co do znaczenia tych słów) O! dziewczyna ma gust.

Szwindelman (podobnież) Rychtyg stworzona na wielką panią.

Teodor (n. s.) Trzeba się wycofać z honorem i naprawić moje głupstwo (głośno) Obecny tu pan Onuf..f..fry (n. s.) zawsze się na nim zatnę (głośno) pan Onuf... (wstrzymuje się) z którym świeżo miałem przyjemność zabrać znajomość, wyznał mi w zaufaniu, że ją kocha i może rachować na wzajemność.

Szwindelman (zdziwiony) Wues? co to jest wzajemnoszcz?

Kiksiewicz (podobnież) Za pozwoleniem, cóż to znowu... zkądże pan Onufry mógł mieć śmiałość... (ściskając rękę Teodora) Przepraszam pana dobrodzieja za niego, najmocniej przepraszam... (Kiksiewiczowa przestawszy rozmawiać z Jadwinią, zbliża się).

Teodor (śmiejąc się i usuwając rękę) A to za co? czyż ja się gniewam? owszem rachuję na to, że pan jako ojciec... (spostrzegłszy Kiksiewiczowę) i pani jako matka... wszak matka? (do Kiksiewicza) proszę, niechże mnie pan raczy zaprezentować godnej małżonce.

Kiksiewicz. A i owszem! (prezentując żonę) moja żona. (Kiksiewiczowa kłania sie uroczyście i podaje rękę Teodorowi.)

Kiksiewiczowa. Niech pan dobrodziej będzie łaskaw do salonu... Mężu, proś! tu tak nie wypada, to tylko pokój gospodarski.

Teodor. Przepr..r..aszam, nie mam czasu... tylko skończę, com zaczął... Otóż sądzę, że państwo oboje nie będziecie mieli nic przeciwko temu i pobłogosławicie.

Kiksiewiczowa. Z miłą chęcią (do męża na ucho) pójdę tymczasem zadysponować śniadanie (wychodzi prędko na prawo).

Kiksiewicz (śmiejąc się z przymusu) He, he, he... pan dobrodziej żartuje... (do Szwindelmana) Cóż to ma znaczyć?

Szwindelman (niespokojny) Albo ja wiem? (do Teodora) Co pan gada?

Teodor. Jakto? nie rozumiecie? jestem swatem pana Onuf..f..frego (n. s.) bodaj cię!

Marcin (we drzwiach, przez które od niejakiego czasu zaglądał; n. s.) A to mnie wziął na kawał! patrzcie go... (znika)

Jadwinia (podając rękę Teodorowi) Teraz, to pan zmazałeś swoje winy.

Teodor (śmiejąc się i przyjmując jéj rękę) Doprawdy? a może serduszko przemówiło?

Jadwinia. O! przepraszam pana, o tem niema mowy. (odsuwa się w głąb i rozmawia z Onufrym).

Teodor (n. s.) Ona jest ładniutka, daje słowo.

Szwindelman (wyszedłszy z osłupienia) Wusydues?? (po chwili zebrawszy myśli, do Kiksiewicza) Daj mu ją pan gwałtem! niech ją bierze... co to jest!? taki zawód!

Kiksiewicz (n. s.) Czy on sobie kpi z nas, czy co?

Szwindelman (do Teodora) pan się musi żenić!

Teodor (powściągając się) Ej! nie radzę ci z...zaczynać ze mną... p..powiedziałem, że p..popamiętasz!

Szwindelman (odstępując) Co mi pan zrobi! ja się nie boję! od czego sprawiedliwość? (gwałtownie) Oddaj mi pan moje dwa tysiące rubli!

Teodor (j. w.) Masz sądy, woźnych, możesz mnie zapozwać, wówczas się porachujemy.

Szwindelman (do Kiksiewicza proszącym tonem) Powiedz mu pan co, pan nic nie gada, to on nie śmie! jak to może być... przecie pan mnie obiecał pięćset rubli... ja nie mogę być stratny.

Kiksiewicz (grożąc mu pięścią) Oszust jesteś! ja cię nauczę! (n. s.) sam nie wiem, co się ze mną dzieje.

Szwindelman. Co to jest! i ten! (n. s. znękany) Aj waj! aj waj! (p. c. do Teodora proszącym tonem) Panie, miej pan sumienie, żeń się pan! (Teodor spogląda na niego drwiąco). Co to panu szkodzi, zrób pan to dla mnie!

Teodor (nie odpowiadając mu, do Kiksiewicza) No, moje uszanowanie! powóz mój pewno sporządzili, więc odjeżdżam... (do Onufrego) Panie, słowo daję, zazdroszczę panu żony.. (do Jadwini) a pani winszuję męża... (kłania się wszystkim i wychodzi).

Jadwinia (robiąc stosowny gest) Krzyżyk na drogę, krzyżyk na drogę! (w chwili gdy robi krzyżyk, Teodor się odwraca, Jadwinia zostaje z ręką przy czole).

Teodor (z uśmiechem) A! panno Jadwigo, tak się nie godzi... za karę gotówbym zostać. (Jadwinia oddaje ukłon zmieszana) ale widzę przerażenie pani, więc do widzenia (kłania się i odchodzi środkowemi drzwiami).

Jadwinia (po odejściu Teodora, do Onufrego) Jezus Marja! jakżem się zawstydziła! (Onufry śmieje się z niej) E, bo to wszystko przez pana, jak mamę kocham.

Onufry. Jest! przezemnie! a to dobre. (rozmawiają na stronie).

SZWINDELMAN (rozpaczliwym tonem, za Teodorem) Czekaj pan! gdzie się pan tak spieszy! wróć się pan! (j. w.) zwracając się do Kiksiewicza) Panie Kiksiewicz! zatrzymaj go pan! (Kiksiewicz chodząc poruszony wygraża mu pięścią) aj waj! aj waj! gdzie ja będę odbierał moje dwa tysiące rubli! (wybiega)

SCENA XVI. I OSTATNIA.

KIKSIEWICZ, JADWINIA, ONUFRY (później) KIKSIEWICZOWA.

KIKSIEWICZ (chodzi w poruszeniu; poczem spostrzegłszy, że Onufry rozmawia z Jadwinią pokazując jej papier. Co wy tam z sobą szepczecie? sekreta jakieś! (Onufry i Jadwinia spuszczają oczy; do Jadwini) Idź mi z oczu! (do Onufrego) A waspan oddawaj to i wynoś się także! (chce wziąść papier).

ONUFRY. Nie powiedziałem panu jeszcze, co jest w tym pozwie.

KIKSIEWICZ (z mniejszym już gniewem) On mi o pozwie teraz będzie gadał! z panem Bogiem!

ONUFRY. Ale bo to rzecz ważna, bardzo ważna.

KIKSIEWICZ (niespokojny) No, cóż?

ONUFRY (potulnie) Widzi pan, żeby to było te pieniądze, co pan uzbierałeś, włożyć w hotel, który pan miałeś w dzierżawie, to byłby złoty interes, bo pan się znasz na tem.

KIKSIEWICZ (ochłonąwszy, innym już tonem) No, no, schować rady dla kogo innego.

ONUFRY (całując go w ramię) Przepraszam pana. . ale ta wieś, to była wcale nie potrzebna... oszukali pana... ten, od kogo pan kupiłeś, nie posiadał sam legalnego tytułu własności... na hipotece było ostrzeżenie, którego pan nie dojrzałeś.

KIKSIEWICZ (przerażony) Jezus panno Marjo! jakże to teraz będzie?

ONUFRY. Ha! trzeba będzie zapłacić frycowe... wszystko może przepaść.

KIKSIEWICZ (łapiąc się za głowę) O rety! o rety!

ONUFRY (nieśmiało całując go w ramię) Ale ja pannę Jadwigę tem bardziej kocham i złamanego grosza za nią nie żądam... będę pracował...

KIKSIEWICZ. To dobrze, ale (płaczliwie, trzymając się za głowę) moja Kocia Górka kochana! moja ciężka, krwawa praca!

JADWINIA (obejmując go) Niech się ojciec nie martwi... co tam! nie mieliśmy wsi i było nam dobrze.

KIKSIEWICZ. Co ty się znasz!... ale były pieniądze... (j. w.) moja Kocia Górka!

KIKSIEWICZOWA (wchodzi z prawéj strony paląc papieros) Co się to stało? gdzież się tamten podział?

KIKSIEWICZ (j. w.) Zabierają mi Kocią Górkę... wypędzają!

KIKSIEWICZOWA. Kto? co? (Kiksiewicz chodzi nie odpowiadając; ona idzie do Jadwini i rozmawia z nią).

KIKSIEWICZ (po chwili roztwierając ramiona) Onufry radź!

ONUFRY (całując go w ramię) Niech ojciec znowu tak do serca tego nie bierze... o! przepraszam, wymknęło mi się.

KIKSIEWICZ. Nic nie szkodzi... jesteś już jak zięć... daję ci Jadwinię... tyś poczciwy chłopak... tylko na rany Boskie radź!

ONUFRY (rozkładając papier) Jest ciężki termin, co prawda... ale mnie się zdaje, na mój rozum, że można się będzie ułożyć, zobowiązawszy się płacić rok rocznie kilka tysięcy.

KIKSIEWICZ. Bój się Boga, za co?

ONUFRY. Żeby się utrzymać przy wsi... bo my tu wchodzimy w prawa przeszłego posiadacza. Po prostu z dziedzica stajesz się pan dzierżawcą... (ożywia się) ale damy sobie radę... (z energią) przysięgam na Boga, ręce pourabiam, ale wypłacimy się i nie wypędzą nas!

KIKSIEWICZ. Tak mówisz?

ONUFRY. Zaręczam!

KIKSIEWICZ. No, to chwała Bogu! (całując go w głowę) poczciwy chłopiec!

KIKSIEWICZOWA (widząc to; do Jadwini) Jakto? ojciec pozwolił i ty go chcesz?

JADWINIA (całując ją w rękę) Mamo, ja wiem, że z nim będę szczęśliwa.

KIKSIEWICZOWA (ironicznie wzruszając ramionami) Romanse! (po chwili) Ha! róbcie sobie jak chcecie, ale pamiętaj, żebyś nie żałowała, ja umywam ręce (idąc na przód sceny, do męża) Toś ty tak wykierował interesa?

KIKSIEWICZ. Jest! babska maniera... teraz mi będzie wymówki robić... (ciszej) a czyjaż to sprawa, jeśli nie twoja? czy nie zachciewało ci się państwa? czy nie suszyłaś mi głowy dzień i noc tą wsią?

KIKSIEWICZOWA (paląc papieros) Od czegoż byłeś mężem? powinieneś był mieć rozum.

KIKSIEWICZ. Aha! więc ja, jako mąż, powinienem mieć rozum! tak?

KIKSIEWICZOWA (zaciągając się i puszczając mu kłąb dymu w nos) Spodziewam się!

KIKSIEWICZ. I tem samem nie pozwalać na głupstwa? (krztusi się) Dobrze! pamiętajże to sobie... a na początek proszę o ten papieros.

KIKSIEWICZOWA. A to po co?

KIKSIEWICZ (odbierając) Proszę, proszę (ciska go i depcze nogą) Ja ci dam papierosy!

KIKSIEWICZOWA (w osłupieniu) A toż co znowu?

KIKSIEWICZ (depcząc z zajadłością) Nauczyłaś mnie rozumu... nic więcej (spogląda na nią tryumfująco; zasłona spada).

KONIEC.

Listy o idei narodowej *)

Szanowny Panie!

Mylisz się w ostatnim liście swoim, zwracając się do Redaktora „Strzechy“ jako przyszłego korespondenta, a może i antagonisty w kwestji „idei narodowej“, której podniesienia potrzebę w pismie wystosowanem do Redakcji „Strzechy“ poruszyłeś. Redakcja otworzyła tylko szpalty swoje, jakoby szranki, wszystkim zapaśnikom, którym się podoba podjąć rzuconą przez pana rękawicę, nie przyjmując odpowiedzialności jednak za ich przekonania — i mnie pierwszemu zuchwalcowi dozwoliła skruszyć na tem miejscu pierwszą kopiję z panem. Ponieważ jednak chodzi tu nie o marny uśmiech pięknych ustek dumnej kasztelanki, ani o łaski z hojnej królewskiej ręki, jeno o rozświecenie gruntowne kwestji największej doniosłości, wchodzę przeto w arenę zbrojny w świętość i głębokość przekonań moich, i z tą otuchą — iż choćbym nie podołał memu zadaniu, dzielniejsi i wymowniejsi, zagrzani widokiem naszej walki, wspomódz mnie lub zastąpić, gdy ulegnę, nie omieszkają. Idąc dalej w mojem średniowiecznem porównaniu, wyznam iż dziwnie tajemniczo przedstawia się postać twoja, rycerzu.

W liście twoim, nie mogę jeszcze ani dewizy, ani herbu twego, ani barw jakie nosisz się dopytać; tak mieni mi się w oczach kameleonowa postać twoja i rynsztunek.

Nim tedy bliższą zabierzemy znajomość, nic mi nie pozostaje, jak z całą ostrożnością fechtmistrza trzymać się en garde, i po odparowaniu pierwszych twoich ciosów, czekać na nowe, by z nich zmiarkować, do jakiej należysz metody i szkoły.

Z wstępu twojego listu wnosićby należało, że należysz do szkoły tych szlachetnych entuzjastów, których pokolenie już wymiera, co w katakumbach prześladowania, skrycie karmiąc się mlekiem najszczytniejszej poezji naszej, na niej i jej ideałach w kochanków Ojczyzny wyrośli.

Unosisz się nad wspomnieniami młodości i wspólnych chwil spędzonych na ukradkowem czytaniu Dziadów, nad szlachetnemi dążeniami społeczeństwa w twoich czasach, które łączyło sprawę swoją ze sprawą sprawiedliwości dla wszystkich, zniesienia poddaństwa, i równouprawnienia i tym sposobem wiązało w harmonijny akord z narodem i Kmiotka i Żyda i każdego szlachetnego syna jakiegokolwiek bądź plemienia, który się zetknął z Polską.

Ale o krok dalej zarzucasz narodowi, rzecz straszną — gdyby była choćby prawdopodobną — tj. odstępstwo od ideji narodowej, a przez to postradanie sympatji dawnych sprzymierzeńców naszych — twierdzisz, iż ciemięzcy nasi zastąpili nas w przeprowadzeniu reform, które do nas należały i całemu narodowi rzucasz to w twarz, jako ciężką winę.

Prawdziwie, zarzut ten jest tak bezpodstawny, że nie należałoby prawie odpowiadać na niego. Jestże dzisiaj choćby jeden Polak, którvby przestał być najgorętszym zwolennikiem owych dążeń do wydzielenia wszystkim sprawiedliwości, do uwolnienia wszystkich z pod wszelkiego rodzaju niewoli, do uszczęśliwienia całego świata? Czyż gdy chodziło o oswobodzenie ludu na Ukrainie, najdzielniejsi i najszlachetniejsi Polacy nie związali się i żałowali trudu lub mienia w tym celu; czyż Towarzystwo Rolnicze Warszawskie nie podjęło tego sztandaru i równouprawnienia żydów z namiętnym zapałem? czyż w Galicji, z wyjątkiem najskrajniejszych zacofańców, stawał kto oporem tej idei? A czyż naszą jest winą, że wrogie nam rządy zrozumiały doniosłość inicjatywy w tym względzie i drogą gwałtu jak Moskale, lub sprytu, jak inni panowie nasi, z rąk nam ją wydarły? A dzisiaj nawet, czyż tam, gdzie praca dla ludu nie jest wzbronioną pod grozą knuta i katorgi, nie masz ludzi poświęcających się jej z jak największym zapałem? Dość wskazać na pracę Szymańskich, Chociszewskich, Rzepeckich, ks. Bażyńskiego w Poznańskiem, dość wymienić imiona Kalksteinów, Sulmierskich, Donimirskich i niestrudzonego Danielewskiego w Prusach zachodnich, praca których przysporzyła już narodowi i jego dążeniom do wolności tyle tysięcy nowych świadomych siebie i gorliwych obywateli, pod wiejską strzechą?.. A i w Galicji, czyż imiona Młockiego, Tatomira, Zbrożka, Anczyca, Starkla, i tylu innych nie dowodzą, iż poczucie potrzeby oswobodzenia ludu z pod jarzma ciemnoty — gdy jarzmo pańszczyzny już zostało usunięte — pulsuje pełnym prądem jeszcze? A jeśli usiłowania te mniej się sporzą, niż w Poznańskiem, czyż nie wiemy, jakim to okolicznościom i wpływom wrogim, a od narodu niezależnym przypisać potrzeba?.. Równouprawnienie żydów dokonanem zostało wszędzie — i w Królestwie stało się rzeczywistem, poszło na korzyść harmonji narodowej, przysporzyło prawdziwych obywateli — bo społeczeństwo sercem i dobrą wolą przygarnęło dawniej wrogi mu żywioł a wspólność cierpień, niedoli i ciągłego ucisku ścisnęła i utrwaliła te węzły. Jeżeli w Galicji jest inaczej — wina to istotnie w znacznej części społeczeństwa, ale większa jeszcze stosunków politycznych, i socjalnych, które dyssonans ten zrodziły i podtrzymywać go nie przestają... I wobec takich okoliczności, możnaż powyższemi zarzutami bryzgać w twarz narodowi, dowodzić niemi, iż Polska odstąpiła od narodowej idei.

Lecz nie!.. Potężniejszy na to stawiasz pan dalej argument. Mówisz, żeśmy stracili oparcie i sympatję u narodów „przyjąwszy wstrętne przymierza“ i przytaczasz na potwierdzenie tego zachowanie się nasze wobec Słowian w ostatnich czasach, w chwili konfliktu ich z Turkami — czemu nie powiesz w chwili, gdy walczyli przeciw Turkom pod moskiewskim sztandarem!..

Ale to już równa się politycznemu obłędowi... równa się dziś szczególnie, gdy błyskawica jaskrawej prawdy, zwana pokojem Sanstefańskim, oświeciła cały horyzont polityczny — dziś to równa się krańcowej ślepocie!

Jakto, pan wyrzucasz skrwawionej, zduszonej zdrad tysiącem Polsce, płaczącej nad coraz świeżemi ofiarami Moskwy, świadomej wszystkich dróg szatańskiej jej chytrości i hipokryzji że nie mogła wierzyć w uczciwość sprawy przez nią podjętej, sprawie tej sprzyjać — i stać po stronie Słowian, którzy mieli być narzędziem ruiny i klęski Turcji, aby potem stać się stokroć nędzniejszemi niewolnikami i pastwą potworu, którvby

*) Odpowiedź na umieszczony w Zeszycie VII. „Strzechy“ list szlachcica z nad Ikwy.

tym sposobem rozciągnął swe cielsko od granicy Chińskiej aż po Dardanele? Jakto więc pozostawało nam co innego, jak płakać nad zaślepieniem Słowian, którzy w swoich przyszłych katach zbawców widzieli?

Więc mieliśmy wierzyć, iż przyjdzie wolność i sprawiedliwość dla kogokolwiekbądź od tych rzekomych apostołów wolności, którzy nam tych samych, wydartych przez siebie nikczemnie skarbów, pomimo tylu szczytnych a krwawych przeciw ich gwałtowi protestów, zaciekle wzbraniają się zwrócić? Mieliśmy wierzyć, iż spłynie szczęście, błogosławieństwo cywilizacji i dobrobytu z ręki tych, którzy sieją tylko zniszczenie, idą od tylu wieków tylko fałszem i okrucieństwem, a dążą jedynie do zaboru i gwałtu? Cóż ta Moskwa zrobiła dla cywilizacji, ażeby uwierzyć gdy mówi, że walkę podejmuje dla niej? Ostatnim wyrazem jej cywilizacyi nihilizm, demon zrodzony z jej ducha, dojrzewający w jej wnętrznościach i który w strasznym dniu Bożego gniewu pożre własną, potworną tę matkę swoją! Chciałżebyś, ażebyśmy my, nieszczęśni, a niczem nie zrażeni kochankowie światła i wolności, mieli pędzić chmurę ciemnoty i niewoli tchem serc naszych, aby pokryła świat cały?... Ależ zwycięztwo Moskali i połknięcie przez nich Słowiańszczyzny byłoby najstraszliwszą klęską dla cywilizacji i ludzkości — stokroć straszliwszą, niż jeszcze wieki panowania w Europie Turków, których i tak prędzej czy później duch czasu na drogą konstytucjonalizmu byłby pochnął... I żądasz, abyśmy byli sprzyjali Słowianom, ścielącym w powstaniu przeciw Turcji, wywołanem intrygami i pieniędzmi Moskwy, drogę do grobu niewoli dla siebie, w zaślepieniu, iż sobie święty gościniec do wolności ścielą — i żądasz, ażebyśmy my widzący, my świadomi, że zwycięztwo Słowian w tym razie będzie tylko zwycięztwem Moskwy — a klęską dla najdroższych właśnie ogólno ludzkich i naszych narodowych ideałów — żądasz, abyśmy wobec tego byli stali po stronie Słowian?

Powtarzam obłęd to tylko, karygodny bo zaraźliwy, lecz przeciw któremu zdrowy duch narodu w swoim czasie usposobieniem całego ogółu Polski zaprotestował — i nigdy protestować nie przestanie! Oto jest więc najwyższy argument Pański, dla którego, jak powiadasz „idea nasza mierzchnie“ i z powodu którego nie zdołamy już przyciągnąć nikogo do naszego sztandaru, bośmy na nim wypisali: „Do naszej wolności przez krzywdę drugich!“ Doprawdy przyszłoby się uśmiechnąć na tę nową dewizę przypisywaną przez pana dziś Polsce, na tak błahych jak przytoczone powyżej podstawach, gdyby podobne twierdzenie nie było obrazą Majestatu Narodu! My dążyć do wolności naszej przez krzywdę drugich!! Gdzież nikczemnik, któryby taki sztandar wywiesił — gdzież dowód na takie bluźnierstwo! Na poszarpanym stuletnią walką naszą sztandarze lśnił zawsze i lśnić będzie po nad zwycięztwem naszej sprawy potężny okrzyk: „Za naszą wolność i waszą“ i uwierzą mu narody, gdy nas niosących tę dumną chorągiew obaczą, bo cała nasza przeszłość dziejowa i cała nasza w cywilizowanym świecie działalność, rękojmią dla nich... Lecz sztandar ten w rękach Cara Moskwy — jest tylko szatańskiem, cynicznem szyderstwem, jest natrząsaniem się nad łatwowiernością nieszczęsnej Słowiańskiej braci, której oby gorżkie doświadczenie chwili obecnej raz na zawsze bielmo zdjęło z oczu!

Dalsze pańskie obawy o dorastającą młodzież, której „nie będziemy mieli czem zapalić“ (zapewne dla tego, że nie chcemy jéj zapalić zbawczym płomieniem miłości dla sprawy oswobodzenia Słowiańszczyzny zainaugurowanej przez kata Polski!) — oraz zapytania „gdzie tej młodzieży pokażemy Polskę, jeżeli o nią zapyta?“ jako wynikające z powodów, których błahość lub też niesłuszność a nawet przewrotność, powyżej wykazałem — pomijam na ten raz milczeniem.

Zwracam jednakże uwagę pańską, przy zakończeniu, na tę drobną okoliczność, że nie naród to, broniący siebie i całego świata od spółki wszelkiej z Moskwą zaborczą, despotyczną i spodloną wiekową niewolą „pali Molochowi ofiary“ — jak się Pan w stylu purytańskim wyrażasz, ale ty sam na kartach swego listu, z całej gorącości swego serca temu rozpalonemu pożeraczowi ofiar krwawych składasz objatę — w dobrej wierze, iż bronisz sprawiedliwości i „idei narodowej!“

Wiedz jednak, że tak pojętej „idei“ nigdy Polska służyć nie będzie! — Inaczejby Polską, „tą narodów anielicą“, być przestała!

Co zaś do „podniesienia z prochu i pleśni myśli dziejowej i pogodzenia jej na nowo ze światem żyjących, w imię błyskającego dla wszystkich świtu wolności“ — o czem trójwiersz na końcu listu pańskiego wspomina, śmiałbym być ciekawym, jak wobec tak osobliwych a odpartych przeze mnie zapatrywań pańskiego listu — wygląda owa „myśl dziejowa“ Polski w przekonaniu Jego, czemu ją pan uważasz za „leżącą w prochu i pleśni“ — i jakie pan znajdujesz drogi dla pogodzenia dziejowej, tradycyjnéj idei Polskiej z obecnym „żyjących światem?“... Niezmiernie byłbym wdzięcznym, gdybyś pan te pytania wziął za przedmiot swego przyszłego listu, gdyż to by nas zbliżyło, owszem wprowadziło nawet in medias res istotnego zadania naszéj polemiki, którem jest „idea narodowa.“

POGADANKA.

(System pedagogiczny Abbé'go Fleury, i nasze prasowe stosunki. — Najpewniejszy barometer polityczny — *Höchste Fructificirung!* — *„Messager de Vienne“* i jego wpływ na wschodnie interesa. — Szczęście Walusia. — Strzecha pro domo sua.

Nieboszczyk Abbé Fleury, zostawszy nauczycielem delfina, a późniejszego francuskiego króla Ludwika XV, w niemałym znalazł się kłopocie, — pupil jego bowiem okazywał nieprzezwyciężony wstręt do nauki, a podczas gdy ówczesna pedagogika nie znała na taką chorobę innego lekarstwa jak tylko monitor boćkowski, zabraniała dworska etykieta zastosówania tego heroicznego środka do skóry tak dostojnego ucznia....

ażeby tedy wilk był syt, i koza całą, uciekł się — jak opowiadają kroniki — zakłopotany pedagog do wielce dowcipnego pomysłu. Oto, powołał na dwór wersalski młodego, a ubogiego chłopaka, który wspólnie z przyszłym arcychrześcjańskim królem pobierał odtąd nauki. Ilekroć Jego królewska Wysokość raczyła najłaskawiej przeskrobać coś przeciw naukowemu regulaminowi, natychmiast rozciągano biednego chłopaka, i chłostano go surowo za przewinienie księcia... „Młody delfin — tak kończy kronikarz, z którego dykteryjkę tę wyjmuję — uczył się w ten sposób na cudzej skórze, jak zdrożnemi są wykroczenia przeciw gramatyce, i jak to szanować należy poważne prawidła odmiany rzeczowników i czasowników!...“

Zdaje mi się, że system czcigodnego Abbé Fleury znanym być musi naszym sferom rządzącym, i że ta sama logika, którą się kierował dowcipny pedagog francuzkiego delfina, kieruje także i naszemi prasowemi stosunkami, — zauważyłem bowiem, że ilekroć Gorczaków lub Bismark przeskrobią coś przeciw trójprzymierzu, albo też węgierska opozycja coś przeciw programowi dualistycznej sielanki zawini, natychmiast sypią się na polityczną prasę grady konfiskat.

Ograniczonym umysłem płacącego podatki i dodatki poddanego nie jestem w stanie dociec, czyli sternicy naszej państwowej nawy, wbijając w Gorczakowa, Bismarka, i węgierską opozycję poszanowanie dla austrjackich interesów, i obrzydzenie dla wszystkiego co jest lub może być staatsgefährlich... na skórze galicyjskich dziennikarzy, osiągają skutek równie pomyślny, jak ten, który — wedle zapewnień powołanego przezemnie francuskiego kronikarza — osiągnąć miał niegdyś dowcipny pedagog delfina; — pozwalam więc sobie tylko skonstatować, że właśnie w tej chwili pedagogiczny system Abbé'go Fleury zastósowywany bywa u nas na skalę bardzo obszerną, — fakt, który według długoletnich doświadczeń moich najniezawodniej... wielką niepewność politycznej pogody oznacza!...

Przychodzi mi tutaj na myśl, czyby też na zasadzie tego faktu osadziwszy galicyjskiego dziennikarza n. p. w breloku lub w szpilce od szalika nie można sporządzić barometru polityczno-meteorologicznego, podobnego do owych płóciennych kwiatków odgadujących pogodę, albo też do owych chustek-barometrów, które się niedawno temu w handlu pojawiły?... Co za nieobliczone korzyści dałyby się osiągnąć za pomocą takiego fizykalnego narzędzia? — Jak łatwo mógłby się każdy orjentować w białowiezkiej puszczy matactw dyplomatycznych, i w mateczniku polityki od wypadku do wypadku?... To prawda że w takim razie nie byłoby już różnicy zdań, — nie byłoby „mężów sytuacji“ — nie byłoby większości i mniejszoości koła, — nie byłoby Stańczyków, ani tromtadratów, — nie byłoby nakoniec polemiki, w skutek czego „mózg naszego narodu“ i „sól ziemi naszej“ czyli mówiąc po polsku, kochane nasze dziennikarstwo utraciłoby najkardynalniejszą rację swego bytu...

Cokolwiekbądź polecam zbadanie mego odkrycia naszym przyrodnikom jak najgoręciej, — poznanie praw bowiem ciekawego zjawiska, o którem poprzednio mówiłem, byłoby dla nas wielce pożądanem, mianowicie dziś, gdy z jednej strony — wedle zapewnień berdyczowskiego kalendarza — spodziewać się nam należy „brzemiennych w następstwa wypadków“, — z drugiej zaś dzięki wspaniałomyślności p. B. Wołowskiego, przyszliśmy (my, t. j. naród galicyjski) do posiadania politycznego dziennika, i jesteśmy przeto w sprawie zastósowywania metody Abbé'go Fleury do skóry dziennikarstwa, że się tak wyrażę, osobiście interesowanymi.

Czasopismo, o którem tutaj mówię, a które p. B. Wołowski wspaniałomyślnie składa na ołtarzu naszej szczuplejszej ojczyzny, nazywa się Messager de Vienne, i wychodzi jak już sam tytuł świadczy w Wiedniu, ma zaś tę, jak dla organu politycznego malutką tylko wadę, że go nikt wcale nie czyta. W zamian za dar ten wspaniałomyślny nie żąda pan B. Wołowski (proszę go odróżnić od p. L. Wołowskiego, ekonomisty) nic... oprócz kosztów nakładu dziennika, i odpowiedniej redaktorskiej pensji w walucie austrjackiej, kwitując nas zresztą najzupełniej z należnej mu za to wdzięczności. Otwiera nam się przeto sposobność do „najwyższej fruktyfikacji“ zbędnych naszych kapitałów, zastósowawszy tutaj bowiem receptę, którą dał pewien Niemiec swemu synowi, przesyłając mu swój stary frak wraz z dobrą radą, ażeby go sobie na nowy surdut dał przerobić, możemy jeszcze Messagera wykierować na organ równie wpływowy jak angielskie Times lub francuskie Debaty, — potrzebujemy mu tylko zdobyć... sto lub dwakroćstotysięcy abonentów!... Niezawodna rzecz, iż wzrósłszy do takiej potęgi będzie mógł nie czytany dziś Messager de Vienne wywierać wpływ znakomity na „brzemienne w następstwa wypadki“, aliści zdobycie stutysięcy abonentów nie jest rzeczą tak łatwą, i zakres Messagera musi się chwilowo ograniczyć na fabrykacji makulatury do zawijania pieprzu, imbiru i cynamonu!... Jest to jak sądzę — jedyny wpływ, który dziennik ten wywierać może na... wschodnie interesa!...

Trzecia i ostatnia z sztuk, przez konkursową komisję imienia Aleksandra hr. Fredry do grania zaleconych, została nakoniec przedstawioną na scenie naszej. Jest nią pięcioaktowa komedja (jabym powiedział mysterjum) pod tytułem: „Szczęście Walusia“ — płód wprawdzie dość bujnej, ale tak chorobliwej fantazji, że w istocie sprawy sobie zdać nie można z zamiaru autora, chyba że mu chodziło o przeprowadzenie dowodu, iż „od piwa, głowa się kiwa,“ na co jednakże wedle wielokrotnych moich doświadczeń tylko pięciu kufelków, a nie aktów potrzeba.

Nie uznając powagi wszelkich pisanych lub drukowanych estetyk, dla tego, że jedynym w tej mierze pewnikiem jest: Nie to piękne, co piękne, ale to, co się komu podoba — niezwykłem w mych sprawozdaniach teatralnych nigdy zapuszczać się w tak zwaną umiejętną analizę, lecz tylko notować moje osobiste wrażenia, posługując się dla lepszego uwydatnienia tego stanowiska skromnem „ja“, a nie używając nigdy dumnego „my,“ które tak pięknie brzmi w ustach pana Spausty lub innego krytyka z profesji... Dziś jednakże, ponieważ to właśnie sztuka konkursowa, zejść mi wypada z mego wygodnego gawędziarskiego fotelu i zwyczajem krytycznych Jowiszów, okraść najprzód autora, opowiadając fabułę jego sztuki, a potem z wdzięczności wytuzać go należycie w dodatku.

A więc zaczynam. Onego czasu mieszkało u pewnego Czecha fagocisty czterech gołych muzykantów, wielce zamiłowanych w swej sztuce, a może bardziej w piwie, którem się chętnie raczyli. Był tam najprzód niejaki Jarosz, czelista, największy ze wszystkich wirtuoz, lecz i piwosz zarazem, indy-

widuum wielce narwane i z tego powodu wielkiego w tej kolonji grajków używające poważania. Był dalej Rożenek, ów raz już wymieniony Czech-fagocista, reprezentant „prozy żywota“, człowieczek lekceważony przez resztę kwincetetu, dlatego, że fałszywie grał na fagocie — bardziej jeszcze dlatego, że będąc gospodarzem domu, udzielał temu zacnemu towarzystwu schronienia i piwa na kredyt. Był bohater sztuki Waluś, młodzieninc przez bogatych krewnych odepchnięty a smyczkiem na powszednie piwo zarabiający, i było nakoniec dwóch jeszcze pełnych nadziei młodzieńców, kształcących się pod przewodnictwem Jarosza w muzyce, w bziku i w piwopiciu.

W chwili, gdy się kurtyna podnosi, kultywuje właśnie cała kolonja powyższa trzy kierunki, pijąc „składkowe piwo“ i rozprawiając o sztuce na sposób naszych lirycznych bolibrzuszków, gdy w tem jawi się Naninka, córka Rożenka, która dotychczas jako guwernantka na wsi bawiła, lecz nie chcąc oddać ręki bogatemu jakiemuś starcowi, a mając głos piękny i wielki zapał dla sztuki, przybyła do ojcowskiego domu w zamiarze wykształcenia swego talentu i szukania potem karjery na teatralnych deskach. Naninka jest bohaterką sztuki, a Waluś bohaterem — oczywista więc rzecz, że jak zwykle w komedji bohater i bohaterka zakochują się w sobie od pierwszego spojrzenia na zabój — fakt, którego się widzowi zresztą tylko domyśleć wolno, gdyż oprócz pewnego kilkakrotnie powtórzonego „Dobranoc“ i odegranej przez Walusia serenady, żadnego prawomocnego niema na to dowodu.

Ale tacy to już bywają ojcowie w komedjach. Albo zupełnie ślepi, albo tak jak stooki Argus wszystko widzący... Rożenek należał właśnie do tego ostatniego gatunku, ujrzawszy bowiem w ręku Naninki krawatę Walusia (papierosem wypaloną) odgadł zaraz, co się w sercu córki dzieje... O te krawaty!...

N o t a, Panienki, które nie chcą zdradzić swych sercowych tajemnic, nie powinny nigdy brać do rąk krawatek, zwłaszcza takich, w których papierosem wypalono dziurę.

Dowiedziawszy się w ten sposób, że Naninka Walusia kocha, wpada Rożenek w gniew straszliwy i postanawia niewczesnego konkurenta, a niepłacącego czynszu lokatora wyrzucić z pomieszkania, wniósłszy skargę do sądu. Rozpacz Walusia, który za jednym zachodem traci wszystkie nadzieje, nie wyjmując nadziei przespania się pod dachem!...

Aliści jest Bóg, który się losem nieszczęsnych kochanków i wyrzuconych z pomieszkania lokatorów zajmuje, a imię jego D e u s e x m a c h i n a!... Bóg ten w codziennem życiu rzadko kiedy miesza się w sprawy śmiertelników, natomiast w komedji nie odmawia on nigdy nieszczęsnym swojej opieki... D e u s e x m a c h i n a w „S z c z ę ś c i u W a l u s i a“ nazywa się Chleptowicz i jest z urzędu adwokatem, a z zamiłowania łapigroszem, które to dwie profesye nie wykluczają się wcale wzajemnie, jak to każdemu wiadomo. Chleptowicz jest w dodatku jeszcze rodzonym wujem Walusia, którego niegdyś odtrącił od siebie, dziś zaś przychodzi czuły, serdeczny, wylany, aby siostrzeńcowi swemu oznajmić, iż nań (na Walusia) spadła sukcesja, zapisana mu przez innego znowu wuja, a wynosząca okrągło pół miliona. Wielka radość w kolonji muzykantów, która prawdopodobnie już oblicza, ile też za pół miliona można dostać piwa?!

Aliści radość ta zostaje niebawem zmącona, w dalszym toku rozmowy oświadcza Chleptowicz, iż testator zapis swój uczynił zawisłym od jednego warunku, a mianowicie od tego, ażeby Waluś zamieszkał przez sześć lat na wsi, i przez ten czas oddając się gospodarstwu, nie zazierał wcale do Warszawy... Wielki niesmak w kolonji muzykantów!... Akcje piwa spadają, natomiast rośnie poza wyżej p a r i. Zbzikowany wirtuoz Jarosz zaczyna Walusiowi zawracać kontramarkę, dowodząc mu, że dwa a dwa to pięć, i że przyjmując pod tymi warunkami spadek, sprzeniewierzyłby się sztuce, która od swych czcicieli wymaga, by pili piwo na kredyt i chodzili bez butów całe życie... Waluś rozczula się i waha, nie wiedząc już, czy jest kozłem, czy baranem...

P i e r w s z a k u l i s a d o d r u g i e j: A to ci dopiero fujara! Któż mu broni rzępolić na wsi, tak jak tutaj rzępolił...

D r u g a k u l i s a d o p i e r w s z e j: Z pewnością, zwłaszcza teraz, kiedy ma tyle k a l a f o n j i...

S k r z y p c e d o w i e l o n c z e l i: Czemu ten Jarosz tak go b a j t l u j e?...

W i e l o n c z e l a d o s k r z y p i e c: Et, gadasz bajtluje? Kto wie czy tam na wsi jest piwo?...

Tymczasem Waluś wytrzeźwia się ze swego oszołomienia, rozważywszy, że pół miliona to nie głupia rzecz, i że teraz zostawszy bogatym może posiąść rękę Naninki, którą mu „prozaiczny“ Rożenek sam ofiaruje... Aliści — o dziwo! — Naninka niby to na zabój w Walusiu zakochana, daje mu koszyka, nie chcąc kochankowi poświęcić sztuki...

P i e r w s z a k u l i s a: A to ci dopiero koza!... Któż jej broni pielęgnować sztukę na wsi...

D r u g a k u l i s a d o p i e r w s z e j: Ba, ona tak samo kocha sztukę, jak i Walusia.... Jej chodzi tylko o debiut w teatrze i oklaski.

Odtrącony przez kochankę, a potępiony przez swych kolegów Waluś, wyjeżdża na wieś, aby objąć swoje dziedzictwo, ulegając namowom Chleptowicza i licznych krewnych, którzy odtrąciwszy niegdyś biednego grajka, roztaczają nad zbogaconym każdy „na własny rachunek“ najpieczołowitszą opiekę. Wyjazd ten niemal przyjemne robi wrażenie, widok bowiem poczciwego Walusia wyrwanego gwałtem z tego przybytku pozy i tombakowego zapału, pozwala tuszyć, iż bohater odżyszcze może zdrowe zmysły wśród tego otoczenia na szwank narażone. Aliści — niestety! — razem z nim wyjeżdża i arcykapłan bzika Jarosz, aby Walusia... ratować!

Na tem się kończy drugi akt i tu mi wypada wytknąć wadliwość architektoniki tej sztuki, z całego założenia bowiem i z wybitnie namarkowanej tendencji, oraz z wyjazdu Jarosza, który jako s p i r i t u s p o d p o w i a d a n s deklamacjami swemi ciągle na wsi denerwuje Walusia, domysleć się musi widz końca sztuki. Tymczasem każe nam autor, czyli raczej autorka (gdyż o tem wie już wójt i cała gromada, że to młode i piękne rączki tę sztukę pisały) przebywać jeszcze trzy długie akty nastrzępione fałszywie-patetycznemi gadaninami Jarosza, a poprzeplatanemi częstokroć nawet bardzo szczęśliwie pomyślanemi epizodzikami, które jednak w umyśle widza bałamutną tendencją wywołanego niesmacznego wrażenia zatrzeć nie są w stanie.

Reasumując to, co tu powiedziałem, pozwalam sobie ad usum naszych młodych dramaturgów zrobić uwagę ogólną, że komedja jest ziemianką, która stąpać musi po ziemi nie zapuszczając się nigdy w krainy niebieskich migdałów, a tem mniej tombakowego zapału, lub jeśli tak państwo wolicie fałszywego patosu. Może ona się wybornie obejść bez tego, co zowiemy idealizmem, więcéj nawet bez uczucia, lecz nie wolno jej wziąść rozbrat ze zdrowym, chłopskim rozumem, w którym jedynie cała jej broń tak zwana vis comica leży. Cobyście państwo powiedzieli o komedji dowodzącej n. p., że dwa a dwa jest pięć, lub wychodzącej z założenia, że pobożność indyjskich fakirów, siedzących całe życie z wniesioną do góry prawicą, jest szczytem doskonałości, a chłoszczącej naszą zwykłą, że tak powiem świecką pobożność, opierającą się na wypełnieniu codziennych naszych obowiązków...

Więcej jeszcze powiem, tezy, które w innych poetyckich utworach mogą być uważane jako piękne i szczytne, przeniesione do komedji, jeżeli tylko rozbrat wzięły z grubopłaskim chłopskim rozumem, przedstawią się nam natychmiast jako bałamutne i chorobliwe. Weźmy n. p. sławne Mickiewiczowskie „Mierz siłę na zamiary, a nie zamiar podług sił“ i przenieśmy je do komedji, a otrzymamy Don Kiszota, typ, który wbrew naszej woli zawsze ujemnym będzie, i na który cały świat będzie zawsze poglądać trzeźwem okiem Sanczo Pansy.

Z tego też właśnie powodu wypadły wszystkie wrzekomo dodatnie typy fakirów sztuki w „Szczęściu Walusia“ tak nieszczęśliwie, że ani p. Zamojski w roli Jarosza, ani p. Kwieciński w roli Walusia, ani p. Ładnowska w roli Naninki nic z nich zrobić nie zdołali. Natomiast przyznać trzeba autorce wielką śmiałość, prawdę i zręczność w rysowaniu ujemnych charakterów, między którymi typ Czecha-fagocisty jest rzeczywiście po mistrzowsku nakreślonym. Gra p. Zboińskiego w roli powyższej, p. Fiszera w roli Chleptowicza i p. Linkowskiego w roli Więsierskiego była niezrównaną!...

Stanowisko, które zajęła Strzecha w obec sprawy prelekcyi p. Spasowicza w Warszawie skłoniło Tydzień lwowski do kilku uwag, na które odpowiedzieć muszę. Pochwalając w zupełności zapatrywania Strzechy co do samego odczytu, występuje Tydzień w obronie owej nielicznej garstki warszawskiej młodzieży, która posuwając się do gwałtu wobec p. Bolesława Prusa, wydała sama na siebie wyrok najsurowszy. Mianowicie niepodoba się Tygodniowi moje wyrażenie, że „młodzieży owej, doktrynami moskiewskiego nihilizmu zarażonej, podobało się w odczycie p. Spasowicza dopatrzeć tendencji, których tam wcale nie było...“

„— Jak można się dopatrzeć w czemsiś rzeczy, której tam niema — woła Tydzień, zarzucając mi nielogiczność tego wyrażenia... Sądzę, że tego zarzutu odpierać nie potrzebuję... Wszakżeż Tydzień sam, występując w obronie p. Spasowicza, zbija zarzuty przeciwko niemu wniesione przez dzienniki, którym się podobało dopatrzeć w odczycie szanownego prelegenta tendencji, których tam niema i nie było. Wszakżeż w słowach powyższych przezemnie zacytowanych, zarzuca mi nielogiczność, dopatrzywszy jej tam, gdzie jej z pewnością niema. Wszakżeż nareszcie w tłumnej a gwałtownej napaści na człowieka słabowitego i bezbronnego dopatrzył się tylko... dowodu krewkości, podczas gdy każdy człowiek rozsądny i nieuprzedzony w czynie tak haniebnym zupełnie się czegoś innego dopatrzy!...

Co do twierdzenia mego, że młodzież owa zarażoną jest doktrynami moskiewskiego nihilizmu, tego relata warszawskich korespondencyi referens bronić nie myślę, ciesząc się wielce jeżeli jest inaczej. Cokolwiekbądź, dziwną jest rzeczą, że władze moskiewskie nie tylko nie ścigały przestępców, lecz jak donoszono nie pozwoliły na ogłoszenie w dziennikach protestu owej części młodzieży akademickiej, która postępkiem swych kolegów oburzona, chciała wyrazić to swoje oburzenie publicznie, aby stwierdzić, iż „krewkości“ napastników p. Prusa wcale nie podziela...

Do wniosku Tygodnia, ażeby dzienniki, które tak niesłusznie występywały przeciw p. Spasowiczowi, umieściły na podstawie ogłoszonego w Atheneum odczytu szanownego i zasłużonego prelegenta, odwołanie swych niesprawiedliwych zarzutów, przyłączyć się musi każdy człowiek uczciwy. Ale podobnoś nie osiągnie ta apelacya a Roma male informata ad Romam melius informatam żadnego skutku.

Włodzimierz Zagórski.

POKŁOSIE.

Ciekawe skutki piorunu. W nauce o elektryczności znane są różne dziwne zjawiska towarzyszące piorunom, lecz żaden wypadek nie przedstawia tak ciekawego nagromadzenia szczegółów jak ten, który opisał p. Monteil sekretarz komisji meteorologicznej w Morbihan. Dotyczy on burzy, która miała miejsce piątego Grudnia 1876 r. o wpół do jedenastej w nocy. Błysk oznajmiający uderzenie piorunu rozdzielił się na dwie gałęzie; jedna z nich dotknęła domku stojącego nad brzegiem morza i sąsiadującego z zarządem marynarki, druga uderzyła prostopadle w powierzchnię morza. Płomienie gazowe na brzegach portu zostały zgaszone, a prąd elektryczny rozbiegając się po miejscach lepszego przewodnictwa poprzebijał wilgotne mury i potopił różne metalowe części budynków. Zapach siarki rozszedł się w powietrzu a nawet na powierzchni miedzianego druta dzwonka piorun osadził warstwę siarki i miedzi. Następnie przebiegł długość 120 mt. i rozdzielił się na dwa, trzy, wreszcie ze dwadzieścia mniejszych prądów. We wszystkich tych kierunkach znaleziono kawały drzewa poodrzucane na znaczne odległości, a zasłony jedwabne porwane. Kamienie z murów porozdzielały się, jeden zaś metr kwadratowy był całkiem zdruzgotany, i tu i owdzie tylko znaleziono z niego rozsypane kawałki cegły i gipsu. Prąd który przebiegł po rynnie cynkowej wpadł na pierwsze piętro, przebiwszy mur gruby na 69 ctm. W rurze cynkowej znaleziono także dwa otwory. Następnie prąd przebiegł po grubym drucie od dzwonka, który stopił, przechodząc zaś z pierwszego piętra na drugie, osadził na murze dwie pręgi jakiejś czarnej materji. Żadna z osób śpiących na pierwszym piątrze nie doznała skutków piorunu; na drugim zaś jedna została porwana z łóżka i postawiona na nogi a w około niej okazały się błyski ogniste. Stopiony drut dzwonka opadł na bieliznę nie spaliwszy jej jednak, a w tymże pokoju znaleziono nadto kawałek drutu miedzianego jakby i ukrustowany w belkę, którą zwęglił.

Kilka szyb zostało przebitych; obicia porozdzierane, a nadto na dwóch okresach stojących opodal, zauważono ciekawe zjawisko; jeden z nich tkaniny jedwabnej, został zniszczony bez śladu spalenia. Na drugim zaś znajdujące się listki złotem szyte nie zostały uszkodzone, lecz natomiast wyszycia jedwabne na blaszkach metalicznych zostały wyrwane wraz z blaszkami i przeniesione na kominek. Nadto prąd, który szedł w górę, zerwał i odrzucił daleko cztery metry kwadratowe dachu. Osoba stojąca o sto metrów od tego miejsca, na kilka godzin pozbawioną została wzroku, a chora leżąca w łóżku o trzysta metrów dalej, została porwana i rzucona na podłogę o kilka kroków od łóżka. Jak widzimy są to zjawiska przypominające niemal tajemnicze posiedzenia spirytystów.

Prosty środek ochronny przeciw zaczadzeniu. Wiadomo że tak niebezpieczny w skutkach objaw zaczadzenia trafia się w skutek zawczesnego zamknięcia blachy od pieca. Dla uniknienia tego następstwa pan Edward Fink z Eberwaldu wpadł na myśl urządzenia w głównej rurze drugiej mniejszej, która stale będąc otwartą wypuszczałaby z pieca gazy pozostające po spaleniu. Skutek ten jednak, jak słusznie zauważył poznański Ziemianin, da się osiągnąć nierównie prostszym sposobem, a mianowicie dość jest w blasze, która rurę zamyka zrobić maleńki otwór i czuwać tylko nad tem, ażeby go sadze nie zasłoniły.

Wino piętnasto-wiekowe. Niedawno zmarły chemik Berthelot zwiedzając muzeum Borelego w Marsylji znalazł tamże ciekawy okaz fijolki szklannej starożytnych kształtów. Została ona znalezioną około Arles w miejscu, gdzie był cmentarz z czasów rzymskich a obok niej wiele innych przedmiotów niewątpliwej starożytności. Wyciski na nich pozwoliły określić epokę pierwszego zajęcia tych stron przez Rzymián. Naczynie było zupełnie ze wszech stron zamknięte. Berthelot jednak został upoważniony do rozbicia naczynia celem zrobienia rozbioru chemicznego.

Rozbiór ten wykazał, że było to wino czyste o smaku ostrym i gorącym, które jednak prawdopodobnie jeszcze przed zalutowaniem butelki uległo częściowemu skwaśnieniu.

Kącik humorystyczny „Strzechy".

Hrabia Toto.



Lwów d. 29. 1878.

Nie uwierzysz kochany Fredziu, jak mi przykro, że z powodu słabości wuja mego, nie mogłem skorzystać z Twoich zaprosin. Winienem poczciwemu staremu tę atencję, bo Duszany i Horki nie chodzą piechotą, a jak mnie adwokat wuja zapewnia, są tam i grubsze papierki.... Między nami mówiąc źle jest z wujem bardzo, le pauvre cher homme file du mauvais coton!... Wczorajsze konsyljum zadecydowało, że nie ma żadnych nadziei, nie mogło jednak orzec, jak długo to jeszcze potrwa.... Obawiam się, że jeżeli się ten stan rzeczy przewlecze, to nie będę mógł pojechać na wystawę do Paryża.... Zrozumiesz, jak mnie ta obawa dręczy!...

Czy mianowałeś co na tegoroczne wyścigi?.. Ja nic!.. Nie mam czasu, aby się tem zająć, i nie mam głowy po temu;... od czasu jak Twoja żona zabrała z sobą na wieś Lalę, nie ma tu nikogo, z kimby warto mówić, chyba byś chciał rozmawiać o wielkanocnej spowiedzi, lub o nadchodzącem majowem nabożeństwie.

Ach, Fredziu! wy się tam bawicie, a ja tu przykuty do łóżka chorego wuja, nękam się, gryzę, złoszczę, a nudzę.... nudzę tak jak wędzony śledź w starej beczce, un hareng saur dans un vieux tonneau!....

Ale, ale, byłbym zapomniał! Powinszuj też odemnie Lali, konkiety Goga... Zdaje się, że kochana kuzynka nie chcąc tracić czasu, kokietowała tego drymblasa, jadąc z nim koleją z Mszanej aż do Gródka, i veni, vidi, vici, zawróciła mu głowę najzupełniej.... Gogo zgłupiał do reszty, wzdycha i zawraca oczy jak zgotowana ryba, a schudł jak paczka ćwieków — słowo daję: comme un cent de clous!

Przytem napisał odę do Lali, pozując na bajronistę, i zazdroszcząc jej ideału.... krynoliny. C'est bête à couper au couteau! Lala może więc być zupełnie zadowoloną z swego tryumfu. Co do mnie powiedz jej, że ją uważam za skompromitowaną, i że się w mych oczach nie zrehabilituje, dopóki Goga nie namówi, ażeby się ubrał w krynolinę!... Kłaniaj się odemnie Twej Pani, i wszystkim waszym gościom, a Lali powiedz na uszko, że nie jestem zazdrośnym. Tout à toi

Toto.

Wydawca i odpowiedz. za redakcję F. H. RICHTER.

Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



AURELIAN.

Powieść z czasów cesarstwa rzymskiego przez Wojciecha Dzieduszyckiego.

J. I. Kraszewskiemu w jubileuszowym Jego roku ze czcią składa autor.

(Ciąg dalszy.)

10

„Rzymianinem?“ Mówiła ona — „on Rzymianinem takim jak ty! — on ozdobą narodu naszego, chwałą naszą, on synem Antki i Anta ojca; ztąd jest rodem, z tej wsi, z tego miejsca; to krew z krwi naszej, kość z kości — imię jego Bojan, a słowo Aurelian to tylko maska i przystrój rzymski! Na Boga! Zaborze, nie zabijaj go! Mówiłeś że mnie kochasz, kochałeś mnie, wiem o tem. Miejże litość nademną! Odepchnięta jestem, wzgardzona, niewinna! Bogowie tylko na szerokiem niebie wiedzą, co cierpię. Już on tylko dla mnie słońcem, na które patrzę choć z daleka, tęskniąc za śmiercią. Nie przeląkł mnie się! Nie krzywdził mnie! Inni skrzywdzili, inni zhańbili. Słuchaj, powiem ci wszystko!“ I mówiąc wzięła Zabora za rękę — „Zaborze, proszę, siadaj przy mnie i słuchaj! Powiem ci wszystko!“

Siedli oboje na murawie, a ona prawiła dalej.

„Dzieckiem byłam jeszcze, a on służył u ojca mego — i pokochaliśmy się. Ojciec dostrzegł miłość moją dla sługi, i ukarał go ciężko, mnie strofował srodze. On tedy pożegnał się ze mną i obiecał, że wróci kiedyś sławnym mężem; ja obiecałam, że będę czekać. Przed ojcem kłamałam śluby panieństwa poświęconego Niji do lat trzydziestu; i tak czekać mogłam — i nic niesłyszałam, nic! Aż rok trzydziesty minął i ojciec kazał mi być żoną Decyusza — Dzięcioła. I jestem żoną. A skoro żoną zostałam, wrócił Bojan jak słońce wraca po nocy, wrócił panem świata.“

Łzy czas długi przerwały mowę. Wreszcie podjęła znowu:

„Odepchnięto mnie teraz, wzgardzono mną, a jam niewinna, i on niewinny, wierny, szlachetny. Został ze mną na to tylko, by dawne wspomnąć dzieje, dawną miłość, dawne obietnice; — a ja, niestety! nieszczęśliwa! Musiałam powiedzieć: Bojanie, jam żona innego, skłamałam choć tyś mi był wiernym. Idź sobie! Bądź zdrów! I panuj Rzymowi i światu. I on poszedł w pokorze przed bogami i obyczajem, choć jest cesarzem, i choć mógł rozkazać aby, żołnierze jego mnie porwali. Oto prawdziwa i prosta powieść moja — Zaborze! a smutna jak śmierć! Błagam cię tedy na wszystko, na los mój nieszczęsny, na wiarę, którąm winna Dzięciołowi, na młodość twoją złotą błagam cię Zaborze, nie czyń nic złego Aurelianowi. Mąż mną gardzi, ludzie tu stronią — w Rzymie by się kłaniali, lecz do Rzymu nie pójdę — nie mam szczęścia, nie mam nadziei! Daj! niech choć z daleka słyszę, że Aurelian panuje — i niech wiem, że jest Bojanem moim! Zaborze, ślubuj, obiecaj, że nic jemu niezrobisz.“

„Wiedziałem żeś nieskalana jak śnieg“. Rzekł Zabor.

„A obiecasz że niezabijesz?“

„A pocóż stał się Rzymianinem? Gdy ma władzę w ręku, dlaczegoż nieogłosi wolności narodów?“

„A obiecasz mi, o co proszę? Pamiętaj Zaborze, żem nieszczęśliwa!“

„I ojczyzna także nieszczęśliwa.“

„Zaborze wszak nie zabijesz Rzymu! A ja błagam.“

„Ha! co chcesz, muszę zrobić. Obiecuję!“

„Obiecujesz? Dotrzymasz?“

„Dotrzymam?“

„Jako Perun jest na niebie!“

„Jako Perun jest na niebie, i jako Rzymian nienawidzę“.

„To największa jest u mnie przysięga!“

Rzekł. Wyrwał się i uszedł. A ona sama, na polu została, a słońce wielkie coraz niżej i niżej chyliło się ku borom. Cienie były coraz dłuższe i dłuższe, a Krasa stała z załamanemi rękami! W tem uczuła na ramieniu dotknięcie ciche ludzkiej ręki. Odwróciła się i ujrzała przed sobą niewielkiego, śniadego człowieka, o trefionych włosach i połyskujących czarnych oczach jaszczurki, przystrojonego z rzymska i wykwintnie. Był to Pizo.

„Bądź pozdrowiona, piękna Kraso!“ rzekł po łacinie.

„Tyś Wenus tych stron północnych, i podbiłaś samego Jowisza, co światem włada. Aurelian kocha się w tobie szalenie.“

Krasa się wstrzęsła, i przerażona krzyknęła: „Precz!“

„Nie precz! piękna! bo Aurelian mnie tu przysyła po ciebie, Cezar i August.“

„Ciebie? I pocóżby takich wybierał posłów?“

„Jakich chce, takich bierze. Otóż w mądrości swojej mnie wybrał. Rzekł: szukaj tej ślicznej córy Senthesowej Krasy. Chcę się z nią pobawić koniecznie, a ona tak harda, że udaje, że mnie nie chce. Śmiertelniczka, chce się bóstwu sprzeciwić. Ale bóstwo ją złamie! Zchwytałem męża jej co nowy jakiś zabobon wysnuje, i mam go w Castrum Gaudii w więzieniu. Jutro zetnie go wedle praw rzymskich topór liktora, ale u mnie prawo łaski. Niechaj Krasa dziś w nocy przyjdzie do mego namiotu, a Decyusz żyć będzie. Tak do mnie mówił Aurelian i ja do ciebie tak mówię!“

„Rzymianinie,“ odparła Krasa, „tak Aurelian nie mówił, a ty kłamiesz jak Rzymianin.“

„Myśl sobie o tem co chcesz. Gdy nie przyjdziesz w nocy do niebieskiego namiotu w Castrum Gaudji, spadnie jutro rano głowa Decyusza. Twój upór zabije męża twego.“

„Aurelian jest wielkim, a wielcy ludzie tak podłych poselstw nie szlą.“

„Aurelian jest wielkim, i co on czyni, wielkim jest przeto, że on to czyni. Kobieto! nieznasz Cezarów Rzymu. Oni wszechmocni na ziemi, a wszechmoc ich nudzi. Muszą być zbrodniarzami — jeźli chcesz mówić starych ludzi językiem — bo cnota to wymysł słabych, to jarzmo które na silnych narzucają, by ich silni niepożarli. A Aurelian jest Cezarem, i żadnego jarzma niezniesie. Poselstwo odprawiłem; a ty namyśl się, piękna córo Senthesowa. Tak smutna jesteś, że żałuję, że cię Owidyusz nie widział; byłby cię opisał. Bądź zdrowa. A radzę ci przyjść do namiotu.“

Ukłonił się Pizo i szedł powoli. Już odszedł kilkanaście kroków, gdy Krasa zawołała: „Stój Rzymianinie!“

Zwrócił się grzecznie. Krasa mówiła w głos: „Pocóż przyszedłeś do mnie zabić Aureliana w sercu mojem?“

„Nie rozumiem cię, szczęśliwa oblubienico Cezara! A radzę nieściągać gniewu na dom twój. Gdy się Cesarz gniewa, zabija, a po mężu może i na ojca przyjść kolej.“

Ukłonił się znowu i poszedł. Słońce zaszło. Noc rozpostarła płaszcz swój na bory i łąki, a Krasa stała jeszcze jak posąg.

V.

Pizo zluzował w nocy żołnierza, co stał na straży przy cesarskim namiocie, i czekał na Krasę, aby ją wpuścić, bo był pewny, że przyjdzie; a niecierpliwił się gdy księżyc już zeszedł, a jej dotąd nie było. Wreszcie zjawiła się postać blada w promieniu księżyca, której się spodziewał, i Pizo milcząc odsłonił kotarę u drzwi namiotu i wpuścił Krasę. Księżyc na chwilę tylko rozjaśnił wnętrze namiotu w którym Aurelian leżał ale nie spał na obozowem łóżku, i wnet było znowu całkiem ciemno.

Wielki strach ogarnął Krasę, gdy weszła do ciemnego namiotu i gdy została w nim sam na sam z Aurelianem, a imperator odwrócił się twarzą do ściany, i nieruszał się, niewiedząc o niczem. Krasa tedy chwyciła gorączkowo za płótno namiotu i mimowoli zaczęła gwałtownie szlochać. Szlochy te doszły nareszcie uszu Aurelianowych, i Cesarz Rzymski siadł na łożu — posłuchał chwilę jeszcze, sparł nogi o kobierzec — poszukał krzemienia, skrzesił ogień, zapalił lampkę płonącą przy łożu, wstał na równe nogi, i ujrzawszy w kącie niewiastę płaczącą w głos a odwróconą do ściany zbliżył się do niej zdziwiony, pytając: „Kto to? Kto ciebie tu puścił? po co przyszłaś kobieto?“ W tem odwróciła się Krasa i Aurelian stanął jak wryty.

„Przyszłam jako wołałeś“ rzekła, ztłumiwszy płacz „przyszłam. Widzę, Bojanie, żeś niedarmo imperatorem Romy, że niedarmo odbiegłeś te sioła, i że niedarmo napiłeś się napoju, którego dają w pałacu na Palatynie, napoju, co daje zbrodnię i nieśmiertelność. Po rzymsku nauczyłeś się kochać, i wspomniałeś Krasę na to, by ją upodlić krwawo. A dobrze zrobiłeś, żeś posłał po mnie Rzymianina jakiegoś z groźbą i podłym wyborem, żeś chciał strachem zmusić, bym złamała przysięgę. Dobrześ zrobił, bo znam cię teraz, bo się nie łudzę, bo znów jak wczora rano żałuję tylko tego Bojana, co był, a nietęsknię do tego, co jest, a jest podłym. Przed chwilą, przed godzinami kilkoma obroniłam cię od śmierci z miłości dla ciebie — a teraz — patrz — patrz oto powinnam plwać na ciebie, — nie mogę.“ Mówiła, a głos jej gasł, i ustawał, śmiertelna bladość pokrywała jej lice, a wreszcie słów nie było słychać, choć usta jeszcze otwartemi były.

„Kraso!“ mówił cesarz, „nikogo nieposyłałem po ciebie.“

„Ha! Ha! Słyszałam o tych sztukach rzymskich. Dzieckiem drżałam słuchając o nich przy ognisku ojca. Nie spodziewałam się, nie spodziewałam, że ich od Bojana doświadczę. Nie to się zdarza na co ludzie liczą, i bogowie lubią darzyć niespodziankami. Kłam, kłam jak chcesz, już kłamstwem nawet niewyciśniesz łez. Kłam jak chcesz przed sobą! Jeźli ci to rozkosz sprawi, myśl, że dawna Krasa twoja przyszła do imperatora Romy, do podbójcy i cudzoziemca, po miłość jednodniową, hańbiącą — sama i niewołana. Gdy ci to miło, myśl co sam zechcesz. Przywykłeś do tego tam wśród mądrych ludzi, że blask twej korony ćmi niewiast oczy — że żebrzą o to, co da im twoją wzgardę. Myśl, że i tu takie są kobiety gdy chcesz! Zaprzecz przed sobą, zaprzecz przedemną żeś nieuwięził Decyusza — Dzięcioła męża mego, żeś toporu katowskiego nad jego głową niewywiesił na to, bym się podłą stała! Zaprzecz gdy chcesz!“

„Kraso ty po mnie depczesz“ zawołał Aurelian. „A świadczę się bogami naszemi, i Rzymu bogami, jeśli ty wierzysz że są! A jeśli wolisz, świadczę się bogiem chrześcijan i ukrzyżowanym synem jego — jeśli syn ów był tym, co chrześcijanie mówią! A jeśli wolisz jeszcze! i jeśli uwierzysz temu, świadczę się czynami mojemi, zwycięztwami stoma, i potęgą moją! Nie jestem taki zły jak myślisz!“

„I czémże jesteś?“ spytała „i po co przyszedłeś tu po latach tylu? Po co wskrzesiłeś serce, by je rozszarpać? Niedość bym ciebie ujrzała — za późno! Niedość że mąż mną gardzi, i że mnie podejrzywa — że potępia! Trzeba żebyś ty sam zabił pamięć Bojana, trzeba byś użył obowiązku mego dla męża, którego nie kocham, by mnie zmusić podle, bym ugięła karku jak niewolnica przed tym, którego kochałam — przed tym, którego kocham jeszcze, zawsze, co chwila więcej; co chwila straszliwiej! Bojanie! Bojanie!“

Na końcu krzyczała już domawiając słów ostatnich, — teraz padła na ziemię, siadła na kobiercu, załamała ręce, i zaczęła jęczyć żałośnie.

Aurelian patrzał długo- i wreszcie wybuchł gniewnie— rozpaczliwie! „Przeklęte berło! przeklęta potęga, i przeklęte życie moje! Od początku aż do końca samego złocone, jaskrawe, pokaźne, a we środku jedno próchno! Miłość do ciebie wypędziła z domu, gdzie mogłem wieść na pół senne życie pasterzy, w którem dusza śpi, a ciało tylko pracuje. Przez ciebie, obudziłem się kobieto! Przez ciebie zapomniałem cnotę — przez ciebiem ją zgubił. Dla ciebie poszedłem między ludzi, dla ciebie darłem się do góry, ażem wyszedł na wyżyny, i zobaczył świat złoty,— i Romę wspaniałą, i mądrość i wiedzę. A wtedy wyżyny tylko widziałem i chwałę — zapomniałem o tobie, o Antach i cnocie; byłem Rzymianinem, pysznym, niemiłosiernym jak prawo Romy, podstępnym i rozpustnym jak dzieje jej. W Romie mówili Stoicy, żem imperator dzielny, łaskawy i sprawiedliwy — ale o tej waszej cnocie zapomniałem. Aż wróciłem tu, i tyś mnie obudziła raz wtóry! I już ciebie tylko widzę, Kraso! — gardzisz mną — ale niejestem, powiadam, tak zły jak ty mówisz. Nie z podłości więziłem Dzięcioła, nigdy bym tego nie był czynił — a ciebie chcieć straszyć tą marą nad mary, byłoby hańbą taką, żebym się ze wstydu na popiół spalił, zanim bym to uczynił. Przebóg, Kraso! wierz mi, i we mnie pod imperatorem jest jeszcze człowiek.“

Gdy mówił, drżał głos jego od wzruszenia. Ona słuchała, i przestała nareszcie jęczyć. Nareszcie odezwała się:

„Dobrze. Chcę wierzyć. Wytłómacz!“

On ciągnął dalej: „Pewno chwała zawróciła mi głowę — zagłuszyła mi serce! Pewno późno przybyłem — bawiłem się z niejedną. Ale mogłem tę nadgraniczną wojnę przez Pretora skończyć. Jeśli tu przybyłem, to po to tylko, to po to jedynie, by ciebie odszukać — nie chciałem mieć kochanki! gdym cię zobaczył znowu, na boga klnę się! chciałem z ciebie mieć imperatorową!“

„Dobrze“ przerwała znowu: „Ale Dzięcioł?“

„Dzięcioł mi przeszkodził!“ Zawołał tupając nogą; „Dzięcioł i śluby twoje przelazły mi przez drogę, jak czarne cienie, jak gąsienice nędzne. Mogłem Dzięcioła nogą o tak! rozdeptać i ciebie porwać, bez prawa, bez sądu. Alem nie uczynił tego! Dlaczego, nie wiem; ale nie śmiałem. Aż mąż twój — szaleniec sprośny — sam się wydał w moje ręce, w ręce prawa, którego stróżem jestem! Wpadł do namiotu mego, cisnął czaszką we mnie, i bluźnił bogom Romy i majestatowi memu. Jest przeto w więzieniu i zginie jutro!“

„A ty po mnie posłałeś“ rzekła smutno Krasa, „wiedząc, że Antów żony winne dać za mężów życie, i chcesz, bym za męża cześć dała.“

„Zawsze jedno powtarzasz! Nieposyłałem nikogo!“

„A zkądżem tu przyszła po nocy? A pocóż przyszedł do mnie Rzymianin o złem oku, dziś wieczór? Nie oszukasz, Bojanie!“

„Nieposyłałem! To sztuczka jakaś, podstęp jakiś! Nieposyłałem! I pocóż było posełać? Wszak jutro Dzięcioła niebędzie, a żołnierze moi ciebie na stos wdowi niepuszczą. Porwię cię w ramiona te, na rydwan mój złoty postawię. Wjedziesz do Rzymu wśród okrzyków ciągniona przez pstre lamparty. Na palacjum przycisnę Cię do łona mego, i będziesz moją na wieki — ukochaną! Cnotę będziesz przypominać zgrzybiałemu światu!“

Zbliżał się do niej — chciał ją uściskać — ale ona odskoczyła: „Cnotę mówisz?“ zawołała. „I jakaż to cnota będzie? pomyśl, pomyśl Bojanie! Cóż Rzymianie powiedzą o Krasie? Nie słyszysz że ich słów: „To dawne dzieje, a niegodne Aureliana. Jakaś Antka, barbarzynka na poły

a na poły już Rzymianka zawróciła głowę zwycięzkiemu imperatorowi. Zechciało się czarownicy nie lada czego. Zapragnęła panowania w Romie. Więc męża, co jej przeszkadzał, wydała liktorom, i po drgającym mężowskim trupie, krwawa cała i bezczelna, weszła na tron Tarquinii i Popei.“ Tak powiedzą Rzymianie, Bojanie, i tobie nie na chwałę i mnie na hańbę. I Rzymianie tego nie zowią cnotą. Będą mnie się kłaniać ze strachu przed tobą — będą mną gardzić — nad wyraz! A o tobie będą szeptać: „Już z Aureliana robi się Nero. Wszak i tamten zrazu wielkim był i dobrym.“ Każdy senator będzie się lękał, by żona go nie skarżyła o obrazę majestatu by wejść do krwawego łoża Cezara, i każdy będzie ostrzył sztylet na Bojana! Nie! tego nie będzie nigdy!“

Słowa te były prawdą taką, że i Aurelian musiał przed nią uchylić głowę. Szepnął tedy tylko: „I cóż chcesz bym uczynił, abyśmy byli szczęśliwi?“

„Szczęśliwi?“ powtórzyła. „Ty szczęśliwym być możesz wśród bitew i chwały, szczęściem narodów. Możesz być wielkim, możesz być dobrym, możesz być wspaniałym daleko odemnie. Możesz być dobroczyńcą świata i sprawić, że ludy błogosławiąc tobie, zapomną że są niewolnikami— wilczycy Romy. A i ja będę się radowała każdą razą, gdy usłyszę pochwałę Aureliana, a wspomnę że to jest chwałą Bojana. Innego dobra, innego szczęścia niemasz już dla mnie. Mąż nie wierzy cnocie, przy tobie żyć mi nie wolno. Ale błagam cię, jakom błagać powinna, uwolń męża mego!“

Mówiąc klękła przed nim i złożyła ręce.

„I czyż błagasz na prawdę?“ spytał.

„Tak bogi kazały. Uwolń męża mego!“ powtórzyła. „I bądź potem jasnym jak słońce na niebie! Mówisz żem ci przypomniała cnotę. Weź że ją, nieodrzuć, nieskalaj, włóż do tarczy twojej i pokaż światu. Niech się zdziwi! A uczyń początek; daj mi zadatek; uwolń męża mego!“ Aurelian słuchał zdziwiony. Za młodu słyszał słowa takie— teraz musiał słuchać tej kobiety, którą kochał i co przed nim klęczała. „Zwyciężyłaś“ zawołał „będzie jako chcesz.“

Ona wstała i szepnęła smutno: „dziękuję.“ On odsłonił drzwi namiotu i zawołał na straż. Chcąc nie chcąc Pizo musiał stanąć przed cesarzem.

„Pizo? tu na straży?“ spytał niedowierzając.

„Tak boski!“ Odrzekł Pizo zmięszany.

Krasa rzekła wskazując ręką Pizona: „Ten człowiek przyszedł do mnie wieczorem i powiedział że ty mnie wołasz“.

Aurelian zmierzył legata wzrokiem, i rzekł w głos: „Rozumiem Pizonie, służysz Zenobii, ale bacz na gniew Cezara! Jutro pomówimy! Tymczasem wykonasz mój rozkaz co do joty. Gdy słońce zejdzie puszczą Decyusza z więzienia, i odprowadzą do dworu Senthesowego. To moja wola.“

„Będzie spełnioną“ rzekł Pizo chyląc głowę. A dziwny uśmiech przeszedł po jego twarzy śniadej: Pomyślał sobie: „Lew nasycony i Zenobia zgadła“.

„Dziękuję“ rzekła jeszcze Krasa, „Ale prosić nieprzestałam. Jeszcze się naprzykrzę. Nie powiedźcie Rzymianie, Decyuszowi że ja jego życie wyprosiłam. On tego niezrozumie. Powiedzcie, że winien życie Aurelianowi tylko. Proszę.“

Pizo znów się uśmiechnął szyderczo. Aurelian zwrócił się do niego. „Słyszałeś,“ rzekł „o co prosiła. Tak się stanie, a jak choć słowem zdradzisz jej tajemnicę, stracisz łaskę moją.“

Pizo pochylił głowę w pokorze. Krasa westchnęła, podniosła czoło i rzekł: „Żegnaj, imperatorze, na zawsze! Zejdziemy się może po śmierci!“

I poszła. I Pizo poszedł. A Aurelian został przed namiotem wśród śpiącego obozu z założonemi na piersi rękami. Zorza krasiła rumieńcem zieleniejące niebo poranne; czarne ciemne chmury koło widnokręgu świeciły u dołu, a mgła wstawała z ziemi. Księżyc bladł, gwiazdy gasły, a morza mgły przyoblekały góry. Obóz, ludzie, wszystko znikło wśrod mgły — a Aurelian myślał o jedynem szczęściu, które zostało dla Krasy, i pytał się, czy taka cnota może być udziałem imperatora Romy, czy takie szczęście mogło przypaść podbitej ludzkości. A rozum i doświadczenie cesarskie mówiły mu: „Nie! Nie! Stokroć nie!“

W tem Aureljan usłyszał za sobą łacińskie zapytanie: „Powiedz żołnierzu, gdzie mogę zastać imperatora“.

Zwrócił się szybko i ujrzał przed sobą Zabora, którego nieznał, bo niezauważył pacholęcia na weselu u Świętosza.

„Jam imperatorem“ rzekł; „zwykle o tej godzinie trudnoby ci było mnie zobaczyć. Ale twoje szczęście chce, byś mnie przydybał. Mów co chcesz?“

Zabor zmierzył Aureliana od stóp do głów jak gdyby on był Aureliana panem, i zaczął w te słowa w mowie Antów: „Bojanie, co kłamiesz światu, gdy się zowiesz Aurelianem, poznałem cię, przedemną się nieukryjesz, parobku! Jestem synem panów twych, i panem twoim po prawie. Miałem cię dziś zabić, gdym myślał, żeś najezdcą i Rzymianinem. Dowiedziałem się, żeś sługą tylko moim, zbiegły z domu Świętosza, co powinien być poddanym moim, i postanowiłem, że przyjdę mówić z tobą — abyś mnie słuchał.“

Zdziwiła ta przemowa imperatora. W innej chwili byłby zuchwalca zgniótł jak lew zgniecie mysz. Słowa Krasy, pamięć Krasy wstrzymały go. A skoro gniew minął, uśmiechnął się mimo smutku: „Tak, byłem Bojanem, dziecko,“ rzekł, „i byłem szczęśliwym, gdy Bojanem byłem. Poznałeś mnie. Jestem rodakiem twoim, nie kryję się przed tobą i mówię z tobą twoim językiem. Ale, chłopię, jeżliś ty potomkiem dawnych królów, pomnij że minęła ich chwała; trud mój krwawy zrobił ze mnie pana twego. Uszanuj czyny moje!“

(C. d. n.)

TURECKI KOZAK.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

Z trudem, ale udało mi się wreszcie przywrócić jej przytomność. Odzyskawszy świadomość, opowiedziała mi zadyszanym głosem, bezładnie, jak ją porwano i przywleczono w to miejsce, i że tylko myśl o mnie powstrzymała ją od wyskoczenia przez okno. Wieczorem tegoż dnia odwiedził ją hr. L. w towarzystwie drugiego pana wyniosłej i muskularnej budowy ciała, niezmiernie podobnego z twarzy do pewnej sławnej historycznej osobistości. Hrabia powitał ją i traktował z najwyższą uprzejmością, co jednak nie przeszkodziło jej poznać, iż została sprzedaną przezeń towarzyszącemu mu nieznajomemu.

Nieznajomy okazywał jej wyszukaną grzeczność. Wkrótce po przybyciu ich, hrabia L. polecił służącemu przynieść kolację, w której zmuszono ją uczestniczyć. Przy stole hr. L. opowiedział jej, że stosunki jego poprawiły się jak najświetniej, że zamierza ten domek letni urządzić z najwytworniejszą elegancją, ponieważ spodziewa się częstych odwidzin wielu dystyngowanych przyjaciół, i liczy na żonę, iż sprawować będzie wobec nich honory domu; z przymilającą się zdradziecko miną przedstawił jej cały żal swój, iż był zmuszony w tak szorstki sposób użyć względem niej praw swoich i wyraził nadzieję, iż starania jego we wspólnem i szczęśliwem ich dalszem pożyciu zatrą ślady wszelkich dawnych nieporozumień.

Erwina idąc za radą roztropności udawała, iż temu wszystkiemu wierzy. Zachowywała uprzejmą rezerwę wobec za śmiałych chwilami objawów galanterji gościa, który ufny w swoje wysokie stanowisko i lekce sobie ważąc jej wartość moralną, zdawał się być pewnym pomyślnego swych zamiarów rezultatu. Erwina wyczekiwała sposobności wymknięcia się nieznacznie; gdy jej się to jednak nie udało, oświadczyła, iż czuje się chorą i odejść musi, aby odpocząć nieco.

Cisza panowała w całym domu; tylko grubjańskie indywidum, pozostawione przy niej w charakterze dozorcy, zameldowało jej się z rana. Oświadczyła mu przez drzwi, że jest chorą i doktora żąda.

Żądanie to wyraziła w nadziei, iż jeżeli jej przyślą doktora, to może jej się uda za pośrednictwem jego skomunikować się ze zewnętrznym światem zawiadomić o swoim losie biedną matkę, teraz zapewne tysiącem mąk targaną, i powołać ją na swoję obronę.

Z gniewnym pomrukiem odstąpił olbrzymi dozorca, wysłuchawszy jej życzenia, od drzwi jej. Do popołudnia nikt się u niej nie zjawił. Zbliżanie się nocy napełniało ją zgrozą. Niewątpliwie bowiem zjawi się wtedy znowu jej mąż i z nim...

Co do zamiarów tego człowieka bez czci i sumienia nie miała najmniejszej wątpliwości. Za pomocą piękności swej żony, którą za niezaprzeczoną własność swoją poczytywał, zbrodniarz ten postanowił postawić się znów na nogi, pozyskać nowe środki do oddawania się dalej zwykłemu swojemu trybowi życia. I wobec takiego zamachu widziała się bezbronną w tym obcym kraju. Potworny jej mąż umiał skorzystać z wysoko położonych znajomości swoich i wpływem ich zapewnić sobie pomoc władz, jak na to wczoraj właśnie przerażający miała dowód.

Niezmiernem więc przerażeniem przejęły ją, za mojem przybyciem do tego domu, usłyszane na dole głosy. Widocznie, jak sądziła, zbliża się stanowcza chwila: mąż jej powraca z wczorajszym gościem, lub też może on sam!..

Trwoga paraliżowała jej członki. W tej samotności musiała być bez ratunku ofiarą każdego, ktoby chciał jej położenia nadużyć — i osamotnienie to widocznie leżało w planie jej męża... A może też mąż jej przybywał z innemi, godnemi siebie przyjaciółmi, których uwielbienia przedmiotem chciał ją uczynić, i zmusić do przyjmowania ich w charakterze pani domu.

Bez tchu, w niewypowiedzianej męczarni, nasłuchiwała przy drzwiach. Usłyszała stąpanie ciężkie swego dozorcy; potem czyjeś inne kroki. Zdawało jej się, że nadchodzą jej kaci. Nagle doszedł uszu jej przeraźliwy stuk czegoś staczającego się po schodach. Nie pojmując przyczyny tego, wydała krzyk trwogi, i popędziła przez pokoje do jednego z tylnych okien domu z zamiarem rzucenia się w rozpaczliwym obłędzie przez okno, gdyby ta wrzawa jej istotnie zagrażała; nie miała bowiem wyboru, wiedząc dobrze, iż od męża swojego, stojącego na najniższym stopniu moralnego upadku, najgorszych tylko rzeczy oczekiwać może. Była uwięzioną, od wczoraj nie wzięła żadnego pokarmu w ustach, — wzburzenie i trwoga rozstroiły jej nerwy i mózg rozdrażniły aż do stanu niepoczytalności.

Wtem rozpoznała mój głos, — uczuła, że jest ocaloną i blada śmiertelnie upadła w moje objęcia.

Następnie, w spokojniejszej chwili, Erwina opowiedziała mi zarumieniona, bliższe szczegóły owego wieczora przepędzonego z mężem swoim i jego towarzyszem.

Książe ów, gość jej męża, widocznie znalazł, że piękność jej wyższą jest nad opisy tego nikczemnika, to też nie oszczędzał jej propozycji obrażających uczciwą kobietę, jakkolwiek odzianych w najsubtelniejsze formy; — propozycjom tym przysłuchiwał się podły jej mąż z uśmiechem, i wzruszył ramionami, gdy Erwina uznając, iż musi zyskać na czasie, galanterję gościa grzecznym sposobem od siebie odsuwała.

Obadwaj, rozstali się z nią już późnym wieczorem: hrabia L. z oświadczeniem, iż ma jutro rano niecierpiące zwłoki interesa z przedsiębiorcą, któremu chce urządzenie „swego“ wiejskiego domku powierzyć; książe zaś z pożegnalnem spojrzeniem rzuconem na Erwinę, z którego aż nazbyt wyraźnie wyczytać było można, iż postanowił wyzyskać wszystkie korzyści, jakie mu umowa z niegodziwym mężem zapewniła.

Napomykam tu o tem tylko nawiasem. Mnie bowiem nie zdziwiło takie postępowanie bynajmniej, ani ze strony hrabiego L. należącego już do tych, których można codziennie na bulwarach polujących za pięciofrankówkę napotkać; ani też ze strony księcia, który przecież niedawno temu dopuścił się podobnego hultajstwa na jednym z moich ziomków wygnańców; za co mu ten śmierć poprzysiągł. Usunięto jednak gwałtem obrażonego biedaka, musiał uciekać z Francji na Wschód, gdzie przyjął następnie służbę w perskiej armji.

Zgangrenowana do rdzeni biurokracja, zawdzięczająca życie swoje drugiemu cesarstwu, nadawała się naturalnie jak najchętniej i najlepiej za narzędzie dostojnej lub najdostojniejszej swawoli i gwałtu. Niech tylko kto był jako niewygodny, zawadzający w drodze, lub niebezpieczny, wskazany, a wnet cała sfora siedziała mu już na piętach i osławione lettres de cachet za rejencji były listami polecającemi w porównaniu do aktów samowoli, jakie na skinienie dzierżących władzę z prefektury drugiego cesarstwa wychodziły.

Wracam jednak do mego opowiadania. Udało mi się wreszcie przyprowadzić nieco do sił Erwinę. Zachęcałem ją do pospiesznej ucieczki, choć sam nie wiedziałem jeszcze dokąd.

Erwina pełnym niepokoju głosem zapytała o matkę. Mało jej jednak mogłem o niej powiedzić. Udała się na poszukiwanie córki, a nie znalazłszy jej, powróciła zapewne niepocieszona do pustego pomieszkania.

Pocieszyłem jak mogłem Erwinę, aby zahartować jej odwagę. Wreszcie rzuciwszy raz jeszcze pełnem trwogi spojrzeniem, na pokoje, w których tak straszne przeżyła chwile, oparła się na mojem ramieniu, i chwiejąc się, niepewnym, krokiem, przez wzruszenie sił pozbawiona, wyszła za mną na schody. Tu okrzyk przerażenia wyrwał się z jej piersi; na dole bowiem na kamiennej posadzce sieni leżał kolosalny dozorca rozciągnięty — i zdawało się, że bez życia.

Uprzedzając Erwinę, która z trwogą o barjerę schodów się oparła, przystąpiłem do leżącego — i pochyliłem się nad nim. Miał oczy szeroko otwarte, zeszklone i krwią zapłynięte; jedną ręką przyciskał pierś; drugą sztywno wyciągnął przed siebie.

Kropli krwi nigdzie na posadzce nie było; prawdopodobnie apopleksja razić go musiała.

Skinąłem na Erwinę i przeniosłem ją przez trupa. Wyszliśmy do ogrodu.

Cisza zupełna panowała naokoło. W oddaleniu tylko, gdzie widnokrąg stykał się z winnicami, ujrzałem poruszający się jakiś wóz. W jednej chwili obliczyłem korzyści, jakie z użycia tego wozu wyniknąć dla nas mogą, i podawszy jej rękę, pociągnąłem ją żywo za sobą.

Gdyśmy zaś już widziani być nie mogli z okolicznych domów, pozostawiłem ją wśród winnic, a sam pobiegłem co tchu za wozem i skłoniłem chłopa sztuką złota, iż wziął na wóz Erwinę, którą mu przedstawiłem jako chorą, spieszącą do swej rodziny.

Wskazałem mu jako cel podróży Neuilly, gdziem Erwinę w jednej z oberż wygodnie umieścić się spodziewał. Znano mnie tam powierzchownie jako Dra Belzoniego; mogłem się więc nie obawiać żadnych podejrzeń, — ani przypuszczać, ażeby nas tam poszukiwano.

Szczęśliwie mi się udało zainstalować Erwinę, w dosyć czystym pokoiku. Niepokój o matkę nie przestawał jej dręczyć. Jak jednakże było zanieść jej wiadomość, bez naprowadzenia na nowo prześladowców na ślady Erwiny i moje, który od rana wszelkie powody miałem do trzymania się w ukryciu.

Jednego tylko miałem bliskiego i zaufanego przyjaciela w Paryżu, tego który mi rano służył za sekundanta a następnie w imieniu mojem odebrał listy od pana. Tego postanowiłem prosić o pomoc. Ale mieszkanie jego znajdowało się bardzo daleko, bo aż na bulwarze księcia Eugenjusza, a nadto cały dzień znaleźć go w domu nie było można, gdyż jako wygnaniec mozolnie utrzymywał się przekładami w pewnej redakcji i późnym wieczorem dopiero zwykł był wracać do siebie.

W kawiarni, — gdzie zwykle bywał, mogłem go znaleźć, — ale musiałem się strzedz pokazania się w publicznem miejscu.

Pozostałem przeto przy Erwinie, uspokajając ją i pocieszając aż do wieczora i wtedy dopiero ostrożnie wybrałem się w drogę.

Oczekując powrotu przyjaciela mego do domu, ukryłem się za rogiem ulicy, koło którego przechodzić musiał. Doczekałem się go dopiero około północy. Pocieszył mnie zapewnieniem, iż władze, szczególniej co się tyczy świadków, nie mają żadnych wyraźnych podejrzeń, radził mi jednak jak najspieszniejszą ucieczkę.

Chętnie zobowiązał się zawiadomić o wszystkiem matkę Erwiny, jeżeli ją znajdzie i odebrawszy od pana powierzone panu listy, odesłać je, pod wskazanym mu przezemnie adresem do Londynu.

Całe wzięcie się jego miało cechę chłodu i umiarkowania. Z największą spokojnością, pozornie bez współczucia prawie, wysłuchał mego opowiadania. Nieborak, wziął tak do serca sobie wygnańczą swoją dolę i konieczność oddania się zależnej pracy dla zarobienia na chleb powszedni, iż oddawna już najbledszy uśmiech nie postał na jego twarzy.

— Jedno łotrowstwo mniej lub więcej — nie zmienia w niczem rzeczy! — mruknął, wysłuchawszy mnie. — Strzeż się jednak, bo choćby cię samego nawet za ten pojedynek nie ścigano, to muszą mieć do tego wyjątkowe przyczyny. A przedewszystkiem przewieź Panie przez granicę; bo Saint Lazare o wiele jeszcze bliżej leży, niż Mazas!

Lodowaty dreszcz mnie przejął na tę przestrogę. Wypowiedziawszy ją, mój biedny przyjaciel uścisnął mnie ze zwykłym spokojem swoim rękę, pociągnął za dzwonek odźwiernego u drzwi swego domu — a ja zabrałem się spiesznie do powrotu.

Ostrożnie przemykałem się przez puste ulice śpiącego miasta. Często jednak, gdy kroki moje na chodniku odbijać się poczęły w echu, zdawało mi się, że ktoś idzie za mną; do tego stopnia nawet wzburzenie łudziło moje zmysły, iż przesłyszało mi się kilka razy, jakoby mnie ktoś po nazwisku wołał. Były to jednak tylko skutki wszystkich dziś przeżytych wstrząśnień i obawy o Erwinę, której kryjówkę, w czasie mojej nieobecności, prześladowcy znaleźć mogli.

Jednakże po głębszej rozwadze ta ostatnia obawa uspokoiła się we mnie. Hrabia L. już nie istniał. Jeżeliby dostojny jego gość przybył nawet w samej rzeczy dzisiaj do domku w Asnières, w celu posunięcia dalej zalotnych zamiarów swoich, — nie zastałby tam nikogo, ktoby mu powiedział, co zaszło.

Niemożebną także było rzeczą, iżby zwłoki hrabiego — jeżeli je już zresztą znaleziono, w tak krótkim czasie, bo od rana do wieczora, rozpoznano do kogo należą, — dostojny więc gość, zastawszy dom pustym, mógł sądzić iż hrabia L. wypłatał mu figla i umknął z piękną swoją małżonką, schowawszy poprzednio umówioną zapłatę za jej łaski do kieszeni.

XIII.

Do czego zdolne macierzyńskie serce strwożone o dziecko swoje, o tem się zaraz przekonamy.

Matka Erwiny pospieszyła prosto z mieszkania swego do Paryża w celu wynalezienia ulicy, którą jej podał chłopiec. Dorożkarz przybywszy do Paryża, oświadczył, iż nie zna podobnej ulicy, chociaż z zawiązanemi oczyma nie zabłąkałby się w mieście. Wszelkie wywiadywania się pozostały bez rezultatu, a jednakże matka Erwiny doskonale nazwisko ulicy zauważyła! Żaden dorożkarz, żaden sergeant de ville (policjant) nic nie wiedział o tej ulicy.

Z wzrastającą rozpaczą biedna matka podążyła do ambasady i tam opowiedziała, co zaszło. Znano tu hr. L. jako upadłego marnotrawnika, którego wszyscy ziomkowie jego unikali, a natomiast bulwarowi eleganci przyjęli w swoje towarzystwo; wiedziano jednak i o tem, że mimo tego wszystkiego hrabia L. znalazł przystęp do dworu.

Wiedziano także, iż wedle publicznego rozgłosu człowiek ten spadł do stopnia zwykłego szpiega i żałowano biednej kobiety; na żądanie jednak z jej strony od nich pomocy, wzruszono tylko ramionami; ambasada bowiem nie czuła się upoważnioną do mięszania się w prawa hrabiego L. do swojej żony.

Biedna staruszka, dręczona najstraszliwszą obawą, tonąc we łzach, błagała iżby poselstwo pomogło jej przynajmniej odnaleźć córkę, którą wbrew jej własnej woli mąż, co się o nią od lat już nie troskał, porwał gwałtem z pod boku matki.

Wreszcie zainteresowano się o tyle tem zdarzeniem, że poczęto zastanawiać się nad kwestją, gdzie też może się znajdować owa wskazana przez chłopca ulica, — i przyrzeczono nieszczęsnej matce dostarczyć na jutro rano wszelkich możliwych środków do wyszukania córki.

Nieszczęśliwa, nie widząc już innej rady, a nie chcąc oddalić się z miasta, udała się do małego hoteliku w pobliżu ambasady i w nim spędziła noc bezsenną.

Ona przeczuwała, wiedziała, iż mąż Erwiny nie porwał jej w innym, jeno w przewrotnym zamiarze; i czuła, że władze w tak jaskrawy sposób nie byłyby poparły żądań tego człowieka, gdyby innych bardziej znaczących wpływów w grze tej nie było. Matka i córka przejrzały odrazu plan hrabiego L. utworzenia sobie z żony źródła zarobku, gdy już wszystkie inne się wyczerpały.

Jakież niebezpieczeństwa musiały biednej, tak gwałtownie porwanej córce grozić, podczas gdy matka szukała jej napróżno!.. Drżąc, płacząc, przesiedziała matka noc całą, nie przestając powtarzać drogiego imienia Erwiny. Przedstawiała sobie w najprzeraźliwszych barwach bezbronność córki w rękach jej męża, znając jego przewrotność i doszedłszy do przekonania, iż woźny, który się obok fiakra przy ich domu znajdował, umyślnie tak głośno woźnicy nie istniejącą zgoła wymienił ulicę, ażeby wszelkie poszukiwania uniemożebnić.

W takiem usposobieniu zastał ją poranek. Jak tylko było można najwcześniej podążyła do poselstwa. Kancelarja była jeszcze zamknięta. Tak zeszło aż do południa i dopiero wtedy znaleziono dla niej wytrawnego przewodnika do pomocy w poszukiwaniach. Komisjoner ów dane mu polecenie przyjął z widoczną niechęcią; i on bowiem w tej

„histoire de femme“ wietrzył jakieś potężniejsze sprężyny, pomiędzy które nie było bezpiecznie wkładać palce. Takich wścibskich bowiem notowano zwykle, aby im przy sposobności ochotę do podobnego mięszania się w nie swoje rzeczy odebrać.

Pomimo tego jednak udał się komisjoner wraz z matką Erwiny do jej przedmiejskiego mieszkania. Gospodyni tamtejsza już się nieco po tej przygodzie uspokoiła była i i oczekiwała powrotu matki Erwiny. Zadziwienie jej było wielkie, gdy się dowiedziała, że porwanej córki nie znaleziono.

Komisjoner kazał sobie całe zajście opowiedzieć na nowo; zawołano chłopca, aby go raz jeszcze co do adresu przesłuchać. Minęła jednak przeszło godzina, nim go wreszcie dostano w ręce, ukrył się bowiem przestraszony, gdy go po raz trzeci w tym samym wezwano celu.

Teraz dopiero się wyjaśniło, iż matka Erwiny w swej rozpaczy dobrze zauważyła nazwisko ulicy i numer domu,— ale niedosłyszała, iż miejscowość ta znajduje się w Asnières a nie w samym Paryżu.

Stosując się więc do okoliczności, oboje poszukujący, zamiast udania się wprost na brzeg Sekwany, pojechali z powrotem do Paryża, na dworzec St. Lazare i doczekawszy najbliższego pociągu, znaleźli się nim za kilka minut w Asnières.

Obok komisjonera postępowała matka, z oczekiwania drżąca, przez miasteczko, w którem Paryżanie z przyjemnością oddawali się willegiaturze. Ogrody restauracyi na wybrzeżu Sekwany pełne były wesołych gości; na rzece nawet towarzystwo młodych elegantów odbywało regatę ze swemi „biches“ strojnemi a la matelotte w czerwone i błękitne kaftaniki z zakasanemi rękami i poruszającemi wiosła pięknemi, olśniewającemi białością ramionami. Radość i śmiechy wiosłujących, ich gwarne przerzucanie się okrzykami i żartami z towarzyszkami stojącemi na wybrzeżu, słowem cała ta wesoła panorama, stała w jaskrawem przeciwieństwie ze zgryzotą serca matki, która drżąc o swoje dziecko, przeciskała się przez swawolne gruppy.

Wkrótce znaleźli poszukujący pożądaną, przebiegającą pomiędzy ogrodami i winnicami ulicę. Coraz większy niepokój opanowywał biedną niewiastę, gdy niknął jeden dom za drugim po za nią i pozostał już tylko ostatni, ogrodami i płotami od innych oddzielony.

Z śmiertelną trwogą stanęła matka przed wchodową kratą.

Dom wywarł na nią wrażenie pustki; żaluzje wszystkie były zamknięte i nic się wewnątrz ni zewnątrz nie poruszało. Ten osamotniony budynek doskonale się przydawał do haniebnego czynu, a niczego innego nie mógł mieć na celu niegodziwiec, któremu niegdyś zaślepiona, nierozważnie dziecię swoje powierzyła.

Tak myśląc, zrozpaczona niewiasta nie śmiała stąpić krokiem naprzód. Przerażenie ubezwładniało jej członki serce jej biło tak gwałtownie, iż przecinało jej oddech! A jednak i tak już za wiele było straconego drogiego czasu.

Wpatrzyła się w swego przewodnika pytająco, wyzywająco do wyrażenia swego zdania.

— Dom ten mi znany — rzekł potrząsając głową komisjoner.— Należy on do jednego herborysty z Faubourg Poissonniere, — który się cofnął tu na wiejską samotność zeszłego roku a wkrótce potem umarł. Tu nikt nie mieszka; musieliśmy się omylić co do numeru! —

Wahanie się towarzysza dało biednej kobiecie odwagę rozpaczy. Z błyskawiczną decyzją, chwyciła za niską furtkę od ogrodu. Furtka się otwarła. Przebiegli ogród. Staruszka nacisnęła odważnie na klamkę od drzwi głównych weszła w sień — i odskoczyła napowrót z okrzykiem trwogi.

Towarzysz jej pochwycił ją za rękę.

— Tu popełniono morderstwo! zawołał. Uchodźmy, aby nas nie zawikłano w tę sprawę.

Z siłą przerażenia starał się rozpaczoną kobietę odciągnąć na zewnątrz... Ale ona wyprostowała się nagle i wpatrzyła się w olbrzyma leżącego bez ruchu, — z spuchłem już obliczem i oczami wysadzonemi na wierzch z ciemno obrzeżonych zagłębień.

— Morderstwo—zawołała matka Erwiny. Moje dziecię, moje dziecię! Pomóż mi pan znaleźć moje dziecię!

I z szalonym pospiechem jęła uderzać do wszystkich drzwi z kolei. Wszystkie były zamknięte, prócz jednych otwartych a wiodących na schody, przed któremi właśnie trup leżał. Przeskoczyła przezeń i podczas gdy komisjoner trzęsąc się, niechętnie, z obawą, chwiejącym się krokiem za nią pospieszał — już ona na górze krzyk przerażenia wydała. Znalazła w jednym z górnych pokojów chusteczkę należącą do córki.

Więc tutaj przywleczono Erwinę!

Matka przebiegła przez wszystkie pokoje i stanęła dopiero przed zamkniętemi drzwiami przedniej części domu. Zawołała na Erwinę, po imieniu. Żadnej odpowiedzi! Unicestwiona, bezradna, zasłaniając oblicze rękoma, z jękiem osunęła się na podłogę.

— Moje dziecko, moje dziecko! — gdzie dziecko moje! krzyknęła rozpaczliwie... Zamordowano je!

Komisjoner stał również bezradny i zmięszany. Wybladły z trwogi, wyobrażając sobie, iż stoi na miejscu, które było sceną zbrodni, silił się głośne jęki nieszczęśliwej matki uciszyć.

Napróżno!

— Zaklinam panią—błagał—uspokój się! Uchodźmy ztąd co prędzej! Jeżeli nas tu znajdą, uwiężą nas jako podejrzanych, lub co najmniej jako jedynych, którzy coś o tem morderstwie zeznać mogą! Zgubieni jesteśmy, jeśli nas tu kto przychwyci.

— Dziecię moje! — Ja chcę dziecka mego!—jęczała matka.

— Ależ widzisz pani przecie, że jej tu niema! Nie może być, aby dziecku pani stało się tu coś zagrażającego jej życiu!.. Popatrz pani tylko... te drzwi wyłamane, musiała więc uciec, jeżeli ją tu istotnie więziono! Wszystko przemawia za tem, że się ztąd wydobyła! Przyjdź więc pani do siebie i uchodźmy. Musimy jej szukać gdzie indziej — a gdy nas uwiężą, niemożebnem się to stanie! —

Oznaki wskazane przez komisjonera i wnioski jego z nich wyczerpnięte, oddziałały istotnie uspokajająco na matkę. Zachęcony tem komisjoner, poparł jeszcze swoje wywody, kilkoma spostrzeżeniami nowemi; starał się jej wyjaśnić, iż widocznie w tym domu odbyła się wczoraj jakaś biesiada nocna, i że córka jej prawdopodobnie wtedy znalazła sposobność do ucieczki; głupotą więc byłoby szukać jej tutaj dłużej.

Poczciwiec, mówiąc to, drżał z żądzy oddalenia się z tego miejsca i przeklinał głupotę swoją, która go nie powstrzymała od wmięszania się w tę śliską sprawę, mogącą go zawikłać w śledztwo.

Napierał tak silnie na pozbawioną już wszelkiej woli kobietę, iż ta mu uległa. Pochwycił ją tedy za ramię i żywo wyprowadził, szepcząc:

— Spokoju, na miłość boską! Czy widzisz pani tego człeka pod schodami na dole! Wszystko mi każe przypuszczać, że popełniono tutaj morderstwo! Człowiek ten w stanie pijanym musiał być strąconym ze schodów i trupem legł na miejscu... Prędzej, prędzej! Nie powinien nas tu nikt znaleźć! —

To mówiąc pociągał za sobą nieszczęśliwą kobietę, która zasłaniając sobie twarz, dała się obok ciała przeprowadzić.

— Przez wszystkich świętych!—zawołał komisjoner— poznaję tego człowieka!

To jeden z odźwiernych z Palais Royal, stary opój Mallot, który przy śniadaniu u kupca win przy Rue Vivienne wypijał regularnie swoich dziesięć kieliszków absyntu i jeszcze się oglądał! Musiał wypróżnić te wszystkie te leżące tu naokół butelki i odurzony, spadłszy ze schodów, kark złamał! Chodź pani... Znalazłem teraz punkt wyjścia do naszych poszukiwań! Znam jego rodzinę, dowiem się więc od niej, jakim sposobem on znalazł się w tym domu — a to nam wszystko wyjaśni!

Wewnętrznie nie miał komisjoner najmniejszej chęci mięszania się dalej w tę sprawę; udało mu się jednak nieszczęśliwą matkę temi fałszywemi nadziejami nieco pocieszyć.

Bez oporu dała mu się pociągnąć — a gdy na wolnem miejscu stanęli, gdy komisjoner rozglądając się naokół, nikogo nie ujrzał obcego w pobliżu, wtedy dopiero odetchnął.

— Musimy unikać dworca! Nikt nas nie powinien tu zauważyć! — wyszeptał do matki Erwiny. Ruszajmy tą drogą przez pola. Dojdziemy nią do wybrzeża! Tam skręcimy na drogę do Neuilly i nikomu nie przyjdzie do głowy, zkąd powracamy!

Nieświadoma zgoła miejscowości, w myślach tylko biednem dzieckiem swojem i losem jego zajęta, postępowała matka za przewodnikiem, obojętna, dokąd ją wiedzie. W rękach ściskała jedwabną chustkę i przytulała ją do ust co chwila. Łzy zasłaniały jej wzrok, bo coś przerażającego musiało się zdarzyć jej córce, nim jej się udało uciec z owego domu... I gdzież mogła się zwrócić, gdy niepodobnem jej było powrócić do domu, bez wpadnięcia powtórnie w prześladowców ręce?

Ta nieustająca myśl o dziecku wzmagała siły matki.

Nie czuła żadnego znużenia idąc obok milczącego towarzysza szosą wzdłuż Sekwany. Komisjoner zdawał się w miarę posuwania się naprzód coraz nieprzyjaźniej dla niej usposobionym. Przeklinał ciągle głupotę swoją, przez którą się wmięszał do tej ponurej historji. Piekło go czekało, jeżeli jednakże, pomimo wszelkiej ostrożności, dostrzeżono go, gdy wychodził z przeklętego owego domu; a łatwo stać się to mogło, ponieważ już mnóstwo razy, jak każdy Paryżanin bywał w Asnières i miał tam moc wielką znajomych, których zwykle odwiedzał.

Zamiarem jego obecnym było zostawić w każdym razie zrozpaczoną kobietę samej sobie, skoro się tylko sposobna chwila nadarzy; na co oczekując, żywo i z lękiem tajemnym kroczył dalej.

XIV.

Gdy oboje doszli do mostu na Sekwanie w Neuilly, matka Erwiny, ostatecznie wytężona wejściem na poprzedzające most małe wzniesienie, bez sił, oparła się o ramię przewodnika.

— Już dalej iść nie mogę! — wyjękła — Siły mnie opuszczają! Zaklinam pana, odprowadź mnie do tych krzeseł stojących przy domu, przed samym mostem. Wypocznę tylko przez chwilę, pokrzepię się czemkolwiek, a tymczasem wyszukaj pan doróżki, abyśmy nią do Paryża, do Palais Royal udać się mogli.

Komisjonerowi żądanie to było bardzo na rękę!... Uprzedzająco podał matce Erwiny ramię i odprowadził bezsilną do małych stolików i krzesełek ogrodowych, stojących przed oberżą, przy moście.

Już wieczór się zbliżał. Most ożywiały tłumy przechodniów, bądź wracających z Paryża, bądź też idących do niego. Chwiejącym się krokiem, spoglądając osłupiale przed siebie, więcej wleczona niż idąca, doszła biedna matka do oberży i właśnie chciała zsunąć się w jedno z najbliższych krzeseł, gdy ją nagle miękkie objęły ramiona. Z okrzykiem radości pochyliła uszczęśliwiona matka

głowę na piersi Erwiny, która spostrzegła ją, siedząc w oknie swojem panującem nad szosą, gdzie z niepokojem liczyła minuty brakujące jeszcze do mego powrotu, mogącego najprędzej o północy nastąplć.

Za pierwszym rzutem oka Erwina poznała matkę swoją. Zobaczyć ją i zbiedz lotem ptaka na dół, było dla niej dziełem jednej chwili. Obojętna na wrażenie, jakie podobna scena na otwartem publicznem miejscu wywołać może, pochwyciła bezsilną matkę w objęcia i poczęła ją pieścić i całować z wybuchem radości, który jednak widocznie komisjonera nie wzruszył. Poczciwiec ten bowiem skorzystał z tak niespodzianego odszukania straconej córki i zajęcia się sobą obudwu kobiet, ku jak najspieszniejszemu oddaleniu się od nich. Wyrzekając się zapłaty, pomknął chyłkiem po moście, a znalazłszy się za nim, powinszował sobie, że mu tak gładko z brzydkiej tej afery wyjść się udało...

Gdym o drugiej nad ranem, również znużony do ostateczności, przybył z powrotem do Neuilly, ujrzałem, zdziwiony radośnie, Erwinę czuwającą przy łożu głęboko uśpionej matki.

— Biedaczka! Niezmiernie wiele dla mnie przecierpiała, nie przerywaj jej więc spoczynku! — szepnęła do mnie Erwina... Dzięki Bogu, jesteśmy tutaj teraz wszyscy razem, szczęśliwie złączeni — jeżeli więc tylko pozwoli na to zdrowie matki, które mi się zagrożonem wydaje, to już jutro pomyślimy o wyjeździe; dreszczem bowiem przenika mnie myśl o każdej nocy, którą tu jeszcze spędzić będziemy zmuszeni! —

Radośny, przeniknięty na wskróś błogiem uczuciem uspokojenia, które ze mnie nawet wszelką troskę o własne moje bezpieczeństwo wypędziło, przycisnąłem Erwinę do gorącej piersi mojej.

— Pozwól mi czuwać u łóżka matki, jeżeli tego potrzeba — ozwałem się do niej błagalnie. Ty po przebytych tylu okropnościach, nie masz dosyć sił do wyrzeczenia się snu, który do pokrzepienia się jest dla ciebie niezbędnym. Spocznij Erwino! Żadne niebezpieczeństwo już tutaj nam nie grozi. Ja zaś czuję się zanadto wzburzonym, ażebym mógł zasnąć. Jutro rano będę miał już gotowy plan całej przyszłości naszej. Najprzód zabezpieczymy nasze osoby — a gdy się to stanie, jeden z ziomków moich odbierze z mieszkania rzeczy wasze i prześle je nam.

Erwina, w istocie bardziej znużona, niż to okazać chciała, ustąpiła wreszcie naleganiom moim. Ja przepędziłem noc bezsennie, alem nie czuł bynajmniej potrzeby snu. Gdy ranek zaświtał, znalazła mnie Erwina świeżym i rześkim w fotelu. Uradowała się wielce, usłyszawszy odemnie, że matka najzdrowszym snem noc przespała. Ze słodkim uśmiechem pochyliła się ku mnie...

— A więc już teraz należymy do siebie! szepnęła patrząc mi z zachwytem w oczy. — Nie prawdaż, że nie masz już nikogo, ktoby nas mógł rozdzielić?..

— Nikogo!.. zawołałem, tuląc ją do siebie i łzy radości polały się po jej wybladłej twarzy, gdy czoło na piersi moje pochyliła.

Tylko śmierć nikczemnego jej męża zdolna była ją uwolnić od niego, i mnie to los, czy też własna jego brutalność, narzędziem jej oswobodzenia zrobić musiały.

Jakąż jednak byłaby jej dola, gdyby mnie to, co jego, spotkało; a rezultat podobny wisiał na cienkiej jedwabnej nici, bo bez najwyższego z mej strony wytężenia odwagi i energji przy tem spotkaniu, zginąłbym był niechybnie. Zamiarem bowiem było moich wrogów, ufających w słabość mego jeszcze nie całkiem wyleczonego ramienia, uprzątnąć mnie z drogi, bo planom hr. L. niezmiernie zawadzałem.

Oporu Erwiny nie obawiał się on bynajmniej; liczył bowiem na to, że wysoka towarzyska pozycja jego wspólnika osłabi ten opór — a próżność kobieca dokona reszty, gdy olśnią ją nadzieją blasku, któremu w Paryżu prawie żadna cnota nie zdolna się oprzeć. Znajoma jest przecież „droga do raju“ i wejście na nią zawsze bywa jednakie. W Paryżu więcej się cnoty zużywa i po krótkiej motylej egzystencji wyrzuca na ulicę niż gdzie indziej; lekko ją więc sobie ważą mężczyźni i zawsze są pewni pomyślnego rezultatu.

Erwina już zwróciła była na siebie wielu ludzi uwagę. Piękność jej pomimo zarezerwowanego sposobu życia, nie mogła pozostać ukrytą. Widziano ją nieraz w teatrach i na przechadzce. Dowiedziano się nawet, że jest młodą wdową i że z matką do Paryża przybyła. Nazywano ją „la belle Hongroise“ i przypuszczano, iż nie przybyła po nic innego do Paryża, jak tylko po to, czego tam wszyscy szukają „pour conquerir la fortune.“

Hrabia L. wiedział, że Erwina zaręczyła się ze mną; licząc jednak na wpływ swoich przyjaciół, zdaje się, że mnie z początku za mało niebezpiecznego uważał. My zbiegi, prawie wszyscy zmuszeni byt nasz podtrzymywać jakiemś zatrudnieniem, o którem nam rzadko spiewano nad kołyską; zajmowaliśmy tak nędzną pozycję w towarzystwie, iż i mnie lekceważono, i ze mną spodziewano się w razie konieczności bez trudu ułatwić, gdybym się ośmielił stać niewygodnym. Obawiając się jednak nowego zbyt rozgłośnego skandalu pomiędzy emigracją, wybrano pozornie honorowy środek pozbycia się mnie, którego rezultat jednak zupełnie moich wrogów zawiódł.

Śmierć tego łotra musiała zmięszać mocno jego protektorów. Może jednak spodziewali się kiedyś jeszcze poczekawszy, pochwycić wyrwaną im zdobycz.

(*Dok. nast.*)

KRÓL KARNAWAŁ.

Precz ze łzami! —
Choć za nami
Chmur całuny zima wiedzie —
Oto z mrozem
Złotym wozem
Król — Karnawał do nas jedzie!

Wiecznie młody
Król swobody
(Chociaż często ją udawał) —
Piękny, strojny
Niespokojny
Idzie do nas Król — Karnawał!

Patrz! z pustoty
Wóz swój złoty
Zaprzągł w wiatry i motyle —
Bo niestały
Lotem strzały
Zwykł obiegać nas za chwilę —

Płochą głowę
Djamentowe
Okoliły mu przepaski —
Białość szaty
Płaszcz bogaty
Tęczowemi objął blaski.

Z ócz mu strzela
Skra wesela,
W dłoni puhar lśni z kryształu
W nim się pieni
Wre... promieni...
Rubinowy napój szału!..

A wesoło
Lekko w koło
Mkną godziny tanecznice —
Wśród nich cicha
Miłość wzdycha...
I nadziei kwitną lice —

Z drogi ludzie!
Co tam w trudzie —
W prochu gniecie czoła smutne —
Nędzo! — z drogi!
— Jadą bogi —
Promieniste i rozrzutne.

Dalej... Dalej!
W blaskach fali
Lećmy topić się z rozkoszą —
Cóż że burze
Nocy stróże —
Dziwne głosy nam przynoszą.

Cóż że ziemię
Śniegu brzemię —
Że ból tyle serc przytłacza?
Czas zbyt krótki!
Próżne smutki
Król Karnawał nie przebacza.

Niech utonie
W wrzawy łonie
Każdy z głębi krzyk serdeczny —
Wszak się splata
W pieśni świata
Łza ze śmiechem w akord wieczny.

Niech niewoli
Łańcuch boli —
Niech nam krwawi pierś i dłonie!
O! tem głośniej
Tem radośniej
Huczny śmiech nasz jęk pochłonie.

Niech nie szydzi
Król, że widzi —
Łzy, co zgryzły nam powieki,
Niech los nęka
Serce pęka —
Nam się śmiać... ach śmiać na wieki....

Grzmij kapelo!
Korki strzelą
Ku czci szałów i upojeń —
Taniec skoczny
W świat obłoczny
Nieujętych pomknie rojeń!

Cóż że zimny?
Boskie hymny
Dzień jutrzejszy zgrzytem zgłuszy,
Kto rozumny
Jak w dno trumny
Niech nie patrzy w głąb swej duszy.

— Precz ze łzami! —
Choć za nami —
Chmur całuny los nasz wiedzie —
Dalej w łany! —
Niezrównany
Król—Karnawał do nas jedzie!

Marja B.

16. Stycznia 1878.

WENECJA.

(Z notatek rysownika.)



Wjazd na dworzec.

Kto się po raz pierwszy zbliża do tego cudownego miasta, ten niewątpliwie ostatni kawałek drogi, oddzielający od niego, w uroczystym przejedzie nastroju. Pyszna ta syrena morska i na moją fantazję czarodziejską oddziaływała siłą od lat najmłodszych i była długo upragnionym marzeń moich celem, który się obecnie miał spełnić, ku wielkiej radości mojej.

Opuściwszy świetny, bogaty Medjolan, nie mogłem znaleźć w przepełnionym wagonie kolejowym dosyć wygody i spokoju do oddania się przemijającym koło mnie błyskawicznie widokom pięknej włoskiej natury, ani marzeniom, do których czułem się szczególniej usposobionym. Współtowarzysze podróży mojej mącili mój konteplacyjny nastrój gorącą polemiką polityczno-religijną; rad więc byłem serdecznie, gdy w Weronie moje coupé wypróżniło się zupełnie. — Lecz jak to często bywa, gdy się czemś cieszymy, przychodzi jakieś złośliwe „coś“, które nam nieraz wszystkie popsuje plany.

Rolę tego złośliwego „czegoś“ w tym wypadku odegrało pięciu zuchów, którzy w Padwie, w chwili wyruszenia pociągu, z nieoświeconej strony dworca nagle do mego coupé wskoczyli, wrzuciwszy pierwej całą wiązkę żywych i zabitych kur prawie na moje nogi. Gdyby mnie malownicza powierzchowność tych zuchów za ich przykry figiel nie była w części wynagrodziła, byłbym się był mocno gniewał; tak jednak, po przejściu pierwszego rozdrażnienia, bawić się zacząłem widokiem tych napół dzikich postaci, które w podobnie rafinowany i brutalny sposób lombardzkiej kolei zapłatę za jazdę ukradły.



Wenecja. Na placu Śgo Marka.

Już było około 8 wieczorem, gdy pociąg przeszumiał wreszcie po nieskończenie długiej tamie łączącej Wenecję ze stałym lądem; poczem konduktorowie zawołali „Wenecja“ zabłysły światła — i stałem u pożądanego celu. Towarzysze moi już w ciągu powolnego wjeżdżania na dworzec chyłkiem się wysunęli z wagonu.

Dworzec kolei położony w północno zachodniej stronie miasta dotyka bezpośrednio do *„Canal Grande“* którego wybrzeże za nadejściem pociągu od gondol i bark się mrowi. Nie miałem czasu nawet rzucić okiem na ciemną masę domów i wody, bo wnet słudzy hotelowi, tragarze tylko wioseł pluskiem, sunęliśmy najprzód, aż stanęliśmy przed oświeconą bramą, u której progu szemrały fale. Był to hotel. Wyszukano dla mnie numeru i po przyjęciu posiłku, udałem się na spoczynek, bo do wycieczki dzisiaj już było nieco zapóźno.

Wschodzący poranek zastał mnie już na nogach rześkim i świeżym; niegodziwe posłanie i chęć jak najspieszniejszego zapoznania się z miastem, musiały się do tak wczesnego mego rozbudzenia przyczynić. Rzut oka przez okno pokazał mi wązki kanał, na którym gondoljer płukał i czyścił swoją gondolę, zupełnie tak jak w innych



Wenecja. Przejażdżka po „Canel Grande“.

ciceroni i jak tam się jeszcze nazywają członkowie tej zacnej konfraternji usłużnych duchów, oblegli mnie ciasnem, gwarliwem kołem—i nim przyszedłem do przytomności już siedziałem z jakimś towarzyszem cierpień, w podobnem do trumny pudle gondoli. Sytuacja ta nie była zgoła przyjemną, ledwo bowiem można było wyprostować głowę w ciasnym obrębie tej barki. Gondola czarna wewnątrz i zewnątrz, czarna woda, czarne naokoło budowle, o ile je przez drzwi pudła spostrzedz można było. Mimowoli melancholja ogarniała duszę. W milczeniu, przerywanem miastach publiczni woźnice z dorożkami i pojazdami swemi czynią. Zamęt dachów, kominów, rozsypujących się i sterczących jeszcze balkonów roztoczył się przedemną, zdradzając całą wielkość dawną, i obecne ubóstwo.

Rozumie się, że celem moich pierwszych kroków był plac Ś. Marka, do którego prędko kilkoma wązkiemi doszedłem uliczkami. Jeżeli do tej pory nie miałem się czem zachwycić, to w tej chwili znalazłem aż nadto do uniesienia powodów. Oto roztaczał się przedemną ów rozgłośny plac, tak majestatyczny, takim poważnym uro-

kiem starożytności owiany a razem tak piękny... Żaden tętent końskiego kopyta, żaden turkot koła nie zamącał ciszy tego miejsca; głębokie na niem panowało milczenie, kilku tylko ludzi przesuwało się pod arkadami i tysiące gołębi unosiło się w powietrzu. Karmione i pieszczone tak przez prywatnych jak i kosztem publicznym, cieszą się tutaj te ptaki niczem niezamąconym bytem.

Długo stać tak można i patrzeć, nie mogąc się nasycić — i ja też długo nie odrywałem się od tego czarownego widoku. Następnie zaś wstąpiłem na starożytną dzwonnicę, aby się napoić osobliwem widowiskiem całego miasta z góry, morza i domów opasanych przez morze i po za niemi w oddali podnoszących się jak gigantyczny mur graniczny, Alp ukoronowanych śniegiem.

Ztamtąd zaszedłem do starego kościoła Śgo Marka. Morze pryska pianą, aż pod same drzwi kościoła, tak że brodzić trzeba przez wodę, chcąc się dostać do wnętrza. Cudowna architektura tej świątyni, wprawiła mnie w ciche zdumienie, z którego ledwo się mogłem otrząsnąć.

Ztąd podążyłem na „Piazzetę“ i do „Pałacu Dożów“. Złote krzesła w salach złotych i wielka, milcząca a tak wymowna pustka. Gdzie niegdyś dumni i absolutni Dożowie i Senatorowie kroczyli, dzisiaj nędzny przekupień muszli wciska nam swój towar, lub policyjny urzędnik tam i sam się przechadza.

Kilka kroków od „Pałacu Dożów“ i jesteśmy już na brzegu „Canal Grande“ czarownej wodnej drogi. Chciwie rzucają się gondoljerzy na obcego, — nie można się im obronić, pokąd się nie usiędzie na skórzanej poduszce jednej z gondol.

(*Dok. nast.*)

OSTATNIA LEKCYA.

ISKIERKA (bluette) W JEDNYM AKCIE

SEWERA.

OSOBY:

ZOFIA. — STEFAN. — GERTRUDA. — STANISŁAW.

Scena przedstawia salon. Po lewej stronie widzów fortepian, w głębi otwarte okno na ogród, na środku stolik założony książkami. Na froncie po obu stronach sceny kozetki i fotele.

SCENA I.

ZOFIA, STEFAN.

ZOFIA (do wchodzącego Stefana.) Czekałam! Cóż pan na to — i jak się wytłumaczysz?...

STEFAN. Jedynie wzajemnością (ściska podaną rękę).

ZOFIA (udając zdziwienie). Ciekawam.

STEFAN. Gdyż poprzednio ja czekałem, — bardzo długo „całe długie pół godziny“.

ZOFIA. Co za poświęcenie! A ponieważ pan przepadasz za poświęceniami, zrobiłam mu więc tedy tylko przyjemność.

STEFAN. Oskarzasz się pani.

ZOFIA. Zkąd to przypuszczenie?

STEFAN. Może, aby wywołać zaprzeczenie, dla spalenia szczypty kadzidła....

ZOFIA. Na cześć mej próżności, — dziękuję panu.

STEFAN. Nie powiedziałem tego.

ZOFIA. Lecz kazałeś się pan domyślać.

STEFAN. Wolałbym się domyślać...

ZOFIA. Czego?...

STEFAN. Że pani nie jesteś tak złą.

ZOFIA. Tak złą!? Dosyć mój panie, (kłania się głową dumnie). Zaczynamy.

STEFAN. Nie pozwalasz mi pani skończyć...

ZOFIA. Na nic nie pozwalam. (Stefan się kłania, zbliżając się do stołu, siada.)

ZOFIA (cicho). Tak złą zobaczymy.

STEFAN. Czekam.

ZOFIA. A to co znaczy?

STEFAN. Nic — jak tylko, że radbym spełnić jéj prośbę i zacząć wykład.

ZOFIA. Ja nigdy o nic nikogo nie proszę.

STEFAN. Nie śmiałem powiedzieć rozkaz.

ZOFIA. A to z przyczyny.

STEFAN. Bo nie wolno mi używać tego wyrażenia.

ZOFIA. „Albowiem“, bo pewno pan zaczniesz od tego wyrazu — tak go lubisz. A zatém albowiem...

STEFAN. Albowiem — chcąc komuś rozkazywać, trzeba mieć pewne prawa.

ZOFIA. Prawda, ja jestem uczennicą, a pan panem profesorem. Władza przy panu. Pan jesteś doktorem filozofii a ja niczém.

STEFAN. Pani jesteś...

ZOFIA. Niezawodnie chcesz pan powiedzieć, może różą, lub lilią.

STEFAN. Zupełnie co innego.

ZOFIA. Słucham — jeśli łaska.

STEFAN. Pomyślałem, że pani jesteś rozgrymaszoném dzieckiem, tylko nie śmiałem tego powiedzieć.

ZOFIA. Któż więc pana ośmielił?

STEFAN. Pani sama rozkazem.

ZOFIA. Zaczynamy.

STEFAN. Dziś mieliśmy mówić o Mickiewiczu.

Zofia. Wolałabym o Słowackim. Geniusze przygniatają mnie swoim ogromem. Dziś chcę odpocząć na falach fantazji.

Stefan. Zbytek fantazji często upaja, aż do zawrotu głowy.

Zofia. Ale nie tych, którzy mają serca. Otoż dla czego Słowacki w swych poezjach ma więcej fantazji niż uczucia?

Stefan. Ciekawy jestem.

Zofia. Bo — bo — nie kochał.

Stefan. O ile wiem, kochał dwa razy. (Zofia zbliża się, opierając się o stół, patrzy w oczy Stefanowi ze zdziwieniem). Dwa razy??

Stefan. Tak nas zapewniają własne jego listy.

Zofia. A pan wieleś się razy kochał.

Stefan. Dotąd tylko raz.

Zofia (drżącym głosem—wolno). Czy to można kochać się dwa razy?...

Stefan. Niezawodnie.

Zofia (przechadzając się po salonie zamyślona). Tego nie pojmuję.

Stefan. Bo jeszcze dla pani zawcześnie.

Zofia. I cóżeś pan wtedy robił?

Stefan. Pisałem wiersze.

Zofia. Musiały być wzniosłe?

Stefan. Naiwnością i młodzieńczym zapałem.

Zofia (siada na kozetce). Opowiedz mi pan swoją pierwszą miłość.

Stefan (się zbliża i opiera o poręcz fotelu). A nasza lekcja?

Zofia. Jesteś pan poetą, — będzie to jeden życiorys więcej — zasłużonych mężów.

Stefan (z uśmiechem pochyla głowę). Pewnego razu.

Zofia. Wybornie — „pewnego razu,“ a potem będzie „niejaka panna“. Dla czego lepiej już nie zacząć nowożytnie: „Pewnego pięknego poranku“.

Stefan. Kiedy to było wieczorem.

Zofia. Zaciekawiasz mnie pan.

Stefan. Nie wiem czy kiedy pani w roztargnieniu swojem...

Zofia. Dziękuję.

Stefan. Zatrzymałaś wzrok na jasnych włosach spadających kaskadą na ramiona, na bladej twarzy i dużych niebieskich oczach, głębokich jak błękit nieba, tajemniczych jak przeznaczenie?

Zofia. Co za porównanie! Bądź pan spokojny, zatrzymałam.

Stefan. Nie mam pojęcia, jakie wrażenie na pani robi blada, artystycznie wyrzeźbiona twarz, smutny uśmiech, oczy świecące tajemniczym blaskiem i gładkie zamyślone czoło...

Zofia (zamyślona szepcze). Nie masz pan pojęcia?

Stefan. Tak — (ciszej) nie mam pojęcia (zmienia ton głosu.) Niebieskie oczy siedemnasty raz przypatrywały się wschodzącej wiośnie. Pani to wybornie rozumiesz, albowiem patrzyłaś już siedemnaście razy na wschodzącą wiosnę.

Zofia. Proszę nie mieszać mej osoby do opowiadania historji.

Stefan. Pewnego pięknego wieczoru...

Zofia. Bardzo dobrze. Czy księżyc świecił?

Stefan. Świecił — a ciemno szafirowe niebo iskrzyło się od gwiazd.

Zofia. A na ziemi pewno strumyk szumiał?

Stefan. Nie — rzeka cicho płynęła.

Zofia. Aby nie przeszkadzać zakochanej parze, lub może słowikom?

Stefan. Biały dworek srebrzył się pod promieniami księżyca.

Zofia. I...

Stefan. Głos z wieży, dźwięczny głos dziewczęcia i tęskne tony muzyki wybiegały z otwartego okna na ogród.

Zofia. Urocza chwila...

Stefan. Dziewczę śpiewało romans: „Czy ty słyszysz mnie?“

Zofia (ciekawie prędko). Pan słuchałeś?

Stefan. Słuchałem w ogrodzie, gdyż nie wolno mi było przestąpić progu dworku.

Zofia. Zaczyna się dramat — (zbliża się do Stefana).

Stefan. Słuchałem skarg dziewczęcia, wyznań miłości i pożegnania.

Zofia (cicho). Pożegnania?...

Stefan (również ciszej). Wszystko do koła ucichło i zgasło, (Zofia zbliża się do Stefana) oprócz bicia mego serca. Czekałem drżąc cały z niecierpliwości i obawy... O samej północy otworzyły się szklanne drzwi dworku, — wyszła, raz jeszcze obejrzała się na białe ściany...

Zofia (cicho, szybko). Ośrebrzone promieniami księżyca i..

Stefan. Podbiegłem naprzód, — dała mi znać ręką, abym się cofnął w głąb ogrodu.

Zofia (cicho, prędko). I cofnąłeś się pan?

Stefan. Przybiegła. Stało się! szepnęła. Bóg tak chce, aby tam był mój świat gdzie ty — i... (wchodzi Stanisław) główkę swą przytuliła...

SCENA II.

ZOFIA, STEFAN, STANISŁAW.

Stanisław. Proszę panienki, — panna Gertruda zgubiła zielony kłębek jedwabiu — i gotowa awantura. — Wszystko na mnie. (Stefan wolno wraca do stolika).

Zofia (rozdrażniona wstaje). Powiedz cioci, że jedwabiem bawił się jej Tytuś — i dla tego schowałam do mego stoliczka. Proszę cię nie przesz... (urywa).

Stanisław. Słucham panienki.

Zofia (żywo). Uścisk... kłaniaj się cioci.

Stanisław. Dobrze — (do siebie). I tu widać zanosi się na gotową awanturę (kręcąc głową odchodzi).

SCENA III.
STEFAN, ZOFIA.

Stefan (siedząc przy stoliku). Zatem mam dziś mówić o Słowackim.

Zofia (zirytowana). Mów pan, co się panu podoba, — (chodzi, zamyśla się, siada do fortepianu, gra i spiewa. Stefan przegląda książki, później słucha).

„Do lotu, ku wiośnie podnosi się łono,
I w sercu radośnie, kwiecisto, zielono.
Och serce podlata, bo skrzydła mu rosną,
Och dusza bogata, młodością i wiosną.
Nie traćmyż więc chwilki! hej z piosnką na pole!
Wy myśli motylki, pocznijcie swawole,
Od łączki do łączki w powietrzu za fale
Od pączków na pączki — a dalej wciąż dalej!

(Kończy passażem po fortepianie, oznaczającym zirytowanie i zwracając się raptem do Stefana). Czytaj pan — proszę — „W Szwajcarji.“

Stefan (bierze książkę, przewraca kartki). Czy dla tego, aby zaprzeczyć pani zdaniu przed chwilą wypowiedzianemu?

Zofia. Aby go potwierdzić, znajdź pan najpiękniejszy ustęp.

Stefan. Trudny wybór.

Zofia. Więc czytaj od początku.

Stefan (czyta).

1.

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty,
I nie wiem czemu ta dusza z popiołów
Nie wylatuje za nią do aniołów?
Czemu nie leci na niebiańskie szranki,
Do tej zbawionej i do tej kochanki?

2.

„Poszedłem za nią przez góry, doliny,
I szliśmy razem u stóp tej lawiny,
. . . .
Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.“

Zofia. Ach jakie to upajające!... (po chwilce). A jednak powiedz pan, czy człowiek, który tak misternie analizuje uczucie — potrafi również gorąco i serdecznie kochać?

Stefan (zamyślony patrząc w książkę, do siebie). „Ani ten rumieniec“...

Zofia. Czy rozmarzony romantyk nie raczy odpowiedzieć?

Stefan (kładąc książkę). Trudne do rozwiązania zadanie.

Zofia. To ma znaczyć, że się pan zgadzasz na moje opinje. (Filuternie pieszczotliwie). Nie skończyłeś pan opowiadania...

Stefan. Rozumiem.

Zofia (filuternie). Proszę się niczego nie dorozumiewać, (zmienia ton głosu) słucham: — „Przytuliła główkę szepcąc: Tam mój świat gdzie Ty.“

Stefan. Czy tylko....

Zofia. A propos białego dworku — domniemywana jego dziedziczka musiała mieć znaczny posag.

Stefan (zdziwiony). Bo inaczej?...

Zofia. Nie czekałbyś pan w ogrodzie. I pewno świat jego nie byłby tam gdzie ona.

Stefan (poważnie). Juliusz Słowacki — syn Euzebiusza, urodził się...

Zofia. Nie odpowiadasz pan...

Stefan (z utajonym gniewem). Czy nie zdarzyło się pani nieraz wieczorem, wśród ciszy w naturze, grać nocturnę Szopena?

Zofia. Zdarzyło.

Stefan. I podczas gdy tony skarząc się natchnieniem mistrza przejmowały jej serce, ktoś zagwizdał, zaśmiał się lub katarynka zagrała.

Zofia. A więc?

Stefan. Przypuszczam, żeś pani wtedy wstała od fortepianu — i zaczęłaś czytać życiorys jednego ze znakomitych ludzi.

Zofia (się zrywa szarpiąc chusteczkę gwałtownie). Panie!

Stefan. Słucham.

Zofia (patrząc na Stefana milczy chwilkę, spokojnie). Lubisz pan życiorysy?

Stefan. Lubię dzieje wielkich serc i szlachetnych umysłów.

Zofia. Obraziłam pana?

Stefan. O nie — tylko zamknęłaś mi pani usta i serce.

Zofia (cicho). Przepraszam.

Stefan (schylając głowę). Przyjmuję.

Zofia z (kokieterją). Nie śmiem pana prosić o dokończenie.

Stefan. Najlepiej skończmy Słowackim.

Zofia (smutnie kręcąc główką, zaprzecza, staje, zamyśla się, zbliża do fortepianu i zaczyna grać Nocturnę Szopena. Po pierwszym ustępie przestaje, zrywa się wesoło). Wkażdym razie jestem panu dłużną. Za jego otwartość i spowiedź serca, którą tak niegodnie przerwałam, należy się panu wzajemność... (wzdycha, siada na kozetce). I ja kochałam. (Stefan wstaje, zbliżając się powoli). Wśród tysiąca świateł, tonów ochoczej muzyki, szeptów, uśmiechów i wiru tańca, w samym rogu salonu stał młodzieniec. Nie opisuję rysów jego twarzy, (z przyciskiem) albowiem

nie jestem ani Van Dykiem, ani doktorem filozofii, malować nie umiem.

STEFAN. Obawiasz się pani analizować piękność, aby się do niej nie zrazić?

ZOFIA. Być może. Młodzieniec stał wyniosły, zamknięty w sobie, — zdawało się odosobniony od reszty świata wielkością swych myśli i uczuć.

STEFAN (zaciekawiony). Stał i patrzał...

ZOFIA (prędko). Spojrzenia nasze skrzyżowały się. Serce moje zadrzało, — uczułam rumieńce na twarzy i spuściłam oczy.

STEFAN (ironicznie). Cóż dopiero było, gdy opuścił róg salonu, zbliżył się i przemówił?

ZOFIA. A właśnie że nie opuścił rogu salonu, nie zbliżył się i nie przemówił.

STEFAN. Szkoda...

ZOFIA. Przykro mi było. Nie śmiałam go zachęcać — czekałam. I ja również posmutniałam, jakiś ciężar przygniatał mi serce. Radabym była odchylić zasłonę tajemnicy. Pan pewno wiesz, jakim urokiem jest dla nas tajemniczość?...

STEFAN. Tak, że panie często nie umiecie zdać sobie sprawy, co was pociąga — człowiek czy jego tajemnica?

ZOFIA. Nie wiem tego. W każdym razie przekładamy ciepło uczucia nad jego opisywania.

STEFAN. Wolicie panie przeczuwać uczucie.

ZOFIA. Czasem wolimy to, nad pewność.

STEFAN. Gdyż ten stan pozwala wam dużo marzyć (ciszej) a mało kochać.

ZOFIA. Tak pan mówisz?...

STEFAN. Powtarzam tylko jej opinje.

ZOFIA (do siebie). Moje opinje?... (głośniej) słuchaj pan.

STEFAN. Pewnego pięknego poranku.

ZOFIA. Proszę nie przeszkadzać. Było to również wieczorem — w tym samym salonie i również na balu... Zobaczyłam go po raz drugi. Zawsze jednako zamknięty w sobie, jednako wyniosły i oddzielony od ludzi. Cichy lecz dumny, wlepił we mnie swe wielkie oczy, stojąc nie poruszony. Zmieszałam się i zadrzałam na całem ciele, krew zbiegła mi do serca, — zbladłam, czułam zawrót w głowie... Zobaczył i przeczuł co się ze mną dzieje — pobiegł, ścisnął mi rękę i podał ramię. (Stefan zbliża się rozciekawiony. Ściemnia się, jak gdy w jasnym dniu chmury nadchodzą.)

ZOFIA (w dalszym ciągu). Uścisk i ciepło jego ręki ocuciły mnie. Jestem pewną, że słyszał bicie mego serca. Onieśmieloną zarumienioną i cichą, prowadził jak zwycięzca do drugiego pokoju. Siadłam na kozetce, wtedy pochylił się i szepnął mi: Pani ja nie umiem dobierać słów do wyrażenia mych uczuć a jednak.... Zemdlałam.

STEFAN. (który zbliżając się coraz więcej, słuchał z natężoną uwagą — ciężko odetchnął).

ZOFIA. Gdym (wchodzi Stanisław) otworzyła oczy...

SCENA IV.

CIŻ, STANISŁAW.

STANISŁAW. Proszę panienki — chmury jak czarne płachty ciągną pędem z południa. Panna Gertruda boi się piorunów, a ja sobie myślę: Pan Bóg złego... (ręką zatyka usta).

STEFAN (cofa się do stolika).

ZOFIA. Więc czegoż chcesz?

STANISŁAW. Ja niczego nie chcę, proszę panienki, tylko panna Gertruda kazała mi pozamykać okna... Nuż nieszczęście i gotowa awantura!

ZOFIA. Powiedz cioci, że ja się nie boję piorunów.

STANISŁAW. I ja się nie boję, — ale wszystko będzie na mnie i goto.... (odchodzi).

SCENA V.

Stefan przerzuca kartki poezji Słowackiego. — Zofia patrzy na Stefana, — cisza.

STEFAN (zaczyna czytać, chcąc ukryć wzruszenie).

„Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha,
I powiedziała mi w głos, że mię kocha —
I odesłała mnie znów na jezioro;
Łódkę swą piersią odtrąciwszy białą —
A ja, ach nie wiem, co się ze mną stało!
Czy mnie anieli do nieba zabiorą,
Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
Czy uśmiechami rozerwie się łono.“

(Przestaje czytać, patrząc na Zofię). Czy pani raczysz dokończyć?

ZOFIA. Upajasz mnie pan tą muzyką — (z kokieterją). I nie domyślasz się zakończenia?

STEFAN. Powinienem — może je przeczytałem, a jednak (ciszej) nie mam odwagi...

ZOFIA (z uśmiechem radości). Nie masz pan odwagi, a może razem z ciocią boisz się piorunów?!

STEFAN. Tylko z pogodnego nieba. (Wiatr zaczyna wiać na dworze, robi się ciemniej).

ZOFIA. A ja nie! (wstaje). Przeciwnie, lubię burze — i wyzywam je! Gdy wiatr rozwiewa mi włosy, grzmoty zgłuszają mowę — błyskawice olśniewają wzrok!... Wtedy radabym konia dosiąść, lub żałuję, że nie jestem na morzu — wśród rozhukanych żywiołów.

STEFAN (z lekką ironią). A jednak są chwile, w których jesteś pani nadzwyczaj bojaźliwą.

ZOFIA. Są chwile, w których uczucie opanowuje i zwy-

cięża mnie. Są chwile, gdy czytam książkę, lub patrzę na dramat — łzy mi z oczu płyną.

Stefan (ironicznie). To tylko skutkiem rozdrażnienia nerwów.

Zofia. To znaczy...

Stefan. Że osoby nie odznaczające się zbytkiem serca, mają zwykle silnie rozdrażnione nerwy (chwila milczenia).

Zofia (patrząc na Stefana wybucha). Z jakich powodów wkradłeś się pan do naszego domu? Dla czego i za co, pod pozorem dawania mi lekcyi — dokuczasz mi, znęcasz się nademną, maltretujesz mnie...
Czy dla tego, że jestem sierotą i nie mam nikogo na Bożym świecie, (odwraca się od Stefana i wybucha płaczem). Nikogo — ktoby mnie bronił?

Stefan. Panno Zofio! (Ciemność się wzmaga, błyskawice widać przez okno).

Zofia (odwrócona.) Sierota sama — i wiecznie sama. Ani przytulić do kogo rozpalonej głowy i serca pękającego tęsknotą — ani się uskarzyć komu... Matko...

Stefan. Pani!!

Zofia (na wpół się odwraca). Jeżeli szyderstwo jest potrzebą jego życia — podstawą charakteru — za cóż ja koniecznie zostałam wybraną na ofiarę?

Stefan (z mocą i energią). Przeciwnie, to ja raczej jestem ofiarą jej nieusprawidliwionej drażliwości... Przestąpiłem próg tego domu w charakterze nauczyciela...

Zofia. Z podniesioną do góry głową i rozkazem na ustach.

Stefan. Z zamiarem spełnienia ściśle mych obowiązków... Jakąkolwiek jest moja pozycja, nie wstydzę się pracować, tem więcej dla tak szlaehetnego celu.

Zofia. Oświecania ciemnych...

Stefan. Nie — udzielania drugim moich wiadomości

Zofia. I....

Stefan. I po paru przychylnych słówkach rzuconych jak jałmużnę — podawano mi gorycz...

Zofia. We własnej obronie. (Słychać grzmoty).

Stefan. Raczej z obawy, abym się nie rozzuchwalił (z uczuciem) i nie wydobył z dna mego serca... (urywa)

Zofia (kokieteryjno naiwnie, cicho.) Panie Stefanie...

Stefan (nie słysząc, smutnie, zmienionym głosem). Bądź pani spokojną — nigdy z piersi moich nie wydobędzie się żadna skarga, tém więcéj prośba... Niepotrzebnie pani za jeden uśmiech, lub chwilkę wesołości, tak długo i boleśnie odstraszałaś mnie. Umiem ja milczeć z godnością i cierpieć z uśmiechem na ustach.

Zofia (z uczuciem). Panie Stefanie, (grzmoty i piorun uderza w ogrodzie. Zofia się chwieje, pada w objęcia Stefana i mdlejąc wymawia cicho, lecz wyraźnie) Kochaj — kochaj mnie! (Stefan zemdloną Zofię prowadzi do kanapy).

SCENA VI.

CIŻ, GERTRUDA I STANISŁAW.

Gertruda (biegnąc przerażona). Zosiu, Zosiu!... (spostrzegła zemdloną Zosię staje). Co? zemdlała a ja nie?! (ogląda się szukając oczyma fotelu i pada w niego). Ach — ach!... mdleję.

Stanisław (chwytając karafkę z wodą). Skończona awantura!

KONIEC.

POGADANKA.

(O człowieku drzemiącym i o teatrze.— Opera lwowska i delegacja.— Gościnne występy panny Deryng.— Kuropatwa Kaźmierza hr. Wodzickiego. Listy z Peruwji i Boliwji p. Władysława Klugera.— Polacy w Peruwji.— Władysław hr. Tarnowski.— Obchód Jubileuszu J. I. Kraszewskiego w Czechach.

Bywają ludzie, których w najprzyjemniejszem, i najserdeczniej ożywionem towarzystwie napada czasem drzemka. Bronią się jej wszelkiemi siłami: przecierają oczy, poprawiają się na krześle, starają się uśmiechać mile do swoich sąsiadów lub sąsiadek,— na zadawanie im pytania, których prawie nie słyszą, odpowiadają coś nie bardzo do rzeczy, ale tonem, który ma świadczyć, iż są najzupełniej au niveau rozmowy, iż bynajmniej nie drzemali przed chwilą, nie drzemią obecnie, i bynajmniej o drzemanie nie mogą być podejrzywani. Pomimo jednak tych wszystkich wysiłków ludzie ci drzemią — drzemią mówiąc, uśmiechając się i przecierając oczy. Nagle przechodzi drzemka— jakby jakimś szczęśliwym wiatrem zdmuchnięta — i nasz drzemiący człowiek, sam nie wiedząc jak i dlaczego, staje się znów rozmownym i ożywionym, bawi całe towarzystwo, staje na czele rozmowy, kieruje nią, i zdaje się chcieć ożywieniem swojem wynagrodzić poprzednią drzemkę.

Takim drzemiącym człowiekiem w obecnym sezonie był teatr. Na chęciach do bawienia towarzystwa nie zbywało jemu wcale; robił rozmaite wysiłki w tym celu: przecierał oczy, poprawiał się, uśmiechał, dawał konkursowe sztuki, dawał Piękną Helenę, Lola, Kuglarkę, i Pericolę, — dawał lubieżno-moralną Messalinę, — dawał Don Desideria z angielskiemi Włoszkami, śpiewającemi po polsku, a jednak drzemał —

drzemał i drzemał fatalnie. Publiczność zapominała o teatrze, a kasa załamywała ręce.

Drzemka przeszła, i — o cuda! — ten sam teatr jest dziś ożywionym, i to do tego stopnia ożywionym, że polityka teatralna przygłasza dziś wiadomości o rokowaniach dyplomatycznych. P. Miller interesuje nas dziś więcej od Beaconsfielda, pani Artöt od Wiery Zasulicz, — głos pana Padilli więcej ma dla nas znaczenia w Cyruliku sewilskim od głosu Bismarka w roli „uczciwego faktora", albo raczej berlińskiego cyrulika... Delegacja przemawia w kwestji wschodniej — robi to, o cośmy hałasowali przez rok cały, a my nic, tylko: brawo!! brawo Padilla!!! brawo Artöt!!! brawo Miler!!! brawi tutti e quanti!!!

A przecież należało się też brawo i panu Grocholskiemu za dobre chęci przynajmniej, za samą myśl interpelacji, jeżeli nie za jej formę, która na polski język przełożona i w naszych dziennikach podana posłużyć może za wzór polszczyzny, jakiej używać nie należy, jeżeli piszący nie ma szczególnej intencji przedrzeźniać wiedeńskich kancelistów...

Wracając do teatru, przyznać jednak potrzeba, że ci Włosi (mówię o Polaku Millerze, o Hiszpanie Padilli, i jego żonie Francuzce) że ci Włosi djabelnie dobrze śpiewają, i gdyby nie to, że recenzenci nasi pozabierali mi wszystkie możliwe przymiotniki (jest ich razem, tych przymiotników nie więcej jak piętnaście) tobym się nieco obszerniej rozwodził nad śpiewem naszych gości. Tak jednakże pozostaje mi tylko zawołać raz jeszcze bravi! bravi! bravi! i przyjść do innego przedmiotu.

Tym innym przedmiotem będzie zawsze jeszcze teatr, mianowicie występy panny Deryng, której przyjazd przypomniał nam dobre czasy, kiedy jeszcze Sekspir i Szyller od czasu do czasu wyglądali do nas z po za kulis. Panna Deryng występowała dotychczas w następujących sztukach: „Romeo i Julia", „Intryga i miłość" „Ostrożnie z ogniem" Musseta, „Debora" Mosenthala, „Śluby panieńskie" i w „Alpach" pani Mellerowej. Gra panny Deryng w roli Mussetowskiej Kamili, w roli Fredrowskiej Klary, i wreszcie w roli alpejskiej góralki odznaczyła się wybornie wykończoną całością; — w roli Szekspirowskiej Julji znać było dążenie do stworzenia czegoś nowego, co się artystce — według zdania przyjaciela, na którego zapiskach to sprawozdanie opieram — w części tylko powiodło. Bądź co bądź jest panna Deryng obecnie pierwszą po pani Modrzejewskiej artystką polską, i trudno odżałować stratę, którą teatr lwowski w skutek odjazdu tego miłego gościa ponosi.

Przechodząc od spraw teatralnych do ruchu na polu literackim, z prawdziwą przyjemnością przystępuję do zapoznania czytelników z dwoma publikacjami, wyszłemi w dniach tych z druku w Krakowie. Wydarza się to często nam kronikarzom, że zdając sprawę z ruchu na polu naszego — niestety! — tak dziś bezkrewnego piśmiennictwa, piszemy recenzje „na wyrost" zalecając uwadze czytelnika tę lub ową książkę, ten lub ów utwor wyżej właściwej jego wartości powodując się myślą, że na niewodzie i rak jest rybą, i że wątłą i schorzałą roślinkę naszej dzisiejszej literatury podpierać i ogrzewać należy. Atoli uczucie, którego wtedy doznajem jest nader przykrem, transakcja ta bowiem z artystycznem naszem sumieniem budzi w piersi naszej skrupuły, które napróżno staramy się uspić tem przeświadczeniem, żeśmy w uczciwym zamiarze służenia dobrej sprawie postąpili. Otóż tych właśnie wyrzutów sumienia nie obawiam się dzisiaj wcale zalecając uwadze czytelników „Kuropatwę" Kaźmierza hr. Wodzickiego, która dotąd nigdzie jeszcze nie drukowana, pojawiła się obecnie jako dalszy ciąg Zapisków ornitologicznych tego autora.

Myliłby się każdy, ktoby sądził, iż utwor ten jest ścisłą i suchą rozprawą ornitologiczną, — owszem ornitologja służy tu tylko za kanwę, na której autor z paskowskim prawdziwie humorem, i głębokością filozofa szeroko założone społeczno-moralne studjum haftuje, — Kuropatwa pana Wodzickiego bowiem to wzór moralnie wychowanej istoty, nie zasługującej na żaden zarzut, a wykształconej o tyle, o ile jej nauka potrzebną jest do wypełnienia obowiązków, i zabezpieczenia swych obowiązków, i zebezpieczenia sobie życia, — to posłuszne pisklę, pełne wdzięczności, czułości i zaufania do rodziców, — to czuła i niewinna narzeczona, — to żona wierna, słodka i powolna, — to matka pełna poświęcenia, — słowem to kobieta, wszechwładna królowa miłości, to matka i żona polska, która czystem uczuciem zagrzewa, jednoczy, zwołuje, uczy zaparcia, ofiarności, która przodkuje w miłości, i jest wonią społecznego życia, to Polka, w której błogosławionym wpływie spoczywają w części losy przyszłe norodu...

Ażeby czytelnikom dać poznać barwistość uroczego stylu tych Zapisków, pozwalam sobie przytoczyć tu ustęp następujący, niezrównany z pewnością w swoim rodzaju.

„Wypierzona kuropatwa jest kształtnem stworzeniem i zgrabnie się nosi i nóżki stawia. Okrągła, pulchna i pełna gracji w ruchach, z wypiętemi piersiami, apetytna ze świeżą szatą odebraną od artysty przyro dy, z płaszczem brunatnym, marmoryzowanym couleur Bismarck, — z główką w rdzawy fanszon obwiniętą, ze suknią popielato-niebieskawą, brunatno pręgowaną, z rdzawym ogonem i medaljonem na piersiach, mile oko pieści. Idąc lub biegając horyzontalnie nosi główkę, ciało i ogónek, — zgina nieco szyję, napusza nadogonie — istna to turniura!... I ten kuperek z pewnym rodzajem kokieterji wypina, lotki w pierze słabsze chowa, główką kiwa i cicho pokwokuje, gdyby minolog lub pacierz odmawiała, a oczkami żywemi, gdyby żarzącemi węgielkami zerka na wszystkie strony..."

Roztaczając w ten sposób żywy i oryginalny a pełen humoru przed oczyma czytelnika obraz życia i obyczajów kuropatw, odbiega p. Wodzicki częstokroć z swobodą gawędziarza od swego przedmiotu, i porusza w licznych dysgresjach rożnorakie kwestje filozoficzne, polityczne, ekonomiczne, społeczne i moralne, pełne częstokroć najżywotniejszego dla nas interesu. W poglądach swoich występuje p. Wodzicki jako laudator temporis acti, jako antagonista dążeń nowoczesnych (str. 81) i dziwić się wypada, że badacz przyrody tak skrzętny, że myśliciel tak poważny, dla chwilowych zboczeń, którym ulega ludzkość dążąc wiekuiście ku dobru i prawdzie, potępić może te dążenia, odwiecznemi prawami przyrody duchowi ludzkiemu przepisane. Mimo to jest Kuropatwa p. Wodzickiego znakomitem w swoim rodzaju dziełem, i przewyższa — co z pewnością niemałą dla niej jest pochwałą — wszystkie dotąd wyszłe Zapiski ornitologiczne tegoż autora.

Ciekawą również bardzo publikacją są Listy z Peruwji i Boliwji p. Władysława Klugera, inżyniera rządowego i profesora szkoły inżynierów w Limie, wyszłe obecnie w drugiem znacznie pomnożonem wydaniu, a obejmujące opis kilku podróży, przez autora w celu robót hydraulicznych i inżynierskich w głąb tych ciekawych krajów przedsięwziętych. Ciekawym mianowicie jest opis drogi żelaznej z Lima do Oroya, przez wiecznym śniegiem pokryte Cordyljery prowadzącej, a przez ziomka naszego p. Ernesta Malinowskiego zbudowanej, — kolei, która się na 4768 metrów ponad poziom morza (wyżej od Montblanku) wznosi, i jedną z głównych arterji handlowych peruwiańskiej rzeczy-pospolitej tworzy, — jak nie mniej opis robót hydraulicznych przez autora rzeczonych listów w innym punkcie Andów przedsięwziętych. Olbrzymie te prace przez ziomków naszych na drugiej półkuli świata wykonane przynoszą chlubę imieniowi polskiemu, które w dziele reorganizacji Peruwji świetnym blaskiem jaśnieją odznaczając się nietylko na polu przemysłu, ale i nauki. Obok pp. Malinowskiego i Klugera zajmuje tam równie godne miejsce inżynier Edward Habich, twórca i dyrektor pierwszej w południowej Ameryce szkoły inżynierów w Limie; — dalej Władysław Folkierski, inżynier i dziekan wydziału nauk matematycznych, fizycznych i przyrodniczych w uniwersytecie limińskim, — inżynier Ksawery Wakulski profesor szkoły inżynierów w Limie, — przyrodnik Konstanty Jelski, znany z swych odkryć w dziedzinie fauny peruwiańskiej, — budowniczy Tadeusz Stryjeński, — nakoniec inżynier górniczy Aleksander Babiński, autor najnowszej mapy Peruwji, zajmujący się obecnie projektem osuszenia słynnych na świat cały kopalni w Cerra de Pasco, które tak jak nasze kopalnie w Olkuszu w skutek niedbałości wodą zalane zostały.

Śmierć Władysława hr. Tarnowskiego obudziła szczery żal we wszystkich, co go znali, lub cośkolwiek o nim słyszeli. Był to umysł szlachetny, serce pełne najlepszych chęci, talent różnostronny. Z równym zapałem oddawał się poezji i muzyce, i może właśnie dlatego, że obie sfery sztuki zarówno go nęciły ku sobie, nie mógł w żadnej z nich stworzyć nic takiego, coby trwałym zostało pomnikiem jego talentu. Żaden z młodszych naszych poetów nie zastawał pod tak silnym wpływem poezji Krasińskiego jak Władysław Tarnowski; widać to szczególniej w jego „Poezjach Studenta". Później pisywał pod pseudonymem Ernesta Buławy, zamieszczając utwory swoje przeważnie *w Ruchu literackim.* Romantyk w życiu i poezji, nęcony czarami nadgangesowej przyrody, pojechał zwiedzić Indji i miał wrócić przez Amerykę do Europy, gdy go śmierć zaskoczyła w San Francesco.

Obchód jubileuszu Kraszewskiego zaczyna przybierać coraz większe rozmiary, — z uroczystości polskiej zaczyna stawać się uroczystością słowiańską. Oto z Pragi czeskiej donoszą do Kłosów, że Czesi chcą w przyszłym roku uczcić naszego jubilata, urządzając w pewnym dniu oznaczonym „wieczór słowiański" wraz z odczytem o literackiej i społecznej działalności Kraszewskiego. Czesi znają naszego powieściopisarza nietylko z przekładów kilku jego powieści, ale osobiście, w r. 1863 bowiem bawił Kraszewski przez kilka dni w Pradze, i był tam przez czeskich literatów bardzo serdecznie podejmowany.

Włodzimierz Zagórski.

POKŁOSIE.

Mistyfikacja. (Zdarzenie w podróży)... Żeby nie być żenowanym w podróży i odbyć ją jak najoszczędniej, nie zrzuciłem bluzy robotniczej i siadłszy na pokład parostatku, który miał mnie zawieść z Lindau do Romanshorn, na szwajcarską ziemię, ulokowałem się około komina, żeby cokolwiek rozegrzać się, bo poranek był mroźny, a ja po domowemu miałem odzienie wiatrem podszyte. Dla przepędzenia czasu zacząłem czytać ulubioną mą książkę „Astronomję popularną Arago".

Niedaleko odemnie zasiadł w krześle średnich lat jakiś bardzo poważny jegomość i wyciągnąwszy książkę ze swej torby podróżnej zaczął ją przerzucać. Spojrzałem z daleka, książka była drukowana po moskiewsku, a więc i właściciel jej musiał być Moskalem. Prawdopodobnie nie zwrócił by on na mnie uwagi, gdybym nie zszedł z miejsca, żeby zapalić cygaro. Moskal nachylił się ciekawie ku książce, którą zostawiłem na mojem miejscu, chcąc dowiedzieć się zapewnie co też czytają robotnicy za granicą. Astronomja moja bardzo mu zaimponowała, bo gdym wrócił na miejsce, Moskal zbliżył krzesło swe do miejsca, gdzie siedziałem, i zaczął szukać znajomości, zadając mi różne pytania co do podróży, którą odbywaliśmy razem.

Przyszło mi na myśl zmistyfikować Moskala i jak obaczycie to mi udało się doskonale i ubawiło znakomicie.

— Dokąd pan jedzie? zapytał mnie mój sąsiad.

— Do Mülhuzy.

— Czy pan stale tam mieszka.

— Nie, jadę z Augsburga, gdzie byłem w zakładzie galwanoplastycznym; teraz zaś udaję się do fabryki chemicznych produktów pana Kestnera.

— Czy pan rodem z Francji.

— Nie, jestem Szwajcarem z kantonu genewskiego.

— A ja jestem radca szkolny i jadę z Petersburga do Genewy dla przypatrzenia się urządzeniu szkół średnich, ludowych i pensjonatów.

— Dobrze więc pan zrobisz, jeżeli wstąpisz po drodze do Zürichu, Bernu i Luzanny, bo tam są doskonałe zakłady edukacyjne.

— Szczególnie chciałem zwiedzić Genewę, bo tam mają być najlepsze średnie szkoły.

— Pan się nie mylisz, lecz w Lauzannie i Bernie jest także czemu się przypatrzeć. A czy ma Pan listy rekomendacyjne do kogokolwiekbądź, bo bez tego w Szwajcarji spotkasz się pan z wielu trudnościami.

— Bardzo żałuję, że nie postarałem się o to poprzednio.

— Ja mogę panu służyć do Berna do p. Foghta i do Patka w Genewie, z któremi związany jestem przyjaźnią, oni panu ułatwią zadanie.

Pan radca spojrzał na mnie z niedowierzaniem, bo imie pierwszego jako uczonego sławy europejskiej, a drugiego jako słynnego fabrykanta było mu znane. Wyjąłem z kieszeni moją kartkę wizytową i napisałem na niej kilka słów polecających. Moskal spojrzał, podziękował i schował do pugilaresu, ale z oczu widziałem, że lekceważy moją rekomendację.

Czy nie może mnie pan wskazać, gdziebym mógł nająć pomieszkanie w Genewie, bo chciałbym tam zabawić parę mie-

sięcy i nie drogą restaurację, a także miejsce gdzie się schodzą moi rodacy moskale?

— I owszem. Na placu de la Fusterie znajdziesz pan ładne pomieszkania z dobrym bardzo wiktem i opraniem za 100 franków miesięcznie. Co się tyczy rodaków pańskich pozwól mi pan dać radę, nie wdawać się bardzo z nimi, bo największa część ostatniej emigracji moskiewskiej są to ludzie źle wychowani i z zachciankami komunistycznemi, których wyrazem jest dewiza: „daj mi, bo ty masz więcej odemnie.“

— O tem już słyszałem, ale nie chciałem wierzyć. Dziękuję panu za radę i za wskazówkę, zastosuję się do niej.

— A czy tam jest polska emigracja?

— Jest, ale unika wszelkiej styczności z moskalami.

— To bardzo źle, bo unikając zbliżenia się, pozbawiają się możności porozumienia i szkodzą sobie sami.

— Cóż im pozostaje robić; nie mogą oni całować się z wrogami swojej ojczyzny.

— Ale bo sami oni winni: nie chcą żyć takiem życiem jak my, i podzielić naszą historję i naszą przyszłość.

— Bardzo naturalnie, bo w historji Waszej niema światłych stron, a przeszłość Wasza niejest taka, żeby mogła być zadatkiem przyszłości, oni zaś mieli swoją piękną i świetną historję.

— Pan, widzę nie znasz historji naszej, rzekł pan radca i zapewnie kierujesz się tem, co rozsiewają o nas polacy za granicą.

— Pod tym względem pan się mylisz. Studjowałem historję waszą i znam ją bardzo dobrze. Całe historyczne życie wasze było nieustannem pognębianiem wszystkich państw ościennych, którzy mieli jakąkolwiek swobodę. Weź pan Nowogrodzką rzeczpospolitę, tak bogatą, tak ludną i handlową. Cóżeście z nią zrobili? Stolica, która dawniej miała 120 tyś. mieszkańców, dziś w trzysta z górą lat po zawojowaniu waszem ma zaledwo 30 tysięcy ludności, a o sławie handlowej przestało nawet marzyć. Coście zrobili z rzeczpospolitą pskowską? — Psków dzisiaj tylko ruinami słynie. A jaki los spotkał rzeczpospolitę wiatską? Co pozostało po bogatym państwie Kazańskiem i Austrachańskiem? I jakżesz wy chcecie, żeby pamiętając o swojej przeszłości, Polacy chcieli zgodzić się na los tych wszystkich zwyciężonych przez was państw i narodów? Czyż to są fakta, którym pan zaprzeczyć możesz.

— O nie, widzę że pan znasz historję naszą tak dobrze jak i ja, ale pan nie chcesz rozróżnić działanie rządu od chęci narodu.

— Wybacz mi panie, że pod tym względem nie robię różnicy. W czasie powstania polskiego rząd i jego poplecznicy dusili, rżnęli i rozstrzeliwali Polaków, a naród plwał na pędzonych na Sybir, dziennikarstwo szczwało na nieszczęśliwych, którzy z gołemi rękami porwali się na ciemiężców, a kobiety wasze wyszywały dywany dla Murawjewa, w dowód jak cenią jego krwawe saturnalje na Litwie. Pan wszystkiemu temu nie zaprzeczy, bo to fakta, które z dzienników waszych przeszły do naszych, a my sądzimy według faktów. W naturze waszej leży despotyzm, a liberalizm wasz jest rzeczą sztuczną. Jakież więc są wspólne dla tych dwóch narodów losy. Cywilizacja wasza zbliża was do Azji, a cywilizacja Polaków do zachodu. Na wschodzie wy macie wielką misję, na Zachodzie zaś — tylko zabór i pastwienie się, bo wciągnąć w siecie zawojowane kraje i ludy nie możecie inaczej, jak wydarłszy im język, religję, prawa i historję. Bez tych rzeczy żaden naród żyć nie może. Zlanie się więc z wami jest przerobienie całej swej natury, pogrzebaniem wszystkiego, co uznawał dawniej za piękne, szlachetne i zacne, wyrzeczeniem się przeszłości, potępieniem ojców i matek. A cóż wy dajecie zato? Nic i nic. W imie więc czego chcecie, żeby Polacy zaparli się ojczyzny i swojej historji? I my Szwajcarzy w granicach naszych mamy kilka narodów różnych charakterów, z różnemi tradycjami i nie lubiących siebie wzajemnie, lecz wszystkie te narody zebrane pod chorągwią helwecką mają taką swobodę, taką możność rozwoju sił moralnych i materjalnych, że żaden z nich nie chce wrócić do dawnej swej macierzy.

Radca mój słuchał rozdziawiwszy gębę, a potem zapytał: pan w jakim byłeś uniwersytecie?

— W uniwersytecie żadnym nie byłem; nauki zaś pobierałem w szkole ludowej. To dobiło pana Radcę szkolnego, w całej postawie jego widziałem wielkie zdumienie i rozciekawienie.

— Zkąd pan posiadasz tyle wiadomości?

— Ludzie rozwijający się pod instytucjami swobodnemi tem więcej znaczą, im są wykształceńsi. Każden więc, kto chce stanąć wyżej, musi uczyć się i pracować, bo nauka i kapitał u nas dają położenie w towarzystwie.

— Czy nie mógł byś mnie pan opowiedzieć główne podstawy konstytucji waszej.

— Z chęcią. I cały ustrój państwowy Szwajcarji opisałem mu szczegółowo.

— Przyznam się Panu, że pierwszy raz spotykam robotnika z takiem wykształceniem.

— Pan tu znajdziesz ich więcej i na każdym kroku; poznaj pan bliżej tylko Szwajcarję.

Tak rozmawiając dopłynęliśmy do Romanshorn. Moskal odjechał do Berna, a ja do Bazylei. W rok potem byłem w Genewie dla odwiedzenia mych przyjaciół. Będąc u Patka opowiedziałem o zabawnem mem spotkaniu.

— A ja ci opowiem ciąg dalszy wypadków twego pana Radcy.

— Po przybyciu do Genewy udał się on do mnie prosząc abym mu ułatwił zwiedzanie szkół srednich, ludowych i pensjonów w kantonie. Nie mając zwyczaju wdawać się z ludźmi, których nie znam, zapytałem go czy ma jakie rekomendacyjne polecenia?

— Przepraszam więc pana, ale nauczony doświadczeniem, muszę odmówić prośbie pańskiej.

— To jest.., ja mam polecenie od pewnego robotnika, który mówił, że pana zna dobrze.

— A gdzież to polecenie. Moskal wyciągnął z pugilaresu kartkę twoją.

— A to od przyjaciela mego; czemuż mi pan niepowiedziałeś tego natychmiast. Służę panu, możemy zaraz pójść do szefa departamentu.

— Ale panie ja nie jestem we fraku.

— To niepotrzeba, chodź pan ze mną zaraz.

— Chyba że pan mnie uniewinni przed dyrektorem, że mu się tak przedstawiam.

— Dobrze, dobrze.

Przybywszy do Hotel de ville, zastukałem do drzwi gabinetu.

— Proszę, odezwał się głos pana Pigueta, który tymczasowo pełnił obowiązki szefa dwóch departamentów: spraw wewnętrznych i spraw publicznego wychowania.

— Przedstawiam panu Radcę szkolnego, który życzy sobie zwiedzić tutejsze zakłady naukowe. Przywiózł rekomendacje od znajomego pana i wymienił nazwisko moje.

— A, a gdzież pan go widziałeś?

— W drodze do Mülhuzy odrzekł zdziwiony Moskal, któremu w głowie nie mieściło się, jakie stosunki mogą wiązać pana ministra z robotnikami, a potrzeba wiedzieć, że Piguet do swego obioru do Rady kantonowej dawał lekcje francuskiego języka w domu, w którym wykładałem dzieciom fizykę i matematykę; znaliśmy się więc dobrze.

— Proszę pana usiąść, rzekł do Radcy jak strunka wyciągniętego około drzwi.

— Przepraszam pana, że przedstawiam się nie we fraku.

— A to po co? U nas to nie w modzie. Potem wziął blankiet, napisał pozwolenie, zawołał woźnego, kazał mu pieczęć przyłożyć i wręczył kartę Moskalowi.

Wychodząc z Hotel de ville pan Radca nie mógł powstrzymać swego zdumienia.

— Cudowny jakiś kraj. Rzemieślnicy mówią jak u nas profesorowie, czytają astronomję, prawią o chemii i historji, związani przyjaźnią z uczonymi, z ministrami! „Jej Bohu niczecho nie ponimaju“ rzekł do Patka, który z Moskalami silił się zawsze mówić po moskiewsku.

— U nas to rzecz bardzo zwykła, rzekł Patek żegnając pana Radcę. Wyobrażam sobie jak on potem opowiadał po powrocie do domu o tem, co go spotkało i jakie wykształcenie za granicą odbierają robotnicy w szkołach ludowych...

Pierwsza kawiarnia w Wiedniu. Wiktor Tissot, młody Szwajcar, aklimatyzowany w Paryżu, autor podróży do kraju miliardów, w najnowszóm swem dziele p. t. Wiedeń i życie wiedeńskie tak opisuje powstanie pierwszej kawiarni we Wiedniu na podstawie miejscowych podań:

Do końca XVII. wieku żadne miasto chrześcijańskie nie miało jeszcze kawiarni. Pierwszą otworzył we Wiedniu Polak Kulczycki podczas pamiętnej odsieczy Jana Sobieskiego. Było to w r. 1683. Wiedeń po raz drugi oblężony przez Turków lękał się co chwila katastrofy. Mimo oporu hr. Stahremberga Wiedeńczycy czuli, że muszą się poddać, jeżeli wojska posiłkowe nie nadciągną im w pomoc. Porozsyłali gońców naprzeciw armii cesarskiej, którą dowodził Karol, książe Lotaryngii; żaden z nich jednak nie uszedł bacznego oka Turków; trupami ich kołysał wiatr u bram oblężonego grodu. Postrach ogarnął umysły, nikt nie śmiał wychylić głowy z miasta.

Był w Wiedniu młody Polak, Jerzy Kulczycki, który przed kilku laty przebywał czas jakiś w Konstantynopolu, znał język turecki i obyczaje wschodnie. Miał on sklep na przedmieściu Leopolda, zaciągnął się jako ochotnik do kompanii wolnych strzelców kapitana Franka. Jednego poranku przedstawia się Kulczycki komendantowi:

— Czego chcesz? — pyta Stahremberg — chodząc niespokojnie po sali.

— Panie komendancie — rzecze Kulczycki — gotów jestem przedrzeć się przez linie tureckie; dotrę do wojsk cesarskich, zaręczam głową moją.

— Powieszą Cię Turcy, jak powiesili tylu innych!

— Nie powieszą mnie, panie komendancie!

— Czy masz jaki talizman?

— Być może.

— Nie wchodzę w tajemnicę twoją. Chcesz więc koniecznie leźć im w paszczę? I komendant zatrzymał się spojrzawszy mu bystro w oczy.

— Przejdę przez obóz, poniosę rozkazy do armii i zdam sprawę panu komendantowi — odrzecze stanowczo.

Stahremberg pomyślał chwilę.

— Przyjmuję ofiarę — odpowiedział nakoniec — jeśli dobrze się sprawisz, jak mam Cię wynagrodzić?

— Nie żądam nic, sam czyn będzie mi dostateczną nagrodą.

— Zgoda, wieczorem otrzymasz mój rozkaz. Bóg z Tobą, możesz odejść.

Dzień był skwarny jak zwykle w Sierpniu. Nocą straszliwa burza szalała nad Wiedniem i okolicą. Kulczycki przebrany za Turka wyszedł ze sługą Jerzym Michałowskim, który był też kiedyś na Wschodzie. Nazajutrz rano kiedy dotarli do obozu zatrzymano ich i powiedziono przed agę. Kulczycki zapytany poco przybył, opowiada, że jest kupcem z Belgradu, że chce wejść w układy o dostawę żywności dla wojska. Przypadło to w myśl adze, kazał uczęstować mniemanego Bulgara i sługę a sam tymczasem poszedł naradzać się ze starszyzną.

— Zaczekajcie tu — rzekł odchodząc — ale bądźcie ostrożni; armia cesarska obozuje u stóp Leopoldsberga.

Kulczycki nie omieszkał korzystać z ostrzeżenia. Udaje że się przechadza, pogwizduje swobodnie. Tym sposobem dociera do przednich straży. W dniu 17. Sierpnia powraca do Wiednia, sprawiwszy się jak najdzielniej. W kilka dni potem Jan Sobieski i ks. Lotaryngii napadli znienacka Turków. Nieprzyjaciel odbiegł w nieładzie a obóz cały wpadł w ręce wojsk chrześcijańskich.

Stahremberg kazał przywołać Kulczyckiego chcąc go koniecznie wynagrodzić. Ten nie przyjmuje pieniędzy, żąda tylko, aby mu pozwolono zabrać liczne worki kawy, porzucone w obozie.

— Weź je sobie — rzecze Stahremberg — ale powiedz mi, naco przydać Ci się mogą te zielone i twarde ziarna.

— Wnet opowiem, racz posłuchać mnie tylko, hrabio. Dawno temu w r. 1285 derwisz nazwiskiem Hadży Omer wygnany z Mekki, schronił się do poblizkiej jaskini. Tam za cały posiłek znalazł tylko ziarna dzikiej rośliny, zwanej Khawa; począł jeść surowe, ale że miały smak gorżki, upalił je na węglach, roztarł i zalał ukropem. Był to napój smaczny i pokrzepiający. Derwisz częstował nim podróżnych. W krótce wieść o wybornym napoju doszła do szeika; ten widząc w odkryciu wyraźną łaskę Bożą, przebaczył winę szczęśliwemu wynalazcy. Odwar z tych ziarn stanowi dziś ulubiony przysmak Turków; warto aby i chrze-

ścijanie go zkosztowali. Skoro Pan hrabia pozwala mi zabrać te worki obowiązuję się przyprawiać kawę po turecku.

— Zabierz je wszystkie — odrzecze Stahremberg — co więcej, gmina miejska ofiaruje Ci dom na przedmieściu Leopolda w nagrodę położonej zasługi; możesz w nim przyrządzać swoję khawę.

Kulczycki zabrał się do dzieła. Z razu chodził od domu do domu roznosząc filiżanki z kawą na tacy; później kiedy Wiedeńczycy zasmakowali w tym napoju, założył wielką kawiarnię pod błękitną butelką, gdzie pozostał aż do śmierci. Umarł w r. 1703.

Kawiarnia Kulczyckiego wyglądała następnie: W głębi płonęło wielkie ognisko; przy niem kipiała woda w kociołkach miedzianych, poustawianych symetrycznie. Dokoła sali pod ścianą ciągnęły się długie ławy, lecz nie było wcale stolików; każdy trzymał w ręku filiżankę lub stawiał ją na ławie. Dwie latarnie wisiały u sufitu. Kulczycki z długim cybuchem w ustach ··echadzał się rozpromieniony po sali. Co wieczór widywano ·r. Stahremberga, bywał tu także kapucyn Oniani, spowiednik ·ieskiego; on to przed bitwą błogosławił wojsko ze szczytu ·lenberga. Książe Eugeniusz Sabaudzki był też częstym ·ciem.

Cudowna siła korzeni roślinnych. Z cudowną rzeczywiście wytrwałością najdrobniejszy korzonek roślinny walczy z granitowemi przeszkodami dla zdobycia pożywienia: przebija skały, zwiesza się ku przepaściom, wyszukuje przesmyków, używa fortelów dla dostania się do wody lub pożywienia koniecznego dla życia rośliny. Są rośliny wysyłające swe korzenie o setkę sążni dla zdobycia kropli wody lub pokarmów mineralnych — jeżeli chora roślina minerału jako lekarstwa zażąda. Żelazo jak wiadomo wzmacnia rośliny słabe tak jak wzmacnia bezkrwistego człowieka. Znajduje się też sporo mineralnych części w roślinach zbożowych i innych; przeważają w nich miedź, cynk, żelazo. Człowiek podług analiz chemicznych spożywa przez rok więcej niż półtora kilogr. miedzi.

Żart amerykański. Grant gdy był prezydentem przyjmował do służby ludzi podejrzanej uczciwości, to też moralność jego urzędników shańbiła chwilowo administracyą Stanów. Raz nachodzony ciągle przez jakiegoś amatora zyskownej posady, zapytał niecierpliwie do czegoby go mógł użyć. Do wszystkiego, odpowiedział proszący; dla mnie niema nic niepodobnego — wszystko pojmę, zbadam i wykonam prędzej niż ktokolwiek w kancelarji pana prezydenta.

— Kiedy tak, to naucz się pan po hiszpańsku; rzekł Grant i audjencjonalną salę opuścił. Kandydat na urząd uszczęśliwiony propozycyą prezydenta, zabrał się do nauki hiszpańskiego języka, bo był pewnym, że otrzyma jaką misyę dyplomatyczną do Hiszpanii, w sprawie wyspy Kuby, którą właśnie rząd Stanów chciał zakupić.

Po pół roku usilnej nauki zjawia się przed Grantem, upewniając, że język hiszpański już zna doskonale.

— A w takim razie przeczytaj pan sobie Don — Kiszota w oryginale. Mówią, że jest daleko zabawniejszy niż w tłumaczeniu.

Nowy figiel. Na wystawę Paryską Ameryka nadesłała parową orkiestrę, która wyręczając skrzypków i trębaczy wygrywać będzie najpyszniej całe opery.

To „najpyszniej“ jest bardzo względne — i fortepiany mechaniczne jednych zachwycają, drugich zmuszają do zatykania uszów.

Bal z taką parową maszyną będzie się zaczynał walcem o sile czterech źrebaków, a kończył galopem o sile sześciu koni. Na zapytanie gościa, czy córka uprawia muzykę, matka posiadająca w salonie parowy fortepian rzeknie:

— Kochana Adelciu! puść parę na pół konia — to dla mazurka Szopena wystarczy.

Śmiertelny pojedynek. W Union Médicale czytamy opis walki pomiędzy osą i pająkiem. Nieostrożny owad oplątał się w siatkę pajęczą — natychmiast mistrz tej tkaniny, ukryty za liściem winogradu wpadł z szaloną szybkością na nieproszonego gościa. Lecz spostrzegłszy że ma do czynienia z nielada nieprzyjacielem, wstrzymał się; śledząc osę zastanawiał się nad sposobem, jakiego ma użyć do opanowania ofiary. Tymczasem osa wydobywała wszelkich sił chcąc się uwolnić ze zdradzieckich sieci — wszelkie jej usilowania były jednak daremne, przeciwnie oplątywała się jeszcze mocniej subtelną tkaniną. Pająk patrzył na to i myślał sobie: rzucaj się, plącz sobie nogi, wyczerpuj siły — łatwiej mi potem przyjdzie zwycięztwo.

Osa wciąż się szamotała a pająk wpatrywał słę w nią bezustannie. Widząc że osa wyczerpała wszystkie zasoby swych sił, rzuca się na nią: wówczas ofiara z ostatnim wysiłkiem zdołała głowę uwolnić z więzów i wypuściła straszne żądło. Pająk spostrzegł niebezpieczeństwo — używając taktyki podjazdowej atakował nieprzyjaciela nie wprost, bo tu żądło groziło, lecz zachodził mu z boków. To z prawej to z lewej strony się podsuwał, aż zmyliwszy czujność ofiary temi manewrami rzucił się na osę z tyłu przykrywając ją swém ciałem, Wówczas osa była już owinięta pajęczyną jak mumia płótnem — już bronić się nie mogła. Pająk tryumfując poleżał kilka chwil na ciele ofiary — a potem wrócił do swej kryjówki.

Mówią, że największy strategik naszych czasów Moltke, często wpatruje się w walki zwierząt, bada ich manewra i przyznaje im genialne pomysły w sztuce tępienia nieprzyjaciół.

BIBLIOGRAFJA.

Dzieła Wincentego Pola. Pierwsze wydanie zupełne. Tom X. Lwów — 1878 — Nakładem F. H. Richtera.

Niniejszy tom zawiera pisma pomniejsze. W dziale pierwszym pomieszczone zostały rozprawy naukowe i literackie; w dziale drugim: obrazy, pamiętniki i powieści. Z tym tomem kończy się zapowiedziane przed trzema laty dziesięcio-tomowe wydanie dzieł. Wydanie to pod względem staranności i technicznego wykończenia może stanąć godnie obok innych tego rodzaju publikacji zagranicznych, i zaszczyt przynosi tak rodzinie ś. p. Pola, jakoteż wydawcy, którzy nie szczędzili ani trudów i starań, niemniej też kosztów, by wystawić przez wydanie utworów pomnik najtrwalszy, pomnik godny nieśmiertelnego wieszcza. Teraz gdy cała praca leży przed nami, będzie na czasie, by jeden z naszych geografów wziął się na serjo do ocenienia dzieł i prac geograficznych Pola, zawierających więcej jak połowę prac jego prozą pisanych, a z których bardzo wiele, jak n. p. Hydrografji Polski, zawierająca cały drugi tom dzieł, po raz pierwszy wydaną została. Będzie to na każden sposób wdzięczniejsze i korzystniejsze zadanie jak rzucanie się na sławę poetycką naszych wieszczów.

Dzieje starożytne w opowiadaniach dla młodzieży przez L. Szczerbowicza Wieczora. Ludy Wschodnie. Warszawa — 1877.

Najnowsze badania i odkrycia nadały dziejom starożytnych wschodu nową zupełnie postać. Na podstawie więc tych opowiada autor w niniejszem dziełku dzieje starożytnego wschodu zwracając szczególną uwagę na oświatę, urządzenia i obyczaje narodów. Historją opowiada w ścisłym zawsze związku z geografią.

Dr. August Sokołowski. Historja powszechna dla użytku wyższych klas gimnazjalnych. Tom I. Dzieje starożytne. Lwów 1878.

Psalterz Dawidowy przełożony wierszem polskim przez Kazimierza Rujnickiego Toruń — Nakładem własnym.

Józefa Szujskiego z Ludwikiem Wolskim Polemika w sprawach narodowych. We Lwowie — 1878 Nakładem Karola Wilda.

Z. M. Schwartz. Pan z rodu i kobieta z gminu. Powieść przekład ze szwedzkiego. Tom I. II. III. Lwów—1878 — Nakładem Gubrynowicza i Schmidta.

Wiara, nadzieja i miłość. Powieść z epoki terroryzmu z angielskiego tłumaczył S. O. Lwów — 1878 — Nakładem wydawnictwa Piasta.

Józef Laskownicki. Rusini. Powieść w trzech częściach. Wydanie wznowione. We Lwowie — 1878 — Nakład księgarni Polskiej.

Jadwiga. Poemat przez S. B. w Krakowie — 1878— Nakładem i drukiem W. Korneckiego.

Powyższe książki niemniej też wszystkie utwory literatury krajowej i zagranicznej utrzymuje zawsze na składzie księgarnia F. H. Richtera.

Nekrologja.

Gałęzowski Seweryn, doktor medycyny i chirurgii urodzony dnia 25. stycznia 1801 we wsi Kniaża-Krynica w powiecie Lipowieckim na Ukrainie, jest wychowańcem szkoły Bazyljanów w Humaniu. Szkoła ta wydała wielu znakomitych i dobrze zasłużonych ojczyźnie mężów. Tu bowiem początkowe wykształcenie otrzymał także Bohdan Zaleski, Seweryn Goszczyński, Aleksander Groza, Józef Mianowski i wielu innych. Nau lekarskie ś. p. Gałęzowski pobierał w uniwersytecie Wileńsk: po których ukończeniu kosztem tegoż uniwersytetu wysł: został za granicę, zkąd wróciwszy został najprzód adjunkt przy profesorze chirurgii Pelikanie w Wilnie a później prof sorem. Rok 1830 zastał go w Neapolu — spieszy więc natychmias do Warszawy i bierze udział w powstaniu jako jeden z głównych lekarzy wojska polskiego. Tu jako już znakomity operator niejednego od pewnej uratował śmierci. Za zasługi w lazaretach i ambulansach oddane otrzymuje krzyż kawalerski virtuti militari. Po upadku powstania opuściwszy kraj zamierzał Gałęzowski całkiem poświęcić się nauce — udaje się przeto do Berlina z zamiarem ubiegania się o katedrę w tamecznym uniwersytecie. Gdy jednak starania te okazały się bezowocne a i rząd pruski odmówił Polakom gościnności, ś. p. Gałęzowski w r. 1834 udaje się do Francji, a ztąd do Ameryki, gdzie przy cesarzu brazylijskim sprawuje obowiązki nadwornego lekarza. Tu przebywa lat 15. Umiejętnie i szczęśliwie dokonane operacje zjednały mu bardzo obszerną praktykę a biorąc udział w kilku przedsiębiorstwach kopalń tamtejszych dorabia się prawie milionowej fortuny.

Gdy w roku 1848 doszła do Meksyku wieść, iż Polska znowu powstała ś. p. Gałęzowski porzuca świetne stanowisko, jakie sobie tu zdobył i wraca do Europy. Gdy przybył do Paryża, ruch narodowy w Polsce już został stłumiony — bardzo wielu Polaków, potrzebujących rady i pomocy znalazło się w Paryżu. Ś. p. Gałęzowski stał się dla nich prawdziwą opatrznością. Fundusze zapracowane w Meksyku i rozległe stosunki ułatwiły mu znacznie to zadanie. Wiekopomną jednak wdzięczność wyrył sobie w sercach Polaków założeniem szkoły położonej przy bulwarze de Batignolles. Jakie losy przechodziła tu szkoła, z jakiem nadludzkiem prawie wysileniem sił ś. p. Gałęzowskiego pomimo niesprzyjających okoliczności utrzymaną została, tkwi to jeszcze żywo w naszéj pamięci, abyśmy tu powtarzać potrzebowali. Dziś byt jéj ustalony, a 80 uczniów znajduje w niej odpowiednie pomieszczenie. W r. 1877 utworzył stypendjum im. Śniadeckich wynoszące 50.000 franków, z których dochód roczny przeznaczył dla kandydatów kształcących się na przyszłych profesorów uniwersytetów krajowych.

Wydawca i odpowiedz. za redakcję F. H. RICHTER.

Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



AURELIAN.

Powieść z czasów cesarstwa rzymskiego przez Wojciecha Dzieduszyckiego.

J. I. Kraszewskiemu w jubileuszowym Jego roku ze czcią składa autor.

(Ciąg dalszy.)

„Czyny twoje były służbą Romy, i zdradą ojczyzny twojej. Jesteś imperatorem na nieszczęście świata. Chcesz a pochylę czoło przed tobą. Lecz czyń by świat był szczęśliwym i wolnym. Wszak na to chyba mogłeś posiąść potęgę. Przyszedłem, aby Ci przypomnąć zamordowaną ojczyznę! Może cię wzruszę.“

Było to to, — o czem przed chwilą Krasa mówiła. Nierozgniewał się tedy Aurelian: „Chodź do namiotu“, rzekł, „chłopcze, i pomówię z tobą. Tu mówić nie mogę.“

I weszli do namiotu i siedli naprzeciw siebie. Zabor tylko do połowy wiedział po co przyszedł do Aureliana w służbie narodu swego. Teraz zdawało mu się, że rzecz się rozjaśnia, i że z tego coś wielkiego wyniknie.

W namiocie było jeszcze ciemno, i światło lampy było potrzebnem. Aurelian legł na łożu, i wskazał Zaborowi siedzenie na poduszkach. Spytał się najpierw: „A jak się nazywasz śmiałe pacholę?“

„Zabor, syn Rarogów“.

„Znałem Raroga. Był pan dobry. Czy żyje jeszcze?“

„Umarł przed czterma laty.“

„Jakim sposobem mnie poznałeś? Wszak byłeś przy piersi, gdym ztąd uszedł.“

„Poznałem:“

„A powiedz? Czy mnie kto więcej poznał?“

„Ja poznałem. Dość na tem.“

Wyście tu cnotliwi i hardzi widzę. Nienawidzicie mnie. Mówicie: „Gdy zapanował nad światem, niech że świat uszczęśliwi!“ Może macie słuszność — może by lepiej było abym berło złamał — bo wiem że nieprzebuduję nim świata. Roma jest i być musi. Świat przez nią rozdeptany, i ona świat gniecie.“

„Dlaczegoż to państw tyle runęło a Roma ma wiecznie trwać?“ Spytał Zabór. „Wszyscy mi to mówią, i ty mówisz, a ja nie wierzę.“

„Bo Roma chłopcze jest prawem, rozumem i ładem“ zawołał Aurelian, „lepszego nic świat niewymyśli. I jam nienawidził. A jednak gdym wyszedł w świat szeroki, uczciłem ją i wyratowałem. Ludzkość nagromadziła moc wspomnień, sztuki, praw i mądrości, a Roma strzeże skarbu. Po za nią dzicz tylko, i zdawało się, że dzicz Romę roznіesie i świat zaleje, i zrobi go pustką bez myśli, wielkiem pobojowiskiem po któremby się tłukły łakome Giermany. Żal mi się zrobiło skarbca ludzkości i przekazania dziejów, i stanąłem w obronie Romy. Zbawiłem ją, zbawiłem ludzkość i za to zostałem tym, czym jestem. Świat przeto nie jest szczęśliwym, ale przynajmniej ładem żyje. Inaczej musiałby umrzeć.“

„Aurelianie!“ zawołał Zabor, „ty władzę twoją kochasz, i zapomniałeś o starej matce ojczyźnie twojej, o starej cnocie, i starych klechdach, i starej chwale. Serce Anta

wyrzuciłeś z piersi — i stałeś się Rzymianinem z rozumem a bez serca. Porównaj tamto próchno, Romę ową pokrytą złotem i krwią spiekłą i dzieje nasze! i życie nasze! Aurelianie! Bojanie! Przecież i inny ład może być na świecie prócz ładu żelaznego. Wszak kwitła misterna mądrość Greków, zanim Roma stała. — Wszak Macedończyk piękniejszym był od jej Cezarów! Aurelianie masz władzę w ręku. Jeźli chcesz być cnotliwym, zmień państwo twoje w świat wolnych ludów. Odwołaj Pretorów — oddaj narodowi każdemu prawa swoje, a wszystkie wolne ludy będą cię błogosławić zapominając żeś cesarzem."

Aurelian zerwał się z łoża i chodził po namiocie. Nareszcie stanął i rzekł: Drugi to już taki głos słyszę dziś.

To rozkaz losów może—wola niedocieczonego bóstwa— świat ma być przemienionym. Ale nieprzezemnie! nieprzezemnie! Nie moja ręka dokona tego dzieła. Umiem mieczem rządzić, lecz niezwiążę ludów miłością. Nie wiesz Zaborze, jak stare one, zgniłe, zazdrośne.

„Uwierz! A wszystko uczynisz" mówił Zabor z wzrastającem zapałem. „Bogi mnie tu przysłały! Starej trochę cnoty u Cezara, a świat się odmłodzi. Chodź daj mi pocałunek; udzielę ci cnotę!"

Aurelian wstrząsł głową: „Złote sny" mówił, a sny tylko." A ciszej dodał „Jakżeż piękne! Toby było jedyne Krasy szczęście!"

„Dla ciebie sny?" Spyta Zabor, wstawszy, z podniesioną dłonią: „Dla mnie prawda. Ty chcesz tedy zawsze być nieszczęściem świata i zmorą jego? Nie chcesz by ci błogosławił?"

„Nie zrobię tego czego chcecie odemnie, bogowie wielcy, niepojęci, nieznani! Nadarzcie innego zbawcę!" westchnął Aurelian.

„Wzruszony jesteś. Słuchaj! Jam zbawcą, jam od bogów zesłany."

„Tyś dziecko tylko".

„Aleksander pod Cheroneą nie był starszy odemnie. Czuję w sobie moc bogów! Uczyń mnie cesarzem, a świat zbawię!"

„I jakżeż chcesz, bym cię zrobił cesarzem? Czyż Rzymianie ciebie słuchać będą?"

„Więc słuchaj! Słońce wielkie złote niosą przed tobą. Ale ja wiem, ono chorągwią tylko. Znamieniem władzy twojej to słońce drugie na piersi twojej. Daj mi słonce te. Dotąd Antowie niesłuchają głosu mego! Gdy słońce to ujrzą, uwierzą że mam moc i pójdą za mną. Pójdą za mną i barbarzyńcy w legionach. A ty wstrzymaj Rzymian, aż świat wolnością zapalę. Chcesz — daj słońce i rękę! Inaczej tyranem będziesz — niegodnym Krasy! W imię Krasy wzywam cię daj słońce i rękę! Ja Antów — i ludy wszystkie pobudzę. Ty wstrzymasz Rzymiany, i świat ozłocimy — w imię Krasy!"

Aurelian wstrząsł się cały. „W imię Krasy! Mocne to zaklęcie! Snać chcą bogowie tego!" Rzekł. „Masz słońce, masz rękę. Myślę że zginiemy obaj — ale to dla mnie lepiej, a tobie przeznaczono. Romy z miejsca nieruszymy— ale sprobujemy w imię cnoty! w imię Krasy! Mnie lepiej umrzeć, bo świat i władza zbrzydły w jednej nocy."

Zabor słońce złote przyczepił do koszuli—i odsłonił kotarę by wyjść. Wschodzące słońce, jakby cudem mgłę rozpędziło, i Zabor cały złoty stanął wśród budzącego się obozu. „Bądź zdrów, Bojanie!" rzekł: „Bogi znami!"

I uszedł. A Aurelian dumał ukrywszy twarz w ręce. Wielkie już rzeczy w życiu uczynił. To co dziś rozpoczął było czynem nad czyny — choć zamiarem było tylko. Czuł że myśl Zaborowa była warta więcej jak wszystkie zwycięztwa na świecie. Rozum u jej końca pokazywał krwawą trumnę wszystkich imperatorów Romy. Ale cóż było warte przesycone życie? A potem — snać bogi tego chciały!"

VI.

Pizo wypełnił rozkaz imperatora — a jednak nie ze wszystkiem ściśle. Kazano mu uwolnić Decyusza i uwolnił go; kazano mu milczyć o Krasie a milczenie to było dla gadatliwego Włocha niepodobieństwem. Przybył do więzienia w Castrum Gaudii, i rozkazał Centurionowi w imię imperatora by Decyusza uwolnił. Ale gdy Decyusza z ciemnicy wyprowadzono nieumiał sobie odmówić tej przyjemności, by nieodprowadził więźnia do Albikuli, do domu Senthesowego. Jeszcze było rano, i Zenobia jeszcze spała — czas było tedy na pogadankę i powinszowania. Gdy Manichejczyk i Rzymianie wyszli już z obozu, podał Pizo rękę uwolnionemu i rzekł: „Dwukrotnie przychodzi mi dziś winszować tobie; dwukrotnie powiedzieć żeś szczęśliwy! Raz żeś uszedł śmierci a odzyskał wolność — a drugi raz że żona u imperatora wszystko może."

„Niemasz Pizonie" odparł Decyusz „czego los mój chwalić. Żem śmierci uszedł — czyli raczej śmierć uszła przedemną, to krzywda moja, bo szukałem śmierci i zasłużyłem już był na nią. A że Cezar żonę moją znieważył w domu teścia, to chyba jej wina, że się znieważyć dała."

„Filozoficznej sekty, do której ty należysz, niejestem członkiem", rzekł ugrzeczniony Pizo, „jednak jak ty w Bisancyum tak ja w Atenach studjowałem filozofią wraz z kwiatem Rzymskiej młodzieży — i umiem pojąć — umiem ocenić wzgardę dla życia, którą masz. I jabym łaknął kiedyś doczekać się chwalebnej śmierci jak Sokrates i Kato. Ale skoro losy zechciały byś został przy życiu, każe filozofia byś się życiem radował. Tak mnie przynajmniej uczył miodousty Porfyriusz uczeń wiekopomnego Plotyna a mistrz mój. O gdybyś ty był słyszał tego filozofa! Gdybyś był mógł słyszyć jak on cudownie stopniował swoje peryody! A jaka tam głębokość była! Musieliśmy sobie przyznać po każdej lekcji, żeśmy myśli mistrza nie-

zrozumieli. Ale — ale wracając do rzeczy. Żonę twoją krzywdzisz Decyuszu. Nie tak było jak myślisz. W domu Senthesowym nieuległa Cezarowi — przeciwnie podbiła go! Wyobraź sobie co się stało tej nocy — czego sam byłem świadkiem — co dowodzi że piękna Krasa ma rzeczywisty wpływ na panu świata, i że możesz się cieszyć uzasadnioną nadzieją, że za jej pomocą dojdziesz do najwyższych zaszczytów. Widzę już w myśli jak bramy senatu otwierają się przed tobą na rozcież. Wyobraź sobie — mówię; Krasa przyszła tej nocy do namiotu naszego nieugiętego imperatora, i pobawiwszy tam niespełna dwie godzin wyrobiła u niego twoją wolność; rzecz to niesłychana u Aureliana, i dowód ogromnego wpływu. I powiedz teraz sam! Niemam że ja słuszności gdy tobie winszuję?

Rzekł i znów Decyusza Dzięcioła ścisnął za bierną dłoń; a potem kończył: „Widzę już parkany i ogrody Senthesowej Willi. Dalej nie potrzebuję odprowadzać, i spełniłem rozkaz Augusta. Bądź zdrów najszczęśliwszy z ludzi.“ I to powiedziawszy pośpieszył do obozu. W godzinę był już w namiocie Zenobii, jak zwykle dopuszczony do komnaty, w której królowa Palmiry się stroiła. Opowiedział pani swojej wszystko — tak — rozumie się jak mu się wydało. Podziwiał jej przenikliwość, winszował powodzenia. Mówił że Krasa uprosiła u imperatora życie Decyusza, i że Aurelian zapomni wnet o chwilowej miłostce i powróci do Zenobii, do owej wschodniej czarownicy, co towarzysząc jemu we wszystkich wojnach, coraz bardziej umiała panować nad zwycięzcą swoim. Już — już, lada chwila spodziewał się tego, że Aurelian przez listy doniesie Senatowi, że Zenobia i jego żoną, i wraz z nim panią świata. Zenobia słuchała od niechcenia, rada wprawdzie, lecz nie zdziwiona powodzeniem. Była już pierwej pewną że tak się stanie.

Czekała tedy strojno na Aureliana głaszcząc sarneczkę, rozmawiając z papugą, bawiąc się z małpą do południa. Minęło południe a Aureliana nie było i królowa Palmiry zaczęła się niecierpliwić. Dotąd powinien się był bez niej znudzić; dotąd powinien był legnąć u stóp jej i zażądać pieszczoty. Ale godziny cichły na klepsydrze, i słońce już schodziło ku zachodowi, a Aureliana nie było. Nie bawiła się już Zenobia i tylko wachlarzem odganiała muchy.

Dziesiąta godzina dnia minęła i Aureliana nie było dotąd. O tej porze zwykł był pod wieczór zwoływać radę wojenną, przygotować bliską wyprawę przeciw Gotom, i omawiać dalszą a wymarzoną wojnę z Persami, w której miał powtórzyć czyny Aleksandra i przewyższyć Hiszpańskiego Trajana. Zenobia już dłużej czekać nie mogła, już niecałkiem była pewną wygranej i niepokoiła się nieznośnie. Wstała tedy, kazała dwom murzynom iść za sobą, kazała karłowi nieść ogon i wybrała się w krótką drogę do namiotu imperatora. I tak jak się spodziewała tak zastała radę wojenną zgromadzoną naokoło Aureliana. Prócz cesarza, zasiadali dokoła stołu wszyscy legaci, a sekretarz Mnesteusz, maleńki, czarny Grek o krogulczym nosie spisywał jakieś rozkazy, i odczytywał jakieś depesze.

Niebacząc na naradę, w której dziś Aurelian wcale udziału niebrał, zbliżyła się do niego z uśmiechem. Legaci powstali przed dostojną branką, co dziś już prawie cesarzową Romy była; — Aurelian ani niespojrzał na nią, ani jej niedostrzegł, tak zatonął cały w dziwnej zadumie.

Uderzyła go wachlarzem po ramieniu. On się wzdrygnął jakby wypadkiem przybudzony, i zobaczył nad sobą pstro przebraną królowę. Spodziewała się że się uśmiechnie — tak jak sama się uśmiechała; a on tylko brwi zmarszczył i rzekł; „Pocóż przyszłaś tu królowo? Już i tak w obozie jesteś ciężarem. Nie mogę zezwolić na to byś przeszkadzała naradom moim!“

„O jakież to ważne narady!“ zawołała śmiejąc się. „Chodzi oto że jutro jedna kohorta Gotów przepędzi, chodzi oto że za dziesięć lat Aurelian wyprawi się może na Persów. Mnie tu przeszkadzać nie można, nieprawdaż? Jakiegoż to Marsa dziś Aurelian stroi? Jakiż ponury? A wszak rano ułaskawiał; — darowywał zbrodnię obrażonego majestatu. To i mnie przebaczy, żem mu narady przerwała. Wszak jam mniej winna od owego wczorajszego szaleńca co na nos czaszką cisnął. O! i gdzieś słońca swego niema Aurelian! Gdzieś podział szczęście twoje, zwycięzco?

Nikt dotąd niebył dostrzegł, że Aurelian nie miał słońca złotego na piersi, a teraz wszystkich oczy zwróciły się na strój cesarza. Zniecierpliwił się i odfuknął: „Gdyś tak skora do rozpoznawania strojów, idź lepiej królowo, do namiotu twego i do igieł, a tu nie przeszkadzaj mężom!“

Spostrzegła królowa, że nie żartem dojdzie do celu. Zmieniła tedy głos i stała się cała poważną, smutną prawie. „Zwycięzco! dobrze ci teraz odsełać mnie do igieł, gdyś mi wyrwał miecz z rąk. Ale sądziłam że Zenobia godna i na wojennej zasiadać radzie. Wszak, Aurelianie, umiałam i ja zwyciężać, i z tobą toczyłam boje i podobnoś przyznasz że krwawemi były. — Tak teraz milczysz, teraz mnie uszanujesz; zdawało się prawie, żeś zapomniał o miłości dla Zenobii; zdawało się prawie, że chciałeś znów do mnie mówić głosem pana — a nie kochanka. Czyż to pięknie — powiedz! Czyż nie myślę ciągle o tobie? Czyż nietroszczę się o zabawy twoje? Aurelianie, nie bądź niewdzięcznym! Zapomniałam o zniewagach aby być twoją! I choć cię kocham, zazdrość nawet zwyciężam, by tobie dogodzić, czyż tej nocy jeszcze nieumyśliłam zabawy dla ciebie? Czym ci tej pięknej, a hardej, a upartej barbarzynki nieprzysłała do namiotu, kłamiąc jej żeś ty po nią posłał? Już zwątpiłeś o zabawie, a ja ci ją sprawiłam“...

Aż dotąd mówiła Zenobia, a teraz zamilkła nagle. Wzrok Aureliana i wyraz jego cały nakazały milczenie. Znali wszyscy ten wielki, niepohamowany gniew zwycięzkiego

imperatora, i gniew ten zjawił się teraz na jego licu. Dziwo że nie uderzył Zenobii. Mocując się z sobą, i cały czerwony jak ogień wstawał powoli, sparłszy się oburącz o stół tak silnie że stół trzeszczał. Wreszcie wyprostował się, błysnął oczyma i wyciągnął rękę tak groźnie że Zenobia drżąc odskoczyła.

„Malowana lalko!“ zawołał, „nieprzebieraj miary! Niezapomnij żeś płacząc szła przez Rzym za moim rydwanem, i że bawię się tobą jak branką — a nie jak kochanką! Gdyby wszystkie kobiety na świecie były takie jak ty, nieznalazłbym pewno kochanki, i mogłoby moje serce umrzeć i pójść do trumny. Są inne, dzięki bogom nieśmiertelnym, i bronię ci, byś je wspominała, kłamiąca niewolnico! Niezrozumiesz ich i skalasz ustami, skalasz myślą. Z Krasą niemasz zabawy, wiedz o tym, podła! Ty tylko igraszką jesteś którą gdy zechcę odrzucę, tak łatwo jak zgruchotałem szklanne państwo twoje! Wiedz że gdy ci każę wyjść, wyjść musisz! Gdy milczyć każę, musisz milczyć, — gdy skakać każę, skoczysz! A gdy będziesz nieposłuszna, zuchwała, pamiętaj, jak ostatniej niewolnicy każę ci głowę ogolić, i rózgami cię każę siec przed wojskiem! Idź mi precz z drogi, gadzino! nieułowisz Aureliana.“

Zenobia słuchała; słuchając prostowała się, zacisnęła pięści i zęby, bladła i drżała ale nie ze strachu — ze złości. Świadczyły o tem ognie w jej oczach. Odwróciła się teraz milcząc, ruszyła ramionami i wróciła do namiotu swego. Niewolnice chciały ją obsłużyć, ale puknęła nogą wołając: „Precz! precz ztąd chcę być sama.“ A gdy samą była, przeszła się kilkakrotnie po namiocie zaciskając pięście, i oddychając ciężko. Potem otworzyła klatkę od papugi, spuściwszy ją pierw zapomocą sznuru, posadziła ptaka na pięść i spojrzała mu w oko.

Ptak spytał: A źle z tobą, pani!“

„Źle“ odrzekła królowa.

„Pizo zbałamucił?“ rzecze papuga.

„Zbałamucił, a Aurelian znieważył. Ludziom wierzyć nie mogę; w tobie nadzieja moja.“ I długo szeptała papudze do ucha — a potem skończyła mówiąc: „Leć! Usłysz wszystko, zrozum wszystko i powtórz! Dowiem się czy jeszcze mogę panować, czy już tylko przyjdzie się pomścić!“ A papuga wyleciała przez drzwi otwarte do namiotu.

VII.

Niedaleko Castrum Gaudii była polana leśna, dokoła której szumiały dęby wieczyste, wśród której sterczało kilka czarnych pni, co były pamiątką po dębach nieboszczykach zrąbanych siekierą leśnika. Na tę polanę zwołał był Zabor kilku znaczniejszych na których myślał że może liczyć. Świętosza tu nie było, bo wiedzieli wszyscy jak był ostrożnym i bojaźliwym ojciec Krasy, ale Żybar i Kocisz i Sydbór siedli na pniach wśród zmroku, a kilku innych mniej znacznych legło na trawie. Że straszno im było że swych twarz nie widzieli; zapalili wielki ogień z suchych drzew, tak że widać było i w nocy zieloność lasu, tem bardziej uroczą, że niespodzianie odstawała od czarnych obłoków, które pokryły nocne niebo.

„No! a pocóż nas zawołałeś, młody Zaborze?“ spytał Sydbór wiekiem najstarszy.

„Bogowie dali nam wreszcie upragnioną chwilę“ rzekł młodzieniec. „Przyszedłem wam zwiastować, że za dni kilka pęknie jarzmo Rzymskie, co nam od dwu wieków nad karkiem ciąży, jeżli wy tylko zechcecie, jeżli nie wolicie spać snem gnuśnych.“

Żybar ruszył ramionami: „Ciągle ci się szaleństwa, chłopcze marzą;“ rzekł. „Bujna w tobie krew. Za dawnych czasów byłbyś stanął dzielnie przy Decebalu [1]) i Drzymichacie, byłbyś odważnie ciągnął w świat, i słońcu patrzał w oczy i zdobył chwałę. Dziś, szkoda żeś na świecie! pokrwawisz tylko ręce i nic nie zrobisz!“

„A powiedz nam, Zaborze!“ mówił Sydbór stary, „poczem sądzisz że przyszła godzina uwolnienia? Gdy prorokujesz tak w młodem natchnieniu, ujrzałeś może jutrzenkę jaką, której nasze stare oczy nie widzą. Dla nas noc jeszcze, a tobie już świta. Dla nas zima sroży się w najlepsze; ty poczułeś już wiosnę. Mów że nam o niej! Ucieszymy się, choć marzeniami twojemi!“

„Stary i młody obaj dzieci!“ krzyknął Żybar niecierpliwie; „jeden mówi o wolności, drugi wierzy jej; choć kto ma oczy ten widzi że Rzym stoi silniej jak kiedy, odkąd go podparł oręż Aureliana. Póki on panuje, póty nikt nie śmie powstać przeciw majestatowi Romy, a gdy przestanie panować przyjdzie ponim drugi groźniejszy jeszcze. Na cóż mamy się wiecznie łudzić nadzieją, co się nigdy nie ziści?!“

„Małoduszny Żybarze!“ Zabor zawoła, „otoż się ziści, otoż już się ziściła, i to przez Aureliana; on naszym oswobodzicielem.“

Wzdrygnęli się wszyscy i zdziwieni spojrzeli na Zabora, Sydbór rzekł gorżko: „To wolność nam dają dziś słowa Rzymskiego imperatora! W tem jedna nadzieja zapaleńców naszych. Zaszliśmy daleko do grobu!“

„Nie do grobu! Nie! Do życia wracamy!“ Mówił co raz szybciej, co raz goręciej Zabór. „Nieprzerywajcie aż mnie zrozumiecie, a słuchajcie bo słuchać warto i dobre wam niosę nowiny. Aurelian niejest Rzymianinem, jest Antą.“

„Słyszałem że rodem z Syrminu w Panonii“ wtrącił od niechcenia Kocisz.

„Ztąd rodem, z Olszanicy!“ Mówił dalej młodzieniec. „Nazywał się Bojanem i był sługą u Świętosza, od którego zbiegł; wy starsi musicie go pamiętać. Zasługą wyniósł się na godność najwyższą w Rzymie, świat cały zgromadził

---

[1]) Król Getów walczył z Rzymianami.

w swoje ręce—i teraz chce naród swój i nasz naród wynieść na szczyt chwały, i wolność zwiastować światu, z tych tu borów.“

„Śnisz na jawie, chłopcze, i pleciesz baśnie“ odezwał się ktoś, a Zabor coraz z większym zapałem zaprzeczył: „Nie bajki to: prawda! Bojan mówił ze mną dziś w nocy, uczynił mnie królem waszym, uznał żem jego panem rodu. Umówiliśmy wszystko! On będzie wstrzymywał Rzymian, a ja tymczasem podburzę całą okolicę, kraj cały, świat cały! Bo gdy ten ogień wybuchnie, a legiony będą stać nieruchomie, zaklęte wolą imperatora ogień zapali wszystko od Kaledońskiego muru aż po Syrty, i od Eufratu po wyspy Szczęśliwe. A że wiedziałem ja, i że Aurelian wiedział, że nie uwierzycie słowu mojemu tylko, i że trzeba wam znaku i dowodu, dał mi słońce które zwykł nosić na piersi, i który z was chce, może tu przystąpić i oglądać słońce owe.“

Kończąc wyciągnął klejnot co był niejako znakiem i znamieniem Aureliana, klejnot o którym mówiono powszechnie, że w nim siedzi zaklęte szczęście dziwne imperatora, co z prostego żołnierza stał się panem świata, i nietylko rozbite kawały Rzymskiego cesarstwa na powrót skleił, ale nawet dalej od poprzedników swoich poniósł zwycięzkie orły. Było to słońce ze złota wyrobione. Wśród promieni widać było posążek mały Apolina siedzącego na rydwanie ciągnionym przez dwa konie, a pod rydwanem, w samej tarczy słonecznej był rubin niemałej wielkości, na którym wyryto pierwszą literę imienia Aurelianowego. Wszyscy poznali znak; zdziwili się wszyscy niemało, niewierzyli oczom, ale przeczyć nie mogli, a płowy Zabor stał w białej koszuli swojej i siermiędze na lewe ramię zarzuconej, uśmiechnięty jak drugi Apollo wśród jasności wielkiego stosu suchych pni i gałęzi. A milczenie wielkie było wśród boru. Pierwszy przerwał je Żybar:

„Aurelian zdradza Rzym; a może to nas tylko zdradza!“

„I pocóżby nas miał zdradzać?“ krzyknął niecierpliwie Kocisz. „Wy mędrcy z wątpieniem waszym uśpicie naród na wieki! Doprowadziliście do tego już, że nie śmie nikt marzyć o swobodzie, a teraz gdy się cud oczywisty zjawił na odkupienie nasze, chcecie cudowi przeczyć! Od bogów nawet nie chcecie przyjąć wolności, a zawsze mówicie, że kochacie ojczyznę! I jakżeż ją kochacie? Rozmiłowaliście się tak w jej mogile, że chcecie aby nigdy z grobu tego niewyszła! Do broni woła niebo! I ja za broń porwę! Nikt mnie niewstrzyma! Pójdę za Bojanem i Zaborem! Pójdę gdzie mnie wołają bogowie! I biada Rzymianom, i stokroć biada tym podłym, tym nikczemnym którzy się Rzymowi kłaniają. Gorsi od wrogów ci, co słowami rozsądku trują serce ojczyzny, i rad jestem że miecz mój w krwi ich zamaczam jutro! Oni mówią że nas Bojan zdradza. Nie pojmuję by kto mógł tak kochać ojczyznę, by całe życie poświęcił na to, by zdobyć berło świata, a berło to w dniu jednym oddał za wolność własnego narodu. Niech milczą tchórze.

Powstał teraz spór, powstał teraz swar. Żybar się bronił przeciw zarzutom, przestrzegał przed mocą Romy, a nie mógł przeczyć że mu się zdawało — że powstać można! Choć i dziś nie był pewny skutku, choć i dziś myślał że może los złowrogi, i potęga wieczystej budowy rzymskiego gmachu zgniotą Antów. Niecierpliwie słuchano uwag. Wolność wstawała; wszyscy widzieli jej brzask.

Nareszcie powstał białowłosy, białobrody starzec Sydbór, stanął na pniu ogromnym, podniósł ręce rozkrzyżowane do nieba, i zawołał głosem wielkim: „Dzięki wam bogowie, że na starość dajecie mi patrzyć na cuda wasze! Już u wszystkich zamarła nadzieja, zwątpiliśmy o sprawiedliwości, zwątpiliśmy o was, nieśmiertelni! Niejednemu mówiło serce: a poco się modlisz do bogów tych? pocóż im niesiesz ofiary? Kiedy oni tacy źli, albo bezsilni że dają zbrodni panować, a cnocie cierpieć, że wolność świata i męstwo stare gdzieś zaprzepaścili w otchłań szarą przeszłości, zkąd nie może powstać na nowo. Mówiło serce: Zapadło wieko trumny na ojców, a dla was niema już nic prócz pustego śmiechu i rozpaczy. I pocóż się modlić do bogów co zapomnieli o nas wśród biesiad niebieskich? I jam winien, niebiescy! I jam winien, piękni! I jam winien nieśmiertelni. Przyznaję się, i ja zwątpiłem, i ja was winiłem. A młodzi, mądrzy niby, Rzymian pisma czytywali, mówili z uśmiechem że was niema. A teraz któż wam zaprzeczy? któż was nieuczci? Perun zasiada wśród gromów i burzy, kędy nieprawy mąż wzdął się w pychę. Cierpiał długo że się chełpili Rzymianie, dopuścił że złamali wszystkie potęgi świata, wszystkie dumne ludy! Aż oto grom uderza w Rzym, i Perun się zjawi ludziom z wolnością wśród nas, cośmy cisi pośród borów zasiedli? W słabości naszej moc jego cudu! Chwała mu! Świętowid napiął łuk swój; ośm oczu ognistych zwrócił na Rzym, strzałą w Rzym wymierzył: strzała syknie, wolność wstanie, i będzie bogom chwała! Cudny swobody kobierzec wyścieli ludom Lada!“

Mówił starzec, a łzy mu się lały po licu. Wreszcie padł na kolana, i wszyscy do koła klękli, a ogień trzeszczał wśród polany.

Gdy wstawali, Kocisz spytał: „Jakiż to tam dziwny pstry ptak siadł na dębie?“

Wszyscy się zwrócili w stronę wskazaną. Mówiono że to sowa, bo ptak ulatywał już w głąb boru i niemożna go było dobrze widzieć.

„Za ciężko leci.“ ktoś się odezwał.

„A gdzie tam sowa“ mówił Kocisz, „zielony cały i czerwony jak świąteczna szata niewiasty.“

Ptaka już niewidziano. Niejeden żałował że łuku nie miał, i mówiono dalej o wielkiej sprawie. Późno, bardzo

późno w noc radzono i teraz przydały się roztropne słowa Żybara który nie chciał się od przyjaciół odłączyć.

Uradzono że trzeba milczyć o obietnicach Aureliana czy Bojana przed tłumem. Rzecz rozgłoszona doszłaby Rzymian, a wtedy wszystko przepadłoby i pomsta tylko spadłaby na głowę Antów, a sztylet Rzymski tylekrotnie zaprawiony na Cezarach, wyprawiłby Aureliana w inny świat. Powaga zebranych, pierwszych wśród narodu wystarczyłaby na to, by naród porwać i uzbroić. Gdyby gdzie na wahanie się trafiono powiedzianoby tajemniczo że zaszły rzeczy o których mówić niemożna, i które uprawniają do wszelkiej nadziei. Zresztą imię zdrajcy, i groza doraźnego sądu miały być postrachem dla niechętnych. To wszystko miało wystarczyć aż nadto. Powstanie trzeba było rozniecić nietracąc czasu, a rozniecіwszy dopiero, mógł Zabor wywiesić swoje słońce, aby niem do reszty zmięszać już przerzedzone Rzymskie legiony. Dziś jeszcze słońce musiało być w ukryciu. Na tem stanęło, i na to zgodzili się wszyscy.

XIII.

Jakoś dziwnie się działo w Świętoszowym dworze. Zdawało się że powinna tam być radość z tego że Decyusza—Dzięcioła uwolniono, a był smutek i niepokój. Krasa bawiła ciągle w panieńskiej swej komnacie między posągami Westy a Izydy; — czasem płakała, a czasem się modliła; Decyusz błądził po polach i lasach okolicznych. Mieszkańcy Albikuli czy Olszanicy, których głową i panem był Świętosz kłaniali się pańskiemu zięciowi i patrzali się z podziwem na to, jak stawał naprzeciw słońca mrucząc coś po Grecku, i jak wpatrywał się w słońce ćmiące póty, póki cały świat nie stawał się dla oćmionego wzroku jedną wielką siną i czerwoną plamą. Mówili wieśniacy że to czary jakieś, a może i niebardzo się mylili. Tylko że czar ten to nie zaklęcie na miłość i na skarby, jedno na zniszczenie materji i szczęśliwą wędrówkę wśród promiennych Eonów Manichejskiej wiary. Sam Świętosz stary dzieci nierozumiał, i tylko potrząsał głową, chodząc w bieli po sadzie, i rozkopując długim kijem kretowiska.

Jednak na jedno zgodzili się Świętosz z Dzięciołem. Myśl podał zięć, a teść chętnie na to przestał. Zaraz nazajutrz po uwolnieniu Decyszowem miała być biesiada, na którą wszystkich znaczniejszych z całej okolicy sproszono; i na niej miano święcić szczęśliwie owo wydarzenie. Świętosz dodawał z naciskiem, że się tem samem czciło wspaniałomyślność Aurelianową. Posłańcy wyprawieni zostali. Niezwykły ruch w okolicy. Na jakieś wielkie łowy gotowano się wszędzie; wszędzie po dworach wydobywano łuki i włócznie i ostrzono strzały. Niejeden zaproszony przeprosił oświadczając że przyjść nie może, i nietyle się zjeżdżało, ile Świętosz zwykł był widzieć w swoim gościnnym domu. Nie było Zabora, Sydbora, Żybara — a Kocisz choć przybył, czegoś się spieszył i niecierpliwił. Jednak zawsze było gości kilkunastu i Świętosz po swojemu bawił wszystkich, przybrawszy Rzymską togę, jak to zawsze od święta czynił. Dzieci niepomagały mu wcale. Krasa na życzenie ojca także bogate Rzymskie przywdziała szaty, ale siedziała przy stole biała jak chusta. Decyusz niebiesiadował nawet, tylko legł przy oknie odwrócony od gości, i słuchał jak na dworze deszcz zaczynał powoli padać.

Gdy się biesiada skończyła, poszedł Decyusz do środka sali, zawołał żonę, wziął ją za ramię, i trzymając jak najdalej od siebie, zawołał: „Goście! chodźcie i patrzcie się! Oto po co was tu sprosiłem! „Wszyscy ciekawie zwrócili się ku niemu, a on mówił dalej: „Najedliście się, napiliście się, tak że aż ciało wasze się raduje. Obchodziliści pamiątkę tego żem nieznalazł upragnionej śmierci i cieszyliście się nieszczęściem o któremeście w ślepocie waszej myśleli że jest wybawieniem. Możecie tedy słuchać co wam powiem. Najpierw tedy, niejadłem z wami, by wam okazać że nic wspólnego niema między mną a wami. Wyście z ciała, a jam z ducha. Wy czcicie duchów stworzycieli, a jam sługa światłości, co wszystko pochłonie. Nienawidzę bogów waszych, obyczaje wasze — i świat wasz potępiony. Wzdrygacie się, niecierpliwicie! Ukamienujcie mnie, a będę się radował. Dotąd była bojaźń ludzka we mnie, i bóg mój ukarał mnie za to, że wam nie mówiłem kim jestem — Ciało moje, które jest własnością bogów waszych, i które nienawidzę, zapragnęło żony! I pojąłem tę oto, którą tu widzicie. Piękną jest w oczach synów ludzkich, synów nieprawości. I rosła, i hoża i do posągu bogini podobna. — Ciało moje bardzo jej łaknęło, i wielka pożądliwość była w oczach moich. Pojąłem ją przeto. A przez bojaźń ludzką, przy weselu ofiarowałem zwyczajem waszym bogom ciała. Słońce co całe z ducha jest, słońce oko świata, słońce stolica światłości a dusza boga mego, patrzało na to jak kłamałem jemu niepomny, żem światłu poświęcony. I pomściło się! — Znacie wszyscy człowieka co światem włada, i dzierzy świat w ręku zanim zniszczonym zostanie; — Mąż to z ciała, a jednak ma moc słoneczną i słońce ma na piersi, słońce niosą przed nim, a imię Aurelian! Człowieka tego na moją sromotę zesłało słońce, i ukarało mnie w tem, w czem upodobanie miało oko moje. Jeszcze nieskończyła się biesiada weselna, a Aurelian nadciągnął i nas z domu wypędził i został sam z tą tu!“

Mówiąc zaczął trząść Krasą; zacisnął zęby, niebaczył na to że z głuchym, rozpaczliwym jękiem twarz sobie zakryła, a tylko w coraz większy wpadał gniew. Nie było w nim miary, nie było hamulca.

„Patrzcie na nią,“ mówił, „patrzcie! Niech się spali ze wstydu, jeźli wstyd jeszcze w niej jest, ukryty gdzieś tak że go męża wzrok dostrzedz nie może. Wszyscyście

byli świadkami sromoty w dzień przeklętego wesela. A śmiała wracając od Rzymiana kłamać że niewinną. I niedość to! niedość! Gdym nazajutrz poszedł szukać śmierci, wystroiła się sromotna, bezwstydna! Mąż jej był w łańcuchach, a ona z uśmiechem, po nocy, jak niedopierz rozpusty, szła do obozu, między żołnierzy — do namiotu Cezara — rozkoszować, śmiać się; — i za to Aurelian nieznając tej wiedzmy, mnie z więzienia wypuścił, na przeklęte życie! Zwołałem was tu by wam to powiedzieć! A sam idę w las, w góry, w puszcze! Ją rzucam przed wasz sąd!“

I pchnął szlochającą tak że padła na kolana i ręce, i gorączkowo idąc między zdziwionych gości, mruczał jeszcze: „A jeśli mnie kto zabije będę mu wdzięcznym. Ciała się pozbędę.“

Wyszedł. — Krasa leżała na ziemi omdlona. Antowie patrzali po sobie, a Świętosz przykląkł przy córce, podniósł ją, odwrócił, pocałował w twarz, odgarnął włosy, nareszcie siadł przy niej i głowę jej położył na kolana. Popatrzył się szarym okiem na gości, a wszyscy widzieli jak łza w oku drzała. Usta roztwierał i zamykał kurczowo, i widać że szukał za słowami: „Ludzie!“ mówił wreszcie, „ludzie! goście moje! Nie wierzcie jemu. Tyle razyście u mnie byli, znacie Krasę, bawiliście się tu z nią; znacie siwe włosy moje! Jestem czesny człowiek. Ona nie kłamie... mogę jej wierzyć tak jak dziecko matce wierzy... A to warjat niewart córki mojej! Oby go bogowie zgubili za to że im bluźni!“

Krasa na pół ocucona, lgnęła gorączkowo do ojca, a starzec wołał: „Czyż to nie szaleniec bezbożny! — Wini nas za to żeśmy gościli imperatora, boskiego Aureliana, że córka jemu się podobała, że u niego wolność męża wyprosiła. Wszak inny cieszyłby się tym zaszczytym, gdyby niebył takim złym szaleńcem!“ Kocisz nachylił się słuchając. Wąs mu się ruszał jak kotowi dzikiemu po ogolonej twarzy. A oko zdawało się że przygasło. „Jaki ojciec, taka córka, jaka córka, ojciec taki,“ zaśmiał się w głos Kocisz: „Jedno biegnie po srom do Rzymskiego obozu, a drugi się cieszy hańbą córki, i łaską imperatora. Niechby mnie spróbował jaki Rzymianin wyrządzić łaskę. Cisnął bym mu ją w twarz! Niechby spróbował!“

Świętosz podnosząc Krasę stanął na równe nogi: patrzał się w około przestraszony i gniewny: „bunty!“ wołał, „bunty! Ja buntów niezniosę!“

„Idź lepiej“ wołał Kocisz „skarz się Cesarzowi. Ciekaw jestem czy mnie Cesarz ukarze! Ty taki ostrożny jak lis na ponowiu, a niewiesz co się święci! Gdybyś się dowiedział! Ale ja nikomu nie powiem, nikomu. Źle teraz będzie z tymi, co się Rzymianom kłaniali, nie obejrzą się a nóż nad nimi błyśnie.“

„Idź mi ztąd, z domu! Idź:“ Wołał Świętosz wskazując drzwi, „bo poszlę po rzymskich żołnierzy.“

„Posełaj sobie, szpiegu!“ odparł Kocisz; „Cieszę się z hańby twojej; z hańby twej córki co tak dumną była, i święta niby. Wszystkimi gardziła, mnie nie chciała! Niebyłem z dość wielkiego rodu. Teraz łasiła się imperatorowi O! gdyby wiedziała z jak wysokiego rodu był jej kochanek, ucieszyłaby się doprawdy!“

I Kocisz śmiał się jak zbik. „Biada Rzymianom i sługom ich,“ zawołał wreszcie potrząsając pięścią. „Za mną, kto pamięć ojców kocha!“

Był szmer, było zamięszanie, i wyszli prawie wszyscy. Świętosz trząsł tylko głową i mówił: „Oszaleli znowu, chcą nowej klęski! Coś złego się święci, coś złego!“

„Ojcze!“ rzekła cicho Krasa, „ty jemu nie wierzysz?“

„Kocham ciebie“ rzekł Świętosz łzawo. „Bujałaś po obłokach, gardziłaś rozumem moim; widziałaś żem ptak małego lotu, i bujałaś gdzieś wysoko; ale Kraso! Krasawico moja, pociecho moja! Ja cię kocham tak jak chyba matka by kochała gdyby biedaczka jeszcze żyła. Bo to ojciec, córko! ojciec; choć głupi, choć stary, choć bojaźliwy, ale ojciec. A wy dzieci niewiecie, jak kochają ojcowie, jak troszczą się o was.“

Krasa rzuciła się ojcu na szyję i całowała go po zwiędłej twarzy. „Wiesz że byłam niedobrą;“ mówiła ale przebaczysz, ojcze! bom teraz taka nieszczęśliwa.

I długo — długo trwał uścisk ojca i córki. Nareszcie Krasa przerwała milczenie mówiąc: „Ojcze, pozwól, a wszystko opowiem! Lżéj mi na sercu będzie, a ty uwierzysz? Nieprawda?“

„Uwierzę; wszystko co chcesz zrobię,“ powtarzał stary. „Nierozumiałem nigdy ciebie, i może teraz niezrozumiem, ale będę słuchał. Siadaj tu przy mnie. Oprzej głowę na ramieniu! słucham. O tak, dobrze siedzimy koło siebie. Mów, dzieciątko moje! Słucham.“

„Ojcze,“ zaczęła, „pamiętasz może Bojana, co był sługą u ciebie, pamiętasz żem go kochała gdym dzieckiem była. Pewno dobrze zrobiłeś ojcze, gdyś go ukarał, gdyś mu zagroził, gdyś dziecinnej zabronił miłości. Ale ja nigdy ciebie niesłuchałam, i nieposłuchałam wtedy. Kochałam opowiadania jego, i męstwo i pieśni, i nigdy potem niekochałam nikogo. Gdy odszedł obiecałam że poczekam na niego. Odmówiłam Kociszowi. Wszak on ani lepszy nie był, ani uczeńszy? Odmówiłam wielu, i przepraszam cię, ojcze, za to żem kłamała przed tobą śluby bogom robione, których nie było. Darujesz ojcze! Z pokorą po rękach i kolanach całuję; przepraszam z pokorą. — Minęły lata, minęła młodość, już i ślubów nie mogłam udać. Radziłeś wybrać kogo innego, a ja niesłuchałam i wybrałam źle. Ten Decysz posiadł grecką naukę, co tak rzadko w te bory zabłądzi; wiedział o rzeczach o których niesłyszał tu nikt, marzył ciągle, i mówił o cudach. Myślałam że to wieszcz, a to oto taki człowiek niedobry! I było wesele, a na wesele

wrócił Bojan. Ojcze ty będziesz myślał, że to co ci opowiem to sen, a jednak to prawda.“

I dalej Krasa opowiedziała wszystko o Aurelianie. Świętosz słuchał zdziwiony, a Krasa opowiadanie kończyła temi słowy: „I cóż teraz zrobię biedna. Przysięgłam wiarę Decyuszowi a on mnie porzucił. Kocham Bojana, a on nie może być moim mężem — nigdy! A ludzie mną gardzą! Poradź! ojcze, co mam robić?“

„Gdy chcesz rady, dam na jaką mnie stało,“ rzekł Świętosz; „ale nierozumiałem i nierozumiem ciebie. Nie wiem zkąd się w tobie wzięła taka dusza. Bojan jest cesarzem, mówisz; i choć trudno wierzyć, wierzyć muszę. Chce byś siadła przy nim na stolicy świata, a ty się pytasz co masz robić!“

„Czy chcesz ojcze, bym złamała śluby moje?“

„Zawsze o bogach owych mówisz. Mnie zawrot bierze gdy mówię z tobą. Ależ Dzięcioł pierwszy złamał śluby.“

„Porzucił mnie, sromotnie.“

„Wolną jesteś córko!“

„Powtórz to słowo, ojcze!“

„Wolną jesteś, mówię. Gdy kocha cię Cezar, bądź Augustą! Porzuć marzenia, weź szczęście, gdy ci się trafia!“

„Ojcze co mówisz? Serce we mnie skacze! Ale ojcze — ten Bojan — Rzymianinem!“

„Córko moja harda! Skarbie mój! Jest panem świata. Ty za cnotą gonisz, za złotemi snami. A oto sen się iści, możesz siąść przy kochanku, tam gdzie dla ciebie miejsce, i ludziom zrobić raj na świecie. Pomyśl ile szczęścia możesz zrobić gdy będziesz cesarzową. A i twoje szczęście niefraszką, córko! Wierz staremu!“

Krasa się zerwała. Zawołała: „Więc mogłabym być szczęśliwą, bogi wielkie! „Lecz raptem spuściwszy głowę dodała: „Za późno. Gdy prosił odmówiłam. Już niewróci do mnie!“

„Jeźli kocha, wróci,“ rzekł stary „poszle po ciebie. A jak nie poszle, — nie kochał. A ojciec kocha, i ty przy nim zostaniesz, i dobrze ci będzie, aż ci ojciec stary dobrego męża wybierze.“

„Sama go zaklęłam by zapomniał o mnie,“ skończyła Krasa, i znów głowę sparła o pierś Świętoszową.

IX.

Pizo długo dnia tego walczył z myślą, czy iść czy nie iść do namiotu Zenobii: „Wypadła z łaski,“ myślał sobie, „może na zawsze — a może do czasu. Może niema po co do niej iść! A jak Cezar pomyśli że z nią na jego majestat wyrzekam? Poradź Wenero, bo nie wiem co czynić!“

Wreszcie rzucił kostkami i wypadło z kostek że bezpieczniej było iść do królowej niewolnicy. Poszedł tedy już o zmroku, i zastał ją jak zwykle między małpą, papugą i sarneczką, na poduszkach, przy świetle wonnej lampy.

Weszedł i pokłonił się. Na jej twarzy ani troski ani gniewu widać nie było; głową nawet nieskinęła, i nieoderwała się od zajęć swych; mogło się wydać, że nie wie o tem że Pizo wszedł. Małpa u góry siedziała na klatce papugi i gryzła pomarańczę, a papuga dziubała kawał kosztownego indyjskiego cukru spoczywającego między palcami białemi Zenobii. Karzeł ulubieniec trzymał w głowach wachlarz, ale zapominał o służbie, tak że wachlarz stał nieruchomie, a karzeł przypatrywał się sufitowi namiotu. Nie zważała na to Zenobia, bo muchy uśpione słotą niedokuczały, a na dworze słychać było jednostajny tentent deszczu bijącego o płócienne ściany namiotu.

Po dłuższym dopiero czasie zwróciła Zenobia wielkie czarne oko na Pizona i rzekła jednostajnym, obojętnym głosem: „Jakiż to los szczęśliwy ciebie tu naprowadza? Szczęśliwy dla ciebie, a nie dla mnie! Myślałam że o niewolnicy zapomniałeś już, że chciałeś ostrożną a cenną głowę twoją, gdzieś pod kamień ukryć, jakby struś jaki — i podobno z jednakowym skutkiem.“

„Pani! wyjąknął Pizo,“ w nieszczęściu droższą mi jesteś jak w szczęściu. Niechciałem cię opuścić, chciałem odwidzić, pocieszać chciałem, ale mnogie zatrudnienia....

Królowa niedała mu skończyć. Przerwała niezmieniając ani głosu ani wyrazu: „Za troskę o mnie i za pociechę dziękuję. Ale radzę, myśl o sobie! Twoja głowa zagrożona!“

„Moja głowa?“

„Tak! a nie inaczej! Krwawa chmura zwisła nad tobą. Błyśnie lada chwila i grom w ciebie uderzy — a nie w ciebie może samego, zawsze jednak najpierwej w ciebie! Śniło mi się.“

„Sny, królowo, ze krwi są i soków. To odzwierciedlenie dnia wczorajszego.“

„U was co patrzycie w zachodzące słońce. Ale jam córka Wschodu. Co mi się śni, to mi się ziści. Jeszcze nigdy sny mnie niemyliły. Oto dziś w południe usnęłam, i miałam takie widzenie. Widziałam jako Aurelian w stroju barbarzyńskim, otoczony przez barbarzyńców, Antów, Getów, Celtów i Germanów stał na wzgórzu zbrojny. Rzymianie w togach przechodzili dołem. Na ich czele ty szedłeś, Pizonie, jako mąż konzularny i potomek dyktatorów. Gdy Aurelian ciebie ujrzał, zmarszczył brwi, spiął łuk, i wysłał syczącą strzałę. Długo leciała strzała do góry w same obłoki, a doleciawszy szczytu zwróciła się, i prosto, tak jak sokół na łup pada, ugodziła — w twoje serce! A potem powstał krzyk wielki barbarzyńców otaczających Cezara, i każdy strzelił i każdy ugodził w Rzymianina, tak, że w krótce trupy całe pole pokryły. To sen był wróżebny, niezawodny, wiem o tem!“

(C. d. n.)

TURECKI KOZAK.

NOWELLA.

(Dokończenie.)

Rano miałem już cały plan gotowy. Ciągnęło mnie do Londynu, bo w nim najbliższe mogłem znaleźć schronienie — i pomodlić się na grobie mego nieszczęśliwego ojca. Erwina była teraz wolną; pretekst, pod którym można ją było prześladować, już nie istniał; ja jednak miałem wszelkie powody ukrywać się, lub co lepsza jeszcze, po za długość ramienia władz się usunąć.

Obecnego schronienia Erwiny nikt nie znał. Postanowiliśmy tedy, iż uda się natychmiast z matką do swojej ambasady, żądając protekcji, ponieważ mąż jej, wedle doniesień dziennikarskich, bez życia znalezionym został w wenseńskim lasku; dalej miała się Erwina postarać o legitymację w ambasadzie do wyjazdu i tegoż wieczora jeszcze pospieszyć za mną do miasteczka położonego na granicy belgijskiej, gdzie ja już na nią oczekiwać będę.

Erwiny matka zaś miała się udać do tak pospiesznie i niespodzianie opuszczonego ich mieszkania, — spakować tam wszystkie należące do nich rzeczy i również bez zwłoki do powyższego miasteczka podążyć za nami.

Moje przybrane nazwisko Dr. Belzoni miało mnie jeszcze w podróży do granicy osłaniać; po za nią zaś zamiarem moim było wystąpić pod mojem rodzinnem mianem, a przybywszy na grunt angielski, błogosławieństwem kościoła złączyć się z Erwiną.

Niewątpliwie z ciężkiem sercem pozostawiłem Erwinę, choć tylko na kilka godzin sobie samej i niebezpieczeństwom, które bądź co bądź grozić jej mogły jeszcze. Któż mógł zaręczyć, że pod pozorem śledztwa co do nienaturalnej śmierci jej męża, nie uwiężą jej, aby ją zatrzymać w Paryżu. W skutek tych obaw życzyłem sobie pozostać w ukryciu w Paryżu — i czekać, póki nie ujrzę jej opuszczającej tę palącą stopy nasze ziemię; Erwina jednak wymagała, ażebym przedewszystkiem zabezpieczył moje życie, bez którego jej własne żadnej wartości dla niej niema... Uspokoiła mnie zapewnieniem, iż matka mi natychmiast doniesie, gdyby się coś niepomyślnego zdarzyć miało!

Musiałem ustąpić. Ze ściśniętem sercem pożegnałem ją w chwili, gdy już zajechała przed drzwi dorożka mająca ją z matką powieźć do ambasady — i przed wieczorem jeszcze bez żadnego wypadku dosięgnąłem belgijskiej granicy; nie bez żalu jednak, po tysiąc bowiem razy wyrzucałem sobie w drodze, żem przeniósł własny spokój nad upewnienie się o bezpieczeństwie Erwiny.

Tej nocy jeszcze otrzymałem w małem miasteczku do któregom przybył depeszę matki Erwiny. Wykrzyknąłem z radości! „Wszystko jak najlepiej. Wyjeżdżamy jutro rano. Przyjaciel twój szlachetnie nam pomagał“ brzmiały lakoniczne słowa.

A więc mój ziomek, ów chłodny i pozornie tak egoistyczny człowiek, dotrzymał danego mi słowa... Jakim jednakże przypadkiem spotkał się z niemi?

Nazajutrz wieczór trzymałem już w objęciach moich Erwinę na bezpiecznej ziemi; Matka jej opowiedziała mi, że zastała mego przyjaciela w ich przedmiejskim pomieszkaniu, gdzie przybył zasięgnąć o nich wiadomości; skoro się zaś o wszystkiem dowiedział od niej, z jak największą gotowością zaofiarował im swoją pomoc.

Otóż masz pan i koniec przygód moich. Erwina jest moją żoną; jesteśmy szczęśliwi, tem więcej, że stosunki jej majątkowe, w skutek zmiany politycznej w kraju tak szczęśliwie się ukształtowały, iż przy stanowisku jakie pozyskałem, byt nasz materjalny nie przedstawia dla nas żadnej troski. Erwina cieszyć się będzie wielce jeżeli ujrzy dziś pana u nas na herbacie, którą to przyjemność winien nam pan jesteś, jako człowiek, który brał udział w najważniejszych chwilach naszego życia!“

XV.

Że musiał się czuć szczęśliwym, widziałem to ze spokoju i uśmiechu zadowolenia ozdabiającego twarz jego. Podał mi rękę przez stół.

— Nieprawdaż — dodał — że możemy dziś spodziewać się pana? Uprzedzę żonę o pańskiem przybyciu. —

Naturalnie, żem był wielce ciekawy, poznać bliżej jego żonę.

Wieczorem, gdym wszedł do ich salonu, zaszeleściała nagle przedemnę po dywanie, wyniosła, smukła, w czarny jedwab strojna postać, wyciągająca do mnie uprzejmą ręką i purporowemi ustami, oraz spojrzeniem dwojga wielkich, ciemnych błyszczących oczu, serdecznie mnie pozdrawiając.

— Poznajesz mego cyganiuka z Orsowy? spytał wesoło mąż jej, obejmując ramieniem jej szyję.

Z podziwieniem spoglądałem w to osobliwe, tak dziwnie pociągające oblicze tej młodej kobiety. Z wyniesioną głową, a jednak w ujmującym pełnym wdzięku układzie stała oto przedemną, wtorując pytaniu swego męża z uśmiechem, w którym pewnie żywe wspomnienie dnia

naszej pierwszej znajomości się odbijało. Patrzyłem na ten kruczo czarny włos, który się wówczas tak dziko pod kosmatym cygańskim kapeluszem za wiatrem rozwiewał; teraz w najpiękniejsze, lśniące ułożony fale; oko moje ześliznęło się mimowolnie po tem dzisiaj już nie bladem obliczu na kształt tego niegdyś cygańskiego chłopca, który mi się wtedy takim drobnym i wychudłym wydawał — a potem znowu w przedpokoju doktora tak mi zaimponował.

Jakiż obfity w koleje i próby, jakiż ruchliwy żywot kobiecy? — pomyślałem sobie. I z tych wszystkich przejść nie można ani literki odczytać na tem świeżem, radośnem obliczu, na którem widać tylko, iż serce jej czuje się w bezpiecznej przystani!

Cały wieczór przeszedł nam na wesołej pogadance. Ośmieliłem się zapytać młodej kobiety, czy nie czuje braku ojczyzny?...

— Zawsze tęsknię do niej, — odrzekła i pierś jej podniosła się lekkiem westchnieniem. Teraz jednak mam przy sobie kogoś, kto mi tego braku uczuwać zbyt mocno nie daje. Ojczyzna moja teraz przy boku mego męża i w nim życie moje całe! —

* * *

W kilka dni potem przechadzałem się z moim przyjacielem (którego wciąż jeszcze nazywać muszę Belzonim, nie mam bowiem prawa wymienić jego prawdziwego nazwiska, chociaż naówczas było ono w Paryżu ogólnie znane), przechadzałem się więc bez celu, wieczorem po ulicach Londynu.

Właśnie zbliżyliśmy się na Westend do domu, na którym wielkie różnokolorowe afisze zabłysnęły przed nami.

— Muzyka cygańska — zawołał śmiejąc się Belzoni, stanąwszy przed afiszem. —

A propos, mogę tu panu pokazać starą jedną naszą znajomość, która prawdopodobnie jednak tylko przelotnie mignęła panu przed oczyma. Jeśli masz pan chęć potemu, to wstąpmy tu na kilka chwil. I ja także zwabiony tu zostałem niedawno afiszem, cyganie bowiem do wielu wspomnień moich się wiążą.

Weszliśmy — i to do wielkiej ludzkiemi głowy i dymem tytuniowym napełnionej sali. Grupa Horse Guard'ów tamowała nam drogę, przecisnęliśmy się przez nią i wtedy dopiero ujrzałem przed sobą scenę, na której trupa kuglarzy się popisywała.

Przyjacielowi mojemu widocznie zależało coś na tem, ażeby mieć miejsce najbliżej sceny, wziął bowiem na nie umyślnie dla nas bilety; zasiedliśmy więc tuż za orkiestrą.

Ja byłem już aż nadto przesycony podobnemi widowiskami, na których wiele wieczorów z nudy ze znajomemi spędziłem, oświadczyłem więc, że zapewne zaraz wyjdziemy.

— O nie! musimy poczekać aż żonglerzy sztuki swoje skończą! — odrzekł mi Belzoni. Zdaje mi się że Pan nie będziesz żałował straty tej pół godziny; tembardziej, że dużo jeszcze wieczoru mamy przed sobą.

Czekaliśmy. Obojętnie przypatrywał się akrobatom żałując biednych dzieciaków, w przeładowanych szychem trykotach, wyłamujących znękany swój krzyż i kauczukowe członki swoje ku wielkiej uciesze tłumu.

Żonglerzy ustąpili ze sceny. Nastąpiła pauza a po niej zjawiła się muzyka cygańska, która przegrawszy kilka melancholicznych cygańskich pieśni nagle przeszła w namiętnego czardasza, co było sygnałem do wystąpienia barwnie i fantastycznie ubranym cygańskim parom.

Byli to silni, elastyczni chłopcy ze smagłemi twarzami, prawdziwe nomadów dzieci w całej dzikości swojej, tylko teatralnie ustrojone, jak tego wielce pretensjonalna publika wymagała; — przy nich zaś stały cztery cyganki z wielkiemi, w świetle lamp błyskającemi oczyma; wysmukłem ciałem i rozkosznemi bujnie rozwiniętemi biustami. Dziko zwisały im warkocze na barki i szyję; przez brunatną skórę ich ramion wybiły się potężne muskuły, — gdy rozpoczął się taniec i parter wybuchnął oznakami hucznego zadowolenia na widok przepysznych dziewcząt.

Czardasz szalał; ramiona, nogi, długie złotemi wstęgami przeplecione warkocze wzlatywały; złote monety podskakiwały na śniadych piersiach tych cór natury a białe zęby lśniły z otwartych na pół znużeniem tańca warg ich purpurowych.

— Przypatrz się no pan, jednej z nich, tej najwyższej — szepnął mi Belzoni... Jeżeli masz dobrą pamięć, to niepodobna żebyś tej smagłej nie poznał czarownicy!... Przyjrzyj się no pan tylko tej dzikości! Kot tej giętkości i zwrotności nie posiada! Patrz pan jak się w biodrach kołysze, jak jej czarne błyszczą oczy... Musisz ją przypomnieć sobie!

Olbrzymi wrzask radości widzów przerwał mu. Wołano da capo, bo taniec się skończył. Rozgrzane dziewczęta stały podparłszy się w boki, czarnemi swemi oczyma lustrując publiczności masę.

W istocie mi się zdawało, że jakaś iskra przypomnienia zalśniła w mojej pamięci — alem szukał napróżno.

I znowu taniec się rozpoczął, dzikszy jeszcze niż pierwej, a ja wciąż jeszcze szperając w mej pamięci, wpatrywałem się w najładniejszą z dziewcząt.

— Cóż przecie?! Przypomnij że pan sobie! — zawołał mój sąsiad, gdy czardasz nagle zamilkł, i cygańska par czwórka znikła za kulisami. Przecież ją pan także niegdyś widział! Wszyscy za nią w Widdyniu upędzali się i pozdrawiali ją!.. Tożto Maszeńka starego Szilowicza piękna córeczka.

— Maszeńka?.. I tu?.. zawołałem, z zadziwieniem spojrzawszy na mego sąsiada... Ależ to niemożebne! Bogatego Szilowicza piękna córunia... i w tej bandzie!..

— A jednak tak jest!.. i jakiekolwiek by było zdziwienie pana, to ona sama, niezaprzeczenie! Przypomnisz pan sobie może — a w każdym razie ja opowiadałem o tem panu, — że dziewczyna ta z młodym angielskim ochotnikiem, synem konsula brytańskiego na Morzu czarnem, uciekła!

Istotnie przypomniało mi się to zdarzenie.

— Chodź pan... Nic tu zresztą dla nas nie przedstawia interesu.

I z temi słowy pociągnął mnie za sobą ku wyjściu, Belzoni.

— I to także ciekawa kobieca dola ciągnął dalej— gdyśmy szli już ulicą. Ujrzawszy po raz pierwszy piękną Maszeńkę na tej scenie, udałem się do dyrektora któremu oświadczyłem, że pragnąłbym z nią pomówić. Maszeńka przybyła z najnaturalniejszą miną. Dałem jej się poznać, niemogła mnie bowiem sobie przypomnieć, nie widząc na mnie uniformu, w którym mnie zwykle widywała; naprowadzona jednak na drogę; przypomniała sobie jak najdokładniej.

— Ależ jakim sposobem, ona, bogatego cygana dziecko, dostała się do tej bandy — spytałem.

— Ba, — stało się to tak, jak się najczęściej z dziećmi bogatych rodziców dzieje. Kochanek jej przywiózł ją do Londynu, i opuścił ją tu, bez środków utrzymania. W tej pozycji wpadła w ręce dyrektorowi tej trupy, któremu tak piękna cyganka naturalnie pożądanym kąskiem była.

— Ale cóż na to jej ojciec?

— Nie wiem, co się z nim stało. Nie leży to w cygańskiej naturze bardzo się troskać dziećmi, a i one zbyt wielkiem przywiązaniem do rodziców się nie odznaczają.

— Czujeż się jednak ona zadowoloną w takiem towarzystwie?

— Zdaje się, że zupełnie! Gdyby chciała, mogłaby niewątpliwie powrócić do domu, bo stary przysłałby jej na to chętnie pieniędzy... Ale ma wstręt do powrotu „przez wielką wodę“ jak się wyraża. Oprócz tego lubuje się w różnobarwnych, błyszczących szychem strojach, — nie wie, za co ją tutaj uważają, czuje się pozornie szczęśliwą, i tak bogatego cygana piękne dziecko pójdzie na marne.

W kilka dni potem pożegnałem mego przyjaciela. Niechętnie się rozłączałem ze szczęściem, które tak silnie jego z żoną związało... Zbliżyliśmy się ze sobą najserdeczniej, musiałem im przyrzec, że powrócę do Londynu na zimę.

Dwa lata jednak przeszło nim mogłem powrócić. Gdym spytał o Belzoniego nic nikt o nim nie wiedział... Wreszcie dowiedziałem się przynajmniej, gdzie się znajduje obecnie.

Od roku już przeniósł się z żoną do Ameryki. Erwina bowiem sprzedała korzystnie dobra posiadane w Węgrzech i za ich wartość oboje w Stanach zjednoczonych znaczną posiadłość nabyli.

O Maszeńce nic już usłyszeć nie było można. Na tem samem miejscu, na którem ona Czardasza tańcowała, szalał obecnie kankan francuzki, wśród takich samych oklasków. Ją zaś, która się tak „wielkiej wody“ obawiała pochłonął niezawodnie ten Ocean Londyńskiego życia, na dnie którego tyle już ofiar leży.

KONIEC.

WENECJA.

(Z notatek rysownika.)

(Dokończenie.)

Powoli dzieli czarny łabędź fale i kołysząc łagodnie, pełną uroczych widoków niesie nas drogą. Oto stoją wokół stare pałace, cudnej struktury, z których komnat niegdyś tyle przypychów, bogactw i piękności spoglądało.

Nieznużonym głosem wykrzykuje gondoljer za nami nazwiska mijanych pałaców, świetne, rozgłośne imiona, pokryte pleśnią czasu i ruiny. Niektóre tylko z tych paradnych pomników złotej przeszłości utrzymane są odpowiednio do piękności i godności swojej. Na innych widać naprawki i przybudowania mające minę nędznej łataniny, wobec świetnych szczątków, do których je przylepiono.

Ruch na kanale przyciąga i interesuje mocno uwagę: bez ustanku przerzynają go otwarte i nakryte barki — szkoda tylko, że wszystkie czarne, jak tego chce starożytny przepis władzy; rządowe jednak barki np. królewskiej poczty i tym podobne różnią się od zwykłych, barwą.

Przewoźnik mój zawiadomił mnie, iż za chwilę wyruszy na kanał kondukt pogrzebowy dostojnej jakiejś damy. Pewny, że będzie to ciekawe widowisko, postanowiłem go nie opuścić — i wkrótce wraz z wielu innemi cudzoziemcami ujrzałem rozpoczynającą się uroczystość pogrzebową. W przednim podwórcu starego patrycjuszo-

wskiego pałacu stała gromadnie rodzina, urzędnicy pogrzebowi, służba, duchowieństwo, oficerowie, mieszczanie i t. d. Po chwili, tragarze w osobliwych czerwonych płaszczach, mając po za sobą orszak z pochodniami wynieśli bogato ozdobioną trumnę z pałacu na brzeg kanału i złożyli ją na wspaniale obwieszoną makatami i złotem strojną barkę. Orszak pogrzebowy z księdzem na przedzie, zajął miejsca w mnóstwu gondolach, i tak cały kondukt, poprzedzany przez muzykę pułku piechoty, majestatycznie posuwał się po fali. Było coś w tem nadzwyczaj uroczystego. Zapełniony tłumnie kanał, ruch na prawo i na lewo — a przy tem wszystkiem głęboka cisza. Tylko żałobna muzyka po szerokiej przestrzeni wodnej pełne, przenikające duszę rozsyłała dźwięki. Zwykle puste balkony domów nad kanałem, ożywiły się czarnookiemi damami i kruczowłosą dziatwą, śledzącemi ciekawie za pompatycznym konduktu pochodem; a stanowiącemi sami widok równie ciekawy i uroczy.



„W akademii“ kopistka.

Przy moście „Rialto“ orszak żałobny powiększył się znacznie, istny natłok większych i mniejszych gondol, zbił się w jedną gromadę. Głowa przy głowie cisnęły się tłumy ludu na mostowym łuku, z tą żywością i ruchliwością, która nam mieszkańcom północy wydaje się tak osobliwą a dla malarza jest niewyczerpaną studjów krynicą.



Wenecja. Żebrak przy gondoli.

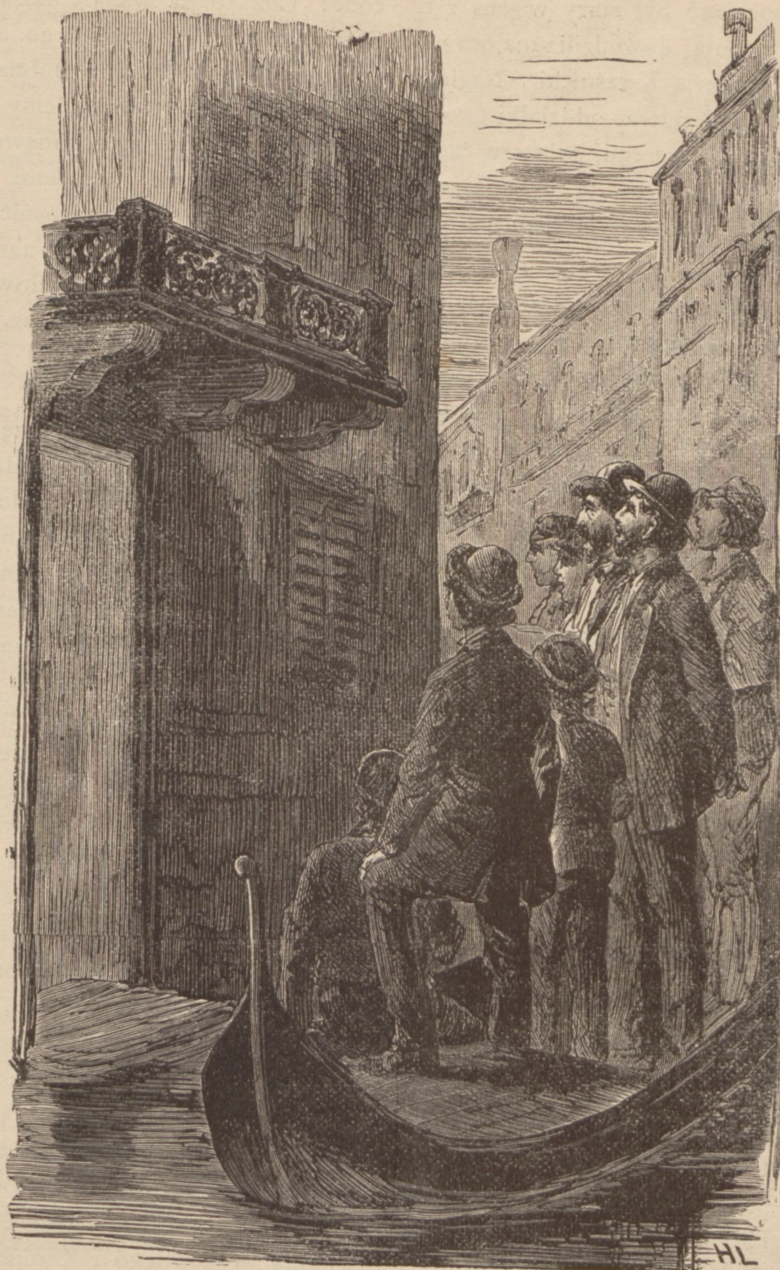
Dopóki orszak pogrzebowy posuwał się wielkim kanałem, ciągnęły za nim i tłumy w gondolach; lecz gdy skręcił w jeden z wąziutkich , bocznych kanalików, przerzedziło się po za nami — i pozostali jedynie ciekawi cudzoziemcy i ja w ich liczbie. Wązkie kanały z posępną architekturą i zapadłymi portalami swych pałaców, nadały teraz pochodowi naszemu koloryt iście romantyczny. Dym od pochodni wspinał się po czarnych murach, z małych mostków i z wysokich okien spoglądały na nas ciekawe tłumy. Poczem znów rozszerzyła się droga, miasto się skończyło i żaden mur już nie tamował szumiących fal Adryi... Czyż umarłą oddadzą morzu? Lecz nie... oto tam, w oddaleniu opłukują fale wielki obmurowany czworogran — to „Campe Santo,“ cmentarz Wenecji. Tam podążał pochód. Musiałem się z nim rozłączyć i powrócić do miasta.

Zwiedzałem je całemi godzinami, nigdy nie mogąc się dostatecznie nasycić. Obejrzałem wszystkie kościoły pełne skarbów i sztuki drogocennych pamiątek. Tylko

krzycząca nędza żebraków wyciągających ręce u drzwi kościelnych, dysonansem moje uwielbienie zamącała.

Zabawną jest rzeczą widzieć, jak młodzi i starzy próżniacy udają, iż, czemś się przecież zajmują. Gdziekolwiek się wstępuje lub wychodzi z gondoli, widzi się natychmiast postać w łachmanach, która kijem, a raczej znajdującem się na nim hakiem, pomaga przyciągnąć lub odepchnąć gondolę, trud bez któregoby się łatwo obyło, a za który zawsze solda zapłacić trzeba.

Tylko przelotnie miałem czas obejrzeć wszystkie ciekawości miasta; a najwięcej godzin zachowałem na zwiedzenie „Akademii“ i te mi najwięcej sprawiły rozkoszy. W wielu salach gorliwie kopjowano; Wenecja zdaje się całą armję kopistów chować w swojem łonie—których znaczna część do płci pięknej należy. Obok znanych genjalnych, lokami strojnych starych panien, ujrzeć można w salach akademii niejedną prawdziwą pięk-ność, która największego nawet amatora sztuki, przy oglądaniu arcydzieła, w roztargnienie wprawić może. Wieczorem, przy poźnym objedzie, doznałem miłej niespodzianki. Chór męzki, stanąwszy pod hotelem przesyłał z wód kanału do nas czarujące włoskich pieśni tony. Nie byli to trubadury w kapeluszach z pióropuszem i rycerskim płaszczu tajemniczo zarzuconym; tylko ubodzy synowie adrjatyckiej Syreny, którzy odziedziczywszy po matce swojej piękne choć niewyrobione głosy, wśród ciszy nocnej, miękkie rozmarzone włoskie kanzony echom posyłali.



Wenecja. Chór śpiewaków przed hotelem.

Jeszcze raz spiesząc na kolej z powrotem, rzuciłem wzrok na leżący w mroku nocnym plac Św. Marka, na lśniące się przepyszne sklepy pod jego arkadami, na tłumy ludzi mrówiące się pomiędzy niemi, na kruczowłose kobiety, wieże, ciemne mury pałaców i wstępując do wagonu zawołałem z głębokiem westchnieniem żalu... Addio, boska Wenecjo.

BITWA POD RADZIWIŁOWEM.

W bitwie tej udział brała przeważnie młodzież Galicji, sądzę przeto że opisanie jej przez naocznego świadka nie będzie pozbawiona pewnego interesu.

Oddział jenerała Wysockiego, składający się z 800 ludzi piechoty i 200 kawalerji zaczął zbierać się w berlińskich lasach 27. czerwca 1863 roku. Była pewność, że nikt nie przeszkodzi organizacji oddziału byle ta postępowała szybko i nie dłużej jak trzy do cztery dni. Przybyłem do oddziału 30. czerwca z dalekich stron i nie miałem tam nikogo znajomego. W obozie był niesłychany nieład i nieporządek. Większa część powstańców nie była jeszcze przydzielona do żadnej kompanii, nie otrzymała broni i chodziła po

lesie nic nie robiąc. Co chwila nadchodziły fałszywe wieści, że wojsko austrjackie jest już uwiadomione o naszem obozowisku i niebawem pokaże się dla rozbrojenia oddziału. Szefem sztabu jenerała Wysockiego był stary wiarus z r. 1831 pułk. Domagalski. Piechotą dowodzili majorowie Mroczkowski i Ordęga, a Kawalerją Kwaśnicki. Nagleni przez Wysockiego dowódcy, zaczęli zbierać oddziałki swoje, musztrować i uczyć chodzić w szeregu, większa część z nich nie otrzymała jeszcze broni, bo ta była jeszcze w pakach, a ci co ją mieli, to z małym wyjątkiem nie byli obznajomieni z jej użyciem.

W nocy 30. czerwca młode wojsko zostało zaalarmowane dwoma wystrzałami, jednym w obozie, a drugim na wedetach, tak że część nocy przeszła w niespokojnem oczekiwaniu zbliżenia się wojsk austrjackich. O świcie 1. lipca wszystko stanęło na nogi i zaczęła się dość energiczna praca uzbrajania ludzi. Stuk młotów w polowej kuźni, gdzie osadzano kosy i groty na lance, ostrzenie szabel, rżenie koni i musztra powstańców, zlały się w jeden hałas wojenny.

O szóstej z rana Wysocki zwołał radę wojenną z dowódców i oddał im odpowiednie rozkazy. Dowiedziawszy się od kogoś że w oddziale jest były oficer wojsk moskiewskich, po naradzie wezwał mnie do siebie i razem poszliśmy opatrywać obóz.

— Powiedz mi panie, rzekł, czy Moskale dobrze umieją bronić miasta.

— Tak jest jenerale; w bitwie pod Czetati, w 1854 roku cztery tysiące ich wojska zwycięzko oparły się 26 tysięcom tureckiej armii.

— Więc będziesz mi odradzać zapewnie zaatakowania jakiego pogranicznego miasta dla podniesienia łatwem zwycięztwem ducha młodego wojska.

— W rzeczy samej panie jenerale, bo gdyby atak nieudał się, demoralizacja z tego wynikła, mogłaby mieć fatalne następstwa. Według zdania mego, najlepiej forsownym marszem posunąć się na północ ku lasom Polesia, żeby zostawić za sobą granicę jak można najdalej. Wtedy młody żołnierz, widząc niebezpieczeństwo otaczające go ze wszystkich stron będzie trzymać się gromady, pozna bliżej swych dowódców, a przy unikaniu bitwy z początku włoży się do marszu, do istoty partyzantki, oswoi się z bronią, nabierze ducha i wydobędzie z siebie energję, którą obudza niebezpieczeństwo, tak, że potem straty i klęski nie zdemoralizują go.

— Powiem panu otwarcie że myślę zaatakować Radziwiłów. Według pewnych wiadomości jest tam rota piechoty linjowej, rota inwalidów, szwadron dragonów i kilkudziesięciu objeżczyków. Wzięcie miasta ze wszystkiemi wojskowemi składami tam znajdującemi się wywrze dobre wrażenie na kraj i na oddział. Jednocześnie z nami uderzy na Radziwiłów oddział Miniewskiego i oddział Horodyńskiego: udać się musi.

— A jeżeli się nie uda? — to wszystko będzie stracone! Cóż to za wielkie korzyści osiągniemy wziąwszy Radziwiłów? We cztery godziny potem zdążą Moskale w przeważnych siłach z Dubna i ze Starego-Konstantynowa na odsiecz i zostaniemy nazad wyparci za granicę austrjacką. Wtedy gdy posunąwszy się na północ, gdybyśmy nawet byli ścigani znacznemi siłami, możemy przedrzeć się w lubelskie i tam wzmocnić powstanie miejscowe.

— Chodź ze mną do namiotu, pokażę panu na mapie mój plan ataku Radziwiłowa, pewnie zmienisz zdanie swoje. Oto, jak pan widzisz, rzekł, gdyśmy usiedli na ziemi i rozłożyli mapę przed sobą, oddział nasz zaatakuje miasto z południowej strony. Przy pierwszych strzałach Horodyński rzuci się na stronę północną i przetnie odwrót Moskalom. Jakże to pan znajdujesz?

— Nie mogę zrobić żadnego zarzutu co do samego ataku miasta, ale według zdania mego nie należy odważać się na bitwę przy samej granicy, z obawy bardzo smutnych następstw. Sądzę że plan który przedstawiłem panu jenerałowi jest najlepszy, i ja bym tak postąpił gdybym był dowódcą, tem więcej, że niemam wielkiego zaufania do skombinowanych ruchów, które najczęściej nie udają się.

— Już odwołać tego nie można, bo wszystkie rozporządzenia zrobione, i rozkazy wysłane, odrzekł jenerał Wysocki, widocznie niezadowolniony, żem nie pochwalił planu jego. Na tem skończyła się nasza pierwsza rozmowa i ja wróciłem do namiotu mego.

O dziewiątej z rana nastąpiło poświęcenie broni i chorągwi przez kapelana obozowego. Przywykłszy do służby w regularnem wojsku, ze smutkiem patrzyłem na niedostateczne uzbrojenie naszych powstańców, na brak wszelkiej wiadomości sztuki wojennej, przewidując ile z tych ludzi zginie jedynie dla braku wojskowego wykształcenia i nieznajomości, że tak się wyrażę, abecadła koniecznego dla każdego żołnierza. Scena poświęcenia i rozdania chorągwi, nabożeństwo obozowe, przemowa jenerała Wysockiego i Komisarza rządu narodowego rozczuliła wszystkich do głębi. Każdy czuł w sobie siły do największego poświęcenia ale entuzjazm jest rzeczą chwilową; prawdziwą zaś siłę wojska daje tylko dobra organizacja i odpowiednie wykształcenie — a tych u nas nie było.

O godzinie 11 zaczęto rozdawać ludziom ostre ładunki i broń którą kończono naprawiać w improwizowanej obozowej kuźni. Każdy miał pracy bardzo wiele, bo musiał sam myśleć o sobie, gdyż chwila wymarszu mogła nastąpić co chwila. Późne rozdanie broni było przyczyną, że nie było czasu pokazać ludziom, jak ją nosić potrzeba i jak używać.

Około godziny trzeciej po południu broń już była rozdana i ludzie zostali wcieleni do kompanij. Wtedy za-

ledwo przystąpiono do gotowania objadu i do posiłku, którego potrzebę czuliśmy wszyscy dotkliwie. Zaledwo rozniecono ognie i nastawiono kotły, rozległ się strzał na awanpostach, a następnie komenda: „do broni“. Austrjackie wojsko zbliżało się i patrol huzarów węgierskich już się pokazał w lesie. Potrzeba było albo wyruszyć natychmiast, albo dać się rozbroić. Zebraliśmy się więc prędko, rzuciliśmy niedogotowany objad austrjakom, którzy postępowali za nami i skierowaliśmy się ku granicy. Jenerał Wysocki mając zamiar zaatakowania Radziwiłowa o czwartej z rana i oddawszy odpowiednie rozkazy oddziałom Horodyńskiego i Miniewskiego, organizującym się w innych miejscach, musiał manewrować tak, żeby nie przekroczyć granicy przed czasem i nie zaalarmować moskali, dopóki ruch skombinowany nie będzie ukończony. Wybrał więc okólną drogę mimo wioski Berlina. Maszerowaliśmy do zmierzchu, mając ciągle austrjaków na piętach. O godzinie 10 wieczorem zatrzymaliśmy się cokolwiek, żeby spocząć i posilić się. Ulewny deszcz, burza z piorunami i zmrok nie pozwoliły zająć dobrego miejsca dla odpoczynku. Stanęliśmy więc jak kto mógł, zadowalniając się chlebem i sucharami, które zabraliśmy z sobą. Lecz i ten mały odpoczynek był przerwany rozdawaniem ostrych ładunków, których jeszcze nie otrzymali wszyscy.

W północ wyruszyliśmy znowu w drogę. Noc była pochmurna, dżdżysta i ciemna, tak, że o kilka kroków nic widzieć nie mogliśmy. Przyszło iść w bród przez jakąś rzeczkę, a potem przez takie bagniste miejsca, że dla wyciągnięcia fur naszych, które zagrzęzły w błocie, potrzeba było użyć pomocy już bardzo zmęczonych ludzi i wyprzęgać konie z jednych wozów, a przyprzęgać do drugich. Wszystko to tak opóźniło nasz ruch, że po piętnastogodzinnym marszu stanęliśmy pod Radziwiłowem dopiero o 7 godzinie z rana. O Horodyńskim i Miniewskim nie było żadnej wiadomości.

Młodzi żołnierze byli zmęczeni nadzwyczajnie; jednak Jenerał Wysocki natychmiast kazał dwóm kompanjom strzelców zająć lasek pod Radziwiłowem i jeżeli można zasięgnąć języka. Strzelcy szybko przebiegli lasek i złowili moskiewskiego Majora von Taube z jednym objeżczykiem. Major stchórzył okropnie nie wiedząc jaki los go czeka. Blady, drżący i przestraszony na zapytanie nasze odpowiedział, że w Radziwiłowie znajduje się tylko dwie roty regularnej piechoty (400 ludzi), rota rekrutów, rota inwalidów, szwadron kargopolskiego dragońskiego pułku i kilkudziesięciu objeżczyków t. j. zwyż 100 ludzi; potem pan major płaczliwym głosem zaczął mówić że on zawsze kochał Polaków, zawsze mawiał że należy im dać tego co żądają, że się zawsze dobrze obchodził z podwładnymi swymi a na dowód tego ostatniego faktu odezwał się do wziętego z nim razem objeżczyka, „a ty powiedz panom polakom czy cię kiedy biłem po mordzie?

— Nikak niet! odpowiedział żołdak. Aż obrzydliwie było patrzeć na tego podłego tchórza.

Siły moskiewskie równały się siłom naszego oddziału, ale rachując na pomoc Horodyńskiego i Miniewskiego, z których każdy miał mieć do 300 ludzi, pomimo bardzo dobrej pozycji którą zajmowali moskale, można było odważyć się na atak. Na komorze celnej wojsko nasze posiliło się cokolwiek i odpoczęło godzinę. W czasie odpoczynku, przejęto na poczcie raport dowodzącego oddziałem moskiewskim w Radziwiłowie półkownika Kreujtera, w którym donosił swemu przełożonemu o siłach naszych i planach według wiadomości otrzymanych od konsula w Brodach, od osób wojskowych i od władz politycznych austrjackich, którym wyrażał wdzięczność za szczegółowe komunikowanie mu o ruchach i sile powstańczych oddziałów.

Potrzeba było przyspieszyć atak, póki nie nadeszła odsiecz jeszcze Radziwiłowowi. Zerwawszy drut telegraficzny oddział posunął się naprzód i przeszedłszy las leżący w prawo od gościńca rozpoczął atak na lewe moskiewskie skrzydło, które zajęło przedmieście zwane Lewiatynem. Jak tylko wysunęliśmy się z lasu, kule posypały się jak grad. Dowódca piechoty Mroczkowski spadł z konia ranny w kolano, a z nim około czterdziestu innych. Młode wojsko przerażone takim początkiem cofnęło się do lasu i zaczęło formować się na nowo; strzelcy zaś dopadłszy domów zajęli się wypędzaniem moskali z tamtąd, owładnęli mostem przerzuconym przez błotnistą rzeczkę i rozsypawszy się w tyraljerkę zaczęli ognistą rozmowę z nieprzyjacielem. W jednym z bliskich domów moskale zasiedli na strychu i z tamtąd razili naszych, strzelcy podpalili słomianą strzechę i w pół godziny budynek spłonął ze wszystkiemi co się w nim schronili.

Jenerał Wysocki posłał na bagnety 3 i 4 kompanję strzelców Krzyżanowskiego i natychmiast kilkanaście trupów moskiewskich pokryło ziemię; na wzmocnienie ich posłano także 25 kosynierów. Ten mały oddzialik popędził moskali przed sobą i tak nastraszył ich, iż pomimo płazowania szablami przez oficerów nie chcieli wyjść z za domów; jednak z tej garstki dzielnych kosynierów w czasie ataku zginęła połowa. Lewjatyn był wzięty, ale w tej chwili Wysocki otrzymał wiadomość że Horodyński zaatakował miasto o czwartej z rana, że został rozbity i i sam zginął jeden z pierwszych, a oddział poszedł w rozsypkę. Tymczasem piechota stojąca w lesie pod dowództwem Ordęgi, z powodu gradu kul sypiących się ze wszystkich stron tak się zdemoralizowała, że nie było możności ruszyć ją z miejsca na pomoc strzelcom. Dla dopełnienia nieszczęścia zaczął padać taki deszcz ulewny że wkrótce ładunki strzelców zamokły, bo większa część ładownic była płócienna. Straty nasze były znaczne, szczególnie w oficerach. W samym sztabie jenerała Wysockiego padło

czterech. Widząc niemożność z tak małemi siłami wypędzić moskali z mocnych pozycyj, jenerał kazał strzelcom usunąć się do lasu, a sam pojechał do rezerwy żeby obudzić w niej ducha i wyprowadzić w pole do nowego ataku. W tej chwili jeden ze sztabu Wysockiego przyleciał do kawalerji wołając, że Wysocki zdobywając chałupy został ranny. Szef sztabu pułkownik Domagalski pojechał objąć po nim dowództwo, lecz zaledwo pokazał się z lasu dostał dwie rany w rękę i w nogę. Wysocki przekonawszy się, że rezerwy niepodobna wyprowadzić w pole, zrospaczony wyjechał w narożnik lasu dokąd najwięcej strzałów padało i tam się zatrzymał widocznie szukając śmierci. Byłem przy nim ciągle. — Widząc go bezczynnym i nie wydającym żadnych rozkazów zapytałem co zamyśla robić dalej? Na to Wysocki mi odpowiedział: „czy też ja kuli dla siebie nie znajdę“! Ta odpowiedź oburzyła mnie.

— Niemasz prawa jenerale szukać śmierci, będąc odpowiedzialny przed krajem za tak liczny oddział. Nic jeszcze nie stracono. Atak nie udał się, lecz możemy zawsze zrobić to, co radziłem wczoraj z rana.

— Domagalski jest ranny, robię cię szefem sztabu na miejsce jego, idź i rozporządzaj się. Natychmiast skoczyłem do tyraljerskiego łańcucha, nakazałem zaprzestać ognia i cofnąć się ku komorze celnej, gdzie znajdowali się nasi ranni. Straty nasze w tym pięciogodzinnym boju były bardzo znaczne. Cała przestrzeń między miastem i laskiem była pokryta zabitymi i rannymi: krew świeża parowała w powietrzu, bagnety, szable, kosy i karabiny połamane leżały na ziemi. Atak nasz jednak, pomimo małych sił z jakiemi go prowadzono, był tak imponujący, że moskale nie śmieli wysunąć się z miasta za nami. Natychmiast po wyprowadzeniu oddziału z lasu kazałem ludziom zakąsić i pokrzepić się kieliszkiem wódki, a zarazem postawiłem oddział tak, żeby mógł spocząć, będąc w zupełnej gotowości do boju. O Miniewskim nie było żadnej wiadomości, a Wysocki chciał się z nim połączyć koniecznie przed posunięciem się w głąb Wołynia.

O godzinie pół do czwartej otrzymaliśmy wiadomość że już nadciągają posiłki moskalom z Dubna i Krzemieńca. O czwartej pokazała się nieprzyjacielska pikieta. Przyjąć walkę ze świeżemi siłami nieprzyjaciół, wtedy gdy żołnierz był tak zmęczony, że zaledwo stał na nogach, było rzeczą niepodobną. Wyruszyliśmy więc z miejsca w porządku nie ku północy jak ja proponowałem, lecz ku południowi na połączenie z oddziałem Miniewskiego. Nieprzyjacielskie patrole posuwały się za nami. Marsz ten trwał do 8 wieczorem. Ludzi byli tak znużeni że iść dalej nie mogli; potrzeba było znowu dać odpoczynek. Rozlokowałem wojsko na wzgórzu w lesie w bardzo dobrej pozycji. Tu otrzymaliśmy wiadomość, iż z powodu niedokończonej organizacji oddział Miniewskiego wystąpić jeszcze nie może. W oddziale naszym w tej chwili było tylko 500 ludzi i po 10 ładunków na karabin. Żołnierze byli tak zmęczeni że padali na ziemię i zasypiali; ani rozkazy, ani bliskość nieprzyjaciela nie wstanie była obudzić ich z tego stanu letargicznego. Spał oddział, spały warty i awanposty. Po 28 godzinnym marszu i 5 godzinnym boju potrzeba było przynajmniej 24 godzin odpoczynku. Zostać na wybranej pozycji znaczyło narazić oddział na niechybną zgubę, gdyż siły moskali pod Radziwiłowem w dwie godziny po rejteradzie urosły do 4 tysięcy piechoty z 8 działami. Droga na północ już była przecięta, iść zaś dalej na południe było nierozsądnem, bo dalej zaczynała się miejscowość zupełnie otwarta, gdzie kawalerja moskiewska mogła nas osaczyć i zagłodzić. Cóż zostawało innego zrobić jak przekroczyć granicę na powrót, a schowawszy broń i zaoszczędziwszy ludzi mieć możność znowu wystąpić do boju przy szczęśliwszych okolicznościach. Wysocki zawezwał radę wojenną i zasięgnąwszy opinii dowódców, tak też i zrobił. Przeszedłszy granicę zatrzymaliśmy się w jednym szlacheckim dworku, gdzie złożyliśmy broń i zostawiliśmy konie nasze. Ludzie zaś rozproszyli się po wschodniej Galicji dążąc do nowotworzących się oddziałów.

POGADANKA.

(Słówko o pięknej pogodzie. — Jeszcze się taki Maj nie urodził, coby wszystkim dogodził. — Złe humory dyrekcji lwowskiego teatru. — Rozwiązanie opery polskiej we Lwowie. — Wyjazd artystów lwowskich do Warszawy. — Komisja konkursowa im. Al. hr. Fredry, i premjowane sztuki. — Konkurs dramatyczny w Krakowie. — Pani Helena Modrzejewska. — Śpiewnik polski. — Kronika polska. — Kołomyjskie Ogniwo. — Nowe publikacje. — Wystawa Matejki w Warszawie. — Francuz o Matejce. — Polska na wystawie paryzkiej. —

Jeżeli się nie wie od czego się ma zacząć rozmowę, to się zaczyna od pogody. I ja więc także; trzymając się tego starego prawidła, zacznę dzisiejszą mą pogadankę od tego tematu, konstatując tutaj, że Maj tegoroczny, darząc nas stale najpiękniejszą pogodą, zasługuje sobie na pochwałę wszystkich tych, którzy lubią rozkoszować się świeżem powietrzem, słońcem i zielenią. Maj to jak gdyby umyślnie dla festynów i majówek stworzony, — i chyba tylko jedna dyrekcja teatru może mieć żal do niego z tego powodu, co jednakże złych jej humorów, o których w ostatnim czasie wiele było gadania bynajmniej nie usprawiedliwia.

Pomijając inne objawy tego złego humoru, niesposób mi tu przemilczeć o zwinięciu opery, którem nam dyrekcja zagraża, a które nietylko dla naszego miasta, ale i dla całego kraju byłoby krzywdą wielce dotkliwą, każdy bowiem przyzna że istnienie opery polskiej we Lwowie jest niezmiernie ważnem dla rozwoju narodowej sztuki, i że utrzymanie jej jest świętym obowiązkiem całego kraju, a w pierwszym rzędzie dyrekcji, która tę instytucję do życia powołała. Zachodzi przytem jeszcze pytanie, czy obok tego patrjotycznego obowiązku nie istnieje jeszcze i inny? Za czasów skarbkowskiego przywileju ciężyła na scenie niemieckiej powinność utrzymywania opery, która przy pomocy subwencji świetne nawet miewała czasy, i — dosyć wspomnieć Draalera, Jenny Ney, Hammermustrową i innych — do najlepszych w Austrji należała. Staraliśmy się wszelkiemi siłami o zniesienie sceny niemieckiej, cośmy też rzeczywiście osiągnęli, a scena polska wchodząc w prawa sceny niemieckiej, przyjęła tem samem w obec publiczności obowiązki na teatrze niemieckim dotychczas ciężące, — obowiązki wobec zniesienia przywileju niedające się umotywować w sposób jurydyczny, niemniej jednakże, jasne i niezaprzeczalne, chociaż moralnej tylko natury będące. Gdyby więc zwinięcie opery we Lwowie stało się faktem, natenczas nicby nas nie mogło usprawiedliwić z słusznego zarzutu, że tylko burzyć, a nie budować umiemy i że naród nasz rzeczywiście w połowie do Azji należy, jak nam to zarzucał p. Franzos w Nowej Pressie.

Niezawodna rzecz, że utrzymanie opery jest wielce kosztowną rzeczą, dlatego też powinna reprezentacja kraju przyjść dyrekcji w pomoc większą subwencją; — z drugiej strony powinna dyrekcja działać oszczędnie i nie robić kosztownych eksperymentów z lichymi włoskimi śpiewakami, co ją tego roku na tak znaczne straty naraziło. — Narzekanie na obojętność publiczności jest wcale niesłusznem, — niezaprzeczoną jest rzeczą, że podczas gdy na drugiem lub trzeciem przedstawieniu teatr najczęściej pustym bywa, opery takie jak „Aida“ jak „Straszny dwór“ zawsze licznych ściągają widzów. Dowód to niezbity, że publiczność nasza lubi operę, chodzi tylko o to, by zręcznie zasilać repertoarz.

Nie mniej przykrą dla miłośników sceny narodowej niespodzianką jest rozporządzenie dyrekcji, w skutek którego Lwów pozbawionym zostanie przedstawień scenicznych przez czas trzech miesięcy. Powiadam niespodzianką, jakkolwiek bowiem od dawna już zapowiadano ten smutny wypadek, to jednakże, nikt nie chciał wierzyć, ażeby się dyrekcja dopuściła podobnego zamachu stanu. Nic dziwnego! Było to rzeczą dotychczas w analach lwowskiej sceny niepraktykowaną, ażeby dyrekcja dla zaoszczędzenia gaży artystom należnej, udzielała im urlopu na czas „ogórkowego sezonu“, nie troszcząc się tem bynajmniej z czego żyć będą w tym czasie, zdani na łaskę Bożą i przemysł własny, aktorowie. Nie chciano więc temu wierzyć, ażeby dyrekcja, która przez rok cały ciągnie zyski z pracy artystów, nie poczuwała się w obec nich do żadnego obowiązku, i odrzucała ich w trudniejszej chwili, tak jakby wycisniętą cytrynę, — a najmniej już spodziewano się tego po obecnym dyrektorze p. Dobrzańskim, który — jak wiadomo — nie dla spekulacji, lecz tylko z zamiłowania dla dobra ojczystej sztuki i z poświęcenia dla dobra narodowej sceny, objął dyrekcję lwowskiego teatru. Tymczasem to, czego nikt nie chciał przypuszczać stało się faktem. Dnia 28. maja odjechał porannym pociągiem pan Terenkoczy ze znaczną częścią naszego teatralnego personalu na występy do Warszawy, gdzie w jednym z letnich teatrzyków rozpocznie przedstawienia dnia 1. czerwca. W artystycznej tej podróży nie biorą udziału pp. Ładnowscy, Dobrzańscy, Fiszer, Zamojski, Parżnicka, Nowakowska, Lubicz, Dębicki i kilku innych. Jest więc jeszcze nadzieja, że nie będziemy zupełnie pozbawieni widowisk scenicznych przez cały czas pobytu artystów naszych w Warszawie, — pozostali bowiem we Lwowie, mają — jak słychać — zamiar dawać od czasu do czasu przedstawienia w sali mieszczańskiego kasyna. —

Pan Stanisław Dobrzański, i pani Zimajer zdobyli sobie występami swemi w Krakowie gorące pochwały tamtejszej prasy, która zaszczytnie podnosi prawdę, swobodę, dowcip i szlachetność gry naszych artystów. Obecnie — jak donoszą dzienniki — ma się p. S. Dobrzański udać na wystawę do Paryża, gdzie zamierza zawiązać stosunki z autorami dramatycznemi, w celu bardzo obecnie pożądanego ułatwienia zakupu sztuk francuzkich, dla scen naszych, — jak bowiem wiadomo nie bywają od pewnego czasu nowe sztuki francuzkie, drukowanemi, i jest pozyskanie ich z tego powodu z wielkiemi połączone trudnościami. —

Konkurs dramatyczny imienia Aleksandra hr. Fredry został dnia 17, maja przez drugą komisję rozstrzygnięty. Pierwszą nagrodę (700 złr.) otrzymała pięcio aktowa komedja p. t. „Artykuł 264“, drugą (300 złr.) komedja w trzech aktach wierszem: „Uproszone zaloty“, których to obydwu sztuk podaliśmy w Strzesze rozbiory swojego czasu. Autorem „Artykułu 264“ jest znany dramaturg, i redaktor Wieku w Warszawie pan Kazimierz Zalewski, — autorem „Uproszonych zalotów p. Kajetan Kraszewski, brat Józefa. Wieczorem tegoż dnia przedstawiono obiedwie nagrodzone sztuki, niestety przed dosyć szczupłą publicznością, a pomiędzy jedną i drugą ogłoszono ze sceny nazwiska autorów. Publiczność przyjęła to ogłoszenie hucznemi oklaskami, a orkiestra fanfarą.

Sprawozdanie z czynności swoich ogłosiła komisja konkursowa w dziennikach, i z niego to dowiadujemy się, iż ogółem nadesłano na konkurs ten sztuk 32, z pomiędzy których 25 tylko warunkom konkursu, a trzy jeno wymogom scenicznego przedstawienia odpowiadało. „Ogólny rezultat konkursu nie jest więc — przyznaje komisja — tak świetnym, jak się można było spodziewać po nowej jego formie, tak budzącej zaufanie, i tak zdolnej zachęcić najlepsze siły do wzięcia udziału w konkursie. Być może wprawdzie, że właśnie nowość formy powstrzymała niektórych konserwatywnie usposobionych autorów od wzięcia udziału; — wierzymy jednak że skoro się praktyczność tej formy w pełnym jej blasku okaże, to na przyszłość i nowość formy nie będzie nic w sobie miała niepokojącego, i można będzie większe osiągnąć rezultaty. W każdym razie tego rocznego rezultatu nie można wcale nazwać niepomyślnym, i jeżeli go porównamy z rezultatami niektórych innych konkursów dramatycznych, tak polskich, jak obcych (mamy tu na myśli ostatni konkurs dramatyczny wiedeński) w szczególności zaś i rezultaty dwóch poprzednich konkursów lwowskich, to wyższość jego przedstawi się nam wyraźnie.“

Komisja krakowska konkursu dramatycznego rozpoczęła w dniach tych swoją działalność. W skład jej wchodzą pp. Sokołowski, Szukiewicz, Zathey, Rychter i Koźmian. Odsądzono od wspólnego czytania 4 sztuki, — polecono do wspólnego czytania „Uroki“ komedję w pięciu aktach, i „Pokusę“ komedję w jednym akcie. Oprócz tych sześciu sztuk pozostało w sekcjach jeszcze cztery, o których dotychczas jeszcze nic nie postanowiono. —

Powracając z swej podróży po Ameryce, która to podróż jednym była tryumfem, ma — jak słychać — p. Modrzejewska w tych dniach przybyć do Paryża. Impressario ułożył się z nią o dłuższą podróż artystyczną, i ma zamiar rokować z Dumasem o napisanie dramatu umyślnie dla p. Modrzejewskiej przeznaczonego. Słynny amerykański poeta Longfellow uderzony talentem naszej artystki napisał dla niej trajedję. —

Księgarnia Polska“ we Lwowie przystąpiła do wydawnictwa „Śpiewnika polskiego.“ Niejednokrotnie już próbowano zebrać liczne nasze piosenki w jeden zbiorek, ale wobec rzeczywistych trudności zbiory te były bardzo niekompletne. Aby temu zaradzić, przedsiębierze Księgarnia polska wydawnictwo zeszytami, tak iż będzie można Śpiewnik stopniowo uzupełniać, i zwraca się w tym celu do publiczności z prośbą o nadsyłanie rzadkich miejscowych piosenek, i przyczynienie się w ten sposób do skompletowania Śpiewnika. Nie potrzebujemy popierać tej prośby, — korzyść bowiem z takiego Śpiewnika dla piśmiennictwa naszego wynikająca jest widoczną, dojść zaś do tego inaczej nie można, jak tylko przy pomocy ogólnej. Szczególnie pożądanemi są piosnki z przed 1830 roku, z XVIII wieku i dawniejsze, jak nie mniej z ostatnich czasów takie, które dotąd nie były drukowanemi.

Jako dalszy ciąg Dwutygodnika polskiego który równocześnie przestał wychodzić, pojawiła się dnia 16. maja Kronika polska z tym samym, a właściwie rozszerzonym programem, oprócz bowiem spraw czysto politycznych całej naszej ojczyzny dotyczących, podejmuje Kronika polska także i sprawy pojedyńczych polskich prowincji. W skutek tego omawia i omawiać będzie już nie wyłącznie tylko polityczne, ale też i sprawy administracyjne, ustawodawcze, ekonomiczne, jakoteż i inne w związku ze sprawami wewnętrznemi pojedyńczych prowincji naszej Ojczyzny stojące. Pierwszy numer Kroniki polskiej przeszło cztery arkusze druku obejmujący, zawiera wiele cennych, i z gruntowną znajomością rzeczy napisanych artykułów, i każe nam najlepiej rokować o tem czasopiśmie, które serdecznem „Szczęść Boże“ witamy.

Obok tego powitania nowopowstającej Kroniki, zapisać mi wypada ze smutkiem wiadomość o upadku kołomyjskiego Ogniwa z taką ofiarnością i wysiłkiem dobrej woli redagowanego, a upadłego w skutek obojętności tamtejszej publiczności. Obojętność dla wszystkiego, co jest drukiem — jest jak wiadomo — specyficzną właściwością każdego Galicjanina, a zwłaszcza Galicjanina po za obrębem lwowskich rogatek żyjącego, i zaprawdę dziwić się należy odwadze tych, którzy pomimo tylekroć już stwierdzonego drukowstrętu naszej publiczności podejmują się na polu wydawniczem niewdzięcznej Danaid roboty. Jakże inaczej stoi pod tym względem Królewstwo, które według moskiewskich wykazów w ciągu jednego roku do półtora tysiąca dzieł wydało, które posiada czasopism fachowych niemal w każdym kierunku obfitość, i w którem prawie każde miasteczko, jest w stanie utrzymać organ sprawom miejscowym poświęcony?...

Mimo to, są jeszcze w Galicji ludzie, którzy się obojętnością publiczności dla ojczystego piśmiennictwa wcale nie zrażają. I tak n. p. w samej Kołomyi, zaledwie zakończyło żywot swój Ogniwo, a wnet jakby na jego gruzach wzięto się znowu do wydawniczej pracy. Mianowicie wyszła tamże z druku nakładem gminy broszura pana Leopolda Weigla pod tytułem „Rys miasta Kołomyi,“ — tudzież nakładem Towarzystwa pedagogicznego rozprawa dra A. Kotsiby „O uczuciach ze stanowiska psychologii.“

Zamykając sprawozdanie o ruchu wydawniczym w naszej prowincji, muszę tu jeszcze uczynić wzmiankę o wydanej przez p. dra Tytusa Szczepańskiego broszurze p. n. „Żegestów“, z której się dowiadujemy że tamtejszy zakład kąpielowy z każdym rokiem pomyślnie się rozwija, jakoteż podzielić się z czytelnikami wiadomością o zapowiedzianem przez księgarnię p. Wł. Bełzy wydawnictwie „Wspomnienie z podróży na Wschód“ odbytej w r. 1875. przez Galicjankę panią P... Jak się z wiarogodnego dowiaduję źródła, zawierają „Wspomnienia“ pani P. wiele ciekawych szczegółów o zwyczajach i obyczajach Wschodu, a mianowicie Egiptu i Palestyny. Nadmienić przytem wypada, że autorka jako kobieta, miała wstęp do haremów orjentalnych, i jako naoczny świadek w sposób zajmujący wiele tajemnic domowego życia Muzułmanów opisuje.

Wystawa Matejki urządzona staraniem komitetu zabaw Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności została otwartą dnia 7. maja, i składa się z dziewięciu dzieł mistrza jako to: „Kazanie Skargi“ „Jan Kaźmierz na Bielanach“ „Otrucie Bony“ „Uczta Wierzynka“ „Wyrok śmierci“ „Wernyhora“ „Św. Stanisław i Bolesław Śmiały“ „Bolesław Rogatka“ i „Lirnik.“ Nowsze arcydzieła naszego mistrza znajdują się na wystawie w Paryżu, gdzie też niebawem wysłaną zostanie i „Bitwa pod Grunwaldem“ jak słychać już ukończona.“ Nie ulega żadnej wątpliwości że Matejko w tym międzynarodowym turnieju sztuki najpierwszorzędniejsze znowu zdobędzie wawrzyny. Tak przynajmniej wnioskować każą głosy francuskiej krytyki, między któremi znany recenzent artystyczny p. Fourcand w fachowem piśmie *Moniteur des Arts* pisze co następnje:

„Znam dwóch malarzy, którzy w wysokim stopniu objawiają zmysł i pojęcie dziejów, a są nimi Flamandczyk Leys i Polak Matejko. Ten ostatni oddaje historję z najdzielniejszą energją, i w tem leży jego oryginalność i wielkość.“ W innem miejscu mówiąc o wystawie austrjackiego działu powiada pan Fourcand że Munkaczy jest kronikarzem, Mackart dekoratorem, a Matejko historykiem, — sąd który z pewnością jest wielce słusznym, lecz który nie mniej pewnie nie przypadnie niemieckiemu szowinizmowi do smaku.

Atoli jeżeli Polska w zakresie sztuki godnie reprezentowaną będzie na parskiej wystawie, to zachodzi obawa, ażeby z własnej naszej winy na innem polu boleśnego nie doznała niepowodzenia. Jak wiadomo wyznaczono na wystawie paryskiej osobne miejsce dla Polski, na którem pomieszczone być mają starożytności i historyczne przedmioty. „Dotąd niestety — pisze Czas oprócz ks. Czartoryskiego i hr. Działyńskiego przesłało

bardzo mało osób okazy; a jeżeli i nadal miejsce dla nas na na wystawie przeznaczone nie będzie lepiej i bogaciej zapełnionem, natenczas wystawa nasza zamiast zaszczytu i korzyści ujmę nam tylko przyniesie. Narzekamy na zaciekłość wrogów, na obojętność dla nas innych narodów, umiemy się skarzyć, że nigdzie dla nas niema miejsca, a kiedy nam miejsce wyznaczą nie umiemy go zapełnić, ani z niego korzystać. Zamożniejsze domy, mianowicie w Galicji powinnyby dołożyć starania, aby polski kącik godnie się na wystawie paryskiej przedstawił, a stać się to może tylko wtedy jeżeli wyszlą owe pamiątki i rzeczy sztuki, które posiadają."

Wyrzuty powyższe, które Czas tak słusznie zamożniejszym domom w Galicji czyni, zastósować można w zupełności i do naszej prasy, która równą grzeszy obojętnością, Pan Konrad Bilczyński kusztosz działu prasy polskiej w pawilonie międzynarodowej prasy z żalem donosi, że pomimo czynionych już właściwą drogą wezwań mała tylko liczba czasopism nadsyłaną jest do oddziału. Z pomiędzy przeszło stu w Polsce istniejących pism perjodycznych, przesyłanych jest dotąd na wystawę tylko dziewięć — wszystkie z Warszawy, — z Galicyi niema tam ani jednego. Obowiązkiem naszym jest, jeżeli się ku temu sposobność zdarzy, przedstawić się światu w rzeczywistem świetle, — jakie zaś w świecie publicystycznym zrobi wrażenie luka w oddziale polskim istniejąca, tego się domyślić nie trudno!....

Włodź. Zagórski.

POKŁOSIE.

Najtańszy sposób podróżowania. Słyną w całym świecie przebiegłością Grecy, ale i Yankesom nie zbywa wcale na tem. Dla oszczędzenia czasu i słów zatyka się na kolejach amerykańskich bilet jazdy za wstążkę u kapelusza i konduktor potrzebuje tylko w przechodzie zlustrować kapelusze pasażerów, ażeby się przekonać czy wszystko jest w porządku. A jak z tego zwyczaju korzystają oszuści, okazuje następujący wypadek: gdy konduktor wszedł do wagonu dla przejrzenia biletów, wystawił jeden z podróżnych głowę przez okno i przypatrywał się okolicy. Gdy przyszła kolej na niego dotknął się konduktor zlekka jego ramienia: „Bądź pan łaskaw pokazać swój bilet." Ów jegomość zdawał się nie słyszeć. „Pański bilet, panie!" powtórzył konduktor. Żadnej odpowiedzi. Yankes był zanadto zachwycony pięknością krajobrazu, by mógł słyszeć to wezwanie. Zniecierpliwiony konduktor klapnął go cokolwiek mocniej po plecach. Wtedy odwraca się z gniewem ów miłośnik pięknych widoków i trąca się przytem tak zręcznie kapeluszem o ramę okna, że mu spada z głowy i znika natychmiast. „Czy za to pana płacą, żebyś napastował ludzi? krzyknie na konduktora — cóż to za moda? i łącząc z temi słowy ów znany amerykański wyraz uprzejmości, którego widomym znakiem jest to, że się przedmiotowi swej życzliwości podsuwa pięść pod sam nos. Konduktor usprawiedliwia się; prosi tylko o bilet bo mu bardzo spieszno. „Ba spieszno! memu kapeluszowi także bardzo spieszno! Każ pan pociąg zatrzymać i przynieś mój kapelusz, bo na nim jest bilet" — „A, to co innego" — rzecze zafrasowany konduktor — „przepraszam, nie będę się panu więcej naprzykrzać, i możesz pan jechać spokojnie do Baltimore, bo to moja wina, że pan straciłeś swój bilet." — „Tak pan sądzisz, panie konduktorze? A mój kapelusz? Dałem za niego gotówką sześć dolarów, strata moja wynosi zatem jeszcze cztery dolary, i pan musisz je zwrócić, inaczej" — „No, no, bądź pan chwileczkę cierpliwy, ja zaraz przyjdę." Jakoż po chwili zjawił się znowu konduktor, wcisnął rozgniewanemu jegomości skrycie kilka dolarów do ręki i ten był zadowolony. Później zaś opowiadał z wielką uciechą, że jeszcze tego rana nie wiedział w Waszyngtonie, jakby się mógł prędko i tanio dostać do Baltimore, gdzie nagląca sprawa wymagała jego obecności. Wtém spostrzegł przy śniadaniu stary kapelusz, i zaraz mu przyszło na myśl: ten kapelusz musi się bezpłatnie dostać do Baltimore. „Wsadziłem tedy moją czapkę do torby podróżnej — mówił dalej — wziąłem kapelusz na głowę i wsiadłem do wagonu. Resztę wiecie już państwo." „A czy pan zawsze jeździsz tak tanio, jak z Waszyngtonu do Baltimore?" — spytał ktoś z obecnych. — „Rozumie się obywatelu, ale każdego razu za pomocą innej sztuczki."

Komedya w tragedji. Pewnego wieczora w skwarne lato grał Garrick rolę króla Leara i w pierwszych czterech aktach odbierał jak zwykle huczne oklaski. Przy końcu piątego aktu, gdy płakał nad zwłokami swojej Kordelii rozdzierał wszystkie serca wyrazem swej boleści i rozpaczy. Ale w tej samej chwili wykrzywiła się jego twarz i jakieś dziwne uczucie przebijało się widocznie we wszystkich jego ruchach; nie było to jednak wrażenie tragiczne, gdyż Garrick starał się wszelkiemi siłami powstrzymać wybuch śmiechu. Niebawem uległy temu samemu paroksyzmowi drudzy otaczający Leara, a nawet Kordelia spoczywająca na różowem wezgłowiu, otworzyła oczy, ażeby zobaczyć, co było powodem tej przerwy; poczem zerwała się nagle ze swego łoża i wraz z Jego Mością królem, z walecznym Albańczykiem i ze starym poczciwym Kentem uciekła z głośnym śmiechem ze sceny. Widzowie nie mogli wytłumaczyć sobie tego osobliwszego zakończenia tak wzniosłej tragedyi i zaczęto już prawie przypuszczać że wszyscy grający artyści dostali nagłego napadu szaleństwa. Ale niepojęty ten wypadek wyjaśnił się wkrótce w sposób całkiem naturalny. Jakiś otyły rzeźnik siedział w samem środku pierwszej ławki i miał przy sobie ogromnego buldoga. Ten był przyzwyczajony, zajmować w domu jedno miejsce z swoim panem więc pozwolił sobie to naturalnie i tutaj. Rzeźnik siedział wygięty w tył, a ponieważ jego czworonożny towarzysz zdawał się więcej zajmować widowiskiem niźli on sam, przeto podniósł się na ławce, oparł przednie łapy o poręcz orkiestry i obwąchiwał artystów z podniesionym łbem i miną prawdziwego znawcy. Rzeźnik miał bardzo miękką i tkliwą naturę, a że nie był przyzwyczajony do dusznej atmosfery teatru, przeto dokuczała mu bardzo jego wielka mocno napudrowana peruka świąteczna, ażeby więc ulżyć sobie, zdjął ją i założył całkiem poważnie i spokojnie na łeb buldogowi. A że pies stał dosyć wysoko, przeto musiał koniecznie ściągnąć na siebie uwagę Garricka i innych artystów. Pies rzeźnicki w peruce urzędowej (rzeźnik bowiem był wójtem dzielnicy), — tego było za wiele, i ztąd też nastąpił ów zabawny finał.

Spuścizna Krzysztofa Kolumba. Niedawno pisano w dziennikach wiele o ciekawym odkryciu trumny ze zwłokami odkrywcy Ameryki. Z końcem przeszłego stulecia zajmowała się cała prasa europejska również tym sławnym mężem, ale przedmiotem rozpraw nie były wtedy jego szczątki, lecz pozostały po nim majątek i olbrzymi proces, jaki wytoczony został o ten spadek. „Podług listów z Hiszpanii — tak donosiły dzienniki we Wrześniu 1790 r. nadeszła tam nader ważna wiadomość, mianowicie, że przyznane przed dwiestu laty książęcej rodzinie Berwick-Liria spadkobierstwo po odkrywcy nowego świata, Krzysztofie Kolumbie, dnia 16. Czerwca r. b. (1790) na korzyść żyjącego jeszcze potomstwa jego, a to w osobie Don Mariana Kolumba z Larreategni, roztrzygnięte zostało. Jak wiadomo, doczekał się był sławny odkryciel nowej części świata po przebyciu różnych niebezpieczeństw i prześladowań tej nagrody, że go mianowano grandem Hiszpanii, księciem Veragnas i dziedzicznym admirałem Indyj i obdarzono znacznemi dobrami. Przed śmiercią swoją, która nastąpiła w r. 1506, utworzył on był z całego majątku swego majorat, ale spuścizna ta dostała się po 64 latach innej rodzinie, a potem przeszła na Berwicków. Sukcesorowie Kolumba procesowali się przez dwa wieki naprożno, ażeby odzyskać ten spadek, aż wreszcie przyznano go siódmemu z rzędu potomkowi odkrywcy Ameryki, jako jedynemu i prawowitemu następcy, wydając oraz rozkaz księciu Berwickowi, ażeby zwrócił mu tak dobra same jako też dochody, pobierane z nich od rozpoczęcia procesu.

Mikroskopowe pisma i rysunki. Dawnemi czasy szukali niektórzy ludzie sławy w tem, ażeby w maluczkiem okazać się wielkimi. Pliniusz opowiada o snycerzu, który wyrobił był z kości słoniowej tak maluczki okręt, opatrzony załogą, że mucha mogła go zakryć swemi skrzydłami. Inny starożytny pisarz wspomina o Iliadzie tak drobniutko pisanej, że mogła pomieścić się w orzechu. W dawniejszych wiekach miano upodobanie w rysowaniu głów Chrystusa której włosy na głowie i brodzie zawierały całą historyę świętą, czytelną tylko za pomocą lupy. W rosyjskim dziale pawilonu amatorskiego na wiedeńskiej wystawie powszechnej znajdowały się takie Głowy Chrystusa których włosy stanowiło zaledwie dojrzane gołem okiem pismo. Także owa sławna pestka trześniowa w „Zielonem sklepieniu“ drezdeńskiem, na której rozmaite twarze są wyryte, należy do tych osobliwości. Za pomocą fotografii można dziś zaćmić wszystkie takie mozolne sztuczki i fotografowane podczas oblężenia Paryża dla poczty gołębiej listy, które czytać było można tylko za pomocą latarni czarnoksięzkiej przewyższały wszystko znane dotychczas w tym rodzaju a przy tem miały jeszcze ten szlachetny cel, że tysiącom ludzi tak wewnątrz jak zewnątrz spiżowej obręczy niosły pociechę i wiadomość o losie krewnych.

Wszystko to jednakże jest prawie niczem jeszcze w porównaniu z maszyną Petra i Ybbetsona, którą w lecie 1876 wystawiło było na londyńskiej wystawie przyrządów naukowych tamtejsze ,,Towarzystwo mikroskopowe“ a której działania okazane w próbach, przewyższały wszystko, co kiedykolwiek na tém polu sztuki dokonano. Ogłoszone dopiero niedawno urzędowe sprawozdanie o tej wystawie opowiada, że za pomocą tej maszyny wyryto na szkle ,,Ojcze nasz“ wewnątrz kółka którego średnica wynosi $^{1}/_{700}$ część cala tak, że pismo to można czytać tylko przy pomocy silnego mikroskopu. Tę samą modlitwę umieszczono na trzystusześćdziesięciupięciutysięcznej części cala kwadratowego, i takie pisma mogą być potem używane do próbowania dobroci najznakomitszych mikroskopów. W ostatniem wykonaniu jest pismo tak drobne, że biblię wraz z nowym testamentem, mającą zawierać 3,566,480 głosek możnaby wypisać dwadzieścia razy na przestrzeni angielskiego cala kwadratowego. Wobec tego można zapewne schować Iliadę ze swoją łupiną orzechową!

Zbytek na dworze francuzkim w średnich wiekach. Król francuzki, Karol V. zwany Mądrym (koronowany w r. 1364 † 1380), zamieszkiwał Luwr w Paryżu i prawie wszystkie potrzeby jego gospodarstwa domowego produkowano w obrębie tego pałacu: tu pieczono jego chleb, tu hodował on swoją jarzynę, tuczył swój drób, karmił swoje ryby. Wszelako nie można z tych drobnych szczegółów sądzić o smaku tego króla, żył on bowiem w takim czasie, kiedy obyczaje przedstawiały szczególniejszą mieszaninę największej skromności z nadzwyczajnym przepychem. Ten dobry i mądry król, któremu nie przerywało snu wczesne pianie jego kogutów, który swoją sałatę i kapustę sadził pomiędzy krzewami róż, ten skromny filozof i mędrzec potrzebował mimo to do swego osobistego użytku aż trzydzieści koron, wszystkie ze złota, wysadzane brylantami, szafirami, rubinami i szmaragdami, prócz tego miał 10 przepysznych złotych dyademów i mnóstwo małych koron nie licząc wcale innych ozdób i klejnotów. Wogóle zasadzał się w ówczas cały przepych i zbytek na kosztowności przedmiotów, któremi się otaczano, o wygodę dbano bardzo mało. Łóżko królowej Joanny Bourbon, małżonki Karola V. było n. p. ozdobione baldachimem z złotogłowiu, a dywany rozścielone przed łóżkiem, lśniły również od złota i srebra. Poszewki na poduszkach były z tak cienkiego, w Rheims wyrabianego płótna że wartość ich ceniono na 300 franków ówczesnej monety, czyli 3240 franków podług dzisiejszej stopy menniczej; była to zatem bardzo znaczna suma na owe czasy, kiedy w hotelu Tournelles zapłacono za przyozdobienie całéj galerji misternemi freskami tylko 3 sous i 8 denorów, czyli 99 centymów podług dzisiejszych pieniędzy francuzkich. Tylko sama królowa mogła używać krzeseł poręczowych, które nie były zresztą wcale wygodne ani wykwitne; były to krzesła drewniane, czerwono lakierowane, a upiększenie ich stanowiły ozdoby z cyny, wełniane frenzle i metalowe gwoździki. Również miano ławki i krzesła rzeźbione z drzewa dębowego o wysokich czworograniastych lub piramidalnych opórkach, które także nie bardzo były wygodne do siedzenia. Także sam Karol V. cały okryty złotem i klejnotami, zasiadał na tronie tak twardym, że dziś w najlichszym omnibusie lepsze znaleść można siedzenie. Wtém właśnie leży różnica między 14. a 19. wiekiem: złoto i klejnoty stały się dziś stosunkowo rzadszemi, ale za to mamy dziś daleko więcej wygody i przyjemności, na jaką w owym czasie nie umieli się zdobyć nawet najwięksi bogacze i dygnitarze.

Wesele karłów. W rocznikach miasta Wiednia znajduje się opis zabawnego wesela karłów, które odbyło się tam 27.

Stycznia 1622. Na dwa dni przedtém spraszał maluczki człowieczek w bogatym uniformie wszystkich karłów i karlice stołecznego miasta (a było ich tam nie mało w ówczas) na gody weselne. W dzień ślubu wyruszył z domu panny młodej nader zajmujący korowód. Karzełek w uniformie marszałka rozpoczynał pochód, za nim kroczyła para młoda, a po nich następował orszak weselny, złożony z 50 karłów i karlic bogato postrojonych. Pan młody miał $2^1/_2$, a panna młoda 2 stopy wysokości a było to dziewczątko tak śliczne że widok jej powszechne obudzał podziwienie. Po ceremonii kościelnej nastąpiła wspaniała ucztą, którą wyprawiło im miasto swoim kosztem.

Tresowane zwierzęta. Ze wszystkich narodów Francuzi odznaczają się największem upodobaniem do tresowania zwierząt i sprytem w przezwyciężaniu najdzikszych instynktów w swoich elewach, a wyuczaniu ich tysiącznych figlów i sztuczek, które w zachwyt wprawiają publiczność. Pasja ta szczególniej panuje i panowała od niepamiętnych czasów w sławnych cyrkułach gałganiarzy i wolnych przemysłowców, w Mouffetort i la Villette, gdzie mieszkają najsławniejsi mistrze w tresowaniu psów, układaniu kotów, śpiewającego ptactwa, małp i szczurów. Co tylko ludzka wytrwałość, upór i nieczułość serca zdolne są „zrobić“ z biednego pudla, głodnej małpy, lub z kanarka i papugi, robią tutaj i na pokaz publiczny wyprowadzają. Najznakomitsi mistrze w tym zawodzie produkujący się gdziekolwiek bądź za granicą, z największą pewnością tutaj studja odbywali.

W Paryżu wywołało to upodobanie pewien gatunek przemysłu i wytworzyło pewien stan „artystów“ w tym kierunku, którzy do rzeczywiście zadziwiających ze zwierzętami dochodzą rezultatów.

Są to zwykle ludzie otrzaskani z groźnemi stronami swego zajęcia, uważający swych elewów za nader wdzięczny edukacyjny materjał. Charakterystyczną pod tym względem jest następująca anegdota. Pewną znaną w Paryżu pogromicielkę wężów ujrzała nagle jej przyjaciółka występującą w jednym z przedmiejskich teatrzyków. „Cóżto — spytała — rzuciłaś już swoje miejsce w budzie przy boa constrictorze, Tereso; może ci się to zajęcie niebezpiecznem wydawało? — Śmieszna jesteś — odrzekła Teresa — niebezpiecznem?! igranie z boa dusicielem nie przedstawia więcej niebezpieczeństwa od zabawy z barankiem; porzuciłam jednak moje zajęcie dla tego, żem dostawała kataru każdym razem gdy mój mroźno wilgotny faworyt opasał kłębami swemi nagą moją szyję.“ —

Może być, że ta namiętność do tresowania i układania zwierząt, oraz przypatrywania się im, nie byłaby się tak mocno w Paryżu rozwinęła, gdyby nie był jej dał bodźca Instytut założony w tym celu przy „Ogrodzie aklimatyzacyjnym“ którego nie trzeba brać za jedno z „Ogrodem botanicznym“ (Jardin des Plantes). W „Ogrodzie aklimatyzacyjnym“ dwa razy w każdym tygodniu a przy pięknej pogodzie i codzień, w prześlicznych i obszernych alejach, przechodzi sławna międzynarodowa karawana na wielką uciechę mnóstwa małych bebés, mamek i nianiek i licznej międzynarodowej publiki. Ciekawsze widowisko od tego trudno widzieć i dla tego poświęcimy mu tu słów kilka.

Wszystkie zwierzęta stanowiące tę karawanę, nie tylko tresowane są do postępowania w porządku, ale obowiązane wieźć coś lub nieść i z jakąś sztuczką się popisać. Pochód otwierał zwykle murzyn, który krzywiąc się najpocieszniej, szedł pod ramię z małym afrykańskim słoniem tj. słoń włożył trąbę pod ramię swego druha Negra i otrzymywał za to kawałki cukru, co stosunkowi ich nadzwyczajną poufałość i serdeczność nadawało. Za nim postępował wielki słoń, lub też dwa wielkie słonie, niosące piękne purpurowe baldachimy pod któremi siedział tuzin dziatwy, z mamkami i niankami. Poczem szła żyrafa z małym murzynkiem silnie przywiązanym do jej grzbietu. Za tą olbrzymi struś zaprzężony jak koń do lekkiego tilbury w którym siedziało dwoje dzieci, a nianki ich biegły obok, wrzaskiem swoim niepokojąc skrzydlatego rumaka. Nic nie można było widzieć komiczniejszego od ogromnych głupich, zdumionych oczu ptaka, gdy wysoko podnosząc głowę, olbrzymiemi krokami pędził wpośród pstrego widzów tłumu. Po nim następowała, z wielkim trudem oswojona i ułagodzona żebra, mając na grzbiecie damskie siodło, na którem nikt jednak siąść się nie ośmielił, bo wszystkich w piasek zrzucała. Dla uspokojenia jej, przed nią i za nią kroczył z tuzin małych poneysów, (kucyków) nie wiele mniej dzikich od niej. Z pół tuzina wielbłądów rozprószonych było po całej karawanie, dźwigając na sobie z tuzin dzieciaków w koszach i uliczników przyczepionych do ich szyi. Z początku pojawiał się w pochodzie stary niedźwiedź dźwigając małpę, która w swawoli i złośliwości z gaminami szła w zawody. Szanowni członkowie Instytutu chcieli i lwa ułożyć do tego spaceru, ale stanowczo przeciw temu się zastrzegli abonenci, mający dzieci.

Dla przyciągnięcia publiki Instytut tresujący postanowił także ułożyć kanguruh, których zakład aklimatyzacyjny mnóstwo posiada, do skakania na rozkaz. Jednakże te dzikie workowce nie uważały widocznie za godne siebie skakać przez wyciągniętą linę w obec publiczności i nie dały się do tego użyć. Nawiasem wspomnimy tutaj, że próby przyswojenia kangurów do warunków istnienia w europejskich lasach gdzieniegdzie we Francyi się udały. W kilku znaczniejszych majątkach bogatych amatorów w południowej Francyi żyją kanguruh na swobodzie.

Oprócz wielu innych ciekawych zwierząt, „Ogród aklimatyzacyjny paryski posiada dwa przepyszne okazy lwów morskich (foca leona) które się bardzo łatwo dały oswoić i ułożyć. Amfibie te przeszło sześć stóp długie, błyszcząco czarne, mają mądre głowy i nadzwyczajną zręczność w wodzie. Urządzono im wielki basen, z wysoką wystającą nad nim skałą, na którą na skinienie dozorcy foki te wdrapują się z trudnością i następnie skaczą z niej w wodę. Wedle przekonania dozorców należą te amfibje do najintelligentniejszych i „najzdolniejszych do wykształcenia“ zwierząt. Przyzwyczajają się oni nadzwyczaj łatwo do otaczającej ich służby i demonstrują względem niej często przywiązanie i przychylność swoją. Poznają ich natychmiast w tłumie publiczności, na ich widok podnoszą głowę i szczekają jak pies, tylko dłuższym, dźwięczniejszym i żałośnym głosem, a na wezwanie strażnika wychodzą na ląd. Żarłoczność tych zwierząt czyni ich utrzymanie niezmiernie kosztownem — a gdy dodamy do tego że transport tych obudwu lwów morskich kosztował więcej niż 10.000 fr. — wartość ich dzisiaj okaże się ogromną.

Próbowano także w ogrodzie aklimatyzacyjnym przyswoić i inne niebezpieczniejsze amfibie: krokodyle — ale próby te rzadko się udawały. Za to dały one bodziec do pojawiania się tak zwanych „pogromców krokodyli“ popisujących się na paryskich jarmarkach. Sztukmistrze ci, zwykle wyborni pływacy, trzymają łuskowate potwory w wielkim szklannym wodozbiorze i gdy publiczność się zgromadzi, rzucają się z wystającej tramboliny między poczwary, drażniąc je, roztrącając i wypędzając z głębi wody na wierzch. Zwykle jednak zwierzęta są wybornie przed tą produkcją nakarmione a gnuśność ich w tym stanie nie przedstawia prawie żadnego dla pogromcy niebezpieczeństwa.

Jeżeli już mówimy o tresowanych zwierzętach w „Jardin, d'acclimatisation“ to niepodobna nam zapomnieć o słoniach; są to prawdziwe perły, znakomite okazy, trzy sztuki, dwa indyjskie i jeden afrykański słoń — karlik, nie większy od dobrze wyrosłego czarnego niedźwiedzia. Nie ma prawie dnia w którymby o jakim nowym, pocieszmym figlu tych zwierząt nie opowiadano publiczności. Z dziećmi spoufalone są do tego stopnia, że nieraz całemi gromadami bez nadzoru zostawiają malców między nimi a nigdy jeszcze nie zdarzył się wypadek. Raz tylko, gdy swawola dzieci mu już dokuczyła, jeden z większych słoni uczuł się widocznie w obowiązku dania raz na zawsze odstraszającego przykładu i zdobył się na pomysł wcale oryginalny, o którym w swoim czasie opowiadały wszystkie paryskie dzienniki. Zmęczony i rozdrażniony, zbliżył się do jednej z nianiek i pochwyciwszy z rąk jéj dziecko, pobiegł z nim niosąc je wysoko w trąbie, błyskawicznym pędem ku stajniom. Przerażający wrzask widzów powstrzymał go — a może też jego zamiarem jedynie było, zrobić tylko żarcik, rozumie się słoniowy; dość że przy samych stajniach zawrócił, podszedł powoli do niańki i nienaruszone dziecko złożył jej na łono. Poczem spokojnie się oddalił. Publiczność i strażnicy stwierdzili prawdziwość tego osobliwego zdarzenia. Słoń przebiegł z dzieckiem w trąbie około 300 kroków.

Mycie się słoni zgromadza co wieczór znaczą ilość widzów w ich stajniach. Przywiązują ich wtedy na łańcuchu i stawiają przed każdym ogromne naczynie z wodą. Skoro już każdy z nich dostatecznie opryskał sam siebie, zaczynają nawzajem zwilgotniać sobie te części ciała, do których dosiągnięcia łańcuch im nieprzeszkadza. Operację tę odbywają wytrwale i sumiennie i dopiero ochłodziwszy się jak należy, zabierają się do picia zimnej wody.

Małego afrykańczyka jednak osobno trzeba zamykać, bo jest niezgodny i to zamykać starannie, posiada bowiem zadziwiającą istotnie sztukę otwierania rygli, a raz wydobywszy się na swobodę, wyrabia po zakładzie najróżnorodniejsze allotria, drażni kuce (ponneys) lub też udaje się w odwidziny do strusia. Nazwyczajenie tego ostatniego do roli konia i do ciągnięcia tilbury kosztowało dozorców nie mało wytężenia i cierpliwości. Niezmierna bowiem siła i szybkość nóg tego ptaka, przy jego głupocie i nagle wybuchającej ślepej wściekłości, czyniły tresurę niebezpiecznem zadaniem. Struś rozdrażniony rzuca się często ma strażników, usiłując ich stratować potężnemi swemi nogami, uzbrojonemi w dwa szpony, których jedno uderzenie wystarczyłoby do zabicia człowieka. Słaba strona tego ptaka jest jego szyja i kto ją ma w swojej mocy panuje nad nim. Wkładają mu też na głowę rodzaj hołobli, i tak go prowadzą. Ażeby jednak nie uniósł tilbury do którego jest zaprzężony, za pomocą umyślnie sporządzonego w tym celu ryngortu krępują mu mocno przy ciele skrzydła. Musi więc kroczyć nie latać.

Z rzędu ptaków, których tresura udała się w „Jardin d'acclimatisation“ wymienimy tutaj rycerskiego sokoła, którego zaprawiono do łowów na drobne ptactwo, szczególniej na gołębie i wróble. Sokół chwyta je w oczach amatorów tego widowiska i przynosi dozorcy do ręki.

Czego jednak dotychczas nie próbowała żadna Instytucja aklimatyzacyjna i zajmująca się tresowaniem zwierząt — tego próbowali z powodzeniem jarmarczni mistrze we Francyi a mianowicie tresowanie owadów i wyuczanie ich rozlicznych sztuczek. Najprzód starali się nagiąć do wyższego wykształcenia muchy, następnie pająki, pchły i chrząszcze. Z muchami zdaje się, że było to niepodobnem, tak samo niewrażliwemi i nieukształcalnemi okazały się różne gatunki chrząszczów; natomiast próby z pchłami i pająkami dały zadziwiające rezultaty. Biedne pchły nauczyły się tylko mniej lub więcej chętnie ciągnąć wózki, skakać i mustrować na rozkaz pana, ale za to pająki zdradziły daleko wyższy stopień inteligencji. Na ostatnim jarmarku na placu du Trône kilka tresowanych pająków wzbudziło ogólne podziwienie. Nie wiedziano co więcej podziwiać, czy zdolności zwierzęcia, czy cierpliwość człowieka. Pająk siedział na tarczy zegarowej, rozmiaru wielkiego koła. Przy każdym z dwunastu numerów tej tarczy przymocowana była mucha. Pająk na każde wezwanie swego pana lub któregoś z widzów, powinien był napaść na tę muchę, któren numer mu wymieniono. Skoro wymówiono liczbę, pająk natychmiast sznurkiem biegł do wskazanego numeru, aby schwycić muchę. To była każdym razem jego nagroda. „Sztukmistrz“ miał też dwa takie pająki, posłuszne i wytresowane jak psy. Z trudnością by nawet przyszło najbardziej uzdolnionemu pudlowi wbić w pamięć dwanaście numerów. A pająki miały je tak wybornie „w głowie“ iż nigdy ich nie zapominały i biegły do nich nawet wtedy, gdy przy nich muchy nie było, w takim razie jednak powracały bardzo powoli, widocznie w zawiedzionem usposobieniu. Jakim sposobem udało się temu człowiekowi tak osobliwą przeprowadzić tresurę, nie wiadomo; to pewna że dał w niej znakomity dowód cierpliwości.

Zresztą fakt ten potwierdza spostrzeżenie już dawno zrobione nad pająkami, iż daleko są wrażliwsze na dźwięki muzyczne i na głos ludzki od innych zwierząt. Że pająki na odgłos muzyki zsuwały się nader nisko nad instrument i usiłowały się utrzymywać w jego pobliżu, — to rzecz wielom znana; również z opowiadania kilku więźniów wiemy, jak pająk przywiązać się może do człowieka.

Kwestja intelligencji owadów jest nadzwyczajna; w nowszych też czasach wiedza zwróciła na nią uwagę i rozpoczęła badać mikroskopem nad życiem mózgu, muskułów i nerwów u owadów — a nawet jęła się obserwacji nad językiem pszczół, mrówek much i spokrewnionych z nimi stworzeń.

Do historyi naturalnej mężczyzny. Przechwalamy się, że mężczyzna jest panem stworzenia i stanowi płeć rozumną

i mocną, gdy przeciwnie niewiasta, jako utworzona z żebra jego, reprezentuje płeć słabą, która ma włos długi a rozum krótki. Twierdzenie to było zapewne słuszne i uzasadnione w pierwszych wiekach po stworzeniu człowieka; ale później zmieniły się rzeczy, a dziś nie można już wcale dziwić się temu, że kobieta nie może zgodzić się na takie upośledzenie i że stara się wszelkiemi sposobami stanąć na równi z mężczyzną. Toczy się też ciągle jeszcze walka o to, i dziś spotykamy w pismach niemieckich nową szermierkę w tym duchu, pod przewodnictwem uzdolnionej autorki, Maryi Bibusch, która pod powyższym napisem w sposób wcale zręczny i dowcipny kruszy kopie w obronie płci swojej. Oto, co powiada ona w tym artykule w formie tez oderwanych:

„Bóg stwarzając mężczyznę, znał go doskonale i zrobił go przeto formalnie panem stworzenia, zupełnie tak jak się nieudolnego urzędnika przenosi z szumnym tytułem w dobrze zasłużony stan spoczynku.“

„Co się tyczy milczenia i dyskrecyi, to równie jak kobiety nie mogą też i mężczyźni chlubić się tą cnotą, i jeśli mężczyzna twierdzi, że kobieta dla tego nie ma brody, ponieważ nie potrafiłaby milczeć tak długo aż ją ogolą, — to snać musiało nauczyć go doświadczenie, jak trudno przychodzi jemu samemu trzymać język przez tę krótką chwilę.“

„Mężczyzna nie jest w ogóle mocniejszy od kobiety. Kto prawi o płci mocnej, ten powtarza tylko bezmyślnie oklepany frazes, używany przez cały ród męzki wobec garstki tych kobiet, które albo zrodzone w pałacach i salonach zupełnie zniedołężniały i pracują dla zabawki tylko, albo też należąc do zamożnego stanu mieszczańskiego, prowadzą nie wymagający zbytniego natężenia zarząd swego gospodarstwa. Małżonka jednak wyrobnika jest zarazem i bydlęciem jucznem. Na wsi współzawodniczy kobieta z mężczyzną w wykonywaniu najcięższych robót. W krajach sławiańskich dźwigają kobiety po całych dniach cegły i wapno przy budowlach. Widzieliśmy już nieraz herkulesów i akrobatów nie tylko płci męzkiej ale i żeńskiej. Tak zwana więc płeć mocna nie istnieje wcale w rzeczywistości.“

„Głupcem jest ten, kto obawia się żenić dla tego, że jest za stary. Mężczyznę nie czynią starym lata lecz własności jego.“

„Jeśli rodzina twoja przez nieszczęścia popadnie w niedostatek, staraj się oszczędnością i dobrem gospodarstwem łagodzić przykrość losu. I mąż twój będzie musiał ograniczyć swoje potrzeby. Zrzeknie się powozu i koni i będzie w potrzebie używać najętej dorożki. Skłoń go do uszczuplenia garderoby i noszenia tańszej bielizny, a będzie ci wdzięcznym za to. Powiedz mu, że musi się wyrzec teatru i koncertów a chętnie przystanie na to. Jednej rzeczy jednak wystrzegaj się, nie żądaj by ograniczył lukullusowe uczty swoje, jadał gorzej, pijał mniej i palił gorszy tytoń; — inaczej przepadło twoje szczęście domowe.“

„Mężczyźni, zwłaszcza młodzi, zwykli w towarzystwie z tak nieznośną junakieryą występować wobec kobiet, tak niedorzecznie je zagadywać, że rozmowa z rozsądnym mężczyzną jest dla wykształconej kobiety prawdziwą rozkoszą umysłową, ale tej używa ona niestety nader rzadko.“

„Podług mego obliczenia znajdzie się na dziesięć tysięcy mężczyzn najwięcej pięciu takich, którzy byliby obojętni na ozdobienie się orderem. Najwydatniejsze i najzdolniejsze umysły dozwalają łechtać próżność swoją błahostką zapewniającą im honorowe obywatelstwo w szeroko rozgałęzionej gminie, której członkowie ciągle obchodzą — zapusty.“

„Z mężczyzną mającym rozgłos, unikaj wszelkich stosunków, gdy bowiem spostrzeże że przewyższasz go umysłem, pokaże ci zaraz odwrotną stronę swoją — gburowstwo.

„Nie masz nic gorszego w życiu nad gbura. Jemu zdaje się, że może wszystko to, czego mu nie dostaje pod względem wykształcenia wynagrodzić prostactwem i że jedynem lekarstwem u dzieci na wszystkie wady, a nawet słabości jest — chłosta. Ale tem okazuje on właśnie, że mu zbywa na uzdolnieniu umysłowem, które innym ojcom wskazuje środki rozumnego wychowania dzieci.“

„Wiadomo, że diabeł jest istotą płci męzkiej i starym kawalerem. Jako jedyną doradczynię żeńską dodają mu złośliwą prababkę — jędzę piekielną. Ze względu więc na tę okoliczność radziłabym wszystkim mężczyznom jak najszczerzej żenić się, póki pora, ażeby nie stali się diabłami i żeby wkońcu zamiast godnej kochania żony nie narzucono im tak zwanej gospodyni, posiadającej wszelkie zalety jędzy piekielnej.“

(Jak się żenią u Lapończyków?) Gorszą się dziś tém niemało poeci i idealiści, że przesiąkła materyalizmem cywilizacya naszego stulecia pozbawiła związek małżeński wszelkiéj poezyi, która zdobiła go w wiekach średnich, a zamieniła w prosty interes, w rodzaj przyjemnej spekulacyi, gdyż dzisiaj nie żeni się już nikt prawie z miłości lecz z wyrachowania. Otóż zamiast spierać się o to, czy zarzut ten jest słuszny czy nie, przypatrzmy się raczéj, jak się na ten akt ważny zapatrują w Laponii, a zatém w kraju, którego nie skaziła jeszcze trucizna cywilizacyi!

Gdy Lapończyk zamyśla się żenić, ogląda się najprzód za dziewczyną, która mogłaby mu przynieść w posagu sporą liczbę renów. W towarzystwie ojca swego, a często także kilku innych jeszcze krewnych, udaje się potem do chaty rodziców swéj wybranej, i czeka przed nią, aż go zawołają do izby. Swat jego udaje się do „potężnego, czcigodnego i sławnego ojca“ panny, objawia mu głęboki afekt młodzieńca ku jego córce i prosi o jéj rękę dla niego. „Potężny, czcigodny i sławny“ ojciec zezwala na to, i młoda para się schodzi. Wtedy przedkłada kawaler swoje podarunki, składające się z przysmaków lapońskich, ozorów renich, mięsa bobrowego i t. p. Jeźli panna je przyjmie, to zaręczyny są już dokonane; w przeciwnym razie, jeźli chce mu dać kosza, czyni to w sposób sumaryczny, rzucając mu wszystkie łakocie jego pod nogi. Same zaślubiny bywają nieraz na długo odkładane a to głównie dlatego, ażeby wydusić z narzeczonego jak najwięcéj podarunków. W wilią zaślubin zbierają się obustronni krewni w chacie narzeczonéj, ażeby składać jéj swoje dary. Pan młody jest obowiązany dać ojcu jéj srebrny puhar, miedziany kocioł, łóżko albo przynajmniej przyzwoitą pościel, matce srebrny pasek, suknię paradną, zwaną „Vospi“, i krawatkę ozdobioną srebrem. Oprócz tego musi jeszcze obdarzać całe pokrewieństwo panny młodej aż do

najdalszej koligacyi srebrnemi łyżkami, srebrnemi guzikami i wszelkiego rodzaju ozdobami, każdy bowiem krewny musi otrzymać od niego podarunek, jeźli pan młody chce uzyskać żonę. Ojciec i brat, a jeźli ci nie żyją, najbliżsi krewni, prowadzą potem pannę młodą, udającą niezmierny smutek i niechęć ku zamęściu, do kościoła. Ceremonia zaślubin odbywa się podług obrządku chrześciańskiego, a po niéj następują sute gody weselne. Jeźli chata za mała, aby pomieścić całe towarzystwo, wyłażą młodsi goście na dach, z którego spuszczają tęgą wędkę, aby wyciągać nią swoją porcyę na górę. Przez cały rok zostają nowożeńcy na służbie u ojca, i dopiero potem idą na swoje gospodarstwo. Wtedy daje ojciec młodéj gospodyni jéj wiano w renach i potrzebne sprzęty do chaty, i wszyscy też krewni składają nawzajem swoje dary. Lapończycy nie mają jeszcze szkół; ojciec sam uczy chłopców, a matka córki. Dziewczyna dostaje zaraz po chrzcie jałówkę, na której rogu wyrzynają jéj imię; gdy się dziewczęciu wykłuje pierwszy ząb, dodają jéj rena, a ten, który odkrył pierwszy ząb, ma prawo do cielęcia. Po śmierci rodziców staje się opiekunem dzieci najbliższy krewny.

Do charakterystyki Serbów. Nigdzie może na świecie nie odbywa się tracenie zbrodniarzy z taką swobodą, jak w Serbii. Niedawno tracono w Belgradzie ośmiu zbrodniarzy (rozbójników i morderców) naraz, i korespondent jednego z dzienników niemieckich podaje następujący opis tego aktu: „O godzinie 7. zrana oznajmił dzwonek śmiertelny, że kondukt skazanych wyruszył z więzienia. Wieziono ich przez miasto wołami na czterech wózkach, po dwóch razem skutych, pod eskortą żandarmów, a towarzyszył im niezliczony tłum ludu, osobliwie kobiety. Skazani którzy zamordowali młotem dwie kobiety, byli rozmaitego wieku, od chłopca aż do siwego starca. Jednego odprowadzały osobnym wózkiem jego dzieci, innych przyjaciele i krewni. Wszyscy palili cygara i rozmawiali śmiejąc się i żartując ze swoją strażą i idącymi obok znajomymi. Przed kawiarnią po drodze zatrzymywał się pochód, gdyż podług starego zwyczaju podawno tym delikwentom ostatni posiłek, składający się z wódki i placka. Posiłki sprawiły naturalnie ten skutek, że gdy wyjechano z miasta, znajdowali się już wszyscy w bardzo różowym humorze, i niejeden z delikwentów nie wiedział już pono, za co właściwie siedział okuty na złowrogim wózku. Tymczasem na placu tracenia, zwanem Kali'medan, zostały już poczynione wszelkie przygotowania. W głębokim dole stało ośm wbitych pali. Gdy kondukt stanął na miejscu, zaczął urzędnik sprawiedliwości odczytywać wyroki, a potem udzielał pop błogosławieństwa. Wreście poprzywięzywano skazanych do pali, i już miała nastąpić egzekucja, gdy jednemu z nich zachciało się jeszcze mieć mowę. Uczyniono natychmiast zadość jego żądaniu i uwolniono go z więzów. Mowca dowodził, że nie żałuje popełnionego morderstwa, ponieważ ofiary jego wtrąciły wiele młodych ludzi o nieszczęście. Całą mowę przyjęto z hucznemi oklaskami. Po wyrzeczeniu ostatnich wyrazów skoczył delikwent napowrót do dołu, i ucałowawszy swoich kolegów, dał się na nowo uwiązać. W pięć minut potem byli już wszyscy zbrodniarze rozstrzelani."

Grzeczność przedewszystkiem. Pewien prezydent przysięgłych pytał raz w podróży o drogę przechodzącego wędrowca. Ten dał potrzebną wskazówkę, a potem dodał: „Ja mam zaszczyt znać pana prezydenta, gdyż stawałem raz przed sądem przysięgłych za kradzież bydła."

„A — przypominam sobie pana, rzecze prezydent; jakże się ma żona pańska? Miałem wtedy zaszczyt, poznać ją również, gdyż była oskarzona o spółwinę."

„Tak jest, panie prezydencie. Zostaliśmy szczęśliwym sposobem oboje uwolnieni, i ja prowadzę dalej mój handel bydłem."

„O — kiedy tak, to zapewne będę miał zaszczyt, zobaczyć pana znowu niezadługo przed sądem."

Ptaki jako wróżbity powietrza. Jak wiadomo są ptaki znakomitymi wróżbitami powietrza. Wprawdzie stoją one co do organizacji swej o jeden stopień niżej niż zwierzęta ssące, ale za to są daleko tkliwsze na zmiany powietrza i wpływy atmosferyczne, niż zwierzęta przykute do ziemi. Już w starożytności brano z ptaków wróżby złych lub dobrych rzeczy: zważano na ich lot, a niektóre z nich czczone bywały z religijnem uszanowaniem jako wieszcze; ich wróżby były dla rolnika bezpośrednią wyrocznią bóstwa. Ale nietylko pierwotny mieszkaniec samotnych okolic górskich, nietylko wieśniak w owych czasach pierwotnej prostoty, wychowany pomiędzy zwierzętami, zwracał szczególnie uwagę swoją na ptaki, także badaczom natury, myśliwym i innym miłośnikom przyrody wiadomo od dawna, że ptaki przeczuwają każdą zmianę powietrza daleko prędzej, niż ją wskazać może barometr, termometr lub jakikolwiek inny instrument meteorologiczny. Krzyżujący po oceanie żeglarz wyprowadza najczęściej całkiem pewne wnioski z spostrzeżeń, czynionych z doświadczenia lub podania na ptakach. Zresztą nietylko ptaki, żyjące na wolności, mają pomiędzy wszystkiemi zwierzętami najsilniejsze przeczucie zmian atmosferycznych, ale także zamknięte w klatce zdradzają to przeczucie rozmaitemi widomemi objawami, szczególnie w czasie perjodycznych wędrówek. Już w r. 1812 ogłosiło było król. towarzystwo nauk. w Haarlemie, przekonane o pożyteczności tego w codziennem życiu, pytanie do nagrody: „Ile jest prawdy na wyprowadzanych z lotu ptaków i t. p. wróżbach co do zmian powietrza; co jest w tym względzie wątpliwem lub przeciwnem doświadczeniu, i o ile dadzą się tego rodzaju spostrzeżenia wyjaśnić tém, co wiemy o naturze zwierząt?" — Najlepiej można spostrzeżenia takie robić na jaskółkach. Jeśli chce kto np. z rana robić wycieczkę na wieś, a widzi, że jaskółki oknówki jeszcze poźno wieczorem szybko i z krzykiem w powietrzu się prześcigają, — to jest niezawodną przepowiednią pogody; przeciwnie — jeźli latają nizko, to radzimy nie wyruszać bez parasoli. Z gnieźdżenia się jaskółek wodnych można nawet wnioskować w ogóle o powietrzu wiosennem i letniem. Jeśli gnieżdżą się na nizkich ostrowiach rzecznych, to można z pewnością oczekiwać suchego i wolnego od wylewów lata; jeźli przeciwnie budują gniazda na wysokich osypiskach lub wybrzeżach, natenczas potrzeba się wielce obawiać wylewów.

Wydawca i odpowiedz. za redakcję F. H. RICHTER.

Z drukarni narodowej W.Manieckiego.



AURELIAN.

Powieść z czasów cesarstwa rzymskiego przez Wojciecha Dzieduszyckiego.

J. I. Kraszewskiemu w jubileuszowym Jego roku ze czcią składa autor.

(Ciąg dalszy.)

12

„Śmiechu tu niema; śmierć tobie grozi. Sen się ziści jeżeli go nieodwrócisz. Nie sny tylko mówią mi o śmierci twojej. A dziwi mnie żeś jej nieodgadł. Wszak znasz Aureliana przecie? Wiesz że nie ślepiec, i wiesz że nie dziecko. Czy myślisz, że nie widział, że ze mną razem radzisz? Że ze mną razem — powiedzmy słowo, — spiskujesz? Bo nie spiskiem że to było, gdyśmy go chcieli owładnąć i pozbawić woli, zostawiając lalkę tylko na tronie? Prędzejby Aurelian darował zamach na życie, niźli taki zamach jak nasz. Bo ten ubliża jemu, bo ten go na śmiech wystawia. Domyślał się dawno, dziś odkrył— i widziałeś co ze mną uczynił. A był to początek tylko! Nie długo a spadnie na szyję moją topór. Tak! Cofasz się do drzwi, chcesz uchodzić od zagrożonej gniewem Cezara. Dobrzeby to było, ale nie teraz. Nieco wcześniej trzeba było się chronić — dziś przepadło. Cezar na mnie mniej się gniewa jak na ciebie. Ja królową byłam; byłam w prawie, gdy chciałam powetować klęskę. Ale ty, poddany, śmiałeś szpiegować Aureliana? I myślisz że ci to będzie przebaczonem. Nie sny tylko mówią mi o twojej zgubie. Tego tu karła wysłałam do namiotu Cesarskiego, by za płócienną ścianą słuchał, stulony w fałdy namiotu. Słyszał jako Aurelian mówił z kimś; z kim nie wie, ale rozmawiał. I słyszał karzeł te słowa: „Zenobia niewolnicą. Uczynię z nią to co zechcę i kiedy zechcę. Ale najpierw zgubię, zgniotę tego Pizona. Nie mogę usnąć póki żyje.“ A widzisz! Zmięszany jesteś, drzysz cały! Widzisz wyraźnie topór krwawy, co zwisł nad twoją głową. Przed chwilą w ślepocie swojej byłeś bezpieczny. Byłbyś popadł w łapkę odrazu, bezbronnie. Szczęśliwy los twój przywiódł cię tu do mnie, abym cię przestrzegła.“

Pizo był obrazem bladego strachu. Drżał cały. Ledwo miał siłę wymówić zapytanie: „I cóż mi teraz przyjdzie począć?“

„Co począć? Niedać się! pomścić się! Ja postanowiłam dawno!“

„Ale jak?“

„Gdy sam ze sztyletem najdziesz na Aureliana, może on zginie, ty zginiesz tem pewniej.“

„Zemsta będzie, nie będzie życia“ rzekł Pizo. „Nie zrobię tego!“

„A ja ci poradzę co zrobisz,“ mówiła Zenobia zawsze nieporuszona. „Nie dziś cię Cezar zabije, i nie jutro! Wina którą popełniłeś jest taką, że jej Aurelian głosić nie może. Da ci czas uknuć spisek. Uknuj spisek i bądź cesarzem.“

„Tak — być cesarzem — to rzecz możliwa u nas w Rzymie — ale niebezpieczna.“

„Niebezpieczeństwo zbawieniem, gdy przez nie można ujść śmierci; nie masz innej drogi, więc spiskuj. Znajdziesz

pole by podniecać ogień buntu wśród legatów. Nie długo staną się rzeczy, które ci broń dadzą do ręki. Wiem z pewnością to, co ci powiem. Nie przeciw tobie jednemu, nie przeciw mnie samej skierowany gniew imperatora. Przypomniał sobie, że barbarzyńcem z rodu i chce Rzymian zgubić!“

„Rozumiem, królowo, rozumiem,“ rzekł Pizo, „wskazujesz mi drogę, ktorą mam się zakraść do ucha legjonarjuszów. Mam u Italików — może u wszystkich ludzi południa budzić podejrzenie, że on jest ich wrogiem. Rozumiem, to może droga jest. Może i innym, nie Rzymianom potrafię przymówić do serca; — nie wiem, ale widzę, to jedna droga. Nie masz innej.“

„Uspokój się przecie Pizonie. Zebierz myśli. Ja ci ręczę że to droga dobra. Ale ty się do niej zahartuj; Uzbrój się w tę drogę. Gdy człowiek zmuszony myśl wyrazić, myśl w ład zabierze, znajdzie dowody, znajdzie sposoby. Pomyśl Pizonie, żem ja nie Zenobia, żem rada mnoga wielogłowa legatów Aureliana. Albo lepiej pomyśl żeś uczniem jeszcze przed nauczycielem retoryki. Stań jak do popisu, i miej tu mowę taką jakaby podług prawideł winna legatów przekonać o potrzebie spisku przeciw życiu Aureliana. Nie żartuję; czyń to, a zobaczysz że dobrze ci będzie. Ja się rozerwę; ty się uspokoisz, zahartujesz. Nieraz mówiłeś mi żeś celował jako Retor. Niechaj na oczy ujrzę doskonałość twojej sztuki.“

Uderzyła Zenobia w próżność Pizonową. Wyprostował się, udrapował posągowo i począł popisową mowę. Żart to był u brzegu przepaści:

„Legaci,“ mówił, „mężowie spaleni słońcem wszystkich krajów podbitych orężem waszym; jedni z was są Rzymianami z rodu, inni przybranemi dziećmi Romy. Ale ci przybrani niemniej winni kochać Rzym od prawdziwych.“

„Nie wiem gdzie z tym zajdziesz,“ przerwała Zenobia. „Zaczniej inaczej.“

„Tak“ rzekł Pizo „trąc czoło. To początek do Panegiryku. Mistrz mój Dioskorides tak kazał panegiryki mówić. A tu idzie o co innego; — ale słuchaj, królowo, wiem co powiem — to będzie dobrze: Legaci zwycięzcy, synowie Romy, godni przodków! Zdaje wam się zawsze, że Roma panuje światu. Imię jej zawsze największem imieniem, ale potęga jej minęła już. Nazywa się królową, a jest niewolnicą. Imperator rzymski panem świata, ale kimże ten imperator. Barbarzyńcą! To nie syn Romy, to wróg, co ją okuł w kajdany. Własna wielkość Romę zgubiła wśród zwycięztw, i kiedy ojczyzna nasza stopę zwycięzką kładła na kark powalonych ludów, sama poszła pod jarzmo sromotne. Kto winien być niewolnikiem, panem jest, a wnukowie dyktatorów sługami chłopa barbarzyńskiego.“

Deklamował tak Pizo, słuchając siebie. Zenobia czasem przyklasnęła zwrotowi jakiemuś, a małpa wykrzywiała się mowcy. Nareszcie skończył. Zenobia przyklasnęła raz jeszcze. A potem spytała się: „I cóż ochłonąłeś, Pizonie?“

„Tak“ rzekł Pizo spuszczając głowę, „trzeba spiskować.“ „Trzeba! Tylko nie miej takiej szkolnej mowy, proszę, na nieśmiertelne bogi, bo nikogo nieprzekonasz. Ale mów Rzymianom, że Aurelian chce oddać świat w ręce rodaków swoich. Szepcz legatom barbarzyńcom, że chce wojsko zgubić, aby za pomocą nowo zaciężnych barbarzyńców mniejsze może ale dziedziczne i stałe królewstwo założyć. Mów tak, a ja ci powiadam, że czyny będą wtórować słowom twoim. Bo przysięgam, że Aurelian ma takie zamiary, że mu się sprzykrzyły i Roma wieczna, i wojsko wasze. Dobrym jesteś retorem; mimo to umiesz i przekonywać. Idź! i działaj! Bo o głowę twoją chodzi, a mnie zostaw samą!“

Pizo się pochylił i wyszedł ciężko zafrasowany.

„Nie wiem tylko“ mruknęła Zenobia „czy to narzędzie wystarczy. Nieraz głupszy sługa w trwodze lepiej mi służył od mądrszego. A ten człowiek próżny, i nie orzeł to, ale sprytny do podszeptów i spisków.“ —

Dwie drogi stoją przedemną. Czy tak — czy tak, pomszczę cienie twoje Odenacie, i pamięć twą Palmiro królowo pustyni, i koronę moją pomszczę i moje zniewagi. Którą drogę obiorę, okażą losy. Jeśli Aurelian do mnie wróci, przebaczę jemu, a zabiję Romę! I to wolę. Niech zginie stugłowa żmija, co syczała śmiechem gdym szła za rydwanem Aureliana zwyciężona! Jednego wielkiego wroga zniosę, okażę mu spisek w wojsku, utwierdzę w dziwnym, w wielkim zamiarze, i po ściętych głowach legatów Rzymian, pojadę na Janikulum przy Aurelianie. On mi wdzięcznym będzie, żem go od śmierci wybawiła, żem spisek zdradziła; Pizona najpierw utruję — a więcej nikt nie będzie wiedział o tem, żem sprawy początkiem, a potem Aurelianowi wszystko opowiem. Wraz z barbarzyńcami w wojsku i za wojskiem Rzymian i Italskie pułki wytnie, a potem na czele wszystkich narodów świata stanie przed Romą zrozpaczoną i bezbronną mimo murów, któremi ją sam opasał. Dwa trony wzniosę na Janikulum. Na jednym ja siądę, on na drugim, i dym całopalenia z Romy będzie dochodził do nas; najmilszy dym ofiarny. Tysiąc tysięcy ciał ludzkich będzie płonąć wśród świątyń złocistych, i będzie dla mnie dzień sądu, i pomsty i chwały, o jakiej jeszcze nie marzyłam nawet wtedy, gdym lwy kupowała, by je wprządz do mego rydwanu, gdy wjadę do Romy jako imperatorowa władnąca bez męża. Panem nie jeden mąż był w Romie, ale mąż żaden Rzymu niewzruszył— aż ja zburzę, ja niewiasta! — To jedna — to przedniejsza zemsta. Ale jeśli ta ujdzie, znajdzie się inna. Gdy nie zabiję narodu, człowieka zabiję co mnie powalił. Wybieraj Aurelianie, czy chcesz przezemnie panować, czy zginąć przezemnie! Twój los w moim ręku. Nieujdziesz mi, i gwiazda moja jeszcze niezaszła!“

Wstała wreszcie i wyszedłszy z namiotu z papugą na ręku, rzekła do niej: „Dobrześ służyła raz, ciekaweś

przyniosła wieści, że aż dziwo słuchać było. Mimo deszczu, ptaku mój, leć w świat, i powiedz Zenobii o tem, co czynią ludzie śmiertelni!“

Papuga uleciała, a Zenobia wróciła na łoże swoje.

X.

Nad Bystrzycami połączonemi już, niedaleko ujścia tych rzek do Dniestru wznosił się okazalszy już zamek Zabora w Czesebisach, niedaleko świątyni Lady i Daida na Bójnem — jak się zwała święta w tych stronach góra. Zamek ten, obronny niegdyś, stracił z rozkazu Rzymian część opasujących go murów, ale wyglądał zawsze malowniczo świecąc modrzewiowemi ścianami i gątem pobitemi wierzycami ponad gruzy ziemnych wałów. W nim to rządziła Zaryna, babka Zabora. Żyła i po śmierci męża, bo pretorowie Rzymscy bronili ofiarnej śmierci wdowy, a choć Zaryna sama była jeszcze chowaną w starodawnej Antów prostocie, już i za jej młodych dni wsiąkały Rzymskie i greckie wpływy w to Naddniestrze, już za jej czasów, rzadką była Krasa taka cała poświęcona starym bogom i staremu obyczajowi. Żyła tedy Zaryna, obca rzymskiej sztuce i Rzymskim dziejom, nieświadoma sztuki pisania i czytania, dzika prawie w dumie swojej—niby pomnik pierwotniejszych jeszcze czasów.— Z białą głową siedziała po nocy przędząc wśród służebnic przy wielkim ogniu, co trzeszczał w kominie, i słuchała śpiewu tęsknego mnogich niewolnic prządek. Rozwarły się drzwi wielkiej, bielonej, zamkowej komnaty i Zabor wszedł w świecącej Rzymskiej zbroi, ze złotą koroną Decebala na skroni, i złotem słońcem Aureliana na piersi. Dawno go babka niewidziała, niezerwała się jednak na jego przywitanie, bo na to nie zezwalały i wiek i godność. I owszem chmurnie spojrzała na wnuka, a przywitała się tylko ze starem Sydborem, gdy widziała że i on weszedł tuż za młodem książątkiem: „A witaj że nam, druhu mężowski,“ rzekła dumnie: „siadaj!“ Sydbor pokłonił się, i siadł opodal na ławie, a Zaryna groźnym wzrokiem zmierzyła Zabora: „Czyż przystojne te stroje, dzieciaku?“ spytała. „Czyż nieobrażasz ojców, gdy tak przyodziany przychodzisz do babki? Gdy zbroję wdziewali, gdy miecz opasali, rąbali Rzymian i Greków jak plewę? A ty po co ją wdziałeś? po co masz oręż przy boku? Ostre żelazo rzecz święta, a nie dla krotochwili, a jeśli chcesz się zapisać w Rzymiany i walczyć gdzieś po świecie przy ich królu Aurelianie, to idź precz ztąd! Na oczy cię widzieć nie chcę, i będę się modliła o to, byś zginął rychło“. A mówiąc ciskała z oczu błyskawice. A potem gniewniej jeszcze dodała: I wyciągnąłeś, dzieciuchu, ze skarbca koronę Decebala przodka twego. Lepiej weź tarczę Leszka, którego Grecy Aleksandrem przezwali w ręce twoje — niech idzie na pośmiewisko! Wstyd tobie Sydborze, żeś pozwolił na te nieświęte igraszki!“

Zabor czekał cierpliwie ze spuszczoną głową aż babka skończyła. Teraz dopiero odezwał się: „To nie żarty babko, żadne, i to nie zabawa. Jak przodkowie tak i ja zbroję przywdziałem aby walczyć z Rzymianami, i przebóg! siec ich jak plewę!“

„Co mówisz chłopcze?“ pytała babka łaskawiej już, ale zawsze marszcząc brwi. „Chcesz rozpocząć święty taniec pomsty? Koronę przywdziałeś jako król, co chce powołać naród do zmartwychwstania i do boju?“

„Tak, babko. Stanąłem przed tobą byś błogosławiła.“

„Szlachetne serce w tobie, sokolę moje“ babka zawołała uradowana już, a niegniewna. „Ale ręka twoja niemocna. Ojciec twój musiał doma siedzić, bo nie mógł już walczyć z Rzymiany. Dziad twój, mąż mój, płacił dość wrogom. Czasem ostrzył na nich miecz, lecz do bitwy nie przyszło, choć to mąż był wielki jak dąb, a odważny jak odyniec — już za jego dni było za późno!“

„Za wcześnie,“ przerwał wnuk, „teraz pora. Czego nierobił dziad ni ojciec, ja zrobię. A gdy nie wierzysz, spytaj się, babko, Sydbora.“

Oko Zaryny spojrzało na Sydbora badawczo. „Tak, kniahini,“ rzekł Sydbor „powstając, i zbliżając się do Zaryny. Zeszło nareszcie słońce, i stało się nam miłosierdzie boże.“

Stara chwytała się za głowę: „Chyba śni mi się, albo szydzicie ze mnie,“ zawołała. „Mąż mój z grobu niewróci i naród niewróci do chwały.“

„Kniahini,“ rzekł Sydbór, „nie masz na świecie rzeczy wiecznej. Mąż twój umarł, i Rzym umrze. Oto odpowiedź na słowa twoje. I to odpowiedź druga. Po nocy dzień bywa, po zimie lato.“

„Dobrze, ale niech zrozumię“ mówiła niecierpliwie kniahini. „Cudo to jakieś chyba się dzieje. Nie mówcież do mnie zagadkami!“

„Niech najpierw wyjdą służebne,“ odparł Sydbor, „a powiem wszystko. Ty zrozumiesz, bogom podziękujesz, i nam prorokować będziesz, a pobłogosławisz wnukowi.“

„Idźcie ztąd dziewczęta i kobiety! zawołała Zaryna. „Chcę być sama na radzie z mężami.“ A gdy wszystkie wyszły, dodała: „Jeźliście chcieli tajemnicy, nie trzeba tych strojów, i trzeba było dawno wygnać służebne.“

„Że powstaniemy, nie tajemnica już“ mówił Sydbór, „i jutro nadto głośno o tem będzie na świecie. Będzie o tem gadać szczęk zbroi, i jęk rannych; ale są rzeczy, których jeszcze mówić nie można przy wszystkich. Ty słuchaj, zrozum, a potem prorokuj nam, Zaryno!“

„Słucham“ rzekła.

Powiedział tedy Sydbór po krótce, że Aurelian nazywał się naprawdę Bojanem, że był niegdyś sługą u Świętosza, że zbiegł ztamtąd, że został cesarzem Romy, a przybywszy wreszcie w ojczyste strony powołał do siebie Zabora jako potomka królów pradawnych i dał mu na znak przymierza słońce, żądając by wywołał powstanie ludów, któreby mu pomogło zadać cios ostatni Romie znienawidzonej. Tak opowiadał, a milczał o Krasie, i o tem

że Zabor pierwszy przyszedł do Aureliana, bo tego wszystkiego i sam Sydbór nie wiedział.

Zaryna słuchała. Czoło jej się marszczyło znowu, a usta drgały wzgardą, Rzucała się na krześle niecierpliwie. Gdy Sydbor skończył mówić, spytała się najpierw: „Czy już?“ „Już odrzekł Sydbór.“

„I mam wam teraz prorokować?“

„Po ojców obyczaju.“

„Wnuku mój; Zaborze! zanim prorokować będę spytam się jeszcze, czy czujesz w sobie krew pańską, krew królewską, co dumnie po żyłach krąży, i gardzić umie?“ Pytając zwróciła się Zaryna ostro do Zabora. Młodzieniec się zmięszał tylko i milczał. „Zdaje mi się że nie!“ mówiła dalej Zaryna. „Słyszę że chadzasz do króla Rzymian przez niego zawezwany, jakby pachołek jaki; słyszę że wchodzisz w zmowy ze sługą sług twoich, z Bojanem co zbiegł od Świętosza. I słyszę rzecz najgorszą, rzecz sromotną — otóż że z wrogiem nie chcesz walczyć otwarcie, patrząc mu oko w oko, ale podstępem. Zdradą chcesz zwyciężać! Tak nie winien czynić wnuk mój! Nie poznaję krwi dziadów, i dziwi mnie tylko, że takie rzeczy mnie śmią opowiadać.“

Zabór ani ust nieotwierał, zarumieniony, niecierpliwy ale nieruchomy przed babką, którą od dzieciństwa przywykł słuchać, i Sydbór nawet odezwał się nie śmiało tłumacząc że nad dumę wolność przecie wyższa, że nie Rzymianinem był Aurelian skoro chciał zagłady Romy, i nie sługą skoro był panem świata. Że wreszcie i Rzym podstępem podbijał, więc od podstępu paść winien. Blada, biała, stara Zaryna, na stołku, przy kądzieli, oświecona ogniem czerwonym nawet słuchać się niezdawała. Gdy Sydbór rzecz swą kończył mówiła patrząc się w ogień: „Już nas niewola upodliła, złamało nas jarzmo. Młodym się niedziwię, i dzieciom, dziwię się Sydborowi, bo on znał jeszcze tych co boje pamiętali. Od parobka wziąść wolność? Nasłać szpiega i zdrajcę na wroga, by mu ręce krępował i by mu nie dał walczyć? Czy to obyczaj rycerski, czy to ojców obyczaj?“

Sydbor raz jeszcze spróbował. „Kniahini“ rzekł „inaczej nie pomścimy krzywd naszych, nie uradujemy ojców po grobach, nie damy ziemi wolnością odetchnąć. Czyż mamy cierpić dalej, i cierpić wiecznie, gdy nadarza się chwila?“

„Cześć i dumę nad wolność i zemstę przełożę“ odezwała się Zaryna wstając. „Ojcowie woleliby byli zginąć jak przyjąć łaskę z rąk zbiega i sługi, i zwyciężać zdradą. Byłoby to hańbą, gdyby nie było to głupstwem, co czynicie! Na piasku ruchomym stawiacie zamek. Cóż wam za to ręczy że się zmiennik nie zmieni? z Anta Rzymianinem był, ze sługi królem; i znów może Antem dziś zechce być, zaznawszy tamtych rozkoszy? I znów dziecka tego Zabora sługą, zaznawszy panowania? Idźcie! Idźcie! Mam chęć was kądzielą uderzyć! Nie widzicież że to zachcianka jakaś i huć co minie? Poczuł woń łąk ojczystych, a może kocha się w dziewczynie jakiej; i marzy! Ale wnet się przybudzi; królem znów będzie na ziemi tej naszej! Poginiecie marnie, albo dostaniecie od Rzymian zwycięzców hańbiącą łaskę, którąście przyjąć gotowi! Oto moje prorokowanie—innego nieusłyszycie. Rozkazuję ci, wnuku, nie rusz mi miecza z pochwy, bo cię wyśmieję, gdy cię trupem tu nazad przyniosą. A słońce to, dar proroka rzuć do wody, do studni! Nim się przybierzecie, nie chcę was widzieć, głupcy! Idźcie!“

Wskazała drzwi, i obaj wyszli zmięszani. Zabor spytał się w sieni „co robić?“

„Zła wróżba,“ mruknął Sydbór.

„Rzecz rozpoczęta,“ mówił Zabor „trzeba wytrwać, choćby zginąć przyszło.“

„Czas się jeszcze namyślić“ mówił Sydbór.

Obaj posmutnieli, i milcząc chodzili po ciemnej sieni, a od czasu do czasu wtrącili słowo jakie, które się mięszało z szumem deszczu na dworze. Nic się niby niezmieniło, wszystko było jak przed godziną, rozum kazał działać, ale serce zwątpiło i zamarło. W tem usłyszeli pukanie u drzwi i głos: „Hej otwierajcie!“

Poznali Głos Kocisza, i otworzyli drzwi od dworu, mówiąc: „Witaj.“

„Witajcie“ rzekł Kocisz wchodząc. „Dlaczegoż tu tak ciemno? Zimno mi bo zmokłem, a tu coś dobrego wam przynoszę. Zapalcie przynajmniej kaganiec, a lżej na sercu będzie.“

Sydbór skrzesił ogień, i uczynił jako chciał Kocisz. Światło wiszącej nieoszklonej lampy, ledwo zdołała rozjaśnić kąt jeden wielkiej sieni. Ale dość było tych drżących promieni by można rozpoznać zbrojnego Kocisza. Zmókł cały, i woda ciekła z pancerza, a w ręku miał długą włócznię zciętą, bladą, krwawą głowę ogolonego mężczyzny, o krótko uciętym czarnym włosu.

„Widzę Zaborze żeści już z królewska przebrani,“ rzekł Kocisz „pierwszą tedy dań przynoszę panu memu. Oto głowa pretora Dacji.“ I mówiąc zdarł głowę z włóczni, i rzucił martwy ciężar u stóp Zabora. Młodzieniec wzdrygnął się mimowoli.

„Gdzieście go zabili?“ spytał Sydbór.

„Z drużyną moją jechałem ponad Dniestr, koło przewozu w Czortopolu“ począł Kocisz „zbierając ludzi do naszej sprawy. W tem patrzę: na promie jakiś orszak jedzie. Patrzę lepiej, a śród deszczu poznaję że to Pretor z Barsobii jedzie do Castrum Gaudii pokłonić się Cesarzowi. No! pomyslałem, bogowie nadarzyli. Wsiedliśmy na nich na promie, i niedaliśmy im już wysiąść. Miecze nasze krwi Rzymskiej pokosztowały, ledwo dwóch ich gdzieś wpław uciekło do Niżniowa, a podarek przyniosłem tu do Czesebis Zaborowi.“

Zabór i Sydbór popatrzyli się po sobie. „Za nas postanowili bogowie nieśmiertelni,“ rzekł Zabór, „Nie można swoich porzucić gdy miecze podnieśli. Dzięki ci Kociszu za pierwsze w wojnie zwycięztwo! A teraz na koń! rozjechać się po siołach!“

Mówiąc wyglądał Zabór już jakoś po królewsku. Słońce zdjął z piersi i ukrył pod pancerz, mrucząc: „Nie czas jeszcze na to świecidło.“ I wnet rozjechały się po deszczu konne drużyny.

XI.

Rada wojenna zeszła się w namiocie niebieskim w Castrum Gaudii na wieść o powstaniu, co tak niespodzianie i tak zuchwale wybuchło wtedy właśnie, kiedy nie zwykła załoga bawiła w Dacji, jedno całe wojsko Rzymskie wraz z legatami wszystkiemi i samymże zwycięzkim imperatorem. Nie na śmierci Pretora skończyło się bo tamtej nocy, ale wszędzie powstały gromady mimo słoty i pojedyńcze oddziałki Rzymskie porozrzucane po kraju były narażone na groźne niebezpieczeństwo. Imperator przyjmował te wiadomości jakoś obojętnie i zdawał się rzecz lekceważyć rozparty na krześle u jednego końca stołu. Pizo siedział naprzeciwko, obcinał sobie paznokcie, skubał w zębach, i przebiegł okiem po wszystkich twarzach nieomijając imperatora; Karbo sądził że rzecz ważna, ale nie dawał dobrej rady; Karus najstateczniej wykazał potrzebę zciągnięcia wojsk w jedno miejsce, a Dioklecyan i Maksymin popierali jego zdanie, dodając że tylko przykładne ukaranie przewódców może buntowników poskromić. Aper nie był pewny Maurytańskich żołnierzy, z którym już kilku zbiegło z szeregów: „Polityką naszą jest,“ mówił „obce wojska w obcym trzymać kraju, aby te wojska nie miały litości gdy przyjdzie bunt poskromić. Ale te wojska trzymamy wiecznie na jednem miejscu. Zdawało nam się że dość zrobimy, gdy Maurów wyszlemy w te mgły i śniegu tak niepodobne do piasków ich rodzinnej pustyni, i od dwustu lat stoją tu Maurytańskie legiony, aż każdy żołnierz nauczył się mówić tutejszym językiem, kochać tutejsze dziewczęta i lękać się tutejszych bogów. Maurów niejestem pewny.“

„Z małej na pozór rzeczy, może powstać wielka,“ wtrącił Galienus; „bunt się rozszerzy na całą Dacją, na Panonją i Norikum, zhołdowani królowie Sarmatów i Gotów podadzą rękę buntownikom, i prowincje Greckie będą znów zagrożone jak przed niewieloma laty. Sądzę, najpierw, spytajmy się augurów.“ Aurelian uśmiechnął się z lekka. „Augurowie“ rzekł, „mówią byśmy jednego żołnierza nieruszyli ze swego stanowiska.“

Karus teraz odezwał się w te słowa: „Galienus augurom wierzy. Być może że jeszcze prawdę mówią w Dalmacji. W Windelicji, zkąd ja rodem, nikt ani ich niesłucha, ani niebaczy na Germańskie znahorki co się u nas przechowały. A w Rzymie mówią wszyscy że augurowie tak wróżą jak imperator każe. Ty najlepiej wiesz, boski Auguście, czy to prawda? Jeśli ludzi augurów nie krzywdzą rozkaż im by nam wróżyli abyśmy kohorty ściągnęli w jedno miejsce. Zapewne zwyciężysz łatwo, Imperatorze, ale na cóż mają ludzie ginąć marnie.“

„Od tego są żołnierze by ginęli,“ rzekł lakonicznie Aurelian.

Karbo uśmiechnął się po dworacku i powiedział: „Słowa mądre jakby miód ciekną z ust imperatora naszego. A jednak śmiałbym przypomnąć, że każdy żołnierz jest obrońcą rzeczypospolitej.“

Aurelian spojrzał na legatów badawczo — i spytał powoli: „A kto jest rzeczą pospolitą?“

Milczeli wszyscy. Zdawało się że pytania nie zrozumiano.

„Raz jeszcze pytam się was“ powtórzył Aurelian, „kto jest rzeczą-pospolitą? Czy świat okrągły co zwisł wśród przestrzeni pod berłem mojem? Czy ludy podbite co w strachu płacą mi podatki? Wtedy rzeczpospolita byłaby u Antów podobnie jak w naszym obozie. Czy może rzeczą pospolitą domy i świątynie Rzymu, które ja murem opasałem? Czy motłoch ów któremu płacę igrzyskami za bojaźń i poklask? Czy senat który mianuję i przemieniam wedle mojej woli, i który mnie słucha jak niewolnik? Czy wojsko co jest tylko narzędziem mojem? Chciałbym wiedzieć, kto jest rzeczą-pospolitą?“

„Jest coś boskiego co się nieda powiedzieć“ mruknął Karus, i długo czekał Aurelian na odpowiedź, której żądał. Wreszcie gdy Karbo spotkał ponury wzrok pana przypomniał sobie że trzeba podchlebiać: „I któżby nią był, jak nie ty imperatorze!“ zawołał.

Aurelian spodziewał się że kto inny odpowie, a słowo Karusa nieuszło jego uszu. Udał tedy że nierad z Karbonowego podchlebstwa: „Zawsze podchlebiasz tylko, Karbonie,“ rzekł, „i mnie podchlebstwem krzywdzisz, bo tylko tyranom miłe kłamane pochwały, a ja tylko towarzysz waszych bojów, któregoście przewodnikiem waszym obrali. Gdy ja ubędę niewiele się zmieni. Sprawicie mi pogrzeb wspaniały, usypiecie gdzieś nad Tybrem mauzoleum i zrobicie ze mnie boga. Ale cóżby to się nie stało gdybyście wy wszyscy zginęli, wy co tu siedzicie przy stole? Nie poradziłby ni senat ni naród, i niebyłoby komu świat dźwigać na ramionach. Wyście podobno rzeczą-pospolitą, towarzysze!“

Teraz na przemianę Cesarz podchlebiał i podchlebstwo się podobało. Coś tam jeszcze mruczał Karus o tem, że legaci tylko sługami Romy, ale inni wszyscy prawie cieszyli się słowem imperatora. On ujrzał że niechybił celu, i dalej kusił legatów sądując ich.

„Przy sobie stać powinniśmy, i sobie służyć wzajemnie. Nie o motłochu myślmy i nie o miejskim senacie, tylko o swojem przymierzu.“

„Pewno“ rzekł Dioklecjan, skoro milczenie imperatora znowu żądało odpowiedzi, „żołnierz żołnierzowi, wódz wodzowi winien pomagać w boju, i dlatego sądziłbym żeśmy winni zciągnąć kohorty na jedno miejsce, by każdemu pomoc mogła w czas nadejść.“

Nie podobały się czegoś te słowa Cezarowi. Ruszył się niecierpliwie na siedzeniu i powiedział stanowczo: „Uczynię to, co za dobre będę uważał, i spodziewam się posłuchu. Ta ruchawka nie warta naszej narady. Zda mi się, mówiliśmy o czemś ważniejszem?“

„O tem boski Auguście“ wtrącił Maksymin wezwany do tego wzrokiem Aureliana, „że my wodzowie wojska Rzymskiego dziś duszą i ciałem rzeczypospolitej.“

„A tak!“ rzekł Aurelian, „więc podejmę hasło starego gaduły Cycerona i zawołam: „Niech zbawienie rzeczypospolitej będzie pierwszem prawem! radźmy o zbawieniu naszem!“

„Albośmy zagrożeni“ spytał Karbo, „tak bardzo, że aż troska może najść potężne czoło pana świata? Czyż musimy ofiarować kohorty na to, by własne życie ratować? Wszak dopiero co sam raczyłeś powiedzieć, że ta ruchawka niewarta nawet naszej narady.“

„Nie ona nam grozi“ krzyknął Aurelian! „Prędzej może z ruchawek takich mogłoby wyjść nasze zbawienie. Patrzycie na mnie zdziwieni, a ja się dziwię tylko, że mnie nie rozumiecie, żeście sami dawno na takie myśli nieprzyszli. Nie barbarzyniec nas pokona, pożre nas jakieś fatum ślepe, nieubłagane, przywiązane do imienia Romy. Spojrzyjcie w tył a strach was weźmie. Cóż tam ujrzycie w pąmięci waszej? i dalej, dalej w głąb wieków, aż po czasy boskiego Cezara? i dalej jeszcze aż po boje Marjusza i Sulli? Długi sąd krwawych bezdzietnych widm, co dziś tylko miały, i ani wczora, ani jutro! Imperatory jak ja obwołani przez okrzyki legionów a potem zamordowani haniebnie przez żołnierzy albo niewolników — tak jak ja kiedyś padnę. O ojcach ich rzadko głośno, głucho zwykle — o dzieciach głucho jak w grobie. Gdzieindziej król siedząc na stolicy, wśród narodu rad patrzy na długi poczet przodków królów, i cieszy się myślą o królach potomkach. Tron mu ojcowizną i domem; dla mnie gościną tylko, w której popasam chwilę. Za mną trud trudów, przedemną krwawa trumna; wiecie wszyscy że prawdę mówię. Ktoś z was może po tem stanie na mojej stolicy, i jak ja przeminie. Chwilę błyśnie mu korona świata, a potem zaraz sztylet. To nieuniknione. Przy tym stole siedzi pewno kilka ofiar Rzymskiej purpury, syreny co wabi do siebie, a przywołanych dusi w uścisku śmiertelnem. A kto legatem tylko pozostać zechce i temu nielepiej będzie. Coraz to nowi imperatorowie jednodniowi władną światem. Jedni wiedzą że zginąć muszą, i siedzą na tronie spokojnie, oczekując ofiarnego noża. Pod tymi żyć bezpiecznie; ale inni chcą się wyrwać z rąk przeznaczenia, i świat posiąść na wieki. Jak opętańce miotają się przeciw konieczności. Jak wszystko co bezsilne, stają się wściekłymi. Krew tedy zewsząd płynie. Jedni mówią że dla uciechy Cezara, a ja wiem że dla jego rozpaczy. I wtedy najpierwsze spadają głowy legatów, konsulów, pretorów. — Towarzysze! Jedna krwawa toń nas wszystkich pochłonie, jeźli świat dalej trwać będzie w jednej zbity obręczy żelaznej. Zbawienie dla nas tylko w podziele. Każdy z nas może panować dzień jeden nad światem, i zginąć marnie znienawidzony. Niewolimyż panować wszyscy razem, w pokoju, w miłości ludów, jako królowie dziedziczni, czczeni przez tych, co nas nazwą oswobodzicielami. Podzielmy świat pomiędzy siebie a każdy stanie się królem dziedzicznym jednego narodu. Tam umrzemy na starość, w pokoju, wśród dzieci królów.“

„Możeby to i dla świata lepiej było,“ rzekł Dioklecjan.

„Myślę że Cezar nas kusi. Chce wypróbować naszą wierność,“ mówił Karbo.

Karus przecząc trząsł głową. Oburzał się nawet o ile wolno było w obecności Cezara. „Jesteśmy na to żołnierzami by zginąć dla Rzymu,“ wołał. „Mam synów dwoch Karina i Numeriana, a obydwu bym oddał dziś aby utrzymać całość budowy wspaniałej, którą zkleili przodkowie krwią z pod serca.“

Karbo znowu wtrącił: Aurelian żartuje. Czyny jego przeczą jego słowom. Wszak rozbitą była rzeczpospolita, a on ją zkleił. Tetrykus panował w Galii, w Azji rządziła Zenobia; kto inny rządził Brytanją, kto inny Egiptem, a on wszystkich pokonał, i przywrócił jedno panowanie. Uczynił że znowu Jowisz sam panuje na niebie, na ziemi Cezar sam.“

„Imię Romy ma moc magiczną,“ wołał Galienus, „padłby ten, coby na nią się targnął, powalony samym brzmieniem imienia co jak grom leci.“

„Po co nam szukać licha?“ mówił Maksymin „kiedy nam dobrze i tak jak jest. Co mamy, mamy. Dziecko tylko puści rzecz dla cieniu, a my nie dziećmi.“

Aurelian przygryzł wargę. Trzeba było myśl ukryć bo się nieprzyjęła. Powstał z miejsca i wszyscy powstali. „Będziemy bronić Romy,“ rzekł „a mniejsza o to, że nikt nas nieobroni. Może na to i nasze wystarczą miecze. Niewywołujmy licha, zanim się samo zjawi. Gdy kto na mnie powstanie, tuszę, staniecie przy mnie. Wasze tarcze, wasza wiara, będą mi obroną.“

„Tak każe obowiązek żołnierski.“ Rzekł Aper.

„I tak będzie!“ Zawołał Aurelian. „Idźcie! Rada skończona.“

„A kohorty?“ Spytał Karus.

„Zostaną gdzie są, to moja wola“ zakończył Aurelian i skinął głową. Nikt już zostać nie śmiał, i wyszli wszyscy, rozmawiając, nie rozumiejąc, zdziwieni. Pizo milczał cały czas w namiocie, a teraz dopiero zaczął mówić i szeptać,

podniecając podejrzenia półsłówkami. „Szał Cezarów już bierze Aureliana,“ mówił. „Czy nie chce wojska i nas wygubić? Baczcie!“ Tak mówił i znajdywał posłuch.

A Aurelian chodził po namiocie niespokojny. Próbował czy legatów namówi do dzieła szalonego, a widział że nie kupi ich nawet blaskiem dziedzicznej korony. Woleli wszyscy nadzieję panowania nad światem. A sam? Cóż robił? Do czegoż się brał? Czy mógł sam Rzymowi wydołać, choćby z pomocą świata? Maksymin mówił prawdę dla rozumu, że nie trzeba było wywoływać chwilę zgonu przed czasem. Ale czyż go rozum wołał? Gdy myślał, stała przed nim Krasa. Gdzie spojrzał zdawało mu się że widział twarz Krasy; i nie wiedział sam dlaczego, ale zdawało mu się że to widmo czarowne wołało nań: „Czyń coś rozpoczął, uwolń świat od Kapitolińskiej niewoli! poświęć koronę smoją wolności narodów, a będę cię kochać.“ Jakby słyszał te słowa w powietrzu, a był ich niewolnikiem, bo szalał miłością wielką jak świat.

A papuga całą radę słuchała, siadłszy pod szarem niebem na duchu namiotu, uleciała teraz do pani swojej; strząsła pióra od wilgoci, i opowiedziała co słyszała. Wiedziała przeto Zenobia że Aurelian trwał w zamiarze. Nie wiedziała tylko jak wielką miłość jego dla Krasy, i spodziewała się jeszcze, że wróci do jej stóp.

Niedługo a przyszedł do królowej Pizo. Powtórzył gorzej to, co mówiła papuga, ale zdał sprawę z niezadowolenia co kiełkowało wśród legatów, i pochwalił się tem że posiał już nasienie spisku. Zenobia go pochwaliła, a dodała radę: „Gdy będziecie spiskować bądźcie ostrożni! Niedowierzajcie nadto wszystkim, a niezapomnijcie o Greku Mnesteuszu! Może być waszym szpiegiem przy Aurelianie, bo jest jego sekretarzem, a kupić go łatwo obietnicą konzulatu!

XII.

Decjusz — Dzięcioł słyszał od dawna że gdzieś na podgórzu żył pustelnik zwany Niceforem, i wszyscy mówili że to był kapłan jego wiary, i że mąż ten, rodem z Megalopolis w Arkadji aż tu przybył na północ, aby służyć potrzebom duchownym rozprószonym wyznawcom nowego objawienia. Wieści te nie były pewne, i pewnemi być nie mogły, bo szeptano tylko o sprawach zabronionej wiary. A jednak Decjusz się niezawahał, i szedł prosto, i piechoto, przez deszcz, po rozmokłych górskich i leśnych ścieżkach do owego Nicefora. Szedł piechoto dla umartwienia znienawidzonego ciała, a szedł pewny że do upragnionego dąży celu, bo był przeświadczony, że głos wewnętrzny jemu świadczył że wieści były prawdziwe i że Nicefor był Manichejczykiem.

Zmierzchało się już dobrze, ciemniało coraz bardziej, i deszcz ze śniegiem padał kiedy doszedł do swego celu. Chata stała na leśnej polanie, w strasznej samotności, i żadne światło niewyglądało przez szpary drzwi i drewaianych okien. Mogło się zdawać że pusto tam było we środku, a jednak gdy Decjusz zapukał otworzono mu drzwi, i weszedł do zupełnej ciemnicy. Chwycił go ktoś za rękę i poprowadził na ławę: „Kim jesteś, bracie, i zkąd przychodzisz o takiej porze?“ Spytał jakiś spokojny głos wśród ciemności.

Na zapytanie odpowiedział Decjusz zapytaniem. „Czy z Niceforem sługą bożym mówię?

„Jestem Nycefor z Megalopolis. Głosu twego nieznam pewno. Musiałeś zmarznąć i zmoknąć. Modliłem się tu w ciemnościach do boga naszego — jeśliś i ty mojej wiary, jak się zdaje — ale teraz bracie zapalę ogień i dam ci suche szaty, i jedzenie na jakie mi stało. Zanim pokrzepimy ducha, trzeba będzie spocząć, a jutro spełnimy rano święte obrzędy.“

„Nie! Tak być nie może; Dobrą jest ta ciemność cielesna, bo w niej świeci światło ducha. Dobremi są szaty te zmokłe, bo umartwią ciało. A czasu tracić nie chcę, bo w ostatnią idę drogę.“

Po ostatnich słowach Decjusza nastało przez chwilę milczenie. Po chwili odezwał się Nicefor: „Widzę że mówisz w rozpaczy w obłędzie jakimś. Może za ciężkie pokutujesz grzechy?“

„Ofiarowałem demonom i to nie z przymusu.“

„To ciężka wina, na prawdę. Ale i na nią znajdzie się łaska i odkupienie. A gdy szat nieprzywdziejesz suchych, możesz umrzeć bez pokuty, z własnej winy. Na to kapłan niema rozgrzeszenia.“

„Dziwne twoje nauki, Niceforze! Niezabronisz bym czynił ofiarę z ciała, i bym się dręczył.“

„Bóg ci kazał żyć. Gdy zechce sam powoła,“ mówił Nicefor stanowczo; To mówiąc wskrzesił ogień, i za chwilę płonęło jasno drzewo suche na wielkim kominie. Chata była bielona i obszerna, ale czysta. Były w niej i stół i ławy i dwa łóżka, jedno dla Nicefora, a drugie dla podróżnych, którzyby tu zabłądzili, i były drzwi do komory. Nad jednem łóżkiem zwisł krzyż drewniany i obraz bogarodzicy młodej i pięknej, malowanej jeszcze podług wzorów pogańskiej sztuki.

Dzięcioł obejrzał się ciekawie, zerwał się na równe nogi, strząsł niecierpliwie przemokłe szaty, i zawołał: „Teraz rozumiem dlaczego do mnie tak mówiłeś. Widzę żem zabłądził. Widzę żeś Nazareńczyk!“

„A ty czemże jesteś? spytał Nicefor odwracając się spokojnie.

„Jestem wyznawcą prawdy.“

Każdy kacerz i każdy poganin tak mówi. To niejest żadna odpowiedź.“

„I po cóż mam ci odpowiadać? Cóż tobie do sumienia mego. Czy bym się spowiadał przed flaminem Jowisza? Czy mam mówić o duszy mojej słudze Maryi?“

„Siadaj zawsze! Choć ziemską dam ci pociechę!“

„Nie chcę! nie chcę! Gdy mi się ciało rozgrzeje, gdy jadła pokosztuję, może mi się zechce znowu żyć! A ja muszę umrzeć. Wiem że i słowa twoje będą mnie namawiać do życia. Ono mi zbrzydło! Ono mi ciężarem! Chcę je zdeptać! Słuchać cię nie będę! bądź zdrów.“

„Oszalałeś szaleństwem kacerzy“ mówił Nicefor stając we drzwiach; i poddaj się woli bożej! jeszcze nieprzyszła na ciebie śmierci godzina. Snać potrzebnym jeszcze jesteś na ziemi, i przyjdzie chwila jeszcze, w której podziękujesz Bogu, że ciebie tu sprowadził, bym cię zachował przy życiu. Może przez ciebie jeszcze spełni się jakiś wielki wyrok Boży, gdy się nauczysz pokory!“

„Nie broń mi wyjścia,“ rzekł Decjusz „bo wyrwę ci życie, o którem mówisz, że tak drogie!“

„Gdy mnie zabijesz, na ciebie grzech spadnie,“ odparł Nicefor spokojnie, „mojem obowiązkiem ciebie od grzechu wstrzymywać, a w Boskiem ręku, co się ze mną stanie. Gdy z twojej ręki umrę, umrę pełniąc wolę Pana co mnie stworzył.“

„Nie mam prawa do tego życia; ale i ty nie masz prawa do dni moich,“ wołał Decjusz. „Ja cię nie zabiję, a ty mnie niekaż żyć, niekaż mi zapominać, przebaczać jak to czynią Nazareńczycy. Ustąp mi się z tych drzwi.“

„Nieustąpię się,“ mówił Nicefor, chwytając się ścian oburącz. I obaj stali naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem. Trwało to chwil kilka aż Nicefor wreszcie zwyciężył i Manichejczyk spuścił powieki i odszedł na kilka kroków.

„Więc radzisz żyć,“ rzekł wreszcie, „radzisz jeść i spać i odpocząć sobie. Szat teraz niezmienię,“ mówił drżąc od zimna, „ale coś zjem, bom głodny; a jeźli masz wino, daj tu, bo łaknę.“

I mówiąc siadł przy ogniu tak że z szat jego wychodziła gęsta para. Pustelnik i wina podał i chleba, a wnet i coś ciepłego ugotował. Gdy Decjusz się pokrzepił, wstał znów i stanął naprzeciw Nicefora: „Gdybym był takim jak wy wszyscy, żyłbym,“ rzekł. „Ale dla mnie niema miejsca na naszej ziemi, wśród ludzi. Ciasno mi.“

Nicefor odparł: „Musisz być potrzebny gdy jesteś tu; i tam gdzie cię postawiono, tam pewno twoje miejsce. Szalony kto daleko od siebie pracy szuka; każdy znajdzie moc blisko siebie.“

„Dawniej miał człowiek co robić“ mówił Decjusz niecierpliwie. „Było państw wiele, były przymierza i boje, i ludowe narady, i filozofowie którzy poznali myśliciela gdy się trafił, i rzeczypospolite co go uczcić umiały, i lepsi i piękniejsi ludzie; żyć było warto, działać warto. Dziś w powszednim, szarym świecie sam nie wiem, pocom się rodził. Muszę płacić dań, kłaniać się, witać, i patrzyć na to jak nikt mnie nie zrozumie.“ —

Nicefor chciał coś mówić, ale Decjusz niedał mu przyjść do słowa i dalej prawił gorączkowo: „Wiem co chcesz mówić, wiem na pamięć, i słuchać nie chcę. To rzeczy oklepane, nieznośne nauki Nazareńczyków. Gdym był w Bizancyum zaczęło mi ciężyć życie. Wydało mi mi się że świat odumarł i odumarły bogi, szukałem tedy za czemś nowem, zaczemś coby mnie odróżniło od gapiącego się motłochu, co trzepie się jak opętaniec wśród nudnej, próżnej jednostajności. Chciałem się znaleźć tam, gdzie moje miejsce wśród duchów wyższych. Nie było ich — nie było! Słuchałem waszych nauk tedy, Nazareńczycy! Mówiliście mi że wszyscy równi pracownicy w winnicy Bożej, i ja i głupiec jakiś co wziął tylko połowę rozumu, i klepie bezmyślne pacierze w kościelnym przedsionku, tam u was w Bizancyum, gdzieście aż kościoły na rynkach postawili. Taka wiara mnie niegodna; o takiej słyszeć nie chcę, do takiej lgnąć nie chcę. Będziesz mi mówił że pycha mnie gubi. Wiem o tem. Ale uszy sobie zatkam, więc nie marnuj słów! — Ludzi nieznalazłem — wszyscy o marnościach myśleli. Jeden chciał wziąść urząd inny skupował książki, trzeci drogi budował, ten chciał, się zbogacić, a tamten wlókł się po świecie na to by widzieć gdzie kto jaki piękny posąg zostawił. Cóż miałem z nimi wspólnego! Ludzi nieznalazłem ale znalazłem wiarę dobrą w objawieniu Manesa, wiarę co przyznawała że świat jest zły i najgorszy, i że są wśród duchów różnice, że jest i motłoch duchów którym można gardzić. W tej wierze znalazłem pociechę, i z tą wiarą wróciłem do kraju. Grzech tylko żem się niepozbył wpierw ciała.“

Było znowu milczenie. Nicefor patrzał na opętańca z politowaniem, i nie chciał mówić, bo czuł że słowa będą stracone. Wreszcie przerwał milczenie, radząc by się przebrał, na łoże położył i usnął.

„Spać?“ krzyknął Dzięcioł, „chcesz abym spał? Ja, teraz u krawędzi przepaści, zanim skoczę w otchłań. Chcesz może bym zapomniał, chcesz użyć czarów abym zapomniał? Nie! nieprzeszkodzisz bym niewszedł między wyższe, równe mi duchy. Dość już mam tego wygnania wśród motłochu. Cóż miałem tu robić wśród barbarzyńców? Nie rozumieli mnie i znali się tylko na skarbach. Jedna była kapłanka ich rozmarzona, córka Świętosza z Albikuli, Krasa, o której myślałem że zgadła, że we mnie jest coś innego jak w tłumie. Bogatą była, piekną, wiedziałem że wszyscy nań zwrócą oczy. Nie chciałem świecznika kłaść pod korzec, i poślubiłem ją, a zgrzeszyłem przy tem ofiarując ich bogom. A wiecie co się stało? Aurelian błysnął jej koroną, i ona jego... Niepowiem więcej; nie chcę ust kalać przed śmiercią. Ale proszę cię, na ową miłość bliźniego o której wy ciągle prawicie, pójdź do Albikuli i powiedz tam Krasie, żem umarł, i że ją przeklinałem konając!“

(*C. d. n.*)

IWONICZ.

W tomie drugim „Strzechy“ za rok 1869 podaliśmy obszerny artykuł o zdrojowiskach krajowych — a między innymi o Iwoniczu. Dziś, wracając do tego samego przedmiotu, pragniemy tylko opisać zmiany, jakie ubiegły lat dziesiątek na korzyść tej miejscowości sprowadził — i wykazać różnicę pomiędzy dzisiejszym a ówczesnym stanem Zakładu. — Gdy w roku 1868 Zakład Iwonicki liczył 250 pokoi gościnnych, dziś liczy ich przeszło 400; gdy wówczas — jedne stare łazienki musiały odpowiedzieć wszelkim



wymaganiom gości — dziś, wspaniałe nowe zabudowanie może najobszerniejszej liczbie chorych dogodzić; — gdy przed dziesięciu laty miejsce przed hotelem zarosłe było trawą, dziś tam biją wspaniałe fontanny i wznosi się śliczna altanka dla muzyki; gdy... — Ale nieskończyłbym wyliczać tych zmian rozlicznych, jakie pieczołowita ręka hr. Michała Załuskiego właściciela Iwonicza i p. T. Ulanieckiego dyrektora zakładu rok rocznie zaprowadza, zmieniając z każdą chwilą Iwonicz na miejsce tak urocze — jakiem niewiele zdrojowisk w kraju poszczycić się może. W zakładzie leczniczym w Iwoniczu (*jod, brom, szczawy solne*) porządek i czystość wzorowa dają mu tę cechę wyróżniającą go przyjemnie, to piętno *zagraniczne* które same już zdolne przyciągnąć do siebie powabem miejsca i ładem ręki — która umiejętnie krząta się około podniesienia zakładu.

Odsyłając czytelników, do obszernych prac Dra Dietla, Dra Zieleniewskiego i Dra Lutostańkiego o Iwoniczu, jako o miejscu kąpielowem, — pragniemy tylko na zakończenie niniejszego artykułu powiedzieć — że powagi lekarskie tak krajowe jak i zagraniczne, jednozgodnie przyznają wodom Iwonickim skutek jak najpożądańszy — i rokują mu przyszłość daleko wiekszą aniżeli innym tego rodzaju zakładom.

Życząc naszym zdrojowiskom — aby ta wróżba spełniła się w zupełności—wyrażamy nadzieję, że ogół polski przyczyni się nie mało do jej urzeczywistnienia.

X. X.

LASZKA.

Opowiastka

AURELEGO URBAŃSKIEGO.

I.

Skłon Niebios czysty, lazurowy... Lekkie chmurki szybują po nim od zachodu, kędy sinawym rąbkiem rysują się szczyty Alp styryjskich.

U stóp szmaragdami lasów zasianej góry, w rajskiej, podalpejskiej kotlinie rozsiadł się swobodnie wśród parku zieleni Gleichenberg — suchotników Eldorado.

Nieszczęśliwi znają cię, urocze, lecz i smętne ustronie! Z wiosną, jak sznury żórawi, ciągną ku tobie koleją południową wybladłe, zwiędłe postacie, by u zdroju twego zaczerpnąć sił gasnących i znowu na rok łudzącą pocieszyć się nadzieją...

. . . .

Ranek lipcowy... ciepły... wonny. Tłumem roi się chodnik parku przy dźwięku orkiestry, umieszczonej w czarodziejskim kiosku u stoku leśnej wyżyny.

Ku dobroczynnemu źródlisku garnie się skwapliwie spragniona chorych drużyna, gwarząc i pokaszlując. Ci jeszcze szczęśliwi!... Złudny rumieniec barwi im oblicze— oko błyszczy gorączkową nadzieją — pierś napawa się czystem, wonnem powietrzem, nie zakażonem dymem cygara. Lecz jeśli tylko swobodniej wychylić pragniesz przepisaną Ci ilość uncyi życiodajnego nektaru, pozwól porwać się temu prądowi gwarzących, nie zwracaj zaś źrenicy ku rzędowi wygodnych ławeczek wzdłuż chodnika. Tam spoczywają mniej szczęśliwi... Blade to, wyschłe, schorzałe postacie; miasto gorączkowego rumieńca przylepły im do schudzonej twarzy niepewnej barwy plamy o zakrojonych konturach — oko w głąb czaszki zapadłe rozpaczliwe, wylękłe rzuca w koło spojrzenia — z piersi dobywa się od czasu do czasu nie kaszel, lecz ciche rzężenie...

Straszliwy to dla młodego obraz!... A obraz to codzienny... Mimowoli pierwsza lepsza postać z grona tych nieszczęsnych utkwi ci w pamięci, napawa zgrozą na jawie, prześladuje we śnie...

Smętarze nazwano miastami umarłych... Gleichenberg nazwijmy smętarzem żyjących — konających przybytkiem...

. . . .

W ustroni parku, pod konarami rozłożystego klonu siadywał blady, wychudły, średniego wieku mężczyzna. Jakkolwiek trawiąca choroba straszliwe już na obliczu jego wycisnęła piętno powolnego rozkładu, jakkolwiek nie był to już człowiek, a dogorywający szkielet — nie wiem dlaczego — lecz widok nieszczęśliwego suchotnika nie wywierał na mnie, młodym, tak okropnego wrażenia, jak spotkanie się z równie cierpiącymi jego kolegami. Być może, iż smętne spojrzenie modrego, wielkiego oka, sympatyczny zakrój ust wiecznie milczących i krucza, potężna broda okalająca blade a wyraziste oblicze, łagodziły to wrażenie...

Biedny siedział nieruchomy i milczał... On nie miał już siły zdążyć do źródliska...

Dziwnym pociągnięty urokiem, usiadłem przy tym posągu. I posąg odżył i przemówił do mnie... po polsku.

„Słyszałem zdala słów kilka polskich wyrzeczonych przez pana“ — zagadnął mnie cichym, złamanym głosem. „Zbliżył nas przypadek... Skorzystam zeń, by zamienić z sobą choć kilka wyrazów. Tak dawno nie miałem do tego sposobności... Nie znam tu nikogo“...

„Jak to?“ — odparłem zdziwiony — „kolonia polska tak liczna tu co rocznie“...

„Nie jestem Polakiem“ — i uśmiech dziwnie boleśny skrzywił mu usta.

Twarz moja dosadnie odzwierciedlić musiała niekłamane zdumienie, a oraz i obudzoną do żywego ciekawość — na pytające bowiem spojrzenie dodał po chwili z pewnem wahaniem... „Jam Rossjaninem.“

Lat kilka zaledwie przedzielało nas naówczas od roku 1863. Mimowoli zamilkłem, szukając wyraz odpowiedzi. Długo wzrok badawczy trzymał na mej odwróconej twarzy — nareszcie szepnął:

„Jest tu kilku moich rodaków. Ci nie lubią rozmawiać ze mną... Polacy usuwają się odemnie, gdy wymienię moskiewskie me nazwisko. Dlategoto unikać muszę towarzystwa i zniewolonym się czuję do wiecznego milczenia... Musiałeś pan słyszeć zapewne: zwą mnie „milczącą mumią“

Tajemnicze słowa boleśnie wygłoszone zaostrzyły tem bardziej mą ciekawość. Już zamyślałem wręcz spytać go o bliższy powód tego osamotnienia, gdy chory nagle zawołał gorączkowo: a „przecież ja biłem się za waszą sprawę!... Czy widzisz pan te piersi zapadłe? Mężczyzną byłem zdrowym, silnym jak wasz dąb poleski... Przyszłość uśmiechała się do mnie uroczo... I oto jedna kula... kula z rąk Moskala — rodaka, zrobiła ze mnie to, czem jestem — dychającego trupa... Cherlam lat przeszło sześć... Tak... To rok siódmy — zapewne ostatni.“

Twarz spłonęła mi żywszem uczuciem; mimowoli ręka moja pobiegła ku jego ręce.

Zapomniałem o szpiegach, kręcących się po wszystkich zdrojowiskach świata, a śledzących biedną naszą

Polonię; nie wiedząc, z kim mówię i zkąd powód odezwania się „milczącej mumii“ (tak go rzeczywiście nazywano) z zapałem uścisnąłem zimną rękę szkieletu.

Byłem tak młody — a rok 1863 brzmiał jeszcze w naszem sercu niedalekiem echem!

. . . .

Dzień ten stał się zawiązkiem naszej przyjaźni, przyjaźni młokosa z mężem dojrzałym... „Mumia“ przemówiła... Codzienie biegłem zrana pod klon cienisty, gdzie oczekiwał mnie Timofiej, przez sługę zakładu usadowiony na ławeczce. Podawałem mu ramię i wiodłem krok za krokiem do zdroju.

Pomnę, z dniem każdym coraz to żmudniejszą było to pracą; siły gasnęły w nim, jak światło w kaganku pozbawionym ożywczego płynu. Wróciwszy pod poczciwe nasze klonisko, gawędziliśmy... Timofiej skreślał mi urywanemi zarysy obraz swego żywota. Opowieść trwała długo — bardzo długo... Częstokroć milczeć musiał godzinami, by nabrać sił i odpocząć po znużeniu gawędą... Czasem dzionek cały upłynął i nie uchwyciłem odeń nic, krom kiwnięcia głową na powitanie i kurczowego uścisku dłoni na pożegnanie. Czasem... czasem płakał — skoro zaś spostrzegł nadchodzących, tulił twarz w dłoniach, a gdy tak pochylony zanurzył się w myślach, godzinami dochodziło mego ucha jedynie ciche rzężenie jego piersi i piskliwe nawoływanie sikorki na klonie...

II.

Rodzina Timofieja od dłuższego czasu zamieszkała była w Warszawie. Ojciec, Russki „nastojaszczy,“ wojskowy wysokiego stopnia w odstawie, nie lubił „Lachów“ zwąc ich „niepoprawnym narodem *zumaszedszych*“ (szaleńców); matka, urodzona w Petersbugu, lecz polskiej latorośl rodziny, jakkolwiek prawie ojczystego zapomniała języka, zatęskniła u schyłku żywota za krainą Ojców, której nie znała wcale...

Oh — tak wracają — wedle słów wielkiego naszego Adama — borów litewskich mieszkańce do mateczników, zkąd się wywiodły, by w gnieździe rodzinnem stare złożyć kości...

Dziwna zaiste krwi polskiej przyroda! Niemcy ku określeniu tej tęsknoty mają wyrażenie dosadne: „Heimweh“ i... bez żalu i bolu zamykają oczy w obczyźnie, która wypełniła im trzosy... Polak niema wyrazu nad ogólny „miłość ojczyzny“ — a jednak wychodźcy nasi prochy swe jeszcze przekazują ziemi rodzinnej... Oto zatracona, zmoskwicona latorośl krwi lackiej, na wrażej zrodzona ziemicy, tęskni za ojczystem gniazdem, i w niem pragnie złożyć strudzone żywotem skronie...

Stare Moskalisko, eks-pułkownik, który rzekłszy nawiasem—ubóstwiał matkę Timofieja, w przystępie dobrego humoru zwąc ją „upartą swoją Laszką“, uległ namowom i prośbom, ustąpił mimo niechęci swej do wszystkiego, co „lasze,“ i osiadł z żoną i synem w Warszawie.

W przeddzień ciężkiej uczynił to chwili...

Olbrzymiemi kroki zbliżał się rok 1861... w niezbyt odległej przyszłości łyskała złowrogo krwawa jutrznia roku 1863.

Timofiej przybył do Warszawy wyrostkiem. Stara Polski stolica nie sprawiła na nim innego wrażenia prócz wrażenia nowości. Ojciec wychował zeń „swego“ Syna; Timofiej czuł się russkim z krwi i kości. Wprawdzie w pierwszych latach dziecięctwa wyuczyła go była matka polskiego pacierza (całej swej po własnych rodzicach spuścizny) — malec zaś chętnie nawet powtarzał go z pamięci, popisując się nim przed rówieśnikami — lecz serduszko dziecka nie zatętniło żywiej, gdy po francuskim wierszyku „maitre corbeau“ recytował wyrazy polskiego pacierza.

Tak było w Petersburgu...

Zaledwie jednak młodzieniec dotknął stopą warszawskiego bruku, rozglądnął się swobodniej po nowem otoczeniu i zimno zrazu przyjęty, wplątał się w grono polskiej młodzieży, aliści „nastojaszczy pałkownik“ nie zdołał już poznać rodzonego syna. Z lekkomyślnego chłopca wyrodził się poważny „wolnodumiec.“ W kilka już miesięcy władał biegle polskim językiem; jakkolwiek zaś wcale zaliczać się nie przestawał do wielkiej rodziny „Russkich“ — nieraz przy stole tak liberalnymi szermierzyć jął poglądami, iż pułkownik, na seryo przerażony, wbrew zaklęciom i łzom matki nakląwszy srodze i nagroziwszy jedynakowi, wysłał go na akademję—paryską.

Stary sądził, iż w sposób tak dyktatorski zrywając nić, wiążącą syna z „wolno-dumcami“ Warszawy, naprowadzi go na oficjalną drogę każdego russkiego, przy której drogoskazami: „Knut i słuszaju“..

Atoli krew żywa a wolny umysł nie zaprą się siebie tak nad brzegami Wisły, jak Sekwany... Młody, majętny akademik o pięknem, rodowem nazwisku wręcz rzucił się w wir robót politycznych, z otwartemi przyjęty ramiony przez emigracyjne kółka rossyjskie. Tymofiej nucił, rozprawiał, odgrażał się, wolnodumcze pisywał wierszyki, a „Nabaty“ i „Kołokoły“ stały się dlań świętą ewangelią. Gdy zaś równocześnie do emigracji polskiej pociągały go mimowoli reminiscencje z Waszawy i krew matki — niebawem stał on się niejako ogniwem łączącem dwie emigracje, tak blisko siebie żyjące, a tak mało z sobą sympatyzujące.

Młodzieniec przedwcześnie dojrzał na męża. Rok 1861 i mordy warszawskie wstrzęsły jego jestestwem. Petersburg dławił Warszawę... Rumieniec wstydu oblewał mu oblicze na myśl, iż to rodacy jego mordują bezbronnych przyjaciół jego serca...

I minęło znowu lat kilka...

Nareszcie niewolnik bezbronny, powalony o ziemię, dławiony za gardło, stopą przydeptany wroga, czując w przygniecionej piersi brak powietrza — dobył sił ostatnich i w obronie życia targnął się nagą dłonią na gniotącego go, a opancerzonego olbrzyma...

Przedwczesne, szatańską zręcznością wroga wywołane powstanie wybuchło...

Zawrzał bój, w dziejach niewidziany świata... Duchy Leonidasów i Hanibalów zadrżały w podziemiach na widok takiej walki — pasowania się rozsrożonego gołębia z kraczącym sępem północy... Dawid z kamykiem w dłoni oko w oko stanął zakutemu w żelazo Goliatowi... Kosami zdobywano karabiny, karabinami brano działa, a nad garstką natchnionej młodzieży bez butów i broni zawiał stary ów, znany światu sztandar: „Za wolność naszą i waszą.“

*

Ojciec Timofieja, nowym rzeczy zwrotem przerażony, uszedł z Warszawy, wywożąc łkającą żoną do białokamiennej, a bezpiecznej Moskwy.

„Więc nigdy mi już nie ujrzeć jedynaka!... W obczyźnie złożyć mi kości!“ — ostatnie, a prorocze były słowa biednej pułkownikowej, gdy ostatni domek Pragi zniknął jej z przed źrenic załzawionych... „W obczyźnie“ — zapłakała, nie czując biedaczka, iż za kochaną Polską — moskiewskiemi jęczała wyrazy!..

Zaledwie w bezpiecznej stanął Moskwie, stary pułkownik wystosował ostre pismo do syna, wzywające go do powrotu. Pismo i imperjały doszły szybko Timofieja... Lecz groźny list chybił zupełnie celu.

Wszak kilkanaście to już tygodni upłynęło od pamiętnej nocy 22. stycznia. Ruch powstańczy ogarnął obszerne przestrzenie... Województwa garnęły się w lasy, a wróg przerażony cofał się w obwarowania miast gubernialnych.

„Drodzy rodzice!“ — odpisał Timofiej — „Jestem młody, zdrów i silny. Młodość i zdrowie wkładają na ludzi myśli pewne obowiązki, których zaprzeć się nie mogę. Ty, mój drogi ojcze, dość nawysługiwałeś się Samodzierżcy; syn twój pójdzie za popędem serca i rozumu, i zmuszonym będzie bić twego chlebodawcę... Dziś zmierzyć mi się z nim nad Wisłą, jutro może zawadzę karabinem o tron jego nad Newą... Nieprawdaż Ojcze?— Dość hańby i upodlenia... Niech żyje święta Rossja! Amen!“

Odpowiedź tę, równocześnie z młodym marzycielem wywiozła lokomotywa z Paryża... Pismo pomknęło strzałą do Moskwy — autor zaś jego pospieszył w Poznańskie, zkąd przekroczyć miał granicę Kongresówki.

Stary Moskal runął o ziemię odpieczętowawszy pismo jedynaka; apopleksja oswobodziła niewolnika w złotych szlifach, od okropnego widoku jedynaka w powstańczych szeregach.

Mówią iż konając przeklął ostatnią kropelkę krwi lackiej, jaka zabłąkać się musiała w żyły „wolnodumca.“

Niebawem z tęsknoty za krajem i jedynakiem zgasła pułkownikowa, dziwaczny typ polskiej moskiewki... Ostatnie jej chwile skończyły się błogosławieństwem, jak pułkownika: przekleństwem... Ona dumną była ze swego Timofieja... „Mówcie, co chcecie“ — szeptała z moskiewska — „Krew dobra nie zaprze się nigdy.“ —

Zanim Timofiej przekroczyć zdołał kordon prusko-moskiewski, nie przeczuwając nawet tego, samotnym został na szerokim świecie; samotnym, lecz niezawisłym,— matczysko bowiem, jak każde poczciwe matczysko, ocalając majątek dla skompromitowanego jedynaka, dopóty nie zawarła łzawej powieki, póki papiery i złoto nie spoczęły dlań bezpiecznie w jednym z poważnych banków Brukseli...

III.

„Wszelkich pozbawiony wieści od rodziców“ — szeptał mi chory marząco — „stanąłem po drugiej stronie pruskiej granicy, w krainie płynącej krwią i łzami!...

I znów zamilkł — i długo nie wyrzekł ani słowa. Klon szumiał smętnie nad naszemi głowami...

„Słuchaj!“ — zawołał nagle głośniej i oczy przygasłe wzniósł ku bujnym, cienistym konarom.

„To piękna muzyka — nieprawdaż?.. Coś tajemniczego w tem szeptaniu liści... Czasem brzmi ono niby przestrogą... niby wspomnieniem... czasem ni to żalem, ni skargą...

„Tak mi szumiały dęby, gdy poprzedzony przez Szymona, starego Kujawiaka, wiernego jak pies sprawie powstania, zdążałem po zachodzie słońca do pierwszego dworku wiejskiego po tamtej stronie kordonu...

„Było to już u schyłku marca... Pękała leszczyna, niedolaszczki wychylały z wilgotnej ziemi śnieżyste swe główki, anemony modremi gwiazdkami rozsiały się po lesie — a zdala, nad polami dawała się już słyszeć wesoła nuta skowronka...

„Psy zaszczekały i nagłym zwrotem ścieżki leśnej ubiegłszy kawał pola, stanąłem przed wrotami dworka. Głęboko osiadł on już w ziemi, a strzecha bujnie zarosła chwastem. Mimo tego czysto pobielane ściany i schludny u wyjścia ganeczek lube jakieś, sielankowe wzniecił we mnie uczucie...

„Kujawiak włożywszy dwa palce do ust wydał świst głośny; po chwili powtórzył go jeszcze dwukrotnie w krótkich, urywanych odstępach. Na progu dworka pojawił się staruszek, jak gołąb siwy, zgarbiony i nie wyrzekłszy ni słowa, uprzejmym ruchem ręki zaprosił mnie do wnętrza.

(*C. d. n.*)

Zadumana.

(z illustracją)

poświęcone p. Wł. B.

Wśród zieleni i woni w blasku słońca złotym,
Wśród ciszy, ptasząt tylko mąconej szczebiotem,
Z dłonią wspartą na księgi karcie wpół odgiętej,
O czem dumasz, dziewczyno? W jakiż świat zaklęty
Patrzą twe oczy, w oddal zagłębione siną —
Dokąd myśli błękitem, jak obłoczki, płyną?

Czy wdzięki wiosny, strojnej jak na ślub dziewica?
Czy wielka wszystkich kwietnych woni kadzielnica,
Dymiąca narkotycznie naokoło ciebie?
Czy ta cisza urocza na ziemi i niebie,
Głęboka — a wewnętrznem życiem tak namiętna,
Że słychać, jak przyrody biją wszystkie tętna?



Na licach twoich zachwyt, w oczach rzewność cicha,
Pierś falująca żywiej, westchnieniem oddycha;
Tajemnicze zaklęcie jakieś cię owiało,
I unosi twą duszę, jak gołąbkę białą,
Wysoko — nad tą ziemską boleści doliną —
Któż cię tak zaczarował w marzenie, dziewczyno?

Ach tak, — wszystko to razem? Lecz inna potęga,
Wyższa jeszcze, z urokiem wiosny się sprzysięga,
I unosi cię w niebo na oścież otwarte...
Spojrzałem na twą dłonią przyciśniętą kartę,
I poznałem, kto duszy twej dał wniebowzięcie:
Poezji to czarowne pęta cię zaklęcie!

Błogosławiony trzykroć, po trzykroć szczęśliwy
Śpiewak, co zbudził — znalazł echo w piersi tkliwy!
Cudowny — i jak twórczość sama tajemniczy —
Akord z poetą — duszy niewinnej, dziewiczej...
Nad wszystkie wieńce sławy, wszystkie dary świata
Wyższa to i godniejsza pieśniarza zapłata!
. . . .

Gwiazdo moja daleka! — od której mnie dzieli
Czarna dola, gór siedm i dziesieć topieli,
Dla której pieśni moje wszystkie brzmią — i brzmiały,
Wiosny mojej, przeszłości mej — Aniele biały,
Raz jeszcze pieśni mojej zawtórz takiem echem,
A umrę — ze szczęśliwym wybrańców uśmiechem!..

Wł. Ordon.

Lucjan Siemieński.*)

Kiedy wyczerpały się już źródła greckiej i rzymskiej mitologii i przesycono się zużytą formą pseudoklassycyzmu — poczęło się budzić wśród narodu polskiego poczucie prawdziwej poezji. — Z szkołą romantyzmu, której pierwszymi apostołami byli Karpiński i Woronicz a twórcami Adam Mickiewicz i cała plejada poetów epoki tej, zwanej także wedle mistrza Mickiewiczowską zabłysła odrodzonej poezji polskiej jutrzenka przyszłości świetnej. — Epoki Stanisławowskiej przedłużonej w klasycyzmie francuzko - warszawskim oziębłość niewiary — czczość myśli a częstokroć i form — zastąpiły w epoce romantyzmu nastrój religijny, wzniosłość myśli, potęga żywego słowa ujętego w jasną formę, a kosmopolityzm w sztuce i w życiu ustępuje przed zamiłowaniem swojskości w formie i treści. — Romantycy mniej dbając o świetność języka głównie w treści i w wzniosłych ideach, w życiu i w prawdzie szukali żywiołu poetycznego.

Lecz po tak świetnem działaniu szkoły romantycznej, która wydała tylu geniuszów i sławę literatury naszej w całym wykształconym rozniosła świecie — w chwili obecnej zda się widocznym upadek prawdziwej poezji i duch negacji zawisł nad nami. —

Jakże przeto boleśnem być musi uczucie przejmujące umysły szlachetne na widok wzrastających mogił — które całunem wiecznego spoczynku osłaniają wzniosłą działalność twórców i pracowników na niwie odrodzenia umysłu. —

Do mężów tych, którzy z niezmordowaną wytrwałością — z użyciem całego zasobu sił swoich i zdrowia, z gorącą miłością ojczyzny i wiary czynnymi byli na polu literatury, należy zgasły Lucjan Siemieński.

Lucjan Siemieński ujrzał światło dzienne w Galicji**) w dniu 13. sierpnia 1809. Zrazu do stanu wojskowego przeznaczony dla wątłego zdrowia oddany został do szkół w Lublinie, gdzie do ukończenia gimnazjum t. j. do roku 1828 pozostaje. — Na kursa wyższe uczęszczał Siemieński w liceum Richellieugo w Odessie, gdzie z szczególniejszem zamiłowaniem oddawał się studjom języków wschodnich. Rewolucja listopadowa przerwała studja i powołała Siemieńskiego w szeregi obrońców ojczyzny. W ciągu kampanii dostał się on do niewoli. W skutek reklamacji wydany rządowi austrjackiemu przesiedziawszy rok w więzieniu osiadł we Lwowie oddając się zawodowi literackiemu. W wychodzącej wówczas pod redakcją Bielowskiego Ziewonii na rok 1834 drukował Siemieński ustępy przekładów „Rękopismu królodworskiego.“ — Nie długo potem pozostał Siemieński w Galicji. Wydalony przez rząd austrjacki udał się do Francji i w Strassburgu uczęszczał na uniwersytet. —

W roku 1843 na propozycję Tytusa hr. Działyńskiego osiadł Siemieński w Poznańskiem — a ów mąż wielkiej dla nauk historycznych zasługi, powierzał Siemieńskiemu pracę około przedsiębranych przez siebie wydawnictw. Atoli i tu nie mógł Siemieński na długo poświęcić się pracy. Podejrzliwość policji pruskiej na nowo zamąciła spokój jego — a jedynie opieka Seweryna hr. Mielżyńskiego znakomite u dworu pruskiego posiadającego wpływy — zdołała Siemieńskiego ochronić od nowych prześladowań. Pod opieką tego zacnego męża — we wsi Miłosławiu przepędził Siemieński trzy lat życia poświęconych niestrudzonej pracy bogatej w obfite kreacje wzniosłego ducha jego. — Wśród ciszy wiejskiej wyszły z pod pióra Siemieńskiego „Powieści przy świetle księżyca „Piosennik ludów“ (na wzór Herdera zbioru dźwięków pieśni ludowych rozmaitych narodów) „Przewodnik myśliwca,“ liczne pomniejsze poezje — obrazki dla młodzieży — tudzież nieocenione dzieło: „Wieczory pod lipą“ zawierające najpopularniejsze i najtreściwsze opowiadanie dziejów narodu polskiego. Dzieło to pod każdym względem skończone przewyższa tak co do przedmiotu jak i wykładu wszyst-

---

*) Wywiązując się z danego szanownym czytelnikom naszym przyrzeczenia zamieszczamy obecnie powyższy rys biograficzny.

REDAKCJA STRZECHY.

**) Miejsce urodzenia poety nie jest pewnem. Jedni biografowie twierdzą, iż Siemieński urodził się w Kamiennej Górze, drudzy, że w Magierowie.

kie inne podobnego rodzaju — jakie literatura nasza posiada — i dlatego doczekało się ono mnóstwa wydań. — Śmiało rzec można, iż „Wieczory pod lipą“ liczą się do rzędu najbardziej rozpowszechnionych książek polskich.

Tragiczny kataklizm, który w roku 1846 wstrząsł Galicją i Poznańskiem niemniej i Siemieńskiemu boleśnie czuć się dał, jakkolwiek tenże w wirze politycznych wypadków wcale nie był czynnym. —

Siemieński musiał znowu ująć kij tułaczy i puścić się w wędrówkę po świecie. Udał się do Belgji, gdzie do roku 1848 przebywał. —

Po wypadkach marcowych r. 1848 w Wiedniu, skorzystał Siemieński z ogólnej amnestji, wrócił do kraju i osiadł stale w Krakowie. Tak drogą była mu ta ziemia rodzinna — iż nieustraszony tylu przeciwnościami, ciągłem prześladowaniem — wracał po kilkakroć — skoro tylko zaświtał promień nadziei, iż wolno mu będzie wsród swoich żyć i działać. —

Przybywszy do Krakowa a mając w narodzie zdobytą tylu pracami sławę i rozgłos — założył Siemieński dziennik polityczny: „Czas,“ w którym felieton, obejmujący dział literacki i krytyczny pozostawał do ostatnich chwil życia pod jego osobistem kierownictwem — i który to dział Siemieński z małymi wyjątkami zasilał wyłącznie artykułami własnymi. —

W roku 1849 powołał Senat akademicki wszechnicy Jagiellońskiej Siemieńskiego na katedrę dziejów literatury powszechnej. Rezultatem wykładów tych był pierwszy tom: „Przeglądu dziejów literatury powszechnej“ — zawierający znakomicie skreśloną charakterystykę literatur Wschodu, Grecji i Rzymu pogańskiego. Nie długo jednak pozostawał na powyższej posadzie. Wkrótce, bo już w r. 1850 ustać musiały wykłady Siemieńskiego — skutkiem rozkazu z Wiednia, który jednocześnie usunął też z uniwersytetu Pola, Helcla i Dietla. Po odwołaniu tem oddał się Siemieński zupełnie publicystyce. — Obok artykułów dorywczych, obok studjów pomniejszych powstały całe tomy badań historycznych — opracowań pamiętników i wyczerpujących rozpraw nad szczególnemi zjawiskami literatury. — Jednocześnie z temi dziełami chłodnej rozwagi krytycznej — twórczość imaginacji nie była bynajmniej pozostawiona odłogiem.

Autor „Trzech wieszczb“ „Świtezianki“ „Mimozy“ obdarzył literaturę polską licznym zastępem „rapsodów, powieści, pieśni, elegii, sonetów i bajek a nadto mistrzowskiem swem piórem odtworzył w języku polskim najznakomitsze płody ducha wielu poetów innych narodów. Każdy z pisarzy — w przekładzie Siemieńskiego zachował właściwą swą cechę pod względem formy, myśli i ducha — a nawet barwę kolorytu i melodję mowy!

Mówiąc o tłumaczeniach musimy przedewszystkiem wspomnieć o dziele, którem Siemieński rozpoczął swój zawód literacki. — Pierwszem dziełem, które odrazu sławę autorską Siemieńskiege zapewniło... był znakomity przekład „królodworskiego rękopismu“ w r. 1817 przez Wacława Hankę — odnalezionego. Przekładu tego dokonał i wydał Siemieński najpierw w Krakowie r. 1836. — Bartoszewicz ze względu na przekład ten zestawiając działalność Siemieńskiego — z działalnością Bielowskiego na polu tłumaczeń powiada: „Bielowski prześlicznie z ruskiego wytłómaczył „Wyprawę Igora na Połowców“ — Siemieński „Rękopism królodworski.“ Obydwaj obdarzeni wysokim duchem poetyckim — odgadli łatwo tajemnicę, jak tłómaczyć te arcydawne pieśni ludu. Język dzisiejszy wyrobiony i salonowy niezdał się do tego, bo zbyt daleko odszedł od prostoty, więc pożyczyli tłómacze wyrażeń z języka staropolskiego i szukali ich u plemion pobratymczych, brali żywcem nietylko pojedyńcze wyrazy — ale zwroty całe czeskie i ruskie, ztąd ślicznie powiedziano o nich, że obmyli język polski w żywem, rodzinnem źródle słowiańszczyzny.“

Obok tłumaczenia tego dokonał Siemieński z równem mistrzowstwem przekładów piosnek gminnych rozmaitych ludów europejskich — mianowicie z serbskiego, ruskiego i t. d. — dalej tłumaczył Siemieński Horacjusza, Michała Anioła, Dantego, Petrarkę, Firdusego i Borniera. — Najznakomitszem jednak tłómaczeniem, które wspaniale uwieńczyło zawód tłumacza jest przekład Oddyssei Homera. Ostatnia i wiekopomna zasługa poety — olbrzymia praca opromieniona takiem natchnieniem a wykonana z takiem artyzmem i przejęciem się oryginału — iż śmiało rzec można — iż przekład Siemieńskiego — jest najznakomitszem odtworzeniem oryginału — jakiem się żaden naród poszczycić nie może. —

Myśl do tej pracy podał Siemieńskiemu Michał Grabowski w liście pisanym w roku 1841 do Bielowskiego: „Ty i Siemieński wyrobiwszy sobie tak cudowny język źródłowo poetycki—powołani jesteście dać nam rzetelnego Homera. Co za niewyrachowane korzyści przyniosłoby nam poznanie tej najbogatszej skarbnicy poezji gminnej jaką jest poezja homeryczna.“

Z oryginalnych poezji Siemieńskiego najcelniejszemi są: duma historyczna p. t. „Trąby w Dnieprze“. Wyjątek z kroniki przebrany w poetyczną szatę, — dalej poezje liryczne — alegorje.

Jak z powyżej pobieżnie zestawionej działalności widzimy, cechą charakteru literackiego Siemieńskiego była uniwersalność. — Siemieńskiego zaliczyć można do najpłodnieiszych pisarzy polskich — którego półwiekowa działalność we wszystkich niemal gałęziach literatury była znakomitą. — Mniej słynny jako poeta oryginalny zdobył sobie niespożyte laury jako zbieracz pieśni i podań ludu, jako tłumacz, poeta, publicysta, historyk, powieściopisarz, dydaktyk i jako krytyk. — Działalność Siemieńskiego jako

krytyka nieda się wprawdzie porównać z działalnością Mochnackiego lub Grabowskiego na tem polu tem bardziej, iż Siemieński nieumiał wszędzie zachować objektywnego spokoju i bezinteresownego sądu — w każdym jednak razie przysporzyła ona literaturze naszej wiele doniosłych korzyści. Zamieszczane przez Siemieńskiego w odcinku „Czasu“ recenzje obejmowały krytykę dzieł bieżącej literatury — a głęboka nauka krytyka, jego myśl szlachetna i z prawdziwie estetycznem znawstwem wypowiadane sądy były szkołą a oraz wskazówką i bodźcem dla młodych talentów poświęcających się zawodowi literackiemu. —

Dobiegamy do kresu. —

Tak niestrudzonrgo pracownika na niwie literatury ojczystej wyrwała nagle niespodzianie śmierć z koła żyjących. Skutkiem cierpień artrytycznych zmarł Siemieński po krótkiej chorobie w Krakowie, gdzie stale od r. 1849 przebywał — w dniu 27. Listopada 1877 r.

Jaki zasób sił duchowych — mieścił się w umierającym starcu dowodzi okoliczność, iż jeszcze w przededniu śmierci myślał o dokończeniu życiorysu Kościuszki — zabierał się do pisania o ks. Józefie i generale Dąbrowskim — obmyśliwał felieton o „Pochodniach Nerona“ i wreszcie, iż w ostatnich chwilach dogorywającego życia zdobył się na wiersz „Komu w drogę, temu czas“*), w którym z chrześcijańską rezygnacją, ze zdumiewającą podniosłością ducha i wewnętrznem spokojem żegnał świat i ludzi przejęty proroczem natchnieniem, że chwila zgonu jego już bliska. —

*) Drukowany w I. Zeszycie Strzechy.

Pogrzeb ś. p. Lucjana Siemieńskiego odbył się w Krakowie w dniu 30. Listopada — przy ogromnym udziale mieszkańców i całego tamtejszego świata uczonego. — W smutnej uroczystości tej wzięły także udział, młodzież polska uniwersytetów, tamecznego, lwowskiego, poznańskiego i wiedeńskiego. Po przemówieniach prezesa akademji (której członkiem był zmarły) — i profesora Tarnowskiego — żegnała młodzież akademicka drogie zwłoki zmarłego. Z przemowy wygłoszonej imieniem akademików krakowskich wyjmujemy ustęp — który stanowi dla nas nadzieję i otuchę — że gorąca miłość ojczyzny w sercach młodzieży polskiej — miłość i cześć dla popiołów zmarłych apostołów świetności naszej narodowej — pobudzi ducha prawdy i wzniosłego dążenia w sercach młodzieży — a poczęte dzieło odrodzenia duchowego do ostatecznego kresu i świetności doprowadzi. Wyjątek z przemówienia tego opiewa:

„Zgasło oko twoje dla nas — zwłoki twoje drogie powierzamy ziemi; lecz duch twój nas nieopuści, prowadząc niedoświadczone kroki nasze drogą, którą ty kroczyłeś. Ani miejsce, ani czas, ani siły, ani wiek nasz młody pozwala nam rozbierać czyny twoje pełne przykładu; powiem tylko, że czujemy ich znaczenie, że rozumiemy naukę, jaką życiem swojem nam młodym zostawić chciałeś — i że dlatego właśnie ze łzami prawdziwego żalu żegnamy cię — my sieroty po tobie!!“ —

Ustępem tym kończymy niniejszy szkic biograficzny składając na świeżą mogiłę zmarłego wyraz niewygasłej czci — uwielbienia i wdzięczności. —

POGADANKA.

(Vive la republique! — Sprawy teatralne. — Heine i scena lwowska. — Pan Terenkoczy i jego Argonauci. — Sukcesa pana Zakrzewskiego w Warszawie. — Krytyka warszawska o panu Andrzeju Grabowskim. — Interpelacja do W. Wydziału krajowego. — Album J. I. Kraszewskiego. — Album Sanockie. — Pan Victor Tissot o Galicji, i jego zapowiedziana podróż po kraju naszym. — Wiarogodność turystów. — Caveant consules. — P. Bełza członkiem tow. naukowego w Poznaniu. — Hajże na Soplicę! — Wojna krzyżowa przeciw p. Wilczyńskiemu i jej wrzekome, a prawdziwe powody.)

Wyraziłem w ostatniej mej pogadance nadzieję, że miasto nasze nie będzie zupełnie pozbawionem przedstawień scenicznych w czasie ogórkowego sezonu, jak się tego obawiać należało w skutek zamachu stanu, popełnionego przez dyrekcję naszej sceny. Nadzieja ta nieokazała się płonną. Artyści którzy udziału wziąść niechcieli w niefortunnej Odyssei p. Terenkoczego do Warszawy, a których w ostatniej mej pogadance wymieniłem, wzięli się do pracy, a praca ta przyniosła im bardzo pomyślne owoce, dotychczasowe bowiem przedstawienia pokryły pomimo cen o połowę zniżonych nie tylko wszystkie koszta, lecz przyniosły jeszcze tyle zysku, iż miesięczna gaża mogła być wypłaconą artystom w tych przedstawieniach udział biorącym.

Fakt to dla teatralnych monarchistów wcale niepocieszający! Pokazało się, że bezkrólewie tymczasową obdykacją pana Dobrzańskiego i jego dynastji wywołane nie naraziło na szwank „moralnego porządku“ teatralnego społeczeństwa. Pod dzisiejszemi rządami nie słychać o żadnych intrygach i kabałach, — o żadnych „ukazach“ krępujących wolność artystów po za teatrem grozą owej ultima ratio zgryźliwych dyrektorów, która się nazywa zatrzymaniem gaży. Republikański rząd nie potrzebował wcale wabić publiczności ponętą zakazanego owocu, — nie uciekano się do utworów „niemoralnych“, nie goniono za nowościami, owszem przedstawiono kilka sztuk znanych już od-

dawna, między innemi Zemstę, która z pewnością do najświeższych nowości zaliczyć się nie może, a mimo to poszło wszystko jak z płatka: koszta pokryte, gaża wypłacona!... Czegoż więcej wymagać można w tych ogórkowych czasach od teatru pozbawionego „ojcowskich rządów“ swego legalnego monarchy? Zaiste, scena nasza może sobie dziś powiedzieć słowami Heinego:

Bedenk' ich die Sache ganz genau,
So brauchen wir gar keine Kaiser!...

Mniej szczęśliwie aniżeli pozostałym we Lwowie artystom powodzi się tym, którzy z panem Terenkoczym wybrali się po „złote runo do Warszawy — w żadnem bowiem z pism tamtejszych nie spotkałem się z wzmianką o działalności tej części naszej artystycznej trupy... Wróciwszy z Warszawy, gdzie mu policja zabroniła pobytu, donosi wprawdzie pan Zboiński, że pierwsze przedstawienia trupy pana Terenkoczego w Eldorado wiodły się bardzo dobrze, tudzież że się tamtejszej publiczności wielce podobali pp. Kwieciński, Terenkoczy, i Linkowski w komedji a pani Skalska i pan Koncewicz w operetce, ale jakżeż pogodzić to świadectwo z milczeniem warszawskich dzienników jak powszechnie wiadomo, tak gościnnych i tak chętnie zajmujących się obcymi?... Chyba że się do trup scenicznych stosuje to, co Gete powiedział o kobietach: że najlepszą jest zawsze ta, o której ludzie najmniej gadają...

Cokolwiekbądź obojętności tej, którą warszawskie pisma okazują dla naszych Argonautów nie należy kłaść na karb, jakowegoś przeciw Lwowianom skierowanego uprzedzenia, a dowodem tego najlepszy jest powodzenie, którego w Warszawie doznał tenor nasz p. Zakrzewski. Pierwsze jego wystąpienie w Marcie zachwyciło publiczność tamtejszą, i dzienniki warszawskie, a mianowicie Wiek nie szczędzą mu pochwał gorących z tego powodu.

Kiedy już mowa o sprawiedliwości warszawskiej krytyki dla lwowskich artystów nie sposób mi tu przemilczyć pochlebnej oceny, której w pismach warszawskich doznały wystawione tam w tym roku obrazy p. Andrzeja Grabowskiego. Mianowicie pozyskał tam ogólne pochwały jego „Typ krakowskiej przedmieszczanki“, stanowiący pendant do znanego nam z zeszłorocznej wystawy „Staropolskiego miodku,“ a należący tak pod względem rysunku, jakoteż pod względem kolorytu, stylu i wykończenia do najlepszych płócien naszego artysty.

Regestrując z przyjemnością to, co mówi poważna warszawska krytyka o p. Grabowskim, niech mi tu wolno będzie popełnić maleńką niedeskrecyjkę; zwiedzając bowiem niedawno pracownię p. Andrzeja, znalazłem tam w kąciku odłożony tymczasowo, a prawie już wykończony obraz, który jest wprost w swoim rodzaju maleńkiem arcydziełem. P. Andrzej Grabowski jest mistrzem w podchwytywaniu typów, i mało który z jego kolegów umie równie dobrze podsłuchać, zrozumieć i oddać naturę; — płótno o którem mówię, a które nam typ Włóczęgi przedstawia, jest tego najlepszym dowodem! Jestto popiersie niemłodego już mężczyzny w brudnym połatanym kożuchu, który pewno kiedyś lepsze widywał czasy, nim się jeszcze właściciel jego ulegając ponętom „wesołej kumpanji,“ próżniactwa, i trunku dorobił pijackiego rumieńca na twarzy, zmarszczków na czole, i tego szujowskiego wyrazu, który na sympatyczne zresztą i szlachetne rysy jego lica wycisnął pieczątkę spodlenia. Typ-to swojski niestety, rodzimy, i specyficznie polski, a tak pełny dramatycznego charakteru i psychicznej prawdy, że ja, który wcale nie jestem powieściopisarzem, podjąłbym się opowiedzieć losy zmarnowanego żywota tego wołokity. Oprócz powyższych zalet odznacza się ta kreacja p. Grabowskiego rysunkiem bardzo poprawnym, kolorytem nadzwyczaj czerstwym i soczystym, a traktowaniem rzeczy wprawdzie realistycznym, ale w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu, co nawiasem powiedziawszy obranemu tu przedmiotowi, i charakterowi tej twarzy najlepiej odpowiada.

A tutaj pozwolę sobie zapytać Wysoki Wydział krajowy dlaczego zamierzając stworzyć galerję portretów naszych krajowych marszałków, a mając tu we Lwowie pod ręką p. Grabowskiego, który — jak mu to zresztą na wystawie w Wiedniu i Filadelfii obiedwie ziemskie przyznały półkule — do najlepszych naszych portrecistów należy, pomija tego artystę tak uporczywie udając się z swemi zamówieniami do... historycznych malarzy? Już to prawda, że zasada Suum cuique nie była nigdy w Galicji poważaną, ale czyż wiecznie mamy powierzać układanie politycznych programów hreczkosiejom, — dyrekcje teatrów dziennikarzom, — a szewcom i krawcom decyzje w sprawach edukacyjnych, lub sanitarnych? Z postępowania najwyższej naszej autonomicznej władzy w obecnym wypadku sądząc, wnosić by wypadało, że tak;... pozostaje więc naszemu Grabcowi jako pociecha ta tylko nadzieja, że kiedyś przyjdzie kolej i na niego, i że Wysoki Wydział krajowy, kierując się zawsze temi samemi zapatrywaniami, uda się doń jako do fachowego portrecisty kiedyś... w sprawie katastru, NB. jeżeli mu nie powierzy zamierzonej regulacji dniestrowego koryta...

Jak w jednym z ostatnich swych numerów donosi Biesiada literacka, zaczynają już malarze nasi nadsyłać prace swoje do albumu J. I. Kraszewskiego; mianowicie ofiarował Siemiradzki na cel ten szkic olejny Hypathos, wziąwszy za temat tej kreacji znaną powieść jubilata pod tytułem: Roma i Kaprea. Oprócz tej nadsyłki miało się już nazbierać różnych innych prac około kilkadziesiąt, — liczba obiecanych jest takze bardzo znaczna. P. Wojciech Gerson zrobił rysunek do okładki albumowej: pośrodku popiersie jubilata, w narożnikach alegoryczne postacie poezji, malarstwa, rzeźby i budownictwa. Okładkę podług tego rysunku wykona jeden z naszych rzeźbiarzy w wypukłorzeźbie na drzewie.

Do nowin ze świata farb i linji zaliczyć mi wypada zamierzone przez pana Józefa Blizińskiego wydawnictwo Albumu ziemi sanockiej. Oprócz znanego dzieła Chodźki la Pologne, które zawiera tylko widoki miejsc historycznych, i Albumu Bogusza Stęczyńskiego, które nawiasem mówiąc nie odznaczało się artystycznem wykończeniem, a którego nakład został zupełnie wyczerpanym, nie posiadamy — o ile mi wiadomo — zbioru krajobrazów naszej ziemi. Zamiarowi autora Pana Damazego przeto przyklasnąć należy serdecznie, a publiczność powinnaby poprzeć to wydawnictwo, którego koszta będą z pewnością dosyć znaczne, i którego powodzenie zatem głównie od poparcia kół jak najszerszych zależy.

Mówiąc o galicyjskich krajobrazach, nie mogę tu pominąć milczeniem wzmianki, którą o przyrodzie naszej prowincji w dziele swojem Vienne et la vie viennoise zamieścił autor znanej „Podróży do krainy miljardowej“ p. Victor Tissot. Według turysty, który informacje swoje zaczerpnął u osławionego powieściarza niemieckiego p. Sacher-Masocha, jest Galicja krainą niebotycznych, wiecznym śniegiem pokrytych skał, z których szczytu staczają się co chwila śnieżnice (lawiny), zasypując całe osady, i niosąc zniszczenie w doliny, gdzie w gotyckich swych zamkach siedzi stara polska szlachta, przędząca ciągle jeszcze pasmo średnich wieków. Opis ten może zaiste iść w zawody z Szkicami p. Karola Emila Franzosa Aus Halbasien i ze znanemi elukubracjami p. Sachera-Masocha pod tytułem „Spuścizna Kaima“, a daje zarazem miarę wartości zapisków, które w świat puszczają turyści. Mimowoli nasuwa się tu na myśl twierdzenie owego turysty Francuza, który w podróży swej po ziemi naszej zauważył, iż w Polsce są dwie rasy koni, noszące jedna nazwę Hajta, a druga Wiśta, tudzież że wszyscy u nas lokaje nazywają się Yestamtoury (Jest tam który?).

Bywa to w ogóle zwykłym błędem turystów, że spostrzeżenia swoje lubią generalizować, i to co częstokroć jest wyjątkiem biorą za cechę powszechną. Tak np. utrzymywał pewien Anglik w zapiskach swych z podróży po Francji, że wszyscy Francuzi mają rude włosy, zdarzyło się bowiem przypadkiem, że wylądowawszy w Hawrze spotkał rudego Francuza. P. Victor Tissot puszcza się teraz w towarzystwie p. B. Wołowskiego w podróż po kraju naszym, — baczyć zatem należy, ażeby nie spotkał gdzie którego z tych panów, co nas reprezentowali w Homonnie... Następstwa takiego spotkania mogłyby się odbić w jego zapiskach, a że by dla nas nie były wcale przyjemnemi, tego zdaje mi się dowodzić nie potrzebuję...

Pomimo biedy i ogórkowego sezonu nie słabnie ruch wydawniczy wcale, i wypadałoby mi tu z porządku rzeczy zdać sprawę z najnowszych publikacji, które ujrzały światło dzienne we Lwowie, w Poznaniu i Warszawie, aliście brak miejsca i czasu nie pozwala mi zająć się dziś tą pracą, którą odkładam na później przypominając tylko pp. autorom i wydawcom, którzy pragną, aby dzieła ich w Strzesze znalazły ocenę, aby takowe redakcji do przejrzenia nadsyłali.

Towarzystwo naukowe w Poznaniu wybrało p. Władysława Bełzę, znanego autora Zaklętych dzwonów i Złotych literek, tudzież redaktora Towarzysza pilnych dzieci swym korespondującym członkiem, a nominacja ta będzie niezawodnie solą w oku niejednemu z młodszej generacji pisarskiej, która wprawdzie nie błyszczy wcale zdolnościami, ale brak ten wynagradza zazdrością dla każdego powodzenia. Mieliśmy tego świeży dowód w wojnie krzyżowej, którą w ostatnich czasach podjęto przeciw panu Wilczyńskiemu, autorowi Kłopotów starego komendanta, do której to wojny dał hasło w warszawskiem Kurjerze codziennym jakiś p. Klemens Junosza, na Parnasie polskim zupełnie nieznajomy z nazwiska, czynów i pobytu. Opierając się na tem, iż w pewnej powieści p. Wilczyńskiego znajdują się urywki djalogu podobne do djalogu w komedji pewnego moskiewskiego pisarza, napisał p. Klemens Junosza fejleton pod tytułem „Źródła twórczości p. Wilczyńskiego“, w którym zarzuca mu kradzież literacką, nie zważając na to wcale, że właśnie w powieści wspomnionej wszystkie typy są swojskie, specyficznie polskie, do moskiewskich niczem nie podobne, i że zatem o plagjacie tutaj wcale mowy być nie może. Fejleton ten przedrukowała oczywiście Gazeta narodowa, dodając z swej strony kilka uwag, redukujących całą literacką działalność Autora kłopotów do zera, a pozorując swoje wystąpienie patrjotycznem oburzeniem z powodu, iż p. Wilczyński zapożyczył się wrzekomo od... moskiewskiego pisarza.

Wystąpienie to Gazety narodowej oburzyło przeciw niej całą prasę tutejszą, która jednogłośnie zaprotestowała przeciw tej gorszącej napaści, i ja także, jakkolwiek ani krewny, ani sąsiad, ani klient, ani bliższy nawet znajomy p. Wilczyńskiego przyłączam tu w imieniu Strzechy głos mój do tego protestu. Jeżelibyśmy na podstawie podobizn tego rodzaju jak:

— Dzień dobry Pani!	— Dzień dobry wam Marjo!
— Dzień dobry!	— Dzień dobry Iwanie!
— Jak się Pani ma?	— Jak się macie?
— Dobrze, a Pan!	— Nie źle, a wy... i t. d.

pozwolili sobie zarzucać autorom plagjaty, to gdzież byśmy doszli?... Prawdopodobnie do odsądzenia każdego literackiego utworu od oryginalności, z wyjątkiem może nowel i Powieści drukowanych w Gazecie narodowej które są z pewnością oryginalne, i to do tego stopnia, że nie są podobne do niczego...

Przedewszystkiem więc chodzi tu o bliższe określenie tego, co znaczy słowo plagjat, trudno bowiem zaprzeczyć, że pomiędzy Świtezianką a znaną baladą Getego Der Fischer, pomiędzy Beniowskim a Don Juanem, pomiędzy Skąpcem Moliera a Skąpcem Fredry istnieje pewne podobieństwo; — mimo to nieprzyszło dotąd nikomu jeszcze na myśl pomawiać Mickiewicza, Słowackiego lub Fredrę o kradzież literacką.

Zauważyć tu jeszcze wypada, że p. Wilczyński odpowiadając na pierwsze przeciw niemu wymierzone strzały, podał źródło, z którego zaczerpnął temat inkryminowanej powiastki, i że każdy człowiek porządny, a nawet każdy patrjota powinien by się zadowolnić tem tłumaczeniem. Aliście zdaje się, że po za tem patrjotycznem oburzeniem Gazety, kryją się jeszcze inne rzeczy, i że główną pobudką do krucjaty przeciw Autorowi Kłopotów była — jak się w swym fejletonie naiwnie wyraził p. Klemens Junosza — ta okoliczność, iż „p. Wilczyński jest ulubieńcem publiczności“, iż „wydawcy na wagę złota opłacają każdy z jego utworów, i że każdy z nich nie szczędzi kosztów na wydanie powieści jego pióra“... Nie prawdaż co to za zbrodnie, i czyż nie słuszne mają do gniewu powody przeciw p. Wilczyńskiemu ci jenjalni pisarze, których proteguje Gazeta, a którą oprócz nich samych nikt zgoła nie czyta?...

Włodź. Zagórski.

POKŁOSIE.

Antenaci fonografu. Donosiliśmy już czytelnikom naszym o wynalezionej przez amerykańskiego fizyka, Tomasza Edisona, maszynie gadającej, zwanej fonografem, która każdy wygłoszony frazes, każdą prześpiewaną pieśń zachowuje wiernie w swojej walcowatej pamięci i podług upodobania albo zaraz, albo później, z najdokładniejszem naśladowaniem głośno powtarza. O tym cudzie nowożytnym wiedzą już dziś wszyscy; ale mało komu wiadomo zapewne, jak mozolnie dorabiał się duch ludzki tego wynalazku, i że usiłowania, czynione w tym względzie, są niemal tak stare jak historja.

Już starożytni pisarze opowiadają o gadających i śpiewających figurach, które miały być umieszczone na sufitach babilońskich i greckich świątyń i pałaców, o gadających głowach, które ludziom przyszłość i wolę bogów oznajmiały; ale co wszystko, mówiąc nawiasem, było tylko prostem kuglarstwem, gdyż cała sztuka zasadzała się na tem, że do owych figur i głów wprowadzano głos ludzki za pomocą skrytych rur, ażeby tym sposobem łudzić łatwowiernych ludzi. Aż dopiero w 13. wieku miał Wojciech z Bollsztatu, biskup ratysborski, którego dla nadzwyczajnéj uczonności jego nazywano Wielkim, rozwiązać najzupełniej zadanie mechanicznego naśladowania mowy i sporządzić figurę, która odwiedzającym go gościom nietylko drzwi otwierała, ale oraz zrozumiałym głosem ich witała. Ale gdy pewnego dnia odwiedził go zaliczony w poczet świętych Tomasz z Akwinum, przestraszył go tak dalece ten gadający automat, że go jako dzieło szatańskie rozbił na kawałki swoją laską, co — jak wieść niesie — miało z ust mistrza wywołać boleśnę skargę: „Otóż poszła w niwecz trzydziestoletnia moja praca!“

Ile jest prawdy w tem podaniu, trudno dziś dociec; to pewna wszakże, że już od najdawniejszych czasów zapatrywano się na narzędzia mowy jak na instrument, podobny do fletu lub organów, i że już najdawniejsi mechanicy i badacze natury kusilili się o utworzenie takiej maszyny. Sławny astronom Kepler wyraził w swej „Podróży księżycowej“ przekonanie, że mechanice uda się kiedyś z pewnością wytworzenie głosu ludzkiego, i tylko tego się obawiał, że sztuczny głos nie da się może doprowadzić nigdy do owej muzykalnej giętkości, jaką odznacza się mowa ludzka, lecz pozostanie zawsze tylko bezdźwięcznym, przytłumionym odgłosem, jakim niegdyś kazano przemawiać duchom.

W sto lat przeszło potem nie było jeszcze to zdanie rozwiązane, ale mimo to nie tracili fizycy nadziei. W r. 1761 marzył sławny matematyk Euler o utworzeniu takiej maszyny, która potrafiłaby naśladować wszystkie brzmienia mowy ludzkiej, i wskazywał nawet drogę, jaką należałoby postępować przy tego rodzaju doświadczeniach. Zwracał on uwagę na to, że przy niektórych organach znajduje się rejestr, zwany głosem ludzkim (vox humana), ponieważ odzywające się tam razem piszczałki sprawiają takie złudzenie, jak gdyby głos ludzki śpiewał melodją z tonu *e*, — i sądził przeto, że przez stosowne przyrządzenie piszczałek dałyby się wygłosić także wszystkie inne spółgłoski. Za najtrudniejszą rzecz wszakże uważał już on naśladowanie spółgłosek.

Zachęceni temi wskazówkami mechanicy próbowali najprzód naśladować głosy zwierzęce. W drugiej połowie zeszłego wieku sporządzili bracia Le Droz w Chanz de Fonds dla hiszpańskiego króla, Ferdynanda VI., kilka figur zwierzęcych, które głosem swoim największe sprawiały złudzenie. Była np. owca, która całkiem naturalnie beczała; dalej pies, który strzegąc kosza z owocami, natychmiast zaczynał szczekać, gdy wzięto jaki owoc, i dopiero wtedy przestawał, gdy go napowrót na to samo położono miejsce; nareszcie ptak śpiewający i kilka innych jeszcze sztucznych automatów, jakie dziś jeszcze sporządzają w znacznej ilości zegarmistrze szwajcarscy.

W r. 1779 wyznaczyła akademia petersburska, zapewne za staraniem ociemniałego jaź wówczas profesora Eulera, nagrodę akademiczną za utworzenie maszyny, naśladującej brzmienia samogłosek, i zadanie to udało się rozwiązać fizykowi Kratzenstein za pomocą pięciu językowych piszczałek, opatrzonych w nieruchome, drewniane gęby.

O tym samym czasie czynił także nadworny radca wiedeński Kempelen tego rodzaju próby, i obmyśliwszy przyrządy do wygłaszania spółgłosek, starał się utworzyć prawdziwą maszynę gadającą. Z piszczałkami swemi połączył Kempelen prawdziwe ruchome usta i nos, i maszyna jego czyniła w sztuce gadania równie powolne postępy, jak dziecię. Z początku wygłaszała tylko calkiem proste i łatwe wyrazy, jak: mama, papa, aula, lama i t. p., a najtrudniej przychodziło przyrządzenie mechanizmu do wygłaszania spółgłosek: d, t, g, i k. Nakoniec utworzył Kempelen maszynę z miechem, poruszanym ręką i klawiszami odpowiadającymi zgłoskom, na której przeto można było grać jak na organach, i która wymawiała na żądanie poszczególne wyrazy i zdania głosem dwunastoletniego dziewczęcia. Nalepiej oddawała maszyna wyrazy łacińskie, ale popisywała się także wygłaszaniem krótkich frazesów francuskich, jak n. p. Vous êtes mon ami! albo Venez avec moi á Paris! i t. p., przyczem obcy akcent niekiedy do zadziwienia się udawał. W ogóle naśladowała ona często tak złudnie mowę ludzką, że wiele osób, którym ją pokazywano, nie dowierzało wynalazcy, i prawie każdy mimowolnie musiał zwracać się twarzą ku maszynie, gdy gadać zaczynała.

Mimo to nie dopisywały zdolności tej maszyny zupełnie co do niektórych wyrazów; przy innych wymagały usta piszczałek, miech i klawisze tak starannej pomocy ręki, że nikt inny, prócz wynalazcy, wydobywać ich nie potrafił; i to wszystko zniechęciło mistrza tak dalece, że w końcu zarzucił wszelkie dalsze próby udoskonalenia maszyny. Później uprościli jego maszynę fizycy Willis w Cambridge i Posch w Berlinie a także fizyk angielski, Wheatstone próbował jeszcze raz naśladować głos ludzki za pomocą ruchomych piszczałek językowych. Maszyna jego mówiła biegle po łacinie, po włosku i po francusku, ale niemieckie przychodziło jej bardzo trudno, a przy niektórych zgłoskach musiała równie jak w maszynie Kempelena, dopomagać ręką.

Wszystkie te próby jednakże przewyższył o wiele wiedeński mechanik Faber swoją maszyną gadającą, sporzą-

dzoną przed trzydziestu niemal laty, która ukryta wewnątrz figury ludzkiej powszechne w swoim czasie obudzała podziwienie, gdyż potrafi zarówno cicho szeptać, jak głośno i wyraźnie mówić, a nawet śpiewać. Maszyna jego posiada dokładnie naśladowanie narzędzia mowy ludzkiej, przyczem nawet zamiast piszczałek językowych służy do wytworzania głosu rzeczywista, z kauczuku wyrobiona drgawka, którą porusza powietrze, wypuszczane wedle potrzeby z miecha. Słowem, Fabrowi powiodło się rozwiązać to zadanie jak najzupełniej; maszyna jego nie mówi przytłumionym, beczkowym głosem (jak tego obawiał się Kleper), lecz jak najwyraźniej; ale przy tem wszystkiem nie jest jeszcze użycie jej tak łatwe, by mogli wyręczać się nią kaznodzieje, deputowani lub nauczyciele nieobdarzeni dobrą wymową.

Aż oto wreszcie, jakby za uderzeniem rószczki czarodziejskiej, zjawia się przed kilku miesięcami nowa maszyna gadająca Edisona, która pozostawiając daleko za sobą wszystko, co dotychczas na tém polu zdziałano, zdumiewa świat cały i zaznacza niejako nową erę w dziejach ducha ludzkiego. Cały mechanizm fonografu jest niesłychanie prosty, a jednak osiąga się nim daleko więcej, niż kiedykolwiek w marzeniach nawet przypuszczać było można. Jestto najwierniejszy kopista i deklamator zarazem, bo i pisze i odczytuje sam każdy powierzony sobie wyraz, i to głosem zupełnie tym samym, jakim wymówiony został. Nie przekonawszy się o tem naocznie, trudno zaprawdę w cud ten uwierzyć; ale już pierwsze próby, przedsiębrane z tą maszyną, były tak pomyślne, że żadne zadanie, wchodzące w jej zakres, nie wydaje się niepodobnem do rozwiązania. Mówi ona bez trudności po niemiecku i po angielsku, na co przedtem najsztuczniejsze nawet maszyny zdobyć się nie mogły, i nie ulega żadnej wątpliwości, że potrafiłyby mówić równie łatwo po chińsku i po hotentocku. Jeden z dzienników amerykańskich opowiada, że przed kilku tygodniami przyszedł raz wynalazca do jego redakcji, postawił fonograf na stole i pokręcił jakąś korbę. „Natychmiast zapytała się maszyna tak wyraźnie, że wszyscy obecni w sali słyszeć mogli, o nasze zdrowie („How do you do“); dalej pytała się, czy podobał nam się fonograf, mówiła, że dobrze jej się powodzi, i powiedziała nam serdeczne dobranoc“. — Czegoż nie można spodziewać się po maszynie, która tak zaczyna i już w pierwszych miesiącach swego istnienia tyle działa? Wygłaszać poematy głosem poety, odczytywać testamenty głosem umierającego, byłoby drobnostką tylko. Ważne mowy od tronu lub parlamentarne mogłyby być rozsyłane jako fonogramy a nowy Demostenes mógłby wszystkie mowy swoje wydawać w spiżu. Przynajmniej dozwala już dziś wynalazek Edisona czynić takie przypuszczenia; czy jednak sprawdzą się one, to niedaleka przyszłość okaże.

Pożary teatrów. O tym temacie wyszło niedawno w Niemczech bardzo ciekawe dzieło, w którym czytamy między innemi: Poczyniono już olbrzymie postępy we wszystkich dziedzinach techniki, ale scena nie odnosiła z nich — prócz małych wyjątków — żadnej prawie korzyści. Po największej części trzymają się one dziś jeszcze uparcie owych urządzeń, jakie były w używaniu przed 200 laty. Do budowy i urządzenia teatru używany bywa nawsze jeszcze ten sam materjał, co niegdyś, mianowicie budulec drewniany, chociaż już w 17. wieku naprowadziły liczne pożary w wielu miejscach na ten rozsądny pomysł, że przynajmniej ściany zewnętrzne zaczęto budować z kamienia. Ale i ten postęp nawet jest dotąd wyjątkowy tylko, bo i dziś jeszcze dozwalane bywa w wielu miejscach używanie drewnianych teatrów i cyrków. Wewnątrz zaś są prawie bez wyjątku wszystkie teatra teraz jak dawniej pełne przyrządów drewnianych, desek, belków, płótna, papieru i t. p. Od 40 do 50 lat weszło prawie powszechnie w używanie gazowe oświetlenie teatrów. Niezliczone tedy płomienie gazowe, które dokoła rozpalają powietrze i przy nieostrożnem obchodzeniu się wysoko pałają, powiększają w połączeniu z opalaniem sceny w wysokim stopniu niebezpieczeństwo pożaru w nowożytnych teatrach naszych, gdy tymczasem przyrządy ochronne są niestety te same, co dawniej. Dopiero w najnowszych czasach, gdy kilka okropnych pożarów obudziło uwagę powszechną, zaczęto z uznania godną gorliwością krzątać się około tego, ażeby stworzyć coś doskonalszego i zużytkować w odpowiedniejszy sposób wszystkie techniczne środki zaradcze, jakiemi dziś rozporządza umiejętność. Najczęściej jednak trzyma się architektura teatralna zawsze jeszcze dawnych torów i poprzestaje na tem, by przy wznoszeniu i urządzaniu nowych gmachów teatralnych naśladować jak najśmieszniej przyjęte od wieków wzory. Dotychczas zbywało na systematycznem zestawieniu pożarów scen w rozmaitych krajach, i przeto uważano często takie pożary za miejscowe tylko bardzo rzadkie wypadki. Ażeby więc wszystkim interesowanym przedstawić właściwy stan rzeczy, zestawił autor tej książki, August Fölsch, spis 516 całkowicie całkowicie zgorzałych teatrów, z których około 460 przypada na ostatnie 100 lat. Przytaczamy z tego wykazu następujące daty: W Berlinie: królewski teatr 39. lipca 1817; cyrk Richtera 1826; królewski teatr opery 18. sierpnia 1843; teatr Krolla 1. lutego 1851; cyrk Renza 28. listopada 1853; cyrk Schumanna 22. września 1875; w Paryżu: teatr Foire St. Germain 16. marca 1762; wielka opera 6. kwietnia 1763; 8. czerwca 1781, 18. kwietnia 1788 i 29. października 1873; teatr Nicoleta, później teatr Rozmaitości w r. 1770 i 21. lutego 1835; dwa teatry Place Louis XV. 22. września 1777; teatr komiczny 2. lutego 1787; teatr Lazary 31. maja 1798; teatr cyrku 15. grudnia 1798; teatr Odeon 18. marca 1799 i 20. marca 1818; cyrk Olympe 15. marca 1826; teatr Ambigu Comique 14. lipca 1827; teatr Gymnase Enfantin w latach 1827 i 1843; teatr Folies Drammatiques 12. grudnia 1836; teatr włoski 15. stycznia 1838; teatr wodwilów 17. lipca 1838; cyrk Barriere Etoile 27. lipca 1846; Diorama 8. marca 1839 i 14. lipca 1849; teatr Pré Catalan 29. stycznia 1859; teatr nowości 3. grudnia 1866; teatr Belleville 11. grudnia 1867; Hipodrome 29. września 1869; teatr w Tuileryach 24. maja 1871; teatr liryczny 24. maja 1871; teatr Porte St. Martin 25. maja 1871; w Wiedniu: teatr na Kärtnerthor 3. listopada 1761; teatr w Penzingu 1786; teatr Hetza 1. września 1796; teatr Treumanna 8. czerwca 186; Orpheum 15. czerwca 1868. W Londynie zgorzało od r. 1613 do 30 teatrów.

Arsenały lądowe i morskie w Anglii. Jakkolwiek olbrzymie są zakłady Kruppa i ludwisarnia w Lutekii, a godne widzenia arsenały w Wiedniu, Wenecji, Cherbourgu i w innych państwach militarnych na kontynencie, nikną przecież wszystkie te zakłady w porównaniu z zasobem i działalnością angielskich arsenałów i fabryk broni, osobliwie zaś tych, które przeznaczone są do uzbrajania floty. Pierwsze miejsce pomiędzy niemi zajmuje niezawodnie Woolwich ze swemi zbrojowniami i warsztatami, przeznaczonemi dla artylerji lądowej i morskiej. Znajdują się tam fabryki broni i amunicji, które nie ustępują w niczem pierwszym zakładom tego rodzaju na kontynencie. Również odpowiada ludwisarnia tamtejsza największym wymaganiom. Nie mniej olbrzymią jest fabryka rakiet, będąca ciągle jeszcze w ruchu, ponieważ w Anglji są jeszcze rakiety w używaniu. Zakład Armstronga jest może mniejszy, niż fabryka Kruppa; ale w działalności nie przewyższa go żaden inny zakład tego rodzaju. Prawdziwie olbrzymim zaś jest zapas wszelkich możliwych potrzeb wojennych, złożonych w licznych magazynach tamtejszych. Na zajmującym kilka morgów składzie armat, znajdowało się przed kilku laty do 24.000 dział polowych, fortecznych i okrętowych wszelkiego kalibru! Od tego czasu zmniejszyła się ta liczba wprawdzie o 4000, ale zato zajęły miejsce 24 i 32 funtówek działa sześćdziesięcio- i ośmdziesięciobeczkowe. Sześc tysięcy robotników pracuje w najspokojniejszych czasach w tych zakładach, ale przy większym ruchu można ich trzy razy tyle zatrudnić. Drugim z kolei jest Plymouth, gdzie pracuje rownież tyle robotników. W porcie tego miasta stało dawniej zawsze przeszło sto korwet, fregat i okrętów liniowych, których miejsce zajęła teraz odpowiednia liczba statków pancernych. W magazynach tego miasta znajdują wszelkie potrzebne przybory, ażeby te okręty mogły być w jak najkrótszym czasie uzbrojone. Równie ważnym w tym względzie jest Portsmouth. W jego zatoce stoi równie wielka liczba angielskich okrętów wojennych, ale jego warsztaty okrętowe mogą zatrudnić jeszcze więcej robotników. Mniejsze statki wojenne bywają zresztą budowane w kilku innych jeszcze warsztatach królewskich, mianowicie w Sheernees; ale w razie potrzeby można korzystać jeszcze z piętnastu dokładnie do tego przysposobionych zakładów prywatnych. W Chatam znajduje się wielką fabryka lin, w której wyrobione bywają najsilniejsze liny kotwiczne długości 240 sążni, tudzież kuźnia, która dostarcza kotwic ważących 190 centnarów. Podobne zakłady rządowe znajdują się Yarznouth, Harzoich, tudzież w kilku miastach portowych Szkocji i Irlandji. Pomiędzy fabrykami prochu zasługują przedewszystkiem na wzmiankę prochownie w Fayersham; ale także w Woolwichu wyrabiają bardzo wiele prochu szczególnie tak zwanego mamutowego. Wiele innych artykułów, mianowicie płyt pancernych, dostarczają zresztą zakłady prywatne prywatne (Birmingham, Sheffied, Stockport), warsztaty rządowe tylko je pobierają i próbują. Wogóle jest przemysł prywatny w Anglji bardzo ważnym czynnikiem, i w razie wojny może rząd tamtejszy liczyć na niego więcej niż w którymkolwiek innym kraju, nie wyłaczając nawet Ameryki. Można twierdzić nawet, że tylko przy pomocy przemysłu prywatnego zdołanoby w ciągu pół roku uzbroić całą armię i flotę angielską. Dość wspomnieć tylko fabryki broni i karabinów w Bristolu, Sheffieldzie, Birminghamie, które od czasu wybuchnięcia wojny orjentalnej dostarczały tysięcy karabinów i miljonów patronów obydwom stronom wojującym. Nie tylko jednak broni ręcznej, lecz także dział wszelkich systemów i wszelkiego kalibru dostarczają zakłady prywatne. Na czele tych firm stoją Withworth w Manschester, który jak wiadomo rywalizuje w pomyślny sposób z Armstrongiem, i I. Brown w Sheffieldzie, który niedawno dostarczył płyt dla pancerników włoskich, i przewyższył o wiele fabrykaty Schneidera w Crewsot. Zresztą mogą także Cail i White, tudzież Calmors i spółka w Londynie poszczycić się znakomitę produkcją ludwisarską. A na koniec posiada także Armstrong jeszcze niezależny od rządu zakład. Uwagi godnem jest także to, że rząd, jeźli zachodzi nadzwyczajna potrzeba, nie potrzebuje nic poprzednio zamawiać, lecz może każdego czasu znaleźć w tych fabrykach znaczną liczbę gotowych dział.

Źródło szczęścia. Ktoby chciał łatwym sposobem przyjść do majątku, możemy wskazać mu drogę do tego. Śród pięknego lasku w Sievering, gdzie wiedeńczycy wyprawiają nieraz pikniki, wytryska świeży zdrój, zwany „Źródłem dziewiczem" z którym wiążą się rozmaite podania i legendy z przedchrześcijańskich jeszcze czasów, i które nawet dziś jeszcze znaczną odgrywają rolę w zabobonności prostego ludu. Uczeni przypuszczają że ten cichy zdrój leśny był w czasach pogańskich poświęcony bogini Frei, którą pobożność chrześcijańska później Śtą Agnieszką zastąpić usiłowała. Otóż w tym źródle dziewiczem istnieje podanie, że przebywa w niem jakaś „zaklęta" Agnieszka, która czasami pojawia się tam w białych szatach, szczególnie w wilią Śgo Jana Chrzciciela, i temu kto ją zobaczy szczęście przynosi; oprócz tego można niekiedy na dnie zobaczyć numera, które niezawodnie wygrywają na loteryi liczbowej. Do tego źródła też, które nazwaliśmy dla tego źródłem szczęścia, pielgrzymuje tysiącami lud wiedeński, najwięcej biedacy a szczególniej tacy, którzy przez próżniactwo, pijaństwo lub rozpustę popadłszy w nędzę, chcą koniecznie wzbogacić się za pomocą loteryi. Bardzo często więc a osobliwie w ostatnich dniach przed każdem ciągnieniem loteryjném, otaczają to źródło tłumy goniących za szczęściem śmiertelników, i każdy z nich zagląda chciwie w jasną toń, zapisuje skrzętnie numera, jakie mu się przewidują na dnie, lub kupuje, które mieli widzieć inni, od dzieci, starych bab, żebraków i oszustów umiejących zawsze korzystać z głupoty ludzkiej, a potem wynosi nieraz do zastawu ostatnią sztukę odzienia lub pościeli, ażeby choć na kilka godzin kupić sobie nadzieję szczęścia! Smutna to rzecz ale prawdziwa: człowiek jest zawsze największym swym nieprzyjacielem; ale czyż w takich wypadkach nie należałoby rządowi występować w roli opiekuna?

Nekrologja.

Strutyński Juliusz Ksawery Lukasz hr., znany w literaturze pod pseudonimem Berlicza Sasa, ur. 1810 w Lipowcu na Ukrainie, syn Feliksa pułkownika wojsk polskich. Początkową edukację pobierał u Jezuitów w Mohilewie i Romanowie, późniejszą w domu. Majątek rodzinny wielki straciwszy żył głównie z pióra a utwory jego były skwapliwie poszukiwane przez wydawców. Pisał wiele wierszem i prozą. Opowiadania jego mają wysoką wartość jako malujące wiernie pierwsze lata naszego stulecia, dotykają i ostatnich zgasłego wieku. Zmarły posiadał niepośledni talent pisarski i dzielnie władał językiem. ojczystym. Wydał też po francusku zbiorek poezji p. t. „Essais poetiques“ i powieść Lydia (1830 w Wilnie). W r. 1839 wydał w Wilnie tomik poezji: „Chmury,“ następnie „Miscelanea“, a w r. 1856 w Berlinie: „Kilka pytań geologicznych i dziejowych Kaukazu.“ Mieszkając we Lwowie a później w Krakowie rozpoczął ogłaszać od r. 1869 szereg szybko po sobie następujących swoich wspomnień i pamiętników, przeważnie w formie powieściowej, jak Wołyń, Podole i Ukraina w Dzienniku Polskim 1869 — Ukraina w Dzienniku Literackim 1870 r. Pani Krasztelonowa Trocka tamże; Pani Starościna Horodelska w Dzienniku Literackim 1871 — Noc w stepie w Strzesze 1871 — Obrazy z Natury i Giul — Szada we Lwowie 1871 — Kalejdoskop w Świecie 1872 — w Przeglądzie Lwowskim z roku 1872: Duch nocy, poemat, i Dwaj biskupi. — Sceny myśliwskie wierszem w Strzesze za r. 1872 — nakładem wydawnictwa kraju Gawędy i Moskwa jako dalszy ciąg Gawęd — Prócz tego pracował nad swemi pamiętnikami, które mnóstwo obejmowały ciekawych szczegółów, ale te miał spalić przed śmiercią, aby wiele żyjących osób nie kompromitować. Dodać tu winniśmy że śp. Juliusz Strotyński służył wojskowo, brał udział w wyprawach na Kaukaz, gdzie dosłużył się stopnia Majora. Tak było do roku 1863 — w tym pamiętnym rokn brał udział w powstaniu poczem poszedł na długę tułaczkę. — Cześć pamięci zasłużonego ojczyźnie męża!

Leopold Kronenberg, pierwszy w ojczyźnie naszej obywatel, którego główna czynność zamyka się w sprawach handlowych i przemysłowych a który przez nie dochodzi do wielkiego w kraju znaczenia. Ś. p. Leopold Kronenberg urodził się w Warszawie w 1812 roku. Odebrał wychowanle staranne. Skończywszy nauki gimnazjalne w szkole Pijarów na Żoliborzu uczęszczał do liceniu Poznańskiego i później udał się do Hamburga dla ukończenia przygotowawczych do zawodu handlowego studjów. Powróciwszy do kraju przez lat 30 z górą wywierał on wpływ przeważny nietylko na ogół stosunków handlowych Warszawy, ale i na stosunki ekonomiczne całego kraju. Bank handlowy, Towarzystwo Kredytowe miasta Warszawy, Kasa przemysłowców Warszawskich, Towarzystwo Warszawskie fabryk cukru, Towarzystwo ubezpieczeń od ognia, wszystko to się łączy z imieniem Kronenberga. Przy ogromie zajęć swoich zawodowych troszczył się o rozwój literatury polskiej. Gdy w r. 1849 Biblioteka Warszawska potrzebowała pomocy, śp. L. Kornenberg pożądany fundusz natychmiast złożył i zapewnił temu pismu dalsze jego istnienił. Potrzebując działać na społeczność zrozumiał łatwo iż dziennikarstwo jest jednym z najdzielniejszych środków powolnego wpływania na nią. W tej myśli nie bez znacznych ofiar nabył Gazetę Codzienną i oddawszy pod redakcję J. I. Kraszewskiego zapewnił jej jako Gazecie Polskiej powodzenie w owym czasie niepospolite. Naostatek jego staraniem i kosztem powstała Szkoła handlowa w Warszawie i z jego pomocy rozwinęły się szkoły techniczne przy kolejach warszawsko wiedeńskiej i warszawsko terespolskiej. S. p. Kronenberg w większej części swych prac ofiarnych, których wiele pozostanie nieznanych światu, kładł za warunek, aby imię jego i udział pozostał ukrytym. Tak na szpital dziecinny dane 25000 rubli złożone były z wyraźnem zastrzeżeniem, iż nazwisko ofiarodawcy wymienionem nie będzie. Profesor Łuczkiewicz dopiero po zgonie Kronenberga ogłosił w dziennikach, że na wpisy dla niezamożnych uczniów miał u niego kredyt nieograniczony.

BIBLIOGRAFJA.

Pierwsza miłość powieść F. Jeske — Choińskiego. Lwów — 1878. — Drukiem i nakładem Kornela Pillera.

Drobne poezje Emila Bonieckiego, (Dominika Derdackiego.) We Lwowie — 1878. — Nakładem własnym.

Rozwiązanie kwestji wschodniej przez b. oficera sztabu. Kraków — 1878 — Kornecki.

Listy Jana Śniadeckiego w sprawach publicznych od roku 1788 do 1830 pisane z antografów. Wstęp i przypiski J. I. Kraszewskiego. Poznań — 1878. — Nakładem Żupańskiego.

Władysław. Zawadzki. Rok 1848. Dziennikarstwo w Galicji. Lwów — 1878. — Nakładem księgarni Seyfartha.

I. Turgeniew Nowiny. Odbitka z Dziennika Poznańskiego. Poznań — 1878. — Nakładem księgarni M. Kamieńskiego.

Kajdany z lilii i róż. Powieść Pani Becher—Stowe. Przekład z angielskiego. Poznań—1878.— Nakladem księgarni N. Kamieńskiego i sp.

Kącik humorystyczny „Strzechy“

Z prowincji.

(Podsłuchane.)

Chirurg (biorąc za rękę chorego chłopa, i badając puls z powagą). Macie gorączkę... hem! hem! wielką gorączkę!.. To szle! to bardzo szle!...

Chłop: Ta proszu pana konsyliarza, szobyśte meni szoś zapysały...

Chirurg: A, hm! dobrze, bardzo dobrze!... A jak wy chcecie, cobym was kurował?..

Chłop: A czy ja znaju panie koncyljarzu!...

Chirurg: No, powiedzcie!... Nie wstydajcie się... Cy wy chcecie, cobym was kurował homopatycznie, cy alopatycznie... Mnie to wszisko jedno...

Chłop: A czy ja znaju wielmożnyj koncyljarzu...

Chirurg: Bo to widzycie... Jak homopatycznie to nie trzeba krew upuskacz, a jak alopatycznie to się krew puska...

Chłop: A czy ja znaju wielmożnej koncyljarzu...

Chirurg: No, to ja was będę kur owacz na dwa boki coby już bylo ganz git.

Chłop: Aja, aja, pane koncyljarzu... Oba boki mene bolat!.. I tut mene bołyt pid bokom, i tut mene bołyt pid bokom... Oj! oj! ne zdużaju...

Chirurg: No widzicie! Ja wam zaraz powiedział co was, trza kurowacz i homopatycznie i alopatycznie, na dwa boki... No tak ja wam dam homopatycznie Aconit, a alopatycznie postawię wam czterdzieści pijawek, to już będzie i tak, i tak koruwane ganz git...

Chłop: Dobre wielmożnyj konsyljarzu!.. dobre.

Chirurg: To za Aconit zapłacicie mi dwa ryńskie homopatycznie, bo to już mi trza do apteki. —

Chłop: Dobre wielmożny koncyliarzu, dobre!..

Chirurg: A za pijawki alopatycznie, to już takoj nie potrzeba do apteki, bo ja sam wam dam, to mi zapłacicie po sztyry szuśtki wid sztuki... Ny szoin!... To już będziecie kurowani na dwa boki...

Część urzędowa.

L. 36.789.

Wydział Kącika dla podniesienia sztuk pięknych i rękodzieł.

Rozpisuje niniejszem konkurs na wynalezienie następujących przedmiotów jako to:

a) Atrament, którym by tylko prawdę pisać można.

b) Cukier, którym by Galicjanów można przynęcić do czytania.

c) Czernidło drukarskie, któreby się rumieniło, ile kroć by zostało użytem do drukowania napaści przeciw zasłużonym literatom.

d) Krople, któremiby można orzeźwić organizm naszego społeczeństwa, i rozbudzić ducha narodowego w naszym kraju.

e) Magnes do przyciągnięcia braci starozakonnych do obozu narodowego.

f) Mydło, którem by można zmyć porządnie głowę kontysnatorom Sicińskiego w kole posłów polskich w rajchsracie.

g) Olej do odczyszczenia pewnego zardzewiałego Koła.

h) Lokomotywa, którąby mogła z błota wyciągnąć obecną sytuację.

i) Woda, do wywabienia plam na płaszczu moskiewskiego humanitaryzmu.

Część naukowa.

Krótki rys statystyczny Palestyny

według najnowszych odkryć geograficznych spisał i z powodu wniosku p. Isztoczy'ego, dążącego do odbudowania państwa żydowskiego do druku podał

Dr. Kącik.

Palestyna (po polsku Zarwanica) leży w Tałmudzie, i graniczy na wschód o ustawę o lichwie, na zachód o ustawę o pijaństwie, na północ o rekrutację, a na południe o sądy przysięgłe.

Kraj ten szczęśliwy użyźniają liczne strumienie i rzeki, o których Mojżesz utrzymywał, że płyną mlekiem i miodem. Nowsze badania nie potwierdziły tego zdania, — przypuścić zatem należy, że tajemnica, za pomocą której Mojżesz z wód palestyńskich umiał miód i mleko wydobywać zaginęła zupełnie, co dowodzi że chemja za czasów Mojżesza stała daleko wyżej a niżeli dziś.

Palestyna jest bardzo bogatą krainą. Mianowicie znajduje się tam wiele złotych gór (Goldberg, Goldenberg) kamieni złotych i srebrnych (Goldstein, Silberstein) niezliczone bogactwa kopalne w drogich kamieniach, w Djamantach, Djamantszeinach, Brilantach, Szmaragdach, Rubinach, Rubinszteinach, Safirach i td. góry winne (Weinberg) góry i doliny róż i lilji, i różnego kwiecia (Rosenberg, Rosenthal, Lilienthal, Blumenthal i t. d.) w skutek czego też jest tam powietrze pełne najcudniejszej woni (Lilienduft, Blumenduft) o czem się zresztą każdy osobiście przekonać może.

Również i królestwo zwierzęce jest tam bardzo pięknie reprezentowane. Znajdują się tam lwy (Löw) niedźwiedzie (Beer) jelenie (Hersz) Byki, konie (Rosz) niezliczona ilość ptactwa (Adler, Falk, Kanarek, Kanarvogel, Nachtigal i t. d.)

(C. d. n.)

Panna Lala.



Fragment z listu.

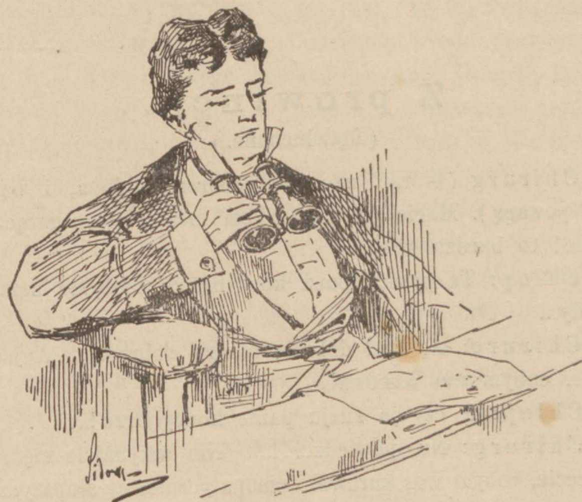
Ach, oddycham nareszcie!... Jestem w Paryżu! Nie uwierzysz *ma chére* co mnie to walki kosztowało z Papą, który się składał brakiem pieniędzy. Brak pieniędzy? Ho ho! *Qu'est-ce que ça me regarde?* Od czegoż są ojcowie i mężowie? Nie prawdaż?...

Nareszcie zwyciężyłam, oświadczywszy mu wręcz, że jeżeli on jako ojciec nie ma na podróż do Paryża pieniędzy, to pojadę z kim innym... n. p. z Totem!... *Le coup a porté!...* Starowina przeląkł się, wiedząc że nie żartuję, i koniec końców znalazły się pieniądze...

Ah ma bien aimée! Co za rozkosz!... Nie posiadam się z radości na myśl samą, jak ta moja podróż złościć będzie Manię, i Kolę!... *Elles vont en faire une maladie!...* Wystaw sobie że matka Mani, ażeby zamaskować niemożność pojechania na wystawę, wymyśliła polityczne *Non possumus....* Utrzymuje, że Francja *étant en republique*, nikt z towarzystwa nie powinien jechać do Paryża, *Une* Szewczyńska, która się bawi w legitymistkę... *Quelle scie!...* A co najzabawniejsze, to niezawodnie to, że Mania *a pris ce role au serieux* i rozprawia o polityce, jak dziennikarz... Oh la la!...

A propos Tota, który jest także tutaj, *le pauvre garçon!* Wiesz że stryj jego umierając porobił znaczne legata na jakieś tam szkoły... *Il est inconsolable* chociaż mu został jeszcze cały miljon... Aby go więc trochę pocieszyć, zabieramy go z sobą po zwiedzeniu wystawy do Trouville... Nie domyślaj się niczego, bobyś na fałszywe wpadła domysły... *Jusque lá rien de serieux!...* Poprostu samarytańskie uczucie, — zwyczajna przyjaźń kuzynki dla kuzyna!... Kończę moja droga bo jedziemy na wystawę,... o której Ci obszerniej napiszę w najbliższym liście... *Tout á Toi.*

Hrabia Toto.



(Fragment z listu)

. . . . porobił na szkoły znaczne zapisy *mais je ne lui en veux pas*, chociaż mówiąc między nami był to majątek rodowy, i nie pojmuję jakie miał prawo rozporządzać nim z za grobu... Koniec końców, nie gniewam się na niego, *puisqu' il a eu le bon esprit de mourir* jeszcze przed wystawą...

A więc *Requiescat* i nie mówmy o tem!

Ach Paryż! Co za ruch! Co za życie!... Już to prawda, że to nie to samo, co na ostatniej wystawie... Republika pozostanie zawsze republiką chociażby nawet i we Francji!... Brakuje tej świetności, którą państwom nadaje monarchja... *En fait de politique*, jest to dziś jedyne moje *Credo.*

Zresztą zostawiam Krakowiakom wszelkie trudy około uszczęśliwienia ojczyzny.

A propos, czy wiesz, że Lala jest tutaj także... *Elle est bien forte celle lá*!... Wystaw sobie, że ojca, który nie chciał jechać na wystawę, zmusiła do tego, grożąc mu że ze mną pojedzie!... Jakoż pewnego pięknego poranku otrzymałem od niej list proponujący mi *en bonne forme*, ażebym ją wykradł z domu rodzicielskiego, i to list pisany z taką dezinwolturą, z jakąbym pisał do Ciebie, zapraszając się na polowanie... Przyznam Ci się że mnie to mocno zdekoncertowało... Nie wiedząc co robić z tym fantem, pojechałem do Żwirówki, gdzie mnie Lala przywitała śmiejąc się do rozpuku, i tłumacząc mi że to była farsa, której celem było zastraszenie ojca... *Au fait*, bardzo mnie ucieszył ten rezultat, nie chciałbym bowiem przed Lalą uchodzić za gagatka, a żenić się nie myślę, zwłaszcza teraz, a już zwłaszcza z Lalą. Z taką żoną nie możnaby nigdy wiedzieć, *ou l'on en est* dzisiaj, i co się stać może jutro... *Fare well* Toto.

Wydawca i odpowiedz. za redakcję F. H. RICHTER. Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



AURELIAN.

Powieść z czasów cesarstwa rzymskiego przez Wojciecha Dzieduszyckiego.

J. I. Kraszewskiemu w jubileuszowym Jego roku ze czcią składa autor.

(Ciąg dalszy.)

A teraz krzyknął, i skoczył, i zanim się Nicefor opamiętał, już był na dworze. Chrześcijanin wybiegł za nim, ale darmo było go gonić wśród ciemności i nocnej śnieżnicy, po śliskiej ziemi, na której ledwo spadły śnieg topniał. Słychać było już tylko krzyki ludzkie w głębi boru, a po chwili wycie mnogich wilków, przeciągłe, przeraźliwe. Nicefor zadrżał, wrócił do chaty, kląkł przed krucyfiksem i długo się modlił o boskie miłosierdzie nad grzesznikiem.

XIII.

Wypogadzało się rano. Choć od już dwu godzin był biały dzień, nie było jeszcze widać słońca, ale już wielkie płachty błękitu wyglądały z poza chmur. Wiatru nie było, można się było spodziewać ciepła, ale teraz dokuczało jeszcze zimno poranne.

Dwoch mężów otulonych w wielkie płaszcze zbliżało się konno do Castrum Jovis, stacji wojsk Rzymskich postawionej nad samym Dniestrem, o sześć mil Rzymskich od Castrum Gaudii. Młodszy, bardzo młody jeszcze, zbliżył się do Maurytańczyka stojącego na straży przed szańcami, i spytał się czy nie mógłby widzić trybuna dowodzącego oddziałem. Żołnierz odpowiedział łamaną Łaciną, że ma rozkaz surowy, by się z miejsca nie ruszył, i więcej nie chciał się w żadne rozmowy wdawać. Widząc to odjechał młodzieniec do starca, naradzał się z nim po cichu, a wreszcie znów podjechał pod okopy, i nie zsiadając z konia — czekał. Nareszcie dostrzegł jakiegoś Centuriona, co wyszedł na pretorium, tak zwano wielką czworograniastą basztę, aby się obejrzeć po okolicy, i zawołał na niego kilkakrotnie. Centurion obejrzał się i zdawało się, że się wahał czas jakiś. Chwila była tak niebezpieczną, że trudno było z pierwszym lepszym się wdawać w rozmowę. Zbliżył się jednak na kilka kroków do jezdców i spytał: „Czego chcecie.“ Młodszy odparł: „Przychodzimy od imperatora, Centurionie! Pójdź, powiedz Trybunowi, że chcę się z nim rozmówić sam na sam.“

Centurion słuchał z niedowierzaniem, ale nie jego rzeczą było o tem wypowiedzieć zdanie. Odszedł tedy ruszając ramionami i mrucząc, że ci barbarzyńcy myślą, że żołnierz Rzymski bardzo głupi. Szedł tak przez obóz niewielki, nie mówiąc z nikim, i stanął wreszcie w namiocie dowódcy: „Niosę ci pozdrowienie Quincie Maskulusie trybunie,“ rzekł. „Przybyłem ci zwiastować, że dwóch ludzi obcych podjechało pod nasz obóz, i że pragną ciebie widzieć, mówią, że mają rozkaz od boskiego imperatora.“

„Od boskiego Aureliana“ zawołał Quintus zrywając się z żołnierskiego posłania, na którym leżał. „Trzeba iść.“ I mówiąc przepasywał miecz. Po chwili spytał się:

„A jacy to mogą być ludzie? Czy przyboczni Cezara? Czy niżsi wojskowi?“

Centurion odrzekł. „Nie mają na sobie oznak Rzymskich żołnierzy. Na dobrych jadą koniach, ale stroju ich nie widać, tak się otulili w płaszcze. Jeden z nich młodzieniec, pacholę prawie, a drugi bardzo stary, białobrody — i zdaje mi się, żem go gdzieś widział, ale nie w obozie Rzymskim. Gdybym był tobą Quincie Maskulu trybunie... Ale nie moją rzeczą radzić!“

„No! I gdybyś był mną? Cóż byś uczynił? mów śmiało! Pozwalam.“

„Gdybym był tobą, Quincie Maskulu trybunie, nie wyszedłbym do nich i odpowiedziałbym, że im nie wierzę. Niech sobie jadą!“

Trybun zmarszczył brwi pytająco, a Centurion mówił dalej:

„Jak mi na imię Arops, tak myślę, że to dwa psy z Antów rodu, dwaj buntowicy. Chcą ciebie wywabić, aby cię zabić i nas pozbawić wodza.“

„Aha!“ zawołał Quintus Maskulus, „zaraz mi to na myśl wpadło! Ale ja nie taki głupi, jak im się zdaje. Oho nie! Nie złapią mnie. Słuchaj Aropsie! a uważnie, bo twój rozum Maurytański taki tępy, żeś mnie gotów nie zrozumieć. Idź do nich! Rozumiesz! Idź do nich, i powiedz im, rozumiesz, że ja o nich nic wiedzieć nie chcę, rozumiesz, i że niech sobie jadą precz! Niech radzi będą, że im się nic nie stanie. Czy zrozumiałeś moją myśl?“

„Zrozumiałem.“

„A czy tylko nie pobałamucisz?“

„Zrobię, co będę mógł.“

I centurio odszedł, a trybun spoczął znowu na łożu obozowem w trjumfie, dumny ze swej przenikliwości.

Niewiele czasu ubiegło na słonecznym zegarze, nie więcej jak dziesięć razy mógł ziewnąć wielki polityk Quintus Maskulus, a ciepłe słonko dopiero kilka promieni wysłało z poza szarych chmur, gdy już Arops wrócił do namiotu przełożonego swego, i stanął przed nim w przypisanej postawie i z przypisanem pozdrowieniem.

„A poszli sobie?“ Spytał trybun wyciągając się.

„Nie.“ Była lakoniczna odpowiedź.

„Jakto nie? co nie? Śmią nie słuchać buntowniki?“

„Nietylko z miejsca nie ruszą, ale nawet grożą.“

„Jakto grożą? Jak tacy zuchwali, niech kto na nich z łuku strzeli.“

„Powtarzają że przychodzą z rozkazu imperatora, i stoją przytem.“

„Niewidziana zuchwałość! Zbrodnia to obrażonego majestatu! Strzelać do nich mówię, strzelać! Niech odpokutują te bezbożne słowa, i zniewagę boskiego imperatora krwią opłacą!“

„Więc mam kazać strzelać do nich nie dawszy odpowiedzi?“

„Tak — a tak! oczywiście! Albożty co innego myślisz? Słuchaj mnie i koniec na tem! idź!“

„Idę!“

„A nie idź że tak prędko. Coś może masz powiedzieć. Powiedz?“

„A cóż bym ja miał mówić? Moją rzeczą słuchać. Trybun każe strzelać do posłów imperatora...“

„A przecież całkiem pewny jesteś, że to buntownicy udają rozkaz cesarski.“

„Niczego nie jestem pewny; słucham tylko.“

„Wielkości! wielkości!“ zawołał patetycznie trybun, roztwierając i podnosząc ramiona; „głupi motłoch zazdrości tobie, a nie wie, jaka troska cięży na twojem czole. Cóżbym dał za to, abym był prostym żołnierzem i pozbył się tej odpowiedzialności! Cóżbym dał za to, abym miał przy swoim boku choć jednego równego sobie, coby mnie mógł wesprzeć radą!“ Po tym wykrzykniku uspokoił się nieco mąż ów stroskany, i zwróciwszy się do podwładnego Aropsa powiedział: „Powiedz im, niech sobie idą w spokoju. Strzelaniny nie trzeba.“

„Kiedy nie chcą iść. Ani z miejsca nie ruszą.“

„No! to niech stoją przed obozem do końca świata! Przecież nic złego nam nie zrobią.“

„Młodszy bardzo nalega. Mówi, że koniecznie musi cię widzieć, że ma ci udzielić ustny rozkaz od imperatora boskiego.“

„A co mi tam do tego że nalega! Niech sobie stoi albo idzie jak sam chce. Przecież już powiedziałem! Wiesz że nigdy rozkazów nie zmieniam. Idź sobie!“

„Idę“, powiedział znów Arops, i szedł już, gdy Quintus Maskulus zawołał ponownie: „Czekaj bo! Nie idź jeszcze! Coś mam się jeszcze spytać, bo uważasz wszystko muszę wiedzieć. Mówiłeś coś że ci ludzie grozili. A czem że to grozili?“

„Mówili rzeczy nieprzystojne, których się boję powtórzyć.

„Mów, mów śmiało! Wszystko muszę wiedzieć.“

„Mówili że jeźli nie pomówisz z nimi, boski imperator srodze się na ciebie pogniewa i każe cię ściąć.“

„Jakto? Śmieli to mówić?“ krzyknął trybun zrywając się znowu na równe nogi.

„A tak.“

„A jeśli to są na prawdę wysłańcy boskiego imperatora. Jakżesz ty myślisz? Możesz to być?“

„Nie wiem. Ja nic nie myślę. Ja tylko słucham.“

„Wiesz co. Bezpieczniej to będzie, gdy sam do nich pójdę, aby się o wszystkiem przekonać. Wezmę straż z sobą, to mi przecie nic nie zrobią.“

„Ten młodszy mówi uparcie, że chce sam na sam mówić z tobą Quincie — Maskulu trybunie, i że imperator polecił mu powtórzyć rozkaz ustny i tajemny.“

„A niech żeby go! I teraz niechże kto powie, co mam robić!“ zawołał zrozpaczony trybun i zaczął chodzić wzdłuż i wszerz namiotu założywszy ręce po za siebie.

„Możeby go tu do namiotu przyprowadzić?“ Wtrącił Centurion.

„Kogo?“ spytał trybun.

„Tego młodzieńca. Mógłby się tu sam na sam z tobą rozmówić, a nie śmiałby się targnąć na twoją osobę. Wiedziałby bowiem, że za każdy zamach czeka go śmierć niechybna.“

„A jakby obóz rozpoznał i wyszpiegował?“

„Można go z zawiązanemi oczyma do namiotu przyprowadzić.“

„Prawda! prawda! Toby niezła była myśl. Jestem nawet pewny, że jeżli to podstęp jaki, nie odważy się zdrajca w ten sposób oddać w nasze ręce samego siebie. Bo każdemu wreszcie życie miłe.“

„Więc czy tak mam uczynić?“

„Nie! poczekaj jeszcze. Muszę się namyślić, muszę rzecz rozważyć. Może mi co i na myśl wpadnie.“

I nastąpiło znowu milczenie. Quintus Maskulus chodził niespokojnie po namiocie, a Arops stał nieruchomie. Po dłuższym już czasie stanął trybun, i zawołał. A widzisz że mnie coś na myśl wpadło. Nie darmo mnie zrobiono trybunem. Wielka mnie przyszłość jeszcze czeka! Będę legatem, senatorem — ba może nawet i imperatorem. — Kto wie! Różne rzeczy dzieją się na świecie. Nie mówię to w złej myśli, ale Aurelian może mnie przecież adoptować, Kto wie jakie rozkazy już teraz do mnie przyséła. A musisz wiedzieć że różne znaki towarzyszyły mojemu narodzeniu. Matka moja, która była — no mniejsza o to czem — matka moja, która moją była matką, i to dość dla niej zaszczytu, miała sen wilią moich urodzin. Śniło jej się że siedziała pod jabłonią, i że jabłko spadło i uderzyło ją w nos. A prócz tego mam brodawkę na lewej łopatce. I to także znak panowania. Ale nie mów o tem, bo gotowi mi ludzie zazdrościć. — No ale odszedłem od rzeczy mój kochany Aropsie! Mam myśl. Ty ją wykonaj! Wiem że potrafisz ją wykonać. Przyprowadź mnie tu tego młodego wysłańca do namiotu, z zawiązanemi oczyma! Czy rozumiesz?“

„Rozumiem.“

„A więc idź i zrób jako ci kazałem!“

I teraz wyszedł Arops już na prawdę, a Maskulus w trjumfie chodził po namiocie.

Słońce świeciło już jasno i ciepło i niebo dziwnie wybłękitniało, gdy dwaj żołnierze wprowadzili do namiotu trybuna płowego chłopaka otulonego w wielki płaszcz. Skoro stanął w namiocie, odwiązali mu oczy i zostawili z zadziwieniem i z politowaniem prawie? „Miałżeby Cezar takim dzieciom dawać poselstwa tak ważne?“ Spytał się wreszcie.

„Czyni jako chce“, odparł poseł, „a wy tu widzę dziwnie wysłańcom Cezara nieufacie.“

„Ty bo mi na Anta patrzysz“ mówił Maskulus wpatrując się pilnie w młodzieńca.

„Jestem Antem, na imię mi Zabór, syn Raroga“ zawołał poseł, odrzucając od siebie płaszcz, i okazując bogatą złocistą zbroję, tak kosztowną, że widocznie wzbudziła uszanowanie Maskulusa. „I cóż w tym dziwnego że boski imperator, jak wy go nazywacie, Antów w poselstwo wyprawia tajne. Wszak legatów mnogo jest z różnych narodów, i sam podobno nie jest z rodu Rzymianinem.“

Zabór tak z pańska i tak z góry zażywał trybuna, że ów wytrawny mąż umiał się tylko kłaniać zmięszany. Młodzieńca bawiło to. Uśmiechnął się tedy i odezwał się dalej w te słowa: „Miałbym ochotę cię pokarać za to, żeś mi kazał tak długo czekać w obozie, i żeś mnie tak nie uczcił.“

„Nie wiem jak cię mam nazwać, nie wiem jaki urząd piastujesz“ wyjąknął Maskulus, „ale...“

„Przebaczonem ci będzie,“ zawołał Zabór, „jeśli tylko ślepo wykonasz otrzymane rozkazy.“

„Jestem mizernem narzędziem boskiego imperatora“ powtarzał trybun, „a za to com zrobił przepraszam najmocniej, przepraszam tysiąckrotnie, alem to zrobił z gorliwości. Mam na swojej głowie odpowiedzialność; czasy niebezpieczne; podwładni, jak zawsze, wprowadzili mnie w błąd. Mówili mnie że to jakieś nieznane postacie pod obóz podjechały, że to może zdrada buntowników.“

„Było się na podwładnych nie spuszczać“ przerwał Zabór. „Można samemu było wyjść naprzeciw posłów Cezara.“

„Tak, czuję żem winien.“

„Tam drugi jeszcze, starszy, czeka za obozem, możesz go kazać przywołać.“

„Natychmiast to uczynię“

„Nie wybiegaj teraz z namiotu. Wysłuchaj najpierw rozkazu. Posłuszeństwem najlepiej naprawisz winę.“

„Słucham. Rozkaż.“ „Broń złożycie w ręce towarzysza mojego, a wraz ze mną pójdziecie wszyscy, całą kohortą tam, gdzie was poprowadzę.“

Teraz dopiero zacukał się trybun i zawołał: „Ja tego nie zrobię, i zrobić nie mogę.“

„Czy się boisz, że żołnierze cię nie posłuchają?“

„Posłuchają, muszą słuchać jak maszyny. U mnie dobra dyscyplina. Co to znaczy nie posłuchają?“

„Więc czego się zżymasz?“

„Ja tego rozkazu nie rozumiem.“

„Nie twoją rzeczą rozumieć rozkazy imperatora. Masz je słuchać jak maszyna i nic więcej.“

Krew uderzyła do twarzy trybunowi. „Ja tym rozkazom nie wierzę“ zawołał. „Oszukujecie mnie! Jesteście buntownicy i nadużywacie imienia boskiego imperatora. Każę was uwięzić!“

„Śmiej to uczynić“ odparł Zabór spokojnie „a głowa spadnie ci z karku tak pewnie, jak to jest pewnem, że tu oto rozmawiam z tobą.“

Maskulus drgnął cały, i znów wpatrywał się uważnie w Zabora. „Twierdzicie tylko, żeście posłami boskiego imperatora,“ mówił, „ale dowodu na to nie masz. Ani pisma, ani znaku.“

„Chcecie dowodu? Pokażę wam dowód niezbity,“ rzekł Zabór, „dowód, co was tak zaklnie, że będziecie posłuszni jak pies domowy. Ale pamiętajcie że imperator boski powiedział, że jeźli bez mego pozwolenia powiecie komu co o tem znaku — zapłacicie gardłem. Wszak ten tu znak poznacie?“ Mówiąc wydobył Zabór z po za pasa tajemnicze, złote słońce Aurelianowe. Wszyscy w imperji znali znak ten, wszyscy wiedzieli że on najuroczystszem znamieniem potęgi Augusta. Aż nogi zadrżały pod Maskulusem, gdy znak ten obaczył. Pochylił się i rzekł, „stanie się wedle woli boskiego imperatora.“

Żołnierze choć zdziwieni usłuchali. Broń złożono w ręce Sydbora, a bezbronne wojsko wyszło z opuszczonego obozu w lasy za Zaborem, pysznym z tej pierwszej zdobyczy Aurelianowego słońca.

Po dwugodzinnym pochodzie przez las prawie nietknięty siekierą przybyli do ogromnej polany otoczonej dziewiczym jeszcze świerkowym lasem. Zdawało się że olbrzymie drzewa owe, co kotarą ciemnej zieleni polanę otoczyły, mogły jeszcze pamiętać dnie, w których Darjusz Histaspów syn tędy pędził wszystkie narody świata, jeśli nie owe dawniejsze jeszcze, kiedy Herakles idąc w kraj Hiperborców nabożnych ukochał tu wężonogą niewiastę; tak wielkie były pnie owe i tak niebotyczne ich szczyty.

Dawno już się niepokoił Quintus Maskulus, lubo nie śmiał nie usłuchać cesarskiego rozkazu. Teraz nastraszył się, gdy ujrzał lud mnogi, obozujący w siermięgach czarnych i kożuchach wśród polany, prowadzony przez wodzów okutych w dobre Rzymskie zbroje. Co mu nie raz w czasie pochodu na myśl wpadło, co za każdą razą odtrącał od siebie jako niemożliwie, to się ziszczało, to się sprawdzało w zupełności. Barbarzyńcy wywiedli jego kohorty na zgubę, za pomocą najświętszego znaku Aureliana. I nie było nawet jak sprzedać drogo życie, bo broń odjęli zdrajcy. On wprawdzie sam jeden zachował przy sobie krótki miecz Rzymski, lecz cóż mógł zrobić takim orężem przeciw takim tłumom. A legionarjuszów zdawało się wiódł jak owce na jatki! Zkądże to, zkąd wzieli Anci owo cesarskie słońce? Nie mógł tego pojąć, nie mógł odgadnąć biedny trybun. Westchnął tedy tylko, jęknął prawie, i biorąc oburącz czerwony swój płaszcz wojskowy, zarzucił płaszcz ten, z Rzymska, na głowę w oczekiwaniu śmierci.

Stojąc tak, słyszał tylko wielki gwar do koła, gniewne wykrzykniki Rzymskich żołnierzy, śmiechy i groźby barbarzyńców, głosy co mu się wydały nawoływaniem śmierci. Myślał sobie w duchu: „Pomści śmierć moją, jenjusz Romy niezwyciężony.“

W tem usłyszał głos wielki Sydbora: „Uciszcie się! Nie miotajcie darmo Maurytańczycy! Macie do wyboru między życiem a śmiercią! Niewoli nie damy już wam zaznać więcej, ale możecie wziąść śmierć albo wolność. Nie waszymi wrogami jesteśmy. Nienawidzimy tylko Rzym!“

Zdziwiony trybun zrzucił zasłonę ze twarzy, i ujrzał żołnierzy swoich spędzonych na kupę i otoczonych mnogą zgrają ludu, a w jednym końcu polany rusztowanie z drzew powalonych, na którym ułożono rodzaj tronu. Na tronie siedział Zabór w połyskującej zbroi, ze złotą koroną na głowie; u jego prawicy stał Sydbór, u lewicy Kocisz, a inni pancerni mężowie pod rusztowaniem tworzyli koło żelazne i orszak nowo obwołanego króla. Zgraja mnoga otaczająca legionarjuszów trzymała włócznie i kosy w pogotowiu, ale nietknęła się dotąd Rzymskiego żołnierza, a Maurytańczycy choć pozbawieni tarczy i zaczepnego oręża zawsze w żelazo ubrani, wyglądali tak, jakby przecie chcieli popróbować szczęścia, i żelaznemi rękawicami rzucić się na koszule wrogów. A gdy Maskulus spojrzał do góry, widział, że wśród gałęzi świerkowych siadł rój łuczników, i że każdy z nich miał broń napiętą i gotowe strzały, któremi był gotów legionarjuszów porazić na pierwszy znak dany z rusztowania. Nadziei nie było żadnej, walka musiała się skończyć rzezią, i wiedzieli o tem wszyscy. Więc wreszcie i Maurytańczycy gniew swój tłumili, a trybun tylko ręce załamał, czując że on nieszczęściu winien.

Sydbór z rusztowania mówił dalej: „I wyście nie Rzymianami. Wyście wygnańcy z ujarzmionej ojczyzny podobnie jak nasza. Wołamy was do zemsty przeciw wrogowi naszemu i waszemu. Rozpoczęliście bój, i wy w boju możecie wziąść udział. W niewoli naszej szczęście Romy. Przysięgnijcie na bogów waszych, że pomścicie ich krzywdy, a będziecie żyć i wojować. Inaczej pomrzecie!“

Było milczenie głuche wśród legionarjuszów, potem powstał szmer, a wreszcie odezwały się głosy sprzeczne; jedni wołali, „Zabijcie! Czy tak, czy tak musimy zginąć. Kto przeciw Romie walczy sam zginąć musi. Wolimy paść wierni imperatorowi.“ Drudzy, ale rzadziej wołali. „Pójdziemy z wami, tylko zmiłujcie się, nie zabijajcie nas.“

Po chwili Zabór odezwał się ze stolicy swej: „Kto chce umrzeć sromotnie niewolnikiem Rzymskim, ten niech zostanie tam gdzie jest. Kto żyć chce dla ojczyzny i chwały, niech na bok odejdzie.“ Ruch powstał i wielu legionarjuszów odeszło w bok.

„Ci co żyć chcą,“ mówił dalej Zabór „niech zdejmą zbroje. Przydadzą się one dla moich ludzi, a królewskim słowem ręczę, że się Maurytańczykom nic złego nie stanie.“

Musieli usłuchać, ale słuchali niechętnie. Z szemraniem zdejmowali żelazo, do którego przywykli, a wdziewali szaty Antów; z szemraniem przyjmowali oręż zły barbarzyńców, złożywszy wpierw straszne przysięgi. Poczet Antów uzbrojonych dobrze pomnożył się teraz, bo i tarcze

i miecze Rzymskie przywiózł już był dla nich Sydbór. Jeszcze malała nadzieja ratunku dla tych, co pozostali wiernymi Rzymskiemu orłowi. Kocisz się spytał: „Czy kazać strzelać na nich?“

„Niech jeszcze raz Sydbór przemówi“ rzekł Zabór. „Nie chcę zacząć rządów panowania i wojny od rzezi bezbronnych.“

„Może lepiej“ odparł Sydbór „by Kocisz przemówił. Nie mogę patrzyć na strach ten i miłość niewoli.“

Kocisz zwrócił się do legjonarjuszów, i odezwał się w te słowa: „Nie dziwi mnie to, że się lękacie. Rzym strasznym jest, i strachem tak zaciężył na myśli waszej, że się z niego otrząść nie możecie. O ojczyźnie zapomnieliście prawie w tej długiej waszej służbie, a ojczyzną stał wam się obóz, bogiem orzeł Rzymski, ojcem centurio. Tamtej ojczyzny nie zobaczycie nigdy, choćbyście nawet Rzymian pokonali. Gdy z nami się nie złączycie, zginiecie; ale szybką śmiercią i od oręża, jak żołnierz ginąć winien; a jak was Rzymianin schwyta w swe ręce, będzie się pastwił nad wami, i wreszcie rzuci was sromotnie bestjom w cyrku. Tak sobie myślicie i przekładacie nad zgon powolny na igrzyskach śmierć nagłą a żołnierską. Tak myślicie, a ja wam powiadam, że myślicie źle. Gdy nie pójdziecie z nami, zginiecie, musicie zginąć i niema dla was ratunku. Gdy pójdziecie z nami możecie żyć, i to żyć na prawdę, a nie jak dotąd w żelaznej koszuli pod rózgą Centurjona. Podczas walki już będziecie wolnymi ludźmi, i będziecie walczyć swobodnie! Nie obejdzie się bez łupów, bez rozkoszy! Są tu przyjaciele Rzymian, zdrajcy, których pokarać trzeba. Ludzie to bogaci; znacie ich tak dobrze jak ja! Pójdziecie za mną i pohulamy w ich dworach. Raz przecie w życiu doznacie rozkoszy. A wiecie wy o tem że zwyciężyć możecie? Nasz król to czarodziej. Jako was tu przywabił, tak wszystkie wojska przywabia do siebie. Cesarz z legatami zostaną sami jak palec wśród puszcz i powstania. Nim przyjdzie dla nich pomoc z Rzymu, albo nam się poddadzą, albo poginą. A wtedy i Rzym bez głowy przed naszym królem się nie ostanie, bo to wielki czarodziej! I wszystkie skarby świata wam służyć będą. Wrócicie do ojczyzny waszej, i złote domy sobie postawicie! — A jak nam się nie uda — jeszcze zawsze nie tak źle będzie. Granica Rzymska niedaleka. Przebijemy się gdzieś na bursztynowe morze, i nad Wisłę, do Wenedów, i tam żyć będziemy wolni, a oręż Rzymski tam nie sięgnie. Wierzcie mi ludzie, wybierzcie życie i swobodę i łupy, a nie śmierć. I wam mówię, zwyciężymy, bo nasz król ma czary.“

Gdy skończył Kocisz, widać było że się wojsko zachwiało. Zeszedł tedy do niego na dół, pomówił jeszcze trochę to z tym to z tamtym żołnierzem, i wreszcie namówił wszystkich. Już bez szemrania zrzucali ciasne zbroje, i wdziewali odzież płócienną, czarne wyszywane siermięgi, i białe kozuchy o wielkich kołnierzach. Nawet wznosili okrzyki radośne na cześć króla, młodzieńca i czarodzieja.

„A teraz,“ rzekł Kocisz, „radziłbym trybuna zabić.“

„Szkoda człowieka“ rzekł Zabór. „Za łatwowierny aby nam mógł szkodzić, a gdyby jego krew pociekła, myślałbym o sobie żem skrytobójcą, bom sam go tu wywabił. Przebierzcie go tylko, i miejcie pod strażą.“

Coś Kocisz mruczał, że na wojnie trzeba czasem i zabijać, i że ze wspaniałomyślnością niedaleko się zajdzie, ale stało się zadość królewskiej woli.

Zdarto zbroję ze smutnego trybuna, odebrano mu oręż, postrzyżono mu włosy na czoło, podgolono na karku i po bokach przyobleczono w koszulę, spodnie, w pas rzemienny i siermięgę, i chodaki z łyka, i straż przy nim postawiono.

Siadł smutny pod świerkiem, przebrany nie dopoznania, i słuchał pieśni Antów i Maurytańczyków. Bratali się jego żełnierze z buntownikami, a serce drgało w nim za każdą zwrotką.

Słońce chowało się za świerki, a Zabór wybierał się w dalsze łowy na ludzi.

XIV.

Był to wieczór. W Świętoszowym dworze drzewo syczało na kominie, a czasem trzeszczało raźniej. Krasa haftowała a ojciec wpatrywał sie w ogień, smutny. I Krasa także co chwila opuszczała igłę i pociągała ręką po czole; widać było na jej twarzy ów smutek ciężki, co już niepłacze i nie wzdycha.

Długo sam ogień tylko gadał. Wreszcie Świętosz się odezwał: „Myślałem że tego więcej nie uczynią, że przekonali się, że Roma mocna, że Cezar nie piórko. — Żal mi krwi, strach mi o dom! A to najdziwniejsza, że i Żybar poszedł z nimi; nie wiem co czynić wypadnie! I tak i owak źle. Gdy siedzę cicho, buntownicy dom podpalą; a jakbym im pomógł, nauczyliby mnie Rzymianie rozumu! Ot źle! źle! Na starość doczekałem się ciężkich czasów.“

Krasa słuchała niecierpliwie; barwa mieniła się na jej pięknej twarzy. Ale wśród smutku poznała czem miłość ojcowska i milczała, nie chcąc się spierać daremnie.

„No! ale skończy się ich panowanie, a tą razą może zmiłują się bogi nieśmiertelne i ukrócą Rzymskie rzezie. Aurelian udaje że niedba o powstanie. A patrzy na nie, patrzy uważnie, i jak zechce, skoczy na nich, z góry, jakby ryś z drzewa, i zgniecie odrazu. A gdy spokój będzie, poszle po ciebie. Siędziesz na jego rydwan, a ty uprosisz go, aby przebaczył obłąkanym tylko, a niezłym a szlachetnym nawet ludziom, co się bezsilnie na jego majestat porwali. Powiesz, mu, córko, że tylko słaby mści się, a nie Aurelian, i tem obronisz starego ojca od ciężkiej troski. Do Rzymu nie pójdę już z tobą. Długa droga, obcy ludzie, a jam już stary. Ale tu postawię sobie Rzymską

willę, jakiej niema w całym kraju, z kolumnami, posągami, obrazami, godną cesarskiego teścia. Będą się dziwić Antowie!“

Przestał stary, a po chwili Krasa, wstrząsłszy głową, dokoła której spływał rozpuszczony wolno włos płowy, rzekła: „I ja też nie pójdę do Rzymu.“

Ojciec spojrzał na nią, i chciał pocieszyć, mówiąc: „Nie bój się! nie zapomni o tobie imperator. Przyszle po ciebie, albo i sam przyjdzie. Nie zapomniał dotąd, a teraz trudniej mu zapomnąć będzie. Nie często odmawiały niewiasty Cezarowi, i twoja odmowa mogła zdziwić i roznamiętnić, obrazić nie mogła.“

„Nie! ojcze“ rzekła Krasa ze spuszczoną głową. „Nie namówisz mnie, nie przekonasz. Niech przyszle posły, niech sam przybywa, odmówię, odepchnę. Ojcze! Wszak jam teraz Aureliana winna nienawidzić!“

Świętosz patrzał na córkę jak na szaloną, a smutnie potrząsał głową i zawołał: „Zawsze ta sama! Marzy i buja, i świata nie widzi. Głupiec Decjusz ją porzucił; wielki Cesarz ją kocha — a ona mówi, że Cesarza nie nawidzi.“

„Ojcze,“ mówiła dalej Krasa, nie zważając na słowa starca. „Wiem że mnie kochasz; wdzięczna ci jestem i kocham. Ale bogi to już sprawiły, że mamy dwie takie dusze, co różnemi mówią językami, moja inaczej, inaczej twoja. A każda dusza, drugiej języka nierozumie. — Tam ludzie powstali pod młodym Zaborem przeciw Rzymowi i jarzmu. Ty się lękasz o nich, i gniewasz się. Jam klęknąć przed nimi gotowa. Gdy zwyciężą, możnymi będą na ziemi i pełnymi wielkiej chwały. Zwyciężeni poginą, i bogami się staną dla narodu. Chustę w krwi ich umaczam, i przed posągiem Niji chustę wywieszę, i do chusty modlić się będę. A Bojan przeciw nim walczy. Albo jako wróg zginie, pokonany — i mnie nie będzie nawet wolno płakać nad jego grobem; — albo — „i tu Krasa zerwała się z krzesła jakby w natchnieniu;“ albo zwycięży, i będzie zabójcą bogów moich! I chcesz bym się wystroiła, ja wzgardzona od męża! i wyszła do kata narodu, i rzekła jemu: będę ci kochanką! Żoną być nie mogę bo mąż mój żyje jeszcze — ale niewolnicą będę i kochanką. Gdy zechcesz zawieziesz do Rzymu, i ubierzesz w purpurę i złotogłowie, i postawisz wśród służebnego ci senatu, by się kłaniał nowej Auguście. A wtedy przyjdzie za nami do Rzymu mąż mój Decjusz, blady i z krwawemi stopami, i krzyknie: „Patrzcie Rzymianie na tę nierządnicę! Mąż jej uszedł w bory, widząc że srom idzie, naród jej zginął z orężem w ręku, a ona przez krew i srom poszła za Aurelianem, za wrogiem! Cześć dała, i ojczyznę, i pamięć ojców za błyski korony! O nie! ojcze, nie! ja tego nie chcę, nie chcę!“

I chwyciła się oburącz za twarz, drżąc cała; obraz żywy rozpaczy. Ojciec stał koło niej, — ona się od niego odwróciła, a stary stał przy niej, nie wiedząc jak pocieszyć, nie śmiejąc się dotknąć. Wreszcie załamała znowu spuszczone ręce, i mówiła dalej:

„Nie namawiaj! Nie pocieszaj ojcze! Gdybym go niekochała nie byłoby męki! Jeszczebym cię słuchać mogła, gdyby walczył przeciw nim dla mojej ojczyzny. Ale Bojan zdrajcą, Rzymianinem, a jam cudzą żoną!“

Mówiła jeszcze gdy sługa weszedł, i powiedział że obcy człowiek jakiś weszedł do sieni, i że nawet nie chciał spożyć jadła, pókiby Świętosza nie widział i Świętoszowej córki. Świętosz się zląkł, ale człowieka puszczono. Wyglądał poważnie ale jakoś tajemniczo. Miał na sobie wielki bury płaszcz, i zapuścił długą brodę, a wchodząc wypowiedział niezwykłe wówczas wyrazy: „Pokój domowi temu.“

„Dzięki ci za to życzenie“ rzekł Świętosz, „bo srodze nam pokoju potrzeba. Ale posil się, zanim powiesz co masz na sercu. Pewnoś długą zrobił drogę.“

„Droga moja“ rzekł nieznajomy „od kołyski do grobu. A nietyle żyję chlebem, ile słowem Pana, któremu służę. Najpierw tedy uczynię com powinien, aby Pan mój rad był ze mnie, a potem zjem co dacie, i gdzie dacie usnę.“

„Otóż czy Swiętosza widzę przed sobą, i Krasę?“

„Nieinaczej,“ rzekł Świętosz.

„I czyście starcze, nie mieli od dni kilku zięcia? Czy tobie, Kraso, mąż nowy nie znikł z oczu?“ Spytał dalej nieznajomy.

„Alboście co o nim słyszeli?“ Przerwała Krasa szybko.

„Mam wam o nim mówić, i po to przybyłem.“

„A najpierw byście wiedzieli, że niekłamię powiem, że nazywam się Niceforem, a jak ludzie mnie nazywają, Niceforem z leśnej chaty. Możeście słyszeli o mnie, jak nie, pytajcie się. A dowiecie się żem człek spokojny, i że pragnę nie kłamać, i że się modlę do boga mego, aby mi wolno było nie czynić krzywdy. A gdym to powiedział, powiem jeszcze, że w śnieżnicę przedwczora przyszedł do chaty mojej mąż chudy i blady, co mi swego imienia niepowiedział, ale od którego słyszałem, że bywał w Bizancjum.“

„Tak“, rzekła Krasa, „takim jest mąż mój Decjusz — Dzięcioł.“

Nicefor mówił dalej: „Nieznajomy ów człowiek mówił że ciebie Kraso niedawno poślubił, ale ciężko cię winił, i wyrzekał na ciebie, i mówił że chce się zabić, zniechęcony do życia.“

„Co mówisz? Że chce się dla moich win zabić?“ spytała Krasa.

„Chciałem go wstrzymać,“ odparł Nicyfor „zdawało się że wstrzymałem, ale on mnie tylko oszukiwał, i wyrwał się raptem w las szukając śmierci. Wilki go dopadły, i przyniesiono mi nazajutrz pokrwawioną odzież. Przyszedłem tedy wam powiedzieć, że mąż wasz nie żyje.“

(C. d. n.)

LASZKA.

Opowiastka

AURELEGO URBAŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

„Po drodze już zastanawiałem się nad tem, pod jakiem nazwiskiem przedstawić się po raz pierwszy za kordonem. Płynnie krajowym władając językiem mógłem łatwo uchodzić za Polaka, przybrawszy pierwszy lepszy pseudonim, jak to naówczas było tam zwyczajem. Atoli wrodzona mi otwartość sprzeciwiała się nawet tak niewinnemu nadużyciu zaufania nieszczęsnych krajowców; zresztą, jak łatwo wymknąć mi się mogło wyrażenie, zwrot jakiś niezręczny, który zdradziłby tajemnicę mego pochodzenia... Postanowiwszy więc ostatecznie otwartością zdobyć sobie serca powstańców, po pierwszem powitaniu wymieniłem starcowi swe nazwisko.

„Nie dziwcie się, panie“ — dodałem — „iż w obozie waszym spotykacie Moskala. Obyście niebawem ujrzeli ich więcej... Sprawa Wasza jest zarazem sprawą wszystkich patrjotów. Zwycięztwo Wasze będzie naszem zwycięztwem. Oto list polecający z Paryża, niech zastąpi dowód, iż w grono Wasze nie wśliznął się czynnik podejrzanej natury.“

Staruszek przejrzał pismo pobieżnie i zwrócił z lekkim ukłonem, pokiwał głową i odszedł, rzuciwszy kilka uuprzejmych wyrazów, zapraszających do wygodnego roztasowania się w chacie.

„Usiadłem znużony, niezbyt zadowolony chłodnem przyjęciem i rozglądnąłem się po izdebce. Schludną była, choć bardzo ubogą. Kanapka cyratowa, stół dębowy, kilka krzesełek wyplatanych, obraz Matki Boskiej Częstochowskiej nad olchową komódką, i stary, wysłużony zegar w kącie z kurantem, oto wszystko... Tylko nad okienkami śnieżystej bieli zwieszały się firanki. Na komódce robótka niewieścia dowodziła, że starowina nie sam, niby borsuk, zakopał się w tem ustroniu...

Usiadłem więc spokojny, ze strony płci pięknej życzliwego oczekując przyjęcia...

„Powrócił starzec; za nim przewodnik mój, widocznie także mieszkaniec dworka, wniósł na tacy przekąski. Gospodarz przedstawiwszy mi Szymona jako „prawą swą rękę w gospodarstwie,“ zaprosił nas do stołu. Patrjarchalnie usiedliśmy społem, przybysz z Paryża, szlachcic i chłop...

„Po krótkiem zaczerpnięciu wiadomości z pola walki oświadczyłem staruszkowi, iż niebawem będę zmuszonym opuścić gościnną jego strzechę, byle bym tylko otrzymał pismo od rodziców, którego lada dzień się spodziewałem, a oraz od władzy rozkaz udania się w miejsce przeznaczenia. Obadwaj słuchali milcząc, widocznie ostrożność stała się ich naturą. Dopiero gdy wyraziłem otwarcie me powątpiewanie, ażali dosięgną mnie listy w tem ustroniu, uśmiechnął się z lekka starowina, „prawa“ zaś jego „ręka“ odburknęła z pewnym rodzajem zarozumienia:

„Oh! Tyle nieszczęścia! niechno list tylko napiszą. od tego nasza poczta!“

Stary łypnął nań okiem — Kujawiak zamilkł nagle, i jakby wypowiedział zbyt wiele, dodał:

„Ej, coby to pismo nie nadeszło!“

Po wieczerzy zostawiono mnie samego. Nadaremnie więc wyglądałem pani domu. Nie uważano za stosowne wprowadzić w poufne grono rodziny człowieka, którego nikt nie znał bliżej, a który z rodu był... Moskalem...

Zabolało mnie to dotkliwie...

Niebawem stentorowy głos Szymona zagrzmiał gromko w stajence, starowina z fajką w ustach i borsuczą czapką na siwych włosach przechadzał się po podwórku w otoczeniu dwu olbrzymich kundysów...

Miałżebym być strzeżonym?...

Rzuciwszy się na przygotowane łoże zasnąłem, lecz nie tak głęboko i spokojnie, jak ongi w bezpiecznym akademickim pokoiku moim w „quartier latin!...

„Skoro świt przebudził mi tentent galapującego konia. Nie zasłużyłem był jeszcze sobie na miano powstańca w scisłem znaczeniu tego słowa — zmysły me nie nabrały były jeszcze tej czujności, jakie wytwarza życie obozowe— a jednak mimowoli zerwałem się z łoża i wybiegłem ku okienku.

„Przed gankiem zsiadał właśnie z konia młody chłopczyna, o ile osądzić zdołałem po wzroście i odzieży, — mgły bowiem gęstej, porannej nie przebił był jeszcze promień słoneczny. Małego krępego konika przytrzymywał Kujawiak, — staruszek zsiadającego chłopca chwytał w objęcia... Po chwili Szymon odprowadził do stajenki kuca widocznie zjajanego i silnie robiącego bokami; między staruszkiem zaś a chłopcem zawiązała się gorączkowa jakaś rozmowa; szeptano z cicha, żywo gestykulując. Widziałem jak starzec opowiadał coś chłopcu, wskazując na moje okno, młody zaś dobywszy z kieszonki jakiegoś pisma, pokazywał je gospodarzowi, kierując wzrok ku szybom, przy których stałem zaczajony. Prawdopodobnie chłopiec dostrzegł czegoś w oknie, nagle bowiem chwyciwszy starca za ramię, powiódł go ku domkowi.

„Mimowoli odskoczyłem od szyby; rumieniec oblał mi twarz, jakbym sam przed sobą zawstydził się mojej ciekawości... a jednak nie poczuwałem się przecie do żadnej winy.

„Nie mogłem już usnąć. Trawiony dziwnym jakimś niepokojem przewracałem sobą gorączkowo po łożu oczekując dnia niecierpliwie.

„Nareszcie doczekałem się... Dzionek biały obudził już był ze snu naturę. Ruch zatętnił pełnem życiem. Niebawem stanął przed mem łożem zacny Kujawiak ze szklenicą gorącej kawy na tacy. Zerwawszy się po obozowemu, wnet zasiadłem do śniadania. „Prawa ręka“ milcząc, lecz z ironicznem ust zacięciemsprzątał w izdebce.

Syt i odświeżony zapaliłem wonne cygaro i zagadnąłem mruka trochę nieprzezornie:

„Przyjacielu! Ktoś nadjechał konno nad rankiem?“—

— To nic — odburknął obojętnie — to... p o c z t a,—

Poczta! — — — a więc zaraz na wstępie do walczącej bohatersko krainy danem mi było zapoznać sięz podziwianą powszechnie instytucją... Organizacja powstańcza doskonałością swą zdumiała świat cały. Z amerykańską szybkością i punktualnością przesyłano listy i rozkazy t. z. pocztą obywatelską!“—Niewidziany „podziemny“ rząd narodowy swobodnie a sprężyście dzierżył w dłoni swej władzę, niby w spokojnem ministerjalnie rządzonem państwie. Wydawano paszporta, redagowano czasopisma, przejmowano wroga korespondencje, ściągano podatki, rekrutowano młodzież, rewidowano podejrzanych podróżnych, przekonanych zaś o zdradę ekspedjowano na łono Abrahama z taką zręcznością, iż z przerażenia włosy powstały na głowach członków „p r a w o w i t e g o“ rządu, choćby ukrytych w ciosowych murach warszawskiej cytadeli.

„Puściłem wodze myślom... I zasmuciłem się wielce... Hej! Biedna ty; lodowa ziemio knuta i mużyków... Gdzie tobie takich wydać mężów!!... Wieki się składać muszą na wytworzenie Pahlenów — a i ci umieją jedynie poddać bodatersko szyję pod stryczek...

Rosja a Polska! Dumny władca i przygnębiony niewolnik.

Lecz tu oświata, inteligencja umysłu i serca, gorąca miłość ojczyzny, poświęcenie bez granic... U was — idiotyzm niewolników, głupota mózgu, posucha serca, ślepe posłuszeństwo knutowi i... i... w o d k a!

Patrjotyzmu wyraz — to nihilizm... Szaleńcy! Świętość sprawy wolności wloką w rynsztok obrzucając błotem nienawiści i pijanego szowinizmu wielki, święty, naród, którego dążeniem w o l n o ś ć...

Z zadumy zbudziło mnie dotknięcie mego ramienia.

Podniosłem głowę. Stary sługa stał przedemną z listem w ręku i bystro patrzył mi w źrenice.

„Poczta, jegomość“ — powtórzył.

Chwyciłem za pismo gorączkowo, spodziewając się dalszych rozkazów nieznanej mi jeszcze władzy. Pękła pieczątka — lecz papier z takiem oczekiwany upragnieniem straszną ugodził mnie wieścią o śmierci rodziców, o przekleństwie ojca i błogosławieństwie matki... Był to umówiony list od przyjaciela z Brukseli.

Zakryłem oczy dłonią i gorżko zapłakałem...

Po długiej, długiej chwili niemej boleści, zerwałem się z siedzenia. Byłem sam. — „Walka z tyranem“ oto po tę chwilę me hasło; lecz dziś, poczuwszy się samotnym na szerokim świecie tem skwapliwiej chwyciłem się tego sztandaru. Cóż miałem do stracenia?... Któż zapłakałby na wieść o skonie mym na polu walki?... Nikt — chyba ptaszę polne zaświergotałoby żałośnie spłoszone w wesołym lesie widokiem skrwawionego trupa żołnierza wolności.

Otarłem łzy... boleść zaparłem w piersi, a pismo złowrogie ukrywszy wraz z innymi dokumentami w podróżnym tobołku, wybiegłem na podwórze. W pobliżu czernił się las, dobrze mi znany; zapragnąłem samotności na chwilę, tajemniczego gwaru dębów. Pomknąłem przed się, na poły nieprzytomny, a skronie pałały mi gorączgowo.

U kołowrotu zastąpiła mi drogę jakaś postać; był to nasz Kujawiak.

„Jegomość do lasu?“ — zagrzmiało mi nad uchem, a oczy Szymona podejrzliwie prześliznęły się po bladej mej twarzy.

A więc strzeżono mnie; nie omyliło mnie przeczucie...

Szybkim zwrotem, nie wyrzekłszy słowa, wróciłem do izdebki. Gdym wchodził zdawało mi się słyszeć szelest sukienki wymykającej się drugiemi drzwiami. Stanąłem mimowoli zdziwiony; dotychczas bowiem prócz owej robótki nie napotkałem nigdzie śladu kobiety w cichym tym, niemym jak grobowiec dworku. — Oko me pobiegło samochcąc do mego tobołka; nie leżał w tem miejscu, gdzie go położyłem. Widocznie szybki mój powrót przeszkodził w rewizji tajemniczemu duchowi.

Jakkolwiek chłodno zapatrując się na chwilę ówczesną i niesłychane wysilenia narodu, nie można jak tylko czołem uderzyć przed dziwnie sprytnym zmysłem, jakiego dawało dowód każde ogniwo tego potężnego łańcucha, zwącego się „organizacją narodową“ — ból serdeczny, straszną wywołany wiadomością, spotęgował we mnie rozdrażnienie, na myśl, że ci, którym życie niosę w ofierze, osaczają mnie niewidomą strażą i strasznem obrażają podejrzeniem...

Któż za złe mi poczyta, iż niby obręcz lodowy ścisnął mi serce?... W pierwszej chwili chciałem biedz do starca, wytknąć mu jego niewiarę i opowieścią okropnej straty serdecznej wywołać na jego twarzy rumieniec wstydu, a w oku łzę politowania. Po chwili jednak cofnąłem się od progu, gorżkim wybuchnąłem śmiechem, i nie mogąc

w pierwszym porywie wytłumaczyć sobie przyczyny tego postąpienia, niewiarę odpłacając niewiarą, rozglądać się jąłem za stosownem dla mego tobołka ukryciem.

W przedpokoiku, do którego wiodły puste odrzwi bez skrzydeł, u pałapu, pod belkiem, głęboki spostrzegłem otwór, zapewne przez usunięcie się deski powstały. Papiery moje znikły w tym schowku.

Swobodniejszy padłem na łoże w czarnych pogrążając się myślach. Chciałem się już wyrzec ich sprawy, ujść, wrócić do Paryża i zdala przyglądać się walce — czułem się upokorzonym, zhańbionym, sponiewieranym...

„Toż więc przyszłość moja?“ wołało we mnie -— „Moskala ręki nie ściśnie nigdy ręka Polaka, by równocześnie nie zawiercił mu w piersi robak niewiary?... I jaż mam walczyć u ich boku wiecznie z tem piętnem na skroni?“ —

I znów zerwałem się — pierś wzburzona domagała się świeżego powietrza. Wybiegłem na pole. Ha! przecież nikogo — żadnej straży—żadnego podglądania... A przecież, zaledwie usiadłem na małym wzgórku, widocznie prastarej jakiejś mogile, i odsłoniłem skronie, chłodząc je ostrym jeszcze przedwiosennym wiatrem, aliści cień jakiś zniewolił mnie mimowoli do odwrócenia głowy. Za mną stał staruszek z dworka, również z czołem odkrytem, jakby modlił się a dumał. Mleczne, długie włosy, okalające poczciwe staropolskie oblicze, natchnęły mnie takim szacunkiem dla sędziwego gospodarza, iż powstawszy czekałem zapytania i starzec zagadnął mnie:

„Panu niewygodnie w biednej chacie?“...

Dziwny dźwięk był jego głosu i dziwne a surowe spojrzenie oka. Zaciąłem zęby—zagrzytnąłem—i na przełaj puściłem się ku dworkowi. Starzec zdążał za mną poważnym krokiem.

Na ganku przywitał mnie Szymon dobrodusznym uśmiechem:

„Jegomość już z powrotem?“

Oh!...

. . . .

Przeleżałem niemy, zbolały, w gorączce całe przedpołudnie. Nikt nie narzucał mi się z towarzystwem, nikt nie zagadnął słowa do mnie — krom „Prawej ręki“, który około drugiej z południa zawezwał mnie „do stołu,“ na przeciwną stronę dworka. —

IV.

Zaskorupiwszy w sobie boleść, lodowy przybrawszy wyraz twarzy wszedłem do skromnej jadalni. Oczekiwano mnie. Sześć par oczu przywitało mnie badawczo: starca, wiernego sługi i — kobiety. „Moja córka“, krótko przemówił gospodarz i uprzejmym ruchem dłoni wskazał mi miejsce przy stole. Skłoniwszy się, usiadłem; obok mnie wieśniak, naprzeciw ojciec i córka. Prawie w milczeniu upłynął nam objad. Starzec z mym sąsiadem wymienił zaledwie kilka obojętnych wyrazów. Ja siedziałem milczący, nie tykając prawie posiłku, z oczyma wlepionemi w talerz; gardło kurczowo ściśnięte nie pozwoliło mi ani przełknąć posiłku ani wydobyć słowa.

„Panu nie smakuje skromny nasz objadek?“

Przemówiła kobieta.

Podniosłem wzrok i po raz pierwszy przyglądnąłem się córce domu, wyjęknąwszy kilka urywanych słów konwencjonalnych.

Była to osoba nie pierwszej już młodości. Włosy miała ciemne, krótko po męsku strzyżone, które często gwałtownym rzutem głowy poprawiała; twarz blada, wyrazista, usta energicznie zakrojone i lekki zmarszczek na czole dziwnie zajmującą czynił tę, zresztą delikatną postać. Oko jej, wielkie, wyraziste, o jasno-modrych, prawie wodnistych źrenicach sięgało gdzieś w głąb serca człowieka, na którego spojrzała — a patrzeć umiała badawczo, szyjąco. Spojrzawszy raz w te oczy, oderwać od nich nie mogłem wzroku, ilekroć zaś podniosłem głowę, zastawałem te dwie jasne gwiazdy utopione w mem obliczu.

Zły, z siebie i z świata niezadowolony, dziwnie pomięszany i przejęty niewytłumaczonym niepokojem wstałem od stołu.

W tej chwili ręka niewidomej osoby zapukała lekko w okienko. Kujawiak krząknął — starzec spojrzał na córkę. Kobieta skłoniła mi się i wyszła.

Starzec podawszy mi rękę, przepraszał ze staropolską submissją za „skromny posiłek“ i zachęcał do poobiedniego spoczynku.

Zrozumiałem go. Mimo niepohamowanego pragnienia odetchnąć swieżem powietrzem, wróciłem do mej izdebki. Przechodząc przez sionkę, rzuciłem mimowoli wzrokiem na podwórze, nie dostrzegłem nikogo — tylko u kołowrota stało pokornie zgięte, kulawe jakieś żebraczysko.

. . . .

Całe poobiedzie nie wyjrzałem na świat. Otumaniony przeleżałem kilka godzin na łożu, nie będąc w stanie zdać sobie rachunku z tego, co się działo w mem wnętrzu. Coś niepojętego wiązało mnie znowu ze sprawą, którą przeklinałem przed chwilą. Myśl ucieczki opuściła mnie; sromotna dla mnie podejrzliwość mieszkańców dworka poczęła wydawać mi się czemś naturalnem, koniecznością, rozgrywającym się dramatem usprawiedliwioną... Wszak nie taiłem się z mą narodowością — widziano mnie po raz pierwszy — list zaś polecający mógł być — podrobionym...

Ach — jasne, modre te oczy!.. Dziwne te źrenice!.. A przecież kobieta ta mogła być o lat dziesięć starszą odemnie!...

(*C. d. n.*)

Moje wyjście z Warszawy do Drezna

przez **Ksawerego Bronikowskiego**

wice-prezydenta Warszawy podczas ostatnich dni rewolucji 1831 r. *)

przetłumaczył z niemieckiego J. N. z Oleksowa Gniewosz.

I.

Ostatnie godziny Warszawy.

Była północ. Grzmot armat, który przez dwa dni wstrzęsał murami Warszawy, zamilkł; największa część furgonów wojennych znajdowała się już na Pradze, lecz szereg tychże jeszcze się nie kończył; tamże znajdowała się także i nasza konnica; z wałów Warszawy, znużone pułki piechoty, patrzały na nieprzyjaciela również znużonego, który wypoczywał na naszych i własnych trupach. Tu i owdzie toczyły się wozy z rannymi; mieszkańcy, częścią w domach, częścią na ulicach oczekiwali w niepewności świtu dnia następnego.

Nowo mianowany rząd był zajęty wydawaniem nowych rozporządzeń, a Krukowiecki ze sztabem spoczywał na bruku przed pałacem rządu. Księżyc i odblask palących się przedmieść oświecały jasno tę całą smutną scenę.

W mieście nic jeszcze nie wiedziano o kapitulacji zawartej przez Krukowieckiego, o opuszczeniu miasta, i każdy był pewien, że z brzaskiem 8go sierpnia kroki nieprzyjacielskie na wałach, a może i na ulicach Warszawy przy barykadach się rozpoczną.

Nowy rząd i głównodowodzący armją polską Kazimierz Małachowski, pomimo, że powiadomieni o układach Krukowieckiego z Paszkiewiczem, byli jeszcze do twardego oporu zrezygnowani.

Zaraz po 12 godzinie w nocy wezwał mię do siebie wódz naczelny, i wypytywał o środki, jakich mieszkańcy Warszawy dostarczyć mogą, gdyby się armja w ulicach przy barykadach bronić miała. Jako wice-prezydent stolicy, mógłem mu rzeczywiście udzielić niektórych objaśnień. Powiedziałem też, że oprócz 6000 gwardji narodowej zorganizowanej i zaopatrzonej w broń, połączy się chętnie do szeregów walczących 15.000 obywateli, którzy są wpisani w listę straży bezpieczeństwa; lecz nie taję tego, że ta straż bezpieczeństwa nie jest zorganizowaną, i po większej części nie jest zaopatrzoną w broń, jednakowoż chociaż część pewna uzbroi się w kosy i własną broń w krótkim czasie, jeżeli na dowódców mianowani będą wypróbowani patrjoci. Ponieważ było niepodobieństwem uskutecznić w tak krótkim czasie organizację straży bezpieczeństwa, której przeszkodził gubernator miasta Chrzanowski, o czem na innem miejscu obszerniej mówić będę; podjąłem się wydać rozkaz do komisarzy policyjnych, aby całą ludność zdolną do noszenia broni, która niepełni służby gwardji narodowej, jeszcze przed brzaskiem dnia w swych cyrkułach zgromadzili, i oczekiwali dalszych rozkazów.

Można było z pewnością wiele liczyć na straże bezpieczeństwa, bo się składała ze zdrowych, silnych, i odważnych ludzi, którzy, pomimo, że nie posiadali ani własności ani obywatelstwa miejskiego, a więc należeli do najniższej klasy społeczeństwa, jednakowoż byli pełni zapału dla wspólnej sprawy.

Byłem również zdania, aby wódz naczelny wydał wezwanie do hrabiego Piotra Łubieńskiego, który gwardją obywatelską komenderował, aby natychmiast takową zwołał do szeregu i przygotował obywateli do rozpocząć się mającego boju, gdy się armja przy barykadach opierać będzie nieprzyjacielowi.

Małachowski całkiem znużony dwudniowym bojem, przyjął stanowczo tę radę, polecił mi napisać wezwanie do Łubieńskiego, i natychmiast takowe podpisał.

Opuściłem tego czcigodnego starca, ale za słabego do kierowania ostatniemi wysileniami zrozpaczonej armji, w tej nadziei, że się moim usiłowaniom powiedzie jeszcze przed brzaskiem dnia zebrać kilka tysięcy ludzi ze straży bezpieczeństwa.

Byłem właściwie zatrudniony wypełnieniem rozkazu Małachowskiego, a właściwiej, robiłem do tegoż przygotowania, zabezpieczając wszelką możebną broń na ten cel, i komisarzom stósowne rozkazy przesłać chciałem; nie mogłem również zwłóczyć z wyborem osobistości najzdatniejszych do dowodzenia kompanjami straży bezpieczeństwa, gdy tymczasem rzeczy wzięły inny obrót.

*) Pamiętnik ten wydany w języku niemieckim w Paryżu 1832 r. u Heideloff i Campe (Rue Vi vienne nro 16.) odszukałem w Bibliotece Ossolińskich we Lwowie.

Jenerał Berg, przybył do pałacu rządu, i być może, że jego zręczność, lub też strategiczne poglądy z naszej strony, albo też demon, który w to od Boga pobłogosławione dzieło chciał wprowadzić zamęt, dokonały, że od tej chwili niemyślano więcej o obronie miasta, lecz o szybkiem opuszczeniu tegoż.

Tak więc zniknęła wielka sposobność dla mieszkańców Warszawy do pokazania heroizmu, i tak, jak jest obowiązkiem dziejów wykryć sprawcę tej narodowej winy, było również bardzo prawdopodobnem, że armja rosyjska osłabiona, zaopatrzona w mniejszą ilość amunicji jak nasza, bo po dwudniowym szturmie brak amunicji w obozie rosyjskim można było na pewne wnioskować, gdy armja polska w tym samym czasie trzy komplety amunicji zużytkowała, z tych powodów można było przypuszczać, że armja rosyjska byłaby znalazła swój grób przy barykadach.

Było do przewidzenia, jaki paniczny postrach byłby przeniknął szeregi nieprzyjacielskie, że je oczekuje jeszcze walka w ulicach i domach Warszawy, gdzie tysiące niespodziewanych napadów znieść muszą; z drugiej strony, podniesione, rozpaczą pchane poczucie narodowe Polaków, byłoby nad wszelkiemi trudnościami w boju ulicznym odniosło zwycięztwo.

I po tak pięknym wielkim boju w otwartem polu, dla czego nie mieliśmy naśladować przykładów Saragossy albo Brukseli?

Czyśmy się obawiali może utraty kilku set domów albo więcej kilka tysięcy ludzi, żeśmy raczej zaprzestali boju w najpiękniejszej probierczej chwili, zamiast się z prawdziwą wielkością ozdobić wieńcami laurowemi?

Nie! — do takich strat był naród polski przyzwyczajony, i chwila była w rzeczywistości rozdzierająca serce, widzieć lud jako też armję, gdy się dowiedziały, że naczelnicy chcą oddać Warszawę moskalom przez kapitulację. Masy i armja zdawały się być pozbawione największego szczęścia, gdy widziały, że im się wyrywa bój śmiertelny. I zaprawdę, uczucie ludu i armji w Warszawie było sprawiedliwe.

Nie badałem czy kapitulacja Warszawy już po usunięciu Krukowieckiego była strategiczna, mądra i honorowa, lub też głupia i szkodliwa; lecz o tem jestem przekonany, że przez takową utraciliśmy wiele korzyści godnych dziejów.

Na kimkolwiek spoczywa wina, to przynajmniej jest pewnikiem, że lud i armja są od niej wolnemi. Ta wina jest o tyle większą, że wiele zapasów wojennych, które w tak krótkim czasie nie mogły być z Warszawy wyprowadzone, wpadły w ręce Moskali, nie licząc w to tych wielkich fabryk broni, które swój żywot zawdzięczały rewolucji, i w żaden sposób niemogły być przeniesione, niemając na względzie moralnego wrażenia, jakie czyn taki wywrzeć musi tak w kraju jak i zagranicą, który musi być następstwem obsadzenia Warszawy przez Moskali. Szło jedynie o przedłużenie boju o jeden dzień, a przybycie Romariniego byłoby niezawodnie w najgorszym razie rozstrzygnęło zwycięztwo.

Armia wyruszyła jeszcze przededniem z Warszawy na Pragę, i pomimo, że kapitulacja obejmowała warunek, że każdemu pozostawało trzy dni czasu do opuszczenia stolicy, wiele mieszkańców, którzy chcieli dzielić los armji, zdawali się nie mieć nawet tyle czasu, aby gwałtowne swe sprawy załatwić.

Wielu obywateli zdolnych do noszenia broni opuściło rodziny, niepowiedziawszy im ani słowa o swem oddaleniu. I matki, żony, dzieci, które przeczuwały los miasta, szły za synami, mężami i ojcami.

II.

Pochód do Modlina.

Cały obszar spalonej Pragi naprzeciw Warszawy zapełniał się coraz więcej armią, wozami i kilku tysiącami obywateli. Członkowie rządu, niektórzy senatorowie, prawie wszyscy członkowie izby poselskiej, uświetniali to wychodźtwo. Był to prawdziwie widok nietylko smutny, ale i uroczysty. Powozów zaledwo kilka było widomych; bo w ostatnich dniach oblężenia Warszawy oddał każdy swe konie do służby armji i każdy byłby poczytywał za osobistą hańbę, używać koni, gdy takowych armja potrzebowała. Wielu więc, którzy nigdy dotąd niezaznali braku pojazdów, przygotowało się do pieszej podróży. Każdy obmawiał to co się stało, i tysiące złorzeczeń dowodziło, że armji na tem wiele zależało, aby nie uczestniczyć w winie dnia tego.

Ze smutkiem i pałając gniewem patrzał żołnierz na mury Warszawy, które w tej chwili oświecały promienie wschodzącego słońca; rozpaczliwy dreszcz przejął wszystkich, gdy usłyszano odgłos moskiewskiej muzyki dochodzący z ulic Warszawy. W niepewności, dokąd się armja uda, oczekując kilka godzin dalszych rozkazów, rozprószyło się wiele cywilnych osób na wszystkie strony Pragi; największa część udała się w kierunku Siedlec, w tem mniemaniu, że się armja połączy z korpusem Romariny, lub też pójdzie ku Modlinowi, zkąd się spodziewano demonstracji nieprzyjacielskich.

Nakoniec armja ruszyła ku Modlinowi z taborem wozów i kilka set niewolnikami moskiewskiemi. Zależało jedynie na tem podtrzymywać chęć do boju 30.000 liczącej armji, która jedynie pałała chęcią, zmyć plamę kapitulacyi, i straty, które sprawa Polski przez obsadzenie moskiewskie poniosła, wielkimi czynami wynagrodzić.

Podziwiałbym na tem miejscu ducha tej armji, gdyby mi to jako Polakowi wolnem było; pomimo tego zmuszony jestem zwrócić uwagę czytelnika, że armja, której utrata stolicy i największej części zapasów wojennych, nie odbiorą odwagi, która rozgoryczona przeciw mniemanym zdrajcom, niemyślała o tem, aby się na nich zemścić, lecz chciała się oddać aby jedynie utrzymać sprawę ogólną, w armji takiej zaiste musiało być wiele materjału do wielkich czynów.

Podczas marszu do Modlina rozbiérano nowe plany wojenne, marzono o nowych zwycięztwach, i pocieszano się widokiem hufców, natchnionych tak dzielnym duchem. Wielka część armji pochwalała pochód ku Modlinowi w tej nadziei, że będzie przeprawioną pod osłoną fortecy na drugi brzeg Wisły, odetnie nieprzyjacielowi wszelkie komunikacje, gdy tego samego dokona równocześnie Romarino od strony Brześcia. Przewidywano ogłodzenie armji moskiewskiej w Warszawie, a nawet myśl, że tak wielu krewnych przyjaciół i mieszkańców przypłaci życiem, gdyby się plan ten powiódł, nie była przeszkodą aby życzenie to w czemkolwiek się zmieniło. Natomiast życzyli inni połączyć się wprzód z Romarinem i tak połączonemi siłami rozpocząć dalsze operacje. Wszyscy pocieszali się tem, że czynna armja moskiewska zmniejszy się przez obsadzenie Warszawy przynajmniej o 20.000, przez co przeznaczonej do pola będzie można tem łatwiej zadać cios stanowczy.

Pochód do Modlina nie był jednak wynikiem planu wojennego, lecz był jednym z warunków kapitulacji, podług którego armja polska obsadzić miała województwo płockie.

III.
M o d l i n.

Dopiero w Modlinie rozpoczęło się nieszczęsne osłabienie ducha i rozwiązywanie najpiękniejszej armji świata. Czego niemogły dokazać, niebezpieczeństwa, trudy, głód i nieustający widok niechybnej śmierci, tego dokonały wahanie i bezczynność.

Bo tak, jak nam brakuje dowodów, że Warszawę poddała zdrada, tem mniej możemy przypuścić, że przyczyną powszechnego zwątpienia również była zdrada.

Początek do tego osłabienia już dawno był położony, — szukać go trzeba w systemie, który niestety już w samym początku rewolucji wziął górę, a po poddaniu Warszawy urósł w skutek złudzeń w jakie się polska szczerość dozwoliła usidlić.

Potrzeba było działać, a nie paktować, bo gdy nam nieprzyjaciel przed poddaniem Warszawy jako buntownikom nie chciał przyznać dostatecznych warunków, dało się łatwo przewidzieć, że po obsadzeniu stolicy, wystąpi z jeszcze więcej upokarzającemi wnioskami. Gdy z jednej strony zanadto dawano wiary układom, z drugiej strony popełniano błędy, które musiały osłabić siłę prężności armji.

Armja nie przeprawiła się przez rzekę, jak to mniemał każdy żołnierz, aby niepokoić nieprzyjaciela; lecz skoncentrowawszy się w okolicy Modlina, groziła ogłodzeniem fortecy, gdy tymczasem nieprzyjaciel z jednej strony od Jabłonny, z drugiej od Nasielska coraz więcej nasze wojska okalał i łudził nadzieją honorowych układów dla narodu. Aby zmniejszyć potrzebę żywności, na której armji tak ściśniętej zaczęło zbywać, postanowiono, z Warszawy przyprowadzonych moskiewskich niewolników uwolnić, co prawie to samo znaczyło, wzmocnić szeregi nieprzyjacielskie. Największy błąd jednak popełniono, przy nowym wyborze naczelnego wodza. Małachowski, jak to już nadmieniłem, był za stary i za słaby do tak wysokiego i trudnego zadania, przez co wina poddania Warszawy częściowo na niego spadała, ponieważ tej nieszczęśliwej nocy podpisał to poddanie.

On sam robił sobie z tego powodu wyrzuty, i prosił o następcę.

Do przywilejów prezydenta rządu należało i mianowanie naczelnego wodza. Niechciał jednak przyjąć tego ciężaru na swe barki i powołał do wyboru wszystkich jenerałów i dowódzców pułkowych. Prezydent, miał do tego najszlachetniejsze pobudki. Byłby może Umińskiego mianował, lecz że był z nim spokrewniony, niechciał na siebie ściągnąć zarzutu, że robi użytek ze swej władzy, na rzecz krewniaka.

Wice-prezydent rządu zredagował kilka pytań, które były przeznaczone do dania odpowiedzi podczas obrad, przez wyżej położonych oficerów, czyli starszeństwo; był tak łaskaw przeczytać mi te pytania. Jedno z nich miało na celu zbadać ducha armji i było mniej więcej następującej treści: „Rząd ma zamiar zerwać łudzące układy, i los narodu powierzyć rozstrzygnięciu broni; czy w tem wypadku wszyscy oficerowie chcą wytrwać w dalszym boju, gdy im rząd zostawi do woli, wystąpić ze służby, jeżeli nie podzielają przekonania rządu?“

Na to zrobiłem uwagę wice-prezydentowi, że takie zapytanie może cały korpus oficerów zdemoralizować, mianowicie teraz, gdzie jest tak wiele przyczyn do złamania ducha armji, i byłoby w tych warunkach właściwiej, wydać rozkazy z silną i rozkazującą wolą, aby niedać upaść zapałowi tej armji.

Odpowiedział mi, że zapytania tego chce użyć jako środek, do pozbycia się niektórych wyższych oficerów chłodnego ducha, ponieważ przewiduje, że niektórzy z nich będą odradzać dalszego prowadzenia wojny. Zapytanie pozostało, i nie omieszkało wywrzeć jak to przewidywałem nieszczęsnego skutku. Jeden z wyższych oficerów

robił nawet zarzuty rządowi podczas wyboru, jak mógł z takiem pytaniem odezwać się do towarzyszy, gdy powinien przewidzieć, że duch armji w tak świętym boju, pod żadnym warunkiem nie może upaść.

Rybiński został obrany naczelnym wodzem, ponieważ otrzymał najwięcej głosów; lecz, chociaż to był bardzo uzdolniony oficer, z powodu jednak swej łagodności charakteru, nie mógł usunąć następstw błędów, ani się też oprzeć podszeptom do wznowienia układów. Armja napróżno oczekiwała rozkazów do działań wojennych; wydanie niewolników moskiewskich oddziaływało boleśnie, ponieważ przypuszczano uwolnienie w zamian naszych, co jednak nie nastąpiło; a nie prawidłowe zapytanie dane oficerom wyższym podczas wyboru naczelnego wodza dostarczyło znowu materjału do rozmów tym oficerom, których powinnością jest słuchać, a co się stało następstwem do osłabienia wojskowego posłuszeństwa.

Zapytanie przezemnie przytoczone, spowodowało wieść, że daje się oficerom pozwolenie brania dymisji; a chociaż z tego pozwolenia dotąd żaden nie skorzystał, to jednakowoż zmniejszyło się zaufanie armji co do woli i środków zaradczych rządu.

Wszystko to rodziło wielu niechętnych w armji i pomiędzy posłami, jakoteż pomiędzy osobami prywatnemi które przybyły z Warszawy do Modlina, i wystarczało aby mniej cnotliwą i bitną armję zupełnie na duchu osłabić. Dodajmy, że przy tak posuniętej porze roku, dawał się już czuć brak płaszczy i obuwia, a powszechnie było wiadomem, że tysiące tychże, w magazynach Warszawy pozostało.

Najwięcej jednak bolało wszystkich, że w układach z Paszkiewiczem, miano tylko na oku polską armią i królestwo polskie, a nie wspomniano nawet o prowincjach do Polski przynależnych. Polacy z Królestwa niechcieli się odłączyć od braci z innych prowincyj, z któremi się związali wspólnością sprawy i tak: Litwini, Wołyniacy, Podolanie i Ukraińcy, patrzali z boleścią i rozpaczą, że ich zostawiono na pastwę strasznego losu.

Spojrzyjmy teraz na fortecę. Przedstawiała rzeczywiście szczególny widok. Zamęt najrozmaitszych klas mieszkańców i ludności, która zanadto odbijała od przeznaczenia miejsca, malował najlepiej nasz stan polityczny. Mnóstwo rezonujących oficerów; członkowie izby sejmowej zgromadzeni w domu wojskowym; część warszawskiej gwardji obywatelskiej, która się niechciała odłączyć od wojska, lecz dzieliła jego los, odpoczywając przy ogniskach obozowych; armja na okół fortecy jakby była oblegającą, i setki szpiegów, których Moskale nadesłali, aby weszli z masami, dla których forteca stała otworem.

Forteca niemogła dłużej w takim stanie pozostawać, dlatego też sejm, rząd i wszystkie cywilne osoby, które z Warszawy przybyły, przeniosły siedzibę do Zakroczymia, małego miasteczka niedaleko Modlina, co tem konieczniejszem było, że w tak przepełnionej fortecy artykuły żywności podniosły się o dziesięć razy, a nawet i za tę cenę, nie można było dostać.

Nie mogę tego rozdziału zakończyć aby nieprzytoczyć zdarzenia, które naszym wszystkim kobietom przynosi chwałę. Obok przykładów męzkiej wielkości i błędów, których Modlin był świadkiem, jest miło podnieść piękne czyny drugiego rodzaju: Pomiędzy wielu damami, które się 8go Września z Warszawy wydaliły, znajdowały się dwie w Modlinie wysokiego urodzenia, które majątki i zdrowie poświęciły warszawskim lazaretom; a ponieważ forteca posiadała bardzo mało domów, dostały zaledwie maleńką izdebkę na mieszkanie. Pewnego dnia nad wieczorem, dowiadują się, że nie można znaleźć pomieszkania dla chorego oficera. Bez wahania oddają temuż stancyjkę — a same, przepędzają noc pod gołem niebem. *)

I za takie to, nawet szlachetniejsze i bezliczebne czyny bohaterskie, ściga je rząd graniczący z Królestwem polskiem, chce je obrabować z majątku i karać więzieniem w fortecy.

Tyrani pamiętajcie, że Bóg jest nad wami!

(C. d. n.)

O wzmaganiu się potrzeb

według wykładu prof. Conrada opracował Dr. Edmund Burzyński.

Ocenić należycie teraźniejszość jest może rzeczą najtrudniejszą. Gdy młodość ją przecenia i pod niebiosa wynosi, starość przeciwnie nadto ją lekceważy. Trudność ta jest jeszcze z tego względu większą, iż każden jest tu stroną i sędzią zarazem. A przecież człowiek powinien dążyć nietylko do poznania siebie samego, lecz też i do poznania czasu, w którym żyje.

Powszechną dziś jest skarga, z ust do ust przechodząca, że wymagania nasze i potrzeby ciągle się wzmagają, że nie stoją one w odpowiednim stosunku do dochodów, które znowu w ostatnich mianowicie czasach prędzej się zmniejszają jak zwiększają. Kto tu winien,

*) Były to z Wielkopolski hrabina Cecylja, z Zamojskich Tytusowa Działyńska i Emilja Szczaniecka.

pyta zatrwożone na serjo społeczeństwo. W odpowiedzi na to jeden stan obwinia drugi, starsi młodszych, mężczyźni kobiety, mąż żonę i t. d. Klasa średnia zazdrosnym spogląda okiem na wygodniejsze pomieszkanie, wykwintniejsze ubranie ludzi z klasy wyższej. Gospodyni domu narzeka znowu na coraz większe wymagania sług co do utrzymania, płacy; chęć jednak do pracy i pilność stoi w wręcz odwrotnym stosunku. Ojciec rodziny stroskanym spogląda okiem w przyszłość widząc coraz bardziej wzmagające się potrzeby pod względem mody, chęci użycia, zabaw; troska się wyprawą swych dzieci, bo i tu wymagania stały się większe, wprawdzie nie w skutek podrożenia towarów, lecz że każdy chce zaraz wystąpić i w błyskotliwej szacie okazać się światu. Młody człowiek po długich a mozolnych studjach i przygotowaniach dobiwszy się nareszcie stanowiska w świecie z przerażeniem poznaje, że dochody wystarczą mu zaledwie na opędzenie jego najniezbędniejszych potrzeb a marzenia jego młodzieńcze o zbudowaniu własnego gniazdka z kobietą wolnego wyboru zaledwie się urzeczywistnią.

Gdyby zaś ktoś chciał ograniczyć się do potrzeb najniezbędniejszych, uczynić w zupełności nie będzie to mógł przez wzgląd na stanowisko społeczne, a wzgląd ten nieraz przymusi go do poniesienia częstokroć wydatków, nieprzynoszących najmniejszych ani jemu ani komu innemu korzyści. Spotykamy się niemal na każdym kroku ze zdaniem: Ciężkie czasy! Tak źle nie było jeszcze nigdy! Stoimy nad przepaścią. Ratunek możliwy tylko w usunięciu wszelkiego przepychu. Powróćmy do dawnej prostoty naszych ojców.

Skargom tym słuszności odmówić niepodobna; nie są one jednak wcale nowe. W klasycznej już starożytności przepych z podbiciem Wschodu zaniesiony do Rzymu stał się przyczyną najgłówniejszą upadku światowładnego państwa. Ze skargami podobnemi spotykamy się u schyłku wieków średnich, a w nowszych czasach w każdem stuleciu, w każdym niemal dziesiątku lat występują one na nowo; jest to więc już stara piosnka a pomimo to zawsze jeszcze nowa. W owych już czasach pisano i mówiono o niej wiele, badano przyczyny i podawano środki zaradcze; pomimo to jednak kwestję tę tak żywotną zawsze na nowo badać i rozstrząsać należy.

Stanąć tu musimy przedewszystkiem na stanowisku objektywnem i zastanowić się nad następującemi pytaniami: Czy wzmaganie się potrzeb uważać mamy za rzecz wręcz szkodliwą i naganną, i czy mamy je zwalczać wśród wszelkich okoliczności? Czy dalej nie przyczynia się ono do naszego uszlachetnienia, do uszczęśliwienia nas, jednym słowem czy nie staje się ono ważnym czynnikiem cywilizacji? A w razie, gdybyśmy na te kwestje odpowiedzieli, tak, postawimy znów pytanie: Kiedy takie wzmaganie jest uprawnione, dalej których potrzeb i do jakiej granicy?

Wracając do pierwszego z powyższych pytań: czy wzmaganie się potrzeb uważać mamy za rzecz szkodliwą, odpowiedzieć musimy, że nie, przeciwnie, jest ono pierwszym krokiem narodu na drodze cywilizacji, gdy on rozpoczyna pracę ekonomiczną. Gnuśność i lenistwo jest wrodzone człowiekowi, a tylko potrzeba i to gwałtowna, bezpośrednia skłania człowieka dzikiego w stanie przyrody żyjącego do pracy; głód zmusza go do wyszukania sobie pożywienia; mróz i gorąco do postarania się o odzież i mieszkanie i t. d. Zaspokoiwszy te potrzeby, oddaje się znowu próżnowaniu. Aby go na nowo pobudzić do pracy, trzeba aby większe miał potrzeby, których zaspokojenie sprawiałoby mu większą przyjemność niż jest ta, jaką znajduje w próżnowaniu. Człowiek dziki dopiero wtedy zacznie więcej pracować, gdy pobudzoną w nim zostanie chęć strojniejszego ubrania się, wykwintniejszego jedzenia. Jak długo ludzkość nie poznała odmian w ubraniu się, w potrawach i t. d. jak i ludziom nie nadarzała się sposobność nabycia ozdób, tak długo nie było mowy o jednostajnej i ciągłej pracy, a ludzkość nie mogła się podnieść z najniższych szczebel kultury. Dopiero jak Wschód otworzył nowe wymagania i pokazał ludzkości nowe potrzeby, wtedy dopiero rozpoczęła się właściwa praca cywilizacyjna. Nie potrzebujemy jednak tak daleko sięgać po przykłady. Mamy je i u nas codziennie przed naszemi oczyma. Neapolitański lazaroni, fermer i robotnik w Irlandji lub nasz chłop nie podniesą się wyżej, dopóki nie zaprzestaną dolce far niente cenić wyżej jak życie człowieka godniejsze, jak długo pierwszym miska makaroni lub ziemniaków i kieliszek wódki stanowić będą szczyt szczęśliwości ziemskiej. Wszak i u nas powszechne są narzekania na brak rąk do pracy szczególnie po wsiach, i na gnuśność naszych robotników, szczególnie w lecie i w jesieni, gdy kartofle świeżo wykopane z roli i nieco grosiwa za sprzedane zboże zaspokajają na jakiś czas przynajmniej wszelkie ich potrzeby. Znane są nam jednak wsie, gdzie już potrzeby w odpowiedni podniosły się sposób, gdzie starają się już o wygodniejsze pomieszkanie, o lepszą odzież, o staranniejsze wychowanie dzieci, tam pracują już inaczej, jednostajnie rok cały, a nie czekają, dopóki nie zjedzą ostatniej kartofli i nie przepiją ostatniego centa.

Wzmaganie więc potrzeb dopiero zwalczyć jest w stanie gnuśność i próżniactwo. Powiedzieć możemy, że człowiek nie pracuje dla pracy, lecz dla wynagrodzenia, które znowu umożliwić mu ma zaspokojenie jakiej potrzeby. Te muszą przeto wzmagać się, jeżeli chęć do pracy ma pozostać na nowo pobudzoną.

Uszlachetniający człowieka wpływ pracy występuje bardziej na jaw, gdy doń przyłączy się staranie o przyszłość

dla siebie i swoich, gdy za jej pomocą człowiek starać się pocznie o zaspokojenie wyższych, duchowych potrzeb. Praca sama przybierać poczyna wtedy znamię wyższe, duchowe, nakłania do badania, do poznania przyrody i sił w niej działających, tak użytecznych, jak szkodliwych, pobudza do wynalazków i tym sposobem toruje drogę do rozwoju duchowego. Z tego zapatrując się stanowiska wzmaganie się potrzeb nie jest nagannem, jest przeciwnie warunkiem najgłówniejszym wszelkiego rozwoju.

Tu jednak poczyna się otwierać owa puszka Pandory, z której wylatuje wszystko złe na świat. Potrzeby wzmagają się nie proporcjonalnie a żądze używania opanowują człowieka. Człowiek jak z jednej strony posiada zdolności robienia wynalazków i tworzenia różnych potrzeb życia codziennego, tak z drugiej strony w wysokim posiada stopniu skłonność przyswajania sobie coraz to nowych potrzeb. Każden z pewnością doświadczył nieraz już tej prawdy na sobie samym. Spostrzegł, jak powstawała w nim chęć użycia tego lub owego; jak to, cośmy nieraz tylko przez krótki czas używali, przeszło w przyzwyczajenie, jak potem przykro mu było, gdy nie mógł tych nowych zaspokoić potrzeb. Gdy nie jesteśmy w stanie owych podniesionych zaspokoić wymagań, możemy utracić wewnętrzne zadowolenie i całe nasze szczęście.

Przed podobnem niebezpieczeństwem stoi nietylko pojedyńczy człowiek, lecz całe klasy społeczne i narody. Wzmaganie się potrzeb tylko pod pewnemi warunkami działa zbawiennie. Gdy praca najusilniejsza nie wystarcza na zaspokojenie podniesionych potrzeb, stają się one nieszczęściem dla człowieka a nie szczęściem. Jeżeli człowiek swej pracy odpowiednio spieniężyć nie jest w stanie, stanowi to tylko dowód, że stosunki jeszcze nie uformowały się należycie i odpowiednio do wymagań cywilizacyjnych. To dalej naprowadzi nas do wniosku, iż w krajach wysoko w cywilizacji posuniętych wymagania i potrzeby są uprawnione, a te same w krajach biedniejszych naganne; że Anglik i Francuz może mieć większe wymagania i potrzeby od Niemców, a Niemcy znowu więcej mogą sobie pozwolić jak my Polacy i t. d.

Jak się samo przez się rozumie, bogatszy może mieć daleko więcej potrzeb; gdyby je miał biedniejszy, byłyby one dla niego największem nieszczęściem. Z drugiej strony widzimy, że z postępem dobrobytu i rozwoju cywilizacyjnego podnoszą się też potrzeby. Są one nawet zupełnie uprawnione, jeżeli tylko nie zaspakajamy je ze szkodą innych, ważniejszych. Szklanka piwa, lub wina, wykwintniejsze ubranie nie są to wydatki szkodliwe, mogą być nawet odpowiednie lub obojętne. Jeżeli jednak wydatki te czynimy z ujmą pożywienia, są one wręcz szkodliwe.

Uwzględnić tu dalej należy, czy człowiek, klasa społeczna lub wreszcie cały naród jest już przygotowanym i uzdolnionym do należytego użycia tego, co wymaga? Tkwi bowiem w ludzkiej naturze, że to, czego nie mamy, że owoc zakazany ma podwójny urok: spostrzegamy to zwłaszcza u dzieci, u niewykształconych a najbardziej u ludzi na pół ucywilizowanych. Jak dziecko gwałtownie napiera się, by mu podano szklankę z winem kwaśnym, a gdy otrzymawszy, zostaje rozczarowane, mniemają często ludzie, iż byliby zupełnie szczęśliwi, gdyby tylko otrzymali to, co inni posiadają, nie pomni, że najwyższe szczęście znaleść tylko mogą wewnątrz siebie samych.

Z tego cośmy tu wypowiedzieli, wynika, że czem bardziej wzmaga się cywilizacja, tem też bardziej uprawnionem się staje i wzmaganie naszych potrzeb, o ile zaspokojenie ich nie czyni ujmy innym ważniejszym. Tego zdania jednak nie należy także brać bezwzględnie, lecz odnośnie do indywiduów, klas społecznych i narodów. Że rzecz się tak ma istotnie, wyobraźmy sobie np. iż jeden z naszych przodków, który żył przed kilkuset laty, powstał nagle z grobu i oglądnął się po świecie; wymagania nasze i potrzeby jakby go niepomiernie zdziwiły. Jakby się zdziwił, że nie wspomnę tu o kolejach, telegrafach, pocztach, stojących na usługi najbiedniejszego, gdyby zobaczył gazowe oświetlenie, wybrukowane ulice; nie nazwałby nasze żądania co do porządku i komfortu w mieście za nieusprawiedliwione?

Jeszcze w połowie 15 wieku damy dworskie zazdrościły królowej francuskiej, iż posiadała więcej jak dwie koszul płóciennych, a i w sto lat jeszcze później księżniczki obdarzały książąt koszulami, uchodzącemi za dar najkosztowniejszy. W 16 i 17 stuleciu karcono publicznie w Anglji i Niemczech szlachtę za jeżdżenie powozami, co właśnie w owym czasie w modę wchodzić poczynało. I dziś naprzykład w Anglji chleb pszenny, bułka i mięso należą do potrzeb życia codziennego, nie odmawiają tego nawet żebrakom i więźniom; u nas u większej części naszej ludności uważalibyśmy to za wymagania nieusprawiedliwione i nieuprawnione.

Cały więc obszar życia cywilizacyjnego przynosi ze sobą, czy pewne nasze wymagania są uprawnione lub nie. Przyzwyczajenie wyciska swe piętno na czasie. Ze zmianą stosunków zmieniają się też i nasze potrzeby i wymagania, z czego znów powstają różnorodne nieporozumienia i częstokroć nieusprawiedliwione skargi. Starsi nie mogą się oswoić z teraźniejszością, odrzucają to jako naganne, co młodsi od nich uważają za rzecz dla nich nieodzowną.

Kto w nędznej wychowany lepiance, uważać będzie za wytworne mieszkanie człowieka w średnich wychowanego warunkach, dla tego ostatniego jednak będzie ono warunkiem nieodzownym życia i działalności; wśród innych działać warunków przyszło by mu z trudnością tylko. Zdrów nie potrzebuje cieplejszego odzienia, posilającego

napoju, co dla chorego kwestją życia. Rzemieślnik obędzie się bez książki, uczony nie.

Tu też będzie na miejscu wystąpić przeciw dość rozpowszechnionemu zdaniu na obronę przepychu. Przepych, mówią bogatsi zwłaszcza, jest i z tego względu potrzebnym i koniecznym, gdyż on przyspiesza obrót pieniężny i robotnikom daje utrzymanie. Zdanie to choć często się z niem spotykamy jest wręcz nie słuszne.

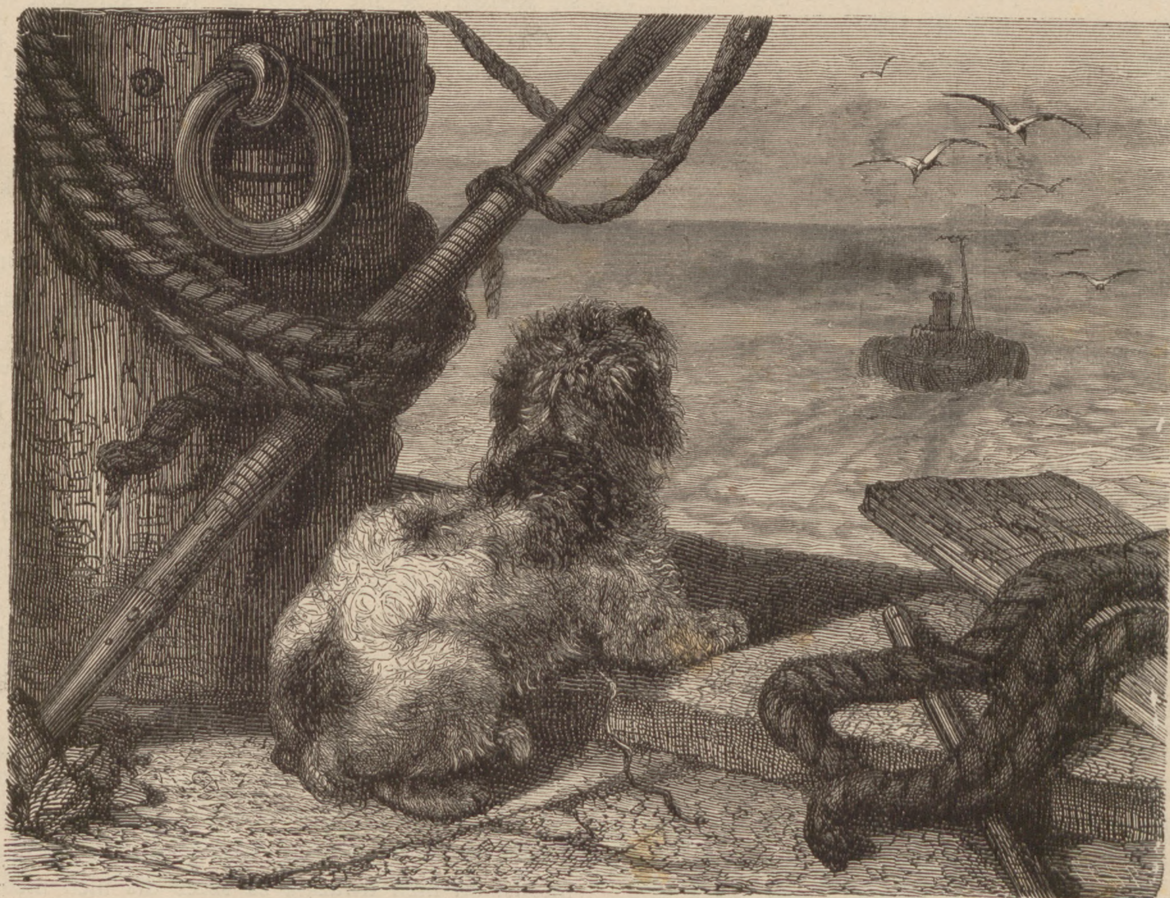
W naszych bowiem czasach nikt nie pozwala bezczynnie leżeć zaoszczędzonemu grosiwu, lecz puszcza w kurs między ludzi biorąc albo sam udział bezpośredni w produkcji, albo tylko pośredni przez pożyczki, złożenie w bankach, zakupywanie akcyi. Gdyby najbogatszy człowiek 100.000 guld. na przepychu zaoszczędził, suma ta dla gospodarstwa narodowego nieprzepadłaby, lecz pod postacią akcji, pożyczek hipotecznych przyszłaby w pomoc budowie kolei, zakładaniu nowych fabryk, i t. d. Przesadny przepych pod względem ekonomii społecznej uważać możemy za szkodliwy, szkodzi on tylko, a nie wzbogaca, więzi kapitał i prace w przemyśle, na wątłych stojącym postawach, kapitał ten i ta praca gdzieindziej mogłyby być daleko korzystniej użyte.

Życzyć więc niemamy sobie wcale pomnożenia wydatków na rzeczy do przepychu służące. Cesarzowa Eugenja chcąc podnieść przemysł jedwabniczy zmuszała damy dworskie okazywać się zawsze w nowej sukni jedwabnej. Popełniała ona pod względem ekonomii społecznej taką samą niedorzeczność, jak ów król angielski, któren chcąc podnieść przemysł wełniany, rozkazał, by umarłych w wełnianych tylko chowano sukniach.

(C. d. n.)

PIES NA WYBRZEŻU.

(Z ILUSTRACJĄ.)



Sam został. Okręt w oddal uniosły bałwany
On został opuszczony — czy też zapomniany.
Długo czekał — z wybrzeża goniąc okręt okiem,
Który stopniowo stawał się łódką, obłokiem,
I wreszcie albatrosem śnieżystym na fali,
Aż jak punkcik utonął w nieprzejrzanej dali.

On wciąż czekał, w nadziei, że go w ślad za sobą
Zawoła pan — jak zwykł był wołać dawną dobą;
I gotów był — na dźwięk ten tak dobrze mu znany,
Skoczyć z brzega, w tej wielkiej wody szumne piany
Pruć wierną piersią fale — ile sił mu stanie
I dobić się do pana swego przez otchłanie —

Chociażby u stóp jego miał wyzionąć ducha;
Lecz głos ten go nie wołał — cisza w koło głucha!
Został więc — bo był równie posłuszny — jak wierny...
Aż kiedy okręt stopniał w przestrzeni niezmiernej,
Dzieląc go z jego panem już na całe życie,
Z piersi psa boleść takie wydarła zawycie,
Przy którym jęk by ludzki wydał się kwileniem!..
I odtąd złote słońce mieniało się z cieniem
Trzy razy — a pies wołał swego pana, drucha
Aż w ostatniem zawyciu oddał wreszcie ducha.
Bóg wie, co się w tem wielkiem, w tem psiem sercu działo,
Nim wreszcie z wysilenia, z żalu bić przestało...
Lecz kto raz w życiu słyszał — to wycie rozpaczy
Psa za panem, którego nigdy nie zobaczy,
Za trumną, lub na grobie, lub na brzegu morza,
Gdy okręt go niosący niknie wśród przestworza;
Ten przyzna — chociaż mędrzec ramionami wzrusza —
Że w tych psich piersiach mieszkać musi jakaś dusza!...
Że trzeba dziś wierności, poświęcenia, cnoty
U psów szukać — bo ludzie pilnie z nich się leczą,
Że niewdzięczność, brak serca, czysto ludzką rzeczą,
A wyłącznie psią — kochać i skonać z tęsknoty!..

. . . .

Lubię w metapsychozę jeszcze wierzyć czasem,
Gdy spotkam podobnego człowieka do zwierza,
Lub kiedy mnie coś w zwierzu ludzkiego uderza;
I jak odczuwam w psie tym — który z żalu pada
Za druchem — Orestesa ducha lub Pylada,
Jak odkrywam, spotkawszy się z pewnym krytykiem,
Który tnąc kłem na ślepo, ściga mnie z hałasem,
Rażące w nim krewieństwo, — z Meleagru dzikiem.

Wł. Ordon.

Lwów 20. czerwca 1878.

POGADANKA.

(Wpływ kanikuły na pogadankarza. — Nekrolog Słowa. — Wiec żydowski. — Nowa Izba handlowa lwowska, i jej czynność. — Kątski w Paryżu. — Nowa kompozycja p. Wilhelma Czerwińskiego. — Popis uczniów szkoły gal. tow. muz. i popis uczennic szkoły śpiewu pani Praun. — Wystawa sztuk pięknych we Lwowie. — Album przemyskie p. Edwarda Trzemeskiego. — Sprawy teatralne. — Dramatyczny konkurs krakowski. — Przyjazd Rossi'ego do Lwowa.) —

Miałem dziś szaloną ochotę nie pisać pogadanki, — to zaś wcale nie z braku tematów, broń Boże, teka moja bowiem nigdy bogatszą nie była, a niżeli dzisiaj, ale raczej, wyznam to otwarcie z powodu lenistwa, które mnie zawsze owłada, ilekroć — mówiąc językiem Kochanowskiego — „słońce raka dogrzewa“ a kłębiące się na ulicach naszego miasta tumany prochu przypomną mi marność i znikomość wszystkiego co ludzkie i ziemskie... Trudnoż bo i pisać o takiej porze, a zwłaszcza we Lwowie, który wtedy przedstawia obraz jakiejś stroskanej Sahary... Odbite od kamienic promienie słoneczne napełniają powietrze nieznośną dusznością, która ubezwładniając ciało do skrzydeł myśli ołowiane przyczepia brzemiona... Wyobraźni tęczowem skrzydłem w niebo lecącej przypomina Pełtew wonią swoją prozę życia, a hulający po brukach wiatr posypuje zbyt odważnemu przechodniowi prochem skroń uznojoną, szepcząc mu złowrogo do ucha: „Pamiętaj, iżeś jest prochem, i że się nazad w proch obrócisz!...“

Nic więc dziwnego że pod wpływem takich wrażeń sługa Wasz, kochani czytelnicy, obojętnym i nieczułym stać się musiał na wszystko, co go otacza tak jak trapista albo kameduła... Spojrzał na adres podpisywany obecnie w kawiarniach, a mający domagać się postawienia sprawy polskiej na porządku obrad kongresu, i powiedział: Marność!... Powiódł okiem po dziennikach, a rozpatrzywszy się w ich programach, zawołał: Znikomość!... Ujrzał pp. Koszczyca i Kopca rozpromienionych światłokręgami, któremi powieściarskie ich zdolności otoczył Ruch literacki i westchnął „Bracia! trzeba umierać, albowiem sława wasza czczym tylko jest dymem, a wszelka praca wasza jest tylko makulaturą!..“

Tak więc zniechęcony do wszystkiego co ziemskie i ludzkie zamyślałem nie pisać już pogadanek, zwątpiwszy bym się niemi kiedykolwiek dobił sławy, gdy w tem chmury pokryły niebo, i deszcz zrosił rozpieczone bruki, orzeźwiając mi znużone myśli, i budząc mi ducha z otrętwienia. Czuję się znowu dość silnym, by wam powiedzieć owe trzy rzeczy do rzeczy, a trzy niedorzeczy, które zwykle treść i rdzeń niniejszych pogadanek stanowią, i macte animo przystępuję do przeglądu mej nowiniarskiej teki.

Pochowajmyż najsamprzód godziwie umarłych, i niech Bóg raczy dać wieczny odpoczynek ruskiemu Słowu, które po długiej walce z uczciwością, zdrowym rozsądkiem, prawdą, i gramatyką usnęło nakoniec w błagotworytelnym rublu i knucie, w skutek zatrzymania subwencji z funduszów słowiańskiego komitetu... Ach, czyjeż serce nie zasmuci się tą wieścią?... czyjaż dusza nie rozkwili się współczuciem dla... Szczutka, którego współpracownicy Wielebny Otec Makutra, i Porfiry Łyzunowycz tak srodze dotknięci zostali tą boleśną stratą!?... I pomyśleć iż zawieruszenie się kilku bomażek przeznaczonych na podtrzymywanie tego znicza halicko-ruskiego idjotyzmu, a przez przyjaciół nad Newą obróconych na szampan

i faraona stało się przyczyną tej katastrofy; — rzeczywiście to rzecz okropna!.. Lecz dajmy pokój tym melancholijnym akafistom! *Requiescat in pace!..* Cokolwiekbądź niespodziewaną to jest rzeczą, że *korennost* naszych „ruskich“ utonęła w szampanie, a nie w czem innem!... Mówię *korenność* naszych „ruskich“, bo co do nich to możemy być pewni, iż nigdy nie utoną!...

Zwołany przez żydowskie stowarzyszenie *Szomer Israel* wiec żydowski rozpoczął dnia 19. b. m. swoje obrady, których przedmiotem i celem jest utworzenie stałej reprezentacji ludności żydowskiej, na wzór tego co już w krajach sąsiednich istnieje,— dalej ułożenie statutu mającego być wzorem dla wszystkich gmin żydowskich, — rewindykacja t. z. funduszu żydowskich szkół normalnych, złożonego w c. k. namiestnictwie z zastrzeżeniem, iż takowy wydanym zostanie pod zarząd własny reprezentacji starozakonnej ludności w razie ukonstytuowania się takowej — nakoniec ewentualne urządzenie szkoły kandydatów do rabinatu, celem humanitarnego, i wymogom postępu odpowiedniego wykształcenia rabinów. W skutek wprowadzenia w życie ostatniego z tych projektów, uniklyby gminy trudnego wyboru pomiędzy powoływaniem na rabinów ludzi niewykształconych i zacofanych, a sprowadzaniem kandydatów z zagranicy, nie władających językiem krajowym, a może nawet wrogich krajowi. Z przyjemnością tu przeto skonstatować należy, iż przewodnicy obozu żydowskiego poczynają zwracać działalność swoją ku polepszeniu stosunków wewnętrznych, starając się usunąć za pomocą reform ciemnotę, ogarniającą niższe warstwy starozakonnej ludności, i życzyć im szczerze wypada, by tego celu dopięli...

Atoli jeżeli ostatniemu z tych dążeń najserdeczniej przyklasnąć należy, to trudno zgodzić się na pierwsze trzy punkta tego programu, które widocznie pokazują, iż Żydzi nasi ciągle marzą o jakiemś odrębnem politycznem stanowisku w naszem społeczeństwie; pierwszy punkt bowiem dąży do tego najwyraźniej, podczas gdy następne marzą o niczem innem jak tylko o wprowadzeniu w życie jakiegoś Żydowskiego wydziału krajowego, jakiejś żydowskiej Rady szkolnej, a poprostu do zamachu na nasze autonomiczne instytucje tyloma ofiarami okupione.

Obok tego faktu zanotować mi przypada tutaj drugi bardziej pomyślny, aczkolwiek trochę dawniejszy, — mianowicie niesposób mi pominąć tu milczeniem szczęśliwege rezultatu wyborów do lwowskiej Izby handlowej, które do tego ciała żywioł narodowy w znacznej większości wprowadziły.— Pierwszą czynnością nowej Izby było zaprowadzenie mowy polskiej jako języka urzędowego, w miejsce mowy niemieckiej w której dotychczas wszystkie akta były redagowane, — drugą była uchwała, mocą której Izba postanowiła wysłać swoim kosztem na tegoroczną wystawę paryzką kilku niezamożnych, a odpowiednio wykształconych członków stanu kupieckiego i przemysłowego, tudzież osoby, które z powołania swego celom tych zawodów służą, lub się dla tych zawodów kształcą. W tym też celu ustanowiono stypendja po 200, 250, i 300 zlr. w. a. Wysłani stypendyści obowiązani są przybywać najmniej 14 dni w Paryżu, przez ten czas pilnie zwiedzać wystawę, i o ile to być może warsztaty przemysłowe ich zawodu a po powrocie do kraju według możności przedłożyć Izbie handlowej i przemysłowej sprawozdanie z poczynionych na wystawie spostrzeżeń.

A propos wystawy, a właściwie Paryża, nie podobna tu przemilczeć wzmianki o powodzeniu, którego w nadsekwańskim grodzie doznaje bawiący tam obecnie ziomek nasz p. Antoni Kątski. Dzienniki paryskie zamieszczają nader pochlebne sprawozdania o koncertach tego artysty, — między innemi zaś poświęca mu poważny Art Musical osobny artykuł oddając wielkie pochwały trzem fragmentom z mszy, napisanej przez Kątskiego i ofiarowanej królowej Izabelli. „Siła i werwa — powiada korespondent — oraz wzorowa poprawność gry, owe przymioty rzadkie i cenne, są udziałem tego dzielnego fortepianisty.“ Trjumfy te nie są zresztą dla p. Kątskiego nowością, jak bowiem wiadomo zdobył on sobie grą swoją w Paryżu już przed laty bujne wawrzyny, a każdorazowy koncert jego w nadsekwańskim grodzie z równym bywa witany zapałem.

Ulubiony kompozytor nasz, p. Wilhelm Czerwiński wydał obecnie trzy nowe pieśni na sopran lub tenor p. n. „Piosnka jesienna,“ „Z Serbska“ i „Cyt słowiczku“ z tekstem polskim i niemieckim. Jak wszystkie kompozycje p. Czerwińskiego, tak i te pieśni odznaczają się melodyjnością, i pięknym akompanjamentem. „Są to — powiada sprawozdawca, z którego zapisek wzmiankę tę czerpię — prawdziwe perełki naszej salonowej muzyki, i sumiennie polecamy je naszym muzykalnym czytelnikom.“

Jak w latach ubiegłych tak i tego roku musieli uczniowie i uczennice szkoły galicyjskiego towarzystwa muzycznego zdawać przed szerszą publicznością niejako egzamin ze swej całorocznej pracy. Udział publiczności na tych popisach bywa zazwyczaj bardzo wielki. Tegoroczne popisy, które trwały przez trzy dni rano i po południu, odbywały się w sali „Domu narodnego,“ gdzie się Towarzystwo od niedawna przeniosło. W tegorocznym popisie wiódł prym liczebnie fortepian, wedle programu bowiem miało się popisywać 72 uczennic celniejszych. Wiadomo że „nauka fortepianu“ dzieli się w szkole gal. tow. muzycznego na kurs wyższy i niższy, z których pierwszy z dwoch klas się składa. W kursie niższym, gdzie z powodu wielkiej liczby uczniów zaprowadzono pięć klas paralelnych, uczą pp. Sierosławski, Kozłowski, Słomkowski, Ostrowski i p. Ostrowska— w kursie wyższym udziela nauk sam p. dyrektor Mikuli. Owoż więc wykazał popis tegoroczny dowodnie co znaczy dobre i jednolite prowadzenie szkoły, — i śmiało powiedzieć można twierdząc to na podstawie osiągniętych rezultatów, że szkoła gal. tow. muz. pod kierunkiem dyrektora Mikulego wytrzyma porównanie z najlepszemi tego rodzaju zagranicznemi zakładami.

W szkole skrzypców (prof. Bruckmann) zachwyciła i prawdziwy podziw wywołała gra młodego Zacha, który się dopiero dziewięć miesięcy uczy, a który wykonał adagio i finale koncertu Rodego z taką czystością, i artystyczną precyzją, iż nikt nie chciał wierzyć zapewnieniom, że wprawa i biegłość grającego jest wynikiem pracy zaledwo kilkomiesięcznej.

Teorja muzyki wykładaną była bieżącego roku w trzech działach. Nauki harmonji w kursie niższym udzielał p. Słomkowski, — kurs kontrapunktu i t. zw. nauczycielski wykładał dyrektor Mikuli, — śpiewu uczyła p. Wygrzywalska i p. Sierosławski, — gry na organach p. Szwarc. Zamykając to pobieżne sprawozdanie, nadmienić jeszcze należy, iż we wszystkich dzia-

łach pobierało naukę około 300 uczniów bądź to za opłatą, bądź też bezpłatnie. Do ostatnich należą przeważnie poleceni przez lwowską radę miejską, która za to subwencjonuje towarzystwo.

Obok popisu uczniów gal. tow. muzycznego należy się także wzmianka popisowi uczennic nauczycielki śpiewu, pani Marji Praun, który dnia 21. czerwca w sali ratuszowej liczną zgromadził publiczność. Pani Praun liczy dość wielki zastęp uczennic, między któremi kilka posiada głos bardzo piękny. Tak śpiewy solowe, jak i chóry poszły na tym popisie bardzo gładko, zauważono tylko z przykrością, że w szkole p. Praun kwitnie kult języka niemieckiego, w którym odśpiewano największą część arji, a pomiędzy niemi i takie, które już od dawna na język polski przełożono.

Jak się z ogłoszenia lwow. Tow. przyjaciół sztuk pięknych dowiadujemy, zostanie tegoroczna (IX z kolei) wystawa dzieł sztuki otwartą 1. września br. Podając to do publicznej wiadomości zaprasza Tow. art. do jak najliczniejszego udziału w rzeczonej wystawie, oznaczając 25. sierpnia jako ostateczny termin do nadsyłania przesyłek i powiadamiając zarazem interesowanych, iż względem pozyskania obniżeń na kolejach poczyniono odpowiednie kroki. Bacząc na wzmagające się z każdym rokiem powodzenie wystaw lwowskich spodziewać się można, że i tegoroczna uda się pomyślnie, jakkolwiek z powodu trwającej jeszcze podówczas wystawy paryskiej nie będziemy mogli oglądać we Lwowie licznych arcydzieł polskiego pendzla wysłanych na turniej międzynarodowej sztuki.

Do szeregu albumowych publikacji, o których w ostatniej wspomniałem pogadance, przybywa obecnie nowa, zamierzona, i już nawet po części uskuteczniona przez znanego tutejszego fotografa p. Edwarda Trzemeskiego. Jest nią wspaniałe „Album podhorzeckie“, składające się z około dwudziestu przepysznych fotografii przedstawiających oprócz widoków zamku i kościoła w Podhorcach, widoki sal i komnat dawnej siedziby Koniecpolskich i Rzewuskich wraz z nagromadzonemi tamże archeologicznemi zabytkami i pamiątkami po królu Janie III. Pomysł tej publikacji czyni chlubę p. Trzemeskiemu, artystyczne zaś wykończenie tego dzieła nie mało przynosi zaszczytu jego pracowni, — nie wątpię też wcale, iż „Album podhorzeckie“ znajdzie u publiczności naszej zasłużone powodzenie, zwłaszcza jeżeli p. Trzemeski uzupełni je, tak jak zamierza, opisem podhorzeckiego zamku, i znajdujących się w nim zabytków, który to opis dopiero artystycznej publikacji tej może nadać wartość wszechstronną.

Z wiadomości teatralnych zanotować mi tu wypada ciągłe powodzenie tenora naszego p. Zakrzewskiego, którego śpiewowi prasa warszawska gorących nie szczędzi pochwał, — tudzież uporne milczenie warszawskich dzienników o trupie p. Terenkoczego występującej w tamtejszem Eldorado. Pomyślniej daleko od swych kolegów nad brzegami Wisły goszczących rozwija działalność swoją część artystów sceny naszej we Lwowie pozostałych, gorącym udziałem publiczności wspierana. Mianowicie napełniły przedstawienia Kapelusza słomkowego pięcio aktowej krotochwili pp. Labiche i Delacour, tudzież Ultima pięcio aktowej komedji Mosera, teatr tłumami publiczności, ciekawej wielce tych dwóch nowych nabytków naszego repertoarza. Przedstawienia obydwu tych sztuk powiodły się znakomicie, szczególniej zaś podobał się Kapelusz słomkowy, farsa pełna szalonej pustoty, i kipiącego humoru, którą artyści nasi odegrali z starannością i wykończeniem, zaszczyt obecnej reżyserji przynoszącem. Niemniej szczęśliwie pod względem gry, choć mniej szczęśliwie może pod względem kasy wypadło przedstawienie na dochód budowy kopca Unji lubelskiej, na który to piękny cel odegrali artyści nasi sztukę Korzeniowskiego p. t. „Żydzi“ jeden z najcelniejszych utworów tego autora, która to sztuka już to z powodu sympatycznego celu tego przedstawienia, już z powodu wybornej gry naszych artystów, już wreszcie z powodu ciągle jeszcze na porządku dziennym będącej, a w nową obecnie fazę wchodzącej kwestji żydowskiej powinnaby była w sali teatralnej liczniejszy daleko zgromadzić zastęp publiczności. Cokolwiekbądź teatr był średnio pełnym, przedstawienie nader starannem, a gra artystów zasłużyła na szczere oklaski, których im wcale nie szczędzono.

Bawiący obecnie w Paryżu pan Stanisław Dobrzański nabył tam już kilka najcelniejszych nowych utworów grywanych z wielkiem powodzeniem na scenach paryskich w ostatniem czasie. Między innemi nabytkami znajdują się „*Les bourgeois de Pont d' Arcis*“ Wiktora Sardou, i „*Fourchambeault*“ Augiera, które tyle w swym czasie narobiły hałasu.

Dnia 18. czerwca odbyło się ostatnie posiedzenie komisji krakowskiego dramatycznego konkursu, którego wynik wcale nie jest szczęśliwym, nagroda bowiem 500 guldenów za najlepszą sztukę ludową, jak to opiewały warunki konkursu, nie została przyznaną żadnemu z nadesłanych utworów. W skutek uchwały komisji zaleconym został do grania 4-aktowy obraz dramatyczny ludowy p. t. „Uroki“ pod warunkiem, że sztuka ta zostanie znacznie skróconą, i że nadaną jej będzie forma wodewilowa. Po odpieczętowaniu koperty okazało się że autorem „Uroków“ jest zamieszkały w Krakowie p. Julian Lętowski. Uchwaliwszy, iż w tym roku nie będzie zdawać szczegółowego sprawozdania z konkursu, oznaczyła komisja warunki konkursu na rok 1879 przeznaczając jako nagrodę pozostałe 500 guldenów. Warunki te opiewają: 1) Nagrodę 500 złr. w. a. otrzyma najlepsza bez względu na jej rodzaj sztuka zapełniająca cały wieczór i mająca najmniej 3 akta. 2) Komisja orzecze, które sztuki z nadesłanych winne być polecone do grania, a te otrzymają 10% tantiemy, jeżeli się na to zgodzi autor. 3) Nadsyłać należy sztuki pod adresem „Dyrekcja teatru krakowskiego“ aż do 1. marca r. 1879. 4) Rękopisma nieczytelne nie będą uwzględnione, — z czego wynika że konkurs dramatyczny krakowski jest zarazem i kaligraficznym konkursem. —

Odkładając dla braku miejsca wiadomości ze świata literackiego do przyszłej pogadanki, niesposób mi zakończyć sprawozdania z nowin teatralnych lepiej jak wiadomością, o gotującej się dla Lwowa artystycznej biesiadzie. Mam tu na myśli zapowiedziany na lipiec przyjazd goszczącego obecnie z swem towarzystwem w Warszawie Rossi'ego, — wiadomość dla miłośników teatru z pewnością nadzwyczaj przyjemna, jak bowiem wiadomo, stanowi Rossi wraz z Irving'em i Salvionim trójcę największych współczesnych mistrzów dramatycznej sztuki.

Włodź. Zagórski.

POKŁOSIE.

Pozorna śmierć. Zdawałoby się, że przy dzisiejszym znakomitym rozwoju sztuki lekarskiej nie powinienby już letarg żadnego lekarza w błąd wprowadzać; a przecież zdarzają się ciągle jeszcze wypadki, na których utyka umiejętność Eskulapa. Oto co się wydarzyło pewnemu sierzantowi francuskiemu podczas ostatniej kampanji francuzko-pruskiej: „Stałem — opowiada on — załogą w Rouen, gdy mię doszła smutna wiadomość o śmiertelnej chorobie matki. Kochałem matkę bardzo i serce rwało się do niej; ale mieliśmy wkrótce wyruszyć w pole, i niepodobna było przeto otrzymać urlopu. Popadłem w grubą melancholję, straciłem sen i apetyt, i musiano mnie w końcu oddać do szpitalu. Pewnego dnia otrzymałem znowu list z miejsca rodzinnego: matka moja umierała i pragnęła mię raz jeszcze widzieć. W rozpaczy porwałem się na łóżku i krzyknąłem:

„Moje suknie, moje suknie! Muszę jechać do matki!“

Dozorcy myśleli, że jestem w malignie, i przytrzymali mnie na łóżku; w kilka minut później nadszedł lekarz. W tej chwili zaszła straszliwa zmiana we mnie. Śmiertelny pot wystąpił mi na czoło, członki moje skostniały, mgłą zaszły oczy a usta zacisnęły się konwulsyjnie. Lekarz przystąpił do mego łóżka, obmacał mnie i rzekł potem głosem, którego nigdy nie zapomnę:

„Ten człowiek już nie żyje; wynieść go do trupiarni“.

W izbie, do której mnie zaniesiono, widziałem wyraźnie, że w pobliżu mojego łoża znajdowała się maszyna elektryczna. Na dworze srożyła się okropna burza. Dwóch mężczyzn weszło do trupiarni.

„Dajmy pokój temu — rzekł jeden z nich, — tu trup leży.“

„Nie — odparł drugi; — burze są tak rzadkie o tej porze roku, korzystajmy z chwili.“

I wnet posłyszałem trzaskanie iskier elektrycznych. Błyskawica przemknęła przed memi oczyma, i poczułem jakby ostrze sztyletu na mojej piersi.

„Szczególna rzecz! — zawołał jeden z nieznajomych; — zdawało mi się, jakoby trup zadrgnął.“

Maszyna robiła dalej; znowu ujrzałem błyskawicę, znowu uczułem ból w piersiach; zdawało mi się, że mi serce pęknie: — próbowałem odetchnąć i kryknąłem głośno. Obaj lekarze przypadli do mnie, i zostałem ocalony.“

Palcata rodzina. Dla badaczów natury będzie zapewne ciekawem — jako dodatek do teorji Darwina — następujące doniesienie pana Lendlen, weterynarza w Arras: W mieście naszem — pisze on — żyje rodzina nazwiskiem Gameton, w której już przez kilka generacyj powtarza się fenomen nadliczbowych palców u rąk albo u nóg. Praszczur tej familji miał u każdej ręki i nogi po dwa duże palce. Były one aż do ostatniego składu zrośnięte; ostatni wstaw był wolny, i każdy miał swój paznogieć. U syna jego, pradziadka rodziny, były ręce i nogi regularnie zbudowane. Ale syn tegoż, to jest dziadek familji; miał znowu u każdej nogi po dwa aż do góry zrośnięte duże palce o dwóch paznogciach. Duże palce u rąk były pojedyńcze; ale za to były u każdej ręki palce środkowe i serdeczne zrośnięte aż do najwyższych wstawów, gdzie rozłączały się i miały każdy swój paznogieć. Syn tego, ojciec Gamelon, ma znowu, jak praszczur jego, u rąk i nóg podwójnie duże palce. Jest on kościsty i silnie zbudowany, równie jak jego żona, będąca w równym wieku z nim. Z tego małżeństwa urodziło się sześcioro bardzo ładnych dzieci, trzech synów i trzy córki. Ręce i nogi trzech synów i jednej córki są całkiem normalne; ale druga córka ma u prawej ręki zrośnięte duże palce, a u lewej, jak dziadek, palec środkowy zrośnięty z serdecznym. Trzecia zaś córka, ma podobnie jak jej ojciec i praszczur u każdej ręki i nogi po dwa duże palce. Z pięciorga jej dzieci mają cztery regularne ręce i nogi; u piątego, chłopca, są u obydwóch rąk duże palce w kształcie przedłużonego *C* na zewnątrz wygięte. Podobne zjawisko obserwował niedawno pan Quatrefages u kur. Kogut o dwóch ostrogach stał się praojcem nowego rodzaju kur wielo palcowych. Gatunek ten rozmnożył się, i w całej okolicy nie ma teraz innych kur, prócz palcatych.

Historja małego dziecka, przez nie same opowiedziana. Wy sądzicie może, kochani zmarli przyjaciele, w których towarzystwie znajduję się teraz po 48 godzinnem nieszczęśliwym życiu, wy sądzicie może, że dwudniowe dziecię nie jest jeszcze zdolne ani rozumieć cokolwiek ani myśleć. Mylicie się jednakże. Ażeby opowiedzieć wam smutną ale krótką historją moję, skreślę dokładnie wszystkie wrażenia, jakie dwudniowe wypadki mego życia sprawiły na młodziutkim moim mózgu.

Było to wielkiem szczęściem dla mnie, że wydała mnie na świat bogata pełna tkliwości dama, która żyła ciągle w snach romantycznych. Tej okoliczności bowiem zawdzięczam najprawdopodobniej krótkość mego żywota i tę rozkosz, że należę już do umarłych. Słuchajcie tedy z uwagą opowiadania o moich uczuciach, rozmyślaniach i wzruszeniach umysłowych.

Gdym ujrzał światło dzienne, zdziwiłem się, słysząc nad moją główką gwałtowny wrzask, który mnie zarazem ogłuszał i przerażał. Chciałem uciekać. Ale gdym się rozglądnął, ujrzałem się w ręku jakiejś starej czarownicy o zapadłych oczach, bladych policzkach i pooranem zmarszczkami czole, która mi się ciekawie przypatrywała. Bałem się i wrzeszczałem z całej siły.

Przyznacie, że to był smutny początek życia; ale nastąpiło gorsze jeszcze. Jakiś gruby, stary jegomość, który grzał nogi przy kominie, uchwycił mnie, założył na nos okulary i ściskał mnie tak gwałtownie. że omal mię nie udusił. Był to zapewne mój pan ojciec. Potem weszło kilka osób do pokoju, machały bardzo żywo rękami po powietrzu i krzyczały z całego gardła: „Syn! Syn! Jakże podobny do ojca!“ Muszę przyznać się, że ten ostatni wykrzyk wielce mi ubliżał. Wreście przyszła kolej na jakąś młodą damę, która leżała w łóżku. Ta całowała mnie, obsypywała pieszczotami, a że przytem ciągle swój duży nos przyciskała do mego maleńkiego noska, więc kilkakrotnie tamowała mi oddech.

Ażeby powiększyć moje cierpienia, wzięła mnie znowu owa stara baba w swoje długie, kościste ręce, owinęła w białe pasy płócienne i związała tak mocno, że ani ruszyć się nie mogłem. Cóż ja jej zrobiłem?

Ach, moi kochani zmarli przyjaciele! Cóż ja nie wycierpiałem! Powierzono mnie tej czarownicy, która podrzucała mnie na swoich rękach, nabawiając mnie tem śmiertelnej trwogi. A im więcej płakałem, tem gwałtowniej mnie termosiła, i co chwila lękałem się, że spadnę w jakąś bezdenną przepaść. Trwoga przyprowadzała mnie do rozpaczy. Wrzeszczałem okropnie. Wtedy wsadzono mi w gębę jakiś gruby knebel, nasycony odrażająco słodkim płynem. Zaledwie połknąłem pierwsze krople tego napoju, a już poczułem, że się zanosi na silny katar żołądkowy.

Gdym nie przestawał rzucać się i krzyczeć, przyszedł jakiś ponury człowiek, który miał szyby szklanne przed oczyma, a włosy na brodzie, przypatrywał mi się jakiś czas bardzo natrętnie, a potem nie rzekłszy ani słowa znowu się oddalił. Wszystko to wydało mi się bardzo tajemniczem. Zamknąłem tedy oczy i rozmyślałem, co by to znaczyć mogło.

Wkrótce jednakże przerwała nowa trwoga spokojne moje rozmyślanie. Pochwycono małą skorupę, w której byłem zamknięty, i dla dopełnienia miary mojej niedoli wlano mi z brutalną przemocą jakiś zaprawdę diabelski napój do gęby. Była to obrzydliwa mięszanina, ale narzucono mi ją z tak straszliwą miną, że przejęty śmiertelną trwogą połknąłem ją mimowolnie.

Ale właśnie ten piekielny napój wyzwolił mnie do niebieskiego życia. Dzięki jemu, uwolniłem się od wszystkich owych tortur, jakich zakosztowałem w obudwu pierwszych dniach mego wątłego życia. O ty napoju boski! Tobie zapewne mam do zawdzięczenia, że nie stałem się łupem mamek i sług do piątego, męczennikiem szkoły i nauczycieli do dwudziestego, ofiarą kobiet i państwa do sześćdziesiątego roku, nie licząc już ambicji, namiętności do góry, zubożenia, żądzy oszczerstwa, splenu i wszystkich owych nieuniknionych przyczepek ludzkiego życia, których tak szczęśliwie uniknąłem, a z czego mogę teraz śmiać się tak serdecznie w niebieskiem przybytku małych dzieci, gdzie opowiadam niniejszą historję.

Profesorowie loterji w dawniejszych czasach. Oparta na dziewięćdziesięciu liczbach tak zwana „mała loterja“ była od czasu zaprowadzenia swego w Austrji ciągle polem, na które rzucali się z zamiłowaniem tak zwani „dzicy matematycy.“ Myliłby się bardzo, ktoby sądził, że tego rodzaju spekulanci na kieszeń bliźnich w obrębie tego chytrze obmyślanego systemu loteryjnego są zjawiskiem nowoczesnem. Takich wykpigroszów, jak Orlica, było już przed stu laty bardzo wielu. Wprawdzie nie mianowali się oni profesorami, przynajmniej nie publicznie, przeciwnie osłaniali się płaszczykiem bezimienności; ale do ogłaszania i zachwalania swoich — naturalnie zawsze niezawodnych i doświadczonych — sposobów gry, czyli jak się wówczas wyrażali — k a b a ł, używali zupełnie tak jak dzisiaj organów publicznych. Dzienniki wiedeńskie z ostatnich lat wieku zeszłego są pełne inseratów i „wiadomości dla miłośników loterji liczbowej.“ Głównem źródłem takich instrukcyi loteryjnych był skład tytoniu w „Seitzerhof“ w śródmieściu. Każdy z takich systemów miał tajemniczą nazwę, jak loże wolnomurarskie. Była np. „Harmonia numerów“, „Kabała salernitańska“, „Kabała Salomona“, „Kabała astronomiczna“, z których każdą można było nabyć za cenę 4 zł. 30 kr., gdy tymczasem „Podwójna kabała Ptolomeusza“ kosztowała sześć, a „Kabała Paracelsa“ aż dziewięć złotych. Skład tytoniu pod „Złotym aniołem“ na Grabenie działał w duchu popularnym, i żeby także mniej zamożnym ułatwić przystęp do podobnych dzieł naukowych, sprzedawał „Kabalistycznego pająka“, który miał się wsławić odgadnięciem wszystkich pięciu numerów ciągnienia wiedeńskiego z 19. listopada 1793, po lichej cenie 40 krajcarów. Najnowsze jednak, najmądrzejsze i najznakomitsze pomysły w tym względzie można było nabyć tylko w Seitzerhof. Jedna publikacja wypierała drugą, i po wyż wymienionych nastąpiło znowu kilka nowych „Przewodników w grze loteryjnej“, między temi jeden pod szumnym tytułem „Phoramunda Rumellego Ternosecco-Kabała“ wraz z nader ważnym, bezpłatnym dodatkiem dla miłośników loterji liczbowej. Potem nastąpił: „Nowy, świeżo wyszły z druku“ „Ślimak kabalistyczny“, podający pewną wskazówkę do odgadywania numerów przyszłego ciągnienia, i bardzo łatwy do pojęcia nawet dla tych, którzy liczyć nie umieją. Przez szczęśliwą graczkę loteryjną“. Wszystkie jednak pisma tego rodzaju przewyższyło o wiele tak zwane „Nowoodkryte koło szczęścia“, i ogłoszenie jego zasługuje zaprawdę, ażeby je powtórzyć tu dosłownie jako wzór najprzemyślniejszego krzykactwa. Formalny ten romans brzmi następnie: „Pewien zamożny i znakomity mąż a przytem szczęśliwy gracz loteryjny, wygrał na cztery numera tego koła szczęścia, mianowicie na 1, 11, 21, 25, w lutym 1767 przeszło 13,000 złr., i chybił tylko o j e d n o o k o, ażeby wygrać cztery razy tyle, gdyż 18. lutego wyciągnięte zostały numera: 26, 21, 11, 1, 84. Oddawca tej znacznej sumy wygranej otrzymał od upojonego radością właściciela prócz znacznego podarunku także pozwolenie odpisania sobie tego koła szczęścia, ale klucza do niego, nie podobna mu było uzyskać. Pewien doświadczony adept, któremu powiodło się odgadnąć już niejedną, najzawilszą nawet kabałę, doczekał się po długoletnich, kilkaset razy naprózno powtarzanych próbach temi dniami wreszcie tego niespodziewanego szczęścia, że odkrył przypadkowo klucz i całą tajemnicę tego koła szczęścia, i przekonał się ze zdumieniem, że ono przez ten czas, gdy dla braku klucza korzystać z niego nie było można, bardzo często po kilka numerów trafiało“. Pomimo tych nieocenionych przymiotów jednakże, kosztowało to koło szczęścia tyle tylko, co zwyczajna kabała, mianowicie półszosta złr. Z tego małego wykazu widzimy, że znakomici badacze już w najdawniejszych czasach usiłowali zachwiać silną matematyczną podstawę małej loterji; ale jak nie udało się to ani kabałom Ptolomeusza i Parcelsa, ani kabalistycznym ślimakom i pająkom, a nawet owemu sławnem adepcie z jego kołem szczęścia, tak również nie potrafią tego dokazać i dzisiejsi profesorowie, nawet tak mądrzy i szczęśliwi jak Orlica

BIBLIOGRAFJA.

Masalski. E. T. O naturze i pochodzeniu dusz ludzkich, Kraków — 1878.

Peschel Oskar. Historja wielkich odkryć geograficznych Zeszyt I. str. 80. Lwów — 1878 — nakład księgarni Polskiej.

Reitzenheim Józef. Udział piątego pułku ułanów wojsk polskich podczas kampanii roku 1831. Lwów — 1878.

Zarański Stanisław. O nazwach geograficznych słowiańskich i znaczeniu ich. Kraków — 1878.

Zaharjasiewicz Jan. Krzesło królewskie. Powieść współczesna. Poznań — 1878.

Hoffmann Karol. Ten co ponad obłokami. Przełożył Stanisław Kunasiewicz. Z czterema rycinami. Brody — 1878.

Lassalle Ferdynand. Pośrednie podatki i położenie klas pracujących. Obrona przed król. sądem fiskalnym w Berlinie z powodu oskarzenia o jawne wywoływanie w proletarjacie nienawiści i pogardy ku klasom zamożnym przełożył W. K. Lwów — 1878.

Powyższe książki niemniej też wszystkie utwory literatury krajowej i zagranicznej utrzymuje zawsze na składzie księgarnia F. H. Richtera.

Nekrologja.

Towiański Andrzej, założyciel nowej sekty mistycznej, Towiańszczyzną zwanej. Pochodził z dawnej szlachty litewskiej — urodził się r. 1796. Opowiadają, że młodzieńcem jeszcze będąc, przez kilka lat zupełnie był ślepym. Ślepota ta jego stała się przyczyną, że umysł jego, z natury już żywą i bujną obdarzony wyobraźwią, skierowany został do marzeń, a to co było z początku utworem przywidzenia tylko, wziął później za rzeczywistość, za jakieś wyższe natchnienie; — poczęło mu się zdawać, że rozmawia z duchami, ze świętymi a powoli weszło to w pewnego rodzaju manję, ktora naturalnie zwiększała się z wiekiem. Odzyskawszy cudownym sposobem, jak opowiadają, wzrok, uczęszczał do szkół w Wilnie, a ukończywszy szkoły pracował tamże w sądzie ziemskim. Tu już trudnił się magnetyzmem, przyznawał sobie moc przywoływania duchów i inne tym podobne dziwactwa. Wtedy począł już głosić o objawieniach, jakie miewał, o rozmowach przezeń prowadzonych z duchami świętemi i matką Boską; później wydawał się za Św. Piotra, żonę zaś swą za świętą Filomelę. Podstawą wszystkich tych urojeń była prawdopodobnie nauka o przechodzeniu dusz. Wszystko to wywołało rozkaz zamknięcia Towiańskiego w szpitalu, z którego jednak wkrótce po przekonaniu się, że manja jego jest nieszkodliwą, wypuszczony został. Odtąd przepędził lat kilka w zupełnem odosobnieniu na wsi, nie biorąc w powstaniu 1830 r. żadnego udziału, powstrzymywał nawet innych, przepowiadając koniec i skutki. Po 1830 r. bawił jakiś czas w Petersburgu, poczem 1837 r. wraz z szwagrem swym dr. Guttem udał się na zachód celem szerzenia prawd, jakoby mu przez Boga powierzonych. W Poznaniu jawnie ogłosił się za proroka i usilnie starał się o zjednanie sobie zwolenników. Z Poznania udaje się do Drezna, a ztamtąd do Brukseli w zamiarze nawrócenia generała Skrzyneckiego, znanego z pobożności. Starania około Skrzyneckiego, nie przywiodły do żadnego rezultatu. Dla niego to napisał Biesiadę, pismo 17. stycznia 1841 roku, zawierającą zasady jego nauki. Krótka to mistyczna lukubracja ujawniła systemat najwięcej zbliżony do marzeń Swedenburga, mający przytem powinowactwo z kabałą żydowską i magją wszystkich wieków; główną zaś w nim rolę gra zasada przechodzenia dusz, wpływ duchów światłych i ciemnych i td. Nauka ta zwana mesjanizmem miała spowodować zupełną zmianę stosunków społecznych; stać to się może jedynie przez podniesienie ludzkości i utrzymanie jednostek w stanie ciągłego natchnienia, które jedynie zdolne jest pojąć i urzeczywistnić pojęcia światła, prawdy i miłości. Z Belgii pojechał Towiański do Anglii, wreszcie w Lipcu 1841 przybył do Paryża. Udał się wprost do A. Mickiewicza, profesora podówczas literatury słowiańskiej w kolegium francuzkim. Towiański zastał Mickiewicza znękanego chorobą żony i w smutnem położeniu a wywiedziawszy się wprzód, jak opowiadają, od najbliższych o zdarzeniach jego przeszłości, oświadczył że jest posłannikiem Bożym, mającym do niego posłanie z nieba, tym, którego on dawno w pismach swych przewidywał. Przedewszystkiem zaś przyrzekł natychmiastowe wyzdrowienie żony, co też rzeczywiście nastąpiło; był albowiem jak twierdzą przez swego szwagra biegłego doktora dobrze o tem przekonany. Wyzdrowienie chorej umysłowo żony Mickiewicza zjednało Towiańskiemu zupełne zaufanie poety. Mićkiewicz z katedry począł rozgłaszać jego zasady i jednał mu zwolenników. Przez Mickiewicza wywierał Towiański magiczny prawie wpływ na ówczesną emigrację; zyskiwał też adeptów i między francuzami, Niemcami a szczególnie pomiędzy Włochami. Towiańczycy pod przewodnictwem Mickiewicza zjednoczyli się w towarzystwo i odbywali regularne posiedzenia, które dały powód do najrozmaitszych pogłosek. — Okoliczność ta spowodowała rząd do wydalenia go z Francji. Towiański udaje się początkowo do Brukseli, potem do Rzymu, a ztamtąd do Zurychu, gdzie ostatnie przepędził lata, otoczony swymi zwolennikami, którzy między sobą zowią się braćmi. O Towiańskim i jego doktrynie sądzono wielorako i bardzo różnie. Podług atoli zdania bezstronnych a najbliższych prawdy, byłto w całem znaczeniu tego wyrazu tylko marzyciel, który sobie najdziwaczniejsze myśli do głowy przypuścił i przywidzeniami się napoił. —

Kącik humorystyczny „Strzechy“

Część naukowa.

Krótki rys statystyczny Palestyny

według najnowszych odkryć geograficznych spisał i z powodu wniosku p. Iztoczy'ego, dążącego do odbudowania państwa żydowskiego do druku podał Dr. Kącik.

(Ciąg dalszy.)

Mieszkańcy Palestyny (po polsku Zarwanicy) odznaczają się pobożnością (Fromen, Rechtszaffen, Gottesmann) tudzież uczciwością (Ehrlich, Ehrenzweig, Ehrenbreit, Ehrenstark;) jakoteż łagodnością i słodyczą (Süsskind, Cukier, Cukiersüss, Cukerhandel, Kandelenker) a jakkolwiek twierdzą o nich złe języki, iż chętniej biorą jak dają, to jednakże na podstawie źródłowych badań twierdzić mogę stanowczo, iż lubią także dawać... na zastaw i dobry procent.

Również i gościnność kwitnie w Palestynie w bardzo wysokim stopniu, niemal co krok bowiem spotyka się tam „Dom gościnny“, gdzie każdego czasu dostanie wina, piwa, miodu i wódki w różnych gatunków“.... Do zalet Palestyńczyków należy także miłosierdzie: ktokolwiek czuje się obciążonym (banknotami lub złotem) może się udać do nich z wszelką ufnością, iż mu ulgę sprawią. Owszem miłosierdzie kwitnie w tej szczęśliwej krainie do tego stopnia, iż każdy Palestyńczyk nie myśli o niczem innem, jak tylko o tem, aby przy zdarzonej sposobności kurtę skroić, lub buty uszyć bliźniemu, i w ogóle ubrać go porządnie.

Palestyńczycy są wyznania mojżeszowego, i wierzą, że jeden jest tylko Bóg, a gulden ma sto centów. Mimo to odznaczają się oni jak największą tolerancją, i przyjmują chętnie franki, ruble, talary, marki, i złotówki — o dwa lub trzy centy niżej chwilowego kursu. Oświata stoi w Palestynie na bardzo wysokim stopniu, szczególniej w Piątek wieczór, gdy szabas zachodzi. Również kwitnie tam piśmiennictwo, niemal każdy Palesteńczyk bowiem umie pisać — podwójną kredą.

(*Dok. nast.*)

Część bajeczna.

Kruk krukowi oka nie wydziobie.

Stara bajeczka, dla politycznych niedorostków, której sens moralny zaginął w politycznej akcji naszej szczuplejszej ojczyzny. Rzetelny znalazca może się zgłosić w c. k. prokuratorji, gdzie przyzwoitą nagrodę otrzyma.

Zachciało się Polakowi pieczonych gołąbków.

Położył się tedy Polak do góry brzuchem, otworzył gębę i czeka;... ale pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki...

Zerwał się Polak na równe nogi, i biegnie do Europy. Europo! Europo! wrzuć mi ty kilka pieczonych gołąbków do gąbki; pieczone gołąbki nie chcą mi same lecić do gąbki...

Ale Europa nie chce Polakowi wrzucić pieczonych gołąbków do gąbki; pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki.

Idzie Polak do Andraszka: „Andraszku, Andraszku! poproś ty Europę: Europa nie chce mi pieczonych gołąbków wrzucić do gąbki; pieczone gołąbki nie lecą mi same do gąbki!“...

Ale Andraszek nie chce prosić Europy; Europa nie chce Polakowi wrzucić pieczonych gołąbków do gąbki; pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki...

Idzie tedy Polak do rejchsratu: „Reichsracie, Rejchsracie! namów ty Andraszka. Andraszek nie chce prosić Europy; Europa nie chce i t. d.

Ale Rejchsrat nie chce namówić Andraszka; Andraszek nie chce prosić Europy; Europa nie chce i t. d.

Idzie więc Polak do polskiego koła: „Hej Koło ty moje, Koło! Koło wygadaj ty dziurę w brzuchu Rejchsratowi; Rejchsrat nie chce namówić Andraszka, Andreaszek nie chce prosić Europy, Europa nie chce i t. d.

Ale Koło nie chce Rejchsratowi wygadać dziury w brzuchu; Rejchsrat nie chce namówić Andraszka; Andraszek nie chce prosić Europy; Europa nie chce i t. d.

Idzie więc Polak do wieszcza Jeremiego: „Jeremi! Jeremi! Palnij ty odę do polskiego Koła; Koło nie chce dziury w brzuchu wygadać Rejchsratowi; Rejchsrat nie chce namówić Andraszka; Andraszek nie chce poprosić Europy; Europa nie chce nic wrzucić pieczonych gołąbków do gąbki, a pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki...

I sięgnął wtedy Jeremi po bardon swój, i uderzył w złote jego struny, i palnął odę do polskiego Koła...

A koło wygadało dziurę w brzuchu Rejchsratowi, Rejchsrat dał Andraszkowi sześdziesiąt milionów, a Andraszek da Gorczakowi buzi, i zabrał... Bośnję i Hercogowinę!...

WIECZOREM!

W pośród ciszy wieczora, w drzew cieniu,
Okiem wodząc po gwiezdnym błękicie
Rozmarzeni siedzieli w milczeniu,
W własnych tylko wsłuchani serc bicie....
On rzekł do niej z łzą zachwytu w oku:
„— Jak rozkoszną, aniele mój złoty
Jest ta chwila tak pełna uroku!...
Myśl ma orle rozpina swe loty
I swobodna jak ptaszę ulata,
Po nad bole i łzy tego świata,
Między gwiazdy co ciche tam stoją
I spotyka tam w niebie — myśl Twoją!...“
„„— O tak luby — odrzekła płonąca
Okiem tonąc wśród nieba obszarów —
Ta noc w blasku złotych gwiazd tysiąca
Jest i dla mnie pełną dziwnych czarów:
Myśl ma także skrzydełek dostaje,
A gdy mlecznych gwiazd ją puszczę śladem
Rozmarzona, przed okiem mi staje
— Brylantowy Hrabiny dyadem!...““

Panna Lala.



Fragment z listu.

Fansse route, ma chere! Mylisz się bardzo!.. Ja kochać się?... Tralala!... Wszak ostrzegałam Cię w ostatnim liście, abyś się nie zapuszczała w kombinacje... Pójść za Tota, poszłabym, czemu nie?... Wszak odziedziczył miljon po stryju, a i po ciotce dostanie mu się ładny spadek... Ale kochać się w nim! *Pas plus souvent que ça!* Wszak wiesz że za mąż pójście uważam za interes, a do interesu trzeba przystępować z trzeźwą głową;... nieprawdaż?...

Zresztą moja droga, nie zdaje mi się, abym zakochać się była w stanie. Kiedy sobie przypomnę nasze rozmowy *w Sacré coeur*, nasze marzenia i nadzieje, to i śmiać i płakać mi się chce zarazem... *Etions nons bêtes? mon Dieu!*.. Dziś moja kochana więcej ma dla mnie uroku kapelusik od Alexandryny lub suknia od Wörtha (rozumie się dopóki ich nie mam) a niżeli najpiękniejszy z Adonisów... *Sans blague ma chere!* oto jest dziś — jak mówi twój ojciec — „prawdziwy bilans" mojego serca!...

A propos strojów, kazałam sobie zrobić trzy kostjumy do morskiej kąpieli, bo wiesz że jedziemy do Trouville. Jeden *Marie-Louise*, — drugi *mauve*, a trzeci *bouton de rose*.. Wszystkie trzy atłasowe, obszyte koronkami *point d' Alençon* a leżą jak ulane szczególniej ostatni... *un amour de chiffon!*.' Julieta, która jest tutaj z mężem gorszy się tymi kostiumami okropnie!... Ba, pojmujesz że ona z swemi kościstemi obojczykami, nie mogłaby sobie pozwolić nic takiego. Pamiętasz jakeśmy się na ostatnim pikniku śmiały z tych obojczyków, i jakeśmy namawiały Lula, żeby nasypał pieprzu i soli do tych solniczek...

Ale, ale!... Toto także irytuje się temi kostjumami, utrzymując że są *shocking*... *Il parait donc, que ça chauffe*, bo trudno pomyśleć, aby był do tego stopnia parafianinem. A mówił mi to z taką miną... z taką miną!... Ale *zut!* Spal ten list, zaklinam Cię na wszystkie świętości...

Hrabia Toto.



(Fragment z listu)

Przyznać trzeba, że Lala jest *diablement crane*, i że jest może więcej Paryżanką od samych Paryżanek. Zdaje się że tutejsze powietrze działa na nią podniecająco, bo pomiędzy jej werwą tu, a we Lwowie żadnego niema porównania... Powiedziałbym prawie, że ją opętał Paryż, tak się w niej spotęgowały wszystkie te tysiączne wady, które jak wiesz tyle jej dodają uroku.

Byłem wczoraj na rau-ie *„chez ces dames"*; zaprowadził mnie tam Zizio... Ale gdzież tym sławionym pięknościom do Lali?? U nich sztuka, maniera, — u niej natura, wrodzona werwa, słowem prawda... Życie w niej kipi tak jak szampan w kieliszku... Co chwila jakiś pomysł ekscentryczny, co chwila jakaś niespodzianka!...

Wszystko to gniewa mnie i irrytuje, a sam nie wiem dla czego!... Lala traktuje mnie tak jakoś protekcjonalnie, z taką przyjacielską *sans-gêne*, z tak wyraźnym brakiem wszelkiej kokieterji, że się czuję prawie obrażonym tem jej zachowaniem. *Au fond* brać jej tego za złe nie mogę, — wszak jesteśmy w bliskiem z sobą kuzynowstwie, i wychowaliśmy się z sobą razem, a jednak...

Wystaw sobie, że nie dalej, jak wczoraj omal żem jej nie zrobił sceny, á *propos* jakichś nowych kąpielowych kostjumów, których mi pokazywała rysunek... To prawda, że kostiumy te — tak mi się przynajmniej wczoraj wydawało — są zanadto *decolleté*... Ale cóż mi do tego, że Lala chce szyku zadawać w Trouville? Wszak się w niej nie kocham? Wszak się z nią żenić nie myślę?.. Otóż powiem Ci, że mnie te kostiumy irrytowały okropnie... Szczęście tylko że Lala tego nie spostrzegła, i że moje fochy policzyła na karb pruderji...

Eu somme mój kochany nie czuję się w obec Lali swobodnym, i to właśnie irrytuje mnie co raz bardziej.

Wydawca i odpowiedz. za redakcję F. H. RICHTER. Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



AURELIAN.

Powieść z czasów cesarstwa rzymskiego przez Wojciecha Dzieduszyckiego.

J. I. Kraszewskiemu w jubileuszowym Jego roku ze czcią składa autor.

(Ciąg dalszy.)

14

„I powiedz, powiedz dobry człowiecze!“ mówiła Krasa przystępując gorączkowo do nieznajomego, „powiedz, jak na mnie wyrzekał? Chcę wiedzieć.“

„A pocóż mam ci to mówić?“ powiedział Nicefor, „jeźliś winna, wiesz, co mówił. Jeśli nie, nacóż mam ci krwawić serce?“

„Wiem, co mi zarzucał; sama ci to powiem,“ zawołała, „mówił, żem podle ukochała Rzymskiego Cezara, i mówiąc tak kłamał. Ale powiedz, jakie było ostatnie jego o mnie słowo?“

„Zasmuciłoby cię,“ odparł podróżny, „a nie wiem, czy pociecha, którą mam, mogłaby tobie posłużyć.“

Nalegała: „Powiedz! Nie dbaj o to, że zasmucisz! Jam ze smutkiem sypiać zwykła; a powiedz, bym wiedziała. Zaklinam cię na pana tego, o którym mówisz tak dziwnie.“

„Przed śmiercią prosił, bym to ostatnie słowo powtórzył,“ rzekł Nicefor, „jednak powtórzyć nie chciałem, aby cię nie zasmuciło nadto. Gdy i ty nalegasz, powtórzę, bo snać taka wola Boża. Oto przed śmiercią przeklął cię „Kraso!“

Zadrżała, krzyknęła i zemdlała. Ojciec przykląkł i zawołał służbę, a Nicefor odszedł spokojnie do sieni. Więcej go już w tym domu nie widziano.

Gdy Krasa przyszła do siebie, rzekła: „Ojcze spalę się jak wdowa. Tak obyczaj każe. Każ stos gotować.“

Świętosz zadrżał cały: „Znów chcesz mnie starego opuścić, chcesz się zabić?“

„Tak obyczaj każe.“

„Już nikt nie pełni tego obyczaju.“

„Że inni grzeszą, nie mam przeto i ja grzeszyć.“

„On ci nie był nigdy mężem. Ja ojcem bywałem. On w bogów nie wierzył, na stosie nie spłonie. Na cóż masz płonąć sama i żywa, bez trupa na stosie, jak nawet nie płonęły babki za dni dawnych, groźnych? Pójdziesz tam w inny świat, i albo jego tam nie będzie u bogów na uczcie, albo jeśli będzie, odepchnie cię, będzie plwał na twoją cnotę. Cóżem ci zrobił, córko, że chcesz mnie tak porzucić?“

„Obym wiedziała, bogowie piorunni, co czynić wypada? Bo nie znam drogi, nie znam rady!“ rzekła Krasa załamując ręce.

XV.

Nazajutrz, bliżej rana jak wieczora, ale już dobrze w dzień, dojeżdżał Zabór na koniu, bezbronnie i w siermiędze tylko do dworu i ogrodu Świętoszowego. Narażał głowę czyniąc to, i dlatego zrzucił zbroję i przywdział starodawny strój Antów, ale nie mógł nie jechać, tak go coś do Krasy ciągnęło. Konia przywiązał do parkanu za sadem i sam weszedł do sadu, bo wiedział, że tam we

dnie zwykła siadywać Świętoszowa córka. I nie omylił się. Pod jabłonią okrytą gęstym owocem stała nieruchoma, sparta o pień, ze spuszczoną głową i załamanemi rękami. Z rzymska była ubrana w szaty czarne, i w czarną w tył zarzuconą zasłonę, i wyglądała jak posąg piękny żałoby, kuty z białego i czarnego marmuru.

„Witam,“ rzekł Zabór zbliżając się. Nie słyszała w zadumie swojej i nie odwróciła głowy. Zbliżył się jeszcze więcej i spytał: „Czegoś taka smutna, Kraso, kapłanko Niji? Czegoż głowę spuszczasz, gdy ziemia zmartwychwstaje, gdy dzwonią oręże, gdy Rzymian tarcze pękają, a Rzymian niewolnicy przychodzą do nas wołani głosem wolności? Ziemia cała się weseli, a tyś smutna jak ta jesień, co się mgłą zaciąga na niebie? Dlaczegoż to tak Kraso?“

Obejrzała się, popatrzyła nań czas jakiś, i sama także się spytała: „A gdy taki dzień, i gdyś, chłopcze, siadł jako król na sądowym wiecu dziejów, o którym do końca świata będzie dzwonić pieśń wieszcza, dlaczegoż rzuciłeś obóz, i ludzi, i pole krwi i chwały? Dlaczegoż idziesz w te sady, kędy strach ojca mego ciebie zgubić może? Nie wolno ci odjeżdżać sprawy, nie wolno ci narażać głowy!“

Młodzieniec się zarumienił cały. Po chwili odrzekł: „Chciałem błogosławieństwa kapłanki, gdy pójdę w bój. Przez ciebie stał się początek, przez ciebie będzie zwycięztwo. Zaklniesz bogów, aby nam sprzyjali.“

„Nie mam czem zakląć, chłopcze!“ zawołała, „święcenie starte z mego czoła. Ni dziewicą jestem, ni wdową i sromotnie przeklęta. Jedź do szczęśliwszej, królu nowy narodu, po błogosławieństwo!“

„Któż to cię przeklął? Klątwa po tobie ześliźnie się nie mocnie, jak strzała po stali.“

„Przeklął mnie mąż, gdy umierał. Winnam iść na stos, lecz nie śmiem. Nie chcę go spotkać na tamtym świecie. Jam niewinna, a zdeptana. Z krzykiem bym odwróciła twarz, gdybym ujrzała jego blade lice.“

Zabór posłuchał. Zbliżył się jeszcze, dotknął ręką Krasy ramienia i rzekł: „Kraso, że mąż twój umarł, nie wiedziałem aż dotąd. Do szczęścia cię witam, Kraso! Mąż twój umarł szalony i bezsilny. W blaskach czynów, o jakich świat nie słyszał, czeka na ciebie kochanek, i mąż nowy, co na wieczność mężem będzie.“

„Nie mów mi o twojej miłości“ rzekła „oswobodzisz naród i weźmiesz młodą królewnę. Ja nad grobem zostanę sama w żałobie, wygnanka wśród ludzi. Dla ciebie moje serce martwe i zamknięte. Biorąc mnie, królu młody, wziął byś popiół tylko.“

„Nie dla siebie jestem swatem!“ zawołał Zabór. „Kocham ciebie, jak w słońce patrzę w ciebie! — ale jak po słońce tak i po ciebie, święta, ręki nie wyciągnę. Myślałem inaczej, lecz myśl poświęciłem bogom, przy twojem weselu a potem gdyś mi mówiła o Bojanie. Kraso! godniejszy cię weźmie. Będziesz żoną Bojanową!“

Na to imię wzdrygnęła się, odstąpiła na kilka kroków od drzewa i zwróciła na młodzieńca oblicze pełne rumieńców i gniewu. Z oczu jej patrzał ogień: „Więc przybyłeś tu, aby mi urągać?“ krzyknęła, drżąc cała, „i ty także, nie wierzysz? I ty chcesz nóż wzgardy obrócić w sercu mojem?“

„Zaklął się na Peruna, i ojczyznę, i cienie przodków i nadzieję zwycięztwa; mówię jako myślę; nie najgrawam się z ciebie.“

„Więc chcesz“ spytała, „bym sama jedna poszła do łoża odstępcy, by z nim patrzyć na to, jako przez niego zginiecie.“

„Nie odstępcą ci Bojan,“ rzekł Zabór, „jako dzień nie nocą jest jedno dniem. I nie zginiemy, Kraso, ale zwyciężymy wraz z Bojanem, przez Bojana! Nie dla nas święta śmierć, i wieszczów płacz nad grobem. Świat rozjaśnimy wolnością, a sami wzniesiemy pieśń zwycięztwa, gdy Roma upadnie! Nie patrz zdziwiona, nie cofaj kroku, nie myśl żem szalony, a bądź Bojanową żoną. Ja król każę, i każe naród, on jeden godzien ciebie!“

Krasa ręką o drzewo się sparła. „Nie rozumiem,“ rzekła, „zda mi się, że we śnie jestem. Wytłómacz.“

„Wytłómaczyć,“ wołał Zabór, „wytłómaczyć zwycięztwo i szczęście, to znaczy opisać życie i malować zorzę. Nie rozumiem czemu; innemu cię oddaję, a szczęśliwym jako słowik na wiosnę, gdy siędzie przy swojej słowiczce i pieśń nuci. To powstanie przez Bojana jest. Czem że moje sprawy wobec jego zasługi? Świat podbił, aby go wrócić wolności. Po piaskach spiekłych chodził, po śniegach zmarzłych, wojował narody, zwyciężał w bitwach, i siadł na świata stolicy, a myślał tylko o tobie i o narodzie. Wolność dziś da, a ciebie weźmie w nagrodę. On jeden tego wart! Czem że ja wobec niego? Ja walczę, by wziąść koronę, a on na to, by złamać własne berło. Ja po lasach chodzę, i zwołuję narody, a on Romę samą ujął w rękę olbrzyma, i nie puszcza jej, by się broniła. Już powstały tutejsze narody, już Żybar Gotów prowadzi, by miecze w krwi Rzymskiej maczali, a Bojan dał mi to słońce złote, które widzisz na znak przymierza. On z nami trzyma! On nasz! On nasz! I naszem jest zwycięztwo!“

Mówiąc wyciągnął rękę, a na białej dłoni migało słońce ze złota i rubinu w promieniach tamtego słońca, co wielkie i jasne żeglowało po niebie. A świat się ćmił i kołował w oczach Krasy. To jasność wielka była na świecie, jak gdzieś w niebie u Peruna, to mgła biała, srebrna a szczęsna jakoś wszystko okrywała jakby puchem. Krasa padła na kolana: „To znak wasz, bogowie,“ zawołała, „znak, o który was prosiłam. To szczęście przyszło, szczęście! Chcecie abym żyła w wolnej ojczyźnie, przy boku Bojana, bohatera nad bohatery, męża nad męży!

Już wiem, że do mnie wróci. Jestem spokojna. Nie zasłużyłam na to! Dzięki wam bogowie!“

I nie mówiła, ale patrzyła w niebo, z usty rozwartemi jak do śpiewu. I cicho było wśród jesieni, a długie pajęcze nicie leciały powoli i srebrzyły się w słońcu, a w dali, hen w dali! za lekką kotarą mgły stały lasy wielkie jak morze, czarne jeszcze i zielone, ale już przyrumienione pierwszem tchnieniem jesieni; a dalej jeszcze, lecz jakby czarem jakim zbliżane, dźwigały się do góry na poły błękitne, olbrzymie, wiekuiste szczyty Krępaku. I pięknie było i cicho na świecie, jakby w sercu Krasy. Chmury wiotkie i cienkie, jak tkanka biała czaru, snuły się po niebie, a z pomiędzy chmur wyglądał błękit. W tym zdaleka, z góry usłyszano jakieś wołanie, niby daleką jakąś pieśń wojenną. Było to wołanie żurawii. Słychać było głos ich, nie widać było postaci.

Wstała nareszcie Krasa z modlitwy; a teraz Zabór kląkł przed nią. „Dałem ci szczęście“ rzekł, „ty daj teraz to, po com tu przyszedł. Matka stara błogosławić nie chciała, i zamarło we mnie serce. Ale ty pobłogosław, kapłanko Niji! Już ściągnąłem wojska rzymskiego połowę do swego obozu. Z twojem błogosławieństwem świat przewrócę.“

Podniosła rękę i rzekła głosem uroczystym: „Błogosławię, prorokować będę, bo czuję w sobie głos wielki bogów, co czasem gra w niewiast piersi. Nie długo już, nie długo będę tęsknić za tobą Bojanie! Nie długo będziesz niósł już Rzymskie szaty i Rzymską zbroję. Zwyciężysz Bojanie, powalisz wrogów moich na ziemię! Uczynisz sąd! Porzucę ojcowski dom, a wielkie staną boje! Widzę pobojowisko, na pobojowisku trupy, a Bojana zwycięzcą. I siebie widzę wśród ognia, ale to ostatnia będzie walka moja. Idź Zaborze, jedź i walcz. Ty przeżyjesz bój! ty się doczekasz swobody. Koronę poniesiesz na czole, berłem zawładniesz nad ludem!“ Rzekła. Młodzieniec wstał, pocałował ją w rękę, wyszedł z sadu, dosiadł konia i pojechał w cwał ku borom śpiewając wesołą piosenkę. Leciał, leciał, a do koła tętniały pola. Bodiak suchy drżał na łodydze, a kwiaty z pod trawy wyglądały ciekawie, jak na zwycięzcę. Wróble i wrony ustępywały mu z drogi, a raz zając spłoszony zerwał się z pod końskich nóg i uciekł do lasu. W inny dzień byłby to wziął za wróżbę; dziś widział w zającu znamię Rzymian, co pierzchną przed jego szczęściem. Nie wiedzieć czemu tak weseliło się jego serce.

W tem dostrzegł jeźdzca drugiego pod lasem. Wstrzymał konia i poznał Żybara: „Hej tu, Żybarze, zawołał, hej tu do Zabora!“ Żybar kłusem podjechał i pozdrowił króla.

„A co tam u Gotów słychać Żybarze?“ Spytał młodzieniec. „Jakżeś się sprawił z poselstwa?“ „Dobrze,“ odparł mąż, „Atanarich przyrzekł że w dwadzieścia tysięcy najdzie na Panonją.“

„Rozniesiemy Rzym w puch“, krzyknął Zabór klaszcząc w dłonie. „Wszystko dobre, wróżby dobre, czyny dobre! Zwycięztwo goni do naszych chorągwi i nic się nieostanie. Już jestem królem na prawdę. Roje Rzymian do mnie przechodzą. Atanarich tam podobno ma piękną córkę. Będzie mi żoną, a wam będzie królową. Podścielę jej kobierce królowej Palmiry, z pierścieni senatorów i rycerzy Rzymskich zrobię dla niej koronę. A ty starostą będziesz na weselu. a złotym wojewodą na stolicy. Nie prawdaż Żybarze! A temczasem jedźmy do ludzi naszych w bór.“

I znów Zabór kopnął przodem w cwał. Jechał za nim Żybar, i myślał: „Oby cię chłopcze, i wróżby nie myliły i czyny! oby otucha młodości mędrszą była od starej troski! Oby Rzymian pokonał! Oby Got z oswobodziciela nie stał się nowym panem.

XVI.

Na polanie wśród świerkowego lasu, w której się rozłożył główny obóz Antów, było teraz co raz więcej ludu. Przypływały gromady, przybywały i różnym fortelem zwabione oddziały Rzymskiego wojska. I cała ta różnorodna, wielogłowa zbieranina wzniosła wielki okrzyk na widok Zabora i Żybara, gdy obaj do polany wjechali. Zabór z uśmiechem pokazał Żybarowi tłumy: „To robota kilku dni zaledwo. A wielu ich się rozbiegło po kraju z Kociszem!“ Zdumiał Żybar i wstąpiła weń otucha, gdy widział nietylko mnogich ludzi ale i dobre zbroje.

Zsiedli obaj z konia, i Zabór; król dzisiejszy, wdziewał napowrót jasną zbroję. Słońca Aurelianowego jednak nie wywieszał na pierś, bo jeżli miało zostać możnem zaklęciem, musiało być tajemnicą. Gdy się uzbroił już, gdy potrzebne wydano rozkazy, siadł wraz z Żybarem pod jednym z wiekuistych świerków i wszczął mówić o sprawach narodu i dziwnej wojny.

Gdy tak rozmawiali, zbliżył się do nich człowiek śniady, który dziwnie jakoś wyglądał w Antów stroju. Nie licowały z nim ani brunatna cera, ani czarne ruchawe oczy, ani białe jaskrawe zęby, co się migały, gdy mówił: Był to jeden z Maurytańczyków, i znajomy nasz niegdyś, Centurion Arops. Czapkę zdjąwszy stanął opodal pokornie, i dopiero gdy się Zabór sam spytał, czy czego sam niepotrzebuje, przypadł mu do stóp i ucałował i w stopy i kolana.

„Wielką mam łaskę wyprosić u ciebie, królu czarodzieju! A nie wiem, czy wolno mówić?“

Tak rozpoczął rzecz swoją Arops, a gdy go Zabór do dalszych wywodów zachęcił, wszczął prosić, by król Antów zezwolił na to, by trybun Maskulus, dotąd pod strażą trzymany, został przyjęty do królewskiej służby.

„Chce tu do Ciebie, królu, przyjść“ mówił „i złożyć w twoje ręce żołnierskie przyrzeczenie, i Rzymianina

przysięgę. Od dziś nie chce być twoim więźniem, jedno sługą twojej sprawy, której bogowie pomagają. Racz go przypuścić do siebie.“

Zabór przystał na proźbę. Zawołał setników swoich i kazał Maskula do siebie przyprowadzić. Arops ze łzami dziękował i znowu po rękach i nogach całował, a potem odstąpił na kilkanaście kroków. Tam zwyczajnej mowy już dosłyszyć nie mógł, ale Zabora i Żybara z oczu nie spuszczał.

„Któż to jest ów Quintus Maskulus trybun?“ Spytał Żybar, a Zabór opowiedział, jako jego wraz z kohortami do lasu zaprowadził za pomocą Aurelianowego słońca.

„Źle że ten człowiek żyje!“ rzekł Żybar marszcząc brwi.

„Cóż to?“ spytał wódz młody, „i ty roztropny mężu mówisz tak, jak Kocisz zapalony?“

„Na jedną pewno trafiliśmy myśl“ odparł Żybar, „i to myśl nie dobrą. Może ujść do Rzymian i zdradzić Aureliana.“

„Za głupi na to!“ zawołał Zabór. „Wy podejrzywacie, lękacie się wszystkiego i wszystkich. I któżby z was był dostał słońce z rąk Aurelianowych? Mnie na to trzeba było i mojej młodej wiary, a nie waszego rozsądku siwego, co z otwartą powieką śpi jak zając, na wszystko się ogląda jak pliszka, a lizie powoli jak ślimak. Wy w roztropność, chytrą, krwawą wierzycie; a ja w młody zapał i w gwiazdę moją. Nie chcę jej daremną krwią kalać.“

Żybar przestrzegał: „Przynajmniej nie uwierz jego słowu; nie pozwól by chodził bez straży.“

„Gdy słowo żołnierz da, dotrzyma je. Dlaczegoż nie mam przyjmować nowych ochotników, gdy się do mnie garną? I tak nie ma strachu. Kto do mnie od Rzymian zbiegnie, kosę tylko dostaje, albo starą włócznię, i nie ma pancerza. Dowództwa, gdy chcecie koniecznie, nie dam żadnego.“

„Ale może ujść, i wszystko wygadać,“ powtarzał Żybar. „Komu wygadać? Czy Aurelianowi? Wszak wie o wszystkiém. Zresztą myślę, że to jest mąż prawy, i uwierzę jego przysiędze.“

„Toż przysięgał już Rzymianom. Przysięgając tobie, złamie tamto ślubowanie.“

„Przysięgał Aurelianowi. Stając przy mnie, dochowa „mu wiary.“

„Radząc zrobiłem moje. Tyś winien swoją czynić wolę.“

Temi słowy zakończył Żybar rozmowę, a prowadzono już Maskulusa, wstydzącego się jeszcze Antów stroju.

„Chcesz mnie służyć?“ Spytał się Zabór, „i z nami walczyć o wolność świata?“

„Chcę królu potężny,“ ledwo wyjąknął biedny trybun.

„Przysięgniesz mi wiarę na twoje bogi?“

„Przysięgam!“

„Na twoje bogi.“

„Oby ci tak pomogły!“

„Oby mi tak pomogły!“

„Czy na Jowisza przysięgasz Kapitolińskiego, i Marsa Gradiwa, Kwiryna, i Styksu wody?“ Zawołał Żybar występując naprzód.

„Zajęknął się, zaksztusił Rzymianin. Żybar tedy zawołał:

„Tak przysiądz nie chce. Widać, że chciał zdradzać.“

Maskulus oczy zakrył rękami: „Przysięgnę,“ rzekł, „jak chcesz i co chcesz.“

„Więc powtórz jakom mówił,“ zawołał Żybar, „a nie kłam bogom, bo piorun mają w ręku.“

I Żybar powtarzał uroczystą rotę — i kończył słowami, „*ut mihi sit bonum faustum et filix*.“ Jąkając się, jakby po złej drodze, powtarzał za nim trybun sakramentalne słowa. Gdy skończył, Żybar wyciągnął rękę po nad jego głowę, i powiedział uroczystym głosem: „bogom piekielnym i mękom złego sumienia poświęcam cię, jeźli przysięgi nie dotrzymasz!“ A potem zwrócił się do Zabora i dodał te słowa: „Królu, mnie się ten człowiek nie podoba. Patrz jak zbladł i jak drży cały. Patrz jak nie śmie nam spojrzyć w oczy.“

„Przysiągł, więc jest naszym żołnierzem,“ odparł Zabór.

Puście go wolno straże!“ Gdy zechcesz Maskulu, dostaniesz włócznię lub kosę. A będziesz służył pod Kociszem.“

Rzekł i odwrócił się, i odchodząc rozmawiał z Żybarem.

Maskulus stał pod świerkiem jakby osłupiały. Usta rozwarł bezmyślnie i głowę spuścił na długiej szyi. Arops zbliżał się do niego, i jak niegdyś w obozie pozdrowił go słowami przepisanemi. Trybun słysząc drgnął cały.

„Teraz przysiągłeś trybunie“ rzekł Arops, „i najgorsze przeszło. Nie ma koło ciebie straży, i trzeba tylko czekać chwili, w której sen na barbarzyńców siędzie; a ujdziemy do swoich. Dobrze by było, aby nas dwu w nocy postawiono na straży. Wtedy by najłatwiej uciec było.“

„Nie ujdę, nie ucieknę, źleś mi radził!“ mówił piskliwie Maskulus. Kazali taką przysiądz przysięgę, że jej nie złamię.

„A na jakich bogów?“ spytał Centurion.

„Na Rzymskich“ odparł trybun, „to właśnie źle, że na Rzymskich! I kazali po Rzymsku przysięgać, i dodali klątwę!“

„A ja mówię, że właśnie dobrze że na Rzymskich“ zawołał Arops. „Nie słuchali tej przysięgi! Jakżeż chcesz, by Jowisz Kapitoliński karał cię za to, że nie będziesz walczyć z Rzymem? Na swoich bogów przysięgając, najgorzej oszukałaś barbarzyńców. Uciekniemy Kwincie Maskulu trybunie, i opowiemy Rzymianom, co się dzieje u

barbarzyńców w obozie, i za to wynagrodzą nas Roma i Fortuna.“

„Ciebie wynagrodzą“ westchnął trybun, „ale mnie już nic dobrego nie czeka. Jeszcze karać gotowi — karać muszą, bodaj czy nie gardłem, za to, że w ręce barbarzyńców wydałem kohorty — przez twoją przeklętą radę!“

„Jakto przez moją radę?“

„A nie chciałem że tych czarodziejów od obozu odpędzić?“

„A nie namówiłeś że mnie, bym ich puścił do namiotu?“

„Moja niech będzie wina!“ rzekł Arops. „Ale teraz trzeba winę naprawić, ile się tylko da. Przecież mówiłeś, że nie bez powodów nas tu wyprowadziłeś? I bez twoich słów wiedziałbym o tem sam! Boś ty przecie roztropnym bywał wodzem, i nie darmo zostałeś trybunem. Mówiłeś że Imperator boski by cię sam pochwalił, gdyby wiedział, dlaczegoś to uczynił, coś uczynił.“

„I sam boski imperator by się nie gniewał,“ powtórzył Maskulus, „gdyby chciał uwierzyć temu co się stało. Ale ani on nie uwierzy, ani nikt!“

„I jakież to było cudo?“

„To najgorsza żem przysiągł, że nikomu tego nie powiem.“

„Przysięgami cię opętali jak pajęczyną. Gdy chodzi o życie, porwij te nicie.“

„O! przysięga to rzecz nielada, Centurionie!“

„A powiedz trybunie, co ci się stanie, gdy niedotrzymasz przysięgi?“

„Zginę nędznie.“.

„A powiedz Kwincie Maskulu trybunie, co się z tobą stanie, gdy dotrzymasz przysięgę,“

„I to prawda. Czy tak, czy owak przepadnę.“

„A ja powiem inaczej jeszcze. Tylko wierność przysięgom cię zgubi!“

„Mówisz bezbożnie!“

„Bardziej bezbożnie będziesz działał, walcząc z imperatorem boskim; ukrywając przed nim jaką tajemnicę.“

Trybun kiwnął oburącz zrozpaczony: „Niema rady!“ zawołał, „niema żadnej rady!“

„No!“ powiedział Arops, śmielej, przysuwając się, „gdy mnie jednemu zwierzysz tajemnicę, niezłamiesz przysięgi, a może dam ci jaką radę; zawsze dwie głowy lepsze od jednej.“

„Przysiągłem wyraźnie, że nie powiem nikomu,“ powtarzał trybun a Arops kusił: „Wszak ja nie jestem nikim. Ktoś — to imperator boski, to legat jakiś albo trybun, ale taki nędzny Centurion jak ja, to wyraźnie nikt. Mówiąc mnie, nie powiesz nikomu, a ten nikt przecie poradzić ci może.“

Wahał się jeszcze chwilę Maskulus. Wreszcie zbliżył się do ucha Centurjona i coś szeptał dość długo. Zdziwiony Arops w głos zawołał: „Słońce Aurelianowe!“ A trybun kładąc palec na usta powiedział: „pst, na bogi! to tajemnica!“

„Jakieś szalbierstwo! jakieś oszustwo! jakaś zbrodnia, co może wojsko zgubić!“ wołał Arops. „Obowiązkiem twoim świętym o tym powiedzieć w Rzymskim obozie. Gdy będą wiedzieć o zdradzie, zaradzą złemu. Inaczej zdrada ta wszystkich pogubi!“

„Ależ przysięgi moje! przysięgi!“ wciąż powtarzał Maskulus załamując ręce.

„Wpierw przysięgałeś służyć Rzymowi,“ mówił Arops, „druga przysięga pierwszej nie znosi. A potem ucieknijmy tylko, a nie ty rzecz rozgłosisz. Ja rozgłoszę, ty potwierdzisz tylko.“

I tak do samego wieczora radzili. Arops namawiał, Maskulus się wahał, i wreszcie nie stanęło dnia tego na niczem.

XVII.

I w obozie w Castrum Gaudii była tego wieczoru narada.

Nigdy wpierw, nawet wtedy gdy w stolicy swojej Palmirze władała nad Syrją i Azją mniejszą, nie wiodła Zenobia tak dziwnego, zaczarowanego niby życia jak odkąd wypadła z łaski Aureliana, i jak odkąd przypominano jej wobec rady wojennej, że niewolnicą była tylko, na łasce zwycięzcy. Na złość borom naddniestrzańskim i północnej dziczy tworzyła w namiocie swoim przepych taki, o jakim się chyba poetom śniło, jakim chyba czasem Neron oddychał. Pachnideł i kosztowności różnych moc wiozła zawsze z sobą, a teraz trwoniła wszystko. Przez kilka dni chciała użyć rozkoszy wschodu, choćby tu na północy. A po dniach kilku nie dbała o to co się stanie. Wszak rozpoczęła znów z bogami grę, w której mogła wygrać pomstę, chwałę i berło świata, a w której mogła przegrać życie. Czy tak, czy tak, nie przydadzą się jej podróżne skarby na nic za dni kilka. Albo zginie, będzie po wszystkiem — po rozkoszy i po trosce — albo roztworzy się dla niej znowu szeroka droga czynów. Konia dosiędzie jak mąż, miecz przypasze, żołnierską będzie jadła strawę pod gołem niebem, uśnie na murawie wiodąc mężów w bój. Wszak i to umiała, wszak i to lubiała Zenobia, królowa Palmiry.

Teraz z dnia noc robiła, spuściła wszystkie namiotu zasłony, a dwanaście lamp płonęło dokoła wielkiej komnaty w namiocie olejem różanym rozlanym w złotych naczyniach, i rozkoszna, upajająca woń napełniała komnaty. Gdzie zwykle były podarki i kobierce, stała teraz wanna srebrna pełna wina pieniącego się, a w wannie biała królowa. Niewolnice i niewolnicy nadzy siedzieli do koła i grali na lirach i fletach. Po obręczy złotej zwieszonej przed królową skakała małpa, a papuga siedziała na brzegu wanny. Zdawało się, że królowa uśpiona i wonią i pieśnią, bo głowę sparła o wannę,

zmrużyła powieki i dała wyciągniętym ramionom płynąć wolno po winie. Ale wnet rozwarła usta i rozpoczęła z papugą grecką, niezrozumiałą dla niewolników rozmowę.

„O ptaku kochany, pstry, rozkoszny, mądry ptaku, mędrszy stokroć od ludzi!“ mówiła królowa, „dzięki ci za dawne służby, dzięki za służbę dzisiejszą. Jeszcze trochę a skończy się nasze wygnanie, wrócimy w kraj woni i słońca. W raju wśród pustyni postawię sobie pałac, z którego okien widać będzie jaśniejące morze piasku; złote zwierciadło słońca. A ty będziesz latać po palmach, co wyrosły dokoła źródła, i będziesz się kąpać w świetle i cieple. Ale teraz daj dalszą radę! powiedz coś słyszał, ptaku mój? coś widział u Rzymian w obozie? a powiedz najpierw, co robi lew zachodu, król Rzymian w swoim namiocie? Słyszałeś jak ryczał, tocząc oczyma po nocy. Powiedz że, powiedz! Czy kiedy pomyśli o swojej orlicy, co zleciała od pustyni, którą złowił w klatkę, i w klatce wywiesił przed ludem Rzymu, aby lud śmiał się i klaskał, i śmiechem ranił pyszne serce. Powiedz, czy lew i orlica na Rzym jeszcze spadną, i rozniosą dymiące miasta?“

Papuga trzepnęła skrzydłami, obróciła głową, i odrzekła chrypliwie: „Nie myśli o tobie. Zapomniał o tobie. Po nocy Krasę barbarzynkę w głos wspomina“.

„Zapomniał?“ szepnęła Zenobia, a rumieniec gniewu wyszedł na twarz. „O mnie nie zapomni nikt bezkarnie, choćby był królem Rzymu! Więc powiedz teraz ptaku, czy człowiek, co mówi, jako mu każę, czy zabawka, którą na sznurku wodzę, czy próżny, zręczny, ślepy pies dobrze pełni służbę? Czy sieje podejrzeń ziarno między legaty? Czy ukuł miecz zemsty dla mnie za zapomnienie?“

Papuga wrzasnęła: „kuje, robi, jako umie“.

„A czy jest skutek ze słów? Czy jad, co po jego języku ścieka, wnika w legatów żyły?“

„Wierzą twoim posłom; nie wierzą Cezarowi.“

„I któryż z mężów może wejść w koło pomsty mojej? Których poprowadzi moja gwiazda?“

„Karbo pewny; Aper pewny; Karus chce być cesarzem; spiskują wszyscy.“

„A Mnesteusz? On Grekiem. Sam jeden czyn wykonać zdoła.“

„Z nim nie mówili.“

„Źle to. Pycha Rzymska, barbarzyńców odwaga, niewystarczą póty, póki greckiego sprytu nie przymieszam do czary. Mnesteusz zawsze stoi przy tym, co zapomniał, przy Aurelianie. On sztylet ostrzyć może niespostrzeżony. Mały owad łatwiej od wielkiego źwierza lwa ubodzi. Wkradnie się do grzywy niespostrzeżony. Ale mniejsza o to. Gdy niemasz już nadziei, bym siadła na stolicy przy Aurelianie, odchylę zasłonę i sama spiskować zacznę, a wnet Mnesteusza wprzęgnę do mego rydwanu, trzymając go na uwięzi złotem wędzidłem zachceń bezgranicznych. Ale powiedz, czy strach już groźnie powstaje nad głową legatów? czy słońce Aureliana kraj zapaliło do koła ogniem buntu? Czy bezczynność jego większą u legatów budzi nienawiść?“

„Lasy powstają. Wojska przechodzą“ odrzekła papuga.

„Rozumiem. A on bezczynny?“

„Wojsko wrogowi wydaje.“

I oni widzą, co on robi przez miłość owej przeklętej?“

„Widzą.“

„I jakżesz radzą sobie?“

„Schodzą się. Nic uradzić niemogą.“

„Kiedy się zejdą, znów i gdzie?“

„Dziś o północy. Pizo ich woła. Drogę pokażę.“

„Dobrze. Zenobia zazdrośna zabijać potrafi! Tak zawołała królowa, i klasnęła w dłonie. Pieśni nie ustały, nie ustały wonie, ale kilka służebnic przybiegło do wanny. Zenobia wstała i wyszła na kobierce. Obtarto ją cienkiemi ręcznikami, nałożono zrazu koszulę przezroczystą jak pajęczyna i wyciętą, a potem płaszcz i tunikę jedwabną szytą złotem, do włosów jej wpleciono łańcuch pereł, i klejnot złoty zdobny z djamentem a podobny do księżyca na nowiu. Wreszcie malowano jej lice, i usta, i powieki, a pachnidłami kropiono i postać i szaty. Piękną była jak Aszera, bogini Syryjska, gdy stanie wśród woniejącego mirtowego gaju.

Skinęła na niewolnice, by ustąpiły, a gdy była samą, gdy muzyka ucichła, jakby chciała zerwać czar namiotowego wnętrza, wyszła odchyliwszy kotarę u drzwi namiotu, i okazała się słońcu i światu, i chmurom, i świeżym powiewom wiatru. Zdawało się, że świat północy zdziwiony powinien jej się pokłonić.

Co wieczoru stawała tu królowa Palmiry u drzwi namiotu, u krańców obozu w Castrum Gaudii. Teraz wyszła dalej tak, że żołnierz na straży mógł się dziwić jej piękności, i stanęła na wale ziemnym, tam zkąd widać było falującą nieskończoność wzgórz i lasów. I do niej przemówił wielki głos północy, nie szumem liści, bo tych nie było słychać, i nie samym tylko przeciągłym, nieskończonym, tęsknym świstem wiatru, co szedł od Dniestru pędząc przed sobą obłoki, ale jakąś mową milczącą grozy. U stóp było czarne drzew morze, zpiętrzone w olbrzymie skamieniałe wały gór Karpackiego podgórza. W głębi milczały góry, a obłoki toczyły się po głębokim niebie, niby walczące olbrzymy. I człowiek wydawał się wśród świata tego małym jak mrówka jaka, i nowym jak dziecko u piersi mamki wilczycy — a milczenie i strach wielkiemi bogami były.

(C. d. n.)

LASZKA.

Opowiastka

AURELEGO URBAŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

I kobieta ta nie dowierzała mej prawości — uderzała w najdrażliwszą stronę młodego zapaleńca, szarpiąc nią bez litości badawczem swem spojrzeniem!..

Dziwne, dziwne te oczy!

. . . .

Ściemniło się. — Wieczorem zdawało mi się słyszeć skrzypienie osi; i znów ciekawość przemogła roztropność. Z za firanek ujrzałem koło gumienka dwie ciężko pakowne bryki, zaprzężone wołami. Przed gankiem grzebał osiodłany mierzynek niespokojnie podkową. W zamyśleniu nie słyszałem był nawet chodu podprowadzonego konika... Po chwili wyszedł z dworka starowina i ów młody chłopiec, rano widziany przezemnie. Młodzieniec przycisnął do ust rękę starca, dosiadł lekko żmudzinka i pomknął ku gumnom, rzuciwszy okiem ku memu okienku.

Ach — mimo zmroku, mimo nagłego cofnięcia się mego za firankę, poznałem ją...

To była — ona...

Zadudniły bryki — i wysunęły się pospiesznie z podwórza na drogę. Na czele kłusował chłopiec na wartkim mierzynku. Z ganku podniesioną prawicą posłał mu starzec krzyżyk z błogosławieństwem na drogę...

. . . .

Dotychczas znałem jedynie russkie nasze kobiety i... Paryżanki z „quartier latin“; znałem kobiety lubiące się bawić... Prado, Chaumière w Paryżu — pułkownikowe i sowietnikowe w Rossji — oto szereg wspomnień wesołych, lecz przelotnych... Lata studenckie w Warszawie spędzone przykuwały mnie do ław szkolnych; byłem zbyt młodym... Prócz biednej matki mojej żadna z kobiet nie umiała dotychczas stale zatrudnić mej pamięci.

Pierwszy to raz podpatrzyłem niewiastę, nie w budoarze przy trefieniu włosa, nie wspartą malowniczo na balzaku z romansem francuskim w dłoni i nie rozpartą w loży z lornetą lub wachlarzem w śnieżnej rączce... Ta kobieta o marmurowem, marsowem obliczu, o krótko z żołnierska strzyżonym włosie całe swe jestestwo jednej poświęciła myśli, a myślą tą była Ojczyzna...

Kobieta ta była Polką — a ja liczyłem lat dwadzieścia!...

. . . .

Jak noc przepędziłem, nie pomnę... Czułem się podwójnym więźniem... Sen unikał mych powiek...

Około północy zatętniło znowu na podwórzu. Ona wróciła z niebezpiecznej wycieczki.

Myśl, iż niewiasta ta poważna o surowem spojrzeniu gości pod jednym ze mną dachem, kojąco podziałała na rozdrażnione me nerwy. A więc wróciła... Jutro znowu ją obaczę...

Przebacz mi drogi cieniu matki — tej nocy nie o Tobie jednej myślałem...

Usnąłem...

V.

Późno, o północy, obudził mnie ze snu lekki szelest. Już zerwać się chciałem niespokojnie, aliści widok niespodziewany uderzył mnie tak potężnie, iż zmartwiały, nieruchomy, stałem się niemym świadkiem tej nocnej przygody.

W przedpokoiku, oświetlonym mdłem światłem ukrytej latarki stała ona — w owem chłopięciem przebraniu, drżąca i trwożliwa... Wzrok jej zanurzył się kilkakrotnie badawczo w ciemności mej izdebki; atoli głęboki a spokojny oddech mych piersi zdołał ją zapewne uspokoić. Po chwili przystawiła sobie cichutko ławeczkę, a stanąwszy na niej, siągnęła za pułap . Niebawem papiery moje spoczywały w jej ręku.

A więc śledzono mnie nawet wówczas, gdym skrywał dokumenta me i list ostatni!...

Ona siadła na ławeczce — spojrzała znów przeciągle ku mojej izdebce — czekała chwilę martwa, przysłuchując się memu oddechowi — poczem skwapliwie przeglądać jęła me papiery.

Paszport mój, przez Rząd Narodowy wystawiony, pisma z Paryża, kilka mych poezyjek w polskim i rossyjskim pisanych języku, dziennik mój młodzieńczy i list ojca groźny—widocznie uspokoiły tajemniczą kobietę. Po kilkakroć kiwała główką z zadowoleniem, a krótkie jej loki za każdym razem układały się inaczej, a tak malowniczo. Nareszcie list ów złowrogi zaostrzył jej ciekawość... Widziałem, z jakiem czytała go zajęciem; nakoniec złożyła go cichutko, opuściła dłonie, schyliła główkę, i tak siedziała długą, długą chwilę, a z oczu jej zwisły dwie ciężkie łzy,..

Nareszcie wstała, wstąpiła znów na ławeczkę, zwitek papierów ukryła pod belką pułapu, zsunęła się ledziutko jak cień na podłogę — a posławszy ku mej stronie długie, przeciągłe spojrzenie, wymknęła się ze swą latarką cichutko jak weszła...

Ach spojrzenie to wynagrodziło wszystkie me męczarnie... „Przebacz mi,“ mówiło to spojrzenie...

Kobieta uwierzyła więc, iż pod strzechą swą nie gości wroga, ni zdrajcy...

I znów usnąłem, a w sennych marzeniach czułem utkwione w siebie oczy... matki, czarne, szklanne, gasnące... i... kobiety o krótkich lokach... modre, łzawe, głębokie.

. . . .

Rano, Kujawiak przyniosłszy mi kawę, patrzał mi w twarz jakoś inaczej, jak przedtem — starowina przy „dzień dobrym“ ścisnął mnie uprzejmie za rękę, wypytując, czy miałem sen spokojny — z nią zaś — ach z nią — zeszliśmy się po raz pierwszy na ganku.

Z olbrzymiego przetaka czerpała dłonią hojną karmę i rzucała ją przed się gęstą strugą; a gwarny ludek drobiu garnął się do swej opiekunki, piszcząc, gdakając i kwacząc. Istny konterfekt Zosi z „Pana Tadeusza“ — choć latami sięgała raczej wieku Telimeny. Gdy zszedłem ją tak w skromnej, perkalikowej sukience, otoczoną gwarliwą rzeszą, skłoniła główką, wdzięcznie przelotny uśmiech przemknął surowemi usty, zaś twarz jej zabarwił chwilowo lekki rumieniec.

Usiadłem na ławce, rozpoczęliśmy rozmowę — zrazu chłodną, urywaną, potem swobodną i żywą. Pytała mnie o noc ostatnią, ażali spokojnie ją spędziłem, czy ujadanie kundysów strudzonego wędrowca nie obudziło i czy czuję się snem pokrzepionym.

„Byłeś pan bowiem wczoraj bardzo milczącym, bladym i niespokojnym“ — dodała. — „Błąkałeś się po wilgotnem jeszcze polu i zdążałeś nawet do lasu, jak mi mówiono.“

Skorzystałem z tego zagadnienia i wyspowiadałem się jej z mej boleści... Strata nagła rodziców, poczucie się tak samotnym i... i... widoczne podejrzywanie ze strony gościnnnego gospodarstwa musiało przygnębiająco wpłynąć na system nerwowy ciężko nawidzonego młodzieńca Gdy opowiadałem jej o nieszczęściu rodzinnem, nie udawała zdziwienia, lecz znów łza zabłysła jej na rzęsach — gdy zaś ciężko napomknąłem o niewierze, jąką tchnęło przyjęcie cudzoziemca, ponownie silniejszy już szkarłat oblał jej oblicze, z pod powiek zaś utkwiła we mnie wzrok badawczy. Z twarzy mej jednak nie mogła wyczytać tego, czego widocznie się obawiała; gorączkowo więc tłumaczyć jęła ojca i wiernego sługę...

„Oh, panie“ — szeptała żałośnie — „nie wżyłeś się w nasze stosunki. Jesteś obcym w tej nieszczęsnej krainie łez i krwi. Każda chwila grozi sędziwemu ojcu konfiskatą, Sybirem, szubienicą. Lękamy się szumu drzew, szelestu skrzydeł nocnego ptaka. Ojciec mój, staruszek... Gdyby mi go porwano, sama jedna zostałabym na świecie.“

I ta kobieta poświęcała wszystko Ojczyźnie — życie ojca i swoje, cześć swoją, przyszłość swoją...

Ścisnąłem jej rączkę w milczeniu.

. . . .

Objad upłynął nam już inaczej, jak poprzedni. Panna Anna starała się rozerwać żałobne myśli moje mówiąc wiele i z żywością, dziwnie nie licującą z poważnym wyrazem jej twarzy. Wsłuchany w wywody jej o konieczności zbrojnego powstania i nie wyczerpanej żywotności narodu polskiego, zapomniałem o mej żałobie. Starzec uśmiechał się, potakiwał i nie wypuszczał z ust cybuszka, nawet przy stole. Szymon mruczał, mrugał ze znaczeniem powiekami, i wywlókł u schyłku objadu butelczynę węgierskiego, by wznieść toast na cześć Warszawy i dni styczniowych. Objad ten dokonał połączenia. Od tego dnia stałem się domownikiem, zaszczyconym zaufaniem nietylko pana domu i jego córki, lecz co więcej podejrzliwego lisa — Kujawiaka, który najwymowniejszy dał ku temu impuls, trącając kieliszkiem o kieliszek gościa i wznosząc dobrodusznie „Wściorniaści wszystkim Moskalom“, co wywołało lekki uśmiech na moich i panny Anny ustach.

Po objedzie nie ofiarowano mi już „spoczynku“... Przechadzałem się już z panną po podwórzu, opowiadając o swoich przygodach i słuchając krótkiego opisu skromnego jej żywota w tem zaciszu.

Panna Anna nie taiła się wcale z „trzecim“ swym, (jak to z uśmiechem wymawiała) krzyżykiem; cały swój wiek młodociany spędziła w Kujawskim zakątku. Pobliskie miasteczka widywały ją dziewczęciem zaledwie w dnie targowe, lecz też prawie żadnej nie opuściła sposobności, towarzysząc zawsze „ojczulkowi“ i rzucając się z ochotą w hałaśliwy wir małomiasteczkowego żywota. Lecz i polowanka, bez których szlachcic za młodszych lat żyć nie mógł, nie obeszły się bez „dziewczyny — kozaka.“ Cóż więc dziwnego, iż Anulka z szesnastym rokiem życia dosiadała dzielnie rumaka, strzelała nie źle z pistoletów i żydkom jarmarcznym nie pozwalała wywieść się w pole. O ile ojciec, wodząc wciąż z sobą jedynaczkę, silnie wpłynął na rozwinięcie sie w niej charaktéru nieugiętego i energicznego, o tyle nieboszczka matka, niewiasta wielkich przymiotów i niepospolitego wykształcenia nie zaniedbała z poświęceniem i miłością macierzyńską pracować nad ukształtowaniem główki i serduszka dziewczęcia. Wszystkie skarby wiedzy, w zamożniejszym domu rodzicielskiem nabyte, przelała ona na swą córkę, tak, iż zdziwiłoby to było niejednego światowca, w tem zakątku, deskami zabitym, znaleźć pannę nietylko rezolutną, lecz wszechstronnie wykształconą.

Tak wychowano pannę — patrjotkę...

Lecz panna Anna nie wyszła za mąż... Dlaczego?

Tajemnicą to gustów i guścików ludzkich. Jednym imponowała wiedzą, drugim charakterem, który szczególnie po śmierci ubóstwianej matki za zbyt może poważnego nabrał nastroju. Przyjechał ten i ów, i czwórką, i parą

fornalek rozglądnął się, pomówił grzecznie z panną, nie robiącą między nimi żadnej różnicy — i odjechał, by nie powrócić więcej...

Ci zwali ją „Kozakiem“, inni „Herodem“, inni nakoniec stronili od „Filozofki.“ Natomiast lud zwał ją „swoją pannuńcią“ i garnął się do niej, jak owa rano świergotliwa rzesza.

Tak panna Anna dosięgała trzeciego krzyżyka, żałośne zaś narzekania starca tak uspakajać była zwykła:

„Źle-ż Ci ze mną, Ojczulku? — Mamże koniecznie ruszać w świat z tego ukochanego dworka, od Twego boku, od smętarzyka z mogiłą świętej nieboszczki? — Dotychczas wolna i swobodna, pani myśli mych i uczynków, mam-że powierzać przyszłość swą nieznajomemu, obcemu mi mężczyźnie, byle tylko uniknąć śmiesznego miana: „starej panny?“ — — — Nie lękaj się, Ojczulku; niech-no przemówi moje serduszko, a sama wyspowiadam się Tobie. Chwała Bogu jednak serduszko to spi — nie budźcież go niepotrzebnie...“

I tak spało to serduszko, aż trzeci krzyżyk nad niem zawisnął; tem częściej wzdychał starzec, tem zgryźliwiej mruczał; panna Anna zaś stała się jeszcze poważniejszą — a w ostatnich latach gorączkowych prawdziwą powagą wiejskiej okolicy.

Nakoniec wybuchło powstanie... Jaki w tym ruchu panna Anna wzięła udział, wiemy już po części; Timofiej bowiem uchylił nam rąbka zasłony tajemniczej...

VI.

— Całe poobiedzie spędziliśmy razem na gawędce. — Opowiadał mi dalej chory. — Nie pojmiesz, jak szybko upłynęły nam godziny. Dzionek ten, a był to cudownie piękny dzionek przedwiosenny, tak zbliżył dusze nasze do siebie, iż zdawało nam się, jakobyśmy obok siebie długie spędzili lata... Mówiła do mnie jak starsza siostra, dawała rady i przestrogi niby opiekunka, a ja słuchałem poważnych jej wywodów z prawdziwem nabożeństwem. Pierwszego tego już dnia odważyłem się prosić ją o pozwolenie pisywania do niej z obozu, gdy nadpłynie chwila rozłąki. —

„Sam jestem na świecie“; — tak motywowałem prośbę mą drżącym z wzruszenia głosem — „niema żywej duszy, którą obchodziłby los młodzieńca. Ty jedna pani, zdajesz się zajmować przyszłością biednego Timofieja, pozwól więc, bym znalazł w Tobie powiernika i szczerego doradzcę.“

„Będę nim“ — odparła z powagą — „jesteś pan zbyt młodym i niedoświadczonym na drodze żywota. Zastąpię Ci matkę. Zresztą“ — dodała z lekkim uśmiechem — „niech Ci się wydaje, iż w Kujawskim tym zakątku poczciwą masz ciotkę, którą los pański serdecznie zajmuje, a która chwilę niewiary wynagrodzić Ci pragnie szczerem współczuciem.“

Ze spuszczonym w ziemię wzrokiem, z zaognionem obliczem słuchałem tych wyrazów poważnych, a towarzyszyły im gesta pełne godności. Ktoby był z dala przyglądał się naszej rozmowie, byłby mnie bezprzecznie poczytał za winowajcę, słuchającego karcących słów starszej surowej siostry.

Bo co do mnie, czułem to w serca skrytościach, iż nietylko opanował je szacunek dla niezwykłej kobiety, lecz także cześć dla patrjotki; dziwny urok, przywiązany do tej postaci owładnął mną — całą swą potęgą. Głos jej dźwięczny przenikał mnie do głębi, a spojrzawszy w modre jej oko czułem lekki dreszcz, przebiegający me żyły...

Ona — spokojna, poważna, nie przeczuwała nawet wrażenia, jakie na młodzieńcu wywarła...

Wieczorem gdy tak zatopieni siedzieliśmy w rozmowie, rozległ się w pobliżu skrzypliwy dźwięk liry i ukazał się znowu u kołowrota ów żebrak — kaleka. Zaledwie go spostrzegła, szybko, jak wiewiórka pobiegła ku niemu. On, spojrzawszy ku gankowi, pokornym przywitał ją ukłonem i jękliwym głosem błagać ją począł o zmiłowanie.

Kilka cicho przez nią wymówionych wyrazów uspokoiło zapewne przybysza, nagle bowiem uciął, wyprostował się i z torby żebraczej dobył brudnej szmaty, którą Anna pochwyciła skwapliwie. Chwilę jeszcze rozmawiali ze sobą; oboje rzucili ku mnie spojrzenia z pewnym odcieniem zatrwożenia, poczem żebrak przygrywając na lirze i chromiejąc powlókł się dalej wioską.

„Grozi panu niebezpieczeństwo“ — były pierwsze szybko rzucone wyrazy powracającej. „Śledzą go jako emisarjusza z Paryża.“

— Rozkazuj pani — odparłem spokojnie; pochlebiało bowiem mnie, młodemu, w oczach jej stać się ściganą osobistością. Ach jakże zapragnąłem aureoli męczeństwa, współdziałania z nią w niebezpiecznych przedsięwzięciach, pomnąc tej chwili, gdy w krótkim kożuszku, na grzbiecie krępego mierzynka ujrzałem ją znikającą w cieniach nocy.

„Proszę z sobą... Musimy pomówić z ojcem i Szymonem.“

Zasiedliśmy do narady, która raczej na inną zasługiwała nazwę. Mówiła bowiem jedynie panna Anna, wyświecając położenie rzeczy, rozdając role i krótkiemi, urywanemi zdaniami decydując o wszystkiem, co czynić należało. Wszyscy trzej słuchaliśmy jej nabożnie; nikomu nie wymknęło się słówko opozycji. Do biernego tego posłuszeństwa w danej chwili, przyzwyczajony był już zapewne i „Ojczulek“ i „Prawa“ jego „ręka.“ Oblicze panny, dotychczas blade i nieruchome, nabrało życia i rumieniec zaognił jej lica.

Gdy zapadło postanowienie ukrycia mnie w głębi boru w lepiance cygana, kędy mnie zawieźć miał Szymon

Kujawiak, po niejakiej pauzie, jakby mówiąca nabrać chciała odwagi — dodała z lekkiem ociąganiem się:

„Jeśli pan masz jakie pisma kompromitujące — należy zabrać je z sobą.“

— Ukryłem je tymczasowo u pułapu — odparłem głosem obojętnym.

Zarumieniła się nie patrząc mi w oczy.

Gdy z papierami na piersiach gotów do wycieczki stanąłem znowu przed czekającą trójką, panna Anna nagle zmarszczywszy brwi i położywszy dłoń na ramieniu Szymona wyrzekła z widocznem wysileniem:

„Bracie — nie wszystko powiedziałam jeszcze. Bóg mi świadkiem, chciałam oszczędzić ci boleści — lecz sprawa święta domaga się tego, bym zakrwawiła ci serce. Wierny poczciwy sługo Ojczyzny, a druhu nasz — czy domyślasz się, kto z naszej włości, za ruble brzęczące sprzedał się wrogom i został donosicielem?“

Milczenie zaległo izdebkę. Starzec tylko wypuścił z ust cybuszek — a Szymon zbladł straszliwie i oczy wystąpiły mu z otwartych powiek.

„Kowal Mateusz doniósł moskiewskiej komendzie o przybyciu tego gościa i nocnym naszym transporcie.“

Szymon zachwiał się i oparł niemy plecami o ścianę, istny obraz bolu i przerażenia.

„Brat mój, pannuńciu?“ — wyjąknął.

Panna Anna podała mu rękę w milczeniu. Szymon nie śmiał jej dotknąć, a po policzku spłynęła mu łza gorżka, paląca.

Mruknął coś niezrozumiałego — oczy łysnęły mu białkami; potem otarł je rękawem, chwycił za czapkę i ozwał się głuchym, chrypliwym głosem:

„Komu w drogę, temu czas. Pójdźmy jegomość.“

Uściskałem staruszka, całując go ze czcią w ramię i otrzymawszy odeń błogosławieństwo na drogę. Pannie Annie ścisnąłem dłoń boleśnie, nie mogąc odważyć się na podniesienie jej do ust drżących — i wybiegłem ze Szymonem.

Wyszła za mną na ganek powtarzając surowym głosem, przestrogi. Nie słyszałem wyrazów — w uszach tętniało mi — byłem jak nieprzytomny.

„Czy obaczę Panią jeszcze?“ — oto jedyne zapytanie, które przecisnęło mi się przez gardło.

„Prędzej, aniżeli pan sądzisz“ — odrzekła spokojnie, choć zdawało mi się w dźwięku jej głosu odczuć pewne zakłopotanie.

Ucałowałem jej dłoń; cisza wieczorna, cień nadchodzącej nocy dodał mi odwagi.

Uszedłem, puszczając się w kierunku boru za niemym moim towarzyszem...

VII.

„Otóż i lepianka cygana. W koło bór ciemny i tajemniczy. Gałęzie dębów ogołocone z listowia świszczą pod naciskiem wiatru przeraźliwie. Kilka pni wypalonych, dół chrustem przykryty, oto wszystko, czego dojrzeć mogłem. Z okienka lepianki biło nędzne światełko, rozmraczając na kilka kroków cienie nocy. Szymon włożył do ust dwa palce i gwizdnął. Z chaty buchnęła struga światła — w drzwiach otwartych ukazał się mały, skulony człowieczek.

Weszliśmy do chaty. Na kominie gorzała kłoda sosnowa. U ściany leżał na wilgotnej ziemi tapczan z suchych liści dębowych.

Przemówiłem do małego człowieczka, który przy świetle okazał się sędziwym kościotrupem — cyganem. Szymon machnął ręką niecierpliwie, mruknął:

„Niemy!“ — i jął dawać mu jakieś znaki palcami. Cyganisko kiwnął głową od niechcenia i nie spojrzawszy nawet na mnie legł na nagiej ziemi przy kominie. Snać przyzwyczajonym był do podobnych nocnych gości.

„Nie bardzo tu pokaźnie, jegomość,“— przemówił do mnie Szymon — „lecz ciepło i bezpiecznie. Bywajcie zdrowi i czekajcie.“

— Długoż mi tu czekać, Szymonie? — spytałem z niepokojem oglądając się rozpaczliwie po ziemniance.

„Za kilka dni przejdzie oddział granicę. — Damy jegomościowi znać. Zresztą rozmówi się jegomość z „pannuńcią.“

Szymon ustawił w kącie kosz z żywnością, i zabierał się ku wychodowi. Nagle wrócił, stanął przedemną blady i szepnął z boleścią:

„Rodzony brat, jegomość!“ — — — pokiwał głową i wyszedł.

Wybiegłem za nim, by dłoń mu uściskać — lecz zniknął w borze.

A więc obaczę ją!... „prędzej aniżeli pan sądzisz“ — rzekła...

. . . .

Rzuciłem się na tapczan. Na dworze szumiały drzew konary — w ziemniance pryskał ogień i chrapał niemy cygan — w oddali wyły psy we wsi.

Nie mogłem usnąć. Wlepiłem wzrok w jaskrawie gorejącą głownię i dumałem. Myśl moja biegła ustawicznie ku białemu dworkowi.

(C. d. n.)

Moje wyjście z Warszawy do Drezna

przez **Ksawerego Bronikowskiego**

wice-prezydenta Warszawy podczas ostatnich dni rewolucji 1831 r.

przetłumaczył z niemieckiego J. N. z Oleksowa Gniewosz.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Zakroczym.

Małe to miasteczko uzyskało w Polsce znaczenie historyczne, bo było przez czas niejaki siedzibą rządu Narodowego i izby poselskiej, którzy tamże w klasztorze Kapucynów posiedzenia miewali. — Jak w Modlinie, tak i tu, schodził czas na układach i bezczynności, jedynie z tą różnicą, że ztąd można było lepiej ocenić wartość przyrzeczeń, jakie dawał nieprzyjaciel. Żądał teraz oddania Modlina, a za to chciał nam wydać z Warszawy nasze koszule, obuwie i płaszcze, a za magazyny znajdujące się w Modlinie zapłacić gotówką; armja polska miała się cofnąć w województwo Płockie, i tam oczekiwać rozporządzenia cesarskiego.

Było szczęściem dla naczelnego wodza, że te swoje układy trzymał w tajemnicy, inaczej byłby musiał takowe życiem przypłacić. Sam jednak widział jasno, czego żąda nieprzyjaciel, i nie zatrwożyła go też wieść, że Czerniczew idzie z Rossji na czele 100.000 świeżych wojsk, lecz przeciwnie zerwał układy.

Chodziło już teraz tylko o to, jak dalej prowadzić operacje wojenne, gdy się już tyle czasu zmarnowało? Tylko jeden z tych planów jest nieznany, a mianowicie ten, który przedłożył naczelnemu wodzowi jenerał Zieliński, wiceprezydent rządu narodowego: chciał on poświęcić Modlin, a rzucić się z całą armją w polskie czyli koronne województwa.

Rybiński jak się zdawało, chciał inny plan wykonać, to jest: przejść Wisłę, obsadzić krakowskie, sandomierskie i kaliskie województwa, a jeżeli się nie mylę, podpisać miesięczne zawieszenie broni. Posłał do Paszkiewicza adjutanta z tą propozycją, lecz tenże nie chciał się na to zgodzić. Naczelny wódz postanowił z bronią w ręku uzyskać to, co mu się drogą układów nie powiodło. Wysłano zaraz wielkie łodzie z Modlina naprzeciw Płocka, i armja ruszyła w trzech kolumnach z okolic Modlina do Płocka. Wszyscy się przygotowywali do przeprawy przez Wisłę, aby prowadzić wojnę przez zimę w górach województwa krakowskiego, a tam prędzej jak gdzie indziej, można się było spodziewać pomocy wewnętrznej w amunicji i broni.

V.

Dalsze osłabienie ducha armji w Płocku.

Pochód z Modlina do Płocka był tak zręcznie rozporządzony i szybko wykonany, że, zanim się Moskale w Warszawie o tem dowiedzieli, już stanął most na Wiśle pod Płockiem, i pułk krakusów już się milę naprzód po tamtej stronie wysunął.

Żołnierze unosili się z radości, że znajdą sposobność zmierzenia się z wrogiem, a nawet zaczepne działanie rozpoczną, któremu dawali pierwszeństwo nad działaniem odpornem. Była to jeszcze piękna, natchniona męztwem i nadzieję wzbudzająca armja.

Jak tylko Paszkiewicz o tym ruchu został powiadomiony, uciekł się znowu do swych ze skutkiem używanych środków; wysyłając z największym pośpiechem swe wojska naprzeciw Płocka, wysłał równocześnie do naczelnego wodza nowe wezwanie do układów.

I jeszcze mu wierzono, a chociaż Różycki i inni partyzanci oczekiwali na lewym brzegu Wisły wojsk posiłkowych, chociaż zaledwie kilka godzin jeszcze tylko było potrzeba, aby zniszczyć wielkie magazyny moskiewskie pod Łowczem, i wydrzeć im tamtę mocną pozycję, chociaż armja z niecierpliwością czekała, aby się rzucić na nowe niebezpieczeństwo, pomimo tego, rozpoczęto na nowo układy, posłano za krakusami z rozkazem, aby się cofnęli na prawy brzeg Wisły, a nawet wydano rozkaz, aby zebrać most.

Oburzenie w skutek tego było tak wielkie, że pułkownik krakusów Leski, przemocą broni chciał walczyć o zatrzymanie mostu, i omało nie popłynęła bratnia krew, gdyby nie to, że obowiązek posłuszeństwa wziął górę nad bolesnem oburzeniem.

Lecz wrażenie, jakie powstało w skutek niespodziewanego przerwania operacji już rozpoczętych, było tak drażliwe, że groziło wybuchnąć albo wewnętrznem rozdwojeniem, lub też rozwiązaniem całej siły. I w rzeczy samej, nie można było znaleść skuteczniejszych środków zdemoralizowania wojska, jak te, których niechcę twierdzić, że rozmyślnie, lecz wypadkowo użyto.

Rząd, i największa część izby poselskiej, obawiając się skutków takiego rozdrażnienia w armji, a które tak samo podzielali, i to tem więcej, gdy wódz naczelny 21. Września zwołał radę wojenną, na której kazał głosować jenerałom i pułkownikom, czy armja ma wysłać deputację do cesarza, co przechodziło jego władzę, bo jedynie miał tylko prawo, podpisać zawieszenie broni. Tak więc rząd i posłowie szukali środków, aby temu złemu zapobiedz; a ponieważ złe to całe wynikało z bezczynności, mniemał sejm, do którego rąk prezydent rządu narodowego Bonawentura Niemojowski, złożył swój urząd, uważając takowy jako znieważony, po tej radzie wojennej, że najodpowiedniej postąpi, jeżeli jak mu na to prawo pozwala, samodzielnie usunie naczelnego wodza, a na jego miejsce ognistego do prędkiego działania zdolnego, i z tej strony znanego jenerała wybierze.

Takie przymioty posiadał rzeczywiście jenerał Umiński, i na niego padł wybór. Nie mógłbym w tem względzie dać mego zdania, czy w tej chwili, gdy się tak wiele czasu straciło, gdy już korpus rosyjski stał naprzeciw Płocka i bronił przeprawy przez Wisłę, mogło szybkie działanie podług planu Rybińskiego, dla armji spowodować nie dające się policzyć straty; lecz to jest pewnem, że największa część oficerów sztabowych dlatego niechciała uznać Umińskiego za wodza naczelnego, bo się obawiano, że tenże przez swą niepowściągliwą chęć boju mógłby zadać armji śmiertelną ranę.

Czy jednak mieli prawo oficerowie sztabowi sprzeciwiać się rozporządzeniom sejmu? Pod żadnym warunkiem! — bo że ich prezydent rządu wezwał w Modlinie do wyboru k a n d y d a t ó w na wodza naczelnego, to ich nie uprawniało, opierać się jego późniejszemu rozporządzeniu, a tem mniej rozporządzeniu sejmu; lecz jedna nieprawość pociąga drugą za sobą, to też oficerowie sztabowi głośno twierdzili, że ponieważ ich w Modlinie powołano do głosowania, to i teraz, przy nowej zmianie, muszą głosować.

Tak pozostało rozporządzenie sejmu bez skutku; Umiński nie został naczelnym wodzem, a przez sejm potwierdzony rząd, chociaż się już wydalił z Płocka, chciał tem swą powagę podtrzymać, że potwierdził Rybińskiego na stanowisku. Można sobie łatwo wyobrazić, jaki nieszczęśliwy wpływ wywarł przykład oficerów sztabowych na armję, który był pierwszym wypadkiem na początku rewolucji nieposłuszeństwa względem prawnie uznanej, najwyższej władzy narodowej.

Jedynie powstrzymywały armję od jawnego buntu powtarzane rozkazy dzienne, że wódz naczelny nie podpisze żadnych upokarzających warunków; lecz serca żołnierzy były zakrwawione. Mnie samemu jest znany wypadek, że dwóch oficerów z rozpaczy, że nieroztropność kilku sprawę wolności na tak krytycznem stanowisku postawiła, odebrali sobie życie. *)

Oburzenie armji nie mogło być obcem naczelnemu wodzowi, i może dla tego, aby się malkontentów pozbyć, pozwolił oficerom i żołnierzom podawać się do dymisji.

A ponieważ wszyscy byli oburzeni, należy to do tych cudów, których rewolucja tak wiele wyliczyć mogła, że się armja nie rozwiązała. — Można wyrzec na cześć wojowników naszych, że z tego pozwolenia powszechnie nie skorzystali, tem więcej, że już wiedziano, jaki los spotkał korpus Ramoriniego. Zaledwie kilka tysięcy żołnierzy opuściło szeregi narodowe, a uczynili to trzeba przyznać ci, co okazywali najwięcej ochoty do boju; byli jednak w rewolucji za nadto skompromitowani, lub przybyli z prowincji, które zabranemi nazywają; niechcieli się dostać do moskiewskiej niewoli, jeżeliby się naczelnemu wodzowi spodobało rozkazać złożyć broń. W tak opłakanym stanie podjął się wojewoda Antoni Ostrowski i Joachim Lelewel, przedstawić naczelnemu wodzowi, zgubność środków, jakie prowadzą do tego, aby armję rozwiązać, a naród okryć hańbą.

Rybiński im przyrzekł, że złoży swój wysoki urząd, i gotów polecić armji Dembińskiego jenerała na następcę. Minął znowu cały dzień, a Rybiński nie złożył naczelnego dowództwa. Można wnioskować, że się skłaniał do tego, aby się sprawdziła przepowiednia, którą jeszcze słyszał będąc młodzieńcem; ktoś mu miał prorokować, że w rewolucji polskiej będzie ostatnim naczelnym wodzem, lecz że Polska po jego upadku odzyska szczęście, do którego wzdycha. Pomimo tego co się stać miało, Rybiński pozostał naczelnym wodzem.

Ostatni jego projekt, jaki miał przedstawić Paszkiewiczowi, opiewał: że deputacja z polskich oficerów miała się porozumieć z pełnomocnikiem cesarskim co do warunków, na jakich pokój miał być zawarty, gdy tym czasem armja pozostanie w posiadaniu województwa płockiego. Być może, że to Paszkiewicz dał taki otumaniający projekt. Rybiński pozostaje dłużnym, aby narodowi i światu objaśnić te układy, a że takowe da, za to poręcza nam jego charakter.

Paszkiewicz widząc, że się armja nasza w Płocku zmniejsza, a wojska jego zajęły nowe pozycje naprzeciw Płocka nie chciał nawet słyszeć o deputacji. Dopiero teraz otworzyły się oczy łatwowiernym.

---

*) Wypadek ten opowiadał mi świadek naoczny, oficer. Chciał wypocząć, i położył się na sofę, jego kamraci siedzieli przy stole naprzeciw siebie i rozmawiali. — Nabite pistolety leżały przed nimi. Oczywiście, los kraju i armji, były treścią ich rozmowy. Słyszeli w mieście, że układy do tego zmierzają, aby armja złożyła broń. Pogłoska ta strasznie ich dotknęła. Płakali, podali sobie ręce, uścisnęli, ucałowali się i odnowili przysięgę, że takiej hańby nie przeżyją. „Ta hańba przyjdzie niezawodnie“ zawołał jeden z nich, a podawszy drugiemu pistolet, w mgnieniu oka już nie żyli.

Armja ruszyła nagle z pod Płocka i okolic, maszerując wzdłuż Wisły aż do Spetalu, wsi, położonej naprzeciw Włocławka; a że wódz naczelny kazał zabrać i łodzie, więc cieszyła się znowu armja, chociaż już tylko do 20.000 ludzi stopniała, że się nakoniec przeprawi przez Wisłę i spotka z nieprzyjacielem.

VI.

Spetal.

Rzeczywiście ukończono szybko most pod Spetalem, a nasze forpoczty zdobyły Włocławek, położony na lewym brzegu Wisły, wypędzając ztamtąd wśród okrzyków największej radości pułk kawalerji moskiewskiej.

Zwołana rada wojenna była jednak tego zdania, że teraz tem mniej można myśleć o rozpoczęciu operacyj wojennych, jeżeli tego nie uczyniono, gdy miano siły większe; a że wódz naczelny sumy banku, dyrektorowi tegoż wydać polecił, który też takowe do Prus powiózł, naczyn ten osłabił znacznie ducha armji, przestała ufać naczelnemu wodzowi w tem mniemaniu, że ją kazał obedrzeć z kasy.

W rzeczy samej wiedział o tem prawie każdy żołnierz, że cały pułk kawalerji, osłaniał aż do granicy pruskiej pięć wozów zaprzężonych w 8 do 10 koni, co żołnierzom dozwalało wnioskować: „niechcieli dalej prowadzić boju, ponieważ zezwolili na wyprowadzenie środków do prowadzenia wojny." *) Inne pytanie było radzie wojennej przedłożone, „czy armja ma złożyć broń w kraju, lub się też udać do Prus?" — Większość głosowała za ostatniem. Tak skończyło się wszystko.

Nie... jak wielkie były błędy naszych jenerałów w tym ostatnim akcie narodowego dramatu, to im się jednak należy podziękowanie, że przynajmniej honor narodowy uratowali: Rewolucja nasza nie jest jeszcze ukończona, bo tak sejm jako też rząd i armja nie poddały się! Znużeni dziesięciomiesięcznym bojem, upadliśmy, ale niezabici. Śmierć pozorna, osłania swemi skrzydłami nasze siły. W ręku Boga spoczywa, który nas już wiele razy karał i pocieszał, czy się mamy po tym letargu przebudzić wzmocnieni, lub też umrzeć śmiercią prawdziwą.

Przedstawiłem otwarcie błędy, które się mi takowemi być zdawały; gdyby ich lepiej nie popełniono! — Ale, że się już tak stało, powtórzmy:

„Panie, twoja wola niech się stanie!

Jest lepiej, że wróg nie może głosić zwycięztwa nad nami. Nie on zwyciężył, lecz myśmy zbłądzili. Gdybyśmy byli nie zawinili, byłby może do nas wołał z zwycięskiego pola walki: „nigdy, nigdy, nie ważcie się z nami mierzyć!"

A teraz my możemy zawołać: „Niezwyciężeni, nigdy wam się niepoddamy!"

(*C. d. n.*)

*) Sumy te banku Narodowego, których znaczna część znajdowała się w złotych sztabach, przechowano chwilowo nad granicą księztwa poznańskiego u młynarza pod wsią Pietrzykowem, a to z powodu, aby nie wpadły w ręce, silnie obsadzonemu kordonowi pruskiemu. Młynarz biedny, strzegł skarbu tego jak oka w głowie, i oddał nienaruszony do dalszego transportu. — We wsi Pietrzykowie, u Napoleona Otockiego, zginął ślad tych sztab złotych. W roku 1843—45 gdy od poznańskiego przybyło wiele emigrantów z 1831 r. bawiących na zachodzie, sprawa tej kradzieży, została podniesioną. Obwiniono głównie Napoleona Otockiego i Józefa Grabowskiego, ówczesnego głównego dyrektora Towarzystwa kredytowego, którego co tylko król pruski za inne zasługi mianował hrabią. Grabowski, przyparty do muru nie mógł się uniewinniać nieznajomością tej sprawy a więc dał tłómaczenie: że wie, kto te sztaby ukradł, ale pod żadnym warunkiem nie może wyjawić, aby nieskompromitować zacnych szlacheckich rodzin wielkopolskich. Napoleona Otockiego nikt nieśmiał bronić. Znałem wprawdzie niektórych obywateli, którzy mu ręki niepodawali, a na tem i koniec. Taka już wtenczas była dziwna bezkarność w społeczeństwie. Wprawdzie badania sądu honorowego nie ustawały, i z końcem 1845 roku — zaczęto znowu o tem głośniej mówić. Rok 46 i dalsze wypadki przerwały dokończenie śledztwa, a możo i orzeczenie wyroku hańby. To jest jednak faktem niezaprzeczonym, że kilka rodzin bardzo były tą sprawą zaniepokojone.

Tak i w tem przypadku wzięła górę nieszczęsna dla nas maksyma: „niebędziemy bocianami".

O wzmaganiu się potrzeb

według wykładu prof. CONRADA opracował Dr. EDMUND BURZYŃSKI.

(Ciąg dalszy).

Doszedłszy poprzednio do wyników, że wzmaganie się potrzeb jest koniecznym warunkiem wszelkiego rozwoju, i że ludzkość doszedłszy już do tego stanu, stworzyła oraz tem samem i niebezpieczeństwo co do zaspokojenia potrzeb po za granicę możności, zajmie nas teraz niemniej ważne pytanie: Które to potrzeby nasze mają największe uprawnienie? Odpowiedź nie trudna, nasuwa się sama. Będą to potrzeby przyczyniające się do naszej szczęśliwości, do uszlachetnienia naszego umysłu, jednem słowem do podniesienia nas na wyższy stopień cywilizacji. Tu zastanowić się nam przyjdzie, czy człowiek na tym wyższym stopniu oświaty, posiadający większe potrzeby, jest w ogóle szczęśliwszy. Wychodzimy tu naturalnie z założenia, że znajduje środki zaspokojenia tychże.

Rzecz tę poznamy lepiej na przykładach z życia. I tak nie zaprzeczy zapewne nikt, że tak samo można się czuć zadowolonym przy szklance piwa, jak przy kie-

liszku najwyborniejszego wina. Radość dzieci w święta Bożego Narodzenia nie była mniejszą w chacie biedaka jak w pałacu bogacza, choć tam na drzewku kilka zaledwie płonęło świeczek i trochę wisiało jabłek i orzechów, tu gorzało mnóstwo różnokolorowych świeczek a drzewko ozdobiono kosztownemi podarkami. Lalka drewniana w perkalowej sukience sprawiła tam taką samą uciechę jak tu woskowa w przepysznej sukni jedwabnej. A dodajmy do tego, że z równą może trudnością obu ojcom rodziny przyszło ponieść ten wydatek — tu kilkunastu guldenów, tam kilkunastu centów. Obu ojców rodziny może równocześnie opanowała myśl, czy i na przyszły rok będą w możności sprawienia podobnej uciechy swym dzieciom, czy będą w stanie zaspokoić ich wymagania. Oglądnijmy się dalej po świecie. Każdy przyzna chętnie, że chłop nasz w karczmie przy jednej i to kopcącej lampie, przy odgłosie jednych tylko skrzypców pląsa tak samo ochoczo i bawi się wesoło jak my w rzęsiście oświetlonej przepysznie udekorowanej sali balowej przy odgłosie całej orkiestry. Wiadomą powszechnie jest rzeczą, jakie nudy panują na balach etykietalnych, dworskich, gdzie nikt nie oddaje się z całą swobodą zabawie, gdzie wszyscy ściśle przestrzegać muszą form przepisanej etykiety dworskiej, i że do takiej zabawy wymaga się najwyborniejszych toalet, najwyszukańszych potraw i napojów.

Poeci wszystkich narodów opiewali tę wielką prawdę: prawdziwe szczęście znajdzie prędzej w chacie biedaka niż w pałacu bogacza.

Często też słyszymy od starszych mianowicie ludzi, o ile to oni byli weselsi przy ich prostych i nie winnych zabawach od teraźniejszej młodzieży z jej przesadnemi wymaganiami. Ileż to razy wyszła z ust bogacza tęskna skarga i życzenie powrotu do dawnej prostoty i życia bez troski. A pomimo to gdyby ten bogacz wrócił do dawnego swego życia, gdyby ci starsi z nabytem już doświadczeniem i z podniesionemi potrzebami powrócili do dawnej prostoty, czuliby się z pewnoscią rozczarowani — oni teraz innej już do szczęścia potrzebują atmosfery.

Rzecz ma się tu zupełnie tak samo jak z człowiekiem dojrzałym, od którego żądać nie można, by znachodził upodobanie w zabawach dziecinnych. Przenieśmy np. biesiadników z karczmy ochoczo się bawiących do rzęsiście oświeconej i udekorowanej sali balowej a tych z sali balowej do karczmy. Łatwo pojąć, że ani ci ani tamci nie mogliby się oddać z całą swobodą zabawie. To samo stałoby się i z owemi dziećmi, gdybyśmy ich role tak samo pomieniali. Każden czuje dysproporcję. Przyzwyczajenie odgrywa tu główną rolę. Człowieka nie można wyrwać raptownie z jego atmosfery i stosunków. Utraci on zaraz równowagę wewnętrzną a z nią i szczęście i zadowolenie. Zdawałoby się przeto, że najlepiej zostawić każdego przy zupełnej prostocie, nie podnosić jego wymagań, lecz przeciwnie obniżyć. Do szczęścia niepotrzeba przepychu, wytworności.

Zapytać się ale przyjdzie nam tu zaraz, czy odpowiedne wzmaganie się potrzeb niema już żadnego uprawnienia? nie przyczynia się przepych stosowny do podniesienia naszego szczęścia? nie uszlachetnia on człowieka? a przecież tak jest w istocie, a powyższy wniosek okaże się za skwapliwie powzięty. Zapewne często przenosimy się z uczuciem tęsknych marzeń w owe błogie chwile lat dziecinnych, w których lalka zabawiła nas zupełnie, kiedy to całe godziny jeździliśmy na kiju, w naszej fantazji na bystrego rumaka przekształconym A czy pomimo to chcielibyśmy na zawsze pozostać dziećmi? czy nie czujemy się teraz wyższymi, godniejszymi nazwiska człowieka, czy każde uczucie nie staje się teraz głębszem, a życie bogatszem i treściwszem. W życiu spotykają nas ciężkie nieraz doświadczenia a przecież takie nawet życie przeniesiemy nad życie, w którem nie zaznaliśmy chwil ani pogodnych ani smutnych, przeniesiemy nad życie wyglądające jak niezapisana ćwiartka papieru.

Jak się ma dorosły do dziecięcia, taki sam zachodzi stosunek między człowiekiem cywilizowanym a dzikim: cywilizacja uszlachetnia człowieka, podnosząc uczucie i moralność. „Przemysł, nauka i ludzkość połączone ze sobą ścisłemi nierozerwalnemi węzły i znachodzimy je, jak uczy rozum i doświadczenie, tylko w czasach wyższej oświaty.“

Czy jednak człowiek jako jednostka przy cywilizacji zyskuje i staje się rzeczywiście szczęśliwszym, wydaje się nam rzeczą wątpliwą, zależy to bowiem od jego usposobienia, co on wrażliwiej przyjmuje smutek czy radość. Zależy to też od losu, dotyka on jednych mniej, drugich znowu więcej. Ogół jednak zyskuje niezaprzecznie przez oświatę.

Przedstawmy sobie znowu na kilku przykładach z życia wziętych działanie oświaty na człowieka, a pamiętajmy przytem, że z oświatą ręka w rękę podnosi się i uzdolnienie używania i wymogi. Weźmy np. muzykę. Kto tu znajdzie większą przyjemność, czy człowiek, mający słuch muzykalnie wykształcony, mogący i teoretycznie rozebrać wartość dzieła sztuki, czy człowiek nieposiadający takiego uzdolnienia?

Jakiego doniosłego znaczenia jest muzyka dla człowieka, jak głęboki wywiera wpływ na umysł jego, i jaką nieskończoną, najczystszą sprawia mu przyjemność doświadczył to każden na sobie samym. Nawet i człowiek mniej muzykalnie wykształcony nie oprze się ochoczym tonom skocznej muzyki. Jak elektryzująco, że tak powiemy, działa ona na umysł swobodny, młodzieńczy, gdy przeciwnie w umyśle skołatanym i przygnębionym wyciśnie łatwiej łzę w oku, jak najsmętniejsza piosnka. Każden z nas doświadczył, jak podniosły wywiera wpływ

na nasze uczucie gra na organach w wspaniałej katedrze lub w cichym wiejskim kościółku, zwłaszcza gdy przedtem całe otoczenie nastroiło go tam na ton poważny, tu na ton smętny, cichy.

Upodobanie w muzyce nie nazwiemy nieuzasadnionem, przeciwnie uważać będziemy za nader pocieszający objaw moralnego postępu. Muzykę staramy się coraz bardziej przez zakładanie Towarzystw muzycznych dla szerszych coraz kół przystępniejszą uczynić.

Nieuprawnionem zaś nazwiemy tu żądanie rodziców niestety dość rozpowszechnione, aby wszystkie dzieci bez żadnego względu, czy mają do tego uzdolnienie lub nie, uczyły się muzyki na utrapienie swoje i drugich dlatego tylko, że jak to mówią, należy to do dobrego tonu. Czas ten i pieniądze mogłyby w inny sposób daleko korzystniej być użytemi, zwłaszcza, że przez taką naukę nabyć można tylko pewną biegłość, a nie wzbudzi ona nawet upodobania w muzyce i nie da należytego uzdolnienia do zrozumienia muzyki, co znowu można innym osiągnąć sposobem; mechaniczne takie wyuczenie się przytępi prędzej zmysł muzykalny.

Ten sam uszlachetniający wpływ wywiera na umysł należycie przygotowany i każda inny rodzaj sztuki. Wiemy wszyscy jak demoralizujący wywierają wpływ na umysł człowieka nieprzyzwoite obrazy, czytanie nieobyczajnych romansów i t. d. Czyż dlatego przedstawienie lub przeczytanie dramatu Szekspira lub Schillera nie wpłynie na podniesienie skłonności szlachetnych a nie przytłumi pożądliwości bezecnych? A kościół nasz potrafił też należycie ocenić wpływ malarstwa na człowieka. Roszczenia wszystkich klas społecznych do udziału w tych zdobyczach cywilizacji nazwiemy przeto uprawnionemi i odpowiedniemi, równie też i żądanie nabycia należnego uzdolnienia do zrozumienia i pojęcia tychże. Recz ta nabiera tu tem większego znaczenia, że natura człowieka jest skłonniejszą do złego jak do dobrego, że łatwiej jest pobudzić złe jak dobre skłonności. Każden taki środek jednak jest jak miecz obosieczny, może utorować a nawet przyspieszyć upadek. Powiedzmy otwarcie w takiem niebezpieczeństwie znajdujemy się obecnie.

Wystarczy nam tu jeden tylko przykład. Znane jest powszechnie zamiłowanie publiczności w operetkach Offenbacha. Rzeczy pospolite, proste, niemal prostackie bywają tu przedstawione w sposób jeszcze bardziej pospolity. Publiczność uczęszcza na nie tłumnie — prowadzi nawet młodzież a potem się oburza, gdy spostrzeże, że złe skłonności nabierają przewagi u młodzieży, że ona chce sobie w sposób na deskach teatralnych przedstawione życie urządzić, że wyrabia się żądza użycia.

To samo odnosi się też i do lektury.

Jak się ma teraz rzecz z naszemi wymaganiami pod względem materjalnym?

Kto uznaje, że roszczenia nasze do zaspokojenia potrzeb duchownych są uprawnione, ten też nie może potępić wzmaganie się naszych potrzeb pod względem materjalnym. I one służą do podniesienia szczęśliwości ludzkiej, rozumie się samo przez się pod warunkiem, jeżeli znajdziemy środki zaspokojenia tychże. Człowiek pod względem duchowym w bezpośrednim zostaje związku ze światem zewnętrznym.

Człowiek wykształcony, uczuć szlachetnych, tylko w otoczeniu odpowiedniem czuć się może szczęśliwym. Kto przyzwyczajony do czystośei i porządku, nie będzie tam zadowolonym, gdzie tego znajdzie. Człowiek posiadający wykształcony zmysł piękna nie znajdzie upodobania w miejscach, bez gustu urządzonych. Z drugiej strony otoczenie całe wywiera też wielki wpływ na umysł człowieka.

W garlerji obrazów albo w wspaniałej katedrze każden niestosowny wyraz razi nas więcej, jak gdziekolwiek indziej, a i człowiek mniej wykształcony nie potrafi się oprzeć wpływowi podobnych wrażeń. Jeżeli np. człowiekowi mniej wykształconemu np. słudze przeznaczymy ładniejsze pomieszkanie, zobaczymy, że i on ze swej strony starać się będzie utrzymać je w porządku, a nawet upiększy je obrazkami, kwiatkami i t. d. Lusterko zmusi go do większej staranności w ubiorze, zatem pójdą dalsze wymagania.

Przypatrzmy się z bliska tym dalszym wymaganiom człowieka w ogóle. Najwięcej przeciwników znachodzą wymagania pod względem ubrania, mody i stroju.

Jak daleko sięgają ślady istnienia człowieka, znachodzimy pomniki i dowody, że rzeczy do ozdoby służące były w używaniu, że ludzie się stroili. Spotykamy te ślady u narodów, które tysiące lat przed nami żyli, nie pozostawiwszy pomników po sobie ściśle historycznych; w ich mieszkaniach, w miejscach, w których sprawowali ofiary, w ich grobach i mogiłach pozostawili rzeczy do ozdoby służące, naramienniki, naszyjniki, pierścienie i t. d., dziwnie wyrobione. Pozostałości te stanowią dowód dostateczny do okazania, jaką wartość te narody do tych rzeczy przywiązywały. A i dziś, jak powszechnie wiadomo, nie ma narodu, choćby na najniższym stopniu cywilizacji stojącego, którvby nie miał w używaniu rzeczy do ozdoby służących. Murzyni, Indjanie wielkie okazują zamiłowanie do strojenia się w paciorki, wstążki i pierścienie pomimo iż zresztą chodzą prawie nago. Z podnoszeniem się cywilizacji wzmaga się też i skłonność do potrzeby, do strojów i t. d.

Zkądże więc pochodzi ta skłonność człowieka do strojenia się, maż ona uprawnienie?

(*C. d. n.*)

UŁAN.



Dwa kroki jeszcze — tylko dwa kroki,
Ucisz się piersi stęskniona!
Tam, gdzie te smutne widzę obłoki,
Gdzie chatka, rzeka — tylko dwa kroki —
Tam już rodzina i Ona,“

„Drogi nie pytaj, koniu mój wrony,
Nieś mię gdzie chatka i rzeka!
Przesadzaj rowy, leć przez zagony!
O, leć na przełaj, koniu mój wrony.
Bo tam mię luba już czeka!“

Wrony, jak wicher, niesie ułana,
Niema mu przeszkód na ziemi;
Lecz ułan smutny, twarz zadumana —
„Jak mnie o Polskę, spyta kochana,
Odpowiem łzami rzewnemi.“

„I z płaczem rany pokażę moje,
Co zadał wróg jej zawzięty;
Pokażę w bojach zużytą zbroje;
Wybladłe lica przez trud i znoje
I na mej piersi znak święty.“

„Dziewcze w ramiona z żalem mnie schwyci
Otulać będzie me blizny;
Znak ją na piersi mojej zachwyci
W pięknem jej oczku łezka zaświeci,
Wraz będziem płakać Ojczyzny.“

A wrony leci, tętnią kopyta,
Już skręca w bramę i skacze;
Ale ułana nikt tam nie wita,
Nikt go w ramiona z żalem nie chwyta,
Nikt się ni cieszy, ni płacze. —

„Gdzie dziewcze moje?“ „„Jeszcze dwa kroki“‘‘
Odpowie matka w żałobie.
„„Tam gdzie te smutne widzę obłoki.
Gdzie krzyż, mogiła tylko dwa kroki. —
Tam dziewcze twoje, tam w grobie.“‘‘

„Umarła?!“ — jęknął ułan grobowo.
Odrzekła: „Z żalu umarła.“‘‘
„Toż jeszcze, Panie! — Oh, biedna głowo!“
To było jego ostatnie słowo.
Padł, boleść serce rozdarło.

M. B. Antoniewicz.

POGADANKA.

(Jako się wszystko stało wedle proroctwa Chochlikowego. — Elegja nad losem prawdziwych proroków. — Pokongresowy popielec. — Gdzie leży Polska. — Życiorys Szajnochy przez p. Klemensa Kanteckiego. — Kilka słów o Grotgerze. — Powiastki Jana Lama. — Sezon ogórkowy i cuda. — Rossi nie przyjedzie, ale Szach przyjedzie. — Teatr poznański i lwowski w Warszawie. — Sewer jako dramaturg francuski. — Przekład dzieł Józefa Supińskiego na język niemiecki. — Konkurs na zbiór słowiańskich nazw miejscowości w państwie niemieckiem. — Wiadomości ze świata literackiego i artystycznego.)

A więc *Roma locuta*, czyli właściwie *Berolinum locutum est!*

Nie będzie wojny!

Konstatuję niniejszem, żem przeszło trzy miesiące temu przepowiedział to na tem samem miejscu, — że cztery miesiące temu przestrzegałem Gucia Ahaswerowskiego, aby się nie zajmował kwestją wschodnią, lecz partycypiami greckiemi, — że pięć miesięcy temu radziłem szewcowi memu, aby pilnował kopyta, i starał się zarobić na „łaskawe względy Wysokiej szlachty i P. T. publiczności,“ a nie zatapiał się w głębokich poglądach strategików Gazety narodowej i Dziennika polskiego, — że nakoniec z górą już pół roku temu tłumaczyłem JMB Panu Suparlatiwusowi na Wielkich i Małych Wykrzyknikach Ahaswerowskiemu, że próżnemi byłyby wszelkie z naszej strony krwawe lub bezkrwawe protesta, bo Europa biedaczka nie słyszy na jedno ucho, i to — niestety — właśnie na to, do którego chciał przemawiać Pan Ahaswerowski.

I stało się, jako było napisano w Pogadankach u Chochlika proroka. I turecki rumak Wernyhory, który miał — jak wiadomo — wodę pić w Horyniu, znarowił się, i drapnąwszy w przeciwną stronę, oparł się aż gdzieś pod Stambułem, — i Europa okazała się głuchą na to właśnie ucho, do którego chciał przemawiać p. Rewakowicz, a do którego przemawiały polskie *Exposé i Memoranda*, — i szewc mój pilnując przebiegu wojennej akcji w bałkańskim półwyspie, a nie pilnując kopyta, „utracił łaskawe względy Wysokiej szlachty i P. T. publiczności,“ — i Gucio Ahaswerowski, zaniedbawszy greckie partycypia dla studjów nad kwestją wschodnią, „dostał dwójkę“ i wyjechał na wieś „gospodarować,“ — i spełniły się wszystkie słowa proroctwa Chochlikowego, zapisanego w Pogadankach Strzechy, zeszyt I aż do XIII.

Mógłbym tedy z równą dziś dumą zawołać jak Szczutek (?) w ostatnim swoim numerze: A co? Ażaliż nie jestem prawdziwym prorokiem?, — a miałbym Bogiem a prawdą ku temu nie równie większe prawo, ponieważ jego „A co?“ jest mówiąc między nami, mojem. „A co?“ a polityka, na którą się on powołuje, jest właściwie moją polityką;... mógłbym więc dobijać się wawrzynów proroczych, mógłbym, ale nie chcę. Prawdę powiedziawszy karjera ta nie nęci mnie wcale, od dawien dawna bowiem uskarzali się prorocy na ciernie, po których im stąpać wypada. Jeżeli nie schlebiają panującym prądom, biada im! Daremnie będą śpiewać piosenki wesołe, nikt nie zawtórzy — daremnie będą nucić dumki żałośne, nikt z nimi nie zapłacze. Owszem pierwszy lepszy chłystek odsądzi ich od czci i wiary, i nazwie ich trucicielami ducha, a dopiero później... później, kiedy się spełnią ich przewidywania, przyzna się każdy do ich proroctwa... *Sic vos non vobis lanam fertis oves!...*

Chętnie zatem po dobrej znajomości odstępuję Szczutkowi wawrzyny. Bogu dzięki, stać nas jeszcze na to, i owszem cieszy mnie to mocno, jeżeli pisemko to przyznaje się do programu wypisanego na czele ostatniego jego nru. Fakt ten sam daje mu niezaprzeczoną wyższość nad Harapem, Djabłem, Gazetą narodową, Dziennikiem polskim, Ruchem literackim i innemi tego rodzaju humorystycznemi pismami. Oby tylko wytrwał na tej drodze, starając się zawsze być organem prawdy i zdrowego rozsądku.

Obrót decyzji kongresu polityce nadany przygnębił wielce umysły naszego ogółu rozmarzonego przez nasze dziennikarstwo na punkcie pieczonych gołąbków, które nam wpaść miały do gąbki przy sposobności zapowiadanej europejskiej wojny. Zawiedzione sangwiniczne nadzieje ustąpiły miejsca żalowi do cywilizowanej Europy, przedewszystkiem zaś do przedstawiciela jej, kongresu, za to, że zamiast działać w myśl bujnych fantazji naszego dziennikarstwa, zadowolnił się pokojowem załataniem sprawy wschodniej na lat kilka. Deklamacje na temat gwałtu (sic!) na Turcji popełnionego są jeszcze na porządku dziennym w naszej codziennej prasie, co niezawodnie wcale pomyślnie nie świadczy o jej pojęciach, o sprawiedliwości, i o jej historycznem i filozoficznem wykształceniu. Miałaż cywilizowana Europa siłą wprowadzać nazad w bałkańskim półwyspie azjatyckie barbarzyństwo, i chrześciańskiemi bagnetami ustalać na nowo złamane panowanie, które sie opiera na Cherjacie i wielożeństwie? Wszakżeż z ogólnie-ludzkiego stanowiska sądząc, nowy stan rzeczy na bałkańskim półwyspie jest niezawodnie postępem, i nie inaczej też mógł się nań zapatrywać kongres berliński. Miejmyż raz

już choć trochę trzeźwości i słuszności; — nauczmy się patrzyć na świat przez szkła bezkolorowe!...

Cokolwiekbądź wynik kongresu powinien być dla nas nauką, że nie w jakicheś zewnętrznych, od nas niezależnych czynnikach, lecz w sobie samych winniśmy szukać warunków bytu, nie pod Bałkanem bowiem, lecz pod naszemi nogami jest Polska, a przyszłość nasza nie spoczywa wcale na dnie dyplomatycznych kałamarzy, lecz w naszem sercu, głowie, i ręku. Na poparcie tego twierdzenia mógłbym tutaj zacytować przysłowie Rzymianina, które nasze przysłowie: Jak sobie pościelesz tak się wyspisz, wybornie tłumaczy, — mógłbym przytoczyć mnóstwo filozoficznych sentencji i rozumowań, lecz i tak podobnoć za wiele, bo wiem że się to na nic nie przyda. Kto wie pojutrze może, a może jutro już ustawią nam kapelmistrze nasi nową grę na politycznej szachownicy, i każą nam wierzyć, że Polska leży w Indjach lub Kochinchinie, a pan Ahaswerowski uwierzy temu i będzie się ogromnie tem kłopotać, że Ganges śmierdzi, zapomniawszy zupełnie, iż Pełtew pod jego nosem nie woni wcale liljami. Ktokolwiekby wątpił o tem, niechaj przeczyta p. Klemensa Kanteckiego „Życiorys Karola Szajnochy“ a przekona się, że tromtadracja lwowska jest nieśmiertelną, że od lat trzydziestu jedni i ci sami ludzie bałamucą opinję publiczną, i że im się to zawsze udaje.

Monografia pana Kanteckiego, o której właśnie wspomniałem, nastręcza mi wyborne przejście do sprawozdania z literackiego świata, i tem skwapliwiej chwytam tę sposobność, ile że już zbyt długo dozwoliłem sobie wałęsać się po za zakresem niniejszych pogadanek. Życiorys Karola Szajnochy zasługiwał by z pewnością na szersze omówienie, jakkolwiek bowiem portret literacki, który nam pan Kantecki przedstawia, nie jest Rubensem ani Vandykiem, to jednakże posiada on wszelkie zalety dobrze wykonanej fotografii, i zawiera mnóstwo wielce zajmujących szczegółów, zaczerpniętych z korespondencji naszego historyka, a rzucających jaskrawe światło na opłakane nasze polityczne i literackie stosunki. Pan Klemens Kantecki przygotowuje obecnie — jak słyszałem — obszerny życiorys nieodżałowanego Artura Grottgera, i zbiera w tym celu rozprószone po nim pozostałe korespondencje. Nie wątpię wcale, że pan K. materjał ten z prawdziwą opracuje sumiennością, i że tam znajdzie nie jedną wskazówkę dotyczącą osobistych stosunków artysty, i jego poglądów na sztukę. Aliści Grottger nietylko był malarzem, był on także myślicielem—poetą — poetą tendencyjnym i politycznym, i tu właśnie zachodzi największa trudność pochwycenia jego duchowego wizerunku. Wprawdzie pozostawił Grottger w kartonach swoich „Polonji, Lituaniki, i Wojny, tudzież w albumie swoim zatytułowanym, jeżeli się nie mylę, Jesienne wieczory w tej mierze liczne wskazówki, wszelakoż nie wypowiedział on tam swego ostatniego słowa. Nadto — zapomnieć nie należy — iż utwory pendzla i ołówka, bardziej jeszcze niż dzieła pióra mają to do siebie, iż się każdy w nich tego właśnie doczytać może, czego się tam pragnię doczytać. Owoż więc, sądzę, że pan Kantecki nie będzie nam mógł przedstawić wiernie tej strony charakteru Grottgera, jeżeli nie zasięgnie języka u ludzi, którzy z nim obcowali, jeżeli nie dotrze do owego kółka słowiańskiej młodzieży, wśród której się mistrz nasz w Wiedniu obracał, dla którego liczne wykonał prace, a które już w skutek codziennych a nader serdecznych stosunków, nie mogło nie wywrzeć wpływu na poglądy i zapatrywania tego wrażliwego umysłu. Piszący te słowa miał w latach 1865 i 1866 niejednokrotną sposobność rozmawiania z Grottgerem, i może to stwierdzić, że ideały jego leżały po za horyzontem, który nam zakreślają tuzinkowi politycy...

Nakładem F. H. Richtera opuściły prasę Rozmaitości i Powiastki Jana Lama, zawierające drobniejsze belleterystyczne utwory naszego humorysty. Nazwisko autora jest dostateczną rękojmią wartości tej publikacji, nie pozostaje mi tylko jak dodać te słowa: Bliższa wiadomość w księgarni!...

Ogórkowy sezon na piękne już rozpoczął się dla naszej stolicy, skwaszonej już i tak nie mało rezultatem kongresu, i spółka artystów, dzięki której miewaliśmy jeszcze od czasu do czasu sceniczne przedstawienia, rozwiązała się ku wielkiemu zmartwieniu publiczności. W tak ciężkiej dobie jedyne w umysłach budzą zajęcie powtarzające się co chwila cuda z staremi obrazami, które się odnawiają w skutek łaski nieba, i — jak złe języki twierdzą — w skutek łaski Świętej terpentyny. Obydwa obrządki rzymski i grecki równą zostały zaszczycone łaską, i wyznawcy ich nie mogą ztąd mieć powodu do zawiści, we dwa dni po odnowieniu się wizerunku Matki Boskiej, który został przeniesionym do Śgo Jura, odnowił się obraz Chrystusa Pana, i został przeniesionym do łacińskiego kościoła Świętego Mikołaja. Cuda te były w tych cieżkich ogórkowych czasach istną gratką dla nudzącego się na zabój Lwowa, i ściągały na miejsce zdarzenia tłumy pobożnych. i... ciekawych.

Rossi, którego przybycie zapowiedziałem w ostatniej Pogadance, nie przyjedzie do Lwowa, trupa jego bowiem rozwiązała się w skutek słabości kilku artystów. Natomiast miał odwiedzić naszą stolicę Syn słońca, i król królów Szach Perski Nasr-Eddin, i którego sławione brylanty niezawodnie wielkie pomiędzy Lwowiankami sprawiłyby wrażenie, ale i tu spotkał nas zawód.

Goszczący obecnie w Warszawie teatr poznański zdobywa sobie gorące pochwały tamtejszej prasy, która podnosi umiejętne kierownictwo tej sceny będące jak wiadomo w rękach znanego u nas dyrektora tejże Doroszyńskiego, tudzież sumienność z którą się teatr ten wywiązuje z zadań swoich, jakoteż znaczne jego zasługi wobec naszego dramatycznego piśmiennictwa. „Pan Doroszyński — piszą warszawskie Nowiny — pierwszy u nas wprowadził ceny na utwory sceniczne, które rzeczywiście na miano honorarjum autorskiego zasługują, a niezależnie do wysokości tych cen, także ilość lepszych prac oryginalnych, przezeń przedstawianych, przedstawia się wcale imponująco. W roku zeszłym dwie konkursowe komedje: Pan Damazy i Emigracja chłopska, nie mówiąc o innych po raz pierwszy ujrzały światło kienkietów w Bellerne (scena, na której gości teatr poznański w Warszawie). W teraźniejszym sezonie także w teatrze poznańskim ujrzała publiczność warszawska po raz pierwszy konkursowy utwór „Artykuł 264“, a obecnie dowiadujemy się, że niezadługo przedstawi p. Doroszyński nową oryginalną komedję społeczną p. t. Trzech Budrysów, wyszłą także z miejscowej produkcji warszawskiej.

Także i o lwowskiej trupie goszczącej w Eldorado pod dyrekcją p. Terenkoczego znajduję w warszawskiej prasie po-

chlebną wzmiankę. Mianowicie podnosi Wiek, iż teatr lwowski zapoznał publiczność warszawską z Uproszonemi zalotami i z Szczęściem Walusia. Skromna to niezawodnie pochwała, ale na bezrybiu jest rak tak grubą rybą, że nawet go można sprzedać za szczupaka.

Znany nasz nowelista i dramaturg Sewer napisał pięcioaktowy dramat po francusku, którego treść wziętą ma być podobnoś z dziejów komuny. Praca ta została przez teatr *Gaeté* przyjętą i opłaconą sowicie. Czwarty to z kolei ziomek nasz, piszący dla sceny francuskiej w tym czasie. Poprzednikami jego byli: Chojecki, Wysiński i Krystyn Ostrowski, których utwory przedstawiano w Paryżu pod pseudonimami.

Wszystkie dzieła znakomitego naszego ekonomisty Józefa Supińskiego przetłumaczone będą na język niemiecki. Praca ta wykonaną zostanie z polecenia i kosztem ministra Ziemiałkowskiego. Dziennik, który przynosi tę wiadomość, dodaje przytem, „że tłumaczenie to wykonanem zostanie podług rękopisu znacznie rozszerzonego, który autor przygotował do nowego polskiego wydania, a które znaleźć nie może nakładcy, ani pośród księgarzy, ani pośród obywatelstwa krajowego, mimo że przedsiębiorstwo to nie jest niebezpiecznem.“ Smutna to ilustracja naszych stosunków!...

Towarzystwo Jabłonowskiego w Prusach ogłasza premjum w kwocie 700 marek za porządny zbiór słowiańskich nazw miejscowości w państwie niemieckiem wedle najlepszych źródeł sporządzony. Termin konkursu przypada w listopadzie 1878.

Pomnikowa praca dra Karola Estreichera bibliotekarza jagielońskiej wszechnicy i członka akademji umiejętności zbliża się już ku końcowi, właśnie bowiem opuścił prasę zeszyt pierwszy tomu piątego „Bibliografji polskiej XIX stulecia.“ Zeszyt ten obejmuje spis dzieł tych autorów, których nazwiska zaczynają się od litery W, tudzież spis broszur lub bezimiennych utworów, w których główny wyraz tytułu od tejże się głoski zaczyna, niemniej i ważniejsze artykuły w czasopismach od tej się litery zaczynających zawarte, co dla pracujących nad piśmiennictwem wielkie przynosi ułatwienie.

Donoszą z Krakowa, że wielki obraz Matejki „Bitwa pod Grunwaldem“ już w bieżącym miesiącu będzie przeniesionym do sali ratuszowaj dla ostatecznego wykończenia, poczem przed wysłaniem na wystawę powszechną w Paryżu, zostanie wystawionym już w końcu lipca przez dni kilka w Krakowie dla tamtejszej publiczności. Ad vocem Matejki nie podobna tutaj pominąć milczeniem zaszczytu który go spotkał niedawno. Rafaelowska akademja w Urbino na publicznem posiedzeniu odbytem na cześć urodzin wielkiego mistrza Rafaela, obrała jednomyślnie Jana Matejkę swym członkiem, i przesłała mu do Krakowa medal z wizerunkiem Rafaela, wraz z dyplomem akademickim.

O znajdującym się na wystawie paryskiej obrazie Brandta, przedstawiającym „Kozaków ukraińskich z XVII wieku, wybierających się na wojnę“ o którym jeden z krytyków francuzkich, sądząc że płótno przedstawia Arabów, wyraził się z przekąsem, dziwiąc się, że w obrazie tak mało jest wschodniego kolorytu, pisze sprawiedliwiej nieco krytyk dziennika la France p. Marjusz Vachon, który także nie wie, że Brandt jest Polakiem. „Przedmiot uderza — — mówi on — i zachwyca oryginalnością. Wykonanie doskonałe, rysunek poprawny, a barwy zharmonizowane w tonie nader przyjemnym. Obraz ten posiada wszelkie warunki powodzenia u publiczności, znawców i artystów.“

Warszawski komitet Tow. Zachęty Sztuk pięknych ogłasza cztery konkursa, mianowicie jeden malarski, jeden architektoniczny, a dwa rzeźbiarskie. Jako wyłączne temata podano: dla malarzy „Zdobycie Białogrodu przez Bolesława Krzywoustego“ (nagroda rs. 200). dla budowniczych „Plan kościoła dla osady Żyrazdów“(nag. rs. 300), dla rzeźbiarzy 1) „Płasko rzeźba przedstawiająca Chrystusa rozmnażającego chleb i ryby“ (nag. rs. 200) i 2) „Grupa w gipsie przedstawiająca Dawida zabijającego Goljata“ (nag. rs. 227). Termin złożenia prac konkursowych do d. 31. grudnia r. b.

O konkursie malarskim utrzymuje słusznie „Kurjer poranny“, iż go dziś już można prawie na pewno uważać za chybiony. Komitet oznacza temat konkursowy w dziele malarstwa bardzo szczegółowo. Mianowicie ma to być „Obraz olejny, przedstawiający Bolesława Krzywoustego, zdobywającego Białogród na Pomorzu, wykończony według wymagań sztuki, wysokość figur pierwszoplanowych wynosić ma 24 cale“. Cóż tu pozostawiono dla artysty-malarza? Oto prawie wyłącznie łamigłówkę techniczną. Wybrano nie tylko zdobywanie fortecy ale nawet oznaczono pojedyńczy moment historyczny. Takie ściste określenie tematu jest w ogóle niewłaściwem, a cóż dopiero mówić o wybranym momencie z odległej epoki, gdzie nawet wprawny archeolog z trudnością oznaczy stroje, uzbrojenia i t. d.

Włodź. Zagórski.

POKŁOSIE.

Do historji ogona. O początku i historji ogona u sukień kobiecych nie wiele mamy podań; to jednak zdaje się być rzeczą pewną, że właściwy ogon aż do końca wypraw krzyżowych wcale nie był znany. Faktycznie pojawia on się dopiero w XII. wieku w Anglii i we Francji. Zdaje się, że wytworzył on się z tak zwanej dalmatyki, którą bogatsze damy nosiły po wierzchu. Noszono naówczas bardzo kosztowne suknie, i po części dla okazania ich, po części zaś dla wygody przy chodzeniu i jeżdżeniu, podpinano dalmatykę z przodu do góry, i tym sposobem, że tylną część tej sukni coraz więcej przedłużano, a przednią, ażeby oszczędzić podpinania, skrócono, powstał ogon sam przez się. Jestto oczywiście bajka co prawią, że ogon miała zaprowadzić jakaś królowa, ażeby zasłonić niekształtne swoje nogi. Właśnie bowiem suknia królowej Berengarji (małżonki króla Ryszarda Lwie serce) nie odpowiadała wcale temu celowi, gdyż nie zakrywała z przodu nóg prawie aż do kolan. I królowa ta (która zresztą musiała mieć bardzo kształtne nogi) była też pierwszą monarchinią, która nosiła prawdziwy ogon. Ale wnet było damom za mało tego jednego ogona. Noszono po wierzchu sukni gorset, którego przedłużony stanik kończył się z tyłu rodzajem ogona tak dłu-

giego; że albo owijano go jak szal około ciała, albo skrócano kilku spinkami, gdy przeciwnie ogon sukni wlókł się po ziemi. Ten drugi ogon wyszedł z używania na początku XIV. wieku, ale za to przedłużył się jeszcze bardziej ogon sukni, który podciągano z przodu do góry, ażeby widać było bogato haftowaną, ściśle przylegającą i zwykle dwukolorową spodniczkę. Nawet mężczyźni nosili przy uroczystych sposobnościach (n. p. na turniejach) po wierzchu zbroji płaszcz z wlokącym się z tyłu ogonem. U dam bywały ogony tak długie, że musiano je kilkakrotnie złożone nosić na ręce. Wkrótce jednak znikł ogon na dłuższy czas i pojawił się znowu w połowie XV. wieku, ale wtedy już w takich rozmiarach, że królowa francuska Izabela z Bawarji, kazała rozszerzać drzwi w zamku Vincennes, ażeby w dniach wielkiej gali mogły swobodnie przechodzić niemi damy dworskie. Około połowy XVI. wieku wyparła ogon szeroka krynolina hiszpańska, ale później przyprowadziła go znowu do znaczenia Elżbieta, królowa angielska. W tym samym czasie pojawił się znowu drugi ogon. Ten drugi ogon niósł zwykle paź, gdy tymczasem ogon sukni wlókł się po ziemi. Na jakiś czas odzyskała znowu panowanie krynolina, i dopiero na początku XVII. wieku spotykamy znów ogon, który z początku był bardzo skromny, ale później przybrał takie rozmiary, że bez pomocy pazia nie mogła dama przejść z jednego pokoju do drugiego. Na ulicy nosiły panie ogony swoje same, a ubior damy z r. 1670 był z małą różnicą prawie taki sam, jak dzisiejszy strój wizytowy. Słusznie więc można tu powtórzyć za owym sławnym rabinem: „Wszystko to było już niegdyś!“

Osobliwsze pogrzeby. Biskup sztrasburgski, Arbagast, rozporządził w r. 1658 w testamencie swoim, ażeby ciało jego dla okazania pokory chrześcijańskiej pochowano pod szubienicą. — Francesco Sales, prawnik w Padwie, umierając na słabość gorączkową, zapisał trupa swego wydziałowi anatomicznemu, ażeby wyświadczyć przysługę lekarzom, którzy w owych czasach musieli za takie rzeczy drogo płacić. — Tkliwy wielbiciel pięknej Laury, ulubiony poeta Petrarka, kazał się pochować w habicie franciszkańskim. Podobnie rozporządził w swym testamencie sławny jurysta Baldus; a także wielu cesarzy, królów, książąt i magnatów od najdawniejszych aż do najnowszych czasów pochlebiało duchowieństwu takiem samem przystrajaniem swych zwłok. — Pocieszne zdanie o śmierci miał Ludwik Cortusius, profesor praw w Padwie, który umarł w r. 1418. Mawiał on często: „Drogę na tamten świat łatwo znaleźć, idzie się na nią z zamkniętemi oczyma. W testamencie zakazał też spadkobiercom swoim pod znaczną karą pieniężną ubolewać nad swoim zgonem. Wiedząc, że go wystawnie chować będą, rozporządził, ażeby tak z tyłu jak i przed trumną szli muzykańci, trębacze i śpiewacy i rozweselali publiczność po każdym żałobnym śpiewie księży. Mary jego miało nieść dwanaście zielono ubranych dziewcząt, i śpiewać przytem wesołe pieśni, jakie im właśnie na myśl przyjdą, za co miała każda otrzymać podarek pieniężny na wyprawę. Chowano go podług jego roz porządzenia za dnia, przy blasku stu gorejących pochodni, a księża postępujący z tyłu i z przodu nieśli dwadzieścia świec woskowych. Pomiędzy księżami byli także mnisi, z wyjątkiem Augustynów, których wyraźnie wykluczył testamentem, ażeby czarnemi habitami swemi nie zakłócali wesołości konduktu pogrzebowego. — Pewien zmarły w roku 1620 pułkownik rozporządził, ażeby na pogrzeb jego zebrali się wszyscy weseli przyjaciele jego i uczcili go wielkim bankietem. — Pewien Medjolańczyk oddawał się tak namiętnie grze, że przegrał cały swój majątek. Pozostał mu tylko folwark, ale i tym nie długo się cieszył. Przegrywał częściowo należące doń grunta, cegły i belki domu, stał się żebrakiem i popadł w grubą melancholią. W tym stanie napisał testament; a ponieważ nie miał już nic do dyspozycji i nie mógł światu nic przekazać, rozporządził ciałem swojem w ten sposób, ażeby skórą jego obciągnięto warcabnicę, a z kości porobiono kostki do grania i rozdano graczom. — W Knight Brigde, w okolicy Londynu, umarł w r. 1823 bogaty szlachcic, imieniem Bortey. Był on szczególnym miłośnikiem psów, a to dlatego, ponieważ pewnego razu, gdy go w podróży do Francji i Włoch napadli zbójcy, pies uratował mu życie. Otóż potomkowie tego psa byli jedynymi jego towarzyszami. Utrzymywał je wspaniale i żywił najlepszemi przysmakami. Ich siedzibą była przepyszna sala, gdzie stały bogate łoża. Dwóch lokai musiało być zawsze w sali na usługi i spełniać wszelkie nieme rozkazy swoich czworonożnych panów. W pewnych godzinach wyprowadzał je właściciel na przechadzkę zwykle między pierwszą a drugą godziną zrana. Gdy mu zdechł który pies, kazał go wystawić w paradnej trumnie, palić woskowe świece do koła, obijać salę czarnem suknem i wyprawiać mu okazały pogrzeb w swoim ogrodzie. Wszystkie psy szły za trumną z czarnemi krepami na szyi, a przez kilka dni przedtem nie dawano im jeść, ażeby mogły dobrze wyć i skomleć żałośnie na grobie swego towarzysza. Gdy już sam kończył życie, kazał się obłożyć do koła swoimi psami i umarł ciesząc się ich pieszczotami. W testamencie pozapisywał im znaczne pensje i rozporządził, ażeby kamienne ich posągi ustawione zostały na czterech rogach jego pomnika grobowego.

Instynkt czy rozum? Pytaniem tem zajmują się już oddawna naturaliści, a przecież nie rozstrzygnięto go jeszcze należycie. Jako ważne wskazówki w tej mierze mogą posłużyć jeszcze następujące wypadki, opowiadane przez naocznych świadków:

W pewnym folwarku umieszczony był kurnik nad oborą tak, że z obory prowadził otwór do niego. Kury więc mogły dostawać się doń albo tym otworem, albo też drzwiczkami, wychodzącemi z kurnika na dziedziniec. Zwyczajnie używały kury tego drugiego wnijścia, ponieważ przy znanej ciężkości i niepewności ich lotu ułatwiała im przystęp przystawiona doń drabina. Kogut tylko stanowił w tym względzie wyjątek, gdyż zawsze prawie, gdy obora była otwarta, udawał się na spoczynek znajdującem się wewnątrz otworem. Tu nie było stałej drabiny, gdyż otwor ten służył tylko do tego, ażeby gospodyni mogła rewidować kurnik, i tylko w takim razie przystawiano doń drabinę. Otóż ów kugut nie mogąc od razu wzlecić tak wysoko, jak utwor się znajdował, wskakiwał zwykle najprzód na grzbiet stojącej pod otworem krowy, a ztamtąd dopiero dostawał się do karmnika. Jeśli krowa właśnie wtedy stała, nie trudno było kogutowi cel swój osiągnąć. Jeżeli zaś zastawał ją leżącą, wtedy odległość jej grzbietu do utworu była dla niego za

wielka, i potrzeba było zaradzić tej niedogodności. Otóż w takim razie przystępował kogut zwykle do krowy i dziobał ją tak długo w bok, dopokąd krowa dla pozbycia się napastnika nie powstała. Wtedy wyskakiwał kogut natychmiast na grzbiet i z tego wyniosłego stanowiska dostawał się do swojego ludu.

W innem miejscu staczały często zacięte walki dwa sąsiednie koguty, przyczem uważano, że jeden z nich atakował drugiego zawsze z jednej i tej samej strony. Dziwiło to wszystkich nie mało; ale w końcu wyjaśniła się rzecz: pokazało się, że jeden z napaśników był ślepy na jedno oko, a drugi poznawszy słabą stronę przeciwnika, starał się z niej korzystać.

Nierównie ciekawszym jeszcze jest następujący wypadek, który opowiada jeden z czytelników wiedeńskiego dziennika „*Neue freie Presse*“: „Moja głuchoniema ciotka — powiada — zajmuje od wielu lat w towarzystwie młodszej głuchoniemej dziewczyny pomieszkanie, którego przedpokój wychodzi na kurytarz. Obie głuchonieme mieszkanki zamykały się naturalnie zawsze, ażeby uniknąć wszelkiego niebezpieczeństwa. Przed dziesięciu niemal laty otrzymała moja ciotka małego mopsa w podarunku, dla którego gmina wydała bezpłatnie markę, ponieważ uważano go niejako za stróża tych dwóch głuchoniemych, samotnie mieszkających kobiet. W początkach swego pobytu u głuchoniemych oznajmiał pies zawsze głośnem szczekaniem każdego, kto dzwonił do nich z korytarza; ale ponieważ równie odgłos dzwonka jak i szczekanie były stracone dla głuchoniemych, przeto wpadł on w końcu na ten pomysł, że chwytał panie zębami za suknie, i ciągnął je do drzwi. Później wystarczało najlżejsze pociągnięcie za suknię, ażeby skłonić je do otworzenia drzwi. Tak więc szczekanie psa, które przedtem zapowiadało każdą wizytę moję, ustało po $2^1/_2$ latach zupełnie, i pies pozostał przez siedm lat niemym aż do końca swego życia, który nastąpił przed kilku miesiącami. Przez cały ten czas nie wydawał już pies żadnego głosu z siebie, czy był w pokoju, czy na ulicy, czy ludzie obcy czy znajomi wchodzili do jego pani, lecz uważał tylko zawsze na miny i poruszenia rąk niemych kobiet, i do nich stosował swoje postępowanie. Okoliczność ta więc, że pies poznawszy bezużyteczność swego szczekania wobec głuchoniemych, odzwyczaił się zupełnie od tego naturalnego objawu swego instynktu, należy bez zaprzeczenia do najciekawszych zjawisk w życiu zwierzęcem.

Kryształowa bania cesarza japońskiego. Przed niespełna czterma laty rozbił się parowiec „Nil“ u wybrzeża japońskiego. Okręt ten wiózł należące do rządu japońskiego przedmioty, które figurowały na wystawie wiedeńskiej. Pomiędzy niemi znajdowała się także przepyszna wielka bania z kryształu najczystszej wody, najpiękniejszy może na świecie okaz tego kruszcu, wysoko cenionego w Japonii. Ze względu na wartość, jaką przywiązywano do tej bani, będącej już od kilku wieków w posiadaniu familii cesarskiej, wzywano od czasu rozbicia się „Nilu“ kilkakrotnie nurków do szukania tej kosztownej bani, obiecując za jej odszukanie znaczne nagrody. Próbowało więc zaraz kilku nurków zarobić wyznaczoną nagrodę, ale napróżno. Pomiędzy tymi nurkami znajdował się młody człowiek, imieniem Gonhiki, który szczególnie w najnowszych czasach zajmował się gorliwie szukaniem tej bani. I gorliwość jego nie była daremną, udało mu się bowiem istotnie wydobyć na wierzch tę banię, której sama średnica wynosi 17 centymetrów. Gonhiki znalazł ją w skrzyni na spodzie okrętu pod kupą towarów i rupieci wszelkiego rodzaju. Wysilenia jego były naprawdę nadludzkie, jeśli się weźmie na uwagę zupełną ciemność, w jakiej pracował, i ogromny nacisk wody, na jak był wystawiony. Nie mniej zadziwiającém jest to, że bania kryształowa po półczwartorocznym przeszło pobycie w wodzie nie okazuje żadnego śladu zabarwienia, lecz zachowała w zupełności swój połysk i taką czystość, jak gdyby nie była wyszła z pałacu cesarza japońskiego.

Kapelusze Garibaldego. Od wielu już lat nie potrzebuje Garibaldi troszczyć się o nakrycie głowy dla siebie. Pewien poczciwy obywatel medjolański, z zawodu kapelusznik, jak tylko uda mu się wyrobić model kapelusza sztucznego lub oryginalnego kształtu, albo też z jakiej szczególnej materji, posyła zaraz egzemplarz takiego nakrycia głowy na Kaprerę, a Garibaldi grzeczny jak zwykle, przyjmuje go zawsze z kilku uprzejmemi wyrazami podziękowania. I temi dniami też posłał ów usłużny Medjolańczyk, Signor Rotta Gianandrea, jenerałowi nowy kapelusz z załączeniem prośby, ażeby mu przysłało jako relikwią jaki stary, znoszony już kapelusz. Prośbie jego uczyniono zadość, i z niesłychaną radością i tryumfem pokazuje on teraz przyjaciołem i znajomym elegancki baret axamitny, wyprawiony przed dwoma laty z warsztatu jego na Kaprerę, który Garibaldi nosił w ostatnich miesiącach, a teraz odesłał mu napowrót z następującym biletem: „Mój kochany Rotta! Dzięki za przecudny kapelusz. Zawsze Twój G. Garibaldi.“ I tak posiada teraz ów zacny kapelusznik zarazem i relikwią i autograf.

Początek i historja wystaw powszechnych. Nie jednemu zdawaćby się mogło, że wystawy są wynalazkiem naszego dopiero wieku; tak jednakże nie jest. Najpierwsze ślady wystawnictwa spotykamy już w najdawniejszych czasach w Chinach. Władca „państwa niebieskiego“ używa każdego przedmiotu, każdej części ubioru raz tylko; potem układają wszystko to na bok, i z końcem roku odbywa się wystawa tych rzeczy. Wszystkim wolno zwiedzać tę wystawę, mandaryni są niestety zmuszeni, zakupywać wystawione artykuły po nader wysokich cenach, do czeko — dzięki błogosławieństwom oświaty zachodniej — nie jest obowiązana publiczność, zwiedzająca wystawy europejskie.

Jeźli zastanowimy się dokładnie nad ideą, o którą chodzi przytem, to się okaże, że Anglicy i Francuzi mogą spierać się w tym względzie o pierwszeństwo. Anglja uzasadnia pretensją swoją tem, że już w połowie przeszłego wieku urządzało londyńskie towarzystwo politechniczne konkurencję o nagrodę. Francuzi zaś powołują się na to, że w r. 1797, w rocznicę ogłoszenia republiki, odbyła się w Paryżu wystawa, w której brało udział 110 przemysłowców, i że owe zeszłowieczne konkurencje londyńskie nie mogą być uważane za wystawy. Pierwsza wystawa taka, jak ją dziś pojmujemy, wyrobów przemysłowych odbyła się na ziemi angielskiej dopiero w r. 1843 w Manchester. Francuzom, którzy pomysł odbytej w r. 1787 wystawy przypisują swemu François de Neufchâteau, podobała

się wielce ta pierwsza wystawa, i konsulowie rozporządzili przeto, ażeby na przyszłość odbywała się w roku taka wystawa w drugiej połowie września. Wszelako upłynęło dość wiele czasu, nim ta uroczystość przemysłowa powtórzoną być mogła. Druga wystawa republiki nastąpiła w r. 1801 z udziałem 222 przemysłowców, trzecia w r. 1802 z 540 wystawcami. Czwarta wystawa przypadła na rok 1806 za cesarstwa; piąta odbyła się w r. 1819, i brało w niej udział 1662 przemysłowców; szósta (w r. 1813) przewyższyła poprzedniczki swoje długością czasu, gdyż trwała pięćdziesiąt dni. Z innych wystaw w nowszych czasach zasługują na wzmiankę: w r. 1820 wystawa w Gand; 1725 w Harlemie, 1829 w Batawii, 1830 w Brukseli, 1834 w Berlinie, 1844 i 1849 w Paryżu. U Anglików obudzały takie przedsiębiorstwa najmniej zajęcia w porównaniu z innymi narodami; a przecież miał od nich wyjść pierwszy impuls do olbrzymich wystaw, których już sama nazwa okazuje, że spodziewają się udziału całego świata. W r. 1851 odbyła się w Londynie pierwsza wystawa powszechna. Na czele jej stał książe Albert, małżonek królewski. Wynik jej był prawdziwie światowy, gdyż z nadwyżki dochodów w sumie 150.000 funtów szterlingów zbudowano muzeum South-Kensington. Nadmienić wypada, że wtedy z dziedziny sztuk plastycznych tylko rzeźba na wystawę była przypuszczona. Decydującą była ta pierwsza wystawa powszechna co do oznaczenia terminu wystawy. Od r. 1851 bowiem stało się niejako regułą, że otwarcie wystawy powszechnej ma przypadać 1. maja, a zamknięcie ostatniego października W r. 1855 nastąpiła w Paryżu druga, w r. 1862 w Londynie trzecia wystawa powszechna. Ta ostatnia przyniosła znaczny niedobór Potem nastąpiły wystawy powszechne: w Paryżu 1867, w Wiedniu 1873, w Filadelfii 1876 i w Paryżu 1878. Wszystkie dotychczasowe wystawy były podobne sobie, że żadna nie była na czas gotowa. Zawsze odbywała się 1. maja niejako jeneralna próba, a po niej dopiero następywała prędzej lub później właściwa wystawa.

Dziwny sposób wychowania dziewcząt istnieje u krajowców Nowej Brytanii. Misjonarz Jerzy Brown opowiada, że spostrzegł tam pewnego dnia jakiś budynek, który był obwieszony liśćmi na znak, że jest święty i nietykalny. Stał on na gorącym, piaszczystym placu i obudzał ciekawość jego tak dalece, że starał się podarunkiem wyjednać sobie pozwolenie do bliższego obejrzenia jego. Pokazało się, że były to trzy chaty, zbudowane z pozszywanych liści pendamósowych, o kilkustopowej średnicy, których dach kończył się ostrym szczytem. W każdej chacie znalazł Brown trzy młode dziewczęta w wieku po 8, 10 i 14 lat, które stały na podnożu dziesięć stóp wysokiem. Jak mu powiedziano, bywają nieszczęśliwe dziewczęta już od najpierwszej młodości w takich klatkach zamykane, gdzie pozostają aż do dziewiczego wieku. Przez ten czas nie mogą nigdy nogą dotykać się ziemi, i gdy tam wchodzą lub wychodzą, podścielają im liście bambusowe, ażeby nie stąpały po gołej ziemi. Temperatura w jednej z tych chat wynosiła $25\frac{1}{2}$ stopni Reaumura, ale Brown nie dostrzegł żadnych szkodliwych skutków tej gorącej niewoli. Zresztą mogą pozwolić sobie takiego zbytku w wychowaniu swych córek tylko ludzie bogaci.

Inny osobliwszy system pedagogiczny używany bywał dawnemi czasy na dworach książęcych w Niemczech. Potomkowi książęcemu dodawano do towarzystwa pacholę szlacheckie i uczono ich razem; jeźli książątko spłatało jakiego figla, jeźli nie chciało uczyć się podstawy wszelkiej mądrości, wokabuł łacińskich, jeźli było nieporządne, plamiło atramentem zeszyty lub w ogóle źle się zachowywało, brało pacholę chłostę za to, i dlatego zwano je poszturchajłem (whippingboy). Dla książątka zaś miała to być już dostateczna kara, że musiał patrzeć na to, jak bito niewinnego za wykroczenie, których nie popełnił; książęca bowiem skóra była nietykalna. Nie byłże to wzniosły system wychowania? I gdzież to dzisiejszym pedagogom zdobyć się na tyle mądrości!

Środek na opieszałych burmistrzów. Książe Wacław Lobkowitz, przez długi czas wszechmocny minister casarza Leopolda I. (od r. 1685—1705), odznaczał się obok wolnego sposobu myślenia wielką sarkastycznością i dowcipem, który nie oszczędzał nikogo nawet cesarzowej. Ulice rezydencji austrjackiej znajdowały się wówczas w bardzo nędznym stanie, i Lobkowitz wzywał był już kilkakrotnie władze miejskie, ażeby czyściej utrzymywały ulice; ale ani prośby ani groźby nie zdołały wzruszyć magistratu, i wszystko szło po staremu. Pewnego dnia kazał tedy książe jako dyrygujący minister państwa i gubernator Wiednia wezwać do siebie burmistrza stolicy, który przyjechał w ubraniu galowem, w trzewikach i jedwabnych pończochach. Książe przyjął go jak najgrzeczniej, ale zdawał się być bardzo zajętym. — „Przepraszam pana — rzekł — ale nagląca sprawa zmusza mnie wyjechać; wsiądź pan do mego powozu, a będziemy mogli po drodze się rozmówić. Każę pana podwieźć na pańską ulicę, i możesz pan przeto odesłać swój powóz do domu“ — Burmistrz, Sebastyan Fickentscher, kazał tedy swemu woźnicy odjechać do domu i widocznie dumny z takiego zaszczytu, zajął miejsce obok księcia, który spokojnie zaczął rozmawiać o pogodzie. Ale nagle obejrzał się jakby przestraszony. „Ach!“ — zawołał tonem ubolewania, właśnie gdy kareta przejeżdżała jedną z najplugawszych ulic miasta, — „zmyliłem drogę. Muszę pana prosić, ażebyś raczył tu wysiąść, gdyż sprawa wzywa mnię w inną stronę, a już i tak bardzo się spóźniłem“, — Lokaj otworzył drzwiczki i zabierał się do wysadzenia burmistrza. Ale ten zobaczywszy błotniste morze, w które miał zapuścić się z swoją toaletą galową, zwrócił się do księcia i rzekł błagalnym głosem: „Excelencja wyświadczyłby mi wielką łaskę, gdyby raczył rozkazać woźnicy, pojechać jeszcze cokolwiek dalej.“ — „Niepodobna!“ — odparł Lubkowitz stanowczo. „Już od pół godziny mnie oczekują.“ — Chcąc nie chcąc musiał tedy biedny burmistrz wysiąść w swoich paradnych trzewiczkach i brnąć po kostki w błocie. Lobkowitz śmiał się na cały głos; ale odtąd nie potrzebował już nigdy użalać się na zły stan ulic wiedeńskich.

Kącik humorystyczny „Strzechy“

Część naukowa.

Krótki rys statystyczny Palestyny

według najnowszych odkryć geograficznych spisał i z powodu wniosku p. Isztoczy'ego, dążącego do odbudowania państwa żydowskiego do druku podał Dr. Kącik.

(Dokończenie.)

Z tego co się tu powiedziało, wynika, że Palestyna (po polsku Zarwanica) będąc zamieszkałą przez naród tak łagodny, słodki i pobożny, sprawiedliwy, dobroczynny i oświecony ma w sobie wszelkie warunki do wytworzenia wzorowego państwowego organizmu, i żeby się dała nie równie łatwiej nrządzić a niżeli pewno wiecznie organizujące się państwo.

Palestyna byłaby królestwem, Rotszyld który był dotychczas „Żydem królów“ stałby się „Królem Żydów“, i zarządzałby państwo swoje parlamentarnie na zasadzie dwóch izb: giełdy pieniężnej i towarowej.

Herbem państwa byłyby po prawej stronie trzy zajęcze skórki w żółtem polu, po lewej kociołek z dziurką i para starych spodeń z dewizą: „Przechodrowane aber git!“

Siły zbrojnej nie byłoby w Palestynie wcale, albowiem wszelkie spory załatwiałyby się kompromisem. „Filistyńczycy chcą się bić — *mach nur an Vergleich*.

Ministrem oświaty byłby p. Karol Emil Franzos, dla tego że ma aż dwa imiona, obydwa chrześcjańskie, a do tego nazywa się Franzos, *und dus zeigt fon Byldung!*

Ministra Finansów nie byłoby wcale potrzeba, bo każdy Żyd jest już ministrem finansów i zna się na skarbowości, szczególniej gdy jest *in de Lib*: bo wtedy mówi każdy: *ech nem*, co przecie główną zasadę dobrej administracji stanowi.

Aforyzmy.

Kobiety są największemi legitymistkami w pozorach, a największemi rowolucjonistkami w rzeczywistości.

Miłość nie zna obrzydliwości.

Kobieta, która przestała kochać, nie przestaje być zazdrośną, jeżeli prawdziwie kochała.

„Kocham Cię“ to znaczy „wystarczasz mi!“

Żadna kobieta nie jest sprawiedliwą dla innych, gdy kocha.

Kto chce nic nie dostać od kobiety, ten potrzebuje tylko żądać za mało.

Jeżeli zauważysz, że cię kochanka przestaje kochać, a chcesz ją zatrzymać, — usuń się natychmiast — wtedy sama wróci.

Z dumań pessymisty.

Życie — to szkoła, gdzie się uczymy nie wierzyć;
Wiedza — to życie, które nie daje się przeżyć;
Szczęście — to bajka o lepszym bycie w nadziei;
Cierpienie — własność na którą nie ma złodziei...

Los lubi nas po świecie wieść gościńcem krzywym;
Pierw nim osiągniesz szczęście, chciej być nieszczęśliwym.

Luźne myśli.

Jeżeli chcesz, ażeby o Tobie nic złego nie mówiono, nie czyń nigdy nic lepszego od innych.

Ażeby sobie życie odebrać, potrzeba je mieć pierwej odebrane przez innych.

Czas się wydaje najkrótszym dla tych, którzy go umieją podwajać.

Mając zmartwienie, pocieszaj się tem że przyjdzie drugie, które ci pozwoli o tamtem zapomnieć.

Filozof uczekujący na bezpłodność rozumu podobnym jest do szewca, który bez butów chodzi; — poeta narzekający na brak ideałów podobnym jest do kupca, który ubolewa, że publiczność nie otwiera sklepów i nie dostarcza mu towaru.

Piękne zasady są w takim stosunku do życia jak duża noga do ciasnego buta.

Panna Lala.



Fragment z listu.

Serce mi bije gwałtownie, drżę cała z wzruszenia, dziś bowiem wieczór;... ale to cała historja, cała awantura arabska, którą ci muszę opowiedzieć od początku. Rozumie się *sous le sceau du secret*; nie prawdaż!?...

Pisałam Ci już w ostatnim liście, że Julietta jest z mężem tutaj, ale nie pisałam Ci o tem — *car c'est de la haute nouveauté*, — że pan mąż upił się Paryżem, i szaleje jak student za jedną z gwiazd Mabillu. Otóż Julietta dowiedziała się o tem złapawszy liścik tej *Mam'zelle* Percaline pisany do p. Tytusa... *Boum!* Możesz sobie wyobrazić rozpacz Julietty; te spazmy, płacze, łamanie rąk, narzekania, *enfin du melodrame tout pur!* Przyznam Ci się że ja w podobnym wypadku nie martwiłabym się wcale, a zwłaszcza nie łamałabym rąk, gdybym je miała tak chude jak ta biedna Julietta... *Cela ne lui va pas!*

Otóż ta rozpacz zdradzonej Didony jest wodą na mój młyn. Oddawna już jestem ciekawą tego sławnego Mabillu. Mam zwłaszcza *une furiense* widzieć jedną z królowych tego piekła *Ma'mzelle* Tapageur, o której wiem, że się w niej Toto podkochuje... Powiesz może, iż to jest dowód mej miłości dla Toty!.. *Du tout* nienawidzę tylko, jeżeli mężczyzna, który mnie zna, zajmuje się inną;... *voila*!...

Zrozumiesz *ma chere*, że nie potrzebowałam wiele dyplomacji, aby tę gąskę Juliettę namówić do pojechania do Mabille, *bien entendu* w sekrecie przed Papą... Zwierzyłyśmy się z planem naszym Totowi, chcąc go użyć za przewodnika, nie zapomniawszy oczywiście obligować go pod słowem honoru do tajemnicy. *Eh bien*, cóż powiesz! Toto zaczął perswadować, prosić, zżymać się, a gdy to wszystko nie pomogło, wpadł *dans une furie blanche*, że związany słowem honoru, nie może donieść Papie o naszym zamiarze, i przeszkodzić nam w ten sposób... *Je ne le croyais pas si bête!*.. Nie było rady z warjatem... Julietta kazała więc sobie u Dusotoy zrobić męzkie suknie, i dziś wieczór jedziemy...

Ah, je n'en puis plus!... Jutro ci doniosę o rezultacie naszej *escapady*....

Eh! nie...

— Wczoraj, w kawiarnianej sali,
Porządnie się wyśmiewano
Z facetów, co w bilard grali
Przez caluśkie Boże rano.
To mi rycerze ogniści...
— Wiem, pewno z rzemiosła gracze;
— Eh! nie, jacyś gimnaziaści,
Widać pstro w głowie, smarkacze.

Mamy na wsi filantropa,
Co się poświęca dla ludu;
Choroba, bieda u chłopa,
Czy głód, nie żałuje trudu,
Radzi, wspiera, uczy dziatki...
— Wiem pewno proboszcz miejscowy.
— Eh! nie, jakiś brat sąsiadki,
Mówią że dziwak surowy.

— Prowadzono dziś złoczyńcę;
Ręce miał skute w kajdany,
Na twarzy i czole sińce,
Był blady i zapłakany.
Przechodził koło mnie blisko.
— Wiem, jeden z Chabrusy naszej
— Eh! nie, jakieś biedaczysko,
Co ukradł dwa garnce kaszy.

— U hrabiego, na herbacie,
Gdzie była noblessa cała,
Przyglądano się facjacie,
Jak przed hrabiami skakała.
Prawie całowała w pięty...
— Wiem jakiś biedak — głód parzy!
— Eh! nie, to był pan Walenty.
Jeden z naszych dziennikarzy.

— W klubie na balu, kobiety
Były nieszczególnej krasy;
Ale za to toalety!
Aksamit, gaza, atłasy,
Koronki... a jakie miny!
— Wiem były same magnatki.
— Eh! nie, zwykłe kobieciny,
Doktorki i adwokatki.

Widziałem, jak wyrobnicę,
Za komorne, sumkę małą,
Wyrzucono na ulicę.
Biedactwo strasznie płakało.
To już postępek bezbożny.
— Wiem, zrobił to lichwiarz znany.
— Eh! nie, właściciel zamożny
I powszechnie szanowany.

Wiesz, że na tego pisarza
Co nadużycia wytyka,
Choć nikogo nie spotwarza,
Ludzie patrzą jak na żbika.
Świat czasem jest dziwnie srogi...
— Wiem kto, każda tępa głowa,
— Eh! nie, to tacy mój drogi,
Co czują, że o nich mowa.

Rodoć.

Wydawca i odpowiedz. za redakcję F. H. RICHTER.

Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



AURELIAN.

Powieść z czasów cesarstwa rzymskiego przez Wojciecha Dzieduszyckiego.

J. I. Kraszewskiemu w jubileuszowym Jego roku ze czcią składa autor.

(Ciąg dalszy.)

I gdy na to patrzała Zenobia, inny obraz wyraźny, namacalny prawie stawał przed okiem jej duszy w niezrównanej jasności wschodu, w blaskach ognistych Syryjskiego słońca. Pustynia była u stóp jej nieskończona — ćmiąca — biała czasem, złota czasem, lecz zawsze tak jaskrawa, że oko ludzkie nie zniosło jej widoku, i słońce było nad nią wśród nieba bez chmurki, samotne, wielkie, wszechpotężne jak król azjatyckiego narodu, jak Bóg żydowskiej wiary. Od niego lśniło całe niebo jak spiżowa tarcza wojownika w dzień słoneczny, i tylko gdzie niegdzie po pustyni ciągnęły wielbłądy, jak plamki czarne; — a po niebie leciały sępy, bijąc przestrzeń ciężkiem skrzydłem. Wielblądy to powietrza.

A wśród tego świata w szmaragdowej palm obręczy, wśród zarumienionych róż stało miasto z marmuru. Wznosiły się łuki portyków nieskończonych, lśnił porfir, ćmił alabaster. Pyszniły się barwą kolumny żółte i zielone z kamieni drogich. Lud mnogie zalegał ulice, przez które ciągnęły konie i wielblądy i śniadzi Arabowie pustyni. Cienie czarne szły za nimi migając po jaskrawym marmurze; i pięknie było! i uczuła ciepło w duszy i woń kwiatów wschodu.

Minęło wspomnienie; wiatr zawiał z północy. I Zenobia spojrzała znów na czarną, zimną grozę, której przyświecało jakby z poza mgły blade, chore słońce. Chyliło się, chyliło, a niebo nad głową ciemniało i zieleniało. Wreszcie pas złoty stanął przy słońcu na widnokręgu, a potem schowało się rude. Czerwone blaski trwały na szczytach, długie cienie chodziły po dolinach, aż wreszcie wszystko zgasło. I szaro było i straszno wśród borów.

Zenobia zakryła sobie oczy: Pomyślała: „Miałam w Tadmorze wśród pustyni, w Salomonowym grodzie dzień jasny wschodni, a teraz przyszedł na los mój szary mrok północy. Aurelian nie wraca i bledną nadzieje. Tylko zemsta zostaje czerwona, jak owa łuna zachodu! On zagasił słońce, co płonęło nademną, i ślepy ukochał kobietę, gdy mógł ukochać królowę, i znieważył, i zhańbił, więc tysiąc razy zasłużył na śmierć. I umrze! Ale potem co zrobię? Pizonem bym gardziła, i władałabym nim, gdybym go na tron postawiła. Ale czyż ugnę kark gruby Karusa? Przyjdzie może umierać jak Kleopatrze. Wpierw będzie zemsta! Niech wieczór minie, niech głucha noc zapadnie!“

A noc nadchodziła. Księżyc na nowiu, niby sierp cieniuchny świecił u zachodu; nad niem migała królowa niebios nocnych, gwiazda Wenus, niby olbrzymie ognisko, co gdzieś zwisło wśród otchłani. Inne gwiazdy, jedna po drugiej wyłaniały się z po za błękitnej obsłony jesiennego nieba.

XVIII.

Noc była ciemna, jak to mówią, jak w rogu. Ciemno jak w jesieni. Bo choć się wieczór zdawało, że wszystkie gwiazdy zapłoną, nakryła niebo jedna, jednostajna, nieprzerwana chmura; a potem mgła jesienna powstała i nic widać nie było, ani nawet wielkich wałów rzymskiego obozu, ani twarzy tych, co pod wałem siedli, i naradzali się po łacinie. Chyba po głosie było można poznać, kto kiedy mówił.

Byli to legaci, zprowadzeni przez Pizona na naradę, z której miał powstać spisek. Czy spisek już był uknuty? trudno powiedzieć. Rzecz była jawna, oczywista, niezaprzeczona, że Aurelian dziwne jakieś miał myśli, że o dawnej zapomniał sprężystości, że stał się nieprzystępnym dla każdej rady, i że wojsko rzymskie topniało bez boju wśród barbarzyńców powstania. Kohorta po kohorcie znikała bez słychu, a Aurelian przyjmował wieść o tem obojętnie, z uśmiechem prawie. Got, co miał zawrzeć przymierze, zerwał układy i najechał Panonją, gdzie legją Rzymską prawie całą wybił, gdzie mordował i palił. Wiedziano o tem niezawodnie, bo wieść przyniosły ognie porozpalane po górach. I nie Atalarich tylko przeszedł Dunaj, i Waranes król Persów przeszedł Eufrat, i to od kilku tygodni — i już groził Antiochii, trzeciemu miastu Cesarstwa. Aurelian wyszedł z Rzymu, aby nań spaść niespodzianie, ale nie wiedzieć po co zawrócił na północ, i na północy ugrzązł gdzieś nad Dniestrem, a król Persów miał czas leniwych Rzymian uprzedzić i spaść na nieszczęśliwą Syrję, pobojowisko tylu wojen. Wszystkie krzywdy wykładał Karus ciemnościom i tym, co w ciemnościach słuchali. A najgorszą krzywdą było to, że nikt już prawie nie miał przystępu do Aureliana. Ale gdy przychodziło do wniosków z mowy, Karus ostrożniejszy cofał się niby po za szaniec karności. Mówił: „Ale nie nam żołnierzom o tem radzić. Nam słuchać potrzeba. Giną rzeczypospolite i państwa tam, gdzie żołnierz prawa daje. Senat winien czuwać nad dobrem rzeczypospolitej. Niechaj wypowie uroczyście, że Aurelian niegodzien władzy, że przestał panować, a powstaniemy i wykonamy wyrok senatu. Niech Senat nowego imperatora zamianuje, a my, żołnierze będziemy go słuchać, niemi i pozbawieni woli.“ Głos Karbona odzywał się wśród ciemności: „Ktoby tam się doczekał wyroku senatu? Alboż senatowi co grozi?.. Alboż nie siedzi bezpiecznie za murem? Alboż dba o nas ten sejm niewolników Cezara, barbarzyńców przebranych w purpurowe togi? Czekając na głos prawa, poginiemy. Wytną nas barbarzyńce, i Rzym uczuje jarzmo nowego Nerona, gorszego o tyle, że nie Rzymianinem, zanim Senat słowo powie,“

„No!“ ozwał się ktoś: „Dotąd przecie Aurelian Neronem nie bywał.“ Był to ponoś głos Dioklecjana.

„Obyczaj prawo znosi,“ mówił Pizo. „Na tablicach zapisano, że senat włada światem. Zwyczaj chce inaczej. Imperator mianuje senat, a wojsko imperatora. Kogo wojsko obierze, tego senat potwierdzi. Tak bywało zawsze, tak było z Aurelianem, i tak będzie z jego następcą.“

„I jest zwyczajem, że wojsko Cezarów zabija“ syknął ktoś. Kto? napewno niewiedziano. Może to był Aper, może kto inny. Kto śmiałe słowo powiedział, nikt tego wśród ciemności nie powie na pewno.

„Cicho“ zawołał kto inny, Karbo czy Galerius; „podsłuchują nas!“

„Kto podsłuchuje?“ odezwały się głosy i rozpoczęła się przerywana rozmowa, w której żadnego głosu rozpoznać nie można było wśród mroku.

„Nie widzisz tego światła?“

„Nie widzę.“

„Jest tam światło jekieś, i miga się. Ale to dalekie ognisko pasterzy.“

„To światło rusza się i rusza szybko. Człowiek je niesie, i ono blisko.“

„Rusza się. Prawda, że się rusza! To latarka jakaś!“

„To błędny ognik powstał z leśnego próchna. Ktoby o tej godzinie wśród mgły chodził?“

„Że my tu radzimy, dowód najlepszy, że nie każdy siedzi w domu.“

„Swiatło co chwila większe wprost do nas się zbliża.“

„Jesteśmy odkryci!“

„Ktokolwiek będzie, zabijemy szpiega na miejscu. Tak będzie milczał!“

„A jeśli to sam imperator?“

„To tem lepiej. Nie trzeba będzie spiskować!“

Już światło padło na twarze legatów; już widać było wyraźnie, że Aper mówił ostatni, i że wszyscy zerwali się na równe nogi, chwytając za miecze.

Pizo zawołał: „niema strachu! To przyjaciel.“

Dziwne zjawisko, nadziemskie niby stanęło promieniąc wśród spiskowców. Była to Zenobia, królowa Palmiry, w stroju, w którym wyszła była z namiotu wieczorem, patrzyć na zachodzące słońce. Dijament wśród złotego półksiężyca we włosach jaśniał magicznem dziwnem światłem, tak że światło to opromieniało całą jej postać. W ręku, jak Hekate miała długą ztotą laskę, którą teraz zakreśliła koło światła. Wśród tego koła stała sama. Papuga leciała nad jej głową i biła pstremi krótkiemi skrzydłami. Małpa siadła na ramieniu, a za nią szła biała sarneczka, co się teraz przytuliła do prawicy, wszedłszy do magicznego koła. Dalej, za kołem już, w półświetle stało dwu niewolników nagich, czarnych jak heban, o których wiedziano, że są niemi.

Stali wszyscy patrząc się na zjawisko w milczeniu. Poznali Zenobię, lecz dziwili się zkąd przyszła, dziwili

się światłu na czole i w obręczy, i nie mogli niewierzyć, patrząc, w czary jakieś i zaklęcia.

„Mężowie zachodu“ ozwała się królowa. Wiem, jaka troska na waszej siadła skroni, wiem, jaki robak wasze serca gryzie, wiem, że się myśli i zamiary w waszem sercu ważą. Na troskę niosę radę, na robaka lekarstwo możne, słowo dorzucę na wagę. Roztworzę przed wami myśl wroga waszego, tak że ujrzycie wszystko jakby we dnie, i jakby na jawie. Co wiem, z mocy demonów wiem, i co wiem, to wam powtórzę. Tu się rodził Aurelian, i był sługą. Służebną skronią śmie kalać złoty obręcz, co zwisł nad światem, wieniec dębowy panów Romy! Więc biada mu! Jest barbarzyńcem, a imię jego Bojan, i nie nawidzi Romy. Gdy się zbliża do ołtarzy waszych bogów, na zwierciadlanym kapitolu, i gdy się kłania Jowiszowi ojcu świata, nie błogosławieństwa zciąga na Romę i legiony, jedno klątwy. Nie dobro z modlitw jego płynie, jedno zło. Zapanował nad światem, by świat zgubić, i berło ziemi chce oddać w ręce nieczyste Antów. Zawsze niewolnika ma serce, i nazywa panem swoim owe chłopię, co stoi na czele buntu: Zabora, owego królów Dackich potomka. Jako niewolnik dlań się trudził, dlań świat upolował, i jemu chce świat oddać w ręce. Tu na zgubę waszą powiódł legiony, podburzył na was ludy tutejsze, podburzył na was Atalaricha i Waranesa, chce skruszyć słupy, na których świat oparty. Barbarzyniec w słupy owe bije taranem, a on wasze ręce trzyma, byście nie szli ratować świata. A wiedząc, że miecz na waszą zgubę nie wystarczy, użył zdrady. Słońce złote, które na piersi niesie, przed którem się chylą orły legionów, oddał Zaborowi buntownikowi. On słońcem w lasy wywabia legiony, i tam wytępia je co do nogi. Wszyscy macie poginąć, i nawet pamięć o was ma przepadać. Umilknie mowa Rzymian, a twardy Antów głos nad światem zapanuje. Znacie miecz, co nad wami zwisł, a kto chce znać radę, niech przyjdzie do mego namiotu z Mnesteuszem Grekiem. Bez niego czar się nie uda! Małpo gaś światło!“

Małpa posłuszna położyła rękę na jaśniejący djament, i djament zgasł — a ciemność zapanowała taka, że nie było już widać ani królowej, ani zwierząt, ani niewolników. Znikli z oczu. Nikt niemógł powiedzieć, kiedy wyszli, i dokąd poszli. Tylko obręcz zakreślony laską złotą jaśniał jeszcze czas jakiś gasnąc powoli.

Nieodrazu rozwiązały się języki osłupiałych z podziwu, wśród namacalnych ciemności. Wreszcie zaczęli wszyscy mówić od razu, bez ładu i porządku, wpadając sobie wzajemnie w słowo, niewiedząc, kto do kogo mówił: Czaryż to były, czy nieczary? Prawdaż to była czy kłamstwo?

„Królowa mści się za niewolę, i niedawną zniewagę. Nie przebaczyła!“ mówił Maksymin.

„Skoro wiedziała, że się tu schodzimy, widać, że spiski odkryte“ szemrał Aper.

„Trzeba być na baczności“ wołał Karbo.

„Teraz może za późno! Lepiej było nie zaczynać,“ przestrzegał Dioklecjan.

„Alboż to w czary nie wierzycie? Alboż z mocy Demonów niemoże wiedzieć o naszej schadzce?“ Pytał Galerius. „Są rzeczy dziwne na świecie. Wierzę jej przestrogom.“

„Pamiętajcie, co Aurelian mówił w namiocie!“ przypomniał Pizo. „Gdyby prawdą były słowa Zenobii, takby się był do nas odezwał a nie inaczej.“

„Niewieścia plotka!“ Powtarzał Maksymin, „i niewieścia zemsta! Ale bez tego wiem, że źle z nami, a najgorsza to, że wiedzą o nas ludzie.“

„Pizo może tylko przed Zenobią wygadał,“ mówił Deoklecjan a Pizo nie przeczył jedno milczał. Dioklecjan przeto skończył zdanie mówiąc: „To źle, i niebezpiecznie; ale jeszcze nie przepadło, bo Zenobia teraz znów Aureliana nie nawidzi. Niewiem jedno, jak długo nienawiść potrwa. Darowało mu upadek Palmiry, i trjumf w Rzymie. Daruje i dzisiejszą zniewagę, gdy znowu jej przed oczyma błyśnie koroną świata. Zazdrośną jest. Zazdrość minie, wrócą dawne marzenia i wszystkich was zdradzi.“

„Wszystkich nie pozabija Aurelian,“ przerwał Aper, „bez nas byłby bez ręki.“

„Dość że zabije niektórych,“ mruknął Karbo. „Najgłośniejszym był Aper. Aper przeto nie ze wszystkiem bezpieczny.“

Była chwila milczenia wśród ciemności. Przerwał je Maksymin mówiąc: „Ta gwiazda na czole, ta laska promienna; ta małpa i papuga — to wszystko czary, niezawodne czary. Może przez czary i co wie. A niepięknie by to było umrzeć w takiej barbarzyńskiej łapce.“

„Twa rozmowa w namiocie wielkie budzi podejrzenia“ mówił Galerius.

Po chwili milczenia usłyszano głos Karusa: „Teraześmy już znużeni; oczy nam się kleją, ciała snu potrzebują. Nie lękajmy się tego, co mówiła branka, bo zemsta i zazdrość mogły z niej mówić. A nie gardźmy tem co powiedziała. Może wie o tem przez czary; może i bez czarów. Kobiety przenikliwe odgadną to, czego mężczyzna się nie domyśli. Dostrzegła, że Aurelian bez słońca swego chodzi, i rozciekawiona badała. Może z barbarzyńcami rozmawiała, może i niejedno dawne Aurelianowe zwierzenie zapamiętała. Dość że gardzić jej radą nie można. Od jutra będziemy iść za śladem, które nam pokazała; a może dziwnego źwierza odkryjemy. Wtedyby trzeba myśleć o zbawieniu rzeczypospolitej. A teraz myślmy o śnie, co rozumy odświeża! Życzę dobrej nocy!“

Usłuchano Karusa, i rozeszli się wszyscy.

XIX.

I nazajutrz nierychło uspokoili się legaci, nierychło zebrali myśli, pogodzili zdania. Dzielili sie na kupki, i chodzili, radzili kupkami. W namiocie u Dioklecjana siedzieli przyjaciele jego nierozłączeni prawie Maksymin i Galerjus.

„Spisek uknuty," mówił Galerius, „czasy dobiegły do kresu; i kończy się panowanie Aureliana?"

„Czy to w gwiazdach wyczytałeś?" spytał się Dioklecjan.

„Wiesz, że sam w gwiazdach nie czytuję" odparł Galerius. „A tu w obozie nie ma astrologa."

„Więc zkąd ta pewność i zkad ten wyrok?"

„Czyż sam nie widzisz Dioklecjanie, co się dzieje? Bez wróżb wyroki wyczytam — nieodmienione. Niewiedzieć poco, Aurelian wiedzie wojska aż tu na północ, zamiast iść na Persów, i skoro tu usnął wśród borów, wnet fortuna odwróciła swe oblicze od niego i orłów Rzymskich. W Panonii zwycięża Got, w Syryi Waranes. I to pierwsza wskazówka przeznaczenia. I to początek dopiero. Wnet zda się, że się Aurelian sam mota i sam gubi. Ludy barbarzyńskie powstają dokoła niego, a on się nietylko nieruszy z miejsca, i nietylko wojska swoje na pastwę barbarzyńcom wydaje, ale co gorsza, zwołuje nas na radę i śmie nam pokazać myśli potworne, co w jego piersi kiełkują. Chce ład wiekuisty przewrócić do góry nogami, i Romę skruszyć i Kapitol, niepomny tego, że gdy Kapitol padnie i świat padnie, i co chce to mówi. Myśl z serca gdzie ukrytą być powinna dostała się do ust a z ust wyszła na świat, by uknuć nie przeciw Romie, ale przeciw niemu samemu spisek. I oto druga wskazówka, drugi krok do grobu. A trzeci krok, to wzbudzenie uśpionego gniewu owej czarownicy Wschodniej w której włosach gwiazda płonie, co o wszystkiem wie, i po nocy stąpa, i objawiła nam ród i zdradę Aureliana. Oto dla mnie „czytelne znaki bliskiego upadku Aurelianowego."

Tak prawił Galeriusz, a Dioklecjan i Maksymin słuchali. Otyły, słuszny Maksymin odezwał się pierwszy: „Oszalał Aurelian, zakochał się, czy co się z nim stało, niewiem na Bachusa. Za marą goni i oślep w przepaść leci, a chce, byśmy szli zanim. Na Wenerę klnę się: niepójdziemy!"

„I gdzież pójdziemy?" Spytał Dioklecjan, bystro spoglądając w twarz Maksyminowi: „Uprzężymy się do rydwanu Zenobii, i będziemy narzędziami jej zemsty? Będziemy sztyletami w służbie Italików co niecierpią Aureliana dlatego, że podobnie jak my rodem z prowincji, i co nas usuną, skoro dostaną władzę? Będziemy podnóżkami, po których ów Karus co zimny jak lód, i twardy jak stal wydrapie się na stolicę świata, by zasiąść na niej może ostatni z ludzi? Czy chcecie, byśmy narażali karku spiskując przeciw Cesarzowi, kiedy z jego łaski możemy dostać królestwa całe?"

Słowa Dioklecjena zdziwiły towarzyszy jego i przyjaciół. Obaj przywykli we wszystkiem jego wyższość uznawać, i ustępywać jego woli. Ale gdy się teraz wydało, że chce pójść po drodze, po której nie chcieli się puszczać nawet w ślad za Aurelianem, drgnęli mimowoli. Niemogła to wejść do ich głowy, by kto się śmiał targnąć na majestat wiekuisty Romy, i Maksymin wypowiedział myśl obydwu, gdy zawołał: „Bezpieczniej spiskować przeciw cesarzowi, jak przeciw miastu wiecznemu."

„O jednej tylko rzeczy pomyślcie," rzekł spokojnie Dioklecjan „a sami osądzicie, przeciw komu bezpieczniej spiskować. Aurelian chciał podnieść ramię przeciw całości tego bezmiernego cesarstwa, i zwołał nas w biały dzień do namiotu swego, by głośno o tem mówić na wojennej radzie. A gdybyśmy mieli spiskować przeciw Aurelianowi, schodziliśmy się ukradkiem poza obozem, i wśród tak ciemnej nocy, żeśmy nawet swoich twarzy nie rozpoznawali, żeśmy się przelękli, gdy przyszła do nas czarodziejka owa z gwiazdą na czole, którą szczęście Aureliana już raz zwyciężyła i nieraz jeszcze zwycięży, jeźli się z nią nieraz mierzyć będzie."

Chwilę tylko milczał Dioklecjan a potem zaraz mówił dalej." Być może, że stoi tam napisano w Sibilijskich księgach, że Kapitol tak długo stać będzie jak świat. Ksiąg tych pono nikt nie czytał i trudno wiedzieć, czy się sprawdzają?"

„Nikt nie czytał?" Zawołał oburzony prawie Galerius.

„I niewiedzieć, czy się sprawdzają? Pytaj się raczej Dioklecjanie o to, czy jutro słońce zejdzie? czy zima po lecie nastąpi? Święte to księgi, niedostępne, nieomylne! W nich spisane całe świata dzieje!"

„Więc niechaj będzie jako chce Galerius," przystał Dioklecjan," rad uwierzę bo uwierzyć miło. Ale Kapitol stoi od lat tysiąca, i może jeszcze młodym jest w panowaniu swem, a świat dokoła się zmienia, i niecały legł u stóp Jowisza. Mówimy, że świat cały podbity, a to tylko podbite kraje u zachodu, i dokoła wewnętrznego morza. Nie słabszem od naszego jest państwo Persów, a w Indjach, i w ojczyznie jedwabia stoją jeszcze większe pono od naszego Cesarstwa. Kapitol stać będzie póty, póki świat trwać będzie, a świat trwając będzie się zmieniać wiecznie — i Kapitol się nieraz zmieni. Wszak nie ten sam stoi dziś w złotym i zwierciadlanym blasku, co niegdyś, i innym, skromniejszym był Kapitol Tarkwinjuszów. Niegdyś świat był pełen rzeczypospolitych, a Konsulowie rozkazywali w Rzymie: Dziś jest jeden Pan na Kapitolu, a Konsulowie są niczem. Któż odgadnie, co się jeszcze

stanie w długiej wieków kolei, kto w Romie panować będzie i jak zapanuje Roma? Dziś włada mieczem, kiedyś może księgą tylko zaklętą i mądrością zapanuje. Jowisz wygnał Saturna, może i on zejdzie z Kapitolu. Widzę już, że się starzeje, że Chrystus rośnie. Może to źle, ale tak jest. I to cesarstwo jedno, Jowiszowe porysowało się. Już było pękło gdy ten sam Aurelian je skleił, ale niewiem, czy się utrzymają czerepy. Życie obumarło w ogromie, i wojska nie stanie aby bronić granic. Ludność wymiera pod zbyt ciężkiem berłem, tak jak zgasły gromy Jowiszowe, jak oniemiały wyrocznie. Państwo to, to owoc co pęknąć musi, by z niego wyleciało życiodajne nasienie. Górne to rzeczy, dla pojęcia trudne; a jednak kto chce żyć i spełniać wolę przeznaczenia, ten powinien przywyknąć do rzeczy tych. I któż z was słyszał, by kto wierzył, aby to państwo mogło się ostać przeciw wrogom wszystkim samą cnotą, której już niestało? Mówią wszyscy już tylko, że szczęście Romy zwycięży. A to szczęście, to cud Jowisza. Dziś cuda prócz Jowisza, wbrew Jowiszowi inni czynią, co nie dziećmi jego, jedno wrogami; i Tanes, i Mitras, i Zoroaster, i Boal, i Budda Indyjski, i Jedno mgliste filozofów, i nadewszystko ów nowy bóg Chrystus, którego potęga z każdym dniem wzrasta. Jest wojna na niebie, i tron Jowisza zagrożony; on niema czasu myśleć o Romie.“

(C. d. n.)

„Z SYMFONJI WRAŻEŃ.“

I.

POD MUZYKĘ.

Fortepian zadrgał — i leją się tony
Faliste, miękkie, z pod łagodnej ręki,
Jak szmer pół senny, ledwo pochwycony,
Po nad kołyską nuconej piosenki.

Fortepian marzy przeszłości marzeniem:
Z powodzi tonów, od chwili do chwili,
Jakieś widziadło, skryte zapomnieniem,
Z cichym wyrzutem bladą twarzą wychyli;

Rosną mar tłumy, fale dźwięków rosną;
Wreszcie z akordów rozhuśtanej toni
Smętna ludowa piosnka się wyłoni,
Pachnąca borem i rosą i wiosną.

Jakby skowronek wzlata rozskrzydlona
W górę i w górę — aż w błękitnej dali,
Melancholijnie jeszcze się porali,
I w echu wolno zamierając... kona.

I wraz z wiolinu dźwięki się polały,
Jakby się pereł sznur rozsypał biały
Na złotą misę; jakby gajów cała
Kapela ptasia razem zaśpiewała...

Młodości echo drży w cudnej harmonji:
Marzące noce, dni pełne wesela,
Zapał trjumfalnym dytyrambem strzela,
I śmiech bez troski srebrną nutą dzwoni!..

Zmącona zgoda! Zgrzyta ton bojowy...
Chrapliwe trąby i dział słychać grzmoty,
I szmer — jak tajne spiskowców rozmowy
I takt marszowy w bój idącej roty;

Okrzyki, jęki, tętent, wrzask pogoni
Szum chorągiewek, bębnów pogrzmot głuchy...
A jakby orzeł z tonów zawieruchy
Pieśń „Nie zginęła jeszcze!“ w niebo goni.

I w psalm przechodzi Miłości i Wiary
Jakby organem tysiąc piersi było,
Przysięgających nad wielką mogiłą
Wieczystą ciągłość walki i ofiary!..

Padł przenikliwy jęk — to pożegnanie!
Potok łez płynie i drga w każdem łonie,
Wstrząsa piersiami instrumentu łkanie
W rozdzierającą spływa psalm harmonję.

Wszystko skończone! Nikną szmery w dali...
Poszli!.. Za nimi z wiolinu się leją
Tony drgające anielską nadzieją...
Nadzieją!.. w drogę tylko to zabrali.

Pieśń gaśnie — kona... Na jej nici wiszę,
Z nią się rozpływam, tonę gdzieś w błękicie
I zapatrzony w mrok, wsłuchany w ciszę,
Już tylko serca mego słyszę bicie.

II.

PRELUDA.

Dzisiaj z cieplic wracały bociany
Do gniazd swoich, klekocząc radośnie,
A ja w żalu zatonąłem cały,
Na ich łańcuch patrzając się biały —
Bo mnie spokój z szczęściem odleciały
I o żadnej już nie wrócą wiośnie!..

III.

SONATA.

Wolałbym był ją widzieć snem wiecznym ujętą,
W białej sukni z atłasu, jak oblubienicę,
Z martwem okiem olśnionem przez złote gromnice,
Jak kwiat cudny, przedwcześnie śmierci kosą ściętą!

Wtedy by mi jej z serca głębiny nie wzięto,
Tam by żyła i kwitła, a nad jej mogiłą
Pod brzozą płaczką, smutkiem wieczystym pochyłą,
Wiecznie byłoby dla mnie łez i wspomnień święto!..

Dzisiaj widzę ją z śmiechem kłamanym na twarzy
Otoczoną gwarliwym wielbicieli dworem,
Z okiem — kędy się żądza z przesytem kojarzy,

A w którem było więcej, niż w niebie, szafiru...
O, wolałbym ją widzieć na całunie z kiru:
Byłaby cichą zmarłą — dzisiaj jest upiorem!

IV.

SCHERZO.

Utraciłaś pamięć, o swawolna!
Już nie pomnisz — jak wznosiłaś, drżąca,
Lica ku mnie, jako rosa polna
Kielich wznosi do promienia słońca.

Zapomniały o mnie twoje usta,
Chociaż moje jeszcze dotąd gorą!..
I odbiegłaś mnie łudząca, pusta,
Jak zwodniczy sen, poranną porą!..

Ha, cóż — „pamięć nie jest w ludzkiej mocy!“
Jak Gustawa śpiewak wyrzekł smętny...
I nie każdy całus jest pamiętny!...
Więc mnie wspomnij koło „Wielkiej nocy“

A ja powiem: Jaka dobra, miła! —
I nie będę kląć ci bladolicy,
Ni kamieni rzucać do krynicy,
Co mnie nieraz czarem napoiła!..

V.

ACH GDYBY JESZCZE JEDEN RAZ!..

Ach, gdyby jeszcze jeden raz
Natchnieniem młodem żyć,
Rozkwitnąć znów — i z tęcz i gaz
Girlandy pieśni wić;

Gorącą w oczach poczuć łzę,
Zapału w sercu żar;
Rozpłynąć się, roztopić się
W uczucie, w dźwięków czar;

Nawiązać złotą złudzeń nić
Strząść z piersi wspomnień głaz,
I kochać — i kochanym być,
I wierzyć — jeszcze raz!..

Choćby za cenę wszystkich mąk,
Przeżytych bolów, zdrad;
Choćby znów wziąć z najmilszych rąk
W roskoszy czarze — jad;

Choćby gwiazd wszystkich promień znów
W chmurze ponurej zgasł,
Aniele młodych natchnień, snów,
O, powróć jeszcze raz!..

VI.

ADAGIO.

„Czego chcesz, ty serce niespokojne,
Za czem tęsknisz, rwiesz się dniem i mrokiem
I wieczystą toczysz ze mną wojnę
I po świecie pędzisz mnie szerokim?

Wszakże dał ci Bóg nad łaski miarę:
Czucie żywe i głęboką wiarę,
Słuch na wszystko co drga w świecie tkliwy
I za napój zdrój natchnienia żywy;

Wszakże dał ci ziemię swą wspaniałą,
Byś z jej skarbów, co pomieścisz, brało,
I Ojczyznę — matkę nieubogą,
Że nieszczęsną, tem ci bardziej drogą!..

A więc czemuż, biedne serce moje,
Takie dziwne czujesz niepokoje,
I z jaskółczą tęsknicą, sierocą
Z piersi rwiesz się, nie wiadomo po co?“

— Och, bo wonno wiosenno i cudnie,
Maj w około kobiercem się ściele
I pieśniano we mnie tak — a ludnie,
Że aż dla mnie jednego za wiele!

Cały świat się zmówił na mą ciszę:
Z gór i dolin, lasów, łąk, strumieni,
Jedno tylko, jedno słowo słyszę,
Co krew we mnie zmienia w nurt płomieni!..

Puść że ty mnie — daj ty mi swobody,
A roskoszy spłacę ci tysiącem!
Łaknę, panie, jako łania wody,
Jako rosy, kwiat spalony słońcem!..

„Ciszej, ciszej, — o serce szalone,
Ledwo dawne rany zagojone
A ty rwiesz się po nowe, zuchwało
Choćbyś dwakroć krwawiej broczyć miało!“

VII.

NOKTURNO.

Cicho szemrzą ciężkie kwiatem drzewa,
Pieszczotliwie wietrzyk mnie owiewa,
Płyną wonie i blaski miesiąca,
Czasem błyśnie gwiazda spadająca.

W dali miejskie zasypiają gwary —
Jedno okno jeszcze lśni tam w mroku,
A w niem, memu tylko widna oku,
Ty ssiesz ze mną letniej nocy czary.

Księżyc ubrał w glorję twoje skronie,
Kruczy włos twój przebił srebrnym grotem;
Wiatr unosi rąbki na twem łonie
Myśli twoje mkną jaskółczym lotem.

Ja z mych pragnień most powietrzny ścielę,
Po tym moście jak lunatyk kroczę,
Niewidziany, przybliżam się śmiele
I całuję miękkie twe warkocze.

Jak mimoza drżysz — twe lica płoną —
I czar dziwny, co twe wzrusza łono,
Na wiatr składasz psotny a pochlebny,
Na tę letnią noc rozpłomienioną,
Na woń kwiatów — i na księżyc srebrny!...

Wł. Ordon.

Rymanów, Lipiec 1877.

Przewodnik towarzyski i salonowy

WEDŁUG ZNAKOMITEGO I PREMJOWANEGO DZIEŁA „SAVOIR VIVRE“

przez panią d'Alcq dla polskiej publiczności opracowała Hrabina R.

I.
O uprzejmości.

Nim zaczniemy wyliczać zwyczaje, przyjęte przez ludzi dobrze wychowanych, powiemy kilka słów o uprzejmości. „Uprzejmość jest tem dla rozumu, czem piękność dla twarzy“ — powiedział Voltaire, la Bruyère zaś dodaje: „Trzeba wiele odznaczających się przymiotów, by utrzymać zawsze miarę w grzeczności.“

Uprzejmość zamyka w sobie wszystkie cnoty towarzyskie, potrzebne nam niezbędnie do pożytecznego, i miłego obcowania z tymi, z którymi żyć mamy. Jest ona konieczną w stosunkach, bądź czysto towarzyskich, bądź w interesach, jednem słowem: w każdej chwili życia. — Bez niej byłoby niemożliwem obcowanie ciągłe z ludźmi. Ono to łagodzi obyczaje, staje na przeszkodzie wszelkim zwadom, uspokaja prawie zawsze rozdrażnienie, a nawet przytłumia nienawiść, zmuszając niejako człowieka dobrze wychowanego do panowania nad swemi namiętnościami; dzięki także naszej uprzejmości, jesteśmy kochani przez naszych przełożonych, a szanowani przez naszych podwładnych.

Grzeczność umie nawet pokryć brak łagodności, jeżeli przymiot ten nie jest zgodny z naszem usposobieniem.

Uprzejmość nie jest właściwie ani przymiotem, ani cnotą; jest ona raczej talentem, który powinniśmy nabywać wcześnie sami, by później udzielać go naszym dzieciom, tak, jak je uczymy dobrze się wyrażać i ubierać ze smakiem; grzeczność w znaczeniu moralnem, ubiera we formy gładkie i miłe postępki nasze względem bliźnich, tak jak suknia, ubiera człowieka,

Między przymiotami ludzkimi jest uprzejmość z serca pochodząca, której nie można się nauczyć; jak również jest takt w postępowaniu, odgadywany uczuciem wrodzonem, my jednak nie piszemy dla tych istot wybranych, którym serce i rozum przewodniczą, lecz dla ogółu, skłonnego, do obojętności i lekceważenia, dla ogółu, podlegającego wszelkim ludzkim słabościom.

Uprzejmość względem podwładnych, jest dowodem prawdziwej naszej wyższości i najskuteczniejszym środkiem, zmuszającym ich do grzeczności i uszanowania dla nas.

Uprzejmość czerpie swoje zasady w użyciu, i znajomości świata. Te zasady trzeba wpajać dziecku prawie od kolebki, aby później grzeczność jego nie była wymuszona, przez co mogła by stać się nieledwie obrazą dla tego, do kogo by się stosowała, lub też poniżeniem dla tej osoby, która by ją wykonywała. Przesada w niczem nie jest dobrą; wykoleja ona stosunki, robiąc je nienaturalnemi, i niemiłemi, czy to w tym, czy w owym kierunku.

II.

O zachowywaniu się w kościele.

Oddajmy najprzód Stwórcy całego świata hołd należny.

Co do tego najwyższego Majestatu, gdy go odwidzamy w Jego świątyni, wiara i pojęcia religijne, powinne nauczyć nas taktu przyzwoitego w zachowywaniu się tamże, nie wchodzi to zresztą w obręb założenia naszego, dawać wam szanowni czytelnicy rady co do przepisów religijnych, podpadających pewnym zmianom, według stopnia gorliwości w tych praktykach a które są wszystkim ludziom wykształconym, dobrze znane; tem mniej stosownem byłoby z mej strony, wchodzić w jakąkolwiek dysputę pod względem praktyk religijnych, w której to, zbyt drażliwej kwestji, pragnę zachować wobec was szanowni Czytelnicy najzupełniejszą neutralność.

Poprzestanę więc na kilku ogólnych uwagach tyczących się tak mężczyzn jak kobiet.

Znamionuje to nader płytki umysł i zupełny brak taktu towarzyskiego, że już nie wspomnę o poszanowaniu przybytku Pańskiego, jeżeli młodzi panowie, umieszczając się w ścieśnionych szeregach, jakby mieli iść do ataku, przed kościołem, a często i w kościele samym, odbywają następnie przegląd kobiet, wchodzących lub wychodzących z kościoła, przyczem pozwalają sobie nawet głośnych uwag, które bez względu na to czy ganią, czy chwalą, są zawsze najdotkliwszą obrazą dla kobiet dobrze wychowanych, mających poczucie własnej godności. Postępowanie takie, nie zasługuje nigdy na pochwałę; człowiek z taktem i prawdziwie dobrze wychowany, nie będzie nigdy w sposób tak niedelikatny natrętnym w stosunku z kobietami, najmniej zaś w kościele, dokąd powinniśmy bądź wchodzić w pewnem skupieniu ducha, bądź też wcale nie przychodzić. Niechby panowie zachowywali się w świątyni Pańskiej przynajmniej tak, jak zaproszeni na dworską uroczystość zachowują się na pokojach monarchy. Jakto oni wtedy uważają na każdy ruch, na każde słowo wymówione! Jaka to bojaźń przejmuje każdego, żeby nie wykroczyć przeciw etykiecie, i nie ściągnąć na siebie gniewu, a choćby tylko nieukontentowania majestatu ziemskiego! Czyż możemy mniej przyzwoicie zachowywać się w tym przybytku Pana nad pany, którego wszechwładna dłoń, tak samo obala trony, jak może zgnieść w jednej chwili każdego z nas zwykłych śmiertelników.

Co do Pań, te niepowinne przychodzić podczas Mszy już zaczętej do kościoła, bo takie późne wejście, przeszkadza drugim, i przerywa modlitwę; nie powinne również siadać z hałasem, rozkładając w koło siebie z ostentacją wyszukaną i niestosowną toaletę.

„Praktyki religijne, nie powinne nam nigdy pomagać do okazywania bezbożności“—powiedział jeden sławny moralista. Podobne postępowanie zwraca tylko na kobietę drwiące oczy głupców, a ściąga na nią zasłużoną pogardę ludzi rozumnych. Jeżeli brak religii nam tylko szkodzi, to nie wolno okazywaniem tego braku gorszyć i niepokoić drugich. Kobieta bez religji, to okręt bez steru, i sternika. Okręt pochłoną fale morskie — a kobieta ujrzy się bezbronną, gdy przyjdzie stawić czoło troskom, cierpieniom, i burzom życia. Złamana a często nawet spodlona, ginie potem bez ratunku. Gdyby ten moralny trąd niedowiarstwa, miał już i was kobiety zarazić, starajcież się przynajmniej ukryć to przed światem. Powinnością waszą jest, zachować się przyzwoicie w kościele, a jeżeli kobietom małodusznym i lekkomyślnym nie chodzi już o błogosławieństwo Boże, to niechże przynajmniej dbają o opinję świata, który dla nich jest wszystkiem. Świat zaś pogardza kobietą niewierzącą. Wiara, modlitwa, i zachowanie się skromne, podnoszą przymioty płci niewieściej, rzucając na nią jakby odblask idealny, który mężczyzn zawsze zachwyca.

Nawet wasze powszednie grzeszki, jak chęć podobania się zawsze i wszędzie, powinne was skłaniać do ścisłego dopełniania powinności wszelkich w świątyni Pańskiej. Nienaturalna dewocja jest równie szkodliwa, jak mina roztrzepana. Wszelka przesada obliczona na to, żeby ściągać na siebie uwagę publiczności, zdradza brak dobrego tonu i brak uczucia prawdziwej godności. Dobry ton nakazuje także kobietom, nie ubierać się do kościoła ekscentrycznie, jaskrawo, w suknie wycięte, odsłaniające gors i ramiona, w kapelusze ogrodowe, a najbardziej nie pozwala stroić głowę we włosy rozpuszczone, lub dziwacznie utrefione. — Kobieta dobrze wychowana potrafi zachować miarę we wszystkiem, ubierze się skromnie, ciemno, jak tego kościoł wymaga, a jednak ze smakiem, choć bez przesady. Pierwszą rzeczą, którą powinno się robić, wchodząc do kościoła, jest przeżegnanie wodą święconą, stojącą zwykle u drzwi wchodowych; następnie zaś należy przyklęknąć doszedłszy do wielkiego ołtarza, lub w tem miejscu, gdzie chce się pozostać. W ten sposób witamy niejako, i oddajemy hołd należny Przenajswiętszemu Sakramentowi Ołtarza. — Wychodzić z kościoła podczas kazania, okazuje zupełny brak poszanowania dla kaznodziei. — W wielu kościołach wiejskich, i bardzo słusznie, zamykają wtedy drzwi na klucz.

Jeżeli ma się wynajętą roczną ławkę, lub na wsi tak nazwaną kolatorską, a zastanie się w niej inne osoby, niższe od nas stanowiskiem społecznem, natenczas nie powinno się dać tego uczuć, pod żadnym zaś warunkiem nie należy od nich żądać podczas nabożeństwa by się ustąpiły z ławki. Byłoby to przeciwne zasadom nauki chrześcijańskiej, która przedewszystkiem nakazuje pokorę i wybaczliwość, jak niemniej równość przynajmniej w obliczu Boga. Nawzajem osoba obdarzona poczuciem

własnej godności, i dobrze wychowana, nie będzie nigdy wciskać się niepotrzebnie do miejsc zamkniętych, choćby te przypadkiem stały otworem, żeby nie narażać się na nieprzyjemność, być z ławki wyproszoną.

Gdyby przypadkiem znalazł się obok nas w ławce choćby nasz wróg największy, lub osoba najbardziej podejrzanej reputacji, powinniśmy starać się ukryć nasze niezadowolenie, na znak przebaczenia i wyrozumienia. Są to dwie najpiękniejsze cnoty chrześcijańskie, które przynajmniej w kościele wypełniać należy.

Co do przepisów grzeczności są one wszędzie jednakowe. W kościele, czy w salonie, pierwszeństwo należy się osobom starszym. Młode panienki powinne wyjść z ławki robiąc miejsce kobietom starszym, lub chorym, którym stanie częstokroć wielką przykrość sprawia.— Młodym to nie zaszkodzi, a jednym takim czynem ani się spodziewają, jak mogą sobie zjednać czyjeś serce, czyjąś przyjaźń, mogącą im częstokroć dobrem słowem, rzuconem w danej chwili pomódz do ustalenia losu i szczęścia na całe życie. Że każdy mężczyzna jest bezwarunkowo obowiązany, gdy kobieta stoi, a on siedzi, odstąpić jej swojego miejsca, chyba że jest starcem zgrzybiałym, lub ciężko chorym, bo tylko to uwalnia go od tej prostej grzeczności, tego zdaje nam się, nawet przytaczać nie trzeba. Każdy mężczyzna cokolwiek cywilizowany, musiał by się wstydzić sam przed sobą, gdyby inaczej postąpił. Wchodząc do ławki, należy zachować się jak najciszej i wypuszczać naprzód osoby poważniejsze wiekiem, lub stanowiskiem w społeczeństwie, gdyby te nie chciały w żaden sposób przyjąć pierwszeństwa, grzeczność nakazuje również nie nalegać zbytecznie. Wychodząc, można usunąć się trochę na bok, by je puścić na przód. W ogóle, trzeba trzymać się osób, z któremi jest się w towarzystwie. Nie uważać wcale na nie, i nie oglądać się za niemi, byłoby niegrzecznością, nawet względem przyjaciółki lub siostry. Widzieliśmy raz młodą panienkę, wychodzącą z koncertu, która nie zwracała wcale uwagi na matkę i przyjaciółkę, zatrzymane w drodze przez kogoś. Młoda roztrzepanica znalazła się nagle przy drzwiach, sama jedna wśród tłumu nieznajomych osób, patrzących na nią ze zdziwieniem i ciekawością.

Jeszcze nieraz nadarzy się sposobność powtórzyć, że osoba dobrze wychowana jest zawsze grzeczna, i oddaje każdemu, wedle jego wieku i urzędu, co mu się od niej należy.

Duchownym tak starym, jak młodym, winniśmy poszanowanie i wszelkie względy, ponieważ sama ich suknia zastępuje wiek, i zaszczyty. Pamiętajmy, że nie oddajemy tej czci ludziom ułomnym, lecz tym wielkim sprawom, do jakich księża są powołani. Zwykle nie podaje się księżom ręki, tem mniej biskupom i kardynałom; książąt kościoła należy prosić o błogosławieństwo, całując ich wtedy w rękę, a raczej w pierścień episkopalny. Nie jest to jednak koniecznością i można uniknąć tej ceremonji, oddając im jedynie niższy ukłon, jak innym osobom. Gdyby wypadło nam być w domu modlitwy obcego nam wyznania, i to podczas odbywającej się ceremonji lub jakiej uroczystości, trzeba zastosować się do wszelkich zwyczajów mianowicie, pochylać się lub siadać, stać lub przyklękać, podług rytuału tamże używanego.— Byłoby to brakiem wychowania i taktu towarzyskiego, patrzeć na te ceremonje, ciekawie i drwiąco, takiem postępowaniem można by dotknąć do żywego osoby wyznawające inną religję. Gdybyśmy mieli w tym względzie jakikolwiek skrupuł, lub wiara nie pozwalała na podobne ustępstwa, natenczas daleko lepiej zrobimy, jeżeli wstrzymamy się zupełnie od zwidzania świątyń obcych nam religji.

Chociaż nie myślę narzucać nikomu bezwarunkowej tolerancji, sądzę jednak, że każdą religję warto uszanować.

Powiedziano jest: „Wierzyć w cokolwiek, wiele znaczy, o wiele gorzej, nie wierzyć w nic.“

Gdy młoda panienka, lub młoda mężatka są uproszone na kwestarki, powinne zrobić koniecznie bardzo staranną toaletę. Jeżeli mężczyzna damę prowadzi, ona może oprzeć się z lekka lewą ręką na jego ramieniu, prawą podając otwartą torebkę, grzecznem skłonieniem głowy dziękuje się za każdy datek, przyczem nie wolno być natrętną, ani okazywać niezadowolenia wobec tych, którzy nic nie dają.— Kwestarka nim zacznie chodzić, powinna włożyć własny datek, znaczniejszy jak zwykle dawała.

Uprzedzona że będzie kwestować, jeżeli to pierwszy raz ją spotyka, powinna młoda osoba przećwiczyć się w trzymaniu torebki, aby nie popełniać niezgrabności, nie upuszczać torebki, nie rozsypywać pieniędzy, nie zamykać jej bez potrzeby i t. d... Mężczyzna towarzyszący kwestarce, powinien być ubrany czarno, w jasnych rękawiczkach. Młoda panienka, lub bardzo młoda mężatka, nie mogą nigdy siedzieć same u drzwi kościoła; konieczność wymaga, by miały obok siebie o wiele starszą damę, lub bardzo poważnego wiekiem mężczyznę.

Jest to oznaka najgorszego tonu, jeżeli kto rzuca pieniądze z góry do torebki, lub na tackę, jakby chciał zwrócić uwagę na znaczną kwotę, którą kładzie. Jeżeli zna się osobiście kwestarkę, nie zaczyna się z nią rozmowy; można tylko powitać ją uśmiechem i przyjaznem skinieniem głowy.

Nie ma zwyczaju podawać sobie ramienia w kościele, chyba w czasie ślubów, o czem powiemy dłużej w osobnym rozdziale.

Bardzo to chwalebne ze strony pań i panów, obdarzonych pięknym głosem, jeżeli używają tego talentu na tem większe uczczenie każdego nabożeństwa w kościele. Nie można lepiej spożytkować tego wielkiego daru Opatrzności, jak używając go na chwałę Bożą, i ku zbudowaniu wiernych. Nic też nie podnosi bardziej ducha, i nie nastraja do szczeréj modlitwy, jak właśnie piękna, wzniosła, muzyka kościelna.

III.

O grzeczności i dobrym tonie w kole rodzinnym.

Nie jeden może się zdziwi, przeczytawszy tytuł tego rozdziału; nam się atoli zdaje, że właśnie w najbliższej rodzinie daje się czuć najwięcej potrzeba znajomości i wykonywania zasad grzeczności i dobrego tonu. Wychowanie uczy tych zasad, dobre serce może je czasem zastąpić, lecz są wypadki, gdzie serca brak zupełny, lub gdzie ono zostaje pod złym wpływem, a i wychowania nie wiele. Częstokroć zdaje się młodym ludziom, nie tyle jeszcze zepsutym, co lekkomyślnym, że w kole rodzinnem wszystko jest dozwolonem; niektórzy myślą nawet, że byłoby śmiesznem zadać sobie z rodziną jakikolwiek przymus, i że uszanowanie, grzeczność i usłużność należą się obcym wyłącznie. Iluż to niepowrotnych nieszczęść stało się przyczyną podobne lekceważenie, podobne zapomnienie o zasadach dobrego tonu! Ileż to węzłów rodzinnych, starganych na zawsze, przez to najfałszywsze zdanie, którem mężczyźni przesiąkli, jakoby można w kole rodzinnem nagradzać sobie niegrzecznością i zupełnem zaniedbaniem form towarzyskich, mnogie ukłony, a czasem aż do podłości dochodzącą uniżoność, którą wykonywali po za domem, z różnych powodów i względów! Ukrywamy starannie niedoskonałości i wady naszego charakteru, nawet nasze fizyczne dolegliwości przed ludźmi, którzy nam są zupełnie obcy, a więc i my ich mało obchodzimy; którzy na bardzo krótko mieliby nieprzyjemność znoszenia naszych dziwactw, gdyż mogliby się uwolnić każdej chwili od naszego towarzystwa; a naszych najbliższych, unieszczęśliwiamy i częstokroć zabijamy moralnie, to niezasłużoną podejrzliwością i wymaganiami nad ich siły, to wymówkami niesprawiedliwemi, to znów ciągłem narzekaniem na chorobę, i często urojoną, a gdyby nawet i prawdziwą. Godziż się zamęczać najbliższych powtarzaniem wiecznie tego samego, jeżeli oni nie mogą złego usunąć? Godziż się popisywać niejako przed tymi, którzy nas najbardziej kochają, z całą naszą brzydotą moralną, zdradzać przed nimi zupełny brak hartu ducha i samolubstwo posunięte czasem do ostatecznych granic? Czyż możemy myśleć, że nasi najbliżsi będą zupełnie nieczuli na niesprawiedliwość, żarciki kłójące, szorstkie postępowanie, i że nigdy nie uczują obrzydzenia i znudzenia znosząc nasze kaprysy? Powie kto może: — „prawdziwe przywiązanie wszystko znieść powinno.“ Miłość szczera potrafi z pewnością wiele zapomnieć, wycierpieć, przebaczyć; pamiętajmy jednak, że wszystko ziemskie, jak miało swój początek, może mieć i koniec; i że nie ma tak silnego uczucia, któreby się nie wyczerpało, nie stępiło: ciągle drażnione i niegodnie wyzyskiwane. Aby więc nie stracić najdroższego skarbu, którym jest miłość wspólna w najbliższej rodzinie, bądźmy w stosunkach z nią poufali, ale zawsze grzeczni, swobodni, nie posuwając jednak tej swobody, aż po za granice przyzwoitości, z pominięciem wszelkich form przyjętych w dobrem towarzystwie. Wtedy życie rodzinne stanie sie o tyle miłem i rozkosznem, o ile dziś niestety! w wielu domach jest uciążliwem i przykrem.

Dla wszystkich — a szczególniej dla młodzieży tak męzkiej, jak żeńskiej, uwaga i staranność w życu codziennem, domowem, są prawie niezbędne. Dobry ton, eleganckie ruchy, sposób wyrażania się doborowy, nie są to rzeczy tak łatwe do nabycia. Trzeba je co dzień praktykować, aby je mieć w pogotowiu jak to mówią: „o d g o ś c i“. Jeżeli w młodych latach nie będziemy wystrzegać się w stosunkach domowych prostactwa, niegrzeczności, jakże łatwo możemy później zostać zupełnymi brutalami, mimo dobrego przykładu z domu wyniesionego, mimo wzorowych zasad wpajanych nam od dzieciństwa!

Najpóźniejszy wiek i najwyższe stanowisko w społeczeństwie nie uwalniają jeszcze dzieci od względów i uszanowania dla rodziców. Najwyższem szczęściem i najpiękniejszą spuścizną, jaką nam mogą rodzice zostawić, jest dobre, żadnym brudem nieskalane imię. Błogo dziecku czcić takich rodziców, których wszyscy zacni ludzie kochają i szanują. Choćby jednak świat cały, mając do tego słuszne powody, rodziców potępił, i choćby największą zbrodnię można im zarzucić, dzieci ani ich sądzić, ani potępiać nie powinne, nie wolno im bowiem nigdy zapomnieć, że to są ich rodzice, których mają czcić i kochać.

Nie jeden myli się wielce, sądząc, że zyska na szacunku i przyjaźni u ludzi zacnych, wyższych urodzeniem i stanowiskiem w społeczeństwie, jeżeli da im pierwszeństwo, lub nawet zaprze się rodziców swoich przed nimi. Przypominamy sobie na poparcie tego zdania, następujące zdarzenie. Biskup łaciński, zaproszony do biskupa unickiego na objad, wiedząc, że tenże ma przy sobie rodziców, zapytał o nich nie chcąc usiąść do stołu, póki staruszkowie nie nadeszli. Byli to ludzie ze stanu włościańskiego; przecież gość dostojny nietylko przywitał ich najgrzeczniej, lecz następnie sadzając matkę swego gospodarza na pierwszem miejscu, rzekł: — Gdyby matka moja żyła jeszcze, prosiłbym cię także bracie w Chrystusie, o pierwszeństwo dla niej w moim domu i przy moim stole.

Niechże to pamiętają umysły lekkomyślne dbając więcej o poklask świata, niż o dopełnienie świętych obowiązków, że nie szanując najbliższych węzłów rodzinnych, ściągną na siebie pogardę tych właśnie, o których zdanie najwięcej im chodzi; ludzie z sercem i rozumem osądzą ich jako źle wychowanych i nieznających form przyjętych w dobrem towarzystwie.

Życie rodzinne składa się z tysiąca drobnych odcieni, wymagających wielkiego taktu jeżeli serce milczy, a serce bądź co bądź jest najlepszym mistrzem w tym razie.

Powinniśmy raczej podać ramię lub przysunąć krzesło wygodne staremu ojcu, lub matce, niż gościowi choćby najzacniejszemu; — wystarczy zaś kilka słów, by wytłumaczyć nas z tego pozornego zaniedbania się w grzeczności obcym przenależnej.

Znane jest powszechnie wydarzenie, które spotkało posła francuzkiego, jadącego prosić o rękę pewnej księżniczki dla swego pana. Przejeżdżając przez Alzację poseł zatrzymał się w Wissemburgu. W mieście tem żył na wygnaniu, prawie w nędzy, król z tronu zrzucony. Wprowadzono go do skromnego saloniku, gdzie ujrzał nieszczęśliwego monarchę cierpiącego na gościec, a przed nim klęczącą piękną jego córkę, która była właśnie zajęta zapinaniem kamaszów ojca, na bolących opuchniętych jego nogach. Królewna nie chciała nikomu powierzyć tej usługi około chorego ojca.

— Panie czy masz jeszcze ojca? — spytała nie przerywając swego zajęcia posła, który z zachwytem i rozrzewnieniem patrzał na ten piękny obraz, a dostawszy od niego potwierdzającą odpowiedź dodała: W tym razie nie weźmiesz mi pan za złe i pozwolisz dokończyć, nieprawdaż?

Bawiąc jeszcze parę godzin w tym domu, poseł był świadkiem tysiąca starań najczulszych, któremi anielska dziewica otaczała ojca swego; gdy zaś przybył na dwór potężnego monarchy, o którego córkę miał prosić dla swego pana, zastał księżniczkę w żywej sprzeczce z królową matką, z przyczyny, że jakiś stary szambelan zapomniał podnieść powłokę od jej płaszcza.

Widziałem dwie księżniczki wielce się różniące — pisał potem wysłannik do swego pana — pierwsza nie ma w posagu jak tylko piękność i cnotę anielską, zastałem ją na kolanach, zapinającą ojcu choremu kamasze, druga bogata i potężnego monarchy córka wyprawiła w mojej obecności scenę swojej matce o jakieś lekkie uchybienie względem niej w etykiecie. O której księżniczki rękę mam więc prosić dla W. K. Mości? „O rękę pierwszej!“ odpowiedział bez wahania młody król.

Miłość dla ojca nie wstrzymana w swych objawach przez nikogo, i nie uważająca na żadne względy światowe, zaprowadziła Marję Leszczyńską na tron francuzki, jako małżonkę Ludwika XV.

Życie rodzinne potrzebuje miłości przedewszystkiem, to pewna — lecz także wzajemnego poszanowania i wzajemnej delikatności. Możnaż gorzej się obchodzić z najbliższymi, niż to z zupełnie obojętnymi robimy?

Wybierać sobie najlepsze kąski z półmiska, najcieplejszy kącik przy kominku, najjaśniejsze miejsce przy lampie wieczorem, znaczy to okazywać się samolubem, pozbawionym wszelkiego taktu i znajomości świata.

Jeżeli wiek, lub złe zdrowie upoważniają nas do tego, znajdzie się zawsze ktoś nas kochający, który o naszych wygodach pomyśli, tem chętniej, im mniej my sami o nich myśleć będziemy.

Zaniedbanie w ubraniu, prostactwo w mowie a nawet w ruchach, dowodzi zawsze braku uszanowania dla tych, którzy nas otaczają. Życie składa się z drobnostek, a przecież one wyrokują częstokroć o naszem wychowaniu i sercu.

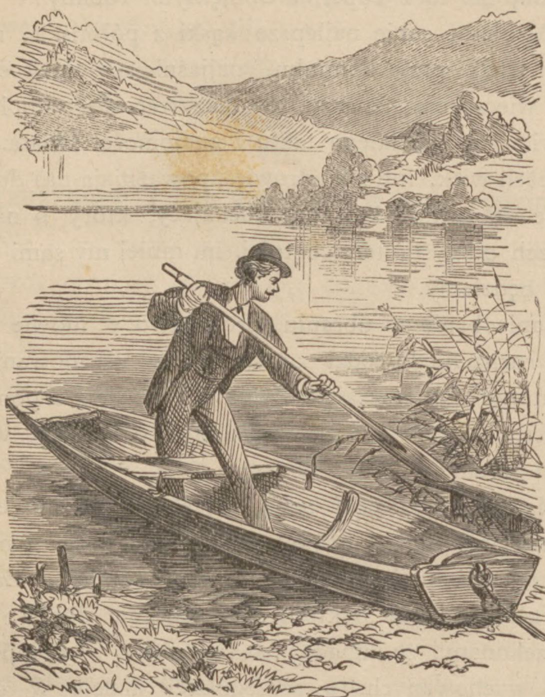
Mąż wyprzedzający żonę, nie chcący oddać jej najmniejszej przysługi, lub oszczędzić trudu, jeżeli ten przechodzi jej słabe siły, jest po prostu brutalem. Zamiast zachować wyższość, o którą się widocznie dobija, może być przekonany, że upada bardzo nisko w opinji ludzi dobrze wychowanych, a szczególniej maleje w oczach własnej żony. Zachowywanie ścisłe zasad grzeczności wśród najpoufalszych stosunków, wobec słabszych istot, zdanych zresztą przez cały ustrój społeczny na naszą łaskę i niełaskę, jest cechą prawdziwej wyższości moralnej, która jedynie może nam zapewnić poszanowanie, uległość i przywiązanie naszych najbliższych.

Jakże miło widzieć młodego człowieka, poświęcającego wieczór, który mógłby spędzić wesoło razem z przyjaciołmi, aby nie opuścić uroczystości obchodzonej w najbliższej rodzinie! Jak grzecznie postępuje zięć, który byłby dumny i szczęśliwy, gdyby prowadził swoją młodę, ukochaną żonę, a przecież podaje ramię matce swej żony,

Prawda to niezbita, że najczęściej rodzice sami przez złe prowadzenie, przez miłość zbyteczną a źle zrozumianą, wyrabiają w dzieciach samolubstwo, i lekceważenie wszystkich w około siebie. Usługując dziecku na wyścigi, oddając mu najwygodniejsze miejsce i wybierając dla niego najlepsze kawałki, przyzwyczajają je do tego, że dziecko zaczyna uważać wolę swoją za rzecz świętą, a każdy swój kaprys, i choćby najdzikszy, za wyrok nieodwołalny. Starając się ciągle o dogadzanie dziecku w jego wszystkich zachceniach, nie myślą wcale o jego przyszłości, nie rozwijają jego umysłu, nie hartują ducha do znoszenia przeciwności losu, tak nierozłącznych z życiem ludzkiem, nieusposabiają nakoniec jego serca do czulszych, szlachetniejszych uczuć, mogących jedynie zrobić z ich dziecka, istotę pożyteczną społeczeństwu. Ludzie samolubni, będą zawsze pasożytami niepotrzebnemi i nieznośnemi dla całego świata.

(*C. d. n.*)

Przypadek na jeziorze.



1. Młodzieńca w dal tęsknota goni;
Pragnie pobujać po wód toni.



2. Po drugiej stronie, w sinej dali
Wabi dzieweczkę kryształ fali.



3. Wsiadła do łódki trzpiotka skora,
I rączo mknie po szkle jeziora.



4. Tymczasem ku tej samej stronie
Mknąc, pruje młodzian fali tonie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

LASZKA.

Opowiastka

AURELEGO URBAŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

A więc pokochałem tę kobietę; pokochałem pierwszą, wiosenną miłością. Uczucie to wypełniło całe me jestestwo... Kochałem matkę, ubóstwiałem świętą tę matronę; wyczytawszy wieść straszliwą o jej śmierci, zdawało mi się, że oszaleję. I oto w kilka już godzin później, serce to pod okropnem wrażeniem śmierci zmartwiałe, odtajało pod urokiem spojrzenia innej kobiety. Wyrzucałem sobie niewdzięczność, lżyłem się złym synem, usiłowałem przykuć się myślą do odległej, przysypanej jeszcze śniegiem północnym mogiły... a jednak ta myśl wracała ustawicznie do dworka za borem i spotykała co krok po drodze parę oczu jasnych, modrych, i gwieździstych...

Świt rumienił już szczyty dębów, gdy ocknąłem się z zadumy. Nie, to nie złudzenie... To chód konia po leśnej ścieżynce. Chciałem obudzić cygana; lecz niemowie, na przekor teorji, nielada słuchem musiała wynagrodzić natura ubytek głosu; on siedział już na ziemi skurczony i niby pies czujny nadsłuchiwał. Niebawem kiwnął głową i spokojny legł znowu na podłodze.

Serce zadrgało mi gwałtownie... oczekiwanie dech zaparło mi w piersi. Zaledwie przez mózg mi przemknął obraz chłopca o krótko strzyżonym włosie — gdy drzwiczki lepianki otwarły się i Anna weszła do wnętrza.

Tak, to ona, w kożuszku i futrzanej czapeczce — niby chłopiec a dziewczyna...

Podała mi rękę zarumieniona. Widocznie nie czuła się swobodną w tem przebraniu. Zaledwie porównałem niewymuszoność, zwinność jej ruchów, gdy owego wieczora niepostrzeżony śledziłem ją z okienka, z nie śmiałością dziewiczą, z jakiej obecnie wyłamać się nie mogła— jeszcze żywiej uderzyło mi serce...

Czułaż się krępowaną tem przebraniem w obecności obcego mężczyzny — czy inne głębsze powodowało nią uczucie?..

W milczeniu ucałowałem jej rękę. Powiodła mnie przed lepiankę. Usiedliśmy na wywróconym dębie. O kilka kroków do pnia przywiązany, zarżał niecierpliwie Żmudzinek.

„Cicho Kapral!“ — zawołała; kuc opuścił ku ziemi głowę spokojnie i stanął nieruchomy.

„Nie spodziewałeś się pan takiego gościa“ — rzekła po chwili, wskazując zarumieniona na swą odzież.

— „Przeciwnie—odparłem drżący nie po raz pierwszy widzę panią w tem ubraniu.“

„Ah!“... i umilkła.

— Czy obraziłem panią? — szepnąłem.

„Potrzeba zniewala mnie do tej maskarady“ — jęła tłumaczyć się z powagą — „Bez tej szaty nie zdołałabym pełnić służby, jaką mi władza powierzyła. Dla dobra sprawy poświęcić należy niejedno uprzedzenie. Dla tego proszę nieodzownej konieczności nie poczytać mi za płochą fantazję“...

Nie domyślała się, ile rozkoszy wysnuć sobie potrafiłem z tych wyrazów... Oh, to nie obawa poważnej, o godność swą dbałej kobiety, by nie posądzono jej o próżność i kokieterję — czułem, że zależało jej na tem, by w wspomnieniach mego żywota postać jej zarysowała mi się czysta, surowa, bez skazy.

Nie długo trwała nasza rozmowa. Spieszyła do następnej stacji „poczty obywatelskiej.“ Z powrotem obiecała mnie znowu odwiedzić — zachęcała do ostrożności i cierpliwości, zapowiadając, iż niebawem skończy się przykre moje więzienie.

„A więc niebawem!“...

Kilka jeszcze tylko dni... i pożegnam ją... może na wieki!...

. . . . , ...

W ciemnej, wilgotnej tej norze przepędziłem jednak przecie cały tydzień. Niemowa był mi raczej ciężarem a nie towarzyszem, zaledwie kilka kroków zapuściłem się w bór dla odetchnięcia wonnem, leśnem powietrzem, aliści już biegł za mną, składał ręce i wskazywał na drzwi lepianki. Widocznie rozkazy „pannuńci“ były ostre, a okolica nie zbyt dla mnie bezpieczną. Dwa razy dziennie, spiesząc ścieżką leśną na „stację“ i wracając z niej, wstępywała Anna do ziemianki cygana i przynosiła mi wieści z pola walki i okolicy. Spytałem ją raz o Szymona.

„Zborsuczał,“—odrzekła. „Od chwili, jak dowiedział się o zdradzie brata kowala, sposępniał i knuje coś złowrogiego. Nie wątpię, iż na ostro rozmówiłby się był z niegodnym bratem, gdyby nie niepojęta okoliczność, iż zdrajca zniknął niepostrzeżenie. Raz go tylko widziano, jak zdążał ku temu borowi. Szymon usłyszawszy o jego pojawieniu się, przepadł jak kamień w wodzie. Trzy dni nie pokazywał się wcale; nareszcie gdy powrócił wynędzniały i jak zwierz głodny, lecz i ponury jak wprzódy, na zapytanie, kędy przebywał, odrzekł obojętnie. „Chodziłem na zwiady“ — i zamilkł. Znając skryte jego usposobienie, nie

dopytywano się go o więcej; mam jednak pewne skazówki, iż często nocą podkrada się pod kuźnię. Nie daj Boże, by ci dwaj bracia spotkali się z sobą... Zdrajca niech ginie, lecz nie z ręki rodzonego brata.“

. . . .

Siódmego dnia z powrotem ze „stacji“ wręczyła mi Anna karteczkę. Był to formalny rozkaz władzy udania się na przeznaczone miejsce.

„Jutro, skoro świt, oczekuj mnie Pan. Odwiozę go do***. Tam połączysz się z oddziałem, który przekroczy granicę.“

— Dzięki Ci, pani, — zawołałem — iż gorżką chwilę rozłąki osłodzić mi pragniesz, odwożąc żołnierza wolności na miejsce przeznaczenia.

Zmarszczyła brwi i zamilkła; snać dałem się unieść gorączkowej mojej naturze i pozwoliłem sobie nadać wyrazom swoim znaczenia, które niemile dotknęło dziewiczego jej serca.

Złożyłem ręce błagalnie i szeptać zacząłem słowa uniewinnienia:

— Oh, nie miałem zamiaru podsuwać Ci, pani, fałszywych pobudek. Byłoby to zarozumiałością z mej strony żywić jakąkolwiek nadzieję. A jednak przecie nie zechcesz zaprzeczyć, iż jesteś samotnikowi życzliwą siostrą. Dlaczegoż więc nie miałabyś mi towarzyszyć na ostatniej tej, rozstrzygającej drodze? Kto wie, czy ujrzymy się jeszcze kiedy? Pierwsza może kula nie minie mej piersi... A ja, zdążając na miejsce przeznaczenia, tyle jeszcze rad i przestróg wysłuchać bym pragnął!...

„Ścieżki tajemne tego boru“ — odparła po chwili wahania głosem surowym—uznane jedynie mnie i Szymonowi. Sługa nasz zniknął; mnie więc przypadło w obowiązku przeprowadzić pana temi manowcami. Zresztą i ten bór nie jest już bezpiecznem schronieniem. Kowala widziano znowu wczoraj wieczorem przy zrębie. Oto powód, dlaczego jutro towarzyszyć panu będę. Dobrej więc nocy życzę!“ — dodała łagodniej podając mi rękę — „do jutra!“

Dosiadłszy mierzynka, znikła.

. . . .

A więc oprócz życzliwej braterskiej przyjaźni nie obudziłem w tej kobiecie żadnego innego, żywszego uczucia? Miłość moja — tak, nie wypieram się świętego tego wyrazu, jakkolwiek przedmiot jej o tyle starszym był odemnie wiekiem i powagą — miłość więc moja pierwsza, czcią i ubóstwieniem gorąca, nie zdołała rozegrzać lodowego serca surowej tej patrjotki? Wy coście kochali po raz pierwszy uczuciem, które też ostatniem się stało, wy pojmiecie stan mojej duszy tej nocy.

A noc to była czarna, burzliwa. Wiosenna ulewa z wichrem i grzmotami przygrywała mi dziko, nieharmonijnie. Monotonne uderzanie gęstych, ciężkich kropel o wiotki dach lepianki, szum dębów, miotanych wichrem, wycie, łomot, świst i dudnienie gromów, wszystko to napawało mnie niepokojem, trwogą, rozpaczą... Zrazu zająłem się odczyszczaniem broni, którą cygan na dany znak Anny wieczorem był odkopał z pod progu ziemianki; pomagał mi w tem niemowa, dopóki sen nie zmorzył starego kościotrupa.

Późno już po północy rzuciłem się na chwilę na tapczan; a nie mogąc usnąć, przysłuchiwałem się rozdrażniony dzikiej, strasznej muzyce rozszalałej przyrody. Nagle od potężnego uderzenia wichru zatrzęsły się węgły lepianki, drzwi pchnięte niewidzialną siłą otwarły się z trzaskiem, gwałtowny zaś powiew wiatru zgasił głownię na kominie, napełniając izdebkę gęstym dymem i wilgocią. Cygan i ja zerwaliśmy się z legowiska. Skoczyłem do drzwi, i zdawało mi się, jakoby ciemna jakaś postać odskoczyła spiesznie od okienka. W tej chwili błyskawica rozdarła ciemność nocy i przy jaskrawem jej świetle spostrzegłem uchodzącego w las człowieka...

Poczułem dotknięcie mego ramienia. Odwróciłem się, drgnąwszy mimowoli. Za mną stał niemowa, i wskazywał ręką w głąb lasu w kierunku umykającej postaci. Nie wszystkie znaki cygana były mi zrozumiałe; — po dłuższem, a bezowocnem usiłowaniu porozumienia się z niemową usiedliśmy obadwaj na progu z rewolwerami w ręku i tak zmoczeni, przeziębnięci, z wytężonym wzrokiem i słuchem przesiedzieliśmy na wichrze i słocie do rana.

I znowu tentent zapowiedział mi Jej przybycie. Tym razem obok niej stąpał drugi koń osiodłany, późniejszy wierny mój towarzysz bojowy.

Po krótkiem, żołnierskiem przywitaniu zdałem jej sprawę z nocnej przygody. Niemowa zrozumiałemi dla niej, a niepojętemi dla mnie znakami uzupełnił moje sprawozdanie. Stała milcząca, zamyślona; uważałem jednak, że spojrzała na mnie z pewnym niepokojem i lekko przybladła.

Ah — przecie obchodziłem ją nieco — tę kamienną, nieczułą kobietę.

Dosiedliśmy koni — ja, uzbrojony od stóp do głów, — ona, jak zazwyczaj, w kożuszku swym i futrzanej czapeczce; w olstrach, u jej siodła, błyszczały główki pistoletów.

Cygan pożegnał nas ucałowaniem kolan i tęsknem, życzliwem spojrzeniem...

Puściliśmy się więc stępo, krętą, wijącą się leśną drożyną. Ona jechała przedemną zimna, spokojna, baczne szląc przed się spojrzenia — ja za nią, z głową spuszczoną, zbolały, zamyślony...

Długo, bardzo długo posuwaliśmy się tak borem; potężne dęby karlały co raz bardziej i ustępować poczęły gęstej sośninie, pomieszanej z krzakami leszczyny. Dopóki rzędy pni rozłożystych dozwalały swobodnie objąć wzro-

kiem znaczną przestrzeń boru w około, nie zauważałem na mej poprzedniczce żadnych oznak niepokoju; skoro jednak leszczyna i karłowate sosenki gęsto obsiadły wąską wstęgę drożyny, odwróciła ku mnie główkę, podniosła do ust palec z giestem milczenia, i cicho, z wytężoną uwagą, jak duchy przemykaliśmy się manowcami.

Anna była bardzo bladą... prawa zaś jej dłoń opierała się ustawicznie na olstrze.

Tajemnicza ta jazda, spokojny ranek po burzliwej nocy, sam na sam z drogą istotą wśród cicho gwarzącego lasu, wspólne z nią niebezpieczeństwo, wszystko to napawało mnie dziwnym urokiem.

Nagle Anna wstrzymała konia i w ręku jej błysnęła lufa z rewolwera. W krzakach przy ścieżce rozległ się szelest, i z gęstwiny wystąpił z fuzją w ręku — Szymon-Kujawiak.

„Bóg prowadź, pannuńciu“ — mruknął.

„Co tu porabiasz, Szymonie? Dlaczego zniknąłeś? Kiedy wrócisz do dworku?“ — zasypała go Anna pytaniami.

„Jedźcie z Bogiem? — odparł ponurym głosem, machnął ręką i puścił się na przełaj krzakami.

Przewodniczka moja posłała za nim przenikliwe spojrzenie i dała znak do dalszej podróży. W milczeniu posuwaliśmy się dalej.

Zwyż ćwierć mili ujechaliśmy gęstwiną krok za krokiem, gdy ścieżka przemieniła się w dość szeroką drogę leśną, na ktorej koła drwalów widoczne zostawiły ślady. Korzystając z tej okoliczności dotknąłem konia ostrogą i zrównałem się z Anną. Spojrzałem jej w twarz. Była bardzo bladą i unikała mego wzroku.

„Anno!“ — szepnąłem...

Pierś jej podniosła się gwałtownie, drgnęła, i szarpnąwszy wędzidłem uskoczyła na bok z koniem.

Tak jechaliśmy znowu w miczeniu.

Po chwili otworzyłem usta, by dać folgę wzburzonemu uczuciu, gdy ona spojrzawszy mi w oczy surowo — przerwała mi cichym, urywanym głosem:

— „Milcz pan! Każde słowo zdradzić nas może!“

Spuściłem głowę smutnie i zamilkłem. Kobiecie żal zrobiło się zapewne ostro wyrzeczonych wyrazów, podała mi bowiem rękę, poczem spiąwszy żmudzinka wyprzedziła mnie o kilka kroków.

Nagle, na zwrocie, z pod ustawionych sągów chrustu leśnego wymknęła się chyłkiem jakaś postać skurczona, przeskoczyła drogę i pędem puściła się ku gęstym krzakom po drugiej stronie zrębu.

Zaledwie zdołałem zebrać zmysły, nagłym wypadkiem pomięszane, aliści usłyszałem tentent galopu — i strzał... Jęk podwójny rozległ się lasem. Spiąłem konia i puściłem się naprzód. O kilkanaście kroków od drogi, na ścieżce wśród gęstwiny, leżał mężczyzna w wieśniaczej odzieży krwią zbroczony, wijąc się w strasznych boleściach. Obok, oparta na szyi mierzynka, blada jak trup, mdlejąca stała Anna. U nóg jej leżał wystrzelony rewolwer, Zeskoczyłem z siodła i chwyciłem ją w ramiona. Poczuwszy się w silnem mem objęciu, otwarła przymknięte powieki, wyciągnęła dłoń kurczowo, a wskazując na rannego szepnęła; „Zabiłam człowieka... Kowal — szpieg“ i bezwładnie usunęła mi się na piersi...

Ah, chwili tej, jakkolwiek wśród tak straszliwych okoliczności, nie byłbym oddał za żadne świata skarby... Tuliłem ją do piersi, zimną i nieprzytomną — a u stóp naszych chrapał ranny w kurczach konania.

O dziwna, niepojęta naturo kobiety! Surowym, do posłuszeństwa przyzwyczajonym głosem dawałaś rozkazy; w noc ciemną mknęłaś samotna tajemniczym borem nie lękając się zdrady ni zbrodni; gotowa byłaś głowę swą oddać pod stryczek lub pierś nadstawić kuli dla dobra Ojczyzny... a oto na widok krwi, własną przelanej ręką, choćby to była krew zdrajcy i szpiega — omdlewasz silna, a jednak tak słaba niewiasto!..

Zwolna zaczęła powracać do zmysłów... w tem ponowny szelest zwrócił moją uwagę. Zanim zdołałem dobyć z pochwy pałasza — wyskoczył z krzaków Szymon. Snać biegł szybko i z wytężeniem; twarz jego pałała a grube krople potu sączyły mu się z pod baraniej czapki. Przypadł, rzucił fuzją o ziemię, stanął nad rannym, skrzyżował ramiona i pokiwał głową z boleścią.

Anna otwarła powieki. Ujrzawszy się w mem objęciu, odtrąciła mnie ruchem gwałtownym i rumieniec oblał blade jej oblicze.

„Więc to wy, pannuńciu?“ szepnął chrapliwie Szymon, wskazując na szpiega.

„Przebacz Szymonie,“ — jękła i zakryła twarz dłonią.

„Ja — wam, święta pannuńciu?... Oh!..“ i odjął rączki od twarzy i ucałował obiedwie, skrapiając je łzami Potem przystąpił do brata i ukląkł nad nim.

„Mateuszu!“ zawołał uroczyście.

„Czego chcesz“ — — — jęczał ranny — — — „pozwól mi umrzeć spokojnie.“

„Tegoż doczekałem się po tobie?! — szeptał Szymon łkając — „giniesz, jak wściekły pies — od swojej, nie moskiewskiej kuli!“

„Poili mnie... dzwonili rublami.... dobij mnie bracie, na miłość Boską dobij, niech się tak nie męczę“...

„Mateuszu — czy masz mi co wyznać?... mów... Pamiątaj, za chwilę staniesz przed Sędzią strasznym a sprawiedliwym!“...

„Umierać! Oh... Nie mogę skonać bez twego przebaczenia... Pali mnie, pali! Dobij mnie, bracie!“

„Przebaczę ci... powiedz... czatowałeś na nich?“

„Oh... tam... pod korczówką w lesie... w chacie leśnego kozacy... jam ich sprowadził.. czekają... Dobij!“..

„Módl się!“

„Dobij bracie, na miłosierdzie Boskie!“

„Żałujesz Mateuszu!“...

„Oh, żałuję... żałuję“...

„Czy sprawiedliwie cię osądzono?“

„Tak... tak... Bóg sprawiedliwy... Zasłużyłem na śmierć taką... Męczę się okropnie“...

„Szymon wstał, przeżegnał się i podniósł fuzję z ziemi...

„Widzisz bracie... sądzono, byś oczy zamknęł od mej kuli. Tydzień już szukam ciebie... i nie dziś, to jutro czekało cię, co w niebie zapisano“...

„Oh Szymonie... jakże mnie pali... Miłosierdzia!“...

„Boże, bądź litościw jego duszy!“—

Szymon schylił się, uścisnął bratu rękę, wstał, zrobił mu krzyż nad głową, poczem nagłym ruchem zmierzył się... padł strzał... i winowajca przestał cierpieć...

Oglądnąłem się za Anną... leżała omdlała na ziemi. Podnieśliśmy ją, ułożyli na mierzynku i popchnęli dalej. Zanim Szymon opuścił to miejsce sądu i wyroku, przykrył zwłoki gałęziami sośniny i u głowy wetknął w ziemię krzyżyk na prędce z dwu pieńków złożony...

Ruch jazdy przywrócił znowu zmysły omdlałej. Siłą woli starała się opanować to wzruszenie; po chwili więc, jakkolwiek drżąca i jak marmur blada, siedziała prosto w siodle i milcząco jechaliśmy dalej. Przestrzeżeni zeznaniem Mateusza skierowaliśmy konie w inną stronę, jak to pierwotnie było zamierzonem i kołując, nałożywszy około milę drogi, stanęliśmy u krańca lasu. Zdala polem biegły rzędem graniczne słupy, w odległości zaś dobrej ćwierci mili czerniła się gromada chatek — cel naszej podróży.

U schyłku pożegnał nas Szymon wskazując palcem wioskę w milczeniu, uścisnął mi rękę serdecznie, ucałował kolano „pannuńci“ i odwróciwszy się szybko utonął w głębi boru.

Czy obowiązek wzywał go w tamtą stronę, czy trup brata ciągnął go niewidomą siłą do siebie, nie wiem...

Anna milcząca nie dotknęła ani słowem tego przedmiotu... oddalenie się jednak Szymona nie zdziwiło jej wcale... Ona jedna w ręku trzymała zagadkowe nici rozgrywającego się w okolicy dramatu...

VIII.

Po zniknięciu Kujawiaka kopnęliśmy się polami wyciągniętym kłusem ku wiosce. Gwałtowny prąd przecinanego powietrza i ruch szybki przywrócił wnet równowagę w duszy żelaznej tej niewiasty... Niebawem nie byłbyś się domyślił krwawego epizodu, w którym przed chwilą tak ważną odegrała rolę, patrząc na tę spokojnie, zimno kłusującą kobietę.

Stanęliśmy we wsi — przez cały ten przeciąg czasu nie wymieniwszy słowa ze sobą. Przed oznaczoną chatą, ozdobioną ścieżką u wejścia oczekiwał żydek arendarz, czołobitnie witając moją towarzyszkę.

„Proszę do izby“ — zapraszał czystym, polskim językiem. „Motjo z tamtej strony granicy wczoraj tędy przejeżdżał i wozy z amunicją już są. Oddziału tylko co nie widać.“

Anna wchodząc podała mu uprzejmie rękę, którą ucałował z uszanowaniem.

Kobieta ta budziła w całem otoczeniu cześć i szacunek....

„Moja Sara z niecierpliwością oczekuje panienkę“ — prawił dalej arendarz. — „Ma tam papiery i pocztę. Całą noc świeciliśmy zieloną latarkę w oknie, aż dopiero nad rankiem z tamtej strony granicy błysnęło czerwonem światłem. Nu — to dobry znak. Motjo nie skłamał.“

Wprowadził nas do izby, połą chałata otarł ławę i podsunął ją „pannuńci.“

„Kowal Mateusz kręcił się wczoraj późnym wieczorem po wsi« — relacjonował dalej żydek. —

„Sprawiedliwość dosięgła zdrajcę“ — szepnęła Anna, a usta jej zadrżały.

Żyd chwycił się przestraszony za brodę.

„Nie żyje?“ — spytał cicho.

„Nie żyje.“ —

Pokiwał głową i pocmokał wargami, które mu z lekka pobladły... Ajent w chałacie, choć wiernie służył ojczyźnie, widocznie nie poczuwał się do roli bohatera.

Scena, która potem nastąpiła, pozwoliła mi choć w małej cząstce zapoznać się z wpływem tej kobiety — i niezmordowaną działalnością.

Rozmaite postacie, jedna po drugiej przesuwały mi się przed oczyma; każda ze sprawozdaniem, po radę lub rozkazy.

Usiadłem niemy przy okienku i podparłszy smutnie głowę, przyglądałem się tej podniosłej scenie...

Nasamprzód nadbiegła Sara i z pewną namiętnością ucałowawszy obie ręce „pannuńci,“ wręczyła jej pakiecik papierów, które Anna troskliwie ukryła w zanadrzu.

Po niej wprowadził arendarz sędziwego wieśniaka, wójta wioski. Starzec złożył jej raport, patrząc w nią jak w Świętą i otrzymawszy wskazówki dalszego zachowania się, wyszedł, pożegnawszy ją uściśnieniem kolan.

Wójta zluzowała poważna postać młodego wikarego, który oświadczył „panu komisarzowi,“ iż wedle danych poleceń rozkazał uderzyć w dzwony za nadejściem oddziału i wyjść naprzeciw temuż z procesją. Przedłożył również spis młodych parobczaków ze wsi okolicznych, gotowych połączyć się z oddziałem. Był to przyszły tegoż kapelan.

(Dok. nast.)

O wzmaganiu się potrzeb

według wykładu prof. Conrada opracował Dr. Edmund Burzyński.

(Ciąg dalszy).

Przedewszystkiem zauważyć tu należy, że wszystko, co tak jest bardzo rozpowszechnionem, jak owa skłonność do strojenia się we wszystkich czasach i u wszystkich narodów musi być ugruntowane w ludzkiej naturze. Co zaś jest człowiekowi wrodzone, musi też być dla niego i usprawiedliwione. Za taką uważać musimy i tę skłonność. Byłaby to walka z wiatrami, gdybyśmy przeciw niej występować chcieli. Ważnem atoli dla nas będzie dokładne o ile możności zbadanie celów, w jakich to człowiek czyni, niemniej też i przyczyn, dla których idzie za tą skłonnością.

Cele te są różne. Raz chcemy się tem innym przypodobać, okazać się powabniejszymi, potem chcemy odszczególnić się i odznaczyć, prócz tego znachodzimy i my sami w tem przyjemność, gdy siebie ujrzymy w piękniejszej szacie. To ostatnie ma nieraz więcej dla nas powabu niż gdybyśmy wobec najpiękniejszego innego znaleźli się przedmiotu. Jeden z tych celów jest tu zawsze przeważającym, a człowiek dla osiągnięcia wpada na najdziwaczniejsze nieraz pomysły.

A więc wiesza sobie kulczyki tu na uszach, gdzieindziej znowu na nosie, na ramionach lub na nogach; lica u jednych narodów malują sobie na czerwono, także i włosy, brwi znowu na czarno, u Murzynów np. malują sobie twarz na niebiesko, zęby na czarno. Tu więc uważają to, u innych znowu narodów coś wręcz przeciwnego za środek okazania się powabniejszym, tu uchodzi to, tam znowu co innego za piękne. A są heretycy, nie uznający ani jedno ani drugie za piękne.

Przypatrzmy się bliżej u nas to zobaczymy, że w jednych okolicach włościanki nasze największe znajdują upodobanie w kolorze czerwonym, w innych w niebieskim; wiemy jaką wielką wartość przywiązuje powszechnie nasz lud do wielkiej ilości sznurków korali, wstążek i t. d. We wszystkich nas tkwi pamięć moda noszenia krynolin, gdy w naszych czasach wręcz przeciwnie. Ta pani uważaną jest za najmodniej ustrojoną, która najwęziej ubrana potrafi zachować całą swobodę ruchów; a przynajmniej najlepiej udaje, że ją posiada. Na jak różnorodne pomysły wpada człowiek pod względem przyozdobienia głowy, widzimy to wszyscy niemal codzień.

Choćbyśmy jednak niewiedzieć ile jeszcze przykładów dziwaczności pomysłów ludzkich z teraźniejszości pod tym względem przytoczyli, żadną miarą niedoprowadziłoby to nas do wniosku, że pod tym względem stoimy gorzej od poprzednich wieków. Przeciwnie twierdzić możemy, że stoimy lepiej.

Wiadomą jest powszechnie rzeczą, jaki przepych panował u schyłku wieków średnich u mężczyzn pod względem stroju, i ile materji wypotrzebowywano na jedną tylko część ubrania. Buty z nosami na jedną stopę długiemi uchodziły za najpiękniejszą ozdobę. A owe peruki, kołnierze á la Stuart i toupety z czasów Marji Antoniny nie mają wcale widoków wejścia na powrot w modę.

Zapytamy teraz zkądże to znowu pochodzi, dlaczego się tak dzieje? Nikt przecie twierdzić nie będzie, że takie długie nosy u butów, krynolina lub druga jej teraźniejsza ostateczność podnosi powab człowieka, czyni go piękniejszym. Jest to żądza odznaczenia się, odróżnienia się od innych. Należy to bowiem do tak zwanego dobrego tonu, iść za modą nie tylko najdokładniej ale nawet posuwając ją do ostateczności, a nasze panie przelękłyby się niemało, gdyby wiedziały, jakie to osoby były dawczyniami motorkami tego dobrego tonu.

Te przyczyny, tkwiące w czystej próżności człowieka nie mają według naszego mniemania żadnego uprawnienia; gdy przeciwnie staranie ukazania się w szacie powabnej, chęć przyczynienia się ze swej strony do upiększenia świata znajdzie wszelkie uprawiedliwienie. Rozumi się, że nastąpi to tylko wtedy, jeżeli zamierzony cel rzeczywiście osiągniętym zostanie. Niestety tu mylą się ludzie nadto często.

Stara panna, ubrana jak młoda, osiąga skutek wręcz przeciwny, jak zamierza. Piękna róża lub kamelja we włosach może jeszcze bardziej uwydatnić brzydotę, miasto przyczynić się do upiększenia. Niezgrabny, spanoszony chłop lub żyd, wystrojony fircykowato, podług najnowszej mody, staje się śmiesznością — osobistość cała człowieka musi pozostawać w harmonji z ubraniem.

Jedwabna suknia kobiety znajdującej się w złych stosunkach majątkowych wywiera zupełnie inny wpływ, niż to właścicielka zamierzała. Nie podniesie ona jej znaczenia przeciwnie poniży ją. Wiele też panien zaniechałoby z pewnością stroić się wedle najnowszej mody, gdyby wiedziały, o ile więcej podnosi je zwykła biała sukienka, o ile powabniej zdobi je skromna prosta fryzura, i że w tem ubraniu najpiękniej się przedstawią właśnie najdzielniejszym mężom.

Strojowi nie można przeto odmówić usprawiedliwienia. Uczynilibyśmy to dopiero, gdyby wymagania nasze pod tym względem wzmagały się nad miarę, gdyby dla

zaspokojenia ich nie starczyło na inne ważniejsze nasze potrzeby do życia. Niestety właśnie w naszych czasach rzecz się tak ma istotnie. Wprawdzie jak to podnieśliśmy poprzednio, zbytek pod względem stroju był w dawnych czasach znacznie większy, teraźniejszy jednak różni się od dawniejszego raz na korzyść teraźniejszego tém, że w ogólności świat męzki trzyma się z daleka od tego ruchu pozostawiając to kobietom, co przedtem nie miało miejsca; a powtóre na niekorzyść pod tym względem, że przepych pod względem stroju rozpowszechnił się i pomiędzy najbiedniejsze klasy ludności, że wymagania nasze przeszły tu tak w klasach niższych jak i wyższych wszelkie granice, że nie stoją w żadnym stosunku do dochodów.

Przyczyny tego zjawiska szukać należy przedewszystkiem w charakterze demokratycznym naszego wieku. Przedtem były stany wszystkie jakby murem od siebie oddzielone, szlachta od mieszczan, patrycjusz miejski od rzemieślnika, ten znowu od chłopa i robotnika. Jeden stan unikał drugiego, każden stan, każda niemal okolica starała się już zewnętrznie odróżnić od innego stanu, od innej okolicy, ztąd powstały także stroje narodowe. Prawo nawet stanowiło, iż mieszczanom nie wolno się ubierać jak szlachcie.

Starożytne te podziały na stany i ostre granice już upadły. W szeregu zdobyczy naszego wieku zapisaliśmy już równość przed prawem i polityczne równouprawnienie. Dwie jednak pozostały różnice — pozostaną one na zawsze jako związane z naturą ludzką i z całym naszym postępem cywilizacyjnym Jedną z tych stanowi rozmaite uzdolnienie pod względem fizycznym, a jeszcze bardziej pod względem umysłowym, nabytych wiadomości, wykształcenia i t. d. Druga różnica jest pod względem majątkowym. Co do niej nie potrafił z nią nasz wiek należycie się jeszcze oswoić a próżność płata tu wcale brzydkie figle. Bogatsi starają się odszczególnić od swych bliższych blaskiem zewnętrznym i przepychem nie mając w tem innych korzyści, jak że pochlebili swej próżności. Biedniejsi znowu nie chcą pozostać za nimi, a gdy na każden dzień nie mogą, to przynajmniej w Niedzielę i święta, starają się, nie mogąc inaczej, nie odróżniać się od tamtych choć w kolorze i kroju sukien, a teraźniejszy przemysł, tak biegły w imitacji, ułatwia to bardzo. Z bolem serca jednak przychodzi tu wypowiedzieć otwarcie, że i u jednych i u drugich dzieje się to najczęściej z ujmą innych naglejszych potrzeb.

Takiem jest staranie biedniejszego urzędnika, przemysłowca, robotnika, służących, aby zadość uczynić tym wymaganiom, choćby ofiarą wszystkich oszczędności. Szlachta niechce stać po za bankierami i giełdzistami, rujnuje się przeto, kucharka znowu niechce stać po za wielmożną Panią i nie zaoszczędza nic na wypadek chorób, starości lub zamążpójścia. Nadający ton zmieniają szybko modę w kolorach, materjach, w dziwaczności kroju, a szybka ta przemiana przynosi do przemysłu chwiejność i niepewność, która naród nieraz miliony kosztuje. Jeden popędza tu drugiego, ten chce się odróżnić, tamten znowu niechce pozostać w tyle. Działa to szkodliwiej, jakbyśmy przypuszczać mogli; najgorsze żądze człowieka, bo próżności i egoizm, bywają ustawicznie pobudzane, a zmysł wszystkich skierowany ku powierzchowności i małoduszności. Strój zwłaszcza kobiecy przestał być środkiem a stał się dla siebie samego celem — odgrywa on nienależną mu rolę w życiu codziennem, w marzeniach młodej dziewczyny i w umyśle stroskanych ojców rodziny. Wiek nasz tak bogaty w pokarm duchowy, że istotnie szkoda tak niepomiernie zaprzątać tem umysły a to tem bardziej, że z tego nikt rzetelnych nie odnosi korzyści.

Do powyższych przyczyn przybywa jeszcze skłonność człowieka do ciągłych zmian. Skłonność tę w granicach odpowiednich do pewnego tylko posuniętą stopnia uważać możemy za uprawnioną. Niestety wyrodziła ona się prawie zupełnie. Nie zależy nam już na teraz tyle, by posiadać coś pięknego, by się ubrać gustownie — zależy nam tylko, by mieć co innego, coś nowego.

Co zaś tu najbardziej niemiło nawet uderza, to rażące bardzo przeciwieństwo pomiędzy strojem na ulicy i przy uroczystych obchodach a prostotą i niedostatkiem prawie w życiu codziennem, w domu. Jedni Anglicy stanowią tu chlubny wyjątek. Zapytamy więc z całą słusznością: Dla kogoż więc stroją się nasze Panie? Dla domu własnego, dla swoich, bardzo rzadko! A więc dla ulicy, dla innych.

Uprawnionem nazwiemy przeto staranie człowieka ustroić się gustownie, wedle możności majątkowej bez ujmy innych ważniejszych potrzeb. Purytańska prostota i jednostajność byłaby nużąco nudną. Jeżeli spotykamy ją u majętnych, jest ona dowodem braku gustu i tak samo naganną, jak przepych u biedniejszych. Staranie się nie sprawić swoją osobą jakiego widowiska należy uszanować — niemożna przeto od nikogo żądać, by płynął przeciw prądowi wody, jednak każden może i powinien wymagania mody o ile możności złagodzić, podnosząc rzeczy prawdziwie piękne a odrzucając cudackie i dziwaczne. Czas już niedaleki, spodziewać się należy, bo oznaki się mnożą, że właśnie wykształcony człowiek starać się będzie odznaczyć prostotą, większą jednostajnością i gustem w ubraniu. Całkiem usprawiedliwionem nazwiemy dążenie klas mniej zamożnych, nie odróżniać się bardzo co do stroju od innych. Leży to w charakterze demokratycznym naszego wieku — nie oceniamy też należycie znaczenia, jakie ma wykwintniejsze ubranie — prowadzi ono za sobą i ogładę większą. (*Dok. nast.*)

POGADANKA.

(Konfiskata Szczutka. — Wyjazd p. Gillera i Ruch literacki. — Towarzystwo pedagogiczne. — Żydzi w Polsce na Rusi i Litwie przez Wacława Aleksandra Maciejowskiego. — Monografie historyczne pp. Szujskiego i Janoty. — O biskupstwie warmińskim przez dra Sieniawskiego. — Michał Gierdwoiń członkiem akademji paryzkiej. — Nowe podróże Tryplina. — Wiadomości artystyczne. — Polacy na turnieju szachowym. — Fotografowie polscy w Paryżu.)

Pokazuje się, że miałem węch kapitalny, odstępując w ostatniej mej pogadance Szczutkowi moje wawrzyny prorocze, — maluczko bowiem a spadła nań konfiskata ze strony c. k. prokuratorji, a ze strony JMĆ. Pana Ahaswerowskiego, Obywatela Tromtadrackiego i całej ich klienteli siarczyste pioruny z powodu programowego wiersza pod nazw. Na Jutro, zamieszczonego w 26. nrze tego pisemka. Dziwna ta solidarność takiego mi w głowę zabiła ćwieka, że od tygodnia suszę sobie daremnie głowę nad rozwiązaniem tej zagadki, bo jeżeli gniewy JMĆ Pana Ahaswerowskiego i Obywatela Tromtadrackiego są mi w tym wypadku zupełnie zrozumiałe, to pojąć wcale nie mogę jak „potępiając bagnet i puginał“ można się dopuścić zbrodni zakłócenia publicznego spokoju. Ale cyt, dajmy temu pokój! Niebawem rozjaśni się ta zagadka, gdyż — jak słyszałem — zamyśla Szczutek założyć rekurs przeciw orzeczeniu c. k. Sądu który zatwierdził tę konfiskatę, i zażądać publicznej rozprawy.

Obok tej konfiskaty wypada mi donieść o wydaleniu p. Agatona Gillera, który w skutek rozkazu c. k. Namiestnictwa w tych dniach wyjechał za granicę. Opinje moje co do pożyteczności literackiej i dziennikarskiej działalności p. Gillera są nadto znane, abym je tu potrzebował wyrażać; — dodam więc tylko że wyjeżdżającego odprowadziły na kolej tłumy znajomych tudzież że Ruch literacki przeszedł w skutek wyjazdu p. Gillera pod redakcję p. Spausty. Jaką drogą pójdzie to pismo pod nowem kierownictwem, czy zerwie z dotychczasową swą szkodliwą bo bałamutną tendencją, tudzież z dawnem hałasem swojem, które wedle Szczutka brzmi:

Od Krakowa po Podhajce
Sami zdrajce!

to najbliższa przyszłość wykaże. W każdym razie ponosi Szczutek i Kącik nasz w skutek tej redakcyjnej zmiany nieodżałowaną stratę, mieli bowiem humoryści dotąd w Ruchu prawdziwą Kalifornje, której ubytek nic zastąpić by nie było w stanie. —

Bohaterem ostatniego tygodnia było Tewarzystwo pedagogiczne które dnia 18 i 19 b. m. odbyło w Nowym Sączu swoje dwunaste walne zgromadzenie połączone z obchodem szczęśliwego zakończenia pierwszego dziesięciolecia tej pięknej instytucji. Dotychczasowe dzieje tego Towarzystwa są pełne zasług, przyczyniło się ono bowiem skutecznie jakkolwiek nie w sposób oficjalny do rozwiązania wszystkich tych doniosłych spraw, które w przeciągu lat dziesięciu u nas w zakresie szkolnictwa rozwiązanemi zostały, a kierując się zawsze poczuciem obowiązków obywatelskich w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu, wszczepiło ono ducha obywatelskiego w ogół nauczycielstwa krajowego, niegdyś po wielkiej części na tak szkodliwe wpływy wystawionego.

Z polecenia zarządu głównego wypracował dr. Teofil Gerstman historję działalności Tow. pedagogicznego od czasu jego utworzenia w r. 1868 do bieżącego roku, z którego to sprawozdania dowiadujemy się o tej pożytecznej instytucji następujących szczegółów.

Towarzystwo liczy 2424 członków w 40 oddziałach, przy których potworzyło się 70 lokalnych kółek pedagogicznych. Nauczyciele i nauczycielki szkół ludowych stanowią przeszło 62% ogółu członków.

Ogólna suma dochodów Towarzystwa wyniosła w ciągu lat dziesięciu 146,509 złr. Z tej sumy wydano na utrzymanie szkół żeńskich, które Towarzystwo w Stanisławowie, Tarnowie, Rzeszowie, Jarosławiu, Stryju i Kołomyi własnym kosztem założyło, i z funduszów swoich tak długo utrzymywać będzie, dopóki w miastach tych z publicznych funduszów nie zostaną założone żeńskie seminarja, lub wyższe żeńskie szkoły — około 86.000 złr. Dalej zużyto 24,559 złr. na wydawnictwo fachowego czasopisma Szkoła które obejmuje dotychczas przeszło 600 arkuszy druku, i stało się silnem ogniwem, łączącem ogół nauczycielstwa w zastęp jednolity, — rozpożyczono pomiędzy członków, 30.000 złr. i t. d. Majątek czysty Towarzystwa ceniony jest obecnie na 24,431 złr. — w bibliotekach swych posiada ono przeszło 4000 tomów, przybory naukowe, przeważnie w utrzymywanych przez Towarzystwo szkołach żeńskich, oszacowane na 5000 złr. i kapitał żelazny nakoniec wynoszący 5461 złr. w. a.

Tow. pedagogiczne urządziło w przeciągu lat dziesięciu w rozmaitych miastach kraju 1936 odczytów naukowych, między temi wyborne wykłady dla kobiet dojrzalszego wieku co roku we Lwowie przez swą tamtejszą filję urządzane, które już mają dziś ustaloną wziętość; — dalej urządziło Towarz. specjalne a w naszym kraju dotąd nie praktykowane wystawy rzeczy szkolnych, które się odbyły w Tarnowie i Kołomyi, i wzięło udział w wystawie krajowej, na której za okazy swoje otrzymało medal zasługi.

Inicjatywa, jaką Towarzystwo podawało zawsze we wszystkich ważniejszych zagadnieniach w zakres szkolnictwa wchodzących jest także nie mniejszej wagi. Już w r. 1868 wystosowało ono obszerny memorjał do Sejmu poruszając liczne sprawy, które bądź to już w myśl wypowiedzianych tamże zasad załatwione zostały, bądź też czekają jeszcze załatwienia, które prędzej czy później w duchu rzeczonego memorjału musi być uskutecznionem. Towarzystwo pierwsze w naszym kraju podniosło i uzasadniło potrzebę zaprowadzenia instytycji t. zw. „wędrownych nauczycieli,“ — pierwsze orzekło potrzebę wyjęcia szkół ludowych z pod wyłącznego nadzoru konsystorzy i duchowieństwa, a ustanowienia fachowych nadzorów miejscowych i powiatowych, — pierwsze podniosło myśl zaprowadzenia przymusu szkolnego przynajmniej w tych miejscowościach gdzie istnieją

szkoły, — pierwsze nakoniec wydało hasło do wyrugowania ze szkoły rózgi i kija, jako pomocniczych środków pedagogicznych.

Oprócz tego orzekło Towarzystwo zaprowadzenie stałej pisowni we wszystkich szkołach krajowych, — zażądało usunięcia tajnych tabel kwalifikacyjnych nauczycieli, — zajęło się ustanowieniem typu ławki szkolnej, odpowiadającej zasadom higjeny,— wystosowało wielokrotne petycje do władz szkolnych i do Sejmu tyczące się polepszenia losu nauczycieli, — i było w ogóle zawsze dzielnym pionierem wszelkich spraw w zakres szkolnictwa wchodzących.

Po tem co tu powiedziałem nie potrzebuję zdaje się podnosić żywotności idei na której się Towarzystwo pedagogiczne opiera, ani też podnosić zasług ludzi którzy od początku pracują niestrudzeni nad rozwojem tej pięknej a tyle pożytecznej instytucji. Oby Towarzystwo pedagogiczne rozwijało się dalej tak pięknie jak dotąd, i cieszyło się zawsze i wszędzie takiem poparciem, na jakie zasługuje.

Znakomity autor „Prawodawstw słowiańskich nie ustaje pomimo podeszłego wieku w swej tyle pożytecznej pracy, właśnie bowiem opuściła prasę w Warszawie książka p. n. „Żydzi w Polsce na Rusi i Litwie,“ czyli opowieść historyczna o przybyciu do pomienionych krajów dziatwy Izraela, i o powodzeniu jej tamże w przestworze VII do XVIII, którą jako czwarty dodatek do historji prawodawstw słowiańskich drukiem ogłosił Wacław Aleksander Maciejowski.

Uczona ta, na nieznanych dotąd źródłach oparta praca zawiera wiele szczegółów ciekawych i prostuje wiele zdań utartych a mylnych. I tak np. mylnem jest zdanie jakoby Żydzi do nas przybyli w wieku jedenastym, z listu bowiem krymskiego żyda Chasdeja do hiszpańskich żydów za czasów Ziemomysła pisanego pokazuje się, iż zamieszkali oni w Polsce w wieku dziewiątym, a może nawet ósmym, trudniąc się przeważnie ludokupstwem, o którem wspomina żywociarz Wojciecha i Gallus. Zarzuciwszy handel ludźmi, dzierżawią Żydzi za Mieczysława III, Kaźmierza Sprawiedliwego, i Leszka Białego podatki skarbowe i mennice, i biją — jak a tem świadczy wykopalisko głębockie — z hebrajskiemi napisami monety, na których ryją z przepełnionego radością serca płynące wykrzykniki: „Wesel się Abrahamie Izaku, Jakubie!“ Największym ich dobroczyńcą był Mieczysław III błogosławionym i sprawiedliwym zwany, a miary szczęścia ich dopełnił statut w r. 1264 przez Bolesława Pobożnego wydany, w r. 1334 przez Kaźmierza Wielkiego zatwierdzony, a przez Kaźmierza Jagielończyka w roku 1447 na całą Rzeczpospolitę rozciągnięty.

O dalszych losach żydów w Polsce, o ich szkodliwym wpływie na losy Rzeczypospolitej, o lichwie ich i zdzierstwach, o nieprzyjaźnem ich dla kraju usposobieniu, a konszachtach z wrogami, — o tem jako rozpoiwszy i zdemoralizowawszy lud wiejski sami przez kahalną starszyznę wyzyskiwani, z początkiem XVIII w krytycznem się znaleźli położeniu, — o projektach nakoniec do naprawy Żydów zmierzających, a przez dzielnege Żyda Franka tudzież z polskiej strony przez eks - kanclerza Andrzeja Zamojskiego, Tadeusza Czackiego, i samego Stanisława Augusta, („którzy oprócz dobra ludzkości nic innego nie mieli na celu“) podniesionych, zawiera książka ta wiele rzeczy ciekawych, a jaskrawe światło na działalność Żydów w Polsce rzucających.

Do historji wszechnicy jagielońskiej przybył nowy materiał, wydany kosztem akademji umiejętności, przez dra Szujskiego opracowany, a odnoszący się niewątpliwie do pierwszych lat restauracji uniwersytetu r. 1400. Mieszczą się tam urządzenia kolegjalne, które nadały wszechnicy wybitną cechę, wspólną wyższym zakładom tegoż rodzaju za granicą. Dotychczasowe historje uniwersytetu, jak Sołtykiewicza, Brandowskiego, Paulego i Muczkowskiego pozbawione były źródeł odnoszących się do pierwotnego rozwoju wszechnicy, albowiem najstarsze zabytki i rękopisy nie mogły być zbadane. Obecnie na podstawie nowych źródeł przystąpi akademja do wydania historji wszechnicy.

Poczet monografii miast pomnożyła cenna praca dra Karwowskiego wydana w Poznaniu pod naz. „Kronika miasta Leszna“ osnuta na podstawie materjałów czerpanych z miejscowego archiwum.

Dr Janota, autor monografii o bocianach, drukuje w Przewodniku literackim nową pracę p. n. „Lud jego zwyczaje i obyczaje.“ Będzie to ważny przyczynek do literatury tego rodzaju.

Wywołana konkursem krakowskiej Akademji Umiejętności praca dra Sieniawskiego „O biskupstwie warmińskiem“ wyszła już z druku w Poznaniu w dwóch nierównych tomach, z których pierwszy obejmuje właściwe studjum a drugi dokumenta na których studjum to zostało oparte. Najwięcej miejsca poświęcił pan Sieniawski badaniom etnograficznym na podstawie rozbioru nazw miejscowych metodą językoznawstwa porównawczego, nie zaniedbując przytem ani dziejów warmińskich, ani też obrazu obecnego stanu siedziby Dantyszka, Hozjusza i Krasickiego. Między wieloma zajmującemi szczegółami, znajduje się tamże ciekawy rys charekteru wuja Kopernika, biskupa warmińskiego Łukasza von Watzelrode o którym kronikarz zakonu krzyżackiego wyraża się w sposób następujący: „Chodzi u ludzi wieść o nim, iż choćby go djabeł posiekał na najdrobniejsze kawałeczki, tak żeby się w kiełbasę zmieścił, to przecież polska krew nie dałaby się z niego wywabić. „Tak pisał Niemiec o wuju owego Kopernika, którego uczeni niemieccy gwałtem chcą sobie przywłaszczyć.

Dzieła Józefa Kremera wychodzą obecnie w nowem wydaniu w Warszawie nakładem S. Lewenthala, i właśnie pojawił się tom piąty tego szacownego zbioru, zawierający dalszy ciąg „Nowego wykładu logiki“ oraz początek prześlicznej „Podróży do Włoch“ stanowiącej dotychczas jedyne w Polsce dzieło, któreby nazwać można „historją sztuki“ przynajmniej włoskiej. Wydanie Lewenthala jest podobnie jak dawniejsze wileńskie przyozdobione wcale okazałemi ilustracjami.

Ziomek nasz pan Michał Girdwojń znany autor wysoko cenionych prac jako to: Anatomja pszczoły, Potologja ryb i o przyrodzie łososia został w uznaniu swych prac naukowych mianowany członkiem honorowym paryskiej akademji.

Kilkakrotnie donoszono już o śmierci Dra Trypplina, znanego a lubianego w swoim czasie autora licznych podróży, i powieści, który jeżeli się nie mylę w r. 1862 zamilkł był zupełnie. Otóż doniesienia te były mylne, p. Trypplin bowiem wydał właśnie w Warszawie pierwszy tom nowej serji „Wspomnień z ostatnich podróży“ których polem jest Turcja euro-

pejska i azjatycka, Syrja, Palestyna, tudzież wybrzeża i wyspy Śródziemnego Morza.

Józef Brand wykończył jak donoszą dzienniki aż trzy nowe płótna przedstawiające: „Powitanie Stepu“ „Bitwę Koniecpolskiego z Tatarami“ i „Wesele djabelskie.“ Pierwsze dwa zakupiono już, jedno do Wrocławia, drugie do Berlina, — trzecie wysłanem zostało na wystawę paryzką. Wspomniałem o ostatniej pogadance, iż krytycy francuzcy nazywają Brandta Niemcem, i biorą kozaków jego za Arabów. Otóż w jednym z ostatnich numerów *Journal des Debats* zamieścił p. Wł. Mickiewicz z tego powodu następującą reklamację: „Jeden z koryfeuszów tegoczesnej sztuki polskiej Józef Brandt wystawił na placu Marsowym obraz, o którym krytyka uporczywie mówi iż pochodzi ze Wschodu. Zarzucają artyście, że nie oddał należycie barwy algierskiego nieba, inni zaś ganią że w przedstawieniu osób odbiegł od perskiego typu. Otóż Brandt nie miał na myśli ani Persji, ani Sahary. Przedstawił on Ukrainę, a na stepie wyruszających na wojnę kozaków z XVII wieku, śpiewających pieśń bojową. Wypada mi jeszcze dodać, że Brandt, którego krytycy francuzcy uważają za Niemca jest równie jak Siemiradzki Polakiem.“

Jak już pisałem cieszy się p. Julian Zakrzewski w Warszawie ogromnem powodzeniem; — publiczność przyjmuje go zawsze z fanatycznym niemal zapałem. Na przedstawieniu Hugenotów obrzucono go bukietami i wieńcami. Pan Zakrzewski wystąpi 5. sierpnia po raz oztatni w teatrze, a 6. urządza koncert, na który teraz już wszystkie bilety rozebrano. W początkach sierpnia wraca p. Zakrzewski do Galicji, gdzie zamyśla urządzić kilkanaście koncertów razem z młodym pianistę Piotrem Douillet, który — jak wiadomo — jest uczniem p. Marka, a tak nadzwyczajną techniką i effektowaną grą celuje. Koncerta te odbędą się w Tarnopolu 15, w Stanisławowie 18, w Kołomyji 20, w Stryju 22, w Samborze 24, w Przemyślu 27. w Tarnowie 29, w Krynicy 31. sierpnia, w Krakowie 5 września.

Trupa pana Terenkoczego, która tak długo nie mogła w Warszawie pierwszych przełamać lodów, co raz to większe zdobywa sobie tam uznanie. Jak donoszą warszawskie dzienniki, przedstawili artyści nasi w ostatnich dniach operetkę Suppego „Szatan na ziemi“ i czteroaktowy dramat Leopolda Winklera p. n. „Dramat za sceną. W piewszej z tych sztuk zyskała powodzenie pani Skalska tudzież pp. Koncewicz, Skalski i Dębicki; — w drugiej podobał się p. Kwieciński również znalazły uznanie panie Terenkoczy i Linkowska.

Na turnieju szachowym, rozgrywającym się obecnie w Paryżu górą są dotąd Polacy, jakkolwiek w ostatnich dniach mniej się dobrze powodziło sławnemu szachiście Winawerowi, który w zeszłym tygodniu przegrał parę partji, w skutek czego, trzymając zawsze jeszcze pierwsze miejsce, ma już tylko pół partji wyższości nad Blackburnem. Zaraz za nimi idą jednak Rozenthal warszawiak zamieszkały w Paryżu, i Cukiertort warszawiak mieszkający w Londynie. Choćby więc Winawer nie wziął pierwszej nagrody, zawsze jednak dostanie się owa jakiemuś Polakowi. A jest o co walczyć, bo dwa wazony sewrskie, stanowiące pierwszą nagrodę, przedstawiają rzeczywistą wartość 8.000 franków.

Również i pomiędzy fotografami celują obecnie w Paryżu Polacy, mianowicie cieszy się tam wielkiem wzięciem fotograf Valery, ktory jest Polkiem i nazywa się właściwie Ostroróg. Obok niego zaczyna również używać wielkiego wzięcia niejaki Niewski (Wiśniewski) który był dawniej pomocnikiem u Valerego, obecnie zaś otworzył zakład fotograficzny. Fotografje Niewskiego — jak czytamy w Kurjerze Warszawskim — w niczem nie ustępują robotom Valerego.

Włodź. Zagórski.

POKŁOSIE.

Przyczynki do historji cywilizacji niemieckiej. W żadnym pewnie kraju europejskim nie poniżało się duchowieństwo w dawniejszych czasach tak dalece służalstwem wobec książąt, jak w niektórych państewkach niemieckich, a dowodów na to można znaleźć niemało po rozmaitych kronikach niemieckich. Tak np. opowiada Hans Thummel w pamiętnikach swoich: „Gdy jako paź księżny Ludwiki Doroty z Meiningen, zaślubionej w r. 1729 z Księciem Fryderykiem III. w Sachsen-Gotha musiał w kaplicy kościelnej otwierać jej drzwiczki do konfesjonału, słyszałem raz, jak spowiednik mówił do niej: „Najjaśniejsza, najmiłościwsza księżno, wielka dostojna grzesznico!“ Gdy księżna wkrótce potem opuszczając konfesjonał zobaczyła, żem się uśmiechał, rzekła nieco zmieszana: „Zapewne podsłuchiwałeś; ale ojciec duchowny myślał dobrze i po chrześcijańsku!“ Także do księcia Fryderyka III. przemawiał spowiednik jego zawsze: „Najjaśniejszy panie, najmiłościwszy książe i grzeszniku!“ — i zdaje się, że szczególny ten zwyczaj należał wtedy do gotajskiej etykiety dworskiej.“

W innych zaś pamiętnikach czytamy: „Sławny saski kaznodzieja dworski, Kober, wystąpił raz w nadwornym kościele drezdeńskim wobec Elektora z ostrem kazaniem o nałogu pijaństwa, który panował wtedy na wszystkich prawie dworach niemieckich. Elektor, który czuł się również dotkniętym tą naganą, rzucał gniewne spojrzenia na wolnomyślnego kaznodzieję. Widząc to Kober, uznał za rzecz stosowną powściągnąć swój zapał kaznodziejski, i zakończył kazanie temi słowy: „Tak zaprawdę, pijaństwo jest szkaradnym występkiem, i każdy chrześcijanin powinien go się wystrzegać, z wyjątkiem naszego najmiłościwszego Elektora; ten bowiem ma za co pić, i może, i jemu służy. Amen.“

Najciekawszem jednak jest następujące podanie w kronice korynckiej: W dawnych czasach należała Karyntja do Bawarji i w prowincji tej panował syn księcia Tafsila, Theodon, aż wreście Karol Wielki zagarnął ją w r. 788 pod swoją władzę i zamknął Tafsilę z całą familją jego w klasztorze. Potem mianował cesarz frańkońskiego hrabię Ingwona rządcą Karyntya, między którymi od jakiegoś już czasu biskup salcburski, Wirgili, krzewił był chrześcijaństwo, ale zawsze jeszcze z częściowym tylko skutkiem. Mieszczanie i chłopi dawali się wprawdzie chętnie nawracać, ale szlachta z początku mało sprzyjała chrześcijaństwu. Panowie, którzy nie chcieli wyrzec się pogaństwa, odpowiadali uporczywie na wszelkie przyjaźne i życzliwe przedstawienia: „Nowa nauka jest wprawdzie dość

dobra, ale nie przystoi szlachetnym rycerzom i panom, gdyż wiara chrześcijańska żąda miłości pokoju, zgody, pokory i tym podobnych rzeczy, których nie można nazwać rycerskiemi.“ Ażeby więc zawstydzić tych zatwardziałych pogan, urządził książe Ingwon bankiet, i zaprosił nań równocześnie chłopów i szlachtę. Pierwszych posadził koło siebie i przy licznych sąsiednich stołach częstował wykwintnemi potrawami i wybornem winem; pogańscy zaś rycerze musieli siedzieć w innym pokoju przed salą bankietować i poprzestać na czarnym chlebie i kwaśnem winie. Zdziwieni i oburzeni tak złem przyjęciem pytali się o przyczynę tego i otrzymali odpowiedź: „Chłopi oczyścili swe dusze chrztem świętym; wy zaś brniecie jeszcze w bezecnościach pogaństwa; zatem nie możecie zasiadać przy moim chrześcijańskim stole, lecz musicie pozostawać zdala.“ Argument ten lepiej oświecił szlachtę, niż wszystkie dotychczasowe kazania biskupa salcburgskiego; i żeby jak najprędzej dostać się do przysmaków książęcego stołu, spieszyli teraz rycerze tłumami do chrztu. Stało się to w r. 790, i na wieczną pamiątkę tego radośnego zdarzenia zarządził książe Ingwon, ażeby na przyszłość każdego księcia karynckiego postanawiał i wprowadzał na tę godność włościanin. Pewna familja włościańska w Glasendorfie, która najpierwsza przyjęła religję chrześcjańską, otrzymała dziedziczny przywilej do udzielania inwestytury księciu. Gdy nowy książe miał obejmować rządy, siadał chłop z Glasendorfu, milę od Klagenfurtu, w otwartem polu na okrągłym, herbami kraju ozdobionym kamieniu marmurowym, a dokoła lud się zgromadzał. Nowy książe nadchodził potem w ubogiem ubraniu chłopskiem z kijem pasterskim w ręku, pędząc przed sobą czarnego wołu i chudego broniaka. Za nim postępował hrabia Gorycji i wszystka szlachta księstwa, ustrojona jak najświetniej. Jak tylko chłop siedzący na kamieniu marmurowym spostrzegł przebranego księcia, wołał w języku slawońskim: „Któż to jest, co tak dumnie kroczy?“ A tłum ludu odpowiadał jednogłośnie: „To książe kraju!“ Potem pytał się chłop: „A jest on wolnym mężem? sprawiedliwym sędzią? krzewicielem naszego dobra? wyznawcą wiary chrześcijańskiej? opiekunem wdów i sierot?“ Na każde z tych pytań odpowiadał lud: „Jest i będzie nim!“ Po tym egzaminie przystępował książe do chłopa, podawał mu rękę i składał nastepujące uroczyste przyrzeczenie: „Jestem gotów dla sprawiedliwości stać się tak ubogim, bym musiał pracować na wyżywienie swoje, z bydłem, jak ten broniak i wół, które tu stoją.“ Wtedy dawał chłop księciu potężny, głośny policzek z tem upomnieniem: „Bądźże sprawiedliwym sędzią i księciem!“ Potem opuszczał swoje siedzenie i kłaniał się z uszanowaniem księciu, który wstępował zaraz sam na ów kamień marmurowy i na znak swojej władzy machał swym mieczem, który podawał mu hrabia Gorycji na wszystkie cztery strony świata. Wreście kończyła się ceremonja uroczystem nabożeństwem, po którem następowała solenna uczta. Ostatnim książęciem karynckim, który się poddał tej ceremonji, był książe austrjacki Ernest, ojciec cesarza Fryderyka III. Synowi jego nie podobał się już ten zwyczaj, i uchylił się od niego, wystawiając przytem chłopom karynckim rewers tej osnowy, „że zaniechanie jego nie narazi ich ani ich potomków na żadną szkodę.“ Z czasem zaś poszedł ten zwyczaj całkiem w zapomnienie.

Jak się odkrywa starożytności. W ciągu ostatnich lat odkryto w kilku okolicach środkowej i zachodniej Ameryki północnej mieszkania i inne ślady dawno wygasłych plemion. Powszechne i żywe zajęcie się tem odkryciem było powodem następującego wypadku, opisanego obszernie w dziennikach amerykańskich: „Niejaki George Hull najął w r. 1873 w Elkland w północnej Pennsylwanii gospodarstwo i urządził natychmiast lodownię, jak ją sam nazwał, w której ustawiony został wielki piec piekarski. Potem wyrobił z mielonego kamienia i kości, z gliny, gipsu, krwi i innych materjałów postać olbrzyma, poprzytwierdzał do niej kawałki czaszki ludzkiej, ramiona i piszczele i piekł to wszystko przez czas dłuższy. Pierwsza próba nie udała się jednak; olbrzym rozleciał się, gdy go Hull z pieca wyciągał. W następnym roku poszło lepiej: olbrzym był twardy jak kamień. Ale Hull wydał na to dzieło wszystkie swoje pieniądze i udał się tedy dla spieniężenia swego fabrykatu do sławnego Barnuma. Ten jako doświadczony spekulant, wysłał najprzód ajenta, imieniem Wells, który musiał odgrywać rolę handlarza koni, do Elkland, ażeby przypatrzył się olbrzymowi. Ale raport Wellsa był tak ponętny, że Barnum zdecydował się natychmiast zapłacić 2000 dolarów i przyjąć na siebie koszta przedsiębiorstwa z udziałem w zysku. Dnia 26. marca 1877 nakoniec utworzone zostało formalne towarzystwo do spieniężenia olbrzyma, złożone z Barnuma, Hulla, Wellsa i niejakiego pana Case. Postanowiono najprzód zakopać olbrzyma w Monntains. Jakoż wysłany został olbrzym do najodleglejszej części stanu Kolorado, a ztamtąd sprowadzono go napowrót jako towar lokalny do Puebli nad rzeką Arkansas i zagrzebano. Potem wysłano niejakiego Conauta, ażeby jako geolog zbierał w okolicy Puebli naturalno-historyczne osobliwości, a właściwie ażeby odkrył zakopanego olbrzyma. Hull, twórca olbrzyma, ostrzygł włosy i brodę, przyczepił sobie garb i objeżdżał jako garbaty i dzierżawca i handlarz zbożem okolicę pod imieniem G. H. Dawisa; Barnum zaś odjechał do Europy. Przy zagrzebywaniu odłamano olbrzymowi głowę i jedną nogę; te uszkodzenia musiał garbaty Hull, a względnie Dawis znowu naprawić, i gdy Barnum w sierpniu 1877 powrócił z Europy, było już nareszcie wszystko do wielkiego odkrycia przygotowane. Umówiono się, że Barnum urządzi w Kolorado odczyty na rzecz towarzystwa wstrzemięźliwości, ażeby znajdować się w pobliżu w chwili odkopania. Odkrycie nastąpiło w pożądany sposób, i teraz rozpoczęła się komedja między znalazcami a Barnumem. Ten ostatni ofiarował za olbrzyma 20.000 dolarów, które znalazcy napozór odrzucali; poczciwi mieszkańcy Koloradu uważali obie strony za pozbawione rozumu. Gdy kupno zostało wreście zawarte, ofiarował Barnum każdemu nagrodę w sumie 10.000 dolarów, jeźliby dowiódł, że olbrzym jest wyrobiony dłutem. Sprowadzono olbrzyma do Nowego Yorku i wystawiono w akwarjum na widok publiczny. Na nieszczęście kilku znajomych Hulla w Elkland podpatrzyło jego tajemnicy, i jeden z nich, sędzia pokoju Cox nie zadowolony ofiarowaną mu tantjemą, był o tyle złośliwym, że odkrył publicznie rzecz całą i popsuł interes rzekomym miłośnikom starożytności.“

Kącik humorystyczny „Strzechy“

Jako terminator szewski Jantek Kociuba dostał się do nieba, i jak go ztamtąd znowu wyrzucono.

Umarł Jantek Kociuba, — umarł, ta już go niema. Ciało pochowali dobrzy ludzie, a dusza wleciała w wieczność, czarną tak jak smoła, długą tak jak dratwa szewska, a ciemną tak jak w rogu tabaka...

Leci tedy dusza Jantkowa wiecznością, — leci *furt* leci, leci, aż w tem ujrzała — hen! hen! wysoko w górze jakieś małe światełko, nieprzymierzając rychtyk tyle co główka od szpilki. Była to dziurka od klucza tych drzwi, że za niemi siedzi pan Bóg taj święci anieli. Skręcił więc mój Jantek do tego światełka, taj stuka we wrota:

— Puk, puk!

— A kto tam? — pyta Śty Piotr.

— To ja, Jantek Kociuba!

— Jantek Kociuba, ze Lwowa?... Może ten że był w terminie u pana Aleksandrowicza na Halickiem?

— Rychtyk, ten sam.

— Nic tam z tego!.. Widzisz no go, patrzaj no się! Zachciało mu się teraz do raju!... A pamiętasz ty Jantku coś ty wyrabiał na ziemi?... Przyjdzie bywało niedziela; dzwony dzwonią bam-bałam! bam-bałam! — ludzie idą do kościoła; majster mówi: Idź Jantku na mszę!.. A mój Jantek myk nogi na plecy, i dalejże na Szkarpy Żydów bić, abo grać w guziki. Masz że oś teraz za swoje: Guzik chłopu, a nie zegarek!

Poskrobał się mój Jantek w głowę:

— No, prauda! Co się mam zapierać, kiedy ty Śty Piotrze i tak już wszystko wiesz!... Grzesznik jestem taj tylko! Kaciżbo wiedzieli, co jak człowiek umrze to jeszcze nie „*aus kapelusznik!*“, i co go nawet i za grobem spotkać może kuniracja... Cóż robić? oś teraz już zapóźno, ino, kiedy już tak wypadło, to pozwól mi Śty Piotrze, nim pójdę do djabła zobaczyć mego wuja, abym widział jak mu się tu dzieje, a powiedział, co słychać we Lwowie.

— Jakiego wuja?

— Ta mojego wuja — wujcia Marcina, tego że był starszym bratem u Bernadynów.

— Nie ma go tu jeszcze; siedzi w czyścu!.. Narukuje dopiero za sto lat!

— Za sto lat! Mocnyj Boże!

— Ta co to sto lat przeciwko wieczności? Tu są, tu ich niema! To rychtyk tak jak z bicza trzasł!

— Licho tam jak z bicza trzasł! To jeszcze dłuższe niż żydowskie „zaraz“

— No trudno! Wam bo się wszystkim zdaje co dostać się do nieba, to tak łatwo jak chleb z masłem zjeść, a tu wejść może ino ten, że niema grzechu. Ot n. p. twój wuj Marcin, poczciwe człeczysko, a wiesz za eo natajlowali do czyśca.

— Ta zkąd ja to mogę wiedzieć?

— Za to, co raz się na procesji rozhandryczył, i umarł w tem grzechu.

— A jakże to było?

— Jak to było? Ot Marcin biedaczysko — jak wiesz — był trocha raptus, a dumny z tego co był starszym bratem. Raz więc w samo Boże Ciało wypadło mu iść z krzyżem. Idzie mój Marcin z wielkim partesem! Hej niema nad niego już nikogo na świecie. Aż tu namówili się lamparty, coby go kunirować, taj wołają: „A wo, a wo! Marcin idzie!“ — Marcin nic, idzie dalej tak jakby tego nie słyszał. Uszedł może z dziesięć kroków, aż tu stoi druga kupka: „Awo! awo! Marcin idzie!“ Mój Marcin poznał zaraz, co te lamparty biorą go „na megaj,“ ale nic, rżnie dalej; — poczerwieniał tylo trochę „od gały.“ Aż tu stoi trzecia kupka, taj znowu: „A wo! a wo! patrzcie jak Marcin idzie; rychtyk tak jak kogut na naszym podwórku“... Tego mu już było za wiele; jak zacznie wymyślać: „A wy bose landsmany na ressorach, a wy maistrackie, a wy takie, a wy owakie“ aż go „szlag brodzki“ trafił, i umarł z tej gały przez spowiedzi...“

Jantek na to wszystko nic, tylo wzdycha taj głową kiwa.

— Czegoż czekasz jeszcze?

Jantek się poskrobał w głowę.

— Mój święty Piotrze — tak powiada — tyś tyle już cudów dokazał, tyś taki miłosierny. Pozwól mi zobaczyć, jak tam w raju wygląda; powiadają co tam tak pięknie co aże strach.

— O, o, o! czego mu się tu zachciewa! Cóż Ci potem, gdybym ci pozwolił tu zaglądnąć, kiedy nie dla psa kiełbasa.

— To nic, mój Śty Piotrze, tylo trocha, tylo nos wsadzę, zobaczę jak tam wygląda, taj ju. Na ojca mego cię błagam, na mego ojca Jędrzeja, na tego że zaudy nosi twoją chorągiew u Dominikanów.

— No, kiedy mnie tak prosisz, to zgoda! Zrobię to dla miłości twego ojca! Ale pamiętaj nie wolno Ci jak tylo wścibić sam koniec nosa, zobaczyć jak w raju wygląda a potem jazda... Czy zgoda?...

— Zgoda...

Śty Piotr drzwi otwiera; — a mój Jantek wsadza koniec nosa, ale w tej chwili wykręcił się szelma na obcasie: *Rechsumkehrt.*

— Co ty robisz Jantku?

— Światło mnie razi; — powiada — nie mogę wytrzymać.

— Ale ty idziesz dalej...

— No prauda! Tażeś mi zezwolił święty Piotrze. Mam prawo wścibić nos mój do raju. Taż go nie zostawię teraz za drzwiami.

I powoli — powoli wsunął się szelma Jantek do nieba.

(*Dok. nast.*)

Podróż naokoło ziemi

w osiemdziesięciu sekundach.



Panie Fogg! tu nie ma rady:
Przyznać musisz Waść ze sromem,
Że z tą jazdą w porównaniu
Wlókłeś się jak ślimak z domem.

AFORYZMY.

Kto przepada za towarzystwem, ten widocznie nie może znieść swego własnego towarzystwa.

Mówi się: „Ten człowiek ma formy wielkiego świata", bo wszystko jest tylko formą w wielkiem świecie.

Nie żądaj od nikogo szczerości. To co świat zowie szczerością jest tylko zręcznem udawaniem.

Przymioty serca i umysłu zastępuje ogłada, tak jak przy zielonym stoliku liczman zastępuje pieniądze.

Parafianin patrzy na siebie zawsze cudzemi oczyma.

Nie ma w świecie nic bardziej nietowarzyskiego nad to co się zwie „towarzystwem."

Ród wielkich panów zaginął; — zostali przeważnie dziś tylko lokaje.

Parafianie mylą się:
Nie jest człowiekiem wielkiego świata ten, dla którego wielki świat jest światem.

Moralność wielkiego świata ma się do moralności, jak prawo do sprawiedliwości.

Wydawca i odpowiedz. za redakcję F. H. RICHTER. Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



AURELIAN.

Powieść z czasów cesarstwa rzymskiego przez Wojciecha Dzieduszyckiego.

J. I. Kraszewskiemu w jubileuszowym Jego roku ze czcią składa autor.

16

(Ciąg dalszy.)

Maksymin słuchał. Wreszcie wstrząsł głową i rzekł: „Od mowy twojej Dioklecjanie w głowie mi się kręci, i nie wiem, czego chcesz od nas.“

„Byśmy poszli prostą, bezpieczną drogą,“ zawołał Dioklecjan, „byśmy spełnili obowiązek żołnierzy i poddanych i czyn roztropnych ludzi. Nie śnijmy a bądźmy na jawie, i rozważmy gdzie jesteśmy, i co się dzieje. Aurelian, który jest panem świata i nielada bohaterem, chce się dla nas zrzec samowładnego panowania, a każdemu z nas dać w nagrodę za trudy nasze królestwo dziedziczne, biorąc w zamian obietnicę, że jego królestwo i ród jego od nieszczęść strzedz będziemy. Tego możemy się dorozumieć z tego, co nam mówił w namiocie. Otóż byłoby to dla nas z korzyścią nie małą, gdyby się tak stało jak mówił — i nikt z was nie zaprzeczy temu, że dobrzeby było, gdyby był dziedzicznym królem; i rzecz nietrudna i możliwa, gdyby nas kilku tylko pomogło imperatorowi, skoro jak widać, zyskał już pomoc barbarzyńców. Oto jedna rzecz, o której wiemy, prosta, niewątpliwa i oczywista. A drugą rzeczą jest to: Zenobia znieważona wszechwobec i zazdrośna o jakąś barbarzynkę, chce przez Pizona uknuć spisek na Aureliana. Powiedzcież! Mamyż wzgardzić królestwami, by służyć niewieściej zemście, narażając głowę? A że narażamy głowę to pewna. Aurelian opasał wojsko barbarzyńcami tak, że trudno, aby bez jego woli uszła. A zresztą Zenobia może się pogodzić z Cesarzem, zdradzić nas i zgubić.“

Skończył Dioklecjan a Maksymin nie śmiało już tylko wtrącił: „A Roma i całość rzeczypospolitej, strzeżona przez tylu? Czy się da obalić?“

„Dbają o nią na prawdę Italicy tylko, nieliczni. Gdy każda prowincja osobnem królestwem będzie, odetchnie dopiero i ożyje. Słuchajcie lepiej! Pokażę wam trzecią rzecz jeszcze, którą widzę, a którą i wy zobaczycie, skoro ją pokażę. Karus chce być cesarzem, i to panem świata całego jak Aurelian. A że mu spieszno, więc chce Aureliana zabić. Spisek Italików jemu przeto na rękę, i choć ostrożny, i na boku niby staje, już zaczął wszystkim kierować. Widzi u końca koronę dla siebie, i chcąc wam wyróść ponad głowę, mami was imieniem Romy, i tajemnicą co to imię otacza wiedząc, że ludzie najwięcej się boją tego, czego nie rozumieją. Gdy nad światem zapanuje, zaraz zada kłam słowom swoim — i część państwa komuś z barbarzyńców ustąpi — bo to człowiek rozumny i wie, że ta całość zbyt ciężka na śmiertelne barki. A potem poczeka trochę, i jeźli dość długo pożyje, podzieli resztę między siebie i synów swoich. I czyż chcecie narażać głowę dla wywyższenia tego człowieka? Nielepiejże to się wraz z Aurelianem ze światem podzielić?“

„Dziwnie przenikliwy jesteś; dziwnie bystry!“ Mruczał Maksymin.

„Może to i prawdę mówisz.“ Rzekł Galeriusz.

„Z pewnością mówię prawdę“ stwierdził Dioklecjan, pewny siebie. „Wyście dobrzy żołnierze ale nie znacie krzywych dróg ludzkich. Wierzcie że mnie, i chodźcie ze mną do Aureliana opisać mu spisek, i spełnić obowiązek żołnierski. Za to nadgrodą będzie królewstwo.“

I Dioklecjan wyszedł z namiotu, i zanim wyszli obaj jego przyjaciele.

XX.

Od dni kilku siedział Aurelian w namiocie niedostępny i nieruchomy prawie, albo rozparty w krześle, albo na poły leżący na obozowem łożu, i przypominał sobie całe ubiegłe życie. Teraz dopiero mu się dziwnem wydawało i niezgodnem z sobą; teraz mu się małe rzeczy wydały wielkiemi, a wielkie małemi. Ważniejszą była chwila, w której go matka pacholęciem oddała w ręce Świętoszowe, od dnia w którym go legiony obwołały imperatorem; ważniejszą piosenka dziecinna od trjumfu, w którym przypominał światu dnie Cezara i Pompejusza; a stokroć ważniejszém było pierwsze miłośne zeznanie Krasy nad wiekopomne zwycięztwa odniesione pod Palmirą i Trewirem. Ludziom, światu, dziejom wydawało się, że treścią jego życia były wojny, chwała i jego panowanie. Jemu wydało się życie sielanką, do której nie wiedzieć po co i jak wpleciono i brzęk oręża i jakieś śnienia chwały, i szept podchlebiający i morza i narody co pochyliły głowy przed jego tronem. Zdawało mu się teraz, gdy się w nim miłość zbudziła wszechmocna, że świat podbijał na to tylko, by zdobyć Krasę. Z panowania całego i wojen wszystkich ważył sobie teraz tylko owe chwile, w których wspomniał młodość i Krasę, czy to na koniu wśród pobojowiska, czy to na tronie pośród Senatu. Tamtych myśli, tamtych trosk i wspominać niewarto.

A teraz gdy się dotknął celu, cel znikł! Krasa go odepchnęła przez cnotę. On co wszystko zwyciężał na świecie, tej cnoty przemódz nie mógł, i to było nieznośne, i to miłość jego i tęsknotę w nieskończoność wzmagało — i wziął się świat walić z miłości — choć prawie bez nadziei. Nieraz już myślał że długo świat Rzymski się nieostoi, ale widział w nim znamię ładu, i chciał utrzymać świat ten póty póki sam żył. Dziś świat walił — wiedząc że pierwszy zginie pod gruzami. Sam sobie wyrzucał że szalony, a nie umiał szalonym nie być.

Tak leżał w czarnych i purpurowych myślach pogrążony. A gdy się chciał z nich wyrwać, gdy chciał być znowu dawnym Aurelianem przypominał sobie, że w chwili szału miłośnego oddał złote słońce w ręce Antów, i że musiał im służyć, bo to słońce przez Zabora legatom pokazane byłoby dla Aureliana wyrokiem śmierci. Był tedy bezsilnym z winy jednej miłośnej chwili, i nie miał co robić na świecie jak tylko powiększać miłość i rozżarzać tęsknotę i czynić z nich jedyne bogi swojego żywota — zadając kłam i czynom i strachom minionym.

Sam był, gdy się podniosła kotara namiotu, i weszli, nie wołani, nie opowiedziani Dioklecjan, Maksymin i Galeryusz. Słysząc kroki obrócił się Aurelian na łożu; widząc wchodzących zerwał się na równe nogi i spojrzał gniewnie: „Po co tu przyszliście,“ spytał niecierpliwie, „kiedy was nie wołam.“

„Przyszliśmy, aby nie wołana takżeśmierć nie przyszła do ciebie, boski imperatorze!“ odrzekł spokojnie Dioklecyan. „Przyszliśmy cię przestrzedz, że spiskują przeciw tobie Italicy i królowa Palmiry. Odpędzasz teraz wierne twoje sługi, a nigdy ci sług takich więcej potrzeba nie było. Wszak pozwolisz byśmy mówili.“

Aurelian wpatrywał się uważnie w oczy legatów, a po chwili odetchnął wolniejszą piersią. Świat mu się wyjaśnił, droga znów ścieliła się przed nim. Zdało mu się, że są tacy co pójdą za nim gdzie bądź, i z ich pomocą tuszył że świat przebuduje, jako tego chciał Zabor — i jak tego żądała Krasa. Byłby to czyn wielki, niesłychany, i żądza czynów przebudziła się w piersi Aurelianowej. Wskazał tedy na krzesła i rozkazał: „Siadajcie i mówcie.“

Rzecznikiem legatów był Dioklecjan. Powiedział że Karbo i Pizo i Aper mówią już o Aurelianowej śmierci, że podejrzanym wydaje się Karus, choć się niezdradził słowem, coby przekroczyło granice obowiązku, że jednak wszyscy się schodzili na nocne schadzki. Wreszcie opowiedział obszernie i dokładnie ostatniej nocy zdarzenie, zjawienie się Zenobii i dziwnę jej słowa. Aurelian słuchał wszystkiego spokojnie. Tylko gdy przyszło do wzmianki o słońcu darowanem Antom i hołdzie złożonym Zaborowi zmarszczył brwi i ruszył się na siedzeniu. „Zkąd, na pioruny, może o tem wiedzieć ta czarownica?“ pomyślał sobie. Lecz żadnem słowem nie zdradził niepokoju.

Gdy Dioklecjan rzecz skończył, wypytywał się jeszcze o niejedną rzecz i wszystkich trzech legatów badał chcąc rozpoznać ich myśli. Był znowu przenikliwym jak niegdyś, jak przed chmurą, co od dni kilku spadła na jego myśli.

Wreszcie spytał wprost: „I pocoście tu do mnie z tym przyszli? Czy chcecie mnie tylko badać, i dowiedzieć się czy na prawdę mam owe zamiary, o których Zenobia mówi? Czy chcecie mi służyć szczerze?“

„Chcemy służyć,“ mówił Maksymin.

Dioklecyan wstał, spojrzał odważnie w oczy Aureliana, i w te się odezwał słowa: „Boski Aurelianie! Oskarzenie Zenobii nie jest dowodem dla wrogów twoich. Ale będą wszystko badać, i będą szukać złotego słońca twego, by zabójstwo usprawiedliwić przed wojskiem i senatem. Ja co zrozumiałem twoją myśl, wiem że Zenobia mówi prawdę. A żem jak ty barbarzyniec z rodu, i tejże podobno

co ty mowy, przyklasnę myśli twojej i podziałowi świata.“ Milczał chwilę, a gdy widział że Aurelian spokojnie i rad słuchał dodał w mowie ojczystej Aureliana: „Razem we dwu wszystko zobaczymy, wszystko umyślimy. Gdy zechcesz pomogę ci Senat udusić, bom twój żołnierz a nie żołnierz Romy. Za tamtych dwu, za Galeriusza i Maksymina za Dolmata tego i Germanina ręczę, bo nie mają innej myśli nad te którą im podam. To dzielne ramiona, któremi moja wola kieruje. Podaj nam rękę, a zrobimy to, o czem marzyłeś.“

Jeszcze chwilę wpatrywali sobie w oczy Dioklecjan i Aurelian. Wreszcie imperator zawołał po łacinie: „Stało się, tego chciało przeznaczenie! Będziemy walczyć razem, a każdy z was dziedziczne królestwo weźmie. Co zemną będzie, nie wiem. Ale naprzód trzeba zgnieść ten spisek, co się wije u nóg. Karusa dopilnujemy w obozie, bo to człowiek rozumny i ostrożny. Wiemy że nie zrobi nigdy szaleństwa, więc każdy czyn jego przewidziemy. Zenobię, Pizona, Karbóna, Apra, trzeba ztąd wydalić. Ich uwięzienie przerazi spiskowców i spisek rozwiąże. Galeriuszu, idź i uwięź ich raptem i sam odprowadź do obozu barbarzyńców! Powiedz młodemu barbarzyńców wodzowi, że Aurelian zastawników Rzymskich przyseła. Zostaw przy nich żołnierzy, a sam wróć tu. Lecz zanim się rozejdziemy podajmy sobie ręce na znak przymierza i braterstwa.“ Rzekł, jednemu po drugim podał rękę, a potem ciągnął rzecz swoją dalej:

„A teraz, bracia, żeście mnie poznali, że dążycie wraz ze mną do jednego ukrytego celu, nie chcę, nie mogę przed wami mieć żadnej tajemnicy. Powiem jaki bóg mną władnął wszechmocnie! Najmłodszy i najstarszy Amor! Miłość dla jednej kobiety, którą kochałem oddawna, teraz wszystkim dla mnie, przyczyną czynów moich, celem życia mego! Myślałem że jeśli jej się kiedy zjawię w koronie cesarzy, porzuci wszystko i pójdzie ze mną, zniewolona majestatem, wielkością. Bo odwykłem od cnoty, i nie umiałem już sprzedajności nazwać występkiem, byle się kobiety sprzedawały, nie za co bądź, ale za panowanie nad światem. I gdy ją tu spotkałem, Krasę córę Świętoszową, odepchnęła mnie za to, że byłem Rzymianinem, dla tego że sama była czyjąś żoną, choć męża niekochała. I cnotliwym tylko być kazała, i złamać żelazne jarzmo, co ciąży nad światem. Pochyliłem czoło przed cnotą, najwyższą boginią, i oszalałem miłością na prawdę, miłością taką jak ta, za którą Marek Antoni niegdyś oddał świat cały — tylko że miłość moja czystą była. Gdy posiędę Krasę, uczynię co zechcę, i świat cały przemogę, i wam dam korony. Ale muszę ją mieć przy sobie. Nieznoszę myśli by siedziała niewolnicą przy owym Decjuszu, którego życie u mnie uprosiła. Muszę ją ztamtąd wyrwać, bo inaczej nic nie zrobię. Wy nieznacie takiej miłości; ona z męża dziecko zrobi. Gdy chcecie mieć przy sobie prawdziwego Aureliana o lwiéj woli, jedźcie do Świętoszowego dworu, i zabierzcie ją, czy zechce czy nie zechce. Muszę ją posiąść! Gdy ujrzy mnie wytłómaczę jej, że bez niej świata nieprzebuduję. Niech z cnoty swojej zrobi ofiarę duchom ojców, co łakną zemsty nad Rzymianinem. Ty Maksyminie ze zbrojnymi pójedziesz do niej tej nocy, skoro Galeriusz śpiących porwie legatów, i śpiącą Zenobią, i skoro będziemy bezpieczni. Powiesz jej, że widzę ją tylko we dnie i na jawie, że łaknę jej jak wody żywota. Ty namiętności mojej nie zrozumiesz, nie pojmiesz — nie powiedziałbyś jej choćbyś miał tysiąc języków, choćbyś władnął mową wszystkich Rzymskich i Greckich poetów. Nie mów tedy do niej; ale przywieź ją tu. A niekrzywdź jej; niezemniej fałdu jej szaty, bo na nic nasze przymierze, i głowa ci się z karku stoczy! Ale niechaj jutro o brzasku tu, w tym namiocie stanie, jak jasność słoneczna — a ubłagam w imię światów.“

I długo tak mówił Aurelian i długo nad wszystkiem radzili, a czyny odłożyli na noc. Nocy nie mógł się Aurelian doczekać.

A gdy z Imperatorskiego namiotu wychodzili, potrząsał Dioklecjan smutno głową: „O tem nie wiedziałem,“ mówił wychodząc do swoich towarzyszy. „Myślałem że Aurelian to mąż rozumny. A to opętaniec szalony miłością. Jednak być może że bogowie takiego narzędzia potrzebują, aby świat przebudować, i nowe stawiać narody. Cośmy rozpoczęli trzeba kończyć. Kto za każdym krokiem się cofa, do niczego nie dojdzie. Galeriusz i Maksymin spełnią otrzymane rozkazy; ale będę ostrożny, i będę czuwał, byśmy mogli jeszcze uznać imperatorem Karusa, jeźli tego będzie potrzeba.“

XXI.

Tego samego jeszcze poranku zawitali Karbo i Aper do Karusowego namiotu i przyprowadzili z sobą człowieka w siermiędze, i w całym stroju Antów, ale tak śniadego, że się nietylko Antem ale nawet Italikiem wydać nie mógł.

„Zbieg!“ wołał Karbo; i ciekawe rzeczy mówi.

„Potwierdza wszystko“ mówił Aper. „Królowa Palmiry nie kłamała. Albo oszalał Aurelian albo się wścieka. Zeznanie tego tu Centuriona — boć mamy przed sobą Rzymskiego Centuriona, przebranego w barbarzyńskie szaty — pisze nieodwołalny wyrok śmierci na zbiegłego niewolnika, co stał się imperatorem.“

„Pizo się ucieszy,“ mówił Karbo. „Nie wiem dlaczego znienawidził Aureliana i chciał koniecznie ukuć spisek. Sama jego wymowa nigdyby nie była wystarczyła. Mnie jednego na równi z Pizonem bolało to, że mąż nieznanego rodu wyrósł nad Rzymskie senatory; ale tamci legaci

lgnęli do zwycięzkiego wodza, i nawet ostatnie klęski nie mogły zachwiać ich wierności. To o czem się dziś dowiedzą od tego tu człowieka przekona każdego. Niemasz już legata któryby się teraz wahał i sztyletu nie chciał umaczać we krwi tego zdrajcy,"

„Już naprzód" mówił Aper, „mogę ciebie Karusie pozdrowić imperatorem w imię legionów. Nikt inny po Aurelianie berła świata nie odziedziczy, nikt takiej jak ty niema zasługi, nikt takiej powagi."

Lekki, ledwo dostrzeżony uśmiech minął się na twarzy Karusa. „Źle mówicie i nieostrożnie," rzekł surowo. „Jeden donos wam starczy by potępiać boskiego imperatora któremuście winni posłuszeństwo ślepe, i posądzacie o jego dziedzictwie. Mnie daleko do panowania. I ty Karbonie, i Pizo pochodzicie ze starodawnych rodzin Rzymskich, z tych jeszcze co świat podbijały. Dobrzeby było, by w ręku takich rodzin spoczęło berło. Prędzejby świat słuchał podwojonego majestatu, gdyby się wielkie imię z wielkim łączyło urzędem."

Zachichotał Karbo: „O mnie mówisz chyba żartem tylko; żartem o Pizonie; cóż po jego przodkach kiedy to człowiek zły i próżny. Kto wie, możeby się pod jego berłem przypomniały rządy najgorszych. Innych zasług niema prócz tych, które sobie zdobył za Waleriusza i Galiena pocholęciem jeszcze, kiedy mu dano konzulat za przysługi o których chyba milczyć przyjdzie. Ganimedem bywał na dworze. To nie droga do tronu.

„I boski Juliusz także służył u króla Nikomedesa," odparł Karus. „Zasługą zresztą przoduje Dioklecjan."

Karbo zawołał:

„Nie można przecie narodom pokazać Cesarza, o którym wszyscy wiedzą, że był niewolnikiem. Nie jeden jeszcze pamięta owego Doklesa co z ogoloną głową stał w atryum u prokonzula Mezyi. Dość dziwnie mu fortuna sprzyja że został legatem i Dioklecjanem."

Dlaczego to wszystko Karus mówił, dlaczego tak badał, on chyba jeden napewne wiedział, a nam się domyślać tylko wolno. Teraz inaczej zwrócił rozmowę: „Oby bogowie Aurelianowi długie dali panowanie!" zawołał, „oby wam przebaczyli wasze bezbożne mowy! Aurelian zostawi syna, i po jego śmierci senat synowi się pokłoni. A teraz pozwólcie niech ja się tego zbiega wypytam. Wyście, widzę, co innego słyszeli niźli słyszyć wypadało. Mów człowieku jak się nazywasz?"

Zbieg odparł: „Jestem Arops, centurio z ośmnastej kohorty legii Maurytańskiej:"

„A jeźliś Rzymskim centurionem, nieszczęsny," rzekł surowo Karus, „jakże się dostałeś między barbarzyńców, i dlaczegoś przyoblókł ich szaty?"

Niezmięszał się Arops, i w odpowiedź rozpowiedział wszystko to o czem wiedział. Powiedział jako złotem słońcem zwabiono Maskulusa i jego kohortę do lasu, jak ją tam rozbrojono, i jak Maurytańczyków zmuszono do tego by przeszli w powstańcze szeregi; a gdy to opowiadał, powiększał opór a pomniejszał winy legionarjuszów. Potem mowił o rozpaczy Maskula, i o tem jak mu Zabór wódz barbarzyńców darował życie wspaniałomyślnie zostawiając go pod strażą tylko. Potem znowu nie bez ostrożności i nie bez zastrzeżeń prawił o tem, jak chciał trybuna namówić by uszedł. Na to trzeba go było najpierw doprowadzić do tego, by dał przyrzeczenie królowi dziczy, by się mógł pozbyć straży. „Do tego z trudem trybuna namówiłem" mówił Arops, „bo to człowiek taki prawy, że nawet dła dobrej sprawy skłamać nie umie! Nareszcie przedstawiłem mu obowiązek żołnierski, i drżąc poszedł kłamać owym bezecnym barbarzyńcom. Ale tam na nieszczęście był niejaki Ant przebiegły, którego oni nazywają Żybarem, a który jest rycerzem rzymskim znanym u nas pod imieniem Sibarisa. Otóż mąż ten przeklęty domyślił się u przezacnego Maskula podstępu, i kazał mu na Kapitolińskich bogów przysięgać, dodając do przysięgi jeszcze straszne klątwy, i tem wstrząsł do gruntu prawą duszą trybuna. Wydało mu się odtąd że się zobowiązał nieodwołalnie służyć Zaborowi, i choć go serce zawsze do Rzymian ciągnęło, nie chciał już ani słyszeć o tem, by barbarzyńców obóz porzucił. Gdybyście owego nieszczęśliwego męża widzieli, krajałoby się wam serce. Łamie sobie mężne ręce, wyrywa włosy i przeklina losy i moją radę— wstydząc się śmiertelnie szat barbarzyńskich w które jego przyobleczono, podobnie jakto ze mną uczyniono. A na prawdę, boski legacie," (bo Arops nieprzywykły mówić z legatami dawał im tytuł boski, przynależny tylko samemu imperatorowi) „Nikt łzom i narzekaniom Maskula niewinien, jak tylko jego przesadna prawdomowność. Obawia się wprawdzie oto, żeby mu nigdy błędu nie darowano, ale to obawa daremna, skoro wypełnił rozkaz zaświadczony samemże boskiem słońcem najbardziej boskiego imperatora któremu" — chciał odpowiedzieć: „cześć i chwała na wieki," ale przypomniał sobie ledwo co dosłyszane rozmowy, i niepewny tego jakie zrobi wrażenie, przerwał pochwałę Aureliana i tak dalej mówił: „Ledwo dał się namówić, aby mnie się zwierzył co do owego słońca, bo ci przeklęci bezbożnicy i tu kazali mu przysiądz milczenie. Nie namówiłem aby uciekł. Został tedy nieszczęsny w obozie, a ja, zaczaiwszy się nocą, uciekłem w las, i potem ostrożnie chowając się po krzakach przylazłem tu do Castrum Gaudii aby wam powiedzieć o tem co wam i wojsku całemu niebezpieczeństwem grozi, o boscy legaci! I sądzę że uczyniłem co się należało, i że zasłużyłem się dobrze koło wojska i rzeczypospolitej."

(*C. d. n.*)

Przewodnik towarzyski i salonowy

WEDŁUG ZNAKOMITEGO I PREMJOWANEGO DZIEŁA „SAVOIR VIVRE“

przez panią d'Alcq dla polskiej publiczności opracowała Hrabina R.

(Ciąg dalszy).

Dobry ton nakazuje nam zachować w stosunkach rodzinnych te same zwyczaje, które względem obcych zachowujemy, czy to w wyborze miejsca przy stole jadalnym, czy na przechadzce, czy w rozmowie, jednem słowem w każdej chwili życia. Powinniśmy nawet okazywać najbliższym większą gotowość w przysłużeniu im się czemkolwiek, a przynajmniej robić wszystko z większą serdecznością, niż dla obcych.

Ilekroć w stosunku z przyjaciołmi wystarczy proste zapytanie, w rodzinie należą się odwidziny lub przynajmniej list długi a czuły; znajomym dość posłać kartę na imieniny, w najbliższej rodzinie, najstosowniej samemu złożyć życzenia, przytem choć najmniejszem wiązaniem pamięć swoją okazać.

Między rodzeństwem trzeba także zachować przepisy wzajemnej grzeczności. Dla najstarszego brata lub siostry powinne młodsze dzieci mieć pewne względy i poszanowanie. Dopóki dzieci są małe, idą przed rodzicami, żeby ci mogli zapobiedz wszelkiemu wypadkowi. Później, po 19 latach naprzykład, chłopcy pod żadnym warunkiem, nie powinni śióstr wyprzedzać, ani brać pierwsi przy stole.

Nie można dość wcześnie wpajać chłopczykom uczucia pewnej rycerskości, delikatności, grzeczności względem kobiet. Niech się uważają już w dziecinnych latach za naturalnych opiekunów, za obrońców sióstr swoich. Nawzajem siostry należy wcześnie przyzwyczajać do uległości i cierpliwości, tak potrzebnej kobiecie, do zatrudnień kobietom właściwych. Siostry powinne braciom przysługiwać się ze swojej strony, ale bracia niech będą przyzwyczajeni dziękować siostrom za każdą przysługę, niech nie uczą się z lat dziecinnych impozycji, arogancji, i uważania kobiet za coś niższego, podrzędnego, nad czem wolno się pastwić i tyranizować bezkarnie.

Jeżeli rodzice niosą jakieś paczki, dzieci powinne uwolnić ich od ciężaru. Cóż by to był za widok! dzieci idących z próżnemi rękoma, obok rodziców, zwykle już w starszym wieku, niosących cośkolwiek? Rodzicom męża lub żony należy się to samo uszanowanie, które własnym się oddaje; nawzajem rodzice, szczególniej w domu zięcia, nie powinni zanadto sobie pozwalać, i chcieć narzucać się ze swojem zdaniem, gdyż mogli by tem zakłócić spokój córki i jej pożycie małżeńskie. Synowa jeżeli przyjmuje razem rodziców swoich i mężowskich, daje zawsze pierwszeństwo rodzicom męża. Nawzajem zięć prowadzi matkę żony do stołu, która pierwsze miejsce powinna zawsze matce zięcia swego odstąpić.

W powozie miejsce wygodniejsze należą się z prawa rodzicom; jednakże zamężnej córce ojciec ustępuje swoje miejsce obok matki, chyba że sam jest starcem zgrzybiałym. Tak samo postępuje we wszystkiem innem z córką od dnia jej ślubu, wszędzie jej pierwszeństwo zostawiając.

W teatrze w loży, lub w jakiejkolwiek sali, matka z córkami siada na przedzie, ojciec zaś z synami za niemi. Idąc, matka zawsze córki puszcza na przód, żeby mieć je pod bacznem okiem i uważać na każdy ich krok. Na spacerze, jeżeli jest tylko jedna córka, ojciec poda jej raczej ramię, jak żonie. Syn zaś poprowadzi matkę, nie siostrę; stryj lub wuj, jeżeli jest o wiele starszy, poprowadzi swoją siostrzenicę, brat cioteczny poda zawsze ramię ciotce, a nigdy kuzynce, chyba że go do tego ktoś starszy upoważni.

Syn lub zięć poprowadzi raczej teścię lub matkę swoją, niźli żonę. Jeżeli żona nie ma innego mężczyzny, który by ją prowadził, a znajdzie się obok sióstr swoich lub sióstr żony, wtedy bez wahania poda ramie żonie; w razie jeżeli ma prowadzić do sali jadalnej, podaje mężczyzna ramię obcej kobiecie, czy to w swoim domu, czy w obcym; nigdy zaś żonie, chyba gdyby ich tylko dwoje w salonie zostało, czego znowu nie można prawie przypuścić.

Młoda panienka nie powinna wychodzić na ulicę z bratem, póki ten nie jest żonaty; natomiast panna może wyjść z wujem, stryjem, jeżeli jest bardzo poważny wiekiem, ale nigdy nie powinna pokazywać się sama na ulicy z młodym kuzynkiem.

IV.

O dobrym tonie w stosunkach z przełożonymi, również o grzeczności w stosunkach z podwładnymi.

Cechą prawdziwej wyższości moralnej, jak to już nie raz powiedzieliśmy, jest łagodność, uprzejmość, grzeczność największa w stosunkach z ludźmi, nie dopuszczająca ani do rubaszności, ani do zbytniéj poufałości. Od dzieci trzeba wymagać najgrzeczniejszego obejścia się ze sługami, przyczem atoli należy przestrzegać najściślej, żeby nie wkradła się zbytnia poufałość w stosunku sług do dzieci, i tak z jednej jak z drugiej strony trzeba wymagać należnego szacunku. Podwładny, poniewierany przez swego przełożonego, przestaje go pewno poważać.

Nie róbmy naszym podwładnym nigdy żadnych zwierzeń; nie odkrywajmy im żadnych tajemnic, a starajmy się usilnie o ukrywanie przed nimi ile możności naszych wad i słabości. W dniu, w którym musielibyśmy rumienić się przed podwładnymi, skończyłoby się ich uszanowanie względem nas. „Nikt nie jest wielkim dla swego lokaja“ powiada francuskie przysłowie. Istotnie sługi stają się częstokroć nieubłaganymi wrogami i sędziami zarazem, jeżeli zdradzimy się z jakąś słabością, lub co gorsza — użyjemy ich do pokrycia jakiegokolwiek nierozważnego kroku w życiu.

Konieczność wymaga, żeby słudzy, a nawet podwładni, używali trzeciej osoby mówiąc do panów, lub swoich przełożonych: „Co pani rozkaże?“... „Co pan życzy sobie?“... „Wasza Ekscelencja raczy mi pozwolić“ itd.

Przełożeni nawzajem, nie powinni mówić do podwładnych tonem rozkazującym, i powinni dodawać zawsze: „Bądź pan tak grzeczny“... i „dziękuję panu.“

Podwładnych, którzy nam są równi, a często nawet przewyższają nas inteligencją, wiadomościami i zdolnością, jako to: sekretarzów, profesorów, nauczycielki, urzędników, powinniśmy traktować zupełnie na równi z innymi naszymi znajomymi — oni jednak powinni umieć to ocenić, i zachować w postępowaniu z osobami, od których zależą, pewną granicę, zostawiając przekraczanie tejże swoim przełożonym, jako dowód uznania ich zasług i talentów. Karol V. podniósł wprawdzie pędzel Tycjanowi, lecz ten nie zapomniał odbierając go, ukłonić się z największą pokorą. Wiek sędziwy i kalectwo — nie zapominajmy o tem — zacierają także wszelkie różnice.

Podwładny nie usiądzie wobec przełożonego, póki ge ten usilnie o to nie poprosi. Urzędnicy wszelkiego stopnia powinni iść do biura czysto i starannie ubrani; nauczycielka nie powinna przychodzić do lekcji w negliżu i nie uczesana; uczennice mogą prędzej pozwolić sobie przyjść na lekcję nie ubrane, chociaż wypada tego unikać. Jeżeli z mężczyzną lekcje mają panienki, powinne być zawsze ubrane, uczesane, i negliż w takim razie nie jest dozwolonym. Matka lub nauczycielka, powinna zawsze być obecną lekcji z metrem, żeby młoda panienka nie znalazła się przypadkiem w jakiem przykrém położeniu, z którego by na razie nie wiedziała jak wybrnąć, mając mało doświadczenia i znajomości świata. Służącym trzeba także nakazać raz na zawsze, ażeby przyzwoicie byli ubrani i nie pokazywali się bez surduta, jak to sobie częstokroć pozwalają. Panny sklepowe, krawczynie itd. powinne także od rana być przyzwoicie i czysto ubrane.

W każdej rodzinie, szanującej własną godność — muszę to jeszcze raz powtórzyć — będą uważać jak najlepiej profesorów i nauczycielki. Równać ich ze sługami, byłoby to ubliżyć sobie samym; przy stole, w powozie, w usłudze, wszędzie i zawsze uczniowie i uczennice muszą im oddawać pierwszeństwo. Ktoby inaczej postąpił, dowiódł by tem braku serca, braku wszelkich uczuć szlachetniejszych; jednem słowem: pokazałby, że jest prostakiem, bez najmniejszego wychowania.

Rzemieślnicy, jako to: krawcy, szewcy, szwaczki itd. nie należą także do kategorji sług. Nie można ich więc nazywać po imieniu, lecz zawsze z dodatkiem „panie Tomaszu“ „pani N. N.“ itd. Do tego czasu bywają jeszcze panie o tyle nie grzeczne, że pozwalają sobie mówić nawet do kupców: „niech poszle, niech wybierze“; — życzymy im z serca, żeby zaprzestały tego tonu pełnego impertynencji, raz dla tego, że same przedstawiają się w najgorszem świetle w dzisiejszym czasie postępu i cywilizacji, a następnie mogła by ich spotkać równie nie grzeczna odpowiedź od kogoś nie bardzo cierpliwego.

Dobry ton, to jest: użycie świata, znajomość wszelkich odcieni jego wymagań, etykiety, grzeczności każdemu należnej, są to nie rozłączne przymioty, które daje najprzód wrodzona szlachetność i podniosłość ducha, a dopełnia staranne, nic nie pomijające wychowanie. Im więcej potrafimy być grzecznymi dla ludzi, i oddać każdemu cześć należną mu bądź z wieku, bądź ze stanowiska, jakie w społeczeństwie zajmuje, tem w lepszem świetle siebie pokażemy. Uszanowanie tej osoby nie poniży nas wcale, przeciwnie pokaże naszą wyższość i największą ogładę.

W roku 1867, gdy Paryż zwiedzało tyle znakomitości, wydarzył się fakt bardzo pouczający w tym względzie, który tu dosłownie przytaczamy.

Między gośćmi, którymi szczycił się Paryż, znajdował się książę należący do jednej z najdawniejszych rodzin panujących w Europie, znany ze swoich zasad liberalnych, gotów zawsze przysłużyć się każdemu, ceniący wysoko i pełen uprzejmości dla ludzi nauki i talentu. Książę był zajęty rozmową w salonie z kobietą równie piękną, jak doskonale wychowaną. Znajoma tej Pani, która niedawno posiadła wielki majątek, i radaby się była wśliznąć w świat, o którym dotąd z daleka tylko słyszała, wmięszała się trzecia do ich rozmowy. Pierwsze wielkie uchybienie i brak znajomości świata. Książę odchodził — wtedy owa dama, która z nim wprzód rozmawiała, zmięszana niezgrabnością swojej znajomej, a chcąc w dobroci serca naprawić jej błąd i wytłumaczyć ją stosownie, prosiła księcia, aby pozwolił przedstawić sobie panią B., która dawno pragnie dostąpić tego zaszczytu. Pani B. raczyła zaledwie lekko skinąć głową, bo gdzieś tam kiedyś czytała, że mężczyznom w ten sposób kobiety kłaniać się powinne, nie chciała więc narazić na szwank swojej godności milionerki, gdyby niższy ukłon księciu krwi oddała; zaczęła pleść o tém i owém, a najbardziej o swoich wysoko położonych znajomościach, z którymi (mijając się nawet z prawdą potrochę) chciała się popisać.

Między innémi rzuciła od niechcenia:

— Pani Metternich zaprosiła mię na swój jutrzejszy wieczór.

— Księżna Metternich raczyła i mnie zaprosić — odrzekł książę z niskim ukłonem, i odszedł dawszy tę małą nauczkę niefortunnej pani B. W tej chwili nadeszła dama mająca długi szereg przodków w Gotajskim kalendarzu, a chociaż należała do partji nieprzyjaźnej księciu, mijając go, oddała mu jednak ukłon dworski tak głęboki, a przytem pełen gracyi, o jakim poczciwa pani B. nie miała i nie mogła mieć wyobrażenia.

We wszystkich stosunkach społecznych odczuwa się dystynkcja w postępowaniu, którą odznaczają się tylko osoby od dzieciństwa dobrze wychowane. — Nauczycielka z dobrego domu, którą nieszczęścia i straty majątkowe zmusiły do szukania chleba w zawodzie, bardzo zresztą zaszczytnym, będzie o wiele grzeczniejszą z uczennicami i z większem uszanowaniem dla ich rodziców, niż osoba niskiego pochodzenia, której się zdaje, że prostactwem i niegrzecznością może komuś imponować i nakazać dla siebie większe poszanowanie.

Pokojowa, służąca zawsze w domach przyzwoitych, nabiera częstokroć większéj ogłady, wyraża się grzecznéj i delikatniej, niż niejedna nibyto nauczycielka, obracająca się zawsze w kole ludzi źle wychowanych.

Wyższość prawdziwą — powtarzamy tu znowu — cechuje grzeczność i skromność największa. — „Kto się poniża, będzie wywyższony“ — mówi Ewangielia — nigdy też o tem nie zapominajmy.

V.

O dobrym tonie na wsi.

Zadaniem naszem nie jest pisać wyłącznie o życiu w pałacach, dlatego użyliśmy tytułu: „życie na wsi“ ażeby czytelnicy bez względu na majątek, jaki posiadają i położenie w społeczeństwie, mogli czerpać wiadomości im potrzebne i pożyteczne. W pałacach największych panów, w letnich domach bogatych mieszczan, jak i w skromnych domkach wiejskich, pierwszą zasadą być powinno: największa prostota obok serdecznej gościnności ze strony gospodarstwa, z pozostawieniem gościom jak największej swobody.

Jeżeli majątek kupujemy, lub na wieś sprowadzamy się po dłuższym w mieście pobycie, do nas należy oddać pierwsze odwiedziny: najprzód władzom cywilnym i duchownym, następnie sąsiadom, z któremi żyć pragniemy.— Na wsi, również jak w mieście, przysługa prawo wybrać sobie kółko mniejsze lub większe znajomych. Posyłanie, a nawet zostawianie kart wizytowych, niema na wsi miejsca. Gdyby się jednak na dłuższy czas odjeżdżało, i nie miało się zupełnie czasu pożegnać znajomych, należy przynajmniej rozesłać karty wizytowe „z pożegnaniem“; byłoby nader nieprzyjemnie, szczególniej na wsi, gdzie sąsiedzi czasem o mil kilka przyjeżdżają, gdyby nikogo w domu nie zastali.

Ci co pierwsi przybyli, czekają więc na odwidziny później przybyłych. Jeżeli chce się zachować częste stosunki, odwidza się nawzajem, w jak najkrótszym czasie. Gdyby nam te stosunki nie odpowiadały, można zaprzestać odwidzin; pierwszą atoli wizytę trzeba oddać koniecznie, jeżeli zna się cośkolwiek formy towarzyskie. Na wsi jest zwyczaj, szczególniej gdy kto i parę mil przyjeżdża, podawać natychmiast jakąś przekąskę, lub przynajmniej coś chłodzącego, jeżeli dzień gorący, nie uważając na zwykłe godziny przeznaczone do zasiadów. Nie trzeba nigdy naprzód pytać się gości, czy co pozwolą, znaczyłoby to tyle, co czekać na ich odmowną odpowiedź; gospodyni wydaje po cichu rozkaz służącym, a gdy wszystko gotowe, każe się podać w sali, lub w ogrodzie, jeżeli czas po temu, chyba że która z dam ma zbyt drogą, zbyt jasną suknię jedwabną, z długą powłoką, wtedy delikatność wymaga, nie wspominać wcale o ogrodzie, by gościa nie narazić wcale na zniszczenie pięknej toalety. Dobra gospodyni ma zawsze w zapasie ciasteczka długo utrzymujące się w świeżości, konfitury, soki, wreszcie na wsi można podać śmietanę kwaśną, mleko zsiadłe, gdyż są to prawdziwe wiejskie przysmaki, przez ludzi z miasta przybywających, szczególniej cenione.

Nie zapominajmy że dla ludzi z miasta, właśnie cały urok spoczywa w swobodzie wiejskiej. Szklanka mleka świeżego a wypitego pod jakim dębem rozłożystym na miękkiej murawie, smakuje mu lepiej, niż kąski najdelikatniejsze, podane w najpiękniejszej sali. Jednakże i w tem powinniśmy być ostrożni; naprzód trzeba wybadać gusta swoich gości, a jeżeliby przypadkiem nie lubowali się w sielskiem życiu należy się zastosować do tego. Nie trzeba też nigdy zmuszać gości do oglądania szczegółowego naszej posiadłości, co mogłoby ich znudzić; z tem, trzeba czekać na ich prośbę wyraźną.

Grzeczny gość powinien wszystko podziwiać, choćby widok najmniej urozmaicony, i drzewka na pół zeschłe.

Nie powinno się nigdy przystawać na dłuższy pobyt na wsi, jeżeli nie jest się o to usilnie i kilkakrotnie proszonym; lekka wzmianka o tem nie powinna nam nigdy wystarczać; lecz i „przeciwna strona“, jak się wyrażają adwokaci, niech w tém będzie bardzo ostrożną, i nie rzuca na wiatr zaproszeń, jeżeli ich na serjo nie bierze. Czyje położenie jest wtedy przykrzejsze? — Czy gospodarstwa, przyjmujących zimno gości, których zapraszali w błogiej nadziei że nie przyjmą zaproszenia, a z których zrobią sobie potem na całe życie nieprzyjaciół; czy też gości, którzy wybrali się na dłużej, a tak niechętnie są widziani?

Jeżeli ma się liczną rodzinę, nie wypada zabierać całej jadąc w odwidziny — chyba że jest się tak oczekiwanym i zapowiedzianym. — Na wsi trudniej o wszystko jak w mieście; czasem właśnie wielka chęć przyjęcia nas jak najlepiej, a zupełna po temu niemożność, robi gospodynię domu niechętną prawie, i pomięszaną naszym przyjazdem.

Nie możemy dość usilnie prosić wiejskie gosposie, żeby nie grzeszyły fałszywą ambicją, a raczej pamiętały na stare polskie przysłowie „czem chata bogata, tem rada.“ Lepiej dać gościowi cośkolwiek, co i najbiedniejszy dom posiada, np. ziemniaki z mlekiem zsiadłem, lub kluski choćby z ciemniejszej mąki, jak wyprawić go o mil kilka o filiżaneczce cieńkiej herbatki, i suchej żydowskiej bułce z miasteczka. — Takie odwidziny, z których wracając, mało sobie człowiek palców z głodu nie pogryzie, pamięta się całe życie i pewno drugi raz tam się nie wróci.

Prawdziwie grzeczne osoby, nawet na wyraźne wezwanie gospodarstwa, nie będą obrywać kwiatów, i obtrząsać z drzew owoców w cudzym ogrodzie, wielu jest takich właścicieli którzy wolą widzieć zwiędłe i suche kwiaty na łodygach, niż zerwać z nich chociażby jeden. Łatwo poznać podobną słabostkę; takie osoby, choćby same ofiarowały się złożyć je dla nas kobiet, wypada prosić najusilniej, żeby dla nas nie niszczyły swych pięknych rabatów, a pewno największą im tem przyjemność sprawimy.

Jeżeli mamy zanadto złe zdrowie, nie pozwalający nam na ruch szybszy, na jedzenie potraw zwyczajnych, na robienie dłuższych spacerów, czy to pieszych czy w powozie, nie powinniśmy przyjmować zaproszeń do obcego domu, choćby do najlepszych przyjaciół, bo będziemy powodem tysiącznych kłopotów, i przeszkodą do wszelkich wiejskich przyjemności.

Miłym towarzyszem na wsi jest tylko człowiek mogący znieść bez przykrości wiatr i gorące promienie słońca, kurz tak często nieznośny i oczy zasypujący, również jak deszcz ulewny; człowiek który potrafi strawić proste wiejskie potrawy, który, przyjmie nawet bez szemrania i największą z plag wiejskich, muchy i komary.

Podczas dłuższego pobytu w obcym domu strzeżmy się zrobić nieprzyjaciół między służbą, a szczególniej bądźmy w stosunku przyjaźni z pieskami ulubionemi pana, lub pani. — Wotum niezaufania tych ulubieńców mogłoby łatwo poróżnić nas na zawsze z gospodarstwem. Sługom odjeżdżając należy się od nas jakaś nagroda, zastosowana do naszego pobytu krótszego, lub dłuższego; także do rodzaju usługi mniejszej, lub większej, którą nam oddawali.

Młode panienki powinne wystrzegać się spacerów w ustronnych i dalekich od domu alejach, żeby nie popaść w posądzenie, że szukają tamże raczej samotnika, niźli samotności.

Śniadanie pierwsze podaje się razem lub posyła każdemu osobno do jego pokoju sypialnego. W tem nie można być dosyć uważnym; wywierać jakikolwiek przymus moralny w tym względzie na swoich gości, byłoby więcej jak niegrzecznie. Goście ze swojej strony, jeżeli im to wielkiej przykrości nie sprawia, bardzo dobrze uczynią, zbierając się rano do wspólnego śniadania, gdyż oszczędzą tem gospodarstwu bardzo wiele kłopotu i kosztu, bo zwykle przy takich posyłkach tu i tam słudzy połowę sobie przywłaszczają. — Kobiety mogą pokazać się rano w negliżu, który atoli muszą zmienić do obiadu; tylko bardzo złe zdrowie mogłoby je do tego upoważnić, żeby całemi dniami chodziły nieubrane; — panowie natomiast jedynie w kole najbliższej rodziny mogą pokazywać się w szlafroku, gdy są już żonaci. Młodzi ludzie, nawet przy matce i siostrach nie powinni sobie tego pozwalać, chyba że wstają z ciężkiej słabości.

Panie przyjeżdżające bez sług własnych na dłuższy pobyt, a nie umiejące same się ubrać lub uczesać, powinne jak najwcześniej i od razu na cały dzień zakończyć toaletę, żeby potem po całych dniach cudzych sług nie trzymały przy sobie, bo tem robią wielką różnicę i wielką przykrość gospodarstwu; po obiedzie, lub przechadzce dalekiej można cośkolwiek włosy przygładzić, lub coś w ubraniu poprawić. Na wieś najlepiej brać suknie do prania, krótko zrobione nie zbyt ciasne, aby módz zachować wszelką swobodę w ruchach i nie myśleć ciągle że się ubranie popsuje. Czystość i staranność w ubraniu są jednak i na wsi niezbędnemi cnotami. Nie narzucając się zbytecznie i nie wchodząc w prawa gospodarstwa, można przecież stać się nieraz użytecznym. Młodzi ludzie, młode osoby powinne przysługiwać się i wyręczać w czem mogą gospodarstwo. Takt i wrodzona grzeczność są w tym względzie najlepszymi przewodnikami. Nie trzeba być natrętnym, lecz nie trzeba także pomijać żadnej sposobności okazania dobrych chęci w danym razie.

Pod żadnym warunkiem nie wolno nam dysponować powozami i końmi gospodarstwa; jeżeli oni sami bez naszej wiedzy i żądania każą zaprządz powozy, należy przyjąć to z wdzięcznością, i korzystać z ich uprzejmości.

Gościom naszym wszędzie i zawsze należy się pierwszeństwo. W powozie miejsce w głębi, po prawej stronie, oddaje gospodyni damie obcej z nią jadącej. — Mężatki choć młodsze latami, mają pierwszeństwo przed pannami; mężczyźni żonaci, powinni być pierwsi niż nieżonaci, chyba że swoje stare kawalerstwo aż do siwych włosów przedłużyli. Przez uszanowanie dla wieku podeszłego młodzi żonkosie powinni im wtedy odstąpić pierwszeństwo.

Dzieci trzeba wcześnie przyzwyczajać do siedzenia z przodu powozu; gdyby czyja natura istotnie tego nie znosiła, wypada zostawić takie dziecko raczej w domu, niż potem niejako zmuszać gości, żeby choremu dziecku ustępywali lepszego i wygodniejszego miejsca.

Młode panienki nie powinne nigdy jeździć choćby nawet dwie i trzy, w powozie z samymi mężczyznami. Zawsze musi opiekować się niemi starsza, poważniejsza kobieta. Na przechadzkach, szczególniej odleglejszych, młode panienki, a nawet młode mężatki nie powinne nigdy oddalać się od towarzystwa i gubić w zaroślach; mogłoby to jak najgorsze światło na nie rzucić. Wprawdzie można wyłącznie z jednym rozmawiać, lecz zawsze pod okiem reszty towarzystwa, nie odłączając się zbytecznie od niego.

Jeżeli kobieta sama powozi, powinna wybierać drogi szerokie, uczęszczane, a nigdy drożyny kręte, leśne, nieznane; raz dla możności wywrotu, a także dla zachowania najściślejszej przyzwoitości. To samo tyczy się konnej jazdy. Panienki powinne jeździć tylko z ojcem lub bratem żonatym i o wiele starszym; mężatki nie powinne nigdy jeździć bez męża, czy to konno czy w powozie, z obcymi panami.

Powożenie i konna jazda dobre są dla kobiet tylko na wsi. Popisywanie się tem w mieście, jest wstrętne, i każda kobieta mająca poczucie własnej godności, nie zechce pewno służyć za widowisko dla miejskiej gawiedzi.

Ubogich daleko mniej na wsi, niż w mieście. Można jednak i na wsi być miłosiernym, nie tyle datkiem pieniężnym, co dobrem słowem, dobrą radą, pomocą w słabości. — Wieśniak nasz ma dotąd jeszcze bardzo małe wymagania; prawie nic mu nie potrzeba oprócz tego, co mu daje własne gospodarstwo. Jednak umie być wdzięcznym, gdy mu się odda jaką przysługę, szczególniej w słabości. — Do dziś dnia niestety lud nasz jest tak ciemny, tak ograniczony, tak nie umiejący sobie radzić w żadnym wypadku, że tu byłoby szerokie pole dla ludzi inteligencji, starać się zbliżyć do niego, wzbudzić w nim zaufanie, które dotąd nie istnieje, mimo że od tylu lat stosunki się zmieniły. — Zadanie to społeczne, poważne, nie wchodzące w nasz zakres, dodamy tu jednak tę krótką uwagę, że względem wieśniaków należy także zachować pewne zasady grzeczności. Obowiązkiem naszym oddać ukłon za ukłon, a na pozdrowienie chrześcijańskie „Niech będzie pochwalony“ dotąd na wsi używane, odpowiedzieć „Na wieki wieków amen“, bo inaczej wzięto by nas za heretyków. Jeżeliby przypadkiem wypadło nam być w Cerkwi czyli kościele unickim, a ksiądz podał nam księgę Ewangelii, należy ją pocałować bez wahania, bo jest to zwyczaj odwieczny, nie chcąc uchodzić w oczach wieśniaków za zupełnego odszczepieńca! Z proboszczem, czy to łacińskim, czy unickim, jeżeli jest we wsi, powinno się żyć na stopie przyjacielskiej, o ile to jest możebnem. Przyjaźny stosunek właściciela z proboszczem wywiera częstokroć zbawienny wpływ na całą gminę.

(C. d. n.)

O wzmaganiu się potrzeb

według wykładu prof. Conrada opracował Dr. Edmund Burzyński.

(Dokończenie).

Te same uwagi i spostrzeżenia, cośmy poprzednio pod względem ubrania zrobili, odnoszą się do pomieszkań naszych. Tu widzimy, że pokoje do przebywania w nich większej części dnia i do pracy przeznaczone są ciasne i ubogo urządzone, gdy przeciwnie pokój tak zwany bawialny lub salonik do przyjęcia gości zwykle najobszerniejszy, umeblowany z konfortem, nie stojącym w żadnym stosunku do urządzenia tamtych. Cierpią na tem domownicy i inne codzienne potrzeby;—korzystają w rzadkich tylko chwilach goście a gospodarz i gospodyni jako odszkodowanie za te codzienne niedogodności odnoszą tylko przeświadczenie, że zachowują pozory dobrego tonu, że nie pozostają za innymi.

I pod tym względem stoimy niżej od praktycznych Anglików. Towarzyskie życie i zwyczaje stosować się u nich muszą do życia domowego. Życie familijne i w ogóle całe urządzenie do jamu nie jest ku nas podporządkowane wymogom towarzyskim. Anglik wybierając sobie pomieszkanie nie troszczy się przedewszystkiem, jaki jest pokój do przyjmowania gości, lecz o sypialnię i o inne pokoje mieszkalne. Pożywienie też wszystkich klas społecznych u Niemców a jeszcze bardziej u nas jest nie stosunkowo złe a dzieje się to kosztem niepomiernych wydatków na inne potrzeby. Co ja jem, tego przecież nikt nie widzi, bylem miał się w co ubrać, jest u nas dość rozpowszechnionem zdaniem. Za to podczas różnych uroczystości rozwijamy pod tym względem zbytek niepomierny i niepotrzebny, choć w życiu codziennem stoją nasze potrzeby daleko po za uprawnionemi nawet wymaganiami.

Tu nie można pominąć zbytku co do używania napojów, stanowi on jeszcze zawsze czarną plamę w życiu narodów. Cywilizacja złagodziła i tu znacznie nasze obyczaje, nie zdołała jednak dotąd całkiem zmyć tej plamy a najzgubniejszy ten zbytek burzy jeszcze i teraz szczęście

tysiąca rodzin. Przed trzystu niespełna laty pijaństwo u stołu magnata było niemal tak samo rozpowszechnione jak dziś na wsi w karczmie. Spotykamy też często, że chłop nasz przez cały tydzień nie pijąc wódki pozwoli sobie za to w niedzielę po nad wszelką miarę. W przecięciu biorąc wzmogła się wprawdzie w naszych czasach konsumcja gorących napojów; rozdzieloną jednak została równiej i dla tego nie jest już tak szkodliwą; a nawet przeciwnie, gdzie one służą do codziennego a miernego użytku, działają nawet korzystnie.

Anglicy pod tym jednym tylko względem stoją niżej. Upija się tam zwłaszcza w niższych klasach nietylko mężczyzna ale i kobieta — choć i wyższe klasy nie są od tego nałogu zupełnie wolne. Niemiec a bardziej Polak pije najczęściej w towarzystwie a wtenczas przebierze i miarę; angielski robotnik zaś najczęściej sam, stojąc, pije tak długo, dopóki mu pieniędzy starczy, lub jak długo na nogach utrzymać się może. W ślad za mężczyznami idą jak to już wspomnieliśmy kobiety a nawet dziewczęta i dzieci. Zbytek ten rozpowszechnił się w ostatnich mianowicie latach najbardziej pomiędzy najniższą klasą ludności. Zastanawia tutaj bardzo ta okoliczność, że rozpowszechnił się on równocześnie z podniesieniem cen pracy. Stanowi to dowód niezbity niedojrzałości tych klas społecznych, kiedy podniesienie wartości ich pracy, wywołało przedewszystkiem podobny rezultat.

Kontrast między życiem codziennem a podczas dni uroczystych jest dowodem braku cywilizacji. Kontrast ten u naszych przodków był jeszcze większy. U nas jeszcze w niektórych okolicach obchody weselne trwają całe tygodnie, w dnie zaś powszednie głód — domy nie schludne w uroczystych dniach przybierają uroczyste szaty.

Tu wyprzedzili nas Francuzi a jeszcze bardziej Anglicy. Anglik przedewszystkiem stara się o wygodne pomieszkanie, urządza je potem choć ono małe ze wszelkim możliwym komfortem. W drugim rzędzie stara się on o codzienne pożywienie, musi ono być obfite, silne i składa się przeważnie z mięsa. Żyje on tak jednostajnie, a zaledwie raz lub dwa razy do roku zachodzą odmiany jak np. podczas gonitw, które się przerobiły w święta uroczyste.

Reasumując wszystko co powiedzieliśmy przychodzimy do wyniku, że wzmaganie się potrzeb w naszych czasach ekonomicznego rozwoju ma swe uprawnienie, wymagania te jednak wszelką przekroczyły miarę, kierunek przyjęły fałszywy, bo nie służą do moralnego podniesienia, dla dobra rodziny, lecz są obrachowane na pozór zewnętrzny tylko i budzą złe skłonności człowieka. Co jeszcze bardziej pogorsza sytuację i odróżnia naszą epokę od innych podobnych, to okoliczność, iż zbytek opanował wszystkie warstwy społeczne od najwyższych do najniższych. Gdzież leży przyczyna tego zjawiska, zkąd spodziewać się można ratunku?

Przyczyna tkwi w nowoczesnym sposobie kredytu ekonomicznego i w nowoczesnem wychowaniu. Ratunek tedy możliwy li tylko w lepszem wychowaniu.

Przypatrzmy się wielkim masom narodu. Nagle bez należytego przygotowania rzucono między nie oświatę. Rozpowszechniono niektóre wiadomości bez należytego pojęcia u tłumów i osiągnięto pewien rodzaj oświaty, który w umysłach dysharmonią wywołał. Podkopano a nawet odebrano wiarę w życie po śmierci a wraz z nią i tę nieskończoną pociechę, jaką ona dawała. Cóż więc dziwnego, że masy rzuciły się w wir ziemskich rozkoszy, otrzymawszy je w zamian za wiarę — mało bowiem jest wybranych, którzy by utraciwszy wiarę zdolni byli oddać się idealniejszemu kierunkowi. Przyczynia się do tego zwłaszcza w sąsiednich Niemczech, że wszelka karność i wychowanie tak chłopców jak dziewcząt z czternastym rokiem zupełnie ustają.

Z upadkiem cechów ustała też wszelka karność cechowa. Dziecięciem prawie wchodzi tam w świat, bez tarczy prawdziwej moralności, którаby go zbrojnym zastała w zapasach przeciw upadkowi. Wyższym klasom społeczeństwa nie grożą jeszcze w tym wieku żadne niebezpieczeństwa, gdyż zastają ich one już dojrzałymi.

Wszczepiono w Niemczech zwłaszcza w masy rozmaite wiadomości, podano im możność rozpatrzenia się po świecie, jakoteż sposobność poznania, co świat przyjemnego dać może a tem samem pobudzono wymagania nie stojące w żadnym stosunku do środków zaspokojenia tychże. Nie dano im jasnego wyobrażenia o tem, co osiągnąć można, do czego dążyć warto, odjęto poczucie obowiązku i rezygnację nie zbędną dla człowieka, jeżeli ma zachować równowagę. Tym sposobem wydano całe masy narodu na łup niecnym agitatorom, obiecującym życie bez pracy. Skutki też nie dały długo czekać na siebie, jak to w ostatnich dniach w Berlinie widzieliśmy. Niech tych kilka uwag będzie oraz przestrogą dla nas, jak się brać do oświaty ludu.

Rozwój maszyn na zachodzie przyczynia się wielce do tak anormalnych stosunków. Praca pojedyńczego robotnika w młodym wieku wynadgradzaną bywa nie proporcjonalnie wysoko. Wielki ten zarobek daje mu możność przyzwyczajania się do zbytków przeróżnych a przy niewykształconym należycie charakterze prowadzi do nadużyć. Dorosły zaś, będący ojcem rodziny, zarabia mało co więcej, wystarcza mu teraz zaledwie na opędzanie najniezbędniejszych potrzeb, zwłaszcza gdy się rodzina powiększy. O zaspokojeniu zaś owych potrzeb, które weszły przedtem już w nałóg, niema teraz mowy, pozostaje przeto niezadowolenie a częstokroć i zwątpienie. Stan urzędniczy pod tem względem jest daleko szczęśliwszym — pensja ich bo-

wiem wzmaga się stale, choć może nie w stosunku wzmagających się potrzeb.

Wszystkie te powyższe stosunki są pogorszone chwiejnością, będącą smutną właściwością gospodarstwa społecznego, przeważnie na kredycie opartego.

System ten przynosi ze sobą bądź gwałtowny rozwój wszelkich gałęzi gospodarstwa, dając znaczny zysk przedsiębiorcom i wyższy zarobek robotnikom, bądź też sprowadza zupełny zastój we wszelkich przedsiębiorstwach, co znowu pociąga za sobą wielką nędzę.

Szybki ten rozwój działa podobnie jak wygrana na loterji, nieprzynosząc ze sobą błogosławieństwa mozolną pracą zarobionego grosza, co więcej demoralizuje nieustalony charakter, odciąga od uczciwej pracy i prowadzi do zbytecznego używania. Mało kto w wyższych klasach pamięta o tem, że po latach tłustych następują chude a gdy po latach rozwoju nagły nastąpi zastój, większość zepsuta poprzednim zbytkiem i przyzwyczajona do używania, pogrąża się w zwątpieniu. Rzadko też wystarcza i ciągła oszczędność celem zabezpieczenia bytu odpowiedniego wychowaniu i nabytym wymaganiom, zwłaszcza gdy dziedzictwem liczne dzieli się potomstwo, albo gdy ze śmiercią ojca rodziny ustaną źródła dochodu. Losy jakim podlega wówczas pozostała rodzina, stanowią obecnie tak często wątek do powieści nowoczesnych.

Niestety i w klasach wyższych odgrywa wychowanie szkolne większą rolę niż wychowanie domowe; szkoła zabiera większą część dnia, dla wychowania rodzinnego pozostawiając mało co. Zaprzeczyć nie można, że teraz młodzież bardziej może wykształcona rzuca się w świat, czego jej jednak brak, to stałości, charakteru; a z postępem, z cywilizacją wzmagają się i pokuszenia.

Słusznie też powiedział jeden z głębokich myślicieli niemieckich Frydr. Alb. Lange: Całe nasze wychowanie jest jednostronnem kształceniem rozumu — zaniedbuje ono zupełnie tworzyć charaktery. Takie kształcenie podnosi żądzę używania, a zmniejsza siłę oporu do stawienia czoła złemu.

Z tego wynika, że wychowanie nasze za główne powinno sobie położyć zadanie, wpajanie w młodzież zasad religii i prawdziwej moralności. Tym bowiem tylko sposobem zdołamy wszczepić i skromność i pogodzenie się z losem. Tu daleko większe pole działanie otwiera się dla wychowania domowego jak dla szkolnego. Na wielkie masy jednak przyjdie działać na dom przez szkołę. Nabyte wiadomości w szkole, poparte doświadczeniem potrafią wielkie masy dopiero ku końcu życia należycie zużytkować. Nie wychodzą przeto one tyle na korzyść im, co dopiero ich dzieciom. Droga ta jest długą i żmudną — torować ją można środkami pomocniczemi jak zakładaniem ochronek dla małych dzieci, szkółek niedzielnych, rzemieślniczych, bibliotek ludowych i t. d.

Co zaś do naszej klasy powiemy tu w krótkości:

Według wspomnianego dopiero Langiego dwa są sposoby sprawienia sobie przyjmności i zadowolenia: jeden zasadza się na zmianie przedmiotow sprawiających nam przymiotów i na podniesieniu uroku tychże; drugi sposób: przepłatanie pracy rozrywką. Pierwszy z tych środków praktykowany przez ludzi bogatych, pieszczochów fortuny, przez tak zwaną złotą młodzież, jeenesse dorée sprowadza przesyt i zniechęcenie do świata. Wychowani w zbytkach i bogactwie rzadko kiedy są szczęśliwi i zadowoleni, bo i możność sprawienia przyjemności nie idzie w nieskończoność, i ma swoje granice.

Droga ta prowadzi do niepomiernego podnoszenia się wymagań—a u końca tej drogi stoją w nowszych czasach tak liczne samobójstwa i szaleństwa. Prowadźmy więc młodzież na inną drogę, niech ona w pracy widzi cel i zadanie życia, niech w niej znajdzie zadowolenie i szczęście; a wymagania wtedy same przez się będą mniejsze. Aby zaś pracę uczynić przyjemną, nadać jej pewien urok, musi ona mieć cele wyższe, idealne. Cele te znajdziemy, jeżeli szukać będziemy własnego szczęścia w uszczęśliwianiu drugich a więc pracując na szerokiej arenie dla dobra ogółu, dla nauki a w małym zakresie dla rodziny. Gdyby można pojedyńczym ludziom wpoić trocha więcej miłości ludzkiej, zyskaliby na tem oni sami najwięcej: na wewnętrznem zadowoleniu i prawdziwem szczęściu.

Jest jednak jeszcze droga trzecia, zachowana dla małego tylko kółka wybranych. Wykształcenie prawdziwe, harmonijnie zaokrąglone może stworzyć warunki życia wewnętrznego nader obfite a pod wielu względami od otoczenia i stosunków niezawisłe. Nie to bowiem, co świat daje, rozstrzyga o naszém szczęściu, lecz jak my to dane przyjmujemy. Człowiek z zupełnym prawem żąda użycia przyjemności życia; co świat mu istotnie pięknego daje, nietylko może ale powinien on użyć. Podnosić tę zdolność, rozpowszechniać ją, leży w dobrze zrozumianym interesie ludzkości.

Do tego niewystarczy nagromadzenie samych wiadomości — pobudzić i należycie rozwinąć należy zrozumienie wszystkiego co dobre, szlachetne i piękne, dalej, co przyroda, sztuka i nauka dać nam może, żeby przeniknęło całą istotę człowieka. Dlatego też w życiu ma zawsze pierwszeństwo człowiek w prawdziwie wykształconem wychowany towarzystwie — piękne kształty stały się mu potrzebą a szlachetny sposób myślenia drugą naturą.

Te uwagi co do wychowania należy dobrze rozważyć, by nie powiedziano kiedy o nas, jak jeden ze znakomitych Anglików powiedział o Prusakach, których nam tylekrotnie za wzór stawiają: „Nigdzie nie znalazłem tak wielu uczonych, a tak mało dobrze wychowanych ludzi jak w Prusiech.“

Przypadek na jeziorze.

(Dokończenie.)



5. Lecz ach! — zderzyły się ich łodzie,
I prysły wiosła w tej przygodzie.



6. Dzieweczkę owładnęła trwoga —
Co począć? — nie wie już nieboga!



7. Młodzian przytomny silną ręką
Łowi stroskanej tej czółenko.



8. A gdy spojrzeli sobie w oczy,
Porwał ich serca czar uroczy.



9. On objął potem ją w ramiona;
Potem był ślub... i pieśń skończona!

LASZKA.

Opowiastka

AURELEGO URBAŃSKIEGO.

(Dokończenie.)

Po odejściu księdza wpadł konno ekonom z sąsiedniego dworu z oświadczeniem, iż pożywny, ciepły posiłek oczekuje powstańców i zażądał w imieniu swego chlebodawcy dalszych rozkazów.

Tak minęły się przed memi oczyma niby w kalejdoskopie dziewczęta młode i stare baby wiejskie, i poważnych kilku gospodarzy i ów znany mi żebrak, na końcu tego szeregu.

Anna spokojnie, dobitnie, dawała pytania i odpowiedzi, upominała, zachęcała lub dyktowała polecenia.

Z jakąż niecierpliwością oczekiwałem chwili, by z nią pozostać sam na sam. Czułem, że dłużej nie zniosę tej moralnej męki; musiałem odsłonić jej skrytości mego serca. Cokolwiekbądź czekało mnie — pragnąłem skorzystać ze sposobności, by wyznać jej, jak ją kocham, i rzucić się w wir walki z tą przynajmniej myślą, iż przedmiot ubóstwienia mego zna serdeczną moją tajemnicę. Atoli Anna przeczuwała widocznie mój zamiar i starała się zapobiedz niebezpiecznej tej spowiedzi. Przywoływała to tę, to ową postać, przedłużała z umysłu badania i instrukcje; najdotkliwszą zaś sprawiło mi boleść, iż ani razu nie odwróciła się w stronę, gdzie ja siedziałem, i ani razu nie uznała za stosowne obdarzyć choć jednem słówkiem...

Nareszcie przed chatą gwar powstał głośny; dały się słyszeć nawoływania i szybki kroki biegnących, a zdala zagrzmiała wesoło trąbka. Na ten odgłos uderzyły dzwony wiejskiego kościółka i rozległ się drogą chór pieśni nabożnej.

„Idą!“ — zawołał arendarz, wybiegając z izby.

Zostaliśmy sami.

Anna podniosła się z żywością, odwróciła się ku mnie, wskazała ręką w okienko i uśmiechnęła się, dodając mi niby odwagi. A jednak usta jej powlokły się bladością — a uśmiech jej jakże był boleśnym!..

Zrozumiałem ją...

Jednym skokiem klęczałem u nóg kobiety i tuliłem do drżącej piersi jej dłoń wilgotną, a zimną...

I usta me poczęły szeptać wyznanie... i padły z nich słowa skargi i radości, zwątpienia i nadziei... Słuchała milcząc ze spuszczonemi ku ziemi oczyma... Gdy skończyłem ocknęła się z zadumy, spojrzała mi w źrenice przeciągle, położyła dłoń na mem czole i jeden — jeden wyrzekła wyraz:

„Dziecko!...“

Potem pobiegła ku oknu i oparłszy się w niem, zwróciła całą swą uwagę ku drodze.

Rzuciłem się na ławę i ukryłem twarz w dłoniach... Tak upłynęła długa chwila w głębokiem milczeniu... Przerwał ją odgłos równych, mierzonych kroków; przed gospodę nadciągnął oddział powstańców, szykując się i dzieląc na roty.

Nagle Anna stanęła przedemną. Bladość jej oblicza odsłoniła mi tajemnicę, którą mężnie tłumiła w swojem sercu. Rozpięła kożuszek, dobyła z piersi medalionik z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej i zawieszając mi go na szyi, nachyliła się nademną... Usta jej lodowe szepnęły: „Od ciotki“... Potem dotknęła niemi płonącego mego czoła i dwie wielkie łzy potoczyły mi się na skronie...

Nadmiar wzruszenia pozbawił mnie na chwilę zmysłów... Gdy zerwałem się z ławy — już jej nie było... Rzuciłem się do drzwi — — wybiegłem. — Tentent galopującego w oddali konia zamroził mi krew w żyłach... Serce na chwile bić mi przestało... Chwiejąc się, oparty o słup na ganku gospody, stałem siny, zmartwiały, a wzrok mój wpił się w uchodzącą postać amazonki...

Mknęła cwałem ze spuszczoną na piersi głową, tylko krótkie loki bujały swobodnie w powietrzu... Czekałem, ażali nie spojrzy raz jeszcze ku mnie... Nie odwróciła głowy...

Malała... malała... nareczcie znikła w oddali w czarnym borze...

IX.

Kobiety tej nie widziałem już nigdy...

Tak skończył się romans tygodnia... a jednak romans całego mego żywota...

Z oddziałem puściłem się w głąb kraju. W licznych potyczkach rzucałem się na oślep na kule wrogów — rodaków... Długo nie tknęła mnie żadna, choć nieraz świst przeraźliwy gwizdnął mi koło ucha... Z zachodnich województw dostałem się w Lubelskie. Oddział nasz zeszczupiał do liczby stukilkudziesięciu walecznych. Drobna ta garstka, obdarta i głodna, otoczona częstokroć dziesięciokrotną wrogów przemocą stawiła mężnie czoło ciemiężycielom i przebijała się przez gęste ich zastępy. Po każdej takiej tytanicznej walce obliczaliśmy się smętni lecz nie tracący otuchy... Co raz to więcej ubywało nam druhów... Po wielu miesiącach okropnych tych zapasów dostaliśmy rozkaz połączenia się pod *** z liczniejszym oddziałem.

Pomnę, było to późnym wieczorem...

Zdążaliśmy do czerniącego się przed nami lasu, kędy obozem rozłożyli się powstańcy. U krawędzia boru powitał nas pierwszy okrzyk: „Kto idzie?“ —

Głos placówki wstrząsnął mną do głębi. Przedemną stał dobry mój znajomy... Szymon - Kujawiak...

Poznał mnie i wprowadził do tlejącego w głębi drzew ogniska.

Usiedliśmy milczący... Trwoga jakaś niepojęta ścisnęła mi piersi... Lękałem się zapytać o Nią... On nie spieszył się z opowiadaniem... Złą było mi to wróżbą, zwłaszcza iż od czasu do czasu ściskał mi dłoń z współczuciem...

Nareszcie zapytałem... zapytałem przeciągłem spojrzeniem.

„Nie żyją“... mruknął z cicha „nie żyją oboje... Ojciec i córka“...

Ah... więc nie płonne były sny me okropne... nie daremny niepokój, nurtujący w zbolałej mej piersi...

Opowiedział mi ich koniec...

W kilka po mojem odjeździe tygodni wróciła Anna z codziennej wycieczki, zapowiadając przybycie garstki powstańców, cofający się przed przeważnemi siłami moskiewskiemi ku granicy.

W nocy zbudził ze snu mieszkańców granicznej wioski odgłos niedalekich strzałów. Niebawem cofający się oddziałek dosięgnął białego dworka. Krytycznem było położenie tych nieszczęśliwych; granica tuż przed nimi, o kilka tysięcy zaledwie kroków, bezpieczne zapewniała im schronienie przed bagnetami rozbestwionego żołdactwa; wróg jednak, silny przewagą następował im już na piersi. Dowódzcy garstki jedyny pozostawał ratunek, by oszczędzić życie tylu walecznych, tak niezbędnych dla walczącej ojczyzny: oto należało cząstkę powstańców rzucić do oparkanionego dworka, stanowiącego dość silną pozycję i broniąc tejże ułatwić odwrót cofającej się ku granicy reszcie oddziału.

Chwilę zawahał się dowódzca, spojrzawszy na miłe to oku ustronie, które niebawem stać się miało pastwą mordu i pożogi. Westchnąwszy jednak, dzielny partyzant wydał gromkim głosem rozkazy. Na skinienie jego wystąpiło z szeregów kilkunastu ochotników, prawdziwe „dzieci śmierci“... W milczeniu uścisnąwszy dłonie komendanta, zajęli wyznaczone sobie miejsca... Oddział pomknął ku granicy...

Przed odejściem zawezwał dowódzca staruszka i córkę jego do opuszczenia dworka i towarzyszenia oddziałowi za granicę.

Sędziwy starzec, z wrodzonym temu wiekowi uporem postanowił nie opuścić tych ścian drogich, świętego przodków przybytku, swojej kolebki i jedynaczki... U boku jego stanęła Anna i Szymon, oświadczając, iż nie opuszczą ojca i dobrodzieja... Nadaremnie starzec błagał, rozkazywał i groził przekleństwem... Za chwilę było już za późno... Dworek zmienił się w obronną fortecę... W pokoiku sypialnym Anny zostało ich troje...

Mamże dalej opowiadać?...

Nazajutrz rankiem z białego dworka zostały zgliszcza... Wśród nich bielały kości obrońców...

Straszna to noc była!.. Długo, do północy, broniła sadyby garsteczka powstańców. Ilekroć uderzyło żołdactwo bagnetem, musiało cofać się przed celnymi strzałami kilkunastu męczenników... Stary szlachcic i Szymon zwiększyli ich liczbę; starowina odżył i ustawiwszy się z „Prawą swą ręką“ w oknie, słał szturmującym drżącą ręką kulę po kuli... Szymon nie dawał się wyprzedzić swemu „jegomości“ — Anna zaś robiła naboje i opatrywała rannych....

Nagle łuna zajaśniała nad głowami obrońców—równocześnie zaś zachwiał się starzec białowłosy, wypuścił z dłoni karabin i runął trupem na podłogę; przy nim omdlała Anna...

Szymon ucałował dłoń martwą szlachcica, zrobił krzyż w powietrzu, a pochwyciwszy w pół nieprzytomną, przebiegł izdebki i tylnem oknem wyskoczył z drogiem swem brzemieniem na ogród. Chyłkiem, płotami pomknął w cieniach nocy i puścił się ku lasowi...

Zaledwie jednak kilkadziesiąt ubiedz zdołał kroków, aliści cała strzecha zagrody stanęła w jaskrawem płomieniu, który rozszalałym sałdatom zdradził ucieczkę Kujawiaka. Padło kilka strzałów — — Anna jękła... Szymon zachwiał się, lecz nie upadł — — Z wysileniem dobiegł lasu i pod pierwszym dębem złożył... trupa Anny.

Z piersi jej sączyła się krew wąskim sznurem korali... Kula przeszyła serce patrjotki...

W głębi lasu zakopał Szymon zwłoki „pannuńci“ w wilgotnej mogiłce... „Stare tylko dęby szumią nad jej głową i leśne zawodzi tam ptaszę“...

X.

. . . .

Zamilkł Timofiej... Oczy zakrył dłonią... Gęste łzy spływały mu z pod palców...

Uszanowałem boleść chorego; przejęty — nie ośmieliłem się przerwać milczenia...

Widocznie ulżywszy sobie łzami, usiłował chory dokończyć swą opowieść... Mówił jednak co raz ciszej, a coraz częściej ocierał usta chustką, na której z przerażeniem dostrzegłem kilka licznych a wielkich plam czerwonych...

— Na miłość Boską, przestań pan — błagałem — mówisz zbyt wiele... To nadweręża ci piersi...

„Moje piersi!“ — i uśmiechnąwszy się boleśnie, rozerwał szybkim ruchem odzież na sobie i obnażył klatkę piersiową.

Odwróciłem oczy od tego szkieletu... Nie zdołałem zatrzymać na nim dłużej mego wzroku; chwila ta jednak była dostateczną, by w zanadrzu suchotnika na czarnej tasiemce dojrzeć małego, błyszczącego medalionu...

Ostry, górski wiatr wionął od Alpów — i chory zaniósł się od kaszlu...

— „Otul się, nieszczęśliwy!“ — zawołałem — „gubisz życie!“

I znowu się uśmiechnął... osłonił się pledem... i prosił cicho, bym odprowadził go do łóżka...

Zawiodłem go, wlokącego się z wysileniem, do willi, ułożyłem go na pościeli i podsunąłem poduszki pod plecy, ciężko bowiem oddychał...

Pragnął mówić dalej; ze złożonemi rękoma prosiłem go o spokój. Daremnie!

„Kto wie“ — szeptał — „może nie tak prędko ujrzymy się znowu. Coś mnie prze gwałtownie do tej przyjacielskiej spowiedzi. Wysłuchałeś dziejów mych cierpień, wysłuchajże i resztę... Może zda ci się to na co?.. Jesteś tak młody!...“

I kaszląc, popijając z kubka, to mrząc niby w półśnie, to budząc się i chwytając za piersi, dokończył mi urywanemi słowy swej opowieści...

. . . .

Krótkie to dzieje...

Z Lubelskiego, zawsze wspólnie z Szymonem, związany z nim potęgą wspomnień i żałoby, dostał się nasz bohater aż na Litwę, gdzie doczekał się katastrofy. Nacierając na przednią straż moskiewską, tuż u kurlandzkiej granicy, otrzymał ciężki postrzał w piersi od kuli mużyka— rodaka. Przy jego boku padł Szymon, przestrzelony przez gardło. W głębi puszczy, w chacie Litwina — bartnika, przepędził ranny dwa ciężkie miesiące, w walce między życiem a śmiercią.

Rekonwalescenta manowcami przekradziono przez granicę. Z Kłajpedy zdołał dostać się do Brukseli.

Atoli rana serdeczna nie zdołała zabliźnić się tak, jak rana od kuli. Niebawem utykać począł na zdrowiu, z gwałtowną szybkością opadać z ciała i kaszlem spędzać sobie sen ze znużonych powiek.

Lekarze uznali stan chorego bardzo niepokojącym i polecili spędzać lato u cudownego zdroju w Gleichenbergu.

. . . .

„Oh...“ — prawił z cicha marząco z wpółprzymkniętemi powieki, — „tu mi lepiej... tu bliżej do niej... Gdyby tylko sił trochę... a czekam na ich powrót z roku do roku... gdyby sił trochę, a choć w przebraniu przekradłbym się przez ową granicę... i odszukał w lesie mogiłkę... O tak... Szymon mi opisał wiernie to miejsce... i powierzył znaki na drzewach tajemnicze, a te znaki z pewnością zawiodły by mnie na miejsce... Oh, Szymon przybiegły... On jeden tylko — a ja drugi na całym świecie znamy to ustronie... Nas dwu tylko... i nikt, nikt więcej... Oni, oh te sępy — nie, moi rodacy — — oni nie dowiedzą się nigdy... Nie wydrą mi z piersi... Przekleństwo im!...“

I znowu modlił się i rozmawiał z nieobecnymi...

„Oh... Anno, ty mi nie wierzysz?.. przysięgam, a tyś się przecie przekonała... Jam nie żaden zdrajca, choć Moskal... Oh...“

Chory majaczył widocznie? — gorączkowe trapiły go widziadła; usypiając szarpał kilkakrotnie swe piersi, jakby mu brakło powietrza. Nareszcie usnął... i cisza zaległa, pokój, przerywana tylko głuchym jękiem śpiącego!..

Na palcach opuściłem łoże Timofieja, dałem znać zakładowemu dozorcy chorych, iż Nr. 15 prawdopodobnie noc przepędzi niespokojnie, usadowiłem go przy chorym i zaleciłem natychmiast wezwać lekarza, gdyby okazała się ku temu potrzeba.

Odszedłem uspokojony snem chorego.

. . . .

Nazajutrz rano, po wychyleniu pierwszego kubka u zdroju, podążyłem wprost pod nasz klon cienisty. Ławeczka była pusta... Timofiej nie ukazywał się, wsparty jak zwykle na ramieniu dozorcy.

Pobiegłem do jego pomieszkania.

Pokój jego stał otworem; nawet okno na oścież odchylone. Ani pościeli, ni odzieży chorego. Smutne przeczucie ścisnęło mi serce...

Na korytarzu odezwały się kroki dozorcy...

Kiwnął ręką i styryjskim dyalektem żałować począł „dobrego pana“...

Biedny Moskal zmarł w nocy, jęcząc niezrozumiałe jakieś wyrazy i ściśniętą pięść kurczowo tuląc do piersi...

Zapłakałem...

. . . .

W zakładzie gleichenbergskim nieludzki może, lecz wobec tylu ciężkich a wrażliwych chorych nieodzowny panuje zwyczaj wynoszenia w nocy zwłok zmarłych, częstokroć prawie bezpośrednio po skonie.

Ileż to razy, nazajutrz przy zdroju dowiadują się goście, iż ten lub ów ich kolega opuścił w nocy swą willę, by nigdy do niej nie powrócić!..

Jak długo istnieje zakład, nie pamięta on pogrzebu, a widok trumny i dźwięk żałobnych pieśni nigdy jeszcze biednym suchotnikom nie odebrał snu i nie zamącił spokoju....

. . . .

Na północny wschód od Zakładu, w odległości kilku tysięcy kroków przytuliła się do podnóża stromej góry wioska Gleichenberg o schludnych, murowanych domkach, dzikim powojem lub bujnym umajonych winogradem.

Smętarzyk wiejski iluż marmurowymi błyszczy tam pomnikami! W iluż językach napisy polecają zmarłych pamięci potomnych i modlitwie wędrowca!..

I naszych, polskich pomników tam tłumnie!...

. . . .

Jest tam na smętarzyku i kostnica, trzydniowy przybytek zmarłych zanim do wiecznego ułożą ich spoczynku...

Z willi, zamieszkałej przez nieboszczyka puściłem się pędem wprost do tej kostnicy...

Leżał w trumnie żółty, pergaminowy, nieruchomy... Oczy w głąb mu zapadły... Czarna, gęsta broda okalała spokojne, uśmiechnięte oblicze...

Nie cierpiał już... Usta jego blade mówiły milcząc: „Przebolało“...

Nad głową płonął migając kaganek...

W zaciśniętej dłoni trupa, na piersiach, błyszczał skromny medalionik...

Moje wyjście z Warszawy do Drezna

przez **Ksawerego Bronikowskiego**

wice-prezydenta Warszawy podczas ostatnich dni rewolucji 1831 r.

przetłumaczył z niemieckiego J. N. z Oleksowa Gniewosz.

(Ciąg dalszy).

VII.

Moje pożegnanie.

Żegnaj moja ojczyzno! Bywaj zdrowa nieszczęśliwa ziemio, przeznaczona do cierpień i nadziei, i zawsze jako przedmurze cierpiącej i nadzieją żyjącej ludzkości wobec barbarzyństwa! Bywajcie zdrowi przyjaciele! Ale gdzież was szukać? — Jedni pochowani bez pogrzebu podczas wielkich świąt śmierci na polach Grochowa, Ostrołęki, Warszawy.... pokryci zamiast pomnikami, których się stali godnymi, garścią ziemi, na której już wzrosły dzikie chwasty; drudzy nieszczęśliwsi, opłakujący wolność ojczyzny. Żegnam was moi zbrojni współobywatele, którzyści przełożyli tułactwo na obcej ziemi, aniżeli oglądać waszych ojców, wasze żony, dzieci, i słońce, które was po raz pierwszy na ziemi powitało. Wielkie musiały być wasze powody i wielkie nieszczęście, które was tą drogą pójść zmusiły! Rozłączeni z ukochaną ojczyzną, niechaj przynajmniej o niej słyszymy, że czyni postępy na drodze cywilizacji i obyczajów i nie upada pod jarzmem zgubnego despotyzmu; bo czyż mogłaby być szczęśliwą bez wolności i niepodległości? Takie myśli pożegnawcze śniłem na drodze postępując ze Spetalu do bliskiej pruskiej granicy, czując się rozłączonym z najdroższymi przedmiotami mych uczuć, lecz pomimo tego czułem się szczęśliwszym od tych, którzy nikogo nie mieli, aby mu uczucia swe powierzyć. Ukrywaliśmy nasze łzy, aby się nawzajem pocieszać. Zapomniałem, że ziemia z tamtej strony pruskiej granicy należy jeszcze do naszej nieszczęśliwej ojczyzny, gdzie mogliśmy być pewni, że spotkamy tam rodaków, w których kole możemy opłakiwać nieszczęśliwy koniec naszych bojów i nieukrywać się z żalem, jakby na łonie własnej rodziny. Zapomniałem, że teraz w Europie nie może być tak nieszczęśliwego kraju, w którymby cierpienia i potrzeby wszystkich narodów, a tak samo żałoba i święta wielkie były nam wspólne; więc tu należy szukać przyczyny, dlaczego bój o wolność w Polsce znalazł tak powszechne współczucie. Zadziwiało to dwory i ministrów tak dalece, że nawet głośnym orzeczeniom swych ludów nie chciano wierzyć, bo trudne im było do zrozumienia, jak kraj odległy i nie posiadający nawet znacznego związku handlowego, mógł do tego stopnia poruszyć uczucia wielkich narodów. A czy wiecie, jakie znaczenie

było tej harmonii ludów? Było to na koszt krwi polskiej ręką Bożą zrządzone ostrzeżenie dla was.

VIII.

Rozmowa w Bobrownikach.

W tej okolicy, gdzie zamyślałem się zbliżyć do granicy, roiło się wiele kozaków i baszkirów, którzy kilka dni przedtem schwytali brata prezydenta rządu Wincentego Niemojewskiego i senatora Olizara, lecz teraz spłoszeni przez pułk kawalerji, który eskortował do granicy kasę bankową, szarańcza ta rozprószyła się wzdłuż granicy, mogłem więc dalej jechać bez niebezpieczeństwa wpadnięcia im w ręce. Po przybyciu do Bobrownik miałem rozmowę z wieśniakiem; czyniłem to na wielu miejscach, ale żaden chłop nie wzbudził we mnie tyle ciekawości, co ten. Uczucie, z jakiem wyrażał ból z powodu obsadzenia Warszawy przez Moskali, trafność jego sądu i zapatrywań na operacje wojskowe; ta pewność, z jaką mówił o przyszłości — wszystko to utwierdzało mnie w mniemaniu. że nie mówię z prostym wieśniakiem, ale z wykształconym człowiekiem, który dla bezpieczeństwa własnej osoby zmuszony był się przebrać. Był to jednak rzeczywiście wieśniak. „Jednego środka, mówił, możemy zawsze przeciwko Moskalom ze skutkiem używać, ile razy się z nimi bić będziemy: ponieważ oni nie przelewają krwi za wolność lub też za ojczyznę, bo o tem nie mają nawet pojęcia, lecz biją się tylko za swego cara, a wodzom swym dla tego tylko są posłuszni, że obawiają się z ich strony kary, innego powodu do oddania życia nie mają; powinniśmy więc na przyszłość rozpoczynać od tego, aby się pierwej pozbyć ich carów i wodzów“. Pytałem go, co mu tę myśl nasunęło? „Moskale“, odpowiedział mi, „zabrali me konie pod furaże, zabierając mnie z temiż do obozu, gdzie kilka tygodni przepędziłem, zrozumiałem ich łatwo, ponieważ mowa ich ma wiele podobieństwa do naszej, i słyszałam jak sobie oficerowie zadawali pytania, co oni właściwie chcą od Lachów? Niektórzy odpowiadali: „Powinniśmy ich pozostawić w spokoju; oni są tak samo nieszczęśliwi, jak my.“ Inni znowu: „Nie chcą słuchać cara“, albo: „My przecież musimy to czynić, co nam rozkazują. Ale żaden nie mówił, że zawojowanie Polski jest koniecznem dla szczęścia i chwały Moskwy. A co mówili oficerowie, to słyszeli żołnierze, którzyby tem mniej mogli znaleźć przyczynę do wojny, ponieważ gwałtem są brani z pośrodka rodzin w rekruty, trzymają ich w kajdanach, a następnie prawie przez całe życie oddaleni są od swych rodzin. Otóż ci na pewneby na wszystkie strony się rozlecieli, wiedząc o tem, że nie będą mieć carów i jenerałów; a to przecież jest w naszej mocy, abyśmy uczynili, bo gdy się tysiące w tym świętym boju poświęcało, znaleść by można setki, którzyby uwolnili Rosję a tem samem Polskę od plagi carów i jej wodzów. Widziałem w obozie moskiewskim zamieszanie i przygniecioną odwagę żołnierza po śmierci Dybicza. Ach! dla czego nasi zaniedbali tej sposobności! Żadna siła nie byłaby powstrzymała ucieczki Moskali. Innym razem, gdy już Paszkiewicza otrzymali na nowego wodza, przyniósł ktoś wieść, że umarł car; nowina ta przechodziła z ust do ust po obozie, a każdy sołdat mniemał, że wojna już ukończona, bo za kogoż by się teraz miano bić.

Wieśniak żądał odemnie objaśnienia, dlaczegośmy dozwolili przejść Paszkiewiczowi przez Wisłę. Objaśnienia tego dać mu nie mogłem, ponieważ sam nie wiedziałem, co mogło Skrzyneckiego spowodować, aby tego nie uczynił; słuchałem dalej, co wieśniak mówi: »Moskale mniemali, ujrzawszy Wisłę, że idą na śmierć, szerokość tej rzeki zdawała się dla nich grobem, gdyby więc nawet feldmarszałek zdobył przejście, co było bardzo prawdopodobnem, to jednak, gdybyśmy mu byli nad Wisłą stawili opór, działanie tegoroczne nie byłoby dalej możebne; bo przy osłabionych siłach nie byłby się tak prędko zbliżył do Warszawy.“

Wszystko, co mi wieśniak ten mówił o przyszłości, o połączeniu się ludów, o upadku tronów, było wszystko tak cudowne i takim polotem ducha napiętnowane, że widziałem w nim proroka. Wysłowienie się i fizjonomia starca były natchnione i pełne ognia. Opuściłem go jednak, bo los mój pchał mnie dalej.

IX.

Postępy humanitarności w Prusach.*)

Nie zamierzam tu oddawać hołdu z powodu humanitarności rządu pruskiego, ani też takowej podnosić, ale to muszę przyznać, że podczas całego polskiego boju o wolność był usłużny cesarzowi moskiewskiemu, usiłował równocześnie stać się uprzejmym dla ludzkości. (?!) Przez traktata przyjaźni, stosunki powinowactwa i przez nie dobrze zrozumianą politykę, związany ściśle z Moskwą otworzył rząd pruski chętnie swe granice dla moskiewskich magazynów i składów wojennych, tem więcej, mając na względzie z tego powodu zysk dla własnych poddanych. Królowi pruskiemu jednak nie było niewiadomem, że zięciowi jego byłoby nader przyjemnie, iż gdyby tenże oprócz tych ustępstw jeszcze na inną pomoc, chociażby nie koniecznie ze zastępów zbrojnych, to przynajmniej policyjną i żandarmską służbą podczas kampanii w Polsce szedł

*) Niepojmujemy, jak autor znany z gorącego patrjotyzmu mógł rzucić w ten sposób myśli i zdanie, pomimo, że wiedział nietylko o przeciwnych faktach, ale ohydnych zbrodniach i mordzie dopełnionym na bezbronnych bohaterach pod Fischau, których chcąc weprzeć nazad za granicę, kazał strzelać i dziesiątkować. Czyn ten wycisnął na karcie dziejów pruskich z XIX wieku niezmazane piętno hańby, a żołnierzy swoich zamienił w katowskich parobków.

w pomoc, aby mu ani jeden polski „rebelant“ nie umknął przez pruską granicę, a pomimo tego ograniczył się rząd pruski jedynie na materjalną pomoc, dawaną carowi bez ścigania polskich rewolucjonistów w Prusiech, co tem więcej zadziwia, że król pruski w czasie pokoju, na kilka lat przed rewolucją polską w skutek żądania w. księcia Konstantego, kilku Polaków, jak Radońskiego w poznaniu, Kalinowskiego w Wrocławiu ścigać, a nawet uwięzić rozkazał, i wtenczas każdego powstańca byłby wydał. Teraz nie kazał chroniących się powstańców na terytorjum pruskie odpychać od granicy. Niechaj innym, którym w świeżej pamięci pozostały szkody, jakich się neutralność pruska w naszej sprawie dopuściła, zaprzeczają i odmawiają zupełnie zasług rządowi pruskiemu, dokonanych względem emigrujących Polaków, biorąc do tego pochop z rozkazującej polityki Francji i Anglii, uważając rząd pruski jako jedynie wykonawcę rozporządzeń humanitarnych; — ja jednak chcę być sprawiedliwszym i mniemam, że rząd pruski wobec emigracji polskiej nietylko działał w myśl zewnętrznej polityki i względów na takową, ale także podług życzeń własnych jego poddanych. Bo rząd pruski stoi również na wulkanie, pomimo, iż usiłuje postępować z duchem czasu. Dla niego nic nie było tajemnicą, że wszelkie odpychanie, albo nawet wydawanie polskiej emigracji byłoby obraziło humanitarność niemieckiego narodu w Prusach, i musiał się obawiać, że barbarzyńskie postępowanie względem Polaków malkontentom pruskim posłużyć mogło za przyczynę, aby w danym razie od niego żądać tego, czego rząd nader skąpo i ostrożnie narodowi udziela. Chociaż jednak tylko pośrednio rządowi pruskiemu a bezpośrednio niemieckiej narodowości w Prusiech należy się podzięka, że wydarto wiele ofiar z ręki kata i sybirskich puszcz, to musi jednak nas cieszyć, że rząd absolutny zmuszony był uledz publicznej opinii.

X.

Kwarantanna w Silnie.

Silno, jest to miejscowość nad Wisłą, o milę od Torunia, tuż nad granicą pruską położona, a posiadając tylko dwa domy, nie byłoby o niej wzmianki, gdyby nie zakład Kwarantanny, dla której wzniesiono dwie wielkie budy z desek. Cholera już dawno przeszła po za granice tego zakładu, a w niektórych miejscowościach słabła, w innych zupełnie już ustała. Nawet stołeczne miasto Berlin zostało od niej nawiedzone, a pomimo tego jeszcze nie zniesiono kwarantanny w Silnie, zaprowadzonej na granicy królestwa polskiego, uważać ją więc słusznie było można zc polityczną kwarantannę, a nie zdrowia. W rzeczy samej spełniała polityczne usługi, bo komenderujący tamże rotmistrz pruski utrzymywał z Moskalami stojącymi na drugim brzegu Wisły tak przyjacielskie stosunki, że mógł ich powiadamiać nader szybko o każdym Polaku, który przebył granice. Nie zawsze jednak udawało mu się to, bo najwięcej chroniących podążało dalej pod osłoną przybranych nazwisk i charakterów, tak dalece że gorliwy rotmistrz zostawał nader często zwiedziony. Cały zakład kwarantanny był zapchany Polakami, pomiędzy którymi ukrywało się bardzo wielu posłów Wołyniaków, kilku urzędników banku, którzy się poprzebierali za służących. W kwarantannie zobowiązani byliśmy stać 5 dni, a były to prawdziwe dni męki, bo codziennie odbieraliśmy zasmucające wiadomości z Polski. a przytem wszystkiem nie wiedzieliśmy, co z nami zrobi rząd pruski. Rozchodziły się rozmaite wieści i tak: — Miano nas po odsiedzeniu kwarantanny osadzić w jakiejś fortecy; to znowu, że nas oddadzą Moskwie, lub wypędzą przez granicę z powrotem, gdzie szukać mamy schronienia. To wszystko się nie sprawdziło, ale gdyby było i prawdą, czy nasze nieszczęście byłoby się przez to bardziej powiększyło? — Kto przeżył ten najdroższy wypadek sprawy narodowej i widział oczekiwania swoje zawiedzione, które obejmowały i to jedyne szczęście na ziemi, jakiem jest wolność narodu, dla tego nie może już mieć żywot wiele powabu.

Tak jest! — Ale pozostają jeszcze nadzieje, bo pozostał naród. A dla niego i dla tej idei zmuszony jest każdy Polak, aby myślał o trzeźwości i zachowaniu sił.

Cały brzeg Wisły pod Silnem był zawalony moskiewskimi magazynami, które, tak jak te pod Toruniem według potrzeby prowadzone były do Polski i tam zużytkowane.

Jakkolwiek pomoc ta dla Moskali przy przeprawie przez Wisłę była nader korzystną, nie potrzebując prowadzić zapasów żywności, armią regularnie żywić, to było jednak ze strony pruskiej wielką nieostrożnością utrzymując nieustającą komunikacją z Moskalami, pomiędzy którymi grasowała epidemja daleko więcej, aniżeli w województwach graniczących z Prusami. Jest bardzo do prawdy podobne, że usługa, jaką rząd pruski oddał Moskwie w czasie wojny z Polską, ułatwiła zagnieżdżenie się cholery w Niemczech. Pomimo tego zapewniano nas, że rząd pruski przyjaźń swą względem Moskali ogranicza tylko do pomocy prywatnym liwerantom, a pod każdym innym względem zachowuje ścisłą neutralność. W rzeczy samej widzieliśmy około 100 kozaków, którzy od Polaków przed sześciu tygodniami przepędzeni na pruską stronę zostali rozbrojeni, a po wytrzymaniu kwarantanny pilnowani byli przez pruskich żołnierzy, koczując pod gołem niebem pod Silnem. Ale to było tylko mydlenie oczów; bo sołdaci, koczując tuż nad granicą, mogli drapnąć wszyscy przez granicę do swoich, tego jednak nie czynili, bo wygodniej im było leżeć po całych dniach na piasku bez trwogi przed Krakusami, albo przed pałkami, odliczanemi skrzętnie przez własnych oficerów. Dlaczego niepozwolił pruski rząd polskim żołnierzom, którzy wepchnięci zostali z Litwy, obozować bezpośrednio nad granicą? — Przeciwnie, popędzono ich kilkanaście mil w głąb kraju. *(C. d. n.)*

POGADANKA.

(Zmiana redakcji Tygodnia. — Oratio pro domo galiciana. — Tydzień przeciw uchwałom kongresu literackiego. — Wystawa rysunków w zakładzie politechnicznym. — Uznanie zasług pana Żmurki przez wszechnicę lwowską. — Wystawa archeologiczna. — Krakowskie Towarzystwo sztuk pięknych. — Zapiski literackie. — Kongresa. — Rezultat szachowego turnieju.)

Pogadankę mą dzisiejszą wypada mi zacząć od naprawy opieszałości, której się dopuściłem, przemilczając wiadomość o zaszłej zmianie w redakcji tutejszego Tygodnia, którego kierownictwo objął przyjaciel i współpracownik nasz pan Mikołaj Biernacki, humorysta znany naszej publiczności pod imieniem Rodocia. O wpływie który zmiana tak wywrze na kierunek Tygodnia trudno dziś coś stanowczego powiedzieć, mimo to wspomnieć mi tu wypada o artykule z powodu wydalenia pana Agatona Gillera napisanym, który jest echem pewnych starych już kwasów, zarzucających Galicji, jakoby nie dość serdecznie i bratersko zajęła się losem braci naszych z za kordonu, dziś w pośród nas żyjących. Zarzut ten, jak wiadomo niesłuszny, uderzyć musi boleśnie każdego, tem boleśniej jeżeli go podnosi Tydzień, który się zawsze odznaczał trzeźwością poglądów i który, jeżeli się nie mylę, a myleć się nie zwykłem w takich rzeczach, w bieżącym jeszcze roku zamieścił artykuł wychodzący z wręcz przeciwnego zapatrywania, i oddający Galicji zupełną w tej mierze sprawiedliwość.

Nie mniej dziwnie uderzył mnie artykuł wstępny w tymże samym numerze, w którym redakcja nader niefortunnie polemizuje z orzeczeniami paryskiego kongresu literackiego, dotyczącemi zabezpieczenia własności pisarskiej. Jakto, więc autor, któremu wydawca dziennika płaci 2, 3, 4 do 5 centów za wiersz jego pracy, częstokroć bardzo żmudnej, nie miałby po tem już żadnego prawa wobec wszelkiego rodzaju korsarzy-wydawców, skoro praca jego została raz wydrukowaną, — nie miałby nawet prawa cofnąć już pracy nieudałej, nie wyrażającej już więcej zapatrywań jego i poglądów, jeżeli by takowe uległy jakiejś zmianie? Jakto, więc malarz, rzeźbiarz, szewc, zresztą krawiec, kowal i w ogóle każdy pracujący miałby prawo przekazać spadkobiercom swoim firmę swą, owoce swej pracy, a jeden tylko autor, którego zwłaszcza w naszych stosunkach nie wynagradzają stosownie, miałby być Pariasem pozbawionym prawa rozporządzania swoją własnością? Dodajmy do tego, że się częstokroć zdarza, iż ten lub ów pisarz przez współczesnych nie bywa pojętym, jak to n. p. miało miejsce z Szekspirem, i że dopiero późniejsze pokolenie ocenia dzieło według właściwej jego wartości a pojmiemy jak słusznemi są orzeczenia kongresu, a jak dziwaczną zasada przeciwna której Tydzień pragnie być rzecznikim.

Dnia 22. z. m. otwartą została w auli tutejszej politechniki wystawa rysunków uczniów tego zakładu. Pomiędzy wolnoręcznemi rysunkami odznaczają się szczególniej prace pp. Lisiewicza i Słomki, — pomiędzy rysunkami z geometrji wykreślnej prace pp. Sopucha i Kühla, — pomiędzy architektonicznemi roboty pp. Göbla, Antoniego Bieńkowskiego i Kohna, tudzież projekta pp. Köwesa, Skopczyńskiego, i Płachcińskiego — pomiędzy rysunkami z architekury kolejowej nakoniec prace pp. Filausa, Blauta, Stelzera i Dąbrowskiego.

Jak wiadomo istnieje przy naszej politechnice, oprócz szkoły rysunków także i szkoła modelowania, pod wzorowem kierownictwem profesora Markoniego, któremu gmach politechniczny wspaniałe rzeźby na frontonie swym zawdzięcza. Otóż szkoła modelowania wystawiła przy tej sposobności także prace swych uczniów, pomiędzy któremi wyszczególniają się roboty panów Płachcińskiego i Rempczyca świadczące o wielkim talencie tych panów, i o biegłości ich w pracach tego rodzaju.

Potrąciwszy tu przypadkowo o szkoły, nie mogę pominąć milczeniem hołdu, który za zezwoleniem monarchy złożyli profesorowie naszej wszechnicy p. Wawrzyńcowi Żmurce, nadając mu godność doktora filozofi *ad honores*. Uroczysty akt wręczenia odnośnego dyplomu odbył się dnia 23. z. m. przy której to sposobności przemawiali członkowie wysłanej *ad hoc* deputacji: rektor wszechnicy naszej dr. Zygmunt Węclewski, i dziekan fakulteta filozoficznego dr. Emiljan Ogonowski, podnosząc wymownemi słowy znakomite zasługi profesora Żmurki w dziedzinie matematyki w ciągu trzydziestoletniej pracy położone, któremi mąż ten „zdobył sobie znakomite stanowisko w świecie uczonym w ogóle, i stanął na świeczniku wiedzy w kraju własnym.“ Profesor Żmurko, którego prace rozniosły imię jego po szerokim świecie, wysłał na tegoroczną wystawę powszechną w Paryżu kilka okazów swego rozmyślania, które powszechne budzą tam podziwienie. Okoliczności tej nie pominął p. dr. Węclewski w swej przemowie. Wzruszony do łez tym dowodem uznania ze strony swych kolegów, podziękował p. profesor Żmurko senatowi akademickiemu i Wydziałowi filozoficznemu za uczyniony mu zaszczyt, ślubując, iż otrzymany dar zachowa po wszystkie dni żywota swego jako drogocenną pamiątkę koleżeńskiej zażyłości, i przekaże ją jako taką swoim dzieciom.

Mamy obecnie we Lwowie wielce ciakawą wystawę przedmiotów archeologicznych, znalezionych w drugiej połowie zeszłego miesiąca we wsi Michałkowie niedaleko Mielnicy nad Dniestrem. Wezbrawszy w skutek słót lipcowych, oberwał potok tamtejszy wpadający do Dniestru spory kawał ziemi, a pastuszek przyszedłszy wieczór do domu, opowiedział iż coś żółtego jak mosiądz sterczy z brzegu. Matka poszła nazajutrz w to miejsce, i nabrała „pełen fartuch tego mosiądzu,“ około sześć funtów. Poszła z tem do żyda młynarza i ofiarowała mu na sprzedaż, ale ten wypytawszy dokładnie zkąd to wzięła, i dowiedziawszy się iż jeszcze więcej tego „mosiądzu“ tam się znajduje, odprawił ją do jutra, a sam pospieszył w miejsce wskazane. Od drugiego żyda we wsi żądała baba 8 zlr. za ten „mosiądz na lichtarz“, ale on jej dawał tylko 50 centów. Gdy żydzi zaczęli skrzętnie kopać i znosić „mosiądz“ do domu, rzecz się rozniosła po wsi; — wmięszał się wójt, pisarz i ksiądz. Ofiarowano to co znalazła baba hrabiemu Mieczysławowi Borkowskiemu z Mielnicy na sprzedaż, i okazało się, że ten mniemany „mosiądz“

jest szczerem złotem bez przymieszki. Jest tego co znalazła baba około 6 funtów, licząc łut po 30 zlr. zatem blisko 6000 złr. wartości. Co zabrali żydzi tego nikt nie dojdzie.

Ale ważniejszą niż wartość złota jest wartość archeologiczna tych zabytków odległej bardzo przeszłości, przedmioty te bowiem sięgają prawdopodobnie tak zwanego bronzowego okresu. Największym kawałkiem jest korona złota, bardzo starożytnej roboty, młotkiem wykuta z podobnemi ozdobami, dalej wielka spinka w kształcie dziwolążnego źwierza bardzo prymitywnej roboty, guzy zdaje się od sukień, branzolety złote tudzież wielka ilość drutu złotego jakoteż paciorek złotych rozmaitego kształtu i wielkości. Paciorki te na złoty drut nawleczone służyły prawdopodobnie do ozdoby korony, a może też noszono je na szyi, lub około rąk.

Część skarbu w rękach żydowskich będąca prawdopodobnie przepadła bezpowrotnie, jakkolwiek żydzi przetapiając złoto zły robią interes, gdyż archeologowie zapłaciliby za przedmioty takiej starożytnej wartości cenę od ceny kruszcu daleko wyższą.

Krakowskie Towarzystwo sztuk pięknych daje w tym roku członkom swoim jako premję chromolitografię (tak zwany *farbendruck*) przedstawiającą Stanisława Rewerę Potockiego. Jest to kopja akwareli J. Kossaka, wykonana w sławnym zakładzie litograficznym Lemerciera w Paryżu. Nakład tej ryciny kosztuje 15,400 franków, — suma świadcząca znakomicie o pomyślnych stosunkach tego Towarzystwa, które się z dniem każdym coraz bardziej rozwija. Według sprawozdania które odczytał na walnem posiedzeniu prezes Henryk hr. Wodzicki umożliwił dyrekcji liczny w tym roku przyrost członków znaczne zakupy dzieł sztuki przeważnie polskiej, na który to cel wydano poważną sumę 11,614 złr. Zakupiono mianowicie 39 oryginalnych obrazów olejnych za 7230 złr. — 6 akwarel za 550 złr. — 5 kopji dawnych mistrzów za 300 złr. — jedną kopję na porcelanie za 50 złr. — 19 rzeźb z marmuru, terakotty i gipsu za 761 złr. oraz różnych artystycznych reprodukcji za 386 złr. Przedmioty te przeznaczone zostały do wylosowania pomiędzy członków, i przypada z tego powodu na każde sto członków trzy wygrane, — rezultat z pewnością wielce zachęcający.

Oprócz funduszów na powyższe cele obróconych, wyznaczyło Towarzystwo dość znaczną kwotę na nadgrody dla uczniów szkoły sztuk pięknych w Krakowie, gdzie też z tego powodu odbyło się w bieżącym roku szkolnym cztery konkursa, pierwszy w przedmiocie rysunku aktu akademickiego, — drugi w przedmiocie rysunku figury i głowy z antyku, — trzeci w przedmiocie wykreśleń perspektywicznych, — a czwarty w przedmiocie rzeźby aktu akademickiego w płaskorzeźbie. Oprócz tego wyznaczył dyrektor Jan Matejko dodatkowo z własnych funduszów w bieżącym roku szkolnym konkurs pieniężny w przedmiocie aktu akademickiego, tudzież głowy z natury. Pierwsze nagrody w tych pięciu konkursach otrzymali pp. Franciszek Machniewicz, Jakób Kuliński, Tadeusz Popiel, Józef Trepka, i Stanisław Binkiewicz, — drugie dostały się pp. Wiktorowi Marszałowiczowi, Piotrowi Stachiewiczowi, Konstantemu Mańkowskiemu, Antoniemu Brudnemu, i Emanuelowi Hernciszowi.

Wydawnictwo jubileuszowe Kraszewskiego dosięgło według Tygodnika powszechnego poważnej cyfry 12000 prenumeratorów. Przy tej sposobności zaznaczyć mi znowu wypada dwa projekta dążące do uczczenia zasług czcigodnego jubilata. Mianowicie zamierza Kamieniec podolski złożyć nestorowi naszego powieściarstwa, na pamiątkę pięćdziesięcioletniego jubileuszu pisarskiego, w upominku pieczęć złotą, z herbem Kraszewskich, — podczas gdy księgarnia Kamieńskiego w Poznaniu przygotowuje wydawnictwo Złotych myśli, jakoby Kraszewiana, t. j. zbiór pojedyńczych filozoficznych zdań z utworów Kraszewskiego wyjętych. Antologję tę poprzedzi przegląd krytyczny, którego zredagowanie powierzył wydawca p. Stefanowi Buszczyńskiemu.

Nazwisko Kraszewskiego przywodzi mi na myśl sprawę, którą czcigodny jubilat pierwszy poruszył a która dzięki ofiarności znanego warszawskiego wydawcy p. Gracjana Ungra pomyślnie załatwioną została. Znajdujący się na cmenterzu drezdeńskim nagrobek Kaźmierza Brodzińskiego popadł był w stan takiego zaniedbania, iż zarząd cmentarny chciał go znieść, jeżeli wkrótce zrestaurowanym nie zostanie. Mistrz powieści doniósł o tem do Warszawy, oświadczając się z chęcią przyczynienia się wdowim groszem do uskutecznienia tej naprawy, której koszta na 150 marek obliczono. Otóż p. Unger który zwykł sprawy podobne traktować po pańsku, dowiedziawszy się o tem, złożył sam potrzebną na ten cel sumę; dzięki więc jego ofiarności, będą prochy śpiewaka Wiesława leżeć spokojnie.

Znany z powstania r. 1863 dowódzca pan Antoni Jeziorański zamierza wydać pamiętnik z swego udziału w sprawach publicznych od r. 1848 do r. 1864. Pamiętnik ten składać się będzie z własnych wspomnień autora, opartych na systematycznie w swoim czasie prowadzonych notatkach i z licznych w ręku jego dotąd pozostających dokumentów jako to: raportów, rozkazów rządu narodowego, i własnoręcznych listów ludzi, wpływających na tok ówczesnego działania. Pamiętnik ten wydanym ma być w drodze prenumeraty, którą autor w wysokości guldenów 2 i centów 50 oznacza. Po zużytkowaniu dokumentów, na których p. Jeziorański pracę swą opiera, obiecuje on złożyć takowe w jednej z naszych publicznych bibliotek.

Za innemi pismami podałem w tych zapiskach wiadomość, że Sewer napisał dramat w języku francuskim, którego treść miałaby wziętą być jakoby z dziejów komuny. Ostatnia część tego zapisku potrzebuje sprostowania; — według listu bowiem p. Sewera w Dzienniku polskim zamieszczonego, dostarczyły mu stosunki angielskiego życia tematu do rzeczonego dramatu.

Panu Zygmuntowi Kaczkowskiemu, jak wiadomo autorowi licznych znakomitych powieści, pozwolił cesarz przyjąć i nosić krzyż komandorski król. włoskiego orderu korony. Wyszczególnienia tego nie zawdzięcza autor Murdelja swej piśmienniczej działalności, lecz jak słyszymy pewnym usługom, które trudniąc się w Wiedniu finansowemi operacjami, zdołał oddać skarbowi włoskiemu.

Wydział krajowy udzielił subwencję w kwocie 200 złr. p. Zygfrydowi Lipnerowi tłumaczowi poetów polskich na język niemiecki, w celu ułatwienia mu dalszego wydawnictwa. Przekłady p. Lipnera zalecają się wiernością swoją i pięknością, to też z przyjemnością zaznaczyć wypada tę uchwałę którą

Wydział krajowy dowiódł swej troskliwości o dobro literatury ojczystej i chwałę jej wobec innych narodów.

Czytelnicy Strzechy zauważyli już z pewnością skrzętność z którą zwykłem notować tryumfy polskich artystów za granicami naszej ojczyzny; — jest to jeden z obowiązków, które spełniam z największą przyjemnością, i dziś właśnie nie mogę sobie odmówić tej biesiady, aczkolwiek wiadomość którą podać zamyślam jest nieco spóźnioną, i spadła już prawie z porządku dziennego niniejszych zapisków. Mam tu na myśli znakomite powodzenie, którego w Anglii doznała Warszawianka panna Natalja Janotówna, bez wątpienia pierwsza dziś pianistka polska. Imię tej pani znanem jest w świecie muzycznem, mianowicie znanemi są tryumfy jej w Holandji i Niemczech, a w szczególności w Berlinie, gdzie cesarzowa Augusta wielkiemi ją zaszczyca względami. W Londynie, gdzie panna Janotówna do niedawna bawiła, powodzenie jej było nie mniejszem. Dzienniki jak *Daily News i Daily Thelegraph* najżywszych jej nie szczędziły pochwał, zwracając szczególną uwagę na znakomitę jej interpretację Szopena. Rodaczka nasza brała udział w kilku koncertach, i urządziła u siebie poranek muzykalny, *matinée*, w której uczestniczyła sławna Jenny Lind; na programie tego poranku było między innemi umieszczone *Trio* Żeleńskiego, które krytyka angielska przyjęła nader sympatycznie. Oprócz tych występów publicznych grała panna Janotówna jeszcze w salonie królowej angielskiej w Windsor, gdzie na żądanie dostojnej monarchini zniewoloną została po dwakroć powtórzyć polonez Moniuszki z Hrabiny. Panna Janotówna podpisała przed kilkunastu dniami kontrakt z impresario angielskim Chappelem, z którym obowiązała się odbyć podróż artystyczną po Anglji, i Ameryce. Druga ta więc artystka nasza po pani Modrzejewskiej, która z imieniem Polski i jej sztuką zapozna świat nowy.

Kongres międzynarodowy literatów, który się odbył w Paryżu pod przewodnictwem sędziwego Wiktora Hugo, dał pochop do niezliczonej ilości kongresów, między któremi jeden niezawodnie obudzi ciekawość naszych czytelniczek. Jest to międzynarodowy kongres w kwestji praw kobiet, który dnia 25. zeszłego miesiąca rozpoczął w Paryżu swe posiedzenia. Uczestniczą w nim członkowie senatu, deputowani, radcy municypalni miasta Paryża, członkowie parlamentów zagranicznych, obok wielkiej ilości francuzek i cudzoziemek. Kongres składa się z pięciu sekcji jako to 1) Sekcja historyczna: stanowisko społeczne kobiety w różnych epokach. 2) Sekcja pedagogiczna: wychowanie, nauka, pielęgnowanie zdrowia. 3) Sekcja ekonomiczna: praca, wynagrodzenie, rzemiosło; 4) Sekcja moralności: moralność ogólna, indywidualna, kwestja upadku kobiety. 5) Sekcja prawodawcza: małżeństwo, władza męża, rozwód, adoptacja i t. d.

Prócz tego nader żywo zajmuje się świat artystyczny Paryża organizacją międzynarodowego artystycznego kongresu, na którym roztrzygane będą kwestje własności, i szczegółowych interesów malarzów, rzeźbiarzów, muzyków, i t. d. a który ma się odbyć już w bieżącym miesiącu podczas rozdania nagród. Równocześnie ma być otworzone międzynarodowe stowarzyszenie artystów, podobne do tego, które się z kongresu literackiego wywiązało.

Turniej międzynarodowy szachistów zakończył się zwycięztwem Polaków, pierwszą bowiem nagrodę otrzymał Cukiertort, wedle jednych Warszawiak, wedle drugich izraelita w Rydze urodzony, a drugą Winawer Warszawianin. Sławny Rosenthal żyd polski urodzony w Suwałkach otrzymał ósmą dopiero z kolei nagrodę.

Włodź. Zagórski.

POKŁOSIE.

Wielki dom poprawy w Sing-Sing w stanie nowojorskim. W hrabstwie Westchester w stanie nowojorskim, w pobliżu miasteczek Mount Pleasant i Ossingsing (po indyjsku znaczy to „miejsce kamieni"), znajduje się miejscowość Sing-Sing, licząca do 3000 mieszkańców, gdzie oprócz kilku kościołów i dwóch wyższych szkół znajduje się także jeden z trzech wielkich domów poprawy stanu nowojorskiego. Ten zakład karny jest jednym z największych a oraz najbardziej wzorowych na świecie, gdyż miasto Nowy York ze swojem milionem ludności, ze swym licznym proletarjatem i przyległemi wielkiemi miastami zasila go ciągle znacznym kontyngensem przestępców. Zakład ten składa się z domu poprawy dla mężczyzn, który pierwotnie liczył 1000 cel, ale teraz znacznie został powiększony i z domu poprawy dla kobiet, które umieszczone są w pięknym budynku jońskiego stylu. Męzcy delikwenci bywają po części więzieni w celach, po części zatrudniani wspólnie przez prywatnych przedsiębiorców w przemysłowych zakładach i warsztatach. Każdy delikwent ma osobną celę do spania; kościół, sala jadalna i pracownie są wspólne dla wszystkich. Część więźniów bywa zatrudniana w znacznych łomach marmuru w okolicy; inni (przeszło 900 ludzi) pracują wraz z uwolnionymi już przestępcami w wydzierzawionéj hucie żelaznéj, w któréj wyrabiane bywają głównie piece pokojowe i kuchenne ogniska i t. p.; do 300 innych delikwentów pracuje w warsztacie i każdy zarabia dziennie 40 — 50 centów, 200 zatrudnionych jest w fabryce kapeluszy i po tyleż prawie w rozmaitych innych warsztatach. Karność między delikwentami bywa jak najsurowiej przestrzegana a do kar dyscyplinowych należą: klatka, ciemny areszt i Paddle czyli chłosta. Klatka składa się z zamkniętej na kłódkę żelaznéj obróży, opatrzonéj szeregiem podwójnie zakrzywionych sztab żelaznych w odstępach na dwa cale, które głowę delikwenta jakby żelazną klatką otaczają. Każdy delikwent musi pracować, bywa odpowiednio swoim fizycznym i umysłowym zdolnościom zatrudniony i otrzymuje część swego zarobku na drobne wydatki, resztę zaś po odtrąceniu kosztów jego wyżywienia przechowują dlań aż do ukończenia kary. Wszyscy chodzą w grubém ubraniu aresztanckim i dostają prosty wikt, który się składa z ciepłego obiadu, śniadania i wieczerzy, delikwenci mogą za swoje pieniądze kupować chleba, herbaty, kawy i tytoniu; ale żadnych napojów gorących, i mogą raz na miesiąc pisywać do swoich krewnych albo też widywać się z nimi. Obiad i śniadanie spożywają razem w wielkiéj sali, do której prowadzą ich dozorcy sekcjami w porządku wojskowym. W sali jadalnéj, której sufit opiera się na dwóch rzędach żelaznych słupów, stoi 84 drewnianych stołów, z których każdy przeznaczony jest

na 15 delikwentów; każdy więzień dostaje nóż, widelec, łyżkę i błaszany kubek do picia; na dwóch przeznaczona jest jedna miska przykryta dwowa talerzami cynowymi i bochenek chleba. Śniadanie trwa dziesięć, główny obiad piętnaście minut, po upływie których delikweńci znowu wstają i w tym samym porządku, jak dawniéj, sekcjami wychodzą, przyczém muszą swoje narzędzia do jedzenia pod ścisłą kontrolą składać napowrót do skrzyni stojącéj przy drzwiach. Po głównym obiedzie mogą przechodzić się chwilę po małych zamkniętych dziedzińcach. Przy jedzeniu obsługuje więźniów do 40 innych delikwentów, którzy nakrywają im do stołu, roznoszą potrawy, podają sól i wodę i t. d. Wieczerzę, składającą się z mlécznéj kawy i chleba, otrzymują mieszkańcy tego olbrzymiego więzienia, wracając po robocie do swoich cel, i mogą ją tam swobodnie spożywać. W niedziele i dnie świąteczne muszą wszyscy delikwenci znajdować się na nabożeństwie w kaplicy, która znajduje się nad salą jadalną i ma sklepiony sufit. W téj świątyni, w któréj ciemnożółto pomalowane ściany nadają poważny wyraz, siedzą delikwenci tak, że wszystkie twarze zwrócone są ku ołtarzowi, znajdującemu się na wywyższeniu, gdzie we środku zajmuje miejsce kapłan, a po prawéj i lewéj stronie jego dyrektorowie i urzędnicy zakładu; strażnicy zaś i dozorcy zasiadają na wszystkich krzesłach pomiędzy ławkami i u ścian bocznych. Po drugiej stronie naprzeciw ołtarza znajduje się druga estrada, gdzie jeden z delikwentów gra na harmonionie a ośmiu innych śpiewa pieśni nabożne.

Ulica milionowa. Najbogatszą ulicą na świecie jest dziś bez wątpienia ulica Fifth Avenue w Nowym Yorku. Pomiędzy innymi mięszkają przy téj ulicy: Dr. Rhineländer, mający 3 miliony dolarów rocznego dochodu, M. O. Roberts z rocznym dochodem 5 milionów, Mojżesz Taylor mający 8, August Belmont 8, Robert i A. Sterat 5, Mr. Stevens 2, Amos R. Eno 5, Jakub i William Astor 60, Mr. A. T. Stewart 50, Fiewe Lorillard 3, James Karnochan 2, Vanderbilt 75, Calvert Janes 2, James Gordon Benett 4, Fred Stevens 10, i Lewis Lorillart 1 milion dochodu. Cały roczny dochód tych 16 osób wynosi zatém 249 milionów dolarów.

Nowy krater na księżycu. Podług rozszerzonego powszechnie zdania uchodził księżyc od wieków za zupełnie wygorzałe i martwe ciało niebieskie, i w niemałe przeto zdumienie wprawiło świat astronomiczny niedawne odkrycie Dr. H. I. Kleina w Kolonii, że na księżycu naszym utworzył się nowy wielki krater. Tym sposobem więc upada dotychczasowe mniemanie, jakoby ów wierny towarzysz naszéj ziemi był tylko olbrzymią wypaloną bryłą, gdyż pokazuje się teraz, że księżyc posiada jeszcze potężne siły żywotne. Jak donosi gazeta kolońska, znajduje się nowy krater prawie w środkowéj części tarczy księżycowéj, na zachód od innego krateru zwanego Hyginus, na rozległéj płaskiéj równinie, i okazuje się podczas pierwszéj kwadry, jako czarna zacieniona otchłań o średnicy wynoszącéj 4000 metrów. Podług spostrzeżeń odkrywcy nie odznacza się ten krater dotychczas żadnym dostrzegalnym wybuchem, lecz przedstawia się tylko jako potężna otchłań, sięgająca głęboko po za powierzchnię księżyca. Wkrótce po wschodzie słońca nad tą okolicą księżyca widział Dr. Klein na zachód od tego krateru liczne wzgórza czyli gruzy skaliste, nie dosięgające jednak wysokości naszych zwyczajnych wież kościelnych. Także pokazały się tam dwie wązkie rozpadliny kilkumilowéj długości. Te rozpadliny widzieć można tylko za pomocą doskonałych instrumentów, do dojrzenia zaś nowego krateru wystarcza mały teleskop. Angielski astronom Nelson badał w latach 1871 do 1876 dokładnie tę okolicę księżyca i potwierdza, że ów krater nie był wtedy widzialny; powstanie więc jego zdaje się należyć do najnowszych czasów i może jest to dopiero początkiem jego objawów. Odkrycie to jest teraz przedmiotem dalszych starannych badań, szczególnie w Anglii i w północnéj Ameryce i zapewne dowiemy się wkrótce czegoś więcéj o tém.

Krasnodrzew Koka. Roślina ta pomimo zdumiewającéj skuteczności, jaką przypisują używaniu jéj lisci, nie jest jeszcze należycie znana w Europie. Rośnie ona w dzisiejszéj Boliwii, na wschodnim stoku Kordylierów, po właściwego rodzaju kotlinach, które podlegają pewnym warunkom meteorologicznym i topograficznym i zowią się „Yungami“. Strefa palmowa dostępna wielkiéj wilgoci, jest najprzydatniejsza do jéj uprawy. Yungi w La Paz, u podnóża majestatycznéj wiecznym śniegiem pokrytéj góry Ilmani, mającéj 25000 stóp wysokości, są prawdziwie rajskiemi okolicami, a właściciel gruntu, któryby się rozciągał od podnóża aż do szczytu téj góry znachodziłby na nim stopniowe płody wszystkich stref ze wszystkiemi ich klimatami. Używanie liści koki do żucia, albo też jako herbaty lub w inny sposób, ma podług ogłoszonych niedawno wykazów statystycznych wywierać tak zbawienny wpływ na funkcyą żołądka, że przy nader uciążliwych i długich pracach zastępuje każdy inny pokarm, spoczynek i sen, i w ogóle podnosi w niesłychany sposób siły żywotne i rzeźwość tych plemion, które tej rośliny w sposób regularny i odpowiedny swej konstytucji używają. Dość będzie z szeregu zadziwiających faktów przytoczyć jeden tylko na dowód. Boliwiański i pernański górnik przepędza oprócz siedmiu dni w tygodniu często jeszcze pięć nocy w kopalni, i to po dziesięć godzin, ma więc oprócz dwóch pozostających nocy czyli 24 godzin tylko jeszcze dwa poranki i dwa wieczory wolne, ale i te bywają rzadko do spania używane. Przez cały ten czas robi on pieciofuntowym młotem i musi co dziesięć godzin wywiercić przynajmniej dwie ośmnaście cali głębokie dziury w twardym kamieniu, rozsadzić ją prochem i uprzątnąć gruzy. Otóż przy tém podtrzymuje głównie tylko Koka jego siły i rzeźwość. Inny dowód nastręcza armia boliwiańska, składająca się z mieszaniny wszelkiego rodzaju, od murzyna aż do Hiszpana czystej krwi. Otóż natężające marsze i zdumiewająca szybkość, jakich tu dla szczególnych stosunków politycznych od poszczególnych oddziałów wojska wymagają, byłyby nie podobne bez użycia Koki, która wszystkich rzeźwo utrzymuje i prawie całkiem ochrania od znużenia. Taką samą usługę wyświadcza pocztylionom, przebywającym grzbiet Andów, która to przeprawa ma być niesłychanie trudna i natężająca. Z tego wszystkiego więc pokazuje się, że roślina ta jest nadzwyczaj dobroczynną, i że przeto zasługuje na bliższą uwagę znakomitości medycznych.

Kącik humorystyczny „Strzechy“

Jako terminator szewski Jantek Kociuba dostał się do nieba, taj jak go potem ztamtąd znowuś wyrzucili.

(Ciąg dalszy)

Stoi tedy mój szewczysko w niebie, — stoi, taj nic tylo furt niucha, taj niucha, taj rozgląda się na wszystkie boki.

— A to Ci — powiada — dychtyk masyf!.. A to ci dopiero drut!.. Jak tu pachnie, fiu! fiu!.. Jak tu jasno cha! cha!.. A jak tu banda gra, hm! hm!.. Tego i we Lwowie nie uświadczy!..

W tem zebrało mu się na kichanie:

— Apci! Apci!.. Naj djabli wezmą — powiada — Jaż w nosie kręci, tak tu nakadzili ci święci z wielgiego nabożeństwa!.. Apci! Apcihi!.. A to Ci dopiero Jantku nieboże parada!..

Tak sobie furt dogaduje Jantek, a Śty Piotr stoi wele niego z kluczami, taj nic tylo patrzy, złyj na siebie jaże strach, co się dał wyrychtować baciarzowi.

— Winnickie ziółko — mruczy Śty z cicha — brygickie nasienie!.. Ach miałżebym, miał kuraż wyrzucić go za drzwi na wulicę!.. Ale nie! będę cierpieć, chociaj mnie bestyja bierze na megaj!.. Słowo u Świętego powinno być hajlik, jakurat tak jak Amen w pacierzu!..

Tak stał Ś. Piotr pięć minut, dziesięć minut, kwandrac; — nakoniec zrobiło mu się kuczno, odkaszlnął: Kachu, kacha!.. taj woła:

— Jantek!

— Abo co?

— Możeś ty się już dosyć napatrzał?

— Ta gdzie dosyć tatuńciu złotyj!.. Tu i za sto lat wszystkiego nie zobaczy.

— Oszalał, czy co? za sto lat!

— Ta co to sto lat przeciwko wieczności? Tu są, tu ich niema! To rychtyk tak jak z bicza trzasł.

— Szelma! — mruknął Śty Piotr. — Jak ja widzę to on z grubszego końca szparagi jada. A potem niby nic, obrócił się znowuś do Jantka:

— No, patrz synku, patrz — powiada. A jak się napatrzysz, to może się zaczniesz wynosić.

— Co? co?

— Ta nic — powiada Śty Piotr — ja tylo mówię cobyś patrzał, taj cobyś się potem zaczął wynosić, bo jakby tędy przechodził P. Bóg, a zobaczył, co ty tu siedzisz, toby mi głowę zwajterował, co jaże strach.

— Cha cha! — zaśmiał się Jantek — Nie trza piasku!... U nas we Lwowie gadają: „Siedź, kiedy Ci dobrze!..“ Mnie tu dobrze tatusiu, to już chyba tu zostanę.

— Auu! źle! — mruknął Śty Piotr. Poskrobał się w głowę, taj idzie do hadwokata, do Śgo Iwona, do tego, że został świętym za to, co jak się dwóch prawdowało, to on zdzierał skórę tylo z jednego, a z drugiego już nie, chociaj był hadwokatem.

— Kumie Iwonie — powiada — kochanyj kumie Iwonie! Zmiłujcie się nademną kumciu, ratujcie mnie!..

— Wszelkij duch chwali Pana Boga! A słowo stało się ciałem!.. Cóż tam kumie Piotrusiu takiego!

— At — powiada Śty Piotr — jambaras taj kuniracja! Ni wio, ni hau, nie wiem co mam robić! Ta przyszedłem oś tera do Was kumciu śrybnyj, złotyj, cobyście mi dali dobrą radę...

— Dam wam kumie Piotrusiu, nawet dwie, jak zechcecie... A jakiż to tam jenteres?...

— Ha — powiada na to Piotr — tak a tak, tak a tak;.. oś tera kumie radźcie co tu robić?

Kum Iwo nadął się, zamknął oczy, przyłożył palec do czoła, taj wziął myśleć... Myśli, myśli, myśli; zwyczajnie hadwokat!.. Jak już się tak namyślał z dobre pół godziny, otworzył znowuś oczy, taj pyta:

— A ma ten Jantek pas?

— Ta zkądże może mieć pas takij makabunda?

— Cha cha!.. W takim razie to bagatel, to rzecz za dwadzieścia cztery godzin skończona!.. Dacie kumciu znać do policji, co ón nie ma pasu, to go policja ciupasem odstawi do granicy...

— Ta co wy mnie bajtlujecie: do policji?.. Wiecie przecik kumie, co w całym niebie nie uświadczy policajnika nawet na lekarstwo.

— Macie recht kumie Piotrusiu, prauda!.. Zapomniałem Trza wymyśleć coś jenszego.

Taj znowuś nadął się Iwo, zamknął oczy, przyłożył palec do czoła, taj nic tylo myśli, myśli, furt myśli, taj szpekuluje... Jak już się tak namyślał dobre trzy kwandrace, otworzył znowuś oczy, taj powiada...

— Tu jenszyj rady nie ma, tylo proces...

— Prooo — ooo — oces?

— Ba jak? — powiada Iwo — proces!.. Maleńki procesik, bagatel!.. Sprawa je czysta jak bursztyn... Mamy — powiada — za sobą paragraf 720 litera Powoli — patent z d. 3 marca 1799 lumer 26,543 litera: Poczekaj! taj reskrypt z dnia 2 października 1804 lumer 34,567 litera: Nie dziś to jutro!

Święty Piotr rósł jak na drożdżach.

(*Dok. nast.*)

Panna Lala.



Enfin ça y est ma chere!... Zabierają się do stanu małżeńskiego: Hrabia Toto i Panna Lala; zapowiedź pierwsza!.. Wiem że Ciebie droga moja, wiadomość ta zdziwi nie mało, bo i ja sama bynajmniej już tego się niespodziewałam, zwłaszcza po tej mojej sławnej afferze z Totem na kolacji w *Café anglais*, o której Ci już pisałam*)... *Ah, ma bien aimée* jacyż to głupi ci mężczyźni, i prawdziwie nie wiele potrzeba na to rozumu *pour les éconduire!..*

Takt mój, i zimna krew skonfundowały Tota zupełnie. Składa teraz wszystko na szampan, i wstydzi się jak student swej konduity, która była rzeczywiście *celle d' un cocher.* w istocie przypuszczał biedaczysko, że Panna Lala która mówi o wszystkiem, która jedzi do Mabille, i przyjmuje kolację w *Café anglais* nie może być pod względem moralności krokodylem!.. *Enfin crocodile ou non,* moralność nie kosztowała mnie tym razem bardzo wiele, a była jak się dziś pokazuje, zręcznością!..

Papa euszantowany je oświadczynami Tota, i układa z nim warunki ślubnej intercyzy. Co do mnie jestem także kontentą. Zamążpójście jest rodzajem kuru, który każda z nas przebyć musi, a tytuł hrabiny i milionowy majątek mają w dzisiejszych czasach wartość niezawodną.

Z powodu żałoby po stryju mego przyszłego męża odbędzie się szlub nasz tutaj incognito. Toto *qui traite les affaires d' une maniere royale* podał już o dyspenzę do Rzymu, i dołączył do podania 10.000 franków na Świętopietrze. Co mnie w tem wszystkiem jednak martwi to jest to, że niepojedziemy już do Trouville. Toto *qui est amourena comme un chat et jaloux comme un tigre* wymógł to na mnie, i musiałam mu ustąpić. Nie będę więc mogła włożyć mych kąpielowych kostjumów, a żal mi tego niezmiernie, bo są *d' un colant magnifique!...*

Kończę moja droga ściskając Cię serdecznie *A toi de coeur* Lala.

*) List ten zaginął. Przyp. red.

Hrabia Toto.



Stało się mój kochany Fredziu!.. Żenię się, żenię się z Lalą, rezultat o którem mi się nawet nie śniło!.. Powiesz mój drogi, że robię głupstwo, i rzeczywiście *au point de vue* majątku marjaż ten jest wcale nieszczególnym, Lala bowiem nie wiele ma po matce, a ojciec jej odłużył w ostatnich latach Stawiany, i zresztą może się jeszcze ożenić.

Ale jest to też jedyny zarzut, który tu podnieść można przeciw tej partji, Lala bowiem jest *adorable* a ja... a ja kocham się w niej po uszy. Żyjąc z nią teraz w codziennej styczności przekonałem się o jej wysokich przymiotach. To co w niej gorszy na pierwszy rzut oka, to co niepokoi, jest tylko niezmiernem wytężeniem żywości bez granic, i szczerości charakteru. Jest ona jak te elektryczne świece któremi tu oświecają *Passage de l'Opera*, a których zbyt jaskrawe światło razi oczy słabe, lub nieprzyzwyczajone. W małżeńskiem pożyciu zmieni się to zresztą, i uspokoi; — mogę w tej mierze mieć najlepsze nadzieje!.. Dziś już zrzekła się Lala zamiaru jechania do Trouville, aby mi się przypodobać.

Czasami djabeł — ów podejrzliwy djabeł, który podszeptami swemi powstrzymuje was starych kawalerów od żeniaczki, kusi i mnie, szepcząc mi że Lala odegrała ze mną tylko komedję, że owa wizyta u Mabille i owa kolacyjka w *Café anglais* były tylko samotrzaskiem, nastawionym na moją namiętność, że łatwość z którą przyjęła stworzoną przypadkiem drażliwą sytuację, i scena późniejsza, o której Ci już pisałem*) były wyrachowane. Ale nie, szczerość charakteru Lali nie ulega wątpieniu!.. Wszystko to było prostotą, naiwnością, ufnością w moją rzetelność! Uderzmy się w piersi, mój drogi, kobiety są o wiele od nas lepszemi!..

Ślub nas odbędzie się z powodu mej żałoby tutaj, w najściślejszem *incognito.* Powinszuj mi mój drogi gdyż jestem szczerze szczęśliwym. Twój Toto.

Wydawca i odpowiedz. za redakcję F. H. RICHTER. Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



AURELIAN.

Powieść z czasów cesarstwa rzymskiego przez Wojciecha Dzieduszyckiego.

J. I. Kraszewskiemu w jubileuszowym Jego roku ze czcią składa autor.

17

(Ciąg dalszy.)

Karus słuchał cierpliwie, ze zmarszczonemi brwiami długiego i zawiłego opowiadania, a gdy Arops skończył, Karbo zawołał z tryumfającym zarazem i pytającym gestem:

„A co?“

Zdało się że Karus na Karbona nie zważa. Ostro spojrzał w oczy Aropsowi i gniewnie zawołał: „Podły kłamco! Znam ja ciebie, choć cię nigdy wpierw nie widziałem. Z oczu przewrotność ci patrzy i zuchwałość bez miary i bez granic! Zdradziłeś trybuna twego i kohortę, za pieniądze Antów, i wydałeś ich na rzeź, a potem za Anta przebrany, paliłeś dwory przyjaciół naszych, i nabrałeś się moc złota, a teraz przychodzisz tu z najbewstydniejszą bajką, i śmiesz nas na boskiego imperatora podburzać, robaku podły! Żal ci, jak widzę, że żyjesz? Żal ci, że oddychasz? Myślisz może że i my ci złotem zapłacimy za bajki? Myślisz może, że i ten główny obóz, w którym dziś spoczęła boska głowa świata, wydasz w ręce barbarzyńców? My nie tacy łatwowierni jak twój prawy Maskulus. Nie bój się oto — znamy się na kłamstwach i zuchwalstwie. Hej tam! żołnierze,“ zawołał Karus głośniej; „chodźcie no? bierzcie tego człowieka, i odprowadźcie go do ciemnicy obozowej. Niech tam czeka, aż sam boski imperator o nim zawyrokuje! Gdy potrzeba będzie, dowie się o nadgrodzie za kłamstwo; w tem imperatora wola! Gdyby odemnie zależało, kazałbym go na krzyż wbić. Niechby go ptaki za życia pożarły!“

Żołnierze przywołani chwycili drżącego i płaczącego centuriona. Darmo chciał się wytłómaczyć, wyprosić. Związano mu z tyłu ręce i wywleczono go z namiotu. Ledwo mniej od niego dziwili się Karbo i Aper, ale że Karus był po cesarzu najstarszy w obozie, milczeli, póki żołnierze nie wyszli.

„I cóż ci ten człowiek zawinił? jeźli jak się zdaje prawdę mówi?“ spytał Aper „pocóż go wleczesz do ciemnicy? Po cóż go chcesz wydać w ręce Aureliana, co go ukarać musi, czy prawdę mówi, czy kłamie?“

„Ani ja Aurelianowi o tem rychło nie powiem, ani wy nie powiecie“, odpowiedział Karus. „Nic to mu nie zaszkodzi że się tam w ciemnicy trochę wysiedzi. Napuchną mu od węzłów ręce, i trochę się strachu naje. Ot i wszystko jeźli prawdę mówi. Jeźli kłamie rzecz inna; wtedy na krzyż pójdzie i nie znajdzie litości. Trudno wierzyć ślepo jego świadectwu. Rzecz nadto bajeczną się wydaje. Jeźli prawdę mówi, to tylko być może, że barbarzyńcy skradli słońce Aurelianowe. Jeźli tak jest, dobrze się zasłużył ów Arops, i sam imperator za doniesienie go wynagrodzi. Człowiek to wielki, co umie nadgradzać przyjaciół a karać wrogów.“

Aper i Karbo popatrzyli po sobie niespokojnie. Po chwili odezwał się Aper: „Widzimy podobno Karusie żeśmy się omylili i sami w ręce wroga wydali. Bądź przynajmniej szczerym i powiedz, czy i nas topór czeka?“

„Jaki topór?“ Spytał Karus udając, że nie rozumie.

„Powiedz“ podjął Karbo „czy chcesz o naszych spiskach mówić Aurelianowi, tak nadgradzając nas za to, żeśmy ciebie chcieli mieć cesarzem?“

„Za kogoż mnie macie?“ zawołał Karus. „Czy Karus bywał kiedy donosicielem? Co mnie powiecie, powiecie milczeniu.“

I znowu była chwila zmięszanego milczenia. Przerwał je teraz Karus. Wyście jacyś zamyśleni. Wam się zdaje, że to Zenobia mówiła, że to, co mówi ów Centurio, prawdą. Wyście ludzi rozumni, miłośnicy rzeczypospolitej. Co wam na sercu i mnie na sercu. Legnijmy tedy wśród namiotu i pomówmy o tem wszystkiem szczerze!“

Jak chciał Karus, tak się stało. Legli wszyscy trzej na ziemi, i choć rozmowa zrazu szła kulawo, przyszła wreszcie do słów poufalszych, i Karus półsłówkiem przyznawał, że postępowanie Aureliana dziwne, niezrozumiałe i niebezpieczne.

„O tem Zenobia wie coś więcej“ mówił Karbo. „Wie może coś i o tem sekretarz imperatora Mnesteusz, gdy kazała nam przyjść do siebie z Mnesteuszem. Możebyśmy uczynili jak chce i wszyscy razem przyszli do niej wraz z Mnesteuszem?

„Jak to wszyscy razem?“ Spytał Karus.

„Wszyscy legaci“, wytłómaczył Karbo.

Karus zawołał: „Co to, to nie! Na żaden sposób na to nie zezwolę. Już i tak radziliście zawsze w zbyt licznym kole. Szczęście że nie przyszło do żadnej uchwały, bo między nami musieli być zdrajcy. Choć Karus nie donosicielem, są donosiciele na świecie. Jeżeli chcecie śmierci, i jeżeli chcecie radzić o Aurelianowej śmierci z Zenobią, bierzcie z sobą Dioklecjana i jego przyjaciół. Oni barbarzyńcy z rodu, i Italików nie lubią. Ja radzę, nie bierzcie nawet Pizona, nie mówcie nawet o mnie. Ja radzę, niech jeden tylko z Mnesteuszem pójdzie do Zenobii. Zenobia także o nas wiedzieć nie powinna. W spiskach i przed spiskowcami winna być tajemnica, jeden o drugim wiedzieć niewinien; a przedewszystkiem niepowinni o nas wiedzieć wyzwoleniec cesarza, i kobieta. Mogą nam się przydać, możemy ich użyć, ale niepowinniśmy im się zwierzyć. Dotąd były tylko rozmowy śmiertelne za Domicjana albo Komoda, za Aureliana bezpieczne dość. Ale to co teraz przyjdzie zawsze toporem pachnie. Bądźmy przeto ostrożni, a nim co nowego uczynimy, naradźmy się zawsze we trzech. Tuszę, że się okaże, że spiski niepotrzebne, i że Aurelian i dalej będzie nam panował szczęśliwie!“

Ustanowiono po naradzie, że Aper tylko miał wyszukać Mnesteusza i pójść z nim do Zenobii.

XXII.

Dnia tego Zenobia na pewne się spodziewała, że ją odwidzą w namiocie. Kazała tedy papudze siedzieć doma, i zamknęła ją nawet do klatki nie chcąc, by się domyślano, kto to jej o wszystkiem donosi. Postanowiła już jaką obierze drogę, i chodziła niecierpliwie po namiocie czekając aż coś dalej popchnie wypadki, lampom różanym kazała płonąć, i kotary kazała pospuszczać. Ktokolwiek przyszedł, miał w niej ujrzyć białoksiężniczkę, możną panię czarów.

Dobrze już minęło południe, gdy przyszli nareszcie Karbo i Mnesteusz. Spojrzała na żywego Italika i małego Greczynę nierada, że to oni tylko przyszli. Radaby była widziała Karusa, Dioklecjana albo przynajmniej Apra. Ale kto przyszedł, ten przyszedł. Nie czas było się cofać, bo wczoraj w nocy odsłoniła przyłbicę. Wiedziano, przeciw komu walczy królowa Palmiry.

Czekano aż się pierwsi odezwą. Karbo rzecz wypowiedział. Oświadczył, że już dziś stwierdziło się to, co ubiegłej nocy wypowiedziała, że już dziś wiedzieli legaci napewno, że Aurelian spiskował z Antami, że im oddał słońce swoje na znak przymierza, i że oddawał kohorty i legiony w ich ręce. Zbieg z ułowionej już przez nich ośmnastej kohorty to wszystko potwierdził. On Karbo przeto przyprowadził tu do niej Mnesteusza, jako to tego żądała.

Zenobia spodziewała się, że się coś takiego wydarzy — niedziwiła się przeto. Niecierpliwiło ją tylko to, że Karus nie mówił imion własnych wspominając tylko o legatach ogólnikowo. A gdy się jego wypytywała, gdy go badała, nie mogła wydostać imion tych, co stanowczo spiskowali. Źle to było i królowa zrozumiała że jej niedowierzano. Zakąsiła tedyna chwilę usta, ale cofnąć się nie mogła, zwróciła tedy oczy teraz na Mnesteusza, którego sobie upatrzyła na ostateczne narzędzie zemsty. Maciopki Grek o kędzierzawych czarnych włosach, dużych czarnych sowich oczach i krogulczym nosie drżał cały. Pomarszczona jego choć młoda jeszcze twarz drżała niespokojnie i kurczyła się, i widać było po wszystkim strach wielki, niezwyciężony prawie. Zenobia ruszyła ramionami i spytała się z pogardliwym uśmiechem: „Czego się boisz Greczyno? Jam kobieta a nie jestem w strachu, a ty mdlejesz, gdy na ciebie padnie sam cień imperatora?“

Nie wiedziałem, po co mnie tu wołają,“ wyjąkał Grek, „Gdybym był wiedział...“ i oniemiał, nie wiedząc co ma mówić, a toczył tylko oczyma niespokojnie jak gdyby chciał uciec.

Niecierpliwie patrzała nań Zenobia. Poznała — zapóźno, że się niepoznała na Greku; wiedziała dawno że byłby tchórzem w boju, nie myślała by się przeląkł spisku. „Wszakeś uczony, Mnesteuszu,“ zawołała niecierpliwie królowa „czytałeś o tem i słyszałeś, że w Rzymie często głowa spadała z karku tym, co niespiskowali przeciw Ce-

zarowi, i że równie często Cezarowi przecięli życie spiskowcy. Lękaj się wierności, byś przez nią nie był sługą całe życie, póki kaprys pański cię nie zgniecie! Nie lękaj się spisku. Chcemy byś ty, ty sam ukuł sobie los złoty. Wszyscy legaci odpadli od imperatora, wszyscy śmierć mu poprzysięgli. Ty przy nim sam bywasz i bez świadków, ty się do niego zbliżasz, gdy się nie lęka — zmięszaj mu truciznę — albo bezpieczniej jeszcze uczyń, co ci powiem. Podczas wojennej rady siędzisz tuż za nim. Wydobądź wtedy miecz z jego własnej pochwy, i zakłuj go z tyłu. Wszak miecz do rady odpasuje i przy twojem krześle kładzie. Czyn to wielki a bezpieczny, jak przechadzka po Italskim ogrodzie. Możesz go zabić, gdy zechcesz a włos ci z głowy niespadnie. Skoro się Aurelian zatoczy, skoro krwawy padnie, powstaną legaci i jednogłośnie krzykną: „Niech żyje nowy imperator Pizo, albo Karus, albo Dioklecjan“, wedle zgody, która zapadła a której ci zdradzić nie wolno. I ty będziesz wielkiem człowiekiem. Historycy pisać o tobie będą, a imperator nowy, co tobie zawdzięczać będzie wyniesienie swoje, wynagrodzi tysiąckrotnie. Nie już senatorem cię zrobi, lecz księciem senatu, przyjacielem swoim i powiernikiem, prokonsulem Galii albo Syrji; słowem najszczęśliwszym z ludzi. Nikt tego czynu bezpiecznie uczynić nie może prócz ciebie.“

Skończyła, a Mnesteusz truchlał tylko. Ledwo zdołał wyjąknąć: „Ja tego nie zrobię! Nigdy nie zrobię! Boję się!“

Z gniewu, z umartwienia bladła Zenobia. Ona tak przenikliwa, i tak się omyliła i to w obecności Karbona! A co gorsza, przez tego Greka i jego tchórzostwo mogła nawet i ostatnia zabawa jej dumy, zemsta jej, przepaść. Gdy już w strachu był, trzeba mu było przynajmniej lękiem usta zamknąć.

„Idź tedy od nas“ krzyknęła głosem orlicy wołającej wśród Syryjskiej pustyni, i z gestem orlicy: „Idź z namiotu co prędzej! Twój strach nas zapowietrza! Ale pamiętaj nędzarzu, jeśli powiesz słowo o tem, co się stało, zginiesz marnie. Zdradziłbyś tylko mnie i Karbona, a za nami stoi wojsko prawie całe, i wielu najmożniejszych! Zabiliby cię jak psa! Idź ztąd powiadam! I ty możesz iść Karbonie!“

Wyszli obydwaj, a Mnesteusz nie prędko ochłonął ze śmiertelnej trwogi, i nie wiedział co począć przyjdzie, co przyjdzie uczynić. Gdy powie o spisku, zginie, to pewna! Gdy nie powie, Cezar się dowie, że chodził na spiskowe schadzki, i Mnesteusz znów zginie! Oto była dylema, gorsza od tych, których uczyli go retorowie i sofiści.

W namiocie została Zenobia z chmurnem czołem, blada cała! Nieudawało się znowu! Spiskowcy nie chcieli się jej oddać w ręce, Mnesteusz dowiódł im, że nie jest wszech wiedzącą, i nici intrygi wychodziły z jej rąk; czuła że ktoś inny kłębek uchwycił. Mrok zapadł coraz ciemniejszy na drodze, a ona w namiocie stała nieruchoma i nieodzywając się nawet do papugi. W tém ptak uderzył skrzydłami i krzyknął rozpaczliwym głosem: „Otwieraj klatkę! Daj uciekać! Myśmy zgubieni!“

Zenobia obejrzała się zdziwiona na papugę oświeconą blaskiem lamp wonnych, ale za nim się pytać o co mogła, usłyszała najpierw chrzęst zbroi, a potem ujrzała Galeriusza wchodzącego w towarzystwie kilku żołnierzy. Krzyknęła teraz i królowa: „To ten pies Mnesteusz mnie zdradził?“

Galeriusz rzekł grzecznie: „Królowo! imperator każe ci siadać do lektyki, byś z obozu wyjechała.“

„Jakto każe? Dokąd mam jechać?“ Spytała tupając nogą.

„Racz siąść“ odrzekł Galeriusz. „Więcej o niczem nie kazał ci mówić imperator.“

„Przecież muszę zebrać sługi, niewolnice, skarby moje.“

„Niema na to czasu. Imperator chce byś siadła natychmiast.“

„A gdybym nie chciała iść?“

„Imperator kazał cię wyprowadzić żołnierzom.“

Zrozumiała Zenobia, że opór byłby daremnem. Miała piekło w duszy, lecz nierzekła i słowa. Spuściła tylko głowę na chwilę. Potem wyprostowała się dumnie, pociągnęła za łańcuch, na którym zwisła klatka papugi, spuściła i otworzyła klatkę, i rzekła papudze: „Leć do ojczyzny. Niemasz już co służyć umarłej.“

Papuga spojrzała do koła; krzyknęła chrypliwie:

„Bądź zdrowa. Służyłam jak mogłam.“ I wyleciała ponad głowy zdziwionych żołnierzy.

Zenobia wyszła dumnie z namiotu, siadła do lektyki, i spoczęła w niej, bez słowa i skargi. Żołnierze podnieśli lektykę i ponieśli ją gdzieś przez mgłę, i noc ciemną jak sadza. Potem lektyka stanęła i słychać było jakieś rozmowy, i mignęły pochodnie tak że Zenobia dostrzegła i jezdnych i pieszych; wydało jej się nawet że rozpoznała jakieś przerażone twarze jezdnych, i że to byli Karbo, Pizo i Aper. Na pewne nawet słyszała głos Pizona piskliwy i zrozpaczony. Zrozumiała z tego wszystkiego, że nie ją jedną kazał Aurelian uwięzić, i zaczęła myśleć o tem, dokąd ich wszystkich prowadzono, i co spowodowało wybór więźniów? Że śmierć ją czekała o tem niewątpiła. Niewiedziała tylko jaka to śmierć bedzie?

Pochód znowu ruszył, i trwało długo milczenie wśród ciemności. Jak długo, nie wiedziała, bo chwil liczyć nie mogła. Zbyt ciężko zaważył na jej sercu cień śmierci. Nigdy dotąd nie uczuła z bliska woni grobu. Myślała że śmierć to fraszka wzgardy, a jakoś teraz uczuła inaczej, i była w trwodze.

Wreszcie usłyszała głosy jakieś, krzyki, nawoływania w mowie Antów i w mowie Rzymian. Nareszcie nawiązała się jakaś rozmowa i zrozumiała tyle, że Galerjusz się pytał jakiegoś wodza powstańców o to, gdzie jest obóz Zabora? Po chwili

zwrócił się pochód gdzieindziej i stanął nareszcie przed mnogiemi ogniami. Zenobia poznała obóz Antów. We środku był wielki jakiś dom o wysokiej odymionej i zczerniałej strzesze, a dokoła mnogie po szałasach ogniska z nocy dzień robiły. Lud ciekawy przypatrywał się nowemu orszakowi Rzymskich więźniów.

Zenobia wysiadła ze spuszczonej na ziemię lektyki, i przeszła pomiędzy dwa rzędy dziczy uzbrojonej w kosy do wnętrza chaty; stanęła na toku wśród wielkiej bielonej pustej izby, i obejrzawszy się, ujrzała siedzących na ławach towarzyszy niedoli. — Byli to ci, których się domyśliła, Aper, Pizo i Karbo. Nie było ani Karusa ani Dioklecyana, Zenobia pomyślała tedy, że nikogo potem z pierwszych nie było w ostatecznym spisku. Od początku snać się nie wiodło.

Galeriusz milcząc przechadzał się pośrodku izby wraz z kilkoma żołnierzami. Więźniowie tedy rozmowy między sobą niezaczęli, pogrążeni w smutnych myślach. Wreszcie Karbo podniósł głowę i spytał się: „Galeriuszu a dlaczegoście nie uwięzili Karusa? On najwinniejszy.“ Ale darmo czekał na odpowiedź. Opierając tedy znów o dłonie twarz, mruknął: „Teraz wszyscy widzimy że królowa mówiła prawdę że Aurelian z barbarzyńcami trzyma. Wiesz Galeriuszu że w księgach napisano że Roma wszystkich wrogów zgniecie. Dlaczegoż chcesz być wrogiem Romy?“ Mówił to Karbo cicho, i być może że Galeriusz wcale niesłyszał.

Trwało tedy milczenie jeszcze czas jakiś w izbie, i słychać było tylko pieśni Antów na dworze. Weszedł wreszcie w zbroi Żybar, dowódzca tego obozu.

„Kiedyż mnie zaprowadzicie do króla waszego?“ spytał Galeriusz niecierpliwie. „Cesarz niedługo będzie czekał na spełnienie rozkazu.“

„Cesarza waszego poddanymi nie jesteśmy już“ rzekł Żybar. „i wola nasza stać się musi, a nie wasza wola. Rozumiem że Cesarz nam przeséła tych zakładników by przyjaciele ich w obozie wiedzieli, że zakładników głowa spadnie, skoro potrzeba tego będzie nam — a może i Aureliana. Ale nam o naszych chodzi najpierw, nie o Aureliana. Być może że się wasz imprator jeszcze odmieni, że znów Rzymianinem będzie. Nie wierzę jemu bo dowiódł że się zmieniać umie. Być może że uderzy na nasze oddziały i kogoś z nas w swoje ręce uchwyci. Wtedy nam trzeba zakładnika przeciw Cezarowi. Ty nim będziesz, Galeriuszu.“

Galeriusz cofnął się o kilka kroków, i sięgnął ręką po rękojeść miecza, ale Ant otworzył tylko drewnianą okienicę i okazał lud niezliczony na dworze, i ogniska mnogie. Zrozumiał Galeriusz, westchnął i sam oddając miecz rozkazał żołnierzom broń złożyć. Widząc to złośliwie uśmiechnął się Pizo.

„Dziękujcie bogom“ dodał Żybar, „żeście niepopadli w ręce Kocisza i jego gromady, co pali dwory przyjaciół Rzymu. Byłby był mniej grzesznym. A teraz nic się wam niestanie. Musimy tylko natychmiast za Dniestr ruszyć.“

I tej nocy jeszcze przeprawiono się za Dniestr.

XXIII.

Krasa jeszcze niespała, choć było już po północy. Kazała sobie śpiewać staremu, ślepemu gęślarzowi, siedząc sama przy kominie i przędząc starodawnym Antów obyczajem. Zresztą zmieniła się dziwnie, zrzuciła żałobę, i w krasnej siedziała koszuli. Rumieńce jakieś, jakby rumieniec nadziei i wesela wystąpiły na jej lice i oko jej płonęło jakby proroczem jakiem światłem. Nie do ludzi podobna nocy owej. Mogło się zdawać, że jakaś bogini siadła przy ognisku w domu Świętoszowym i przędła. I Świętosz siedział przy ognisku i patrzał w ukochaną córkę, i od czasu do czasu — drzymał. Nie ze wszystkiem rad był zabawie miłośnik Rzymskiego obyczaju, ale teraz już na wszystko córce zezwalał.

Skończyły się pieśni nareszcie, a Krasa wstała od przędzy, poszła do Świętosza, ucałowała go w ręce i rzekła: „Ojcze, mówią że niewiasty miewają niemylne przeczucia, a serce mi mówi, żem się winna radować, że wszelka troska kończy się dla mnie. Aurelian szle po mnie do obozu, a ja uczynię jako ty każesz, ojcze i jako serce każe — pójdę do obozu do kochanka mojego — do złotego Bojana!“

Rzekła, a łza radości zaświtała w oku starca, i chciał już mówić, gdy usłyszał hałasy i dzikie okrzyki na podwórzu i w sadzie. I Krasa odwróciła głowę, i Świętosz podskoczył do okna; załamał wnet ręce i zawołał: „To ci przeklęci Zaborowi powstańcy dwór otoczyli. Przepadliśmy! Podpalają!“

I na prawdę nie było ratunku. To Kocisz przypadł ze swoją hołotą złożoną z Antów i z Rzymskich zbiegów. Służba przestraszona już nie słyszała Pańskiego głosu, i albo chciała gdzieś ujść i skryć się, albo nawet sama podpalała, i brała się do rabunku. Strzecha słomiana za chwilę cała jaskrawa płonęła, sufity się zapadały, dzikie okrzyki rozlegały się po nocy, i w okamgnieniu było straszno i ohydnie w cichym dworze i wśród wonnego sadu Świętosza związano, biczami smagano, i kopano nogami wśród pogorzeliska, a Krasa klęczała przed posągiem Westy, zdjęta nieopisaną trwogą. Nie śmierci się lękała, lecz Kocisza. I już był w jej izbie, już kalał ją niedobrym oddechem, już trwożył wzrokiem. Nie mogła się odeń odwrócić. Przysiadł na ziemi obok niej, śmiał się piekielnie i zaglądał jej w oczy. Krzyknęła; chciała wstać i odskoczyć, ale uczuła z drzeniem rękę, co jej na pasie zaciężyła. Kocisz trzymał ją w objęciach i co raz głośniej śmiał się. Boki mu się trzęsły, połyskiwały oczy, a ręka tak silną była,

że i ruszyć się nie mogła Krasa: „Mam cię teraz i potrzymam“ mówił „wzgardzony niegdyś lecz mocniejszy! Mam cię i niepuszczę! Nie chcę by cię Zabor darował parobkowi, co chodzi w purpurze, parobkowi dla któregoś się krasno wystroiła, choć zmarł gdzieś twój mąż, zjedzony przez wilki, czy zgubiony przez własny szał. Moją być musisz dziś!“

Nie odpowiadała. Wyprężała się tylko, wyrywała wstrętnemu. W tem usłyszała tętnienie koni, i wojenne okrzyki Rzymskie. Wiedziała, że to Aureliana posłańce. Poznał i Kocisz. Zgrzytnął zębami, błysnął nożem i zakłuł ją, milcząc. Nóż ostry pchnął dwa razy w pierś, podskoczył jak opętany, i zawołał: „A teraz niech cię Rzymianie biorą jeśli chcą!“

Leżała Krasa krwawa wśród zgliszcza, a Maksymin daremnie się dobijał. Nie było już o kogo. Kocisz wpadł w gąszcz w sadzie — Rzymianie nie wiedzieli kogo szukać, co gasić, gdy ogień tlał tylko, mógł Maksymin rozpoznać pogorzelisko. Cudem żywego Świętosza podnieśli żołnierzy pośród kilku trupów. Obryzgany był krwią, zbladły i ledwo zrazu mógł powiedzieć, że jest Świętoszem. „A gdzie córka moja?“ Spytał.

„Córki właśnie szukamy z rozkazu boskiego imperatora.“ odparł Maksymin.

(*Dok. nast.*)

Przewodnik towarzyski i salonowy

WEDŁUG ZNAKOMITEGO I PREMJOWANEGO DZIEŁA „SAVOIR VIVRE“

przez panią d'Alcq dla polskiej publiczności opracowała Hrabina R.

(Ciąg dalszy).

VI.

O dobrym tonie w podróży.

Podróże są dziś tak ułatwione, z taką zadziwiającą szybkością przenosimy się w odległe nawet kraje, że mniej więcej każdy wyjeżdża i nie raz znajdzie się w drodze.

W podróży można mniej zważać na przepisy etykiety w mieście przyjętej i nie koniecznie należy przedstawiać się, aby zamienić kilka słów z towarzyszami podróży. Nie wchodząc w zanadto poufałe stosunki, nie trzeba znowu być zupełnie nieprzystępnym; przeciwnie, uprzejmość wymaga, abyśmy jak najgrzeczniej odpowiedzieli na okazaną chęć rozmowy z nami, i nie unikali chwilowego zbliżenia z osobami, z któremi nas przypadek łączy w wagonie. Anglicy nawet, tak dumni i nieprzystępni w zwykłych warunkach życia, w podróży stają sią mniej sztywni i rozmawiają z osobami nieznanemi. Postęp i cywilizacja nawet ich potrafiły rozruszać, możeby już dziś między nimi nie znalazł się nikt podobny owemu jegomości, który umiejąc doskonale pływać i proszony usilnie o ratowanie tonącej o parę kroków od niego kobiety, najprzód przez szkła jej się przypatrzył, a potem odrzekł najspokojniej:

— Nie mogę tego uczynić, ponieważ nie mam zaszczytu być tej damie przedstawiony.

Często zdarza się, że w podróżach zawieramy z ludźmi trwałe i najkorzystniejsze stosunki, czasem nawet przyjaźń najserdeczniejszą, która wywiera wpływ zbawienny na nasze losy późniejsze. Częstokroć ręka opatrzności używa tego, co my przypadkiem nazywamy, aby zapewnić nasze przyszłe szczęście.

Przypomina nam się następujące zdarzenie: W pociągu kolejowym, idącym z Monachium do Wiednia, dwaj panowie znajdowali się razem w jednym z wagonów 1. klasy. Młodszy, z natury bardzo serdeczny i widocznie łatwy do zabierania znajomości, poprosił starszego o pozwolenie zapalenia cygara, na co towarzysz jego chwilowy, odpowiedział z wszelką uprzejmością i gotowością. Wszczęła się więc między nimi serdeczna pogadanka, podtrzymywana najchętniej przez starszego pana, który był bardzo zadowolony z nadarzonej sposobności, rozerwania się podczas dość długiej jazdy. Między innemi nasz wesoły i rozmowny jegomość wtrącił od niechcenia, że jedzie w odwidziny do swojej córki, która niedawno wyszła za mąż za bogałego kupca wiedeńskiego. Opowiadał ze szczegółami poznanie się młodej pary, ich ślub, ich wyjazd do Wiednia, zakończył temi zaś serdecznemi słowy.

— Jeżeli przypadkiem nie masz pan znajomych w tem mieście, a masz we Wiedniu dużo interesów, to proszę pana do nas a dzieci moje będą najszczęśliwsze, jeżeli będą mogły panu w czemkolwiek usłużyć.

— Serdecznie panu dziękuję za jego uprzejmość i gotowość, radbym mu się odwdzięczyć przy sposobności— odpowiedział towarzysz — lecz ja jadę także w tym samym celu, aby odwidzieć jedną z moich córek, która nie dawno wraz z mężem w Wiedniu zamieszkała.

A to zabawne. Jesteś-że pan tak samo zadowolony z wydania swojej córki, jak ja z losu mojej?

— Wcale, wcale nie źle i moja córka trafiła — odpowiedział znowu zapytany uśmiechając się dobrodusznie; — mogę tylko szczycić się wyborem przez nią zrobionym.

— Jakże się nazywa ten szczęśliwy śmiertelnik! jeżeli wolno wiedzieć?

— Zięciem moim jest cesarz Franciszek Józef....

Towarzysz był to Maksymilian książe bawarski, który wydał był nie dawno jednę ze swoich córek za młodego wówczas cesarza Austrji.

Łatwo wyobrazić sobie przerażenie naszego kupca; nie umiał znaleźć słów aby wytłumaczyć się i przebłagać księcia za ton poufały, w jakim ośmielił się przemawiać do tak wysoko położonej osobistości; jednem słowem był w rozpaczy! Książe atoli uspokoił go zupełnie, zapewniając iż wcale nie czuje się być obrażony, owszem ubawił się doskonale tą pomyłką. Przyjechawszy do Wiednia, nie zapomniał książe swojej obietnicy. Zięć kupca został mianowany liwerantem dworu cesarskiego i wkrótce przyszedł do ogromnego majątku.

Podobne wydarzenie zostanie jednak nader rzadkim wyjątkiem, nie każdy i nie codzień może spotkać na swojej drodze księcia krwi, nie trzeba zatem przesadzać, lecz przeciwnie należy zachować w stosunkach przelotnych, wagonowych, granicę pewną w uprzejmości, żeby ta nas później do niczego nie obowiązywała. Można być grzecznym, nie stając się zaraz wylanym i serdecznym.

Niektóre osoby myślą, że znajomości u wód za granicą zawarte, nie obowiązują do niczego i że raz powróciwszy do miejsca stałego swego pobytu, otrząsną się i pozbędą tych znajomości równie łatwo jak je zrobiły. Mylą się bardzo! Im mniej godne będą te osoby ich przyjaźni i stosunków tak zbliżonych, tem trudniej będzie zerwać z niemi. W danym razie trzeba będzie bądź uciec się aż do niegrzeczności, która zawsze upokarza nas samych, a z owych serdecznych niedawno przyjaciół robi nam nieubłaganych wrogów: bądź też dźwigać dalej na wzór galernika przyczepianą do nas znajomość, która staje się przez sam przymus, który sobie zadajemy, co raz cięższą, i nieznośniejszą! Słuszna to kara za naszą nieostrożność i lekkomyślność. Przed zawarciem ścisłej przyjaźni czy to z całą rodziną, czy z jednym człowiekiem, starajmy się koniecznie coś dowiedzieć o przeszłości tych osób. Zdarzają się pod tym względem najnieszczęśliwsze pomyłki. Na potwierdzenie słów naszych ośmielamy się przytoczyć najprawdziwsze zdarzenie z naszej niegdyś okolicy.

Dwie panie, ciotka i siostrzenica, młoda panienka, obywatelki wiejskie, jechały same do wód czeskich. W Krakowie już poznały się przypadkiem z bardzo wytwornym i urodziwym, zaledwie trzydziesto-letnim jegomością, majętnym obywatelem z Galicji zachodniej; panie zaś były aż z Podola, niedaleko granicy rosyjskiej.

Całą drogę, wówczas jeszcze dość długą, gdyż i koleje nie szły tak prędko, a z Pragi czeskiej nie było dalej innej komunikacji prócz poczty, ów jegomość nadskakiwał paniom niesłychanie. Przyjechawszy na miejsce przeznaczone, nasze panie uszczęśliwione tą zdobyczą w drodze upolowaną, odsunęły się od wszystkich bojąc się widocznie ażeby im kto konkurenta nie odebrał. W tym samym czasie przyjechała do K. rodzina sąsiadująca na wsi z temi paniami, a znająca dobrze pana N. z innych znowu wód w zachodniej Galicji położonych. Widząc jednakże jak ciocia i siostrzenica unikają spotkania, jak tylko z lekkka w prędkim przechodzie kłaniają się rodzinie tak dobrze im znanej a mającej także młodą panienkę ze sobą, rodzina ta również usunęła się zupełnie i żadnych tym paniom uwag nie robiła. Skończył się sezon u wód, wszyscy do domu powrócili. W kilka miesięcy gdy o panu N. żadnej wieści nie było, przyjeżdża w odwidziny mąż ciotki owej panny i pyta sąsiadów czy nie znają przypadkiem pana N.

— Znamy go bardzo dobrze ze Szczawnicy, gdzie przed dwoma laty spędziliśmy z nim i z jego młodą śliczną żoną blisko dwa miesiące. Szkoda tej kobieciny — dodał sam gospodarz—bo to wielki urwis ten cały jegomość!

Wysłannik zbladł widocznie i wkrótce odjechał. Nie długo potem gruchnęło po okolicy, że panna w rozpaczy a ciotka chora śmiertelnie. Pannie cały los popsuła ta nie do darowania lekkomyślność w zawieraniu znajomości z człowiekiem z tak dalekich okolic, a ciotkę istotnie o śmierć przyprawiło.

Jeżeli jedziemy w liczniejszym gronie czy to znajomych, czy krewnych, ustępywać miejsca pomiędzy nimi komuś obcemu byłoby bardzo niestosownem. W ogóle raz miejsce zająwszy, nie ma potrzeby ustępować go komuś innemu, mężczyzna tylko, jeżeli chce być bardzo grzecznym, ustępuje damom miejsce wygodniejsze.

Kto nie może obejść się bez palenia cygara w drodze, powinien bardzo uważać gdzie wchodzi; jeżeli wejdzie do wagonu gdzie palić nie wolno, powinien wyjść natychmiast, lub przestać palić, nie czekając aż mu to kto inny przypomni czasem nawet w dość niedelikatny sposób.

Przy wsiadaniu i wysiadaniu należy się wspólnie poczuwać do oddawnia sobie nawzajem małych przysług w umieszczaniu lub zabieraniu rzeczy z wagonu.

Mężczyzna patrzący w tym razie obojętnie na mozolące się kobiety i nie chcący im wcale dopomódz, jest po prostu gburem bez najmniejszego wychowania. Kobieta może nie ubliżając swojej godności, pomódz w danym razie mężczyźnie, lecz nie powinna żądać pomocy od obcego mężczyzny, jeżeli ten sam się z pomocą jej nie ofiaruje. Takie postępowanie byłoby wyzywające i bez najmniejszego taktu. Mężczyzna nieznajomy, nigdy w żadnym razie nie powinien być tyle śmiałym, aby prosić

kobietę choćby o najdrobniejszą przysługę, sam zaś jeżeli ma jakiekolwiek wyobrażenie o dobrym tonie, powinien dopomagać w każdym razie kobiecie samej bez opieki.

Nie powinno rozkładać się z rzeczami po całym wagonie lecz starać się jak najprędzej poumieszczać je tak, żeby nikomu nie zawadzały; czy to kładąc nad głową w siatki, czy też co cięższego stawiając pod ławki. — Nie można też rozpoczynać wielkiego jadła w wagonie; w szczególności zaś trzeba się wystrzegać wiktuałów wydających silny odór. W zamkniętem, ciasnem miejscu, staje się taki odór często nieznośnym. Czosnek wiele osób o mdłości przyprawia, a często na kolei można spotkać się z kiełbasą czosnkiem zaprawną. Pieczyste, jeżeli się jakie bierze ze sobą, należy w domu starannie rozebrać, ażeby krając w wagonie nie powalać tłustością siedzenia lub osób siedzących dokoła.

U nas w Galicji nie można potępiać zupełnie tego zwyczaju, zabierania z sobą wiktuałów do jedzenia. Na naszych mniejszych stacjach nic a nic! do zjedzenia nie dostanie. Wsiadając na jakiej mniejszej stacji możnaby nie raz okropnie być głodnym, nic z sobą nie wziąwszy. Grzeczność jednak nakazuje prosić swoich towarzyszów podróży na te dary Boże, które w ich oczach zajadamy, lecz gdy kto odmawia, nalegać zanadto nie należy.

Kładzenie nóg na przeciwnem siedzeniu, nie jest dozwolonem, gdy jest ktoś obcy z nami w wagonie. Mężczyzna dowodzi tem braku wychowania, kobieta gorzej jeszcze, bo braku uczucia wrodzonej skromności i przyzwoitości.

Gdy przejeżdżamy granicę obcego państwa musimy rzeczy nasze poddać rewizji. Niechże panie będą w tem bardzo ostrożne. Bez wahania i narzekania, trzeba jak najprędzej z wszelką gotowością i grzecznością pootwierać kufry, pudełka, torby, torbeczki a wtedy ci panowie równą płacą grzecznością i najdelikatniej, zaledwie się czegoś dotkną. Dobrze jednak jeżeli zachowamy pewne ostrożności. Obuwie raz wziąć na nogę, rękawiczki włożyć na rękę, w sukni gdy się ją przymierza pochodzić po pokoju, to zaraz na powłoce znać będzie że jest noszona. Pruska i austrjacka komora postępują bardzo delikatnie w tym względzie; o wiele ostrzej przetrząsają na komorach rosyjskich. Tam głównie trzeba się wystrzegać papierów drukowanych, wszystko należy zawijać w papier czysty zupełnie.

Okno w wagonie, po której stronie siedzimy, do nas należy; możemy je więc zamykać lub otwierać, ale oknem naprzeciw nie wolno nam rozporządzać. Gdyby jednak osoba chora lub sędziwa prosiła nas o zamknięcie lub otworzenie naszego okna, nie godzi się odmawiać jej tego.

We własnym kraju podróżując, trzeba szczególniej wystrzegać się mówić źle o kimkolwiek. Zasadą chrześcijańską nader piękną byłoby mówić zawsze o nieobecnych w ten sposób, żeby ci mogli nas słuchać za drzwiami. Wtedy dopiero wypełnialibiśmy w całej jego rozciągłości jedno z pierwszych przykazań boskich „kochaj bliźniego twego jak siebie samego.“ Jest jednak wielka różnica między kółkiem ściśle rodzinnem, gdzie jesteśmy pewni, że nas nikt nie zdradzi i użytku nie zrobi z tego co usłyszy, a wagonem lub wozem pocztowym, gdzie nie wiemy dobrze, czy osoby obce jadące razem z nami nie są spokrewnione lub zaprzyjaźnione z tą właśnie osobą, o której zbyt ostry i częstokroć niesprawiedliwy a niczem nieuzasadniony sąd wydajemy. Panowie mogą łatwo przyjść tym sposobem nawet do pojedynku, panie robią sobie ustaloną i zasłużoną reputację osób nader złośliwych i niebezpiecznych.

W domach zajezdnych (hotelach) jeżeli jemy przy wspólnym stole „á table d'hôte“ powinno się ściśle godzin objadowych przestrzegać. Opóźnianie nigdzie dobrem nie można nazwać, a szczególniej przy wspólnym objedzie, gdzie to pewne zamięszanie wywołuje. Strój nasz powinien być czysty, staranny lecz bez przesady. Zwyczaj angielski, przychodzenia do stołu hotelowego w sukniach wyciętych z krótkiemi rękawami, wydaje nam się co najmniej niestosownym. Jeżeli sąsiad nasz najbliższy robi nam jakąkolwiek przysługę, czy to wodę nalewając, czy coś nam podając, wypada przyjąć jego dobre chęci jak najgrzeczniej, chociaż go nie znamy, bo to nas jeszcze do niczego nie obowiązuje a każdy mężczyzna grzeczny i dobrze wychowany poczytuje sobie za powinność oddać takie drobne usługi najbliższej sąsiadce. Kobieta nie powinna przenigdy! być wyzywającą, ale zbyteczne skromnisie bywają czasem nieznośne, niegrzeczne i często same sobie tą przesadą niepotrzebną los dobry popsują.

Zabieranie i chowanie po kieszeniach ciast, cukrów, owoców, jest więcej jak śmiesznem, bo nieprzyzwoitem, tak w domu prywatnym a tem bardziej w hotelu gdy jadamy „á table d'hôte.“ Sławnym był z tego zabierania pewien bardzo bogaty bankier — mawiał zawsze „że bierze dla swojej kotki“ lecz co uszło miljonerowi, nie ujdzie i nie przystoi komu innemu. W hotelu jak i wszędzie indziej są jedne i te same zasady grzeczności. Nie wołać zbyt głośno na służbę, nie być nikomu natrętnym, jeżeli czytamy dziennik a kto inny prosi o niego, odnieść mu grzecznie, gdy czytać skończymy, nie wybierać koniecznie, zawsze miejsc najlepszych, kawałków najsmaczniejszych, i starać się o ile możności w miejscach publicznych zachowywać się w taki sposób, żeby nie ściągać na siebie uwagi. Tyczy się to w szczególności kobiet a jeszcze więcej młodych panienek.

Na balach publicznych, każdy mężczyzna grzeczny i dobrze wychowany nie poprosi żadnej tancerki choćby o jedno przetańczenie walca lub polki, nie będąc jej przedstawionym. Paniom jednak szczerze radzimy, mimo że to jest częstokroć bardzo niemiłem, tańczyć a nawet z zupełnie nieznajomym, i nie odmawiać nigdy, nikomu, gdy raz

wirowe tańce tańcują. Mężczyzna zapraszający do tańcu kobietę, której się nie przedstawił, zdradza tym czynem brak wychowania; jakże łatwo mógłby jeszcze posunąć się i powiedzieć coś niegrzecznego, lepiej więc nie narażać się na podobną nieprzyjemność.

Tańczyć na balu więcej jak jeden taniec zamówiony z tym samym tancerzem nie jest stosownem. Panienka może tylko zrobić wyjątek dla narzeczonego, wtedy choćby cały wieczór z nim tańczyła, nikt jej tego za złe wziąć nie może. Mężatka pod żadnym warunkiem nie powinna odznaczać obcego mężczyznę. Mogłoby to bardzo zaszkodzić jej dobrej sławie i wywołać ze strony jej męża całkiem słuszne oburzenie.

Pamiętać dokładnie kto, do jakich tańców nas zamówił, jest pierwszą powinnością na balu osoby delikatnej i dobrze wychowanej. Jeżeli zdarzy się młodej osobie to prawdziwe nieszczęście, iż mimo jej woli i chęci dwóch zgłosi się o ten sam taniec, wtedy ma ona jedyny sposób pogodzenia obu panów, oto niech nie tańczy wcale tego tańca. Panowie w takim razie uznają dobre chęci i nie będą wymagać od młodej ładnej panienki tak wielkiej ofiary, i wynajdą pośrednią drogę do załatwienia sporu w sposób przyjacielski. Musimy jednak przyznać, że często zdarzają się kobiety tak próżne i lekkomyślne, że umyślnie wywołują podobne starcia, chcąc przez to pokazać jak są pożądane i rozchwytywane. Niebaczne! okupują trjumf chwilowy zatruciem życia całego. Jakże często taka występna lekomyślność i zimna kokieterja ze strony kobiety wywołała pojedynek kończący się śmiercią nawet! Czyż taka kobieta może jeszcze mieć w życiu chwilę spokojną? Czyż cień złowrogi człowieka choćby najobojętniejszego i zupełnie nieznanego nie stanie odtąd między nią a każdą przyjemnością, każdą rozkoszą? Nie masz prawie człowieka tak osamotnionego na świecie, po którym by ktoś bliski i przywiązany nie zapłakał. Jakąż pogardą, jakiem złorzeczeniem obrzuci rodzina zabitego kobietę, będącą właściwym powodem śmierci jego! Czyż nie lepiej dla kobiety przejść przez świat zupełnie cicho, choćby nie postrzeżoną a być całe życie gołębicą pokoju, zgody i miłości? Taką kobietę otoczy czy prędzej czy później uznanie i szacunek wszystkich ludzi zacnych, a jej własne serce i sumienie będzie czyste, spokojne zupełnie zadowolone.

O ile bale publiczne są stosowne dla młodych panienek, nie chcemy o tem wyrokować. Zwykle wprowadza się najprzód młode panienki w mniejsze prywatne towarzystwa, gdzie je otaczają prawie sami znajomi. Są nawet matki, które nigdy córek na publiczne bale nie prowadzą. Tu może tylko rozstrzygać własny sąd rodziców i sposób osobisty zapatrywania się na podobne publiczne zabawy. To pewno! że najpiękniejszą ozdobą młodej panienki jest dziewicza skromność, brak zgubnej zalotności, zamiłowanie raczej pracy i cichych zajęć domowych, niźli ciągłe bujanie po świecie i gwałtowna chęć błyszczenia. Częste przebywanie w hotelach, częste bywanie na balach publicznych, ściera bardzo prędko z młodych panienek ten delikatny, prawie niedostrzeżony pyłek, pewnej trwożliwości i niepewności, który właśnie robi je czarującemi. Na balach publicznych otacza je częstokroć towarzystwo niekoniecznie dobrane, obija się o młode uszka nie jedno słowo niepotrzebne, zawraca się młoda główka pochlebstwami bez celu i jutra, które są zdawkową monetą balową a młode, niedoświadczone panienki biorą ją za czyste złoto! Jeżeli więc stosunki są tego rodzaju, że rodzice muszą bywać z córkami na balach publicznych, niechże trochę poczekają aż panienki nabędą pewnego sądu o świecie i ludziach.

VII.

O polowaniu.

Wyraz polowanie budzi uczucie zupełnie przeciwne w mężczyźnie, jak w kobiecie. Panowie widzą w polowaniu najmilszą rozrywkę, cieszą się na te kilka godzin spędzonych swobodnie, na świeżem powietrzu, w gronie dobrych, wesołych znajomych; kobiety przeciwnie mają polowanie za jednego więcej wroga, pozbawiającego je na dnie całe towarzystwa męzkiego, bez którego wiele kobiet obejść się nie umie.

Nie bądźmy tak samolubnemi, nie zatruwajmy naszym panom okazywaniem złego humoru, niezadowolenia, tej tak niewinnej rozrywki, która, używana miernie, jest nawet bardzo potrzebną i pożyteczną dla zdrowia szczególniej u mężczyzn, zmuszonych powołaniem swojem do życia siedzącego.

Kobieta nigdy nudów znać nie powinna. Mając tyle sposobów zajęcia czasu, tyle ładnych i pożytecznych robótek, czyż może kobiecie wydać się czas za długim? Przyznawać się zaś do tego, że kobiety same nie potrafią ani kilku godzin przyjemnie spędzić i zabawić się wspólnie, byłoby okropnie poniżającem naszą własną godność. Czyżbyśmy tak nisko stały umysłowo? Czyżby w takim razie panowie nasi mogli mieć jakąkolwiek przyjemność w naszem towarzystwie?

Zadaniem kobiety powinno być właśnie obmyśleć panom idącym na polowanie potrzebne zapasy tak co do żywności, jak i co do chwilowej pomocy, gdyby jaki nieszczęsny wypadek zdarzył się podczas polowania. Powinniśmy uprosić panów drogich naszemu sercu, żeby się ciepło ubrali, żeby uważali na siebie i nie narażali się na widoczne niebezpieczeństwo, a zamiast zawadzać panom i chcieć gwałtem dzielić trudy i zabawy tak stosowne dla mężczyzn, a tak niewłaściwe kobietom, zamiast pędzić razem z nimi na koniu i przesadzać rowy i płoty, zostańmy raczej w domu i starajmy się dom ten tak mi

zrobić wygodnym, tak opromienić naszą czułością, miłością, troskliwością o ich dobro, żeby wracając do domu powiedzieli sobie: „Dobrze to polować, lecz jeszcze lepiej znaleźć się w domu przy boku kochającej żony, która potrafi być prawdziwą kobietą.“

Wielkie polowania, w kniejach bardzo odległych, dokąd wyprawiało się tabor cały, a w kotłach odgrzewało się historyczny „bigos,“ nieśmiertelne nasze polskie „zrazy z kaszą“ i tem podobne strzeleckie przysmaki, prawie już u nas nie istnieją. Nasze cudne, dziewicze lasy, padły pod siekierką obcych spekulantów. Nie masz już ani owych knieji, ani owych panów, co to ich stać było na takie polowania olbrzymie. Dziś, do naszych młodych lasków wystarczy, jeżeli damy panom wódki dobrej w manierkę, chleba, sera szwajcarskiego, zimnej wędliny, wina zresztą już niekoniecznie się daje. Jeżeli panowie nie zbyt wcześnie, tak po dziesiątej zrana na polowanie się wybierają, wypada dać im, nim odejdą, gotowane śniadanie. To już zupełnie zostawiamy gospodyni domu. W ogóle przyjęcie gości musi się stosować z jednej strony do ich znaczenia i godności, z drugiej zaś strony i to najważniejsza, do możności i majątku gospodarstwa.

Zrazy, kotlety byle w ilości dostatecznej, do tego kasza, ziemniaki, kluseczki, oto najwłaściwsze potrawy na takie śniadanie. Objad po polowaniu powinien być obmyślony w stosunku do pomnożonych apetytów ludzi, którzy kilka godzin spędzili w ciągłym ruchu, na świeżem powietrzu. Niech taki objad będzie raczej obfity, jak bardzo wykwintny. W tej kwestji książka kucharska będzie najlepszym przewodnikiem.

Tylko w domu kawalerskim mogą panowie nie przebierać się do objadu. U człowieka żonatego, choćby tylko jedna gospodyni domu była przy stole, pod żadnym warunkiem nie wolno panom zostać w stroju, w jakim polowali. Gdyby jednak, bo i to się czasem zdarza, pan małżonek był człowiekiem tego rodzaju, iżby mógł zachęcić swoich gości do lekceważenia własnej żony i otoczył się zgrają ludzi tak źle wychowanych, kobieta szanująca swoją godność, będzie wtedy zupełnie upoważnioną, jeżeli usunie się pod pierwszym lepszym pretekstem od towarzystwa w zabłoconych butach, w zapylonych kurtkach, nieumytego i nieuczesanego. Nie przypuszczamy jednak żeby w naszym kraju, w którym panowie są tak pełni rycerskości i grzeczności dla kobiet, mogło się coś podobnego wydarzyć. Ośmielamy się dodać kilka wskazówek co do zasad grzeczności i dobrego tonu, obowiązujących gospodarza dającego polowanie:

Obmyśleć wszelkie środki ostrożności; ludzi z krótkim wzrokiem postawić gdzieś na uboczu, nieszkodliwie, żeby czasem zamiast do zwierza, do człowieka nie wymierzyli. Nie pozwolić nikomu przez rów przeskakiwać ani przełazić przez płot z bronią nabitą. Przestrzegać bardzo, żeby nikt nie mierzył na żarty jeden do drugiego. Ileż to nieszczęść spowodowały takie niewczesne figle, takie niepotrzebne bohaterstwa!

Przy licznym zastępie strzelców przestrzegać należy jak najścislej, aby nikt swego miejsca nieopuszczał, i ustawiać w ten sposób, żeby kula lub śrut, odbijając się od drzewa nie mogły uderzyć najbliższego sąsiada. Przed laty, u jednego z tych magnatów naszych, co to jeszcze wyprawiali polowania á la Radziwiłł, u hr. S. w Bursztynie mimo największych ostrożności, w których gospodarz był prawie nieznośnym pedantem, on sam niestety, wystrzelił oko młodzieńcowi, synowi jedynemu swego przyjaciela i bliskiego sąsiada. Nabój odbił się od pnia i prosto w oko młodzieńca uderzył. Biedny gospodarz, umarł w kilka tygodni po tym straszliwym wypadku, rozpaczą strawiony. Do dziś dnia trafiają się na polowaniach krwawe wypadki, które okazują, że jeszcze zawsze za mało środków ostrożności jest zachowywanych.

Jeżeli kto z gości ubije odyńca, gospodarz ofiaruje mu głowę z kłami jako trofeum, to samo robi z rogami jelenia. Na końcu polowania grzecznie jest obdarować gości zwierzyną, żeby każdy mógł coś przywieźć do domu z polowania, szczególniej jeżeli jaką sztukę sam ubije. Osobom bardzo wysoko położonym można ofiarować grubą i niezwykłą sztukę zwierzyny.

Zapraszać się do domu, gdzie się zwierzynę posłało, byłoby bez taktu, jak gdyby się chciało odjeść część swego podarunku. Można jednak przyjąć tamże zaproszenie.

Będąc u kogo na polowaniu, czy się co zabije, czy nie, powinno się hojnie wynagrodzić leśniczego i gajowych. Gospodarz nie powinien nigdy pierwszy strzelać do zwierzyny, aż po podwójnym wystrzale swoich najbliższych sąsiadów.

Opowiadanie nadzwyczajnych przygód i mijanie się z prawdą, gdy myśliwi wracają z polowania, wyszło już zupełnie z mody. Młodzi ludzi powinni wystrzegać się takich Münchauzenowskich opisów, gdyby jednak ktoś ze „Starszych“ opowiadał podobne dykteryjki, nie wypada młodszym z tego się wyśmiewać, lub zanadto jawnie pokazywać, że się temu nie wierzy.

Jeżeli jest niepewnem, od czyjego strzału zwierz poległ, nie wypada zanadto uporczywie upierać się przy swojem zdaniu, choćby się miało zupełną słuszność, szczególniej jeżeli się jest znacznie młodszym i sprzeczka już prawie w kłótnią przechodzi. Prawa honoru są święte, lecz właśnie z tego powodu dla lada drobnostki nie wypada go na sztych wystawiać. Mniej uparty i lepiej wychowany człowiek winien ustąpić, jeżeli to jest jeszcze możebnem.

Przesada w niczem nie jest dobrą.

Polowanie jako chwilowa rozrywka jest nawet z pożytkiem połączone. Człowiek jednak myślący, wykształcony i mający jakikolwiek inny zawód nie może wiecznie polować. Co tylko przechodzi w namiętność, staje się przez to samo szkodliwem. Każda namiętność biorąc górę nad rozumem, robi nas niewolnikami, przechodzi w manje, w dziwactwo, przez co stajemy się nieznośnymi dla naszego otoczenia.

To samo da się powiedzieć i o strzelcach zanadto zapalonych.

(*C. d. n.*)

Moje wyjście z Warszawy do Drezna

przez **Ksawerego Bronikowskiego**

wice-prezydenta Warszawy podczas ostatnich dni rewolucji 1831 r.

przetłumaczył z niemieckiego J. N. z Oleksowa Gniewosz.

(Ciąg dalszy).

XI.

Toruń.

Dlaczego przydzielono Toruń do prowincji Poznańskiej, gdy obwód tegoż podług aktu na kongresie wiedeńskim miał tworzyć część wielkiego księstwa Poznańskiego?

Polacy na sejmie poznańskim dwa razy o to czynili wnioski, na które jednak nieraczono nawet odpowiedzieć. Podług owego dyplomatycznego orzeczenia przemocy miały wprawdzie wszystkie stare prowincje polskie pod trzema rządami uzyskać narodowe instytucje, a więc także i prowincja Pruska; jednakowoż mniemał rząd pruski, że dla niego będzie to daleko odpowiedniej i korzystniej, jeżeli tak znaczne miasto handlowe i fortece jak Toruń, odłączy od prowincji, która pomiędzy prusko polskiemi posiadłościami polską pozostała. Jakiejkolwiek natury może być pruska polityka, to jest jednak pewnem, że niepowinna działać wbrew uchwał kongresu na których jedynie siła jego spoczywa. Poznańczycy będą zawsze na sejmach dotykać tego punktu i to tak długo, aż kiedyś pomiędzy wielu skargami, które naprzeciw rządowi Pruskiemu wniosą złożą i ten jako dowód w rachunku dotychczasowych stosunków.

Toruń pozostał wbrew odłączenia od Poznania polskiem miastem.

Cała tamtejsza ludność, wyjąwszy urzędników i niektórych kupców, mówi po polsku, a ponieważ miasto podczas wojny w Polsce przez różne zakupna, które Moskale tamże uskuteczniali, ciągnęło wielkie zyski i oprócz tego handel ich z Polakami w czasie rewolucji wiele ucierpiał więc nie można się dziwić iż niektórzy tamtejsi spekulanci sprzyjali Moskalom, lecz w ogóle sprawa ich w Toruniu była tak samo znienawidzoną jak w każdem mieście cywilizowanego świata; a mieliśmy nawet sposobność przekonania się, że nawet lud polski prosty tamże zamieszkały, gdy z nami mówił o ostatnich wypadkach, nie mógł się powstrzymać od łez.

W Toruniu widzieliśmy kilkunastu moskiewskich czynowników z bióra wojennego wielkiego księcia Konstantego, którzy już w samym początku rewolucji uciekłszy z Warszawy, tutaj jako ajenci policyjni, dozorcy magazynów, i komisjonerzy przebywali, oddając tem rzeczywiście wielką usługę Moskwie, znając bardzo dobrze stosunki osobiste i miejscowe. — Jeden z tychże poznał naprzykład pomiędzy Polakami przybyłemi do Torunia w przebranym służącym byłego oficera moskiewskiej gwardji i denuncjował jako takowego władzom pruskim, które go też aresztowały lecz potem zmuszone były puścić, ponieważ oskarzyciel nie mógł dostarczyć dostatecznych dowodów, a oskarżony wprost się wszystkiego wypierał. Inny znowu z naszych towarzyszów niedoli, który zatrzymał swój własny charakter i nazwisko, nie mógł się z taką łatwością wywinąć — był to referendarz stanu Huba mąż wielce zasłużony i wiekowy który w czasie rewolucji stał na czele komitetu rewidującego papiery tajnej Policji warszawskiej. Policja pruska w Toruniu żądała od niego aby zeznał, gdzie się znajdują korespondencje Wielkiego księcia Konstantego, które wraz z aktami tajnej Policji z Belwederu i Brühlowskiego pałacu zabranemi zostały gdy jednak po dokonaniu ścisłej rewizji nic nie znaleziono został pomimo tego uwięziony. Ten smutny wypadak zmartwił nas niespodzianie, ponieważ Hube był osobistością powszechnie w Polsce szanowaną, którego charakter i wiek wzbudzały cześć, czy następnie cierpienia swe wytrzymał, o tem niewiadomo *).

Widziałem go przy pożegnaniu w więzieniu nie mogąc się nadziwić jego spokojowi i stałości w nieszczęściu.

---

*) Umarł na emigracji w Paryżu.

Rząd Pruski udzielał Polakom paszporta za granicę, lecz im nie dozwalał pozostania w swem państwie; Toruń zmuszeni byli wszyscy opuścić, lecz nie wolno im było wstępować do Berlina i Poznania.

Ponieważ usłyszeliśmy już o wkroczeniu korpusu Rybińskiego do Prus nie pozostało nam nic innnego jak opuścić Toruń, i szukać gościnniejszego kąta w świecie. Fortyfikacje, starożytna budowa domów, ojczyste pamiątki na ratuszu; dom, w którym Kopernik przyszedł na świat, wszystko to jest godnem widzenia w Toruniu.

XII.
Wielkie księstwo Poznańskie.

Kraj ten był kolebką polskiego narodu i tutaj utrzymuje się dotąd geniusz polski w swej najpiękniejszej czystości, pomimo że inne prowincje zdają się być daleko więcej polskiemi. Polacy w Poznańskiem nietyle kładą wagi na ubiór pod względem patrjotyzmu lub inną odrębność, lecz zasadzają takowy na wewnętrznem przekonaniu, że jest ich najświętszą powinnością zagrożony byt polskości podtrzymywać dla następnych pokoleń jako najdroższą spuściznę. I jakżeż by to mogło być inaczej; na ich ziemi znajduje się Gniezno najpierwsze miasto naszych przodków; Kruszwica i Gopło, nazwiska które zaliczamy do naszych bajecznych dziejów. Miasta te upadają pod ciężarem podatków używanych na cele których nienawidzą. Można widzieć codziennie jak rząd usiłuje w ich sercach zatrzeć wszelkie narodowe wspomnienia i narodowość, dążąc do tego aby zapomnieli własnej mowy. Spuścizna ojczystych dziejów i języka jest nam tak drogą, i tak wielką pociechą iż mógłbym publicznie i niezliczonemi przykładami dowieść, że zapał mieszkańców królestwa polskiego i polskich prowincji podczas naszego boju o wolność, chociaż nie mógł już być większy, właśnie dlatego niedoścignionemu polotowi ducha polaków w wielkiem księstwie Poznańskiem i królestwach Galicji i Lodomerji, nikt niedorównał, ponieważ w królestwie Polskiem wyłącznie, a w prowincjach Polskich po największej cześci, język polski w szkołach, pismach rządowych i sądach, został zatrzymany i narodowość mniej przezto narażona była aniżeli pod rządami Austrji i Prus. I dosyć to dziwne, że środki, które się zdawały być odpowiedniemi, aby nas pozostawić jako odrębną narodowość obok moskiewskiej, groziły nam zlaniem się z ostatnią, a polityka którą austrjaccy i pruscy ministrowie uznali za najodpowiedniejszą, aby Polskę zaustryjaczyć lub sprusaczyć chybiła celu niepozostawiając w umysłach polskich poddanych ani jednej całej nitki z tej spójni, która ją na zawsze i najsilniej z resztą austrjackich i pruskich poddanych na zawsze połączyć zamierzała. Że moi współbracia w królestwie polskiem a nie w Galicji, w Poznańskiem wprzód powstali, to nic niezmienia w tem co się powiedziało jeżeli nie łamanie przysięgi konstytucji, nie systematyczne szpiegostwa a szczególniej niebezpieczeństwo, które zagrażało europejskiej wolności aby ten łańcuch który nas łączył z Moskwą rozerwać, gdyby dla Polski nie było wyższego celu, jakim jest niezależność, bylibyśmy niezawodnie mniej nasze jarzmo czuli aniżeli nasi bracia w Galicji i Poznańskiem — myśmy jednak powstali aby osłabić ten kolos, który zagrażał kiełkującej wolności narodów na których jedynie polityczne nadzieje pokładamy. Galicjanie i Poznańczycy więcej się może do powodzenia powstania przyczynili aniżeli to jest publicznie dotychczas wiadomem, gdy jedni w tych prowincjach opuszczali swe rodziny, zrzekali się majątku, współzawodniczyli drudzy w podnoszeniu ducha i ofiarach albo opłakiwali swój los, że im wiek i zdrowie nie dozwalały brać udziału w boju. Niewaham się ani chwili, aby braciom moim w Poznańskiem i w Galicji oddać sprawiedliwość przed całym światem, ich czyny niech niepozostaną tajnemi przed trybunałem sądu publicznego: cała Galicja, całe Wielkie księstwo Poznańskie były podczas boju w Polsce do jednozgodnego powstania zorganizowane. Jedno słowo rządu narodowego byłoby wystarczyło, aby prowincje te zrewolucjonizować i postawić na powszechnej stopie wojennej. Z niecierpliwością oczekiwano tamże tej radośnej chwili i jedynie względy mądrości ochraniały Austryą i Prusy od tych nieszczęśliwych wypadków, a które dla Polski nie byłyby nieszczęściem, bo wszystko wzdychało do tego boju. Rząd narodowy rozkazał aby zachowano się spokojnie i rozkazu tego słuchano.

W tem posłuszeństwie, w podwojeniu zapału dla sprawy narodowej, spoczywa cała wielkość ich czynów, które tem wspanialej i szlachetniej występują, o ile były dotąd zakrytemi usuwając się od publicznej nagrody. Były tam pozakładane potajemnie składy broni i potrzeb wojennych; urządzono regularne przesyłki, ludność narodowości polskiej była opodatkowana, a każdy się spieszył, aby w tej prawdziwie narodowej spójni brać udział. Takie obywatelskie cnoty są godnemi aby się zszeregować z tymi heroicznymi czynami, których nam dozwolił dożyć Bóg wszechmocny dla honoru ludzkości i jako odwet za naszą niewolę. Dla rządu Pruskiego nie były tajnemi te objawy serc i umysłów pomiędzy poddanymi polskiej narodowości tak w Poznańskiem jako też w Prusach zachodnich, lecz zamiast im nadać kierunek zgodny zdrowego politycznego przeglądu, zamiast sprawiedliwych ustępstw, uciec się do tak zwanych energicznych środków czyli, co na jedno wychodzi, przygotowywano się, aby ducha zwyciężyć materjalną siłą, ściągnięto przeszło 5000 wojska nad granicę polską obsadzono wszystkie znaczniejsze miasta w Poznańskiem licznemi garnizonami, podwajano czujność policji i żandarmerji, pułki obrony krajowej z Poznańskiego posłano do nadreńskich prowincji jedynie z o-

bawy, aby się niepołączyły z powstańcami. Rząd pruski był tak pewien powstania, że nawet zaniechał w Poznaniu kosztownej budowy fortecy, natomiast w największym pospiechu zaraz po wybuchu rewolucji w Warszawie zamienił kościół wraz z cmentarzem i przyległemi ulicami w Poznaniu do obrony opasując takowe palisadami, aby na wypadek wybuchu przynajmniej na tym punkcie można się było oprzeć powstańcom. Wszystkie te przygotowania wojenne w czasie pokoju dawały świadectwo o słabości rządu, albowiem udowodniały nieufność, która go stawiała na nieprzyjacielskiej pozycji w obec własnych poddanych, postępek ten był co najmniej mądry, bo podnosiły w oczach Poznańczyków ważność ich usposobienia a zmniejszały powagę rządu. Kroki te były nader śmieszne bo nie wystarczały, aby jak to było zamierzanem wzbudzić postrach, i byłyby niezawodnie niepowstrzymały narodu od powstania przepełnionego duchem zapału, gdyby to leżało w planach takiej powagi jaką był Rząd narodowy w Warszawie. Może być że w innym zamiarze aniżeli Rząd pruski zgromadziła i Austrja znaczną siłę nad polską granicą. rewolucja polska mogła się rzeczywiście niepodobać bojaźliwej austrjackiej polityce, chociaż odkrywała jej się słaba strona niebezpiecznego sąsiada i nadarzała sposobność, aby tegoż raz na zawsze uczynić nietylko dla Austrji ale i dla całej Europy nieszkodliwym. Ale była to zawsze rewolucja i jako taka w wiedeńskim gabinecie znienawidzona. Z drugiej strony mściła się na planach carów na jedynastu miljonach austrjackich Słowian i po niejakim namyśle niezdawała się tak straszną austrjackim ministrom. Jest bardzo do prawdy podobnem że rozważając to i owo postanowiono iść drogą pośrednią. Rozciągnięte wprawdzie pułki w największym pospiechu wzdłuż całej polskiej granicy, aby przerwać wszelką styczność z powstańcami tamże, wzmocniono załogi miast, zabroniono wywozu wszelkich potrzeb wojennych dla walczących za polską sprawę, i niechciano przyjmować urzędowych doniesień od rządu narodowego, ale wiedziano o tem dobrze, że Galicja połączona jest wspólną organizacją, że się opodatkowała, że kupowano konie pod kawalerją, i takowe tresowano pod okiem austrjackich urzędników, setkami takowe przeprowadzono przez kordon a władzom niewolno tego było widzieć, żołnierze którzy Galicjan mieli trzymać na wodzy należeli wyłącznie do Polskiej i Węgierskiej narodowość, a potajemnie przychodziły do rządu narodowego przyjaźne zapewnienia, z tym warunkiem jednak że tenże nie przyjmie charakteru republikańskiego ani też zmusi Galicjan do powstania. Te sprzeczności dadzą się tylko w ten sposób wytłómaczyć, że rząd austrjacki licząc około czterech milionów poddanych zamieszkujących po większej części góry nie czuł się dosyć mocnym, aby w danym razie ludność tę opanować; a więc temi ustępstwami usiłował ją dla siebie pozyskać. Jest jednak więcej do prawdy podobnem że uważano powstanie w Galicji nawet bez rządu narodowego jako nieuniknione i przygotowując się na ten przypadek użyto środków, które dozwalały wspierać rząd w planach przeciw Moskwie i utrzymać silnie protektorat nad Polską.

(C. d. n.)

Na poświęcenie szpitalika dla dzieci

dnia 15. maja 1878 we Lwowie (z ryciną).

Kiedy się wkradnie na majowe gody
Straszny gość — zima, i śmiertelne piętno
Na młodocianym rumieńcu przyrody
Wyciśnie mrozu, trując pierwsze tętno
Nowego życia: ach! serce się kraje —
Boże! — wołamy — takież nasze maje?

Błogosławiona jest mrozu potęga
Ta, co przekwitłe gałązki podcina;
Lecz kiedy biała jej dłoń o kwiat sięga
Który się ledwo rumienić zaczyna:
To tak żałośnie nam i tak nam smutno
Żeśmy ją nazwać gotowi—okrutną!

A przecież święty i tu znać porządek.
Wszak dał nam Stwórca na mróz środek—ciepło!
Niechaj ogrodnik dopatrzy swych grządek...
O tak! nie w każdym kwiatku już zaskrzepło
Życie ze wszystkiem; — rozbudzić je trzeba,
A reszty słońce dokona i gleba!

Gdzie młode życie tli, choćby w iskierce,
Dobry ogrodnik wydrze z mrozu szponów
Biedną ofiarę. Ogrodnik ten — Serce!
W trójnasób za to przymnoży mu plonów
Stwórca; kto bowiem w maju walczy z szronem,
Ten Mu pomaga w dziele nieskończonem.

Tak! tak! — gdyż nie ma być ziemią pustynną
Jasna kolebka przyszłego anioła,
I do właściwych kresów żyć powinno
Wszystko, co sam Bóg do życia powoła —
„Żyj!" — dziełu swemu rzekł na powitanie,
Życie — to pierwsze Boże przykazanie.

Niechaj więc skrzętna a ciepła opieka
Otuli młodą latorośl ludzkości!
Niech słońcem stanie się serce człowieka
Dla biednych kwiatków z krwi jego i z kości—
Jedno im tchnienie z gorącego łona
Przywróci życie... reszty Bóg dokona!

Bronisław Komorowski.



Na poświęcenie szpitaliku dla dzieci. (Stronica 400.)

Gałązka bzu.

Fragment przez Olgę Komorowską.

Et depuis quand, le livre est il donc autre chose,
Que le reve d' un jour, qu' on raconte un instant,
Un oiseau qui gazouille — une rose
Qu' on respire et qu' on jette, et qui meurt en tombant
Un ami qu' on aborde, avec lequel on cause
Moitié lui repondant, et moitié l'ecoutant.

A. de Musset.

I.

Było to na początku kwietnia. Południowe słońce z całą siłą ciskało swe gorące promienie i żywemi, ognistemi barwami oświecało ulice Genui, po których uwijały się tłumy spieszące w handlowych to urzędowych sprawach, lub gnane tą dziwną żądzą zmiany miejsca, jaka opanowuje nie wiadomo z jakiej przyczyny mieszkańców miast. Idą oni, biegną, tłoczą się, popychają, jedynie dla przyjemności czasami, skupieni, upajają się rozkoszą być jedni obok drugich, deptać sobie wzajemnie po nogach, opierać się na plecach sąsiadów, najczęściej aby rzucić obojętnem okiem na powód owego zgromadzenia i ruszywszy ramionami odejść z miną zawiedzionych w oczekiwaniu, urażonych nawet. Po co tam dążyli w zawody, czego się spodziewali, sami nie umieliby powiedzieć, wiedzeni owczym instyktem; a chociaż podobnie zawiedzione nadzieje powtarzają się często, zapominają i lecą z uśmiechem na nowe tegoż samego rodzaju.

Przed drzwiami sklepów, że to była popołudniowa godzina i nie wiele kupujących je odwiedzało, stali kupczyki, chłopcy z rękami w kieszeniach pogwizdując dla rozrywki i spluwając rzęsiście; na placu Corwetto długim rzędem wyciągały się dorożki, z drzemiącemi swobodnie woźnicami konie zwiesiwszy łby wygrzewały się w promieniach wiosennego słońca, a muchy zaledwie zbudzone do życia krążyły nad niemi, nie ośmielając się jeszcze zaczepiać otwarcie; wypatrywały może przyszłe ofiary bo zniżały się, przysiadały na wyrudziałej, zeschłej uprzęży, na batogu utkwionym przy koźle, na kapeluszu a nawet i twarzy dorożkarza, lecz zabrzęczawszy tylko osłabionym jeszcze głosem, odlatywały w stronę cukierni i sklepów z jarzyną i owocami, i tam przez otwarte drzwi nie wyzywająco hurmą nacierały, ale pokornie pełzając po ziemi znikały.

Czasem jaki wóz przetoczył się szybko z łoskotem po okrągłych kamieniach, to znów leniwie wlókł się ciężki omnibus pełniący służbę między dwoma dworcami kolei żelaznej; chłopaki uliczne biegły za nim czepiając się u stopni, obejmując za nogi samego konduktora nawet, a psy z kagańcami na wpół otwartych dla gorąca pyskach, nie mogąc głośno szczekać, warczały głucho. Koło zwalonych arkad sprzedająca pieczone kasztany stara, ohydna baba zdrzémnęła się, piastując na kolanach ulubionego kota, równie brudnego jak jego właścicielka; kiwała głową na prawo i na lewo, złożywszy usta do tego zwierzęcego wyrazu, jaki sen zwyczajnie nadaje twarzy ludzkiej, z której duch odbiegł na chwilę, a kawał wypłowiały od słońca i deszczu szmaty, co jej głowę osłaniał, lekko wiatrem unoszony to opadał i zakrywał jej część oblicza, to podnosił się odsłaniając siwe włosy w nieładzie. Z piecyka przed nią stojącego dymiło się straszliwie, a przechodnie odwracali się, kichali, złorzeczyli i szli dalej.

W cieniu wysokich murów miejskiej przechadzki zwanej Aqua Sola, tuż do placu przyległej, czerwona, tłusta przekupka z pomarańczami, chłodziła się kawałkiem starej gazety, rozmawiając żywo z drugą kumoszką suche owoce i kapustę mającą rozłożone na swoim stole, opowiadały sobie widocznie jakiś smaczny skandalik, bo przerywały co chwila rozmowę homerycznemi wybuchami śmiechu, co nie przyczyniał się wcale do wdzięku twarzy i układu tych Hesperyd. Dwa koty podstępnie skradały się do wróbli pustujących gwarnie wśród placu, a ile razy gromadka trzpiotów uleciała przerażona, wyciągały łby pożądliwie, oblizywały się łakomie różowemi języczkami, wytrzeszczały chciwie swe zielone obrągłe oczy i odbiegały nakoniec w inną stronę.

W jednej bramie na rogu ulicy młoda, hoża ogrodniczka zapełniła stoły i ławki swym wonnym towarem. Zdawał się to być wielki kobierzec ręką jakiej nadobnej kasztelanki wzorzyście wyszyty; pęki róż, heliotropów, gwoździków, stokroci, mięszały się z bratkami, tulipanami, pomarańczowem kwieciem, lewkoniją i lakami; tu i owdzie wyglądały zapóźnione fijołki, woniała mile rezeda, a obok niej świeciły biało-złote tacety i śnieżne narcyzy; z koszów spadały długie grona glicenij i gałęzie bluszczu aż na niżej ustawione doniczki, w których azalie i cynerarie różnobarwne zalotnie wabiły oko.

Na małej półce przy wnijściu umieszczonej, w prostem drewnianem naczyniu ujrzałem kwiat, do którego serce zabiło mi silnie; poszedłem bliżej a woń jego słodka, namiętna, owiała mnie miłośnie. Były to gałęzie bzu, co w tych południowych krainach jest dosyć rzadkiem i tylko wczesną wiosną na krótko zakwita. Woń ta przypomniała

mi ojczyznę. W tej woni ja mój kraj uczułem, w tem kwieciu jego obrazu dojrzałem, ach mój Boże! tam daleko w mojej wiosce zielonej rosły krzewy, w których słowiki po całych nocach jęczały! Ująłem jedną gałązkę i pobożnie do ust ją przycisnąłem. Ogrodniczka spojrzała na mnie zdziwiona, wydobyła z naczynia parę innych:

„Czy mam dodać róż i tacetów?“ zapytała uprzejmie.

„Nie moja kochana, wezmę tylko ten bez, woń jego zagłuszyłaby wszystkie kwiaty“.

„Dwa grosze“ — rzekła kobieta podając mi pęk starannie związany.

Włożyłem jej w rękę żądane pieniądze i znów usta moje mimowolnie spoczęły na tych kwiatkach. Jakże były delikatne i wdzięczne! jakieś smutniejsze od tych co dziecięciem zrywałem radośnie z braćmi i siostrami, a one z nich splatały wieńce do nadrożnej kaplicy! Szedłem powoli ulicą twarz zanurzywszy z rozkoszą w trzymanéj wiązce; a że droga prowadziła pod górę do mojego mieszkania, nie spieszyłem się, tylko lubowałem w wspomnieniach wonią tą wywołanych.

Od rana byłem zajęty lekcjami, gdyż spełniałem żmudny obowiązek dochodzącego nauczyciela, i dzień cały ślęczyć musiałem nad żakami upornie odmawiającemi zrozumienia łaciny i greki; lub z niedorostkami płci żeńskiéj konjugując słowa francuskie, i wracałem na chwilę odpoczynku do mojego skromnego mieszkania zajmowanego w wyższej części miasta. Mieszkanie to niskie, ciemne i wilgotne miało jednak dla mnie jeden wielki powab, a to, że był doń przyłączony mały ogródek, tak maleńki jak wielka sala, po której biegałem dzieckiem i grywałem w ślepą babkę z rodzeństwem, ale sadziłem w nim moje najulubieńsze kwiaty i mój stary pies Ciupa wygrzewał się tam do słońca, co go pocieszało w długich godzinach samotności.

Na odgłos klucza obracającego się w zamku, poczciwiec wybiegł do mnie z radością, począł skakać, łasić się, radować okiem i sercem, tulić jak do przyjaciela. Samotność rozwinęła w nim nerwową czułość, drżał jak listek patrząc na mnie, i kiedy poszedłem odkręcić kurek u małej fontanny, by napełnić szklankę świeżą wodą i w niej przyniesiony bez ułożyć, z zazdrością jakby śledził każde moje poruszenie. Postawiłem na stoliku tuż koło mnie ów wonny snopek, usiadłem i zabrałem się do wykończenia korespondencji do jednego z ojczystych dzienników, korespondencji o Włoszech, ale myśl moja odbiegała daleko od kolebki Dantego, Petrarki, klasycznego kraju, salami i makaroni, i nie kołując leciała wprost na błonia rodzinne, siadała zadyszana długą podróżą u wrót... zamkniętych. Wówczas rąbkiem szaty jak płaczka cmentarna nakrywała głowę i nieruchoma na kamieniu u gościńca czekała, nie tego by jej otworzono, lecz by sił nabrać z tchnienia wietrzyka pól ojczystych, skrzydłami wznieść się nad ową zaporą, pobujać niewidzialna nad głowami ukochanych, nasycić się rozkoszą powrotu i pozbierać zapasy na dalszą wędrówkę samotną po świecie.

Odłożyłem pióro... nie podobna mi było pisać o królu Humbercie, ministerjalnych konszachtach z Teutonami i umizgach służalczych do lwa północy, ani też o Leonie XIII. i Garibaldim. Wszystko to wydało mi się tak błahem, tak małej wartości, gdyż była to teraźniejszość a ja zanurzyłem się w przeszłość, w ową przeszłość, co była dla mnie wszystkiem. Ilekroć podniosłem oczy, uśmiechały mi się blado liliowe gwiazdki niby w pociechę... niby z obietnicą, że kiedyś grób mój ocieniać może będą, a wkrótce subtelna woń ich przejęła mię całego i zmysły zamąciła. Wstałem i wyszedłem do ogródka. A i tu wspomnienie jak mój Ciupa poszło za mną. Zacząłem krzątać się koło moich tutejszych wychowanków, poruszałem ziemię koło róż, podniosłem przyległe do ziemi gwoździki, ale tu znów nad złocistemi lakami w kwiecie bujać ono nie przestało; tych laków wiosną pełno było w doniczkach mojej matki, a stary Wojciech ogrodnik chlubił się zawsze ich pięknością. Wybiła godzina dalszych lekcji i powróciłem do miasta, ale deklinacje i cyfry, konjugacje i gramatyka francuska, zły humor uczniów i własne ziewanie, nie potrafiły mię dziś znękać; miałem bowiem nadzieję, że wstąpiwszy w dom, uczuję woń znaną i cały wieczór spędzić będę mógł dumając swobodnie.

Z radością nieopisaną doczekałem się schyłku dnia; światła na ulicach zapalały się jedne po drugich, księżyc wschodził jasny, pogodny i łagodnie niby z politowaniem nad moją dziecinną mrzonką zdawał się spoglądać. Spiesznym tą razą krokiem dostałem się do domu, a dopiero drzwi zamknąwszy szczelnie odetchnąłem pełną piersią, miałem przed sobą cały wieczór, aby módz się upajać wonią, widokiem i konać wspomnieniem i tęsknotą niezmierną.

Przysłoniłem lampę na stoliku, usiadłem, raz jeszcze miłośnie, lekkim pocałunkiem pozdrowiłem ojczyznę w gałązce bzu zawartą i nie próbując nawet wziąść się do czytania lub pisania, zamknąłem oczy i utonąłem w marzeniach.

II.

Wiecie o wy, co czasem pogardliwie mówicie o rodzinnym zakątku, co to jest tęsknota za nim? Nie, bo wyście przywykli do niego i oko wasze nie umie w nim dopatrzeć piękności ukrytych, jaśniejących całym blaskiem w wspomnieniu dopiero. Siedząc tak w mojej samotnej izdebce, z psem starym u nóg i wonną tą bzu gałązką

przedemną, uczułem jak całą moją istotę ogarniała ta tęsknota, wciskała się w serce, co westchnieniem zbierało, do powiek, co mi łzą zabiegały, do uszu, w których dźwięczały echo piosnki ojczystej. Całe życie moje, co zlało się w jeden hymn żałoby, gdy ukradkiem tuliłem do ust skromne kwiecie, a dawno niewidziane obrazy wystąpiły jasno przed wzrokiem duszy. Ileż smutku jest zawartego w tem słowie: cudzoziemiec! którem obojętnie zwiemy jedni drugich! Temu, co na cudzej ziemi sam, biedny często i opuszczony żyć musi, wedle sprawiedliwości raj wieczysty powinienby być nadgrodą, bo piekło przeżył i co dnia rozpoczyna. Piekło to dantejskie, w którem każde koło nowe straszne męczarnie zawiera.

Pierwszem jest wspomnienie, co ci mgłą jasną, przeźroczystą owiewa ukochane miejsca, przedmioty i ludzi znanych kiedyś. Drugiem żal za ziemią, z której wyrosło twoje ciało; wszystko w niem cierpi, każda fibra jego drga i woła powietrza ojczystego, pokarmu, do jakiego od urodzenia nawykło, głosów przyrody, co dzieciństwo jego wykołysały, szmeru strumieni nad któremi igrał nieopatrzny. Trzeciem, żądza szalona dostania skrzydeł, wylecieć, wznieść się w obłoki, i choćby ztamtąd, choćby z wysokości steru spoglądać na kolebkę dziś próżną, gdzieś niemowlęciem ukochanem spoczywał; na ściany domostwa co kiedyś śmiechem wesela dźwięczały. Między temi trzema ręką przeznaczenia zakreślonemi kołami, dusza twoja łamie się w wężowe okręty Laokona, jest katem i ofiarą zarazem, żyjesz bolem, co ci piersi rozdziera, a bez niego skonać by ci potrzeba. Ból ten jest jeszcze niewysłowioną rozkoszą.

A jak duch wygnańca tak i zmysły jego dziwnie wrażliwemi stają się czasem. W pierwszych latach rozłąki obraz ten świeższym jest jeszcze w pamięci, a zmysły mniej spragnione nowością czasem chwilowo olśnione; im dalej idzie się w życie, tem więcej obraz ów ułudą się barwi, tęsknotą ozłaca, a ukrytą nadzieją promienieje. Zmysły co zatrzymały jeszcze jakoby części ojczyzny, pomału obcem powietrzem i pokarmem przesiąkłe, mają chorobliwe dreszcze, żądze gwałtowne; woń znana co przez nozdrza do mózgu się wkrada, smak potrawy, co podniebienie łechce, dźwięk mowy rodzinnej, a owe zmysły tem roznamiętnione niby struny harfy wiatrem dotknięte poczną drzeć boleśnie, jękiem do echa płaczu szaleńca podobnym; chcieć im rozkazać milczenie nadaremnie, one głosu rozsądku już nie słuchają, unoszą wszystko z sobą i w wirze bolu mieszają, aż osłabły spuści głowę i wycieńczony bez woli podda się nakoniec dręczącej ale ukochanej gonitwie za marą utraconego kątka rodzinnego.

W nocach bezsennych słyszysz dźwięki znanej piosnki, którą niegdyś usypiała cię matka; widzisz siebie dziecięciem wśród łąk jasnych kwieciem umajonych; to znów czujesz woń kochanki warkocza i siłę niezapomnianą jej słodkiego wzroku, co kiedyś miłośnie spoczywał na twem młodem czole. Lękasz się odetchnąć, aby widma drogiego nie spłoszyć, wyobraźnią otwierasz doń ramiona, ciało jak ascetyczny pustelnik zabijając uczuciem czysto duchowem. Ale senne widziadła odlatują w przestrzeń i nieopisana, konwulsyjna tęsknota tłoczy cię znów i ugniata. One znikły, a ty upadasz twarzą na cudzą ziemię wołając: powróćcie! choć jak sępy bez litości szarpały twą zbolałą duszę przed chwilą.

W samotnej ciszy, gdy umysł twój tylko pracuje, a ciało znużone, odrętwiałe, nie spoczynku ale zapomnienia we śnie szuka, w mózgu twoim rodzą się postacie wszystkie mające twe serce, twe lica i twoje myśli. O! jak je miłujesz i do piersi w jednym bratnim uścisku przygarniasz. Są to dawni towarzysze twej młodości, co żyją w tych komórkach twego mózgu, takiemi, jakiemi ich tam pochowałeś a przez rozłączenie i czas tobą oni się stali. Gdybyś ich mógł obaczyć w rzeczywistości, nie uwierzyłbyś, że to ci sami, których w marzeniach do serca tuliłeś. Wyobraźnia tęsknotą wiedziona, jakże cudnie natchnionym idealnym jednakże bywa zazwyczaj malarzem.

Musiałem usnąć, bo przed wzrokiem moim znikły nagie ściany smętnej izdebki, tylko wonie ogródka ulatywały nademną i stary Ciupa śnić musiał wraz z swym panem. Dziwne jakieś szmery krążyły między kwi ciem, niby preludium Wagnerowskiej opery ze świata duchów głosem nimf rzucone, akordami zefirów splecione, a na metalowych skrzydłach zaklętych owadów tajemniczo brzęczące. Jakieś światła nie podobne w niczem do ziemskiej światłości, długiemi smugami wstawały z moich źrenic i snuły się w przestrzeni, odbiciem znów powracając do nich; a w pośród tych świateł i dźwięków niewidzialna zasłona co mi kryła obraz tworzący się powoli przedemną, z leciuchnym atłasowym szmerem rozwarła się na poły, u ramion wyrosły mi skrzydła łabędzie, zerwałem się i poszybowałem w błękitną przestrzeń, ciągnącą mnie, wabiącą ku sobie wszelkiemi wdziękami.

III.

Długa, zielona równina jak okiem zasięgnąć, w ramy czarnych lasów ujęta, a ginąca u stóp zdala siniejących gór. Środkiem tej obszernej równiny płynęła rzeka smętna, cicha, bez szelestu; na ciemnem jej dnie mieszkać musiały Rusałki i Wodnice, bo wierzby wysmukłe chyliły się ku niemu szepcząc przyjaźnie, a po ich długich warkoczach światła wiośniane zbiegały aż do czarnych toni. Wierzby i Wodnice gwarzyły siostrzano i wiodły nieskończone pogadanki, a ilekroć wietrzyk swawolnik zaszeptał figlarnie, rzéka gniewnie lice marszczyła i Rusałki mijające po falach złotemi włosyma lękliwie na dno uciekały, a wierzby pokołysawszy swe wiotkie kibicie z zalotnym uśmiechem

znów chyliły się ciekawie. W wysokich szuwarach błądzić musieli topielce, boginki z białym kwiatem nemfarów igrały przy świetle księżyca i na ich zielonych liściach miękko rozparte, rozkosznie przepływały po rzece, białą zasłoną mgły oczom śmiertelnych ukryte. Ptastwo wówczas trzepotało trwożliwie, matki śniące nad pisklętami rozpościerały skrzydła aby je utulić spłoszone, a srebrne rybki pluskając w zawody i wyskakując nad powierzchnię, zerkały szybko na psotne zalotnice.

Dalej w trawach na łąkach ćwierkały koniki, świerszcze w sprochniałych pniach zwoływały się na biesiadę, derkacz i żerujące cyranki opowiadali krzykliwie o widzianych wodnych i lądowych cudach, a słowiki w nadbrzeżnej olszynie jęczały rozmiłowane. W dali szumiały młyny i słychać było śpiewy wieśniaków. Chłopak pasący konie na łące grał na wierzbowej fujarce, a proste, żalu i smutku pełne tony płynęły po rzece i w mgłę się roztapiały. Nad całym krajobrazem lekka wiosenna mgła unosiła się bujając, a rozpierzchłe promienie księżyca snuły się po niej tęsknie. Gdzieś w trzcinach zaszeleściało, stadko kaczek spłoszone porwało się ze snu przerażone nie wiedzieć czem, czy przeczuciem tylko, czy też niewidomy wróg czyhał nań, ukryty w gęstwinie krzewów. Zapluskały wiosła, z zarośli wysunęło się długie do koryta podobne czółno i na ciemnem tle zarysowała się biała postać rybaka, co płynął oglądać zastawione poniżej siecie. Słowikom płaczącym w olszynie odpowiedziały drugie w bzach skromnego ogródka ukryte, co na niskim wzgórku stojący domek wdzięcznie otaczały. W domku świateł już nie było, mieszkańcy jego spoczywać musieli, ale na błyszczących szybach ślizgał się jasny księżyc, a ogródek woniami z jasnością rozmawiał. Cały był pocięty w kapryśne trawniki, po których rozrzucone klombiki śmiały się tysiącami kwiatów. Tam pękami świeciły śnieżne narcyzy, wyniosłe tulipany oko wabiły, różowiałe migdały, czeremchy białemi pióropuszami ciężarne, za każdym wiatru powiewem słały wonny deszczyk, na białym kobiercu u stóp ich rozesłanym w dzień uwijały się skrzętne pszczoły, teraz nocą woń ich namiętna, odurzająca leciała w niebiosa., Pod oknami rosły bzy liliowe i białe, gęste gałęzie splotłszy tak ściśle, iż nie można było rozróżnić do którego pnia one należały, ale dwie odrębne barwy zdradzały dwie odrębne istoty, sercem jednakże złączone. I kiedy słowik najmiłośniej dźwięczał, a ciepły, tajemniczy wietrzyk zaszemrał, z owych dwóch bzów podniosły się nagle dwie postacie różnej płci, i niby ptaki rozpostarłszy niewidzialne prawie skrzydła uleciały w przestrzeń, pobujały nieco a potem jakby tym tańcem powietrznym znużone, kołując znów na ziemię powracały i wreszcie na łące przypadły.

Na niej to bowiem po świetlanych słupach od księżyca idących gromadziły się duchy kwiatów na nocną biesiadę.

(*C. d. n.*)

POGADANKA.

(Jedna z licznych opieszałości naszej prasy. — Polska na wystawie antropologicznej w Paryżu. — Etnograficzny dział tejże wystawy. — Ceramika p. Godebskiego. — Mapy pp. Duchińskiego i Ciszkiewicza. — Artyści polscy w Paryżu. — Dwuklawiaturowy fortepian wynalazku Wieniawskiego. — Awanturnik polski. — Podróż Hr. Żaby. — Pegasus im Joche! — Teatr.)

Galicyjskie nasze czasopisma zbyt wiele trudniąc się politycznemi kombinacjami, mało bardzo zajmują się rzeczami, którmi naród nasz, politycznego pozbawiony bytu, stwierdza istnienie swoje wpośród świata, bądź to w dziedzinie sztuki, bądź też nauki, lub też w innych gałęziach pracy ludzkiego ducha. W zapiskach przeto niniejszych od samego już początku tych pogadanek, postanowiłem uzupełniać brak ten o ile możności, notując tutaj skrzętnie wszystko, co stanowisko Polski w świecie zaznacza, a co, jako do bieżącej nie należące polityki, przez nasze czasopisma bądź tylko nawiasowo bywa poruszanem, bądź też zupełnie pominięte milczeniem.

Do szeregu takich objawów zaliczyć należy udział nasz w wystawie antropologicznej w Paryżu, gdzie urządzony staraniem pp. Fr. Duchińskiego i Alfreda Ciszkiewicza dział etnograficzny, stanowisko Polski wpośród cywilizacji obrazowo przedstawia, a nazwisko jej światu przypomina. Częścią najbardziej w oczy bijącą są tu ubiory ludowe, umieszczone na wzniesieniu, tak, aby je dokładnie obejrzeć można. Od rusińskiej siermięgi i chodaków karpackiego górala, aż do futrzanego huculskiego kaptura, i krakuski z pawiem piórkiem, znajdziesz tam wszystkie stroje naszego ludu; pomiędzy niemi niektóre domowej roboty, dają dokładne wyobrażenie o miejscowym przemyśle, o zręczności robotnika, i stopniu rozwoju naszego domowego wiejskiego przemysłu.

„Wszystkie te wyroby — pisze w warszawskich *Nowinach* p. Henryk Sienkiewicz — uderzają oryginalnością, rozmaitością charakterów, silnie rozwiniętem poczuciem estetycznem, a częstokroć i bogactwem.“ Nadesłała je głównie Galicja, która dzięki zapobiegliwości Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, najlepiej na tej wystawie jest reprezentowaną. Królestwo i w ogóle zabór rosyjski mniejszy oczywiście wziąść mogły udział w wystawie, — natomiast Poznańskie i Prusy, które równie obszerne miały pole do działania, jak nasza prowincja, i równą możność zasilenia tej wystawy, uchyliły się od niej prawie zupełnie, z przyczyn wcale niewiadomych.

W ogóle wygląda wystawa ubiorów nader świetnie, ustawiona jest doskonale, i dla tego najpierw w oczy wpada ka-

żdemu. Do okazów etnograficznych zaliczyć należy także album panny Rakowskiej, przedstawiające typy i ubiory ludowe. Między obrazami znajduje się Matejki Jan Kochanowski nad trumną Urszulki. Obecność tego działa sztuki na wystawie etnograficznej, objaśnia się tem, że Kochanowski ma przedstawiać typ i strój szlachcica polskiego z XVI wieku. Toż samo zadanie spełniają Matejki rysunki strojów historycznych z rozmaitych stuleci, i nakoniec album rodu Potockich, zawierające fotografowane kopie portretów naczelników tej rodziny aż od XIII wieku.

„Najpiękniejszym jednak okazem tej części wystawy — pisze dalej p. Sieńkiewicz — jest ceramika Godebskiego przedstawiająca w płaskorzeźbie typy i ubiory wszystkich narodów świata. Zwróciła ona na siebie szczególną uwagę prasy francuskiej. Na tle złotem widać tu blisko sto postaci, tak charakterystycznych, że na pierwszy rzut oka można odróżnić ich pochodzenie. Grupa ta zajmuje środek obrazu, od którego to środka w prawą stronę idą narody zachodnie, w lewą wschodnie, rozciągające się ku górom Uralskim, i dalej w Azji.

Prócz wartości etnograficznej, jest to prawdziwe dzieło sztuki, któremu zachowanie typowych, charakterystycznych rysów twarzy w postaciach stosunkowo małych, i misterność wykończenia — nadają wysoką wartość. To też prasa francuska nazywa bez wahania ową ceramiką najwspanialszym okazem w części etnograficznej naszej wystawy, podnosząc szczególniej poetyczność układu, i żywość kolorytu, który mianowicie sprawozdawców zachwyca, poniewważ zachowanie kolorytu przy wypalaniu obrazów w piecu, niezmierne przedstawia trudności, a trudności te Francuzi tylko, jako miłośnicy sztuki ceramicznej, i prawdziwi w zawodzie tym mistrze dokładnie zrozumieć i ocenić umieją.

Na bliższą również uwagę zasługują mapy pp. Fr. Duchińskiego i Alf. Ciszkiewicza; ostatnia daje dokładny opis plemion ziemie nasze zamieszkujących, i może służyć za wskazówkę przy rozstrzyganiu spornych naukowych kwestji.

Antropologicznych okazów w ścisłem tego słowa znaczeniu nadesłały ziemie nasze nader mało, — mianowicie stwierdzić należy brak niemal zupełny czaszek i kośćców. Muzea: toruńskie i rapperswilskie natomiast nadesłały liczne okazy z wykopalisk pochodzące, a niezmiernie starożytne, bo niekiedy okresu kamieni niewierconych sięgające. Zajęcie też wielkie budzą w świecie uczonym, nadesłane przez muzeum rapperswilskie urny tak zwane obliczowe, które się tem różnią od innych popielnic iż na wypukłej stronie naczynia zarysowane są nos i oczy, tak że urna niejako oblicze człowieka przedstawia. Otóż urny tego rodzaju bywały, jak się zdaje wyłącznie w ziemiach przez Słowian zamieszkałych używane, przynajmniej niema podobnych w żadnym innym zbiorze, mianowicie zaś na wystawie.

Mniejszej już wagi daleko są zamieszczone w tymże dziale przedmioty historyczne, jako to: pasy słuckie, karabele i t. p. które właściwsze powinny były znaleść miejsce na wystawie historycznej w Trocadero. Obecności niektórych okazów jak n. p. strzelby Stanisława Poniatowskiego nie sposób sobie wytłómaczyć, bo jakkolwiek robota tego okazu jest jak utrzymuje sprawozdawca istotnie przepyszną, (prawdopodobnie zagraniczną) to jednakże nie stoi on w żadnym związku ani z etnografią, ani też z antropologją, a służy chyba tylko do ozdoby. Wszelakoż jeżeli się zważy przewodnią myśl, którą się kierowali ci, co się urządzeniem tej wystawy zajmowali, jeżeli się pomyśli, że głównem zadaniem tych mężów było przypomnieć imię Polski Europie, to przejdzie się do porządku nad podobnemi drobnemi usterkami, a uchyli się czoła przed dobremi chęciami, któremi się mężowie ci powodowali, i odda się cześć należną ich zasłudze. —

Od okazów kopalnych, sięgających okresu niewierconych kamieni, do artystów polskich obecnie w Paryżu bawiących — skok to zaprawdę bardzo wielki, ale w pogadance nie zbyt niebezpieczny, — podajcie mi zatem rękę łaskawi czytelnicy, a przerzucimy myśl naszą w oka mgnieniu, przez olbrzymią przepaść mniej więcej stutysięcy lat. Ot tak! jesteśmy znowu w Paryżu, zkądeśmy pierwotnie wyszli, i z przyjemnością spotykamy tu licznych naszych rodaków, cały wiec artystyczny polski goszczący, właśnie w tej chwili w murach nadsekwańskiej stolicy. A zebrało się tu tych Polaków całe mnóstwo, ze wszystkich czterech końców świata, mianowicie zaś z Warszawy. Oprócz rzeźbiarza Godebskiego, o którym właśnie mówiłem, oprócz fortepianisty Zarębskiego, bawiącego tu już od dwóch lat, oprócz znakomitego warszawskiego skrzypka Barcewicza, który tu już gości od kilku miesięcy, przebywają tu jeszcze Henryk i Józef Wieniawski, tudzież bracia Kątscy Antoni i Apolinary. Muzykalny Paryż zachwyca się tym artystycznym najazdem, i nie szczędzi ziomkom naszym zasłużonego uznania.

Zarębski grywa obecnie na fortepianie o dwu klawiaturach, wynalezionym przez Józefa Wieniawskiego. Powodzenie tego znakomitego instrumentu rośnie z każdym dniem. Prawo wyrobu fortepianów o podwójnej klawiaturze nabyła od Wieniawskiego fabryka pp. Mangeot, a w tych dniach ma się ukazać w Paryżu broszura, wykładająca teorję tego cudownego muzycznego narzędzia, poczem Zarębski, który sobie za cel postawił popularyzację tego wynalazku, uda się w podróż artystyczną po Europie, zamierzając dać na fortepianie dwuklawiaturowym szereg koncertów w znaczniejszych stolicach naszego kontynentu. Powodzenie, którego doznaje fortepian o podwójnej klawiaturze tłumaczy się tu zresztą tem śnadniej, ile że Zarębski jest niezaprzeczenie jednym z artystów, którzy najlepiej zdołają uwydatnić wszystkie zalety znakomitego tego instrumentu. Koncert, który Zarębski na nim dawał przed kilkoma tygodniami zrobił istotną fourore; — Liszt który był na tym koncercie, uścisnął serdecznie młodego mistrza, i nazwał go czarodziejem.

Nie mniejsze uznanie spotyka i innych naszych artystów. Przed kilku tygodniami odbył się w hotelu *Continental* wielki festyn wydany przez francuskich kompozytorów na cześć bawiących obecnie w Paryżu zagranicznych artystów. Kolonja polska nader licznie reprezentowana, zajmowała jedno z najpoważniejszych miejsc na tem festynie międzynarodowej sztuki, któremu przewodniczył Ambroży Thomas znany twórca „Hamleta“ i „Mignon.“ W bieżącym miesiącu urządza Mikołaj Rubinsztajn w sali Trocadero trzy muzykalne uroczystości. Do uczęstnictwa w tych popisach światowych zaproszono na solistów, obok Vienxtempsa, braci Wieniawskich i Barcewicza.

Ażeby uzupełnić obraz ten muzycznej polskiej kolonji w Paryżu, wspomnieć tu jeszcze wypada o kształcących się tamże młodszych siłach, mianowicie o młodym a znanym we Lwowie Tymoteuszu Adamowskim, tudzież o fortepianiście Sygietyńskim, którym najpiękniejsze rokują nadzieje, nakoniec o pannie Płońskiej uczennicy paryskiego konserwatorjum, która na ostatnim konkursie pierwszą nagrodę spiewu otrzymała, a tem samem obowiązkowo weszła w skład wielkiej opery paryskiej, gdzie już króluje rodaczka nasza panna Reszke.

Ale nie tylko w dziedzinie piękna, i sztuki odznaczają się Polacy, są także i tacy, którzy na innem polu szukają powodzenia. Z właściwym sobie humorem donosi w *Gazecie polskiej* Sygurd Wiśniowski w ostatniej swej londyńskiej korespondencji o jednym z tych ostatnich. Jest nim mianowicie jakiś pan (prawdopodobnie: z łaski swojej własnej) hrabia (?) Jareczyński, awanturnik, uchodzący w Londynie za miljonowego magnata, dla tego — utrzymuje p. Wiśniowski — że nie dba ile tysięcy w karty wygrywa. Ów pan hrabia, który ma na widok rodaków nos do góry zadzierać, i unikać ich, prawdopodobnie nie bez powodów, umiał się wkręcić w najwyższe londyńskie towarzystwo, mianowicie zaś w zażyłość księcia Walji, który nie bardzo przebiera w przyjaciołach a Falstaffów i Pistolów pomiędzy szulerami sobie zwykł rekrutować; i książe przypuścił jak wiadomo nie dawno do obcowania z sobą Turka Lambrego, który udawał baszę, właśnie tak jak prawdopodobnie ów pan Jareczyński hrabiego udaje. Otóż ów p. hrabia umiał się stać faworytem królewicza, i ogrywa go tak, jakby to była skrzypka, a nie następca angielskiego i indyjskiego tronu. Powtórzyć tu zaiste można, to, co stary Niemcewicz powiadał, że jak się Polak awanturnik uda, to żaden cudzoziemiec nie wytrzyma z nim porównania.

Wzmianka o panu hrabi Jareczyńskim (nigdy o takich hrabiach nie słyszałem) nasuwa mi na myśl pytanie: gdzie też właściwie nie ma dziś Polaków? a odpowiedź zmusza mnie do nowego skoku, aż na drugą półkulę, gdzie nas przyjemniejsze czeka spotkanie. Jesteśmy w Ameryce, a poważną postacią z którą mi zapoznać wypada czytelnika, jest rodak nasz hrabia Napoleon Żaba, powracający właśnie z długiej i dalekiej podróży. Szanowny i sędziwy ziomek nasz — sam się przyznaje do 73 lat — zwiedził w przeciągu dwóch lat i sześciu tygodni wyspy Sandwicz, Fidżi, Nową Zelandję, Australję i t. d. Powracając z tej wycieczki wstąpił hr. Żaba do San Franczesco w Kalifornji, gdzie zaproszony do tamtejszego polskiego Towarzystwa, w gronie rodaków obszernie opowiadał o swych podróżach, jakoteż o Polakach odległe owe strony zamieszkujących. Według korespondencji p. Juljana Horajana, z której szczegóły te czerpię — znalazł p. Żaba naszych rodaków wszędzie, z wyjątkiem jednych wysp Sandwicz, gdzie (o dziwo!) nie ma Polaków. Szanowny turysta zamierza jeszcze zwiedzić wielkie miasta wschodnie Stanów Zjednoczonych, po czem wraca do ojczyzny, i według planu swej podróży za kilka miesięcy stanie już w Krakowie. Hr. Napoleon Żaba wyda zapewne opis owych podróży; będzie to drogocenny przyczynek do naszej literatury podróżniczej.

Siemiradzki bawi obecnie w Moskwie, gdzie w jednej z tamtejszych cerkwi maluje ikony, wywiązując się z zobowiązań które przyjął wobec petersburskiej akademii sztuk pięknych, jeszcze w czasie gdy jako stypendysta tego zakładu wyjeżdżał do Rzymu. Mistrz nasz pragnął gorąco uchylić się od tego obowiązku, przykuwającego go do pracy tej przymusowej, a skłonnościom jego i jeniuszowi tak nieodpowiedniej, i ofiarował rządowi zwrot 6000 rubli zaliczonych mu przed laty. Ale rząd pragnął koniecznie ikonów Siemiradzkiego i odwołał się do czci, do moralnego zobowiązania naszego artysty, który też na to zaklęcie musiał ustąpić. Tak tedy musi obecnie nieśmiertelny twórca *Pochodni Nerona* łamać sobie głowę nad stworzeniem typu moskiewskiej madony, — fakt który znany wiersz Szyllera o Pegazie do jarzma zaprzęgniętym na myśl nawodzi.

Jak się właśnie dowiadują rozpoczną się sceniczne przedstawienia w teatrze Skarbka d. 12. b. m. a opera lwowska nie zostanie zwiniętą pomimo pogróżek dyrekcji, odmową podwyższenia subwencji rozsierdzonej.

Włodz. Zagórski.

POKŁOSIE.

Jak pewien bogacz używa swoich pieniędzy. Każdy ma swój gust, i to prawo przyznać potrzeba także panu Emersonowi Baker, wynalazcy sławnych maszyn do szycia, który używa swoich milionów podług własnego upodobania. Szczególniejszy jednak robi on z nich użytek. Wila jego w Welesley, dwanaście mil od Bostonu, jest obwiedziona murami, które jakiś pejsażysta nowojorski ozdobił olbrzymiemi freskami. Potężna wieża, główna ozdoba budynku, zawiera na rozmaitych piątrach ogród dziecięcy, anatomiczne muzeum, menażerją i zbiór starożytności. W kaplicy domowej, której ściany okryte są przypowieściami w różnych językach, mogą wyznawcy wszelkich religji oddawać cześć swoim Świętym. Głównem bóstwem jest ważący kilka cetnarów posąg Buddy z bronzu. Pomnik pokoju, symbol pojednania północy z południem, ma najeżony bagnetami dach; ponad tysiącem bagnetów nieprzyjacielskich niegdyś armij unosi się wypchany biały gołąb, z gałązką oliwną w dzióbie. Największą jednak pociechą pana Bakera są jego bezrogi. Ma on ich niezliczoną moc, a wszystkie żyją na stopie książęcej i bywają po śmierci z królewską okazałością chowane. Wspaniały chlew urządzony jest na kształt pałacu; szranki z polirowanego drzewa dębowego przegradzają rozmaite oddziały; kosztowne obrazy olejne na ścianach przedstawiają najważniejsze epizody z żywotu nierogacizny. Poświęcenie tego chlewu, wyprawione w jesieni 1875 wobec 3000 gości, kosztowało wiele tysięcy dolarów. Tu i ówdzie w rozległych alejach parku zwraca na siebie uwagę przechodnia marmurowy posąg zmarłego wieprza niezwykłej wielkości lub nadzwyczajnych zasług. Częściej jeszcze spotkać można wypchane bezrogi na kosztownych podnóżach, jako dowód najczulszego uwielbienia dla nieboszczyków; a prócz tego obejmuje piękny cmentarz zwłoki pomarłych dawniejszemi laty świń. Mr. Baker wykopał sztuczne jezioro i opatrzył statkiem parowym własnego wynalazku, który porusza się również na lądzie jak i na wodzie; po brzegach czołgają się wypchane aligatory w trawie; w pośrodku wznosi się piramida, 30 stóp

wysokości, z butelek szampańskich, przedstawiając sama olbrzymią butelkę; na falach kołyszą się drewniane węże, ryby, cielęta morskie i inne osobliwości. Największą zaś przyjemność sprawiają panu Bakierowi rozmaite pułapki. Pociśnie kto gałkę metalową, to niech się przygotuje na porażenie elektryczne; jeźli zwiedziony drukowanemi plakatami krzyknie w drzwi tego lub owego budynku do tuby, ażeby go wpuszczono, to zostanie obsypany cały białym pyłem; wstąpisz na schody, na pozór mocno utwierdzone, to spadasz z niemi do ciemnej piwnicy; siędziesz zmęczony na ławeczce ogrodowej, to runiesz na ziemię i wyskoczy przed tobą drewniany diabeł z wykrzywionym pyskiem. Mimo to bywa willa pana Bakera codziennie licznie odwiedzana. Ogromne plakaty ostrzegają gości, ażeby nie ruszali owoców i winogron; jeźli kto nie zważa na to ostrzeżenie lub w ogóle dopuści się jakiej nieprzyzwoitości, mści się obrażony właściciel inseratami w dziennikach publicznych; jak n. p.: „Dama czarno ubrana, w wieku do 35 lat, która mi wczoraj winogrona ukradła i łup mój po za ogrodem rozdawała, dała zły przykład swoim dzieciom“; albo: ów jegomość, który wczoraj to a to zrobił, nie godzien jest gentelmena“, i t. p. Przy uroczystych sposobnościach, n. p. na urodziny wieprza ze znakomitej familji, zaproszone bywają wszystkie znakomitości z Massachussets. Służba nosi wtedy barwy diabelskie, niedźwiedzie w menażerji spodnice, małpy niebieskie kubraki. Najbardziej jednak tryumfuje p. Baker z tego, że częstuje gości swoich naturalnym ponczem mlecznym. Kazał on u wymion brunatnej krowy urządzić sztuczną piątą cyckę; od tej ciągnie się wzdłuż tylnej nogi wańtuch tej samej barwy, co krowa, a pod posadzką stajni ukryta jest pompa, która wantuch ten napełnia. Goście zdumiewają się ciągle nad tym cudem, a Mr. Baker zaciera ręce z zadowolenia.

Turniej bilardowy.. W klubie Grammont-Hubert w Paryżu skończył się temi dniami wielki turniej dwóch sławnych bilardzistów panów Vingauda i Piata. Chodziło o zrobienie 5000 punktów karambolowych, a nagrodą była czara złota, wartości 5000 franków. Szczęśliwym zwycięzcą jest p. Vingaud. Zrobił on tych 5000 punktów w 253 serjach, gdy tymczasem przeciwnik jego odszedł 243 serjach — ośm szturknięć wcale mu się nie udało — tylko do 3.880 punktów! Natomiast zrobił p. Piat w jednej serji 176 punktów, gdy przeciwnie najlepsza serja zwycięzcy, p. Vignauda, tylko 174 punktów. W przecięciu robił Vignaud 19, a Piat 16 punktów w jednej turze, przytem dochodził Vignaud w 10, a Piat w 5 serjach do 100 punktów, a nawet wyżej.

Chińska procedura wekslowa. W Chinach istnieje tak wysoka stopa procentu, że mało kto odważa się zaciągać pożyczki u spekulantów, trudniących się pożyczaniem pieniędzy. Ustawa chińska dozwala pobierać trzy proc. miesięcznie; ale też wobec niebezpieczeństwa, na jakie naraża się wierzyciel, nie jest to wcale za wiele. Miewa on wprawdzie porękę jednego lub kilku „pośredników,“ zwykle kramarzy, których możność wypłaty nie podlega żadnej wątpliwości, wszelako często się zdarza, że ci poczciwcy nie chcą dopełnić swoich zobowiązań, nie podając nawet przyczyny tego! a wtedy nie jest dalsza procedura wcale tak łatwa, jakby być mogła w państwie, które w ciągu 2000 lat miało dość czasu do udoskonalenia swego systemu rządowego. Po Moskwie nie ma może kraju na świecie, gdzieby sądownictwo było tak sprzedajne, jak w Chinach. To też i wierzyciel i dłużnik unikają malowanych bram „Yamenów“, to jest biór sądowych, jak bram piekielnych, gdyż godłem ich jest ten sam straszliwy wyrok, przed którym zadrżał Dante, stojąc u wnijścia do piekła. Nim strony zdołają wnieść swoją sprawę, muszą wprzód opłacić się odźwiernemu, która to posada jest bardzo korzystna we wszystkich yamenach, następnie musi tak oskarzyciel jak i oskarzony podług pekińskiego sposobu mówienia „zrobić krok“, to jest ofiarować tak sędziemu jak i podwładnym jego podarek pieniężny, stosownie do wysokościs karzonej sumy. W niektórych yamenach istnieje wprawdzie przepisana ustawą skala należytości, ale w praktyce bywa ona zwykle przekraczana. Potem następuje wysłuchanie sprawy i najczęściej dowolny wymiar sprawiedliwości; gdyż na dziesięć wypadków zdarza się pewnie dziewięć takich, że któraś ze stron spornych uprasza prywatnie Jego Wysokość o łaskawe względy. Jeśli uczynią to obie strony, natenczas przyznawaną bywa słuszność więcej dającemu, a skazany odchodzi klnąc najokropniej ustawę i jéj reprezentantów i nie mając najczęściéj odwagi apelować do wyższéj instancyi, gdyż naraziłoby go to tylko bezowocnie na nowe koszta. Rozsądniejszy i odważniejszy wierzyciel probuje też nieraz sam dójść do swego prawa. Uzbrajając się w samowar, fajkę i materac, jeśli tego wymagają okoliczności, udaje się do kramu uporczywego dłużnika, i nie ustępuje się, dopokąd dług nie zostanie zapłacony. Jeśli dłużnik wymawia się niemożnością wypłaty, wtedy żąda „egzekutor na własną rękę“, ażeby dług powoli z dziennych dochodów bywał spłacany; jeśli zaś to jest tylko upór lub wykręt, natenczas potrafi nieproszony gość tak dalece zalać swemu dłużnikowi sadła za skórę, że ten rad jest w końcu, gdy go się pozbędzie. Obie strony muszą jednak przytém wystrzegać się wszelkiej zniewagi czynnej, gdyż nastąpiłaby zaraz interwencja władzy miejscowej; a w takich wypadkach nie pomogą już pieniądze i strona zaczepna wyszłaby bardzo źle na tém.

Projekt wyprawy balonem aż do bieguna północnego. Komandor królewskiéj marynarki angielskiéj Cheyne, a względnie niejaki pan Henry Coxwel, poruszył i opracował w najnowszym czasie projekt zwiedzania północnego bieguna za pomocą balonu. Podług podanych o tem szczegółów w dzienniku „Scientif American“ zamierzono połączyć drewnianemi ramami trzy balony, które mogłyby oprócz sześciu ludzi załogi unieść 60 cetnarów ciężaru, a mianowicie sanie, łyżwy, naczynia, żywność, namioty, ściśniony gaz, balast i psy do ciągnienia sań. Komunikację między balonami mają utrzymywać liny, wory balastowe, wedle potrzeby wieszane i przesuwane na ramach mają utrzymywać balony w równowadze; liny powłóczne nie dozwalałyby balonom wznosić się po nad pewną wysokość (500 stóp) a nakoniec z okrętem, z któregoby nastąpiła wyprawa balonów, utrzymywałby telegraficzną komunikacyę drut, wity na wielkie koło przytwierdzone do ram. Długość odwiniętego drutu byłaby oraz miarą przebytej odległości. Komandor Cheyne radzi przedsiębrać tę wyprawę z końcem Maja. Dla panujących w okolicy północnego bieguna właściwych stosunków wiatru spodziewa się wnioskodawca, że możnaby zbliżyć się do bieguna przynajmniej na

20 mil angielskich. Wtedy stanęłyby balony bezpiecznie na kotwicy, a dalsza podróż do północnego bieguna odbyłaby się przy pomocy psów na saniach, a po dokonaniu potrzebnych spostrzeżeń wróconoby przy pomyślnym wietrze do okrętu, uzupełniwszy wydęcie balonów zapasem ściśnionego gazu. Z tego wszystkiego widać, że projekt ten jest dobrze obmyślany, i że przeto wyprawa taka udaćby się powinna.

Nieubłagana piękność. Paryski „Figaro" opowiada swoim czytelnikom następującą zabawną historyjkę: „Jest ona młoda, miła, świeża z swoją mdławą cerą i czarnemi oczyma, które zdają się patrzeć w dal, jakby szukając ideału, z małemi usteczkami, około których igra miły nie ruchomy uśmiech, widocznie marzy ona, a o czem marzy? o czem mogą marzyć młode dziewczęta. A jéj strój chociaż skromny jakże powabny! — prosta biała suknia z błękitnemi szarfami, a ona wygląda w niej jakby wiosna sama! Kto tylko zwiedza wystawę teraźniejszą, staje przed tą uroczą kwieciarką, gdyż takie stanowisko zajmuje ona na wystawie. We wszystkich językach kuli ziemskiej brzmią dokoła niej okrzyki; „Quelle est jolie!" — „How fretty!" — Beautiful indeed!" — „Welch' wunderschönes Mädchen!" — „Como esta bonita!" — „Come e bella!" — a przecież pomimo tego istnego koncertu uwielbienia spoglądają na nią kobiety bez zazdrości, nawet młode dziewczęta na pozór półdzieci jeszcze, podziwiają jéj piękność. Ale w obec tego wszystkiego zdaje się ona być obojętną; pochlebne szepty tłumu nie wzruszają jéj wcale, najgorętsze komplementa nie sprawują na niej żadnego wrażenia. Za swoją ladą, którą otacza powabny namiot z zwierciadlanem sufitem, siedzi jak za grządką kwiatów. Nie wiąże ona sama bukietów, — na to jest za dumną; nigdy okrzyk: „kwiaty, moje panie!" nie wychodzi z jej ust; a przecież leżą przed nią bukiety wszelkiego rodzaju, bukiety niezliczone, od olbrzymiej wiązanki za dziesięć luidorów, jaką posyła się aktorce do loży, aż do skromnego bukiecika fiołków za dwa grosze; a wszystkie tak mile poukładane, owe róże, geranie, fiołki i małgorzatki. Mówią że urocza kwieciarka jest w tej chwili bohaterką romansu, którego rozwiązania z niecierpliwością oczekują. Wiadomo, jak Holendrzy lubią tulipany, — a tulipan zajmuje miejsce honorowe na ladzie pięknej kwieciarki i to we wszystkich barwach i odmianach. Piewien obywatel z Haarlemu zapamiętały miłośnik tulipanów, spostrzegł pewnego dnia najprzód tulipany, a potem piękną ich sprzedawczynią, odtąd przychodzi co dnia, trzymając w jednej ręce bilet miłośny, a w drugiej bilet bankowy. Bilet miłośny jest dla kwieciarki, a banknot za tulipany. Z kwiatami nie byłoby może trudności, ale ze sprzedawczynią ich to sprawa nie tak łatwa; kwiaty bowiem... są sztuczne.... a piękna kwieciarka jest.... bardzo zręcznie z wosku zrobiona, i przy ulicy Scribe Nr. 5 w handlu Kamila Marchais można dowiedzieć się bliższych szczegółów o niej.

Pogarda bolu u Indyan. Wiadomo z dawnej kroniki bojowej Indyan, z jakim heroizmem potrafili znosić śmierć męczeńską Indyanie którzy dostawali się do niewoli. Uważali oni to za słabość niewieścią, jeśliby ofiara skazana na śmierć zdradziła głośnym jękiem ból śród najstraszniejszych nawet katuszy. Takiego natomiast, który z niezachwianym stoicyzmem znosił najokropniejsze męczarnie i przy tem szydził jeszcze ze swoich katów, uważano za walecznego i pamięć jego szanowali nawet nieprzyjaciele. Taką samą nieczułość na wszelki ból okazują Indyanie przy operacyach chirurgicznych, jakie muszą nieraz sami na sobie wykonywać. O dwóch takich szczególnych wypadkach opowiada Mr. Jameson w swojem dziele o Kanadzie. Pewien młody wojownik chipewajański zajmował się na jednej z wysp archipelagu u północnego wybrzeża jeziora Hurońskiego polowaniem na wiewiórki, gdy przypadkowo powaliła się nań obalona wiatrem olbrzymia sosna i zgruchotała mu w dwóch miejscach prawą nogę. Stało się to na bezludnej wyspie gdzie nie można było spodziewać się rychłej pomocy i nieszczęśliwemu groziła przeto straszna śmierć głodowa, gdyż nie mógł w żaden sposób wydobyć zgruchotanej nogi z pod olbrzymiego pnia. W tém rozpaczliwém położeniu wyciągnął Indyanin z najzimniejszą rezygnacyą swój nóż myśliwski, ciął rębał i piłował tak długo, aż się pozbył zgruchotanej nogi, obwiązał potem kikieć swoją derką i zawlókł się z największym mozołem aż do brzegu, gdzie stało jego czółno, do którego wdrapawszy się z niesłychanem natężeniem dostał się wreszcie szczęśliwie do swego wigwamu i wyzdrowiał przy starannem pielęgnowaniu. Podobny wypadek wydarzył się także jednemu z naczelników, który był również wielkim myśliwcem. Wskutek przeładowania pękła jego strzelba i rozerwała mu na kawałki lewą rękę. Nikt z towarzyszy jego nie chciał się podjąć amputacyi, chociaż była ona koniecznie potrzebna. Zrobiono mu tymczasowo okład z ziół i wygłaszano przytem zwykłe zaklęcia indyjskie. Ale naczelnik był zanadto mądry, ażeby przypuszczać że taki okład i zaklęcia zdołają go uratować od śmierci, owszem wiedział bardzo dobrze, że nie było innego ratunku, jak tylko odjąć niezwłocznie zgruchotaną rękę. Czekał tedy, aż lekarz czyli czarodziej szczepu i krewni jego się oddalą, a potem przystąpił sam odważnie i z rezygnacyą do operacyi i odpiłował sobie rękę zębatym nożem. Po dokonaniu tej strasznej operacyi która całą godzinę trwała, obwiązał sobie również sam ranę; a gdy potęm powrócili krewni z lekarzem, leżała już odcięta ręka przy jego wigwamie, a on sam siedział po drugiej stronie i palił z najzimniejszą krwią swoją fajkę. Mr. Jameson miał sposobność, widzieć osobiście tego heroicznego kalekę i zapewnia, że takie wypadki, świadczące zarówno o stoicznéj pogardzie bolu jak i o wielkiej zręczności chirurgicznej, nie są wcale rzadkie pomiędzy Indyanami kanadyjskimi.

Emancypacya kobiet postępuje w Ameryce północnej z każdym dniem, a osobliwie w stanie Illinois. W samem Chicago znajdują się trzy adwokatki. Mistres Mira Bradwell, pierwsza doktorka praw i adwokatka w stanie Illinois! redaguje w Chicago dziennik „The Legal News", który na całym północnym zachodzie Stanów zjednoczonych uchodzi za powagę, a drukuje się w zakładzie, w którym same kobiety pracują. Wydanie jego jest wzorowe. Miss Alta M. Hullet z Chicago, zmarła niedawno w Kalifornii, dokąd udała się była dla poratowania zdrowia, nadwątlonego zbyt wielką pracą, słynęła jako jurystka rokująca najpiękniejsze nadzieje. Miała dopiero 19 lat gdy ją przypuszczono do adwokatury, a w 23. roku życia dorobiła się już rozgłośnej sławy i praktyki, przynoszącej rocznie przeszło 3000 dolarów. Oprócz tego funkcyonują jeszcze w Chicago panny Perry i Martin jako biegłe adwokatki ze znacznym dochodem, a kilka innych młodych dam przykłada

się do nauki praw. Nie zbywa też i na kapłanach rodzaju żeńskiego, wiele z nich posiada formalne licencye; inne zaś, a takich jest nierównie więcej, cenią wartość swego boskiego powołania i powodzenia wyżej nad dekret duchowny i głoszą ewanielią bez sankcyi urzędowej. Illinois posiada także znaczną liczbę dziennikarek i nakładczyń. Najzdolniejszą pomiędzy temi damami jest bez wątpienia Małgorzata Buchanan Sulivan; Sara Hubbard redaguje naukowy i literacki dział wielkiego dziennika „The Tribune“ w Chicago; miss Anna Kerr pobiera za swój przegląd dzieł i artykuły o modzie od tamtejszego dziennika „Times“ stałe honoraryum roczne w kwocie 2500 dolarów; mistres Wirginia Fitzgerald redaguje polityczny dział dziennika „Inter-Ocean“ i ma sławę najwytrawniejszej żurnalistki w Illinois. Inne kobiety stoją na czele olbrzymich przedsiębiorstw spekulacyjnych. Tak między innemi zarządza miss A. Sweer, dama zaledwie 23letnia, jedną z największych drukarń zachodniej Ameryki i utrzymuje zarazem agenturę pensyjną, w której zatrudnia pietnaście komisantek, miss Wait prowadzi tam również wielkie przedsiębiorstwo handlowe. W najnowszych czasach zaczęło także wiele kobiet uczyć się stenografii i niektóre z nich otrzymały już posady jako stenografistki sądowe.

Osobliwsza łakotnisia. W kołach lekarskich wiedziano już zapewne od dawna o tem, że połknięte igły wydobywają się niekiedy napowrót na powierzchnię ciała, ale o takiej wędrówce igieł, jaka się ukazała w kilku dokładnie sprawdzonych wypadkach, nie miano pewnie wyobrażenia dotychczas; i wiadomość ta wydałaby się i teraz jeszcze po prostu bajeczną, gdyby jej nie stwierdzała powaga najznakomitszych lekarzy. Oto nie podlega już żadnej wątpliwości, że niektóre indywidua osobliwie płci żeńskiej, których stan umysłowy jest zresztą całkiem normalny, cierpią na chorobliwą żądzę połykania igieł. Głównym przysmaczkiem tego rodzaju gurmandek są małe białe szpilki o okrągłych główkach; ale także igły do szycia bywają łakomie spożywane, i to tuzinami jak ostrygi. Połknięte igły przechodzą potem przez rozmaite tkanki ciała ze zwinnością równą jak u istot żyjących, i po kilkumiesięcznej, a nieraz nawet kilkuletniej wędrówce dostają się pod skórę tak, że mogą być wydobyte. Pomiędzy szalonymi zdarzali się już od najdawniejszych czasów spożywacze igieł. W zakładzie Salpetriére w Paryżu bywali tacy, którzy połykali te cokolwiek niestrawne przysmaczki. Teraz zaś donosi Silvy w „Societe médical d'Emulation“ o pewnej kobiecie która przy zdrowych zmysłach połykała z namiętności garściami igły i szpilki. Po jéj śmierci znaleziono przy obdukcyi przynajmniej 1500 igieł we wszystkich częściach jéj ciała. Fabrycy Hilden opowiada że pewna całkiem zdrowa dama połykała z nudów szpilki, które po sześciu latach wykłuwały się przez skórę. Villars donosi w swoim „Dictionnaire“ o 26letniej dziewczynie, z której w ciągu dziewięciu miesięcy wyszło przeszło 200 igieł i szpilek połkniętych na dwa lata przedtem. Wydobywały się one przez rękę, ramię, dołek łopatkowy, brzuch i nogę aż do kolana, ale zawsze po lewej stronie. Igły były zoxydowane. Dr. Gillet skonstatował w najnowszym czasie podobny wypadek na dwudziestoletniej dziewczynie. Wykłówały się u niej na różnych częściach ciała igły przez skórę tak, że mogły być palcami lub szczypczykami wyciągane bez żadnego upływu krwi. To wykłuwanie się następowało partyami, i to po 21, 31, 61 i 70 sztuk dziennie, i w kierunku prawie równoległym. Najwięcej wychodziło ich pod lewą piersią, ale znajdowano je także na nogach na rękach i na skroniach, a wykłucie się poprzedzał zawsze dotkliwy ból i gorączkowe rozdrażnienie. Te same zjawiska powtarzają się i dziś jeszcze ale dziewczyna nie chce dać żadnego wyjaśnienia, zkąd się od czasu do czasu biorą w jej ciele te igły.

Przegląd kobiet w Moskwie. Do niedawna jeszcze istniał w Petersburgu zwyczaj który można uważać za zabytek z barbarzyńskich jeszcze czasów społeczeństwa moskiewskiego. Byłato formalna wystawa zdolnych do zamęzcia kobiet i dziewcząt dla pragnących żenić się mężczyzn; a jak się odbywała, opisuje to następnie pewien świadek naoczny: „W pierwszy dzień Zielonych świąt po południu bywał ogród letni, ulubione miejsce przechadzki i zabaw ludowych w Petersburgu, natłoczony kawalerami i pannami, pragnącymi wejść w stan małżeński. Dziewczęta występowały przytem w największym stroju, który nieraz był kosztowniejszy, niż zdawało się na to pozwalać ich stanowisko w społeczeństwie. Pęk srebrnych łyżeczek do herbaty, wielką chochlę srebrną lub inny jaki zbytkowy artykuł gospodarstwa domowego trzymano ostentacyjnie w ręku, jako namacalny dowód, że panna przyniesie mężowi w posagu coś z przedmiotów wartościowych. Mężczyźni starali się również przedstawić jak najkorzystniej. Pannom towarzyszyli zwykle rodzice lub inni starsi członkowie rodziny, ażeby wszystko odbywało się przyzwoicie. Kawalerowie mający chęć do żeniaczki przechadzali się zwolna i lustrowali badawczo panny które spotykali. Jeśli młodemu człowiekowi podobała się która panna, nie udawał się wprost do przedmiotu swego zajęcia, lecz naradzał się wprzód z jaką starszą osobą, zwyczajnie kobietą. Wymieniał jej swoje nazwisko, mieszkanie, stan i wykazywał w krótkości swój majątek. Ze swojej też strony zadawał jej rozmaite pytania, między któremi odnosiło się zawsze jedno do posagu panny. Kobieta z którą odbywała się taka narada, nie była często nawet krewną dziewczyny, lecz tylko rodzajem stręczycielki, i zajmowała się tą sprawą albo z przyjaźni dla jednej ze stron interesowanych, albo po prostu tylko za pieniądze. Jeśli obustronne podania nie były zadowalniające, kończyła się rozmowa i nie przystępowano wcale do targu; w przeciwnym wypadku nie przedsiębrano na razie nic stanowczego. Tak mogło zdarzyć się nieraz, że jedna panna złowiła swemi wdziękami kilku wielbicieli naraz. Wieczorem tedy odbywały się rady familijne i badano widoki, przytem rozważano dokładnie oferty kawalerów, a przedewszystkiem ważną kwestyą rubli. Badanie kończyło się zwykle tem, że oddawano towar to jest dziewczynę najwięcej ofiarującemu. Wtedy otrzymywał wybrany krótkie zawiadomienie o przyjęciu jego oferty, i tylko rzadko kiedy zdarzało się, że dziewczę protestowało przeciw narzuconemu jej małżonkowi.“ — Dziś gdy społeczeństwo moskiewskie upokostowało się nieco cywilizacyą zachodnią, nie odbywają się te wystawy i targi tak wyraźnie i jawnie jak dawniej, ale w cichości trwa ten zwyczaj ciągle jeszcze, bo wrodzony barbaryzm nie da się usunąć ukazami.

Kącik humorystyczny „Strzechy“

Jako terminator szewski Jantek Kociuba dostał się do nieba, taj jak go potem ztamtąd znowuś wyrzucili.

(Dokończenie.)

— Oś tera — powiada Śty Iwo — wytoczymo temu szeucowi pozew awizacyjny...

— To, to, to!.. Awizacyjny...

— Tak, tak, kumciu... Awizacyjny!.. Wniesiemo — powiada do Wysokiego sądu delegowanego niebieskiego, Sekcja III, suplikę...

— Aha! Aha! To, to, to: suplikę!..

— A jakże kumciu, suplikę!.. Powiemo Panie Dobrodzieju, co było tak a tak, tak a tak...

— Tak a tak! Tak a tak!..

— Taj napiszemo: Wysoki Sąd raczy zawezwać Jantka Kociubę, terminatora profesji szeuskiej, w niebie — ulica ta a ta, lumer ten a ten — nieprawnie przebywającego...

— To, to, to!.. Dalibóg! nieprawnie przebywającego!..

— Coby pomieszkanie to do dni trzydziestu dobrowolnie opuścił.

— A jakże! A jakże: coby opuścił! To, to, to!..

— Albo Panie Dobrodzieju...

— Albo?..

— Albo prawami swemi do zajmowania tego Panie Dobrodzieju pomieszkania się wykazał.

— Jezu Marja! — fuknie na to Śty Piotr — Ta co wy gadacie kumie: Wykazał?... Ta jakiem on się prawem wykaże? Smołą gorącą się wykaże!.. Ot, wlazł tu makabunda za pozwoleniem tak jak bezroga; zwyczajnie szeuc kopyciarz, taj tylko!..

— No, prauda — powiada na to Iwo — Macie kumie recht, co wón tu wlazł przez żadnego prawa, nie przymierzając jak ten że ryje; — tylo widzicie Piotrusiu, za to co wlazł, to oś tera ma już prawo do prowizorjum.

— W imię Ojca i Syna!.. Pek! Pek!.. Co wam się śni kumciu złotyj?.. Ta zkąd woń może mieć jakie prawo?.. To jak z przeproszeniem Waszego honoru ten, że kwiczy, wlezie do ogrodu, to za to co wlazł, to oś tera ma prawo takoj ostać się w ogrodzie?..

— No, trudno!.. Tak prawo chce!.. Na to je proces, na to są hadwokaty!.. Zresztą nie frasujcie się tem kumciu; nasza sprawa je czysta jak bursztyn... Mamo za sobą Panie Dobrodzieju paragraf 720 litera: Poczekaj! — patent z dnia?..

— Wiem ju, wiem!.. Ta co mi z tego?...

— No, dobrze kumciu, kiedy wiecie, to oś tera trza tego szeuca procesować... Koniec końców takoj wygrać musimo...

Śty Piotr poskrobał się w głowę:

— A to Ci — powiada — skarana godzina ze szeucem!... No, no! ktoby się był tego spodziewał?... A jakżeż długo może się ciągnąć proces takij?..

Śty Iwo wziął na palcach rachować:

— Suplika, to miesiąc,... replika Panie Dobrodzieju to dwa;.. potemu duplika,... taj znowuś replika;.. potemu Panie Dobrodzieju tryplika,... taj jeszcze raz replika;... potemu przesłuchanie świadków;... potemu spisanie aktów...

— No — powiada — jak dobrze pójdzie, to będziemo Panie dobrodzieju mieli wyrok za tysiąc lat.

Śty Piotr drapnął jak oparzony.

Idzie Ci złyj jaże strach — idzie, idzie aż w tem spotyka go Śty archanioł Michał, ten sam, że go maistrat postawił we Lwowie na moście, coby niuchał, jak Pełtew pachnie.... Rarytas!..

— Daj Boże dzień dobryj Piotrusiu!.. A co tam? A jak tam?...

— At — odpowiada Piotr — Jambaras, taj kuniracja!... Wlazł Ci tu do nieba przez żadnego prawa jeden takij szeuc taj ni wio ni hau nie wiem jak go wyrzucić...

— A zkądże wón je, ten kopyciarz?...

— Tażе ze Lwowa...

— Ze Lwowa!... He, he!.. A to Ci kibic dopiero!.. Poczekaj, ja go zaraz wykurzę!..

— Et, nie gadaj!.. Dopieruśko wracam od hadwokata, od naszego Iwona... Radziliśmo tam trzy godziny, taj nic nie uradzili...

— Ta co tu pomoże hadwokat w takim jenteresie?... Tu — powiada — trza to lwowskie ziółko wyrychtować na frajera, to ja to lepiej potrafię... Ta to przecik Piotrusiu krajan mój!.. Czekaj, Czekaj! Zaraz zobaczysz, jak słę to Lwowiaków rychtuje.

Właśnie w tej chwili przelatywało tamtędy stado aniołów, oś tycie szkrabiki, a wszystko Ci gołe, za pozwoleniem przez koszulki;... zwyczajnie rozpusta!..

Śty Michał kiwnął na nich palcem:

— Malcy! pst! pst!

Aniołkowie przylecieli na to zawołanie.

— Słuchajcie szkraby! Byliście wy kiedy we Lwowie?..

— Czemu nie? Byliśmo!...

— A widzieliście jak tam Żydów biją?

— Oj joj! Czy raz?...

— A słyszeliście, jak się tam chłopcy od szeuców wtedy na wojnę zwołują?...

— No, prauda cośmo słyszeli.

— Dobrze!... Oś tera słuchajcie smyki co wam powiem!... Polecicie mi jeden z drugim na raz dwa cichaczem za bramę rajską. Rozumiecie?...

— Rozumiemo!...

— Tylo cyt! ani mru-mru!... Pamiętajcie, coby mi żaden z̓was pary z ust nie wypuścił, dopókil nie będziecie za bramą. Rozumiecie?...

— Tażе rozumiemo!...

— Jak już będziecie raz za bramą, to weźmiecie krzyczeć na całe gardło: „Zelman! Zelman! Bij Żyda! Hura na Żydów!“ — jakurat tak, jak krzyczą szeucy we Lwowie, kiedy się zwołoją na hecę... Rozumiecie?

— Czemu nie? Rozumiemo!...

— No to dobrze!.. Oś tera chłopcy, kiedy rozumiecie to chybaj mi jeden z drugim; jazda!.. A jak się mi dobrze sprawicie to dostaniecie pierników...

Aniołkowie polecieli jak z procy: fur! fur! taj już ich nie widać. A to Ci dopiero kumedja!...

Oś tera tak było: skoro Jantkowa dusza posłyszała co tam za bramą wołają „Zelman!“ zaraz Ci się w niej odezwała szeuska żyłka. Ach, jak Ci weźmie krzyczeć: „Bij Żyda! Hura na Żydów!“ jak Ci weźmie lecić: raz! dwa! taj już mój Jantek za bramą; — a tu — masz tobie! — zasuwa Śty Piotr za nim drzwi na zasuwkę!.. *Aus* kapelusznik! A to Ci dopiero heca, naj djabli wezmą!.. Bywajże tara zdrów folenderskij śledziu!..

Stoi że Ci tera znowuś mój szeuczysko za niebieską bramą taj nic, tylo furt spluwa, taj skrobie się w głowę. A Śty Piotr wystawił nos przez wokienko, taj śmieje się z niego:

— A co Jantek? Dobrze Ci tam tera?...

— At — powiada Jantek — *Olles ans!*.. U mnie to: albo, albo!... Tylo mi żal — powiada — co tu wołali: „Zelman! Bij Żyda! Hura na Żydów!“ — a wszystko to było za durno!...

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się Śty Piotr — a jakby to nie było za durno, to co?...

— Ba — powiada na to Jantek — jakby to nie było za durno, tylo na praudę dychtyk wojna z kasztanami, toby człowiek nie żałował, co stracił korunę niebieską dla hecy!..

To powiedziałszy, dała Jantkowa dusza znowuś nurka w sam środek wieczności. Najże tam sobie tera siedzi, kiedy tak; — taj tylko!...

Panna Lala.



(Myśli przed ślubem.)

Nie zapomnieć adresu: Mademoiselle Vidal 104 rue Richelieu; suknia ślubna. Madame Aubert-Lebland 53 Chaussée d' Antin bielizna, hafty i t. d. *English Warehouse* boulevard de la Madeleine 66, kostium do polowania *for sportswomens.*

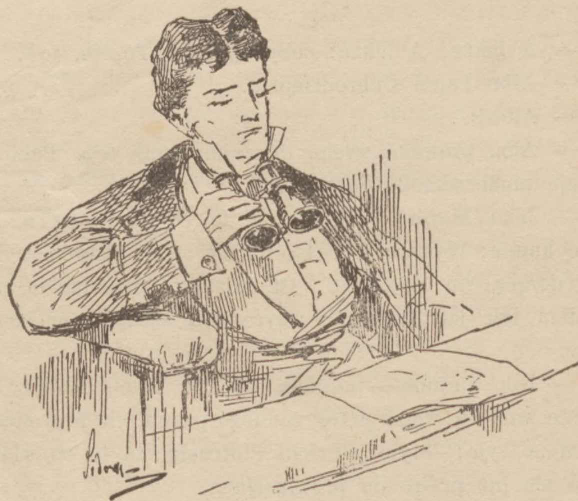
Wyczytałem dziś w *Vie parisienne*:

„Żeniaczka nie zabija mężczyzny; ten który się zdecydował wstąpić w stan małżeński był już trupem.“

Ph! Tant mieux! Nienawidzę dzieci!

Ciekawam jakie mi Toto zrobi podarunki ślubne? Zdaje mi się że go kochać zaczynam.

Hrabia Toto.



(Myśli przedślubne.)

Nudzi mnie Percalina; udaje ciągle że jest we mnie na śmierć zakochaną. Musiałem jej dać odczepnego 20.000 franków. *Au fait*, czy ma mnie zrujnować żona, czy taka facetka, to zupełnie na jedno wychodzi!

Lala chce koniecznie, żebyśmy po slubie pojechali do Rzymu, prosić Ojca Świętego o błogosławieństwo. Zaczynam wierzyć, że Lala jest *um femme de tête*, i że ostatecznie pomiędy nią a mną, ja daleko większym jestem warjatem.

Wilją mego ślubu dam wedle tutejszego zwyczaju kolację dla Percaliny; Zizio przeprowadzi kilka facetek. *Un souper d' enterrement!*.. Potem będę już porządnym człowiekiem...

Wydawca i odpowiedz. za redakcję F. H. RICHTER.

Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



AURELIAN.

Powieść z czasów cesarstwa rzymskiego przez Wojciecha Dzieduszyckiego.

J. I. Kraszewskiemu w jubileuszowym Jego roku ze czcią składa autor.

(Dokończenie.)

18

„Zabili ją, zabili rozbójnicy!“ zawołał Świętosz załomując ręce. I nie mówił już nic, siedząc wśród zgliszcza, blady i drżący z otwartemi usty, jak gdyby niewiedział, co się dokoła działo. Widniało coraz bardziej, i gdy zdawało się, że już rano, pokazali żołnierze Maksyminowi ciało Krasy. Leżała piękna w śmierci, bo głownia padła jéj tylko na pierś. Maksymin poznał Krasę, bo kto ją raz widział, ten niezapomniał łatwo téj twarzy. Kazał ją podnieść, i położyć na mary. Kazał jéj rany żołnierskim płaszczem nakryć, i kazał żołnierzom nieść do Kastrum Gaudii. I Świętosza wołał, by szedł za nim. „Ty jeden możesz nieszczęście opowiedzieć Aurelianowi,“ mówił, „ty jeden tak cierpisz, jak on ucierpi, bo wiem że kochał szalenie córkę twoją!“ Tak mówił Maksymin ale Świętosz niesłuchał i nięsłyszał; trzeba go było wśród zgliszczy pozostawić.

Wśród szarej mgły i bez grania surm wracał Maksyminowy oddział do obozu, a żołnierze szeptali między sobą ciekawi, widząc ciała na marach. Aurelian z bijącem sercem czekał na Krasę wyszedłszy na wały. Pewny był że Krasa przyjdzie i patrzał na orszak Maksyminowy z radością w duszy. Orszak się zbliżał — Krasy nie było — były jakieś mary — drgnął cały Aurelian — zapomniał o żołnierzach do koła, biegł do mar i padł jakby martwy na Krasę.

Długo trwało, nim podniósł głowę, nim chrypliwym głosem spytał Maksymina. „Co to? Na Peruna!“

„Gdyśmy wyjeżdżali z obozu — rzekł Maksymin — widzieliśmy już jakąś łunę, tam, gdzie domy Senthesowe. Trwoga nas tedy zdjęła, bo wiesz, że Antowie palą domy tych, co jak Senthes Rzymianom sprzyjali. Jechaliśmy szybko tedy i dopadliśmy Antów, ale zapóźno! Tośmy tylko przywieść mogli“. I mówiąc wskazał na ciało.

Aurelian stał wyprostowany, nieruchomy. Tylko barwa mieniła mu się ciągle na twarzy. Ale powoli wracał pokój na twarz i w całej postawie widać było człowieka, co znów rozkazywać potrafi, człowieka o strasznej woli.

„Maksyminie!“ zawołał „Niech zatrąbią do pochodu! Ruszymy na zamek Zaborowy i ani jeden Ant nam z rąk nie ujdzie!“

I godzina nie minęła, a wojsko rzymskie było w pochodzie. Nieminęło południe a stanęli wszyscy dokoła Kociszowego zamku, połyskując zbrojami. I Mnesteusz był tam obok Aureliana z rozkazu cesarskiego. „Bo sąd będzie“ mówił Aurelian.

Kocisz i Zabór byli w zamku w Czesebisach i siedzieli przy Zorynie, co przez otwarte okno patrzała na mgłę, co się powoli podnosiła po nad Bystrzycę. Chwalił się Zabór matce z pewnego zwycięztwa. Aurelian dotrzymywał mu słowa. Rzymian oddawał mu w ręce; wolność

była pewną, daremnemi złe wróżby. „Niepotrzebuję mieć przy sobie żołnierzy,“ mówił, „zamkowa straż wystarczy, bo Rzymian już niema.“

Mówił tak, gdy Zoryna od okna wstawszy zawołała: „A spojrzyj czy ich niema! Patrzaj ile zbroi połyskuje wśród mgły, patrzaj jaki naród zbrojny tu ciągnie! Tak toś mądrze zawierzył słowu Aurelianowemu. Już zamek twój otoczony do koła żelaznym obręczem, głupie dziecko, i król ich sam dowodzi. Widzę go na białym koniu.“

Kocisz i Zabór zbliżyli się do okna strwożeni i osłupieli. Już zamek ich był jakby w ręku Aureliana i sam Aurelian wskazywał żołnierzom, gdzie mają uderzyć. Już grały surmy Rzymskie, już orły się zbliżały do bramy. Nie było nawet czasu zwołać szczupłą załogę.

„To tyś winien!“ zawołał Kocisz zwracając się gniewnie do Zabora, „że sprawa nasza przepada! Wspaniałomyślne dziecko, któremu się zachciało rozkazywać, którego głupcy słuchali. Darowałeś życie Rzymskiemu trybunowi. Przez niego wieści zaszły do obozu Rzymskiego. Oto skutek!“ I mówiąc trzymał Zabora za ramię.

„Jakto ja winien?“ wołał młodzieniec. „Wszak to jam podniósł wasze serca! Przezemnie tylko zbudziliście się ze snu! Jamto imieniem Krasy zaklął był serce Aureliana.“

„Imieniem Krasy? Jakież to wspominasz czary?“ krzyknął Kocisz.

„Nie czary, lecz miłość Aureliana. Kochał Krasę i dla niej stał przy nas.“

Piorunem rażony stał Kocisz. I w jego duszy poraz pierwszy w życiu powstało pytanie: „A nie zrobiłem że źle?“

Służebne spłoszone zabiegały izbę garnąc się do Zoryny, a ona stała dumnie, o kądziel jakby o berło oparta. Stała bez trwogi słuchając grania wojennych surm, krzyków bezładnych i sporu wodzów. Tylko wzgarda drgała jej na uściech. Nastała chwila, w której było można słyszeć jej głos i wtedy przemówiła: „Dobrze, kłóćcie się! Tak zawsze bywało i u ojców. Gdy naród ginął, kłócili się bezradni wodzowie!“

Mówiła jeszcze, gdy drzwi zapadły się z trzaskiem i rzymscy żołnierze wpadli ze spuszczonemi włóczniami. Kocisz skoczył z krzykiem na włócznie i padł przebity. Zabór spokojnie wydobył słońce z zanadrza i zawołał: „Na ten znak Rzymianie! rozkazuję wam: stójcie!“

Spojrzeli żołnierze. Trwoga i zdziwienie wystąpiły na ich twarze i spuścili o ziem włócznie. W tem wszedł do izby Aurelian. Na czole mu było teraz wypisano, że jest panem świata. Okiem z ognia zmierzył Zabora i zawołał głosem wielkim: „Łotr ten skradł mi znak mój. Chwytajcie go!“

Żołnierze poruszyli się znów naprzód. Zoryna podniosła kądziel jakby miecz i uderzyła nią po zbrojach, ale kądziel połamana z rąk jej wypadła. Zabór chciał mieczem ciąć, ale ledwo jednego ranił żołnierza. Powalone pacholę leżało na ziemi, słońce wyrwane z jego rąk podawano Aurelianowi, a na znak imperatora surmy zwiastowały borom i błoniom zwycięztwo Romy.

Po dziedzińcach zamkowych huczały okrzyki rzymskie, a żołnierze rzucali się już na Zorynę, ale Aurelian powstrzymał ich słowem jednem i od niej i od dziewek. Było milczenie i Zoryna stała jak posąg a na twarzy jej była wzgarda. Dziewki w białej odzieży cisnęły się do niej i szlochając chwytały ją za fałdy szat.

Legaci wchodzili i stawali w koło Aureliana. Imperator poszedł krokiem pewnym do krzesła Zoryny, siadł na niem, odpasał miecz, podał go Mnesteuszowi i rzekł: „Teraz sąd będzie!“

Legaci utworzyli półkole. Aurelian oczyma toczył po izbie i marszczył czoło. Wiedziano, że będzie groźnym. W tem uderzył pięścią dwukrotnie w poręcz krzesła i zawołał na nowo: „Będzie sąd! będzie straszny sąd!“

Trwało jeszcze milczenie. Aurelian wreszcie rozpoczął rzecz. „I oskarżycielem jestem i sędzią. Karać będę nie jak Aurelian, ale jak który z waszych imperatorów Rzymianie; jak który z tych Italików, którymeście stawiali świątynie, i co palili miasta wasze! Wiem jak się wam mam podobać teraz. Nauczyły mnie rozumu wasze spiski. I nie ci tylko, którzy winni byli, ale i ci, którzy milczeli, gdy mówić wypadało, zapłacą głową!“

Mnesteusz mienił się za tronem przemożony strachem, a Karus nawet oglądał się niespokojny; tylko po Dioklecyanie widać było pewność. Uśmiechał się nawet, jednak patrzał dziwnie na Aureliana.

„Przebaczałem — mówił dalej cesarz — a myśleliście żem słaby. Więc katem będę i nikomu nie przebaczę, ani tym, co myśleli, że Rzym zdradzam, ani tym, co myśleli żem słaby, i co się lękali tego mizernego buntu, tak jak gdyby nie Aurelian był imperatorem. Trzy godzin starczyło, by ująć tego królika złodziei i nie warto go sądzić. W Rzymie w gemonjach poczeka na siłę lwa. Lud będzie klaskał, gdy go będą szarpać bestye — a imperator aby się Rzymianom podobać, będzie się napawał widokiem krwi. Lubi Rzym mieć zwierza cesarzem! Będzie miał tygrysa. Tyberjusz niczem; Neron chłopcem niewinnym — mędrcem roztropnym Heliogobal w porównaniu z Aurelianem. I ja coś potrafię. Mam przecie na imię Lucius Domicius podobnie jak Neron.“

Zoryna stała zawsze nieruchoma, Zabór rwał sobie włosy i jęczał, a nikt nie opisze tego, co trwoga pisała na twarzy Mnesteusza.

Aurelian zerwał się z siedzenia i mówił we wzrastającym gniewie: „Tygrysem będę i będę krew ssał; przebaczyłem Zenobii, a ona do swego namiotu wołała

niewolników moich, by spiskowali przeciw mnie. Każę ich podusić. Każdy co tam stanął w namiocie umrze dziś jeszcze, a ja będę się śmiał.“ I mówiąc zaśmiał się Cezar, — zachwiał, zatoczył i padł na znak trupem. Krew ciekła dokoła niego.

Zoryna podniosła rękę i zawołała: „Patrzcie zabił go grom Perunowy.“

„Nie!“ krzyknął Mnesteusz „to ja wam zabiłem tyrana, by ratować i wasze i swoje życie. Niech żyje imperator Karus!“ I mówiąc podniósł pokrwawiony miecz — miecz własny Aureliana.

„Niech żyje imperator Karus!“ zawołali wszyscy.

Oto i powieści koniec. Obrazy znikły już z przed oczu, kortyna spadła, a epilog powie tylko co się stało z pozostałymi. Los łaskaw był na wszystkich.

Karusa z razu spotkało rozczarowanie. Senat w Rzymie uparł się przy prawie mianowania cesarzy i zamianował Tacyta. Karus jak zawsze ostrożny i rozważny uznał wybór, uznał potem jeszcze wybór drugi Probusa i doczekał się wreszcie tego, że został obwołany zgodnie i przez senat i przez wojsko. Panował potem światu lat kilka. Lecz zanim stał się urzędownie imperatorem, wszechmocny w wojsku, pierwszy cofnął wstecz granicę Rzymu. Żybar dobrze był uczynił, że wziął zakładników. Zjechał wkrótce do obozu Rzymian jako poseł Atanarycha i po układach dłuższych stanęło na tem, że zakładników oddał w ręce Karusa, a wziął w zamian Zabora i Zorynę. Bez Apra, Galeryusza, Karbona i Pizona nie mógł Karus dowodzić wojskiem; przystał tedy na zamianę i Apra uczynił prefektem pretoryum.

I nie na tem się skończyło. Cała północ burzyła się, a Waranes zdobywał wschód. Trzeba było tu, albo tam ustąpić. Legiony ustąpiły tedy z bezludnej północy za Dunaj. Anci i Goci zapanowali na obydwu stokach Karpat, i król Zabór poślubił córkę Atanaricha, a Krasie kazał usypać ogromną mogiłę, co po dziśdzień patrzy smętnie na Tyśmienicę. I matka jego Zoryna radowała się patrząc na królewskiego syna.

Zenobii kazał Karus mieszkać nad Neapolitańską zatoką, gdzie się późnego wieku doczekała. Myślała już tylko o zabawie, pozbawiona wszechwiednej papugi; i doczekawszy się dni Konstantego, kazała się podobno przed śmiercią ochrzcić.

Karus, gdy go już i senat uznał, z legatami swymi pociągnął przeciw Persom, uczyniwszy Aropsa legatem, Mnesteusza prokonzulem Brytanii. Zwyciężył Persów, ale nie doczekał się trjumfu i podziału państwa między siebie i synów, który uczynić zamierzał. Umarł na wojnie, synów zabił Aper, Apra Dioklecjan, a Dioklecjan świat pokrajał na kawały. Sam z Nikomedi panował Azji mniejszej i Syrji, dał Maksyminowi Italię, Ilirję i Dalmację Galerjuszowi, innym inne kraje. Wkrótce zaczął za namową Galerjusza wielkie chrześcian prześladowanie, potem uprzykrzył sobie panowanie i żył w salonie złożywszy berło, aż do czasów Konstantego. Mówią, że go Konstanty kazał udusić.

I Maksymin oddał berło w ręce syna Maksencjusza. Ale sprzykrzyło mu się to niebawem, że przestał panować. Powstał i został uduszony w Turonium w Galii. Co się z innymi stało, niewiem.

Przewodnik towarzyski i salonowy

WEDŁUG DZIEŁA „SAVOIR VIVRE“

*przez panią d'Alcq dla polskiej publiczności opracowała **Hr. R.***

(Ciąg dalszy).

VIII.

O Korespondencji.

Zasady grzeczności i dobrego tonu nigdzie nie są potrzebniejsze, jak właśnie przy pisaniu listów. „Słowo ulatuje, pismo zostaje“, mówi łacińskie przysłowie. Do listu można wrócić się nieraz i zawsze czytając, na nowo urazę w sercu odczuwać.

Wszystko powinno odpowiadać i świadczyć o naszej chęci nie obrażenia niczem osoby, do której piszemy.

Papier powinien być czysty, pismo bardzo czytelne, szczególniej gdy piszemy do osób w wieku podeszłym, styl o ile można naturalny, nieprzesadzony i zwięzły.

Dopóki młodzież nie nabierze łatwości i doświadczenia pewnego w pisaniu listów, rodzice i opiekunowie powinni nastawać bardzo i pilnować tego, żeby piszący do osób starszych robili kopje a dopiero na czysto je przepisywali.

Nie każdemu dano mieć piękny, zajmujący sposób pisania. Jest to talent odrębny, z którym trzeba się niejako urodzić. Jednak każdy powinien się starać pisać

czysto, wyraźnie, bez poprawek i przekreślań, co szczególniej wobec osób starszych dowodzi braku należnego uszanowania.

Supliki i wszelkie podania urzędowe pisze się na wielkim, tak zwanym białym papierze kancelaryjnym, zostawiając trzecią część próżną i nie pisząc jak tylko na jednej stronie. W ogóle pisząc w interesach trzeba starać się o styl jak najzwięźlejszy.

Kraszewski mówi o kobietach, że muszą zawsze najmniej cztery strony bite zapisać, a jeszcze najważniejsze interesa zostawiają zwykle na koniec, umieszczając je w dwóch lub trzech przypiskach.

Nie chcemy wyrokować, o ile to trochę złośliwe twierdzenie jest prawdziwe, jednakowoż pewną jest rzeczą, że kobiety są w ogóle więcej mówiące i więcej piszące od mężczyzn.

Panowie przesadzają często w zwięzłości; kobiety przeciwnie piszą prawie za wiele a często o niczem. Opowiadano nam o młodym człowieku, który pisząc raz na rok list do rodziców zaczynał go od dwóch wielkich liter K. R. To miało znaczyć „Kochani Rodzice“. Oszczędność nader śmieszna co prawda i wielce niestosowna.

Sposobów pisania jest prawie tak wiele jak osób, do których piszemy.

Do osób starszych, szczególniej jeżeli list ma w pół urzędowe znaczenie, jako to: podziękowanie za odebrane dobrodziejstwo lub wyświadczoną przysługę, oświadczenie ze strony rodziców lub samego konkurenta do rodziny panny i prośba o jej rękę, podziękowanie po otrzymaniu przyrzeczenia, jednem słowem: wszystkie listy oficjalne pisze się na pół arkuszu papieru cienkiego, welinowego, zostawiając u góry prawie trzecią część próżną a z boku także znaczny odstęp. Wszystkie następne strony stosują się do tej pierwszej.

Datę i adres kłaść trzeba na końcu takiego listu, z prawej strony, poniżej podpisu.

Listy zwykłe pisze się na ćwiartkach; wtedy data i adres mogą być dane zaraz z góry.

Papieru tak zwanego „biletowego“ pół ćwiartkowego można używać tylko w stosunku bardzo poufałym, do osób zupełnie nam równych tak wiekiem, jak położeniem w towarzystwie, lub też do naszych podwładnych.

Papiery malowane, złocone, zupełnie już wyszły z mody. Najbardziej elegancki dla osób prywatnych jest papier z czarną cyfrą własną, u góry z koroną lub bez korony, co od gustu zależy. Ośmielamy się zwrócić tutaj uwagę pań naszych, że ubliżyłyby sobie, a co gorsza mężowi, gdyby n. p. pozwoliły kupcowi umieścić na papierze koronę, którą miały z domu, a która po mężu już im się nie należy. Koronę szlachecką możemy zawsze z dumą nosić. Szlachectwo dawał kraj cały a dawał za czyny prawdziwie szlachetne, w uznaniu zasług i krwi przelanej w obronie wiary i ojczyzny.

Ponieważ mody tak samo często zmieniają się co do papierów, jak i co do innych artykułów, radzimy osobom lubiącym iść ściśle za modą, nie robić nigdy wielkich zapasów papieru z cyfrą, bo i cyfry same wielkim zmianom podlegają.

Osobom utytułowanym daje się cały tytuł tak na początku listu, jak i na kopercie. Jaśnie Oświecony Książę, dla książąt tak świeckich jak kościelnych, Jaśnie Wielmożny dla baronów, hrabiów i wyższych dygnitarzy, tak cywilnych jak wojskowych. Kto ma tytuł Ekscelencji, zaczyna się do niego „Wasza Ekscelencjo“, kardynałom pisze się „Wasza Eminencjo“, zakonnikom pisze się Wielebny i Najprzewielebniejszy podług godności, którą piastują.

Wszystkie te przepisy tyczą się stosunków czysto etykietalnych; gdzie zaś ścisła przyjaźń łączy lub zachodzą stosunki rodzinne, tam serce najlepiej nam podyktuje jak zacząć list i jak go skończyć.

Przejdźmy do listów mniej oficjalnych. Mężczyzna do kobiety zaczyna zwykle: „Wielce szanowna“ — a gdy ją chce jeszcze więcej uszanować — „Czcigodna pani“.

Kończy zaś ucałowaniem jej rączek, złożeniem u jej stóp swego najgłębszego uszanowania, nawet przywiązania, jeżeli to osoba w wieku podeszłym, lub zostaje jej uniżonym sługą, chociaż ta formułka, również jak „Wielmożna Pani Dobrodziejko“, trąci cokolwiek starożytnością.

Kobieta pisząc do mężczyzny zupełnie obcego, może zawsze zacząć od „Wielmożny Panie (tu tytuł, np. radca, profesor, mecenas lub coś podobnego) Dobrodzieju“. Im mniej to się komu należy, tem więcej tego pragnie. Człowiek rozumny i prawdziwie szlachetny pewno się nie obrazi, jeżeli kobieta napisze mu po prostu „Szanowny Panie“ — parweniusz przeciwnie, choć nie będzie ani szlachcicem, ani szlachetnym, gotów się uczuć bardzo dotkniętym, jeżeli opuści się formułkę „Wielmożnej“. Tytułowanie w listach oficjalnych tak samo obowiązuje kobietę, jak mężczyznę.

Kobieta pisząc do człowieka bardzo sędziwego i bardzo zasłużonego, zakończy: „z prawdziwą czcią i poważaniem“ albo „z wysokiem poważaniem“, jeszcze mniej „z wysokim szacunkiem“ — a dla podwładnych dość będzie „z należnym szacunkiem“. Między temi dwoma zwrotami wielka jest różnica. Pierwszy oznacza, że stopień uczuwania szacunku jest w nas bardzo wysoki, drugi zaś powiada, że tylko tyle szacunku udzielamy, na ile zasługuje człowiek, do którego list posyłamy.

Do bardzo bliskiego krewnego można zacząć „Kochany Kuzynie“ — a zakończyć, jeżeli mówi mu się po imieniu — „Twoja szczerze przychylna krewna“. Zapewnienie, że jest się z uszanowaniem, od kobiety do męż-

czyzny nie jest stosownem i właściwem. Szacować można wielu ludzi, szanować kobieta może tylko ojca i męża swego, nawet bratu rodzonemu nie winna uszanowania. Duchownym bardzo sędziwym i bardzo świętobliwym można także napisać „z czcią i uszanowaniem“ szczególnie, jeżeli jest naszym ojcem duchownym. „Szczerze życzliwa, szczerze przychylna, z prawdziwą przyjaźnią“ oto jedynie co się powinno do obcych mężczyzn pisać. O przywiązaniu można pisać jedynie do najbliższych sobie mężczyzn, mianowicie do dziadków, ojców, tak swoich, jak mężowskich i do brata rodzonego, bo względem braci mężowskich już by to było za wiele zapewniać ich o naszem przywiązaniu.

Adres w obrębie kraju i do ziomków daje się zawsze w języku narodowym; dawać adres francuski w polskim kraju, gdy do Polaków piszemy, trąci wielką parafiańszczyzną. Zwykle osoby tak adresujące nie umieją francuskiej pisowni i niesłychane bąki strzelają.

Do obcych mężczyzn kobieta podpisuje zawsze całe imię i nazwisko, a pieczętuje list cyfrą lub pieczątką z herbem, lecz nigdy „d e w i z ą“, mniej lub więcej czułą i znaczącą.

Jedynie pisząc do osób bardzo bliskich i bardzo do nas przywiązanych, można wchodzić w drobne szczegóły naszego życia codziennego; osobom obcym należy oszczędzić podobnych drobnostek.

Pisząc do domu, gdzie jest liczna rodzina, wypada każdemu z osobna załączyć, co się komu należy.

Niektórzy podpisują pannom adresa: „Pani N. N.“ — nie możemy pochwalić tego zwyczaju, lepiej napisać na adresie „Wielmożna Marja N.“ po prostu, niźli dawać tytuł pani panience, której on się jeszcze nie należy.

Wysyłając list za granicę, należy dać adres dokładny, wyraźny, w języku niemieckim lub francuskim. Oprócz Niemiec, język francuzki jest prawie uniwersalny. Po lewej stronie piszemy miasta główne, przez które list ma przechodzić, zaczynając od najbliższego nam, a kończąc na ostatniem, jedno pod drugiem; po prawej zaś stronie wielkiemi literami ostatnia poczta i pod nią w równej linji miejsce pobytu lub liczbę kamienicy i piętro, jeżeli do miasta list adresujemy.

Jeżeli mamy komu niemiły list napisać, poczekajmy z nim raczej do jutra, a może gdy pierwszy gniew minie, mniej ostro napiszemy. Osobie bardzo nam drogiej, choćby nas boleśnie listem dotknęła, raczej nie odpisujmy wcale, lub odpiszmy w sposób łagodzący, żeby nie potrzeba zupełnie zrywać stosunków dotąd tak nam miłych i serdecznych.

Listy bardzo ważne powinno się posyłać „z a r e w e r s e m“, bo tylko za takie listy poczty odpowiadają. Listów nie opłaconych nie posyła się nigdy, nikomu.

Listy posyła się zawsze w kopercie.

Zapraszając na wieczór, wypada określić tak zaproszenie, żeby goście wiedzieli, na którą godzinę zejść się mają i w jakiej toalecie. Do bardzo bliskich osób można kilka słów na bilecie wizytowym napisać, do mniej zbliżonych trzeba pisać list cały. Można posyłać także litografowane zaproszenia, ale to robią tylko prawie wyłącznie osoby urzędowe, mające po kilkaset takich zaproszeń do rozesłania.

Zwykły styl całkiem oficjalny podobnych zaproszeń jest następujący: „Mam, lub mamy zaszczyt prosić panią, pana, lub państwa z rodziną na objad, bal, wieczór lub wieczorek dnia tego i tego na godzinę tę i tę“.

Zaproszenia podlegaja tem samem zmianom co i ko-[illegible]dług stopnia zażyłości, pokrewieństwa i przyjaźni, która nas łączy z osobą zapraszaną.

Listy z życzeniami na imieniny lub Nowy rok pisze się zwykle krótko. Listy tak zwane: „z k o n d o l e n c j ą“ po stracie drogiej osoby trzeba pisać bardzo oględnie; jeżeli przypuszczamy, że żal jest szczery i głęboki, żeby go bardziej jeszcze nie rozdrażnić; jeżeli zaś wiemy na pewno, że osoba, do której nam pisać wypada, raczej się śmieje, niż płacze, żeby nasz list nie wzięto za ironję lub chęć dania nauczki, iż za mało zmarłego żałuje.

W ogóle sztuka pisania listów nie jest wcale łatwą. Potrzeba do tego serca i umysłu równie wykształconego, a przedewszystkiem dużo wprawy i doświadczenia.

Gdy kogo prosimy o oddanie listu innej osobie, nie wypada listu pieczętować; byłoby to oznaką nieufności i mogłoby dotknąć bardzo tę osobę; nawzajem osoba proszona o oddanie cudzego listu, nie powinna, jeżeli ma cokolwiek delikatności, ani go się dotknąć, ani okiem rzucić na treść jego. Jeżeli w obcym domu leży przed nami list otwarty, ale nie do nas pisany, byłoby najwyższą niedelikatnością, czytać go bez pozwolenia tej osoby, do której był pisany.

IX.

O dobrym tonie przy jedzeniu.

Wzorowe urządzenie domu zależy wyłącznie od kobiety. Dom powinien być światem kobiety, a urządzenie całego trybu życia jak najstosowniej, najwygodniej i najprzyjemniej tak dla domowników jak i dla gości powinno być pierwszem zadaniem dobrej gospodyni. Jadło dobre i smaczne przyczynia się wielce tak do zdrowia, jak i do dobrego humoru tych, co nas otaczają. Każda dobra gospodyni powinna znać się na kuchni, żeby umieć zadysponować jeżeli ma komu, a w danym razie i samej zajrzeć do kuchni i raczej pomęczyć się trochę gotowaniem, niż pozwolić mężowi i gościom truć się źle przyrządzonemi potrawami.

Kobieta z rozumem a przy dobrych chęciach w momencie nauczy się gotować, chociaż każda rozsądna matka powinna sama nauczyć córkę sztuki gotowania, nim ją za mąż wyda. Jest to najpożyteczniejszy talent w życiu kobiety. Nie potrzeba dla tego zaraz zostawać kucharką; przeciwnie można być zawsze elegancką damą salonową, i zachować białe, delikatne rączki, boć do grubej roboty bez trudności kogoś znajdziemy. Z jakąż dumą, z jakiem zadowoleniem będziemy patrzéć na własne nasze dzieło, smacznie pożywane przez miłe nam osoby!

Nie wdzierając się w prawa książki kucharskiej, podamy kilka uwag co do układania większych obiadów.

Nie powinno dawać się dwóch białych, ani dwóch rumianych sosów. Jeżeli sztuka mięsa biała, potrawka będzie z sosem rumianym i przeciwnie. Jeżeli jest półmisek z jarzyną przed pieczystem, nie można dawać drugiego półmiska z jarzyną, ani z sałatą, tylko damy kompót słodki z owoców do pieczystego.

Jeżeli raki są w zupie, nie mogą już być powtórzone w ciągu obiadu. Słyszeliśmy o takim niefortunnym obiedzie, gdzie raki dano potrójnie, w zupie, pasztecikach i potrawce, a do tego jedyny gość, który był na obiad zaproszony, miał wstręt niczem nieprzezwyciężony do raków i obiadu całego nie wziął w usta.

W lecie najstosowniejsze legominy na zimno: Kremy, lody, pjanka bita ze śmietanki; w zimie natomiast szczególniej dla osób starszych nie byłoby zdrowo oziębiać żołądek. Bardzo długie obiady wyszły prawie zupełnie z mody; jest to okropnie nużącem, siedzieć kilka godzin na jednem miejscu zwłaszcza w lecie. Trzeba tylko starać się o rozmaitość i smaczne przyprawienie potraw.

Ładne i wabiące oko urządzenie stołu przyczynia się bardzo do przyjemności w jedzeniu. Czystość jak największa, tak w bieliźnie stołowej, jak w porcelanie i krysztale, służącym do stołu nakrycia, jest niezbędną. Tu także sama gospodyni domu niech wszystkiego dopilnuje. Na służbę, choćby najliczniejszą, nigdy spuścić się nie można. U nas szczególniej służba jest ogólnie niedbała i nieporządna w najwyższym stopniu. Zresztą ręka kobiety wykształconej umie z niczego coś zrobić; czego się dotknie, uszlachetnia, upiększa, choćby przedmiot był najmniej poetyczny. Inaczej będzie wyglądał stół, przez samą panią domu urządzony i dopilnowany, niż bez oka pani nakryty choćby przez najdroższych kamerdynerów. Bukiety ze świeżych kwiatów są bardzo wielką ozdobą. Kwiaty w wazonach można tylko stawiać na stołach, na którym „Święcone“ na Wielkanoc ustawiamy.

Kryształ i porcelana powinne być jednakowe podczas całego obiadu. Mieszanie różnych serwisów bardzo złe wrażenie wywołuje. Do sałat, kompotów i wszelkich innych dodatków do pieczystego podaje się zawsze osobno mniejsze talerzyki, z tego samego serwisu co porcelana większa. Do deseru podaje się jeszcze mniejsze miseczki, najlepiej z kryształu, a do tego, kto mieć może, srebro deserowe w mniejszym formacie niż wielkie sztućce. Pani domu powinna tak wszystko urządzić, nim goście się pojawią, żeby nie było już przy gościach żadnej zakrętaniny, biegania, mrugania na sługi, najmniej zaś krzyków i łajania. Byłoby to nietylko niestosownem, lecz prawie nieprzyzwoitem. Goście są wtedy w najnieszczęśliwszem położeniu. Nie wiedzą co mówić, co robić, czy żałować i ubolewać nad biedną zafrasowaną okropnie gospodynią? czy udawać, że nic nie widzą i nie słyszą? Jest to prawdziwa Scyla i Charybda, z której niepodobna wybrnąć.

Nawet gdy nas goście najadą niespodzianie, a tem bardziej gdy są naprzód zaproszeni, trzeba im okazać twarz uśmiechniętą, spokojną, nie wypada przenigdy bawić ich opowiadaniem o naszych domowych kłopotach, o niegodziwości i niesforności sług naszych, o jakimkolwiek wypadku nieszczęśliwym, który dnia tego nastąpił. Takie przedmioty nie są ani zabawne, ani stosowne do rozmowy w salonie, zdradzają w nas brak wychowania, delikatności a gości nudzą niepospolicie.

Służbę trzeba codzień uczyć i przyzwyczajać do usługiwania jak najciszej. Każdy hałas jest nieznośny przy jedzeniu to pewna, ale najnieznośniejszym dla gości jest ciągle grzmiący głos pana lub pani domu. Lepiej nie jedno nieszczęście, niesforność służby, zepsucie jakiejś potrawy, nieuważać i pominąć milczeniem, a jeżeli nie można nie uważać, to przeprosiwszy grzecznie swych gości, usunąc czem prędzej przedmiot niemiły z przed ich oczów, zostawiając wszelką polemikę i łajanie na później, gdy gości nie będzie.

Zupę można rozdać, nim goście wejdą do sali jadalnej; lub też pani domu, mając przed sobą stos talerzy głębokich, rozdaje takową, gdy już goście usiądą. To już zależy od urządzenia domu, mniej lub więcej po pańsku.

Krzesła przy stole jadalnym powinne być jednakowe, wygodne i niezbyt słabe żeby osoby lepszej tuszy nie były w obawie połamania tychże.

Pierwszeństwo należy się zwykle damie najstarszej wiekiem. Żeby się nie znaleść w przykrej kolizji, trzeba uważać zapraszając panie na obiad, aby nie było razem kilka roszczących prawo do pierwszego miejsca. Jeżeli niespodzianie, naprzykład, na jakie imieniny zjadą się panie w ten sposób, wtedy gospodarstwo są istotnie w wielkim kłopocie i muszą wytężyć cały rozum, żeby kogo nie obrazić.

Dobrze jest przedzielać panie mężczyznami. Ożywia się zaraz rozmowa i panie mają pomoc przy obiedzie ze strony panów. Grzeczny mężczyzna nie powinien dopuścić, żeby jego sąsiadka sama po coś sięgała, wody

sobie nalewała; wszystkie te drobne usługi do niego należą i on powinien je oddawać z całą gotowością.

Mężczyźni proszeni na obiad, tak w mieście jak na wsi, muszą być we fraku i w białej krawacie. Tak samo powinni się ubrać, gdy jadą na wieś na czyjeś imieniny, choćby nieproszeni.

Kobiety jadąc na imieniny nie powinne ubierać się czarno. Wiele osób bierze to za smutną wróżbę. Osoby w grubej żałobie nie powinne bywać wcale na podobnych zebraniach.

Matka chrzestna, staróścina, zaproszona na czyjeś wesele nie powinna nic czarnego brać na siebie.

Trzeba bardzo uważać, żeby nie zaprosić liczby fatalnej trzynaście. Każdy przesąd jest właściwie bez podstawy, to prawda, a jednak są osoby, które trapiły by siebie rok cały tą straszną myślą, że siedziały przy stole w trzynaście. Gospodarstwo grzeczni i uważający nie zechcą przecie nigdy i w niczem zrobić przykrości gościom swoim. Podczas imienin, a przedewszystkiem na Wilję Bożego Narodzenia uważają, żeby było osób do pary.

Jeżeli obnosi się od razu po dwa półmiski, trzeba uważać, żeby ich jakość była jednakową. Nie grzecznie byłoby dać połowie stołu sarninę, a drugiej stronie cielęcinę. Oba półmiski, służący równocześnie obnoszą, jeden od prawej, drugi od lewej strony, zaczynając od osób najwyżej siedzących.

Nie trzeba ani za blisko, ani za daleko stawiać krzeseł przy stole; 60 centm. czyli polski łokieć jest przyzwoitą odległością,

Przy zaproszeniach na objady trzeba najściślej trzymać się godziny w zaproszeniu wyrażonej. Przez opóźnienie mógłby się popsuć obiad cały.

Gospodarstwo nawzajem powinni na służbę nastawać, żeby obiad był dany na godzinę zapowiedzianą. Dłużej jak kwadrans nie wolno im czekać na nikogo. Reszta gości mogłaby tem słusznie czuć się obrażoną. Dziwaczne składanie serwet, np. w ptaki, karczochy, w czółna, wyszło już zupełnie z mody.

Na wsi daje się tylko dobry, biały chleb żytni do obiadu, w mieście zaś dają także małe bułeczki pszenne pieczone u piekarza.

Trzeba uważać, żeby komu chleba nie brakło; panowie szczególniej więcej chleba potrzebują. Pani domu powinna skinąć na służącego, jeżeli sam nie poda, gdy widzi, że chleb już zjedzony.

Kieliszków więcej jak cztery nie powinno się stawiać. Gdyby jeszcze więcej było gatunków wina, trzeba razem z winem świeże kieliszki przynosić.

Wina węgierskie podają się naturalnie, wina francuzkie grzeją się w ciepłej wodzie, szampan przeciwnie w lód się stawia i zwykle przy deserze dawać go się zwykło. Kawę czarną podaje się panom do pokoju, gdzie cygara zapalić mogą, jakoteż likiery po czarnej kawie. Kawę czarną można paniom proponować, lecz nie wypada pytać, czy będą pić likiery; jeżeli która pani jest o tyle emancypowaną, sama o nie poprosi.

Do likieru są potrzebne o wiele mniejsze kieliszki i zawsze przynajmniej dwa lub trzy gatunki likierów w różnych kolorach dać wypada.

Nie można dość wcześnie uczyć dzieci porządnego, przyzwoitego jedzenia i tych tysiącznych drobnych odcieni, które ludziom dobrze wychowanym stają się drugą naturą, tak że już potem bezwiednie robią wszystko, jak dobry ton nakazuje, a które dla innych są tak trudne do nabycia, jeżeli od dzieciństwa do tego nie przywykli.

Osoby źle jedzące stają się częstokroć powodem obrzydzenia dla ludzi nerwowych. Jeżeli jemy coś płynnego, zupę lub sos, trzeba jeść tak, żeby tego słychać nie było. Jest to niestety! bardzo częsta wada, szczególniej u panów, noszących wąsy, że jedzą chlupając głośno za każdą łyżką, rzecz okropnie wstrętna i nieznośna; nie powinno się do sosu chleba rzucać i razem z sosem chleb zjadać. Jest to także zwyczaj nader nieestetyczny. Mięso kraje się powoli trzymając w lewej ręce widelec, w prawej nóż, i tak lewą już ręką kładzie się do ust po kawałku. Raki, szparagi, bardzo młode kurczęta i drobne ptaszki jedzą się po prostu rękami. Kurcząt w potrawce już tak jeść nie można, boby za wiele sosu na palcach zostawało.

Po rakach trzeba gościom dać wody letniej i bibułkę lub czerwone serwetki do rąk obtarcia. Tłustość z raków bardzo się trudno wypiera.

Podczas obiadu nie można w winie maczać chleba, nie wypada również chleba drobić i potem bawić się robieniem różnych figur z tych otrębów; pod żadnym zaś warunkiem nie wolno robić z chleba kulek i rzucać niemi na około siebie.

Oprócz tych rzeczy, które wyżej wymieniliśmy, nigdy i niczego nie wolno palcami dotykać. Owoce bierze się rękami, byłoby jednak bardzo nieprzyzwoicie macać przódy kilka, nim się jeden wybierze. Pani domu nie powinna także nigdy kłaść rękami komuś owoc na talerz, chyba, że może wziąć ten owoc za długą szypułkę. Nie wypada także brać cukru palcami, jednakże gdyby ktoś z gości dopuścił się tego, pani domu byłaby nie tylko niegrzeczną, lecz prawie brutalną, gdyby zrobiła z tego względu gościowi jakąkolwiek uwagę. Nawet dziecku najmniejszemu nie wolno w domu własnym uwag robić, chyba że nas rodzice tegoż dziecka do tego kroku upoważnią.

(C. d. n.)

Moje wyjście z Warszawy do Drezna

przez **Ksawerego Bronikowskiego**

wice-prezydenta Warszawy podczas ostatnich dni rewolucji 1831 r.

przetłumaczył z niemieckiego J. N. z Oleksowa Gniewosz.

(Ciąg dalszy).

Jeżeli to rzeczywiście była myśl Austrji, to polski rząd narodowy musi sobie uczynić wyrzut, że bez zastanowienia powstrzymał powstanie w Galicji. — Jedynie tem może się usprawiedliwić, że wolał postępować prawidłowo anizeli sprawę wolności oddać w ręce austrjackiej oligarchji.

Gdy przybyłem do Poznania około połowy Października, były już znowu tamże roboty forteczne na nowo rozpoczęte. Poznań nie będzie zwykłą fortecą, lecz na zewnątrz zbudowanych zostanie siedm cytadel, z których jest zamierzonem utrzymanie miasta w posłuszeństwie, dawniej budowano fortece przeciw napadom zewnętrznego nieprzyjaciela teraz wznoszą mury przeciwko własnym poddanym. Są to godne następstwa nowszej polityki! —

Jeżeli już przedtem posługiwał się rząd pruski niepolitycznymi środkami przeciw ludności w Wielkiem księstwie Poznańskiem, to tą ostatnią groźbą naprężone zostały stosunki do najwyższego stopnia; albowiem obecnie niepotrzebują Poznańczycy posiłkować się nader przenikliwym wzrokiem, aby widzieć, że rząd nieuważa ich inaczej jak tylko za nieprzyjaciół i jako z takimi chce postępować.

Miałem nieraz sposobność przekonania się że ludność nienawidzi rządu z całego serca. Wszelkie stosunki towarzyskie z urzędnikami uważane są jako nieprzyzwoite i nieszanowne a pozycja wzajemna staje się codzień co raz więcej nieprzyjacielska. Aby uzyskać podporę wewnątrz wybrał rząd dwa środki; obydwa niegodne ucywilizowanego narodu a oprócz tego nieosięgając celu, służąc jedynie do tego, aby podsycać wzburzenie i nienawiść Polaków w Prusach a nam aby zgotować smutną przyszłość. Prusacy wierni swemu systemowi i pod pozorem, że młodzież polska uniwersytecka niekwalifikuje się do publicznych urzędów wysyłają pruscy ministrowie z Berlina urzędników, którym język, kraj i mieszkańcy są zupełnie obcymi. Tacy urzędnicy znajdują się wkrótce w nader trudnem położeniu, albowiem są znienawidzeni i pozbawieni wszelkich stosunków towarzyskich; lub też przepędzają czas w niemych kołach i nieustającej obawie tak w rzeczy samej spoglądają bajaźliwym okiem w przyszłość, *) przeklinają łaskę Rządu która ich na takiej pozycji pozostawiła i system, który ich pozbawia wszelkich przyjemności żywota towarzyskiego. Będą oni kiedyś pierwszymi, którzy przyłożą rękę do przewrotu tego systemu. Jak tylko Polacy w Poznańskiem przekonają się, że w takim przybyłym urzędniku tleje jakaś iskierka pojęcia o wolności, starają się przez okazywanie przyjaźni pozyskać go dla sprawy nieszczęśliwej ojczyzny, co się czasami udaje, inni urzędnicy którzy po za stolik biurowy dalej nie widzą i w zapoznaniu obowiązków widzą tylko wysokie posłannictwo Niemiec, zostawszy sztucznymi Prusakami, nie pojmują, że jedna narodowość obok drugiej może żyć w stosunkach federacyjnych, lecz koniecznie jedna musi panować a druga jej być poddaną, wywzajemniają się nienawiścią w wysokim stopniu względem Polaków. Niepowinienbym tego mówić — jest to jednakowoż prawdą, że gdyby Rząd pruski zamiast tego przesadzania egzotycznego urzędnikow był się zajął sumiennie wychowaniem młodzieży na te stanowiska, tworząc w tym celu kilka fakultetów uniwersyteckich w Poznaniu i obsadził nauczycielami Polakami, którzyby uczyli w rodzinnym języku, obsadziwszy takimi urzędnikami następnie stanowiska byłby uzyskał wewnątrz kraju silną podporę; drugim środkiem, zapomocą którego Ministrowie pruscy chcieli ugruntować swoją nieludzką politykę w Poznańskiem, była zasada poróżnienia wieśniaka z dziedzicem. Rzymskie *divide et impera* stał im zawsze przed oczami Niemoralną stronę tego zdania twierdzili niby w ten sposób usunąć, że się zasłaniali tarczą polepszenia losu ludu. Nie można tego zaprzeczyć, że się rzeczywiście do polepszenia doli przyczynili, los albowiem chłopów tak w Poznańskiem, jako też i w innych prowincjach polskich, był pożałowania godny i jest jeszcze dotąd po większej części; świętą powinnością wszystkich rządów, pod którémi lud polski jest pognębiony, przyjść mu z szybką pomocą, aby przed trybunałem ludzkości zbrodnia podziału polski, okazała się mniej kary godną. Chłopi polscy dają więcej anizeli od dziedziców swoich otrzymują, i tu szukać należy źródła nietylko ich biedy ale i moralnego upadku. Rząd pruski poznał rzeczywiście ten niemoralny wzajemny stosunek i usunął go. Ale mściwa forma, której użył do uskutecznienia tego dobrego dzieła, zmniejszyła bardzo znacznie zasługę. Dziedzice byliby chętnie podali rękę pomocy rządom w tym kierunku; lecz Ministrowie przewidzieli to naprzód, że dziedzice chcą wykonać sprawiedliwość względem chłopów a więc wmięszali między jednych i drugich swoich pruskich u-

*) Stosunek ten trwał do końca 1848 r. każdy Prusak żył w nieustającej obawie.

rzędników kłamstwa i podjudzania jakich się ta szarańcza urzędnicza dopuszczała w imieniu porządku, oburzały nawet samych włościan, rząd nie osiągnął haniebnego celu, aby rzucić kość niezgody pomiędzy własnych poddanych, albowiem chłopi gdy otrzymali to od dziedziców czego po sprawiedliwości rządać mogli, niemają obecnie powodu do nieufności i przeciwnie są teraz jedni z drugimi daleko silniejszemi węzłami związani. Będąc świadkami machjawelskiego postępowania Rządu podczas porządkowania ich stosunków do dziedziców, nie poczuwają się do żadnych obowiązków względem władz pruskich.

Przytoczę tu fakta, które stwierdzają to co mówiłem: niedaleko Gniewkowa zeszedłem się z zamożnym chłopem, z którym zawiązałem pagawędkę. Wypytywał mię o ostatnie wypadki w Polsce, a pomiędzy innemi zapytaniami wyrzekł te pełne znaczenia słowa: „powinniście byli przysłać do nas chociaż kilkuset żołnierzy; — z niemi bylibyśmy tych wszystkich łajdaków (wskazując na pruskich żołnierzy którzy byii zakwaterowani we wsi) i tych wszystkich przeklętych prusaków, którzy nasz chleb jedzą, siekierami pozabijali. Bo nie są nawet warci naszych szabel.“

Uczyniłem mu uwagę, aby mówił ciszej, bo mógłby go ktoś podsłuchać i donieść o tem landratowi. „Nic sobie z tego nie robię, i gotów jestem tym bestjom to samo w oczy powtórzyć i jeszcze dodać: „Co się odwlecze, to nie uciecze.“

„A czybyście chcieli, zapytałem — iść z panami ręka w rękę, i to teraz gdy was rząd podszczuwa na panów a do siebie chce przyciągnąć?“

— „Prawda, że chce nas dla siebie pozyskać i dla tego zakazał panom zawierać z nami kontrakta; — lecz rząd zrobił tylko to, co nam się od dawna należało, a panowie byliby to i tak sami ukończyli. Dla tego jednak nie będziemy słuchać prusaków, bo zawsze jest lepiej, trzymać ze swymi rodakami.“

W innej znowu okolicy, kilka mil od Poznania, byłem świadkiem zdarzenia, które, o ile było wzruszające i uroczyste, mogło równocześnie służyć jako dowód, że szlachta w Poznańskiem. pomimo wszelkich wysileń rządu, żyje w najlepszem porozumieniu z chłopami.

Bawiłem kilka dni w gronie rodziny, której głowa, zamożny dziedzic, od dziewięciu miesięcy dom, żonę i dzieci opuścił, aby służyć w narodowych szeregach. Rząd zabrał dobra jego pod administrację, o czem mu żona doniosła, ale pomimo, że jej groziło ubóstwo, jeżeli mąż w terminie oznaczonym przez króla nie wróci, pomimo tego nie doradzała mu aby powracał. Byłby też niezawodnie taką radę usunął, i pozostał do końca wojny, jak to wielu Poznańczyków i Galicjan uczyniło. Oddawna nie miano już o nim wieści, i niewiedziano, czy się znajduje z korpusem Ramoriny w Galicji, czy też z korpusem Rybińskiego w Prusach, w ogóle czy jeszcze żyje, bo miano wiadomość że był rannym. Niespodziewano się jego powrotu, dla tego też takowy sprawił w domu zdumienie, którego pióro nie jest w możności opisać. Omdlenie żony, łzy, głosy łkające obecnych, serdeczne i pełne czci powitania oficjalistów i służby, były to zaiste chwile porywające, wobec których najsmutniejsze uczucia spowodowane nieszczęśliwem zakończeniem boju, walczyły z sobą na widok powracającego, ranami okrytego bohatera. Wieść o powrocie dziedzica rozeszła się szybko po wsi: zbiegło się natychmiast przeszło 5o chłopów aby powitać pana. Niemieli przecież od niego nic do spodziewania się i do dostania, bo w jego nieobecności urzędnicy pruscy uregulowali wzajemne stosunki. Pomimo tego powitanie było rozrzewniające i przedstawiało się tak, jak to witają dzieci ojca po długiem rozłączeniu.

Jeden z wieśniaków wystąpił naprzód, i przemówił uroczystym głosem:

„Cieszymy się twoim powrotem panie, ale nasza radość nie byłaby miała granic, gdyby — (tu przerwało głos jego nadzwyczajne wzruszenie,) gdybyś był wrócił, po szczęśliwie ukończonej wojnie. Ale dla czego nie kazaliście nam przyjść na pomoc, gdyście widzieli niebezpieczeństwo; bylibyśmy wszystko opuścili a poszli.“

„Moje dzieci, odpowiedział dziedzic, Bóg nas wprawdzie opuścił, ale może się jeszcze zmiłuje nad naszym narodem, a wtenczas życie wasze będzie dla Ojczyzny potrzebne.“

„Dobrze więc, przemówił znowu wieśniak; ale przyrzeczcie nam, że, gdy ten czas przyjdzie, będziecie nam więcej ufać, i weźmiecie z sobą, bo tak jak wy i my chcemy widzieć naszą starą Polskę.“

Wzruszony dziedzic, podał mu rękę a łzy dozwoliły mu zaledwie wymówić te wyrazy: „Na to wam daje moje słowo honoru.“

Włościanie przekonani, że wkrótce bój nastąpi, odeszli z rozjaśnionem obliczem.

Chcę zdala patrzeć bezstronnie na moich współobywateli i śmiem powiedzieć, że w skutek ostatnich niepowodzeń nic nie stracili na odwadze, przeciwnie, są i teraz zdolni do największych wysileń w celu odzyskania niepodległości Ojczyzny; aby to dobrodziejstwo odzyskać, gotowi są nietylko do dobrowolnego polepszenia losu włościan, ale gotowi są poddać się dla tej samej przyczyny tak rządowi despotycznemu jako też i demagogom; gdyż bardzo naturalnie, że u nich jest wolność zewnętrzna pierwszą, a wewnętrzna drugą sprawą. Wiemy o tem jednak dobrze, że obydwie te sprawy nie są rozłączalne. Z drugiej strony przekonało mię wiele czynów, że chłop polski nawet by wtenczas nieopuścił swego pana walczącego za niepodległość, gdyby mu ostatni niedowierzał, i okazywał względem niego nieprzyjazne uczucie z powodu zponiewierania sprawiedliwości. Z tego wynika, że wszelkie

ustępstwa uczynione chłopom przez obce rządy w tej myśli, aby pobudzić wzajemną niezgodę, służą jedynie do podniesienia ludzkości, i wzmocnienia wszech siły narodu.

Wypada przyznać, że Polacy te szlachetne uczucia i miłość ojczyzny, zawdzięczają powiększej części kobietom — współobywatelkom. Wychowanie Polek, po za monarchicznym systemem, które się odbywa prawie zawsze pod okiem rodziców, rozwija się swobodniej i niezależniej, a nie rzadko się zdarza, że siostry podnoszą ducha braci, którego w szkołach osłabiono. W czasie ostatniego boju czyniły młode Polki swym narzeczonym wyrzuty, jeżeli nie pospieszali aby ratować Ojczyznę. *)

W domu bardzo poważnym, którego cnoty chciałbym na tém miejscu podnieść publicznie, gdybym się nie obawiał, ściągnąć prześladowanie na jego mieszkańców, będąc obcym znalazłem serdeczne przyjęcie i obsypany zostałem dobrodziejstwami; byłem tamże świadkiem praktycznych czynów obojga płci, które były wzorem, ideałem najwyższych cnót obywatelskich. Podnoszę wysoko charakter, i dobroć serca męża, którego tamże poznałem jako głowę rodziny; ale była tam znowu kobieta, na którą zapatrując się, zwracał każdy swe uczucia i czyny, bo jej wielkość ducha ożywiała wszystkich. Pewnego razu zapytałem ją, dla czego żadna z dam nie chce się zbliżyć do fortepianu, przeciwnie unika nawet pokoju w którym tenże ustawiony.

„Słuchanie muzyki jest dla nas dziś niemożliwe; nasze siły są za słabe, aby się wpływowi tejże oprzeć; zagrał tu ktoś przed kilku dniami, a ból nasz zamienił się w rozpacz.“

Po kilku dniach usiadła jednak jedna z dam do fortepianu i śpiewała. Towarzystwo było w innych pokojach, i składało się z 15 osób. Tony muzyki, melodii, przerwały nagle ożywioną rozmowę; fizognomie które przedtem rozjaśniły się na chwilkę, zmieniły się natychmiast; kobiety zakrywając oczy, opuszczały salon jedna po drugiej, aby się schronić przed potęgą muzyki. Widok ten i siła melodyj wzruszyły i mężczyzn, którzy idąc za przykładem kobiet, niemogli powstrzymać łez i dla ukrycia tychże oddalali się. Taka żałoba, takie usposobienie serca, były w Poznańskiem po ostatnich nieszczęściach politycznych prawie powszechnemi. O geniuszu Narodu, Ciebie winniśmy przyzywać, który wzbudzasz takie uczucia, utrzymuj i zasilaj żywot narodu, nawet wtenczas, gdy w rozpaczy złorzeczymy: „że dla Polski niema Boga!“

Geniusz ten tak silnie wpływał na Poznańczyków, że ciż podczas wojny niezapierali się ani na chwilę zapału jaki ich ożywiał, a po wojnie tenże z największą konsekwencją okazywali i bezustannie podtrzymują. Tak jak umieli z godnością znosić upokorzenia, ze strony Chłopickiego,*) i do końca wojny wytrwali; to też i oni byli tymi, którzy ze względów na honor żołnierski na granicy pruskiej połamali broń swoją; po powrocie do domów wezwani przez rząd pruski: zkąd przybywają? odpowiadali: „wracamy od naszych najświętszych powinności.“

Niektórym poznańskim właścicielom dóbr dano ze strony rządu do zrozumienia, że mogliby ze skutkiem użyć pewnego środka do odzyskania skonfiskowanych dóbr. Wysłuchali spokojnie tej życzliwej rady, która na tem polegała, aby: ponieważ wielu z nich podróżowało przedtem po Francji, zrobili użytek z paszportów jakie się jeszcze w ich rękach znajdowały, i przedstawiając takowe, zaprzeczyli bytności i udziału w wojnie o niepodległość Polski. Otóż bez porozumiewania się w tej mierze nietylko rady tej nie przyjęli, ale jednozgodnie odpowiadali: nie żałujemy ani zaprzeczamy naszego udziału; przeciwnie, tęsknimy do takiej nowej sposobności, i prosimy o nią Boga. Zeznania takie podawali do urzędowych protokołów.

Możnaby mniemać, że odpowiedź taka nie była mądra z ich strony. Nie! przeciwnie, zeznający byli aż nadto mądrzy, aby nie przewidzieć niebezpieczeństwa takiego zeznania, ale ich zapał dla wolności ojczyzny był konsekwentny — i nie mógł się inaczej objawiać, jak wyższym po nad wszystkie dobra ziemskie, bez zmazy. Odrzucili więc co im zimny rozum mógł doradzać.

Potem co o Wielkiem księstwie poznańskiem nadmieniłem, niepozostałoby mi wiele do powiedzenia chociaż powziąłem zamiar opisania mej podróży, gdyż patrzyć na to co najwyższe — na duchowny żywot narodu, muszą wszelkie inne objawy ustąpić na tylny plan Nakoniec w mej podróży byłem uciekającym, a więc miałem tylko krótki czas zabawić tam, gdzie czułem niebezpieczeństwo osoby, lub koniecznie zmuszony byłem się ukrywać. *(C. d. n.)*

---

*) W Galicyj starał się młodzieniec o rękę dziewicy, której miłość pozyskał. Rodzice wyznaczyli już nawet dzień ślubu, gdy w tem wybuchła w Warszawie rewolucja. Zaślepionemu jednak miłością młodzieńcowi zdawało się, że polityczne wypadki nie staną mu na przeszkodzie w spełnieniu życzeń. Dziewica polska inaczej się jednak zapatrywała na tę sprawę: gdy się więc dowiedziała, że młodzian czyni przygotowania do uroczystego dnia ślubu, napisała mu list następującej treści:

„Mój Panie! Wiem o tem, jak mi jesteś drogi; ale ja jestem Polką. Jako takiej nie wolno mi pozbawiać ojczyzny pomocy, i nabywam przekonania, że nie poznałam dobrze charakteru pana, dowiedziawszy się, że miłość ojczyzny podporządkowujesz pod miłość mej osoby.

„Zaklinam więc pana na tę miłość, spiesz do narodowych szeregów; jedynie przez Warszawę możesz pan trafić do mej ręki. Ja z mej strony przysięgam panu, że inny młodzieniec nawet wtenczas by mię nie uszczęśliwił, gdybym pana jako niegodnego syna Ojczyzny już nigdy nie miała widzieć.“ We dwie godziny po odebraniu tego listu znajdował się już narzeczony w drodze do Warszawy.

*) Chłopicki, będąc dyktatorem, zapytał jednego z Poznańczyków którzy przybyli do Warszawy, aby co tylko posiadali bo i życie złożyć na ołtarzu Ojczyzny: „co ich obchodzą sprawy królestwa polskiego?“ — Gdy mu powiedzieli w jakim przybyli zamiarze odrzekł bez ogródki: że jest gotów ich wydać, gdyby rząd pruski tego zażądał. Tak samo postępował z przybyłymi z Galicji i zabranych prowincyi Podola, Wołynia i Ukrainy.

Gałązka bzu.

Fragment przez Olgę Komorowską.

(Ciąg dalszy.)

Pierwszy, wiatrem cichym uniesiony nadbiegł śnieżny narcyz i stanął zasłuchawszy się w dźwiękach z nieba płynących, nie zważając na nic co go otaczało; podniósł w górę oblicze i wzrok tam zatopił, a choć go kołem obstąpiły żonkile wabiąc do zabaw i pustoty, lub szukając z zwieszonemi głowami jakiej pięknej córy ich bratniego rodu, wonnej tuberozy lub wyniosłych lilij, on myślą tkwił w dalekich jemu tylko znanych, przed tłumem ukrytych światach. Wzorzyste tulipany elegancko sztywne, bankiersko pstre, wziąwszy się pod ręce mierzonemi krokami przechadzały się po błoniu, prawiąc coś szeroko i długo w jakimeś twardem żelaznem narzeczu. Tłumnie zebrały się różnobarwne demony i zawiodły taniec ochoczy, młodej bezmyślnej wesołości pełen, nucąc przytem radośnie. Po świetlanej nici zsunęła się biała czeremcha i weszła wspaniała, namiętnością ziejąca. Wzniosła swe łabędzie wonne ramiona, niby grecka bachantka nad cudownych kształtów główką, wyprościła kibić a na jej młodem odkrytem łonie błysnął naszyjnik z egipskich skarbców, postała tak chwilę, a potem uderzywszy w dłonie poczęła taniec rytmiczny przy dźwiękach ukrytych harf leśnych i tak namiętnie pląsała, taką rozkoszą lice jej gorzało, że gawiedź zamilkła, zbiegła się i cała w nią zapatrzona śledziła te cudne kształty, piła je spragnionym wzrokiem i dyszała.

Na uboczu gromadka drobnych blado zielonych, wiotkich młodzieńczych duchów, zakreśliła koło trzymając się za ręce. Czasami owe koło otwierało się i w długi łańcuch zmienione biegło po łące, a za niemi leciała woń tak niepochwycona jak ich postacie. Były to rezedy.

Hałaśliwie, gwarnie wpadło mnóstwo ulotnych, białych, rozpromienionych duszyczek. Rozwinęły się w szeregi i szybko z wdziękiem tworzyły jakieś zygzaki, tany zalotno-dziewczęce; pozeskakiwały do siebie, porywały się w objęcia z zręcznością akrobatów, wznosiły i opadały ścieśnionemi szeregi, aż świerszcze zamilkły z podziwu i żaby wrzasły wszystkie razem długim jakoby oklaskiem. Pierwiosnki zaledwie do życia zbudzone po młodemu całą duszą się weseliły.

Za niemi parami wirując jak w walcu włóczyły się medumki, zakreślały koła, skakały zawsze parami, wciskały się między narcyzy i żonkile z poliszynelowskim śmiechem, potrząsając jasnemi główkami, a ich błękitnoróżowe sukienki znikały w cieniach, to znów wirem niesione na blaski się wydostawały. Żółte prymule giętkie, eleganckie wchodziły jedna po drugiej, po aktorsku nieco rozdając uśmiechy i ukłony, spuszczały niby skromnie oczka, lecz zerkały zdala na tulipany; nie śpiewały i nie pląsały, ale wyszły na miejsce jasno oświecone i ugrupowawszy się z artystycznym wdziękiem, czekały jakiego wrażenia dozna tłum. Pląsy i śpiewy szły dalej, a tulipany zebrały się w koło i szwargocąc okrutnie, targowały się o coś jak żydzi na giełdzie, tylko żonkile czy bratnią barwą znęcone, czy poznawszy się na wytwornych manierach, poczęły się prostować i jeden za drugim niby od niechcenia kierować w stronę pięknych prymulek.

Ozwał się śpiew pół tęsknym echem rozlewający się po łące i długim zastępem niby płaczki słowiańskie weszły kwiatki barwinku, w błękitnych szatach, z namiłką na głowach, z pod której jasne warkocze spadały aż do ziemi. Szły tak uroczyście do mar podobne, niosąc w rękach ciemno zielone lśniące liście; rozrzuciły je w jeden stos, a potem przysiadły się nad nim i zapatrzywszy tęsknie w księżyc, marzyć poczęły w milczeniu.

Złote łotocie płynęły długą falą, szły bez przestanku, lecz nie zatrzymywały się z różnobarwną bracią, ale zszedłszy aż na rzekę jak wiankiem ruchomym otoczyły jej brzegi i podniósłszy oblicza zanuciły pieśń pełną męskiej powagi, w której miłość ziemi ojczystej i wiara niezłomna w przyszłość drgały nutą czystą z głosami dzwonów kościelnych zmieszaną, a gdy umilkły owe z nad powierzchni rzeki, chór niewieści białych wodnych lilij odpowiedział im niezwłocznie. A i w tychże śpiewie brzmiały taż sama siła zapału i odwaga, jakaś ukryta tęsknota i słodycz niewymowna wiały westchnieniem i miękczyły rycerskie, szorstkie nieco tony. Zamilkły i znów łotocie drugą strofę poczęły i tak dalej oba chóry rozmawiały na przemian, kiedy niekiedy zatrzymując się, by posłuchać pieśni słowika.

Wypudrowane buldeneży wjechały w liścianych karetach, przez skromne swojskie kaliny ciągnionych. Kaliny wstydliwie ocierały uznojone oblicza i dyszały widocznie ze znużenia, ale obiecywały sobie wypoczynek i zabawę, i w rzeczy samej zaledwie upudrowane staruszki mozolnie wysiadły z zielonych rydwanów, hoże dziewuchy rozpierzchły się po łące. Nie gromadziły się, nie nuciły, ani jęcząc w księżyc wpatrywały, ale zaczepiały wszystkich, chichotały nieco rubasznie, swawoliły między sobą, korzystając z wypoczynku. Jedna w gronie żonkilów śmiała się z ich umizgów, druga nieco natrętnie stawała między narcyzem i promykiem Djany, inna znów podkradała się

do jednego wielce purpurowego tulipana i ciągnęła go z nienacka za połę; obrócił się, pogłaskał ją po lśniącem licu, a ona parsknęła śmiechem głośnym i odbiegła szalonym pędem podskakując ciężko.

Nadciągnęły potem grona błękitnych niezapominajek; oglądały się tęsknie za siebie, wzrokiem jeżeli nie głosem nęcąc gdzieś w dali pozostałych lubych sercom. Główki miały zwieszone, a w jasnych oczkach błyszczały perełki łez. Podawały sobie ręce jakby podpory siostrzanej szukając jedna u drugiej; niektóre lekko zasłonione krasą jutrzenki, wspomnieniem ukradkowej pieszczoty zefiru nad szemrzącym w gaju strumieniem, inne ze zbladłem licem, zatopione już w gniotącej ich serca żałobie po szczęsnych chwilach wiosny przeżytych w ciągłym zachwycie. Inne jeszcze obracały się ku niebu, pragnąc powrócić tam, zkąd wyszły, bo rodzinne błonia kosą dotknięte potraciły wysokie trawy, co je okrywały opiekuńczo, i wiatr stepowy hulał wśród nich pochylając je ku ziemi. Oplotły wieńcem kółko stokrótek, lekkich, pierzchliwych jak łanie i coś między sobą szeptały na poły z westchnieniem, a na poły święcąc weselem.

I tak powoli bez przerwy snuły się kwiatów duchy, harmonijnie splatając się w jeden wieniec piękności, woni i cichej, za serce chwytającej melodji. Mgły nocne krążyły między niemi, kładły się im u stóp niby wielbiąc te lube twory przyrody, to wznosiły w górę kryjąc jasne oblicze księżyca, a wówczas kwieciane duszki głosem zawodziły błagalnie, aby im choć jeden promyk zostawiły, i mgły posłusznie usuwały się, a po srebrnej sieci bujającej w eterze najswawolniejsze owe duszyczki leciały kąpiąc się w przestrzeni. Uroczyste dźwięki drzemiącej natury zlewały się wszędzie i drżały w dole i na górze.

IV.

Kiedy wdzięczne duchy bzów zleciały na ową tajemniczo umajoną łąkę, ustały natychmiast gwary, pląsy i śmiechy, i wszystko podbiegło ku nim witając przyjaźnie. Białe konwalje, co blisko nich rosły w ogródku, wtajemniczone być musiały widocznie w owe rozkoszne młodzieńcze miłostki, bo figlarnie otoczyły dziewicę, wykradając ją z objęć kochanka; zakręciły się razem, pośpiewały dawną słowiańską pieśń godową, w której drży namiętne oczekiwanie nieznanych słodyczy, i wstyd dziewiczy z zalem złączony. Broniła się skromnie żartobliwym, białym towarzyszkom; usiłowała przerwać koło wiążące ją w swym uścisku, chciała powrócić na wolność i uwiesić się na jego ramieniu, ale lękała się przerwać splecionych rąk, co ją wiankiem ścieśniały, prosiła się tylko usty i oczyma. On stał, pół gniewny, że mu kradły krótkie chwile rozkoszy trzymania ją w objęciu, bladł i rumienił się na przemian, ale i on skromnym był jeszcze i lękliwym, wzrokiem ją tylko ogarniał i pochłaniał.

A śliczna też to była nimfa, czy zaczarowana w bez biały może dusza ziemskiej kobiety! Włos miękki, lśniący, o złotym połysku, spadał jej aż do stóp dziecięco drobnych, a tak lekkich, że niemi nie dotykała prawie glinianej powłoki naszego planety, trącała tylko w przelocie skromne główki drobniutkich kwiateczków, o nieznanych imionach, zaledwie okiem dostrzegalnych, a w biegu prześcigała wszystkie swe towarzyszki. Kibić jej miała owe dziewicze, na pół rozwinięte kształty, co są obietnicą jeszcze, napełniają marzeniem o ich przyszłej doskonałości a pieszczotnie słoniąc się na piersi ulubionego, coś w sobie jeszcze dziecięcej miękkości posiadają. Rączki białe maluchne, długie i przeźroczyste jak alabaster, których same dotknięcie uspokajało burzące się namiętności jej powietrznego kochanka. Biała jej szata była skromną, prostą, bez żadnych ozdób, z tkaniny, co przylegała do ciała, lecz za każdym ruchem wzlatywała za nią, niby skrzydła gołębic. Z białych, drobnych petali bzu uwity wieniec ozdabiał jej główkę, chylącą się pod ciężarem złotego płaszcza włosów. Z jej ciemno niebieskich czarnych prawie źrenic biło jasną łuną młode wesele, i niczem nieskażona dusza uśmiechająca się życiu, miłości, nadziei; nieświadoma złego, niepamiętna lodów niewidzianej zimy, nie drząca przeczuciem jej; oczy te promieniały, mieniły się w dziwne blaski, to błękitu niebios, to głębokości modrych fal rzeki, a patrzały w dal wołając rozkoszy, której wyobrażenia malować jeszcze nie umiała. Na ślicznych usteczkach błąkał się uśmiech figlarny, a jednak na białem czole leciuchna, jak pyłek na korali stokrótki, wrodzona tęsknota mieszkała. To słowik, co jęczał tuż koło niej, to owe ciche księżycowe wieczory, i długie nocy o szeptach tajemniczych zrodziły ową tęsknicę, o zachodzie słońca, kiedy ono rzucało na nią ostatnie swe blaski tonąc gdzieś w równinach niezmierzonych, o niewidzialnych krańcach, lekki wietrzyk przebiegał ją deszczem, to znów kukułki zawodzące, lub turkawki po dębach gruchające, naprowadzały nowe myśli co osiadały powoli na jasnej skroni. Dzisiaj była dopiero w wiośnie życia, lecz jutro?

A on co stał koło niej jakże pięknym był również w pełni swego młodocianego rozwoju! Wszystko w nim oddychało miłością, wonią serca, pieśnią, wszystko uczuciem obejmował, i owe sztywne tulipany, i berberysy co mu dokuczliwie nieraz pod pień jego rodzinny się tuliły. Prosząc o opiekę; bo wszyscy wraz z nim w jednym ogródku od dzieciństwa wzrastali. On zrządzeniem losu zabierał w nim obszerne miejsce, a drobna niższa gawiedź żyć mogła u stóp jego, ciesząc się chłodem, co im użyczał i rosą spadającą z jego ciemno zielonych liści. Rozkwitł pierwej, zanim towarzyszka jego światło dzienne ujrzała; rumiane jego pączki strzelały już ku słońcu, podczas kiedy ona w łonie liściannem jeszcze spoczywała; ale gdy on powoli wzmagał się w siły i woń, ona delikatniej-

sza, po pierwszym ciepłym, wiosennym deszczyku wybiegła i wnet tak po królewsku zaświeciła swą białą szatą.

Dwa krzewy były splecione pniami, gałęźmi, konarami, a oboje młodzi przeżyli pierwsze chwile, pustując z drobnemi owadami o lśniących skrzydełkach, igrając z wietrzykiem co na przekorę zbliżał ich i rozłączał; a nocą duchy ich bratersko zjednoczone, sercem spokrewnione tak jak ich pnie macierzyste, wybiegały z nich na urocze gody i żyły życiem... duchów.

Puste konwalije wypuściły ją nakoniec; ona nieco zdyszana przybiegła do niego, i całym swoim drogim mu ciężarem uwiesiła się na jego ramieniu. On objął jej kibić i tuląc do piersi coś szeptał, wymówki zapewne, co do pieszczot były podobne jeszcze. Z jednej gromadki do drugiej przesuwali się powoli; fijołki mrugnęły na nich przyjacielsko z krzewiny, zbliżyli się z wdzięcznym uśmiechem, pogwarzyli i znów dalej wędrowali. Kaliny patrząc na przechodzącą poważniały, wstydząc się swej rubaszności poziomej; tulipany pochylały jak mogły wdzięcznie na swych sztywnych łodygach; żonkile spróbowały wymknąć się z koła prymulek i za nią pospieszyć, ale dumny wzrok młodzieńca padł na nich zimno rozkazujący, udali więc że się sami inaczej namyśleli, lecz podły lęk przebiegł po nich, a prymulki dojrzawszy tę skwapliwość wielbicieli do złożenia hołdu nieznajomej piękności, zmarszczyły brew gniewnie i syknęły wszystkie razem. Co za skromność przesadna i w złym guście!

Chodziło tam po łące kilku zabłąkanych bławatków wczesnych, a gdy ją ujrzeli t k świeżą i młodą zaiskrzyły im się oczy. Podbiegli i bratersko dłoń im uścisnęli; one tam zakwitły w tym samym ogródku, kiedyś wiatrem z pola zaniesione, i widziały początek ich miłości ukryci w trawce pod murem. Przyłączyli się do cudnej pary i towarzyszyli jej wszędzie, pełni niemego uwielbienia dla niej, a szczerej, niekłamanej przyjaźni dla niego. Skierowali się nad rzekę i posłuchawszy pieśni łotoci...

„Lillo“ rzekł młodzieniec do swej ulubionej „zanuć i ty nam pieśń naszą, swojską, tę co cię nauczyła mała pokrzywka nad gniazdkiem piskląt w jaśminie ukrytych, śpiewająca im do snu cichego.“

Skinęła główką w znak przyzwolenia, przysiadła leciuchno na pochylonej i starej wierzbie; jeden z bławatków ujął fujarkę pasterską i tęskna przygrywka słyszeć się dała, a srebrny głosik Lilli począł nucić Wielkopolską śpiewkę.

Wyszła dziewczyna
Wyszła jedyna
Jak różowy kwiat
Stała długo stała
Aż zapłakała
Zmienił jej się świat.

Tony płynęły po rzece, a na ich odgłos syreny i bogunki podniosły się z głębiny i wznosząc białe rączki łowiły dźwięczne nuty, co im uciekały jak perełki przez otwarte paluszki, podskakiwały na falach, a gdy już miały zatonąć lub ulecić w powietrze, najswawolniejsza z gromady wodnic ułowiła je, zatrzymała niby pluskające się rybki, i ze śmiechem cisnęła w przestrzeń. Fujarka dalej przegrywała, a potem głos Lilli opierał się na jej rozpłakanych nutach i wraz z niemi zlewał w całość. Pieśń skończyła się tą zwrotką:

Tu leży miłość, tu leży miłość
Wieczna w tym grobie.

a Lilla nie zważając na obecność bławatków zapatrzonych w igraszki swawolnych bogunek, powstała zbbliżyła się do Liljana, i opierając swą uwieńczoną kwiatami główkę na jego ramieniu szepnęła „wieczna.“ „Wieczna!“ powtórzył echem Liljan, i w długim pocałunku zmięszali myśli i westchnienia. Zapatrone bławatki kiedy znikły nadobne wodnice oglądnęły się dokoła, i dostrzegły na horyzońcie czarną ławę chmur, burzą groźnych, wlokącą się od północy. Okiem i gestem wskazali ją młodej parze.

„Potwór co nas chce burzą przemocy pochłonąć, nim dzień jeszcze zabłyśnie,“ rzekł ponuro Liljan.

„Chrońmy się mój luby“... trwożnie wyszeptała dziewica.

Opasał ją ramieniem.

„Ja tu jestem przy tobie, razem ją przetrwamy i i walczyć z nią będziemy. Ja cię osłonię.“

„I my także o siostro!“ zawołały bławatki z zapałem.

Wszystkich razem połączyła wiara w własne siły i uzbroiła do walki o życie.

Czarna, gęsta opona wlokła się po woli, do ohydnego smoka podobna. Łotocie nie dostrzegły je jeszcze, wciąż piejąc hymny pobożne i stare pieśni wojenne, a inne gromadki ulotnych duchów przerażone pierzchnęły.

Lilijan ujął rękę swej białej kochanki.

„Pójdźmy jedyna, i zbrojni w naszą miłość wzajemną, przetrwajmy burzę na ojczystych krzewach.“

„Ja się jej nie ulęknę przy twoim boku“ odrzekła patrząc mu w oczy z ufnością. Rozwinęli skrzydła przejrzyste, skinęli pozdrawiając osmutniałe bławatki i ulecieli.

V.

Burza nadchodziła w milczeniu niosąc w łonie swem groźbę. Wlokły się pierwsze jej wysłanniki, kłębiaste chmury czołgały się u stóp księżyca, niektóre ośmielały się już oblicza jego dosięgać, zaciemniały je, a wówczas oddychała ciężko robiąc piersiami, marą ciemności tłoczona. W głębi tej czarnej otchłani kipiało już, syczało z głuchem, dalekim jeszcze echem gromu, błyskawice rozdzierały jej tajemnicze łono, przelatywały po niem wężowo, uśmiechając się zjadliwie i radując z przerażenia co siały

na świat uśpiony. Po wierzchołkach lasów dopiero przebiegał dreszcz wichru zwiastun, ale do ziemi on jeszcze nie dopadł; panowała tu cisza gniotąca rośliny na wysmukłych łodygach i zwierzęta w kryjówkach swych gorączkowo śniące. Zaszeleściały lasy raz i drugi, i znów umilkły, grom huczał tylko coraz bliżej. Drugi powiew silniejszy wstrząsł drzewami, zbiegł z ich szczytów i musnął niższe krzewy; powrócił w górę i szybko spuścił się nakoniec na trawy i kwiaty, co przypadły do łona karmicielki, zgrozą przejęte. Teraz już na skrzydłach wichru niesiony czarny potwór, rósł, zajmował cały firmament, zaćmił księżyc i gwiazdy spędził z niebieskich błoni, zionąc ogniem, ulewą i gradem.

W rzece bogunki i rusałki uciekały na dno same; oblicze jej ciche pomarszczyło się gwałtownie, a szum spadającego deszczu zagłuszył jej cichy szmer. Przestraszone rybki pochowały się jak mogły w piasku; ptaki uspione w szuwarach zanurzyły się w nich głębiej, tuląc się jedne do drugich, a w borach zwierz dziki spłoszony wrzawą nie wiedział, czy uciekać, czy zaszyć się w niedostępne ulewie kryjówki.

Duchy kwiatów wbiegły w swe ziemskie powłoki i cierpiały chociaż bez jęku; smagane lodem, miotane burzą i zalewane wodą, nielitośnie wciskającą się w ich strachem zamknięte korale. Brudne, mętne potoki deszczowe podmywały im stopy, zabierając podporę; brudziły nieskalane barwy ich szat wiosennych; łotocie jedne podnosiły głowy, dumnie wzywając do walki żywioły; stopy mając zanurzone w moczarach nadbrzeżnych łąk, a szerokie ich gałęziste gromadki zaledwie pokłoniły się kiedy wicher zaczął je chłostać.

Nad dwoma bzami w ogródku burza pastwiła się srodze. Wszystkie najpiękniejsze, w pełni rozwite kwieciem gałązki wicher otrząsł, połamał bez litości; strumienie niebieskie na wskróś ją przemoczyły a kiedy chmury się rozsunęły i jasny szmat błękitu się ukazał, spojrzałem na nie szukając gdzie się ich urocze duchy podziały.

Szare obłoki coraz dalej goniły, znikały w przestrzeni; grom się odzywał wysilony gniewem warcząc przyciszono; nad lasami jutrzenka rumieniła niebo, a księżyc wisiał nad górami jakby z żalem ziemię opuszczał. Z łąk i pól stawały mgły gęste i usiłowały wybiedz w niebo, ale ich ciężar ciągnął do ziemi opornie, z obawą czy piorunny Bóg nie rozmiecie ich swem potężnem ramieniem. Nic się jeszcze nie budziło, oprócz kwiatów łzami zalanych.

(*Dok. nast.*)

Koronacja cara Aleksandra II.

W dzień koronacji prawie cała Moskwa zbiegła się do Kremlinu; tylko chorzy i kalecy pozostali w domu. W jednem miejscu około mostu na rzece Moskwie widziałem dwóch Anglików, którzy naumyślnie przyjechali z Londynu na koronację i zapomnieli o celu przybycia. W sam dzień uroczystości wziąwszy wędki weszli do rzeki po kolana i zaczęli łowić ryby z obojętnością na wszystko, co ich otaczało i ze spokojem, którym się odznacza anglosaksońska rasa. Gdy już wszyscy wracali z pałacu, Anglicy ci jeszcze stali nieruchomie na miejscach swoich chcąc pokazać że po to tylko przyjechali z tak daleka, żeby nic nie widzieć.

Po ukoronowaniu się, Aleksander ubrany w purpurę z berłem w jednej, a złotem jabłkiem w drugiej ręce, jak król pikowy postępował powolnym krokiem pod baldachimem po wysokim pomoście pokrytym czerwonym suknem. Lud stojący po obu stronach pomostu klękał patrząc na niego i żegnał się jak przed Bogiem. Chęć obaczenia cara nie tylko w prostym ludzie, lecz i w klasach wykształceńszych była tak wielka, że dorosłe panny prosiły gwardyjskich żołnierzy, aby ich podnieśli do góry, żeby lepiej mogły widzieć. Jakie przy tem odbywały się sceny, można wyobrazić sobie.

Po koronacji zaczęły się uczty, bale, widowiska i fajerwerki.

W czasie opery, na której car był przytomny, cała sala teatru była napełniona tylko oficerami wyższych stopni, cudzoziemcami i różnemi znakomitościami. W sali nie było ani jednego niedekorowanego. W czasie antraktu zdarzył się zabawny wypadek. Sługa posła pruskiego stanął z płaszczem pana swego w korytarzu przed carską lożą. Obaczywszy to szef policyi powiedział mu, aby zszedł na dół, na inne miejsce.

— Moje miejsce jest tam, gdzie znajduje się mój Pan; odpowiedział mu z dumą fagas niemiecki.

Szef policji zaczął go grzecznie prosić i namówił do zejścia tam, gdzie stali inni lokaje. Lokaj Mornyego zaczął drwić ze swego kolegi pytając, czy go nie wysztурkał policjant moskiewski. Rozgniewany żartami temi lokaj wziął płaszcz i znowu poszedł na górę, ale oberpolicmajster zastąpił mu drogę.

— Patrzcie, zawołał sługa Mornyego, jak on go w pysk trzaśnie! Usłyszawszy te słowa i sądząc, że to już

nastąpiło, lokajstwo rzuciło się na schody z krzykiem: my nie Moskale i nie pozwolimy się bić, my cię sami obijemy!

W tej chwili spojrzałem na cara. Nie wiedząc przyczyny szumu i krzyku, nie przyzwyczajony do takiego lekceważenia obecności jego, Aleksander zbladł jak płótno i nie ruszył się z miejsca, nie mając nawet siły zapytać, co była za przyczyna wrzasku w korytarzu za jego lożą. Wielki książe Konstanty pobiegł natychmiast i z pomocą posła pruskiego uspokoił rozsierdzonych fagasów.

Aleksander jak i ojciec jego Mikołaj nie słynie z męztwa osobistego. Mikołaj niezmiernie bał się wszelkich ruchów ludowych. W czasie buntu 14. Grudnia 1825 r. do tego stopnia stracił głowę, że chodził blady jak trup pytając o radę każdego. Gdy w czasie cholery w 1834 r. wybuchł bunt w Petersburgu, tak się car przeląkł, że znajdując się w Peterhofie nie chciał jechać do stolicy i ciągle przysłuchiwał się, czy nie strzelają z armat w Petersburgu. Na drugi dzień, gdy już się wszystko uspokoiło, car wyjechał na plac, gdzie w wilią zaszły krwawe starcia i krzyknął na lud zebrany: „na kolana“. Tłum ze strachem spełnił jego rozkaz. — „Co to ma znaczyć, buntujecie się! tego wszystkiego ci podli Polacy was uczą! Na ten raz przebaczam, ale na przyszłość srogo karcić będę czyny podobne“ (Pamiętniki Denisa Dawidowa). Scenę tę przedstawiano na wypukłorzeźbie pod pomnikiem Mikołaja, który mu syn postawił dla uwiecznienia czynu, dowodzącego odwagi ojca uśmierzającego już dawno uśmierzony lud. Mikołaj nigdy nie mógł darować nikomu, kto go przestraszył lub kto widział przestrach jego. Byłem sam świadkiem jak jednego Indjanina, który z prośbą w ręku ukląkł przed nim z nienacka i przestraszył go swą ciemną i rozpaczliwą twarzą, kazał rzucić do więzienia, nie chcąc nawet przyjąć prośby jego. Nieszczęśliwy Indjanin zmarł w lochu przesiedziawszy tam lat siedem za to, że nastraszył despotę północy. Jenerałowi Panajewowi który był świadkiem przestrachu cara, w czasie buntu wojennych kolonij w Nowogrodzie, Mikołaj kazał wyjechać do jednej ze wschodnich gubernij carstwa na posadę gubernatora i tam pozostać aż do śmierci, nigdy nie pokazując się w stolicy. Otrućie się jego po bitwie pod Eupatorją przedstawiają niektórzy jako dowód męztwa i siły woli. Nam się jednak to nie zdaje. Człowiek ten stał się samobójcą dla tego, że wstydził się swych omyłek i nie miał siły walczyć z przeciwnościami, które go otoczyły. Jednak i tu nie miał odwagi sam siebie pozbawić życia i jak Neron udał się do sługi swego z prośbą, aby go zabił.

Przepraszam za ten ustęp i wracam do ceremonii koronacji. Każdy z posłów większych mocarstw dawał u siebie bal lub obiad dla nowego cara. Gdy przyszła kolej na Granvilla, poseł angielski posłał do dworskiej kancellarji uwiadomienie, że osoby, które życzą sobie otrzymać wstęp na jego bal, przyjmuje we środę o godzinie 7. wieczorem. Nadworna kancelarja uwiadomienie to przesłała do kancelarji wojennego jenerał- gubernatora i do głównodowodzącego gwardją, prosząc o ogłoszenie o tem w pułkach i w stolicy. Lord Granville wzbudzał w Moskalach wielkie uszanowanie, bo nie przyjął od cara orderu który mu go przysłał. Każdy chciał być na balu u tego bogacza i w dzień wyznaczony połowa stolicy mogąca ubrać się przyzwoicie i wszyscy oficerowie gwardji pospieszyli z wizytą do posła angielskiego.

Już o kwandrans na ósmą ulica, na której mieszkał, była literalnie zapchana powozami, a po trotuarach przejść prawie nie można było. Lord Granville z małżonką stali w pośród salonu, a sekretarz poselstwa przy drzwiach, wygłaszając imiona przedstawiających się i przekręcając je nielitościwie. Każdy z wchodzących kłaniał się posłowi i jego żonie i odchodził do dalszych pokoi. Przedstawienie ciągnęło się prawie do północy. Sekretarz dostał chrypki, zastąpiono go drugim; drugi także nie wytrzymał długo, zastąpiono więc go trzecim. Dość powiedzieć, że około ośmiu tysięcy osób odwidziło posła angielskiego. Granville stał ledwo żywy przestępując z nogi na nogę, a tłusta jego małżonka ciężko dyszała, nie wiedząc kiedy się to skończy i przeklinając w duszy niedelikatność Moskali. Zmęczona niezmiernie położyła rękę na prześliczne perły, które miała na szyi, lecz widać zdrętwiała ręka była zbyt ciężka, bo sznurek pękł i perły rozsypały się po pokoju. Kilku oficerów gwardji rzuciło się żeby je podjąć. Poważna angielka wstrzymała ich zimnemi słowami: „Messieurs, laisser cela pour les domestiques.“ Jak poparzeni odskoczyli oficerowie, widząc sarkastyczny uśmiech na ustach otaczających. W sali zaczęto szemrać: „Cóż to ten rudy Anglik zaprosił nas tu, żeby kpić sobie z nas i obrażać!“ I nie czekając końca zaczęto wychodzić drugiemi drzwiami.

Lord Granville, skończywszy przyjmowanie gości ledwie o północy, nie mógł zrozumieć zkąd przyszedł do takiego licznego zebrania i sądził, że mu wyprawiono figla. Na przyszłość więc postanowił ograniczyć liczbę zaprosin na bale i wpuszczać do domu swego tylko za biletami, których pięćset posłał do nadwornej kancelarji, a kilkadziesiąt zostawił u swego sekretarza dla rozdania pomiędzy oficerów gwardji i znaczniejsze osoby, któreby nie otrzymały zaproszenia z nadwornej kancelarji. Tym czasem w mieście było wielkie oburzenie na lorda Granvilla. Arystokracja gniewała się za to, iż się znalazła w jednym salonie z kupcami i ich żonami, a oficerowie za niegrzeczne słowa lady Granville. Postanowiono zemścić się na Angliku.

W dzień balu z arystokracji moskiewskiej przyjechali ci tylko, którzy będąc związani z dworem nie mogli się

wymówić od zaprosin. Oficerowie zaś, korzystając z tych biletów, które rozdawał sekretarz poselstwa wprowadzili na bal kochanki swoje, znane całej Moskwie Saszki, Maszki i Katki. Wyobraźcie sobie jaki to szkandał sprawiło! Książe Esterhazy ciągle oglądał się na swe kosztowne ostrogi, bo ktoś mu powiedział, że w Moskwie jest wiele złodziei, którzy czychają na jego brylanty.

Car przyjechał dość późno i pozostawszy czas krótki w sali, gdzie tańczono, przeszedł do sali jadalnej, gdzie był nakryty stół na 300 osób. Według angielskiego zwyczaju na podobnych balach każdy idzie do jadalnego pokoju, kiedy jeść chce i odchodzi, kiedy mu się podoba. W Moskwie zaś inny zwyczaj. Tam nikt się nie odważy usiąść do stołu, póki car nie usiądzie. Z tego powodu dla wielu osób nie było miejsca tak, że ci przeklinając lorda Granville wyjechali bez kolacji. Pojawienie się publicznych kobiet na balu poselskim lotem błyskawicy rozniosło się po całej stolicy. Car jednak, dowiedziawszy się o tem, nie kazał odszukiwać winowajców, aby nie powiększyć szkandalu.

Po obiadach i balach, które dawali carowi reprezentanci wielkich mocarstw i szlachta guberni moskiewskiej, nastąpił obiad moskiewskiego kupiectwa.

W ogromnym, jakiego zapewne nigdzie niema maneżu, rozstawiono stoły w kilkanaście rzędów, a na podniesieniu stół, za którym miał zasiąść car z rodziną. Sala była upiększona najrzadszemi kwiatami; na około ścian porobiono loże dla publiczności, dla dam i dla malarza Timme, któremu polecono zrobić obraz tej uroczystości. Podłoga była pokryta czerwonem suknem. W około maneżu na bulwarach stały stoły dla żołnierzy.

Przed obiadem przyjechał do maneżu hr. Zakrewski, moskiewski jenerał-gubernator i widząc wielu kupców zebranych tam, zapytał, co oni tam robią? Burmistrz odpowiedział, że są to delegowani, którzy mają usługiwać gościom w czasie uczty i pilnować, aby nic nikomu nie zabrakło. „Precz ztąd, zawołał Zakrewski, obejdzie się bez was; w sali mogą pozostać burmistrz i kilku bogatych kupców, a reszta niech usługują żołnierzom, gdyż tu nie są potrzebni."

Zdehonorowani gospodarze musieli wynieść się z sali i w czasie obiadu pozostać za drzwiami.

Po długiem oczekiwaniu na cara, który nie odznacza się taką akuratnością jak jego ojciec, dano znać że przyjeżdza. Wylazłszy z powozu car udał się ku stołom nakrytym dla żołnierzy i wypił pół kieliszka wódki za zdrowie gwardji. Gdy się odwrócił i poszedł do maneżu żołnierz jednym duszkiem wychylił resztę. Wypadek ten nadzwyczaj zasmucił kupców. Jeden zawołał:

— „Jabym za ten pół kieliszka dał sto rubli, gdybyś go nie wypił."

Potem wziąwszy ten kieliszek kupcy nalewali doń wódkę i popłukawszy cokolwiek wychylali jeden po drugim, żeby mieć zaszczyt wypić choć homeopatyczną dozę płynu, w którem car umaczał usta swoje.

Obiad w maneżu był przepyszny. Najdroższe wina lały się obficie, stoły uginały się pod ciężarem srebrnych naczyń napełnionych rzadkiemi owocami i najpyszniejszemi cukrami. Car był w dobrym humorze, jadł wiele i wychylał kielich za kielichem szampana z prędkością godną podziwu. W czasie obiadu, znajdująca się w loży córka Zakrewskiego, hrabina Nesselrode, znana w Moskwie i za granicą z rozpustnego życia, prosiła jednego ze znajomych oficerów, aby jej przyniósł szklankę szampana i ku zgrozie całej płci pięknej siedzącej w sąsiednich lożach nie zadowolniła się jedną szklanką.

Car już dobrze podchmielony, nie zapomniał jednak, że go malarz rysuje; pomimo iż czuł że mu głowa mocno ciężyła, ciągle się wyprostowywał, żeby przydać więcej okazałości postawie swojej. Wznoszono toasty za zdrowie cara, jego rodziny, szlachty, posłów cudzoziemskich, ale nikt nie wzniósł toastu za zdrowie i pomyślność gospodarzy, czekających tego pode drzwiami, czem mocno zasmucili się kupcy. Po obiedzie wszyscy byli dobrze podochoceni. Car zszedł z podniesienia i skierował się ku drzwiom, depcząc kwiaty, które mu jakoś bardzo zawadzały po drodze. Kupiectwo i lud zebrany około maneżu wrzasnął „hurra", ale car już niemiał nawet siły ukłonić się; nacisnąwszy kaszkiet na głowę, długo stał przed powozem, bo noga żadną miarą nie mogła trafić na stopień, co go niezmiernie niecierpliwiło. Nakoniec podparty przez adjutantów wsiadł do powozu, wrzasnął „paszoł" i konie poniosły ziemskiego Boga zapewne wprost do łóżka.

Uroczystość koronacyjną miał zakończyć wielki obiad na sto tysięcy ludu. Na Chodyńskiem polu rozstawiono kilka tysięcy stołów, obitych perkalem.

Już prawie od miesiąca pieczono chleb, przygotowywano barany ze złoconemi rogami, robiono kiełbasy, stawiano fontany, które miały bić wódką, białem i czerwonem winem. Urządzeniem obiadu dla ludu zajmował się hr. Adlerberg-ojciec. Zamiast zamówienia na dzień oznaczony różnego jadła w wielu miejscach Adlerberg dla oszczędności kazał, aby w miarę, jak co było gotowe, przynoszono i stawiano na stołach. Prawie od dwóch tygodni znoszono chleb i mięso na Chodyńskie pole. Czas był wilgotny, lały ciągłe deszcze, tak że na kilka jeszcze dni przed ucztą już z daleka można było czuć zgniliznę.

W dzień oznaczony, aby zachować porządek między masami ludu, który się zebrał z okolic, posłano dwa pułki kozaków. Długo debatowano nad tem, czy posłać ich z pikami dla powstrzymania ludu, aby nie rzucił się przed czasem, czy z nahajkami tylko. Nareszcie to ostatnie zdanie przemogło i kozakom kazano wziąść z sobą tylko nahaje.

Gdy już otoczono stoły podwójnym łańcuchem kozaków, tych zwykłych stróżów porządku w Moskwie, posłano do cara doniesienie, że już wszystko gotowe. Car według programu miał ze świtą objechać stoły, a następnie rozkazać podnieść chorągiewkę na długiej żerdzi, co miało oznaczać początek uczty. Deszcz lał jak z cebra; mgła niepozwalała widzieć na kilkanaście kroków. Smród od gnijącego mięsa był tak wielki, że raził z daleka. Obrachowawszy że może to niepodobać się carowi, na kilka minut przed przyjazdem jego Adlerberg, niby dla zrobienia doświadczenia czy chorągiewka podnosi się dobrze, kazał pociągnąć za sznurek. Lud stojący niedaleko i czekający niecierpliwie, kiedy będzie znak dany, gdy obaczył chorągiewkę podnoszącą się do góry, rzucił się zajadle naprzód, złamał linję kozaków, pomimo razów, których nie szczędzili na prawo i na lewo, otoczył stoły i w jednej chwili rozchwytał wszystko co tam było: potrawy, naczynia, łyżki, noże, zerwał nakrycia, zaczęto nawet zdzierać deski z altanek, które były urządzone dla widzów.

W tej chwili nadjechał car, otoczony posłami, którym chciał pokazać to ciekawe widowisko. Bardzo go rozgniewała niespodzianka, że uczta rozpoczęła się i skończyła bez niego; ale nie było co robić. Jedne tylko fontany z wódką i winem odparły szturm pospólstwa dzięki waleczności kozaków. Z przyjazdem cara odstąpili obrońcy i w téjże chwili mnóstwo ludzi wlazło aż na wierzch do rezerwoaru, czerpiąc czapkami, garściami i połami odzienia napój ulubiony. Inni, którzy dobić się nie mogli naprzód korzystając z rozmiękczonej deszczem ziemi, zaczęli rzucać błotem na tych, którzy dopadli do fontan, żeby ich rozpędzić i samym zająć ich miejsce. Z tego powodu wkrótce zamiast wódki i wina zrobiła się ciemnożółta masa, której już nikt pić nie mógł.

Żeby uchronić się od deszczu, wielu brodaczy podlazło pod stoły, drudzy chcąc cara widzieć lepiej wleźli na stoły. Car objeżdżał naokoło stołów witany szalonym „hurra“, lecz na twarzy jego było widać wielkie niezadowolenie. Zwróciwszy się do Adlerberga kazał mu zrobić śledztwo, z czyjego rozkazu podniesiono chorągiewkę.

Ci co pozabierali naczynia, sztućce i jadło, nie czekając przyjazdu cara masami podążyli do miasta i do najbliższych wsi, aby tam ukryć swą zdobycz. Ale u bramy miasta z własnego popędu ustawili się policjanci i nazywając złodziejami niosących te łupy, odebrali je na swą własną korzyść. Ci co nie chcieli oddać, mówiąc, że to car im dał, byli złajani, zbici potężnie, ale nie otrzymali nazad odebranego. Inni co podążyli do blizkich osad byli szczęśliwsi, bo w drodze nikt ich nie przytrzymał, owszem na niosących barany ze złoconemi rogami przez obóz gwardji, żołnierze krzyczeli: „prędzej, prędzej nieście tę padlinę, bo zatrujecie powietrze w obozie.“

Opowiadano potem, że w czasie uczty uduszono tylko jednego człowieka, który chwycił jakiś ręcznik i chcąc aby mu go nie odebrano, nim się opasał. Rzucono się na niego i ciągnąc jedni za jeden, drudzy za drugi koniec ręcznika zadusili szczęśliwego posiadacza tego skarbu. Tak się skończyła uczta ludowa.

Po powrocie do Petersburga nastąpiła uroczystość poświęcenia ukończonej cerkwi św. Izaaka. Car rozkazał żeby od pałacu do cerkwi całą drogę usłać suknem czerwonem. Adlerberg przedstawił rachunek na zakupno sukna. Zdziwiony Aleksander zapytał, „a gdzież się podziało sukno, którem była pokryta droga od cerkwi do „Granowitoj Pałaty“ w czasie koronacji. Adlerberg odpowiedział, że sukno to nie było kupione, a tylko wypożyczone na dzień jeden.

— Być nie może, odpowiedział mu car, pamiętam że za arszyn sukna w rachunku było podano po 9 rubli srebrem a jest to cena zwykła czerwonego sukna.

Adlerberg umilkł.

Car rozkazał szefowi policji odszukać, gdzie się sukno podziało i tegoż wieczora otrzymał raport, że Adlerberg sprzedał je za 22 tysięcy rubli, a pieniądze wziął sobie, sądząc że do drugiej koronacji nie dożyje. Rozgniewany Aleksander wezwał hr. Adlerberga i począł go wymyślać za łgarstwo i złodziejstwo, już nie po raz pierwszy popełnione. Złowiony dostojnik ze skruchą odrzekł:

— Grâce Sire! il fallait faire les honneurs de la maison et je ne suis pas riche....

Ten argument trafił do przekonania Aleksandra, gdyż przebaczył mu kradzież, mówiąc żeby się to tylko na przyszłość nie powtarzało. I rzeczywiście hr. Adlerberg cały rok był ostrożnym a potem... ale to nienależy do koronacji cesarskiej.

POGADANKA.

Z XI. wystawy Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie.

Przedewszystkiem ostrzedz Was muszę, że cokolwiek tutaj powiem, będzie jedynie wyrazem mego całkiem osobistego i — jeżeli na podobny barbaryzm zezwolą panowie gramatycy — najpodmiotowszego zapatrywania, a nie zaś — Boże broń! — wyrocznią, roszczącą sobie prawo do profesorskiej jakoby nieomylności. Tak jak każdy z Was z pewnością, starałem się wprawdzie również i ja poznać mniej więcej wszystko to, co w przedmiocie filozofii piękna uwagi godniejszego napisali teoretycy, — dziś atoli z równą zupełnie usilnością staram się znowu zapomnieć wszystko ile możności jak najgruntowniej, w miarę bowiem jak postępuję w lata i doświadczenia, przychodzę coraz bardziej do przekonania, że tak tu jak i wszędzie:

Grau, mein Freund, ist jede Theorie;
Grün nur des Lebens gold'ner Baum!....

Bezwzględnego pojęcia piękna nie ma!... Przypuśćmy n. p. że znalazłby się Barnum jakiś przedsiębiorczy, który nabywszy, dajmy na to, medycejską Wenus, puściłby się z nią w podróż po świecie, i że co jeszcze trudniej przypuścić, mieszkańcy krajów, któreby w ten sposób odwiedzał, zechcieliby wypowiedzieć zdanie swoje o tem arcydziele otwarcie, i bez wszelkiej estetycznej hypokryzji, — jakżeż rozmaitemi, a do siebie niepodobnemi byłyby te zdania?...

Z drugiej strony dość wskazać na dzieje sztuki, która przecie jest wynikiem i wyrazem naszych pojęć o pięknie, aby dowieść jak niestałemi są te pojęcia. Rzecz oczywista, że niestałość ta nie występuje tak jaskrawo w dziełach pendzla i dłuta, — malarstwo bowiem i rzeźbiarstwo, mając sobie w naśladowaniu przyrody z góry już wytknięty cel i kierunek, są że się tak wyrażę pozytywizmem swym, a niewzruszoną stałością swego wzoru, zmuszone do niemal niewolniczego kroczenia po mniej więcej prostej zawsze drodze; — ale za to, przypatrzmy się budownictwu, muzyce, poezji, — jak szalone przebywać one muszą rewolucje wskutek zmiany, której smak ogółu pod wpływem czasu, częstokroć w krótkim bardzo lat przeciągu ulega!?...

Widzimy tedy że pojęcia o pięknie zmieniają się pod wpływem czasu i południka; — grunt zaiste zbyt ruchomy, by na nim można zbudować stałą jakąś teorję, — i dlatego to jedynym pono niewzruszonym w przedmiocie estetyki dogmatem będzie, że „nie to jest pięknem, co piękne — ale to co się komu podoba“. Owóż z tezy tej, którą — aby ją podnieść do wysokości estetyczno-filozoficznego systematu — należałoby rozwałkować na kilka lub kilkanaście tomów, jakby to niezawodnie uczynili byli Niemcy, a nie streszczać ją w dwuwierszowem przysłowiu, jak to uczynili nasi przodkowie, z tezy tej — powtarzam — wynika że punkt widzenia z którego poglądamy na ten lub ów przedmiot sztuki, leży zawsze w nas samych, i że przeto sąd nasz o nim zawsze podmiotowym i tylko podmiotowym być musi, jest on bowiem wynikiem i wyrazem naszej osobistej wrażliwości na piękno, w której — jeżeli się nie mylę — Hutcheson chciał się nawet dopatrywać jakoby szóstego, do odbierania estetycznych wrażeń służącego, zmysłu. Rzecz oczywista, że wrażliwości tej nie można stworzyć w sobie skoro nam jej odmówi matka przyroda, — można tylko, posiadając ją już, wydoskonalić, lecz nie czytaniem estetycznych metafizyk (bo czyż może słuch poprawić wertowanie rozpraw o akustyce?:) a tylko, że się tak wyrażę estetyczną gimnastyką t. j. częstem, a pilnem studjowaniem licznych dzieł sztuki, i analizowaniem wrażeń, które one w nas wzniecają. Reszta jest tylko zarozumiałością i blagą, albo, co jeszcze gorzej obłudą!...

Rozszerzyłem się z umysłu, kreśląc powyższe mojo C r e d o estetyczne, raz dla tego, aby wykazać całą śmieszność młodych naszych recenzentów, którzy nie wystawiwszy nawet nosa poza granice naszego kraju, gdzie przecież do wspomnianej nieco wyżej gimnastyki estetycznej nie wiele mieli sposobności, wydają z wysokości swego recezenckiego „My“ o dziełach sztuki ostre częstokroć wyroki, a roszczą sobie prawo do nieomylności dlatego, że im się zdarzyło przeczytać tego lub owego estetyka, którego powagą zasłaniają zarozumiałość własną. Przypomina to igraszkę naszych chłopów w kwietną niedzielę, gdy uzbrojeni w wielkanocne palmy chłoszczą się wzajemnie wołając: „N e j a b y j u, ł o z a b j e!“ Ależ moi panowie, to się nie godzi! Sąd Wasz nie jest niczem innem jak tylko wynikiem i wyrazem Waszego całkiem osobistego zapatrywania. Żart Wasz boli, a boli tem bardziej, że utrzymujecie iż to nie bije p. X lub Y. ale Mengs, ale Winkelmann, ale Kremer lub Lemcke!...

Drugim powodem dla czego się tak rozpisałem jest, że przystępując do cenzurowania dzieł sztuki obecnie w D o m u n a r o d n i m wystawionych, pragnę w obec twórców ich zastrzedz sobie całą swobodę, jaką się cieszy pierwsza lepsza kucharka która w niedzielę wystawę odwiedza. Chcę nie być skrępowanym w wypowiedzeniu mego zdania żadnym skrupułem; — chcę chwalić to, co mi się podobało, a ganić to, co wedle mego widzenia rzeczy na to zasługuje, i dlatego to nie będę się posługiwał recenzenckim „My“, żeby dobrze wiedziano iż za mną nikt nie stoi, i że zdanie moje jest całkiem osobistem i podmiotowem. Zcenzurowanym przezemnie artystom pozostawiam prawo odwetu na mojej recenzji; — mogą ją zganić, mogą powiedzieć, że się nie znam na niczem, aczkolwiek sądzę że krytyka moja nie będzie już dla nich tyle szkodliwą i bolesn-

skoro z góry już oświadczyłem, że bijącą tym razem łozą nie jest żaden z estetycznych potentatów, ale po prostu p. Włodzimierz Zagórski, którego oby Ałłach miał zawsze w swojej opiece!...

Zrozumieć łatwo, że jeżeli wystawy sztuk pięknych we Lwowie nie udają się w ogóle nigdy zbyt świetnie, to tegoroczna pozostać musiała po za dawniejszemi, a mianowicie po za przeszłoroczną, z przyczyny trwającej właśnie jeszcze wystawy paryskiej, która oczywiście artystom naszym ponętniejsze otworzyła pole do popisu. Pierwszorzędne gwiazdy polskiego malarstwa Matejko, Siemieradzki, Brand pospieszyli tam zdobywać chlubne wawrzyny, i osierociły naszą wystawę w tym roku zupełnie; — również wysłali tam znaczną część prac swoich i inni nasi artyści, tak że nam oczywiście nie wiele, mianowicie co do liczby (jak katalog wykazuje około siedmdziesiąt numerów) pozostało. Atoli pomiędzy tem, co nadesłano, znajdują się rzeczy ze wszech miar ciekawe i godne widzenia, a jeżeli zważymy że zapowiedziane są jeszcze prace pp. Gotlieba, Sidorowicza, Małeckiego, Łosia, Ostrowskiego, Barącza, Brzostowskiego, i wielu innych, to przyznać należy, że wystawa nasza pomimo krzywdy, którą jej wyrządziła paryska, stosunkowo wcale jeszcze świetnie wygląda. Wprawdzie wskutek braku prac Matejki, Siemiradzkiego i Brandta nie może się ona poszczycić żadnym obrazem historycznym, natomiast jest dział rodzajowy bardzo licznie i dobrze reprezentowanym, podczas gdy dział portretowy zasługuje na uwagę, a dział pejzaży pod względem liczby najsilniejszy kilkoma prawdziwemi arcydziełkami się wykazać może.

Palmę w rodzajowym dziale trzyma p. Antoni Kozakiewicz, dwoma płótnami większych rozmiarów, z których pierwsze nosi tytuł Bez opieki i przedstawia epizod z życia najniższej warstwy naszego społeczeństwa. Przed oknem karczmy w której gwarliwe wre życie, stoi z wyrazem rozpaczy na twarzy dziewięcioletnia może dziewczynka, trzymając na ręku młodszą, dwuletnią może siostrzyczkę, podczas gdy ojciec tego biedactwa, rozmarzony trunkiem, mży pod schodami gospody. Sytuacja to zaiste pełna tragicznej grozy, oddanej z całym realizmem Zoli lub Coppée'go; szkoda tylko, że p. Kozakiewicz, który — jak prace jego dowodzą — jest poetą i psychologiem, zamiast przedstawić młodszą dziewczynkę przestraszoną i płaczącą, a zatem zdającą sobie sprawę z swego opuszczenia, nie przedstawił jej owszem w całej pełni dziecięcej nieświadomości, wyciągającą ręce do ojca i uśmiechniętą. Effekt tragiczny zostałby w ten sposób jeszcze spotęgowanym, a uniknięta konieczność przedstawienia twarzy dziecięcia płaczem wykrzywionej, co miasto pobudzać widza do litości, jak to prawdopodobnie leżało w intencjach artysty, niemiłe tylko budzi wrażenie. Zauważyć tu jeszcze muszę p. Kozakiewiczowi, który widocznie w prawdzie motywów piękna szuka, że dzieci nałogowych pijaków bywają zawsze nadzwyczaj wątłe i chorowite, a nigdy tak zażywne jak owa płacząca dziewczynka. Uwzględnienie tej prawdy, której nas uczy pierwsza lepsza fizjologja o dziedziczności traktująca, a codziennie zresztą stwierdza doświadczenie nie tylko nie byłoby zaszkodziło ogólnej harmonji pczedstawionego dramatu, lecz owszem zaokrągliłoby ją było jeszcze lepiej. Co do technicznej strony tego ze wszech miar ciekawego obrazu, zarzuciłbym chyba to, że postać dziewczynki i dziecięcia nie dosyć się odrywa od białej ściany gospody. Przyczyną tego jest właściwość białej farby, która — jak wiadomo — jest bardzo zdradliwą, i tak jak w froncie tabunowy rumak, zawsze się z ogólnej symfonji kolorów naprzód wysuwa.

Za przedmiot drugiego swego obrazu n. p. Zabawa w kaźni obrał sobie p. Kozakiewicz epizod galicyjskich dziejów z roku 1863. Miejscem działania jest długa, sklepiona, forteczna kazamata — prawdopodobnie na Wawelu, chwilowo na więzienie zamieniona; osobami działającemi są rozbitki, któregoś z „galicyjskich“ oddziałów, t. z. cucyglery, tudzież przedstawiciele t. z. „cywilnej organizacji“ a między niemi trzej żydkowie, prawdopodobnie liweranci, i jakiś przedmieszczanin, rodzoniutki brat kuma Onufrego ze Szczutka, widocznie uwięziony za przechowywanie broni, lub inne jakie wykroczenie tego rodzaju. Nie trudno także oznaczyć i porę działania: jest nią widocznie chwila owych not dyplomatycznych, które w naszej sprawie wysyłały europejskie gabinety, „wiara“ bowiem zdaje się nie brać na serjo groźnych paragrafów austrjackiego kodeksu karnego, i tłómacząc sobie surowość władz jedynie jako grę względami polityki wskazaną, nie traci wcale fantazji, wesołej oddając się zabawie. Nastrój ten dziarski i rezolutny, jest tu z takim pochwycony humorem, z taką oddany prawdą, — usposobienie to różowe, na sangwinicznych kombinacjach politycznych oparte, a jak wiadomo całemu naszemu społecznictwu podówczas wspólne, streszcza tak dokładnie ówczesną sytuację, że nie waham się nazwać Zabawy w Kaźni jednym z najznakomitszych obrazów historyczno-rodzajowych, jakie kiedykolwiek widziałem.

Nic pocieszniejszego n. p. nad oną grupą pod filarem. Przedmieszczanin zakłopotany widocznie że mu przyszło siedzieć „w hareszcie,“ zebrał się na koniec na odwagę, i przyszedł się spytać: „co, gdzie, jak, którędy,“ najbliższego swego w cywilnej organizacji przełożonego, który litując się nad głupotą prostaczka, nie bez pewnej jednak zarozumiałości, tłomaczy mu per a plus b, „że to wszystko tylko komedja względami politycznemi wskazana, — że Austrja ostatecznie łącznie z Napoleonem Polskę odbuduje, i arcyksięcia Maksymiljana na tronie osadzi“.... Albo ta druga grupa dwóch żydków, rozmawiających z sobą o dokonanym liwerunku, i traktujących cały swój udział „uf tej rebelacji,“ ze stanowiska Geszeftu, albo też owa jeszcze, przypatrująca się tańczącemu Węgrowi i Moskalowi, którzy przy odgłosie skrzypek i harmoniki tańczą, każdy swego narodowego tańca. Wszystko to tętni ciepłem życiem, oddycha, myśli, czuje, i przypominają pojedyncze grupy i postacie psychologiczną swą prawdą i artystycznem wykończeniem, najszczęśliwsze kreacje Meisoniera, z tą jednak różnicą że płótno p. Kozakiewicza jest daleko większych rozmiarów; i traktuje przedmiot bardziej skomplikowany.

Co do technicznej strony ta nie pozostawia nic do życzenia; rysunek jest staranny, ugrupowanie znakomite, oświetlenie dobrze obliczone, koloryt świeży i pełen siły, ton zaś obrazu szlachetny i poważny, a jezeli weźmiemy na uwagę, że Zabawa w kaźni jest tylko o rok starszą od poprzednio omówionego w r. 1876 malowanego obrazu „Bez opieki“, to powinszować należy p. Kozakiewiczowi znakomitego postępu w tak krótkim

dokonanego czasie. Rok tylko, a tak ogromne rezultaty;.... sic itur ad astra!....

P. Gottlieb z Drohobycza, którego prace podziwialiśmy zeszłego roku, nadesłał na obecną wystawę obraz rodzajowy większych rozmiarów, Żydów modlących się w bożnicy przedstawiający, a w znanej swej malowany manierze. Przyznam się że maniery tej nie lubię, jestem bowiem zwolennikiem sumienniejszego i poważniejszego traktowania sztuki, które zresztą p. Gottliebowi nie jest obcem, jak to liczne jego a znakomite studja akademickie, które na bieżącą nadesłał wystawę, najwymowniej dowodzą. Potrzeba na to już porządnej dozy semickiej prawdziwie aroganicji, aby pokrywszy miejscami — powtarzam miejscami szare płótno, tu warstewką okru, tam warstewką karminu lub kobaltu, chcieć wmówić w publiczność, że zamierzone dzieło jest już zupełnie wykończonem. Ma to być genjalność! Być może, ale czyć koniecznie ma się zwiastować genjalność lekceważeniem sztuki, publiczności i siebie? Co do mnie to wolałbym widzieć p. Gottlieba, nie naśladującym jakiegoś zwarjowanego Niemca, ale sobą samym, takim jakim się objawił w studjach swych akademicznych malowanych przed laty. Mojem zdaniem zdobędzie on sobie laury, po które sięgać uprawnia go niezaprzeczony jego talent, tylko wtedy, gdy przestanie się bawić w fałszywego Mackkarta. Na co starać się być kimś innym, kiedy się może być samym sobą?....

Te same wady i niezaprzeczone zalety, które miały prace p. Gotlieba wystawione na zeszłorocznej wystawie, występują w Żydach modlących się, lecz nierównie jaskrawiej. Pod względem techniczym nie ma płótno to onego zaokrąglenia, którego od dzieła sztuki wymagać należy, i robi takie mniej więcej wrażenie, jak źle obstrzyżona głowa. Miejscami znajduje się obraz w stadjum najdokładniejszego wykończenia odnosi się to głównie do akcesorjów, mianowicie do srebrnych haftów na tałesach, do bind, jarmułek, pierścieni; — miejscami zaś nie wystąpił on jeszcze z stanu najpierwszego podmalowania, a odnosi się to głównie do twarzy, mianowicie do tych, które na dalszych się znajdują planach, a które w skutek tego wyglądają anemicznie, niemal martwo i mamurowo. Zdawałoby się według tego, że p. Gottlieb maluje swe obrazy wyłącznie dla akcessorjów, które — nawiasem mówiąc znakomicie maluje, — a resztę uważa tylko za dodatek, którym się właściwie zajmować nie warto.

A part cette lubie! kaprys ten pominąwszy, trudno zaprzeczyć płótnom p. Gottlieba niepospolitych zalet. Jeżeli z bliska patrzeć nie można na jego Żydów w bóżnicy, to już w oddaleniu kilku kroków nabierają postacie jego pewnej plastyki, i grupują się, chowają lub występują naprzód stosownie do intencji artysty, ale mimo to nie nabierają jego twarze tego ciepłego życia, którego wymagałbym, mianowicie tu u reprezentantów rasy semickiej, w których żyłach tętni szlachetna krew orjentalna. Aż żal serce ściska na widok tych idealnie pięknych niewieścich twarzy, o rysach pełnych arystokratycznej dystynkcji, o oczach w których pała jakoby odblask solimskich jutrzenek, a cerze tak bladej i matowej, jaką ją uczynić tylko może chloroza do najwyższego już stopnia rozwinięta. Ugrupowanie tego zresztą ze wszech miar uwagi godnego obrazu jest proste i naturalne, — charaktery głów i postaci są znakomicie podchwycone i oddane, perspektywa jest tylko nieszczególna, przytem trudno sobie sprawę zdać z oświetlenia, cienie bowiem, mianowicie na twarzach pierwszego planu przypadają właśnie z tej strony, z której ciepłe, prawie południowe światło szeroką wdziera się strugą, przez okna niebieską firanką, do części tylko zasłonięte.

Oprócz Żydów w bożnicy wystawił p. Gottlieb szereg akademickich studjów, które wymownie dowodzą, że obecna jego maniera jest tylko kaprysem. Między temi studjami zasługują na szczególniejszą uwagę trzy głowy męzkie, odznaczające się charakterem, artystycznem wykończeniem i szlachetnym tonem, w którym są trzymane. *(C. d. n.)*

POKŁOSIE.

Emancypacja kobiet u Rzymian. „Matrona rzymska“ — jakie wzniosłe wyobrażenia wiążą się z temi wyrazami! I nie jest też ono bez podstawy, gdyż w pierwszych wiekach istnienia państwa rzymskiego usprawiedliwiała je najzupełniej niewiasta rzymska. Ówczesna rzymianka to najpiękniejszy wzór żony i matki, to najwspanialszy obraz cnót niewieścich, skromności, stateczności i poświęcenia dla rodziny i ojczyzny, i tym też cnotom zawdzięczał Rzym ówczesny głównie prawie swoją wielkość i chwałę. Ale od czasu wojen punickich nastąpiła fatalna zmiana; szczególnie po drugiej wojnie, gdy niezmierne bogactwa zdobyte na Kartagińczykach napłynęły do Rzymu, zajął niebawem miejsce dawnej skromności i prostoty niesłychany zbytek, a oraz z nim nastąpiło także zepsucie obyczajów. Ubogie, słomą kryte domki, z jakich składał się Rzym dotąd, znikały powoli, a miejsce ich zaczęły zajmować kamienne pałace. Jeszcze w domu sławnego Katona, który w roku swego urzędowania (184 przed Chrystusem) z nieubłaganą surowością usiłował powściągać wkradający się zbytek, nie były ściany pokojów nawet tynkowane. Teraz zaś obwieszano je kosztownemi dywanami.

Jakżeż wobec takiego przepychu w pomieszkaniach mogły poprzestać kobiety na dawniejszem, skromnem ubraniu swojem? Nie zgadzało się ono już z całem ich otoczeniem i zmieniało się też stopniowo z niem razem. Mnóstwo nowych po największej części wykwintnych przedmiotów, jako to ozdobnie wyrabiane naczynia srebrne, sofy stołowe, azjatyckie szaty i dywany, grubo przerabiane złotem, zaczęły teraz znachodzić odbyt w Rzymie. Najbardziej objawiał się ten zbytek w jedzeniu. Dotąd jadano tylko raz na dzień ciepłe potrawy, teraz bywało kilka obiadów dziennie, a dotychczasowe dwa dania zastąpiło pięćdziesiąt a nawet więcej jeszcze. Dotąd zajmywały się kobiety same pieczeniem chleba i także w kuchni doglądały niewolników i niewolnic, a kucharza najmowano tylko w razie wyprawiania uczty. Teraz trzymano kilku kucharzy w domu, którzy zajmywali się także pieczeniem chleba. Pani domu uważała takie zajęcia za ubliżające swojej godności. I jakżeż zresztą mogła zapuszczać się do okopconej kuchni w kosztownem ubraniu, jakie nosiła! Najcenniejsze tkanki jedwabne, materje

lamowane purpurą wyparły dawniejszą sukienkę płócienną, a i te musiały później ustąpić miejsca lekkim tkaninom z wyspy Kos i przeźroczystym materjom gazowym, które kształty ciała więcej okazywały niż osłaniały.

Jak wielki był zbytek w strojach, pokazuje się ztąd, że Cezar wydał aż sześć milionów na klejnoty, które podarował matce Brutusa. Gdy w drugiej wojnie z Kartaginą poniósł Rzym ciężką klęskę pod Kannami i państwo obok braku wprawnych do boju ludzi znajdowało się także w kłopotach finansowych, zabroniony został kobietom uchwałą ludu wszelki zbytek, jaki w ostatnich czasach panował między niemi, a mianowicie noszenie złotych naramienników, kulczyków i pstrych szat, używanie powozów i t. p. Niechętnie wprawdzie, jednak bez oporu, gdyż położenie państwa wymagało tej ofiary, poddały się niewiasty temu rozkazowi. Ale jak tylko minęło grożące niebezpieczeństwo i wojna zwycięzko się skończyła, zaczęły coraz natarczywiej domagać się, ażeby im zwrócono odjęte ich przywileje. Za ich podnietą postawili trybuni ludu M. Fundanius i L. Valerius w zgromadzeniu ludu wniosek, ażeby znieść ustawę wymierzoną przeciw zbytkowi kobiet. Wniosek ten wywołał żwawe debaty. Kato, ów surowy strażnik obyczajów, zbijał ognistą mową nierozsądne żądanie kobiet, a dwaj inni trybuni ludu, M. Brutus i J. Brutus wnieśli protest przeciw wnioskom swoich kolegów, co znaczyło podług konstytucji rzymskiej, że wniosek nie ma być dopuszczony pod głosowanie. Ale kobiety, które z niecierpliwością oczekiwały rezultatu obrad, jak tylko dowiedziały się o tem, zaczęły natychmiast zgromadzać się na ulicach. Z szybkością błyskawicy rozeszła się ta wiadomość po mieście. Ani przedstawienia ani też zakazy małżonków i ojców nie mogły zatrzymać kobiet w domach. Głośno rozprawiały one po ulicach o tym ważnym wypadku i powszechne było pomiędzy niemi zdanie, że niepowinne zrzec się swego żądania, lecz przeciwnie używać wszelkich możliwych środków ażeby wyjednać spełnienie jego. Z prowincji, dokąd wieść ta szybko się dostała, spieszyły kobiety tłumami do miasta i tysiące ich oblęgając domy trybunów, którzy swym protestem zniweczyli najmilsze ich życzenie, tak długo niepokoiły tychże płaczem i skargami, aż wreszcie przyrzekli im oni cofnąć swoją protestację. Wtedy postawiono wniosek powtórnie i zgromadzenie przyjęło go mimo oporu niektórych członków. Znienawidzona ustawa została tedy zniesiona, a zaledwie dowiedziano się o wyniku głosowania, napełniły się zaraz ulice wystrojonemi kobietami, które z uczuciem tryumfu wydobywały na jaw trzymane już w pogotowiu ozdoby. Byłto wypadek nieznany dotąd w historji Rzymu. Jak niegdyś pospólstwo rzymskie, to jest ubogi, nie posiadający ziemi lud wyszedł z miasta, ażeby uwolnić się od ucisku możnych i przy tej sposobności ów proletaryat wystąpiwszy po raz pierwszy jako ściśle zwarta klasa społeczeństwa, przybrał niejako postawę państwa w państwie: — tak wystąpiły teraz niewiasty jako ogół w życiu publicznem. To był pierwszy krok do emancypacji.

Od tego czasu zaczęła coraz więcej niknąć dawniejsza prostota. Po zmianie ubrania nastąpiła zmiana sposobu życia, a wreszcie przyszła kolej i na obyczaje, które nie mogąc się już pogodzić ze zmienną powierzchownością, musiały ustąpić miejsca nowym mianowicie zniewieściałym obyczajom azjatyckim. Z upadkiem dawnej skromności szło ręka w rękę zepsucie obyczajów. Młodzież rzymska, która dawniej tylko wojennem rzemiosłem się bawiła, uczyła się teraz od mistrzów greckich tego, co dzisiaj dobrym tonem się nazywa. Jak dziś na Paryż, tak oglądano się wtedy na Ateny; jak dziś wydaje się niejednemu dobrem to tylko, co jest francuskie, tak wtedy uważano za dobre to tylko, co pochodziło z Grecyi. Młodzi Rzymianie nauczyli się wkrótce dbać więcej o swoją powierzchowność, niż o wszystko inne, ażeby tylko — przypodobać się kobietom. W ubiorze, w ozdobach i sprzętach domowych, w domu i za domem, przy ucztach familijnych i bankietach — wszędzie brała górę wystawność, żądza rozkoszy i marnotrawstwo. Kobiety wodziły rej we wszystkiem. One to psuły mężczyzn, nie mężczyźni ich obyczaje. Poufałe obcowanie zamężnych kobiet z młodymi mężczyznami nie uważano wcale za rzecz gorszącą, i rzadko kiedy bywały kobiety zwiedzionemi, najczęściej zwodziły same. Nie było prawie występku, któregoby się niedopuszczano w tych kołach. Tam to wychowywała się owa młodzież, z pośród której tacy nieprzyjaciele porządku publicznego, jak Katylina, Koelius, Dekabella rekrutowali swoich zwolenników. Będąc przyjaciółkami całego świata, różniły się zamożne Rzymianki od ulicznych wyrzutków płci swojej tem tylko, że obdarzały same swoich kochanków, zamiast brać pieniądze od nich.

Gdy w dawnych czasach obraził kto kobietę nieprzyzwoitym wyrazem, lub bezwstydnym czynem, bywał karany śmiercią; teraz nie potrzebował się nikt tego obawiać. I kobietom też wolno było robić wszystko, co dawniej było zabronione i surowym podlegało karom. Publius Sempronius wyrzekł się niegdyś swojej żony za to, że była obecną na publicznem widowisku. Sulpius Gallus rozwiódł się ze swoją żoną za to, że raz podczas deszczu założyła suknię na głowę; — teraz nie zważano już wcale na takie drobnostki i kobiety mogły całkiem innych rzeczy pozwalać sobie bezkarnie. Dawniej mawiano, że gospodarz domu, jeźli miał jakie zajęcie za domem, powinien za powrotem pocałować żonę, ażeby poznać z jej tchnienia, czy nie piła potajemnie wina; teraz pijały kobiety wino podług upodobania i upijały się nieraz gorzej niż mężczyźni. I to nie byłoby jeszcze tak wielką zbrodnią, gdyby były pijały same; ale przynęcano niedoświadczonych młodzieńców i odurzano wszelkiego rodzaju rozkoszami, jakich nie dozwalało im używać skąpstwo ich rodziców lub opiekunów. Piękna postać i ujmujące postępowanie były dla młodego Rzymianina lepszą rekomendacyą, niż dawniej świetne nazwisko; tysiące ich zawdzięczało szczęście jedynie tym własnościom. Nie dziw przeto, że starano się tak usilnie o zachowanie tych przymiotów, które miały tak wielką wartość, a jednak nabyte być nie mogły. Cóżby był powiedział ów Kato, który tak się zżymał na próżność kobiet, gdyby był widział młodego Rzymianina, jak trwożliwie przyglądał się w zwierciedle, czy broda jego gładko ogolona, czy włos misternie ułożony i czy fałdy tuniki nie sprzeciwiają się modzie. Pomiędzy sztucerami rzymskimi weszło wnet w modę pozostawianie małej bródki (barbula), gdyż kobietom bardzo się to podobało.

Takie przymioty niewieście nie mogły naturalnie zachęcać mężczyzn do stanu małżeńskiego. Liczba bezżennych, pomimo wydawanych przeciw nim ustaw, wzmagała się coraz bardziej;

a jeźli który odważył się w końcu pojąć żonę, to dość było kilkomiesięcznego pożycia, ażeby uczynić mu pożądanem odzyskanie wolności. Rozwody były też czemś zupełnie zwyczajnem, kobiety przechodziły jak towar z rąk do rąk. Nawet surowy sędzia obyczajów Kato nie stanowił w tym względzie wyjątku. Gdy zmiarkował, że jeden ze znakomitszych przyjaciół jego, na którego przyjaźni wiele mu zależało, upodobał sobie żonę jego, odstąpił mu ją, co jednak nie odstraszyło go od zaślubienia jej nanowo po śmierci przyjaciela. Prawie wszyscy wielcy ludzie owego czasu żenili się po kilka razy, a nie było ani jednego pomiędzy nimi, któryby mógł się pochwalić, że jego żona nie miała żadnego romansu z boku. Byłto wszakże tylko plon własnego ich posiewu; co dawniej robili innym, to robiono im teraz.

Wszystko to jednakże było drobnostką jeszcze, bo ograniczało się tylko na kółku domowem, nie sięgało po za ściany pomieszkania. Ale wnet zaczął dom nie wystarczać kobietom; zapragnęły one szerszego pola działania i zeszły na ulicę. Podług dawnego zwyczaju rzymskiego zostawała zamężna kobieta pod prawną władzą małżonka, która równała się nieograniczonej władzy ojca; niezamężne zostawały pod opieką najbliższych krewnych męzkich. Własnego majątku nie miała żona nigdy; panna lub wdowa mogła go mieć, ale nie wolno im było rozporządzać nim dowolnie. Teraz zaczęły kobiety dążyć do samoistności we względzie majątkowym, wyrywać się z opieki swoich krewnych, zarządzać samodzielnie swoim majątkiem. Ogrom kapitałów, skupionych w ręku kobiet, wydał się mężom stanu tak niebezpiecznym, że uciekając się do ostatecznych środków, zakazano ustawą ustanawiać kobietę sukcesorką, a w końcu nawet doszło do tego, że odbierano kobietom nawet takie sukcesje, które spadły na nie bez testamentu.

Wszystkie te środki nie wiele pomagały, gdyż umiano je zręcznie obchodzić. Podobnież omijano także starodawny zwyczaj sądów familijnych. Gdy dawniej kobieta dopuściła się jakiego przestępstwa, mogli najbliżsi krewni składać sąd na nią i karać ją. Teraz już były takie sądy zabytkiem starożytnym.

Ale także i w sprawach publicznych zaczynały już kobiety mieć swoją rolę i — jak powiadał Kato — „władać władcami świata.“ Mięszały się do polityki, intrygowały w Rzymie i na prowincji, miały wszędzie wpływowe związki, wszędzie powolne narzędzia do zaspokajania swoich kaprysów i życzeń, i niejednemu z rzymskich mężów stanu przysporzyły intrygi jednej kobiety więcej kłopotów niż najprzykrzejsze sprawy polityczne. Mieszkańcy prowincjonalni, którzy chcieli uzyskać coś w Rzymie, nie udawali się już z prośbami swemi o pomoc do znakomitych osobistości rządowych, lecz do kobiet posiadających przeważny wpływ w stolicy.

Nie brakło też i takich między kobietami, które występowały jako adwokaci, prowadziły same procesa, broniły z trybuny swojej sprawy i zwinnością języka przewyższały nawet weteranów izby sądowej, jak między innemi niejaka Afrania, która umarła w r. 48 przed Chrystusem i miała reputacją straszliwej pieniaczki.

Wystąpiwszy raz publicznie, musiały kobiety popaść naturalnie w wir namiętności, jakie srożyły się w owych burzliwych czasach, a po zatraceniu wszelkich cech niewieścich zaczęła powoli także krew znaczyć ich drogę. Najprzód brały one udział w spiskach i już w spisku Katyliny odgrywały dość znaczną rolę. Później zaś, gdy rozpoczęły się wielkie wojny domowe, w których Cezar i inni magnaci walczyli z sobą o samowładztwo, gdy tysiące ludzi ginęło w bitwach, a więcej jeszcze wytępiały nieskończone proskrypcje, wtedy zaczęły występować kobiety, które wedle słów poety stawały się prawdziwemi hjenami.

Na czele tych potworów niewieścich z ostatnich dni republiki stoi Fulwia, której trzecim małżonkiem był Antonius. Gdy stronnicy jej męża zaczęli w Rzymie proskrybować jego nieprzyjaciół, gdy na placach publicznych wystawiono tablice z nazwiskami tych, którzy mieli być straceni, wtedy stała się ona — zamiast aniołem opiekuńczym zagrożonych — prawdziwym aniołem dusicielem Rzymu. Kto czem kolwiek obudził jej niechęć, padał ofiarą natychmiast, gdyż mimo wiedzy małżonka potrafiła ona przemycić jego nazwisko do listy skazanych i wydać go w ręce kata.

Inne kobiety nie działały tak jawnie. Trucizna pełniła także swoje usługi i Rzymianki umiały równie dobrze przyrządzić truciznę, jak później Borgianki. Hortenzja, małżonka konzula struła męża swego dla tego, żeby przy nowym wyborze do konzulatu mógł jego pasierb uzyskać tę godność.

Taką to w ostatnich latach republiki była w ogóle niewiasta rzymska; a jeźli tu i ówdzie zdarzały się wyjątki, to były one niestety tak rzadkie, że zaledwie jak błędne ogniki połyskiwały wśród tej straszliwej, przedśmiertnej nocy zepsucia!

Kto wie, na co się to przyda. Taki jest tytuł jednej z komedji Augusta Kotzebuego, słynnego fabrykanta podobnych fars dramatycznych, a utwór ten wiąże się tak ściśle z tragicznym końcem tego pisarza, że poniekąd można go uważać nawet za pośrednią przyczynę jego.

Właśnie w tych czasach minęło lat 80, gdy w Królewcu zapowiedziały afisze po raz pierwszy przedstawienie tej komedji na benefis sławnej podówczas artystki panny Fryderyki Wachs. Na rogu jednej z głównych ulic miasta czytało to ogłoszenie teatralne dwóch świeżo do Królewca przybyłych ludzi: radca sądowy Sand z Erlangen i 13letni jego syn Ludwik, roztropny i pełen zdolności młodzieniaszek, umysłowo nad wiek swój rozwinięty, ale przytem słabowity, ponury i drażliwy, tak że oko jego zamiast młodzieńczą wesołością, błyszczało nieraz jakby ostrzem sztyletu. Ojciec, który mimo zajęcia Bayreutu przez Francuzów uważał się zawsze jeszcze za urzędnika pruskiego, przybył do Królewca, gdzie wówczas bawił dwór pruski, ażeby poprzeć u króla osobistą sprawę jednego ze swoich klientów, i zabrał ze sobą swego syna.

Kotzebue, który wtedy dyrygował teatrem królewieckim, jakkolwiek był ulubiony jako pisarz, nie miał przecież miru jako człowiek osobliwie u młodzieży szkolnej, gdyż uważano go już wtedy za tajnego ajenta moskiewskiego, a tacy ludzie nie są, jak wiadomo, nigdzie ulubieńcami ludu.

Autor zapowiedzianej komedji znajdował się właśnie w budoarze beneficyantki, którą tak na scenie, jak i w tajnym gabinecie szczególnie uwzględniał i protegował.

Frydryka Wachs, dekoltowana aż do pasa, siedziała przed dużem zwierciadłem i splatając swój piękny, brunatny włos, przedstawiała prawdziwy biust Wenery, jakiby tylko najśmielsza fantazja mistrza z marmuru wykuć zdołała.

Kotzebue siedział naprzeciw tej czarującej piękności i podpowiadał jej przeznaczoną dla niej rolę w nowej komedji, a ona śmiała się serdecznie za każdem powtórzeniem przypowieści: „Kto wie, na co się to przyda,“ której towarzyszył zwykle jakiś tłusty dowcip, na jakich nie zbywa w tej komedji.

W tem oznajmia pokojówka, że przyszedł jakiś młody pan i prosi o dwa krzesła na parterze.

— Mam tylko dwa bilety jeszcze: ale jeśli ów pan mi się podoba, to je dostanie. Niech tu wejdzie! — odrzekła artystka.

— Czyś oszalała Frydryko! zawołał śmiejąc się Kotzebue, W takim kostiumie chcesz przyjmować obcego?

— Ten kostium dała mi natura — odrzekła piękna aktorka z uczuciem próżności — a natura jestto artystka, która zna się lepiej na kostiumach, niż wszyscy dyrektorowie teatrów na świecie.

W tej chwili wszedł młody Ludwik Sand do pokoju i zatrzymał się, jakby zaczarowany wzrokiem węża, przy drzwiach, zobaczywszy bezwstydną kobietę przy zwierciedle.

— Prosimy bliżej, młody panie! — zawołała panna Wachs z najwdzięczniejszym uśmiechem.

— Nie śmiem moja panno — odrzekł trzynastoletni chłopak ostro i poważnie — gdyż lękam się, ażeby mię nie splamiło zbliżenie się do kobiety, która nie wzdryga się w biały dzień deptać nogami święte prawa przyzwoitości.

Kotzebue i jego kochanka spojrzeli na siebie zdziwieni.

— Cha! cha! cha! — zawołał tenże z przymuszonym nieco uśmiechem — twój naturalny kostium natrafia przecież na małą opozycją, moja piękna!

— Gdyby ta opozycja wznosiła się już po nad ławki szkolne, to wobec mnie nie byłaby już pewnie opozycją — odrzekła aktorka z kokieterją odsłaniając lekko swój biust. — Zresztą nie masz się pan czego śmiać panie Kotzebue, gdyż w szermierce językowej dostawałeś pan nieraz moralne cięgi od daleko młodszych jeszcze gimnazjalistów.

— Nie cięgi lecz tylko zadraśnięcia — odparł Kotzebue spoglądając z politowaniem na chłopca — i dla tego nieźleby było zrewidować ręce tych małych obywateli akademickich, którzy w naturalnej historji nie doszli jeszcze dalej jak do osy, i poobcinać im cokolwiek paznogcie.

— Panie Kotzebue — odpowiedział chłopiec z powagą męża — ja skończyłem już historyę naturalną i wiem, że osa kłuje swem żądłem, gdy się zagraża jej wolności, i że lis moskiewski jest złym gościem w niemieckim gołębniku. I ja jestem małym obywatelem akademickim, nazywam się Karol Ludwik Sand, i jeśli pan po tym egzaminie z historji naturalnej zechcesz zrewidować moje palce, to znajdziesz mię pan na uniwersytecie w Tübingen. „Kto wie, na co się to przyda“ panie radco stanu. — I po tych słowach opuścił śmiały chłopiec buduar aktorki.

Kotzebue ujrzał go dopiero po jedenastu latach znowu w Manhajmie; ale nim jeszcze zdołał go poznać, już sztylet Sanda przeszył jego serce. Opisana powyżej scena zaszła, jak już wspomnieliśmy w buduarze kochanki Kotzebuego w Królewcu dnia 20. maja 1808, a dnia 20. maja 1820 zginął student Karol Ludwik Sand z ręki kata w Manhajmie.

Kotzebue i Sand spoczywają w spokojnem sąsiedztwie na jednym cmentarzu. A kochanka Kotzebuego? Może także w sąsiedztwie — za płotem...

Jadalne gniazda ptasie. Byłoby to wdzięczne i pouczające zadanie, gdyby kto zadał sobie tyle pracy, aby wyliczyć wszelkie mniemane łakocie i przysmaki z królestwa zwierzęcego, jakie wytworzył sobie dziwaczny mniej więcej gust człowieka we wszystkich strefach i na każdym szczeblu cywilizacji. Do najosobliwszych pomiędzy temi łakociami należą cenione wysoko w Chinach, w Indji i na Archipelagu Sundy indyjskie czyli jadalne gniazda ptasie, które na oceanie indyjskim stanowią bardzo znaczny i cenny artykuł handlowy tak dalece, że przywóz jego do samych Chin wynosi rocznie w przecięciu 84,000 kilogramów (t. j. $8^1/_4$ miliona sztuk) w wartości przynajmniej 6 milionów marek. Te jadalne gniazda mają kształt ćwiartki skorupy z jaja, i wyglądają jak klej, żelatyna lub zasuszona galareta, a przytem są bardzo cienkie i lekkie, tak że kilkaset ich idzie na jeden kilogram. Buduje je mały ptaszek z rodzaju jaskółek, którego kilka odmian zamieszkuje strome wybrzeża wysp oceanu indyjskiego i archipelagu Sundy, wyspę Ceylon i wybrzeża Chin, a w innej odmianie także góry Assamu, Nilgherri, Sikkimu i t. d. lepiąc gniazda swoje grupami w szczelinach skał i jaskiniach, jakoteż u pionowych prawie ścian skał nadbrzeżnych. Ptaki te zowią Salanganami, a na wyspie Jawie Kusappi, i zaliczają takowe do rodziny żaglowców. Jestto mały, podobny do jaskółki ptaszek długości tylko 13. centymetrów, o bardzo słabych nóżkach i maleńkim haczystym dzióbie, upierzenie jego jest zwierzchu ciemnobrunatne i szare, u spodu jaśniejsze, barwa skrzydeł czerniawa z połyskiem metalowym, a lekko wycięty ogon jego średniej długości jest koloru sadzy. Największą osobliwością u tego ptaka jest gruczoł ślinowy uderzającej wielkości, z którego kleistych wydzielin ulepia Salangana swoje gniazdo na skale tak, że kamień stanowi jego tylną ścianę, a klej ten zamienia się po wyschnięciu w przeźroczystą białawą lub brunatną masę o widocznych falistych pręgach poprzecznych. Do takiego wysuszonego i puchem wyścielonego gniazda składa Salangana 2 lub 3 jaja, ażeby je wysiadywać. Ale jak tylko te gniazda w najludniejszych jaskiniach u południowego wybrzeża Jawy i w innych przybytkach tego ptaka są już gotowe przychodzą zbieracze gniazd i odrywają je z niebezpieczeństwem życia i oczyściwszy takowe z puchu, piasku i łajna, wprowadzają do handlu. Taki zbiór gniazd odbywa się dwa lub trzy razy do roku, i dopiero potem pozwalają Salanganie raz wysiadywać młode. Ale gastronomiczna wartość tych gniazd, wywożonych prawie wyłącznie do Chin lub sprzedawanych bogatszym Chińczykom w innych krajach niemal na wagę złota, jest tylko urojona, gdyż gotowane w czystej wodzie mają one jałowy smak kleju; ale Chinczycy robią z nich w połączeniu z różno korzennym rosołem zupę i uważają ją za wielce pożywną.

Hrabia Toto.



A więc *consumatum est*, drogi Ziziu, jestem szczęśliwym. Lala mnie kocha, i ja ją kocham, kocham szalenie — chociaż jej coraz bardziej nie rozumiem!...

Ślub nasz odbył się w Madeleine. Cała cudzoziemska *fashion* paryska — prawdziwy Paryż bawi w tej chwili u wód albo na wsi — pojawiła się w kościele niemal w komplecie. *Ces dames aussi*, *ma foi* cały Mabile, dzięki niedyskrecji Zizia, który oczywiście wszystko wypaplał. Publiczności było także bardzo wiele; słowem kościół był jakby nabity. Lala była *resplendissante de chic et de beauté*, a przytem w złotym humorze. Gdy się pojawiła, powitał ją ogólny szmer podziwu. Tryumf ten, prawdziwy tryumf — nie zapominaj że to Paryż, i że publicznością była tam *la fine fleur* europejskiej elegancji — tryumf ten Lali, powtarzam, ogromną mi sprawił przyjemność, aliści mimo to, byłem nie swój podczas całej ceremonji, obawiając się jakiegoś niemiłego zajścia z Percaliną. Pisałem Ci już o zazdrosnych scenach, które mi ta facetka wyprawiała w ostatnich czasach, i o tem że ją powiadamiono o czasie i miejscu mego ślubu: — obawiałem się więc, by nie przyszła i nie zrobiła jakiego szkandału. *Je l'en savais bien capable*, choć, jak wiesz dałem jej sowite odczepne... Możesz więc sobie wyobrazić moją trwogę, gdy wracając od ołtarza ujrzałem tę warjatkę na wschodach kościoła wysuwającą się z tłumu naprzód, ostentacyjnie. Manewr ten nie uszedł baczności Lali, która spojrzała w tę stronę, a spojrzawszy zadrzała w sposób nerwowy. *La mort au coeur* zbliżałem się więc ku miejscu, gdzie stała Percalina, ale obawy moje były płonnemi: facetka ta dotrzymała danego słowa, i minęliśmy ją szczęśliwie. Z lżejszem już sercem pomogłem Lali wsiąść do powozu, i wsiadłem sam, zamierzając wszcząć jakąś rozmowę, by ukryć mój niepokój, gdy w tem przed oknem, prawie w oknie karety pojawiła się znowu twarz Percaliny. Słowa mi na ustach zamarły na widok ten niespodziewany.

— *C'est votre maitresse* — krzyknęła z żywością Lala, w chwili kiedy konie ruszyły.

Milczałem szukając w głowie jakiegoś rozumnego kłamstwa.

— *Ne me trompez pas* — rzekła zatykając mi usta swą batystową chusteczką — Wszak przyrzekłeś mi że będziesz ze mną szczerym!... Nieprawdaż. że ta kobieta była...

— Tak — odparłem zaambarasowany.

— *Quelle chance! quelle chance* — zawołała klaszcząc w dłonie uradowana. — Proszę Cię, pójdźże do niej zaraz jutro, i dowiedz mi się od niej koniecznie, gdzie kupiła ten śliczny kapelusik!...

Wenus w podróży.

Sławna medycejska Wenus
Zeszła z swego piedestalu,
I puściła się w pielgrzymkę
Od Alp sinych do Uralu

Była pewną że jej pochód
Będzie ciągłem laurów żniwem,
I że będzie ślad swój znaczyć
Entuzjazmem i podziwem!

Lecz ją spotkał zawód wielki; —
Każdy mierzył swoją miarką;
Niemiec zaraz ją zapytał:
„Czyby mogła być kucharką?“

Co krok stąpi, wszędy słyszy
Różnorakich zdań bez liku:
W Francji zarzucona „boskiej“
„Że ni trocha nie ma szyku.“

W Amsterdamie znów krytyka
Rzekła w swej nieomylności,
Że jej „brak tej pewnej tuszy,
Która szczytem jest piękności.“

Zagniewana tym wyrokiem
Do Krakowa gniewna wpada; —
Tam pytają: „kto ją rodzi
I jak często się spowiada?“

Nad Pełtewi brudną falą
Chciano wiedzieć, czy prócz krasy
Nie ma wioski, kamienicy,
Lub książeczki ze Szpar-Kassy.

Rozgniewana tem przyjęciem
Rzuca Wenus Europę,
I do Azji zmierza prosto
Z pyłu swą otarłszy stopę

Lecz i tam, i w Azji nawet
Nie szczędzono jej krytyki;
Chińczyk zmierzył ją kompasem
Swojej chińskiej estetyki

Rzekł, „iż stopy ma za duże
Że piękności typ uroczy
Musi cerę mieć woskową
I mongolskie kose oczy...

Zniechęcona do ostatka
Rusza w skwarne puszcze Afry
Między dzikie Hotentoty
Między czarnoskóre Kafry

Co tam o niej powiedziano
Tego chyba Wam nie powiem,
Bo na samą myśl już zgroza
Bieży mi po ciele mrowiem.

Dosyć na tem, że zrażona
Matka Charyt jasnowłosa
W powóz wsiadła swój gołębi,
I schroniła się w niebiosa

Niosąc boską w rajskie stery
Furnął w błękit cug ptaszęcy;
Próżno odtąd ją szukano —
Nikt jej już nie ujrzał więcej.

Wydawca i odpowiedz. za redakcję F. H. RICHTER.

Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



GRAF RAK.

19

POWIEŚĆ PRZEZ ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO.

I.

Pod koniec kwietnia roku 1866 wybrałem się był w podróż do Rzymu. W Wiedniu pomimo przejmującego zimna atmosfera była niezmiernie duszna: w sferach rządowych równa zawziętość przeciwko Prusom i Włochom, a między ludem głęboka trwoga, wynikająca z powątpiewania, ażali Austrya zdoła dać radę takim dwóm armiom, z których jedna głośną już wówczas miała sławę wybornej organizacji, a drugą organizował zapał wybijającego się z nieznośnych pęt austrjackich narodu. We Włoszech przeciwnie: kwiecień, najpiękniejsza-to pora w tym kraju, a ruch narodowy, ogarniający cały półwysep i kierowany roztropną ręką regularnego rządu, mógł zaścielonej woniejącemi kwiatami ziemi tylko tem więcej dodać uroku. Znajomi moi pochwalali jednozgodnie myśl tej podróży, ale wszyscy wątpili o jej wykonaniu; pod ową porę bowiem było rzeczą wcale niełatwą nietylko paszport otrzymać, ale nawet z paszportem przedrzeć się przez granicę. Wszelako za protekcyą owoczesnego ministra stanu udało mi się otrzymać paszport ministerjalny, a nuncjusz papiezki z najlepszą chęcią dał mi swą wizę, i dodał do niej kilka listów polecających; lecz ucieszony zwalczeniem tych pierwszych trudności, ani śnić mógłem, ile ten paszport, na welinowym pisany papierze, zawierał w sobie dla różnych ludzi szczęścia i nieszczęścia.

Wyjechawszy z mego mieszkania o świcie, już na dworcu kolei znalazłem trudność otrzymania biletu. Cały dworzec nabity był wojskiem, ruszającem pośpiesznemi pociągami do Włoch; pociągi osobowe szły tylko raz na dzień, i ledwie we dwa dni dochodziły do Wenecji. Mnóstwo podróżnych wróciło z dworca z kwitkiem do domu. Lecz ja miałem strzelca z sobą, który swojego czasu służył także wojskowo i przez lat siedm konsystował we Włoszech; strzelec ten był Polak i wielki wisus, ale jak wszyscy strzelcy cechowi, niezmiernie zręczny; jak karbonarjusz, wszędzie miał swoich przyjaciół, i wszędzie się umiał przewinąć. Ten znalazł w lot pułkownika Polaka, który mnie z wielką uprzejmością ze swymi kolegami zapoznał, zabrał do swego wagonu, i nazajutrz rano dowiózł do Padwy. Kiedyśmy się żegnali, zacni ci oficerowie mnie ostrzegli, abym się miał na baczności w podróży przez ten kraj aż do Padu, który jeszcze wprawdzie należy do Austrji, ale już jest głęboko wzburzony, a to nawet do tego stopnia, iż nierzadko się wydarzało, że obcy podróżni byli napastowani, a kilku nawet podobno zabito. Półkownik zaś dodał na ucho:

— Dostaniesz się tam między młot i kowadło, bo komisarze rządowi, którzy pilnują granicy, mają od kilku dni rozkaz surowy nie przepuszczać zgoła nikogo. Jestem przekonany, że się na tamtą stronę nie przebijesz i za parę dni wrócisz — a ponieważ ci się tak Włoch zachciało, więc w takim razie przyjedź do Werony, to także Włochy; nim wojna wybuchnie, dobrze się z nami zabawisz.

W Padwie kazałem z dworca jechać prosto na pocztę, która podówczas znajdowała się w ratuszu przy placu publicznym.

Przed pocztą dałem strzelcowi paszport i polecenie, aby wziął powóz i konduktora, ale pod tym warunkiem, aby tenże sam konduktor zawiózł nas aż do Ferrary, za co mu się da należyte ukontentowanie. Sam zaś poszedłem rozejrzeć się cokolwiek po mieście, w którem się chowa niejedno wspomnienie, mające związek z dziejami Polski. Ilekroć jestem w Padwie, zawsze mi się przypomina Zamek Krakowski i Jagiellońska wszechnica, do tego stopnia architektura włoska pod owe wieki żywcem się przenosiła do Polski — a oprócz tego stoją tam dwa polskie posągi, wzniesione staraniem i kosztem Stanisława Augusta.

Wróciwszy na rynek, spostrzegłem przed pocztą powóz już zaprzężony, a przy nim pocztyliona, konduktora i strzelca; lecz obok nich jeszcze kilkunastu młodych ludzi, którzy nadzwyczaj ożywioną prowadzili z sobą rozmowę. Nie chcąc się mięszać do tej konwersacji, poszedłem ku blizkiej kawiarni, i usiadłem między stołami, ustawionemi pod markizą, oczekując strzelca z raportem. Lecz zamiast strzelca przyszedł do mnie konduktor, człek posiwiały i na pozór poważny, odziany w mundur austrjacki, który, kłaniając się z rewerencją, i nie szczędząc tytułu excellencji, jak to zwyczaj u Włochów, zawiadomił mnie, że wszystko do podróży gotowe. Ale czemu strzelec nie przyszedł?

— Cóż, dowieziesz mnie przed wieczorem do Ferrary? — zapytałem starego.

— Nie bez trudności — odpowiedział konduktor — bo komisarz w Santa Maria Maddalena ma rozkaz nie przepuszczania nikogo. Ale z takim paszportem musi nas puścić. A zresztą mamy tam także znajomych...

Ledwie to wymówił, wpadł do kawiarni, zapewne aby pociągnąć na drogę, a tuż za nim zbliżył się do mnie jeden z tych młodych ludzi, którzy stali około powozu. Był to młodzieniec lat może dwudziestu i czterech, pięknego wzrostu, bardzo przyjemnej twarzy i bardzo przyzwoicie ubrany. Zdjął kapelusz, bardzo się pięknie ukłonił, i zaczął do mnie mówić dobrym językiem francuzkim — a kiedy ten mówił, zbliżyło się dwóch innych, z których pierwszy miał lat może dwadzieścia i dwa, a drugi dwadzieścia, równie piękni młodzieńcy i należący jakoby do jednej i tej samej, bez wątpienia zamożnej rodziny. Owóż pierwszy powiedział mi, że miałby prośbę do mnie, ale przedewszystkiem żąda odemnie słowa, że, czy jego prośbie zadość uczynię, czy nie, to co mi powie w świętej zachowam tajemnicy. Nie lubię być niczyim powiernikiem, ale trudno mi było odmówić. Poczem on tak mówił:

— My, panie, jesteśmy trzej bracia. Uciekliśmy ojcu z domu, bo chcemy się dostać na tamtą stronę, a ojciec nasz.... ojciec nasz jest wysokim urzędnikiem w Wenecji. Matka nasza, święta kobieta, pan sam ją ukochasz, jest już w Bolonii i nas oczekuje. A my tu już od tygodnia siedzimy, i nie możemy się przemknąć. Dwa kroć już byliśmy niedaleko Padu i dwa kroć nas schwytano; ledwieśmy się wykupili. Lecz dłużej czekać nie możemy, bo ojciec nas szuka — a ojciec nasz wielkie ma wpływy i jest bardzo bogaty. Szczęście, że jest zatrudniony. Ale na to liczyć nie można....

— Ba, dobrze, — rzekłem na to z uśmiechem, chociaż mi się trochę ckliwo robić zaczęło, — ale cóż ja na to mogę poradzić?

— Otoż prosilibyśmy pana, — dodał pierwszy młodzieniec, — abyś nas wziął ze sobą na tamtą stronę.

— Bagatela! Już mi się wcale ckliwo zrobiło. Gdzie u diabła ten strzelec się podział? — Tymczasem młodzieniec mówił dalej:

— Ale proszę pana, niechże pan się niczego nie obawia, my jesteśmy uczciwi ludzie....

— Ba, cóż mnie tam z tego! — zawołałem cokolwiek niecierpliwie — ja sam jestem w tej chwili jak ptak na gałęzi! — Tu jeszcze kwestja, czy mnie nie zahaczą, a wy.... was trzech, którzy z domu uciekli.... tak w biały dzień.... to czyste warjactwo.

— Ale proszę pana, tu niema wcale się czego obawiać, — mówili już prawie wszyscy trzej razem, — myśmy ułożyli rzecz całą nadzwyczajnie rozumnie. Słuchaj pan, jak to zrobimy. Zamiast pary koni, weźmiemy cztery, my zapłacimy. Ja się przebiorę za konduktora, moi dwaj bracia za pocztylionów, strzelec siądzie przy panu. My wszyscy trzej mówimy po niemiecku bez najmniejszego akcentu; przez całą drogę nie powiemy ani słowa po włosku wobec urzędników, którzyby nas zatrzymywali, będziemy psy wieszać na Włochów, i wszędzie rozsiewać, że nas poczta z niemieckich sprowadziła prowincji, bo Włochom ufać nie może.... a w Santa Maria Maddalena, to już niech się pan na nas spuści, pan ani nie wysiądziesz z powozu, — w lot pana przewieziemy na tamtą stronę. Zmiłuj się pan nad nami, my jesteśmy w wielkiem niebezpieczeństwie, matka nasza rzuci się panu do kolan.... matka, siostra nasza, podziękują panu po polsku.

Zgoła tak mnie opadli, tak mnie oszołomili, a tak mówili otwarcie, jasno, wymownie, dźwięcznie, od serca, i tacy to byli piękni, tak sympatyczni młodzieńcy, żem już wcale nie słyszał, co tam jeszcze gadali na końcu. Wszelako, im mniej czułem siły do stawienia im oporu, tem nudniej mi było. Gdzie u diabła ten strzelec się schował? Na to wziąłem wisusa ze sobą, abym nie był sam w obcym kraju, a on właśnie gdzieś zniknął, kiedy ja w takich opałach. Przecież się zjawił nareszcie.

— Pawle! gdzie ty siedzisz u kata? co to tu porobiłeś? oczywiście i ty do téj konspiracji należysz. Do czegoż to takie głupstwa prowadzą? Cóż ja teraz pocznę? Z jednej strony żal mi tych młodzików, ale znów z drugiej nie podobna przecież, żebym ja na takie puszczał się awantury. Tu paszport ministerjalny, tu wiza nuncjusza...

— A co to, proszę pana, — rzekł strzelec spokojnie — a co to nas wszystko obchodzi? Oni głupstwo zrobili, że panu to powiedzieli. Bo mogli się i bez pańskiej wiedzy

przebrać jeden za pocztyliona, a drugi za konduktora, a panuby się ani śniło. Tylko że im o trzeciego chodziło, bo pan tylko parę koni zamówił. Ale i tak to nic. My o niczem nie wiemy. Jak ich połapią, a co nam do tego? My zamówili cztery konie, bo mamy duże pakunki, a jakich tam ludzi nam dano, to przecie nie nasza rzecz.

Kiedy jeden mówi przeciw wilkowi, warto zawsze wysłuchać i tego, który mówi za wilkiem. Poszedłem na śniadanie, a kiedym wrócił, czterokonny powóz zajechał, dwóch pocztylionów siedziało na koniach, konduktor na koźle, strzelec wsiadł do powozu koło mnie i ruszyliśmy jak wiatr, bo do Santa Maria Maddalena jest ośm mil opętanych. Ale gościńce tam wszędzie wyborne, konie były doskonałe, chłopcy w różowym humorze, więc pędzili jak szaleni, lubo się zatrzymywali niemal po wszystkich miasteczkach i wioskach, i jakieś kartki oddawali lub odbierali, co się wcale nie przyczyniało do mego uspokojenia. Na małe pół godziny przed zachodem słońca przyjechaliśmy nareszcie nad brzegi Padu, gdzie leży Santa Maria Maddalena.

Jest to mniej niźli wioska, prawie tylko przysiołek, o kilkunastu lichych budynkach, pomiędzy któremi bieleją nad inne oberża i dom, w którym mieszkał komisarz z oddziałem żandarmerji granicznej. Ale kto Padu nie widział, ten sobie nie potrafi zrobić wyobrażenia o wspaniałości i powadze, z jaką ta rzeka się rozlewa w tem miejscu. Jest ona tutaj prawie jak morze, — wszelako z tą wielką na jéj korzyść różnicą, iż oko widzi brzeg przeciwległy, a z pod źwierciadła zielonej wody wynurzają się wyspy, przepysznemi okryte krzewami. W czasach zwyczajnych ruchliwa zapewne ożywia te wody żegluga; podówczas wszakże na obu brzegach cisza panowała grobowa. Na żadnym brzegu ani jednego nie było widać człowieka, na całej wód przestrzeni ani jednego okrętu, ptactwo nawet zdaje się uleciało, aby się ukryć przed wojną. Na małem wzgórzu po naszej stronie stał żandarm, oparty o sztuciec najeżony bagnetem. Jakże mi się wówczas przypomniały słowa poety:

Po jednej stronie w szyszaku i zbroi,
Niemiec na koniu nieruchomy stoi:
Wlepiwszy oczy w nieprzyjaciół szaniec,
Nabija strzelbę i liczy różaniec.
I ci i owi pilnują przeprawy....

Tymczasem konduktor i pocztyliony już się krzątali około spuszczenia powozu do promu, a strzelec mój między dwoma żandarmami zbliżył się do powozu. Jeden z żandarmów prosił mnie po niemiecku o paszport, ale strzelec dodał natychmiast:

— To nasi, proszę pana.

Jakoż istotnie Rusinkowie to byli, jeden z Buczacza a drugi od Kołomyi. Bardzo się cieszyli, że się mogli rozmówić po polsku, ale jeden rzekł smutno, patrząc na paszport:

— Pójdę ja z tem do komisarza, ale wątpię, aby pana przepuścił.

Jakoż jak poszedł, tak go z dziesięć minut nie było. Dziesięć minut w tém położeniu, to wiek. Już i Paweł zaczął się niecierpliwić i mówił:

— Oczywiście czytać nie umie, bo przez ten czas jużby był książkę przeczytał.

Nareszcie wrócił żandarm i rzekł:

— Pan komisarz prosi pana do siebie.

Wymieniłem bardzo znacząco rzut oka z Pawłem i poszedłem do komisarza. Był to człowiek słuszny wzrostem, w kapeluszu garibaldowskim, stał przed swoim mieszkaniem z moim paszportem w ręku, i zbliżającego się ku niemu bardzo uważnym mierzył wzrokiem. Po kilku słowach przedwstępnych rzekł mi nareszcie: trzymając się ściśle rozkazu nie powinienem pana przepuścić; ale ponieważ data pańskiego paszportu jest późniejsza od daty rozkazu, więc puszczę. Oświadczywszy to panu wyraźnie, *salvavi animam meam* na wszelki wypadek, bo u nas w czasach dzisiejszych trudno zaprawdę wiedzieć, jak postępować. Mam sobie wszelako za obowiązek zapewnić pana, iż na tamtej stronie pana nie przepuszczą.....

— Ale dlaczegóż-by....

— Nie przepuszczą z pewnością. Jakże pan chcesz? paszport austrjacki z wizą papiezką... na żaden sposób.

— Toby mi było bardzo nieprzyjemnie. Lecz w takim razie z końmi i z ludźmi nazad powrócę.

— Z ludźmi? — rzekł na to komisarz i machnął ręką.

Dziwne to na mnie zrobiło wrażenie; lecz pożegnałem się czemprędzej i zbiegłem na prom, gdzie już powóz i ludzie czekali z niecierpliwością mego powrotu. Wkrótce dobiliśmy do liny, która w połowie Padu stanowiła granicę między dwoma państwami. Tam żegnaliśmy się z żandarmami, a jeden z nich mi przy pożegnaniu powiedział:

— Na pana czekać będziemy, ale z tych żaden nie wróci. Już od dwóch tygodni żaden tutejszy pocztylion nie wrócił, na jego miejsce wraca zawsze inny, tamtejszy, który ma paszport, a więc go też i nazad puścić musimy. Ale pan komisarz powiada: i owszem, bo to wszystko hołota, mieliby tutaj burzyć, to lepiej niechaj tam burzą.

Otóż było się wreszcie czem uspokoić. Pozostała jeszcze granica włoska. Lecz ledwieśmy przybili do brzegu moi młodzieńcy natychmiast wypadli z swej roli. Krzyk i hałas się zrobił jak w garnku. *Eviva l' Italia! Eviva la libertà italiana!* Jacyś ludzie, którzy jakoby już na nich czekali, wzięli ich w swoje obroty i zawarzyło się tam jak w piekle, w którym też i Pawełek gdzieś zginął. Tylko przedemną stanął Włoch sążnisty w mundurze, ze szpakowatemi wąsami i ogromnemi okularami na nosie i zażądał paszportu. Bardzo długo w nim czytał, poczem drugiego zawołał i we dwójkę czytali i głowami kręcili, aż w końcu starszy rzekł do młodszego:

— *Polacco ma papalino.*

— Dite piùtosto: papalino ma polacco — zauważałem na to.

— A ragion'! — zawołał starszy, śmiejąc się w głos — Passa!

II.

W Ferrarze dziwne i wcale niespodziewane przedstawiło mi się widowisko. Podczas gdy w mieście wszystkie główne ulice nabite były ludem, tłumy młodzieży snuły się ze śpiewami i chorągwiami, z oświeconych okien kwiaty rzucano pod nogi żołnierzom, i muzyki grały na kilku placach publicznych — w operze zastałem publiczność codzienną i nadzwyczajnie spokojną, chociaż grano „Fausta,“ sztukę niemiecką, a loże pierwszego piętra były przepełnione mężczyznami w białych krawatach, i wygorsowanemi damami, jak w teatrze włoskim w Paryżu, jakby w czasie najspokojniejszym. Była to wszystko okoliczna szlachta, która ze wsi na teatr przyjeżdża, po teatrze gromadzi się w poblizkim pawilonie, w którym jest cukiernia i kawiarnia, tam bawi się konwersacją, a po północy do domu odjeżdża. Znalazłszy w tem towarzystwie kilku dawnych znajomych, wziąłem udział w konwersacji, i spostrzegłem ku niemałemu zdziwieniu, że wojna ówczesna w tych warstwach niewielu miała stronników.

— Piemontska-to awantura, — rzekł mi nareszcie jeden z tych szlachciców, — która niczem się nie da usprawiedliwić, chociażby się nawet była nie pobratała z takiemi żywioły, których porządny człowiek za żadną cenę dotknąć się nie powinien. Prócz tego jeszcze armia nasza wcale się mierzyć nie może z żelaznemi brygadami Arcyksięcia Albrechta; to też i po tej wojnie niczego się spodziewać nie można, jak tylko straty krwi i pieniędzy i wielkiego upokorzenia, które, niestety! dotknie winnych i niewinnych.

Chociaż ludzie zamożni we wszystkich krajach nie zwykli stawać w pierwszym szeregu, gdy idzie o zmianę istniejącego porządku, spostrzeżenie to, w chwili tak ogólnego zapału, przykre na mnie sprawiło wrażenie. Z spuszczoną głową i w głębokiem zamyśleniu wróciłem do domu. Przy wejściu odźwierny oddał mi kartę, mówiąc:

— Ci panowie kazali panu powiedzieć, że jeszcze dziś wieczór wyjeżdżają do Bolonii.

Na karcie było wydrukowane: Le comte Leendorff, — i dopisane ołówkiem: „Trois fréres. Avec remercîments. Au revoir à Bologne.“

Nazajutrz rano o świcie zajechał po mnie wózek pocztowy parokonny, któremu musiałem zapłacić summę bajońską, aby mnie zawiózł do Bolonii. Ale nie żałowałem wydatku. Nigdy w życiu nie widziałem tak wspaniałego kawałka ziemi, w takiem oświetleniu cudownem. Z początku rozległe pola ryżowe i plantacje morwów, nudne i jednostajne, ale już między niemi, po obydwóch stronach gościńca, wydobywały się z ogromnych bukietów drzew i krzewów przepysznych misternej architektury domki wiejskie, owinięte pod ową porę w sięgające częstokroć powyżej dachów gęste kobierce kwitnących róż i powojów. Im głębiej w ten kraj, tem szersze się rozwijały widoki, tem więcej pałaców i zamków, wynurzających się z cienistych ogrodów, tem więcej obrazów piętrzących się przed memi oczyma jeden nad drugim, aż wreszcie na ostatnim planie sinawe zarysowały się Apeniny, a po prawej ręce stanęła góra samotna, jak głowa cukru, z której wierzchołka, na pozór wyższy nad Alpy i Apeniny, zdaje się całym panować Włochom kościół Santa Lucia. Już też widać ztamtąd wieże stu trzydziestu kościołów Bolonii. Wjechałem do miasta o siódmej godzinie rannej, przez wspaniałą aleję, wysadzoną po obu stronach podwójnemi szeregami olbrzymich platanów, w której pusto było zupełnie, tylko jakiś poważny kanonik wracał z rannej przechadzki do miasta, i mleczarka na ośle z próżnemi dzbanami wracała na wieś.

Lecz zato w mieście brzęczało jak w ulu. Przez tłumy, nagromadzone w ulicach, trzeba było jechać stępa, a przed główną gospodą ledwie się można było przecisnąć. Na wszystkich twarzach malowała się niezaspokojona ciekawość, i nie bez powodu. Książę Napoleon Hieronim przyjechał był w nocy z Florencji; opowiadano sobie, że przywiózł alians francuski i pruski; lud żądał, aby mu się pokazał na ganku. Jakoż istotnie zięć królewski w otoczeniu całego sztabu lśniących oficerów włoskich, wyszedł niebawem na balkon: od okrzyków, jakiemi go powitano, zadrżały najstarsze mury Bolonii.

Są ludzie, którzy wiecznie pragną spokoju, lecz jak się znajdą w samotności, czemprędzej się z niej wyrywają; są inni, którzy długie przeżywszy lata w zaciszu, łakną hałasu i gwaru, ale ilekroć tłumy hałaśliwe obaczą, uciekają jak mogą najprędzej, aby się ukryć przed niemi. Należąc do tych ostatnich, niezmiernie byłem szczęśliwy, kiedy mi się udało otrzymać pokój w odległym pawilonie gospody, i z samym sobą pozostać. Wyszedłem dopiero około południa, aby się rozpytać, ażali tu znajdę którą z tych osób, do których miałem listy polecające. Wszelako już w korytarzu spotkałem jednego z adjutantów księcia Napoleona, którego znałem w Paryżu. Bardzośmy się ucieszyli z wzajemnego widzenia, a mój adjutant pociągnął mnie zaraz ze sobą na górę, mówiąc:

— Właśnie dają śniadanie, które będzie lepsze niż w restauracji, a oprócz tego książę będzie bardzo rad widzieć kogoś, co z Austrji przyjeżdża.

Wymawiałem się podróżnym ubiorem, ale nic nie pomogło.

— Jest tam ze dwieście osób, a wszyscy niewyspani, zmięci i zakurzeni. Któż się też dzisiaj ubiera!

Jakoż istotnie tłum był w apartamentach księcia; jedzono, pito i rozmawiano o polityce, namiętnie i gwarliwie, jak zwykle w chwilach powszechnego zapału. Toż dziwne rzeczy tam sobie opowiadano: Włochy zabrały już nietylko Weneckie, ale i Tyrol włoski, Dalmację i Triest; Prusy wzięły wszystkie prowincje niemieckie, Węgry już były wyswobodzone, a Austrja wcale zdmuchnięta z karty geograficznej. Tymczasem informacje poważne, jakie tamże powziąłem, ograniczały się na tem, że traktat między

Prusami a Włochami był już, jak się zdawało, zawarty, i że pod Campo Santo zakłada się obóz, który obejmuje 86,000 żołnierza pod naczelnem dowództwem Cialdiniego. Półkownik od artylerji, którego przed dwoma laty poznałem był w Medjolanie, człowiek trzeźwy i ukształcony, który mnie się bardzo ciekawie wypytywał o stan armii austrjackiej, rzekł mi na końcu rozmowy:

— Ja wcale nie należę do tych, którzy za nic mają armię Arcyksięcia Alberta. Biłem się z Francuzami przeciw Austrjakom w roku 1859, i nauczyłem się cenić ich zalety. Ale zawsze trzeba i naszą armię obaczyć, ażeby sobie o obu jakokolwiek ugruntowane utworzyć zdanie. Jeżeli panu to będzie przyjemnem, to pojedziemy oba do obozu, a potem pogadamy. Bardzo jestem ciekawy wrażenia, jakiego pan tam doznasz, bo ja.... ale to potem.

Około trzeciej z południa pojechaliśmy pod Campo Santo, jeden z najpyszniejszych cmętarzy, jakie można widzieć na świecie. Umarli mają tam swoje osobne pokoje, ciasne lecz dostateczne, a zbudowane niemal wszystkie nad ziemią. Widok ten sprawia niejako uspakajające wrażenie, bo lepiej licuje z ludzkiem uczuciem, niżeli wszystkie filozoficznie udowodnione, nowoczesne systemy pogrzebów, przed któremi serce człowieka się wzdryga. Jakoż przyjdzie czas, i to niebawem, synowie nasi go doczekają, gdzie świat się przekona, że nie ta jest mądrość dla życia, która się z nauk przyrodniczych wywodzi, ale ta, która się liczy z duchem przyrody i odpowiada wrodzonemu uczuciu człowieka.

Półkownik oprowadzał mnie przez parę godzin po obszernym obozie, który dopiero porządkowano, zatrzymywał mnie przy wszystkich gatunkach broni, objaśniał skład dywizji i brygad, opowiadał historję niektórych półków, a przy tem pilnie uważał, jakie te rozmaite widoki sprawiają na mnie wrażenie. Nie jestem żołnierzem, i zdanie moje o rzeczach wojskowych żadnej nie ma wartości: ale dopiero przed kilku dniami widziałem tę część armii austrjackiej, która była w pochodzie do Włoch, a przeto mimowoli nasuwały mi się porównania. Tam było wszystko jakby z pudełka wyjęte; każdy żołnierz doskonale ubrany, broń lśniąca, konie wyborne, pociągi prawie wystawne, tu ludzie bladzi i oczywiście źle żywieni, mundury na nich wytarte, tu i ówdzie but ziewający, koni kawaleryjskich bardzo wiele świeżo przybyłych z Sycylii, okrągłych i gładkich, lecz czteroletnich i nie ujeżdżonych, pociągi bardzo licho wyglądające, uprząż sterana, a nawet źrebne klacze w zaprzęgach. Widok ten wcale nie był wesoły. Spostrzegł to półkownik i przyparł, abym mu otwarcie powiedział moje zdanie. Byłem w wielkim kłopocie, i mówiłem ni w pięć ni w dziewięć; ale on mnie zrozumiał, ujął za rękę i rzekł z westchnieniem:

— C'est ça. Cette guerre, c'est une bêtise que nous payerons très cher!

Uderzywszy w ten ton, niemoglibyśmy byli dłużej rozmawiać. Na szczęście, zbliżyliśmy się właśnie do wielkiego namiotu, otoczonego kilkunastu mniejszemi, a obwieszonego i wyścielonego niezliczoną ilością różnobarwnych kobierców, przysłanych oczywiście przez zamożnych mieszkańców Bolonii. Przed namiotem stało i siedziało na stołkach polowych ze trzydziestu oficerów sztabowych, podzielonych na grupy, pomiędzy którymi wszelako znajdowało się także kilku mężczyzn w ubraniu cywilnem. Półkownik wskazał mi jenerała stojącego przy wejściu namiotu, i zajętego żywą z kilkoma innymi oficerami rozmową, i rzekł mi:

— To jest Cialdini. Jeżeli pan chcesz, to pana przedstawię, będziesz bardzo uprzejmie przyjęty i sam będziesz kontent z tej znajomości, bo jest to człowiek niezwykle ukształcony.

— Widziałem już jenerała Cialdiniego dziś na śniadaniu, — odpowiedziałem i chciałem mówić dalej, kiedy w tem zbliżył się do półkownika, witając go jako dawnego znajomego, człowiek w cywilnem ubraniu, który mnie nadzwyczajnie uderzył swoją powierzchownością.

Człowiek ten miał, jak się zdawało, przeszło pięćdziesiąt lat wieku; mały był wzrostem i wcale nie nadto zażywny, lecz tak niezmiernie barczysto, szeroko, kwadratowo był zbudowanym, iż, aby go jednem słowem określić, wydał mi się jakoby olbrzymim karłem. Pierś jego była szeroka jak wrota, ramię jak noga, a noga jak pień. Czuprynę miał niezmiernie rzęsistą, niegdyś kasztanowatą, dziś szpakowatą cokolwiek, — twarz ogoloną starannie, nos stosunkowo foremny, oczy ciemno piwnego koloru, lecz osadzone bardzo głęboko, usta wymowne, znamionujące cokolwiek ironii, wyraz twarzy bardzo inteligentny, ale zarazem tak zmienny, że od dziecięcej dobroduszności przerzucał się w oka mgnieniu w chłód, twardość, srogość tak wybitną, iż niemal wstrętem przepełniał. Z wielkiem zajęciem przypatrywałem się tej twarzy niezwykłej, zdawało mi się, że pod tą ruchomą pokrywą głębokie muszą się burzyć namiętności.

Półkownik rozmawiał z nim żywo przez długą chwilę, i już był tak dalece o mnie zapomniał, że chciałem zniknąć. Ale w tem gwar się wszczął między mniejszemi namiotami, leżącemi o kilkanaście kroków opodal namiotu głównego i odegrała się przed nami scena, którą jeszcze dziś widzę przed memi oczyma. Dwaj obozowi żandarmi usiłowali ale jakoby nie śmieli zatrzymywać człowieka, który, złorzecząc i krzycząc, z rąk im się wydzierał i rwał się ku oficerom sztabowym, stojącym przed głównym namiotem. Człowiek ten miał także przeszło pięćdziesiąt lat wieku, gęstą szpakowatą czuprynę i twarz ogoloną, i kościsto był zbudowany, ale wysoki i chudy, z dużym nosem i siwemi w tej chwili prawie obłąkanemi oczyma — a ubrany był we frak czarny i białą krawatę, na lewej piersi miał gwiazdę jakiegoś wielkiego krzyża, komandorję innego na szyi i cały rząd mniejszych krzyżyków w klapie u fraka. Tak rwał się, ciągnąc za sobą żandarmów, zbliżając się szybkiemi krokami ku oficerom sztabowym, wołał głosem ochrypłym po włosku:

— Gdzie jest naczelny jenerał? To wy jesteście. Oddajcie mi synów! Byłem u wszystkich władz, wszędzie mnie odepchnięto, ale ztąd się nie ruszę! Oddajcie mi

moich trzech synów, których mnie uwiedliście, ukradli, porwali; to Niemcy są, a nie Włosi! To zdrajcy, zakała ojczyzny, śmierć dla rodziny! Oddajcie mi synów! Ach! ja tej hańby nie zniosę!

A wymówiwszy te słowa łzami zdławionym głosem, głośnym płaczem wybuchnął, złamał się prawie we dwoje i padł na ramiona żandarmów.

Przez kilka sekund wszyscy stali, jak skamieniali. Ale w tej chwili jeden z jenerałów zbliżył się do oficera od żandarmerji i rzekł do niego tonem rozkazującym:

— Weź pan tego człowieka i wywieź gwałtem z obozu. W mieście weźmiesz natychmiast konie pocztowe, odwieziesz go bez wypoczynku na tamtą stronę Padu i oddasz komisarzowi austrjackiemu w Santa Maria Maddalena. Obchodź się z nim ile możności łagodnie i grzecznie, ale rozkaz wypełnij bez litości, a jutro rano zdaj raport za powrotem.

W pół minuty potem, już wcale śladu z tej sceny nie było. Obejrzałem się za półkownikiem, lecz go dojrzeć nie mogłem, a natomiast spostrzegłem owego olbrzymiego karła, który patrzał jeszcze w to miejsce, z którego wyniesiono owego ojca trzech synów: szatański uśmiech zakrzepł na jego twarzy, lecz w oka mgnieniu zbudził się, zatarł ręce i odszedł.

Po chwili wrócił półkownik, blady jak śmierć, i prawie drżący na całem ciele. Zrazu sam niewiedział co mówić, lecz po chwili rzekł dosyć spokojnie:

— Głębokie często widzimy w tem życiu boleści, które w zwykłych czasach pospieszamy ukoić; lecz naród, zwłaszcza gdy idzie o jego losy, nie może mieć względu na familijne nieszczęścia. Ja znam tego człowieka, i wiem o co chodzi; opowiem to panu po drodze.

Odwróciłem czemprędzej rozmowę do innego przedmiotu i mówiąc o rzeczach codziennych, dojechaliśmy do mojej gospody. Wysiadłszy na peronie, półkownik mnie zaprosił na obiad, dodając te słowa:

— Mam tu dom własny, moja żona jest bardzo gościnna, zaprosiła na dziś kilkanaście osób, spodziewam się, że potrafię pana rozerwać.

Wymówiłem się, bo byłem roztrojony zupełnie, a w takiem usposobieniu jest się nudnym dla siebie i dla drugich. Przepędziłem tedy kilka godzin u siebie, poprzestając na filiżance herbaty. Czasem, pomimo woli i bez najmniejszej złej myśli, popada się w położenia, które nie są przyjemne. Nic mnie nie mógł obchodzić ten ojciec, który ma takich synów, jakich sobie wychował. Gdyby się ci synowie nie byli przewieźli w moim powozie, to byliby się innym sposobem na tę stronę dostali. Wojna lada chwila wybuchnie, a po wojnie, któż będzie mówił o takich drobnych wypadkach? Wszelako zawsze byłbym wolał, gdyby się to było nie stało. Tak rozumowałem do późnego wieczora, kiedy, około dziewiątej, półkownik przysłał mi list, zaklinając mnie na wszystkie Bogi, abym przyszedł do niego na wieczór, bo są u niego damy, które mnie chcą widzieć koniecznie. Niepodobna było odmówić.

Półkownik miał swój dom w mieście, raczej pałac starożytnej budowy, ale utrzymany wybornie i obejmujący, jakto często się widzi we Włoszech, apartamenta obszerne, urządzone bogato i ozdobione dziełami sztuki z najlepszych czasów. Oczekiwał mnie z niecierpliwością, i wybiegłszy do antykamery, zawołał całkiem rozpromieniony:

— Nie uwierzysz pan, jak jestem kontent. Nic się złego nie stało...

Lecz w tem wbiegli owi trzej bracia, którzy mi tyle sprawili frasunku. Już wszyscy trzej byli w mundurach półku dragonów, dwóch starszych w oficerskim mundurze, zapewne mieli rangi z akademii austrjackiej, a najmłodszy w mundurze kadeckim. Dziękowali mi bardzo serdecznie i szczerze, nie posiadając się z radości, że się już znajdowali na ziemi włoskiej, a nawet w szeregach obrońców swojej przybranej ojczyzny, — a w końcu dodali:

— Matka nasza tu jest; chce pana poznać, aby mu swoją wdzięczność wyrazić.

Z tem weszliśmy do salonu, który był raczej salą ogromną, ozdobioną kolumnami i mierzącą przynajmniej dwadzieścia stóp wysokości. Ściany były ciemną obite materją, wszystkie sprzęty także ciemnego koloru; światło pięciu lamp, zawieszonych u stropu, gubiło się prawie zupełnie po kątach, a kilka marmurowych posągów, chociaż śnieżnej białości, wyglądało jak duchy, snujące się w jakiej grobowej kaplicy. Przy stole środkowym, pod lampami, który był zarzucony mnóstwem rycin i książek spotkała mnie gospodyni domu. Była to młoda jeszcze i piękna kobieta, Niemka, rodem z Trjestu; ztąd znajomość i przyjaźń z rodziną Leendorffów. Bardzo była uszczęśliwiona, że się mogła wyszwargotać po niemiecku, ale wcale jej to było obojętnem, że w jej salonie znajdowało się trzech Niemców, przynajmniej z ojca, którzy się zaciągnęli do armii włoskiej. Patrjotyzm austrjacki mieszkańców Tryestu, jakiejkolwiek narodowości, na słabych spoczywa podstawach, jak w ogóle wszystkie te kraje, które leżąc na brzegach Adrjatyku, ulegają urokowi wielkiej przeszłości rzeczypospolitych włoskich.

Rozmawiając z gospodynią domu, obejrzałem się po salonie, którego wszelako tylko jeden kąt był napełniony gośćmi. Tam miejsce środkowe na małej kanapie zajmowała kobieta, czarno ubrana, mająca przeszło czterdzieści lat wieku, i wyglądająca bardzo poważnie. Brunetka była, twarz miała pełną, lecz ściągłą i bladą, nadzwyczajnie spokojną, wpół uśmiechniętą owym uśmiechem anielskim, który bywa tylko wyrazem niewyczerpanej dobroci i niezgłębionej miłości dla ludzi, czasami także objawem nieustającego, ale z poddaniem się znoszonego cierpienia. Widać było zarazem na pierwszy rzut oka, że jest to dama wyższego świata, i zajmująca pewne stanowisko w społeczeństwie, czego się łatwo można było domyśleć po zachowaniu się osób, które ją otaczały.

Obok niej siedziała dziewczynka, mająca lat pietnaście albo szesnaście, smukła jeszcze, jak dziecko w tym wieku, ciemna szatynka o długich warkoczach, o ciemnych

prześlicznych oczach, cała różowa, jak promień majowego słońca o świcie i mająca muszkę na prawym policzku powyżej ust, która jej nadzwyczajnie wdzięcznego dodawała uroku.

Około kanapy znajdowało się jeszcze kilku nieznanych mężczyzn i dam, i owi trzej bracia, a pod oknem stał piękny młody człowiek, w lśniącym mundurze ułańskim.

Kiedy mnie gospodyni przyprowadziła do kanapy, pani Leendorff wstała do mnie i podała mi rękę z powagą, lecz z ową naturalną serdecznością, która żadnej nie ubliża powadze, i powiedziała mi kilka słów po francuzku, któremi wyraziła mi całą wdzięczność za przewiezienie synów, i dodała po polsku:

— Powinnam to była powiedzieć po polsku, ale ja już tak długo mieszkam za granicą, i tak mało, tak wcale żadnych nie mam z krajem stosunków, że już zapomniałam ojczystego języka.

Przedstawiła mi natychmiast swoją córeczkę i rzekła:

— Nazywa się Jadwiga i mówi dobrze po polsku.

Przysiadłem się zaraz do tej zacnej matrony, która mi niezmiernie była sympatyczną, ale nam nie szła jakoś rozmowa. Ile razy dotknąłem rodzinnych stosunków, zawsze mnie do innego odwróciła przedmiotu, a przytem tak była zajęta swymi synami, że ani na chwilę oka od nich odwrócić nie mogła.

— Było to zawsze mojem najsłodszem marzeniem, — rzekła mi jednej chwili, — widzieć moich synów w mundurach. Może to nie te mundury, jakie w snach moich widziałam; ale zawsze wiele jest podobieństwa.

Po półgodzinnej rozmowie powstałem. Znowu mi rękę podała i rzekła:

— Może się już nigdy nie zobaczymy!

Ale powiedziała to głosem tak głęboko smutnym i przejmującym, że chociaż miała uśmiech na twarzy, nie potrafiłem jej nic odpowiedzieć. Zdało mi się, jakoby myślała w tej chwili o swoim mężu, i miała to przekonanie, że już nigdy do niego nie wróci; lecz może być, że jej natchnęło te słowa jeszcze smutniejsze przeczucie.

Kiedym się żegnał z dragonami, ów młody człowiek, który w ułańskim mundurze stał pod oknem, przystąpił do mnie, ukłonił mi się gracko po ułańsku i rzekł po polsku;

— Jestem Rakowski.

Młodzieniec ten miał najwięcej lat dwadzieścia dwa albo trzy, dopiero wąsik mu się zasiewał. Słuszny był i smukły, lecz zbudowany jak Apollo, a wcięty w pasie, jak na ułana przystało; włosy czarne, bogate i lśniące, odrzucone na prawo, oko wesołe i śmiałe, usta pięknie uformowane, na wpół otwarte, i prawie ciągle śmiejące, a zęby białe, jak perły. Zgoła chłopak setny, grzeczny i na pozór skromny, lecz widać było po nim, że się nie na jedno odważy, a „z ołtarza-by zdjął,“ jak nasze babki mawiały. Zapytany przezemnie, zkąd jest i kto go rodzi, odpowiedział wesoło:

— Oh! to strasznie długa historja. Ja właściwie jestem z Podlasia, ale dzieckiem jeszcze dostałem się w Augustowskie pod opiekę mego stryjecznego dziada, który mnie wychowywał w Paryżu. Skończyłem szkołę w St. Cyr, ale musiałem się uczyć malarstwa. Mam parę wiosek w Polsce, ale mieszkam właściwie w Kroacji, a teraz będę się bił za wolność włoską, albo za dynastję sabaudzką, bo tego jeszcze nie jestem pewny. Zgoła jeszczem prawie nie zaczął żyć, a już awanturnik....

— Nie jest to jeszcze awanturnictwo, — odpowiedziałem, przerywając mu, — a gdyby nawet niem było, to lepiej od niego zaczynać, niż na niem kończyć. Cóż pana spowodowało wstąpić do armii włoskiej?

— Co mnie spowodowało? Jakby to panu powiedzieć? Ja na tę myśl sam nie wpadłem, bo przecież mam prawo do rangi w armii francuzkiej. Ale mój dziad ciągle mi brząkał nad uchem: „Z człowieka takiego, który parę lat nie przesłużył w wojsku i prochu nie wąchał, nigdy nic porządnego nie będzie — a wojna dzisiaj nie codziennie się zdarza. Zapewne że w tym razie wybór nie łatwy, bo Austrja jest to zacne mocarstwo; ale, niechaj tam sobie kto mówi co chce, przecież nie ma prawa burmistrzować po Włoszech.“ Tak to się w lot zdecydowało, a ja już od trzech tygodni jestem w mundurze!

— Jakże się panu armia włoska podoba?

— Przyznam się panu, że nie osobliwie. Z wyjątkiem Piemontczyków, reszta bardzo mierna, a kawalerja już wcale licha. Dziś może żałuję, że nie poszedłem za radą stryja, u którego nie masz broni nad artylerję; ale wreszcie, co na tem zależy? Ja się za siebie wybiję, a choć na końcu może ciasno będzie, taki mały Raczek się tam jakoś prześliźnie.

— Nie wątpię o tem i życzę z serca, abym pana jak najprędzej zdrowego zobaczył i ozdobionego wielkim krzyżem korony włoskiej.

— Oh! do tego daleko! — rzekł, śmiejąc się ułan, i ściskał mnie na pożegnanie, jakby starego znajomego.

U tego młodzieńca serce było na ścieżaj otwarte. Takie serce opłaca się często gorzkiemi doświadczeniami, lecz tylko ludzie takiego serca, po doświadczeniach zrobionych, dopełniają wszystkich swoich obowiązków zaszczytnie i godnie, i tylko oni przenoszą dobrego ducha ludzkości z pokoleń na pokolenia.

Wyszedłszy z salonu spotkałem się w antykamerze oko w oko z owym karłem olbrzymim, którego widziałem był popołudniu w obozie. Zatrzymał wzrok na mnie, i oczywiście chciał do mnie przemówić, ale jakaś niewidoma siła mnie odepchnęła od niego, pożegnałem się natychmiast z półkownikiem, wskoczyłem do powozu i odjechałem do domu.

W przedpokoju zastałem mojego strzelca, który, jak mi się zdało, z niecierpliwością mnie oczekiwał.

— Cóż się tam stało?

— Nic, tak dalece... ale miałbym prośbę do pana.

— No, o cóż to chodzi?

— Zwerbowałem się do bersaglierów, prosiłbym pana o urlop.

— Cóżto znowu za koncept? Przecież niedawno sam biłeś się przeciw Włochom?

— Jużci to prawda, ale to trudno.

— Idź z Panem Bogiem, ja cię nie zatrzymuję. Ale winszuję ci tych guzów, z któremi wrócisz do domu.

— Prawda to także; ale choćby i zginąć, to trudno.

III.

Nazajutrz ledwie późnym wieczorem dobiłem do Florencji, chociaż tę podróż mogłem już odbyć koleją. Zajechałem do jakiegoś bardzo małego hotelu, który nie wiem już dzisiaj, przy której leżał ulicy, ale to pomnę, że był bardzo wytwornie utrzymywany przez jakiegoś zwłoszonego Francuza. Będąc dosyć znużonym, przespałem noc całą kamieniem; lecz nazajutrz, już o siódmej godzinie rano, zbudziły mnie rozgłośne okrzyki tłumów, ciągnących szeroką ulicą, na którą patrzały okna mojego mieszkania. Proclama del Re di Prussia! Proclama del Re di Prussia! wołano ze wszystkich stron, a wywoływanie to dochodziło do mego łóżka. Przystąpiłem do okna, które otworzyłem natychmiast, i widziałem ulicę tak mocno nabitą ludem, że szpilkaby była niedoleciała do ziemi; niektórych niesiono na rękach, inni jechali na koniach lub mułach i rozrzucali ową proklamację, wołając: Ecco il Proclama del Re di Prussia che riceviamo per via straordinaria!... per esser tradotto da una copia manoscritta, non essendo ancor giunta la stampa! — Kazałem sobie przynieść tę proklamację, przeczytałem na prędce: najfatalniejsze a przytem najniezręczniejsze fałszerstwo, jakie kiedykolwiek popełniono na świecie. Okoliczność ta, iż takiego chwytano się środka, aby zapał podtrzymać i ofiarność podniecać, utłumiające sprawiła wrażenie, lecz zniewoliła mnie zarazem ubrać się jak najprędzej i oświecić się pomiędzy ludźmi ukształconymi, jaka właściwie jest sytuacja.

Odwiedziwszy jednego ze znajomych, znalazłem ich daleko więcej, niżeli się mogłem spodziewać. Król, rząd i cała dyplomacja, mnóstwo cudzoziemców było w ówczas w Florencji, a chociaż między nimi niemało było politycznych warchołów, którzy z światoburczemi nosili się zamiarami, a między którymi Węgrzy szczególną odznaczali się przedsiębierczością, nietrudno mi było znaleźć ludzi wytrawnych, którzy patrząc na świat trzeźwemi oczyma, sądzili rzeczy tak, jak je widzieli, a nie tak, jak się w rozpłomienionej malowały wyobraźni. Według moich spostrzeżeń w sferach rządowych tylko na zewnątrz okazywano pewność siebie i pewność zwycięztwa, lecz w rzeczy samej ciężkie troski trapiły przywódców narodu i wszystkie nadzieje opierano na Prusiech. Kiedy Rustem Bey, ówczesny poseł turecki, utrzymywał stanowczo, że Austrja jeszcze dzisiaj — działo się to pierwszego Maja — weszłaby w układy o odstąpienie Wenecji, to włoscy mężowie stanu wprawdzie stanowczo mu przeczyli, ale obudwoma uszyma słuchali. Jeżeli Lamarmora, ówczesny prezes ministrów, w swojej książce, kilka lat temu wydanej, utrzymuje z uporem, że o tego rodzaju układach nie było mowy na serjo, to ma słuszność zupełną, ale tylko dlatego, że wówczas na takie układy już było za późno. Jakoż istotnie wtedy już klamka była zapadła. Jenerał Govone, z traktatem włosko-pruskim, ratyfikowanym w Berlinie, już był od dni kilku z powrotem we Florencji. Los Włochów spoczywał w zupełności w ręku Prusaków. Widać to było wszędzie, gdziekolwiek jaki Prusak się pokazał. Na Cascine, w rodzaju lasku Bulońskiego, gdzie w przedwieczornych godzinach zbiera się całe wyższe towarzystwo Florencji, — a tego dnia było tam ze dwieście powozów, — powóz pani Usedom, żony posła pruskiego, damy niemal sławnej z swej otyłości, był otoczony takim tłumem patrjotów włoskich, że się wcale nie można było przecisnąć. Jeden ze starszych dyplomatów zagranicznych, stojąc ze mną i kilku innymi o kilka kroków za tym powozem, wskazał ręką na te umizgi i rzekł:

— Wszystko to nic nie pomoże. Mojem zdaniem rezultat tej wojny jest łatwy do przewidzenia. Prusacy pobiją Austrję, a Austrja pobije Włochów, a wtedy Prusakom ani na myśl nie przyjdzie, Austrję na powrót wybijać z Włoch.

— Lecz wtedy Węgry powstaną, — rzekł ktoś z otaczających, — i Włochy uwolnią.

— Przeciwko Austrji zwycięzkiej we Włoszech, — rzekł dyplomata z naciskiem, — Węgry nie powstaną.

— Ale Węgrom Prusy pomogą.

— Natenczas Prusy byłyby obrane z rozumu, — odpowiedział na to dyplomata z uśmiechem. Jeżeli im się uda Austrję popchnąć ku południowi, co jest ich interesem i celem, to jest rzeczą oczywistą, iż raczej jej sami pomogą, aby się tam utrzymała, niżeliby miały jej nowe stanowisko osłabiać. Chciejcie panowie spamiętać sobie tę prawdę, że zjednoczone Niemcy nie mogą mieć wierniejszego sprzymierzeńca, niż Austrja w jakichkolwiek nowych granicach, pozbawiona całości, lub części prowincji niemieckich, a zachowująca swoją dynastją niemiecką.

Była to wielka prawda, która jeszcze i dziś jest istotną. I dzisiaj jeszcze służy ona za punkt wyjścia do wniosków, odnoszących się do zmian, przewidywanych w Europie środkowej. Jakoż i wówczas, mianowicie po wojnie, znalazła ona częściowo swoje zastosowanie w polityce pruskiej; tylko co do Włoch, sprawdziło się ludowe przysłowie, że więcej wart funt szczęścia, niż centnar rozumu.

Nasłuchawszy się jeszcze przy obiedzie i po obiedzie politycznych domysłów i wniosków do syta, wróciłem wczesnym wieczorem do domu, aby dzienniki przeczytać, gdzie gospodarz już rano był mnie uprzedził, że ma w hotelu prawie wszystkie ważniejsze pisma czasowe. Jakoż w samej istocie, wprowadził on mnie do dość obszernego saloniku na pierwszem piętrze, którego drzwi szklanne wychodziły na terasę, położoną w małym ogródku, a który, umeblowany w smaku wschodnim, mieścił w sobie czytelnię. Na środku stał stół podłużny, zielonem suknem nakryty, zarzucony dziennikami i przeglądami, i oświecony mocną lampą gazową u sufitu wiszącą, a w koło ścian

stały sofy tureckie i kilka szaf, napełnionych książkami. Kiedym wszedł do tej czytelni, która na pierwszy rzut oka zdała mi się pustą, i usiadłem przy stole, usłyszałem przy drugim końcu stołu ruch jakiś, i w tejże samej chwili dojrzałem człowieka, a raczej tylko ogromną głowę ludzką, pochyloną nad książką. Wytężyłem wzrok i poznałem, że był to nie kto inny, tylko ów karzeł olbrzymi, którego widziałem w obozie pod Campo Santo w Bolonii.

Obaczywszy mnie, wstał, spojrzał na mnie wzrokiem takim, jak gdyby się chciał przekonać, że się nie myli, poczem zbliżył się do mnie i rzekł po polsku:

— Ja wiem kto pan jesteś. Bardzo się cieszę, że mogę z panem się poznać. Ja jestem Graf Rak.

— Graf Rak... — powtórzyłem bezwiednie, zapewne cokolwiek zdziwiony takiem polskiem nazwiskiem, które mi było nieznane.

— Graf Rak, a po polsku Rakowski, — dodał karzeł z uśmiechem, i zatarł ręce tak samo, jak to był zrobił w obozie, kiedy żandarmi porywali hrabiego Leendorffa.

Ten ruch, jak też i wyraz twarzy tego człowieka, z którego nie umiałem sobie zdać sprawy, a który mi się wydał na poły demonicznym, a na poły zwierzęcym, nieprzyjemne sprawił na mnie wrażenie. Lecz usiedliśmy obok siebie, zasuwając się oba w głębokie fotele, i wymieniliśmy kilka słów obojętnych, od jakich się między nieznajomymi zwykle zaczyna rozmowa.

— Rakowscy znana to i zasłużona rodzina, — rzekłem do niego, — jeśli się nie mylę, osiedli na Wołyniu.

— Tak, ale my do tej rodziny nie należymy. Ja mam majątek w Augustowskiem, gdzie jest nasza kolebka, lecz mam także zameczek w Kroacji, gdzie zwykle mieszkam.

— Ztąd też zapewne pochodzi dwoiste pana nazwisko, jeżeli pierwsze nie jest przybranem.

— Które z moich dwóch nazwisk jest później nabytem, albo przybranem, o tem są różne tradycje. Nasi burgrabiowie w Kroacji opowiadają sobie, że w wieku XVI. jakiś Rakowski, który był znacznym rycerzem w służbie cesarza chrześcijańskiego, był rodem Polak, po jakiejś wojnie zabłąkał się do Kroacji, tam się ożenił i wziął zamek za żoną. Zaś nasi Podstarościowie w Polsce mają nas za Grafów niemieckich, zawędrowanych z Kroacji do Polski. Ale cóż na tem zależy? W dokumentach, sporządzonych w Kroacji, piszą nas Graf Rak de Rakow Rakovszky, i na to imię brzmią nasze wszystkie nadania i przywileje; w Polsce zaś nazywamy się po prostu Rakowscy. Ale też w Polsce jeszcze żaden z nas nie dostąpił żadnego tytułu, ani żadnej godności....

— Powinniście chwalić Pana Boga, — rzekłem na to z uśmiechem, — żeście czegokolwiek dostąpili w Kroacji, bo kto dwie ma ojczyzny, ten zwykle jest niczem w jednej i w drugiej.

— A! tak nie jest, — rzekł Rak, — myśmy się zawsze tylko do jednej przyznawali ojczyzny i zawsześmy względem niej pilnowali naszych obowiązków. Ojciec mój lubo urodzony w Kroacji, przesłużył swą młodość wojskowo, potem posłował na sejmie i znowu służył wojskowo, chociaż już był niemłodym; wszystkie zaś swoje dochody, nawet z Kroackiego Rakowa, poświęcał na dobre uczynki w Polsce. Ja wyszedłem ze szkoły Podchorążych, wstąpiłem do artylerji, bo ta broń odpowiadała mojemu naukowemu ukształceniu, lecz wkrótce wojna wybuchła — a po wojnie wyjechaliśmy za granicę. Od tego czasu... to prawda; ale ja mam moje nauki, którym w kraju nie można się oddawać z pożytkiem. *(C. d. n.)*

Przewodnik towarzyski i salonowy

WEDŁUG DZIEŁA „SAVOIR VIVRE“

przez panią d'Alcq dla polskiej publiczności opracowała Hr. R.

(Ciąg dalszy).

Trzeba przyzwyczajać nasze nerwy do pewnej wytrwałości. Osoby krzyczące w niebogłosy za najmniejszem stuknięciem są prawdziwą plagą w towarzystwie.

Młodzi ludzie, młode panienki, powinni zawsze czekać na starsze osoby, czy to przy wprowadzeniu pań, czy podczas siadania przy stole; jeżeli starsze panie zostają jeszcze w salonie, młodzi ludzie powinni je prowadzić, a nie młode panienki, choćby to było rzeczą przyjemniejszą.

Jeżeli młoda panienka rozmawia z mężczyzną, a starsza pani o coś ją zapyta, powinna w tej chwili lekkiem skinieniem głowy zakończyć tamtą rozmowę, choćby najbardziej zajmującą, a zwrócić się z całą uwagą do tej pani, która robi jej tę grzeczność, że chce z nią rozmawiać.

Trzeba dobrze przypatrzeć się potrawie na półmisku, nim ją się weźmie; zostawić potem nietkniętą na talerzu byłoby niegrzecznością. Uczmy wcześnie dzieci jeść wszystko. Śmieszne i nieznośne są istoty, nie jedzące połowy potraw i ciągle opowiadające o tem, co lubią a czego nie znoszą, o tem, co im szkodzi a co im służy; jakby to kogoś bardzo obchodzić mogło. Tacy mężczyźni stają się później w domu własnym prawdziwym kłopotem;

biedne żony w głowę zachodzą, co by im gotować, żeby im smakowało a nie szkodziło.

W cudzym domu nigdy się nic nie gani. Chwalić zanadto, szczególniej unosić się nad jedzeniem także nie wypada. Jeżeli gospodarstwo sami zwrócą na coś naszą uwagę, można skromnie pochwalić, byle pochwała nie była przesadną i nie trąciła pochlebstwem. Okazywać wielkie zdziwienie na widok choćby najrzadszej potrawy, jest nader śmieszném, jak gdybyśmy z lasu wyszli, i nigdy nic nie widzieli i nigdy nic podobnego nie jedli. Choćby nawet tak było, wstrzymajmy się od wszelkich och! i ach! jako zupełnie niestosownych.

Znaliśmy pewne panienki, które inaczej nie nazywano, jak panny „Ochy" i „Achy" tak się zrobiły historycznemi, wiecznie się czemuś dziwiąc.

Panienki niech się najbardziej wystrzegają kaprysów w towarzystwie. Każda rozsądna rodzina będzie odwodzić młodego człowieka od takiej panny, którą poprzedzi smutna reputacja, że jej nigdy w niczem dogodzić nie można, że jej nigdzie nic nie smakuje, że wszędzie jakaś skrzywiona, zadąsana, znudzona i niezadowolona.

Młodzi ludzie niech też wcześnie starają się o nabywanie ogłady towarzyskiej. Iluż to ludzi zdatnych, pracowitych, którzy do niczego nie doszli, nie zrobili „kariery" jak to mówią, dla tego tylko, że ich sposób obchodzenia się w towarzystwie był szorstki, niezgrabny i nieprzyjemny. Jest to z pewnością bardzo niesprawiedliwie, jednakże tak było i tak będzie, że nie świat do jednostki, ale jednostka do świata i jego wymagań musi się stosować!

Przypuśćmy że taki młody człowiek jest zaproszony na obiad do swego przełożonego wojskowego lub cywilnego, który może nawet uważał jego zdolności i ma chęć zajęcia się jego losem.

Zaczyna jeść zupę z hałasem, czem drażni delikatne nerwy pani domu; podaje jej półmisek i oblewa jej suknię sosem lub chcąc coś przysunąć, wywraca butelkę wina i oblewa cały obrus. Prowadząc którą z pań do stołu lub od stołu, nadeptuje jej powłokę i obdziera fałdy u sukni. Są to wszystko drobnostki, prawda, nie dotykające ani charakteru, ani rozumu, a przecież taki brak form towarzyskich pozbawia częstokroć protekcji osób możnych i psuje najzdolniejszemu jego przyszłe losy.

Co do śniadań te są w mieście prawie nieużywane. Niektóre osoby, mające bardzo dużo znajomych, pamiętających o dniu ich imienia, którzy zwykle rano przychodzą złożyć życzenia swoje osobiście, zastawiają w takim razie jakąś zakąskę. Takie śniadanie podaje się w miarę, jak ktoś wchodzi, lub prosi się do pokoju, który się urządza na bufet nieustający. Śniadanie takie zmienia się podług pór roku. W zimie można podać najprzód bulion w filiżankach, lub gorącą czekoladę; w lecie lody, owoce, rzeczy chłodzące — w zimie półmiski na gorąco, w lecie raczej wszystkie mięsiwa na zimno.

Śniadanie takie może być bardzo wystawne lub bardzo skromne, podług naszego majątku. Nigdy zupa nie daje się na talerzach, tylko bulion czysty w filiżankach; nigdy nie mogą być dane na śniadanie jarzyny i legominy na gorąco, ani w mieście, ani na wsi nawet. Natomiast można podać wszelkie pasztety na zimno i na gorąco, zacząwszy od pasztetu strasburskiego, wszelkie wędliny, majonesy, auszpiki, galantyny z drobiu, kotlety i befsztyki na gorąco, przy bardzo wystawnych śniadaniach pojawiają się na końcu galarety słodkie stołowe, kremy, lody, ciasta rozmaite. i t. d.

Do takich śniadań kobiety zostają w kapeluszach, mężczyźni zaś mogą być w eleganckim wizytowym stroju.

X.

O grzeczności w salonie i na balu.

Zasady grzeczności w towarzystwie są bardzo względne: trzeba umieć je zastosować do wieku, stanowiska, do płci wreszcie, do której się należy. Mężczyźnie wolno zdjąć jedną rękawiczkę i trzymać ją w prawej ręce, kobieta, któraby zdejmowała rękawiczki na wizycie, okryłaby się śmiesznością. Kobiety nie są nigdy obowiązane stać i oddawać swoje krzesła, jedynie bardzo młode panienki powinne raczej stać niż pozwolić stać bardzo wiekowej damie, szczególniej jeżeli ją znają osobiście; mężczyzna przeciwnie byłby brutalem w całem tego słowa znaczeniu, gdyby siedział w towarzystwie, w którem by kobiety stać musiały.

Ponieważ ten rozdział ma bal na celu, zaczniemy od młodzieży płci obojej, boć zabawa tańcująca ich najwięcej dotyczy; jednakże i wiek poważniejszy, a szczególniej matki znajdą tu nie jednę wskazówkę pożyteczną i im potrzebną, choćby z tego jedynego względu, że potrafią dobrze poprowadzić córki, a czasem i synom swoim udzielą dobrej rady co do zachowania się w towarzystwie. Córka, póki za mąż nie wyjdzie, zależy wyłącznie od matki, nie odchodząc prawie od jej boku; z synami zwykle dzieje sie przeciwnie. Dziećmi prawie wychodzą oni z domu, żeby częstokroć wrócić pod strzechę rodzinną aż po długich latach nauki, już dorosłymi mężczyznami Synowie wracają często z różnemi wadami, nawyczkami, które ranią boleśnie serca rodziców i zupełnie nie licują ze zwyczajami, przejętymi w dobrem towarzystwie. Wtedy matka powinna brać się do trudnego zadania z całą kobiecą delikatnością i dyplomacją. Powinna udzielać rad swoich z największą łagodnością i miłością macierzyńską. Tym sposobem przywiąże syna na nowo i pozyska jego zaufanie. Rozkazu, wypowiedzianego ostro i brutalnie,

dorosły mężczyzna już nie przyjmie, to daremne! ton taki może go tylko rozjątrzyć i od domu rodzinnego zupełnie odsunąć, gdy przeciwnie prośba cicha, łagodna, matki kochającej i kochanej, będzie zawsze przez syna wysłuchaną i dobrze przyjętą, jeżeli syn nie jest wyzuty z wszelkich uczuć szlachetnych.

Panienki wprowadza się zwykle w świat nie prędzej, jak w skończonych szesnastu — najpóźniej w ośmnastu latach. Wtedy panna oddaje wizyty wraz z matką; bywa na balach, w domu rodziców pomaga matce bawić i przyjmować gości; jedném słowem: należy do świata i podziela z matką wszelkie wymagania życia towarzyskiego. Dopóki panienka jest w nauce, nie należy jej przerywać myśli zabawami światowemi. Główka młoda, gdy raz rozmarzy się hucznemi zabawami, gdy raz upoi się kadzidłem pochwał i powodzeń, z wielką trudnością wraca do książki i pracy na serjo; lecz z drugiej strony zamykać panienkę w nieskończoność, jak to robią niestety! niektóre matki, które boją się pokazywać taką żywą metrykę i wstydzą się wyraźnie dorosłych dzieci, jest ze strony matek dowodem najwyższej lekkomyślności i nikczemności. Kobieta zacna i szanująca swoją godność najwyższą, święte imię matki, nie będzie tańczyć razem z córkami. Zrozumie ona, że nie przyszła już po to, aby się sama bawiła, lecz żeby czuwała z całą troskliwością nad skarbem najdroższym przez Boga jej powierzonym, nad dziećmi swemi. Lepiej jednakże, choć nie bardzo stosownie, tańczyć w jedném kole z córkami, niżeli skazywać biedny, młody kwiateczek na przekwitanie gdzieś w kącie, na przepędzanie lat najpiękniejszych w towarzystwie jakiej francuzki lub angielki z przewróconą głową, a częstokroć, co jeszcze gorsze, w zgubném dla każdej młodej panienki towarzystwie matczynej garderoby.

Jeżeli przychodzą panie z wizytą, zostawia się im kanapę; gospodyni domu siada obok na fotelu; bardzo młodą panienkę, choćby przyszła bez matki z ojcem tylko, nie powinno się sadzać na kanapie, chyba że już nie ma matki i z ojcem sama dom tworzy.

Jeżeli by się zeszło razem bardzo dużo wizyt, a zabrakło miejsc w salonie, mogą panny domowe poprosić obce panny do drugiego pokoju; lecz nigdy nie powinne robić tego z samymi mężczyznami. W miarę jak gości przybywa, tak pani domu, jak i jej córki, ustępują w tej chwili lepszych miejsc gościom; nawet obce panienki, jeżeli siedzą na fotelach, a wchodzą do salonu kobiety mężatki, powinne zająć krzesła, jako dla nich stosowniejsze.

Osoby w wieku poważnym nikomu się nie ustępują; kobiety mężatki także zostają na swoich miejscach, i tylko bardzo sędziwym matronom mogą tę grzeczność okazać, ustępując im miejsca wyższego. Mężczyźni są zawsze obowiązani ustąpić czy to paniom, czy pannom miejsc wyższych i wygodniejszych.

Mężczyzna oddający pierwszą wizytę paniom powinien być we fraku, czy rano, czy po obiedzie; do mężczyzn bierze zawsze surdut, tylko na audjencje wszelkie bierze się frak i jasne rękawiczki. Jeżeli przyjmuje się wojskowych, trzeba pamiętać poprosić ich, aby odpasali pałasz, z którym siedzieć jest dla wojskowych bardzo niewygodnie; oni zaś nie powinni go odpiąć bez upoważnienia gospodyni domu.

Kobiety nie powinne nigdy mówić do wojskowych bez oddania tytułu „pani“. Mówić po prostu „Poruczniku, Kapitanie, Majorze,“ oznacza pewną poufałość stosunków i za nadto wielkie zbliżenie, które mogło by kobietę w dziwném świetle przedstawić.

Jeżeli mężczyzna jest we fraku, nie może tak wyjść na ulicę, musi jakieś okrycie wziąść na siebie. Oprócz kapelusza z którym wchodzi, czy to z wizytą, czy na bal (na bal tylko kapelusze składane są w użyciu) zostawia wszystko w przedpokoju. Jeżeli jest w surducie, może jakąś małą, elegancką laseczkę trzymać w ręku; lecz wtedy musi dobrze się wyćwiczyć, żeby trzymać zgrabnie w jednej ręce laskę i kapelusz, a drugą rękę mieć wolną do podania.

Mężczyzna nie podaje nigdy pierwszy ręki paniom. Ze strony kobiety jest to wielka grzeczność i odznaczenie, jeżeli mężczyźnie rękę podaje; dlatego też kobiety nie powinne tem za nadto szafować, a mężczyzna nigdy pierwszy nie może upominać się o tę grzeczność, tylko czekać, czy go kobieta zechce zaszczycić podaniem ręki.

Młodzi ludzie powinni trzymać się tej samej zasady co do mężczyzn i nie spieszyć się za nadto z podawaniem ręki ludziom, którzy stoją o wiele wyżej od nich, a przynajmniej we własném przekonaniu mają się za coś o wiele lepszego. Wobec wysokich dygnitarzy, przełożonych swoich, z ludźmi należącymi do arystokracji, która z małemi wyjątkami jest wszędzie dumną i nieprzystępną, młody człowiek szanujący własną godność, powinien zająć stanowisko wyczekujące, nie być zuchwałym i niegrzecznym, lecz nie być także ani zbyt poufałym, ani zbyt uniżonym, a tak z taktem postępując, wyrobi sobie ogólny szacunek i uznanie w towarzystwie.

Gdy się wchodzi do salonu z wizytą, najprzód szuka się pani domu, a z nią się przywitawszy, innym paniom oddaje się ukłon ogólny. Do gospodyni domu powinno się zaraz przemówić słów kilka, szczególniej jeżeli ją się samą zastanie.

W salonie nie wypada bawić się czemkolwiek, ani laską, ani kapeluszem, a tembardziej nie należy brać cokolwiek do ręki, co by do nas nie należało, np. wachlarz, lub szydełko odłożone na bok chwilowo przez którą z pań zajętych robótką. Tacy panowie, którzy wszystko ruszają, a często i psują nawet bezmyślnie, są prawdziwą plagą salonową.





Dojrzewa jarzębina...

Dojrzewa jarzębina,
W słońcu się rumieni —
Pomnij dziewczyno lata,
Nie czekaj jesieni!

Ponęta ptaszkom dziwna
Czerwone jagody —
Hej, idą już z muzyką
Na wesołe gody.

W proch strząsasz jarzębino
Krasne swe korale?
Wylewasz łzy dziewczyno
I zawodzisz żale?

„Oj łzy wylewam rzewne,
„I żale zawodzę,
„Już bo się z jagodami
„Na zawsze rozwodzę.“

„Na drzewie z nowym majem
„Korale odrosną —
„Dziewczynie już na wieki
„Pożegnać się z wiosną!“

„Słoneczkiem znów rumiana
„Będziesz jarzębino,
„Kiedy jagody moje
„Ziemią zajdą siną!“

Dojrzewa jarzębina,
W słońcu się rumieni —
Biednaś dziewczyno latem,
Biedniejsza w jesieni;

I jednej tylko wiosny
Czar tu służy tobie —
Z drugą już jarzębina
Źrzeje na twym grobie.

B. Komorowski.

W porządnym przedpokoju wisi zawsze zwierciadło. W niem powinien każdy oglądnąć należycie swoją osobę, nim wejdzie do salonu i poprawić ubiór, jeżeli w nim co znajdzie do poprawienia; raz wszedłszy do salonu, tak kobieta, jak mężczyzna, nie powinni więcej zajmywać się swoją toaletą, ani przeglądać w źwierciedle. U kobiety takie ciągłe zajmywanie się sobą i mizdrzenie do zwierciadła jest tylko śmiesznem; u mężczyzny podobne nawyknienie staje się prawie wstrętnem. Jeżeli poproszą mężczyznę o odłożenie kapelusza, powinien położyć pod swoje krzesło, lub obok na krzesło; nigdy zaś nie kładzie się kapelusza na stół lub etażerkę, gdzieby można nim co przewrócić i potłuc.

Panienki młode nie powinne nigdy całować w twarz osób starszych; bardzo poważną matronę mogą raczej w rękę pocałować. Między sobą nie powinne także panienki całować się zbyt głośno i często, bo to trąci parafiańswem, i panowie zwykle śmieją się z licznych panieńskich całusów. Tak młodzi ludzie, jak i młode panienki nie powinni zabierać głosu przed starszemi osobami, ani zbyt uparcie stać przy swojem zdaniu i zbyt głośno wdawać się w dysputy, choćby słuszność była po ich stronie. Zawsze młodsi powinni starszym ustąpić. Przerywać komukolwiek mowę jest największą niegrzecznością; dawać do zrozumienia osobie mówiącej, że mówi nieprawdę, lub jej wprost kłamstwo i fałsz zarzucać, jest już śmiertelną obrazą dla tej osoby.

Trzeba w tém bardzo na dzieci uważać, żeby nigdy, nikomu, nie mówiły „nieprawda,“ czasem ktoś nawet małe dziecko za taką niegrzeczność znienawidzi.

Jest przyjęty powszechnie zwyczaj, że przed balem prosi się dobrych znajomych o przedstawienie jak najwięcej młodzieży tańcującej. Trzeba być w tem jednak bardzo ostrożnym, i tylko takich młodych ludzi przedstawiać gospodarstwu, o których jest się przekonanym, że nam wstydu nie zrobią.

Na kilka dni przed balem zwykle ten lepszy znajomy przyprowadza z wizytą młodych ludzi i przedstawia ich pani domu; wprawdzie można to aż w dzień balu uczynić, wszelako jest o wiele grzeczniej, dać poznać choć na krótką chwilę gości pani i panu domu. Po proszonym obiedzie, również po balu, każdy z zaproszonych winien oddać wizytę najpóźniej w ciągu tygodnia. Gospodarz domu powinien choć raz każdemu ze swoich gości oddać wizytę.

Mężczyzna zostawia tyle kart wizytowych, ile jest dorosłych osób w rodzinie. Kobieta natomiast zostawia tylko jedną kartę dla pani domu.

Mężczyzna, a tem bardziej kobieta, nie powinna w towarzystwie nogi na nogę zakładać, nogą ruszać jakby wahadłem w zegarze; mężczyzna nie powinien trzymać kapelusza kolanami, gdyż jest to poza bardzo nieestetyczna, ani siedzieć w postawie pół leżącej tak, żeby aż głowa fotelu dotykała. Kobiety powinne bardzo uważać na siedzenie, szczególniej na balu. Lekkie toalety potrzebują większej jeszcze uwagi, gdyż łatwiej się podnoszą, czy to w tańcu, czy w chwili siadania.

Jeżeli w jakim domu prywatnym sam pan domu tańczy, lub syn domu, powinni uważać żeby po kolei tańczyć ze wszystkiemi paniami i pannami. Zwykle kogoś obcego prosi się na przewodnika tańcu; wtedy ten otwiera bal walcem z samą panią domu, jeżeli ta jeszcze tańczy, lub z córką najstarszą. Tańce angażowane powinne raczej zaczynać młode mężatki niż panny. Młody człowiek, który jest razem z narzeczoną, nie powinien przyjmować takiego obowiązku, gdyż musiałby w tym razie zaniedbać narzeczoną, lub uchybić reszcie towarzystwa i źle się wywiązać z zadania.

Gospodarstwo powinni bardzo uważać, żeby wszystkie panie zaproszone tańczyły. Dla tego trzeba zawsze prosić drugie tyle panów, ile pań do tańca. Jeżeli chce się namówić którego z panów do tańca, trzeba rozwinąć w tej delikatnej misji wielki takt i uwagę, żeby właśnie przez zbytnią troskliwość nie obrazić swoich gości. Trzeba damie nietańczącej umieć tak zręcznie podsunąć tancerza, jakby on sam miał chęć najżywszą po temu.

Tancerka siedząca podczas tańcu nie powinna okazać złego humoru z tego powodu, może przysiąść się do jakiej starszej, nie tańczącej damy i z nią rozmawiać.

Panny nie powinne oddalać się od matek, lub opiekunek swoich. Każdy tancerz uważający odprowadzi po tańcu damę swoją do tego miejsca, gdzie dawniej siedziała. Do drugiego pokoju panna nie może wyjść sama bez matki, lub starszej damy; toaletę należy urządzić w ten sposób, żeby nie wychodzić co chwila coś poprawiać. Świadczy to zawsze na niekorzyść tej osoby, gdyż pochodzi bądź z niedbałości, bądź z tańcu zanadto szalonego, który źle działa na zdrowie i robi z salonowej kobiety rodzaj bachantki, co nie jest wcale w dobrym tonie.

Każdy młody człowiek powinien umieć dobrze tańczyć; w razie przeciwnym niech nie przyjmuje zaproszeń na tańcujące wieczory. Nic nudniejszego na balu, jak tacy młodzi ludzie, podpierający sobą piece i kąty w salonie; lub jeżeli puszczą się w taniec, wiecznie mylący figury kadryla, przestraszający sobą tancerki, gdy który z nich przychodzi ją angażować, na to tylko, żeby ją zmęczyć, oberwać część powłoki a w końcu upaść z nią razem, bo i to się wydarza złym tancerzom.

W rozmowie z tancerzem trzeba bardzo uważać, żeby rozmowa była zawsze w miarę głośną. Gdyby tancerz chciał nas bawić kosztem reszty towarzystwa, trzeba mu dać poznać grzecznie, delikatnie, lecz nie mniej stanowczo, że nas to ani bawi, ani też nie chcemy brać na siebie odpowiedzialności za udział mimowolny w takiej obmowie. Nic nie szkodzi więcej młodej osobie, jak reputacja zło-

śliwej, uszczypliwej i obmawiającej istoty. Na balu, tak samo jak w wagonie, o czém już obszernie mówiliśmy, trzeba strzedz się jak ognia! obmowy. Nigdy w towarzystwie liczniejszem nie mówi się po cichu, do ucha, śmiejąc się przytem głośno. Jest to ton najgorszy! Reszta towarzystwa jest wtedy najmocniej przekonaną, wszyscy razem i każdy z osobna, że kogoś z nich wyśmiewamy. Gdy tak mówią kobiety między sobą, zdradzają tem zupełny brak wychowania i delikatności; gdyby mówiły i pozwoliły w ten sposób mówić do siebie mężczyznom, stałyby się w najwyższym stopniu nieprzyzwoitemi, ośmielając mężczyzn do takiej zuchwałej względem siebie poufałości.

Na balu, oprócz do kolacji, nie zdejmuje się rękawiczek; po kolacji trzeba wprzód włożyć i zapiąć porządnie rękawiczki, a dopiero wtedy można na nowo zacząć tańczyć.

Przybory do toalety balowej nie są teraz tak liczne jak były dawniej. Nawet bukiety przestają już panie brać na bale. Wachlarze noszą się teraz powszechnie na wązkiej wstążeczce zastosowanej do koloru sukni, lub na sznurze jedwabnym, z zapiętką umyślnie do trzymania wachlarza urządzoną. Cokolwiek tancerka trzyma w ręku, powinna trzymać z pewną elegancją i zręcznością; również niech się wystrzega, aby nie upuściła której z tych rzeczy na ziemię, gdyż tem znużyłaby otaczających ją mężczyzn, którzy byliby bardzo niegrzeczni, gdyby nie podnieśli w tej chwili każdej rzeczy przez kobietę upuszczonej. Nawzajem delikatna i dobrze wychowana kobieta nie będzie nigdy nadużywać grzeczności panów. Panów tańczących przedstawia się bez wyjątku wszystkim paniom; gospodarz domu lub syn domu jest do tego obowiązany. Co do przedstawiania i poznawania mężczyzn trzeba w tem zachować takt pewien. Dobrze jest zapewnić się naprzód, czy ci ludzie nie są odmiennych zdań, odmiennych przekonań politycznych? czy nie sprawimy im przykrości przez nasze przedstawianie i zapoznawanie jednego z drugim. Szczególniej, jeżeli mężczyzna o wiele młodszy i niższy w hierarchji społecznej żąda, żeby go gospodarz przedstawił mężczyźnie o wiele wyżej położonemu, trzeba wprzód zręcznie wybadać tego drugiego, żeby nie narazić gościa na niegrzeczność, a siebie na wymówki lub nieprzyjaźń stron obydwóch.

Kobiety przedstawiają się pierwsze monarchom panującym i bardzo wysokim dygnitarzom kościelnym. Zresztą nigdy nikomu z mężczyzn nie tylko kobiet się nie przedstawia, lecz nawet przedstawiając mężczyzn paniom, nigdy nawzajem nazwiska tej pani nie wypada wymieniać.

W rozdziale, w którym obszernie o balach publicznych pisaliśmy, poruszyliśmy kwestją dobrej pamięci na balu.

Jeżeli pamięć jest niezbędną dla kobiet, o ileż więcej jeszcze obowiązuje mężczyzn!

Mężczyzna, któryby zapomniał o damie przez niego do tańca zamówionej, mógł by się spodziewać nawet obelgi srogiej od ojca, brata lub męża tancerki, tak przez niego ciężko obrażonej. Jeżeli zabawa w domu prywatnym ma iść wesoło, oboje gospodarstwo, również jak ich dzieci, powinni zapomnieć o sobie i swojej przyjemności, a wyłącznie pamiętać przez cały wieczór o wygodzie i przyjemności osób zaproszonych.

Dla wszystkich gości powinni być równie uprzejmi. Pokój do palenia cygar dla panów powinien być zupełnie odosobniony. Wszak w żadnym publicznym lokalu — oprócz w kawiarniach, gdzie też kobiety porządne nigdy się nie pokazują — nie wolno cygar palić; jakżeby wyglądał salon prywatny, cygarami zadymiony.

Panowie prawdziwie dobrze wychowani palą w ogóle mało podczas balu; wejść z cygarem do salonu byłoby to największą niegrzecznością i obrazą dla całego towarzystwa.

Jeżeli urządzamy wieczór muzykalny, trzeba przedewszystkiem zapraszać na niego osoby lubiące i znające się na muzyce.

Nie może być nic przykrzejszego i więcej obrażającego, tak dla artystów, jak i dla amatorów, jeżeli ich się wcale nie słucha i zagłusza zupełnie ich produkcje głośną rozmową. Gdy zapłacimy miejsce czy w teatrze, czy w sali koncertowej, słuchamy z uwagą, bo to za pieniądze; jeżeli zaś ktoś z grzeczności bawi swoim talentem całe towarzystwo, zamiast uznania i wdzięczności, obrażamy go zupełną nieuwagą i zagłuszamy częstokroć czczą paplaniną. Jest że to grzecznie i sprawiedliwie?

Znaliśmy przed laty znakomitego śpiewaka, trochę atoli rubasznego, a jak wszyscy artyści bardzo drażliwego. Trzeba dodać w nawiasie, że nie tylko śpiewał prześliczną włoską metodą, lecz równie znakomicie naśladował wszelkie dźwięki natury, od ryku i wycia zwierząt aż do cudnego śpiewu słowika. W jednym z arystokratycznych salonów lwowskich zebrało się raz bardzo liczne grono i chciano nibyto zabawić się w wieczór muzykalny. Proszą, nudzą tegoż artystę, ten znając już z doświadczenia podobne towarzystwa, jak są mało skłonne do słuchania muzyki, wymawia się ile może od współudziału. Zmęczony wreszcie ciągłém naleganiem siada do fortepianu i zaczyna śpiewać. Rozmowa ogólna, na krótką chwilę przyciszona, rośnie i huczy co raz lepiej w koło niego jak fale wzburzonego morza, tak, że mimo całej siły jego prześlicznego basu, głos jego niknie zupełnie. W tem, jak grom z jasnego nieba! daje się słyszeć akord straszliwy, z kilkudziesięciu tonów zmąconych i dziko splątanych, a równocześnie rozlega się po całym salonie tak przerażające wycie wilków, że raptem robi się cicho jak makiem zasiał.

— Takiej wam muzyki potrzeba moi państwo, innej dla was szkoda! — krzyknął im jeszcze na pożegnanie dyszący gniewem artysta, wziął za kapelusz i wyszedł.

Nie było to grzecznie, ani słowa! lecz nauczka poskutkowała. Resztę wieczoru słuchano każdego z uwagą, bojąc się widocznie drugiej tak miłej niespodzianki!

Pani domu powinna oświetlić i przygotować oprócz salonu jeszcze kilka innych pokojów, gdzieby osoby nie muzykalne mogły schronić się przed powodzią tonów, i swobodnie rozmawiać, nie przeszkadzając drugim do słuchania.

Jeżeli w domu, w którym odbywa się wieczór, jest ktoś muzykalny, powinien i tutaj gościom pierwszeństwa ustąpić. Tak pani domu, jak jej dzieci, nie mogą być w takim razie pierwszemi i w ogóle domowi jak najmniej powinni się ze swemi talentami popisywać, gościom raczej pole do popisu zostawiając.

(*C. d. n.*)

Moje wyjście z Warszawy do Drezna

przez **Ksawerego Bronikowskiego**

wice-prezydenta Warszawy podczas ostatnich dni rewolucji 1831 r.

przetłumaczył z niemieckiego J. N. z Oleksowa Gniewosz.

(Ciąg dalszy).

XIII.

Podróż pocztą.

Jakkolwiek poczty w Prusach, a mianowicie w Niemczech nie mogą się chlubić szybkością, to przedstawiają przynajmniej tę korzyść, że podróżny ma czas przynajmniej powierzchownie zaznajomić się z krajem, przez który przejeżdża.

Jadąc z kraju, który tak wiele ucierpiał w skutek wojny, zacząwszy już od Wks. Poznańskiego mógłem spostrzedz większy postęp kultury i cywilizacji zwiększającej się o tyle, o ile bliżej byłem stolicy Saksonji. Porządne domy, w których brak naszych żydów, zwracają przedewszystkiem uwagę Polaka. Dobrze zabudowane wsie, przez Niemców zbudowane, lub przez tych, którzy przybrali ich obyczaje; uprawa pól piaszczystych, dobrze karmione bydło i konie, podziwienia godne zamiłowanie porządku, pracowitość, we włościaninie pewne znamiona niezależności, a u mieszczanina i usłowanie zdobycia oświaty, obszerne po większej części trzechpiętrowe domy we wsiach zbliżonych do Drezna a co jest najciekawsze, obok tej zamożności nienawiść do obskurantyzmu i despotyzmu połączone z tęsknotą do wolności i coraz większéj oświaty — oto były charakterystyczne zarysy, które mnie pocieszały pomiędzy Wartą i Elbą. Lecz zwrotny rzut oka po za siebie ze stanowiska Polaka, zachmurzał tę radość człowieka. Pomimo woli zmuszony byłem przyznać, że w polskim mieszczaninie i wieśniaku brakło jeszcze wiele uszlachetnienia, zaczem stanąć będą mogli na równi z Sassami i Niemcami. Gdzież szukać tego przyczyny? Zaprawdę, nie w skłonności narodu, który świat w ostatnich czasach ocenił z uwielbieniem; ale przyczyną tego jest to nieszczęsne źródło wszelkiego politycznego i moralnego nieszczęścia, jakiem jest despotyzm i na nim spoczywające szaleństwo polityki. Czy Niemcy są rzeczywiście tak wolno rządzone, że mogą zawdzięczyć wysoki stopień swej cywilizacji jedynie téj okoliczności, że nie mają despotów? Nie. Niemcy, w sercu Europy, mogły były stać się najszczęśliwszym i najwięcéj wpływowym narodem dla dobra ludzkości, gdyby były zupełnie wolnemi. Lecz to trzeba przyznać, że niemieckie rządy niepowstrzymują przynajmniej oświaty — i oto tej matce wolności, szkołom i uniwersytetom zawdzięczać będą Niemcy w przyszłości swe szczęście, jak już teraz zawdzięczają im podstawę wolności. Ale cóż się działo w Polsce? Rząd moskiewski nie troszczył się wcale o elementarną naukę w polskich prowincjach, natomiast dozwolił najznaczniejszą część dochodów uniwersytetu wileńskiego, za pomocą których nauka mogła być udzieloną, roztrwonić najnikczemniejszym narzędziom swego despotyzmu.

W Królestwie polskiem stawiano największe przeszkody przy zakładaniu elementarnych szkółek i sztukę obskurantyzmu doprowadzono tak daleko, że od r. 1818. aż do 1825. liczba uczniów w szkołach elementarnych zmniejszyła się o 20.000. Rząd pruski, którego troskliwość w zakładaniu szkół znaną jest w całym świecie, popełnił błąd co do posiadanych prowincyi polskich, używając zgubnéj polityki, aby zamiast używać języka krajowego jako środka do oświaty, proskrybował takowy ze szkół, a dzieci kazał nauczać w języku, którego nierozumiały. Dla dzieci polskich staje się nauka w takich szkołach prawdziwą męką, która im odbiera wszelką chęć do uczenia się, i już w pierwszéj młodości zradza gorycz przeciw rządowi, który nakazuje tak nienaturalne wychowanie. Ten sam wypadek ma miejsce w szkołach galicyjskich, gdzie oprócz

tego system instrukcyjny rozwija się bojaźliwie. Dodajmy do tego polityczny stan polskiego ludu, który przez nieustające wojny zubożały stara się nieustannie, aby zrzucić jarzmo, nie będzie nas dziwić, żeśmy pozostali w tyle poza cywilizacją niemiecką. Lecz na czem nam zbywa w téj mierze, to sobie wynagradzamy sami duchem, który albo nas postawi w możności, abyśmy mogli wstąpić na drogę europejskiej cywilizacji niezależnie i narodowo, lub zmusi nas do zupełnego upadku. Każda inna droga pośrednia jest dla nas niemożebna, a nasze ostatnie niepowodzenia, ostatnie środki moskiewskiego rządu tylko nas utwierdzą, na téj drodze niepowstrzymanego przedsięwzięcia.

XIV.

Jenerał Dembiński w Czossen.

Im więcej się oddalałem od granicy Polski, tem częściej miałem sposobność przekonania się, że naród niemiecki brał serdeczny udział w naszej sprawie i z ludzkością odczuwa nasze nieszczęście. Jeszcze podczas wojny nie było nam obcem, że nasz bój wolności tak w Niemczech jak i w całej Europie uzyskał życzliwość wielu przyjaciół, lecz niemieliśmy nawet pojęcia o powszechności tego tak chlubnego współczucia dla nas i dla Europy.

Odłączeni przez pruskie i austrjackie władze od reszty Europy oddaliśmy się naszemu świętemu bojowi bez chęci chwały, nie troszcząc się o to, co powie Europa o naszych czynach; lecz przepełnieni na wskróś zrozumieniem obowiązku nie mieliśmy czasu dowiedzieć się, stojąc w obec nieprzyjaciela, jak nas ocenia Europa. Tem mniej mogliśmy się spodziewać tak powszechnej sympatji dla naszej sprawy na obczyźnie, albowiem po odniesionych zwycięztwach nie przyznawaliśmy sobie prawa aby nasze czyny podziwiano; a teraz, jako nieszczęśliwi wychodźcy zawstydzeni skutkiem wypadków, przerażeni grożącem Europie niebezpieczeństwem, któremu może w skutek naszych błędów nie mogliśmy zapobiedz stanęliśmy z nieśmiałością przed oczami cudzoziemców.

Może to będzie na czasie, przytoczyć pewną okoliczność. Uciążliwe systemy pruskich i austrjackich rządów oburzają nietylko Polaków lecz grzeszą także przeciw niemieckiej narodowości, bo utrzymują nienawiść Polaków do Niemców. Ciśnięci bezpośrednio przez Niemców lub właściwie mówiąc przez narzędzia pruskiej i austrjackiej polityki, byliśmy przyzwyczajeni obwiniać zamiast tych narzędzi Niemców o ucisk; tak dalece, że wielu Polaków nie wierzyło podczas rewolucji nadchodzącym wieściom z Niemiec o współczuciu tamże. Nasze tak liczne wychodźtwo otworzyło nam oczy, i od tego czasu nie będziemy złorzeczyć Niemcom, lecz formie ich rządów, jeżeli takowe na przyszłość nie odprzysięgną się, od dotychczasowego postępowania z Polakami.

Mamy tę zasługę, żeśmy obudzili w was niemieccy mężowie, miłość do wolności, a wy odpowiadając godnie na tę przysługę zatarliście w nas zgubne uprzedzenia, które wzrastało na naszą szkodę przez nienawiść narodową. Obydwie narodowości zasłużyły się dobrze ludzkości w skutek tej wymiany idei. Zasługa ta znajdzie w tem wspólną nagrodę, że nas połączy boskiemi węzłami do skutecznej obrony przeciw tyranii. Jeżeli to wszystko zestawimy to nie możemy się dziwić, że największa liczba Polaków szukała z pewnem uprzedzeniem do Niemców u tychże przytułku, niedziw, że serdeczne przyjęcie było dla nas prawdziwą niespodzianką. Gdy ja znajdowałem się w podobnym wypadku, niech to nikogo nie zadziwia, że z wielu zdarzeń dokonanych przytoczę jedno, które dało dowód Polakom niemieckiego współczucia. Przybywszy do Czossen zsiadłem z bryki podczas zmiany koni i udałem się do oberży. Obecni tam goście powitali mnie z największą uprzejmością przekonawszy się z mego polsko-niemieckiego akcentu, że jestem emigrantem. Bez wyjątku przyjęto mnie z serdecznem współczuciem a jeden z obecnych zaczął mi opisywać wczorajszą uroczystą „scenę“. Wczorajszy dzień, mówił, będzie dla całego miasta pamiętnem, mieliśmy to szczęście widzieć bohatera, jenerała Dembińskiego. Siedział przy tym samym stole co pan i pił filiżankę herbaty. Nie mogliśmy się dosyć napatrzeć jego poważnemu obliczu tak samo, jak niemogliśmy dosyć podziwiać czyny waszego narodu. Wielkość i smutek w rysach tego o marsowem spojrzeniu wojownika wolności, przypominały nam długi odwrót Ksenofonta wraz ze świętą dla nas sprawą, doznając niewypowiedzianego bolu. Chciałem się do niego zbliżyć, wynurzyć mu nasze uczucia i mieć to szczęście mówienia z D e m b i ń s k i m, ale wskutek nadzwyczajnego uszanowania nie odważyłem się. W krótce potem siadł do powozu; nasz wzrok długo za nim był zwrócony a towarzyszyły mu nasze najserdeczniejsze życzenia, aby jeszcze raz mógł być szczęśliwym i podnieść swój zwycięzki miecz po nad głowami nieprzyjaciół wolności.

(*C. d. n.*)

Gałązka bzu.

Fragment przez Olgę Komorowską.

(Ciąg dalszy.)

Z bzów wyszło najprzód ciche westchnienie, niby skarga żałośna i zsunęły się z nich duchy rękoma splecione. Włos dziewicy i jej szaty wisiały osmutniałe jak skrzydła ptaka burzą miotanego; młodzieniec patrzył w ziemię z tęsknem poddaniem. Ojczysty krzew obnażon z kwiecia, za każdym wiatru tchnieniem strugami łez płakał na wylękłe konwalije; gałęzie od pnia oderwane spoczywały smętnie wśród traw wygniecionych, a niedokwitłe kitki przeznaczone były na śmierć przedwczesną, błotem zbryzgane. Duchy oplótłszy się ramiony postały chwilę w zadumaniu, z oczu dziewicy popłynęły dwa przejrzyste strumienie i spadały po szatach świecąc się jutrzenką.

Liljan przerwał milczenie.

„Ulecieć nam ztąd należy, bo kwiecie zabite, a my woń jego, w niebiosa wrócić musimy; lecz jakże ciężko opuścić te miejsca, do których się nawykło.

„Powrócim tu znów wiosną i rozradujem się w odrodzeniu“ — odparła biała kochanka.

„Kto wie gdzie nas wola przeznaczenia zaniesie wichrem tułaczym? czy dozwoli jeszcze do ukochanego krzewu powrócić. Wiemy, że nam opuścić go trzeba, nikt jednak odgadnąć nie może, kiedy los powrót mu ułatwi.“

Jeszcze raz zbliżyli się do krzewu, objęli go spłakanego w ramiona tuląc do piersi, złożyli pocałunek na obnażonych z kwiatu prątkach i wsparłszy głowy na sobie odeszli w mgły, oglądając się za siebie i szląc mu ostatnie pozdrowienia.

Z poza lasów weszło czerwone słońce, rzuciło swem jasnem okiem na równinę i rozweseliło ją. Zbudziło się ptastwo i otwierając skrzydła wylatywało w złote smugi światła próbując głosu. W szuwarach dołem gwarne krzyki słyszeć się dały; były to ziemskie kłótnie o życie i jego codzienne potrzeby. Długonogie bociany wychodziły ostrożnie na żer, czajki napuszając się podskakiwały i zaglądały w wodę za rybami; wodne kurki z liczną dziatwą wypływały z traw, a kaczki z wrzaskiem zbierały się nawołując. Wszystko ożywiało się, ruszało, gwarzyło i o byt się spierało, lub słabszym od siebie mord nieść zaczynało. Tylko krzew obnażony z młodego kwiecia pozostał samotny bez woni, ducha swojego.

VI.

I wydało mi się, że z nad równin ojczystych wyobraźnia moja na swych szybkolotnych skrzydłach uleciała daleko; w sercu uczułem głęboki ostry ból, kiedy owe znane widoki znikły mi przed wzrokiem.

Uśpijcie ciało człowieka, a zostawcie myśli wolność; poleci ona tam zkąd wzięła początek. Raz, w śnie, jeden z moich towarzyszy wygnania, co dziś już spoczywa tęsknotą zabity, pod różowemi laurami południa, uśmiechał się błogo. Ja już nie spałem, rozpocząłem znów żyć ciałem, a zatem cierpieć. Zazdrośnie obudziłem go. Jęknął, poruszył się i gniewnie zawołał: „Dla czego mię budzisz? Byłem w ojczyźnie dziecięciem, i całowałem ręce matki, co mię do piersi tuliła siedząc pod gruszą kwiatem okrytą. Cóż mi da rzeczywistość w nagrodę za ten sen przerwany?“

Rzeczywistość wprawdzie nie była tak złą, nie cierpieliśmy bowiem ni chłodu ni głodu, ale woń grusz ojczystych dolecieć nas nie mogła; byliśmy przedzieleni od nich przestrzenią, oddaleniem... i ludzką niepamięcią.

Pewnego dnia w kole znajomych rodaków, roztęsknionych za ziemią rodzinną, jak kochanek za widokiem ulubionej, gwarzyło się o niej, śpiewało i płakało w duszy za nią krwawemi łzami, a nakoniec ktoś zawołał, że kiedy nie ciałem to chociażby duchem trzeba do niej powędrować, i zaproponował magnetycznie to uczynić. Wybrano jedną kobietę, co dobrowolnie w części, a w części burzami gnana, opuściła ojczyznę i przesiedliła się z uśmiechem na cudzą, upojona róż i jaśminów zapachem; a choć nigdy nie mówiła o tem, żal jednak musiał nurtować w głębinach jej istoty. Położyłem na niej ręce, a gdy usnęła zamiast prowadzić jej siłą mej woli, zostawiłem wolność zupełną. Poczęła się najprzód uśmiechać, potem oblicze jej rozjaśniło się, i oddychać się zdawała wonie znane jej w dzieciństwie, a nakoniec zawołała wielkim głosem: „Widzę chatę moją rodzinną i błonia na których przeskakałam wiek młody“ i wybuchło serce rozdzierającym jękiem, a grube łzy potoczyły się po jej licach. Duch nieszczęsnej ledwie na wolność wypuszczony, jak ptak poleciał do rodzinnej strzechy, i usiadł na niej pijąc pełną piersią rozkosz odczułą. Łańcuch tajemniczy wiąże nas do ojczystej zagrody; jeden koniec jego utkwiony jest w ziemi, tam gdzie stała nasza kolebka, burze życia wyrwać go z tamtąd nie zdołają; drugi ginie w przestrzeni i otacza nas potrójnym, niewidzialnym węzłem.

Wiatrem północnym niesiony zbliżyłem się ku ziemi, co nie była moją ziemią macierzystą, choć także zielone równiny rozciągały się przedemną. Równiny te zasiane były gęsto ludzkiemi mieszkaniami. Białe schludne domki stały

wzdłuż brzegów szerokiej rzeki, małemi ogródkami stykały się z sobą, i przyjaźnie dłonie wyciągać się zdawały. Po białych ścianach pięły się drobne różyczki i różnobarwne powoje; w otwartych oknach stały doniczki z kwiatami; z wnętrz domków dolatywał gwar, śmiechy, głosy dziecinne, brzmiały fortepiany, lub młodzież śpiewała poważne melodyjne pieśni nieznane mi. Wieczór wiosenny spuszczał się na okolicę, gwiazdy zapalały kolejno, ucichły głosy ludzkie, a rzeka szumiała trącając o swe białe starannie obmurowane brzegi. W jednym ogródku, przyparte do żelaznych sztachetów, rosły dwa krzewy bzu, i ciekawie wychylały swe woniejące kitki przez otwory, niby pragnąc wydostać się z ciasnego więzienia. Liści widać nie było, tak kwiatem okryły się te krzewy. Podcięto je u dołu aby raźniej w górę strzelały, i wyrosły w rzeczy samej w drzewka raczej, proste, sztywne, kształtem grzyb przypominając. Staranne wychowanie znać było na nich niezaprzeczenie, ani jednego suchego listka nie dojrzałem, a przywiązano je do wysokiego kołka aby się nie zgięły od wiatru. Słowik śpiewał w klatce zielono malowanej wśród klombów koło altanki sztucznie ukrytej w owych pięknie podstrzyżonych krzakach, byłby miejsca na gniazdko nie znalazł, bo starannie zatarto w nich pierwotne kształty jakiemi je matka przyroda obdarzyła. Znajdowały się tam klombiki regularne, z kwiatów jakby woskowych, lśniących, ślicznie utrzymanych, o barwach żywych, jaskrawych, ale bez woni; śmiały się one oku jedynie, nie pragnąc sercu przypodobać.

Pogasły na koniec światła, cichość zaległa okolicę i tylko rzeka szemrała głośniej westchnieniem, a księżyc jasne swoje promienie kąpał w jej falach, zalotnie doń mrugających. Ciężkie dymy wlokły się w głębi krajobrazu i zasłaniały niebo lekką żałoby oponą, nie łez pełną, ale rękodzielni i wysokich kominów pary. Psy zdaleka naszczekiwały, nocne godziny wydzwaniały jedne po drugich z wież oddalonego miasta; czasem ziemia się zatrzęsła i przeciągłe gwizdanie lokomotywy przeleciało w powietrzu gęste, czarne, cuchnące kłęby pary buchnęły aż do rzeki, zakręciły się nad nią i tonęły powoli; mącąc złote światło księżyca. Z bzów owych przytulonych do sztachet wypłynęły dwa jasne duchy, powlokły się raczej niż uleciały ku rzece, i tam w milczeniu do aniołów śmierci smentarnych podobne, nieruchome siadły na białych kamieniach i zawiodły pieśń smętku pełną, głosem tak cichym jak szelest listków pocałunkiem rosy drzących. Pieśń ta leciała w niebiosa, kołysała się bujając, to zbliżała, to oddalała; z góry zapożyczała siły i spadała ożywczo na łona zapatrzonych w księżyc duchów, podnosiła się następnie ich westchnieniem, muskała fale i potoczywszy się po równinie znikła kierując się na północ.

„Patrz Liljanie“ rzekł duch niewieści „ona powróciła do ojczyzny. O! czemuż i my skrzydeł użyć nie możemy, aby za nią powędrować tam, gdzie serca przykute zostały!“

„Lilio moja! zawołaj pieśni aby wróciła, może z nią woń bratnia ztamtąd aż tu się dostanie, i rozraduje wyschłą z tęsknoty pierś.“

Poznałem ich wówczas, były to duchy bzów naszych równin, burzą wygnane z rodzinnej krzewiny, co odeszły w mgłę żalem miotane.

(*Dok. nast.*)

POGADANKA.

Z XI. wystawy Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie.
(Dokończenie.)

Gersona Wojciecha z Warszawy „Śta Jadwiga w sali sądowej“, należy także według mego zdania do rodzajowego działu, — jakkolwiek bowiem przedmiot tego płótna wziętym jest z życia rzeczonej świętej, a przedstawia moment poniekąd historyczny, to jednakże nie sposób obraz ten zaliczyć ani do historycznego, ani do religijnego działu. Przyznam się, że tego liljowego mistyczno-fantastycznego tonu, w którym płótno to jest trzymanem, a który zresztą właściwym jest niemal wszystkim płótnom warszawskiego artysty — nie lubię, aliści to jest moje całkiem osobiste zapatrywanie, o które się z p. Gersonem spierać nie będę; — wiadomo bowiem że ton, w którym artysta widzi i przedstawia naturę, zależy od własnej organizacji artysty, od jego charakteru, usposobienia i widzenia rzeczy. Jest to jego właściwość całkiem osobista, nigdy nie nabyta, a wrodzona, — fakt realny, psychologiczny, który nam poniekąd samego artystę tłómaczy, który przeto skonstatować tylko można, nie czyniąc go jednak wcale przedmiotem krytyki. Wiadomo n. p. że sławny francuzki malarz Eugeniusz Delacroix widział i przedstawiał wszystko w dytyrambicznym krzycząco-purpurowym tonie, co jednakże nie czyniło wcale ujmy wartości jego obrazów, jakkolwiek ton ten namiętny i patetyczny nie jednemu wydać się może nienaturalnym i niesympatycznym. Cokolwiek bądź zaprzeczyć się nie da, że ton ów, w którym trzymaną jest „Śta. Jadwiga“, był w obecnym wypadku niejako wskazanym, harmonizuje on bowiem wybornie z przedmiotem obrazu, i budzi w umyśle patrzącego pewien nastrój religijno-kontemplacyjny, któryby nazwać można nawet religijnym nastrojem. Co do myśli, życia, ruchu i charakteru pojedynczych postaci nie zostawia płótno to wiele do życzenia, natomiast nie we wszystkiem zgodziłbym się z rysunkiem i perspektywą; mianowicie nie odrywa się dosyć postać kata od słupa, który za nim stoi, a błąd ten jest zarówno wynikiem

wadliwej perspektywy rysunkowej, jak i braku odpowiedniej modulacji w kolorach. Pyszną zato jest postać sędziego w zielonym żupanie, która już sama jedna wystarcza, aby zwrócić uwagę widza, i obudzić jego zajęcie.

Tegoż artysty Pomorzanin rozbrojony przez dwie Mazurki, jest również historyczno-rodzajowym obrazem malowanym w znanym poprawnym stylu p. Gersona. Prześliczną w tym obrazie jest głowa Mazurki podnoszącej miecz jeńca, rodzaj słowiańskiej Judyty lub Jaheli, pełnej męzkiej prawdziwie siły i energji. Obiedwie postacie bohaterek kształtne lecz prawdziwie olbrzymie, odbijają jednak jakoś dziwnie od wątłej budowy Pomorzanina, który nawiasem mówiąc nie wygląda wcale na groźnego najezdcę, lecz na prostego jakiegoś włóczęgę, co najwięcej rzezimieszka, wskutek czego odnosi widz takze wrażenie, jakoby trjumf Mazurek nie był rezultatem bohaterskiego czynu, a tylko prostem znęcaniem się nad istotą wprawdzie szkodliwą, ale niedołężną. Dziwna przytem że stopy zamaszystych Mazurek i Pomorzanina nie zagłębiają się w świeżo zawłóczonej roli, jakkolwiek ślady kroków ich na próchnistej ziemi wyciśnięte wymownie świadczą, że osoby te nie należą wcale do rodzaju sylfów.

NB. Uwagę tę podsłuchałem; — zrobiła ją jakaś kucharka, zwiedzająca wystawę zeszłej niedzieli.

Wierszyk Anastazego Grüna:

Mam ja babunię staruszkę,
Która brewiarzyk ma stary,
A w brewiarzyku tym kwiatek
Wyschły pożółkły i szary.
Dłoń co go niegdyś jej dała
Pewnie dziś jak on wygląda; —
Czemuż babcia tak płacze
Gdy na ten kwiatek spogląda

natchnął widocznie p. Franciszka Streita do wymalowania obrazu p. n. Babunia, który jednak nie oddaje wcale rzewno-humorystycznej myśli niemieckiego poety, nie wznosi się wcale ponad sferę zwykłych niemieckich ilustracji, a układem swym i wykonaniem najskromniejszym nie czyni zadość żądaniom. Również i Kuracja Lalki tegoż artysty obraca się w sferze najpospolitszej konwencjonalności, i dlatego przechodzę do trzeciego płótna p. Streita pod nazwą Pierwsze kroki, które bez wątpienia niepospolite posiada zalety. Przedmiotem tego obrazka jest scena z życia rodzinnego, z wielkiem odczuta ciepłem, a oddana z precyzją prawdziwego artysty. Jesteśmy w izbie krakowskiego chłopka, w chwili nadzwyczaj uroczystej. Pierworodny synek młodego kmiecego stadła podtrzymywany przez hożą krakowską dziewoję, prawdopodobnie siostrę matki lub ojca dziecięcia, stawia właśnie pierwsze kroki, spiesząc z wyciągniętemi rączkami ku matce, oczekującej go z roztwartemi ramionami, podczas gdy ojciec i babka młodego obywatela przypatrują się z zajęciem tej zuchwałej próbie. Codzienna ta sielanka humorem pojęta, a z psychologiczną prawdą oddana nader miłe budzi wrażenie, a charakter pojedynczych postaci, i wyraz ich jest z prawdziwem ujęty mistrzostwem. Mianowicie głowa babki jest w swoim rodzaju arcydziełem, i żałować tylko należy że postąć właściwego bohatera tego obrazu, dziecięcia, około którego ogniskuje się ogólne zajęcie, tak wiele pozostawia do życzenia i wprost wstrętnem robi wrażenie. Troszeczkę dokładniejszy rysunek, troszeczkę delikatniejsze pojęcie tej postaci, byłoby Piewszym krokom nadało wartość znakomitą, którą zresztą tę usterkę pominąwszy, obraz p. Streita, z miniaturową prawdziwie wykonany dokładnością w wysokim stopniu posiada.

Szernera „Przy studni" osnutem jest na tym samym temacie, na którym Brandt osnuł znany swój obraz „Kozak koni napawał, Dziuba wodu brała", z tą tylko różnicą, że p. Szerner przeniósł miejsce działania nad Wisłę, zamienił kozaka w krakowiaka a Dziubę w krakowiankę, która to zamiana chyba tylko p. Szernera zadowolniła. Zachodzące słońce oświeca scenę tę i krajobraz wcale pospolity, krajobraz, którego nawet nie ratuje znane „Zwanzig Meilen Nichts", ów cheval de bataille naszych monachijskich artystów. Reszta w płótnie p. Szernera jest cynobrum; możemy zatem śmiało przejść do innego przedmiotu.

Pan Łoś z Monachjum nadesłał na wystawę bieżącą dwa rodzajowe obrazki, stanowiące pendent, a osnute na temacie z życia wiejskiego. W pierwszym akcie tej dykteryjki przedstawia nam artysta wiejską dziewczynkę przydybaną w lesie przez służbę lasową przy prawdopodobnie zabronionem zbieraniu jagód, — w drugim widzimy ją znowu czekającą na zwrot garnuszka przed szlacheckim dworem, przed którą stoi karjolka trójką drewnianych koni zaprzągnięta. Jak widzimy temat to bardzo ubogi i zaledwie dostarczający treści do jednego obrazka, który zresztą pojęty z humorem prawdziwą mógłby być bluetką — p. Łoś jednak uznał za stosowne opowiedzieć to w dwóch płótnach, z których drugie, jest niejako tylko komentarzem pierwszego i nie budzi wcale zajęcia. Obydwa te obrazki malowane są w zwykłym sposobie tego artysty, tylko że nie dorównywają innym jego produkcjom. Z przykrością zauważyć muszę, że p. Łoś traci poczucie naszego nieba i naszej przyrody, a do rodzajowego malarstwa nie stawia wymagań wyższych jak te, którym zadość uczynić może fotografja.

Frydryka Friedländera „Swaty" są sielanką z życia niemieckich wieśniaków, malowaną z dokładnością miniatur, któremi niegdyś ozdabiano saską porcelanę. Ton tego obrazka, jest zimny i szary, a szary ton jest jak wiadomo negacją tonu. Mimo to zajmującą jest główka dziewczyny, słuchającej z pewnym miłym niepokojem wykładu swata.

Na tym obrazku kończy się szereg ciekawszych rodzajowych kreacji. Być może że pominąłem jeszcze jedną lub drugą produkcję, zasługującą więcej ze względu na dobre chęci jak z innego powodu na uwagę, ale spieszno mi przejść do działu pejzażowego, który rzeczywiście najlepiej na wystawie naszej jest reprezentowanym.

Pawła Webera Krajobraz większych rozmiarów, oparty jest na rzetelnych studjach natury, i zdradza artystę pracowitego, sumiennego, pod każdym już względem pewnego siebie, a przytem głęboko przyrodę czującego. Obraz to niepospolitej wartości, i gdyby woda i szuwar nad brzegiem w tym samym były traktowane sposobie, co reszta przedmiotów, krajobraz ten byłby prawdziwem arcydziełem.

Dowód znakomitego poczucia przyrody złożył również p. Roman Kochanowski w swoim większych rozmiarów krajobrazie leśnym p. n. „Widok z pod Krakowa". Pełno tam

ruchu w chmurach, powietrza pomiędzy drzewami, cienia i chłodu w głębiach zarośli, i poezji w oświetleniu. Młody ten artysta zajmie niezawodnie znakomite miejsce pomiędzy polskimi pejzażystami, zwłaszcza jeżeli się nie zechce powodować wyłącznie intuicją, którą go niezaprzeczenie w wysokim stopniu obdarzyły nieba, a zechce w pilnem studjowaniu natury szukać onej pewności siebie, którą się tylko na tej zdobywa drodze. P. Kochanowski powinien się według mego zdania wyłącznie oddać pejzażom; przekonanie to odniosłem zwiedzając tegoroczną wystawę, na której oprócz krajobrazu o którym mówię, widziałem Bibliofila obrazek rodzajowy tegoż artysty.

Miłe bardzo wrażenie robi Świeszewskiego Aleksandra „Z nad brzegów Wisły przy świetle księżyca“, — mianowicie znakomitem jest oświetlenie nieba, trocha może konwencjonalnie ugrupowanych chmur, wody i w ogóle całych brzegów rzeki. Zauważyć tylko muszę, że księżyc wschodzący za górami, które pomiędzy widzem a nim stoją, nie może ich ze strony ku widzowi zwróconej oświecać; usterka zresztą drobna a okupiona licznemi zaletami, któremi się ten krajobraz odznacza.

Grabiński Henryk nadesłał nam także Widok z okolicy Krakowa, przedstawiający leśny ciepłem południowem słońcem oświecony krajobraz, malowany z zwykłem temu artyście poczuciem natury. Na pierwszy rzut oka poznać że to okolica nadwiślańska, powietrze bowiem zdaje się tętnić wesołą i dziarską nutą krakowiaka. Szkoda tylko że perspektywa trochę jest wadliwa w partji wierzb po tej i tamtej stronie wody stojących, które pendzlem zsunięte zostały na jeden plan; pominąwszy tę usterkę krajobraz ten byłby znakomitym. Oprócz tego większych rozmiarów płótna nadesłał p. Grabiński jeszcze cztery pejzażyki Po zachodzie słońca, Po deszczu, Wiejski kościółek, i Dzień pochmurny drobne wprawdzie ale najczystszej wody brylanciki.

Brochockiego Walerego „Krajobraz z nadwiślańskich okolic“ ciepłem słońcem oświetlony, jest szpinaczkiem ale tak smacznie podanym, że na sam jego widok ślina do ust idzie; zarzuciłbym tylko wierzbom na drodze stojącym zbyt bujną zieloność i kształt nienaturalny, wyglądają one bowiem jak kule z strzyżonej wełny osadzone na szpilce. Pendent do peizażu Nad wodą przedstawia dwoje zakochanych łowiących wędką ryby, którym jednak nie wielkie grozi niebezpieczeństwo, bo rybacy więcej sobą niż wszystkiem innem zdają się zajęci. Woda, szuwary, wikle, niebo, kilka drzew stanowią kulisy tej sielanki, a są pełne życia, ruchu, przestrzeni, głębi, światła, cienia, i jednem słowem prawdy.

Pełnemi prawdy i poezji są również dwa krajobrazy p. Małeckiego „Wypoczynek w lasku“ i „Miasteczko w Galicji“. Pierwszy z nich przedstawia porębę w sosnowym lesie zachodzącem oświetloną słońcem, na której wypoczywa oddział konnicy. Promienie słońca mocują się z mgłą jesienną podnoszącą się z głębi boru, i złocą zielone korony drzew i wyższą część pni sosnowych. Efekt tego oświetlenia jest nadzwyczaj wdzięcznym, perspektywa w stopniowaniu kolorów jest znakomita, szkoda tylko że konie kawalerzystów psują miłe wrażenie, które się odnosi, patrząc na ten krajobraz. „Miasteczko w Galicji“ jest prawdziwem arcydziełkiem.

To samo da się powiedzieć o Zygmunta Sidorowicza „Drodze do wsi“ i „Leśnym krajobrazie“. Są to prawdziwe Sonety krymskie, nadzwyczajny talent i znakomite poczucie natury znamionujące. Nie wiem prawdziwie któremu z tych dwóch arcydziełek mam dać pierwszeństwo; jeżeli bowiem w leśnym krajobrazie zachwycać się można efektem chmur zachodzącem słońcem oświeconych, życiem wody leśnego potoku, zadumę drzew rysujących sie na wieczornem niebie, to z pewnością nie mniejsze zajęcie budzi „Droga do wsi“ również znakomitem podsłuchaniem natury, i oddaniem jej piękności z całą miłością zachwyconego jej czarami kochanka. Mianowicie w ostatnim z tych dwóch krajobrazów jest jeden taki poufny szczególik, któryby może ktoś nazwał dowcipną blagą, a w którym jednak widzę dowód, że natura i p. Sidorowicz stoją z sobą na stopie najpoufalszych zwierzeń. Mówię o słońcu przeglądającem się w okienku wiejskiego dworu, i zapalającem to okienko swoim blaskiem. Otóż drobny ten szczególik, figlarna ta nuta jest, mojem zdaniem, jedną z takich niedyskrecji, której się może tylko dopuścić zakochany i którą się tylko zakochanemu przebacza.

To samo jednak co powiedziałem mówiąc o p. Świerzewskim, powtórzyć muszę panu Sidorowiczowi, że aby dojść do doskonałości, niedość jest spuszczać się na swą poetyczną intuicję, i trzeba koniecznie brać rzeczy na serjo, studjować naturę, studjować ją ciągle, studjować ją tak jak ją studjował Corrot, którego arcydzieła poniekąd przypominają krajobrazy p. Sidorowicza.

Brak miejsca nie pozwala mi dłużej mówić o pejzażach pomiędzy któremi niektóre jak n. p. Szolca Kazimierza „Osada nad parowem“ na pochlebną zasługują wzmiankę.

Włodź. Zagórski.

POKŁOSIE.

Wdzięczność królewska. Gdy król pruski Fryderyk Wilhelm III. musiał po bitwach pod Jeną i Auersztadten uciekać z kraju, kazał mu ówczesny książę w Schwarcburg-Sondershausen, Günther Fryderyk Karol I., zaprząść sześć najognistszych rumaków swojej masztarni do karocy i tym sposobem dostał się król bezpiecznie aż do Halbersztadu. A że nie było ani chwili do stracenia, pokazuje się ztąd, że nim jeszcze kuczer książęcy zdołał powrócić do Sondershausen, było już całe księstwo zajęte przez Francuzów. W Halbersztadzie wysiadł król z powozu książęcego i oczekiwał dalszej pomocy do ucieczki. Ale wszyscy byli tak dalece potrwożeni, że wszędzie odmawiano pomocy stroskanemu królowi, że opuszczono go zupełnie w największej potrzebie.

W tem nadjeżdża jakiś przedmieszczanin drabiniastym wozem i król zwraca się do niego z zapytaniem, czy nie zechciałby zawieść go jak najprędzej do Magdeburga. Właściciel wozu zgodził się na to, przyrządził królowi siedzenie ze słomy,

ruszył galopem z miejsca i przywiózł króla szczęśliwie do Magdeburga.

Po latach ciężkiej niedoli nadeszły znowu szczęśliwsze czasy dla Prus i domu królewskiego, i ów dotykany srodze od losu król przebolał już był niejedno złe z dawniejszych czasów; ale opuszczenia swego w Halbersztadzie nie mógł widocznie zapomnieć, gdyż nigdy nie zaglądał potem do tego miasta, a nawet inni członkowie rodziny królewskiej mieli go unikać; aż wreszcie i dla niego nadeszła chwila pojednania, a to po 25 latach prawie.

Było to około r. 1831, gdy król swoją córkę Ludwikę, małżonkę królewicza holenderskiego Fryderyka, odprowadzał w powrocie z Berlina do Hagi aż do Magdeburga. Na jego przyjęcie przybyli tam także prezydent sądu i burmistrz z Halbersztadu, i obaj ci panowie korzystając z dobrego usposobienia króla, ośmielili się zanieść do niego prośbę, ażeby powrócił łaskę swoją także ich miastu i zaszczycił je swemi odwiedzinami. Król przyjął tę prośbę nadspodziewanie łaskawie i przyrzekł wypełnić ją zaraz nazajutrz.

Jakoż dotrzymał słowa, a miasto mimo tak nadzwyczajnej krótkości czasu zgotowało mu jak najświetniejsze przyjęcie. Uczta była wspaniała i gdy dostojnych biesiadników ożywiała jak największa wesołość, przypomniał sobie król nagle swą trwogę i niebezpieczeństwo, na jakie był narażony w Halbersztadzie w chwili największej niedoli swojej i zapytał się o tego człowieka, który wówczas był jego zbawcą. Uczeni i urzędnicy znajdujący się przy stole znali wprawdzie dzień i godzinę tego wypadku, ale tylko pełniący przy królu służbę żandarm Michaelis wiedział, że ten człowiek żyje jeszcze i gdzie mieszka.

Natychmiast poruszyły się setki nóg, ażeby sprowadzić tego szczęśliwca; ale król powstrzymał wszystkich skinieniem ręki, poprosił o powóz, podał ramię swojej córce i kazał żandarmowi wskazać sobie drogę do pomieszkania tego człowieka.

Gdy powóz królewski zatrzymał się przed jego domem, stał już we drzwiach uszczęśliwiony przedmieszczanin, uprzedzony przez żandarma o odwiedzinach królewskich. Król wyciągnął obie ręce z radośnem wzruszeniem i zawołał:

— Zacny człowiecze! Wybawiłeś mnie wtedy z wielkiego niebezpieczeństwa; przychodzę więc teraz, ażeby ci serdecznie podziękować za to.

— A, miłościwy królu, to była moja powinność — odrzekł przedmieszczanin. — Prawda, że niebezpieczeństwo było wielkie ale ja poznałem je dopiero za powrotem, gdym zastał w mieście pełno Francuzów.

— Powiedz mi otwarcie — mówił król dalej, czy mogę uczynić co dla ciebie, ażeby cię przekonać o mojej wdzięczności?

Przedmieszczanin jednak odpowiedział: — Dziękuję miłościwy panie, dziękuję. Ciężkie czasy przebyło się już; teraz mam tyle, ile mi potrzeba i jeszcze coś nadto. Najpiękniejszą moją nagrodą będzie przecież zawsze to wspomnienie, że mogłem w największej potrzebie dopomódz memu królowi.

Wtedy uścisnęli król i księżna jeszcze raz jego rękę i pożegnali go do łez wzruszeni. To było prawdziwie królewskie podziękowanie od serca.

Cudowne lekarstwo. Kasjer jednego z teatrów berlińskich oznajmił pewnego dnia dyrektorowi swemu z wesołą miną, że pomimo błękitnego nieba i blasku słonecznego szła sprzedaż biletów doskonale, i że za przybyciem kilku oczekiwanych jeszcze pociągów teatr z pewnością będzie pełny. Dyrektor zacierał ręce; pełny teatr — czyż to nie najmilsza wiadomość dla każdej dyrekcji? ale oto o godzinie piątej po południu oznajmia panna B. dyrekcji, że nagle zachorowała i nie może przeto grać dzisiejszego wieczora. Cóż tu począć? Zastąpić artystkę, mającą główną rolę w sztuce, niepodobna tak naprędce, zmiana repertoarza była także niemożliwą, z stroskaną tedy głową biegał dyrektor po ogrodzie. W tem zjawia się lekarz teatralny, sędziwy, po wojskowemu sztywny jegomość i zaledwie dyrektor wylał przed nim swoje serce, oświadcza z największą spokojnością:

„Panna B. będzie grała dzisiaj! masz pan na to moje słowo!“

Poczem udaje się natychmiast do panny B. Artystka leżała w łóżku i stękała.

„Słyszałem, żeś pani chora.“

„Ach, doktorze, ja pewno umrę niezadługo!“

„Hm! puls bije dobrze... To lekkie przeziębienie... Trzeba się tylko ciepło przykryć, a przejdzie to samo przez się.“ — Potem postąpił ku drzwiom i zawołał do przedpokoju. „Pani gospodyni! proszę powiedzieć służącemu hrabiego L., ażeby nie brał dziś biletów do loży i nie wydawał też daremnie pieniędzy na kwiaty; panna B. jest chora, i nie może dziś wystąpić.“ — Po tych słowach wziął kapelusz i przyrzekłszy chorej przysłać lekarstwo z aptéki, chciał się oddalić.

Panna B. podniosła się żywo na łóżku i zawołała dość zdrowym głosem: „Panie doktorze!“

„Czegoż pani chcesz jeszcze? Nie mam czasu!“

„Cóżto jest właściwie ze służącym hrabiego L.?“

„A cóżby miało być? Hrabia posłał sługę swego do kasy, ażeby zamówił dlań lożę orkiestrową po lewej stronie, a potem miał chłopak przynieść wieńce przeznaczone dla pani. Ale ponieważ pani jesteś chora, może przynajmniej na dziś oszczędzić sobie pieniędzy. Żegnam panią!“

„Ależ kochany doktorze... powiedziałeś pan, że słabość moja pochodzi tylko z lekkiego zaziębienia. Jeśli więc sądzisz pan, że toby nie zaszkodziło memu zdrowiu, mogłabym dla miłości dyrektora...!

Doktor zawołał do przedpokoju: „Pani gospodyni! Proszę pobiedz za służącym i powiedzieć mu, ażeby kupił bilety i kwiaty!“

Wieczorem wystąpiła panna B. z całym powabem na scenę i grała zachwycająco. Hrabia kazał wprawdzie przez doktora usprawiedliwić swoją nieobecność, gdyż przed samem przedstawieniem został wezwany do dworu, ale z loży posypały się kupy kwiatów i wieńców, które — kupił dyrektor i kazał rzucać wyfrakowanemu klakierowi. A gdy przepełniony teatr grzmiał radością, pociągnął doktor uszczęśliwionego dyrektora na bok, i wskazując na pannę B. gruchnął mu do ucha:

„Tak się to robi!“

Sposób witania się jest u każdego prawie narodu odmienny — w ogóle jednak bywa on u dzikich jeszcze ludów jednakowy, a w społeczeństwach cywilizowanych są oznaki czci, poważania i pokory także mniéj więcej takie same wszędzie. W Grönlandyi np. śmieją się z Europejczyka, gdy zdejmie kapelusz i kłania się co — nawiasowo powiedziawszy — nie zbyt często się zdarza u Amerykanów i Anglików; u Lapończyków zaś jest najserdeczniejszem przywitaniem przyciśnięcie nosa do nosa. Pierwotni mieszkańcy wysp Filipińskich zginają się nisko przykładają ręce do policzków, i podnoszą przytem jedną nogę z przygiętem kolanem do góry. Wielkiego ćwiczenia potrzeba znowu, ażeby być grzecznym na jednej z wysp Sundy, tam bowiem podnosi się lewą nogę tego, którego się wita i przesuwa ją z lekka około prawej nogi i twarzy. Etiop porywa płaszcz drugiego i zarzuca go na siebie, tak że witany stoi przed nim w napół rajskim kostiumie. Murzyni wykrzywiają w najkomiczniejszy sposób swoje ciało a książęta murzyńscy witają się ze sobą w ten sposób, że dają sobie szczutka środkowym i dużym palcem. Na jednej z większych wysp Cykladów zwilżają sobie tamtejsi mieszkańcy włosy przy spotkaniu. Najoryginalniejszym jednak jest sposób witania się w Siamie. Tam rzuca się uboższy przed zamożniejszym na ziemię, a ten posyła potem swego służącego, ażeby zbadał, czy leżący na ziemi nie jadł lub nie ma przy sobie co śmierdzącego. Jeżli tak jest, to dostaje od owego jegomości nogą w bok i musi jak najprędzej oddalić się.

Koszule paryskie. Przed czterdziestu, a nawet przed trzydziestu jeszcze laty cenili panowie nie tylko u nas, ale i w innych krajach, taką tylko bieliznę, a mianowicie koszule, które sprowadzano z Paryża; co więcej niektórzy z nich gardzili nawet praczkami krajowemi i posyłali koszule swoje do prania pocztą do Paryża. Dziś wydaje się to prawie niepodobném do uwierzenia, ale wtedy było to dziwactwo nawet poniekąd uzasadnione, gdyż fabrykacja koszul była już wówczas w Paryżu na takim stopniu doskonałości, o jakim gdzieindziej nie miano nawet wyobrażenia jszcze. Tak zwani chemisiery nadsekwańscy dostarczali bielizny nietylko lwom paryskim, ale także wszystkim prawie elegantom stałego lądu. Mała komedyjka, którą przed trzydziestu laty przedstawiano po niezliczone razy na jednym z teatrów paryskich wyszydzała w zabawny sposób „artystyczną“ zarozumiałość panów chemisierów, którzy w miarę tego jak roszerzyła się ich wziętość, wzbijali się też naturalnie coraz bardziej w dumę. Oto pewien jegomość wchodzi do pracowni takiego chemisiera, gdzie kilka tuzinów rąk czarodziejskich wyrabia swemi igiełkami owe arcydzieło bielizny męskiej. Po małym wykładzie właściciela pracowni o rozmaitych koszulach, wychodzących z jego pracowni, o takich, które się wdziewa przez głowę, o innych które zaciąga się znowu jak spodnie i t. p. przystępuje gość do umowy o cenę. „Czy życzysz pan sobie koszuli czy letniej czy zimowej?“ pyta go chemisier. — „Takiej, któraby się przydała na obie pory roku„ — odpowiada gość; na co się odzywa mistrz bielizny: „Koszula na cały rok! Za to zapłacisz pan 25 franków extra.“ Potem toczy się daléj następujący dyalog: „Czy pan żonaty?“ — „Tak jest, ale nie pojmuję...“ — „Zaraz pan pojmiesz!“ „Czy podajesz pan żonie prawą, czy lewą rękę?“ „Prawą.“ Ale cóż to pana obchodzi? — Musimy w takim razie zrobić prawy rękaw cokolwiek dłuższy i guzik mocniej przyszyć. A teraz główne pytanie! Czy zażywasz pan tabakę, czy niemasz pan często kataru, czy w ogóle nie kichasz pan często? „A cóż ma katar wspólnego z koszulą?“ — Albo pan nie wiesz, że przy kichaniu następuje kurczowe wstrząśnienie całego ciała? Trzeba przeto zrobić kołnierz taki, ażeby się podawał takiemu ruchowi; inaczej mogłaby łatwo nastąpić apopleksya, albo co gorsze jeszcze, mógłby się oderwać guzik od koszuli, — „To zrób pan szerszy kołnierz!“ — „Za to zapłacisz pan 4 franki osobno.“ — Taki jest w ogóle nastrój tej komedyi jest w niéj zapewne wiele przesady, a pośród niej znajduje się też niejedno ziarnko prawdy.



Książę Leon Sapieha.

Żaden prawie miesiąc nie przejdzie bez ciężkiej straty. W tym zapisać mamy śmierć księcia Leona Sapiehy i podać krótkie wspomnienie pośmiertne.

Książę Leon Sapieha, syn Aleksandra urodzony 1801 r. Po ukończeniu nauk wstąpił do służby rządowej w królestwie polskiem za panowania cesarza Aleksandra. Jakkolwiek jeden z pierwszych i najbogatszych panów zwrócił już wcześnie znakomitym talentem i niestrudzoną usilnością uwagę księcia Lubeckiego. Wspólnie z Piotrem Michałowskim zajął się reorganizacją górnictwa. W powstaniu narodowém r. 1831 bardzo czynny brał udział. Tytuł oficera wojsk polskich i otrzymany krzyż „virtuti militari“ były mu najdroższym skarbem. Czysta polskość, którą śp. książę Sapieha całe życie wyznawał, ochroniła go od wszelkich odznaczeń i dygnitarstw obcych, choć nieraz ku temu nadarzała się sposobność. Po upadku powstania 1831 r. przybył do Galicji i odtąd pracował nad podniesieniem téj części swej ojczyzny. Organizował spółki do wywozu zboża Sanem i Wisłą do Gdańska i Anglii, zakładał fabryki, kasy zaliczkowe dla włościan, zorganizował Towarzystwo gospodarskie i Towarzysrwo kredytowe ziemskie, galicyjską kasę oszczędności, jednem słowem wszystkie ważniejsze instytucje jemu zawdzięczają swój początek i wzrost; a zaprowadzeniem gospodarstwa wzorowego w obszernych swych posiadłościach przyczynił się nie mało do podniesienia rolnictwa krajowego. Książę Sapieha pierwszy utworzywszy spółkę wybudował kolej Karola Ludwika a potem Lwowsko - Czerniowiecką. Zdrowy ruch ekonomiczny, rozwijający się na naszym gruncie i z naszych zasobów, śmiało to rzec możemy stworzył zmarły książę. Przy ogromie swych zajęć w dziedzinie ekonomicznej, był jeszcze od r. 1861 do 1875 marszałkiem krajowym i dziedzicznym członkiem izby Panów, troszczył się o rozwój literatury polskiéj. Kraj poniósł stratę przez śmierć ks. Leona Sapiehy, bo szczerbę tak wydatną w drużynie społecznej nie łatwo i nie tak prędko kto inny zastąpić potrafi.

Obywatel Tromtadracki.



Zdrada! zdrada! zdrada! i koniec! A wszystkiemu temu winni Stańczyki, i młodzi posłowie!... Nazwali się Młodem Podolem, Chachacha! Jezuityzm! To Młoda Targowica!... Ja zawsze powiadam to, co mówił nasz Lapaton

Od Krakowa do Podchajec
Wszyyystko zdraiec!...

Jabym im dał solidarność, ale na latarni!

Kawalerze dajno wódki!... Hem, dobra!... dobra!... Pan Jędrzej zacny obywatel, patrjota!... Żeby wszyscy byli tacy jak on, toby było dobrze, ale fałszuję obywatelu, fałszuję!.. Dlatego ja powiadam że jest tylko jeden program uczciwy i rozsądny, a to mój!... Co, czy nie mam racji hę!... Niech mi kto powie że nie prawda, to mu łeb rozwalę!...

Kawalerze jeszcze kieliszek!... Ot cała bieda że naród nie ma ducha!... Nie będzie dobrze dopóki wszyscy nie będą tak myśleć, jak ja, co czy prawda?... Więc kto inaczej myśli ten niechce dobra narodu, co czy nie mam racji?... hę?... A kto niechce dobra narodu, ten jest zdrajca, czy tak?... No widzicie!... Zdrowie wasze obywatelu Jędrzeju!... Za pohybel tym zdrajcom, co myślą inaczej jak my!...

Aforyzmy.

Za pomocą dwóch gdyby i jednego ale, można księżyc wsadzić do butelki.

Podróżujący Anglik patrzy na wszystko przez binokle, Niemiec przez okulary, Francuz i Polak przez pince-nez.

Dyskusja jest możliwą tylko pomiędzy ludźmi jednego zdania.

Człowiek nie jest ani aniołem, ani też bydlęciem, ale jak udaje anioła, to staje się bydlęciem.

Banialuka.

(Żart etymologiczny.)

Dziś rozbierzemy panowie
Wyraz Banialuka, który
Mieści w swoim źródłosłowie,
Wątpliwości całe góry.
Wielu uczonych traktuje
Wyraz ten tak od niechcenia;
Ja przeciwnie, rzecz wysnuję
Z przekonania i z sumienia.

Jeden z naszych mądrych kładzie,
Nacisk na sylaby Ba-ka;
Sprzeciwiam się tej zasadzie
Uczonego współrodaka.
On z tego punktu wychodzi,
Że ksiądz pisał banialuki;
To niczego nie dowodzi,
Tak rozumieją nieuki.

Drugi chwyta brzmienie Ba-nia;
Która, że jest w środku pusta,
Według jego przekonania,
Wyraz ten kładzie nam w usta.
To są ironje najkrwawsze!
To brednia, brednia zupełna!

Bania nie jest pustą zawsze,
Nalawszy ją, bywa pełna.

Inny również źródłosłowa
W pojęciu pustości szuka!
I radzi nam oto znowu
Brać skrajne sylaby Lu-ka,
Etymologję opierać
Na zbiegu skrajnych końcówek!
Z takim nie ma co się spierać,
Bo to wyraźny półgłówek.

Najsławniejszy badacz bierze
Sylaby Lu-ba i Ka-nia;
Kochanka! i dzikie zwierze!
Kontrast według jego zdania,
Ma tu rzecz dobrze malować;
W tem niema najmniejszej racji;
Możemy mu powinszować
Umysłowej aberracji.

Jest jeszcze wielki uczony,
Któremu pierwsza sylaba,
Pierwszy dźwięk, byle zdwojony
Wytyczną; jak tutaj; Ba-ba

Szanowny uczony w błędzie;
Bo baba choć brednie plecie,
To nie każda i nie wszędzie;
Różne są baby na świecie.

Ja kwestję stawiam inaczej;
Z ogólnego stanowiska;
I każdy z panów zobaczy,
Jak z odmętu światło błyska.
Ja zdwajam sylaby razem,
Co do jednej dla badania,
I występują z obrazem;
Ba-ba, Lu-lu, Ka-ka, Nia-nia.

Tu sam dźwięk poparty wiedzą,
Stawia na oczy od razu,
Że tak niemowlęta bredzą,
Więc tu i źródło wyrazu.
Ten systemat w mojej głowie
Wykiełkowała nauka.
Teraz wiecie już panowie,
Jak się rodzi Banialuka.

M. Rodać.



GRAF RAK.

POWIEŚĆ

PRZEZ ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO.

20

(Ciąg dalszy.)

Spojrzałem na niego wzrokiem zapytującym, jakie to są nauki, którym się w kraju nie można oddawać z pożytkiem, ale mi na to nie odpowiedział. Natomiast zaś dodał:

— Ja sobie mieszkam w Rakowie, i przepędzam co roku czas jakiś w Paryżu. Ale, niestety, nigdy tam tak długo nie bawię, jak sobie przedsięwezmę, bo zawsze mi braknie pieniędzy.

— Życie w Paryżu, zwłaszcza dla cudzoziemca, jest bardzo kosztowne.

— Dla mnie nie — rzekł Rak — ja zresztą nie jestem cudzoziemcem w Paryżu. Prócz tego nie mam żadnych namiętności. Ale przyjaciele moi zawsze mnie wszystkie zabiorą pieniądze.... Wiem, że to głupstwo, bo cóż mnie ludzie obchodzą; ale w organizmie moim brakuje widocznie jakiegoś nerwu....

— Nerw ten nazwał poeta „bawełną w uchu od ludzkiego jęku“ — odpowiedziałem mu na to — lecz mnie się zdaje, że nerw ten nie wchodzi z natury w skład organizmu człowieka, tylko się z czasem sztucznie wyrabia.

— Naturalnie, że się wyrabia — rzekł Rak, ale go wyrabia nie sztuka, tylko nauka.

Zdanie to zniewoliło mnie wziąć tego człowieka trochę ostrzej na oko, ale on tego nie spostrzegł, albo też nie zwracał na to uwagi, i mówił dalej:

— Otóż, tak sobie żyłem lat blizko trzydzieści. Śród tego czasu zrobiłem kilkoletnią podróż około świata, zatrzymywałem się wszędzie po parę miesięcy, gdzie znalazłem lepsze obserwatorja, później co roku jeździłem to do Londynu, to do Paryża, to do Rzymu, i dobrze mi z tem było. Ale potem się ożeniłem....

Nastąpiła chwila milczenia, którą, gdy po tych słowach zaczynała być cokolwiek za długą, przerwałem pytaniem:

— Pan zapewne zabawisz czas jakiś we Florencji?

— Nie, ja jadę do Rzymu do Ojca Secchi, mojego przyjaciela, a dziś niewątpliwie pierwszego astronoma między żyjącymi. O. Secchi, który się od lat kilku z nadzwyczajnem powodzeniem zajmuje analizą spektralną, podzielił był przed dwoma laty, zbadane wówczas za pomocą spektroskopu, a jeszcze nieliczne gwiazdy, na dwie grupy, na białe i kolorowe. Później przybył typ trzeci, a z czasem przybędzie zapewne typ czwarty. Otóż teraz zbadał on Alfę w Herkulesie [1], gwiazdę trzeciego rzędu, a spektroskop przedstawił mu widmo jeszcze dotychczas niewidziane. Okazuje się ono w postaci całego rzędu słupów, które z jednej strony są oświecone, a których ośm można dokładnie rozróżnić. Obraz ten ma być wspaniały, a tworzy go ta okoliczność, że pasy jasne następują regularnie po ciemnych. Bardzo się cieszę z tego nowego i tak znacznego postępu analizy spektralnej, i mam o tem pewne idee, których chcę właśnie szanownemu Ojcu udzielić. Czy pan uczyłeś się kiedy astronomii?

---

[1]) Działo się to w r. 1866.

— Uczyłem się jej w szkołach. Później naprowadzili mnie na nią filozofowie, jako na naukę od filozofii nierozdzielną, a jeszcze później, w czasie takim, kiedy mnie wszystko inne nudziło, jeszcze raz do niej wróciłem. Jeżeli pan chcesz, to wobec astronomów z powołania nic nie rozumiem, ale logarytmy czytam z łatwością i zawsze sobie mój własny sąd o tem wyrabiam, co astronomowie mówią lub piszą.

— A czytasz logarytmy? — zapytał Rak, zacierając ręce.

— Mogę pana zapewnić, że czytam je tak samo, jak rachunkowość podwójną.

— „Pan“ wszędzie w Polsce zawadza — rzekł żywo Rak — a najbardziej w języku. Mówmy sobie „ty.“

— Mówmy sobie ty.

— Otóż ci powiem otwarcie, że jak mnie wszyscy ci ludzie, którzy się oddają naukom ścisłym, niezmiernie sympatycznie do siebie przyciągają, tak znowu z człowiekiem takim, który nauk przyrodniczych nie zna i ich postępu nie śledzi, nawet niechetnie obcuję. Ci ludzie mogą doskonałe sporządzać trzewiki, albo sprzęty kuchenne, zajmować się z pożytkiem obrotem pieniędzy, a nawet regestrować wydarzenia codzienne w dziennikach, ale, kiedy głos zabiorą lub wezmą pióro do ręki, ażeby choćby tylko znośny romans napisać, to się stają nudni i ckliwi: bo jakże można uczyć innych mądrości życia, jeżeli się nie zna nawet zarysu tych praw odwiecznych, którym w ogóle wszelki ruch na tym świecie ulega?

— Na to zdanie niezupełnie się zgadzam. Nie przeczę temu, że rozum ludzki odkrył już pewną ilość tych praw odwiecznych, według których się zrodził i dalej istnieje cały świat, dla ludzkiego oka widzialny; ale jest bardzo wiele zajęć ludzkiego życia, które dotąd z temi prawami jeszcze żadnej nie mają styczności, o których przeto można jeszcze dla bardzo obszernego ogółu mówić i pisać bardzo rozumnie, nie znając zasad mechaniki, dynamiki i astronomii. Przyjdą zapewne kiedyś te czasy, w których duch owych odwiecznych praw przeniknie, aż do dna, ludzką społeczność, ale te czasy jeszcze dzisiaj są bardzo odległe, i jeszcze bardzo długo i w bardzo wielu gałęziach ludzkich czynności wystarczać będzie ten rozum, który się opiera na doświadczeniu. A wreszcie praw tych odwiecznych dopiero pewna ilość została odkrytą; jeszcze bardzo wiele brakuje, a nawet pomiędzy odkrytemi — ścisły, logiczny związek jeszcze nie jest dowiedziony.

— A to przepraszam — rzekł Rak — ani żadnego z praw zasadniczych nie brakuje, ani też związek pomiędzy niemi nigdzie nie jest przerwany. Prawdy te, które astronomia do dziś dnia wykryła, i matematycznie dowiodła, stanowią system zupełny i okrągły, jak kula, na której, jak na Merkurym, nie widać nawet najmniejszego spłaszczenia.

— Ja nie mogę zgodzić się na to — odrzekłem astronomowi — ja widzę luki w systemie, a między prawami zasadniczemi częstokroć związku nie widzę. Ale być może, że winą tego jest moja niedostateczna znajomość tych wszystkich prawd, które astronomia dotychczas wykryła, albo raczej niedostateczne prawd tych zgłębienie; bo, zdaje mi się, że materjalnie znajome mi są nawet najświeższe odkrycia.

— Trudno mi to przesądzać — zawołał Rak — ale gdzież ci-to związku brakuje?

— Wszędzie, od początku do końca. Od praw tych począwszy, według których system słoneczny został stworzony, i według których istnieje, aż do teorji o mgłach gwiaździstych, o gwiazdach podwójnych i potrójnych, wszędzie widzę jak najwspanialsze pomniki ludzkiej nauki i pracy, przed któremi z pokorą uchylam czoła, ale nigdzie jeszcze nie widzę całości i zupełności — chciej mnie dobrze zrozumieć — nie widzę owego pierwotnego źródła wszech-prawdy i wszech-wiedzy, którego wynalazkiem chełpią się niektórzy filozofowie, opierający systemy swoje na prawdach astronomicznych.

— A to przepraszam cię, że ci powiem otwarcie — odpowiedział mi Rak — ale to nie jest winą nauki. W nauce samej może jeszcze tych i owych szczegółów podrzędnych brakuje, których właśnie najwięcej łakną ludzie nienaukowi, ale nie brakuje żadnej z prawd zasadniczych. Bo jeśli kwestje tego rodzaju: czy między Merkurym a Słońcem znajduje się jeszcze jaki płaneta? czy ten, lub ów płaneta, ma taką, lub inną atmosferę? albo, czy ta, lub owa mgła oddalona, jest także gwiaździstą, czy tylko żarem gazowym? jeżeli takie kwestje jeszcze nie są stanowczo rozwiązane, co oczywiście jest tylko winą krótkości pracy i niedostateczności dotychczasowych astronomicznych narzędzi, to to nie przynosi żadnej ujmy prawdom zasadniczym, które dotychczas są już aż nadto dostatecznie stwierdzone. Prawdy te są zarazem jasne, niezaprzeczone, a związek pomiędzy niemi tak ścisły, że w nim ani jednego nie brakuje ogniwa. Nie pojmuję też wcale, jakim sposobem może ci być niedostatecznie jasnem prawo, według którego stworzył się system słoneczny, i według którego muszą się tworzyć wszystkie systemy, jakie na niebie widzimy.

Po tych słowach spostrzegłem zaraz, że mam przed sobą człowieka opanowanego fanatyzmem nauki; wszelako jeszcze nie mogłem sobie zdać sprawy, dlaczego i w jaki sposób dał się on sfanatyzować. Albowiem fanatyzm taki najczęściej opanowuje tylko takich uczonych, którzy, z powodu wrodzonej powierzchowności, albo nieudolności, nie zgłębili lub nie strawili tej ścisłej nauki, która ich przynęciła ku sobie: tu zaś zdawało mi się widzieć człowieka, który doszedł do dna swojej nauki, i miał dosyć siły duchowej, aby ją strawić. Aby tę zagadkę rozwiązać, nie pozostało mi nic, jak puścić mu wodze, aby się szczerzej wywnętrzył. Owóż Rak mówił tak dalej:

— Według jakich praw stworzył się świat? Rzecz-to tak prosta i jasna, jak zejście, wzrost i kwitnienie rośliny. Przestrzeń ta, którą dzisiaj zajmuje słońce ze swemi płanetami, a którą określa droga Neptuna, była niegdyś, przed milionami milionów lat, wypełniona kosmiczną mgłą, czyli, tak zwanym żarem gazowym. Ta mgła kosmiczna

była wówczas tak rzadką, iż trzeba było kilku milionów mil sześciennych, aby się z niej utworzyła ilość ważka materji. Mgła ta olbrzymia, przebiegając lodowate przestrzenia eteru, musiała się ścinać i zgęszczać powoli, aż póki w jej punkcie środkowym nie utworzyło się jądro ogniste, które się stało pierwszym zarodem słońca. Jak skoro to jądro się utworzyło, cała ta mgła musiała, prawem odwiecznem wszelkiego ruchu materji, zacząć wirować około swej własnej osi, a zarazem przybierać postać kulistą. Olbrzymia ta mgła kulista, wirując około swej własnej osi, musiała się u obu biegunów swoich spłaszczać powoli, a natomiast z woli prawa, któremu ulega wirowanie niestężałej jeszcze materyi, nabrzękać około równika. Będąc wówczas jeszcze nadzwyczaj rzadką, rzecz jasna, że ta jej część, która się znajdowała około równika, i która w stosunku do biegunów ciągle i coraz więcej nabrzękała, a przeto oddalała się od jądra, nie mogła zdążać z równą szybkością za wirującą massą kulistą, jak tejże część środkowa, która już mocniej stężała, a przeto musiała się przyzostawać. Ztąd poszło, iż od owej kuli poczęły się po kolei odrywać obręcze mgły, takie same, jakie dzisiaj widzimy około Saturna, a ponieważ te obręcze składały się z mgły nadzwyczaj rzadkiej, więc się musiały przerywać, pojedyńcze ich części zaś musiały się prawem siły przyciągającej znowu łączyć ze sobą, i łączyć dopóty, dopóki się z sobą w jedną massę nie połączyły. Tym trybem tworzące się massy musiały przybrać postać kulistą, prawem przyrodzonem ruchu materji tak samo wirować około własnej osi, a skutkiem prawa przyciągania krążyć około głównej massy kulistej. Tak utworzył się najprzód Neptun, potem Uran, Saturn i Jupiter, a wreszcie Mars, Ziemia, Wenus i Merkury. Stężałe jądro ogniste zostało się we środku, i stało się Słońcem. Mniejsze bez porównania od słońca płanety, poodrzucawszy od siebie takimże samym trybem księżyce, albo, jak Saturn, obręcze, krążąc pośród zimnego eteru, stężały pierwej i pokryły się ziemną skorupą, słońce zaś, milion razy większe, jest jeszcze dotąd kulą ognistą. Oto masz cały system, i całą historję stworzenia się słonecznego systemu; czy ci tu czego brakuje?

— Jeżeli to, co tu opowiedziałeś — odrzekłem na to Rakowi — chcesz nazwać systemem, to ja nic nie mam przeciwko temu. Ale mi przecież pozwolisz uwagę, że ścisła nauka nazywa to hipotezą, którą jeszcze Laplace i Kant przyjęli, i która właściwie stoi dotąd tylko ich powagą.

— Ich powagą, ale i tem — rzekł Rak — że dotąd jeszcze wciąż postępująca nauka nie potrafiła jej obalić. A nie może ci być wiadomo, jak olbrzymiemi krokami nauka ta postępuje, jak jest sumienną, i jak niemiłosierną dla wszelkich hipotez w razach takich, gdzie ma matematyczne dowody. Któż kiedy, choćby z astronomów najmłodszych, zastanowił się na chwilę przed najwyższą powagą, jeżeli ją mógł obalić cyframi? Wszelako na tem nic nie ucierpiały powagi, bo te powagi nasze nie mają tych drobnych próżności i zazdrości, jakiemi się odznaczają uczeni w innych naukach. Ale tu mówią cyfry, tu idzie o prawa odwieczne, tu niemasz ani narodowości, ani polityki, ani finansów, ani żadnych innych tego rodzaju płaskości. Wobec milionów światów, które się same stworzyły, a wobec których nietylko człowiek, ale cała ta ziemia jest tylko pyłkiem w przestrzeni kosmicznej, a cały tej ziemi, miliony lat trwający żywot, tylko jedną sekundą w czasach kosmicznych, znikają wszystkie próżności i nienawiści, znikają nawet wszelkie miłości....

— A pozostaje tylko?

— Pozostaje tylko — zawołał astronom z zapałem — nauka i wiedza.

— Nauka i wiedza, wielkie-to słowa! Wielkie-to skarby; niegodzien nazwiska człowieka, kto ich nie czci, nie ceni. Ale, jak wszystkie skarby tego świata, tak i te także mają swoje światła i cienie. Cieniem tej naukowej wiedzy jest to, że kto miał dosyć pojęcia i pracy, aby ją objął i strawił, ten skończył na tem, że dno obaczył, dno nietylko dość płytkie, ale nawet bardzo dziurawe.

— A co to mówisz? — zapytał Rak.

— Ja wracam do tego, com już pierwej powiedział. Mnie wszystkie zdobycze astronomii, razem z tem, co zdobyły inne, tuż obok niej postępujące, ścisłe nauki, jeszcze wcale nie zadawalniają. Nietylko, że mam przestrzeń w umyśle i sercu, której ta wiedza wypełnić nie zdołała, ale, jak już pierwej wspomniałem, w samejże wiedzy astronomicznej, a jeśli chcesz, to nawet w tem, co wy wiecie o systemie słonecznym, widzę przerwy i luki, którycheście jeszcze dotąd nie wypełnili.

— Proszę cię, mów — rzekł Rak — może będę umiał ci odpowiedzieć.

— Tem zapytaniem wprowadzasz mnie w kłopot niemały, bo nie chciałbym, abyś nabył choćby tylko pozornego prawa posądzenia mnie, jakobym lekceważył waszą naukę. Wierzaj mi, że po za obrębem waszego cechu, do którego ja, nawet jako czeladnik, nie mam zaszczytu należeć, niemasz człowieka, któryby dla waszej nauki miał więcej odemnie czci i podziwu. Taki Kopernik lub Galileusz, który, jak Jozue, powiedział: *Sta sol*, i słońce stanęło — taki Newton, który odkrył najgłówniejsze prawo fizyczne i stworzył przeto dla wszelkich nauk przyrodniczych podwalinę na całą wieczność — taki Kepler, który okiem ducha dojrzał nieznane dotąd ciało niebieskie i z przekonaniem, przewyższającem wiarę Kolumba, napisał te pyszne słowa: *Intra Martem et Jovem interposui planetam*, gdzie się potem grupa asteroidów, ów cmentarz niebieski jakiegoś rozbitego płanety, w samej istocie znalazła — taki Laplace, ów budowniczy nadziemski, który odgadł i odrysował mechanikę niebieską, jak gdyby plan jakiego gruzami tylko zasypanego gmachu — taki Bouvard, który na sklepieniu niebieskiem wyznaczył miejsce, w którem się „musi“ znajdować nieznany dotąd płaneta i gdzie istotnie jeszcze tej samej nocy znaleziono Neptuna: przed takimi ludźmi padam w pokorze ducha na twarz i wielbię ten rozum, który żelazną pracą dobił się natchnień proroczych.

— To są pierwsi geniusze świata! — zawołał Rak, i zatarł ręce.

— Nie mniejsze, wierzaj mi, mam uwielbienie dla tych tysięcy pracowników drugiego rzędu, dla tych, że tak powiem, parobków astronomicznych, którzy, rozrzuceni po obserwatorjach całej kuli ziemskiej, wszystkie noce swojego życia trawią przy teleskopach i refraktorach, śledząc ruchów gwiazd oddalonych, lub mgieł gwiaździstych, a wszystkie dnie z piórem w ręku, stawiając miliony cyfer w szeregi, choć wiedzą dobrze, że czasem setki nocy przeczuwają napróżno, bo całe setki ich logarytmów obali ich współpracownik wykryciem jednego błędu w rachunku. A cóż dopiero powiedzieć o wynalazcach analizy spektralnej, którą dwieście lat temu już Newton przeczuł duchowo, odkrywszy podzielność białego promienia światła na promienie barwiste, a dzięki której nabyliśmy dziś prawie przekonania, że materja kosmiczna jest jedna i ta sama w całym wszechświecie, i z naukową możemy powiedzieć pewnością, że w słońcu znajdują się: wapno, żelazo, potaż, magnezya, chrom, baryt i sod. Są to zdobycze ludzkiego ducha, którym rozum choćby najmocniej na innych wićwiczony naukach nie może najgłębszego odmówić podziwu, a które zarazem musi uwielbić każdy prostaczek, jak skoro umysł jego zdoła je pojąć. Z tego widzisz, że jeśli ci wspominam, że w waszej nauce są luki i cienie, których oko wasze jeszcze nie rozjaśniło, to nie powoduje mną, ani zasadnicza niechęć, ani też bezmyślne uprzedzenie....

— A! niema co mówić — przerwał mi Rak — proszę cię, mów dalej.

— Zostańmy tedy na teraz przy słonecznym systemie, przy obszarze tym, gdzie jesteśmy niejako we własnym domu. Otóż, mojem zdaniem, to co wasza nauka powiedziała o działaniu siły przyciągającej i odtrącającej, jest niewzruszone; ale to mi jeszcze nie tłómaczy wszystkiego, co ja chcę wiedzieć o przyczynach ruchu. Nim przystąpię do głównego zarzutu, który należy do świata teorji, a o którym chętnie się z tobą w długą zapuszczę dyskussję, wspomnę najpierwej o tem, co, że tak powiem, żywemi widzimy oczyma, a co powinnoby pierwej być wyjaśnionem, nim określimy odwieczne prawo. Tu tedy naprzód nasuwa się dotąd nierozwiązane pytanie: dlaczego planety krążą około słońca nie w kręgach okrągłych, ale podłużnych, czyli elipsach? Dlaczego elipsa Merkurego, jest nieskończenie węższą i dłuższą, niżeli elipsa ziemi? Dlaczego komety takie, które oczywiście do naszego systemu należą, jak np. Halleya i Enckego, określają elipsy takie, w których nie środku, lecz prawie ostatnim wierzchołku kąta znajduje się słońce? Dlaczego Uran, on jeden, wiruje około swej osi od wschodu do zachodu, podczas gdy wszystkie inne planety wirują odwrotnie? To nie są pytania dziecinne, samui to przyznasz — tylko takie, które powinny, które muszą być rozwiązane, jeżeli chcecie mieć niezaprzeczone prawo ogłosić światu, żeście wynaleźli ogólne i odwieczne, zasadnicze prawa tworzenia i bytu.

— Materjalna odpowiedź na te pytania jest trudna, rzekł na to Rak po niejakiem zastanowieniu — nie możesz nie wiedzieć dlaczego. Komet znamy już bardzo wiele, ale jeszcze dotychczas bardzo mało o nich wiemy. Wyjaśnienie przyczyn kierunku ich dróg jest pozostawionem dalszemu postępowi nauki. Dzisiaj możnaby o tem tworzyć tylko hipotezy. Dlaczego Uran wiruje od wschodu do zachodu, to zapewne nie da się czem innem wyjaśnić, jak tylko tem, że został on odwrócony w ten kierunek przez jakąś katastrofę niebieską. Niejednakowość dróg rozmaitych planet, z których jedne opisują dłuższe, a drugie krótsze, więcej zaokrąglone elipsy, daje się łatwo wytłómaczyć niejednakowością działania siły przyciągającej i odciągającej, które-to działanie w systemie, obejmującym ośm planet z tyloma księżycami i grupę asteroidów, musi oczywiście być bardzo zawikłanem.

— Nie powiedziałeś mi tu nic — zauważyłem Rakowi — czegobym już przedtem nie wiedział. Lecz to tylko potwierdza....

— Przepraszam — rzekł Rak — to nic nie potwierdza.... Pytania te są podrzędnej natury. Choćby ich wcale nie można wyjaśnić, nie uszczuplają one ani o jeden cień dostateczności podstaw, na jakich opierają się określone odwieczne prawa, a o których istnieniu tak samo wątpić nie można, jak o prawdzie matematycznych pewników.

— Pozwól mi — przerwałem Rakowi — abym się wytłómaczył dokładnicj. Ja się ciebie nie pytam, dlaczego astronomia tych albo owych odkryć nie porobiła: dlaczego naprzykład nie wie, czy na niestężałym jeszcze zupełnie Neptunie mieszkają ludzie o ciałach z galarety, a na granitowej twardości Merkurym ludzie ukuci z żelaza? Takiemi, w zakres nauki nie wchodzącemi kombinacjami nie chcę cię wcale zabawiać. Ja ci stawiam zasadnicze pytanie i mówię: jeżeli pierwszem i ostatniem źródłem wszelkiego tworzenia się i istnienia, jest tylko prawo, które włada materją, toć to prawo musi jasno tłómaczyć wszystkie przyczyny i wszystkie skutki, musi być ogólnem i niewzruszonem, i nie znosić żadnych wyjątków.

Rak patrzał na mnie spokojnie, ale z ukosa, a wzrokiem takim, w którym niewiem co przeważało, czy pycha wiedzy z pewnym odcieniem szyderstwa, czy tylko zwykła apostołom ścisłych nauk świadomość swojej wyższości. Jakoż po chwili rzekł:

— Zdaje mi się, że odgaduję, jaka jest myśl przewodnia, która ci nieodstępnie towarzyszyła w twoich wędrówkach po bitych gościńcach nauki. Wszelako oddam ci sprawiedliwość: nie jest to ani zasadnicze uprzedzenie, które jest pewnych stronnictw najwyższem przykazaniem a którem ja się brzydzę, jak wszelkim płazem, ani też ów ślepy, bezmyślny opór przeciwko prawdom, które w gruz rozbijają przyjemne ludzkiemu sercu złudzenia. U ciebie jest to duch pewien rodzimy, który się przyczepił do ciebie w kolebce i odtąd towarzyszy ci zawsze i wszędzie przez całe życie. Takich ludzi znałem wielu. Ale ja ciebie uwolnię od tego towarzysza....

Tu Rak się poprawił na krześle, i chciał się zabrać do gruntownego swych zasad wykładu, kiedy w tem weszły trzy osoby do czytelni.

Pierwszą osobą była kobieta osobliwszego wzrostu, mierzyła bowiem przynajmniej sześć stóp wysokości. Nie była ona ani młodą, ani starą, miała najwięcej trzydzieści sześć lub ośm lat wieku, ale widocznie chciała uchodzić za młodą, bo była tak mocno wybieloną i wyróżowaną, tyle miała sztucznych ozdób około twarzy i fryzury, że patrząc na nią, można ją było podejrzywać, że i uszy ma przyprawione. Wystrojona przytem jak żurnal, ogon u sukni wlokła za sobą tak długi, że świta jej musiałą o kilka kroków za nią pozostać. Postać jej była może cokolwiek śmieszną, ale twarz miała nieprzyjemną, wyraz surowy, usta ścięte, a obok włosów czarnych, jak heban, oczy jasno niebieskie.

Za nią szła panienka, siedmnaście lub ośmnaście lat wieku, jasna blondynka o lnianych włosach, jasnych oczach niebieskich, twarzy bladej lecz pięknej, zdało mi się, że była cokolwiek ułomna.

Trzecią osobą był mężczyzna dziwnej powierzchowności. Pięćdziesiątkę z okładem miał już pewno na grzbiecie, ubrany był całkiem czarno, suknie jego były świeckie, ale krój tużurka, zapiętego na jeden guzik pod samą szyją, miał w sobie coś, jakby księżego. Twarz miał podługowatą, ogoloną starannie, ozdobioną siwemi, ale wcale nie zamglonemi oczyma i nakrytą bardzo bujną, siwą i w tył zarzuconą czupryną. Takie figury bardzo często się spotyka we Włoszech; ale ten jegomość tem się odznaczał od innych, że miał plecy wypukłe prawie w półkole, i głowę tak mocno naprzód wychyloną, iż wierzch jego głowy równał się prawie z wierzchołkiem pleców, chociaż wcale nie był garbaty. Na pierwszy rzut oka było coś zwierzęcego w tym człowieku, rzucał ciągle oczyma po wszystkich kątach, rozszerzał nozdrza, i zdało mi się, jakoby nawet strzygł uszyma: jakoż można było być pewnym, że w pierwszej minucie objął wszystkie przedmioty, jakie się znajdowały w czytelni, wszystkie ocenił i wiedział zapewne, ile łokci materji wyszło na obicie ścian i firanki.

Kiedy ci goście weszli, Rak zbladł w pierwszej sekundzie, w drugiej zsiniał, zacisnął usta, a na jego twarzy wymalowały się gniew, oburzenie i niecierpliwość. Wstał raźnie z miejsca, olbrzymią rękę swoję zacisnął, oparł się nią o stół, wzgiął się naprzód i tak oczekiwał jakoby attaku Tymczasem starsza dama, być może, że miała jakieś wyrazy namiętne na ustach, ale gdy obaczyła obcego człowieka, powitała Raka dosyć spokojnie po włosku, wszelako zaraz przy pierwszych słowach dodała, że ma z nim o ważnych rzeczach do pomówienia. Wówczas Rak rzucił wzrokiem niespokojnym na mnie, lecz w tej samej chwili spostrzegł owe drzwi szklanne otwarte, i wyprowadził starszą damę na terasę; czarno ubrany jegomość puścił się za nimi, a panienka została w czytelni i usiadła w fotelu. Wziąłem natychmiast za kapelusz i zawołałem:

— Dobranoc ci, panie hrabio.

Na to Rak odwrócił się nagle w progu terasy i zawołał tonem błagalnym:

— Proszę cię, zostań.

Położenie było oczywiście niemiłe, lecz nie wypadało mi odejść. Siadłem tedy na powrót przy stole, o parę kroków od panienki, która zaczęła się przypatrywać rycinom, leżącym na stole. Na terasie głośna się wszczęła rozmowa — najpierw po włosku, potem zaś po niemiecku, którym-to językiem wszystkie trzy rozmawiające ze sobą osoby bardzo płynnie mówiły. Rozmowy ich rozumieć nie można było w czytelni, głosy ich rozchodziły się po ogrodzie, wszelako zdało mi się, jakobym nazwisko Leendorff słyszał wymówione po kilka razy. Niebawem głosy rozmawiających zaczęły się znacznie podnosić i do czytelni dochodzić, a kilkakrotnie, lubo trudno było zrozumieć o co chodzi, widać było, że niepomału gorsząca kłótnia się toczy między nimi, a Rak nawet tu i owdzie wywoływał przekleństwa. Ilekroć głosy gwałtowne dochodziły do czytelni, panienka bladła i zakrywała twarz batystową chusteczką, to znowu starała się pokryć swoje zakłopotanie czy srom, i twarz swą wymuszonym pokrywała uśmiechem. Nareszcie wrzawa zrobiła się prawie piekielną na chwilę, i znowu przycichła. Wtedy panienka spojrzała na mnie, wahała się przez oka mgnienie, a potem rzekła po francuzku bez żadnego akcentu:

— Rodzice moi rzadko się z sobą widują, lecz ile razy się obaczą, zawsze się muszą trochę posprzeczać.

Wyraz: rodzice moi, cokolwiek mnie zastanowił. Wprawdzie przypomniałem sobie natychmiast, jakiemi słowy Rak mnie dopiero-co zawiadomił, że jest żonaty. Powiedział mi: Ale potem się ożeniłem. Słowo: ale, mogła mi do pewnego stopnia tocząca się na terasie scena wyjaśnić; ale słowo: potem — po kilkoletniej podróży około świata i po wieloletniem życiu szczęśliwem — zniewoliło mnie mimochęci rzucić okiem na siedzącą przedemną panienkę, która miała lat ośmnaście. Jednakże, mimo to, albo właśnie dlatego, wziąłem za kapelusz i wyszedłem z czytelni.

Kiedym się nazajutrz rano spytał o Raka, powiedziano mi, że jeszcze tej samej nocy wyjechał do Rzymu.

IV.

We trzy miesiące potem, około połowy sierpnia, byłem w Paryżu. Ogromna ta wojna, która zajęła całą Europę środkową, już się była skończyła. Austrya swoję odwagę lub lekkomyślność, jak to kto zechce nazwać, z którą wzięła się za łeb z dwoma mocarstwy od razu, niezmiernie dotkliwemi przepłaciła klęskami, straciła bowiem Weneckie, została wyrzuconą z Rzeszy niemieckiej, a nadto jeszcze zapłaciła Prusakom koszta wojenne. Zniweczona zaś temi klęskami myśl Maurycego Esterhazego, aby za pomocą wojny zwycięzkiej nadać Rządowi Państwa tę siłę moralną, której potrzebował niezbędnie do uporządkowania wewnętrznego bezładu, zadała mu klęskę największą: kiedy bowiem przed wojną można było Węgrów

zadowolić swobodami takiemi, któreby wcale nie były nadwerężyły politycznej istoty państwa, po wojnie musiano im przyznać wszystko co chcieli — i stworzono przez to sytuację potworną, w której tradycjonalna Austryacka Monarchia, jeżeli się z niej nie wydobędzie za pomocą bardzo krwawej, a zarazem szczęśliwej wojny domowej, musi kiedyś koniecznie grób znaleźć dla siebie.

Nieszczęśliwa wojna ówczesna przygotowała także owe niewysłowione klęski dla Francyi, które państwo to w pięć lat później poniosło. Nieudolne ocenienie siły zbrojnej trzech mocarstw, które wówczas wojnę sobie wydały — pewna tradycjonalna Bonapartów skłonnostka protegowania liberalnych dążności w państwach ościennych, a wreszcie przeniewiercza polityka owoczesnego rządu francuzkiego przeciwko Austryi, utorowały Prusom drogę do łatwych zwycięztw i nabycia tej potęgi, której potrzebowały, aby zdruzgotać Francję.

Wszelako wówczas nikt we Francji, ani przez sen nie myślał o wojnie. Kraj ten opływał w szczęściu. Wprawdzie, szczęście to było wyłącznie materjalnej natury, a opłacano je ciągle postępującym upadkiem cnót obywatelskich, zdrowych pojęć społecznych i politycznych, moralności pod każdym względem, a nawet dobrego smaku: ale w narodzie takim, który wszelkiego rodzaju bogactw moralnych i materjalnych miał tak olbrzymie zapasy, nie było widać tego nieustannego, choć powolnego ubytku zasobów moralnych — a nawet mężowie bystrego wzroku i wyższego poglądu, którzy zakradające się złe dojrzeli i wytykali, nie rozpaczali nad tem, będąc przekonani, że pierwsze lepsze gwałtowne wstrząśnienie sprawi te same zbawienne skutki, jak burza pośród zgniłych upałów, a naród francuzki wyjdzie zeń silny, genialny i świetny, jakim go niejednokrotnie widzimy w historji.

Paryż błyszczał taką świetnością naówczas, jakiej sam jeszcze nigdy nie miał w swojej przeszłości, chociaż przez wiele wieków był pierwszem miastem europejskiem. Świetności jego ówczesnej tylko stary Rzym mógł wyrównać w epokach tych, w których spożywał bogate owoce swojej minionej potęgi. Lecz Paryż miał jeszcze wyższość nad owym Rzymem, w tem mianowicie, iż najpierw, mimo, że w jego murach wypaczały się moralne pojęcia i nie kwitnęły literatura i sztuki, przecież niepowstrzymanym postępowały krokiem ścisłe nauki, a powtóre przewyższał Rzym tem urządzeniem, równie rozumnem, jak ludzkiem, że obok przepychu, który pochłaniał miliony, ubogi człowiek nie musiał ustępować miejsca bogaczom i mógł wyżyć za swoje trzy grosze wygodniej i lepiej, niż w każdej innej stolicy.

Upadek literatury i spaczenie dobrego smaku nigdzie tak jaskrawo nie biły w oczy, jak w teatrach. Teatr francuzki jeszcze jakokolwiek utrzymywał swoje świetne tradycye, ale Gymnase już podupadał, a w teatrach drugiego i trzeciego rzędu dawano widowiska, o których trudno było sąd wydać stanowczy, czy były układane przez obłąkane umysły, czyli też dawane dla zbydlęconej publiki. Jedynym z teatrów tego rzędu, do którego można było pójść czasem, a nawet wyborną znaleźć rozrywkę, był Palais Royal; lecz wtedy, ci aktorzy, którzy dziś siedmdziesiątki sięgają i nóg włóczyć za sobą nie mogą, a jeszcze zawsze młodych grywają, byli dopiero podstarzałymi mężami, w pełni talentu i siły, a na najwyższym szczycie rutyny.

Owego czasu, pewnego wieczora, zmówiwszy się z dwoma przyjaciółmi, kupiliśmy sobie za drogie pieniądze Avant-scenę i poszliśmy do tego teatru. Grano „La Gagnotte,“ — sztukę nie nową, lecz niezmiernie zabawną, w której czterej najpierwsi komicy: Brasseur, L'héritier, Gil Pérés i Hyacinthe główne przyjęli role. Niejednokrotnie, przedtem i potem, widziałem tę sztukę, lecz nigdy tak graną, jak wówczas. Ale jeden z moich przyjaciół zgorszył się zaraz przy pierwszych scenach i wyszedł, a drugi dostał spazmów od śmiechu, i także wkrótce się wyniósł. Dopóki ci byli w loży, zajmowałem się nimi i przedstawieniem; ale zostawszy sam, rozejrzałem się po teatrze. Otóż, właśnie w chwili, kiedy pierwszy akt zbliżał się ku końcowi, cała publiczność zwróciła swoję uwagę na Avant-scenę na przeciw mojej się znajdującą, i wszystkie szkła się ku niej wykierowały. Spojrzałem także na tę lożę, i obaczyłem w niej kobietę, w samej istocie bardzo uderzającej powierzchowności. Słuszna była, blondynka, z ogromnemi czarnemi oczyma, lecz włosy miała tak popielate, jak mysz, jak gdyby ciemno-szarym pudrem posypane. Rysy twarzy ściągłe, nadzwyczajnej piękności, usta cokolwiek pełne, lecz pięknie zarysowane. We włosach miała diadem ze złota i drogich kamieni, kolce u uszów niesłychanej wielkości, koronek około szyi i ramion gmach cały, a suknię z jedwabnej materji karmazynowego koloru, tu i ówdzie złotem ozdobną: zgoła królowa, królowa jakiejś wyspy zamorskiej, albo królowa Mabillu. Za nią wszedł mężczyzna małego wzrostu, bardzo barczystej postaci, z ogromną czupryną w nieładzie: był to Rak.

Nim miejsca zabrali w swej loży, zauważałem, iż dama ta dała się niejako publiczności oglądnąć, i z widocznem zadowoleniem patrzała, jako ogólna uwaga się na nią zwróciła. Niebawem drugi akt się rozpoczął: dama bawiła się grą aktorów, ale i publiczności nie odmawiała swojej uwagi, rzucając różne na różne strony uśmiechy; Rak zaś przycisnął się do ściany, głowę wyścibił nad poręcz, żadnego słowa nie stracił z przedstawienia i śmiał się, jak opętany. Był to widocznie człowiek, który nie umiał się niczem zajmować na połowę.

Od tego momentu przedstawienie już mniej mnie zajmowało; jakieś myśli mi chodziły po głowie, ale myśli jak mgły, nieujęte i nieokreślone. W chwilę potem zapukano do mojej loży, drzwiczki się otworzyły i wszedł młody człowiek, pięknej postaci i bardzo starannie ubrany, wyciągnął do mnie obie ręce i spytał głosem dźwięcznym i wesołym po polsku:

— Czy pan mnie poznaje?

Był to Raczek. Młody ten człowiek już we Florencji sprawił na mnie jak najlepsze wrażenie i zdobył sobie moję sympatję, a że u niego było serce na ścieżaj otwarte,

więc gładko nam szła rozmowa. Bardzo byłem ciekawy jego doświadczeń wojennych, które mi też w lot opowiedział. Trzy razy był w ogniu, konia pod nim zabito, o mało nie dostał się do niewoli, namarł się głodu i biedy, ale końcem końców nic mu się nie stało. Wszelako, skończywszy to opowiadanie w gruncie rzeczy wesołe, nagle posmutniał i rzekł:

— Ale inni nie byli tak szczęśliwi! Wyobraź pan sobie, bracia Leendorffowie, których pan znałeś, wszyscy trzej zginęli.

— Wszyscy trzej? co mówisz! — zawołałem, a zimny dreszcz mi przeszedł po ciele. Raczek patrzał na mnie szeroko otwartemi oczyma przez oka mgnienie, a potem dwie duże łzy, jak perły, potoczyły mu się po policzkach.

Milczeliśmy oba przez chwilę, złożywszy mimowolnie ręce jak do modlitwy. Poczem Raczek tak mówił:

— Szlachetni-to byli młodzieńcy — a przytem jak nieszczęśliwi! Nieszczęśliwi z takim ojcem, który wszelkich sztuk szatańskich używał, ażeby diabłów zrobić z aniołów; nieszczęśliwi nieszczęściem swej matki, która obok nich niesłychane męki cierpiała. A kiedy nareszcie myśleli, że i siebie i matkę z tego piekła wyswobodzili, szczęście ich było tylko jedną chwilką, i chwilkę tę jeszcze wszyscy trzej życiem przypłacili.

Po krótkiem milczeniu, wśród którego myśli nasze były najszczerszą modlitwą za tych nieszczęśliwych poległych, spytałem Raczka:

— Czy wiadome ci są szczegóły ich śmierci? jakże zginęli?

— Ach! dziwnie zginęli — rzekł Raczek. Wszyscy trzej byli pod Custozzą, wszyscy trzej, ranni śmiertelnie, odszukali sie po bitwie; wszyscy trzej mieli jeszcze konie pod sobą, lecz, czy-to nie mogli znaleźć, czy nie chcieli szukać felczera, odjechali do zamku tegoż samego półkownika, którego pan we Florencji poznałeś, i dojechali do lasu, który przytyka do parku. Lecz w lesie, zdaje się, że najpierwej krew uszła jednego, a potem obu drugich po kolei. Nazajutrz znaleziono ich w lesie obok siebie leżących, nieżywych. Żona półkownika sprowadziła ich zwłoki do zamku i przy tamtejszym kościółku ich pochowała.

— Biedna matka! — zawołałem w zamyśleniu.

— A jaka biedna! — rzekł Raczek z westchnieniem.

— Kiedyż się dowiedziała o śmierci synów?

— Niestety, prawie natychmiast, a wieść ta takim ją uderzyła piorunem, że, jak się zdaje, dostała obłąkania.

— Wszelki duch chwali Pana Boga! biedna kobieta!

— Dziwne-to jest obłąkanie — rzekł Raczek — dziwne i niepojęte. Bo, wyobraź pan sobie, że tylko w tej pierwszej chwili, kiedy jej tę wieść doniesiono, rozpaczliwym płaczem wybuchła. Lecz wkrótce potem zupełnie się uspokoiła; stały uśmiech osiadł na jej twarzy, uśmiech taki, jakoby był wyrazem niezmiernie błogiego uczucia; odtąd też nigdy się na nic nie skarży, a jak mówi o swoich synach, to zawsze w tym duchu, jakoby byli szczęśliwi, bo wyswobodzeni....

— Toż przynajmniej nie cierpi. Czy zawsze jeszcze jest we Florencji?

— Nie. Mąż ją zabrał do siebie, do Wenecji, i tam ją chciał zatrzymać. Ale dziadek wdał się w tę sprawę i przeniósł ją do Wiednia, gdzie kupiono dla niej pałacyk w Doebling, obok tamtejszego domu obłąkanych, i oddano ją pod opiekę lekarzy tego zakładu.

Milczeliśmy przez chwilę, zajmując się przedstawieniem, ale zapewne nie z bardzo wielką uwagą, bo, kiedy mnie ciągle stali przed oczyma ci nieszczęśliwi młodzieńcy, którzy za cudzą, a w każdym razie za przybraną ojczyznę polegli, za którymi widocznie uleciał duch ich matki z tej ziemi, uważałem, że Raczek patrzał, jak w tęczę, w lożę, nam przeciwległą. Miałem go nawet w podejrzeniu, że tylko dlatego przyszedł mnie odwiedzić, ażeby ztąd mógł lepiej patrzeć na ową piękną kobietę, którą stryj jego do tej loży wprowadził. Próżną też tylko ciekawością wiedziony, spytałem go:

— Wszakże zdaje mi się, że ten pan, który siedzi w loży, nam przeciwległej, to twój stryj.

— Tak, to mój stryj, ale w tej chwili już go tam niema. Dziwiło mnie też niepomału — dodał z uśmiechem — że tak długo w teatrze wytrzymał, kiedy noc tak pogodna.

— A czy wolno się spytać — rzekłem ja znowu z uśmiechem — kto jest ta dama?

— To jego żona.

Odpowiedź ta zdała mi się niewesołą, więc znowu przerwała się między nami rozmowa.

— Czy pan zna mego stryja? — zapytał Raczek.

— Poznałem go teraz w Florencji.

— Niezwyczajny-to człowiek.

— A zapewne, i jak się zdaje, pełen nauki.

— Oh! niema pan wyobrażenia — zawołał Raczek, ile nauk ten człowiek pochłonął. Ale to trzeba mu przyznać, że jest wytrwały i pracowity, prawie można powiedzieć, uparty. Jak się w jaką naukę wwierci, to musi się koniecznie do dna dowiercić.

— A czasem zapewne i przez dno się przewierci, a chociaż świder jego już dawno jest po za dnem, w czystem powietrzu, on jeszcze wciąż wierci.

— A co pan przez to rozumie? — spytał młodzieniec, śmiejąc się głośno.

— Nie wiem z pewnością, ale tak mi się zdawało, kiedym miał z nim dość długą rozmowę o astronomii.

— Mógłbym i ja coś o tem powiedzieć, ale nie przypisuję sobie zdania o tak ważnym przedmiocie.

— Proszę cię, powiedz mi jedną rzecz, bo mnie to może obchodzić. Czy twój stryj zajmuje się astronomią od dawna, czy dopiero od lat kilku?

— Gdzież tam, zajmuje się nią, odkąd żyje na świecie, a przynajmniej odkąd mieszka za granicą. I jest-to jedyna nauka, której bezustannie jest wiernym. Wszystkie inne, które po kolei brał przed się, po kolei porzucał, mówiąc, że je strawił i dopiero wtedy do nich powróci, jak znowu naprzód postąpią. Tylko astronomię śledzi

krok za krokiem, a przytem także nie zaniedbuje gospodarstwa w ogólnem znaczeniu.

— To znaczy, interesów majątkowych.

— Tak.

— Musi być przeto bogaty.

— O! bardzo bogaty. Majątek jego liczą na wiele milionów. Bo, oprócz tego, co ma w ziemi, a majątek jego kroacki jest ogromny, i oprócz różnych kopalni węgla, żelaza i domów po różnych miastach, ma jeszcze bardzo znaczne kapitały, któremi ustawicznie narabia.

— Więc tedy nie cały jego majątek jest odziedziczony?

— O, wcale nie. To, co spada na niego, to jest, jak było; tam dziadek rządzi samowładnie. To, co odziedziczył w Kroacji, to był pierwotnie tylko zamek i kilka folwarków z lasami. A teraz jest-to jeden z największych majątków w kraju, który się liczy na mile kwadratowe. Prawda, że, nim się ten majątek tak zaokrąglił — dodał młodzieniec z uśmiechem — niejednemu sąsiadowi włosy dobrze trzeszczały, a niektóremu wcale wylazły; ale tak, jak dziś jest, mógłby stanowić dotację panującego.

— Takie zaokrąglenie majątku może być czasem godną poszanowania zasługą, ale zawsze pierwej zapytać należy, jakim kosztem ta nadwyżka została nabytą.

— Kosztem? ja się domyślam, co pan chce powiedzieć. Lecz w tym razie, zdaje mi się, że o koszcie nie może być mowy, bo stryj mój tak nie stawia tego pytania. U niego we wszystkiem panuje zasada. Jego najwyższą zasadą jest to przekonanie, że całe tego świata istnienie polega na walce jednych tworów z drugiemi. Od ciał niebieskich począwszy, które wzajemnie na mgły się rozbijają, aby z tych mgieł nowe mogły tworzyć się światy, do ludzi i zwierząt, które się wzajemnie zjadają, do roślin nawet, które żyją pozostałościami innych roślin zniszczonych, każdy twór ma prawo zniszczyć inny, który mu stoi na drodze do jego celu. Od tej zasady nie zna on żadnego wyjątku.

— Zapewne, jest-to zasada, jest-to prawo natury, którego dogrzebały się nauki przyrodnicze z astronomią na czele. Ale najpierw, nie wiemy jeszcze, jakich zasad i praw też same nauki w tejże samej przyrodzie się w czasie późniejszym dogrzebią — a powtóre, człowiek ma świadomość siebie i wolną wolę, tem się różni od wszystkich innych tworów przyrody, a skutkiem tego innym podlega prawom, których też ma wrodzone bardzo jasne poczucie.

— Ja się z panem zgadzam zupełnie — zawołał młodzieniec z uniesieniem — ale memu stryjowi nie mogę tego powiedzieć.

— Twój stryj zdaje się być cokolwiek despotą?

— Względem słabszych od siebie, lub takich, których za słabszych uważa.

— Widzisz tedy, jakie z tej najwyższej zasady twojego stryja wynikałyby prawidła życia dla człowieka. Co szlachetne, co piękne, co zacne, i co jedyne może stanowić szczęście człowieka, nie miałoby wcale miejsca pomiędzy ludźmi....

Mówiąc to, uważałem, że Raczek jakoś bardzo był roztargniony, i ledwie mnie słuchał przez grzeczność. Oczy jego ciągle się zwracały ku loży, w której siedziała stryjenka. Dlatego przerwałem tę konwersację, a natomiast zrobiłem uwagę:

— Twoja stryjenka jest bardzo piękna kobieta.

— Nadzwyczajnie! — zawołał młodzieniec z naiwnością dziecinną — tak piękniej jeszcze nigdy nie widziałem w mem życiu.

Spojrzałem w twarz jego z większą uwagą, co go też zniewoliło do otwartej spowiedzi, która mu zapewne dla własnej ulgi była potrzebną. Jakoż dodał natychmiast:

— Przyznam się panu szczerze, że tak gwałtowne sprawiła na mnie wrażenie, iż muszę od niej uciekać.

— Jakto, dopiero teraz sprawiła na ciebie wrażenie? Przecież musisz ją znać od dawna?

— Nie. Raz ją tylko przed trzema laty widziałem, ale wtedy było to co innego, a zapewne i ja byłem innym. Potem nigdy się z nią nie spotkałem, dopiero przed kilku dniami zjechaliśmy się razem w Paryżu.

Nastąpiła chwila milczenia, poczem Raczek zapytał:

— Czy pan mi nie wierzy?

— Owszem, wierzę. Tylko, nie znając waszych rodzinnych stosunków, nie mogłem tego przewidzieć.

Zdaje się, że młodzieńcowi potrzeba było koniecznie otworzyć do dna przepełnione swe serce, bo się z krzesłem ku mnie obrócił i zaczął mi opowiadać co następuje:

— Bo widzi pan, to tak jest. Pomiędzy mną, a tymi Rakami, niemasz zgoła żadnego pokrewieństwa. Najpierw, ja jestem innego herbu, a potem oni się piszą Rakovszky, a ja się piszę Rakowski. Być może, że kiedyś, przed wiekami, jakiś polski Rakowski zawędrował do Kroacji, i tam jego nazwisko przepisano podług ortografii kroackiej, a raczej węgierskiej; zdaje się nawet, że tak było w istocie, bo majątek ten, który w Augustowskiem posiadają, nie był nigdy w posiadaniu innej rodziny. Ale jest to rodzina nie nasza. Otóż, między tymi Rakowskimi, a moimi przodkami, zapewne z powodu tożsamości nazwiska, wszczął się był spór o majątek, który my posiadaliśmy w Podlaskiem. Spór ten zaczął się był jeszcze za panowania Augusta III. i dotrwał, z małemi przerwami, aż do życia mojego ojca. Procesu tego nie przegraliśmy nigdy stanowczo, ale koszta procesu uszczuplały ciągle naszą fortunę, a często powtarzające się wojny w owych czasach jeszcze nas do reszty niszczyły. Tak przyszliśmy wreszcie do takiego upadku, że ojciec mój wprawdzie jeszcze zawsze ten majątek posiadał, ale miał na nim tyle długów, że właściwie był już tylko dzierżawcą. Tymczasem, lat temu trzydzieści i sześć, właśnie w czas wojny, dziadek mój, to jest ojciec stryja mojego Raka i mój ojciec, którzy oba służyli wojskowo, spotkali się byli w Warszawie, i mój ojciec, mąż wielkiej zacności, lecz niecierpliwy cokolwiek, rzucił dziadkowi kilka słów obrażających w oczy, dając mu do zrozumienia, że krzywdę naszej rodziny ma na sumieniu. Dziadek mój, w którego całem życiu nie masz plamki tak małej, jak główka od szpilki, prawie nic o tym procesie

nie wiedział, bo się sam nigdy procesami nie trudnił; więc wprawdzie wyzwał mojego ojca, ale ze względu na swoję niewinność, a jeszcze więcej ze względu na wojnę, odroczono bitwę do czasu, w którym dziadek rozpozna właściwe powody procesu. Po wojnie ojciec mój do Paryża wyjechał i pędził tam życie mozolne i smutne; dziadek, przekonawszy się, że proces był niesprawiedliwy ze strony jego przodków, ofiarował mojemu ojcu pomoc, lub odszkodzenie, ale mój ojciec nigdy grosza od niego nie przyjął. Wszelako dziadek zajął jego majątek przez swoich ludzi bez jego wiedzy, ochronił go od sprzedaży, długi pospłacał i jeszcze mojemu ojcu kazał rokrocznie posyłać jakiekolwiek dochody. Ojciec mój przez lat kilkanaście pobierał z tego majątku intratę, otrzymywał rokrocznie rachunki, wydawał nawet czasem rządzcy rozkazy, nie wiedząc ani jednego słowa o tem, kto właściwie zarządzał majątkiem. Tylko matka moja wiedziała. Lecz w roku czterdziestym szóstym ojciec mój wyjechał do Galicyi i tam został zamordowany przez chłopów, a matka moja w sześć miesięcy po jego śmierci umarła. Grobu mojego ojca nigdy potem nie odszukano; matka moja leży tu, na cmentarzu Montmartre....

(*C. d. n.*)

Przewodnik towarzyski i salonowy

WEDŁUG DZIEŁA „SAVOIR VIVRE“

przez panią d'Alcq dla polskiej publiczności opracowała Hr. R.

(Ciąg dalszy).

XI.

Jeszcze słów kilka o wizytach również o posyłaniu kart życzeń i t. d.

Każdy kraj ma mniej więcej własne zwyczaje. Na Nowy Rok naprzykład, w całej Polsce, oprócz kart wizytowych, które zwykle pocztą posyłamy, nie jest przyjętem robienie sobie podarunków. Co do wizyt te czasem składają tylko panowie i to w miastach.

Tak nazwane „Boże drzewko“ na Boże narodzenie, nie zyskało także dotąd prawa obywatelstwa u nas. W niektórych domach, gdzie są drobne dzieci, które jeszcze święcie wierzą że im to mały, nowonarodzony Jezusik przysyła, miło jest zrobić im taką niespodziankę i patrzeć na zachwyt, na radość bez granic, tych tak nam drogich istot!

Naszym własnym staropolskim obyczajem jest dzielenie się opłatkiem na wilją Bożego Narodzenia w ścisłem kółku rodzinnem, a w szerszem już kole znajomych i przyjaciół spożywanie jajka święconego na Wielkanoc.

Ileż to razy opowiadano nam o takich uroczystych obchodach zagranicą. Gdzie tylko los zaniósł Polaków, starali się oni zgromadzić w te dni uroczyste, a łamiąc się wspólnie opłatkiem lub dzieląc między sobą jajko święcone, nie jedna łza gorąca spadła im z oka, nie jedno serce żalem się ścisnęło na wspomnienie domu rodzinnego, błogich lat dziecięcych, kiedy to ręka Ojca i Matki wyciągała się do nich z opłatkiem lub jajkiem święconem, a drżące usta szeptały słowa błogosławieństwa, składając na ich czole gorący pocałunek.

Tem bardziej powinniśmy o tem pamiętać my szczęśliwsi stokroć! którzy możemy napawać pierś powietrzem ojczystem, którzy patrzymy ciągle na ziemię naszą, choć ubogą, ale nie mniej nam drogą! Niech wtedy każdy pan i pani domu nikogo nie poniżają, niech pamiętają że Chrystus dla wszystkich się narodził i za wszystkich umarł na krzyżu, niech podzielą tak opłatek, jak i jajo święcone z każdym sługą, z każdym z domowników, składając im serdeczne życzenie.

W dawnych staropolskich domach, gdyby nawet wróg najcięższy był przestąpił próg domu w te dnie uroczyste, przyjmowano go jak brata i nie jedna długoletnia niezgoda kończyła się tym sposobem w imię Chrystusa rodzącego się lub zmartwychwstającego.

Wiele osób zachowuje ten piękny i rzewny zwyczaj że w najbliższej rodzinie, jeżeli osobiście zgromadzić się nie mogą, posyłają sobie w liście opłatki wraz z życzeniami. Są to zwyczaje czysto nasze, polskie, które niedadzą się wciągnąć w żadne przepisy etykiety, które zatém trzeba sercem polskiem pojąć, ocenić i wykonać.

W najbliższej rodzinie, szczególniej dla osób w wieku bardzo podeszłym, daleko stosowniej złożyć życzenia osobiście, czy to na Nowy rok, czy też na Imieniny. Któż nam zaręczy, że jeszcze staruszkowie doczekają roku przyszłego? jeżeli zatem jest to w naszej możności, składajmy im dowody naszego przywiązania, naszej pamięci, póki się niemi cieszymy, póki bawią między nami.

Kobiety obcym mężczyznom nigdy biletów na Nowy rok nie posyłają. Tem bardziej nie oddają im wizyt i nie składają mężczyznom życzeń w ich pomieszkaniu.

Jeżeli kobieta jest zmuszona sama dla interesu widzieć się z mężczyzną, a dla oszczędzenia sobie kosztu idzie do niego, czy to do lekarza, czy do adwokata, powinna mieć zawsze drugą kobietę ze sobą, o ile można starszą od siebie.

Panienki młode nigdy same nie powinne mężczyzn przyjmować, i choćby ich było więcej w salonie.

Jeżeli przychodzimy składać komuś życzenia, nie powinniśmy iść z całym domem, jeżeli rodzina jest bardzo liczna. Wygląda to śmiesznie i prawie przestraszająco, jeżeli kto w sześć, ośm osób, a szczególnie z tłumem dzieci wchodzi do salonu. Nie wszyscy lubią dzieci i nie wszystkie dzieci są dobrze wychowane, a nawet często o wiele są grzeczniejsze u siebie, niż w obcym domu. Dla tego nie trzeba nigdy ze swojemi dziećmi narzucać się obcym. Dla nas są one skarbem najdroższym, i najczęściej z zaślepieniem na dzieci nasze patrzymy, więc nawet ich wady nam nie zawadzają, które atoli dla ludzi obcych są częstokroć nieznośne.

Na karcie wizytowej na Nowy rok pisze się z p. Nowego Roku (tu data następuje) — na imieniny daje się dzień imienin i rok. Jeżeli jest się bez służącego, zagina się jeden róg karty wizytowej, ażeby pokazać że się ją własnoręcznie oddało.

W dawaniu podarunków trzeba także zachować pewien takt i delikatność uczucia. Sługom można dać rzeczy przechodzone, byle nie były bardzo zniszczone, a znowu nie zanadto eleganckie, nie licujące z ich podrzędnem stanowiskiem.

Nauczycielom i nauczycielkom nie można dawać takich, zanadto praktycznych podarunków, i chyba że są u nas zupełnie zadomowieni i jakby już do rodziny należący.

Młode osoby powinne starać się wcześnie o nabywanie talentów pożytecznych i umiejętności w różnych kobiecych robótkach. Najmniejsza bagatelka ręką własną zrobiona, jakże miłą staje nam się pamiątką! jakże żywo dowodzi, że o nas myślano przez cały ten czas, który poświęcamy na zrobienie nam czegoś potrzebnego i pożytecznego.

Gdzie są małe dzieci, ktokolwiek bywa częściej w domu, może im przynieść cukierków, a nawet zabawek. Trzeba jednakże tak dzieci wychowywać żeby nigdy pierwsze się nie upominały, nie przymawiały o nic u obcych, a nawet i u najbliższych. Taka niedelikatność dowodzi w dziecku zupełnego braku wychowania, zupełnego zaniedbania przez starszych.

Panienkom już dorosłym nie wolno bez wiedzy rodziców lub opiekunów nic od nikogo przyjmować, ani nawzajem ofiarować. Mogłyby znaleść się w najprzykrzejszej kolizji, same nie wiedząc dla czego.

Mimo że dziś jest bardzo przyjęte rozdawanie swoich fotografii, radzilibyśmy nie szafować tem zanadto, a panom musimy nadmienić, że zabieranie z albumów bez niczyjej wiedzy fotografji, jest kradzieżą po prostu, tem karygodniejszą, że nam częstokroć milej byłoby stracić kilka i kilkadziesiąt guldenów, niż widzieć sobie wydartą osobę, która była nam drogą i może już nigdy do jej fotografji nie przyjdziemy.

Jeżeli kto kupuje czyją fotografję lub ją po kryjomu zabiera, a potem chwali się, że ją od tej samej osoby dostał, jest nie tylko człowiekiem źle wychowanym, lecz kłamcą wyzutym z wszelkich uczuć szlachetniejszych.

Nie raz jeszcze wypadnie nam wrócić do przedmiotu prawie niewyczerpanego, o różnych przepisach towarzyskiej grzeczności, z okazji rozmaitych stosunków i uroczystości, tak w kole rodzinnem, jak i w kole szerszem przyjaciół i znajomych. Tyle jest w tej mierze dobrych odcieni, że nigdy za wiele nie da się powiedzieć, i jeszcze zawsze znajdzie się na tej niwie jakiś kłosek do podniesienia.

XII.

O dobrym tonie przy urodzinach, podczas obrzędu chrztu i pierwszej komunji.

Zanim zaczniemy wymieniać wszystkie zwyczaje, które nakazuje dobry ton i grzeczność, po urodzeniu dziecka i przy chrzcie jego, pozwolimy sobie zwrócić słów kilka do młodych kobiet, które są o tyle szczęśliwe i błogosławione, że spodziewają się zostać wkrótce matkami.

Nie wdając się w żaden wykład hygieniczny, gdyż mamy teraz doskonałe książki lekarskie, które wyczerpująco objaśniają w tym względzie młode, niedoświadczone mężatki, powiemy tylko młodym naszym paniom jak powinne zachować się w tym stanie pod względem dobrego tonu i dobrego wychowania.

Natura sama ostrzega wtedy każdą prawie kobietę, zsyłając jej różne dolegliwości, że powinne zupełnie zapomnieć o sobie i swoich przyjemnościach, żeby zająć się wyłącznie myślą o przyszłem swojem szczęściu, żeby w niczem nie zaszkodzić temu zawiązkowi, który od pierwszej chwili powierzony jest jej macierzyńskiej pieczy i troskliwości.

O ile zbawiennym jest wtedy ruch na świeżem powietrzu, o tyle najfatalniej wpływa na rozwój fizyczny dziecka ruch gwałtowny na balu. Powietrze duszne i gorące, niebezpieczeństwo być w takiej ciźbie potrąconą, nawet możność upadku tak wtedy szkodliwego; wszystko to niech raz na zawsze wstrzymuje młode kobiety od tak niestosownych zabaw i przyjemności. Gdy potem urodzą z własnej winy i przez lekkomyślność nie do darowania dziecko wątłe, chorowite, a nawet częstokroć idiotę! czyż nie będzie to dziecko wiecznym dla nich wyrzutem sumienia? czyż te kilka godzin na balu spędzone warte tak wielkiej ofiary?

Mówimy tu o pierwszych, miesiącach kiedy jeszcze stan poważny da się jako tako pokryć. Jak wyglądają

kobiety, które jeszcze i ku końcowi nie wahają się pokazywać wystrojone na balach, najlepiej by im wskazało własne zwierciadło, gdyby ich nie zaślepiła miłość własna i szalona chęć zabawy. Nawet najdziksze narody miały zawsze pewne poszanowanie dla kobiet w stanie poważnym. Czyż to się godzi, żeby same kobiety stan ten tak profanowały, robiąc z siebie istne karykatury, i wywołując zamiast współczucie uśmiech politowania, a często nawet wzbudzając uczucie wstrętne swoją osobą, balowo wystrojoną.

Kobieta szanująca własną godność i której chodzi o szacunek ludzi zacnych, powinna unikać wtedy wszelkich hucznych zabaw, ku końcowi zaś niech jak namniej z domu się oddala i ubiera suknie powłóczyste, wygodne, z przodu cokolwiek dłuższe jak zwykła miara. Noszenie wtedy sukien obcisłyah jest także nader niestosownem, niewygodnem i obrażającem zmysł estetyczny.

Oprócz w najbliższej rodzinie swojej, lub mężowskiej, nie powinna kobieta przyjmować żadnych zaprosin czy to na wieczory, czy na obiady, gdy czuje się bliską terminu. Nie jedna matka przepłaciła życiem dziecka, a czasem i życiem własnem, takie pospieszne wracanie do domu, czując się już słabą. Nie można wtedy być dość ostrożną, dość uważną. Nawet dalekich przechadzek wypada wtedy unikać i zawsze trzymać się jak najbliżej domu.

Przejdźmy teraz do zwyczajów po urodzeniu dziecka.

W naszym kraju nie jest przyjętem ogłaszanie urodzin dziecka znajomym i przyjaciołom, jeżeliby jednakże który ojciec doniósł nam o tem zdarzeniu, wypada mu natychmiast odpisać, dowiadując się o zdrowie tak matki jak dziecka i wyrażając swoją radość z tego powodu.

Sakrament chrztu w kościele katolickim powinien właściwie udzielać się tylko w kościele. Jeżeli pora po temu a dziecko silne i zdrowe, rodzice dziecka dobrze zrobią, stosując się do tego przepisu kościelnego. W porze natomiast mroźnej, szczególniej w naszym tak ostrym klimacie, na wsi gdzie często kościół bardzo oddalony, lepiej prosić księdza o udzielenie chrztu w domu, niż czekać miesiącami do cieplejszej pory.

Właśni rodzice nigdy do chrztu swego dziecka nie trzymają. Jeżeli w rodzinie są jeszcze przy życiu rodzice męża lub żony, im z prawa należy się trzymanie do chrztu wnuczęcia. Po nich wybiera się zwykle najstarsze i najbliższe osoby z rodziny męża lub żony.

Jeżeli w mieście chrzest się odbywa, ojciec dziecka powinien obmyślić powozy dla wszystkich gości zaproszonych, żeby ich zawieść do kościoła. Jeżeli w pokoju ma się chrzest odbyć, posyła się powóz po księdza.

U nas nie ma zwyczaju matce dziecka coś ofiarować. Rodzice chrzestni dziecku które trzymają do chrztu, dają zwykle na pamiątkę coś ze złota lub srebra, podług możności. Akuszerce daje się najmniej jednego guldena, także mamce lub piastunce dziecka daje się jeden lub dwa guldeny. Księdzu płaci ojciec dziecka nowonarodzonego. Zwykle daje się dukata złotem; zależy to jednak od woli i możności rodziców.

Matka chrzestna daje zwykle oprócz znaczniejszego podarunku, całe ubranie do chrztu potrzebne. Ozdobną poduszeczkę białą, niebieską materją podszytą, kaftaniczek i czepeczek do garnituru stosowny.

Jeżeli z ceremonji chrzest później się odbywa, gdy już dziecko podrośnie, sprawia mu się zawsze ubranie białe do chrztu czy dla chłopczyka, czy dla dziewczynki.

Jeżeli dziecko jest zupełnie zdrowe, można poczekać z ceremonią chrztu, póki matka z łóżka nie wstanie, i nie uczuje się cokolwiek silniejszą. Taka ceremonja robi zawsze na matce wielkie wrażenie, szczególnie gdy po raz pierwszy matka wstaje; powinnością zaś wszystkich, którzy otaczają wtedy młodą kobietę, jest unikanie wszelkich silnych wstrząśnień tak fizycznych jak moralnych, któreby mogły źle wpłynąć na jej zdrowie. Jeżeli matka sama karmi co jest zresztą najświętszą i najmilszą powinnością, od której tylko zupełna niemożność fizyczna uwolnić może — tak ona sama jak i jej otoczenie powinno podwójnie uważać, żeby jej niczem nie zaszkodzić, bo wtedy każde jej wstrząśnienie dziecko boleśnie odczuwa i zaraz choruje.

Nie powinno się odwidzać matki po urodzeniu dziecka aż w dni dziewięć, a nawet we dwa tygodnie. Panny nie odwidzają nigdy kobiet w takim razie.

Nie może się to stosować do najbliższej rodziny, która wtedy z podwojoną miłością otacza łoże chorej. Jednakże nawet i najbliżsi nie powinni wtedy męczyć chorej pytaniami, raczej zachować się jak najciszej, mówić przynajmniej o przedmiotach wesołych i zajmujących, uważając żeby jej zbytecznie nie znużyć i snu tak jej wtedy potrzebnego nie przerwać. Czasem i zbyteczna troskliwość męczy chorego, szczególnie gdy objawia się zanadto hałaśliwie.

Matka zawsze powinna mieć dziecko obok siebie, gdy przyjmuje odwidziny, czy karmi sama, czy nie. Takie malutkie dziecko potrzebuje ciągłego oka matki, a przytem każdy z odwiedzających najprzód spyta się o dziecko przez samą grzeczność i takt towarzyski.

Dziwnie by wyglądało, gdyby dopiero na zapytanie gościa dziecię z innych pokojów przyniesiono. Dziecię zawsze trzeba chwalić i podziwiać. Nawet przesada jest w tym razie dozwoloną. Każda matka — z nader rzadkiemi wyjątkami — tak od pierwszego dnia urodzenia ubóstwia swoje dziecko, tak je widzi prześlicznem i doskonałem, że żadna pochwała nie wyda jej się przesadzoną, a każdą przyjmie wdzięcznem sercem i z najwyższém zadowoleniem.

Oczekujemy tych lubych małych gości zawsze z takiem dziwnem uczuciem, o różnorodnych odcieniach,

trwogi pewnej, niepokoju, a przytem najwyższej radości i ciekawości, jeżeli to szczęście ma nas spotkać po raz pierwszy, że chętnie każda młoda matka skraca sobie te długie miesiące błogiej nadziei, przygotowując wcześnie dla swojego maleństwa całą wyprawkę.

Mimo że każdej matce nic się nie wydaje zbyt pięknem i zbyt kosztownem dla jej dziecka, trzeba i tu zastosować się ściśle do możności. Zresztą nie koniecznie wszystko co kosztowne, jest praktycznem i wygodnem. Na pierwsze miesiące, nawet u osób najbogatszych najpraktyczniej przygotowywać bieliznę dla dziecka ze starego już używanego płótna nicianego. Trzeba o ile można unikać w pierwszych miesiącach płótna bawełnianego. Ciałko u dziecka malutkiego, jest tak delikatne i miękkie, że twardsze płótno, prawie do krwi przeciera każdym swoim załomem ten mleczny puszek. Żadna młoda kobieta nie jest przecie tak opuszczoną, żeby nie miała w rodzinie kogoś starszego, doświadczonego, ktoby jej dopomógł w tym razie. Zwykle nawet jest to najmilszem zatrudnieniem babek przygotowywać wyprawkę dla oczekiwanego wnuczęcia. Miłość babki dla wnuczków, to najsilniejszy wyskok uczucia, to jakby wyciąg potrójny najsubtelniejszej i najcudowniejszej woni. Wszak to dziecko jej dziecka.

Można prędzej darować bardzo młodym kobietom, że chęć zabawy odrywa je czasem od najświętszych obowiązków macierzyństwa, lecz kobieta, któraby nie szczyciła się tym najświętszym tytułem babki, byłaby jakąś anomalją, prawdziwym wyrzutkiem społeczeństwa!

Nie mniejszą też nawzajem miłością darzą wnuczęta taką dobrą babcię. Nie jeden sam już się zestarzeje, a jeszcze żywo ma w pamięci, z swoich lat dziecięcych, tę postać otoczoną jakby promienną aureolą, tę babcię ukochaną, która nas tylko psuć umiała, która miała dla nas zawsze uśmiech łagodny, uścisk serdeczny, pełne kieszenie przysmaków, która wyrozumiała naszą każdą zgryzotę, nasz każdy wielki kłopot dziecinny i zawsze jakąś radę na to znalazła. Gdy nam śmierć nieubłagana zabiera taką babcię najdroższą, to zdaje nam się, że nas anioł opiekuńczy opuścił, że za nami bramy raju na zawsze zamknięto. O! bo serce takiej babki to nasza przystań najpewniejsza, to raj prawdziwy naszych lat dziecięcych.

Ustęp to może zbyt sentymentalny i nie licujący z dziełkiem niniejszem; darujcie nam łaskawi Czytelnicy, iż mimowiednie wyrwał nam się z pod pióra, wywołany rzewnem wspomnieniem dni błogich, dawno, bardzo dawno ubiegłych bezpowrotnie! Mamy jednak silne przekonanie, że każdy kto taką babcię posiadał, podzieli chętnie z nami to wspomnienie i odszuka również w sercu i pamięci tę świętą postać, niegdyś przez niego tak kochaną i ubóstwianą.

Wracajmy do naszej wyprawki, od której odbiegliśmy tak daleko. Wspominamy tu tylko o rzeczach najpotrzebniejszych, które podług stanu i możności, mogą być mniej lub więcej bogato ozdobione i z materjału droższego sporządzone.

Koszulek ośmnaście, po sześć z każdej wielkości, najmniejsze, większe i jeszcze większe, do roku zupełnie wystarczy.

Pieluszek lnianych kwadratowych przynajmniej dwa tuziny.

Kaftaniczków tylko białych, — do roku nic kolorowego nie warto dziecku dawać, bo to na raz jeden prawie — trzeba mieć tuzin przynajmniej.

Biała cienka flanela, biała pika i perkal lub dyma biała w pasy zwykle bierze się na kaftaniki.

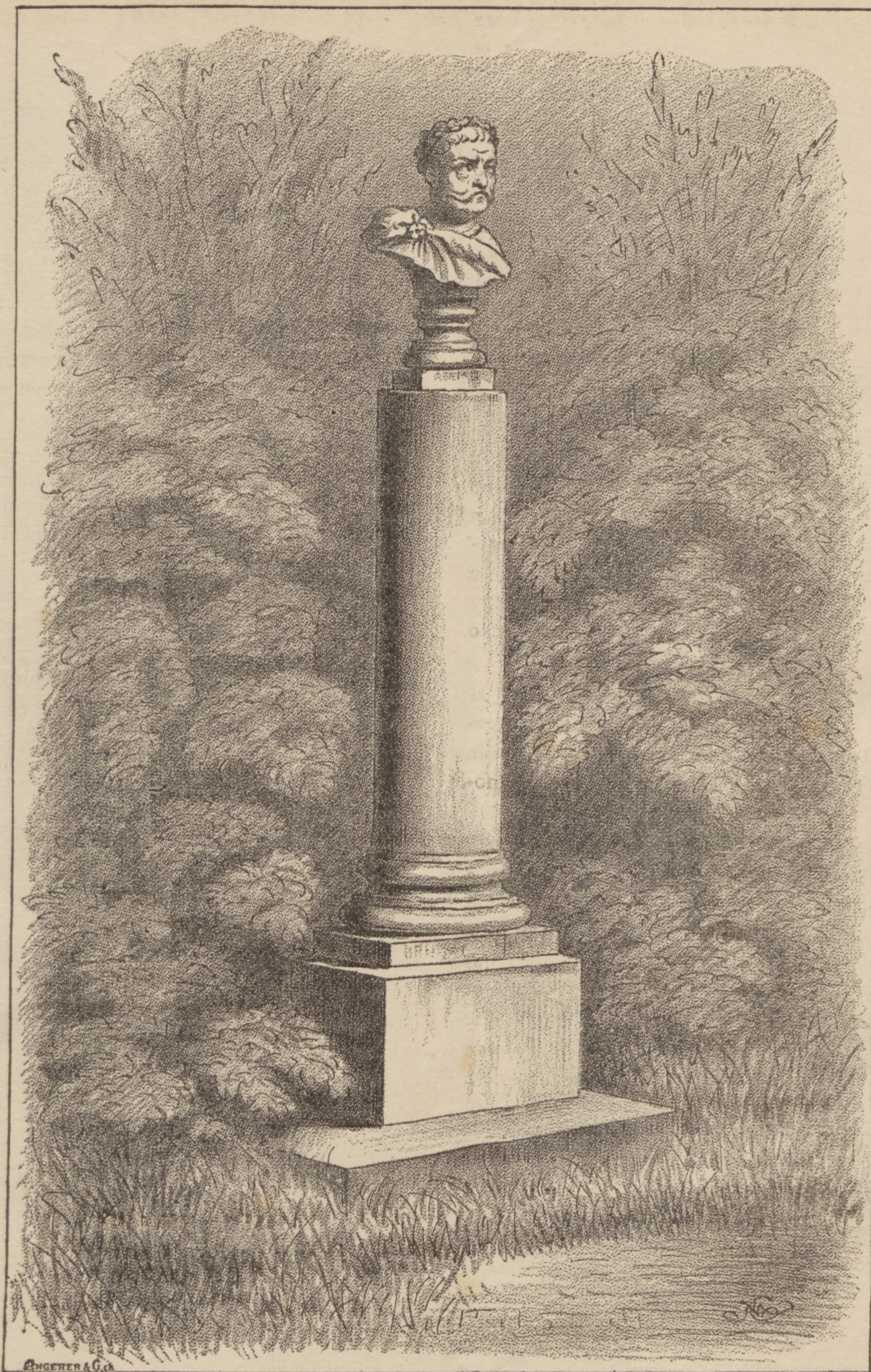
Najmniej cztery duże kwadratowe pierzynki, lekko puchem nasypane, żeby dziecko jeszcze do pół roku w nie zmieścić się mogło i ze dwie pierzynki długie na trzy łokcie, a prawie łokieć szerokie, w górze okrągło zakończone.

Te pierzynki bardzo elegancko wyglądają. Z boku wiąże się je wzdłuż na kokardy, a poszewki na nie daje z czegoś przeźroczystego białego, podszytego jedwabną materją niebieską lub różową. Zwykle taka pierzynka do chrztu służy. Czepeczki też trzeba robić potrójnej wielkości, bo i dziecko i jego główka rosną z szybkością zadziwiającą w pierwszym roku. Czepeczki robią się rozmaite. Do wielkiej parady, tiulowe lub na batyście cienkim haftowane, podszyte jedwabną materją, obszywane koroneczkami, ozdabiane mnóstwem kokardeczek ze wstążek wąziutkich, na co dzień białe perkalowe, tylko obszyte koroneczką. Do wiązania zawsze biała tasiemeczka będzie najpraktyczniejszą, bo nie puszcza, a każda farba nie tylko że dziecię brudzi, lecz może mu nawet szkodzić, gdyby przypadkiem dostała się do buzi.

Tak nazwanych podbrodaczów trzeba mieć przynajmniej dwa tuziny. Jest to rodzaj malutkich serwetek, które dziecku pod brodę się wiąże. Małe dziecię, szczególnie gdy ząbki dostaje, ślini się i często pokarm oddaje — przebierać je ciągle byłoby bardzo męczącem, a tak tylko podbrodacz daje się suchy i rzecz skończona Przynajmniej tuzin poszewek i tuzin prześcieradeł potrzeba do kołyski. W pierwszych miesiącach nie można dawać materaca włosianego. Trzebaby go prać ciągle, a włosień wilgoci nie znosi. Trzeba mieć ze trzy sienniczki uszyte i te napełnić cienką sieczką, którą bardzo często zmieniać należy, ile razy siennik się pierze.

Na siennik daje się kocyk z grubej flaneli białej we czworo złożonej i żółta cienka cerata, która bardzo chroni od wilgoci. Tak samo daje się flanela we dwoje złożona, na nią ceratka, a dopiero od pasa zaczynając, obwija się dziecko pieluszką i tak w poduszkę kładzie.

(*C. d. n.*)



Pomnik Sobieskiego w Żurawnie.

Pomnik Sobieskiego w Żurawnie.

(OBJAŚNIENIE RYCINY.)

Po żadnym pewnie z naszych królów nie zostało tyle pamiątek w kraju, co po JANIE TRZECIM, którego życie pełne sławy i bohaterskich czynów — na każdym kroku, pozostawiło dla potomnych niezatarte ślady swego przejścia i pełne chluby wspomnienia. Chocim, Wiedeń, Żurawno.... czyż to nienajpiękniejsze pomniki jego sławy, trwalsze stokroć od tych, jakie mu wdzięczna potomność ze spiżu i marmuru wzniosła.

Najpiękniejszym pomnikiem bohaterskiego króla — jest bez wątpienia Willanów, pałac w prześlicznej miejscowości pod Warszawą w którym dotąd — przechowują w religijnej czci — rozmaite po tym królu pamiątki. Wzniesiony on został na rozkaz Jana III. podług wzorów architektów włoskich, przez niewolników tureckich których król — pogromca półksiężyca, tysiącami brał w zwycięzkich walkach. Drugim, również wspaniałym jego pomnikiem, jest most w parku Łazienkowskim warszawskim, na którym wznosi się olbrzymia postać Jana IIIgo tratująca powalonych do nóg rumaka bisurmanów. Pomnik ten, — wzniósł bohaterskiemu swemu poprzednikowi król Stanisław August, — zniewieściały i potępiony w pamięci narodu monarcha, za którego, trzy mocarstwa podzieliły się Polską.... To też, krążył podówczas w Warszawie wiersz charakteryzujący doskonale obu królów odnoszący się do pomnika Jana IIIgo, który podobno stotysięcy złr. kosztował.

„Sto tysięcy kosztuje — jabym dwa kroć łożył,
By Stanisław skamieniał — a Jan trzeci ożył.

U nas w Galicji — znajdują się również liczne pamiątki po Janie trzecim — jak w Krasiczynie, w muzeum Ossolińskich — ale najważniejszą i najbardziej godną wspomnienia miejscowością — jest Żurawno, słynne zawartym tamże traktatem z Turkami, obecnie własność państwa Chajęckich stanowiącą. W Żurawnie znajdują się dwa pomniki Jana IIIgo. Jeden na polach żurawieńskich słynnych stoczoną tamże bitwą — drugi który właśnie wyobraża nasza rycina — wznoszący się w pieknie utrzymanym parku pałacowym. Oba te pomniki — świeżo zrestaurowane za staraniem p. Tadeusza Chajęckiego obecnego właściciela Żurawna, który z godną uznania gorliwością stara się o ich zachowanie — nie mało przyczyniają się do urozmaicenia tej ślicznej miejscowości — którą i tak już przyroda hojnie uposażyła.

Ktokolwiek będziesz w Żurawnie — nie zapomnij odwidzić tych pomników — i tych pól historycznych na których Jan IIIci toczył swe zwycięzkie boje — a od których owieje Cię tchnienie lepszej i godnej pamięci — przeszłości.

(— za —)

Ochłodzony.

Z „Romanzero“ Heine'go.

Gdy umrzem, — musim długie dni
Leżeć w mogile; straszno mi!
O, straszno mi, bo zmartwychwstanie
Nie przyjdzie ot, na zawołanie.

Raz jeszcze; nim mnie połknie cień,
Nim serce drgnie ostatniem z drgnień,
Raz jeszcze chciałbym, przed skonaniem,
Odżyć kobiety ukochaniem.

Lecz jasnowłosej pragnę łask,
Łagodnej jak księżyca blask, —
Bo na złe wyszły mi, bez miary,
Słoneczne dzikich brunet żary.

Młodzieńczy lud, co życiem wre,
Uczuć i żądz zamętu chce,
Szału, klętw, walk rozkosznéj męki
Burz — i wzajemnéj dusz udręki!

Niemłody, zdrowiem co się rwie,
Jakim w téj chwili czuję się,
Chciałbym raz jeszcze marzeń roju,
Miłości — szczęścia — lecz w spokoju.

Wł. Ordon.

Bieg świata.

Z „Romanzero“ Heine'go.

Kto ma wiele — taki skoro
O wiele więcej posiędzie,
Kto zaś mało, temu w krótce
I tę drobnostkę odbiorą.

Jeśli zaś nic nie masz zgoła,
Nędzny! niech cię pochowają —
Bo do życia prawo tylko
Mają ci, — którzy coś mają.

Wł. Ordon.

Moje wyjście z Warszawy do Drezna

przez **Ksawerego Bronikowskiego**

wice-prezydenta Warszawy podczas ostatnich dni rewolucyi 1831 r.

przetłumaczył z niemieckiego J. N. z Oleksowa Gniewosz.

(Dokończenie).

XV.

Pamiątki niezależności Polski w Saksonii.

Ustęp w tem miejscu opuszczony skonfiskowała c. k. Prokuratorja. Wydaliśmy drugi nakład z opuszczeniem inkryminowanego ustępu.

XVI.

Kwarantanna w Elsterwerdzie.

Zakład kontumacyjny nad Saską granicą, i tegoż dyrekcyjny urząd, zostały urządzone w małej miejscowości nazwanem „fajka“ (pfeife), pół mili od Elsterwerdy, gdzie podróżni zobowiązani byli na czas końtumacji zatrzymywać się; lecz rząd saski przewidując dobrze, że w jednem tylko domu różne rodziny nie będą się mogły w żaden sposób wygodnie pomiéścić, zezwolił odbywać kwarantannę w pruskiem miasteczku „Elsterwerda“. Zastaliśmy tamże obydwa hotele napełnione Polakami i podczas dziesięciu dni, któreśmy zobowiązani byli pozostać, przybywało codziennie po kilku. A że nam odwiedzać się nawzajem wolno było, chodzić po mieście a nawet dalsze robić wycieczki, czas nam upływał tak przyjemnie, jak to tylko było możebnem w zakładzie kwarantanny. W lekarzu, który doglądał naszego stanu zdrowia, znaleźliśmy uprzejmego, a w burmistrzu nader sumiennego człowieka, który nas strzegł od wyzyskiwania. Daleko smutniej uchodził czas tym Polakom, którzy nieczując się pewnymi co do swych osób w Prusach usiłując jak najprędzej dostać się na Saskie terytoryum poddawali się kwarantannie nie w Elsterwerdzie ale w fajce. Był tam pod obcem nazwiskiem ksiądz Puławski, którego imie podczas rewolucyi uzyskało niemałą sławę. Kwarantanna była podobną do więzienia, świeżego powietrza można tylko było zaczerpywać przez kraty okien — o przyjmowaniu i oddawaniu wizyt niebyło mowy.

Ich bezpośrednim dozorcą był tam tajny dyrektor, była to osobistość napędzona przez lud Drezna w czasie rewolucji — urzędnik policyjny, upamiętniony w karykaturach wychodzących w Drezdnie. Wtajemniczony w stawienie pułapek policyjnych, chciał takowe zaprowadzić praktycznie w zakładzie kontumacyjnym. Podejrzywał więc każdego przebywającego o podstawione stanowisko, a chcąc wykryć prawdziwe, łasił się pierwszego dnia do przebywających, obiecując wpływem jaki posiadał skrócić dni kwarantanny; następnego dnia, niemogąc sztuczkami wydobyć prawdy, ubolewał, że kwarantanna musi przynajmniej potrwać 10 dni a w końcu mówił bez ogródki, że może dopiero po dwudziestu dniach zezwolić na dalszą podróż. Pomimo biiskości Elsterwerdy nie dozwolił swym oficerom sprowadzania ztamtąd potrzeb do życia, każąc płacić za kwaśne wino i złą strawę, których sam dostarczał, drogie ceny.

Zamiast do kąpieli letniej jak przy wejściu do zakładu i wyjściu był przepis, dawał kąpiel zimną, w skutek których prawie każdy podlegał zaziębieniu, a co

najmniej katarowi. Ale dosyć o tym nikczemniku znienawidzonym w całej Saksonii.

Było to 29. Listopada. Zwykle w czasie rewolucji w Polsce obchodzono każdego 29. miesiąca, jako pamiątkę powstania, w którym to dniu wybuchła rewolucja w Warszawie. Polacy w Elsterwerdzie nie chcieli tego dnia pominąć, aby go nie obchodzić uroczyście. Byli pod tym względem jednozgodni, tylko z tą różnicą, że jedni nie chcieli przez to naruszyć gościnności pruskiej i sami siebie skompromitować, odradzali więc jawnej publicznej uroczystości. Gdy jednak większa część była za takową, uchwalono obchód. Aby jednak nie uwidocznić rzeczywistego powodu uroczystości, wysłano deputację do burmistrza, podając za pozór prośbę o zezwolenie obchodu imienin w kwarantannie znajdującego się tamże polskiego pułkownika Zeltnera, (*) iluminacją domu oraz śpiewem. Naturalnie burmistrz nie miał nic przeciw temu i przyjął sam zaproszenie. Oświetlono hotel, zaintonowano rewolucyjne pieśni, które trwały do późnej nocy; mieszkańcy zapełnili ulicę, aby słuchać muzyki; nikomu nie było obcem, że Polacy obchodzą rocznicę powstania, burmistrz jednak brał udział przez swą obecność i przysłuchiwał się śpiewom, będąc przekonanym, że się obchodzą imieniny Zeltnera.

Po dziesięciodniowej kwarantannie w Elsterwerdzie i chociaż każdy był zaopatrzony w świadectwo zdrowia musieliśmy przechodzić wszelkie formalności w zakładzie kontumacyjnym w F a j c e, objęte przepisem dla przybywających. Po zbliżeniu się do barjery Zakładu, nie wolno mnie było oddać mego paszportu człowiekowi do ręki, lecz chwytany takowy był w gorące obcęgi omaczane poprzednio w occie, które podawał człowiek wytresowany w urzędowej minie a okryty czarnem woskowem płótnem. Zaledwie kilka kroków dalej spotkałem dyrektora Zakładu i lekarza, których już dzieci poprzednio odwiedziłem wspólnie z lekarzem Elsterwerdy dla dowiedzenia się, czy mój stan zdrowia nie stanie na przeszkodzie do dalszej podróży. Obydwa, aby mię powitać podali ręce. „Jakto, rzekłem, z panami mogę być w najbliższej styczności, gdy co tylko paszportu mego nie przyjęto inaczej jak za pomocą środków jak najwiekszej ostrożności?“ „Ach! to są głupstwa, formułki, które zobowiązany jestem wykonywać!“ — odpowiedział dyrektor, oznajmiając mi z największą uprzejmością, że muszę się poddać jeszcze procesowi wędzenia w dymie i kąpieli, zanim będzie mnie mógł uważać za desinfekcjonowanego. „Czy ceremonja ta nie będzie również formalnością jak ujęcie paszportu żelaznemi obcęgami?“ zapytałem dyrektora. „Tak jest“ odpowiedział z uśmiechem — poczem lekarz zaprowadził mnie do kąpieli, t. j. do budynku, w którym drewniana wanna reprezentowała zakład kąpielowy. Zabawiwszy tam kilka minut bez kąpieli, albowiem nie było wody, wyprowadził mnie lekarz na dziedziniec, oświadczając, że proces kąpania ukończony. Równocześnie zaniesiono moje rzeczy do innej komory, które tamże zapewne w ten sposób, jak ja kąpiel odbywały proces wędzenia.

I wszystko to odbywało się z wewnętrznem przekonaniem, że to tylko chodzi o formalności, w skutek czego musiałem w duchu przyznać, iż synonimy dyrektora Zakładu były oparte na najzupełniajszej prawdzie.

XVII.

D r e z n o.

Wspaniała galerja, bogate muzeum, tak nazwane „grüne Gewölbe“, zbrojownia, piękne budowy, saska Szwajcarja, są to oczywiście przedmioty, które nietylko w różnorodny sposób zaspokajają ciekawość, lecz zdolne są wzbudzać uczucia i wrażenia.

Lecz człowiek nie jest usposobiony zawsze do przyjmowania tych wrażeń. Bywa, że duch zajmuje się wyłącznie jednym przedmiotem i otacza go tylko jedną ideą, często zbywa człowiekowi na humorze podziwiania piękności, które zdają się być przeznaczone do podnoszenia ziemskiego szczęścia; lecz nie posiadają siły, aby pocieszać w nieszczęściu, zmniejszać cierpienie. Dla mnie były te wszystkie skarby przyrody i sztuki bez życia, nie miałem dla nich uczucia. W innym rozdziale życia byłbym się może nad niemi unosił, w tej chwili jednak widok ich był dla mnie uciążliwy. Ja, który szukam pożywienia dla nadziei, czegoż się mogłem spodziewać od arcydzieł Rafaela, od koronnych klejnotów, zardzewiałej broni lub też jakiego cudu przyrody? Cóż za korzyść przynieść mi mogły wszystkie te godne widzenia przedmioty, których usposobienie ulotniłoby się i tak z pamięci? Nakoniec były w Dreznie przedmioty, które w tej samej scenie zajmowały całą moją uwagę tak samo, jak te nieruchome i niezmierne od dawna znane skarby, a w tej chwiii dla mnie obojętne. Ja żądny byłem poznania ludzi, zmianę idei i przekonania śię o innych zmianach, których się u nich po wstrząsnieniach politycznych domyślałem. Niestety nie miałem na to wiele czasu, lecz i tych kilka chwil, które mi się dostały w udziale, zaspokajają moją żądzę wiedzy.

XVIII.

Owoce drezdeńskich rewolucji.

I w Saksonji wybuchła ta choroba przynosząca zdrowie, za pomocą której narody budzą się, wzmacniają i chronią od otrętwienia żywot, który w skutek buty i przywilejów został dotknięty. Niemcy w Saksonji przebyli tę chorobę rozumnie, a to, co przy tem skorzystali, wynagrodziło im pracę i tę małą utratę krwi ludzkiej. Naprózno każą wierzyć gabinety, udając że same wierzą, jakoby przyczyną Saskiej rewolucji były sprawy religijne. Nieprawda.

Były one czysto politycznéj natury. Tak jak w ogóle w czasach obecnych sprawy religijne ustąpić muszą na drugi plan aby zostawić miejsce polityce, tak też i w Saksonji nie był kościół luterski od katolickiego prześladowany, a większa część protestantów tamże nie miała nigdy zamiaru ograniczać katolików w ich nabożeństwie. Były w rzeczy saméj w Saksonji katolickie nadużycia i dzieją się może nawet dotychczas, lecz nie można im przypisać Saskiéj rewolucji i nie dadzą z pewnością powodu, jeźli w Saksonji jeszcze raz wybuchnie rewolucja. Utrzymanie kościoła katolickiego było kosztowne, przy obsadzaniu posad urzędowych mieli katolicy pierwszeństwo przed ewangelikami, miały miejsce pojedyńcze niezależne prześladowania duchowieństwa; różnica religji dworu i większości narodu była i jest w pewnym stosunku nienaturalną i niewłaściwą. To wszystko jest prawdą; lecz to wszystko wkładało większy ciężar na system, który przez rewolucją został zaczepiony. Nie był to bój religijny lecz politycznych systemów które w całéj Europie, a tem samém i w Niemczech bezwzględnie występowały. Przez wstępny bój tychże położyli Sasi prawie zupełny koniec pociskom i nadużyciom, których się dopuszczali urzędnicy, żandarmerja i policja; uzyskali konstytucją, która chociaż nie zupełnie zaspakajała ich życzenia, to przynajmniéj otworzyła drogę do prawdziwej konstytucji; uzyskali gwardję narodową, która ich zasłania przed naruszeniem nowozdobytych praw; zdobyli zmniejszenie stałej armji, przez co ulżyli krajowi w podatkach. Instytucje te są jednakowoż stosunkowo za mało znaczne w porównaniu z olbrzymiemi postępami idei, które Sasi w czasie rewolucji poczynili. Ruch ten polityczny ocucił ich z drzemki, oczekiwania ich wzmogły się, rozwinęła się w nich tęsknota do publicznego życia; obydwa systemy polityczne zarysowały się wyraźnie, aby ich do wyższego życia politycznego przygotować i wprowadzić na zborny punkt świata, gdzie wolność narodów zwycięży. Te ważne owoce wynikłe na pozór z mało znaczącego wstrząśnienia spowodowały, że Sasi a przynajmniéj mężczyźni, z którymi wszedłem w bliższe stosunki, głośno mówili przeciw rządowi. Mówią oni wprost, że ich oszukano, że konstytucja ich nie jest dostateczną, aby mogła zabezpieczyć prawa narodu, że nie mogą się obejść bez wolności, na którą rząd nie chce zezwolić, że się znowu pojawiają nadużycia i niema środka, aby takowe skarcić publicznie. Mają króla w podejrzeniu, że gotów jest raczéj wezwać Austrję o pomoc do przelania niemieckiéj krwi, aniżeli uledz życzeniom narodu, a tak samo podejrzywają współregenta, że tenże w tym przypadku zwróciłby się raczéj do Prus. Mniemają, że teraźniejsza forma rządu jest potwornym powodem rewolucji, że długo nie potrwa; grożą, że jeżeli ich słusznym żądaniom rząd nie da posłuchu, raczéj zostaną Niemcami, jak Sasami.

XIX.

Dwór w Dreznie.

Podczas naszego pobytu w Dreznie prosił moskiewski poseł dwakroć króla o prywatne posłuchanie, aby żądać, iżby tenże bawiących w Saksonji polskich wychodźców w skutek bliskości granicy królestwa Polskiego wydalił ze stolicy kraju. Król nie dał mu natychmast odpowiedzi, lecz po zaciągnięciu rady odrzucił żądanie z téj przyczyny, że mieszkańcy, u których Polacy zyskali wielką sympatię, oburzyliby się, na czemby ich pilność w pracy ucierpiała. Dwór, którego nie obchodzą takie dyplomatyczne żądania i absolutne półkonstytucyjnych rządów, miał sposobność utrzymać swą samodzielność w obec posła moskiewskiego a dać odpowiedź innéj natury, uczynić ją zgodną ze swą popularnością, gdyby żądanie uczynione z taką arogancją nie był opierał na podstawie własnéj bojaźni, lecz na wolnomyślnéj gościnności i wprost odmówił. Innym razem opierał poseł moskiewski swe żądanie na okoliczności, że Polacy bawiący w Dreznie mogą z łatwością pobudzić mieszkańców do rozruchów; odpowiedziano mu, że twierdzenie to jest wątpliwe i to jest pewne, że chcąc mieć spokój w Saksonji, potrzeba dozwolić Polakom pobytu. Odpowiedź ta była już na drugi dzień w całem mieście wiadomą i nie wywarła dla powagi dworu nieprzychylnego wrażenia. Na to, że na dworze saskim trzy Polki zamianowano damami dworskiemi a jednego Polaka szambelanem, jako łatwe do przebaczenia resztki pamiątek dawnych stosunków Polski do kurfirsztów saskich, i że dwór drogą muzykę kościelną utrzymuje, patrzą patrjoci sascy z obojętnością; ale nie mogą tego dworowi przebaczyć, że wiele trwoni pieniędzy na operę włoską. Najwięcéj jednak przyczynia się dwór do swéj niepopularności przez to, że w życiu towarzyskiem odosabnia się od bardzo szanowanych i wykształconych obywateli Drezna tylko dlatego, że nie tworzą części szlachty i ciała dyplomatycznego. W ten sposób przekształca się on w kastę nieodpowiedną do dzisiejszego stopnia oświaty, i staje się w oczach mieszczaństwa śmiesznym i nienawistnym. Pod nazwą „resursy“ utworzyli dworzanie wraz ze szlachtą kółko towarzyskie, którego członkiem nie mógł być mieszczanin. Mieszczanie ze swéj strony założyli inne towarzystwo, zwane „harmonją“, do którego nie dopuszczają członków resursy. Resursa obserwuje swe statuta z taką ścisłością, iż nawet obcym, którzy nie są zaopatrzeni rekomendacją dotyczącego posła lub konsula, wstępu do swych sal wzbrania. W takiem przynajmniéj położeniu znalazło się kilku polaków, którym statuta resursy nie były znane. Zgłosili się oni do zarządu z życzeniem brania udziału w zabawach towarzystwa, a zarząd, pomimo że wiedział, iż osiedli w Dreznie jako zbiegi, żądał od nich rekomendacji posła rosyjskiego. Naczelnicy harmonji dowiedzieli się o tem, i udzielili go-

ścinnie wychodźcom tym bilety. Ci przyjęli zaproszenie z uznaniem i w czcigodnem towarzystwie nie spotkali wprawdzie dworzan, ale mężów pełnych miłości wolności, którzy współczucie dla ich nieszczęść szczerze objawiali. Zresztą sale harmonji są tak ozdobne, ochoczość jéj członków tak szczerą i niesztuczną, iż mieszczanie mogą się cieszyć, że ich wyłączono z towarzystwa dworskiego i szlacheckiego.

XX.

Zakończenie.

Kończąc to krótkie pismo, nie mogę się powstrzymać, aby nie wspomnieć o współczuciu, jakie okazywali Sasi podczas wojny dla naszéj sprawy, i w jaki sposób łagodzili potem naszą niedolę. Mówiono mi, że Drezdeńczycy w publicznych modlitwach wzywali Najwyższego o szczęśliwy wynik naszego boju za wolność; że w Lipsku po każdem zwycięztwie naszych powiewała chorągiew wolności, a po każdéj klęsce zatykano na wieży znak żałoby. Gdy przyszła wieść o zajęciu Warszawy przez Moskali, Drezdeńczycy zapełniali powietrze bolesnemi jękami, a podczas mego jednomiesięcznego pobytu w Dreznie żałowałem, że Polacy nie mieli sposobności do złożenia dowodów wdzięczności, jak umieli ocenić to współczucie. Zaledwie się w mieście dowiedziano, że rząd królewski poddaje się wnioskowi posła moskiewskiego, żądającemu wydalenia Polaków z Drezna, natychmiast odwiedziło nas kilku obywateli, poręczając, że nie zezwolą na takie postępowanie, jako niezgodne z życzeniem wszystkich obywateli, a jeden z nich dodał te słowa: „chcieliście poświęcić wasz byt dla wspólnéj sprawy, a wielu waszych braci oddało żywot za wolność, jest nas 6000 uzbrojonych obywateli, a żaden nie zniósłby hańby barbarzyńskiego postąpienia względem Polaków.“ Gdy utworzono komitet dla Polaków potrzebujących pomocy, każdy Drezdeńczyk brał udział według możności, pocieszali nas nadzieją; jak n. p. będąc chorym potrzebowałem pomocy lekarskiéj i nigdy nie zapomnę dobroci p. J., który aż do mego zupełnego wyzdrowienia odwiedzał mnie po dwa razy dziennie nie chcąc pod żadnym warunkiem przyjąć wynagrodzenia. Polka pewna pożyczała muzycznych dzieł u p. F., a jakkolwiek była mu zupełnie obcą, użyczał jéj tych dzieł bez zastawu. Aby Polakom uprzyjemnić czas ile możności, sprowadził dla nich Arnold do swéj czytelni Dziennik powszechny, a cukiernik Baldzin sprowadził tak samo Kurjera Warszawskiego. Pewien obywatel wziął do siebie żołnierza polskiego i przyrzekł w obec innych współobywateli, że mu chce zastąpić ojca i przyjaciela. Tych kilka rysów wystarczy, aby zaświadczyć o stanie umysłu i serca Saksończyków, i że zawsze budzić będą w Polakach wdzięczne wspomnienia.

KONIEC.

Gałązka bzu.

Fragment przez Olgę Komorowską.

(Dokończenie.)

Osmutnieli i głowy na piersi zwieszone trzymali oboje. Ona stała się wiotkim cieniem; ogień tęsknoty strawił jej młodość, świeciła wzrokiem tylko, patrząc na niego i uśmiechała mu się, a łzy wymykały się z pod jej przywartych powiek i na biało marmurowych rączkach świeciły jak drogie perełki. Czoło Lilijana, na którem w ojczyźnie igrała duma, nadzieja i zapał, stało się smętnem jak nadgrobek niepłakanego samotnika; postać nachyliła się ku ziemi, a młode skrzydła opadły i wlokły się za nim bezsilnie. Ręce wychudłe miał złożone na kolanach, w postawie tego co od życia niczego się już nie spodziewa, i rankiem budzi się pytając: Czemuż nie zasnąłem na zawsze? Trzymali się za ręce bo tylko dotknienie ich połączonych dłoni dawało im siłę wznieść się nad te żelazne zapory, wyjść na światło i usiąść nad rzeką co im blado przypominała tę nad którą wzrośli byli razem. Przeznaczenie spędziło ich daleko, wola wyższa, nieubłagana rozkazała wstąpić w inny krzew. Posłuszni, bez szemrania, ugięli głowy przed tym wyrokiem, ale dusze ich rozpadły się na dwie połowy, i co nocy wychodząc z krzewu będącego im więzieniem, żądzą gorącą leciały w daleką krainę, na skrzydłach pieśni, szczęśliwszej od ich bo wolnej i nie pochwyconej.

„Nie wraca“ rzekła Lilla po chwili „musiała zabiedz na błonia nasze, kędy bracia i sostry wiodą tańce swawolne, ona im mówi o nas...“

Rozśmiał się tęsknie biały duch.

„Czy sądzisz najmilsza, że oni o nas jeszcze pamiętają? Zapominasz że gromy i letnie skwary rówienników naszych rozwiały po szerokim świecie; stare lipy wyschły a drobna gawiedź tegoroczna nie widziała nas nigdy. Ci co pozostali pląsają co nocy dawnym zwyczajem; może w pierwszej chwili pożałowali i brak nasz uczuli sercem, dziś już uśmiechają się przyjaźnie innym, z góry na miejsca nasze zesłanym. O! mój słodki aniele, oddalenie wszystko z pamięci wykreśla...“

„Lecz bławatki wraz z nami wzrastały i tak nas kochały? a białe konwalje rosą twoją żyjące?“

„Żniwiarz lub dziewucha wiejska, obojętnie kosą i sierpem pościnali im jasne główki i wrzucili bez wątpienia wraz z innem zielskiem krowom lub koniom do żłobu; bławatki giną tam zawsze marnie aby niemi pierwsze lepsze bydlę żołądek sobie napełniło, i ciężkim snem na barłogu smacznie zasypiało; a białe konwalje z wiekiem bardziej się rozrosły, bo krzew nasz rodzinny choć burzą złamany i kwiecia wonnego nie ma już więcej, puścił znów od korzenia mdłe, cieniutkie prątki, i konwalje zadowolnić się niemi muszą.“

„A słowik co wśród naszych gałązek wił gniazdko dzwoniąc pieśnią miłości?“

„Odleciał na sąsiedni jaśmin, a cały oddany tej miłości roznamiętniony zmysłami, nie czuje nawet że mu tam obco.“

„Więc pamięć?...“ pytała Lilla patrząc w rzekę, w której kraniec jej białej szaty kąpał się i zdawał ciągnąć ją za sobą.

„Żyje w nas tylko najdroższa, płacze w nas, bośmy dalecy, rwie nam głos jękiem, bo koniecznością przeznaczenia wygnani zostaliśmy gwałtownie. My sami tylko o tej nocnej dobie, tu na obcej ziemi, myślą i pieśnią leciemy do nich...“

„O! to być nie może!“ zawołała Lilla „wypuszczę drugą piosnkę weselszą, może powróci i wieść dobrą przyniesie...“ Powstała, wyprościła kibić, i coś z dawnej świeżej młodości odbiło się na jej wybladłem licu, z piersi wydostał dźwięk ojczystej, weselnej nuty, i zakręciwszy się w jasnym promieniu nad ich głowami, trzepnęła skrzydełkami a potem prostym szybkim lotem odleciała za pierwszą i znikła.

Wytężyli wzrok i słuch w stronę, gdzie się rozwiała pierś podnosiła gwałtownie. Lilijan znów ujął rękę drżącej kochanki. Zdawali się liczeć sekundy, i za chwilę po falach rzeki płynącej z północy, przyżeglował wesoły oddźwięk wypuszczonej piosnki, ale zimny, metaliczny, pełen zapustnego, rubasznego śmiechu; przebiegł tuż koło nich lecz nie zatrzymał się, bo ich nie poznał, i poskakał dalej z falami.

Lilla zakryła dłonią oczy i rąbek białej szaty, co w rzece się kąpał, zarzuciła na rozpuszczone włosy, z których woda kroplami spadać poczęła, mieszając się z jej łzami, a z każdej łzy wstawała złoto różowa para, ulotniała się i odbiegła w niebiosa.

„Smutku nie chcieli słuchać“ szeptała „a w piosnce wesołej ukrytych łez nie odgadli, i rubaszne pozdrowienie z grubijańskim chichotem odesłali w przestrzeń. Zapomnieli już o nas na zawsze. Po cóż żyć i walczyć z tęsknotą? dajmy się jej zniszczyć. Spojrzyj mój Lilijanie, z każdej kropli spadającej mi z pierścieni włosów, z każdej łzy wstaje mgła wonna, w którą się cała rozpłynę niebawem. O! nie zatrzymuj mnie tu dłużej najdroższy; pozwól ulecieć i z przestrzeni raz spojrzeć znów na nich“.

„Czyż ci nie dosyć że się zaparli wspomnienia nawet?

„Ja ich kocham“ odparła z bladym uśmiechem.

„Więcej jak mnie?“ zapytał z bolem.

„O nie!“ odrzekła słoniąc mu się na piersi „tyś mi wszystkiem, bratem, kochankiem, ojczyzną; lecz i ty cierpisz, a gdy ja ulecę, ty pójdziesz za mną i boleść się zakończy.“

Spuścił głowę, rzucił okiem na owe krzewy, z których wyszli przed chwilą. Stały wyprostowane i obojętne. Wietrzyk przebiegł lecz one nawet nie zadrżały.

„Lillo“ wyrzekł z głębokiem westchnieniem „nie mam już i ja siły walczyć z przeznaczeniem, pasować się z losem i tęsknić bez granic. Oni zapomnieli a jeśli ty mnie odlecisz, cóż mi zostanie?“

„Wieczność myśli co wonią, powróci znów na ojczyste krzewy. Pójdź więc jedyny!“

I osłoniwszy go rąbkiem szaty, rozpostarła ją nad ich głowami, zbliżyła swe usta do jego ust i podniosłszy zachwytem miłości w mgłę się już zmieniając uniosła na księżyc.

Znikli, a w powietrzu coś zajęczało i fale zaszemrały głośniej w pożegnanie. Po wód powierzchni przesunęła się pierwsza tęskna pieśń spłakana, a ujrzawszy że ich już nie było podniosła się i wzleciała za niemi.

VII.

Przetarłem oczy i podniosłem ociężałe powieki. Wszak nie spałem, a jednak śniłem. Samotnicy śnią tak często! W dwoistej naszej istocie siedzą ukryte sny ciężkie i lekko skrzydłe, co nas na ziemię obalają lub w obłoki unoszą. Pierwsze są przypomnieniem niedoli przeżytych, drugie chwil szczęsnych; jedne nogi mają okute łańcuchem i brzęczą nim złowrogo z rzeczywistością straszliwą spojone, te znów ulatują nad nami, i różowemi pajęczemi niteczkami opasują nas i wznoszą po nad trudy żywota.

Spojrzałem na moją gałązkę bzu w szklance utkwioną. Uśmiechała mi się tęskno, uśmiechem bladolicej Lilli a niby głosem Lilijana tak mówiła pół szeptem.

„Wiesz zatem że tęsknota zabija, malując barwami ułudy przeszłość i przyszłość; rozerwij tajemniczy węzeł co cię z nią łączy, jeśli jesteś marzycielem, spojrzyj w rzeczywistość a w mgłę bolu się rozpłyniesz. Od ludzi żądaj tego tylko jedynie, co dać mogą, chociażby za woń ducha twego i krew twojego serca śmiech rubaszny w zamian ci przesłali. Oni żyją ciałem, a ty duchem tylko, bo ciało twoje płonieniem tęsknoty oczyściło się, wypiękniało, a duch jaśnieje niby gwiazda przewodnia. Czy nie widzisz że na błękicie drobne gwiazdki, zdają

się urągać śmiechem, wielkim jasno płonącym? lecz zaledwie dzień szarzeje, one światła wyrugować nie mogą, bledną i nikną; wielkie zostają nieporuszone w przestrzeni. Małość ducha urąga wielkości, ale wielkością jest przebaczyć, ze względu na małość. Tyś czysty duchem, lituj się nad temi, którym brudy codziennego żywota ciążą na obmokłych słotami skrzydłach, a gdy zażądają twej pomocy rozwiń twoje niepokalane i unieś ich z sobą; duchowa biesiada oczyści ich również. Ciało potrzebuje ducha i nierozłącznemi być powinny, aby równowagę utrzymać, i tej ziemi nie legowisko zwierza, ani też tajemniczą złudzenia komnatę utworzyć. Złącz się z bracią duchem, a pociągniesz ich łatwiej za tobą...“

Tak mówił Lilijan. Uśmiechnąłem się. Stary już byłem i znałem świat nieco, a z młodzieńczą jego nauką nie chciałem wchodzić w rozprawę. Zbliżyłem gałązkę i pociągnąwszy silnie woń jej orzeźwiającą, uczułem jakoby mię przekonał. Sam niewiedziałem — głosem czy wonią.

I odtąd ilekroć uczuję zapach mego ulubionego kwiatu, nadzieja znów odżywa w mém sercu. Kiedyż ujrzę me doliny rodzinne i spocznę u domowego ogniska? Może wkrótce, a może nigdy. W pierwszym razie posłucham Lilijana, przebaczę ludziom i dalej kochać ich będę. Jeżeli zawrę powieki nie doszedłszy celu.... duch mój unosić się będzie nad ojczyzną i nad braćmi.... pieśnią i słowem zawołam z po za grobu:

Jam was ukochał.

KONIEC.

POGADANKA.

(O tegorocznej wystawie Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie (koniec). — Nowe publikacje. — Lwów w sprawie uczczenia jubileuszu J. I. Kraszewskiego. — Odczyt Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. — Dar p. Klugera dla krakowskiej akademji umiejętności. — Nowości teatralne: „Nasi Kandydaci“ przez anonyma, i „Po śmierci Cioci“ przez M. Bałuckiego.)

Przechodzę do portretów. Te wcale nieszczególnie reprezentowane były na wystawie. Pominąwszy techniczną stronę, która nader wiele pozostawia do życzenia, grzeszy Rodakowskiego „Portret księcia Leona Sapiehy“ kardynalną niezawodnie dla portretu wadą, t. j. brakiem podobieństwa. Niefortunną zaiste było myślą przedstawiać księcia z zarostem, którego w czasie swego urzędowania wcale nie nosił, a okoliczność ta przyczynia się niezawodnie do jeszcze większego uwydatnienia tej wady, którą portretowi księcia zarzucam. Nie mogąc w płótnie tym odszukać znakomitych zalet pendzla p. Rodakowskiego, wspomnę chyba o akcessorjach, jako to: o guzikach u żupana, o pasie słuckim i t. d., które są istotnie pysznie malowane i przechodzę do innego przedmiotu.

Andrzeja Grabowskiego portret mężczyzny w polskim stroju, posiada wedle zapewnień tych, którzy znają przedstawioną osobę, zaletę podobieństwa, a odznacza się sumiennym rysunkiem i techniką wykonania. Mógłbym tylko zarzucić kolorytowi twarzy, iż jest chłodnym, wada, którą po raz dopiero pierwszy w utworze p. Grabowskiego spotykam.

O pana Pikarda „Portrecie mężczyzny“ będę chyba milczał z tych samych mniej więcej powodów, z których ks. biskup warmiński milczał o Ryczywole, natomiast nie mogę pominąć milczeniem akwareli Kossaka „Przy starej studni“, istnego cacka posiadającego wszystkie zalety, któremi się odznaczają dzieła Kossaka. Mniej udałym według mego zdania jest „Farys“ tegoż artysty — wielka omelette aut confitures przypominająca szczupaka w szafranowym sosie. Koń, jeździec i sęp uderzający na pędzącego Araba, są pełne charakteru, energji, ruchu i życia, aliści sztafaża, którą tworzą tumany piasku libijskiem oświecone słońcem, wydają mi się trochę nienaturalnem i być może dlatego, że nigdy nie byłem w pustyni.

Z pomiędzy rzeźb zasługują tylko na uwagę dwa biusty Teodora Rygiera z Warszawy, odznaczające się znakomitem wykończeniem, które marmurowi i bronzowi nadaje dziwną miękkość, ciepło i życie. Pierwszy z tych biustów, marmurowy, przedstawia warszawską artystkę dramatyczną p. Bakałowiczowę — drugi, bronzowy, dr. Lewitoux, wynalazcę sposobu zdejmowania maski gipsowej z żywych osób. Warszawiacy utrzymują, że biusty te celują podobieństwem.

Na kilka dni przed zamknięciem wystawy nadesłano dwa uwagi godne płótna. Pierwsze z nich, studium olejne, przedstawia przecudny biust kobiety Rzymianki, odznaczający się mistrzowskim rysunkiem, soczystym kolorytem i złotym tonem przypominającym obrazy Tyciana; — podpis: Siemiradzki. Drugie, nature morte, przedstawiające zabitą srokę wiszącą na drewnianej lamperji, po której pełza mucha. Sroka sama była rysowaną poprawnie, ale w kolorycie nie dość plastycznie trzymana, płaska; natomiast zwracało powszechną uwagę wierne naśladownictwo słojów drewnianej lamperji, doprowadzone aż do takiej doskonałości, iż wywoływało złudzenie. Słowem była to sztuka i kawałek!

Nowości literackich mam dziś do zapisania kilka. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta wyszły z druku w powtórnem wydaniu znakomite aforyzmy Fedorowicza p. n. „Z teki wiejskiego szlachcica.“ Książeczkę tę spotkała nieprzychylna ocena ze strony krytyki warszawskiej, mianowicie zaś ze strony p. Świętochowskiego, który złudzony nowym tytułem tej publikacji zapytuje ironicznie: „Czyżby szlachta galicyjska ogólnemi zagadnieniami filozofji się trudniła i tekę swoją wypisami cudzych zdań zapełniała? Zapytanie to w pier-

wszej swej połowie dziwnie brzmi w ustach tak znakomitego krytyka, bo dlaczegożby szlachta galicyjska miała się trudnić wyłącznie tylko oraniem, sianiem i zbieraniem, — tem dziwniej zaś brzmi ono w zastosowaniu do p. Fedorowicza, który jak to świadczą jego Aforyzmy, był na wskróś filozoficznie wykształconym myślicielem; — druga część tego zapytania jest jeszcze niewłaściwszą, jakkolwiek bowiem Aforyzmy naszpikowane są cytatami, które znakomitego oczytania autora dowodzą, to jednakże wnioski, które autor z zdań obcych wyciąga, są swojskie, rodzime, specyficznie polskie, szlacheckie i nawet indywidualne. Prawdy w Aforyzmach zamknięte są pełne nieraz wzniosłości, a chociaż wypowiedziane częstokroć w formie nader jowialnej ba nawet rubasznej, nie tracą one przeto nic na swej wartości, a wiążą się w pewien ogólny systemat, którego gruntem jest trzeźwy, zdrowy że tak powiem chłopski rozsądek, stawiający tę rodzimą filozofję ponad wszelkiemi metafizykami zagranicznych teoretyków.

Pierwszy zeszyt Biblioteki filozoficznej, wydawanej przez lwowską „drukarnię związkową“ opuścił prasę właśnie w tych dniach w ozdobnem bardzo wydaniu. Podjęcie myśli tego wydawnictwa zasługuje ze wszech miar na pochwałę i jak najgorętsze poparcie, odpowiada ono bowiem dawno już poczutej potrzebie. Podczas gdy tłumacze i wydawcy nasi przyswajali nam z pospiechem lepszej godnym sprawy każdą, chociażby najlichszą francuzką lub angielską powieściarską ramotkę, nie posiadaliśmy dotąd przekładu prac onych myślicieli, którzy oswobodzając umiejętność z pęt scholastyzmu, pierwsi naukę na dzisiejsze jej popchnęli tory. Pokarm taki nie odpowiada wcale rozumnej umysłowej hygienie, jak bowiem słusznie powiedziała już pani de Sévigné: à défaut d'une lecture sérieuse, l'esprit gagne les pâles couleurs... Owoż brakowi temu pragnie zapobiedz wydawnictwo, zaznajamiając nas z dziełami najpoważniejszych, najgłębszych, do prawdy dążących myślicieli, a wykluczając zupełnie onych filozofów, którzy systemata swoje na wyrazach opierają. „Pragniemy — powiadają wydawcy w swej przedmowie — społeczeństwu naszemu, przeważającą powieściową literaturą rozmarzonemu, podać strawę umysłową jędrniejszą i bardziej pożyteczną; pragniemy obudzić samodzielność myślenia w szerszych niż dotąd kołach...“ Myśl zatem przewodnia tego wydawnictwa nie jest skierowaną ku spekulacji, ale raczej ku wypełnieniu poważnego społecznego zadania, i należy się jej przeto gorące poparcie wykształconej publiczności... Przeciwko przygnębiajacemu pesymizmowi — wołają wydawcy dalej w swej przemowie — przeciwko niszczącym doktrynom nihilistów, przeciw ogłupiającym niedorzecznościom mistyków i spirytystów, przeciwko rozmarzeniu wreszcie i umysłowej gnusności potrzeba lekarstwa a znaleść je najbezpieczniej w tym umysłowym pokarmie, który Anglji i Francji niespożyte moralne, umysłowe i materjalne nadał siły.

Zeszyt pierwszy Bibljoteki filozoficznej zawiera z dzieł Kartezjusza (Descartes) „Rozprawę o metodzie“ jak dobrze kierować swym rozumem i szukać prawdy w naukach. List do księdza Picot tudzież Reguły do kierowania umysłem, poprzedzone treściwym wykładem o życiu i pismach Kartezjusza, napisanym przez tłumacza p. Wojciecha Dobrzyckiego, opatrzone licznemi komentarzami i ozdobione portretem Descartes'a. Postawienie Kartezjusza, a mianowicie jego Rozprawy o metodzie na czele wydawnictwa dowodzi pewnego systemu w publikacji Bibljoteki filozoficznej. Descartes bowiem słusznie za ojca nowoczesnej filozofji może być uważanym, gdyż on pierwszy podniósł konieczność opierania pewności na pojęciach prostych i już przez się oczywistych. W dalszym ciągu obiecuje nam wydawnictwo przekłady dzieł Bakona, Lockego, Condillaca, Monteskiusza, Spinozy, Humego, d'Alemberta, Littrégo, Schaftesburego, Mösera, Addisona, Labryera, Kanta, Platona: Arystotelesa, Cicerona, — ba nawet i ojców kościoła: Tertuljana, S. Augustyna, i S. Chryzostoma

Nakładem księgarni Polskiej wyszły Laboulay'a Granice państwa (Les limites de l'etat) dzieło w obec panujących dziś prądów, dążących do uzurpowania wolności jednostce słusznie należnej na rzecz państwa, wielce ciekawe i pożyteczne. Opierając się na zasadzie, że państwo nie jest niczem innem, jak tylko strażnikiem swobód, tak całej społeczności jak i pojedynczych jego członków, rozbiera w dziele tem autor gruntownie naturę stosunku państwa do rządzonych i zakreśla główne warunki tego stosunku, oznaczając one granice, których w wrzekomym interesie ogólnego dobra przekraczać nie powinne attrybucje władzy, jeżeli opieka jej nad rządzonymi ma być opieką, a nie uciskiem. Dzieło to zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie.

Ruchliwa księgarnia Władysława Bełzy dwie nowe, a wielce ciekawe przynosi nam znowu publikacje, odznaczające się oną wytwornością, którą się odznaczają wszystkie jej wydawnictwa Pierwszą z nich jest znana Wam ze Strzechy powieść Wojciecha hr. Dzieduszyckiego Aurelian, której przeto, ponieważ to dziecko naszego domu, chwalić tutaj, tak jak na to zasługuje, nie wypada. Drugą są pani Józefy Treterowej Wspomnienia z podróży na Wschód drukowane niedawno w lwowskim Tygodniu, a wychodzące obecnie w osobnej odbitce, i to nie w wielkiej liczbie egzemplarzy,“ gwoli tym — jak w przedmowie powiada wydawca — których one zająć i zaciekawić mogą.“ Zająć zaś i zaciekawić mogą one każdego, pominąwszy bowiem tę okoliczność, że pani Tretterowa, jest o ile wiem pierwszą Polką, która zwiedziwszy Egipt, Syrję i Palestynę, opowiada nam w książce swoje podróże, zasługują „Wrażenia“ jeszcze i z tego powodu na uwagę, iż pisane są lekko, gładko, potoczyście i bezpretensjonalnie. Są tam wprawdzie niektóre usterki: i tak utrzymuje n. p. pani Tretterowa, że S. Jan pisał swą Apokalipsę na wyspie Thenedos, podczas gdy jak wiadomo, Apokalipsa była pisaną na wyspie Pathmos. W drugim miejscu wyczytałem następującą à propos przybycia do Konstantynopolu napisaną dysgressję. „Od czasów kiedy Konstantyn widząc znak na niebie „In hoc signo vinces“ tu na przekór starej Romie nową założył stolicę, aż do dzisiejszej chwili, iluż tu panów wojowników i zdobywców widział ten przecudny kąt ziemi? Macedończycy, Persy, Awarowie, Araby, Kozacy, Frankowie, Turcy i Rosjanie ubiegali się krwawo o ten klejnot wschodu!“ Otóż w czasie kiedy się Macedończycy i Persowie mogli ubiegać o ten klejnot wschodu, klejnot ten jeszcze nie istniał wcale, gdyż jak słusznie twierdzi autorka został on dopiero

przez Konstantyna W. zbudowanym, — co się zaś tyczy Awarów, Arabów, Kozaków, i Rosjan, ci się nigdy nie ubiegali dotąd jeszcze o zdobycie Carogrodu. Zdobytym on został tylko raz przez krzyżowców (Balduin) a drugi raz przez Turków; Kozacy zaś, mieli wprawdzie dotrzeć aż do przedmieść Stambułu, nie chodziło im jednak wcale o jego posiadanie lecz tylko o rabunek...

Pomimo usterek tych, które dziwnym trafem niespostrzeżone przeszły cenzurę aż dwu wydawnictw, zawierają Wspomnienia z podróży na Wschód wiele zajmujących, a nawet mało znanych szczegółów, a że jak powiedziałem czytają się przyjemnie i pouczyć mogą nie jednego, przeto mi je tylko zalecić wypada czytelnikowi.

Prace na polu robót organicznych wywołały także kilka ze wszech miar uwagi godnych publikacji. Do tych należą: Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych wydawane przez krajowe biuro statystyczne pod redakcją dra Tadeusza Piłata, których rocznik czwarty zawierający statystykę gmin w tych dniach właśnie opuścił prasę. Praca ta składa się z trzech części, z których pierwsza „Pogląd historyczny na urządzenie gminne w Galicji" jest wybornym wstępem historycznym do części drugiej „Statystyka gmin i obszarów dworskich w Galicji" i trzeciej „Życie gminne w Galicji". Pierwsze dwie części są opracowane przez dra Piłata, trzecia jest dra J. Kleczyńskiego. Równocześnie wydano dwa pierwsze zeszyty piątego rocznika. „Wiadomości" obejmujące „Stowarzyszenia zarobkowe i gospodarcze" dra Alfreda Zgórskiego „Wybory do sejmu w r. 1876" dra J. Kleczyńskiego, wreszcie „O kasach oszczędności" w Galicji w roku 1877 dra Tadeusza Skałkowskiego. Dalej należy się słusza uwaga „Sprawie funduszu indemnizacyjnego" broszurze napisanej z gruntowną znajomością rzeczy przez posła sejmowego dra Tadeusza Skałkowskiego. Zalecić wypada pracę tę każdemu, kto chce się zapoznać z historją i stanem sprawy indemnizacyjnej, oraz dowiedzieć dlaczego już przez lat 30 płacimy tak olbrzymie dodatki indemnizacyjne, które prawdopodobnie płacić będziem jeszcze i w nieskończoność. Wreszcie wspomnieć należy tu Kilka uwag na czasie o pisarzach gminnych napisanych przez J. S. T. a odznaczających się bardzo zdrowemi poglądami.

Akademia umiejętności w Krakowie otrzymała świeżo od p. Władysława Klugiera, krakowianina a inżyniera i profesora w Limie, mnóstwo okazów (przeszło 450) starożytności peruwiańskich, a mianowicie: czaszki ludzkie z tamtejszych grobowisk, przeróżne naczynia z gliny, z drzewa z tkanin, ze srebra i z miedzi, najrozmaitsze ozdoby do ubrania należące, figury bożyszcz i amulety, starożytne chorągwie, łuki i strzały, tudzież mnóstwo tkanin, ich materjałów, narzędzi tkackich i t. p. przedmiotów, któremi dopełniono zbiór starożytności peruwiańskich, poprzednio przez p. Klugera dla akademii nadesłany. Jak wiadomo, jedna tylko akademia umiejętności w Krakowie ze wszystkich naszych naukowych zakładów szczyci się tak bogatym zbiorem starożytności peruwiańskich. Otrzymanie wspomnianych starożytności tem większą jest dla akademji niespodzianką, ponieważ skutkiem rozbicia się okrętu „Karnak" takowe do Europy wiozącego, powyższe przedmioty od grudnia roku zeszłego w podróży zalegały i za stracone już uważane były. Dzis jednak, szczęśliwie uratowane dochodzą po 10 miesiącach na miejsce swego przeznaczenia.

Wreszcie zebrał się Lwów także na... zamiar uczczenia jubileuszu J. I. Kraszewskiego wydaniem albumu zbiorowego, zawierać mającego płody lwowskich literatów. Ihr kommt spät, aber ihr kommt doch!... Redakcją zajmuje się komitet, którego sekretarzem jest współpracownik Gazety narodowej p. Bolesław Spausta i pod jego to adresem nadsełać należy rękopisy. Kto zna antagonizmy i antypatje nurtujące nasz świat literacki, ten albumowi temu z pewnością świetnej przyszłości rokować nie może. Należałoby, zamierzając podobne wydawnictwa, liczyć się troszeczkę z panującemi w cechu Apolina usposobieniami i powierzać kierownictwo ludziom nie należącym do żadnej wybitnej koterji, coby zamierzonemu celowi bezsprzecznie lepsze zapewnić mogło powodzenie. U nas niestety, tworzą się w takich razach natychmiast konsorcja, które uważają rzecz tak ogólnego interesu, za przedmiot monopolu, biorą hołd mający być wyrazem czci ogółu dla tej lub owej znakomitości w antrepryzę i odstręczają w ten sposób chętnych od udziału. Przypominam tu Sobótkę i obiad dany niegdyś na cześć Goszczyńskiego, od udziału w którym literackie niedorostki najpodrzędniejszego autoramentu, odsunęły znanych w naszem piśmiennictwie autorów, między innymi taką potęgę, jak p. Lam... Gillerada to nie do uwierzenia, a jednak prawdziwa!...

Sezon odczytów rozpoczął się świetnie trzema odczytami Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, który mówił o filozoficznym pojęciu moralności, przebiegając historycznie rozwój tego pojęcia od greckich aż do naszych czasów. Ciekawe studjum to, które jest ni mniej ni więcej jak tylko historją filozofji, opowiedzianem było w sposób przystępny, jasny i wielce zajmujący, a mimo to trzeźwy, jędrny i poważnie naukowy. Słyszałem, że prelegent improwizował odczyt swój bez poprzedniego przygotowania, coby niezawodnie świadczyło o wielkiej znajomości obranego za temat przedmiotu, o znakomitej zręczności w szybkiem uchwyceniu, uporządkowaniu i traktowaniu tak obszernego materjału, jakoteż o niepospolitej łatwości oratorskiej inwencji. Prelegent zamyśla odczyty te spisać i wydać w osobnej odbitce.

Nowości scenicznych mieliśmy w bieżącym miesiącu dwie. Pierwsza z nich p. n. Nasi kandydaci, napisana przez jednego z znanych już na polu dramatycznem pisarzy, osnutą jest — jak już tytuł jej świadczy — na tle naszego autonomicznego życiu i służą jej za motyw główny intrygi wyborcze. Są w tej komedji znakomicie ujęte typy, sceny żywcem z natury podchwycone i sytuacje pełne komizmu, atoli całość nie zaokrąglona artystycznie i wymagałaby staranniejszego i umiejętniejszego obrobienia. Przerobiona stosownie mogłaby sztuka ta być bardzo dobrą typową komedją, takiemi jednak, jakiemi są, nie będą się Nasi kandydaci mogli długo utrzymać w repertoarzu.

Druga nowość „Po śmierci cioci" Bałuckiego osnuta jest na tle życia onej warstwy społecznej, z którego nam autor Radców pana Radcy tak udałe zwykle przedstawia obrazki. Głównym bohaterem tej sztuki jest fałszywy poeta, który tombakowe zapały swoje usiłuje zeskomptować w drodze bogatej

żeniaczki, spekulując na wrażliwość majętnych, a krytycznego zmysłu pozbawionych jedynaczek. Typ tego zimnego, chłodnego, wszelkich szlachetnych uczuć pozbawionego spekulanta, drapującego się w ornat poezji, wiedząc, że to jeszcze czasami popłaca, pochwyconym jest z natury i tchnie tą ciepłą, żywą prawdą, którą się odznaczają wszystkie tego rodzaju kreacje p. Bałuckiego. Nadmienić tu muszę, że pan Kwieciński znakomicie pojął intencje autora i odegrał swą rolę po mistrzowsku. Również z życia wziętymi typami są bohaterka, młoda naiwna pensjonarka, wierząca szumnym deklamacjom pseudo-poety i chwilowo obałamucona jego fałszywym patosem — ojciec jej żarłok, dusigrosz i egoista, poświęcający tym swoim namiętnościom los swojego dziecka — wreszcie przyjaciółka bohaterki młoda mężatka, niegdyś także przez fałszywego kochanka uwielbiana, a później przezeń porzucona, która oczywiście wieszcza spekulanta demaskuje i przyjaciółkę z szpon jego wyrywa.

Intryga komedji tej zręcznie splątana i snuje się przez sytuacje pełne komicznego effektu. Publiczność wdzięczna za wieczór na przedstawieniu tej sztuki przyjemnie spędzony, wywołała autora, który w teatrze był właśnie obecnym. Niezawodna rzecz, że część zasługi spada także na reżyserję za stosowne obsadzenie ról, tudzież na panie Kwiecińską i Parżnickę, jakoteż panów Kwiecińskiego i Skalskiego, którzy pojęli intencje autora i odegrali role swe z werwą i prawdziwym humorem.

Włodź. Zagórski.

POKŁOSIE.

Muzyka barw. Od dawna już nasuwało się badaczom przyrody porównanie tonów z barwami; malarze mówili o tonach barw, muzycy o barwach dźwięku a wreszcie jedni i drudzy o harmoniach, dysonansach i t. d. barw i tonów. Gdy Newton rozłożył białe swiatło słoneczne na całą skalę barw, postawił jedynie ze względu na siedmiotonową skalę głosu siedm barw głównych; inni badacze twierdzili, że samogłoski mają całkiem wyraźne barwy, że np. i jest żółte a *u* niebieskie; co więcej, Leonard Hoffman porównywał nawet w swojem dziele o harmonii barw (1786) barwę czysto niebieską z tonem skrzypców, zieloną z głosem ludzkim i utrzymywał dalej, że dzwięki klarneta są żółte, trąby czerwone, waltorni purpurowe, pagota fioletowe, wiolenczeli błękitne, i t. p. Opierając się na tych porównaniach próbował najprzód fizyk Bertrand Kasse (1688 do 1757) utworzyć klawikord barwiany, w którym pojawienie się harmonijnych i sprzecznych barw w pewnem następstwie miało sprawiać wrażenie muzyki barw. Myśl tę rozbierano w swoim czasie bardzo obszernie, ale nie zdaje się, iżby ją kiedykolwiek z pomyślnym skutkiem wykonano W najnowszym czasie jednak potrafił angielski fizyk Sedley Taylor w Cambridge, opierając się na doświadczeniach z telefonem wymyślić taki aparat, który urzeczywistnia w najświetniejszy sposób widowisko muzyki barw i otrzymał od wynalazcy nazwę Phoneidoskopu. Przyrząd ten który nabyć można od firmy „C. Tisley i spółka“ w Londynie, składa się po prostu z metalowej rury, kształtu litery L, przytwierdzonej na małej podstawie. Do krótszego ramienia rury przytwierdzona jest rurka gumielastyczna z szeroką pipką, ażeby dźwięk głosu lub instrumentu muzycznego mógł być wygodnie wpuszczony do rury. Na górny otwór kładzie się kółeczka blaszane, których różnego kształtu dziurki powleka się za pomocą pędzla i mydlin błonką mydlaną. Skoro tedy puści się za pomocą pipki dźwięk muzyczny na migącą barwami błonkę i zamieni ją niejako w drgający płotek telefonu, powstaje przepyszne wirowanie barw przy nieruchomych miejscami smugach, podobnie do figur dźwięku, które jednak ciągle zmieniają kolor, formę i chyżość w miarę tego, jak błonka staje się cienszą, ton się zmienia lub siła jego się wzmaga. Spiewana do rury skala głosu wyprowadza na jaw cały szereg przepysznych kolejdoskopowych obrazów, które z niewyczerpaną obfitością coraz nowe i odmienne przybierają kształty, aż wreszcie zaczynają tu i ówdzie pojawiać się czarne smugi i punkta, poczem pęka błonka mydlana.

Połów sardynek. W pierwszych miesiącach wiosennych zaczyna się u atlantyckiego wybrzeża Francji i wybrzeża Sardynii połów sardynek, od którego wyspa ta otrzymała swoją nazwę i który naszym smakoszom dostarcza owych wybornych powszechnie znanych rybek. Ryba ta należy do rodzaju śledzi, jest 4 cali długa, ma niebieskawą barwę i srebrzystą łuskę i jest nierównie delikatniejsza i smaczniejsza niż sardelka. Tysiące ludzi żyje w wspomnionych okolicach i we Włoszech z tego połowu. A chociaż bez tego przysmaczku nie odbywa się żadna wykwintniejsza uczta, i chociaż każdy zna dobrze owe szczelnie zamknięte puszki blaszane, które tak ponętnie połyskują na wystawach handlów przysmaczkowych, to przecież niejeden z czytelników nie wie zapewne nic jeszcze ani o połowie sardynek, ani też o ich przyrządzaniu, i przeto pozwalamy sobie podać tu krótkie opisanie tychże.

Połów odbywa się po największej części nocą przy blasku latarni i pochodni za pomocą dużych wąskich sieci. Tysiące ludzi wyrusza małemi lekkiemi statkami na połów sardynek, i przywożą ich nieraz 10,000 do 20,000 sztuk. Sposób przyrządzania jest rozmaity. Zwykle wyciągają natychmiast złowioną sardynkę i odcinają jej głowę. Następnie pakują je w kadzie lub beczki, gdzie przez kilka godzin leżą w mocnej ropie, poczem wyjmują je napowrót i płuczą starannie. Po tém oczyszczeniu wkładane bywają do kotłów z wrzącą oliwą ale tylko na parę minut, ażeby się nierozleciały, a ztamtąd przechodzą już do wspomnionych puszek blaszanych, gdzie układają je warstwami w świeżej oliwie prowansalskiej. Po takiem opakowaniu następuje wreszcie hermetyczne zamykanie puszek, które wkładane bywają jeszcze raz do wrzącej wody, dla usunięcia z nich wszelkiego możliwego fermentu; a gdy po tem przegotowaniu zupełnie już ostygną, pakują po 100 takich puszek do jednej skrzyni i wywożą. Obfitość połowu przewyższającego nieraz nawet połów śledzi, zaledwie wyobrazić sobie można. Dlatego podajemy tu przykład. W okręgu Quimper (w departamencie Finistére) zajmuje się zawsze kilka tysięcy kobiet i mężczyzn soleniem i czyszczeniem tych rybek, a cała ludność tej wyspy utrzymuje się prawie wyłącznie z handlu temi rybami.

Kącik humorystyczny „Strzechy"

P. Amfjon Kulita.



Do Niej

gdy powróciwszy z komedji „Po śmierci Cioci" podarła wiersze moje na papiloty.

Gardzę światem — gardzę ludźmi
I nią gardzę, bo się śmiała,
Kiedy plwano na żar święty,
Co w Kulity łonie pała...

Gdy szyderstwa ostry świder
Wiercił w skale mojej duszy,
Łzy z niej krwawe dobywając,
Ona drwiła z mych katuszy

I wróciwszy z styp tych sprosnych
Wzniosłe ducha mego loty
Wiersze moje — ach — pocięła
Robiąc sobie... papiloty

Drwij nieszczęsna: kraj nożycą!
Czyn uwiecznię twój w mej pieśni,
Niechaj świadczy przeciw Twojej
Uczuć suszy — ducha cieśni!...

Tak jak ty zawijasz w moje
Wiersze, Twoich włosów sploty,
Tak zawinę Twą bezduszność
W pieśni mojej papiloty...

Z nich potomni się dowiedzą,
Żeś mnie pojąć nie zdołała,
I żeś dłonią świętokradzką
Arcydzieła me krajała...

W tabaczkowych będziesz pieśniach
Pokutować w czas daleki
Jak w rymowem piekle Danta...
Przeklną Ciebie późne wieki!...

Jak z wulkanów law potoki
Spłyną klątwy na Twą głowę;...
Lecz mej pieśni nie zabiłaś
Ho nie, nie!... E pur si muove!

Miałem, szczęściem dla ludzkości,
Odpis jej w mym sekretarzu...
Ocaliłem ją Wandalko;
Wyjdzie wkrótce — w kalendarzu!...

Obywatel Tromtadracki.



Tfu ten sejm!.... Dalibóg my tutaj jak jesteśmy, to daleko mądrzej gadamy; jak oni tam wszyscy. . Nie ma ducha w tym sejmie Obywatelu, nie ma ani trocha!...

Kawalerze daj no kieliszeczek; no, rusz że się do miljona bomb!... Hm, dobra, dobra!... Ja zawsze powiadam, że nie ma jak my tutaj, co przychodzimy „pod Kogutka"... Ci ze sejmu mogliby się od nas niejednego nauczyć... Nieprawdaż, co?... Chciałbym, żeby mi ktoś powiedział, że to nieprawda, tobym mu zaraz pokazał, gdzie raki zimują...

Kawalerze, jeszcze kieliszek!... To obywatel Jędrzej płaci!... Zdrowie naszego Jędrzeja, zacnego patrjoty! męża stanu, jakich mało, jakich by nam w sejmie potrzeba.

Wiwat!...

Ustęp w tem miejscu opuszczony skonfiskowała ck. Prokuratorja.

Wydaliśmy drugi nakład z opuszczeniem inkryminowanego ustępu.

Kawalerze jeszcze kieliszek!... To widzicie obywatele nie tylko sami materjaliści, utylitaryści, bagateliści, i anabaptyści!... Bez serc bez ducha, to szkieletów ludy.... Co mi tam że oni mają na uwadze materjalne dobro kraju, kiedy nie pielęgnują ducha, kiedy go owszem zabijają... A tu duch grunt! Ho, ha, duch obywatele to taka potęga, że się nawet obejdzie bez materji!... Co, czy nieprawda?... Niechajby mi kto powiedział, że nie mam racji, tobym się z nim rozmówił... po swojemu!...

Wydawca i odpowiedz. za redakcję F. H. RICHTER.

Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



GRAF RAK.

POWIEŚĆ

PRZEZ ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO.

21

(Ciąg dalszy.)

Raczek przerwał na chwilę opowiadanie, aby stłumić westchnienie, poczem tak mówił dalej:

— Naówczas dziadek sam do Paryża przyjechał i wziął mnie trzechletnim chłopcem do siebie. Mieszkał on wtedy właściwie w Augustowskiem, ale najwięcej przesiadywał w Kroacji — dla polowania. To też ja wtedy wychowywałem się w Rakowie, ale niedługo; bo jak tylko rok siódmy skończyłem, dziadek odwiózł mnie do Paryża, i tam kazał mnie wychowywać. Kiedy przyszedł czas przejścia do szkoły wojskowej, mieliśmy niejakie trudności, bo dziadek chciał mi koniecznie zachować obywatelstwo krajowe; ale przy jego znaczeniu i wpływach — był podpółkownikiem w wojsku francuzkiem i jest komandorem legii honorowej — jakoś się to ułatwiło. Otóż, jakżeto było? Od czasu, jak mnie do kolegium oddano, musiałem na każde wakacje przyjeżdżać do kraju i bawić przez te dwa miesiące, albo u dziadka, albo też w majątku ojcowskim, bo dziadek dbał o to, abym nie zapomniał ojczystego języka — a przeto prawie nigdy nie bywałem w Rakowie. A jeśli kiedy droga tam, lub napowrót prowadziła mnie przez Raków, to ledwie parę dni tam zabawiłem. Przez długie lata stryj mój nie był żonaty, a od czasu, jak się ożenił, tylko trzy razy tam byłem, a stryjenkę raz tylko widziałem, bo ona w czasie wakacji zawsze jest gdzieś w kąpielach.

— Kiedyż twój stryj się ożenił?

— Zdaje mi się, że przed czterema laty, ale to także trudno z dokładnością oznaczyć, — dodał Raczek z uśmiechem, — bo jakieś tam były przeszkody i zwłoki, które dopiero dziadek załatwił.

— W życiu tego astronoma zdaje się, że jest także perturbacji nie mało, — zauważałem z uśmiechem, zaś po chwili spytałem:

— Stryjenka twoja jest zapewne Kroatka?

— A dlaczego Kroatka? — zapytał Raczek ciekawie.

— Nie wiem, — odpowiedziałem, — tak mi się zdaje: Kroatka, Dalmatynka, Węgierka, Siedmiogrodzianka, albo Rumunka.

— Kroatka jest, — rzekł Raczek, — córka obywatela z Pogranicza wojskowego, który ma nawet być dość zamożnym. Ale jakim sposobem mógłeś pan to odgadnąć?

— Ależ ja nic nie odgadłem. Tylko rzuciwszy na nią okiem, na jej toaletę i jej całą prezencję, pomyślałem sobie, że ponieważ zapewne nie jest Francuzką, bo tego o twoim stryju nie mogłem przypuścić, więc prawdopodobnie jest z któregoś z tych południowych krajów, które graniczą z Turcją.

Na to młodzieniec bardzo się jakoś zamyślił, lecz zbudził się i rzekł:

— Jakoś nie mogę tego rozumieć.

— A wiesz dla czego? bo masz dopiero dwadzieścia trzy lata, i dopiero co z akademii wyszedłeś. Jak się tylko przez parę lat po szerokim świecie rozpatrzysz,

widzę to po twoich oczach i pewnie się w tem nie mylę, wszystko to bardzo dokładnie zrozumiesz. Idzie tylko o to, ażeby to zrozumienie pod każdym względem, ile możności jak najmniej kosztowało.

— Proszę pana, — rzekł Raczek ciekawie, — niech mi pan powie otwarcie, ale całkiem otwarcie, jakie stryjenka sprawiła na panu wrażenie?

— Żadne.

— Ale gdzieżtam?

— A to zabawne! Jakże chcesz, przecież wiesz dobrze, że wcale jej nie znam. Pierwszy raz dzisiaj ją widzę, o trzydzieści kroków, a jeszcze do tego przy takiem oświetleniu.

— Ale pan sobie coś myśli.

— Ale nic zgoła.

— Hm! to tak nie jest. Więc ja postawię inaczej pytanie. Czy można o kobiecie, którą się pierwszy raz widzi, zaraz na pierwszy rzut oka zrobić sobie jakieś wyobrażenie?

— A, to zapewne,

— Ale jak się to robi?

— To robi się tak, że w guście kobiety odbija się niemal zawsze jej cała istota.

— Naprzykład?

— Naprzykład, jeżeli obaczysz kobietę, która niesie na ręku, albo prowadzi za sobą na sznurku niezmiernie szkaradnego mopsa, to możesz być prawie pewnym, że kobieta ta czytuje te nowożytne romanse, w których brzydota jest podniesiona do ideału; jeżeli może, to chodzi przypatrywać się ścinaniu, albo wieszaniu złoczyńców, a jeżeli myśli kiedy o zawiązaniu romansu, to najchętniej zrobiłaby to z Rinaldinim.

— A jeżeli jaka kobieta ubiera suknię czerwoną?

— A, to zależy od tego, gdzie ją ubiera.

— No, w Palais Royal.

— Więc uważaj. Jeżeli młoda kobieta ubiera się w suknię czerwoną, w całą chmurę koronek i cały firmament brylantów, a nadto jeszcze kładzie diadem na głowę, i w takim stroju idzie do... Folies Dramatiques, — to wielkie jest podobieństwo, że po teatrze można ją będzie spotkać w gabinecie w Maison dorée, albo w Café anglais.

— Ah! co też pan mówi!

— Ale to tylko wtedy, jeżeli idzie do Folies Dramatiques; Palais Royal, to co innego.

— Ale gdzieżtam... Zapewne, że strój taki... do małego teatru... Ale cóż to dowodzi? Damy z dalekich prowincji czasem w guście się mylą. Sam pan przecież odgadłeś, że jest z jakiegoś kraju od granic Turcji. W tym zresztą razie... ja panu ręczę. Przecież wiem pewnie... Zgoła nie ma o czem mówić.

Zdawało mi się, że w tym razie trzeba było być cokolwiek nielitościwym, więc milczałem. Raczek zaś zerwał się i rzekł:

— No, ale cokolwiekbądź, byłoby to wielkie głupstwo z mojej strony. Na każdy wypadek wyjeżdżam z Paryża.

— A kiedy jedziesz?

— Za parę dni.

— A nie myślisz, że to będzie za późno?

— Za późno?... — odpowiedział Raczek przeciągle i wpatrzył się w lożę nam przeciwległą.

Tymczasem w loży tej właśnie ruch się był zrobił. Weszła jakaś dama równie młoda, w białej zarzutce i z czarną koronką zarzuconą na głowę, która siadła obok stryjenki, a w głębi stało trzech mężczyzn, a może i więcej, w czarnych frakach i białych krawatach, młodych i starszych, lecz spiętych, wciętych i wyfryzowanych podług żurnalu.

— Któżto są ci panowie? czy znasz ich?

— To są wiedeńscy kawalerowie, niektórzy z nich także z Kroacji lub z Węgier. Ale mi się nie podobają...

— Znane figury typowe. Każdy z nich ma fiakra nienumerowanego i aktorkę, gra w karty w Jockey clubie, a w salonie odżuwa stare dowcipy Nestroya i Scholtza, i na tem kończy dopełnienie swych obowiązków obywatelskich. Każdy z nich jedzie raz na rok do Paryża; po za bulwary i lasek buloński nie wytyka nosa, wieczory trawi w cyrku, lub małych teatrach, a jak wróci do domu klnie się na słowo honoru, że nie masz miasta, jak Wiedeń. A kto jest ta dama?

— Ta dama?... nie wiem, — rzekł Raczek, — nie zdaje mi się abym ją znał. Ale, cokolwiekbądź masz pan słuszność, ja jutro rano wyjeżdżam.

I wstał zaraz, aby się pożegnać.

A w tem wszedł do loży ów przyjaciel, który był dostał spazmów, i rzekł wchodząc:

— Przyjechałem po ciebie.

— Żegnam tedy pana, — zawołał Raczek, — bo mi teraz już pilno.

— Bądź tedy zdrów. Życzę ci z serca szczęśliwej podróży. Wierz mi, że masz we mnie przyjaciela. A kiedyż się zobaczymy?

— A któż to wie. Jabym rad jak najprędzej.

— Ja jeszcze ze dwa miesiące zabawię w Paryżu, a potem zapewne pojadę do Wiednia.

— No, więc tu, albo tam, zawsze wkrótce się obaczymy, — odpowiedział młodzieniec i wyszedł.

— Cóż się tam stało? — zapytałem pozostałego przyjaciela.

— Nic się nie stało, tylko zeszliśmy się na herbatę w Maison doreé, więc przyjechałem po ciebie.

— A dlaczegoż w Maison doreé? To jakaś łapka.

— Oczywiście że łapka. Przyjechał bowiem jenerał C., którego poznałeś w Bolonii, a który od tego czasu zrobił całą kampanię włoską, i bardzo ciekawe opowiada z niej epizody. Jest tam jeszcze kilku innych znajomych, którzy polityczną robili kampanię. Zgoła bardzo ciekawe towarzystwo. A ponieważ zostawiliśmy ciebie samego w tej, jak nasz moralny przyjaciel powiada, „spelunce“, więc chcemy cię za to odszkodzić.

Po wypadkach tak wielkiej wagi, jak odstąpienie Wenecji i zawarcie Nikolsburskiego pokoju, konwersacja z wojskowymi i dyplomatami, którzy mieli udział w tych

sprawach, nie mogła być jak tylko nadzwyczajnie nęcącą. Pojechaliśmy tedy do Maison dorée. Tam, w gabinecie na pierwszem piętrze, zastałem istotnie sześciu czy siedmiu mężczyzn, znajomych i nieznajomych, około stołu zastawionego herbatą, winem i rozmaitemi potrawy, bo byli pomiędzy nimi i tacy, którzy dopiero wieczorem do Paryża przybyli, i jeszcze obiadu nie jedli.

Lecz najpierw, przez pierwszą pół godzinę, ci i owi byli zajęci jedzeniem, a potem między nieznajomymi potrzeba na to pewnego czasu, nim się rozmowa zagrzeje. A kiedy się już ten i ów zaczął w istocie zagrzewać, w gabinecie dużym narożnym takie się wszczęły hałasy, że przedzieleni od niego tylko ścianą parapetową, nie mogliśmy wcale rozmawiać. Bóg nie wie czego tam nie wyrabiano: słychać bowiem było fortepian i harfę, przytem spiewy solo i chórem, to znowu śmiechy i wrzaski, a od czasu do czasu brzęk tłuczonych szkieł i talerzy. Jeżeli czasem wrzaski te ucichły na chwilę, to zawsze tylko na to, aby potem nagle na nowo wybuchnąć i nas wszystkich zagłuszyć. Zgoła ile razy który z nas głos zabrał, i zaczął coś opowiadać, zawsze go na nowo podniesione spiewy, kończące się wybuchem piekielnych wrzasków, zniewoliły przerwać opowiadanie i przestać. Musieliśmy wreszcie powstać i wziąść kapelusze, a jeden z obecnych rzekł do garsona:

— Quel tapage infernal! Qui, diable, est ce donc qui s'y amuse de cette façon?

— C'est des Australiens, M'sieu, ou des Autrichiens, enfin des étrangers. Mais il y a des femmes, et des belles, je Vous le promets. Tenez, je passerai avant vous et j'ouvrirai la porte. Cela vous rafraîchira, les uns et les autres.

Jakoż istotnie, kiedyśmy wyszli w kurytarz, garson otworzył drzwi na ściężaj, a wtedy obaczyliśmy kilkanaście osób około stołu, zastawionego półmiskami i butelkami w niesłychanym niełądzie; toż i cała grupa biesiadujących przedstawiała najwyuzdańszą orgię rzymską jakoby z czasów Nerona. Brakowało tylko wieńców różanych na głowach i trochę więcej nagości. Pomiędzy dziesięcią mężczyzn były trzy kobiety, a między kobietami stryjenka z loży, z kielichem pieniącym się w ręku i pieśnią francuzką na ustach. Wziąłem wszystkich mężczyzn na oko, lecz między nimi Raka nie było, ale i Raczka także nie było.

Młodzieniec miał, Bogu dzięki, gwiazdę swoję, która go lepiej prowadziła, niżeli stryja jego gwiazd cały firmament.

V.

Wyszedłszy z restauracji, znalazłem się wkrótce sam na bulwarach. Mieszkając tylko o kilkaset kroków od bulwarów włoskich, mogłem wrócić piechotą do domu. Przepędziwszy zresztą przeszło pięć godzin w atmosferze mniej więcej dusznej i odniósłszy przez ten czas tyle wrażeń rozmaitej natury, potrzebowałem świeżego zaczerpnąć powietrza. Noc była pogodna, jasna i ciepła, jakie my także miewamy czasem w naszych krajach północnych, ale rzadko u nas się zdarza, zwłaszcza w równinach, tak przeźroczyste nocami powietrze, jakie miewają Włochy, Hiszpania i Francja. Jakoż firmament w tych krajach zdaje się gęściej zasiany gwiazdami, niż u nas, i nie jest to wcale złudzeniem, bo tam widzimy w istocie gołem okiem wiele gwiazd takich, które u nas tylko przez szkła są widzialne. Sklepienie niebieskie zdawało mi się daleko cudowniejszem niż zwykle. I Kassiopea i Mała Niedźwiedzica wyglądały, jak gdyby z samych gwiazd i gwiazdeczek utkane kobierce; Mars Czerwony był tak ogromny i świetny, jakim nigdy go nie widziałem; niedaleko od niego błyszczał Saturn światłem srebrzystem, w innej stronie poważnie kołysał się olbrzymich rozmiarów Jupiter, a gwiazda biegunowa zdawała mi się jakoby goździem, wbitym przez Stwórcę dla podtrzymania sklepienia. Żal mnie brał tylko, iż od nas nie widać owego wspaniałego południowego Krzyża, który wszystkie konstellacje przewyższa swoją świetnością, a który Dante przeczuł swym duchem proroczym, mówiąc w swej pieśni o Czyśćcu:

I'mi volsi a man destra e posi mente
All' altro polo, e vidi quatro stelle....

Spojrzałem na zegarek: była godzina pierwsza. Wziąłem powóz i pojechałem do obserwatorjum.

Zastałem tam kilkanaście osób, tamtejszych i obcych, zajętych pracą lub rozmową. W owem miejscu, gdzie w ówczas był ustawiony dwudziestosześcio-calowy refraktor siedział Rak, czasem wstawał i wzrok ku jakiejś gwiaździe wytężał, to znowu siadał, myślał przez chwilę i w pularesie otwartym coś sobie notował.

— Jak się masz Raku? — zawołałem przystępując do niego.

— A! wszelki duch! — a to jesteś w Paryżu?

— Ja tutaj mieszkam, a tylko czasem wyjeżdżam.

— Ja zaś przyjechałem przed kilku dniami, a chociaż mam tutaj inne zajęcia, nie chciałem tak pogodnej nocy opuścić, i zasiadłem sobie przy refraktorze na kilka godzin. Przewertowałem całego Marsa od bieguna do bieguna, przejrzałem Saturna, patrzałem chwilę na gwiazdę podwójną alfę Canis, a teraz wziąłem na oko Syrjusza, bliźniaka Procjona, których jak wiesz, od niejakiego czasu kładą także pomiędzy podwójne, chociaż pierwszy z nich jest trzynaście a drugi tylko sześć razy większym od słońca. Rzecz to wszelako niezmiernie ciekawa, jak wszystko, co się odnosi do teorji o wspólnym a niewidzialnym, czyli niematerjalnym punkcie ciężkości.

— Zapewne, — odpowiedziałem, — teorja ta o tak zwanych wirtualnych punktach ciężkości jest nadzwyczajnie zajmującą, ale przyznam ci się, że dla nas nieastronomów, którzy w najlepszym razie możemy zajmować się tylko astronomią praktyczną lub porównawczą, liczy się ona jeszcze między hypotezy, tak, jak np. owa sławna gwiazda Tychona w Kassiopei, której nikt jeszcze nie widział, ale o której istnieniu, pomimo to, żaden astronom nie wątpi.

— Czy chcesz, żebym ci tę teorję wyjaśnił?

— Nie, dziękuję ci. Zdaje mi się, że to, co mi o niej powiedzieć możesz, nie jest mi niewiadomem. Teorja ta zresztą, że tak powiem, słownie wcale jest zrozumiałą. Oto są gwiazdy na niebie, które zamiast, jak nasze planety, około słońca, krążą około pewnego danego punktu, który się znajduje w powietrzu. Takich gwiazd jest czasem dwie, czasem trzy, cztery, lub więcej, z których jedne błyszczą światłem swem własnem, jak słońce, inne zaś są ciemne. Teorja tłumaczy to zjawisko w ten sposób, iż siła przyciągająca tych gwiazd znalazła równowagę w pustej przestrzeni, skutkiem czego ten punkt, w którym się równowaga znalazła, stał się ich wspólnym punktem ciężkości. To jest zrozumiałe, lecz jestto tylko przypuszczenie.

— Przypuszczenie? — rzekł Rak — a dlaczego? jak skoro nauka jego prawdę potwierdza?

— Przypuszczenie, choćby tylko dlatego, że te ciała niebieskie znajdują się od nas w odległościach tak wielkich, że światło ich potrzebuje kilku tysięcy lat, aby doszło naszego oka, a przeto jesteśmy od nich tak bardzo oddzieleni nie tylko przestrzenią, ale i czasem, że nauka w tych kwestjach nie będzie mogła nigdy wyrokować z taką ścisłością, jaka jedynie odpowiada jej powołaniu. Że prawie wszystkie formułki wasze, z wyjątkiem kilkunastu najgłówniejszych, przez które wyrażacie naukowo i widomie ostateczne rezultaty waszych pewników, kończą się dodatkiem plusminus, co znaczy, że pewien błąd jest jeszcze dopuszczalny; albo, że Fourier ocenia temperaturę na 60, Pouillet na 142, a Desormes zgoła na 273 stopni zimna podług Celsiusza, co nawet już wcale nie wygląda na obliczenia ze ścisłością matematyczną, to nie ubliża jeszcze ścisłości nauki, bo są to prawdy tak bardzo podrzędnego znaczenia, że nie mogą nic ująć powadze naukowej podstawy. Ale jeżeli mi okazujecie nowe wytwory siły ciężkości i siły ruchu, jeżeli mi opisujecie całe systemy słoneczne, które na innych są oparte zasadach, albo tylko zasad tych kombinacjach, niżeli ten, do którego my należymy; to musicie mi te teorje wasze na tak niewzruszonych oprzeć pewnikach, na jakich oparte jest to, co wiemy o naszym systemie. Jeżeli tedy chcesz, to ja wierzę tak samo w owe gwiazdy podwójne i potrójne, które krążą około jakiegoś punktu wirtualnego, — jak wierzę w takie systemy, w których, odwrotnie jak w innych, słońce już zgasło, a planety jeszcze własnym goreją ogniem, jak wierzę wreszcie i w takie, gdzie i słońce i planety już skrzepły i jeszcze krążą około siebie, jakoby trupy błąkające się po niebieskim cmętarzu: ale dla mnie to wszystko są tylko przypuszczenia, chociaż wymyślone przez ludzi najgenialniejszych i na podstawie ścisłej nauki. Biorąc te ścieżki, jeszcze nie wydeptane a po nieprzebranych wiodące manowcach, za bite gościńce, gdzieżbyśmy zaszli? Oto oczywiście w przed-Ptolomejskie czasy, i zapełnilibyśmy firmament wprawdzie nie mitologicznemi figurami, jakiemi był zaludniony naówczas, ale innemi tworami wyobraźni, które wszelako tak samo jak tamte, nie miałyby nic wspólnego z nauką. Astronomia od lat kilkunastu raźnemi postępuje krokami, ale czy nie nadto raźnemi? Oto ważne pytanie.

— Masz rację i nie masz — rzekł Rak. Pomiędzy temi teorjami, o których właśnie mówimy, są bezwątpienia i te i owe, które jeszcze cokolwiek mocniejszego potrzebują poparcia. Niecierpliwość, właściwa teraźniejszemu pokoleniu, a zarazem coraz więcej pomnażające się środki pomocnicze, które niezmiernie ułatwiają pracę, stają się czasem cokolwiek niebezpieczną dla pracowników pokusą. Pracownicy ci zostawiają częstokroć za sobą niezupełnie jeszcze rozwiązane problemy, a stawiają sobie nowe, na które jeszcze kolej nie przyszła. Ale niebezpieczeństwo ztąd wynikać mające jest urojone. Gmach tej nauki jest z tak twardego zbudowany granitu, że na nim w żaden sposob nie może się nagromadzić warstwa rodzajnej ziemi, na której chwast mógłby się rzucić. Mamy zresztą tak silną i pewną nić przewodnią, że się wcale nie obawiamy błędu. A tą nicią przewodnią jest, za pomoca analizy spektralnej na nowo stwierdzona zasada tożsamości materji w całym wszechświecie i tożsamości praw zasadniczych. Chemiczny skład pierwiastków tej materji może być różnym w rozmaitych ciałach niebieskich, ale pierwiastki są wszędzie te same i wszędzie panuje to samo prawo ciężkości i prawo ruchu. To jest już dzisiaj pewnikiem — a z tym pewnikiem przed sobą, czy pójdzież między gwiazdy podwójne i potrójne, czy między inne więcej zawikłane systemy, czy między mgły gwiaździste, czy między komety, gdzież się możesz zabłąkać?

— Zapewne jest w tem coś, co przemawia do przekonania. Ale ja, jeśli łaknę tworów wyobraźni, to wolę czytać Goethego lub Mickiewicza, niżeli Swedenborga albo Fieldinga. A jeśli chcę się rozpatrzeć w tem, co zdobyła nauka, to chętniej zajmuję się tem, co ona mi mówi o systemie słonecznym, niżeli jej przypuszczeniami o nebulozach. Cóż widziałeś na Marsie?

— Nic nowego. Tylko patrząc na Marsa, myślałem o naszym planecie, bo zdaje mi się, że jak Wenus wyobraża przeszłość, tak Mars przedstawia najbliższą przyszłość naszej ziemi.

— A dlaczego nie księżyc?

— Księżyc także, lecz dalszą — rzekł Rak i tak dalej mówił: Wychodząc z tego zapatrywania, że wszystkie planety utworzyły się w ten sposób, iż będąc w stanie żaru gazowego, odrywały się w kształcie pierścieni od słońca, a te pierścienie przerywały się i z części ich formowały się kule, kule te zaś tężejąc w sobie prawem siły ciężkości, układały się prawem powinowactwa chemicznego w planety; musimy logicznie przypuścić, iż wszystkie planety, zapewne każda w innym stosunku pod względem czasowym, lecz wszystkie bez wyjątku chłodną dalej pomału, następnie marzną, a wreszcie rozbryzgują się w asteroidy lub meteoryty. Jest to tylko przypuszczenie, ale na naukowych oparte podstawach — *i taką jest, bo inną nie może być kolej żywota każdego planety.* Otóż jak na sklepieniu niebieskiem pomiędzy miliardami ciał niebieskich,

które się naszemu przedstawiają oku, widzimy wszystkie epoki tego żywota od kolebki do grobu, to jest od mgieł złożonych z żaru gazowego i mgieł obejmujących w sobie jądra ogniste aż do słońc zgasłych i skrzepłych i gwiazd rozbitych na drzazgi, lub takich, które w gorejące jeszcze wpadają słońca i tam żywot swój kończą: tak samo w systemie słonecznym widzimy wszystkie fazy żywota płanet, od Neptuna, który jeszcze całkiem nie stężał i miejscami jeszcze własnem goreje światłem, aż do księżyca, który już zamarzł, aż nawet do owego płanety, który niegdyś mieszkał między Jowiszem a Marsem i już się rozbryznął w całą chmurę asteroidów. Uważam tedy za rzecz godną dokładnego zbadania, w jakiej fazie swego żywota obecnie znajduje się ziemia?

— Niemasz wątpienia, że jest to bardzo zajmujące zadanie. Lecz przedewszystkiem idzie o to, z jakiego punktu wyjścia należy się wziąść do jego rozwiązania?

— Jakże sądzisz? — zapytał Rak.

— Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, iż czas istnienia każdego płanety powinien służyć za miarę postępu jego rozwoju, podług teorji, którą postawili Laplace i Kant, a której dzisiejsza nauka się trzyma, najpierw utworzył się Neptun, jeżeli niemasz jeszcze odleglejszego płanety — potem Uran, późniéj Jowisz i tak dalej; a przeto najwięcej jest rozwiniętym Neptun, mniej Uran i w tym samym stosunku bliższe płanety.

— A nie — odpowiedział mi Rak — ten punkt wyjścia nie da się naukowo stwierdzić. Dłuższy czas istnienia jest mojem zdaniem tylko jedną z trzech danych, z któremi trzeba się liczyć w tym razie. Drugą bowiem i najważniejszą daną jest objętość płanety, czyli ilość własnego ciepła, którą w sobie zawiera, a trzecią daną odległość od słońca, czyli udzielane mu ciepło z zewnątrz, a zarazem odległość od innych płanet, których siła przyciągająca wywiera także nieobojętny wpływ na jego kształtowanie się i rozwój wewnętrzny. Jako mały przykład, jak dalece nawet ta ostatnia dana zasługuje na uwzględnienie, przywiodę tylko wpływ księżyca na ziemię, który się objawia w przypływie i odpływie morza, i którego ślady widoczne są w działalności wulkanów: jakież dopiero wpływy muszą wywierać cztery księżyce na Jowisza, sześć na Urana, a na Saturna siedm księżyców i trzy, jak się zdaje pierścienie, z których dwa niewątpliwe? Działanie tych wszystkich trzech danych nie da się matematycznie określić; ale to zdaje mi się rzeczą logiczną i pewną, że objętość płanety, czyli ilość znajdującego się w jego wnętrzu własnego ognia, wywiera najważniejszy wpływ na jego rozwój, albo inaczej mówiąc na szybkość po sobie następujących faz jego żywota. Otóż z tego wychodząc punktu widzenia, zdaje mi się, że za miarę do oznaczenia fazy, w jakiej obecnie znajduje się ziemia, powinniśmy wziąść płanety jéj najbiższe i najwięcéj do niej podobne, któremi są: Mars, Wenus i Księżyc.

— Nie jest to pewnik — zauważałem na to — ale rozumowanie twoje zdaje mi się logicznem.

— Niemasz wątpienia — rzekł Rak i tak prowadził dalej swój wykład: — Do dokładnego, i że tak powiem obrazowego rozwiązania tego pytania, mogłaby się najwięcej przyczynić geologja. Ale nauka ta, jakkolwiek w swoim właściwym zakresie także już bardzo znamienite zrobiła postępy, astronomji jeszcze dotychczas bardzo niewielkie oddała przysługi. Geologia o głębszych pokładach naszego globu nic nie wie, o jego odleglejszej przeszłości bardzo mało, a o jego przyszłości nic zgoła. Natomiast wszakże astronomia geologii przychodzi w pomoc swojemi, że tak powiem, geologicznemi odkryciami na innych płanetach, a tak uzupełniając się wzajem, to jest zastosowując zdobycze geologii do innych płanet, a zdobycze astronomii do naszej ziemi, otwierają obydwie szeroki gościniec dla nowej nauki, którą w braku odpowiedniego wyrazu możnaby nazwać „geologią wszechświata,“ a która już dziś ma wszystkie warunki bardzo raźnego rozwoju. Ja z mojej strony jestem pewnym, że za lat kilkanaście, zwłaszcza z jednoczesnym postępem wydoskonalenia astronomicznych narzędzi, będziemy bardzo dokładnie znać wszystkie płanety pod względem fizycznym i klimatycznym — wszelako już dzisiaj wiemy nie mało, co jest oparte na naukowych pewnikach.

— Piękna ta przyszłość — przerwałem mówiącemu — jaką przepowiadasz obu tym naukom, zupełnie odpowiada memu przekonaniu. Ale zostańmy jeszcze na chwilę przy ziemi. —

— Zostańmy na teraz przy ziemi — rzekł Rak. — Otóż ziemia przyszedłszy najpierw ze stanu żaru płynnego, w jakim się znajdują gwiazdy stałe, mające światło niezmienne, chłodnąc coraz więcej, zaczęła się pokrywać miejscami skrzepłą skorupą i weszła wówczas w stan ten, w jakim się dzisiaj słońce znajduje, na którem pływające skorupy w kształcie plam czarnych, częstokroć nawet gołem okiem widzimy. Ta z twardych krzemionów utworzona skorupa z czasem całą ziemię pokryła, zostawiając wszelako tu i owdzie ziejące jeszcze ogniem wewnętrznym otwory, jakie jeszcze do dziś dnia w kształcie wulkanów się utrzymały. Skorupa ta nim ostateczne, to jest dzisiejsze przybrała kształty, zapewne skutkiem piekielnych rewolucji wewnętrznych, wielokrotnie pękała, otwierając ziejące paszcze różnobarwnych płomieni — a wtedy ziemia nasza była jedną z tych gwiazd zapalających się nagle na niebie, jakie przez mocne szkła ciągle widzimy. Epoka ta jednakże musiała trwać niezmiernie długo, bo jeśli obliczenie Bischofa, jako ziemia potrzebowała 350 milionów lat, aby się z 2.000 do 200 stopni ciepła obniżyć, jest dokładnem, to na to, aby się z 55.000 stopni ciepła, na które się temperatura żaru gazowego oblicza, do teraźniejszej temperatury ochłodzić, potrzebowała milionów lat, czasów nieobliczonych, czasów kosmicznych. Cyfry te mają ważność niezmierną, mianowicie dla filozofii i astronomii, a głównie wobec tych astronomów marzycieli, którzy jak Flammarion i wielu innych niestworzone bajki plotą o mieszkalności ciał niebieskich, wychodząc z tej gruntownie fałszywej zasady, jakoby mieszkalność, a przeto z ludzkiego stano-

wiska pojęta pożyteczność ciał niebieskich była regułą, a niemieszkalność wyjątkiem: kiedy tymczasem jest rzeczą naukowo dowiedzioną i niemal dla ludzkiego oka widoczną, że właśnie niemieszkalność jest regułą, a mieszkalność nietylko wyjątkiem, ale nawet niezmiernie rzadkim wyjątkiem. Ludzie ci, mimo niejakiej nauki, stoją jeszcze tak samo na stanowisku geocentrycznem i antropocentrycznem, jak Ptolomeusz i jego następcy aż do Kopernika i Galileusza, a przeto nauka u nich poszła w las, jak mówimy po polsku.

— Ale wróćmy do ziemi.

— Wróćmy do ziemi — powtórzył Rak, który się rozgrzał cokolwiek, i tak mówił dalej: Zdaje się, że ziemia ochłódła, gdy temperatura jej opadła poniżej tysiąca stopni gorąca. Wodoród i kwasoród jeszcze się były nie oddzieliły od siebie, wówczas więc tylko gorąca para unosiła się nad skorupą ziemi, a mórz jeszcze nie było. Para ta była tak gęsta, że promienie słoneczne się przez nią przedrzeć nie mogły, toż w owe czasy wieczna noc panowała na ziemi. Przy stu stopniach gorąca, kwasoród spalił wodoród, a wtedy owa para gorąca opadła w kształcie deszczowej ulewy na powierzchnię naszego globu; ale ponieważ skorupa jego była jeszcze gorąca, więc woda znowu zamieniła się w parę, czyli w chmury i mgły, które się uniosły nad ziemią. Tak walka ta między ogniem i wodą, wśród której skorupa ziemi w wielu miejscach pękała i zaklęsała, tworząc dla przyszłych mórz rozmaitej głębokości łożyska, trwała znów wieki, aż póki wreszcie morza się nie oddzieliły od części stałych, i jednostajna temperatura nie objęła całego globu. Dopiero wtedy światło „stało się“ dla ziemi, i rozpoczął się ów proces biologiczny, który w zwykłym języku nazywamy życiem, a który najprzód objawił się w głębi mórz, a dopiero później, na stałe rozpostarł się lądy. Jakim torem się rozwijało to życie w tej olbrzymiej cieplarni? dlaczego najpierw wyłonić się musiał świat roślinny, a dopiero po nim mógł się urodzić świat zwierzęcy? dlaczego najpierwsze rośliny były olbrzymiej wielkości, a pierwsze zwierzęta równie olbrzymich rozmiarów, ale zarazem potwornych kształtów? to nam wyjaśnia geologia w spółce z naturalną historyą. Nas tylko obchodzi działanie ciepła, które na niebie i na ziemi jest głównym, a zarazem wyłącznym czynnikiem wszelkiego rozwoju. Dlatego podnosimy ten fakt wielkiej wagi, iż w owe czasy temperatura ziemi była jednostajna od północnego bieguna aż do równika, a od równika aż do ostatnich kończyn Ameryki południowej; fakt dowiedziony, bo szczątki roślinne, znajdowane w tych wszystkich strefach, są jednakowe. Z postępem czasu ziemia zaczęła ochładzać się u biegunów, a odtąd ochładzanie się to postępuje z wolna, ale niepowstrzymanie, ku równikowi, popychając przed sobą świat roślinny i świat zwierzęcy ku strefom ziemi środkowym. Jakoż możemy powiedzieć sobie z pewnością, że kiedyś, również pomału, ale także niepowstrzymanie, oba te światy biologiczne, rośliny i zwierzęta wraz z ludźmi, uciekając przed goniącemi za niemi mrozami, zgromadzą się około równika, aż póki wreszcie mróz lodowaty i tam ich nie doścignie, i wszelką żywotność na ziemi nielitościwie wytępi. Ziemia prawdopodobnie i wówczas będzie tak samo, jak teraz, krążyć około słońca, lecz będzie coraz więcej zamarzać i zamieniać się w taką lodowatą skałę, jaką dzisiaj jest księżyc. Ale to krążenie w stanie zmarzniętym będzie znowu trwało miliony milionów lat, czasy nieobliczone, czasy kosmiczne. Jakiż tedy z tych danych wynika naukowo stwierdzony rezultat? Oto ziemia potrzebowała miliony milionów lat, aby rozwinąć na swojej powierzchni proces biologiczny, i potem znowu przez takież same miliony milionów lat będzie krążyć, jako martwa bryła w eterze, aż póki ściśnięta piekielnym mrozem w drzazgi się nie rozbryzgnie, albo też w słońce nie wpadnie. Pomiędzy temi dwiema niezmierzonemi przestrzeniami czasów kosmicznych *epoka ta, którą my nazywamy życiem, trwa zatem tylko jedną chwilkę, chwilkę tak krótką*, która zapewne, w stosunku do owych nieobliczonej długości dwóch epok kosmicznych, znika do jednej sekundy. I ta czasowa sekunda ma nam służyć, jako punkt wyjścia, do ocenienia wszech-przyczyn i wszech-celów tych niezliczonych milionów niebieskich ciał, które nazywamy wszechświatem? Któż-to śmie utrzymywać? Dla tego ten punkt wyjścia stanowczo odrzuciła nauka, i mam tę pewność, że nigdy do niego nie wróci.

— Jest to pytanie — odpowiedziałem Rakowi — o którem da się wiele powiedzieć. Punkt wyjścia ludzki, czyli antropocentryczny, może być niewłaściwym do ocenienia przyczyn i celów wszechświata, wszelako może on być bardzo właściwym, a nawet jedynym do ocenienia warunków życia ciaśniejszych światów, a mianowicie ludzkiego świata. Lecz kiedy się znajdujemy w obserwatorjum, zostańmy przy gwiazdach.

— Przepraszam — rzekł Rak — punkt wyjścia dla filozofa może być tylko jeden do ocenienia wszystkiego, co widzi, bo cały świat ten, który on widzi, jest jeden. Ale zostańmy przy gwiazdach. Od ziemi — prowadził dalej Rak swoje opowiadanie — powinienem przejść do Wenery, ale cóż kiedy jej teraz nie widać. Pojawi się dopiero za godzinę. Lecz zapewne już ją nieraz widziałeś przez dobry teleskop. Wenus tedy jest prawie tak wielką, jak ziemia, i żyje ona niemal w tych samych warunkach, małe tylko zachodzą różnice. Rok jej wynosi naszych 225 dni niespełna, dzień jej czyli doba — naszych 24 godzin niespełna, elipsa jej bardzo nieznacznie się różni od koła. Wenus przedstawia się nam w takich samych kwadrach jak księżyc, a kiedy jest w pierwszej kwadrze, to tak samo jak na księżycu, widzimy słabo oświetloną resztę jej tarczy. Astronomowie jeszcze do dziś dnia nie są zgodni ze sobą, zkąd to światło pochodzi, podczas gdy jedni utrzymują, że jest to światło jej własnego księżyca, który w siedmnastym wieku Fontana, Cassini i inni astronomowie widzieli, a Lambert nawet bieg jego obliczył, ale którego, dziwnym sposobem, od stu lat nikt dojrzeć nie może, inni zasię są zdania, że jest to poprostu światło, pochodzące od ziemi. Jednakowoż to jest pewnikiem, że wszelkie światło, jakie na tym planecie wi-

dzimy, jest nadzwyczajnie błyszczące, i sprawia na oku takie wrażenie, jakoby się odbijało od bardzo gładkiej, niby szlifowanej powierzchni — a przeto powierzchnią tą nie może być nic innego, jak woda. Spostrzegamy też jednocześnie nad powierzchnią atmosferę o wiele gęściejszą niż ziemska — a widmo spektroskopu przedstawia nam te same chemiczne pierwiastki, z jakich złożona jest ziemia. Wniosek z tych wszystkich danych wynika przeto taki, że Wenus, młodsza wiekiem od ziemi, znajduje się też obecnie w epoce swego życia wcześniejszej od ziemi, w opoce tej, w której niemal cała jej powierzchnia jest jeszcze zalana morzami, z pośród których po części się już wydobyły, a po części dopiero wydobywają się góry i lądy, układając się z wolna w tę równowagę, jaka wynika z wzajemnego stosunku jej pierwiastków chemicznych. Zdaje się tylko, iż skutkiem jej bliższego sąsiedztwa ze słońcem, którego siła przyciągająca działa na nią mocniej niżeli na ziemię, daleko gwałtowniejsze na niej odbywają się rewolucje i daleko wyższe, niżeli na ziemi, tworzą się góry. Góry te widzimy bardzo dokładnie przez mocne teleskopy, bo kiedy Wenus w pierwszej kwadrze się znajduje, natenczas po za końcem jej sierpa widać punkty mocno oświetlone, które oczywiście nie są czem innem, jak tylko wierzchołkami gór, których najwyższe szczyty w promieniach światła pływają, jak to widzimy na szczytach Alp o wschodzie, albo zachodzie słońca. Przejdźmyż teraz do Marsa.

Planetę tego widać było przez szkło prawie tej wielkości, co talerz, wytężywszy zaś wzrok, można było dokładnie rozróżnić wszystkie szczegóły, które się stały przedmiotem tak dokładnych studjów astronomicznych.

— Oto go widzisz — rzekł Rak — wygląda on prawie czerwono, lecz mimo to atmosfera jego jest nadzwyczajnie przejrzystą, tak że powierzchni żadnego innego planety, z wyjątkiem księżyca, nie widzimy z tak wielką dokładnością. Średnica Marsa wynosi tylko cokolwiek więcej niżeli połowa średnicy ziemi, a przeto objętość jego jest prawie sześć razy mniejszą od objętości ziemi. Dzień jego jest prawie równy naszemu, bo tylko o czterdzieści minut dłuższy, lecz za to rok jego liczy 687 dni, a przeto jest prawie dwa razy dłuższy od naszego. Pory roku na Marsie są także te same co u nas, tylko są bardzo nierówne na jego obu półkulach, bo kiedy na jednej wiosna i lato trwają przez 371 dni, a jesień i zima przez 269 dni, na drugiej stosunek ten jest odwrotny. Gęstość jego masy jest o mało co rzadsza od naszej ziemi, i zgoła wszystko jest tak samo jak u nas, takie same lądy i morza, śniegi, chmury i burze, które bardzo dokładnie rozróżniamy. Mars, tak samo jak Wenus, nie ma księżyca, co wszelako dopiero ma znaczyć, że dotąd go nie dojrzano; według mnie, który wierzę w jednostajność praw wiecznych, nie masz planety bez księżyca [1]). Jednakże między Marsem a Ziemią zachodzi wielka różnica: Mars jest starszy od Ziemi, a ponieważ jest zarazem o wiele mniejszy, więc znajduje się w fazie swojego życia o wiele dalej posuniętej niż ziemia. Jakoż istotnie widzimy na nim daleko więcej stałego lądu niżeli mórz, co znaczy, że jego ziemia już morza w daleko większej ilości wsiąknęła, niżeli się to stało na Ziemi. Widzimy dalej, że jego oba bieguny są daleko niżej pokryte wiecznemi lodami niż nasze, a w porze zimowej śniegiem zasypane części posuwają się daleko bliżej ku równikowi, niż u nas. W roku 1837 robione na Marsie spostrzeżenia wykazały, że śniegi, ciągnące się od południowego bieguna, zajmowały siedmdziesiąt stopni jego szerokości. Gwałtowne burze, jakie na nim widzimy, dowodzą wreszcie, że jego atmosfera jest nietylko przejrzystszą, ale zarazem znacznie lżejszą od naszej, a przeto łatwiej się podającą ruchowi, nie tak jak było u nas w epoce węgla kamiennego, kiedy gęste powietrze silniej się opierało każdemu ruchowi i burz wtedy nie było...

— Mars tedy — zauważałem — jest, o ile się zdaje, tak samo zamieszkałym, jak nasza ziemia.

— O tem niemasz żadnego wątpienia — rzekł Rak — życie roślinne i zwierzęce już dawno się tam rozwinęło, a nawet znajduje się już w epoce schyłku, tak samo, jak u nas, tylko jeszcze o wiele dalej posuniętego. Kiedy bowiem u nas tylko na niewielkich przestrzeniach około biegunów życie lodem zakrzepło, a dopiero Eskimosy i Lapończycy zaczynają wymarzać, tam, zdaje się, te lody śmiertelne posunęły się już o kilka stopni niżej ku równikowi. Roślinność buja jeszcze tylko na pasie środkowym Marsa po obu stronach równika, lasy może wcale już nie istnieją, a może i węgiel kamienny się już wyczerpuje: ludzie Marsowi, jeżeli się ich w tym samym stosunku namnożyło jak na ziemi, gęsto mieszkają około siebie, ziemi im tam nie braknie, ale ta ziemia nie jest już urodzajną, bo urodzajność jej tamowaną jest przez cienkość atmosfery i burze, a przeto jeżeli rozum mają, muszą rolnictwo swoje utrzymywać ciężką pracą i bardzo wygórowanym przemysłem; może się już nawet wzajemnie skazali na pół racyi, jak oblężeni żołnierze w fortecy — albo może też, skutkiem ciągle pogorszających się klimatycznych warunków, już całkiem zdziczeli i wzajemnie się pożerają...

— Bardzo smutne to są obrazy...

— Ale są jeszcze smutniejsze — przerwał mi Rak. Patrzaj na księżyc. Przecież tam, według wszelkiego podobieństwa, odbywał się kiedyś także proces biologiczny, i tam także żyły kiedyś rośliny, zwierzęta i ludzkie istoty: a cóż dzisiaj widzimy? Oto cmętarz z skał lodowatych złożony, na którym niemasz śladu żadnej roślinki, nawet atmosfery już niemasz, a który sam nawet już popękał i swego czasu od samego mrozu, który resztę jego części płynnych wysuszy, musi się nieochybnie rozbryzgnąć na drzazgi.

Tu Rak umilkł na chwilę, i patrzał przed siebie martwemi oczyma.

Poczem się zbudził i tak mówił dalej:

[1]) Dopiero w roku bieżącym odkryto dwa księżyce około Marsa.

— O! tak, mój drogi! Nie taki różowy jest ten świat, jak go malują poeci. Ale my ludzie musimy koniecznie gonić za jakiemiś urojeniami, a najchętniej się karmimy takiemi, które naszej dziecinnej schlebiają próżności. Prawda z niesłychaną trudnością dobija się do naszego umysłu, bo mamy niejako dziedziczny wstręt do niej — a jak się nareszcie do naszego mózgu dostanie i ukochane urojenia nasze niemiłosiernie zdruzgoce, to my sobie natychmiast nową tworzymy fantazję. Tak wyobrażaliśmy sobie z początku, że ziemia jest jedynem mieszkaniem ludzi w całym wszechświecie, a ów nieprzebrany firmament gwiazd, który ją dokoła otacza, jest tylko dla wygody i upiększenia naszego życia. Kiedyśmy się dowiedzieli, że te miliony milionów gwiazd są także takiemi samemi ciałami niebieskiemi, jak ziemia, a nauka stanęła, jak mur granitowy, przed nami, i nie dozwoliła nam temu faktowi zaprzeczyć: natenczas, z jednej strony, rzuciliśmy się na drogę szukania koniecznie takich samych, a nawet ile możności niższego rzędu od nas ludzi po tychże gwiazdach — a z drugiej, utworzyliśmy sobie nowe urojenie, *jakiegoś ducha*, którego najmniejszego śladu niemasz w całym wszechświecie, lecz który, według naszego urojenia, jest wyższym nad całą naturę, który nie ulega tym prawom odwiecznym, samowładnie panującym w całym widzialnym przestworze, a którego cząstka nawet w naszem znajduje się ciele!

— Zdaje mi się — przerwałem Rakowi — że świat duchowy nie ma żadnej z astronomią styczności.

— Pozwól mi skończyć — zawołał Rak — ja wiem, co mówię. Otóż to uganianie się za urojeniami sprowadziło także i astronomów na bezdroża i zmarnowało niezmiernie wiele pracy bez żadnego dla nauki pożytku. Przejrzyj literaturę astronomiczną z końca ośmnastego i z pierwszej połowy dziewietnastego wieku, a obaczysz, że ludzie, zresztą istotnie uczeni, prawie całą bibliotekę książek spisali, które są zapełnione takiemi urojeniami. O Swedenborgu i całym szeregu jemu podobnych Anglików i Niemców już wcale nie mówię: to są chorzy, którzy mają hallucynacye na jawie. Ale żeby ludzie tacy, jak: Babinet, Flammarion, Littrow i tylu innych, łamali sobie głowy nad takiemi spekulacjami: jak wyglądają ludzie na Saturnie, albo Neptunie? albo czy żyją stworzenia do ludzi podobne na kometach lub gwiazdach mglistych? to nie jest do przebaczenia. Wobec nauki to nie są żadne pytania: bo jak skoro rzeczą jest dowiedzioną, że materja w całym wszechświecie z jednych i tych samych się składa pierwiastków, tylko ilość tych pierwiastkow na różnych ciałach niebieskich w różnym do siebie stać może stosunku, toż ztąd oczywiście wynika, *że życie roślinne i zwierzęce może istnieć tylko na tych ciałach niebieskich, które ze stanu płynnego przeszły w stan skrzepły, a i na tych trwać może tylko tak długo, jak długo one zachowują swą mierną temperaturę ciepła, jaką mniej więcej mamy na ziemi.* Przy temperaturze tak gorącej, jaką ma Merkury, wszelka roślinność, gdyby się tam mogła pojawić, musiałaby natychmiast się spalić — a przy temperaturze tak nizkiej i tak słabem świetle, jakie ma Neptun, roślinność wcale powstać nie może: a gdzie niemasz roślinności, tam niemasz zwierząt, tem niemasz ludzi. Widzisz tedy ztąd, jak na dłoni, że nawet w naszym systemie słonecznym, który oczywiście cały znajduje się w epoce krzepnienia, jest ledwie dwie albo trzy planety zamieszkane — a jakżeż mało musi ich być w całym wszechświecie, gdzie nieskończenie i nieskończenie więcej jest ciał niebieskich jeszcze mglistych, albo płonących, albo też wcale zmarzniętych, niż krzepniejących? Mam tedy sobie za dowiedzioną *zasadę*, *że ciał niebieskich prawem jest niemieszkalność*, *a mieszkalność wyjątkiem*, *brak zwierzęcego życia regułą*, *a objaw jego tylko przypadkiem.*

— Zazdroszczę ci głębokiego przekonania — zauważałem na to — z jakiem wyznajesz swoje teorje. Podług nich tedy o tem, co się niektórym ludziom podoba nazywać *duchem*, ani mowy być nie może.

Rak patrzał na mnie i śmiał się, a po chwili rzekł:

— Nie, ja istnieniu ducha nie zaprzeczam, tylko powiadam o nim to samo, co Renan powiedział o cudach: *„Być może*, *że jest*, *ale nie mamy na to żadnego dowodu.“*

A wtem świtać zaczęło i Wenus wypłynęła na niebo, jasna, promienna, zachwycająca. Spojrzeliśmy na nią, a Rak zawołał:

— Otóż i gwiazda poranna! Weź ją na oko przez teleskop, każę ci go nakręcić.

— Wiesz — odpowiedziałem astronomowi — mówiąc szczerze, wolę na nią patrzeć mojemi ludzkiemi oczyma i bodaj wcale nic o niej nie wiedzieć.

Rak patrzał na mnie jednem przymrużonem okiem przez chwilę, tak jakby mógł patrzeć zagorzały misjonarz na człowieka, który herezję powiedział, a potem rzekł, nasadzając kapelusz na głowę:

— Varro powiada, że Wenus zaprowadziła Eneasza z Troi do Włoch. Spróbujmy też, czy nas zaprowadzi na bulwary. Już też i czas.

To rzekłszy, odszukaliśmy nasze powozy, i wrócili do domu.

VI.

Wszyscy ludzie wszelkich narodowości, z wyjątkiem kilkunastu Prusaków, jednogłośnie zgadzają się na to, że Paryż jest głównem ogniskiem cywilizacyi, pierwszem miastem świata. Toż ktokolwiek ma czas i środki po temu, Azjata i Amerykanin, Australczyk i Japończyk, pielgrzymuje do tego miasta, ażeby choć raz w życiu nasycić swoje oczy jego pysznym widokiem. Ale, jak każdy ma inne o cywilizacji pojęcia, tak też każdy podróżny gdzieindziej jej szuka. Cudzoziemcy, którzy po pierwszy raz przyjeżdżają do Paryża, zazwyczaj ugrzęzają po tej stronie Sekwany, gdzie blask i przepych, najlepsze kuchnie i najwystawniejsze teatra, i ruch nieustanny powozów i ludzi, najlepiej zaspakajają ich zmysły; między tymi podróżnikami bywają nawet częstokroć tacy, którzy wiele miesięcy przepędzili w Paryżu, a tylko raz jeden z Pól Elizejskich przeprawiali się na tamten brzeg wody, aby obaczyć dom In-

walidów. A tymczasem to, na czem polega wartość istotna i nieupiększona Paryża, i bez czegoby po tej stronie owego przepychu nie było: nauki i sztuki, rzetelna, wytrwała praca, tradycjonalna prawość, cnoty rodzinne i obywatelskie, zgoła to wszystko, co stanowi moralną miazgę narodu, co mu dało ów rozum jasny i wyższy nad inne, duchową i materjalną potęgę, i co go zrobiło niespożytym na wieki, to wszystko znajduje się po tamtej stronie Sekwany. Po tamtej stronie mieszka także taka praca, która ściera siły człowieka li tylko z poczucia obowiązku, i ta, która ledwie zarabia na życie, i ta nareszcie, której mimo wszelkich wysileń wieczne towarzyszy ubóstwo. A między tą pracą ubogą mieszkają także ofiary pracy, ofiary bezowocnego poświęcenia albo chybionych idei, któreby między bogactwem, gdzie tylko sukces popłaca, dawno już z głodu umarły, a między ubóstwem częstokroć przez długie lata się tulą. (*C. d. n.*)

Przewodnik towarzyski i salonowy

WEDŁUG DZIEŁA „SAVOIR VIVRE“

przez panią d'Alcq dla polskiej publiczności opracowała Hr. R.

(Ciąg dalszy.)

Czystość największa jest pierwsza podstawa zdrowia i dobrego wyglądania dziecka. Kołyska brudna i cuchnąca, daje okropne wyobrażenie o matce. Trzeba przyznać że z małemi wyjątkami, najbiedniejsze i najbardziej zaniedbane w swoich pierwszych latach, są zwykle dzieci pań wielkich i bogatych, które same myśląc o strojach, nie pomyślą przez dzień cały, czy ich własne biedne maleństwo skąpane i w czystą koszulkę przebrane.

Dość już dawno temu, odwidzaliśmy przejeżdżając przez Kraków, jedną z takich dam wytwornych. Wiedząc że miała niedawno pierwszego synka, sądziliśmy że jest naszą powinnością spytać o niego i prosić o pokazanie nam dziecka. Przeprowadzeni przez długi szereg pokojów zbytkownie umeblowanych, olśnieni w sali jadalnej szafami pełnemi sreber, porcelany i kryształów, które to szafy umyślnie dla nas pootwierano, weszliśmy nakoniec do ciasnej i brudnej (jak u nas zawsze) garderoby, a tam ujrzeliśmy w jeszcze brudniejszej jak ta garderoba kołysce biednego koroną hrabiowską ozdobionego infanta, który mimo tych wszystkich splendorów, jakie miały kiedyś spłynąć na niego, nie był dotąd ani umyty, ani przebrany, o godzinie drugiej popołudniu; z kołyski zaś biły wonie tak zabijające, że silne matki perfumy, któremi była zlana obficie, nie potrafiły tamtych wyziewów zneutralizować.

Bona, rozumie się została ostro wyłajana, że dotąd dziecko nie kąpane i nie ubrane, a nam serce się ścisnęło na myśl bolesną, że są w naszym kraju matki tak niegodziwe, które przez pół dnia nie spytają o własne dziecko! oddając je na pastwę płatnym sługom. Każda matka powinna wyryć głęboko w sercu i pamięci to prześliczne powiedzenie pewnej żony bankiera francuzkiego, która zaczepiona dość brutalnie przez Napoleona I. — czy to prawda co powiadają, żeś pani tak niezmiernie bogata?

— O tak najjaśniejszy Panie — odpowiedziała — Bóg uczynił mnie bardzo bogatą, bo mi dał ośmioro zdrowych dziatek.

Cesarz umilkł zawstydzony tem znalezieniem się pełnem godności kobiecej i odtąd odznaczał tę panią — chociaż nie należała urodzeniem do świata arostokratycznego — szczególniejszą swoją łaską i grzecznością.

Dzieci to nasze bogactwo, nasza najpiękniejsza ozdoba, nasze szczęście tu na ziemi, a nawet nasze zbawienie wieczne, boć poniekąd i za ich dusze przed Bogiem odpowiadamy, my matki w szczególności, bo ojcowie zwykle za domem zatrudnieni, mniej mogą wpływać na rozwój tak fizyczny, jak moralny dziecka.

Pewne moralne obowiązki przyjmują na siebie i rodzice chrzestni. Dla tego nie należy się nikomu narzucać a szczególniej osobom na wyższem jak nasze stanowisku. Również osobom uboższym i poniekąd niższym od nas w hierarchji społecznej, nie należy odmawiać, jeżeli proszą nas, o tę przysługę chrześcijańską. Taką odmową możnaby je zranić boleśnie.

Dobra rada, pomoc nawet w potrzebie, należy się od rodziców chrzestnych dla ich pochrzestników — nawzajem trzeba wcześnie wpajać w dzieci uszanowanie i przywiązanie pewne dla tych, którzy je do chrztu trzymali. Zawsze jest to już rodzaj duchowego powinowactwa.

Małpowanie w czemkolwiek zagranicznych zwyczajów wydaje nam się wstrętnem i grzesznem wobec naszego, któremu nic nie zostało z jego dawnej wielkości, jak tylko serca nasze, przechowujące z czcią religijną dawne pamiątki i dawnych praojców naszych zwyczaje, jednakże co do obchodzenia z wielką uroczystością dnia pierwszej Komunji we Francji, musimy przyznać, że zwyczaj ten jest dziwnie pięknym i wzniosłym, godny pod każdym względem, żeby go naśladowano.

Najprzód wiek jest bardzo stosowny, lat trzynaście skończonych. Wtedy umysł jest o tyle rozwiniętym, że obejmuje całą wielkość i świętość tej chwili, kiedy po raz pierwszy przyjmuje Komunję Ś. i łączy się duchowo ze Zbawicielem swoim.

Strój używany tam dla panienek przypomina prawie ubranie do ślubu panny młodej, tylko zamiast wieńca mirtowego daje się wieniec z liści pomarańczowych.

Panienki bogate dostają zwykle w ten dzień pozwolenie od rodziców ubranie jednej, lub więcej ubogich dziewcząt w strój również biały, chociaż mniej strojny niż ich własny.

Uczynek miłosierny to najpiękniejszy i Bogu najmilszy kwiatek, który możemy złożyć u stóp Jego Ołtarza, a jakąż to wielką radością uderzy serce takiej ubogiej dziewczynki, jeżeli zobaczy się ubraną tak jak drugie, bogatsze panienki. Zamiast uczucia zazdrości, którem mogłaby ta młoda dusza mimowoli zapłonąć i skalać niem swoją szatę niewinności, obudzi się w niej wdzięczność dla tych istot przez los wybranych, które przecie nie zapomniały o niej biednej, ubogiej i ją chciały dnia tego widzieć strojną i wesołą.

Tyczy się to tylko miast wielkich, gdzie zwykle bardzo liczne grono dzieci płci obojej, do pierwszej Komunji przystępuje. Na wsi jeżeli nie ma do tego sposobności, można jakimkolwiek innym dobrym uczynkiem uczcić ten dzień na całe życie pamiętny!

Księdzu, który do pierwszej Spowiedzi przygotowuje, daje się zwykle jakąś pamiątkę, stosowną do jego powołania i stanu. Od panienki najstosowniejszem darem jest zawsze jej własna robota. Dla księdza, więcej jak dla innego mężczyzny, znajdzie się mnóstwo przedmiotów do zrobienia. Stuła haftowana, komeżka uszyta własnemi rękami i piękną wstążką ozdobiona, wreszcie, jeżeli możność jest po temu, całe do Mszy Św. ubranie, można wtedy księdzu ofiarować.

Gdyby to było możliwém, i stosunki rodziców na to pozwoliły, byłoby bardzo pożądaném, uprosić Biskupa o udzielenie dziecku razem z pierwszą Komunią, Sakramentu Bierzmowania. Jest to jednakże dla wielu osób niepodobném. Powinni atoli rodzice usilnie o to się starać, żeby ich dzieciom był udzielony ten wielki w Kościele katolickim Sakrament. Później, szczególnie dla mężczyzn, jest niemiłą taka ceremonja, i żaden prawie już o tém nie pomyśli. Bierzmowanie, tak samo jak Sakrament Chrztu, raz w życiu można tylko przyjąć, i tylko biskupom wolno bierzmować. Po miastach zwykle na Zielone Święta i Ś. Trójcę biskupi bierzmują, dla osób wysoko położonych robią czasem wyjątek i w dowód swej szczególnej łaski, bierzmują pojedyńczo w swej własnej, biskupiej kaplicy.

Do bierzmowania chłopczyk ma ojca przybranego, dziewczynka matkę przybraną, i zwykle na bierzmowaniu przybiera dziecko imiona rodziców chrzestnych.

Osoba, przez dziecko wybrana, stoi za niem podczas ceremonji i trzyma rękę na jego ramieniu. Więcej nic robić nie potrzebuje. Za bierzmowanie nic się nie płaci.

Dzieci, które jeszcze nie przyjmowały Komunji Ś., nie mogą być bierzmowane. Panienki mogą być też biało ubrane do bierzmowania, ale już w kapeluszach na głowie; tylko podczas samej ceremonji matka chrzestna powinna zdjąć panience kapelusz z głowy, bo biskup czoło Olejem Ś. namaszcza i następnie wyciera.

XIII.

O zwyczajach przed ślubem i po ślubie.

Jeżeli w całém życiu dobrze jest mieć takt i pewną delikatność w postępowaniu, najwięcej potrzebne są te przymioty rodzicom córek dorosłych, również i pannom, które są na wydaniu. Żeby dobrze pokierować przyszłym córek wyborem, muszą rodzice słuchać tak serca jak rozumu, nie wywierając na córki najmniejszego przymusu, choćby nawet najłagodniejszego. Wolno rodzicom nie uwzględnić miłości córki, jeżeli uważają, że jej serce źle wybrało, ale nigdy nie wolno narzucać własnego zdania wbrew jej przekonaniu, tam, gdzie idzie o szczęście, lub niedolę jej życia całego.

Synowie sami sobie żony wybierają. Rada rodziców powinna i u synów mieć znaczenie, atoli mężczyzna żeni się zwykle o wiele później niż panny za mąż wychodzą. Syn poznaje wpierw świat i ludzi, nabiera doświadczenia, raczej za wiele niż za mało, wybiera więc z całą świadomością życia. Jeżeli go nie zaślepia namiętność chwilowa, szał przechodzący, jeżeli szuka żony w rodzinie uczciwej, gdzie córki po Bożemu wychowują, wybierze dobrze i stosownie dla siebie.

Szczęście domowe mężczyzny najczęściej od niego samego zależy.

Panienka młoda, starannie wychowana, będzie pewno dobrą żoną, jeżeli w mężu znajdzie prawdziwego przyjaciela, który dając jej we wszystkiem dobry przykład, nauczy ją nie tylko kochać ale i szanować siebie.

Kobieta, która raz uzna i uczuje wyższość moralną męża nad sobą, podda się bez wahania jego woli, jego kierownictwu, i będzie żoną najposłuszniejszą.

Panienka natomiast idzie za mąż prawie z zawiązanemi moralnie oczyma, potrzebuje więc rady i pomocy w wyborze, osób doświadczonych i świat znających.

Jakże trudno nawet najczulszej matce, ojcu najlepszemu, odgadnąć przyszłość tego ich kwiatka najukochańszego, który pielęgnowali z miłością i troskliwością!

Czy nie zwiędnie ten piękny kwiat zdeptany i złamany? Czy robak zepsucia nie lęgnie się w sercu dotąd tak czystem i niewinnem? Czy sam mąż zamiast być przewodnikiem i opiekunem żony, nie napoi jej trucizną moralną, która w niej zabije powoli wszelkie uczucia szlachetne? Czy też los przyjazny, dając córce męża czułego i rozumnego, dozwoli rozwinąć się jej cnotom i przymiotom, które były pociechą rodziców, a odtąd mają mężowi życie osładzać i opromieniać?

Oto pytania, które szczególniej każda matka, z sercem drżącem od trwogi, powtarza bezustannie przed ślubem córki. Odpowiedź w przyszłości dopiero znaleźć może.

Niechże rodzice szukają przedewszystkiem dla córek swoich człowieka z sercem, rozumem i charakterem; niech się dowiedzą, czy był dobrym synem? Kto rodziców nie szanował, będzie żonę z pewnością traktował jak najgorzej. Niech pilnie baczą, czy nie ma jakiej zgubnej namiętności ich zięć przyszły. Czasem i najszlachetniejsi ludzie oprzeć im się nie mogą; namiętności biorąc górę nad sercem, rozumem, obowiązkami, nad sumieniem nawet, trzymają w strasznej niewoli człowieka całego.

Wielcy egoiści są także nieznośnymi mężami.

Małżeństwo wymaga koniecznie wzajemnych ustępstw. Więcej też powinna ustępować żona, ale gdy raz przekona się, że mąż zawsze tylko o sobie myśli, i zawsze swoje najdroższe „Ja“ ma na celu, będzie jej to bardzo bolesnem i nie przyczyni się z pewnością do szczęścia domowego.

Dążenie gwałtem do tak zwanych „świetnych partji“ dla córek, jest często wielkim błędem, bo nie zawsze kobieta znajduje szczęście robiąc los wielki.

Często bardzo, goniąc za wielkim losem, zostają córki pannami na wieki! lub idą za starców wstrętnych i niedołężnych, wbrew sercu i naturze. Tak wydawać córki, jest to popełniać zabójstwo moralne na ciele i duszy dziecka własnego.

W najlepszym razie, gdyby nawet ta „świetna partja“ we wszystkiem odpowiadała, naraża się córkę na lekceważenie, tak ze strony rodziny męża, jak całego jego otoczenia.

Męża „towarzystwo“ będzie zawsze uważało tę osobę jako intruza, narzuconego mu niesłusznie, i wszelkiemi sposobami będzie się starało wpłynąć tak na niego, aby podkopać szczęście domowe dwojga ludzi.

Są charaktery o tyle silne, że potrafią oprzeć się i ukarać nawet niecnych intrygantów, lecz mało ich na świecie, a najtrudniej znaleźć je wśród arystokracji, gdzie młody człowiek nie znając żadnych przeciwności losu, nie rozumiejąc co to pracować na własne utrzymanie, nie potrzebując wywalczać sobie stanowiska, bo mu je ślepy przypadek gotowe do kołyski włożył; nie wyrobiwszy w sobie hartu ducha i silnej woli, zostaje istotą połowiczną, miękką na wszelkie wpływy, nie umiejącą ani prawdziwie kochać, ani nienawidzieć. Każde silne uczucie męczy go, a on przedewszystkiem pragnie spokoju.

Człowiek tego rodzaju pewno żony nie uszczęśliwi, nie potrafi nawet obronić jej przeciw napaściom innych. Miłość jego, w której mieści się zwykle więcej uporu, niż uczucia prawdziwego, prędko przeminie, a wtedy będzie bawił się i pocieszał, jak i gdzie się uda, mówiąc sobie w duchu:

— Przecież żony nie biję, nie maltretuję, dałem jej tytuł, majątek, stanowisko świetne, a że jej zachciewa się jakichsić sielanek, miłości, ogniska domowego, męża czułego, któryby z nią sam na sam wieczory trawił, słowo honoru! w tém sensu najmniejszego nie ma! i już mnie to djabelnie nudzić zaczyna. Czy słyszał kto o tem na wielkim świecie? Mąż zakochany we własnej żonie! Mais c'est du dernier ridicule! Źle się stało żem wlazł w to szlacheckie gniazdo. Poczciwa kobiecina, kocha mnię do szaleństwa! mais point de chic, bez dystynkcji, bez najmniejszej kokieterji, zwyczajnie wiejska, cnotliwa gąska.

Oto na czem kończą się najczęściej „świetne partje“. Mąż pierwszy po latach kilku robi się wiernem echem swego „towarzystwa“, wydając sąd tak niesprawiedliwy o własnej żonie, i odsuwając się od niej coraz więcej.

Nie masz reguły bez wyjątków. I w arystokracji są ludzie zacni, dobrzy mężowie i ojcowie; nikt jednak nie może zaprzeczyć, że jeżeli mężczyzna za domem pracuje, w jakimkolwiek zawodzie, o wiele milszym mu będzie dom i wypoczynek w kółku rodzinnem, o wiele cenniejszą dobra żona, która będzie się starała usilnie aby mu ten dom zrobić najwygodniejszym, niż takiemu człowiekowi, który za domem bawi się tylko, który przyzwyczajony do gwaru światowego, prawie żyć bez niego nie może, i zwykle nudzi się domem najokropniej.

Szeroko i długo omówiliśmy kwestją wyboru mężów dla córek naszych, gdyż uważamy ją za kwestję decydującą o całem życiu kobiety. Zły wybór nietylko jej szczęście niweczy, lecz często i duszę zatraca.

Kobieta nieszczęśliwa, zdradzona, opuszczona, znajduje się w stanie ciągłego rozstroju moralnego. Nic jej przeciw złemu nie broni, wszystko do złego prowadzi...

W takim razie mąż, który jej miłość przysięgał, i powinien być jej puklerzem od zguby, psuje ją pierwszy. Pragnąc bądź co bądź wytłumaczyć swoją własną lekkomyślność, przesadza się w cynizmie, nazywając wszelkie zasady cnoty i moralności przesądami staremi i zwietrzałemi. Rozpacz jest także złym doradcą. Kobieta młoda, przystojna, próbuje zazdrością obudzić zastygłe uczucie w sercu męża, którego dotąd kocha jeszcze. Wytęża więc rozum i spryt cały, którego nigdy nie brak kobietom, żeby się podobać. Kobiety mężatki skoro tylko zechcą znajdą zawsze adoratorów.

Najprzód więc, z uczciwej niewiasty, przeznaczonej na kapłankę domowego ogniska, wytwarza się lalka salonowa, zajęta strojami, balami i tem podobnemi błahościami. Powoli zepsucie jak fale wzburzonego morza sięga coraz wyżej, coraz mniej ją dziwi, coraz mniej to oburza, co jeszcze niedawno wstrętnem i ohydnem jej się wydawało. Schodząc tak coraz niżej zostaje w końcu nikczemną zalotnicą, dla której nic już nie ma świętego.

Świat wtedy rzuca na kobietę kamieniem i przechodzi nad nią do porządku dziennego, ale nikt nie spyta, kto tę duszę zgubił? Kto był głównym powodem, kto sprawcą upadku tej istoty? Kobietę potępiają bez miłosierdzia, a dla moralnego zabójcy jej szczęścia, jej spokoju, jej duszy nawet, opinja nie ma jednego słowa wzgardy, oburzenia! Taką jest dotąd sprawiedliwość sądów ludzkich.

Chętnie przyznajemy, że nie można jednakowo osądzać złych postępków mężczyzn i kobiet. Olbrzymia tu zachodzi różnica.

Ojciec nie jest obowiązany pilnować domu i dzieci, bo musi zapracować za domem tyle, żeby utrzymać rodzinę. Ojciec nie może narzucić rodzinie owoców nieprawych, o które stara się po za progiem domu — matka przeciwnie najczęściej wyzyskuje łatwowierność męża, i żąda dla owocu swojej i jego hańby, części majątku, nazwiska, a nawet krzywdzi drugie dzieci, mniej je kochając, jak tamto narzucone.

Zły przykład ojca o wiele mniej demoralizuje rodzinę i najbliższe otoczenie, jak podobne postępowanie matki i pani domu. Świat musi też o wiele ostrzej sądzić kobietę, niżeli mężczyznę. Jednakże zupełna bezkarność z jednej a bezwarunkowe potępianie z drugiej strony nie jest sprawiedliwém i oddziaływa najniekorzystniej na stosunki społeczne i rodzinne.

Rzadki to wypadek, żeby panna wyszła za pierwszego mężczyznę, który się o jej rękę oświadczy.

Tu dopiero, w stosunkach tak drażliwych dla mężczyzn, rodzice, również jak sama panna, mają szerokie pole, aby rozwinąć takt w postępowaniu, okazać dobre wychowanie i szlachetność uczuć.

Wodzić na sznurku (jak to mówią) swoich wielbicieli latami, czekając czy nie trafi się co lepszego, jest prostem oszukaństwem i największą nikczemnością ze strony panny.

Niegrzecznością płacić ludziom, którzy nas czulszem uczuciem odznaczyli, okazuje też brak zupełny dobrego wychowania, delikatności i szlachetności. Jeżeli nie możemy jak mówi poeta: „sercem za serce zapłacić“ powinneśmy okazać zawsze pewną wdzięczność za ten dowód zaufania i miłości. Każde uczucie należy szanować.

Jeżeli pokocha ktoś panienkę bez wzajemności z jej strony, wart raczej pożałowania lecz nigdy kary. Dla czegoż z nimsię szorstko i niegrzecznie obchodzić, robiąc sobie na całe życie wroga nieubłaganego?

Najlepiej nie dopuszczać do formalnej deklaracji. Czyż nie można mężczyźnie oszczędzić tego kroku, tak dla niego bolesnego i upokarzającego?

Panienka potrafi jak skoro zechce, nawet bez pomocy rodziców, dać do zrozumienia najdelikatniej, że daremne byłyby zachody mężczyzny około jej osoby. Gdy tak sobie postąpi, szlachetnie i uczciwie, nie kłamiąc i nie kokietując, zyska pewno przyjaźń i szacunek tego człowieka na całe życie.

Wzajemna szczerość i otwartość przed ślubem, byłaby naszem zdaniem, najlepszą rękojmą harmonji i zgody po ślubie.

Najczęściej dzieje się wręcz przeciwnie.

Nie masz prawie interesu, przy którymby było więcej oszukaństwa, a mniej dobrej wiary, jak właśnie przed łączeniem się na całe życie małżeńskiej pary.

Narzeczeni ukrywają zwykle najstaranniej, jedno przed drugim, wady fizyczne, błędy charakteru, oszukując się wzajemnie pod względem majątkowym, blagując na prawo i lewo, tworząc ciągle bańki mydlane i bawiąc się niemi w swej bujnej imaginacji.

Po ślubie bańki pryskają, zostaje smutna rzeczywistość, zwykle o tyle ciemna, o ile owe kłamstwa były różowe; następuje niesmak, rozczarowanie, brak zaufania, doskonały materjał rozkładowy, który może zniszczyć ich szczęście domowe na zawsze.

Młody człowiek, nim zacznie bywać w domu w chęci starania się o rękę panny, może, a nawet powinien dowiedzieć się najdokładniej o jej stosunkach majątkowych. Trzeba dobrze zastanowić się przed ożenieniem, czy wystarczy wspólny majątek na utrzymanie mniej więcej takie, do jakiego byli państwo młodzi przyzwyczajeni. Trzeba wziąć na uwagę, że w małżeństwie idzie na „plus,“ a na „minus“ nigdy liczyć nie można. Wymawiać potem żonie, że nie wniosła dostatecznego posagu jest okrucieństwem; targować się z rodzicami panny lub zrywać stosunki w ostatniej chwili, dla posagu małego, jest ze strony mężczyzny podłością, w najrozciąglejszem tego słowa znaczeniu.

Rodzice panny, jakoteż i panna sama, niech nie obiecują, czego dotrzymać nie mogą. Własne dziecko tem kompromitują, stawiając córkę w najfałszywszem położeniu. Prędzej, czy później musi się wydać oszukaństwo, a potem biedna córka pokutuje całe życie, słysząc co dzień niemal męża narzekania i znosząc tysiączne przykrości.

Skoro rodzice słowo dadzą i córce je dać pozwolą, natychmiast powinni ogłosić tę swoją decyzję, donosząc tak rodzinie, jak bliższym znajomym, że pan N. N. jest narzeczonym ich córki.

Wtedy byłoby niegrzecznością i brakiem wychowania, donosić rodzicom lub pannie rzeczy nieprzychylne o człowieku przez nich wybranym. (*C. d. n.*)



U WRÓT CMENTARZA.

U wrót cmentarza.

Na cmentarzu lampka płonie,
Wątła lampka mała —
Niby gwiazdka, co z niebiosów
Na ziemię zleciała.

Bije łuna z darni grobów
I z pysznych kamieni...
Patrzą dusze na świat boży
Oczyma z płomieni...

Oh! nie jedno serce z głazu
Bolem dziś uderzy,
I z nieszczęsnych ust bluźnierczych
Spłynie szept pacierzy...

* * *

Któż to sunie od cmentarza
Takim ciężkim krokiem?
Któż to patrzy na świat żyzny
Tak przygasłem okiem?

Z czyjej piersi się wyrywa
Taki jęk stłumiony?
Czyjeż serce znów nawiedził
Ból nieuleczony?

Któż nie zwraca wstecz oblicza
Zaszłego pomroką?
Bo to wszystko, co ukochał,
Skrył w ziemi głęboko...

* * *

Nie pytajcie... spojrzcie raczej
W to blade oblicze,
W którem stokroć łzy wyryły
Drogi tajemnicze...

Nie pytajcie — bowiem łatwo
Odgadniecie sami,
W czyje serce Bóg uderzył
Swojemi gromami...

A powiedzcie — czy jest większa
Boleść na tym świecie,
Jak ból matki, która grzebie
Jedyne swe dziecię?

* * *

Matko moja! tam daleko
Pod mogiłą śpiąca:
Powiedz, czy dziś na twym grobie
Tli lampka jarząca?

Czy na krzyżu kto zawiesił
Wianek z kwiatów tobie?
Czy się modlił kto z pobożnych
Na twym cichym grobie?

Może tylko tam nad tobą
Tkwi gwiazdka świetlana?
I tu modli się za ciebie
Pieśń ma rozełkana?...

. . . *la*



Śmierć i pogrzeb cara Mikołaja.

Mikołaj był jeszcze dzieckiem, gdy uduszono jego obłąkanego ojca. Matka Mikołaja pusta i głupia Niemka zajmowała się tylko etykietą i urządzaniem ferm dla wybornego bydła. Synek jej więc wychowywał się w koszarach i w kordegardach. Nie było ani jednego człowieka, który by zajął się tem dzieckiem i niedał sercu jego zaczerstwieć w dusznej atmosferze stajen i maneżów. Mikołaj wstąpił na tron nie znając ludzi i nie rozumiejąc czasu swego. Spotkała go na progu rewolucja, którą pojął jako naruszenie karności i sam napisał własnoręcznie do listy swojej służbowej: „Znajdowałem się przy obronie Zimowego pałacu 14. grudnia 1825 r.“

Człowiek ten przyniósł z sobą odrazę do nauk, pogardę wojskowego do cywilnego, nienawiść majora do śmiałej odpowiedzi, szaloną miłość władzy, namiętną chęć upokarzania wszystkiego, zrównania, spłaszczenia — i to wszystko bez żadnego celu, bez myśli, a nawet bez ekscentryczności. Za jego panowania w Moskwie wszystko, co oficjalnie było uznawane za człowieka, było na służbie, było urzędnikiem — cywilnym lub wojskowym. Na lud zaś patrzano jak na małoletniego i w samej rzeczy lud ten nie wiele różnił się od mieszkańców Chiwy, od Kirgizów i Karakałpaków.

Trzydzieści lat w swych ogromnych botfortach z ołowianemi kulami zamiast oczu, chodził Mikołaj jak okropny szyldwach, strasząc wszystkich, dusząc wszystko, i ciągle oglądając się, czy nie wychyli się jaka głowa nad ogólny poziom, żeby ją przycisnąć. Ani jeden zdolny człowiek,

ani jeden wyższy umysł nie wykształcił się za jego długiego panowania. Mikołaj rządził Moskwą przez adjutantów i ordynansów swoich: kradzieże, przekupstwo i grabieże stały się systemem. Kiedy jenerała Wroczenkę Mikołaj przeznaczył na ministra finansów, nowy minister przyszedł do niego i na klęczkach go prosił o cofnięcie nominacji, przedstawiając, że nie zna się na finansach, że nigdy się niemi nie zajmował, że lęka się ogromnej odpowiedzialności, nie posiadając żadnych kwalifikacji do nowego obowiązku. „To są wszystko błahe przyczyny,“ odpowiedział mu Mikołaj. Na to są instrukcje, formy i tabele; należy być akuratnym, wszystko zapisywać i będzie dobrze.“

Takie były pojęcia jego o rządzeniu. Zimną ciężką ręką swą zatrzymywał rwące się naprzód młode życie, tamował ruch wszelki, a sam się ocknął i przetarł oczy wtedy, gdy go obudziły strzały armatnie Sebastopola i Eupatoryi. W około wszystko milczało..... Złodziejstwo pod bokiem, nadużycia wszędzie, brak sympatycznej ludzkiej twarzy, brak prawdziwego przywiązania w otoczeniu, wszędzie tylko zapięte kołnierze i guziki... a tam — armje giną, okręta toną, armaty huczą, krew się leje... Mikołaj przejrzał po raz pierwszy, że błądził.

Niezmierna duma nie pozwalała mu przejść na inną drogę — postanowił więc umrzeć! Niemiec Mandt, ulubiony nadworny lekarz Mikołaja, którego lud posądzał o otrucie cara, zmuszony ratować się ucieczką za granicę, żeby go nie poszarpano, tak opowiadał o ostatnich chwilach północnego mocarza.

„Po otrzymaniu doniesienia o przegranej pod Eupatorją, wezwał mnie Mikołaj do siebie i powiedział: Byłeś mi zawsze oddanym, chcę więc pomówić z tobą poufnie. Wojna, która się toczy, wykazała mylność polityki mojej na zewnątrz i na wewnątrz. Nie jestem w stanie zmienić się i pójść po innej drodze, bo to nie odpowiada ani mojej godności ani przekonaniu. Niech syn mój poprawi, co się stało, po śmierci mojej.

— Najjaśniejszy Panie! odpowiedziałem, Bóg ci dał silne zdrowie, a w ciągu życia, które jest przed Tobą, można jeszcze naprawić wszystko.

— Nie, naprawić tego nie jestem w stanie i dla tego powinienem umrzeć. Wezwałem cię, abyś dał mi trucizny, która by działała pewnie, ale nie zbyt gwałtownie, nie narażając na zbyt wielkie boleści.

— Najjaśniejszy Panie, tego zrobić nie mogę, bo mi obowiązek i sumienie nie pozwalają.

— Jeżeli ty tego nie zrobisz, to znasz mnie, ja wypełnię wolę moją, lecz będę ciężko cierpieć. Przeto proszę Cię i rozkazuję w imie twego przywiązania do mnie, abyś spełnił czego żądam.

— Jeżeli wola twoja jest niezmienna, Najjaśniejszy panie, spełnię ją, lecz pozwól uprzedzić o tem Następcę tronu, bo mnie jako zaufanego lekarza Twego posądzą o otrucie.

— Zgadzam się, ale wtedy, gdy mi już dasz truciznę.

— Było to 3. Marca 1856 r. Doręczywszy cesarzowi buteleczkę z trucizną poszedłem do następcy tronu oznajmić mu o tem. Aleksander pobiegł do ojca i wszedłszy do gabinetu, rzucił mu się do nóg, mając twarz zalaną łzami. Wtedy wyszedłem. Jaka była rozmowa ojca z synem nikt nie wie. Aleksander wyszedł z ojcowskiego gabinetu smutny, zapłakany. Mikołaj zaś zaraz położył się do łóżka. Tegoż wieczora choroba się wzmogła. Wezwano nadwornych lekarzy: Karrela, Raucha i Markusa na konsyljum lekarskie. Znaki otrucia były tak widoczne, że lekarze odmówili podpisu biuletynu, który Mandt przygotował. Mandt udał się do następcy tronu i przyniósł rozkaz, żeby natychmiast przyszli do niego. W pięć minut później biuletyny, podpisane przez nadwornych lekarzy, zostały posłane do ministerstwa wojny i ledwo o 11 godzinie w nocy ważniejsze osoby w Petersburgu dowiedziały się, że ten, który wydawał się nieśmiertelny, jedną nogą stoi już w grobie.

O całym tym wypadku Mandt napisał broszurkę i wydał ją za granicą, lecz rząd moskiewski dowiedziawszy się o tem zagroził mu odebraniem dość znacznej emerytury, którą pobierał, jeżeli nakładu całego nie zniszczy. Mandt spełnił życzenie rządu moskiewskiego, lecz nie chcąc zostać pod zarzutem trucicielstwa opowiadał bardzo często o tym wypadku przed różnemi osobami, których to interesowało.

Na drugi dzień, to jest 4. Marca wstawszy bardzo rano, udałem się do bióra, w którem pracowałem. O tak rannej godzinie zwykle w biurze nie było nikogo, nawet prostych pisarzy. Mając do przejrzenia wczorajszą robotę, pośpieszyłem żeby ją ukończyć. Jakież było zdziwienie moje gdy przez przymknięte tylko drzwi dostrzegłem naczelnika mego jenerał - kwatermistrza Wnicza, który chodził wielkiemi krokami po pokoju ocierając oczy chustką i rwąc na sobie włosy. Wszedłem do pokoju. Jak by niewidząc mnie Wnicz wpadł w jeszcze większy smutek, zakrył twarz i łkając powtarzał:

— Biedna Rossyo, co z tobą będzie!

— Cóż się stało — zapytałem go z dziwieniem.

— Czy pan nie wiesz, że car umiera w tej chwili, że niema już żadnego ratunku. Biedna Rossyo! co się z tobą stanie, co się z tobą stanie! Potem wziąwszy mnie zawołał: „Panie, widziałeś mój smutek łzy i boleść, których nie byłem w stanie stłumić w sobie; proszę pana nie mówić nikomu o stanie, w jakim mnie widziałeś.“

Zrozumiałem czego się mu chciało i dla czego przybiegł tak rano do biura wylewać łzy przy drzwiach otwartych... Spełniłem życzenie jego... nikomu nic o tem nie wspomniałem. Cała więc ta komedja nie posłużyła do

niczego. Nie wszyscy wreszcie tak jak ja dotrzymali danego słowa. Jenerał Iwan Suchozanet, który stracił łaskę Mikołaja za to, że za oszustwo w kartach został wypędzony z Londynu i opisany w gazetach angielskich odegrawszy zupełnie podobną komedję, wrócił do łaski nowego cara. Ale o tem — potem.

Ucieszony niezmiernie usłyszaną nowiną, pobiegłem do kolegi mego Obruczewa, który mieszkał w tymże domu co i ja, żeby mu ją zakomunikować. Znalazłem go jeszcze śpiącego.

Mikołaj Mikołajewicz zawołałem budząc go, Mikołaj umarł. Obruczew otworzył oczy, z jakimś strachem popatrzył na mnie, siadł potem znowu, zamrużył się i zapytał mnie, czy mu się przyśniło, czy odemnie słyszał że car umarł.

— Ale napewne, daję ci słowo że w tej chwili ciało jego już zaczęło się rozkładać.

— Uh! jaka góra zwaliła się z piersi! Pierwszy raz tak lekko oddecham; pozwól się ucałować za tę miłą nowinę. Hej Wasilij, Wasilij przynieś butelkę szampańskiego z piwnicy. W kilka minut potem głośny wystrzał z butelki świadczył o wielkim smutku drugiego poddanego cara Mikołaja.

Nowina tak niespodziewana lotem błyskawicy obleciała miasto. Wróciwszy do domu posłałem natychmiast służącego, żeby kupił krepy, nie mówiąc nic nikomu, żeby kupcy dowiedziawszy się o śmierci cara nie żądali cen wygórowanych za materjał. Ale stolica już wiedziała, co zaszło w pałacu. W magazynach za łokieć krepy żądano po 2 i 3 ruble. Służący mój, człowiek oszczędny zaczął targować się, starając wpłynąć na zmniejszenie ceny wymową swoją.

— Płaczecie, a zdzieracie ludzi, którzy muszą włożyć żałobę, do czegoż to podobne?

— Cóż robić, batiuszka — odpowiedział kupiec spłakany — trzydzieści lat czekaliśmy podobnej okazji!...

Na kilka godzin przed śmiercią Mikołaja, żona mu przypomniała, że potrzeba wyspowiadać się i przyjąć komunję. Mikołaj dotknął się ręką do twarzy i odrzekł: „Nie mogę, bo jakże przystąpię do komunii nieogolony i nie włożywszy munduru!“ Charakterystyczne słowa te malują doskonale zmarłego despotę.

Zaledwie car ducha wyzionął, posłano rozkaz do wszystkich biur, aby od urzędników odebrano przysięgę nowemu carowi, a o godzinie 11 wszystkim oficerom kazano zebrać się w pałacu zimowym dla przedstawienia się Aleksandrowi. Pospiech ten zdziwił mocno, bo w nim przebijała się obawa i niepewność nowego cara. Zadowolenie, nieukrywana radość i nadzieja lepszych czasów malowała się na twarzach zebranych. Byli tacy, co się żegnali, dziękując Bogu za wybawienie od Mikołaja, tej ciemnej katarakty na oczach ludzkości. Oczekiwano pojawienia się nowego władcy i nastrajano twarze do smutku, jak wymagała chwila obecna. Pułkownik Krenke, Niemiec, który się odznaczał potem dzikiem barbarzyństwem w czasie powstania polskiego, ofiarował wszystkim tabaki, dodając, że to łzy wyciska i daje wyraz rozczulenia.

Nareszcie wszedł Aleksander. „Jestem głęboko przekonany — rzekł do nas — że podzielacie smutek mój nad stratą ojca i dobrodzieja i spodziewam się, że będziecie mi służyć tak dobrze, jak ojcu dopomagając zwalczyć wroga, który zagroził Moskwie we własnych jej granicach“ Zakołysały się kaszkiety i pióra w powietrzu, krzyknęliśmy hurra i coś podobnego do pamiętnego: moriamur pro rege nostro. Car rozczulony tą pierwszą manifestacją rozpłakał się i poszedł pocieszać matkę swoją.

W tej chwili, w drugiej sali, kozacki hetmański pułk gwardji przedstawiał się nowemu następcy tronu, synowi Aleksandra, który przed chwilą był zamianowany szefem. Dziesięcioletni malec wyszedł przed pułk w ubiorze hetmańskim, otoczony młodszymi braćmi i nauczony przez guwernera odezwał się: Jestem szczęśliwy, żem dostąpił zaszczytu zostać waszym hetmanem; mam nadzieję, że będziecic służyć tak, jak służyliście przy ojcu moim. Jam młody, ale, ale... i zaciął się zapomniawszy lekcji. Stojący za nim brat młodszy Aleksy, wielki swywolnik, głośno mu podpowiedział: „ale głupi.“ Usłyszawszy te słowa młody hetman odwrócił się cały zapłoniony i uderzył w twarz brata. Tak się skończyło przedstawienie kozackiego pułku nowemu hetmanowi.

Dnia następnego utworzono przy dworze komisję mającą zająć się ceremonją pogrzebu zmarłego cara pod przewodnictwem hr. Gurjewa. Komisja ta przybrała nazwę „smętnej komisji.“

Z rana, gdy Mikołaj leżał jeszcze w gabinecie swoim, poszedłem obaczyć go. Straszydło to ludów całej Europy spoczywało na żelaznem łóżku pokrytem kołdrą i starym płaszczem wojskowym, który mu służył za szlafrok. Nad łóżkiem jego wisiał portret zmarłej córki jego Aleksandry, którą bardzo kochał, w huzarskim ubiorze, bo Mikołaj nie pojmował nawet piękności kobiety bez munduru. W głębi pokoju pod oknem stało biórko zawalone papierami, raportami i mapami. W kącie stało kilka karabinów, któremi musztrował się car codziennie w wolnych chwilach. Na stołach, etażerkach i konsolach stały statuetki zrobione z papier maché żołnierzy z różnych pułków armii; na ścianach wisiały rysunki uniformów, wprowadzanych w wojsku przez cara. Przy łóżku na krześle siedział jenerał Suchozanet i ciągle wycierał suche swe oczy chustką. Opowiadano mi, że już 36 godzin siedzi nad trupem człowieka, którego szczerze nienawidził, nic nie jedząc i nie pijąc i ciągle płacząc. Na surowej twarzy zmarłego wystąpiły żółte, sine i fioletowe plamy. Rzadkie zęby wyglądały z jego ust niezamkniętych. Wyraz twarzy świadczył

iż umarł w wielkich boleściach. Gdy Aleksander obaczył ojca w tym stanie, zląkł się, wezwał lekarzy Zdekonera i Mianowskiego, profesorów akademii medycznej, i polecił im zrobić co bądź, żeby rozkład ciała nie następował tak rychło, a szczególnie, żeby się nie psuły rysy twarzy, bo według etykiety car miał być przez cztery dni wystawiony na katafalku. Fatalne znaki mogły tylko potwierdzić pogłoski, kursujące w mieście o otruciu cara. Ostatnią wolą Mikołaja było, żeby go nie balsamowano, obawiał się bowiem odkrycia tajemnicy, którą sądził, że niesie do grobu. Dwaj wezwani uczeni, dla powstrzymania rozkładu ciała, wprysnęli eter do tętnic, pomalowali twarz i podreperowawszy cokolwiek nieboszczyka, złożyli do trumny. Nowy sposób balsamowania snać nie był dobrze wypróbowany, bo rozkład ciała stał się tak gwałtowny, że musiano obłożyć Mikołaja pachnącemi ziołami, tak cuchnął okropnie.

Z pałacu, po dwudniowej wystawie, z ogromną pompą przeniesiono zmarłego do Petropawłowskiej cerkwi w cytadeli, gdzie spoczywają groby carów. Wojska były rozstawione szpalerem od Zimowego pałacu aż do cerkwi. Urządzeniem ceremonjału pogrzebu zajmował się sztab wojskowy gwardji i wyżwspomniana „smętna komisja.“ Mając potrzebę porozumienia się z jednym z członków komisji względem samego ceremonjału przenosin, udałem się do pałacu, gdzie się odbywały posiedzenia komisji, i doszedłszy do drzwi powstrzymałem się dla ułożenia twarzy stosownie do miejsca, dokąd wstępowałem. Gdym już brał za klamkę, drzwi się otworzyły, wysunęła się ręka z butelką i zawołano: „Ej jeszcze butelkę szampańskiego.“ Nie bardzo zbudowała mnie wesołość „smutnych“, tem więcej, że byli to ludzie, którzy wszystko byli obowiązani carskiej łasce, a nie własnym zdolnościom i zasługom.

W dzień przeniesienia zwłok zmarłego cara do fortecy na czele orszaku pogrzebowego szedł dwór cały, za nim starzy jenerałowie z asystentami, niosąc różne korony, które nagrabiła Moskwa; następnie armija popów, wóz z trumną, około którego jechał car i bracia jego, heroldy, żołnierze przebrani w dawne rycerskie zbroje i t. d. W czasie drogi stary jenerał Szachowskoj, niosący koronę kazańską, zadrzemał. Asystent jego widząc, że staruszek idzie bardzo niepewnym krokiem i co chwilę może upuścić koronę, rzucił się ku niemu, żeby podtrzymać poduszkę. Grenadjer pałacowy idący z boku, nie znając asystenta, sądził, że to złodziej jaki, i miał go ciągle na oku. W chwili, gdy jenerał zadrzemał na dobre, asystent rzucił się naprzód i chwycił poduszkę na ręce; lecz w tej chwili uczuł, że grenadjer chwycił go za kołnierz i zatrząsł nim silnie. „Dawno ja tu ciebie śledzę — wrzasnął na całe gardło, ale nie ujdziesz mi teraz hultaju.“ Obudził się Szachowskoj i ledwie zdołał oswobodzić przestraszonego swego adlatusa z rąk żołnierza.

Idąca naprzeciw procesji złocona hołota zachowywała się niezmiernie nieprzyzwoicie. Nie dość, że całą drogę śmiała się i chichotała, ale nie mogąc obejść się godzinę bez jadła i napoju, powyjmowała różne zakąski z kieszeni i wino, jadła i piła, paliła cygara i postępowała tak, że zgorszony lud prosty, stojący po stronach ulic, po których przechodziła procesja, zaczął krzyczeć na nią i zmusił rzucić cygareta i cygara.

Po zaniesieniu trumny do cerkwi petersburgskiej cytadeli, ciało zmarłego władcy postawiono na wysokim katafalku. Korony, berło i złote jabłko złożono u nóg jego, a potem zaczęło się nabożeństwo. Nowy car stanął około trumny i płakał. Za przykładem cara ciż sami, co przed chwilą sprawowali się tak nieprzyzwoicie, ich żony i córki, aspirujące do godności dam dworu i frejlin, zaczęli także szlochać głośno. Po skończeniu nabożeństwa gruby djakon zaśpiewał „So światymi upokoj“ takim strasznym basem, że cały gmach się zatrząsł.

Car nachylił się nad ciałem ojca, długo patrzał w te rysy, które zmieniły się tak okropnie, potem pocałował go w czoło i odszedł na stronę. Carowa, żona Mikołaja, trzęsąca się nerwowo od dnia rewolucji 1825 roku, podtrzymywana przez dwóch młodszych synów, ledwie się wlokąc, jak na wdowę przypadało, zbliżyła się do trumny, pocałowała także męża w czoło, lecz mając wielki wstręt do trupów i uderzona okropną atmosferą, otaczającą gnijące ciało zmarłego, zapomniała o słabości nóg i jak ośmnastoletnia zbiegła prędko ze stopni katafalku przez nikogo nie podtrzymywana. Za nią zbliżył się W. ks Konstanty, przeżegnał się, szybko nachylił się dla ucałowania ojca, odstąpił krok nazad i wstawiwszy szkiełko w oko, zaczął przypatrywać się pięknym frejlinom, ktore jedna po drugiej podchodziły całować zmarłego, a potem ukłony oddawały cesarzowi. Po skończeniu tej ceremonii car poszedł ku drzwiom nie ukłoniwszy się nikomu, nawet niezmiernie szanowanemu staremu jenerałowi Jermołowowi, który z Moskwy przybył na pogrzeb ojca jego. Ale za to zatrzymał się około drzwi i serdecznie uścisnął rękę jakiegoś jegomości, ubranego w czarny frak, i na którego twarzy było narysowane wyraźne pochodzenie z plemienia Judy.

— Kto to taki, kto? — zaczęto pytać się naokoło; komu to car podał rękę?

— To bankier Sztyglitz, żyd, a car potrzebuje pieniędzy — odrzekł jakiś jenerał.

Po wyjściu cara z cerkwi scena się zmieniła. Panny i panie dworu zostały otoczone oficerami gwardji; zaczęły się śmiechy, żarty, głośna rozmowa, uskarzanie się na nudy, które czekają wszystkich z powodu dworskiej żałoby.

— Mais mademoiselle, cette robe noire vous va à merveille. Vous êtes belle, belle comme un ange — i na-

chyliwszy się dodał ciszej... déchu. Z uśmiechem na ustach pogroziła mu panna różowym paluszkiem i odpowiedziała.

— Vous êtes toujours méchant, Colonel; quand vous viendrez chez nous?

— Demain, demain mademoiselle, je serais à Vos pieds.

— Avant hier — powiada inna do oberpolicmajstra, quand jeszcze nikt nie wiedział de la maladie du tzar, maman a revée, że jakiś czarny ptak, podobny do orła dwugłówego, przyleciał do niej; il avait l'air trés triste, łzy mu ciekły z oczu, et il a dit à maman, że un grand malheur grozi à la Russie; potem odleciał. Maman en se reveillant kazała zawołać un orfève i zamówiła u niego kolczyki pour moi z brylantowemi łezkami, tout à fait pareilles, jakie ciekły z oczu orła. Czy nie prawda, que c'est une bonne ideé? C'est un souvenir po naszym wielkim carze.

— Czy nie słyszałeś — mówił jakiś oficer do kolegi, że car dowiedziawszy się o głębokim smutku Wańki (Jaśka) Suchozaneta, mianował go swoim jenerał-adjutantem, a brata jego wojennym ministrem. „Chitryj pies“ wiedział, czem trafić do cara, a wszak on tak nienawidził nieboszczyka, że pienił się ze złości, gdy mu o nim wspomniano.

Nasłuchawszy się tych rozmów, zbliżyłem się do trumny Mikołaja, żeby pod pretekstem ucałowania go w czoło, przypatrzyć się jeszcze raz bliżej rysom człowieka, przed którym jeszcze tak niedawno drżała cała Europa. Pod wpływem gnicia twarz jego tak się zmieniła okropnie, że straszno było patrzeć na nią. Żółte i fioletowe plamy, które widziałem na drugi dzień po śmierci, zmieniły się na czarne. Dla nakrycia tego zasłoniono mu twarz gęstym gazowym woalem. Przypatrując się zbliska, zapomniałem ostrożności, którą dotychczas zachowywałem, i odetchnąłem nad trumną. Zabójcza atmosfera, otaczająca nieboszczyka, z taką siłą uderzyła mój zmysł powonienia, żem odskoczył z przerażenia. Ośm dni odor ten okropny prześladował mnie ciągle, a szczególnie podczas jedzenia.

Po odjeździe cara zaczęła się w cerkwi scena, jaką tylko można widzieć w przysionku teatru. Karety zajeżdżały pod drzwi cerkwi, a lokajstwo wchodząc do środka, na całe gardło wołało: „Kareta kniagini Koczubej gotowa! kareta jenerała Bezobrazowa gotowa!“ Po uściskach i wzajemnych pożegnaniach cerkiew zaczęła się wypróżniać, i zostało w niej tylko ciało tego mocarza, otoczone takim przepychem, jaki zaledwie może przedstawić sobie najbujniejsza wyobraźnia, i kilku grenadjerów pałacowych pilnując, żeby kto nie zabrał z sobą berła lub korony.

Cztery dni odbywały się żałobne nabożeństwa rano i wieczorem, cztery dni powtarzały się wyżej opisane sceny; piątego trumnę zamknięto i ze śpiewem „Wicznaja pamiat'“ złożono ją obok grobów Piotra III. i Katarzyny II., tego wzoru czułych małżonków. Słyszałem potem, jak jeden z dworzan słowem honoru zaręczał, że gdy złożono Mikołaja do grobu, cerkiew nachyliła się nieco na tę stronę.

Car jeszcze dni kilka jeździł do fortecy modlić się nad grobem ojca. Dnia jednego znalazł na pomniku wieniec z białych kamelij.

— Kto położył? — zapytał odźwiernego.

— Żona jenerał-adjutanta Adlerberga — odpowiedział zapytany.

Wróciwszy do pałacu i wiedząc, że stary Adlerberg nie ma żony, car posłał adjutanta swego podziękować za pamięć żonie młodego Adlerberga, która posiadała wielkie względy jego. Ale jakież było zdziwienie, gdy hrabina odpowiedziała, że nie ma prawa przyjąć tego podziękowania, bo nie ona złożyła wieniec na grobie. Car zaciekawiony, jaka kobieta uczciła pamięć ojca, kazał dowiedzieć się koniecznie i donieść sobie. Oberpolicmajster przybył do cerkwi, i stanąwszy za kolumną, oczekiwał pojawienia się nieznajomej. Zatrzymała się kareta przed cerkwią; pysznie ubrana dama postąpiła ku ołtarzowi i złożyła nowy bukiet na grobie Mikołaja. Odźwierny powiedział oberpolicmajstrowi, że to taż sama dama, która wczoraj złożyła wieniec. Wieczorem car dowiedział się od szefa policji, że nieznajoma dama jest kochanką siedmdziesiątletniego Adlerberga, znana w całej stolicy z rozpustnego życia czuchonka, Mina Iwanówna. A więc na piąty dzień po śmierci Mikołaja wspomniała o nim tylko publiczna kobieta.

Nowy car zaczął swoje panowanie uwolnieniem z fortecy przestępców politycznych, których ojciec zapakował do podwodnych kazamat. Wtedy to po raz pierwszy po trzydziestu latach ujrzał ludzi nieszczęśliwy Batienków, wrzucony do lochu w r. 1825. Człowiek ten już zapomniał mówić. Na małem podwórzu w fortecy, ogrodzonem ze wszystkich stron murami, kiedyś więzień ten posadził był ziarnko jabłka, które gdzieś znalazł. Z ziarnka tego urosła już jabłoń i zaczęła wydawać owoce. Bakunina jednak car nie uwolnił, lecz kazał posłać na Sybir, bo ojciec mu radził nie wypuszczać z rąk tego niebezpiecznego człowieka.

Po wypróżnieniu lochów, ktoś przylepił kartkę na wrotach cytadeli: „dom wolny od kwaterunku, gdyż sam gospodarz przyjechał na mieszkanie.“

W trzy lata poźniej zmarł Orłów, przyjaciel Mikołaja i szef żandarmów. Przed śmiercią dostał pomieszania zmysłów. Zdawało mu się ciągle, że nie jest jenerał-adjutantem lecz tylko świnią. Kazał zrobić sobie koryto i jadł nieinaczej z niego, jak na czworaku, włożywszy poprzednio mundur i wszystkie ordery moskiewskie i zagraniczne, których miał bez liku. Tak umarł wspólnik i wykonawca zbrodni Mikołaja. Na pogrzebie jeden z obecnych powiedział: „Wiek żyj i wiek ucz się! Orłów tylko przy końcu życia dowiedział się, czem był w istocie!“

KONIEC.

POGADANKA.

Pod wrażeniem nieprzyjemnego Prysznica biorę dziś pióro do ręki; wypada mi przedewszystkiem wspomnieć o konfiskacie Strzechy. Wypadek ten — *der erste Fall in unserem Hause* — słusznie zadziwić musi każdego; ktokolwiek bowiem przypatrywał się naszej dotychczasowej działalności, ten z pewnością zauważyć musiał, że zbrodnie stanu, zaburzenia spokojności publicznej i tym podobny towar zakazany nie należy wcale do naszej specjalności. *Das Haus führt nicht diesen Artikel*, czyli wyrażając się poprawnym językiem lwowskich kupców: „Nie prowadzimy tego towaru!...“

Postawiliśmy sobie za cel cichą, spokojną, pożyteczną pracę — budowanie a nie burzenie; dążyła zawsze Strzecha, dąży i dążyć będzie wytrwale do tego celu, który osiągnąć zamyśla, bawiąc w sposób pouczający swoich czytelników, pozostawiając walki polityczne innym i nie szukając wcale łatwej zresztą reklamy w ściąganiu na siebie konfiskat. Stanowisko to, na którem stała zawsze Strzecha, wyrobiło jej już w szerokich kołach ustaloną reputację; słusznie mnie przeto zapytać możecie, w jaki też sposób mogło tak spokojne, tak niemal konserwatywne pismo popełnić w jednym i tym samym zeszycie zbrodnię stanu i wykroczenie przeciw bezpieczeństwu publicznej spokojności?...

Niestety obowiązujące ustawy nie pozwalają mi na razie odpowiedzieć na to zapytanie inaczej, jak tylko słowami Joba: „Pan dał, Pan prokurator zabrał; — niechaj imię wolności druku sławionem będzie!...“ Sądzę jednakże, iż niebawem będę mógł zadość uczynić Waszej ciekawości w sposób bardziej wyczerpujący; przeciw bowiem wyrokowi c. k. sądu, zatwierdzającemu rzeczoną konfiskatę, wniosło wydawnictwo odwołanie, prosząc o przeprowadzenie publicznej rozprawy. Spodziewać się należy, że chociaż wydawnictwo nie powetuje w ten sposób znacznej pieniężnej straty, jaką w skutek tej konfiskaty poniosło, to przynajmniej rozprawa, która ze wszech miar ciekawą będzie, zwróci uwagę wyższych instancji na sposób, w jaki u nas wykonywany bywa nadzór prasowy, co w obecnym wypadku jaskrawiej niż kiedykolwiek na jaw wystąpiło. Być może, że okoliczność ta wpłynie na osoby, w tej mierze decydujące, i przyczyni się do naprawy istniejących prasowych stosunków, które podkopując ciągłemi konfiskatami materjalny byt wydawnictw, nie małą kładą tamę rozwojowi naszego piśmiennictwa.

Sejm i jego uchwały nie należą wprawdzie do zakresu niniejszych pogadanek, nie podobna mi jednak pominąć milczeniem uchwały, dotyczącej podwyższenia subwencji dla sceny polskiej we Lwowie Zapomoga ta podwyższoną została do wysokości 24.200 złr., z której to sumy przeznaczono 11.200 złr. dla dramatu i komedji — 13.000 zaś dla opery, co rzeczywiście jest nie wiele!... Cokolwiekbądź, włożył sejm w ten sposób na dyrekcją obowiązek utrzymywania stałej opery we Lwowie, czem kwestja zwinięcia tejże w swoim czasie przez dyrekcją — jak o tem donosiłem — podniesiona, rozstrzygniętą została.

Nie mniej wspomnieć mi tu wypada o adresie, który zebrani posłowie nasi z powodu pisarskiego jubileuszu J. I. Kraszewskiego wysłali do szanownego jubilata, składając hołd niestrudzonej 50-letniej jego działalności na polu naszego piśmiennictwa. Akt ten niezawodnie równą przynosi chlubę zasłużonemu pisarzowi i niezmordowanemu rycerzowi ducha, jak i reprezentacji naszego kraju, która w ten sposób złożyła dowód wymowny, jak Polacy czcić umieją rzetelną pracę i zasługę.

Godne pendent do adresu naszych posłów stanowi owacja, którą wyprawił Kraków Matejce, wręczając mu jako królowi polskiej sztuki pamiątkowe berło. Była to uroczystość rzeczywiście wspaniała, a najlepsze czasy zapału dla sztuki — czasy Petrarki na Kapitolu, czasy Rafaela lub Rubensa przypominająca. W sali rutuszowej starego podwawelskiego grodu odbył się ten akt uroczysty. Burmistrz Krakowa, p. dr. Zyblikiewicz, wręczając Matejce berło, podniósł znaczenie Krakowa w historji polskiej sztuki i nauki, oddając zarazem hołd zasługom mistrza, który nieśmiertelnemi swemi arcydziełami w dziedzinie piękna tak zaszczytne dla imienia polskiego zdobył stanowisko. Rozrzewniony Matejko odpowiedział na tę przemowę, wyrażając współobywatelom swoim gorącą wdzięczność za spotykające go uznanie. Na uczcie tegoż dnia dla mistrza urządzonej, przemawiali delegaci wszystkich dzielnic Polski, a między nimi p. Władysław Zawadzki, podnosząc potrzebę zgody i jedności pomiędzy Lwowem a Krakowem, które to słowa rzęsistemi przyjęte zostały oklaskami.

Ofiarowane Matejce berło przejdzie — jak donoszą dzienniki — na własność szkoły sztuk pięknych w Krakowie, której znakomity nasz artysta upominek ten przeznaczył. Jest to laska hebanowa, obwinięta spiralnie srebrnym pasem, na którym znajduje się napis: „Janowi Matejce, Krakowianinowi, jego rodzinne miasto. R. P. 1878.“ Laska ta ujęta jest w srebrną rękojeć, na której spoczywa szczyt jej ze srebra oksydowanego, w stylu przypominającym buzdygany lub buławy. Na wypukłości tej części umieszczone są trzy tarcze z ornamentem z wypukło giętemi złotemi krawędziami, a na nich ryte widoki Wawelu, domu szkoły sztuk pięknych na Kleparzu i Bramy florjańskiej. Po nad berłem wznosi się wieniec dębowy bardzo misternej roboty, a z pnia berła występuje urna z oksydowanego złota, w której płonie złoty płomień. Powyżej rękojeci jest złota obręcz, na której umieszczone są z jednej strony paletra malarska z pędzlami, zwój dyplomu i podobizna monogramu Matejki, a z drugiej herb miasta Krakowa. Do koła wyryty był napis: „Za prezydentury M. Zyblikiewicza“ i w górze laski na obwódce liściowej: „Rysował architekt Tomasz Pryliński“ — na wierzchniéj zaś stronie obręczy: „Wykonał Władysław Glixeli, złotnik w Krakowie.“ Wszystkie części tego berła wykonane są z wielką czystością, a niektóre drobniejsze przypominają epokę mistrzowskich wyrobów włoskiego złotnictwa. Matejko, który dla pokrzepienia sił, żmudną pracą przy wykonaniu ostatniego swego dzieła zwątlonych, na czas dłuższy do Włoch wyjeżdża, przyobiecał

w dowód swej wdzięczności dla Krakowa, przyozdobić po powrocie do kraju sukiennice.

Donosiłem niegdyś o przepysznym albumie „Podhorce,“ który wygotował fotograf lwowski p. Edward Trzemeski. Fotografie te, których część wystawiona jest na wałach hetmańskich, przynoszą prawdziwą chlubę zakładowi p. Trzemeskiego, są bowiem wykonane znakomicie, pomimo wielkich trudności technicznych, które z sobą niesie fotografowanie w pokojach, a mianowicie jak tu źle oświetlonych. Album składa się z 20 widoków, uklejonych na bardzo ozdobnych kartonach, a widoki te są: Zamek od południa, Zamek od północy, Brama zamkowa od frontu, Od wnętrza, Ogród z kościołem, Kościół, Kaplica zamkowa, Sala karmazynowa, Sala zwierciadlana, Sala złota, Sala rycerska, Sala żółta z bibljoteką, Sypialnia króla Jana, Pokój chiński, Grupa zbroi w sali rycerskiej, Fortepian królowej Marysieńki, Przedpokój wschodni ze szkłami, Namiot turecki z pod Chocima, a nakoniec: Zamek Oleski, położony w pobliżu Podhorzec. Wspaniałe to album będzie niezawodnie najpiękniejszą ozdobą polskich salonów.

Dnia 17. z. m. odbył się w Krakowie, w budynku niegdyś miejskim przy bramie florjańskiej, akt poświęcenia zbiorów ks. Czartoryskich, na który ks. Władysław zaprosił reprezentantów władz, instytucji i korporacji nauki i sztuki. Rada miasta Krakowa odstąpiła ten budynek na pomienione zbiory, ażeby z nich mogli korzystać ludzie nauki i ciekawi. Zbiory te obejmują bogatą bibljotekę, dzieła sztuki, mające związek z przeszłością naszą, wyroby dawnego przemysłu, zabytki i pamiątki, podobne lubo nie tak bogate, jak znane zbiory zamku ambrazyjskiego (Ambrasser Sammlung) w Wiedniu.

Śmierć księcia Leona Sapiehy wywołała w kraju liczne dowody wdzięczności, któremi kraj pragnie uczcić pamięć wielkiego obywatela. Między innemi zasługuje tu na szczególniejszą wzmiankę myśl założenia bursy, czyli internatu dla kandydatów nauczycielskich. Instytucja ta ma być w życie wprowadzona pod imieniem „Bursy ks. Leona Sapiehy;“ fundusz dostarczyć mają składki w całym zbierane kraju, w którym to celu zawiązał się już komitet pod przewodnictwem Włodzimierza hr. Russockiego. Niezawodna rzecz, że pomysł uczczenia pamięci ks. Leona w sposób taki jest najwłaściwszym, instytucja taka odpowie bowiem najlepiej myśli zmarłego, który w ostatnich czasach przed swym zgonem, widząc nędzę tej młodzieży, dostarczał funduszów na wynajęcie lokalności, gdzie ci kandydaci nauczycielscy mieli wspólne mieszkanie. Komitet podnosi szczególniej tę okoliczność, że internat dla kandydatów nauczycielskich, pobierających naukę w seminarjach, będzie rozwijać w nich ducha obywatelskiego, tę główną podstawę nauczycielskiego posłannictwa, chroniąc zarazem internów od szkodliwych wpływów, na jakie narażona jest młodzież uboga, zmuszona szukać pomieszkania po rozmaitych zaułkach miejskich. Komitet spodziewa się, że kraj popierając gorąco to pożyteczne dzieło, przyczyni się hojnie składkami do jego urzeczywistnienia.

Równocześnie z jesienią rozpoczął się dla Lwowa sezon odczytów. Na korzyść strażaka, który przy próbie gaszenia pożaru spadł z wysokości drugiego piętra i uszkodził swe zdrowie, urządził p. Jan Lam wieczorek deklamacyjno-muzykalny, na którym odczytał humoreskę p. n. Siedm plag lwowskich. Humoreskę tę nabyło, jak słyszałem, wydawnictwo Szczutka i umieści takową w kalendarzu na rok 1879; mianowicie w znanym publiczności naszej Haliczaninie. Dr. Juljan Ochorowicz czytał na korzyść Towarzystwa młodzieży akademickiej ciekawą monografią „O zasypianiu i budzeniu się,“ dr. Ćwikliński zaś „O wartości naukowej badań Schliemana, który jak wiadomo odszukał liczne zabytki z czasu Priama i wojny trojańskiej na zgliszczach dawnego Iljonu.

Jak wiadomo, założona została w Warszawie szkoła dramatyczma, której kurs rozpoczął się w roku bieżącym. Ze względu na tę okoliczność przedsięwzięła dyrekcja naszego teatru w trybie niedzielnych popołudniowych przedstawień modyfikacją tego rodzaju, iż nie uważając takowych już za szkołę początkujących artystów, udział w nich powierza najlepszym siłom naszego dramatu i komedji, i w niedzielę po obiedzie urządza pzzedstawienia najcelniejszych dramatycznych utworów, po cenie wstępu daleko niższej aniżeli zazwyczaj. Reforma ta na szczególniejsze zasługuje uznanie, otwiera ona bowiem świątynię sztuki i mniej zamożnym, co w obecnych czasach powszechnej biedy nazwać można niemal dobrodziejstwem. Tak przedstawiono już kilka sztuk znakomitych, jak Romeo i Julja Szekspira, Ludwik XI. Kaźmierza Delavigne w wierszowym przekładzie Krystyna Ostrowskiego.

W tych dniach odbyły się wybory na członków Wydziału Galicyjskiego Towarzystwa muzycznego we Lwowie. Przewodniczącym obrany został p. T. Zima, dyrektor galicyjskiej Kasy oszczędności, wiceprezesem p. Karol Mikolasz, członkami pp. Malinowski, dr. Małecki, dr. Roiński, ks. Stryjski, profesor Wachnianin i dr. Wołek.

Rubryka „Przyjechali i Wyjechali“ nie bywa nigdy reprezentowana w tych pogadankach; dziś jednak wypada mi tu zanotować, że w ostatnich dniach mieliśmy tu gości z Warszawy, mianowicie pp. Wacława Szymanowskiego i Stanisława Bogusławskiego z Kurjera warszawskiego, którzy miasto nasze celem studjów nad naszą sceną odwiedzili. Pan Bogusławski należy niezawodnie do najlepszych polskich krytyków teatralnych, ciekawość przeto powszechną dziś już budzi zamierzona przez niego monografja o naszym teatrze, która się prawdopodobnie w jednem lub drugiem z pism warszawskich pojawi.

Oprócz tych warszawskich gości bawią u nas od dni kilku znany publicysta p. Stefan Buszczyński, zazwyczaj w Dreźnie przebywający, który — jak donoszą dzienniki — ma obecnie zamiar stale się osiedlić w naszym mieście, tudzież nowelista p. Sewer, który — jak słyszałem — w spółce z jednym z tutejszych literatów pracuje właśnie nad komedją dla jednej ze scen paryskich.

Donieść mi jeszcze w końcu wypada, że niebawem mają Lwów odwiedzić, sympatyczny autor Szkiców węglem, p. Sieńkiewicz, oraz skrzypek p. Barcewicz, który tak bogate laury zebrał podczas wystawy w Paryżu, a obecnie u nas z kilku koncertami wystąpić zamyśla.

Włodź. Zagórski.

POKŁOSIE.

Banialuki spirytystyczne. Do jakich niedorzeczności może dójść spirytyzm, okazuje najlepiej wydana niedawno w Hamburgu broszura sławnego spirytysty, pana J. Lohse, pod tytułem: „Jezus Chrystus i objawienia jego o rzeczach doczesnych i wiecznych.“ Podług téj książeczki, której treść objawił autorowi bezpośrednio Chrystus w tym celu, ażeby sprostować dawniejsze przechowane w biblii mylne objawienia, rozwija się świat potrójnym wypływem od Boga. Najprzód pojawia się materja, później duch. Ten ostatni jest z początku uwięziony w nieorganicznej materji i dochodzi, po wędrówce duszy przez królestwo roślinne i zwierzęce, w końcu od konia arabskiego wprost do egzystencji ludzkiej. Dusza ludzka ma przed sobą cały szereg sfer duchowych, które po części za życia już przebywa, wznosząc się przez udoskonalenie coraz wyżej. W pierwszej sferze otrzymuje ducha opiekuńczego z drugiej, który kieruje rozwojem swej pupili aż do chwili przejścia jej do drugiej sfery. Przechodząc do tej sfery otrzymuje niby jako świadectwo odejścia, trzeci odwieczny wypływ od Boga, to jest zaród Boski czyli ducha. Akt wszczepienia tego zarodu nazywa się odrodzeniem. Nad rozwojem tego zarodu, który duszę prowadzi coraz wyżej, czuwa najprzód Duch święty, potem Chrystus, a nakoniec Bóg sam. Duch święty wzniósł się do tego czasu dopiero do szóstej, a Chrystus do trzydziestej sfery.

Podobne bzdurstwa, których dalej wykazywać nie będziemy, zawiera cała ta broszura. Ale natomiast przytoczymy jeszcze kilka ciekawych ustępów z przedmowy autora. Wyraziwszy najprzód zdziwienie swoje, że tak mało ludzi zajmuje się spirytyzmem, o którego prawdziwości może każdy łatwo się przekonać, powiada p. Lohse: „Każdy człowiek, który nie znajduje się jeszcze w stanie odkupienia..., może skutkiem swego stanowiska obcować tylko z najniższymi duchami (pierwszej sfery), które częstokroć mniej jeszcze wiedzą niż on, i może szukają nawet w tem przyjemności, ażeby go bałamucić; natomiast może każdy zbawiony już lub bliski zbawienia człowiek obcować z duchami zamieszkującymi wyższe planety, i z tymi, które znajdują się w drugiej sferze, i dowiedzieć się od nich wiele, co może mu być bardzo pożytecznem. Jeźli zaś znajduje się już w drugiej sferze, to może obcować także z duchami trzeciej sfery; a jeśli wreście stoi bardzo wysoko w trzeciej sferze, co już jest możebnem tu na ziemi, to może znosić się z duchami wyższych jeszcze sfer, a nawet z samym Chrystusem. On (autor) korespondował dawniej z rozmaitymi duchami drugiej sfery, jak np. z Franckiem, Schleiermacherem, a osobliwie z Baaderem; później z duchami trzeciej stery, z apostołami Piotrem, Pawłem i Janem; teraz znosi się już od dłuższego czasu z Chrystusem, — i to było powodem wydania niniejszego pisma. W końcu zasługuje jeszcze na przytoczenie następujaca rozmowa między p. Lohsem, Mojżeszem, Pawłem i Chrystusem: „Mojżeszu, znasz ty moję korespondencją z Chrystusem?“ — „Tak jest, znam ją.“ — „A zgadzasz się z nią?“ — „Najzupełniej.“ — „Czy wiedziałeś już teraz to, co ja piszę?“ — „Nie, nie wiedziałem.“ — „Pawle, znasz moję korespondencją z Chrystusem?“ — „Tak jest, znam ją.“ — „Czy pochwalasz to, że niejedno przedstawiam inaczej, niż ty czyniłeś?“ — „Najzupełniej pochwalam.“ — „A Jan i Piotr także?“ — „Pochwalają równie jak ja.“ — „A czy wiedzieliście już teraz to, co ja piszę?“ — „Nie.“ — „Czy mogą jeszcze wszystkie duchy aż do trzydziestej sfery uczyć się z tego?“ — „Tak jest, mogą.“ — „A czy one czynią to?“ — „Tak jest, czynią.“ — „Chrystusie, czy mogę to wszystko, co powiedział Paweł, przytoczyć w mojej broszurze?“ — „Tak, przytocz to dosłownie.“ I niechże teraz odważy się jeszcze kto utrzymywać, iż istnieją jakieś tajemnice zagrobowe?! Przecież p. Lohse wie już wszystko i mógłby wyjaśnić nawet tę niezbadaną dotąd przez naturalistów tajemnicę, dlaczego zwierzęta czworonożne nie mają ogonów z przodu lecz z tyłu.

Świątynie małp w Benares. Przepyszne miasto Benares nad Gangesem jest właściwem miastem świętem Hindów, jakby Jerozolimą lub Mekką, ogniskiem Bramanizmu i jego nauki. Każdy Hind poczytuje się za szczęsliwego na tym i na tamtym świecie, jeźli mógł choć raz w życiu zwiedzić Benares i tysiące jego świątyń i u przepysznych stopni, które wzdłuż całego miasta zdobią brzeg Gangesu, wykąpać się w świętych nurtach tej rzeki. Całe miasto nosi na sobie cechę uświęconego miejsca pielgrzymek, którego ludność żyje z hojności pielgrzymów; małe bowiem, po największej części czerwono malowane domki w ciasnych ulicach upstrzone są wszelkiego rodzaju figurami bóstw, ludzi, byków, słoni, kwiatów i t. d., a ulice są tak wąskie, że żaden wóz nie może niemi przejechać i że nawet obładowanemu mułowi trudno się w nich przepchać. Nadto roi się w nich ciągle mnóstwo Dzoggów czyli Fakirów (fanatycznych mnichów, którzy prześcigają się w dobrowolnych męczarniach), byków i małp, którym każdy z drogi ustępować musi, a nikt ich tknąć się nie poważy, ponieważ równie jak Fakirów, uważają Hindowie za świętości także byki, małpy, krokodyle, żółwie i t. p. Wszakże wielkie ich bóstwo Hanuman przedstawione jest w postaci małpy jako wcielenie boga Wisznu; dlatego też jest małpa dla Hindów świętą, i byłoby największą zbrodnią, gdyby się kto poważył uderzyć małpę, rzucić na nią kamieniem, a cóż dopiero ją zabić. Pomiędzy niezliczonemi przeto świątyniami miasta Benares znajdują się także rozmaite świątynie, poświęcone małpiemu bóstwu Hanuman, w których kapłani pielęgnują i hodują niezliczone małpy wszelkiego rodzaju, żywiąc je ofiarami krajowców i pielgrzymów. Małpy te są zupełnie oswojone i łagodne, gdyż każdy z odwiedzających taką świątynię pieści je tylko i karmi łakociami. Skoro więc obcy zwiedzają świątynię Hanumana, przybiegają do nich małpy, pieszczą się z nimi i obwąchują kieszenie gościa, czy nie ma w nich owoców lub ciastek, o które potem kłócą się i drą ze sobą. A rozmnażają się one tak straszliwie w tych przybytkach świętych, że stały się prawdziwą plagą miasta, gdyż rozłażą się po całem mieście, uwijają się po targowicach i bazarach, gdzie mogą kraść bezkarnie, wdzierają się do domów i chwytają wszystko, co się nadarzy. Kto w Benares chce spokojnie zjeść obiad, musi wprzód wszelkie otwory pozamykać, ażeby nie wcisnęły się małpy i nie rzuciły na potrawy, od których nie wolno ich odpędzać; podobnież nie może w Benares ostać się żaden ogród przed tymi nieproszonymi gośćmi.

Wszystkie zaś świątynie małp są bogate i pobierają znaczne dochody, gdyż zamożni Hindowie uważają to za ofiarę miłą bogom, czyniąc znaczne zapisy na utrzymanie takich świętych zwierząt, albo też obdarzać przeznaczone dla nich szpitale i świątynie.

Chinina i drzewo chinowe. Kora peruwiańska była pierwotną nazwą, pod którą znana nam dziś jako środek skuteczny na febrę chinina dostała się niegdyś do Europy. W r. 1638 doświadczano tego środka z pomyślnym skutkiem na hrabinie Chinchon, małżonce wicekróla peruwiańskiego, i dama ta przywiozła z wdzięczności ów cudowny lek do Hiszpanii, gdzie „Chinchonę“ zaliczono wnet do rzędu lekarstw. Już sama ta okoliczność jednak, że środka tego próbowano na hrabinie, świadczy najwyraźniej, że kora ta była zapewne u krajowców od dawna już w używaniu; gdyż żaden lekarz nie byłby się pewnie odważył robić na tak znakomitej damie próby z lekarstwem, gdyby skuteczność jego nie była już dawniejszemi kuracjami stwierdzona. Czy prawdziwem jest podanie, że moc uzdrawiającą chiny odkrył jakiś Indjanin, gdy trapiony gwałtowną febrą napił się wody ze źródła, do którego powalił się był pień tego drzewa, i uczuł się potem nagle ozdrowionym, tego naturalnie stwierdzić nie można. Indjanie zwali ten lek Kina-Kine, a misjonarze z Towarzystwa Jezusowego starali się bardzo gorliwie o sprowadzenie jego do Europy, gdzie też przez jakiś czas znany on był pod nazwą „Kory jezuickiej.“ W Peruwii zwano to drzewo także „drzewem febrowem.“ Przyrodnicy Condamine i Jussieu podali pierwsze dokładne opisy odmian tego drzewa, a kilku innych zbadało okolicę, w której ono rośnie i dojrzewa. Strefa ta rozciąga się w kształcie półksiężyca u stoku Andów między 9. stopniem północnej, a 19. południowej szerokości. Drzewo febrowe dojrzewa najlepiej na cienistych, chłodnych a suchych pochyłościach w wysokości 4 — 10.000 stóp, ale u ostatecznych granic tej strefy pojawia się już tylko jako krzew. Najznakomitsze odmiany tego drzewa są: „Chinchona succiandra, condaminea i Calisaya.“ Kaskarilowie, którzy trudnią się zbieraniem chininy, przepędzają nieraz pół roku na wyszukiwaniu tych drzew, dopokąd nie uzbierają dostatecznego plonu. W tym celu uprawiają wysoko na połoninach jarzynę, i podróżny dziwi się częstokroć nie mało, spotykając ogrody warzywne w takich miejscach, gdzie nie można było wcale przypuszczać działania ręki ludzkiej. Wyszukane drzewa bywają ścinane, i najprzód obłuszczają z nich korę martwą, a potem dopiero żywą w długich pasmach na kształt gontów. Z gałęzi odziera się korę całkowicie. Każde drzewo daje 8 — 9 arrobów (25 funtów) kory. Te pasma suszy się na słońcu, i gdy nie zawierają już żadnej wilgoci, pakuje w grube koce wełniane. Te paki owija się potem w zamaczane skóry, które po wyschnięciu lgną do koców i stają się tak twardemi jak skrzynia. W takiem opakowaniu idzie chinina na okręty. Najcenniejsze są odmiany żółte. Po nich następuje co do wartości kora czerwona i pomarańczowa; najmniej płacą za szarą. Wszelkie usiłowania, ażeby zaklimatyzować to drzewo gdzieindziej, okazały się bezskutecznemi, i zachodzi przeto słuszna obawa, że szacowny ten lek powoli całkiem się wyczerpie.

Wino Chińskie. Szczególniejszego sposobu przyrządzania wina używają synowie państwa niebieskiego. Zamiast esencji, jakie niestety zbyt często używane bywają w tym celu u nas, wyrabiają Chińczycy rodzaj proszku albo ciasta, zawierającego w sobie skoncentrowane części płynu. Cokolwiek tego proszku albo kawałątko tego ciasta (wielkości pigułki), rozpuszczone w szklance wody, dają napój, którego ogromna ilość odchodzi w Chinach, a który co do smaku ma równać się mniej więcej rozmaitym gatunkom wina lub gorzałki. Właściwie zawiera ten napój więcej spirytusu niż zwykłego wina, gdyż proszek, z którego bywa przyrządzany, wyrabiają z tłuczonego owsa, jęczmienia lub żyta, albo też z mieszaniny wszystkich tych tłuczonych rodzajów zboża, z dodatkiem ziół aromatycznych albo lekarskich, za pomocą pewnego procesu fermentacji. Ta mączka czyli proszek ma w Chinach nazwę Kin-tsee i należycie przyrządzona daje się przechowywać dwa a nawet trzy lata. Znane też są rozmaite sposoby fabrykowania tego proszku, które naturalnie mają na celu głównie delikatność smaku. Ziarnka ryżu z łuskami lub też oczyszczone z nich, bywają do przyrządzania wina również używane, i mają tę właściwość, że chociaż do ich obrabiania bardzo wiele potrzeba wody, daje się ona przecież tak dokładnie wyparować, że uzyskany z tego proszek w zupełnie silnym stanie dostaje się do handlu.

Budżet. Wyraz ten używany codziennie w parlamentarnych i politycznych sprawach naszego wieku, przyswoili sobie na początku bieżącego stulecia najprzód Francuzi z języka angielskiego. Wyraz „budżet“, który w swoim czasie znaczył w Anglii tyle, co „szkatuła królewska“ lub „skarb królewski“, pochodzi od staro-francuskiego wyrazu „boulge“, którym oznaczano „małą sakiewkę“, a który utrzymał się dotąd w nazwie „bouguette“ (mała torba podróżna). Z „bougette“, który to wyraz szczególnie w okolicy Burgundji jest w używaniu, powstał przez wymowę angielską wyraz „budget“ oznaczający z początku owę torbę skórzaną, w której znajdowały się przynoszone do parlamentu akta, zawierające wykaz każdoczesnego stanu dochodów i wydatków publicznych. Poźniej przeniesiono tę nazwę z torby na to, co ona zawierała, i tak przyszło z czasem do tego, że ów wykaz dochodów i wydatków zaczęto nazywać „budżetem państwa“.

Nowa sekta w Moskwie. Sekciarstwo religijne znalazło oddawna grunt bardzo urodzajny w Moskwie, a chociaż ustawodawstwo tamtejsze karze odszczepieństwo od prawosławnego kościoła dożywotniém wygnaniem na Sybir, znajdują przecież rozmaite i liczne sekty religijne miliony tajnych zwolenników pomiędzy ludnością olbrzymiego państwa carów. W zeszłym roku powiększyło się sekciarstwo moskiewskie nową sektą, mianowicie sektą Studzistów, która w krótkim stosunkowo czasie wielce się rozszerzyła. Założycielem sekty Studzistów jest włościanin z okręgu odeskiego, imieniem Ratuszny. Ten zajmował się przez długie lata czytaniem ewanielii i studjami teologicznemi. Poźniej zaczął działać i występował głównie przeciw nadużyciom duchowieństwa i ceremoniom kościoła prawosławnego. Do nauk jego przystąpili zaraz z początku prawie wszyscy mieszkańcy trzech wielkich wsi, położonych

w okręgu odeskim, a zastęp jego zwolenników zaczął tak szybko wzrastać w całej okolicy, że rząd był w końcu spowodowany stawić Ratusznego i kilku jego uczniów jako obwinionych o sekciarstwo przed sądem przysięgłych w Odesie. Sędziowie przysięgli uwolnili jednak Ratusznego i jego zwolenników, opierając wyrok swój głównie na tem, że wszyscy obżałowani prowadzili wzorowe życie. Powszechne w Moskwie picie gorzałki ustało zupełnie we wszystkich wsiach, dokąd rozszerzyła się nowa sekta, a miejsce karczem zajęły wzorowe szkoły. Wogóle odznacza się ta sekta charakterem wybitnie moralnym i szlachetnym. Z rozpraw, które odbyły się 26. kwietnia przed sądem przysięgłych w Odesie, pokazuje się, że Studziści dążą do zreformowania kościoła prawosławnego. Ceremonie kościelne, obrazy święte są w sekcie tej zupełnie zniesione, a prawa duchowieństwa ograniczone. Chrzest odkłada ona aż do pełnoletności. Wzrastanie tej sekty ma być ciągle bardzo znaczne.

Ocalone arcydzieło. Dla niejednego z licznych wielbicieli Beethovena będzie to ciekawą nowiną, że zachowanie „Adelaidy“ zawdzięcza świat muzyczny tylko przytomności umysłu zaprzyjaźnionego z mistrzem nadwornego niegdyś śpiewaka, Bartha. Pewnego dnia odwiedził tenże Beethovena i zapytał go obojętnie: „No, cóż tam nowego, mistrzu?“ — Beethoven pokazał mu w ręku manuskrypt i rzekł: „To napisałem dzisiaj, ale właśnie pali się w kominku, więc pójdzie na ogień!“ — Barth przerażony tym sztrasznym zamiarem, pochwycił skwapliwie nuty, przeglądnął je badawczo i prosił w końcu Beethowena, ażeby pozwolił mu treść ich przespiewać. „To śpiewaj, jeżli chcesz,“ rzekł niechętnie prawie mistrz, przerzucając z zajęciem papiery, i nie troszczył się więcej o śpiewaka. Ten rozpoczął tymczasem owę przecudną melodją i śpiewał z wzrastającym za każdym taktem zapałem. Po chwili zaczął Beethowen przysłuchiwać się, twarz jego rozjaśniała się coraz więcej, a gdy wreście Barth cały zachwycony skończył śpiew, zawołał twórca tej przecudnej pieśni: „Nie, stary przyjacielu, tego nie spalimy.“

Żywcem pogrzebani. Być żywcem pogrzebanym, jestto bezwątpienia najokropniejszy los, jaki człowieka spotkać może. Że wypadki takie nie tak często się zdarzają, jak to sądzono wówczas, gdy domagano się powszechnie zaprowadzenia trupiarni, dowiodły tego właśnie te zakłady. A przecież nie tylko jest prawdopodobndm, że ktoś może być żywcem złożony do grobu, ale nawet zdarzało się to już istotnie, i możnaby udowodnić to setkami przykładów najzupełniej wiarogodnych. Dość będzie jednak przytoczyć tu kilka najciekawszych.

W r. 1810 zdarzył się taki wypadek pogrzebania żywcem we Francyi, i to wsród tak dziwnych okoliczności, że nawet najbujniejsza fantazya coś podobnego wymyślićby nie zdołała. Bohaterką tej historji była panna Wiktorja Lafourcade, młode dziewczę ze znakomitej familii, bogate i nadzwyczaj piękne. Do licznych jej wielbicieli należał także Juljan Bossuet, ubogi poeta czy dziennikarz w Paryżu. Jego zdolności i piękne zalety zajęły bogatą dziedziczkę, i jak się zdaje, żywiła ona w cichości prawdziwą miłość dla niego. Ale duma rodowa skłoniła ją w końcu do zrzeczenia się tej miłości i oddania ręki panu Renelle, bankierowi i znakomitemu członkowi senatu. Po ślubie jednak zaniedbywał ten pan swoję małżonkę, a nawet — jak wieść niosła — źle się z nią obchodził. Zawiedziona tak srodze kobieta martwiła się tedy, schorzała i po kilku latach nieszczęśliwego pożycia z mężem umarła. Zgon jej zdawał się niepodlegać żadnej wątpliwości; ciało tak było podobne do trupa, że wprowadzało w błąd każdego, kto ją widział. Pochowano ją tedy, i to nie w sklepionym grobowcu, lecz w zwyczajnym grobie w jej wsi rodzinnej. Najboleśniej dotknął jej zgon Bossueta. Zrozpaczony i przejęty ciągle jeszcze głęboką namiętnością ku zmarłéj, pospieszył tedy kochający młodzian z Paryża do odległej prowincji, w której wieś ta się znajdowała, i udał się nocą na cmentarz w tym romantycznym zamiarze, ażeby odgrzebać jej zwłoki i wziąć sobie przepyszne jej włosy na pamiątkę. W istocie też odkopał trumnę, oderwał skwapliwie wieko i właśnie zabierał się do odcięcia włosów, gdy ze zdumieniem spotrzega przy świetle gwieździstego nieba, że oczy jego ukochanej zmarłej zupełnie są otwarte. Istotnie została ta kobieta żywcem pogrzebana. Sześć dni i nocy zostawała w letargu i dopiero teraz zaczęła sie ocucać przy usilnych staraniach kochanka. Uszczęśliwiony młodzian zaniósł ją niespostrzeżenie na ręku do karczmy, w której miał nocować, i zajął się tam dalszym ratunkiem, ażeby ją zupełnie przywieść do przytomności. Jakoż powiodło mu się to najzupełniej. Wskrzeszona poznała swego wybawcę i pojęła, gdzie jest i co się z nią stało. Przez jakiś czas pozostawała potem przy nim w jakiejś odległej wiosce, dopokąd nie odzyskała zupełnie dawnego zdrowia, a w końcu odezwała się w jej sercu tak silnie dawna miłość, że nie powróciła jnż więcej do męża, lecz ukrywając jak najstaranniej swoje zmartwychwstanie odjechała z kochankiem do Ameryki. We dwadzieścia lat potem powrócili oboje do Francji w tem przekonaniu, że mniemanej nieboszczki nikt już nie pozna. Omylili się jednakże. Przypadkowo spotkał ją pan Renelle na ulicy i poznawszy natychmiast, począł domagać się sądownie zwrócenia małżonki, zapewne głównie dla tego, ażeby krewnych panny Lafourcade zmusić do zwrócenia znacznego pasagu, który po mniemanym jej zgonie mu odebrano. Ale ona wzbraniała się powrócić do niego, a trybunał orzekł w końcu, że po upływie tylu lat utracił już p. Renelle prawa małżonka, tem bardziej, iż w ciągu tego czasu powtórnie się ożenił i owdowiał. Tak więc żyła owa wskrzeszona kobieta szczęśliwie dalej z Bossuetem, aż wreście, tą razą śmierć prawdziwa, położyła koniec tej szczęśliwości.

Inny wypadek tego rodzaju, opisywany również obszernie w dziennikach lekarskich, wydarzył się w Lipsku na początkn bieżącego stulecia. Pewien oficer od artylerji, mąż olbrzymiego wzrostu i tak silnego zdrowia, że mu nic prawie zaszkodzić nie mogło, spadłszy pewnego razu ze znarowionego konia, uszkodził sobie tak ciężko głowę, że natychmiast stracił przytomność. Czaszka była nad okiem pęknięta, ale śmiercią nie zagrażało mu to bynajmniej. Mimo to musiano robić operacją, i ta udała się najszczęśliwiej. Objawiający się poźniej nawał krwi do mózgu usunięto upuszczeniem krwi; ale skutkiem tego popadł potem ten atletycznie zbudowany człowiek w stan zupełnej bezwładności umysłowej i fizycznej; niepodobna było ocucić go z jego snu, i sen ten zamienił się w końcu w śmierć — jak

powszechnie mniemano. Było to podczas gorącej pory roku; z obawy, ażeby ciało psuć się nie zaczęło, pochowano go zaraz nazajutrz po mniemanym zgonie na cmentarzu wiejskim. Pogrzeb jego odbył się we czwartek. Następnej niedzieli zwiedzało jak zwykle cmentarz mnóstwo ludzi; a gdy około południa skończyło się nabożeństwo w kościele cmentarnym i zebrani w nim ludzie rozeszli się po cmentarzu, przeraziło ich w najwyższym stopniu opowiadanie pewnego chłopa, że w głębi jakiegoś grobu, na którym siedział, nie tylko słyszał wyraźny szelest, ale nawet czuł, jak ziemia drżała pod nim. Udano się za jego wskazówką, i pokazało się, że to był właśnie grób pogrzebanego przed trzema dniami porucznika. Z grobu nie było już wprawdzie nic słychać, ale mimo to przyniesiono spiesznie łopaty i odkopano trumnę. Gdy oderwano wieko, jakiż okropny przedstawił się widok! Nieboszczyk — na pozór nieżywy — leżał do połowy obrócony, pięści jego były zaciśnięte, a obawa uduszenia spotęgowała widocznie tak dalece nadzwyczajną siłę tego olbrzyma, że pomimo przygniatającej trumnę ziemi zdołał rozsadzić deski tego wieka. Zaniesiono go zaraz do szpitala i lekarze przekonali się, że był w śnie letargicznym. Po kilku godzinach odzyskał przytomność, poznał swoich przyjaciół i opisywał im urywanemi słowy okropności grobu. Z tego opowiadania pokazało się, że przeszło godzinę znajdował się całkiem przytomny w trumnie, nim dla braku powietrza utracił znowu przytomność. Prawdopodobnie musiał grób, tylko lekko przysypany piaskiem, zawierać jeszcze nieco powietrza, gdyż inaczej byłby on się zaraz udusił. A nawet słyszał on wyraźnie kroki przechodzących koło swego grobu ludzi i usiłował zwrócić ich uwagę głośnem wołaniem. Właśnie ów szelest licznych kroków obudził go z letargu, ale całą przytomność odzyskał dopiero wtedy, gdy poznał okropność swego położenia. Gdyby owemu chłopowi nie była przyszła chętka, usiąść na jego grobie, byłby z pewnością pomimo wszelkich wysileń zmartwychwstał dopiero na sąd ostateczny. Po niejakim czasie zaczynał już chory powracać widocznie do zdrowia, ale zgubiła go zbytnia gorliwość lekarzy. Pragnąc raźniej wzmocnić jego siły, używano baterji galwanicznej, i biedak ten umarł nagle — tą razą na prawdę — wskutek sparaliżowania nerwów.

Z powodu wzmianki o baterji galwanicznej możemy wreście opowiedzieć tu jeszcze jeden nadzwyczajny wypadek, gdzie użycie galwano-elektrycznego prądu uratowało pewnego młodego adwokata w Londynie, który od dwóch dni był już pogrzebany. Stało się to w r. 1831 i sprawiło tak wielkie wrażenie, że przez długi czas zajmowano się tym wypadkiem nie tylko w całej Anglii ale i na kontynencie europejskim. Adwokat Edward Stapleton, umarł był — jak się zdawało — na tyfoidalną gorączkę, której towarzyszyły jednak tak osobliwsze objawy, że lekarze byli niemi w najwyższym stopniu zainteresowani. Dlategoteż po jego śmierci prosili jego przyjaciół, ażeby pozwolili sekcjonować jego trupa, ale nie otrzymali pozwolenia na to. Anglicy żywią narodowy niejako wstręt ku wszelkim sekcjom lekarskim, i dlatego pomimo masy trupów, których dostarczają szpitale publiczne, są artykuły takie w świecie lekarskim wielce poszukiwane. A ponieważ właśnie ten ciekawy trup odjęty został badaniu, przeto postanowili lekarze odkopać go skrycie i za pomocą sekcji zbadać należycie charakter słabości zmarłego. W Londynie istnieje liczne towarzystwo tak zwanych „okradaczy trupów“ i przeto nie trudnem było lekarzom przy pomocy kilku takich ludzi wykonać swój zamiar. Jakoż trzeciej nocy po pogrzebie był już ów trup wydobyty z grobu i leżał na stole sekcyjnym w prywatnem mieszkaniu głównego lekarza. Zrobiono już pierwsze cięcie w okolicy żołądka, którem zwyczajnie przecina się właściwą skórę, gdy jednemu z lekarzy przyszło na myśl, doświadczyć jeszcze poprzednio za pomocą baterji galwanicznej czynności muszkułów u trupa. Robiono więc kilkokrotne próby, ale nie dostrzeżono przytem żadnych nadzwyczajnych poruszeń. Tymczasem upłynęła noc, zaczynało już świtać, i uznano tedy za rzecz konieczną przystąpić niezwłocznie do sekcji. Ale jeden z obecnych przytem słuchaczy medycyny pragnął bardzo doświadczyć jeszcze działania baterji na muszkuły piersiowe, i uczyniono zadość jego prośbie. Znaczną część muszkułów piersiowych odkryto tedy wedle prawideł sekcyjnych; ale zaledwie przytknięto do nich drut baterji elektrycznej, zerwał się mniemany nieboszczyk nagle, i to w cale nie konwulsyjnym tylko ruchem ze stołu, zatoczył się na środek izby i rozglądał się przez kilka sekund dokoła szeroko rozwartemi oczyma, a potem przemówił. Co mówił, nie rozumiano; ale były to słowa o dokładnie podzielanych zgłoskach. Po tem wysileniu powalił się wreście bezwładnie na ziemię, Na chwilę odrętwieli wszyscy obecni z przerażenia, ale pojąwszy wnet, co to być może, opamiętali się i zaczęli działać w inny sposób. Mr. Stapleton żył, chociaż nie odzyskał jeszcze przytomności; przy użyciu spirytusu przyszedł jednak zupełnie do siebie. Cięcia nie były na szczęście tak głębokie, by mogły stać się niebezpiecznemi; i tak wyzdrowiał mniemany nieboszczyk zupełnie, ale zwrócono go przyjaciołom dopiero podczas uroczystego bankietu, gdy Stapleton miał już dość sił, by żartować ze swej „wycieczki do piekła.“ Wrażenie, jakie sprawiła ta niespodzianka, można sobie wyobrazić, ale opisać go niepodobna.

L. 14.820. W Imieniu Jego Cesarskiej Mości! C. k. Sąd krajowy w sprawach karnych we Lwowie orzekł na podstawie §§. 489 i 493 ustawy o postępowaniu karnem i §. 37 ustawy prasowej wskutek wniosku c. k. Prokuratoryi państwa, że treść artykułu, umieszczonego w numerze 20. czasopisma „Strzecha“ z dnia 15. października 1878 pod napisem: „Pamiętniki niezależności Polski w Saksonii XV.“ i pod tytułem: „Obywatel Tromtadracki“ w ustępie poczynającym się od słów: „poszedłem z ciekawości“, a kończącym się słowami: „usypia ducha,“ zawierają w sobie znamiona zbrodni z §. 56 *a* i w myśl art. III. ustawy z 17. grudnia 1862 l. d. p. 8/63 występku z §. 300 u. k., że zatem zarządzona przez c. k. Prokuratorją państwa konfiskata tego numeru czasopisma „Strzecha“ jest usprawiedliwioną, dalsze rozpowszechnienie tych inkryminowanych artykułów wzbronionem, i że zabrany nakład ma być zniszczonym.

P o w o d y:

Pierwszy z inkryminowanych artykułów zdolny jest wzbudzić nienawiść przeciw rządowi; zawiera przeto wszelkie znamiona zbrodni z §. 65 *a* ust. kar. — W końcowym artykule pod tytułem: „Obywatel Tromtadracki“ wyszydza autor zwierzchność, sejm krajowy — a więc w artykule tym zawarte są wszelkie znamiona występku z §. 300 u. k.

Na tej podstawie tedy zastosowane zostały powyż nadmienione ustępy ustawowe. *Piątkowski.*

Lwów dnia 22. października 1878.

Wydawca i odpowiedz. za redakcję F. H. RICHTER.

Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



GRAF RAK.

22

POWIEŚĆ

PRZEZ ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Pod owe czasy, o których mowa, mieszkał po tamtej stronie wody jeden z moich najstarszych znajomych, z obcych prawie najstarszy, bo mnie dzieckiem nosił na rękach. Było to dziwne stworzenie Boże, typ niegdyś nie rzadki, dziś jak kości mamuta należący do przedmiotów kopalnych. Człowiek ten pod najrozmaitszemi nazwiskami chodził po kuli ziemskiej, ale w istocie nazywał się Ramult. Urodził się w ubogim domu szlacheckim, w ziemi Przemyskiej, mało się uczył za młodu, a siedmnastoletnim młodzieńcem wstąpił do wojska za W. księcia Konstantego, ledwie się rangi wachmistrza dosłużył i odtąd jako wachmistrz niejako skamieniał na całe życie. Po wojnie do Galicji powrócił i wziął w górach Sanockich maleńką dzierżawę; ale nie mając o gospodarstwie najmniejszego pojęcia, przesiadywał ciągle w sąsiedztwie, aż wreście po kilku leciech, czując się powołanym do jakiejś misyi niezwykłej, w dobrowolne poszedł tułactwo. Od tego czasu mógł jak Robak powiedzieć o sobie: „Uciekłem z kraju! Gdziem nie był! com nie cierpiał!“ Jakoż istotnie, gdzie tylko pod owe czasy bito się na kuli ziemskiej, tam był Ramult. Ale ponieważ z pomiędzy dwóch bijących się każdy zwykle powiada, że się wybija z pod ucisku drugiego, a w krajach zamorskich nie łatwo rozeznać, którzy z tych wojowników, czy biali, czy brunatni, czy czarni mają słuszność po sobie, więc między murzynami zacny Ramult nie zawsze w to trafiał i często bił się za sprawę taką, którą wyrozumiawszy dokładnie, byłby pewnie potępił. Dlatego chociaż się bił w Ameryce południowej, w Afryce i na wyspie Kubie, nie wiele o tem rozprawiał; zaś kiedy z Garibaldim pierwszą zrobił wyprawę, to potem przedsięwziął pielgrzymkę do Ziemi świętej, a jego znajomi bardzo go wtedy podejrzywali, że chodził do grobu Chrystusowego, ażeby ulżyć swojemu sumieniu. Mimo to wszakże bieżącego roku bił się znowu po stronie włoskiej. Po każdej takiej wyprawie zawsze do Paryża powracał, i zaciągnąwszy swoję kwaterę, wypoczywał po trudach. W epokach takich pracował siekierą, młotem, heblem lub dłutem, pielęgnował chorych, głodnym strawę przynosił, protegował ubogich, bronił prześladowanych, godził zwaśnionych; u ludzi takich, których miał za apostołów wielkich idei, albo przyszłych przywódców jakichś wielkich przedsiębiorstw, odprawiał służbę chociażby odźwiernego, byle tylko zaspokoił swoje sumienie, że i on się przyczynia do wielkiego dzieła. Miał on swoje zasady polityczne i społeczne: nie cierpiał arystokracji, ale kto nie był szlachcicem, tego „murgą“ nazywał; nienawidził księży, ale codziennie z książką chodził do kościoła; miał się za republikanina, ale w każdej jego republice król rządził krajem, wojsku hetmanił i prawa nadawał. Miał także swoje przekonania, a między niemi to przedewszystkiem, że Jezuici czyhają na jego życie i ciągle nań zastawiają pułapki, aby go zgubić; ale „Ramult nie głupi.“ Lecz obok tych przekonań i zasad miał rzeczywiście charakter: umysł najszlachetniejszy, najlepsze serce i uczucie godności człowieka, któremu nigdy nie ubliżył.

Jako stary żołnierz, miał żołd trzydzieści pięć franków miesięcznie, resztę sobie ręczną pracą zarobił, od nikogo nigdy i pod żadnym warunkiem grosza nie przyjął; a kiedy mu który z przyjaciół chciał pomódz, to musiał mu przynieść kilka bochenków chleba i kilka funtów mięsiwa, a i wtedy trzeba było jeszcze, ażeby chleb ten był żytni, a mięsiwem kiełbasy, albo słonina, niby to ze wsi przysłane.

Ramult miał wtedy już przeszło sześćdziesiąt lat; wysoki był, chudy, zawiędły, z siwawą brodą, dużemi niebieskiemi oczyma, a ubierał się w kaszkiet i bluzę i często nosił trzewiki drewniane. Mieszkał przy ulicy Vaugirard, bardzo daleko, w domu starym kilkupiątrowym, z dużym dziedzińcem, ogrodem i oficynami, w których w skrzydle lewem miał dosyć duży pokój, cały własną jego ręką umeblowany. Łóżko, stół, stołki, wszystko to sam sobie wystrugał; komin otoczył parawanem drewnianym, a przed kominem postawił „furno“ żelazne, na którem sam sobie jedzenie gotował. W restauracji nie jadał nigdy, bo ile razy dawniej to zrobił, zawsze rżnięcia dostawał: oczywiście Jezuici struć go usiłowali.

W kilka dni po owej nocy, strawionej w obserwatorjum, naładowawszy koszyk wiktuałami z dodatkiem dwóch flaszek miętówki, co wszystko dopiero co z Polski przybyło, pojechałem, by odwiedzić Ramulta. Ledwiem się mógł do drzwi jego dopukać; otworzył mi wreście i zawołał:

— Ah! to ty? chwałaż Bogu. Myślałem, że znowu mnie który z tych drabów nachodzi...

— Cóż tobie znów jest? — zapytałem cokolwiek zdziwiony, bo Ramult był widocznie niezmiernie niespokojny.

— Ha cóż? co zawsze. Jestem otoczony całą siecią intryg i intrygantów. Teraz już oczywiście naważyli na moje życie...

— Ale dajże pokój, mój stary. Co tobie się zawsze roi po głowie? Słuchaj, tu w koszu przywiozłem ci trochę miętówki; doświadczone to lekarstwo na jezuickie trucizny; palnij kubek, obaczysz jak dobrze ci się zrobi.

Uśmiechnął się Ramult, bo lubił miętówkę, a rzadko kiedy ją biedak widywał; jakoż zaraz się napił i rzekł:

— Masz racją. Co mi tam djabli... Ale teraz, to co innego. Z innymi Jezuitami to sprawa... To z Rakiem sprawa.

— Jakto z Rakiem? Cóż ty masz z Rakiem?

— Chodź-no ze mną na dół, do ojca Pikarta, to tam się dowiesz.

Trzeba wiedzieć, że Ramult mimo wielu cnót, talentów i głębokich przekonań, nie miał daru wymowy. Kiedy się wziął coś opowiadać, fatalnie się plątał i nigdy nie doszedł do końca; a kiedy miał z kim jaki spór o opinią, to zaledwie raz zdołał jakokolwiek wyłożyć swe zdanie, potem prowadził dyskusją urywanemi słowami i gestami, ale i to trwało nie długo, bo zaraz tracił cierpliwość i albo ścisnął swego przeciwnika za rękę na znak, że się z nim zgadza, albo mu rzucił jakiś frazes od stu tysięcy, zaciskał kaszkiet na głowę i odchodził. Tym razem było rzeczą widoczną, że był w niezwykły sposób wzburzony; poszliśmy więc do Pikarta.

Pikart tak pisał swoje nazwisko, bo rodzina jego pochodziła niegdyś z nad Renu, ale był Francuzem kość z kości, z dziada pradziada. Zaczął on swoję karjerę od prostego robotnika w kowalskim warsztacie; ale już z młodu objawił tak nadzwyczajny talent do mechaniki, że sobie wkrótce pewne znaczenie, a nawet rozgłośną sławę w tym zawodzie wyrobił. Teorji mechaniki ani dynamiki nigdy się z książek nie uczył, w matematyce ledwie się tyle wyćwiczył, że się umiał w cyfrach jakokolwiek rozeznać i to i owo po swojemu zrachować; ale miał wzrok niesłychanej trafności i ów instykt wrodzony a nieokreślony, za pomocą którego najzawilsze zadania mechaniczne i dynamiczne w oka mgnieniu rozwiązywał. Toż jego rzemiosłem było, wszelkiego rodzaju machiny ustawiać, w ruch puszczać, albo ich siłę do rozmaitych celów kojarzyć i zastosowywać; lecz był on także niejako machin lekarzem; bo gdzie tylko jaka machina, z niewiadomych powodów, nie chciała odpowiednio funkcyonować, i kiedy już inżynierowie fachowi głowę stracili, tam wołano Pikarta, a on w ten moment chorobę wynalazł i wyleczył. Częstokroć także przy wielkich budowach lądowych i wodnych, gdzie trzeba było niezwyczajne wznosić rusztowania i dźwignie, zapraszano Pikarta do rady; a kiedy nikt nie umiał postawionego zadania rozwiązać, on zawsze jakąś kombinacją wymyślił, za pomocą której nie tylko cel zamierzony osiągnął, ale zarazem osiągnął go jak najtaniej. Jego pomysły były proste i jasne, i zawsze takie, że kiedy je już objawił, to wszyscy się dziwili, jakim sposobem się to stać mogło, że oni na nie nie wpadli. Nabywszy w tym swoim zawodzie szerokiego rozgłosu, odbywał on ustawiczne, częstokroć nawet dalekie podróże po Francyi, po Niemczech, a nawet po Anglii; w podróżach tych nabrał szerokiej, a zarazem dokładnej znajomości krajów i ludzi, a przytem także stosunkowo dość znaczny zrobił majątek. Dom ten obszerny na Vaugirard, w którym mieszkał, a zarazem miał swoje warsztaty, był jego własnością, a oprócz tego miał także udział w jednej z pomniejszych fabryk żelaznych w Alzacji i kapitały, które w rentach państwa lokował. Lecz mimo to nadzwyczajnie był skromny, nie miał żadnych społecznych ambicji, w robotniczą ubierał się bluzę i nosił kaszkiet jedwabny, albo kapelusz z szeroką kryzą; dzieci swoje według staniku wychował, tylko dla żony swojej miał tyle respektu, że jej pozwalał w niedzielę i święta nosić suknie jedwabne, a w swojem mieszkaniu, dosyć obszernem na pierwszem piętrze, miał zbiorek starożytnych sprzętów i dzieł sztuki wysokiej wartości, które sobie w swoich podróżach pozbierał. Polityką się wcale nie trudnił, a chociaż może o niej nie mało myślał, to mówić nie lubił. Kiedy mu było wśród konwersacji powiedzieć:

— Mais nous sommes un peu démocrate, père Pikart? — to odpowiadał:

— Parbleu!

— Et un peu républicain?

— Parbleu!

I na tem kończyła się jego polityka. Tylko kiedy mowa była o panującym wówczas cesarzu Napoleonie III., to chwalił bardzo jego zrozumienie potrzeb materyalnych narodu, a wtedy mawiał:

— Dans sa politique, il y a par-ci, par-là un cheveu. Je lis le Siècle. Mais ça, ça pèse, parceque c'est du pain quotidien, c'est la richesse du pays.

Pikart był równie mało wymownym, jak Ramult, i może dlatego się tak bardzo lubili. Wszelako Pikart mawiał o Ramulcie:

— C'est un ouvrier invalide. Il a bien mérité un morceau de pain. Et puis il a ça — pokazując na serce — c'est la Providence et le gardien de ma famille.

Zdaje się, że Ramult wyświadczył kiedyś Pikartowi jakąś wielką usługę.

Kiedy mu kto z jego przyjaciół wspomniał o majątku, a poklepawszy go po brzuchu, zawołał:

— Ça ne va pas trop mal, père Pikart? L'on pourrait bien se retirer, on a sa maison et puis le sac...

To się gniewał i przeczył i dodawał:

— Mais je me porte encore assez bien... je puis travailler. Et puis, où pensez-vous? Et ma fille, qui a épousê un vaurien? Et mon gaillard, bon garçon, il est vrai, bon travailleur, mais qui fait de la politique?

Ale u niego wszystko, co tylko wychodziło po za obręb jego rzemiosła, nawet literatura, nawet operacye pieniężne, c'était de la politique.

Pikart miał już gdzieś niedaleko sześćdziesięciu lat wieku. Niewielki wzrostem, lecz zbudowany silnie, barczysto i karczysto, twarz miał okrągłą i pełną. wąs gęsty i bródkę hiszpańską krzaczystą, a czuprynę żelazno-szpakowatą, gęstą jak szczotka i ostrzyżoną przy samej głowie. Zastaliśmy go na końcu dziedzińca, gdzie się już ogród zaczynał, a zarazem naprzeciwko tej oficyny, w której przyziemiach znajdowały się jego warsztaty, a na pierwszem piętrze jego mieszkanie. Tam budował on w tej chwili jakieś rusztowanie, nie bardzo wysokie, lecz dziwnej konstrukcyi: składało się bowiem jakoby z kilku szubienic, pomiędzy któremi były przybite belki na wskos, wycelowane ku firmamentowi i mogące się zwracać na szrubach we wszystkich kierunkach. Pikart stał między temi belkami we środku, mierzył je i celował, ale zarazem kręcił głową i gipsową fajeczką, którą gryzł w zębach.

— Qu'est-ce que vous faites--là, père Pikart? Mais c'est des potences, c'est un peu suspect.

— Mais non! — zawołał, śmiejąc się mechanik — c'est un modèle.

— Le modèle d'une potence de famille?

— Mais non! c'est un appareil pour un observatoire.

Tymczasem Ramult wziął Pikarta pod ramię i zaprowadził się z nim do ogrodu, a ja usiadłem sobie na drewnianej kanapce, która stała pod murem obok kilku krzaków bzu i róży.

W tej też chwili wyszedł do mnie młody człowiek z warsztatu, aby się ze mną przywitać. Był to syn Pikarta, imię jego było Auguste. Miał on wówczas lat najwięcej dwadzieścia i cztery, nie był słuszniejszy od ojca, i wcale do niego podobny, ale naturalnie o wiele smuklejszy i zgrabniejszy. Czuprynę miał czarną, wąsik młody i bródkę, oczy czarne, niezmiernie żywe, ale bardzo łagodne; twarz bladą, a cerę jakoby spaloną. Widać było w nim człowieka żywych idei i gorących namiętności, ale rozgarnionego umysłu i dobrego serca — i takim też był rzeczywiście. Prawdziwy typ nowoczesnego Francuza z klas średnich, ale dobrego gatunku. Skończył on szkoły politechniczne i był inżynierem, nawet cokolwiek już podróżował, znał też obce języki, ale tymczasem pilnował ojcowskiego rzemiosła i stał na czele warsztatu, który już znacznie rozszerzył. Ubrany był w bluzę z niebieskiego katunu, takież same pantalony i grube trzewiki, zgoła jak każdy robotnik, najgrubszej chwytający się pracy; toż i nie wzdrygał się w samej istocie wziąć w własną rękę młot lub siekierę, chociaż majątek jego ojca wynosił około miliona. Lecz za to o szóstej godzinie, kiedy ognie zgaszono w warsztacie, umył się z kurzu i ubrał jak syn milionera, a wtedy niktby nie był przypuścił, że młodzieniec ten cały dzień spędził w ciężkiej pracy fizycznej. Teraz przystąpił do mnie, wypytywał mnie o nowiny z Austryi i Włoch, skarżył się, że mu brakuje czasu czytać dzienniki, a przytem ciągle rzucał okiem na Ramulta i ojca; widocznie coś chciał mi powiedzieć, a nie śmiał, lecz wkrótce pożegnał się i do warsztatu powrócił.

Tymczasem dwaj starzy jeszcze ciągle z sobą gwarzyli; ale zaledwie potrzebuję dodawać, że Ramult, który nie miał zbyt płynnej wymowy w języku polskim, miał jej jeszcze mniej we francuskim, którego nieposłuszne wyrazy pędził przed sobą w takim porządku, jak Bóg dał, dokładając reszty gestami. Wszelako Pikart go doskonale rozumiał, bo ciągle mu potakiwał, aż go nareście opuścił i przysiadł się do mnie. Ramult mówił tak głośno, a jego gesta były tak wymowne, że i mnie się już marzyć zaczęło, o co to chodzi; a że sprawa ta zdawała mi się nieciekawa i raczej wstrętna, niżeli zachęcająca do interwencji, więc położyłem rękę na jego kolanie i rzekłem do niego:

— Eh bien, père Pikart, c'est une affaire un peu pâteuse, à ce qu'il parait. Je ne suis pas curieux, vaut mieux peut-être...

— Ah! oui, c'est pâteux — zawołał mechanik, śmiejąc się — pas pour moi, mais pour cet animal... mon beau frère. Un vrai animal, vous le connaissez?

— Je vous demande pardon, je ne le connais pas.

— Ah! c'est différent, tant mieux pour vous. Mais je vous le dirai tout de même...

Tu Pikart opowiedział mi, że ma szwagra, brata swej żony, który jest urzędnikiem w Banku narodowym francuskim i bardzo piękne ma stanowisko; ale zamiast pilnować swego urzędu i żyć z tego spokojnie, co uczciwie zarabia, spekuluje na giełdzie, a nie zawsze szczęśliwie. Teraz zaś właśnie wielkie go spotkało nieszczęście. Upatrzył sobie bowiem akcje jakiegoś towarzystwa węglanego, o którem się dowiedział, że jest na brzegu bankructwa,

i sprzedał takowe à découvert. Tymczasem Rak wszystkie te akcje wykupił, i od kilku tygodni, jak to nazywają w języku giełdowym, dławi graczy na spadek, il étrangle les baissiers. Szwagier mój, mówił dalej Pikart, zapłacił już dwa razy ogromny déport, teraz nowa zbliża się likwidacja, więc oczywiście jeszcze większy zapłaci, i tak płacić będzie bez końca, bez najmniejszej nadziei wyjścia z tej matni, bo w końcu Rak tyle za akcje zażąda, ile sam zechce — a tego szwagier mój nie jest w stanie zapłacić. Straci więc najprzód swoje parę groszy, a potem posadę — a tu żona i dzieci... i dla urzędnika banku hańba na wieki. Otóż na Raka wszelkich już używano sposobów, już go moja żona zaklinała na wszystkie bogi, i Ramult był wczoraj u niego i naturalnie, że mu prawdę powiedział po swojemu, ale wszystko napróżno.

— To znasz Raka, panie Pikart? — spytałem.

— Jakże pan chcesz? znam go od lat dwudziestu pięciu. Przecież wszystkie machiny, jakie ma w Rakowie, a ma ich niemało, i bardzo wiele budynków, to ja stawiałem. Ot, i ten model, to także dla niego. Kupił sobie bowiem bardzo duży teleskop i chce go na swojej wieży ustawić, w sposób taki, jak sam sobie wymyślił. Otóż ja mu ten postument zbudowałem w moim warsztacie, i idzie tylko jeszcze o znalezienie równowagi w jednym punkcie, ale zdaje mi się, że i tę już znalazłem.

— Cóż mówisz o Raku?

— Une bonne tête, une tête magnifique. Et un travailleur! Sapristi, ça marche chez lui.

— Mais?

— Il est un peu timbré — uciął krótko i dyplomatycznie, i zaraz dodał: — Mais son pére, Monsieur, voilà un vrai gentilhomme...

I zaczął mi coś opowiadać o ojcu Raka. A kiedyśmy tak mówili, pokazał się człowiek w dziedzińcu, który w wysokim stopniu obudził moję ciekawość, zjawiając się na tem miejscu. Był to bowiem ten sam jegomość, całkiem czarno ubrany, z twarzą ogoloną, z siwą czupryną w tył zarzuconą, z głową wysuniętą naprzód, jak wąż, i wypukłemi plecyma, którego widziałem był we Florencyi, i który w towarzystwie starszej z dwóch dam, tamże obecnych, zrobił był taką gwałtowną scenę Rakowi. Przesunął on się jak cień przez dziedziniec, rzucił na nas okiem, jak błyskawicą, i znikł w tych drzwiach, które prowadziły do mieszkania Pikarta.

— Qu'est ce que ça? — zapytałem Pikarta.

— Ça, c'est une canaille — odpowiedział mechanik, brwi marszcząc, a Ramult w głos się roześmiał, na znak aprobaty.

— Il s'appelle Leendorf — dodał Pikart.

— Il ressemble beaucoup à son frère — zauważałem obojętnie.

— Ah! oui, parfaitement! — zawołał mechanik i parsknął od śmiechu.

— Mais qu'est ce qu'il est?

— Aristo, réac, cléri... c'est tout ce que je sais.

— Mais c'est plus qu'il n'en faut.

Pikart i Ramult znów wybuchnęli rozgłośnym śmiechem.

Trudno mi było się zorjentować. Dlatego opowiedziałem Pikartowi, w jakiem towarzystwie tego jegomości widziałem we Florencyi, i co się tam stało. Pikart głową kiwał na to wszystko, widocznie rzeczy te lepiej rozumiał odemnie, ale im się wcale nie dziwił, tylko dodał na końcu:

— Ten dramat pomiędzy nimi gra się bezustannie od tego czasu, jak Rak się ożenił.

— A któż jest ta starsza dama, która tam była w towarzystwie tego Leendorfa?

— C'est un chiffon — odpowiedział mi Pikart swoim jędrnym językiem. Po chwili zaś spytał:

— A nie chcesz pan wiedzieć, kto jest ta młodsza?

— Nie, rzekłem.

— To szkoda — odpowiedział mechanik — to bardzo poczciwa dziewczyna. Warta zaiste lepszego losu.

— Taż to ja ją wykołysałem na moich rękach — zabrał głos Ramult — bo ona tutaj się wychowała od pieluszek. Jak żyję, jeszcze nie widziałem tak poczciwego dziecięcia. Ciche-to było, spokojne, cierpliwe, chociaż tyle się nacierpiało za młodu, bo oprócz nader wątłego zdrowia jeszcze przez długie czasy cierpiało konwulsje. No, ale przecież Bóg nam dopomógł, żeśmy to wychowali. Teraz, słyszę, znowu intrygi i perewerty. Baba salony otwiera w Rzymie, pewnie Raka porządnie obdarli. Kardynałów przyjmuje, a może się nawet i żeni. A więc znowu się dziecka trza pozbyć. No, ale poczekajcie, wy, gniazdo jaszczurcze! Chybabym nie żył!

Taką Ramult uciął przemowę; szczęśliwy, kto ją zrozumiał.

Tymczasem Pikart ciągle rzucał niespokojnemi oczyma na okna swego mieszkania, nareście wstał i poszedł na górę. Zostałem się sam z Ramultem.

— Proszę cię — rzekłem do niego — chciej mi jednę kwestją wyjaśnić, która mi wzrok cokolwiek zachmurza. Raka poznałem niedawno, jeszcze go nie znam, tylko go pomału poznaję, chociaż z tego, co o nim wiem, już się reszty domyślam.

— Co się tam masz domyślać! — zawołał Ramult — łotr jest, i koniec.

— No, to się rozumie, zdaje się nawet, iż trzyma z Jezuitami — odpowiedziałem Ramultowi, aby go ułagodzić — ale mnie chodzi o co innego. Rak powiedział mi raz w konwersacji, że nigdy długo nie może bawić w Paryżu, bo rozda wszystkie pieniądze pomiędzy przyjaciół prędzej, niżeli zamyślał, i musi wracać do domu.

— Co! to ci powiedział? — zawołał Ramult, i zaczął kląć.

— Ale, mój drogi, uspokój-no się. Powiedz mi szczerą prawdę, bo jak się tej dowiem, to może będę mógł wyratować od zguby nieszczęśliwego człowieka, który i ciebie obchodzi.

Ramult się uspokoił, namyślił się, a potem taką mi dał odpowiedź:

— Co prawda, to prawda. I Rak był cokolwiek inny za młodu. I jemu się też niegdyś inne rzeczy marzyły. Wtedy wspomagał ubogich. Ale poźniej, jak się od uczciwych ludzi odłączył, a diabłu duszę zapisał, jako żywo, może tam czasem, jak dużo złego nabroi, rzuci trochę pieniędzmi, ażeby ludziom oczy zamydlić, i zmyka. Tak powiadają; chciał w Australii jakąś kolonią zakładać, podobno nawet założył, ja tam tego nie wiem. Ja tam nie pójdę i każdemu odradzę, bo jestem pewny, że wszystkich tych ludzi, których z sobą zabierze, tamtejszym kupcom w niewolę zaprzeda.

— To dosyć — odpowiedziałem Ramultowi, a wtem Leendorf znowu się przez dziedziniec przesunął, i wyszedłszy przez bramę wjezdną, zniknął w ulicy. Za nim zeszli do ogrodu Pikart z żoną, ale Pikart zdawał się być bardzo wzburzonym; jakoż odłączył się od nas i poszedł w głąb ogrodu, gdzie też Ramult natychmiast za nim podążył. Żona Pikarta przysiadła się do mnie.

Była to jedna z tych kobiet, jakich w średnich klasach tysiące się widuje we Francyi. Wysoka, okrągła brunetka, z dużemi, czarnemi oczyma, wesołej, otwartej twarzy; a chociaż miała już lat przeszło czterdzieści, wyglądała tak czerstwo, zdrowo i młodo, jak gdyby upływające lata na świeżość jej umysłu i ciała żadnego nie wywierały wpływu. Z początku rozmawialiśmy o rzeczach potocznych; lecz jak tylko pani Pikart dostrzegła, że mąż jej z Ramultem w długą się zatopili rozmowę, obróciła się ku mnie, otwartemi oczyma spojrzała mi w twarz i rzekła:

— Pomóż mi pan w nieszczęściu.

— Pani — odpowiedziałem z pośpiechem — nie potrzebuję jej zapewniać, iż zawsze gotów jestem jej nieba przychylić. Domyślam się też, o co chodzi. Ale obawiam się, że, mimo najlepszych chęci z mej strony, na niezwyciężone napotkam przeszkody. Brat pani po prostu wpadł w studnię, z której go nic wydobyć nie może, jak tylko litość jego przeciwnika, — a tu sprawa z człowiekiem, który, bodajbym się mylił, ale tak mi się zdaje, że się brzydzi litością.

— Tak, to jedno — rzekła żona Pikarta — tu pan zrobisz, co możesz. Ale jest jeszcze drugie nieszczęście, dla mnie prawie większe niż tamte...

— I tego się także domyślam...

— Tak — rzekła stroskana kobieta — ale pan nie wiesz wszystkiego. Bo jak to się stało! Pod owe czasy córeczkę moję musiałam oddać na pensją, syna do konwiktu, mój mąż był ciągle w podróży, byłam młodą... czułam się nielitościwie osamotnioną, bałam się samej siebie, znajdowałam się może na brzegu przepaści. Wtedy przyniesiono mi to dziecko na wychowanie. Z niem Bóg mi zesłał zbawienie. Przywiązałam się do tego dziecięcia więcej, niżeli do mego własnego; dziś jeszcze widzę w niem mego anioła-stróża... *Oh! ma bonne petite fifille!*

Przy tych słowach z głębi piersi westchnęła, gorącą łzę z oka otarła, i tak dalej mówiła:

— Prócz tego zdarzyło mu się u mnie nieszczęście. Jednego dnia, kiedym je po ogrodzie nosiła, wyśliznęło mi się z ramion i upadło na ziemię. Zemdlałam, byłam pewna, że się zabiło. Na szczęście, żyło, tylko od tego czasu ma cokolwieczek podniesione ramiona. *Ma pauvre fifille*! To mnie jeszcze więcej przywiązało do niego. Wychowałam je daleko staranniej, niż moję własną córkę. Potem mi je zabrano. Zabrano wtedy, kiedym je wychowała na dorosłą panienkę. Zabrano na to, aby zeń zrobić straszydło na ojca. Stało się to wprawdzie właśnie pod owę porę, kiedy moja córka wróciła do domu; ale i ona nie długo bawiła w domu, bo zaraześmy ją za mąż wydali. Syn mój już przedtem był do domu powrócił. Jedyna moja pociecha; ale zarazem drugie źródło zgryzoty. Bez niej, dla nas obojga nie masz szczęścia na tej ziemi... Teraz mi ją chcą oddać; lecz zgroza wspomnieć, dlaczego. Już nią wystraszyli lub wyżebrali, co mogli, już jej dzisiaj nie potrzebują. Ale dlaczegóż jeszcze nie mają litości nad nami? Wszak my, oprócz niej samej, nie żądamy od nich niczego. Lecz nie! Oni wymagają od nas, aby mój syn dom rodzicielski na tak długo opuścił, dopóki ona u nas bawić będzie. Ofiarują memu synowi miejsce inżyniera u Raka. Okrutni ludzie! Ja już się zgadzam na wszystko. Ja myślę, że czas nam pomoże. Ja wierzę w Boga i sądzę, że jeżeli Bóg co przeznaczył, to i tak się stanie. Ale mój mąż...

W tej chwili oba przyjaciele wrócili do nas. Pikart wziął nas ostro na oko, spojrzał na żonę i rzekł:

— Tu sais: jamais? Je ne traite pas avec des canailles...

Biedna kobieta oczy spuściła ku ziemi i łza się zakręciła w jej oku. A kiedyśmy przez chwilę milczeli, dał się słyszeć turkot zajeżdżającego powozu przed bramę, a wkrótce obaczyliśmy Raka, zmierzającego tak ciężkiemi ku nam krokami, że ziemia tętniła.

— Jakto? i ty tutaj? — rzekł on do mnie — a ja właśnie byłem u ciebie. Mamy bowiem dziś kilka osób na obiedzie, i moja żona kazała mi, albo ciebie przywieźć na obiad, albo się wcale nie pokazywać.

— Ależ twoja żona wcale mnie nie zna.

— To może właśnie dlatego — rzekł Rak złośliwie. Trzeba ci bowiem wiedzieć, że się jej uroiło, że ja pozawczorajszej nocy nie przepędziłem z tobą w obserwatorjum, tylko Bóg nie wie gdzie. Piekło mi za to zrobiła w domu, i żąda koniecznie dowodu. Musisz mnie tedy wyświadczyć. Cha, cha, cha! co to kobiety!

Spojrzałem na niego cokolwiek z pod oka i rzekłem spokojnie:

— Więc tedy rzeczy tak stoją, że z owej nocy pamiętnej jeszcze ty musisz się wytłómaczyć?

— Ale proszę cię — rzekł Rak, biorąc mnie pod ramię — nie bierz tego za żart. Wiesz, że ja zawsze i wszędzie jestem za wojną; ale z kobietami... to broń nierówna. Zawsze lepsza zgoda. Więc ja liczę na ciebie.

— No, to już ja cię jakoś wyświadczę, chociaż być może, że ci położę pewien warunek.

— Wszystko z góry przyjmuję — rzekł Rak i zaraz zaczął z Pikartem rusztowanie oglądać. Przez ten czas

żona Pikarta, która zdaje się nie wielkie miała nabożeństwo do Raka, poszła na górę, a Ramult przechadzał się po ogrodzie, iskrzącemi oczyma rzucał na Raka i mruczał. Wkrótce jednakże Rak zażądał jakichś rachunków i wysłał po nie Pikarta do warsztatu, a sam przysiadł się do mnie.

— Nie wiedziałem o tem — rzekłem do niego — że oprócz astronomią i mechaniką, zajmujesz się także górnictwem, a jeszcze mniej, że się trudnisz operacjami giełdowemi. W sferach finansowych kilkakrotnie dzisiaj słyszałem twoje nazwisko. Cóż to jest za historja tych Charbonnages de Roche-la-Belle?

— Słyszałeś o tem? — zawołał Rak, i oczy mu się rozpromieniły — wszystkie akcje mam w saku, jedna noga nie wyjdzie!

— Tak? — rzekłem — lubo poważni finansiści tego rodzaju operacji z zasady nie robią, jednak nie masz co mówić, żadne prawo ich robić nie wzbrania.

— Ah! otóż to jest! Zasady finansistów wcale mi są obojętne. Prawo jest wszystkiem.

— Prawo i zwyczaj — dodałem — bo wiesz, że prawo nie może przewidzieć wszystkich wypadków; więc, gdzie prawo nie rozstrzyga wątpliwości, tam apeluje się do zwyczaju, a gdzie i zwyczaj milczy, tam rozstrzygają experci. Lecz przedtem chciałbym się ciebie spytać, czy ostateczny rachunek wypadnie na twoję korzyść; bo jeżeli ci się na końcu wszystkie akcje jakiegoś zbankrutowanego towarzystwa na karku zostaną, to *déport*, jaki ci nieszczęśliwi gracze zapłacą, rachunku twego nie wyrówna.

— Ale za kogóż ty mnie masz? — spytał Rak, śmiejąc się i patrząc mi w oczy.

— To przecież rzecz prosta — odpowiedziałem — jeżeli w tej operacji chcesz znaleźć rachunek, to musisz w końcu znaleźć kupca na twoje akcje, bo déport, jaki podobno dwa razy już wziąłeś i może jeszcze raz weźmiesz, przecież ci ceny twych akcji w żadnym razie nie zapłaci; a ponieważ te kopalnie nic nie są warte...

— Ale daj pokój! — zawołał Rak — masz mnie chyba za giełdowego szulera, a ja tu biję bitwę z najzupełniejszą pewnością, że muszę ją wygrać. Jest 10,000 akcji po 1,000 franków, na które połowa wypłacona, to robi 5 milionów. Te 5 milionów towarzystwo istotnie wydało na zakupno kopalni i machin i na roboty przedwstępne, i kapitał towarzystwa się temi wydatkami wyczerpnął do tego stopnia, że trzeba było pomyśleć o nowej wpłacie na akcje. Sama wieść o nowej wpłacie przestraszyła posiadaczy akcji i zaczęła ich do sprzedaży zniewalać, a zarazem zachęciła graczy do sprzedawania à *découvert*. Wtedy pojechałem obaczyć te kopalnie i wziąłem inżynierów ze sobą, a przekonawszy się, że te 5 milionów są wcale dobrze ulokowane, zacząłem akcje jedną ręką sprzedawać, a drugą kupować. Tym trybem doprowadziłem do tego, żem prawie wszystkie wykupił po cenie przeciętnej 250, a gracze mi winni jeszcze około 4,000, bo o tyle więcej sprzedali. Jakiż jest tedy mój rachunek? Skórę z nich zedrę, a jeśli mi się kopalnie zostaną w ręku, to mnie nie będą kosztowały ani jednego miliona. Proszę cię, nie miej-że mnie za bezrozumnego spekulanta, który na jakieś-tam szczęście się spuszcza! Przecież umiem rachować.

— Nie wątpię o tem. Ale czy skórę z nich zedrzesz, to cokolwiek wątpliwa, bo nie możesz o tem nie wiedzieć, że w takich wypadkach, gdzie oczywisty rozbój jest zamierzony, w Paryżu Izba Giełdowa interweniuje i rozbójnika rozbraja.

— Ah! niestety! — zawołał Rak z głębokiem westchnieniem — w tej liberalnej Francji turecki panuje despotyzm!

I tak się w tej chwili zasmucił, jak gdyby istotnie bolał nad tem nieszczęściem, że nie będzie mógł ostatniej kropli krwi wyssać z tych ofiar, które w jego matnię popadły.

— To jest istotne nieszczęście — rzekłem po chwili — człowiek na tej ziemi nie dożyje nigdy zupełnej wolności...

— Wolne twoje żarty — rzekł Rak surowo — ale to mi przecie przyznasz, że idee te, któremi ludzkość dzisiejsza się rządzi, są wbrew przeciwne prawom natury.

— Chcesz przez to powiedzieć, że idee te dążą ku temu, aby słabszego ochronić od przemocy mocniejszego; i to ci się nie podoba?

— To mi się nie podoba, bo to jest nonsens, tej idei nie znajdziesz w całej naturze.

— Bo natura, mój drogi, jest martwa — rzekłem na to, mocno wpatrując mu się w oczy — a człowiek jest żywy; bo natura jest bezmyślna i bezwłasnowolna, a człowiek myśli i ma własną wolę.

Rak patrzał na mnie szyderczemi oczyma i nie miał wcale ochoty przedłużać tej dyskusji. Dlatego zmieniłem natychmiast ton i rzekłem do niego:

— Mój kochany pająku, ja ci te wszystkie muchy daruję, które w twoję pajęczynę złapałeś, ale jednę maleńką mi musisz wypuścić.

— Jakto? a co to? — zawołał Rak prawie przestraszony.

— Oto szwagier Pikarta uplątał się z kilkuset akcjami w tę pajęczynę — a jest to urzędnik, bez majątku i ma żonę i dzieci. Jeżeli go nie wypuścisz, dwie rodziny unieszczęśliwisz...

Na to Rak zerwał się z kanapki, wszystka krew mu uderzyła do twarzy, oczy zaczęły kręcić się kołem, usta się wykrzywiły, oddech się ciągle ukrócał, zgoła tak, że gdybym był jego duszy od niego zażądał, to byłoby go to tak nie wzburzyło. Przez długą chwilę nie umiał słowa wymówić, dopiero zaczerpnąwszy oddechu, rzekł:

— Nie spodziewałem się... że zażądasz odemnie... materjalnej ofiary.

Taka niespodziewana odpowiedź musiała naturalnie wyczerpnąć moję cierpliwość, jakoż zerwałem się z miejsca i rzekłem:

— Bądź zdrów, panie hrabio. Dalsza konwersacja między nami jest niepodobną.

— Jakto? idziesz? — zawołał Rak — a toż dlaczego? a obiad?

— Dziękuję ci — rzekłem — i ja też także do ofiar nieskłonny.

— Ale cóż tam! — zawołał Rak już całkiem odmiennym tonem — do czegóż takie historje? Proszę cię, zrób mi tę łaskę, siadaj jeszcze na chwilę. Więc cóż? więc jakże? więc o cóż-to właściwie chodzi?

— Wiesz, o co chodzi. Z jednej strony, o bagatelę, a z drugiej, o nieszczęście rodziny.

— No, to dobrze, to tego... Ale dlaczegóż Pikart tego mi nie powiedział?

— A czy ja tam wiem, dlaczego Pikart coś robi, albo czegoś nie robi. Ja się dowiedziałem przypadkiem o tem nieszczęściu i uważałem za mój obowiązek zawiadomić cię o tem. Rób z tem, co ci się podoba.

— Tak, zapewne — rzekł Rak — to tam niewielka rzecz. Tylko inna jest kwestja...

— Jakaż tam jeszcze kwestja?

— Hm! tu idzie o to, że ja temu człowiekowi dobrodziejstwo wyrządzę... a to jest rzecz niebezpieczna...

— Jakto niebezpieczna?

— Niebezpieczna, wierzaj mi, bo człowiek ten będzie czuł na sobie ciężar wdzięczności dla mnie, nigdy tego mi nie zapomni, i będę miał w nim wiecznego, a skrytego nieprzyjaciela.

Odpowiedziałem mu na to milczeniem. Ale to go nudziło, jakoż zaraz zawołał:

Mniejsza z tem zresztą. Masz moję rękę, sprawa-to załatwiona. A przyjdziesz na obiad?

Dałem znak pani Pikart, która stała w oknie, aby do nas zeszła, opowiedziałem jej przyrzeczenie Raka i chciałem już odejść, kiedy w tem Ramult się przybliżył do niego, podał mu rękę, jako staremu wojskowemu koledze, z którym się znał od lat trzydziestu sześciu, i rzekł:

— Ażebyś wiedział, że, kiedykolwiek co zrobisz dobrego, ja zawsze pierwszy jestem, aby ci się za to pokłonić. Ale też wiedz, pysiu, o tem, że, kiedy broisz...

Rak patrzał na niego z początku ironicznie śmiejącemi się oczyma, lecz w tej chwili parsknął tak głośno od śmiechu, że aż się za boki uchwycił. To skonfundowało Ramulta, jakoż odszedł natychmiast, o kilka kroków się zatrzymał, odwrócił się do Raka, i podnosząc pięść zaciśniętą, zawołał do niego:

— Śmiej się ty, śmiej! a ja ci powiadam, że tak samo oddasz fifilkę i próżno się zasłaniasz Jezuitami!

Rak obrócił się do mnie i rzekł:

— Czy widziałeś kiedy takiego warjata?

— Warjat, ale uczciwy człowiek — odpowiedziałem — bądź zdrów, obaczymy się przy obiedzie.

Rak miał dom własny przy bulwarze Malesherbes, którego pierwsze piątro sam zamieszkiwał, a resztę wynajmował. Mieszkanie miał urządzone bogato, lecz w dobrym smaku, ozdobione niebardzo licznemi dziełami sztuki, ale pierwszorzędnej wartości. Przy obiedzie było kilkanaście osób, prawie wszystkie z Austrji lub z Węgier; między niemi trzy damy, wszystkie młode, wesołe i ruchów swobodnych. Nie można było powiedzieć, żeby to było towarzystwo pół-świata, ani trzy ćwierci świata, był to świat cały, ale tych obyczajów, koloru i tonu, jakie przeważały w Paryżu za czasów ostatniego cesarstwa. Cnoty nie były zeń wykluczone, ale nie znajdowały zasłużonego uznania; natomiast zaś grzechy i grzeszki wszelkiego rodzaju, lśniącą powierzchownością osłonione, miały obywatelstwo przyznane. Obiad był wyborny od zupy aż do czarnej kawy, a kiedy dano likiery, mężczyźni zapalili cygara, a damy papierosy, i dopiero właściwa zaczęła się konwersacja.

Żona Raka była to rzeczywiście niecodziennej piękności kobieta. Cerę miała nadzwyczaj świeżą, oczy niezmiernie żywe, wymowę łatwą i gładką, a na twarzy jej widać było bardzo dużo przebiegłości, której zresztą już z tego, com się od jej męża dowiedział, mogłem się łatwo domyśleć. Przysiadając się do niej, zacząłem od słów:

— Comme votre mari n'est pas jaloux...

— Mon mari non, mais moi — przerwała mi prędko, a mąż zawołał po polsku:

— A widzisz! — i dodał zaraz: — Opowiedz-że jej, jak Mars owej nocy wyglądał, aby ci uwierzyła.

Mówiliśmy tedy o obserwatorjum, o Paryżu, o przyszłorocznej wystawie, o Kroacji, o wojnie włoskiej, o moim w Bolonii przed wojną pobycie, przyczem zrobiłem uwagę, żem tam poznał jej kuzyna, młodego Raczka, który mi się bardzo podobał.

— Quel beau jeune homme! — zawołałem.

— N'est-ce pas? — przerwała mi prędko i dodała cokolwiek spokojniej — il fait l'admiration de toutes les femmes à Paris.

— Mais il est parti — dodałem, patrząc jej w oczy.

— Oui, mais il ne tardera pas à revenir.

— Vous croyez? j'en doute...

— Mais, moi, j'en suis sûre. Il a oublié quelque chose à Paris...

VII.

W parę dni po tym obiedzie ważne interesa powołały mnie nagle do Wiednia; zaledwie mogłem znaleźć chwilę czasu, aby do Raka słów kilka napisać, usprawiedliwić się, że go nie mogę odwiedzić, i prosić, aby o mnie nie zapomniał, jeżeli się do Wiednia zabłąka Żal mi było opuszczać wesoły, śmiejący, szczęśliwy Paryż, aby do powalonej na ziemię i żałobą okrytej Austrji powrócić; ale najswobodniejszy człowiek ma obowiązki, od których się nie może wymówić. Wszelako, ku niemałemu memu zdziwieniu, żałoby tej wcale w Wiedniu nie zastałem, która mi się zdawała nieuniknionym skutkiem klęsk poniesionych. W pierwszych dniach października już ani śladu nie widać było smutku, żalu, albo rozczarowania. Owszem przeciwnie, pomiędzy ludnością stolicy objawiało się niemal pewne zadowolenie z tego, że Austrja się pozbyła nakoniec reszty swych posiadłości włoskich, a nad stratą jej stanowiska w Niemczech także nikt prawie nie bolał, bo mówiono sobie, że teraz państwo tem lepiej się skoncentruje i może na tem tylko zyskać więź jego wewnętrzna.

Dziecinniejszego optymizmu, tak jak większej lekkości ducha, nie znajdzie w żadnej innej stolicy świata. Tymczasem w samej istocie — któż tego nie wie? — wewnętrzna więź Austrji dopiero od tej wojny zaczęła się gruntownie rozprzęgać. Nietylko bowiem Węgry, ale niemal wszystkie inne prowincje nie-niemieckiej narodowości przysłały były naówczas swoich pełnomocników do Wiednia, ażeby żądać takich konsesji, które mogły być bardzo pożyteczne prowincjom, ale organizm państwa mogły tylko rozsadzać. Zbiegowisko to niezliczonych intrygantów politycznych, krajowych i zagranicznych mogło się przemysłowcom wiedeńskim podobać, bo pociągało za sobą wielki przypływ pieniędzy do miasta; ruch owoczesny był niewątpliwie zabawnym i zajmującym dla takich osób, które lubią przypatrywać się zbliska sprawom publicznym, a które tylko wtedy mają po temu sposobność, kiedy te sprawy z gabinetów przenoszą się do salonów, hotelów i klubów; ale położenie to było dla patrjotów austrjackich niemal rozpaczliwem, a to tem bardziej, ile że rząd pod ciężarem klęsk poniesionych omdlał był prawie zupełnie i widział się rzuconym na pastwę niepoliczonych stronnictw, z których każde miało program dla siebie, ale żadne nie miało programu dla państwa.

W tych sferach politycznych, które istotnie na to zasługiwały nazwisko, rysowały się trzy prądy, trzy rozmaite myśli zasadnicze o przyszłej organizacji austrjackiej monarchii. Jedna z nich, wyznawana przez oddzielne cząstki duchowieństwa, arystokracji, wyższej wojskowości i wyższej biurokracji, dążyła ku temu, ażeby ten węzeł gordyjski za pomocą powagi tronu i siły wojskowej rozwiązać i wrócić do zasad Metternichowskich — pod tym jednak warunkiem, ażeby rząd absolutny, mający się zaprowadzić, był ludzkim i ile możności liberalnym. Drudzy wytworzyli sobie byli projekt podzielenia Austrji na pięć grup odosobnionych wedle narodowości, reprezentacjom tych grup chcieli powierzyć całą administrację krajową, a wszystkie interesa państwowe związać w jeden silnie ściągnięty węzeł i umieścić go w rządzie centralnym. Trzeci nareście poddawali się najenergiczniej i najzręczniej forytowanemu naówczas prądowi, wychodzącemu z Pesztu, i przyjmowali dualizm, nie zastanawiając się wcale nad tem, jaką miarą ten dualizm należy rozmierzyć, byle tylko przyjść jak najprędzej do jakiegoś nowego ładu.

Tak się ważyły ze sobą te trzy główne prądy, a obok nich wiele innych pomniejszych; przez całą jesień, aż do końca roku, całe setki intryg politycznych i osobistych snuły się obok siebie; rzadko kto miał jasne o tem pojęcie, co się właściwie dzieje, a im dobitniej kto swoje informacje wykładał, tem pewniej można było go podejrzywać, że tylko plotki powtarza.

Jednym z niewielu ludzi, w którego rękach się bardzo wiele owych intryg zbiegało, i u którego się zawsze można było dowiedzieć, która godzina bije na politycznym czasów zegarze, był wtedy Monsignor Gerhardus, biskup in partibus i radca tajny, rodem ze Szwajcarji francuzkiej, lecz od wielu lat mieszkający w Wiedniu. Była to, z pewnego punktu widzenia, może cokolwiek zagadkowa figura, bo nikt właściwie nie wiedział, jaką jest jego rola na świecie, i można było powiedzieć, że był wcale nieznany, bo z wyjątkiem kilku arystokratycznych salonów, nigdzie go nie widywano. Wszelako u siebie bardzo wiele osób najrozmaitszego powołania przyjmował, a te o nim wiedziały, że u dworu i w wyższych sferach wielkiego poważania używał, że miał wielkie wpływy, że był zamożny, a zarówno protekcją, jak też i groszem, bywał wielu ludziom pomocnym. Miał on wówczas już przeszło sześćdziesiąt lat wieku, był raczej słuszny niż mały, nie zażywny, lecz zbudowany kościsto; łysinę nakrywał fioletową czapeczką, oczy miał jasne i żywe, ale łagodne, usta niezmiernie wymowne, ręce nadzwyczaj białe, a w nich zawsze trzymał złotą tabakierkę i chustkę jedwabną. Ruchy miał poważne, wymowę subtelną i gładką we wszystkich językach, wykład bardzo spokojny; jakoż zdawało się na pierwszy rzut oka, że tak wiele już w swojem życiu doświadczył i widział, iż nic go nie wzruszy i nie zapali; ale kto go znał bliżej, ten się łatwo domyślił, iż nie mógłby tak wiele wiedzieć, gdyby go rzeczy ludzkie nie zajmowały. Mieszkał on wówczas na Wiedeniu, w kamienicy starej i niepokaźnej, lecz miał mieszkanie obszerne, a do niego osobne schody.

Jednego wieczora, pomiędzy Bożem Narodzeniem a Nowym Rokiem, poszedłem był odwiedzić tego prałata, z którym rozmowa o jakimkolwiek przedmiocie była zajmująca i nauczająca. Przyjął mnie uprzejmie jak zwykle, a kiedy wszedłem do środkowego salonu, zastałem go siedzącego na kanapie, a obok niego w fotelu — młodszego Leendorfa. Nastąpiło przedstawienie, przy którem Leendorf po kilkakroć bardzo nizko się kłaniał, a kiedy zajął miejsce napowrót, oczy jego latały jak błędne światełka po wszystkich kątach salonu. Dopiero gdy dostrzegł, że wcale na niego nie zwracam uwagi, pomału się uspokoił.

— Właśnieśmy z sobą mówili o przyszłej organizacji Austrji — rzekł prałat. Otóż pan hrabia jest zdania, które wyśmienitemi argumentami popiera, że Austrja powinna teraz wrócić do absolutyzmu z sejmami prowincjonalnymi i jakąkolwiek centralną reprezentacją notablów. A hrabia przyjeżdża z Rzymu, gdzie jest konsyliarzem legacji, a przeto ma łatwą sposobność słyszenia zdań tych weteranów wszech nauk, dla których mądrości, wyższej nad wszelkie prądy chwilowe, wszyscy mamy tak wielkie poszanowanie.

— Dzisiaj — odpowiedział na to Leendorf — już także i w Rzymie chwilowe prądy wywierają swe wpływy, i mamy tam zkądinąd bardzo rozumnych ludzi, którzy wszelako nie wahaliby się z temi prądami paktować. Ale sfery te, których rozum stanu opiera się na prawdach wiecznych, a nie czasowych, uważają jednogłośnie zwrot taki w Austrji za jedynie zbawienny, każdy zaś system inny za zgubny.

— Ja nie jestem politykiem, zwłaszcza w obec mężów stanu z powołania — zauważał na to Gerhardus, i tu się Leendorfowi zlekka pokłonił, na co tenże podwójnym odpowiedział ukłonem — lecz mnie się zdaje, że system pięciu grup, o którym od kilku miesięcy tak wiele mówią,

byłby dla nas najwłaściwszym w tej chwili. Wychodzę zaś przytem z tego punktu zapatrywania się, że do zaprowadzenia rządów absolutnych nie mamy siły, a przeto dla prowincji, pod wielu względami tak bardzo różnych od siebie, coś musimy zrobić koniecznie. Mając zaś dzielić monarchią na dwie połowy, których moralne i materjalne znaczenie będzie się ustawicznie zmieniać z biegiem okoliczności, pomiędzy któremi przeto rząd centralny nigdy równowagi utrzymać nie zdoła, to wolimy sobie pięć grup utworzyć, które, w jakimkolwiek stosunku będą zmieniać swoję wagę, zawsze rządowi nie odbiorą możności takiego ich w każdej kwestji ugrupowania, ażeby miał większość za sobą i przewagę.

— Że idea ta jest bardzo rozumna — rzekł Leendorf — o tem nie masz wątpienia. Ale przynosi ona tę niedogodność, że jak się Austrja w pięć grup urządzi, to w tej formie zakrzepnie, a przeto skaże się na wieczną nieruchomość na zewnątrz; kiedy tymczasem głównem jej powołaniem, do którego spełnienia zapewne niebawem Opatrzność ją wezwie, jest nietylko odzyskać dawne swe stanowisko w Niemczech, ale zarazem przywrócić porządek we Włoszech.

Tu biskup spojrzał na mnie ukradkiem, okręcił tabakierkę kilkakrotnie około palców, i tak odpowiedział:

— Jest to rzeczą niezmiernie pocieszającą, widzieć mężów stanu, których wzniosłość myśli, potęga ducha i siła woli utrzymuje nad wypadkami i dozwala im nawet w czasach takich, gdzie inni są blizcy rozpaczy, w ich politycznych widzeniach nie tracić z oka wysokich, historycznych celów, które stanowią posłannictwo monarchii. Tacy ludzie są prawdziwemi klejnotami w radzie korony, a monarchowie bardzo postępują rozumnie, że umieją ich cenić i odpowiednio nagradzać.

(*C. d. n.*)

Przewodnik towarzyski i salonowy

WEDŁUG DZIEŁA „SAVOIR VIVRE“

przez panią d'Alcq dla polskiej publiczności opracowała Hr. R.

(Ciąg dalszy.)

Przecież rodzice rozsądni nie zrobią kroku tak stanowczego bez dokładnej informacji o przyszłym swoim zięciu. Posądzać ich o podobną lekkomyślność, byłoby dla nich obrażającem. Gdyby kto powtarzał o tym człowieku coś złego, ubliżającego, nawet na pewnej podstawie, nie będą mu na razie wierzyć, wezmą jego dobre chęci za zawiść, za dowód niechęci, i nieproszony może być pewnym, że go obie rodziny będą za wroga uważały.

Zapewne, lepiej jeszcze w ostatniej chwili zerwać, niż wykonać przysięgę, aby potem po niewczasie zacząć żałować kroku nierozważnego; lecz stokroć stosowniej, póki czas i da to się odrobić bez wzajemnej kompromitacji, bez wielkiego rozgłosu, dowiadywać się najdokładniej o wzajemne stosunki, żeby sobie potem wspólnie nic nie mieć do wymawiania.

Gdyby nawet młody człowiek bywał w czyim domu czas dłuższy, skoro poweźmie chęć szczerą żenienia się w tym domu, stara się czy to przez znajomych, czy przez najbliższą swoję rodzinę wybadać wpierw rodziców lub opiekunów, o ile będą przychylni jego zabiegom.

Bałamucić i rozkochać pannę bez wiedzy rodziców, nie jest szlachetnie. Gdzie nie ma błogosławieństwa rodziców, tam i Bóg nie błogosławi. Panna, któraby nie wahała się iść wbrew woli rodziców w tak ważnem postanowieniu, nie będzie pewno dobrą żoną. Będzie tak samo męża oszukiwała i wyzyskiwała jego dobrą wiarę, jak niegdyś z nim razem rodziców w pole wyprowadzała.

Równocześnie z przyzwoleniem rodziców trzeba zapewnić sobie wzajemność panny. Jeżeli kogo nie zaślepia miłość własna, pozna sam bardzo łatwo, czy jest kochanym, a przynajmniej czy się pannie podoba.

W razie przeciwnym wypada się zaraz cofnąć i nie narzucać osobie nam nieprzychylnej. Cóż za przyjemność dla męża dostać żonę, którą mu tylko rozkaz rodziców oddaje? Dziś już coraz rzadziej dzieją się podobne barbarzyństwa, tyraństwo rodziców ustało z postępem i cywilizacją; jednakże i dziś jeszcze są różne rodzaje przymusu moralnego, który biedną niedoświadczoną panienkę prowadzi do ołtarza wbrew jej woli.

Nie tak dawno temu, znaliśmy niestety w jednej z dzielnic Polski rodziców, którzy śliczną młodziutką panienkę wypchali za wdowca sześćdziesiąt-letniego, stypulując od niego dla siebie 20,000 talarów, gdyby córka umarła bezdzietnie. Nieszczęśliwa ofiara dostała zapalenia mózgu, i w trzy dni po ślubie poszła w lepszy świat, poskarżyć się Bogu, jak okrutni byli tu na ziemi właśni jej rodzice! Co do tych godnych ludzi, zagarnęli oni bez wahania cenę krwi własnego dziecka, a obrzydliwy skąpiec, mąż, obliczał płacząc i narzekając, ile go kosztowała każda minuta tak krótkiego pożycia małżeńskiego.

Po formalnem oświadczeniu i przyjęciu tak przez rodziców, jak i przez pannę, przyszły pan młody ofiaruje najprzód pierścionek zaręczynowy wraz z bukietem zupełnie białym, i nawzajem od panny pierścionek dostaje.

Zaręczyny rozmaicie się odbywają. W domach bardzo religijnych ksiądz pierścionki błogosławi i narzeczonym na palce wkłada; czasem dopełnia tego jedna lub druga matka, a najczęściej sami młodzi państwo wkładają sobie pierścionki na palec jedno drugiemu.

Odtąd, jeżeli w mieście narzeczeni mieszkają, młody człowiek bywa codzień w domu i jest raz na zawsze zaproszony na obiady, herbaty i t. d.

Człowiek delikatny i w tym razie nie będzie za nadto natrętnym. Przychodzić za wcześnie, byłoby żenującem częstokroć dla całego domu; nie przyjść wcale przez cały dzień, nie podawszy ważnego powodu, byłoby już pewnem lekceważeniem panny i jej rodziny.

Rodzice panny przestają przyjmować obcych, skoro ogłoszą, że córka jest narzeczoną; za to tem częściej widują się obie rodziny, zapraszając się nawzajem i starając o coraz większe zbliżenie. Im krócej trwa ten stan przechodowy, tem lepiej dla stron obu. Najdłużej powinien trwać pół roku, najkrócej dwa miesiące. Mężczyzna zwykle zaniedbuje wtedy swój zawód, jakimkolwiek on jest; dom cały, w którym panna zamieszkuje, wychodzi także z trybu codziennego.

Zwyczaj francuzki wymaga, żeby narzeczony co dzień bukiet ofiarował, cieniując kolor różowy, od najbledszego do koloru pąsowego, który w wilią ślubu jest w bukiecie panującym.

Nasz kraj za nadto biedny, za wiele w nim nędzy, często niezasłużonej, wypływającej ze społecznych stosunków, żeby nawet ludziom możnym wolno było popełniać takie niepotrzebne zbytki.

Każda rozsądna narzeczona poprosi z góry narzeczonego, żeby nie wyrzucał co dzień kilkunastu guldenów za kwiaty, które zwiędną w godzin kilka.

Najlepiej schować te pieniądze poprostu na przyszłe gospodarstwo. Można zresztą część ich obrócić na jakąś piękną trwałą pamiątkę dla narzeczonej, która całe życie będzie jej przypominała błogie chwile przedślubne, a drugą część użyć na otarcie łez jakiej ubogiej rodziny.

Wdzięczność i błogosławieństwo ubogich, to trwalsze od tamtych kwiaty! Jeżeli jest możność po temu, takiemi kwiatami uścielajcie sobie drogę przyśli małżonkowie, a z błogiem uczuciem zadowolenia wewnętrznego pójdziecie do ołtarza.

Zależy to jednak zupełnie od narzeczonej, i tylko jej prośba może uwolnić narzeczonego w mieście od tego obowiązku.

We Francji, w wilią ślubu przysyła pan młody tak nazwane „corbeille de mariage“ z rozmaitemi podarunkami, które mają zwykle wartość, wynoszącą piątą część posagu żony. U nas nie jest to w zwyczaju.

Dawniej pan młody dawał szal turecki i jakiś złoty garnitur, piękne perły i brylanty, podług swojej możności.

Dary jednak nie stanowią szczęścia kobiety.

Nie jedna dostała perły i brylanty, powozy i konie, a z łez całe życie nie osychała; druga podzieliła z mężem prawie ubóstwo, a czuli się oboje najszczęśliwszymi.

Serce męża szczerze przywiązane, miłe słówko dla żony, uznanie jej dobrych chęci około jego dobra, oto dar najkosztowniejszy dla żony ze strony męża. Z miłej ręki wszystko będzie drogiem; z ręki męża tyrana i brutala, wszystkie skarby świata nie uszczęśliwiają kobiety.

Stosunek narzeczonych, jakim ma być właściwie, jest to także dość drażliwa kwestja, nad którą warto dłużej się zastanowić.

Przesada nigdy nie jest dobra, a najmniej w tym stosunku. Trzymanie narzeczonych zupełnie zdaleka, jak to robią niektóre panie, wielkie rygorystki, nie ma najmniejszego sensu. Dla czegoż im wiecznie przeszkadzać? Dla czego nie pozwolić tym dwojgu ludziom, którzy nie długo mają żyć w tak ścisłym, tak poufałym stosunku, poznać sie lepiéj, porozumieć, narozmawiać się do woli? Zanadto wielka poufałość przed ślubem jest także niestosowna.

Człowiek szlachetny, szanując w narzeczonej jej godność dziewiczą, uczy ją szanować w przyszłości godność kobiety, żony i matki.

Matki czy opiekunki powinne czuwać z daleka nad młodą parą, dla samej przyzwoitości; gdy jednak przekonają się, że narzeczony jest człowiekiem honoru, że w niczem nie nadużywa praw swoich, mogą zostawić młodych ludzi sam na sam w drugim lub trzecim pokoju, nie narzucając im się wiecznie ze swoją osobą.

Taka ciągła nieufność mogłaby nawet dotknąć narzeczonego.

Najlepsze określenie stosunku wzajemnego narzeczonych byłoby zdaniem naszem, że powinni być ze sobą aż do dnia ślubu, jak starszy, poważniejszy brat jest względem siostry o wiele młodszej, ale przez niego czule kochanej.

Narzeczony mimo wszelkich względów i grzeczności, jaką winien tak pannie, jak jej rodzinie, niech ani na chwilę nie zapomina o męskiej godności; niech nie przyzwyczaja panny do jakichś nienaturalnych adoracji, które musiałyby ustać po ślubie i zaraz wywołałyby rozpacz w młodej małżonce, że już nie jest tak kochaną jak pierwej; niech i przed ślubem nie ustępuje dziecinnym kaprysom i wymaganiom bez sensu, któremi często rozpieszczone i źle wychowane panienki próbują nibyto miłości narzeczonych.

Panienka, która kocha prawdziwie, nie będzie ani kapryśną, ani wymagającą; przeciwnie będzia ona szanować w swoim narzeczonym przyszłego męża i pana, będzie

pamiętać, że jej chwilowe panowanie prędko się skończy, i że zwykle zanadto pokorni narzeczeni bywają bardzo ostrymi mężami, mszcząc się na żonach za to, co od narzeczonych byli zmuszeni znosić.

Daleko lepiej, dopóki jest się narzeczonym, grzecznie i delikatnie dać poznać młodej panience, że niestosownie postępuje, niż potem po ślubie dać jej to uczuć w dwójnasób.

Rodzina panny niech też o tem pamięta, że gdy ona raz za mąż wyjdzie, li od męża zależeć będzie. Narzeczonego wypada jak najgrzeczniej przyjmować, żeby nasze dziecko kiedyś na tem nie ucierpiało, żeby nam potem nie był zamkniętym, a przynajmniej nie miłym dom zięcia naszego. Sami sobie ubliżamy, jeżeli wogóle nie jesteśmy dość grzeczni; o ileż więcej ubliżylibyśmy własnej godności, nie delikatnie obchodząc się z przyszłym naszym zięciem. Stokroć lepiej dla nas samych i dla naszego dziecka, jeżeli jeszcze przed ślubem potrafimy wzbudzić w jego sercu uczucie szacunku i synowskie przywiązanie dla rodziców żony.

Te same prawa i wymagania grzeczności obowiązują tem bardziej rodzinę narzeczonego względem panny i jej rodziców.

Jeżeli rodzina nie była przytomną, gdy ręka panny została przyrzeczoną, powinna w jak najkrótszym czasie podziękować bądź osobiście, bądź listownie jak najczulej za ten zaszczyt (styl urzędowy). Panna i jej rodzina nigdy nie mogą pierwsi pisać lub jechać do rodziny przyszłego męża. Byłoby to zapoznaniem wszelkich form i zwyczajów towarzyskich.

Panna i jej rodzina odpisują natychmiast również grzecznie i czule; panna z uszanowaniem nawet, które odtąd winna jest rodzicom przyszłego męża swego.

Narzeczony i jego rodzina myślą odtąd, o ile to jest w ich możności, o urządzeniu domu dla przyszłej gospodyni. Jeżeli na wsi małżonkowie mieszkać mają, kupuje pan młody konie, powozy, przyjmuje zwykle nową i liczniejszą służbę, której będąc kawalerem nie potrzebował.

Rodzice lub opiekunowie panny robią dla niej tak nazwaną „wyprawę.“

W tych przygotowaniach ileż razy widzimy znowu blichtr zwodniczy i nic więcej.

Panna świetną wyprawą maskuje brak posagu, młody pan wystawnym ekwipażem chce zamydlić oczy i ukryć swoje długi, które często są większe niż majątek.

Cóż się dzieje po ślubie? Młoda mężatka zabiera kufry całe niepotrzebnych fatałaszków, które szczególniej na wsi z mody wyjdą, nim ich kiedykolwiek użyje, gotówki zaś nader mało albo nic wcale; małżonek wiezie ją wprawdzie pięknym ekwipażem do domu, umeblowanego z wszelkim wykwintem, a oboje nie przeczuwają, jaka ich tam niespodzianka czeka na progu.

Mądrzy żydkowie, którzy tymczasem zwietrzyli doskonałym wyżlim nosem, że panna nie miała posagu, oczekują ich najpierwsi z protestami, wekslami i wyrokami licytacji, zabierając od razu, co się tylko da zabrać. Znika więc w jednej chwili piękna „fata morgana,“ a zaczyna się dla młodych małżonków życie ciężkie, pełne rozczarowań i zawodów.

Częstokroć tem, co kosztowała wyprawa i ekwipaże, można było uratować sytuacją i zapewnić młodej parze przynajmniej chleb codzienny.

Jeżeli rodzice panny mają istotnie dosyć majątku, żeby jej dać świetną wyprawę, niechże dają rzeczy pożyteczne.

Srebro, kto je dać może, z mody nie wychodzi i zawsze ma pewną wartość realną; bielizna w dobrym gatunku sprawiona trwa lata i umniejsza wydatku mężowi. Bielizna piękna stołowa, oszczędzona przez dobrą gospodynię, często jeszcze i córkom na wyprawę służy; nawet piękne koronki, kogo stać na nie, w ręku rozsądnej i uważnej kobiety przechodzą na córki i wnuki. Najmniej sukien sprawiać należy.

Mody tak się teraz gwałtownie zmieniają, a młoda mężatka w pierwszym roku małżeństwa tak mało sukien używać może, bo zwykle stan poważny jest do tego przeszkodą, że najczęściej suknie nie użyte z mody wychodzą.

Lepiej dać materye w sztuce, wybierając takie, których nigdy prawie nosić nie przestają, gładkie, bez połysku i w ciemnych kolorach.

Matki rozsądne i doświadczone, mimo żywych protestacji córek w tym względzie, niech przy wyprawie pamiętają, że mało jest małżeństw, któreby zostały bezdzietne.

Zwykle tak bywa, że w całej wyprawie nie ma młoda mężatka jednego stosownego ubrania, gdy kibić jej inne kształty przybiera, robiąc zwykłe suknie niemożliwemi.

Dwa wygodne szlafroki całkiem wiszące są w każdej wyprawie niezbędne; do sukien codziennych, jeżeli nie możemy wyperswadować panienkom potrzebę wiszących kaftanów, zostawmyż przynajmniej po kilka łokci materji, żeby nie trzeba zaraz po ślubie myśleć o sprawianiu nowych ubrań.

Najwięcej dziesiątą część posagu wolno obrócić na wyprawę.

Zależy to jednak, jaki panna los robi.

Jeżeli idzie za człowieka bardzo bogatego, który z góry zapowiada, że posagu nie żąda, można dać wyprawę kosztowniejszą, choć i w tym razie lepiejby zapewnić żonie jakąkolwiek sumkę do rozporządzenia, niż robić ją zupełnie zawisłą od łaski lub niełaski męża. Jest to prawie zawsze przykrem dla żony uczuciem, prosić męża o najmniejszą drobnostkę.

Przygotowania do aktu ślubnego należą wyłącznie do pana młodego. On płaci zapowiedzi lub stara się o indult u biskupa (w takim razie wychodzi jedna zapowiedź, nie trzy jak zwykle, i można zaraz ślub wziąć), on kupuje obrączki ślubne i pamięta, żeby je wręczyć księdzu, który ma ślub dawać; pan młody daje pannie młodej wieniec mirtowy i bukiet do boku; a jeżeli ślub w mieście ma się odbyć, zamawia księdza i za ślub płaci, tudzież pamięta o powozach dla wszystkich gości zaproszonych.

W naszym kraju śluby cywilne nie są dotąd obowiązującemi. Tam gdzie one są prawem, trzeba temu prawu zadość uczynić, powtarzając ślub w kościele. Wobec kościoła katolickiego ślub cywilny jest niczem, li ślub w kościele zawarty podniesiony jest do godności Sakramentu.

Z postępem i cywilizacją huczne wesela prawie ustały. Ludzie wykształceni i uczuciowi przyszli do tego przekonania, że nie godzi się profanować chwili tak uroczystej, tak wielkiej doniosłości, zabawą hałaśliwą, zapraszaniem osób obcych i zupełnie obojętnych, które przychodzą tylko krytykować i wzorki zbierać z państwa młodych i ich rodzin.

Do ważności ślubu potrzeba właściwie dwóch świadków, zawsze jednak zbierze się najbliższej rodziny z jednej i drugiej strony osób kilkanaście. Odwieczny zwyczaj uświęcił niejako dwóch drużbów do prowadzenia panny młodej, dwie drużki prowadzące pana młodego, a od ślubu dwie lub jedna starościna i dwóch lub jeden starosta odprowadzają państwa młodych z kościoła. Uważać należy, żeby obie rodziny miały przy ślubie równy udział.

Drużbują tylko panny i kawalerowie, starostują ludzie żonaci i mężatki.

Właśni rodzice nie starostują, tylko matka panny młodej zakłada jej wieniec ślubny na głowę; jeżeli matka nie żyje, zastępuje ją osoba najstarsza w rodzinie panny młodej.

Przyjęcie gości po ślubie, czy na wsi czy w mieście, należy zawsze do rodziców i rodziny panny młodej.

Panna młoda jedzie zwykle do ślubu z matką własną i drużkami, od ślubu wraca już sam na sam z małżonkiem.

Jeżeli ma koniecznie po ślubie nastąpić zabawa tańcująca — od czego częstokroć rodzina panny młodej nie chce odstąpić — panna młoda zdejmuje welon ślubny, a wieniec zostawia na głowie i zamienia stanik pod szyję na stanik wycięty z krótkiemi rękawami. Osoba dobrze wychowana idzie zawsze do ślubu w sukni pod szyję jak najskromniejszej i bez żadnego złota. Perły i djamenty uważane są za bardzo złą wróżbę, jako łez oznaka.

Jeżeli młoda para zostaje czas jakiś u rodziców, trzeba małżonkom obmyśleć pokoje zupełnie osobno.

Gdyby to było niemożliwem, pan młody delikatny i dobrze wychowany nie da uczuć swej niecierpliwości i wejdzie w położenie rodziców żony, którzy dla braku miejsca w domu nie łączą zaraz młodej pary w jednym pokoju.

W bliskiem sąsiedztwie na wsi, lub mieszkając w tem samem mieście, skoro skończy się przyjęcie gości, młody małżonek może zabrać żonę do siebie. Zabierać ją prosto z kościoła jak swoję własność, nie uważając na nikogo, byłoby ze strony męża brutalstwem nie do darowania; nie uczynić zadość jej życzeniu, gdyby prosiła męża o zostanie dłuższe w domu rodziców, dowodziłoby także braku serca i delikatności.

Nawzajem, tak młoda małżonka jak jej rodzina, od pierwszej chwili po ślubie nie powinni nadużywać w niczem grzeczności męża i zięcia. Jeżeli ma ważne powody do prędszego odjazdu, trzeba umieć wejść w jego położenie, i mimo bolu przy rozłączeniu z córką, wpłynąć raczej na nią, żeby nie ociągała się w swojej powinności i razem z mężem odjechała.

Chwila ślubu, szczególniej dla kobiety, jest nader uroczystą i wielkiej doniosłości. Przystępować do ołtarza ze śmiechem i żarcikami, byłoby lekkomyślnością nie do darowania, lub dowodem umysłu nader ograniczonego; lecz wyprawianie scen tragicznych przed i po ślubie, tak przez pannę młodą jak i przez jej rodzinę, również jest bez taktu i bez sensu, a nawet może być dotkliwem i bolesnem dla pana młodego.

Rodzice zbyt drażliwi i nerwowi mogą dniem naprzód wieczorem dzieci pobłogosławić, żeby tą chwilą nadzwyczaj rzewną nie wywołać jakichś mdłości, kurczów serca i t. d.

Całe otoczenie powinno pannie młodej dodawać odwagi i uspokajać jej rozdrażnienie tak naturalne w tej chwili.

To co do chwil przedślubnych; lecz i w dalszem życiu potrzeba kobiecie zamężnej wiele taktu i zastanowienia, żeby samej nie psuć harmonji i nie zamącić spokoju domowego.

Nie masz człowieka bez „ale“ na świecie. Trzeba starać się poznać jak najprędzej męża charakter, usposobienie, choćby nawet jego słabe strony; a wtedy obchodząc je zdaleka, jak dobry żeglarz objeżdża skały podwodne, nie drażniąc w niczem, zapewnimy trwały i niczem nie zmącony spokój na horyzoncie małżeńskim.

Gospodyni domu niech nie będzie ani zbyt skąpą, ani zbyt rozrzutną. Skąpstwo w żonie sprawia nieraz przykrość, a nawet wstydzi męża; rozrzutna zaś kobieta jest w stanie strwonić i największy majątek.

Kobieta nieporządna jest plagą dla męża i musi z czasem stać mu się wstrętną nawet. Czyż to się godzi, gdy dla obcych ubieramy się i trefimy włosy godzinami, mężowi pokazywać się brudną, nieuczesaną, w stroju zupełnie zaniedbanym?

(*C. d. n.*)



Wigilia w klasztorze.

WIGILIA W KLASZTORZE.

LEGENDA.

Już zimowego spada zmrok wieczoru,
Ostatnie blaski w śnieżnej dali znikły.
W świętej zaciszy starego klasztoru,
Panuje dzisiaj jakiś ruch niezwykły.
Młodziutkie siostry, smukłe nowicjuszki,
Dziwią poważne kurytarzy echa,
Biegnąc tam i sam pospiesznemi nóżki;
Każda radośna, każda się uśmiecha.

Cóż to za święto, że w tej monotonnej
Klasztoru ciszy — takie szmery brzęczą,
I że te twarze, w ascezie zakonnej
Zbladłe, — dziś czarem młodości się wdzięczą?

Spojrz w parlatorjum na rozcież otwarte,
A tajemnica wnet ci się wyjaśni.
Obicia murów tych szare i starte
Płoną i błyszczą dziś od słońca jaśniej,
Mnóstwem lamp, które rozproszyły mroki.
A tam dwie siostry, z twarzą rozjaśnioną,
Stroją pospiesznie piedestal wysoki —
I scenę na nim, z wspaniałą oponą;
Na scenie leżą znane wszem figurki.
Herod i szatan, wół, osieł, śmierć z kosą
I Święty Józef — z Marją złotowłosą,
Rzymscy siepacze przybrani jak Turki,
Pasterze w guniach; — z laski pielgrzymiemi
Święci Magowie ze stron wschodnich ziemi;
Cały personal, który na tej scenie,
Ze spodu zręcznie ciągnięty za sznurki,
W naiwnej dramie ma wzbudzić wspomnienie
Chwili, co jakby jasność wiekuista,
Przez pokolenia świeci w pokolenia,
Bo noc to cudów, wielka, uroczysta,
Wigilja Zbawcy świata Narodzenia!
I patrz!... już z boków dwie jodełki płoną,
Już je w łakocie, cacka ustrojono,
A po nad sceny wspaniałą oponą,
Olśniewająca swoim blaskiem oczy,
Gwiazda zabłysła — i lśniąc, w krąg się toczy.
Brzękł dzwonek. Słychać pospieszne tupoty,
Z sieni pomrocznych rój dziewic się spieszy,
Brzmi śmiech radosny, śmiech młodości złoty,
Który nie często słychać wśród tej rzeszy,
I który długo zakonnic drużyna
Wspominać będzie. — Podjęta zasłona.
Dramat prostaczków już się rozpoczyna.
Już Betleemska stajnia przedstawiona;
Zbiry Heroda srogi rozkaz niosą:
Ścięcia pierwiosnków wszystkich w kwiecie młodym;
Już i Śmierć z kosą mówiła z Herodem,
Próżno probując wzbudzić żal za grzechy
W sercu tyrana — i niepoprawnego
Ścięła swą kosą... I z szparki maleńkiej
Wyskoczył szatan, zębami zazgrzytał,
Na ostre rogi trup ciemięzcy schwytał,
I porwał w piekło!... Cudne intermezzo!
Któż z nas się, dzieckiem, nie cieszył tą hecą,
Gdy czart Heroda porywa na męki —
Aż do łez śmiechu!? Więc wybuchły śmiechy,
Szczera uciecha nie zna żadnej tamy...
Wtem... jęknął głucho dzwon u głównej bramy...
Wszystkim ścisnęło dech przeczucie złego!...
Słychać krok spieszny w krużgankach, i blada
Jak trup furtjanka z straszną wieścią wpada:
„Wtej chwili stróże, w swym nocnym obiegu,
Jęk usłyszeli i idąc za głosem,
Tuż za ogrodem znaleźli, pod wrzosem,
Kobietę z dzieckiem zakopane w śniegu!
Cucą ją, budzą, — zapóźno, niestety,
Już na ostatnim spoczęła noclegu...
Lecz dziecko ciałem okryte kobiety,
Drga — może żyje!... Oto obie niosą!"
I wnieśli dużą już dziewczynkę, bosą,
Sztywną, zsiniałą. — Tylko powiek drżenie
Ostatni jeszcze zdradzało ślad życia,
I ustek sinych leciuteczkie tchnienie,
I serca ledwo dosłyszalne bicia!
Za dzieckiem matki przyniesiono zwłoki,
Tę już pokryły mroźne śmierci mroki!...

W sali gwar umilkł, lica pobledniały.
Anioł przeleciał wielkiej ciszy biały,
Nad zgromadzeniem — i wraz wszystkich skronie
Nad dziewcząteczka schyliły się głową,
Oblaną łuną od świateł różową;
Wszystkie z ratunkiem pospieszyły dłonie!...

Łagodne ciepło, rąk miękkich pieszczoty,
Wpół drogi w niebo wstrzymały błysk złoty,
Co się duszyczką dziecięcia nazywa,
Powrócił wolno... i pierś tchnęła żywa.
Otwarło oczy dziewczę i zdumione,
Zwróciło w świateł i zakonnic stronę,
Z początku błędnie powodziło niemi,
Lecz nagle ręce oparło na ziemi,

Lica mu barwą życia się okryły,
I próbowało klęknąć resztą siły.
Żyje! radosny zabrzmiał okrzyk wkoło,
Żyje — oddźwiękło echo ścian wesoło.
A dziewczę klękło... i usty drżącemi
Poczęło szeptać: „Już ja nie na ziemi,
Już w niebie. Oto aniołów postacie,
A tam tron Boga w pełnym majestacie
Z słońcem nad czołem — a ta jasność żywa
Z Jego oblicza na mnie się wylewa.
Lecz kędyż matka!... Wszak wraz ze mną zmarła.
Czemuż wraz ze mną szczęścia nie używa,
Pojąc się niebios jasnością wspaniałą?!

W tej chwili oczy jej błędne na ciało
Przeszły, co martwe w pobliżu leżało.
Z krzykiem rozpacznym zerwawszy się, padło
Dziewczę na matkę — i jak ona zbladło!!
Chwilę się zdało, że się już nie zbudzi,
I po raz drugi nie wróci do ludzi.
Lecz nagle, jakby za boskiem natchnieniem,
Oczy jej błysły nadziemskim płomieniem,
Pogodna radość zawisła u czoła.
Wstała i wznosząc błagające dłonie,
Do sióstr, co stały ze łzami dokoły,
Wołała z łkaniem... „O jasne anioły
Czy nie ma wsród was mojego Anioła —
Stróża — bo matka zawsze mi mawiała,
Że ma takiego każda dusza mała! —
Marja mi imię. O niech On powiedzie,
Mnie do Marji, drogiej, Częstochowskiej,
Tom pewna, — matkę wskrzesi wyrok boski,
I obie, w szczęściu, będziem tu przez wieki,
Żyć pod skrzydłami Jej możnej opieki!...“
Podziwem zdjęte całe zgromadzenie,
Na taką siłę tej dziecięcej wiary,
Stało w milczeniu... Gdy wtem klasztor stary
Drgnął cały dźwiękiem organów i pieni,
Które w kaplicy przed tron Pana Panów,
Słały anielskie głosy — czy niewieście;
A urok tego nieziemskiego pienia,
I tej czarownej melodji organów,
Wzniósł w duszy dziecka potęgę pragnienia
Do tego stopnia, że z okiem z płomieni
Wołać poczęło: »Nieście mnie tam, nieście!
Tam to króluje Marja miłosierna,
I tam jej chwała jaśnieje niezmierna!
Czuję w mej duszy matki zmartwychwstanie,
Tylko mi dajcie wznieść do Niej błaganie!“

Tu siostry czcząc już wierzenie dziecięce,
Tak nieprzełomne — wzięły ją na ręce,
I do klasztornej poniosły kaplicy;
Gdzie Częstochowskiej jaśniał lik Dziewicy
W ołtarzu, śniady — strojny w złote szaty,
A na tem licu, niezatarte laty,
Czerniały blizny z pogańskiej szablicy!..

Na widok Marji twarz dziecka oblała
Łuna Nadziei i Wiary wspaniała,
I z ust się wydarł krzyk: „Marjo! Kochana!
Matko Najświętsza — wszak ty kochasz dziatki, —
Powróć mi matkę!.. Błagam życia matki!“

I cud to wielki... W spojrzeniu Dziewicy,
Na to błaganie tak rozpaczne, wrzące,
Błysły dwie perły nagle jaśniejące...
A jednocześnie przy wejściu kaplicy
Wydarł się okrzyk, z stojących sióstr łona,
Okrzyk ogromny: „Wskrzeszona, wskrzeszona!“
Tam stała — z śmierci wyrwana objęcia,
Wdowa — podnosząc ręce do dziecięcia!

I wielka padła na obecnych trwoga
Na tak widoczny cud Wszechmocy Boga;
I poszedł pogłos wielki między ludem,
Że Bóg zaszczycił klasztor takim cudem,
I niosąc Marji modły i ofiary,
Płynęło mrowie luda w klasztor stary.

Minęły czasy. Gdzie niegdyś z wyżyny,
Lśnił klasztor — dzisiaj żałośne ruiny;
Mchy na nich rosną i pająki przędą,
Lecz ten czas nie miał mocy nad legendą:
I dziś w tych stronach, spytaj choćby dzieci,
A opowiedzą-ć rzewnie i wymownie:
O tej Wigilji, skończonej cudownie,
O łaskawości Matki Częstochowskiej,
Co dziś w kościele niedalekim świeci;
O wielkiej sile, tkwiącej w modłach dzieci,
Że śmierć ustąpi sama ich wymowie;
O dobrej córce i wskrzeszonej wdowie.

Wł. Ordon.

NINA.

SZKIC NEAPOLITAŃSKI

PRZEZ OLGĘ KOMOROWSKĄ.

I.

Gdzieś w jednym z tysiącznych domów przedmieścia neapolitańskiego, rozrzuconych wśród szarych oliw, to przypartych długim, nieco jednostajnie brudnym rzędem do bieżącej nad błękitną zatoką drogi do Posilippo, mieszkała stara kobieta, używająca ogólnej sławy między licznemi swemi sąsiadkami straszliwej „jettatorki,“ czyli uroki rzucającej wzrokiem na wszystko, co ją otaczało; nie tylko jako zła lub dobrowolnie chcąca szkodzić czarownica, ale najniewinniej nawet spoglądając choćby z uprzejmością.

Cytowano o niej fakta przekonywujące najbardziej niewiernych Tomaszów. Stary ogrodnik warzywny, Ciccio, spotkał ją był raz idąc do miasta ze swoim osłem, wyładowanym różnego rodzaju warzywem i owocami; Magdalena (takie było jej imię) powitała go mile, z uśmiechem, życząc dobrej sprzedaży i patrząc nań łagodnemi, czarnemi oczami, których blask mimo starości świadczył, że kiedyś musiały być one dziwnie wymowne i do serca się wkradające. Ciccio wchodząc na jednę ze stromych uliczek, pchając silnie, targając biedne zwierzę za ciężko ładowne, a nawet obfitemi kułakami pomagając stąpać po śliskiej, lawą brukowanej drodze, ujrzał cały swój towar na ziemi; osieł wywrócił się wszystkiemi czterema nogami do góry, zgniótł kosze z poziomkami i wiśniami, owalał w błocie endywiją, i „zucchini“ omal co się sam nie zadusił. Ciccio kopał go nogami jak szalony, klnąc swe spotkanie z jettatorką.

Innym razem znów złe oczy biednej Magdaleny przywiodły o śmierć Pipa, pięcioletniego synka Teresy, praczki jednej ze sąsiadek, którą Magdalena kilkakrotnie upominała, aby chłopaka nie zostawiała samego w izbie aż na piątem piętrze położonej; bo Pipo właził na okno i siadał na niem jak na koniu, wołając radośnie, jak to słyszał bezustannie od poganiaczy osłów, arri! arrika! Jednego dnia tak się zajął swoim improwizowanym koniem czy mułem, iż stracił równowagę i padł na ulicę; a kiedy go podniesiono, wcale ludzkiej formy już nie miał. Teresa przypomniała sobie wówczas przestrogi Magdaleny na to tylko, aby ją zelżyć wobec trupa dziecka i zgromadzonych kumoszek, grożąc miotłą nawet, jeśli kiedykolwiek ośmieliłaby się ohydna jettatorka spojrzeć na jedno z pozostałych sześciorga dzieci.

Zauważano nakoniec, że oczy Magdalenny, kiedy łzą zachodziły w skutek częstych, niesłusznych oskarżeń o ich śmierć i klęski dającą moc, stawały się jeszcze niebezpieczniejszemi, czego jawnym dowodem był wypadek, co i ją samę mało śmiercią nie ukarał; nie wiadomo, czy w lustro na siebie samę rano spojrzała, czy w krynicy gdzie wodę czerpała i obraz swój zoczyła. Wychodziła właśnie od jednej sąsiadki, co ją była posądziła o zaczarowanie rozwieszonej pod oknem, wychodzącem na gościniec, bielizny całej rodziny, wiatrem gwałtownym w nocy oberwanej ze sznurem i na ulicę rzuconej, zkąd naturalnie wiatrem również, bo była mocno podziurawiona, przeszła w ręce nocnych złodziei, kiedy Pietro, znany pijak już od rana z głową słodkim Capri zamroczoną, przekonany, iż chybiony nocny połów węgorzy w jeziorze Agnano był jej winą, zamierzył ukarać ją, jak na to zbrodnia jej zasługiwała. Zbliżył się więc z zaciśniętemi pięściami, miotając szybko, o ile język pozwalał, wszystkie złorzeczenia, a Magdalena podniósłszy nań swe łzawe oczy, usunęła się zagrażającej pięści, tuląc się do muru. Cios spadł w powietrze prawie, ale Pietro stracił równowagę i spadł ze wschodów wysokich, powyszczerbianych, potłukł się tak, że go do szpitala zanieść musiano, a Magdalena z przestrachu rozchorowała się i mało nie umarła sama.

II.

Nie była ona rodem z Neapolu, ale z wyspy Nisidy, używającej również złej sławy dla swej mieszanej cygańskiej nieco ludności. W młodości zajmowała się w fabrykach korali; ale potem przyszła jej na świat mała córeczka, której ojca nigdy nie znano, a ta wymagała większego zarobku, bo dwie istoty nakarmić wypadało. Magdalena jęła się ciężkiej pracy; prała bieliznę, prasowała, aż dopóki Chiara, owa mała córeczka, nie wyrosła na 15-letnią dzieweczkę, nieco chudą i żółtą, ale cudownie pięknych form ciała i oczu za serce chwytających. Oczy te chwyciły wkrótce za serce, czy też za wyobraźnię na odpuście w Piedigrotta, modelów szukającego jakiegoś malarza cudzoziemca. Błysnął parą ślicznych pozłacanych szpilek w kształcie strzał, warkocz czarny, obfity mających przytrzymywać, i wzorzystą chusteczką jedwabną, jakiej nawet Rosa, córka rzeźnika, narzeczona Mariusa kowala, nie miała; raz i drugi wśród woni pomarańczowego kwiecia i przy świetle księżyca ucałował różowe usta, szepcąc owe czarodziejskie, niewinne, mimowolne kłamstwo „kocham cię.“ Chiara nie zapytała nawet, czy na wieki, ale upadła mu w ramiona pijana dzisiejszą rozkoszą;

jednej nocy wyszła na palcach z izby, w której spała wraz z matką, i nie wróciła więcej.

Magdalena popłakała w cichości, popytała o zbiegłą córkę przez drogę zwierzchności, ale nic się nigdzie nie dowiedziała o niej; nie zadawano sobie pracy szukać drobnej owieczki zbłąkanej; a potem lata płynęły, włos się ubielił, nędza przecisnęła nieco więcej, a owa nieszczęsna „jettatura“ oddaliła od niej i tak nielicznych w biedzie przyjaciół. Nie prała już, nie prasowała, bo sił zabrakło do ciężkiej pracy; ale przędła bardzo jeszcze cieńko na kądzieli, u pasa zatkniętej, wełnę, bawełnę lub jedwab; robiła pończochy zimowe dla rybaków i dzieci, i tak zarabiała parę groszy niezbędnych do zapłacenia nędznej bardzo, ale z widokiem na błękity morza i szare oliwne drzewa izdebki, kupienia chleba z białą cebulą. W niedzielę chodziła na wybrzeże, zjadając chętnie rozmaite ostrygi, muszle i drobniejsze mięczaki, tak zwane „frutta di mare.“

Pewnego dnia zimowego, z wielkiem zdziwieniem sąsiedztwa choć niechętnego a nawet nieprzyjaźnego, ale zawsze ciekawie w sprawy drugich wglądającego, ujrzano ją mocno spłakaną, gdy wracając z miasta, wiodła za sobą małą siedmio- lub ośmioletnią dziewczynkę, biednie, ale po cudzoziemsku niby odzianą i lękliwie się doń tulącą.

Teresa ruszyła pogardliwie ramionami, sama nie wiedząc dla czego; Ciccio kiwnął głową z tejże samej przyczyny, a podobnem kiwnięciem spluwając odpowiedział mu Michele kołodziej i żona jego nosząca cesarskie imię Agrypiny. Tytus mularz wyraził za nich wszystkich jasno swą myśl, krzycząc za nią ze śmiechem:

— Stara jettatorka wzięła się do innego rzemiosła, korzystniejszego i będzie ciałem ludzkiem handlować; uważaj, aby ci kto przedwcześnie ptaszka nie ukradł!

III.

Magdalena zamknęła drzwi izdebki cicho, usiadła na jedynym stołku i rzekła do dziewczynki:

— Chodź tu! niech ci się przypatrzę moje dziecię... jak się nazywasz?

— Nina! odrzekła pieszczotliwie dziewczynka z lekkim cudzoziemskim akcentem.

— Jak moja matka! — szepnęła Magdalena — a ile masz lat?

— Mama mówiła, że ośm skończę niebawem.

— Biedny robaczek! nikt by ci i siedmiu nie dał...

— Mama narzekała zawsze w Paryżu, że powietrze tam nie takie, jak w jej rodzinnym Neapolu, i ja rosnąć nie mogłam; mieszkałyśmy w takiej ciasnej, smętnej izbie czarnej, i jeszcze wyżej niż tu do niej wchodzić musiano. Nieraz znużone na śmierć prawie długiem staniem na ulicy lub przed kawiarniami, gdzieśmy śpiewały, mama i ja, z trudnością, przytrzymując rękami zbolałe piersi, wdrapywałyśmy się tam.

— A ojciec?

Nina podniosła na Magdalenę swe wielkie, szafirowe, zdziwione oczy.

— Ojciec... ja nie miałam ojca... mama nigdy o nim nie wspominała; a widząc wiele innych dzieci tylko z matkami, spiewających jak my lub żebrzących, myślałam, że nie potrzeba mieć ojca, aby żyć. Czy to jest koniecznością tu w Neapolu?

— Nie — odrzekła ciszej jeszcze stara kobieta — nie... tu wystarcza jak wszędzie mieć babkę, co cię kocha.

Sierota przytuliła się do niej i mówiła smętnie:

— Mama często opowiadała mi o tobie babuniu; obiecywała, że wrócimy do Neapolu, jak tylko dosyć pieniędzy uzbieramy; ale gdyby nie ta litościwa pani, co lubiła słuchać spiewu mamy, mówiąc, że jej ojczysty Neapol przypomina, a umierając zostawiła nam tyle, aby tu powrócić, nigdybyśmy choć dzień i noc spiewając nie uzbierały. Jak też to daleko mój Boże! z Marsylji do Neapolu... a jakie morze straszne!...

Kiedy mama zachorowała i zamknięto ją na dole okrętu, w tej brzydkiej izbie, zkąd nas potem wylądowawszy tu, do szpitala wprost zabrano, płakałam tak gorzko! bo już byłyśmy prawie u celu, a tu biedna mama i mówić nie mogła, aby mi dom twój wskazać. A, babuniu, jak tam w szpitalu w gorączce biedna mama drżała, kiedy zakonnicy mówiła o tobie i prosiła, aby cię wynaleziono, jeżeli nie dla niej, co i tak za chwilę miała umrzeć, to dla mnie samotnej sieroty!...

Magdalena płakała wraz z dziewczęciem, trupa już tylko ostygłego biednej Chiary przycisnęła do starej piersi. Łzy płynęły po zmarszczonem licu, gdy patrzyła na sierotę wybladłą, wynędzniałą głodem może i brakiem rodzinnego ciepła. Przed oczyma stała jej postać Chiary dziecięciem, to znów wychylała się jej trupia twarz, w bieliznę szpitalną owinięta... Kto wie, jakie tam jeszcze inne, dawniejsze wspomnienie nie zakołatało do serca... wspomnienie może własnej winy, własnej nędzy...

Uściskała sierotę, upieściła, rozczesała bujne sploty ciemno-blond włosów, dziwiąc się ich miękkości chorobliwej nieco i złotemu niby odblaskowi igrającemu na nich, kiedy je do słońca trzymała; śledziła czas jakiś, czy na twarzy tęsknej dziewczynki nie dojrzy jakiego podobieństwa z swą córką, ale rysy tejże niczem nie przypominały rysów matki, a białość twarzy śniadej cery Chiary.

Kupiła drugi stołek, aby miała na czem wnuczkę usadowić; ale drugiego łóżka dodać było trudno, bo izdebka była zbyt ciasna, a potem za co je było nabyć? Nina była szczupła i mało miejsca zabierała, Magdalena także opasłą nie mogła się stać na ostrygach... bez dodatków, a z wiekiem usychała coraz bardziej...

Słońce jasnemi promieniami oświecało je w dzień, a blady księżyc lampy nocne zastępował w pełni, a kiedy jego nie stało, uliczne rewerbery wystarczyć musiały.

IV.

Nina pokochała babkę dobrą, słodką, czułą, nigdy jej nie łającą a zawsze przemyśliwającą, czemby dziewczę obdarzyć, łakocią lub pieszczotą. Nina przywykła do błędnego życia spiewaczki ulicznej w Paryżu, nudziła się z początku w samotnej izdebce, rwała na ulicę w zgiełk, wrzawę; ale był to zgiełk inny, wrzawa nieznana; szerokie bulwary, asfaltem wykładane, zastąpiły brudne, nierówne chodniki, na których śmiecie kupami leżało, a na nich grzebały kury i wynędzniałe koty grzały się w słońcu. Ludzie wszyscy spiewali jak ona, i nikt się nie zatrzymywał, aby jej słuchać, grosz rzucić jak w Paryżu; nie widziała pięknie ubranych pań, dzieci, ale ohydne, rozczochrane megery, siedzące przed domami w słońcu, z nogami na garnkach węgli opartemi, łatając bez nazwy łachmany lub iskając brudne na pół nagie dzieciaki. Młode matki i siostry pracowały dnie całe w szlifiarniach korali, fabrykach makaronu lub kapeluszy słomianych; stare owe Parki same zalegały chodniki obok równie na otwartem powietrzu pracujących szewców, rymarzy, szleje dla osłów i sznury kręcących starców albo siecie wijących rybaków w brudnych, wypłowiało-czerwonych czapkach na wyłysiałych głowach, wśród wrzawy nieludzkiej, jak się zdawało małej Ninie, dzieci, osłów, dzwonków mułów, ujadania zajadłego chudych psiaków, krzyków przekupni, przejezdnych „calessinów“ wynędzniałym mułem zaprzężonych, a ładownych dwudziestu nieraz podróżnymi, nie licząc wiszących w siatce pod wozem niemowląt, kur, psów i worków. Z miasta dolatywały różne gwary, pomięszane z świstem pociągów kolei i parowców w porcie do odjazdu się gotujących.

Czasem jakaś pozytywka ochrypła, wygrywająca pokaleczone kawałki oper, zatrzymywała się na rogu ulicy; włóczęga z małpą stawał wśród zagapionej rzeszy; to na małym placu sprzedający leki szarlatan, stojąc na wysokim wozie, strojnym w trupie głowy i szczęki nieznanych czy zwierząt, czy ludzi, okrzykiwał swój towar przy odgłosie straszliwego wycia jakiejś długiej trąby. W niedzielę improwizatorowie ludowi, tylko ubiorem do średniowiecznych trubadurów nie podobni, ściągali licznych słuchaczy, opowiadając mierzonym rytmem, z towarzyszeniem nieodstępnej gitary czyny Wirgiljusza, wielkiego czarownika; rycerza Astolfa na dwugłowym koniu po świecie harcującego; przygody św. Januarego, kłócącego się ząb za ząb jak prawowity Neapolitańczyk o pierwszeństwo w hierarchji niebieskiej z św. Józefem i archaniołem nawet. Wieczorami nad wybrzeżem dźwięczały miłośne gitary i piosnki uroczo namiętne, w których grecka rozkosz mięszała się z wonią morza i kwiecia, a gwiazdy błyszczące lub jasny księżyc lały potoki światła na ciche szemrzące fale.

Mała spiewaczka, żałująca więc serdecznie z początku eleganckich chodników bulwarów i pięknie ubranych pań i dzieci, prędko zapomniała o nich pod wpływem wiosny, ciepła, woni i gwaru owych gitar, którym odpowiadały co wieczór z okien wszystkich owych domów, szeroko roztwartych, srebrzyste śmiechy i nęcące dowcipy młodych pracownic, które odpoczywając po całodziennych trudach, wypoczynku tego używały, aby zawracać głowy i rozpłomieniać serca namiętnych wielbicieli. Magdalena wychodziła mało i nie chciała Niny samej puszczać w zgiełk, czy to myśląc o własnem bujaniu na wolności i jego skutkach, czy też o księżycowych nocach, co Chiara w gronie towarzyszek nieraz spędzała na wybrzeżu? Siadały obie z wnuczką nie przed domem, bo tam nienawistne kumoszki i złośliwe niedorostki panowały, ale w oknie swej cichej izdebki, i z trzeciego piętra patrzały na mrowisko ludzkie i jasny księżyc kąpiący się w zatoce, słuchając spiewów wesela, którego inaczej jak obojętni widzowie nie podzielały, i oddychając słodkiemi woniami nocy.

V.

Towarzyszek nie miały ani babka ani wnuczka; wiemy bowiem, że Magdalena uchodziła za „jettatorkę“ i gdziekolwiek się obróciła, złowrogie owe rożki z dwóch palców złożone, albo koralowe na szyjach matek, dzieci, a łańcuszkach tombakowych przy zegarkach lub za pasem ojców i braci wiszące, obracały się groźnie ku niej, kiedy przechodziła, w celu odwrócenia ich posiadaczy i posiadaczek zgubnego wpływu jej oczu.

Nina długo pojąć tego nie mogła; Chiara wśród uciech i nędzy Paryża straciła była dziecinną wiarę w uroki i zapomniała była córkę o niej objaśnić; w końcu kilkakrotnie przez rówieśniczki nazwana „nasienie jettatorskie“, poczęła babkę natarczywie zapytywać o przyczynę tej nazwy, podług tonu mowy wzgardliwej zapewne. Magdalena ze łzami w oczach opowiedziała jej całą swą niedolę.

— Ale to niesłusznie!... to okrutnie! — zawołała wnuczka — tyś dobroć sama, a oni cię potępiają...

Magdalena spuściła głowę z westchnieniem; starem doświadczeniem wiedziała, że przeciw niesłuszności ludzkiej walczyć samej jednej, starej kobiecie sił nie było; przez długie lata błagała gorąco św. Januarego, aby od niej odwrócił to podejrzenie; błagała z całą ufnością, ale napróżno. Poddała się losowi, a co gorzej uwierzyła w tę moc własnych oczu, strwożyła się, stała lękliwą i niby za występną się uznała. Tyle lat przebiegło nad jej głową, i losu odwrócić nie zdołały ani jej dobroć i łagodność, ani samotność i lękliwość, z jaką się kryła, aby nie dawać powodu do nowych obwinień.

Nina, silna przekonaniem o niesprawiedliwości tychże, zadrżała, kiedy raz pierwszy w swej obecności usłyszała je padające na schyloną kornie głowę babki; ujęła się i wystąpiła gniewnie. Oczy jej zalśniły oburzeniem, a usta zadrgały, kiedy wyrzucać zaczęła dwóm czy trzem młodym odartusom i niedorosłym bosym dziewczętom ich okrucieństwo. Gradem sypnęły się obelgi na sierotę, a nawet i kamienie zagwizdały w powietrzu; ale jakby złe oczy babki tylko nad wnuczką miłośnie czuwały, żaden jej nie dotknął i w przelocie, a złośliwe owe włóczęgi pospieszyły do rodziców z wrzaskiem, że „obrzydła mała czarownica“ obiła ich i suknie na nich poszarpała.

Odtąd Nina stała się przedmiotem ogólnego prześladowania niedorostków, tak jak jej babka starych dziadków i rodziców; nie nazywano jej inaczej jak „czerwona jettatorka“ dla jej blond włosów i dla odznaczenia znów od babki „starą“ zwanej.

Babka spuściła głowę, moralnie zabita prześladowaniem; wnuczka w dzieciństwie oburzała się i walczyć pragnęła, ale z czasem, dziwnem natchnieniem własnego serca, przekonanego o krzywdzie czynionej jej sierocej młodości, wzgardziła wyjącym tłumem, co się stał dla niej najzupełniej obojętnym, czemś małem, nizko pod jej oknem pełzającem, z którem żadnej nie mogła mieć styczności; ona, wysoko na trzeciem piątrze, a on, tam gdzieś w dole, wśród błota i piekielnego zgiełku.

Magdalena dziwiła się tej obojętności; drżała bowiem, sprawy sobie prawie zdać nie umiejąc, aby owo prześladowanie serca wnuczki rozpaczą nie zatruło. Podziękowała za ten cud św. Januaremu. *(C. d. n.)*

POGADANKA.

Powódź koncertów. — Odczyty p. Ćwiklińskiego i starogrecki świat — P. prof. Bruno Abakanowicz, Edisson i Wystawa paryska. — Teatr. — P. Bossi i p. Zakrzewski w Hugenotach. — Nowości teatralne. — Biblioteka teatrów amatorskich.

Jak zwykle przed porą adwentową, — zapewne dla przygotowania wiernych we Lwowie do przyszłych umartwień postnych, — zlewa się na Lwów powódź koncertów, których większa część, niewątpliwie dla ich mnogości, niewielkiem powodzeniem się cieszy. I teraz powódź ta w dwóch ostatnich tygodniach nie ominęła Lwowa.

Mieliśmy koncert pod dyr. p. Mikulego na korzyść wdowy po ś. p. Stupnickim, połączony z odczytem p. Bełzy „o satyrach p. Rodocia.“ Koncert ten zasługiwał ze wszech miar na poparcie, raz ze względu na popularność postaci zmarłego, jego wytrwałą od wielu lat dziennikarską pracę i niewątpliwe na tem polu zasługi; — a powtóre, na położenie krytyczne wdowy, której zmarły mąż, zwykłą literatów koleją, tylko żal po sobie zostawił. Stupnickiego nazywano zwykle ojcem dziennikarstwa lwowskiego. Począwszy od Gazety Narodowej, wszystkie prawie dzisiejsze dzienniki polityczne i kilka pism literackich, które przez niejaki czas wychodziły we Lwowie, jemu zawdzięczają i zawdzięczały swój początek. W ostatnich latach poświęcał się z całem zamiłowaniem „Przyjacielowi Domowemu“, który obecnie jest w fazie przejścia w inne ręce.

Zachętą dla publiczności mógł być także odczyt p. Bełzy, traktujący o utworach humorystycznych p. Rodocia, osnutych na tle społecznem. Muzykalna jednak i literacka część tego koncertu przebrzmiały w słabo napełnionej sali.

Następnie obdarzył nas p. Marek — na korzyść przez niego stworzonej i po ojcowsku pielęgnowanej „Harmonji“ — koncertem, w którym zbierali zasłużone laury utalentowana pianistka, p. Majewska, i znany już publiczności naszej p. Douillet, obecnie okazujący olbrzymi postęp pod względem wmyślenia się w ducha mistrzów, których kompozycje na tym koncercie wykonał, i zadziwiającego opanowania instrumentu, któremu się poświęca.

Nie chcąc przedłużać tej litanji, wspomnimy tu tylko nawiasem jeszcze — o koncercie p. Szirmana, skrzypka, ucznia najprzód p. Mikulego a potem p. Jozeffy, który oddał się teraz przeważnie utworom Szopena i Liszta, i nadzwyczaj udatnie wykonał na tym koncercie wielką fantazją Thalberga z opery „Ehsir d'amore“.

W tych dniach obiecują nam jeszcze dwie uroczystości muzykalne na jeden dzień przypadające — na niedzielę 16. b. m. koncert pod dyrekcją p. Mikulego, na korzyść odnowienia kościoła św. Kazimierza, przy zakładzie sierot, należących do Sióstr Miłosierdzia; oraz produkcję muzyczną dwóch sióstr, panien Seydel; z których jedna, p. Teresa Seydel grać będzie na skrzypcach, druga zaś, Marja, uczennica Liszta, na fortepianie.

Ażeby już raz wyjść ze świata muzycznego, zakończym wzmianką o p. Ziętkiewiczównie, znanej śpiewaczce, która przy pomocy także starego znajomego naszego, p. Niedzielskiego, zebrała w tych dniach obfite żniwo oklasków w Krakowie.

Oprócz koncertów, mają Lwowianie jeszcze jeden środek zajęcia na czas przedadwentowy w odczytach.

P. Dr. Ćwikliński obiecał opowiedzieć o skarbach starogreckich, odkrytych i odkopanych przez szczęśliwca Schliemana. W epoce naszej tak ciekawy przedmiot, jak znalezione skarby, (do czego nie jeden wzdycha), powinienby ściągnąć prelegentowi licznych słuchaczy — a szczególniej mnogość słuchaczek. Gdy bowiem Dr. Ćwikliński przystąpi do opisu klejnotów Heleny argijskiej, któremi obecnie pyszni się małżonka Schliemana, będzie to rzecz niezmiernie dla płci pięknej ciekawa, i pewien jestem, że z niejednych ustek różanych wyrwie zazdrości westchnienie.

Dotychczas prelegent, w pierwszym swoim odczycie, zdołał ledwo podać zarysy obranego przedmiotu, wskazał

publiczności mitologiczne tradycje, które naprowadziły na myśl poszukiwania tych skarbów, i skreślił topograficzne położenie Miken, gdzie najpierwej na nie natrafiono. W następnych odczytach rozwinie już samą historją perypetji, przez które praca Schliemana przechodziła, i opowie o rezultatach, do jakich go trudy i usiłowania jego dotąd doprowadziły.

Drugim prelegentem jest p. profesor Bruno Abakanowicz, który na wprost przeciwnym stoi krańcu, bo obiecuje w szeregu odczytów naukowych o „Wystawie paryskiej“ przedstawić publiczności *najnowsze* zdobycze wiedzy i pomysłowości ducha ludzkiego, i za pomocą doświadczeń obznajomić swych słuchaczy naocznie z konstrukcją, sposobem używania i rezultatem działania: fonografów, mikrofonów, telefonów, i t. d., które jak Minerwa wyskoczyły z genialnej głowy Edissona. Prelegent będzie mówił również o zastosowaniu światła elektrycznego do przemysłu, nowych odkryciach astronomicznych, i wreszcie o oświetleniu elektrycznem. Zakres to szeroki — a rzecz niezmiernie nauczająca i ciekawa; mamy tedy prawo sądzić, że prelekcje młodego uczonego doznają należącego się im, jak najświetniejszego powodzenia.

Dyrekcja teatru rywalizuje zawzięcie z urokami powyżej wymienionych rozrywek lwowskich, chcąc przeciągnąć na swoję stronę publiczność, i w ostatnich czasach zasłużyła istotnie na odniesienie tego zwycięztwa daniem kilku nowości i zaangażowaniem p. Bossi, w charakterze primadonny, stale do składu opery. Jestto bardzo cenny nabytek, czego dowodem ostatnie przedstawienie Hugenotów, gdzie panna Bossi, jako Walentyna, — i p. Zakrzewski, jako Raoul przetrzymali całą burzę oklasków. P. Zakrzewski przy tej sposobności dowiódł ogromnego postępu starannością, z jaką spiewał, i poprawnością ruchów przy akcji scenicznej, czego mu dawniej wielce brakowało.

Co do nowości, któremi teatr obdarzył publiczność, do tych należą przedewszystkiem: „Ostatnia wola“ nieboszczyka Fredry, komedja w trzech aktach, z trzeciej serji pośmiertnych dzieł autora „Ślubów Panieńskich;“ dalej „Dwa światy“ dramat Feuilleta; „Podróż pana Perichon“ i wreszcie „Pocałunek“, komedja w czterech aktach Ludwika Dôcsi, przełożona na polskie z węgierskiego przez A. Podwyszyńskiego, a zaszczycona w oryginale pierwszą nagrodą Akademji Umiejętności w Peszcie — i grana już z wielkiem powodzeniem na scenie wiedeńskiej i peszteńskiej.

Przejrzyjmy o tyle te nowości, o ile zakres tej pogadanki dozwoli.

„Ostatnia wola“ zajmuje zaszczytne miejsce w pośmiertnych dziełach naszego znakomitego dramaturga. Odżywa w niej nieporównany dowcip autora „Dożywocia“ i ta jędrna Hogartowska charakterystyka, jaka jest w postaciach z „Zemsty.“ Jestto komedja o tendencjach ogólnych, przedstawiająca typy, raczej z punktu psychologicznego, ludzkiego a nie rodzajowe postacie, pewnej epoce właściwego społeczeństwa, tak świetnie niegdyś piórem Fredry rysowane. Mimo jednak tego postawienia się autora w tym utworze na ogólno ludzkim punkcie, bez żadnych alluzji naczasowych, komedja ta, powtarzamy, jest pełną humoru i ruchu z najlepszych czasów Fredry, i daje wyborne pole do popisu w kilku rolach artystom. Wyzyskali tę sposobność w tym razie z wielkim talentem p. Podwyszyński, w roli młodego obłudnika; p. Fiszer, w oddaniu nader charakterystycznem podżyłego już trzpiota i galanta; i pani Aszpergerowa, która wlała znakomity humor w przedstawianą przez siebie postać przekwitłej zalotnicy. „Ostatnia wola“ niewątpliwie utrzyma się trwale na polskiej scenie.

„Dwa światy,“ dramat Feuilleta, jak każda przeróbka z powieści, jest niezgrabnie zeszyty i przeładowany nawskróś tendencyjnością. Dwa światy, to świat pracy realnej — i świat pełen tradycyjnego, ale na zgaśnięciu już blasku, i dumy bezsilnej — świat arystokracji. Kolizja między niemi jest dramatycznym węzłem tego utworu. Stary to temat i tylekroć obrabiany; a jednak Feuillet umiał podnieść go bezstronnością szlachetną, i harmonijnie przeprowadzić bez socjalnej żółci i goryczy. Ostatni akord dramatu drga pojednaniem i ciszą. Mieli w nim pole do popisu p. Woleńska, — którą z przyjemnością witamy znów na naszej scenie, w roli ubogiej ale hardej dziewczyny z ludu, pp. Podwyszyński i Kwieciński.

Co do „Podróży pana Perrichon“, jest to znowu jeden z utworów owych, których całym przymiotem jest niedościgniona francuska żywość akcji i bogactwo lekkiego, błyszczącego dowcipu w djalogach. Pan Perrichon przypomina nieco „Bourgeois Gentilhomme“ Moliera, w otoczeniu zmodernizowanem. W każdym razie jest to postać charakteryzowana i przeprowadzona con amore, a która w Panu Zamojskim znalazła dla siebie godnego przedstawiciela.

Zostawiliśmy umyślnie na koniec komedją czteroaktową z węgierskiego, „Pocałunek“, bo jej się ta kolej chronologicznie, jako przedstawianej po raz pierwszy w piątek dnia 15. b m., należy. Jest to komedja buffo, ale tak naiwna i miejscami poetycznie liryzowana, iż śliskie jej strony trzeba jej przebaczyć — i biorąc ją, jak się daje, nieraz śmiać się do rozpuku. Gdyby ktoś wziął jednę z owych, troszkę hazardownych przedmiotem, ale olśniewających obrobieniem stylowem, powabem układu i poezją młodości opowiadań Dionea z Dekamerona Bokacjusza i pociął je na sceny, otrzymałby podobnego charakteru i treści komedją, co „Pocałunek.“ Ma ona jeszcze jednak i swoję własną oryginalną cechę: jest to hiszpańska średniowieczna nowella, przyprawna na węgierskim sosie.. Okazana jest w niej moc Amora i słabość ludzka wobec jego uroków w sposób, wymagający chwilami niezmiernej dozy pobłażania ze strony publiczności. Ratuje takie sceny tylko to, że w nich swawola pokazuje zdrowe białe zęby w młodzieńczym śmiechu robi pokornie figlarną minę i śmiać się z nią razem zmusza. Poeta, gdyby był ukryty w jakim kąciku teatru, mógłby zawsze powiedzieć najsroższemu Zoilowi: „Tu as ri, tu es vaincu!“ Zresztą rozprószył po tej komedji poeta mnóstwo takich piękności poetyckich, rozumie się w erotycznym smaku, że musiało mu to zjednać, nawet u poważnych sędziów Akademji, nagrodę, z pobłażliwem, milczącem wyrozumieniem dla cokolwiek zbyt węgierskiej turniury niektórych w niej sytuacji. Nie możemy inaczej powiedzieć o wykonaniu tej komedji, jak że obsada ról była doskonałą, humor grających wyborny, a werwa i finezja p. Zimajer wygórowały w niej w zachwycający sposób.

Wyczerpawszy wieści teatralne, przypominamy jeszcze w końcu z tej dziedziny naszym czytelnikom ze wszech miar godną poparcia „Bibliotekę teatrów amatorskich, której właśnie wyszedł zeszyt ósmy, zawierający komedją w jednym akcie pp. Delacour i Paul Roger p. t. „Zarzutka balowa“, w przekładzie z francuskiego p. Celiny D.

Przekład wyborny, na końcu scenarjusz i spis wszystkich rekwizytów czynią tę książkę, jak i wszystkie w tym zbiorze, niezmiernie cennym nabytkiem dla naszych miejscowych i prowincjonalnych teatrów amatorskich, teatrów, którym ją też najszczerzej polecamy.

Wł. O.

POKŁOSIE.

Seraj sułtana tureckiego. Ażeby pojąć, z jakiemi trudnościami połączone są wszelkie reformy w Turcji, potrzeba zapoznać się bliżej z dworem sułtana. Wspaniały seraj, którego budynki ciągną się półtorej mili angielskiej wzdłuż wybrzeża Bosforu, liczy przeszło 3000 mieszkańców i jest niejako miastem dla siebie. Tutaj też spoczywa właściwie rząd państwa, mianowicie w ręku kobiet i niewolników, i zarówno sułtan jak i każdy dygnitarz państwa są tylko sługami tej kliki pałacowej, która ich wyniosła. Minister turecki, od którego posłowie zagraniczni domagają się reform, może wprawdzie wszystko przyrzekać, ale nie odważy się wykonać tego, bo wie bardzo dobrze, że każde nowatorstwo naruszałoby jakąś uzasadnioną pretensją, w której obronie wystąpiłaby albo która z czerkieskich faworytek sułtana, albo jaki chwilowy poufnik sułtanki Walidy. Sam sułtan jest również tylko lalką w ręku kobiet i nie wie nigdy dokładnie, kto właściwie nim rządzi; ale dla miłego spokoju musi robić to, co mu rozkazują matka, siostry, Kadimy lub faworyty. Przypatrzmyż się teraz bliżej składowi tej potęgi haremowej. Obadwa seraje, nowy, w którym rezyduje dwór panującego sułtana, i stary, do którego usuwane bywają faworytki dawniejszych sułtanów, mieszczą w sobie razem do 4000 osób, które stają się przyczyną rujnujących wydatków skarbu publicznego; równie bowiem gospodarstwo domowe sułtanek, Kadimych, Ikbalich (faworytek) i Giczuzdich (przypuszczalnych faworytek) jak i w ogóle całe utrzymanie dworu jest zbytkowne i marnotrawne. Każda dama cesarska ma swoję Dairę, t. j. orszak towarzyszek, żeńską i męzką służbę, i wszyscy ci ludzie rozrzucają garściami pieniądze, jeżeli chodzi im o zaspokojenie chwilowego kaprysu. Sułtani nie zawierają żadnych regularnych małżeństw, i najwyższą władczynią w seraju nie jest nigdy małżonka sułtana, lecz jego matka. Ta nosi tytuł sułtanki Walidy, i wszyscy mieszkańcy seraju muszą słuchać jej bezwarunkowo. Jej świta składa się z 200 sług i straży. Drugą po niej co do godności jest Hasnadar Ousta, skarbniczyna, zwyczajnie jakaś stara przebiegła kobieta, która wznosi się na ten urząd z rzędu sług talentem gospodarskim i plotkami. Gdy umrze sułtanka Walida, obejmuje po niej Hasnadar godność królowej seraju, co pociąga za sobą nieraz osobliwsze następstwa. Pod Abdulim Medżidżim rządziła pałacem przez długie lata Hasnadar, pierwotnie praczka dworska, a głównym jej doradcą był wielki Baltadżi (rębacz), który nie umiał czytać, ale posiadał władzę usuwania wezyrów. Ten Baltadżi był faktycznie rejentem Turcji. Po Hasnadarze następują w randze napół prawne małżonki i faworytki sułtana w następującym porządku: najprzód cztery Kadimy, które tak długo uchodzą za małżonki, dopóki jego ces. Mość z niemi się nie rozwiedzie i nie odda ich za żony jakiemuś paszy, co dość często się zdarza; potem Ikbale czyli faworytki, zwykle pięć lub sześć ich; a wreszcie Giczuzdy czyli początkujące faworytki, których liczba jest nieograniczona. Nazwa ta pochodzi od wyrazu giczuz, oko, i oznacza dziewczynę, na którą padło oko pana. Każda dziewczyna w seraju, nawet pospolita Kawedżi, kawiarka, staje się Giczuzdą, skoro sułtan okaże jej upodobanie swoje. Jeźli naprzykład cesarz na wizycie u którego z krewnych odezwie się: „Co to za dziewczę tak ładne, które przyniosło kawę?“ — natenczas uzyskuje ta dziewczyna zaraz rangę Giczuzdy, otrzymuje kilka komnat i prawo do cesarskiego skarbu na całe życie, albo na tak długo, aż sułtan wyda ją za mąż. A ponieważ każda odaliska, wychodząca za mąż z seraju, zabiera z sobą swoje suknie, klejnoty, meble, sługi, powozy i sumę pieniędzy, wynoszącą nieraz tysiące funtów, tedy można sobie wyobrazić, jak obciążona jest lista cywilna, jeżeli jest wiele Giczuzdych w seraju. Po faworytkach sułtana następują w godności Kadime-Effendie, matki książąt i księżniczek, potem sułtanki, niezamężne księżniczki krwi cesarskiej, a nakoniec mamki i mleczne siostry sułtana. Mamki i ich dzieci uważane bywają w domu tureckim zawsze za krewnych, i ztąd przez kilka lat miała Nahir Hanum, mleczna siostra Abdul Medżida, największy wpływ na jego dworze. Co się zaś tyczy męzkich mieszkańców seraju, to znajduje się tam oprócz potrzebnego sztabu szambelanów, sekretarzy, portjerów kucharzy i kuchcików, korpus paziów i muzykantów, liczący do 200 głów, i cała armia balwierzy, łazienników, kosztowników potraw cesarskich, atletów, komedjantów, mistrzów walk kogucich i koźlich, astrologów i masztalerzy. Walki kogutów i kozłów zostały zaprowadzone dla zabawy Abdul Azisa; ale teraźniejszy sułtan zatrzymał także tych mistrzów, gdyż niepodobna prawie usunąć bez pensji kogokolwiek, kto raz sprawował jakiś urząd w pałacu. To samo rzec można o astrologach, których urząd stał się istną synekurą, chociaż używają ich niekiedy, ażeby zabawiali damy wróżbiarstwem. Liczba komedjantów i karłów bywała zawsze znaczniejsza, gdyż damy prowadząc życie zamknięte, potrzebują rozrywki, jeźli zanadto się nudzą, a muzyka i sztuki tancerek nie mogą ich już rozweselić. Korpus tancerek składa się z 300 dziewcząt świetnie ubranych i obficie karmionych; kosztują one więcej niż pułk kawalerji. Nie potrzebujemy wreszcie wyliczać urzędnikow i sług, zajętych przy stajniach, w których mieści się do 500 koni, ażeby wykasać straszliwy zbytek, panujący na dworze sułtańskim.

Przemyślność złodziei amerykańskich dochodzi już zaprawdę do mistrzowstwa; oto nowa jej próbka: Pewna młoda zamężna dama z Bostonu, odwiedziwszy w okolicy swoję przyjaciółkę, jechała koleją nowojorską do Albany, gdzie miała się zjechać z swoim mężem; a była bogato ubrana i miała ozdoby brylantowe. Wieczorem, gdy musiała przesiąść się do innego wagonu, spostrzegła, że razem z nią wsiadło do tego wagonu dwóch

porządnie ubranych jegomości, którzy zająwszy miejsce tuż obok niej, bardzo znacząco na nią spoglądali. Gdy zamierzała płacić konduktorowi, ozwał się jeden z tych panów: „Ta dama zostaje pod naszą opieką; my płacimy za przejazd.“ Panowie ci byli jej zupełnie nie znani, i przeto zaprotestowała ona przeciw narzuconej sobie opiece z wyrazem oburzenia i trwogi. Wtedy jeden z tych jegomości szepnął coś konduktorowi do ucha, poczem tenże spytał się podróżnej o nazwisko i adres i przekonawszy się, że podania jej i owego jegomości są zgodne, rzekł do niej: „Pani musisz mi wybaczyć, ale inaczej być nie może. Ci panowie powiadają, że pani jesteś obłąkana i że masz być odstawiona do zakładu rządowego w Utice; a ponieważ wymienili mi nazwisko i adres pani, więc muszą być tem, czem się być mienią, i jestem przeto pewny, że nie wyrządzą pani nic złego.“ Biedna kobieta była tak dalece owładnięta trwogą i przerażeniem, że jej wzruszenie i pomięszanie zdawały się potwierdzać podania nieznajomych. Nie mogła pojąć, w jaki sposób dowiedzieli się oni, kto ona jest. Protestowała tedy jak najmocniej, ale widziała, że pasażerowie wprawdzie ubolewali nad nią, jednak wierzyli twierdzeniu nieznajomych; potem płakała gorzko, a w końcu zapadła w pewien stan otrętwienia. W Utice przystąpili do niej owi dwaj jegomoście, ażeby ją wysadzić z pociągu, i rzekli: „Pani musisz iść z nami; my nie zrobimy pani nic złego; jesteśmy przyjaciółmi i czynimy to tylko, czego pragną przyjaciele pani.“ Znowu objawiła ona swe przerażenie i błagała pasażerów, ażeby stanęli w jej obronie, gdyż jest zupełnie zdrowa na umyśle; ale wszyscy uważali ją teraz za szaloną. Przez jakiś czas opierała się jeszcze i krzyczała; potem zdawała się omdlewać, i owi dwaj nieznajomi zanieśli ją do przywołanej dorożki. Gdy pociąg przybył do Albany, dowiedział się mąż od konduktora o tem, co się stało. Wziął tedy natychmiast osobny pociąg i pojechał z konduktorem do Utyki. Ten ostatni znał przypadkowo kuczera dorożki, którą owa dama z nieznajomymi opiekunami odjechała ze stacji. Przy pomocy tegoż znaleziono dom, w którym nieznajomi wysiedli; nie był to zakład rządowy, lecz jakaś osławiona kryjówka złodziejska. Właściciel domu oświadczył, że owe trzy całkiem nieznajome osoby najęły pokój, ale że obaj mężczyźni wkrótce znowu odeszli, oświadczając, że dama jest zmęczona i cierpiąca i pragnie pozostać tu do rana. Biedną kobietę znaleziono w stanie prawie istotnego obłąkania. W dorożce odurzyli ją złoczyńcy chloroformem, i ciągle jeszcze była prawie bezprzytomna. Jej suknie i klejnoty zginęły, a złodzieje znikli bez śladu.

Podróżujące gniazdo ptasie. Na stacyi kolei żelaznej w Molsheim (w Alzacyi) wydarzył się następujący wypadek: Para czeczotek zbudowała sobie gniazdko nad osią wagonu osobowego. Wagon ten, trzymany w rezerwie do jazdy między stacjami Molsheim i Mutzig, nie był przez całą wiosnę w używaniu, i owa parka mogła przeto spokojnie spełniać swoje obowiązki rodzicielskie; a gdy wreszcie nadeszła pora do użycia tego wagonu, znaleźli urzędnicy kolei w gnieździe cztery młode, na pół nagie jeszcze czeczotki Zostawiono gniazdo i pisklęta nietknięte, ale wszyscy byli ciekawi widzieć, co też poczną stare, które naturalnie uciekły za pierwszem poruszeniem wagonu, wobec tak przymusowego transportu swego domu i swojej familji. Niepewność ta nie długo jednak trwała, gdyż zaledwie wagon wcielono do pociągu i przygotowano do odjazdu, przyleciała samiczka znowu na gniazdo, i nieodstraszona ani huczeniem lokomotywy ani brzękiem kół, czuwała nad swemi pisklętami. Tak odbyła matka z dziećmi swemi pierwszą spólną podróż koleją żelazną z Molsheim do Mutzig i napowrót. Za powrotem do Molsheim nastąpiło zaraz powitanie z małżonkiem, poczem samiczka opuściła znowu gniazdo, i oboje rodzice zwijali się na wyścigi, by nakarmić głodne pisklęta. I pospiech taki był też potrzebny, gdyż odtąd musiała się taka podróż odbywać cztery razy dziennie. Rodzice więc mieli nie mało do czynienia; ale zawsze samiczka zjawiała się punktualnie w chwili odjazdu, przynosząc jeszcze na drogę pożywienie dla dzieci. To trwało 10 dni, aż wreszcie jednego dnia, za powrotem do stacji rodzinnej, zaczęły podlatywać także młode i pod przewodnictwem rodziców opuściły gniazdo na zawsze. Czy samczyk odbywał choć raz tę podróż, nie wiadomo, ale to uważano, że zawsze był na miejscu, gdy familja do Molsheim powracała.

Jak dawniej jadano. Wiek 18. słynął dość z apetytu, szczególnie po dworach książęcych; ale wszystko to jest niczem w porównaniu z żarłocznością, jaka panowała w dawniejszych czasach. Gdy książę burgundzki, Karol Śmiały, odprawiał w r. 1486 gody weselne w Brügge we Flandrji, zjadano oprócz dziczyzny i drobiu dziennie 16 wołów, 50 byków, 10 świń, 250 skopów, 250 jagniąt, 600 funtów słoniny i 100 funtów szpiku wołowego. Na weselu księcia Jerzego z Landshut z polską księżniczką Jadwigą zjedzono w przeciągu ośmiu dni 300 węgierskich wołów. W r. 1496, gdy w Norymberdze gościł margrabia brandeburgski, Frydryka IV., spożyto w kilku dniach 3272 funtów mięsa wołowego, 2666 funtów cielęciny, 375 funtów baraniny, 344 funtów starej, a 841 młodej wieprzowiny, a oprócz tego mnóstwo ryb i ptactwa. Nawet w domach mieszczańskich panował taki zbytek w jedzeniu. Tak n. p. spotrzebował piekarz augsburgski, Wit Grundlinger, w r. 1493 na wesele swej córki 20 wołów, 49 kóz, 46 tuczonych cieląt, 900 kiełbas i 95 tuczonych wieprzów. Z 16. wieku zasługuje na wzmiankę pewne wesele hrabiowskie, wyprawione w Armsztadzie w r. 1560, gdzie do zaspokojenia apetytu gości potrzebowano 100 wołów, 1000 skopów, 200 połci słoniny, 63 wieprzów i 64 cieląt. Nakoniec w wieku 17. na weselu książęcem w Sztutgardzie (w r. 1609), które trwało cztery tygodnie spełna, zabito dla uraczenia gości 330 wołów, 448 cieląt, 2967 baranów i 356 prosiąt.

Mechaniczny stenograf. Istnym cudem nazwać można podziwiany na wystawie powszechnej w Paryżu w oddziele włoskim aparat, sporządzony przez rzemieślnika, który ani czytać ani pisać nie umie; zaprawdę wytłumaczyć sobie nie można, jak człowiek ten mógł zrobić tak wielki i prawdziwie praktyczny wynalazek. Jestto mechaniczny stenograf, którym po kilkotygodniowej nauce można spisywać każdą mowę w jakimbądź języku dosłownie tak, jak była miana. Na wystawie paryzkiej znajdowały się dwie siostrzenice wynalazcy, które ciągle otaczało mnóstwo ludzi, podziwiających ten fenomenalny instrument. Z powierzchowności jest on podobny do fisharmoniki o 22 klawiszach, podzielonych na dwie partje, gdyż gra się na nich

dwoma rękami. We środku znajduje się mały cylinder, a pod nim przesuwa się pasek papierowy, zupełnie tak, jak w telegrafie systemu Morsego, na którym pojawiają się znaki pisemne. Owe dwie młode Włoszki, które umią już obchodzić się z aparatem, pisały to, co im kto dyktował, od rana do wieczora we wszystkich językach, nie rozumiejąc ich nawet, gdyż maszyna powtarza fonicznie głosy, które słyszy grająca dziewczyna. Ten, który ten opis podaje, widział sam, jak maszyna pisała mowę nawet w języku japońskim, którego nikt nie rozumiał prócz tego, co dyktował. Praktyczna pożyteczność tego instrumentu da się łatwo pojąć; wkrótce wejdzie on w używanie we wszystkich parlamentach, trybunałach sądowych i zgromadzeniach publicznych, a nawet dla stenografów będzie bardzo pożyteczny, gdyż teraz jeden będzie mógł pełnić służbę za dziesięciu. Wynalazcą tej maszyny jest niejaki Michela z Quassolo w pobliżu Iwrei w Piemonckiem, a dopomagał mu do urządzenia instrumentu niejaki di Pietro. I dzieło to udało się tak wybornie, że komisja włoska postanowiła umieścić je na wystawie. Tak przynajmniej donosi dziennik „Fanfulla,“ z którego podajemy te szczegóły.

Cudowna jaskinia. W państwie Kentucky, w Stanach zjednoczonych Ameryki północnej, słynącem oddawna znaczną ilością i wielkością jaskiń, odkryto w ostatnich czasach, podług doniesień dzienników amerykańskich, znowu olbrzymią i prawdziwie cudowną jaskinię. Znajduje się ona w pobliżu miasteczka Glasgowa i została już na 23 mil angielskich wzdłuż, a na 16 wszerz zbadana. Przejścia w tej jaskini są bardzo szerokie, dwukonny powóz może wygodnie jechać w niej 11 mil daleko. W głębi jaskini znajdują się szerokie i bardzo głębokie rzeki, z których jedna spławną jest na mil 14; aż wreszcie zwęża się jaskinia tak dalece, że nie przepuszcza już łodzi. Wogóle jest ta jaskinia nad wszelkie opisanie cudowna, i przewyższa wspaniałością nawet jaskinię mamutową. W jednem z dalszych jej zagłębień znaleziono kilka trupów, podobnych całkiem do mumij egipskich, które spoczywały tam zapewne od wieków w wykutych z prostego kamienia trumnach. Ważne to odkrycie sprawiło wielkie wrażenie. Edwin Mortimore z Louisville kupił trzy mumie, a major G. M. Proctor z Glasgowa resztę. Tomasz Kelly, właściciel tej jaskini, jest albo był raczej do niedawna bardzo ubogim człowiekiem, gdyż nie posiadał nawet tyle, by mógł złożyć cenę kupna za folwark obejmujący 24 morgów gruntu, na którym przypadkowo odkryto wnijście do tej jaskini. Za sprzedane mumie otrzymał on zaraz około 400 dolarów, a teraz ofiarowano mu gotówką 10.000 dolarów za jaskinię. Wnijście do jaskini znajduje się w obrębie granic miejskich i oddalone jest najwięcej o 2 minuty drogi od stacji kolejowej; co jest o tyle dogodnem, że pragnący ją zwiedzić podróżni nie potrzebują jechać pięć mil omnibusem, jak z Glasgowa do jaskini mamutowej. W istocie znajdują się wszystkie sławne jaskinie w okolicy tego miasta. Grunt tamtejszy jest mocno porozrywany, pełen znacznych wypukłości i głębokich dołów, z czego wnosić wypada, że niegdyś musiały się tu srożyć gwałtowne wybuchy wulkaniczne. Petroleum znachodzą tu w znacznej ilości; do rafinerji w Louisville odstawiają codziennie około 400 beczek. Tej nowo odkrytej jaskini dano nazwę: Grand Crystal Cave, i piękność jej usprawiedliwia tę nazwę. Zaczęto już zakładać drabiny i mosty, a pewien kapitalista ogłasza, że każe budować małe parowce do żeglugi po tych osobliwszych rzekach podziemnych.

Kącik humorystyczny „Strzechy.“

Nasi konserwatyści.

Nowa spiewka na starą nutę.

Letarg jest ich pracą,
Koło ich ojczyzną;
Snem kraj dobić pragną
Lub kołowacizną.

Choć konserwatyści,
Nic nie konserwują;
Prawdziwą zasługę
Bezwstydnie tratują.

Kto z nimi nie trzyma,
Nowe drogi bada,
Błotem go obrzucą;
Biada jemu, biada!

Jeśli tak jak dotąd
I dalej iść będzie;
Niezadługo Rejtan
Stanie w zdrajców rzędzie.

Z teki szlachcica.

(Urywki znalezione na schodach hotelu Europejskiego.)

„. . . Doprawdy, w dzisiejszch czasach nie warto się poświęcać... Dwanaście już lat z górą pracuję w sejmie krajowym, milcząc jak pan Bóg przykazał, trzymam z większością, głosuję za jedno z panem Kazimierzem, wychodzę ze sali, kiedy mi każą, a czy choć jedna żywa dusza, oprócz poczciwych sąsiadów, wie o mnie, że jestem posłem, że rok rocznie jeżdżę do Lwowa zaniedbując własne gospodarstwo? Czy choćby raz jeden pisali o mnie w gazetach? Inny, nie przymawiając nikomu, raz się odezwie, to narobią takiego hałasu, że aż przykro człowiekowi słuchać; opisują go na wszystkie strony, robią mu owacje, wyprawiają bankiety... nie, chyba skłamał ten, co powiedział, że milczenie jest złotem...

„Dziwne myśli zaczynają mi chodzić po głowie: Bóg raczy wiedzieć, czy nie lepiej by było zerwać z tradycją milczenia? niechby świat się dowiedział, że i mnie nie w ciemię bito! Tylko, że to strach bierze, żeby się przypadkiem nie wyrwać z czemś, coby nie było po myśli Jego Ekscelencji; z panami niebezpieczna rzecz zadzierać... Et, lepiej już po dawnemu cicho siedzieć... a kto wie, czy lepiej? muszę się żony poradzić.

„Niedawno czytałem, nie pamiętam już w czyim nekrologu, że nieboszczyk służył wiernie „ojczyźnie i krajowi.“ — Ojczyźnie i krajowi! jakoś mi się to w głowie pomieścić nie może. Bo jakże zwyczajnemu człowiekowi odgadnąć, gdzie się kraj kończy, a gdzie ojczyzna zaczyna?

„Pisało w gazetach, że jeden z naszych posłów oddał swoje djety poselskie na szkoły. Dziwak! Farmazon! chciał nam szlachcie zaimponować. Kiedy już przyszła mu ochota zabawić się w pana, mógł sobie dać pieniądze, a nie mówić, że to pieniądze z posłowania. To wcale nie po obywatelsku! Cóż on sobie myśli, że my kapitały zbijamy z tych piątek? Jak Emilcię kocham, dołożyłem tego roku do dwudziestu papierków. Nie wspominając już o ekonomicznych stratach w gospodarstwie, bo wiadoma rzecz: oko pańskie konia tuczy, na same sprawunki żony i na zaopatrzenie na zimę spiżarni w S....wcach, wydałem całą setkę!... Niech tak jeszcze drugi i trzeci zrobi, to nie tylko odbiorą nam dyety, ale jeszcze każą dopłacać... Nie głupim, panie dobrodzieju! ja pierwszy składam mandat!

„Wczoraj namówił mnie pan Ignacy, żeby iść z nim do teatru. Dobrze — myślę sobie — nie zaszkodzi przekonać się na własne oczy, jaki użytek robią z naszej subwencji. Poszliśmy. A niech ich kaci porwą z takim teatrem! Człowiek siedzi jak na niemieckiem kazaniu. Jedno spiewa po włosku, drugie po polsku, ani wiedzieć, o co im chodzi! Ignacy, co się zna na tem lepiej odemnie, bo jego żona spiewała raz na koncercie u naszego starosty, bardzo chwalił komedjantów i klaskał im w ręce. Ale ja kapitalnie się wynudziłem i przysiągłem sobie, że więcej tam nie pójdę, bo to jak zaczną krzyczeć i trąbić wszyscy razem, i zdrzemnąć się uczciwie niepodobna......

„Dziwny człowiek z tego Hausnera! Spotkałem go dziś na Maryackim placu i kawałek drogi szliśmy razem. Prawie wszyscy przechodzący zatrzymywali się i szeptali spoglądając na nas ze znaczeniem; mnie się aż miło robiło na sercu, a on zdawał się ani widzieć ani słyszeć i rozmawiał ze mną swobodnie, jakby nigdy nic! A tam, mówią, piszą o nim w angielskich i francuskich gazetach! Szczególniejszy człowiek!

„Wielka szkoda, że jakoś zaniedbałem niemieczczyznę. Dziś to niby niepotrzebne; i w becyrku i w sztajeramcie można się rozmówić po polsku; ale dawnemi czasy uchodziłem za najlepszego Niemca w całym powiecie. Jak wrócę do domu, nie będę inaczej z Herszkiem rozmawiał, tylko po niemiecku, dla przypomnienia i wprawy. Kto wie, na co się to jeszcze przydać może.

„Żeby nie zapomnieć. Pisze mi Emilcia, abym jej zapisał *„Bazar berliński“* i *„Ueber Land und Meer“*. Poczciwe żonisko! jakby sercem przeczuła, czego mi potrzeba......

Socjusz Płaksicki.



O tempora! o mores!

Dokąd dążymy! upada zasługa,
Wyrocznie kraju na powadze tracą;
Zewsząd się leje przewrotności struga —
Lokatorowie czynszu mi nie płacą!

Dokąd dążymy! społeczeństwo ginie,
Żądza nabytku moralność wyniszcza;
Brak uczciwości i w słowie i w czynie —
Nikt mi procentu na czas nie uiszcza!

Dokąd dążymy! o czasy ohydne!
Z bolu, rozpaczy, włos na głowie staje;
Wszędzie bezprawie, a prawo bezwstydne
Nad sześć od setki, więcej nie przyznaje!

Dokąd dążymy! samolubstwo górą,
Ludzkość zgorszona, zepsuta, bezbożna;
Grzech po nad światem wisi czarną chmurą —
A dziś się nawet — i upić nie można! —

Niby Bajki.

Panna Róża.

Dopóki Rózia różyczką była,
Motylkami pogardzała;
Dzisiaj zmiana nastąpiła:
Róża się cała starej ćmie oddała.

GŁUPI I MĄDRY.

Pytał głupi mądrego: na co rozum zda się?
Na to, odrzekł, by brednie wypisywać w *Czasie*.

Wydawca i odpowiedz. za redakcję F. H. RICHTER.

Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



GRAF RAK.

POWIEŚĆ

PRZEZ ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO.

23

(Ciąg dalszy.)

Na to Leendorf się skrzywił cokolwiek i spuścił oczy ku ziemi, a prałat tak mówił dalej:

— Ale polityka jest nadzwyczajnie skomplikowanem rzemiosłem. Wymaga ona z jednej strony jasnego zrozumienia najwyższych przeznaczeń i celów państwa, głębokiego przejęcia się ideami, które do osiągnienia tych celów prowadzą, i że tak powiem, ustawicznej świadomości tych idei i celów — a z drugiej strony znowu równie ustawicznego i nadzwyczajnie skrupulatnego liczenia się z wypadkami najpodrzędniejszej natury, z potrzebami dnia bieżącego, z warunkami wykonalności; jakoż jest to zasadą powszechnie uznaną, że tylko z tych obu zalet składa się całkowity mąż stanu, mogący państwu istotne oddać usługi. Polityk taki, który tylko wielkiemi zajmuje się ideami, bez względu na ich wykonalność i czasową stosowność, tak samo może przywieść państwo do zguby, jak i ów drugi, który tylko potrzeby dnia dzisiejszego uwzględnia, a nie ma względu na przyszłość; albowiem pierwszy zapomina o tem, że wśród najszczytniejszych idei zaniedbana machina rządowa może zardzewieć i stanąć, a drugi o tem, że państwo, tak samo jak człowiek, nie żyje tylko chlebem, lecz duchem. Otóż wychodząc z tego punktu zapatrywania się, chciałbym panu hrabiemu powiedzieć, że Austrja znajduje się w tej chwili w położeniu niezmiernie krytycznem. Co bowiem nasz nieśmiertelny książę Metternich niegdyś powiedział o Włoszech: *que l'Italie n'est qu'une expression géographique*, zastosowane dzisiaj do Austrji, jeszcze wcale nie wystarcza na określenie rozpaczliwego jej stanu. Aby ten stan wyczerpująco określić, trzebaby tę frazę, którą do niej inny, równie sławny dyplomata zastosował, odwrócić i powiedzieć: *qu'elle n'est pas même un gouvernement.* Tak rzeczy mają się dzisiaj. Owóż w tem położeniu, tak mnie się zdaje, nie mamy wcale czasu myśleć o tem, jakim sposobem odzyskamy kiedyś nasze posiadłości we Włoszech i stanowisko stracone w Niemczech, lecz przedewszystkiem winniśmy wewnętrzny organizm państwa odbudować, który, jak to sobie pomiędzy nami musimy szczerze powiedzieć, jest w tej chwili jak najzupełniej rozbity.

— Wasza Ekscelencya — rzekł na to Leendorf — wyjąłeś mi z ust, co właśnie chciałem powiedzieć, lubo, bez wątpienia, przekonań tych nie umiałbym był tak jasno wyłożyć. Ale też właśnie to, co ja uważam za jedynie zbawienne dla Austrji, zaleca się zarazem tem, iż najłatwiej i najprędzej jest wykonalnem. Wszelkie układy z reprezentantami narodowości i stronnictw mają tę wadę, iż trwają nadzwyczaj długo — a w tem leży wielkie niebezpieczeństwo. To zaś, co się z góry nadaje, ma tę wielką zaletę, że dzisiaj jest jeszcze teoryą, a jutro już prawem. System mój, oprócz tego, ma jeszcze ten wielki przymiot, że obejmuje w sobie wszystkie inne systemy, i czyni zadość wszystkim stronnictwom...

— Jest to tedy jakaś panacea — zauważał prałat — bardzo jesteśmy ciekawi.

— Idea-to bardzo prosta — odpowiedział Leendorf — i wynikająca niejako z karty etnograficznej austrjackiej monarchii. Jeżeli Wasza Ekscelencja z tego punktu widzenia tylko raz rzucisz okiem na kartę, to natychmiast spostrzeżesz, że nie mamy ani jednej prowincji, którąby w swoich dzisiejszych granicach miała racją odosobnionego bytu, żadna z nich bowiem nie składa się tylko z jednej narodowości. Dlaczego Siedmiogród ma stanowić osobną prowincją, jak skoro jest zamieszkany przez Węgrów, Rumunów i Sasów? dlaczego Karyntya ma być prowincją, kiedy jedna jej część jest osiadła przez Słowian, a druga przez Niemców? Otóż rozbić należy Austrją nie na dwadzieścia i kilka prowincji, ale na jak najdrobniejsze atomy według narodowości, z każdego takiego atomu osobną utworzyć prowincją, każdej z tych prowincji dać pewną autonomią administracyjną i narodową, a wszystkie razem na jednakowej i niezmiennej podstawie skojarzyć pod rządem centralnym. Ta dualistyczna albo federacyjna trucizna, którą Austrja się struje, jeżeli jej całą szklankę wypije, nic jej nie zaszkodzi, owszem z choroby ją wyleczy, jeżeli zostanie podzielona na małe kropelki. Albowiem wtedy nad kilkudziesięciu takiemi drobnemi prowincjami, jedność rządu, jedność religii i jedność armii dadzą państwu dostatkiem siły, ażeby porządek po wszystkie czasy utrzymać.

Na to biskup uderzył mocno w tabakierkę i zażył tabaki; poczem zwrócił się do mnie i spytał:

— A pan dobrodziej, co na to?

— Idea ta bardzo jest zajmująca — odpowiedziałem — dziś wszakże możnaby o niej rozmawiać tylko w sposób akademiczny. Albowiem, jeżeli się nie mylę, dualizm już stanowcze odniósł zwycięstwo i zapewne lada dzień wejdzie w wykonanie.

W tej chwili biskup mi się z uśmiechem pokłonił na znak przyznania, a Leendorf zawołał:

— A jakto? Słyszałem o tem, że baron Beust, farmazon i luter, wziął Węgrów w swoję opiekę i bardzo się sprawą ich zajął; ale właśnie dlatego, że zanadto gorąco nią się zajmował, w wigilią Bożego Narodzenia otrzymał urlop i na czas dłuższy do Saksonii wyjechał.

— Baron Beust — rzekł na to biskup z naciskiem — po Nowym Roku z Saksonii powróci, a wtedy ugoda z Węgrami, która już jest zawarta, podpisaną zostanie.

I znowu w tabakierkę zadzwonił i zażył tabaki. Ale Leendorf jakby upadł z obłoków; jeszcze coś mówił, poczem wziął kapelusz, pożegnał się i wyszedł. Biskup wyprowadził go przez wszystkie pokoje, i jeszcze tam z nim chwilę rozmawiał. Wróciwszy do środkowego salonu, siadł przy mnie i rzekł:

— Pan Leendorf już od ośmiu dni jest w Wiedniu, a jest to człowiek dosyć bystrego ucha, dlatego dziwiło mnie to cokolwiek, że był tak niedostatecznie informowany; ale widzę w tem tylko nowy dowód, że w pewnych sferach, a może tylko w pewnej frakcji sfer rzymskich, do których on przedewszystkiem należy, jeszcze sobie robią bardzo wiele iluzji. Cóżkolwiekbądź, o tem mogę pana zapewnić, że od tej chwili, w której się przekona, że byłeś lepiej informowany od niego, będziesz u niego w bardzo wielkim respekcie.

— To mnie wcale nie cieszy — odpowiedziałem.

Na to biskup spojrzał na mnie z pod oka, a uśmiechając się lekko, milczał przez chwilę; poczem zaś rzekł:

— To znasz tego człowieka?

Zamiast odpowiedzieć na to pytanie, opowiedziałem mu niemal wszystko, co o Leendorfach i innych osobach, z nimi styczność mających, wiedziałem; ale opowiedziałem tak, jak się opowiada jednę ze stu anegdot, nie przywiązując do niej więcej znaczenia, niż do dziewięćdziesięciu dziewięciu innych.

Zauważał to prałat i pomyśliwszy chwilkę, rzekł z wielką powagą:

— Bardzo panu zazdroszczę, że możesz się przypatrywać ludzkim czynnościom tak samo, jak grze aktorów w teatrze, a nie brać w nich żadnego udziału. Ale ja jestem kapłanem. Obowiązkiem moim jest jednać i godzić. Niejednokrotnie tedy muszę się mięszać pomiędzy ludzi; lecz wierzaj mi, nie jest to wcale niewdzięczna robota. Wszyscy ludzie są jednakowi. Wszyscy mają wady, lecz również każdy ma jakąś zaletę. Jakiemukolwiek który z nich uległ zepsuciu, każdy ma pewien nerw w sobie, za którego dotknięciem odezwie się w nim głos prawdy, głos Boży. Trzeba tylko umieć nerw ten wynaleźć; to czasem rzecz trudna, ale trudnością nie należy się zrażać. Droga prawdy, która zarazem jest drogą cnoty, jest najgładszym, a przeto najmilszym dla wszystkich gościńcem. Ten i ów się od niej zabłąkał, inny wiecznie po za nią się błąka, a są i tacy, o których prawieby można powiedzieć, że ją opuścili z zasady; a tymczasem jeżeli ci się uda któregokolwiek szczęśliwem potrąceniem na nią naprowadzić, to każdy chętnie się do niej nawraca. Prócz tego wszyscy ludzie są mniej więcej leniwi i niezaradni. Jedni sami szukają rady, drudzy ją chętnie przyjmują, kiedy im ją kto do domu przyniesie. Ten i ów długie częstokroć lata własnym się rządzi rozumem, a cudzą radą pogardza, ale przecież raz kiedyś wpada w położenie takie, w którem cudzego rozumu załaknie. I Rak także nie będzie stanowił wyjątku; kiedyś przyjdzie kolej także na niego, i jabym rad dożył tej chwili; innym zaś, którzy się kręcą około niego, mam sobie za obowiązek pomagać. Dlatego upoważniam pana — a sądzę, że mu tem złożę dowód przyjaźni — kiedykolwiek która z tych osób, o którycheśmy właśnie mówili, uda się do pana po radę lub pomoc, prosto ją do mnie odesłać.

— Możesz Ekscelencja być pewnym, że będę z tego upoważnienia w każdym wypadku korzystał.

— Bardzo mnie tem zobowiążesz — rzekł na to biskup, kłaniając mi się na znak podziękowania, i tak mówił dalej: — W tem gronie ludzi niejedna rzecz idzie dziś krzywo, jak to właśnie uważałem z zamiarów Leendorfa, z któremi tutaj przyjechał. Mojem zdaniem, bardzo ryzykowna-to entrepryza, a nawet i niesumienna cokolwiek; bo pocóż w nią wciągać to dziecko, które, Bogiem a prawdą,

wcale temu nie winne, że pod tak nieszczęśliwą konstelacją na ten świat przyszło. Wszelako takie i tym podobne błędne wyobrażenia dadzą się jeszcze sprostować...

Tu biskup znów w tabakierkę zadzwonił, a zażywszy tabaki, tak skończył:

— Ale pobawiwszy tak długo na ziemi, może się na chwilę zwrócimy ku niebu. Będąc tego lata w Londynie, kupiłem sobie teleskop. Nie jest to front-view i oczywiście jest bez zegara; prócz tego mam tę niedogodność, że z mego pawilonu, który na ogród wychodzi, i na nieszczęście o dom się opiera, mogę widzieć ledwie trzy czwarte części firmamentu; ale szkło to jest mocne, a zawsze lepiej widzieć choćby kawałek nieba, niżeli samę ziemię. Otóż przez ten leleskop studjuję od niejakiego czasu Jowisza, a mianowicie owe ruchome pasy, które na poprzek go okrążają, a które astronomów tak bardzo zajmują. O tych pasach mam ja pewną ideę, i chciałbym jej panu udzielić.

Wstaliśmy tedy oba, aby pójść do pawilonu; ale w tem weszło kilka osób i konwersacja nasza się przerwać musiała...

* *
*

W dzień trzech Króli była wielka recepcja w ambasadzie francuzkiej. Ambasador ówczesny, potomek książęcej rodziny, która się pogodziła z dynastją napoleońską, zajmujący wysokie stanowisko w towarzystwie paryskiem i wiedeńskiem, miał bardzo obszerne salony w pałacu książąt Clary przy Pańskiej ulicy, i prowadził dom bardzo otwarty. Jakkolwiek na te recepcje zawsze główny kontyngens dostarczało towarzystwo wiedeńskie i świat dyplomatyczny, a mianowicie damy tylko z tych dwóch warstw społecznych były tam przyjmowane, wszelako przystęp do tych salonów, zwłaszcza dla osób, przybywających z prowincji lub z zagranicy, nie był tak trudnym, jak w sferach arystokracji wiedeńskiej, która po wszystkie czasy bardzo surową odznaczała się wyłącznością.

Tego wieczora, około godziny dziesiątej, salony ambasady jeszcze nie były przepełnione, ale salon ostatni już dobrze był zaludniony damami; a w drugim salonie od wejścia, przez który wszyscy przybywający musieli przechodzić, także już znajdowało się większych i mniejszych grup kilka, żwawą zajętych rozmową. W tym salonie, pod ścianą, stała pulchnie wyścielona kanapa, na której nawet i damy tem chętniej odpoczywały, ile że w dwóch dalszych salonach znajdywały się meble żółte Empire, twarde i niewygodne. W tej chwili siedziała na tej kanapie nie młoda już dama z wiedeńskiego towarzystwa, nie pierwszorzędną zajmująca pozycją, ale mająca pewne znaczenie mocą swojej wielkiej znajomości świata i cokolwiek złośliwego dowcipu. Upatrzywszy chwilę stosowną, przysiadłem się do tej damy, przypatrując się gościom wchodzącym, ich toaletom, fryzurom i twarzom. Moja towarzyszka, biorąc te osoby ostro na oko przez złotą lornetkę, umiała mi o każdej coś dowcipnego powiedzieć, robiąc przytem uwagi odnośne do polityki, którą także się zajmowała. Tak zlustrowaliśmy kilku byłych ministrów, którzy już oddawna nie byli w urzędzie, lecz za to kilkunastu takich, którzy nimi zostać chcieli, a których na setki liczą się w Austrji. Za nimi, tych i owych staatsratów i prezesów różnych dykasterji, których żony częstokroć dziwnie były wymanierowane, a jeszcze dziwniej ubrane. Między nimi szli biskupi i opaci, młodzi dyplomaci i dziennikarze — a tuż za nimi Leendorf, prowadzący jakąś damę pod rękę! Przypatrzyłem się bliżej: była to owa panienka, jasna blondynka, którą z nim razem widziałem był niegdyś we Florencji, a którą u Pikartów nazywano fifille. Na ten widok coś mnie piknęło, i wcisnąłem się w poduszki kanapy, jak można było najgłębiej. Ale moja towarzyszka spojrzała na mnie i zawołała:

— Qu'est-ce que ça? M. Leendorf? mais il n'est pas marié!

Potem szli inni, między nimi X. Gerhardus, dalej Rak, i jeszcze inni. Ale dama jeszcze raz na mnie spojrzała i jeszcze raz zapytała:

— Mais qu'est-ce que ça?

A kiedy jej żadnej odpowiedzi nie dałem, zerwała się i poszła do głębszych salonów. Zostałem sam na kanapie w smutnem zamyśleniu, kiedy w tem usłyszałem głos męzki przed sobą, mówiący:

— Ah! c'est vous! quelle chance...

Był to młody Pikart, Auguste. Był on bardzo elegancko ubrany i zafryzowany, bieliznę miał na sobie śnieżnej białości, i nie zapomniał nawet włożyć bukiecika fiołków w dziurkę u klapy.

— Tiens! voilà une surprise! — zawołałem — vous venez de Paris?

— Non, Monsieur, j'arrive de Rome! — rzekł Auguste z ciężkiem westchnieniem, a ścisnąwszy się prawą ręką za czoło i siadając obok mnie na kanapę, dodał: — ah! je suis révolté!

Widząc, że młodzieniec ma jakąś głęboką troskę na głowie i gotów jest, jak mówili starzy poeci, „rznąć nią o ziemię“ wszem wobec w salonie, zwróciłem jego uwagę na miejsce, w którem się znajdujemy, i prosiłem, aby się uspokoił, a co ma powiedzieć, powiedział cicho i spokojnie. Ale krew takiego młodego Francuza nie woda, zwłaszcza kiedy zakipi; więc powstrzymywał się, ale zato słowa bez związku z jego spalonych ust wylatywały:

— Byłem w Rzymie — mówił młodzieniec — chciałem się do nóg rzucić matce. Ale mnie do niej nie dopuścili. Ona nie ma już matki! Tylko jej wuja widziałem, tego oto Leendorfa! Jak mnie przyjął... z szyderstwem i wzgardą! „Robotnik, rzekł mi, ateusz, farmazon, dziś z młotem w ręku w warsztacie, a jutro na barykadzie, w buncie przeciwko kościołowi i władzy, chce się żenić z hrabianką! A to do domu warjatów, albo do domu poprawy!“ I groził mi nawet policją. Błazen! czemuż mnie zamknąć nie kazał!

Odetchnął chwilę, a potem tak mówił:

— Czekałem cierpliwie. Chciałem przynajmniej widzieć fifilkę. Pan wiesz, ja, ja jestem mężczyzna. Mógłbym

sobie nakazać — i pewniebym sobie dotrzymał. Ale matka moja!... A potem ja... dlaczegóż mam w sobie zabijać uczucie, o którem mam przekonanie, że troje dusz zbawi, a nikogo nie skrzywdzi? Ale naprożno. Dowiedziałem się wreszcie, że Leendorf wyjechał do Wiednia i zabrał dziewczę ze sobą, aby je tutaj w świat wielki wprowadzić pod swojem własnem imieniem, jakoby córkę swojego brata. Czy słyszał kto kiedy podobne warjactwo? czy nie należy to pierwej do domu poprawy? Bo najpierw, jest to po prostu oszustwo. Ani między naszymi robotnikami nigdyby takiego kroku nie przebaczono. A potem, czy jest w tem sumienie? — a jak się to wyda? któż weźmie wtedy taką dziewczynę? — I co ona temu winna? Toż nie wierzyłem. Ale patrz pan, oto jest tutaj. Czy pan nie widziałeś? Ah! jakże serce mi bije!

Takiemi urywanemi słowy opowiadał mi młodzieniec swoje cierpienia, co trwało małe pół godziny; a przez ten czas, kiedy jeszcze nikt nie wychodził, owszem nowi goście przybywali, Leendorf z fifilką pod ramię przeszedł koło nas i wyszedł z salonu.

— Ah! enfin! — zawołał Auguste i odetchnął. Lecz mnie się zdawało, że to wyjście Leendorfa powinno mu było raczej zaprzeć oddech w piersi; dlatego rzekłszy do niego:

— On vous reverra, n'est-ce pas? — poszedłem do dwóch frontowych salonow, z których w ostatnim zbierała się krema towarzystwa.

Tam nic właściwie widać nie było — a przecież była wielka esklandra. Było tak, jak gdyby kto był otworzył wielkie drzwi balkonowe i wpuścił przez nie powiew mroźnego wiatru, a wiatr ten przeniknął wszystkich do kości. Towarzystwo było w ruchu — i tylko tu i ówdzie po kątach formowały się małe kółka i tajemniczo szeptały ze sobą. Ale na drugi dzień małe dzienniczki, których w Wiedniu jest kilkadziesiąt, a które żyją tylko skandalem, pochwyciwszy tę plotkę, Bóg nie wie, jakie na jej tle powydzierzgiwały historje. Historje te były we wszystkich szczegółach zmyślone, a nawet żadnego nie wymieniały nazwiska, ale mimo to wrażenie było niezmiernie żywe; bo niektóre z nich dawały prawie do zrozumienia, jakoby wczoraj do jakiegoś salonu jakiś człowiek publiczny wprowadził kobietę publiczną...

* *
*

Nazajutrz po południu wpadł do mnie młody Pikart z wzburzonemi włosami i okrągłemi oczyma i zawołał zaraz przy wstępie:

— Avez-vous lu les journaux?

Młodzi ludzie mają zwykle to mylne przekonanie, że los ich każdego tak żywo, jak ich samych, obchodzi, a co oni czują głęboko, to każdy czuje tak samo. Są czasem i starzy, którzy postępują według tego przekonania, i stają się plagą swoich znajomych. U starych jest to skutkiem egoizmu i złego wychowania; ale u młodych tylko skutkiem braku doświadczenia. Dlatego młodym należy takie narzucanie się z swemi żalami przebaczyć. To też uspokoiłem, o ile można było, Pikarta, ale odesłałem go zaraz do Gerhardusa.

W pół godziny po nim wszedł Rak. Obaczywszy Raka, pomyślałem sobie: Dzisiaj Gerhardus nie będzie się skarżył na mnie, że mu nie przysyłam klientów. Uwagę tę tem więcej znalazłem usprawiedliwioną, kiedy dostrzegłem, że Rak był także jakoby wykolejony i niebawem, po przywitaniu, rzekł do mnie:

— Przyszedłem do ciebie, ażeby ze zwykłym nam obu spokojem o ważnej kwestji pogadać, która zapewne i ciebie będzie obchodzić. Zajmujesz się ekonomią polityczną i statystyką, znasz tutejsze stosunki lepiej odemnie, masz spokój, do wyrobienia sobie pewnego zdania niezbędnie potrzebny — spodziewam się więc, że mi dobrą dasz radę.

Mimo takiej przedmowy jeszcze zawsze mi się zdawało, że Rak wyjedzie z ekonomji politycznej dla przyzwoitości, ale zajedzie na wczorajszą recepcją, coby nawet było bardzo naturalnem; wszelako okazało się, że jeszcze nie znałem tego człowieka; on bowiem tak mówił:

— Powiedziano mi wczoraj w dobrem źródle, że nowa organizacja Austrji na podstawie dualizmu jest rzeczą postanowioną, i żadna potęga tego postanowienia nie zwichnie. Mojem zdaniem, jest to ze wszystkich niedorzecznych kombinacji najniedorzeczniejsza i najnieszczęśliwsza. Nie mówię tego jako właściciel ziemski w Kroacji, ani jako Słowianin, ani jako przeciwnik narodowości węgierskiej, którym zresztą nie jestem; przychodzę do tego przekonania ze stanowiska dobrze zrozumianych interesów austrjackiej monarchji. Zapatrywania się mego nie potrzebuję ci szeroko wykładać. Ze stanowiska politycznego dualizm jest nieusprawiedliwionym błędem, bo potęgę duchową państwa, rząd centralny, od roku 1848 już i tak coraz więcej omdlewający, może on tylko jeszcze więcej osłabić; zaś ze stanowiska ekonomicznego jest rzeczą jasną, że skarb taki, który nie jest w stanie jednego rządu bez niedoboru utrzymać, tem mniej potrafi koszta dwóch rządów opędzić. Dualizm zatem nie może, według mnie, innych przynieść owoców, jak tylko rozprzężenie państwa pod względem politycznym, a bankructwo ogólne pod względem ekonomicznym. Ale widoki te dopiero w dalszej przedstawiają się perspektywie. Tymczasem zaś jakakolwiek organizacja, sam fakt wyjścia z chaosu i przyjścia do jakiegokolwiek porządku powinienby na ludności wywrzeć zadowalające wrażenie. Oba nowe rządy będą miały przynajmniej tyle rozumu, aby skarbowość swoję choć na lat kilka uporządkować — a ludność, kołatana i niepokojona od lat ośmiu bezustannie to zewnętrznemi wojnami, to wewnętrznemi niesnaskami, z żarliwością chwyci się pracy, widząc przed sobą przynajmniej lat kilka spokoju. Żarliwa praca przynosi zyski, z zysków tworzą się oszczędności, oszczędności zaś wywołują zazwyczaj ruch w posiadaniu, a ruch pociąga za sobą podwyżkę wszelkich wartości ruchomych i nieruchomych. Otóż kwestja jest ta, czy nie byłoby teraz na dobie wartości w Austrji nabywać? — a to tem bardziej, iż wszelkiego

rodzaju wartości w Austrji mają dziś skutkiem wojny i wewnętrznego nieładu cenę najniższą, jaką miały kiedykolwiek w czasach najgorszych. Cóż mówisz na to?

— „Godzieneś pochwał, hrabio, zacny mój sąsiedzie,
Że dbasz o interesa nawet przy obiedzie,
Nie tak, jak modni stanu twojego panicze,
Żyjący bez rachunku...“

— A dlaczego mi to cytujesz? — zapytał Rak.

— Tak, bez celu. Właśnie mi na myśl przyszły te wiersze. A cóż myślisz kupować?

— To jest druga kwestja. Pierwsza jest zawsze ta, czy kupować? Jeżeli tę kwestją trafnie rozstrzygniesz, to potem masz tylko uważać na to, aby to, co kupisz, miało wartość wewnętrzną i przyszłość przed sobą.

— Ja się wcale zgadzam na twoje zapatrywanie się ekonomiczne — odpowiedziałem mu na to — lecz jestem zdania, że nim się poweźmie jakieś postanowienie, które może przynieść zysk lub stratę pieniężną, należałoby się przedtem zainformować, jak na organizacją dualistyczną zapatruje się swiat finansowy; bo przy dzisiejszej zawisłości pracy od kapitału, praca sama ruchu nie wywoła bez poparcia ze strony świata finansowego.

— Świat finansowy — rzekł Rak — będzie się zapatrywał na dualizm tak samo jak ja, ze stanowiska utylitarnego. Jeżeli tylko będzie uważał, że ta nowa machina państwowa może funkcjonować regularnie przez kilka lat, to pracy ludzkiej protekcji swej nie odmówi, bo znajdzie w tem korzyść dla siebie.

— Tak, ale w polityce i finansach nie masz nic niebezpieczniejszego jak optymizm. Nietylko nieszczęście, ale i głupstwo ludzkie rzadko chodzi pojedynkiem. Ja się bardzo obawiam, że te nowe rządy o najważniejszej rzeczy zapomną, i zaraz w pierwszym roku niedobory się wykażą.

— Oh! to bardzo być może — zawołał Rak, śmiejąc się — ale od czegóż są pożyczki? W pierwszych latach kredyt się znajdzie.

— Zapewne. Wszelako przyznasz, że byłoby rzeczą niezmiernie ważną, dowiedzieć się już dzisiaj, jak mniej wiecej opiewać będą główne cyfry obustronnych budżetów. Przecież być może, że z obu stron o tem już pomyślano. A jeśli pomyślano, to nikt o tem nie może być lepiej informowany, jak Gerhardus, który, pomimo wszelkiej sympatji dla systemu pięciu grup, zdaje mi się, że już dziś stoi jedną, a może i obiema nogami w dualistycznym obozie.

— A! w tem masz racją — zawołał Rak — muszę z nim o tem pomówić. A właśnie dziś jestem na obiedzie u niego. Czy nie chciałbyś odwiedzić nas po obiedzie? przepędzilibyśmy wieczór na zajmujących dyskusjach, bo Gerhardus, jak wiesz, słyszy jak trawa rośnie i wszystko go interesuje. Zajmuje on się wprawdzie także i astronomią, i czasem niesłychanie mnie nudzi. Kiedy mówi o astronomii, zawsze przypomina mi księdza Chmielewskiego, który się cieszy w Nowych Atenach, że Copernicus, Prusak z Torunia, poszedł nareszcie ad astra, a tam się nie przez teleskop, ale ad coram przekona, że ziemia stoi, a słońce koło niej się obraca. Wszelako swoje usiłowania pogodzenia astronomii z ojcami kościoła nagradza on sowicie tem wszystkiem, co wie o sprawach bieżących. Więc przyjdziesz?

— Być może.

* *
*

Kiedy około ósmej godziny wieczorem przyszedłem do biskupa *in partibus*, zastałem tam wprawdzie Raka, ale był on w tak piekielnym humorze, w jakim go nigdy jeszcze nie widziałem. Nie trudno mi było domyśleć się, że była tam dopiero co mowa o Leendorfie i wczorajszej recepcji, i biskup powiedział Rakowi rzeczy takie, które go obraziły lub oburzyły. W takich chwilach każdy nowy gość jest pożądanym. Dlatego biskup bardzo mnie serdecznie powitał i zaczął zaraz mówić o astronomii, dodając w końcu:

— Jeżeli tedy panowie nic nie macie przeciwko temu, to przejdziemy do pawilonu, i obejrzymy sobie wszystkie cztery wyższe planety, a ja wam coś powiem o pasach na Jowiszu.

Poszliśmy tedy do pawilonu, zamienionego na obserwatorjum; wszelako zaraz teleskop, któryśmy tam znaleźli, wcale Raka nie zadowolił. Jakoż ledwie raz spojrzał przezeń na niebo, zaraz zapytał:

— A gdzie-to jegomość kupiłeś ten okular?

— W Londynie — rzekł biskup.

— Byłem pewny, że w Rzymie — zauważał Rak — gdzie jest skonstruowany podług konkluzów Congregationis Cardinalium, zwołanej przez Urbana VIII., która zdecydowała, że sentencja Kopernika jest *absurdà*, *falsa et haeretica*.

Biskup to w żart obrócił, a my natężaliśmy się dalej, aby coś przez ten teleskop obaczyć; ale ledwieśmy obejrzeli żółtawego Jowisza i szaro-srebrzystego Saturna, mimo to, żeśmy pozabierali ze sobą kapelusze i futra, zgrabieliśmy prawie od zimna, które przez otwarte okna nas przejmowało. Jakoż Rak rzekł:

— Ta heretycka robota skończy się na tem, że zaraz i kara Boska ją doścignie; bo jak jeszcze mało niewiele tu pobawimy, to dostaniemy grypy, poczem będziemy mogli w łóżku nad lekkomyślnością naszą rozpamiętywać.

Wróciliśmy więc do salonu, a skorośmy tylko miejsca nasze zabrali, biskup wrócił znów do Jowisza i tak mówił:

— Od czasu, jak owe pasy chmurzyste na Jowiszu odkryłem, które po jednej i po drugiej stronie Jowiszowego równika swoję stałą mają siedzibę, ciągle nad tem się zastanawiam, jakim sposobem tłómaczyć sobie należy to zjawisko. Z początku byłem zdania, że są to po prostu chmury, które cieplejszą, bo równikową ustalone temperaturą, w grubych warstwach się stale w tych okolicach trzymają; ale od czasu, kiedy dostrzegłem, że pasy te nie sięgają do samychże brzegów tarczy Jowisza, a oprócz tego spostrzeżenie zrobiono, że na Jowiszu burze bywają, które pędzą przed sobą chmury z szybkością taką, jakiej u nas nie dosięgają najwścieklejsze orkany, wpadam na myśl, że to są morza...

Tu biskup spojrzał ciekawemi oczyma na Raka, jakoby chciał się przekonać, jakie to wielkie odkrycie sprawi na nim wrażenie; ale Rak milczał, patrząc przed siebie, a biskup tak mówił dalej:

— Jeżeliż-to są morza, co mi się zdaje rzeczą niewątpliwą, to z nich wnosić należy, że obok nich znajdują się lądy, statecznie, jak u nas osiadłe, a wtedy możnaby wcale przypuścić, że gdzie są morza i lądy, tam mogłoby się także rozwinąć życie roślinne. Cóż pan hrabia na to?

— Roślinne tylko? — zapytał Rak — a dlaczego nie zwierzęce i ludzkie?

Tu biskup bardzo się zakłopotał, kręcił więc tabakierką w ręku, i patrząc na nas obu po kolei, powoli tabakę zażywał. Tymczasem zaś Rak stracił, jak się zdawało, cierpliwość, zabrał głos i tak mówił:

— Każda ścisła nauka jest wszechmocną w swoim obrębie, ale niestety, dopiero w swych rezultatach. Nim zaś dojdzie do rezultatów, jest, tak jak drzewo przez cały czas swego rozwoju i kwitnienia, wystawiona na pastwę pasożytów, które się po niej wieszają i soki jej wypijają, aż póki ich letnie upały nie zwarzą właśnie wtenczas, kiedy drzewo dojrzałe już niesie owoce. Dla mnie nie masz nic nudniejszego, jak owe pasożytne utwory fantazji, które się czepiają nauki; nie opóźniają one dojrzewania jej owoców, ale się stają wielką przeszkodą upowszechnianiu się naukowych zdobyczy. Jegomość powiadasz, że pasy chmurzyste na Jowiszu odkryłeś. Pasy te odkrył jeszcze w pierwszej połowie XVII. wieku Toricelli, a zaraz po nim studjowali je Riccioli i Zucchi. Ale pasy te już w roku 1647 całkiem zniknęły, a Hevel, który ich wtedy napróżno szukał, odkrył zamiast nich ciemne plamy, które poźniejszemi czasy uznano jako ruchome. Cassini, który w roku 1691 znowu dojrzał owe pasy zniknione, pierwszy je dokładnie opisał — a odtąd są one przedmiotem nieustającego badania. Wszelako do dziś dnia nauka dopiero tyle wie o nich, iż są one dwojakiego rodzaju; jedne bowiem częstokroć już po kilku godzinach znikają, drugie zaś przez całe lata i lat szeregi są nieruchome. Pewną jest rzeczą, iż są to chmury czyli mgły, które jednakże nie są wyższą temperaturą równikową na tem miejscu utrzymywane; bo najpierw na samym równiku właśnie takich pasów chmurnych nie widać, a powtóre, właśnie Jowisz tem się różni od innych planet, że od bieguna do bieguna ma temperaturę jednakową, a zarazem dnie jednakowej długości we wszystkich strefach, i wieczną wiosnę we wszystkich częściach swojego globu...

— Jupiter tedy — rzekł na to biskup, który z wielką ciekawością słuchał tego opowiadania — zdaje się lepiej ukwalifikowanym dla mieszkania ludzi, niż nasza ziemia, na której, prawdę mówiąc, zimy nie należą wcale do przyjemności.

— Lepiej albo gorzej — rzekł Rak. Jupiter jest 1,289 razy większy od ziemi, a przeto w każdym razie ludzie mieliby tam więcej przestrzeni. Rok jego wynosi naszych lat blizko dwanaście, coby nie było niedogodnością dla ludzi, zwłaszcza takich, którym ten światek smakuje; a oprócz tego ma on cztery księżyce, zwane medycejskiemi gwiazdami, na któreby się także skarżyć nie można. Lecz za to ma on doby, trwające tylko dziesięć godzin niespełna, a przeto dzień jego wynosi tylko pięć godzin; otrzymuje dwadzieścia siedm razy mniej światła od słońca niżeli ziemia, a grunt, czyli ląd jego, posiada tylko 0,24 tęgości ziemi. Jeżeli to jegomości bawi, to możesz sobie łatwo wymalować, w jakich warunkach żyją ludzie na Jowiszu, jeżeli się na nim jacy znajdują.

— Wyobraźnia ludzka — rzekł na to biskup — jest taką mocą od Pana Boga uposażona, że sobie istnienie ludzkie w odmiennych warunkach klimatycznych łatwo może wymalować. Tak samo na Jowiszu, jak na Saturnie, Uranie albo Neptunie.

— No, to już cokolwiek trudniej — zawołał Rak na to z ironią — bo życie zwierzęce przy świetle, wynoszącem tylko dwudziestą siódmą część naszego światła, jeszcze można sobie wyobrazić, zwłaszcza jeżeli przypuścimy, co nie jest niepodobnem do prawdy, że ciepło wewnętrzne Jowisza działa jeszcze na jego powierzchnię; ale Saturn otrzymuje tylko dziewięćdziesiątą, Uran tylko trzechsetsześćdziesiątą i piątą, a Neptun tylko tysiąc trzechsetną część światła naszego od słońca; tam tedy chyba tylko jakieś żbiki lub ostrowidze wyżyćby mogły, a i te jeszcze nie miałyby co jeść, bo życie roślinne jest tam niemożebne.

— Inne klimatyczne i geologiczne warunki — rzekł na to biskup — inne też rośliny, inne zwierzęta i inni ludzie. Zdaje się oprócz tego, że planety, im odleglejsze od słońca, tem więcej mają księżyców, a przeto światła im pewnie nie braknie. Saturn ma nawet dwie wspaniałe obręcze. Ciepło zaś, jak sam pan hrabia powiadasz, mają ci ludzie z własnej ziemi.

— Wolno to sobie marzyć — rzekł Rak złośliwie — ale powiedz-że mi jegomość, czy dadzą się tego rodzaju marzenia choć jakokolwiek z dogmatami pogodzić!

— A! byłoby-to *contra fidem* — rzekł na to biskup, ale biorąc już teraz Raka na kieł — gdybyśmy także w te teorje astronomiczne wierzyli. Wszelako my nie tylko te pasożyty, o których pan hrabia przed chwilą mówiłeś, ale także i sameż drzewa waszej nauki mamy za czcze urojenia. My, panie hrabio — dodał prałat z surową powagą — w Boga wierzymy, my mamy wiarę naszę, która jest początkiem i końcem ludzkiej mądrości, a ta nas uczy, że my się o te stworzenia, którym Bogu się podobało inne zaludnić planety, wcale troszczyć nie mamy, *bo od nich niczego nauczyć się nie możemy.* Dla nas tylko jedna ziemia przez ludzi jest zamieszkana; ludzi tych Chrystus Pan zbawił, wskazując im drogi żywota, i wierz mi pan, mości hrabio, cokolwiekbądź się tam dzieje na innych planetach, na słońcach i po nad słońcami, *my, mieszkańcy tej ziemi, tylko na tej jedynej drodze możemy znaleźć szczęście za życia, a w godzinę śmierci duszy naszej zbawienie.*

Na to Rak wstał, wziął kapelusz i patrzał przez okamgnienie na prałata. Na jego twarzy widać było, iż chciał wybuchnąć i odpowiedzieć jędrnym swych zasad

wykładem. Ale się wstrzymał, utłumił w sobie swe myśli, powiedział: — Dobranoc! — i wyszedł.

Gerhardus grzecznie mu się ukłonił, ale go do drzwi nie odprowadził. Zasępiony był, myślał przez chwilę, a potem rzekł do mnie:

— Rak w złym jest dzisiaj humorze, bo mu powiedziałem bez ogródki, że nie pochwalam jego postępowania. Co się stało, to się odstać nie może, to też o tem wcale nie mówię. Ale to mu wyłożyłem otwarcie, że błędem jest niedarowanym, tak niebezpieczne experymenty robić z tem dzieckiem, zwłaszcza że i rozum i serce dyktują, iż należy ją wydać za Pikarta, bo to jest jedyną drogą, na której można ją jeszcze uszczęśliwić. Ale co pan chcesz począć z takimi ludźmi, u których rozum gwiaździarski pomięszał się z ziemskim rozumem? *Z analizy spektralnej nie wyprowadzi nikt nigdy filozofii dla życia.*

VIII.

Ktokolwiek jest obeznany z przeszłością Austrji, temu nie może być nie wiadomo, że państwo to było przez długie czasy głównym na całą Europę przybytkiem konserwatyzmu. Konserwatyzm ten był, aż głęboko w wiek ośmnasty, rozumną zasadą państwową, albowiem celem jego było zachowywać to, co stanowiło żywotność i potęgę monarchii; toż nie przechodził on wówczas w tę dążność bezmyślną, która żywemu przeszkadza życiu, a usiłuje z grobu wskrzeszać umarłe, która dziś tu i ówdzie głowę podnosi i także zwie się konserwatyzmem, a jest w samej rzeczy reakcją. Jak długo idea ta stanowiła główną podstawę rządowego systemu, tak długo Austrja zajmowała pierwszorzędne stanowisko między państwami i wydawała mężów stanu pierwszorzędnego znaczenia. W drugiej połowie przeszłego stulecia, za przewodem cesarza Józefa, zawiał był Austrją duch owoczesnej wolnomyślności, który źródliska swoje miał we Francji, a w protestanckich Prusiech znalazł był silne oparcie; lecz mimo udzielnej swojego protektora potęgi, nie zdołał on podstaw tradycjonalnych tej idei obalić; a kiedy potężny jego apostoł przedwcześnie wstąpił do grobu, został się po nim tylko zasiew tak słaby, że dopiero w sto lat poźniej zdołał wzejść ponad ziemię. Cesarz Franciszek I., władca nie genialny, ale praktycznym obdarzony rozumem, silną wolą i wytrwałością żelazną, przedsięwziął był wszelkie środki zaradcze, ażeby powrót józefińskiego ducha uniemożebnić, i wszystkie te środki sumiennie i pracowicie wykonał. Do nich należało przedewszystkiem wytworzenie tej biurokracji, która sobie niebawem niemal wszechwładną zdobyła w kraju potęgę, a zarazem szeroki rozgłos po świecie, bo ona jedna wzięła w dziedzictwie cały rozum stanu austrjackiego cesarstwa z czasów przed-józefińskich.

System polityczny cesarza Józefa dlatego nie miał w sobie warunków żywotności, iż był przeważnie ujemnym; system zaś stworzonej przez cesarza Franciszka biurokracji miał w samym sobie zaród choroby śmiertelnej, bo pierwszym jego artykułem była reakcja. Biurokracja wzięła wprawdzie w siebie także tchnienie józefińskiego liberalizmu. Tchnienie to przechodziło koleją z ojców na synów — a kiedy, w sto lat potem, wolnomyślne na polu spraw kościelnych idee wystąpiły do walki w parlamencie wiedeńskim, to właśnie w ich wnukach najwaleczniejszych znalazły obrońców. Wszelako aż do owego czasu, nim do takich walk przyszło, reakcja była głównym dogmatem biurokracji, reakcja nieubłagana i ślepa, przeciw wszystkiemu, cokolwiek niosło na sobie znamiona nowości — a potem i ów tradycjonalny rozum stanu, który z czasów przed-józefińskich wzięła była w spuściźnie, nie mógł się w niej zachować w dawnej swej żywotności. Machina zardzewiała nie zdołała ducha państwa w sobie utrzymać — a ludzie zardzewiali nie myśleli o tem, aby ją wedle wymagań czasu stopniowo odnowić. A wtedy pierwszy wicher silny, który zawiał w roku 1848, rozbił jej całą budowę. Rządcy biurokratyczni musieli dlatego ustąpić, iż zaniedbali liczyć się z postępami pracującego rozumu — ci zaś, co po nich przyszli, liczą się ze wszystkiem aż nadto, ale ani tradycjonalnego rozumu stanu, ani nawet poczucia państwa nie otrzymali w dziedzictwie.

Biurokracja dawniejsza składała się przeważnie z żywiołów nowych, rekrutujących się w warstwach najniższych, lecz w części także z rodzin arystokratycznych, które od niepamiętnych czasów, prawie dziedzicznie, najwyższe w państwie sprawowały urzędy. Do takich rodzin należeli, w znaczeniu cokolwiek niższem, Leendorfowie — a w znaczeniu o wiele wyższem, pokrewni z nimi hrabiowie Mercy.

Rodzina Mercy-Argenteau była od wieków osiadła w Belgji, a przeszła w służbę domu Habsburgów w tych jeszcze czasach, kiedy dynastja ta panowała w tym kraju. Niektórzy potomkowie tej rodziny byli marszałkami i zastępcami władzy najwyższej, nie opuszczając na zawsze swojej ojczyzny; tylko jedna jej gałąź, nazywająca się Mercy bez przydomku, której najstarszy syn nosił tytuł hrabi, a młodsi byli kawalerowie, przeniosła się na stałą siedzibę do Austryi. Ci byli zawsze gubernatorami lub zasiadali w radzie ministrów. Pod owe czasy, o których mowa, żył jeszcze jeden Mercy, starzec siedmdziesięcio-pięcio-letni, już od lat wielu emeryt, ale zdrów, rzeźwy i najzupełniejszej przytomności umysłu. Bywał on jeszcze za wojen napoleońskich komisarzem rządowym, sprawował poźniej rozmaite misje dyplomatyczne, kilkakrotnie był wysyłanym jako administrator do zorganizowania władzy cywilnej w rozmaitych krajach koronnych, a w końcu był kolejno gubernatorem niemal wszystkich południowo-zachodnich prowincji. Od czasu, jak Austrya zaczęła po kolei przechodzić przez najrozmaitsze nowe systemy rządów, porzucił służbę publiczną, ale zachował wielkie poważanie u dworu i w sferach politycznych, jako mąż stanu wielkiego doświadczenia, głębokiej i bardzo wszechstronnej nauki, nieporównanej znajomości wszystkich części monarchji, a wreszcie jako jeden z ostatnich spadkobierców dawnych państwowych tradycyi z lepszych czasów. Jakoż istotnie zajmującem było czasem słuchać jego politycznych

opinii, których nietylko ten i ów nie podzielał, ale ledwie dziesiąty mógł zrozumieć. W polityce austryackiej stał on bowiem na stanowisku bardzo wysokiem, przypominającem sposób zapatrywania się starszych kardynałów na sprawy kościoła; stanowisko jego było raczej historyczne, niż polityczne; czasy on liczył na wieki, a dzielił na wielkie epoki; wypadki, wielkiej częstokroć wagi, w jego oczach malały do bardzo drobnych rozmiarów, — te nawet, które zmieniały podstawę państwa, były, jego zdaniem, tylko przechodnie, które wszystkie przeminą; „gorzej było w roku 1809, — mawiał on zwykle, — a przecież przyszedł rok 1813; te i owe potęgi mogą zaginąć, ale *Austria erit in orbe ultima*".

Mercy miał swój pałac dziedziczny na Landstrasse, bardzo stare domostwo, ale pańskiego pochodzenia. W bramie na dole stał szwajcar staruszek, w stosowanym kapeluszu niemieckim i z wielką laską o srebrnej gałce w prawicy; wzrok mu już nie służył, ale umiał on doskonale rozróżniać przychodzące osoby, i według ich godności odmierzać swoje ukłony. Na pierwsze piątro prowadziły pyszne, szerokie wschody, cokolwiek strome, jak we wszystkich starych pałacach wiedeńskich, ale wyścielone dywanami i posągami ozdobne. W przedpokoju kilku starych, galonowych siedziało lokajów; pomiędzy nimi kręcił się karzeł, a stary strzelec, z białą brodą, drzemał w fotelu pod oknem. Z przedpokoju wchodziło się do wielkiej antykamery, w której środku tryskała fontana, a nisze obejmowały popiersia rozmaitych znakomitości. Drzwi główne z antykamery prowadziły do całego szeregu salonów, bardzo wysokich, staroświeckiemi sztukateryami wyłożonych, ozdobionych obrazami olejnemi, wmurowanemi w ściany, umeblowanych staremi sprzętami: ten żółto, drugi czerwono, trzeci zielono; w jednym rogu znajdował się salonik z miękkiemi sprzętami i balkonem, wychodzącym na ogród, a w drugim sala balowa, w której wszelako, jeszcze przed kilkunastu laty, ostatni odbył się koncert.

Pani Mercy, Belgijka rodem, sześćdziesięcioletnia staruszka, żywa i szczebiotliwa, jeszcze często wyjeżdżała, ale bywała tylko w domach, do rodziny cesarskiej należących, nie pokazując się nigdzie w towarzystwie; on zaś, prócz audjencji niejako obowiązkowych u dworu, nigdzie nie bywał, tylko codziennie swoim staroświeckim powozem do Prateru wyjeżdżał, jadał o czwartej, rzadko kiedy prosił kogo na obiad, lecz za to codziennie wieczór przyjmował.

Był on bardzo wysoki i chudy, cokolwiek sztywnej, ale o tyle więcej imponującej postaci. Twarz miał ściągłą, ogoloną starannie, nos rzymski lecz długi, usta wązkie, oczy duże piwnego koloru i włosy siwe, jeszcze dość gęste, w rozmaitej wielkości loczki zafryzowane na głowie. Wysoki halsztuk, czarny lub biały, podtrzymywał mu brodę, mocno wykrochmalone kołnierzyki i żaboty świadczyły o skłonności do elegancyi; ale frak jego, czarny lub granatowy, z szerokim kołnierzem i buchastemi rękawy dowodził, że także i modzie nie dozwalał postępu.

Tak siedział on zwykle wieczorem w pierwszym salonie na żółtej kanapie i przez cały wieczór nie ruszał się z miejsca. Nie miał on zwyczaju do nikogo powstawać, tylko swym gościom, wedle ich znaczenia lub swego humoru, bliższy lub dalszy fotel wyznaczał; kiedy zaś był bardzo rozmową zajęty, tedy mówił do wchodzącego, witając go ręką i wskazując na dalsze salony:

— Moja żona od dawna oczekuje pańskich odwiedzin.

Kiedy w kilka dni po owej wielkiej recepcji w ambasadzie francuzkiej przyszedłem go wieczorem odwiedzić, zastałem go siedzącego na żółtej kanapie, jak zwykle, a przed nim, w odległym cokolwiek fotelu, Leendorfa, ale dziwnie jakoś skulonego i w postawie pokornej. Mercy powitał mnie skinieniem ręki i wskazał mnie fotel w równej odległości od niego, jak i od Leendorfa stojący, na którym musiałem usiąść w milczeniu, bo było widocznem, że Mercy był w toku jakiejś prelekcji. Jakoż istotnie, ciągle do Leendorfa zwrócony, tak mówił dalej:

— Któż tego nie wie, że Rzym zawsze jak największego znaczenia używał w Austryi i we wszystkich okolicznościach był z nas zadowolony? Bo najprzód byliśmy po wszystkie czasy państwem katolickiem, a prócz tego wychodziliśmy zawsze z tego przekonania, że podstawy katolickiego kościoła są razem podstawami monarchizmu i legitymizmu. Ale i nad tym stosunkiem naszym, aby go dokładnie zrozumieć, należy ważną zrobić uwagę. Apostolska stolica posiada władzę świecką udzielną, którą my uznajemy, i której bronimy; władza ta jest absolutną i taką pozostać powinna; ale władza ta, jako świecka, ma swoje geograficzne granice, zaś jej absolutyzm nie jest bynajmniej względnie do państw innych atrybutem władzy duchownej. Takie jest względem nas stanowisko apostolskiej stolicy. My zaś, na naszem stanowisku jako państwo, mamy przedewszystkiem obowiązek utrzymania naszego istnienia, a przeto także mamy prawo bronienia się przeciwko wszelkim takim zamachom albo dążnościom, któreby mogły w jakibądź sposób podkopać nasze istnienie, a choćby tylko uszczuplić naszę niezawisłość, albo osłabić naszę powagę. Waćpan mnie zrozumiałeś, panie hrabio?

— Zrozumiałem zupełnie, — rzekł Leendorf.

— A więc prowadzę moję rzecz dalej, — odpowiedział Mercy i tak wykładał dalsze swoje idee: — Wszystko razem wziąwszy i osądziwszy bezstronnie, nie często miewaliśmy powody do skargi na zachowanie się apostolskiej stolicy, a ile razy wyniknęły pomiędzy nami nieporozumienia, zawsze łatwo się wyjaśniły. Ale nigdy nam nie było niewiadomem, kto był właściwym twórcą i instygatorem tych nieporozumień; bo i któż tego nie wie, że często, w łonie samejże kurji, zawsze zaś po za jej obrębem istnieje pewna frakcja, która mięsza naturę i granice władzy świeckiej z naturą i granicami władzy duchownej, i wszystkie swe siły wytęża czynnie na korzyść tej ostatniej. Waćpan, mości hrabio, który od niejakiego czasu zrobiłeś się stronnikiem i rzecznikiem tej frakcji, powinienbyś to rozumieć, że frakcja ta, burząc się przeciwko swemu rządowi, jest winną buntu, winną buntu tem bardziej,

ile że nie tylko nie słucha tej władzy, której ślepo ulegać powinna, ale także działa wbrew jej właściwemu posłannictwu i na oczywistą jej szkodę. Vous êtes des récalcitrants, vous êtes des rebelles, et vous savez que je dèteste tout ce qui sent l'ópposition contre le pouvoir légitime!

Tu Leendorf skręcił się, uśmiechnął się ironicznie i usta otworzył, aby głos zabrać; ale Mercy rękę podniósł do góry i rzekł:

— Przepraszam, jeszcze nie skończyłem. Mówiąc o waszej frakcji, nie opieram zdań moich ani na domysłach, ani na uprzedzeniach. Ja wcale nie cenię sił waszych za nisko. Wy macie talenta i wiadomości, macie pieniądze, wiele współpracowników i rozliczne po świecie stosunki; macie zręczność, wytrwałość, upór, odwagę, a nawet zuchwalstwo, a bezwzględność jest waszą główną zasadą; takiemi środkami można na tym świecie to i owo osiągnąć. Ale wy przeceniacie wasze siły. Wy nie macie rozumu, który głównie na umiarkowaniu polega, wy nie macie rozsądku, bo was namiętność zaślepia, która jest waszą gwiazdą przewodnią. Dlatego dotąd bardzo wiele małych, lecz ani jednej wielkiej nie wygraliście sprawy; wiele zamiarów ludzkich przywiedliście do upadku, ale jeszczeście nic nie stworzyli; na drogach waszych nieprzeliczone sterczą ruiny, lecz ani jedna nie wznosi się powołana do życia budowa. Wyobrażacie sobie, że jesteście wszechmocni, a jesteście tylko wiecznie ruchliwi; myślicie, żeście wszystkowiedzący, a sił waszych przeciwników nie znacie; bezustannie szturmy przypuszczacie do nieba, a ustawicznie nos sobie rozbijacie o ziemię. Vous êtes des étourdis!

Tu Mercy zaczerpnął cokolwiek powietrza i tak mówił dalej:

— Gdybyś Waść, mości hrabio, znał towarzystwo wiedeńskie i nie wyobrażał sobie, iż dlatego, że jesteś tam gdzieś tem albo owem, świat ten przyjmie z rąk twoich dziko wyrosły jaskier za wspaniałą kamelią, w statecznej wychowaną cieplarni, to nie byłbyś poszedł na owę fatalną recepcją do ambasady francuzkiej....

Tu Leendorf syknął i rzucił się, jakby go kto był ogniem pokropił, a Mercy mówił dalej:

— I nie byłbyś mnie i żony mojej do tego zniewolił, aby ten lekkomyślny krok twój naprawiać...

Leendorf już zwiądł był zupełnie i siedział, jakby omdlały w fotelu. Delikatność kazała mi nie słuchać dalszego ciągu tej rozmowy. Wstałem więc, a kiedym szedł do drugiego salonu, staruszek zawołał za mną:

— A proszę nas jeszcze nie opuszczać. Chciałbym z panem pomówić...

* *

W trzecim, narożnym salonie, który był miękkiemi zapełniony meblami, a w którym zwykle pani Mercy prezydowała, było zgromadzonych z dziesięć osób. Na kanapie i obok niej trzy czy cztery starsze damy, w fotelach trzech albo czterech pensjonowanych hofratów i jenerałów, na innej zaś kanapie w kącie Gerhardus i fifille

Po krótkiej konwersacji z starszymi przeszedłem do owej drugiej kanapy, aby zacnego przywitać prałata, a zarazem bliżej obaczyć ten dziko wyrosły jaskier, o który się teraz tak rozmaite potęgi ze sobą kłóciły.

Gerhardus, rzuciwszy jej nawiasowo, kto jestem, kontynuował dalej swój wykład, który mu na chwilę przerwałem, a którego celem było dać jej niejakie o tem wyobrażenie, ak wysokie państwo Mercy w społeczeństwie wiedeńskiem zajmują stanowisko, jak zacni to są ludzie, jak światli i poważani, jak jej potrzeba będzie, zamieszkawszy w ich domu, zrezygnować na wizyty, zabawy i bale, bo państwo Mercy nigdzie nie bywają, ale jak mimo to bardzo wiele osób pozna i wiele się od nich nauczy, bo wszystkie osoby te, które w ich domu obaczy, celują światłem i wychowaniem.

Przez ten czas mogłem się fifilce przypatrzeć i znalazłem, że była to wcale piękna panienka. Miała ramiona cokolwiek podniesione, ale nie tak bardzo, aby ją to szpeciło; wyglądała tylko jakoby trochę zgarbiona. Zato twarz miała bardzo piękną i świeżą, a oczy pełne wyrazu ciągle śmiejące, tak, że nie można było na razie rozeznać, czy w nich gra tylko krew młoda, czy także cokolwiek ironji. Maniery jej, dosyć swobodne, mogłyby były znieść cokolwiek więcej gracji, ale być może, że mi się tylko tak zdawało.

Kiedy biskup, skończywszy kazanie, żagle rozwinął i jako trzechmasztowy poważny okręt ku głównej kanapie odpłynął, a myśmy tu sami zostali, fifille spojrzała na mnie oczyma, których blasku wcale nie mogłem zrozumieć, i rzekła:

— Aimez-vous les curés?

— Mademoiselle, — odpowiedziałem, przypatrując się jej coraz ciekawiej, — je les respecte...

— Ah! j'en ai vu pas mal en Italie! Ça y fourmille. Vous l'avez vu?

— Oui, Mademoiselle, je connais l'Italie!.

— Ah! oui, je vous ai vu à Florence...

Nie odpowiedziałem jej nic na tę uwagę, bo nie chciałem dotykać tej sceny, która się tam odegrała; ale ona mówiła dalej:

— De Florence vous êtes allé à Paris? N'est-ce pas? Vous avez vu pepère et memère... ah! que je voudrais les voir! L'Italie m'embête comme tout, et ici j'étouffe. Il n'y a que Paris, n'est-ce pas, Monsieur?

Przyznałem jej słuszność, ale spytałem się, jakim sposobem się dowiedziała, że byłem wówczas w Paryżu.

— Mais c'est Auguste qui me l'a dit.

— Vous l'avez donc vu?

— Certainement. Il est venu ici ce matin voir le vieux comte. Il ont eu une très longue confèrence, mais je n'en connais pas l'effet. Vous n'en savez rien?

— Absolument rien.

— Quand est-ce que vous avez vu Auguste.

— Avant-hier.

— Qu' est-ce qu'il a dit?

— Il était un peu hors de son assiette.

— Parcequ'il est bebête — zawołała fifille, a przysunąwszy się do mnie bez ceremonji, bez najmniejszego względu na biskupów i jenerałów, wytłumaczyła mi krótko, jasno i węzłowato, że tu wcale nie ma czem się frasować. Chciano ją zaaklimatyzować we Włoszech, nie udało się; teraz będą próbować ją tutaj przyswoić, a to jeszcze mniej może się udać.

— Regardez-moi ces vieilles perruques! — zawołała — Ils s'apprêtent à me dresser. Mais, il y a de quoi rire...

Później może jeszcze coś nowego spróbują, lecz w końcu przecież się przekonają. Na to wszystko nie masz innego środka, jak cierpliwość. Ale dla czego tem się frasować?

— Et puis, quoi? — zawołała w końcu — un jour, je serai majeure! Dites le à Auguste. Nous ne perdrons pas pour attendre.

Był to tedy istotnie jaskier, bardzo dziko wyrosły, ale zdrów sobie. Musiałem się tylko dziwić, jakim sposobem ludzie takiego wychowania i takiego tonu, jak pan i pani Mercy, nie dostrzegli na pierwszy rzut oka, że taki kwiatek nie przyjmie się w ich cieplarni i nigdy z niego kamelia nie będzie. Ale wtem dano mi znać, że Mercy sam jest w salonie.

Kiedym wszedł do jego salonu, Leendorfa już tam nie było, a na jego miejscu siedziała pani Mercy, która wskazując mi fotel pomiędzy sobą i mężem, rzekła z grzecznym uśmiechem:

— Zaprosiliśmy pana na konwersacją, ale uprzedzamy z góry, że będziemy bardzo niedelikatni. Mais, comme vous êtes dans le secret...

— Eh bien! — przerwał Mercy — parlons en amis. Il y a un service à rendre â une douzaine de personnes. Vous connaissez toute cette boutique. Qu' est-ce que cela?

Chodziło tedy o to, aby się dowiedzieć, co to jest właściwie ta rodzina Pikartów. Nie trudno było odpowiedzieć na to pytanie. Nie było bowiem w tej rodzinie żadnych tajemnic, ani też żadnych nieuprawnionych pretensji, nie było tedy nic do zatajenia, ani do koloryzowania.

— Tak — rzekł na to Mercy z namysłem — pracowici to ludzie, zarabiają uczciwie na swój kawałek chleba i są stosunkowo zamożni. Ale przecież to jest jakieś gniazdo fatalne... Kazałem dziś rano zawołać do siebie młodego Pikarta. Inżynier ukształcony w swojem rzemiośle i jak się zdaje z zapałem oddany swojemu powołaniu, ale barykadowa to fizjognomia! Mówiąc z nim, ciągle mi się przypominał rok 1793 i nasza biedna Marja Antoinetta. Chwilami wstręt mnie brał widzieć takie monstrum pod moim dachem...

— Trzeba panu wiedzieć — odezwała się na to dobrodusznie staruszka — że mój mąż ma niektóre niezwalczone uprzedzenia przeciwko Francji.

— Tradycjonalne w pewnych sferach wiedeńskich — dodałem z uśmiechem — łatwe do zrozumienia, ale dzisiaj już nie do usprawiedliwienia.

— A jakto? — zawołał Mercy — alboż to dzisiejsi Francuzi nie napadli na nas bez żadnego powodu w roku 1859? i w jakim celu? aby zjednoczyć Włochy, które nigdy przenigdy nie utrzymają swojej jedności. A czyż to pan nie wiesz, jak się rząd francuski względem nas znalazł w roku 1866? Francuzi, wierz mi pan, wszyscy są jednakowi. Rewolucja zaszczepiła w nich rozsadzające zasady, których się nigdy już nie pozbędą.

— Ależ to są polityczne zapatrywania się, mój mężu — rzekła na to pani Mercy — Francuzi mają wady, jak każdy naród, ale też mają wielkie zalety, a między temi u góry stoi ich praca. To też ta praca wyrobiła tam warstwę społeczną, jakiej jeszcze żaden inny kraj nie ma prócz Belgii i może niektórych krajów niemieckich nad Renem, warstwę robotników, którzy niezmiernie są pracowici, oszczędni, uczciwi, a życie ich jest wzorem cnót rodzinnych. Ja kocham tych robotników i przyznam się panu, że rozmowa z nimi nadzwyczajnie mnie bawi. Pan rozmawiałeś z fifilką, czy nie znajdujesz, że jej język jest bardzo zabawny?

— To jest język klas robotniczych — odpowiedziałem staruszce. — Jakoż zdaje mi się, że sam ten język mógłby służyć za najlepszą wskazówkę, jaką koleją ją puścić należy...

— Język ten nic nie powiada — zarzucił Mercy — c'est la langue verte, przyjęty dzisiaj i w sferach wyższych we Francji.

— W niektórych — odpowiedziałem — ale w tym razie jest on niejako stylem. Le style c'est l'homme. To duch człowieka, a ten tak łatwo zmienić się nie da. Niektórzy ludzie mocą swojego wychowania mają bieg życia naprzód określony, tak jak planety swe drogi. Zepchnąć planetę z jej drogi, to znaczy zniewolić ją, aby inną rozbiła, albo też siebie rozbiła.

— Zapewne — rzekł na to Mercy — cokolwiek zamyślony — ale to niepodobna. Widziałem tego pretendenta, to człowiek od młota. Jużciż zapewne, że w takich okolicznościach trudno celować wysoko. Leendorf przez swoję zaślepioną zarozumiałość niezmiernie utrudnił zadanie. Ale końcem końców coś my tu jeszcze znaczymy, mamy grzecznych i dyskretnych przyjaciół — zacny nasz prałat z nami trzyma, a już on niejednokrotnie daleko trudniejsze rozwiązywał zagadki; jakoś się to da zrobić...

W tej chwili wszedł Rak do salonu.

— Witaj-że nam, kochany kuzynie — zawołał Mercy, rzucając na mnie wzrokiem znaczącym — w samę porę przychodzisz. Bo właśnieśmy tu mówili o planetach, a przytem okazało się, że oprócz ciebie są jeszcze inni ludzie, którym astronomiczne zagadki nie są obce zupełnie. Ale ciebie mamy zawsze za mistrza...

Rak powiedział słów kilka pani Mercy, która natychmiast wyszła do swoich gości, on zaś przysiedł się do nas.

— Tak tedy — rzekł Mercy — mówiliśmy o planetach i wspomnieliśmy o komecie, która się przeszłego roku była zjawiła i tak wiele narobiła hałasu, kiedy właśnie pan wszedłeś.

— O której komecie wspomnieliście? — zapytał Rak, — bo dwie ich było w przeszłym roku. Jedna zja-

wiła się 13. stycznia, a druga 14. lutego. Pierwsza istotnie obudziła cokolwiek zajęcia w świecie naukowym, bo Huggins wziął ją pod analizę spektralną, piękna mu sprzyjała pogoda, i osiągnął świetne rezultaty. Ale o drugiej małoco wiemy, a nawet są o niej bardzo sprzeczne domysły. O któréjże tedy jest mowa?

— Myśmy mówili, — rzekł Mercy niezmiernie zakłopotany, — myśmy mówili o obu kometach. Ale cóż znalazł Huggins?

— Kometa I. 1866 — rzekł Rak — składała się z jarzącego jądra, z mgły, to jądro otaczającej i z miotły. Otóż Huggins znalazł, że jądro było żarem gazowym, a światło jego było różne od światła mgły, która je otaczała. Miotła zaś błyszczała światłem niewątpliwie nie swojem, lecz pożyczanem; wszelako trudno było z pewnością odkryć, czy światło to pożyczane odbijało się od słońca, czyli też od jądra. Druga kometa była nic nie znacząca, tylko trzecia znów narobiła wiele hałasu, ale tylko dlatego, że się nie stawiła na termin.

— A jakto? — zapytał Mercy — więc zdezerterowała?

— A tak, zdezerterowała.

— Chciejże mi to objaśnić, bo mnie to bardzo zajmuje.

— I cieszy? nieprawda? — zapytał Rak śmiejąc się — bo spodziewasz się Ekscelencya znaleźć w tem dowód, że astronomowie się mylą. Tymczasem tak to nie jest. Kometa, o której mowa, nazywa się Biela i należy do tych dziewięciu komet, które w dokładnie znanych i obliczonych elipsach krążą około słońca, i które wszystkie tak samo jak płanety w oznaczonym dniu i godzinie na oznaczony punkt niebieskiego sklepienia wracają. I Biela także, której objętość była przeszło dziesięć razy większa od ziemi, i która co półsiodma roku okrążała słońce, przez długie czasy regularnie powracała, skrócając wszelako prawdopodobnie czas swego obiegu, tak jak kometa Enckego. Jednakże wróciwszy w roku 1845, okazała się najpierwej w Ameryce rozdzieloną na dwie komety, które obok siebie biegły; obliczenia zaś, w kilka tygodni później w Europie przez panów Struwe i d'Arrest zrobione okazały, że obie części komety były od siebie o blisko 40.000 mil odległe. Dostrzeżono zarazem, że odległość ta się wówczas ciągle zwiększała. Biela w roku 1852 powróciła, odległość jej obu części od siebie wynosiła już przeszło 300.000 mil i jeszcze ciągle się powiększała. Przy jej następnym powrocie w roku 1859, z powodu położenia jej drogi względnie do ziemi, nie mogła być obserwowaną. Teraz powinna ona była pomiędzy 2. września 1865 a 11. marca 1866 na takie miejsce firmamentu powrócić, na którem byłaby widzianą, ale nie wróciła. Astronomowie: O. Secchi w Rzymie i d'Arrest w Kopenhadze, najpotężniejszemi teleskopami opatrzeni, przez cały ten czas ją na oznaczonem miejscu oczekiwali, ale napróżno.

— Więc nie wróciła? — rzekł Mercy — cóż myślisz? co się z nią stało?

— To trudno apodyktycznie powiedzieć — odpowiedział Rak — bo nie masz na to naukowo stwierdzonych dowodów; lecz zdaje się, że się po prostu ulotniła, a części jej rozleciały się pośród eteru.

— Jestto rzecz równie dziwna, jak zajmująca — rzekł na to w zamyśleniu staruszek — ta, że tak powiem geografia tego nieobjętego naszemi zmysłami wszechświata, do którego i nasza ziemia jako ledwie dojrzany pyłek należy. Geografia ta ma teraz już, że się tak muszę wyrazić, swoję geologją, do której przyszła, dzięki wynalazkowi analizy spektralnej, a filozofią swoję miała już za czasów Kanta, ba! nawet jeszcze za czasów Greków. Ja — mówił Mercy dalej z pewną powagą — mogę o sobie śmiało powiedzieć, że gdyby mi jeszcze drugi raz przyszło żyć na tym świecie, czego zresztą wcale nie pragnę, tobym nic w mojem postępowaniu nie zmienił, bo szedłem drogą najlepszą, jaką znalazłem przed sobą, bez wielkich obłędów i zboczeń. Ale jednę rzecz przecieżbym zmienił; uczyłbym się astronomii i nauk przyrodniczych za młodu, bo to widzę dziś jasno, że wszystkie te filozofie, nad któremi ojcowie nasi całe wieki strawili, bez tej poważnej i realnej podstawy są po prostu pracą straconą. Wprawdzie Kant już astronomią posiadał i dlatego też wiele jego pomysłów pozostanie w skarbnicy ludzkiej mądrości na wieki; ale jakżeto mało jeszcze Kant wiedział, i ileżto dziś astronomia posiada pewników, o których Kantowi ani się śniło? Do tych nieznajomych mu rzeczy należą także i komety, o których on miał tylko domniemania, podczas kiedy wy dzisiaj już macie pewniki. Ja muszę się przyznać, że o kometach nic wcale nie wiem, prócz tego, że nie sprowadzają ani śmierci królów, ani głodu lub wojny, jak w dawnych czasach mniemano.

— I astronomia — rzekł na to Rak — wie o nich o mało co więcej; gałąź ta jest dopiero teraz w robocie.

— Jednakże coś musicie już wiedzieć?

— Bardzo mało — odpowiedział Rak — nauka postawiła i udowodniła dotychczas tylko niektóre ogólne zasady, z których, o ile się zdaje, już nie będzie potrzebowała wykraczać, ale widoki do nowych odkryć są jeszcze bardzo rozległe.

— Chciejże nam dać pojęcie o tych zasadach.

— Kto chce mówić o kometach — zabrał głos Rak — ten musi sobie przedewszystkiem przypomnieć, co o nich wieszczym natchniony duchem Keppler powiedział: „Solcher Cometen halte ich der Himmel so voll seye, wie das Meer voller Fische ist.“ Jakoż istotnie pewnik ten trzeba mieć ciągle przed oczyma, że komety są najliczniejszą ludnością wszechświata, eter jest niemi tak przepełniony, jak woda rybami, a płanety i słońca rzadkie tylko stanowią wyjątki. Jeżeli w obrębie naszego słonecznego systemu komet już przeszło sześćset odkryto, z czego wnosić wypada, że jest ich u nas samych wiele tysięcy, to w jakichże niezliczonych miliardach muszą się one błąkać po tym niezmierzonym przestworze, w którym cały nasz system słoneczny jest tylko jedną kropelką. Komety te, które w obrębie naszego systemu widzimy,

musimy najprzód podzielić na dwa główne rodzaje, na te, które swój bieg odprawiają w tym samym kierunku, jak nasze planety, i na te, które biegną w odwrotnym kierunku. O pierwszych można rozumieć, że należały od wieków do naszego systemu, to znaczy, że się utworzyły tak samo, jak planety, odrywając się od masy pierwotnej słońca, a skutkiem tych albo owych rewolucji lub przeszkód nie mogły dotąd wpoić się w sposób regularny w mechanizm naszego systemu i wejść między planety. Ale o drugich, to jest o tych, które w odwrotnym biegną kierunku, nie masz najmniejszego wątpienia, że są to przybysze, którzy wyrzuceni z innych systemów słonecznych wpadli w nasz, i tutaj błąkać się muszą, aż póki albo tu swego istnienia nie ustalą, albo też znowu mocą jakiej katastrofy nie zostaną wyrzuceni z naszego systemu.

— A jakto? zapytał Mercy — to między temi statecznemi gwiazdami, które zawsze na jednem miejscu na niebie widzimy, są także i takie wagabundy, które się bez marszruty błąkają po całym przestworze?

— Takie wagabundy, jak już wspominałem — rzekł Rak — liczą się w przestworze niebieskim na miliardy. Przyciągane przez jedne ciała niebieskie, odciągane przez drugie, latają one, jak piórka, po całym przestworze, nie mając żadnej utartej kolei, ale prawem natury ciągle takowej szukając. Jakoż wiemy o nich tylko tę jednę rzecz pewną, że gdziekolwiek i kiedykolwiek w swym biegu znajdą równowagę, to jest punkt taki, od którego mogą rozpocząć jakikolwiek bieg regularny, tedy punkt ten chwytają i biegną dalej punktem tym określoną koleją, bez względu na to, w jakim się znajdują systemie i co się z niemi tam stanie. Ta przypadkowo znaleziona równowaga, a z nią razem i nowa kolej, czasem staje się stałą, a wtedy takie komety wpajają się w ten system słoneczny, w który wpadły; takiemi są w naszym systemie te właśnie komety, które swój bieg odprawiają w odwrotnem od planet kierunku. Lecz często także znaleziona ta równowaga jest tylko czasową; jakaś wielka planeta, jak Jowisz lub Saturn, wyrzuca ich z nowej kolei, a wtedy wybiegają napowrót z naszego systemu, lecąc na ślepo ku innym.

— Takim kometom nie masz co ich karyery zazdrościć — rzekł na to Mercy — ale to są zarazem niebezpieczne subjekta, bo pędząc tak z zamkniętemi oczyma i z rozczochranemi włosami po przestworze niebieskim, mogłyby czasem o tę lub owę planetę zawadzić i wielkiego narobić bigosu.

— Nie — rzekł Rak — to niebezpieczeństwo od komet nie istnieje. Bo najpierw siła przyciągająca i odciągająca działa na bardzo dalekie odległości, a powtóre komety te nie składają się z twardej materyi, tylko z żarów gazowych, z mgieł i zapewne z meteorytów; mogłyby one zatem, potrąciwszy naprzykład o ziemię, tylko chwilowy wpływ wywrzeć na jej temperaturę, albo rzucać na nią przez jakiś czas kamieniami.

— I to-by nie bardzo było przyjemnem, zauważał Mercy.

— Ale do tego już jesteśmy przyzwyczajeni — odpowiedział Rak — bo przecież co chwila uderzają o ziemię meteory, czyli tak zwane gwiazdy spadające; prócz tego ziemia przechodzi w dniach 12. sierpnia i około 13. listopada przez całą chmarę takich meteorytów, które też pod owę porę bardzo gęsto na nią spadają — a przecież bardzo rzadkie są wypadki, aby ktoś od meteora został zabity.

— Tak, ale taka fatalna kometa mogłaby potop wywołać.

— A! toby być mogło, bo na to wcale nie wiele potrzeba. Ale dlaczegóż się takiemi niebezpieczeństwami niepokoić, które nam grożą z zewnątrz, jak skoro jesteśmy w tylu niebezpieczeństwach, które z samejże ziemi wyrodzić się mogą. Przecież tę ziemię naszę nie możemy sobie wyobrażać inaczej, tylko jakoby jaje, z tą jednakże wielką różnicą, że zamiast białka i żółtka wieczne kipią w niej ognie. Skorupa ta, na której nawet piramidy stawiamy, a w której ciągle wiercimy, nie jest stosunkowo grubsza jak skorupa jaja; czegóż na to potrzeba, ażeby gdziekolwiek pękła, albo ażeby ją jakiś nowy wulkan rozsadził? Katastrofa taka może zajść każdej chwili, a przecież o niej nie myślimy.

Mercy go z wielką słuchał uwagą i bardzo się nad tem zamyślał. A potem rzekł:

— Ale zostańmy jeszcze przy kometach. Z czegóż się właściwie te niemoralne subjekta składają? i zkąd się właściwie wzięły?

— Odpowiedź na te pytania nie jest łatwa — rzekł Rak — bo nauka dopiero od kilku lat pilniej nad ich rozwiązaniem pracuje. Wszelako to pewna, że skład komet czyli ich materya nie jest stężała. Składają się one w części z meteorytów, w części zaś z gazów palących się i mgieł, rozcieńczonych do subtelności takiej, o jakiej my sobie nie możemy zrobić wyobrażenia. Babinet posunął się w swoich obliczeniach tej subtelności do tego przypuszczenia, iż niektóre komety, gdyby je w materyą, dla nas pojętną, zgęścić, nie wynosiłyby więcej, jak kilka stóp sześciennych wody.

— No, to te nie są niebezpieczne — zauważał Mercy.

— Nie — odpowiedział Rak z uśmiechem — ale i inne także niewiele obejmują materyi, bo żar gazowy także wielkiej jest subtelności. Masa kamieni, która się w nich może znajdować, w największych kometach nie wynosi jednej milionowej części ziemi. Inne części składowe są wodnej natury. Wszelako to wszystko razem ustawicznym i nader gwałtownym ulega zmianom temperatury, a przeto i formy. Oddalając się od słońca, masa ta marznie, zbliżając się, topi się i zapala — a ani o tych stopniach zimna, ani o tych stopniach gorąca, przez jakie przechodzi, wyobraźnia nasza nie może sobie zrobić pojęcia. Naprzykład, kometa 1680, przepędziwszy 8800 lat w oddalonych sferach wszechświata, gdzie była wystawiona na mrozy piekielne, zbliżyła się w tymże roku na 32.000 mil do słońca, gdzie znalazła ciepło, przewyższające 30.000 razy temperaturę powierzchni ziemi. Z bryły granitowego lodu musiała się tedy zamienić niejako w oddech płomienny. Takie same mniej więcej koleje temperatury muszą przechodzić wszystkie

inne komety. Przybliżając się kometa do słońca, ulatnia się, gazy jego słońce przyciąga do siebie, lecz mocą swojej elektryczności znów je odpycha w odwrotnym od siebie kierunku; w górze więc rozpalają się, u dołu marzną, i tak się to ciągle powtarza do tego stopnia, że znakomity astronom, Zenker, jest zdania, iż stan komety należy sobie wyobrażać jako ustawiczną zawieruchę śniegu i gradu.

Mówiący chwilę odetchnął, a potem tak skończył:

— Zkąd się komety wzięły, to jeszcze trudniej odgadnąć. Jest jednakże wielkie podobieństwo, że te komety, które z płanetami w jednym kierunku biegają, a przeto do naszego systemu należą, są po prostu resztkami płanet, które jeszcze w słońce nie wpadły. Albo też może są składowemi częściami płanet, które, prześladowane, spędzane z drogi i rozbijane przez silniejsze płanety, nigdy dojrzeć nie mogły i nie przyszły do życia.

— To ciała niebieskie tąką tam walkę prowadzą ze sobą? — zapytał ciekawie staruszek.

— To, co nauka w tym kierunku wykryła dotąd na niebie — rzekł Rak z niejakim tryumfem — jest to najwyższy egoizm i najwyższa bezwzględność. Każdy mocniejszy rozpędza, tratuje, rozbija słabszego, kiedy mu stoi na drodze. Jest to zasada „złego,“ którą filozofia określa jako bezwzględne zwalenie wszelkiej niedogodności z siebie na drugich.

— A! to dość smutne — zauważał staruszek.

— Zapewne — rzekł Rak — ale jest to ta sama zasada, która panuje na ziemi, i którą się kierują tak samo państwa, jak najmniejsze robaczki, które się wzajemnie zjadają.

— A ludzie? — zapytał Mercy.

A wtem wszedł Gerhardus do żółtego salonu. Rak, który oczywiście był gotów wyłożyć nam cały swój system filozoficzny, nagle uciął i rzekł do prałata:

— Już też dziś Ekscelencya nie będziesz skarżyć się na to, że ci brakło zajmującej konwersacji.

— Bez wątpienia, że miałem jej dosyć — odpowiedział biskup — jak zawsze w tym domu, gdzie od lat kilkunastu jeszcze mi się nie zdarzyło spotkać osoby, któraby swojem światłem, albo też rozmaitemi wiadomościami nie obudzała najwyższego zajęcia.

Mercy się biskupowi wdzięcznie ukłonił, a Rak rzekł:

— Ale i my też jużeśmy prawie unużyli hrabiego, a to późna godzina.

Poczem oba opuściliśmy salon. Jadąc razem do miasta, Rak opowiedział mi, że niezmiernie wiele domów i gruntów nakupił w Wiedniu, bo jest przekonany, że na nieruchomościach, kupionych po teraźniejszych cenach, nic stracić nie można. Jutro spisuje kontrakty, a pojutrze wyjeżdża do Kroacji.

— Słuchaj mnie — rzekł on do mnie, wysiadłszy przed mojem mieszkaniem z powozu — co roku z wiosną przedsiębierzesz jakieś podróże; kąpieli nie potrzebujesz, bo zdrów jesteś, ale świeżego powietrza ci trzeba. Nie masz na całym świecie zdrowszego powietrza, jak u mnie; cóż-by było, gdybyś za pierwszym wyjazdem z Wiednia do Rakowa przyjechał? Jużeśmy bardzo wiele z sobą rozmawiali, ale są bardzo ważne rzeczy, którechyśmy jeszcze wcale nie dotknęli.

Musiałem się w głos na to roześmiać.

— Czego się śmiejesz? — zapytał Rak.

— Bo się domyślam, które-to są te rzeczy, a wiem zarazem, że o tych rzeczach możemy sto lat mówić ze sobą, a przecież się nie zgodzimy.

— A to pytanie. Cóż? przyjedziesz?

— Zostawmy to przypadkowi.

IX.

W przeciągu kilku następnych miesięcy wielkie zmiany zaszły w Austryi. Starożytna ta monarchja została rozkłuta na dwie połowy i zorganizowana w dwa państwa osobne. Węgrzy otrzymali wszystko, co chcieli, i urządzili państwo swoje w takiej niezawisłości, jakiej nigdy nie mieli. W austrjackiej połowie monarchji, najnieszczęśliwiej złożonym konglomeracie pod względem geograficznym i etnograficznym, Niemcy wzięli górę, a między nimi owo tak zwane liberalne stronnictwo, którego dotychczasowem zadaniem było burzyć wszystkie urządzenia, pochodzące z dawniejszych czasów, bez względu na to, czyli te nowe, które na ich miejscu postawią, potrafią w sobie siłę duchową państwa utrzymać, która się coraz więcej musiała ulatniać. Za przewodem nowego ministra stanu, Beusta, ministerstwo mieszczańskie przyszło do steru, złożone z tych samych ludzi, którzy dotąd stali na czele liberalnego stronnictwa, a którzy i na krzesłach ministeryalnych nie zmienili swojego programu burzenia do reszty, co mogło tamować rozwój liberalnych idei. Odważni, energiczni i zmyślni w działalności ujemnej, lecz najzupełniej niezdolni do jakiejkolwiek czynności dodatniej, jak w skarbowości nie umieli innemi środkami nawet chwilowej równowagi utworzyć, tylko sprzedażą dóbr koronnych i częściowem bankructwem, tak i organizacją nowego państwa przeprowadzili tym trybem, iż postawili nad wszystko obsadzenie urzędów wyznawcami swoich własnych politycznych opinii. Ażeby zaś ludność od spraw politycznych ile możności odwrócić i przysposobić jej inne zajęcie, otworzyli na ścieżaj wrota finansowemu przemysłowi, nietylko zezwalając, lecz także i protegując wszelkiego rodzaju przedsiębiorstwa, bez względu na ich potrzebę i pożyteczność, a tylko w tym celu, ażeby ludność w nich znalazła zajęcie. Środek ten polityczny zaczął już w pierwszych miesiącach o tyle skutkować, iż wcale dziwne wyrodził stosunki w stolicy państwa. Kiedy bowiem bardzo przeważna większość ludności, łaknąca posad lub zysków, stanęła po stronie nowego rządu i energicznie zakasała rękawy do wymiecenia tego wszystkiego, coby mogło tamować przyjście nowej ery, która już jasno świtać zaczęła — mniejszość, złożona z ludzi spokojniejszych i głębiej myślących, a nie dzielących tego gorączkowego parcia do czegoś, co dotąd przedstawiało się tylko w zarysach ujemnych, musiała się przedewszyst-

kiem usnnąć ze sceny, choćby tylko dlatego, aby spokojnie wyczekać, co z tego będzie. Zewnętrzna postać miasta się wówczas znacznie zmieniła: w warstwach robotniczych i średnich ludność się pomnożyła przybywającymi z prowincji, w warstwach zaś wyższych wiele osób ubyło, bo arystokracja węgierska wyjechała z trjumfem do Pesztu, czeska zaś usunęła się z nieukontentowaniem do Pragi, a oprócz tego wiele innych rodzin także, bądź straciwszy podstawę swego istnienia w Wiedniu, bądź znalazłszy korzystniejszą w którem z miast prowincyonalnych, powynosiło się ze stolicy.

Mnie wówczas wzięła także chęć przedsięwzięcia dłuższej podróży, a ułożywszy sobie jej program, postawiłem na jego czele odwiedziny u Raka.

Rak miał swoję siedzibę o małe dwie mile od Zagrzebia. Lecz nie był to wcale ani tak mały zameczek, jak mi go niegdyś Rak był przedstawił, ani też mały majątek, o czem zresztą już od Raczka wiedziałem. Pocztylion, który mnie wiózł do Rakowa i nie pomału był gadatliwy, dziwy o nim mi opowiadał.

— U nas w Kroacji — powtarzał mi kilka razy — niemało jest wielkich panów, ale takiego drugiego nie mamy. U niego całe państwo, jak ogród. Co roku urodzaje przecudne; jakie owce, jakie bydło, jakie konie! Węgle kopie, wino chowa, jedwab wyrabia i wszystko mu się wiedzie — a każde nieszczęście przed nim pryska, jak zły duch przed wodą święconą. Ale on w gwiazdach czyta i ztamtąd taką moc bierze......

Już o pół mili od Rakowa widzieliśmy wielkie plantacje drzew morwowych, a tu i ówdzie znaczne kosmyki słodkich kasztanów. Po lewej ręce nieprzebrane lasy dębowe, które się ze dwie mile ciągnęły po wzgórzach, po prawej duży płat lasów szpilkowych doskonale utrzymanych. W środku równina ziemi starannie uprawnej, a w głębi wśród ogromnego parku, zamek prawie potężnych rozmiarów. Zdaleka już było widać ogromną basztę sześcienną, panującą nad zamkiem, dalej wieżę z dachem szpiczastym, później dwie baszty pomniejsze, nareszcie sam zamek zbudowany po części w stylu gotyckim, po części we włoskim, jak niemal wszystkie tego rodzaju budowy, które ze średnich przechowały się wieków i późniejszemi czasy bywały rozszerzane i przyozdabiane. Niejednakowej wysokości piętra, szerokie okna i kolumnady z jednej, wązkie łuki z innej strony, mięszały się z sobą; do połowy wielkiej baszty prowadziły schody zewnętrzne, dwie mniejsze baszty były połączone ze sobą mostem kamiennym, przed zamkiem zaś kolosalna kolumnada, olbrzymie schody i obszerna, wklęsła wewnątrz zamku weranda. Na tej werandzie siedział Rak i przez dużą perspektywę, która obok niego stała na trójnogu, patrzał na gościniec i na pola; wyczekiwał gości, albo też robotników doglądał. Kiedy mnie obaczył, zbiegł na dół schodami i bardzo mnie serdecznie powitał, prawie jakby ludzkie serce się w nim odezwało, którego dotychczas nie dostrzegłem.

— Bardzo mądrze zrobiłeś — rzekł on do mnie — żeś nareszcie przyjechał. Patrz, czy jest gdzie na świecie piękniejszy kawałek ziemi, gdzieby można spokojniej odetchnąć. I czas też po temu. Tu wszystko w zieloności i w kwiecie, a tam jeszcze słomki ciągną po lasach. Mój ojciec pojechał z Raczkiem na polowanie, moja żona się także za nimi powlokła, mamy jeszcze godzinę czasu do obiadu; jeżeli nie jesteś głodny, to możemy sobie pogawędzić tymczasem.

— Wcale głodny nie jestem, bo dopiero przed dwoma godzinami jadłem śniadanie.

— Ale oni dopiero po zachodzie słońca powrócą.

— Choćby i później, u mnie do głodu jeszcze bardzo daleko.

— Cóż tedy dzieje się w Wiedniu? — zapytał Rak.

— Prócz tego, co wiesz z gazet, wątpię, abym ci mógł coś nowego powiedzieć.

— Zajmujące to rzeczy — rzekł gospodarz domu. — Wnosząc z tego, co już zrobiono i na co zakrojono, nie masz wątpienia, że teraz już te strupieszałe pozostałości z dawnych czasów zostaną wymiecione do reszty. Każdy człowiek będzie mógł zarabiać na swój kawałek chleba wedle swojej idei, i wedle swojej idei dorabiać się duszy zbawienia. Kto zna temperament ludności wiedeńskiej, ten ani na chwilę wątpić nie może, że za rok lub dwa lata wyrobią się tam amerykańskie stosunki. Wszystko skipi od dna aż po brzegi. Ale czy ten stary garnek taki kipiątek wytrzyma, to inne pytanie.

— Stare państwa nie tak łatwo pękają, jak stare garnki — odpowiedziałem — ale nie masz wątpienia, że z jakiegokolwiek punktu widzenia spojrzysz na Austrją, to zawsze musisz zadać sobie to pytanie.

— Zapewne — rzekł Rak. — Ja też wcale się tego nie obawiam, ażeby demokratyczne lub liberalne idee mogły Austrji zaszkodzić; bo najpierw demokratyczne drzewa w Niemczech nigdy pod niebiosa nie rosną. Ein echter deutscher Mann nur in der Tiefe des Gemüthes die Freiheit traegt — powiedział Heine. Prócz tego rozumny rząd potrafi zawsze dążności takie sparaliżować, a nawet zużytkować dla siebie. Brod ist die Hauptsache — powiedział z równą ironią, a zarazem z równą trafnością Boerne. To też ja w całkiem innym kierunku widzę niebezpieczeństwo, a to jest w swobodach nadanych Węgrom. Swobody społeczne, polityczne i narodowościowe niechby sobie mieli, tychbym im nie żałował, ale przywileje państwowe, to inne pytanie. Do tego jeszcze 200,000 honwedów, aby ich mieli czem bronić, to już prawie szyderstwo z siebie samego. Stary Mercy mnie bawi swojemi ideami, który sobie Austrją wyobraża jak księżyc, wchodzący z pierwszej kwadry w drugą, a z drugiej w trzecią i potem znowu wracający do pierwszej. Według niego są to tradycjonalne lunacje Austrji, że raz są Niemcy górą, potem Czesi, potem Węgrzy, a w końcu znów Niemcy wracają. Tak to dotąd bywało. Ale teraz to co innego; księżyc ten może jeszcze będzie rozmaite kwadry przechodził, ale wątpię bardzo, aby jeszcze kiedy do dawnej pełni powrócił...

— Dawnoż pana Mercy widziałeś?

— Bawił tu z żoną blisko dwa tygodnie, a przed tygodniem wyjechał do swego majątku, który ma w Istryi i w którym zwykle lato przepędza.

— Dla mnie Mercy bardzo pociesznym jest egzemplarzem — zauważałem na to — a zarazem pocieszającym, a to dla tego, że jest już jednym z ostatnich. Kiedy go słyszę mówiącego, to mi się zdaje, że czytam urzędową gazetę wiedeńską z czasów metternichowskich. Gerhardus to znowu inny rodzaj dziennika.

— Gerhardus — rzekł Rak — nie jest to ta maleńka łódka, która się każdemu daje unosić wirowi, ale ów statek poważny, który z wiatrem płynie, lecz także czasem sam wiatru szuka i inne statki wyprzedza. W gruncie rzeczy zabawny to facet: polityczny intrygant i jako taki oczywiście bez sumienia, ale ponieważ djabła się boi, którego nie umiał ze swojej głowy wypędzić, więc często ludziom dobrze czyni, ażeby obie szale przynajmniej w równowadze utrzymać. Wszelako nie bierz go za komedjanta, on we wszystko sam wierzy, co innym zaleca, a często się nawet do grzechów przyznaje...

— I tem się różni od Leendorfa — zauważałem.

— Oh! i wielu innemi rzeczami — zawołał Rak. — Młodszy Leendorf, brat mego szwagra, jest sługą systemu, którego on nie wymyślił, tylko do niego przystąpił. Jakże by ci go bliżej określić? Oto ludzie na tym świecie łączą się z sobą w rozmaite spółki, stowarzyszenia, cechy, stronnictwa lub sprzysiężenia, których wszystkich ostatecznym celem jest przyjść do władzy, ażeby nad innymi panować. Jedni z nich dobijają się najprzód pieniędzy, aby za pomocą pieniędzy dojść do panowania; inni dobijają się panowania, aby przyjść do pieniędzy. Otóż między nimi jest jeden cech, który jednocześnie idzie obiema drogami: gdzie może zdobyć pieniądze, zdobywa pieniądze, a gdzie się może dostać do władzy, tam bierze władzę. Do tego cechu Leendorf należy. Ja — mówił Rak głosem stanowczym — tylko w mojej młodości oglądałem się za ludźmi, z którymi bym się mógł do jakiej czynności skojarzyć. Ale od czasu, jak do rozumu przyszedłem, zamianowałem się sam spółką, stowarzyszeniem, cechem, stronnictwem i sprzysiężeniem. I od tej pory idę sam naprzód; kto mi staje na drodze, a słabszy jest, tego druzgocę, a jeśli mocniejszy, te go omijam, aż póki nie uznam, że mogę się z nim wziąć za bary. I wierz mi, jest to jedyna droga dla zdrowego człowieka. Ma on do tego obowiązek i prawo, bo jest to ta sama zasada, na której się opiera budowa i istnienie całego świata... i jeśli zbadasz ten świat od kamienia, rośliny i mrówki aż do gwiazd i systemów słonecznych, nigdzie nie spotkasz ani śladu innej zasady, ani śladu innej idei.

— Tak — zawołałem — idea siły, przemocy, gwałtu, jednem słowem idea złego. Ale jakimże prawem przenosisz ideę z natury martwej...

Wtem dał się słyszeć tuż koło zamku niezmierny tętent i zgiełk, i w oka mgnieniu zajechała cała kalwakada powozów i jezdnych przed ganek. Najpierw więc czterokonny powóz, z którego wysiadła żona Raka i jakaś druga dama, potem mała karjolka, z którego wyskoczyła fifille z drugą panienką, a wreszcie kilkunastu jezdnych, na których czele stary Rakowski i Raczek. Damy po krótkiem powitaniu poszły się przebrać; Raczek niezmiernie uradowany ścisnął mnie za rękę i także pobiegł w głąb zamku, a z nami się został tylko pułkownik, który mnie mocno ściskał za rękę i mówił:

— Jak najserdeczniej witamy gościa. Przecież będzie do kogo ludzkim przemówić językiem. A liczymy na to, że między nami przynajmniej ruski miesiąc pobawisz. Co tam po tych miastach za życie! W dzisiejszych czasach człowiek już i na wsi nie może swobodnie oddychać...

Ojciec Raka był to starzec, mający przynajmniej siedmdziesiąt ośm lat wieku — pod Saragossą już był porucznikiem — ale był zdrów i czerstwy nad podziw. Słuszny był wzrostem i także zbudowany barczysto, lecz ani zażywny, ani też zawiędły; postawę miał wcale żołnierską, na bladej twarzy dość jeszcze żywe rumieńce, gęstą czuprynę siwą, zarzuconą na prawo i wąsik biały zakręcony do góry. W oczach jego pogodnych igrał jakoby promyk ironji, a wyraz jego twarzy pomimo całej powagi był taki, jakoby sobie z lekka podrwiwał z całego świata. Gdyby nawet nie było owej piankowej fajeczki z bukszpanowym cybuszkiem, którą ustawicznie trzymał w ustach lub w ręku, to można było na pierwszy rzut oka poznać żołnierza z czasów księcia Józefa. Dziś miał na sobie krótki kubraczek aksamitny zielony i wielkie buty myśliwskie, a tak jeszcze tem więcej po żołniersku wyglądał.

— A cóż tam w Wiedniu? — rzekł on, siadając przy nas — gdzieśmy wojnę przegrali, tam się skończyło na kontrybucji, a gdzieśmy wygrali, tam trzeba było oddać całą prowincją. Otóż to polityka; dam konia z rzędem temu, kto mi ją wytłumaczy. A teraz jeszcze oddaliśmy rząd w ręce profesorów i adwokatów; toż to dopiero będzie gospodarstwo. Tylko że, jak słyszę, skarb państwa dostał się w ręce astronomowi, więc jest przynajmniej nadzieja, że nie pójdziemy z torbami.

Na to Rak w głos się roześmiał — a staruszek pokręcał wąsika i uśmiechał się.

Nowy minister skarbu, p. Brestel — zauważałem na to — dawno już astronomją porzucił, a nawet i wtedy w obserwatorjum wiedeńskiem tylko podrzędne zajmował stanowisko. Wszelako wyniósł on ztamtąd dokładną znajomość matematyki, a to dla ministra skarbu może być tylko zaletą.

— Zapewne — rzekł staruszek — jak najdokładniej wam wyrachuje, że nie ma za co armji ani zreorganizować, ani utrzymać. A dziś państwo bez armji ani jednego dnia się nie ostoi; toż jeszcze i żołnierz dzisiejszy haniebnie wiele kosztuje. Za naszych czasów armje nie pożerały takich sum niesłychanych, bo u nas żołnierz był skromny, grzeczny i powszechnie lubiony, więc też się i sam potrafił wyżywić; obywatele uprzedzali się wzajem, który go pierwej nakarmi i napoi.

— A przytem też i wiedzieli, dlaczego się tak uprzedzali — rzekł Rak z znaczącym uśmiechem.

— Oczywiście — odpowiedział pułkownik, uśmiechając się ciągle — za owych czasów każdy obywatel kochał swoję ojczyznę i wiedział, że żołnierz jest jej jedyną obroną, każdy też starał się o to, ażeby żołnierzowi na niczem nie zbywało. Jeżeli zaś który ojczyzny nie kochał i nie dbał o jej obronę, tedy już musiał go żołnierz tych obowiązków nauczyć...

Tak staruszek się z nami zabawiał, aż się dzwonek z oficyny odezwał — znak, że za pół godziny będzie zupa na stole. Wszyscy tedy poszli do swych pokojów, aby się przebrać do obiadu, bo u Raka chowano obyczaj przestrzegany po wszystkich zamkach zagranicznych, że trzeba było przychodzić do stołu we fraku i w białej krawacie.

Rak miał pyszne w swym zamku salony; ilość ich wielka, a każdy umeblowany w smaku odmiennym; w jednych drogie materje, w innych obrazy widać było na ścianach, tu i ówdzie marmury i bronzy, wszędzie zaś ciężkie kotary i grube, mięsiste dywany. W salonie, przytykającym do sali jadalnej, było kilkanaście osób zgromadzonych. Żona Raka, wyglądająca pysznie, różowa, uśmiechnięta, wesoła, zajęta trzema innymi damami z sąsiedztwa, otoczona gronem mężczyzn, pomiędzy którymi Raczek rej wodził. W kąciku fifilka sama jedna, opuszczona i zamyślona; jakoż w tej chwili Raczek, bardzo dobre chłopczysko, zlitował się nad nią i przysiadł się do niej. Wszelako niebawem młodszy Leendorf, wylazłszy zapewne z jakiejś biblioteki albo kaplicy, poszedł zaraz do fifilki, a wtedy Raczek, który go, jak się zdaje, nie lubił, wkrótce od niej odstąpił. Chwilę jeszcze czekano na pułkownika, który się zjawił nareszcie, ubrany świeżo jak wszyscy. Przystąpił on zaraz do dam, i widać było na pierwszy rzut oka, że płeć piękna była w wielkich łaskach u niego. Pomiędzy damami była jedna słuszna brunetka, śniadej twarzy z ogromnemi czarnemi oczyma; wiedziałem już o niej, że była żoną starosty z poblizkiego sąsiedztwa, Raczek zaś szepnął mi do ucha, że dziadek się w niej kocha, jak motyl w róży. Jakoż istotnie pułkownik siarczyste stroił do niej koperczaki, jak za czasów księcia Józefa, chociaż miał wielką przeszkodę, bo mimo niezliczonej ilości języków, które posiadali oboje, nie mieli żadnego wspólnego. Dama mówiła po niemiecku, po włosku, po węgiersku i po kroacku, a pułkownik po polsku, po francuzku i po hiszpańsku. Albo tedy on mówił po hiszpańsku, a ona po włosku, albo on po polsku, a ona po kroacku, a reszta na migi, z czego wynikały czasem najzabawniejsze nieporozumienia. Raczek im dogadywał i śmiał się, ciągle mi jakieś uwagi szeptał do ucha i mówił:

— Gdybym mógł, z duszy, z serca bym dziadkowi dopomógł; ale musiałbym mu choć ze dwadzieścia lat w jakiś sposób odciągnąć...

A dziadek to uważał, wziął mnie pod ramię i rzekł:

— A co ci tam Raczek naszeptał? kocha się jak kot zagorzały. Alebo też to kobieta! Gatunek pospolity w tych krajach i w Hiszpanii, istna cyganka, ale jaki egzemplarz! Raczek się pieni z zazdrości, nieprawda? Ale to ci powiadam, odbierz mi tylko lat dwadzieścia, a obaczysz, że wszystkich Raczków w myszą dziurę zapędzę.

Koło żony Raka stał, jakby kołkiem przybity, major od huzarów, magnat węgierski w Zagrzebiu na konsystencji stojący, człowiek nie najpierwszej młodości, ale bardzo przystojny i wykwintnego wychowania. Ci państwo ciągle z sobą rozmawiali i często tak głośno się śmiali, że ich słychać było nad wszystkich. Rak, który na chwilę zbliżył się do mnie, patrzał bardzo z ukosa na tego majora i nawet się na oka mgnienie zamyślił, poczem się zbudził i rzekł do mnie po polsku:

— Czy widziałeś kiedy co głupszego, jak huzar? Spięty, wcięty, wyfryzowany; djabli wiedzą do czego.

Oddawszy każdemu ten komplement, jaki mu się należał, chciałem zbliżyć się do Leendorfa i fifilki, aby ich nie ominąć, kiedy dano znać do stołu.

Szliśmy tedy par korowodem, jak zwyczaj każe: naprzód pułkownik ze starościną, „z wieku mu i z urzędu to miejsce należy“, potem inni, a na końcu Leendorf z fifilką, nad którą, zdaje się, czuwał jak nad grzeszną duszą. Mnie miejsce wypadło obok gospodyni domu, po jej lewej siedział major, za mną dalej pułkownik ze starościną, naprzeciwko nas fifille, mając po jednej stronie Raczka a po drugiej Leendorfa. Żona Raka była w wybornym humorze i byłbym się z nią doskonale ubawił, lecz na nieszczęście, podczas kiedy ją major ustawicznie odemnie odwracał, mnie znowu ciągle odwoływał pułkownik, który, nie mogąc się gładko porozumieć ze swoją sąsiadką, co moment mnie prosił:

— Bądź łaskaw powiedz-no jej to po niemiecku.

Wszelako uważałem, że i inni byli tak rozrywani, chociaż zapewne nie z takich samych powodów. I tak Rak rzucał ciągle iskrzącemi oczyma na majora, a mówiąc z swoim sąsiadem, czasem głośno się gniewał. Raczek prowadził z fifilką konwersacyą tak żywą, iż ją rozweselił, lecz zato Leendorf patrzał na niego tak chmurno z pod oka, a nawet czasami mruczał, iż można się było obawiać, że lada chwila głośno szczeknie na niego Gospodyni domu w tej chwili jeszcze o tyle piękniej wyglądała, ile że była bardzo ożywiona i cokolwiek zarumieniona. Była to bardzo piękna twarz, może czasem zawiele odbijało się na niej namiętności, a wtedy oko jej miało blask zanadto surowy; ale to się często spotyka u kobiet z tych krajów, gdzie wychowanie nie może całkiem pokonać wpływów gorących promieni słońca. Rzadko też widzi się Słowian południowych wolnych od tego dzikiego pobłysku oka, który nas mieszkańców północy niezmiernie razi. Uważałem zarazem, że świetność jej cery, świeżość jej ust, regularność jej brwi, nie były darami tylko samej natury. Kobieta ta była starszą zblizka, niż zdaleka. Zrobiwszy to spostrzeżenie, mimowoli spojrzałem na Raczka. I ona prawie ciągle na niego patrzała; ale rzecz dziwna, kiedy, patrząc na niego, jej twarz promieniła się niewysławioną lubością i jakoby najwyższą rozkoszą, to znowu czasem rzucała okiem na fifilkę, a wtedy w jej oczach odbijał się ów błysk dziki, o którym trudno było powie-

dzieć, czy go wywołuje gniew czy pogarda. Odgrywały się zatem w tém gronie osób rozmaite dramata i komedye; lecz mnie to bawiło, bo mi się zdawało, że wszystko to razem jest tylko jedną komedją obłędów.

Obiad się skończył i dano likiery, a wtedy wszyscy się poprzesiadali według swego upodobania. Nie uważałem, co inni robili, ale nie uszło mojej baczności, że stryjenka przystąpiła dosyć porywczo do synowca i rzuciła mu jakiś frazes w twarz, krótki, ale piaskowaty cokolwiek, bo Raczek zamrużył oczy i nos spuścił na kwintę, zaś twarz Leendorfa bardzo się rozpromieniła. Tymczasem pułkownik mówił do mnie:

— Ja gorzałki po obiedzie nie pijam, ale jeżeli twoja łaska, to wina węgierskiego się z tobą napiję.

Tak piliśmy wina cokolwiek rozmawiając, ze starościną, która się do nas przysiadła, a której konwersacyą staruszek się nie mógł nasycić. Wszakże niebawem musieliśmy przejść do salonu. Tam rozmaite potworzyły się grupy, ale konstelacya ich się zmieniła. Albowiem Rak wziął huzara w jasyr, stryjenka utworzyła kółko osobne, w które wciągnęła Raczka, starościna zaprosiła do swego towarzystwa fifilkę, która po włosku mówiła, tylko Leendorf siedział sam przy stole pod ścianą i dumał. Jak mnie obaczył, zaraz się do mnie przybliżył, mówiąc grzecznie.

— Nie miałem czasu pana powitać, bo właśnie dano znak do obiadu.

Zasiadłem z nim do dłuższej rozmowy. Znalazłem w nim człowieka bardzo obszernego ukształcenia i opatrzonego pewnym zasobem nauki. Zapatrywanie się jego na świat było żółciowe; wszystko jego zdaniem nie po szwie się pruło. Polityka Austrji mu się nie podobała, arystokracja opuściła swoje dawne sztandary, biurokracja przeszła do buntowniczego obozu, nowy system szkolny był całkiem chybiony, stosunki społeczne się rozprzęgały, ludzi się nie tak żenili, jak trzeba, źle się sami prowadzili i jak najgorzej wychowywali swe dzieci. Poczem wskazując na Raczka, tak mówił:

— Ot, widzisz pan zaraz skutki tego wychowania. Młody człowiek nie bez zdolności, majętny, dobrego rodu, mogłoby było coś zrobić się z niego — a co się zrobiło? francuzki żołnierz, katolik, poszedł się bić za dynastją sabaudzką, a teraz tłucze się po świecie, jak Marek po piekle. Wszędzie go pełno, a najwięcej tam, gdzie go nie trzeba. Wszyscy go lubią, a nie wiem, za co, bo gdzie się pokaże, to coś zbroi, nawet gdzie spojrzy, to coś zniepokoi.

— Młodość ma swoje prawa, mości hrabio — odpowiedziałem mu na to — każdy szumi za młodu, lecz każdy się z czasem wyszumi.

— Gdyby tylko sobie szumiał — rzekł Leendorf — to mniejsza-by o to, ale on innym szumi, a przeto i bałamuci.

— A czy to tak wielkie nieszczęście? — spytałem wuja fifilki, wchodząc w myśl jego — przyznam się panu, że gdybym miał siostrę lub córkę na wydaniu, to wcalebym się tem nie frasował, gdybym obaczył, że się nią Raczek zajmuje.

— Ba, gdyby mu można zaufać — rzekł Leendorf, bardzo zafrasowany — ale kiedy ten człowiek, czego się dotknie, to stłucze.

Raczek tedy miał, jak się zdaje, już pewną reputacją zrobioną w zamku.

W tej chwili fifille zbliżyła się rezolutnie do nas i wmięszała się do naszej rozmowy. Leendorf był tak grzecznym, że jej swego fotelu odstąpił, a przemówiwszy słów kilka, poszedł do innych gości. (*C. d. n.*)

Przewodnik towarzyski i salonowy

WEDŁUG DZIEŁA „SAVOIR VIVRE“

przez panią d'Alcq dla polskiej publiczności opracowała Hr. R.

(Ciąg dalszy.)

Nie każdą kobietę stać na to, żeby być co dzień wystrojoną, i nie o to nam idzie; lecz każda kobieta winna sobie i swemu mężowi, jeżeli nie jest bardzo chora, żeby już do pierwszego śniadania była przyzwoicie ubrana. Najpilniejsza robota w gospodarstwie nie uwalnia od tego kobiety dobrze wychowanej; musi ona znaleźć sobie czas do ubrania choćby najskromniejszego. Nic więcej niebezpieczniejszego, jak raz, dwa pozwolić sobie podobnego nieporządku pod jakimbądź pretekstem. Szczególniej na wsi mieszkając, brnie się potem coraz dalej i dalej, aż się dojdzie do najsmutniejszych rezultatów, że już prawie wyjątek stanowią dni, w których tego rodzaju kobiety myją się, czeszą i jako tako ubierają.

Każdy mąż, który pracuje za domem, radby, gdy do niego wraca, zastać w domu spokój i miły wypoczynek; jeżeli przeciwnie wita go hałas, tartas, a żona go napada od progu, wytaczając przed nim jakąś olbrzymią sprawę, którą miała z kucharką, niańką lub pokojówką, możnaż się dziwić, gdy widząc co się dzieje, chwyta za kapelusz i ucieka z domu, albo dość cierpko — choćby był najlepszym nawet z mężów — daje uczuć żonie niestosowność jej postępowania, całe swoje znudzenie i zmęczenie takiem z jej strony przyjęciem!

Brak punktualności nie mniej jest wielką wadą w kobiecie. Jeżeli mąż ma czas wyrachowany i tłumaczy to żonie prosząc, żeby na tę a na tę godzinę było śniadanie,

obiad i t. d. — nie jest to ze strony męża żaden kaprys ani wymaganie zbyteczne, chociaż żona i kaprysom musi nieraz ulegać, byle mieć spokój w domu; — to jest żądanie całkiem naturalne, żeby mąż, pracujący za domem na utrzymanie całej rodziny, zastawał w domu posiłek wtedy, gdy go spożyć może spokojnie.

Ileż to scen małżeńskich spowodowało takie lekceważenie swego obowiązku przez żonę. Mąż znosi to czas jakiś, wreszcie traci cierpliwość, podług stopnia wychowania i temperamentu gniewając się mniej lub więcej, ale zawsze dosyć, żeby żonę do łez poruszyć. A kto wtedy winien, jak nie żona sama?

Gdy się ma sługi powolne i leniwe, można na wieczór wydać wszystko i rozporządzić dniem jutrzejszym; a przynajmniej wstawszy rano, niech to będzie pierwszą naszą myślą, pierwszem zadaniem, żeby sługa nie miała zwykłej wymówki: „pani mi późno wydała.“

I najpogodniejsze niebo zachmurza się chwilowo, ale niech młodzi małżonkowie nie dopuszczają do ciężkich, czarnych chmur, długo trwających na horyzoncie ich szczęścia domowego. W razie jakiej małej sprzeczki, jakiego nieporozumienia między małżeństwem, niech nikt trzeci, choćby najprzywiązańszy, między nich nie wchodzi. I najbliższy będzie stronniczym, na tę lub owę stronę miłość jego przeważy, a wtedy sąd o tej sprawie nie będzie sprawiedliwy.

Najlepiej zostawić małżonków, żeby sami się pogodzili.

Jeszcze jedna uwaga dla młodych kobiet; niech się nigdy nie wahają przeprosić pierwsze męża, gdyby nawet słuszność była po ich stronie. Nie jest to żadne upokorzenie, przeciwnie, krok taki podnosi jeszcze kobietę w oczach męża. Musiałby być brutalem bez iskry uczucia szlachetniejszego, gdyby go nie rozbroiła, nie przebłagała choćby w największym gniewie taka pokora, taka miłość prawdziwa, umiejąca pokonać nawet własną dumę. Męzka godność nie pozwala najczęściej mężczyznom przyznać się do winy, a więc i podać pierwszym rękę do zgody; nie czekajmyż na to nigdy! bądźmy zawsze, my kobiety, gołąbkami pokoju i pamiętajmy, że jeżeli pismo św. zaleca, „żeby słońce nie zaszło na gniew przeciw bliźniemu“, o ileż więcej nie powinno zajść na gniew wspólny ludzi, którzy sobie wieczną miłość przysięgli.

— Wszystko to dobre — powie niejedna kobieta, przeczytawszy powyższe uwagi — jeżeli dostanie się męża, który wart miłości i szacunku, który jest jeszcze człowiekiem, a nie dzikiem zwierzęciem, u którego można dopatrzeć choćby słabej iskierki honoru, szlachetności; ale mój mąż z tego wszystkiego wyzuty, tracę siły w tej walce nierównej, ofiary bezbronnej wobec jej tyrana; poniża mię to w oczach własnych, poniża w oczach sług i dzieci moich, że znoszę podobne brutalstwa i traktowanie mnie jak niewolnicę; cóż dla mnie zostało, kiedym już wszystkiego próbowała i wszystko mię zawiodło?

— Nic niestety: — musimy choć z bolem serca odpowiedzieć takiej nieszczęśliwej kobiecie.

Kościół katolicki rozwodów nie daje — separacja jest to zawsze najfałszywszy krok w życiu kobiety, za który całą resztę życia pokutować musi; każdy jej krok, każdą jej czynność podpatrują ludzie, szpiegują i tłumaczą na jej największą niekorzyść.

Separacja robi łańcuch trochę dłuższym, uwalnia biedną męczennicę z rąk jej kata, daje jej trochę spokoju, ale na drodze legalnej i uczciwej szczęścia już jej nie wróci. Niegodziwy mąż zabiera jej zwykle dzieci — prawo jemu synów wyłącznie oddaje, a i córki zabrać może przy najlżejszym cieniu rzuconym na matki reputacją. Zapewne, lepszy i taki spokój grobu, choćby bez jednego jaśniejszego promienia szczęścia, niż ciągła straszna walka z brutalstwem męża. Jeżeli więc kobieta musi sobie powiedzieć po namyśle najdłuższym i najrozważniejszym, że wszystko stracone, że mieszkając z takim człowiekiem zabija się moralnie i fizycznie, że i na dzieci źle wpływa takie pożycie rodziców, niechże ten krok stanowczy uczyni, nigdy się już wstecz nie cofając, bo by tem ostatecznie siebie potępiła.

Jeżeli ma rodziców, najstosowniej będzie, gdy przy nich zamieszka. Oni najpewniej ją osłonią przed pociskami ludzkiej obmowy, a i biedne jej serce pod wpływem miłości rodzicielskiej prędzej zabliźni rany i przepomni srogie zawody.

Sierota bez ojca i matki jest jeszcze stokroć nieszczęśliwszą w tym razie. Dopóki młodość zupełnie nie minie, radzimy szczerze kobiecie „samej“ o ile może, oszczędzać opinią. Nigdy kobieta nie powinna iść wbrew opinii, a tem mniej będąc tak wykolejoną ze zwykłego trybu życia.

Mężczyzna opuszczony przez żonę, gdy jeszcze ma majątek, zaczyna nanowo wesołe i swobodne, niczem nie krępowane życie kawalerskie, znajdując zawsze na swojej drodze zgraję hulaszczą, która nie pyta, u kogo je i pije, byle dobrze jeść i pić dawał.

Mąż zwykle wychodzi z całej sprawy jak śnieg biały! ogół zawsze winę przypisze kobiecie. Dla tego właśnie uważamy separacją jako największe nieszczęście dla kobiety; dla tego potrzebuje kobieta uważać na każdy krok, który stawia w życiu po porzuceniu męża, żeby przekonać powoli ludzi, że ona była prawdziwą ofiarą, a zresztą jest kobietą najmoralniejszą i najzacniejszą.

Wzajemne stosunki przyjaźni, zażyłości, jakie oboje małżonkowie mieli przed ślubem, muszę też uledz pewnym zmianom.

Żona jak we wszystkiem, tak tem bardziej w wyborze swego towarzystwa musi zastosować się zupełnie do woli męża. Nie może i nie powinna przyjmować u siebie i żyć,

jak tylko z osobami, które mężowi będą się podobać. Również i mąż nie ma prawa narzucać gwałtem żonie osób, któreby znał dawniej, gdyby żona nie uczuła do nich sympatji i nie chciała zawiązać z nimi bliższych stosunków. Tak daleko nie może sięgać władza mężowska. W Anglii jest ogólny zwyczaj, że mąż po ślubie zrywa wszelkie dawniejsze stosunki i przestaje bywać w domach, gdzie bywał kawalerem, zostawiając wyłącznie żonie, czy zechce lub nie nawiązać na nowo znajomość z temi osobami. Jest to bardzo dobry zwyczaj, pełen delikatności ze strony mężczyzny który panowie mężowie powinni naśladować we wszystkich krajach.

Znajomi czekają zawsze, czy na wsi czy w mieście, na odwiedziny młodych małżonków. Prędzej jak miesiąc po ślubie, oprócz u najbliższej rodziny, młoda para nie jest obowiązaną oddawać komukolwiek wizyty. Trzeba pewnego czasu, żeby wejść w to nowe życie żeby młodzi ludzie nacieszyli się sobą i poznali dokładnie. Obcy są im tylko niepotrzebną zawadą

Człowiek stworzony do towarzystwa, to prawda, ale im więcej młodzi małżonkowie będą sami sobie wystarczać, im mniej im będzie potrzeba zabaw i gwaru światowego, tem dla nich szczęśliwiej! Będzie to najlepszym dowodem, że się prawdziwie kochają, że jedno dla drugiego jest całym światem, że miodowe chwile w ich pożyciu małżeńskiem nigdy nie przeminą, a zgoda i harmonja będą zawsze gościć pod ich dachem.

Oby jak najwięcej łączyło się w kraju naszym par tak dobranych! Tem serdecznem życzeniem kończymy rozdział i tak już bardzo przedłużony.

XIV.

O żałobie.

Smutne to życie ludzkie, prawdziwa wędrówka po łez dolinie.

Zaledwie czuć i myśleć zaczynamy, już stajemy oko w oko ze śmiercią, z tym wrogiem nieubłaganym ludzkości. Patrząc na zwłoki zimne a jeszcze nam drogie, choć dusza z nich uleciała, w jednej chwili dojrzewamy cierpieniem. Z dziecka nieopatrznego, które dotąd żyło swobodne jak ptak, jak motylek, przekształcamy się w człowieka pojmującego już, co to ból, co łzy znaczą, nie te nasze łzy dziecięce, które osychały tak prądko, jak deszczyk majowy, ale łzy straszne, piekące, od których zda się, że serce z żalu pęknąć musi, a po których zostaje wieczna rana powierzchownie tylko zabliźniona i wieczna, niczem niezaspokojona tęsknota.

Pierwsza strata, pierwsza żałoba jakaż ciężka do przebycia. Serce nasze od bolu zamiera! nam by się zdawało, że wszystko w tej chwili ustać by powinno, kiedy nam brakuje tej istoty ukochanej, a tymczasem wszystko idzie swoim trybem, obraca się jak przedtem; sprzęt jakikolwiek z pokoju wyniesiony więcej po sobie próżni zostawia, niźli człowiek, który na zawsze dom własny opuszcza.

Człowiek za to może zostawić po sobie niczem nie zatartą pamięć tak w sercach najbliższych i najprzywiązańszych, jak i u obcych ludzi.

Całem życiem o to się starajmy, żeby ta pamięć była czysta, niczem nie skalana, żeby obcy wspominali nas z poszanowaniem, a najbliżsi że łzą w oku. Osobie prawdziwie zbolałej nie trzeba dyktować żałoby, odczuwa ona ją w sercu, więc ją pierwszą raziłyby szaty jasne; są jednak istoty o tyle lekkomyślne, że nawet z żałoby nie wiele sobie robią; tym więc powiemy, czego wymaga od nich dobry ton i przyzwoitość sama, nie mówiąc nic o uczuciu.

Po rodzicach tak swoich jak wspólnych, t. j. męża lub żony, nosi się żałoba rok i sześć tygodni. Tak samo, a nawet dwa lata trwa żałoba wdowy.

Pierwsze pół roku suknie czarno wełniane, z taśmą białą (pleureux) u dołu dla kobiet, kołnierze czarne krepowe, takież mankiety; dla mężatek czepki czarne krepowe, kapelusze formy całkiem prostej, krepą ubrane z krepowym czarnym, długim welonem; drugie pół roku można jedwab i tiul czarny nosić, a sześć tygodni po roku kolor popielaty i lilia już uchodzi, jako też białe kołnierze z mankietami białemi.

U mężczyzn jedyną oznaką żałoby jest szeroka krepa na kapeluszu, wypustki białe u klapy surduta i przy kamizelce, czarny lub z włosów sznurek do zegarka i cały rok czarne rękawiczki. Koszule zawsze białe zostają u panów; nie ma zwyczaju brać czarnych.

Po wielkich domach i służbę w żałobę ubierają. Wtedy, choćby służący był zgodzony bez ubrania, wypada mu sprawić suknie żałobne, boć on do tego nie jest obowiązany.

Dopóki zwłoki nam drogie w domu zostają, nie godzi się z domu wyjeżdżać i zostawiać ich na obce, płatne ręce. Pamiętajmy owe wielkiej doniosłości zdanie pewnego moralisty francuskiego: „Powinnością jest to, co nam najtrudniej przychodzi.“

Któż nam zaręczy, że po śmierci nie masz żadnego związku między umarłymi a żywymi, że ta dusza nie odczuwa naszej obojętności, naszego opuszczenia? Nie usuwajmyż się więc od tych ostatnich posług, nie oddalajmy do ostatniej chwili od naszych drogich umarłych, jeszcze i nad grobem niech najprzód nasze łzy spadną na trumnę, nim ją ziemią przysypią. Ciężka li choroba może nas uwolnić od tych świętych powinności.

Po dziadkach i babkach zwykło nosić się żałobę jak po rodzicach; po dalszej rodzinie w naszym kraju nie

nosi się właściwie żałoby, tu już serce i stopień uczucia, jaki się dla tej osoby miało, o żałobie decydują.

Gdy nam osoba z dalszej rodziny majątek znaczny zostawia, przyzwoitość wymaga, żeby wziąć po niej żałobę choć na pół roku.

Za trumną idzie najprzód najbliższy potomek zmarłego lub zmarłej płci męzkiej, prowadząc pod rękę najbliższą mu kobietę.

W mieście po pogrzebie nic się nie podaje do jedzenia; na wsi ma się tę wielką przykrość, że mimo ciężkiego żalu trzeba zająć się całem przyjęciem księży, którzy o kilka mil się zjeżdżają, sąsiadów bliższych i dalszych, którzy oddaniem ostatniej posługi zmarłemu chcą okazać przyjaźń i szacunek, jaki mieli dla niego za życia.

Nie raz tak się zdarza, że w tej samej sali, w której leżał umarły, w kilka zaledwie godzin po pogrzebie zaczyna się obiad czyli tak zwana stypa pogrzebowa.

Cóż robić! Dla tego, że rodzina najbliższa nic do ust wziąć nie może, goście głodni, bo zrobili mil kilka; księża po Mszy św. kawą chcą się posilić, a wódeczki też nie odmówią i dobry obiadek chętnie zjedzą. Trzeba wypić ten kielich goryczy! bo to znowu powinność, którą spełniamy w imię gościnności polskiej, tej naszej prastarej cnoty.

Gość nie może odjechać głodny z domu naszego, choćby dom ten kirem był okryty.

Jednym rodzicom po śmierci dziecka nic świat nie przepisuje, jak się mają zachować. Chociaż po części znikczemniały, zmaterjalizowany, pojął to przecież, że tej boleści nie śmie się dotykać. Boleść to tak straszna, tak do głębi przenikająca serca biednych rodziców, że tam już żadnych zewnętrznych oznak nie potrzeba, bo i tak głucha, czarna rozpacz panuje!

Gdy idzie się za pogrzebem, trzeba być całkiem czarno ubraną aż do czarnych rękawiczek. Jeżeli panowie idą za wozem pogrzebnym, to zdejmują kapelusze. Koroniarze i Wielkopolanie idą zawsze w czarnych frakach.

Na pogrzeb młodej panienki ubierają się czasem jej przyjaciółki biało, a młodzież męzka, gdy chce nieść trumnę, bierze białe krawaty i gałązki cyprysu do fraka przypina. Jest to piękny i rzewny zwyczaj, to drużbowanie dziewicy do jej smutnego ślubu ze śmiercią!

Goście mogą podczas konduktu siadać do powozów na ten cel przez rodzinę zmarłego przygotowanych. Z powrotem, ponieważ w mieście są cmentarze bardzo oddalone, powozy najęte mają powinność odwieźć każdego do domu. Kazać się wozić gdzieindziej, byłoby niestosownem. Mimo, że te powozy są z góry przez rodzinę zmarłego zgodzone i zapłacone, jeżeli nas odwożą do domu, daje się kilka centów na piwo woźnicy. Świecę, którą się dostaje, daje się po złożeniu ciała do grobu jednemu z licznych ubogich, którzy na to czekają zwykle z wielką natarczywością i niecierpliwością.

Zbytnia oszczędność i targowanie się przy pogrzebie jest brudnem i wstrętnem.

Nie ma tu mowy o osobach ubogich, od tych nic się nie wymaga; ale gdy rodzina krocie dziedziczy, a żałuje umarłemu kilku świec więcej, jest to nikczemnością w najwyższym stopniu, nie godną nie tylko ludzi z uczuciem, lecz ludzi z jakiem takiem wychowaniem.

Wola zmarłego świętą dla nas być powinna, i wszystkie jego rozporządzenia winniśmy, o ile to w naszej mocy, ściśle wypełnić.

W domu, gdzie taki smutek panuje, każdy z przytomnych dla samej przyzwoitości towarzyskiej zachowa się poważnie, nie będzie głośno rozprawiał o rzeczach obojętnych, tem mniej śmiał się lub żarcikował. Byłoby to okropnem urąganiem boleści rodziny. Jeżeli się czeka chwil kilka w salonie, nie bierze się do ręki książek, dzienników, nie ogląda albumu z fotografiami, nie zatrudnia się rodziny sobą, nie każe się nikomu przedstawiać i t. p.

Tam, gdzie majestat śmierci panuje, wszystko ustaje, wszystko maleje. Czyż można być o tyle lekkomyślnym, żeby nawet grozy śmierci nie uczuć i wtedy jeszcze błahościami światowemi być jedynie zajętym. Jeżeli by tak było, nie trzeba się z tem zdradzać przynajmniej, bo by to bardzo źle świadczyło nie już o naszem sercu, ale nawet o rozumie.

Zbytnia chęć pocieszania na razie może pochodzić z bardzo dobrego serca, ale nie ma wiele sensu.

Wszystkie te utarte długoletniem używaniem frazesy, które niby to mają rodzinę uspokajać, drażnią ją okropnie, i byłyby nader śmieszne, gdyby nie były tak zabijająco nieznośne! Prawdziwą boleść czas jedynie łagodzi nieco; wszelkie perswazje na nic tu się nie przydadzą.

Osoba z sercem i dobrze wychowana znajdzie w oku łzę szczerą, która będzie balsamem dla całej rodziny, powie słów kilka, w których także rodzina odszuka wierne echo swych własnych myśli i uczuć. I na tem skończy.

Po pogrzebie nie oddaje się wizyt nikomu z tych, co na nim byli. Znajomi i przyjaciele nas odwiedzają, a my dopiero zdjąwszy grubą żałobę, dziękujemy im za dowody ich przyjaźni i nawzajem odwiedzamy.

W grubej żałobie oprócz w kościele nie bywa się w żadnem miejscu publicznem, na balach nie bywa się zupełnie rok i sześć tygodni.

Jeżeli młoda para pobiera się podczas żałoby, cała rodzina zrzuca na dzień ślubu żałobę, ale po ślubie wdziewa ją znowu tak rodzina jak i młodzi małżonkowie. Czy ta żałoba tyczy się żony czy męża, druga strona już ją od dnia ślubu podziela.

Dzieci niżej lat sześciu nie ubiera się w żałobę.

Wdowa, która za mąż drugi raz wyjść nie myśli, najlepiej zrobi, gdy żałoby nie zdejmie wcale. Wtedy



Egipcjanki czerpiące wodę. (Stronica 552.)

ludzie uszanują jej żal prawdziwy i żadną swadźbą niewczesną nie będą jej męczyć, choćby najmłodszą była. Taką kobietę, która i po za grobem wierną być umie swojej miłości, otacza jakby świętości aureola, wszyscy ją poważają, a każdy człowiek szlachetny spieszy wdowie z pomocą. Gdy ma dzieci, ma najpiękniejszy cel w życiu. Dzieci przywiązanie, które zwiększy się jeszcze i przejdzie w uwielbienie, jeżeli nie da im ojczyma, cyż nie powinno wystarczyć kobiecie?

Bardzo młode wdowy, szczególniej bezdzietne, udają się też do rodziców, lub biorą do domu starszą kobietę dla przyzwoitości.

Sytuacja wdowy a kobiety separowanej jest zupełnie odmienną, i ogół zwykł otaczać wdowy najwyższym szacunkiem, jeżeli umieją z godnością nosić ten smutny tytuł, bo jak mówi poeta:

„Kobieta biedniejsza na świecie;
„Biada jest każdemu
„Człowieku samemu,
„Lecz stokroć samotnej kobiecie!“

Wdowę los robi samotną, potrzebującą rady, pomocy, gdy przeciwnie seperatka sama żąda tej samotności, tego opuszczenia.

Zawsze jednak kobiety bardzo młode lepiej zrobią, gdy poszukają sobie towarzystwa osoby starszej, któraby im niejako matkowała.

Jeszcze jedna uwaga dla kobiet bywających po salonach urzędowych, u namiestników, prezydentów, komenderujących i t. p.

Jeżeli jest się zaproszoną lub idzie się na recepcją podczas jakiejkolwiek żałoby dworskiej, trzeba o tem wiedzieć i zastosować toaletę do okoliczności.

Śmiesznie wygląda kobieta, sama jedna jak papuga, gdy reszta towarzystwa czarno ubrana. Do takiej żałoby dworskiej biorą się perły i brylanty, jeżeli są w srebro oprawne.

Inne złote garnitury nie są używane, także koronki czarne, a nie białe biorą się w takim razie do ubrania sukni czarnej. Kwiaty są zupełnie wykluczone przy takiej toalecie. Mężatki biorą na głowę białe pióro z czarną koronką, djadem z pereł lub brylantów, panienki czarny aksamitny fontaż i szpilki duże czarne, jeżeli są właśnie w modzie.

Oprócz takich urzędowych zebrań, nosić ostentacyjnie żałobę po jakim panującym, gdy się jest osobą prywatną, jest więcej jak śmieszne, bo nawet niedorzeczne. Rodzina panująca pewno o tem się nie dowie; gdyby i wiedziała, będzie jej to nader obojętnem, a otoczenie całe musi wydrwić takie śmieszne pretensje osoby do tego nie powołanej.

W Wielkiej Polsce i Królestwie Polskiem jest zwyczaj ogłaszania w codziennych gazetach śmierci osób nam bliskich, w Galicji posyłają karty żałobne pocztą krewnym, przyjaciołom i lepszym znajomym, z oznaczeniem miejsca i dnia pogrzebu zmarłego.

Śmierć łagodzi wszelkie nieporozumienia. Choćby umarły był naszym największym wrogiem, a prosił nas na łożu śmiertelnem o przebaczenie, darujmy mu wszystko, co kiedy przewinił, całem sercem, bo nikt z nas nie jest bez grzechu; bądźmy miłosierni aby i dla nas Sędzia Przedwieczny był w godzinę śmierci miłosiernym!

O umarłych mówmy dobrze, albo nie mówmy wcale, powiada łacińskie przysłowie. Trzymajmy się ściśle tej zasady. Obmowa jest zawsze wstrętna; o ileż jest okrutniejsza, jeżeli szarpie cześć i pamięć tych, którzy już obronić się nie mogą.

Dla „sprawiedliwego“ śmierć jest tylko przejściem do lepszego świata, a często wybawicielką od ciężkich trosk tu na ziemi wycierpianych; kończymy też Pola słowami:

„Ziemia lekka, moje dziécię;
„Niech ci lekkie będzie życie!“

XII.

O dobrym tonie kosmopolitycznym.

Dotąd — wyznajemy szczerze łaskawym czytelnikom — braliśmy z pani d'Alq li kontury same, uzupełniając i cieniując obraz bądź doświadczeniem własnem, bądź wspomnieniami z lat długich, przeżytych z ludźmi wykształconymi i światłymi, od których dużo można było skorzystać, a czasem pozwalając nawet fantazyi pobujać trochę, rzucając tu cień, tam światło podług tematu, o którym się pisało.

W tym rozdziale, mówiąc o zwyczajach różno-narodowych, będziemy też starali się dopełnić luki, które musiały powstać w doskonałem zresztą dziele pani d'Alq' z powodu zupełnej nieznajomości naszego kraju i naszych stosunków.

Wywody historyczne i erudycya nie należą do naszego skromnego zakresu, również mało nas obchodzą zwyczaje dzikich plemion. Takie opisy znajdujemy co do czasów dawniejszych w dziełach historycznych, a kraje po za Europą cywilizowaną i ich obyczaje skreślają nam piórem wymownem turyści, których teraz na setki niemal liczymy.

Zadaniem naszem jest poznać dokładnie zwyczaje narodów przodujących w cywilizacyi; gdzie ludzie z małym wyjątkiem starają się odznaczyć od tłumu ulicznego li wykształceniem i dobrem wychowaniem, bo też to tylko jest cechą prawdziwej cywilizacyi, prawdziwej wyższości moralnej. Brutal zostanie gburem nieokrzesanym, czy na jego głowie spoczywa mitra książęca, czy chłopska czapka barania, i przeciwnie można urodzić się w stanie

najniższym i najbiedniejszym, a dojść własną pracą i nauką najwyżej, tak, że nawet mitry będą musiały przed takim człowiekiem kłaniać się nisko i uznać, chcąc nie chcąc, jego wartość moralną.

Przed wielu laty znaliśmy szlachcica karmazynowego: „Moster Dzieju", właściciela dwóch wiosek i dwóch tęgich chłopców, których kształcił ściśle na „synów obywatelskich". Typ to już nieznany dziś na szczęście w Galicji, muszę go więc bliżej określić. W owym czasie znaczyło to tyle: Synów, chroń Boże! nie posyłało się do szkół publicznych; gdzież by można na taką poniewierkę narażać klejnot szlachecki! Brało się do nich najczęściej ubogich studentów, którzy brali sto guldenów, dwie pary butów (autentyczne) i czasem, w przystępie bardzo dobrego humoru, Tatuś Dobrodziéj dawał im jeszcze jaką „starzyznę" ze siebie.

Taki pan „dyrektor" uczył tedy „paniczów", jak mógł i umiał, do lat 14stu a najdalej 16stu. Odtąd syn obywatelski czystej wody, dokształcał się jeżdżąc po jarmarkach, starając się, ile możności, okpiwać dobrych przyjaciół na koniach, dotkniętych rozmaitemi kalectwami; im lepiej mu to się udawało, tem wyższy był stopień edukacji; uganiał zresztą, jak jarmarku nie było, z fuzyjką na plecach za zwierzyną, a częściej jeszcze za wiejskiemi pięknościami, grał w karty po całych nocach, a Tatuś i Mama rozpływali się nad synalkiem, jaki z niego „łepski" chłopak.

Nasi więc o dwóch wioskach, dwaj panicze, mieli przy sobie takiego młodziutkiego „dyrektora". Znaliśmy i jego doskonale. W wytartym surduciku, w butach zwykle nie całych, miał jednak dziwny wyraz w twarzy, dziwny ogień w zapadłych cokolwiek, a mimo to przeszywających oczach. Rysy nie tyle szlachetne, co ostre i dumne, uśmiech jakiś sarkastyczny, wiecznie koło ust igrający, wszystko, cała jego postać była nie zwykłą, uderzającą.

Ubogi studencik jest dziś „prezydentem" i bardzo znaczną osobistością, a owi panicze? Jeden z nich umarł młodo. Pewien mąż nie chciał zrozumieć swoim tępym chłopskim rozumem, jaki to honor spływa na niego, że szlachcic karmazynowy raczy mu żonę bałamucić, i tak go raz serdecznie kijem poczęstował w swojej chałupie, że go nazajutrz rano na wpół nieżywego gdzieś na drodze znaleziono i już więcej do zdrowia nie wrócił. Młodszy przehulawszy cały majątek, dostał zaledwie miejsce „leśniczego" u kogoś z dawnych znajomych. Oto dowód najlepszy, że więcej znaczy praca własna i nauka, niż majątek i gotowe stanowisko, przy zupełnym braku wykształcenia.

Znowu fantazya uniosła mię w dziedzinę wspomnień z lat dziecięcych, rzucając pod pióro ten obrazek z wiernością fotografa z życia wzięty.

Kiedy jest, niechże już zostanie.

Daleko odbiegliśmy od naszego przedmiotu, a tym było badanie i ocenianie, w odcieniach najdelikatniejszych, ogłady towarzyskiej i grzeczności, rozmaicie pojmowanej i wykonywanej. Przejmując jednakże cokolwiek od obcych narodów, bądźmy w tem nader ostrożni, bierzmy to tylko, co ma wartość prawdziwą; naśladujmy pszczółkę rozumną i pracowitą, która zostawia w kielichu kwiatu truciznę, z miodem tylko słodkim do ula wracając.

Anglicy szczególnie są oryginalni i odznaczają się różnemi zwyczajami, które gdzie indziej nie są używane.

W każdem miejscu publicznem, nawet podczas obiadu w restauracyi, mają kapelusz na głowie. Kobietom nie kłaniają się pierwsi na ulicy, tylko czekają na zachętę z pań strony, czy chcą czy nie chcą być poznane. Prowadząc kobiety do stołu, wchodzą pierwsi do sali jadalnej; na ulicy, mając prowadzić kobietę, tak Anglicy jak Francuzi, podają lewe ramię, co jest zresztą bardzo stosownem. Mężczyzna powinien być zawsze gotów do obrony kobiety, musi więc mieć w takim razie prawą rękę wolną.

Cudzoziemiec nie jest znowu tak ściśle obowiązanym zastosowywać się do obcych zwyczajów. Człowiek grzeczny i dobrze wychowany odczuje zawsze, gdzie i jak się zastosować, kiedy i jak się znaleść. Jest to dziwny instynkt, ta pewność i takt towarzyski, który nas ostrzega przed każdą niedorzecznością, a choćby tylko niezgrabnością lub niestosownością.

W czem powinniśmy najpierw brać wzór z Anglików, to, co się tyczy ich dumy narodowej. Posuwają tę cnotę to prawda aż do dziwactwa, prawie do śmieszności, a jednak lepsza ich duma choć przesadzona, niżeli nasza natura kameleonowa, i ta namiętność przyoblekania cudzej skóry, strojenia się w cudze piórka, jak ów dudek w bajce, który nazbierawszy na śmiecisku piór pawich, razem z niemi i swój własny czub postradał.

Sens moralny tej bajki, że i człowiek traci godność własną i szacunek u ludzi rozumnych, skoro przestaje być samym sobą, skoro przybiera jakieś obce maniery, obcą postać, zapierając się niegodnie kraju własnego i obyczajów z mlekiem matki wyssanych.

Jak to bywa częstokroć śmiesznem i niedorzecznem, stwierdzi najlepiej fakt następujący, też z życia wzięty.

Państwo T., na wskróś zacni i poczciwi ludzie, pracowali ciężko na małej dzierżawie i było u nich, jak to zwykle u biednych bywa: „Maciek zrobił, Maciek zjadł". Raptem spada na nich krociowy majątek, po krewnym dalekim z Wołynia, o którego istnieniu zaledwie wiedzieli. Im przyszedł ten majątek, jak buława Czarneckiemu, o wiele za późno. Kto całe życie w pocie czoła na chleb codzienny pracuje, nie ma czasu myśleć o kształceniu umysłu, o formach eleganckich. Państwo T., obdarzeni z natury tak nazwanym „chłopskim roz-

sądkiem“ (ponoś to najzdrowszy z rozumów), pojęli dobrze, że nie umieliby się znaleść na szerszej widowni. Świat wprawdzie zawsze wybija przed cielcem złotym pokłony, ale swoją drogą, schlebiając im w oczy, był by drwił z nich po za oczyma bez miłosiedzia! Na wsi sąsiedzi obyli się już z nimi, ceniąc wysoko ich prawość, cnoty domowe, pomijali brak wykształcenia, pewne nieokrzesanie i szorstkość w obejściu.

Marzeniem jedynem ich życia tak biednego i ciężkiego było, nabycie na własność wioszczyny, gdzie już lat tyle pracowali, gdzie każda piędź ziemi była zlana ich potem krwawym, gdzie każde drzewko było ich ręką sadzone. Kupili i tę i jeszcze dwie inne wioski, resztę majątku kapitalizując na imię jedynaka syna, którego nad życie kochali; a chcąc, żeby ten syn przynajmniej był kiedyś na wysokości stanowiska, jakie mu dawał majątek tak znaczny, odebrali go w wieku lat szesnastu ze szkół lwowskich, gdzie się dobrze uczył, a dobrawszy mu mentora z wielką reputacyą, wyprawili chłopca do Paryża.

(*C. d. n.*)

Stara piosenka.

(ALTES LIED.)

Z „Romanzero“ Heinego.

Zmarłoś — a nie wiesz o tej tajemnicy;
Zagasło światło cząt twych źrenicy,
Trupio pobladły krasne ustka twoje,
I zmarło-ś — martwe dzieciąteczko moje

Przerażającej, letniej nocy pewnej
Ja sam odniosłem ciebie do mogiły;
Słowiki—płaczki tren podniosły rzewny,
Gwiazdy w pochodzie nam towarzyszyły.

Pod borem ciemnym orszak ciągnął cały,
Litanjom echa boru wtórowały,
W żałobne płaszcze zakutane jodły
Pomrukiwały za umarłych modły.

Jezioro mijał pogrzeb w tym pochodzie,
Elfy pląsały tam na cichej wodzie,
Nagle się w hożym wstrzymawszy podskoku,
Spojrzały na nas ze współczuciem w oku.

A gdyśmy wreszcie donieśli trumienki,
Księżyc zszedł z niebios po szafirów fali,
I począł mowę. Buchły łkania, jęki...
I dzwonów bicie gdzieś w głębokiej dali.

Wł. Ordon.

Egipcjanki czerpiące wodę.

Dotychczas starożytny Egipt uchodził za jakąś mistyczną krainę, którą znaliśmy jedynie z piramid, obelisków i hieroglifów, z licznych baśni, podań i hipotez rozsianych hojnie po wszystkich podręcznikach historycznych; ale tak życie wewnętrzne przedwiekowych tego kraju mieszkańców, jak cywilizacya jego, zwyczaje i obyczaje narodu — który nie setki ale tysiące lat skupiał w sobie wyraz cywilizacyi całego starożytnego świata — były nam dotąd nieznane. O żadnym kraju tyle dziwów i tyle niedorzeczności nie napleciono, co o Egipcie. Dopiero wiek bieżący rozjaśnił mgłę, która wisiała nad tą krainą, odczytano zagadkę hieroglifów, zbadano krytycznie pomniki i zabytki starożytne Egiptu — i powoli, powoli, rozjaśniać się począł widnokrąg historyczny, który w najnowszych dopiero czasach pierwszy Jerzy Ebers genialnem piórem rozsunął zupełnie i okazał nam ten świat zaczarowany w pełnem świetle jego pierwotnego życia i ruchu. Już jego „Córa króla egipskiego“ zwróciła uwagę uczonych na znakomitego egiptologa, który z całą znajomością przedmiotu przedstawił nam stosunki starożytnych Egipcjan z całym ówczesnym barbarzyńskim światem. Obecnie pod kierunkiem tegoż Ebersa wychodzi w Studtgardzie, nakładem znanej firmy Edwarda Hallbergera, bogato ilustrowane dzieło pod ogólnym tytułem „Egipt.“ Obejmie ono w sobie wszystko, co dotyczy życia wewnętrznego i politycznego starożytnych Egipcjan. Ich zwyczaje i obyczaje, postęp cywilizacyjny i wpływ tegoż na świat ówczesny; stosunki handlowe; życie rodzinne; pomniki i zwoje papyrusowe; słowem dzieje tego odrębnego świata będą treścią tej ze wszech miar ciekawej księgi, którą upiększy przeszło 700 illustracyj rytych na drzewie lub miedzi. Jeden z licznych w tej księdze drzeworytów zdobi dzisiejszy zeszyt „Strzechy“ i przedstawia dwie młode Egipcjanki, czerpiące w starożytne konwie wodę ze świętej rzeki Nilu.

F. R.

NINA.

SZKIC NEAPOLITAŃSKI

PRZEZ OLGĘ KOMOROWSKĄ.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Mijały lata... Z maleńkiej Niny wyrosło smętne; niby północne dziewczę, z białą, jakby nie pod neapolitańskiem niebem wykwitłą twarzą; wielkiemi o czarnych rzęsach szafirowemi oczyma; zręczną, wysmukłą kibicią, trochę za królewsko wyglądającą pod starą połataną odzieżą. Jak babka w młodości i matka przed opuszczeniem Neapolu, Nina nauczyła się rzemiosła praczki; ale nie prała sama, tylko drobne, cieńkie, powiewne muśliny, albo koronki; prasowała tylko i to zręcznie, szybko, umiejąc nadać połysk nowości i świeżość sklepową koszulom, kołnierzom i manszetom męzkim, lub wygarnirowanym suto spodnicom pań i panienek.

Dawni znajomi Magdaleny z miasta, kiedy przyszła polecić im wnuczkę do prasowania i prania koronek, chętnie ją przyjęli; a mianowicie właściciel wielkiego hotelu Wiktorji, położonego na Chiaja i bardzo przez arystokratyczne towarzystwo cudzoziemskie cenionego, dla pięknego położenia, wybornej kuchni i zręcznej usługi.

Nina, ubrana w ciemną perkalową suknię, bez falban ni ozdób, prostą w gęstych fałdach spadającą, nie kryjąc drobnej nóżki, w grubą ale białą jak śnieg pończochę obciągniętą, a w aksamitne kolorowemi skórkami wyszywane sandałki na wysokich korkach obutą, z białym, świeżym fartuszkiem, kolorową jedwabną chusteczką na staniku wygorsowanym z przodu upiętą, z bogatym warkoczem swych ciemno-blond włosów, srebrną strzałą przetrzymanych, i dwoma sznurkami czarnych, szkliących paciorek na białej szyi, z tą wyniosłą i dumną postacią, więcej do pompejańskiej tancerki bujającej na odgrzebanych ścianach trupiego miasta była podobna, niż do prostej prasownicy.

Kiedy z koszem, pełnym lśniącej białości londyńskiej lub paryzkiej bielizny na głowie, wchodziła do pokojów hotelu, młode miss angielskie i amerykańskie z długiemi aah! ooh! unosiły się nad jej pięknością, malowniczą pozą i wyrazem „troughout wellbreed". Otyłe ich mamy i ciocie lubiły ją, bo się nie targowała, zawsze punktualnie jak przyrzekła, odnosiła do najmniejszego kawałka powierzone skarby a rozlicznych narodowości młodzi i starzy wielbiciele Cytery, posełali jej długie, ogniste lub cyniczne wejrzenia, co zawsze obijały się o starą postać Magdaleny, nieodstępnie towarzyszącej wnuczce w jej hotelowych pielgrzymkach.

Magdalena patrząc na swą uroczą wnuczkę nie zapominała ani na chwilę o przeszłości i pragnęła Ninę ustrzedz od biedy i wstydu, jakich sama niegdyś doznała, i co życie Chiary ukróciły.

Nina prasowała ochoczo i spiewała dawne, w dzieciństwie wraz z matką po ulicach Paryża spiewane piosenki, i tu i ówdzie pochwytane i w pamięci skrystalizowane francuzkie romanse; ale główka jej, może ojcowskim, północnym gdzieś smętkiem owiana, marzyła chętnie również; a choć zaledwie czytać umiała i nigdy żadnej książki w życiu nie widziała w swem ręku, marzyła o jakichś krainach woni pełnych jak jej ojczyzna, ale pełnych ludzi dobrych, kochających ją, uśmiechniętych, podobnych tym, co widywała w pokojach hotelu; o pięknie ubranych w świeże, powiewne owe spodniczki, co tak starannie prasowała dla nich, młodych jak ona rówieśniczkach, jeżdżących karetą lub w wygodnem „landau" miękko rozpartych; byłaby tak chętnie z niemi igrała niby siostra, czując na dnie duszy, że ich język i myśli wnet stałyby się jej własnością. Myślała o tych czcigodnych twarzach gentlemanów, co najwięcej w jej wyobraźni, odkąd się dowiedziała, że do życia ojca potrzeba, do obrazu owego ojca podobnymi się zdawali, i o tych świeżych, starannie ubranych, z kwiatkiem u guzika młodzieńcach, niby braciach nieznanych, ale gdzieś, u kolebki może, w snach dziecięcych widzianych.

Nina miała ów instykt wrodzony angielskich „wellbreedów", psów lub koni, i oznaki „rasy" w oczy bijące; pociąg tych stworzeń do arystokratycznych swych współbraci, kundlami brudnemi, choć sami nędzą wychudli, gardzących, tkwił w jej piersi, zwracającej się żądzą do źródła, zkąd życie wzięła, a gardzącej tłumem nieprzyjaźnym; na nędznej słomie stajennej żywota marzyła o miękkich skórach lamparcich, przed ciepłemi kominami rozciągniętych.

Ojcem bowiem naszej biednej bohaterki był pewien młody bardzo arystokratyczny par Anglii... bo i tym cnotliwym panom podobają się nieraz neapolitańskie spiewaczki; rzucą parę funtów szterlingów, będąc sumienni w każdym handlu i pewni, że to wystarcza na chleb, zasiadają z spokojną flegmą do pasztetu, a później o filantropii prawią z mownicy.

Nie wina w tem młodych panów, ale spiewaczek niechybnie, a najczęściej nędzy; czasami rozpusty, a czasami rozpaczy.... Smutne następstwa dla dobrowolnej ofiary; smutniejsze bez zaprzeczenia dla zupełnie niewinnych po-

tomków, kaprysem w świat rzuconych nieopatrznie... ale gdzież szukać na to rady? gdzie i kiedy znajdzie się lekarstwo?... Telefony, teleskopy i zwierciadła kolejowe chronić nas będą od wielu przypadków ciała: — czemże chronić się będą dusze?

VII.

Nina prasując więc pilnie marzyła, nie śmiejąc babce z snów tych złotych się zwierzać. Magdalena spokojna, bo jej wszędzie towarzyszyła i na krok nie odstępowała, drzemała w słońcu. Węgle w żelaznym piecyku, na oknie ustawionym, kiedy niekiedy iskrami się sypały; muchy w licznych gromadach kręciły się w złotym promieniu słońca, oświecającego wapnem bielone ściany i ceglaną ciemno-czerwoną podłogę izdebki; zlatywały się natrętnie do krochmalu stojącego w glinianej misie, i na pomarańczowe skórki resztki śniadania Niny, wygłodzone rzucały. Niebo błękitne bez chmurki odbijało się w przejrzystych toniach, a w wiosennem powietrzu z wybrzeża dolatywał słony zapach morza i przez otwarte drzwi, oknu przeciwległe, a wychodzące na kawałek ogrodu, wiały wonie pomarańcz w kwiecie, heliotropów i hiacyntów, zagłuszające niedobre wyziewy starej smarzeniny na oliwie i cebuli, wznoszące się z ulicy.

Dziewczę spiewało „Rondinella amabile“, „Verra Sorrentina“, „Jo ti voglio ben assai“; spiewało czystym, melodyjnym głosem, smętnie myśląc o hotelowych gościach, kiedy w otwartych drzwiach czerwony, spocony, wykwintnie ubrany ukazał się Gennaro, tak zwany „servo di piazza“ z hotelu Wiktorji, przychodzący z doniesieniem, iż pewna rodzina Amerykanów, której Nina prasowała bieliznę, telegrafem gdzieś aż do Chicago powołana, miała wieczór odjeżdżać i żądała wprzód swej własności.

Gennaro wszedł do izby, oglądnął się za krzesłem, którego nie znalazł, włożył ręce w kieszenie spodni, pokazując gruby pozłacany łańcuch i nieodstępne koralowe rożki od „jettatury“ wiszące na nim; poklepawszy Ninę po ramieniu, zapytał o zdrowie babkę, a siadłszy na krawędzi okna koło piecyka, począł gwarzyć z tą jedynie neapolitańską szybkością o najprzeróżniejszych rzeczach na raz: o „forestierach“, ciekawościach, starych koronkach, teatrach, balach, odpustach i miejskich plotkach; potem zapytał Magdalenę, kiedy wnuczkę za mąż wydaje.

Nina pusto się rozśmiała.

— Chyba wy, panie Gennaro, chcielibyście mnie za żonę?

— A czemu nie? — rzekł tłusty Gennaro łaskawie i cmoknął językiem. — Jesteś dosyć ładną dziewczyną; cóż? kiedy licho mi nadało tę starą pomywaczkę Sylwią; musiałem się z nią ożenić... Ale na co ci tam szukać starych, musisz mieć młodych kochanków bez liku.

— Nina nie ma czasu o tem myśleć — rzekła Magdalena smętnie.

— Ej na Bachusa! na takie myśli nie potrzeba dużo czasu; dosyć zobaczyć młodego chłopaka i już... A co? — rzekł do Niny — Giusto, ten młody kelner, Rzymianin, jak ci się podoba? — i mrugnął znacząco.

Nina skrzywiła się. „Nie przypatrzyłam mu się...“

— Mała błaźnica! — zawołał Gennaro z głośnym śmiechem — a wciąż za tobą jak cień łazi, kiedy przyjdziesz do hotelu... No! a mój imiennik, Gennaro, pomocnik kuchenny, co?

— Zasmolony zawsze.

— Fu! fu! to chyba pan sekretarz?

— Rudy podobnoś...

— Na świętego patrona mojego, dziewczyno, to chyba ci potrzeba lordów i lordowskich synów?

— Nie wolno mi, bo jestem praczką, a oni wielkimi panami.

— Baje! — rzekł lekceważąco Gennaro — właśnie dla tego myśleć ci o nich potrzeba; oni płacą dobrze; jak sobie uzbierasz grosiwo, to potem możesz pójść za mąż za kogo serce rozkaże... a co, źle mówię babuniu?

Magdalena wstrząsła się obrażona.

— Moja wnuczka nie jest nierządnicą, a wy, panie Gennaro, niegodne rzeczy jej doradzacie.

— Poszalały baby! — mruknął nieukontentowany Gennaro, zabierając się do wyjścia.

Magdalena spojrzała na wnuczkę.

— Nino moja! — rzekła z cicha — nie zważaj na podszepty węża; on nędznik sam ma żonę i córkę, a jednak śmie...

— Babuniu — odparła Nina, karbując machinalnie jakąś ulotną falbankę — podszepty podobnego węża nie są dla mnie niebezpieczne; Giusto, Gennaro, sekretarz i wielu ich tam jest, są dla mnie niczem więcej, jak Pietro, Ciriaco albo stary Ciccio, co tu w sąsiedztwie mieszkają; mniej obrzydliwie brudni tylko.

— A lordowie? jak mówi wąż.

— Wstyd mi wyznać, babuniu, mnie prostej dziewczynie z ludu, ile czuję przyjemności patrzeć na nich, słuchać ich; zdaje mi się, że ich kiedyś widziałam, słyszałam, znałam już; atmosfera woni i elegancji, otaczająca te jasnowłose cudzoziemki, gładzi mi piersi niby pieszczoty twoje; nie zazdroszczę im, Bóg widzi, nie zazdroszczę, ale gdyby jakim losu trafem nagle przeniesiono mię tam, ubrano w ich szaty i kazano żyć ich życiem, nie przez lenistwo, babuniu, nie z próżniactwa, cieszyłabym się tem: ale...

— Ale? — powtórzyła echem stara kobieta.

— Kto wie? mój ojciec mógł być jednym z nich — dodała z westchnieniem.

VIII.

Wieczorem z koszem na głowie, pełnym leciuchnych, świeżych koszul, niosąc w ręku powiewne spodniczki, Nina weszła wraz z Magdaleną do pokojów zajmowanych przez odjeżdżających Amerykanów. Rozliczyła się z samą panią, a gdy się żegnała z panienkami, każda z nich udarowała ją, uściskawszy z amerykańską równością siostry. Miss Amy śliczną różową, prawie całkowicie świeżą pół jedwabną sukienką; miss Bessy dała jej buciki i rękawiczki, a miss Annie balową zarzutkę i dwie krawatki. Nina zarumieniona, ucieszona, z bijącem sercem układała do kosza wypróżnionego swe skarby, na czole czując jeszcze pocałunek świeżych ust dziewczęcych rówieśnic...

I wyszła... a Giusto pobiegł za nią.

— Pod numer 17. cię żądają — rzekł szybko, patrząc miłośnie na jej śliczną i radością rozjaśnioną twarzyczkę.

Zapukała u drzwi wskazanego jej numeru, a dźwięczny, pełny głos męzki odpowiedział niezbędne, przez każdego cudzoziemca na pamięć wyuczone „~~aranti~~“. avanti"

Weszły obie z Magdaleną. Na środku obszernego pokoju, zarzuconego podróżnymi kuframi, workami, stał młody, zaledwie dwudziestoletni mężczyzna, w eleganckim wieczornym stroju, wkładający jasne rękawiczki.

— Praczka? — zapytał obojętnie.

— Tak jest Vossignoria — odparła Nina, nie wiedząc dla czego nieco drżącym głosem.

— Oto tam zawiniątko z bielizną — rzekł znów młodzieniec, nie patrząc prawie na nią, cały zajęty zapinaniem obcisłej rękawiczki, i wskazując na jeden z kufrów — zabierz je, moja kochana, i odnieś jak najprędzej napowrót, bo w podróży nie wiele bielizny z sobą wziąłem.

Światło dwóch kandelabrów na kominie stojących padało na piękną twarz młodego Anglika, o czystych arystokratom tylko właściwych rysach; ciemno-blond włosy miały odblask warkocza Niny, a płeć dziewicza jej białość i świeżość. Wykwintny ubior wieczorny i układ owych bujnych, lśniących włosów i faworytów, podnosiły jeszcze wdzięk rzeczywiście niepospolity całej osoby młodzieńca.

Nina spoglądała nań, zbierając rozrzucone chustki batystowe, jeszcze woni magnolji pełne... uczuła dziwne drżenie w całem ciele... Coś niby powiew wiosennego wietrzyka woni pełnego, co jej skroń omusnął pieszczotnie.

Przed drzwiami czekał na nią znów Giusto.

— Możesz drogo rachować — rzekł czule — bo to jakiś bogaty cudzoziemiec.

Nina nie odpowiedziała mu nawet...

W swej nędznej izdebce składała i rozkładała swe wykwintne stroje, z radością dziewczęcia, pierwszy raz w życiu podobne piękności widzącego swą niezaprzeczoną własnością, ale przed oczyma jej stała owa wdzięczna postać młodzieńca.

— Jaki on piękny — pomyślała — gdyby był moim bratem.

Ułożyła się obok babki na kukurydzowem posłaniu.

— Jak pięknie ubrany! — myślała,

(*Dok. nast.*)

Mamidła stepowe w pustyniach Afryki.

Od oazy Tuggurt do oazy Uargła, oddalonej o trzy dni jazdy konnej, ciągnie się step piaszczysty, jednostajny i smutny. Gdzie niegdzie tylko żółte pagórki piasku, które naniósł przeszłoroczny samum, urozmaicają tęskny obraz pustyni. Jak oko sięgnąć zdoła, widać tylko żółty step, przykryty jak kloszem lazurowem sklepieniem nieba.

Tu i ówdzie na rozpalonem piasku ukazują się małe, zżółkłe ostromlecze lub bylice, albo brunatne krępe osty, ledwo na kilka cali podnoszące się do góry. W całej otaczającej naturze czuć rozlane pragnienie wody i mękę od spiekoty. Żadnego życia, żadnego dźwięku nie słychać w powietrzu; cisza i smutek panuje na tem niezmierzonym okiem cmentarzu. Słońce piecze niemiłosiernie, nawet wiatr przestraszony uciekł z tej ziemi przeklęcia i opuszczenia. Tęsknota i uczucie nicestwa ogarniają duszę. Oto jest wrażenie, które zrobiła na mnie Sahara w maju 1858 roku.

Mając dwóch Arabów za przewodników, już drugi dzień stepem posuwałem się ku południowi, dziwiąc się, jak ci ludzie umieją rozpoznać drogę na tem morzu piasku. Jeden z nich, wioząc rzeczy moje na mule, jechał przodem, nucąc jakąś monotonną piosenkę, podobną do świstu wiatru w noc jesienną; drugi w malowniczym ubiorze spahisa, jadąc około mnie, opowiadał po francuzku o różnych wypadkach, przytrafiających się w podróży po stepach afrykańskich.

Wtem ujrzałem na piasku kilkanaście owoców z koloru i postaci podobnych do pomarańczy, rosnących na krótkiej szypułce, łączącej je z pnącą się po ziemi jakąś roślinką. Wstrzymałem konia chcąc zerwać kilka

owoców. Arab powstrzymał mnie. Nie bierz, sidi, jest to owoc gorżki niezmiernie i niezdrowy, my go zowiemy „cherek"; tam gdzie on rośnie, zwykle wiele jest gadzin stepowych, mających kolor piasku, których ukąszenie jest niezmiernie niebezpieczne. Patrz, sidi, na lewo leży na piasku jakby żółty korzeń drzewa — jest to gadzina Sahary. Nieraz się zdarzyło, że podróżni idąc z karawaną nastąpili na ten zdradliwy korzeń, a ukąszeni przypłacili życiem swą nieostrożność, bo jad gadziny jest tak straszliwy, iż zabija człowieka bardzo prędko po ukąszeniu. Była już godzina siódma po południu, a zatem niedaleko do zachodu słońca, przed którym mieliśmy przybyć na nocleg w pobliżu kałuży, napełnionej stojącą wodą, pochodzącą z poprzednich deszczów, gdzie mogliśmy napoić nasze konie spragnione. Powietrze na kilka stóp od ziemi drżało wyraźnie i zdawało się płynąć skędzierżawionemi falami. Przy najczystszem niebie, powietrze było pozbawione przeźroczystości i ziemia zdawała się być otoczona jakąś szaro — błękitnawą gazą, falującą i migającą nieustannie.

— Patrz, patrz, sidi, zawołał mój przewodnik; oto jest „miraź"!

W kierunku przeciwnym od zachodzącego słońca rozwierciadliła się jasna powierzchnia wody, otoczona zgrabnemi palmami i wierzbami, których długie, w dół spadające gałęzie rozkosznie kąpały się w fali wodnej. Na wyspach jeziora wśród drzew najdziwniejszej postaci widać było jakieś kopuły gmachów fantastycznej budowy.

Zjawisko to wspaniałe nad wyraz ożywiło straszną próżnię i przyciśniętą nicestwem duszę.

Stanęliśmy patrząc na czarodziejski obraz, admirując piękność i cudowną harmonją rysunku, wykonanego ręką wielkiego mistrza. Chociaż wiedziałem, że to jest omanienie wzroku, puściłem konia galopem w kierunku zjawiska, które zdawało się tak blizkiem. Lecz w miarę posuwania się naprzód, jezioro, wyspy i drzewa zaczęły się oddalać, zmieniać swą postać i niknąć. Podczas gdy oko przebiegało wszystkie szczegóły pięknego malowidła, myśl uleciała w odległe wspomnienia wielkich chwil bohaterskich czasów francuzkiej rewolucji.

Przypomniałem sobie wojska Bonapartego w pustyniach Egiptu, zmęczone znojem i pragnieniem. Ileż to razy i im, upadającym od gorąca i pragnienia, przedstawiały się te mamidła! Woda, woda, wołali żołnierze z radością, dobywali reszty sił, biegnąc zwilżyć spiekłe usta i palące się od znoju czoła; bo straszne jest pragnienie na pustyni, a wszędzie, gdzie tryśnie woda, tam tryska i życie jakby za uderzeniem rószczki czarodziejskiej. „En avant" wołali żołnierze, jeszcze trudu pół godziny, godzina i koniec męce, bo woda i drzewa czekają z ochłodą i cieniem. I raźniej posuwały się kolumny naprzód, lecz jeziora i drzewa uciekały, zmieniały swą postać i nikły; stopy zatrzymywały się na żółtym i rozpalonym piasku, a z piersi przygniecionych rozpaczą wyrywało się błaganie: miłosierdzia, kropli wody... Tam znowu zajaśniała powierzchnia błękitnego jeziora, lecz już bez nadziei posuwał się zastęp waleczny dalej...

Zjawisko to znali i starożytni, lecz objaśnił go pierwszy Monge, fizyk i geometra francuzki, asystujący expedycyi Bonapartego do Egiptu w 1798 roku w naukowym celu.

Według objaśnienia tego uczonego mamidła optyczne pochodzą z załamania się światła w niejednostajnej gęstości warstw powietrza, gdy dolne warstwy są rozszerzone przy dotknięciu z rozpaloną ziemią. Promienie światła od oddalonych przedmiotów odbite, kierując się ku ziemi, przechodzą w coraz to rzadsze warstwy i w nich coraz się mniej załamują. Ztąd pochodzi, że promień świetlny schyla się dopóty, póki nie dójdzie do tegu kąta, przy którym łamanie się promienia zmienia się na jego odbicie. Wtedy to promień podnosi się, załamuje się znowu, przechodząc w coraz gęstsze warstwy powietrza, lecz już w przeciwnym kierunku. Ztąd też promienie światła przychodzą do oka patrzącego w takim kierunku, jak gdyby wychodziły z punktu znajdującego się pod ziemią, a oko widzi wywrócony obraz oddalonych przedmiotów, jak gdyby promienie idące od nich odbiły się od spokojnej powierzchni jeziora.

Objaśnienie Monge'a o powstawaniu mamideł stepowych zupełnie mie zadowolniło mię, bo nie mogłem pojąć zjawiska jeziora na piaskach, i dla czego wszystkie przedmioty widziałem w zwykłem położeniu, a nie odwrócone.

Lat dwadzieścia ubiegło od tego czasu. Czytając niedawno pamiętniki Karola Brzozowskiego, znalazłem ustęp rozniaśniający wszystkie wątpliwości moje. Oto co pisze nasz sympatyczny i kochany poeta:

Zmuszony z powodu służby częste odbywać wycieczki na równiny Mezopotamii, zauważałem w jednem i temże samem miejscu stojący zawsze w wodzie znaczny las wysokich drzew, podobnych do wyniosłych i szeroko rozramienionych topól balsamicznych. W miarę przybliżania się doń, niknął, a jego miejsce zajmowały jeziora, tu i ówdzie pokryte wysepkami kulistych wierzb. Uderzony powtarzaniem się tego samego na jednem miejscu obrazu, począłem szukać, co może przybierać kształty owych topól, których nigdzie nie ma, wyjąwszy chyba podobne im białodrzewy, które dość często zdarzają się na wyspach Tygru i Eufratu, a których jednak odbicie się na pustyni, od tych rzek odległej, nie zdawało mi się możebnem; i wpadłem na podejrzenie, że kilka morgów pięknej bujnej bawełny, znajdującej się na drodze, jest moim lasem. Przy pierwszej sposobności wysłałem naprzód towarzyszącego mi beduina; w polu bawełny kazałem mu zatknąć długą jego lancę bambusową, opatrzoną tuż pod grotem buń-

czukiem z końskiego włosia. Podejrzenie moje było słuszne — z radością ujrzałem po nad lasem jakiś wysmukły minaret, z wielką galerją dla muezina, ozdobioną długą igłą, na której zwykli umieszczać synowie proroka godło swoje — księżyc na nowiu; z łatwością poznałem w tym minarecie lancę beduina, w galeryi — jej buńczuk, a jej grot w igle błyszczącej.

„Odkrycie to naprowadziło mnie na pewną drogę badania majaków, do tego stopnia, że nauczyłem się poznawać w różnych drzewach mirażowych rośliny, które ich kształty przybierają. I tak okrągłe osty są wierzbami, bylice — cyprysami, a różne enforbie zamieniają się w pyszne palmy; małe wyniosłości ziemi, kretowiny nawet — w wyspy kąpiące się w jasnej wodzie, która jest tylko prostą powodzią drgającego powietrza, od którego odbijają się promienie słońca. Doświadczenie nauczyło mnie, że przedmioty majaków, według naturalnej swej wielkości, są widzialne bliżej lub dalej, że drgające prądy powietrza, płynące w jednym kierunku, a dające się bardzo dobrze obserwować o paręset kroków, a najdalej o kilometr, już zlewają się z sobą i dla źrenicy zamieniają się w wodę; że w czasie lekkiego gorącego wiatru miraże tworzą się częściej i bliżej, i że nigdy nie zdarzało mi się ich widzieć przy silnym wietrze, ani przy temperaturze niższej od 21° C. Dla tego też majaki w zimie mają miejsce tylko między godziną jedenastą zrana i drugą po południu, i nareście że potrzebnem jest do utworzenia się zjawisk pewne wzniesienie się słońca nad poziom ziemi. Szczególnie pięknie w mirażu wydają się słupy kurzawy, wznoszące się pionowo, wirujące na miejscu, lub majestatycznie posuwające się w pustyni. Słupy te często dochodzą do niezwykłej wysokości i także objęte mirażem, zdają się być olbrzymiemi trąbami morskiemi. Kilka razy zdarzyło mi się widzieć drzewa majakowe, jakby obsypane krociami dyamentów, albo mające zamiast liści różnej wielkości zwierciadełka, które się chwiejąc, rażąco odstrzeliwały blask słońca. Czy się domyślicie, kto ten bogacz, rzucający tyle skarbów na listki bylicy i ostów? — Drobny biały ślimaczek, który w czasie upałów, zaskorupiwszy się na gałązkach roślin, jakby śnieżnemi kiściami kwiatów pokrywa je całkiem, opuszcza je w nocy, a na miejscu, które zajmował, zostawia zaschłą ślinę metalicznego połysku.“

Przeczytawszy ten piękny i poetyczny obrazek, zrozumiałem, zkąd pochodziły strojne i wysmukłe palmy i płaczące wierzby, otaczające jezioro widziane w Saharze; zrozumiałem, zkąd powstały wyspy pokryte lipami i kopuły gmachów fantastycznego miasta. Na utworzenie tego pysznego obrazu Stwórcy Wszechmocnemu potrzeba było tylko kilku bylic, kilku zaschłych ostromleczów i kilkunastu nędznych owoców chereku.

Dr. I. Stella Sawicki.

POGADANKA.

(Po amerykańsku. — Rozwój przemysłu fabrycznego w królestwie Polskiem. Porównanie z przemysłem w Galicji. — Nasz przemysł domowy i bazary wiedeńskie. — Album rodziny Fredrów. Wystawa sztuk pięknych w Monachium. — Wieczorki na cześć Mickiewicza. — Myśl pomnika dla tegoż. — „Przyjaciel domowy“ i „Gazeta wiejska.)“

W bieżącej chwili zaszedł na ziemi naszej jeden z owych niezwykłych faktów, jakiemi dotąd zaledwie Ameryka mogła się była poszczycić. Miasto fabryczne Łódź, zaczęło się w ostatnich latach tak nagle rozwijać, w skutek coraz nowych powstających w niem fabryk, iż stosunkowo w nader krótkim przeciągu czasu, dosięgło pokaźnej cyfry stu tysięcy mieszkańców. Łódź, jako główne siedlisko przemysłu fabrycznego w królestwie kongresowem, jest w obecnym wypadku tylko wyrazem ogólnego kierunku, jaki dzięki sprzyjającym okolicznościom, objawia się pomiędzy naszymi zakordonowymi braćmi. Oby tylko wytrwać zechcieli na tej drodze. Dziś już, cały Wschód północny, zaopatrujący dotąd potrzeby swoje w fabrykach francuzkich i niemieckich, ochotnie zwrócił się do wyrobów naszych a firma czy to warszawska czy w ogóle polska, jest tam najlepszą rekomendacją towaru. Zakłady przemysłowe w królestwie podołać nie mogą ciągłym zapotrzebowaniem nowych dostaw, i jeśli tak dłużej potrwa i po chwilowym zapale jak to u nas bywa — nie nastąpi zwykła apatja, przemysł polski zdobędzie sobie na drodze pokojowej wielkie targi handlowe, o co niejedno potężne mocarstwo prowadzić musi uciążliwe i kosztowne wojny, najczęściej beskuteczne.

Poruszając tę kwestję, stojącą na porządku dziennym za kordonem, nie myślimy tu czynić jakichkolwiek porównań z Galicją. Broń nas Boże, od podobnej myśli! U nas inaczej! Z góry powiedzieliśmy sobie że nasz kraj jest krajem rolniczym, nie myśleć nam więc o czem innem, a chociaż i o tem rolnictwie naszem różnie mówią, jest to kwestją zapatrywania. Przed rokiem zajmowaliśmy się wszyscy przemysłem domowym; z nietajoną dumą podziwialiśmy okazy jego na wystawie lwowskiej, mówiono i rozprawiano o nim na każdym kroku, dzienniki przypełnione były jego pochwałami — i czegoż więcej potrzeba? Jeden rok zaledwie upłynął, a komu przez myśl przejdzie jakiś tam przemysł domowy? Bo i po co? bazary wiedeńskie, mnożące się u nas jak grzyby po deszczu, w zupełności zaspakajają nasze potrzeby — wszystkiego w nich dostać można bez kłopotu i tanio — a któżby śmiał rywalizować z niemi!

Ale odwróciwszy na chwilę uwagę naszą od tych spraw przesiąkłych materjalizmem, przenieśmy się myślą do Krakowa.

Tam, w stolicy wiedzy, w kolebce sztuk pięknych, niezawodnie inna, mniej może praktyczna ale artystyczna owionie nas atmosfera. I nie zawiodły nas oczekiwania: oto Kossak Juljusz, na żądanie hr. J. A. Fredry tworzy genealogiczne drzewo rodziny Fredrów, którego artystyczny pomysł gdyby znalazł naśladowców w innych senatorskich rodzinach, mielibyśmy gotowy zbiór pełnych chwały wspomnień historycznych. Ma to być album złożone z dwunastu akwareli a wyobrażenI w nich będą:

1. Dobiesław Mierzba, wielki marszałek koronny, zwyciężający rycerza Niemca w pojedynku w obecności Króla Kazimierza W. r. 1368.

2. Jan Fredro, wojewoda ruski, zwyciężający hetmana wołoskiego Szoszumiłę r. 1496.

3. Andrzej Fredro, wojewoda podolski, odbijający Tatarom 4.000 jeńców polskich r. 1499.

4. Wawrzyniec Fredro, w poselstwie do sułtana Bajazeta, około r. 1520.

5. Franciszek, biegnący z Zamku Lubaczewskiego przeciw Tatarom r. 1520.

6. Andrzej Maksymiljan, wojewoda podolski, około r. 1690 (portret).

7. Stanisław, kasztelan czernichowski, oddający na usługi Rptej dwie chorągwie i regiment.

8. Aleksander biskup przemyski; (portret).

9. Seweryn na czele dwóch szwadronów gwardji napoleńskiej, rozbijający (1813 r.) pięć szwadronów pruskich huzarów i biorący w niewolę pułkownika Blüchera.

10. Aleksander, kapitan sztabu jener. gdy w bitwie pod Hanau (1813) kula armatnia konia pod nim ubija.

11. Edward, rotmistrz ułanów, ranny pod Kałuszynem.

12. Aleksander Fredro, w wieku późniejszym (portret).

Że Kossak godnie odpowie tak pięknemu zadaniu, o tem ani na chwilę wątpić nie można.

Artystom naszym nowe odkrywa się pole do popisu. Jak z prywatnego dowiadujemy się listu, w roku przyszłym urządzoną być ma w Monachium powszechna wystawa sztuk pięknych. Spodziewać się należy że artyśei polscy nie zaniedbają licznym udziałem w tej wystawie, utrwalić wysokie stanowisko, jakie szkoła polska w malarstwie wywalczyła sobie w całym cywilizowanym świecie.

Do nie zbyt licznych a pocieszających objawów rozbudzenia się u uas jakiegokolwiek ruchu umysłowego, zaliczyć należy wieczorki literacko-artystyczne w rocznicę zgonu Adama Mickiewicza. Przed kilku laty wieczorki podobne urządzane jedynie przez młodzież akademicką we Lwowie i w Krakowie dziś już, jako zwiastuny szlachetniejszych pragnień, rozbiegły się pocałym kraju, i niemal wszystkie większe i znaczna liczba mniejszych miast naszych, w miarę sił miejscowych starają się o świetny obchód tej narodowej iście uroczystości. — Otóż, podajemy myśl, czyby nie było możebnem pewnej części czystego dochodu z tych wieczorków przeznaczać rok rocznie na pomnik Adama? Młodzież Akademicka w Krakowie ma już złożoną na ten cel w kasie oszczędności parotysięczną sumkę a po latach kilku a choćby i kilkunastu z drobnych tych i nieznaczących ofiar, za przyczynieniem się całego kraju powstać by mógł dostateczny fundusz na godne uczczenie pamięci pierwszego z wieszczów naszych. — Zaprawdę, nie godzi się nawet wątpić o podobnym rezultacie, skoro w ciągu niespełna roku jednego, zdołano zebrać w Krakowie przeszło dziesięć tysięcy złotych reńskich na pomnik dla Piusa IX.

Pocieszającą wiadomość mamy jeszcze do zapisania. Po śmierci Hipolita Stupnickiego obawialiśmy się upadku „*Przyjaciela domowego*“ i „*Gazety wiejskiej*“, — na szczęście obawy nasze ustały. Oto dowiadujemy się, że wydawnictwa te przeszły na własność p. Franciszka Dülla, obywatela lwowskiego, — a redakcję ich objął p. Fr. K. Martynowski, znany archeolog i były redaktor „*Ruchu literackiego*“. Pisma dobrego dla klas średnich brak nam wielki, — zaniedbana to niwa. Znając zasady pp. Dülla i Martynowskiego, mamy to mocne przekonanie, iż „*Przyjaciel domowy*“ w zupełności odpowie warunkom umiejętnie prowadzonego pisma dla stanu średniego. P. Martynowski dał nam już dowod „*w Ruchu literackim*“, że rozumie zadanie czasopisma, — niewątpimy zatem, że i tutaj wywiąże się należycie z ciężkich obowiązków przyjętych na siebie. Nie możemy pominąć i tego że nowy właściciel „*Przyjaciela domowego*“ zapewnił zupełne utrzymanie dla wdowy po zasłużonym ś p. H. Stupnickim; — tem szczerzej więc zasyłamy świeżej redakcyi staropolskie: Szczęść Boże! a „*Przyjaciela Domowego*„ zasługującego się ojczystej sprawie rok 28, tem goręcej polecamy naszym czytelnikom.

Kl.

POKŁOSIE.

Blask słońca o północy należy bez zaprzeczenia do najciekawszych i najosobliwszych zjawisk, jakie widzieć można w strefach podbiegunowych. Jak wiadomo, nie zachodzi słońce na wysokiej północy od połowy czerwca do początku lipca, lecz świeci codziennie pełnych 24 godzin; opasuje ono przytem na niebie koło i zniża się tylko o północy do samej krawędzi widokręgu, rozlewając ztamtąd prawdziwie magiczne światło na całą okolicę. Promienie jego są wtedy przyćmnione, jakby padały z za pomarańczowej osłony; lód utrzymuje delikatne rożowe zabarwienie; wszystkie przedmioty, nawet w małem oddaleniu, przedstawiają się w mglistych zarysach; wszystkie cienie są nadzwyczaj miękkie, i cała przyroda, owiana ciszą grobową, przybiera bardzo groźną postać. Podczas cichych nocy staje się też powietrze bardzo łagodnem, tak iż się prawie zapomina, że się człek znajduje w krainie lodów i zamieci śnieżnych. Po dojściu do najniższego punktu zaczyna słońce niebawem znowu się podnosić, i purpurowy blask jego promieni zamienia się znowu w olśniewającą bladożółtą jasność. Ale żyjące istoty przyrody nie dają sobie jeszcze tem przerywać spoczynku nocnego; biały niedźwiedź wypoczywa jeszcze jakiś czas gdzieś za ścianą lodowca, mewy i nurki siedzą jeszcze na krawędziach kry nieruchomie z głową ukrytą pod skrzydłem; aż wreszcie około godziny 3. lub 4. wyłażą psy morskie ze swoich kryjówek i zaczynają pluskać się po falach, alki wzbijają się szybkim lotem w powietrze, i znowu rozpoczyna się jednostajne życie dzienne.

Najbrzydszy człowiek. Hans Heidegger, Szwajcar rodem z Zuryku, był około połowy zeszłego wieku jednym z dyrektorów opery i wielkich maskarad w Londynie, i król Jerzy II. mianował go swoim szambelanem. Raz przy obiedzie dworskim, na ktorym znajdował się także Heidegger, odezwał się ktoś z pytaniem, który też naród europejski odznacza się największą jenialnością? — „Z pewnością Szwajcarowie!“ — zawołał Heidegger. Król i dworzanie śmieli się naturalnie. — „Posłuchajcie mnie wprzód, a potem śmiejcie się“ — mówił daléj Zurychianin. „Przybyłem do Londynu bez grosza w kieszeni, bawię was i zarabiam tém rocznie 5000 funtów szterlingów, a co większa jeszcze, przepuszczam te pieniądze znowu. Otóż chciałbym widzieć Anglika, któryby w Szwajcaryi dokazał tej sztuki! Z tego wypływa jasno, że Szwajcar jest jenialniejszy niż Anglik.“ — Jenialny ten komik był przytem niesłychanie brzydki, czego też nie zaprzeczał wcale, a nawet był dumny z tego. Raz założył się z lordem Chesterfieldem o znaczną sumę, że w całym Londynie nie ma brzydszej twarzy niż jego. Mianowano sędziów polubownych, i szlachetny lord wyszukał w końcu jakąś starą babę, która miała być brzydsza niż Heidegger. Sędziowie też, ujrzawszy tę istną głowę Meduzy, przechylali się na stronę milorda; wtedy zdjął Heidegger poważnie i z całą godnością czepiec z głowy swéj rywalki, wsadził go na swoję głowę, a babie założył swoję perukę, i wszyscy sędziowie, zmieniwszy naraz swe zdanie, przyznali mu zwycięztwo. I lord musiał zapłacić zakład.

Tuczenie ostryg. Ostrygi są dziś tak poszukiwanym artykułem handlowym, że roczny ich połów nie dorównywa już prawie odbytowi, i przeto zabrano się już w wielu miejscach do sztucznej ich hodowli, a oraz zaczęto także zajmować się polepszaniem ich jakości, tucząc wychodzące z połowu drobne jeszcze, niepokaźne lub chude ostrygi w tak zwanych „ostrygarniach.“ Jednym z najnakomitszych zakładów tego rodzaju jest ostrygarnia husumska, znajdująca się w pobliżu szleświckiego miasta Husum, którą pierwotnie założył jakiś Józef Miller, a od r. 1858 nabyła od niego kompania husumska. Wielka tama, wysokości 13—20 metrów, obłożona od strony morza faszynami i kamieniami, ochrania tę ostrygarnię od nawału fal morskich. Cały park podzielony jest na 3 oddziały, z których każdy, przy głębokości 3 metrów, zajmuje 20—23 metrów kwadratowych i opatrzony jest kratami z grubych belków. Przed temi trzema basenami znajdują się dwa wielkie rezerwoary na wodę, oddzielone od głębszej części parku, a połączone śluzą i tunelem, urządzonym pod tamą z morzem, tak że w czasie przypływu napełniają się te rezerwoary zawsze świeżą wodą morską. Gdy rezerwoary są już napełnione, zamykają się śluzy, ażeby woda w nich mogła się uspokoić i oczyścić z namułu, poczem dopiero spuszczają ją małemi śluzami do bassenów. Właściwy park leży cokolwiek niżej od rezerwoarów, ale zawsze jeszcze tak wysoko, że woda z niego może być spuszczana dla zastąpienia świeżą. Ściany rezerwoarów składają się z wałów ziemnych, obłożonych faszynami, baseny zaś mają boki i dna szczelnie wyłożone dylami, ażeby nie wciskała się do nich szkodliwa ostrygom woda ziemna; wogóle musi w nich przestrzegana być jak największa czystość. W tych basenach bywają tedy umieszczane drobniejsze ostrygi, poławiane w morzu północnem i na wybrzeżach Anglii, ażeby podrosły i wytuczyły się, i dopiero potem łowią je znowu, pakują w kosze i rozsyłają z Husum koleją żelazną. Prócz tego wrzucają do tych basenów także uzbieraną ikrę, i tym sposobem zabezpieczone jest oraz rozmnażanie się ostryg.

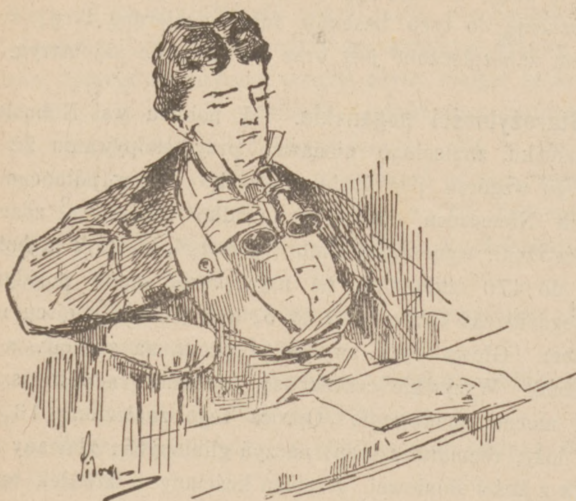
Starożytności pogańskie. W pobliżu wsi Hohnsleben, w Brunświku, znaleziono niedawno przy skopywaniu 22 stóp wysokiego wzgórza pogańskie uroczysko, co w północno-zachodnich Niemczech dotychczas rzadko kiedy się zdarzyło. Na przestrzeni, wynoszącej około $^1/_4$ morga, leżało w głębokości 5 stóp do 470 szkieletów, po największej części pojedyńczo, gdzieniegdzie zaś także po 2 do 5, a w jednem miejscu nawet 19 razem. Głowa była zwykle obrócona na zachód, a nogi na wschód. Wszystkie czaszki są podłużne, a dolne szczęki bardzo mocno zbudowane. Oprócz tego znaleziono 13 żelaznych noży, rozmaite czerepy naczyń glinianych, złamany naramiennik z kości słoniowej, grzebień kościany i kawałek bronzu.

Punkt honoru jest u ludów żyjących na ziemi naszej bardzo rozmaity, i u wielu zastępuje samobójstwo miejsce pojedynku. Tak n. p. dzieje się w Japonii. Obrażony przebija się tam mieczem, a przeciwnik jego jest człowiekiem bez czci, jeśli rownież nie uczyni tego. W Chinach odbiera sobie życie urzędnik, jeżeli miał nieszczęście nie podobać się cesarzowi. W Turcyi musiał do niedawna jeszcze minister lub pasza, który popadł w niełaskę, udusić się jedwabnym sznurem, który posyłał mu Sułtan, i to ucałowawszy go wprzód z uszanowaniem. W Bengalii lub Dekanie, jeśli ubogi uciemiężony człowiek nie może uzyskać sprawiedliwości od swego ciemiężyciela, siada u drzwi jego i wzywa go po raz ostatni, ażeby zmienił swoje postępowanie; a jeśli to nie skutkuje, przysięga, że się głodem umorzy, i pozostaje nieruchomie na swojem miejscu, dopokąd nie zginie. Ale biada wtedy okrutnikowi, któryby go przeżył! Własne dzieci uciekałyby od niego, żona wzgardziłaby nim, a sąsiedzi obchodziliby się z nim jak z zarażonym. Nie pozostaje mu więc nic innego, jak również umrzeć. Przed pięćdziesięciu niemal laty postanowili byli mieszkańcy pewnego miasta w Indyach wschodnich zmusić tym sposobem swego nielitościwego gubernatora do ustępstwa. Chodziło to o podatek od soli. Cała ludność, nie przyzwyczajona do takiej opłaty, uznała ten podatek niesłusznym i nie chciała go płacić. Tysiące mieszkańców opuszczało miasto; rząd wysyłał wojsko: nikt nie stawiał oporu, każdy dawał się spokojnie zabijać. Wkońcu musiał rząd ustąpić, i tym sposobem odnieśli mieszkańcy zwycięztwo.

Oryginalna odprawa. Gdy dochody Ludwika XV. były raz w tak złym stanie, że urzędnicy i służba dworska nie mogli na czas otrzymać swojej płacy, przyszli śpiewacy opery do ministra z prośbą, ażeby kazał im wypłacić naznaczoną gażę. „Moi panowie, — rzekł minister z największą spokojnością — musimy najprzód zaspokoić tych, którzy płaczą, a dopiero potem przyjdzie kolej na tych, którzy śpiewają.“

Kącik humorystyczny „Strzechy.“

Hrabia Toto.



Przypominasz sobie zapewne, chèr Ziziu, com powiedział przed kilku miesiącami, że z taką żoną jak Lala „nigdy nie można wiedzieć, où l'on en est dzisiaj, i co się stać może jutro“. — Je ne me suis pas trompé! Pierwszy miesiąc po ślubie, jak wiesz, spędziliśmy w Nicei. Dla mnie przynajmniej niebył to miesiąc miodowy. Bo w trente et quarante przegrałem około pięciu tysięcy, a drugie tyle, il me semble, puściła Lala w ruletę. Au fait; byłoby to jeszcze drobnostką — nous autres umiemy z zimną krwią znosić takie ciosy; a zresztą przy naszym majątku — la fortune oblige, powiedział podobno jakiś literat czy dyplomata!... Mais imaginel-vous quelze surprise! Trzydziestego dnia jak obszył po ślubie, je me reveille w anielskim humorze, bo właśnie wieczorem przysłali mi świeżą gotówkę ze wsi — budzę się, oglądam... Lali nie ma przy mnie, elle a disparue... Po długiem szukaniu, znajduję enfin — nie Lalę — lecz kartkę zatkniętą. za wskazówkami zegara stojącego na kominku — zegar zatrzymał się o siódmej rano, a na kartce były te tylko wyrazy: „Je parts pour Rome, attends moi à Leopol — Lala.“ Nie potrzebuję ci mówić jaką minę zrobiłem! Na szczęście zostawiła mi tysiąc franków. W Nicei nie wypadało się pokazywać bez żony, do Monaco nie było z czem jeździć — prosto więc na kolej i przez Genuę Wenecję i Wiedeń wracam do domu. Entre nous soit dit, po przejściu pierwszego wrażenia, byłem jeśli nie zupełnie wdzięczny Lali za tę siurpryzę, to przynajmniej je ne lui en veux pas. Bo i co to za podróż była! Znowu swobodny jak ptaszek, zabawiłem w Wiedniu kilka dni — trzeba było odwiedzić stare znajome... Do Krakowa jechałem w jednem coupé z milutką Szwajcareczką; poznasz ją zapewne, bo zgodziła się za guwernantkę do Szewczyńskich, jak cię kocham, szyk dziewczyna!... Nie uśmiechaj się, filucie... jusque là rien de se rieux! to projekcik dopiero. — We Lwowie stanąłem wczoraj 16. nie widząc się jeszcze z nikim, wychodzę od George'a, na partyjkę do kasyna. Uszedłem może dziesięć kroków, aż tu szach mach, coś świsnęło mi nad uchem jakby pałasz, cylinder potoczył się na ziemię, a ja ledwie dopadłem fiakra i z gołą głową, ale zato cały, znalazłem się w kasynie. Tam mi dopiero Tonio powiedział, że to nowa partja, qui se nomme „inaczej myślących“ robi powstanie. Quel horreur! całą Europę przejechałem i wszędzie umiano mię uszanować, a tu, w lichym Lwowie, jakiś demagog „inaczej myślący“, o mało nie pozbawił mnie życia!... C'est insupportable! dziś jeszcze jadę na wieś... qui sait — powtarzam — „où l'onen est dzisiaj i co się stać może jutro...“

Fare well *Toto.*

Niby bajki.

On.

Kiedym miał dwadzieścia lat,
Krew na licach, w sercu żary;
Wówczas bawił mnie ten świat
I zwodnicze jego mary.

Minął szybko płochy szał —
Wśród rozpierzchłych ideałów,
Jam rozwadze miejsce dał,
Zrzekł naiwnych się zapałów.

Dziś na świat się zimno patrzę,
Żadnych nie znam wniebowzięć;
Obojętny jak w teatrze, —
Mam dziś lat... dwadzieścia pięć!

Ona.

W siedmnastej życia wiośnie,
Z gwiazdeczkami spokrewniona;
Na wpół tęskno wpół radośnie
Tuliłam ludzkość do łona.

Dziś nie jestem tak naiwna,
Umiem serce trzymać w mierze;
Miłość dla mnie rzecz nie dziwna,
Ni jej pragnę, ni w nią wierzę.

Na ludzi z góry spoglądam,
Obliczam każdy mój krok;
Czci, hołdów od świata żądam —
Kończę... dziewiętnasty rok!...

Przepisy kuchenne.

Ocet galilejski. Weź kwasu polanowskiego, obertyńskiego i jędrzejewicza po równej dozie, dolej do tego infusorji Czerkawskiego ad libitum, i dla zapachu dodaj kilka kropli ekstraktu Abrahamowicza. Zmieszaj wszystko razem aż się zapieni, potem przecedź przez artykuł kierujący Czasu, a jeśli Czas dla ciebie za drogi, to przez Gazetę lwowską; następnie zlej w butelki i wstaw do ciemnego lochu. Korkować nie potrzeba, bo tam nie ma co wywietrzyć. — NB. Makulatura, przez którą cedzony był ocet, skuteczną jest trucizną na robactwo tutejszo-krajowe.

Wydawca i odpowiedz. za redakcję F. H. RICHTER.

Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



GRAF RAK.

POWIEŚĆ

PRZEZ ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO.

24

(Ciąg dalszy.)

— Mademoiselle — rzekłem do niej, kiedyśmy byli sami — je suis trés-heureux....

— Et trés-surpris de me trouver ici? n'est-ce pas?

— Oui, un peu — odpowiedziałem z uśmiechem.

— Mais, je vous l'ai dit à Vienne — rzekła siostrzenica Leendorfa — ah! ces vieilles perruques! De bonnes gens, si vous voulez. Mais je ne suis pas de ce monde-là...

— Et ici, comment vous trouvez-vous? C'ést beau...

— Ah! allez-donc. Le château est beau, mais est-ce que vous ne voyez pas tous ces tripotages....

— Moi, je ne vois rien.

— Comment? — zawołała fifille z uśmiechem, — vous êtes donc myope?

— Je m'en vais vous l'expliquer. Il y a des choses, que je ne vois pas, parceque je suis trop distrait, et il y en a d'autres, que je ne vois non plus, parceque je ne veux pas les voir.

— Alors, c'est autre chose; mais moi je ne suis ni distraite, ni discrête. Et je vois tout. Regardez-moi ce vieux colonel. Bon vieux, mais qui n'est pas reçu dans le monde, n'est pas pour lui un être humain. Par-ci, par-lá, il y a une femme qui fait exception....

— Parceque toutes les femmes sont nobles, vous ne le saviez pas?

— Ah, oui! excepté la comtesse. Mon Dieu, quel monstre! ce petit Raczek est bien tombé.... Et puis le militaire et la Tsigane, qui se donnent des rendez-vous au château.... Et le militaire, qui sert de paravent à madame, et la Tsigane, qui fait la cour au colonel.... Ah! quel monde, quel monde! Un beau monde, mais j'aime mieux l'atélier à pepére, mes bons ouvriers, ma bonne memére et le petit jardin. Et je vous dis ici la même chose qu'a Vienne. Ils m'étouffent.... mais ce ne sera pas long.

— Vous croyez?

— Oh! soyez en sûr, monsieur, mais.... je compte sur votre discrêtion. Avez-vous vu Auguste?

— Non, je ne l'ai pas vu. Il n'étatit plus à Vienne.

— Mais il est ici. Il travaille dans les charbonnages...

— Ah!

— Et avez-vous vu le vieux Ramult?

— Non, mademoiselle, je ne l'ai pas vu non plus. Est-il ici, lui aussi?

— Ah! je n'en sais rien — odpowiedziała fifille z zagadkowym uśmiechem, którego nie mogłem zrozumieć. Poczem dodała: — Dites donc, monsieur, j'aurais quelque chose à vous demander.....

Tymczasem ruch się zrobił w salonie, goście zabierali się do wyjazdu. Wyprowadziliśmy ich na ganek i zazdrościliśmy im podróży, noc bowiem była ciepła, pogodna i w pełnem świetle księżyca prawie tak jasna, jak dzień. Wkrótce wszyscy domowi rozeszli się do swoich pokojów, a myśmy się z pułkownikiem zostali na ganku, aby użyć świeżego powietrza. Pułkownik miał trzech kozaczków

ze sobą, dwudziestokilko-letnich chłopaków wymusztrowanych z żołnierska, ale wielkich wisusów, z których dwóch służyło przy jego koniach, a trzeci przy jego osobie. Jeden nazywał się Węzełek, drugi Łyczak, a trzeci Kołtunek. Ten przyniósł nam fajki, a pułkownik rzekł do mnie:

— Mój syn jest na obserwatorjum i celuje swój nowy teleskop, aby ci jakąś piękną gwiazdę pokazać. Jak wyceluje, to przyszle nam kapelana, a tymczasem możemy sobie pogawędzić.

— A cóż-to za kapelan?

— A! mamy kaplicę w zamku, więc jest i kapelan, którego przy obiedzie widziałeś. Ale ponieważ w kaplicy niewiele ma do czynienia, bo tylko dla mnie czyta mszę co niedzielę, więc go mój syn astronomji wyuczył i on mu tam instrumenta utrzymuje i rachunki prowadzi. Bo trzeba ci wiedzieć — mówił dalej pułkownik — że u nich tam każda gwiazda jest zapisana i każdej wyznaczona marszruta. Co wieczór pilnuje albo jeden, albo drugi, a najczęściej obydwa, czy każda maszeruje, jak trzeba, a jak tylko która nie statkuje, to zaraz telegrafują do Rzymu, do Paryża i do innych miast, gdzie astronomowie mają swoje główne kwatery, a tamci im znowu odpowiadają. Co im po tem, ja tam tego nie wiem, bo wątpię, aby która gwiazda na nich się oglądała; ale to jest pasja mojego syna.

— Gwiazdy się na nich nie oglądają, ale oni w gwiazdach czytają, śledząc ich biegów, a od niejakiego czasu nawet i części składowych.

— Ale dotąd jeszcze nic nie wyczytali — odpowiedział pułkownik — prawdę mówiąc, to nawet nie wiedzą, kiedy krew puszczać trzeba, a kiedy przeczyszczające zioła pić należy, jak to nasi starzy astronomowie wiedzieli. A już tam, ażeby zgadli, kiedy król jaki umrze, albo wojna wybuchnie, to ani mowy o tem nie ma; nawet jak ich o pogodę spytać na jutro, to strzel w łeb, ani słowa nie wiedzą. A to u mnie jest ksiądz w Augustowskiem, prawie starszy odemnie, już mu i oczy nie służą, dlatego też darowałem mu moję lunetę, która mi przy sztabie służyła; ale ten wie bez lunety, na którem miejscu i o której godzinie kwoczka stać będzie, i kędy się obracają Jupiter albo Saturnus; a kiedy powie, że na jutro pogoda, to pogoda, jak Bóg na niebie. On mi też śmierć mojej żony przepowiedział; a kiedy o wojnie krymskiej jeszcze nikt nie pomyślał, to on już z komety wyczytał, że wielka wojna wybuchnie na wschodzie, że Czarne morze jak las się zjeży od cudzoziemskich okrętów, i bitwy te będą trwały trzy lata — i tak się też stało. Spytajże się naszych astronomów o takie rzeczy pożyteczne, to cię jeszcze wyśmieją, chyba że ci jaką filozofją opowiedzą, bez której by się wcale obeszło...

— I ta filozofja ma swoję wartość, tylko ją trzeba brać cum grano salis.

— Otóż to jest! Ale oni ją biorą na serjo. Zapewne, że przedemną się tają, bom zburczał za to, bo to rzecz bałamutna a nawet i nie honorowa. Skądże jest racja, jako ta ziemia, na której tak wielkie rzeczy się działy, jak to pisze historja i co też ja sam widziałem, jako tedy ta ziemia jest najpośledniejszą ze wszystkich planet, która jednego dnia w mgłę się obróci i nic się z niej nie zostanie? Albo też i ta druga, którą także wymyślili astronomowie, jakoby człowiek pochodził od małpy? Jeszczeż, żeby to który chłop albo cygan, co żyje po lasach i czasem istotnie mało co rozumniejszy od małpy; ale jakżeż mnie takie rzeczy mówić, o którym przecież zapisano jest w księgach, zkąd się ród jego wywodzi? Gadanie takie jest nieuczciwe, a nawet i niepotrzebne. Bo o to ja lat tyle żyłem, i wcale mi takiej filozofji nie było potrzeba. A miałem też i ja moję filozofią... Kołtunek daj no fajkę.

Kozaczek podał mu świeżą fajkę, poczem mnie spytał:

— A na czem żeśmy stanęli?

— Na filozofji — odpowiedziałem.

— Ba! ale jakiej?

— Zapewne na tej, którą Wolter napisał.

— A czego się śmiejesz? — zapytał staruszek, śmiejąc się sam — pewnie mnie o wolterjanizm posądzasz. A niesłusznie. Mój syn, to co innego; tylko, że ci młodzi już zajechali tak daleko, że Wolter i wody by nie mógł wozić za nimi. Wszystko to bałamuctwa i wcale bez sensu. Ja to czuję, tylko że nie umiem im tego wypowiedzieć, bom nie książkowy. U mnie filozofja jest wcale inna. Opiera się ona na dwóch katechizmach: na wojskowym i na cywilnym. Katechizm wojskowy mnie nauczył, że trzeba we wszystkich postępkach mieć punkt honoru — a jak się komu noga pośliźnie, to już nie ma na to rady, tylko trzeba sobie w łeb strzelić. A katechizm cywilny znowu powiada, że trzeba się bać Pana Boga i zawsze postępować uczciwie. Otóż i cała filozofja. Kogoby to bawiło, to mógłby książkę o tem napisać, ale to wcale nie potrzeba, bo to jasne i zrozumiałe bez książki. Chyba żeby jaki regulamin dodać do tego... jako to czasem są ludzie, zwłaszcza między pospólstwem, którzy i prostych rzeczy zrozumieć nie mogą. Pocóż tedy tam jakieś nowe filozofje z obrotu gwiazd wyczytywać, kiedy ta jest od wieków, odkąd stan wojskowy istnieje na świecie, i jest dostateczna. A jużci ja nie od dzisiaj żyję na tej ziemi. Ja jeszcze w roku 1807 wstąpiłem do wojska, po kampanji hiszpańskiej się ożeniłem, potem zaś znowu służyłem *usque ad finem*, a *post finem* także jeszcze służyłem. Przez ten czas gdziem też nie był i przez jakie nie przechodziłem koleje? Od królewskich pałaców aż do chłopskiej chałupy, bo też nie raz u chłopa stało się na kwaterze. Miewałem też misje polityczne i wojskowe, musiałem zajmować miasteczka i wioski, a nie zawsze ku zadowoleniu mieszkańców. A gdzie ja tam miałem czas czytać w gwiazdach, jak mam sobie postępować? A przecież z każdej sprawy wyszedłem gładko i czysto, bo w każdym razie postępowałem uczciwie i zawsze miałem punkt honoru.

A wtem istotnie wszedł kapelan i zaprosił nas do obserwatorjum. Rak urządził był sobie obserwatorjum według własnego konceptu na owej ogromnej baszcie sześciennej, która swym szczytem przenosiła wszystkie inne wieże zamkowe. Na wierzchu tej baszty znajdowała się

platforma, wyścielona asfaltem i prawie tak obszerna, jak duży salon, a otoczona dokoła murem wysokim w pas słusznego człowieka, Rakowi zaś sięgał ten mur po samę szyję. Na tej platformie był ustawiony ogromny teleskop, który leżał skośnie na postumencie, złożonym z belków, i bardzo skomplikowanej a przez Pikarta wymyślonej konstrukcji, i opatrzony był zegarem, który utrzymywał teleskop w ruchu, odpowiadającym ruchowi wziętej na oko gwiazdy na niebie. Za pomocą innego przyrządu można było teleskopem kierować wedle woli — a jeszcze inny przyrząd, umieszczony w najniższej postumentu podstawie, umożebniał posuwanie tej ogromnej machiny za pomocą kółek z miejsca na miejsce. Obok teleskopu stało kilka ogromnych stołów, zarzuconych pomniejszemi teleskopami, lunetami i rozmaitemi innemi narzędziami, któremi posługuje się astronomja.

Kiedyśmy weszli bardzo płaskiemi i wygodnemi schodami na platformę, Rak siedział przed teleskopem na krześle polowem i powodził nim z miejsca na miejsce po niebie. Widząc to pułkownik, chwycił mnie za rękę i rzekł szeptem:

— Patrz, patrz! On Pana Boga szuka pomiędzy gwiazdami.

— Ale czy tylko szuka? — spytałem.

— Ale szuka z pewnością. Albo cóż?

— Może tylko szuka dowodów, że Go nie ma.

Staruszek się na chwilę zamyślił, a potem rzekł:

— No, zaprowadziłem cię tutaj, a teraz wracam. Bóg was tam wie, o czem gadać będziecie — a w mojej obecności o pewnych filozofjach rozprawiać nie wolno. Dobranoc.

Tymczasem Rak nas usłyszał, wstał do mnie, a sadzając mnie na swojem krześle, rzekł z pewnem zadowoleniem:

— Właśnie znalazłem. Proszę cię, patrz. W konstelacji korony obaczysz małą gwiazdkę, która przed rokiem była sceną ostatniego wielkiego dramatu, jaki się odegrał na niebie.

Na tem miejscu było widać maleńką, białożółtawą, teleskopijną gwiazdę, która dla zwyczajnego oka była podobną do miljona gwiazd innych. Ale Rak wiedział o niej więcej, niż inni, i tak mówił:

— Jest to ta sama gwiazda, która w maju przeszłego roku nagle nowem światłem zajaśniała i sporządziła tak wielkie w astronomji zdarzenie, jak niegdyś gwiazda tak zwana Tychona, która w roku 1572 w Kassjopei zabłysła. Pierwszy, który ją dostrzegł, był John Birmingham w Tuam, po nim Schmidt w Atenach, ja ją śledziłem z O. Secchi w Rzymie, właśnie po rozstaniu się z tobą we Florencji. Gwiazda ta, która zresztą w katalogu Bonnońskim jest zapisana pod numerem 2.765, jako dziewiątej wielkości i pół, w dniu 12. maja, przeszłego roku, tak nagle i tak silnie spłonęła, że w przeciągu dwóch do trzech godzin powiększyła się do drugiej wielkości. Poczem zaczęła się zmniejszać stopniowo i zwolna, a 20. czerwca powróciła znowu do dziewiątej *i* pół wielkości. Analiza spektralna wykazała jądro żaru gazowego, otoczone mgłą.

— Te nagle zapalające się gwiazdy — zauważałem na to — są nadzwyczajnie zajmującem zjawiskiem. Są one niezaprzeczonym dowodem, że owe miljony światów, które nad naszemi głowami widzimy, ulegają rozmaitym katastrofom. Co do tej gwiazdy w Koronie, o której spłonięciu jakąś rozprawę czytałem, równie zajmującym jest ten szczegół, iż ponieważ światło potrzebuje, jeżeli się nie mylę, około 3.500 lat, aby od konstelacji Korony dobiegło do ziemi, to to spłonięcie stało się przed 3.500 laty, a myśmy je dopiero przeszłego roku widzieli, tak jakby się działo przed naszymi oczyma. Rozum ludzki zaledwie wmyśleć się zdoła w takie warunki widoków. Ale cożkolwiekbądź! jakie są właściwe powody takiego nagłego spłonięcia, nauka dotąd tylko ma różne domysły

— Wszystkie inne domysły — rzekł na to Rak — zostały już zarzucone, a utrzymał się tylko ten jeden, że w owej chwili w gwiazdkę tę stałą, która oczywiście jest słońcem swojego własnego systemu, jedna z jej planet wpadła i spaliła się — czyli mówiąc naukowym językiem, ruch tej planety w przestrzeni, skutkiem uderzenia, zamienił się w ruch atomów, w światło i ciepło.

— Nauka się bardzo pięknie o takich katastrofach wyraża — zauważałem na to z uśmiechem — i równie pięknie ich przyczyny i skutki tłumaczy; ale tym ludziom którzy na tej planecie mieszkali, nie bardzo było w tej chwili przyjemnie, kiedy ich ziemia, jak kula armatnia, nagle strzeliła w ich słońce i ruch swój fizyczny zamieniła w ruch atomów; to znaczy, że cała ziemia, ze swemi miastami i kościołami, z fabrykami i wsiami, w jednym momencie zamieniła się w płonącą mgłę.

— W chwili takiej katastrofy — rzekł na to Rak — taka ziemia już dawno nie jest zamieszkałą przez ludzi, jakeśmy podobno już raz o tem mówili. Ziemia taka już jest od wieków zakrzepłą, zmarzniętą, skamieniałą bryłą lodu, na której nawet wszelki ślad roślinnego życia wyginął, inaczej siła ciężkości nie mogłaby była odnieść stanowczego zwycięztwa nad siłą ciepła. Albowiem cały ten ruch ciał niebieskich, jaki za przewodem nauki na firmamencie widzimy, musimy sobie wyobrazić jako ustawiczną walkę siły ciężkości z siłą ciepła. Walkę tę własnemi oczyma widzimy na naszem słońcu. Słońce, które jest kulą, złożoną z gorejących płomieni, wyrzuca po nad swoję powierzchnię słupy płomienne, tak zwane protuberancye, których wysokość dosięga dwudziestu, a nawet trzydziestu tysięcy mil niemieckich. Owóż słupy te nie są czem innem, jak tylko miejscowemi zwycięztwami ciepła nad siłą ciężkości. Ale że się tak muszę wyrazić, zwycięzcę za każdym razem jego własne zwycięztwo zabija, albowiem pociąga ono za sobą koniecznie znaczniejszą utratę ciepła, które się rozprasza w przestrzeni; jakoż istotnie i teorya i doświadczenie jednozgodnie stwierdzają, że właśnie na tychże samych miejscach, gdzie się przedtem okazały protuberancye i sporządziły wielkie odpływy ciepła, okazują się później plamy czarne, które nie są

czem innem, jak krzepniejącemi częściami masy słonecznej. Czyli innemi mówiąc słowami: gdzie przez znaczniejsze odpływy osłabnie siła ciepła, tam z tem większą mocą działa siła ciężkości. O tej walce wszelako to trzeba powiedzieć, że podczas, gdy siła ciepła przez ciągłe rozpraszanie się po przestrzeni ustawicznie się zmniejsza, siła ciężkości wcale się zmniejszać nie może, owszem przeciwnie, skutkiem zmniejszania się siły ciepła, ciągle się stosunkowo wzmacnia i zwiększa. Dlatego koniec tej walki w żadnym systemie słonecznym nie może być innym, tylko takim, że jego ciepło się z czasem ulotni, i siła ciepła zdolność utrzymania równowagi utraci, a siła ciężkości stanowczą uzyska przewagę. Dlatego też, jakiekolwiek który system słoneczny ze swemi planetami fazy przechodzi, każda planeta musi skończyć na tem, że skrzepnie i wpadnie w słońce — a słońce także swojego czasu skrzepnie i albo także wpadnie w to słońce, około którego się z swemi planetami obraca, a które się znajduje gdzieś w konstelacyi Herkulesa, albo też — co jest więcej prawdopodobnem — skutkiem uderzenia weń jakieś wielkiej planety, z ruchu w przestrzeni przejdzie w ruch atomów, czyli innemi słowy, zamieni się napowrót w mgłę gorejącą, jaką było pierwotnie.

— Tak, ale przytem — rzekłem na to Rakowi — należy i to zauważać, iż wpadnięcie tylko jednej planety w słońce, zamieniając ruch całej swej masy w przestrzeni na ruch atomów, czyli na ciepło, o takąż ilość ciepła masę słonecznego ciepła w jednej chwili pomnaża. Słońce tedy nasze w takim wypadku spłonęłoby tak samo, jak gwiazda Tychona, jak przeszłoroczna gwiazda w Koronie, jak zresztą tyle gwiazd innych, które po różnych miejscach firmamentu, a najczęściej w widłach drogi mlecznej się zapalają; a takie spłonięcie, takie nagłe pomnożenie ciepła słonecznego, musiałoby oczywiście wywrzeć jak najzgubniejsze wpływy na inne planety, gdzie, mianowicie na tych, na których się proces biologiczny odbywa, musiałoby w jednej chwili wszelkie życie roślinne i zwierzęce wyniszczyć. Wynikałby tedy ztąd taki wniosek, że w każdym systemie słonecznym dosyć jest, aby jedna planeta wpadła w słońce, ażeby wszelkie życie w całym systemie zniknęło?

— Przeciwko temu wnioskowi nic nie mam do zarzucenia — odpowiedział mi Rak — tak być musi i tak jest.

— Ależ w takim razie natura ta, która nad całym tym światem panuje, byłaby niemiłosierną i nielitościwą. Wyższemu władcy byłoby obcem nawet to uczucie, które jest główną cechą podległego jemu stworzenia. Pomiędzy temi miljardami ciał niebieskich, które w tak wzniosłej harmonji obok siebie istnieją, miljonowa część tylko dostępuje tego wyszczególnienia, że na nich ludzkie rozwija się życie, życie to, które ma świadomość siebie i świadomość swych czynów — a i ta miljonowa cząstka jeszcze byłaby oddana na pastwę przypadku; i dośćby było, gdyby jedna już od wieków zakrzepła planeta o słońce zawadziła, ażeby niezliczone światy i niezliczone, a najwznioślejsze ducha ludzkiego zdobycze, jako zdmuchnięta świeca zgasły i zniknęły. W naturze takiej, obok najwyższej harmonji, nie byłoby ani tchnienia miłości; natura taka nie byłaby czułą, aleby była okrutną.

— To prawda — rzekł Rak — ale ten punkt wyjścia, punkt antropocentryczny, nie jest właściwym ani do pojęcia, ani do ocenienia natury. Natura nie jest ani czułą, ani nie czułą, ani litościwą, ani okrutną; natura jest prawem, które we wszystkich częściach swojego obszaru, od słońc najwyższych i planet największych, przez wszystkie gatunki zwierząt i ludzi, aż do najdrobniejszego ziarneczka piasku i najmniejszej kropelki wody, absolutnie i jednostajnie panuje. Czas już zaprzestać malować sobie tę naturę poetycznemi barwami i wmawiać w nią jakieś konstytucyjne panowania systemy: *wszechświat jest absolutną monarchią, a jej nielitościwym i nieznającym żadnego wyjątku monarchą jest prawo.* W tym kierunku myśli, jakiego właśnie dotknąłeś, absolutnem i bezwyjątkowem prawem jest walka wszystkich sił i żywiołów pomiędzy sobą. Walka ta odbywa się na ziemi i na niebie według tego samego prawa, którego pierwszym artykułem jest zasada: *że tylko ze śmierci objawów jednych, może się wywiązać życie objawów nowych.* Czy zaś z rozkładu najpiękniejszej róży pokrzywa wyrośnie, a z rozbicia najwyższą ludzką kulturą kwitnącej planety błędna i niepożyteczna kometa się utworzy, w to się prawo nie wdaje...

Tu Rak uciął nagle, wytężył wzrok w park, który się z tej strony u stóp zamku rozciągał i mówiąc: — A co to? — wziął prędko małą lunetę do ręki i patrzał przez nią w to samo miejsce.

Lecz wkrótce wetknął mnie lunetę do ręki i rzekł:

— Proszę cię, popatrz no tam, na brzeg tego klombu, kto to tam stoi?

Patrzałem przez chwilę, nic nie widząc, a Rak trącił mnie mówiąc:

— Huzar stoi? nieprawda? widzisz, jak szabla jego lśni się w świetle księżyca?

— Ja nic nie widzę — odpowiedziałem — tylko cień jakiś... a może zwierzę. Chybaby jeleń...

— A jakto jeleń? — chyba żartujesz — jeleń z rogami? A! to przepraszam. Pozwól mi na chwilę, zaraz powrócę.

To mówiąc zbiegł prędko schodami na dół. Tymczasem zawsze nic widać nie było, tylko gdzieś w głębi parku słychać było głosy jakieś przytłumione i przerywane, które się oddalały, a wkrótce przycichły. Niebawem Rak wrócił śmiejąc się głośno.

— Końcem końców — mówił on wesoło — póki człek młody, to głupi, a jak się trochę rozumu nauczy, to tylko na to, aby się dowodnie przekonał, jaki głupi. A temu wszystkiemu winna imaginacja.

— Ale czemże by człowiek był bez imaginacji?

— To prawda. Ale jak w całym systemie słonecznym, tak i w organizacji człowieka dałoby się to i owo poprawić.

Zasiedliśmy tedy napowrót do konwersacji, ale juźeśmy do gwiazd nie wrócili. Patrzaliśmy w park, który się blisko na pół mili rozciągał pod zamkiem, a na którego

końcu było widać jezioro; Rak mi pokazywał granice swych posiadłości, o ile je można było rozeznać przy świetle księżyca, i opowiadał, co się w nich znajdowało. Nareszcie rzekł:

— Zaproponowałbym ci następujący program na jutro. Wstaniemy o godzinie siódmej, o wpół do ósmej ja przyjdę do ciebie na herbatę, a o ósmej pojedziemy sobie po folwarkach. Gospodarstwo parkowe, do którego można dojść piechotą, albo i na łodziach dopłynąć, obaczymy sobie kiedyś z kobietami; natomiast zaś pokażę ci gospodarstwo rolne, a w końcu kopalnie węgli kamiennych, w których stary Pikart postawił mi bardzo zmyślne machiny, a które Auguste właśnie przed tygodniem w ruch puścił. Cóż, czy zgoda?

— Zgoda, zgoda; ale teraz już idźmy spać, jeżeli chcemy rano wstać.

Rak mnie odprowadził do przeznaczonego dla mnie apartamentu, który się składał z trzech małych pokoików i znajdował się w przeciwległym rogu zamku, a obejrzawszy czy wszystko w porządku, powiedział „Dobranoc“ i oddał mnie Kołtunkowi w opiekę, którego pułkownik w dowód wielkiej łaski dodał mi do usługi. Kiedym się zbliżył do łóżka, spostrzegłem na szafie bilecik do mnie zaadresowany. Otworzyłem go prędko i wyczytałem, co następuje:

„Na sprzysiężenia arystokratów i Jezuitów są jeszcze wszędzie Łyczaki i Kołtunki. Za ich pomocą fifilka jest w naszem ręku. Kiedy już trzymasz z tem tałałajstwem, starajże się przynajmniej wpłynąć na Raka, aby tym chłopakom nic złego nie zrobił, tudzież, aby fifilki nie szukał, bo jak Bóg na niebie darmo jej szukać będzie. Ramult“.

X.

Nazajutrz rano o wpół do ósmej, podług zegara, Rak stawił się u mnie i zaraz zasiedliśmy do stołu, który już był nakryty i zastawiony. Nalewając herbatę, rzekł on do mnie:

— Jak to pięknie, że jesteś tak akuratny. Na akuratności cały świat stoi. Uczy nas tego nie tylko astronomja, ale wszystkie przyrodnicze nauki. Akuratność oszczędza niezmiernie wiele czasu. To też nie masz wątpienia, że jak się nauki przyrodnicze upowszechnią pomiędzy ludzkością, to wówczas jedna generacja daleko więcej produkować będzie, niżeli trzy lub cztery dzisiejsze, jak to już i teraz widzimy, jeżeli porównamy produkcją generacji teraźniejszej z produkcją którejkolwiek innej z przeszłego wieku. Ja się też trzymam stale tej zasady, ażeby czas ile możności oszczędzać, a przeto wiele zatrudnień załatwiam nawet przy śniadaniu. Toż i teraz prosić cię będę, abyś mi pozwolił przyjąć tu u ciebie mego burgrabiego z raportem. Bo w tym zamku jest służby kilkadziesiąt ludzi, trzeba to trzymać w ryzach; od tego jest burgrabia, który mi codziennie rano zdaje raport, co tam który z nich zbroił wczorajszego wieczora lub w nocy.

W tej też chwili wszedł burgrabia. Niemiec wysoki i chudy, wyglądający wcale przyzwoicie, ale tym razem niesłychanie blady, skulony i drżący, wszedł do pokoju na palcach, jak pies domowy, który wie, że coś przeskrobał.

— No, co tam? — rzekł Rak nie patrząc wcale na niego — cóż tam nowego?

Lecz Niemiec milczał. Rak tedy spojrzał mu w twarz i zawołał:

— A co to? Widzę już, że ci się coś wydarzyło tej nocy. No cóż tam?

— Jaśnie panie — odpowiedział burgrabia głosem zdławionym — panienka zniknęła tej nocy.

Na to Rak zafrasował się na chwilę, rzucił okiem na mnie, lecz zaraz znów spojrzał na burgrabiego i zapytał:

— Jakto? sama zniknęła? Kogoż jeszcze brakuje w zamku?

— W zamku nie brakuje nikogo — odpowiedział burgrabia — tylko młody Pikart zniknął z folwarku.

— No, to co innego; to rzecz się wyjaśnia — rzekł Rak, myślał przez parę sekund, a potem zwrócił się do mnie: — Cóż mówisz na to?

— Ja znajduję tę rzecz bardzo naturalną.

— I ja także — podchwycił Rak, poczem się obrócił do burgrabiego i spytał: Czy jeszcze co się stało?

— Nic więcej — odpowiedział Niemiec — tylko pan Leendorf około szóstej godziny nagle wyjechał...

— Dowiedziawszy się?...

— Tak, jaśnie panie.

— A to głupi! — zawołał Rak — oczywiście za nimi pogonił, ażeby mu, jak ich dogoni, natargali czupryny... Przecież Pikart nie porwał się sam do tej entreprzy? Ty błazen jesteś, panie burgrabio! Ty nigdy nic nie wiesz. To musiała być cała konspiracja na zamku i na folwarku. Kiedyż panna zniknęła?

— Zdaje się, że jeszcze przed północą.

— Widzisz — rzekł do mnie Rak — to któryś z tych świszczypałów stał tam w parku na warcie, i kiedy ja gwiazdy obserwowałem, on mnie obserwował... No idź już, panie burgrabio, jeżeli taki mazgaj, jak ty, wart takiego urzędu. Kiedyś którą basztę ukradną, a ty się o tem dowiesz dopiero nazajutrz rano.

Kiedy burgrabia wyszedł, Rak patrzał przed siebie z wybitnym wyrazem ironji na twarzy, myślał przez chwilę, a potem mnie spytał:

— Cóż myślisz o mnie? ale powiedz otwarcie.

— Ja myślę o tobie, że za przewodem astronomji bitym gościńcem chodzisz po niebie; nie wątpię także, że za pomocą geologji, fizyki i chemji równie pewną nogą stąpasz po martwej ziemi: tak jesteś zupełnie, jak w domu pomiędzy naturą martwą. Ale do chodzenia pomiędzy ludźmi, którzy nie są naturą martwą, brakuje ci przewodnika, i dla tego tu i ówdzie potrącasz o nich, gdziebyś mógł przejść równie gładko, gdybyś znał ich naturę i ich konstelacje równie dokładnie, jak znasz konstelacje ciał niebieskich.

— Chcesz powiedzieć — rzekł Rak — że idę po omacku, że się błąkam, że mi się czasem zdaje, że jestem w konstelacji Lwa, a ja jestem w Baranie?

Śmieliśmy się oba, a Rak mówił dalej:

— Chcesz po prostu powiedzieć, że nie potrzebnie było narażać fifilkę na wykradzenie, bo można było wydać ją bez tego wszystkiego za Pikarta?

— Jak mi się zdaje, fifilka jest to kometa, która się wprawdzie zabłąkała, ale znalazła swój punkt ciężkości w rodzinie Pikartów. Pocóż było przeprowadzać ją przez tyle systemów słonecznych...

— Otóż przepraszam cię — przerwał mi Rak — było to niemożebném, bo na to nigdyby nie zezwolili Leendorf i matka. Nie może ci być niewiadomem, jakie Pikartom stawiali warunki. Miałem zaś dopuścić do tego, aby ją wykradziono w Wiedniu, z domu państwa Mercy, i aby tam znowu narobiono skandalu, to wolałem ją sprowadzić na wieś...

— Tak, może być. Wszelako węzeł ten można było przeciąć we Florencji.

— Ale kiedy ja wtedy nie miałem czasu, bo jechałem do O. Secchi.

— A! tak, bo gwiazda się zapaliła w Koronie, zapomniałem.

Rak śmiał się. Lecz ja się nie śmiałem, nie mogłem się jednak powstrzymać, aby nie dorzucić uwagi:

— Będziemy zapewne o tem jeszcze kiedyś gruntowniej rozmawiać, tymczasem tylko to zauważam, że jeśli człowiek chce być tem, czem go natura stworzyła, *to jego bliźni musi być więcej wart dla niego, niż gwiazda.* To nie jest tylko artykuł tej albo owej wiary, *ale prawo ludzkości, prawo tak samo absolutne, niewzruszone i wieczne, jak prawo ciężkości w naturze martwej.*

— Dobrze, dobrze — rzekł Rak — pozwól że mi jeszcze, abym parę słów mojej żonie powiedział, poczem jestem całkiem na twoje usługi.

W kwadrans potem pojechaliśmy oglądać gospodarstwo w państwie Rakowskiem. O gospodarstwie tem możnaby było istotnie bardzo zajmującą książkę napisać, albowiem wszystko, co dotąd doświadczenie zdobyło i co wykryła i utwierdziła nauka, znalazłem tam zastosowanem i zużytkowanem z matematyczną dokładnością i z wielkim rozumem praktycznym. Gospodarstwo rolne było na najwyższym stopniu kultury, jaki dopuszczały skład ziemi i klimat; irygacja, dreny, kanały, sztuczne przeistaczanie warstwy rodzajnej i chemiczne nawozy, wszystko to sobie pomagało wzajemnie — a płodozmian był zastosowany nie tylko do klimatu i natury ziemi, ale także do targów okolicznych i stosunków wywozu. Widziałem także rozmaite doświadczenia z nowemi roślinami i nasionami, sprowadzonemi z daleka, urządzone wzorowo, na naukowych podstawach, i że tak powiem, ze ścisłością astronomiczną. W lasach szpilkowych znalazłem zaprowadzoną szybką rotacją według zasad francuzkich, jako odrzucającą wyższe dochody; lecz lasy dębowe były nie tknięte, co mnie zdziwiło, bo jest rzeczą wiadomą, że dąb w pewnym wieku wyłamuje się z pod zasady francuzkiej, albowiem przyrost jego coroczny nie podwyższa w pożądanym stosunku jego wartości. A lasów tych było około ośmnaście tysięcy morgów — a przeto miljonowa fortuna ulokowana na procent niezmiernie niski. Musiałem tedy domyślać się, że Rak z drzewem dębowem poszedł po prostu à la hausse, spekulując na pomnożenie kapitału, i zrobiłem mu uwagę, ale on mi dał inną odpowiedź w tych słowach:

— Spekulacja taka mogłaby być usprawiedliwioną, ale tylko na termin bardzo długi. Kiedyś zapewne że lasy dębowe w tych stronach o tyle się przerzedzą, że ztąd musi wyniknąć podwyżka; ale teraz jeszcze na długo ich wystarczy. W Kroacji, w Bośnji i Serbji jest ich jeszcze niemało; a na samem pograniczu przeszło trzydzieści mil kwadratowych. Cena klepek w Cette i w Marsylji takim zmianom podlega, jak papiery na giełdzie. Za lat dziesięć, jak tutaj przemysłowcy drzewni wiele lasów zakupią, klepki może będą tańsze, niż dzisiaj. Mnie o co innego chodzi. Ja nie chcę moich lasów sprzedawać na pniu, bo nie widzę, dlaczegobym miał innym dawać zarabiać na sobie — a dotąd nie miałem czasu oddać się specjalnie nauce tej fabrykacji, ani też osiąść na czas jakiś w Marsylii, aby tamtejszy targ wystudjować. Ale teraz mam niejakie widoki, że będę mógł tę fabrykacją na własną rękę rozpocząć i w bezpośrednie wejść stosunki z targami w Cette i w Marsylji. Oto starszy Leendorf, mój szwagier, w skutek nieszczęścia, jakie spotkało jego synów, musiał swój urząd w służbie rządowej porzucić — a że jest to człowiek nie mogący istnieć bez pracy, a przytem zawsze miał pasją do przemysłu leśnego i handlu drzewem, którym też się cokolwiek zajmował, więc teraz już od pół roku to przedsiębiorstwo dokładnie studjuje, zamierza w tym roku udać się na jakiś czas do Marsylji, aby mógł później tamże dom handlowy założyć, a jak się z tem wszystkiem upora, wtedy palniemy naszę dębinę, a zapewne i cudzej cokolwiek zakupimy w sąsiedztwie.

— Bardzo mnie to zajmuje, co mi powiadasz, bo żal mi było tego biednego Leendorfa, który nad stratą synów musiał cierpieć podwójnie. Zdawałoby mi się nawet, że jego patrjotyzm austryacki musiał być głębiej tym wypadkiem dotknięty, niżeli jego miłość ojcowska. A gdzież jest jego córeczka?

— Jest przy nim w Wenecji. Ot i w tem także jest trudność, bo brać ją z sobą do Marsylji nie ma ochoty, a do matki odesłać jej nie chce, bo matka jest cierpiąca, chociaż w samej rzeczy nie jest tak cierpiąca, aby nie mogła córki mieć przy sobie. Ale pomału może to jakoś się zrobi.

Z tem dojechaliśmy do kopalni węgla, a Rak rzekł wysiadając z powozu:

— Nie będziemy tu długo bawić, bo już czas na śniadanie. Pozwól mi tylko rzucić okiem na dyrekcją, bo muszę obaczyć, o ile mi w niej brakuje Pikarta.

To mówiąc, wszedł do budynku, przed którymśmy zajechali. Wszakże zaledwie miałem czas rozejrzeć się po okolicy, która z jednej strony przedstawiała gubiące

się na widokręgu pasmo gór, a z drugiej spływającą z widokręgiem równinę, on już wrócił i rzekł głosem ożywionym:

— Dziwna rzecz! Pikart nie tylko zostawił mi tutaj Francuza, swego przyjaciela, który go zastępuje, ale nadto jeszcze zawiadamia mnie, że jest w Zagrzebiu i oddaje mi się do dyspozycji. Co mówisz na to?

— Postępowanie takie znajduję całkiem w porządku. Oddał on oczywiście fifilkę pod opiekę Ramulta, a sam jej nie towarzyszył, bo byłoby to nieprzyzwoicie; prócz tego został się, że tak powiem, na placu i zawiadamia cię o tem, abyś wiedział, że ci chce odpowiedzieć za wszystkie swoje uczynki.

— Osobliwe to zachowanie się! — zawołał Rak. — Mniejsza zresztą o to. Ale co teraz robić?

— Zdaje mi się, że nad tem nie masz co długo zastanawiać się. Napisz mu, aby jechał bez zwłoki do Paryża i aby się żenił. A jeżeli go tutaj potrzebujesz koniecznie, to dodaj, aby za tyle a tyle tygodni tutaj powrócił.

Rak myślał przez chwilę, a potem odpowiedział:

— Masz racją. Ja jemu tego nie napiszę, ale niech to zrobi.

* * *

W pół godziny potem byliśmy z powrotem w zamku; pułkownik, gospodyni domu, Raczek i domownicy oczekiwali nas ze śniadaniem. Ale huzar także już był na załodze, właśnie we framudze okna żywo coś z Raczkiem rozmawiał. W innym kącie pułkownik z synową bardzo byli zaszczebiotani, oczywiście opowiadali sobie ciekawe szczegóły niespodziewanego wypadku, który się przeszłej nocy wydarzył w zamku. Wszelako przy śniadaniu naturalnie o wszystkiem była mowa, prócz o tem. Zaraz zaś po śniadaniu całe towarzystwo udało się do parku. W parku, tuż prawie pod zamkiem, była sadzawka, ciosowym kamieniem wyłożona dokoła, z której wypływał kanał na kilkanaście łokci szeroki, przerzynał cały park w rozmaitych zakrętach i wpadał do jeziora, które było widać z baszty zamkowej. Sadzawka ta była zarazem portem, w którym czekały na nas trzy czółna zbudowane w kształcie gondoli weneckich, z dachami do spuszczania. W takiej gondoli było dwa na przeciw siebie siedzenia, na których się mogły cztery osoby pomieścić, ale dwie osoby siedziały wygodniej. Dla tego Rak, idąc ze mną za towarzystwem, rzekł mi:

— Siądziemy sobie we dwóch do jednej gondoli, a ja ci pokażę wszystkie części parku, bo kanał umyślnie tak kazałem prowadzić, ażeby z łodzi można widzieć wszystkie ważniejsze miejsca.

Lecz kiedy przyszło do wsiadania, spostrzegł się, że takie ugrupowanie mogłoby utworzyć figurę, któraby mu nie odpowiadała, i poprawił się mówiąc:

— Nie, siadaj ty z moją żoną, tobie się to miejsce należy, ojciec mój weźmie huzara do swojej łodzi, obydwa żołnierze więc najlepiej się z sobą zabawią, a ja już z Raczkiem pojadę.

W taki więc sposób rozdzieliliśmy się na pary, lecz uważałem, że nikt nie był z tego niekontent. Ja najmniej. Stryjenka Raczka, jakkolwiek do słońca doskonale było widać, jako jej cera już zaczynała przechodzić najwyższy szczyt swojej świeżości, wyglądała przepysznie. Była to przytem kobieta może nie bardzo rozległej wiedzy, ale pełna naturalnego dowcipu, a zarazem tej bystrości umysłu i przebiegłości, której żadna filozofja, choćby na astronomicznych oparta pewnikach, nie dotrzyma kroku. Mówiliśmy z początku o wszystkich rzeczach od razu, co może w takiego rodzaju konwersacji jest najwłaściwszem, i co też tę piękną kobietę bardzo na pozór bawiło, bo miała sposobność drwić sobie z lekka ze wszystkiego i śmiać się. Lecz uważałem przytem, że miała ciągle coś innego na języku, a nie mogła przystąpić do tego przedmiotu; zdawało mi się, jakoby się obawiała, czy też i ja nie widzę na takiem miejscu huzara, gdzie go nie ma.

Kobiety czasem błądzą. Bardzo rzadko, ale przecież czasem im się to zdarza. Otóż te, które błądzą, dzielą się przedewszystkiem na dwa główne rodzaje. Jedne z nich mają ciepłe serca a nerwy spokojne: te się zazwyczaj kryją z tem, co nazywają swem szczęściem, bo najprzód szczęście to całe ich serce wypełnia, a potem mają świadomość, że jest to owoc z zakazanego zerwany drzewa. Lecz są drugie, które mają zimniejsze serca, a nerwy ruchliwe, a dla tych żadne szczęście nie jest zupełnem, jeżeli się z niem nie mogą pochwalić przed światem. Stryjenka należała do tego drugiego rodzaju. Jakoż istotnie jak pierwsza się zdarzyła sposobność, zaraz zapytała mnie wbrew:

— Eh bien! comment trouvez-vous Raczek?

— Il a mûri.

— Comment mûri?

— L'anneé passeé c'était un gamin, aujourd'hui c'est un homme.

— Je le crois bien! Mais tant mieux.

— Tant mieux, sans doute. Seulement il ferait peut-être mieux de mûrir un peu plus doucement, car à force de mûrir...

— Mais, allez donc! — zawołała, śmiejąc się głośno stryjenka, — je ne vous comprends pas.

— Mais il n'y a rien à comprendre. Je voulais seulement dire, que c'est toujors bon de marcher à pas comptés.

— C'est l'idée à mon mari. Mais moi, je nes suis pas de cet avis. L'on ne vit qu'une fois.

— Oui, c'est prècisément pour cela...

— Ah! maintenant, je comprends. Vous vouliez dire, que Raczek fait trop d'effet et qu'il a des yeux trop ouverts?

— Oh! non, J'espère que vous êtes jalouse.

— Oh! oui! mais voilà — zawołała stryjenka, a to mówiąc, wydobyła sztylecik, który miała u pasa, i dodała: Je l'ai toujours sur moi.

Musiałem się na to roześmiać i obróciłem w żart ten sztylecik, chociaż stryjenka miała istotnie w tej chwili

taką minę, jakby w tej kwestji nie można było z nią żartować. Dla tego uważałem za rzecz stosowną, powiedzieć jej kilka nie nowych wprawdzie, lecz zawsze uspokajających myśli o życiu i przeznaczeniu człowieka, a przytem dotknąć strony religijnej, która zwykle znajduje oddźwięk w sercu kobiety i wszelkie namiętności przynajmniej na chwilę łagodzi. Ale zaledwie dotknąłem strony religijnej, kiedy stryjenka mi przerwała i taką ucięła mi apostrofę:

— A co to pan mówisz? Przecież nie zechcesz mnie liczyć do rzędu tych kobiet, które z książką chodzą do kościoła i księdzu się spowiadają z swych grzechów. Nie jestem tak uczoną jak mój mąż, ale to mi przecież wiadomo, że owe średniowieczne bajki o nieśmiertelności duszy człowieka i te wszystkie legendy, które około tej bajki się nawieszały, nie są godne cywilizacji naszego wieku. Ja Darwina nie czytałam, i wszystko mi jedno, czy człowiek od małpy pochodzi, czy wylągł się w glinie, jak każde inne stworzenie; ale to wiem, że nie jest czem innem, jak kompozycją chemiczną, prostem glinianem naczyniem, w którem odbywa się proces palenia się — a jak się proces skończy, nie zostanie zeń nic jak garstka prochu, która ulega dalszym chemicznym procesom. Z każdego z nas nie pozostanie po śmierci nic więcej, jak z drzewa, kiedy się spali na ogniu. I człowiek, żyjący w takich warunkach, ma sobie jakiekolwiek więzy zakładać? Żyć póki można, i użyć, co można, a zresztą... A czy pan nie jesteś tego samego zdania?

Z kobietami nie zabawna jest rozmowa o takich przedmiotach, nie dlatego, ażeby kobieta nie miała objąć tak dobrze zadań filozoficznych, jak mężczyzna, ale dla tego, że każda kobieta, która się filozofją zajmuje, ma nerwy rozdrażnione i skutkiem tego każdą taką rozmowę kończy sporem, a spór kończy sztyletem, chociaż nie koniecznie takim, jaki przy sobie nosiła stryjenka. Dlatego odpowiedziałem jej na to ostatnie pytanie:

— Ja wprawdzie czytałem Darwina, ale nie czytałem tej książki, w której to wszystko stoi wydrukowane tak wymownie i pięknie, jak to pani właśnie opowiedziałaś.

— I ja tych książek nie czytam, — zawołała stryjenka — bo nudne. Autorowie tego gatunku są nieznośni. Zamiast powiedzieć krótko i zrozumiale, czego chcą, piszą całe tomy jakichś rozwlekłych wywodów, których nigdy do końca doczytać nie można. Ale mój mąż mi to wszystko powiada.

— Mąż pani jest bardzo uczony — odpowiedziałem jej, śledząc pilnie wyrazu jej twarzy, — a przy tem bardzo dobre ma serce, dzieli się z panią wszystkiem po bratersku.

— A! to prawda, — rzekła otwarcie i szczerze stryjenka, on mi nigdy niczego nie skąpi.

Tak mimo brzydkiego gromu, który pomiędzy nas z ust samejże stryjenki uderzył, dojechaliśmy w jak najlepszej harmonji aż do folwarku. W połowie parku znajdował się folwark, w którym koncentrowało się gospodarstwo rolne, leśne, pszczelne, bydlane i rybne, któremu park utrzymania dostarczał. Park ten obejmował pięćset morgów lasu, łąk, roli i stawu i cały był murem obwiedziony, znajdowała się bowiem w nim także zwierzyna, a króliki, zające, jelenie i sarny pasły się po polanach we spółkę z bydłem rogatem. Mając jeszcze dość czasu przed sobą, siedliśmy z Rakiem na powalonym ulu przed pasieką, a on mi opowiedział cały system, jakiego się trzymał w swojem rozległem, a zarazem rozlicznem gospodarstwie. Zastałem wszędzie to, czegom się już przedtem po nim spodziewał: nieubłagane cyfry panowały absolutnie nad wszystkiem i bez najmniejszej litości. Nie widząc nigdzie nic, tylko materją, wydobywał z niej najwyższy możliwy pożytek, nie mając żadnego względu na ducha, którego nie widział, nie znał i nie uznawał. Ziemię i kamień, drzewo i zboże, zwierzęta i ludzie jednakowo traktował. Jak zboże chował pod dachem, ale tylko dlatego, aby mu nie zgniło na wolnem powietrzu, tak samo, i tylko dlatego, dawał zwierzętom wygodę; jak ziemię uprawiał i gnoił, aby mu odpowiedni niosła pożytek, tak i swoich ludzi ubierał i karmił, ale tylko o tyle, aby do sąsiadów nie poszli. Zgoła wszędzie u niego nieubłagane panowało prawo, oparte na cyfrach, nie dopuszczających żadnego wyjątku. I Rak był tak o tem przekonany, że kamień filozoficzny wynalazł, iż mówił z dumą, a nawet z pewnym zapałem:

— Wieków potrzeba było na to, nim ludzie ten jedyny bity gościniec odkryli, po którym idzie wszelkie stworzenie, lecz teraz już pewnie z niego nie zboczą.

Byliśmy tedy na punkcie rozpoczęcia zasadniczej dyskusji, kiedy w tej chwili cyganka z dwoma nowymi oficerami od huzarów przypłynęła do folwarku. Trzeba tedy było iść witać nowych gości, poczem całe towarzystwo udało się pieszo do osobnej zagrody lasu, gdzie sarny miały swoje siedlisko. Ze względu na nogi starego pułkownika, które niebardzo już statkowały, musieliśmy tam iść i wracać pomału. Tak minęła jaka godzina czasu, i trzeba było już myśleć o powrocie do zamku. Skutkiem przybycia nowych gości przy wsiadaniu do łodzi inaczej pogrupowały się pary, i brakło jednej gondoli. Tej nam ekonom dostarczył, którą też Raczek zabrał dla siebie i mnie do niej zaprosił. Jechaliśmy tedy we dwójkę i mogliśmy swobodnie rozmawiać, zwłaszcza, że naszego języka nasi wioślarze nie rozumieli. Raczek był rzeźki i wesół, jak zwykle, ale bardzo blady i zdawał się być jakoby znudzony.

— Cóż, Raczku? — spytałem go, patrząc mu w oczy — jakże ci się powodzi?

Młodzieniec spuścił mimowolnie oczy ku ziemi i rzekł:

— Zanadto dobrze.

— To uważałem już wczoraj przy obiedzie.

— Cóż się panu zdawało?

— Nic. Nie wiem, dlaczego, kiedy patrzałem na ciebie, przypomniała mi się historja Tannhäusera, tak jak go Heine przedstawia, a w niej to miejsce, kiedy Tannhäuser mówi: „Ich schmachte nach Bitternissen.“

— Niestety! — zawołał Raczek z ironicznem westchnieniem — tak wszystko mija! Ale tu można powiedzieć, że już minęło. Ja wyjeżdżam w tych dniach.

— Dlaczego wyjeżdżasz?

— Raz, to pan już wie: Ich schmachte nach Bitternissen. A powtóre, to taka głupota, że nawet nie ma nazwiska. Tu wszystko wisi na włosku. Dobrze, że przed kilku miesiącami huzar się zdarzył, który wszedłszy przypadkiem w znak Raka, sprawił zaćmienie księżyca. Ale jak huzar zniknie, co się zapewne lada dzień stanie, to wtedy.... to wtedy rzecz niepodobna.

— Dokądże jedziesz.

— Mam dobry pretekst. Jadę do Paryża na wystawę. A choć za kilka miesięcy powrócę.....

— Ba!

— No to cóż? Wrócę na krótki czas i zrobię tak, jakby nic nigdy nie było.

— A musisz wrócić?

— Muszę, bo dziadek ani myśli stąd wyjeżdżać. Nie musiałbym wrócić tylko wtedy, gdyby dziadek się zdecydował także na wystawę pojechać, ale to wątpię.

— To źle. Bo jak wrócisz, to nie stanie się to, co sobie przedsiębierzesz, tylko rozpocznie się drugi akt tegoż samego dramatu.

— To pan nie wierzy temu, abym mógł mieć taką silną wolę?

— W twoję silną wolę chętnie wierzę, ale nie wierzę, abyś miał tak twarde serce, którego się nie ma w tym wieku. Prócz tego kobieta nie jest po temu. Stryjenka nosi sztylet przy sobie.

— Niech pan tego sztyletu nie bierze tak bardzo na seryo. Cyganka także nosi sztylet przy sobie, ale tylko dziadkowi się zdaje, żo ona tym sztyletem broni swej cnoty i gotowa jest bronić swojej miłości. W pułku huzarów, który stoi w sąsiedztwie, inne o tem opowiadają legendy. A oprócz tego, kilka miesięcy, to wiek. Najniewinniejsza kobieta znudziłaby się przez kilka miesięcy na tym zamku....

— Jakto znudziłaby się? Mnie się zdaje przeciwnie, że tu jest bardzo zabawnie.

— To się tylko panu tak zdaje z początku. Najnudniejszy-to klasztor, jaki można znaleść na świecie. Oprócz tych kilku huzarów, nikt tu nigdy nie bywa. Czasem jaki jenerał, gubernator lub biskup przyjedzie dziadka odwiedzić, lecz wizyta trwa pół godziny. Stryj nie ma miru w sąsiedztwie. Nikt u niego nie bywa, bo z każdym sąsiadem się raz kiedyś pokłócił. Nadto jeszcze i złe rzeczy o nim gadają, zapewne niezasłużenie, ale na to nie masz ratunku, zwłaszcza że on wcale nie dba o ludzi. Nakoniec zaś i to powiedzieć muszę, że kto chce żyć w społeczeństwie ludzkiem, ten musi do jakiejś warstwy społecznej należeć i zachowywać jej obyczaje. Stryj zaś nie zna pomiędzy ludźmi żadnych różnic społecznych, i tak się też z nimi obchodzi nawet w swym własnym domu. On biskupa zostawi samego w kącie, a będzie rozmawiał z rzemieślnikiem z miasteczka, bo właśnie go potrzebuje, i potem tegoż rzemieślnika posadzi do stołu. Stary Mercy kiedy tu był, jednego dnia udał chorego i nie przyszedł do obiadu, bo się obawiał, że go stryj posadzi obok starego Pikarta przy stole, który tu także bawił naówczas. Oficerowie nic sobie z tego nie robią, zwłaszcza że to na wsi, ale okoliczna szlachta nigdy się z taką etykietą nie pogodzi. Ztąd też idzie, że zamek ten jest pod względem towarzyskim najnieznośniejszą anomalją i niesłychanie nudny dla ludzi, którzy żyją nietylko chlebem.

— Zapewne, że na dłuższy czas to nie jest zabawnem. Ale jest w tem pewna konsekwencya, wynikająca z ogólnych zasad, któremi twój stryj się kieruje. To jest logicznem, i ja to wszystko pojmuję. Tylko jedna rzecz mnie uderza, ale i ta zapewne okaże się w końcu tylko logicznym wynikiem jego błędnego systemu zapatrywania się na całość stworzenia. Uważając człowieka tylko jako kompozycją chemiczną, i nie przyznając mu żadnej siły innej prócz materjalnej, albo zdziałania materji wynikającej, psychologja jest dla niego czystą ideologją. Wykluczając psychologję teoretyczną z zakresu nauk, wyklucza zarazem psychologję praktyczną z zakresu praktycznych zadań człowieka. Powiedział on sobie po prostu: w człowieku żadnego ducha nie ma, więc nie masz go co pod względem duchowym studjować. Ztąd idzie, że ludzie się różnią od siebie, tylko pod względem moralnym wszyscy są jednakowi. Czy tak?

— Tak, co do joty, — zawołał Raczek — określiłeś pan jak najdokładniej jego sposób myślenia o ludziach. Człowiek uczciwy jest według jego zdania głupi, człowiek szlachetny jest naiwny, a człowiek czuły i litościwy jest chory. Najszlachetniejsze przymioty serca nie są żadną zasługą, bo są one dane, są po prostu tylko wynikiem tego albo owego chemicznego składu ciała człowieka. Trochę więcej wapna, lub trochę więcej fosforu: w tem jest źródło wszystkich największych tworów ludzkiego ducha. No! przyznam się panu, że nie podobna żyć w takim świecie.

— Kiedyż więc jedziesz?

— Za tydzień lub dwa tygodnie najdalej.

— A wrócisz zapewne w sierpniu lub wrześniu?

— Tego jeszcze nie wiem; jest bowiem rzecz taka: Chciałbym sobie znaleść jakieś zajęcie, bo chociaż mam z czego żyć, mam sobie za obowiązek także czémsić być. Przez wstąpienie do włoskiej armji zwichnąłem sobie karjerę, i trudno mi dzisiaj wchodzić w służbę francuską. Zagrzebywać się na Podlasiu, dzisiaj już i sam jeden, do tego także nie mam ochoty. Otóż stryj proponuje mi inne zajęcie. Zamierza on w spółce z starszym Leendorfem utworzyć wielką industrją drzewa i w tym celu założyć dom handlowy w Marsylji. Leendorf, człowiek bardzo mądry i administrator pierwszego rzędu, podjął się zakłady te potworzyć i puścić w ruch; ale Leendorf już nie młody, nie ma syna, a stryj, który ludziom nie ufa, chciałby wiedzieć z góry, kto będzie potem prowadził dom marsylijski, jak Leendorf sił mieć nie będzie po temu. Prócz tego stryj do tego przedsiębiorstwa chce

dać tylko swoje lasy, a tu kapitałów potrzeba na zaprowadzenie fabryk w lasach, na założenie domu w Marsylji i na zakupno innych lasów w sąsiedztwie stryja, któreby nam mogły robić konkurencją. Leendorf ma kapitały, ale niedostateczne. Otóż jest projekt, abym ja dał moje kapitały i abym razem z Leendorfem zabrał się do tej roboty, jako przyszły jego następca w zarządzie tego przedsiębiorstwa w Marsylji.

— No, to bardzo ładny jest projekt, a dla ciebie pełen najpiękniejszych widoków.

— Tak, ale ja jeszcze się zastanawiam. Wiązać się w spółkę z Leendorfem i Rakiem, jakoś mi to nie smakuje. A do tego i dziadek mruczy na to. Szlachcic ma się zrobić handlarzem, powiada staruszek, kiedy go nic nie zmusza do tego, to mi się nie podoba. A nadewszystko ojczyznę porzucać i wyrzekać się obowiązków względem kraju, doczegóż-by to było podobne? Dziadek jest bardzo delikatny i nie wywiera na mnie żadnego nacisku, ale mi uczuć swoich nie tai — a iść świadomie przeciwko jego uczuciom, na to nie mogę się zdobyć. Jeżeli tedy się zdecyduję wejść w tę spółkę z Leendorfem i Rakiem, to tylko pod tym warunkiem, że dziadek na to się zgodzi.

— Lecz mnie się zdaje, że dziadek twój, nie myśląc sam wracać w Augustowskie, także i ciebie nie zechce wypędzać na Podlasie. Tak tedy spółka drzewna bez wątpienia przyjdzie do skutku. W tem wszystkiem także jedna rzecz nie jest mi jasna. Mnie bowiem zkądeś takie zostało wspomnienie, jakoby Rak nienawidził starszego Leendorfa.

— Tak jak i młodszego — rzekł Raczek. — Wszelako, kto wie, jak się Rak obszedł z ich siostrą, i domyśla się, jak się obadwa bracia musieli upominać za siostrą, ten się tej nienawiści dziwić nie będzie.

— Proszę cię, dlaczegóż Rak nie ożenił się z siostrą Leendorfów.

— Z początku przez zuchwalstwo i upór. A później ona sama dostarczyła mu bardzo słusznego powodu.

— Oh! w jakież-to osobliwe gniazdo wpadłeś ty tutaj, mój Raczku! Jak mi Bóg miły, tak lepsze nietylko Podlasie, ale nawet Pokucie.

— Jednak z innego punktu widzenia — rzekł na to Raczek, snując swoję pierwszą myśl dalej — miałbym ochotę powiedzieć, że kto nie ma miłości, ten nie ma i nienawiści. Rak ma wszystkich ludzi za nic, ale nienawidzi ich tylko wtedy, kiedy ich prześladuje, albo się broni przed nimi. A kiedy ich potrzebuje, to wcale o tem nie pamięta, że kiedyś ich nienawidził. Leendorf zaś jest jedynym człowiekiem, za którego pomocą on może swoje lasy korzystnie spieniężyć — a pieniądze u niego zawsze są warte więcej, niż ludzie, których wszystkich razem sprzedałby za trzy grosze.

— Z wyjątkiem ojca, którego przecież szanuje.

— Ba! bo pan jeszcze dziadka nie zna z tej strony. Dziadek i w swojej rodzinie zawsze jest pułkownikiem, a Rak u niego ledwie podchorążym.

— I z wyjątkiem żony, do której zdaje mi się bardzo być przywiązanym.

— To tylko dowodzi — rzekł Raczek — że człowiek nigdy nie może całkiem w sobie zabić człowieka.

— Masz szłuszność — odpowiedziałem — lecz ztąd wynika ta uwaga, że jeśli człowiek zabił w sobie wszystkie ludzkie uczucia, a tylko jedno zachował, to w tem jednem koncentruje się całkowita jego umysłu i serca potęga. Dobrze robisz, że ten zamek porzucasz; lecz zrobisz jeszcze lepiej, jeżeli wyjedziesz jak najprędzej. Chodzisz tu, jak lunatyk po rynnach najwyższej baszty zamkowej, lada powiew wiatru może cię zbudzić — a jeśli zechce nieszczęście, to bardzo gorzkie, bardzo nawet krwawe może być przebudzenie.

Na te słowa młodzieniec zbladł i wzdrygnął się, jakby mu śmierć zaglądnęła w oczy, i rzekł z głębokiem westchnieniem:

— Nie jestem sobie żadnej winy świadomy, a przecież Bóg mnie opuścił!

Wszelako po chwili ocucił się i zawołał:

— Ale czas jeszcze. Jakoś ja się z tego wyrąbię...

Tak dopłynęliśmy do zamku.

W zamku nowego zastaliśmy gościa. Była to już pora wiosennych wędrówek, Gerhardus wybrał się był w podróż do Włoch i po drodze o zamek Rakowski zawadził; przyjechał zapewne w tym celu, aby się z Rakiem znowu na dobrą stopę postawić, z którym od czasu ostatniej rozmowy, mianej z nim w swojem własnem mieszkaniu, był cokolwiek na bakier. Zasadą bowiem jego było, jak to już wiemy, być ze wszystkimi ludźmi w najlepszej zgodzie. Teraz siedział on na werandzie z kapelanem zamkowym i żwawą z nim prowadził rozmowę; zapewne kapelan opowiadał mu wykradzenie fifilki, które go też niezmiernie zajmowało. Rak bardzo się ucieszył, obaczywszy biskupa, i witał go z radością a nawet z pewną rewerencją, co może robił ze względu na ojca, bo staruszek miał wielkie poszanowanie dla tego prałata. Pułkownik pocałował go najpierw w ramię, a potem w obydwa policzki i do piersi przycisnął, i jak go wziął w swoję opiekę, tak go już z niej nie wypuścił.

Kiedyśmy się w pół godziny potem zgromadzili w salonie, pułkownik siedział z biskupem na osobnej kanapie, i widać było, jak się sobą obydwa cieszyli. Zbliżywszy się do nich, rzekłem do pułkownika po polsku:

— Konwersacja z biskupem bardzo jest budująca; ale tam cyganka usycha z tęsknoty.

— Już też dziś muszę cygankę Raczkowi zostawić na pastwę — odpowiedział na to staruszek — ale przyznasz sam, że jakoś mi nie wypada przy osobie duchownej smalić cholewki. A zresztą jest w tem i kalkulacja, bo za tę konwersacją może mi Pan Bóg grzech jaki odpuści, a z tamtej chyba tylko grzech może przybyć.

Biskup kazał sobie wytłómaczyć, cośmy mówili, a kiedy mu sam pułkownik to opowiedział, rzekł śmiejąc się:

— My spowiednicy rzadko kiedy mamy zgryzotę z takich grzeszników, którzy naprzód się spowiadają z grzechów jeszcze nie popełnionych.

— A to miłość chrześcijańska ci takie złośliwości dyktuje? — zawołał na to do biskupa staruszek — czekajże, po obiedzie zaproszę ci tutaj cygankę, a wtedy sam się przekonasz, że to kobieta, która nie tylko leczy niemocnych, ale gotowa wskrzesić nawet umarłych.

Przy obiedzie było wesoło, jak zawsze, bo biskup sam lubił ożywioną rozmowę, w przyzwoitych utrzymaną granicach; lecz po obiedzie pułkownik istotnie zasadził biskupa z cyganką na swojej kanapie, i Bóg sam nie wie, jakie tam psoty z nimi wyprawiał. Ale niebawem Rak zepsuł im zabawę, bo zbliżył się do biskupa i powiedział mu:

— Nie chcę ja wcale ubliżać okularowi Waszej Excelencji, który sobie kupiłeś w Rzymie, ale ja tu mam teraz taki teleskop, który nie jest konstruowany podług kanonów i pokazuje rzeczy takie, jakich Jegomość jeszcze nie widziałeś.

Biskup nie kontent był z tej uwagi o swoim okularze, ale jego nienasycona ciekawość wiadomości astronomicznych, z któremi bez cudzej pomocy zapewne bezskutecznie się szamotał, przemogła w nim wszelki zły humor, dlatego odpowiedział żartem:

— Ależ ja nie w Rzymie mój okular kupiłem, tylko w Londynie; wszelako się za to na pana nie gniewam.

Jakoż wstał zaraz i szliśmy na obserwatorjum. Ale pułkownik nie mógł utaić swego nieukontentowania i rzekł całkiem serjo do syna:

— A miej też tam wzgląd na osobę duchowną.

— Przecież bierzemy kapelana ze sobą — rzekł na to Rak, śmiejąc się głośno.

A na to pułkownik wcale już gniewnie:

— Ten i ów świecki astronom może się tam jeszcze jakoś prześliźnie, ale że ten kapelan z piekła nie wyjdzie póki żyw będzie, za to ci ręczę.

Staruszek miał, jak widać, głębokie przeciwko astronomji uprzedzenie i uważał ją tak, jak wiejski lud okoliczny, za jakąś naukę diabelską, lubo do tego uprzedzenia miał zapewne inne powody.

* * *

Kiedyśmy weszli na obserwatorjum, Rak powiódł okiem po niebieskiem sklepieniu i rzekł z wielkiem zadowoleniem:

— Cisza grecka, powietrze nadzwyczajnie przejrzyste; nie można sobie życzyć piękniejszego wieczoru.

Poczem ustawił sam mniejszy teleskop na nieruchomym trójnogu, wycelował go w pewien punkt firmamentu i rzekł do biskupa:

— Widzisz Jegomość tarczę Sobieskiego, patrzajże w miejsce AR. $18^h 43{,}6^m$, NP. D. $96^0 26'$ i powiedz nam, co tam obaczysz.

Biskup spojrzał na Raka wielkiemi oczyma i był bardzo zakłopotany. I zaczął mówić:

— Ba, a jakże ja znajdę... podług tych cyfer...

— A jakto? — zawołał Rak, śmiejąc się głośno — to odkrywasz pasy na Jowiszu i ich naturę tłumaczysz, a nie umiesz się znaleźć w tarczy Sobieskiego?

To mówiąc spojrzał sam jeszcze raz przez teleskop, troszeczkę go naprostował i dodał:

— No patrzno, Jegomość, w sam środek, teraz się nie omylisz.

Biskup tedy patrzał mocno przez chwilę i patrząc dalej mówił:

— Widzę mgłę okrągławą, białawą, jakoby srebrzystą, ale zarazem wyglądająca tak jakby była przejęta światłem, i zdaje mi się, jakoby to było światło jej własne.

— Dobrze Jegomość widziałeś — rzekł Rak — chodźże teraz do wielkiego teleskopu.

A przy wielkim teleskopie siedział kapelan, który go w tenże sam punkt wycelował.

— Patrzajże, Ekscelencya, teraz przez wielki teleskop; jest on na tęż samę mgłę wykierowany, i powiedz nam, co tam obaczysz.

Biskup oczy wytężył, patrzał przez chwilę, a potem zawołał:

— Przebóg! toż ta sama mgła jest gęstą gromadą gwiazd większych i mniejszych, prawie jakoby sito, błyszczącemi goździami nabite!

Widok ten jest rzeczywiście wspaniały — a przedstawiony tak, jak go Rak biskupowi przedstawił, że się najprzód widzi mgłę tylko, a potem całą gromadę gwiazd gęsto około siebie nabitych, sprawia na umyśle zachwycające wrażenie. Toż biskup odwróciwszy głowę od teleskopu, ręce złożył w pokorze i zawołał w zachwycie:

— Wszechmocność Boga jest daleko większa, niżeli najpobożniejszy umysł może ją sobie przedstawić! — Po chwili zaś dodał: — Tożto tych gwiazd jest tam z pięćdziesiąt.

— Lamont obliczył, że jest ich tam stodwadzieścia i ośm, a i to tylko w kwadracie czterech minut. Jest ich tedy oczywiście daleko więcej. Lamont mapę tych gwiazd sporządził, jutro ją Jegomości w mojej bibliotece pokażę.

Biskup był w zachwyceniu i pytał, czy jest takich mgieł gwiaździstych więcej na niebie?

— Jest ich ilość niepoliczona — odpowiedział Rak. Sam Herschel spisał takich mgieł parę tysięcy, a od tego czasu jego katalog został znacznie pomnożony. Gdybyśmy całe lato nad tem strawili, tobyśmy ich nawet powierzchnie zlustrować nie zdołali. Ależ na cóż nam iść do katalogów takich mgieł rozrzuconych, z których jedne są gromadami gwiazd, inne zaś nawet przez najmocniejsze teleskopy jeszcze zawsze jak mgły wyglądają.

Biskup słuchał z wielką uwagą, a potem rzekł:

— Bardzo mnie zobowiążesz, panie hrabio, jeżeli mi jeszcze parę takichże samych mgieł gwiaździstych pokażesz.

Oglądaliśmy tedy z kolei gromadę gwiazd w Perseuszu i inne; poźniej mgły takie, które i przez wielki teleskop mglistą okazują naturę i tak wyglądają, jak lampy nakryte kloszą ze szkła mlecznego; poźniej inne, w któ-

rych środku widać punkt światła mocniejszy, jakoby gorejącą świecę; dalej takie, w których widoczne były dwa takież punkty płonące; nareszcie takie, które rozmaite mają formy: okrągłe, owalne, podłużne, wązkie a długie zwinięte jak wstęga, lub dwie okrągłe obok siebie, pasem mglistym ze sobą złączone. Zgoła przeszło godzinę strawiliśmy na tem, aby tylko główniejsze i częściej powtarzające się formy mgieł takich obaczyć, co wszystko Rak nam z nadzwyczajną szybkością i dokładnością pokazał, a skończyliśmy na tem, iż obejrzeliśmy główne egzemplarze gwiazd podług ich kolorów, od śnieżno-białych, aż do ciemnoczerwonych, gdzie też Rak wspomniał na końcu o gwiazdach czarnych zagasłych, których oko nie widzi, ale których istnienie naukowo jest dowiedzione.

Skończywszy tę zajmującą przechadzkę po sklepieniu niebieskiem, biskup, ciągle zachwycony a zarazem niewyczerpaną uczonością Raka cokolwiek upokorzony, zapytał go nie tając wcale swej ciekawości:

— Powiedzże nam, kochany hrabio, jakże wasza nauka te wszystkie zjawiska tłumaczy?

— A to jest contra fidem — odpowiedział mu Rak — bo jak Jegomość sam widzisz, gwiazdy te nie są goździami do firmamentu poprzybijane dla pociechy człowieka, tak jak też i świat ten nie został w sześciu dniach stworzony. Gdybyśmy nic nie dojrzeli na niebie, jak tylko te mgły, gołem okiem ledwie dojrzane, które dopiero przez najmocniejsze teleskopy okazują się być gwiazd gromadami, to już to samo stanęłoby nam za dowód, że te miljony światów nie są stworzone tylko dla ozdobienia tego kawałka nieba, które mogą obaczyć mieszkańcy ziemi.

— Ale zostawmy tę filozofją na boku — rzekł Biskup — jabym chciał wiedzieć, co mówi nauka o tych nebulozach.

— Nauka jest przedewszystkiem tego zdania — odpowiedział mu Rak — że wszystko to, co widzimy na firmamencie, z jednej i tej samej się składa materji, a materja ta gdziekolwiek i w jakiejkolwiek formie istnieje, jednym i tym samym ulega prawom. Tak, jak z kolei losów gwiazd rozmaitych, które za pomocą szkieł i nauki na niebie śledzimy, dowiadujemy się, jaka była przeszłość i jaka będzie przyszłość naszej ziemi: tak za pomocą doświadczeń, które nam geologja, fizyka, mechanika, dynamika i chemja dozwala robić na ziemi, dochodzimy, jak się tworzą, tak istnieją i giną, a inaczej jak się przeistaczają ciała niebieskie. Tym idąc torem przyszliśmy do przekonania, że owe mgły, które na firmamencie widzimy, są początkiem i końcem wszelkiego stworzenia.

— Te mgły — rzekł biskup — są przecież przy bliższem przypatrzeniu się gromadami gwiazd. A jeżeli niektóre z nich nawet przez najmocniejsze teleskopy jeszcze się tylko mgłami wydają, to ja tak rzecz tę rozumiem, że jest to wina niedostateczności do dziś dnia wynalezionych teleskopijnych narzędzi. Gdybyśmy mogli jeszcze mocniejsze teleskopy sporządzić, to każda mgła okazałaby się gromadą gwiazd.

— Nie, tak nie jest — rzekł Rak. — To przypuszczenie zbiła nieodwołalnie analiza spektralna, która dowiodła, że są mgły i jest ich miljony, które są istotnemi mgłami w rozmaitych stadjach tworzenia się, począwszy od mgły kosmicznej aż do żaru gazowego, który w zimnym eterze coraz więcej chłodnie, a prawem ciężkości coraz bardziej gęstnieje. To, co nazywamy mgłą kosmiczną, jest to ta sama materja, którą naokoło siebie widzimy, i z której my sami jesteśmy zlepieni, tylko mocą gorąca, którego tempatury zmysłami naszemi pojąć nie możemy, rozrzedzona do takiego stopnia subtelności, którego także zmysły nasze pojąć nie mogą. Jest to, że tak powiem, oddech płomienny, w którem wszelako odbywa się ruch atomów, i który w eterze jest zawsze czemsić do tego stopnia uchwytliwem, iż jest widzialnem i odbija od siebie promienie światła.

— Z tej tedy mgły — rzekł biskup — tworzą się zwolna ciała niebieskie.

— Ta mgła — odpowiedział Rak — znajdując się w przestrzeni niezmiernie zimnej, musi powoli chłodnąć i zgęszczać się, wirować około swej własnej osi i wirować około ciał innych, a tworząc około siebie z swej własnej masy planety, stać się na końcu ich słońcem. Taki cały system słoneczny chłodnie i tężeje dalej, aż póki nie zmarznie, aż póki ciepła swego nie ulotni w przestrzeni o tyle, iż siła ciężkości w nim działanie ciepła przeważy — a wtedy zmarznięte te ciała uderzają o siebie i zamieniają się napowrót w mgłę kosmiczną.

— Tedy według waszej nauki — rzekł Gerhardus, — wszystkie te gwiazdy, które na niebie widzimy, są to po prostu takie same systemy słoneczne, jak nasz.

— Takie same, nie — odpowiedział mu Rak — owszem przeciwnie. Wszystkich tych kombinacji systemów słonecznych, jakie na niebie istnieją, my wcale nie znamy. Owszem analogicznie domyślać się musimy, że jest ich ilość niezliczona. Prawdopodobnie nawet jak nie masz dwóch drzew w lesie całkiem jednakowych, tak nie masz dwóch systemów słonecznych całkiem do siebie podobnych. Tylko jak wszystkie drzewa rosną podług jednego i tego samego prawa natury, tak podług jednego i tego samego prawa tworzą się słoneczne systemy. Ażeby je wszystkie zbadać i rozróżnić, na to potrzebaby wiekowej pracy wszystkich obserwatorjów, a oprócz tego jeszcze daleko doskonalszych astronomicznych narzędzi których może nigdy mieć nie będziemy. To, czego nauka dotychczas doszła, doprowadziło nas tylko do tego przekonania, że natura w wynalazku nowych kombinacji jest tak niewyczerpaną na niebie, jak w każdej innej produkcji swojej na ziemi. Co do mgieł, to widzimy je we wszystkich możliwych formach, jakie tylko najbujniejsza może utworzyć wyobraźnia, od całkiem okrągłych i otoczonych jak Saturn pierścieniem, aż do snujących się wązkiemi pasmami jak chmurki na naszym ziemskim horyzoncie. A przy ich badaniu mamy tę niedogodność, iż często wcale nie wiemy, czy ta jedna mgła, którą widzimy, nie nakrywa częściowo drugiej i trzeciej, które się za nią znajdują, a czego my za pomocą naszych szkieł dokładnie



TRZEJ JEŹDZCY. Podług obrazu Th. Breidwisera.

(Rozdział XI. Powieści „Graf Rak.“)

dojrzeć nie możemy. Badania te zatem jeszcze są dalekie od pożądanej pewności. Konstelacje gwiazd widzimy dokładniej. Jakoż rzeczą jest pewną, iż znajdują się pomiędzy niemi jak najrozmaitsze kombinacje. Są systemy złożone z gwiazd kilkudziesięciu albo i więcej, i są systemy składające się tylko z dwóch albo trzech ciał niebieskich. Gwiazdy jasne wirują około jasnych, jasne około ciemnych, ciemne około jasnych i ciemne około ciemnych.

— A co to są za systemy słoneczne — zapytał biskup — złożone z samych gwiazd ciemnych?

— W naszym systemie słonecznym — odpowiadział Rak — wszystkie planety są ciemne, a tylko słońce jeszcze się pali. Otóż są takie systemy, gdzie już i słońce się wypaliło, i cały system się składa z gwiazd ciemnych. Tam tedy ciemne gwiazdy obiegają w wiecznej nocy około ciemnego słońca i będą obiegać dopóty, aż póki przyciągnięte siłą ciężkości, nie uderzą o siebie i nie zamienią się wszystkie razem w oddech płomienny.

— Są to tedy ciał niebieskich cmentarze.

— Tak. Lecz są i takie systemy, gdzie nie masz właściwego słońca, i dwie lub trzy gwiazdy albo też słońca krążą około pewnego wspólnego punktu ciężkości, który się znajduje w powietrzu, i który się nazywa punktem ciężkości wirtualnym.

— Otóż tego nigdy zrozumieć nie mogłem — rzekł biskup — jakim sposobem taki punkt, że tak powiem, teoretyczny może wywierać skutek przyciągający.

— Ten punkt — odpowiedział Rak — żadnego nie wywiera skutku, tylko w nim zbiera się równowaga siły przyciągającej tych dwóch albo trzech ciał niebieskich, które dla tego właśnie, że równowagę znalazły, w jeden się system spoiły. Jest to zresztą tylko jedna z tych niezliczonych form działania siły ciężkości, z których my znamy zaledwie kilka. Umysł nasz takich form nieznanych domyśleć się nie może, ale pojąć może i przypuścić, że może być ich ilość niezliczona.

— Cokolwiek bądź — rzekł biskup — tego umysł nasz nie pojmuje. Lecz co widzimy i co jest równie ciekawem, to jest ten pewnik, iż te rozmaite systemy znajdują się w rozmaitych epokach swego rozwoju, czyli swej dojrzałości. Chcę powiedzieć — poprawił się prałat — że tak utrzymuje nauka.

— Tak — odpowiedział Rak — to okiem widzimy i na to niezbite dowody stawia analiza spektralna. Nie wdając się w niezliczone odcienie podrzędne, rozróżnijmy tylko trzy główne stadja, jakie widzimy na gwiazdach stałych, a z których jedne są białe, drugie żółte, a trzecie czerwone. Pierwsze znajdują się w stanie białego płomienia i do tych należą Syrjusz, Wega, Beta w Lirze, Gama w Kassjopei i wiele innych. Te są jeszcze o wiele miljonów lat młodsze od naszego słońca, jakoż Syrjusza światło jest sześćdziesiąt trzy razy, a światło Wegi dwanaście razy mocniejsze od światła naszego słońca. Gwiazdy żółte są już więcej ochłodzone, a analiza spektralna wykazuje w ich atmosferze istnienie wytworzonych metalów; do tych należą Aldebaran, Arktur, Kapella i nasze słońce Czerwone nareszcie, jak Alfa w Herkulesie, Alfa w Orjonie i Beta w Pegazie, już są do tego stopnia ochłodzone, że w ich atmosferze spostrzegamy powinowactwa chemiczne. Ztąd zdaje się, że w systemach pierwszych życie roślinne jeszcze się nie mogło rozwinąć, w drugich zapewne teraz istnieje, w trzecich zaś już wymarło.

— Nauka tedy powiada — rzekł prałat — że te wszystkie ciała niebieskie, które widzimy, są to miljony takich samych systemów słonecznych jak nasz, z tą tylko różnicą, iż każdy z nich w odmiennej skonstruowany jest formie. Zaś te wszystkie systemy krążą znowu około jakiegoś kolosalnego słońca...

— Koło słońca nie — przerwał Rak — byłoby to fizycznie niemożebnem. Jeżeli bowiem nasze słońce musi być tysiąc razy większe, niżeli wszystkie jego planety razem wzięte, aby je mogło utrzymać przy sobie, to takie centralne słońce, tysiąc razy większe, niżeli wszystkie słoneczne systemy razem wzięte, musiałoby być nawet z największej odległości dla naszego oka widzialnem. Punktem tym, około którego wszystkie systemy krążą, musi być albo jakiś punkt wirtualny, albo też jaki kolosalny system centralny, może Plejady...

— Tak, tak — rzekł biskup z widocznym tryumfem — i tam mieszka ta siła odwieczna, wszechmocna i wszystkowiedząca...

— Tam nic nie mieszka — zawołał Rak śmiejąc się głośno — tam nawet nic mieszkać nie potrzebuje.

— A jak to? — zapytał biskup — przecież pan musisz przypuścić, że jest ktoś, który te niezliczone światy utrzymuje w ruchu, jeżeli już przyznać musimy, że one istotnie są w ruchu. Bo mów sobie co chcesz, właśnie ten ruch, któryście wynaleźli i udowodnili, pogaństwo waszej nauki zabija. Siła przyciągająca sama jedna nie wystarcza, aby go wytłumaczyć, chociaż do niej dodajecie jeszcze siłę odtrącającą czyli tangencjalną. Siła przyciągająca tylko ruchem kieruje, ale go wcale nie tworzy.

— Ależ ruch, mój kochany biskupie — rzekł na to Rak — wcale nie potrzebuje być tworzonym, bo jest jej danym, a to w ten sposób, iż jest on głównem prawem, któremu ulega materja. Materja tylko wtedy jest nieruchomą, jeżeli ją inna silniejsza materja do siebie przyciągnie; ale jeżeli sama jest w przestrzeni, w czystym eterze, to musi lecieć, choćby tylko dla tego, że eter nie stawia jej żadnego oporu.

— Jakto? — zapytał Gerhardus — więc według pana nie masz żadnej wyższej potęgi...

— Ale ani nie ma — rzekł Rak — ani jej nie potrzeba. Ruch przyrodzony materji i siła przyciągająca, to jest suma wszystkich sił, działających w naturze — na tem stoją wszystkie światy i żadnej innej siły nie potrzebują.

Na to Gerhardus wzdrygnął się, jak gdyby przepaść przed sobą obaczył, wziął kapelana za rękę rzekł: — Dobranoc — i wyszedł.

— Są prawdy — rzekł do mnie Rak po wyjściu biskupa — od których ludzie mają większy wstręt, niżeli od fałszów.

— Wszelkie epoki przejścia w sprawach ważnych — odpowiedziałem mu na to — były zawsze najnieszczęśliwszemi dla ludzi. Nie za naszego życia zapewne, ale niebawem stoczy się bezwątpienia wielka walka pomiędzy ludźmi o najwyższe prawdy moralne. Życzyłbym, aby ta walka stoczyła się między filozofami, aby ta burza przeszumiała w powietrzu nad głowami ludzkości, nie zstępując na ziemię. Ludzie bowiem mają swojego Boga, i żadna nauka im go nie odbierze — a ktoby był tak zuchwałym, chcieć im go wydrzeć, to oni zawsze będą gotowi całe morze krwi wylać za niego.

Rak nic mi nie odpowiedział, bo jako gościnny gospodarz niespokojny był o biskupa. Jakoż przechodząc przez środkowy korytarz, zapytaliśmy oń służącego. Ten nam wskazał głąb korytarza, gdzie się znajdowała kaplica. Biskup sobie kazał otworzyć kaplicę, zapalono mu lampę wiszącą u stropu, a on ukląkł przed ołtarzem i w gorącej się zatopił modlitwie. Można było być pewnym, że modlił się nie za siebie...

XI.

Wyjechawszy nazajutrz z Rakowa, od tego czasu przez sześć miesięcy nic nie słyszałem o Rakach i Raczkach. Powiadano mi, że wszyscy byli podczas wystawy w Paryżu, ale ja tam dopiero w sierpniu przyjechałem i żadnego z nich nie widziałem. Natomiast wszakże odwiedziłem Pikartów i zastałem szczęście tak zupełne w tej rodzinie, jakie się rzadko spotyka na tej ziemi. Młody Pikart byl już od kilku miesięcy ożeniony z fifilką, on objął warsztaty po ojcu, a ona zarząd domu po świekrze; a opatrzeni oboje wyśmienitym rozsądkiem i najlepszemi przymiotami serca, urządzili swoje gospodarstwo i sposób życia jak w raju. Żona Pikarta uszczęśliwiona, jak gdyby duszy swojej zbawieniem, czuwała nad nimi jak Anioł Boży — a Ramult przekonany najgłębiej, że on jest wszystkich ich zbawcą, wyglądał jak ów prorok biblijny, który powiedział o sobie: Teraz już mogę spokojnie umierać. Stary Pikart cofnął się całkiem od interesów — najwyższy szczyt szczęścia dla paryzkiego uwriera — czasem tylko rankami nadglądał w warsztacie, czy wszystko się porusza w należytym porządku, a całe popołudnie przesiadywał w kawiarni, grając w warcaby z równie szczęśliwymi ojcami. Wszelako na jego czole widać było czasem jakąś małą chmurkę, która zdradzała troskę albo niepokój trudny do odgadnienia, bo nigdy o tem nie mówił. Lecz kiedy go raz o to spytałem, rzekł mi otwarcie.

— Dziękuję panu, żeś mię sam o to zapytał, bo od dawna już pragnę pana się w tej sprawie poradzić, a dotąd nie śmiałem. Nie chcę mącić szczęścia mojej rodziny, dlatego z nikim o tem nie mówię; ale panu się przyznam, bo mię to krztusi czasami, że mój syn ożenił się z córką tak bogatego człowieka, a ani jednego grosza w posagu nie dostał. Toż to myśmy jej nawet suknię ślubną sprawili. Zapewne, że jeśli tak być musi, to się bez tego obędzie. Mój syn jest człek pracowity, ma niezgorszy warsztacik, ma też i kapitał obrotowy, i chwała Bogu, nie potrzebuje się na nikogo oglądać. Ale jego żona ma ojca, ojciec ten jest bezdzietny i ma takie srogie miljony. Niekoniecznie tu o miljony idzie; ale jest to upokarzające uczucie, być tak całkiem zapomnianym przez swego własnego ojca. Jestem też pewnym, że prędzej czy poźniej uczucie to się w mojej synowej odezwie, i obawiam się, że może w niej pewną gorycz utworzyć, która jej tem więcej będzie dokuczać, ile że pewnie z nikim się nią nie podzieli. Otóż wierz mi pan: ja lubię pieniądze i z tem się wcale nie taję; ale w tym razie ani dla mnie, ani dla mego syna, tylko dla niej samej życzyłbym sobie, aby jej ojciec jakiś posag choć przynajmniej obiecał. Ale jak tu przystąpić do tego Raka? Ja już z nim daleko wiele trudniejszych spraw załatwiłem, ale w tym razie, przyznam się panu, że nie mam odwagi. Cóż mi pan radzisz?

Pomyśliwszy chwilę, zapytałem go:

— A od czegoż pułkownik?

Na to Pikart spojrzał na mnie otwartemi oczyma, wskazał palcem na swoję głowę i nic mi nie odpowiedział. Ale w kilka dni potem do Rakowa wyjechał.

W parę tygodni poźniej powrócił, a kiedyśmy się znów zeszli, rzekł mi do ucha:

— Dziękuję panu za dobrą radę. Pieniędzy nie przywiozłem, ale jestem uspokojony. Moja synowa tem się martwić nie będzie. Pułkownik to w oka mgnieniu załatwił. Pan wiesz, jakie miałem zawsze uszanowanie dla tego szlachetnego staruszka. Wiedziałem też o tem, że on już nie jeden grzech swego syna wygładził. Ale jaką on nad nim ma władzę, o tem trudno sobie zrobić wyobrażenie, a ledwieby można uwierzyć, znając despotyczny charakter Raka. Ale to tak jest w istocie. Co ojciec każe, przeciwko temu nie ma oporu. A wie pan, skąd to pochodzi? Wcale nie z powagi ojcowskiej, tylko z jego niepokalanej zacności, którą tak samo obcym imponuje, jak swoim. Gdyby ten człowiek przypadkiem dostał się do piekła, jestem przekonany, że wszyscy diabli by mu pokłon oddali i żaden by go nie dotknął.

— Powiedz że mi, panie Pikart — zapytałem go jeszcze — a cóż się stało z twoim szwagrem? bo dotąd mi to niewiadomo.

— Lepiej by o tem nie mówić. Jużciż szwagier mój urzędu nie stracił, ale Rak zabrał mu całe jego mienie do grosza.

* * *

Pod koniec października opuściłem Paryż i wyjechałem był do Włoch północnych, aby tam jeszcze zażyć pięknej pogody i ciepłego powietrza. Ale trafiwszy na słoty bezustanne, a nawet czasami mroźne, i dawszy się skusić do wzięcia udziału w polowaniach w Alpach piemontskich, nabawiłem się grypy, owej grypy nie bardzo bezpiecznej, bo zwykle podszytej gorączką, jakiej można dostać tylko we Włoszech. Porzuciwszy tedy góry, dowlokłem się, jak mogłem, do Wenecji, której wilgotne i o tej porze jeszcze zazwyczaj ciepłe powietrze najlepszem jest lekarstwem na tego rodzaju febry. Tam w gospodzie

alla Luna, nie pierwszorzędnej ale bardzo starannie utrzymywanej, prawie całkiem nie wychodząc z mieszkania przez parę tygodni, pozbyłem się tej nużącej niemocy do tego stopnia, iż około połowy listopada mogłem już wyjeżdżać, a raczej wypływać nawet na odleglejsze wyspy tej niegdyś tak świetnej i potężnej Dożów stolicy, która wszelako i po przyłączeniu się do Włoch zjednoczonych nie potrafiła się podnieść z upadku. Otóż jednego dnia w popołudniowych godzinach pojechałem był odwiedzić ks. Mechitarystów, którzy na wyspie San-Lazaro mają swoje sławne zakłady drukarskie, jedyne na świecie, bo drukują w nich książki w trzydziestu dwóch rozmaitych językach. Lepsza to daleko rozrywka, niżeli kozły strzelać po Alpach, które nietylko, że nie bardzo się boją kul literackich, ale się jeszcze grypą odstrzeliwają. Całe niebezpieczeństwo zaś, jakie grozi gościom Mechitarystów, ogranicza się na owej szkaradnej mumji egipskiej, na którą możnaby się zapatrzeć, ale i to niebezpieczeństwo nie istnieje dla literatów, zwłaszcza gdy nie znajdują się w stanie błogosławionym. Przepędziwszy przeszło dwie godziny w tym zacnym klasztorze w towarzystwie braciszka, który mówił po polsku, musiałem wracać tem prędzej, ile że się już słońce miało ku zachodowi i nadzwyczajnie gęsta mgła zaczęła osiadać na ziemi. Braciszek odprowadził mnie aż do przystani, i jeszcze tam mówiliśmy ze sobą o książkach, które mi miał nazajutrz przysłać do miasta. Tymczasem o kilkanaście kroków od nas stała druga gondola, duża i piękna i dachem nakryta, z której dawał się słyszeć gwar coraz głośniejszy. We środku tego pańskiego statku stały trzy osoby: jakiś pan starszy, wysoki, chudy, o siwych włosach, naprzeciw niego drugi, również wysoki, lecz młodszy, a w głębi smukła, i jak się zdało, także młoda kobieta. Wśród zmroku i mgły trudno było twarze rozeznać, widać tylko było, jak starszy jegomość rzucał się przeciw młodszemu, burcząc nań głośno po włosku, aż wreszcie krzyknął:

— Wychodź mi z tąd natychmiast! Precz z mojej gondoli — i aby noga twoja więcej nie powstała w mym domu!

Na to młoda kobieta zakryła twarz obydwiema rękami i jakoby wsiąkła pod dach gondoli, młody człowiek wyskoczył na brzeg i odwróciwszy się od nas, poszedł wolnym krokiem ku klasztorowi, a starszy krzyknął do gondoljerów:

— Partenza! alla Luna! — i gondola odpłynęła ku miastu.

Kiedym się w tej chwili obrócił, braciszka już przy mnie nie było; widziałem tylko w oddali, jako dopędziwszy owego młodego człowieka, szedł z nim razem ku klasztorowi. Wsiadłem tedy do mojej gondoli i zawinąwszy się w szal, aby się okryć przed wiatrem, który od północy zaczął pociągać, kazałem wioślarzom ile możności przyspieszyć biegu, bo chłód zaczął dojmować.

W pół drogi pominęliśmy owę dużą gondolę, w której płynęli owi kłótnicy, a w małą godzinkę przybyliśmy do przystani alla Luna. Tam ciepło już było, i mgła nie tak gęsta; a że byłem ciekawy widzieć owych podróżnych, więc oparłem się o słup niski kamienny, który tam stoi o dziesięć kroków od przystani, a o drugie dziesięć kroków od wejścia do gospody, i zamyśliłem się o tych wszystkich osobach, które rozmaitemi czasy przez lat dwadzieścia kilka poznałem w Wenecyi, a do których i te mi się zdawały należeć. Ale już w kilka minut owa wielka gondola przybiła do przystani, a z niej wysiadł najpierw ów stary jegomość, a za nim kobieta. Jegomość, jakoś srodze zachmurzony i zamyślony, szedł naprzód, kobieta za nim, lecz ta, przechodząc koło mnie, spojrzała mi nieśmiało w twarz, ukłoniła mi się zaledwie dojrzanem skłonieniem głowy, podała mi bukiecik róż, jeszcze nie rozwiniętych, który w ręku trzymała, i przyspieszywszy w tej samej chwili kroku, pospieszyła za swym towarzyszem, z którym niebawem w głębi ciasnej i ciemnej uliczki zniknęła.

Jegomość ten był-to starszy Leendorf, a kobieta która mu towarzyszyła, córka jego, Jadwiga.

Ale co znaczy ten bukiecik róż, podany mi z tak grzecznym ukłonem? Czy panna Jadwiga mogła mnie poznać wśród mgły wieczornej, nie widziawszy mnie tylko raz w życiu na krótką chwilę i temu półtora roku? Jest-li w tem jakieś nieporozumienie? Czy może zamiar jakiś, instynktowo powzięty, owa nigdy nie wytłumaczona przytomność umysłu, jaką się często odznaczają kobiety? Temi zagadkami zajęty, patrzałem w mgłę, pływającą nad wielkim Kanałem, kiedy wtem jeszcze jedna gondola przybiła do przystani, i wyskoczył z niéj ów młody człowiek, który się został był na wyspie Mechitarystów. Po wyrazie jego twarzy i ruchach szorstkich całej postaci widać było niezwykłe umysłu czy serca wzburzenie, jakoż rzuciwszy zakonnym wioślarzom, którzy go do miasta przywieźli, kilka sztuk pieniędzy, przeszedł szybkim krokiem koło mnie, zmierzając ku kolumnadzie, przez którą przechodzi się na plac św. Marka.

Lenistwo jest, jak wiadomo, także jednym z tych prawd natury, któremu ulega materja; fizyka i astronomja wiele objawów tem prawem tłómaczą. Toż tem lenistwem wiedziony, o mało że nie pozwoliłem przejść temu młodemu człowiekowi koło mnie i wcale go nie zaczepiłem; ale żal mi się go zrobiło. Toż właśnie, kiedy skręcał pod kolumnadę, zawołałem za nim:

— Raczek!

— Zwrócił się natychmiast, przystąpił do mnie i witał się ze mną; ale mówił tak, jak człowiek, który chce grać na instrumencie, nie znając jego klawiszów. Sześć miesięcy minęło, jakeśmy się po raz ostatni widzieli; od tego czasu zapewne wiele rzeczy się w nim i koło niego zmieniło; nie wiedział, z jakiego tonu ma do mnie przemówić. Aby mu to zadanie ułatwić, rzekłem do niego:

— Uspokój się i nastrój twoje organy do tego tonu, jakobym ja był świadkiem na wyspie Mechitarystów, jak cię Leendorf wyrzucił ze swojej gondoli.

— Byłeś tam? widziałeś? — zawołał Raczek w rozpaczy — jeszcze tego mi brakowało!

— Uspokój się — rzekłem raz jeszcze do niego — chodź ze mną na obiad, przejdziemy potem do mnie na herbatę; wątpię, abym ci pomógł, bo nie znam Leendorfa, ale to wiem, że cię uspokoję.

— Nie, jeść nie mogę — zawołał młodzieniec, ciągłe roztargniony — wielkie-to szczęście dla mnie, że ciebie spotykam. Ale sam nie wiem, co mam zrobić. Proszę cię, zrób mi tę łaskę i jedz obiad u siebie. Wtedy chętnie pójdę i będę ci towarzyszył. Potrzeba mi koniecznie z kimś o mnie samym pogadać, inaczej gniew mnie rozprzęgnie, a ból mnie rozsadzi.

— To ci się tylko tak zdaje, jak i nam się za naszej młodości tak czasem zdawało. „On ne meurt pas des ses douleurs.“ Czas wszystko leczy; tylko we dwójkę czas prędzej ubiega, niż w samotności.

Tak weszliśmy do mego mieszkania, gdzie dano herbatę i coś do herbaty. Raczek przedewszystkiem rzucał się na Leendorfa i mówił:

— To czysty warjat. Z tym człowiekiem niepodobna w niczem trafić do końca.

— Ale mówiąc między nami — zauważałem dawszy mu się wykipieć — jużciż o politykę pewnieście się nie pokłócili, ani o jakąś kwestją drzewnego handlu. Il y avait une femme. Tam tedy należy szukać właściwego powodu. Mów mi tedy, co chcesz, ale musiałeś tam coś przeskrobać.

— Ale nie, jak mi Bóg miły! — zawołał Raczek — tak, coś... coś mu się zdawało. Ale nic, jakże chcesz? cóżby być mogło?

— Ja nie powiadam, żeby zaraz zbrodnia.... Ale przecież... coś... nie wiem.

— Ale nic — rzekł Raczek, wszelako już uśmiechnięty — nic zgoła. Plotka po prostu, i nic więcej.

— To znaczy taka plotka, którą Leendorf widział na własne oczy, a wam się zdawało, że wśród mgły nie obaczy. A tymczasem mgły bywają czasem bardzo zdradzieckie. Wiesz, że mgła pod Chlumem Benedeka zgubiła, poczem Prusacy walną bitwę wygrali. Sądzę wszakże, że Leendorf jeszcze bitwy nie wygrał, a przeto nie ma czego rozpaczać.

— Jeszcze też i ja nie dam za wygranę — rzekł Raczek, i tak pomału znalazł ton i równowagę.

Jakoż odpowiedział mi już wcale spokojnie całe położenie, w jakiem się jeszcze dziś rano znajdował, i jak się to położenie przed dwoma godzinami zmieniło. Zawiązanie spółki handlowej, założenie fabryki klepek w lasach Rakowskich i domu handlowego w Marsylji było rzeczą ułożoną i postanowioną. Kontrakt już był napisany i Rak był dziś-jutro oczekiwany w Wenecji, aby go podpisać. Urzędnicy, przez Leendorfa przyjęci, już znajdowali się w lasach i wytyczali sekcje, machiny były już zamówione we Francji, kapitały Raczka przeniesione do Marsylji, zgoła wszystko gotowe: kiedy tymczasem ta fatalna mgła na wyspie Mechitarystów wszystko od razu podruzgotała...

— A wiesz ty, zkąd się wzięła ta mgła? — rzekłem mu na to — to reminiscencja twojej stryjenki, która się w tej mgle objawiła i nie Leendorfa, ale twoje oczy zamgliła. Ty byłeś w tej chwili, jak człowiek, który jakiś czas przeżył w złem towarzystwie, potem wszedł w dobre, ale w pewnej chwili o tem zapomniał i bąka wystrzelił. Dawnoż widziałeś stryjenkę?

— Widywałem ją czasem w czerwcu i w lipcu w Paryżu. Potem napisała mi jeszcze parę listów arcygłupich, na które nie odpowiedziałem i koniec.

— I koniec, powiadasz?

— No, naturalnie, że koniec.

— Ja tu jeszcze końca nie widzę.

— A dlaczego?

— U mężczyzn pierwsza miłość bywa wieczna, u kobiet ostatnia.

Raczek się nad tem cokolwiek zamyślił, lecz zaraz się zbudził i dodał:

— To nie taka kobieta. Trzy miesiące już minęło od ostatniego widzenia; jak jeszcze trzy miesiące minie, to nic nie zostanie. Mnie daleko więcej niepokoi scena z Leendorfem.

— Cóż myślisz?

— Wszystko przepadło. Leendorf od spółki niezawodnie odstąpi. A nawet inaczej nie może być po tem, cośmy sobie powiedzieli.

— Ja nie wiem. Lecz zdaje mi się, że ludzie tego wieku tak wielkich projektów nie porzucają dla takich plotek.

To mówiąc, wziąłem w rękę ów bukiecik róż, który położyłem był wchodząc na odległym stoliku, pokazałem go młodzieńcowi i spytałem:

— Czy znasz ten bukiecik?

— Przebóg, cóż to takiego — zawołał Raczek — to bukiecik Jadwigi. Więc z nimi mówiłeś?

Opowiedziałem mu, jak się to stało. Raczek przechadzał się po pokoju, mówiąc ze wzburzeniem:

— Nie rozumien. Nic nie rozumiem.

— Jadwiga — rzekłem, aby przerwać milczenie — bardzo pięknie wyrosła, dzisiaj wcale już panna.

— Oh! ślicznie wyrosła! — zawołał Raczek — anielskie serce, główka cudownie zorganizowana; tak sobie marzyłem ideał kobiety.

— Może troszeczkę włoskie wychowanie.

— Tak może. Trudno się od tego ochronić w tym kraju, gdzie jest tyle żywych tradycji intryg miłośnych, i gdzie niemal cały świat żyje takiemi intrygami. Ale niewinna przytem, jak anioł....

Raczek opowiedział mi jeszcze wiele rzeczy o pięknej Jadwidze i o szkaradnym Leendorfie, poczem wziąwszy bukiecik ze sobą, poszedł znacznie uspokojony do domu. Młodym ludziom tak mało potrzeba na to, aby z popiołów zwątpienia wyroili sobie najpiękniejsze drzewo nadziei!

* *
*



(*Dok. nast.*)

Przewodnik towarzyski i salonowy

WEDŁUG DZIEŁA „SAVOIR VIVRE“

przez panią d'Alcq dla polskiej publiczności opracowała Hr. R.

(Ciąg dalszy.)

Po latach kilku wrócił mój „panicz“, istny model z żurnalu! Rodzice olśnieni i oczarowani, chcąc pochwalić się czemprędzej synalkiem, powieźli go do domu w bliskiem sąsiedztwie, gdzie bywali bardzo często, a synek nie raz pod czas wakacji i po kilkanaście dni przepędzał.

Zagraniczny panicz wstępuje pompatycznie na schody ganku, przed wiejskim domem umieszczonego, z oczyma przymróżonemi. Zaraz na wstępie udaje, że nie wie, którędy się wchodzi, potem zaczyna lornetować cerkiew bardzo piękną, w stylu czysto byzantyńskim, która stała na przeciw domu, pytając, co to za budynek? A był w niej także niezliczone razy, biegając z rówieśnikami patrzeć się ciekawie to na ślub, to na chrzest ruski. Wnoszą wreście półmisek pierogów ze śmietaną: znowu ciekawe badania nader wyczerpujące, coby to była za potrawa? A tak niedawno zmiatał owe poczciwe pierogi, z prawdziwie studenckim apetytem, na tem samem miejscu i w tym samym domu! Pani domu, mimo całej powagi wdowy już nie młodej, i jej młode córki duszą się od śmiechu, wstrzymując się tylko przez wzgląd na rodziców biednych, którzy widocznie nie wiedzą, co z sobą zrobić. Pomału, pomału mój panicz spuszcza po trochę z tego wysokiego nastroju duchowego, zaczyna rozmawiać coraz naturalniej, coraz weselej, gdy naraz drzwi się otwierają i oficjaliści wchodzą do pani po dyspozycją na dzień następny. Leśniczym był dawny kamerdyner, który dzieci lubił niezmiernie, a że w domu jego pani były same córki, rad był niesłychanie, gdy mógł, tego obcego chłopczyka sadzać na konia, uczyć machać szabelką (był niegdyś wachmistrzem w wojsku narodowem), strzelać wróbelki i tym podobnych różnych figli. Chłopczyk nawzajem — trzeba mu oddać tę sprawiedliwość — kochał całą duszą i był wdzięcznym za tyle dobroci poczciwemu słudze. Gdy go ujrzał nagle, wszelka „fanaberja“ zagraniczna gdzieś się podziała, lody naraz pękły, rzucił się ku niemu z całą serdecznością i niekłamaną uciechą.

— A mój najlepszy, kochany Mikołaju! toć żyjecie jeszcze! a jak tęgo się trzymacie! jakże ja się cieszę, że was widzę!

Mikołaj zdekoncertowany tem świetnem zjawiskiem, wyperfumowanem i wyfryzowanem, nie wiedział, jak się tu wziąć do swego dawnego ulubieńca; chciał go więc tylko pokornie za kolana uścisnąć, pan Karol jednak do tego nie dopuścił, tylko po dawnemu objął go za szyję i czule go ucałował.

Poczciwy stary w głos się rozpłakał, a sędziwa pani domu też łzy obcierając, rzekła do swego młodego gościa:

— Chodźno tu Karolku, teraz to i ja cię po dawnemu w głowę pocałuję, bo choć tam do niej dużo „fiu! fiu!“ zagranicznego naleciało całkiem niepotrzebnie, grunt atoli dobry pozostał, serca ci przynajmniej nie odmienili, czuje ono poczciwie po polsku, jak serca twoich zacnych rodziców.

Młodzieniec zawstydzony lecz i mocno wzruszony, przykląkł całując rękę zacnej matrony; odtąd wszystko i wszystkich poznawał, niczemu się w kraju własnym nie dziwiąc i o nic więcej nie pytając.

Stanowisko kobiet jest też zupełnie odmienne w Anglji a szczególniej w Ameryce, niźli na kontynencie, szczególniej we Francji i w Polsce.

Panny używają tam nadzwyczaj wiele wolności. Same wszędzie prawie bywają, wizyty mężczyzn same przyjmują, one najprzód słowo dają, a dopiero potem rodziców o zdanie pytają; gdy raz mają narzeczonego, jeżdżą z nim nieraz o mil kilkadziesiąt, wychodzą z nim na miasto bez najmniejszego wahania, jakby kolega z kolegą. Po ślubie przeciwnie, o wiele mniej bywają, rzadko dom opuszczają i stają się po większej części gospodyniami i matkami wzorowemi.

Narzeczeństwo, tak jak i w Niemczech, trwa tam czasem latami! Narzeczony odjeżdża często na rok cały szukać sobie stanowiska, a narzeczona próbuje tym sposobem jego stałości i wierności.

To wszystko jednak dowodzi, że tam ludzie mają krew zimną i wyłącznie kierują się rozumem. Panna, która tak naprzód obrachowuje i gotowa rok cały nie widzieć narzeczonego, żeby się przekonać, czy umie być stałym, nie jest właściwie kobietą. Caly urok kobiety stanowi właśnie jej słabość w miłości, jej ufność bez granic, gdy kocha prawdziwie; może to nie praktycznie, jednak ta słabość czaruje i pociąga mężczyzn zacnych i szlachetnych.

Taka panna emancypowana będzie dobrym „towarzyszem“ mężowi. Kierując się w życiu wyłącznie rozumem i ambicją, będzie uczciwą żoną, uczciwym wspólnikiem w interesach i zadowolni może równie zimnego

jak ona kupca i spekulanta. Mężczyzna z sercem, z poglądem cokolwiek idealniejszym na świat i jego stosunki, nie mógł by nigdy uczuć się szczęśliwym z taką kobietą. Jemu potrzeba czułej, kochającej towarzyszki, aby mu osładzała i opromieniała ciernistą i ciężką drogę życia, a nie jakiegoś mędrca w spodnicy, który gotów odesłać go na drugi koniec świata, bo tak jest rozumniej i praktyczniej.

Oto znowu miód i trucizna.

Amerykanki i Angielki dają nam piękny przykład, jak daleko może sięgnąć umysł kobiety, gdy raz wejdzie na inne tory, niż zajmowanie się błahostkami, modami i zabawami! Dowiodły one składaniem licznych doktoratów, że kobteta w dziedzinie wiedzy nie ustępuje mężczyznom, że jest zdolną do nabycia wszelkich nauk i wszelkich wiadomości.

W tem je naśladujmy, lecz niech rozum serca w nas nie zabija; nie gaśmy w sobie boskiej iskry poezji, nie zatracajmy wiary dziecięcej, która jedna kobiecie przystoi; zostańmy mimo całej wiedzy trwożnemi gołębicami, które z rozkoszą i pokorą, tak właściwą kobiecie, gotowe zawsze utulić się pod skrzydłem orła przez nie ukochanego. Nasza słabość, to właśnie nasza siła największa, którą nieraz najdziksze serca mężkie łagodzimy i przywiązujemy trwale.

Tej więc trucizny moralnej, jaką jest dążenie do niedorzecznej emancypacji, unikajmy ile możności.

Ponieważ była wzmianka o zwyczaju angielskim nakrywania głowy, musimy wspomnieć, jakie u nas są w tym względzie zwyczaje.

W restauracji nikt nigdy głowy nie nakrywa. Naśladując w tem Anglików, możnaby przyjść do przykrej awantury.

Jeżeli kto wskutek ran w głowie lub z innych przyczyn musi mieć głowę zawsze nakrytą, powinien nosić pod kapeluszem czapeczkę aksamitną, lub powiedzieć przynajmniej słów kilka do swego otoczenia najbliższego, tłumaczących znalezienie się niezwykłe. Znaliśmy niegdyś hr. S., który dla anewryzmu w głowie, nawet w kościele czapeczki czarnej nie zdejmował. Był to zresztą człowiek najmilszy i najgrzeczniejszy. Każdemu nieznajomemu opowiadał, co go zmusza do nakrywania głowy, to też nikt mu tego nie poczytywał za uchybienie przeciw formom towarzyskim.

W kawiarniach panowie zostają w kapeluszach, bo tam nigdy kobiety przyzwoite nie bywają. W teatrze pomiędzy aktami siedząc w krzesłach, panowie głowy nakrywają; w loży, choćby z kobietami sobie najbliższemi siedział mężczyzna prawdziwie dobrze wychowany i delikatny, nie nakryje głowy. Loża, to już jakby osobny pokoik, więc byłoby niegrzecznie i lekceważąco siedzieć obok kobiety z nakrytą głową.

Podczas redut (bale publiczne maskowane) panowie chodzą po sali w kapeluszach na głowie.

Tak blisko będąc kapeluszów mężkich, pozwolimy sobie nadmienić, jak się niemi kłaniać należy.

Wojskowi tylko mają ten przywilej, że kłaniają się dotykając czapki, nie zdejmując tejże; panom cywilnym to wcale nie uchodzi, i nie wolno kłaniać się nie zdejmując kapelusza, a przynajmniej względem kobiet. Dumas (ojciec) zwykł był mawiać:

— Kłaniam się zawsze kobiecie z takiem uszanowaniem, jakbym pozdrawiał królowę, pamiętając, że i ja miałem kobietę matkę. Jeżeli kobieta warta szacunku, dla niej to czynię, jeżeli ona na niego nie zasługuje, czynię to dla samego siebie, żeby nie upaść nisko w mojej własnej opinji.

Ustęp ten przypomniał mi młodzieńca pełnego nadziei, co do rozrostu wszerz — był już mimo lat młodych niepospolicie otyłym — który przyjechawszy z gór do Lwowa, uznał za stosowne zadawać szyku takiem kłanianiem się impertynenckiem. Nawet kobiety pozdrawiając, zaledwie raczył dotknąć się zlekka brzegu kapelusza, o tyle wysokiego, o ile figurka jego okrągła niską była. Mimowoli prawie spotykając tego panicza, miałam zawsze w myśli sławne powiedzenie hr. B., (który był, jak mówią Wielkopolanie, „trochę narwany“). Gdy go przedstawiano bratu cesarskiemu, na pytanie stereotypowe: „z jakich okolic Galicji hrabia przybywasz?“ odpowiedział temi słowy:

— Wasza Cesarzewiczowska Mość daruje, ale ja jestem z gór; tam na dole wywodzą się same żaby, a na górze same niedźwiedzie, i ja do tych ostatnich należę.

Tu jeden raz tylko mieliśmy sposobność zastosować tę śmieszną anegdotę, co do panów z gór przybywających. Zresztą ileśmy ich znali, szczególniej z Sanockiego, byli to ludzie najlepiej wychowani; tacy grzeczni, serdeczni i prawie bez wyjątku nadzwyczaj piękni, wysmukli jak sosny w ich borach rosnące. A jak tańczyli jak nie można lepiej.

O redutach dotąd nie mówiliśmy nigdzie. U nas straciły one zupełnie urok dawniejszy, kiedy cały piękny świat maskował się i uczęszczał na nie.

We Francji panny nigdy na redutach nie bywają — mężatki uczciwe idą tylko w towarzystwie mężów swoich.

Nie ma znowu nic w tem zdrożnego, pójść w masce na redutę, gdy jest się mężatką i gdy mąż nam chce towarzyszyć; panienkom atoli radzimy z serca, żeby nigdy nie dały się namówić do wzięcia maski; mogłyby za wiele usłyszeć, a takie słowa niebaczne mogłyby zniszczyć dziewiczość ich myśli, niewinność ich młodego serduszka, przymioty, które są im tak właściwe i tak cudownie zdobią młode panienki.

Mężatki mniej ryzykują, mogą więc pozwolić sobie tej przyjemności, byle pamiętały i pod maską, że w inne

zachować się z godnością kobiety uczciwej i przyzwoitej. Można być najdowcipniejszą, intrygować na prawo i lewo, a przecież zachować miarę, nie kalając ust cynizmem i efronterją, która tylko kobietom moralnie upadłym przystoi.

Najprzód nie można nigdy być pewną, że potrafimy tak odmienić każdy ruch, każde zagięcie głosu, by nas nikt nie poznał. Jest to prawie niemożliwem. A gdyby nawet tak było, czyż nie powinno nas wstrzymać uczucie wstydu przed samą sobą i przed własnem sumieniem?

Doskonałą nauczkę w tym względzie dali dwaj młodzi panowie damie z „towarzystwa“, do którego miała zupełną kwalifikacją, będąc latoroślą o koronie dziewięcioperłowej, zaszczepionej na pniu również hrabiowskim po mężu.

Nie przeszkodziło to jej przecież być jedną z tych istot, które z taktem wzięły rozbrat raz na zawsze, a nawet z przyzwoitością w czynach i wysłowieniu rzadko im się spotkać zdarzało.

Los figlarz zabawił się z tą panią w „ślepą babkę“. Daleko więcej do twarzy byłoby jej ze straganem, niźli w salonie.

W dni kilka po reducie, zaprosiwszy się do domu dobrych znajomych na cały wieczór, opowiadała właśnie gospodyni, śmiejąc się na całe gardło, w jakich była z siostrą dominach z tureckich szalów, jakie miały turbany na głowie z złocistej gazy, przez sygnety z brylantami przewlekanej i t. p.

— Powiadam pani — krzyczała dalej swoim zwyczajem — furorę robiłyśmy! wszyscy latali za nami, a cośmy też panom głupstw nagadały...

Kamerdyner wszedł w tej chwili anonsując dwóch panów.

Młodzi ludzie, przywitani serdecznie przez panią i pana domu, który z nimi równocześnie do domu powrócił i o niczem nie wiedział, zaczęli również mówić o reducie ostatniej. Wprzód jednak obrzucili wzrokiem ironicznym młodą kobietę, spojrzeli znacząco jeden na drugiego, i pierwszy odezwał się w te słowa:

— Ciekawe były dwie maski w szalach tureckich. Ubranie kazałoby się było domyślać kobiet salonowych, a gębusie miały wyparzone! Istne przekupki.

— Zapewne garderóbki — wtrącił pan domu — które paniom powykradały szale i inne przybory, spodziewając się olśnić jakiego nowicjusza i zjeść dobrą kolacyjkę.

— Doprawdy — przemówił drugi — nawet na garderobę za wiele sobie pozwalały, alež i my im nie żałowali. Było się tak... trochę w dobrym humorze, pletliśmy też, co ślina na język przyniosła. Kobiety salonowe byłyby pomdlały od jednego naszego dowcipu, te zaś masie poczciwe zniosły wszystko stoicznie i walecznie.

— Najlepiej tem dowiodły — przerwał znowu pierwszy — do jak niskiej klasy społecznej należą — a wziąwszy gospodarza pod ramię i odprowadziwszy go na bok, kładł mu coś jeszcze na ucho, z czego tamten śmiał się serdecznie.

Jak miłem było położenie owej pani, można sobie łatwo wyobrazić!

Jedną z plag towarzyskich są ludzie ziewający. Starajmy się wykorzenić tę wadę, która często w nałóg prawie przechodzi, od lat najmłodszych w naszych dzieciach. Najlepszy na to sposób kazać dziecku iść spać w tej chwili, skoro tylko ziewać zaczyna; dziecku nie zawsze to jest miłem, nie raz radeby zostać dłużej i tym sposobem odzwyczaja się od tego okropnego zwyczaju. Czasem istotnie ziewanie pochodzi z usposobienia nerwowego; na to trzeba się już leczyć, jak na każdą inną słabość; ale najczęściej wypływa ono z braku myśli; poprostu ziewamy, bośmy znudzeni. Istota inteligentna, obdarzona umysłem wyższym, nigdy nudzić się nie powinna, a przynajmniej nie dać poznać po sobie, że jest znudzona.

Kto zawsze i wszędzie ziewa, ten pewno wkrótce w każdem towarzystwie będzie sam ogłoszony nudziarzem skończonym, i będą go zdaleka unikać.

Gdyby tylko każdy, będąc w towarzystwie, chciał wychodzić z tej pojedyńczej a tak świętej zasady: „nie rób drugiemu, co tobie nie miłem“, iluż by usterek uniknęli, jakby zachowywali się zawsze grzecznie i przyzwoicie.

Nikomu n. p. nie jest miłem, gdy mu kto zabiera nocując u niego szczotki, szczoteczki, grzebienie i tem podobne rzeczy, służące wyłącznie do jego codziennego użytku; jest więc nawzajem najwyższą niedelikatnością żądać, żeby nam kto pożyczał podobnych rzeczy. Są osoby, którym można tem największą przykrość zrobić; nie śmią odmówić, a już potem prawie ze wstrętem dotykają się rzeczy, używanych przez kogo innego.

Każdy zwyczaj ma swoje jasne i ciemne strony, szczególniej gdy go z przesadą używamy, ciemne strony przeważają.

Za granicą, gdzie po obiedzie deser jest nieodzowny, a składa się zwykle z serów o zapachu ostrym i nie bardzo miłym, z owoców kandyzowanych zwykle trochę lipkich, przyjemnie jest zwilżyć usta wodą pachnącą i koniec palców u rąk opłukać, nim założy się rękawiczki, które zawsze do jedzenia zdjąć należy.

Nie wolno jednak zabierać się do tej operacji z takim zamachem, jakby się stało rano nad własną miednicą. Są ludzie, którzy o mało że nie noszą w kieszeni szczoteczek i proszku do zębów. Odbywają to nieraz tak wstrętnie, że osoby nerwowe mogą od tego widoku wpaść w mdłości nieledwie. Można wziąć w usta trochę wody, poruszyć ustami cicho zupełnie i umaczawszy z lekka końce palców podnieść do ust wysokości miseczkę, wylewając na nią wodę znowu bez żadnego hałasu.

Rodzice niech nigdy nie mówią: „to małe dziecko, jeszcze za wcześnie“; nigdy nie można dość wcześnie zacząć prowadzenia dziecka co do form towarzyskich. Nie mówię o nauce książkowej, tę trzeba stosować do sił fizycznych dziecka; ale nie można nigdy dość wcześnie zacząć naginać i przyzwyczajać dziecka do wyrażania się pięknego i czystego, do ruchów estetycznych i eleganckich, do zamiłowania wogóle piękna i dobra, a do brzydzenia się wszystkiem, co brudne, złe i występne.

Nie róbmy z dzieci sztywnych marjonetek, lecz także przestrzegajmy, żeby nie rosły dziko jak płonki w lesie i kierowały się na gburów i prostaków, na ludzi w nic nie wierzących i nic nie szanujących.

Do pięciu, sześciu lat nabyte złe przyzwyczajenia, przez życie całe nie dają się wykorzenić.

Młoda latarośl gnie się z łatwością, drzewo wyrosłe można złamać, a ugiąć już niepodobna.

Dzieciom, dobrze prowadzonym od kolebki, wejdzie w krew nieledwie piękne ułożenie. Będą bezwiednie dobrze wychowane, grzeczne i eleganckie, b» stanie to się cząstką ich życia. Jak rano się każdy budzi, by znowu wieczór spać się położyć, tak samo człowiek dobrze wychowany je i pije, chodzi i ukłon oddaje, rozmawia i śmieje się, zawsze dobrze, zawsze w miarę, bez przesady, naturalnie, bo nie pojmuje nawet, jabby to inaczej być mogło.

Są ludzie wybrani, których jasne czoła opromienia wcześnie blask genjuszu, którym Bóg w łasce czy niełasce swojej daje oprócz ducha nieśmiertelnego jeszcze coś więcej, iskrę samemu niebu wykradzioną. Tacy ludzie zwykle wylatują wysoko! wysoko! po nad gniazdo swoje, by już tam nigdy nie wrócić. „Skrzydłem orlim lub sokolim“ biją aż pod stropy niebieskie, wszystko magnetycznie prawie odczuwając, choć ich nikt nie prowadzi. A przecież czasem i taki genjusz zbłądzi, zabłyśnie tylko jak meteor promienisty i oderwie się od bram niebieskich, by upaść całym ciężarem ciała w kał zepsucia ziemskiego, by utopić iskrę Boską mądrości mu udzielonej w kieliszku wódki! Strasznie to pomyśleć, a jednak i to już bywało.

Gdyby miał był zasady z domu wyniesione, gdyby był powziął wstręt jeszcze w latach dziecięcych do wszystkiego, co podłe, nikczemne i brudne, nie zostałby aniołem upadłym, byłby świecił jak pochodnia bliźnim swoim, ucząc ich postępywać drogą prawdy i cnoty, bo rozum prawdziwy tylko taką drogę wskazać może.

Cóż dopiero mówić o zwykłych śmiertelnikach?

Trzeba więc tak dzieci prowadzić, żeby nam nigdzie i przed nikim wstydu nie zrobiły, żeby mogły i przy gościach nas nie opuszczać, żeby jak najwięcej mogły być w towarzystwie osób dobrze wychowanych, bo dziecko to zwierciadło moralne, w którem odbija się wiernie to, co słyszy, na co patrzy, czego doświadcza od swego najbliższego otoczenia.

Niechże więc rodzice i opiekunowie raz na zawsze wezmą sobie za zasadę, że nigdy nie jest zawcześnie prowadzić dziecko do dobrego, a często ani się spodziewamy, kiedy już jest zapoźno odzwyczajać dziecko od złego.

XIII.

O prawdziwej elegancji w toalecie.

Francuskie przysłowie mówi: „Habit nie robi jeszcze zakonnika“ — to samo da się do kobiet zastosować. Najmodniejsza i najdroższa suknia nie nada zgrabności i uroku, a sukienka najskromniejsza perkalikowa wyda się prześlicznie, jeżeli ją ubierze kobieta z gracją, z piękną figurką, która jednem słowem suknię ozdabia, nie suknia ją piękną robi.

Pierwszą podstawą prawdziwej elegancji jest czystość jak największa. Nie pomogą najdroższe koronki i choćby złotogłowia królewskie, gdyby pod niemi nie było wszystko odpowiednie.

Obuwie i rękawiczki grają też wielką rolę w toalecie damskiej. Suknia może być skromniejsza, byle pod nią był zgrabny bucik, czysta pończoszka i spodniczka białości nieposzlakowanej, lub czarna, ale ta może tylko służyć do sukień ciemnych i ciężkich.

Tylko bardzo bogate kobiety mogą sobie pozwolić noszenia sukień jedwabnych na codzień. Jedwab bardzo źle się nosi. Na użytek dzienny kupujmy materje wełniane na zimę, perkaliki na lato tanie, a za to nie będziemy zmuszone nosić sukień wyszarzanych, zbrukanych i podartych. Można sobie częściej pozwolić odmiany, gdy szczególniej sama sobie kobieta umie suknię uszyć. Wtedy zyskuje zawsze drugą suknię, jeżeli nie płaci za robotę tejże.

Każda kobieta radaby jak najdłużej zostać świeżą i młodą, a ogół prawie kobiet dzisiaj używaniem rozmaitych kosmetyków płeć sobie psuje najokropniej i sprowadza samochcąc starość przedwczesną. Ruch na świeżem powietrzu i obmywanie zimną, miękką wodą, o ile można, całego ciała, a przynajmniej mycie twarzy i ramion aż do pasa, jest bez zaprzeczenia najlepszym środkiem hygienicznym, aby zachować piękną cerę.

W życiu naszem spotkaliśmy i znali osobiście nie jednę artyskę dramatyczną, która, jeżeli tylko miała lepsze wychowanie i wrodzoną dystynkcją, po za sceną odrzucała ze wstrętem wszelkie róże i blansze, szczęśliwą się czując, gdy mogła pozbyć się tej larwy nienaturalnej. Cóż dopiero powiedzieć o kobietach salonowych? o ileż one nam się jeszcze wstrętniejszemi wydają wymalowane i wytynkowane, gdy ich nic do tego nie zmusza, a wszystko od tego odwodzićby powinno.

Co mię zawsze niesłychanie śmieszyło i bawiło, to kolosalna naiwność pań tego rodzaju, które malują się

w najlepszej wierze, że nikt tego nie widzi. Musiałby chyba na oczach mieć podwójną kataraktę, żeby nie odróżnił każdy na odległość dziesięciu kroków takiej maseczki od kobiety o cerze naturalnej. Przyłóżmy do takiej twarzy najbielsze niemowlątko o tej liliowo mlecznej cerze, jakiej już nikt w poźniejszym wieku mieć nie może, a jeszcze wyda się żółte przy tynku z blejwajsu.

Używanie blanszu i różu pociąga za sobą skutki nieobliczone, a zawsze najzgubniejsze. Skóra żółknieje, chropowacieje, i przedwczesne zmarszczki się robią. Pory rozszerzają się nad miarę, a w nich formują się czarne, szkaradne węgry. Z każdym rokiem trzeba grubszą warstwę nakładać, by pokryć coraz gorsze twarzy zniszczenie.

To są fizyczne niedogodności; zważmy teraz stronę moralną. Czyliż panienka przyzwoita, kobieta uczciwa powinna zdaleka świecić twarzą wymalowaną? Godziż się w tem naśladować te istoty, które są negacją wszystkiego, co zacne i szlachetne, których całe życie jest kłamstwem, bo mając wszystko na sprzedaż, w niczem szczeremi być nie mogą. Takie kobiety potrzebują blanszu i różu, bo ich twarz, nosząca na sobie piętno hańby i rozpusty, byłaby jeszcze straszniejszą bez tej larwy obłudnej. To ich szyld zresztą, którym zwabią jeszcze czasem jakiego młodzika niedoświadczonego.

Życie całe kobiety, która chce zasłużyć na szacunek ogólny, musi być prawdą uosobistnioną. Niechże i jej twarz tą prawdą jaśnieje, a nie przybiera ohydnej maski fałszu i obłudy.

Każda moda może być karykaturą, a może też być uszlachetnioną przez wrodzony smak i poczucie piękna prawdziwego. Trzeba umieć zastosować modę do wieku, kształtów i rysów twarzy. Dobór i harmonja kolorów wielką grają rolę w toalecie dystyngowanej. Pstrokacizna wszelka razi oko i trąci zawsze pewnem prostactwem. Zważmy tylko, że wszystkie w pół dzikie kobiety przepadają za barwami jaskrawemi, a w krajach, które najprzód wyrobiły w sobie zrozumienie prawdziwego piękna, kobiety z wyższej sfery towarzyskiej nosiły najwięcej strój czarny, podniesiony bądź kwiatem, bądź klejnotami.

Osoby mniej zamożne, które nie mogą często toalety zmieniać, niech trzymają się przeważnie mody nie zbyt uderzającej, wybierając zawsze materje ciemne i gładkie, bo te można nosić latami, a nie sprzykrzą się oczom i będą wyglądać modnie i elegancko.

W różnych rozdziałach mieliśmy sposobność wspomnieć o zastosowywaniu ubrania do stosunków towarzyskich; tu dodamy jeszcze uwagę, że staranność stroju dowodzi także szacunku dla domu obcego, w którym się znajdujemy. Z równymi można być mniej etykietalnie, z niższymi trzeba być o wiele uważniejszym, żeby ich nie dotknąć i nie obrazić.

W codziennem ubraniu nie idzie się na chrzciny, na wesele, choćby to było u wieśniaka. Osoba, najmniej pretensji mająca, ubierze się starannie w takim razie, jeżeli chce uczynić zadość formom towarzyskim.

Matka, szanująca prawdziwie swoją godność, nie ubierze się nigdy porówno z córkami dorosłemi. Zdradza to śmieszną pretensją do młodości, wielce niestosowną dla kobiety, która ma już dzieci dorosłe.

Delikatność, wrodzona u osoby dobrze wychowanej, nie pozwoli jej podpatrywać i szpiegować toalety innych kobiet w celu naśladowania tychże. Jest to zawsze postępowanie nieszlachetne, tak samo jak odmiawianie sług znajomym naszym. Nie wolno także domagać się o pożyczanie modelów, sprowadzonych z wielkim kosztem z za granicy nie na to przecież, żeby zaraz świat cały z nich korzystał. Trzeba bardzo dobrze znać osobę, i być silnie przekonaną, że uczyni to chętnie, żeby odważyć się z taką prośbą.

Zdarza się i to nie raz, że ktoś pożyczy, popruje, pogniecie, zniszczy model najpiękniejszy i tak dopiero oddaje. Takie postępowanie jest poprostu nikczemne.

Do rannych wizyt nie bierze się nigdy jasnych rękawiczek, tak samo jak ciemne nie byłyby na wieczór stosowne.

Rano nigdy, nawet w lecie, nie jest stosowną suknia wycięta. Śmieszną byłaby także toaleta balowa, kwiatami podpinana, na mały wieczorek, gdyby nawet i tańczono.

Używanie klejnotów, choćby ich miało się jak najwięcej, musi też stosować się do miejsca, okoliczności i rodzaju ubrania.

Bardzo młode panienki nie potrzebują złota i klejnotów, bo posiadają jeszcze skarb najdroższy, czar najpotężniejszy, mają młodość, tę wiosnę życia, jak mówi włoski poeta. Niechże nie niszczą samochcąc tego uroku, który jakby woń fiołka w maju otacza ich postacie. Skromna biała sukienka, kwiatek we włosy wetknięty od niechcenia, oto strój dla nich stosowny. Perły i brylanty zostawcie pięknościom odkwitającym i wierzcie moje panieneczki, że niejedna oddałaby owe perły i kosztowności, byle raz jeszcze wrócić się do waszych lat szesnastu, ośmnastu, i odszukać na licach krasę młodości.

Dwie siostry prawie w równym wieku mogą ubierać się jednakowo, robi to nawet nader miłe wrażenie i nie dozwala zagnieżdżać się w sercu młodocianem uczuciom żalu i zawiści, które jeżeli u każdego są wstrętne, o ileż stają się potworniejszemi w najbliższej rodzinie.

Ubieranie jednakowo kilku córek wygląda już niesmacznie, jakby się miało pensjonarki nie córki.

W podróży najlepsze są suknie szare, na których prochu nie znać, i z materji, któraby się nie mięła. Przy dłuższej podróży trzeba szczególniej na to uważać. Nic

brzydszego, jak rano wysiadać z wagonu w takiej sukni pomiętej, pozaginanej na wszystkie strony.

Strój cały w jednym kolorze jest najbardziej dystyngowanym do podróży.

Jeszcze raz wracamy się do kwestji noszenia klejnotów.

Wszelkie tak nazwane „fantazje“ ze szyldkretu, bronzu, perłowej macicy, są stosowne tylko dla młodych osób.

Do sukni wyciętej nie bierze się nigdy zegarka z łańcuszkiem. Garnitur złoty musi być dobrany. Kobieta przecież nie jest wystawą jubilerską, żeby obwieszać się jak obrazy cudowne wszystkiem naraz, brać np. perły i medaljon, łańcuch i korale, kilka broszek z różnemi kamieniami i t. p. Jest to prawdziwie gust indyjski, ale nie europejski.

Djademy z kamieni drogich noszą tylko mężatki, również pióra na głowie na balach. Panny tylko kwiaty noszą świeże lub sztuczne.

Kolory: biały, różowy jasny i niebieski, zwykle panny noszą; żółty, lilla i pąsowy więcej już dla mężatek stosowny.

Perły, brylanty, szafiry, rubiny, ciężkie bransolety, grube kolje i łańcuchy, przystoją także tylko mężatkom; korale, ametysty, granaty, turkusy z perełkami w srebro oprawne są dla panien stosowne.

Trzeba uważać, żeby złoty garnitur, jeżeli jest z kamieniami, był dobrany do koloru sukni. Korale biorą się tylko do toalety białej, czarnej i popielatej, szmaragdów nie weźmie się do sukni niebieskiej, turkusów do zielonej i t. p.

Rano nigdy nie biorą się brylanty, chyba na ślub bardzo paradny.

Noszenie wielkiej ilości pierścionków jest też parafiańskiem, na rękawiczkę nigdy ich się brać niepowinno, choćby były najpiękniejsze i najkosztowniejsze.

Dawniej, gdy jeszcze wierzono w różne gusła, kabały, amulety i tym podobne przesądy, przypisywano pewien kamień do pewnych miesięcy, w których kto się urodził, i posiadanie tego kamienia miało szczęście przynosić.

Granat oznaczał stałość i należał do stycznia.

Ametyst, godło szczerości, luty

Rubin, przepowiednia odwagi i szlachetności, marzec.

Szafir i brylant dzielą się kwietniem, jeden oznacza skruchę, drugi niewinność.

Szmaragd, godło nadziei i miłości szczęśliwej, maj — (zwykle dla tego panny dają ten kamień w pierścionku narzeczonemu.)

Agat ma przepowiadać dziecku, które w czerwcu na świat przychodzi, długie życie i zdrowie dobre.

Kornalina — lipiec — symbol charakteru łagodnego i wewnętrznego zadowolenia.

Onyks — sierpień — przepowiednia szczęścia w małżeńskim stanie.

Chrysolit — wrzesień — daje dobry humor i broni od pomięszania zmysłów.

Miesiąc październik byłby bardzo nieszczęśliwy, gdyż jest pod wpływem Lapisu — symbol złej doli — gdyby opal, który również na ten miesiąc przypada, nie był przeciwnie zwiastunem pomyślności wszelkich.

Topaz — w listopadzie — przepowiednia. urody i sztuki podobania się wogóle.

Nakoniec turkus, symbol przyjaźni stałej, i malakit przepowiadają szczęście we wszelkich przedsiębiorstwach zamysłach i interesach, robiąc tém samém miesiąc grudzień najpomyślniejszym z roku całego.

Spis ten może nie jednemu posłużyć do wyboru podarunku dla krewnej lub przyjaciółki w dzień jej imienin i w dzień ślubu, z życzeniami stosownemi, oddając jej kamień jej miesiąca, a razem jej szczęścia.

Kwiaty są bez zaprzeczenia najpiękniejszą ozdobą każdej toalety balowej, lecz i tu trzeba się strzec przesady.

W bukiecie, lub pojedyńczo rzucony kwiat tu i owdzie, z uczuciem artystyczném, wygląda cudnie! dany niesmacznie, w całej masie, czy na sukni, czy na głowie, nawet kwiat potrafi być ciężkim, a jeżeli do tego jest koloru jaskrawego, przypomina mimowoli strój prostych dziewek.

Kto może i ma na to, niech ubiera świeże kwiaty. Dla młodych panienek nie masz nic piękniejszego! Powinne same umieć pielęgnować kwiaty, które tak zdobią ich młode główki, a wtedy będzie to nawet oszczędnością, nie zbytkiem. W lecie można nabyć cały krzak kamelji za to, co potem jeden kwiat kosztuje. Chodząc koło niej starannie, można w zapusty i siebie przystroić i komuś jeszcze niespodziankę najmilszą sprawić, ofiarując na bal kamelją.

Jeszcze o jedném nadużyciu wspomnieć musimy, o powłokach u sukień wlokących się za paniami wzdłuż ulic i spacerów.

Obiecują nam wprawdzie, że wszechwładna pani moda wytnie wkrótce koziołka, jak to jest jej chwalebnym zwyczajem, i utnie naraz powłoki po kostki.

Oby tak było jak najprędzej!

Gdyby jednak ten przewrót w modzie nie miał tak rychło nastąpić, muszę znowu powtórzyć to samo zdanie, raz już wypowiedziane z okazji różu i blanszu. Zostawmy zamiatanie ulic sukniami takim kobietom, które są niestety! same śmieciem w społeczeństwie; im przystoi ciągnąć błoto uliczne za sobą, bo to ich element; zresztą zniszczą od razu jednę suknię, to wnet ktoś nowy kupi drugą. Kobieta uczciwa nie może i nie powinna znieść

błota na sobie, choćby tylko na zewnątrz. Ona winna szanować pracę ojca, jeżeli jest panną, męża, jeżeli za mąż wyszła, i nie poniewierać sukień robiąc z nich miotły do ulic oczyszczania.

Powłoki są piękne w salonie, dodają nawet pewnej powagi starszym paniom, ale z niemi trzeba wysiąść koniecznie z powozu, aby znowu usiąść na kanapie i przejść się po czystej, szklistej posadzce. Na ulicy są prawdziwą plagą i budzą wstręt najwyższy; użyte na codzień przy gospodarstwie, są nad wszelki wyraz komiczne.

Dotąd mówiliśmy wyłącznie o toaletach dla wieku młodego; z nieśmiałością pewną wspomniemy o tem, co przystoi wiekowi starszemu.

— Kobieta ma wiek, który jej drudzy dają — mówi francuzki autor; podzielamy to zdanie w zupełności.

Dla jednych natura jest macochą; takie istoty wydziedziczone; nie mają wcale młodości, bo młodość, to wdzięk, to urok, jaki wkoło nas rozsiewamy. Dla drugich jest ona matką najczulszą, i takie piękności pokonywają czas i lata, zawsze świetne, zawsze czarujące.

Wszak i jesień stroi się jeszcze w kwiaty. Nie mają one wprawdzie cudnej woni fiołka, nadzwyczajnego blasku róży, ale przecież miłe robią wrażenie, i oko chętnie na nie patrzy.

To samo o starszych kobietach da się powiedzieć. Ubranie do wyglądania zastosować należy. Czystość i staranność około swojej osoby jest przecież dozwolona, a nawet jest przymiotem najwyższym w kobiecie choćby najstarszej. Byle używały do tego środków godziwych, byle fałszem i blichtrem ludzi nie oszukiwały i nie ubierały się znowu za nadto młodo, za nadto jasno, mogą być jeszcze bardzo miłe, a nawet urocze.

Umysł wykształcony, dobroć, łagodność i wybaczliwość w obcowaniu z ludźmi, brak tej dziwnej goryczy i jakby żalu do całego społeczeństwa, którą mają starzejąc się kobiety złe i namiętne, oto także przymioty, mogące do lat najpoźniejszych uczynić kobietę młodą myślą i uczuciem. Z taką kobietą nikt się nie znudzi, choćby najmłodszy, bo ona potrafi zastosować się do każdego wieku, wyrozumie wymogi młodzieży, mimo trosk wielu, nieodłącznych od życia dłuższego, potrafi być nawet wesołą, jeżeli serce jej było zawsze wolne od zgubnych namiętności. Tylko zgryzoty sumienia własnego wyradzają w kobiecie złość niepohamowaną i jad, którym radaby świat cały zatruć. Takim kobietom wszystko zawadzi, każdego obmówią, ich osoba paraliżuje każde towarzystwo, są prawdziwie chmurą gradową, której każdy się lęka, bo mimo ciszy chwilowej przewiduje w bliskości grzmoty i pioruny.

Taką kobietę z pewnością każdy z daleka omija, dla niej starość może być straszną; na przyjaźń i szacunek nie umiała sobie zasłużyć, miłości namiętnej wzbudzić już nie może, nie wie istotnie, co począć ze sobą, mści się więc na całej ludzkości za to opuszczenie i osamotnienie przymusowe.

Po latach pięćdziesięciu, kobieta nie bierze już kwiatów na głowę, tylko pióra i koronki, nie nosi sukien wyciętych, do figury ubiera się tylko na bale i wielkie uroczystości, nosi kolory: czarny, bronzowy, popielaty, fioletowy, a u czepeczków żółty i niebieski — różowy i pąsowy już właściwie nie uchodzą; zależy to jednak, jak już wyżej powiedzieliśmy, od wyglądania i całej postaci. Kapelusze i czepeczki noszą pod brodą związane. Tu musimy nadmienić, iż są osoby, które tego nie znoszą, zaraz im krew bije do głowy i ból w głowie czują. W takim razie można zarzucić poprostu czarną koronkową chusteczką na włosy, będzie to wyglądać elegancko i poważnie zarazem, a przy kapeluszach nosić szarfy z tiulu lub koronek, spięte nieco niżej kokardą taką jak kapelusz.

Krój sukni i jej ubranie muszą też być poważniejsze, mogą być jednak modne, a nawet wykwintne.

Co do układu włosów — o czem dotąd nie było mowy — jest to bardzo względne.

Kto ma włosy piękne, niech ile możności obywa się bez dodatków fałszywych.

Tylko bardzo młode panienki mogą pokazywać się na ulicy z warkoczami spuszczonemi i z główką całą w lokach. Jest to zawsze trochę za nadto uderzające. Jeżeli kiedy, to przy układaniu włosów trzeba mieć poczucie piękna prawdziwego i unikać przesady. Są osoby, które potrafią zrobić z głowy własnej taką karykaturę, że trzeba ze wstrętem oczy od niej odwrócić; są drugie, których głowa wygląda wiecznie rozburzona, à la O r l a n d o f u r i o s o! — znowu inne, które przesadzają w pojedyńczości i robią się śmiesznemi, czesząc się jak nikt na świecie.

Dopóki kobieta nie jest łysą zupełnie — co u kobiety jest o wiele wstrętniejszem niżeli u mężczyzny — niech raczej nosi włosy siwe, a nie zakłada peruki.

Włosy siwe tak pięknie nie raz wyglądają! otaczają skroń kobiety jakąś jasną aureolą, nakazującą cześć i poszanowanie. Dla czegoż je zastępować szkaradną, ciężką peruką.

Jeszcze raz powtarzamy: podstawą prawdziwej elegancji jest czystość największa, staranność w ubraniu, jednolitość, a przynajmniej artystyczny dobór kolorów, naturalność i nieprzesadzanie w niczem.

Kobieta dystyngowana będzie zawsze dobrze wyglądać, w aksamicie czy w perkaliku — prostaczka zostanie tem, czem ją natura, a raczej złe wychowanie zrobiło, choćby jej toaleta tysiące kosztowała.

(*Dok. nast.*)

UPOMNIENIE!

Nie potrącajcie nieudolną ręką
Tej struny, która niegdyś w mistrzów dłoni
Brzmiała ojczyzny miłością i męką,
Nie przedrzeźniajcie pieśni, którą oni
Na swoich skrzydłach wznieśli w toń błękitną,
By Polsce jasną świeciła jutrzenką,
Nie dotykajcie tych snów pełnych woni,
Co po nad światem nieśmiertelnie kwitną,
Bo wasza skarga bezsilna, żebracza,
Dawnej narodu wielkości uwłacza.

Niechaj spoczywa lepiej nieruchomie
Ten bohaterski hymn ojczystej lutni,
Niżby miał zmaleć wraz z ludźmi w pogromie
I zejść do krzyku próżnego lub kłótni.
Niech lepiej w przeszłej swej potędze drzemie,
Gdy mu nie pora błysnąć na wyłomie,
Niżbyśmy mieli dziś, nędzarze smutni,
Ściągać go z wyżyn na zdeptaną ziemię,
I święte naszej ojczyzny nazwisko
Wydać na wzgardę lub na pośmiewisko.

Prawdziwa miłość w głębi tajemniczej
Ukrywa przedmiot czci swej i kochania;
I wielka boleść ma swój wstyd dziewiczy,
Który ją całą milczeniem osłania:
Ona nie żebrze o litość dla siebie,
Ani na ludzkie pociechy nie liczy,
Lecz tylko w męztwo zbroi się wytrwania....
A gdy wybuchnie głosem — to po niebie
Pieśń jej przeleci dumna, nieskalana,
Jak krzyk rwącego łańcuchy Tytana.

Taki krzyk tylko, co wstrzęsa wśród nocy
Uspione ludów sumienia, przystoi
Naszej męczarni — nie zaś płacz sierocy,
Nie jęk żałośny, którym wróg się poi.
Więc wszelką skargę zamknijmy w swem łonie,
Gdy nam zabrakło tej natchnionej mocy,
Co stąpa hardo z lutnią, jakby w zbroi,
W królewskim wieńcu pieśni, jak w koronie;
Niech serce milcząc wzgardę przeciwstawia
Wszystkim sprzedajnym czcicielom bezprawia.

Czekajmy — walka jeszcze nie skończona....
Nie tryumfuje przemoc, choć zwycięża,
Bo zbrodnia karmi potomstwo u łona,
Co przeciw matce dobędzie oręża.
Próżno szalona pycha podkopuje
Boski porządek świata — pogwałcona
Moralność mści się, a ma żądło węża...
Kto na nią rękę podniosł — spioronuje,
Spychając całe ludy i królestwa
W otchłań upadku, nędzy i nicestwa!

El...y.

NINA.

SZKIC NEAPOLITAŃSKI

PRZEZ OLGĘ KOMOROWSKĄ.

(Dokończenie.)

IX.

We dwa dni bielizna cudzoziemca była gotowa, koszule misternie poskładane, a Nina, ubrana w blado różową sukńię miss Amy i paryzkie botynki miss Bessy, zarzuciła czarną tiulową zasłonę na bujne swe warkocze i chciała kosz brać na głowę; ale stara Magdalena patrząc na nią, jak po królewsku wyglądała w tym stroju, nie dozwoliła jej i sama na starej nieco trzęsącej się głowie poniosła go.

Siedzący przed progiem Michele uderzył w bok łokciem drzemiącego Ciccia i wskazał mu obie kobiety kierujące się w stronę miasta. „A co, nie mówiłem zawsze, że przeklęta jettatorka handluje ciałem ludzkiem. Widzicie ją, kumie, jak wystroiła na sprzedaż tę czerwoną lalkę! pfu! nie przymierzając jak Madonnę na procesji w Piedigrotta. Piękna Madonna! Żeby tak moja córka Assunta, to nie mówię, bo piękna jak łania, a to wysokie, jak suche drzewo, a rude, jak marchew.“

Przechodnie oglądali się za piękną praczką, cudzoziemcy, malarze z zachwyceniem przypatrywali, jakiś opięty oficer artykryi o mało nie rozbił rudego Niemca zagapionego na nią, z Bädekerem w półotwartym w ręku i ciemnobłękitnych okularach na szerokim kocim nosie,

i nadeptał na łapę maltańczyka starej Francuzki, mocno oburzonej na impertynencją Włochów, aby przejść tuż koło niej i szepnąć w same ucho: „Bel Angelo mio!“

Nina przechodziła obojętna na hołdy, z głową pełną swych marzeń... Giusto w progu nie poznał jej, a zaczerwienił się jak wiśnia, kiedy mu dzień dobry powiedziała.

Zapukali do 17. numeru „~~Aranti~~!“

Rozwarła drzwi, a jej elegancka arystokratyczna kibić zaświetniała w całym blasku różowo-srebrzystej sukienki.

— Pani — rzekł wstając spiesznie młody Anglik... sądząc, że jaka dama omyliła się, i kornie się kłaniał...

— Praczka! — rzekła Nina z mimowolnym uśmiechem.

Anglik spojrzał z niedowierzaniem, i po młodemu objął ją wzrokiem uwielbienia i zachwytu nieukrytego... dla praczki.

Nina wyjmowała z kosza koszule i składała na łóżku... Anglik sam nie wiedział, czy jej pomagać, czy prosić ją usiąść i samemu kosz wypróżnić... stał na środku i patrzał w osłupieniu.

— Czy pani doprawdy sama pierzesz bieliznę? — zapytał po francuzku, zapomniawszy swojej włoszczyzny w zdumieniu.

— Nie panie — odrzekła Nina w tym samym języku; wiemy bowiem, że w dzieciństwie Paryż zamieszkiwała, i dotąd używając go z cudzoziemcami nie zapomniała.

Anglik przetarł oczy jak ze snu... ta Djana prasownica mówiła jak Paryżanka; chciał zaraz zapisać do notatek pod rubryką „zwyczaje i obyczaje Neapolu“: „praczki piękne jak boginie, eleganckie jak Lady Carnarwon, i mówiące po paryzku...“ ale wolał jeszcze raz ją zapytać, aby wiedzieć lepiej, czy głos ma podobny do Patti.

— Pani więc jesteś?...

— Prasownicą tylko.

— I to za wiele — bąknął onieśmielony coraz bardziej.

Nina podała mu rachunek. Anglik wyjął pugilares, nie patrząc na rachunek, i podał funt szterlingów. Nina nie znała wartości, spojrzała nań pytająco.

— Nie mam drobniejszych — rzekł zarumieniony.

Nina oblała się ciemniejszym jeszcze od niego rumieńcem.

— Mój rachunek wynosi 3 franki i 65 ct., a w tym papierku ile ich jest?

— 25 fr.... to jest... nie znam się na włoskich pieniądzach.

Nina położyła papierek na stole.

— Podam rachunek do dyrekcji hotelu — rzekła ciszej z zaciśniętemi wargami, a łzy jej się tłoczyły do piersi — oni panu włożą do jego rachunku ogólnego — i zmierzała ku drzwiom.

Anglik zmiarkował, że się obraziła, pobiegł za nią do progu.

— Panno....

— Nina! — rzekło biedne dziewczę, zatrzymując się mimowolnie.

— Panno Nino! przepraszam, nie wiedziałem, że w boskim Neapolu boginie są praczkami; bądź pani jak owe nieziemskie istoty łaskawą i wspaniałomyślną, przebacz, proszę, głupiemu Edmundowi Hamilton... jutro ci odeszlę przez tutejszego służącego bieliznę do prania.

— Czy przyjdzie po nią również, jak gotowa będzie, czy mam.... zapytała cichym, drżącym od ukrytych łez upokorzenia głosem.

Anglik się zastanowił sekundę.

— Daj mi pani swój adres... sam przyjdę dowiedzieć się o nią.

Ninie zaćmiło się w oczach... dała adres mieszkania i zeszła ze wschodów jak pijana. Giusto dwa razy pytał ją o zdrowie, nim mu odpowiedziała, bo jej w uszach brzmiał inny głos wcale, a Magdalena rzekła pytając:

— Co on mówił po francusku?

— Że jutro bieliznę do prania przyszle.

Wieczór stała w oknie przy świetle księżyca, ręką przyciskając bijące serce. Edmund Hamilton w teatrze San Carlo opowiadał lady Clarendon-Stuart o cudnie pięknej praczce, dumnej jak Djana.

— My deav boy! — rzekła podstarzała dawna piękność londyńska. — Pamiętam, że twój wuj nieboszczyk, po którym odziedziczysz krzesło parowskie, jak do lat dojdziesz, kiedyś w Paryżu szalał przez rok blisko za jakąś tam neapolitańską spiewaczką: it is the czédetary madness.

X.

I przyszedł strojny, elegancki, z wonnym cygarem w ustach i Murrayem pod pachą, aby więcej na turystę wygladać, aż na trzecie piątro do biednej praczki. Zastał ją z żelazkiem w ręku i począł po francusku rozmawiać o pogodzie i deszczu, o pomarańczach i morzu, dziwiąc się najprzód, a później lubując po młodemu w jej spiewnym, giętkim głosie, jej królewskiej postaci i cudnej białości od słońca szanowanej twarzyczki.

A potem przychodził nie w dzień ale wieczorem; i stawali w okienku przy blasku księżyca lub gwiazd niebieskich, a on jej opowiadał o życiu w Anglii, polowaniach na zamkach, o świetnościach stolic i szmaragdowej zieleni trawników jego parku.

Nina słuchała w upojeniu... ona to wszystko widywała w snach... ale niebawem ośmielona opowiadała mu sny swe, zachcianki, czy też wspomnienia z innych światów.

Edmund znów słuchał tych mrzonek dziewiczych w zachwyceniu, i zapomniał San Carlo i lożę lady Clarendon, w której siadywała pewna jasnowłosa kuzynka Evelyn...

A pomarańcze woniały i wietrzyk lekki rozwiewał im włosy na gorących czołach... Magdalena drzemała nie rozumiejąc, co mówili, ale nigdy ich nie opuszczała.

A z dołu dolatywały ich... to jest ją jedynie, bo on nie rozumiał brudnego narzecza ludu, sprośne żarciki, ciskane zajadle na sierotę, co roztopionem ołowiem padały na jej biedną duszę.

I już lato nadchodziło i czas było wyjeżdżać.

— Nino! — mówił Edmund przy świetle gwiazd tylko — najdroższa, bądź moją! — i całował jej różowe usta.

Dziewczęciu oddech zamarł w piersi.

— Żoną? — zapytała trwożliwie, tuląc się w jego objęcia.

— Kochanką duszy... marzeniem młodości... jedyną panią... celem i ozdobą życia.

— Żoną? — powtórzyła błagalnie.

Edmund przycisnął ją do piersi jeszcze namiętniej.

— Nie... to być nie może...

— A prawda! — szepnęła jakby ze snu zbudzona — kochanką tylko...

Edmund zadrżał na tę cichą skargę proszącej się duszy; spojrzał na ową majestatyczną postać, godną djademu królowej; na owe czyste obliczę, na którem smętek poważny mięszał się z rozrzewnieniem wstydu dziewiczego.

— Żoną! jeśli Bóg pozwoli — rzekł uroczyście i złożył pocałunek pełen uszanowania na jej pochylone białe czoło.

Był najstarszym synem rodziny Hamilton-Cowley, przyszłym parem Anglii. Napisał do ojca, co nie był ani średniowiecznym tyranem, ani dramatycznym ojcem, tylko człowiekiem rozsądnie, chłodno, po ludzku rozumującym. Odpowiedział mu „nie...“ Dla miłostki chwilowej choćby najpoetyczniejszej psuć sobie całe życie... Świat by potępił podobny związek, tem bardziej, że Evelyn...

Edmund powlókł się do Niny, którą wciąż jak sam siebie nadziejami kołysał... Zrozumiała, poznała po jego bladości, że wyrok wszystkie owe nadzieje rajskie łamał jak cacka... Spojrzała nań wzrokiem, jakby obraz jego w duszę na wieki zabrać chciała.

— Nie pozwolił Bóg — wyszeptała — bądź zdrów na wieki!... kochanką tylko... a potem znów niewinną istotę skazać na niedolę i cierpieć, co moja matka cierpiała opuszczając mię i konając na łożu szpitalnem.... nie... nawet dla ciebie, jedynej miłości i pociechy mego samotnego sierocego żywota.

Edmund łkał jak dziecię; on ją pokochał sercem równie jak zmysłami, był uczciwym, młodym. Cierpiał w tej chwili za nią i za siebie.

— Bądź zdrów! — rzekła nie patrząc już nań blada jak posąg kamienny i jak on nieruchoma — tyś mężczyzna, pocieszysz się, zapomnisz.

— Lecz ty jedyna?

— Pamiętać będę do grobu, żeś mię kochał i szanować sierotę umiałeś.

Edmund opuścił Neapol i odmówił rękę Evelyn... Pojechał na Wschód, potem do Afryki, gdzieś aż do źródeł Nilu, a potem...

Wrócił, poprosił, otrzymał rękę Evelyn, zajął krzesło parowskie... ale kiedy Evelyn angielskim głosem spiewa piosnki neapolitańskie, Edmund ręką zakrywa oczy, a drobniuchna Nina wdrapuje mu się na kolana i pyta pieszczotliwie:

— Gniewasz się na twoję Ninę papo?

XI.

A tamta druga nad błękitną Neapolu zatoką?

Wybuchła cholera i w tej części biednego przedmieścia straszne zniszczenie rozpostarła. Stara Magdalena, gryząc się smutkiem wnuczki, której pocieszyć nie mogła, jedna z pierwszych uległa zarazie.

Nina rozpaczliwie płakała za jedyną istotą, co ją kochała, jedyną podporą jej samotności dozgonnej. Zachorowała sama i w pustej izbie, zkąd wyniesiono trupa staruszki, bez świadków ni pomocy, bo każden najlitościwszy nawet myślał wówczas o sobie samym, a co najwięcej o najbliższych istotach, konała...

Słońce południowy blask lało na jej łoże; wiatr przez otwarte okno przynosił jęki z ulicy, głosy dzwonów i woń morza słoną... Straszny ból fizyczny nią miotał, a bole i tęsknoty moralne resztki sił od dawna odebrały. Rodzina nie siedziała płacząc u węzgłowia konającej, ani ręka kochanka powiek śmiercią szklących nie zawarła.

— Edmundzie! — szepnęła w ostatnim drgnieniu konania — do grobu niosę pamięć twojej miłości i wspomnienie matki mej, łamiącej się z nędzą i bolem na szpitalnem łożu. Niechaj śmierć moja jej przebaczenie wybłaga, jej i wam wszystkim.

K o n i e c.

Ekspedycja w góry Kabylii.

Wtedy, gdym się wybierał z Konstantyny w dalszą podróż na południe, otrzymano wiadomość, że powstały plemiona kabylskie około Setyfu i że fort Napoleona jest osaczony przez nieprzyjaciół. Jenerał dowodzący natychmiast kazał utworzyć oddział ekspedycyjny z czterech bataljonów piechoty, dwu szwadronów kawalerji i czterech dział, a dowódcy tej kolumny kazał spieszyć na odsiecz, żeby ruch stłumić jak najprędzej.

Wojskowa żyłka odezwała się we mnie. Popatrzeć na walkę Francuzów z Arabami, przyjąć udział w niebezpiecznej wyprawie, zajrzeć do Kabylii w czasie powstania ludowego — były to rzeczy, które się uśmiechały do mnie niezmiernie poustnie. Poprosiłem więc i otrzymałem pozwolenie udania się z oddziałem razem w okolicę Setyfu. Zostałem zaliczony do sztabu.

Droga, po której spieszyliśmy, odznaczała się dzikością widoków. Długie pasmo wysokich gór, piętrzących się jedna nad drugą, sterczących skał rozmaitej wielkości i kształtów, przerzynał długi wąwóz. Na prawo i na lewo rospadliny od wierzchu aż do dołu rozdartych gór, otwierały czarne, okiem niezgłębione czeluście, pokryte małemi krzakami południowego dębu, cierni, laurów i innych drzew karłami. W małych dolinkach, spotykanych w drodze, pojawiała się gdzie niegdzie zielonowłosa palma, a na wzgórzach samotna sosna. Przez drzewa, krzaki, kamienie i skały, od najwyższych wierzchołków gór aż do najgłębszych dolin, tworząc żywe sklepienia w najdziwaczniejszych łukach pięły się bluszcze, powoje i dzikie róże. Łożyska potoków, najczęściej wyschłych, były pokryte piaskiem i oczekiwały wody od deszczów lub tających śniegów. Ten brak wody czynił okolicę jeszcze bardziej dziką i pustą, bo na kilkumilowej przestrzeni nie tylko nie było mieszkań ludzkich, ale nawet śladu pobytu człowieka nigdzie nie można było dopatrzeć.

Zmęczeni podróżą zatrzymaliśmy się u podnóża wysokiej, stromej i jakby ociosanej skały i tu, wysławszy naprzód placówki, postanowiliśmy spocząć i przygotować się do jutrzejszego prawdopodobnego boju.

Słońce już zaszło, a w powietrzu zapanowała cisza, przerywana od czasu do czasu żałobnem wyciem szakali lub płaczem hyeny, tak odrażającym, że przykrem uczuciem napełnia nie tylko ludzi ale i zwierzęta. Płacz ten tchnie grobem i zgnilizną śmierci. Niebo było pochmurne, a księżyca nie było, ażeby oświetlić ten dziki krajobraz; w dolinie zapanowała noc tem ciemniejsza, że osłonięta zewsząd ścianami skał. Ostrożność wojskowa wzbroniła nam rozniecić ognie biwaczne. Posiliwszy się tem, co każdy wziął z sobą, układliśmy się do snu przy koniach, nie zdejmując z siebie broni.

Zaledwo świtać zaczęło, wszyscyśmy byli na nogach, i zjadłszy śniadanie, puściliśmy się w dalszą podróż dnem parowu, którego boki były pokryte gęstym lasem. Mnóstwo wijących się i ścielących roślin tak poplątało drzewa między sobą, że przedrzeć się tamtędy nie można było inaczej, jak z nożem lub z siekierą w ręku.

Wtem w przedniej straży usłyszeliśmy dwa, a potem kilkadziesiąt strzałów. Dowódca oddziału podążył naprzód ze swoim sztabem dla dowiedzenia się, co było przyczyną tego alarmu. Na dnie parowu leżało dwu kabylów rannych śmiertelnie. Wyszli on z lasu na małą łączkę, leżącą po lewej stronie parowu, i obaczywszy wychodzących z głębi Francuzów, dali ognia do nich. Dwu Francuzów zwaliło się z koni, a dowódca awangardy zakomenderował: „feu“! kilkadziesiąt strzałów padło w kierunku napastników i obaj z nich stoczyli się z pochyłości, ciężko ranni.

Jeden z nich zdawał się mieć około lat dwudziestu pięciu, wzrost miał więcej niż średni, postawę zgrabną, kark muskularny, barki szerokie; ręce żylaste, które po łokcie widać było z za szerokich rękawów burnusa, świadczyły o niepospolitej sile. Twarz, którą w tej chwili oświetlały promienie wschodzącego słońca, była śniada i ładna; nos orli, arabski, wąs mały, czarny i mała bródka tworzyły całość rysów bardzo piękną. Z szeroko rozwartych i długiemi rzęsami ocienionych oczu patrzyło cierpienie i ciężki smutek. Ubrany był w długi wełniany biały burnus; głowę miał pokrytą małym fezem i białym turbanem owiniętą; szarego koloru kaftan i czarne szerokie, do kolan sięgające szarawary, szeroki rzemienny pas i trzewiki na gołych nogach uzupełniały strój; przy nim leżała jańczarka i krzywa szabla; za pasem zatknięty był pistolet, poniżej nóż krzywy wisiał. Ranny był dwiema kulami w piersi na wylot; krew ciekła z ran, oddech był ciężki i coraz słabszy.

Drugi mężczyzna mógł być o parę lat starszy, zdawał się być zarazem i silniejszym od pierwszego. Twarz jego nie była piękna, miała natomiast wyraz mężkości i energji, z ponurych jego oczu wyglądała dzikość, a twarz kurczyła się jakby od nienawiści. Strój jego i uzbrojenie nie różniły się niczem od stroju jego towarzysza. Kilka kul przeszyło mu żołądek. Na rozkaz jenerała tłumacz oddziału p. Ferrand zeskoczył z konia i zaczął dopytywać rannych, zkąd oni i co tu robili; lecz ranni ani słowa nie chcieli odpowiedzieć. Nie tracąc czasu napróżno, dowódca kazał zabrać broń Arabom, a rannych rzucić i ruszyć naprzód.

Krwawy ten epizod, który kosztował życia czterem ludziom, dawał do myślenia. Oddział nasz idąc ciągle dnem parowu, otoczonego gęstym lasem, mógł łatwo wpaść

w taką matnię, że ani jedna noga mogła z niej nie wyjść; ale jenerał, nie zważając na niebezpieczeństwa otaczające go zewsząd, według rozkazu spieszył do Setyfu, powtarzając: „audaces fortuna juvat.“

Po półgodzinnym marszu weszliśmy do szerokiej doliny, i tu zatrzymano oddział, ażeby się ściągnął nieco, a ludzie odetchnęli. Wtem zagrzmiały strzały ze wszystkich stron lasu, i kilkunastu ludzi upadło z jękiem. „Les tirailleurs en avant!“ zakomenderował dowódca. Strzelcy rzucili się do lasu, ale nie było podobieństwem przedrzeć się przez jego gęstwinę, a tymczasem ludzie padali jak snopy, podcięte niewidzialną ręką. Każdy strzał był celny, bo bezkarne kierowało go oko. W sztabie dowodzącego dwóch już było zabitych, a jeden oficer ranny. Mniej niż w dziesięć minut mieliśmy więcej niż trzystu ludzi zabitych lub rannych. Iść naprzód było szaleństwem, bo mogliśmy zginąć wszyscy co do jednego. Atakować nieprzyjaciela, ukrytego w zasadzce, w zaroślach było niepodobna; nic nie pozostawało, jak uciekać z tego miejsca jak najprędzej, bo co chwilę klęska nasza była większa.

Przerażeni, zbici w kupę Francuzi nie wiedzieli, co począć, ucieczka haniebna była nieuchronna, wszystkie rodzaje broni, chcąc co prędzej ujść z tej zasadzki, zaczęły mięszać się. Jeszcze jedna chwila, a oddział nasz uciekałby w największym popłochu i nieładzie. Ale Kabyle uważając się za zwycięzców, rzucili bezpieczne ukrycie i z janczarkami w rękach wypadli z zasadzek, dążąc w to miejsce, gdzie widzieli chorągwie francuskie.

Pojawienie się nieprzyjaciół, dotychczas skrytych, dodało ducha Francuzom. Jenerał podjechał do muzykantów i kazał im zagrać marsza pułkowego, który odzywa się w wojsku francuskiem w boju tylko w tedy, gdy grozi niebezpieczeństwo utraty orłów. Zaledwo zabrzmiały trąby, żuawi wstrzymali się z odwrotem. Nastąpiła krótka lecz straszliwa chwila niepewności, co się stanie. Wtem jeden z żuawów wrzasnął: „vengeons nos camarades!“ i wszyscy jakby na komendę rzucili się z krzykiem naprzód w takich skokach tygrysich, z taką okropną furją, iż nic im się oprzeć nie było w stanie. Rannych nie było. Wszystko, co wybiegło z zasadzki naprzód, leżało na ziemi martwe. Tu poznałem, co może zrobić muzyka wojenna stosownie użyta, i zobaczyłem co znaczy furja francese.

Konny patrol, wysłany naprzód, doniósł, że wąwóz w dalszym swym przebiegu także jest zajęty przez Kabylów, a więc że ruch naprzód był niemożliwy. Prawie czwarta część oddziału naszego zginęła. Potrzeba było wycofać się co prędzej z wąwozu. Jenerał dał rozkaz, podjęliśmy rannych naszych, zebraliśmy broń, pozostałą po zabitych, i zaczęliśmy odwrót do Konstantyny. Na polu walki leżało około dwóch tysięcy trupów francuskich i arabskich.

Na trzeci dzień po wyjściu z tego miasta, wróciliśmy zmęczeni, upadli na duchu i — ze wstydem. Oddział wzmocniono, dano mu wypocząć i na drugi dzień inną drogą wysłano do Setyfu. Ja zaś miałem dość tego, i dziękując Bogu, że wyszedłem cały z niebezpieczeństwa, pozostałem w Konstantynie, przenosząc spokojną podróż na południe nad zbieranie laurów wojskowych.

W dni kilka potem otrzymaliśmy wiadomość, że Kabyle zostali rozbici zupełnie i pierzchli w góry, a fort Napoleona oswobodzony. Tak się skończyła ta krótka, lecz bardzo krwawa kampanja.

F. Stella.

POGADANKA.

(Bilans r. 1878. — Malarze i hreczkosieje. — Polski odwet za Sedan. — „Grottger“ p. Kanteckiego. — „Choroby Galicji“ J. Rogosza. — Nowo pismo humorystyczne.)

Rok 1878 dobiega do swego kresu, i czas nam będzie wkrótce zrobić bilans zysków i strat, w jego przeciągu poniesionych pod względem moralnym i materjalnym. Urzędowa buchalterja narodu, prasa peryodyczna, zabiera się już do tej pracy - zdaje mi się wszakże, że jak zawsze tak i teraz, rezultaty rachunków będą bardzo różne, stosownie do indywidualności rachmistrza, do jego miejsca pobytu i punktu wyjścia. Poznańczyk i Krakowianin wykaże ogromne minus w majątku narodowym, wynikające głównie ztąd, że „warchoły“ lwowskie nie chcą pędzić hrabiobojnego, potulnego żywota według ewanielii, zawartej w Tece Stańczyka i według pism i przykazań Ojców Koła. Lwowianin wykaże wielki niedobór w rubryce „polityka zagraniczna“ — ale na szczęście, conto to nie wchodzi w ramy Strzechy, i nie potrzebuję tu robić żadnych uwag w tym kierunku. Warszawianin westchnie, że bardzo dużo, i bardzo ważnych rzeczy brakuje mu nie już do szczęścia, ale do życia — nie będzie mógł wszakże utaić faktu, że jego przemysł i handel rozwija się potężnie, że jego książki i dzienniki znajdują kupców, że im gorzej stoi w kursie waluta papierowa, tem mniej jej wychodzi za granicę, i że w skutek tego wszystkiego „jakoś to będzie“. Nieborak Litwin i Rusin z za kordonu nie odezwie się wcale, bo mu nie wolno dawać znaku życia choćby najcichszym jękiem — ale wiemy, że żyje on i czuje, a i za to wypada dziękować Bogu. Przez parę lat, z wszystkich tych poszczególnych rachunków, J. I. Kraszewski zestawiał obraz ogólnego stanu sprawy narodowej; żałować wypada, że zaniechał tego obecnie, i że nikt po nim nie ośmiela się kredki brać do ręki. Gdy wszakże istnieje w publicystyce zwyczaj, że kronikarze przed zamknięciem rachunków każdego banku lub towarzystwa stawiają horoskop bilansu w „drobnych wiadomościach“, i usiłują tym

sposobem wpłynąć na kurs akcyi, więc i ja pozwolę sobie nadmienić tu w pogadance, że jak ze wszystkich danych wskazówek wnioskować można, stan nasz moralny i materjalny z końcem r. 1878 jest o wiele pomyślniejszym, niż się wydaje na oko.

Mieliśmy przecież sposobność zmierzyć się na wystawie paryzkiej z wszystkimi narodami świata, i chociaż nam wolno było figurować tam tylko pod obcą firmą, chociaż kochani nasi przyjaciele, Francuzi, pierwsi byli w przyznawaniu nam narodowości austryackiej, rosyjskiej, niemieckiej, słowem jakiejbądź, byle nie polskiej, chociaż nakoniec przekonaliśmy się przy tej sposobności namacalnie o tem, o czem zresztą wiedzieliśmy z góry, t. j. że jesteśmy narodem bardzo ubogim w porównaniu z innymi i bardzo spętanym w swoim rozwoju, to przecież w niejednym kierunku z dumą spoglądać możemy na to, czegośmy dokazali, i pochwalić się nie jednym tryumfem. Ponieważ nie piszę sprawozdania z wystawy, wspomnę tu tylko o najgłówniejszem zwycięztwie, odniesionem na polu sztuki, które tak dziwnie odbijało od porażki — naszych hreczkosiejów. Polska orze, sieje i zbiera zboże od lat tysiąca, a maluje dopiero od niedawna; pomimo to wszakże Polacy wystawili najlepsze obrazy i najgorsze nasiona. Nie zapominajmy przytem, że nasiona wybierają się ziarnkami po woreczku z całego zbioru, podczas gdy z obrazu nie można wykroić na wystawę najlepszych jego partyj — artysta przedstawia wraz z nim nietylko cały swój plon, ale całe swoje gospodarstwo wraz ze wszystkiemi zasobami. Z kwarty pszenicy, którą pan A. posłał na wystawę, nie podobna osądzić, czy jest on racjonalnym gospodarzem, lub tylko ma sprytnego ekonoma — jeszcze zaś mniej można wnosić, czy pan A. jest światłym obywatelem, czy tylko jakim dygnitarzem, czy naród ma z niego pożytek, lub też n. p. czytywać może jedynie jego „listy otwarte“, i na zapytanie, czem się odznacza szanowny prezes, komitetowy, lub poseł, odpowiadać słowami Bauernfelda:

„Ein jedes Wesen hat seine Ziele:
Mancher, zum Beispiel, ist — dumm für Viele.“

Artysta natomiast malując obraz, maluje zarazem i siebie, całą swoję wewnętrzną istotę z wszystkiemi jej zaletami i wadami, całą zbrojownię swego talentu i wszystkie jego niedostatki. Dlatego to gospodarz, skoro mu ziomkowie nadadzą zaszczyt.... gospodarowania „für Viele“, uchodzić może czasem za męża stanu, a być w gruncie tylko, że tak powiem — starą niewiastą stanu; malarza zaś krytyka wynicuje od razu do ostatniej nitki. Tem większym jest tryumf, odniesiony przez artystów naszych na wystawie paryskiej.

Panowie rzeczoznawcy wiedeńscy, którzy oglądają obecnie w tamtejszym Künstlerhaus najnowszy utwór Matejki, „Bitwę pod Grunwaldem“, powiadają, że dla sławy naszego mistrza korzystną jest rzeczą, iż obraz ten nie mógł być wysłanym w czas na wystawę paryzką. Łatwo zrozumieć pobudkę tej niby życzliwej uwagi, i łatwo ją zbić przypominając, że w Paryżu areopag krytyczny nie byłby się składał z Niemców, spoglądających ze zgrzytaniem zębów na taką malowaną *„revanche pour Sedan“*. Owszem, o ile subjektywne uczucie widza wpływać musi na ocenę dzieła sztuki, o tyle Francuzi zgadzaliby się w tej mierze z nami, a nie z Niemcami — i chyba może który z pp. dyplomatów republikańskich milczałby z kurtoazji, zamiast brać udział w heroicznym zapale, jaki obudza to płótno. Z tego też względu niezmiernie nam żałować wypada, że „Grunwald“ nie był na wystawie. Zazdrościmy Wiedeńczykom, iż pierwej niż nam dano im oglądać to arcydzieło — do Lwowa temi dniami dopiero nadeszły fotografie, dające niedokładne i zagmatwane wyobrażenie o szczegółach, których w tym obrazie jest więcej, niż w jakimkolwiek innym utworze Matejki — ale pozwalające zdać sobie sprawę z całości i z myśli, która ją przenika. Myśl to jedna, wyraźna, zrozumiała każdemu; — żadne płótno Matejki tak łatwo nie obędzie się bez komentarza, jak Grunwald. Cudzoziemiec potrzebuje wyjaśnień wobec Unii, wobec Rejtana, Grunwald jest i będzie jasnym dla wszystkich narodów i dla wszystkich czasów, jak ustęp z Iliady. Ten Witold, w szalonym pędzie wyrywający się niemal z ram obrazu, z okiem roziskrzonem, z mieczem wzniesionym nie do boju już, ale do nieba, jak na znak podzięki, — to jeden olbrzymi okrzyk tryumfu, to hymn bezgranicznej, dzikiej może nieco, ale wielkiej i świętej radości, to ostatni, grzmiący akord rapsodu, opiewającego zwycięztwo, a nie postać wodza i rycerza.

„Poległ Mistrz Wielki na krzyżactwa czele,
Poległo Niemców sześćdziesiąt tysięcy!“

Dokoła — chaos, ale jakie świetne chaos, jak uprawnione artystycznie i poetycznie! Obraz przedstawia nie bitwę, ale dokonującą się już klęskę — Ulrych von Jungingen spada z konia, padają komtury — jeszcze moment, a chrześciańskiemu królowi, który stoi opodal, nieruchomy w swoim majestacie, wypadnie dać hasło powstrzymania rzezi.

„Już dosyć zemsty — i Niemcy są ludzie.“

W gniewie swoim rasowym, krytyka niemiecka w Wiedniu przy ocenie tego obrazu cofnęło się na stanowisko, ponad które wznosi się ona zwykle z wielką dla siebie korzyścią, na stanowisko, że tak powiem, „kołtuńsko-klasyczne“, to, co Niemcy nazywają „der Zopf“. Dla czego bitwa nie przesuwa się przed widzem, jak to zwykle bywa na płótnie, ale wali się niemal na patrzącego, i straszy go łoskotem łamiących się kopij i trzaskiem toporów, kruszących zbroje? Dlaczego? Bo bitwa na ręczną broń, w początku XV. wieku, wygląda tak a nie inaczej. Oficjalny malarz pruski przedstawia cesarza Wilhelma, galopującego przez pierwszy plan wraz ze świtą, obok niego pękający granat i parę zabitych Francuzów, opodal szereg odprzodkowanych dział, a w dali smugi dymu — i nie podobna mu zaprzeczyć, że to nie jest zwycięztwo pod Mars la Tour, albo pod Gravelotte — wyglądało ono tak w istocie, i gdyby nie trupy, pozostawione na pobojowisku, między taką bitwą w XIX. stuleciu a manewrem nie byłoby niemal różnicy uchwytnej dla malarza. Istotną walkę w nowoczesnem znaczeniu słowa przedstawiać umiał tylko Grottger, ale też przedstawiał zawsze tylko jednę ze stron walczących. Tutaj, gdzie ramię zwiera się z ramieniem, gdzie oszczep a nie kula godzi w serce, wszystko musi tłoczyć się, mięszać, zwłaszcza w chwili stanowczego rozgromu. Przypuszczam natomiast, że słusznym być musi zarzut, powtarzający się często wobec obrazów Matejki — brak może być Grunwaldowi perspektywy innej, prócz linearnej, perspektywy „tonów i powietrza“, jak mówią uczeni

krytycy. Jeden z nich wszakże sam sprowadza ten zarzut do właściwych rozmiarów, powiadając, że „takiemu artyście, jak Matejko, można wytknąć dwanaście razy tyle usterek, co całemu tuzinowi „zasłużonych“ (verdienstvoller) malarzy. W istocie, ile razy „Homer zdrzémie się“, cała Aleksandria woła: „cyt!“ — a Klopstock spi od pierwszego wiersza Mesjady do ostatniego, i nikt na to nie uważa.

Uważny czytelnik uśmiechnie się może, że tyle prawię o obrazie, o którym sam przyznaję, że znam go tylko z fotografji i z recenzji p. Ranzoniego. Pociesza mię to, że nie ja pierwszy zakochałem się w ten sposób; zwyczaj to wspólny wszystkim entuzjastom. Uważam wszakże, że czas już odłożyć „do widzenia“ resztę tego, co bym jeszcze zechciał powiedzieć, a teraz, ponieważ mowa o malarstwie, wspomnieć o książce, która świeżo wzbogaciła literaturę naszę w tym kierunku. Jest nią „Artur Grottger“, szkic biograficzny przez pana Kanteckiego, opracowany sumiennie i z miłością, a wydany nakładem „Przewodnika naukowego i literackiego“, który jest jedną z najpożyteczniejszych kreacyj ś. p. hr. Gołuchowskiego, podczas gdy nie jest nią szanowna macierz „Przewodnika“, c. k. *Gazeta Lwowska*.

Z innych nowości literackich wyjmuję jednę, o której dotychczas milczą i milczeć ponoś będą długo sprawozdawcy tutejsi, z różnych powodów, nie uwłaczających w niczem wartości książki, a często nawet podnoszących tę wartość. Są to „Choroby Galicji“ pana Józefa Rogosza, których część druga wyszła niedawno nakładem autora. Tom ten obejmuje rozdziały: 1) Handel i przemysł — 2) Na wsi — 3) Uprzywilejowana lichwa. Wiele tam zdrowych i rozsądnych uwag, wiele dat ciekawych, trochę tu i owdzie jednostronności, a przedewszystkiem mnóstwo pieprzu i nawet — ciemierzycy, od której nie jednemu przyjdzie kichnąć, choćby zupełnie pozbawionym był nosa. Pomówię wkrótce obszerniej o tej publikacji, a szanowny czytelnik, któryby nie miał ochoty przenosić się za mną w moich peregrynacjach po czasopisarstwie lwowskiem, najlepiej tymczasem zrobi, jeżeli kupi książkę i sam przeczyta.

Jeszcze jedna nowina. Zanosi się na nowe czasopismo humorystyczne i ilustrowane we Lwowie, które wyjątkowo powstanie swoje zawdzięczać ma nie tej okoliczności, iż ktoś chciałby by być redaktorem, albo współpracownikiem, a nie może znaleść miejsca w istniejących już organach, ale tej, że *Szczutek* nie wypełnia braku humorystycznego czasopisma stanowczo-opozycyjnego, ale owszem, im sytuacja jest jaśniejszą, tem bardziej staje się chwiejnym i bałamutnym. Nie nowa to historja, że kto chce wszystkim dogodzić, ten nikomu nie dogodzi, i dla tego też nowe pismo może mieć wielkie powodzenie, wywieszając sztandar jaskrawy i trzymając go się konsekwentnie. Jeżeli gdzie połowiczność ma swoje uprawnienie, w humorystyce nie ma go ona z pewnością. Zapewniają, że *Warchoł* — otóż zdradziłem tajemnicę tytułu nowego czasopisma — będzie bardzo stanowczym i energicznym. Przyznam się wszakże, że wolałbym ażeby *Szczutek* poprawił się, t. j. ażeby sobie już obrał jaki program, niż aby mu robiono konkurencją. Cóż robić, kiedy „secesja“ w powietrzu.

Jan Lam.

POKŁOSIE.

Miasto wiecznego deszczu. Tak można zaprawdę nazwać norwegskie miasto Bergen, gdzie stosunki wilgoci odgrywają tak wielką rolę, że mieszkańcy tamtejsi nie znają prawie pogody; słowem rzec można, że w okolicy tej prawie ciągle deszcz pada. Czy przyczyną tego jest przeciągający właśnie tędy prąd nadbrzeżny, który od rana do nocy wylewa na miasto wynoszącą rocznie w przecięciu 80 cali masę deszczową, czy też wpływa na to inna jaka okoliczność, — dość że miasto Bergen miało przed trzema laty w ciągu całej pory letniej tylko 14 dni słonecznych. Ale za to jest klimat tamtejszy bardzo łagodny, zimno przechodzi rzadko 8—9 stopni Reaumura, i wszystkie rośliny ogrodowe udają się tu i w całej okolicy wyśmienicie, a nawet winogrona dojrzewają w niektórych latach; i większa część owych siedmiu wzgórz, które nadały nazwę miastu, są aż do szczytu okryte najpyszniejszym zielonym kobiercem. Dla uzupełnienia tej charakterystyki dodać jeszcze potrzeba, że gdy w Bergen zacznie porządnie deszcz padać, to można się przygotować na prawdziwą czternastodniową ulewę. Z powodu tego wiecznego deszczu krąży też mnóstwo zabawnych anegdot. Tak między innemi opowiadają o pewnym kapitanie okrętowym, który już czterdzieści razy miasto to odwiedzał, że gdy przybywszy po raz czterdziesty pierwszy zobaczył miasto jaśniejące blaskiem słonecznym, natychmiast zawrócił, sądząc, że zmylił drogę. Jeden z obywateli tamtejszych przechodził się raz z jakimś cudzoziemcem mimo pogodnego nieba pod rozpiętym parasolem, a gdy zdziwiony tem towarzysz przedstawiał mu, że deszcz nie pada, odrzekł Bergeńczyk: „To prawda, ale u nas nie warto zamykać parasola, dopóki się jest na ulicy.“ Choćby te anegdoty były nieco nawet przesadzone, to przecież pewną jest rzeczą, że żaden mieszkaniec miasta Bergen nie wychodzi z domu bez parasola; i jak w Niemczech np. dają dzieciom, idącym do bierzmowania, lub narzeczonym śpiewnik religijny na pamiątkę, tak w Bergen ofiarują przy takich sposobnościach parasol w upominku.

Do historji tytuniu. Gdy Hiszpan, Hernandez de Toledo przywiózł tytuń z St. Domingo do Hiszpanii, wprowadził go w r 1560 poseł francuzki Nicot do Paryża. Roślina tytuniowa otrzymała wtedy nazwę: herba nicotiana, a z tego utworzono anagram: „in bona charitate“ t. j. w dobrej miłości. Z tego wyprowadził pewien pisarz 17. wieku wniosek, „że ludzie powinni tytuń jako wyborne ziele kochać i cenić, i że niejako powinien on być zaliczany do powszedniego chleba. A jak grzeszy ten, który gardzi chlebem, tak również popełnia grzech każdy, kto tytuniem gardzi.“ Ale już w r. 1600 rozpoczęły się prześladowania tytuniu, a w Szwajcarji dodano zakaz palenia tytuniu nawet do dziesięciorga przykazań Boskich, umieszczając go zaraz po szóstem przykazaniu.

Kącik humorystyczny „Strzechy.“

Zapiski zoologiczne.

(według Brehma.)

I.

W rzędzie gryzoniów (Nagethiere, Rodentia) napotykamy rodzinę dotychczas przez przyrodników naszych prawie zupełnie zaniedbaną, jakkolwiek od dość już dawna u nas aklimatyzowaną. Obejmujemy ją ogólną nazwą śmieszników (scribentia humorifica). Śmieszniki nie wiele mają cech wspólnych, prócz tej jednej chyba, że większa ich część bardzo długo, a nawet i zawsze obchodzić się może bez wody, tak do pływania, jakoteż do picia — w tym ostatnim wypadku absorbuje atoli wielką ilość innych płynów, przeważnie wyskokowych. Żyją one po części w niedostępnych norach, i wogóle nie łatwe są do wytropienia, zwłaszcza w porze dziennej, w której główny ich nieprzyjaciel, jarmucznik (Kurzerius rapax) zastawia na nie swoje sidła. Nocami natomiast występują często gromadnie, w miejscach oświetlonych gazem i w pobliżu znaczniejszych zapasów osmanki (Schnapsum deliciosum, Linn.) lub innego wywarzywa tego rodzaju.

Opiszemy tu tylko niektóre gatunki, które mieliśmy sposobność studjować nieco dokładniej. Najwięcej różnym od innych jest:

1. Dewotkojad (Rodocius berangeroides) i najmniej pospolicie znanym, jakkolwiek słynny uczony Władysław z Bełza, (współczesny Marcinowi z Urzędowa i jego uczniowi Marcinkowi), napisał o nim znakomitą monografią. Dewotkojad ma być bardzo drapieżnym, i rzuca się z szczególną zajadłością na szpargały jezuickie, które targa i rozdziera nie dla pożywienia, ale dla przyjemności wyrządzenia psoty. W Starej Wsi odbywa się parę razy do roku solenne nabożeństwo z suplikacjami o odwrócenie lub nawrócenie tej plagi.

2. Sercogryz (Titulofax chochlearius, der Bildtsichwasein) odznacza się szczególną wadą wzroku, dzięki której wszystko, co widzi, wydaje mu się mniejszem od niego, podczas gdy własna jego postać, ujrzana w zwierciedle, sprawia mu wrażenie podziwienia godnej wielkości. Zapewniają nawet, iż kłania się z uszanowaniem na ten widok, podanie to nie jest jednakże stwierdzonem przez zoologów. To zaś jest pewnem, iż sercogryz do tego stopnia nieustannie jest zajętym admiracją swojej szerści, uszów, ogónka itd., że nigdy prawie nic innego nie robi. Nie ma on stałego miejsca pobytu; dawniej widywano go w kącikach pod strzechą, obecnie zaś grasować ma w suterenach redakcyj warszawskich, jakoteż na mieliznach słowiańskich, po których skaczą zajączki.

3. Bałamutek (Kalasantius dubiosus, der Wetterfähnrich) jest to śmiesznik, który niesłusznie uchodzi za zwierzę niezmiernie drapieżne, podczas gdy w gruncie jest to bardzo potulne stworzenie, słabo stojące na nogach i mające w skutek tego chód chwiejny i niepewny, do tego stopnia, że często jedna jego połowa rozchodzi się na prawo, a druga na lewo. Bałamutek bywa zazwyczaj schludnym, bardzo łatwo przywiązuje się, zwłaszcza do wielkich panów i daje się dresować do dokuczania mniejszym. Ma on własne swoje legowisko, w którem przebywa często wraz z nim także sercogryz, jakoteż

4. Stęplik, zwany tak z powodu, iż bałamutek jest nim niejako „podstęplowany“ i opiera się na nim w chwiejnym swoim pochodzie. Często wszakże chwieją się obaj, ale każdy z innego powodu i w inny sposób. Stęplik znany jest na Rusi jako wielki szkodnik, zwłaszcza w okolicy, gdzie mieszka Wbny Moczymordowycz i lubeznyj Skotyna. U Buffona zowie on się Ruthenus gadativus.

5. Przewrotnik (Diurnista nocturnus, der Faulhans) niezmiernie skrzętny w próżnowaniu, wychodzi tylko nocami ze swojej nory i nie znosi wilgoci. Chrześcijańscy pisarze przypisują mu wielkie przywiązanie do żydów, żydowscy zaś zasypują sądy skargami na niego. Z niektórych kronik wnosić można, że jest trudnym do wytępienia, jakkolwiek z nakazu władzy urządzane bywają formalne obławy na niego.

6. Grochoł (Humorista involuntarius, der Blamiraffe) znajduje się w tysiącznych egzemplarzach w całym kraju i zwraca nieraz na siebie uwagę całej Europy. Jest to najuciesznejszy ze wszystkich śmieszników, a odmiana jego, zwana dawidkiem, mogłaby być pokazywaną za pieniądze, nakształt świstaków. Koło sejmowe powzięło uchwałę, nakazującą szanowanie tej cennej zwierzyny.

(C. d. n.)

Kilka ucinków.

Osły i słowiki.

(z Bürgera.)

Chcą osły, aby słowiki
Drzew gąszcz opuściły dziki,
I zamiast wśród krzaków siedzieć,
By do młyna worki niosły,
Czy słuszność mają te osły,
Na to trudno odpowiedzieć!
Poprzestanę tylko na tém,
Że słowiki, jak świat światem,
Nigdy jeszcze nie żądały,
Ażeby osły — spiewały!...

Nitulus.

(z Lesynga.)

Tu leży wieszcz — nic śmierć mu nie zrobiła złego,
Owszem — on zyskał — bo stał się popiołem z niczego.

Na śmierć małpy.

Tu leży luby Pawian — w grobowem ukryciu,
Co tak nas naśladował, kiedy był przy życiu.
On naśladował, my wsparci przykładem,
Ręczę, że wszyscy pójdziem jego śladem!...

Wydawca i odpowiedz. za redakcją F. H. RICHTER.

Z drukarni narodowej W. Manieckiego.



GRAF RAK.

POWIEŚĆ

PRZEZ ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO.

25

(Dokończenie.)

Mnie położenie Raczka nie przedstawiało sie wcale w barwach różowych. Spółka z Leendorfem i Rakiem nie zdawała mi się być dla tak młodego człowieka przedsiębiorstwem zupełnie bezpiecznem, — stryjenka była, mojem zdaniem, bardzo podobną do chmury gradowej, zawieszonej w powietrzu, — nowa zaś miłość w takich warunkach także nie rysowała się na horyzoncie całkiem pogodnym. Obce mi były te sprawy, lecz mimo to sporządziły mi noc niespokojną. Jakoż nazajutrz rano także jeszcze o tem myślałem; bo któż nie byłby chętnie się do tego przyczynił, aby zacnemu Raczkowi dopomódz do wydobycia się z tych fatalnych zawikłań?

Tymczasem koło południa wszedł do mego mieszkania ksiądz czy braciszek, po zakonnemu ubrany, i zaczął coś mruczeć, stanąwszy przy drzwiach. Rozumiejąc, że jest ex ordine mendicantium, który-to ordo jest bardzo upowszechniony we Włoszech, wziąłem kilka monet ze stołu i podałem mu je, nie zważając na to, co mówi. On zaś monety przyjął, ale zarazem podał mi liścik, pokłonił się i wyszedł. Liścik był bardzo ładnie złożony i zawierał równie ładnie napisane po polsku następujące wyrazy:

„Najnieszczęśliwsza istota, w ostatniej się znajdująca rozpaczy, prosi pana, abyś był łaskaw to zrobić, ażeby Raczek nie przyszedł z panem dziś o piątej à la table d'hôte alla Luna. Jadwiga.“

„Ażeby Raczek nie przyszedł z panem“ — to znaczyło, abym ja przyszedł; a ponieważ list w sprawie Raczka był pisany nie do niego, lecz do mnie, więc widać było, że go ważne spowodowały przyczyny i czyste uczucia. Zawiadomiłem tedy Raczka o tym wypadku, aby przypadkiem o tych godzinach nie wpadł do mego hotelu, a o trzy kwadranse na piątą udałem się do salonu, znajdującego się obok sali jadalnej.

W salonie było już zgromadzonych kilka osób obcych, między niemi Leendorf, czytający przy jednym końcu długiego stołu niemiecką gazetę, a przy drugim końcu panna Jadwiga przerzucała stojąc jakieś pisma ilustrowane. Jadwiga rzeczywiście od tego czasu bardzo pięknie wyrosła i wypełniła się; młodziutka jeszcze, wszelako już wcale dojrzałą była dziewicą. Świeża nadzwyczaj, jak niegdyś we Florencyi, tylko dzisiaj cokolwiek przybladła; oczy jej były jeszcze piękniejsze niż wówczas, tylko blask ich złagodniał; twarz miała uśmiechniętą, jak matka, tylko wyraz jej pomimo chwilowego smutku był żywszy, i można nawet powiedzieć, weselszy. Zgoła na pierwszy rzut oka widać było duszę zasmuconą, lecz żywą, świadomą siebie i wcale nie rozpaczającą. Kiedym wszedł do salonu, natychmiast mnie powitała uśmiechem i zwróciła się ku mnie, jakoby ośmielając mnie, abym do niej przemówił. Witałem ją tedy, jak dawną znajomą, ściśnieniem ręki.

— Mam w Bogu nadzieję — rzekła do mnie po polsku — że pan się na mnie nie gniewa, bo takie listy

pisze się rzeczywiście tylko natenczas, kiedy nie masz innego ratunku. Niezmiernie wiele mnie to kosztowało, ale musiałam....

— Nie tylko się na panią nie gniewam — odpowiedziałem jej na to — ale przeciwnie wdzięcznym pani będę, jeżeli mi podasz sposobność wyświadczenia jakiejś pożytecznej usługi tej zacnej rodzinie, do której pani należysz, a z którą dotąd łączy mnie tylko bardzo smutne wspomnienie.

— Bardzo smutne! — powtórzyła Jadwiga, przypominając sobie śmierć swoich braci — i odtąd nie było u nas żadnej pociechy. Dopiero teraz zaczął się blaskiem różowym na niebie zapowiadać wschód słońca, ale nim jeszcze dzień się rozwidnił, już się znów niebo czarnemi obciągnęło chmurami. Mimo to przecież nie należy rozpaczać... zwłaszcza, jeżeli się ma takich przyjaciół. Ja mam wielką prośbę do pana, nawet nie śmiem z nią się odezwać; dlatego namówiłam ojca, abyśmy tu przyszli na obiad, ale mimo to nie wiem, czy będę miała odwagę....

Dałem jej na to odpowiedź zachęcającą, ale zarazem rzuciłem okiem na ojca, który od swojej gazety co chwila spoglądał na nas, jak mi się zdawało, dosyć chmurnemi oczyma. Dostrzegła tego Jadwiga i rzekła:

— Mój ojciec zna pana przez Raczka i mego stryja, przez mego dziadka, przez pana Mercy i przez biskupa. Ale zresztą nie wie o niczem....

Zostawiwszy tedy na chwilkę panienkę przy stole, zbliżyłem się do Leendorfa. Z pewną, że tak powiem, urzędniczą powagą, ale bardzo uprzejmie mnie powitał, zaczął zaraz mówić po niemiecku i nawet szczerze się rozweselił, że mógł rozmawiać swoim ojczystym językiem. Mówił też ze mną, jak gdyby z dawnym znajomym; opowiadał mi, jako niegdyś wysokim w tem mieście był urzędnikiem, jak go okoliczności zniewoliły porzucić służbę austrjacką, jak mu tęskno za służbą i za Austrją, jak nienawidzi tego rewolucyjnego rządu, któremu teraz Wenecja ulega, ale zarazem tak się tu przyzwyczaił, iż mu tu jeszcze mniej nieprzyjemnie, niżeli gdziekolwiek indziej, zwłaszcza że w całej Austrji dziś rewolucja panuje.

— Mam zresztą tutaj dom własny — dodał na końcu — który sam sobie urządziłem przed laty, wstawiwszy okna i drzwi, które się szczelnie zamykają, tudzież porządne kominy, tak że mi i zimno nie dokucza, na jakie tutejsi mieszkańcy chat i pałaców są wystawieni. To też nigdy w restauracji nie jadam; tylko dziś, nie wiem, jakim sposobem, na godzinę przed samym obiadem kucharz mój wytłukł i powywracał naczynia, nie pozostało mi zatem nic innego, jak pójść do garkuchni.

Nietrudno mi było domyśleć się, jakim duchem natchniony kucharz wytłukł naczynia, i mimowoli spojrzałem na Jadwigę, która już przy nas siedziała — a w tem dano znak do obiadu. Podałem tedy ramię Jadwidze i zyskałem przez to sposobność zabrania miejsca przy stole między nią a jej ojcem. Ale przy stole nie mogłem wcale z nią rozmawiać o rzeczach, które mi chciała powiedzieć, bo najpierw siedziało ze trzydzieści osób przy tym obiedzie, i nie można było być pewnym, ażali niektóre z nich nie umieją po polsku, a oprócz tego ojciec jej prawie bezustannie mnie swoją konserwacją zajmował. Chcąc z niej przynajmniej ile możności korzystać, rzekłem do niego w połowie obiadu:

— Powiadał mi Rak, kiedy byłem u niego na wiosnę, że panowie zakładacie spółkę handlową w Marsylji. Dowiedziałem się także, że to pan ten pomysł powziąłeś, a nawet cały projekt wypracowałeś, który bez wątpienia musi być znakomitym, jak skoro Rak, człowiek tak praktyczny w sprawach tego rodzaju i tak rachunkowy, jest pełen uwielbienia dla niego. Zazdroszczę panu, że w tym wieku, i nie będąc do tego zmuszonym, umiałeś przeprowadzić tak znakomitą robotę.

— Ja jestem człowiekiem praktycznej pracy — odpowiedział mi Leendorf — od najmłodszych lat moich pracuję po kilkanaście godzin codziennie, a ztąd idzie, że i dziś nie potrafiłbym istnieć bez pracy poważnej i mającej cel pewien. Ja jestem także człowiekiem celów. Każda praca, jaką kiedykolwiek podjąłem w mem życiu, miała cel jakiś; częstokroć takie zakładałem sobie cele, które cały świat uważał za niemożebne — a ja przecież wszystkie osiągnąłem, z wyjątkiem tych, których osiągnięcie nie zależało odemnie. Toż i tym razem spodziewam się, że cel mój osiągnę, powiem panu więcej, bo nawet go chybić nie mogę, tak obliczenia moje są pewne. Konkurencja z nami jest niemożebna; bo nikt zgoła ani tak tanio lasów nie nabędzie, ani tak tanio nie urządzi produkcji, ani tak tanich nie osiągnie kosztów transportu. Stoimy na podstawach tak pewnych, iż żaden wypadek rachuby naszej nam skrzyżować nie może, bo wszystkie ewentualności są przewidziane; a ktoby śmiał stanąć nam w drodze, tego musimy zdruzgotać. Rak weźmie za swoje lasy miljony, więcej niżeli sam wart z kościami.... i Raczek zrobi majątek, na co także jeszcze ani u mnie, a daleko mniej jeszcze u Raka zasłużył. Gdyby Rak do tego przedsiębiorstwa chciał dać swoje kapitały, nie potrzebowalibyśmy brać tego czeladnika za sobą; ale z Rakiem trudna jest sprawa, jest on nad potrzebę ostrożny, a do tego uparty jak kozieł. Wszelako to nie ma żadnego wpływu na przedsiębiorstwo, którem pokażemy światu, jakim sposobem należy zakładać industrją.

Tak mówił Leendorf. Nietrudno było mi z tego wyrozumieć, że był on tak samo sfanatyzowany swem przedsiębiorstwem, jak Rak astronomją, a Raczek się mylił zupełnie, jeżeli rozumiał, że go Leendorf wyrzuci ze spółki.

Kiedyśmy wstali od stołu, do Leendorfa przybliżyli się jego znajomi, z którymi przeszedł do salonu; toż dopiero w salonie znalazłem sposobność mówienia na osobności z Jadwigą.

— Przez cały obiad — rzekła mi córka Leendorfa, kiedym obok niej usiadł na małej kanapce — byłam w potach śmiertelnych z obawy, że ojciec mój nie dopuści mi ani słowa przemówić do pana.

— Nicbyś pani była na tem nie straciła, bo byłbym jutro, na każdy wypadek, ojca pani odwiedził.

— Byłoby to zapoźno, niestety! — odpowiedziała Jadwiga z uśmiechem, lecz zarazem z lekkiem westchnieniem — bo ja jutro o piątej rano z moją guwernantką wyjeżdżam do Wiednia.

— Jakto? tak nagle? — spytałem, chociaż nie mogłem nie odgadnąć od razu tego wyjazdu powodów.

— Tak nagle — powtórzyła Jadwiga ze smutkiem. — Ojciec wysyła mnie do matki, która, jak panu wiadomo, czarną cierpi melancholją i rzadkie miewa chwile przytomności umysłu, ale je miewa i mnie pewnie pozna i znajdzie pewnie we mnie pociechę. Jakżebym się tą podróżą cieszyła, o którą tyle razy mego ojca napróżno prosiłam.... gdybym dziś nie musiała także czarnych myśli brać ze sobą na drogę!

To mówiąc, umilkła na chwilę, ale w ten moment się przebudziła, dodając żywo:

— Otóż chciałam pana prosić, abyś był łaskaw Raczkowi nakazać, aby pod żadnym warunkiem nie próbował mnie widzieć, ani tu, ani w Wiedniu. Również wymagam od niego, aby kontrakt spółki podpisał i do Marsylji pojechał, a resztę Panu Bogu zostawił, jeżeli chce cel ten osiągnąć, który sobie zamierzył. Ceci est mon testament! — dodała z taką powagą i stanowczością, iż widać było, że się dokładnie nad tem zastanowiła, co ma żądać od Raczka.

Mówiliśmy jeszcze chwilkę ze sobą, ale Jadwiga już mi ani jednego słowa więcej nie powiedziała o Raczku. Wyglądała owszem jakoby zmęczona wielkiem wysileniem; jakoż mi jeszcze w końcu powiedziała z wdzięcznym, lecz smutnym uśmiechem:

— Zrobiłam to, co mi się dobrem zdawało... Pierwszy raz w życiu taką walkę ze sobą przebyłam. Nie wiedziałam, że życie to tak twarde i ciężkie już za młodu!

W tej chwili jakieś damy, które przedtem rozmawiały z Leendorfem, przybliżyły się do Jadwigi, i siadłszy przy niej, zaczęły z nią mówić o jej jutrzejszej podróży. Leendorf zaś wziął mnie pod ramię i zaprowadził do fajczarni, która się znajdowała obok salonu. Tam dopiero rozgadaliśmy się na dobre, znowu o spółce handlowej. Ale ja tak prowadziłem rozmowę, żeśmy co chwilę musieli mówić o Raczku, przyczem zdaleka dałem mu do zrozumienia, iż byłaby to może stosowna partya dla jego córki. Wszelako Leendorf zaraz wzburzył się na to w sposób prawie gwałtowny. Był to człowiek niezmiernie gniewliwy i nie umiejący powściągać swoich namiętności. Toż prawie krzyknął do mnie:

— Pan nie znasz Raczka. Jest to nierób, ma lat dwadzieścia pięć, a dotąd żadnego stanowiska nie zajął pomiędzy ludźmi. Lampart jest i ma nie dobre przyzwyczajenia. A potem... dotychczas jeszcze wlecze za sobą rozmaite stosunki, które już dawno powinny być stanowczo zerwane. Jeżeli z takiego człowieka ma co być, to musi przejść przez twardą szkołę — i przejdzie przez nią w Marsylji.

Tak tedy Leendorf zdawał się wiedzieć o wszystkiem i bardzo surowo sądził tego młodzieńca. Potem mówiliśmy o czem innem, a około godziny siódmej rozeszliśmy się z tem, iż przyrzekłem Leendorfowi, że go w tych dniach odwiedzę, i pożegnałem się z Jadwigą do obaczenia się na wiosnę w Wiedniu.

* *
*

Wróciwszy do siebie, zastałem tam Raczka. Wkradł się on niewidziany podczas obiadu do mego mieszkania i czekał tam prawie w gorączce, aby się dowiedzieć, co się dzieje z Jadwigą. Mogłem w kilku słowach zaspokoić jego ciekawość. Ale rzecz naturalna, że wiadomości te młodzieńca do gruntu wzburzyły. Nie odpowiedział mi nic, tylko przechadzał się wielkiemi krokami wzdłuż pokoju i ciągle ręką przejeżdżał po czole i twarzy, a dusza jego usiłowała wyrwać się z więzów, które na nią nałożono.

— Widzisz tedy Leendorfa! Zabiera mi moje pieniądze, wysyła mnie do bagno, do ciężkich robót, i tam każe czekać, póki się jego ułaskawienia nie dosłużę. Bo jużci, końcem końcow, córki mi nie odmówi. Ale co mi tam z tego! Jakoż to ci powiadam, że jak mądry jest Leendorf, tak się tym razem fatalnie pomyli. A choć sobie Raka weźmie do pomocy, to i we dwójkę mi rady nie dadzą. Bo ja im do ich spółki nie wstąpię, jutro im to w oczy wypowiem, a pojutrze pojadę do Wiednia.

— Jadwiga, jak wiesz, innego jest zdania.

— Dla mnie wszystko jest świętem, co mówi Jadwiga. Ale Jadwiga jest dzieckiem i nie może o takich rzeczach stanowić! Ona ma rozum, to prawda; ale ja mam inny rozum, a oprócz tego mam jeszcze trochę energji.

— Ale kobiety mają czasem cudowne instynkta. Ja w tym razie trzymam z Jadwigą.

— To się oboje mylicie! — zawołał niecierpliwie młodzieniec. Cóż to za sens? Ja mam wchodzić w tę spółkę i zdawać się na łaskę i niełaskę Leendorfa! Toż jak ja kontrakt podpiszę i poddam się większości głosów, to Leendorf mnie wieki tam trzymać będzie, i kto wie jeszcze, jaką po wiekach mi cenę nałoży. Nie! jutro zrywam i jadę do Wiednia.

— Proszę cię, siądź i uspokój się i słuchaj, co ci powiem. Największy błąd, jaki człowiek popełnić może, jest ten, gdy lekce waży rozum swego przeciwnika. Ja sobie zawsze wyobrażam, że mój przeciwnik jest tak rozumny, że ja jestem dzieckiem wobec niego, i tak z nim postępuję; jeżeli się potem pokaże, że był głupi, to przecież nic na tem nie tracę; ale jeżeli się pokaże, że ja go tylko miałem za głupiego, a on był rozumny, to ja za to płacę. Toż i ty nie powinieneś lekce ważyć rozumu Leendorfa. On jest daleko rozumniejszy, niżeli ty myślisz. On nawet wie daleko więcej o tobie, niżeli ty się spodziewasz. On jest na to przygotowany, że ty zechcesz zerwać, ale on się tego nie boi. On w takim razie areszt na ciebie położy i powie ci dictum acerbum, z Arystotelesa albo z Seneki, a może z Rakowa — a wtedy....

Na to Raczek zbladł jak ściana i zawołał zdławionym głosem:

— Jakto! to on wie....

— Wie pewnie. Sam mi to powiedział.

Wtedy młodzieniec zwiądł całkiem, siły go opuściły na chwilę, zatoczył się koło stołu i wpadł w fotel głęboki i niski, objął głowę obydwiema rękami, łokcie oparł na kolanach i tak siedział w milczeniu przez oka mgnienie. Wszakże po chwili płaczem wybuchnął i płakał głośno jak dziecko. Ciężki żal, skrucha i ból zmięły jego rogatą duszę i upokorzyły. Ale łzy są lekarstwem, płaczącemu należy dać się wypłakać. Blisko pół godziny trwał ten paroksyzm, przez który-to czas młodzieniec, choć już nie płakał, jednak nie ruszał się z miejsca i milczał. Poczem wstał, otrząsł się z bolu, jak mógł, i rzekł głosem skruszonym:

— Cóż chcesz? popełniłem błąd, do którego sam przyznać się muszę; winien jestem poddać się tej pokucie, którą los mi wyznaczył. Jutro kontrakt podpiszę, a zapewne za parę dni do Marsylji wyjadę.

— Sądzę, że w tem położeniu trudno inaczej postąpić — odpowiedziałem mu na to, usiłując go uspokoić. — Cieszę się, żeś się w ten moment na to zdecydował i przynajmniej w myśli ze swoim losem oswoił. Jest to nieoceniony przywilej młodości. Ale nie masz się czem tak bardzo frasować, nic złego ci się tam nie stanie.

— Travaux forcés? — rzekł Raczek, oddychając swobodniej — ale jeżeli à perpétuité? Non, mais trois ans, n'est-ce pas?

— Nie zdaje mi się, rok może. Tylko przez ten rok, panie bracie, z bardzo wielu powodów nie można się ruszać z Marsylii.

Tymczasem kiedyśmy tak rozmawiali, drzwi się otworzyły na ścieżaj i wtoczył się Rak, zasapany jak słoń i ocierając pot z czoła.

— Witaj-że Raku! — zawołałem do niego — twoi spólnicy już cię od wczoraj tu oczekują.

— A jużci byłbym wczoraj przyjechał — rzekł Rak — ale jakże chcesz z kobietami? Moja żona migreny dostała na drodze i musieliśmy nacować w Tryeście. I tutaj jesteśmy już od kilku godzin, ale pani się zachciało jeść obiad w domu. Tak minęło całe popołudnie i połowa wieczoru, a tymczasem dowiedziałem się, że z tobą sąsiadujemy, więc zajrzałem do ciebie.

Na wiadomość, że stryjenka także tu jest, Raczek fatalnie się skrzywił i zęby zacisnął; ale Rak wziął go w swoje objęcia i tak go witał serdecznie, jak gdyby własnego syna. I o zdrowie się pytał i patrzał mu w twarz, jak wygląda, a nawet z czułości krawatę mu poprawił na szyi, która się przekrzywiła. A obróciwszy się do mnie, dodał:

— To nasz dyrektor i najgłówniejsza podstawa naszej spółki. Jeszcze tam trochę szlacheckie fantazje hulają po głowie, ale nauczył się matematyki w szkole wojskowej, a matematyka każdego wkońcu nauczy rozumu.

Raczkowi widocznie ckliwe były te komplimenty, bo zaraz wziął kapelusz, powiedział nam, że jest zaproszony do burmistrza na wieczór, i wyszedł. I ja byłbym się także chętnie wymknął, ale trudno mi było wyprosić gościa z mego mieszkania. Zostaliśmy tedy sami, a on mi opowiadał znowu o spółce daleko szerzej i szczegółowiej, niżeli mnie to mogło interesować. Nareszcie rzekł:

— Ten Leendorf ma swoje wady fatalne, ale to muszę mu przyznać, że jak jaką organizacją sporządzi, to jest ona tak dokładna jak system słoneczny. Zresztą bydlę jest mimo swego całego rozumu. I ja także w duchy nie wierzę i w żadne się moralności nie bawię, ale ja mam na to pozytywne dowody; u niego jest to prosta negacja.

— W gruncie rzeczy to na jedno wychodzi — odpowiedziałem mu na to — sąd ludzki sądzić was będzie jednakowo, bo sądzi on tylko uczynki, z pobudek będziecie się spowiadać dopiero na sądzie Bożym.

Na te słowa Rak wziął mnie ostro na oko i rzekł z ironją:

— Przemówiłeś jak biskup. Obawiam się, czy nie zechcesz uderzyć mnie w łeb katechizmem.

— Nie, tego się nie potrzebujesz obawiać odemnie. Bo najpierw ja z zasady potępiam wszelkie dysputy religijne. Co jest artykułem wiary, nie powinno być nigdy artykułem rozumowania. Moja wiara jest dla mnie święta — cudzej zaś wierze taką samę nietykalność przyznaję, jak każdej innej własności. A potem, pocóżbym miał w walce z tobą uciekać się do argumentów metafizycznych, jak skoro pewny jestem, że cię pobiję argumentami, czerpanemi w obrębie twojej własnej nauki.

— A to bardzo ciekawe — rzekł Rak złośliwie. — Nasłuchałem ja się różnemi czasy już dosyć niby to filozoficznych wywodów przeciw tym filozoficznym zasadom, które naturalnym sposobem wypływają z nauk przyrodniczych, i znam tę muzykę, na wszystkich możliwych i niemożliwych graną instrumentach, ale mimo to chętnie jeszcze raz takiej pieśni wysłucham. Spodziewam się, że twój instrument uszu drzeć mi nie będzie, i nie zechcesz mnie w końcu wodą święconą pokropić, jak mi to zrobił Gerhardus tej wiosny, który wyrzucony zupełnie ze swojej kolei wytłumaczonym mu przezemnie prawem ruchu, chciał mnie koniecznie, jak dzikiego Indjanina, do wiary świętej nawrócić.

— Nie, ja nie jestem na misji i propagandą wcale się nie zajmuję. Nie chcę cię też żadnej rzeczy nauczać. Co najwięcej, to mógłbym ci powiedzieć, że cała twoja filozofia, oparta na prawach, które nauki przyrodnicze odkryły w świecie materji, ma niezaprzeczone, lubo dotychczas tylko częściowe uprawnienie w tychże samych nauk zakresie; ale staje się ona ogromnym obłędem, jak skoro ją chcesz zastosować do tego duchowego świata, o którym i ty, i tysiące twoich kolegów nie macie najmniejszego pojęcia, a którego ani teleskopami, ani mierniczemi narzędziami, ani też za pomocą rozbiorów chemicznych odkryć nie potraficie. Ty filozofią, uprawnioną

w świecie materjalnym, przenosisz w świat ducha — a to jest absolutną niedorzecznością. Ty szukasz Boga na niebie — a On jest w niebie.

— Ale gdzież jest ten świat duchowy — zawołał Rak — którego my nie widzimy? Pokażże mi choćby najmniejszy ślad jego istnienia. Ja przeszukałem wszystkie przestrzenie ludzkiemu oku dostępne, od wnętrza ziemi aż do gwiazd tych odległych, których światło potrzebuje dwanaście tysięcy lat, aby do nas dobiegło — i nigdzie nie znalazłem nawet najmniejszej skazówki istnienia takiego świata. Co więcej, przekonałem się, że nie masz żadnej takiego świata potrzeby. Wszędzie jest tylko materja, która według praw przyrodzonych ustawicznie się przekształca, przechodząc z jednych objawów w drugie, od mgły kosmicznej aż do rośliny, od wymoczków aż do człowieka. Wszystkie te objawy i przekształcenia same się z siebie tłumaczą i nie potrzebują wcale odnosić się do jakichś sił nadprzyrodzonych, którychbyśmy nie znali. Siła ciężkości, prawo ruchu i powinowactwa chemiczne tłumaczą ci tworzenie się światów i ich istnienie. Czułość materji, czułość tak wielka, iż na miljony mil działa, tłómaczy ci czułość tejże samej materji w organizmie człowieka. Siła ruchu, którą posiada materja, i która znamionuje niesłychaną energją, objawia się w człowieku jako wola, która nie jest czem innem, jak tylko skoncentrowaną energją. Ślady objawów przeszłych, które się zachowują widomie na tak zwanej materji martwej, tłómaczą ci owo działanie czysto fizyczne, za pomocą którego obrazy i myśli odbijają i zachowują się na naszym mózgu, a które my nazywamy pamięcią — a pamięć jest, jak wiadomo, początkiem i końcem całej inteligencji człowieka. Gdzież tu jest duch? i pytam się, na co jego potrzeba? Toż cały ten świat wasz duchowy i nadprzyrodzony jest tak samo czystem urojeniem, jak cnota w znaczeniu zasługi, jak występek w znaczeniu winy, jak wreszcie cała tak zwana moralność, której zasady ani śladu nie dojrzysz w całej naturze.

— Przepraszam ciebie — odpowiedziałem mu na to — ale ty mi na zarzut, jaki twojej nauce zrobiłem, nie odpowiedziałeś, tylko go wyminąłeś. Ja o błędach i niedostatkach, jakie się mogą w twojej dedukcji znajdować i rzeczywiście się w niej znajdują, wcale nie wspomniałem. Powiedziałem ci tylko, że twoja indukcja jest jednym ogromnym błędem, którego żadną argumentacją nie zbijesz. Ty przyrodniczym naukom wogóle daleko szerszy zakres naznaczasz, niż im się z prawa należy. *Nauki przyrodnicze mogą nas tylko o tem oświecić, co jest dane, lecz o tem, zkąd, przez kogo i dlaczego to, co jest, zostało dane, one ani jednego słowa nie wiedzą.* A ztąd wynika, że filozofja opierająca się na tych prawach, które w widzialnej odkryła naturze, i temi prawami chce przyczyny całego istnienia tłumaczyć, jest poprostu nieuprawnionem wdzieraniem się w dziedziny takie, które są dla niej jak najszczelniej i na zawsze zamknięte. Nauki przyrodnicze mają wszelkie prawo nauczyć nas, jakim sposobem stało się, rozwija się i żyje to, co istnieje w widzialnych dla nas objawach; ale nie mają najmniejszego prawa do postawienia zasady, że ponieważ tylko te a te siły są dla nich widzialne, inne siły nie istnieją, a nawet istnieć nie mogą; zaś postawienie takiej zasady jest jeszcze o tyle mniej uprawnione, ile że siły, dla nas widzialne, jeszcze wcale nie rozwiązują wszystkich zagadek, nietylko całego istnienia, ale nawet samego ruchu. „*Nauki przyrodnicze nie są tem polem, na któremby można rozstrzygać kwestye metafizyczne.*“ Nauki te jeszcze zapewne wyjaśnią bardzo wiele objawów fizycznych i fizjologicznych w organizmie człowieka; ale jak nigdy nas nie nauczą, kto podyktował prawa naturze, tak nam nigdy nie wytłumaczą, jakimby sposobem z samej materji mogła się wytworzyć świadomość siebie i samodzielna wola, która stawi człowieka o cały świat wyżej nad wszelkie inne stworzenie. Ztąd zdaje mi się, że jest to po prostu dziecinnem, chociaż nie całkiem niewinnem postępowaniem, jeżeli ktoś z praw tych, którym martwa ulega natura, chce wytworzyć kodeks filozoficzny dla ludzi, którzy oczywiście i niezaprzeczenie całkiem inne filozoficzne zasady mają, od natury wyryte, w swem przyrodzonem uczuciu i w swojem sumieniu. O tych zaś, którzy z tychże samych praw chcą wytwarzać kodeks moralny, już wcale mówić nie chcę, bo ci należą przed wcale inny trybunał....

— Jest to zdanie, jak każde inne — rzekł na to Rak — cóż ci mam na to powiedzieć? Chyba to tylko, że ścisłe nauki to mają do siebie, iż ich materjalne zdobycze dość szybko, ale moralne bardzo pomału się rozszerzają.

— To jest rzecz doświadczona. Ale kiedy to wiesz, to mnie dziwi, że podług tego nie postępujesz. Człowiek, żyjący w pewnem społeczeństwie zorganizowanem, ma tylko dwie drogi przed sobą: albo stosować się do tych zasad i pojęć, które zastał, albo też swemu społeczeństwu swoje zasady i pojęcia narzucić. Kto pierwszą z tych dróg iść nie chce, a drugą nie może, ten...

— Ten co?

— Ten prędzej poźniej karę za to odniesie.

— A od czego rozum?

— Rozum jest rzecz nieoceniona, lecz rozum ludzki jest wystawiony na tę niedogodność, że nie zawsze na wszystko czasu mu starczy, a oprócz tego że tylko dwojgiem oczu może się posługiwać. Jeżeli człowiek przez całe życie jest w wojnie z zasadami i z ludźmi, a jego rozum tylko raz czegoś nie dojrzy...

Na to Rak w głos się roześmiał.

— Idź też, idź! — zawołał on wstając — zawsze mnie masz za niespełna rozumu. Może też jeszcze Lendorf lub Raczek w pole mnie wyprowadzą przy napisaniu kontraktu spółki! No, ale to prawie już północ, a ja na jutro mam niemało roboty właśnie z tą spółką. Dobranoc.

* * *

Nazajutrz rano zaczęło mi się niepodobać w Wenecji. Przyjechałem był do tego miasta, aby zażyć spokoju — a tu tymczasem odrazu tyle się na mnie zwaliło znajomych.

Kto chce wytrwać w miłości dla ludzi, na bardzo ciężką wystawia się próbę, jeżeli zanadto często obcuje z tymi, którzy nie posiadają całej jego sympatji. Po południu zacząłem studjować kartę krajów sąsiednich i zastanawiać się nad tem, czy mam wyjechać do Meran czy do Florencji, kiedy wszedł Raczek.

Był on w tej chwili nadzwyczajnie zmieniony. Blady jak śmierć, zirytowany, zdenerwowany i tak roztargniony, jak gdyby był na pół nieprzytomny. Lecz widać było zarazem, że się nie poddaje tym złym duchom, które go chcą opanować, i broni się. Wszedłszy, położył kapelusz na stole i usiłował mówić o rzeczach codziennych, ale mu nie szło.

— Widzę, że znowu coś się tam porobiło — rzekłem do niego — spodziewam się, że nic takiego, coby mogło wpłynąć na los twego życia.

— To nie — odpowiedział młodzieniec z bolesnem uśmiechem — ale stryjenka odwiedziła mnie wczoraj wieczór, kiedy Rak był u ciebie. Przyszła ze swoją kamerjerą, jak stryjenka, i bardzo się zachowywała poważnie. Nawet mówiła poważnie: chce się z mężem rozwodzić.

Raczek patrzał na mnie przez chwilę, a potem spytał:

— To źle, nieprawda?

— Ani źle, ani dobrze. Takim zwrotem się kończą wszystkie tego rodzaju romanse, ale rzadko który się tak rozwiązuje.

— Że ten się tak nie rozwiąże, za to ci ręczę! — zawołał młodzieniec stanowczo. — Sądzę też, że mnie zrozumiała. Powiedziała mi wkońcu: Albo będziemy szczęśliwi oboje, albo oboje zginiemy, ale każde w inny sposób i każde z osobna. Natem'eśmy się rozeszli. Cóż mówisz na to?

— Nic. Tego rodzaju namiętności tylko czas leczy. Czas leczy je pewnie, ale trzeba się tak urządzić, aby mu nie przeszkadzać.

— Otóż to jest — rzekł Raczek. — To też i z tego względu bardzoby dobrze było dla mnie, wyjechać na jakiś czas do Marsylji. Ale i to nie tak gładko idzie, jakbym sobie już dzisiaj był życzył. Cały dzień dzisiejszy strawiłem z Rakiem u Leendorfa. Trutynowaliśmy kontrakt, który oni już napisali. Bardzo wiele rzeczy mi się w tym kontrakcie nie podoba, ale cóż? Ja nie prawnik, oni wszystko lepiej wiedzą odemnie, a oprócz tego jeszcze wcale mi mówić nie dali. Wszelako nie podpisałem jeszcze tego cyrografu i wziąłem go z sobą. Czy nie byłbyś łaskaw rzucić okiem na tę bazgraninę?

To mówiąc, podał mi ten dokument, na czterech arkuszach bitym charakterem spisany. Lecz kiedy go przeczytałem, nie mogłem wyjść z zdziwienia i z oburzenia. Sens bowiem tego kontraktu był ten, że Raczek wkładał miljon franków gotówką do spółki i stawał się swoich wspólników urzędnikiem, odpowiedzialnym za wszystko, a otrzymującym najmniejszą część zysku. Przekonawszy się, że na tym kontrakcie nie było jeszcze podpisów, odetchnąłem i położyłem go w milczeniu na stole.

— Cóż mówisz? — zapytał Raczek niecierpliwie.

— Ja mam zwyczaj — odpowiedziałem mu na to — nie podpisywać żadnego ważnego kontraktu, nie poradziwszy się przedtem dwóch adwokatów. Ten zaś kontrakt nie może być nigdzie indziej podpisany, jak w Marsylji, bo tam musi być zarejestrowany, a jest on wprawdzie po francusku, lecz nie w tej formie napisany, jakiej prawo francuskie wymaga.

— Ale mnie ogolili? nieprawda? — zapytał Raczek prawie kontent z tego spostrzeżenia.

— To ci najlepiej adwokaci powiedzą.

— Ale co tam! — zawołał młodzieniec, zrywając się nagle, chowając kontrakt do kieszeni i patrząc na zegarek — ja bez adwokatów nic nie zrobię, ale nic także nie zrobię bez dziadka. Dziadek się zna na kontraktach. Dopiero za dwie godziny pociąg odchodzi, mam jeszcze czas. Jeszcze dziś jadę do dziadka. Bądź zdrów! Bóg wie, czyli i kiedy się obaczymy!

To rzekłszy porwał za kapelusz i zniknął.

* * *

Przyszedłszy o zwykłej godzinie do obiadu, zastałem tam Raka z żoną i Leendorfa. Lecz byli tam także jacyś obywatele z Kroacji, z którymi obadwa szwagrowie spisywali także jakieś kontrakty o sprzedaż lasów dębowych. Toż byli niemi tak zajęci, że ani przed obiadem, ani po obiedzie wcale z nimi rozmawiać nie mogłem. Natomiast zająwszy miejsce obok stryjenki, zajmującą przez cały czas obiadu miałem z nią konwersacją. Była ona cokolwiek blada, ale ani z tonu jej głosu, ani z wyrazu jej twarzy niktby był nie mógł domyśleć się, jaki dramat odegrała wczoraj wieczór i jakie zapewne jeszcze teraz miotały nią namiętności. Ożywiwszy się widokiem kilkunastu obcych osób, nad któremi rozmaite dowcipne robiła spostrzeżenia, była nawet wesołą. Toż pod koniec obiadu, kiedy już wszyscy rozmawiali głośno, i kiedy mogłem być pewnym, że nikt nas nie słyszy, spytałem ją:

— Eh bien, et Raczek? l'avez-vous vu?

— Je l'ai vu hier soir — odpowiedziała mi cokolwiek sucho, ale całkiem otwarcie.

— Et il est venu vous voir aujourd'hui, pour prendre congé?

— Comment prendre congé?

— Mais il est parti.

— Comment parti? estce vrai? — zawołała z zdziwieniem.

— Rien de plus vrai. Il est parti par le train de sept heures trente.

— Ah! il est parti! le gamin! très bien! il est parti!

— Mais il ne tardera pas à revenir.

— Oh! non, je ne le crois pas.

— Alors, il n'a rien oublié cette fois-ci?

— Non, Monsieur — rzekła stryjenka z zaciśniętemi zębami — cette fois-ci, il a volé quelque chose et il s'est sauvé. Mais les voleurs, on les attrape toujours.

— Pour les ramener?

— Non, monsieur, pour les punir!

XII.

Zabawiwszy około czterech tygodni w Meran i otrząsnąwszy się tamże z ostatnich szczątków włoskiej malarji, w parę dni po Bożem narodzeniu powróciłem do Wiednia.

Wiedeń, jak powszechnie wiadomo, ma się za jednę z pierwszorzędnych stolic świata. Taką stolicą jeszcze dziś nie jest; jeżeli miasto, nie mające ani bezpośredniej ani bardzo bliskiej styczności z morzem, zdoła dostąpić takiego znaczenia, to może nią kiedyś zostanie; ale to mu przyznać należy, że jak jest po Paryżu pierwszą stolicą na kontynencie, tak jego produkcja, w niektórych gałęziach pracy, a mianowicie: w literaturze dramatycznej i jej przedstawieniu, w muzyce, architekturze i malarstwie wcale nie podrzędne zajmuje miejsce. Ktokolwiek przyjeżdża, albo po dłuższej niebytności powraca do Wiednia, ten nie powinien żałować czasu na zwiedzenie teatrów i koncertów, nowopowstałych gmachów i wystawy sztuk pięknych. Rafałów i Bounarottich w żadnym narodzie dziś nie ma; ale są zato całe setki artystów znakomitego talentu i ukształcenia, których utwory potrafią zawsze wzbogacić umysł myślącego człowieka, a nawet czasem w jego wrażliwem sercu wzniosłe obudzić uczucia.

Toż i ja w kilka dni po powrocie poszedłem odwiedzić wystawę obrazów. Znalazłem tam około tysiąca płócien lub więcej, przedstawiających przedmioty stokroć już obrabiane i pomysły oryginalne, dowcipne koncepty lub kompozycje wielkich rozmiarów, nad któremi z mniejszym lub większym pożytkiem strawiłem z półtorej godziny. Przeszedłszy potem do jednej z sal mniejszych, znajdującej się na ustroniu, zastałem tam miernej wielkości obrazek, naprzeciwko środkowej kanapy wiszący, który mnie bardzo sympatycznie ku sobie pociągnął. Był to utwor Breidwisera, młodego jeszcze, lecz pełnego talentu malarza, przedstawiający myśl, zawartą w małym wierszyku niemieckiego poety, Mikołaja Lenaua, myśl dziwnie głębokiej smętności, a kończącą się zwrotem prawie przerażającym. Ostatnie tło obrazu przedstawiało odległą okolicę po bitwie stoczonej, dymiące zgliszcza spalonych miast i podruzgotane narzędzia wojenne, porozrzucane ciała poległych i znikające pośród kurzawy ostatnie niedobitków szeregi; na pierwszym zaś planie widać było trzech jeźdźców na koniach, którzy z pola bitwy wracali. Wszyscy trzej byli ranni śmiertelnie, krew się sączyła po ich ubiorach, głowy mieli zwieszone na piersi i wyraz konający na twarzy, trzymali się razem, idąc razem w objęcia śmierci — a nad ich głowami krążyły trzy sępy, wietrząc w nich żer świeży dla siebie. Poeta przedstawiawiając tę myśl w dziesięciu dwuwierszach, które były przybite pod obrazem, kończy ją słowy: A sępy dzielą się łupem i skrzeczą do siebie chrypliwem głosem:

„Tego pożresz ty, tego ty, a tego ja.“

Obrazek ten sprawił na mnie głębokie wzruszenie, tem głębsze jeszcze, ile że obudził we mnie równie smętne wspomnienie owych trzech nieszczęśliwych młodzieńców, którzy przeszłego roku prawie tak samo zginęli po wielkiej bitwie przegranej we Włoszech. Chciałem usiąść, aby się temu obrazowi jeszcze przez chwilę przypatrzyć, i obejrzałem się za kanapą; lecz tam siedziała jakaś matrona, która wyciągnąwszy lewe ramię wzdłuż poręczy podwójnej kanapy, bez zmrużenia oka w ten obraz patrzała. Była ona całkiem czarno ubrana, miała włosy białe jak śnieg i twarz niezmiernie bladą, lubo dość pełną; lecz wyraz jej był pełen tak głębokiego, a zarazem tak spokojnego bolu, jakiego mi się nigdy nie zdarzyło widzieć pomiędzy ludźmi. Istna matka siedmiu boleści, jak ją widzimy na obrazach pierwszorzędnych mistrzów malarstwa — ideał chrześcijańskiej miłości, najwyższe uczucie szczęścia, wynikające z najgłębszego uczucia bolu. Czarne jej włosy tak pobielały nie w półtora roku, ale zapewne w dni kilka, może w godzinę, może w tem oka mgnieniu, kiedy jej straszliwą wieść przyniesiono, że jej synowie wszyscy trzej zginęli. Wtedy ból, ból niezgłębiony, ból nadludzki oblókł, jakoby czarną krepą, jej umysł i całą ziemię przed nią zasłonił — lecz anioł wiary ziemskie obłoki przed oczyma jej ducha roztrącił i pokazał jej wieczne szczęście w niebie zbawienia. Patrząc na nią, zdało mi, jakobym widział duszę ludzką, przez Boga zbawioną, lecz błąkającą się jeszcze na chwilę pomiędzy żywymi.

Kiedy przy niej usiadłem, spojrzała na mnie swojemi dziwnie spokojnemi oczyma, ale zapewne mnie nie poznała. Wszelako przemówiła do mnie, mówiąc bardzo pomału:

— Cóż to za piękny obrazek! Jest on zrobiony podług wieszcza Lenaua. Wiersz ten jest pod obrazem przybity do ramy. Zapewne pan go czytałeś. Ja go mam w rękopiśmie, Lenau sam mi go darował.

— Pani znałaś Lenaua?

— Oh! bardzo dobrze. Nim do Ameryki wyjechał, bawił przez parę miesięcy w Wenecji. Jeszcze teraz mi się przypomina głos jego grobowy, zawsze smętny, często przerażający. Był to człowiek wielkiego ducha, lecz małej wiary. Zawsze rozpaczliwe myśli go rozpierały, zaczął na umyśle chorować — i umarł potem z rozpaczy.

— Przypominam sobie — rzekłem jej na to — że jeszcze na krótki czas przed śmiercią, w chwili cokolwiek lepszego usposobienia umysłu, napisał był sonet, który całe jego usposobienie ducha maluje.

— Pamięta pan? — spytała pani Lerndorf ze swoim zwykłym spokojnym uśmiechem.

— Pamiętam jeszcze. Przedstawia on siebie w położeniu młodzieńca, który jest na balu; bal się skończył, goście już wyszli, światła już pogaszono, a on jeszcze stoi szałem upojony…

Dawno już zgasły mnogich świateł słońca:
W oddali tylko z ciemnością walcząca
Została lampa — jedna — konająca….
On się w nią wpatrzył, on jest jak zaspany,
Wyciągnął ręce po swój szał rozwiany:
Lecz z zbudzonego martwe szydzą ściany.

— Otóż to Lenau! — powiedziała matka Jadwigi — wyrzucił Boga z swej piersi, którego wielbił i przed którym się korzył za młodu, szukał go potem rozumem — nie znalazł — rozpacz go wzięła — i umarł.

Kiedyśmy to mówili, było już po trzeciej godzinie. Dzień chmurny, grudniowy, wszyscy goście już wyszli, byliśmy sami. Nie przypuszczając, aby pani Leendorf tu była sama, dziwno mi było, że ją samę zostawiono. Ale w tem dały się słyszeć kroki w sali przyległej i weszło dwie osób: był to pułkownik, prowadzący Jadwigę pod ramię. Niebawem za nimi wszedł Rak z żoną.

Pułkownik bardzo serdecznie witał się ze mną, ale uważałem, że mówił bardzo poważnie i wcale inaczej był nastrojony, niżeli go widziałem w Rakowie. A kiedy go spytałem, czy zamierza przez cały karnawał zabawić w Wiedniu, odpowiedział mi:

— A niechże Pan Bóg mnie broni! Ja już moich ludzi w Augustowskie wysłałem i tam zimę przesiedzę, a może też z parę miesięcy w Warszawie. Ale tu za nic w świecie. Wątpię też, abym się jeszcze kiedy w mem życiu z Polski wyruszył.

Na to Jadwiga przystąpiła do mnie, pytając:

— Czy mama pana poznała?

— Zdaje mi się, że nie.

— Proszę pana bardzo — rzekła na to uprzejmie wnuczka pułkownika — nie brać jej tego za złe. Od niejakiego czasu pamięć ją czasem zawodzi, ale ja jej w domu pana przypomnę. Spodziewam się przecież, że pan nas odwiedzi.

Stryjenka zdawała mi się sztywną, a nawet zachmurzoną cokolwiek, ale zato Rak był w przedziwnym humorze. Kiedy pułkownik siadł koło córki, aby przed wyjazdem cokolwiek odpocząć, Rak wziął mnie pod ramię, prosząc mnie, abym poszedł z nim oglądnąć modele gzymsów, kolumn i dekoracyjnych posągów, które także się znajdowały na wystawie i były umieszczone po korytarzach, a między któremi chciał zrobić wybór do kamienic, jakie zamierzał budować z wiosną na gruntach, zakupionych w Wiedniu. Idąc zaś powiedział mi:

— Jak tylko nam doniesiono, że powróciłeś do Wiednia, zaraz byliśmy z moim ojcem u ciebie. Znajdziesz nasze karty w domu. Memu ojcu się roi po głowie podróż w Augustowskie. Lecz jestem pewny, że te projekty porzuci i zimę przesiedzi w Wiedniu. My także. Teraz mamy tam jeszcze jakieś familijne interesa do załatwienia, które nas przez parę dni zajmą; ale potem nie będziemy mieć nic do czynienia, spodziewam się zatem, że się często będziemy widywać. Wtedy też będę miał zaszczyt wyłożyć ci całą i zupełną naukę o czułości materji w odniesieniu do organizmu człowieka i wykazać ci, że nawet przeczucia, jeżeli je ludzie istotnie miewają, polegają na materjalnej zasadzie. Wtedy też naprawię to złe wrażenie, jakie ci zostawiłem w Wenecji, nie dawszy ci żadnej odpowiedzi na twoje moralne dogmata. Ale trudno mi było wdawać się w długie dyskusje o północy i w chwili takiej, kiedy głowę miałem zajętą spółką handlową.

— A cóż się stało z tą spółką?

— Ze spółką? — rzekł Rak. — Ja nie wiem. Ale jeśliś ciekawy, to spytaj się o to Jadwigi.

— Mój drogi Raku! — zawołałem na to — jak też ty się błąkasz pomiędzy ludźmi, jak w lesie! Ja także nie wiem wszystkiego, ale o tem cię mogę upewnić, że podejrzenie to, jakie rzucasz na Jadwigę, jest całkiem nieuzasadnione.

— A co mnie tam do tego — zawołał Rak — mnie wszystko jedno. Moje dęby nie potrzebują się prosić o kupca.

Pokazując mi gzymsy i posągi, opowiadał mi szeroko i długo i z najżywszem zajęciem, jakie to ogromne będą te kamienice, które zamierza budować.

— Trzeba ci bowiem wiedzieć — mówił dalej — że ja tej jesieni zrobiłem sobie cały kurs budownictwa. Teraz zaś studjuję koszta i inne warunki budowy w Wiedniu. Nie mogę przecież dać się przedsiębiorcom oszukać. I obaczysz, jakie to piękne będą te domy, jak tanio mnie będą kosztować i jak wiele mi będą przynosić.

Człowiek ten ogromnie pracował, lecz wszystkie jego prace, pomimo to, że mu nie brakowało zdolności nadania im wyższych celów, wytężone były ku temu, aby gromadzić pieniądze. Powiedziałem mu to oględnie, dodając:

— Idziesz per aspera, ale nie ad astra.

Na to Rak w głos się roześmiał i zawołał:

— Oh! tam się wcale nie spieszę. Ale ty chciałeś mi dać co innego do zrozumienia, chciałeś powiedzieć, że praca moja mogłaby dążyć do innych celów, obok czysto materjalnych.

— Kiedy mnie ciągniesz za język, to ci powiem, że jestem zdania, że nagromadziwszy w pocie swojego czoła i w pocie czoła innych ludzi tak wielki majątek, mógłbyś teraz pomału przejść do zasady, że pieniądze powinne być środkiem, a nie celem.

Rak rozśmiał się i mówił:

— Ale ty nie masz wyobrażenia, ile moja żona wydaje.

— To widzę. Ale na to ci suto wystarcza.

— A jak jeszcze więcej wydawać zechce?

— Ah! jeśli wydatki te granic nie mają...

— Nie! ale powiedz mi szczerze — rzekł Rak, biorąc mnie za rękę — nie jest to najpiękniejsza i najlepsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałeś na świecie?

Lubo nie przygotowany na takie pytanie, odpowiedziałem bez namysłu:

— Nie masz wątpienia.

— No, to widzisz — rzekł Rak — zostaw że mi tę słabą stronę, jedyną zresztą, jaka mi jeszcze została.

Z tem poszliśmy resztę towarzystwa odszukać i odprowadziliśmy je do powozu. Przed pałacem wystawy trzy powozy na nich czekały, wykwintne i okazałe z strzelcami w srebrzystych mundurach i wyzłoconą liberją. Dziadek miał swój punkt honoru i pod tym względem. Pani Leendorf już się ze mną żegnała, jak ze znajomym, pułkownik sobie staropolską gawędkę u mnie zamówił, Rak, cały rozpromieniony, usadowił się koło swojej żony w karecie, tylko stryjenka była ciągle pochmurna i zamyślona, czego sobie nie mogłem wyjaśnić przyczyny.

Kiedy nareszcie i mój powóz zajechał, i miałem już wsiadać, ktoś mnie chwycił za ramię i zatrzymał: był to Raczek.

— Skądże to wyskakujesz tak nagle — zapytałem go, śmiejąc się, bo miał minę wesołą — brakowało tylko, abyś zaszczekał.

— Z za płota — rzekł Raczek — rzeczywiście z za płota. Bo wyobraź sobie, już od kilku dni tutaj jestem, a jeszcze się nie widziałem z Jadwigą.

— A to dlaczego?

— Wszystko ci powiem — odpowiedział młodzieniec; a że było sucho i ciepło, chociaż pochmurno, więc szliśmy pieszo ku miastu.

— Więc tedy spółka nie przyszła do skutku?

— A nie przyszła — odpowiedział mi Raczek. — Przed wyjazdem z Wenecji napisałem list do Leendorfa i Raka, że kontraktu bez dziadka nie podpiszę, i pojechałem prosto do Rakowa. Dziadek bardzo mi to postępowanie pochwalił, kazał sobie kontrakt przeczytać, kiwał głową i mruczał, potem adwokata sprowadził z Zagrzebia, długo go konsultował bezemnie, a po tej konsultacji rzekł do mnie: — Na co to tam te spółki. Zamieszkiwać w Marsylji i kupiectwem się bawić, to nie ma sensu dla szlachcica. Jabym sobie życzył, żebyś się przyzwoicie ożenił i na ojcowskim osiadł zagonie, a czegoś się za granicą nauczył, abyś to zawiózł do kraju. — Byłto tedy moment, kiedy się trzeba było wyspowiadać przed dziadkiem in puncto Jadwigi....

— Cóż tedy dziadek?

— Dziadek się wcale nie gniewał. Owszem oczy mu się uśmiechały, pokręcał wąsika i mówił: — Niepotrzebnie tak kręcisz; mnie nie okłamiesz. Zbałamuciłeś asińdzi dziewczynę, a kiedyś się do niej za blisko przyłasił, Leendorf cię z czółna wyrzucił. I miał racją, nie ma co mówić, bo to nie cyganka.

— Dziadek tedy zawsze jeszcze cię ma za swego rywala u cyganki.

— Niestety! — zawołał Raczek z westchnieniem — nie dlatego niestety, żeby mi to co szkodziło u niego, bo to tam żarty z jego strony. Ale mi to odebrało odwagę, wyspowiadać mu się ze wszystkiego. Prosząc go o protekcją, byłem winien to zrobić. On w gruncie rzeczy stryjenki nie lubi, bo stryjenka w Boga nie wierzy. Wiedząc sam dobrze, co to jest młodość, byłby mi błąd ten przebaczył. Ale znów, z drugiej strony, jest to jego synowa; dziadek ma punkt honoru.... Pasowałem się z sobą, ale nie mogłem się zdecydować.

— Jeżeli się ta historja nie wyda, to lepiej, żeś nic nie powiedział. Ale jeźli się wyda....

— A jakim-że sposobem może się wydać?

— Nie wiem. Sądzę tylko, że nie jest to niemożebnem.

— Ale gdzież-tam! Ja byłem u Raka i stryjenkę widziałem. Bardzo mnie grzecznie przyjęła, sama mi o mojem ożenieniu mówiła, winszowała mi nawet, chwaliła bardzo Jadwigę... Jeżeli tam co bolało, był już przebolało.

— Jakże się tedy skończyło z dziadkiem?

— Otóż dziadek powiedział mi naprzód: — Głupstwoś zrobił asińdzi, żeś się pokłócił z Leendorfem. Jest to człowiek uparty, a czasem nawet zawzięty. Trzeba się nad tem namyśleć. — Tak się namyślał przez dwa tygodnie. Tymczasem Rak wrócił z Wenecji, i zdaje się, że Rak mnie silnie poparł u dziadka. Nie z miłości dla mnie, ale na złość Leendorfowi. Jakoż dziadek jednego dnia mi powiedział: — Wolałbym, żeby tego nie było, ale już ja cię nie opuszczę w tej tarapacie. Wezwę ja Leendorfa do Wiednia, wezmę sobie do pomocy hrabiego Mercy i biskupa, złożymy radę familijną, rada familijna zastąpi matkę, mój głos i matki przecież w końcu przeważy. A potem co tam! Ja sam wszystko przeważę! Ten tam Niemczura opozycji mi przecież robić nie będzie. Tak więc Rak sam zaraz do Leendorfa napisał; ale było to błędem, bo Leendorf z drwinami odpisał, a nawet dodał, że za parę dni córkę napowrót do Wenecji zabierze. Widać też z tego listu, że Leendorf się wścieka na Raka, podejrzywając go, jakoby on sam cieszył się z tego, że się spółka rozbija. Jednakże na to wzburzył się dziadek, natychmiast zatelegrafował do Leendorfa, aby do Wiednia przyjeżdżał, inaczej Jadwigę wyda za mnie bez niego, a nazajutrz wyjechaliśmy wszyscy do Wiednia.

— Na czem-że dzisiaj rzecz stoi?

— Wszystko już jest gotowe — rzekł Raczek z zadowoleniem. — Dziadek stanął u swojej córki, która ma pałac w Doebling o trzydziestu kilku pokojach, i tam swoję główną kwaterę założył. Przyjechał bowiem z końmi i z ludźmi, ze swoją kuchnią i psiarnią, zgoła z całym taborem. Nie chce już do Rakowa powracać, już mu się tam uprzykrzyło. Zabiera nas z sobą w Augustowskie. Zakwaterowawszy się, jak należy, porobił naprzód wizyty u wszystkich kardynałów i gubernatorów cywilnych i wojskowych, z którymi zawsze w dobrem jest zachowaniu. Potem rozmówił się spokojnie i gruntownie z biskupem, potem z panem Mercy i panią Mercy, a zapewniwszy sobie ich pomoc i poparcie, jutro przystępuje do czynu. Leendorf także już wczoraj przyjechał i stanął w hotelu, oczywiście się dąsa na dziadka. Rak także stoi w hotelu. Ale wszystko to jutro o godzinie dziesiątej rano zjedzie się do dziadka, Mercy i biskup mają mnie oświadczyć, poczem zaraz spisze się intercyzę, potem po mnie poszlą, ja przyjeżdżam, rzucam się do nóg rodzicom i dziadkowi, przyciskam Jadwigę do piersi, daję na zapowiedzi — a w trzy tygodnie ślub się odbywa. O hucznem weselu zapewne trudno będzie pomyśleć ze względu na matkę; ale kto wie? Dziadek, będąc u mnie dziś rano, powiedział mi: — A na wesele postarasz się o dobrą kapelę, bo to rzecz pana młodego. Jeszcze i ja pójdę w taniec ostatni raz w życiu.

— Tak więc dziadek wszystko mądrze ułożył — odpowiedziałem mu na to. — Ci nasi dziadkowie, trzeba im oddać tę sprawiedliwość, mieli rozum doskonały i

żadnej filozofji do tego nie potrzebowali. I rozum ich był subtelniejszy i oględniejszy, niż nasz....

— Oh, dziadek jest nadzwyczajnie oględny i delikatny, chociaż przytem stanowczy, gdy trzeba. Kiedyśmy przyjechali, z góry mi zapowiedział: — A waści ani noga nie postanie u mojej córki. Bo kiedy ojciec jest temu przeciwny, to należy nam jego wolę szanować, aż póki jej nie odmieni. Tem też go sobie cokolwiek zyskamy. Bo ja nie tchórz, jak wiadomo, ale też także nie burda; do wojny biorę się dopiero natenczas, kiedy nie mogę sprawy załatwić w spokoju. A zato potem, kiedy już wojna, to biję tak, żebym zwyciężył. — Ztąd poszło, żem dotychczas jeszcze nie widział Jadwigi, jak tylko z za płota — dokończył Raczek — ale cóż? myślisz, że dziadek zwycięży?

— Jestem tego pewny i bardzo się z tego cieszę.

I takeśmy się rozeszli.

* *
*

Nazajutrz istotnie wszystko się tak dziać zaczęło, jak było ułożone. Ale niestety! nie zawsze się wszystko tak kończy, jak sobie tego życzymy; bo życie ludzkie na tej ziemi ulega takiemu nieszczęśliwemu prawu, iż daleko częściej, niemal zawsze, najrozumniejszym naszym zamiarom nieprzewidziane wypadki zachodzą drogę, a prawie nigdy rzeczywistość się tak nie rozwija, jakeśmy ją w głowie naszej ułożyli. Na przewidzeniu i usunięciu z góry wszystkich możliwych trudności polega właśnie mądrość człowieka — a taka mądrość tylko wyjątkowym ludziom jest dana. Pułkownik i Raczek bardzo rozumnie zrobili, iż nie lekceważyli możliwego oporu Leendorfa i zapewnili sobie naprzód owe powagi, które go mogły zmusić moralnie do dania zezwolenia swego na to małżeństwo. Ale na przewidzenie wszystkich możliwych wypadków Raczek był za młody, a dziadek za stary. Tak więc zrobili obadwa, co mogli, a resztę zostawili swojemu szczęściu i losowi.

Pani Leendorf posiadała rzeczywiście bardzo okazały pałacyk w Doebling, w bliskości domu obłąkanych, o którym wszelako nic nie wiedziała. Na dole znajdowały się pokoje mieszkalne, z których było wyjście do oranżerji, i tu miała ona dość pomieszczenia dla siebie i córki. Na pierwszem piętrze zaś były apartamenty do recepcji, sześć salonów w enfiladzie, z których ostatni był połączony z ogrodem zimowym, a przez wschody żelazne z oranżerją, a oprócz tego było jeszcze kilka pokoi mieszkalnych. Tam dziadek założył swoję rezydencją, która też była dość przyzwoitą do przyjęcia gości nawet najznakomitszych, a przeto odpowiadała zupełnie jego ambicji.

Jakkolwiek inne osoby miały przyjechać dopiero o godzinie dziesiątej, stryjenka przyjechała już o wpół do dziesiątej. Witając się z Jadwigą, zapewniała ją, że się niecierpliwiła, być jak najprędzej przy niej w dzień tak uroczysty, i dlatego przyjechała tak wcześnie. Jadwiga nie miała sympatji dla stryjenki, a widok jej nigdy dla niej nie był przyjemnym. Lecz stryjenka prócz tego miała czarną suknię na sobie, białemi koronkami ozdobną, strój znaczeniu dnia dzisiejszego wcale nie odpowiedni. Była przepasana pasem czarnym skórzanym, u którego wisiał tym razem, nie ów maleńki sztylecik, któryśmy niegdyś widzieli, ale sztylet wcale przyzwoitej długości. Była przytem niezmiernie blada, usta miała zsiniałe, oczy popodbijane, zgoła wyglądała tak, jakby po nocy przepędzonej bezssennie, wśród jakiejś orgii fizycznej, albo też walki z własnemi namiętnościami. Jadwiga tak się jej przestraszyła, że nawet nie mogła z nią spokojnie rozmawiać, i mimowoli ciągle się tuliła do matki. Nie wiedząc, co począć ze sobą, przeprowadziła ją i matkę przez oranżerją do zimowego ogrodu na pierwsze piątro, a ztamtąd do przyległego salonu, aby być bliżej dziadka. Ale tymczasem Rak przyjechał i wszystkich rozruszał i rozweselił. Zaraz za nim przybył Leendorf, który wszelako tylko krótko się z damami przywitał, ścisnął Raka i jego żonę za rękę i zaraz poszedł do dziadka, dla którego z wielką był rewerencją. Dziadek go przyjął w drugim salonie od wejścia, który o cztery salony był odległy od zimowego ogrodu, ale był największy i najokazalszy. Leendorf bardzo nisko się kłaniał pułkownikowi, ten zaś przyjął go z głową podniesioną do góry i wielką powagą, której dziś, jak się zdaje, więcej potrzebował niż kiedykolwiek.

O godzinie dziesiątej przyjechał Mercy w wielkiej paradnej karecie, ze służbą wygalonowaną, w pudrowanych perukach, i przywiózł biskupa ze sobą. Pułkownik witał ich z ostentacyjną atencją i na kanapie posadził. Leendorfowi przysunął fotel i mówił jakiś czas o pogodzie i nowinach bieżących. Wszakże niebawem Mercy głos zabrał i w bardzo pięknej przemowie, pełnej pochwał dla starożytnej i zasłużonej rodziny Leendorfów, podniósł wszystkie zalety panny Jadwigi; poczem przeszedł do pochwał dla równie znakomitej i zasłużonej rodziny hrabiów Rakowskich, podniósł zalety Raczka, położył nacisk na jego wcale pańską fortunę, napomknął zlekka, jako się podejmuje wyrobić mu te i owe tytuły i godności, a skończył prośbą w jego imieniu o rękę córki Leendorfa. Kończąc zaś, obrócił się do pułkownika i delikatnym zwrotem dał do zrozumienia, że jakkolwiek ostatnie słowo mają powiedzieć rodzice, jednak przystoi, ażeby dziadek, jako głowa rodziny, wypowiedział pierwszy swe zdanie.

Podczas tej dosyć długiej przemowy wszedł Rak do salonu, lecz pokłoniwszy się obecnym, siadł w fotelu w milczeniu i słuchał. Wszelako wkrótce po nim weszła także stryjenka i także powitała obecnych, lecz do narady nie zasiadła, tylky ciągle przechodziła przez salon tam i napowrót, słuchając raz z lewej strony, a drugi raz z prawej; zgoła widocznie zależało jej na tem, aby być blisko tego salonu. Ktoby był teraz uważnie na nią popatrzył, byłby się jej jeszcze więcej przestraszył, niżeli przedtem Jadwiga; oczy jej bowiem wcale nie ludzkiem błyszczały światłem, ustawicznie przygryzała wargi, a kiedy się znajdowała sama w którym z przyległych salonów, to ręce łamała i zaciskała pięści, jakby była w konwulsjach. Ale

obecni byli czem innem zajęci i wcale na nią nie zwracali uwagi.

Na tak piękną przemowę pana Mercy dziadek odpowiedzieł równie wymownie, dziękując jemu za tak pochlebną o obydwóch rodzinach opinią, zezwalając na ten związek w swojem i matki imieniu i oddając głos ojcu, ale dodając zarazem, iż ponieważ w dzisiejszych czasach majątkowe sosunki nie mogą być obojętne, więc życzyłby sobie, ażeby Leendorf, nim wyda swój wyrok, pozwolił zawiadomić się o stanie fortuny pana młodego, jako też o nadziejach, jakie jeszcze na przyszłość mieć może. Po tej odpowiedzi dziadek zaprosił wszystkich do dużego stołu, który umyślnie na to przygotowano w rogu salonu.

Stół ten był zielonym nakryty dywanem, a na nim porozkładane rozmaite papiery, jako to: metryki, akty obywatelstwa, dziedzictwa, szacunki dóbr, wykazy dochodów, kwity depozytowe i inne, świadczące o stanie fortuny Raczka — a obok nich białe arkusze papieru do zapisania głównych punktów ślubnego kontraktu. Wszyscy się tedy przesiedli do tego stołu, a dziadek zabrał głos i w krótkich słowach wyłożył wszystkie szczegóły, które mogły ojca obchodzić.

— Co do majątku panny — rzekł na to Mercy, jako swat pana młodego — to Raczek nie wymaga na teraz żadnych wyjaśnień, a nawet takowych wymagać nie będzie za życia rodziców; bo najpierw ma, dzięki Bogu, sam dostateczny majątek, aby się obyć bez posagu, a potem panna młoda jest jedynaczką, więc się samo przez się rozumie, że po najdłuższem życiu rodziców odziedziczy po nich ich całą fortunę.

Na to odezwał się dziadek:

— Co do mego majątku, który także coś znaczy, mogę panom to tylko powiedzieć, iż moim zamiarem jest podzielić go w równych częściach pomiędzy mego syna i córkę; lecz muszę dodać, że według praw naszych synowi memu, jeżeli tego zażąda, należeć się będzie część większa....

— Proszę mi pozwolić tę sprawę wyjaśnić — rzekł na to Rak. — Ja mam od lat kilkunastu zawsze gotowy testament. Jaka jest jego treść, to tutaj nie należy do rzeczy; tylko to mogę powiedzieć, że w nim nie obejmuję nigdy tego majątku, który jest w posiadaniu mojego ojca.

— To bardzo ładnie! — zawołali razem Mercy i biskup, kłaniając się Rakowi, i zwrócili oczy swe na Leendorfa.

Leendorf zabrawszy głos, dziękował najpierw wszystkim obecnym, iż raczyli się zająć losem jego córki, lecz dodał zaraz: jakkolwiek panienka ta jest jeszcze zanadto młoda, albowiem dopiero kończy rok ośmnasty, a przeto mogłaby czekać wcale spokojnie, póki jej się nie trafi partja, odpowiednia ze wszystkich względów. Potem przeszedł do Raczka i chwalił bardzo jego materjalne przymioty, chociaż takowe nie są jego zasługą, jako to: majątek, postać zewnętrzną i zdrowie fizyczne. Lecz co do jego przymiotów moralnych, tym miałby to i owo do zarzucenia. Leendorf mówił bardzo oględnie i w doborowych wyrazach, lecz mimo to dał do zrozumienia, iż wychowanie Raczka, wychowanie wojskowe i francuzkie nie posiada jego sympatji.

Słysząc takie oskarżenie przeciwko wojskowości, dziadek zlekka się zarumienił i oczy szerzej otworzyl; ale Leendorf, chociaż to doskonale uważał, wcale się tem nie dał zbić z tropu. Był to stary biurokrata, miał swój referat gotowy; recytował go więc bez względu na to, jakie na stronach zrobi wrażenie. Jakoż zaraz z kolei za wielki to poczytał występek Raczkowi, że poszedł służyć w armii samozwańczego króla włoskiego i bił się przeciwko Austrji i Papiestwu. Wydając córkę za takiego człowieka, który takim czynem rozpoczął bieg swego życia, musiałby wmówić w siebie, iż został moralnie zmuszonym do zezwolenia na to małżeństwo, albowiem dobrowolnego zezwolenia nie mógłby nigdy usprawiedliwić przed swojem własnem sumieniem. Nie podobało mu się dalej, że Raczek od półtora roku paniczowskie prowadzi życie, żadną nie zajmuje się myślą, żadną pracą, a przeto żadnej nie daje rękojmi, że gdy się ożeni, zajmie poważne stanowisko w społeczeństwie. Prócz tego jeszcze zachodzi tutaj ta wielka niedogodność, iż właściwie nawet nie wiedzieć, do jakiego społeczeństwa Raczek należy; jest bowiem wszędzie, gdzie go nie trzeba, ale nie widać, gdzie się znajduje jego bytu podstawa. Tę podstawę ma on w swoich dobrach, na Podlasiu, i obiecuje odtąd tam się stale osiedlić; wszelako nie jest to wcale los godny zazdrości dla jego córki, przenosić się w kraj półdziki, pod każdym względem od świata cywilizowanego niezmiernie daleko odległy i nie obiecujący wcale jego córce tych przyjemności życia, jakich już skutkiem swojego wychowania wymagać ma wszelkie prawo.

Podczas tej bezwzględnej wycieczki Leendorfa przeciwko Podlasiu dziadek usta cokolwiek otworzył i prawe oko przymrużył, a był to znak bardzo niedobry u niego. Bo dziadek tylko wtedy prawe oko przymrużał, kiedy kurek odwodził — a wtedy też, czy to ze strzelby, czy też bez strzelby, zaraz palił do zwierza. Jakoż wszyscy obecni tem się cokolwiek zmieszali. Tylko stryjenka, która tej całej przemowy z wielką uwagą słuchała, stała oparta o drzwi ostatniego salonu — i stała jak statua z głową podniesioną do góry, z błyszczącemi szyderczym blaskiem oczyma i napół otwartemi ustami, z pomiędzy których widać było obydwa brzegi zaciśniętych zębów, białych jak perły. Ale Leendorf jeszcze nie skończył; wymowa jego płynęła, jak rzeka, coraz szerzej i raźniej, coraz burzliwiej i głośniej, jak gdyby się do wodospadu zbliżała.

— To są tedy zarzuty — mówił on dalej — jakie mam do zrobienia konkurentowi, i zapewne mi panowie przyznacie, że jako ojciec miałem prawo, a wobec was miałem nawet obowiązek złożyć wam dowód, jak sumiennie, jak skrupulatnie chcę postępować, mając stanowić o losie całego życia tego jednego dziecka, które mi pozostało. Mimo to wszakże nie mam się za nieomylnego, a kiedy

tak zacni i tak doświadczeni mężowie tego młodego człowieka na zięcia mi zalecają, zezwalam...

Przy tem słowie wszyscy żywo się poruszyli, i stryjenka także zrobiła krok naprzód; ale Leendorf jeszcze nie skończył, podniósł rękę do góry i rzekł:

— Zezwalam, ale pod jednym warunkiem. Oto całemu światu wiadomo, w Kroacji, Illirji i Dalmacji wróble o tem na dachach spiewają, w Wiedniu wie całe towarzystwo i w Paryżu nie jest to tajemnicą, że Raczek od kilkunastu miesięcy w niepozwolonych żyje stosunkach z żoną hrabiego Raka...

Gdyby piorun był z nieba uderzył w ten stół, zielonym nakryty dywanem, nie mógłby był straszliwszego sprawić wrażenia. Wszyscy, jak porażeni, na równe nogi się zerwali, dziadek wpoił wzrok przestraszony w Leendorfa i zawołał:

— A co to?!

Rak zaś zerwał się jak sparzony z fotelu, nabiegł krwią cały, wygiął się wpół ku swemu szwagrowi i zawołał:

— Łżesz, gadzino!

Tymczasem dziadek, pierwszy ze wszystkich, odzyskał przytomność umysłu i był jak żołnierz wśród gradu kul. Był on wspaniały w tej chwili. Podniósł głowę do góry, i zdawało się, jakby wyrósł nad wszystkich; twarz jego oblała się srogim, ale spokojnym wyrazem, widać było, że objął komendę. Tak stojąc obok stołu, najpierwej wziął swoję synowę na oko i zawołał;

— Eh bien, Madame! a vous la parole.

Stryjenka wyglądała w tej chwili nie do opisania. Była ona jakoby w febrze, drżała na całem ciele, zęby jej drgały i dzwoniły, ale umiała jeszcze o tyle się opanować, że rzekła głosem stanowczym:

— Leendorf prawdę powiedział! ja nigdy nie dopuszczę tego małżeństwa. Już wczoraj podałam o rozwód. Oto jest skarga....

A to mówiąc, rzuciła na stół zwitek papierów.

Lecz w tej chwili zerwał się Rak i rzucił się ku niej. Wyglądał on jak dziki zwierz, twarz jego była fioletowa, jego głęboko osadzone oczy wystąpiły na wierzch i iskry z siebie sypały, usta miał otwarte, a zęby ściśnięte, wyciągnął ku niej obydwie ręce swoje olbrzymich rozmiarów i oczewiście chciał ją porwać za ramiona i rzucić do ściany. Gdyby był ten zamiar wykonał swojemi herkulesowemi ramiony, byłby ją rozbił na miazgę i zabił. Ale pułkownik w ten moment lewe ramię wyciągnął wskos jego piersi i nie dopuścił napadu. Rak omdlał, poczuwszy rękę ojcowską na sobie, a dziadek rzekł do stryjenki:

— Madame! C'est tout ce que j'ai pu faire pour vous. Votre voiture vous attend.

Stryjenka zastanowiła się przez oka mgnienie, ale natychmiast się obróciła i wyszła. Pułkownik ją odprowadził przez ostatni salon do przedpokoju, gdzie zapewne dał odpwiednie rozkazy służącym, aby ją odprowadzili do powozu.

Kiedy wrócił, Rak upadł był w fotel, w którego głąb się zasunął, zakrywszy twarz swoją szeroką dłonią. Leendorf stał niedaleko i patrzał na niego prawie z takim samym wyrazem na twarzy, z jakim Rak niegdyś przypatrywał się jego aresztowaniu na Campo Santo w Bolonji. Mercy i biskup, niezmiernie zakłopotani, trzymali już kapelusze w ręku, aby się pożegnać. Pułkownik rzucił pogardliwym wzrokiem na syna, obdarzył swojego zięcia jeszcze pogardliwszym spojrzeniem, lecz zaraz przystąpił do biskupa, wziął go za obydwie ręce i rzekł:

— Mój stary przyjacielu! zrób mi tę łaskę, jedź w ten moment do księcia Kardynała i wyrób pozwolenie dla państwa młodych do wzięcia ślubu bez zapowiedzi.

Leendorf spojrzał na to przymrużonemi oczyma na pułkownika; lecz dziadek obrócił się tyłem do niego, tak że go prawie plecyma dotykał, i rzekł do pana Mercy:

— A ty, zacny hrabio, wyświadcz mi tę przysługę i udaj się do władzy cywilnej, aby mi z tej strony nie robiono trudności.

Mercy, zdawało się, jakoby nie pojmował dobrze takiego zwrotu, ale biskup wszedł natychmiast w myśl pułkownika i spytał:

— Kiedyż ma się ślub odbyć?

— Dziś jeszcze! — zawołał dziadek — dziś, choćby o północy. I dzisiaj jeszcze wyjadą państwo młodzi w te pół-dzikie kraje, które u pana ojca łaski nie mają.

Leendorf spojrzał na to niespokojnemi oczyma na dziadka, lecz dziadek ostro przystąpił do niego i rzekł gniewnie:

— Mości panie! a co to ma znaczyć? czy jeszcze drugą popełnić chcesz zbrodnię?

Na to Leendorf porwał gniewnie za kapelusz i nie powiedziawszy ani słowa, wyszedł z salonu i zaraz odjechał.

— Dziś jeszcze, koniecznie — rzekł dziadek do obudwu swatów — spodziewam się, że mnie jeszcze nie opuścicie.

— Za dwie godziny — rzekł na to biskup, ściskając pułkownika za rękę — za dwie godziny najdalej przywiozę panu wszystkie dyspensy i sam dam ślub w tutejszym kościele. Proszę na to liczyć z pewnością i przygotować wszystko po temu.

Zaczem zabrał metryki ze stołu, starego Mercy pod ramię, i zaraz obadwa wyjechali. Pułkownik ich wyprowadził aż do bramy, a potem na górę powrócił. Przechodząc przez salon, w którym Rak siedział półmartwy w fotelu, ledwie spojrzał na niego, mruknął sobie pod nosem: Astronom, z respektem... i poszedł do ostatniego salonu, gdzie się znajdowała pani Leendorf z Jadwigą.

Ale w salonie już był Raczek, który gdzieś czekał za płotem, zniecierpliwił się i wkradł się przez oranżerją i ogród zimowy na pierwsze piątro. Będąc pewni, że dziadek już wszystkie przeszkody usunął, a teraz już tylko spisuje się intercyza, oboje młodzi trzymali się za ręce i szczebiotali ze sobą, a matka, uwiadomiona o wszystkiem, patrzała na nich z wyrazem niewymownego szczęścia na twarzy. Dziadek, wszedłszy do tego pokoju, najprzód zachmurzył się na Raczka, pogroził mu palcem i rzekł:


J. HOLEWIŃSKI

— A waść zasłużyłeś, abyś poszedł na rok do profosa.

Ale zaraz się wypogodził i dodał:

— No, więc tedy wszystko jest załatwione. Ale teraz zwijajcie namioty podróżne!

Jadwiga ze łzami w oczach rzuciła się dziadkowi do kolan. Raczek także, ale z pewnym namysłem, bo już przeczuwał, że tam te rzeczy nie tak gładko się ułożyły, jak się spodziewał. Lecz dziadek nie dał mu czasu do namysłu i zaraz rzekł:

— Rada familijna postanowiła, aby ślub odbył się dzisiaj, i abyście dziś jeszcze wyjechali do kraju. Idzie tylko jeszcze o matkę...

Lecz pani Leendorf zaraz odpowiedziała:

— Spodziewam się przecież, że i mnie weźmiecie ze sobą.

— Otóż to jest najlepiej! — rzekł dziadek uradowany — ja tu jeszcze z tydzień zabawię i wszystko uporządkuję. A asindziej jedź teraz do siebie, spakuj swoje manatki, kup sobie pierścionki i bukiet ślubny i najdalej za trzy godziny powracaj. Około czwartej ślub się odbędzie, potem co przekąsimy, a wieczornym pociągiem z Panem Bogiem do kraju.

Jak dziadek zarządził, tak wszystko się stało. Biskup już we dwie godziny poprzywoził wszystkie dyspensy, o czwartej godzinie odprawił się ślub w miejscowym kościele, o piątej był obiad, przy którym jednak ani pana Mercy, ani Leendorfa, ani Raka nie było, a o siódmej państwo młodzi z matką, odprowadzeni do dworca kolei przez dziadka, wyjechali do Krakowa.

* *

Pułkownik, wydawszy wszystkie rozporządzenia, przypomniał sobie, że jego syn piekielnym trawiony bolem także się gdzieś pod tym dachem znajduje. Przypomniał to sobie poźno, ale w tych rzeczach miał on swoje własne, może cokolwiek żołnierskie pojęcia, datujące się z czasów jego młodości. Podług niego mąż, któremu się żona sprzeniewierzyła, nie zasługiwał na żadne współczucie, bo nigdy żona, tylko zawsze mąż temu był winien. W tym razie nadto jeszcze miał to przekonanie, że Rak sam niepotrzebnie w umysł swej żony przewrotne zasady filozoficzne zaszczepił, których ona nie rozumiała, ale w które wierzyła, i które jej musiały otworzyć drogę do niesumiennego postępowania. I w tem dziadek miał słuszność zupełną; bo powiedzieć kobiecie, że nie masz moralności na świecie, bo jej nie widać w tych prawach, którym ulega świat fizyczny, to wychodzi na jedno, co uwolnić ją raz na zawsze od obowiązków matki i żony. Takie zasady wpajać w kobietę może tylko umysł spaczony i rzeczywiście nie godzien żadnego współczucia. To też i dziadek mimo swojej miłości dla syna, nigdy mu nie mógł tego przebaczyć, chociaż nigdy o tem nie mówił. Teraz znalazł go siedzącego w swojem mieszkaniu, prawie bez przytomności. Był on ciągle niezmiernie czerwony, a nawet oczy krwią miał zabiegłe, patrzące zresztą niewidomie przed siebie. Popijał ciągle zimną wodę i chustkę zwilżoną przykładał do czoła. Kiedy ojciec jego wszedł, prawie się go przestraszył; byłby wolał w tej chwili nikogo nie widzieć. Zauważał to dziadek i ból i wstyd jego szanował. Mówił mu tylko:

— Wypadek taki jest jak śmierć. Trzeba mu się poddać, ale poddać rozumnie i z honorem. Zapewniając żonie przyzwoity sposób życia, nie dla niej się to czyni, ale dla siebie. Zresztą nim się co postanowi, trzeba ból pierwej przetrawić, bo nie każdemu jest dano, mieć wśród bolu umysł spokojny i jasny. Uspokój się; za kilka dni i z tego jakoś wyjdziemy.

Rak patrzał ciągle przed siebie szklannemi oczyma. Patrzał, ale nie widział i tylko raz się odezwał, mówiąc raczej do siebie niżeli do ojca:

— Ja jestem wolny od przesądów. Ale w tym kraju dalej mieszkać nie mogę...

Z tych słów było widocznem, że Rak wcale nie myślał rozłączać się z żoną. Ale dziadek go nie zrozumiał, a nawet wcale na to nie zważał. Widząc tylko, iż trudno mu syna w tem usposobieniu na wesele zapraszać, nakazał służącym, aby go nie spuszczali z oka i aby zimną wodę mieli pod ręką.

Rak tak się pasował do czwartej — a kiedy państwo młodzi pojechali do ślubu, wziął kapelusz, zszedł na dół, kazał sobie swój powóz zawołać i pojechał do miasta.

Pojechał do hotelu, gdzie na pierwszem piętrze miał pomieszkanie, z kilkunastu pokoi złożone. Wszedłszy do pierwszego pokoju, wcale na służącego nie zważał, który tam czekał na niego, tylko poszedł do drugiego i do trzeciego, a idąc dalej, ciągle kroku przyspieszał. Przeszedłszy nareszcie wszystkie i nie znalazłszy nikogo, zbladł, patrzał przez chwilę przed siebie, a potem nagle służącego zawołał. Kiedy służący wbiegł, spytał go głosem zmienionym:

— Gdzie pani?

— Pani kazała wszystkie swoje rzeczy spakować i odjechała na kolej.

Na to Rak schwycił się obydwiema rękami za głowę, stał tak przez oka mgnienie, a potem runął na posadzkę bez przytomności. Zwołano służbę, położono go na łóżku, rozebrano na prędce i zawezwano lekarza. Lekarz przyszedł, dotknął się pulsów, skroni i serca i rzekł:

— Apopleksja.

KONIEC.

Oczy uroczne.

(Z ryciną.)

Są oczy, pełne słońca tęczowych uroków,
Ogni najżywszych pełne, kwiatów i ros świetnych;
Zda się, lucziole błyszczą pośród wonnych zmroków,
To znowu się wydają łzą modlitw szlachetnych.

Czy może z gwiazd przedziwnych która — tam — od łona
Wszechmocy, gdzie różańcem wieczystym zawisła,
Przypadkiem z nieśmiertelnej dłoni uroniona
Spadła tu i w spojrzenia się takie rozprysła?

Bajko! spiewasz nam oczy, co jak w samotrzasku
Ptaszki, łowią przechodnia, który czarem zdjęty,
Niebo mniemał w nich znaleźć — śmierć znalazł w ich blasku...

Oto oczy uroczne: ten powab przeklęty,
Co jak cud nieba błyszczy na mistrza obrazku,
A jest zarazą serca: — oczy-djamenty!

Bronisław Komorowski.

Przewodnik towarzyski i salonowy

WEDŁUG DZIEŁA „SAVOIR VIVRE"

przez panią d'Alcq dla polskiej publiczności opracowała Hr. R.

(Dokończenie.)

XIV.

O paleniu cygar.

Kwestja palenia lub niepalenia cygar w salonie, w którym są kobiety, stała się niemal kwestją społeczną, a przynajmniej kwestją towarzyską.

Lat kilkadziesiąt wstecz się cofając myślą, nikomu nie przyśniło się, że można palić fajkę w towarzystwie kobiet i zadymiać salony, jakby były kawiarniami.

Dziś przyszło prawie do tego, iż mężczyźni podają tę kwestją kobietom „na ostrzu szpady", jak Francuz powiada.

— Macie wóz i przewóz — mówią niektórzy — albo obchodźcie się zupełnie bez naszego towarzystwa, lub też dajcie się wędzić na szynki, a wasze salony przemieńcie na kawiarnie, bo my dla was ani na chwilę cygara nie porzucimy.

Któż temu winien, jak nie kobiety same? Po cóż zstąpiły dobrowolnie z piedestalu, na którym postawiła je wyższa cywilizacja narodów, mająca zawsze za najpierwszą cechę poszanowanie kobiety? Dla czegoż wypuściły z rąk berło piękności i gracji, by je zamienić na szpicrózgę i batog do powożenia końmi, a wreszcie znalazły się, niestety! i takie kobiety, które sprofanowały swoje usta różane dymem cygarowym i same palić zaczęły.

Dobrze, że nasi wielcy romantycy prawie wszyscy już w grobie leżą. Oni, którzy w swojej cudownej, boskiej fantazji dobierali porównań najpiękniejszych dla ust kobiecych, cóżby powiedzieli, gdyby nagle te usta, przez nich tak czule opiewane, buchnęły im w nos kłębem dymu tytoniowego?

Nie dziw, że dzisiejsi rymotwórcy — poetami niepodobna mi ich nazwać — natchnieni przez kobiety przesiąkłe, zamiast woni fiołków i róży, tytoniem, winem i prochem, ubierają biedną poezją, tę najwznioślejszą córę niebios, w szaty bachantki pijanej, lub każą jej być jakąś wściekłą megerą, ziejącą jadem cynizmu i sarkazmu!

Szkoda wielka talentu, nieraz nawet znakomitego, który stara się negować wszystko, co szczytne, co wzniosłe, jednem słowem: jest antypodą tego piękna, które dotąd uwielbialiśmy w poezji.

Przecież i dziś jeszcze, mimo że tak smutne czasy nastały, trafiają się salony, w których raz na zawsze panowie cygar nie palą, a jednak młodzież do nich uczęszcza tłumnie, bawi się doskonale, byle znalazła przyjęcie serdeczne, staropolskie; cygara zaś palą mężczyźni wyłącznie w pokojach pana i sami nie raz się dziwią, o ile atmosfera takiego salonu jest czyściejszą, przyjemniejszą i lekszą od powietrza ciężkiego, dusznego, salonu, w którym wszyscy kurzą jak w prostej knajpie.

Mężczyźni o uczuciach delikatniejszych, z lepszem wychowaniem, z pewną estetyką w pojęciach, zatęsknią prędzej czy poźniej za towarzystwem kobiet dystyngowanych, i chętnie im poświęcą jaką godzinkę bez cygara spędzoną; z takimi zaś panami, którzy ani na chwilę bez powietrza kawiarnianego obyć się nie mogą, najlepiej i najbezpieczniej będzie dla kobiet, szanujących własną godność, nie wdawać się wcale; bo jest bardzo prawdopodobnem, że nie tylko ich suknie, lecz i ich maniery tem

powietrzem przesiąkły, a w takim razie, z cygarem czy bez cygara, nie byliby towarzystwem stosownem dla kobiet dobrze wychowanych.

Mężczyzna dobrze wychowany nie wejdzie nigdy do salonu z cygarem w ustach, chyba do równego wiekiem kolegi. Gdy wchodzi z wizytą nawet do mężczyzny starszego, zostawia także cygaro w przedpokoju, czekając z zapaleniem tegoż, żeby go do niego gospodarz sam zachęcił.

W wagonie grzeczny mężczyzna nie zapali także cygara, choćby w coupé dla palących, póki nie spyta kobiet obecnych, czy na to pozwolą.

Powie może nie jeden: „To niech kobiety nie idą między mężczyzn“; zapewne — ależ w podróży nie raz nie ma chwilki do stracenia, nie ma czasu szukać damskiego wagonu, lub coupé dla niepalących, które są zwykle przepełnione. Jeżeli taka biedna kobieta znajdzie się nagle wsród kłębów dymu, który bardzo wielu kobietom, szczególniej w podróży szkodzi okropnie, sprawia mdłości i nieznośny ból głowy, nie jest że powinnością mężczyzny delikatnego, przestać palić lub wsiąść do innego wagonu?

Grzeczność i uczynność są to cnoty, potrzebujące pewnej ofiarności z naszej strony, ale też i nagrodę znajdujemy w przekonaniu własnem i w szacunku, jakim nas nawzajem otaczają ludzie dobrze wychowani. Komu wszystko jedno, czy będzie miał reputacją brutala, czy człowieka dobrze wychowanego, może być szczególniej z samemi kobietami, gdzie nie ryzykuje pojedynku, nawet niegrzecznym; czy to się jednak godzi? i czy to się zgadza z dobrem wychowaniem? niech na to sam odpowie.

W stosunku małżeńskim żona nie ma prawa najmniejszego, żądać od męża, żeby dla niej wyrzekł się cygara; przecież mąż delikatny i przywiązany, szczególniej gdy żona jest w odmiennym stanie, nie będzie z pewnością przy niej palił, jeżeli uważa, że jej to szkodzi. Nikotyna, wydzielająca się obficie z dymu tytoniowego, działa nieraz na kobiety ciężarne tak fatalnie i sprawia tak silne mdłości, iż życie dziecka może być w pierwszych miesiącach zagrożone przez wpływ tego silnego narkotyku na nerwy matki.

Któryż ojciec, mający bodaj iskierkę słabą uczuć szlachetniejszych, chciałby szkodzić zdrowiu żony, a stosunkowo i dziecku swemu, które wtedy jej życiem istnieje.

Każdy człowiek szlachetny, jeszcze raz powtarzamy, o ile nie potrafi płaszczyć się przed silniejszymi, o ile będzie mężnym i energicznym w stosunku z mężczyznami, o tyle będzie dobrym, łagodnym i grzecznym względem kobiet, nawet dla własnej żony innym być nie potrafi.

Tylko podli i nikczemni tchórze mogą znęcać się nad kobietą! Przed równym sobie mężczyzną będą drżeli ze strachu, pozwolą sobie w oczy napluć i powiedzą, że jakoś wilgotno na dworze, pojedynek uważać zwykli za rozbój na gładkiej drodze, a maltretowanie żony za swoję powinność nieledwie, a przynajmniej za rzecz całkiem naturalną.

W naszym kraju, dzięki Bogu! tacy mężowie stanowią rzadkie wyjątki, a będą one jeszcze rzadszemi, jeżeli młodzież nasza będzie więcej przebywać w towarzystwie kobiet zacnych, wykształconych, z któremi trzeba się żenować, które przy całej grzeczności i uprzejmości pani domu, szczerze gościnnej, potrafią jednym rzutem oka dać poznać mężczyźnie, że im się to lub owo nie podoba, które zresztą umieją obejść się bez towarzystwa panów, jeżeli ci nie są takimi, jak być powinni.

W towarzystwie takich kobiet młodzi ludzie nabierają ogłady, delikatności, uczą się poznawać prawdziwą wartość kobiety i uczą się ją szanować. Dochodzą nawet powoli do takiego stopnia doskonałości, iż gotowi dla towarzystwa zrobić ofiarę największą, nie palić przez godzin kilka cygara!!!

XV.

O dobrym tonie w umeblowaniu.

Któryś z moralistów powiedział: „Po stylu można poznać człowieka“; mybyśmy powiedzieli, że po urządzeniu i umeblowaniu domu można poznać usposobienie całe kobiety, która tym domem rządzi.

Jeżeli ma zamiłowanie porządku, smak estetyczny, wszędzie wpływ jej zbawienny znać będzie. Każda bagatelka będzie ustawiona z pewną gracją i harmonją, pokoiki choćby najmniejsze, będą wyglądać milutko, czyściutko, prawie z kokieterją.

U kobiety niedbałej, nieporządnej, próżniaczki wszystko będzie jakieś niesmaczne, ciężkie, bo ona do niczego ręki sama nie przyłoży.

Tak samo, jak w ubraniu osoby nie stanowi piękności kosztowność toalety, tak i w umeblowaniu domu więcej znaczy poczucie piękna w ustawieniu gracika najmniejszego, niżli nagromadzenie bez myśli przewodnej choćby najkosztowniejszych mebli.

Salon, zanadto meblami zapchany, wygląda na skład tychże; zupełnie próżny i ogołocony z tych drobiazgów, które mu dają pewną fizjonomją i pokazują, że w nim ktoś żyje, wygląda zimno, pusto, jakby pokój gościnny w jednym z podrzędnych hotelów.

W salonie stoi zwykle fortepian, biórko, jeżeli jest bardzo piękne — chociaż właściwie do salonu nie należy — pułka elegancka pod nuty; na kominku, jeżeli jest, stoi bądź zegar piękny, ze stosownemi kandelabrami, bądź lampa ozdobna. Garnitur mebli powinien mieć zawsze obicie jednolite. Kolor niezbyt jaskrawy trwa dłużej i wygląda szlachetniej. To już zresztą od gustu zależy.

Ze srebra może tylko stać lampa srebrna w salonie i srebrne kandylabry. Już na bilety zwykle teraz używają koszów z drzewa wyrzynanego, z porcelaną we środku, a nie koszów srebrnych jak dawniej.

Rozstawiać w salonie cokolwiekbądź ze szkła, porcelany, jest w najwyższym stopniu parafiańskiem. Mogą stać jedynie wazony z kwiatami lub bukiety robione. Etażerki z kwiatami świeżemi ślicznie salon ubierają, ale wymagają wiele pracy i oczyszczania; bluszcz szczególniej pnący się po oknach, jeżeli nie jest starannie obmiatany, mnoży okrutnie pająki, a te następnie meble niszczą.

Meble na wsi i w mieście dobrze jest przykrywać pokrowcami na noc i podczas czyszczenia pokojów. Trwają tym sposobem daleko dłużej.

W sali jadalnej, o ile salon zwierciadła pięknie ubierają i są w nim nieodzowne, nie zawiesza się wcale zwierciadeł, nie stawia się kanap ani foteli, tylko meble wyplatane lub z drzewa surowego robotą snycerską. Te ostatnie są prześliczne! Szafy kredensowe o dwóch oddziałach bez tafli szklannych są dziś najwięcej używane do sal jadalnych.

W pokoju sypialnym, szczególniej w mieście, gdzie zwykle ma się mniej pokoi, a dużo osób bywa, jeżeli nie ma się pokoju z niszą, dobrze jest oddzielić łóżka firanką, od sufitu idącą przez cały pokój. Na noc można ją podnosić lub na boki rozsuwać. Tam trzeba umieścić lawoar, szafkę do łóżka, wszystko co zdradza codzienny użytek. Tym sposobem ma się dwa pokoje, i ten drugi zupełnie przyzwoicie wygląda, można w nim nawet jadać w najgorszym razie.

Skoro z łóżka się wstanie, trzeba pokoje zimą czy latem przewietrzyć, okna otwierając, następnie uprzątnąć wszystko niepotrzebne; prochy pościerać i być gotową zupełnie, choćby najwięcej osób przyjść miało. Tak samo budzą wstręt w każdym człowieku porządnym pokoje źle utrzymane, jak głowa nieuczesana i twarz nieumyta.

Dzieci trzeba przyuczać od lat najmłodszych, żeby nic po sobie nie zostawiały nie schowanego, niezłożonego porządnie. Rano mają same pochować nocną bieliznę; póki tego nie zrobią, nie dać im śniadania; po każdej lekcji mają poskładać na swoje miejsce książki i zeszyty. W domu, gdzie dzieci dużo, któżby nastarczył sprzątać po każdem z osobna.

U sufitu w pokoju sypialnym wisi zwykle lampa nocna, w sali jadalnej również lampa pojedyncza lub podwójna.

Pająk ze świecami stosowniejszy do salonu, niźli lampa, choćby najpiękniejsza.

Dywany leżą zwykle przez zimę tylko, na lato dobrze z prochu wytrzepane lepiej schować, bo i pełzną i mole w lecie psują.

Do wieczoru tańcującego cały salon przestawia się inaczej, meble ile możności pod ściany się usuwają, fortepian nawet wynosi się do drugiego pokoju, żeby więcej miejsca było, kanapy, duże fotele, zastępuje się mniejszemi krzesełkami, a za to ich się więcej stawia.

Portrety familijne i fotografie nie wieszają się w salonie, wybór obrazów musi też być estetycznym. W domu, gdzie wogóle bywają kobiety, a nawet młode panienki, nie można rozwieszać obrazów rażących nagością, obrażających w czemkolwiek moralność; to samo musi się i do rzeźb zastosować.

Obrazy święte tylko w sypialni wisieć mogą; w sali jadalnej dobiera się zwykle obrazów ze świata roślinnego i zwierzęcego, byle przedmioty wstrętu nie budziły, bo wtedy apetyt odejmują.

Tam, gdzie się jada, nigdy łóżko stać nie może, a przynajmniej nie powinno być widoczne. Taki widok szpitalny też apetytu nie dodaje.

Jeżeli pokój sypialny jest przedzielony, i druga połowa służy do jedzenia lub tam się gości przyjmuje, nie stawia się już toalety, choćby najozdobniejszej. Toaleta należy do sypialni, a jeszcze właściwiej do budoaru. Graciki na niej poustawiane muszą być bardzo piękne; postawić co bądź nie warto. Teraz dla osób mniej majętnych, są prześliczne ażurowe stoliczki toaletowe żelazne, ze zwierciadłem i wszelkiem urządzeniem, miednica, dzban do wody, puszki rozmaite i t. d.... zabiera to bardzo mało miejsca, przyśrubowuje się dla pewności do podłogi i wygląda nader elegancko.

Jeszcze raz powtarzamy, czystość, porządek przedewszystkiem. Lepsza podłoga czysto umyta, niż posadzka nie wytarta szczotkami i niezamieciona porządnie; lepsze mebelki perkalikowe czyste i całe, niż jedwab brudny i podarty.

„Choć ubogo, byle chędogo“ mówi przysłowie staropolskie i wielką prawdę w sobie mieści. Oto przedewszystkiem starać się trzeba. Brud wszystko neutralizuje, w czystości wszystko jaśnieje.

Czem słońca blask dla natury, tem czystość, ład i porządek w życiu ludzkiem. Utrzymać tak dom cały, żeby każdy kącik mógł być widzialnym, powinno być najpierwszem zadaniem kobiety, która z n a i r o z u m i e s w o j e o b o w i ą z k i.

XVI.

Kwiaty i kobiety — dwa pojęcia tak się dopełniające wzajemnie, tak często porównywane jedne z drugiemi, iż nie dadzą się prawie odłączyć od siebie.

Kwiaty tak cudownie zdobią i ubierają kobietę, — mówimy tu wyłącznie o kobietach pięknych i młodych; brzydkie nie mogą liczyć się do płci pięknej, a stare „*n'ont plus de sexe*“ jak mówią Francuzi — kobieta na-

wzajem podnosi wartość kwiatu, gdy go na niej widzimy. Piękność kwiatami ustrojona wywołuje mimo woli w pamięci madrygał, powiedziany niegdyś pani Grabowskiej, przez słynnego z galanterji dla dam Trembeckiego, nadwornego poety króla Stanisława.

Pani ta miała wtedy tylko jednę różę wpiętą we włosy:

— Mówią, żeś jako ta róża nadobna,
Ja mówię: róża piękna, bo do cię podobna!

Kwiaty, to najpiękniejsza ozdoba natury; kobieta to wcielona poezja świata duchowego.

Są kwiaty, których woń orzeźwia i leczy, są inne, które odurzają i trują, mimo blasku, jakim jaśnieją. To samo o kobietach powiedzieć można. Kobiety szlachetne, cnotliwe, z sercem zawsze gotowem do poświęceń dla drugich, wywierają wpływ zbawienny na całe swoje otoczenie; nikczemne kokietki bez serca i sumienia, igrające z uczuciem, nie wypełniające żadnych obowiązków, depcące z pychą upadłego anioła po wszystkiem, co powinno było świętem dla nich pozostać, to kwiat, którego woń upaja zmysły i zabija; to trucizna moralna, stokroć niebezpieczniejsza od trucizny ze świata roślinnego. Tamtę znamy i unikamy, do tej, tak ponętnej i świeżej z pozoru, lgnie każdy niedoświadczony, póki mu się oczy nie otworzą, co zwykle niestety! przychodzi zapoźno.

Skromny fiołek, ten pierwszy uśmiech wiosny, jakież to śliczne porównanie dla młodej panienki. Jej młodość, niewinność ma ten sam urok dla ludzi szlachetnych, jakim przejmuje świat cały woń cudowna fiołka pierwszego.

Młoda matka z dzieciątkiem na łonie, nie jest że wiernym obrazem róży w pełnym rozkwicie, z pączkiem na wpół otwartym u tej samej łodygi.

Istota wiotka, eteryczna, na której znać już łzy i cierpienie, czyż nie przypomni nam żywo lilji białej, takiej jak ona smętnej i bladej, z główką na dół zwieszoną, z kielichem jakby łez pełnym.

Kamelia o barwach świetnych, o liściu twardym i nie więdniejącym, pozbawiona atoli woni, tej własności najcudowniejszej w kwiatach, podobną jest do kobiety pięknej a lodowatej, której oko nigdy nie zaćmi łza współczucia, która nie kochała w życiu nikogo, tak jak kocha siebie, która wypełnia nawet czasem swoje obowiązki, ale tak obojętnie, że aż zimno przejmuje patrząc na jej czynności.

Istnienie kwiatów krótkie i przemijające. Podmuch wiatru silniejszy, brak słońca i ciepła, już je zwarzy, już giną.

I w tem kobiety do kwiatów podobne.

Zawód w wiośnie ich życia, jeden cios boleśny wystarcza nieraz, żeby zniszczyć ich szczęście na zawsze, żeby je złamać moralnie.

Wypłakawszy łzy wszystkie, snują sią potem po świecie biedne istoty! bez łez już, bo wreszcie źródło ich wyschło, lecz i bez uśmiechu; istny kwiat zwiędły przedwcześnie!

Gdy z całą ufnością podnosiły swoję piękną, młodą główkę, pełną snów młodocianych ku niebiosom, spodziewając się ztamtąd blasków słonecznych, promieni miłości, jakiejśkolwiek cząstki tego dobra, tych rozkoszy, jakie im się od losu należały, otrzymały w odpowiedzi burzę srogą, niszczącą od razu ich błogie nadzieje i takim mrozem rozpaczy serce młode ścinającą, iż w jednej chwili, wiosna pełna zieleni i barw tęczowych, przemieniła im się w zimę bezbarwną i nieskończoną.

Ziemia budzi się i zieleni nanowo z pod śniegu; serce młode atoli, gdy raz je zmrozi niewiara w ludzi, gdy raz zastygnie pod całunem zwątpienia, już wiosny nie zazna, już mu nikt nie wróci tych darów najwyższych, ufności i wiary, które mu na zawsze wydarto.

Nie dziw więc, iż gdy tyle nici sympatycznych wiąże kobiety z kwiatami, ukochały je prawie namiętnie. Nie tylko służą kobietom do stroju, używają one nieraz kwiatów, jako powierników swoich myśli najtajniejszych, jako pośredników w miłości. W krajach szczególniej, gdzie cnoty dziewiczej strzegą jeszcze mury wysokie, jakby więzienne, rygle i zamki jak w Hiszpanii, lub tam, gdzie kobietę uważają dotąd jako niewolnicę, której zakazano raz na zawsze czuć i myśleć, bo ona ma tylko czekać na rozkaz swego pana wszechwładnego, kiedy raczy ją powołać przed swoje oblicze, jak to się dzieje na całym wschodzie, kwiaty grają ogromną rolę, mają swój język właściwy, którym kochankowie władają znakomicie; każdy kwiat niemal cały frazes tworzy, mały bukiecik, to nieraz cała epopeja serca i uczucia! Opowiada o smutku i tęsknocie, zwątpieniu lub nadziei, o ciężkiej niewoli, która ma się przemienić w słodkie więzy wiernej miłości, i tym podobne cuda jak świat stare, a wydające się każdej parze kochanków czemś nowem, co oni tylko jedni wymyślili. O święta naiwności zakochanych, którym zawsze się zdaje, że nikt tak się jeszcze nie kochał i nikt tak kochać nie będzie. jak oni to umieją!

W każdym romansie, na wschód przeniesionym — a jest ich sporo w literaturze — autor posługuje się taką rozmową kwiatów; tutaj podajemy ją tak, jak jest w dziele pani d'Alig opisana.

Ofiarując komuś bukiet, trzeba bardzo zastanowić się nad wyborem kwiatów, żeby w razie, gdyby ta osoba była obznajomioną z ich znaczeniem, nie poczytała za obrazę układu tegoż niestosownego.

Róża, nazwana „rose pompon“, symbol gracji dziecięcej, jakby nieświadomej siebie.

Róża biała oznacza niewinność i niewiadomość, to samo znaczy pączek róży.

Mimoza, symbol czystości.

Róża głogowa, symbol młodości.

Werwena, obraz dziewiczości, rzymskie westalki w nią się stroiły.

Pierwiosnek mówi o wiośnie i przyjaźni trwałej.

Niezabudka, miłe przypomnienie.

Konwalja, szczęścia zaranie.

Marguerita, skromność.

Lilja biała, czystość anielska.

Wszystkie te kwiaty są przeznaczone z powodu ich znaczenia symbolicznego dla młodych panienek. Ofiarowane osobie starszej i zamężnej, byłyby ironią, mogącą ją dotknąć i obrazić.

Nawzajem bez, lilla, caprifolium i malwa, nie dają się nigdy do bukietu panienkom, bo są symbolem macierzyństwa szczęśliwego.

Dziewica, idąc do ślubu, bierze na głowę wieniec z mirtu, symbol czystej miłości, i kwiat pomarańczowy, symbol dziewiczości.

Fiołek, kamelia i rezeda, są stosownemi dla każdego wieku, oznaczają naturalność i skromność, szczególniej fiołek i rezeda należą do każdego bukietu, gdyż ich powierzchowność niezbyt uderzająca, a przy tem woń cudowna, jaką dokoła siebie rozlewają, przypomina nam, że i w kobiecie cnoty i przymioty serca więcej warte częstokroć, niż piękność przemijająca, bez dobroci i cnoty.

Symbolem takiej dumnej piękności jest dahlja (giorginia).

Głóg różowy, symbol nadziei, jest też kwiatem młodości.

Róża centofolia, obraz kobiety w całem rozwinięciu jej piękności, róża żółta, symbol miłości małżeńskiej, kwiat brzoskwini, jaskier żółty, są kwiaty li dla mężatek stosowne.

Dzwonki niebieskie, otwierające się na dzień tylko, (belle du jour), symbol zalotności, nocna Viola (gatunek floksu), symbol nieśmiałości.

Wszystkie kwiaty koloru pąsowego mają znaczenie zanadto namiętne, niestosowne dla młodych panienek, i służą panom wyłącznie. Róża płomienista, goździk pąsowy, mak pąsowy, i t. p.

Hortensja i lilja wodna (nenufar), symbol dumy i obojętności, narcyz, słonecznik, jaśmin żółty, oznaczają zarozumiałość i miłość własną.

Wszystkie pnące się kwiaty i rośliny, jako to: powój, klematys i t. p. są symbolem trwałego i prawdziwego przywiązania.

Kwiaty żółte są symbolem zazdrości. Wszystkie gatunki nieśmiertelników używają się tylko do wieńców na groby przeznaczonych.

Laur należy wyłącznie do ludzi wielkich i wsławionych bądź męztwem, bądź geniuszem, gałązka oliwna oznacza pokój i zgodę.

Skabiosa jest kwiatem dla wdów przeznaczonym i oznacza żałobę; świerki i cyprysy reprezentują smutek, żal głęboki, i zwykle na cmentarzach spotyka się ich w obfitości.

Piołun, symbol serca zawiedzionego, zapewne dla swojej goryczy, która jest równie straszną, jak jest wielkim ból serca zdradzonego.

Anemon znaczy opuszczenie.

Lewkonja i tulipan, symbol bogactwa i przepychu; zboże, oznacza obfitość, basilicum przeciwnie mówi o ubóstwie.

Tubercza, symbol zmysłowości, ma zapach silny, odurzający, którego równie strzec się należy, jak i wpływu zgubnych namiętności.

Każdy gatunek róży ma swoje osobne znaczenie. Oprócz tych wyżej opisanych, jest jeszcze róża bengalska, poświęcona pięknościom zagranicznym, róża pąsowa, miłość ojczyzny, róża miesięczna, symbol piękności krótko trwającej, róża herbaciana, piękność szlachetna, centofolja, symbol uciech wszelkich, róża w mihu symbol miłości namiętnej.

Jest jeszcze mnóstwo innych kwiatów, któremi Bóg zasiał tak bogato nasze niwy, łąki i ogrody, że jak nikt nie zliczy gwiazd na niebie, tak i kwiatów na ziemi zliczyć nie podobna. Wymieniliśmy mniej więcej kwiaty mające szczególne znaczenie i najbardziej do bukietów używane.

K O N I E C.

POKŁOSIE.

Honoraryum tancerza na początku bieżącego wieku. Louis Duport, do roku 1835 dyrektor teatru narodowego w Wiedniu, był na początku bieżącego stulecia jednym z najsławniejszych tancerzy, którego tak dalece uwielbiano, że nawet poeta francuski Berchoux uwiecznił pamięć jego w swojej epopei. Gdy tancerz ten w latach 1808 i 1812 popisywał się jako gość w Wiedniu, płacono mu za każdy występ, a raczej za każdy pląs, tysiąc złr. W r. 1817 ofiarował mu królewski teatr w Neapolu za dwadzieścia przedstawień w ciągu karnawału 5.000 dukatów, wielką i małą garderobę i wolne pomieszkanie. Z innej strony ofiarowano mu za cały rok (104 występów) 14.120 dukatów, dwa benefisy bez wszelkiego potrącenia, garderobę i wolne pomieszkanie. Ale bożek baletu, niezadowolony tém, postawił następujące bajeczne żądanie: Za piętnaście występów w ciągu karnawału 25.000 franków i benefis w niedzielę lub święto; za resztę zaś dziesięć miesięcy, w których miał tańczyć tylko 84 razy, 14.120 dukatów, dwa benefisy, wolne pomieszkanie i wikt dla siebie, dla swojej żony, syna i służby. Na te warunki nie mógł przystać Neapol, i wyrzekł się przeto przyjemności widzenia wielkiego tancerza. Duport umarł w sędziwym wieku w Paryżu jako milioner r. 1853.

Kącik humorystyczny „Strzechy.“

Zapiski zoologiczne.

(według Brehma.)

II.

Ptaki spiewające (Vates, die Meistersänger) nie stanowią jednego rzędu, ale należą do różnych rzędów, a czasem nawet i do różnych urzędów, albowiem jak trafnie powiada łacinnik: „poetae nascuntur, concipistae fiunt.“ Spiew jest zresztą rzeczą względną, równie jak każda sztuka; widzimy np., iż jedna artystka mniema, iż tem lepiej odpowie swojemu powołaniu, im wyżej podniesie nogę, podczas gdy druga uważa się za tem doskonalszą kapłankę Melpomeny, im dłuższą ma trenę u sukni. Dla tego też jednego i tego samego ptaka niektórzy ornitologowie liczą do spiewających, a drudzy nie. I tak np. sejm w swojej ustawie o ochronie tych spiewaków zaliczył do nich, jak wiadomo, jeża, podczas gdy później dokładniejsze badania Wydziału krajowego wykazały, że jeż wcale nawet nie jest ptakiem. Co do mnie, przypuszczam, iż jeż jest właściwie secesjonistą, i tylko z hausnerowskiej złośliwości swojej, na przekor światłej większości ojców narodu udaje, iż nie umie latać.

W zbiorach hr. Dzieduszyckiego, tak doskonałych i kompletnych właśnie w dziale ptaków, ku wielkiemu memu zdziwieniu nie znalazłem wielu gatunków, dość pospolitych w wschodniej Galicji. Być może, iż niektóre z nich nie czas jeszcze umieszczać w muzeum, a co do innych nie stałaby skórka za wyprawę. Na wszelki wypadek, w interesie nauki, uważałem za stosowne opisać tutaj główne ich cechy. Dla zorjentowania się, mimo wielkiej ich rozmaitości, podzieliłem je na 3 grupy, o ile się dało.

Pierwszą grupę stanowi sam jeden Wieszcz (Vates verus, der Dichter). Ma on lot sokoli, czasem prawie orli. Głos jego bywa na przemian żałośny, jak tren Jeremjasza. albo też potężny i rozgłośny jak surma, wołająca do boju. Przebywa wprawdzie w Galicji wschodniej w dymie pożarów, ale duchową ojczyzną jego spiewu są błonia Maratonu. Dudki, gawrony i proste wróble uważają go zresztą za warjata.

Druga grupa cechuje się grzebieniem złożonym z dziewięciu zębów, czyli pałeczek, zakończonych kulkami naksztalt perełek. Są to tak zwane Merynosy, (Vates comites, die Blaublütler). Niektóre z nich nawet nie spiewają, ale im się zdaje, więc niech i tak będzie. Znane mi są następujące 4 rodzaje:

1. Krotochwilnik (Strex farsifica, die Lacheule) odznacza się brakiem czubka i należy właściwie do rodzaju Strix stancicosa, zagnieżdżonego w smoczej jamie pod Wawelem, ale nie ma i dziesiątej części tego sprytu, co inne ptaki tego rzędu. Jaja niesie tylko pod opieką orła o dwóch głowach, albo przynajmniej kawki, w gnieździe urzędowem. Teraz już zresztą wcale ich nie nosi. Jest śmiesznym, gdy szczebioce, a gdy spróbuje spiewać na dobre, można pękać od śmiechu, bo dystenuje jak djak na po-prażniku.

2. Ateńczyk (Eruditus mirabilis, der Vielwisser.) Ma niezmiernie wiele metody, a mało głosu i to ladajaki. Osoby cierpiące na bezsenność sprowadzają sobie jego egzemplarze, bo monotonny mimo wszelkich wysileń spiew jego usypia lepiej od maku.

3. Łowiec (Vates Nimrod, der Bockschütze.) Bardzo miła ptaszyna o skąpem pierzu. Spiew jego nie silny porusza się w akordach, którym nie brak patetycznego i tragicznego nastroju. Jest on zresztą drapieżnym i tępi bekasy, kaczki, kulony, zające, sarny, a nawet dziki.

4. Łąkowiec, nazywa się tak z powodu, iż gnieździ się na łąkach, nad średnim biegiem Pełtwy. Prześladowanym bywa przez Ostrowidze (Lynx criticus), i dla tego może spiewa rzadko, a i to nie do kadencji.

Trzecia grupa odznacza się tylko tem, że nie należy ani do pierwszej, ani do drugiej. Niektóre jej rodzaje spiewają tylko wtedy, gdy muszą, bo inaczej nie dostaną żeru. Należą tu:

1. Kolibri (Vates Ahasverus, der Weinerlich.) Ptaszek dziwnie małych rozmiarów, trzepocący się nieustannie, bardzo pięknie kolorowany koło dzióbka. Spiewa wcale pięknie i zdolnym jest wydoskonalenia, jeżeli go nie pożre:

2. Pawik (Psittacus heino-schefflicus, der slavische G'stanzlsepp). Jest to właściwie duży bardzo kanarek, tak muzykalny, że naśladuje z łatwością każdą pozytywkę, ale spiewa tylko wtenczas, gdy chce co zgryźć. Mówią, że redakcja Szczutka posiada w swojej klatce jeden egzemplarz pawika tak wyuczony, iż gwiżdże „Jeszcze Polska nie zginęła“ na tę samę nutę, co „Czerwony Sarafan“, iż dmie się nieznośnie i kąsa. Do dłuższych produkcyj wokalnych brak mu zresztą tchu, przespiewa ledwie parę zwrotek, albo tylko sam tytuł, i anj rusz dalej.

3. Czeczotka (Virgo Cyrica, die Miaumiauwachtel). Wabi jak przypiórka i zagęszcza się ogromnie w całym kraju. W niektórych okolicach ptaszki te latają całemi stadami, i aż uszy bolą od ich „pydpyłykania“. Uważano, że samcy stronią od nich, zapewne z obawy, ażeby młode, skoro tylko wylezą z jaja, nie zaczęły zaraz wabić: pyd! py-łyp!

4. Fjołek (Aldebaran hirsutus, der Biribinker). Mówią, że kiedyś, gdzieś, coś miał zaśpiewać, teraz zaś nadął się i tylko wciąż myśli, ale nic wymyśleć nie może.

5. Szare ptaszę (Aurelius Urbanus, v. theatralis, der Backfischler). Ptak bardzo pożyteczny, dla tego też Wydział krajowy wziął go w specjalną opiekę. Spiew jego niepretensjonalny, miły jest dla ucha.

6. Dawidek (Malefactor Helenae, der Zukunftsmarschal, Powinienby właściwie należeć do grupy drugiej, ale natura odmówiła mu grzebienia z pałeczkami. Spiewa on zresztą tylko z amatorstwa i to tak, że aż strach słuchać.

Dla braku miejsca, zmuszeni jesteśmy opis reszty spiewających ptaków odłożyć na później.

Wydawca i odpowiedz. za redakcją F. H. RICHTER. Z drukarni narodowej W. Manieckiego.